ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.



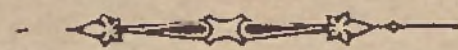
ROK I.
(Nr. 1—13)

Wydawca:
Bolesław Spausta.

Redaktor odpowiedzialny:
Bolesław Czerwieński.

Lwów
Z drukarni „Dziennika Polskiego"
pod zarządem L. Zubalewicza.
1882.

SPIS PRZEDMIOTÓW.



Artykuły wstępne.

Do naszych czytelników . . . . str. 1.
O nauczaniu historji . . . . . „ 13.
Pro miseris . . . . „ 25.
Nasza Alma mater . . . . . . „ 37.
W obronie Melpomeny I . . . . „ 49.
Brak krytyki . . . . „ 61.
W obronie Melpomeny, II . . . „ 73.
Konkursa Macierzy . . . . . „ 85.
O zasady . . . . „ 97.
Nowe prawo kobiety . . . . . „ 109.
Obchód odsieczy Wiedeńskiej . . „ 121.
Reklama . . . . „ 133.
Idea Stowarzyszeń . . . . . . „ 145.

Powieści, nowele, szkice i opowiadania.

Z tajemnic wioski, nowela przez Sewera str. 2, 14, 26, 38, 50, 62, 74, 86.
Przy drodze, nowela przez Tokarzewicza — Hodiego str. 99, 110.
Intratna posada, nowela przez J. Wdowiszewskiego str. 122, 134, 147.
Rozczarowany, nowela wenecka przez Tally-Ho z francuskiego 5, 18, 30.
Mój pierwszy utwór sceniczny, opowiadanie humorystyczne Alfonsa Daudeta, z francuskiego str. 42.
Bocian, nowela Elie Bertheta, z francuskiego str. 54, 65.
Obietnica księcia, noweleta J. Arbesa, z czeskiego, przełożył J. W. Wdowiszewski str. 77.
Dziecko sąsiada, szkic Henryka Irvinga z angielskiego str. 90.
Obudzone sumienie, nowela hiszpańska str. 103.
Młoda matka, opowiadanie przez F... str. 114, 125.
Koci raj, bajka przez Emila Zolę str. 138.
Zbrodnia Piotra Michajłowicza, obrazek przez L. Jaźminowa, str. 150.

Poezje.

Wiersz bez tytułu, przez Bolesława Czerwieńskiego str. 4.
To zupełnie inna kwestja, przez Rodocia, str. 16.
Życie, Piosenka, z poezyj Wiktora Gomulickiego str. 28.
Noc czerwcowa, wspomnienie przez Klemensa str. 43.
Pieśń bojowa Petöfiego, przekład Alg... str. 52.
Dąb i lilja przez Janinę str. 63.
Nirwana, przez Włodzimierza Zagórskiego str. 76.
Z Kordowy, przez Henryka Merzbacha str. 88.
Nie budźcie jej, przez Włodz. Stebelskiego str. 101,
Głos konserwatysty o rewolucjoniście, Wiktora Hugo przekład M. Rodocia str. 112.
Po pogrzebie, przez Włodzim. Stebelskiego. str. 124.
Ostatni raz, przez Marję B. str. 136.
Ballada o chłopcu na stepie, Fryd. Hebla, przekład Wład. Sabowskiego, str. 148.

Artykuły literackie, naukowe i artystyczne, oryginalne i tłumaczone.

Z dziedziny nauk przyrodniczych, str. 4.
Album Gryglewskiego, artykuł okolicznościowy przez Admira. str. 7.
Wiek i jego prawa w wychowaniu, przez Ludwika Hodolego, str. 16, 28, 40, 52, 63.
Aforyzmy o kobietach, ułożył Forward, str. 19.
W sprawie pomnika Mickiewicza, przez Bolesława Spaustę, str. 32.
Petöfi Szandor, szkic biograficzno-literacki, przez Aleksandra Lisiewicza, str. 45, 55, 66, 79.
Życie mowy, przez Ludwika Wierzejskiego str. 76, 91.
Początek i rozwój staro-egipskiej religii, przez Jerzego Ebersa, str. 88, 104.
Realizm w powieści, szkic literacki, przez J. Ł. str. 101, 113, 124.
Claude Lorrain, szkic artystyczny, str. 116.
Wzory przemysłu domowego, str. 127, 140.
Louis Blanc, przez L. Inlendera, str. 136.
Przejście Wenery przez tarczę słońca, przez dr. Hertza, str. 139, 151.
Lady Barcker, kobieta geograf. str. 149.

Przeglądy literackie, muzyczne, teatralne, i tp. artykuły krytyczne, bieżące.

Występy Ładnowskiego, str. 7.
„Ludność polska w Prusiech“ dr. W. Kętrzyńskiego ocenił K. Ż., str. 8.
„Początek publicystyki literackiej w Polsce“ dr. R. Pilata, ocenił E. P., str. 9.
Nowela Walerji Marenné pt. „Jóźwa Szymczak“ ocenił Stan. W., str. 20.
„Goethe in Hauptzügen seines Lebens“ von Adolph Schöll, ocenił A. Z., str. 20.
Lira polska; poezje W. Gomulickiego, ocenił Alg.. str. 33.
Monografia miasta Przemyśla L. Hausera ocenił E. P., str. 33.
Pierwszy koncert tow. muzycznego ocenił W., str. 34.
Rys dziejów starożytnych J. Czarneckiego ocenił B. N., str. 44.
Fünfzehn Essays von H. Grimm ocenił A. Z., str. 44
O pielęgnowaniu chorych dr. Billrotha, ocenił Hipolit Parasiewicz, str. 57.
Sergjusz Panin, dramat w 5 aktach Ohneta, str. 58.
Polityczne znaczenie zjazdu gdańskiego w r. 1000. K. Rawera, ocenił M. B., str. 68.
„Sen trefnisia“, komedjo-dramat Leopolda hr. Starzeńskiego, str. 68.
Requiem Cherubiniego przez Cz., str. 69.
Nowości muzyczne, str. 69.
Estetyka poezji T. Ziemby, ocenił Cz., str. 92.
Z jesieni, poezje H. Merzbacha, ocenił Cz., str. 92.
Koncert p. Tyberga przez L., str. 93.
Geschichte der poln. Literatur H. Nitschmana, ocenił dr. Albert Zipper, str. 106, 117.
Koncert pp. Bürgera i Löwenburga przez L., str. 106.
Wszyscy za jednego, fraszka W. Wysockiego, ocenił K. Ż., str. 118.
Koncert M. Wolfsthala przez L., str, 128.
Zdrajca, powieść współczesna J. Rogosza, ocenił Stan. W., str. 140.
Pogląd na dzieje Słowian zach. północn. Dra Sieniawskiego, ocenił J. Zimerman.

Ziarnka

str. 9, 21, 34, 46, 58, 70, 83, 93, 107, 118, 128, 142, 153.

Zapiski

Literatura, teatr i muzyka, sztuki piękne, archeologia, nuki psyrodnicze, wiadomości społeczne, gospodarstwo, str. 11, 22, 36, 47, 59, 71, 83, 94, 107 119, 130, 143, 154.

Miscelanea.

Artystka francuska Rachel, według jej własnych listów, str. 12.
Wyprawa austrjacka na wyspę Jan Mayen, str. 2g,
Oświetlenie elektryczne, str. 24.
Wymiar powierzchni ziemi, str. 48.
Zmysł orjentowania się u zwierząt, str. 60.
Wyobrażenia starożytnych o sile, str. 71.
Zapatrywania p. Mirbeau na artystów dramatycznych, str. 84.
Macao, według opisu najnowszych podróżników, str. 96.
Nowa opinia o Marji Stuart, str. 108.
Siła owadów, str. 120.
Lampy elektryczne, str. 131.
Słuch u owadów, str. 132.
Tegoroczny kometa, str. 144.
Wyjątek z poezyj prozą Jw. Turgeniewa. Odwidziny, str. 155.
Opis Madagaskaru, str. 156.

Korespondencja Redakcji.

str. 24, 48, 84, 108.



Nr. 1. We Lwowie dnia 1. Października 1882 r. **Rok I.**



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1\frac{1}{2}$ arknsza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Do naszych czytelników.

Stan naszego społeczeństwa da się określić jednym wyrazem: a p a t j a. We wszystkich przejawach duchowego życia cięży na nas ta zmora, przygniatając ołowianą dłonią serca i mózgi. Żyjemy z dnia na dzień zamknięci w sobie, ospali, nie troszczący się o nic więcej, jak tylko o zaspokojenie najlichszych potrzeb żywota. A tymczasem świat postępuje naprzód, ludzkość zdobywa sobie nowe działalności obszary, wstrząsają nią nowe prądy, co chwila robi nowe zdobycze na polu wiedzy, i szybkim krokiem dąży do świątyni udoskonalenia. Dlaczegoż pozostajemy w tyle, dlaczego my, którzy zawsze chełpimy się rzeczywistemi i urojonemi zasługami na polu cywilizacji, skazujemy się dobrowolnie i samowiednie na rolę lichego statysty w ogólno-dziejowym pochodzie? Żeby nato odpowiedzieć, trzebaby sięgnąć bardzo głęboko, trzebaby zastanowić się nad podstawami bytu społeczeństw i warunkami rozwoju tychże, na co nam ramy naszego pisma nie pozwalają. Konstatujemy tylko, że nie dotrzymujemy kroku w postępie nie tylko innym narodom, ale nawet innym dzielnicom naszej ojczyzny, a zdaje się, że żaden wykształcony człowiek temu zaprzeczyć nie może.

Ten zastój, to zacofanie najlepiej może okazuje się w kwiecie rozwoju ludzkiego ducha — w literaturze. Podczas gdy gdzieindziej niemal każdy człowiek z zapałem pochłania strawę duchową, u nas ludzie, miłujący literaturę, należą do rzadkości. A mówiąc to mamy na myśli nie ciemny lud ale inteligencję, wśród której dla bardzo wielu wystarczają wiadomości podawane przez pisma codzienne, a nie brak i takich, którzy obywają się i bez tego.

Jaskrawych dowodów słabego poparcia u nas piśmiennictwa przez ogół, dostarczają dzieje pism literackich w Galicji. Ani jedno nie zdołało się stale utrzymać mimo prawdziwego poświęcenia wydawców. Każde kończyło na suchoty z powodu braku prenumeratorów. A nie myślcie aby do utrzymania pisma literackiego potrzeba było bardzo wielkiej liczby prenumeratorów. Gdzie tam! Cyfra to jest bardzo skromna, tak skromna, że w społeczeństwie miłującem literaturę powinnoby jej dostarczyć jedno większe miasto, a nie dopiero kraj sześciomiljonowy! Nie mówimy tego p r o d o m o s u a, bo nie należemy do optymistów i nie roimy sobie zbyt różowej przyszłości, ale faktycznie wstydem jest, że takie małe kraiki jak Serbja posiadają po kilka pism literackich, a Galicja nie dała trwałego żywota ani jednemu!

Smutny ten objaw umysłowego upadku naszego społeczeństwa tłumaczą zwykle biedą i nędzą. Tłumaczenie to nieszczere i fałszywe. W Galicji wcale nie brak ludzi, dla których wydatek guldena lub dwóch miesięcznie bardzo mało znaczy. Ci ludzie wyrzucają co dziennie pieniądze na zbytkowe zagraniczne artykuły, ci ludzie chętnie kupują obce, bardzo wątpliwej wartości wydawnictwa — ale na swoje zawsze im braknie.

Przystępując do wydawania „Ziarna“ robimy nową próbę, aby w Galicji stworzyć pismo, któreby było ogniskiem ruchu umysłowego, i dążąc z postępem odpowiadało w każdym kierunku zadaniom chwili. Istnienie nasze zależy od poparcia publiczności, zależy od tego, czy Galicja posiada dostateczną liczbę jednostek, miłujących literaturę i wiedzę. Nie apelujemy do żadnych uczuć czytelników, nie prosimy o żadne mecenasostwo w formie kilku guldenów, nie żądamy łask żadnych, idzie nam tylko o poparcie, którego źródłem powinno być przekonanie czytelników, że takiego pisma, jak nasze, potrzeba. Jeżeli takich prenumeratorów dostateczną liczbę pozyskamy, wtedy byt nasz będzie utrwalony. Jako ludzie uczciwi nie robimy żadnych szumnych przyrzeczeń, tyle tylko powiemy, że będziemy pracowali sumiennie, i że dobro ogółu, a nie osobiste korzyści jedynym naszym będą drogoskazem. Z resztą macie pierwszy numer w ręku — sądźcie sami!

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA
przez
SEWERA.

I.

— Wałowa, ho—ho—mądra to żydówka, dziesięcioma palicami i jedną głową a tyle dokazuje, — mówiła kobieta przysięznego.

— A ino — a ino, przyświadczały kumy. — Wyżywić bez te jedne palice siebie i czworo dzieci.

— Na zagonie jej nie uświadczy...

— Zwyczajnie cygani żydówka.

— Oj trzeba jej się strzedz jak ognia, — zaklinały gospodynie z Pęcisk.

— Pilnować się i już, mnie ta jesze ani razu nie zcyganiła — chwaliła się kowalka.

Słyszała rozmowę kumoszek rumiana od wiatru, rosła, dobrze zbudowana Sara Wałowa. Cieszyły ją sądy ludzkie w kwestji dziesięciu palców, i dla tego uśmiechała się pokazując duże, białe zęby. Rada by wpaść do izby, ująć się za sobą i wykłócić z temi, które radziły strzedz się jej jak ognia, — lecz czasu nie miała. Niosła do domu trzy kopy jaj na czwartkowy jarmark szczurowski. Trzy kopy jest co dźwigać, a do tego wielki kosz pełen sieczki. Umyślnie jej dużo zabierała do każdej pary kupionych jaj. Gospodynie się śmiały, ale nie broniły.

— Zdaje się wam Wałowa, że jaja szklanne, abo złote, co je tak obkładacie sieczką.

Wtedy Wałowa ująwszy się pod boki, zaczęła rozpowiadać o wielkim swym strachu, aby się nie potłukły. Cały majątek w nie włożyła. I jakby wtedy biedna sierota, dała sobie radę, sama z czworgiem dzieci bez jednego zagonu ziemi.

Gospodynie podparłszy brody na rękach, słuchały skarg żydówki.

W taki to sposób przy kupnie trzech kóp jaj, zdobyła Sara pełen kosz sieczki i plew.

Nie długo bawiła przed chatą kowalki, — podłożyła pod sznury na ramionach świeże garstki znalezionego na drodze siana i poszła, spiesząc się, aby jaknajprędzej dobić do chaty.

— Żebyście wiedziały, że mam głowę na karku, — mówiła do siebie. — Jaja kupiłam po dwa centy sztuka, a sprzedam cztery za dziesięć. Dziewięćdziesiąt centów zarobku, sieczka warta dziesięć — to już gulden. A pierze z podskubanych gęsi?... A może co dla dworu kupię, — albo sprzedam na jarmarku, — to także zarobię.

Słońce piekło, — pot spływał po wypukłem czole, — ciemno zielone błonie mówiące kolorem swym o glinie pod spodem, roiło się stadami bydła, spętanemi końmi i białemi gromadami gęsi. — Zadumane krowy, poważnie spoglądały na skaczące obok nich cielęta, konie szukały cienia u wierzb, rosnących nad wodami o wysokich brzegach, zapadniętej głęboko, krętej a płytkiej Rudawy.

Sara umyślnie wkroczyła w głąb ożywionego pastwiska. — Zobaczyły ją zdaleka gęsi, — zagęgały radośnie, — rozpięły białe skrzydła podobne wachlarzom — i wyciągnąwszy szyje, biegły po gładkiem błoniu jak wojsko do ataku z nastawionemi lancami, pełne wrzawy i okrzyków zwycięztwa.

Pani ich stanęła przed frontem, lustrując — bacznem okiem doświadczonego wodza — szeregi. — Liczyła po raz już setny, i doliczyła się okrągłej liczby trzydzieści. Miała przy błoniu własną chatę, a więc wolno jej było na gromadzkiem trzymać gęsi nawet sztuk trzydzieści. I choć ludzie gadali — miała prawo za sobą — i trzymała.

Gęsi poszły naprzód, Sara poszła za niemi pełna dumy i wewnętrznego zadowolenia. Marzyła, — raczej rachowała. Marzenia jej pod wpływem rachunku zdobywały podstawę rzeczywistości; i dla tego Sara Wałowa uśmiechała się do swych marzeń pokazując duże, białe zęby. Uśmiechając się oblizywała się szybko, nerwowo, nie z wielkiego łakomstwa, lecz z radości, że dzieci jej w zimie nie będą cierpiały głodu i zimna.

— Czworo — szeptała — dziesięć palców i jedna głowa.

Tętent kopyt bijących o murawę błonia i wołania młodych głosów, ocuciły ją, — obejrzała się szybko.

W krymce na głowie szedł Zyzma dotrzymując kroku wielkiej, czarnej, z białemi łatami krowie, spieszącej do domu. — Oparł rękę na jej biodrze i milczał, nie zważając na krzyki trojga dzieci, które biegnąc przed nim, — przywoływały matkę.

Sara czekała na dzieci i czarną z białemi łatami krowę, dużą i długą. — Nikt takiej nie miał we wsi, — ale też i Wałowa umiała wywiedzieć się, wybrać i kupić. Wałowa miała głowę, a nóg i języka nie żałowała.

Dzieci ją obskoczyły, dwóch synów i córka, — Zyzma został na swem stanowisku. Zgrzana i objedzona krowa sapała, robiąc bokami.

— Gdzieżeście ją to paśli? pytała uśmiechnięta matka.

— Na wale, na wale, — wołały dzieci wesoło chwaląc się.

— Ej bo krowę zajmą.

— Paśliśmy od strony rzeki, — mówił z dumą Josek, — Zyzma pilnował stojąc na warcie.

— A jaka ci obuchana! Na wale trawa jak w ogrodzie, — opowiadała Ryfka.

— Dużo jaj? — spytał Zyzma.

— Trzy kopy — po dwa centy.

— Nie dołożyli do dwustu?

— Sieczki, — odpowiedziała matka.

Zyzma uśmiechnął się ironicznie i wzruszył ramionami.

— Mnieby dołożyli — szepnął.

Sara usłyszała szept pasierba. Zabolało ją pod sercem, odwróciła się i poszła trzymając najmłodszego Mojżeszka za rękę. Starsze biegły naprzód — Zyzma zwrócił krowę na mostek Rudawy, — gdy Sara z dziećmi przeszła wprost przez kładkę.

Naprzeciw krowy i Zyzmy wybiegła z sąsiedniej chaty Kasia Zawrzykrajka, trzynastoletnia dziewczynka.

— Już to swoją Łaciatę pędzicie, — a nasza Wtorucha pewno się jeszcze nie nażarła, bo jak się ino nażre to sama wraca. Na wąskich, zaciśniętych ustach Zyzmy ukazał się uśmiech, w czarnych oczach zaświecił tajemniczy blask, przysłonięty długiemi rzęsami. — Widocznie Zyzma lubiał Kasię, — bo też Kasia była biała i rumiana, miała duże, siwe oczy, koralowe usta a buzię pociągłą. Nożyny zgrabne choć chude i czerwone, a włosy złotawe, przepalone od słońca, wydobywające się obficie z pod białej chusteczki.

— Kasia Zawrzykrajka była dawniej w dobrym bycie, to i nie dziw, że biała — mówili ludzie.

— Już to ze szkoły wróciłaś? — pytał dziewczynki Zyzma.

— Ależ dziś nie chodziłam, — odparła. — Matka poszli do miasta, wele tego prawa o grunt — i musiałam doma zostać. — A któż im kluski uwarzy — kto wydoi Wtoruchę? chwaliła się wstrząsając główiną, a swą młodziutką buzię strojąc zafrasowaniem starych gospodyń.

— Kasiu ja chcę, żebyś ty chodziła do szkoły, — rzekł stanowczo Zyzma. — Bo i ja choć żyd skończyłem ją z dobrej woli.

— A dyć chodzę. — Nie chodziłam to bez całą zimę, coście Matusi skredytowali na buty dla mnie? Przecież bez butów, anibym wyjrzała z chaty.

Usprawiedliwienia dziewczynki przyjął Zyzma łaskawie, przez wzgląd na pamięć jej o kredycie na buty.

— Chcę żebyś chodziła całe lato — mówił rozkazującym tonem. — A jak ci trzeba na papier, albo na rysik, to ci dam. — Tylko żebyś mi ani pisnęła przed macochą i jej dziećmi.

— Cobym miała pisnąć, nie lubię się chwalić. — Rysik Matusia mi kupią i pa-

pieru jeszcze ćwiarteczka została. Tylko mi książek brak.

Zyzma wprowadził krowę do obórki, uwiązał ją i wszedł do izby. — Kasia wsunęła się za nim.

— Czego tu ona chce? odezwała się po żydowsku Sara, pokazując oczami Kasię.

— Niech zostanie, kiedy jej się podoba, — rzekł Zyzma z godnością.

— Żeby rozgadywała po wsi co do gęby kładziemy, — a mało to nam ludzie zazdroszczą?

Kasia nie rozumiejąc mowy żydowskiej zaczęła się bawić z Ryfką i Joskiem.

— Wyprowadzę ją — odparł młody żyd odwrócony do okna.

Sara pochwyciła skopek i konewkę, — zawołała na dzieci — wzięła na rękę trzyletniego Mojżeszka, i wybiegła mówiąc po cichu do siebie:

— Co ten głupi Zyzma myśli sobie z tą dziewczyną? Jemu się przewróciło w głowie, — głupi!

Zyzma został w izbie z Kasią — wyjął z koszyka zasypane sieczką jedno jajko.

— Weź se to — schowaj — nie pokazuj nikomu, ugotuj i zjedz.

— Będzie do klusek — zawołała dziewczyna wsuwając jajko za gorsecik.

— Wtorucha wraca — rzekł wyglądając oknem.

Dziewczynka wybiegła do Wtoruchy, szczęśliwa, że mąkę na kluski zagniecie ze świeżem jajem.

— Zyzma choć tam żyd, — mówiła przez drogę, to go przecie lubię. — O lubię go! zawołała. — A co go nie mam lubić? Dobry choć żyd i nie skąpy choć żyd.

Wtorucha wkroczyła na most; Kasia przystanęła czekając na nią.

— Nie jest ci ona taka co żydowska — myślała kiwając frasobliwie główką, jak to czyniły stateczne gospodynie. — Ale bo też my nie żydy. Żyd potrafi ci zawsze coś wyspekulować i lepiej mu. — Ale my tam przecie nie żydy.

Wtorucha spojrzała tylko na Kasię, i opędzając się muchom poszła dalej, ani się zbliżyła, ani przywitała. Dopadła do obórki i nogami póty pracowała, póki nie otworzyła drzwi i nie wbiegła.

Kasia się dziwiła rozumowi Wtoruchy i dumna z zajętego stanowiska gospodyni, poszła do chaty po skopek, aby ją wydoić. Tymczasem Zyzma wyjął z kieszeni starą, podszarzaną portmonetkę, i wyciągając z niej szóstkę po szóstce liczył, chodził po izbie i plany układał. Na bladej jego twarzy odbijały się wrażenia z płynących myśli i namiętności nurtujących mu serce; — w oczach świeciły ognie, powieki drgały okolone długiemi rzęsami. Czarne, koloru hebanu jego włosy, łamały się w fantastyczne zagięcia, świecąc jak stal w promieniach słońca.

Wróciła Sara niosąc pół konewki żółtawego, gęstego mleka — dzieci biegły za nią. Zyzma usiadł na ławie i pisząc kredą po stole dodawał, odejmował, dzielił — lecz szybko zmazywał to co napisał, rzucając podejrzliwe na macochę spojrzenia, choć macocha piśmienną nie była.

Sara zgotowała kluski na mleku — rozdzieliła je: dla siebie i dzieci w jednej misce,— w drugiej podała Zyzmie.

— Mało — rzekł.

— Płacisz? wrzasnęła żydówka zirytowana — To ja i na ciebie będę pracować? Nie dość mi trojga swoich?

— A część mego ojca gdzie się podziała? — spytał z zimną krwią Zyzma.

— Tyś się wściekł — krzyknęła jeszcze głośniej. — Zostały długi to je płać.

— Kiedy były długi, to musiały być pożyczki. Gdzie się podziała gotówka z pożyczek, — mówił z wyszukanym spokojem przeszywającym serca namiętne i wrażliwe.

Sara nic nie odpowiedziała, — wargi jej drżały, ręce się trzęsły. — Posadziła Mojżeszka na stole karmiąc go sama.

— Gdybyś był do niego podobny, lepiej umrzyj dziś — szeptała.

Josek i Ryfka stali przy stole, podparli głowy na rękach i łowili kluski, spoglądając na Zyzmę z pogardą, jaka się tylko w ciemnych oczach Wschodu malować może. — Josek pociągnął matkę za spodnicę pocieszając ją cicho;

— Jak urosnę to go wypędzę — i pogroził małą swą pięścią.

Lecz Zyzma nie słyszał i nie widział gróźb. Odwrócony jadł swoją porcję. Za chwilę powstał, zbliżył się do półki, wziął bochenek chleba, ukroił grubą kromkę kozikiem i wrócił do mleka aby je skończyć.

Ruchy Zyzmy śledziła matka i dzieci, — lecz Sara nie miała już tchu w piersiach na protestację. Oburzenie tamowało jej oddech, zatykało gardło. — I temu to zawdzięczał Zyzma, że mógł dokończyć spokojnie obiadu, otworzyć własną szafkę zamkniętą na kłódkę, od której klucz nosił przy sobie, wyjąć z niej worek i koszyk niewielki, napełniony paczkami zapałek. Na spodzie leżały w zgodzie obok siebie szpilki ze szklanemi główkami, igły, nici szare i białe, bawełna, guziki cynowe, taśmy kolorowe... czego tam nie było?

Cały ten towar nie przenosił wartości trzech guldenów, lecz właściciel jego umiał tym kapitałem świetnie obracać, zarabiać sto za sto, lub zamieniać na szmaty daleko większej jeszcze wartości. — W worku było pół baraniej skóry, odpowiedniej grubości igła, nici i naparstek. Zyzma miał w ręku rzemiosło. Wybornie łatał i naprawiał kożuchy, a że był pilny, zręczny i nie drogi, z łatwością znajdował zarobek. — Widocznie wybierał się na dalszą wycieczkę, bo chałat i buty nałożył na kij, opierając go o ramię, a koszyk z towarem nasunął na rękę — Nie mówiąc ani słowa wyszedł poważny i zimny.

— A nie wracaj, jeżeli masz przyjść z próżnemi rękami — zawołała za odchodzącym Sara, lecz Zyzma nie raczył się odwrócić i odpowiedzieć.

— Co on nas ma objadać, nie może mama drzwi na kłódkę przed nim zamknąć? — radził mały Josek.

— Wlezie oknem, — szepnęła żydówka.

— To do wójta z nim.

— Przed gojem będę stawała na sąd, aby się dać na pośmiewisko całej wsi? Goje nie powinni wiedzieć, co się u nas w chacie dzieje, a sprawa przed rabinem dużo kosztuje. Zyzma może dać więcej i wygrałby.

Sara westchnęła, i ułożywszy Mojżesza do snu, wyjmowała z sieczki i plew jaja, w czem jej pomagali Josek i Ryfka. — Josek bardzo mądry chociaż zaledwie dwanaście lat skończył, — Ryfka ośmioletnia dziewczyna dużo okazywała sprytu do handlu. Mówiła to sama Wałowa, wymagająca w tym kierunku bardzo wiele.

Sieczkę i plewy wyniesiono na górę, — dzieci wybierały się z Łaciatą na wał, Ryfka miała paść, a Josek pilnować chodząc po wale.

— Obejdziemy się bez Zyzmy — rzekł do matki. Nasadził na głowę jarmułkę, przykrył ją kapeluszem słomianym, poprawił czarne, kręcące się pejsiki, ujął bat — i z wielką powagą wyszedł, — Ryfka pobiegła naprzód. Matka wyjrzała z chaty za synem, a patrząc kiwała głową, mlaskała ustami i uśmiechała się do nadziei swych, powtarzając z cicha:

— Rabin! — rabin! Będzie z niego rabin, jąk Pana Boga kocham — rabin.

Różowe jej myśli wzburzone zostały wspomnieniami Zyzmy.

— Wysysa moją pracę, okrada moje dzieci, objada je, — rujnuje nas! Nie mogę ani centa uskładać, ani jednego centa dać na procent! Pracuję ciężko, a głowy na starość nie będzie gdzie położyć. — Ta jedna krowa, te parę gęsi — i nic — i nic.

Chwyciła się za włosy i padła na ławkę łkając.

Rozpacz matki zbudziła zakopanego w pierzyny Mojżeszka. Rozwarł szeroko oczy. Sara skoczyła do łóżka i tuliła dziecko,

ż póki rozmarzone gorącem powtórnie nie asnęło. I znowu siadła przy stole — podparła głowę ręką i zamyśliła się.

— Powiem, — zawołała, — powiem wszystko...

Zamknęła drzwi na kłódkę, klucz schowała pod przycieś, i wybiegła w szeroki świat.

— Poskarżę się — i muszę do wieczora arobić choć ze dwie szóstki.

Słońce paliło, — wiatr południowy zaierał w piersiach oddech, drażnił nerwy osłabiał — Sara biegła rozpostarłszy nad łową białą chustkę. — Dziesięć palców — edna tylko głowa, a czworo dzieci.

Ciemne chmury zwolna wysuwały się poza granatowych gór. Burza góry nawet rzed sobą pędziła; — zbliżyły się tak, że ylko rękę wyciągnąć, aby je dostać. Sara ie bała się burz. — Co ją mogły obchodzić urze, w obec skargi na Zyzmę i nadziei arobku...

Widział ją z wału Josek.

— Mama! — zawołała Ryfka — wysuwając się naprzód.

— Ty rób swoje! krzyknął zatrzymując dziewczynkę. Matka nie ma czasu bawić się tobą.

Ryfka usłuchała Joska — szanowała ego powagę i ceniła rozum.

— Josek to tylko do rozkazywania, — owtarzała często Sara — Ryfka wierzyła natce na słowo.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIERSZ BEZ TYTUŁU.

Znałem młodzieńca, który mogiły
Nad wszystko w świecie ukochał —
Klęczał nad niemi smutkiem pochyły —
Dnie całe klęczał i szlochał —

W nich widział szczęście swe, przyszłość całą,
W nich widział jądro żywota —
stnienie jego z nich siłę brało
marzeń nić szczerozłota...

I marniał, wychudł, zbladł chłopiec młody,
Zmarszczki mu czoło pokryły,
Krew mu mroziły grobowe chłody —
Życie zeń ssały mogiły..

umiani, zdrowi jego rówieśni
łaczej pędzili życie,
Wśród szumnych gwarów, wesołych pieśni
ozkosz spijali obficie..

W pracy widzieli swe przeznaczenie,
W ruchu — żywota podstawy,
Wzrok ich poiły słońca promienie,
Żyli — dla życia i sławy!

Namogilnemu druhowi swemu
Tak wciąż śpiewali co rana:
„Czemu gnuśniejesz, bracie nasz, czemu
„Twarz twoja łzami zalana?

„Nie wraca doba, gdy raz minęła,
„Taki ład zawsze i wszędzie —
„Kto żyć chce — niech się bierze do dzieła
„I sam swą przyszłość zdobędzie!

„Szanuj mogiły, co mieszczą w sobie
„Szczątki przeszłości olbrzyma —
„Ale nie marnuj swych sił na grobie,
„Nie szukaj życia — gdzie nie ma!

„Grób nieruchomy — nam ruchu trzeba —
„Ciasny — nam trzeba przestrzeni —
„Ciemny — nam trzeba promieni z nieba
„Barw, tęczy, światła, zieleni!

„Więc porzuć, druhu, bezczynność swoją,
„Porzuć marzenie, co mami —
„Na walkę życia pierś okuj zbroją,
„I naprzód, naprzód — wraz z nami!"

Czy młodzian rzuci mogilną ciszę,
Czy się do pracy zabierze? —
Nie wiem — lecz pewna, że towarzysze
Radzą mu dobrze i szczerze.

Bolesław Czerwieński.

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Pomiędzy licznemi własnościami fizjologicznemi, które mają odróżniać najwyższy twór przyrody — człowieka od innych ssaków, wymieniano i ten, że człowiek nie może poruszać swoją skórą, a szczególnie uchem. „Jedynie u człowieka" powiada P l i n i u s z w swojej H i s t o r i a n a t u r a l i s, uszy są nieruchome. Stąd pochodzi przydomek Flaccus (obwisłouchy). „Podobnie wyraża się w tym przedmiocie Arystoteles. I rzeczywiście jeżeli zwrócimy uwagę na najbliższych naszych towarzyszy, psa lub konia, jak to one umieją wyrażać za pomocą ruchów ucha rozmaite swe usposobienia — i porównamy to z nieruchomością ludzkiego ucha — różnica rzeczywiście okaże się bijącą w oczy. Dla tego to starożytni chcąc uwydatnić zwierzęce rysy w charakterze Herkulesa, szczególny kładli nacisk na to, że uszy jego są ruchome, którą to własność przypisywano Satyrom i Faunom". „Gdybyś go jedzącego po pierwszy raz zobaczył" pisze Epicharmis „mógłbyś umrzeć ze strachu. Z piersi jego ryk się wydobywa, szczęki jego poruszają się z łomotem, zgrzyta zębami trzonowymi, i błyska kłami. Oddech jego podobny do głębokiego chrapania, a uszami porusza, jak zwierzę czworonożne".

Tymczasem wcale nie jest usprawiedliwionem twierdzenie, jakoby jedynie człowiek posiadał nieruchome uszy i tem odróżniał się od reszty ssaków; antropoidy jak pod wielu innymi względami, tak i pod tym są do nas podobne, a o szympansach i orangutanach twierdzą stanowczo dozorcy menażeryj, że nigdy uszami nie poruszają.

Małpy niższych gatunków mają uszy ruchome, jednak w małym stopniu, nie z tego powodu, jak niektórzy twierdzili, że życie antropoidów na drzewach jest dosyć bezpieczne, a więc nie wymaga nadzwyczajnej czujności — ale dla tego, że zanikają u nich liczne muskuły, które służą zwierzętom do poruszania skóry. Szczególna rzecz, że pomimo długiego niefunkcjonowania, muskuły do poruszania ucha zachowały się, jakkolwiek tylko w bardzo szczątkowym stanie, u człowieka, a jest ich siedm do władania w rozmaitych kierunkach.

Jak długo te rudymenta muskułów istnieją, nie można wykluczać możliwości rozwinięcia ich i wprowadzenia w życie, a o tej możliwości podporządkowania woli człowieka nie tylko muskułów usznych, ale w ogóle szczątków muskułów skórnych, rozsianych po naszem ciele, a obecnie nie funkcjonujących — da się przytoczyć wiele zajmujących przykładów. Przywołajmy sobie na samprzód na pamięć, co mówi K a r o l D a r w i n w tym przedmiocie:

„Każdy musiał zauważać, że niektóre zwierzęta, szczególnie konie posiadają wielką zdolność poruszania swej skóry za pomocą muskułów skórnych. Szczątki tych muskułów w stanie zdolnym do funkcjonowania, posiadamy i my, w różnych częściach naszego ciała n. p. na czole, gdzie podnoszą brwi do góry. Niektóre osoby posiadają zdolność ściągania powierzchnych muskułów skóry na głowie. Pan De Candolle dał mi zajmujący przykład wielkiego rozwoju tej własności i jej dziedzictwa. Zna on familję, której pewien członek, obecnie naczelnik rodziny, będąc młodym człowiekiem, jedynie za pomocą poruszania skóry, ciężkie książki na głowie położone daleko od siebie odrzucał. Robił to o zakład i zawsze wygrywał. Jego ojciec, wuj, dziadek i troje dzieci posiadają tę samą zdolność, równie w nadzwyczajnym stopniu. Przed ośmiu generacjami familia ta podzieliła się na dwie linje, tak że ów ojciec rodziny, o którym mówiliśmy, jest obecnie w siódmym stopniu pokrewieństwa, do ojca rodziny drugiej linji. Ten daleki krewny mieszka w innej części Francji; zapytany, czy posiada także ową zdolność, natychmiast zaczął się popisywać z równym sukcesem. Przykład ten jest nowym dowodem, że pewne, nawet zupełnie niepożyteczne zdolności są dziedzicznemi w dalekich pokoleniach.

„Zewnętrzne muskuły, które służą do poruszania zewnętrznej części ucha i wewnę-

trzne, poruszające rozmaite jego części (oba należą do systemu muskułów skórnych) znajdują się u ludzi w stanie szczątkowym; różnią się także co do stopnia rozwoju i funkcyj. Widziałem człowieka, który mógł poruszać uszy naprzód, a inny wznosił je do góry, trzeci znowu w tył pochylał. Jeden z nich twierdził, że dotykając często uszu i robiąc usiłowania, aby je poruszyć, każdy człowiek wywoła w owych szczątkowych muskułach pewną siłę ruchu.“

Podług sprawozdania abbé Marolles, filozof Crassot mógł uszy spuszczać i podnosić nie dotykając się ich wcale rękoma. Miał; to być szczególny widok. Jak twierdzi Prokop, cesarz Justynian miał uszy nader ruchome i z tego powodu podczas walk stronnictw cyrkowych w Konstantynopolu „zieleni“ nazywali go osłem. Pewien uczony naturalista opowiada, że jego kolega szkolny ćwiczył się w poruszaniu uszu. Z początku to mu nie szło, mimo natężenia woli nie czuł żadnego zewnętrznego poruszenia, później jednak wytrwałością do zadziwiających doszedł rezultatów.

Święty Augustyn napisał w dziele swem „De civitate Dei“ dwa zajmujące rozdziały, w których podaje liczne przykłady uległości pewnych muskułów woli ludzkiej. Pisze on: „Nie tylko podług woli poruszamy tymi członkami ciała, które mają kości, jak ręce, nogi i palce, ale także temi, które składają się jedynie z mięsa i nerwów, jak tego dowód na muskułach twarzy. Nawet płuca, obok szpiku najmiększe ze wszystkich części ciała ludzkiego, są posłuszne jako miechy kowalskie lub miechy organów woli człowieka, do śpiewania, do wydawania pewnych głosów i nadania im właściwego charakteru. Niektórym zwierzętom daną jest od natury zdolność, poruszać skórą oblekającą całe ciało i w ten sposób z pewnego poszczególnego miejsca spędzać trapiące muchy, a nawet wyrzucać tkwiące już w skórze strzały.“ Dalej podaje święty Augustyn, że człowiek miał także własność poruszania skóry, utracił ją jednak z wieloma innymi przymiotami wskutek swego nieposłuszeństwa. Mimo to u niektórych ludzi pozostały ślady tej własności. „Są ludzie, mówi dalej, którzy mogą poruszać uszyma, bądź to dwoma razem, bądź każdem z osobna. Są i tacy, którzy nie poruszając całą głową zdolni są włosy na czoło zesuwać. Są i tacy, którzy mogą połykać różne przedmioty, a potem ścisnąwszy żołądek oddawać je napowrót. Niektórzy przez odpowiednie naprężenie muskułów wydają głosy ptaków, tak łudząco, że zdaje się jakoby rzeczywiście ptak śpiewał. Ja sam się przekonałem na pewnym człowieku, że mógł się pocić na zawołanie, kiedy tylko zechciał. Wiadomem jest także, że są indywidua, mogące w każdej chwili płakać i obfite łzy wylewać...“

Jako ostatni przykład przytacza ojciec kościoła, że pewien młody ksiądz, skoro tylko słyszał płacz, wpadał w pewnego rodzaju odrętwienie, co wcale jednak nie popiera zdania jego o wpływie woli na muskuły. Najbardziej uderzającymi są przykłady działania woli ludzkiej na te muskuły, które zdają się jej nie podlegać n. p. na mięśnie żołądka. Widziano już niejednego kuglarza, który wypijał ogromną masę wody a potem wyrzucał ją z siebie w kształcie fontanny. Przykłady św. Augustyna są wielkiego znaczenia dla teorji Darwina, a właściwie Lamarcka, dowodzą bowiem, że i starożytni umieli argumentować w ten sposób, jak oni i nie uważali człowieka, jako nieodmienną kreaturę.

Wiedzieli oni także dobrze, że pewne właściwości charakterystyczne są dziedziczne. Marcjal utrzymuje to o uszach ruchomych. W 39 epigramie trzeciej pieśni pisze: „Widząc tego młodego człowieka ze spiczastą głową i długiemi uszami, które tak porusza jak osioł — któż może wątpić, że to syn Cyrty, błazna?“ Obserwując familje linoskoków każdy mógł zauważać, że ludzie ci najlepiej do sztuk używać lubią własnych dzieci, a to z pewnością z tego powodu, że odziedziczyły one po nich pewne przymioty, a nieraz widząc dowody nadzwyczajnej zręczności u tych ludzi mimowoli przychodzi na myśl pytanie, czy możliwem jest dojść do takiej perfekcji w ciągu jednego żywota?

ROZCZAROWANY.

Nowella wenecka przez Tally-Ho.

(przekład z francuskiego).

Kto sam w życiu nie doznał czegoś podobnego, nigdy nie zdoła wyobrazić sobie zachwytu, jakim przejęty jest artysta, gdy poraz pierwszy spełnione zostają najgorętsze jego życzenia, gdy u stóp swoich widzi błękity Adryatyku — nad głową czuje — bo rzeczywiście odczuć je można — lazurowe niebo Italii, a na okół słyszy melodyjną włoską mowę... Nie wiele też osób zrozumie ów zapał, jaki przepełniał moją duszę, gdy przed wielu laty, w piękny jesienny wieczór znalazłem się w Wenecji.

Bez zamiaru kreślenia własnej autobiografii, muszę tu jednak wyjaśnić, że jestem malarzem, i że w owym czasie właśnie opuściłem pracownię mistrza mojego, znakomitego X...

Wszystko com tylko spostrzegł, przybierało w moich oczach malownicze kształty; każde okno, bez względu jakiego było stylu, bizantyńskie, gotyckie, czy też maurytańskie tylko, wydawało mi się godnem przeniesienia na płótno; w tym gorączkowym zachwycie naszkicowałem już pomnikowe fasady z placu Św. Marka, Palladium, Most westchnień i arkady z pałacu dożów. Następnie od architektury przeszedłem do scen z natury, które opuściłem z kolei dla studjów nad człowiekiem; posiadam jeszcze w mojej tece naszkicowane wówczas głowy, z których niejedna znalazła się później w wykonanych przezemnie obrazach. Czas przyjemnie mi upływał, raz przecież zostałem wplątany w historję tak niezwykłą nawet w krainie artystycznych mych marzeń, że postaram się opowiedzieć ją tu, jak będę umiał najdokładniej.

Zapuściłem się pewnego razu w zupełnie nieznaną mi część miasta, i przechadzając się bez zwrócenia uwagi na otaczające mnie przedmioty, rozmyślałem o arcydziele, które miałem wykonać, a które utrwalić miało na wieczne czasy pamięć pobytu mojego w stolicy dożów — gdy nagle głos dzwonu kościelnego zbudził mnie z moich marzeń.

Sprawdziwszy, z której strony dolatują owe dźwięczne tony, zwróciłem się w tym kierunku, i po chwili znalazłem się przed olbrzymią kamienną świątynią, z marmurowym portykiem, którego każdy stopień wyżłobiony był stopami pobożnych, od kilku wieków wstępujących w te progi.

Zmrok panujący we wnętrzu kościoła, nie pozwalał mi nic rozpoznać na pierwsze spojrzenie, ale po niejakiej chwili, gdy oko oswoiło się z ciemnościami, ze zdziwieniem podziwiałem misterną rzeźbę kolumn podpierających sklepienie, a przy blasku dwóch świec, do połowy spalonych, zauważyłem, iż obraz umieszczony w wielkim ołtarzu musiał być utworem jednego z pierwszorzędnych malarzy włoskiej szkoły.

Zanim zdołałem rozpoznać co ten obraz miał przedstawiać, z zakrystji wyszedł stary pater, w asystencji dwóch chłopców, i zaczął mszę odprawiać. Usunąłem się za jeden z filarów, aby tem swobodniej studjować na twarzach garstki obecnych w kościele, jaki efekt sprawi na nich służba boża i kilka mdłych promieni słońca, przedzierających się przez kolorowe szybki okien.

Wszystkiego było może około trzydziestu osób, trochę mniej lub więcej, prawie sami wyrobnicy, kilka kobiet z dziećmi na ręku, i gromadka wieśniaczek okolicznych, odróżniających się jaskrawemi chustkami na głowach i widocznie świeżo zakupionemi różańcami, rzeźbionemi z drzewa, których skuteczności jak najprędzej chciały spróbować.

Dość długo już przyglądałem się malowniczej grupie, jaką miałem przed oczyma, i zamierzałem już oddalić się, gdy nagle uwagę moją zwrócił odgłos lekkich kroków od strony głównych drzwi wchodowych. Odwróciłem się i spostrzegłem kobietę, wchodzącą właśnie do kościoła.

Zauważyłem, iż sięgnąwszy ręką po wodę święconą, rzuciła na okół szybkiem i trwożliwem spojrzeniem; następnie, zamiast wmięszać się w tłum, stojący przed wielkim ołtarzem, usunęła się w ustronny kącik, a padłszy na kolana przed krzyżem, złożyła ręce na piersiach, schyliła pokornie głowę i gorąco zdawała się modlić. Po chwili opuściła bezwładnie ręce, głowę podniosła nieco, zwracając ją ku wizerunkowi Chrystusa; cała postać jej z głębokiej pokory poprzedniej, przeszła w rozpaczliwe błaganie, ręce ścisnęła konwulsyjnie, czoło do zimnego przytuliła muru. Blady promień słońca zsunął się teraz z chóru, oświetlił w przelocie jej twarzyczkę i pozwolił mi schwycić wyraz nieokreślonej słodyczy, cechujący delikatne jej rysy. Twarz ta przypomniała mi znakomity obraz, przedstawiający świętą Katarzynę na modlitwie, znajdujący się w galerji księcia Ortolani, i nic naturalniejszego, że w tejże chwili przyszła mi ochota wymalować również św. Katarzynę, według uroczego modelu, jaki zjawił mi się tak niespodzianie.

Oliwkowa jej cera tem wydatniej odbijała niepokalany, dziewiczy rumieniec na licach; drobniutkie usta — Wenecjanki w ogóle nie odznaczają się małemi ustami — zdradzały wrażliwość tak delikatną, iż kiedy się modliła, zdołałem obserwować każde drgnienie ich i nieomal odgadnąć znaczenie każdego szeptu. W czarnych jej oczach mieściły się niewyczerpane skarby słodyczy i łagodności, a długie rzęsy na całe lica zdawały się uroczy cień rzucać. Z zupełnie czarnego, a przytem nader skromnego jej stroju, trudno mi było odgadnąć, do jakiej sfery towarzyskiej należy, o ile jednak wnioskować mogłem na podstawie nabytego już doświadczenia, przyszedłem do przekonania, iż musi być żoną kupca lub urzędnika. Każdy, najmniejszy ruch jej, zdradzał pewną dystynkcję i to właśnie co budziło we mnie prawdziwy zachwyt; gdyż niewiem dlaczego, ale zdawało mi się wówczas, iż żadną miarą nie mógłbym brać kobiety z ludu za wzór do świętej Katarzyny, o jakiej marzyłem.

Czem więcej wpatrywałem się w tę kobietę, tem silniejsza przejmowała mnie żądza uzyskania jej na model; wiedziałem dobrze, że kobiecie nieznajomej podobnej propozycji uczynić nie wypada; i właśnie nad tem rozmyślałem. Gdybym się mógł dowiedzieć, czem się jej mąż zajmuje, czy wyrabia klejnoty czy tylko paciorki szklanne, albo wachlarze; czy sprzedaje cygara lub co bądź innego, wszelkie przeszkody możnaby usunąć. Dla uzyskania tych wiadomości, jeden tylko przedstawiał się środek, śledzić za nieznajomą po wyjściu jej z kościoła.

Podczas gdy różne te myśli chodziły mi po głowie, msza się skończyła, i kobieta, której nie spuszczałem z oczu, powstała i szybkim krokiem zwróciła się ku dzwiom. Nie byłem jeszcze zdecydowany w jaki sposób zbliżę się do niej, gdy traf szczęśliwy niezmiernie mi sprawę ułatwił: nieznajoma wstając upuściła chusteczkę, i nie spostrzegłszy swej zguby wyszła pospiesznie z kościoła.

Nie tracąc ani jednej minuty, schwyciłem chustkę i pobiegłem za nieznajomą, zstępującą właśnie ze schodów portyku. Teraz dopiero przyszło mi na myśl, że gdybym oddał jej chustkę zaraz przed kościołem, podziękowałaby mi kilku słowy tylko, i straciłbym sposobność zrobienia bliższej znajomości, co niezawodnie łatwiejszem by było przy spotkaniu na ulicy. Przewidywania moje nie zawiodły mnie wcale. Pozwoliwszy jej odejść dosyć daleko, przyspieszyłem dopiero kroku, zbliżyłem się do pięknej nieznajomej, i zdejmując kapelusz, z całą możliwą uprzejmością zapytałem, czy przypadkiem f a z z o l e t t o, które miałem szczęście znaleść, nie jest jej własnością.

Nieznajoma drgnęła spojrzawszy na mnie, wydała lekki okrzyk zdziwienia na widok koronkowego płatka, który trzymałem w ręku; potem spuściła znów oczy, wzięła chustkę i rzekła spokojnym głosem:

— M i l l e g r a z i e, s i g n o r e; w istocie, byłam przed chwilą w kościele św. Katarzyny

Uśmiechnąłem się na ten dziwny zbieg okoliczności:

— Jakto! zawołałem — to jest kościół świętej Katarzyny?

— Nieinaczej; pan o tem nie wiedziałeś?

— Nic a nic — odrzekłem — ale co dziwniejsza, że przez cały czas pobytu mojego w tym kościele, myślałem tylko o świętej Katarzynie.

— Ah! to pan zapewne ze Sienny przybywa? zapytała nieznajoma.

— W Siennie nie byłem jak żyję! — odparłem; jeżeli jednak zechcesz mi pani przebaczyć moją śmiałość, muszę wyjaśnić, że dopiero patrząc na panią przyszła mi myśl o świętej Katarzynie. Czy — dodałem ciszej nieco — żaden jeszcze artysta nie miał szczęścia brać wzoru z pani dla wykonania wizerunku tej świętej?

Komplement mój, wypowiedziany tak bez ogródki, sprowadził rumieniec na jej lica. Niepodnosząc wcale oczu, wstrząsła tylko głową, i z owym niezrównanym wyrazem słodyczy, jaki mnie już poprzednio w niej uderzył, odpowiedziała:

— Niestety, s i g n o r e, jeszcze nigdy nie służyłam za model. Gdzieżby tam moje pospolite rysy, mogły wzbudzić natchnienie!

— Najmocniej przepraszam panią — rzekłem na to z głębokim ukłonem — sam jestem malarzem i z całą pewnością twierdzić mogę, że nigdy jeszcze żaden artysta nie miał przed sobą doskonalszego modelu, jakim by mogła być s i g n o r a, a może poprawiłem się — winienem powiedzieć s i g n o r i n a?

— Nie, panie — pierwsza nazwa jest dla mnie właściwszą.

— Pozostaje mi zatem przeprosić panią za moje natręctwo — kończyłem kłaniając się ceremonialnie. Widzę, że zuchwałe marzenie moje nie urzeczywistni się nigdy, ale w każdym razie chciej mi wierzyć s i g n o r a, że jeśli ośmieliłem się zatrzymać ją na chwilę, uczyniłem to jedynie dla utrwalenia w pamięci jej rysów, które pragnę przenieść na płótno.

— Więc pan na serjo zamierzasz wymalować świętą Katarzynę? zapytała prędko.

— Upewniam panią, że jest to najgorętszem mojem pragnieniem!

— Ha! skoro tak, więc będę panu służyć za model. Uprzedzam tylko, że jedynie w godzinach rannych — wieczorem nigdy.

Wyjaśniłem jej, że pora przedpołudniowa pod każdym względem jest najdogodniejszą, i, jak tego żądała, wręczyłem jej mój bilet wizytowy, z adresem mojego mieszkania w Wenecji.

— Miej pan troszkę cierpliwości — dodała żegnając się ze mną — jutro rano będę w pańskiej pracowni.

Rzuciła jeszcze jedno na mnie spojrzenie i oddaliła się pospiesznie, zostawiając mnie na środku ulicy, z kapeluszem w ręku, rozmyślającego nad oryginalnem tem spotkaniem.

Przez resztę dnia dziwna ta istota nie schodziła mi z myśli; pytałem się sam siebie, czy zechce dotrzymać słowa i czy przyjdzie nazajutrz do mej pracowni. Wątpiłem o tem... Prawda, że jako mężatce łatwiej jej było oddalić się z domu rano aniżeli w każdej innej porze; ale co mąż na to powie?... czy on zezwoli?... czy raczej nie powinien stanowczo zabronić, aby żona jego służyła malarzowi za model, chociażby nawet do obrazu świętej Katarzyny?...

Co było pewnego w całej tej historji, to jedno tylko, że s i g n o r a nie zdradziła

wcale swojego incognito. Nie powiedziała mi swego nazwiska ani imienia nawet... Zważywszy tę okoliczność, miałem słuszny powód do obawy, że anielskiej dobroci twarzyczka jej nie ozdobi nigdy mojego płótna, jeśli nie zdołam odmalować jej z pamięci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Album Gryglewskiego.

Artykuł okolicznościowy.

Wystawa dzieł sztuki w auli politechnicznej zostanie lada chwila zamkniętą.

Pisma codzienne zamknęły sprawozdanie o niej, a nam już i tak na szczegóły zapóźno. Uczynimy więc to, co pozostaje, poruszymy myśl, którą ongi mimochodem podnieśliśmy na innem miejscu, a którą jeszcze raz przypomniała nam tegoroczna wystawa.

Na jednej z środkowych sztalug zwracał uwagę każdego zwiedzającego wystawę maleńki obrazek Gryglewskiego, przedstawiający: Wnętrze kościoła w Krośnie. Była to drobnostka, ale drobnostka wykonana wspaniale, z tem misternem wykończeniem szczegółów architektonicznych, jakie cechowało wszystkie w ogóle prace naszego perspektywisty, a stawiało go w jednym rzędzie z najznakomitszymi malarzami wnętrz architektonicznych wszystkich czasów. Dość było spojrzeć na ten kościółek krośnieński przez dłoń stuloną, aby rozmierzyć całą jego przestrzeń, aby poznać jego architektoniczne rozmiary, linie i całą ornamentykę i sięgnąć okiem aż po galerję chóru, gdzie umieszczono organy.

Wykonane w ten sposób rysunki nie mają wyłącznie wartość jako dzieła sztuki malarskiej, owszem mają one niemniejsze znaczenie dla teorji architektury, a artysta malarz, znawca sztuki i architekta z równą przyjemnością i korzyścią mogą czynić studja nad nimi.

Z tego powodu zdaje nam się, iż koniecznem byłoby wydanie albumu Gryglewskiego.

Historja naszej architektury tak samo jak historja sztuki w ogóle leży u nas w kolebce. Na każdym kroku daje się uczuwać brak studjów przedwstępnych, archeologicznych, czy artystycznych i zaledwie z tradycji wiemy, że architektoniczne pomniki nasze z wszystkich epok mają swe charakterystyczne cechy i znamiona, że istnieje osobny styl gotycki wiślano-bałtycki, że nasz renesans i barok różnią się w wielu szczegółach od pomników spotykanych w innych krajach, że mamy jednem słowem, niepowiemy styl, ale pewien odrębny charakter w budowlach naszych, który koniecznie należałoby poznać bliżej i wystudjować jako podstawę przyszłą do restauracji naszych zamków i kościołów.

Brak ten prac przedwstępnych najlepiej się dał uczuć obecnie, przy zamierzonej restauracji zamku na Wawelu. W Krakowie oglądaliśmy na zjeździe techników z prawdziwym podziwem mozolne studja p. Prylińskiego do owej restauracji, obok których stoją równie sumienne prace p. Odrzywolskiego. Lecz pomijamy restaurację Wawelu, do której przy wielkich nakładach pieniężnych na ten cel ofiarowanych znajdą się odpowiednie materjały, nam chodzi o to, aby i reszta naszych architektów mogła mieć przed sobą wzory p o l s k i e g o budownictwa. Brak takich wzorów czuć się daje bezustannie, a zdaje nam się, że pierwszym krokiem w tym kierunku, krokiem na razie bardzo odpowiednim byłoby wydanie albumu, o którem wspomnieliśmy wyżej.

Album Gryglewskiego niewyczerpałoby, rzecz prosta, wszystkiego i niemogło zadość uczynić wszystkim wymaganiom, ale dałoby przecież myślącym architektom dosyć motywów, aby na tej podstawie oparci, mogli dalej snuć ich wątek. Gryglewski przez ciąg kilkunastoletniego żywota artystycznego (ur. się w Brzostku 1833, umarł w Gdańsku 1879) wyczerpał prawie wszystko, co piękniejszego z pomników architektury pozostało w kraju naszym; z pałaców, zamków i w ogóle większych gmachów malował Willanów, Olesko, Wiśnicz, Podhorce, pałac Łazienkowski, bibliotekę Jagiellońską, dawne Sukiennice, ratusz w Gdańsku, i t p. ze świątyń zaś dał nam prześliczne wnętrza kilku kaplic w katedrze wawelskiej, w kościele panny Marji, św. Jerzego i św. Barbary, a dalej kościołów w Krośnie, Gdańsku, Bardyowie, wołoskiej cerkwi, Bernardynów we Lwowie i wielu innych, które trudno wymienić z pamięci.

Jest to bezwątpienia materjał bogaty, któryby mógł złożyć piękne album widoków perspektywicznych, pełnych wartości dla architektów, a nader miłych pamiątek dla każdego amatora i znawcy. Na wydaniu album takiego jeszcze nie wszystko by się skończyło, dla budowniczych specjalnie byłoby to wszystko jeszcze niewystarczającem, ale początek w tym kierunku raz przecież uczynić trzeba, a zdaje nam się, iż dobrze by było zainaugurować rzecz tę wydaniem albumu Gryglewskiego. *Admir.*

Przegląd teatralny.

(*Występy Ładnowskiego*).

Sezon letni dobiega końca. Niedługo przeniosą się znów muzy do zimowego przybytku w teatrze hr. Skarbka poczem, miejmy nadzieję, znajdzie się więcej tematów do opracowania w tej rubryce... Obecnie z całego sezonu letniego niepozostaje nam nic więcej nad sprawozdanie z występow p. Bolesława Ładnowskiego.

Cóż o nich powiedzieć nowego? Pan Ładnowski znany nam jest oddawna i oddawna oceniony dokładnie, w szczegoły zaś gry jego wdawać się niemożemy raz dla braku miejsca a powtóre dlatego, że z góry postanowiliśmy sobie pisać jeno krytyki ogólne, zasadnicze, bo tylko takie odpowiedne są w tygodniku.

Artysta warszawski ma wiele warunków fizycznych na znakomitego „przedstawiciela człowieka", jak powiada Iffland, ale ma i wiele braków, które nie pozwalają mu rozwinąć w grze całej siły, poruszającej jego nerwy i oddać wszystko z taką potęgą, z jaką pewne wstrząśnienia natury ludzkiej umie on odczuć i zrozumieć.

Ztąd gra jego jest spokojna i umiarkowana. Artysta wstrzymuje się od wybuchów, aby całą siłą uderzyć w najważniejszym momencie, a na tem gra jego zyskuje tę miarę prawdziwie artystyczną, która nadaje jego kreacjom piętno, w całem tego słowa znaczeniu estetyczne. P. Ładnowski posiada ogromną inteligencję i zmysł obserwacyjny; umie on głęboko wniknąć wtreść swej roli, dokładnie zrozumieć każdy jej szczegół i z tego powodu o ile gra jego w tych szczegółach jest obmyślana i wykonana misternie, o tyle całość także ma zawsze ton odpowiedni i koloryt, pozwalający widzowi od pierwszej chwili odgadnąć charakter jaki przedstawia artysta, co bezwarunkowo przyczynia się wielce do zainteresowania publiczności...

Wspomnieliśmy wyżej, że p. Ładnowski nie ma pewnych warunków fizycznych.

Jednym z najważniejszych braków w tym względzie jest brak wyrazistego dużego oka. Jeżeli dość słaby i mało dźwięczny organ głosu zmusza go do deklamacji więcej akcentowanej i wyrażania pewnych momentów wiele mówiącemi pauzami, zmusza go do miarkowania się i niepozwala na wybuchy zapału, wymagające pewnej potęgi i czystości organu głosowego, to brak oka ogranicza znacznie grę jego mimiczną i pozostawia pozie, gestykulacyi, drganiom mięśni w twarzy to, co mogłoby wyrazić daleko łatwiej jedno błyśnięcie powiek.

Wszystkie te jednak trudności p. Ładnowski pokonuje z powodzeniem, a chociaż owo ograniczenie możności jego danymi warunkami fizycznemi, spokój deklamacji i pozowanie skazywałoby go na role klasyczne, kostiumowe, wygląda on przecież prawie tak naturalnie w salonie dzisiejszym jak w obozie, lub rycerskiej sali i umie równie dobrze nosić frak jak zbroję lub purpurę.

Inteligencja jego i temperament, naginający go do wszystkiego, czyni p. Ładnowskiego wszechstronnym.

Na dowód prawdy tego twierdzenia dość przypomnieć jego Albina ze „Ślubów" Fredry i groźnego Ryszarda III, lub szukając przeciwstawienia bliżej, w cyklu ról obecnie granych przez naszego gościa przywieść na pamięć tylko Nowowiejskiego z „Przed ślubem" i Corrada z „La morte civile".

A jednak mimo wszelkiego uznania dla wszechstronności talentu znakomitego artysty najmilej przecież wspominamy sobie zawsze jego kreacje Shakespearowskie. Zdaje nam się, że ukochał je najwięcej także sam artysta, bo z niemi się najchętniej zawsze popisuje, a nam niepozostaje chyba nic innego jak skonstatować, że p. Ładnowski jest najlepszym obecnie reprezentantem bohaterów Shakespearowskich w Polsce Jego namiętny i zaciekły a przecież niepozbawiony ludzkich uczuć Otello, jego refleksyjny, a tak rozumny i uczuciowy Hamlet, jego zdziecinniały, miękki a przecież wielki król Lear, wszystko to są kreacje tak pełne porywającej prawdy, a tak głębokie w sobie, że bez przesady, a ze zgodą całej inteligentnej publiczności możemy powiedzieć, że w tym kierunku p. Ładnowski nie tak prędko znajdzie sobie równego artystę.

Przegląd literacki.

(*„O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich napisał Dr. Wojciech Kętrzyński dyrektor zakładu nar. im. Ossolińskich. Z trzema mapami. We Lwowie 1882" str. 653. 8 vo.*)

Kto zamieszkiwał Prusy wschodnie i zachodnie w czasie rządów krzyżackich — Niemcy czy Słowianie — oto kwestya sporna od dłuższego czasu w świecie uczonych. Niemieccy historycy szowinizmem patrjotycznym uniesieni jak Heinel, Schmidt, Saltzwedel, i tp. ugruntowawszy swe wywody jużto na niemieckim języku urzędowym rządów krzyżackich, na niemieckich przezwiskach szlachty, miast i wsi, jużto na powszechnem użyciu prawa niemieckiego upatrzyli w pierwotnych mieszkańcach czystej krwi germanów. Polscy uczeni czuli mylność tego zapatrywania, jak np. Dominik Szulc („O Znaczeniu Prus dawnych") ale nie mogąc wywody swe oprzeć na źródłach, jakie zawierają pruskie archiwa, popadali często w drugą ostateczność widząc wszędzie Słowian lub za puszczając się w błędne i bezpodstawne etymologiczne rozumowania jak Sieniawski („Biskupstwo warmińskie") tworzyli prawdziwe horrenda. Trzeba było głębokich studjów archiwalnych, by kwestję należycie rozjaśnić, a dokonał tego dr. Kętrzyński w swem dziele „O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich." Trudności musiały być niezmierne, dość wspomnieć, że dla samego poznania polskich nazwisk miejscowości ochrzczonych niemieckim mianem robić musiał autor osobne studja, jak świadczą „Nazwy miejscowe polskie Prus wschodnich i Pomorza wraz z przezwiskami niemieckiemi. Lwów 1879," których samo zestawienie wyniosło 235 stronnic. Nie dość na tem; archiwa pruskie mimo zachwalane niemieckie gospodarstwo, nie w najlepszym są stanie. W archiwum radzyńskiem najważniejsze papiery znalazł Kętrzyński, a raczej odkrył na poddaszu kościoła farnego. „Najważniejsze archiwa, akta ziemskie i grodzkie, pisze autor w przedmowie, które po upadku Rzeczypospolitej stały się własnością rządu pruskiego, zaginęły wszystkie z wielką szkodą nie tylko dla dziejów polskich lecz i krzyżackich. Podczas gdy inne rządy: austrjacki rossyjski archiwa owe wziąwszy w posiadanie, zgromadziły je w jednem miejscu i otoczyły swą opieką, rząd pruski oddał je na pastwę Niemcom przez siebie sprowadzonym i urzędnikom niemieckim, którzy wzgardzając społeczeństwem polskiem bezwzględnie i bezsumiennie je zatracili."

Nie potrzebujemy również przypominać jak w ogóle utrudniony jest wstęp do pruskich archiwów i że chcąc nieraz ważną a niezbyt miłą wiadomość wynieść z nich dla rządu — należy być nader zwinnym.

W samem przeto zebraniu materjałów niepoślednia zasługa dr. Kętrzyńskiego, ale największa leży ma się rozumieć w tak umiejętnem ich wyzyskaniu. Jakby znakomity malarz z pod kurzu, pleśni i innych naleciałości, jakie naniosły niemieckie rządy krzyżaków i Brandenburczyków w pruskie ziemie, wydobył Kętrzyński prawdziwy obraz polskiego życia tych prowincyj. „Ktoby n. p. mógł sądzić, że Nieclis von Schillingsdorf jest Polakiem i to Polakiem z Korony polskiej, bo z ziemi dobrzyńskiej? Nic nie zdradza jego narodowości i tylko ta okoliczność, że list własny pieczętuje pieczęcią Jana z Radomina, marszałka ziemi dobrzyńskiej, który dwóch synów miał: Mikołaja i Pietrasza, rzuca niespodziewanie światło na tę sprawę. Tak samo ma się rzecz z Adamem von Logendorf al. Wepern, o którym wiemy, że był dziedzicem na Zielonej w Polsce, że nazywał się Świnka i potem piastował urząd kasztelana dobrzyńskiego. Od niego pochodzi familja Zielińskich, z których Gustaw Zieliński jako sympatyczny poeta powszechnie jest znany, (str. 139 i 140). Lub r. 1578 podpisuje się w podaniu urzędowem" Stewzel Dramsbitz von Sagsau"; na drugiej zaś stronie podania zrobiono wzmiankę urzędową, w której go nazywają„ Stenzel Sagseffski" to jest Stanisław Zagrzewski; w innem podaniu r. 1570 mówiono o „Johan von Wiliomowski auf Samrot pod Moragiem" na drugiej zaś stronie dopisano; „darauf ist an Hans von Wilmsdorf geschrieben." (str. 237.)

Jeżeli kto dziś jeszcze zechce twierdzić o niemieckości ziemi chełmińskiej i lubawskiej zaiste będzie więcej, jak upartym. Ludność wiejska była tam polską od czasów najdawniejszych, polską była szlachta, której wpływ tak silnym był, że niemiecka szlachta polszczała jak n. p. potomek Niclasa Schreiber w aktach rządowych niemieckich już nie pisał się „Schreiber" lecz „Schreybertzky". — Ludność miast była mięszana, bo i polską i niemiecką. Pomezanią kraj pierwodnie pruski lud polski powoli skolonizował i polskim uczynił. Tak samo rzecz przedstawia autor na Mazowzu pruskim i Warmii. Wiekowa praca całego zastępu naszych Bartków, Jaśków, Maćków, Staśków i Wojtków, (imiona najczęściej spotykane w źródłach pruskich) zdobywała powoli coraz większe obszary ziemi w dzikiej dotychczas pustyni dla polskiej kultury i cywilizacji. Szlachta Prus wschodnich, w której Jarochowski (Sprawa Kalksteina) widzi dziwne, uderzające podobieństwo do polskiej — to kość z kości brać nasza i to nie tylko w stronach mazurskich wśród ludności polskiei, ale autor wylicza około 153 rodzin szlacheckich polskich osiadłych w niemieckich stronach jak n. p. Ciesielskich, Cybulskich, Dąbrowskich, Jasińskich, Kamińskich, Krasińskich, Ogińskich, Retenów, Twardowskich, Załuskich, Zielińskich i t. d. Nie tylko jednak szlachta posuwała się na północ, szedł za nią lud masą zakładając wśród niemieckich lub pruskich okolic, polskie osady mające stanowić niejako forpoczty naszej kolonizacji toż dziś one pierwsze uległy zniemczeniu. Dziś niestety wszystko się zmieniło; został jedynie lud mazurski wierny mowie i zwyczajom dziadów — czy na długo jednak trudno przewidzieć. Zasługa też niezmierna p. Kętrzyńskiego, że mało dotąd znane dzieje kolonizacji polskiej na północy rozświecił w tak znakomity sposób, że nam wykazał że nie tylko orężem, ale i pracą usilną rozszerzaliśmy w przeszłości pole naszych działań, że były czasy, kiedy i myśmy podobni byli do dzisiejszych niemieckich kolonistów i myśmy nieśli cywilizację w dzikie kraje tylko nie podbojem, nie przemocą, nie gwałtem, a wiekową pracą całych pokoleń. Zbytecznem byłoby dodawać, że obecnie niejeden pukt z zatargów prusko-polskich z innego stanowiska traktowanym być musi. Kto wie, czy hołd pruski 1525 r. nie będzie

usprawiedliwiony w naszych oczach, gdy zważymy, że na większe postępy czyniła kolonizacja polska za Zygmunta I. czyli innemi słowami, że Prusy książęce nie zdobyte orężem polskim, zdobyczą stać się miały pługa polskiego, nie ako przygotowującego grunt pod polskie rządy, — czyż bowiem późniejszemu wyciąganiu rąk ze strony obywateli pruskich ku Rzptej oprócz politycznych względów nie przypiszemy narodowościowych? Wszak czyniła to, jak widzimy z dzieła dr. Kętrzyńskiego, polska szlachta spokrewniona z szlachtą Rzeczypospolitej, a zazdroszcząca jej swobód i przywilejów.

Słowem dzieło dr. Kętrzyńskiego wiele nowego z sobą przynosi, a wszystko oparte na ścisłem rozumowaniu i dowodach. Toż z prawdziwą niecierpliwością oczekujemy na zapowiedziane przez autora rezultaty badań nad miastami polskiemi w 15, wprawem niemieckiem obdarzonemi, mające wykazać ich polskość z wyjątkiem nadgranicznych miast Szlązka i Rusi.

K. Ż.

Dr. Roman Pilat. Początek publicystyki literackiej w Polsce 1. Czasopisma uczone. Lwów 1882 r.

Autor „Literatury politycznej Sejmu czteroletniego“ p. Roman Pilat dał nam w pracy niniejsze ciekawy obraz początków naszej publicystyki literackie, poprzedziwszy go krótkim rzutem oka na ówczesny stan tej gałęzi piśmiennictwa w Europie zachodniej.

Dziennikarstwo polityczne wyprzedziło więcej niż o wiek prasę poważniejszą, poświęconą nauce, literaturze i krytyce. Ponieważ przytem ruch umysłowy i literacki ograniczał się początkowo na niewielkiej garstce ludzi uczonych, pierwsze przeto literackie pisma perjodyczne tych właśnie wyłącznie czytelników miały na względzie. Pojawiają się więc wcześniej od innych tak zwane czasopisma „uczone“, których pierwowzorem był założony w 1665 we Francji Journal des Scavans. Wiek jednak XVII. był początkiem rozbudzenia się szerszego ruchu umysłowego i społecznego, wkrótce więc i literacka praca perjodyczna rozszerzyła swój zakres i krąg czytelników. Zaczęły wychodzić tak zw. pisma „obyczajowe.“ Anglja przodowała w tym ruchu, w niej pwstały więc pierwsze pisma obyczajowe, a założony tam w początku XVIII. w. Spectator Addisona miał wkrótce 14.000 czytelników.

Prasa literacka szła u nas torem, wytkniętym na Zachodzie, z tą różnicą, że pozostaliśmy o cały wiek w tyle za Europą, dzięki jezuickiej nauce i oświacie, panującej u nas wszechwładnie w wieku XVII. Dopiero wystąpienie Konarskiego było hasłem przebudzenia się z wiekowego letargu i martwoty. W r. 1747 otwartą zostaje biblioteka Załuskich w Warszawie; gromadzi się koło niej grono pisarzy i pojawiają się pierwsze pisma „uczone.“

Pierwsze pismo tego rodzaju powstaje nie tylko na wzorach zagranicznych, nietylko zakłada je Niemiec, lecz wydawane jest w języku niemieckim. Pismem tem była Warschauer Bibliothek, założona w roku 1753 przez muzyka, przyrodnika, filozofa i lekarza, Mizlera. Później sam Mizler po paroletniem trwaniu swego wydawnictwa i wydaniu 4 tylko jego zeszytów, zakłada inne na jego miejscu, teraz już w języku łacińskim p. t. Acta literaria etc, a gdy i to pismo nie miało zbyt wielkiego powodzenia, niezmordowany „uczony“ zaczął wydawać po polsku Nowe wiadomości ekonomiczne i uczone.

Wszystkie te pisma nie trwały zbyt długo, wychodziły przytem nader rzadko i nieregularnie. Mieściły one wyłącznie prawie suche streszczenia dzieł naukowych, wychodzących w kraju i zagranicą, różne gospodarskie i lekarskie informacje, krytyki; samodzielnych poglądów nie zawierały prawie.

Prócz pism Mizlerowskich, które najwięcej położyły zasług na tem polu, łamiąc pierwsze lody, mieliśmy kilka innych pism tego rodzaju, a mianowicie: założony w 1754 Journal literaire de Pologne, również przez Niemca, Friesego, dalej Wiadomości literackie, wydawane przez jezuitów w Wilnie jako dodatek do Kurjera litewskiego (1760—63), Journal Polonois, Varsovie (1770), Journal litteraire de Varsovie (1777—78) i Zbiór tygodniowy wiadomości wychodzący krótko w Krakowie w r. 1774—75.

Zbliżał się jednak i u nas czas większego rozbudzenia ruchu na polu publicystyki literackiej, a popularny nader „Monitor“ Bohomolca założony w r. 1765, należy już do innej fazy w rozwoju literackiej prasy perjodycznej, do pism „obyczajowych.“

Wydana obecnie część pracy p. Pilata ogranicza się na pismach „uczonych.“ Autor, niezapuszczając się w głębsze wywody publicystyczne, nie rozsnuwając szerszych obrazów historycznych, ku czemu zresztą mało nadawał się i sam przedmiot opracowania, umiał rozrzucony materjał zgromadzić starannie, zebrawszy go w jedną interesującą całość.

E. R.

ZIARNKA.

„Ziarnko do ziarnka — mówi przysłowie — a będzie miarka“. Podobno nigdzie lepiej nie nadaje się na dewizę ta stara sentencja, jak do niniejszej rubryki naszego pisma. Przeznaczeniem jej, mieścić w sobie szereg uwag i wiadomości ważniejszych, które w ciągu tygodnia uzbierają się w tece redakcyjnej. Oczywiście, byłoby zbytecznem dodawać, jakiego rodzaju będą te wiadomości. Pisma codzienne notują skrzętnie w swoich kronikach wszystkie wiadomości o wypadkach i objawach z życia społecznego w naszym kraju, — dla nas zostanie wybór tylko takich, które ze stanowiska literacko-artystycznego podpadać mogą omówieniu i krytyce. A gdy już mowa o krytyce, zapewniamy was, szanowni czytelnicy, że nawet w tej kronikarskiej pogawędce, hasłem naszem będzie bezstronność zupełna, nieograniczona żadnymi względami. Osoby będą zawsze dla nas nietykalne, działalność ich jednak publiczna podlegać będzie u nas zawsze stanowczemu a spokojnemu sądowi.

* * *

Nie możemy się uskarżać na przyjęcie wiadomości o naszem piśmie przez prasę. Przyjęcie w ogóle było sympatyczne — więcej jeszcze, przyjęto nas komplimentami, co jak wiadomo w dziennikarstwie naszem wcale do powszednich objawów nie należy. Za koleżeńskie poparcie jesteśmy wdzięczni, a przypisujemy to nie jakimkolwiek własnym zasługom, ale zrozumieniu potrzeby pisma w rodzaju „Ziarna“. Jedynie klerykalny „Przegląd Lwowski“, robiąc wzmiankę o naszem wydawnictwie, wyraził wątpliwość, czy odpowiemy swemu zadaniu, a to z tego oryginalnego powodu ponieważ mamy być „Garibaldystami i Gambettystami“. Skąd „Przegląd“ wziął takie informacje o naszych przekonaniach — Boh znajet i generał Den, w każdym jednak razie co może mieć wspólnego nieboszczyk Garibaldi, lub cieszący się najlepszem zdrowiem i tuszą Gambetta z pismem literackiem, w którego program zupełnie polityka nie wchodzi—tego pojąć nie możemy. Wychodzącą znowu w Warszawie „Gazetę Polską“ ubrał korespondent lwowski w wiadomość, że pismo nasze ma być klerykalne. Nie prawdaż, że to wcale zajmujące bałamuctwo?

Jeden z tygodników warszawskich, poświęcając obszerną wzmiankę naszemu pismu, tak kończy: „Tam, gdzie nie ma ani jednego literackiego pisma, trzeba aby całe uczciwe młodsze pokolenie literatów, jako część niespracowana, otoczyło nowy organ sympatją i dało mu pomoc wszechstronną, gdyż trzeba mianowicie pamiętać, iż dotąd podobne projekta pism podnosili we Lwowie sami spekulanci księgarscy — a o tych mniejsza, teraz podnoszą je literaci i warto ich podeprzeć. Zobaczymy wkrótce co z tego będzie.“

Pojmą czytelnicy, że jako najbardziej interesowani, podzielamy tę ciekawość w wysokim stopniu.

* * *

Sprawa dyrekcji teatru lwowskiego jest od długiego już czasu przedmiotem powszechnego zainteresowania. Nie będziemy powtarzać jej przebiegu, rzecz ta bowiem znana powszechnie. Teatr nasz w ostatnich czasach postradał kilka najlepszych sił, repertoar mocno szwankuje, a z niczego nie można wnosić, aby się zanosiło na lepsze. Opinja publiczna jest w ogóle źle usposobioną przeciw lwowskiej dyrekcji teatru, a prąd ten nie powstał, jak zwykle bywa, wskutek dziennikarskiej agitacji, pisma bowiem nasze zachowały w tej sprawie zupełną neutralność i niczem nieutrudniły dyrekcji jej działalności. Pan Miłaszewski wniósł do fundacji prosbę o zwolnienie go z kontraktu od wiosny roku 1883., rezygnację swoją jednak uczynił warunkową od wypłacenia mu, jak nam mówiono, 11.000 złr. tytułem odszkodowania za straty, które poniósł wskutek tego że fundacja nie odrestaurowała teatru na 1. września, z którego to powodu zmuszony był dawać przedstawienia w teatrze letnim, nieodpowiednim, już w obecnej porze roku. Sprawa ta jest w zawieszeniu i według wszelkiego prawdopodobieństwa fundacja nie przychyli się do żądań p. Miłaszewskiego, prawnicy bowiem twierdzą, że nie ma on do żądania od fundacji odszkodowania, dostatecznego tytułu prawnego. Jaki los spotka petycję, która ma być wniesioną do sejmu, przewidzieć trudno, w każdym jednak razie teatrowi naszemu nie uśmiecha się różowa przyszłość. Jeżeli p. Miłaszewski pozostanie, dotychczasowe stosunki będą trwać dalej.. Jeżeli ustąpi — co wtedy? Jacy są kandydaci na tak ważną posadę dyrektora lwowskiego teatru? Co do tego punktu — głucho — zupełnie głucho. Tymczasem ta niepewność sytuacji oddziaływa fatalnie tak na artystów, jak i publiczność, uczęszczającą licznie na przedstawienia p. Ładnowskiego, i starającą się pod wpływem pięknej gry jego zapomnieć o smutnej rzeczywistości.

A propos występów p. Ładnowskiego musimy wyrazić ubolewanie, że właśnie trafił na czas, w którym zmuszony jest grać w teatrze letnim, zupełnie niestosownym do wystawiania sztuk tego kroju, które stanowią jego repertoar. Ale cóż robić?. Habent sua fata... i występy gościnne.

* * *

Myśl zjazdu polskich literatów i artystów, którą w krakowskiem Kole literacko-artystycznem podniósł p. Kazimierz Bartoszewicz, zasługuje na szczególniejszą uwagę. Zjazdy podobne zbliżają pracowników jednego zawodu ułatwiają wymianę zdań i stać się mogą zawiązkiem szerszych planow, ogarniających całe społeczeństwo lub obejmujących tylko najbliższe sprawy i interesy wiecujących. Nie powodując się ani przesadnemi pretensjami, ani zbytnią skromnością zaznaczyć możemy, zgodnie z rzeczywistością, że pracownicy pióra i liczna dziatwa Apolina nader doniosłe i poważne mają do spełnienia zadanie. W zakres ich działalności wchodzą sprawy, dotyczące najważniejszych, najdroższych interesów społeczeństwa, na polu tem leżą zagadnienia nieposledniej doniosłości, między któremi wiele jest takich, które tylko zbiorowemi siłami dałyby się przeprowadzić.

Samo wreszcie zetknięcie ludzi liczących już u nas zastęp nie mały, może być nie bez znaczenia, jeżeli nie dla tego, żeby wytworzyć konwencjonalną i bezbarwną jednomyślność, to dlatego, żeby ściślej połączyć i ugrupować ludzi jednych przekonań i jednego kierunku.

Literaci przytem i artyści prócz zadań ogólnych złączonych z ich działalnością, mają swoje własne zawodowe sprawy, nagląco domagające się załatwienia. Może przy sposobności zjazdu łatwiej dałby się przeprowadzić projekt jakiegoś stowarzyszenia tych pracowników, jakiejś kasy ogólnej lub towarzystwa pomocy wzajemnej. Ze wstydem wyznać musimy, że gdy inni pracownicy mają już oddawna własne towarzystwa i inne podobne instytucje, my robotnicy pióra, pędzla, dłuta, którzy dzwonimy na tyle spraw innych, żyjemy rozstrzeleni, nie umiemy bronić i popierać swoich interesów najbliższych.

Projekt więc powstały w Krakowie witamy radośnie jako zapowiedź lepszej przyszłości.

* * *

Na wzór zagranicy powstaje i u nas coraz więcej salonów artystycznych. Przed laty, jeżeli się nie mylimy dwoma, założył u nas ktoś salon taki przy ulicy Łyczakowskiej, w ślad za nim poszedł p. Łukaszewicz, antykwarz, a obecnie, jak słyszymy mają myśl podobną pp. Seyfarth i Dydyński. Jak się powodzi tym salonom dawniej otworzonym, jak się będzie powodzić nowemu, nie wiemy. Nie było dotychczas w żadnym arcydzieł, to pewna, ale i kieszenie nasze również nie dla arcydzieł. Dla nas wystarczą dzieła młodszych artystów naszych, które stosunkowo nie są tak drogie, aby nie były przystępne dla średnio zamożnych nawet, a pamiętajmy, że w ten sposób nietylko damy malarzom naszym, czy rzeźbiarzom pracującym w kraju, pole do zbytu swych prac, ale, co w tym razie dla niejednego ważniejsza, będziemy mogli ozdobić niemi nasze mieszkania. Pisano już tyle dzieł o sztuce w salonie i uczono w jaki sposób może sobie każdy tanim nawet kosztem ozdobić artystycznie mieszkanie, a przecież co najmniej u nas, było to wszystko dotychczas próżną pisaniną. A przecież w istocie to rzecz nietrudna. Dowiedzie tego najlepiej krótkie obliczenie. Lichy olejodruk, który jest tylko meblem do zakrycia pustych miejsc na ścianie, kosztuje wraz z ramami około 50 złr. Dla zapełnienia ściany potrzeba ich 5 dajmy na to, koszt więc przyozdobienia jednej ściany w ten sposób kosztować będzie 250 złr. Za tę samą cenę prawie można mieć oryginały. Będzie ich dwa zaledwie, ramy w które są oprawione, nie będą bogato złocone, ale czyz można obliczyć, ile na tem zyska wartość tego salonu, ile w końcu zyska właściciel, który kupując oryginały, kupuje rzecz rosnącą z czasem w cenie, kupując zaś liche druki nabywa rzeczy kompletnie bezcenne dziś, a wprost bezużyteczne jutro. Salony artystyczne zatem będą miały u nas powodzenie, ale pod tym tylko warunkiem, że ogół publiczności naszej przejrzy, zaprzestanie wspierać spekulantów niemieckich, nabywać liche wyroby rzemieślnicze, i pozna, że poczucie piękna nie da się oszukać czczem mamidłem, ale jest pewną potrzebą ducha, że niepowiemy organizmu ludzkiego, której należy dogodzić w sposób rzetelny i uczciwy.

* * *

Żółwim wprawdzie krokiem, zdążamy jednak za ogólnym ruchem cywilizacyjnym. Po telegrafach, drogach żelaznych, tramwajach, będziemy mieli podobno kioski dla rozprzedaży gazet, a całkiem i całkiem już na pewno.... telefony. Miasto nasze, które na złość „panu Onufremu“ zaopatrzyło się niedawno w tramwaje, będzie miało niebawem i telefony. Co to za sztuka owe telefony — wiedzą już nasi czytelnicy. Dość powiedzieć, że ludzie zamieszkali na dwu przeciwległych końcach miasta, przy uprzejmem pośrednictwie biura centralnego, siedząc wygodnie we własnych mieszkaniach, rozmawiać będą sobie swobodnie, dawać sobie rendez-voux, zapytywać o zdrowie, informować się w sprawach nie cierpiących zwłoki, ba — porozumieć się nawet i wykłócić będą mogli. Trudno zresztą przewidzieć i wyliczyć, w ilu wypadkach życiowych usłużny telefon znajdzie swe zastosowanie....

ZAPISKI.

Literatura.

* W dzisiejszym numerze umieszczamy interesującą nowelę młodego pisarza francuzkiego p. Tally-Ho, który wstępnym bojem zdobył sobie szeroką sławę. W pismach codziennych drukuje on obecnie mnóstwo powieści, z których najbardziej zajmującą dajemy naszym czytelnikom pod tytułem: „Rozczarowany".

— Staraniem i nakładem krakowskiej Akademji umiejętności wyszedł tom I. historycznego dzieła niepospolitej wartości, p. t. „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764—1794), badania historyczne, ze stanowiska ekonomicznego i historycznego," przez T. Korzona. W powyższej pracy o szerokim zakroju, autor postanowił: „wyjaśnić tajemnicę zagłady imienia polskiego wraz z formą polityczną bytu, oraz żywotności wnętrza, żywotności bezkształtnych, a przecie wyraźnych cech jednego z samoistnych typów cywilizacyjnych." W tym celu p. Korzon, wykluczywszy z góry krytykę wypadków i konjunktur politycznych, poświęcił swoją uwagę wyłącznie interesom materjalnym, ideom i przeobrażeniom społecznym pomienionej epoki. Ludność, rozległość terytorjalna, stan rolnictwa i położenie ludności rolniczej, handel, przemysł, stan miast i mieszczan, administracja skarbowa i siła finansowa skarbów: koronnego i litewskiego; nakoniec wojskowość i policja, oto główne wytyczne starannych badań i krytyki ściśle historycznej w tem cennem dziele, które obejmie 3 spore tomy. Tom 1szy, zawierający po zwykłej przedmowie, ciekawe studjum porównawcze o Europie i Polsce od połowy 16go wieku aż do śmierci Augusta III, jakoteż wyczerpujący pogląd na czasy Stanisława Augusta, traktuje następnie, o rozległości ówczesnej Polski i ludności, rolnictwie i rolnikach. Sam fakt, że Akademja umiejętności podjęła się wydania tego dzieła pod własną egidą, dowodzi rzeczywistej jego wartości i starczy podobno dla ogółu za wszelkie pochwały.

* Utwory dramatyczne naszych pisarzy, znajdują coraz częstszy wstęp i większe uznanie na scenach niemieckich. Oto dowiadujemy się, że najnowsza komedja M. Bałuckiego, która pono jeszcze dotychczas nie opuściła teki autora, p. t. „Gęsi i gąski," ma być niebawem przetłumaczona na język niemiecki, poczem przedstawiona będzie w jednym z teatrów berlińskich. — Z powieściopisarzy nowellistów, po Kraszewskim największej popularności w Niemczech zażywa genialny Litwos. Jego nowelki „Na marne," „Szkice węglem," „Janko muzykant" i kilka innych pomniejszych, wyszły obecnie w wcale dobrym niemieckim przekładzie w Reclama „Uniwersalnej Bibljotece." „Petersburgski Herold," umieścił znowu Prusa prześliczną nowellę „Przygody Stasia." Pierwszy to podobno występ utalentowane o pisarza warszawskiego przed niemieckim światem.

* Wyborna komedja Bałuckiego „Grube ryby" została przedstawioną w przekładzie czeskim w Pradze i podobała się powszechnie.

* Znany i zasłużony tłumacz arcydzieł literatury naszej na język niemiecki Henryk Nitschmann wydał w Lipsku świeżo historyę literatury polskiej pod tytułem „Geschichte der polnischen Literatur". Jest to praca obszerna, największa ze wszystkich dotychczasowych dzieł o naszej literaturze wydanych w języku niemieckim. Praca p. Nitschmanna stanowi tom zbiorowej kolekcji wydawnictwa „Geschichte der Weltliteratur in Einzelndarstellungen."

* P. Ludomił German, profesor szkoły realnej w Krakowie, przełożył na język niemiecki „Balladynę" Słowackiego. O przekładzie tym pomówimy w następującym numerze.

* W czasopiśmie „Le Contemporain" umieszczoną została nowela Litwosa „Latarnik". Przekładu dokonała p. Marja Gorecka córka Mickiewicza.

Teatr i muzyka.

* Znakomity nasz komik Żółkowski, który był złożony tak ciężką chorobą, że zachodziła obawa, czy jeszcze będzie mógł kiedykolwiek wystąpić, ma się już znacznie lepiej. Dzienniki warszawskie donoszą, że rekonwalescencja jego nie potrwa długo, i będzie mógł już wkrótce oddać się napowrót pracy artystycznej.

* Prezesem teatrów warszawskich, po zrezygnowaniu z tej ważnej posady dotychczasowego p Wsiewołożskiego, ma zostać niebawem senator Gudowski. Prasa warszawska donosząc o tem, wyraża zarazem nadzieję, że Gudowski objąwszy urzędowanie pomyśli serjo o zupełnem zreformowaniu obecnych stosunków sceny stołecznej, które dziś nawet najbezstronniejszemu w nader smutnych przedstawiają się barwach. Podobno powołany będzie do życia komitet doradczy, złożony z literatów i dziennikarzy, artystyczny dyrektor sceny zostanie ustanowiony z poza grona tamtejszych artystów, i t. p. — słowem rokują sobie po Gudowskim wykonania wielu dobrych projektów, celem zreorganizowania i podniesienia teatrów warszawskich.

* W warszawskim teatrzyku Belle-vue, pod dyrekcją Puchniewskiego przedstawiono w tym miesiącu nowość, pięcioaktowy dramat ludowy p. Olechnowicza — Steckiego p. t. „Wieczornice" z muzyką p Noskowskiego. Fabuła sztuki, zaczerpnięta z życia ludu wiejskiego, ma być dość szablonową; obok nieuchronnych wad pod względem budowy i przeprowadzenia psychicznego, które ostatecznie wybaczyć należy z uwagi, że to pierwszy utwór młodego pisarza, dramat zawiera kilka ustępów wcale szczęśliwie pomyślanych. Krakowiaki i mazurki p. Noskowskiego mają być arcydziełem swojego rodzaju, tyle w nich oryginalności, życia i piękna muzykalnego.

* Panna Marja Pruszyńska, znana warszawska śpiewaczka dramatyczna, puściła się z włoską trupą operową w podróż na około świata. Ostatniemi czasy, występowała z powodzeniem na wyspie Ceylon, w Hongkong a obecnie popłynęła do Australji.

* W Monachium przedstawiony zostanie w teatrze nadwornym niedługo dramat Shakespeara „Perikles," w opracowaniu scenicznem dyrektora Possarta, a z muzyką barona Perfalla.

* Sara Bernhard objąwszy dyrekcję teatru „des Nations" w Paryżu, rozpoczyna cykl dramatycznych przedstawień od dramatu czteroaktowego panny S. Arnaud p. t „Jane Gray" Dramat ten zdaniem krytyków i artystów, znających go z manuskryptu ma być arcydziełem. Są miejsca, które przypominają wprost Shakespeara. Główną rolę w sztuce Joanny Gray grać będzie Sara, do przedstawienia dwóch męzkich ról lorda Guilforda i niejakiego Grega, niema w otoczeniu Sary aktorów, szczególniej do Grega, którego zdaniem krytyków musiałby grać chyba Fryderyk Lemaitre.

* Coquelin sławny artysta dramatyczny z Théâtre Français zamierza pójść w ślady Sary Bernhardt i wybiera się w podróż artystyczną po Europie. Przedsiębiorcy pp. Dieudonné i Schürmann dają artyście całe utrzymanie przez czas dwumiesięcznej podróży i 150.000 franków gotówką. Coquelin rozpoczyna występy 14go w Nancy, 15go grać będzie w Sztrasburgu, a 17go stanie w Wiedniu, gdzie do 26go da 10 przedstawień. Między innemi wystąpi on w Chatriana „Les Rantzau". Autor ten niechciał początkowo Coquelinowi dać pozwolenia na przedstawienie dramatu swego w Wiedniu, ale artysta zmusił go do tego, grożąc mu listownie, że mógłby kiedyś dostać mdłości przed przedstawieniem jakiej nowej sztuki autora „Les Rantzau." Z Wiednia udaje się Coquelin dalej do Odessy, Kijowa, Moskwy, Petersburga, Warszawy i Bukaresztu. W trupie jego znajduje się między innemi panna Julia Clery z teatru Vaudeville, pani Grazot z Gymnase, tudzież p. Mangin z Gymnase tudzież pp. Barzal i Lamaert z Odeonu.

Sztuki piękne.

* Historja Paryża, ilustrowana, a przedstawiająca cały kształt rozwoju nadsekwańskiej stolicy wyjdzie wkrótce nakładem J. Rotschilda pt: „Histoire de Paris" Co się tyczy wydania podobne będzie to dzieło do przepysznych dzieł tegoż samego nakładcy o Florencji i Wenecji. Autorem Historji Paryża jest Karol Yriarte; książkę zdobi ogromna masa ilustracyj, wykonanych rozmaitym sposobem; obok dzrzeworytu i fototypii spotykamy tam radyrunek i druk kolorowy.

* W warstacie jakiegoś biednego krawca w Turynie, odkryto ostatniemi czasy przypadkiem obraz, pyłem i brudem pokryty, przedstawiający „Adorację pasterzy". Monogram umieszczony na odwrotnej stronie płótna dowodzi bezprzecznie, że twórcą niepokaźnego na pierwsze wejrzenie malowidła, był nie mniej nie więcej, tylko nieśmiertelny Leonardo da Vinci.

Ledwie wiadomość o tem rozeszła się po świecie, w lot znalazł się amator Anglik, który kupił obraz niemal na wagę złota.

* „Salon" paryski zwidziło w tym roku 564.933 osób, między temi zaś opłaciło wstęp 269.933, co dało razem 349.266 fr. dochodu, do czego dodawszy zysk ze sprzedaży katalogu w kwocie 25.000 franków, tudzież 12.000 z dzierżawy z restauracji okazuje się suma 986.266 fr. dochodu.

Ponieważ koszta wystawy niewynoszą więcej jak 180.000 franków pozostanie więc 206.266 franków czystego dochodu dla Stowarzyszenia artystów paryskich, którzy, jak wiadomo dawny salon oficjalny objęli na własne ryzyko.

* Nowa panorama przedstawiająca szturm na Bastyllę została w tych dniach otwarta w Paryżu. Artyści Poilpot i Jakob wybrali chwilę, w której tłum wpadł na podwórze a Maillard wzywa gubernatora Delaunay do poddania się. Widz stoi na terasie, pośród wzburzonego ludu. W oknach i na dachach ulic sąsiednich pojawiają się przerażeni mieszczanie, lub patryoci, ktorzy z góry strzelają w ulice. U dołu nieprzejrzany tłum ludu. Za tło obrazu służy Paryż z r. 1789 i okolica jego na kilka mil widzialna.

* Eugeniusz Guillaume b. dyrektor „Ecole des beaux arts" a później dyrektor sztuk pięknych w ministerstwie Dufeaur'a został zamianowany profesorem estetyki i historji sztuki w College de France na miejsce zmarłego

br. Karola Blanca. Guillaume, rzeźbiarz z zawodu dał się poznać jako uczony znawca sztuki rozprawą swoją o Michale Aniele.

* Międzynarodowa wystawa sztuk pięknych w Wiedniu nie zostanie zamknięta 30. Września lecz dopiero 15. Października.

Archeologia

* Na jednem z ostatnich posiedzeń Towarzystwa archeologicznego w Berlinie mówi Hanek z powodu rozprawy Trendelenburga „O wielkim ołtarzu w Pergamon" i rozprawy A. Conzego, „O płaskorzeźbie u Greków" o granicach malarstwa i płaskorzeźby, i twierdził, że różnica leży tutaj nie tyle w farbie, która jest tak dobrze własnością rzeźby jak malarstwa, ile w sposobie wydobywania świateł i cieni, które w malarstwie tworzą się za pomocą nakładania tonów, w polichromicznej rzeźbie zaś tworzą się przez naturalne oświetlenie.

Kryterjum to nie jest stanowczem wobec starożytnej rzeźby, bo w początkach malarstwa zadowalało się jednym tonem, a egipskie koilanaglify i asyryjskie tudzież atyckie płaskorzeźby grobowe należy absolutnie zaliczyć do malarstwa. Postęp w modelowaniu płaszczyzny spowodował dążenia do zaokrąglenia płaszczyzn płaskorzeźbowo w ten sposób, aby powstawały zgodne z rzeczywistością światła i cienie. Ponieważ plastyka zależy od światła naturalnego, więc rzecz oczywista niedostępne są dla niej wszelkie motywa, których wdzięk estetyczny zależy na efekcie światła.

Ogień, powietrze, woda, chmury z tego powodu nie są dla niej dostępne; w grupie Jowiszowej na ołtarzu Pergamońskim nie jest przedstawiony objaw świetny piorunu, a raczej jego siła niszcząca. Naśladować blask źrenicy nawet odważyła się dopiero nowsza sztuka. Starożytni się o to nie kusili.

Nauki przyrodnicze.

* Nowego planetę odkrył 10. bm. ad'unkt obserwatorjum astronomicznego w Wiedniu p. J. Palitsa. Oddawna szukał on za planetą zaginionym Urdą, i przy tej sposobności odkrył nowego asteroidę 12 lub 13 wielkości.

* W Monachium otwarta została 16 września wystawa elektryczna. Dotychczas nie jest ona jeszcze całkowicie urządzona, i przegląd jej systematyczny na razie jest niemożebny. Zanotować chyba wypada, że wśród wszystkich systemów oświetlenia elektrycznego, odniósł zwycięztwo system Schuckerta z lampami Piette-Krizika. Od pierwszej chwili po otwarciu najwięcej widzów a raczej słuchaczów gromadzi oddział telefonów, gdzie w pierwszym dniu publiczność przysłuchiwała się dźwiękom „Wojny o tancerkę", sprowadzonym za pomocą drutów z jednego z teatrów przedmiejskich.

MISCELANEA.

— Dwadzieścia cztery lat minęło od śmierci wielkiej artystki dramatycznej, która przyszedłszy na świat w małej wiosce Szwajcarskiej pod dachem ubogiego domokrążcy jako Elżbieta Felix, później jako Rachel zapełniała całą kulę ziemską rozgłosem swej zasłużenie zdobytej sławy, jako największa artystka tragiczna swojego czasu. Dwadzieścia cztery lat upłynęło już — powtarzamy — od chwili, gdy ta gwiazda pierwszorzędna zgasła w *Le Cannet*, opłakiwana przez całą Francję, żałowana przez inteligencję całego świata.

Ćwierć wieku, to ledwie chwila przelotna w dziejach ludzkości — natomiast długi przeciąg czasu, gdy idzie o zachowanie żywej pamięci dla aktorki, której kreacje z jej osobą zaginęły, a która z dzieł swoich nic nie pozostawiła współczesnym i potomnym, prócz — wspomnienia. Mimo to pamięć o niej żyje ciągle jeszcze świeża i niezwiędła, jak gdyby wczoraj dopiero widziano ją kroczącą w jednej z jej ról klasycznych, po deskach paryskiego teatru *Comédie Francaise*. Wyprzeć Rachel z pamięci Francuzów, byłoby bezsprzecznie największym tryumfem dla każdej artystki dzisiejszej. Atoli dotychczas nie powiodło się to żadnej. Chwilowo zdawało się, że Sara Bernhardt zostanie uznana jej godną następczynią — ale rychło nastąpiło rozczarowanie, Sara okazała się za mało klasyczną.

O małą milkę od Cannes w południowej Francji, leży wioska Le Cannet. Tam w willi Sardou, będącej wówczas własnością profesora Sardou, ojca znakomitego dramaturga Wiktoryna, skończyła Rachel 3. stycznia r. 1858, w pełni wieku, bo licząc ledwie 40 lat, życie uległszy suchotom, których zaród nosiła w piersiach, zdaje się, od wczesnej młodości. Chcąc powziąć należyte wyobrażenie o olbrzymiej czynności i ruchliwem życiu tej kobiety, wystarczy przeczytać dziełko p. Jerzego d'Heylli, które się pojawiło w Paryżu ostatniemi czasy pod tytułem: *Rachel d'après sa correspondance*. Wiele tam zajmujących szczegółów o jej rodzinie — dwie siostry Racheli żyją jeszcze: obie również artystki dramatyczne, Lia i Dinah Felix — o pierwszych jej krokach na scenie, o silnem poparciu w poważnym Journal des Débats, które miała ze strony tak potężnego krytyka, jak sławny Jules Janin; o jej nauczycielu Samsonie, którego rady zasięgała i później, będąc już znakomitością europejską, ilekroć zaczynała studjować nową rolę — nawet nieortograficzności Racheli nie przeoczył autor wspomnianej monografii.

Najcharakterystyczniejszym szczegółem tej wielkiej kobiety, jest bez kwestji szalona gonitwa jej za pieniądzem. Pod tym względem Sara Bernhardt ją doścignęła, a bodaj nawet czy nie przeszła swej wielkiej poprzedniczki. Hasłem tej i tamtej: Czas to pieniądz — dowodem tego następujący przykład: w maju r. 1849 Rachel ruszyła na objażdżkę artystyczną po Francji, i do końca sierpnia wystąpiła w trzydziestu pięciu miastach prowincjonalnych. Zdarzyło się raz, że jednego dnia grała w dwu miejscach. W liście do Ludwika Véron, pisanym w tym czasie — sama uznawała, że zbyt wielkich podjęła się trudów, a tylko co ją pocieszało, to nadzieja znacznych dochodów — *Quelle route!* są jej własne słowe — *quelle fatigue! Mais quelle dot!*

W całem jej życiu — zatem i w listach — najgłówniejszą rolę odgrywa pieniądz. Być może, że ogromny niedostatek, którego zaznała w dzieciństwie, przyczynił się do wyrobienia w niej gorączkowego pragnienia złota. Chciała mieć bogactwa nietylko dla siebie — ale również dla swoich najbliższych, i rzeczywiście rodzinę przedtem bardzo ubogą otoczyła wkrótce dostatkami. Faktem jest, że ojciec jej umierając zostawił majątek wartości 136216 franków, brat Rafael zostawił 151814 franków, a spuścizna Racheli wynosiła 1274371 franków. Połowę tej kwoty odziedziczyły jej dzieci — których ojcem był hr. Walewski — jedną czwartą rodzice — a jedną czwartą siostry. Prócz tego przekazała tetamentem cesarzowi Napolenowi biust Napoleona I wartości 3000 fr., ks. Napoleonowi, dwa koszyki na owoce i biust łącznej wartości 400 fr., ministrowi Achillowi Fould pieczątkę wartości 100 fr., literatowi Wiktorowi Séjour kałamarz i tekę (800 fr.), dziennikarzowi Emilowi de Girardin złote pióro (100 fr.), nakoniec księgarzowi M. Lévy — zegar pendułowy i dwa półmiski (1500 fr.)

Dziwnie to brzmi, bilans życia artystki wyrażać cyframi. Nie ile zarobiła, ale o ile zbliżyła się twórczością swoją do ideału — prawdy, powinnoby być miarą oceny jej wartości. A jednak przeczytawszy listy p. Rachel, i w każdym z nich powtarzany *refrain* — tyle a tyle franków miałam dochodu, tej wartości ofiarowano mi klejnoty tyle mam nadzieję zarobić w przyszłości, przychodzi się koniecznie do przekonania, że ideałem zaprzątającym przeważnie głowę p. Rachel — było złoto. Nawet oklaski frenetyczne i zapał, który budziła u wielbicieli, o tyle tylko znalazły w jej listach pobieżną wzmiankę, o ile by dla niej mniej lub więcej obfitem źródłem luidorów.

Karjerę zaczęła w nader młodym wieku z gażą 800 fr. rocznie przy teatrze paryskim *Comédie francaise* z przeznaczeniem do ról dziecinnych. Ztamtąd wstąpiła do Konserwatorjum, a po ukończeniu zwykłych kursów, w r. 1837 wstąpiła do teatru *Gymnase*, gdzie pobierać miała początkowo 4000 potem 6000 franków rocznie. W rok potem przeniosła się do *Comédie francaise*, gdzie niemal z każdym miesiącem podwajano jej gażę — po kilku miesiącach matka jej, widząc ogólny entuzjazm dla gienialnej artystki, zażądała stałej gaży rocznie 40000 fr! W dwa lata później dochody roczne p. Rachel, dosięgały 100000 fr. — co przedstawia ogromną kwotę, jeśli się zważy, że przed 42 laty wartość pieniędzy bez porównania większą była od dzisiejszej.

Atoli nie dosyć jej było laurów i złota zbieranego w Paryżu — rok rocznie brała urlop kilkumiesięczny, i puszczała się w podróż artystyczną, która jej przynosiła jeszcze większe dochody. Na jednem tylko zawiodła się srodze w rachubie swojej — na wycieczce do Ameryki. Spodziewała się wywieść ztamtąd miljony — faktem jest że Sara Bernhardt osiągnęła z występów gościnnych w Ameryce miljon frank. czystego dochodu; — a zarobiła ledwie tyle, że starczyło na pokrycie wydatków kosztownej wyprawy. Bodaj czy ten zawód i poniesione straty materjalne nie pogorszyły jej wątłego zdrowia, i nie przyspieszyły zgonu! To pewna, że wróciła z za Oceanu złamana, rozgoryczona i zniechęcona; nie wystąpiła już więcej na deskach teatralnych, a w dwa lata potem skończyła, trapiąc się do ostatniej chwili życia tą myślą, że niemoc fizyczna pozbawia ją możności zbierania bogactw, których pono nigdy nie byłoby jej dosyć!

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego", pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 2. We Lwowie dnia 7. Października 1882 r. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.

O nauczaniu historji.

Historja jest niezaprzeczenie mistrzynią dla tych, którzy z burzliwych fal dziejowego odmętu umieją wyławiać niesfałszowane perły wielkich prawd i cennych wskazówek — jest atoli pstrą tylko mozaiką wydarzeń dla tych, co w niej szukają szychowego blasku, znikomych fajerwerków i mdłych kadzideł. Dla jednych dzieje są niezmordowanym pochodem ku swobodzie i światłu, nieustającym rozwojem, zmierzającym ku udoskonaleniu człowieka i stosunków społecznych — dla drugich błędną wędrówką ciemnego stada, które, by się nie zbiło z tropu i nierozbiegło, ślepo bić musi czołem przed powznoszonemi dłań pagodami i słuchać komendy suchych i twardych jak kamień — dogmatów.

Stosownie do tych zapatrywań, różnym jest i program nauczania historji. Jedni uczą młodzież kochać i pojmować wielkie hasła dziejowe, wtajemniczają ją w mozolny trud cywilizacyjnego dorobku, zniewalają podziwiać i czcić szlachetne porywy ku prawdzie; drudzy uczą jej przedewszystkiem subordynacji i posłuchu dla tego co jest, wymagają pokłonu dla tego, co było i drżeć przed sobą kazało.

Jakim wyobrażeniom w nauczaniu dziejów hołduje komisja, wyznaczona przez krakowską Akademię Umiejętności dla reformy szkół średnich wykażą następujące cytaty.

Najogólniejsze tezy najłatwiej zwykle wygłaszać, brzmią bowiem gromko i niepotrzebują się z swej ukrytej treści szczegółowo spowiadać. Brzmi więc niezgorzej w referacie ogólnym Sprawozdania (*), że „zadaniem nauki historji winno być przedewszystkiem przedstawienie obozów, walczących w historji z całą ich powagą i grozą, przyswojenie zrozumienia głębszego, bez ryczałtowego sądzenia z punktu pewnej doktryny wielkich religijnych, politycznych i społecznych zagadnień, wstrząsających ludzkością, przejęcie młodzieży uszanowaniem dla tych spraw wielkich" i td. Do orzeczenia tego komisja dodaje zrozumialszy komentarz, mówi bowiem, że „strzedz się przedewszystkiem trzeba zdawkowej teorji historycznego postępu." W szczegółowym referacie prof. Miklaszewskiego, który następuje poniżej, stanowisko to staje się coraz wyraźniejszem.

Nie należy uczniom opowiadać o wytwarzaniu się religij pogańskich, języków, o filozofii i literaturze Greków, nawet o prawodawstwie i stosunkach społecznych Rzymu, bo wszystko trąci to wolnomyślnością. Natomiast szczegółowo rozpowiadać potrzeba o założycielach zakonów i scholastycznych doktorach. Referent pomija Sokratesa, Arystotelesa, Platona, każe jednak zapoznawać się uczniom z Franciszkiem z Assyżu, św. Janem Kapistranem, Anzelmem biskupem kenterburyjskim, Tomaszem z Akwinu, Benedyktem z Nancy i t. p. Mają oni suszyć głowę nad scholastycznym „nominalizmem" i „realizmem", i podziwiać uniwersytet paryski, „jako główne ognisko wiedzy teologicznej." W wykładzie w. XVI mamy się strzedz „fałszywego" jego przedstawienia, płynącego z stronności „prusko-protestanckiego kierunku"; natomiast śledzić bacznie za wielką pracą „odradzającego się katolicyzmu" i zapamiętać sobie szczególnie „takie typowe postacie jak Ignacy Lojola, Paweł IV, Pius V, Syxtus IV" lub „święte postacie tej miary jak Filip Nonus Carisius, św. Teresa, Jan od Krzyża."

Wysunąwszy na pierwszy plan „odradzający się katolicyzm" referent ledwie wspomina o odrodzeniu się na wzorach klasycznych humanizmu XV w., o dalszym rozwoju tego humanizmu, wzroście dążeń reformatorskich na polu religijnem w w. XVI i pomija następnie cały bujny rozrost nowoczesnej niepodległej nauki od w. XVII do dni na-

* Sprawozdanie komisji w sprawie reformy szkół średnich, powołanej przez Akademię Umiejętności w Krakowie do załatwienia przekazanego jej wniosku przez W. Sejm. = Kraków, nakładem i czcionkami drukarni Czasu 1881 r.

szych; pomija także walkę o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki i wielką rewolucję francuską.

Taki ma być zdaniem referentów, nie hołdujących „zdawkowym teorjom dzisiejszym" wykład historji w V, VI, VII i VIII klasie naszych gimnazjów.

Po tem wszystkiem nie dziwimy się też, że komisja chce skrępować zupełnie nauczycieli w ich wykładzie, postanawiając, że „stałe książki i teksty stanowić powinny drogoskaz obowiązku nauczyciela; pod surową odpowiedzialnością i utratą posady niema mu być wolno odbiegać od miary, treści i metody nauki z góry zarządzonej; ci, którzy tego z swojem sumieniem lub przekonaniami pogodzić nie mogą, nauczycielami być nie powinni." (str, 11, 16)....

Referat komisji w sprawie reformy szkół średnich, powołanej przez Akademię Umiejętności do reformy szkół średnich, mocą uchwały sejmowej z 14 lipca 1880 r., posłużyć ma za podstawę reformy naszych szkół średnich — na pilną też z naszej strony zasługuje uwagę. Chwila tak uroczysta, jak reforma naszych szkół średnich, jedynych dziś gimnazjów z wykładem polskim, nic dziwnego, że interesuje także rodaków naszych po za kordonem. Najdonioślej w tej sprawie odezwał się tłumacz Drapera p. Tadeusz Korzon w broszurze, wydanej z powodu powyższego sprawozdania komisji. (**) Autor protestuje przeciwko podobnym zapatrywaniom na historję i jej wykład, ze stanowiska człowieka „zdawkowej nauki dzisiejszej," racjonalnych wymagań pedagogii, a wreszcie miłości kraju i jego lepszych w tym kierunku tradycyj.

Zapatrywania, wyrażone w sprawozdaniu komisji nie zgadzają się najprzód z dzisiejszemi wymaganiami nauki, która nie zna innych przepisów nad prawdę, i której tak samo nie można narzucić pewnych poglądów, jak nie można ich narzucić fizyce, biologii lub filozofii. Socjologia, której historja częścią jest tylko, ma także swe naukowe prawa, których pod karą nieuctwa i ciemnoty zapoznawać nie wolno. Dyrektywa zresztą proponowana w referatach komisji nie zgadza się z dzisiejszemi wyobrażeniami nie tylko o nauce, lecz i o swobodach osobistych.

Pragnie ona zrobić z nauczycieli uległych manekinów, którzyby ślepo, wbrew nawet swym przekonaniom, głosili prawdy z góry nakazane, pragnie nareszcie wytworzyć z młodzieży naszej ślepych wyznawców dogmatów historycznych — dlatego też przeciwko referatom owym, w imię nauki i wraz z p. Korzonem protestujemy.

** O nauczaniu historji, z powodu zamierzonej reformy szkół średnich w Galicji, napisał Tadeusz Korzon. — Warszawa 1882.

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy).

Błyskawice gzygzakami przecinały czarne chmury; — daleko — ledwie dosłyszane grzmoty zbliżały się. — Sara pomyślała o Mojżeszku i serce jej zabiło ze strachu, lecz w tej chwili przyszedł jej na myśl Josek.

— Każe on Ryfce krowę zapędzić, klucz znajdzie i izbę otworzy. — Pocieszona szła dalej, a myśli jej mknęły od dzieci do zarobku. Układając skargę szukała nowych dróg handlowych i nowych produktów zamiany.

W Szczurowej nie było bóżnicy, zaledwie szkoła — nie było i rabina; stary sześćdziesięcioletni Aron, powtórny wdowiec, przewodniczył w modlitwach i dawał za zezwoleniem rabina śluby.

Do niego biegła Sara, mimo że wiatr huczał, — roznosił tumany kurzu i stare liście z dębów obrywał. — Deszcz zaczął padać. — Zdyszana wpadła do domu piekarza — ozdobionego dwoma szyldami pasterki i pasterza w wieńcach róż na głowach.

Piekarz chodził po izbie chmurny. Czapkę nasadził na tył głowy, ręce włożył do kieszeni i gwizdał fałszywie.

Zaciekawił Sarę zły humor piekarza, — jakaś niewyraźna myśl błądziła po jej głowie.

— Co to panu jest, panie Pietraszkiewicz? — odezwała się stojąc we drzwiach. Taki pan i jeszcze się trapi.

Pietraszek lubiał być tytułowany Pietraszkiewiczem, o czem Sara wiedziała.

— Ciągnęli mnie do tej dziury, namawiali — usłuchałem głupiec — i wyjdę na dziada, — zawołał.

Myśli Sary zaczęły się powoli krystalizować.

— Mały zarobek? — spytała obojętnie.

— Co ty mówisz o zarobku, — dziesięć bochenków chleba i dwadzieścia bułek sprzedaję jak dzień długi. Wczoraj zmarnowałem pięć bochenków, dziś pięć, a bułki sam zjadam. — Bo cóż tu za dwory, — to dziady, nie panowie. — Zapakuję sakum-pak manatki i wrócę do Tarnowa.

Myśli Sary sformowały się w projekt dobrego interesu.

— Ależ dwory będą kupować. Pani Dołęzka, pani Zaborowska, pani z Woli — coby nie brały, tylko im trzeba zanieść. — I proboszcze, i organisty i profesory kupią.

— Będę ja im nosił, zobaczą mnie oni! — Jaśnie państwo a kupują po szóstce. Pokażę ja tym ajstokratom. — Piekarz lubiał się odgrażać.

— Po co nosić, można przecie posłać.

A kogo? — parobka będę umyślnie do noszenia trzymał?

— Może jabym spróbowała, — rzekła nieśmiało, a wargi jej drżały.

— A to se noś, — tylko ja nie borguję — rozumiesz?!

— O borgowanie nie idzie, a jaki będzie procent — wiele dla mnie?

— Co sobie utargujesz to twoje.

— Dziękuję, rzekła z uśmiechem szyderstwa — za to pozwolenie. — Pan piekarz mądry, ale i ja choć biedna żydówka nie głupia Więc dla mnie nic, za moją pracę za to, że będę pański chleb i bułki dźwigać i sprzedawać?

— Za jaką pracę? wołał Pietraszek. — Próżniaki, oszusty, darmozjady, pijący krew katolicką, — komu tu gadać o pracy!

— Dźwigaj pan sam panie Pietraszkiewicz, — odparła Sara z dumą, a będąc pewną zwycięztwa, czuła się obrażoną i wyszła.

Deszcz ustawał, słońce złociło nisko płynące po niebie chmury, a w kroplach wody rozsianych na zielonych łodygach zbóż, rozwieszało barwy tęczy. Sara biegła przez błonie układając plany. — Barwy tęcz rozsiane na kroplach deszczu nie rozweselały jej, — choć się uśmiechała pokazując słońcu swe białe, duże zęby. Sara rachowała, marzyła i uśmiechała się do marzeń swych ułożonych z samych cyfr.

— Jakto te szelmy zhardziały, — mówił pan Pietraszkiewicz do siebie, kładąc ręce do kieszeni, — plugastwo nie da do siebie słowa powiedzieć. Wytępić! — zawołał uderzając pięścią w stół. Zamyślił się... — Abo to w kraju jest jaki porządek, ład, żydy rozbijają na publicznych drogach, — człek musi stulić gębę i poddać się. A trzaśnij którego w pysk — to kryminał! Pietraszkiewicz podniósł ręce do góry — I jakże tu żydzi nie mają nad nami przewodzić?!!...

Tymczasem Sara dotarła do Szczurowy; zdyszana, zatrzymała się przed korzennym sklepikiem, — wyjęła z woreczka dwie szóstki i nieśmiało, z bijącem sercem przestąpiła próg małej, pokrzywionej, z wypaczonemi bokami chaty. — Przebiegła szybko sklep otwierając drzwi do niewielkiej, zapadłej w ziemię izdebki.

Przy oknie siedział w okularach Aron zagłębiony w talmudzie, spojrzał na Sarę szklannemi oczami powagi i dalej w spokoju czytał.

Sara stała chwil parę w milczeniu przy drzwiach ściskając w ręku dwie szóstki. Aron, przewodniczący w modlitwach całej gminie szczurowskiej i rozrzuconym na kilku wioskach żydom, czytał dalej. Wezbrane żalem serce Sary nie mogło dłużej wytrzymać.

— Sprawiedliwości! — zawołała. — Aron położył rękę na księdze i odwrócił głowę. Wtedy Sara wyrzuciła z przepełnionego żalem serca lawinę gorących słów, a Aron patrzył i milczał. Czarne duże oczy, rzucające pełne blasku płomienie, grube, świeże usta, zęby białe, policzki zarumienione gniewem, musiały zrobić na nim wrażenie. Uśmiechał się, głową kiwał i palcami z lekka przebierał.

Skoczyła ciężko wzdychając. Piersi jej wznosiły się w takt przyspieszonego oddechu, — a Aron patrzył przymrużonemi oczami, głową kiwał, palcami przebierał i milczał.

Nieśmiało zbliżyła się kładąc dwie szóstki na świętej księdze.

— Dam więcej — szepnęła — jak tylko oczy moje przestaną patrzeć na niego. — Dam więcej, odbiorę od ludzi, przyniosę.

— Weź to, — rzekł Aron z powagą. — Dużo masz u ludzi?

Sara z chciwością pochwyciła srebrne pieniążki.

— Ze dwa sta, — rzekła z dumą.

— A co więcej?

— Chata, krowa, trzydzieści gęsi, troje dzieci, pięć guldenów w towarze i dwadzieścia do roboty.

Aron kiwnął głową.

— Do Szczurowy się nie przeniesiesz?

— Ach nie! Błonie w Dołędze to mój majątek.

Aron uśmiechnął się łaskawie.

— Niech o n tu przyjdzie, — syn tego wyklętego a p o k o r s y (1).

To o n oznaczało Zyzmę.

— Nie, o n nie przyjdzie — rzekła stanowczo Sara. — On się nie zlęknie i samego rabina.

Aron się zachmurzył. Sara umyślnie drażniła jego ambicję.

— Nie wejdzie więcej do twego domu, — rzekł z wielką powagą.

Sara odetchnęła, — otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się. Aron kiwnął na nią palcem... podeszła bliżej. — Wtedy dygnitarz ujął rumianą jej twarz w dwa palce i — rzekł łaskawie:

— Może ty będziesz żoną Arona, gdy tego Bóg i Aron zechcą....

— Nie, nie będę żoną Arona, — zawołała biegnąc drogą z powrotem. — Nie będę pracować na starego grzyba. — Ja mam swoje dzieci i dla nich chcę mieć dużo...

Kiedy ja się doczekam, żebym pierwszego guldena na procent dała. . Ach! Zyzma żebyś ty sądnego dnia nie zobaczył.

Biegnąc wstrząsała rozpaczliwie rękami.

— Stary łakomi się na dwa sta i na moją młodość...

Uśmiechnęła się troszkę z radości nad swą urodą.

We drzwiach piekarni stał pan Pietraszkiewicz trzymając z fantazją ręce w kieszeniach a czapkę na tyle głowy. Sara udała, że go nie widzi.

— No cóż? — zawołał.

— Żydy szachry, noś pan panie Pietraszkiewicz sam.

— A wiele chcesz?

— Dwadzieścia zarobkowego od guldena — płacę za towar z góry.

— Ha, ha, — Pietraszkiewicz zaczął się śmiać. — Ze skóry radzibyście obedrzeć człowieka.

— Cóżto chcesz pan żebym darmo pracowała? Dźwigać tyle chleba po takim upale! — Żydowska praca, a to mi praca! I to w żywe oczy śmieć mi mówić o ciężkiej pracy, kto żydówka?! ha, ha!

— Noś sam panie Pietraszkiewicz. Niechno jegomość nie będzie taki wielki pan!

Sara się zawróciła idąc spiesznie.

— Dziesiątka od papierka i więcej nie dam żebyś skonała.

Pietraszkiewicz wszedł do izby trzaskając drzwiami z oburzenia. Sara postała chwilę i wolno, strojąc frasobliwą minę zbliżyła się do okna.

— Bóg mi świadkiem, co się muszę za szóstką nalatać — rzekła smutnie.

Pietraszkiewicz się nadął, postawił marsa i milczał.

— Jutro przyjdę po chleb. Na początek wezmę za dwa papierki.

— Tylko rano! — krzyknął.

— No, no, to moja rzecz, a jegomość nie bądź taki wielki pan.

— A ty taka harda, bo ci buzię zamknę, zobaczysz!

Podniosę chleb o grajcara, żydówkę zapłacę i na tem zarobię jeszcze trzydzieści centów dziennie.

— Trza było brać kiedy taniej dawałem — zawołał zwracając się w stronę dworów. — A to pijawki żydowskie! Tak się do mnie przypięła, że rady sobie dać nie mogłem.

Pietraszkiewicz lubił się skarżyć, chwalić i grozić.

Sara zamyślona wracała przez Włoszyn do domu.

— Przecież we dworze dadzą mi za drogę. Dziennie utarguję za trzy papierki, trzydzieści centów dla mnie. Ciężko dźwigać tyle chleba, ale ja się nie boję pracy tam, gdzie idzie o zarobek i dzieci moje.

Stanęła na moście rzucając wzrokiem ciekawie na wał. I zobaczyła Joska poważnie stojącego na warcie i małą Ryfkę pasącą krowę

Syn przywołał do siebie matkę.

— Nie uciekaliście przed burzą? — pytała.

— Nie — odparł Josek z powagą rabina. — Ryfka poszła pod most, a ja do chaty po płachtę na chwast.

— Mojżesz! — zawołała wystraszona.

— Bawi się; dałem mu grochu do rachowania. Niech się uczy.

Sara kiwała głową z podziwu nad wielkością syna.

Słońce zstępując do snu, rozrzuciło dokoła świetlaną purpurę. W złocistych barwach kąpały się drzewa, malowany most i zielone błonie — za niem białe chaty i lasek olszyny.

Sara rozpostarła do światła płachtę, rachując na niej dziury. Josek z dumą trącił matkę, pokazując na wypasioną krowę, jako na swe dzieło. Nie widziała tego Ryfka, wyszukując z pilnością kępek najlepszych traw dla Łaciatej. A gdyby i widziała nie dziwiłaby się, gdyż nauczono ją korzyć się przed mądrością brata. Josek panował nad sercem matki i umysłem Ryfki.

Wrócili; Ryfka z Łaciatą naprzód, za nią matka z Joskiem.

— Mamo, polowy w Zaborowiu — odezwał się cicho syn.

— Widziałeś?

— Ja na wszystko patrzę, ja nie próżnuję!

To mówiąc wydobył z za chałata sierp i podał go matce.

Dzieci pomknęły do chaty pędząc przed sobą krowę.

Sara skręciła na dworskie pola rwać chwast. Uwiązawszy u szyi płachtę, przykucnęła oglądając się ciekawie dokoła.

Bydło wracało, za niem śmiejąc się i skacząc biegły dzieci. Pługi skrzypiały ciągnione przez poważne woły, fornalki wyprzęgnięte z bron truchtem, uderzając w takt o twardą drogę gościńca spieszyły do stajni.

Sara czekała na ciszę, w ciszy czuła się bezpieczniejszą, wtedy mogła z łatwością łowić każdy szelest ostrzegający ją o bliskości nieprzyjaciela.

Słońce zaszło i oprócz muzyki wiosennego wieczoru nic słychać nie było. Sara pochwyciła ostry, świecący sierp, a czając się przy samej ziemi, dopadła do bujnie rosnącej wyki.

(1) Wyraz ten u husytów równoważy z wyrazem bezwyznaniowiec.

wyki. Uklękła, pochyliła się i z gorączkowym pospiechem zaczęła żąć. Co chwila przestawała, co chwila oglądała się, nasłuchując z wyciągniętą szyją. Płachta rosła, zajdy robiły się wielkie jak góra. I jakże się tu pokazać światu z taką górą na grzbiecie? Poradziła jednak sobie, dobiegła do Rudawy, zsunęła się do głębokiego jej koryta i brnąc po płytkiej wodzie, wydobyła się na brzeg przed własną chatą.

— Mamo, a jak jutro przyjdzie rewizja? — spytał filuternie Josek chcąc się zabezpieczyć.

— Cicho, cicho, na świtaniu znaku nie będzie. A któż tam biednym da?! Bóg manny nie ześle... Żydzi szachry, złodzieje! Biednego żyda psami się szczuje, bogatego sadzają na kanapie. Gojom nie zabraknie.

— Tak, mamo, im nie zabraknie — poświadczył Josek.

— A my musimy mieć — słyszysz Josełe?

— Słyszę — rzekł Josek.

— Ja się zapracuję, ale ty musisz mieć dużo, rozumiesz?

— Muszę — szepnął Josek — dużo — powtórzył.

— Bo inaczej w twarz będą ci pluć — zawyrokowała.

Matka doiła Łaciatą, a dzieci usiadły na progu obórki.

Ryfka posadziła Mojżeszka na kolanach, Josek oparł głowę na łokciach i śledził ruchy matki, ucząc się uważać ją za niewolnicę, której jedyną racją bytu było dostarczenie mu dużo pieniędzy.

Przyzwyczajał się doglądać i rozkazywać jej. Josełe był mądry, on pracował za wszystkich głową! Pracował, bo myślał.

II.

Z workiem na plecach, chałatem i butami na kiju, a koszem w ręku, stanął Zyzma przed chatą Zawrzykrajki i dopiero tu uczuł potrzebę obejrzeć się. Zaledwie było po południu, słońce paliło, żywej duszy na drodze, i dlatego wszedł do izby niebieskookiej, uśmiechniętej dziewczynki.

— Wiesz Zyzma — szczebiotała — miałam ci odrobinę mąki i z tem jajem coś mi go dał zagniotłam zacierków. Schowałam je dla matusi, ale ty może będziesz jadł? Pojedz se, bo pewno daleko idziesz. O i jabym ochotnie leciała, ale cóż muszę pilnować chaty i krowiny – jedną tylko mamy.

Kasia postawiła przed Zyzmą miskę do połowy napełnioną zacierkami, pogłaskała go ręką po twarzy i podała mu łyżkę.

Zyzma się uśmiechnął, palce kurczył i prostował, nogi wyciągnął układając się wygodnie na ławie.

Podaną przez Kasię łyżkę położył na stole. Dobrze mu tu było, głaskano go, śmiano się do niego, radzi mu byli.

— Zacierkę schowaj dla matki.

Kasia wstawiła ją do pieca.

— To tybyś ze mną poleciała?

— A cobym nie miała lecieć, a cóż to nam dziś za rozkosz, bieda żeby i siekierą nie uciął.

— A matusia?

— Wyglądaliby mnie i wróciłabym, a wtedy może byłoby u nas i lepiej! Mój Boże taki majątek i wszystko poszło marnie!

I Kasia zwyczajem starszych gospodyń zaczęła smutnie wstrząsać głową, podparłszy ją ręką.

Żyd się uśmiechnął z tej udanej frasobliwości dziewczynki.

— A gdybyśmy nie wrócili? — spytał,

— Dlaczego nie mielibyśmy wrócić? Jak matusia grunt odbiorą, to przecie będzie nam lepiej.

— Musicie skończyć z tym gruntem. Czy to prawda że był przepisany dla ciebie?

— A dla kogóż? Toć ja jedna, jedyna u ojców.

— Kiedy tak, to ja tę sprawę wezmę w swe ręce.

— O weźcież, weźcie, mój Zyzma, bo matusia mówią, że jak żyd co chwyci w pazury, to zaraz idzie raźniej. Weźcie, weźcie, mój Zyzma w te swoje pazury, to nas pewno z biedy wyciągniecie.

Uśmiechnął się Zyzma z wiary dziewczynki co do siły żydowskich pazurów. Patrzał na nią oczyma rozespanego kota, czatującego na świergocące ptaszki.

— Wrócę migiem ino Wtoruchę wygnam na pole — zawołała Kasia i wybiegła.

Zyzma wyciągnął się na ławie, podłożywszy pod głowę chałat. Zamrużył oczy i marzył rozkosznie o wielkim majątku, który musi zrobić, o żyznym gruncie i o pięknej Kasi. Wyobrażał ją sobie jaką będzie za lat trzy, cztery, pięć. Wtedy sprzeda jej grunt a w mieście sklep założy. Będzie pan, ludzie go muszą szanować, musi mieć dużo pieniędzy i pewnie będzie szczęśliwy.

Kasia zajrzała do izby i cicho się z niej wysunęła.

— A niech się biedny żydzina zdrzemnie — myślała biegnąc naprzeciwko matki — on mnie tak lubi. Z matką się swoją kłóci, ale mnie lubi. Bo i ja go lubię. To się zaśmieje, to zagada, to co przyniesie, podaruje. I choć żyd zawsze dobry.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

To zupełnie inna kwestja!

Ci chłopi to dziwna rasa!
Wszelki zapał do oświaty
Coraz bardziej w nich przygasa,
Propagandy, systematy,
Ankiety, stowarzyszenia...
Wszystko idzie jak z kamienia.

Wczoraj chcąc obejrzeć studnię,
Idę — stoi chłop przy chacie;
Więc mówię mu: Dobre południe,
Iwanie, jak się miewacie?
I gawędząc z nim troszeczkę,
Ofiaruję mu książeczkę.

Kładę w głowę jak łopatą,
Że są ciemni i niedbali,
Że jedyny środek na to,
Żeby książki kupowali;
Że to nie jest żaden zbytek
A przyjemność i pożytek...

W końcu pytam: Cóż Iwanie?
A on mówi z kwaśnym gestem:
Prawda to, wielmożny panie,
Tylko że ja głodny jestem.
Głodny! co za dzika bestja!
To zupełnie inna kwestja!

M. Rodoć.

Wiek i jego prawa w wychowaniu.

przez

Ludwika Hodolego.

Wpływ ciała na duszę, który nam wykazuje psychologia w tysiącznych wypadkach objawia się także i w tem, że w miarę jak ciało powstaje, wzrasta, doskonali się i podupada, także i dusza przebywa analogiczne stadja rozwoju. Fizycznej niemocy dziecięcia odpowiada jego bezradność i nieczynność umysłowa; młodzieńczemu rozkwitowi sił i piękności cielesnej odpowiada owo usposobienie, co to „ideałami żyje, miłością gotowe cały świat objąć“ a polotem fantazji najwyżej wzlatuje; wraz z redukcją wreszcie sił cielesnych marnieją u starca i siły umysłowe. Wiek jest więc nietylko miarą sił fizycznych ale i umysłowych, on podaje nam owo kryterjum, czy pewna czynność przechodzi siły i zdolności nasze lub stępić je nawet może, czy też przyczynia się do rozwoju postępowego. Metoda nauki o tyle tylko może być skuteczną, o ile dokładnie zastosowana jest do wieku ucznia, tylko taka bowiem metoda liczy się z siłami i skłonnościami jego i zważa na dyspozycję czyli sposobność ucznia do wymogów wychowania.

Mimo przerażającej nieznajomości zasad pedagogicznych, jaka panuje w sferach, któreby najwięcej winneby się w tej mierze nauczyć

czegoś, mimo że trudno spotkać rodziców, którzyby zrozumieli, że wychowanie dzieci nie jest rzeczą pozostawioną ich dowolności i szukaniu po omacku sposobu, jak sobie „dać radę z dziećmi", lecz że jest wiedzą, którejby się im uczyć wypadało, mimo więc takiego ogólnego niemal zaniedbania nauki pedagogii wśród wychowawców dzieci, spotykamy przecież często w potocznej mowie zdania, które świadczą, że pedagogiczne prawo stosowania nauki do wieku jest nawet wśród obskurantów uznanem, rzecz inna jednak, o ile i jak te ogólne zasady bywają w szczegółach przestrzegane. Często słyszymy np. takie zdania: „To jest nad wiek ucznia", albo „ta książka jest niestosowną dla twego wieku", albo „to dziecko jest nad swój wiek mądre", albo „on wyrośnie z tego, — przyjdzie czas a nabierze on rozumu" (zasada w gruncie naturalna, jak i poprzednie ale często mylnie rozumiana i wyradzająca się w zbytnią pobłażliwość pod względem naukowym lub moralnym).

Podobnie i w wychowaniu fizycznem mówią często, że to a to np. ćwiczenie gimnastyczne nie jest stosownem dla dziecka lub młodzieńca. Mamy np. osobne ubiory dziecinne, ale nie na to, aby lepiej odpowiadały konstytucji dzieci i jej wymogom, lecz na to, aby zrobić z nich cudackie lalki i pajace i przyzwyczajać do wybredności w ubiorze, do błyszczenia powierzchownością na wzór Indjan, świecidełkami i niepotrzebnymi gałgankami obwieszonych. W hygenie jedzenia i picia robią w potocznem życiu także pewne różnice wieku, tak co do ilości jak i jakości potraw, zwykle jednak najdziksze krążą tu zdania. I tak np. kiedy rodzice albo i starsze dzieci zajadają sobie smaczne, pożywne potrawy, to młodsze karmią klejiczkami i innemi aż zbyt, jakby dla chorych, lekkiemi potrawami, albo jeżeli już nie chcą „prowadzić dwu stołów", to o tyle przestrzegają wymogi wieku, że nie dadzą dziecku tyle zjeść, ile ono potrzebuje dla zaspokojenia głodu tak, że ono zmuszonem jest zaraz po obiedzie ukradkiem „łasować". Stąd to przy stole owe ciągłe wojny z dziećmi, stąd to pochodzi, że rodzice, zbyt bojący się „przeładowania żołądka" dzieci (najczęściej jednak ze skąpstwa) dają dopiero płaczem tychże zdobywać od siebie niemal każdy kęs chleba. Specjalnością dzieci są dalej cukierki, pierniki i różne słodycze, któremi się je karmi sowicie mimo ciągłych narzekań, że to „wzburza robaki". Zabawnem jest także, jak to niektórzy rodzice ukrywają przed dziećmi swe nałogi. Zamiast wytłumaczyć dzieciom, że kawa jest szkodliwą, piją ją a dzieciom dają mleko, obiecując im, że jak podrosną, to dostaną także kawę. To nie szkodliwy nałóg więc, lecz postęp, jaki wiek przynosi! Lecz co dalej! Dla podsycenia próżności dowodzą dzieciom, że „mleko lub bratki podtrzymują piękną płeć"! To nie dla zdrowia i tylko dla zdrowia, to środek kosmetyczny! Podobnie ma się rzecz z tytoniem, który „można palić tylko starszym", którego palenia nie potępia się więc zawsze i wszędzie, lecz stawia jako idealny przywilej starszych.

W hodegetyce, czyli sposobie prowadzenia dzieci znajdujemy także w życiu codziennem rozmaite stopnie kar wedle wieku dziecka. I tu wzdrygać się często przychodzi, jak dziwacznych albo nawet barbarzyńskich środków używają rodzice. I tak, dla małego, dziecka niczem jest powaga rodziców w obec kominiarza lub dziada, którego postrach ukróca największe wybryki. Jest to najwymowniejsze świadectwo nieudolności rodziców, kiedy byle kominiarz lub dziad może mieć więcej wpływu na dzieci, niż oni sami. Niestety postępowanie takie jest tak zakorzenione, że próżno siliłem się zwykle na wykazanie jego niedorzeczności, gdyż powoływano mi się na to, że „to taki ogólny zwyczaj", usiłując tym czczym frazesem, jak i gdzie indziej, pokryć każde głupstwo panującej mody. W logicznej konsekwencji tej pierwszej niedorzeczności, wysuwają rodzice z postępem wieku dziecka nową powagę w formie rózgi, starając się dla niej wzbudzić u dzieci nietylko bojaźń, lecz także szacunek, ponieważ często każą dzieciom ją nawet całować! Z rózgi awansują dzieci z wiekiem na rozmaite harapy, trzcinki i t. d. aż wreszcie, gdy nabiorą sił i zbyt borykają się z rodzicami, na kije, wyliczane przy pomocy stróżów. Po tych operacjach „energiczniejsi" odgrywają z dziećmi jeszcze nową tragikomedję, każą się bowiem zbitemu dziecku przepraszać, całować, zapewniać o miłości i t. d., jak gdyby mogło istnieć między nimi przywiązanie. Że takie kijem zdobyte wyznania miłości na nic się zdać nie mogą, jak tylko do popsucia dzieci, widzimy na tak prowadzonych dzieciach, które są zawsze „niepoprawnemi i niewdzięcznemi". Nie miejsce tu rozważać barbarzyńskość kar cielesnych, zniesionych już nawet w kryminalistyce, konstatujemy więc tylko, że zamiast owego stopniowania tęgości przyrządów do obbijania dzieci należałoby stopniowo coraz więcej pracować nad przywiązaniem ich do siebie bo dla osoby, prawdziwie ukochanej, zrobi dziecko wszystko. Nie dla kominiarza lub dziada mają być dzieci grzecznemi, nie dla rózgi lub kija mają się one uczyć; największą i najlepszą powagą jest miłość dla rodziców — ich rzeczą, ich sztuką jest pozyskać bezwzględne przywiązanie dzieci. Jeżeli tego nie zdołali dokazać albo i nie chcieli (ileżto jest dzieci faktycznie bez powodu nielubianych przez rodziców?) niechże się nie skarżą na dzieci, bo za obojętność lub sekatury nikt nie płaci miłością. Nie mówię tego w ferworze oratorskim, nie liczącym się z rzeczywistością i nie idealizuję jej wcale, gdyż w swej praktyce pedagogicznej prowadziłem kilkakrotnie uczniów, uważanych już za „straconych, niepoprawnych lampartów", i t. d. i mimo że ze strony rodziców miałem przyrzeczoną tylko pomoc do bicia bo na nic więcej liczyć nie mogłem, zdołałem przecież — ale bez kija — do tego stopnia pozyskać przywiązanie chłopców, że jak w zachowaniu, jak i w nauce, „poprawili się do niepoznania". Dodać jednak muszę, com się od takich uczniów dowiadywał z czasem drogą pośrednią lub bezpośrednią: oto wyraźnie się zastrzegali, że wszystko, co robią robią tylko dla mnie, ale nie dla rodziców! Kto temu winien? Czyż zawsze takie dzieci są „tak z gruntu zepsute, że z nich nic nie będzie", jak to prorokują, czy też przeciwnie rodzice lub nauczyciele są tak w swej nieudolności niepoprawni, że zaprzepaszczają charakter i zdolności dziecka? Z natury złem ani dobrem dziecko się nie rodzi, ale można je zrobić złem przez złe kierownictwo! Owszem nawet przez wychowawców zepsute już dziecko da się poprawić pod należytem kierownictwem, trzeba tylko więcej miłości dla niego, trzeba więcej studjować pedagogię, niż wytrzymałość rózeg i kijów! Niestety jednak rzecz ciągle stoi na tem, że za najlepsze uważa się w domach wychowanie „żelazne" t. j. takie, gdzie dziecko ciągle drży z obawy przed chłostą a rodzice się wiecznie chmurzą. Gdy mimo to a raczej przez to wychowaniec zchodzi na bezdroża w późniejszem życiu, to daje się słyszeć „pedagogiczna" uwaga, że „za mało go bito za młodu". Tak to wyrobiło się dziwaczne a nawet barbarzyńsko dzikie zdanie, że młodość jest wiekiem, wymagającym koniecznie chłosty cielesnej, że kij (nie książka) jest nieuniknionym towarzyszem rodziców w wychowaniu dzieci, że kij jest ową ostateczną powagą, przed którą jedynie tylko dziecko się ukorzy. To też rzeczywiście wychowanie domowe schodzi często na cyrkowe tresowanie batami! Smutno zaiste byłoby z ludźmi, gdyby musieli przebywać podobne zwierzęce stadja rozwoju!

Na wielu takich i tym podobnych przykładach widzimy więc, że nawet ludzie, którzy postępują z dziećmi nie podług stałych zasad, lecz podług chwilowego humoru, przecież starają się w wychowaniu uwzględnić wiek dziecka, i że wraz z wiekiem też zaprowadzają coraz nowe zmiany w wychowaniu, na nieszczęście jednak zwykle błędne. Skoro więc potrzeba uwzględniania wieku

wychowańca nawet w takich sferach odczutą bywa, o ileż więcej uwagi musieli zwracać na to pedagogowie, którzy żadnego momentu pominąć nie mogą i w umiejętny system ujmują wszystko, co się odnosi do wychowania.

Jakoż od najdawniejszych czasów metoda nauki bywała stosowaną do wieku uczniów a to z tej prostej konieczności, że cała przystępność lub nieprzystępność pewnych gałęzi nauk dla uczniów jest ściśle zawisłą od ich wieku. Jeżeli nauczyciel chce być zrozumiałym dla swych uczniów, musi się zniżyć do poziomu ich wieku, inaczej będzie im prawił „tureckie kazania" i wymagał od nich tego co przechodzi granice ich sił. Z drugiej strony musi nauka z postępem wieku ucznia wzrastać w ścisłości, inaczej sam młodzieniec będzie się skarżyć, że go „uczą a raczej nudzą dziecinnemi zabawkami".

Zasadę tę uwzględniali zawsze nauczyciele z konieczności, bo inaczej wychowanie nie jest możebnem, wadliwość jednak dotychczasowych metod polegała na tem, że nie stosowały one ściśle do szczegółów tego, co przyjmowały za zasadę ogólną. Ogólny zarys naszego dzisiejszego systemu wychowania wskazuje nam także ową myśl przewodnią, w szczegółach jednak brak mu wykończenia (a cóż jest już dzisiaj wykończonem?), to też omawiając ogólne prawidła [w] tym kierunku, będziemy się starać o [do]tknięcie pewnych niewłaściwości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ROZCZAROWANY.

Nowella wenecka przez Tally-Ho.

(przekład z francuskiego).

(Ciąg dalszy).

Nie straciłem jednak zupełnie nadziei; [dl]atego też wieczorem jeszcze przysposobi[łe]m wszystko co było potrzebnem do odpo[wi]edniego przyjęcia nieznajomej; nazajutrz [ra]ń o świcie posłałem bilecik do jednego [z m]oich przyjaciół, przepraszając go, że nie [mo]gę wziąć udziału w umówionej przed [kil]ku dniami wspólnej wycieczce — i tak [przy]gotowany, postanowiłem czekać cierpli[wi]e.

Zaledwie skończywszy śniadanie, usia[dł]em na balkonie z cygaretem w ustach, [gd]y przed domem zatrzymała się gondola [w] której znajdowała się kobieta, zawoalowa[na] podług miejscowego zwyczaju. Przeczu[ci]e szepnęło mi, że to moja nieznajoma, i [ni]e myliłem się. Gondola przybiła do brze[gu] i usłyszałem wyraźnie głos przybyłej, [po]lecającej gondolierowi, by z pewnością po[wr]ócił za godzinę; był to melodyjny głos [m]ojej świętej Katarzyny.

Zbiegłem pospiesznie na dół, aby ją powitać i wskazać drogę do mojej pracowni.

— Czyliż zdołam kiedykolwiek wywdzięczyć się signorze za tyle łaski! przemówiłem skoro zajęła miejsce w fotelu.

— Nie zasłużyłam na żadną wdzięczność — odpowiedziała mi rumieniąc się. Owszem to pan wyświadczasz mi łaskę, uznając rysy moje godnemi oblicza świętej kobiety.

Podczas gdy to mówiła, oczy jej zajaśniały blaskiem przelotnym, ale spuściła je zaraz; twarz jej napowrót przybrała zwykły anielski wyraz.

Na zapytanie moje czy zezwoli, abym rzucił pierwsze rysy na płótno, zgodziła się tak chętnie, iż nie trudno było odgadnąć, że propozycja moja pochlebiała jej próżności. Prosiła mię przytem, o wskazanie jej właściwej pozycji, zapewniając że gotowa jest wszystko uczynić o ile będzie mogła najlepiej.

Zdjęła następnie mantylę, a gdym zwrócił jej uwagę na konieczność rozpuszczenia włosów, bez najmniejszego wahania odwiązała aksamitną wstążkę, wpleconą w warkocze, i strumień przepysznych czarnych włosów spłynął na jej ramiona i piersi. Trzeba było wielkiej siły woli z mej strony, aby widząc ją tak cudownie piękną w tych pełnych życia hebanowych ramkach, patrzeć li tylko okiem artysty. Zdołałem wszakże zapanować nad sobą, o tyle jednak, że przysposabiając paletę, powiedziałem jej kilka komplementów, tchnących namiętnem uwielbieniem, czem wcale nie zdawała się być urażoną.

Przez całą godzinę, gdyż tak długo trwało pierwsze posiedzenie, zachowała ów niebiański wyraz twarzy, który usiłowałem przenieść na płótno Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się spotkać tak uprzejmego i doskonałego modelu, co też nasunęło mi podejrzenie, że piękna nieznajoma moja, nie pierwszy już raz musiała pozować w malarskiej pracowni.

Dziękując jej za okazaną mi grzeczność, zagadnąłem ją znienacka, o ile domysł mój był prawdziwym; odpowiedziała mi na to, że nie tylko poraz pierwszy znajduje się w pracowni artysty, ale że dotąd do własnego nawet nie pozowała portretu.

— Tem więcej — rzekłem z całą galanterją — umiem ocenić szczęście które mię spotkało dzisiaj — i chciej mi wierzyć signora, że jeśli obraz mój nie będzie arcydziełem, jakiem go mieć pragnę, będzie to tylko dowodem nieudolności mojej wiernego skopiowania tak cudownie pięknego modelu.

I ten komplement przyjęła z równą jak poprzednie obojętnością. Zlekka tylko zarumieniła się, i przelotny uśmiech rozjaśnił jej lica.

Przy pożegnaniu zapewniła mnie jeszcze, że nazajutrz przybędzie o tej samej porze, i sprowadzona przezemnie na dół, wsiadła do czekającej już przed domem gondoli.

Muszę wyznać, że znajomość ta wywarła na mnie pewne wrażenie. Wyobrażałem już sobie, że jestem bohaterem romansu, co nawet było bardzo prawdopodobnem w obec tajemniczości, jaką otaczał się ciągle mój piękny model świętej Katarzyny. Nie powiedziała mi dotąd ani swojego imienia, ani jednego słowa mającego wyjaśnić jej stosunki. Prawda i to, żem jej nie zapytał wcale ani o nią samą, ani o jej męża.

Następnego dnia gondola zatrzymała się znowu przed mojem mieszkaniem, i znowu przez całą godzinę miałem przed memi oczyma zachwycający model z rozpuszczonemi włosami i czarnemi rzęsami, rzucającemi czarowny cień na lica. Następnie rozmawialiśmy znacznie dłużej niż wczoraj, ale także bez najmniejszej wzmianki o mężu.

Na wychodnem uprzedziła mię, że dwa dni nie będę jej widział. Odpowiedziałem na to, iż jakkolwiek nie przerwie to pracy mojej nad obrazem, z niecierpliwością liczyć będę minuty i sekundy oddzielające mnie od chwili, w której zechce uszczęśliwić mą pracownię swoją obecnością. Zarumieniła się i z czarującym uśmiechem zasłoniła się woalem.

W ciągu tych dwu dni dopiero przekonałem się, jak drogocennym mi był ten najświeższy utwor mojego pendzla. Cały prawie czas osamotnienia spędziłem na wykończeniu naszkicowanych rysów, a co ważniejsza, iż model tak silnie podziałał na moją wyobraźnię, iż czułem się w możności sportretować go z pamięci.

W istocie, jak zakochany, liczyłem upływające minuty, a gdy na trzeci dzień spostrzegłem nareszcie nadpływającą gondolę, nie miałem odwagi zejść na dół, aby nie zdradzić gwałtownego wzruszenia.

Kiedym ją ujrzał siedzącą na zwykłem miejscu, zdawała mi się cokolwiek tkliwszą niż dotąd. Powiedziała mi, że dwa dni ubiegłe wydały się jej niezmiernie długiemi, — z czego korzystając i ja nadmieniłem, co zresztą była prawda, o mojej tęsknocie, łagodzonej jedynie wpatrywaniem się w anielskie jej rysy, jakkolwiek tak niedokładnie naszkicowane. Tego dnia rozstaliśmy się później niż zwykle, i nie mogłem zataić tego przed sobą samym, iż dziwny nasz stosunek zaczął przybierać nader romantyczne formy.

Nazajutrz przybyła do mnie, ale w zupełnie odmiennem usposobieniu.

Wszedłszy, nie podała mi ręki na powitanie, rzuciła się w fotel i gwałtownym wybuchła płaczem. Nie pojmując wcale co to ma znaczyć, zbliżyłem się, dotknąłem zlekka jej ramienia, i zapytałem o łez tych przyczynę.

— Nie pozwoliłaś mi pani nawet uścisnąć swej dłoni — rzekłem. Do żadnej przecież nie poczuwam się winy. Powiedz mi signora, błagam cię, wszakże nie ja jestem powodem twojej boleści?

Zerwała się z miejsca i silnie ścisnęła mą rękę mówiąc:

— O nie! z pewnością nie pan! Zbyt dobrym i szlachetnym pan jesteś, abyś mógł coś podobnego uczynić!

Następnie otarła łzy, a oczy jej zajaśniały jakimś niezwykłym blaskiem.

— O nie! nie pan! — zawołała zarzucając w tył włosy... nie... to on... ten zwierz dziki... bydlę..! on mnie podejrzywa, oskarża mnie o... grozi mi, że mnie zabije, jeśli ośmielę się powrócić!.. O Matko najświętsza! to bydlę chce mnie zabić, kiedy artysta robi ze mnie świętą Katarzynę!

Zaczęła śmiać się konwulsyjnie, a rysy jej przybrały wyraz wcale nieodpowiedni dla modelu świętej. Z dawnej słodyczy nie pozostało ani cienia śladu, owszem, rozogniona twarz jej miała w sobie coś przestraszającego.

— I o cóż panią posądza? zapytałem.

— O co?.. Alboż on sam wie, o co?.. Powiedziałam panu, że to bydlę, nie człowiek!.. Ale dosyć tego! nie mówmy o nim więcej... W tych dniach zemsta moja musi być nasyconą!... Dosyć już mam tego nikczemnego traktowania!.. Ileż to razy, mierząc do niego z pistoletu, pomyślałam, że tak łatwo możnaby go się pozbyć!...

— Z pistoletu! zawołałem.

Zadrżała i dziwny jakiś uśmiech zawitał na jej usta. Zjawił się i znikł jak błyskawica, a ona mówiła dalej.

— Ach! pan tego nie rozumiesz!.. To nie taki pistolet co zabija.. to tylko zabawka... złudzenie... Ale, proszę pana, dajmy już pokój temu! Santa Cattarina nas czeka... niechaj święte jej imię będzie błogosławione!

Usiadła i przybrała zwyczajną do portretowania pozę, poprawiając rozpuszczone włosy, łagodna i urocza, jakby co tylko niebiańskie opuściła sfery. Podziw mój dla tej oryginalnej istoty wzrastał z każdą chwilą, zachowałem jednakże tyle jeszcze zimnej krwi, iż czułem, że czem mniej będzie ona pozować na przyszłość, tem łatwiej wykończę obraz świętej, jaki sobie w myśli na podobieństwo jej rysów wytworzyłem.

Co do łagodności i słodyczy jej charakteru, rozczarowany byłem cokolwiek i niezadowolony sam z siebie; zdobyłem się zaledwie na kilka grzecznych słów przy pożegnaniu. — Ona sama zapewniła mnie, że nie będzie zważać na żadne przeszkody, i wizyt swych nie przerwie, a chociaż, dla formy, prosiłem ją, aby dotrzymała swej obietnicy, muszę wyznać, że słowom moim brakło szczerości, z wyjątkiem tego jednego może, gdy ją zapewniałem, iż obraz skończony będzie niebawem, i że zachowam go na zawsze jako pamiątkę jej uprzejmości.

Następnego poranku gondola nie podpłynęła pod mój balkon. Po wczorajszej scenie mogłem się był tego spodziewać, cały dzień jednak nie wychodziłem z domu, a pod wieczór wręczono mi bilecik, zawierający następujące słowa, skreślone cudacką jakąś ortografią:

„Zamknął mnie w mieszkaniu, okna są „zaś zbyt wysokie, aby można było przez „nie wyskoczyć. Wybił mnie i skopał noga„mi. Nie pierwszy to raz, ale przysięgam, „że ostatni. Musi umrzeć! Bądź pan ko„niecznie dziś wieczór w teatrze Doży.“

* * *

Oryginalną tę korespondencję przyniósł o zapadającym już zmierzchu jakiś gondolier, i natychmiast się oddalił. Na bilecie nie było żadnego podpisu ani najmniejszej wskazówki, przez kogo był pisany. Jedno tylko co było w nim zrozumiałe dla mnie, to zaproszenie do teatru, o którym słyszałem już wprawdzie nieraz, ale nigdy jeszcze w nim nie byłem. Reszta zaś o tyle była zagadkową, że na podstawie kilku słów wyrzeczonych wczoraj przez nieznajomą, mogłem wnioskować, że bilecik jej ręką jest skreślony. Bądź cobądź postanowiłem, nie tracąc czasu, pospieszyć na tak usilne zaproszenie, i wziąwszy gondolę popłynąłem do teatru Doży.

Stary to bardzo budynek i na zewnątrz prawie zupełnie zrujnowany, wnętrze jednak świeżo odrestaurowane, dość pokaźnie się przedstawiało. Nie powiem aby miał to być teatr pierwszorzędny, ale sala, tego wieczoru przynajmniej, była nieomal przepełnioną,

Przedstawienie dawno się rozpoczęło, przybyłem bowiem już po trzecim akcie. Grano okropny melodramat, pod tytułem „Córka bandyty,“ najeżony zabójstwami, pukaniną na scenie i za sceną, z wielką bitwą bandytów z żandarmami, jednem słowem obfitujący we wszystko, co może działać na nerwy najgrymaśniejszej publiczności.

Sztukę tę znałem poprzednio z niemieckich teatrów, i przyszło mi właśnie na myśl, że najtragiczniejszą sceną jest ostatni obraz, w którym „cnotliwa“ córka bandyty, pokonywa swego ojca, aby się połączyć z prześladowanym kochankiem.

Tej to sceny i dzisiejsza publiczność z gorączkową wyczekiwała niecierpliwością.

(Dokończenie nastąpi).

Aforyzmy o kobietach

zebrał Forward.

Mulier taceat in ecclesia.
(Niewiasta ma milczeć w kościele).
Św. Paweł.

* * *

Ono też trzeba postanowić, żeby białogłowy do spraw rzeczypospolitej nie były przypuszczane, które Bóg pod moc mężów poddał; Paweł im też w kościelech nauczać zabronił.

Bo jako wiele białogłowy w sprawach ludzkich zaszkodzić mogą, dosyć jaśnie okazała ona ze wszech stron najcudniejsza i najmędrsza Jewa, której rada wszystkiemu narodowi ludzkiemu zginienie przyniosła — i Piłata, starosty żydowskiego żona, która też radą swoją wszystkiego świata zbawienie przekazić chciała; a to one białogłowy dosyć zacne, a nie lada jakie, ale przedsię białogłowy były, to jest: zwierzęta słabe a które do błędu i do występku (jako Paweł świadczy) skłonniejsze są.

Andrzej Frycz Modrzewski.

* * *

Mąż jest głową rodziny.

Zakonnicy, młodzieńcy niżej lat 18, kobiety, obłąkani, ślepi, głusi i niemi, jakoteż tacy którzy języka testatora nie rozumią, nie mogą być świadkami przy sporządzaniu ostatniej woli.

Powszechna księga ustaw cywilnych.

* * *

Tota mulier in utero.
(Być matką — to jedyne zadanie kobiety).
Van Helmont.

* * *

O tak! niema wątpliwości, że w tajnikach naszej natury kochać i jeszcze kochać, to wszystko co nam zostało z naszego dziedzictwa niebieskiego.

Pani Stael.

* * *

Kobieta — to osoba chora.

Michelet.

* * *

Kobiety, jakkolwiek emancypowane już całkiem i porównane we wszystkich prawach z mężczyznami, nie mogą jeszcze się pozbyć swych starych przesądów, i stanowiąc „izbę niższą“ w obradach sejmowych stanowią też jedyną opozycję i tamę przeciw ab-

solutnemu panowaniu tego, co Izba wyższa, to jest męska, zowie „czystym rozumem," potępiając wszelkie uczucia...."

Adam Mickiewicz.

(Obrazek przyszłościowy wyjęty z niewydanej „Histoire de l'avenir," a podany przez A. E. Odyńca w „Listach podróży".)

* * *

Twierdzę, że stosunek społeczeński obydwóch płci ludzkich, poddający jedną płeć drugiej, jest zły sam w sobie i tworzy dziś jedną z głównych przeszkód, hamujących postęp ludzkości; twierdzę, iż on ustąpić musi równości zupełnej, bez przywileju i przewagi dla jednej płci, a bez odsądzenia od zdolności drugiej.

Tak więc poddaństwo kobiet stoi jako odosobniony fakt pośród nowoczesnych instytucyj społecznych, jako jedyny wyłom w ich budowie fundamentalnej, jako jedyny zabytek minionych czasów, których poglądy i czyny pod każdym względem za przeżyte uważają, a tylko w jednym punkcie, a właśnie przedstawiającym najogólniejszy interes je podtrzymując. Wygląda to tak, jak gdyby olbrzymi dolmen (ołtarz celtycki) lub wielka świątynia Zeusa olimpijskiego, wznosiła się tuż przy kościele świętego Pawła, i służyła dla codziennych nabożeństw, podczas gdyby okoliczne kościoły chrześciańskie otwierały się tylko w dni uroczyste.

Te same powody, dla których dziś już nie wydaje się koniecznem, aby ubogi był zawisłym od bogatego, przemawiają też zatem, aby kobieta przestała być zawisłą od mężczyzny.

John Stuart Mill.

* * *

Zupełne rozwiązanie kwestji kobiety — t. j. według mego rozumienia tak, iżby kobieta była ekonomicznie wolną i od mężczyzny niezawisłą, a zaś pod względem umysłowym ile możności równorzędną, — pośród dzisiejszych urządzeń społecznych jest niemożebnem.

Bebel.

* * *

„.... I dlatego według słów Apostoła (list do Efez X) jako Chrystus Głową jest kościoła, tak mąż głową jest niewiasty; i jako kościół podległy jest Chrystusowi, który go najczystszą i wieczną miłością obejmuje, tak niewiasty mężom winne być podległe."

Papież Leon XIII.

Przegląd literacki.

(Jóźwa Szymczak, nowella Walerji Marrenée, Warszawa 1882 — str. 40.)

Nowe prądy, nurtujące coraz silniej świat cywilizowany, nie mogły pominąć i nie pominęły belletrystyki. Stara gwardja powieściopisarzy, obracających się dotychczas jedynie na woskowanych posadzkach, wśród wonnej atmosfery bogato przystrojonych salonów — przycicha z dniem każdym, chyba że który z nich, zorjentowawszy się rychło, na ochotnika porzuca dotychczasowe temata, i próbuje sił na nowem polu obserwacyjnem. Młodzi odrazu zaczęli swój debiut od tematów nowych. Wieś i jej mieszkańcy, lud roboczy miejski i wiejski — zaniedbywani — jak w każdym innym tak i w tym kierunku, przez kilka pokoleń pisarzy, naraz stali się ulubionem tłem ich studjów, mniej lub więcej udatnych, ale zawsze nawskróś realistycznych. Więc posypały się jak z rogu obfitości powieści i nowelle nowego kierunku; chata wieśniaka, opisana do najdrobniejszych szczegółów, bez pominięcia dziur w słomianej strzesze i szpar w ściankach lepionych, zastąpiła dawne długo męczone pałace i dworki szlacheckie — wieśniak — pokazywany dotychczas z daleka jako stafaż nieodzowny w krajobrazie, wyawansował na romansowego bohatera.

I dawniej przez pewien czas panował prąd podobny, była to jednak sentymentalna chłopomanja — bez realnych podstaw, a więc bez celu. Chłopi nasi, poprzebierani przez dawnych pisarzy za arkadyjskich pasterzy byli śmieszni. Obecnie inną obrano drogę. W realnej prawdzie widzą piękno i to nadaje nowemu kierunkowi stanowczą przewagą nad utworami dawnej szkoły.

Tych kilka uwag ogólnych nasunęła nam pod pióro najnowsza nowella p. Marrené p. t.: Jóźwa Szymczak. Autorka, jak wiadomo, dotychczas z powodzeniem uprawiała niwę powieściopisarską, a treścią jej prac były przeważnie studja — przyznać trzeba z drobiazgową sumiennością opracowane, nad kwestją małżeńską. Za przykładem genialnego Litwosa, Prusa, Swiętochowskiego Orzeszkowej, Sewera (jak widzimy zastęp wcale poważny!) którzy z niepospolitym talentem rozwijają przed oczyma czytelnika przecudowne — bo za serce chwytające i prawdziwe obrazki ludowe — p. W. Marrené przedstawiła nam wysoce dramatyczny fragment z życia wiejskiego.. Jest w nim wszystko, czego recepta wymaga — nieodzowna karczma z żydem wyzyskiwaczem, (od niej się nowella zaczyna), chałupa wiernie odmalowana — Jóźwa Szymczak jak z wszystkiego widać, pijak i nieroba — żona jego, nieszczęśliwa suchotnica, konająca powoli — dzieciak ogromnie mądry — pies Burek, (bardzo stary nasz znajomy) dwór wplątany epizodycznie widocznie dla siły kontrastu — słowem wiele materjału — brak tylko jednego — prawdy naturalnej, podpatrzonej i zchwyconej z bliska. Po przeczytaniu nowelli mimowoli przychodzi myśl, że autorka kiedyś w swem życiu przejeżdżając powozem przez jakąś wioskę, zasłyszała opowiadanie o owym Szymczaku — i w danej chwili — może w rok lub kilka lat potem, znalazł się temat na „modną "sielankę. To też modna i tylko modna to sielanka, w całem tego słowa znaczeniu: robi wrażenie wychuchanej i wymuzianej panienki z dworu — przebranej dla kaprysu, w strój wiejskiej dziewuchy. Nie jedna ładnie wygląda w takim kostiumie — mimo to jednak kaprys zostanie kaprysem. Jóźwa Szymczak wygląda nam na taki kaprys.

Mimo to witamy panią Marenné na nowem polu i mamy nadzieję, że dalsze jej prace w tym kierunku zyskają na prawdzie i sile.

Stan. W.

(Goethe in Hauptzügen seines Lebens und Wirkens, gesammelte Abhandlungen von Adolph Schöll; Berlin, Hertz, 1882).

Jeszcze w r. 1862 i 3 pojawiła się w „Preusische Jahrbücher" rozprawa pt. „Goethe als Staats und Geschäftsmann", która zwróciła powszechną uwagę Niemiec na Adolfa Schölla. Od tego czasu w pismach i prywatnie zachęcali niemieccy literaci Schölla do dalszej pracy na tem polu, a owocem tego było kilka nowych prac biograficzno krytycznych o Goethem, drukowanych w rozmaitych czasopismach, a wydanych obecnie z dodaniem nowych studjów. Biograficzna ta mozajka powitana została z radością w Niemczech, może nawet z przesadnemi pochwałami, które jednak wytłómaczyć łatwo tem, że Niemcy dotychczas jeszcze niemogą zapomnieć, iż najlepszą biografię ich „narodowego geniusza" napisał anglik Lewes, którego dzieła bądź co bądź chcieliby zastąpić inną pracą, napisaną przez jednego z krytyków niemieckich. Jest to duma naturalna w rezultacie szlachetna, toż im ją przebaczyć należy.

Praca Schölla spełnia po części to zadanie, a jakkolwiek składa się z rozpraw niewiążących się ze sobą ściśle, daje przecież pełny obraz życia i działania jednego z największych poetów świata, a zaczyna się od surowej chociaż sprawiedliwej krytyki biografii Lewesa, która dowodzi, że „ci czytelnicy, którzy do dzisiaj wierzą w Lewesa bezwarunkowo, za mało wiedzą o Goethem i potrzebują lepiej się z nim zapoznać." Szereg rozpraw zaczyna rozdział „Der junge

Goethe,“ w którym autor przebiega chłopięce i młodzieńcze lata poety i kończy na r. 1778. Następny rozdział mówi o stosunku Goethego do pani Stein, z którego się dowiadujemy, że ów list od Charlotty do Wilhelma w „Geschwister“ jest właśnie oryginalnym listem Lotty Stein do poety, jedynym jaki pozostał nam z tej zajmującej a zaginionej korespondencji. Inne rozdziały są nie mniej interesujące, a mianowicie rozprawa o stosunku Goethego do teatru, o wspólnej pracy z Schillerem, tudzież wybornie napisany rozdział o stosunkach wielkiego autora Fausta do krytyki, współczesnych prądów literackich i t. p. pod tytułem „Goethe in seinen Zeiten“, a w końcu wszystkie rozdziały poświęcone rozbiorowi dzieł Goethego.

W ogóle przyznać trzeba, że od czasu odczytów Grimma o Goethem i Vischera komentarza do Fausta, niepojawiło się o poecie niemieckim nic, coby na większą zasługiwało uwagę. Rzecz cała obok głębokości odznacza się nader barwnym i łatwym językiem, i z tego powodu możemy ją polecić każdemu, komu nieobojętną jest literatura niemiecka i posągowa postać autora „Werthera“.

A. Z.

ZIARNKA.

Na prowincji wylewy groźne, niszczące mienie tysięcy biednych ludzi, a we Lwowie posucha, straszna posucha — ale tylko na wiadomości. Pomimo, że od dawna ściągnęli się już do miasta wszyscy używający letniej willegiatury, pomimo obfitego zjazdu młodzieży ruch jest bardzo mało ożywiony. A nie mówimy tu o ruchu czysto fizycznym; proszę przejść się po głównych ulicach, szczególnie uczęszczanych przez płeć piękną (wyrażenie nie zawsze określające istotę rzeczy) a zobaczymy może aż zanadto ruchu.. Mamy na myśli ruch umysłowy, a w tym kierunku nic prawie się nie dzieje — oprócz (wybaczcie łaskawi czytelnicy naszej skromności!), oprócz że „Ziarno“ sypie się obficie.., Niedawno jeszcze temu sprzeczano się namiętnie o własności azotu, który w połączeniu z dziennikarską krewkością wyrodził nawet pewne nieznane dotąd chemikom „kwasy“, polemizowano, czy powiew wiatru może co szkodzić światłu elektrycznemu, czy też nie, — ale i te „nader zajmujące kwestje“ skończyły się, i nastąpiła cisza... Garstka ludzi, którym zależy na czemś więcej, niż na samem zaspokojeniu fizycznych funkcyj, spogląda na siebie w ponurem zamyśleniu, szeptając: „Cicho wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie.“ Nie suszcież sobie nad tem głowy — coś być musi, ale wcale nie myślcie, aby tego „czegoś“ mogło być wiele. W teatrze będziemy mieli dzisiaj „Wojnę o tancerkę,“ jutro „Kawalera z fiołkami“ a następnego dnia znowu „Wojnę o tancerkę“, który to repertoar będzie od czasu do czasu okraszany bengalskim ogniem „Ojca Bema“ i naszą „poczciwą, narodową“ operą — bez operowych śpiewaków. Koncerty posypią się jak z rękawa; zjedzie się sporo pianistów, z których każdy, jeżeli koncert jego będzie aranżować p. Marek, będzie co najmniej Lisztem, i skrzypków samych Sarasate'ych, pojawi się też nie mało swojskich genjuszów muzycznych, których europejska sława rozbrzmiewa od ulicy Halickiej aż na Chorążczyznę, wśród i tej fali tonów rozpływać się będziemy jak cukier w ciepłej wodzie, aż do karnawału. Oprócz tego odbędzie się kilka sentymentalnych odczytów na temat „dawniej było lepiej, a nie tak to i dawno“ i na tem zakończy się obfite żniwo na polu umysłowem roku pańskiego 1882.

Słyszę jak krzyczą na mnie: „Obrzydliwy pessymisto! Czarny proroku! Cóż to za ziarno, które siejesz? Imię jego — apatja!“ Przepraszam i protestuję stanowczo!! Stawiając smutne horoskopy, życzę z całego serca, aby się one nie sprawdziły, trudno się jednak pozbyć pewnej zgryźliwości widząc ów zastój, który opanował naszą Galicję. Walczcie z nami, udowodnijcie nam, że się mylimy, a z pokorą uderzymy się w piersi. Żeby jednak ruch umysłowy żywszem uderzył tętnem, potrzeba więcej energji, a przedewszystkiem aby wystąpiło choć kilku nowych ludzi, którzyby już nie szli utartym szlakiem, niedalekie prowadzącym, ale śmiało zainicjowali nowe życie. Jeżeli się tacy znajdą, wszystko pójdzie inaczej.

* * *

Piszemy powyżej o braku ruchu umysłowego w naszem mieście. A także ostatecznie dziwić się temu, skoro instytucja powołana do tego i w tym celu założona, — która nawet w swoim czasie zamyślała pozować na filję akademji umiejętności — nie daje znaku życia. Mówimy tu o „Kole literackiem!! W Krakowie odbywają się nieprzerwalnie posiedzenia, niedawno temu uchwalono tam urządzić zjazd literatów i artystów, u nas tymczasem, chociaż już dawno minął czas wakacyjny, o „Kole“ zupełnie głucho. Interpelujemy wydział w tej sprawie.

* * *

Ze świata artystycznego nie mamy nic do zanotowania. W ubiegłym tygodniu urządzono wprawdzie koncert na rzecz Towarzystwa bratniej pomocy słuchaczów uniwersytetu, ale był on tak monotonny jak zwykle każdy koncert, w którym występują amatorowie, popisujący się najczęściej tem, czego nie umieją. Z tego powodu sądzimy, iż będą oni nam wdzięczni za milczenie. Niechaj im ono wystarczy za pochlebne sprawozdanie. Jednego tylko zamilczeć nie możemy, a mianowicie deklamacji pewnego akademika, z której dowiedzieliśmy się, że księżyc istniał pierwej niż słońce, a mimo to świecił! Skąd on biedaczysko brał promieni? Oj! ta niegodziwa astronomja!

* * *

Z teatru niema również nic nowego. Onegdaj przedstawiono wprawdzie nową komedję Bürgera, zatytułowaną „Jour Fixe“, ale rzecz to niegodna nawet wspomnienia. Przedstawiana ongi w Burgu wiedeńskim, dość się podobała z powodu gry artystów, dla nas pozostała tylko treść sama sztuki, która jest w całem tego słowa znaczeniu banalna Dość powiedzieć, że autor komedji zdobył się na oryginalny koncept, i wprowadził na scenę strojenie fortepianu, sądząc widocznie, że to akcja bardzo zabawna szczególnie dla.. słuchaczy.

* * *

W jednym z tutejszych sklepów wystawiono na widok publiczny fotografie z rysunków Mottego z Poznania. Rysunki te mają być ilustracjami do baśni ludowych, polskich, ruskich i litewskich Łucjana Siemieńskiego, ale w rzeczywistości są tylko płodem dzikiej fantazji, nielicującej wcale z naiwnym charakterem skazek ludowych. Kto nie zna dotąd baśni ludowych, zebranych przez Siemieńskiego, ten zobaczywszy rysunki p. Mottego, z pewnością ich czytać nie będzie wyobrażając sobie, że są to przesadne wymysły ludzi, znajdujących się w malignie. Czy taki miał zamiar p. Motty biorąc się do ilustrowania baśni... trudno odgadnąć!

* * *

Jak przewidywaliśmy w poprzednim numerze, Rada fundacji Skarbkowskiej nie przychyliła się do żądania p. Miłaszewskiego, wypłacenia mu odszkodowania za poniesione straty, — natomiast przyjęła jego zrzeczenie się z posady dyrektora teatru lwowskiego. W krótce konkurs ma być rozpisany, a jako kandydata, który ma najwięcej szans, wymieniają spółkę kilku właścicieli większych posiadłości z p. Ładnowskim na czele.

* * *

Warszawskie „Towarzystwo muzyczne“ zapowiedziało na sezon zimowy między innemi, wykonanie następujących większych kompozycyj choralnych „Cztery pory roku“ Haydna, „Harpę“ Haana i „Cygańską wieśniaczkę“, Biernackiego, warszawianina, a obecnie Dyrektora Tow. muz. w Stanisławowie. Ze Stanisławowa bliżej do Lwowa, niż

do Warszawy, — wiedzą to wszyscy — a jednak Warszawa prędzej będzie miała sposobność usłyszeć utwor kompozytora swojskiego, a musi on być widocznie niepospolitej wartości, skoro stanie obok arcydzieła Haydenowskiego. Tę i następną uwagę adresujemy do Szan. Dyrekcji Tow. muz. we Lwowie. Oto Tow. muz. warszawskie wprowadzi w bieżącym roku na estradę, jako stały numer koncertowy, ponętną nowość — „Pieśni ludowe“ ułożone na chóry. Czy u nas byłoby to niemożliwem?

ZAPISKI.

Literatura.

* Profesor uniwersytetu wrocławskiego, dr. Caro, jeden z najgruntowniejszych i najsumienniejszych badaczy naszych dziejów, mianowany niedawno członkiem krakowskiej Akademji Umiejętności, przybył dnia 7 bm. do Krakowa, i tam na wydziale historycznym akademji odczytał rozprawę o Janie Ostrorogu, i memorjale tegoż o naprawie Rzeczy pospolitej. Memorjał ten napisany na podstawie pracy niemieckiej z r. 1438 przedłożył Ostroróg sejmowi r. 1459. Był on wypływem stronnictwa postępowego z Kazimierzem Jagiellończykiem na czele, i skierowany był przeciw hierarchji kościelno-możnowładczej. Nad pracą prof. Cara rozpoczęła się żywa dyskusja. Prof. Bobrzyński wystąpił przeciw dr. Caro twierdząc, że podstawą pracy Ostroroga nie był memorjał niemiecki, lecz dzieła włoskich legistów, a co do daty, że był napisany i przedłożony sojmowi dopiero w roku 1470.

* Nagrodę konkursową w kwocie 750 rubli — rozpisaną przez redakcję „Biblioteki Warszawskiej“ za najlepszą „Historję języka polskiego“, otrzymał p. dr. Kalina, docent lwowskiego uniwersytetu. Praca jego obejmująca 121 arkuszy pisma drobnego, ma wyczerpywać przedmiot w sposób gruntowy i ściśle naukowy. Pan Kalina otrzymał również stypendjum Śniadeckiego w kwocie 5000 franków — a jako niezmordowany pracownik w dziedzinie lingwistyki słowiańskiej, zamierza podobno udać się obecnie, celem dalszych studjów, do krajów południowej Słowiańszczyzny.

* Po „Mentorze“, i „Posażnej jedynaczce“, przełożył p. W. Lange, „Consilium facultatis“ i „Poznaj nim pokochasz“. Przekład i tym razem dobry — jedno możnaby zarzucić tłumaczowi, że tytuł „Consilium facultatis“ zmienił na „dr. Müller“. Zmiana ta zupełnie niepotrzebna, a jak w tym wypadku nawet niestosowna, bo zatraciła myśl autora, tkwiącą w oryginalnym tytule. Obie komedyjki jak i poprzednie, wyszły w „Bibliotece uniwersalnej“ Reclama

* „O Hołdach pruskich“ podług źródeł dziejowych, napisał e x r e arcydzieła Matejki — nader ciekawą broszurę p. Cezar Biernacki (Warszawa u Gebetnera i Wolfa. 8. 1882). W przeciągu 116 lat, t. j. od r. 1525 do 1641 — 6 razy korzyli się książęta prusey przed majestatem królów polskich.

* Wydawnictwo „Słownika geograficznego“, wychodzącej w Warszawie publikacji, nader cenne i sumiennie opracowywanej — lecz niestety bardzo mało u nas rozpowszechnionej — przeszło obecnie na wyłączną własność p. Wład. Walewskiego. Skład redakcji pozostał niezmieniony, kierownictwo i nadal zatrzymał p. Filip Sulimierski.

* Staraniem p. Rafała Loewenfelda we Wrocławiu, wyszła faksymilowana reprodukcja nader rzadkiej i ciekawej rozprawy z XVI wieku: N o w y k a r a k t e r p o l s k i z d r u k a r n i e Ł a z a r z o w e y 1594. Autorem jej był Januszowski, który zamierzał nią wyrugować niemieckie pismo z Polski, i ustalić ortografię polską.

* W Paryżu postarano się o zupełne wydanie dzieł Juljusza Janina — tego sławnego twórcy fejletonu, który przez długie lata był wyrocznią dla autorów dramatycznych, artystów i wszelkiego rodzaju literatów. Krytyki Janina, odznaczające się zawsze bezstronnością i trafnym sądem, a przytem niezrównaną werwą humorystyczną, rozsypane były po odcinkach dzienników, i oczywiście podzielały los tych jednodniówek.

Teatr i muzyka.

* D w a c h ó r y W ł. Ż e l e ń s k i e g o, mianowicie: kwartet solowy p. t. P i e ś ń ż e g l a r z y op. 34 (słowa Wasilewskiego) — C h ó r s t r z e l - c ó w z towarzyszeniem 4 waltorni op. 33 (słowa Garczyńskiego) wyszły właśnie nakładem znanej firmy lipskiej Leuckarta z tekstem zarówno polskim jak i dobrze tłumaczonym niemieckim. Ozdobne to i nader staranne wydanie, o które niemiecki nakładca sam pierwszy się do kompozytora zgłosił, korzystne warunki mu ofiarując, jest wymownem świadectwem, że utwory ziomka naszego i za granicą cieszą się nietylko zasłużonem uznaniem, lecz nawet popularnością. Nakładem tejże samej firmy wyjdzie niebawem trzeci chór P i e ś ń d o W i l j i z tłumaczeniem niemieckiem. Podobno w Wiedniu te chóry mają być w tym sezonie wykonane w koncertach „Musikvereinu“.

* Na otwarcie teatru zimowego w Krakowie, przedstawiono „Starą Baśń“ przerobioną z powieści historycznej J. I. Kraszewskiego. Niepojmujemy, komu przyjść mogło na myśl przerabiać rzecz taką i chcieć przedstawić na scenie. „Stara Baśń“ Kraszewskiego nie odznacza się ani bogactwem treści, ani akcją, a raczej obrazami i opisami, których przecież absolutnie scenizować niepodobna. To też „Stara Baśń“ upadła zaraz po pierwszem przedstawieniu, i z resztą powieści z pewnością nikt nie będzie robić podobnych doświadczeń.

* „Słowik polski“ znakomita nasza śpiewaczka p. Marcelina Sembrich-Kochańska, bawi obecnie w Madrycie, dokąd została zaproszona na 14 występów gościnnych z wynagrodzeniem 4000 franków za występ. Występy zaczęła od „Lucji“ Donizzetego, następnie śpiewać ma „Cyrulika“ ze sławnym Massinim. Z Madrytu uda się artystka do Petersburga na występy zimowe — gdzie otrzyma po 5000 franków za jeden wieczór. Repertuar jej petersburgski — prócz dawnych oper — zawierać będzie i nowości: „Mignon“, „Hamleta“ i „Gwiazdę północną“.

* Dnia 1. b. m. „Teatr polski w Petesburgu rozpoczął przedstawienia w sali „szlacheckiego Kasyne“. Sala ta ma być prześliczną. Na pierwszem przedstawieniu odegrano „Śluby panieńskie“ Fredry. Teatr był przepełniony. Publiczność przyjmowała artystów nader gorąco. Wszystkie pisma nawet „Nowoje Wremja“ sympatycznie piszą o polskim teatrze w Petersburgu, i wyrażają nadzieję, że stale się utrzyma.

* Balet polski pod dyrekcją p. Łukowicza, daje z powodzeniem przedstawienia w Puszkinowskim teatrze w Moskwie

* D r u k a r n i a t e a t r ó w c e s a r s k i c h w Petersburgu wydaje skrócone teksty (libreta) w języku rossyjskim tych utworów scenicznych, które grywane być mają w stałym teatrze polskim w Petersburgu Teksty ułożone są tak, że nietylko zaznajamiają publiczność rossyjską, nieobeznaną z językiem polskim, z treścią utworów, lecz pozwalają śledzić akcję sztuki, t. j. ułożone są ściśle w porządku scen. Oprócz tego niektóre utwory opatrzone są odpowiedniemi uwagami, tak np. w „Zemście“ znajdujemy treściwe objaśnienie znaczenia tytułów „cześnik,“ „podstoli,“ „rejent“ Dotychczas wyszły w tem wydaniu (inicjatywa tegoż należy do redaktora „Gołosu,“ pana Krajewskiego) „Zemsta“ i „Śluby panieńskie,“ w druku zaś znajdują się „Pozytywni“ i „Staroświeczyzna.“ Wzmiankowane teksty, jak utrzymuje „Kraj,“ powinny przysporzyć teatrowi polskiemu rossyjskich widzów.

* Dowiadujemy się z dzienników francuskich, że Gounod i Saint-Saens odwidzą w ciągu zimy Petersburg. Nawet 40 stopniowe mrozy nie odstraszają odeń kapryśnych i rozpieszczonych zwykle synów Apollina, bo też dają im tam tyle, że będą się mieli za co ogrzać.

* Pan Stanisław br. Lesser, warszawianin, objął dyrekcję teatru niemieckiego w Peszcie, i rządy swoje rozpoczął przedstawieniem „Dymitra“ Schillera i Laubego. Nie wspominalibyśmy o tem, jako o fakcie, ostatecznie nie wiele obchodzącym nasz ogół, gdyby nie wzmianka w pismach berlińskich, że szkiców kostjumowych i dekoracyjnych do tej sztuki, rzekomo dostarczył Matejko. W takim razie zazdrościmy Węgrom, a raczej Niemcom zamieszkałym w stolicy węgierskiej, widoku reprezentacji scenicznej, prawdopodobnie w całem tego słowa znaczeniu wspaniałej.

* W krótce ma być przedstawiony w Burgtheatrze wiedeńskim pięcioaktowy dramat Pawła Heysego „Hanns Lange“. Ten sam autor kończy właśnie nowy dramat trzyaktowy pt: Das Recht des Staerckeren. Rzecz dzieje się na wyspie Sylt, gdzie poeta bawił zeszłego roku w kąpielach. Z Berlina udaje się Heyse do Weimaru gdzie niedługo ma być przedstawiony jego „Alabiades“. — Adelina Patti dawała z. tygodnia w Swansei, małym porcie w pobliżu zamku swego Croig-y-Nos na rzecz szpitala tamtejszego koncert z współudziałem Nicoliniego, wiolonistki Castellan i pianisty Tytusa Mattei. Dochód z koncertu jest dość znaczny. Sławna spiewaczka wyjeżdża 21 października do Liwerpolu, gdzie za każdy występ brać będzie 20.000 franków:

* W Katanii jako rodzinnem mieście B e l l i n i e g o, postawiono 27 września znakomitemu temu kompozytorowi pomnik według planu rzeźbiarza Monteverde. Bellini wyobrażony jest w postawie siedzącej, przy fortepianie, na wysokim cokole zamieszczono kilka figur, przedstawiających główne opery Belliniego.

Sztuki piękne.

* Na budowę „m u z e u m d e s a r t s d e c o r a t i f s“ w Paryżu, rozpisano loterję, która ma przynieść 14 milionów franków. Na zakupno t. z. kolekcji Spitzera przeznaczono 6 milionów.

* Wystawa dzieł sztuki w sali politechniki została zamkniętą z d. 1. października. Z pomiędzy wystawionych obrazów zokupiono wiele do wylosowania; ozdoba wystawy „Sara“ Merwarta nabytą została za sumę 4.000 zł. przez hrabinę Mierową. Dochód z kart wstępu był dość znaczny a w ogóle cała wystawa była dowodem, że lwowskie towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych się podnosi, a zamiłowanie sztuki wśród publiczności wzrasta. Niedługo odbędzie się walne zgromadzenie towarzystwa, a wtedy będziemy mogli podać pozytywne liczby, świadczące o chlubnych usiłowaniach dyrekcji i w ogóle o rozwoju całego towarzystwa, któremu przybywa czem raz więcej członków.

* Genialne dzieło Matejki, „Hołd pruski“ odesłane zostało już do Wiednia. Dochód z wystawy tego obrazu we Lwowie wynosił przeszło 3000 zł,

* Najnowszy obraz Siemiradzkiego p. t. „W dobie marzeń“ znajduje się obecnie na jednej z wystaw w Berlinie, gdzie ściąga licznych widzów i wielbicieli talentu naszego mistrza. Treścią jego para zakochanych — pogrążonych w zadumie na tarasie ogrodowym, w prześliczną noc letnią. Temat nader to obfity dla takiego mistrza tonów światła, półcieni, i perspektywy jak Siemiradzki. Miał się też, jak zapewniają berlińscy sprawozdawcy, wywiązać z niego z właściwym sobie artyzmem.

† W Wiedniu zmarł w tych dniach Alojzy Anreiter, znany akwarelista, licząc 79 lat życia Anreiter ur. się w Bozen w Tyrolu. Najgłówniejsza kompozycja jego alegoryczna, przedstawiająca „Narodziny Bethovena“ jest znana powszechnie. Zmarły próbował sił swych także na polu krytyki artystycznej.

* Obraz Meissoniergo przedstawiający Napoleona I. w bitwie pod Marengo, został niedawno sprzedany w Londynie pp. Wallis and Songza sumę 6000 funtów szterlingów.

* Profesor Karol Werner mianowany nauczycielem akwarelowego malarstwa w akademji sztuk pięknych w Lipsku, otworzył 2. października t. z Meisteratelier.

* Z funduszów państwowych chce rząd włoski założyć w Rzymie galerję sztuki nowożytnej. Miała by ona być pomieszczona w dawnym klasztorze kartuzów obok S. Maria degli Angeli; rząd na zakupno dzieł żyjących artystów chce ofiarować rocznie 400000 lirów.

* Berlińska „Germania“ podała niedawno w nader zajmującym fejletonie wiadomość, że z kamienia grobowego starochrześciańskiego, odczytano nareszcie imię budowniczego Kolosseum. Miał on się zwać Gaudentius, i zginął jako męczennik na arenie gmachu, wybudowanego przez siebie. Kiedy za czasów Piusa IX. rozkopano większą przestrzeń w Katakombach św. Agnieszki w ulicy Numantyjskiej, napotkano na głaz marmurowy ozdobiony koroną i palmą. Skromny napis na kamieniu grobowym mówił o Gaudentiuszu, twórcy Kolosseum. Napis ten znajdujący się obecnie w Kościele św. Marcina na Forum brzmi:

Sic premia servas] Vespasiane dire
Premiatus est morte Gaudenti letare
Civitas ubi glorie tue autori
Promisit iste dat Kristus omnia tibi
Qui alium paravit theatrum in Celo.

De Rossi i inni archeologowie przeczą jednak, jakoby napis ten był prawdziwy i sądzą, że jest to fałszerstwo XVII. wieku.

* Znakomita historja sztuki starożytnej napisana przez p. Perrota i K. Chipiera, wychodzi obecnie w przekładzie niemieckim Pietschmana. Pierwsze dwa zeszyty zawierają początek dziejów sztuki w Egipcie, które mają być zamknięte w 20 zeszytach. Przedmowę to tej części napisał sławny egiptolog Jerzy Ebers.

Archeologja.

* Rzeźby Skopasa dotychczas nie były znane z oryginałów, a kopie dzieł jego z czasów późniejszych nie pozwalały na pewne ocenienie stylu mistrza. Obecnie dopiero znaleziono odłamki grup umieszczonych na fasadzie świątyni w Tegei, którą według Pausaniasza odbudował on po pożarze w r. 395, a prawdopodobnie i własnem dłutem ozdobił. Na fasadzie jej miały być przedstawione łowy Kaledońskie: odyniec a obok niego Atalanta, Meleager i Tezeusz. Że znalezione szczątki pochodzą istotnie z świątyni Tegeańskiej, na to są liczne dowody, a najgłówniejszym jest styl, odnoszący je bezsprzecznie do IV. wieku. Na dwóch odnalezionych głowach charakterystyczna jest wypukłość silna czoła, energicznie wysunięty dół twarzy, rozwarte pełno oko i w ogóle w formach patos, charakteryzujący Skopasa.

* W ostatnim zeszycie Atheneum lond. niejaki Wilson opowiada o dwóch podziemnych wsiach w Kapadocji, które miał sposobność zwidzieć nie dawno. Okolica, w której leżą owe wsie, pisze Mr. Wilson jest wyżyną szeroką na 15, długą na 25 mil angielskich, i leży na północ od Nigdeh w kierunku drogi rzymskiej, wiodącej z Tyany do Angory. Pierwsza z wsi widzianych przez niego, Hassakiej, na pozór składa się z niskich chatek, ale każda z tych chat ma podziemne mieszkanie, wykute w miękkim wulkanicznym kamieniu, do którego prowadzi wązki korytarz, zamknięty w miejscu, gdzie twarda skała pozwala się już użyć jako ściana na grubość 3 do 4 stóp, kamieniem, który może być posuwany tam i napowrót według potrzeby. Urządzenie to podobne jest bardzo do urządzeń w grobowcach królów w Jerozolimie, z tą różnicą, że tam ten kamień tylko z zewnątrz, tu zaś wyłącznie z wewnątrz może być poruszany. W czasach pokojowych kemień leży w korytarzu, i podtrzymywany jest drobnym kamieniem, w czasach niebezpiecznych zaś, gdy mieszkańcy chaty kryją się w podziemiach, kamień stacza się niżej, i zapiera wejście dla wszystkich, którzy by się z zewnątrz tam wedrzeć chcieli. Mieszkania te wszystkie urządzone są na jeden sposób: składają się z wielkiej komory dla bydła, i na magazyn zapasów, tudzież z trzech wąziutkich pieczar, przeznaczonych na pomieszczenie ludzi, na kuchnię i zbiornik wody.

Mieszkańcy tych wsi niemniej zajmowali badacza. Są oni potomkami dawnych mieszkańców Kapadocji. Język ich ma wiele słów tureckich, ale w gruncie jest językiem greckim, a cała okolica zdaje się do dziś dnia hołduje tym samym zwyczajom i obyczajom, o jakich pisze Ksenofont w Anabasis (L. 4. Car. 5.)

Statystyka.

* Według obliczenia w „Petermansche Mittheilungen“ Europa posiada obecnie 327.743,400 mieszkańców, Azja 765 591.000, Afryka 205. 823.260, Ameryka 100.415,400. Australja i Polinezja 4.232,000, ziemie podbiegunowe 82,500. W ten sposób na kilometr □ przypada w Europie 34, w Azji 18 w Afryce 7, w Ameryce 2·6, w Australji 0·5 mieszkańców.

* Według „Techniker'a“ znajdują się w Anglii, nie licząc lokomotyw, w ruchu maszyny parowe o sile 7.000.000, koni, w Stanach Zjednoczonych jest ich 7.500,000, w Niemczech 4.000,000, we Francji 3.000,000, a w Austrji 1. 500,000. Liczba lokomotyw w nowym i starym świecie przechodzi 100.000, siłę ich obliczyć można na 80.000.000 koni, z czego się okazuje, że maszyny, licząc na jednę siłę konia 10 ludzi, spełniają pracę za 800 milionów ludzi.

Geografia.

* Nową kartę Austro-Węgier i krajów pogranicznych, na podstawie najnowszych źródeł, wydaje dyrekcja wiedeńskiego instytutu wojskowego. Mapa ta sięga na północ aż po Berlin, na południe po Rzym i Stambuł, na wschód po Kijów i Odessę, na zachód po Brazylię i Sztrasburg. Cała karta składać się będzie z 30 arkuszy, a złożona razem zajmie przestrzeń 1·55 metr. wys. a 2·34 metra szeroką. Nazwy, koleje, i granice będą drukowane kolorem czarnym, drogi czerwonym, rzeki, jeziora i t. p. niebieskim. Teren nader praktycznie przedstawiony, będzie szrafowany brunatno. Pierwszy zeszyt złożony z 4 kart i szkieletu dodanego bezpłatnie, wyjdzie 1. grudnia. Całość kosztować będzie 27 zł. w prenumeracie z którą zgłaszać się wolno do 15 listopada do R. Lechnera k. k. Hof und Universitäts Buchhandlung Wien, Graben 31.

Filologja.

* Kongres filologów rozpoczął 27 z. m. posiedzenia swoje w Karlsruhe. Zgromadzonych powitał dyrektor giminazjum Wendt, poczem dyrektor Genthe z Hamburga mówił: „Ueber die Beziehungen der Griechen und Römer zum Balticum“.

Gospodarstwo.

* Kasztany słodkie czyli t. z. marony, grające zwłaszcza na południu, gdzie służą za pożywienie, nader ważną rolę, niedały się dotychczas mimo prób tysiącznych, konserwować czas dłuższy. Obecnie udało się niejakiemu panu Magne wynaleść sposób, za pomocą którego kasztany dadzą się przechować aż do maja a nawet i dłużej. Sposób ten nader tani jest następujący: Owoce należy zapakować w listopadzie lub grudniu w beczki, lub, co praktyczniejsze, w naczynia gliniane napełnione piaskiem, i pozostawić w miejscu nieprzystępnem dla wilgoci.

MISCELANEA.

— Wyprawa na wyspę „Jan Mayen“ Dnia 2. kwietnia b. r. opuścił austryjacki statek „Pola“ port tegoż nazwiska, i udał się przez cieśninę gibraltarską najpierw do Anglii, gdzie stanął przy końcu kwietnia, zaś 7. maja wyruszył do Bergen, stacji na półwyspie skandynawskim. To

zaopatrzywszy się w niezbędne potrzeby i przyjąwszy na pokład hrabiów Wilczka i Palfy'ego, puściła się dnia 21. maja wyprawa w dalszą podróż pod kierownictwem kapitana Fr. Müllera. Dnia 28. maja przekroczono północne koło biegunowe, i odtąd aż do połowy sierpnia nie widzieli podróżnicy nocy, chyba że mgły i gwałtowne burze jakie takie o niej dawały wyobrażenie. Ostatniego maja spostrzeżono pierwsze kry, które jednak dopiero w kilka dni później wstrzymały stanowczo dalszą podróż. Po bezskutecznych usiłowaniach przedarcia się przez nie, minąwszy skaliste Lofody powróciła wyprawa do norwegskiej zatoki Tromsö, leżącej prawie pod 70 stopniem północnej szerokości.

Dopiero 21. czerwca opuszczono fjordy skandynawskie, a jadąc w kierunku północnym wkrótce minięto 72. st. północnej szerokości, poczem wyprawa udała się wprost na zachód ku wyspie Mayen. Po kilku dniach spotkano znów małe kry, a dnia 27. czerwca spostrzeżono szczyty gór, wznoszące się blisko 2 000 metrów po nad powierzchnią morza. Przystęp do wyspy był jednak zamknięty, otaczał ją bowiem naokoło lód na 10. do 15. mil. Przytem i brzegi jej tylko w niektórych miejscach były dostępne, najważniejszem więc obecnie zadaniem wyprawy było wyszukanie miejsca, gdzieby w danym razie okręt mógł zarzucić kotwicę. Po ciężkiej pracy udało się wreszcie dnia 12. lipca przełamać lody i zbliżyć się do wyspy, która obecnie już cokolwiek inaczej przedstawiała się żeglarzom. Oto nierzadko spostrzedz można było wynurzającego się z wody grenlandzkiego wieloryba, mnóstwo psów morskich, lecz najwięcej ptactwa, które zaniepokojone niezwykłem w owych stronach zjawiskiem, przeraźliwie krzyczało. Niemało także ujrzano tu lisów podbiegunowych, które cierpliwie czatowały pod skałami, na których się ptaki gnieżdżą, często bowiem zdarza się, że albo stary ptak nieostrożny zleci na dół ze swych bezpiecznych siedlisk, lub też burza strąci gniazdo z młodemi, a wówczas z pewnością lis się w tej chwili znajdzie.

Długo okręt krążył naokoło wyspy, chcąc znaleść miejsce dogodne dla siebie, i dla odważnych podróżników, którzy mieli badać owe niegościnne skały i lądy. W kilku miejscach próbowano wylądować, jednak znaczne trudności i niedogodności zmuszały wyprawę do szukania lepszej przystani.

Dopiero 14. lipca znaleziono ją koło „góry ptasiej" i natychmiast wzięto się do wyładowywania tak zapasów żywności jakoteż innych materjałów, w które wyprawa przed odjazdem się zaopatrzyła. A nie była to praca spokojna, bo bardzo często nadpływały całe pola lodowe, które trzeba było w jakiś sposób rozbijać lub wstrzymywać, by nie zgniotły okrętu. Mniej niebezpieczne były kry, które jako bardzo ciężkie, głęboko wchodziły w morze, i już zdala od wybrzeży zatrzymywały się na dnie morskiem, i tworzyły nawet tamy przeciwko owym stosunkowo cienkim, ale nadzwyczaj rozległym polom lodowym. „Pola" nie była i tu zupełnie bezpieczną, dwa razy bowiem musiała uchodzić przed lodami.

Wyspa „Jan Mayen" jest wulkanicznej natury. Brzegi jej przeważnie lecz nie wszędzie są skaliste i strome, owszem w niektórych miejscach rozciągają się wcale obszerne płaszczyzny piaszczyste, na których znajduje się mnóstwo przez morze wyrzuconego drzewa, już to obrobionego, już to surowego, dalej zaś szczątki wielorybów i innych zwierząt morskich. Szczególniejszą tu rzeczą są laguny, otoczone groblami do 200 metrów szerokiemi a do 4. wysokiemi; wśród nich to najczęściej gubią się potoki, ale nie podlega najmniejszej wątpliwości, że wody ich łączą się z morzem. Bałwany morskie przerzucają nieraz kawałki drzewa przez groble aż do lagunów.

Piasek jest tu wytworem wulkanicznym, a góry składają się najczęściej z lawy i bazaltu, niekiedy także z łupku. Stoki ich zarasta mech żółtozielony, oliwkowy, fioletowy i czarny, a pierwszy z nich w porze wilgotnej posiada szczególniejszą własność świecenia. Roślinność tutejsza bardzo uboga; jest kilka zaledwie rodzajów jawno i skryto kwiatowych, z których pierwsze w letnich miesiącach rozweselają te smutne zawsze okolice. W ogóle tak mało jest tu roślin i traw, że zupełnie nieprawdopodobnem wydaje się twierdzenie, jakoby reny z Grenlandji miały tu czasem w zimie przychodzić dla pożywienia. Fauna nie bogatsza od flory. Zjawia się tu czasem niedźwiedź jako gość tylko, natomiast lis podbiegunowy wiernie trzyma się swej zimnej ojczyzny, a żywność jego stanowi głównie ptactwo. Ono to dodaje życia tej bezludnej wyspie, a najwięcej jest tu alk i nurków. Psy morskie nie rzadko się tu spotyka, natomiast mało raków.

Nie pierwsza to wyprawa odwidziła te strony. Do dziś spotkać tu można warzelnie tranu, a nawet wyraźne ślady mieszkań ludzkich. Oto siedmiu żeglarzy hollenderskich postanowiło przezimować tu z r. 1633, na 1634., lecz wszyscy wymarli na szkorbut; po nich to pozostały owe szczątki mieszkań.

I w nowszych czasach próbowano badać tę wyspę, ale niestety bez powodzenia. Rozpoznanie np. gór przedstawia niemal nie przełamane trudności; olbrzymie lodowe rozpadliny utrudniają nadzwyczaj dostanie się na szczyty, potrzebaby długo trwającej pogody, by to uskutecznić, a ciągłe burze i mgły najodważniejszemu podróżnikowi odbierają ochotę drapania się na szczyty, sięgające 2.000 metrów. Twierdzą niektórzy, że już wszystkie wulkany wygasły na wyspie Mayen, tymczasem wydobywające się dymy i zapach siarki wyraźnie przeczą temu. Austryjacka wyprawa ma zadanie zbadać ją pod względem objawów astronomicznych, magnetycznych i meteorologicznych, a jeśli się to wszystko uda, jest pewnem, że nie jedna tajemnica ukryta w lodowcach północy rozjaśni się nagle. Jan Mayen nie leży wyżej na północ niżeli ostatnie kończyny półwyspu skandynawskiego, jest jednak w warunkach o wiele gorszych, niż tamte, bo nietylko nie oblewa go z żadnej strony prąd podbiegunowy, aln też i tak zwany prąd golfowy daleko płynie od niego.

Dodać wreszcie należy, że „Pola" odpłynęła do Europy już 16. z. m.

O ś w i e t l e n i e e l e k t r y c z n e w ostatnich latach znajduje coraz większe rozpowszechnienie zwłaszcza w Anglii i w Stanach Zjednoczonych.

W Londynie dziewięć dworców kolejowych jest oświetlonych elektrycznością; z tych najbardziej zasługuje na uwagę dworzec Kannen-Street, posiadający ośm lamp, każdą o sile światła równej 6000 świec, razem o całkowitem oświetleniu równem 48 000 świec. Lampy są umocowane pod sklepieniem hali stacyjnej w wysokości 12. metrów nad poziomem szyn; prócz tego dwie mniejsze lampy pomieszczone są na placu przed stacją. Wszystkie one tworzą dwa łańcuchy, po pięć lamp systemu Brabie. Każdy łańcuch otrzymuje prąd elektryczny od wielkiej maszyny systemu Gramea. Wkrótce także prądki londyńskie zostaną oświecone elektrycznością.

W stanie Indiana Ameryki Północnej miasteczko Wabasch, liczące pięć tysięcy mieszkańców, jest oświetlone czterma lampami elektrycznemi, umieszczonemi na kopule pałacu sprawiedliwości; światło to wystarcza na miasto rozłożone na przestrzeni jednego kilometra w promieniu, z niewysokiemi domami i prostemi ulicami. W odległości 120 metrów od latarni można z łatwością czytać druk najdrobniejszy, zaś na 800 metrów rozpoznać godzinę na zegarku kieszonkowym. Cienie rzucane są silne, lecz nawet w cieniu można rozpoznać przedmioty nie gorzej, jak pośrodku między dwiema latarniami gazowemi na naszych ulicach. Do wytwarzania prądu elektrycznego służy maszyna parowa o sile 4 koni; roczny koszt wynosi tylko 5000 franków; t. j. 4 razy mniej niżby gaz kosztował.

W Nowym Jorku dotychczas oświetlono $2^1/_2$ kilometra kwadratowego lampami elektrycznemi, rozstawionemi podobnie jak dotychczas gazowe, lecz w większej od siebie odległości. Do oświetlenia całego miasta potrzeba będzie przeszło 5000 takich lamp.

Różne fabryki i zakłady przemysłowe porobiły znaczne oszczędności (8000 — 13000 franków rocznie) przez zaprowadzenie światła elektrycznego. Nakład jednorazowy był stosunkowo nieznaczny (15 do 20 tysięcy franków). Oprócz oszczędności wykazanych, są jeszcze inne korzyści, mianowicie światło elektryczne pozwala rozróżnić kolory prawie równie dobrze jak dzienne, nie psuje powietrza, i nie sprawia gorąca, jak gazowe.

Korespondencja Redakcji.

Panu X. we Lwowie. List Wasz przeczytaliśmy z wielkiem zadowoleniem. Widać z niego, że są ludzie, którzy myślą na serjo i wiedzą jasno czego żądają. Chcielibyśmy was poznać. Bądźcie przekonani, że myśli nasze są jedne, różnica tylko leży w metodzie. Zresztą przeczytajcie uważnie obecny numer. Oczekujemy was w naszej redakcji.

P a n u N o... N o... w K r a k o w i e. Dziękujemy za pamięć. Za kilka dni damy odpowiedź.

T r e ś ć.

O nauczaniu historji.
Sewer: Z tajemnic wioski (c. d.)
Rodoć M: To zupełnie inna kwestja, (wiersz.)
Hodoli L.: Wiek i jego prawa w wychowaniu.
Tally-Ho. Rozczarowany (c. d.)
Forward: Aforyzmy o kobietach.
Przegląd literacki przez St. W. i A. Z.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.
Korespondencja Redakcji.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego", pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 3. We Lwowie dnia 14. Października 1882 r. **Rok I.**



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Pro miseris.

Ci co się znajdują u wyżyn drabiny społecznej, — die oberen Zehntausend — zaledwie wiedzą o tem, ile nędzy ich otacza do koła, ile istot ludzkich marnieje bezustannie u dołu, aby im — szczęśliwym — zrobić miejsce u góry.

Maltuzjanin patrzy na tę walkę o byt, wzdycha jak prawdziwy faryzeusz i objaśnia przemądrze, że ludność rośnie w progresji geometrycznej, środki zaś pożywienia tylko w arytmetycznej, stąd ciągłe przeludnienie ziemi, a zaś z przeludnienia — nędza, która pożera hekatomby ofiar, aby „wyrównać stosunek między żywnością a ludnością." Twarde prawo, żelazne prawo, — ale prawo natury, przeciw któremu rozum ludzki nie poradzi! tak mówi Malthus i jego zwolennicy.

Po Malthusie wielki Darwin wykazał, że owa „walka o byt" toczy się nietylko między ludźmi, ale w całej w ogóle przyrodzie, wykazał szczegółowo prawa rządzące tą walką, wykazał wreszcie, że ta walka jest warunkiem koniecznym doskonalenia się gatunków, a więc postępu.

Stosując teorję do społeczeństwa ludzkiego, należałoby się cieszyć z owej walki o byt, gdyż ona prowadzi do postępu, przez nią ludzkość się doskonali. Dlaczegoż więc ludzie się bronią przeciw wrogim siłom, dlaczego nędzarz się żali, dlaczego dąży do lepszego bytu, zamiast czekać jak Budysta, rychło wejdzie w błogosławioną Nirwanę? Oto dlatego, że jednym z czynników w rozwoju społeczeństwa ludzkiego, obok innych sił przyrodzonych, jest także myśl ludzka, czucie ludzkie. Podczas gdy zwierzę, roślina, z tego, co się z niemi dzieje nie zdają sobie sprawy wcale, lub tylko bardzo niedokładnie, człowiek, istota myśląca, odczuwa wszystko, myśli o tem, i wiedziony popędem szmozachowawczym, obmyśla środki obrony, i nie mogąc walki o byt znieść całkowicie, stara się ją złagodzić, stara się uczynić ją mniej bolesną. Oto źródło tak zwanych, „kwestyj społecznych."

Im raźniej rozwija się postęp, tem bardziej zaognia się walka o byt, tem więcej „kwestyj społecznych." Każdy nowy wynalazek techniczny, każde ulepszenie maszyn, wyrzuca na bruk tysiące egzystencyj ludzkich, które tworzą „armję rezerwową" proletarjatu. Śmielibyśmy nawet twierdzić, że każdy nowy wynalazek, prócz tego, że mnótwo rąk ludzkich pozbawia pracy, a zatem sposobu do życia, wprost przerzedza szeregi ludzkie przez swoje zastosowanie: Byłoby to ciekawem zadaniem statystyki wyrachować np. o ile więcej ofiar życia wymaga transport osób koleją w stosunku do dawniejszych systemów komunikacji; każdy czytelnik gazet wie, ile nieszczęść sprowadza taki nawet wynalazek jak światło elektryczne, zanim się ludzie nauczą panować nad tą nową siłą. Jest coś demonicznego w tem prawie postępu!...

Przejawy, o których mówimy uwydatniają się najbardziej w krajach przemysłowych, zwłaszcza w wielkich miastach fabrycznych, gdzie się ludzie koncentrują, aby znaleść sposób do życia. Tam to namacalnie przekonać się można, jak w miarę postępu, w miarę wzrostu bogactw, rośnie także nędza ludzka, służąc niejako za folię zbytkom milionerów.

Lecz i u nas nie o wiele lepiej. Nie mamy wielkiego przemysłu, nie mamy Manczestrów ani Birminghamów, ale mamy latifundja, mamy lichwę bankową i prywatną, a lada nieurodzaj, lada ostra zima sprowadza na nas powódź nędzy i — kwestja społeczna, jak głowa meduzy, staje przed nami w całej swej okropności.

Kobieta chora, wyrzucona z szpitala dla oszczędności, zjedzona przez psy, warjat nieuleczalny podpalający domy, starzec ginący pod płotem, oto świeże fakta z dziejów naszej nędzy, wymowniejsze o wiele od wszystkich wywodów pseudouczonych, że Galicja jest „krajem rolniczym“, że kwestji społecznej niema i t. p. bajek, któremi sami siebie okłamujemy. Statystyka zawiera wiele ciekawych cyfr, ilustrujących nasze twierdzenie, a taki n. p. Kraków, gdzie się skupia high-life galicyjski, zawiera także największy procent — dziadów!

W zachodniej Europie, gdzie kwestja społeczna od dawna już stoi na porządku dziennym, społeczeństwo sili się na jej załatwienie. W Anglii obok dobroczynności prywatnej, państwo gorliwie zajmuje się zaopatrywaniem ubogich i istnieje na to fundusz publiczny, zaś work-houses angielskie, jakkolwiek niedostateczne, zawsze jeszcze wzór stanowią. We Francji, już nie poprzestają na samych takich paljatywach, lecz gruntownie zabierają się do załatwienia kwestji socjalnej, a w Niemczech zabierają się do rozwiązania jednego z najtrudniejszych tej sprawy zagadnień t. j. do zabezpieczenia robotników.

U nas natomiast, długi czas zatykano sobie uszy na wołanie nędzy ludzkiej, i cieszono się „że my nie jesteśmy jako oni“ — nie mamy kwestji społecznej.

Nareszcie — w obec jaskrawych faktów zabieramy się do dzieła, jak świadczy projekt założenia przytuliska dla kalek i starców.

Nie przywiązujemy zbyt wielkich nadziei do tej instytucji: Wiemy bardzo dobrze, że gdyby nawet kraj nasz posiadał więcej zasobów finansowych, niż niestety posiada, gdybyśmy mieli więcej ludzi zdolnych do przeprowadzenia takiego projektu, — słowem gdyby owe przytulisko doprowadzonem być mogło do możliwej doskonałości, zawsze ono pozostanie paljatywem, nędzy całkowicie nie usunie, kwestji socjalnej nie załatwi, nawet jednej części jej, części najważniejszej może: t. j. zaopatrzenia inwalidów pracy; część ta bowiem jest najtrudniejszą do załatwienia w danych warunkach. Wiemy jednak także, że instytucja taka racjonalnie przeprowadzona może zrobić wiele dobrego i przygotować grunt pod dalsze tego rodzaju urządzenia.

Dlatego chcielibyśmy aby: po pierwsze projekt „przytuliska“ nie pozostał projektem; po drugie, aby był przeprowadzony w sposób taki, iżby przynieść mógł możliwie największej korzyści, a zaś wolnym był od wad wprost szkodę, zamiast pożytku przynoszących.

Wyjaśnijmy nieco ten drugi punkt, bo jest on ważny. Nasze społeczeństwo, a zwłaszcza sfery nadające mu kierunek, cierpi na dwie wady bardzo niebezpieczne, przedewszystkiem — oto najpoważniejsza rzecz przechodzi u nas niesłychanie łatwo w prosty sport: Chcemy zaradzić, jakiejś klęsce, to tworzymy naprzód najniepotrzebniejsze w świecie stowarzyszenia i komitety, wybieramy prezesów i sekretarzy, odbywamy posiedzenia i t. d. i bawimy się przytem wybornie, ale skutki powodzi, czy ognia, czy głodu, jak były tak są.

Drugą wadą naszą jest to, co Spencer nazywa „must—do—something—impulse“ (wyraz nieco trudny do oddania po polsku; mniej więcej: popęd do robienia czegoś koniecznie). Na dane jakie hasło popularne, każdy u nas bierze się do rzeczy, czy ją rozumie, czy nie; udziela rad, choć o sprawie nic nie wie, oddaje głos swój, nie wiedząc za czem, i tak często najlepszą w gruncie rzecz spacza się i zepsuje.

Otóż chcielibyśmy, aby projekt przytuliska był traktowany na serjo, nie jako zabawka dla starszych już a poważnych pań, aby nie był użytym do postronnych zamiarów jakiej pobożnej korporacji, i aby się do niego nie wtrącali ludzie, niemający wyobrażenia o rzeczy.

To w tem miejscu chcieliśmy zaznaczyć.

Forward.

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA

przez

SEWERA.

(Ciąg dalszy).

Burza obudziła Zyzmę, zerwał się i wyglądał oknem układając projekta wyprawy. Widocznie jakaś szczęśliwa myśl rozwarła mu do uśmiechu usta... Wychodził, gdy we drzwiach ukazała się frasobliwa twarz Zawrzykrajki, a za nią uśmiechnięta buzia Kasi.

— O mój Zyzmusiu, „ratujże mnie, ratuj, — mówiła lamentując kobieta i zmęczona obcierając chustką pot z bladej twarzy, zsunęła się na ławę.

Zyzma się wyprostował, wydął nieco policzki, marsa postawił i rzekł z powagą:

— Mówcie matko, jak to było.

— A cóż ja ci powiem, a czyż to nie wiesz, że mnie Szmul Miechowicki z Biesiem tak ciężko skrzywdzili! Mój od tego zmartwienia zwarjował, pomarł, i zostawił nas z dziewuchą sieroty, że nie mamy kęsa chleba do ust włożyć.

— Mówcie dokumentnie po kolei, od samego początku.

— A cóż ja ci powiem, tylo to, że jak nam ludzie zaczęli raić, tak i naraili do kupna w Miechowiczkach grunt. Galanty kawałek ziemi, dwie morgi łąk i dwa sta wierzb do obcinania na płoty! No któż przeczuł, że żyd z chłopem spiknęli się na nasze zatracenie. Szmul mówił, że to jego grunt, a Bieś, że Szmulowi sprzedał. Tak i zapłaciliśmy Szmulowi, a tu ci zaraz potem Bieś zabiera grunt, nie chce go oddać i jeszcze nas skarży, jako my ze Szmulem na jego zgubę się zmówili. Wtedy to mój zwarjował i pomarł, a Szmul Miechowicki za jakieś ta weksle siedzi w więzieniu od roku.

— A któż wygrał?

— Ludzie mówią, że za mną jest prawo, ale Sobek Bieś siedzi na gruncie, bo któż go wypędzi?...

— Gdzieżeście teraz byli?

— A dyć w Tarnowie u adwokata.

— I cóż?

— No i adwokat mówił że dobrze, tylo chce, aby mu położyć na stole dwadzieścia papierków. A skąd ja je wezmę, jedną krowinę ino mam, i z niej tę kapkę mleka dla dziewuchy.

Łzy nowym strumieniem wytrysły z oczu kobiety.

— Adwokat nie chce zborgować?

— Dobry człowiek, choć do rany przyłóż, ale cóż kiej sam nie ma. Jak go zaczęłam prosić i molestować, to mi opuścił dziesiątkę, ale drugą kazał przynieść na stemple. Oj, oj, dobrze go ludzie naciągnęli, to i nie dziwota, że się teraz boi.

— Będziecie na jarmarku w Szczurowy?

— Mam tam odrobinę masła, to je poniosę.

— Szukajcie mnie po jarmarku. Co ja się muszę napracować, zanim zarobię parę centów. Ja się sam głodzę, ja sobie żałuję na koszulę! Ja jestem biedny, biedniejszy jak wy — zawołał z pewnym rodzajem wyrzutu, ale... — popatrzał na Kasię i pogłaskał ją ręką po twarzy. — No, no szukajcie mnie po jarmarku, będzie jak Bóg da!

Nusunął na kij chałat i worek, wziął koszyk, uśmiechnął się do Kasi i wyszedł, idąc szeroką ulicą wioski wysadzonej wierzbami do dworu. Nie wstępował nigdzie, tu było wykupione wszystko, co było do kupienia i zabrane wszystko co było do zabrania.

Obszedł ogród i wśród zabudowań dworskich szczęśliwie dobił do starej kuchni, wywołał z niej kredensowego chłopca, i posłał go po lokaja.

— Powiedz, że Zyzma przyszedł po gazety — wołał za biegnącym.

Za chwilę ukazał się pan Marcin, powaga w starej i nowej kuchni jako też i

kredensie. Za nim chłopiec niósł plikę papieru zadrukowanego. We drzwiach stanęła gospodyni z podpartemi pod bok rękami, z po za jej pleców wyglądała kucharka, a od strony studni zbliżał się fornal od cugowych koni. Wszystko to łakome na politykę i wiadomości z gazet.

— No, no mó żydku jak taki sztuk papieru przeczytasz, to ci chyba głowa spuch nie — mówił łaskawie pan Marcin.

— Co nie mam przeczytać — odparł Zyzma z dumą.

— Ja co przecie jestem biegły w mowie i arakterze — tu pan Marcin spojrzał na otoczenie mrugając szczególnie oczami, — a mogłoby mi się przewrócić we łbie.

— Bo pewno, papierzysków moc — świadczyła gospodyni. — Jak to tam ludzie mogą tyle wypisać.

— Ha maszynami i to parowemi — zdecydował pan Marcin, jako biegły w mowie i arakterze. A że to, co powiedział, było uważane w starej kuchni w połowie za wy rocznię, nie protestowano. Zyzma się tylko uśmiechnął.

— Macie ostatnią gazetę? — spytał.

— I to niemiecką — zawołał pan Marcin — niema trzech dni ak przyszła.

Zyzma odebrał papiery, wyjął z zanadrza trzy dwucentowe cygara, i podał je panu Marcinowi.

— Przeczytałbyś co i opowiedział — przemówiła gospodyni.

— Niema tam pani troszkę kości? zagadnął Zyzma.

— O jak się to zaraz żydowska natura odzywa. U niego nic darmo. Hanka wynieś mu tam te pół koszyka kości.

— Żyd na ten przykład musi być żydem — zawyrokował pan Marcin.

Hanka wyniosła kości, sypiąc je do żydowskiego worka. Zyzma siadł na wywróconych takach. Obok niego umieścił się pan Marcin; gospodyni sparła się na konewce, i rozpoczęły się debaty polityczne na temat tłumaczoych przez Zyzmę telegramów z „Nowej Pressy“ wiedeńskiej.

— Pani idzie! — zawołała Hanka.

— Doczytasz wieczór, szepnął Marcin.

Gospodyni zniknęła w starej kuchni; pan Marcin wrócił do kredensu, a Zyzma wrzuciwszy do worka papiery, ścieżkami wśród błonia, kładkami przez strumyki, olszowemi gajami, a dobrze znaną sobie drogą szedł do Miechowiczek.

Idąc czytał a raczej pochłaniał łakomie druk; siadał, odpoczywał i znów szedł, a czytał wciąż. Gdy skończył jedną gazetę, wyjmował drugą — i znów czytał. Ta druga był to „Dziennik Polski“ ze Lwowa. — Zyzma lubił to pismo.

Namiętność do czytania wyrobili w nim nauczyciel — proboszcz, pan Marcin — a poprzednio jeszcze ojciec.

Aron nazwał ojca Zyzmy przeklętym „apokorsą“. Nie omylił się. Zbankrutowany kupiec lwowski po śmierci żony i dziecka, zmarłych na cholerę — znalazł się niespodzianie w okolicach Szczurowy z małym Zyzmą. Za resztę pozostałej mu po bankructwie gotówki, kupił w Dołędze porządną chatę — zaczął handlować zbożem, a ożenił się z panną Sarą Jumą, córką Pojawskiego rzeźnika. — I dobrzeby mu się powodziło, gdyby nie duch opozycji i namiętność do walki za swe przekonania.

Żydzi, rozproszeni po wioskach Galicji prawie bez wyjątku zostają pod panowaniem Husytów. Ojciec Zyzmy wiedział, że się znajduje w gnieździe husytyzmu, a mimo to palił w szabas cygaro, a w powszedni dzień jadał chleb z solonem masłem, kupionem od gojów.

Zdenuncjonowano go Aronowi, Aron zaniósł skargę do rabina, — powstał krzyk, na który ojciec Zyzmy odpowiedział wzruszeniem ramion. Husyci go omijali — uśmiechał się na to. — W bóżnicy przyjęto go szmerem oburzenia, — od tego czasu modlił się w domu. Lecz gdy Lejzor Juma zabrał do siebie Sarę, — aby z przeklętym więcej nie siedziała, wpadł w gniew i grozić zaczął. — Sara się przelękła i wróciła do męża — tem więcej, że zbliżał się czas, w którym zostać miała matką.

Od tej chwili opozycja zmieniła się w cichą nienawiść. — Małego Zyzmę wypędzono z hajderu, ojciec skarżył przed rabinem i musiano go przyjąć, lecz belfer przy pierwszej sposobności tak go oćwiczył, że chłopiec w gorączce leżał tydzień cały. Nie było punktu wyjścia, Zyzma przestał chodzić do hajderu — uczył go w domu po hebrajsku ojciec, wpajając w chłopca nienawiść do husytyzmu. Gdy Zyzma zaczął rok siódmy, poszedł do ludowej szkoły, w której pięć lat przesiedział.

Walka z pola religijnego przeniosła się na ekonomiczne. — Ojciec Zyzmy odbierał od swych współwyznawców cios po ciosie,— po raz drugi zbankrutował — i padł... Lejzor Juma wydobył Zyzmę ze szkoły, ogolił mu głowę, nasadził krymkę i pejsy rozkazał zapuścić. — Lecz fatalizm, — i on stracił na wołach kupionych za pożyczone pieniądze. Chcąc się ratować, nabył po kryjomu zdechłą krowę na mięso, za co odebrano mu konsens, zgryzł się i w sześć miesięcy po śmierci ojca Zyzmy, — poszedł za nim. — Została Sara sama z trojgiem dzieci i z Zyzmą w chałacie, a krymką na głowie.

Na parę godzin przed zachodem słońca, czarnooki żydek zbliżał się do Miechowiczek. Rozmarzony wyczytanemi a dziwnie posplatanemi ideami, walkami opinii, wygłaszanemi a sprzecznemi prawdami, szedł zamyślony, zamknięty w sobie, pełen pragnień nieokreślonej wolności, — człowieczeństwa, cywilizacji i nareszcie nieugaszonej ciekawości.

We dworze kucharka sprzedała mu ćwierć kości i zajęczą skórkę. Za ćwierć kości dał dziesięć centów, a weźmie za nią pięćdziesiąt — za zajęczą skórkę zapłacił dwanaście, a w Tarnowie dadzą mu trzydzieści. Przytem załatwiał mniejsze operacje, zamieniając szpilki ze szklannemi łebkami i paczki zapałek na szmaty.

Jędrek Jurek miał ochotę ściągnąć deskę z nad brzegu Dunajca, za co psy poszarpały mu kożuch, z czego się jednak nie chwalił. Pocichu zawołał Zyzmę do chaty i kazał mu go połatać, aby uniknęć despektu w niedzielę, gdyż zwyczajem jest w Miechowiczkach, że gospodarze przez cały maj chodzą w kożuchach do kościoła.

Zabrał się Zyzma żywo do pracy, a przy pogwarce z Jurkiem dowiedział się, że Szmul Miechowicki chociaż siedzi w kryminale, ma pieniądze po ludziach, i należy do spółki handlu drzewem na Dunajcu, — że córce w posagu dał pięćset, złoty zegarek i salopę podbitą lisami,— a dzieci ma sześcioro.

Wszystko to Zyzma zanotował sobie w pamięci. Za połatanie kożucha własną skórą dostał trzydzieści pięć centów, a że miał ćwierć kości, huk papieru i parę funtów gałganów, wyruszył wprost do Tarnowa.

Szedł lewym brzegiem Dunajca, odwidzając po drodze wioski dla zakupna szmat i kości. Wielką miał ochotę przeprawić się na drugą stronę rzeki, lecz się bał. Prawy brzeg aż po samą Wisłę opanowany był przez mieszkańców Żabna i Dąbrowy mojżeszowego wyznania. Tam byli oni wszechwładni, a chociaż Zyzma nie wiele robił sobie z rabina, lękał się współzawodników, którzy go mogli wybić i zmusić do odwrotu.

W Radłowie zjadł za dwa centy bułkę. W Łęce poszczęściło mu się, kupił skórkę cielęcą i dwie skórki owcze za bezcen. Miał więc z czem iść do Tarnowa i szedł śmiało, dźwigając oprócz chałatu, worka kości i skór, — pełną głowę projektów opromienionych nadziejami.

Przenocował w drodze u chłopa, zakupiwszy sobie za trzy centy miejsce w chacie, między piecem a dzwiami. — Nie miał zwyczaju rano się modlić — wstydził się chrześcian, zresztą duch sceptycyzmu opanował go.

Białawo-złociste słońce obrzucało swemi promieniami dolinę Dunajca. Wszystko się przed niem korzyło — trawy i kwiaty mdlały

— ludzie i bydło uciekali z pola — tylko Zyzma obładowany towarem szedł śmiało, nie zważając na palące promienie. Nie miał czasu na to, obliczał zarobek na wysokość trzech guldenów, — a pieniądze miały mu dać wolność, szacunek, przyszłość pełną uśmiechów szczęścia.. Czyż możemy się dziwić, że pragnął je mieć i pracował na nie ciężko?

Nie zawiódł się co do zarobku. Utargował więcej o sześć centów, i te postanowił przejeść i przepić, przeznaczając trzy guldeny na kapitał, z którego procent zaledwie mógł zużytkować dla siebie.

Zadowolony, uśmiechnięty, kupił bułkę, cebulę i piwa — rozkoszując się obiadem i odpoczynkiem. Lubił odpoczywać.

Szukając Zyzmy wpadł do szynku żyd chudy, wysoki, o spiczastym nosie, długiej bladej twarzy, i długich pejsach. Oczy miał niebieskie, duże, wyraziste, latające.— Zyzma skinął na niego, — Mordek siadł przy nim. — Muskuły na jego twarzy drgały, ręce były w ciągłym ruchu, nie mógł usiedzieć na miejscu.

— Mam interes, ale to mój interes - rzekł z dumą Zyzma — zarobisz przy nim.

— Kup piwa — szepnął Mordek.

— To ty kup i jeżeli nie kupisz nie powiem, — znajdę sobie drugiego.

— Szukaj — zawołał obrażony Mordek, i rzucił się ku drzwiom.

Zyzma go nie wołał. Mordek postał chwilę w bramie; nareszcie wrócił. — Kazał dać piwa za cztery centy, i siadł z zaciśniętemi ustami, patrząc pogardliwie na towarzysza. Zbierał po stole resztki chały z obiadu Zyzmy, i gwałtownie je zjadał.

— Jeszcze nic w ustach nie miałem — szepnął, — pijąc chciwie piwo.

— Ty taki bogacz mnie biedaka objadasz?

Mordek się uśmiechnął nerwowo.

— Słyszysz, ja powiem — dosyć — kiedy będę miał sto tysięcy, a brakuje mi dziewięćdziesiąt dziewięć. Jutro mogę mieć dwa, albo będę taki łapserdak jak ty.

— Ty grasz a ja ciężko pracuję — rzekł z godnością Zyzma.

— Tyś głupi, a ja mam rozum — odparł Mordek. — Ty będziesz zawsze łapserdak, a ja pan.

Teraz kolej uśmiechu przyszła na Zyzmę, roześmiał się ironicznie bębniąc palcami po stole.

— Dostałem posagu, - mówił Mordek — sto papierków — dziesięć razy ryzykowałem i mam tysiąc! Jeszcze sto razy zaryzykuję, będę miał sto tysięcy, — jeszcze dziesięć i zrobi się milion. — Mordek oblizał się łakomie, a głośno wciągał w płuca powietrze mrugając oczyma.

— A jeżeli jutro przegrasz wszystko?

Mordek drgnął i roześmiał się dziko.

— Nie wszystko — rzekł. — Gadaj o interesie — zwrócił rozmowę, aby Zyzma nie przepowiadał mu bankructwa.

— Zarobisz dwadzieścia guldenów.

Mordek się skrzywił.

— To mój interes, ty przy mnie zarobisz dwadzieścia guldenów.

Mordek z niedowierzaniem potrząsł głową.

— Mów, — szepnął.

Zyzma opowiedział sprawę Zawrzykrajki z Miechowickim Szmulem.

— A ty dla nich chcesz wydobywać?

— Dla siebie — rzekł Zyzma.

— To idź ze Szmulem do spółki.

— Ja chcę mieć wszystko.

— I dla tego chcesz Szmulowi wydrzeć z gardła?

— Chcę.

— Zyzma tyś się wściekł, jeżeli ze Szmulem rozpoczynasz wojnę.

— Chcę i wygram — powtórzył Zyzma.

Mordek potarł ręką po czole.

— Dwadzieścia guldenów to nie za taki interes, gadaj inaczej.

— Trzydzieści i ani centa.— Przystajesz?

— Zobaczę — odpowiedział Mordek z tajemniczym uśmiechem. — Słuchaj — dodał — ty służysz gojom, ty trefniejesz.

— To i cóż?

— To żeś łajdak, bo goje są dla nas.

— Mordek tyś głupi -- przerwał Zyzma.

Głupi — a za co my mrzemy głód i marzniemy od zimna? — Harujemy dzień cały jak woły, latamy jak psy po błocie od świtu do nocy. Oni nic nie robią, jedzą, piją i leżą — oni panowie a my łapserdaki, łachmanami trzęsiemy, ale zbieramy, — to, co oni rozrzucą. — Im zawsze potrzeba, a my mamy co im potrzeba. My nie marnujemy — żyd rozpoczyna z dziesięcioma guldenami i dochodzi do! kroci; oni mają krocie i dochodzą do dziesięciu guldenów. — Ty głupi jesteś, jeżeli służysz gojom i dla nich pracujesz!! — Dasz pięćdziesiąt?

— Nie—odparł stanowczo Zyzma.

— No to Szmul będzie o tem wiedział, że taki łapserdak jak ty staje mu w drodze. Ty za głupi jesteś do takiego interesu, i dla tego wolę ja ze Szmulem trzymać. I to piwo coś mi wypił, i te cztery centy niech cię udławią.

Wyszedł trzaskając drzwiami. Zyzma z obojętnością i spokojem przyjął przekleństwo Mordka, zamyślił się jednakże szukając drogi wyjścia.

Postanowił żydów nie brać do spółki, i samemu wystąpić do walki z potężnym Szmulem Miechowickim. — Koszyk swój napełnił towarem potrzebnym do zamiany produktów, i wyruszył w stronę Bochni, aby brzegiem Raby na Ujście Solne dobić nazajutrz do Szczurowy na jarmark.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z poezyj Wiktora Gomulickiego. *)

ŻYCIE.

Człowiek na świat przychodzi nagi i bezbronny,
Z głową, równą rozumem kapuścianéj głowie;
Wątłe są jego siły, kruche jak szkło zdrowie,
I tylko do łakomstwa i gniewu jest skłonny.

Z niemowlęcej poczwarki wylęga się chłopię,
Istota niedojrzała jak zielone jabłko;
Książkę, źródło mądrości, przeklina i kopie,
I radby, żeby życie było „ciuciubabką".

Ziarno staje się kłosem, a chłopię młodzieńcem;
Lecz cóż to jest młodzieniec? rozhukana fala.
Chce panować, i sam jest namiętności jeńcem —
Chce gwiazd dostać, a skrzydła przy świecy opala.

Jako odlew stwardniały z wrzącego metalu,
Tak z młodzieńca mężczyznę urabiają lata,
Ten, chociaż ideały porzucił bez żalu,
Zbija nos za pieniędzmi i poklaskiem świata.

Dopiero doświadczenie jak dłoń arcymistrza,
Doskonali człowieka długim cierpień ciągiem;
Sąd jego coraz zdrowszy, dusza coraz czystsza,
I harmonijnym wreszcie staje się posągiem;

Jak orzeł, widzi kresy i ziemi i nieba,
Myśl ma jasną, cierpieniom czoło stawia dumne,
Zbadał zagadkę bytu, i wie jak żyć trzeba.
. . . .
Szkoda tylko, że wówczas kłaść się musi w trumnę!

PIOSENKA.

Nim czar miłosny,
Nim cuda wiosny
Porzucą nas,
Kochaj dziewczyno!
Niech płynie wino
Z pieśniami wraz!

Niech skrzą się oczy,
Zanim je zmroczy
Mogiły cień! —
Gdy minie pora,
Z mroków wieczora
Któż zrobi dzień?

Marzenia mylą,
A życie chwilą —
Pocóż więc śnić?
Dusza i zmysły
To węzeł ścisły;
Kochać to żyć!

---

*) Patrz „Przegląd literacki".

Wiek i jego prawa w wychowaniu

przez

Ludwika Hodolego.

(Ciąg dalszy).

Czy przypuścimy z sensualistami (Locke, Condillac), że umysł jest początkowo czystą tablicą, tabula rasa, czy z idealistami (Dekart, Leibnitz), że posiada on pewne wyobrażenia wrodzone, czy też przyjmiemy z Kantem transcedentalną doktrynę o formach myślenia, albo z empirykami przyznamy umysłowi samodzielność, mocą której on przerabia zewnętrzne wrażenia, mając jednak źródło samodzielności w organizmie a mianowicie w układzie nerwowym: — zawsze przyznać musimy, że umysł przebywa, jak ciało, pewne z góry wiadome stopnie rozwoju. Przyczyny tego rozwoju są czysto wewnętrzne. Skłonność do posiadania tego lub innego rodzaju wiadomości, budzi się w umyśle w chwili, gdy wiadomości te stają się dlań potrzebnemi, niby pokarm duchowy. Umysł posiada wewnętrzny bodziec, popychający go do rozmaitych czynności, odpowiadających stopniom jego rozwoju.

Zdawałoby się więc, że wychowanie należy zostawić całkiem opiece natury. Bo też rzeczywiście człowiek nabiera pewnych wiadomości nieświadomie od otoczenia, choćby mu ich wyraźnie nie podawano jako naukę. I tak ludzie dzicy nie wychowują osobno dzieci, a przecież one nabierają z czasem tej wiedzy i tych zdolności, jakie są starszym właściwe. Całe życie od samego urodzenia jest ciągłą nauką. „Ktoby żyjąc," mówi Śniadecki, „nie chciał się uczyć, musiałby zamknąć oczy, uszy zalepić i inne narzędzia zmysłowe nieprzebitą powlec zasłoną. Ale w towarzystwie człowiek tak jest obłąkany, tak zbity z toru przyrodzenia i tak od jego drogi daleki, tak jest napojony przesądem i błędem, że czego tylko nie nabył od bakałarza, z przymusu siedząc, ślęcząc lub kiwając się za stolikiem albo na szkolnej ławie, tego nie ma za naukę. Dlatego imię nauki przywołuje nam na pamięć bolesne wyobrażenie najsroższej nudy i męki, a my ludzie podług przepisu mądrzy dziwujemy się, że dzieci nauki nie lubią i strofujemy je za to."

Chociaż człowiek z wiekiem przez doświadczenie może się wielu rzeczy nauczyć nieświadomie od otoczenia, niejako pod opieką samej natury, to okoliczność ta nie zwalnia przecież wychowania od opieki rodziców i nauczycieli. Po pierwsze bowiem jest prawem natury, że im wyżej ustrojone są istoty, tem dłużej po przyjściu na świat same sobie rady dać nie mogą i potrzebują opieki. Nawet ów idealny Emil Rousseau, do ostateczności niemal zostający pod opieką natury, nie mógł się obyć bez nauczyciela. Powtóre trzeba zważyć, jak powolnym jest ów rozwój naturalny czyli owo wychowanie natury. Wychowanie, jak to Compte żąda, jest rzeczywiście do pewnego stopnia powtórzeniem historji rozwoju całej ludzkości. Człowiek od zupełnego niedołęstwa w stanie niemowlęcym i zupełnej niejako dzikości pierwszych lat życia, ma się sam dźwignąć do cywilizacyjnej wyżyny naszych czasów. To więc, co ludzkość zdobywała sama przez tysiące lat, co gorzkiem doświadczeniem i tysiącznemi nawet niebezpieczeństwami okupywała, miałby każdy człowiek na nowo wytwarzać i od prymitywnych do coraz doskonalszych dzieł postępować. Olbrzymia praca! tem trudniejsza, ile że w znacznej części ma być w młodości pokonaną, jeżeli nie mamy zostać kiedyś staremi dziećmi i wstecznikami. Taką pracę ułatwić i skrócić jest właśnie zadaniem sztuki wychowania: czego natura uczyła nas przez tysiące lat, tego uczy nas sztuka wychowania w niewielu latach.

W pedagogii zachowujemy jednak przecież ową zasadę: naturam sequi (iść za naturą) a to właśnie przez stosowanie metody nauki do natury wieku. Jak już na wstępie powiedzieliśmy, zasada ta była od dawna nieuniknioną w pedagogii i z konieczności musiano jej zawsze przestrzegać, chociaż nie bez wielorakich błędów to się działo. U najdawniejszych autorów znajdujemy ją mniej lub więcej dobitnie wygłoszoną tak, że dziwić się tylko wypada, jak oni mogli tyle niekonsekwencyi popełniać w szczegółach.

Comenius, któremu metoda poglądowa ma tyle inicjatywy do zawdzięczenia, zdziałał wiele dobrego także w zastosowaniu nauki do wieku. Powiada on wyraźnie, że „nauka odbywa się o tyle łatwo, o ile metoda jej postępuje za naturą.... Szkoły uczą błędnie najpierw języka a potem przystępują do rzeczy; sztukami odnoszącemi się do mowy (artibus sermocinatricibus) wstrzymuje się chłopców przez kilka lat i dopiero potem daje się im realia, jak matematykę, fizykę i t. d. A przecież rzecz jest substancją, słowo akcydencją, — rzecz ciałem, a słowo suknią.... Najpierw trzeba ćwiczyć zmysły, potem pamięć, następnie rozum, w końcu sąd. Umiejętność bowiem zaczyna się zmysłowem spostrzeżeniem, które przez wyobraźnię wprowadzanem bywa do pamięci a przez indukcję poszczególnych spostrzeżeń, tworzy potem rozum ogólne prawdy (pojęcia); w końcu wypływa pewna wiedza z sądu o dostatecznie zrozumianych rzeczach."

Metoda poglądowa Comeniusa, wiążąc uwagę ucznia nie tyle do suchych liter, ile raczej do rzeczy, których rozmaitość bawi najgnuśniejszego, starając się więc uprzyjemnić mu naukę w sposób jego wiekowi odpowiedni, znamionowała wielki postęp w swoim czasie i żałować tylko wypada, że mimo entuzjazmu, jaki przez długi czas dla niej żywiono, odstąpiono dzisiaj od niej osobliwie w początkowej nauce, i jakby zażądano od dzieci znowu, aby były bibliofilami, aby się więcej uczyły z despotycznego rozkazu: sic volo, sic iubeo (chcę tak, tak każę) niż z naturalnego zamiłowania do tego, co się mają uczyć. Rzecz to nader doniosła i dlatego poniżej wrócimy jeszcze do niej, tem więcej, ile że ona stanowi jeden z zasadniczych punktów stosowania nauki do wieku. — Cześć zasłudze Comeniusa, który wiele uczynił dla uprzyjemnienia dzieciom nauki!

Rousseau starał się również uwzględniać w wychowaniu wiek ucznia. Skarży się on w przedmowie do Emila, że „nie znamy dzieciństwa a najzdolniejsi trzymają się w uczeniu tego, co potrzebne jest do wiedzenia dla męża, nie zważając, co dzieci zdolne są nauczyć się. Oni szukają zawsze męża w dziecku, nie myśląc o tem, czem jest dziecko, nim się stanie mężem. Moim systemem jest rozwojowy pochód natury." Jeżeli u kogo jednak, to u Roussa znajdujemy obok prawdziwie świetnych myśli cały balast niedorzeczności i niewykonalnych wymagań. Mimo więc prób Basedowa i innych, mających na celu zrealizowanie poglądów Roussa, zasada nasza nie znalazła należytego oddźwięku w tym systemie, a chociaż była ostatecznie jedną z jego myśli przewodnich, skażoną została mnóstwem innych utopii. Dziwaczność w przeprowadzeniu tej zasady uderza już na początku, gdzie Rousseau żąda, aby jego wychowaniec aż do skończenia dwunastego roku życia nic się takiego nie uczył, coby wymagało jakiejkolwiek pracy umysłowej.

Pestalozzi wygłosił tę zasadę nader wybitnie, twierdząc, że wychowanie w całym swym przebiegu pod względem metod powinno się zgadzać z naturalnym procesem rozwoju umysłowego, że istnieje pewien porządek wewnętrznego rozwoju zdolności, że każda z tych zdolności w czasie swego rozwijania się potrzebuje odpowiedniego rodzaju wiedzy, że zatem jest zadaniem wychowania ustalić ten porządek i dostarczyć zdolnościom odpowiedniego materjału. Świetnych skutków nie osiągnął Pestalozzi z tą metodą, gdyż nie wykończył jej należycie co do szczegółów, a wreszcie i w tej formie nie znalazł dla niej odpowiednich wykonawców a więc i zastosowania praktycznego.

Śniadecki cały swój zarys fizycznego wychowania dzieci oparł na podziale według stopni wieku. Co już Montaigne, Baco, Locke, Rousseau, Basedow i inni podnieśli byli w tej mierze, ujął Śniadecki, przy swej specjalnej znajomości hygeny w systematyczną całość i wykazał, jakiego stopniowania należy używać z wiekiem dziecka w jego fizycznem wychowaniu. — Rzecz to także ważna w obec rozlicznych błędów, które i pod tym względem traktują dzieci niewłaściwie tak, jak starszych, albo degradują je niżej wieku. Dość tylko wspomnieć np. z jednej strony o licznych chorobach dzieci, pochodzących z przeładowania żołądka, lub z drugiej o grubej nieznajomości potrzeb dziecka, która powoduje ciągłe wojny z dziećmi o jedzenie, i prowadzi je w końcu do łasowania czyli po prostu do złodziejstwa. Tu nie rezonować nam na ślepo wedle humoru: „Więcej nie dostaniesz jeść, masz dosyć“ i t. d., tu trzeba uczyć się fizjologii, hygeny i jej się pytać, ile dziecko w jakim wieku potrzebuje przeciętnie pożywienia, bo, jeżeli dziecko prosi o jedzenie, to nie zawsze jest to jego kaprys, lecz najczęściej wymoga tkanek jego, które przecież ciągle odnawiają się i rosną, i bez pokarmu, jak mur bez cegieł, nie zbudują się z niczego a nawet zmarnieją.

Jak umysłowe wychowanie stosować do wieku dziecka, tem się Śniadecki nie zajmuje, w jednem tylko miejscu wyznaje zupełną swą w tej mierze bezradność. Powiada on, że nikt jeszcze nie wskazał prawideł, jakich władz umysłowych ma się używać, kiedy i jakim porządkiem, kiedy się te władze najprzód znajdują, jak rosną i jak następują jedne po drugich. Sam nie odpowiada on także na te pytania i zostawia je przyszłości a stawia tylko „tymczasowe prawidło, żeby dzieci takiemi powoli naukami zatrudniać, do jakich okazują zdolność i ochotę.“ Wyklucza on wprawdzie wyraźnie takie dzieci, które do niczego nie mają ochoty (nie powinien był właściwie ich wykluczać, lecz wskazać, jak postępować, aby ochoty nabrały, jeżeli nie mamy w pedagogii po spartańsku pozbywać się niedogodnych dzieci), ale mimo to nie wyraża się jasno, jak sobie rzecz przedstawia — tak. że tylko domyślać się możemy, że miał on na myśli uprzyjemnienie nauki stosownie do wieku. Trudno nawet inaczej wytłumaczyć sobie tę rzecz, gdyż wątpimy, aby on zechciał wychowanie zrobić tak dowolnem, żeby zależało od indywidualnej ochoty czyli raczej zachcianki dziecka. Tem mniej zrozumielibyśmy także żądanie kształcenia dzieci na specjalistów od pierwszych lat życia.

Herbart podaje także pewne wskazówki co do modyfikacji wychowania stosownie do wieku. Rozróżnia on cztery główne okresy młodości i tak je charakteryzuje:

1). Pierwszy okres obejmuje trzy pierwsze lata życia. Wychowanie fizyczne przeważa tutaj, wychowanie zaś umysłowe różnem bywa według stanów zdrowia. Przedewszystkiem należy teraz kształcić zmysły szczególnie wzroku i słuchu; wrażenia winne być rozmaite, ale nie zbyt silne i nie zbyt prędko zmieniane. Ćwiczyć wszystkie członki! Nie straszyć! Niech dziecko uczuwa swą nieporadność i bezsilność, bo to prowadzi do posłuszeństwa. Kształcić także mowę, aby była jasną i czystą.

2). Drugi okres od 4—8 roku życia Właściwa granica między tymi okresami nie leży w wieku, lecz w tem, że pierwsza nieporadność ustaje i dziecko zaczyna swobodniej i zręczniej używać członków i mowy. Im więcej dziecko może sobie pomódz, tem więcej trzeba je zostawić samodzielności. Kierownictwo natomiast winno nabierać więcej siły i surowości. (!) Przeszkadzać wyrabianiu się złych zwyczajów. Nie zostawiać dzieci samych, lecz szukać dla nich odpowiedniego towarzystwa. Ponieważ doświadczenie wzrasta a dziecko zadaje tysiączne pytania: dlaczego?, więc dla pobudzenia ciekawości podnosić rozmaitość przedmiotów przez przechadzki i t. d. Uczyć pierwszych początków czytania, pisania, rachowania, łatwych kombinacji, obserwacyj i t. d.

3). Wiek chłopięcy. Granicę między wiekiem dziecięcym a chłopięcym stanowi czas, kiedy chłopiec chętnie odddala się od starszych i nie czuje się niepewnym, jak dziecko, jeżeli jest w samotności. Od młodzieńca różni się chłopiec tem, że nie ma stałych i silnych celów, lecz żyje zabawami z dnia na dzień. Dlatego to należy chłopcu uporządkować czas. Naukę wiązać jeszcze do rzeczy zmysłowych, ale już i umysłowe uwzględniać. Nie pozwalać próżnować, zwłaszcza, że dzieci niechętnie spoczywają. Pojęcie prawa i słuszności dopiero teraz staje się przystępnem. Uczyć poezji, historji, nauk przyrodniczych, języków, gimnastyki. W ogóle ciągle zatrudniać chłopca, ale nie przeciążać.

4). Wiek młodzieńczy. Sam młodzieniec uczuwa już potrzebę dalszego kształcenia się. Ma jednak poznać swe stanowisko i nie pchać się, gdzie miejsce dla starszych.

Schwarz, jeszcze mniej niż Herbart zastanawia się nad tem, co dla którego wieku jest odpowiedniem, a charakteryzuje tylko ogólnie poszczególne okresy młodości. Rozróżnia on trzy okresy: 1) wiek dziecięcy od urodzenia do 6go roku: zmysłowość przeważa; 2) wiek chłopięcy aż do skończenia 14go roku: wewnętrzna działalność uwalnia się od związania ze zmysłowością; 3) wiek młodzieńczy od 14go do 25go roku: pełny rozwój wyższych sił umysłowych przy zupełnej świeżości niższych, stąd wahanie się między zmysłowością a umysłowością.

Wiek dziecięcy dzieli on jeszcze na trzy podrzędne okresy: a) okres niemowlęctwa do końca pierwszego roku: bezradność zupełna; b) okres naiwności do 4go roku: dziecko próbuje wszystkiego bez świadomości swych błędów; c) okres naśladownictwa (Periode der Naseweisheit, a więc właściwie: okres wściubstwa): dziecko naśladuje starszych, dąży do czegoś wyższego, robi uwagi o czynnościach innych, — sąd obudza się.

Pod względem moralnym odróżnia Schwarz także wybitne okresy wieku. Co w dziecku jest niegrzecznością, mówi on, staje się w chłopcu niecnotą lub złą skłonnością, w młodzieńcu błędem lub nawet zepsuciem, a w mężu występkiem, zbrodnią. Dziecko jest grzecznem, układnem; chłopiec już dobrym, pełnym talentów; w młodzieńcu występują cnoty, w mężu charakter.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROZCZAROWANY.

Nowella wenecka przez Tally-Ho.

(przekład z francuskiego).

(Dokończenie.)

Nareszcie podniesiono zasłonę.

W obszernej sali średniowiecznego zamczyska przechadzał się niespokojnym krokiem bohater sztuki, bandyta, który prawdopodobnie nie bardzo potrzebował ucharakteryzować się, aby godnie odpowiedzieć swojej roli. Patetycznym głosem, machając rękoma, wypowiedział długi monolog, którego z publiczności, zdaje się, nikt nie słuchał.

Naraz sala zagrzmiała trzykrotnym grzmotem oklasków. To córka bandyty ukazała się w głębi sceny.

Spojrzałem i ja w tę stronę, i jakżesz byłem zdumiony, widząc nadzwyczajne podobieństwo artystki z moją świętą Katarzyną. W pierwszej chwili zadrżałem z oburzenia, nigdy bowiem przez myśl mi nawet nie przeszło, aby bohaterka mego idealnego romansu mogła być aktorką; ale niebawem odzyskałem krew zimną, i przekonawszy się, że wzrok mnie nie myli, tem baczniej śledziłem rozwijający się przed memi oczyma dramat.

Artystka — trzeba jej to przyznać, grała swoją rolę z prawdziwym talentem. Z włosami rozpuszczonemi i spływającemi na śnieżne ramiona; z okiem pełnem gorącej namiętności i łkającym głosem; tarzając-

się u nóg ojca, którego błagała o ułaskawienie kochanka, na śmierć skazanego — wykonała tę trudną scenę z taką prawdą i przejęciem się, że z frenetycznym zapałem oklaskiwano ją, a kobiety nawet w łożach pierwszego piętra, nie mogły powstrzymać się od płaczu.

Zatwardziały zbrodniarz nieczułym jednak pozostaje na błaganie córki; biedna dziewczyna zalewa się łzami i wychodzi zrozpaczona.

Na scenie ściemnia się powoli, bandyta zasypia przy łagodnych tremolowych dźwiękach orkiestry.

Nagle wybucha burza, od której zamek bandyty wstrząsa się w swoich posadach, pioruny biją jeden po drugim, muzyka przechodzi w f o r t i s s i m o, a wśród tej piekielnej wrzawy, spostrzegam moją świętą Katarzynę, jak zakrada się cichaczem i na palcach podchodzi do aktora, odgrywającego jej ojca.

Zimny pot wystąpił mi na czoło; sam nie wiedząc dla czego, zerwałem się z miejsca i żeby nie upaść, konwulsyjnie schwyciłem obu rękami za poręcz stojącego przedemną fotelu.

W prawej ręce trzyma ona pistolet; cofa się parę kroków, i przy świetle błyskawic, bezprzestannie rozjaśniających scenę, mierzy w uspionego artystę.... Strzał pada a echo jego rozlega się w najdalszych zakątkach sali....

* * *

Machinalnie padłem napowrót na krzesło; jakiemś strasznem tknięty przeczuciem, zrozumiałem, że broń która podobny huk wydała, musiała być kulą nabita.

Nikt więcej z publiczności nie zdawał się czegokolwiek domyślać. Aktor rzucił się konwulsyjnie i potem ciężko opadł na łoże, ale w półświetle, panującem na scenie, trudno było rozpoznać, że konanie bandyty nie jest jak zwykle udaniem tylko.

Po niejakiej chwili dopiero burza przycichła, a na oświetloną uż scenę, zgodnie z wymaganiami roli, wraca dziewczyna prowadząc swego ukochanego.

Zanim jednak wielbiciele primadonny złożyli ręce do obowiązkowego powitalnego brawa, aktor grający kochanka cofnął się w przerażeniu, a towarzyszka jego straszny wydała okrzyk.

Jednocześnie widzowie siedzący bliżej sceny, spostrzegli, że ciało bandyty nurza się we krwi, a twarz jego i zaciśnięte ręce trupia okryła bladość.

Przerażeni pozrywali się z miejsc, a w całej sali zgiełk powstał niesłychany.

Patrzałem na to wszystko odurzony, jakby w sennem marzeniu; z niewypowiedzianem uczuciem słuchałem rozpaczliwych jęków aktorki, która bez przytomności prawie rzuciła się na trupa. Przemocą trzeba ją było oderwać od niego; kilku lekarzy znajdujących się wśród publiczności, pospieszyło z pomocą na scenę.

— S a n t i s s i m a V e r g i n a! zawołał ktoś obok mnie. To jej mąż! Co za nieszczęście! Pistolet musiał być przez nieuwagę nabity kulą, i nikt o tem nie wiedział.

— Biedna kobieta! oszaleje z rospaczy! odezwano się z drugiej strony. Fatalny wypadek!

A podczas gdy publiczność objawiała w ten sposób swoje współczucie, dochodziły mię ciągle jęki aktorki, pomimo że wyprowadzono ją za kulisy.

Spuszczono kurtynę i jednocześnie ukazał się reżyser i przeprosił publiczność, że wskutek opłakanego wypadku, jaki co tylko się zdarzył, przedstawienie nie może być dokończone.

Zainterpelowano go z galerji:

— Spodziewamy się, że cios nie był śmiertelny?

— Na nieszczęście, s i g n o r e, śmiertelny! odpowiedział smutnym głosem reżyser, i cofnął się złożywszy poprzednio głęboki ukłon.

Razem z całym tłumem widzów opuściłem teatr, i zaledwie z trudnością znalazłem wolną gondolę, którą popłynąłem do domu cichemi wodami kanału, osrebrzonemi łagodnem światłem księżyca.

W godzinę później stałem przed moim obrazem, zadając sobie pytanie, czy podobna, aby te anielsko-łagodne rysy mogły wyobrażać zbrodniarkę? — Przyszedł mi na myśl bilecik wczorajszy, ale i ten dziwny zbieg okoliczności nie był w moich oczach wystarczającym dowodem; zasłoniłem jednak płótno, które teraz przykre tylko wywierało na mnie wrażenie....

* * *

Tego samego wieczora jeszcze wiadomość rozeszła się po mieście, i fatalny wypadek w teatrze Doży stał się przedmiotem dyskusji po kawiarniach i innych miejscach publicznych. Żałowano powszechnie zabitego aktora, ale większe daleko współczucie objawiano dla nieszczęśliwej jego żony, którą los okrutny uczynił mimowolną mężobójczynią.

Następnego poranku dowiedziałem się z dzienników, że zbierają składki, w celu przyjścia z pomocą utalentowanej a tak srodze dotkniętej artystce. Nic też dziwnego, że nasłuchawszy się i naczytawszy niezliczonych pochwał dla mojej nieznajomej, zacząłem sobie na serjo robić wyrzuty, iż chociaż na jedną chwilę mogłem był zwątpić o jej niewinności.

Zmierzchało już, gdy według zwyczaju wyszedłem na balkon z poobiedniem cygarem, popatrzeć na przesuwające się gondole. Jeszcze pięć minut nie upłynęło, kiedy jedna wioząca zawelonowaną kobietę, zatrzymała się przed mojemi drzwiami. Zmięszałem się bardziej jeszcze, aniżeli podczas wczorajszego wystrzału, a gdy kobieta wyskoczywszy lekko z gondoli znikła we dzwiach, gwałtowne bicie serca o mało mi piersi nie rozsadziło.

Kiedym szedł naprzeciw niespodziewanego gościa, nowa ogarnęła mnie wątpliwość.

— Mógłżebym do tego stopnia dać się uwieść łudzącemu podobieństwu dwóch obcych sobie istót? Nie, to nie podobna!

Drzwi zwolna otworzyły się, a na progu ukazał się model mojej świętej Katarzyny.

Młoda kobieta rzuciła w okół badawcze spojrzenia, i przekonawszy się, że jesteśmy sami, uchyliła welon, uroczą twarz jej anielski okrasił uśmiech, a jednocześnie zapytała melodyjnym swym głosem:

— Otrzymałeś pan mój list? Byłeś w teatrze?

Wpatrując się w nią badawczo, odrzekłem:

— Poszedłem do teatru i byłem świadkiem..... wypadku...

— Tak, tak, masz pan słuszność — przerwała mi śmiejąc się — to był wypadek tylko.— Bydlę, nie chciał mnie puścić wczoraj do pana i nawet skopał mnie nogami. — Otóż na złość jemu, jestem tutaj! i już mnie więcej kopać nie będzie! Przy pomocy Madonny pozbyłam się go raz na zawsze.. Niech imię jej będzie błogosławione! — Możesz pan teraz malować swój obraz kiedy zechcesz, i jak długo będzie się panu podobało.

— Obawiam się, s i g n o r a, że już nie będę mógł korzystać z jej uprzejmości.... Czy pani wiedziałaś że.. że pistolet był nabity kulą?

— Czy wiedziałam! odrzekła czarująco uśmiechnięta i nachylając się ku mnie tak, że oddech jej czułem na mej twarzy. — Czy wiedziałam? ależ własną nabiłam go ręką!

Gdy to mówiła, wzrok mój mimowolnie padł na obraz, gdzie wśród zmroku panującego w pracowni, rysy jej prawie o dziewczęcej naiwności, odbijały się jakby w źwierciedle.

— I pani sądziłaś — zawołałem w najwyższem oburzeniu że ja zechcę malować obraz świętej z rysami zbrodniarki, mężobójczyni?!

— I dlaczegożby nie? Czyliż moja twarz zmieniła się od wczoraj? zapytała widocznie strwożona. Czyliż dzisiaj jestem mniej piękną?.. Zbrodniarka! mężobójczyni! Straszne rzeczy! Mówisz pan do mnie jakbyśmy oboje byli dziećmi. Znalazłam sposobność uwolnienia się od męża, który traktował mnie jak bydlę, a pan chciałbyś we mnie wmówić, że nie

powinnam była korzystać z tej sposobności. Ja jestem innego przekonania i zdania mojego nie zmienię. Co uczyniłam, uczyniłam jedynie dla pana i dla świętej Katarzyny......

— Żal mi pani bardzo — przerwałem — o tak... bardzo ubolewam nad tym wypadkiem; — ale teraz już nie mógłbym patrzeć na nią bez wstrętu. Proszę cię, signora, zostaw mnie samego!.. Zabierz sobie obraz jeśli ci się podoba, ale na miłość boską oddal się ztąd!...

Przez chwilę taka cisza zapanowała w pracowni, żeśmy słyszeli wyraźnie głosy gondolierów, przepływających kanałem.

— Dzieciak z pana, niedołęga! szepnęła z lekceważeniem. Trzeba mieć zajęcze serce, żeby coś podobnego twierdzić! W pańskich żyłach ani kropla krwi nie płynie.. .. Darujesz mi pan ten obraz?... O święta Katarzyno, coś tak podobna do mnie, która pokierowałaś moją ręką! bądź całe życie opiekunką i przewodniczką moją!...

Pocałowała własny swój portret i dodała jeszcze zwracając się ku mnie:

— Addio! moje ty kurczątko, co nie zdołasz ocenić bohaterskiego czynu! Ale to już nie pańska wina. Za to malujesz pan prześlicznie; z prawdziwą przyjemnością będę się modliła zawsze do pańskiej świętej Katarzyny. To bardzo pięknie z pańskiej strony, żeś mi ją podarował. Addio! addio! ale pan nie wspomnisz nikomu o moim bileciku?

— Możesz signora być spokojną o to. Tajemnicy nie zdradzę.

— Stokrotne dzięki, signore! Nie zapomnę nigdy o panu, bo odtąd świętą Katarzynę obieram sobie za patronkę moją. Addio, addio!

Wybiegła z pracowni ukrywszy płótno pod mantylą, słyszałem lekkie jej kroki, gdy zstępowała po marmurowych schodach, słyszałem plusk wody za odpływającą gondolą, — ale gniewny, oburzony i rozczarowany, nie ruszyłem się z miejsca, dopóki jasne promienie księżyca nie rozprószyły zmroku duszącego mnie jak zmora.

* * *

Nazajutrz opuściłem Wenecję. Za żadną cenę nie chciałem narażać się na spotkanie drugiej świętej Katarzyny, o anielskich rysach twarzy. Od tego też czasu nie wymalowałem żadnej świętej, ograniczając utwory mego pendzla na wyobrażenie tylko świętych rodzaju męzkiego.

Nigdy już potem nie zdarzyło mi się słyszeć cośkolwiek o artystce, która służyła mi za model; znałem ją zresztą tylko z imienia figurującego na afiszach, bo prawdziwego nazwiska dowiedzieć się nie pragnąłem. Prawdopodobnie musiała je w artystycznej swej karjerze niejednokrotnie zmienić, a kto wie czy nie zyskała rozgłośnej sławy, dzięki wrodzonemu talentowi i hojnym datkom, z jakiemi pospieszyła dobroczynność publiczna dla nieszczęśliwej wdowy.

W sprawie pomnika Mickiewicza.

Sprawa pomnika Mickiewicza stoi bezustannie na porządku dziennym, i zajmuje żywo wszystkich umysły. Nie dziwimy się temu. Jest to z pewnością kwestja wielkiej wagi i znaczenia, popularna, bo zajmująca zarówno wszystkie stany, w której każdy z nas zwyczajem ateńskim może zabrać głos i swoje własne wyrazić zdanie. Pomnik Mickiewicza jest w całem tego słowa znaczeniu sprawą publiczną, i jeżeli opinia ogółu w każdym razie powinna być wysłuchana, to ma ona w tym razie tem bardziej prawo wymagać posłuchu.

Mickiewiczowi stawia pomnik nie komitet, nie Kraków, nie klika, ale naród cały i stawia go z publicznie uzbieranego grosza. Autor „Tadeusza“ należy do całego narodu, a tak jak on czując się „milionem“ chciał przycisnąć do serca wszystkich rodaków, tak samo i te miliony, ubóstwiające swojego wieszcza, wszystkie kochają go równem sercem i chciałyby olbrzymiemu duchowi wieszcza wystawić pomnik, godzien jego wielkości i chwały.

Ztąd w sprawie pomnika tego podnoszą się tak liczne głosy, ztąd płynął ten usprawiedliwiony głos oburzenia, jaki się rozległ po ulicach Krakowa i po całym kraju w chwili, kiedy komitet pomnika ogłosił rozstrzygnięcie pierwszego konkursu na projekta premiując „Spłoszoną Kraskę“, i ztąd nakoniec sprawą pomnika dotychczas, wszyscy się zajmują żywiej nawet niż przedtem, wiedząc, że komitet niedorósł do wysokości swego zadania.

Nim więc zadanie to skończonem zostanie, zanim drugi konkurs będzie rozstrzygnięty, należałoby w każdym kierunku wyjaśnić rzecz całą i dlatego cieszy nas, że kwestja ta dotąd ani na chwilę nie zeszła z porządku dziennego.

Nieurządzono dotychczas powszechnego głosowania, które w rzeczach sztuki nie będzie zdaje się tak prędko urzeczywistnionem, ale nie oto też nam idzie. Nie chcemy bynajmniej, aby opinia ogółu wydawała zdanie swoje co się tyczy wartości projektu lub modelu (chociaż przekonani jesteśmy, że wzór pomnika dla Mickiewicza godzien przyjęcia, powinienby znaleść poklask powszechny i przyjęty być przez aklamację), ale chodzi nam o to, aby ów komitet znawców powołanych, czy nie powołanych, uwzględnił żądanie ogółu, co się tyczy miejsca, gdzie ma być pomnik ustawiony.

Konkurs na projekta proponował, jeżeli sobie dobrze przypominamy, trzy miejsc n pomnik. Jeden z tych projektów, aby pomnik Mickiewicza ustawić przy ściętym narożniku domu upadł bez dyskusji, bo był bezsensem, drugi, aby go postawić na placu Dominikańskiem ustąpił miejsca propozycji, która go mieć chciała na rynku przed Sukiennicami, o trzeciem zaś z miejsc wybranych, o wzgórku na plantach, vis-a vis Towarzystwa ogniowego, trwa dotąd dyskusja. Bylibyśmy próżni kłopotu, gdyby nam przyszło wybierać pomiędzy dwoma ostatnimi wyłącznie projektami. Tak jednak nie jest, z czasem bowiem przybyły propozycje inne, pierwsza, która pragnie postawić pomnik na plantaach przed nowo zbudować się mającą częścią uniwersytetu, i drugi projekt postawiony prywatnie, mimo to jednak zasługujący na pewną dyskusję z tego powodu, że przemawia za nim wielu artystów, projekt postawienia pomnika na Wawelu.

Rozbierzmy wszyst kie projekta, a zważmy przedewszystkiem, że pomnik ma być, odlany z bronzu.

Ostatni ten wzgląd sam przez się sprzeciwia się ustawieniu pomnika na wzgórku plantacyjnym przy ulicy Widok. Ci, którzy wychwalają to miejsce, powiadają, że najpiękniej by było poecie stać pośród wieńca kwiatów i zieleni drzew. Zapewne, zgodzilibyśmy się na to chętnie, gdyby posąg miał być kuty z marmuru, ale...

Bronzowy pomnik musi mieć koniecznie za tło linie architektoniczne i ornamentykę wspaniałą jakiegoś gmachu. Mickiewicz więc nie może stanąć na plantach.

A zatem Wawel, lub rynek przed Sukiennicami?

Jeżeli powiedziano, że Kraków jest sercem Polski, a rynek sercem Krakowa, to możnaby powiedzieć tak samo, że Wawel jest co najmniej Polski koroną. Porównanie to nie gorsze od innych, ale cóż? kiedy porównania niczego nie dowodzą.

Rynek jest sercem Krakowa tak, jak w ogóle rynek jest sercem każdego miasta, ale sercem dla... handlu. Wawel jest koroną, lecz korona nie na to jest, aby na niej stawiano pomniki. Mickiewicz stać nie może w rynku pośród handlujących i nie może stać na Wawelu, który wkrótce stanie się rezydencją monarchy.

Pomnik wieszcza, który jest chlubą współczesnych pokoleń, a ma być wzorem i przykładem dla przyszłych, powinien stać koło uniwersytetu. Autorowi „Ody do młodości“ będzie z pewnością pośród młodzieży najlepiej,

młodzieży obok niego będzie ciepło i zapalnie. Mickiewicz był poetą, komuż bardziej przystoi poezja, jeżeli nie młodzieży! Był profesorem, oby był więc wzorem dla obecnych przewodników rosnącego pokolenia! Był obywatelem i człowiekiem, niechaj więc i pomnik jego z granitu i spiżu będzie spiżowym dla innych przykładem.

Ze wszystkich projektów dotychczasowych, projekt postawienia pomnika Mickiewicza przed uniwersytetem, wniesiony na Radzie miejskiej krakowskiej przez p. Rzewuskiego, najlepiej przemawia nam do serca, a trzeba wiedzieć, że jest on także jedynie możebny ze stanowiska artystycznego.

Powiedzieliśmy wyżej, że posąg spiżowy musi mieć tło architektoniczne, a gdzież je łatwiej zastosować aniżeli przy nowobudującym się gmachu?

Kto widział plan tej części jego, przed którą ma stanąć pomnik, zachwyca się projektem, a rzeczą komitetu pomnikowego i artystów zresztą będzie rozstrzygnąć, jakie tło w tym razie będzie stosowniejsze. Co do nas, w obec projektu o którym mowa, niemożemy nic innego uczynić, jak gorąco zalecić jego przyjęcie. Może się mylimy jednak, i dlatego rozumowanie nasze chętnie poddajemy dyskusji.

B. S.

Przegląd literacki.

(Lira polska, tom drugi; Poezje Wiktora Gomulickiego. Warszawa, nakład Lesmana i Świszczowskiego 1882).

Był czas, kiedy należało do sportu krytycznego twierdzić, że poezja nasza po wielkich mistrzach epoki romantycznej skazaną została na zagładę, że przestała już istnieć i nic jej wskrzesić nie zdoła. Trąbili w ten puzon krytyczni koryfeusze, powtarzała ich zdanie publiczność — mimo to jednak kategoryczne to twierdzenie pokazało się wkrótce bezpodstawnem. Po pewnej pauzie odezwały się znowu głosy poetów prawdziwych, którzy jakkolwiek nie dorównywają pod względem siły pierwszorzędnym naszym wieszczom, mają wszelką rację bytu. Po romantyzmie i jego epigonach nastąpił kierunek realistyczny, i ma już obecnie swoich reprezentantów, z którymi bądź co bądź krytyk liczyć się musi, reprezentantów odczuwających stan społeczeństwa i jego prądy i dających im wyraz podług możności w swoich utworach. Kierunek ten, jak każdy nowy, nie jest jeszcze jasno skrystalizowany, nieda się jednak zaprzeczyć, że istnieje i ma pisarzy, którzy go z talentem uprawiają. Nie wielu ich, nie wielu, bo też w ogóle mało u nas ludzi piszących wiersze, którzyby na miano poetów zasługiwali; ci jednak którzy są, o ile siły starczą popychają poezję na nowe tory, i wskazują jej nowe źródła natchnienia.

Z pomiędzy owych nielicznych tegoczesnych naszych poetów, obok Marji Konopnickiej, której prym oddać należy, zasługuje na szczególną uwagę Wiktor Gomulicki. W Galicji prawie on nieznany, chociaż już od lat kilku używa w Królestwie zasłużonego uznania. Talent to bezwarunkowo głęboki, odczuł on nowe prądy wstrząsające społeczeństwem, i w tym kierunku rozwinął swoją działalność. Czy z wiedzą, czy bezwiednie? Zdaje nam się, że to ostatnie jest prawdopodobniejsze. W utworach jego, jak w kalejdoskopie, przesuwa nam się przed oczyma — liryka dawnej szkoły, trącąca często sielankowym sentymentalizmem, często spotyka się nawet utwory z pewnym klasyeznym kolorytem, jednak obok nich nie brak rzeczy zaczerpniętych z życia, owianych realną prawdą i dla tego porywających czytelnika, który umie czuć i myśleć. W pięknym wierszu umieszczonym na czele drugiego tomiku „Liry polskiej,“ Gomulicki z siłą kreśli nowe tory, po których poezja kroczyć powinna. Pisze on:

„O wieszcze, dzieci bogów! Czemu z waszej lutni,
„Rzadko płyną te dźwięki, co są życia echem?
„Czyż nie umiecie śmiać się naturalnym śmiechem,
„I naprawdę być gniewni, pragnący być smutni?
„Czemu maską aktora lica swe kryjecie?
„Czemu więzicie w piersiach zapał uczuć szczery?
„Rzućcie trwogę! Nikt orłu granic atmosfery,
„Nikt granic możliwości nie wskaże poecie!
„Koturny czas wam rozzuć, czas wam zejść ze sceny —
„Kłamstwo uczuć zostawcie zalotnej niewieście,
„Bądźcie tem — w waszych pieśniach, czem w życiu jesteście,
„Z waszej muzy przeczystej nie róbcie syreny!
„Od noszenia barw cudzych niech was bogi strzegą!
„Dusza winna być własna, a nie pożyczona,
„Pocóż myśleć myślami Danta lub Bajrona?
„Bądźcie sobą — nad prawdę cóż jest piękniejszego?

Gomulicki nie zawsze pozostaje wierny hasłom wypowiedzianym w powyższym programowym wierszu, są to jednak drobne zboczenia, które łatwo wytłumaczyć, zwłaszcza jeśli zważymy, że utwory pomieszczone w omawianym przez nas zbiorku należą do rozmaitych czasów. Z pomiędzy wszystkich utworów młodego poety najlepiej nam się podobał wiersz p. t. „El mole rachmim“, w którym autor opisuje wrażenia żydowskiej pieśni za zmarłych. Świetna opisowość łączy się w tym wierszu z prawdziwem uczuciem i głębokim na świat poglądem. Do udałych wierszów społecznych zaliczamy. „Z niskich lotów“, „Frons“, „Cierpienie to burza“ — „Usnęły dzieci“ i inne. Jedną tylko mają wadę — przeważa w nich dydaktyka, w skutek czego brak im owej werwy, która porywa czytelnika. Utwory czysto liryczne daleko są słabsze i pisane po większej części na znane jej dobrze tematy. Gomulicki próbuje także sił swoich w kierunku satyrycznym i to z niezaprzeczonym sukcesem. Takie wierszyki jak „Na kanonji“, lub „Syn obywatelski“ — to perełki rodzimego humoru. Jeźli jednak w czem trzeba Gomulickiemu przyznać talent niepospolity, to w opisowości. Umie on odczuwać naturę, maluje ją barwnie, szerokimi rzutami, porównania jego są zawsze i zręczne i śmiałe. Niestety większego poematu epickiego nie napisał dotychczas i kto wie czy kiedy napisze, nie czas nam jeszcze bowiem na nową opopeję..

Co się tyczy formy należy mu się oddać wszelkie uznanie. Włada nią wyśmienicie — wiersz jego jest gładki, potoczysty i wykwintny. Pod tym względem nie możemy podnieść żadnego zarzutu.

Jako ilustrację naszej recenzji podajemy powyżej dwa wiersze Gomulickiego, które choć w części dadzą czytelnikom sposobność poznać rodzaj i wartość jego talentu.

Alg...

Monografia miasta Przemyśla, napisał Leopold Hauser, z widokami i starożytnym planem miasta. — Przemyśl, nakładem księgarni braci Jeleniów, 1882 r. str. 274 w 8-ce.

Dzieje miast naszych — to białe jeszcze prawie karty w historji szlacheckiej naszej Respubliki. A jednak karty te ciekawemi zapisze jeszcze nauka faktami. Żywioł miejski, bądź co bądź odegrywał ważną rolę w Rzeczypospolitej i wpływał na jej losy, choćby przez to właśnie, że nie wzmógł się do tego znaczenia, jakie zająć był dla korzyści ogólnej powinien. I wtedy zresztą, gdy miasta nasze nie odegrywały roli wybitnej, odbijał się na nich jaknajdokładniej stan rzeczy w państwie, i tu może najjaskrawiej występowały wady i braki naszej dziejowej przeszłości.

Nim jednak przyszły historyk zobrazuje dokładnie dzieje miast naszych i żywiołu miejskiego, potrzebne są monografie pojedynczych grodów, które posłużą dopiero za materjał do tych dziejów.

Jedną z takich monografii dał nam właśnie p. Hauser. Praca cała dzieli się na dwie części: historyczną i statystyczną. W pierwszej opisuje nam autor przedewszystkiem archiwa przemyskie, których jest siedem; z nich zaś starożytne archiwum miejskie, dzięki uchwale rady z 1874 i benedyktyńskiej pracy p. Mieczysława Błażowskiego jest starannie uporządkowane i rozklasyfikowane. Archiwum to pozwala nam wejrzeć dość szczegółowo w wewnętrzne dzieje miasta, a dzieje te służyć mogą poniekąd za typ histo-

rycznych losów naszych grodów. Zapoznajemy się tu z ustrojem miejskiego samorządu, z organizacją cechów, stosunkiem miast do państwa i innych stanów, staje nam przytem przed oczyma cały historyczny przebieg losów Przemyśla.

W końcu XV, w. XVIym i początku XVII w., miasto nasze stoi u szczytu zamożności. Wraz z ogólną pomyślnością kraju kwitnie przemysł i handel, rozwi a się samorząd, w parze zaś z t m idzie oświata. Żywioł niemiecki zlewa się zupełnie z polskiem mieszczaństwem; mieszczanie, nie tylko umieją czytać i pisać, lecz chętnie nawet uczone księgi czytają Z początkiem XVII w. zmienia się obraz zupełnie. „Im bliżej XVIII w. tem więcej upada oświata w mieście, znajdujemy coraz mniej rajców i ławników, umiejących się podpisać, na końcu zaś pomimo szkoły jezuickiej w mieście, z której korzysta wyłącznie prawie szlachta, ciemnota panuje w mieście ogólna, gdyż burmistrz rajca albo ławnik umiejący czytać, należy do osobliwości.“ „Pokorna“ suplika miasta J. K. Mci Przemyśla na sejmik Wiszniеński spisana, podaje nam następujące przyczyny upadku miasta: a) zniszczenie przez wyderkafy; b) posiadanie i poodbieranie kamienic i n s u a m p o s s e s i o n e m przez różnych Ichmościów szlachtę i księży; c) ciężkie pogłówne; d) calamitates (t. j. różne klęski jak pożary, napady nieprzyjaciół i przechody wojsk. e) rozbieranie pustych kamienic do klasztorów przemyskich s i n e c o n s e n s u miasta i owszem p r o p r i a a u c t o r i t a t e. Miasto chyli się szybko do upanku. Konskrypcja z r. 1660 wykazuje jeszcze 2662 dymów, w r. 1700 znajdujemy już ich tylko 130. Natomiast wzrasta liczba klasztorów i kościołów: w wieku XVII zubożały Przemyśl posiada 17 kościołów i cerkwi, oraz 10 zakonów....

Wyznać należy, że w tym upadku miasta, żydzi, zajmując według ówczesnych wyobrażeń i stosunków, odrębne, wyjątkowe stanowisko, odegrali rolę polipa, który rozkładający się organizm miejski do szpiku przegryzał. W r. 1542 znajdujemy w Przemyślu tylko 18 rodzin żydowskich, liczba ta jednak szybko się zwiększa, nie wciela jednak oczywiście do chrześcijańskiego ówczesnego grodu, lecz wyosabnia i zakłada osobne „żydowskie miasto Przemyśl“ — miasto w mieście. Z natury przytem rzeczy, żydzi nie tylko wyosobniają się, lecz starają się uchylać o ile można, od ciężarów miejskich; podkopują przytem ówczesny przemysł i handel miejski, oparty na przywilejach i cechowej organizacji, uzyskując na to u władz wyższych osobne przywileje. Nie zwalamy tu całej winy na żydów, widzimy tylko, jakie skutki pociągnęło za sobą postawienie obok siebie dwu odrębnych i odrębnie uprzywilejowanych organizmów, które musiały prowadzić z sobą zaciętą walkę o byt. W tej wewnętrznej walce żydzi zwyciężyli. W 1663 r. znajdujemy już tylko 11 kupców chrześcian, w 1740 nie ma już ani jednego.

Monografia p. Hausera ułożona jest nader starannie — że jest pouczającą, widzą czytelnicy z powyższych choćby wyjątków.

E. R.

Przegląd muzyczny.

Cisza — a muzyka, to zdaje się dwa wzręcz przeciwne pojęcia. A jednak w naszym świecie muzycznym panuje ta cisza, albo jak mówi p. Mikuli idealne p i a n i s s i m a, których jednak niestety nikt nie słyszy. Jeżeli nie zlituje się jaki obcy muzyk nad... własną kieszenią, i nie zapała szlachetną chęcią pozbawienia naszej publiczności kilkuset guldenów, ograniczeni jesteśmy jedynie na obowiązkowe koncerta Towarzystwa muzycznego, produkcyj bowiem amatorskich, których u nas nie brak, nie można traktować na serjo. Ponieważ p. Ondrziczek i towarzysze dawno już bawią w Pradze, a żaden z innych gości do nas nie zawitał, rozpoczynamy rubrykę poświęconą muzyce, jak to było do przewidzenia — pierwszym w obecnym sezonie, a czwartym za rok 1881|2 koncertem Towarzystwa muzycznego. Oto referat naszego sprawozdawcy:

Rozpoczęto go znaną we Lwowie symfonią Rebera (es dur), wykonaną tym razem nienagannie przez orkiestrę Towarzystwa. Następnie p. Gerbicz odśpiewał z towarzyszeniem orkiestry kompozycję solową dyr. Mikulego „O salutaris hostia“. Utwór ten napisany w stylu poważnym, jak tego zresztą wymagał jego charakter i przeznaczenie, odznacza się przedewszystkiem nader wdzięczną instrumentacją. Pan Gerbicz, jakkolwiek dysponował głosem swobodnym i śpiewał czysto. przecie wiele jeszcze pozostawił w wykonaniu do życzenia, co głównie przypisać należy tej okoliczności, że kompozycja wspomniana wymaga koniecznie nadzwyczaj silnego, świeżego i rozległego głosu tenorowego.

Jako numer trzeci koncertu, zapowiedziały afisze produkcję na organach z 2 klasycznych kompozycyj, mianowicie z adagia ze sonaty a-mol, Mendelsohna-Bartholdy, i J. S. Bacha preludium i fugi (a-moll). Obydwa utwory wykonał p. Przibik, kapelmistrz orkiestry teatralnej, a wywiązał się z trudnego zadania tak znakomicie, że zupełnie zasłużone były huczne trzykrotne oklaski, któremi zachwyceni słuchacze nagrodzili mistrzowskiego organistę. Gra p. Przibika łączy w sobie skończoną technikę z głębokiem poczuciem artystycznem: interpretacja jego jasna i porywająca, prowadzenie tematów równe i wyraźne, precyzja w pasażach znakomita, akcentowanie odpowiednie.

W dalszym ciągu odśpiewał chór męzki z akompaniamentem 4 waltorni „Wiosnę“ Goldmarka. Śliczny ten utwór słyszeliśmy już minionego roku — w wykonaniu jego i tym razem dawał się czuć brak tenorów w chórze Towarzystwa muzycznego.

Na zakończenie wykonano „Marsz“ ze mszy koronacyjnej Cherubiniego, i „Pavane,“ nader charakterystyczny taniec z XVI wieku. Pierwszy, jakkolwiek utwór klasyczny i wykonany został zadowalająco, nie zrobił jednak należytego wrażenia, będąc tylko fragmentem, wyrwanym z wielkiej całości.

W.

ZIARNKA.

Ostatni tydzień przyniósł nam fakt, który rozbrzmiał szeroko po całym kraju. W chwili, gdy poprzedni numer naszego pisma był już wydrukowany, Matejko ofiarował obraz swój „Hołd pruski“ n a o z d o b i e n i e j e d n e j z e ś c i a n W a w e l u, który „ma być odnowiony i przemieniony na rezydencję monarszą.“ Za ten czyn wyprawili mu posłowie sejmowi objad, a tegoż dnia wieczorem odbył się we Lwowie na jego cześć pochód z pochodniami. Ofiara pozostaje ofiarą, jednakowoż nasuwa nam się uwaga, że w ten sposób arcydzieło Matejki będzie tak odosobnione i nieprzystępne dla ogółu. Wielki dar Siemiradzkiego, uczyniony w chwili serdecznego zapału, zainaugurował równocześnie urządzenie galerji narodowej w Sukiennicach. Śladem mistrza Henryka poszło kilkudziesięciu innych artystów, a wszystkie te dary zebrane razem, byłyby może już wkrótce doprowadziły do utworzenia m u z e u m p u b l i c z n e g o. Proszony w swoim czasie Matejko o przyczynienie się darem jednego z dzieł swoich na rzecz g a l e r j i w S u k i e n n i c a c h, przyrzekł to uczynić, ale rozmyślił się z czasem, i przeznaczył „Hołd“ do jednej z sal Wawelu...

* * *

Dar Matejki uroczyście nastroił naszą prasę Podniesiono diapazon o oktawę wyżej od zwykłego tonu, i zaśpiewano dyszkantem... górnego stylu. I śpiewała też nasza prasa wszystkiemi tonami górnego rejestru, przyczem oczywiście niejeden popełnił a kiks, ale już takiego k o g u t a nikt nie wyciął jak „Kurjer Warszawski“, znany właśnie z sadzenia się na kwiecistą (!) stylistykę. Oto bowiem co pisze on o darze Matejki:

„Jak kwiat lotosu wyrasta on z morza goryczy, którą przepełnia widok dysonansów społecznych, trwożących oko myśliciela, widok

bezsilnych i nietwórczych, bo nie zgodnych i samolubnych krzątań się około roli, zmieniającej się snadniej, niż trzeba, w prosty ugór przy braku tych cnót obywatelskich, które krzepią płodność ziemi“.

Więc się okazuje, że dar Matejki jest kwiatem lotosu, który wyrasta z morza (a notabene lotus w morzu nie rośnie). Morze to jest z goryczy, a tę gorycz przepełnia widok (!) dysonansów społecznych, które nie ucho ale oko myśliciela trwożą; oprócz tego przepełnia tę gorycz (bo snać chociaż przepełniona nie jest ona jeszcze pełną) widok (!) krzątania się około roli, która zmieniła się w ugór, z powodu iż niema w niej cnót obywatelskich, pełniących rolę nawozu. Ten który widział takie morze, mógłby zaprawdę poświęcić się dla społeczeństwa i pełnienie owej roli przyjąć na siebie. Gorycz przestałaby się przepełniać widokami, a publiczność nie czytałaby takich kołowacizn literackich.

* * *

Wydział lwowskiej Czytelni akademickiej wydał odezwę do młodzieży uniwersyteckiej, w której nawołując ją do liczniejszego niż dotąd zapisywania się do tego ogniska, następującemi słowy maluje obecne usposobienie tej młodej garści naszego społeczeństwa.

„Dziwna obojętność młodzieży dla celów, rwących polskie społeczeństwo do rozwoju i odrodzenia.... ospałość i zapoznanie potrzeb solidarnego łączenia się w jedno potężne ciało — wszystko sprawiło, że Czytelnia straciła cechy ogniska, że pomawiać można młodzież akademicką lwowską o brak przewodniej idei, brak jasno wytkniętego celu....“

Do tej dyagnozy, dokonanej przez samą młodzież, nic dodać nie potrzebujemy, zamiast więc roztaczać jeremiaszowe żale, zapytajmy raczej — co wyprowadzić może młodzież z tej „obojętności dla celów, rwących polskie społeczeństwo do rozwoju i odrodzenia,“ co dać jej może „ideę przewodnią i cel jasno wytknięty?

Nie dla usprawiedliwienia młodzieży, lecz dla uzupełnienia tylko obrazu winniśmy dodać, że tak trafnie przez wydział Czytelni odmalowany nastrój młodzieży akademickiej jest odbiciem stanu naszego społeczeństwa, nie zupełnie więc słuszny jest zarzut, jaki czynią autorowie odezwy, że młodzież nie podąża za celami, „rwącemi polskie społeczeństwo po drodze odrodzenia i rozwoju.“

Faktem jest, że polskie społeczeństwo w swej nietylko młodej lecz i dojrzałej części (a mamy na względzie głównie stosunki tutejsze) — nie rwie się wcale obecnie ku swemu odrodzeniu, i nie bieży zbyt rączo ku celom rozwoju. Dawne hasła straciły swą moc odradzającą; ci, którzy sztandar ich nieśli kiedyś wysoko, ostygli, poszli po innych drogach; gromkie dawniej i potężne hasła stały się wytartemi frazesami, cele mgłą się zasnuły i zblakły.

Nie ma więc za kim iść nasza młodzież — czyż ma ona jednak gnuśnieć w bezmyślności i ciasnym tylko hołdować widokom? Nie — młodzież sama z siebie wytworzyć winna siłę młodą i świeżą, która całe społeczeństwo do nowego życia pobudzi. Ona sama winna być tym ożywczym strumieniem, który rozniesie po arterjach społecznych krew młodą i świeżą, co przyspieszy zwolniałe tętno naszego życia.

Ażeby jednak młodzież spełniła to zadanie, które się jej z prawa natury należy, nie wystarczy młodość tylko i zapał. Nie wystarczy! Młodzież winna podnieść nowe hasła, ogrzać je swem ciepłem, dać im ciało i krew, wynieść na swych barkach — wtedy dopiero ona „porwie“ za sobą lepsze siły całego społeczeństwa.

Sztandar nowych idei! Idee żyją wraz z społeczeństwem: rodzą się, dochodzą swej pełni, więdną wreszcie i starzeją się — ponieważ jednak społeczeństwo nie umiera, idee więc społeczne nie umierają, lecz odradzają się tylko, odmładzają, rozwijają. Młodzież, to warstwa, w której społeczeństwo odradza się, rośnie, rozwija — tu więc i idee społeczne nabierają swej siły żywotnej. Trzeba tylko żeby młodzież podniosła i ukochała nowe idee. „Młode wino nie leje się w stare miechy.“

* * *

Pewien początkujący autor chiński napisał utwór p. t. „Thea, czyli małżeństwo w Chinach“, rzecz tak słabą, że żaden dyrektor teatru w jego ojczyźnie, nie chciał jej przyjąć do grania. Nie dość na tem; jeneralny prokurator państwa niebieskiego, dowiedziawszy się, że niefortuny autor „popełnił“ utwór przynoszący hańbę całej chińskiej literaturze, powołał go do siebie, i oświadczył kategorycznie, że mu każe podług narodowego zwyczaju brzuch rozpłatać, — a uwolni go od tej kary chyba wtedy, jeżeli uda mu się ten utwor przedstawić w Europie, i w ten sposób zemścić się na nienawistnych cywilizatorach. Grać to w Europie, czego w Chinach przyjąć nie chciano?— rzecz trudna — źle będzie ze szlachetną częścią autorskiego ciała, na którą zagiął parol prokurator jeneralny. Autor chodził jak struty, wychudł, zbladł, warkocz mu posiwiał. Wtem spotyka znajomego cudzoziemca, i opowiada mu swe troski. Europejczyk przeczytał „Theę“ i roześmiał się na całe gardło. „Prawda że wszystko stracone?“ zawołał z rozpaczą autor. „Gdzież tam — odrzekł cudzoziemiec, u nas w Europie przedstawiają jeszcze większe niedorzeczności. „Kapelusz bandyty“, „Apajune“, ba nawet, „Jour fixe“. Wszystko da się zrobić“. Zacny człowiek przełożył „Theę“ na język francuski, przywiózł do Europy, i nieszczęśliwy autor chiński został ocalony. Co jednak najdziwniejsza, że Lecoq, ów mądry Lecoq, kompozytor „Madame Angot“, dał się ubrać w takie libretto, i dorobił doń muzykę.

I najwięksi ludzie mają chwile dziwnej „zakołkowaciałości“ umysłu. Lecoq wziąwszy się do roboty, wkrótce się przekonał, że popełnił coś niedorzecznego, żal mu jednak było rozpoczętej pracy. Skończył— ale jak skończył? Oto ze starych własnych i cudzych motywów zrobił jakąś mięszaninę, lekką, bo inaczej pisać nie umie, ale pozbawioną głębszej wartości, i puścił w świat swoje dzieło. Oto geneza, jak powstała przedstawiona u nas we czwartek po raz pierwszy operetka, geneza, która uwalnia nas od zdawania sprawy z tej sztuki. Notujemy tylko, że personal operetkowy starał się — jak mógł zrobić coś z „Thei“, nieudało się jednak, jakże bowiem nalewać z próżnego! Jedyny numer z całego przedstawienia, który zasługuje na wyszczególnienie, to walczyk kapelmistrza p. Przibika, ofiarowany p. Skalskiej, a wybornie przez nią—jako wkładka—odśpiewany. Utwor ten odznacza się melodyjnością, misterną koloraturą i werwą. Lekki jak pianka, a musujący jak szampan. Pani Skalska odniosła tryumf prawdziwy.

* * *

Przed kilku dniami rozeszła się przez Warszawę wieść o śmierci Ignacego Kalicińskiego, który zmarł w Lublinie, podczas przedstawienia w garderobie teatralnej. Skon Kalicińskiego zasmucił wszystkich tych, którzy go znali nietylko ze sceny, a umieli w nim cenić zacny charakter, przyjaźń koleżeńską i poczciwe a szlachetne pojęcie sztuki Ignacy Grzymała Kaliciński urodził się dnia 14 grudnia 1828 r. we wsi Cebrze w Królestwie polskiem, uczęszczał zaś do szkół w Krakowie. Kiedy w r. 1845 Chełchowski przejeżdżał przez Kraków z zamiarem zorganizowania trupy teatralnej, zaangażował Kalicińskiego, który przy pierwszych zaraz występach zjednał sobie sympatję grą inteligentną i młodzieńczym zapałem.

W skutek tego Kaliciński wezwany został wkrótce do Lwowa, gdzie wystąpił z nadzwyczajnem powodzeniem 9. kwietnia 1843 w roli Robina („Pamiętniki Szatana“), a następnie w Augiera „Gabryeli,“ przełożonej umyślnie dla niego przez Walerjana Kalinkę. Za dyrekcji Chełchowskiego był już ś. p. Ignacy rzeczywistym reżyserem sceny lwow-

skiej mimo to, że Szczęsny Starzewski pisał się reżyserem na afiszach, za dyrekcji Nowakowskiego i Smochowskiego grywał stale role bohaterów i pierwszych amantów, chociaż próbował się z niemałem powodzeniem także w rolach serjo-komicznych.

Z objęciem dzierżawy teatru Skarbka przez Miłaszewskiego, Kaliciński opuścił scenę lwowską i występował początkowo w Poznaniu pod dyrekcją Lecha Nowakowskiego, a następnie z trupą przez siebie zorganizowaną grywał w mniejszych miastach W. księztwa. Od lat kilku po występach gościnnych we Lwowie przeniósł się do Kongresówki i tam występował w towarzystwie Teksla.

Zmarły miał wiele warunków fizycznych i był w całem tego słowa znaczeniu inteligentnym artystą. Deklamacja jego była zawsze akcentowana prawidłowo, i odznaczała się wielką siłą. W rolach bohaterskich był Kaliciński często niezrównanym, w serjo-komicznych miał wiele humoru, a nawet lekkości, przedewszystkiem zaś był, co rzecz nie tak częsta, człowiekiem wielkiego charakteru.

Tembardziej więc zadziwiło nas, że na żałobnem nabożeństwie za Kalicińskiego prócz kilku młodszych artystów nie widzieliśmy zbyt wielu reprezentantów sceny lwowskiej, którzy snać zapomnieli o dawnym towarzyszu.

* * *

W krótce, jak to już zapowiedzieliśmy, będziemy się tu porozumiewać pomiędzy sobą za pomocą telefonu.

Dowiadujemy się właśnie, że kolega nasz i dyrektor tutejszego zakładu telefonów, p. Władysław Dunin urządza biuro centralne w gmachu teatralnym (wchód od placu Gołuchowskich, 3cie piętro, drzwi Nro 75) i że z końcem bieżącego miesiąca będą już mogli Lwowianie posługiwać się tym nowym środkiem komunikacyjnym.

ZAPISKI.

Literatura.

* „Kronika rodzinna“ zapowiada druk listów Mickiewicza, pisanych z podróży po Rosji do Ant. Edw. Odyńca, który przebywał naówczas w Warszawie. Listy owe wśród późniejszych wypadków zatracone i uważane już za całkiem przepadłe, odszukał niedawno i uratował p. Władysław Górski. Ma to być wielce ciekawa karta dziejów wewnętrznych literatury romantycznej przed rokiem 1830.

* Z dniem 1 września ubiegł termin nadsyłania prac na konkurs dramatyczny w Krakowie, i ubiegania się o nagrodę za najlepszy dramat ludowy osnuty na tle dziejów Sobieskiego i odsieczy Wiednia, (nagrodę w kwocie 500 zł. złożyła ks. Zuzanna Czartoryska i p. St. Koźman) Nadesłano ośm utworów. W tych dniach odbyło się pierwsze posiedzenie komisji konkursowej; nie długo zapewne będziemy czekać na rezultat.

* Redakcja „Kurjera Codziennego“ ogłasza konkurs na napisanie nowelki. Rozmiary tej pracy nie powinne przenosić trzech fejletonów „Kurjerowych“. Autor, którego praca uznaną zostanie za najlepszą, otrzyma rs. 100 i 20 egzemplarzy odbitki.

Termin nadsełania prac naznaczony do dnia 15 listopada b. r.

* Z początkiem listopada b. r, zacznie we Wiedniu pod redakcją p. G. Smólskiego wychodzić nowy tygodnik polityczny w języku niemieckim p. t. „Reform“, który w szczególności polskim sprawom i interesom będzie poświęcony. Obok „Reform“ wychodzić będzie jeszcze, jako uzupełnienie tejże, literackie pismo „Slavische Rundschau“, które zamieszczać będzie sprawozdania z ruchu literacko-artystycznego całej Słowiańszczyzny, i nadto w celu popularyzowania słowiańskich autorów, będzie podawać w przekładzie niemieckim celniejsze utwory tychże.

* Albert Wolf, znany współpracownik „Figara“ zamierza ogłosić drukiem interesującą rzecz o życiu paryskiem w ostatnich 25 latach. Książka rozpada się na dwie części, pierwsza traktuje życie paryskie pod cesarstwem, druga opisuje Paryż w czasie republiki.

* Interesujące dzieło Edmunda de Amois o Marokku, ozdobione licznemi a prawdziwie artystycznie wykonanemi illustracjami, wyszło świeżo w przekładzie włoskim, dokonanym przez Schweiger-Lerchenfelda. Tłumacz niemiecki uzupełnił dzieło mnóstwem dodatków treści geograficzno-historycznej, i dołączył dwa rozdziały oryginalne „Południowe Marokko“ i „Wojna Marokka z Hiszpanią w r. 1860.“ Wydanie jest bardzo eleganckie, a oprawa dzieła nader oryginalna, wykonane jest w guście wschodnim. W obec interesu jaki w ostatnich czasach obudza południowa Afryka, dzieło to zjawia się szczególnie na czasie.

Teatr i Muzyka:

* Artyści teatrów warszawskich postanowili z okazji jubileuszu Żółkowskiego, utworzyć stypendjum imienia tego znakomitego komika. Władze aprobowały projekt, i zaczęto zbierać składki.

* Panna Marja Derynżanka wyjeżdża w tych dniach na występy gościnne do Pragi, gdzie tak gorącego za pierwszą bytnością doznała przyjęcia.

* Znany lwowskiej publiczności komik p. A. Linkowski, wraz z żoną zaangażowany został do warszawskiego teatru

* W czeskim teatrze w Pradze przedstawiono w tych dniach nową operę uzdolnionego kompozytora, Antoniego Dworzaka p. t. „Dymitrij“. Libretto do tej opery napisała pani Czerwinka, córka Riegera, i osnuła je nadziejach fałszywego Dymitra. Autorka spożytkowała po części dramatyczny fragment Schillera, po części zaś dramat Mikoweca. Oprócz treści oryginalna muzyka Dworzaka ma sprawiać wielkie wrażenie, szczególnie w akcie pierwszym i czwartym.

* Znakomity komik wiedeński Knaak wyjechał 8 bm. z Wiednia, udając się na występy do Ameryki.

* Towarzystwo artystów dramatycznych zwanych „Die Meininger“ występuje obecnie w Berlinie w „Victoriatheater“, z niemniejszem jak gdzieindziej powodzeniem. Przedstawienie „Powieści Zimowej Shakespeara prawdziwie zachwyciło publiczność.

* Jan Becker, założyciel i przewódca sławnego kwartetu florentyńskiego, postanowił założyć w Monachium szkołę dla skrzypków, w zastępstwie zaś swojem wysyła w podróż artystyczną dzieci swoje Janinę, Jana i Hugona, którzy utworzą trio wiolinowe.

* Jan Strauss przenosi się z Wiednia na stałe mieszkanie do Paryża, i sprzedaje z tego powodu zamek swój Schönau pod Baden.

* W Burgu wiedeńskim zamierza Dingelstadt w grudniu b. r. przedstawić „Fausta“ obie części, które będą się ciągnąć przez trzy wieczory z rzędu. W ten sposób cały „Faust“ pierwszy raz ujrzy światło kinkietów. Nieraz wprawdzie próbowano wprowadzić na scenę drugą część „Fausta“, ale rzecz nigdy nie przyszła ostatecznie do skutku, mimo to, że przedstawienia Fausta w obrobieniu scenicznem Laubego i Dingelstedta, miały ogromne powodzenie. Od czasu wprowadzenia Fausta na scenę wiedeńskiego teatru nadwornego, grali w niej główne role następujący artyści: w r. 1832 Fausta grał Löwe, Mefista Costenoble, w r. 1839 przedstawiał Fausta La Roche. W pierwszem przedstawieniu Fausta według inscenowania Laubego, wystąpili jako Faust i Małgosia, goście z Berlina państwo Wagnerowie, w przeróbce zaś Dingelsteta grał Mefista Lewinsky, jako Faust produkował się Hallenstein.

Sztuki piękne.

* „Hołd pruski“ Matejki został wystawiony w Wiedniu na widok publiezny w sali towarzystwa „Gartenbau-gesellschaft“.

* Na cześć Matejki Wydział Krajowy uchwalił stypendjum dla artysty malarza w kwocie 1000 zł. Stypendjum to będzie nosić nazwisko Matejki. Rozdawnictwo należy do niego, póki żyć będzie, potem fundacja ustaje.

* Krakowskie towarzystwo oświaty ludowej liczy podług ostatniego wykazu 1062 członków.

* Złota korona wykonana podług pomysłu Majki na obchód koronacyjny Matki Boskiej w kościele Karmelitów — wystawiona jest na widok publiczny w zakrystji te go kościoła.

* Na ogłoszonym przez krakowskie koło artystyczno-literackie konkursie (illustracja do „Baladyny“ wejście Kirkora,) pierwszą nagrodę w sumie 350 zł otrzymał rysunek nadesłany z Petersburga pod dewizą „Gopło“. Konkurujących było ośmiu, a wszystkie prace miały być piękne i staranne. Tem większy tryumf dla zwycięzcy konkursowego.

Treść.

Pro miseris.
Sewer: Z tajemnic wioski (c. d.).
Gomulicki W.: Życie. Piosenka,
Hodoli L.: Wiek i jego prawa w wychowaniu. (c. d.)
B. S.: W sprawie pomnika Mickiewicza.
Tally-Ho.: Rozczarowany (dok.)
Przegląd literacki przez Alg. i E. P.
W.: Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 4. We Lwowie dnia 21. Października 1882 r. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Nasza Alma mater.

Z niemałym trudem dobiliśmy się tego, że uniwersytet lwowski przestał być niemieckim, że mamy nareszcie własną naszą, wszechnicę.

Nie dosyć jednak mieć uniwersytet, który ma być ogniskiem nauki ojczystej; trzeba jeszcze, by ognisko to wielkiem i jasnem gorzało płomieniem, a wyznać należy, że światło to nie jest pierwszorzędnego blasku.

Że obecny stan lwowskiej Almae matris rzeczywiście budzi obawę, — wiadomo każdemu, kto choć cokolwiek interesuje się jej sprawami, stara się wglądnąć głębiej i poznać faktyczne jej stosunki. Są one bardzo opłakane, czego powodem.. i własne nasze niedbalstwo.

Aby uniwersytet odpowiadał godnie swemu wysokiemu zadaniu krzewienia i posuwania naprzód wiedzy, powinien przedewszystkiem liczyć odpowiednią ilość katedr, powtóre — katedry te obsadzone być winne odpowiedniemi siłami profesorskiemi, Tymczasem uniwersytet lwowski nietylko. że nie posiada katedr dla bardzo wielu ważnych przedmiotów, ale nawet istniejące znajdują się w tak smutnym stanie, że prawdziwie wierzyć się nie chce, aby stosunki tego rodzaju przez tak długi przeciąg czasu istnieć mogły.

Aby nas nie posądzono o gołosłowność, pozwolimy sobie ukazać czytelnikowi choć w ogólnych zarysach, ciemne strony wszechnicy tutejszej.

Cierpi ona przedewszystkiem na wielki brak sił profesorskich, a chorobą tą dotknięty jest w pierwszym rzędzie ten wydział, na którym główna waga każdego uniwersytetu polega. Jest nim fakultet filozoficzny. Otóż to jądro i podstawa każdej wszechnicy, jest u nas jaknajbardziej zaniedbana i osierocona. Oddział filozoficzny wydziału tego prawie że nie istnieje. Utalentowany ulubieniec młodzieży naszej, dr. Ochorowicz wyjechał, prof. Czerkawski wykład filozofii uważa za zajęcie poboczne, zupełnie absorbowanym będąc innemi czynnościami. O profesorze zaś Skrochowskim, który na wykłady swojej krakowsko-katolickiej filozofiki złowił w ubiegłem półroczu zaledwie trzech słuchaczów, co zmusiło go do zaniechania wykładów, zamilczmy raczej...

Wcale nie lepiej prezentuje się oddział historyczny. Zacny profesor historji powszechnej i dyrektor seminarjum historycznego, dr. Liske, złożony od dłuższego czasu ciężką niemocą; historji dr. Hirschberg zawiesił wykłady Polski, która dopiero ma być wykładaną. Pozostaje tylko dr. Szaraniewicz, na którego słabe barki spada tym sposobem cały trud kierowania młodem pokoleniem historyków...

Dwa inne oddziały: filologiczno-lingwistyczny i przyrodniczo-matematyczny, przedstawiają się w porównaniu z dwoma powyższymi znacznie lepiej, chociaż swoją drogą pozostawiają bardzo wiele jeszcze do życzenia. Brakuje im kilku katedr, że wspomnimy tylko o slawistyce, wykładanej przez docenta dra Kalinę, o romanistyce, którą tradował przed paru laty dr. Kruczkiewicz, i o lingwistyce porównawczej, której wykład nie obił się jeszcze o mury lwowskiej wszechnicy... Na oddziale przyrodniczo-matematycznym brakuje zaś przedewszystkiem tyle ważnej katedry astronomii. Co będzie z wykładami geografii, nie wiadomo dotychczas: katedra ta została już obsadzoną, ale dr. Rehmann nie ogłosił wykładów. Katedry zaś zoologii, po drze Syrskim opróżnionej, dotychczas jeszcze nie obsadzono, chciejmy jednak wierzyć drowi Radziszewskiemu, który w swej mowie inauguracyjnej zapewnia, że

„sprawa obsadzenia jej znajduje się na pomyślnej drodze.“

O fakultecie prawniczym wspominamy tylko pokrótce. Brak katedr i profesorów nie daje mu się w tym stopniu uczuwać, co wydziałowi filozoficznemu, zachodzi tylko potrzeba zastąpienia sił jego starszych świeższemi. Mamy tu na myśli w pierwszym rzędzie dra Buhla, który ze względu na swój wykład w języku niemieckim jest w r. 1882 na lwowskim uniwersytecie anachronizmem. Dr. Rittner półtora już roku nie wykłada wcale.

Choroba kilku naraz profesorów nie dałaby się zapewne tak dotkliwie uczuć, gdyby uniwersytet nasz posiadał tak, jak inne wszechnice, podwójne katedry i więcej docentów. W razie zasłabnięcia jednego profesora byłby odrazu gotowy zastępca, gdy tymczasem u nas w takim razie albo wykłady zupełnie ustają, albo zastępstwo powierza się profesorowi, wykładającemu inny przedmiot, na czem tracą i słuchacze i sam zastępujący profesor, oderwany tym sposobem od prac, którym wyłącznie poswięcać się powinien.

Poruszyć nam jeszcze należy sprawę wydziału lekarskiego, którego konieczność we Lwowie nadarmo siłą się wykazać tak senat akademicki, jak i delegacja nasza we Wiedniu. Uzupełnienie czwartym fakultetem uniwersytetu naszego, jest rzeczą dla niego wielkiej wagi, i jak najsłuszniej powiedział nowy rektor w swej mowie inauguracyjnej, że „od żądania tego nie możemy żadną miarą odstąpić, albowiem z istnieniem medycznego fakultetu związany jest rozwój, pomyślność i bodaj, czy nie byt lwowskiego uniwersytetu.“ To też brak wydziału lekarskiego przyczynia się także w niemałym stopniu do obniżenia poziomu naukowego znaczenia wszechnicy lwowskiej.

W obec takiego stanu rzeczy nie dziwmyż się wcale, że uniwersytet nasz, jeżeli gdziekolwiek o nim mowa, wszędzie niepochlebny o sobie sąd wywołuje. Sąd ten jest najzupełniej sprawiedliwym. Gdyby inne uniwersytety równą jaśniały świetnością, jak nasza alma mater, — wiedza ludzka z pewnością ani na krok nie posunęłaby się naprzód. Przyczyną tego są anormalne stosunki, w jakich się znajduje nasz uniwersytet, składają się zaś na nie z jednej strony przyczyny, o których bliżej tu mówić nie możemy, z drugiej własne nasze niedbalstwo, niezaradność...

N.

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA
przez
SEWERA
(Ciąg dalszy).

III.

— Nie przyszedł — odezwała się z świtaniem tego samego dnia Sara, wyskakując z łóżka.

— Nie przyszedł bo się bał, — odpowiedział matce leżąc w łóżku Josek, z podpartą głową na ręku.

— Nie taki on skory do bania się — mówiła matka — pewnie gdzie szachruje. A niech robi co chce, ale niech nas nie ssie.

— Niech idzie na złamanie karku! — zawołał Josek z mocą.

— Josłe nie krzycz ty tak na niego, bo on może majątek zrobi. On nie głupi.

— Zyzma? — zawołał Josek zdziwiony.

— Tak, tak, Zyzma, — a wtedy może dałby co Mojżeszkowi, on go czasem głaszcze.

— Ja mu dam — rzekł Josłe z dumą.

Sara wybiegła ze skopkiem i konewką wydoić Łaciatą i dać jej resztki wczorajszej wyki, aby śladu po niej nie zostało. — Josek przysiągłszy sobie, że Mojżeszkowi da pięć, a Ryfce dwa guldeny z odziedziczonego po matce — usnął.

— Josełe — wołała budząc go matka — ja już lecę.

— A to gdzie? — indagował syn.

— Do Szczurowy, sprzedaję chleb i bułki piekarzowi.

— Jaki zarobek?

— Do pięćdziesięciu centów dociągnę.

— Kiedy tak, to leć matka i wracaj na południe.

Sara z pewnym rodzajem dumy pogłaskała po twarzy ukochanego Josła.

— Pilnuj wszystkiego — jak oka w głowie.

— Przecież to moje — odparł z powagą Josek.

Sara chciała powiedzieć, że będzie musiał podzielić się z Mojżeszkiem — Ryfce coś dać, lecz milczała, nie chcąc osłabiać energii swego pierworodnego.

Po odejściu matki Josek wstał, aby zobaczyć ile ma dzisiaj mleka. Wszystko co było w domu, uważał za swoją własność, z łaski tylko i konieczności tolerował Mojżeszka i Ryfkę. — Chociaż milczący i bojaźliwy, był hardy, dumny i namiętny.

Rozwarły się z impetem drzwi,— Josek zbladł i zmarszczył czoło.

— Gdzie matka? — zawołał wpadając do izby polowy, za nim stał przysięgły.

Josek nie raczył odpowiedzieć. Polowy schylił się pod łóżko.

— A gałgany, to człowiekowi odetchnąć nie dadzą, wypić kieliszka wódki nie można, żeby zaraz coś nie zwędzili.

— Pij wiele chcesz i zapij się — przemówił z godnością Josek.

— A ty kundlu stul gębę, bo ja ci ją zamknę. — Dygnitarze wybiegli z chaty. — Josek dla powagi wdział chałat, nałożył krymkę na głowę i wyszedł za nimi, trzymając ręce w kieszeniach.

Polowy po drabinie dostał się na strych, i zły zszedł na dół. Jednem uderzeniem nogi, uzbrojonej w podbity gwoździkami but, rozwarł drzwi obórki. Patrzył, szukał i nareszcie znalazł niedojedzoną łodygę wyki.

— A to co? — krzyknął przytykając ją do nosa Joskowi.

— Czego ty chcesz? odparł z dumą i spokojem chłopiec.

Rozgniewany polowy uderzył go w twarz trzymaną łodygą.

— A to tego ja chcę, żebyście szelmy żydy nie kradły. — Josek uciekł — i z gniewu zaczął się drzeć ile miał tylko sił.

— Gwałt — zabija, rozbójnik — ratujcie!!

Z przyległych chat wybiegły gospodynie.

— I cóżem mu zrobił — tłumaczył się wystraszony polowy, — że mu dałem w pysk tą gałązką. — Podniósł gałązkę w górę i pokazał ją śmiejąc się.

Josek ciągle krzyczał, trzymając się ręką za twarz.

— Tak ci się ino drze ze strachu i bez złość, to żydowskie plemię — dodał przysięgły.

Josek otarł oczy, wpadł do izby — Mojżeszek i Ryfka zbudzeni krzykiem, dzwonili ze strachu zębami.

— Ryfka ubieraj Mojsia, — krowę pędź na wał, będę tam czekał na was. Chatę zamknąć na kłódkę. Masz tu kawałak chleba dla ciebie i Mojsia. — Rozdał chleb dzieciom, wziął kij do ręki i poszedł z wielką powagą na most czekać powrotu matki.

Ledwie przyszedł, zobaczył Sarę obładowaną koszem chleba, idącą powoli pod górę. Podbiegł do niej opowiedzieć o zajściu z polowym.

— Nic nam nie zrobi, — pocieszała matka syna. — Miałam iść prosto do Zaborowia, ale teraz skręcę na Dołęgę.

Ryfka, Mojżesz i Łaciata nadbiegli.

— Idźcie paść na Szczurowskie, bo nuż ten gałgan zobaczy, gotów krowę zająć.

— I ja tak myślałem — odparł Josek.

— Boś ty mądry, boś ty mój syn! — zawołała żydówka skręcając od Świętego Antoniego na prawo drogą ku Dołędze

Dochodząc do dworu ustroiła smutną na pół zrozpaczoną minę, wsunęła się do garderoby, i zobaczywszy panią zaczęła płakać skarżąc się i opowiadając, jak Połowy zkatował jej dziecko, — jak je zbił, że leży chore, że ona nieszczęśliwa sierota z czworgiem dzieci, gdzie się podzieje, co ze sobą zrobi, kiedy jej tak ludzie dokuczają, a ona ciężko na kawałek chleba pracuje.

Pani Dołęzka dobra, łagodna, wierząca ludziom do zbytku, pocieszała jak mogła matkę czworga dzieci, przyrzekając pogrozić polowemu. Sara otarła oczy z łez, rozkładając chleb i bułki na stole. Utargowała za pięćdziesiąt centów, lecz z guldena wydała tylko czterdzieści.

— A gdzież jeszcze dziesięć centów

— Co za dziesięć, jakie dziesięć? — pytała robiąc wystraszoną minę.

— Szachrujesz moja Wałowa, i nie przychodź tu więcej. Dziękuję ci za twoje usługi.

— Ach pani! — zawołała wystraszona żydówka, całując w rękę dziedziczkę. — Czworo dzieci — szepnęła, — czem je wyżywię? — Dziesięć centów dla pani to nic, a dla mnie świat! — Gorąca łza z oczu Sary spadła na rękę dobrej pani. Wałowa pochwyciła kosz z chlebem i pełna radości pobiegła do Zaborowia, do dworu, na plebanię, do organisty i profesora.

Zaledwie wróciła do chaty — wpadł wójt, — na dworze został Bartek Czarnik zaglądając przez otwarte okno.

— A cóż ty sobie myślisz żydówko trzymać tyle gęsi? — wołał wójt — Nie masz ani jednego zagona własnego gruntu, a pół kopy gęsi chowasz na gromadzkiem! Krowy nam poschły jak szczypy, bo żydowskie gęsi palą pastwisko, że już i trawki nieuświadczy. — Żebyś mi je jutro na jarmarku do nogi wyprzedała.

— Zaraz może? — zawołała zarumieniona z oburzenia Sara. — Sprzedam, ale i wy swoje sprzedajcie i cała gromada niech swoje wyprzeda.

— Głupia, my mamy po dziesięć morgów gruntu, płacimy podatki i ty nam tu chcesz rozkazywać?!

— Chcę! — krzyknęła, — bo mam prawo za sobą, wolno mi jak i wam.

— Wybiję jutro wszystkie! — wołał wójt.

— Sprobujcie tylko, — a jutro polecę do Radłowa do sądu.

Bartek Czarnik ogoloną swoją twarz wsunął przez okno do izby.

— A to skaranie Boskie z temi żydami. Pół kopy gęsi tak poniszczyło trawę przed moją chatą, że jej na lekarstwo nie uświadczy, — i trzeba będzie krowinę sprzedać bo zeschnie do cna.

— Tylko wy tu niedowodźcie, rozumiecie — wasza krowa obuchana ledwo chodzi, ludzie na nią pracują, ci — co ich krzywdzicie.. — Ty tu nie wtykaj swego paskudnego łba, na którym cięży pomsta ludzka — rozumiesz? wrzasnęła pełna gniewu i oburzenia.

— A cóż ty sobie żydowico myślisz? odezwał się Bartek, dotrzymujący placu ze wstydu przed wójtem.

— Co ja myślę, — to że ludzi obdzierasz i pasiesz swoje krowy i siebie ich łzami. A cóżeś ty zrobił z Kudliną co? — Wałowa ujęła się pod boki i zwróciwszy się do wójta mówiła dalej.

— Pożyczył biednej kobiecie dziesięć papierków, — a za procent wziął cztery zagony jęczmienia, zebrał z nich pięćdziesiąt snopków, wymłócił, miał półtora korca, sprzedał, dostał dwanaście papierków — a słoma, a plewy...

— Żebyś ty tak jutra nie doczekała!— przerwał Czarnik.

— Milcz! — zawołała, opowiadając dalej wójtowi. — Biedna kobieta nie mogła mu oddać na wiosnę tych głupich dziesięciu papierków bo ją zniszczył; — chciałam jej pożyczyć, ale Bóg mi świadkiem nie miałam. — No i wziął jej na procent sześć zagonów!— A na żydów wydziwiają i pomstują. — Kudlina głupia nie umie sobie dać rady. Jabym z tobą poradziła. — Ty mnie nie zaczepiaj

Wystraszony Czarnik cofnął się do okna — wójt czuł się troszkę za sąsiada upokorzony i drapał się w głowę.

— Gęsi jutro choć połowę sprzedać — powiedział dla powagi i wyszedł.

— Mamo to moje gęsi — rzekł Josek.

— Twoje — odparła matka głaszcząc pierworodnego po twarzy.

— Ja nie chcę żeby je sprzedawać. Co oni mają za prawo do moich gęsi?

— Niesprzedam ani jednej! Albo ja ich się boję? Niech mnie tylko zaczepią! — pogroziła. — Ten stary gałgan lichwiarz Czarnik, on mi jeszcze będzie zazdrościł. Ja nie pożyczam, ale jak zacznę, to nie będę tak ludzi obdzierała jak on! Boi się tego i chce żebym zkapała *), bo ludzie do mnie się garną.

— Cóż chleb? — spytał Josek.

—Wiesz Josłe, sześćdziesiąt centów zarobiłam, ale nóg pod sobą nie czuję. — Pani Zaborowska kazała mi kupić agrestu i porzeczek — zarobię, — Pani Dołęzka masła,— zarobię... Wiesz, nie trzeba już wyki psuć, pięcioro dzieci — pani dobra.

— Później jak urośnie, — jak zaczną kosić dla dworu — odezwał się Josek.

— Później i tylko troszeczkę, — dobra pani, a dzieci pięcioro.

Sara po ostatniem zajściu w Dołędze i przebaczeniu jej przez panią, przysięgała sobie nigdy już jej nie krzywdzić. Skłopotana zapomniała o Mojżeszku i Ryfce bawiących się z Zawrzykrajką nad brzegiem Rudawy. Zawołała dzieci, wyjęła z kieszeni obwarzanek, i rozdzieliła go między nie. Josek był za stary i za poważny na obwarzanek. Zresztą i obwarzanek był jego — i on to go dawał dzieciom. Tak sobie myślał, przechadzając się po izbie włożywszy ręce za pas chałatu.

* * *

Bartek Czarnik wracał do domu markotny i smutny. Plan zgnębienia żydówki nie udał się. — Na gęsiach zarobi Sara sześćdziesiąt papierków i rozrzuci je między ludzi. Pożyczy i innym, spłacą go i co będzie z pieniędzmi robił?

Czarnik sprzedał pięć morgów gruntu, zaledwie dwa morgi i chatę zostawił dla siebie, pieniędzmi obracał pożyczając je na zagony, — a że był chciwy i głupi, nie umiał się umiarkować i ciągnął ile mógł,— obdzierał ludzi, niszczył ich, a zazdrościł żydom. — Nienawidził Wałowej i radby ją utopić w łyżce wody. — On to sprowadził na nią wójta i przemyśliwał, w jakiby sposób źródło jej majątku — trzydzieści sztuk gęsi wymordować.

— Bartek Czarnik gorszy żyda — mówili ludzie — kto mu w ręce popadnie, musi zkapać i już nic z niego nie będzie.— Bali się go chociaż był słodki, usłużny, Pana Boga chwalił, do kościoła chodził, bił się w piersi i z gromnicą w szeregu z innymi podczas nabożeństwa przed wielkim ołtarzem klęczał. — Ludzie się bali Bartka Czarnika,— i nazywali go krzywdą ludzką, a Bartek bał się żydów, bo im zazdrościł.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

*) Zkapać znaczy zbiednieć, zmarnieć.

Noc czerwcowa.

(Wspomnienie).

Czaru pełna i pełna pogody
Noc na niebie! Czerwcowa noc cicha!
W górze błyszczą gwiazdek korowody,
Ziemia cała snem ciepłym oddycha.
Stare lipy, konary pnąc w górę,
W czar ujęte ciemności i głuszy,
W sen zapadły i stoją ponure —
Żaden listek się na nich nie ruszy...
A my dwoje pod temi lipami,
Luba moja! my dwoje i sami!
Noc czerwcowa i gwiazdy nad nami...

Wietrzyk zerwał się w dali samotny,
Nieruchome gałązki drzew musnął,
Kwiatkom główki poruszył i psotny
Coś im szepnął, i ucichł, i usnął...
I zbudziły się kwiaty z doliny
I półsennym zadrżały przestrachem;
Pachną róże i pachną jaśminy
Jakimś silnym, namiętnym zapachem...
Woń upaja, odurza i mami!
Daj mi dłonie, o luba, my sami...
Noc czerwcowa i gwiazdy nad nami!..

Czy cię przeląkł ten szelest na ziemi?...
To się senne zbudziły motylki,
I trąciły skrzydłami drobnemi
Wiotkie trawy zielonej badylki —
I ztąd szelest przeleciał nad ciszą...
Jeszcze chwieją się trawy kobierce
I pieszczochów w sen znowu kołyszą.
Luba! słyszę, jak bije twe serce!...
Do ust moich się przytul ustami —
Nikt nie dojrzy w tej chwili — my sami!
Noc czerwcowa i gwiazdy nad nami!...

Nie obawiaj się świateł, co błysły,
To nie szpiegi, by śledzić nas nocą...
To się gwiazdy nad ziemią rozprysły
I na skrzydłach owadów migocą.
Czar i cisza!... Do mego pójdź łona!
W piersi ogień... krew pali mi skronie!...
Włos twój pachnie!... Czemu drżysz strwożona?
Ziemia cała w namiętnych snach tonie!
Nikt nie śledzi! Ust nie broń!... My sami —
. . . .
Noc czerwcowa i gwiazdy nad nami...

Klemens K.

Wiek i jego prawa w wychowaniu

przez

Ludwika Hodolego.

(Ciąg dalszy).

Podobnych przykładów wpływu fizycznego wieku ucznia na rozwój jego sił umysłowych, możemy jeszcze więcej znaleść w literaturze pedagogicznej, są to jednak rzeczywiście jakby tylko luźne przykłady, a brak im ujęcia w pewien stały system, któryby był miarodawczym dla dydaktyki. Nadto niemal ogólną jest tu i ta niedokładność, że zwykle autorowie zajmują się pod tym względem tylko kilku pierwszemi latami życia dziecka, i aż do unudzenia powtarzają jeden za drugim, jak dziecko karmić, ubierać, jak je uczyć poznawania kolorów, przedmiotów i t. d. a późniejsze okresy młodości zbywają tak, jakby one nie miały wcale swych specjalnych wymóg. wymagań.

Stoy w swej encyklopedji pedagogii (Lipsk 1878) odróżnia dydaktykę progressywną, która wskazuje, jaka materja, forma i technika nauki jest stosowną dla rozmaitych stopni wieku, rozglądnąwszy się zaś za odnośną literaturą, wspomina ledwie o Schwarzu i pani Necker de Saussure, których dzieła jednak traktują prawie tylko o wieku dziecinnym, a zupełnie zaniedbują inne stadja. Sam nawet Stoy, mimo swego świetnego zdania, że „pedagogia winna się stosować według stopni wieku, jak kalendarz podług miesięcy,“ ledwie w krótkim ustępie wspomina o owej dydaktyce progressywnej i nigdzie więcej nie odnosi się do niej tak, że owo zdanie jego wygląda raczej na okolicznościowy frazes, niż na myśl pierwszorzędnego, dominującego znaczenia, która się ciągle winno mieć na uwadze.

To też rzeczywiście nie pozostaje nam i dziś nic innego, jak tylko do pewnego stopnia powtórzyć ową skargę Śniadeckiego, że nie wykazano jeszcze prawideł, wedle których władze umysłowe rozwijają się, a tem mniej jak je stosownie do wieku kształcić wypada.

W najnowszej literaturze pedagogicznej znajdujemy jednak osobliwie u A. Baina i Herberta Spencera nader cenne uwagi, które wprawdzie nie całkowicie i nie zawsze bezpośrednio odnoszą się do metody progressywnej, ale wielce ją wspierają. Mamy tu na myśli metodę logiczną Baina i naturalną H. Spencera.

Dydaktyka progressywna t. j. stosowana do fizycznego wieku, opiera się na tem twierdzeniu, że cała kwestja przystępności lub nieprzystępności pewnych gałęzi nauk dla pewnego wieku, ma swą fizyczną podstawę. Mózg bowiem rośnie bardzo prędko do 7go roku i ma wtedy u chłopca wagę 40 uncyj. Od 7—14 roku, kiedy osiąga wagę 45 uncyj, jest wzrost powolniejszy, a jeszcze bardziej powolnym staje się między 14. a 20. rokiem. Stąd też, co niezrozumiałem jest dla chłopca w pewnym wieku, może być zrozumiałem za parę lat, chociaż mu się tego przez cały ów czas nie tłumaczyło. Osobliwie widzimy to w matematyce, gdzie nawet różnica dwu lub trzech lat wiele znaczy. W takich jednak przedmiotach, jak w matematyce, z natury tej umiejętności zaczynamy od pojęć najprostszych, i postępujemy do coraz ogólniejszych i zawilszych tak, że widzimy tu pewien naturalny, logiczny pochód, który się da z wiekiem ucznia w parę zestawić. W innych naukach jest to następstwo więcej zawikłane, i wymaga głębszego zastanowienia, a jeżeli je mimo to wprowadzamy w pierwsze stadja wychowania, to powinniśmy je zrobić przystępnemi i uprzyjemnić, co jest rzeczą sztuki wychowania.

Metoda więc logiczna Baina i naturalna H. Spencera może wielkie usługi oddać także i naszej metodzie progressywnej, wszystkie bowiem liczą się z każdorazowemi siłami i zdolnościami ucznia, stosownie do jego wieku, wszystkie pytają o progresję, „co uczyć najpierw, co potem a co na końcu,“ wszystkie uczą nas w pedagogii ekonomii, co, jak, kiedy i ile uczniowi podawać.

Pod pewnym jednak względem metoda progressywna objawia swą odrębność od owych dwu pokrewnych metod. Gdyby mózg przy urodzeniu miał te same siły, co i w wieku młodzieńczym a był tylko co do wrażeń tabula rasa (czystą tablicą), wtedy pojedyńcze, elementarne wrażenia przychodziłyby najpierw, a po nich następowałyby złożone, rzeczy zmysłowe szłyby przed umysłowemi i t. d. tak, że logiczny porządek służyłby jako principium następstwa. Zważyć jednak musimy, że nie mamy do czynienia z dorosłym, lecz z dorastającym mózgiem, a więc i zdolnościami, że tedy pewne nauki dlatego trzeba na późniejszy wiek odkładać, ponieważ wymagaja większych zdolności, większej uwagi, jakiej uczniowie w młodszym wieku nie posiadają. „Przyroda bowiem,“ jak mówi H. Spencer, „jest to nieubłagany rachmistrz: jeżeli od niej w pewnym względzie więcej, niż potrzeba, zażądamy, potrąci to sobie z innych naszych potrzeb. Jeżeli zaś nie tamując naturalnego jej biegu, poprzestaniemy tylko na dostarczaniu materjałów surowych do umysłowej i cielesnej budowy ciała, a to w ilości, odpowiadającej potrzebom każdego wieku, w takim razie przyroda wytworzy niewątpliwie osobnika, którego rozwój we wszystkich częściach będzie mniej lub więcej harmonijnym.... Nigdy nie należy o tem zapominać, że siły żywotne w każdym okresie życia są ograniczone, że zatem tylko pewną liczbę wyników otrzymać możemy.“ — Osobliwie uskarżają się często na młodych nauczycieli, że nie znając sił i potrzeb uczniów a pamiętając zbyt o celu i urządzeniu nauki uniwersyteckiej, występują z wykładami, które uczniowie mogą nawet podziwiać ale ich nie rozumieją. Zamiast więc uczyć, popisują się sami i gniewają się na „ograniczoność“ uczniów, którzy ich górnolotności dorównać nie mogą. Tu rozstrzyga pojętność wieku a nie przedmiot sam, zasada progressywna a nie logiczna. Bain i Spencer przyznają sami, że ich metody rozwijają się nietylko wedle logicznego, naturalnego następstwa przedmiotów samych, lecz że się ciągle oglądać muszą na wiek a więc siły ucznia, i według tego ulegać modyfikacjom.

Najściślej zaś z metodą progressywną stoi w związku zasada psychologiczna, która żąda, aby umysłowi w tym porządku dostarczać nauk, jak się w nim wiedza tworzy. Umysł tworzy najpierw pojęcia, potem sądy, wreszcie wnioski: — w wychowaniu początkowem mamy więc uczniowi to podawać, co

w nim może wyrobić jasne pojęcia, mamy go zapoznawać z wielością przedmiotów, aby rozszerzyć widnokrąg jego pojęć, mamy mu udzielać „nauki o rzeczach;“ w następnem stadjum winniśmy wyrabiać trafność sądu — nauka o faktach; w końcu rozwijamy trafność wniosku: badania, krytyka, porównania i t. d.

Godząc w ten sposób wszechstronne wymagania, możemy w końcu ustanowić ogólne prawidła metody nauki, wedle których całokształt wychowania stosować się winien, jeżeli ma uwzględniać wpływ fizycznego wieku ucznia, na rozwój jego sił umysłowych. Prawidła te, normujące stosowanie nauki do wieku, są następujące:

Od rzeczy i pojęć pojedyńczych do złożonych. Że w nauce języków uczymy fleksji przed składnią, to jest nietylko koniecznością logiczną ale i fizyczną, gdyż inaczej przekroczylibyśmy granice pojętności ucznia. W matematyce zaczynamy od liczenia i elementarnych operacyj nietylko dlatego, że to jest logiczną podstawą operacyj więcej złożonych, lecz także dlatego, że zdolności początkującego ucznia nie dorosły jeszcze do spekulacji i kombinowania pojęć złożonych. Pod przymusem w jakiejkolwiek formie wyuczy się ostatecznie dziecko i rzeczy złożonych, ale tylko pamięciowo czyli raczej mechanicznie, rozumieć zaś ich żadną miarą nie może.

Zasadę tę stosować należy nie tylko do poszczególnych gałęzi nauk, ale i do ogółu wiedzy. “Ponieważ umysł,“ — powiada Spencer, „początkowo tylko niektóre swe zdolności rozwija, a następnie stopniowo coraz to nowe do współdziałania przyjmuje tak, że w końcu wszystkie jednocześnie czynnie występują, przeto nauczanie też powinno się zaczynać od kilku tylko przedmiotów, a następnie powoli do tych przedmiotów inne należy przyłączać, aż nareszcie wszystkie w skład jego wejdą. Nie tylko w szczegółach, lecz i w całości wychowania należy zdążać od rzeczy pojedyńczych do złożonych.“

Od rzeczy nieoznaczonych do oznaczonych; od wiedzy powierzchownej do ścisłej. Jak budowa mózgu jest początkowo niedoskonałą, tak też i jego czynności, skąd pochodzi, że pierwsze pojęcia i zdania są mylne lub niepewne Z początku niewyraźnie pojmuje umysł różnicę między przedmiotami, i dopiero stopniowo dochodzi do rozpoznawania subtelnych różnic.

Dlatego to jeszcze w niższem gimnazjum powinno się ile możności unikać subtelnego określania pojęć, a osobliwie rozróżniania pojęć zbliżonych, jak np. co to jest giętkość a sprężystość, ciężkość a ciężar i t. d.

W ogóle we wszystkich podręcznikach dla niższego gimnazjum widzielibyśmy chętniej rodzaj jakby wypisów do wolnego opowiadania, niż katechizmów, z których nie można opuścić ani jednego słówka. Przeciwnie w wyższem gimnazjum, gdzie więcej zależy na ścisłości, byłoby to rozwlekłością nie na miejscu i nie odpowiadałoby warunkom, jakim młodzieniec podołać już może i powinien.

Na tej podstawie wypadałoby z matematyki uczyć jeszcze w niższem gimnazjum tylko elementarnych rzeczy, posiłkując się tylko tu i ówdzie jakby dla powolnego przygotowania łatwym dowodem, a dopiero w wyższem gimnazjum z całą ścisłością żądać uzasadnienia nawet najbardziej elementarnych pojęć, postępując ku coraz zawilszym. Matematyka oparta na ścisłych dowodach, wydaje nam się w niższem gimnazjum anomalią, przechodzącą siły ucznia, rzeczą do której on jeszcze nie dorósł. Dowodów matematycznych wyuczają się chłopcy w tym wieku tylko mechanicznie, nie będąc jeszcze zdolnymi do logicznego rozumowania: stąd to owo ślęczenie, biadanie i bezradność ich w obec dowodów matematycznych, stąd owe ich skargi, że „matematyka jest bardzo trudną,“ podczas gdy w wyższem gimnazjum z zupełną łatwością im ona przychodzi (jeżeli tylko profesor umie ją jasno wykładać!)

Co do historji, to wypada nam tu koniecznie zaprotestować przeciw mięszaniu do niej wielu bajek w niższem gimnazjum, co ma jej wrzekomo ująć nieco ścisłości i przystępniejszą ją uczynić. Przedewszystkiem chłopiec mimowolnie nabierze przekonania, że gołosłowne i nic nie znaczące bajki, najczęściej dla sfałszowania historji ukute, przecież coś wartają, kiedy się z niemi liczy historja. Lekki i piękny styl powinien ten cel uprzystępniania historji spełniać, a nie bajki! Podnieść wymownie rozmaite bohaterskie i niezwykłe, pełne poświecenia czyny wystarczy, aby rozciekawić tych, którzy rozkoszują się nad Rinaldinim lub Robinzonem. Historja każdego narodu mniej lub więcej obfituje w bohaterskie czyny, a te będą dla chłopców dostateczną zaprawą jałowych faktów historycznych.

Podobnie z wypisów polskich i niemieckich dla niższego gimnazjum wypadałoby powyrzucać wszelkie bajki oprócz niewielu klasycznych z poezji, i zastąpić je ustępami z różnych umiejętności, któreby chłopców i rozciekawiły i czegoś nauczyły. Zdaniem mojem żywy przykład z historji lepiej pouczyłby chłopców, niż długa allegorja ze zwierzętami i t. d., która wreszcie per ambages dochodzi do sensu moralnego zawartego w kilku słowach. Wcale zaś nie rozumiemy już znaczenia i potrzeby niedorzecznych bajek prozą pisanych i z powietrza pochwyconych. Oprócz kilku bajek klasycznych, których ocena literacka kwalifikuje się właściwie dopiero do wyższego gimnazjum, powinno się je w niższem gimnazjum zupełnie pomijać. Bajki nie odpowiadają już wiekowi gimnazjalistów!

Lecz nawet dla wieku niżej dziesięciu lat, wypadałoby także pomyśleć, szczególnie w wychowaniu domowem, o wyrugowaniu owych bajek o strachach, piernikowych pałacach z karmelkowemi oknami i t. d., które mogą zająć chwilowo dzieci, „żeby nie krzyczały,“ ale bałamucą je w sposób niezgodny z racjonalnem wychowaniem. W owej uroczystej chwili, kiedy to zwabiamy dzieci do siebie magicznem odezwaniem się: „Chodźcie, opowiem wam bajkę!“, zamiast puszczać wodze fantazji w gromadzeniu niedorzecznych nadzwyczajności, lepiej pomyśleć o jakiem ciekawem a pouczającem opowiadaniu. Bajki nie są ową jedyną wyżyną, na którą wznieść się może ciekawość i pojętność dziecka! Sam opowiadałem często dzieciom od 3–6 lat w przystępnej formie rozmaite ustępy z historji, nauk przyrodniczych i t. d. a przeci-ż „bajki“ moje były dla dzieci „bardzo ciekawe i ładne“ a ilekroć pokazałem się w drzwiach, już mię oblęgano z prośbą o „bajki.“ Tym wreszcie, którzy nie chcą wierzyć, żeby rzeczy naukowe można dla dzieci zrobić przystępnemi bez unudzenia ich, przypominamy, że znakomity fizyk Thomson urządził z wielkim skutkiem odczyty z fizyki dla dzieci niżej dziesięciu lat.

W gimnazjum należałoby tem skrupulatniej powyrzucać wszystkie bajki, ile że dyktuje to i ekonomia czasu, którego nigdy dość nie ma, bo wiele rzeczy przyjemnych i pożytecznych aż się prosi, ale pomijane bywają dla braku czasu.

W wyższem gimnazjum powinno się bezwzględnie z wszelką ścisłością traktować naukę, bo wiek jest po temu. Nie żądać w tym wieku ścisłego, logicznego wyrażania się, byłoby uspieniem zdolności, zaniedbaniem budzących się sił. Ścisłość taka potrzebną jest nie tylko dla nauki, ale i dla charakteru. Sokrates powiedział, że cnota jest wiedzą tego, co czynić należy. Zaiste! gdyby ludzie dobrze myśleli nad wszystkiem, co robią, nie byłoby życia nad stan, więc i nędzy, nie byłoby tylu nieszczęść, występków i zbrodni.

Dla młodzieńca jest wreszcie ścisłość naukowa lekarstwem na rodzaj choroby, której bardzo często wiek ten ulega dla przyczyn fizycznych. Gdy bowiem chłopiec dochodzi do dojrzałości, staje się skłonnym do marzycielstwa. Wtedy właśnie jest pora dla nauk ścisłych, które łącząc z sobą różnoro-

dne zjawiska łańcuchem przyczynowości, zmuszają umysł do zgłębiania rzeczy i odwodzą od bezmyślnego gapiostwa. Że marzycielstwo, które w młodzieńcu gapiostwem jest zwykle, zaiknąćby musiało w człowieku, który nie nad powierzchownością rzeczy gapi się, lecz głębiej w nie wnika, o tem wątpić nie należy. O ile polot fantazji młodzieńczej jest pięknem znamieniem młodości, o tyle bezmyślne marzycielstwo czyli gapiostwo nie może być w niej cierpianem. Znam jednego matematyka, który, będąc jeszcze uczniem gimnazjalnym, wyleczył się z czczej, rozleniwiającej go miłostki bez celu za pomocą matematyki, do której też odtąd z zapałem na całe życie przylgnął, (co mu jednak nie przeszkodziło w należytym czasie z miłości się ożenić).

(Dalszy ciąg nastąpi).

Mój pierwszy utwór sceniczny.*)

przez Alfonsa Daudet'a.

Podczas ostatniej wystawy paryskiej, szedłem pewnego dnia przez bulwary. Ulice i trotoary roiły się kosmopolitycznym tłumem cudzoziemców i przybyszów z prowincji; wśród odurzającej wrzawy, złożonej z krzyków, przekleństw, hurkotu wozów i trzaskania z biczów, przeciskały się przez ciżbę ogromne omnibusy i dorożki, wszystko napchane „po brzegi,“ dążąc długim łańcuchem ku polom Marsowym. Gdym się znalazł w pobliżu „Grand hotel'u,“ ujrzałem w tej chwili grupę szejków arabskich, występującą z sieni hotelowej. Milczący ci wojownicy pustynni szli zwolna dumnym krokiem, a zdawali się tak mało uwagi poświęcać i dziwić wielkiemu Paryżowi, jak, prawdopodobnie ich przodkowie, za czasów Jugurty, gdy stanęli wśród murów wielkiego Rzymu. Warto było popatrzeć na malowniczy strój tych gości z daleka: trzy obszerne burnusy, narzucone jeden na drugi, jako znak potęgi i bogctwa, wysokie buty skórzane koloru szkarłatnego, biały „haik“ naokoło skroni, przepasany rzemykiem ze skóry wielbłąda, a przez piersi wielka wstęga legii honorowej, szeroka szarfa z dużym ciężkim krzyżem — ta wysoko ceniona odznaka honorowa, której ci właściciele afrykańscy używają często zamiast chusteczki do nosa — tak potężną jest jeszcze prostota tych szlachetnych synów Sahary, mimo że i tam cywilizacja nasza puściła już szerokie zagony. Nie pierwszy to raz spotkałem ich dzisiaj, i nie pierwszy raz widziałem wczoraj, gdy dążąc konno do Vincennes na przegląd wojska, cały Paryż wprawili w podziwienie przepysznemi swemi rynsztunkami i kostiumami. Ja i oni, byliśmy starzy znajomi, i przyjaciele. Na ślicznym arabskim koniu dowodził im mój poczciwy Bach-Aga-Bualem, którego przez ostatnich ośmnaście lat nie widziałem wcale — stary, zawsze okropnie chudy i wysoki, a jak węgiel czarny Bach-Aga-Bualem, o wiecznie zapadłych policzkach, głowie kształtu małpiego lub wilczego, i dziwnie pięknych ale nie mniej także dzikich oczach. Nie mówiłem z nim obecnie — później wytłumaczę powód tego — co za wspomnienie jednak obudziło we mnie to spotkanie! Jakby w bajce, na skinienie rószczki czarnoksięskiej, zniknęły mi nagle z oczu gwarne bulwary ze swemi tłumami przechodniów, przez chwilę zda się, migały w powietrzu, a potem w mgłach się rozpłynęły: pałac opery ze złoconemi szczytami i kościół Magdaleny z greckim swym frontem; w miejscu tego ujrzałem nad sobą błękitne niebo, słońce palące, i widokrąg bezgraniczny. Wiadomo, że na skrzydłach fantazji pomyka się szybko i daleko, to też i teraz znalazłem się ogromnie daleko od Paryża, lutowe słońce afrykańskie pogodnego dnia z r. 1862 ogrzewało mnie rozkosznie, byłem w dolinie Szeryfa, głęboko na południu Algieru. Przedemną roztaczała się szeroka, co najmniej trzydziestomilowa płaszczyzna, na prawo i lewo okolona podwójnym szeregiem gór, które migocąc w blasku słońca kolorem złotym i fioletowym na przemian, wyglądały zupełnie jak olbrzymie ametysty; tu i tam widniał w oddali karawanseraj, wioska, czasem przelatujący marabu, to znowu pokazały się na jasnym horyzoncie czarne ruchome punkty, które — gdyby nie czysty błękit nieba nad głową i jak okiem w około zasięgnie, zamiast trzód, czem były, wziąćby można za cienie chmur, przeciągających nisko po nad ziemią. Do południa polowaliśmy, później gorąco zbyt dokuczało, więc mój gospodarz Bualem rozkazał rozbić namiot. Jedną jego ścianę podniesiono, skutkiem czego widać było spory kawał horyzontu. Przed namiotem stały konie z pospuszczanemi ze zmęczenia głowami, parę kroków dalej chłopak młody, leżąc na piasku wyciągnięty, gotował dla nas mokkę w garnuszkach, nad skąpym ogniem ze suchych korzonków, z których dym wąziutki unosił się w górę pionowo; my odpoczywaliśmy w milczeniu na miękkich dywanach, zasłonięci przed skwarem słońca białem płótnem namiotu.

Śliczny był to dzień, i szkoda że przeminął tak rychło — tęskno mi dziś na wspomnienie tych kilku chwil złotych, które spędziłem tak błogo ze zacnym Bualem-Ben-Szeryfem, i jego przyjaciółmi, Si-Slimanem, Sid-Omarem i Agą Atafem! Powtarzam, tęskno mi dziś po latach prawie dwudziestu — a jednak, o jak nielogiczną i fałszywą jest natura ludzka! wówczas tam w Algierze — wyznać to muszę — tęskniłem do Paryża!

Tak jest — wzdychałem wtedy do Paryża, który zmuszony byłem opuścić nagle chcąc ratować zdrowie, zszargane mocno trzyletnim nowicjatem w zakonie literackim; i złorzeczyłem w duchu wygnaniu memu z grona tych wszystkich, których kochałem, i z tego pięknego miasta, gdzie porzuciłem ak drogie mi dzisiaj jego mgły, dziennik, nowe książki, owe codzienne pogadanki pobiednie z przyjaciołmi w zwykłej naszej kawiarni, lub wieczorem pod fasadą teatru, — tę ciągłą gorączkę Paryża i entujazm jego dla sztuki, który pod namiotem afrykańskim przezentował mi się jedynie ze swoich stron najlepszych. Już to najgłówniej przyczynił się do tej tęsknicy mój utwór — pierwszy w życiu utwór sceniczny — o którego przyjęciu na scenę Odeonu, dowiedziałem się był w dniu mojego wyjazdu.

To pewna, że pejzaż przed oczyma miałem bardzo piękny, a oprawny w ramy oryginalne i dziwnie poetyczne; z tem wszystkiem jednak byłbym chętnie oddał Algier i widniejące w dali szczyty Atlasu, Bualemę z jego przyjaciołmi, ciemny błękit nieba, karmazyn róż oleandrowych, wszystko — za szarą kolumnadę Odeonu z jego wązkiem wejściem na scenę i maleńką lożą portjera, wyklejoną od sufitu do posadzki autografami i portrecikami artystów i artystek. Jak to, więc gdzieś daleko w Afryce wiodłem teraz żywot jakiegoś rycerza z wieków heroicznych, podczas gdy tam w Paryżu, ów korytarz wąski, który mnie widział drżącego i pełnego bojaźni, gdym szedł doręczać mój utwór — byłby teraz mnie ujrzał kroczącege tryumfalnie i z miną młodego autora — udającego obłudnie ogromną skromność i zakłopotanie! Czułem się upokorzony myślą, że tu niemal poniżałem się, obcując z arabskimi szejkami, wyglądającymi wprawdzie malowniczo, lecz bynajmniej nie odpowiednimi dla towarzystwa człowieka inteligentnego — podczas gdy tam, hen — nad Sekwaną — sufler, maszynista, dyrektor, reżyser, i liczna banda wyróżowanych aktorek i świeżo ogolonych aktorów, zajmowała się pilnie moją sztuką! Oddechałem w rzeczywistości świeżym i ostrym zapachem, zalatującym z niedalekich drzew pomarańczowych, gdy przeciwnie mój zmysł powonienia spragniony był, tej tak dla mnie wówczas dziwnie ponętnej woni, którą zwykle wydzielają kulisy teatralne! A ta poważna

---

*) Ta humoreska jest jednym rozdziałem, wyjętym z obszernego dzieła tego znakomitego pisarza, które ukazać się ma niebawem, p. t. „Memoires d'un homme du lettres“

ceremonja — czytanie utworu w obecności całego personalu artystycznego: na pulcie karafka z wodą, szklanka z cukrem, rękopis i lampa. Potem próby, nasamprzód w foyer koło wielkiego komina, następnie na scenie, pokrytej bezdenną tajemniczą ciemnością, a zawalonej meblami i dekoracjami, z widokiem na pusty, grobowo głuchy i lodowaty amfiteatr, w którym wśród zmroku rysują się nieznacznie kontury pająka, zpowitego w koszulkę. A gdy już nadejdzie długo wyglądany wieczór przedstawienia, jak pięknie prezentuje się fronton teatru, oświetlony łańcuchem lamp, ekwipaże zajeżdżają, koło kasy ścisk i gwar — tyle ruchu wszędzie; niecierpliwe wyczekiwanie rezultatu, w towarzystwie wiernego przyjaciela, nareszcie zjawiają się czarne ufrakowane sylwetki z zawiadomieniem, że zasłona już spadła, i nazwisko autora reżyser podniesionym głosem rzucił na pastwę oklaskującym lub gwizdającym słuchaczom.. „Napr ód bracie — szepce poczciwy towarzysz — i głowa do góry! Teraz należy pójść obaczyć, jak rzeczy poszły, podziękować aktorom, a potem uścisnąć dłoń znajomym, którzy Cię oczekują w kawiarni...“ Tak marzyłem na jawie, z oczyma szeroko rozwartemi i wlepionemi w płócienny strop namiotu, przez który usiłowały przedrzeć się palące promienie afrykańskiego słońca zimowego. Wyjrzałem przez szeroki otwór, słońce już się chyliło ku zachodowi, zabarwiając rąbek widokręgu różowem światłem, nad rozległą płaszczyzną panowała cisza, przerywana od czasu do czasu jedynie echem pobrzękującego gdzieś w dali dzwonka, lub melacholijnemi głosami pasterzy, nawołujących swoje trzody.

Nic zresztą nie zakłócało moich snów na jawie. Moi gospodarze, rozumieli — wszyscy czterej razem, — zaledwie dwadzieścia słów francuskich, ja najwięcej około dziesięć arabskich. Nasz wspólny znajomy, który mię w prowadził w ich towarzystwo, i jako tłumacz nam służył (hiszpański handlarz zboża, z którym poznajomiłem się w Algierze), nie był w tej chwili z nami, gdyż uparł się był polować dalej, nie zważając na upał; więc też w głębokiem milczeniu spoczywaliśmy wszyscy, paląc grube papierosy, jeden po drugim, i popijając wyśmienitą czarną kawę z malutkich filiżanek.

Nagle powstał hałas przed namiotem. Psy poczęły szczekać zajadle, posługacze nasi zbiegli się ze wszystkich stron, tuż przed namiotem pojawił się na koniu olbrzymi spaha w czerwonym burnusie i zawołał: Sidi Daoudi?

To depesza z Paryża, która goniła za mną z jednej wsi do drugiej, począwszy od Milianah, i dopiero tu nas dopędziła. Zawierała jeno te kilka słów: „Sztukę grano wczoraj, powodzenie wielkie, przedstawienie znakomite“. Przeczytałem tych parę słów — tak mi drogich, raz drugi i setny — nie mogłem się nasycić niemi, zupełnie, jak to się praktykuje z długo wyglądanym listem od kochanki.... Pomyślcie tylko: to był pierwszy mój utwor!.. A czarni towarzysze moi, widząc mię tak wzruszonego, z rozpromienionym wzrokiem i drżącemi rękami, uśmiechali się hultaje, i zamienili pomiędzy sobą kilka słów po arabsku. Po chwili najuczeńszy z nich, zebrawszy całą swą wiedzę obcego języka, zdobył się na pytanie: „France... nouvelles..: famille? — Ależ nie, to nie wiadomość familijna, coś zupełnie innego i lepszego! I czując potrzebę podzielenia mej radości i szczęścia z kimś drugim, postanowiłem z pomocą znanych mi kilku słów arabskich w połączeniu z temi dwudziestoma francuskiemi, które oni posiadali, wytłumaczyć im, co to jest teatr, i co znaczy dla autora pierwsze przedstawienie jego utworu w Paryżu. Oczywiście zgadnąć łatwo, że trud mój był daremny. Atoli w młodym wieku nie rozpacza się tak rychło! Wyszukiwałem porównania, nadrabiałem żywą gestykulacją, w końcu wywijając w powietrzu niebieską kopertą depeszy, chcąc im koniecznie być zrozumiałym, powtarzałem niezliczone razy „Karageus! karageus! — jak gdyby moja sentymentalna i na łzy cnotliwe spekulująca jednoaktówka, dała się w czemkolwiek porównać do przerażająco idjotycznych fars pierwszego lepszego humorysty tureckiego, — a Odeon, ów klasyczny Odeon, miał choćby cień podobieństwa do której bądź z owych dusznych spelunk po miastach maurytańskich, gdzie każdego wieczora, mimo surowych zakazów policji, poczciwi Muzułmani ubawiają się do upadłego cynicznemi opowieściami i żartami, rodzimych swoich komików!

Wszystko to było jednak niczem innem, jak tylko rodzajem afrykańskiej fata morgana. W Paryżu czekało mię rozczarowanie. Wróciłem tam niezwłocznie, prędzej—niżeli byłby na to pozwolił lekarz i rozsądek. Lecz cóż mię teraz obchodziły mgły i śniegi, które nad Sekwaną zastać miałem, i czy mogłem dziś żałować za cudownym lazurem afrykańskiego nieba?! Ujrzeć moje dzieło, a potem — choćby umrzeć! Wsiadłem na okręt — wylądowałem... jużem w Marsylji... już, już w Paryżu. Gdym wyskoczył z wagonu, była godzina 6 wieczorem, nad miastem zmrok panował głęboki. Zapominając o dokuczającym mi głodzie, rzuciłem się w dorożkę: „Hej! co koń wyskoczy do Odeonu!“

Ledwie zająłem krzesło w amfiteatrze, zasłona się podniosła. Licznie zgromadzona publiczność przedstawiała oryginalny widok. Że to były zapusty, i w każdym lokalu łacińskiej dzielnicy miano tańczyć noc całą, więc mnóstwo studentów i studentek przyszło do teatru w kostiumach redutowych, aby spędzić tu dwie godziny wieczorne. Gdzie spojrzeć, widziało się arlekinów, pierrotów, kolombiny, słowem pstrokaciznę barw najrozmaitszych. „No — trudno to będzie — pomyślałem — poruszyć do łez tych warjatów!“ Mimo to zaręczam wam — wiele z nich płakało, a płakało tak rzewnie, że temu lub owej garb na przodzie błyszczał do światła z wilgoci. Przedemną naprzykład siedział „trefniś,“ któremu ze wzruszenia dzwonki u kapuzy co chwilę brzęczały — po lewej znowu ręce pierrotka — jakaś otyła „Liza,“ z sercem widocznie nadzwyczaj czułem, bo dwa potoki łez z okrągłych jej oczu, wyżłobiły na pomączonych tłustych policzkach dwie szerokie smugi, z czem naturalnie wyglądała nader pociesznie.

Owa depesza algierska zawierała prawdę: moja jednoaktówka odniosła wielki sukces. Lecz cóż na to powiecie? — gdy widzowie płakali a potem sala grzmiała frenetycznemi oklaskami, autor sztuki byłby najchętniej czuł się przynajmniej sto stóp pod ziemią... tak mi się wydała okropną tego wieczora! Nie — to nie moje... tłumaczyłem sobie. Czyż podobna poznać mi mojego bohatera w tym grubym panu, który aby wyglądać poważnym i nader cnotliwym ojczulkiem, ucharakteryzował się w maskę beranżerowską?! A jednak — przyznaję obecnie — byłem wówczas bardzo niesprawiedliwym. Aktorowie bowiem wywiązali się z ról, jak mogli najlepiej, i bez wątpienia im zawdzięczyć miałem wielką część powodzenia. Atoli rozczarowanie moje było zbyt silne, a różnica wydała mi zbyt wielką pomiędzy owem, co sądziłem, że napisałem, a tem wszystkiem co mi się teraz ukazało plastycznie przedstawiono. Wszystkie braki, jak zmarszczki u starca, wystąpiły na jaw w jasnem oświetleniu, i nie dziw, żem cierpiał męki okropne, widząc mój ideał tak do niepoznania zmieniony! Mimo wzruszenia i zadowolenia widzów, czułem się przygnębiony brzemieniem jakiegoś niewysłowionego wstydu i pomięszania. Czułem, jak krew gorąca, postępując coraz wyżej, cisnęła mi się do mózgu. Były chwile, iż zdawało mi się, że te figury maskaradowe poznały mnie, i naigrawały się ze mnie z nieubłaganem szyderstwem. Zlany potem, bez oddechu w piersi, bez głowy, podwajałem w myślach gesta aktorów. Chciałem, aby prędzej ruszali się na scenie, mówili szybciej, byle tylko skończyły się

jak najprędzej katusze moje! Ach, jakże odetchnąłem, gdy kurtyna zapadła, i przedarłszy się przez tłum z przedsionka teatru, pędem ściganego złodzieja pomykałem po pod mury ulicami, ukrywszy głowę głęboko w kołnierz palta, i unikając pilnie wzroku przechodniów!

Od tego czasu wiele rzeczy napisałem dla sceny, nigdy jednak nie mogłem się pozbyć nader przykrego wzruszenia, ilekroć którekolwiek z dzieł moich po raz pierwszy pojawiło się na deskach teatralnych. Podziwiam młodych i starych dramaturgów, i zazdroszczę tym panom, którzy podczas prób z pewną satysfakcją stawiają swoje krzesło koło budki suflera, poprawiają, dysputują, kreślą, dodają, a robią to wszystko całą duszą swoją i umysłem... a wieczór podczas pierwszego przedstawienia, siadają w środku amfiteatru, bawią się wyśmienicie, naostatek sami brawa biją, z zadowoleniem osiwiałego żołnierza, zwycięzcy — wśród bitwy. Bez porównania lepiej już rzecz się ma z książką, która treści swej nie wystawia na pokaz i sama nie wyzywa. Podnosząca się kurtyna robi szmer, jak gdyby sukienkę darto na kawałki, i oto dziewicze stworzenie, nagie i bezbronne, staje na widoku jako przedmiot ciekawości dla dwu tysięcy nielitosnych oczu! Przypomina mi to zawsze owe nieszczęśliwe dziewczęta, które drżąc z zimna i kuląc się ze wstydu, za talara rozbierają się w pracowni artystów, by im pozować jako modelki. — To też, jeśli kiedy napiszę co i dam do grania na scenę, porzucę Paryż i ucieknę w świat, daleko za morze do ojczyzny starego Bualemy... tam ze spokojnym umysłem będę wyczekiwał złej lub dobrej nowiny, którą po długiem szukaniu, wśród pustyni doręczy mi nareszcie piękny jaki spaha w czerwonym płaszczu.

Ale, ale — zapomniałem wytłumaczyć, dlaczego nie zbliżyłem się do poczciwego Bualema-Ben-Szeryfa, gdym go podczas wystawy spotkał na bulwarze koło „Grand hotel'u." Powodem tego była pewna okoliczność, która mię żenowała. Ów hiszpański handlarz zboża, który mię przedstawił był zacnemu szejkowi, jak słyszałem później, skończyć miał swoją karjerę nader fatalnie... Wśród tych kolonij, zaludnionych przybyszami z całego świata, często bardzo robi się znajomości, nie znając się bliżej nawzajem. To też zdarza się, że pewnego pięknego dnia usłyszeć można coś podobnego:

— Jakże tam idzie temu pięknemu chłopcu, no —pan wiesz przecie, o kim myślę?

— Tak, tak... wiem... poszedł na galery! Oto są ujemne strony kolonizacji....

Przegląd literacki.

Jan Czarnecki. Rys dziejów starożytnych. Zeszyt I. i II. Lwów, nakładem autora 1882. str. 102 w 8ce.

Daleko już odbiegliśmy od kronikarsko-belletrystycznego zapatrywania na historję. W jaki sposób spisywano kroniki — wiemy dokładnie. W jaki sposób traktowała historję szkoła, która w Macaulay'u, Thierrym, a u nas w Szajnosze znalazła swych wyrazicieli — mamy w świeżej pamięci. Nie do pogardzenia są notaty i opowieści kronikarzy, tem cenniejsze im więcej obejmują szczegółów dziejowego materjału. Z przyjemnością też wczytujemy się w plastyczne i barwne odwzorowanie dziejów, tak jak chętnie widzimy historyczne dramaty na scenie.

Nauka jednak ścisła stawić musi historji poważniejsze jeszcze wymagania. Skoro też przekonanie o przyczynowym związku wszystkich objawów życia ludzkiego, coraz silniej zaczęło się wkorzeniać w umysły ludzkie, powstał w nauce historji kierunek pragmatyczny, doszukujący się przyczynowego związku dziejowych wypadków. Od takiego zaś historycznego pragmatyzmu krok już tylko jeden do poszukiwania praw rządzących rozwojem dziejowym, co rozpoczęli już Vico, Turgot i Herder, i z takim talentem prowadzili dalej Comte, Buckle i Draper.

Gdy przytem na tak naukowem stanęła historja stanowisku, trzeba było rozszerzyć teren dziejowych obserwacyj, i wciągnąć w zakres historji coś więcej prócz rozpamiętywania losów dynanstyj, śledzenia za przebiegiem kształtowania się państw, prowadzonych przez nie wojen, i zawieranych przez różnych wodzów i panujących, traktatów. Wciągnięto wtedy w krąg badań historycznych stosunki społeczne, przemysł i handel, całą słowem wewnętrzną historję społeczeństw.

Idąc konsekwentnie dalej w tym kierunku, pozostało tylko połączyć życie historyczne narodów z rozwojem warunków przyrodzonych, w jakich się ono odbywało, ażeby w zupełności odpowiedzieć wymaganiom nowoczesnej nauki dziejów.

Tą też drogą poszła nauka historji.

Pochód jednak taki nie odbywa się zwykle zbitą i zwycięzką falangą. Po za torującą nowe drogi awangardą, ciągnie cała armia ciężkiej rajtarji, wlecze się przytem także sporo zapóźnionych maruderów.

Między tymi ostatnimi wielu jest takich, co nie czując w sobie dość talentu i odwagi, do śmiałego postępowego pochodu, powtarzają na tyłach stare bajki, chętnie je opowiadając młodym i starym dzieciom, pozując przytemna rzekomych popularyzatorów „nauki historycznej".

Pan Czarnecki inną zupełnie obrał drogę, zabrawszy się bowiem do napisania popularnego zarysu dziejów starożytnych, umiał pójść śmiało w pierwszych szeregach badaczów dziejowych.

Zeszyt wstępny „Rysu" zapoznaje nas z „dziejami przedhistorycznemi", jak się one rozwijały na tle geologicznego rozwoju naszej planety, i łącznie z rozwojem całego życia organicznego.

Przy takiem traktowaniu dziejów, otwierają się przed nami rozległe widnokręgi. Życie organiczne, od czasu gdy w ciepłem morzu formacji laurentyńskiej poczęły się pierwsze jego zawiązki, trwa już przybliżenie lat 700.000; upłynęło już 350.000 lat od czasu, gdy człowiek, jako najwyższy szczebel na drabinie istot organicznych, pojawił się na widowni. Napotkawszy wyraźne ślady człowieka w trzeciorzędowej formacji plioceńskiej, autor śledzi następnie jego dzieje w dwu ostatnich okresach geologicznych: dilluwialnym i alluwialnym, przechodząc kolejno potem kamienną, brązową i żelazną epokę kultury.

Prastary Egipt, kolebka naszej cywilizacji, dziejami swemi sięga na kilka tysięcy lat wstecz po za erę chrześcijańską. Autor w zeszycie drugim przebiega ginące w pomroku wieków dzieje tego kraju, zapoznając nas z wewnętrznemi i zewnętrznemi przyczynami, które powodowały wzrost i upadek egipskiego społeczeństwa, obznajamiając nas z jego kulturą, religijnemi wierzeniami, ustrojem społecznym i państwowym, nauką i sztuką.

Nie możemy głębiej zapuszczać się w te zamierzchłe dzieje, które tak umiejętnie rozsnuł przed nami p. Czarnecki — nadmienimy tylko, że, „Rys" jego, tak pod względem przejęcia się spółczesnemi naukowemi poglądami, jak i pod względem jasnego i dosadnego wykładu, wypowiedzianego nader poprawnym, czystym i barwnym językiem, jest dziełem o zaletach niepoślednich, i rzadkiem nader w naszej literaturze historycznej zjawiskiem.

B. N.

(Fünfzehn Essays von Hermann Grimm. Dritte Folge. Berlin, Ferdinand Dümmlers Verlags-buchhandlung 1882.

Autor znakomitego studium o Michale Buonarottim, ogłosił obecnie nowy szereg szkiców literacko artystycznych, w których jest przekład dwóch studjów Emersona o Goethem i Shakespearze, służących za ilustrację niejako do nekrologu amerykańskiego pisarza, zmarłego roku bieżącego; a dalej studjum o trzech braciach Grimma Wilhelmie, Jakóbie i Ludwiku, które pomimo pietyzmu, jaki autor zachowuje dla swych najbliższych, mają w sobie dużo prawdy histo-

tycznej, a odznaczają się przed innemi chyba tylko wspaniałą formą. Kto zna Grimma z pism dawniejszych, wie aż nadto dobrze, że umie on połączyć ścisłość i dokładność krytyczną z nadobną i zajmującą formą. To samo da się powiedzieć również o dziele jego leżącem przed nami, dziele, które odznacza się wśród powodzi krytyczno-literackich rozpraw, głęboką znajomością rzeczy i szerokim na świat poglądem. Grimm nie mówi nigdy o żadnym autorze i dziele jako o rzeczy zamkniętej w sobie, ale umie należycie ocenić wpływy otoczenia, i przedstawić rzecz każdą na tle ogólnych prądów cywilizacyjnych.

W szeregu prac obecnych spotykamy między innemi urywki z życia Rafaela, i czytając je wyrazilibyśmy z pewnością życzenie poznania całości, gdybyśmy niewiedzieli, że autor właśnie nad dziełem takiem pracuje. I w istocie szkoda by było tych mozolnych studjów, jakie musiał on, biorąc się do pisania życia Michała Anioła, poczynić także nad Rafaelem, gdyby one miały pójść na marne. Kilka urywków zamieszczonych o Rafaelu w zbiorze, pozwala się spodziewać, że Grimm o wielkim mistrzu z Urbino będzie umiał podać tyle zajmujących uwag, ile ich poczynił nad życiem i dziełami twórcy „Mojżesza". Tyle na razie o studjach Grimma.

Dla uwieńczenia sprawozdania naszego powiemy chyba o nader oryginalnej rozprawie, o powstaniu owej legendy ludowej o drze Fauście. Jest to, według słów autora, tylko urywek z większej pracy, a przecież ileż w niej interesujących anowych szczegółów! Grimm wywodzi tu z ilu rozmaitych pierwiastków złożył się „Faust" Goethego, i sądzi że ów dr, Faust, który stał z Lutrem w stosunku, jest wzorem awanturniczości, paryski profesor Faustus Antcelins, przyjaciel Erazma, jest modelem erotyzmu, a ów Faustus o którym wspomina św. Augustyn w swych „Wyznaniach", daje postaci Fausta Goethowskiego podstawę filozoficzno teologiczną, i kończy swój wywód w ten sposób: „Z Faustem zatem występuje przed nami Erasmus, Luter i Augustyn, a z tego wszystkiego powstaje osoba jedna, twór nowy, podobny do dziecięcia w tem, że i on łączy w sobie moralne i fizyczne właściwości wielu przodków..."

A. Z.

Petőfi Szandor

Szkic biograficzno-literacki

napisał

Aleksander Lisiewicz.

W dniu 15 b. m. obchodził naród węgierski wielką uroczystość: w Budapeszcie odsłonięto pomnik jednego z wielkich synów węgierskiej ziemi — najulubieńszego poety narodowego Szandora Petőfiego. Imię jego znane dziś już w całej Europie, szczegółami życia jego a zwłaszcza tajemniczej śmierci interesowała się cała prasa europejska, a poezje przełożono w 12 językach. Cóż dopiero mówić o Węgrzech? Tam nie ma prawie miasta większego, w któremby nie było „ulicy Petőfiego", w rodzinnem mieście poety wznosi się już od lat kilku pomnik z jego popiersiem, a dom urodzenia zdobi pamiątkowa tablica, teraz zaś w stolicy kraju stanął ze składek całego narodu wspaniały pomnik spiżowy dłuta genialnego Adolfa Huszar'a. Gdy nadto dodamy, że poezje jego, wydane po raz dwudziesty i któryś w r, 1879, przez towarzystwo „Athaeneum," w przeciągu kilku miesięcy rozeszły się w 30.000 egzemplarzy — co więcej, że utwory te przeszły już w usta ludu i przy każdej sposobności — jak to sami słyszeliśmy — spiewane bywają, będzie to pono dostatecznym usprawiedliwieniem, że na postać i utwory tak znakomitego poety sąsiedniego narodu chcemy niniejszym szkicem zwrócić uwagę polskiej publiczności. Przemawia za tem i ten wzgląd, że mimo sympatji do Węgrów, i mimo wielu węzłów łączących w dziejach Polskę z Węgrami, literatura tego narodu zupełnie u nas nieznana, i tylko jeden Jókai, którego kilka romansów w ostatnich latach na polski język przełożono, zdołał u nas uzyskać jakie prawo obywatelstwa.

Żywot Petőfiego, jakkolwiek krótki, obfituje w ciekawe i rozliczne szczegóły. Jak niegdyś o wydanie na świat Homera 7 miast greckich spór wiodło, tak dziś toczy się spór w Węgrzech o Petőfiego: Felegyhaza, Szabadszallas i Kis Körös chciałyby być gniazdem rodzinnem poety. Dziś już jednak niewątpliwem jest, że zaszczyt ten przypadł w udziale ostatniemu z nich, Kis Körös, miasteczku w peszteńskim komitacie. Tam to urodził się poeta 1. stycznia 1823. Ojciec jego Stefan Petrovics — takie bowiem jest właściwe nazwisko poety, („Petőfi" było z początku jego pseudonimemu literackim a dopiero później przybrał je jako swoje nazwisko) — był skromnym gospodarzem a zarazem rzeźnikiem, i zamierzał rzemiosło swe przekazać pierworodnemu Aleksandrowi. Z trudnością dał się później odwieść od tego zamiaru, i wyprawił Aleksandra do szkół. Studja gimnazjalne odbywał młody Petrovics najpierw w Aszod, a następnie w Szemnicach. Tu zapoznał się z trupą wędrownych aktorów i zapalił się tak do desek teatralnych, że porzucił szkoły i puścił się z tą trupą na wędrówkę artystyczną, nie zważając na napomnienia ojca, wskutek czego też ojciec zaprzestał udzielać mu dalszych zasiłków, i Sandor zaznał niejednokrotnie wielkiego niedostatku. Na deskach teatralnych zupełnie nie wiodło się Petőfiemu: wbił sobie w głowę, że ma wielki talent i pragnął wciąż występować w dramatach, podczas gdy reżyser dawał mu role w modnych podówczas sztukach ludowych, a nawet kazał mu spiewać — oczywiście w chórze. Z tego powodu staczał ustawicznie walkę z reżyserem, aż wreszcie zrażony ciągłemi niepowodzeniami porzucił scenę w r. 1839 zaciągając się w Oedenburgu do wojska. Niedługo jednak służył wojskowo, gdyż w skutek ciężkiej choroby, na jaką zapadł podówczas, uwolniono go z szeregów. Z tego to czasu pochodzą najpierwsze jego piosenki; ciężkie chwile służby wojskowej osładzał sobie tworząc piosenki, i wypisując je na ścianach koszar i strażnic.

Po tych przykrych przejściach powrócił napowrot do szkół i w Papa kończył studja gimnazjalne. Z owego czasu mamy już o nim dokładniejsze wiadomości, podane przez Jókai'a, który również w Papa do szkół uczęszczał. Jókai tak kreśli te chwile: „Po raz pierwszy ujrzałem go na ulicy; szedł spiesznie z odkrytą szyją, w czarnym wytartym płaszczu, z pomiętym kapeluszem na głowie. Moi towarzysze znali go już i wołali doń: „Dzień dobry, smutny Węgrze!" — takiem bowiem obdarzono go przezwiskiem. On atoli nie odpowiedział na to pozdrowienie, lecz poszedł dalej tak szybkim krokiem, jakby to szło o wyścigi. W szkole rzadko tylko go widywałem i dla tego zacząłem z góry nań patrzeć. On zaś zamiast uczęszczać do szkoły, pisywał wiersze, które potem deklamował na posiedzeniach Towarzystwa oświaty (kepzötarsasag). Wtedy uczułem doń zazdrość. Potem dowiedziałem się, jak żyje: opuszczony od wszystkich, kopiował prace dla paniczów. Wówczas zacząłem go poważać. Gdyśmy się tam rozłączyli, kochałem go już."

Życie w Papa nie ścieliło się więc Petőfiemu po różach, lecz gwiazda jego zaczynała już wschodzić na firmamencie. Utwory jego podówczas pisane, drukowano w rozmaitych pismach, i one to zwróciły na siebie uwagę Michała Vörösmarty, sławnego liryka, późniejszego protektora i niejako drugiego ojca naszego poety.

Tymczasem ukończył Petőfi szkoły i teraz dopiero z świadectwem w ręku odważył się powrócić do domu rodzicielskiego, podówczas już w Duna-Vecse, dokąd zubożeli rodzice jego się byli przenieśli. Rodzice przyjęli go z radością, zwłaszcza matka, którą poeta uwielbiał i niejednokrotnie wierszem opiewał. Pokrzepiony widzeniem się z rodzicami udał się teraz Petőfi do Pesztu,

gdzie jakiś czas utrzymywał się tłumacząc romanse francuskie. Znowu jednak odezwała się w nim żądza zdobycia laurów na scenie, lecz zamiast nich spotkały go tylko upokorzenia i smutne rozczarowanie w teatrze w Debreczynie, gdzie bezskutecznie szczęścia próbował.

W tym czasie atoli poznał się z Albertem Pakh i zawiązał z nim ściślejsze stosunki, które stanowczo wpłynęły na dalszą jego przyszłość. Pakh bowiem nie tylko wsparł go pieniężnie. lecz także nakłonił do wydania zbioru rozrzuconych poezyj, i zapoznał go ze wspomnianym powyżej Vörösmarty'm. Długo szukał poeta napróżno nakładcy na swe poezje — dopiero życzliwe poparcie Vörösmartyego otwarło mu te zaklęte bramy i tak w r. 1844 wyszedł pierwszy zbiorek jego pieśni (150), za które dostał kilkaset złr. honorarjum.

Vörösmarty czuwał dalej nad nim i gdy wtedy właśnie Emeryk Vahot zakładał czasopismo belletrystyczne „Divatlap" (Dziennik mód) i współredaktora doń poszukiwał, nie omieszkał Vörösmarty zalecić mu swego protegowanego. Z chwilą objęcia tej redakcji, rozpoczyna się właściwa epoka rozległej działalności literackiej Petöfiego. Pracę miał wprawdzie żmudną, i niebardzo wdzięczną, musiał bowiem do każdego numeru obok własnych utworów dostarczać także przekładów z obcych języków a nadto zajmować się korrektą czasopisma, za co wszystko pobierał oprócz utrzymania 15 złr. miesięcznie — atoli przynajmniej wolnym był od troski o chleb codzienny, i mógł więcej oddać się ulubionym swym pracom. To też w tym czasie robił obszerne studja literackie a zwłaszcza zajmował się Shakespear'em, którego „Korjolana" później na węgierski język przełożył. Obok całego szeregu niezrównanych pieśni wydał w r. 1844 i 1845 większe utwory, mianowicie humorystyczny poemat p. t. „A helység kalapacsa" (Młot wiejski) w 4 pieśniach, i epopeję ludową w 27 pieśniach p. t. „Janos vitéz" (Bohater Janosz). W tych latach także kochał się kilkakrotnie a pod wpływem tego uczucia powstały piękne jego pieśni erotyczne p. t. „Perły miłości." Najgorętszą była jego miłość dla Etelki Csapo, dziewczyny 15-letniej, którą chciał pojąć za żonę, a która nagle umarła. Boleść swą po stracie kochanki wylał poeta w rzewnych strofach całego zbiorku poezji p. t. „Cypruslombok Etelka sirjaról" (Liście cyprysu z grobu Etelki).

Z każdą chwilą rosła sława i wziętość poety a chociaż długi czas ciężkie musiał staczać walki z krytykami, obrońcami klassycyzmu, to jednak kierunek nadany przez niego poezji węgierskiej, zyskiwał zwolna ogólne uznanie. Młodzież zwłaszcza garnęła się do Petöfiego. W kawiarni Pillvax zbierał się pod jego egidą „decemvirat" — przedstawiciele t. z. „młodych Węgier" a mianowicie: Jókaj, Tompa, Lisznyai, Palffy, Obernyik, Pakh, Degré, Kerényi, Bérczy i Petöfi. Była to całkiem nowa szkoła literacka, którą on nazywał węgierską szkołą romantyczną. Zadaniem jej było wprowadzić do literatury język węgierski ludowy, wyrobić mu w niej prawo obywatelstwa, skarby ludu i ziemi węgierskiej — jej czardy i puszty oddać na własność narodu. Do spełnienia tego zadania potrzeba było nie mało sił, studjów, poczucia estetycznego i wyrobionego smaku. Petöfi umiał bardzo wiele, biegłym był w językach łacińskim, niemieckim, francuskim i angielskim, literaturę powszechną znał z oryginałów — jego geniusz w połączeniu z bezgraniczną, rzec można, miłością ojczyzny, sprostał temu zadaniu.

Oprócz wzrastającej wciąż sławy, zdołał Petöfi także pozyskać szczęśliwą miłość: W r. 1846 poznał w czasie podróży po Siedmiogrodzie Julię Szendrey, córkę rządcy dóbr hr. Karolyi w Endröd. Julia odznaczała się nie tylko niezwykłą pięknością, lecz także rzadkimi darami umysłu; zajmowała się nawet pracami poetyckimi, a między innymi przełożyła później na węgierski język bajki Andersena. Petöfi zapłonął ku niej namiętną miłością i zdołał pozyskać sobie jej wzajemność tak dalece, że gdy rodzice na ten związek żadną miarą zgodzić się nie chcieli, opuściła ich dom, ażeby zostać żoną poety. Ślub szczęśliwych kochanków odbył się 8 września 1847 r. a miodowe miesiące spędziła młoda para w Kolto, romantycznej posiadłości hr. Teleki'ego, który ich do siebie zaprosił. Z pobytu w Kolto pochodzi 28 pieśni, opiewających szczęście poety; należą one do najpiękniejszych jego utworów.

Młodzi małżonkowie powrócili następnie do Pesztu. Niedługiem jednak było już ich szczęście. Nadszedł brzemienny w wypadki rok 1848. Kiedy dnia 14 marca rozeszła się wieść o rewolucji we Wiedniu i spowodowała wzburzenie umysłów w Węgrzech, postanowili Jókai, Vasvary i Bulyovsky na wniosek Petöfiego wydać proklamację do narodu. W następnym dniu 15 marca — zebrało się liczne grono młodzieży w kawiarni Pillvax i tam liczni mowcy mieli patryotyczne mowy. Uczestnicy tego zgromadzenia udali się następnie wraz z niezliczonymi tłumami ludu na plac akademii, gdzie Petöfi oddeklamował wśród radośnych okrzyków tłumu, swój pełen żaru utwór zaczynający się od słów:

Talpra magyar, hi a haza!
Itt az idö, most vagy soha!
(Wstań Madyarze! Ojczyzna cię wzywa!
Już czas; teraz lub nigdy!)

Scenę tę porywającą uwieczniło dłuto rzeźbiarza Huszar'a. Odsłonięty właśnie pomnik Petöfiego w Budapeszcie przedstawia poetę w chwili, gdy do narodu woła swoje „Talpra magyar!"; jedną ręką trzyma ćwiartkę papieru, z której odczytuje ognisty wiersz drugą wznosi w górę z porywającym gestem, podczas gdy stopa jego depce rozerwane kajdany.

Na tej scenie nie skończył się dzień 15 marca. Tłum pociągnął do drukarni Heckenasta, którą natychmiast opanowano i użyto do wydrukowania sławnych 12 żądań narodu węgierskiego zatytułowanych słowami: „Czego życzy sobie naród węgierski?" Skoro koło południa druk ten ukończono, udał się tłum, który tymczasem wzrósł do imponującej cyfry, pod wodzą Petöfiego do Budy, ażeby uwolnić uwięzionego patryotę Michała Tancsics'a, co się też udało. W następnym dniu illuminowano całe miasto, i pokazały się liczne transparenty przedstawiające obraz Petöfiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZIARNKA.

W ubiegłą niedzielę odegrano w teatrze Skarbkowskim, na „cześć śmierci Kościuszki" (jak się oryginalnie wyrażały afisze,) znaną sztukę ludową „Kościuszko pod Racławicami" a nazajutrz t. j. 16 bm. jako w rocznicę jego zgonu, odbyło się żałobne nabożeństwo w kościele bernardyńskim. W ten sposób, czytając na rogach ulic obydwa plakaty, przypomniał sobie ten i ów we Lwowie, że kiedyś, przed laty egzystował Kościuszko, olbrzym potężny, wielki duchem i sercem. W obec obojętności, z jaką poprzednich lat mijano pamiętne daty z ostatniego stulecia dziejów naszych, należy się uznanie tym, którzy tego roku pomyśleli przynajmniej o urządzeniu egzekwij żałobnych dla Kościuszki... Ale Kościuszko — pono to wiedzą i czują wszyscy — zasłużył na c o ś w i ę c e j u potomności, niżeli tylko na pietyzm, wyrażany — od czasu do czasu — ceremonją religijną... Ameryka, owa przysłowiowa kraina zimnych samolubów i liczygroszów, uważała jednak za swój święty obowiązek, postawić wspaniały posąg polskiemu bohaterowi, który w jej dziejach tak świetną odegrał rolę. I stanął w Waszyngtonie Kościuszko ze spiżu! A cóż zrobiono tym czasem dla nieśmiertelnego wodza z pod Racławic, w jego ojczyźnie? Czyż nie hańba i wstyd nam,

w obec całego świata i pokoleń przyszłych, żeśmy dotychczas nie zdobyli się nawet na jaki taki posąg, dla tego tak skromnego, a tak wielkiego człowieka? Prawda, że Kościuszko świeci jako wspaniała gwiazda pierwszorzędna w naszej historji, on jeden bowiem ratuje i pokrywa swą olbrzymią postacią ostatnie stulecie smutnych dziejów dawnej Rzeczypospolitej... że z czcią i miłością wymawiamy imię jego, że jest on jedynym, o którym pozostała pamięć chlubna wśród ludu naszego... lecz skoro zwyczajem od niepamiętnych wieków, że wielkim swoim synom wdzięczne narody wznoszą pomniki, to któż z naszych bardziej tego godny, jak Tadeusz Kościuszko?! Ludziom dobrej woli i czynu przypominamy, że już czas, aby o tem pomyśleć serjo, i myśl potem w czyn wprowadzić niezwłocznie...

* * *

W artykule wstępnym mówimy o naszym uniwersytecie; tu należy się słów kilka uroczystemu obchodowi jego otwarcia, który się odbył w ubiegły poniedziałek. Przy tej sposobności rektor obecny prof. Radziszewski wypowiedział mowę inauguracyjną, zaś prof. Biliński miał odczyt o socjaliźmie. Wiadomo jak się mówi w takich razach; toż i taki sympatyczny i sumienny człowiek jak profesor chemii naszej wszechnicy, przemawiając w charakterze rektora starał się ratować, jak mógł, nadwerężoną sławę almae matris. Liczne jednak braki naszej najwyższej uczelni nie dadzą się żadnemi załatać frazesami, ani dobremi chęciami. Fakt pozostanie faktem. Choroby, które dotknęły wielu profesorów w ubiegłym roku szkolnym, mogą być rzeczą przypadkową, przy innych jednak stosunkach, słabych profesorów zastąpić z korzyścią by mogli zdrowi docenci.

Uważamy też za konwencjonalną obronę to, co prof. Radziszewski powiedział o stanie naszej wszechnicy — z wielkiem zaś uznaniem wspomnieć musimy o serdecznych słowach, z któremi zwrócił się pan rektror do młodzieży. Powiedział on, że miłość własnego ludu, ojczystej mowy i obyczaju jest nietylko prawem, lecz i obowiązkiem młodzieży, zarówno Polaków, jak i Rusinów, że jednak po za temi obowiązkami leży obszerna dziedzina pracy cywilizacyjnej, na której obie narodowości społem pracować winny, zawiązek zaś tej łączności przedewszystkiem w murach uniwersyteckich, wśród młodzieży, począć się powinien.

Słowa te, wypowiedziane przez męża rzetelnej nauki i głębokiego przekonania, ze stanowiska szerszych zadań cywilizacyjnych, bardzo dobre zobiły wrażenie. Nie możemy tego, niestety, powiedzieć o wykładzie prof. Bilińskiego. Odczyt ten wypowiedziany został nie ze stanowiska nauki bezstronnej, z jakiego wypowiedziany być przedewszystkiem był powinien... Rozbierzemy go zresztą szczegółowiej, gdy się ukaże w druku.

* * *

„Po piętnastu latach pracy dziennikarskiej, zchodzę z tej areny, a raczej zepchnięty zostaję przez l i c h w i a r z y. „Wędrowca“ sprzedaję. Pozostawiam tylko sobie redakcję „Słownika geograficznego“ i będę kończył to dzieło... o c h ł o d z i e i g ł o d z i e.“ Oto ustęp z listu p. Feliksa Sulimierskiego, znanego warszawskiego publicysty, — pisanego do jednego z tutejszych literatów. Adresat pokazał nam ten list i pozwolił na przytoczenie powyższego ustępu zapewniając, że nie popełnimy niedyskrecji. Sulimierski to jeden z dzielnych a niezmordowanych pracowników postępu na niwie literatury i nauki, to jeden z ludzi, którzy przed kilkunastu laty zaczęli budzić społeczeństwo w Królestwie do pracy, co z wysiłkiem szermierzyli piórem i podtrzymywali ruch umysłowy. Przez lat kilkanaście redagował jedyne polskie pismo podróżnicze, wydawał pożyteczne dzieła tłumaczone z obcych języków— podjął myśl wydawnictwa „Słownika geograficznego,“ dzieła tak dla nas ważnego — i oto po tych wszystkich trudach pisze, że będzie nad ukochanem przez siebie wydawnictwem pracować... o c h ł o d z i e i g ł o d z i e. Smutny los, bolesna dola polskich pisarzy! Ale kto temu winien? Nikt inny tylko ogół, który wymaga od ludzi pióra tylko poświęceń —ale nie popiera jak należy prac najpoważniejszych.. Obojętność wobec takiego wydawnictwa, jak „Polski słownik geograficzny“ jest nie do darowania.. Oby choć w części naprawiono błąd popełniony — oby głos nasz nie przebrzmiał bez echu — oby znalazła się w Galicji choć garstka ludzi, któraby poparła pomnikowe wydawnictwo Sulimierskiego, i nie kazała mu pracować dla dobra społeczeństwa... o c h ł o d z i e i g ł o d z i e.. Wydawnictwo takie jak „Polski słownik geograficzny“ ma prawo żądać poparcia od ludzi, mających dobro powszechne nie tylko na ustach....

* * *

Skromna propozycja. Czy nie możnaby zwołać międzynarodowego kongresu, któryby zakazał Niemcom raz na zawsze pisać komedje? Bo też rzeczywiście rozpacz z tymi niemieckimi komedjopisarzami.. Co który napisze, to istna szopka, bez myśli, bez planu, bez prawdziwego humoru. Repertoar naszego teatru, dzięki predylekcji p. Miłaszewskiego do niemieckich utworów, został znowu „wzbogacony“ sztuką bezwartościową. Tytuł jej „Rei Reiflingen.“ Dużo w niej krętaniny po scenie, koloryt ckliwy mieszczański — oto wszystko Czy dyrekcja zapomniała, że istnieje na kuli ziemskiej niejaki naród Francuzów, który zaopatruje w wesołe i smaczne utwory wszystkie teatra Europy?

* * *

Minęły już dawno te czasy, kiedy kalendarz był jedynem dziełem spotykanem na biurkach tych mieszkańców prowincji, których tabele statystyczne nie zaliczały do analfabetów, minęły czasy, w których był on jedyną lekturą, ale mimo to jest dotychczas kalendarz książką pożyteczną, bez której obyć się trudno, zwłaszcza na prowincji, a która właśnie ze względu na wielkie rozpowszechnienie, może się stać nietylko bardzo pożytecznym podręcznikiem informacyjnym w wielu wypadkach, ale niemniej także wzbudzić potrafi pewien interes dla spraw obchodzących ogół. Kalendarza w tym rodzaju nie mamy dotychczas. Do najlepszych jeszcze należał zawsze humorystyczny kalendarz „Chochlika,“ który i w tym roku opuścił już prasę pod zmienioną firmą „Różowego Domina.“ Kalendarz ten zaleca się dobrze wykonanymi rysunkami, wśród których zalecają się portrety „patronów“ na każdy miesiąc. Treść literacka jest bardzo obfita, szczególnie odznaczają się piękną formą i dowcipem fejletony wierszowane, tudzież bardzo wesoły „Program wychowania panien,“ ilustrowany wybornymi rysunkami.

ZAPISKI.

Literatura.

* Teofil Lenartowicz, jak co roku wybierze się, w marcu do Bolonji na odczyty o literaturze słowiańskiej, a specjalnie polskiej. Wykłady te odbywać się będą w t. zw. „Akademji Mickiewicza.“ Poeta rozpocznie wykłady swoje od rozbioru „Marji“ Malczewskiego.

* Eliza Rulikowska, autorka znana pod pseudonimem Juljana Mörs z Porastora, której utwór, „Obrona Częstochowy“ raz był grany na naszej scenie, napisała nowy dramat p. t. „Miłość królewska.“ Ci, którzy tę pracę czytali, oddają jej wielkie pochwały. Pani Rulikowska przybywa stale w Bagici de Giuliano pod Pizą.

* Księgarnia Himelblaua w Krakowie ofiarowała tamtejszej czytelni akademickiej 1000 egzemplarzy „Poezyj“ Wasilewskiego, w komis po zniżonej cenie, z której pewna kwota uzyskana przy sprzedaży, ma być obróconą na odnowienie pomnika krakowskiego poety.

* „Kłosy“ w ostatnim numerze swoim pomieściły dwa listy Henryka Rzewuskiego, do Of. Dycalpa (Placyda Jankowskiego). Za temi listami przyjdą i inne autora „Listopada“, w których znakomity ten pisarz i człowiek... oryginalny, sam siebie odzwierciedla w żywej, pisanej pogawędce. Dycalpa zachęca, pragnie go upewnić o tem, iż posia-

...ła wielki talent i pochlebnie mówi o niektórych jego pracach. Przeciwko krytykom swoim zżyma się, zapewniając, iż nimi gardzi. — Oryginalnem jest zdanie, wypowiedziane w jednym z listów: „Przyznam ci się, iż wolę poezję nierymowaną, niż te końcówki (rymy), co mi przypominają cymbały. Nasz język jest językiem myśli, a nie muzyki...“ Dycalpowi radzi, aby pisał prozą.

Teatr i Muzyka:

* W Krakowie przedstawiono przed kilku dniami nowy dramat Erkmana Chatriana „Les Rantzau“.

* Słynna spiewaczka pani Lucca powraca niedługo z Paryża do Wiednia, i wystąpi pierwszy raz 26 bm. w operze „Poskromienie złośnicy“ a następnie w „Carmen.“

† Dnia 9 bm. zmarła w Darmstadzie w sędziwym wieku słynna swojego czasu śpiewaczka, co niegdyś współzawodniczyła z Catalani. Nazwisko jej Marjanna Schönberger Marconi. O niej to pisał jeszcze ongi w r. 1812 Goethe w swych „Tages und Jahreshefte.“

* Sławny, a znany i u nas dobrze kwartet szwedzki od dawna już nieistnieje. Z harmonią jego okazało się nader niezgodnem małżeństwo. Panna Aberg-Stockbridge jest już od roku szczęśliwą matką, panna Widsberg wyszła niedawno za mąż, a panna Soderlund oddaje się z zapałem rolnictwu na własnej swej posiadłości. Pani Marja Widsberg była już zamężną, gdy razem z towarzyszkami jeździła po Europie.

* Nowy teatr paryski Eden otwarty zostanie baletem „Excelsior“. Dyrekcja dla przedstawienia tej nowości, zaangażowała 135 włoskich tancerek, które już przybyły do Paryża na próby.

* W Londynie będzie się popisywać niebawem oryginalna trupa amerykańska, składająca się z samych kobiet; personal orkiestry również złożony jest z niewiast. Kobiety będą grać nawet męzkie role, a wątpić niepodobna, że oryginalny ten teatr licznie będzie odwidzany.

Gdzież się podziały czasy, kiedy to kobiety niemogły występować na scenie, a mężczyźni musieli grać role kochanek!

Sztuki piękne.

* „Hołd pruski“ wystawiony od niejakiego czasu we Wiedniu, jak to już zresztą donieśliśmy czytelnikom naszym w poprzednim numerze, ściąga tam liczne tłumy widzów i jest przedmiotem ogólnego zaciekawienia i podziwienia. Cesarz i arcyksiążęta Albrecht i Karol Ludwik, zwidziwszy go nie mieli dość słów pochlebnych dla mistrza krakowskiego, a fachowa krytyka dzienników wiedeńskich, z wyjątkiem tendencyjnego fejletonu w Tagblacie, który nazwał „Hołd“ „ein Politisch-Bild“, uznała go za jedną z najlepszych kreacyj Matejki, i w ogóle z całego historycznego malarstwa bieżącej epoki.

* Gmina ewangelicka w Krakowie zamówiła była u Siemiradzkiego dla kościoła swego obraz większych rozmiarów religijnej treści, mianowicie przedstawiający Chrystusa, uśmierzającego burzę na jeziorze. Temi dniami przełożeństwo gminy otrzymało list od mistrza Henryka, zawiadamiający, że obraz już w drodze do Krakowa. Między innemi pisze on także: „Zrobiłem, com mógł, aby się godnie wywiązać z włożonego na mnie zadania, i będę szczęśliwy, jeżli obraz mój, owoc długiej pracy, podjętej przezemnie z całą świadomością, iż ma pozostać na zawsze w ukochanym Krakowie, zadowoli Panów i usprawiedliwi ich zaufanie do mnie...“

* Autorem ilustracji do ustępu z Balladyny Słowackiego, oznaczonej godłem „Gopło“ i nagrodzonej później nagrodą przez krakowskie Koło literackie, jest p. Stanisław Rostworowski, student akademji sztuk pięknych w Petersburgu.

* W sobotę odbyło się w Wiedniu pod przewodnictwem Makarta zgromadzenie miesięczne stow. artystów; w celu wysłuchania sprawozdania z wystawy międzynarodowej. Z referatu wypływa, że wystawę odwidziło ogółem około pół miliona osób. Dochody z kart wejścia, katalogów i t. d. wynoszą 119.239 złr. Wystawionych było 1.297 przedmiotów sztuki, z których 129 (do sprzedania było tylko 646) przedmiotów zakupiono za kwotę 145 000. Z loterji po odciągnięciu kosztów będzie 37.000 złr. zysku.

* W Holandji znaleziono interesujące spisy obrazów mistrzów wraz z podaniem cen, pochodzące z XVII. i XVIII. wieku. Jeden z tych spisów jest katalogiem loterji w r. 1649 przedsięwziętej w Hadze, drugi zaś jest prostem wyliczeniem obrazów zakupionych przez jakiegoś nieznajomego w połowie XVIII. stulecia. Na loterji wymienionej sprzedano Tenier'go „Alchemistę“ za 25 zł. Cuypa bitwę za 52, Jan v. Goyena za 25 zł. W XVIII. wieku kupiono widok morski Van de Veldego za 400 zl. bitwę Wouwermana za 44 zł., damę przed zwierciadłem Gabrjela Metsu za 105 zł. a grupę chłopów Adr. Ostadego za 70 zł.

* Rzeźbiarz Silbernagel ukończył już statuę Rafaela, przeznaczoną do wiedeńskiego Künstlerhausu, i rozpoczął ją kuć w marmurze. Figura odznacza się wyrazem pełnym natchnienia i nadzwyczaj piękną pozą.

Miscelanea.

Wymiar powierzchni ziemi. Pozornie zdaje się tym, którzy się uczyli ongi w szkołach geografii, że nad powierzchnią i kształtem ziemi nie ma się co zastanawiać, boć wiadomą przecie jest rzeczą, że jest ona kulą na obu biegunach nieco spłaszczoną, a średnica jej ma blisko 13.000 kilometrów. Tymczasem rzecz się nie przedstawia tak jasno w nauce, bo dość powiedzieć, że rozmaite pomiary powierzchni ziemi różnią się o 2. 660 kwadratowych mil, a uczeni napróżno silą się oznaczyć kształt ziemi z wszelką dokładnością.

Gdyby się ziemia nie poruszała, to niezawodnie wszystkie jej części stałe, wskutek wzajemnego przyciągania, utworzyłyby kulę, a tylko morze, które zajmuje blisko $^4/_5$ całej powierzchni ziemskiej, przybrałoby postać owalną; że jednak ziemia wiruje naokoło swej osi, przeto siła odśrodkowa na biegunach prawie nie istnieje, a wzmaga się tylko bliżej równika. Naturalnym wynikiem tego jest, że przeważna masa kuli ziemskiej skupia się na równiku, a spłaszczenie na biegunach jest koniecznością. Newton oznaczył różnicę długości osi ziemskiej na równiku i na biegunach przez 228|229 dodał jednak, że ziemia nie jest wcale elipsoidem, ponieważ gęstość powierzchni ziemi nie jest wszędzie równą, a tem samem różną być musi i siła przyciągania. Gdyby ziemia była elipsoidem, zbadanie najmniejszej jej części pozwalałoby oznaczyć jej kształt i wielkości z wszelką dokładnością, że jednak nim nie jest, przeto trzeba badać każdą jej część z osobna, a dopiero później złożyć z tego całość.

Trzy są sposoby badania ziemi: astronomiczny, fizyczny i geodetyczny, z których ostatni poucza o wielkości ziemi, tamte o kształcie.

Badania za pomocą metody fizycznej polegają na spostrzeżeniu, że swobodnie zawieszone wahadło porusza się, im bliżej równika, coraz wolniej. Otoż za pomocą danej formułki da się obliczyć stopień spłaszczenia w pewnem miejscu. Mimo dokładności jednak, z jaką badania za pomocą wahadła robiono, pokazały się w rezultatach znaczne różnice. Metoda geodetyczna, jakkolwiek z wielu względów niedogodna, ma jednak wielkie zalety. Za pomocą triangulacji oznacza się oddalenie dwóch miejsc na powierzchni ziemi, za pomocą badań astronomicznych zaś oblicza się kąt, który tworzą promienie tych miejsc pociągnięte do zenitu, z punktem środkowym ziemi. Ponieważ w kuli równym kątom odpowiadają równe łuki, przeto gdyby ziemia była kulą, obliczenie oddalenia dwóch miejsc i wyrachowanie owych kątów przy zenitach, wystarczyłoby do oznaczenia obwodu ziemi. Ziemia jednak nie jest kulą, bo jak wiadomo, z przyczyn naturalnych na biegunach jest spłaszczoną, idzie więc o oznaczenie tego spłaszczenia w rozmaitych miejscach. Robiono już mnóstwo prób pod tym względem, ale dotąd nie doprowadziły one do zupełnie zadowalającego rezultatu, choć np. średnicę na równiku i biegunach obliczono dokładnie. Badacze uczeni wynachodzili i wynachodzą coraz nowe trudności, które nie łatwo dadzą się obliczyć a raczej usunąć. I tak np. wielki wpływ na badanie ziemi wywierają góry, szczególniej, co się tyczy siły przyciągania. Dalej pochylenie osi ziemskiej nie mało utrudnia pracę, a matematyka silić się, musi by usunąć te przeszkody.

Ostatecznie usunięcie ich nie leży w mocy jednego człowieka; ludzie rozmaitych zawodów muszą sobie podać ręce, by rozwiązać zadanie, nad którem ludzkość od dwóch tysięcy lat daremnie myśli. Toż gdy w r. 1861. jenerał pruski Baeyer podał myśl utworzenia stałej, międzynarodowej komisji do prac w tym kierunku, wszystkie państwa ochotnie się na to zgodziły; do dziś 69. ludzi fachowych, przez rządy mianowanych, pracuje nad oznaczeniem kształtu i wielkości ziemi! Rządy wspierają i materialnie tę komisję, a jaki będzie rezultat jej prac, czy się prędko dowiemy coś pewniejszego o naszej ziemi — zobaczymy.

Korespondencja Redakcji.

Panu **S. M.** we Lwowie. Za zwrócenie uwagi dziękujemy. Na przyszłość będziemy się starali uniknąć podobnych błędów korektorskich. Panu **M. Ga.** Prosimy o zgłoszenie się do redakcji.

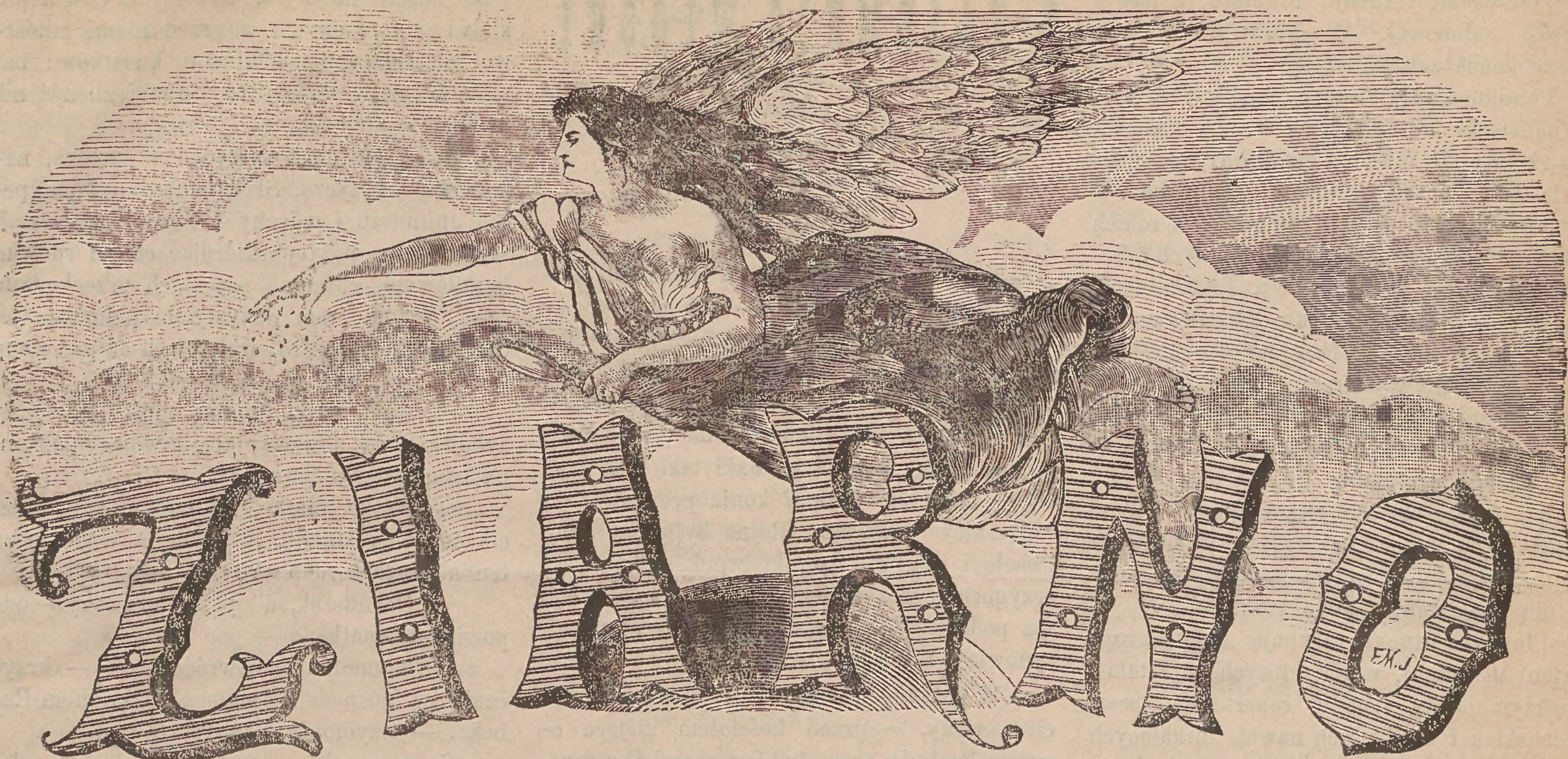
Treść.

Nasza Alma mater.
Sewer: Z tajemnic wioski (c. d.).
Klemens K.: Noc czerwcowa, Wiersz.
Hodoli L.: Wiek i jego prawa w wychowaniu. (c. d.)
Daudet Alfons: Mój pierwszy utwór sceniczny.
Przegląd literacki przez B. N i A. Z.
Lisiewicz Aleks.: Petöfi Szandor.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.
Korespondencja Redakcji.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 5. We Lwowie dnia 28. Października 1882 r. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

W obronie Melpomeny.

Kiedy pismo nasze zaczęło wychodzić, rozpisano właśnie konkurs na prowadzenie sceny lwowskiej przez lat dziewięć. P. Miłaszewski własnowolnie zrzekł się był prowadzenia przedsiębiorstwa dalej, i to uwalniało nas od wypowiadania zdania naszego o jego kierownictwie, tem więcej, iż zdawało się, że dotychczasowy kierownik ustąpił sam pod naciskiem opinii publicznej, w poczuciu swej nieudolności. Wieść ta jednak i przypuszczenia okazały się w rezultacie fałszywemi. Po rozpisaniu konkursu bowiem p. Miłaszewski podał się znów o przedsiębiorstwo teatralne, i współubiega się z p. Ładnowskim o prowadzenie sceny.

Zdawałoby się, że w obec tych dwóch konkurentów łatwy wybór, i niepotrzebowalibyśmy wcale pisać artykułu niniejszego, gdyby w tym razie rozstrzygała znajomość rzeczy, zasługa, lub artyzm, słowem sprawiedliwość. Kto zna jednak stosunki nasze i wie, kto i co w takim razie rozstrzyga, ten zgodzi się z nami, że zachodzi tu bezwarunkowo „periculum in mora." Z tego powodu obowiązkiem naszym jest zabrać głos w tej sprawie.

Niezapatrujemy się idealnie na stosunki teatralne w ogóle, i nie będziemy żądać razem z Schillerem, aby scena stanęła na równi ze szkołą i była zakładem wychowawczym, czy katedrą doświadczalną estetyki. Umiemy się liczyć z warunkami danemi i wiemy aż nadto dobrze, że od przedsiębiorcy nie wiele wymagać możemy, Żądania nasze są szczupłe, a opierają się jedynie na tem, że kraj, dając 24 tysiące subwencji może zarazem wymagać, aby ów impressario każdoczesny stosował się choć trochę do jego życzeń, i dawał stolicy to, czego ona żądać ma prawo.

Tam, gdzie istnieje wyłącznie jeden teatr a publiczność jest rozmaita, niepodobna wymagać od przedsiębiorcy repertoaru klasycznego, bo literatura nie w jednym tylko rozwija się kierunku, a każdy rodzaj sztuki ma swoje uprawnienie. Jednostronność w tym razie musiałaby przyprawić przedsiębiorcę o straty, a na to niktby go z pewnością narażać nie chciał.

Publiczność nasza, która po odtrąceniu tych, którzy z zasady(!) czy apatji do teatru nie chodzą, jest dość szczupła, potrzebuje rozmaitości, a potrzeba ta jest absolutnym wyrokiem dla przedsiębiorcy.

Takie jest nasze zdanie i dotąd z pewnością zgodzi się z nami p. Miłaszewski. Są jednak inne punkta, w których my z nim się zgodzić nie możemy.

Punktami tymi jest dobór repertoaru i personal dramatyczny. Drobnostka! Dwie rzeczy, z których się składa scena. O operze niemówimy. Bolesna to struna, o której nie da się powiedzieć nic więcej, jak tylko tyle, że jej nie ma. Gdyby wymarły wszystkie słowiki, kosy i skowronki, wróble musiałyby rej wodzić w śpiewie. Podobna katastrofa zdarzyła się snać w personalu operowym p. Miłaszewskiego. Operowa truppa jego pieje bezustannie jedną i tę samą piosnkę, a zawsze na szaro... O wróblach więc lepiej zamilczeć.

Podstawę teatru naszego bądź co bądź stanowi dramat; o niego więc głównie nam idzie.

Nieprzeczymy bynajmniej, że pośród personalu obecnego sceny naszej, jest w istocie kilka młodych talentów, rokujących nadzieję, ale nadzieja dobra na przyszłość, nic nie pomoże w czasie teraźniejszym. Jest faktem, że ze starszych artystów nie utrzymał się w personalu naszym nikt, prócz pani Nowakowskiej, Aszpergerowej, p. Zamojskiego i Kwiecińskiego, i że podczas pobytu p. Ładnowskiego we Lwowie nie było prawie nikogo, coby mógł grać obok niego. Jest rzeczą dowiedzioną, że przy obecnym personalu niemożebnem

jest wystawienie tragedji, dramatu, a nawet komedji salonowej. W głównych rolach zawsze kogoś zabraknie.

Pomijając już to, że bohatera, ani młodej bohaterki scena lwowska nie posiada, przyjrzyjmy się reszcie i zapytajmy, kto właściwie grać ma role starców, kto intrygantów i intrygantki, i kto ma się popisywać w rolach lekkich serjo-komicznych lub naiwnych? Powiedzmy wprost, ze w miejsce p. Ładnowskiego, Zboińskiego, Fiszera i pani Parżnickiej nie ma nikogo, że wszystko łata się tylko młodszą bracią, która nie wystarczy tam, gdzie trzeba rutyny scenicznej, i której w razie słabości nikt nawet zdublować nie potrafi. Taki jest stan naszego personalu.

Z repertoarem jest jeszcze gorzej. W ostatnich dwu latach pojawiło się kilka sztuk oryginalnych autorów polskich. P Miłaszewski ich nie przedstawił, bo to kosztuje!

Płodni Francuzi zasypują całą Europę nowemi utworami, wśród których są i takie, co utrzymują się stale w repertoarzu scen wiedeńskich i berlińskich nawet, unikających jak wiadomo sztuk, napisanych przez nienawistnych im Francuzów. P. Miłaszewski ich nie gra, bo za prawo przedstawienia trzeba zapłacić ajentom.

Cały repertoar za dyrekcji p. Miłaszewskiego składa się ze sztuk dawnych, powtarzanych bez wyboru i poczucia smaku, — i z fars niemieckich, za które albo nic, albo wcale nie wiele zapłacić potrzeba. Mamy więc na odmianę Mosera i Bürgera, a spodziewamy się, że niedługo zobaczymy Kotzebuego.

Taki jest nasz repertoar, —repertoar, który ma obznajamiać publiczność z rozwojem dramatycznej literatury w Europie, a przedewszystkiem ma obowiązek zapoznawać ją z utworami oryginalnymi swojskich pisarzów!

A na tem wszystkiem jeszcze nie koniec. Oprócz tych braków, będących świadectwem niedozwolonej oszczędności przedsiębiorstwa, napotykamy co krok rzeczy, świadczące o grubym obskurantyzmie obecnego kierownika sceny: musimy patrzeć na Włochów ubranych po hiszpańsku, na budowle gotyckie w czasach rzymskich i t. p. anachronizmy, krzyczące głośno, że p. Miłaszewski nie może być nadal kierownikiem sceny.

Do głosu tego i my się przyłączamy. Nie kieruje nami namiętność, ani uprzedzenie. P. Miłaszewski po szumnych zapowiedziach obiecujących odrodzenie sceny (risum teneatis!) prowadził teatr lwowski przez dwa lata, i doprowadził do go zupełnego upadku. Świadczy o tem publiczność, coraz bardziej stroniąca od teatru, świadczą rozbiegający się na wszystkie strony świata artyści, świadczy milczenie dzienników... My świadectwa te podpisujemy, i publiczny im dajemy wyraz.

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA
przez
SEWERA
(Ciąg dalszy).

IV.

Na jarmark szczurowski czterema gościńcami spieszyli ludzie. — Z pod gór i Wisły, — od Dunajca i Raby. — Wozy ciągnęły się długiemi szeregami a wśród nich uwijali się piesi. — Kobiety w koszykach niosły masło, jaja, ser; — na powrózkach pędziły cielęta i prosiaki. Jaki taki gnał krowę, — jaki taki dosiadł konia prowadząc na uździenicy drugiego. Rojno było i tłumno, wesoło i gwarno. Szeroki rynek szczurowski przygarniał wszystkich. — Wyznaczone miejsca podług stuletniego zwyczaju, zajmowali synowie po ojcach.

W jednym szeregu stanęły fury, naprzeciw kramy, — przed kościołem ziejące ogniem kuchnie, przez lud farynkami [1]) zwane.

Na słomie układano jaja, w balie rzucano z garnków masło. — Przy żelaznych sztachetach plebanii ustawili fantastycznie swe wyroby górale: — widełki, miareczki, jasełka na masło, masielniczki, solniczki, łyżki, wrzeciona, pieprzniczki; — z blachy: półkwarcia, lejki i tarki; — z mosiądzu dzwonki. — Tuż za nimi twardo i hardo posiadali na konwiach bednarze z Rysia. Beczki, balie i cebry biało wystrugane chwytały za serca niewiasty.

Z nad Wisły chłop w chłopa, jak dęby, same stelmachy i kołodzieje. Przy wozach, pługach i bronach — półkoszki i oparte na nich cepy; dzierżaki gładkie, bijaki twarde, brzozowe, okrągłe [2]), gązwy wyprawione, a swory mocne [3]).

W pośrodku rynku szewcy z Zakluczyna, Żabna i Ujścia, garbarze z Dąbrowy, Tarnowa i Brzeska ze starym Marcem na czele.

Sącz dostarczył kuśnierzy z kożuchami, Andrychów drelichów na spódnice; z Uszwi chłopi przynieśli białe pszenne kukiełki. Z boku przy aptece panowie krawcy z Wiśnicza rozwiesili czarne, sukienne kapoty, rywalizujące z białemi czerwono obszytemi sukmanami z pod Krakowa.

Czego tam nie było? Zegary z Tarnowa, czapki, książki, obrazy i obrazki, garnki i koguciki gliniane, skrzypce i klarnety — tylko basetli nie było. Kobiety z Ujścia poklękały na płachtach, a przed niemi mnóstwo woreczków z nasionkami kwiatków: bahatków, malw i ruty, a jarzyn i zliczyć nie można.

Wszyscy chcą sprzedać — proszą, namawiają i krzyczą. Środkiem płynął lud pełen animuszu i uciechy — żydzi zajmowali strategiczne pozycje kierując całym ruchem handlowym. Zamiana przez ich przechodziła ręce... Po nad tem wszystkiem panowała jedna wielka pogwara, wzlatująca aż pod strop nieba.

— Jajki, jajki godna imość — wołały żydówki przy stosach jaj, kiwając palcami na uśmiechnięte kumoszki.

— Matko, matko, tutaj do mnie, pokażcie no — ja kupuję, ja płacę. A wiele to za ten garnuszek masła?...

— Garnuszek, a dyć to garncowy — odpowiadała matka.

— Szymonie psiewróćcie się — krzyczała na gospodarza stojąca za kramem Rebeka. — Szymonie psiewróćcie się...

Szymon widocznie wahał się co do zdecydowania się na stanowczy krok.

— Bierzcie, macie, czego stoicie jak głupi?

Rozgniewany Szymon nieoglądając się szedł dalej.

— Szymonie psiewróćcie się, bo jak Bóg w niebie pożałujecie tego. Co wy taki hardy jak oficer — abo co?

Szymon wrócił i kupił perkalu na koszulę.

Gwar, hałas, nieustająca wrzawa; wesołość i śmiechy głuszyły się wzajemnie. Wszystkie twarze były uśmiechnięte, zadowolone, prócz twarzy żydów bladych, zmęczonych, o świecących oczach, nawołujących ochrypłym głosem, targujących się, wydzierających ludziom towar, walczących z zajadłością — w tej walce o byt. Sami żydzi ciężko pracowali.

W tłumie przechadzał się poważnie dziedzic uśmiechnięty, dumny, szczęśliwy. Lud mówił:

— Patrzcie, jakto puszy dlatego, że tyle narodu zwaliło się na jego rynek.

Na placyku między propinacją a sklepem bławatnym, konie zajęły swe stanowisko z tradycji i prawa im należne. Przy koniach stali sami gospodarze, wśród nich uwijali się żydzi. Zyzma się wkupił do stowarzyszenia handlarzy koni, składając dziesięć guldenów, i jako faktor pracował na swem stanowisku.

Ruch był wielki, sporów i przechwałek dużo, a jeszcze więcej targów i przybijań ręka o rękę.

Zyzma kupowanego konia znienacka za ogon z całych sił pociągał, koń zwykle się

---

[1]) Żelazne podobne do stolików angielskie kuchenki, używane do smażenia kiełbas i gotowania rosołów.

[2]) Cepy składają się z dwóch części: z dzierżaka, który się trzyma i bijaka, którym się młóci.

[3]) Gązwy są to osady rzemienne, służące do połączenie bijaka i dzierżaka za pomocą swory.

cofał, i to miało służyć za dowód przed chłopem, że koń był słaby. Pasierb Sary dobrze władał językiem ludowym, był śmiały, silny nad swój wiek, a w akcji niestrudzony. Podjudzał jedną stronę przeciw drugiej, biorąc w opiekę słabszego, protegował go, a nareszcie oddawał na pastwę przeciwnika. Słowem prowadził wielką politykę w zastosowaniu do małego handlu, nie wiedząc o tem. Poznał go i ocenił Efraim, główny handlarz koni, naczelnik pięciu wspólników — i władca czterech folwarków.

— Zyzma, ty możesz przy koniach mieć chleb — rzekł ze spokojem wielkiego znawcy i pana.

Zyzma się uśmiechnął.

— Jak się więcej poduczysz wezmę cię. Słyszysz? — na swego faktora, — dodał z dumą.

Zyzma raz się jeszcze uśmiechnął i kiwnął głową na znak zgody.

— Kup mi tę klacz za dwieście papierków — szepnął pokazując oczami, — dziesięć dla ciebie.

Zyzma drgnął, oczy mu się zaświeciły, ułożył się jednak jak kot, podchodząc do klaczy i jego właściciela.

Po godzinie targów, szamotań się, przybijań ręką, próśb, zaklęć i gróźb — kupił klacz za dwieście szesnaście papierków, — za którą w Krakowie Efraim weźmie trzysta, a w Wiedniu trzysta pięćdziesiąt.

Zmęczony chłopak obcierał chałatem spoconą twarz, Efraim z dumą i godnością dał mu dziesięć papierków.

Wrzawa ustawała, jarmark staczał się się ze swego kulminacyjnego punktu. — Zyzma zarobił wszystkiego czternaście papierków faktorowego, — dlatego też dumnie spoglądał na świat i ludzi. — Wśród tłumu zobaczył Zawrzykrajkę z Kasią, — przywołał je do siebie; Kasi kupił piernika, matkę zaprosił do propinacji.

Kobieta dziwiła się szczęściu swego dziecka do ludzi.

— Nie potrzeba więcej — myślała w duchu — kiej nawet żyd, a przypochlebia się jej. — I chociaż biedna aby się nie dać zawstydzić żydowi, kazała przynieść kufelek piwa Zyzmie, a przed sobą postawić drugi. Kasi smakował okrutnie piernik.

— I cóż? — pytał Zyzma pijąc piwo.

— A cóżby? Żyd zamknięty, a adwokat czeka na pieniądze. Sprzedałam odrobinę masła i pół kopy jaj — to ledwie mi wystarczy na sól i okrasę. Dziewucha nie ma butów i już przez trzy niedziele nie była w kościele. — A wydolę to sama kupić jej? — łzy z oczu otarła.

— Trzeba żeby dziewucha chodziła do szkoły.

— Ej do szkoły to ta i boso przeleci, ale do kościoła?!

— Buty muszą być — i książki i papier. — Pożyczę na buty.

Kobieta przelękła się pożyczki żydowskiej.

—Ej! ciepło teraz. Zborgowaliście już raz, ledwom się wypłaciła.

— Pożyczam bez procentu, na dobre słowo, jak odbierzecie grunt, to mi oddacie.

Kobieta nie mogła się oswoić z bezinteresownością żydowską.

— Żartujecie — dawalibyście tak na urodę?

— Dam — rzekł Zyzma z powagą.

— A dyć najlichsze bucięta kosztują piętnaście szóstek

— Dam piętnaście szóstek. — Adwokat jak dostanie pieniądze, — kiedy sprawę skończy?

— Mówił na jesień. — Nie lubi on Miechowickiego Szmula i zaprzysięgał się, że da mu radę.

— No to i dziesięć papierków pożyczam.

— Mój Zyzma, to wyście chyba bogacz.

— Chociaż to cały mój majątek, nie żałuję go wam, — odparł z godnością.

— A nie potrzebne wam to samemu? - Kobieta bała się podrywki ze strony żyda. Moglibyście potem bez te dziesięć papierków przyczepić się do gruntu.

Zyzma był pewien siebie, plan miał ułożony, cel jasny i drogę wytkniętą. A że był kość z kości semickiej — grał i ryzykował. Dla tego wyjął portmonetkę, wydobył z niej dwanaście papierków i te rozłożył na stole.

— Bierzcie, a pamiętajcie, że nikt wam nie pomoże, jeżeli nie pomoże żyd.

— A widzicie matusiu, że Zyzma dobry, — odezwała się Kasia, — a nie chcieliście mi wierzyć.

— Cicho bądź głupia, — ofuknęła ją matka.

Kasia się roześmiała pokazując białe jak perełki zęby. Zyzma rad z dziewczyny pogłaskał ją ręką po twarzy.

— Ona jeszcze będzie panią. Ja to wam mówię — rzekł z dumą.

— Mój Zyzma nie psulibyście mi dziewuchy.

— Ona będzie panią, — powtórzył z mocą. — Chodźmy po buty, a potem wytarguję wam miejsce na wozie. Do Tarnowa jechać zaraz, tylko ani słowa przed macochą o pożyczce, — nikomu!

— Klnę się na wszystkich Świętych — pary z ust nie wypuszczę, — zawołała Zawrzykrajka.

Wyszli kupować buty dla Kasi i szukać miejsca na wozie.

W tej chwili Bartek Czarnik uganiał się między ludźmi, jednych łapał, zatrzymywał drugich, odbierając za długi pieniądze.

Bartek Czarnik pracował dziś, — po ogolonej jego twarzy spływał kroplisty pot. Czarnik nie czuł spływającego potu i nie czuł zmęczenia. Świecącemi z chciwości i obawy oczami, strzelał na wszystkie strony, aby mu który z dłużników nie uciekł. Zyzma trącił z dumą sąsiadkę pokazując Czarnika.

— Zwyczajnie „krzywda ludzka“ odpowiedziała kobieta.

Kasia dostała buty. Ponieważ jednak nie dziwota jej buty, — nic sobie z nich nie robiła, zaledwie na nie spojrzała, — przytupnęła raz, drugi — i zaraz patrzyła na ludzi, na swarne dziewuchy i wesołych chłopców.

— Książek kup sobie w Tarnowie, — odezwał się Zyzma rozkazującym tonem. Wiesz jakie?

— A przecież wiem — wypisy i historję...

Wóz się znalazł. Zyzma wytargował na nim miejsce za dwie szóstki. Posadził naprzód matkę, przy niej córkę i pożegnał je.

Zawrzykrajka nie mogła się wydziwić hojności żyda, — a Kasia powtarzała, że Zyzma jest dobry.

Jarmark się skończył, rynek szczurowski przedstawiał pobojowisko stoczonej walki. Niedobitków zbierali patrzący przez okulary Koterbski z pachołkiem.

Zrobiło się pusto na placu, lecz za to drogi były ożywione, przepełnione końmi i ludźmi. Kurz wznosił się do góry — słońce go swemi promieniami złociło, strojąc cały obraz szarawo świetlanym kolorytem. Ponad wzniesione do góry tumany, wzlatywały wesołe śpiewy, wydobywał się stuk ciągnionych wozów i tętent koni.

Wrzało w tych mrowiskach osypywanych wyzłoconym od promieni słońca pyłem. Jedni wieźli łupy do miast, inni pieniądze, sól i okrasę, obuwie i przyodziewek dla wsi.

Wóz z Zawrzykrajką i jej córką wtoczył się za innemi na drogę do Dunajca. — Matka szeptała córce o Zyzmie bojąc się z jego strony podrywki, dziewczyna jadła kukiełkę myśląc o Tarnowie. — Zyzma stał i patrzył za niemi i dopiero gdy stracił ich z oczu, poszedł szparko do Rylowej. Miał jeszcze z zarobionych w Tarnowie i na jarmarku pięć guldenów, a nie chciał, aby próżnowały choćby jeden dzień.

Zapukał do okna jednej z okazalszych chat rylowskich. Za chwilę wyszedł dobrze zbudowany chłop. Na chudej, smagławej twarzy, czernił się gładki wąs, oczy dobrodusznie patrzyły.

— Potrzebujecie? — spytał Zyzma.

— Na Wolę zamówiono wyścielany wózek na sprężynach, — odpowiedział.

Zyzma wyjął pięć papierków.

— Tylko tyle a cóż ja z tem zrobię? — skarżył się stelmach.

— Nie mam, jak Boga kocham nie mam więcej, — szepnął Zyzma. — Dałbym wam stówkę z zamkniętemi oczami. Może co jeszcze w tym tygodniu zarobię.

— No i jakże to teraz?

— Cóżto nie wiecie? Dziesięć centów od papierka na miesiąc — dużo to?

— Mielibyście dosyć trzy szóstki od piątki.

— Mój Antoni ja nie Bartek Czarnik, ja was nie obdzieram, — oddacie kiedy będziecie mogli.

I Zyzma dumny, że nie był Bartkiem Czarnikiem, poszedł dalej, — a stelmach kontent, że nie pożyczył od Bartka Czarnika wrócił do chaty.

Przy samym prawie końcu Rylowej stała chata, do której biegł przyspieszając kroku. Spojrzał przez okno, była pusta, uderzył nogą we drzwi. przekonał się że były zabite.

— Nie dobijajcie się napróżno — odezwała się idąca drogą kumoszka. Bajdura pewno już na Podolu. Wysprzedał się i pocichu poszedł, grunt rozebrali ludzie, a chata pójdzie za podatki.

— A moje szesnaście papierków! — zawołał zrozpaczony chłopak, zbladł, ręce mu drżały, głos go dławił.

— A bo to tylko wyście jeden stratni? mówią, że ino Bartek Czarnik odebrał swoje, bo się dowiedział na czasie i paszport mu schował.

— Ja zabiorę chatę!

— Chcesz się procesować z rządem — spróbuj.

Kumoszka poszła dalej drogą, Zyzma postał, popatrzył, ręce załamał i odszedł ze zwieszoną głową.

Połowę swego w pocie czoła zapracowanego majątku stracił odrazu, drugą połowę wzięła Zawrzykrajka.

— Przegrałem! — powtarzał chwiejąc się z rozpaczy na nogach. Stanął, szczęśliwa błysnęła mu myśl.

— Dogonię Zawrzykrajkę i odbiorę pieniądze.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pieśń bojowa.

(Csatadal)

Petöfi'ego.

Już słychać trąb spiżowy ryk —
W bojowy bracia stańmy szyk —
Naprzód!

Już dzwoni stal — kul świszczy rój,
Z nas bohaterów robi bój —
Naprzód!

Nasz sztandar w locie sięga chmur,
Świat cały niech ma z niego wzór —
Naprzód!

Niech na nim „wolność“ czyta świat,
To święte hasło naszych lat —
Naprzód!

Kto Węgrem, a nie tchórzem jest,
Na krwawy niech podąża chrzest —
Naprzód!

W nas krwi węgierskiej wulkan wre,
Bóg sam tak chce, jak Węgier chce —
Naprzód!

Kałuża krwi u moich stóp —
Mój wierny druh — już zimny trup —
Naprzód!

Czyż gorszym być od niego mam?
Na śmierć ochotnie idę sam —
Naprzód!

Choć wrogi chcą w pień wyciąć nas,
Choć grobu nas ma pokryć głaz —
Naprzód!

Nie ugniem się — nie cofniem się,
My zginiem — lecz ojczyzna — nie!
Naprzód!

Alg...

Wiek i jego prawa
w wychowaniu

przez

Ludwika Hodolego.

(Ciąg dalszy).

O d z m y s ł o w y c h d o o d e r w a n y c h p o j ę ć; o d s z c z e g ó ł ó w d o o g ó ł u. Zasada ta wywołała metodę poglądową, która w dziecięcy umysł wprowadza naukę więcej za pomocą zmysłów, niż za pomocą wyobraźni. Że dziecko na tej drodze najwięcej skorzystać może, jest nader widoczne. „Jestto przesąd i bardzo zły“, powiada Śniadecki, „a na nieszczęście powszechny nałóg, żeby dzieci wszystkiego uczyć z książek, bo te są tylko dla dojrzałych, żeby je nad temi książkami trzymać po kilka godzin, jak przykute, dodając do tego za przyprawę poważne gderanie i groźby napuszonego pedagoga. Jest to nieomylny sposób zbrzydzenia na zawsze nauki i zrujnowania zdrowia. S e n e k a, mówiąc o młodzieży dawnych Rzymian, powiada, że nigdy nie siedziała i że jej nigdy siedzącej nie uczono niczego.... P l a t o w urządzeniu swej Rzeczypospolitej wychowuje dzieci w samych igrzyskach i godach, w samych pląsach, rozrywkach i spiewach, bo te same pląsy, te rozrywki, te śpiewy tak można urządzić, że się staną pożyteczną nauką.... Cała sztuka rodziców i mistrzów na tem zależy, żeby dzieci takiemi rzeczami zaprzątać, takiemi bawić i przyjemnie zajmować, któreby, zatrudniając ciało i kształcąc, zajmowały umysł i nowemi wyobrażeniami wzbogacały“.

W sprawie tej tyle już od dawna pisano i w metodę nauki w praktyce w prowadzono, że nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wspomnieć o tem, coby jeszcze w tym kierunku zdziałać trzeba.

Przedewszystkiem narzuca się pytanie, od wieków już roztrząsane, czy odpowiedniem jest rozpoczynanie nauki języków przed 10. rokiem życia, czy też realia powinne w tym wieku jedynie być uwzględniane. Jedni twierdzą, że nauka języków jest w tym wieku przedwczesną, i że znajomość rzeczy konkretnych winna mieć pierwszeństwo, drudzy zaś z uwagi, że w tym czasie pamięć jest bardzo silną i że nauka języków głównie polega na pamięci, żądają korzystania z tego czasu, radzą więc realia zostawić na później. Po środku prawda! W obronie języków przyznać musimy, że nauka ich obraca się w dzieciństwie tylko w sferze realiów, i że nie sięga do abstrakcji wstrętnych, niezrozumiałych i nieprzystępnych dla tego wieku i że pamięć pracuje przez to głównie w leksykologicznym kierunku, ogarniając pojęcia przystępne; w obronie zaś realiów żądać musimy, aby one przeplatały naukę języków, żebyśmy już w tym wieku nie tylko pamięć wyzyskiwali, zapychając ją balastem słów, lecz żebyśmy równocześnie podawali i rzeczy konkretne, i wcześnie już ćwiczyli zdolność sądzenia o rzeczach. Niech więc czytanie, pisanie, uczenie się „słówek“ i tłumaczenie niebędzie wyłącznym programem początkowej nauki, niech nawet dzieci, nie umiejące jeszcze czytać, uczą się już realiów, w przystępnej drodze im podanych.

Wycieczki czyli owe słynne „majówki“ studenckie, odbywają się niestety bardzo rzadko i to w sposób wcale nie pedagogiczny. Kiedy w obliczu natury przyrodnik może z prawdziwą przyjemnością i korzyścią uczyć swych przedmiotów, zapoznawać chłopców ze zwierzętami, roślinami i skałami, podnosić piękność przyrody i młodocianne serca do odczucia jej skłonić, kiedy literat

przy boku jego stosowną deklamacją może podnieść wyobraźnię, w zachwyt wprowadzić uczniów i tam im wykazać piękność i potęgę poezji, kiedy w ogóle nauczyciel z uczniami nieprzykutymi do szkolnej ławki, w swobodnej konwerzacji może im dowieść, że nauka zda się nie tylko dla szkoły lub karjery, lecz nawet do najzwyklejszej pogadanki ludzi, którzy nie chcą długo debatować nad pogodą, ani przeżuwać wiadomostek brukowych, kiedy więc z wycieczek takich da się odnieść najwyższa przyjemność i korzyść umysłowa: — to przy nieudolnem kierownictwie rzecz kończy się zwykle na tem, że profesor grał ze studentami w piłkę, kupił im czasem coś do zjedzenia i nic więcej. Jeżeli nauczyciel wybiera się ze studentami na wycieczkę tylko „na piłkę“ i przez to chce szukać rodzaju popularności, to zaiste ubolewać nad nim wypada, że nie odczuł on należycie piękności nauki, że na przechadzce umie tylko, jak dziecko, rozruszać ciało a całkiem zapoznaje umysłową roskosz.

Wielu rzeczy, osobliwie systematyki roślin, można się nauczyć tylko na wycieczkach, a przecież jak rzadko kto tak uczy. Sam zdybywałem akademików z patentem „dojrzałości“, którzy nieumieli poznać dęba ani buka, mimo że często grali w piłkę z profesorami, będąc w gimnazjum.

Dla podniesienia nauki poglądowej wypadałoby dalej podręczniki zaopatrzyć w większą ilość dobrych ilustracyj tudzież przysporzyć szkołom więcej środków na zakupno zbiorów naukowych. Nauki przyrodnicze bez demonstracji i eksperymentów są w ogóle balastem niepotrzebnym, i wypadałoby je raczej pominąć, niż przez nieodpowiedni sposób traktowania zrażać do nich i najfałszywsze o nich poglądy rozszerzać. Zoologia botanika i mineralogia, bez okazów nie są nauką lecz męczarnią, suchym katalogiem, którego się trzeba na rozkaz wyuczyć na pamięć; przy demonstracjach zaś wywołują niesłychany zapał u młodzieży, i robią z każdego chłopca przyrodnika par excellence, zakładającego zbiory i t. d.

Ze względu na zasadę, że należy od pojęć konkretnych postępować do oderwanych, musi być w nauce gimnazjalnej do pewnego stopnia zachowaną dwustopniowość. Tak np. historja naturalna nie może być w żadnym swym dziale jednostopniowo traktowaną, a chociaż w niższem gimnazjum byłaby ona uważana tylko jako systematyka, to i tak nie może być od razu ściśle traktowaną, bo w tym wieku można uczniom opisywać tylko gatunki, przegląd zaś gromad lub klas jest dla nich za trudnym, i tylko w wyższem gimnazjum może być uwzględniony, tem bardziej, ile że do ogólnych charakterystyk klas wchodzą głównie różne znamiona anatomiczne, embryologiczne, fizjologiczne i t. d. co w niższem gimnazjum zwykle się pomija i po części nawet pomijać musi. Ponieważ taki ogólny przegląd jest koniecznie potrzebny dla poznania przyrody i łatwiejszego orjentowania się, przeto nic nie pozostaje, jak tylko w wyższem gimnazjum, uczyć po raz drugi systematyki, ale na ściślejszych podstawach, zwracając głównie uwagę na ogólne charakterystyki. Podobnie ma się z fizyką. Fizyka matematyczna, ów wzór ścisłości badań przyrodniczych, może być wykładaną tylko w wyższem gimnazjum, nietylko dlatego, że wymaga rozleglejszych wiadomości matematycznych, ale i dlatego, że jest abstrakcją, do której uczniowie w niższem gimnazjum jeszcze wznieść się nie mogą tak, że dla nich pozostaje tylko fizyka czysto doświadczalna. To samo zjawisko trzeba więc uczniowi raz tłumaczyć doświadczalnie, drugi zaś raz uzasadnić je, ścisłym dowodem matematycznym. (Pisząc to, nie myślimy jednak wcale bronić w ogóle dwustopniowości gimnazjów, zachwianej już pod wieloma względami). Matematyka zapoznaje uczniów w niższem gimnazjum z rozmaitemi operacjami i obliczeniami praktycznemi, w wyższem zaś ściśle uzasadnia rzecz, poczynając od najelementarniejszych pojęć. Nieodpowiedniem i niepotrzebnem wydaje nam się tylko uczenie początków algebry w klasie trzeciej, bo podaje ona uczniom pojęcia dla nich za ogólne i za zbyt abstrakcyjne. Raczej wypadałoby rachunki procentowe i t. d., brane w klasie czwartej przenieść do trzeciej i na odwrót, najlepiej jednak kwalifikuje się algebra dopiero do wyższego gimnazjum. Że nauka algebry niepotrzebnie zabiera ten rok czasu, widzimy po tem, że uczniowie zapominają ją całkiem, i w rzeczach już słyszanych widzą później coś całkiem nowego, kiedy np. reguła trzech, obliczanie procentów, i t. d. jeszcze im dobrze tkwi w pamięci.

Od sztucznego kierownictwa do samodzielności. Zasada ta wymaga, aby uczniowi ułatwiać samodzielny rozwój zdolności. Nauczyciel, dawszy uczniowi pewne ogólne wskazówki, powinien go zmuszać, aby on sam robił odkrycia które mu też łatwiej przychodzi spamiętać. „Umysł dziecka“, mówi Spencer „nie powinien być biernym, lecz czynnym, nie powinien być tylko odbieraczem gotowych pojęć. lecz w części sam ich twórcą“.

Zasada ta może np. z matematyki nie tylko zrobić najdzielniejszą nauczycielkę myślenia, lecz także zachęcić uczniów do tej najsuchszej ze wszystkich nauki. Kiedy w ogóle nad matematyką uczniowie największej ślęczą i najwięcej się skarżą, że jest tak bardzo „trudną“, to ja byłem ze swymi kolegami tak szczęśliwym w gimnazjum, żem się nigdy na matematykę żalić nie potrzebował, owszem była ona dla nas najłatwiejszym przedmiotem, którego nawet nie potrzeba się było prawie nic uczyć w domu, gdy się w szkole uważało. „Sekret“ cały spoczywał w metodzie naszego czcigodnego profesora Czaczkowskiego (ogłoszonej przed kilku laty w programie gimnazjum brzeżańskiego), który podawszy nam ogólne prawidła przeprowadzania dowodów matematycznych, potrzebował tylko uczniowi podać całkiem nową tezę dowodu, aby tenże przy małej pomocy, albo bez niej, wynalazł sam premisy i konkluzję. Trzeba zaś było widzieć radością rozpromienioną twarz ucznia, gdy nam bez przygotowania sam, jakby profesor, przeprowadził nowy dowód na tablicy! W miniaturze istny Archimedes w kąpieli! — Tak to w matematyce (w wyższem gimnazjum) nie powinni się uczniowie uczyć na pamięć gotowych dowodów, podanych im przez profesora, lecz sami powinni je tworzyć z początku przy pomocy zewnętrznej, a później nawet i bez niej.

Rozglądając się zresztą w metodzie nauki, nie możemy niestety gdziekolwiek indziej dopatrzyć się rozwijania samodzielności ucznia. A ileż to pola do tego przedstawiają np nauki przyrodnicze i inne? Wspomnieć nam chyba tylko wypada, że w wypracowaniach piśmiennych postępuje się od opisów i opowiadań, wreszcie do t. z. wolnych tematów, gdzie samodzielności ucznia zostawia się wolne pole do popisu.

Życzyć zatem należy, aby tej tak ważnej zasady pilniej przestrzegano, aby uczeń skończywszy gimnazjum "dojrzałość" swą mógł pełną samodzielnością zadokumentować. Stanie się temu zadość, jeżeli nauczyciel zamiast swe zdanie kłaść na początku, wypowie je na końcu, aż wysłucha zdań uczniów, jeżeli zamiast uczniom w nauce przodować, będzie nimi kierować, co jest właściwem jego zadaniem.

Od mniejszej pracy umysłowej do coraz większej. Rozwój sił umysłowych odbywa się z wiekiem nie tylko w tym kierunku, że opanowujemy coraz to „trudniejsze“ nauki, ale i w tym, że coraz więcej ich nabywamy, nie tylko więc w kierunku jakościowym ale i ilościowym. Dziecko nie może się na raz tyle uczyć, co chłopiec, a chłopiec tyle, co młodzieniec. Wykroczenia przeciw tej zasadzie stanowią głównie owo przeciążenie uczniów, na które tak często słyszymy skargi. Stopniowanie w tej mierze widocznem jest w urządzeniu naszych szkół tak co do ilości godzin wykładowych w poszczególnych klasach, jako też co do ilości zadawanych lekcyj. Na wie-

lość wykładanych przedmiotów skarżyć się także nie można, bo inaczej powstałaby jednostronność i nużąca jednostajność w wychowaniu zwłaszcza, że i tak w gimnazjum nie wykładamy wiele nauk nader dla życia potrzebnych. To też przy rozwoju szkolnictwa nie należy się spodziewać redukcji ilości przedmiotów, lecz owszem ich zwiększenia. Co najwięcej, to ukrócićby tylko wypadało zbyteczne rozbujanie filologii ze szkodą innych nauk, które w obec niej średniowiecznym systemem nie są wcale równouprawione, a nawet, jak nauki przyrodnicze, jawnie lub półgłosem posądzane o kacerstwo, są jakby tylko z niechęcią cierpiane.

Przeciążenie owo widzimy najpierw w tem, że profesorowie nie porozumiewają się ze sobą co do ilości zadawanych lekcyj, czemu w ostatnich czasach chcieli niektórzy w ten sposób zaradzić, żeby ten sam nauczyciel udzielał w jednej klasie więcej przedmiotów. O ile nauczyciel udzielał by w takim razie przedmiotów, do których ma zamiłowanie, czyli, mówiąc po urzędowemu, do jakich ma kwalifikacje, myśl ta wydaje się trafną, o ile zaś miałby uczyć rzeczy, któremi się w swych studjach specjalnych nie zajmował, byłoby to z wielką niekorzyścią dla nauki Niestety już i dziś dzieje się często, osobliwie w niższem gimnazjum, że filolog uczy nauk przyrodniczych lub na odwrót, matematyk historji i geografii i t. d., co i nauczycieli zraża robiąc ich rzemieślnikami, i uczniom szkodzi, bo nie zostają pod kierownictwem ludzi „fachowych“ lecz w najlepszym razie dylletantów. Nie brak zaś sił nauczycielskich wcale, bo pełno specjalistów „siedzi na bruku“ bez posad. Myśl owa, aby jeden nauczyciel wykładał w tej samej klasie więcej przedmiotów, wywołała publikowany świeżo dziwaczny projekt, aby nauczyciele zdawali egzamina z więcej przedmiotów, niż dotąd, aby byli encyklopedystami, dającymi się użyć do wszystkiego, do czego ich rozkaz wyższy powoła. Przeprowadzenie tej zasady zdegradowałoby mojem zdaniem profesorów do rzędu zwykłych zarobników, nie mających nic wspólnego z nauką ścisłą. Bo czyż można serjo twierdzić, aby profesor, zdający przy egzaminie według tego projektu np. zoologię, botanikę, mineralogię, geologię, matematykę, fizykę, literaturę polską, literaturę niemiecką i pedagogię, mógł z tego wszystkiego coś więcej umieć niż gimnazjalista? A gdyby wymagania były większe, któżby przystępował do egzaminu, do którego trzebaby się jako tako powierzchownie przygotowywać przynajmniej lat dziesięć, aby złożywszy go czekać jeszcze „na bruku“ przez nieograniczony czas na „otworzenie się posady“. Jeżeli zaś projekt ów ma posłużyć tylko do wstrzymania hyperprodukcji nauczycieli, to zbędnym jest całkowicie, gdyż i bez tego zapanowała między młodzieżą taka panika przed filozofią (dowodem szczupła ilość słuchaczy), że obawiać się wypada, aby ich kiedyś nie zabrakło.

Główna przyczyna przeciążenia uczniów, leży w zupełnem zaniedbaniu wychowania fizycznego. Herbert Spencer, zastanawiając się nad przyczynami dzisiejszego skarłowacenia ludzkości, dochodzi do wniosku, że nie winna temu ani większa niemoralność, bo dawniej byli ludzi może jeszcze większymi awanturnikami, ani nic innego, jak tylko to, że dzisiaj więcej pracujemy umysłowo, i fizycznie nie kształcimy się ani w setnej części tak, jak nasi przodkowie. Żądamy więc rozwoju umysłowego, zaniedbując równocześnie rozwój fizyczny zamiast żebyśmy w parze umysł i ciało kształcili. Kształcąc się więcej fizycznie, nie skarżylibyśmy się tyle i na przeciążenie umysłowe. Pierwszym i najskuteczniejszym środkiem do usunięcia przeciążenia, byłoby obowiązkowe wprowadzenie do szkół nauki gimnastyki jeżeli już nie hygeny w ogóle. „Jest wielką tajemnicą wychowania“, mówi Rousseau, „tak je urządzić, aby ćwiczenia cielesne i umysłowe służyły sobie za rozrywkę“.

Zbyt długie siedzenie w szkole jest także dla uczniów uciążliwem, a ponieważ trudno szkoły nasze zmienić w ambulatorja lub umieszczać uczniów w przestronnych salach, gdzieby się mogli przechodzić, coby było ideałem wygody, ponieważ trudno o to z uwagi, że zwłaszcza u nas wykołatanie nawet najlichszego gimnazjum bardzo powoli udaje się miastom, przeto nie pozostaje nic innego, jak tylko przynajmniej pozostawić do woli uczniom, czy i kiedy mają w szkole siedzieć lub stać, i w pauzach między godzinami zarządzać chociaż krótkie ćwiczenia gimnastyczne.

(Dokończenie nastąpi)

Bocian.

Nowella przez Elie'Bertheta.

I.

Kasia wyjechać miała w świat za chlebem

Od dzieciństwa swego mieszkała ona wraz z babką swoją, która ją wychowała, w starym domu, położonym nad brzegiem Illu w Strasburgu. Dom ten był budowany z drzewa; piętra jego pięły się w sposób malowniczy, a olbrzymi jego dach omszony, był podziurawiony dwoma szeregami okrągłych okienek. Kasia z babką zamieszkiwały najwyższy stryszek. Na dachu stały grube kominy murowane, wyglądające jak obeliski, a służące za gniazda bocianom. W tej wysokości powietrze było czyste; tu oddechać można było wonią balsamiczną Wogezów i Czarnego lasu, która unosiła się po nad atmosferą dymów przygniatających niższe przestrzenie. Babka i Kasia były szwaczkami. Miały one nieraz czarne dni na stryszku, kiedy brakowało roboty! Ale stara kochała równie swą wnuczkę, jak wnuczka babkę, i obie miłując się, odważnie umiały znosić nędzę i niedostatek. Teraz, trzeba się było rozłączyć. Kasia miała lat ośmnaście. Jedna z jej ciotek, mieszkająca w Paryżu, a utrzymująca sławną szwalnię, powołała Kasię do siebie, przyrzekając, że wydoskonali ją w sztuce i zajmie się jej losem. Propozycja taka była korzystna; ciotka przysłała nieco pieniędzy na podróż, a biedna babka zgodziła się na rozłączenie, chociaż czuła, że umrze wkrótce opuszczona, z tęsknoty i bolu.

Kasia więc miała jechać; czekano tylko przybycia sąsiada, który miał ją odprowadzić na dworzec i zanieść jej skromny tłumoczek.

Był poranek. Słońce wybladłe i pozbawione promieni, budziło się w śród mgły. Miasto jeszcze drzemało, chociaż dzwon grzmiał głośno z katedry, a dobosze bębnili pobudkę na wałach. Szerokie okno na stryszku było otwarte, a wraz z balsamicznem powietrzem zaglądały do izdebki krążące wesoło jaskółki. Na olbrzymim dachu naprzeciw okienka stał komin wysoki, uwieńczony źdźbłem słomy i suchym liściem. Było to gniazdo bocianów.

Od dawnego czasu Kasia była w wielkiej przyjaźni z mieszkańcami tego gniazda. Witała ich krzykiem radosnym, gdy przylatywały na wiosnę; była smutną, gdy w towarzystwie licznem odlatywały jesienią. Często na skraju dachu zostawiała im resztki swego śniadania, a wtedy matka bocianów, z swym koralowym dziobem przylatywała je zabierać, aby niem nakarmić dzieci. Wszystkie te ptaszęta, zdawało się, znają doskonale Kasię. Kiedy tylko pojawiła się przy oknie, już one krążyły koło niej, i kłapały dziobami na znak radości.

W chwili o której mówimy, bocian odleciał szukać żywności dla małej rodziny, której różowe dzióbki wystercząły z gniazda, matka zaś stojąc u góry na jednej nodze, schowała drugą w pióra na podbrzuszu i patrzyła w stronę okna okiem pełnem smutku, jak gdyby przeczuwając, że jej protektorka, porzuci ją na zawsze.

Kasia była piękną dziewczynką. Kształtna, lica miała świeże a oczka niebieskie pełne słodyczy. Długi czas nosiła ona swe wspaniałe włosy splecione w dwie kosy, które związane wstążkami wolno bujały po jej ramionach, od czasu jednak, gdy wyrosła w dziewicę, przypinała je na głowie według

mody francuskiej, w tej chwili zaś wyglądały one tylko ciekawie z pod czarnego kapelusza słomkowego. Jej ubior podróżny składał się z sukienki wełniannej jasnego koloru, który doskonale pozwalał występować szerokim konturom jej łona. Mały płaszczyk zielony leżał obok niej na krześle, a u stóp jej stała walizka zawierająca jej cały majątek.

Babka stara, z twarzą pomarszczoną, której rysy wyrażały jednak dobrotliwość i słodycz, ubrana była w dawny strój alzacki, szeroką spodnicę czerwoną i kaftan bawełniany. Ztrudnością wyrażała się po francusku, ale nader szybko mówiła narzeczem krajowem, pewnym rodzajem zepsutej niemieczczyzny.

Siedząc naprzeciw siebie, trzymając się za ręce, ta, która odjeżdżała i ta która zostawała, obie w łzach tonęły gorących, a stara dawała Kasi na drogę rady, jakie jej podawała miłość

— Widzisz moje dziecko, — mówiła babka drżącym głosem, — już więcej niezobaczymy się z pewnością; ale to rzecz naturalna... starzy muszą umierać. Niebyłoby to dobrze żyć wiecznie! Kiedy mnie już nie będzie na tym świecie, niezapomnij o mnie; zostań uczciwą dziewczyną, a dusza moja ucieszy się tem, gdziekolwiek będzie.

— Oh, babko! babko moja! szeptała Kasia łkając.

— Jedziesz do Paryża, — mówiła dalej babka; — świat tam zepsuty, a młode dziewczęta, biedne jak ty, wystawione są tam na mnóstwo niebezpieczeństw. Mam nadzieję, że Bóg cię od nich zachowa! Tam znajdziesz ciotkę swoją, panią Silberger, która się dobrze z tobą obchodzić będzie i uczyni z ciebie zręczną szwaczkę. Jest ona trochę dumna, ciotka Silberger, ale ty będziesz skromną i rozsądną, i wszystko będzie dobrze... A potem, co niedzielę spotkasz się tam z krewnym naszym Karolem Dimerem, który starszy jest o kilka lat od ciebie, i który kocha cię od dziecka. Nie jest on piękny, wiem o tem, ale to człowiek z charakterem, który umie pracować na życie. Jest on mechanikiem w porządnej fabryce, a to stan popłatny. Kiedyś możesz pójść za niego i będziecie żyć szczęśliwie. Wiele biednych dziewcząt, dziecię kochane, opuściło swój kraj niemając tyle, co ty, środków!

— Uczynię tak jak radzisz, babciu moja.

— Przedewszystkiom, moje dziecko, — mówiła babka dalej tonem ostrym — nie wierz tym młodym paniczom, którzy, jak mówią, kręcą się po ulicach Paryża. Mają oni piękne suknie i jedwabne słowa na zawołanie, a lubią prześladować dziewczęta biedne, niemające obrony i oparcia. Ale to są łotry, moja droga! umieją oni zgasić w sercu najlepsze popędy, a te co ich słuchają, wracają potem żarte zgryzotą i wstydem... Ty nie będziesz ich słuchać, Kasiu moja, nieprawdaż!... Przyrzekasz to, przysięgasz twej babce starej, która nie będzie już żyć długo!...

— Oh, tak, babciu moja, przysięgam! — zawołała Kasia.

W tej chwili niby jakaś mgła przebiegła przed oknem; słychać było silne uderzenie skrzydeł i powietrze poruszyło się w izdebce, niby olbrzymim pędzone wachlarzem.

Kasia przestraszona, zadrżała i podniosła głowę. Bocian, który niedawno temu nieruchomy stał na brzegu gniazda, wzbił się w powietrze i okrążał dach w około. Miał on oko zwrócone bezustannie na obie kobiety, z wyrazem pełnym żalu i miłości. Kłapał dzióbem bezustannie i szerokiem skrzydłem płynął w powietrzu.

Młode dziewczę ochłonęło z przestrachu a babka rzekła do niej z uśmiechem:

— Oto bocian przyleciał pożegnać się z tobą... Słyszał on twoją przysięgę... Zrozumiał ją być może, bo lud mówi, że te ptaki mają duszę!

Bocian ciągle poruszał swe czarne w połowie, w połowie białe skrzydła, patrząc na Kasię i babkę, gdy nagle spłoszył go łoskot niespodziewany. Łoskot ten spowodowało otwarcie drzwi, w których stanął jakiś człowiek.

Był to sąsiad Schuler, poczciwy farbiarz, mieszkający w tym samym domu, a który jako przyjaciel miał odprowadzić Kasię na dworzec.

— Jungfrau, es ist Zeit, — rzekł ze smutkiem. I zbliżył się trwożliwie, pochwycił silnemi rękoma, z których jedna była niebieska a druga czerwona, nie zbyt ciężką waliskę.

Obie kobiety długo leżały w uścisku i niechciały się rozłączyć. Rady dawane przez babkę, przyrzeczenia Kasi sto razy się powtarzały. Obie płakały, odchodziły od siebie i znów rzucały się szlochając w ramiona.

— Es ist Zeit! — powtarzał sąsiad Schuler.

Nareszcie wyrwała się Kasia z objęć babki, zakrywszy twarz chusteczką, a kiedy z sąsiadem schodziła ze schodów trzeszczących pod ciężarem ich kroków, stara prawie umierająca padła bezsilnie w opuszczonej izbie na krzesło. . . . .

. . . .

Kiedy Kasia oddalała się od Strasburga, ostatnie spojrzenie rzuciła jeszcze na bociany, latające wśród lazuru niebios w okół ażurowej wieży katedry.

(Dokończenie nastąpi).

Petöfi Szandor

Szkic biograficzno-literacki

napisał

Aleksander Lisiewicz.

(Ciąg dalszy).

Dni marcowe 1848 r. otwarły nową epokę życia narodu węgierskiego, a zarazem nową i ostatnią w działalności literackiej Petöfiego. Wraz z Jókai'em, z którym od dawna już był w ścisłej przyjaźni, a od czasu ostatniego przyjazdu do Pesztu nawet razem mieszkał, redagował teraz tygodnik „Eletképek" („Obrazy życia", założony w r. 1846 przez A. Frankenburga, od r. 1847 pod redakcją Jókai'a). W każdym numerze pojawiały się jego pieśni „wyśpiewane na lutni we krwi kąpanej." Stanowiły one niejako historję tych strasznych czasów, a niejedna z nich — powiada Jókai — dopiero wtedy staje się nam zrozumiałą, gdy sobie wyobrazimy kraj stojący na okół w płomieniach, rozpaczliwą walkę, prześcigające się wzajem wiadomości pełne grozy, a potem znów nie dające się opisać wrzenie tłumów upojonych zwycięstwem, i rozpasane porywy gniewu ludu. Na szczególniejszą wzmiankę pomiędzy nimi zasługuje porywająca pieśń p. t. „Csatadal" (Pieśń bojowa), — jedna z ostatnich które się w „Eletképek" ukazały — przez poetę przeznaczona na marsyljankę węgierską. Rząd węgierski polecił ją własnym kosztem wydrukować, i rozdzielić pomiędzy żołnierzy, poecie zaś ofiarował nagrodę 500 złr.

Uwagi godnem jest niepowodzenie, jakie w tym czasie spotkało Petöfiego na innem polu. Próbował on dostać się do sejmu i w tym celu kandydował na posła w Szabadszallas — w tej samej miejscowości, która teraz tak dobija się o zaszczyt, że jest jego miejscem rodzinnem. Wówczas jednak — dziwna rzecz! nie zdołał pozyskać sobie sympatji wyborców, a nawet musiał uciekać przed tłumem, który omal go nie zabił, tak był przejęty uwielbieniem dla przeciwnika Petöfiego! Przeciwnikiem tym zaś nie była żadna wielkość polityczna lub literacka, lecz jakiś magnat, nie mający wprawdzie żadnych zasług, ale natomiast obfite zapasy wina, których nie szczędził przy wyborach. Pełen goryczy powrócił Petöfi do Pesztu i opowiedział w swojem czasopiśmie niepowodzenia swe, i nadużycia popełniane przy wyborach. Przeciwnik nie omieszkał odpowiedzieć zaraz w następnym numerze, mianując poetę obraźliwymi słowy, atoli zawezwany do udzielenia honorowego zadośćuczynienia odmówił go, i sprawa zakończyła się oświadczeniem, złożonem publicznie przez sekundantów Petöfiego, że deputowany Nagy odmówił honorowej satysfakcji.

W jesieni 1848 r. podążył Petöfi na pole walki. Porzucił ukochaną żonę, bibliotekę swą polecił sprzedać na korzyść rannych, sam zaś wstąpił jako honwed do armii węgierskiej; brał udział w każdej znaczniejszej bitwie i odznaczył się męstwem tak dalece, że jeszcze w tymże roku został kapitanem. W r. 1849 został adjutantem generała Bema, który go nadzwyczajnie polubił i nawzajem od poety był uwielbiany. W bitwie pod Mühlbach zdobył sobie medal za waleczność. Bem umiał go ocenić i mianował majorem, minister wojny jednak nie zatwierdził tej nominacji ponoś dla tego, że poeta nie chciał nosić krawata, minister zaś nie chciał zezwolić na taki brak subordynacji. W skutek tego złożył Petöfi stopień oficerski i usunął się z wojska. Przed oblężeniem Budy przebywał krótki czas w tem mieście przy swej rodzinie, która go wtedy widziała po raz ostatni. Tu także widział się po raz ostatni z Jókai'em. Było to 25 maja 1849; uroczystym bankietem święcono radosne odzyskanie Budy i wznoszono przytem wiele toastów. Jókai wzniósł również krótki ale serdeczny toast: „Niech żyją ci, którzy ginąć będą za ojczyznę — niech żyją na wieki!" Na to zwrócił się ku niemu Petöfi i rzekł: „Dziękuję ci, żeś i dla mnie wzniósł toast." To było ostatnie ich pożegnanie. Przeczucie nie zawiodło poety, toast ten odnosił się i do niego. Wkrótce bowiem potem udał się ponownie na plac boju, ażeby już nie wrócić nigdy...

Ukochany przez niego generał Bem był wtedy na Wołoszczyźnie, do niego więc pospieszył i z nim razem przybył do Siedmiogrodu już nie jako żołnierz, ale jako wódz. Z Maros-Vasarhely napisał do żony ostatni list 29go lipca 1849. W dwa dni później — 31 lipca 1849 — nastąpiła krwawa, ośmiogodzinna bitwa pod Segesvar (Schässburg), w której Moskale pobili Węgrów i sam generał Bem omal nie zginął. W tej bitwie widziano Petöfiego po raz ostatni, i w niej to prawdopodobnie zginął, a ciało jego wraz z innymi do wspólnego grobu złożono

Nikt jednak nie był świadkiem zgonu Petöfiego, a ciała jego nie odszukano, czy też nie poznano na pobojowisku. Te okoliczności, niemniej i to, że generał Bem, o którym również rozeszła się wieść, że zginął w tej samej bitwie, a został cudownym iście sposobem od śmierci uratowany, spowodowały, że w Węgrzech długie lata nie chciano wierzyć w tragiczny zgon 26-letniego poety. Ogół wolał oddawać się przyjemnej illuzji, że uwielbiany pieśniarz narodowy zdołał w jakiś sposób uratować się od śmierci, i pozostaje jeszcze przy życiu, a przypuszczenie to opierało się na pewnych dość uzasadnionych podstawach. Oto Petöfi jako jeden z głównych sprawców i czynnych członków rewolucji węgierskiej, nie śmiałby był w owych czasach (t. j. po r. 1849) otwarcie wystąpić w kraju; natomiast ciągle ukazywały się tu i owdzie tajemnicze osobistości, które doskonałem odegraniem swej roli i zadziwiającą znajomością szczegółów poufnej natury z życia poety, zdołały nawet najbliższych jego przyjaciół w błąd wprowadzić i otrzymać od nich niejako sankcję tożsamości z zaginionym, a przez to podtrzymywała się u ogółu wiara w istnienie jego przy życiu.

Dopiero w r. 1860, gdy stosunki na lepsze się zmieniły, a prasa została swobodniejszą, wystąpił otwarcie z tą kwestją Albert Pakh, znany nam już jeden z najdawniejszych przyjaciół Petöfiego. W czasopiśmie swem „Vasarnapi Ujsag" (Dziennik niedzielny) zawezwał wszytkich, którzy widzieli Petöfiego po dniu 31 lipca 1849, ażeby mu złożyli swoje oświadczenie w tej mierze. Nadeszły listy od 31 osób; były w nich wprawdzie wielorakie sprzeczności, lecz także i poważne świadectwa osób twierdzących, że Petöfi żywy po owym dniu był u nich. Jednego z tych „Pseudo-Petöfich" zdołano zdemaskować, ale zresztą tajemnicza osłona pokrywała całą sprawę.

Atoli między tymi listami wydostał Pakh przynajmniej jedno, jedyne tylko autentyczne świadectwo o ostatnich chwilach Petöfiego. Było to sprawozdanie Dra Józefa Lengyel, który w oddziale Bema pełnił służbę lekarską w owej bitwie pod Segesvarem, a który wprawdzie nie widział wprost jak Petöfi zginął, lecz był przy nim prawie do ostatniej chwili przed najściem Rossjan; a ponieważ sam zdołał im ujść tylko dzięki temu, że miał konia, Petöfi zaś pieszo uchodził wraz z oddziałem, który Moskale otoczyli i z którego wszyscy — z wyjątkiem kilkudziesięciu rannych — zginęli, przeto i Petöfi zginąć tam musiał. Miejsce, na którem to się stało, leżało tuż przy drodze wiodącej z Segesvaru (Schässburg), między miejscowościami Fehéregyhaz (Weisskirchen) a Héjasfalva. Przypuszczenie swe stwierdził Dr. Lengyel następnie jeszcze dobitniej. Zetknął się on mianowicie później — jak opowiada — z generałem baronem Heydte, który zarządzał był grzebanie poległych na tem samem miejscu, gdzie Lengyel po raz ostatni widział Petöfiego, otoczonego wraz z innymi przez Moskali. Rozmowa między nimi zeszła na bitwę pod Schässburg i na Petöfiego, a Heydte oświadczył, że dokładnie sobie przypomina młodego człowieka, z opisu podobnego do Petöfiego, który lancą przeszyty leżał niedaleko od miejsca przez Lengyela opisanego, a który wpadł mu w oczy, gdyż z wysuniętych kieszeni wystawały mu paczki zapisanych papierów — szczegół wielce charakterystyczny w tej sprawie.

Mimo pewnych niejasności w sprawozdaniu Dr. Lengyela, musimy się zgodzić na jego zapatrywanie co do śmierci Petöfiego a to tem bardziej, że żona poety w rok po bitwie pod Schässburg, 20 lipca 1850, wyszła powtórnie za mąż za prof. Arpada Horvata, musiała więc mieć świadectwo śmierci pierwszego męża, a powtóre, że imię Petöfiego, nie znajdowało się na liście skazanych in effigie przez sąd wojenny austryjacki na dniu 22 września 1851.

Po roku 1861 nie mówiono już w Węgrzech publicznie o możliwości, że Petöfi żyje jeszcze, i chyba w głębi duszy żywiono podobne nadzieje. Nagle w r. 1877 rozeszła się wieść, że w Siedmiogrodzie żyje pewien Węgier, nazwiskiem Daniel Manasses, który pojmany przez Moskali w r. 1849 w bitwie pod Schässburg, musiał dotychczas pracować w kopalniach Syberji, gdzie rozmawiał z Petöfim. Oczywiście, że wiadomość ta poruszyła całe Węgry, narobiła ogromnej wrzawy i spowodowała nawał interpelacyj do rządu, wniosków, petycji, — z czego wynikło, że sądy wdały się w tę sprawę i wreszcie pokazało się, że ów człowiek nawet nie nazywał się Manasses, lecz był prostym oszustem niejednokrotnie już karanym, który nigdy nie wyszedł po za granice Siedmiogrodu i całą sprawę wymyślił jedynie dla wyłudzania datków od entuzyastów.*)

Tak więc i ta ostatnia illuzja ustąpiła, i Węgrzy muszą wierzyć w zgon wielkiego poety. Już i reszta jego rodziny nie żyje: Umarł ojciec, który tak się sprzeciwiał drodze przez syna obranej, a potem dumny był sławą jego, umarła uwielbiana i tylekroć opiewana matka; prochy pięknej Julii Szendrey od r. 1860 ziemia przykrywa, a jedynak Zoltan (ur. 15. grud. 1848.) w roku 1870 przedwcześnie zakończył życie; wreszcie i młodszy brat Petöfiego, Stefan, nie doczekał uroczystej chwili, w której pomnik poety w całej okazałości stanął w stolicy kraju, a u stóp jego złożono wieńce z całych Węgier, — z zagranicy, nawet od głów ukoronowanych...**)

Wygasł więc wprawdzie wielki ród, ale imię „Petöfi" nieśmiertelne w Węgrzech, a dzieła poety trwalszy niż ze spiżu stanowią dlań pomnik. (D. n.)

---

*) Szczegóły odnoszące się do śmierci Petöfiego i mytów o nim, zaczerpnięte są z broszury p. K. M. Kertbeny p. t. „Petöfis Tod vor dreissig Jahren etc. Leipzig 1880.

**) Jak wiadomo królowa rumuńska przysłała na uroczystość odsłonięcia pomnika Petöfiego wspaniały wieniec z napisem „Une adoratrice du grand poéte hongrois Alexandre Petöfi".

Przegląd literacki.

(Dr. Th. Billroth: O pielęgnowaniu chorych w domu i w szpitalu. Przekład z 2go niemieckiego wydania. Warszawa—nakładem „Kroniki lekarskiej." 1882.)

W Prusiech, Saksonii, w Badeńskiem, Hanowerskiem i w innych państwach, urządzone są oddawna szkoły, połączone z umyślnie do tego przeznaczonymi zakładami leczniczymi, mające na celu wykształcenie dozorczyń do pielęgnowania chorych nietylko w szpitalach, lecz i w domach. Nie jest wcale mojem zadaniem wykazać szanownym czytelniczkom i czytelnikom znaczenie i potrzebę dozorczyń, ani szkół dla takowych przeznaczonych; każdy bowiem przyjdzie sam do tego przekonania, że w każdym szpitalu dozór nad chorymi powinien być oddany tylko osobom zawodowo wykształconym, że nabycie takiego wykształcenia możliwe jest tylko w specjalnie urządzonych zakładach, i że dozorczyni taka może oddać i przy chorych w domach prywatnych ważne nader usługi.

Dla instytucji dozorczyń w tym duchu pojętej, napisał znakomity lekarz dr. Billroth dzieło, którego tytuł podany jest na czele niniejszego artykułu. Gdy jednakowoż autor pisząc to dzieło, nie miał na celu tylko zawodowe dozorczynie, lecz także „w y k s z t a ł c o n e k o b i e t y i m a t k i r o d z i n," jak to sam na str. VIII powiada, uważaliśmy przeto za odpowiednie zwrócić uwagę szerszej publiczności na to dzieło, i polecić takowe, a to tem więcej, gdy rzecz jest w niem tak przedstawiona, że „każda kobieta bez względu na wiek... może śmiało wziąć w rękę tę książkę."

Nie jedna z szanownych czytelniczek była zepewne w tem ciężkiem położeniu, że pielęgnując chorego, po odejściu lekarza spostrzegła, iż tego lub owego nie zrozumiała, że tego lub owego wykonać nie potrafi; położenie zaiste fatalne, tem gorsze, gdy choroba gwałtownie postępuje. Zresztę są okoliczności, na które lekarz zazwyczaj nie zwraca uwagi pielęgnujących chorego, — takowe bowiem wydają mu się tak proste, że każdy o nich wiedzieć powinien, jak: ogrzewanie, przewietrzanie i czyszczenie pokoju, zachowanie się otaczających w obec chorego, i wiele innych na pozór drobnych rzeczy, które albo przyczyniają się do prędszego wyzdrowienia chorego, lub sprawiają mu ulgę w cierpieniach.

Wytłumaczenie tego wszystkiego znachodzimy w dziele dr. Billrotha, a przedstawienie jest tak jasne, że bez żadnych wstępnych studjów wszystko może być dokładnie zrozumiane.

Rozpatrzmy się teraz pokrótce w treści dzieła.

We wstępie wykazał aut or obowiązki dozorczyni, które wcale nie są łatwe. Do należytego ich wykonania potrzebny jest koniecznie pewien stopień inteligencji, tak, że autor oświadcza, iż kobietom zbyt słabo inteligentnie rozwinietym, należy odradzać poświęcenia się temu zawodowi, a to z tego powodu, że „praktycznych rezultatów w zakresie pielęgnowania chorych można się spodziewać tylko wtedy, gdy dobry charakter łączy się z rozwiniętym umysłem." Dozorczyni musi się nauczyć pielęgnować chorych, a zadaniem jej jest nietylko pomagać choremu i spełniać należycie i dokładnie polecenie lekarza, lecz nadto ma ona pomagać lekarzowi przy operacjach i opatrzeniach, a w nieobecności lekarza obserwować chorego i stan jego choroby, aby za przybyciem lekarza zdać dokładnie sprawę ze wszytkich szczegółów.

Dobra dozorczyni powinna mieć prawdziwe zamiłowanie do swego trudnego zawodu, być usposobienia spokojnego, a nie wrażliwego, powinna być łagodną, cierpliwą, posiadać dar spostrzegawczy, aby z oczów chorego umiała wyczytać życzenie, i aby pod nieobecność lekarza umiała obserwować chorego i zdać sprawę ze swych spostrzeżeń; powinna być przyzwoitą i obyczajną, posiadać zamiłowanie prawdy, porządku (porządek około dozorczyni jest najlepszą dla niej rekomendacją); powinna być sumienną, powolną poleceniom lekarza (nie powinna leczyć na własną rekę, ani dyskredytować lekarza w oczach chorego lub jego rodziny), umieć zastósować się do danych, często niemiłych okoliczności; powinna być zdrową, gdyż praca bardzo mozolna jest jej powołaniem; powinna się wystrzegać ciekawości, gadatliwości i poufałości tak w obec chorych, jej opiece powierzonych, jak i ich rodziny.

Rozdział pierwszy nosi tytuł „Pokój chorego," Pokój, w którym chory dłuższy czas ma zostawać, powinien być jasny, przestronny, zaciszny, powinien dać się dobrze przewietrzać, ogrzewać i ochładzać. Szczególną baczność zwracać należy na to (a stosuje się to nietylko do chorych, lecz i do zdrowych), aby w pokoju było zawsze świeże powietrze, nietylko w dzień, lecz i w nocy. „Przewietrzanie w pokoju chorego musi być energiczne, albowiem czyste świeże powietrze jest nietylko głównym warunkiem wyzdrowienia, lecz w niektórych chorobach n a j w a ż n i e j s z y m n a w e t ś r o d k i e m l e k a r s k i m". Otwieranie okna w pokoju chorego wcale nie jest szkodliwem. Znakomita angielska dozorczyni chorych Miss Florence Nightingale, córka właściciela ziemskiego, autorka dzieła — na język niemiecki przełożonego przez Pawła Niemayera pod tyt: „Rathgeber für Gesundheits—und Krankenpflege, Leipzig 1878," twierdzi, że „chory nie zaziębia się w łóżku." W lecie może być okno całą noc otwarte, wtedy bowiem nietylko przewietrza się powietrze pokojowe, lecz zarazem ochładza. W zimie, gdzie nie ma wentylatorów, najlepiej otwierać górną część okna. W rozdziale tym czytamy nadto o czyszczeniu i o sprzętach w pokoju chorego w ogóle, a o łóżku i pościeli w szczególności.

Rozdział II podaje „ogólne prawidła pielęgnowania chorych, leżących w łóżku," mianowicie sposób ścielenia i prześcielania łóżek, zmiana poduszek i bielizny, podnoszenie chorych, odziewanie ich, środki zapobiegające odleżynom, sadzanie i podnoszenie chorego, picie i jedzenie w łóżku i t. p., a na zakończenie spostrzeżenia i uwagi Miss Florence Nightingale o własnościach rozmaitych chorych i zachowaniu się dozorczyni i otaczających osób względem nich.

Rozdział III traktuje „o wykonywaniu zleceń lekarza," mianowicie o podawaniu lekarstw, o okładach, kąpielach, zawijaniach, i t. p.; rozdział IV. „o przygotowaniach do operacji i opatrywań"; rozdział V „o dozorowaniu i pielęgnowaniu gorączkujących chorych w ogólności "

W rozdziale VI opisane są choroby, występujące epidemicznie. Choroby te dzielą się na choroby wprost zaraźliwe, gdzie jedna osoba od drugiej wprost się nie zaraża, lecz specyficzny pierwiastek choroby, rozwijając się w wydzielinach, zwłaszcza w wydzielinach jelitowych chorej osoby, dostaje się do ustroju innych osób i wywołuje chorobę. Do pierwszej kategorji należy szczególnie tyfus plamisty i powrotny, ospa, odra (kur), płonica (szkarlatyna), i błonica (dyfterja); do drugiej zaś przedewszystkiem tyfus brzuszny, dyzentarje i cholera. Teorja powstawania tych chorób i ich symptomata są tu dokładnie opisane, co ze względu na szybki rozwój niektórych z tych chorób, szczególnie błonicy która rok rocznie nietylko u nas, lecz i w innych krajach tyle ofiar wśród dzieci porywa, ma bardzo wielkie znaczenie. W końcu w rozdziale tym znachodzimy cenne uwagi co do zachowania ostrożności w chorobach epidemicznych i zaraźliwych.

Rozdział VII uczy pielęgnowania i niesienia pomocy przy chorobach nerwowych, oraz przypadłościach, mających swe źródło w układzie nerwowym, jak: pielęgnowania sparaliżowanych, udzielania pomocy przy, omdleniach, udarze mózgowym (apopleksji), padaczce (epilepsji, chorobie św. Walentego) kurczach histerycznych, astmie i t. p.. oraz podaje uwagi nad obserwowaniem i pielęgnowaniem umysłowo chorych. Tu ostrzega autor przed używaniem znienawidzonego przez chorych kaftana przy pielęgnowaniu w domach prywatnych, który tylko napad powiększa tak, że zdarzały się wypadki, źi

w skutek silnego skrępowania występowała o porażenie mózgowe z natychmiastową śmiercią. Prof. dr. Schlager, dyrektor krajowego zakładu psychiatrycznego w Dolnej Austrji, wykazał, ze można się obejść bez kaftana i osiągnąć przytem jak najlepsze rezultaty. W Anglji przed 40 laty zakazane zostało urzędownie używanie kaftana. W spitalach takich urządzone są dla furjatów materacami wysłane cele, a w szczególnych wypadkach zastępują kaftany siłą mięśni wyuczonych i dobrze płatnych a licznych posługaczy. Ze względu na bardzo ograniczone środki, jakimi rozporządzają zazwyczaj takie zakłady lecznicze, niewszędzie da się użyć ta metoda, zwana po angielsku „no restraint" (bez przymusu).

W rozdziale VIII znachodzimy wskazówki, według których należy postępować w wypadkach nagłych, jak oparzeniu, odmrożeniu, zgnieceniu, ukłuciu owadów, ukąszeniu wężów, psów wściekłych, w krwotokach, przy otruciu, ratowaniu powieszonych i topielców.

Na zakończenie podano w rozdziale IX ogólne prawidła dyjetetyki w zastosowaniu do chorych.

Dzieło prof. Billrotha polecamy naszym czytelnikom, jako podręcznik, który powinien znajdować się w każdym domu. Cena jest nader przystępną, egzemplarz bowiem kosztuje tylko 1 rubla. *Hipolit Parasiewicz.*

Przegląd teatralny.

(Sergjusz Panin, dramat w 5 aktach Ohneta, przełożył J. Arwin).

Minęły już czasy, kiedy ujemne charaktery w dramacie ubierano we wszystkie możliwe zbrodnie i wyposażano odrażającą powierzchownością. Przekonano się, że nie potrzeba być Franciszkiem Moorem, a przecież być bardzo złym człowiekiem, rozsiewającym dokoła siebie boleść i zgryzotę, że nie trzeba wyglądać jak Quasimodo, a jednak być wstrętnym. W życiu spotyka się często ludzi gładkich, uprzejmych, uśmiechniętych, pełnych zewnętrznego uroku, na których nie cięży żadna zbrodnia podpadająca pod paragrafy, a którzy w myślach i uczynkach, w całem jestestwie, w życiu całem są skończonymi łotrami. Takim jest i Sergjusz Panin, bohater Ohnetowskiego dramatu. Młody, przystojny, ujmujący w obejściu — pod względem moralnym jest ohydny swoją nicością i swem zbrodniczem samolubstwem. Każde słowo jego jest podłością — krok każdy występkiem. Zrujnowany materjalnie i moralnie za teren haniebnej eksploatacji obiera dom miljonowej mieszczanki. Tytuł moskiewskiego kniazia ma pewien urok dla burżoazji francuskiej, tego prototypu wszelkiej burżoazji. To też dom pani Desvarennes (tak się nazywa owa miljonerka, właścicielka młynów) staje dlań otworem. Panin nasamprzód uwodzi jedynie dla dogodzenia namiętności wychowankę pani Desvarennes, Joannę następnie podbija serce jej córki Michaliny i pomimo oporu matki poślubia ją, aby posiąść miljony. Joanna przekonawszy się, że Sergjusz dla niej stracony, pomimo że miłość jej ku uwodzicielowi nie wygasła — wychodzi za mąż za bankiera Cayrola.

Teraz rozpoczyna się dramat właściwy osnuty na miłości dwóch kobiet do jednego i tego samego mężczyzny, rozbudzonej zazdrości, a tłem tego dramatu jest marnotrawstwo Sergjusza, graniczące z szaleństwem. Autor w nader subtelny sposób przedstawia nam walkę uczuć i psychologiczny ich rozwój. Ile tam prawdy, ile mistrzowstwa! Intryga prosta, a jednak z ilu subtelnych ogniw składa się ten łańcuch sytuacyj i kolizyj nie, uderzających jaskrawym kolorytem, ale za to tem piękniejszych, tem szlachetniej pojętych i przeprowadzonych. Formy zwykłe, powszednie — ale pod niemi rozwija się akcja prawdziwie dramatyczna, pełna siły, a miejscami nawet tragicznej grozy, Te naboje dynamitowe ukryte w meblach obleczonych aksamitem.

Rzecz kończy się tragicznie. Obie kobiety przekonują się o podłości człowieka, którego ukochały, obie stanęły nad brzegiem przepaści, z którego cofnąć się nie można. Jak wybrnąć z tej sytuacji? Zdaje się, że autor długo musiał sobie głowę łamać nad tem pytaniem a wreszcie wynalazł sposób, nie powiemy, bardzo szczęśliwy, ale w każdym razie dostatecznie motywowany. Straciwszy majątek żony, a widząc, że teściowa poznała się na nim i nie chce dozwolić czerpać ze swojej kasy, rzuca się Sergjusz w więcej niż wątpliwej wartości interesa finansowe, które stawiają go w kolizji z prawem. Policja chce go aresztować za oszustwo... W łeb sobie strzelić — czy uciekać? — Sergjusz jest tchórzem, w obec tych których całe życie zniszczył, okazuje całą swą podłość — odrzuca podawany mu rewolwer — chce uciekać — ale już zapóźno — już wchodzi policja... W tem z ręki świekry pada strzał — strzał przypadkowy... Nad ciałem awanturnika zapada kurtyna...

Rozwiązanie to jest jedną ze słabych stron sztuki, napisanej zresztą, jak nadmieniliśmy z prawdziwym talentem, tak pod względem charakterystyki osób działających, jak zręcznych sytuacyj i barwnego dyalogu. Drugą słabą stroną sztuki jest często niezgrabna faktura sceniczna.. Z osobami na scenie postępuje sobie autor bardzo dowolnie — bez motywów jednych wprowadza, drugich usuwa, byle tylko popchnąć akcję o krok naprzód. Wada to wszystkich utworów przerobionych z powieści, jak bowiem wiadomo „Sergjusz. Panin" jest ucenizowaniem podwieści pod tym samym tytułem. Braki te jednak, któreśmy wykazali, są dosyć podrzędnej natury i nie przyćmiewają zalet, jakiemi dramat Ohneta rzeczywiście się odznacza, a które stawiają ten utwór po nad wszystkie inne przedstawienia w ostatnich czasach na naszej scenie..

W przedstawiewieniu odznaczyli się z mężczyzn pp. Woleński (Sergjusz) i Kwieciński (Piotr Delarme), mniej nas zadowolił p. Hierowski (Cayrol), który w żaden sposób nie może się pozbyć manjer prowincjonalnych. Więcej swobody, panie Hierowski, a wszystko pójdzie lepiej! Panna Knapczyńska (Michalina) za mało przedstawia materjału na dramatyczną amantkę, aby takie role mogła grać z powodzeniem. Więcej tu trzeba siły — a mniej płaczu — więcej oryginalnego zapału — mniej szablonu.. Pani Nowakowska (Joanna) grała pod każdym względem wzorowo, jak na artystkę, tej co miary przystało.. W roli matki Desvarennes okazała się pani German wprost nie możliwą.. Rola to prawdziwie dramatyczna, a nie komiczno-rodzajowa.. Jakże możnaby powierzyć rolę Otella — p. Skalskiemu? Analogja pod tym względem kompletna.. Czy nie wiedziała o tem dyrekcja?..

Nie-Zoil

ZIARNKA

Z końcem roku bieżącego przypada 25letni jubileusz pracy pisarskiej jednego z głębszych naszych powieściopisarzy i zasłużonego obywatela Teodora Tomasza Jeża (Zygmunta Miłkowskiego). Jeż należy do pisarzy mało dotąd, szczególniej u nas w Galicji, poznanych i ocenionych. Powieści jego, szczególniej późniejsze wychodziły przeważnie w pismach warszawskich, przytem pisarz ten nie doczekał się zbiorowego wydania swych powieści a pisał bardzo wiele, tak, że pod względem płodności literackiej zajmuje niezaprzeczenie drugie miejsce po Kraszewskim. Pod względem artystycznym utwory Jeża sięgają często wyżyny, dostępnej tylko dla pierwszorzędnych talentów. Co przytem nadaje powieściom Jeża wysoką wartość spółczesną, to artystyczna metoda i tendencja, jaką przeniknięte są jego utwory. Pod względem artystycznego traktowania przedmiotu, Jeż jest realistą, w czem zgadza się wybornie z nowszym kierunkiem powieści. Jeżeli przytem Jeż nie powierza wyłącznie domysłom swych natchnień arty-

stycznych, to i w poglądach na przedstawiane przez się charaktery i stosunki, nie powoduje się przelotnemi gustami i nie puszcza dowolnie wodzy przywidzeniom. Do materjału, który ująć ma następnie w artystyczne ramy, Jeż przystępuje z okiem nietylko artysty, lecz myśliciela i badacza, dlatego też powieści jego, to cenne zazwyczaj studja psychologiczno-społeczne, nad którėmi góruje umysł ich twórcy, umysł bystry i głęboki. Pisarz przejęty takiemi ideami, obfity znalazł materjał artystyczny w życiu Słowian południowych, z którymi bliższą zabrał znajomość, zapędzony wśród nich wypadkami politycznemi...

Tyle co do działalności pisarskiej — drugą jednak połowę swego życia poświęcił Zygmunt Miłkowski niezmordowanej walce za kraj i jego prawa.

Pracując długie lata głową, piórem i szablą, Jeż zasłużył sobie na 25-letni jubileusz swej pracy pisarskiej, który przypada z końcem bieżącego roku. Dla uczczenia tej chwili, liczne grono pisarzy warszawskich za inicjatywą wychodzącego tam pisma literackiego p. t. Prawda, i jej redaktora p. Aleksandra Świętochowskiego (Wł. Okońskiego) postanowiło wydać książkę zbiorową p. t. Ognisko, w którem pomieszczonych zostanie wiele prac, przeważnie, choć nie wyłącznie dotyczących Jeża i jego utworów. Dochód z tego wydawnictwa przeznaczyli autorowie i wydawcy tego jubileuszowego upominku na rzecz sędziwego weterana naszej literatury postępowej i słusznie, Jeż bowiem, który wielu wzbogacił wydawców, sam z trudnością tylko piórem zarabia na utrzymanie dla siebie i rodziny. Ognisko które wyjdzie w połowie grudnia b. r. w Warszawie, zostało w całym postępowym obozie nader sympatycznie powitanem, a Prawda warszawska, która przyjmuje zapisy na Ognisko (cenę którego oznaczono na 5 rs. za tom znacznej grubości) — ogłasza co tydzień długą listę przedpłacicieli, liczącą już setki, jeżeli nie tysiące nabywców. Nie wątpimy, że w zapisywaniu się na tę książkę zbiorową przyjmą udział i nasi czytelnicy, dlatego też oświadczamy tu, że chętnie przyjmować będzi-my pośrednictwo w tej przedpłacie, a ogłosiwszy nazwiska zapisujących się w Ziarnie, pieniądze ich wraz z nazwiskami przesyłać będziemy do Prawdy, gdzie znajdą one pomieszczenie w liście ogólnej, mieszczącej imiona obywateli całej Polski i Polaków po całym rozproszonych świecie.

* * *

Nareszcie po długiej pauzie, lwowskie „Koło literackie“ dało znak życia. Odbyło się walne zgromadzenie i wybrano wydział, ten sam co roku przeszłego. Prezesem... został ks. Roman Czartoryski. Każdego, kto umie tylko zastanowić się, uderzyć musiał wybór przewodniczącego. „Koło“ — jest „artystyczno-literackiem“ — któż więc powinien stać na czele takiej instytucji? — Odpowiedź sama się nasuwa.. Jakiś wybitny literat lub artysta — lub wreszcie zasłużony mecenas literatury i sztuki.. Tymczasem na kogo padł wybór? Na człowieka, który nie jest pierwszym, ani drugim, ani trzecim, a za kandydaturą jego chyba tylko to przemawiało, że jest „porządnym człowiekiem“... Porządny człowiek — to bardzo wiele — porządny człowiek — to bardzo mało.. Znamy wielu ludzi porządnych, ale żadnemu z panów członków „Koła“ nie przyszło do głowy, stawiać kandydaturę którego z nich na prezesa „Koła.“ Dla czego? Bo to nie członek „familji.“ Należałoby, aby literaci nasi zerwali już z tradycją służenia na dwóch łapkach, i prosznia o odpadki z pańskiego stołu.. Szanujcie się sami, jeżeli chcecie, aby was szanowano..

* * *

Znana jest z „Münchener Bilderbogen“ powieść o owym wieśniaku, co zamienił bryłę złota na konia, kozę, kurę, a w końcu nawet na osełkę do ostrzenia nożów. Kto jej niezna, może się dowiedzieć o całej historji z humoreski p. Horaina „Zły mąż a dobra żona“, czy odwrotnie, a ztąd pozna sens moralny całej opowieści, która się da zastosować, niestety do obecnych stosunków...

Zaoszczędzono na oświacie i szkołach, a kupiono zamek oleski. Gdyby w tym zamku w istocie prócz jednej sali, w której jest na kominku wcale ładna grupa trzech bogiń i Parysa, a na plafonie obraz olejny „porwanie Europy,“ nieszczęściem zepsuty wilgocią, było jeszcze coś więcej godnego konserwowania, chętnie byśmy się zgodzili na konserwowanie i restaurację tej pamiątki po pogromcy Turków. Tak jednak nie jest. Zamek cały jest w stanie najzupełniejszej ruiny, odnowienie raczej odbudowanie murów będzie kosztować drogo! A trzeba wiedzieć, że dotychczas nikt nie wie, co ma się stać z tym zamkiem po odbudowaniu. Jedni chcą tam mieć schronisko dla starych weteranów, drudzy muzeum pamiątek po Sobieskim. Zważywszy, że muzeum pamiątek po Janie III. jest niemożebne o tyle, iż wszystkie te pamiątki są już umieszczone w muzeach prywatnych, a muzeum publicznego niepowinno się zakładać na prowincji, zważywszy to wszystko, jeszcze raz zapytujemy, co właściwie za cel był w kupowaniu Oleska? Rozumielibyśmy to wszystko, gdyby stan nasz finansowy pozwalał na zbytki artystyczne, ale w obec oszczędności na cele oświaty, całe to przedsiębiorstwo przypomina nam owego spekulanta z „Münchener Bilderbogen“, czy z humoreski p. Horaina.

* * *

Hasło lwowskiego chóru męskiego zostało już wybrane. Nagrodę otrzymał profesor Wachnianin. Komisja, która się składała z pp. Gerbicza nauczyciela śpiewu, Przibika dyrektora opery, i Cetwińskiego dyrygenta chóru, proponowała dwa utwory, oznaczone numerami 14 i 15, które, jak się po otwarciu kopert okazało, nadesłał p. Mikołaj Biernacki dyrektor towarzystwa muzycznego w Stanisławowie. Tekst hasła stanowią słowa Pola:

Tyle szczęścia, co człek prześni,
Tyle życia — ile w pieśni.

Nie słyszeliśmy muzyki skomponowanej do „Hasła“, nie możemy więc sądu o niej wydawać — co się jednak tyczy powyższego dwuwiersza, choć to niby Pola, to zdaje się nam, że można było wybrać jakieś kilka słów, drgających życiem i pociągających treścią, zamiast szczęście całe widzieć w sennej pieśni...

ZAPISKI.

Literatura.

* Autor „Piśny z dawnych lit“ p. January Poźniak, wydał spory tom poezyj swoich „Pieśni z lat młodych i pieśni starca“, z których rozprzedaży dochód cały poświęcił na rzecz Macierzy polskiej. Zbiorku tego jednak niezaleca wyłącznie cel, na jaki nakład przeznaczył autor, są tam rzeczy w istocie piękne, a „pieśni starca“ tak pod względem formy jak i myśli nie wiele się różnią od wierszowań młodzieńca. Zbiorek zakończony jest rzewnym a serdecznym wierszem. „Wspomnienia z życia“, gdzie opowiedzianą jest biografia szanownego autora.

Z wiersza tego przytaczamy zakończenie:

Wspomnienia mego żywota:
Są to kwiaty... i nie złota...
W wieńce łączy je nić ta;
Rzucon losem w wrzące fale
Rzeki, w której wód kryształe,
Pojawiła się już kra,
Na mogiłę mą, kolumny
Nie pragnę, ale do trumny
Wieniec ów zabraćbym rad —
By mi przypominał w grobie:
Świat kochałeś, dziś o tobie
Zapomniał — od wielu lat.

* Nakładem księgarni K. Łukaszewicza wyszły popularne a nader pożyteczne rozprawki treści gospodarskiej traktujące o „Uprawie chmielu“ (przez Z. G.), „Uprawie esparcetty, lucerny, seradelli, marchwi, buraków i kartofli przez A. Z. i Z. G.“, tudzież broszurka odpowiadająca na pytanie: „Dlaczego trzeba konia za młodu nakłaniać do pracy, i jak to czynić należy?“

* Jan Arany sławny poeta węgierski — stawiany na równi z Petöfim, zmarł przed kilku dniami w Budapeszcie. Urodzony w r. 1817 w Nagy Szalanta, jako syn dość ubogiego właściciela niewiel-

kiego kawałka ziemi, Arany staczał długi czas walkę z życiem. Czuł on od pierwszej chwili artystyczne popędy, i próbował sił swoich w młodości jako aktor, malarz i rzeźbiarz, aż nareszcie po rozpisaniu konkursu przez Towarzystwo Kiszfaludy odkrył w sobie poetę. Zajmował on wtedy skromne stanowisko wiejskiego notarjusza, a 15 dukatów nagrody, którą ze względów na objętość dzieła podwyższono na 20 dukatów, były dlań niemałą kwotą. Najgłówniejszem jego dziełem jest trylogia epicka „Toldi", opisująca czyny mitycznego bohatera węgierskiego, który wsławić się miał w epoce króla Ludwika. Poemat ten pełen świeżości i barw zachwyca czytelnika prostotnym, prawie naiwnym językiem; w nim widzą Węgrzy odźwierciedlenie swego ducha narodowego. W ogóle Arany jest wraz z Petöfim przedstawicielem romantyczno-narodowej poezji w Węgrzech, i ztąd pochodzi wpływ jego ogromny na naród. Jako człowiek był Arany ze wszech miar mężem godnym poważania. Skromny i cichy żył ze swej pensyjki, jaką pobierał jako sekretarz akademii. Kiedy wyjeżdżał na Wiedeń do Karlsbadu dla kuracji (były to dwa jedyne miasta, które poeta poznał za granicą Węgier) nie chciał pobierać płacy; zawotowanej przez sejm pensji w kwocie 4.000 nieprzyjął i orderu Szczepana, którym go obdarzono, nigdy nosić nie chciał. Natomiast za wielki zaszczyt miał sobie, że w r. 1848 służył jako koncepista w ministerstwie narodowem.

Teatr i muzyka.

* „Lilli" nowy wodwil pp. Hennequina i Milaud, przedstawiony został niedawno. w Theater an der Wien z olbrzymiem powodzeniem.

* W „Folies dramatiques" przedstawiono przed kilku dniami nową operetkę Varneya pt. „Fanfan la tulipe", w której przedstawiony jest typ żołnierza, łączącego w sobie właściwości Don Juana. Libretto napisali Paweł Fervier i Juliusz Prevel. Operetka została dobrze przyjętą.

* W Paryżu zmarł nagle jeden z najpopularniejszych artystów paryskiego Palais Royal M o n t b a r s, licząc ledwo lat 34 życia. Montbars nazywający się właściwie Juliusz Aleksander Kalitowicz, jak mówią Rosjanin z rodu zrobił nader szybką karjerę w Paryżu. Najlepszą jego rolą był „Mąż debiutantki" i rola tytułowa w „Podróży p. Perichon" Montbars był bogaty. Niedawno temu jeździł po odebranie sukcesji w kwocie 200.000 zł. do Wiednia i Pesztu. Na przedstawienia jeździł swym własnym powozem.

* „Le coeur et la main" nowa operetka L e c o c q u a upadła po pierwszem przedstawieniu w teatrze „Nouveauté" w Paryżu.

* Niejaki baron Winzigerode, który liczy obecnie lat 87, a przez lat 40 pracował nad m u z y c z n o-h i s t o r y c z n e m dziełem, przybył w tych dniach do Monachium, gdzie chce się ułożyć z nakładcą o wydanie swego dzieła, liczącego 40 tomów.

* Znakomita wiolonistka Theresina T u a, zakończyła szereg swych koncertów w Wiedniu, żegnana grzmiącemi oklaskami publiczności po ostatnim występie.

Sztuki piękne.

* Dyrekcję muzeum Rietschla w Dreznie objął prof. Jan S c h i l l i n g.

* W konkursie rozpisanym przez Wiesbaden na plan budować się mającego ratusza, pierwszą nagrodę (6000 mark) otrzymał F. E w e r b e c k, profesor politechniki w Akwisgranie.

* Profesor akademii wiedeńskiej sztuk pięknych, architekt J. Niemann wydał dzieło pt. „Handbuch der Linear — Perspektive für bildende Künstler", z którego każdy nieznający nawet matematyki może się nauczyć zasad głównych perspektywy. Dziełko zdobi 18 tablic świetnie wykonanych w nadwornej drukarni. Przykłady wybrane są z arcydzieł znanych powszechnie.

Archeologja.

* P. Julian Zacharjewiez, który jeździł jako jeden z rzeczoznawców oglądać wykopaliska w Załukwi nad Dniestrem, zdaje w ostatnich dwóch numerach „Dźwigni" sprawę ze swojej wycieczki. Szanowny profesor zgadza się najzupełniej ze zdaniem dr. Szaraniewicza, że odkopane szczątki murów są rzeczywiście szczątkami dawnej świątyni Spasa, na co są dowody historyczne, tradycyjne, a obecnie i archeologiczne, i twierdzi że rzut fundamentów odkrytych przedstawia nam założenie trzymurowej budowy, o której, opierając się na znalezionych szczątkach cegieł, słupków i t. p. wnosi, że cerkiew była sklepioną na filarach, że absydy były baniami nakryte i a sklepienie było malowane. Pomiędzy znalezionemi szczątkami są niektóre przedmioty godne bliższej uwagi, a mianowicie piękne okucia bronzowe i krzyże, których kształt dowodzi najlepiej ich pochodzenia ze wschodu. Jeden z tych krzyżów, przedstawiający Chrystusa na poduszce stojącego i ubranego w sukienkę, dowodzi wielkiej starożytności tego wykopaliska. Kawałek obrobionego verde antico, jest jeszcze jednym dowodem więcej, że cerkiew św. Spasa budowana była pod wpływem sztuki bizantyjskiej. P. Zacharjewiez bowiem słusznie powiada, że kamień ten był zastosowywany tylko tam, gdzie albo sztuka, albo rzemieślnicy bizantyńscy byli używani.

MISCELANEA.

Niejednokrotnie zastanawiano się nad pytaniem, czem i jak wytłumaczyć zmysł orjentowania się zwierząt w nieznanej okolicy. Przyrodnik francuski Vignier, który badał t. z. zmysł kierunku u ludzi i zwierząt, zauważał, że pewne zwierzęta i ludy, żyjące w stanie dzikości, posiadają szczególną zdolność, pozwalającą im powracać w prostej linii do pewnego punktu wyjścia, po przebieżeniu znacznych nawet odległości i krzywizn bardzo skomplikowanych. Fakt ten obserwował niejednokrotnie podczas wycieczek swoich po lasach amerykańskich, z Indjanami szukającymi kauczuku. Czy zdolność tę należy przypisać szóstemu zmysłowi, któryby można nazwać zmysłem orjentacyjnym lub kierunkowym? Tę właśnie kwestję wyżwspomniany uczony stara się usilnie rozwiązać. Wallace pisał w r. 1873: „Zdolność cechująca wiele zwierząt, pozwalająca im powracać po drodze której, przebywając ją—nie widziały (jeżeli np. pomieszczone były podczas transportu w koszu lub klatce) uznana została ogólnie za niezaprzeczony objaw rzeczywistego instynktu. Zdaje się jednak, że w naprowadzonych wyżej okolicznościach, zwierzę powodowane chęcią oswobodzenia się, wytęży całą swoją uwagę, by za pośrednictwem jedynego zmysłu, jaki mu pozostaje do dyspozycji (delikatnego zmysłu węchu) zapamiętać rozmaite zapachy, zalatujące je po drodze, a które w umyśle jego zostawiają szereg obrazów, nieustępujących pod względem wyrazistości obrazom, odbieranym przez zmysł wzroku.

Każdy dom bowiem, bagno, pole lub wioska, posiadają właściwą sobie, a odrębną indywidualność, ułatwia zwierzęciu powrót po tej samej linii, bez względu na ilość zboczeń i załamów drogi. Objaśnienie to, zdaje mi się, da się zastosować do wszystkich objawów tego rodzaju". Tyle mówi w tym przedmiocie badacz angielski. Powstała też z tego powodu polemika, i usiłowano dowieść, że u zwierząt nie posiadających organu dotykania, tak czułego jak ręka ludzka, węch przychodzi ze skuteczną pomocą wzrokowi, i nabiera z czasem niezwykłej doskonałości. W każdym razie ta hipoteza nie objaśnia wszystkich faktów tego rodzaju. Weźmy n. p. takie: Pies przywieziony przez arcyks. Marję Regnier z Mentony do Wiednia, powraca sam do Mentony; albo osieł należący do pewnego kapitana angielskiego, przewieziony przez cieśninę Gibraltarską na przylądek Gate, wraca lądem do Gibraltaru przebiegłszy 300 kilometr. Albo weźmy gołębia. „Gołąb, mówi Taussenel — wie dobrze, że z północy wieje wiatr chłodny, z południa ciepły, ze wschodu suchy, a z zachodu wilgotny. Dość mu tego, by wytknąć sobie kierunek lotu bez pomocy słońca lub oczu. Przewieziony z północy na południe, ptak ten miarkuje zaraz zmianę temperatury, i puszcza się prosto w kierunku północy Jeżeli nie trafi na dom swój, jest to znak, iż puścił się zbyt prosto; dość mu pokołować kilka godzin, by gniazdo swoje odnalazł". Wracając do p. Vignier, utrzymuje on, że temperatura jest czynnikiem zbyt zmiennym, aby mogła sama przez się kierować zwierzę w biegu lub locie, to też uczony ten przychyla się ku teorji, przypisującej zasadniczy wpływ magnetyzmowi. Zdaniem jego, fakta tego rodzaju dają się objaśnić tem, że niektóre zwierzęta posiadają pewien zmysł prądów magnetycznych, dostateczny, by służyć im mógł za busolę wewnętrzną, wskazującą kierunek podróży. Wiadomo, że prądy magnetyczne działają na igłę magnesową, a przypuszczenie, że działać mogą również i na tkanki organiczne danego zwierzęcia, nie wydaje się zbyt nieprawdopodobnem. Naprowadza na to i ta okoliczność, że np. pies odnajdujący bez trudności drogę na przestrzeni kilkuset kilometrów w okolicy otwartej, zabłąkać się może łatwo na przestrzeni 500 metrów w mieście, gdzie krzyżowanie się mnóstwa ulic pod rozmaitemi kątami, mąci się zdaje zmysł jego, fungujący przeważnie w kierunku linji prostej. Z tego wszystkiego wnosi p. Vignier, że zmysł magnetyczny jest jedynie nieomylną wskazówką, kierującą zwierzę w jego powrocie do oddalonego punktu wyjścia. Że zwykłe zmysły nie biorą w tym razie żadnego udziału, dowodzi ta okoliczność, że zwierzęta uspione narkotykiem, po przewiezieniu w odległą okolicę, powracały mimo to do domu.

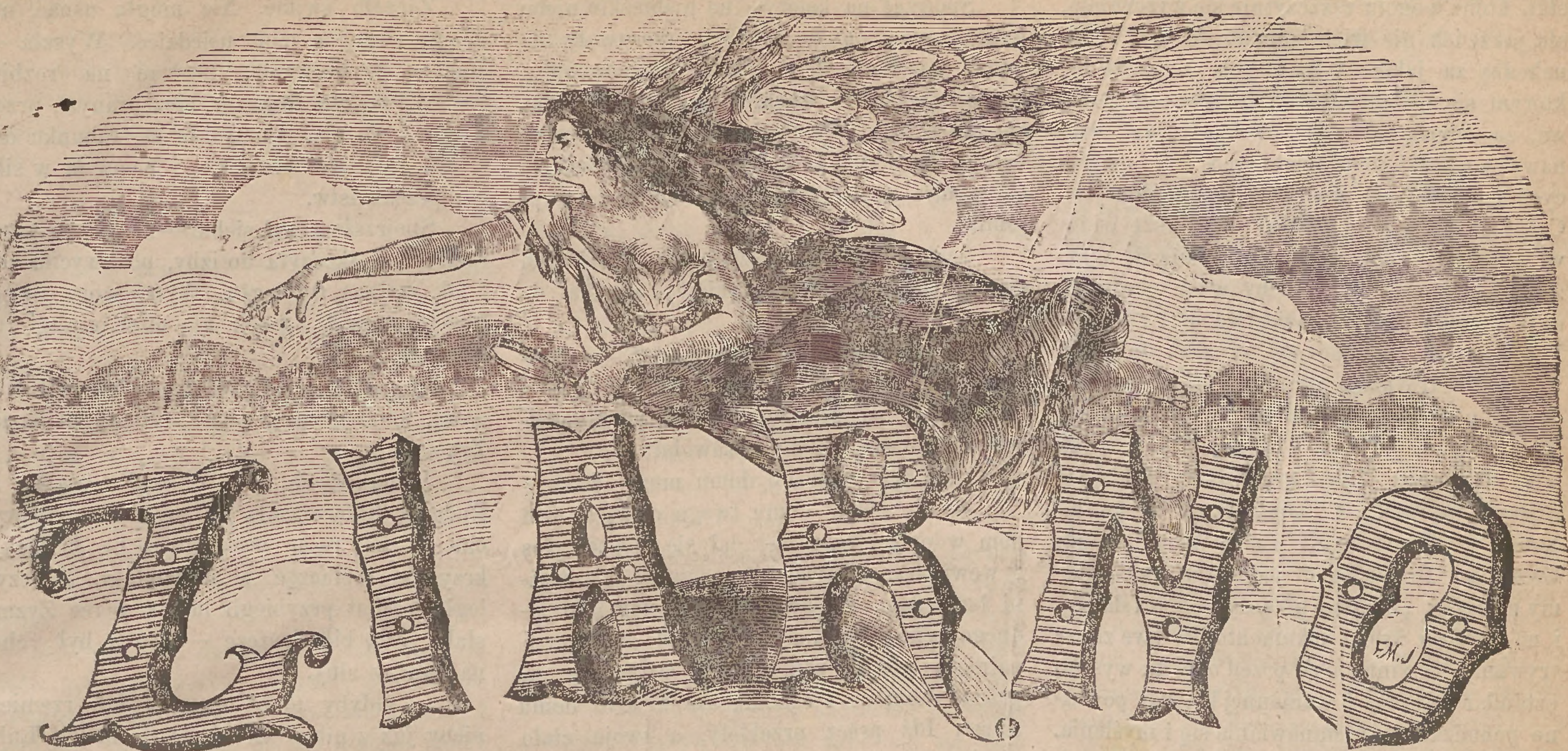
T r e ś ć.

W obronie Melpomeny.
Sewer: Z tajemnic wioski (c. d.).
Petöfi: Pieśń bojowa.
Hodoli L.: Wiek i jego prawa w wychowaniu. (c. d.)
Elie Berthet: Bocian.
Lisiewicz Aleks.: Petöfi Szandor. (c. d.)
Przegląd literacki przez H. Parasiewicza.
Przegląd teatralny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego", pod zarządem Leona Z ubalewicza.

Nr. 6. We Lwowie dnia 4. Listopada 1882 r. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Brak krytyki.

Nie zamyślamy mówić na tem miejscu o braku pisanej krytyki literackiej lub artystycznej, który mocno w piśmienictwie naszem daje się odczuwać — sprawie tej poświęcimy w przyszłości artykuł—zamierzamy dziś zastanowić się nad brakiem zmysłu krytycznego u naszej publiczności w ogóle, który to brak widoczny jest na każdym kroku. Jeżeli nie zatraciliśmy jeszcze zupełnie pojęcia, co złe, a co dobre, co piękne, a co szpetne, — to w każdym razie poczucie to jest bardzo grube, nieokrzesane, brak mu delikatności i subtelności. Objawia on się w różnych kierunkach: w życiu społecznem, w literaturze i sztuce. Popatrzmy na pana X. — Uśmiechnięty, wesoły, z podniesioną głową kroczy przed siebie — jedni ustępują mu z drogi, drudzy przyjaźnie witają. Któż to jest pan X? Człowiek pod względem moralnym upadły zupełnie. Wiedzą to wszyscy — a jednak usprawiedliwiają rozmaitemi okolicznościami, tak że w gruncie rzeczy wypada się zapytać: „A może to, co on robi jest dobrem?“ Oto brak krytyki w stosunkach wzajemnych między ludźmi, brak tej krytyki, któraby jasno wypowiadała swe zdanie, nazywając rzeczy właściwem imieniem, brak krytyki która tworzy opinję, tworzy sprawiedliwość.. „A może to tylko tchórzostwo?“ zapyta niejeden. Bezwarunkowo jest w tem i tchórzostwo — ale ono było tylko rodzicem obecnego stanu rzeczy, z niego to wypłynął ów brak krytyki w stosunkach społecznych, ono nas pod tym względem uniecestwiło.. Inny gatunek braku krytyki. Jesteśmy w teatrze. Przedstawiają sztuki zupełnie niedorzeczne — a publiczność składa się z inteligencji. Piszący to, jako długoletni sprawozdawca teatralny przekonał się, że ta inteligencja, na takich właśnie sztukach bawi się przewybornie. W najniestowniejszych miejscach rozlegają się śmiechy, w najniestosowniejszych miejscach, jeżeli tylko aktor a tem bardziej jeszcze aktorka, zrobi szablonowy ruch z dopominaniem się brawa, walą się oklaski, jakby setki stangretów paliły z batów.. Eh! To galerja! Nie! sto razy nie!... To adwokaci, to urzędnicy, to profesorowie.. Dalszy przykład. Idźcie do kawiarni i popatrzcie się na „przeciętnego“ czytelnika dzienników, a skoro skończy czytanie, rozpocznijcie z nim rozmowę na temat bieżących wypadków. Zacznie się unosić nad przeczytanym przed chwilą artykułem.. Bierzemy ten artykuł do ręki i przekonujemy się, że jedno zdanie kłóci się z drugiem, że autor artykułu co innego założył sobie na początku, a zupełnie do innej doszedł konkluzji.. Ów jegomość czytał bardzo powoli i uważnie—była to jednak machinalna robota, duch jego przytem nie pracował — to też podobało mu się to, co żadnemu rozsądnemu człowiekowi, jako nonsens podobać się nie powinno... Bezmyślność w lekturze — to panująca u nas wada — doszliśmy już wreszcie do tego, że się nie wiele zważa na stylistykę, ba! nawet na gramatykę.. Byle wydrukowane, a czytelnicy nie połapią się na tem, czy to źle, czy dobrze.! Niejeden z piszących tak sobie myśli, rzucając publiczności na żer robotę tandetną, i sam się ze siebie przytem śmieje. Cóż dopiero mówić o wielkich zagadnieniach filozoficznych, o jasnych przekonaniach społecznych, o wybitnem stanowisku w najżywotniejszych kwestjach? Pod tym względem u nas zupełna tabula rasa.. Wszystko jakieś przeciętne, ni zimne ni gorące, ni białe, ni czerwone.. A powód tego? — Znowu brak krytyki, znowu brak zmysłu odróżniającego bezwzględnie prawdę od fałszu, sprawiedliwość od nieprawości.

Podnieśliśmy ciężkie zarzuty, według jednak naszego przekonania zupełnie prawdziwe. Są u nas na szczęście jeszcze jedno-

stki, które z ogółu zaszczytnie się wyróżniają, ale jakże ich nie wiele! Jednostki te u ogółu uchodzą za jakichś dziwnych oryginałów, którym się jakichś idealnych rzeczy zachciewa, za niepoprawnych malkontentów, ba! nawet za ludzi niebezpiecznych, bo niedających drugim spać gnuśnym snem duchowym! Część ich usunęła się zupełnie z szerszej widowni, stali się pesymistami, uśmiechają się zgryźliwie i nie protestują, choćby w ich obecności działy się lub mówiły prawdziwe horrenda. Pozostała garstka rzuca się od czasu do czasu, wybucha okrzykami zgrozy — ale czy dochodzi do pożądanych rezultatów? Bynajmniej Nie mogą poruszyć ogółu, nie mogą wlać weń choć „kropli krytycyzmu" jakby się Bismark wyraził.. A jednak rzecz to konieczna, jeżeli nie mamy zostać kompletnymi Beotami... Te nieliczne jednostki, które mamy na myśli, powinne połączyć się w falangę, i na każdym kroku dokumentować swe zapatrywania, powinne nieść przed ogółem wysoko sztandar zdrowej i sumiennej krytyki, powinne pobudzać do zastanawiania się i myślenia. Mała ich garstka — ale to zrażać nie powinno... W tym wypadku nie liczebna przewaga, ale przewaga myśli, objawiająca się w niezamąconej logice, musi odnieść zwycięstwo...

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA

przez

SEWERA

(Ciąg dalszy).

—

Już się zwrócił w stronę ku Tarnowu, lecz w sam czas nastąpiła refleksja.

— Czy gdy odbiorę od Zawrzykraj[?]" uratuję stracone szesnaście guldenów?... — Refleksji przyszedł w pomoc niewytłumaczony, a raczej nieokreślony pociąg do ślicznej dziewczynki.

Zyzma zawrócił do Dołęgi.

Szedł wałem Uszwicy. Księżyc cicho płynął po niebieskich lazurach, a białe mgły jak tajemnicze duchy wychylały się z wody, wznosiły się i znikały wśród pól i drzew. Młody chłopak pełen namiętności i fantazji, pogrążony w myślach, rozmawiał z własnem sercem. Wśród skarg i boleści przyświecał mu blask oczu dziewczynki, a jej serdeczny uśmiech rozweselał go. Przyspieszył kroku, zsunął się z wału i ścieżką przez łan pszenicy dotarł na błonia.

Promienie księżyca obejmowały go pieszczotliwie, tajemnicza cisza otaczała go, — słyszał spadające krople rosy z traw strącanych uderzeniami swych nóg.

Spojrzał na księżyc, na niebieskie niebo gwiaździste... obrazy z biblii przesuwały się przed wzrokiem jego ducha. Zapomniał o stracie, myślał o wielkim Jehowie i korzył się przed nim. Wyszlachetniał, ludziom przebaczał, marzył o szczęściu i przyszłości...— Zatrzymał go stromy brzeg Rudawy i oprzytomnił.

Szukał kładki, przeszedł po niej... Drzwi chaty macochy były zamknięte, zapukał do okna.

— Kto jesteś i czego chcesz? — odpowiedziały mu obce głosy.

Zyzma spojrzał do koła, a przekonawszy się, że się nie myli, zawołał:

— Chcę wejść do domu mego ojca.

— Tu niema domu twego ojca, tu jest dom wdowy i sierot — dał się słyszeć głos z wewnątrz. — Twój ojciec umarł jak ostatni łapserdak, nie zostawił dzieciom ani jednego centa. Ty nie chodzisz do bóżnicy i zginiesz marnie pod płotem. Oskarżam cię przed rabinem i sądem, za najście domu sierot. Idź precz przeklęty, a twoje ciało niechaj psy rozniosą po polach!...

— Idź precz! — dał się słyszeć drugi głos męski.

Zyzma oniemiał, nie mógł zebrać myśli. Oczy mu tylko świeciły.

Podniósł rękę i zamierzył się nią, chcąc szybę wybić.

Zobaczył w oknie siwą brodę Arona i błyszczące oczy pomocnika jego Abusia — cofnął się. Przy drzwiach chaty stała jego szafka zamknięta na kłódkę, kopnął ją z całych sił, — drzwiczki wyleciały, kopnął ją raz jeszcze — rozleciała się cała; pochwycił rozrzucone na ziemi towary, potargał je. Czapka mu spadła, krymkę zrzucił, chałat podarł na sobie i nieprzytomny szedł wolno przed siebie.

Otworzyło się okno — wyjrzały dwie brodate twarze; za chwilę otworzyły się drzwi — Aron i Abuś przyczajeni do ziemi zbierali chciwie rozrzucone przez Zyzmę towary, a pochowawszy je do kieszeni, wrócili do chaty, opowiadając Wałowej o wielkich swych czynach. Przysięgali, że Zyzma nie odważy się przestąpić jej progu. Odpoczęli chwilkę i zaufani w swą potęgę poszli do Szczurowy.

Słyszał rozmowę matki ze starszymi mały Josek i kontent był z niej. Nikt już się jego własności nie dotknie.

Sara jednak, była smutna i zgryziona. Mąż jej zostawił przeszło ośmdziesiąt guldenów, za które kupiła krowę. Starsi wypędzili z domu jak psa syna jej męża, rzucając na głowę jego przekleństwo...

— Za co, za co? — pytała łamiąc ręce. Sara wierzyła w siłę przekleństw.

Zaczęło świtać. Nie mogła usnąć, nie mogła nawet w izbie usiedzieć. Wyszła — stanęła we drzwiach, patrząc na rozbitą szafkę i resztki towarów niezabranych przez Arona i Abusia. Domyśliła się rabunku dokonanego przez starszych, i wierzyła w siłę ich przekleństw.

Spojrzała przed siebie — krzyknęła przeraźliwie — skoczyła do izby, pochwyciła nóż i jak szalona wybiegła. Wystraszone dzieci płakać zaczęły, Josek nie miał odwagi ruszyć się.

Na jednej z wierzb rosnących nad Rudawą, na skręconym pasie wełnianym wisiał Zyzma.

Jedno cięcie noża — ciało spadło w Rudawę, Sara rzuciła się za niem, pochwyciła je na ręce, wyciągnęła na brzeg — krzycząc i płacząc w niebogłosy. Z przyległych chat przybiegli ludzie. Serce Zyzmy słabo, lecz biło jeszcze — ciepły był, choć na twarzy siny.

— Gdyby to był powróz lub rzemień, niby już z niego nie było — mówił Łuba cucąc zemdlonego. — Wełniany pas nie dociągnął do dna i uratował go. Ot głupi żydziak, nawet się powiesić nie umiał. Skoczcieno która po wodę.

Przyniesiono wody. Łuba otworzył kozikiem zaciśnięte zęby Zyzmy, wlewając mu do ust parę kropel. Przełknął raz jeden i drugi.

— Nic mu nie będzie, — zawyrokował stary, ułożył go na trawie i poszedł. Zostały gospodynie gwarząc o zawziętości żydowskiej. Sara przed niemi skarżyła się i płakała.

Lecz i gospodynie musiały wrócić, rozniecić ogień i gotować dla gospodarzy idących w pole śniadania.

Została sama tylko Sara. Zyzma oczy otworzył i zamknął je.

— Zyzma chodź do chaty — szeptała — głaszcząc go ręką po twarzy. Jeżeli nie chcesz w niczem przyczynić się do życia — ha! to i tak muszę dać sobie radę, póki siły i zdrowie starczą. Zyzma, ja mam troje dzieci, ja sama jestem, ciężko pracuję — jam biedna... Ty mnie nie przyklinaj — ty nie szukaj na mnie zemsty, — zalała się łzami.

Zyzma ciężko oddychał, patrząc dokoła. Podniósł się i usiadł na trawie.

— Chodź do chaty, ludzie patrzą i śmieją się. Nie wystawiaj się na pośmiewisko gojów...

Zyzma milczał, patrząc w przestrzeń osłupiałym wzrokiem, nareszcie się zerwał, odwiązał z drzewa część przeciętego pasa, zarzucił chałat, nałożył na głowę krymkę, wdział czapkę i nie oglądając się, poszedł — a idąc chwiał się, siadał i pokładał.

Patrzyła za nim Sara ze łzami w oczach.

— Idzie na Rylową — szeptała — będzie mnie i moje dzieci przeklinał — i pełna wstydu, a niechęci i gniewu do starszych, wróciła do chaty.

V.

Zyzma przepadł bez wieści, mówiono, że odpoczywał u stelmacha na Rylowej i jak poszedł tak go już więcej ludzkie nie widziały oczy.

Wróciła z Tarnowa Zawrzykrajka jakoś uśmiechnięta. Podobno adwokat obiecał jej pieniądze, dane Szmulowi za grunt, odebrać.

Kasia wpadła do chaty Sary szukać Zyzmy, lecz Josek jej powiedział, że Zyzma wisielec uciekł.

Wystraszona dziewczyna pobiegła do matki.

Kobieta się dziwowała, żal jej było żydka, który ją przecież wsparł, a gustował w piękności jej Kasi, — lecz się troszkę i ucieszyła, że poszedł, bo nie będzie molestował o te dwanaście papierków, które jej dał.

Fantazja dziewczynki wytwarzała straszne obrazy uciekającego wisielca. Śnił jej się i wtedy głowę chowała pod pierzynę i tuliła się do matki. Bała się go, choć był dla niej dobry, lubił ją, głaskał i pierniki kupował.

Sara posmutniała po ucieczce pasierba, bojaźliwie patrzyła na dzieci i drżała na myśl, że Zyzma je przeklina. Pod wpływem tych myśli stała się cichszą i zamyśloną.

— Wałową jakieś ciężkie myśli trapią — szeptały między sobą kobiety.

— Nie zła ci żydówczyna, ale haniebsko wygnała pasierba.

— Jaki ci to żydziak impetny, żeby się zaraz wieszać.

— Taka to już krew, — zdecydowała kowalka. Kumy się wygadały, przestały — i cicho się zrobiło. Josek coraz więcej rządził w domu, ucząc się za młodu kierować sprawami handlu. Sara pracowała ciężko, roznosiła po dworach chleb, owoce, masło, a kupowała jaja, pierze, szczecinę — czasem płótno, a czasem rzucała się na hazard kupując skórkę cielęcą — do czego ją zachęcał Josek.

Dobrze jej było, nikt jej nie zaczepiał gęsi się pasły, — Łaciata dużo dawała mleka, grosz spływał do skrzynki wprawdzie szóstkami, ale spływał. I znowu Sara zaczęła się uśmiechać do ludzi, pokazując białe, duże zęby.

Słońce nadziei jasno świeciło nad brzegami Uszwicy i Rudawy, a mimo to z daleka czarne chmury ciągnęły. Bartek Czarnik czuwał. Zamyślony, milczący i skryty przechodził często obok chaty Wałowej, — ukradkiem do okna zaglądał i odchodził. Dręczyło go powodzenie żydówki, zagrażające mu konkurencją. Radby się jej pozbyć ze wsi, zubożyć ją, zniszczyć, lecz nie widział sposobu.

— Żyd albo żydówka zaspokoją się byle czem, ni to zje ni to wypije, a tu człek przecie musi żyć.

Wprawdzie Bartek Czarnik mało jadł, a pił wtedy, gdy był częstowany, lecz był zdania, że to żydzi nie dają mu ani dobrze zjeść, ani dobrze wypić. Żydzi go ubiegają we wszystkiem...

Ma ci tam wprawdzie te ośmset papierków, ale cóż to znaczy? Gdyby nie żydzi miałby dwa tysiące.

Idąc drogą przeklinał żydów i odgrażał się im, aż póki nie spotkał starej jak świat Zabijaczki, o której mówiono, że ktoś inny za nią pomarł — i dlatego śmierć ją mijała.

Przystanęli, przywitali się po zwyczaju, i każde na swój sposób narzekało na biedę i ciężkie czasy. Czarnik żalił się na brak urodzajów, a Zabijaczka skarżyła się na starość, na ból nóg i skąpstwo ludzkie.

— Nie skąpstwo to — pochwycił Bartek, ino Wałowa odciąga od was serca ludzkie.

(Dokończenie nastąpi).

DĄB I LILJA.

Nad wody kryształem stał dąb okazały,
Potężne konarów ramiona
Jak czarne wieżyce — ku niebu sięgały
I wichry mu głowę zieloną czesały
A orły gnieździła korona.

A w wody krysztale śnieżysta lilija,
Jak anioł tak skromna i cicha,
Aksamit swych listków ku słońcu rozwija,
I białość z promieni słonecznych wypija
Dla krasy swojego kielicha...

I dąb ów, co gromy wyzywał zuchwale,
Miłością ku lilji zapłonął;
Gałęźmi wciąż szemrał w miłosnym zapale
I szalał, gdy wietrzyk za zbyt poufale
Listeczki kielicha rozwionął...

I lilja kochała go też bladolica,
Zwyczajnie jak kwiatek tak skromnie,
Wśród nocy majowych przy blasku księżyca
Zalotnie do listków tuliła swe lica
Szeptając: Pójdź do mnie! Pójdź do mnie!

Lecz próżne są wasze miłosne porywy,
O dębie, lilijko ty w bieli,
Nie złączą was losy lubemi ogniwy,
Nie błyśnie wam nigdy raj szczęścia prawdziwy —
Bo kryształ jasny was dzieli!

Janina.

Wiek i jego prawa
w wychowaniu
przez
Ludwika Hodolego.

(Dokończenie).

Każdy wiek ma swoje przyjemności. Jeżeli nawet w zabawach uważamy na pewne zastosowanie do wieku, to o ileż więcej powinniśmy się starać przy nauce, aby dzieci zająć i zabawić w sposób ich wiekowi odpowiedni. Przyjemność powinna zawsze towarzyszyć temu, czego się dziecko ma uczyć. „Ostatecznem kryterjum doskonałości systemu wychowawczego," mówi Spencer, „powinno być pytanie, czy sprawia on zadowolenie wychowańcowi." Wstręt, który dziecko okazuje do tej lub owej nauki ku wielkiemu niezadowoleniu nauczyciela, nie jest wrodzonym, lecz pochodzi z wadliwości przyjętego przez nauczyciela systemu. Fellenberg powiedział: „Przekonałem się, że ospałość umysłu, tak pospolita pomiędzy młodzieżą, zupełnie się nie zgadza z wrodzoną u dzieci potrzebą ruchliwości, i że zawsze uważać ją należy jako będącą wynikiem złego wychowania, albo jakiejś wady ustrojowej".

Im przyjemniejszem jest wrażenie, tem silniej wiąże uwagę i ciekawość. W myśl tej zasady nie powinniśmy uczniom narzucać nauki przymusowo, lecz wrodzoną ich ciekawość niespostrzeżenie do nauki wabić. Wprawdzie trzeba uczyć wielu rzeczy nie koniecznie przyjemnych, lecz obojętnych, to jednak wplątując w nie rzeczy przyjemne, możemy powoli przyzwyczajać do twardej pracy. Nawet w tak suchej matematyce należy podsycać zadowolenie z rozwiązywania trudniejszych problematów, a uczeń stanie się zdolnym do najczystszej umysłowej rozkoszy.

Mimo ciągłych nawoływań, że nauka ma być dla nauki, powtarza się w wychowaniu zawsze ten błąd, że podsuwamy jej inne motywa. Pominąwszy różne horoskopy, karjery, jedni uczą się z bojaźni, drudzy z miłości dla swych wychowawców; jedni wołają do dziecka z groźbą: „ucz się, bo dostaniesz bicia, albo nie dostaniesz jeść i t. d."; drudzy znowu odzywają się z egoizmem: „ucz się, jak mnie kochasz"; albo z obiecankami, jakby za usługę: „ucz się, a dostaniesz cukierków, nowe suknie i t. d."; — rzadko zaś kto ma tyle zdolności lub szczerych chęci, aby dziecku tak umiał uprzyjemnić naukę, żeby ono samo jej pragnęło. Uprzyjemnienie nauki, to nie degradacja jej do rzędu próżnych zabawek, to postulat największej ścisłości, to liczenie się ze skutecznością i trwałością nauki! Wszak i w zabawach zachowywaną bywa taż sama zasada! Czyż można żądać od dzieci, aby się one,

jak starsi np. szachami bawiły? i czyżby to je zabawić a nie unudzić mogło? Miałyżby więc one w nauce zajmować się tem samem, co starsi? Tak pod względem formy jak i treści nauki winniśmy zachować miarę wedle wieku ucznia, i baczyć ciągle na to, co go najwięcej zająć może. Tylko taka nauka, tylko taka pilność ucznia doprowadzi do celu, podczas gdy rózgi ~~lub cukierki~~, groźby lub pieszczoty nie zawsze i nie długo mogą służyć przy nauce, a chociaż służą, to więcej szkodzą, niż pomagają.

Do nieprzyjemności, jakiemi często traktują wiek młodociany, należą kary cielesne. Od wieków pracują już pedagogowie nad usunięciem tego barbarzyństwa i wykazują, jak je zastąpić środkami wychowawczymi, któreby odpowiadały cywilizacji, a przecież w praktyce nieznaczny tu postęp widzimy. Zdobyliśmy się wprawdzie na zniesienie kar cielesnych dla zbrodniarzy i gotowibyśmy niemal łzy ronić, gdyby ich tak męczono, nie mamy tylko litości dla własnych dzieci, i owszem wychwalamy nawet „żelazne,“ harapowe wychowanie. Szeregi wsteczników, wołających zawsze i wszędzie, jak to „dawniej lepiej było,“ wzdychają nawet z żałobą, że w szkołach zniesiono kary cielesne, i że stracili oni w profesorach wprawnych pomocników do obijania dzieci. Że wszyscy nie umieją filozofii, nie dziwna, bo się nią nie zajmują; że rodzice nie umieją często wychowywać dzieci, rzecz naturalna, bo się tego nie uczą. Łatwiej krzyczeć, wywijać kułakami i kijami, targać za uszy i t. d., niż zasiąść ze skupioną uwagą do książki i nauczyć się, jak to poskramiać swawolę dzieci w sposób ludzki, a zarazem bardziej skuteczny.

Temat to rozległy i ciekawy, aby jednak nie odchodzić daleko od rzeczy, wspomnę tu tylko dla illustracji „żelaznego“ wychowania o znanych mi przykładach, jak to dziecko na tem cierpi nawet umysłowo. Oto znałem kilku chłopców, którzy w skutek ciągłego nakrzykiwania „na całą kamienicę“ i bicia osobliwie po głowie, stracili wymowę i jąkali się tak, że trudno było z nich co wydobyć a i w myśleniu byli tak powolnymi, że do najmniejszej pracy umysłowej potrzebowali bardzo wiele czasu. Inni z tego samego powodu, a w szczególności w skutek bicia po głowie, mieli widocznie mózg wstrząśnięty, bo, siedząc nawet spokojnie przy nauce mieli ciągle myśli rozstrzelone, i nie zdołali ani na chwilę skupić uwagi, mimo niezaprzeczalnych zdolności, jakie chwilowo rozwijali, gdym ich za pomocą różnych fortelów doprowadzał do przytomności. Precz więc z takimi „środkami pedagogicznymi,“ które sprowadzają zabukanie i ogłupienie dzieci! Nie „Pan Bóg karze bałwanami,“ lecz w takim razie sami rodzice swem postępowaniem „zbałwaniają“ dzieci! Proszę nie odsuwać od siebie winy, jest ona bardzo bliską! Lekarstwem—u c z y ć s i ę pedagogii a nie wykrzykiwać i wymachiwać kułakami i kijami, co i manekin potrafi! Człowiek ma być przecież istotą rozumną! Należy więc zaoszczędzić wydatków na rózgi, trzcinki i harapy, a za bardzo tanie pieniądze kupić sobie np. dziełko H e r b e r t a S p e n c e r a: O wychowaniu umysłowem, moralnem i fizycznem (jest ono także na polski język przełożone przez S i e m i r a d z k i e g o) i nauczyć się ztamtąd „systemu kar naturalnych“ t. j. jak należy karcić wybryki dzieci bez kija.

Najuroczystszy zaś protest zanosimy tu przeciw obijaniu chłopców przez profesorów po szkołach nawet gimnazjalnych, co się sporadycznie odbywa cichaczem, wbrew prawnemu zniesieniu kar cielesnych. Wysłużeni kaprale, jacy dawniej bywali nauczycielami ludowymi, mogli przy niskim poziomie wiedzy i zupełnym braku wykształcenia pedagogicznego, bawić się w podobne eksperymenta, odpowiednie dzikości ich obyczajów, mogli to, jak mogą dzicy Indjanie, — nie mogą zaś dziś ludzie, którzy mają dzieciom imponować nie kijem, lecz nauką, nie siłą fizyczną, lecz umysłową. Pytamy wreszcie, czy takie borykanie się może przynosić zaszczyt profesorowi a nie ubliżać wysoce jego powadze? Funkcja to wcale nie honorowa! A chociaż nawet ten lub ów przechwala się, że w swej surowości ma taką „powagę“ w obec chłopców, że całkiem dobrowolnie, z pokornem poddaniem się wytrzymują łaskawy grad jego kijów, to przecież pozwalamy sobie zapytać się, ile razy zawodzi owa „powaga“ i powoduje prostą, uliczną bitkę? To już rzecz wcale nie honorowa! Jeżeli więc już nie względy naukowe, pedagogiczne, to wprost poszanowanie własnego honoru dyktuje profesorom: zostawić bijatyki ludziom niewykształconym, którzy nie umieją inaczej okazać swego gniewu ani załatwić inaczej możliwych scysji. Zwolennikom bezwzględnej surowości oświadczam, że znałem pewnego profesora, którego chłopcy „bali się jak ognia,“ który jednak nigdy nie dotknął nawet ręką żadnego ucznia. Surowość to nie kij! Lecz nawet zamiast stanu oblężenia z wojennem prawem bezwzględnej surowości, najlepiej ponoś nadaje się pokojowe postępowanie, które zjednywa dla wychowawcy miłość i szacunek, byle nie popadł w zbytnią pobłażliwość.

„K a ż d y w i e k m a s w o j e p r a w a.“ Prawidło to obejmuje właściwie cały sposób stosowania wychowania do wieku, w potocznej jednak mowie ma ono kierować moralnem wychowaniem młodzieży. Mimo to tysiączne błędy dzieją się przeciw niemu. Rzecz cała rozchodzi się o to, gdzie leży granica między swawolą a przyzwoitością, skoro przyznać musimy, że młodzież jest ruchliwą. Najnieznośniejszym i najprzeciwniejszym naturze wieku błędem jest to, że wielu chciałoby mieć z dzieci młodych starców, którzyby godzinami siedzieli „grzecznie“ z założonemi rękami i milczeli po pytagorejsku, wsłuchując się w rozmowę starszych, której nie rozumieją, albo przy której tylko nudząc się mogą wreszcie zasnąć. W ogóle byłoby mniej skarg na niegrzeczność i rozpustę dzieci, gdyby je umiano to nauką to zabawami należycie zatrudniać. Próżniactwo jest głównym powodem ich wybryków, których nie usunie sam gniew, lecz dopiero sumienne zajęcie się dziećmi i wskazanie im, jak mają czas przepędzać. Nie wystarcza hańbić za złe, trzeba także uczyć dobrego!

Znaną jest u dzieci skłonność do pieszczot: lubią one całować rodziców i chcą być nawzajem całowane, a nie masz w tem u nich ani śladu namiętności, jest to tylko ich czystą formą, wyrazem miłości. Lecz do czegoż to te całusy nie prowadzą nieraz? ileż to kwasów nie powodują one? Wychuchanie maminków to główny ich grzech, gdy nadużyte zostaną podobnie, jak rządy dzieci, gdy całus ich wszystko pokonywa. Gdy jednak najnaturalniejsza nawet rzecz nieodpowiada za nadużycia, jakim ulec może, przeto też dziwaczną wydaje się nam obawa niektórych rodziców, którzy dla okazania swej „żelazności“ odsuwają dzieci całkiem od swych pieszczot i gniewają się nawet na nie, gdy się one poważą złożyć całus na ich Jowiszowej twarzy. Takie pawie nadymanie się w obec dzieci nie tylko jest śmiesznem, lecz co gorsza zobojętnia je nawet całkowicie i sprawia co najwięcej „psie przywiązanie,“ które wiąże psa do pana odpychającego go, u dzieci zaś odzywa się tylko chwilowo i to głównie dopiero po stracie rodziców, bez względu na to, jakimi oni byli. Że jednak „psie przywiązanie“ milczy za życia rodziców, więc nie dziw, że prawdziwa miłość (ludzka) jest takim dzieciom obcą. Mimo to słyszałem skargi „żelaznych“ ojców, że ich dzieci nie mają żadnej miłości dla.... ich kija!

Względem wieku młodzieńczego zdarza się znowu często zbytnia pobłażliwość, która niemoralną nawet lamparterję wytłumacza niedorzecznym frazesem, że „młodzieniec musi się wyszumieć!“ Podobne absolutorjum jest rzeczywiście nader demoralizującem, głosi bowiem, że wyuzdanie obyczajów jest rozwojową koniecznością, którą człowiek przebyć musi. A przecież bezmyślny ten zlepek słów utrzymuje się uporczywie, i uchodzi nawet

często za wytrawne zdanie doświadczonych moralistów!

Oto kilka uwag o wpływie fizycznego wieku ucznia na rozwój jego sił umysłowych, i o ogólnych prawach wieku w wychowaniu! Na zakończenie jeszcze słów parę!

W szeregu nauk, wchodzących w skład wychowania, możemy się dopatrzyć braku wielu gałęzi wiedzy ludzkiej, któremi dla ich doniosłości z większą lub mniejszą korzyścią możnaby uzupełnić ogólne wykształcenie. Dla braku czasu pomijamy je jednak w wychowaniu „urzędowem“ czyli szkolnem, i pozostawiamy je dobrej chęci zapoznania się z niemi w lekturze prywatnej. Niestety lektura prywatna jest aż zbyt prywatną, i rzadko kiedy kierujemy nią należycie, tak, że chłopiec czyta bez porządku to, co mu wpadnie w ręce. Lektura ta odnosi się wreszcie zwykle tylko do literatury nadobnej, a pomija zupełnie inne dzieła. W późniejszem życiu pilnuje każdy w najlepszym razie tylko swej specjalności a rzadko „bawi się w dylletanta,“ który pragnie wszechstronniejszej wiedzy tak, że ostatecznie po za specjalnym kierunkiem wykształcenia wiemy o reszcie nauk tyle, ile uczyliśmy się w szkołach. Wszechstronne wykształcenie kończy się zatem w gimnazjum, później mało kto o niem myśli bo sądzi, że już się dość uczył wszystkiego! Pomijając specjalistów, pracujących ciągle w obranym kierunku, widzimy ze smutkiem, że nieprawdziwem jest zdanie, jakoby „uczono się przez całe życie,“ że owszem ludzie uczą się tylko do ukończenia gimnazjum lub uniwersytetu, a później cała ich nauka jest więcej zbiorem praktycznych doświadczeń życia, niż umysłową nauką. Stąd to filozofia, prawa, medycyna i t. d. są jakby przywilejami pewnych kast a tajemnicami dla innych, stąd to ów obskurantyzm a nawet dzikie zdania, jakie krążą o tych umiejętnościach w pośród „niewtajemniczonych w ich tajniki.“ Jakkolwiek z tych powodów ponosimy często dotkliwe szkody za nieuctwo w późniejszem życiu, to przecież jakie takie usprawiedliwienie możnaby na to znaleść, nie mamy go tylko w obec najwyższej lekkomyślności, z jaką obchodzą się ludzie z tak ważną dla wszystkich nauką jaką jest pedagogia. Tysiące nieszczęśliwych ojców, skarżących się na swe „niepoprawne“ dzieci, nie powinno składać na Boga, że ich „ukarał tak złemi dziećmi“, powinni oni to raczej przypisywać swemu nieuctwu, swej nieudolności w prowadzeniu dzieci. A ileż to ludzi oprócz nauczycieli zajmuje się „pedagogią? Dlaczegoż tylko nauczycieli nazwano pedagogami, a nie są nimi wszyscy wykształceni rodzice? Zaiste! gdyby rodzice poznali swe rozliczne błędy w wychowaniu dzieci, gdyby zrozumieli, że oni sami a nie kto inny ani żadne fata są powodem wielu nieszczęść, w jakie wtrącają dzieci i samych siebie, wtedy ta sama myśl mogłaby ich doprowadzić do rozpaczy. Aby jednak z dzieci „doczekać się szczęścia“, aby „z dziećmi mieć raj a nie wieczne piekło“, nad tem warto się głębiej zastanowić, o tem warto coś przeczytać, co nauka padagogji z doświadczenia od wieków gromadzi. Jeżeli dla należytego prowadzenia gospodarstwa czytamy dzieła o chowie bydła i drobiu, niechże i dzieci nasze nie będą od zwierząt gorszemi, wszakżeż i one należą co najmniej również do gospodarstwa!

Kiedy jednak lekkomyślność ta jest tak głęboko wkorzenioną, że mało kto sam się od niej uwalnia i sam przekonuje się, że wychowanie dzieci jest nauką, której się uczyć trzeba a nie rzeczą, która sama z siebie zrodzi się w głowie, kiedy więc tyranje albo anarchje są najzwyklejszą formą rządów domowych, przeto nie pozostaje nic innego, jak tylko w ten sposób zapobiegać przymusowo tej niepoprawności rodziców, aby ich za młodu uczyć w szkołach pedagogii. Żądanie to wyraził między innymi H. Spencer, który powiada że „jak do rzałość fizyczną cechuje zdolność prokreacji dzieci, tak dojrzałość umysłową powinna znamionować zdolność wychowywania potomstwa“. Żąda więc, aby nauka pedagogii weszła także w skład wychowania, aby stanowiła zakończenie i uwieńczenie nauk. Zdanie to podzielam w zupełności, że jednak nie mam dość wiary w lekturę prywatną, więc powtarzam z naciskiem, że nauka pedagogii powinnaby wejść w program wykładów jeżeli nie w ósmej klasie gimnazjalnej, to we wszystkich wyższych zakładach naukowych, jak uniwersytetach, technikach, akademiach rolniczych, lasowych, handlowych, górniczych i t. d., gdzieby była obowiązkową dla słuchaczy wszystkich wydziałów.

Bocian.

Nowella przez Elie Bertheta.

II.

Upłynęły dwa lata, a Kasia stała się pierwszorzędną szwaczką w zakładzie cioci Silberger.

Stara babka do której pisywała czułe listy posyłając jej każdego miesiąca 10 franków oszczędzonych z wielką mozołą, umarła wkrótce po wyjeździe Kasi, zostawiając jej błogosławieństwa.

Kasi nie tak źle bardzo działo się u cioci Silberger. Właścicielka zakładu przyzwyczajona do licznego zastępu robotnic, była nieubłaganą dla lenistwa i miała sposób mówienia, który niepozwalał na replikę. Ale siostrzenica jej miała pewne przywileje, a w ogóle, p. Silberger obchodziła się z nią prawie jak z własną córką. Jedynym powodem do wyrzutów i łajań Kasi był zwyczaj jej czysto paryski, który nazywają „wałęsaniem się“. Kasia posyłana była często dla spróbowania sukni i zaznaczania potrzebnych przeróbek, i wtedy to wydarzało się często że idąc czy wracając młoda Alzatka opóźniała się zapatrzona w prześliczne wystawy, jakich jest tyle w Paryżu, a kiedy wracała następnie później jak była powinna nieraz spotykały ją wymówki.

Ciotka i siostrzenica często odwiedzane były przez Karola Dimera, który pracą i inteligencją zdobył sebie świetną pozycję w swym fachu; ale wbrew nadziejom nieboszczki babki, młody mechanik nie robił zbyt szybkich postępów w sercu swojej kuzynki. Był mały, chudy i ryże miał włosy. Chociaż ubrany zawsze czyściutko, w sukniach zawsze źle przykrojonych niewyglądał ponętnie; ręce jego pomimo używania rozmaitych mydeł, były ostre i plamiste. Chód miał ciężki, a akcent alzacki wymowy jego raził niemile ucho. Wszystko to niepociągało rzecz oczywista, Kasi; umiała ona cenić zalety Karola, ale płocha, jak zwyczajnie młoda dziewczyna, kto wie czy nie byłaby wolała w nim widzieć raczej kilka wad olśniewających. Daleko więcej podziwiała ona niejakiego Gabrjela Aubry, urzędnika, a raczej naczelnika oddziału w pewnym magazynie nowości rue du Bac. Był to wielki delikacik, ubrany zawsze elegancko, broda jego zawsze ufryzowana, a włosy starannie uczesane przypominały owe głowy woskowe służące za wystawę fryzjerom. Kasia kupując materje w magazynie, gdzie zajęty był p. Aubry, była nieraz przedmiotem usłużności i nadskakiwania zstrony pięknego kupczyka. Mówił on jej słowa pochlebne, komplimenta i słodkim na nią patrzył wzrokiem. Ona nieodpowiadała wcale na to wszystko lub odpowiadała kłopotliwym uśmiechem. P. Aubry miał ręce bieluchne, paznogcie różowe, a pokazywać je umiał wybornie na tle odmierzanego jedwabiu lub aksamitu! Surdut jego wybornie wcinał się do figury a włosy pachniały prześlicznie! Ach! to niebył człowiek taki jak ten biedny kuzynek, Karol Dimer.

W krótce p. Aubry zaczął śledzić jej kroków i zaczepiał ją nieraz kiedy wyszła za sprawunkami; a w tedy trudno było nie odpowiadać na pytania tego człowieka, pełnego dystynkcji, który dowiadywał się o nią, o ciotkę, o wszystkich, którzy jej byli bliżsi. Kasia rumieniła się, jąkała, wydusiła czasem ledwo jedno zgłoskową odpowiedź, ale mło-

dy kupczyk miał dosyć doświadczenia i czuł, że Kasia złem się na niego niepatrzy okiem.

W ten sposób, jak? trudno powiedzieć, stało się, że pewnego dnia Kasia wracając od żony jakiegoś profesora z Muzeum, dokąd zaniosła suknie spotkała nagle p. Aubry w Jardin des plantes.

W dniu tym p. naczelnik oddziału w magazynie nowości przystroił się prześlicznie; miał na sobie krótki surducik czarny z białą kamelią w dziurce od guzika, jasne pantalony i krawatkę, uwiązaną w zbytkowny fontaź. W ręku trzymał elegancką laseczkę, a za każdym ruchem rozprzestrzeniał w około wonie jaśminu i wanilii.

I Kasia była ubraną przypadkowo bardzo ładnie, ładniej niż zwykle i wyglądała nader powabnie.

Kiedy się spotkali w wielkiej alei, Kasia zarumieniła się mocno i spuściła oczy, p. Aubry powitał ją w sposób ceremonialny.

— Prześlicznie, — rzekł Aubry tonem, który miał udawać namiętność, — oh, jakże mam pani podziękować za to, żeś przyszła!

— Ależ, panie, szeptała Kasia z udaniem, — nie pojmuję pana... Nie spodziewałam się wcale... przypadek ten jest tak niespodziany...

— Istotnie odrzekł Aubry przymrużając oczy i głaszcząc ręką bokobrody; — mimo to jednak sądzę, że pani przyjmiesz ramię moje i.., przejdziemy się razem po ogrodzie?

Ładna szwaczka drżąc położyła swoją piękną łapkę, ukrytą w rękawiczkę szkocką, na ramieniu p. Aubry. P. Aubry odwrócił się z miną pełną tryumfu i oboje razem ruszyli w ogród.

Przechadzka była długa. Piękny kupczyk mówił i mówił bez końca; Kasia słuchała go z początku z bojaźnią nie śmiąc ani odpowiadać ani spojrzeć w towarzysza. Zwolna jednak ośmieliła się i ożywiła; łono jej wznosiło się coraz gwałtowniej, oczy zabłysły. Milczała ciągle, ale dwa lub trzy razy ośmieliła się przecież silniej przycisnąć ramię, na ktorem opierała swe rączęta.

Aubry widząc wyraźny sukces, coraz bardziej rósł w zapał i wymowę. I cóż on mówił biednej Kasi. Nie wiem; w pewnych okolicznościach, młody chłopak ma tyle do powiedzenia pięknej dziewczynie! Zresztą natura, przez przekór prawdopodobnie uczyniła te stworzenia o tyle łatwowiernemi, o ile są one niewinne. Szef oddziału w magazynie nowości zakończył rozmowę słodką propozycyą wnosząc, aby Kasia do jego pokoju w ulicy sąsiedniej poszła odpocząć na chwilę. Kasia odmówiła, lecz p. Aubry nierobił sobie wiele z tej odmowy, a przemawiając coraz czulej i namiętniej, ciągnął piękne dziecię drżące i szepcące mnóstwo wymówek, dalej za sobą.

W tej chwili oboje przechodzili przez menażerję aby przejść na rue Monge, gdzie mieszkał p. Aubry. Szef oddziału przybierał coraz bardziej minę zwycięzcy; uśmiech pełen pewności siebie otoczył mu usta, gdy nagle uczuł, że Kasia coraz silniejszy stawia mu opór. Zatrzymał się. Stanęli przed sadzawką menażerji, a tam za kratą kąpało się mnóstwo ptactwa wodnego — i wszystkie ciekawie patrzyły na przechodzących.

Kasia wpatrzyła się w te ptaki... niema; z piersią zadyszaną. Ale nie różowe flamingi, nie ibisy ogniste a ani srebrne czaple były przedmiotem uwagi pięknej Alzatki, uwagę jej zwrócił bocian melancholiczny, stojący zwyczajem swoim na jednej nodze, który patrzył na Kasię okiem smutnem, tajemniczem, głębokiem, jakby chciał jej czynić wyrzuty.

Nikt nie zdoła opisać jak strasznie ścisnęło się serce Kasi na widok tego ptaka, który wzbudził w niej wspomnienia przeszłości.

— Bocian! bocian! szeptała głosem konającego.

I łzy obfite zrosiły jej policzki. Kupczyk nie mogąc pojąć nagłego wzruszenia Kasi, rzekł niecierpliwie:

I cóż, Kasiu! o czemże myślisz, dziecko? Mamyż tracić czas patrząc na te ptaszyska?

Chciał ją pociągnąć dalej, ale daremnie.

— Strasburg! — szeptała Kasia patrząc w sadzawkę błędnem okiem; Strasburg, gdziem się urodziła... Moja babcia droga... umarła... Moja babka, która żegnając kazała mi przysięgnąć!...

— Kasiu! — przerwał jej Aubry, — ależ to nie ma sensu... pójdźmy!...

Chciał ją znowa chwycić za rękę, ale Kasia odtrąciła go gwałtownie i rzekła stanowczym głosem:

— Odstąp pan; ja nie powinnam słuchać pana,... słuchałam pana już za długo. Zostaw mnie pan; wracam do ciotki... i więcej już się nie zobaczymy!

— Ah, czyś szalona?

— Zostaw mię pan, powtarzam... Żegnam... Nie idź pan za mną i nie zbliżaj się do mnie,... albo zawołam...

Zgubiła się w tłumie i znikła.

* * *

W trzy miesiące później, Kasia była żoną Karola Dimera.

A obecnie? mąż pracuje i żona pracuje a dobytek rośnie. Szczęśliwi są i oboje wystarczają sobie, i myślą o dobru innych.

Petöfi Szandor

Szkic biograficzno-literacki

napisał

Aleksander Lisiewicz.

(Ciąg dalszy).

Działalność literacka Petöfiego trwała zaledwie lat kilka, mianowicie 5, jeżeli policzymy czas od wydania pierwszego zbiorku poezji w r. 1844 do zgonu w r. 1849, a 7 do 8, jeżeli uwzględnimy pierwsze prace drukowane po czasopismach. Przez ten krótki przeciąg czasu napisał 774 utworów lirycznych, 11 epicznych, 2 dramatyczne, 1 romans, cały szereg artykułów dziennikarskich, nadto przetłómaczył wprost z oryginałów „Koryolana“ Shakespeare'au, kilka piosnek Schillera, Bérangera, Heinego, Moore'a, elegię Matthisona i kilka romansów francuskich i angielskich; wreszcie pozostały po nim rozmaite listy i dziennik spisywany od dnia 15 marca 1848 a zawierający polityczne jego zapatrywania. *)

Rozmiary niniejszego szkicu nie pozwalają nam na szczegółowy rozbiór dzieł poety, ograniczamy się przeto tylko na ogólnej ich ocenie i na wskazaniu wybitniejszych rysów charakteryzujących je a zarazem jako illustracje do słów naszych podamy niektóre utwory, o ile oczywiście wśród skromnej liczby polskich przekładów poezji Petöfiego dadzą się odszukać stósowne ustępy.

Z wyliczenia powyższego widzieliśmy, jak różnorodną i jak płodną była działalność literacka naszego poety a ponieważ płodność autora nie zawsze idzie w parze z wartością jego utworów, przeto przedewszystkiem zaznaczyć nam wypada, że w niniejszym wypadku podobny objaw bynajmniej nie zachodzi. Owo zdanie da się ze skutkiem zastosować tylko do niewielkiej liczby utworów Petöfiego które mu się nie udały, bo snać nie leżały w zakresie jego talentu — mamy tu na myśli jego romans i dzieła dramatyczne, o czem zresztą poniżej dokładniej nadmienimy, — natomiast na polu, na którem poeta był najpłodniejszym t. j. na polu poezji lirycznej, jest on właśnie najgenialniejszym.

Utwory liryczne stanowią główną siłę Petöfiego i na nich też opiera się jego znaczenie w literaturze. Zdaniem krytyków i znawców literatury powszechnej mało kto mu dorównywa na tem polu, w literaturze wę-

*) Ciekawe zestawienie statystyczne liczby lirycznych utworów Petöfiego a innych znakomitszych poetów z literatury europejskiej podaje p. Kertbeny wspomnianej powyżej broszurze „Petöfi's Tod“. Według niego (str. 34) Goethe napisał przez całe swe życie 334 lirycznych utworów, Schiller 177, Platen 407, Heine w 3 tomach 498, Béranger 414, Lenau 143, Karol Beck 122 — Petöfi zaś 775 utworów lirycznych w przeciągu lat 5! O naszych poetach nie ma wzmianki.

gierskiej zaś nikt go nie przewyższył. W tych kilkuset pieśniach odbija się jakby w zwierciedle cała postać poety w najdrobniejszych szczegółach, jego życie, plany, marzenia, pragnienia, powodzenia i zawody, radość i smutki, w ogóle uczucia wszelkiego rodzaju, jakie nim władały, w nich także znajdujemy wierne odbicie owych czasów, wśród których poeta żył i działał a naród węgierski najpierw pogrążony był w uspieniu, następnie zaś obudziwszy się zeń walczył, cieszył się i cierpiał...

Odpowiednio do tej całej skali uczuć, jakie się wysnuwały z duszy poety, umie on dostroić struny swej lutni: wesoło brzmi jego piosnka biesiadna, rozrzewnia pieśń smutku, czaruje miłosna spiewka, porywa pieśń bojowa; dłoń poety wydobywa z lutni z równem mistrzostwem dźwięki „łzawe, tęskne lub skoczne.“ Tę różnolitość uczucia i różnorodność pieśni pięknie charakteryzuje on sam w jednym z najwdzięczniejszych swych utworów p. t. „Dalaim“ (Moje pieśni), który tu w całości przytaczamy:

Często w marzenia zatapiam się fali,
I snuję myśli wciąż dalej i dalej,
Przebiegam niemi ojczyste me strony
Niebo i ziemię od końca do końca,
I płyną pieśni z duszy rozmarzonej
Niby promienie miesiąca.

Zamiast się karmić wrzących ułud zdrojem,
Czyż lepiej w przyszłość patrzeć z niepokojem?
Nie chcę drżeć smutnie o przyszłości chwile...
Bóg dobry.. przyszłość zdaimy na sąd boski...
I lecą pieśni z mej duszy bez troski
Jako wesołe motyle.

Gdy wzrok mój spotka mojej lubej oko,
Natenczas grzebię me smutki głęboko,
Toną me oczy w spojrzeniu wybranej,
Jak tonie gwiazdka w jeziora lazurze,
I kwitną pieśni w duszy rozkochanej
Jak dzikie polne róże.

Kocha... to kielich szczęścia wznoszę w dłoni,
Gardzi.. to smutek topię w jego toni,
I kiedy czara z napojem zadźwięczy,
Wesołość nowa odradza się w pieniu,
Błyskają pieśni moje w upojeniu
Jak łuki jasnej tęczy.

Lecz gdy ze szklanką w biesiadniczem kole,
Wspomnę na wielką mych braci niedolę
Próżnoby toast wesoły wznoszono,
Mię odgłos ęku dochodzi ponury,
I ciężą pieśni nad duszą strapioną
Jak burzą groźne chmury.

Ludu mój! czemuś takiej słabej duszy?
Czemu twój wybuch twych oków nie skruszy?
Czekasz aż plamy przegryzą je rdzawe
Na rękach twoich i na twoich nogach —
Oto ci ciskam pieśni o twych wrogach
Jak błyskawice krwawe!

Dwa ostatnie wiersze każdej zwrotki (w oryginale przedostatni wiersz zawsze się powtarza) w tym utworze malują nam stan duszy w jakim poeta się znajduje w każdym poszczególnym wypadku i odpowiedni temu rodzaj pieśni.

Oczywiście że do należytego oddania tylorakich uczuć potrzeba było i form najrozmaitszych; jak dzielnie umiał Petöfi wywiązywać się z tego zadania, świadczą najwymowniej jego piosnki ludowe tak melodyjne, że nuta do nich prawie sama się znalazła, świadczą także bojowe pieśni, które wstrząsają słuchaczem do głębi, tak nietylko słowo ale i rytm oddaje całą grozę walki. Przyznać jednak należy, że poeta nie zawsze okazuje równą staranność około zewnętrznej formy swych utworów, przeciwnie często popełnia wybryki, które do rozpaczy przywodzą tłumaczów jego poezji, niejednokrotnie zaś nawet wprost zaniedbuje formę. On sam czuje to bardzo dobrze a nawet przyznając się do winy nadaje z tego powodu swym wierszom miano „obdartych rycerzy“ (rongyos vitézek), przytem jednak w ten sposób się usprawiedliwia:

I jabym umiał wiersze moje
Przystroić blaskiem świetnych szat,
Na pańskie posłać je podwoje
W wir towarzystwa, w wielki świat

Lecz poeta nie chce ich puścić na tę drogę i krępować ich zapału świetnym strojem, przed nim bowiem daleko ważniejsze zadanie:

Nie grzmią dziś działa, dźwięki mieczy
Ucichły, w kątach żre je rdza,
Ale trwa wieczny bój człowieczy,
Idei walka wieczna trwa.

Z orszakiem licznym, zbrojnym szykiem
I ja w ten wielki ruszam bój,
I walczę pieśnią... Zapaśnikiem —
Rycerzem jest wiersz każdy mój.

Chociaż obdarci to szermierze,
Lecz mężnie walczyć idą w świat,
Bo tylko dzielność czci rycerze*)
A nie wytworność barw i szat.

Tak piękną obronę musimy przyjąć przychylnie zwłaszcza, że powyższe słowa nie są czczym tylko frazesem, lecz owi „rycerze“ naszego poety rzeczywiście na polu walk idei staczają boje i dzielnością swą umieją zdobyć sobie pochwałę a — wyjątkowe zresztą — wystąpienie ich w szatach, nie całkiem dobrych, wynika prawdopodobnie tylko z pospiechu i zapału do walki.

Ogólnem znamieniem, cechującem wszystkie utwory Petöfiego a czyniącem go poetą narodowym w całem znaczeniu tego słowa jest swojskość, rodzimy charakter przedmiotów, które do swych pieśni wprowadza.

*) W tym wierszu, jak łatwo odgadnąć, przekład kuleje nieco.

Pegazem moim nie angielski koń
Wysmukły, wiotki, z szczudłowemi nogi,
Nie moim stępak meklemburgskich błoń
Niezdarny, wielki i ciężki do drogi.

Pegazem moim kary jako mrok,
Węgierski rumak, krwi madjarskiej czystej,
Z rozkoszą słońce swój zatapia wzrok
W zwierciedle jego sierści jedwabistej.

Nie wstajni zrodzon, nie przechodził szkół,
Jak konie stadnin i zawodów pańskich,
Wzrósł bez wędzidła, karmią stepnych ziół
Jam go na piaskach schwytał kiszkumańskich.

Tymi słowy wskazuje poeta dosadnie na ów narodowy charakter swej muzy, który też przebija się w jego pieśniach na każdym kroku.

Pötefi wzrósł i wychował się wśród stepów Małej Kumanii, następnie w czasie ustawicznych wędrówek swych przebiegał cały kraj rodzinny, zachwycał się jego pięknościami i przylgnął do nich gorącym sercem. Stykanie się ciągłe z ludem, już od lat najpierwszych, pozwoliło mu zgłębić charakter, doznać ideały i upodobania jego równie dobrze, jak rzeczy dlań nie miłe lub wstrętne, jednem słowem pozwoliło mu zbadać zapatrywania ludu w każdym kierunku. To też nikt nie umie tak wiernie oddać charakteru ludu węgierskiego, nikt nie maluje tak wdzięcznie piękności węgierskiej krainy, jak Petöfi. Z drugiej strony nie dziw, że i naród przylgnął do poety i całą duszą pokochał jego pieśni. Petöfi bowiem pierwszy wydobył z ukrycia rzeczy swojskie, rodzime, tak drogie narodowi i tak piękne zarazem. W pieśniach jego nic obcego, nic niezrozumiałego; on wielbi Dunaj i Cisę, podziwia piękności węgierskich nizin, czarownie ożywia pusty i csardy i wprowadza w utworach swych typy zupełnie ludowe jak czikosz, juhas i t. p.*)

Dodajmy do tego, że uczucia swe maluje poeta w sposób prosty, naturalny i zgodnie z prawdą, a zrozumiemy olbrzymie powodzenie, jakie piosnki jego u ludu znalazły, zrozumiemy, że lud upodobawszy sobie w nich sam nutę do nich dorobił i za swoje je przyjął.

Jako illustrację do słów naszych podajemy tu kilka piosenek, noszących na sobie takie znamię zupełnie swojskie. Następującą spiewa lud węgierski z upodobaniem:

Fajka mi zagasła w drodze,
Więc do chatki małej wchodzę,
Żeby, jeźli sie tam pali,
Dostać ognia i pójść dalej.

*) csarda (wym. czarda) gospoda samotna w polu, puszta (wym. pusta) step bujną trawą pokryty, csikós (wym czikósz) pasterz koni, juhasz (wym. juhas) pasterz owiec)

Dawnom fajkę już zapalił
Jednakżem się nie oddalił,
Bo wstrzymały się me oczy.
Na dziewczynie, na uroczej.

Przyglądałem się dziewczynie,
Ogień buchał na kominie,
Lecz nad ogień — oczy miłej
Płomieniściej się paliły.

Padły na mnie ócz tych żary
I zaledwie dałem wiary!
W fajce ognia znów nie było,
Lecz me serce się paliło.

Inna znów, już nie tak dobrze oddana w tłómaczeniu, brzmi:

„Oj deszcz całusów pada
Z twych lic na moje lica,
Ma dusza tak im rada,
Tak serce się zachwyca!"

„Zazwyczaj gdy ulewa
Bywają błyskawice,
Są niemi, czarnobrewa,
Ogniste twe źrenice..."

„Bywają też i grzmoty,
Gdy się na słotę zbierze,
Uciekaj, Janku złoty,
Bo ojciec cię spostrzeże,"*)

Posłuchajmy teraz, jak poeta przedstawia typy ludowe węgierskie. Oto n. p. typ „czikosa":

Jam zrodzon na stepie — bez dachu, bez chaty,
I rola dojrzałym nie dzwoni mi kłosem,
Mam pieska, konika, nie jestżem bogaty?
Na puszczy madjarskiej jam sobie Czykosem!

Na moim koniku wiatr gonię po świecie.
Na los mój z królewskim nie zmienię się losem;
Gdy oklep wronego dosiadam na grzbiecie,
Na puszczy madjarskiej jam sobie Czykosem!

Koszulkę i gunię we wzory mi szyła
Dziewczyna — różyczka, z wijącym się włosem;
Dziś jutro różyczka zaślubi mnie miła,
Na puszczy madjarskiej jam sobie Czykosem:

*) Tłumacz nie oddał wiernie nader wdzięcznej formy tej piosenki a treść ostatniej zwrotki zmienił w przekładzie. Daleko więcej zbliżony jest do oryginału przekład niemiecki p. Neugebauera; podajemy go tu w całości celem porównania:

's regnet, regnet, regnet,
Eine Küssefluth;
O, wie dieser Regen
Wohl der Lippe thut!

Regen, Regen führet
Blitze im Geleit:
Deine Augen blitzen
Herzgeliebte Maid.

's donnert, donnert, donnert
Uns im Rücken g'rad....
Täubchen, lass mich drücken,
Ha, dein Alter naht.

Postać czikosa w tej piosence przedstawiona więcej z poetycznej strony, ale poeta maluje nam podobne typy także i w inny sposób, oddając w obrazie swym realniejsze ich strony. Weźmy np. typ „betyara":

Szybkim wiatr jest na przestworzu i ptak wśród [obszarów,
Szybką błyskawica;
Ale szybcej pędzi konno po stepie Madyarów
Betyar latawica.

Skradł klacz rano w Keczkemecie, a nim mrok [zachodzi,
Już z kradzieży plonem
Nie ulękły bystrą rzekę spiesznie w bród prze-[chodzi
Aż pod Sent-Martonem.

Jutro sprzeda w Feherwarze klacz i chwilę spędzi
Na mohorycz w szynku,
Ledwie szklankę swą wysuszy, znowu konia [zwędzi
Na tym samym rynku.

A pojutrze w Beczkerecie, wciąż w takiej [ruchawce
Goniąc za zdobyczą,
Znajdzie się na innym koniu.., na drewnianej [ławce
Gdzie rózgami ćwiczą.

Cały szereg podobnych, jak powyżej przytoczone, i piękniejszych jeszcze piosnek wyspiewał nasz poeta a wspólną ich cechę stanowi wspomniany już charakter wybitnie narodowy, rodzimy.

Taką wspólną cechę posiadają pieśni Petöfiego jeszcze i pod innym względem. Oto głównym motywem, jaki ożywia wszystkie niemal pieśni poety, jest jedno wielkie, potężne uczucie: miłość. (C. d. n.)

Przegląd literacki.

(Karol Rawer. Polityczne znaczenie zjazdu gnieznieńskiego w r. 1000. Studyum krytyczne.)

Pod tym tytułem wyszła nie dawno rozprawa historyczna jednego z młodych nauczycieli szkół średnich, należącego do małej niestety garstki naszych padagogów, którzy porzuciwszy ławy uniwersyteckie — nie porzucają zarazem pola, na którem się dotąd kształcili — lecz wolne od pracy uciążliwej chwile, poświęcają badaniom rzeczy ojczystych, czem się nie mało przyczyniają do poznania i wyświecenia mnóstwa spornych kwestyj w dziejach naszej politycznej przeszłości.

Jedną najważniejszych kwestyj naszej przeszłości jest bezsprzecznie stosunek Polski do Niemiec. Już od początku naszego bytu politycznego musieliśmy baczne zwracać oko na Zachód, i grożący nam ztamtąd zagładą germanizm. Dzieje nasze od początku aż do końca 15· stulecia, to jedno nieprzerwane prawie pasmo walk o zagrożony byt polityczny. Przyniosła nam ta walka wiele licha. Bo zmuszając nas stać wiecznie pod bronią, kazała nam odkładać wewnętrzne sprawy, jak np. urządzeń społecznych i państwowych, w skutek czego zostaliśmy o całe wieki po za cywilizacją reszty Europy. — Ztąd też każdy szczegół odnoszący się do stosunków naszych z Niemcami, witamy z radością — z podwójną zaś rozprawkę p. Rawera, bo formą i treścią udowodnił młody autor, że umie pisać i że literatura nasza historyczna bogatszą się stała o jedną siłę, bardzo wiele rokującą.

Zjazd Ottona III. z Bolesławem Chrobrym w Gnieznie (1000 r.) miał podwójne znaczenie: religijne i polityczne. Religijna strona bardzo pobieżnie traktowana w rozprawie p. R. — bo też nie to było przedmiotem jego badań. Za to tem gruntowniej rozebrał i przedstawił stronę polityczną tego ważnego zjazdu. Zebrawszy skropulatnie wszystkie zapatrywania naszych i obcych pisarzy o zjeździe — wypowiada autor na podstawie sumiennego zbadania rzeczy swój sąd o tym fakcie, ze skromnością prawdziwego uczonego. „Oto w czasie zjazdu gnieznieńskiego — kończy autor — urzeczywistniło się owo wielkie dzieło usamowolnienia przez lat kilkadziesiąt krępowanego narodu; Polska od tego czasu ma przed sobą nową a wielką przyszłość otwartą, gdyż może działać sama, bez trwożliwego a zawsze niedowierzającego oglądania się na wrogich sąsiadów od Zachodu. Polskę przeto dopiero od r. 1000 zaliczać możemy do rzędu państw europejskich". — *M. B.*

(Leopold hr. Starzeński: Sen trefnisia, komedjodramat w trzech aktach, wierszem. Lwów, nakładem księgarni K. Łukaszewicza. 1883.)

Hr. Leopold Starzeński jako autor dramatyczny, wyrobił sobie oddawna prawo obywatelstwa na scenie. Jego „Gwiazda Syberji", napisana w szczęśliwej chwili pomimo wielu niekonsekwencyj w przeprowadzeniu charakterów, ma swoje momenta rozpalające słuchacza, i dla tego dawana była z powodzeniem na scenie. Inne dramaty tego samego autora nieprzemówiły już do ogółu tak gorącym językiem, a „Czaple pióro", utwór słaby pod względem budowy okazał się po przedstawieniu równie słabym w założeniu, i zaledwie kilka razy ujrzał świa tle kinkietów jako sztuka niedziel na.

Najnowszo komedjo-drama- hr. Starzeńskiego leżący właśnie przed nami, nigdy

niebył zdaje się przedstawiony w teatrze, należy mu to z pewnością policzyć za szczęście. W „Śnie trefnisia“ temat, sam przez się wcale nieszczególny, przeprowadzony jest w sposób prymitywny, którego monotonii nie przerywa i nie ozdabia nawet żaden efekt sceniczny. Figury dramatu są szablonowe i odróżniają się od siebie chyba tylko tem, że jedne są bardzo poczciwe, drugie zaś szkodliwe, a wiersz, który na scenie szybko mówiony mógłby być w najlepszym razie słuchany, w książce drukowanej czyta się chropawo i ciągle przypomina żmudne rymotworstwo.

Ton jego grzeszy anachronizmem. Autor wsadza w usta aktorom takie frazesy, które byłyby może bardzo dobre z końcem XVIII wieku lub później, za Jana Kazimierza jednak nie są wcale na czasie.

W ogóle ostatni dramat hr. Starzeńskiego, znany nam tylko z czytania, jest bezwarunkowo najsłabszym utworem tego autora, który widocznie nie wżył się w dzieje nasze dostatecznie, i nie umie pochwycić kolorytu odpowiedniego epoce. *X.*

Przegląd muzyczny.

„Requiem“ Cherubiniego, dzieło niepospolitych artystycznych piękności, zostało wykonane we środę przez „Lwowski chór męski“ na dochód funduszu emerytalnego orkiestry teatralnej. Nowszy kierunek muzyki może uważać „Requiem“ Cherubiniego za utwór nadto miękki w stosunku do tematu, szczególnie w ustępach ilustrujących grozę, mogą mu zarzucać w niektórych miejscach np. w „Pie Jesu“ pewną sielankowość, cechę szkoły włoskiej, ale pod względem głębokiego nastroju, bogactwa melodji i znakomitego wyzyskania tematów, dzieło to mało ma sobie równych. Misterne prowadzenie głosów, imponujące fugi, świetna a bogata instrumentacja, wszystko to składa się na całość prawdziwie imponującą. Jest to dzieło genjusza, i jako takie zostało uznane i będzie niem na zawsze, choćby nawet, o czem zresztą wątpimy, kierunek Wagnerowski zapanował wszechwładnie, i poszedł jeszcze skrajniejszym szlakiem.

Wykonania „Requiem“ wcale wzorowem nazwać nie możemy, choć jeżeli kiedy, to w tym razie przysłowie łacińskie: in magnis voluisse satis est, da się w pełni zastosować. W „Requiem“ są napiętrzone niezwykłe trudności; w basach jeszcze pół biedy — pierwszy i drugi bas idą po większej części unisono, i trzymane są w bardzo wygodnej pozycji — natomiast pierwsze i drugie tenory dzielą się jeszcze między sobą, co wymagą bardzo silnej obsady. Otóż właśnie tenory szwankowały i przedstawiały się wcale niekorzystnie w obec jędrnych i pełnych basów. Druga uwaga: forte były wcale dobre, ale piana słabo były wypracowane, wskutek czego chór prawie ciągle pokrywał orkiestrę, nie dozwalając jej wystąpić z lekko rzeźbionemi figurami. Zdaje nam się także, że w niektórych miejscach n. p. w „Dies irae“ tempo było za powolne, w skutek czego, najpotężniejszy ten, według naszego zdania, numer, nie zrobił należytego wrażenia. A propos tenorów zanotować jeszcze musimy, że jeden ze śpiewaków zanadto się forsował, aby innych przygłuszyć. W chórze — to występek, i na to dyrygent nigdy pozwolić nie powinien.

Wytknęliśmy strony ujemne — obowiązek nakazuje nam podnieść dodatnie. Najważniejszą zaletą produkcyj muzycznych jest czysta intonacja. Otóż pod tym względem chór i orkiestra trzymały się bez zarzutu. Wpadanie głosów odbywało się równo i w tempie, a nieliczne usterki pod tym względem zasługują na pobłażanie. Podnieść jeszcze należy pewność w atakowania trudnych interwallów i sumienną pracę wszystkich biorących udział w wykonaniu „Requiem“, Główną zasługę pod tym względem musimy przyznać p. Cetwińskiemu, który jako dyrygent wywiązał się ze swego zadania z niezwykłą u dyletanta wprawą i wytrawnością. Dyrygować rzecz tak trudną jak „Requiem“ Cherubiniego, dyrygować pełną orkiestrą i chórem złożonym z kilkudziesięciu ludzi — to praca, jakiejby się nie podjął niejeden z naszych zawodowych, renomowanych muzyków...

Przed „Requiem“ orkiestra pod kierownictwem p. Przibika, odegrała z precyzją i delikatnem wykończeniem „Taniec szkieletów“ Saint-Saensa.. *Cz.*

Nowości muzyczne.

Chcąc zadosyć uczynić zewsząd wyrażanym życzeniom pięknych czytelniczek, poświęcamy tę rubrykę naszego pisma — jak to już sam tytuł jej wskazuje, — pobieżnym wzmiankom o nowościach w świecie muzycznym. Clara pacta claros faciunt amicos... więc z góry zapowiadamy, że w ocenie wymienianych kompozycyj nie będziemy nigdy zapuszczali się w szerokie zawodowe krytyki; a w wyborze przedewszystkiem uwzględniac będziemy utwory polskich muzyków, z obcych zaś tylko takie, które mając wartość ogólną, z tego tytułu mogą liczyć i u nas na pewne zajęcie. Zaczynamy od tego, co się ostatnimi czasy u nas we Lwowie pojawiło.

P. Stanisław Niewiadomski, młody i zdolny kompozytor, który swoją podniosłą kantatą, napisaną na uroczystość 50letniej rocznicy listopadowej, a dalej innemi, nader wdzięcznemi utworami pieśniaskiemi (śpiewanemi zwykle na koncertach „Towarzystwa lwowskiego chóru męskiego“), dał się już poznać szerszej publiczności lwowskiej, jako talent niepośledni a rokujący świetną przyszłość na polu kompozycyj choralnych i solowych, wydał obecnie: „Cztery pieśni“ do słów Asnyka, mianowicie: „Zaczarowana królewna“, „Gdy ostatnia róża zwiędła“, „Serenada“ i „Barkarola“, z towarzyszeniem fortepianu (Lwów 1882 u Seyfarta i Czajkowskiego, Cena 1 zł. 20 ct.) Tak pod względem muzykalnego układu i przeprowadzenia świeżych i wdzięcznych motywów, jak oryginalnego akompaniamentu, najnowsze te utwory p. Niewiadomskiego, stanowią świeży dowód, że już obecnie zaliczyć należy młodego naszego rodaka w poczet najbardziej utalentowanych naszych kompozytorów pieśni.

„Ksawery Scharwenka“ nazwisko dla wielu obce, a to przecie rodak nasz z Poznańskiego, mający ogromny rozgłos za granicą, zwłaszcza w Niemczech, a nawet i w Londynie, gdzie dziś już muzykowi nie łatwo wypłynąć. Szczególne furore zrobił w Wiedniu jego koncert (B-mol dedykowany Lisztowi), a Hanslick nadzwyczaj pochlebnie się wyrażał niejednokrotnie o talencie ziomka naszego.

Z mnóstwa kompozycyj Scharwenki (jest ich już około 60) wspominamy dziś o 6 op. p. t, „Polnische Nationaltänze“ które autorowi zasłużoną sławę zrobiły, i uwagę krytyki i publiczności nań zwróciły. W oryginale na 2 ręce napisane, u nas prawdopodobnie z powodu że trudne, mało są znane; mimo to nakładcy sprzedali już pewnie z pół miljona egzemplarzy, z których wielka część poszła do Ameryki. Później wydano je w układzie nieco łatwiejszym, na 4 ręce, i w tem właśnie wydaniu polecamy „Polnische Nationaltänze“ naszym melomanom. Ostatniemi czasy pojawiła się także transkrypcja tych prześlicznych mazurów (jest ich tam 5.) na skrzypce, dokonana po mistrzowsku przez G. Holländera skrzypka.

Bardzo przychylnie przez krytykę warszawską został przyjęty i oceniony profesor konserwatorjum tamtejszego, Rudolf Strobl, za swój „Repertoire des pièces classiques et modernes p. Piano, choisies, revues et doigtées“. Podzielił go na dwie części „Morceaux faciles et de moyenne difficulté“ i „Morceaux plus difficiles.“ Są tam dzieła Bethovena, Kiela, Hellera i t. d.; w części drugiej Bacha, Händla, Mendelsohna, Kalkbrennera i t. p. Wydanie po-

prawne, nadzwyczaj staranne a przytem tanie.

Muzyka narodowościowa kwitnie. Powodzenie, jakiego doznał Brahms przez swój wybór i świetny układ tańców węgierskich, które w układzie Joachima na skrzypce, przez tegoż w całym świecie grywane stały się bardzo popularnemi, obudziło mnóstwo mniej lub więcej szczęśliwych naśladowców. W pismach muzycznych roją się recenzje i ogłoszenia o śpiewach i tańcach wszystkich niemal narodów na kuli ziemskiej. I tak mamy Ig. Brülla (Galicjanina) Tańce bretońskie na 4 ręce, Andersena Tańce szwedzkie, Kleinmichla Wędrówki stepowe (mało-rossyjskie) wreszcią Dworzaka. . . Tańce słowiańskie. Ten ostatni wydał nie dawno operę komiczną 1 aktową „Tvrde palice“ coby po polsku „Zabita pałka“ przetłumaczyć można,

Leszetycki (u Niemców Leschetitzky) napisał 1 aktową operę p. t. „Pierwszy zmarszczek“ (der erste Falte). Grano ją z wielkiem powodzeniem w nadwornym teatrze w Monachium, a przedtem w Wiesbaden.

Żeleński wydał w Pradze najnowsze dzieło op. 37 „Polonez“ na orkiestrę, który wyszedł również w partycji fortepianowej na 4 ręce.

Wreszcie z nowszych rzeczy polecamy pianistom naszym, bardzo ładne „Impromptu“ Reinholda op. 28., szczególnie Nr. 1 i 3, i Maszkowskiego op. 27. Barkarolę i Tarantelę.

W.

ZIARNKA

W środę i czwartek, jako w dzień zaduszny i wilję dnia tegoż, tłumy publiczności spieszyły wieczorem na cmentarz Łyczakowski. Deszcz padał, błoto sięgało do kostek, ulice były słabo oświetlone... Mimo to tłumy dążyły naprzód po uciążliwej drodze, popychając się w kałuże, roztrącając łokciami, śmiejąc się i gwarząc wesoło. Była między niemi garstka ludzi spieszących westchnąć na mogiłach ukochanych, ale to była tylko garstka.. Masy spieszyły na widowisko. — Cmentarz był oświetlony a g i o r n o... Bogate pomniki, zdobne w wieńce i transparenty, przedstwiały widok czarodziejski prawie, wszędy światło, woń kwiatów.. Pole śmierci zamieniło się w park iluminowany... Widząc te rozpromienione tłumy, na które padały różnobarwne światła, zdało nam się, że jesteśmy na jakiejś wspaniałej a wesołej uroczystości.. Gwar, żywe rozmowy, częste wybuchy śmiechu — wszystko to łączyło się w sobie w całość odurzającą...

Późno wieczorem przechodziliśmy koło bramy cmentarza... Publiczności było już nie wiele — iluminacja jednak trwała w całej pełni.. Bogate transparenta i dopalające się świece przemieniały „uprzywilejowaną“ część cmentarza w istne morze światłości... W tem przed bramę zajechał wóz prosty — na nim leżała skarbowa trumna szpitalna... Pijany woźnica, który dla skrócenia sobie drogi nucił pod nosem karczemną piosenkę, zatrzymał konie. Czterech ludzi wzięło trumnę na barki... Niosło ją długo wśród transparentów i płomieni w odległą część cmentarza.. Im dalej szli, tem światła były coraz rzadsze — wreszcie weszli w okolicę, gdzie panowała zupełna ciemność. Za chwilę, w stronę cmentarza oświetloną i utransparentowaną doleciał odgłos spadającego ciała i uderzenia ryskali... Czterech ludzi wróciło z próżną trumną... Pochowano człowieka nagiego...

* * *

„Ziarno“ ma szczęście. Nie dlatego, jakoby urodziło się w czepku i z góry przeznaczone było do tego, aby spać na różach i nie troszczyć się o nikogo. Ma szczęście dla tego, że porusza rzeczy żywotne a nie ogląda się na nikogo. Wspomnienie nasze o Kościuszce, a względnie poruszona przez nas myśl postawienia pomnika największemu z bohaterów polskich, nie była jałową. W kilka dni później zgłosili się już ludzie, którzy pomimo to, iż do tego czasu o komitecie pomnikowym niebyło mowy, złożyli na ten cel 20 zł. Kwota to stosunkowo drobna, ale przekonani jesteśmy, że jest to tylko początek, po którym nastąpi świetny ciąg dalszy... Kościuszko nie należy tylko do nas. Jest to bohater wolności, bohater równie wielki dla c a ł e j l u d z k o ś c i, którego wspomnienie jest równo miłe dla tej, jak dla drugiej części swiata. Dla nas jest on ideałem polaka, dla Ameryki ideałem człowieka, a dla wszystkich w ogóle ideałem charakteru. Czyż potrzeba więcej, aby być pewnym, że sprawa tak wielka, jak sprawa pomnika dla Tadeusza Kościuszki nie upadnie! Komitet pomnika wielkiego bohatera z pod Racławic potrzebuje tylko ogłosić odezwy w kilku językach, a fundusze z pewnością się znajdą, i popłyną może obficiej, aniżeli na inne cele. Kopiec w Krakowie nie jest wystarczającym pomnikiem dla tak wspaniałego człowieka. Kopiec jest pomnikiem ludowym, pomnikiem zapału i chwili, Kościuszko zaś zasługuje na wspaniały monument, monument artystyczny, który by dawał świadectwo żywe jego czynów, i do założenia takiego monumentu wzywamy ogół!

* * *

Coś bardziej dziecinnego nad uscenizowaną „Starą baśń“, trudno sobie wyobrazić. Praojce nasze biegają z drągami po scenie, ubrani w kurtki aresztanckie (tak ich u nas ustrojono, widocznie z pietyzmu dla przeszłości) wrzeszczą, skaczą przy ogniu, ogromnie się odgrażają — ale nie wie dzieć po co to wszystko, ni dlaczego! Czasby już nareszcie zerwać z temi szopkami, choćby z nich nie tylko dwóch aniołów, ale stokroć więcej występowało. I to ma być sztuka ludowa! A czegóż wy chcecie uczyć tego ludu? Bezmyślności? On i bez „Starych Baśni“ dosyć bezmyślny. Nie wspominalibyśmy o tem bzdurstwie, gdyby nie było ono przerobione przez jakiegoś niedołęgę z pięknej powieści Kraszewskiego. Do „szanownego jubilata“ mamy wielką pretensję. Jak mógł pozwalać przerabiać na scenę rzecz, która mając wielkie zalety epickie, ale nic a nic dramatycznego, zupełnie się na scenę nie kwalifikuje? Jak mógł dalej, przeczytawszy tę sztukę, uznać ją za godną przedstawienia?

Jak mógł wreszcie po nie przychylnych recenzjach w Krakowie, napisać do przerabiacza „Starej Baśni“ list, w którym mówi: „Nie zważaj na krytyki — to rzecz dobra — publiczność będzie za nią“...? Nowy to dowód, że jak w dziejach biblijnych, tak i teraz „patryarchowie“ mają chwile dziwnej słabości...

* * *

„Bibl. Warsz.“ za październik, pomieszcza trzy listy Ignacego Domejki, profesora chemji, fizyki i mineralogji, a zarazem rektora uniwersytetu w San-Jago. Dzielny ten człowiek, opuściwszy w r. 1831 kraj, uzupełnił w Paryżu specjalne wykształcenie, nabyte niegdyś na wileńskiej wszechnicy, a skorzystawszy z propozycji, od r. 1838 przebywa w południowej Ameryce. Mimo oddalenia od serdecznych druhów i kraju, Domejko nie zapomiał ni języka, ni ziemi rodzinnej. Dziś, starzec osmdziesięcioletni (ur 22 sierp. 1801 r. w powiecie nowogrodzkim we wsi Niedźwiadce) tęskni, jak w pierwszej chwili, do ludzi i kraju, co zresztą poświadcza jeden ustęp z jego listu: „Mnie żadne bogactwa tego Nowego świata, o które nigdy nie dbałem, ani piękne niebo i góry, ani życzliwość dobrych ludzi tutejszych, zasługi, spokojność, dobry byt, co mówię, grób żony, nie zatrzymają, jeżeli będę mógł wyrwać się ztąd z dziećmi za ocean, i być bliżej was, z wami, i choć jeden dzień przed śmiercią popatrzeć na ziemię naszą, do której ciągnie mnie taż sama miłość, co i ciebie wychowała. Już to jest ostatecznie jedyne pragnienie, które jeszcze zostało mi na dnie strapionej tylu niepowodzeniami duszy“.. Mamy nadzieję, że życzenia tego towarzysza „promienistych“ spełnią się, i że go powitamy na naszej ziemi.

ZAPISKI.

Literatura.

* Od jednego z rodaków w Nowym Jorku, d-ra S., otrzymano list ze szczegółami przyjęcia, jakiego doznała wydana niedawno, przez ziomka naszego Sobolewskiego, książka pt. (*Poets and Poetry of Poland*) (Zbiór utworów poetyckich polskich). Jedna z poważnych gazet amerykańskich tak się wyraża: „Oryginalność poezji — tak szeroko rozpowszechnionej w liczbie innych znanych literatur świata — zaleca tę wielką pracę p. Sobolewskiego, która przedstawia wiele interesu dla każdego nieobojętnego na uczucia i wzruszenia ludzkości, oraz ciekawego tych kolei, jakie przechodziła Polska. Ktokolwiek przeczyta tę książkę, dziękować będzie wygnańcowi za zdjęcie zasłony, która tak długo zakrywała ten wspaniały skarbiec myśli i uczuć". A oto słowa drugiej gazety: My, amerykanie, mamy nowy powód do sympatji i szacunku dla tego kraju, z którym tyle mamy wspólnych upodobań i pragnień." Lecz najprzyjemniejszym dla autora był zapewne następujący list, otrzymany od najsłynniejszego poety angielskiego Longfellowa: *Cambridge.* Drogi Panie! Z prawdziwą przyjemnością otrzymałem list Pański wraz z pięknym egzemplarzem „*Poets and Poetry of Poland*", któryś mi Pan był łaskaw przesłać. — Dzieło pańskie przeczytam z prawdziwem zajęciem, gdyż dotychczas o literaturze Polski nic nie wiem, prócz tych niedokładnych wiadomości, jakie zaczerpnąłem z broszurki dr. Bowring. Dziełem tem oddałeś Pan znakomitą przysługę krajowi, oraz wszystkim miłośnikom literatury pięknej. — Życzę Panu powodzenia. Pozostaję życzliwym na zawsze *Henry W. Longfellow.*

* W Petersburgu, jak donoszą „Nowosti" zacznie wychodzić wkrótce homorystyczne pismo polskie p. t. „Świstek" — w Czerniowcach zaś niejaki p. Stehlik zaczyna wydawać z dniem 15 bm. dwutygodnik społeczno literacki p. t. „Przedświt".

* Turgeniew, jak się dowiadują petersburgskie „Nowosti" ukończył nową nowelę p. t. „Pośłsmierti" (Po śmierci) która ma być ogłoszony w tegomiesięcznym zeszycie „Wiestnika Jewropy". Obecnie pracuje Turgeniew nad wykończeniem swych drobnych szkiców poetycznych, które okażą się także w „Wiestniku" p. t. „Stichi w prozie".

* Hebrajskie poemata. „Job über das Leiden des Gerechten von Gustaw Bickell". Jestto tytuł księgi Joba w niemieckiem tłumaczeniu Bickla, ze znanego znakomitego dzieła „Carmina veteris testamenta" Tłumaczenie odznacza się wiernością przekładu i czystością języka.

* W Nancy, nakładem Bergera Lerzanet et Comp. wyszło 2tomowe dzieło w języku francuskim, pióra p. Foucart, traktujące o przedmiocie nas obchodzącym Tytuł dzieła „Wojna polska (?) 1706—7 Pułtusk i Gołynin".

* Figaro wylicza tylko 137 pseudonimów Voltaire'a. Sławny myśliciel wybierał najróżnorodniejsze nazwiska, w celu rozpowszechnienia dzieł swoich, samo bowiem imię jego na książce było dostatecznem dla umieszczenia jej na indeksie. Voltaire tedy używa na przemian nazwiska: „le docteur Wellwsher good natured," — (doktor Życzliwy a dobroduszny), to znów: "Une dame" — „Un quaker" — „Un pretre de la doctrine chrétienne" — „Un bachelier de théologie" — „Un auteur célébre qui 'est retiré de France" — „Le sécrétaire de M. de Votaire" — „Le major Keiserling" — „Fatema" — „Anne Dubarr" — „Lecuré de Trésne" — „Veuve Denys, niéce de Voltaire" — „Cubtorf, pasteur" — „L'archeveque de Canterburry" — „Plusieurs aumoniers" — „Le rabin Akib" — „Le docteur Akkaki" — „Feu l'abbé Bazin" t t. d. i t. d

Teatr i muzyka.

* Panna Deryng w przejeździe przez Kraków zamierza tam wystąpić w „Romeo i Julia"

* Trupa p. Łukowicza w Petersburgu przedstawiła „Halkę" Moniuszki. Przedstawienie miało być ohydne pod względem wykonania. Najwięcej jeszcze chwalą b. chórzystkę naszego teatru p. Kasprowicz, która tam jest „primadonną", innych traktują jak ludzi nie mających żadnej kwalifikacji. Do kompromitacji p. Łukowicza i to dodać należy, że szanowny dyrektor puszcza się równocześnie jak donoszą „Nowosti" na nie zbyt moralne przedsiębiorstwa.., Zaiste wstyd mieć takich reprezentantów sztuki.

* W Wiedniu wystąpiła w „Hugenotach" jako primadonna opery nadwornej panna Schläger, dawniej pierwsza wodwilistka w Karl teatrze.

* Nowy utwor Erckmana-Chatrian'a p. t. „Madame Therése" przedstawiony w Paryżu w teatrze Chatelet nie utrzymał się mimo patryotycznych wycieczek przeciw Niemcom. Rzecz osnuta na tle wypadków wojny 1794 przeciw Prusom w Lotaryngii, a następnie w prowincjach nadrenskich — daje sposobność wyprowadzania niejednego pochlebstwa dla narodowej dumy francuzów. Mimo to publiczność znudzona pięciogodzinnem przedstawieniem, imię autora wywoływane z galerji przyjęła sykaniem i innymi znakami niezadowolenia.

* Dramat 4 aktowy Feuilleta „Un roman parisien" miał szalone powodzenie na scenie teatru Gymnase,

* Zofia Croizette, ulubiona przedstawicielka „Księżnej Bagdadu" podała do komitetu „Theatre Francais" z powodu skołatanego zdrowia, prośbę o dymisję]

* Francuskie stow. autorów ofiarowało Planbuettowi, za nową jego operetkę „Ripvan Winkle" 300.000 franków, których jednak kompozytor nie chciał przyjąć twierdząc, że dwa razy tyle zarobi na tej partyturze.

* Najnowszy dramat Wiktora Huge „Torquemada", który dotychczas niebył grany we Francji przedstawiony ma być wkrótce w „Karltealrze" w Wiedniu.

* Sławna artystka Ristori występowała z wielkim powodzeniem w ostatnich czasach w Dublinie, Edynburgu i Glasgowie.

* Z Nowego Jorku donoszą, że w zimowym sezonie wystąpi w wielkiej operze Patti, Nillsson Miss Emma Thursby — w operetkach Capoul i p. Derivis w dramacie i komedji pani Langtry, signor Salwini, Edwin Booth i nasza nieoceniona Modrzejewska.

Sztuki piękne.

* „Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie, zakupił do rozlosowania pomiędzy członków Towarzystwa, następujące dzieła sztuki: „Jarmark" Stan. Vathemiera; „W polu" Ant. Piotrowskiego; „Marzenie" Szyndlera; „W ogrodzie p. Konopackiego;" „Jesień" J. Owidzkiego; „Chata pobereżnika" W. Brochockiego. Oprócz tego dla zbiorów Towarzystwa nabyto obraz Ant. Kolberga „Starzec".

* Krakowskie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych przeznaczyło na premję dla swych członków na r. b. — miedzioryt Redlicha z obrazu Matejki „Rejtan".

* Wereszczagin wyjeźdźa niedługo do Indji, gdzie zamierza robić studja artystyczne nad naturą i kostjumami.

* Leży przed nami pierwszy zeszyt wcale pięknego „Albumu Makarta", wydanego nakładem Fr. Bondyego. Zawiera on oprócz dobrze napisanego tekstu, drzeworyty przedstawiające: „Wesołe Kumoszki z Windsoru", „Nubijki" tudzież znaną scenę zatytułowaną „Na dworze Medyceuszów" i atelier artysty, według ryssnku Katzlera. Całe dzieło składać się będzie z 10 zeszytów po 4. ilustracje.

* Wyszła niedawno zajmująca biografia pejzażysty niemieckiego Jana Chr. Reinharta, napisana przez Otona Baischa.

* „Kunsthistorische Bilderbogen", wychodzące nakładem Seemanna w Lipsku — otrzymały nowy suplement z 24 tablic, które uzupełniają dzieło nowemi ilustracjami do malarstwa XVI, XVII i XVIII wieku, tudzież do plastyki z XV i XVI stulecia.

* Na wystawie w Pradze zwraca powszechną uwagę obraz młodego malarza Jakóba Schikenedera przedstawiający „Procesję Lollardów". Treść obrazu odnosi się do znanej sekty, której założycielem był spalony r. 1322 w Kolonii n. R. na stosie Walter Lollard, a której zadaniem było przypodobać się Bogu ciągłą męczarnią ciała, a przy zarazach i tym podobnych nieszczęściach odwracać gniew Boży za pom ocą modlitwy. Sekta ta rozprzestrzeniona była szczególnie w Austrji, Czechach i Anglii, gdzie ostatecznie złączyli się oni z Wickliffistami.

Taką scenę procesji Lollardów podczas moru wymalował Schikeneder, a chociaż być może, iż myśl do obrazu wziął z kompozyeji Gallaita (Mór w Turnay) traktuje on rzecz swoją odmiennie, bo przedstawia chwilę, w której sektyści odbywszy procesję kończą ceremonię oczyszczenia spaleniem wszystkich „błyskotek" w które człowiek stroi ciało „i pism kacerskich wiodących do zepsucia ducha". Na obrazie Schikenedera autodafe już skończone gdzieniegdzie tylko dopala się jakaś szata lub szczątek księgi, i przy stosie pozostała tylko nieliczna grupa najfanatyczniejszych, oblana pięknie światłem ogniska.

Typy tej grupy rysowane wybornie są na wskroś charakterystyczne. Obraz ten dowodzi, że w Czechach wkrótce w całej pełni rozwinie się malarstwo historyczne, a młode pokolenie pójdzie śladem Brozika.

* Pisma niemieckie podają wiadomość, że w parafi Mitzel erad, miasteczku hrabstwa Glatz, znajduje się wizerunek Matki Boskiej, darowany Sobieskiemu w r. 1683 przez papieża Inocentego XI. Obrazek ten przeszedł na własność hrabiów Altan, za sprawą Marysieńki, i dopiero w r. 1832 przypadkowo odkryto tablicę z dedykac ją papieską, a zniej dowiedziano się, kto był pie rwszym właścicielem tego obrazu

Nauki Przyrodnicze.

* Profesor Phipson zrobił nadzwyczaj ciekawe doświadczenie,— oto udało mu się zahypnotyzować — akację (Robinia Pseudoacacia) — Wiadomo po-

wszechnie, że drzewo to po zachodzie słońca stula swe listki i w ten sposób zasypia — otóż Phipson spróbował uspić drzewo w jasny, pogodny dzień — i udało mu się. Po 10-15 uderzeniach dość silnych w końce listków drzewa, wystawionego na silne promienie słoneczne — poczęły się one powoli zwijać — i w końcu cała akacja usnęła. Sen trwał zozwyczaj dwie do trzech godzin. Doświadczenie ciekawe i łatwe do sprawdzenia.

* Z ogłoszonego rocznika statystycznego, wydanego przez ministerstwo rolnictwa, dowiadujemy się, że ze wszystkich kopalni cynku, znajdujących się w Austrji najwięcej kruszcu tego dostarczyła Galicja, dając 126.505 cetn. metr. na 361.003 cetnarów wydobytych w całem państwie.

* Mapa Geologiczna Europy, zaprojektowana na kongresie geologicznym w Bolonii, wyjdzie między r. 1884 a 1888 u D. Reimera w Berlinie w 49 arkuszach; i będzie kosztować 100 zł. w prenumeracie. Kiepert objął wyrysowanie mapy topograficznej służącej za podstawę mapie geologicznej, ułożonej przez Beyricha i Hauchcorn'a.

Wiadomości społeczne.

* Na stan oświaty we Francji rzucają następujące liczby, wyjęte ze sprawozdania urzędowego, wiele światła: W r. 1827 na 100 wotantów umiało czytać przeciętnie 42, w 1832 stosunek ten wynosił 52% w r. 1879 zaś 85%. Wschodnie departamenty przedstawiają się najlepiej pod tym względem, bo wykazują 98 i 97%, najgorzej w tej mierze stoi Bretonia, która wykazuje tylko 58—68%.

* Echo Łomżyńskie rozpoczęło druk ciekawego artykułu, o stanie moralnym i umysłowym drobnej szlachty mazowieckiej. Z artykułu tego dowiadujemy się, że między tą zresztą zamaszystą i po staremu nie pozbawioną uczuć obywatelskich bracią, na sto osób ledwie dziesięć umie się podpisać, a z tych dwie mają pojęcie o ortografii. Umiejących czytać jest ledwie 15 prct. Pokolenie starsze w ogóle więcej umie niż młodsze. Przyczyną tego brak szkół.

Miscelanea.

(*L. W.*) Podług wyobrażeń narodów starożytnych ziemia, którą sobie przedstawiano albo jako kulę albo jako płaszczyznę poziomą, spoczywała nieruchoma w środku sfery wszechświata, ta zaś wraz ze słońcem, księżycem i wszystkiemi gwiazdami, na około ziemi od wschodu ku zachodowi krążyła. Planety, do których także słońce i księżyc zaliczano, miały oprócz tego ogólnego ruchu jeszcze ruch drugi, okrążając ziemię w różnych czasach, w kierunku tamtemu przeciwnym t. j. od zachodu ku wschodowi. Według zdania Platona składały się wszystkie ciała przyrodne z 4 rodzajów drobnych cząsteczek, mianowicie: stałych, wodnych, powietrznych i ognistych a cząsteczki te szczególnie wielkością swoją się różniły. Stałe, mające postać kostki, były największe, ogniste zaś postaci piramidy, były najmniejsze. Cząsteczki te (mniemał uczony grecki) znajdują się wszędzie, i są pierwiastkami wszech rzeczy, pomimo to rozdzielone są przeważnie według swojego ciężaru właściwego, — jeżeli wyrazu tego starożytnym nieznanego tutaj użyć wolno. Cząsteczki stałe zajmują środek ziemi, na nich leżą cząsteczki wodne, wyżej cząsteczki powietrzne, a najwyżej ogniste. W sferze cząsteczek ognistych znajdują się słońce i gwiazdy, złożone z ognia.

Cząsteczki nie znajdujące się w sferze sobie odpowiedniej, przyciąga główna masa tej samej materji, z jakiej się one składają, w skutku czego dążą do tej sfery, do której według istoty swojej należą, jeżeli w tem nie znajdują przeszkody. Wszystkie więc cząstki ziemi t. j. stałe dążą do ziemi, i spadają na nią, jeżeli nie są podparte. Woda w rzekach i strumykach płynie do Oceanu, który je przyciąga. Pary wznoszą się z tej samej przyczyny w sferę powietrzną, będącą między powierzchnią ziemską a sferą ognistą, która to ostatnia przyciąga znowu ciała ogniste, w skutku czego płomień wznosi się w górę.

Więc też podług wyobrażenia Platona posiada materja siłę przyciągającą, lecz tylko jednogatunkowe ciała przyciągają się wzajemnie, dążąc każde ku tej sferze, gdzie się przeważna masa materji tej samej istoty znajduje. O działaniu zaś siły ciężenia u wszystkich ciał, Plato nic nie wiedział, uważając każde ciało jako ciężace tylko ku tej sferze, do której należało, w stosunku zaś do wszystkich innych sfer uważał je jako lekkie. Jeżeli zaś ciało jakie znajdowało się we właściwej sobie sferze, to nie było ani ciężkie ani lekkie. — Aristoteles, uczeń Platona podzielił ziemskie ciała przyrodne (podobnie jak tamten) na 4 pierwiastki: ziemię, wodę, powietrze i ogień. Pierwiastkom tym przyznawał pewne własności mogące być zmysłem dotyku rozpoznane, tak, iż według jego zdania wszystkie ciała były suche, albo mokre, ciepłe albo zimne. Oprócz tych własności; z których każde ciało dwie posiadało, tak iż ziemia była sucha i ciepła, woda mokra i zimna, powietrze mokre i ciepłe, a ogień suchy i ciepły, miały ciała jeszcze dwie własności, nie dające się rozpoznawać zmysłem dotykowym, t. j. własność ciężkości i lekkości, z których pierwszą miała ziemia i woda, drugą zaś powietrze i ogień. Ciała, w których przeważała ziemia lub woda, były ciężkie, w których zaś powietrze albo ogień, były lekkie. Piąty pierwiastek, z którego składały się ciała niebieskie, niebył ani ciężki ani lekki.

Według Aristotelesa nie ziemia przyciąga ciała na swojej powierzchni będące, lecz przeciwnie ciała dążą właściwym swoim popędem ku środkowi ziemi.

Chcąc według tych przypuszczeń wytłumaczyć prawo spadania, doszedł Aristoteles do tego mylnego wniosku, jakoby nawet w próżni, gdzie nie ma oporu powietrza, nie wszystkie ciała równie prędko spadały, lecz jakoby chyżość spadania była odpowiednią ciężarowi ciała spadającego. Przyspieszenie w ciągu spadania tłumaczył tym sposobem, że ciałom przyznawał tem większe ciążenie ku środkowi ziemi, im bliżej temu środkowi się znajdowały; twierdził przytem, że im bliżej powierzchni ziemskiej; tem rzadsze jest powietrze przeszkadzające spadaniu.

Plutarch twierdził, że ziemia przyciąga księżyc, i planety i porównywał ruch księżyca z ruchem kamienia obracanego w procy, któryby spadłby na ziemię, gdyby obrót był powolniejszy; tak samo też spadłby księżyc na ziemię, gdyby jego chyżość obrotowa była mniejsza.

Podobne zdanie wypowiedział także Simplicius komentator Aristotelesa, w VI stuleciu po nar. Chr. twierdząc, że ciała niebieskie dla tego na ziemię nie spadają, ponieważ siła obrotu przemaga siłę przyciągania ziemskiego, podobnie jak woda nie wypływa z naczynia obracanego, jeżeli chyżość obrotowa jest większa, niżeli siła przyciągania przez ziemię.

Przez cały czas wieków środnich wierzono ślepo w naukę Aristotelesa, co wiele zaszkodziło postępowi umiejętności przyrodniczych. Dopiero Kopernik wypowiedział stanowcze zdanie, że wszystkie ciała niebieskie mają siłę przyciągającą, która jest przyczyną ich kulistej postaci, i przypuszczał, że one także wzajemnie się przyciągają. Na wzajemne to przyciąganie się zwrócił większą uwagę Kepler, twierdząc, że dwie gwiazdy któreby gdzieś w przestrzeni wszechświata po za obrębem działania jakiegoś trzeciego ciała blisko siebie istniały, dążyłyby ku sobie i nareszcie zetknęłyby się ze sobą, a drogi przebieżone przez nie, byłyby w odwrotnym stosunku do ich mas. Księżyc według zdania Keplera zetknąłby się z ziemią, gdyby siła życiowa nie utrzymywała każdego z tych dwóch ciał niebieskich, na osobnej kolei.

Treść.

Brak krytyki.
Sewer: Z tajemnic wioski (c. d.).
Dąb i lilja (wiersz).
Hodoli L.: Wiek i jego prawa w wychowaniu. (dok.)
Elie Berthet: Bocian. (dok)
Lisiewicz Aleks.: Petőfi Szandor. (c. d.)
Przegląd literacki przez M. B. i X.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

☞ Zwracamy uwagę Szanownych prenumeratorów miesięcznych, że z numerem piątym skończył się pierwszy miesiąc istnienia pisma, a z obecnym rozpoczyna się drugi.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 7. We Lwowie dnia 11. Listopada 1832. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

W obronie Melpomeny.

II.

Pisząc pierwszy nasz artykuł zatytułowany w ten sposób, byliśmy przekonani, że nie będziemy potrzebowali bynajmniej pisać drugiego. Fakta wiadome powszechnie, które posłużyły nam za podstawę, zdawały się uwalniać nas od szczegółów również znanych całemu ogółowi. a jaskrawość tych szczegółów, jasno bijąca w oczy dowodziła nawet więcej, aniżeli w artykule mogliśmy wypowiedzieć. Dyrekcja obecna, nie wiedzieć dlaczego traktowana była przez dziennikarstwo tak względnie jak żadna; publicystyka przymykała prawie oczy na wszystkie niedostatki, jakie się zdarzały na scenie, była głuchą i ślepą na wszystkie występki obecnego kierownictwa, i uczyniła źle mówiąc razem z Dyndalskim.: I któż by się tam łakomił... Milczenie to i pobłażliwość ta zdrożna a co najmniej niewytłumaczona, rozzuchwaliła kierownika, który z niepraktykowaną arogancją ośmiela się pisać, że „zwykłą drogą komunikowania się dyrekcji z publicznością są dzienniki; pp. dziennikarze jednak niechęć ku osobie mojej żywioną, przenoszą na sztukę i albo wzbraniają się podawać do publicznej wiadomości szczegóły teatru dotyczące, albo też podają je, nakręcając tendencyjnie fakta. Tem szkodzą nie tyle mojej osobie, ile instytucji samej, o której dobro dbać ich jest obowiązkiem!"

Na ostatnie zdanie uzupełniające chętnie się zgadzamy. Obowiązkiem dziennikarstwa jest dbać o dobro instytucji takiej jak teatr, i obowiązek ten dziennikarstwo spełnia jak należy. Wynikiem poczucia tego obowiązku był nasz artykuł „W obronie Melpomeny", i wynikiem tego samego poczucia jest całe nasze wystąpienie przeciwko obecnej dyrekcji. Dyrekcji!? Któż to przedstawia tę dyrekcję? Na afiszu drukują „teatr hr. Skarbka pod dyrekcją p. Miłaszewskiego," a pan Miłaszewski jest dla nas taki „nikt" jak i jego reżyser dramatu, a z dyrekcją, która niczego nie przedstawia i nikim nie iest. nie polemizujemy. Walka z wiatrakami nie pożyteczną jest, z p. Miłaszewskim byłaby jeszcze mniej pożyteczną. „Gegen die Dummheit kämpfen auch die Götter selbst vergebens." Niechaj więc p. Miłaszewski będzie przekonany. że idzie nam tylko o dobro instytucji. a nie o jego osobę, że „niechęci" żadnej ku niemu nie żywimy, ale walczyć będziemy przeciw niemu do ostatka właśnie dlatego, że chwali się on protekcją pewnych wpływowych matadorów, rozumiejących się tyle na sztuce. co ślepy na kolorach, i że z tego powodu konkurencja jego o dyrekcję w naszych stosunkach, gdzie tylko protekcja i pochlebstwo rostrzyga, może się stać niebezpieczną.

W artykule naszym dowodziliśmy, że scena pod kierownictwem obecnem nie spełnia dwóch warunków najgłówniejszych: nie ma ani repertoaru, ani personalu odpowiedniego dla teatru stołecznego. Odpowiedziano nam na to, że oprócz pani Aszpergerowej, Nowakowskiej i pp. Zamojskiego i Kwiecińskiego, pozostali ze starszych artystów p. Woleński ze żoną, p. Skalski, pani Kwiecińska, Skalska, Boczkaj, German i Gostyńska. Z tych wszystkich wymienionych jednak nie ma co mówić o państwie Woleńskich i pani German, bo pojawiają się oni tylko sporadycznie na scenie, a przez lat dwa dyrekcji obecnej, po kilka miesięcy nie należeli do personalu. O p. Skalskim, tudzież pani Skalskiej i pani Boczkaj nie mówimy, bo w artykule naszym była mowa o personalu dramatycznym, który jest podstawą sceny. Może się to nie zgadza z artystycznemi pojęciami obecnej dyrekcji, ale z tem wcale liczyć się nie myślimy. O pani Kwiecińskiej i Gostyńskiej nie wspominaliśmy, bo tych nikt nie policzy do dawnych artystek. o których przedewszystkiem była mowa. Zanim się ktoś wdaje w polemikę, warto, aby się czytać nauczył...

A zresztą wszakże najlepszą miarą war-

tości obecnego personalu w porównaniu z dawniejszym, będzie prosty obrachunek:

Dyrekcja dawniejsza płaciła artystom wydalonym przez p. Miłaszewskiego miesięcznie blisko 1000 złr. gaży i 810 złr. płacy miesięcznej, nie licząc 7 benefisów. Obecna zaś na ich miejsce przyjęła kilku młodych artystów, którym płaci razem około 250 złr. Dyrekcja teraźniejsza bierze na operę subwencję jednakową, jak brała przeszła, tamta utrzymywała zaś śpiewaków, którzy kosztowali przeszło 1000 złr. miesięcznie, podczas gdy obecna posługuje się tym samym personalem w operze i operetce, a pierwszemu basiście i barytoniście (ponieważ raz na miesiąc bywa tylko opera) płaci po 15, mówimy piętnaście złr. od występu, albo co na jedno wyjdzie miesięcznej gaży. W ogóle p. Miłaszewski ma personal mniejszy o 22 osób a ta sama cyfra wystarczy za dowód, że zamiłowanie sztuki nie jest jedynym motywem czynności obecnej dyrekcji.

Wszystko to świadczy jaskrawo, o ile prawdą jest co „dyrekcja“ twierdzi w odpowiedzi, mówiąc w osobie pierwszej: „o dyrekcję starałem się nie dla zysków, ale z zamiłowania dla sztuki i z chęci służenia krajowi!“

Zdaje się, że przedewszystkiem w chęci przysłużenia się artystom i publiczności! Sztukę tymczasem zostawmy na boku.

Powiedzieliśmy w artykule naszym, że p. Miłaszewski nie przedstawia sztuk oryginalnych, ani dramatów francuskich, ale obciąża repertoar lichemi przekładami fars niemieckich.

Że tak jest, to świadkiem jest cała publiczność, a wymowne będą i daty, że na 3 czy 4 nowe sztuki francuskie, przez lat dwa dyrekcji obecnej grano kilkanaście komedyj niemieckich, lichot takich, jak „Jour fixe“ i „Maszyny,“ które po pierszem przedstawieniu upadły.

Ze sztuk oryginalnych jeszcze mniejszy stosunkowo przedstawiono procent. Dyrekcja zapytuje nas jakie sztuki oryginalne pojawiły się w ostatnich czasach. Moglibyśmy wyliczyć kilka rzeczy nowych, przyjętych z powodzeniem na scenach polskich w Warszawie, Poznaniu i Krakowie, ale nie chcemy mówić w ogóle o rzeczach najświeższych, a mamy na myśli jeszcze wiele innych sztuk, dotąd nie przedstawionych na scenie lwowskiej, a na które chętniej trochę patrzyła by publiczność, niżeli na płytkie sztuczydła niemieckie, niezgodne ani z duchem naszego społeczeństwa, ani zgodne ze zdrowym sensem.

Dyrekcja tłumaczy się, że nie kupuje rzeczy oryginalnych „aby nie powiększać ciężaru bibliotecznej makulatury“ i przytacza na dowód „Niewolnika,“ który pomimo „pysznej wystawy“ umarł na suchoty. Nie naszą rzeczę wydawać obecnie sąd o „Niewolniku“ zdaje nam się przecież, iż do tak apodyktycznych sądów najmniej uprawnioną by była obecna dyrekcja, która chwaląc się „pyszną wystawą“ do „Niewolnika“ nie wiedziała nawet, że mówiąc o gotyckich przystawkach w sztuce z czasów rzymskich, mieliśmy na myśli właśnie przedstawienie „Niewolnika,“ w którym jako uboczne kulisy figurowały dekoracje z rynku krakowskiego, malowane do „Kościuszki.“ I tacy dyrektorowie mają sąd wydawać o autorach!

Na tem kończymy odprawę naszą w odpowiedzi na wojnę plakatową dyrekcji obecnej. P. Miłaszewskiemu wolno to wszystko nazwać intrygą, tak samo, jak intrygą nazwać może wstręt ogółu publiczności do teatru, objawiający się coraz silniej od czasu objęcia przez niego dyrekcji. Kończąc zaś odpowiedź naszą, pisaną spokojnie a na podstawie faktów nie zbitych, zapowiadamy, że odpowiedź ta jest słowem naszem ostatniem.

Polemika nie jest w ogóle miłą rzeczą a najmniej przyjemną z przeciwnikiem, nad którym zwycięstwo nie może być tryumfem.

Z TAJEMNIC WIOSKI.

NOWELLA

przez

SEWERA

(Ciąg dalszy).

— A co ja jej krzywa? — zawołała stara stukając z gniewu kijem o ziemię.

— Nie wiecie, że ona wam zazdrości tej odrobiny co sobie uprosicie, bo chciałaby wszystko zagarnąć dla siebie.

Zabijaczka była oburzona na złość żydówki i okrutnie na nią powstawała. Wtedy Bartek zaczął opowiadać, jak to Sara tumani ludzi, jak ich oszukuje i pieniądze zbija.

— A dyć ona ma, — mówił dalej, — najładniejszą we wsi krowę i słyszał tu kto pół kopy gęsi? Toć ja przecie gospodarz mam ich tylo ośm sztuk.

— I z czegoż to — zawołała stara, — z tych dziesięciu palicow?..

— Wyżywiłaby to ona temi dziesięcioma palicami siebie, dzieci, krowę, i pół kopy gęsi! — zawyrokował Bartek.

— Kradnie i cygani — zawołała Zabijaczka. — Ja ci pocyganię! — pogroziła.

— A wam zazdrości.

— Ja ci pozazdroszczę!

Bartek Czarnik zauważył, że stara dobrze już została przygotowaną do powierzenia jej tajemnicy, i dla tego pochylił się do jej ucha i zaczął jej szeptać długo, a dokumentnie. Zabijaczka kręciła głową i rozkładała rękami. — Nareszcie po długich targach Czarnik wyjął z kieszeni dwie szóstki i dał e starej, przysięgając się, że drugie dwie da później.

Rozeszli się zadowoleni z siebie. Zabijaczka poszła w pola, w stronę krzaków rosnących po moczarach. Czarnik do domu.

— Ja ci dam zazdrość, — powtarzała stara. To ty chcesz odemnie odciągnąć serca ludzkie — poczekajże!..

Niestety Wałowa nie długo czekała.

Było to przed samem południem w tydzień po tajemniczej rozmowie Bartka z Zabijaczką, gdy w tem zdrowiuteńkie gęsi żerujące na błoniu zaczęły kołować, kręcić się w kółko, szyje wyciągać, gęgać żałośnie i kłaść się na ziemię. — Ryfka i Mojżeszek pilnując ich, aby do szkody nie wpadły, pobiegli do matki z płaczem.

Sara na pół nieprzytomna spojrzała — i jak nie ryknie płaczem, — gospodynie wybiegły z chat. Wałowa rozpaczała pomstując na Czarnika.

Gospodynie smutnie kiwały głowami szeptając między sobą.

— Oj ta „krzywda ludzka“ nie da nawet spokoju biednej żydówce.

— Moja Wałowa — zawołała Purchlina, lamenta ci nie pomogą, gęsi potrute i już. Podorzynać je, oskubać i sprzedac.

— A pomóżcież! mi pomóżcie — wołała z płaczem Wałowa.

Gospodynie wpadły do chat, poostrzyły na kominie noże. — Sara pochwyciła swój — gęsi zapędziła do obórki i zaczęła się rzeź. Krew zbierano do miski.

— Ho, ho — nie są ci one chude, — dziwowały się kumy, — w serce Sary wstąpiła nadzieja.

Krew darowała Sara sąsiadkom. I gdy Josek wrócił z Łaciatą z wału, zobaczył na stole trzydzieści sztuk oskubanych gęsi z przewieszonemi ku podłodze łbami. — Spojrzał się na matkę.

— Biegnijże moje dziecko do Purchli» niech zajeżdża. Jutro rano muszę już być w Krakowie. Może co i zarobimy?!..

— Dla czego je zabiłaś? pytał zdziwiony.

— Czarnik je otruł. Ale my go nauczymy.

Josek zbladł, usiadł na ławie i po długim odpoczynku idąc do Purchli szeptał sobie z cicha, patrząc na chaty wsi.

— Ja was nauczę rozumu. — Wyładowano gęśmi wóz. Purchlina się uparła i siadła obok Sary wioząc do Krakowa płótno na sprzedaż. — Zawrzykrajka przyrzekła doić Łaciatą i uwarzyć jadła dla dzieci — Josek został panem w domu. Wyjechały żegnane przez gospodynie i dzieci.

Purchla powoził spiesząc się, aby na noc dobić do Niepołomic, a nazajutrz rano stanąć w Podgórzu.

Udało się — zaraz na rogatce zakupiono trzydzieści sztuk gęsi do Wiednia, — po półtora papierka.

— Ej Wałowa wy macie szczęście, — mówiła Purchlina, pomóżcież mi sprzedać na Kazimierzu płótno. — Purchla wrócił na Podgórze paść konie, a kobiety poszły do miasta. Sara przyrzekła sprzedawać płótno i targować się z żydami. — Purchla czekał i czekał — przespał się na wozie a gdy konie poił w Wiśle, przyglądał się długo galarom płynącym do Warszawy, — a kobiety nie wracały. — Już słonko minęło Wisłę — już się kryło za góry, — kobiety nie wracały. Purchla wyszedł na most i dopiero się tam z niemi zdybał. Płótno dobrze wytargowała Sara, podając je za swoje, i dla tego kobiety pokupowały drobiazgów na gościńce dla dzieci. Potem trzeba było przelecić się po mieście, i przejeść coś. — Sara piła kawę i namówiła do niej Purchlinę. Gospodyni bardzo sobie w kawie smakowała.

W mieście Purchlina zobaczyła Zyzmę i wołała na niego, obejrzał się, ale gdy zobaczył Wałową odwrócił się i poszedł.

Wałowa westchnęła i łzy fartuchem otarła. — Tyle się ciekawych rzeczy dowiedział Purchla, a że dostał od żony kapelusz który kosztował aż półtora papierka, — nic nie mówił, — konie zaprzągł, kobiety wsiadły.

— Wio, wio, — wiśta, k'sobie! — i pojechał.

Wałowej po sprzedaniu pierza zostało wszystkiego pięćdziesiąt guldenów, i temi postanowiła obracać między ludźmi. — Pobiegła do Kudliny, pożyczyła jej dziesięć papierków, aby je oddała Czarnikowi i oświadczyła mu, że dostanie na procent tylko trzy zagony jęczmienia, — bo mu w pół roku pieniądze oddaje. Dla Wałowej mają być dwa zagony, na cały rok, a pozostały zagon zerznie Kudlina dla siebie i dzieci. Łzy wdzięczności zaświeciły w oczach kobieciny... Pochwyciła pieniądze i pobiegła do Czarnika.

„Krzywda ludzka“ nie chciał ani spojrzeć na dziesięcioreńskowy papierek, lecz Kudlina zostawiła go na stole i poszła.

Sprawa wytoczyła się przed wójta i Wałowa paszła bronić Kudlinę.

— Żebym tak chciała tobym cię dziś do cienia *) zamknęła, rozumiesz ty? — wołała pokazując białe, rzadkie zęby, jakby niemi chciała pokąsać wystraszonego Czarnika. — I tylko sierpem zawadź po zagonach, nim my swoje sprzątniemy, to zobaczysz... Ja cię się nie boję. Ty choćbyś mnie spalił, nicbyś mi nie zrobił, bom sekurowana, a niech się ino spalę, to podpalacza znajdziemy.

— Słyszycie kumie? — ryknął Czarnik.

— A niech słyszą, ja się i wójta nie boję bo mam prawo za sobą! Tylko mnie zaczepcie! I ja mam teraz pieniądze dla ludzi i po ludziach, ale mnie nie złapiecie, żebym kogo skrzywdziła.

Wyszła trzaskając drzwiami, a za nią wysunęła się wystraszona Kudlina.

— A na rany Boskie takeście się naodgrażali wójtowi i radzie, a to nam będą dopiero doskwierać!

— Nie bójcie się, nie! — będą się nas bać i dla tego muszą teraz szanować. — Czarnik będzie stróżował koło mej chaty, żeby jej kto nie podpalił. — I Sara rozśmiała się tryumfująco pokazując białe zęby.

Z dwóch zagonów jęczmienia miała Wałowa blisko pół korca ziarna, za które wzięła pół czwarta papierka, słoma i plewy warte były z półtora. To i tak od dziesięciu papierków dostała pięć na rok, z czego była kontenta, a ludzie jej radzi. — Josek tylko nie był rad, lecz pocieszał się tem, że on te straty, jak urośnie odbije. — Nazajutrz w Szczurowie zdybała Sara Abusia, i dalejże przed nim narzekać i skarżyć się, że ludzie ją pokrzywdzili, że gęsi potruli, zabrali pieniądze i uciekli na Podole, że nie wie jak ich szukać, jak się o nich dopytać.

Abuś także nie wiedział, wzruszył ramionami, odwrócił się i pobiegł zanieść wiadomość do przewodniczącego w modlitwach.

Słuchał spokojnie Aron opowiadania Abusia, przebierając palcami po stole,

— Głupia jest — rzekł nareszcie po głębokim namyśle i zaczął czytać dalej.

— A możeby córka Koplika? — szepnął Abuś.

— Goła jest, — odparł Aron z tą samą powagą, nie odrywając wzroku od wielkiej księgi. — Abuś wyszedł i zobaczył uśmiechniętą Sarę wracającą do Dołęgi. Biegnąc powtarzała sobie:

— Nie chcę być żoną starego grzyba.

Po drodze wstąpiła do piekarza.

Pan Pietraszkiewicz złagodniał. Potrzebował gwałtownie dziesięciu papierków na zluzowanie egzekucji i zapłacenie podatku. Sara mu je pożyczyła, przyrzekając odebrać dług towarem. Za cały procent żądała każdego dnia bułkę czerstwego chleba dla dzieci. Pan Pietraszkiewicz zgodził się — i co dziwna ani przeklinał, ani odgrażał się żydom, a co jeszcze dziwniejsze, że chodząc po izbie powtarzał:

— Tylko żydzi w potrzebie wygodzą.

Między Bartkiem a Sarą cicha, zacięta walka nie ustawała. Żydówka jednak wychodziła z niej zawsze zwycięsko. Pewnie tyle lubiła pieniądze co Bartek, lecz była od niego rozumniejszą, lepiej znała ludzi, umiała być cierpliwszą, mniej łakomą i dla tego nie tracąc, zawsze zyskiwała. — W walce tej Bartek stracił sto papierków, Sara go umyślnie tak wykierowała. Pełen bolu i gniewu szukał zemsty, bał się podpalić, prosił tylko Boga, aby mu pozwolił choć krowę żydówce utopić. I gdy woda w Uszwicy po deszczach wezbrała po za brzegi, wegnał Łaciatą w największy wir. Lecz mocna i tłusta krowa przepłynęła rzekę, przebiegła most i z tryumfem wróciła.

Ludzie widzieli, jakie historje Bartek wyprawiał z Łaciatą, i wydali go przed Wałową. Sara pobiegła na skargę do Radłowa — i sąd kazał Bartkowi zapłacić jej dziesięć papierków, i jeszcze go posadził na tydzień w areszcie — Sara tryumfowała, — tylko Josek chociaż się czuł bogatszym o dziesięć papierków, odgrażał się gojom i przysięgał im zemstę.

O Zyzmie nikt nie wspominał, zapomniano o nim. Raz tylko zdawało się Kasi, że widziała twarz jego w szybie okna, gdy wieczorem ogień buchał na kominie. Zdawało jej się, że widziała czarne, wielkie oczy wlepione w nią... Przelękła nie śmiała spojrzeć do okna, nie śmiała wołać na matkę.

W parę dni potem przyniósł jej chłopak od stelmacha z Ryłowy pudełko. Kasia wyjęła z niego niebieską wstążeczkę, amarantowy aksamit na gorset, i pozłacaną do koszuli spinkę. Zarumieniła się dziewczyna przypominając sobie twarz Zyzmy w szybie okna chaty, gdy wieczorem na kominie buchał ogień.

(Dokończenie nastąpi).

Nirvana.

Chłopczyna był to nad latka swe
Dziwnie roztropny. W oczkach miał skrę,
Myśli co trawią, a ciałko mdłe.

Duszyczkę wolną miał wszelkich plam;
Nie znał co zazdrość, upor ni kłam,
I że był miłym nie wiedział sam.

W samotnej ciszy siadywał rad,
I prządł w milczeniu swych dumek świat...
Tak jako przędzie woń lilji kwiat.

Czasem znów wpadał w wesoły szał
I zapytania skądś dziwne brał,
I odpowiedzi nie zwykłe miał.

(*) Do cienia — tyle co do więzienia.

Głosik miał dźwięczny, jak ptaszka śpiew,
A liczko kraśne, jak z mlekiem krew,
I kwitł tak wdzięczny jak róży krzew.

Pieszczonych jego szczebiotów gwar
Zdobywać serca dziwny miał dar
I dziwny wkoło roztaczał czar.

W szczebiotów jego wsłuchany dźwięk
Gdym tej dzieciny podziwiał wdzięk,
Bolesny serce ściskał mi lęk.

I siebiem pytał: Ten rajski kwiat!
Czyliż go chłodny nie zwarzy świat?
Cóż go ocali od losu zdrad? —

— Skon go od losu ocalił prób,
I krótki jego był z bolem ślub;
— Nim róże zwiędły porwał go grób!...

Zaduszki 1882. *Włodzimierz Zagórski*

Życie mowy

przez

Ludwika Wierzejskiego.

Umiejętności przyrodne obejmują coraz więcej zjawisk, i wśród nich widzimy obecnie nawet takie, które przedtem uważano jako należące do dziedziny zjawisk wyłącznie duchowych, podlegających rzekomo prawidłom innym, niżeli te, według których zjawiska w przyrodzie się odbywają. Do rzędu takich zjawisk, należała długie czasy mowa ludzka. Nowsze jednak badania lingwistyczne wykazały, że mowa jest ustrój przyrodny, jest organizm, podległy tak samo wszystkim prawidłom rozwojowym, jak rośliny, zwierzęta, ogółem wszystko co się rozwija i kształci. Przeciwnicy tego zdania mówią, iż mowy nie można uważać jako ustrój, twierdząc, jakoby ustroje miały życie zupełnie samoistne, mowa zaś ściśle złączona jest z człowiekiem, i bez niego nie istnieje. Mylą się w tem jednak, bo nie uwzględniają, że żaden ustrój zupełnie samoistnego nie ma życia, lecz zawisł od środowiska, w którem żyje, i różnych jego warunków. Roślina n. p. tak samo jak i zwierzę, bez ziemi, wody i powietrza żyć nie może. Ponieważ zaś mowa jest utwór przyrodny, jest ustrój organiczny, więc też i nauka o życiu mowy t. j. lingwistyka jest umiejętnością przyrodną. Dzieje lingwistyki można podzielić na 4 okresy. Pierwszy okres nazywamy praktyczny, drugi filologiczny, trzeci klasyfikacyjny, a czwarty glossogeniczny.

W okresie pierwszym uczono się mów obcych prawie wyłącznie w celu porozumienia się z narodami obcymi; w starożytności bowiem oprócz ogólnych spekulacyj filozoficznych nad istotą mowy ludzkiej i nad tem, czy mowa jest bezpośredni dar bogów, czy tylko sztuczny utwór ludzki, oraz oprócz starań o ułożenie gramatyki systematycznej, uwzględniano przy nauce mów jedynie pożytek praktyczny. Podobnie było także i we wiekach średnich.

W okresie filologicznym uczono się mów obcych w celu poznania literatur obcych narodów. W obydwóch więc tych okresach, uczono się mów nie ze względu na nie same, lecz ze względów innych. Dopiero w okresie trzecim t. j. klasyfikacyjnym stała się mowa ze względu na nią samą, przedmiotem uwagi i nauki. W tym okresie bowiem zaczęto badać różnice i podobieństwa między mowami różnych narodów, i stosownie do tego rozgatunkowano mowy etnograficznie, według szczepów. Te dwa ostatnie okresy obejmują czasy nowsze, od odrodzenia umiejętności klasycznych we wieku XV. aż prawie do końca stulecia XVIII.

Dopiero w najnowszym okresie zaczęto zastanawiać się nad mową ze względu na nią samą. To też teraz celem badań nie były wyłącznie względy praktyczne, poznanie piśmiennictw narodów obcych, na koniec względy na rozklasyfikowanie mów według krajów i szczepów, lecz ściśle zbadanie pokrewieństwa wzajemnego mów, wykreślenie ich rodowodu, zbadanie początku mowy ludzkiej w ogóle, i poznanie prawideł jej życia i rozwoju. W tym względzie poznanie Sanskrytu, jako też wynikłe z podróży i odkryć etnograficznych w Afryce, Ameryce i Australji poznanie mów nie cywilizowanych mieszkańców tych krajów, dostarczyło badaczom wiele materjałów, i w następstwie utworzono umiejętność lingwistyki, która chociaż jeszcze nowa, to jednak ujęta metodą indukcyjną, rokuje wielkie postępy.

Mowy ludzkie podzielić można najlepiej na 5 działów, odpowiadających pięciu głównym rasom, na które podzielono ród ludzki, t. j. mowy rasy kaukazkiej, mongolskiej czyli turańskiej, malajskiej, amerykańskiej i etjopskiej. Mowy rasy kaukazkiej dzielą się na 3 szczepy: indyjsko-europejski semicki i baskijski. Do mów indyjsko-europejskich należą z obecnie żyjących, mowy Indyj przedgangesowych, jako to: hindostańska, hinduska i in. dalej mowa perska i ormiańska, które ostatnie nazywamy także mowami aryjskiemi. Oprócz tych należą tam także mowy pelazgijskie, mianowicie grecka, albańska; romańskie: włoska, hiszpańska, portugalska, francuska i rumuńska; germańskie: niemiecka, holenderska, duńska, szwedzka, islandzka i angielska; na koniec sławiańskie: czeska, łużycka czyli wendyjska, polska, moskiewska, bułgarska, serbska, kroacka i słoweńska. Oprócz tych jeszcze pokrewna ze sławiańskiemi mowa litewska. Mowy indyjsko-europejskie rozciągają się nie tylko na prawie całą Europę i wielką część zachodniej Azji, lecz rozszerzyły się także na wielkich obszarach Ameryki i Australji t. j. wszędzie tam, gdzie narody szczepu indyjsko-europejskiego się osiedliły. Mowy semickie, w starożytności liczniejsze aniżeli teraz, obejmują obecnie tylko mowę arabską i mowę amharską czyli abyssyńską. Mową baskijską mówią Baski zamieszkali w Hiszpanji północnej, w Pyreneach. Mowy turańskie obejmują całą Azję, z wyjątkiem krajów zamieszkanych przez narody rasy kaukazkiej i malajskiej. Oprócz tego do nich należy również mowa węgierska, fińska i samojedzka.

Mów malajskich używają mieszkańcy półwyspu malajskiego i wysp Sundajskich, jako t. ż. pierwotni mieszkańcy Australji.

Mowami amerykańskiemi mówią pierwotni t. z. dzicy mieszkańcy Ameryki północnej i południowej.

Mów etjopskich zaś używają narody afrykańskie rasy murzyńskiej.

Nowsze badania lingwistyczne doprowadziły do tego pewnika, że mowy nie powstawały każda osobno, bezpośrednio, lecz że jedna z drugiej się powytwarzały, i że podział mów na klasy jest oraz rodowodem tychże. W tym względzie istnieje rzeczywiste, w istocie rzeczy samej tkwiące podobieństwo między wytwarzaniem się mów, a wytwarzaniem się gatunków zwierząt i roślin, — rozwojowa teorja Darwina ma także w lingwistyce zupełne zastosowanie. Nie zdołano dotąd wykreślić rodowodu wszystkich mów istniałych ongi i obecnie istniejących, dokonano tego jednak względem mów indjoeuropejskich... Wszystkie one powstały w Indjach. Najdawniejsza mowa tego szczepu była t. z. pierwotna indyjsko-europejska, która się później rozdzieliła na 2 główne działy: na mowę aryjsko-grecko-italijsko-keltycką, i słowiańsko-germańską.

Pierwszy dział rozszczepił się dalej na mowę aryjską, z której potem powstała mowa staro-indyjska (Sanskryt) i mowa irańska (z ostatniej powstała mowa perska i ormiańska) — i na mowę grecko-italijsko-keltycką, z której powstały: grecka i italijsko-keltycka; ta ostatnia rozdzieliła się na italijską i keltycką.

Drugi dział rozdzielił się na mowy: germańską i sławiańsko-litewską.

Z działu pierwszego powstały późniejszym rozdziałem mowy: łacińska, etruryjska, kymryjska i erska. Mowa germańska rozdzieliła się na mowę niemiecką, holenderską, szwedzką, duńską i islandzką. Pierwotna mowa sławiańsko-litewska rozdzieliła się na litewską i sławiańską, z której ostatniej powstały mowy: czeska, łużycka, polska, moskiewska, bułgarska, serbska, kroacka i słoweńska. Ze zmięszania się łaciny z mową germańską powstały: włoska, hiszpańska,

portugalska i francuska; ze zmięszania się jej z mową dakijską powstała rumuńska, a ze zmięszania się z mowami keltyckiemi, z germańską i francuską, powstała mowa angielska.

Mowa ludzka w pierwotnym stanie jest nie tylko bardzo uboga w słowa, jak to okazują mowy ludów na najniższym stopniu cywilizacji, lecz jest oraz jednozgłoskowa i bezforemna. Każde słowo jest czystym pierwiastkiem, niezdolnym do przybierania żadnej formy gramatycznej; jest więc rzeczownikiem a zarazem czasownikiem, przymiotnikiem i t. d. Szczegółowe znaczenie jego zaś zależy od miejsca, jakie zajmuje w zdaniu, i akcentu. Mowy w tej porze życia mają przeto szyk słów bardzo niewolniczy, a gramatyka, jeżeli o gramatyce wspomnieć się godzi u mów tego rodzaju, polega tam wyłącznie na składni. Formologji zaś czyli odmienni, mowy te nie mają żadnej. W takiej dobie życia są obecnie mowy: buszmańska w Afryce południowej, birmańska i anamicka w Indjach zagangesowych, a do niedawna była także mowa chińska.

W dalszym rozwoju mowy, różniczkują się pierwiastki na pojedyncze części mowy; łączą się ze sobą wzajemnie i tym sposobem powstają formy gramatyczne; np. do pierwiastków rzeczownikowych dołącza się pierwiastki przyimkowe, i tworzy deklinacje, do pierwiastków czasownikowych dołącza się zaimki osobowe, zwrotne i t, d. i w ten sposób wytwarzają się konjugacje. Tę porę życia mowy nazywamy aglutynacyjną, a mowy tego rodzaju aglutynacyjnemi czyli spajającemi. Mowy w tej porze życia odznaczają się zwykle wielką obfitością form gramatycznych, i są w możności wyrażać najdelikatniejsze odcienia myśli i uczuć. Na tym stopniu rozwojowym są obecnie, z wyjątkiem mowy chińskiej, birmańskiej, i anamickiej, wszystkie mowy turańskie, oprócz tych mowa dekańska na wyspie Cejlonie, mowy malajskie, murzyńskie z wyjątki m buszmańskiej, mowa baskijska, i u pierwotnych t. z. dzikich mieszkańców Ameryki.

Rozwój nie pozostaje jednak na tym stopniu, w dalszym bowiem jego ciągu zrastają się pierwiastki, luźnie jeden do drugiego poprzyczepiane, w jednolitą całość, w wyrazy w których nie znać już pierwotnego ich składu. Składnia przez to staje się swobodniejszą, ponieważ każdy wyraz gdziekolwiek bądź w zdaniu położony, wyraźną końcówką swoją wskazuje na inny wyraz, do którego się odnosi. Mowy tego rodzaju nazywamy flektującemi. Fleksja jest dwojaka: zewnętrzna i wewnętrzna. Pierwsza polega na odmianach końcówek, druga zaś na odmianie głosek wewnątrz pierwiastka głównego. Mowy flektujące, do których należą obecnie prawie wszystkie rasy kaukazkiej, są najdoskonalsze, a fleksja jest punktem kulminacyjnym życia mowy. Ten stan mowy nie jest jednak niezmienny; mowy bowiem rozprzęgają się, t. j. słowa tracą końcówki oznaczające względy, i tak rzeczowniki tracą końcówki spadkowe, czasowniki tracą końcówki, rozróżniające czasy, osoby, liczby i tryby, tak iż dla uniknienia dwuznaczności koniecznie trzeba zastępować znikłe formy gramatyczne słowami posiłkowemi, mianowicie w deklinacjach oznaczać spadki zaimkami wskazującymi jako rodzajnikami, a gdy i te się popsuły, to przyimkami; w konjugacjach końcówki osobowe zaimkami osobowymi; poznikałe jednolite formy czasowe opisywać za pomocą imiesłowów i czasowników posiłkowych; dla oznaczenia formy zwrotnej używać formy czynnej, posiłkowanej zaimkiem zwrotnym i t. d. Skutkiem tego jest, iż składnia przestaje być swobodną, a mowa traci na zwięzłości. Oprócz tego znika w tej porze życia mowy iloczas naturalny czyli prozodja, a miejsce jej zajmuje wyłącznie akcent, t. j. znika różnica między zgłoskami krótkiemi a długiemi, a wszystkie zgłoski jeżeli na nie akcent nie przypada, wymawiane bywają krótko; akcent zaś albo mniej więcej stałe zajmuje miejsce w słowie, albo (jak w mowie niemieckiej) przypada na zgłoskę pierwiastkową. Mowy flektujące będące w tym stanie, są już w porze starości i nazywamy je mowami analitycznemi, odróżniając je od mów syntetycznych t, . takich, których fleksje jeszcze nie są popsute. Okres w którym mowy rasy kaukazkiej były jeszcze zupełnie flektujące, ściśle syntetyczne, przypadał w czasy przedhistoryczne, w czasach starożytnych były mowy tej rasy już częściowo popsute, mowy teraźniejsze zaś tej rasy są już prawie wszystkie analiczne, szczególnie mowy germańskie i romańskie, a z pomiędzy sławiańskich mowa moskiewska i bułgarska. D. n.

Obietnica księcia.

Noweleta J. Arbesa.

(przełumaczył z czeskiego).

J. W. Wdowiszewski.

Nad górską okolicą rozłożyła się gęsta, posępna mgła jesienna. Wprawdzie słońce zeszło już dawno, ale promienie jego niezdołały przebić szarej warstwy mgły, która bardzo powolnie wznosiła się wyżej ku jednostajnym obłokom, zkąd słońce spoglądała smutnem, jakby załzawionem okiem, na ogromne lasy, rozsiadłe na szczytach i stokach posępnych wzgórzy.

Zazwyczaj panuje tutaj głęboka, grobowa cisza borów.... Gdy z wiosną lub w lecie uśmiechnie się słońce spoglądając z lazurowej wyżyny na okolicę, pięknie tu jak w raju; — gdy zaś w jesieni lub w zimie zawyje i zahuczy burza, także tu pięknie choć straszno, jak na falach rozszalałego morza....

Rzadko tu człowiek zabłądzi — chyba tylko przypadkiem lub w ostatecznej potrzebie. Na kilka mil w około nie ma miasta, ani nawet wioski, tylko tu i owdzie na stoku mniejszego wzgórza, stoi samotna chata węglarza....

W tej chwili jednak w głębokich jarach nie ma ani tajemniczego spokoju cichych dni letnich, ani też nie huczy, nie wyje, nie szaleje wicher — dziś w jarach ruch jakiś niezwykły, niebywały.

Ze starej węglarskiej chaty, co oparła się o nagą skałę, a mchem porosłą strzechę pochyliła ku ziemi, słychać dość wyraźnie dalekie wystrzały, od czasu do czasu chwilowe skomlenie i ujadanie psów — a niekiedy niewyraźny odgłos myśliwskiego rogu....

W chacie, przy okienku, siedzi młoda dziewczyna, odziana płótnianką. Niepiękna ona, nawet nie ładna, ale wydaje się miłą i dobrą — tak dobrą i miłą, jak skromny górski kwiatek.

Twarz opalona od słońca, blada jakaś, jakby po bezsennej nocy, choć w jasnem błękitnem oku, które przysłoniły zaczerwienione, jakby z płaczu powieki, nie widać boleści, ni smutku — ale zadowolenie, ufność i spokój....

Z pozoru jeszcze dziewczyna — w istocie już kobieta. Wprawdzie dopiero wczoraj wieczór zawitała do tej samotnej chaty węglarskiej z młodym, przystojnym, silnym mężem, bo ale też dopiero wczoraj, w kościele najbliższej wioski poślubiła go — na zawsze....

Znała go od dzieciństwa. Jej rodzinna chata oddalona tylko pół godziny drogi od chatki, do której wczoraj po raz pierwszy a na zawsze zawitała — a z której on często do niej zachodził....

Niestety — mąż opuścić ją musiał w czas rano — musiał iść do lasu. Tym razem jednak nie do zwyczajnej pracy, ale z rozkazu rządcy dóbr — na pogonkę. Książęcemu właścicielowi dóbr przyszedł kaprys urządzenia wielkiej obławy w rozległych górskich lasach, w których dotąd nigdy jeszcze nie polowano....

Młoda kobieta siedzi zamyślona u okna i przysłuchuje się to dalszym to bliższym wystrzałom.

Myśliż ona o swem obecnem szczęściu czy też wspomina przeszłość?...

Jeszcze wczoraj była sierotą. Ojciec i matka zmarli przed laty — nawykła do nędzy i biedy, a nie miała jednej bratniej

duszy. Nieznając w najbliższej okolicy nic, prócz głębokich jarów, wśród których wyrosła, nie tęskniła też za niczem. Całym jej światem była rodzinna chyża...

Ruch myśliwski coraz bardziej się ożywiał i bliżył do chaty. Wkrótce doskonale słychać było wystrzały, ujadanie psów, podniesione głosy myśliwych i pogonki — w najbliższem otoczeniu chaty.

Młoda kobieta wstała i wyszła przed chyżę. Popatrzyła w około. Przed chatą rozłożyła się pasieka, za nią widać gęsty ciemny las, za nim wznosi się w dali stroma skała. Ale nigdzie nie widać żywej duszy — wszędzie pusto; — choć wystrzały, szczekot psów, dźwięk ludzkich głosów ciągle i coraz więcej się zbliżają.

Chwilę stała młoda kobieta przed chatą, i nieruchomie utkwiła oczy w gęstwinę niedalekiego lasu...

Ale cóż to?

Nagle z lasu ku pasiece wychyliło się kilku ludzi z psami.

Przenikliwie rozległ się głos myśliwskiej trąbki, a zaraz potem ludzie z psami zniknęli w najbliższym gąszczu...

Strzelanie jakby na dane hasło ustało — z różnych stron — z dala i bliska — ozwały się łowieckie trąbki...

Za chwilę znów się na kraju lasu pojawili myśliwi. Dwóch z nich niesie coś — młoda kobieta dojrzała, że nieśli człowieka.

Zmierzali wprost do chaty, a wkrótce byli już przed nią.

Kobieta stanąwszy na progu, przypatruje się ze zdziwieniem garstce zbliżających się myśliwców. W tem nagle, wykrzyknęła dziwnie przejmująco i zatoczyła się... Chce postąpić naprzód — tymczasem z jękiem upada bezwładna na ziemię...

Poznała zsiniałą twarz ukochanego męża — przynosili jej ciężko rannego...

Płótnianka rozpięta — koszula na piersiach odchylona, a pierś we krwi... Ktoś nieopatrznie strzelił mu prosto w piersi...

Rannego położyli na darniowej ławce przed chyżą, — zemdloną kobietę ocucili...

Ujrzała przed chatą jeszcze więcej ludzi jak przed chwilą, spostrzegła także w gronie myśliwych wysoką, bladą, pańską postać, która bogatym strojem łowieckim wyróżniała się z pomiędzy reszty. Człowiek ten stał ze skrzyżowanemi rękami tuż obok darniowej ławki, i z zajęciem przypatrywał się ranionemu, na którego czoło występowały już śmiertelne poty...

Biedna kobieta spoglądała na pańską postać z wyrazem jakiejś trwożliwej czci; zdawało jej się, że to niemoże być niktinny tylko sam książę — pan tych dóbr i lasów, w których ona się urodziła...

Chciała coś przemówić, ale nie mogła — książę odezwał się sam.

— To pewnie twój mąż. — przemówił chłodno, ale tak dobrotliwie, że każde słowo przejmowało ją dreszczem. — Będę miał staranie o jego pogrzeb i — o ciebie...

Kobieta boleśnie załkała. Słowa: będę miał staranie o jego pogrzeb — pouczyły ją o stanie rzeczy. Bez słowa skargi — drżąc tylko na całem ciele — uklękła przy darniowej ławce, obok umierającego męża..

Książę zaraz się odwrócił, a wydawszy jednemu z myśliwych jakiś rozkaz, oddalił się przez pasiekę ku lasowi.

Dwóch poganiaczy zostało w chacie dla pilnowania rannego, reszta podążyła za księciem.

Za chwileczkę odezwała się łowiecka trąbka — psy gończe zaczęły zwierza głosić — wkrótce padł pierwszy strzał -- polowanie odbywało się dalej....

Odgłosy jego oddalały się zwolna, coraz więcej, aż na ostatku gdzieś w głębi lasu zupełnie umilkły..

A nieszczęśliwa kobieta?

Klęcząc przy konającym mężu zwilżała łzami jego stygnącą rękę. Otworzył jeszcze na chwilę oczy i coś słabym, trzęsącym głosem przemówił. Były to ostatnie jego słowa, a z nich zrozumiała żona tylko kilka, wymówionych z przerwami.. ciężko, z wysileniem: — „Sam... książę pan... postara... się...“

* * *

Minął rok — nadeszła rocznica nieszczęśliwego dnia...

Chyża o rok starsza i starsza o rok młoda wdowa nie wiele się przez ten czas zmieniły...

Tak twierdzili ludzie, którzy je wówczas widzieli. A książęca obietnica została — tylko obietnicą...

I minął rok drugi, trzeci, czwarty i piąty w bezprzykładnej jednostajności... Książę pan mieszkał daleko, zapomiał o swych lasach — dawno zapomniał o ubogiej wdowie.. I mijał rok za rokiem, aż ich dziesięć minęło... Sierota wdowa żyła w samotni leśnej biednie i nędznie — żyła z bolesnem, cierpkiem wspomnieniem swojej niedoli...

Chatka jej pochyliła się ku ziemi — ona sama zmieniła się w dojrzałą kobietę — a zawsze wierzyła, że książę pan przecież sobie kiedyś o niej przypomni...

Gdyby w ów nieszczęsny dzień książę pan zwalił był winę na cudze barki i zbył tem biedną wdowę, — gdyby nie był rzekł chłodno a dobrotliwie: postaram się, — gdyby tych słów nie był umierający powtórzył gasnącym głosem — byłaby biedna wdowa o słowach tych dawno zapomniała. Ale tak, stały jej ustawicznie na myśli, i zdawało jej się niemożebnem, aby książę słowa nie dotrzymał...

Na schyłku jedynastego roku — a było to także w posępny ranek listopadowy jak wówczas, — z głębokich jarów dochodził znów odgłos polowania. — W chacie znów słychać było wystrzały, skomlenie i ujadanie psów gończych, trąbienie rogów, a czasem hukanie licznej pogonki..

Odgłosy zbliżały się ku chacie, a wdowa dech wstrzymując słuchała ich chciwie, ale w krótce oddaliły się, aż i w głębokich jarach zupełnie umilkły...

Wdowa otarła łzy, ale nadziei nie traciła — ufała jak dawniej...

I znów monotonnie mijał rok za rokiem. Minął piętnasty — ba, i dwudziesty — aż dopiero w dwudziestym i którymś, odezwały się w jesieni, w pobliżu chaty — głosy myśliwych, hałas polowania... Z bijącem sercem przysłuchiwała mu się wdowa, a gdy się ruch ten do samej chaty zbliżył, wyszła przed nią. Ujrzała na kraju lasu kilku myśliwych, i zdawało jej się, że poznała między nimi także księcia, tylko wyglądał dziwnie świeżo i jakby odmłodzony...

Jednak nikt nie zatroszczył się o ubogą kobietę — myśliwi jak niepostrzeżenie zjawili się, tak też niepostrzeżenie znikli w gęstwinie lasów...

— — — — — — — — — —

I minęło trzydzieści, czterdzieści — ba i pięćdziesiąt lat...

Chata przez ten czas bardzo się zmieniła, bo już prawie w ziemię zapadła i waliła się... Także i wdowa zmieniła się znacznie; była to już wynędzniała, zgarbiona staruszka, ale zawsze z nadzieją w sercu...

Raz, w czasie mglistego listopadowego ranka, ozwały się znów w pobliżu zapadłej chaty głosy myśliwych...

Siwiuteńka staruszka usłyszawszy pierwsze strzały i poszczekiwania psów — choć z wysileniem, ale przecież wywlekła się przed chatę, usiadła na odnawianej nieraz darniowej ławce, na której skonał jej mąż przed pół wiekiem, i w tęsknem oczekiwaniu nasłuchiwała zbliżających się odgłosów...

Jak niegdyś przed laty, tak i obecnie pojawiło się wkrótce na brzegu lasu kilku ludzi, tylko że teraz nie znikli, ale zmierzali wprost ku chyży, gdzie jeden znich poprosił staruszkę chłodno ale uprzejmie o trochę wody.

Staruszka wypatrzyła się na niego przygasłem okiem, i dreszcz ją przeszedł... poznała w proszącym księcia... Chciała coś przemówić — niemogła; zawiędłe usta zdobyły się zaledwie na kilka niezrozumiałych

dźwięków... Nagle wstrząsła się, a padłszy do nóg księcia, zaniosła się od płaczu...

— Co wam jest? Czego chcecie? zapytał książę chłodno ale uprzejmie. —

Staruszka przecież się nakoniec uspokoiła o tyle, że mogła przemówić... Z pokorą przypominała księciu jego dawną obietnicę..

Milcząco, a z największem zdziwieniem słuchał książę słów posiwiałej kobiety, a gdy skończyła potrząsł głową.

— Nie... nie... wy się mylicie. Jam jeszcze nigdy w tych lasach nie polował...

Staruszka załamała ręce i niemówiąc już ani słowa, powlokła się do chaty, aby zadośćuczynić żądaniu księcia.

Przyniosła garnuszek — nabrała w pobliskiej studzience wody, i podała ją myśliwym.

Tylko książę się napił. Podziękował chłodno choć uprzejmie, i za kilka chwil wszyscy łowcy zniknęli w cieniach lasu...

Długo patrzyła za nimi biedna staruszka — potem usiadła na darniowej ławce i gorzko się rozpłakała..

— — — — — — — — — —

Minęło kilka lat...

Jakoś w lecie, nad wieczorem, zawitał do chyży, już zupełnie rozwalonej, umyślny posłaniec księcia, żeby starej oznajmić, że książę pan dowiedział się przypadkowo o przyrzeczeniu, które dał dziadek jego przed laty...

Na staruszce nie uczyniła mowa jego najmniejszego wrażenia, a przecież kilkoma słowami niezrozumiałemi podziękowała.... Leżała od dawna schorzała i bezwładna na barłogu, który obecnie zastępował jej śmiertelne łoże...

W kilka godzin skonała...

Petöfi Szandor

Szkic biograficzno-literacki

napisał

Aleksander Lisiewicz.

(Dokończenie)

Miłość odgrywa pierwszorzędną rolę w utworach Petöfiego, nie tylko bowiem stanowi przedmiot opiewany przez niego najróżnorodniejszymi tony i w sposób najrozmaitszy, ale jest ona pobudką i niejako punktem wyjścia dla wielu innych uczuć, które rodzą się w duszy poety pod jej wpływem, a które on następnie w pieśniach swych na jaw wyprowadza. Nie należy jednak mniemać, jakoby nasz poeta stał tylko na stanowisku średniowiecznych „trubadurów“ czy „minnesängerów“ i nie widział innych ideałów nad miłość dla kobiety i stałość dla kochanki. Petöfi jest wprawdzie trubadurem, jakiegoby wieki średnie pozazdrościć mogły naszym czasom, ale miłość dla kobiety — to tylko odłam tego wspaniałego i potężnego uczucia, jakie duszą poety włada, to tylko cząstka tej wielkiej miłości, która jest przedmiotem jego pieśni. Obok kobiety bowiem, a nawet po nad nią, stoją u niego jeszcze inne ideały, mianowicie ojczyzna i wolność, i ta to wspaniała tryada dzierży berło nad sercem poety, kieruje czynami, daje natchnienie pieśni.

Miłość dla kobiety budzi się bardzo wcześnie w sercu Petöfiego. Już jako studencik kilkunastoletni w gimnazjum w Aszód (1835—1838) umie pisywać bileciki miłosne a smutny nieco obrót tej pierwszej miłości *) bynajmniej go nie zraża na przyszłość. Przeciwnie uczucie to wzmaga się z laty, dojrzewa, a gdy mu już za ciasno w sercu poety, wylewa się strumieniem najpiękniejszych pieśni. Są to wspomniane przez nas już dawniej „Perły miłości“ „Liście cyprysu“ i cały szereg innych. W nich maluje poeta stan duszy swej w owej epoce; od zachwytu do najgłębszego smutku, od najwyższego szczęścia do rozpaczy — wszystkie te odcienia on sam przebywa, wszystko to odbija się w jego pieśniach. Ideałem jego — ukochana kobieta, najwyższem szczęściem posiąść jej serce, nieszczęściem je postradać. To też np. w wierszu „Marzenie“ wypowiada, że gdyby wieszczka jakaś chciała spełnić wszystkie jego życzenia i ofiarowała mu wieniec Petrarki, skarby i bogactwa, on po nad to przeniósłby posiadanie serca swojej dziewczyny. Inny wierszyk tak brzmi:

Ten świat jest wielki, tyś tak mała
O gołębico moja biała....
Gdybym cię miał, za światy całe
Nie oddałbym cię, ptaszę białe

Ty jesteś dniem, jam nocą ciemną
Gdybyś się złączyć chciała ze mną,
Oh! jakążbyśmy jasną zorzą
Opromienili ziemię bożą!

Oh! nie patrz na mnie!... W twem spojrzeniu
Ma dusza gore jak w płomieniu....
Lecz ty nie kochasz mnie!... Więc dalej
Patrz — niech me serce wzrok twój spali!

*) Wzmiankę o tej pierwszej miłości swej czyni Petöfi w wierszyku p. t. „Moja karjera szkolna“ (Deakpalyam). Ze wspomnień Michała Kémeny, kolegi szkolnego poety z owych czasów, dowiadujemy się, że przedmiotem owej miłości była Emilia Canerinyi córka wdowy po ewang. pastorze; przez małego chłopczyka, brata nauczyciela dziewczynki, posyłał Petöfi bileciki do swej ukochanej. Kémeny i jeszcze jeden kolega poety zalecali się również podówczas do dwóch dziewcząt. Rzecz się jednak wydała i wszyscy 3 seladonowie dostali się za karę na . . . . . „oślą“ ławkę.

Brak wzajemności u ukochanej do rozpaczy go przywodzi. Cóż dopiero gdy los dotyka go jeszcze srożej i zabiera mu ze świata kochankę — wtedy boleść jego nie zna granic:

Czemu słońce tak wesoło
Swe uściski rzuca w koło?...
Nie widziało do tej chwili
Grobu, w którem cię złożyli!

Tymi słowy żali się na grobie swej Etelki; a na innem znów miejscu taką modlitwę zanosi:

Aniele stróżu jej duszy,
Święty mieszkańcze niebiosów;
Zabierz mi pamięć mych losów,
Pociesz mnie w strasznej katuszy!

Pierwsze więc stadjum miłości dla kobiety kończy się u poety nieszczęśliwie. Pieśń miłości zamienia się w pieśń rozpaczy po stracie kochanki. Opatrzność jednak lituje się nad poetą złamanym tym ciosem, i wynagradza go za straszne cierpienia; on pozyskuje miłość szczęśliwą i ukochana staje się jego żoną. Pod wpływem tych wrażeń hymn miłości w duszy jego odradza się na nowo i występuje teraz w szatach wspanialszych niż ongiś; poeta zamyka się dobrowolnie w małym światku, jaki sobie stworzył, treścią jego pieśni szczęśliwa miłość, ideałem ukochana żona, z jej dłoni „pączek róży wart więcej niż cały las wawrzynu“

Już więc jako kochanka i jako żona święci kobieta swój tryumf w pieśniach Petöfiego, pozostaje jeszcze — matka. Prześliczny stosunek poety do matki, przebijający się w wielu jego pieśniach, daje nam wymowne świadectwo, jak wysokie miejsce zajmowała w jego sercu miłość dla matki. Petöfi żywił wprawdzie dla obojga rodziców gorącą miłość — czego liczne dowody mamy w jego pieśniach jak np. „Wieczór w domu“, „Zwinąłem mój obóz“ i t. p. i co potwierdzają przyjaciele poety — atoli uczucie jego dla ojca, który jako prosty rzeźnik nigdy nie rozumiał należycie idealnych polotów myśli u syna, ustępuje daleko przed uwielbieniem dla matki, która z gorącem sercem przyjmowała wszystkie jego plany, bujające w wysokich sferach. Temu wzniosłemu uczuciu dał poeta wyraz w swych utworach niejednokrotnie i to w sposób prawdziwie rozrzewniający; tak np. w pieśni p. t. „Z daleka“ kiedy go najprzykrzejsze zawody spotkały i los jego wcale nie jest do pozazdroszczenia, w ten sposób się wyraża:

Przyjaciele w kraj mój spieszą,
Cóż powiedzieć każę im?...
Niechaj wstąpią i pocieszą
Matkę moją w domku mym.

Że się życie me rozdźwiękło
W najszczęśniejszej doli dźwięk...
Och! bo jej by serce pękło,
Gdyby mój słyszała jęk. —

Na innem miejscu nazywa ją „najlepszą z matek na ziemi“, to znów zapewnia, że chleb razowy z jej rąk daleko smaczniejszy dlań, niż gdzieindziej biały; może najpiękniej zaś przebija się to uczucie w milutkim utworze „Udaremniony plan“, w którym opowiada, jak w czasie podróży do domu układał sobie plany, ile to pięknych rzeczy powie matce na przywitanie, gdy jednak przybył na miejsce a matka wybiegłszy naprzeciw do serca go przycisnęła, utonął niemy w tym serdecznym uścisku i wszystkie piękne plany w niwec się obróciły.

Potężna ta miłość dla matki i dla kobiety ustępuje jednak na drugi plan przed jeszcze potężniejszem uczuciem, przed miłością dla ojczyzny i dla wolności.

Ojczyzna to przedmiot najwyższego dlań uwielbienia i podziwu, to także przedmiot trosk największych i niepokoju. Wszystkimi tonami swej lutni opiewa jej piękności „bo czyż jest na świecie piękniejsza kraina nad ojczyznę Madjarów?“; nieustannie wyraża swą miłość dla niej, posuniętą do ekstazy:

Jam twój, jam twój ojczyzno droga
Mą duszą całą
Jeźli nie ciebie, cóż na Boga
Czcić mi zostało?

Tyś ołtarz... w sercu masz świątynię
Gdy burza zwali
Kościół... o! nie haj w tej ruinie
Ołtarz ocali!

A strzaskanego serca słowa
Modły jedyne
Będą: „Niech wielki Bóg uchowa
Naszą krainę!“

Ta uwielbiana ojczyzna jednak dźwiga na sobie obce więzy, a naród pogrążony w uspieniu nie czuje ich. Poeta nie może znieść tego okropnego stanu stara się wszelkiemi sposobami rozbudzić naród i skłonić go do zrzucenia ze siebie kajdan. To smuci się i boleje

Oddawna już, niestety! przeminęła
Wiosna madjarskich ziem!
Oddawna ziemia ta zasnęła
Jakimś bezwładnym, twardym snem
Kiedyż się zbudzi znów do dzieła?

to modli się do Boga i jego pomocy przyzywa, to znów zwraca się do rodaków z wezwaniem

Ludu mój! czemuś takiej słabej duszy?.
Czemu twój wybuch twych oków nie skruszy?

a na innem miejscu

Ślepoż w los ufać wciąż będziemy?
Nie zbawi nas sam tylko Bóg.
Niechaj i ludzka siła się przyłoży!

Gdy te środki nie pomagają, rzuca w oczy gryzącem szyderstwem

Że Węgry dotąd żyją — ach! to Boży cud!

lub

On (Dobo) tylu dzielnych zaćmił sobą
Że nim powstanie mąż w tym kraju
Uczczony równą czcią,
Upłynie wiele wód w Dunaju.

Tak po kolei walczy rozmaitymi środkami i przechodzi od rozpaczy i zwątpienia do nadziei i pociechy. Wreszcie tęsknota ta za wielkością ojczyzny i wolnością ludu budzi w nim prorocze jasnowidzenie, w którem przepowiada przyszłe krwawe walki narodów i zmartwychwstanie ojczyzny. Na tę uroczą chwilę ma on jedno pragnienie:

. . . .
. . niech wiosna panuje naturze,
Wiosna bojowa i niech kwitną róże,
Róże krwi ciepłej na sercach żołnierzy.

Niech trąba boju, słowik walki krwawej
Zagrzewa dzielność i zwycięztwo wita,
Niech i ja także dążę na plac sławy,
I niech mi w sercu kwiat śmierci wykwita.

A kiedy padnę pod ciosami wroga,
Niech mnie namaści w drogę do stóp pańskich
Twój pocałunek, o wolności droga!
Najświętsza z istot niebiańskich.

Nareszcie po latach spełniają się te najgoretsze jego pragnienia: Ojczyzna powstaje wolna a synowie jej idą walczyć w jej obronie, między nimi także i nasz poeta. Jakimi tonami brzmi teraz pieśń jego, o tem wzmiankowaliśmy już kreśląc te chwile*). Atoli spełnia się także i inne życzenie Petöfiego: w obronie ojczyzny ginie z ręki wroga na polu sławy.

Na tem kończymy charakterystykę wybitniejszych cech lirycznych utworów naszego poety. Zaznaczamy jeszcze tylko, że oprócz już wskazanych głównych rodzajów pieśni Petöfiego pozostaje cały szereg nie roztrząsanych przez nas, między którymi ważniejsze zajmują miejsce pieśni biesiadne i utwory satyryczne, a obok nich stoi liczna grupa okolicznościowych utworów, niekiedy wybornych, ale potrzebujących szczegółowego komentarza.

*) Patrz nr. 5 „Ziarna“ str. 55. Tam również na str. 52 znajduje się jako przykład utworów poety z tej epoki „Pieśń bojowa“. Pieśń tę przełożył nam łaskawie p. Alg., za co mu serdeczne składamy dzięki. Inne cytowane pieśni są przekładu p. Sabowskiego z wyjątkiem piosnki o czikosie; która umieszczona jest w Bibl. warsz. z r. 1870 atoli bez podania nazwiska tłómacza.

Krótko już teraz sprawimy się z resztą utworów naszego poety, gdyż w obec lirycznych jego poezji ustępują one na drugi plan, niektóre nawet giną zupełnie...

Epicznych poematów, jak już nadmieniliśmy, napisał Petöfi 11. Powstały one w następującym porządku (według wydania towarz. „Athenaeum“ z r. 1879).

1. Bohater Janosz, epopeja ludowa w 27 [pieśniach. 1844.
2. Młot wiejski, poemat humorystyczny [w 4 pieśniach. 1844.
3. Klątwa miłości, 1 pieśń, 1845.
4. Sen czarowny, 1 pieśń, 1846.
5. Salgó, 9 pieśni, 1846.
6. Szilaj Pista, 4 pieśni, 1846.
7. Istók błazen, 1 pieśń, 1847.
8. Marya Szécsi, 1 pieśń, 1847.
9. Apostoł, 20 pieśni, 1848.
10. Róg Lehela, fragment, 1848.
11. Assesor sądowy, fragment, 1847 (?- [może raczej 1849).

Z pomiędzy tych utworów zasługują szczególnie na uwagę „Bohater Janosz“ i „Marya Szécsi“.

„Bohater Janosz“, epopeja ludowa albo raczej bajka epiczna, stoi godnie obok lirycznych utworów Petöfiego i równą z nimi cieszy się wziętością. Główna postać tego poematu — bohater Janosz, prawdziwy syn pusty, jest osobistością popularną w podaniach ludowych węgierskich. Cały szereg tych podań, które się ugrupowały około mytycznej osoby bohatera Janosza, zebrał poeta i przedstawił w swym utworze w sposób prosty i nadzwyczaj ujmujący. Treść poematu da się skreślić w niewielu słowach: Jancsi Kukoricza, pasterz wiejski, zajęty miłosnem gruchaniem z najdroższą swą Iluszką* zapomina o trzodzie powierzonej swej pieczy a ta korzystając z tego rozsypuje się po stepie i w znacznej części przepada. Srogi gospodarz wypędza biednego pasterza a Jancsi pożegnawszy swą ukochaną rusza w świat, gdzie staje się bohaterem najrozmaitszych cudownych przygód. Gdy nareszcie jako „bohater Janosz“ dostaje się napowrót do rodzinnej wioski, nie zastaje już najdroższej swej przy życiu, Iluszka bowiem wskutek tęsknoty za nim i udręczeń, jakich od srogiej macochy doznawała, umarła. Biedny Janosz nie ma już co robić w domu, to też uszczknąwszy różę na grobie swej kochanki ponownie puszcza się na wędrówkę. Po wielu przygodach przybywa wreszcie do krainy wiesz-

* Jancsi (wym. Janczi) zdrobniałe od Janos, Jan; Kukuricza (wym. Kukurica) kukurudza, nazwisko bohatera, wyjaśnione w toku poematu; Iluska (wym. Iluszka) zdrob. od Ilona, Helena.

czek, gdzie Iluszka zmartwychwstaje (owa róża rzucona do jeziora życia, przemienia się w Iluszkę) i oboje za wolą wieszczek obejmują rządy tej krainy wiecznej wiosny.

Czarującą tę bajkę, w której poeta w postaci Janosza przedstawił wybitne rysy charakteru Madyarów, posiadamy w naszym języku w dwóch przekładach, mianowicie p. W. Sabowskiego i pani S. Duchińskiej. Ten ostatni jako piękniejszy pod względem języka zarówno jak i pod względem formy, więcej nam się podoba i dla tego też zalecamy go czytelnikom.

Drugi z podniesionych poematów „Marya Szécsi“ obejmuje epizod z dziejów rzeczywistych, mianowicie z czasów walk austryjacko-węgierskich w XVII wieku. Zamek Murany, najdzielniejsza podpora partji Rakoczych, broniony przez Maryą Szécsi, piękną wdowę po Bethlenie, stawia zacięty opór; zdobyć go niepodobna. Franciszek Wesselényi, stronnik cesarza Ferdynanda, postanawia więc przypuścić szturm już nie do zamku, ale do serca właścicielki. Tajemny ten plan udaje mu się, zdobywa serce Maryi Szécsi a z niem i twierdzę Murany.

Poemat ten napisał Petöfi na konkurs rozpisany przez towarzystwo Kisfaludy w r. 1847. Tematem było poetyczne opracowanie podania o zdobyciu zamku Murany. W szranki wystąpili najlepsi ówcześni poeci węgierscy: Petöfi, Arany, Szasz Karol i Tompa; balada Szasz'a uzyskała nagrodę. Mimo to poemat Petöfiego ma niepośledniе zalety i w rzędzie dzieł jego tuż po „Janoszu“ zajmuje miejsce. Polskiego przekładu tego utworu — o ile nam wiadomo — nie ma; z niemieckich, zdaniem krytyków najlepszy jest pióra p. E. Festa pomieszczony w marcowym zeszycie „Ungarische Revue“ Hunfalvy'ego z r. 1881.

Na polu poezji dramatycznej nie wiodło się Petöfiemu, podobnie jak ongiś na scenie. Napisał dwa utwory dramatyczne: 1. „Tygrys i hyena“ historyczny dramat w 4 aktach, który odrzucono jako nieodpowiedni do przedstawiania na scenie, a 2. „Zöld Marczi“ (Zielony Marczi — nazwisko osławionego opryszka) sztuka ludowa, którą sam poeta wycofał z rąk komisyi oceniającej. Według twierdzenia p. Sabowskiego dramat Petöfiego ukazał się w polskim przekładzie, dla braku bliższych wskazówek jednak nie zdołaliśmy go odszukać.

Romans Petöfiego, noszący tytuł „Postronek kata“, jest dziełem poronionem mimo niektórych zalet w przedstawianiu charakterów; o przekładach z obcych języków, jako o rzeczy podrzędnej wagi, nie wspominamy.

Listy, artykuły dziennikarskie i dziennik poety, spisywany od chwili wybuchu rewolucji węgierskiej tj. od 15 marca 1848, zebrał i wraz z innymi pamiątkami po nim wydał Aladar Halasi w r. 1878 w Budapeszcie p. t. „Petöfi-Reliquiak 1841-1849“. Są to nader cenne przyczynki do poznania zarówno ruchu rewolucyjnego węgierskiego, jak i charakteru poety i z tego to przedewszystkiem powodu nie możemy ich pominąć bez poświęcenia im kilku słów.

Na szczególniejszą wzmiankę w tym zbiorze zasługują listy Petöfiego do Arany'ego, odsłaniające nam najpiękniejszą stronę charakteru naszego poety. Wspaniałą epopeją „Toldi“ — pierwszem niemal swem dziełem — zdobył sobie Arany od razu pierwszorzędne stanowisko w literaturze węgierskiej i stanął w niej jako najniebezpieczniejszy rywal Petöfiego. Poeta nasz jednak dalekim jest od uczucia gniewu lub zazdrości z tego powodu, przeciwnie uniesiony pięknością dzieła pisze poemat na cześć jego twórcy i natychmiast sam zawiązuje z nim (4 lutego 1847) korrespondencję prosząc o przyjaźń. Od tej to chwili datuje się ścisły, serdeczny stosunek między tymi dwoma najznakomitszymi przedstawicielami węgierskiej poezyi, stosunek, który miał się przerwać dopiero śmiercią Petöfiego a którego piękną illustrację stanowią wspomniane właśnie listy.

Artykuły polityczne i zapiski codzienne poety odsłaniają nam obraz jego politycznych zapatrywań; cechuje je młodzieńczy zapał, naiwna wiara, rewolucyjny instynkt i prawdziwie czyste uwielbienie dla idei wolności. Wybuch rewolucji wita on z porywającym zapałem, a następnie z gorączką towarzyszy biegowi wypadków przejęty to zachwytem i radością, to niezadowolnieniem i gniewem, wreszcie obawą a nawet gorzkiem rozczarowaniem. Jak zaś głębokimi były te uczucia i jak je wypowiadał — wystarczy przytoczyć słowa, którymi się dziennik rozpoczyna:

„Prasa jest wolną!.. Gdybym wiedział, że ojczyzna już mnie nie potrzebuje, utopiłbym miecz we własnem sercu i konając wypisałbym te słowa własną krwią, ażeby czerwone głoski jaśniały jak promienie jutrzenki wolności.

„Dziś zrodziła się wolność węgierska, bo dziś oswobodzono prasę z jej więzów...“ Czy może jest kto tak naiwny, którby zdołał wierzyć, że naród jakiś mógłby być wolnym bez wolności prasy? O wolności węgierska, witam Cię w dniu twych narodzin! ja witam cię najpierw i przed wszystkimi, ja który za ciebie modliłem się i walczyłem, — witam cię z radością tak wysoką, jak głęboką była ma boleść w owym czasie, gdyśmy musieli żyć nie posiadając ciebie!

„O wolności nasza, ty słodka, ukochana istoto, żyj długo na ziemi, żyj tak długo dopóki żyje chociażby jeden Węgier, — a gdy umrze ostatni z naszego narodu, rzuć się jako całun na zmarłego... jeżeliby zaś ciebie prędzej śmierć zabrała, porwij ze sobą do grobu cały naród, bo jakaż hańba — dalej żyć bez ciebie, jakiż zaszczyt — zginąć wraz z tobą!...“ —

Rozglądnęliśmy się już w całej działalności literackiej Petöfiego, przebiegliśmy wszystkie jej rodzaje i pozostaje nam chyba tylko odpowiedzieć jeszcze na pytanie, jakie stanowisko zajmuje nasz poeta w literaturze?

W literaturze powszechnej niemoglibyśmy mu wprawdzie wyznaczyć miejsca, jakie zajmują tacy geniusze jak Shakespeare lub Dante, atoli nie ulega wątpliwości, że Petöfi, z jednej strony jako najświetniejszy przedstawiciel narodowej poezji węgierskiej, z drugiej zaś jako prawdziwie genialny piewca miłości dla kobiety, ojczyzny i wolności — tych największych skarbów całej ludzkości, zasługuje na jedno z miejsc bardzo wysokich, jeżeli nie pierwszorzędnych...

W literaturze węgierskiej zajmuje Petöfi stanowisko pierwszorzędne, któreby się dało porównać ze stanowiskiem Mickiewicza w naszej literaturze. Podobnie jak Mickiewicz u nas, tak Petöfi w Węgrzech zainaugurował w poezji nowy kierunek, narodowy-romantyczny, przełamał opozycją ze strony krytyków i wskutek popularności, jaką poezje jego w bardzo krótkim czasie pozyskały, zdołał odnieść palmę zwycięstwa. Powstała niejako cała szkoła, podzielająca takie same, jak on, zasady i kierunek ten utrzymał się. Najwybitniejszymi jego przedstawicielami w poezji węgierskiej obok Petöfiego są: Arany, Tompa, Lisznyai, Karol Szasz i Gyulai.

Wydań poezji Petöfiego w Węgrzech było oczywiście bez liku. Kompletne a zarazem najlepsze jest wydanie popularne dokonane staraniem towarzystwa Athenaeum p. t. „Petöfi Sandor. Oesszes költémenyei (Wszystkie poezje) etc. Budapest 1879“. W jednym tomie pomieszczono tu 774 utworów lirycznych i 11 epicznych a wydanie to zaopatrzone pięknymi illustracjami i w ładnej oprawie kosztuje tylko 2 zł., to też rozeszło się w niesłychanej ilości egzemplarzy.

Na zakończenie wspominamy o przekładach poezji Petöfiego. Poeta nasz dostąpił tego rzadkiego zaszczytu, że poezje jego przełożono niemal na wszystkie języki europejskie. Na niemiecki język przetłomaczył

kilkadziesiąt pieśni Petöfiego najpierw Dr. Adolf Dux już w r. 1846, następnie wkrótce po nim w r 1849 K. M. Kertbeny. Temu ostatniemu zawdzięcza głównie Petöfi wprowadzenie i rozpowszechnienie swych poezji w literaturze europejskiej, Kertbeny bowiem w przeciągu lat 30 (1849—1879) dziewięć razy na nowo podejmował tłumaczenie jego poezji, przełożył je niemal wszystkie (740), w tysiącach egzemplarzy rozrzucał po całym świecie a nadto zachęcał innych do tych tłumaczeń (między nimi także p. Sabowskiego). Przekłady Kertbeny'ego jednak nie zawsze się udały i nie liczą się do najlepszych. Obok wspomnianych jest jeszcze w literaturze niemieckiej cała plejada tłómaczów, z tych uważani za najlepszych Neugebauer, Fest, Schnitzer. W najnowszych czasach od r. 1880 wydaje Ludwik Aigner w Budapeszcie zeszytami przekład wszystkich poetycznych dzieł Petöfiego, dokonywany pracą zbiorową.

Z przekładów na inne języki wymieniamy francuskie (Saint René-Taillandier, Chassin), angielskie (Bowring), włoskie (Helfy, Cassone, w r. 1880 Bolla). *)

W polskim języku najwięcej przekładów z Petöfiego dokonał p. Władysław Sabowski. W znaczniejszej liczbie pojawiły się one w „Dzienniku literackim" z r. 1866 i w „Kłosach" (Tom II i IV); nadto w tomie V „Kłosów" ukazał się jego pióra „Wojak Janosz" a w Bibl. Warsz. z r. 1868 „Szilaj Pista."

Następnie należy się zaszczytna wzmianka przekładom pani Seweryny Duchińskej (1 voto Pruszakowej). Jej pióra przekłady znajdują się w dziele p. t. „Węgry" (tłom. z Boldeny'ego), 2 utwory w Bibl. Warsz. z r. 1862, tu także w r. 1870 poemat „Janosz Witeż."

Oprócz wspomnianych jest jeszcze wiele przekładów porozpraszanych, tak np. w Dzienniku liter. (1858 Nr. 131 „Sprawiona rola" przeł. W. J., 1863 Nr. 59 „Wiosna" przeł. Amalia Pruszakowa etc.), dalej w „Rozmaitościach nauk i liter." Gliszczyńskiego tomik 8, w rozprawce o Petöfim (nader lichej zresztą) przytoczono kilka nierymowanych przekładów jego pieśni, wreszcie w Bibl. Warsz. za r. 1870 w artykule „Poezja ludowa Madjarów" kilka pieśni niewiadomo czyjego przekładu i w Nr. 5 „Ziarna" „Pieśń bojowa" przekładu p. Alg... Nadto w „Kronice", pismie warszawskiem, z r. 1859 czy też 1860 mają się znajdować nierymowane przekłady F. S. Dmochowskiego, których atoli nie zdołaliśmy odszukać, podobnie jak i takichże przekładów anonima w „Gazecie Polskiej", ponoś z tych samych czasów; nie wątpimy zresztą, że w czasopismach z lat dawniejszych dałoby się jeszcze odszukać niejedno.

Oddzielnie wyszły:

1) „Wojak Janosz" tłom. W. Sabowski Kraków 1869.

2) „Janosz Witeż" tłom. Sew. z Żochowskich Duchińska. Warszawa 1871.

3) Petöfi. „Wybór poezji" przekład z węg. przez W. S. Warszawa 1879. (Wydawnictwo dzieł tanich A. Wiślickiego Nr. 13).

O dwóch pierwszych — są to przedruki ze wspomnianych powyżej przekładów — uczyniliśmy wzmiankę na innem miejscu. W „Wyborze poezji" mieszczą się dawniejsze przekłady pana Sabowskiego z „Kłosów" (wszystkie z wyjątkiem wiersza „Dwaj podróżni"), kilka z „Dziennika liter." i poemat „Szilaj Pista" (jako „Stefan dziki") z Bibl. Warsz., reszta pojawia się po raz pierwszy. Wydaniu temu musimy zrobić ciężki zarzut: Oto po porównaniu kilku tylko przekładów z oryginałem spostrzegliśmy, że opuszczano w nich całe ustępy tak np. w poezjach „Żona i pałasz", „Cud Boży", „Obdarci rycerze", „Liliom Peti" opuszczono w przekładzie po 1 zwrotce a w utworze p. t. „W zimie" nawet aż 3 zwrotki i to bez najmniejszej uwagi ze strony tłumacza lub wydawcy!! Na taki sposób wydawania przekładów z obcych języków, mimo głębokiego poszanowania dla wydawnictwa p. Wiślickiego, nie możemy się zgodzić żadną miarą.

Tak więc praca nasza dobiegła do kresu. . Nie możemy mieć pretensji, żeśmy przedmiot nasz wyczerpali w zupełności, ale sądzimy, że słowa nasze rzuciły nieco światła na mało znaną u nas postać węgierskiego poety i cieszylibyśmy się, jeżeli one zachęcą czytelnika do bliższego poznania tego tak sympatycznego autora a poetów naszych do podjęcia dalszej pracy około przekładów pięknych jego utworów.

---

*) Szczegółowe wyliczenie wszystkich przekładów po rok 1879 (polskie niedokładnie !) wraz z uwagami rozmaitymi znajduje się we wspomnianej przez nas kilkakrotnie broszurze Kertbeny'ego str. 38—52.

Wydawnictwo Aignera nosi tytuł „Petöfi's Poetische Werke; Mit Beiträgen namhafter Uibersetzer herausg. v. Ludwig Aigner. Budapest". Dotąd wyszło — o ile nam wiadomo — 10 zeszytów.

Przegląd literacki.

(Dr. Teofil Ziemba. Estetyka poezji. Kraków — nakładem autora — 1882.)

Nieprawda, że szumny tytuł? Wniknięcie w istotę, w duszę poezji, tej najbardziej niepokalanej z niepokalanych bogiń, odsłonięcie rąbka zasłony, po za którą się kryją czarowniejsze od Eleuzyjskich misterja — to zadanie wielkie, wzniosłe — to jeden z ostatnich wyrazów, jaki duch ludzki wypowiedzieć zdolen. To też z prawdziwym pietyzmem, z sercem żądnem szlachetnych wrażeń, braliśmy książkę dr. Ziemby do ręki. Co za rozczarowanie! Przeczytawszy kilka kartek, zapytaliśmy siebie: Czy to żarty?— A no!— czytajmy dalej.. Ależ żarty wierutne! Dalej— dalej — jeszcze gorzej — na szczęście dotarliśmy do stronnicy 161, na której przeczytaliśmy sakramentalny wyraz: koniec. Ach! Odetchnęliśmy. Męka była straszna, ale przynajmniej nie trwała zbyt długo...

Jak można było lichą przeróbkę podręcznika Cegielskiego nazywać „Estetyką poezji" i kłaść pod tym tytułem nazwisko opatrzone abrewiaturą dr.? — Autor w słowie wstępnem zasłoniwszy się Mickiewiczem, że poezja „na wyobraźni unosi się skrzydłach, poleruje się gustem, wspiera na prawidłach" obiecuje czytelników pouczyć, jaki ma być ów gust i wykazać owe prawidła, mające ściśle zakreślone granice, po za które pod karą wykroczyć nie można. Przypatrzmy się, jak dotrzymał autor swego słowa. Oto naprzód w „Części ogólnej" poucza nas, że każdy poeta musi mieć ideał (co to jednak jest ów ideał— o tem milczy), że nie należy naśladować natury, bo za to, że pewien Ateńczyk przyniósł gęś do teatru, którą zmusił do gęgania, został wyświstany; dalej, że poeta musi mieć fantazję, że jeżeli ma jej dużo wtedy jest genjuszem, jeźli mało — tylko talentem (cudowna definicja!), że sztuka uszlachetnia ludzi, nareszcie, że dzieli się na: architekturę, rzeźbę, malarstwo, poezję i muzykę. Jeżeli upstrzymy to wszystko ckliwym sentymentalizmem i idealistycznymi ogólnikami — będziemy mieć „Część ogólną". Z części szczegółowej dowiadujemy się nasamprzód, że jedynem zadaniem poezji jest „gonić wspomnień marę i z kwiatów życia splatać wieniec" (Zaleski); że wszelka gorycz powinna z niej zniknąć, i że w skutek tego Heine nie jest poetą! (Risum teneatis!) W paragrafie 7 („Estetyka poezji" pisana jest paragrafami) staje autor na stanowisku, że się tak wyrazimy klasyka, który już się pogodził z Mickiewiczem, Słowackim i Krasińskim; zabrania używać pewnych wyrażeń i zwrotów i twierdzi stanowczo, że ten lub ów wyraz nie może mieć prawa obywatelstwa w poezji, bo go nie używano dotychczas. Otóż pozwoli sobie dr. Ziemba powiedzieć, że najpospolitsze wyrażenie może być w danym razie najpotężniejszem... Dalej objaśnia dr. Ziemba, nie lepiej jak pierwszy lepszy podręcznik szkolny, co to jest przenośnia, rytm, rym (a propos

rytmu robi tę genialną uwagę, że kto nie umie pisać rytmicznie, niech da spokój pisaniu wierszy!) figury, czyli zwroty i t. d. Potem następuje podział poezji, z którego się dowiadujemy, że balada należy do czystej liryki i t. d. Nie będziemy nużyć czytelnika wyliczaniem wszystkich paragrafów, jak bowiem powiedzieliśmy powyżej, cała tak szumnie zatytułowana praca dr. Ziemby jest rozwałkowanym podręcznikiem Cegielskiego, a niczem więcej. O najnowszym kierunku we wszystkich rodzajach sztuki, a więc i w poezji — o kierunkn realistycznym dr. Ziemba nic nie wie — powtarza tylko to, jak za panią matką pacierz, co już przed nim daleko lepiej wypowiedziano. Pytamy się więc, poco pisać dzieło, jeżeli się nie ma nic nowego do powiedzenia, po co psuć papier, a czytelnika narażać na zawód niemiły? Czyż nie lepiej coś pożytecznego przetłumaczyć? Byłby już czas, aby dr. Z zaprzestał ubożyć naszą literaturę takiemi dziełami, jak „Estetyka“..

Cz.

ZIARNKA

Nareszcie doczekaliśmy się artystów, którzy w ospałej publiczności naszej zdołali wzbudzić prawdziwy zapał dla sztuki. Cóż się takiego stało? Czy może Żółkowski dał się namówić do występów we Lwowie, czy może przyjechała Modrzejewska. Sembrich Kochańska, Mierzwiński, lub Reszke? Boże uchowaj — a nam tego na co? Przecież z nas każdy potrafi gadać, lub mniej lub więcej dobrze zanucić jaką aryjkę — ale czy jest kto we Lwowie, któryby potrafił usiąść lub stanąć na własnej głowie? To dopiero sztuka, to artyzm — a tej sztuki dokazali tylko bracia „Fhoites,“ ludzie nie porównani w karku, genialni w grzbiecie, szczytni w nogach! To też na występach tych panów poczucie artystyczne naszej publiczności świetnie się objawiło.. Bilety rozchwytywano, niemal się o nie bito, a podczas produkcyj, od nieletnich dziatek, do osiwiałych w pracy na kawał mięsa i kufel piwa starców, kto żył bił oklask i wydawał okrzyki niebiańskiego zadowolenia. Ale żart na stronę—objaw to wiele dający do myślenia. Na tragedji Szekspira pustki, na operze (kiedy jeszcze istniała) dziesięciu bileterów, piętnastu aktorów, trzech dziennikarzy i 50 melomanów — ale na głupich farsach niemieckich, teatr nie źle zapełniony, na operetce pełno, na przedstawieniu braci „Phoites“ ścisk do uduszenia.. Kogoż uważać za winnego — upadkowi dobrego smaku naszej publiczności? Nikogo tylko tych, którzy ciągle ją karmią lekką a pieprzną strawą — tak, że wreszcie teatr małpi może zrobić poważnej sztuce konkurencję nie do wytrzymania.. Widząc cisnące się tłumy do teatru na gimnastyczne bluźnierstwa, mimowoli przychodzi na myśl zapytanie, czy nie byłoby dobrze, aby bracia „Phoites“ podali się o dyrekcję?

* * *

Towarzystwo oświaty istniejące od Wielkiejnocy, zasłużyło się już dobrze sprawie, rozpoczynając równocześnie wydawnictwo książeczek dla ludu, i otwierając we dwóch dzielnicach miejskich czytelnie. Pytanie tylko, kto czuwa nad temi czytelniami, a zwłaszcza, kto stara się o odczyty, wybiera ich tematy i t. d. Pytanie to nasunęło się nam mimowoli przy czytaniu ogłoszenia, że w czytelni na Grodeckiem odbędzie się odczyt o „skowronku“. Cóż za dziwaczny temat dla czytelni ludowej! Według naszego zdania odczyty podobne powinny mieć zawsze treść i cel praktyczny, a w obec tego temat odczytu wymienionego wydaje nam się śmiesznym. Bo i jakaż ma być treść tego odczytu? Maż to być urywek z ornitologii, czy jakaś ckliwo-poetyczna frazeologia? I jedno i drugie nistosowne a może być szkodliwe, bo rękodzielnik znudzony raz odczytem, później unikać będzie nawet pożytecznych prelekcyj.

* * *

Pomiędzy naszemi towarzystwami, z których większa część wiedzie suchotniczy żywot, zaszczytnie wyróżnia się pełen energji „Sokół“ mający na celu wychowywać młode pokolenia na ludzi silnych fizycznie, a co zatem ludzi śmiałych i odważnych. Nie da się zaprzeczyć, że wbrew wszystkim krzykom tromtadrackim o naszej rycerskości — skarłowacieliśmy haniebnie. Młodzież nasza nikła, anemiczna, zdenerwowana, boi się niemal własnego cienia i pokornie oczekuje, kto ją tędy lub owędy popędzi. Stara jak świat rzecz, że wszędzie przymioty charakteru prawie zawsze idą w parze z tęgością fizyczną, to też towarzystwo mające za zadanie fizyczny rozwój młodzieży, jest największej wagi dla społeczeństwa. Uznano to już gdzieindziej i wzięto się gorliwie do zakładania towarzystw gimnastycznych — np. w Czechach niemal każda mieścina ma swoje towarzystwo gimnastyczne, a związek tych stowarzyszeń stanowi prawdziwą potęgę. U nas pod tym względem nader mało zrobiono — to też tem bardziej popierać nam wypada to, co już istnieje, aby należycie się rozwinęło i spełniło społeczne zadanie. Od kilku lat na porządku dziennym stoi sprawa budowy własnej sali dla naszego „Sokoła,“ zebrano już 10000 złr. a tego roku reprezentacja kraju przeznaczyła na ten cel 3000 złr. Mało to, bardzo mało! Oglądaliśmy plan wznieść się mającego gmachu i przeglądaliśmy kosztorys. Wynosi on 40 kilka tysięcy złr. Brakuje więc 20 i kilku tysięcy. Tyle u nas wyrzuca się pieniędzy na cele wątpliwej wartości, tyle się mówi o ofiarności na cele publiczne, a najbardziej żywotne sprawy nie mogą się posunąć naprzód, dla braku odpowiednich funduszów... Zdaje nam się, że będziemy wyrazem zdrowej opinii publicznej, gdy wezwiemy tych, którzy są w możności, aby wsparli „Sokoła“ i umożebnili towarzystwu budowę własnego gmachu. Jutro odbędzie się w sali „Kasyna miejskiego,“ koncert na dochód budowy sali „Sokoła“, jest więc sposobność okazania choć w części, że tak ważna sprawa leży naszej publiczności na sercu!

ZAPISKI.

Literatura.

* Pierwszy numer wychodzącego w Wiedniu pisma tygodniowego, poświęconego interesom polskim i w ogóle słowiańskim, p. t. Reform zdodatkiem Slavische Rundschau, wcale korzystnie się przedstawia. W Slav. Rund. znajdujemy nader starannie ułożony dział literacki, podający najświeższe wiadomości z literatury polskiej, czeskiej i rosyjskiej. Mieszczą się tam także: bardzo udatny przekład nowelli Sienkiewicza „Zachlebem“, wyjątek z dłuższego poematu czeskiego poety Vrchlickiego, i piękna słoweńska nowella „Ojciec Pankracego“.

* Grono literatów i dziennikarzy warszawskich rozpisało temi czasy konkurs na komedję, nadającą się do repertoaru teatru amatorskiego przy warszawskiem Towarzystwie dobroczynności. Komedja ma być osnuta na jakimś temacie społecznym, a mieścić się powinna w ramach najwięcej 3 aktów, jakkolwiek — dodaje ogłoszenie — najpożądańsze byłyby utwory jednoaktowe. Nagroda wynosi sumę 150 rubli — ostatni termin nadsełania utworów naznaczono na 15 lutego 1883.

* Pomiędzy tegorocznymi kalendarzami na pochlebną wzmiankę zasługuje Kalendarz „Szczutka“ Oprócz części informacyjnej zawiera on kilka udatnych wierszy, i dobrze napisany artykuł o Janie III.

* Pośmiertne dzieła Towiańskiego mają być w krótce wydane w Turynie w oryginale i włoskim przekładzie. Będą podobno odbite tylko w 50 egzemplarzach.

* Znakomity nowelista włoski Enrico Castelnuovo, wydał nowy zbiór nowel p. t. „Sorrire e Lagrime“, które krytyka przyjęła z wielkiemi pochwałami.

* W sławnych zbiorach ks. Hamiltona, zakupionych ostatniemi czasy przez rząd pruski, znajdują się tzw. białe kruki, których wartość mierzy się chyba na wagę, nie już złota — ale brylantów. Między innemi, jest tam n. p. pierwsze ilustrowane wydanie „Boskiej komedji“. Jest w niem osiemdziesiąt rysunków na pergaminie, utworu Saudry Botticellego, które same już mają nieocenioną wartość i znaczenie dla dziejów malarstwa.

* Edward Pailleron kończy nową komedję trzyaktową, której treść ma być osnuta na tle wyborów do Komuny. Komedja będzie przedstawiona w „Theatre francais“.

Teatr i muzyka.

* Wł. Mierzwiński, znakomity nasz śpiewak, posiadający, jak wiadomo, sławę europejską, bawi obecnie w Nowym Jorku, gdzie impressario Mapleson, robi olbrzymie interesa na występach naszego rodaka, a recenzje wszystkich dzienników chórem wynoszą jego śpiew i grę pod niebiosa, stawiając go w rzędzie najpierwszych śpiewaków dramatycznych całego świata. — Przybyła tam również na występy gościnne p. Modrzejewska.

* Grono zamożniejszych Polaków, zamieszkałych w Petersburgu, postanowiło przyjść z pomocą pieniężną teatrowi polskiemu, dającemu od niedawna przedstawienia nad Newą. Grono to ma również rozciągnąć kontrolę i nadzór nad finansową stroną przedsiębiorstwa. Do kółka tego przystąpiło także kilku obywateli z Warszawy. Scena polska na dalekiej północy, zyska w ten sposób trwalszą podstawę materjalną

* Znany kompozytor ukraiński Czajkowski kończy właśnie nową operę p. t. „Mazepa“.

* Sara Bernhardt zgodziła się na 50 występów w Brazylii, za które weźmie honorarjum w kwocie 660.000 marek. Sara opuści Paryż 20 kwietnia p. r.

* W Medjolanie zmarł w tych dniach znany impressario Morelli, który wyzyskując artystów umiał sobie olbrzymi uskładać majątek. Nazwisko jego znane jest z tego powodu, że Morelli długi czas obwoził A. Patti po Europie.

* Gustaw Notteboom, zdolny muzyk zmarł w tych dniach w Gracu.

* W Londynie odsłonięto niedawno w „Westminster Abtei“ pomnik Balfego, kompozytora „Cyganki“ i wielu innych oper, dawniej granych z powodzeniem na wszystkich scenach europejskich. U nas jeszcze z teatru niemieckiego znana była opera jego „Vier Haimonskinder“.

* Występy towarzystwa francuskiego pod dyrekcją pp. Dieudonnéi Schürmana z Coquelinem na czele, rozpoczną się nieodwołalnie 17 bm w Wiedniu. Repertuar jest następujący: 1. „L'Aventuriére“ i „Les précieuses ridicules“. 2. „Les Rantzau“. 3. „Tartuffe“ i „Le mariage forcé“. 4. „Nos aliées“, „Gringoire“ i trzy poezje, które wygłosi Coquelin. 5. „Gabrielle“ i „Les Rieuses“. 6. „Mademoiselle de la Seigliére“. „Ernest“, „Le médecin malgré lui“, 8. „Le mari qui trompe sa femme“, „L'Etourneau“, 9. Les vivacités du Capitaina Tic“, Le Luthier de Crémone“ i 10. „Madame Lili“.

* Znany kompozytor Massenet pisze operę komiczną, której libretto osnute zostało na tle powieść Manon Lescaut. Tej samej treści operę wykończył temi czasy jeden z lepszych muzyków niemieckich Kleinmichel, a wystawiona będzie podobno wkrótce w Hamburgu.

* Krystyna Nilsson wystąpiła 2 bm. po raz pierwszy z koncertem w Bostonie.

* Z Lipska donoszą, że opera Rubinsteina „Makabeusze“ dyrygowana przez kompozytora przy świetnej obsadzie (panna Brandt miała główną rolę) wzbudziła prawdziwy entuzjazm wśród publiczności.

* Paweł Heyse oddał po przerobieniu gruntownem dramat swój „Prawo silniejszego“ intendanturze teatru nadwornego w Monachium. Dramat przedstawiony zostanie po raz pierwszy w grudniu.

* Adolf l'Arronge, znany dramaturg niemiecki, napisał nową sztukę p. t. „Otwarty dom“ (Offenes Haus), w której chłosta życie nad stan i niewolnictwo mody, a stawia za wzór prostotę i umiarkowanie (!) mieszczańskiej sfery (!).

Sztuki piękne.

* Munkaczy pracuje obecnie nad nowym obrazem religijnej treści „Chrystus na krzyżu“. Nowe to dzieło wielkiego malarza węgierskiego, nie ustępuje w niczem — zdaniem tych którzy je oglądali w pracowni artysty — zaszczytnie znanej wspaniałej jego kompozycji „Chrystus przed Piłatem“.

* W Paryżu zmarł ostatniemi czasy znakomity artysta rytownik, Piotr Gustaw Staal, znany z udziału we wszystkich prawie pracach rytowniczych, które tak obficie zbogaciły literaturę francuską ozdobnem i świetnem ilustrowaniem najwytworniejszych nowożytnych wydawnictw. Z dzieł Staala które były i są pilnie poszukiwane przez prawdziwych znawców i amatorów stalorytów, najpierwsze zajmują miejsce „Kobiety biblijne“ (Les femmes de la Bible) Dzieło to ma dziś zawsze jeszcze wielkie powodzenie, a pierwsze jego egzemplarze są nawet obecnie już rzadkością bibliograficzną.

MISCELANEA.

— Czytelnicy nasi wiedzą zapewne z dzienników codziennych o ogromnej wrzawie w sferach teatralnych całej Europy, którą wywołał artykuł niejakiego p. Oskara Mirbeau w paryskim *Figarze*, p. t. Komedjant — *Le Comédien*, omawiający w sposób co najmniej zbyt zgryźliwy i namiętny, dzisiejsze stanowisko artysty dramatycznego w społeczeństwie. Najbliższym powodem piorunującej filipiki p. Mirbeau przeciw całemu rodzajowi artystów dramatycznych, ma być podobno osobista jego niechęć ku sławnemu Coquelinowi—co gdyby prawdą było, ująłoby wszelką wartość gorącym enuncjacjom paryskiego dziennikarza. Prasa perjodyczna, zdając sprawę z owego artykułu, podzieliła się na dwa obozy: jedni przyganiając p. Mirbeau za nadto bezwzględny ton w polemice, w gruncie rzeczy podzielają jego zapatrywania; inni, robiąc z muchy wołu, upatrują koniecznie w owym artykule awangardę prądów reakcyjnych, objawiających się wrzekomo coraz widoczniej w dzisiejszej Francji. Nam się zdaje, że i tym razem po środku, bliżej prawdy będzie... Lecz przypomnijmy sobie przedewszystkiem, co zawierał ów okrzyczany „*Le Comédien*“ Figara? Oto cofając czytelnika wspomnieniem w minione wieki, kiedy to aktor był tak upośledzoną istotą w społeczeństwie, że ono odtrącając go za życia, nawet po śmierci nie pozwoliło mu być pogrzebanym na cmentarzu, lecz gdzieś za murami jego, byle nie obok „porządnych nieboszczyków“ (jak to — dodamy nawiasem — lud nasz dziś jeszcze praktykuje z samobójcami...), p. Mirbeau przedewszystkiem odmawia dzisiejszemu aktorowi prawa do uzurpowanego nazwiska: artysta, i degraduje go w ten sposób do rzędu zwykłych rzemieślników. Dalej wyrzuca ostro społeczeństwom, że w bezmyślnem uniesieniu żywią dla tego lub owej reprezentantki sztuki dramatycznej cześć niemal bałwochwalczą, obsypują ich bogactwami, nie zasłużone oddają honory największe; co zaś go snać najbardziej u siebie w domu, zirytowało, to że swojego czasu.. Got z Comédie Francaise, otrzymał krzyż legii honorowej.„... Więc do tego już doszło — woła między innemi z goryczą i oburzeniem — źe skąpiąc często z nagrodami dla prawdziwych zasług i wzniosłych czynów poświęcenia, ochotną ręką wieszamy odznakę legii honorowej na piersi tak mizernej figury, której rzemiosło w tem polega, być każdego wieczora na deskach scenicznych kopaną i policzkowaną!.. Czemże bo jest właściwie komedjant? Jest stotą już z natury swego rzemiosła podrzędną i z reszty społeczeństwa wykluczoną zupełnie. W chwili, gdy wstąpił na deski teatralne, zrzekł się godności człowieka. Odtąd nie rozporządza on sobą, ba nawet o swej twarzy nie może powiedzieć, że jest jego własnością. Wszystko w nim należy do tych postaci, które zobowiązał się przedstawiać. Nie wolno mu myśleć inaczej, tylko tak jak one, nawet — chodzić; nie dość na tem, że musi wbijać w swoją małpią mózgownicę ich idee, uczucia, wrażenia, nawet ich suknie i buty ubierać musi, ich zarost, jeźli zwykle ogolony, zmarszczki, jeźli młody, ich piękność, jeźli brzydki, brzydotę, jeźli z natury przystojny. Choć ledwie skóra i kości na nim, musi być jednak tłusty na zawołanie, i odwrotnie. Nie wolno mu być ani starym ani młodym, zdrowym ni chorym, tłustym lub chudym, smutnym lub wesołym za popędem swej natury. Słowem jest on grudą miękkiej gliny w ręce rzeźbiarza, niewolnym instrumentem, na którym muzyk improwizuje. Choć melodja piękna i podoba się wszystkim, czyż godzi się podziwiać sam instrument, i dziękować mu za to?.. „Takie i tym podobne argumenta dzikie przywodzi od początku do końca.

Francuzi mówią, że „*le ton fait la musique*,“ być może zatem, że dla szowinizmu wielkomiejskiej publiki, wybujałego na punkcie faworyzowania z jednej, a znowu zbyt daleko idącej zarozumiałości tego lub owego benjaminka scenicznego, z drugiej strony, potrzebny był taki cebrzykzimnej wody... dla refleksji ..

Korespondencja Redakcji.

P. Tadeuszowi Kr. Utwory pańskie drukowane nie będą. Niech to Pana nie zraża — znać w nich talent prawdziwy, trzeba tylko popracować. Panu R we Lwowie. Wiersz pod tytułem „Szczęście“ ma myśl dobrą, ale forma słaba. W ogóle brak w wierszu jasnej dykcji. Radzilibyśmy także panu bardziej się streszczać. W tem leży siła wierszu. Prosimy o coś innego.

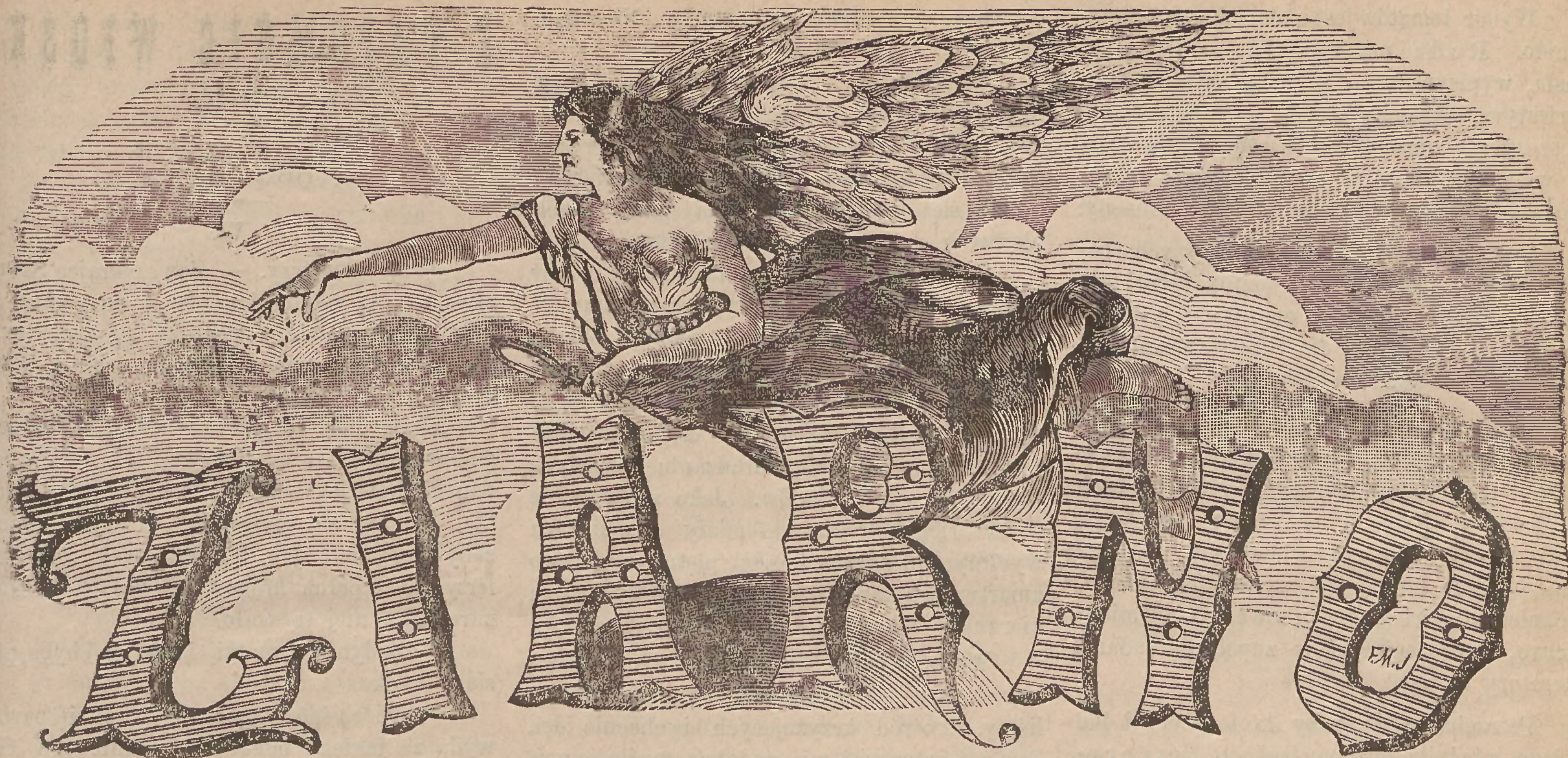
Treść.

W obronie Melpomeny II.
Sewer: Z tajemnic wioski (c. d.).
Niroana (wiersz).
Wierzejski L. Życie mowy.
Arbes J. Obietnica księcia.
Lisiewicz Aleks.: Petöfi Szandor. (dok.)
Przegląd literacki przez Cz.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.
Korespodencja redakcji.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 8. We Lwowie dnia 18. Listopada 1832. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Konkursa „Macierzy.“

Po długich deliberacjach i przewlekłych przygotowaniach wstępnych, budząca tyle przesadnych nadziei — „Macierz polska“, dała nareszcie znak życia, ogłosiwszy trzy konkursa na popularne dziełka ludowe. We wstępie swego konkursowego ogłoszenia, rada wykonawcza „Macierzy“ oznajmia, że drukują się już obecnie, jej staraniem, dwie przeznaczone dla ludu broszury, zamówione u autorów znanych na polu ludowego piśmiennictwa, oraz, że przyjmuje do publikacji i prace nadsyłane jej, na dowolnie przez autorów obrany temat, o ile rzeczywiście okażą się one zgodnemi z zapatrywaniami zarządu tej wydawniczej instytucji.

Podajemy w dosłownem brzmieniu oficjalnego tekstu, ogłoszone do konkursu, z terminem do 1 stycznia 1883 r. temata, wraz z komentarzami, charakteryzują one bowiem wyobrażenia kierowników tej instytucji o potrzebach ludu, i rodzaju jego karmy duchowej.

Konkursa ogłoszone są:

„a) na książeczkę o wzajemnych obowiązkach w rodzinie;

b) na książeczką o poszanowaniu własności;

c) na dziełko popularne w przedmiocie weterynarji ludowej.

W broszurce o „Rodzinie“ (2 do 3 arkuszy druku) życzymy sobie pracy, którąby przypomniała ludowi, jakie są obowiązki i prawidłowe wzajemne stosunki członków rodziny do siebie, wystawiając ważność i nieodzowną konieczność takiego wzorowego w gronie rodzinnem pożycia, błogie skutki dążenia ku zrównaniu się z takim wzorem, a przykrości i niedole tak dla rodziców, jak dzieci, a pośrednio i dla społeczeństwa całego, w razie przeciwnym. — Dla uniknienia zbytniego moralizowania, ma rzecz być ile możności ożywioną pozykładami z najbliższego potocznego życia w odnośnych sferach społecznych.

W książeczce o „Poszanowaniu własności“ (2 ark. druku), piszący rozwinie w sposób odpowiedni pojęciom ludu teorję własności, opartą na prawach powszechnie o niej obowiązujących, z usilną dążnością rozbudzenia świadomości, jak świętem i nietykalnem jest cudze mienie, i jak wstrętne a szkodliwe są następstwa zawiści lub pożądania cudzej własności, ile że każdy dójść może w godziwy sposób do własnego, odpowiedniego stanowi swemu majątku, a to przez pracę, trzeźwość i oszczędność.

W dziełku wreszcie o „Weterynarji ludowej (5 do 6 ark. druku) autor prawdziwie i fachowo obeznany z przedmiotem, wyłożyć ma przystępnie i popularnie anatomię i fizjologię zwierząt domowych, najczęściej w gospodarstwie rolnem używanych, o ile to dla ludu jest koniecznie do wiedzenia potrzebnem.

Następnie opisze najzwyklejsze choroby bydła domowego, tak zewnętrzne, jakoteż i wewnętrzne, i poda środki zaradcze do ratowania go z uwagą, na przesądne a zupełnie bezkuteczne tych chorób traktowanie a również nie zaniedba wskazać na pomoc, jakiej potrzebuje bydło w razie porodu. W zakończeniu podać ma autor krótką naukę obchodzenia się ze źrebcami, i instrukcje kucia koni.

Styl wszystkich tych trzech broszurek ma być popularny; język wolny od niepotrzebnych prowincjonalizmów i szortkiej, rubaszności, słowem czysty i poprawny. Manuskrypta z dołączeniem nazwisk autorów w zapieczętowanych kopertach, mają być nadesłane na ręce prezesa rady wykonawczej „Macierzy polskiej“ (p. A. Małecki w gmachu Ossolińskich). Nagrodzone rękopisma „Macierz“ drukować będzie z prawem tylko jednorazowego nakładu.“

Tyle z ogłoszenia.

Wybór tematów jest nader charakterystycznym. **R o d z i n a i W ł a s n o ś ć** — to hasła, wypisywane stale na wszystkich konserwatywnych sztandarach; o nie najbardziej troszczy się wszelki konserwatyzm, widząc, że w podwaliny te biją najbardziej wzburzone fale, podmywające porządek obecny.

Czy lud nasz nie ma pilniejszych potrzeb nad konserwowanie rodziny, której nikt na serjo nie zagraża, i własności, z której bardzo nie wiele ma do konserwowania — dowodzić nie potrzebujemy.

Prócz tych trosk o konserwowanie istniejącego porządku — Macierz zamierza jeszcze pouczać lud w różnych jego gospodarskich potrzebach. Rzecz to pożyteczna niewątpliwie, chcemy tylko zwrócić uwagę, że mylnem by było mniemanie, iż taki praktyczno-techniczny kierunek ludowego piśmiennictwa, wyczerpuje już w zupełności zadanie literatury ludowej.

Potrzeba także, żeby ktoś pouczył lud o jego, nie tylko już obowiązkach, lecz i p r a w a c h obywatelskich, publicznych i społecznych, ażeby lud ten brać mógł rzeczywisty i samowiedny udział w życiu autonomicznem i politycznem, ażeby nie wybierał na ślepo swych reprezentantów, i umiał ich kontrolować. Dodać przytem musimy, że im lepiej lud pozna swe istotne i najbliższe potrzeby, tem żywiej zainteresuje się sprawami publicznemi, i tem rozumniej ocenić je potrafi. A oto głównie chodzi.

Czy „Macierz“ zająć się ma pouczeniem ludu naszego i w tym kierunku, nie wiemy — ważna to jednak gałęź ludowego piśmiennictwa.

I ten jednak dział nie wyczerpuje całkowicie literatury ludowej. Odpowiednie miejsce wyznaczyć należy także na dziełka, przemawiające nie tylko do konserwatywnego zmysłu i potrzeb materjalnych, nie tylko nawet do praw obywatelskich, lecz wprost do fantazji i serca tego ludu. Klasy zamożniejsze aż do przesytu oddają się kultywowaniu swej fantazji i estetycznych gustów — tego też i ludowi odmawiać nie należy. Lud przytem, z samej natury swego cywilizacyjnego rozwoju potrzebuje takiego pokarmu. Dziecko, młodzian, dziewica, przebywają, jak wiadomo, nader chętnie w zaczarowanym świecie fantazji — a lud cywilizacyjnie jest poniekąd dzieckiem. W ponętną tę krainę, choćby wybujałych nadziei, uciekają też chętnie ci, których życie nie usłane różami — a lud nie żyje w zbytniej obfitości i dostatku. Tylko zaś wysuszeni pedanci odmawiać mogą wielkiego wpływu, owianej ciepłem gorętszych uniesień fantazji na rozwój umysłu i serca młodych, a nawet dojrzałych organizmów. Nie skąpmyż więc i tego ludowi.

Co „Macierz“ zamierza zrobić w tym kierunku — nie wiemy także.

A teraz jeszcze słów kilka. Pierwszy raz zabieramy głos w sprawie „Macierzy,“ należy się więc od nas kilka uwag ogólniejszych o charakterze tej instytucji.

Przedewszystkiem sądzimy, nie należy jej mierzyć wzorami, z których wzięliśmy dla wydawniczej tej instytucji — nazwę. „Macierze“ słowiańskie, które powstały w czasie rozbudzenia się narodowego życia u Słowian zachodnich, były wyrazem i organem usiłowań, skierowanych ku odradzaniu zamarłych prawie narodów i ludów. Jako wytworzone przez ruch odrodzenia, miały one pewien wybitny charakter, nosiły piętno idei tego zmartwychwstania, i wielkie oddały w tym kierunku usługi.

My nie przebywaliśmy prawie takiego odrodzenia, a dziś tem dalej od niego odbiegliśmy. Pośród krzyżujących się obecnie idei, dążeń i interesów, nie podobna myśleć o wytworzeniu instytucji, któraby duchowe potrzeby całego narodu, całego choćby ludu zaspokajała. W naszych stosunkach nosi ona dziś i nosić musi piętno poglądów i aspiracyj, które na nią najbliższy wpływ wywierają.

Nie należy przytem zapominać, że „Macierze“ słowiańskie są to zazwyczaj stowarzyszenia mnogich członków, że więc na nich odbijać się mogą i powinny panujące wśród członków poglądy i prądy.

Nasza instytucja nie wspiera się na tak szerokiej podstawie. Powstała ona jednostkową ofiarnością i staraniami nestora naszych powieściopisarzy a losy jej zależą od dobrej woli, wyobrażeń i łaski kierowników młodej instytucji.

Szanowny jej kurator przejęty jest niewątpliwie najlepszemi chęciami i chciałby wszystkim dogodzić. Zadanie to jednak ponad siły. Drugorzędnej wartości są spory o to, czy „lud“ w **p o l s k i e m** rozumieniu tego wyrazu, to cały naród, czy nie. W całym bowiem narodzie, a nawet w ludzie istnieć mogą i istnieją różne umysłowo-moralne prądy, wychodzące z dzisiejszych ognisk społecznego życia, w podstawie zaś naszego narodowego i **p o l s k i e g o** ustroju leżą różne sprzeczne interesa, które nie zawsze, apelacją do bezinteresowności jedynie i szerszych poglądów, całkowicie już załatać się dadzą.

Nie chcemy nadawać przesadnego znaczenia nowopowstałej instytucji — życzymy jej jednak, ażeby w zakresie, w jakim się obraca i obracać będzie, jaknajwięcej dobrego dla **o g ó l n e g o** pożytku zdziałała.

Z TAJEMNIC WIOSKI

NOWELLA
przez
SEWERA
(Dokończenie)

VI.

Minęło lat trzy. — Zawrzykrajce Szmul Miechowicki oddał pieniądze u adwokata, za które kupiła sobie w Dołędze tuż zaraz przy chacie siedm morgów dobrego gruntu, dwie krowy i parę koni.

Kasia choć to jeszcze młoda, była najpiękniejszą dziewuchą z całej wsi. Biała jak pańskie dziecko, oczy miała niebieskie i wielkie, — gdy się rozśmiała, to wyszczerzała zęby tak białe jak i u Wałowej. Zgrabna, fertyczna, pełna uroków i wesela — samo zdrowie z niej tryskało.

— Jedyna u matki, brak jej chyba ptasiego mleka.

— Niech ino zmądrzeje, to ci się pewno wyda za jakiego bogacza, za młodego Gofrona, albo za syna Sobociny...

Kumoszki radziły, a Kasia cieszyła się życiem i młodością swą. Czy z sierpem idzie do żniwa, czy z konwiami po wodę, czy krowy doi, czy na zagonie piele — wyśpiewuje różności — furka niby ptak i śmieje się do słońca, do ludzi, do świata całego.

— Młode to i głupie, — mówili starzy.

Kasia nie była głupia, cieszyła się szczęściem, jakie miała u Boga i ludzi. — Kąpała się świtaniem w wiosennej mgle, rankiem w perlistej rosie, zachodzące słońce złociło ją i rumieniło; gdy biegła przez wał, przedrzeźniała ptaki i koniki polne.

W zielone święta wdziała białą, wzorzysto haftowaną spódniczkę, amarantowy gorset i białą chustkę na głowę. Ledwie wróciła z kościoła, gdy po wsi rozeszła się pogwara, że Zyzma się zjawił.

— Jak raz mam dwanaście papierków, — zawołała Zawrzykrajka, — i dobrze, że wrócił oddamy mu je. — Dobra żydzina, żeby nie on, bieda by nas dobrze sponiewierała.

Kasia się czegoś zarumieniła, lecz nic się nie odezwała. Zjadła obiad i z ciekawości wybiegła do ogrodu zajrzeć, co się dzieje przed chatą Wałowej.

Josek w świątecznym, materjalnym chałacie, w krymce i w kapeluszu, jedną ręką podkręcał pejsy, drugą założył za wełniany pas opasujący mu biodra. Stał poważnie i słuchał co mówił gość, siedzący przed chatą na ławie. Zyzma ubrany był jak pan, złoty łańcuch przy kamizelce i pierścionek na palcu świeciły od promieni słońca. Palił papierosa, oczy przymrużał i patrzył jak młody dziedzic. A ładny się z niego zrobił mężczyzna-

Sara rozpromieniona nie śmiała przy nim usiąść, dziwowała się temu co mówił, i z radości pokazywała białe swe zęby. Zyzma opowiadał o Wiedniu, zkąd przywiózł macosze chustkę i prezenta dla dzieci.

Gdy przestał, Josek z właściwą mu powagą objaśniał go o swych interesach i projektach na przyszłość. Sara głową kiwała na znak wielkiego podziwu nad mądrością syna. Josek patrzył na karczmę, i mówił o niej jak o swej własności.

Słyszała opowiadanie Zyzmy Kasia zasłonięta płotem własnego ogrodu. Dziwowała się jego urodzie i ładnemu ubraniu, radaby go zobaczyć zbliska i pogadać z nim, ale się jakoś wstydziła, nie Zyzmy ale ludzi. Zaczęto mówić o niej. — Dziewczyna przyłożyła ucho między szczeble płotu.

— Zawrzykrajka — opowiadała Wałowa, — bogaczka. A ta Kasia, poniewierało się to po drogach i cudzych kątach — lubiłeś ją przecie i ty — pamiętasz?

Zyzma kiwnął głową na znak, że pamięta.

— A czy uwierzysz, że ona dziś najpiękniejsza dziewucha na całą het — okolicę? — Wałowa zakreśliła ręką wielkie półkole. — A mówię ci krew z mlekiem, a ślepie wielkie, a zęby — a usta jak u dworskiej panny.

— Widziałem ją, — odparł z pewnem roztargnieniem Zyzma.

Kasia zaczerwieniona wysunęła się z po za płotu i przyczajona do ziemi dopadła do chaty, a że właśnie dzwonili na nieszpory, nie czekając na matkę ogarnęła się i wyszła biegnąc prosto do kościoła.

Wieczór już był, gdy z powrotem weszła do chaty.

— A wiesz Kasiu co ci powiem? Zyzma ani się pokazał.

— Nie byliście Matusiu na nieszporach? — przerwała.

— Zdrzymnęłam se leguśko, alem się jakoś przebudzić nie mogła. — No i co sobie ten żydek myśli, że nie przychodzi po swoje?

— A wiem ci to, — odparła Kasia.

— A dawniej, jakeś była mała, to ci świadczył, to ci pochlebiał. — I cóżby ci przyszło z żyda? A tera ani zajrzy.

Kasia milczała.

— A i lepiej — bo jak tu posiedzi a zachodziłby do nas, to byś się ino po próżnicy na pośmiewisko ludzkie podała.

Dziewczyna zabierała się do wyjścia.

— Gdzieżto? — spytała matka.

— Przecie matusia wiedzą, że jutro musimy ubierać obrazy, a ogrodnik nie chce dać kwiatów. Lecę naradzić się z Zosią.

— I nie przebierzesz się?

— Abo to nie wielkie święto moja matusiu?

Kasia wybiegła w białej haftowanej spódniczce i amarantowym gorsecie. Drożyna do Zosi wiła się wśród rozrzuconej po murawie olszyny. Księżyc wychylał się z za pagórka wielki, ognisty, rzucając czerwone blaski na świat.

— Będzie posucha, — zawołała wesoło Kasia patrząc na księżyc, chociaż jej troszkę było markotno, że Zyzma o jej chatę ani zawadził.

— Pewno bogaty i dla tego zhardział — myślała. — Ma ci złoty łańcuch, pierścionek i przyodziewę galantą.

Ledwie to sobie powiedziała, Zyzma wyszedł z za drzewa, stanął na ścieżce i jak się patrzy grzecznie się skłonił. Dziewczyna się przestraszyła, tchu jej w piersiach zabrakło i chciała już uciekać, gdy Zyzma przemówił wyciągając rękę.

— Nie poznajesz mnie to Kasiu?

— A toć Zyzma — zaczęła prędko mówić chcąc pokryć wzruszenie. — Uciekłeś, a mnie się z początku cnęło, ale potem zapomniałam sobie. A matusia cię wyglądają od południa z temi dwunastoma papierkami. Oj, oj, wyświadczyłeś nam i bardzo — i niech cię Bóg nagrodzi.

— Już mnie nagrodził, — przerwał opowiadanie chłopiec patrząc zalotnie w oczy dziewczynki.

Kasia spłonęła od tego spojrzenia.

— Mam pieniądze, mówił dalej — jestem zdrów, ludzie mnie lubią, dobre interesa robię i nie zapomniałem o Was. Anibym tu zajrzał, gdyby nie ty moja Kasiu. Przywiozłem ci gościniec. — Wcisnął jej na palec ukuty ze złota pierścionek z zielonym kamieniem.

— Ej, ej mój Zyzma a co ja będę z takiem bogactwem robić? — szeptała patrząc uszczęśliwiona na pierścionek.

— Bo prawda żebyś za niego kupiła ze dwie wielkie krowy. A co z nim zrobisz, to ci powiem. Jak będziesz mieć długą suknię, kapelusz i złoty zegarek, to ci się przyda. — Wziął ją w pół pochylając się ku niej.

Kasi serce biło, ciężko oddychała.

— Przecie ja jestem gospodarska dziewucha a nie żadna pani, — mówiła spuszczając oczy.

— Ale zostaniesz panią!..

Dziewczyna spojrzała ciekawie na Zyzmę. Chłopiec co raz serdeczniej tulił ją do siebie.

— Pamiętasz, jak byłaś małą i biedną dziewczyną, tom cię lubił, głaskał i czem mogłem dzieliłem się z tobą — a byłem wtedy biedny — bardzo biedny...

- Prawda — szepnęła.

— Wydobyłem was z biedy i teraz jesteś bogata.

— Prawda — poświadczyła cicho.

— A gdy mnie macocha z domu wygnała, ludzie skrzywdzili, powiedziałem sobie, że muszę zrobić pieniądze — i jak je będę miał, — powrócę...

Kasia milczała wysuwając się powoli z objęć Zyzmy.

— I wróciłem! Byłem w Wiedniu, Krakowie, widziałem dużo ładnych panien a jednak wróciłem.

Dziewczyna spuściła oczy.

— Kasiu ty jesteś dla mnie najładniejsza. Biedny chłopak myślałem sobie, że będziesz moją. Dziś jestem bogaty i potom tu przyjechał.

— Aleś ty mój Zyzma żyd! — zawołała wystraszona dziewczyna.

— Jeżeli mnie zechcesz, to ja przestanę być żydem. Nie mam ojca, a o macochę i innych żydów nie dbam. Kasiu dawniej lubiłaś Zyzmę; gdyś go zobaczyła na błoniu, biegłaś do niego...

I znów ją objął w pół.

— Lubię cię i teraz, lecz cóż ludzie powiedzą, żem się wydała za wychrztę? — a toć podam się na pośmiewisko, przekleństwa i zemstę wszystkich żydów?

— Co ta żydzi? ty ich się nie boisz. — A ty się swoich boisz?

— Nie boję, ale się wstydzę. Oczu bym nie śmiała podnieść na ludzi.

— To uciekajmy! zawołał.

— A matusia?

— Zabierzemy ją.

— A gospodarstwo?

— Sprzedacie. Zawiozę cię tam gdzie będziesz panią, gdzie nikt marnego słowa ci nie powie, ludzie będą usuwać ci się z drogi, — a na mnie nie powiedzą, żem żyd...

— A ino jak? — spytała naiwnie.

— Powiedzą — uczciwy człowiek.

Kasia się zamyśliła.

— Tam zawsze ciepło, tam zawsze lato. Nie będziesz nic robić, a ja cię będę pieścił i całował. Przecież ja byłem dobry dla ciebie, posyłałem cię do szkoły, kochałem. Kasiu pojedziesz? Prawda że pojedziesz?! Pocałował ją tuląc do siebie.

— Ja pójdę za tobą, a tu cała wieś krzyknie: — „uciekła z żydem!“ Ludzie mnie będą pomstować... Tegobym nie przeżyła... — Zalała się łzami.

— Ludzi i wioski nie zobaczysz.

— Nigdy?

— Już nigdy w życiu.

— Abo jabym to wytrzymała na takiej pustce? Abo jabym to wytrzymała bez ludzi, chaty, gadziny i dobytku? Jak pójdę na

odpust do Szczepanowa na dwa dni, to mi się tak cnie za Dołęgą i zagrodą, że rady sobie dać nie mogę. Mój Zyzma nie ciągnijże mnie na zatracenie.

— A przecie i tam są ludzie, i lepsi i ładniejsi.

— Ale nie tacy — odparła.

— Albo to w Dołędze już cały świat? Alboż za Dołęgą nie można już żyć?

— Można ale nie nam.

— Kasiu ja cię tak kocham, będę cię ślicznie ubierał, będę cię pieścił, będę ci służył — matkę twoją szanował.

— I cóż mi z tego, kiejś ty żyd! — zawołała łamiąc ręce.

— Ale cię kocham jak żaden na wsi chłopak.

— I cóż mi z tego kiejś żyd — powtórzyła z rozpaczą.

— Zabiję się — szepnął, usta mu drżały, a w oczach światełka migały.

— Dla jednej dziewczyny, — nie żartujże sobie mój Zyzma,

— Przysięgam ci jak Bóg na niebie — zabiję się.

— Ha! mówiła z rezygnacją oddając mu pierścionek i smutnie wstrząsając główką, — jeżeli już tak chcesz, to się kiejś przecie na tamtym świecie spotkamy.

— Precz! — krzyknął Zyzma, precz! — powtórzył cicho ochrypłym głosem, coś go widocznie dławiło.

Wystraszona dziewczyna skoczyła jak błyskawica, uciekając, ile jej sił starczyło. Zyzma stał z wyciągniętą ręką blady — powtarzając:

— Precz — precz!

Dziewczyna zniknęła wśród drzew, jak gdyby się rozpłynęła w bladem świetle księżyca, a Zyzma jeszcze stał z wyciągniętą ręką.

Drzwi zaskrzypiały do izby Zosi Kopcianki. Wpada Kasia nie mogąc ze strachu słowa przemówić.

Opowiadała, że ją coś straszyło w olszynie.

Nazajutrz rano Wałowa przyniosła od Zyzmy kartkę Zawrzykrajce, chwaląc się, że te dwanaście papierków które odbierze, przeznaczył Zyzma na posag dla Ryfki. Wałowa się przysięgała, że zanim Ryfka urośnie, musi z tych dwunastu zrobić stówkę.

Kasia przeczytała kartkę głośno, a że w niej wyraźnie napisane było dwanaście guldenów bez żadnych procentów, gospodyni wydała je Wałowej.

* * *

I już więcej oczy ludzkie nie widziały Zyzmy.

Kasia wydała się za syna Sobociny, i choć ją tam czasem chłop poszturka, gdy wróci z karczmy, — dziękuje Bogu, że nie wyszła za żyda i nie piastuje żydowskich dzieci. — Ma ich tam pan Jezus troje, i chowają się dobrze za wolą Bożą.

Wałowa robi pieniądze a i ludzie ją lubią. Zawsze gotowa wygodzić w potrzebie, nie zdziera, a cierpliwa.

Josek, już na dobre zawojował matkę. Poważny, milczący, patrzy na karczmę i kiwa głową. Joska nikt nie widział śmiejącego się, lecz gdy sam jest, gdy odpoczywa, bawi się własnemi myślami i na karczmę patrzy, wtedy się uśmiecha grożąc gojom.

Ryfka idzie za syna szklarza ze Szczurowy i wnosi mu posagu sto papierków, które mają wejść do handlu cielęcemi skórkami. Tak postanowiono na radzie familijnej. Josek przyrzekł siostrze swoją protekcję, za co mu jest wdzięczną.

Mojżeszek chodzi do szkoły z katolickiemi dziećmi i przysięga matce, że będzie taki mądry i taki pan jak Zyzma.

Z poezyj Henryka Merzbacha.*)

Z KORDOWY.

Graj na gitarze, Kalifów prawnuku!
Niech Andaluzki swą kaczuczę tańczą...
Wśród gromów walki i wśród armat huku,
Niech kastaniety cię do marzeń niańczą! ...

Cóż, że tam zdala, za Sierra Moreną,
Lud tron obala i Burbonów imię!
Twojej wolności, żadnej zbrodni ceną,
Żaden ci tyran nie wydrze, olbrzymie!

W twoim meczecie (**) leży Alba w trumnie,
Oprócz Kordowy, światy przed nim drżały...
Twym wałem — góry, co tak sterczą dumnie,
Jakby w ich łonie wieki skamieniały.

W Gwadalkwiwiru otchłani przezroczej
Kąpiesz swe mury, Maurów Alkazarze!...
Po twych zwaliskach młody pieśniarz kroczy
I twoje dzieje pisze... przy gitarze...

Kordowo! dawniej byłaś panią światów,
Ludu miliony legły twe ulice...
Dziś w twych ogrodach pustych, wśród granatów,
Jak z alabastru kąpią się dziewice...

Dawniej świat sławił twych synów imiona:
Averroesa, Senekę, Gonzala...
Dzisiaj samotna romanza stęskniona
Nad tem co było — cicho się użala.

Ale ja wolę huryski i pienie,
Wolę z marmuru wyciosane wanny,
Wolę różami pachnące strumienie
I aż do niebios bijące fontanny.

I u tych fontan dumające dziewy,
A przy tych dziewach hidalgi wspaniałe,
Wolę miłością nieśmiertelne śpiewy
Nad twe Seneki i nad twoją chwałę!

Bo jak wiatr liście z twoich palm odziera,
Tak dziejów karty zrywa czas — morderca.
W ludzkości tylko młodość nieumiera,
Tylko nie giną kochających serca...

Graj na gitarze, Kalifów prawnuku,
Niech Andaluzki swą kaczuczę tańczą...
Wśród gromów walki i wśród armat huku
Niech kastaniety do marzeń cię niańczą!...

*) Patrz „Przegląd literacki“.

(**) La Mezquita

Początek i rozwój staro-egipskiej religii

przez

Jerzego Ebersa

(z niemieckiego.)

Odcyfrowanie hieroglifów wszelkiego rodzaju, z dniem każdym staje się łatwiejszem. Doszliśmy już tak daleko, w odróżnianiu form starszych od nowszych, w wykładzie syntaktycznej budowy mowy, w tłumaczeniu tekstów, iż w wiernie zdjętym szkicu dwóch niezależnie od siebie pracujących badaczy, zaledwie małe zboczenia znaleść się mogą. A ponieważ większa część literatury staroegipskiej, nam znanej, składa się z religijnej treści, należałoby mniemać, że o wierze Egipcjan jesteśmy dokładnie poinformowani. Tymczasem tak nie jest; jakkolwiek bowiem niezliczone religijne napisy, które się na ścianach świątyń i grobowców, w sarkofagach, papyrusach, amuletach, i t. d. znajdują, dla tłumacza w przełożeniu i rozbiorze gramatycznym nie przedstawiają żadnej trudności, odcyfrowane jednak pisma są tak pełne alegoryj, ciemnych symbolów, i tylko dla wtajemniczonych zrozumiałej gry wyrazów, iż najpoprawniejsze tłumaczenie oddać jasno głównej myśli nie może. — Dziwić nas to nie powinno; — przecie symboliczna mowa i w chrześcijańskich pismach częstokroć brzmi tak, że w niej zawartej nauki innowiercy nie tylko nie pojmują, ale fałszywie wytłumaczyć ją mogą. Przypomnijmy na przykład apokaliptycznego baranka z siedmioma nogami i siedmioma oczyma, który jest panem panów i królem królów, albo kozła, którego odłączą od owiec, gdy zagrzmią trąby w dniu ostatecznym. Zdania te każdy chrześcijanin bez komentarza rozumie doskonale; lecz jakież pole domysłów zostawiają one mało z wiarą naszą obeznanym Mahometanom lub Budystom! — Religijne napisy i pisma Egipcjan są wyraziste, lecz rozłamać trzeba wiele jeszcze pieczęci, nim je zupełnie pojmiemy. W ostatnich czasach porobiono znaczne wyjaśnienia. Znamy nie małą liczbę bogów egipskiego Panteonu, i kilkanaście opowiadań mytycznych,

które wtajemniczają nas w ich rządy, wiemy w jaki sposób ich czczono, posiadamy wiadomości o etycznych prawidłach religii, jesteśmy w stanie zrozumieć naturę wiary Egipcjan w nieśmiertelność, — a przecie nie udało nam się dotąd odkryć działalności pojedynczych bogów i ich stosunku z sobą, oraz dojść do początku rozwoju pojęcia bóstwa u Egipcjan. Ostatnie przedsięwzięcie nie mało ma trudności do zwalczenia, gdyż jak oświata Egipcjan tak i religia, na najstarszych pomnikach występuje w skończonej całkiem formie, która choć podlega różnym przejściom, nic jednak nowoukształconego nie przedstawia; drażni to badacza, tem bardziej, że metoda poszukiwań w naszych czasach wymaga, by nietylko śledzić rzecz dokonaną, ale początek i stopniowy wzrost jej istoty.

Nie oparł się tej pokusie i autor odczytów o „Początku i rozwoju religii dawnych Egipcjan" p. P. Le Page Renouf, jak tytuł sam wskazuje. Stara on się w zwięzły, elegancki i zrozumiały sposób przedstawić naukę wiary starożytnych Egipcjan, i broniony przez Maxa Müllera „Urmonotheism" im narzucić. Dowodzi, iż legiony egipskich bogów wyłoniły się stopniowo z jednej światem poruszającej siły, co znaczy, że po pierwotnym monoteizmie wierzono najpierw w kilku, potem w więcej a w końcu w niezliczoną liczbę bogów.

Nim przeciw zapatrywaniu uczonego autora wystąpimy, musimy wyrazić skrupuł, czy w ogóle nadszedł już czas do napisania łącznej mitologii Egiptu. Podobne próby, na których nie zbywało dotąd, nie były uwieńczone pożądanym skutkiem, ale chociaż jako całość z każdej nowej pracy w podobny obręb wkrótce mogły być przeniesione, niemniej przyczyniły się, by niepewności w prawdopodobieństwa, a wątpliwość w pewność zamienić. Zasługę tę przyznać trzeba także odczytom Le Page Renouf'a. gdyż faktem jest, iż mało z obecnych (tegoczesnych) egiptologów może z równem mu powodzeniem podjąć się tego trudnego zadania, zna on bowiem gruntownie język Egipcjan, i swą subtelną lingwistyką i gramatycznemi odkryciami przysporzył nauce plonu nie mało; jest również biegły, — co po następcy Maxa Müllera spodziewać się należy, — głęboko w wszelkiej porównawczej mitologii. Pewniki jego przyjąć można bez zastrzeżeń, z czego skorzystają niezawodnie mniej zdolni badacze, ale domysły choć upozorowane umiejętnie, pozostają do zaprzeczenia; przedewszystkiem hypoteza Le Page Renouf'a o pramonoteizmie Egipcjan jest podług nas błędną.

Już przed kilkoma laty R. Pietschmann w Virchowa „Etnologii" wydawanej przez Bastiana i Hartmanna, bronił przeciwnego poglądu, wykazując, że postępujące wyobrażenie religii egipskiej winno być brane z punktu historycznego, i zwrócić się do dawnego feteszyzmu. Oczywiście żąda, aby słowo feteszyzm w wyższem, niż krajowe, znaczeniu było pojmowane, gdyż w istocie u narodów oddanych feteszyzmowi, słowo to wyraża pojęcie boga, które wszędzie ściąga się najpierw na przyczyny pojedynczych działań, a potem dopiero na ogół wszystko poruszającej siły. Przekonaniu temu nikt się nie oprze, kto wie, iż razem spojone pojęcia rodzajowe pochodzą zawsze dopiero z spostrzeżeń połączonych części wyobrażeń. Człowiek pierwotny, który wróbla, jaskółkę, bociana orła szczegółowemi nazwiskami mianuje, nie posuwa się tak daleko, by dla wszystkiego drobiu zbiorową nazwę „ptactwa" wynaleść, inny zna wierność, miłość, odwagę, pilność, wytrwałość bardzo dobrze, ale nie udało mu się odpowiedniego naszej „cnocie" słowa dla tych przymiotów utworzyć. Wszelako religijno historyczne i psychologiczne studja naszego wieku stwierdzają, iż nie ma ludu na ziemi, u którego by religijne potrzeby w jakiejkolwiek bądź formie nie wystąpiły, i że poszukiwania za działającą na zewnątrz ludzkiej indywidualności kosmiczną siłą, każdemu śmiertelnikowi tak są wrodzone, jak inne popędy i porywy. Jeden każe ludziom szukać Boga w uczuciu nieskończoności jego siły, i w pożądaniu obrony przeciw niezależnym od niego zjawiskom natury — inny dlatego tylko, iż rodzajowi ludzkiemu jest właściwem badać przyczynę każdego skutku. Przerażony umysł może, gdy otworzą się niebieskie opusty, błyskawica rozrywa chmury, grzmot trzeszczy i huczy, a burza drzewa wyrywa, trwożliwie zawołać: „któż uratuje mnie od niebezpieczeństwa?" lub spytać z zdumieniem: „cóż tu się robi i kto jest ten, który zsyła te okropności?" Chcielibyśmy się do tych przyłączyć, którzy powodującą przyczynę za źródło pierwotnych uczuć religijnych uważają; ale czy poszukiwanie Boga tak czy tak się objaśni, zdaje nam się być pewnem, iż dziecięcy duch prostych ludów, nim mógł powziąć myśl o jednej, całym światem rządzącej sile, pojmował pojedyncze siły, od których niezwykłe zjawiska złe lub dobre czynił zależnemi. Rozpoznanie w starszym nieprzyjacielu, który daje niepogodę, zaciemnia noc, mór zsyła, tej samej przyjaznej siły, która świat oświetla, pomyślności i urodzinom przoduje, noc miliardami gwiazd przystraja, jest krokiem przypuszczającym długi szereg poruszeń duchowych. Jeżeli jaka, to egipska religia musi nazywać się lokalną. We wszystkich częściach ściśle trzyma się właściwości Nilowej doliny, i łatwo wierzyć przychodzi, że w czasach jej powstania, szukano najpierw siły zamieszkującej słonce, a potem innej podnoszącej Nil, t. j. siły, która regularny wylew sprowadza, jako jedynej całe kosmiczne i ludzkie życie przenikającej i prowadzącej energii. Słoneczna służba Egipcjan ma formy, które tylko w dolinie Nilowej mogły się wykształcić. Tu na wschodzie i zachodzie dwa nieprzełamane łańcuchy gór odgraniczają kraj urodzajny. Za jednym młodziuchne słońce codziennie wstaje z pościeli, za drugim oddzielonym od ról niezmierzoną pustynią, zapada; tu strumień od którego dola i niedola pozbawionego deszczu kraju z niesłychaną gdzieindziej wyłącznością zawisła, odbiera cześć i ofiary, zatem nie możemy się dziwić, gdy widzimy, że całość religijnych i mitologicznych wyobrażeń Egipcjan od najdawniejszych do najpóźniejszych czasów, na kulcie egipskiego słońca, gwiazdy Egiptu, i egipskiego Nilu się opiera. Powtarzająca się codzienna walka światła z ciemnością, wpada szczególnie tu w oczy, a na niej i na siłach dzielących tę sprzeczkę, jak niektóre mytyczne legendy spowodowane szybkością Nilu, pouczają, kształtowanie mytów polega. Czy potem, co wyraziliśmy, można wierzyć jeszcze, iż w starożytnych czasach w dolinie Nilu jeden Bóg był uznawany, i dopiero później pod różnymi kształtami i imionami jako zjawiska natury i poruszenia duszy ludzkiej sprawująca siła, bywał czczony; a czyż nie zbliżylibyśmy się więcej do stanu rzeczy, gdybyśmy przypuścili, że najwięcej wpadające w oczy i najsilniejsze zjawiska w życiu wszechświata, uwagę najprzód dziecinnego, szukającego Boga ludu zwróciły na siebie, i spowodowały pierwszych mieszkańców Egiptu do uznania w nich przyczyn, które były podstawą warunków, wśród jakich egzystowali. Te zjawiska, których przyjazne i szkodliwe działania każdego czasu dały się uczuwać, starano się bezsprzecznie pierwej przez modlitwy i ofiary ująć, i przejednać, niż jedynego Boga, dla którego Le Page Renouf i jego poprzednicy od wielobóstwa Egipcjan odwodzą.

Dwie są przedewszystkiem podstawy, na których uczony Anglik opiera swe spostrzeżenia. W późniejszych czasach Panteon egipski zaludniały istoty pierwej całkiem nieznane, a i w napisach pochodzących z stosunkowo dawnego czasu, o Bogu (nuter) w liczbie pojedynczej często jest mowa. Obydwa argumenta upadną, jeśli trzeźwo bez ułudy najstarsze pomniki (istniejące) i napisy na nich obejrzymy. Wszystkie bez wyjątku są płodem wysoko rozwiniętej i uregulowanej oświaty, a postawione są od ludu, który uprawiając rolę pod kilkakrotnie rozczłonkowanym mechanizmem rządowym, brał udział w wszelkich błogosławieństwach dobrze zorganizowanego państwa. Uporawszy się od dawna z nędzną troską o byt, mogli staro-

żytni Egipcjanie, o których posiadamy wiadomości, obrócić ogromną obfitość nadmiernej siły na uszlachetnienie i upiększenie życia. Posługiwali się wyłącznie skomplikowanym własnym systemem pisma, uprawiali ważne i trudne nauki, jak astronomję, geometrję z wielką starannością, i szczycili się sumiennem wykończeniem pracy. Tyczy to się głównie plastyki; ale obok niej pokaźne zajmowała miejsce architektura, tudzież muzyka, którą gorliwie pielęgnowano. Już wówczas znaczna część znaczniejszych bogów nosiła jednakowe nazwy, i tak była przedstawioną jak w późniejszych czasach, a napisy w świeżo otwartych piramidach wskazują, że nawet wiara w nieśmiertelność w owej (pierwotnej) epoce zbliżała się więcej do późniejszej formy, niż niedawno sądzono. Sama okoliczność, iż tak ważna część księgi umarłych, jak rozdział siedemnasty, już w państwie starożytnem zamkniętą i różnymi komentarzami opatrzoną była, powinna pouczać, że w historycznej, t. j. przez napisy mówiącej do nas epoce, o przechodzie z monoteizmu do wyobrażeń polyteistycznych mowy być nie może. Jeźli liczba bogów i demonów w nowem państwie się zwiększyła, to pochodzi po prostu ztąd, że każda egipska wioska posiadała swe lokalne bóstwa, a niejedno z nich tylko w małym obrębie swych nomos wysoko poważane, w całym kraju cześć odbierało, skoro z ojczyzny jego wyszła możnowładców familia. Wspomnimy jeno Amona z Teb, który nigdzie w starszej księdze umarłych nie jest wymieniony, a któremu po wypędzeniu Hykzosa, familia władców pochodząca z miasta Amona, nadała godność króla bogów. Nadto, dodać należy, iż w nowem państwie fantastyczne obrazy życia duszy w innym świecie, z upodobaniem z najdrobniejszemi szczegółami były przeprowadzone, i nieznanymi dotąd demonami uposażone, i że w następstwie stosunków, jakie się pod zwyciężającymi Faraonami 17 i 18 dynastji, między Egiptem i Azją zawiązują, niektóre wyobrażenia religijne i nazwy bogów, szczególnie semickiego pochodzenia, mogły tam także wejść i weszły. (D. n.)

Dziecko sąsiada

przez

Henry Irvinga

(z angielskiego)

W naszych czasach, kiedy postęp realizmu tak wielkich dokonuje przewrotów we wszystkiem, co teatru dotyczy, byłoby na miejscu zwrócić raz pilniejszą uwagę na te najbardziej ludzkie zdobycze, którym biedny aktor zawdzięcza nowoczesny popęd do prawdy naturalistycznej. Czasy tekturowych pasztetów i drewnianych kurcząt w dobrych teatrach już minęły — prawdopodobnie na zawsze. Na zajmującem przedstawieniu „Dot“ w Folly, pulchna pieczeń cielęca i pokaźna szynka sprawiły kolosalny efekt; piękne te okazy tak podrażniły nerwy żołądkowe wszystkich obecnych, że aktorowie zaczęli grać bardziej naturalistycznie, a publiczność lepiej prawdę gry odczuła. Także przyjazna opieka, okazywana przez pewną nader miłą młodą aktorkę, w pewnej popularnej operetce statystom przedstawiającym wojsko francuskie, do żywego mię wzruszyła. Artystka postarała się mianowicie o to, aby znaczna ilość prawdziwego chleba, który krajała z wielkim wdziękiem, dostała się rzeczywiście dzielnym żołnierzom w tyle sceny, których racje dotychczas prawdopodobnie były nader szczupłe. Taki dodatek co wieczora do żołdu, przyczynił się nie mało do zdrowia tych ludzi.

Kiedyśmy, jest rok temu, mieli grać na pierwsze przedstawienie w Lyceum stary szkocki dramat „Cramond Brig,“ pozostawiono biorącym udział członkom towarzystwa do woli wybór, jakim napojem mają popić „głowę baranią z fasolą.“ Potrawa ta gra główną rolę w „wieczerzach młynarza,“ w której bierze udział cały personal z wyjątkiem szkockiej szlachty i myśliwskiej świty króla; ci biedacy cisną się za kulisami, połykając ślinkę. Ironja dramatycznego fatum zakazuje tym nieszczęśliwcom pojawić się na scenie pierwej, niż po skończonej wieczerzy.

Przypomniało mi to pewne zdarzenie, którego przed kilkoma laty dożyłem. Podczas letnich feryj pewnego znacznego teatru prowincjonalnego, do którego najlepiej płatnych członków się liczyłem, przyjąłem engagement w pewnej małej szkockiej mieścinie. Dostawało się wprawdzie bardzo szczupłe honorarjum a ogromnie długie role, miało się bardzo mało sposobności do zrobienia sobie imienia — w każdym jednak razie było to lepiej, aniżeli siedzieć bezczynnie. Długi, którymi zawsze letni sezon aktorów obarcza, zostały przez to ograniczone do możliwego minimum, a przytem dyrektor nie miał serca z kamienia. Był on w swoim czasie sam nie złym od biedy aktorem, i sprawiało mu to przyjemność, że widział ofiarujących mu swe usługi dobrych aktorów z powodu, że wspaniałe lato dla scenicznego ludku jest prawdziwą zimą, najgorszą porą roku. Rozpoczęliśmy przedstawieniami sztuk: „Cramond Brig,“ „Lord Darnley,“ „Wallace,“ „the Hero of Scotland“ i „Gilderoy the Bonnie Boy.“ Oprócz tego, że brałem udział w hymnie narodowym, który co wieczora odśpiewywało całe towarzystwo z grzmiącą lojalnością — grałem we wszystkich tych sztukach. Po próbie z „Cramond Brig“ odezwał się nasz wesoły dyrektor: „No dzieci, dzisiaj nie braknie nam porządnej „wieczerzy młynarza;“ żadnych oszukaństw, żadnych tektur, ale porządna głowa barania i tęgi łyk prawdziwego „szkockiego“.

Dyrektor dotrzymał słowa; wieczór wniesiono prawdziwą, pięknie fasolą ubraną głowę baranią, nie brakło też „łyku prawdziwego szkockiego“. W scenie tej „dziecko sąsiada“ jest bardzo ważną osobą. Wchodzi i ma usiąść obok stołka młynarza. Rolę tę grała ładna dziewczynka o smutnych oczętach, mogąca liczyć lat około dziewięciu. Podczas wieczerzy, kiedy Jock Howison nawołuje do sumiennego wychylania „Whisky“, schyliło się dziewczątko ku mnie i zaszczebiotało: „Proszę pana, nie dałbyś mi odrobiny?“ Byłem najkompletniej zdziwiony, — dziewczę błagało jednak tak gorąco, że odpowiedziałem: Jeżeli już koniecznie chcesz, to niech stracę, jutro wieczór dostaniesz naparstek „Whisky“.

Na drugi wieczór, ku największemu mojemu zdziwieniu, wyciągnęła z kieszonki swej kratkowanej sukni jakieś błyszczące cacko, a pokazując mi je rzekła: „Oto naparstek — kochany panie.“

— Cóż ztąd?

— Przyrzekłeś mi przecie naparstek Whisky gdybym zażądała, — a jabym chciała koniecznie. — Wypowiedziała to z tak niewymuszoną swobodą, jak gdyby nie była na scenie. Widzowie pękali ze śmiechu i bili nieskończone brawo. Aktor grający młynarza niemógł podobnież wyjść z zdziwienia, byliśmy jednakże obaj zanadto rutynowani, aby wypaść z roli... Napełniłem przeto podany mi naparstek, poczem moja mała odwróciła się od publiczności i schowała naparstek do małej cynowej tabakierki, owinąwszy go poprzód szczelnie papierem, aby płyn się nie wylał...

Zasłona zapadła. Dyrektor promieniejący od szczęścia pogłaskał dziewczątko. Jesteś prawdziwym genjuszem — rzekł — twój pomysł był cudowny, najlepszy z całej sztuki. Musisz tę historję powtarzać odtąd co wieczora. Ale, zdaje mi się, ty nie zechcesz przecież pić wódki? — To... nie uchodzi, nie, nie, nie rób tego.

— O nie! panie dyrektorze, daję panu słowo — ja tego nie zrobię, zapewniało dziecko z najpoważniejszą w świecie miną, i pobiegło do garderoby.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom musieliśmy grać „Cramond Brig“ jeszcze sześć razy dzień w dzień; co wieczora mała aktorka napełniała swój naparstek wódką, i co wieczora zdobywała przy tem huczne oklaski. Do czegoż przecie potrzebowało to dziecko

Whisky? cóż ona za jedna?... Chciałem koniecznie wybadać tę rzecz, ale gdy się raz zapytałem, to tak niechętną zrobiła twarzyczkę, i tak zróżowiała, że nie chciałem pytać dalej. Dowiedziałem się tylko starej rzeczy: nie miała matki, a ojciec był nicponiem — pijanicą.

A przecież jeszcze cała ta historja była dla mnie zagadkową. Cóż mogła ta dziewczynka robić z wódką? Wszakże dla zapitego ojca nie był przeznaczony ten naparstek.. Łamałem sobie głowę — napróżno. Ujęła mię jednak ta mała, i postanowiłem sobie koniecznie zbadać tajemnicę, bo że zachodziło tu coś niezwykłego, niemiałem wątpliwości. Raz po przedstawieniu widziałem, jak biedne dziecko samo szło do domu. Nie było ani matki ani brata, by je odprowadził w nocy. Spiesznym krokiem zdążało ku najuboższej dzielnicy miasta. Ja za niem. Weszło do jakiegoś starego, zawaleniem grożącego domu, po drabiniastych schodach wdrapało się na najwyższe piętro. Cicho i ostrożnie postępowałem za dziewczątkiem. Weszła do małej izdebki. Z garstki węgli tlejących na kominie, padało nieco światła na mizernego chłopaka, może dwa lata od niej młodszego, który zobaczywszy siostrzyczkę, popełzał ku niej ze swego miejsca przy ognisku.

— Cissy! ach jakżesz się cieszę żeś wróciła. Myślałem że już nie wrócisz — wyszeptał mizerny chłopczyna. Ona objęła braciszka ramionami, złożyła jego głowę na piersiach i poprowadziła znowu bliżej kominka.

— Jakżeż — zapytała — boli cię bardzo?

— Tak... — Smutniejszego „tak“ nie słyszałem w życiu.

— O mój Willi! gdybym choć trochę mogła ci ująć z twojego cierpienia!

— Ale nasz ojciec, nasz ojciec, — odrzekł chłopczyna, to szkaradnie, że w takiej słocie wysela mię na żebry. On wie przecież, jak jestem słaby!

— Willi! cicho na miłość boską. Mógłby cię usłyszeć.

— Dobrze, niech słyszy. Ja chcę, ażeby mię raz usłyszał, lepiej niech mię od razu zabije!..

Rozpaczliwa rezygnacja małej dzieciny, była czemś nad wyraz okropnem.

— Pst, cicho! ojciec nadchodzi, nie powinniśmy nań wyrzekać, — uspokajało dziewczątko tłumiąc silne łkanie. Potem rzekła: Chodź, chcę ci trochę uśmierzyć bolu.

Chłopczyk zwlókł koszulę z ciała. Ona nachyliła się ku niemu, objęła serdecznie ramionami i pocałowała. Sięgnęła do kieszonki i wyjęła tabakierkę.

— O gdybym była mogła dostać więcej, mój biedny Willi! możeby bole od razu ustąpiły... Domawiając tych słów zapaliła łojówkę. Potem potarła łopatki i krzyże chłopczyny kilku kroplami wódki, odziała go, przyprowadziła napowrót do kominka, a wziąwszy jego główkę na kolana zaczęła go usypiać.

Przez otwarte na wpół drzwi chciałem jeszcze raz popatrzyć na tę scenę — postąpiłem krok, but zaskrzypiał i spotkałem się wzrokiem z wystraszonymi oczyma Cissy. Położyłem palec na ustach i wysunąłem się z sieni. Na schodach spotkałem jakiegoś pijaka, rozbijającego się na wszystkie strony. Wstąpił do małej izdebki. Poszedłem za nim i skryłem się w cieniu na wpół otwartych drzwi.

— Co tu robisz? ha? wstawaj zawrzeszczał do córki surowym ochrypłym głosem.

— Nie mogę tatko; trzymam Willego głowę na kolanach.

— To go puść, wstawaj, powiadam.

Dziewczątko złożyło głowę brata ostrożnie na ziemi zasłanej cieniutkim szalikiem, i zaczęła sprzątać jak ojciec kazał.

— Tatko, Willi jest słaby; ach, gdyby go można wyleczyć.

— Stul gębę. Jeszcze słówko piśniesz, a nauczę was moresu...— Z temi słowy rzucił się opój na łóżko, i pomrukiwał: Leczyć, leczyć, jeszcze czego! Któż będzie zarabiał? Jego kaszel to nasz zarobek. Leczyć, a to mi się podobało. Ani mi się śni... i w kilka chwil potwór ten zasnął,

Dziewczątko patrzało przed siebie wzrokiem błędnym, bez wyrazu, a po chwili zaczęło skłaniać główkę, coraz niżej, niżej.

Nie mogłem dłużej wytrzymać. Wstąpiłem do pokoju. Opój spał snem twardym, a dziewczątko skradłszy się ku mnie wyszeptało z bojaźnią: O dobry panie! Prawda, że jeśli kto dowie się przypadkowo o cudzej tajemnicy, winien ją zachować. Tak mnie się zdaje, dodała z królewską godnością.

Miała słuszność — odpowiedziałem przeto z całą powagą, na jaką mogłem się zdobyć.

— Tajemnica twoja pozostanie świętą, ale ty musisz udać się do mnie, jeżeli czego zapotrzebujesz dla brata.

Skłoniła się, chwilę milczała, a potem nagle ucałowała mi rękę i odprowadziła do drzwi.

Następnego wieczora prosiła z pewną nieśmiałością o Whisky, dałem jej jednak sporą dozę.

Na ostatniem z tych sześciu przedstawień, twarzyczka jej była nieco pogodniejszą jak zwykle. Było na niej widać trochę szczęścia,. Gdy przyszła scena z wódką, nadstawiła naparstek i zaszczebiotała drżącemi usteczkami:

— Dziś panie, to tylko dla pozoru.

— Dlaczego? — zapytałem również cichym szeptem.

— Bo — on niepotrzebuje już więcej ... umarł!...

Życie mowy

przez

Ludwika Wierzejskiego.

(Dokończenie).

Formy gramatyczne psują się we wszystkich mowach w pewnym porządku, a formy raz znikłe już nigdy więcej nie powracają, p r z y r o d a bowiem jak nigdzie tak też i w życiu mowy n i e w r a c a d o f o r m p r z e b y t y c h. Jaki będzie ostatni koniec mów flektujących, trudno teraz przewidzieć, zdaje się jednak, iż mowy te potracą wszystkie formy gramatyczne i porozkładają się na pierwiastki jednozgłoskowe, z których popowstawały. Widzimy więc, iż mowa ludzka jest rzeczywisty ustroj przyrodny, przebywający podobne fazy życiowe, jak wszystkie inne organizmy żyjące, że ma okres wzrostu, potem okres życia zupełnie rozwiniętego a po nich wreszcie następuje upadek. Widać z tego, jak mylnem jest zdanie jakoby mowy flektujące obecnie doskonaliły się i kształciły; trzeba bowiem rozróżniać część s ł o w o w ą mowy od części gramatycznej. Pod względem pierwszym o tyle kształcą się obecnie te mowy, iż z istniejących już pierwiastków, na oznaczenie pojęć nowych nowe wytwarzają wyrazy; pod względem drugim to jest gramatycznym nie tylko że się nie kształcą, lecz przeciwnie psują.

Szybkiemu zepsuciu gramatycznemu podlegają przeważnie mowy narodów żyjących żywem życiem dziejowem, przeciwnie zaś mowy narodów żyjących spokojnie, zachowują się dłużej niepopsute. Widać to bardzo wyraźnie n. p. na mowie islandzkiej, porownywując ją z duńską i szwedzką. Islandczycy, Duńczycy i Szwedzi mieli w wiekach średnich jedną wspólną mowę, która rozdzieliła się na 3 odrębne mowy i podczas gdy mowa islandzka zachowała znaczną część pierwotnych form gramatycznych, to mowy duńska i szwedzka bardzo się popsuły. Uwagi godne jest także to, iż w mowę ludzką już wyrobioną nie wchodzą już żadne nowe pierwiastki, lecz że wszystkie słowa nowe wytwarzamy z istniejących już pierwiastków, których liczba — około 600 — jest niezmienna, i że tak jak niemożemy tworzyć żadnego pierwiastka chemicznego, tak też nie możemy tworzyć żadnego pierwiastka mowy. Tu widać zno-

wu zupełne podobieństwo między ustrojem mowy a innymi utworami przyrodnymi.

Pierwiastki są to wyrazy jednozgłoskowe, oznaczające pewne pojęcia ogólne, nie mające żadnych form gramatycznych i przybierające dopiero po połączeniu się wzajemnem szczególniejsze znaczenie. Z takich pierwiastkow złożona jest mowa ludzka. Mowy należące do jednego szczepu n. p. indyjsko-europejskiego popowstawały wszystkie z tych samych pierwiastków; czy zaś mowy wszystkich szczepów razem nie popowstawały może także ze wspólnych pierwiastków, tego dotąd jeszcze nie zbadano. Zdaje się jednak, jakoby mowy całej ludzkości można pod względem ich początku podzielić na 2 wielkie gromady, z których jedna objęłaby mowy rasy etjopskiej, a druga mowy innych wszystkich ras. To jednak pewne, że mowy zupełnie nowe od dawna wcale już nie powstają lecz że tak zwane nowe mowy są tylko odmiany dawnych mów, i że początek mowy ludzkiej był równoczesny z początkiem rodu ludzkiego: gdyż rzeczywiście mowa artykułowana stanowi jedną z najgłówniejszych różnic między ludźmi a zwierzętami. Często można słyszeć zdanie, jakoby jakaś mowa powstała była ze zmięszania dwu lub więcej mów; to jednakże może się tyczyć tylko słów, nie zaś gramatyk. Ze zmieszania słów dwu mów może powstać tak zwana nowa mowa, lecz g r a m a t y k i n i g d y s i ę w z a j e m n i e n i e m i ę s z a j ą, tylko słowa jednej mowy poddają się prawidłom gramatycznym mowy drugiej, i tak n. p. ze zmięszania mowy łacińskiej i germańskiej wytworzyły się mowy nowsze romańskie, gramatyka jednak tych mów zatrzymała charakter łaciński, i ani jednego słowa tych mów nie odmieniają według gramatyki germańskiej. Podobne zjawiska okazuje mowa angielska, wytworzona ze zmięszania mów keltyckich, łacińskiej, germańskiej i francuskiej, gdzie słowa wszystkich tych mów poddały się prawidłom gramatyki germańskiej. Ciekawe zjawisko przedstawia w tym względzie mowa araukańska (aglutynująca) używana przez mieszkańców środkowej części rzeczypospolitej Chileńskiej w Ameryce południowej. Po osiedleniu się tam Hiszpanów, wyparły słowa hiszpańskie z mowy araukańskiej wszystkie słowa tej mowy, i przybrały jej formy gramatyczne. Mowa araukańska ma więc słownik hiszpański, ale gramatykę własną.

Życie żadnego narodu nie obejmuje całego życia mowy, to znaczy że żadnego narodu mowa nie przechodzi w ciągu życia tego narodu wszystkich faz życia mowy w ogóle, lecz ono obejmuje cały ciąg życia szczepu, a każdy następujący naród otrzymuje od narodu, który go poprzedził, mowę już w tej porze życia będącą w jakiej mu ją ten naród zostawił. Życie narodu jest więc w porównaniu do życia mowy, bardzo krótkie, a zmiany przebywane przez mowę są bardzo powolne.

Jak żadnego organizmu przyrodnego, tak też i mowy nie można sztucznie tworzyć, a różne usiłowania w tym celu nie doprowadziły do żadnego wyniku.

Pod względem zdania o powstaniu mowy dzielą się lingwiści na 3 stronnictwa. Jedni twierdzą, jakoby pierwsze wyrazy były refleksami uczuć, jakie wrażenia doznane przez pierwszych ludzi na tychże sprawiły. Teorję tę nazywamy i n t e r j e k c j o n a l n ą c z y l i w y k r z y k n i k o w ą. Drugie stronnictwo uważa mowę za powstałą przez naśladowanie głosów przyrody; tę teorję nazywamy o n o m a t o p e i c z n ą. Trzecie stronnictwo zaś jest tego zdania, iż wykrzykniki jako też naśladowanie głosów przyrodnych, bardzo mały tylko miały udział w powstaniu mowy, głównym zaś materjałem, z którego powstała mowa, byłyby pierwiastki. Zkąd jednak pierwiastki pochodzą, na to stronnictwo to nie daje zadowalającej odpowiedzi.

Mowy jako organizmy przyrodne, podlegają tym samym prawidłom jak wszystkie inne ustroje. Tak samo, jak żaden gatunek zwierząt ani roślin nie powstał osobno, lecz gatunki te pod wpływem warunków życiowych jeden z drugiego się powytwarzały, tak też żadna mowa odrębnego początku nie miała, lecz każda jest tylko odmianą tej mowy, która ją poprzedziła. Także czynniki działające przy wytwarzaniu się mów, są te same jak przy wytwarzaniu gatunków zwierzęcych i roślinnych, a tymi czynnikami są: bezpośredni wpływ zewnętrznych warunków życia, dający pierwszy impuls do zmiany, instykt zachowawczy sprawiający, że właściwości mowy przechodzą z pokolenia na pokolenie, wybór przyrodny i walka o życie, których skutkiem jest iż mowy doskonalsze łatwiej się utrzymują i rozszerzają, przeciwnie zaś mowy upośledzone narażone bywają na niebezpieczeństwo zagłady. Podobieństwo między gatunkami roślin i zwierząt a mowami, widać także w tem, że równie jak trudno oznaczyć ściśle różnicę między gatunkiem a odmianą, tak też nie łatwo określić różnicę między mową a narzeczem. Jak odmianami nazywamy takie postacie zwierzęce i roślinne, które mało tylko odróżniły się od innych, tak też jako narzecza uważamy te mowy, które nie wiele tylko od innych odróżnione, nie wytworzyły dostatecznego zasobu słów i dla tego nie wystarczają na potrzeby wykształconych klas ludności. Narzecza są więc niedoszłemi mowami, tak jak odmiany są niedoszłymi gatunkami.

Mowy różnych narodów obecnie równocześnie obok siebie istniejące, okazują zjawisko podobne do tego, jakie mowa ludzka w rozwoju swoim dziejowym przedstawiała. Widzimy bowiem istniejące obok siebie mowy prawie we wszystkich tych fazach życia, przez które mowa ludzka w ogóle w ciągu swojego życia przechodziła. Mowy więc przedstawiają nam podobne następstwo w przestrzeni i czasie jak cywilizacja, której różne stopnie istnieją o b o k s i e b i e r ó w n o c z e ś n i e, podobnie jak następowały p o s o b i e w d z i e j a c h.

Żałujemy, iż szczupły zakres rozprawki naszej nie pozwala nam rozwodzić się więcej nad życiem mowy, i wdawać się w szczegóły. Ograniczamy się więc na zwróceniu uwagi na ten dział umiejętności przyrodnych, którym u nas może najmniej się zajmują, i kończymy życzeniem, obyśmy i my, którym nawet cudzoziemcy wiele zdolności lingwistycznych przyznawają, i których mowa, mniej niżeli mowy zachodnio-europejskie, popsuta, badania tego rodzaju ułatwia, nie pozostawali w tym względzie po za innymi narodami.

Przegląd literacki.

(Henryk Merzbach: Z j e s i e n i. Bruksela, księgarnia królewska C. Muquardta 1882).

Naturalną jest rzeczą, że ludzie dłuższy czas przebywający za granicą, choćby byli obdarzeni najsilniejszym duchem i największym talentem, tracą powoli czucie z krajem, i przestają rozumieć tętno bijące w fermentującem społeczeństwie. Mamy tego dowód na pierwszorzędnych naszych mistrzach słowa. Literatura „emigracyjna“ nie była nigdy i być nie może prawdziwym oddźwiękiem żywota kraju, ludzie uprawiający ją stają zwykle na pewnym punkcie, i z niego zapatrują się na wszystkie sprawy społeczeństwa, przechodzącego co raz to nowe fazy rozwoju. Patrzą oni na kraj przez odpowiednio zabarwione szkła perspektywy, i wszystko przedstawia im się w odmiennem świetle aniżeli jest w rzeczywistości. Uwagi te nastręczył nam zbiorek wierszy utalentowanego poety H. Merzbacha p. t. „Z jesieni“, który właśnie mamy przed sobą. P. Merzbach przemieszkujący stale w Brukseli stanął na roku 1863 razem z pewnem szczupłem kółkiem idealistów - emigrantów, i ani krokiem nie mógł posunąć się naprzód. To też w utworach jego wiele szowinizmu, wiele szlachetnych, ale niestety, nie mających realnej podstawy porywów, wiele zapatrywań oder-

wanych. Utwory te po większej części okolicznościowe, i jako takie mające cechę danej chwili, są jednak między niemi także wiersze oparte na głębszych, ogólnych motywach, ale i w tych przebija się prawie wszędzie jeden i ten sam ton, który powyżej scharakteryzowaliśmy. Należałoby już raz zerwać z oklepanymi frazesami, pięknie dźwięczącymi, ale pustymi w gruncie, należałoby już raz na wysoko trzymanym sztandarze wypisać nowsze hasła, któreby były wypływem potrzeb i zapatrywań społeczeństwa. P. Merzbach przeczuwa te nowe hasła, jak to widać np. w wierszach p. t. „Testament Lelewela“ lub „Poetom“ ale tylko przeczuwa — nie sformułował on ich sobie jasno; dla tego często wyjeżdża z czemś tak wstecznem jak np. w wierszu do młodego warszawskiego bankiera, któremu nakreślił taki program: zbijaj pieniądze i bądź Polakiem — program, jak widzimy, bardzo a bardzo nieszczególny, Na takie szowinistyczne gadania, jak w wierszu p. t. „Vitam impendere vero,“ że

dla mnie ludźmi nie są Moskale,
a bydło zawsze jest bydłem —

nikt się nie złapie, bo bezsilne obelgi nikogo nie przekonają, ani nauczą. Ale obok tych braków, które wypływają z pewnego punktu zapatrywania, znajdują się w zbiorku p. Merzbacha utwory, w których poeta szerszy widnokrąg obejmuje wzrokiem, odczuwa bole i walki społeczne i do wysokich wznosi się lotów. Wspomnieliśmy o wierszu p. t. „Testament Lelewela.“ Otóż jako próbkę tych głębszych zapatrywań, przytaczamy z tego wiersza następującą zwrotkę:

„Gdy umrę — powiedz Polsce, żem był dobrym syn[nem,
Żem marzył dla niej wielkie i swobodne państwo,
Że nie herby ją zbawią, lecz lud i mieszczaństwo—
Że Kościuszko tem szlachcie, iż chciał znieść pod[dąństwo —
Żem ja — mieszczaninem !...“

Gdyby p. Merzbach wszędzie jak w tym wierszu miał pogląd tak jasny, zbiorek jego „Z jesieni“ byłby prawdziwą wiosną w biedniuchnej obecnie poezji. Mamy nadzieję, że szanowny autor w następnych swych pracach rozwinie szerzej myśli zawarte w „Testamencie.“

Formą włada autor wybornie, język ma piękny, miejscami nawet klasyczny, wiersz płynie u niego swobodnie i lekko. Zalety to nie małe, które stawiają go w rzędzie lepszych naszych poetów.

Ujemne uwagi, któreśmy poczynili, podyktowała nam szczera sympatja dla autora, którego talent z pewnością spotężnieje, jeżeli wkroczy otwarcie na nową drogę, której obecnie słabo tylko dotyka.

Cz.

Przegląd muzyczny.

Koncert p. Tyberga.

Zapowiedziany po dwakroć koncert p. Tyberga, odbył się wreszcie 11go b. m. i zgromadził wcale liczną publiczność w sali Towarzystwa muzycznego. Czy mamy to przypisać sławie samego koncertanta, czy wystąpieniu jednej z najlepszych uczenic p. Mikulego, nie wiemy! Może to było rozbudzenie zamiłowania do sztuki... W p. T. poznaliśmy młodego jeszcze i niezawodnie utalentowanego adepta sztuki, który zdobył już tyle, iż można mu wróżyć świetną przyszłość, jeżeli nie ustanie w pracy i nie da się omamić oklaskami, których mu nie szczędzono, a które uważać powinien tylko za zachętę. — Ton w grze p. T. jest nie dość pełny, co tem bardziej czuć się daje w obec nie zbyt subtelnego cieniowania i oszczędzania go dla ustępów, wymagających więcej siły. W kantylenie nie umiał on wlać tego ciepła, które porywa słuchacza, a co do deklamacji, zdaje się, że p. T. jeszcze wcale na nią nie zwracał uwagi, bo mija się z najkardynalniejszemi jej zasadami. Ztąd też czuć się dawał we wszystkich utworach, które p. T. wykonał, brak uwydatnienia charakterystycznej ich cechy. Tak np. w koncercie Mendelssohna, ustępy, otwierające szerokie pole do wylania całej poetycznej duszy artysty, jak np. owe przejście, podczas którego orkiestra (tym razem fortepian) prowadzi melodję, a prym wytrzymawszy przez 8 taktów jakby długie westchnienie na nutę G., zwolna rozpływa się w smętną a podniosłą melodję — u p. Tyberga przeszło niepostrzeżenie. — Kadencja, ta świetna kadencja koncertu Mendelssohna, najwdzięczniejsze miejsce popisu dla każdego skrzypka — wypadła w całem tego słowa znaczenia, słabo. Arpeggia nie równe — trylery zaś na strunie G nie wyraźnie były wykonane. Na ten ostatni zarzut narażał się p. T. częściej i w innych utworach, w szczególności zaś rażące pod tym względem było odegranie pierwszego warjantu tematu w F-dur w polonesie Wieniawskiego, który wyszedł z pod smyczka całkiem „zamazany“. Może stosunkowo najlepiej była oddana Kołysanka Rebera (za co zresztą straciliśmy Romans Beethowena), i Rapsodja Hausera, chociaż w tej znów dawał się czuć ogromnie brak werwy i ognia O ile Fantaisie - Caprice Vieuxtempsa było w tempie za rozwlekłem i grane z nużącą jednostajnością, a pozbawione zupełnie cechy lekkiego, prawdziwie francuskiego kaprysu, o tyle znowu 2gi polones Wieniawskiego nieco przyspieszony, nie miał ani śladu tej statecznej powagi, bez której nasz narodowy taniec pomyśleć się nie daje. Rozpęd w oktawach, w przejściu z E w A-dur do tematu, którym ś. p. Wieniawski tak świetny efekt wywoływał, nie tylko nie sprawił żadnego wrażenia, ale spowodował wskutek zbytniego stringenda (a n b. nie ma go ani w nutach, ani sam kompozytor nie robił go w tem miejscu) niezgodę z akompaniamentem. W Nokturnie Fielda za to, a zwłaszcza w Rapsodji Hausera można się było przekonać, jak znakomite towarzyszenie fortepianu miał pan T. w koncercie. Począwszy od cudnie krągłego i pięknego tonu, jaki w ślad za mistrzem i uczennica pna M. z instrumentu, uważanego zwyczajnie za oschły i brzękliwy, wydobywać umie, aż do ślicznie wyrównanych i subtelnych pasażów, znakomitego stopniowania, i misternie prowadzonej melodji, której każdy ton niejako plastycznie występuje na cudownie tkanem tle ozdób, arabesek i fioritur, panowała we wszystkiem miara i spokoj artystyczny, nader rzadki, u nas niestety!

Nie możemy pominąć bardzo pięknie wykonanego kwartetu na głosy męskie z F. Mayera „Leśna ptaszyna“; poprzestać jednak musimy tym razem w braku miejsca na tej wzmiance, zachowując sobie na przyszłość szerszą pogadankę o chórze męskim u nas.

Ł.

ZIARNKA

P. Woleński ofiarował cały dochód ze swego benefisu na rzecz pomnika dla Stanisława Dobrzańskiego. Jest to czyn sam tyle wymowny, że niepotrzebuje bezwzględnie żadnych komentarzy. Ofiarowanie dochodu z benefisu przez p. Woleńskiego na uczczenie pamięci b. artystycznego dyrektora sceny lwowskiej, jest jawnym dowodem, że umiał on sobie zaskarbić wdzięczność i uznanie pośród swoich kolegów. Zasługi Stanisława Dobrzańskiego około sceny lwowskiej są w istocie niemałe. Pominąwszy już to, co mu winni są nasi artyści dramatyczni, których praca dopiero za jego inicjatywą i powodem została należycie oceniona, trzeba uznać to, że Stanisław Dobrzański doprowadził teatr nasz do pierwszorzędnego znaczenia, że skład personalu za jego dyrekcji mógł się mierzyć z warszawskim, że wprowadził on na scenę mnóstwo sztuk oryginalnych, a znakomite nowości zagraniczne przyswajał natychmiast naszej scenie, która tak pod względem doboru reportoaru, jak i inscenizacji, jak na Lwów, mogłyby służyć za wzór na przyszłość. Sam znakomity komik, jako człowiek wszechstronnie wykształcony, a obdarzony z natury zmysłem krytycznym, z zamiłowaniem i za-

pałem oddawał się swemu zawodowi, a z nie mniejszem powodzeniem także próbował sił swoich, jako pisarz dramatyczny. Jego „Żołnierz królowej Madagaskaru," jako farsa jest rzeczą wyborną, a „Złoty Cielec" jest komedją poważną, która z pewnością stale utrzyma się w repertoarzu wszystkich scen polskich.

Uczcić więc takie zasługi, jest bez kwestji obowiązkiem społeczeństwa, a przedewszystkiem obowiązkiem tych, co mu byli najbliżej... P. Woleński ponosząc ofiarę ze swego benefisu, spełnił czyn szlachetny, za który mu się należy uznanie.

* * *

W jednym z poprzednich numerów Z i a r n a, na tem samem miejscu przypominaliśmy czytelnikom naszym o nadchodzącym jubileuszu J e ż a, i poleciliśmy im zapisywanie się na O g n i s k o, książkę zbiorową, którą na dochód dzielnego jubilata, wydaje literacki obóz postępowy w Warszawie. Wezwanie nasze pozostało dotąd bez żadnego odgłosu— nikt się z zapisem na „Ognisko" do nas nie zgłosił. W Warszawie — inaczej. Tam „Prawda", która wzięła inicjatywę w tem chwalebnem przedsięwzięciu, ogłasza co tydzień długie listy zapisujących się na jubileuszową książkę zbiorową, która i sama przez się posiadać będzie wartość nieposlednią, i przyczyni się do słuszniejszego wynagrodzenia znakomitego pisarza, słuszniejszego, aniżeli to oceniać zwykli panowie wydawcy. Spisy przedpłacicieli na „Ognisko," obejmujące abonentów, zgłaszających się wprost do „Prawdy," tworzą w każdym numerze szpaltę zwykle drobnego petitu, a numerów tych wyszło już nie mało. Znajdujemy tam rodaków ze wszystkich krańców świata, od lodowatego Sybiru, do gorącego Algieru, a nawet —Rosjan. Wielu przytem składa nie tylko cenę książki 6 złr.. lecz daje nadto znaczne naddatki, bacząc na szlachetny cel wynagrodzenia przez kraj, zasłużonego patrjoty i dzielnego pisarza. Składają przytem nie tylko ludzie pojedynczy, lecz kółka, grona, biura, korporacje, składa młodzież szkolna, a suma często złożona za parę egzemplarzy, przenosi wartość całych dziesiątków egzemplarzy.

Gdy tak obficie płynie w Warszawie prenumerata—u nas głucho, i n i k t jeszcze z zapisaniem się nie pospieszył. Jak nam nie wstyd!

* * *

Mamy przed sobą pierwsze sprawozdanie Towarzystwa „Lwowski chór męski," za drugi rok jego istnienia t. j. od 12 listopada 1881 po koniec paździ rnika b. r. Wyłuszczywszy w treściwej przedmowie powody, które skłoniły były swojego czasu, znaczną większość członków dawnego chóru w gal. Towarzystwie muzycznem, do zawiązania samoistnego towarzystwa śpiewaków - amatorów — sprawozdawca (p. E. Łapicki), skreślił następnie z kronikarską ścisłością dzieje młodego towarzystwa od czasu jego powstania t. j, od kwietnia r. 1881, aż do chwili obecnej. Bilans czynności „Lwowskiego chóru męskiego," przedstawia się tam nader korzystnie. Towarzystwo w przeciągu roku produkowało się 33 razy — bądź to w koncertach własnych, bądź współdziałając w obcych, bądź na koniec, urządzając wycieczki w porze letniej do miast prowincjonalnych — jak Brody. Stryj, Tarnopol, gdzie wszędzie p. śpiewaków — jak dodaje sprawozdanie — przyjmowano nadzwyczaj serdecznie, uczty odbywały się wspaniałe — a recenzje dziennikarskie — kończy sprawozdawca — były zawsze nader podchlebne! Takich pięknych sukscesów, i w tak krótkim czasie żywota— możemy tylko życzyć z całego serca Towarzystwu i na rok następny. Oby tylko trochę więcej t z. członków wspierających znalazło się wśród Lwowian, którzy słusznie lub nie słusznie, nie mniej jednak uchodzą w świecie — za zagorzałych a wiele wymagających melomanów. Obecnie „Lwowski chór męski" liczy tylko 152 członków wspierających, a 103 czynnych wkładki pierwszych i drugich wynosiły zaledwie 369 złr. 50 ct. Mimo to, bądź co bądź pocieszającym, i trwałą przyszłość Towarzystwu rokującym objawem, jest szczegół, że rubryka sprawozdania „stan majątku Towarzystwa", zamiast zwykle praktykowanych gdzie indziej pasywów —wykazuje 410 złr., jako wartość inwentarza, i 187 złr. w gotówce, jako pozostałość kasową na rok następny. Dochody Towarzystwa z koncertów, wycieczek, wkładek i inne „przygodne," wynosiły ogółem 1270 złr. 36 ct. wydatki (w tem zakupno nut, sprzętów i innych rekwizytów) 1082 zł. 55 ct. — Jak na początek, to i obrót pieniężny wcale pokaźny!

* * *

Znany z gruntownych prac młody historyk p. Antoni Prohaska, udaje się z początkiem grudnia do Moskwy, w celu zbadania źródeł rosyjskich, znajdujących się w archiwach tego miasta, a odnoszących się do „historji polskiej." Historja nasza ma wiele ciemnych punktów, które tylko źródła rosyjskie rozjaśnić mogą, a Niemcy przez usta prof. Caro zarzucili nam z pewną słusznością, że z powodu nieznajomości źródeł rosyjskich. jesteśmy dopiero „in der Vorhalle der polnischen Geschichte." W r. 1857 bawił w Moskwie w tym samym celu, w jakim obecnie tam jedzie p. Prohaska, August Bielowski, nie udało mu się jednak dostać do ódeł. Oby p. Prohaska był szczęśliwszym!» Do ekskurzji jego prywiązuje świat naukowy wiele nadziei..,

* * *

W poprzednim nu merze, w artykule p. t. „W obronie Melpomeny," zakradł się błąd drukarski, co do cyfr. Opera w czasie swego rozwoju za poprzedniej dyrekcji, kiedyśmy mieli śpiewaczki, jak Jakowicka, Dowiakowska, Gabbi, Marco, Caracciolo, śpiewaków jak Zakrzewski, Raverta, Verdi, Tercuzzi i t. d. kosztowała miesięcznie nie 1000, ale 4000 złr. Zecer zamiast 1 włożył 4, i błąd ten przeoczyliśmy.

ZAPISKI.

Literatura.

* Posiedzenie Wydziału f i l o l o g i c z n e g Akademii Umiejętności pod przewodnictwem Dra. Estreichera, odbyło się w sobotę (11 b. m.). Prof. Malinowski przedstawił artykuł Dr Hanusza z Lipska p. t. „Kilka uwag o języku przysiąg Czchowskich 1400—1418." Pracę tę odesłano do Komitetu redakcyjnego. Prof. Łuszczkiewicz odczytał referat Komisji historji sztuki o rozprawie p. t. "Entwickelung der militärischen Musik in Polen" Na posiedzeniu administracyjnem prof. Tarnowski zdał sprawę z prac konkursowych z funduszu ś. p. K. Bieleckiego. Nagrodę przyznano autorowi rozprawy p. t. „Król Jan III w poezji polskiej XVII w." pod godłem „Fac et spera." Po otworzeniu koperty okazało się, że autorem rozprawy jest p. Konstanty Górski, uczeń uniw. Jagell. W końcu Wydział postanowił przesłać Zarządowi Akademii z przychylną oceną pierwszy zeszyt Słownika małorusko-niemieckiego, popierając podanie autora, p. Eugeniusza Żelechowskiego, o zasiłek na wydanie owego dzieła, o ile fundusze Akademii starczą.

* Rozprawka p. L. Hodolego „Wiek i jego prawa w wychowaniu", drukowana w „Ziarnie" wyszła w osobnej odbitce. Główny skład w księgarni F. H. Richtera (Altenberga).

* P. Bronisław Grabowski, — zdolny tłumacz utworów pisarzy słowiańskich, zamierza przełożył na język polski dramat Jarosława Vrchlickiego p. t. „S m r t O d y s s e c y a. Jest to jeden z najświeższych utworów płodnego i znakomitego poety czeskiego.

* W Zurychu zmarł temi dniami Gotfryd Kinkel, profesor archeologii i historji sztuki na tamtejszej politechnice, mąż głębokiej nauki, szlachetnego serca i gorącego zapału dla ogólno-ludzkich ideałów... Choć niemiec z rodu, był do skonu swojego szczerym przyjacielem narodu polskiego, i przy każdej sposobności głośno to uczucie manifestował. Urodzony w r. 1815 w pobliżu Bonn, po ukończeniu szkół średnich postanowił za wolą ojca, protestanckiego pastora, poświęcić się teologii. Uczył się jej w Bonn a później w Berlinie, gdzie też w r. 1836 został na uniwersytecie docentem historji kościelnej W czasie tym zaznajomił się z Em. Geiblem, a znajomość ta obudziła w nim zamiłowanie do poezji W krótkiem czasie wszedł w grono wybitnych literatów berlińskich owego czasu, jak Simrok, Freiligrath, W. Müller, i zaczął wydawać pisemko p. t. „Chrząszcz majowy" (Der Maikäfer). Tam to ukazał się pierwszy jego i prześliczny poemacik: Otto Schütz". Niebawem jednak nieporozumienia z

partją ortodoksów protestanckich, zmusiły go do porzucenia katedry historji kościelnej; udał się do Bonn i tam zaczął wykładać historję sztuki i poezji. Z tego właśnie czasu pochodzą jego utwory poetycze: „Kowal z Antwerpii“ i „Margareta“. Występując coraz śmielej w duchu demokratycznym i liberalnym a najbardziej już ogłosiwszy swoją „Pieśń mężów“ (Männerlied) ściągnął na siebie niechęć rządu pruskiego, który też cofnął poprzednie swoje wezwanie go na katedrę do Berlina. Gdy przyszedł r. 1846, a z nim ruch rewolucyjny w Niemczech, Kinkel rzucił się z zapałem do roboty politycznej. W r. 1848 należał w Berlinie do zgromadzenia narodowego, jako członek stronnictwa republikańskiego i demokratycznego. W rok później biorąc czynny udział w rewolucji badeńskiej w jednej utarczce ranny, dostał się do niewoli, a sąd wojenny skazał go na dożywotnie więzienie w twierdzy. Z pomocą przyjaciół zdołał po roku więzienia uciec szczęśliwie ze Spadau — dostał się do Londynu i tam przebywał do r. 1866 t. j. do czasu w którym zestał powołany do Zurychu na profesora archeologii i historji sztuki przy tamtejszej politéchnice. Jako poeta i pisarz zajmuje on niepospolite miejsce w literaturze niemieckiej ostatnich lat — jako człowiek wielkiego charakteru i serca, bodaj czy ma on wielu sobie podobnych w swojej rozległej ojczyźnie!

* P. Masarick, docent filozofii na uniwersytecie wiedeńskim, ogłosił świeżo, nader zajmujące, i na rozległych studjach statystyczno-moralnych oparte dzieło, p. t. „Der Sebstmord als sociale Massenerscheinung der modernen Civillisation“ (Samobójstwo jako społeczny objaw zbiorowy nowożytnej cywilizacji). W jednym z przyszłych numerów podamy czytelnikom naszym sprawozdanie z tej ciekawej publikacji.

* Jerzy Ebers skończył właśnie nową powieść pt. „Das Wort“, do której temat wzięty jest z dziejów Niemiec w XVI stuleciu.

* W Londynie ukaże się wkrótce dzieło illustrowane p. t. Rodowód djabła p. F. T. Halla. Autor skreślił w niem, w jaki sposób wytworzył się ideał odwiecznego wroga ludzkości, i przeprowadził analizę jego zawodu. Dzieło illustrowane rysunkami samego autora.

Teatr i muzyka.

* M. Bałucki pisze podobno nową trzyaktową komedję p. t. „Otwarty dom“. Ostatnią, o której wspominaliśmy w swoim czasie, mianowicie „Gęsi i Gąski,“ grano w ubiegłym tygodniu na scenie krakowskiej z wielkiem powodzeniem.

* Wiedeń ujrzy w tych dniach nigdzie dotąd— prócz we Włoszech, nieprzedstawianą operę Verdiego „Simeone Boccanegra“. Opera ta uznana obecnie za jedną z najznakomitszych kompozycyj włoskiego muzyka, dziwnych doznawała losów; upadła w r. 1857 w Wenecji, a w dwa lata później w Medjolanie, a dopiero w 1881 po przerobieniu przyjęta została w La Scala z entuzjazmem.

* W Towarzystwie z Coquelinem występować będą, oprócz p. Favart, dwie jeszcze sławne artystki dramatyczne: panna Marja Barthélemy i Daynes-Grassot.

* W teatrze „Bouffes Parisiennes“ szalone powodzenie miała nowa opera komiczna p. Audran, do której tekst ułożyli Chivot i Duru pt. „Gilotte de Narbonne“.

* Słuchacze uniwersytetu w Cambridge uczą się obecnie „Ajaxa“ Sofoklesowego, który w tekscie greckim ma być przedstawiony 23 bm. Dr. C. Waldstein, profesor archelogii greckiej, zobowiązał się do czuwania nad malowaniem dekoracyj i szyciem kostjumów. Profesor Macoorven dorobił muzykę do chórów, a profesor Jebb wydał specjalne tłumaczenie „Ajaxa“ prozą dla tych, którzyby niemogli śledzić przedstawienia w tekscie oryginalnym.

Sztuki piękne.

* W Poznaniu odbyła się 7 bm. uroczystość otwarcia zbiorów Tow. przyjaciół nauk, o którem pisma codzienne obszernie już doniosły, Nam niepozostaje na tem miejscu jak tylko zanotować, że zbiory te powstały prawie wyłącznie staraniem jednego człowieka, Seweryna Mielżyńskiego, który zakupił bogaty zbiór Edwarda bar. Rastawieckiego, a zbogacał go zakupnami ciągłemi, których czynić nie przestał do końca żywota. Zebranie, które celem otwarcia uroczystego zbiorów odbyło się w galerji artystów polskich, zagaił prezes zarządu p. Stanisław Koźmian, po którym przemówił także wiceprezez dr. T. Matecki. Z przemówienia konserwatora p. Kanteckiego wyjmujemy następujące szczegóły, które interesować będą ogół: Galerja artystów i rzeczy polskich składa się z trzystu obrazów. Pomiędzy tymi są oprócz dzieł polskich artystów, obrazy malarzy, którzy czas dłuższy w Polsce przebywali, a mianowicie płótna pędzla Bacciarellego, Tomasza Dolabeli, J. Lampiego, Józefa Grassiego, Norblina de la Gourdaine i Ludwika Marteau. Z dzieł polskich artystów wymienić należy dzieła Chodowieckiego, Smuglewicza, Suchodolskiego, Orłowskiego, Brandta, Kossaka, Piotrowskiego, Gryglewskiego i Maleszewskiego. Galerja obcych mistrzów, zwana Mirosławską, chlubi się posiadaniem wielu dzieł bardzo pięknych, szkół włoskich i flamandzkich, pomiędzy którémi są rzeczy pendzla Domenichina, Guido Reniego, del Sarta, Carla Dolce, Palmy Vechio, Salvatora Rosy itd., a dalej Van Eycka, Lucasa van Leyden, Rubensa, Van Dycka, Ruysdaela Jakóba i wielu innych. Szkołę francuską zdobią Mikołaj i Kasper Poussin, Le Sueur, Lancret; na czele staroniemieckiej szkoły stoi Cranach. Hiszpanię przedstawiają godnie tacy malarze, jak Velasques de Silva i wielki Murillo, którego pendzel jaśnieje w dwóch świetnych płótnach, w ekstazie św. Franciszka i znakomitym, pełnym wyrazu i typowej charakterystyki portrecie nieznanego mężczyzny.

* W warszawskim salonie artystycznym Ungra wystawiono ostatniemi dniami na widok bohaterkę głośnej powieści Zoli „Nanę — oczywiście nie żywą, lecz wymalowaną, i jak zapewnia część recenzentów warszawskich — świetnie wymalowaną przez p. Suchorowskiego, młodego i utalentowanego malarza. Artysta obrawszy sobie za przedmiot swego studium „Nanę“ Zoli, musiał traktować rzecz w kierunku wysoce naturalistycznym, i podobno dobrze wywiązał się z zadania.

* „Albumu widoków Polski“ Napoleona Ordy ukazała się już serja siódma. Zawarte w niej, a jak i poprzednie, nader starannie wykończone ryciny, przedstawiają celniejsze widoki i miejscowości ziemi wieluńskiej, łęczyckiej, sieradzkiej, kieleckiej i inne.

* Dr. Juliusz Hübner, znakomity malarz ze szkoły Düsseldorfskiej, b. dyrektor galerji Drezdeńskiej, zmarł w tych dniach w Loschwitz. Hübner urodził się 27 stycznia w 1806 r. na Szląsku, uczęszczał do akademii sztuk pięknych w Berlinie, a jako uczeń W. Schadowa przeniósł się z nim w r. 1826 do Düsseldorfu. W r. 1828 wystąpił z „Rybakiem,“ do którego temat zaczerpnął z ballady Goethego, i który powszechnie się podobał z powodu piękności linij i wyrazu. Drugi obraz jego „Roland, uwalniający z jaskini zbójców księżniczkę Izabelę“ rozsławił odrazu jego imię. Podczas pobytu we Włoszech wymalował w r. 1830 Ruth i Noemi, a w 1832 Samsona. Również znakomitemi dziełami jego są Job z przyjaciółmi, dziecko Jezus na chmurze (obecnie w galerji Berlińskiej) Pełna wdzięku grupa dzieci przedstawiająca wiek złoty, zdobyła mu w 1851 złoty medal w Brukseli, a obecnie znajduje się w muzeum drezdeńskiem. Najznakomitszem jego dziełem jest dysputa Lutra z Eckiem, będąca teraz własnością galerji drezdeńskiej, a malowana na zamówienie rządu saskiego. Wszystkie obrazy Hübnera odznaczają się wdziękiem form i kolorów; brak im nieraz siły w kolorycie i energii w wyrazie, ale wszystko to nieszkodzi bynajmniej ogólnej harmonii. Od 1839 Hübner bawił w Dreznie, gdzie był profesorem w tamtejszej akademii, a następnie po ustąpieniu Schnorra, dyrektorem galerji. Hübner próbował również z powodzeniem sił swoich jako tłumacz sonetów Petrarki, i wydał wyborny Katalog galerji drezdeńskiej z krytyczno-historycznym wstępem.

* W zeszłym tygodniu zmarł w Wiedniu słynny malarz tamtejszy Karol Blaas Ur. 28 kwietnia 1815 w Tyrolu, kształcił się w akademii weneckiej, a następnie bawił we Florencji i w Rzymie, gdzie żył w bliskich stosunkach z Kochem i Overbekiem. Wr. 1850 powołany na profesora do akademii wiedeńskiej, położył tam wielkie zasługi i ozdobił freskami kościół Altlerchenfeldzki w Wiedniu. Na wystawie paryskiej otrzymał nagrodę za piękny obraz swój: „Karol W. w szkole,“ w skutek czego powołano go do akademii w Wenecji. Tu wymalował sławne „Porwanie Wanecjanek“ za które otrzymał 1858 r. t. z. nagrodę cesarską w Wiedniu. Później otrzymał polecenie ozdobienia arsenału w Wiedniu, freskami z historji austryjackiej, co w przeciągu lat 11 wykonał. Karol Blaas był zarówno dzielnym malarzem religijnym i historycznym, jak znakomitym portrecistą. Rysunek jego jest poprawny, a koloryt głęboki.

* Franciszek Lenbach w Monachium, próbował malować szkic do portretu przy oświetleniu elektrycznem, a według własnych jego zapewnień próba powiodła się w zupełności.

* Clement de Ris, konserwator muzeum wersalskiego zmarł 12 bm. Zmarły wydał parę cennych dzieł treści historyczno-artystycznej, z których najbardziej cenionem jest „Le Musée royal de Madrid“.

* Nad ozdobieniem Panteonu pracuje obecnie w Paryżu mnóstwo artystów. Bonnat maluje męczeństwo św. Dyonizego, Galland zaś nad kazaniem św. Dyonizego. Każdy z artystów otrzyma za to z funduszów państwowych 20.000 franków.

* Meissonier bawi obecnie w Wenecji, i robi studja w kościele św. Marka.

* W berlińskiem muzeum sztuki i przemysłu otwarto wystawę malarstwa japońskiego. Prawie wszystkie obrazy pochodzą ze zbiorów prywatnych niejakiego p. Giercke z Wrocławia, a okazują, że sztuka malarska na płótnie i drzewie — pominąwszy znane powszechnie malatury na porcelanie, lakierze i t. p. od dość już dawna uprawianą była w państwie Mikadów Do jej okazów nie można przykładać miary europejskich pojęć o sztuce i estetyce, mimo te jednak nie można im odmówić wcale dobrej charakterystyki w przedstawianiu scen z prywatnego i publicznego życia Japończyków. Obrazy z XVI i XVII w. są kompletnie niezrozumiałe, za to pejzaże i rodzajowe kompozycje noszą na sobie piętno dość już rozwiniętego tam realizmu w sztucee.

* W grudniu r. b. zostanie otwartą w Rzymie międzynarodowa wystawa sztuk pięknych. Wielki pałac przy Via nazionale, przeznaczony na tę wystawę, wkrótce będzie ukończony. Obecnie już

nadesłano do 1000 obrazów i 400 rzeźb. Są to dzieła włoskich artystów, prócz tego wielu artystów cudzoziemców zgłosiło się ze swojemi utworami. Wystawa będzie otwartą przez całą zimę.

* Nakładem Engelhorna w Stuttgardzie wychodzi wspaniałe dzieło pt. „Die Kunstschätze Italiens“. Redakcję oddano Karolowi v. Lützow, radyrunki wykonują pomiędzy innymi L. H Fischer, Forberg, Hahn, Krauskopf, Siegl i Hömle. Pierwszy zeszyt, który opuścił prasę, zawiera kilka ilustracyj do opisu Wenecji, a między tymi zwraca uwagę wybornie wykonany radyrunek pałacu Ca'doro, pomnik Calierniego, kopia św. Barbary Palmy Vecchia, i Madonę z rodziną Pesaro Tycjana.

* „Kunst und Künstler des neunzehnten Jahrhunderts,“ prześliczne dzieło wydawane przez Roberta Dobmego, jakkolwiek powoli, postępuje dalej. Obecnie wyszły dalsze 4. zeszyty od 3—6, i zawierają życiorys krytyczny Schadowa i Chr. Raucha przez dr Karola Eggersa, i życiorys Dawida D'Augers przez prof. Schmarsowa z Gettyngi.

* Nakładem Otona Schulzego w Lipsku wychodzić zaczęło wspaniałe dzieło „Die Schätze der grossen Gemälde-Gallerien Englands“. Album to, które da poznać wybór dzieł nie zbyt dostępnych muzeów i galeryj angielskich, a składać się będzie z zeszytów, z których każdy zawiera trzy fotografie z tekstem objaśniającym, wydaje lord Ronald Gower. Całe dzieło składać się będzie z kilku tomów po 12 zeszytów, z których każdy kosztuje $3\frac{1}{2}$ marki: Do albumu wejdą reprodukcje dzieł znajdujących się w zamku Windsorskim, w Hampton Court, dalej w zamku Arundel, Althorp, Bridgwater House, w zamku Howard, w Deepdene, w Dover House, Grosvener House, Herdford House, Newnham Paddox, Stafford House, Chiswick House, w zamku Cardiff, Blenheim Apoley House i Yanshanger hr. Cowpera. Pierwsze 4 zeszyty zawierają fotografie z obrazów Meissoniera, Rembrandta, Van Dycka, Greuz'a, Lawrenc'a Fr. Halsa, Teniego, Goswaya, An. Caracciego i Metsa.

Nauki Przyrodnicze.

* Dr. Jan Horbaczewski, asystent w pracowni chemicznej prof. Ludwiga w Wiedniu, wytworzył sztucznie kwas moczowy. O rozwiązanie tego zagadnienia kusili się dotąd naprózno najznakomitsi chemicy, i z tego powodu wiadomość o odkryciu dr. Horbaczewskiego, niemałe zrobiła wrażenie w świecie uczonym. Wynalazca sam opisuje sposób otrzymania kwasu w Przegl. lek. w ten sposób.:

Drobno sproszkowany glikokol otrzymany z kwasu hipurowego, zmięszałem z dziesięć razy większą ilością czystego mocznika, wytworzonego z sinianu amonowego. Mięszaninę tę ogrzałem szybko w łaźni metalowej do ciepłoty 200—230 aż C., aż masa stopiona, z razu bezbarwna i przeźroczysta, stała się cisawo-żółtą, mętną i gęstawą. Masę tę po oziębieniu rozpuściłem w rozcieńczonym ługu potasowym, roczyn zaprawiłem chlorkiem amonu w nadmiarze, i strąciłem mięszaniną roztworu srebrowego amonijakalnego, i mikstury magnezyjowej Osad zawierający kwas moczowy, po dokładnem wymyciu wodą amonijakalną, rozłożyłem rozczynem siarczku potasu. Po odsączeniu osadu zaprawiłem przesącz kwasem solnym w nadmiarze, i zagęściłem przez odparowanie.

Pozostałość wydzielającą się po oziębieniu rozpuściłem znowu w ługu potasowym i poddałem dwa razy tym samym działaniom chemicznym, jak powyżej. Ostatecznie otrzymałem proszek krysta-liczny żółtawo zabarwiony, który wymyłem alkoholem i wysuszyłem, potem dla oczyszczenia z siarki wytrawiłem dwusiarczkiem węgla a wreszcie eterem.

W ten sposób otrzymane ciało zachowywało się pod względem chemicznym zupełnie tak samo, jak kwas moczowy:

1) Przedstawiało się pod mikroskopem w charakterystycznej formie krystalicznej, i to w miarę czystości preparatu w tabliczkach lub osełkach.

2) Odkwaszało alkaliczny rozczyn siarkanu miedziowego przy ogrzaniu, a już na zimno rozczyn azotanu srebrowego.

3) Rozpuszczało się przy ogrzaniu w zgęszczonym kwasie azotowym, przyczem wywiązywały się dymy brunatne, podczas gdy pozostałość odparowana barwy cebulowo-żółtej przez działanie amonijaku, stawała się purpurowo-czerwoną a po dodaniu ługu fijołkową.

4) Ciało to rozpuszczało się bardzo trudno w wodzie, w kwasie, alkoholu i eterze, bardzo zaś łatwo w ługach alkalicznych.

Miscelanea.

Macao jest dawną bardzo kolonią portugalską na wybrzeżu chińskiem. Dziś przedstawia ona niemal pod każdym względem ruinę, bo ani tu owych dawnych bogactw, ani okrętów, po towary spieszących, ni wreszcie majętnych, dumnych kupców. A przecie Goa na wybrzeżu malabarskiem w Indjach przedgangesowych, i Macao były niegdyś dumą Portugalii, rywalizować bowiem mogły z najznaczniejszemi osadami innych państw. Były jednak ważne przyczyny, które sprowadziły upadek Macao. A najpierw bezwzględność i duma wice królów portugalskich, wzmagająca się potęga morska Holendrów, jednak najważniejszym powodem był handel angielski na wodach chińskich, i założenie tuż w pobliżu miasta Hongkong, osady angielskiej, co było już ostatecznym ciosem dla Macao. Do tego taifun w roku 1874 pozbawił je nawet wielu zewnętrznych ozdób, znaczną bowiem część miasta zniszczył. Obecnie liczy ono 80.000 Chińczyków, a tylko 3500 Europejczyków. Jest to straszny stosunek, toż nie dziw, że dziś straciło ono prawie zupełnie charakter kolonii europejskiej, a natomiast nawet zewnętrznie wydaje się miastem czysto chińskiem, w którem mnóstwo ciasnych uliczek, ozdobionych świątyniami pogańskiemi, a na nich dumnie spoczywają smoki i jakieś straszne potwory, którychby może i najsprawiedliwszy Chińczyk nazwać nie potrafił.

Cokolwiek odmienniej pszedstawia się część przez Europejczyków zamieszkała Ulice szerokie, wiele ogromnych kościołów i klasztorów, gdzie nie gdzie okazały gmach, ale i ślady upadku tu widoczniejsze, bo najpierw pustki na ulicach, a następnie gruzy i zwaliska, owa smutna pamiątka po ostatnim tajfunie, dotąd nie uprzątnięta, bo mieszkańcy są ubodzy i bardzo leniwi. Dawna, znana powszechnie duma po części dotąd ich nie opuściła, ale dziś robi ona jeśli nie zabawne, to przykre wrażenie. Jeszcze najmilszym dla oka i dla ducha jest pomnik wielkiego poety Camoensa, który szczególnym zbiegiem okoliczności aż tu za życia przebywał. Za jakiś tam stosunek z jedną z dam dworskich, wygnano go z Lizbony, poszedł więc do Marokko w walce szukać pociechy, a potem oparł się aż w Goa, skąd wypędzono go, bo był poetą, pisywał wiersze i to czasem satyryczne. Macao miało go wyleczyć z tej choroby, więc tu kazano mu przebywać i to całych pięć lat Tutaj to napisał sławny poemat „Los Kusiades“, w którym opiewał wielkość swej ojczyzny. Powrócił on do niej przed śmiercią, ale po to tylko, by w ostatniej nędzy umrzeć. Macao wystawiło mu piękny pomnik w ogrodzie, na wzgórku, ale niestety mchy i chwasty pokryły ścieszki, któremi niegdyś dążono oglądać posąg wielkiego człowieka. Przyjezdny nie może się oprzeć ciekawości i choć z trudem, przecie drapie się na pagórek, by się przypatrzeć pomnikowi. A jest i inna rzecz w Macao, dość ciekawa, której pominąć nie można. Jak wiadomo Chińczycy dwie rzeczy namiętnie lubią: opium i grę w karty. Pierwsze jest wstrętne, bo doprowadza człowieka do stanu, który musi odrazę w każdym wzbudzić, a drugie jakkolwiek nie zabawne, to jednak nie przedstawia tak odrażającego widoku, jak tamto. Przytem na pochwałę Chińczyków trzeba przyznać, że w Macao przynajmniej nie wdają się w zbyt hazardowne gry. W każdym razie przed udaniem się do Gambling-house, czyli domu gry, należy się zaopatrzyć w dobre laski, Chińczycy bowiem lubią oszukiwać przy grze, a w takim razie oszusta należy koniecznie wybić, bo inaczej straci wszelki szacunek, zaś jego samego kije nie obrażają i na pojedynek z pewnością nie wezwie. Sami Chińczycy tak sobie nie ufają, że przy wypłacie pieniędzy, wygranych czy przegranych, bankier ręce trzyma zdaleka, a odlicza cienką laseczką z kości słoniowej. Nareszcie i to dodać należy, że w Chinach, równie jak u nas, całe społeczeństwo pogardza ludźmi, którzy albo w zbyt hazardowne gry grywają, albo też uważają karty za wyłączne zajęcie, rzemiosło i sposób zarobkowania. Mimo to w samym Macao jest mnóstwo domów gry, które nigdy pustką nie stoją. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że liczba ich jeszcze się powiększy, boć chyba tylko chińska ludność przesiedlać się będzie do Macao; europejskiej już dziś jakby nie było, a po kilku dziesięciu latach może i okręt żaden tam nie zawinie, bo port podupada tak samo, jak miasto.

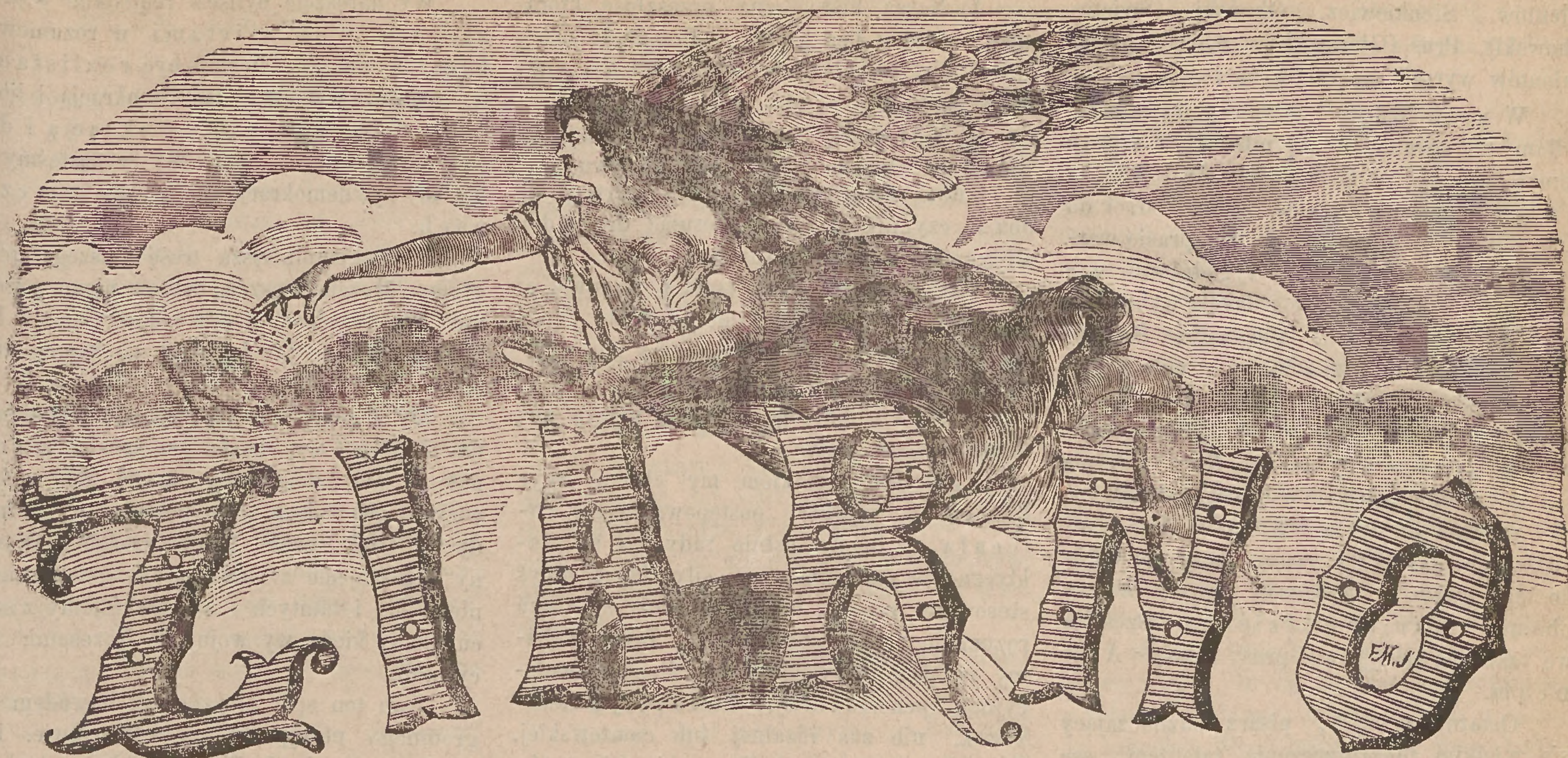
Treść.

Konkursa „Macierzy.“
Sewer: Z tajemnic wioski (dok.)
Z poezyj H. Merzbacha: Z Kordowy.
Początek i rozwój staro-egipskiej religii.
Irving H.; Dziecko sąsiada.
Wierzejski L. Życie mowy. (dok.)
Przegląd literacki przez Cz.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Wydawca: Bolesław Spausta. Odpowiedzialny redaktor: Bolesław Czerwieński.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 9. We Lwowie dnia 25. Listopada 1882. **Rok I.**



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

O ZASADY.

Ruch umysłowy we wszystkich dzielnicach dawnej naszej Respubliki, mimo pewne punkta styczne, idzie właściwemi sobie drogami, stosownie do obecnych warunków i przebytych dotąd kolei zbiorowego życia.

Najsilniej przejawia się on niewątpliwie w ziemiach rossyjskiego zaboru, w ognisku tej części kraju — w Warszawie.

Królestwo i Litwa najżywszy wzięły udział w ostatniem powstaniu, największą przytem poniosły w niem klęskę. Mimo strat, jakie podobne ruchy powodować mogą, zapominać nie należy, że są one zawsze świadectwem żywotności społeczeństwa, które je podejmuje, — klęski zaś w społeczeństwach nie zużytych, bywają obfitą skarbnicą doświadczenia i pobudką do nowego życia.

Gdy przeto przebrzmiały ostatnie echa bojowych zapasów, narastało zaś młode, niezużyte jeszcze pokolenie — w syrenim grodzie nadwiślańskim, przedewszystkiem w gronie młodzieży uniwersyteckiej, zaczął się nowy ruch umysłów, który społeczeństwo pogrążone w letargu i pozbawione najdzielniejszych jednostek, powołał do nowego życia.

Rzecz więcej jak naturalna, że ruch ten powstający po niedawnym politycznym pogromie, nie mógł mieć cechy politycznej. Gdy jednak my przygotowywaliśmy się do zbrojnego wystąpienia i walkę następnie toczyli, inne ludy europejskie pracowały nieprzerwalnie na wszystkich polach cywilizacyjnego życia.

Nauka porobiła wielkie i daleko sięgające zdobycze: darwinizm torował sobie zwycięsko drogę do coraz ogólniejszego uznania, comtowska filozofia pozytywna, oparta na naukach przyrodniczych rugowała resztki metafizycznych spekulacyj — teorje te zaś nie mogły nie oddziaływać nader potężnie na całą masę innych poglądów, związanych mniej lub więcej ściśle z życiem i jego zadaniami.

W tym też kierunku poszła rozbudzona myśl społeczna w Warszawie. Z zapałem i gorącem przejęciem się sprawą młodzi zapaśnicy podnieśli pochodnię nowych idei, starając się rozproszyć mrok, otaczający ich wokoło, i napadając równocześnie na zwietrzałe przekonania, na przesadną cześć powag, które zbytnią miały pretensję do nieomylności, na dziecinne zajęcie się ckliwą, sentymentalną poezją epigonów wielkiego romantycznego ruchu, gdy życie do innych zadań nawoływało — budzono, słowem, nowe życie, wywołując oczywiście namiętn napaści lub zaciętą ignorancję.

Ruch ten przyniósł naszemu społeczeństwu pewien zapas świeżych idei, rozwija się ustawicznie i nie wypowiedział dotąd ostatniego słowa.

Znaczna przewaga idei ogólnych, naukowych i filozoficznych w tym ruchu, tłumaczy się znanemi politycznemi stosunkami w Kongresówce i brakiem szerszego życia publicznego. W tym względzie nowy obóz nie wypowiedział się jeszcze dość wyraźnie, niewątpliwie jednak ku temu idzie, a kwestje społeczne szerszego zakroju żywo dziś zajmują umysły w Warszawie, i znajdują swój wyraz w publicystyce — przyjdzie zaś kolej i na sprawy polityczne.

I w początku już jednak swego rozwoju, ruch postępowy podniósł niektóre hasła, dotyczące wewnętrznych stosunków w kraju, przewaga zaś idei ogólnych, jeżeli w kraju, gdzie żywem tętnem bije szersze życie publiczne, mogłaby być uważana za szkodliwą, to w Królestwie — jest rzeczą naturalną, ma zaś tę dobrą stronę, że życiu publicznemu daje pewną ideową, zasadniczą podstawę, i tworzy grunt na którym one bujniej rozwinąć się może.

Ruch umysłowy, o którym mówimy, przyniósł literaturze naszej kilka wybitnych

alentów. Sienkiewicz, Okoński (Świętochowski), Prus (Głowacki), i wiele innych talentów wyrosło na tym gruncie.

W prasie stworzył on nowy jej całkiem odłam, tak zwaną „prasę młodą.“ Pierwsze łamał lody na tem polu Przegląd Tygodniowy, wychodzący od roku 1867 i do dziś dnia przodujący postępowej prasie warszawskiej. Prawda pismo tygodniowe, wychodzące od r. 1881 pod redakcją wybitnego pisarza z tego obozu, Aleksandra Świętochowskiego, gromadzi koło siebie całe grono postępowych pisarzy, i utrzymuje ścisły związek z postępową myślą Europy, pilnie omawiając przytem sprawy krajowe. Nowiny, pismo codzienne, założone w czasie żywszego ruchu podczas wojny turecko-rossyjskiej, redagowane dziś przez Prusa, liczy się także do tego obozu, w szeregach którego walczy obecnie i Kurjer codzienny. Częściowo także do postępowej prasy należy Ateneum.

Ostatniemi czasy, pisarz odznaczający się wielkim niezaprzeczenie talentem, samodzielnością sądu i wielką uczciwością, Bolesław Prus, rozpoczął w Nowinach wielce ciekawą, zasadniczą polemikę z pozostałą częścią prasy postępowej. Najwybitniejszy jego artykuł p. t. Alea jacta est podajemy w większej połowie, rezerwując sobie niektóre uwagi na koniec.

Oto on:

„Kiedy na widowni dziennikarstwa, ukazał się „Przegląd Tygodniowy,“ napadła go cała ówczesna prasa, zwana starą. Dla czego napadła go? Bo „Przegląd“ głosił idee wówczas nowe. Dziś nas znowu atakuje prasa — niegdyś — młoda. A dla czego to ro bi? Bo dzisiaj „Nowiny“ stają się głosicielem nowych idei.

Zwykła kolej rzeczy!

Na czem polegała ówczesna nowość „Przeglądu?“ Oto mniej więcej na następujących punktach:

1) „Przegląd“ oświadczył się przeciw rządom uczucia w sprawach społecznych i upominał się o rządy rozumu. Walczył przeciw filozofii idealnej i przeciwstawiał jej filozofię pozytywną. Nad poetów wyniósł uczonych.

2) Zamiast wielkiej polityki, „Przegląd“ zalecał politykę wewnętrzną, pracę organiczną.

3) Z gwałtowną energią, dochodzącą niekiedy do paszkwilu, walczył „Przegląd“ z rozmaitemi „autorytetami.“ Szykanował przesądy mieszczące się w zdaniach ogólnych, powtarzanych na wiarę, bez rozumienia ich, a natomiast zalecał, ażeby w sądzeniu rzeczy opierać się na wynikach naukowych badań.

4) Naszą historyczną przeszłość, którą ogół uwielbiał bez krytyki, „Przegląd“ poddawał krytyce, niekiedy zbyt surowej i niesprawiedliwej.

5) Zrodziwszy się w epoce, która nastąpiła po czasach wyłącznego wpływu nas kraj duchowieństwa i szlachty, „Przegląd“ oba te czynniki osłabiał, torując drogę dla stronnictw demokratycznych.

Czytajcie dzisiejsze pisma postępowe, a znajdziecie w nich te same idee, te same kierunki, jakie przed piętnastoma laty ożywiały „Przegląd.“

A teraz zobaczmy na czem polega nowość naszego pisma.

1) Przedewszystkiem my chcemy wykonać, to co prasa „postępowa“ tylko zalecała, o ile naturalnie rady jej są praktyczne, a nam wystarczą siły. Jak niegdyś stosowano uczucie, tak my chcemy stosować rozum do spraw społecznych. Wychowaliśmy się pod wpływem zasad filozofii ewolucyjnej, spencerowskiej, i słuchamy jej wskazówek, nie zaś idealnej lub comtowskiej. Nie odrzucamy poezji dla nauki, ani poetów dla uczonych, ale każdemu przyznajemy właściwe miejsce.

2) Pracę organiczną i politykę wewnętrzną chcemy spotęgować jaknajbardziej. Pragniemy już nie tylko pisać o potrzebnych instytucjach, ale przyczynić się do tworzenia tych, które znajdą warunki bytu i rozwoju.

3) Poddajemy krytyce zdania i zasady nie tylko te, które wypowiadali konserwatyści, ale i te, w które dziś wierzą postępowcy. O ile to leży w zakresie naszej wiedzy, opieramy się na danych naukowych. Nie wierzymy w żadne powagi, ale... już ich nie szykanujemy.

4) Zgadzamy się na krytykę naszej przeszłości, ale — sprawiedliwą. Znamy ujemne strony historji, ale — nie chcemy zamykać oczu i na dodatnie.

5) Ponieważ materjały do utworzenia silnego stronnictwa demokratycznego już istnieją, więc — chcemy je tylko skupić. Nie widzimy zaś celu wojowania ze szlachtą i duchowieństwem, ponieważ pragnęlibyśmy przyciągnąć ich do siebie, w nadziei, że pomogą nam do pracy około podniesienia warstw ludowych, i wyprowadzenia ich z kolei na pole naszej historji.

Oto jest szkic tych różnic, jakie istnieją między nami i „postępowym“ obozem.

Tak panowie. Wy byliście teoretycy, my chcemy zacząć praktykę. Wy tylko zalecacie, my chcemy wykonywać. Wasza praca, zgodna zresztą z wymaganiami epoki była tylko negatywna, nasza chce i musi być pozytywną. Wy dopiero wołacie o naukę, my już słuchamy jej wskazówek.

Wy nareszcie byliście realistami w pragnieniach, a idealistami w rozumowaniach, a my już chcemy być realistami do gruntu. Wy jesteście demokracją i liberalizmem w słowie, a arystokracją i despotyzmem w duchu, my — jesteśmy i chcemy być demokracją w duchu i w czynach.

Oto najogólniejsza treść naszego programu. Możemy jeszcze wbrew niemu popełnić setki błędów, z powodu braku sił lub wprawy, ale — już jesteśmy na nowej drodze.

My chcemy iść naprzód, wy zostaliście na miejscu: wy macie przeszłość, do nas należy przyszłość. Na dowód zaś naszej wiary i siły niech wam posłuży to, że kiedy wy i tak zwaną „starą prasę“ i „Nowiny“ traktujecie z namiętnością i lekceważeniem, my i tamtych i was traktujemy z szacunkiem; kiedy wy wojujecie frazesami, my cyframi.

Sam ten spór zresztą jest dowodem ogromnego postępu w dziennikarstwie. Poprzednicy nasi kłócili się o błędy drukarskie, my już dyskutujemy o kwestjach, należycych do socyologii i filozofii.

Podaliśmy w całości prawie artykuł Prusa, charakteryzuje on bowiem dość trafnie początkowy program warszawskiego „pozytywizmu“ — Prus jednak zdaje się nie dostrzegać, że program ten uległ znacznej dość zmianie „ewolucyjnej“ a „Przegląd Tygodniowy“, pisząc dziś „Jedno wyjaśnienie i parę objaśnień“ na powyższy artykuł Prusa, nie przyznaje się w zupełności do żadnego punktu, przytoczonego w artykule „Alea jacta est“ programu pierwiastkowego. „Przegląd“, nie schodząc z gruntu postępowych idei ogólnych, stara się uzupełnić je podobnemi ideami w zakresie stosunków społecznych i politycznych. W tem leży właśnie istotna „ewolucja“ „pozytywnego“ warszawskiego kierunku.

To zaś co pisze p. Prus, wygląda raczej na eklektyzm, niż konsekwentny rozwój zapatrywań pierwiastkowych.

Trudno nam bowiem zrozumieć, w jaki sposób prasa ma „wykonywać“ pewne zasadnicze programata, w jaki to ona sposób ma „tworzyć“ instytucje; co to jest „krytyka bezstronna“, nie opierająca się na żadnych zasadach, i do czego prowadzić może przyciąganie „szlachty“ i „duchowieństwa“, dla utworzenia „silnego demokratycznego stronnictwa“.

Program Prusa jest pewnego rodzaju oportunistycznym eklektyzmem, na podstawie którego żadne stronnictwo z nowszym, zasadniczym programem utworzyć się nie może.

Przy drodze.

Nowela

przez F. Tokarzewicza- Hoid'ego.

Po wietrze zmieniło się nad ranem.

Pocztylion z Kamienia, Tymko Zyzuń, gdy wyszedł przed świtem na dwór, nie dostrzegł na ziemi śladów oczekiwanego białego przymrozka. Żal mu się trochę zrobiło. Nowy jego kożuch miałżeby jeszcze tym razem pozostać na kołku?

Noc była szara. Drzwi z zewnątrz i ściany gospody okrywała wilgoć. Niebo było przyćmione; roziskrzone z wieczora gwiazdy, znikły obecnie za powłoką mgieł ciepłych, pod których okryciem miękkiem, spadającem ku ziemi, chaty spały snem twardym. Cisza zalegała okolicę; jedynie na wschód od Kamienia, od strony Steinau, rozchodził się odgłos czegoś podobnego do stłumionego turkotu żaren, obracanych omdlałą ręką ciemności,

— „To ten selmoski tartok niemiecki" — mruknął Tymko, zaciskając na sobie pod kapotą pasek swój rzemienny.

Na północ przed nim, w siwym mroku gęstniałytumany jakoby chmur czarniejszych, były to pagórki wsi Jeżowej, otaczające jej cmentarz wyniosły, uwikłany w drzewa rosochate. Jaśniej cokolwiek mżyło niebo od południa, zkąd Wisłoka nadsyłała tu zwykle, w dnie cieplejsze, wyziewy swe parne. Kto wie — myślał Tymko, czy jeno pod zimę jesień się nie zacznie na dobre... A no, czy nie słusznie? Lata tego roku nie zaznali ludzie. Zboże na pniu zgniło. Niechżeby choć człowiek miał czem westchnąć teraz po stracie...

— Pan Bóg je miłosiernym... zakonkludował w dobrej wierze Zyzuń, i jeszcze mocniej zacisnął na sobie rzemień. Poczem, splunąwszy na stojącą pod chlewem bryczkę pocztową, z wyrytemi na niej herbowem[1] znakami, zmierzał z powrotem ku sieni, w której był jego barłog z siana i słomy.

Zatrzymał się naraz.

— A bodaj cię! — rzekł, jak gdyby co sobie nagle przypomniał.

Spojrzał ku oknu sąsiedniej chaty, gdzie Maziarzowa mieszkała ze swą córką Baśką.

— Prosiła nieboga - mówił — żebym ją wczas obudził. Wystojała się wczora dzień cały w polu z tą swoją krowiną na słocie i wietrze, to i zaspać jej dziś nie trudno...

Przestąpił przęsło żerdzi, oddzielające gospodę pocztową od chaty. Podchodził ku oknu. Lecz wnet ponownie się tu zatrzymał, zawachawszy się.

— Ba! — gadał do siebie —Gdybyż! Żol byłby mniojsy. Ale nie. Łże jucha. Powiada, że w polu bydle Powilańczuka raz po raz do jej bydlęcia lezie. A ona do niego cy nie?

Kiwał głową przełażąc powoli napowrót żerdzie, i powiadając:

— Cysorz to jedno, okrom wielgich podatków źle zrobiuł, że dziewczętom do szkoły chodzić kazał. Nie prowadzi to do dobrego, nie. Nie kusiłaby Powilańczuka Maziarzowna, oj nie. Gdzie jemu, gdzie jej!

Raz jeszcze płot ku chacie przestąpił, i raz jeszcze wrócił, ważąc się w myślach, zbudzić dziewczynę, czy nie zbudzić.

Nareszcie zaklął.

— Ta czart z nią! Niech spi do południa. Wolęć jej dziś nie widzieć w polu, jak widzieć z nim. A jak Maziarzowa wałkiem ją kiedy co się zowie po plecach ściągnie, to mniej może będzie ludzi za serce chwytała...

Wszedł po tych słowach do sieni, i drzwi za sobą z łoskotem zamknął.

Zasnął. Spał jak wszyscy w Kamieniu spią zwykle: do dnia białego: — ani się poruszył z pościeli, kiedy w godzinę później skrzypnęły tylne drzwi w chacie sąsiedniej, a z nich wybiegła dziewka w bieliźnie, w czerwonej chustce na głowie i na ramionach, z dojnicą w ręku jednem, z nizkim stołkiem w drugiem. Wybiegła, poskoczyła ku chlewom, chyżo wyminęła bosemi nogami po kładce kałuże i błocko przy studni, z chlewa wyprowadziła na postronku krowę, przy płocie ją uwiązała, zamięszała w korytku przed nią słód i otręby, wyciągnęła wiadro wody, spłukała po kilkakroć dojnicę, spłukała później wymiona krowie i ręce sobie, podstawiła stołek, usiadła, i cyrkać mleko poczęła, — łokciem od czasu do czasu poprawiając włosy czarne, pasmami bujnemi wyłażące jej z pod chustki na twarz śniadą, drobną, na której gorzało dwoje oczu czarnych.

Brzask wstającego poranka, roztoczył już po tynkach i strzechach matowe swe światła. Blady odblask jutrzenki błąkał się chłodno po zabrukanych szybach okien i ogołoconych dokoła niwach, brudych lub martwo-zielonkowatych. Mgła poszła w górę, podcięta żywszą teraz z kolei falą powietrzną, która wpadając pod rozchylającą się u szyi dziewczyny koszulę, oblewała za każdym oddechem pierś jej szczupłą, jak nie donoszona jesień, a pulchną, ciepłą i świeżą, jak wczesna wiosna. Dojąc, Maziarzówna raz po raz błysnęła oczyma, to ku chacie matczynej, to ku poczcie.

Zyzuń spał. Zbudził się wtedy dopiero, gdy po wzgórzach Jeżowej rozległa się nagle trąbka pocztarska, głusząca echo bryczki parokonnej, która się galopem dziarskim niosła po tęgiej, twardej, równej drodz z Niska do Rzeszowa Zbudził się — lec dziewka tymczasem oddawna była już w polu... Czy sama?

Tymko się porwał z pościeli, zarzucił na siebie sukmanę i wybiegł czemprędzej przed gospodę pocztową, a ztąd ku chlewom. Krzątać się zaczął około bryczki. Żółtą była. Czerniał na niej ledwo dojrzały napis „Kamień-Sokołów"... Na oczyszczenie reszty, jużby i czasu nie starczyło. Trąbka, wpadłszy do Kamienia, powtórnie uderzyła przed chwilą, jak na alarm. Spóźnioną nieco się czuła dnia tego poczta powiatowa. W Nisku, za długo żegnano kogoś odjeżdżającego na Zachód...

Na próg sąsiedniej chaty wyszła właśnie Maziarzowa Zasępioną była i chmurną. Przyszedł wczoraj papier z powiatu; nowa bieda wlazła na kark. Krowy Baśka do cechowania nie zaprowadziła, bojąc się, głupia, rozpalonego żelaza. Płakała, psiawiara, że ranę krowie zrobią, że się do niej pan cechmistrz z żelazem umizga... Jakby to rana w jesieni co szkodzi! Wypłakałaż teraz! Sztrof będzie niechybny. Pan cechmistrz nie daruje tym razem...

— Jak się miewacie Tymku — ozwała się kobieta najuprzejmiej do pocztyljona — Czy to wy dzisiaj z powrotem pocztę powieziecie do Niska?

— A ino...

W kraju tym, w narzeczu ludowem, „a ino" znaczy tyle co: a jużciż, chybaże, bardzo być może, tak jest, niewiadomo, no więc cóż?

— A ino! — powtórzył... Jeślić tylko pan Bóg pozwoli z Sokołowa teraz wrócić— dodał.

— O la Boga świętego! i dlaczegobyśta wrócić nie mieli?... Czy jakie nieszczęście? Czy drogę znowu zalało?

Zyzuń się nabuńduczył.

— Owa! — powiedział — Zalejta-tu, bądź ta mądry, tę drogę Brzozińskiego! Wystarczy póki świota. Ale każą może oto jechać dalej. Wiezą kogoś, z Paryża aż.... umizgronta jakiegoś... djobeł go wie!...

— O Jezusie Nazarański! zawołała kobieta.

Lecz nic więcej nad to powiedzieć nie umiała.

„Poryż! umizgront!" — zapewne, wielkości w tem mogło być bezmiar, więcej może, niż w nadętej minie Tymka, lecz nie ulegało wątpliwości, że biednej kobiecie własna przedewszystkiem bieda dokuczała srodze a uczoną Maziarzowa nie była. Podjęła tedy wraz ze swojej beczki, tonem najzwyczajniejszym, zbliżywszy się do pocztyljona;

— Bo widzita, jabym was prosiła, gdy pojedzieta do Niska, żebyśta też o mojej krowinie pomówili z panem cechmistrzem, ealbo do pana Starosty poszli, pogodoli...

Tymko się na nią wyzwierzył:

— A juzciż! zaroz! Za wos będę chodził, za wos ciągle staroł się... kupowoł dla wos! Za wos moze będę biegoł... jak Baśka za Powilańczukiem!.... — w. ...

Opamiętał się, poprawił się:

— Jutro z rona o tej porze! — dokończył.

Trąbka zadzwoniła znowu, tuż prawie nad dachem poczty kamieńskiej, głusząc w Zyzuniu refleksje dalsze, być może lepsze. Refleksje t., w każdym razie, złagodniały nie pierwej, aż Tymko konie z chlewów wyprowadził. W nowym był kożuchu. Przychylniej też rzeczywiście skinął tym razem głową ku Maziarzowej, która na próg swej chaty upokorzona odeszła, i ku nadjeżdżającym teraz patrzyła z uwagą, na jaką stać jeszcze było jej oczy zmęczone i chmurne.

Ścisnęła po chwili ramionami litośnie.

Byłoż na co patrzeć, Jezusie Nazareński.

Na bryczce z Niska siedział człowiek czarny, chudy, z bródką koźlą, cokolwiek do żyda z twarzy podobny, w burce bronzowej chłopskiej, z kapiszonem prostym, w kapeluszu ordynarnym, ulanowskim może. Tylko że w okularach sinych. Przy nim był chłopczyna lat siedmiu, ośmiu, zziębnięty, w czapce watowanej, w paltocie nowym, sutym, — co prawdopodobnie sprawiało, że malec się trzymał równo, sztywnie, jakby igłę połknął.

Nic więcej. Nic a nic. Z tyłu za podróżnymi spoczywał na pudle bryczki worek skórzany, stary, sznureczkami u góry podwiązany.

Przesiadać na powóz kamieński nie było potrzeby, czy też, być może, nie było możności. Konie tylko przeprzężono. Ta sama bryczka szła dalej.

Człowiek czarny nie patrzył w żadną stronę. Zadumany był. Po chwili nachylił się tylko do swego chłopca i spytał:

— As-tu toujours mal a la gorge?

— Nie, ojcze — odpowiedział dzieciak głosem ochrypłym, po polsku.

I tyle.

— Takiż to i umizgront! — zauważyła kobieta, cofająca się powoli za próg swej chaty, z rozczarowaniem jakiemś, nie pierwszem zapewne w jej życiu.

Jakby atoli natomiast wyobrażała sobie prawdziwego „umizgronta“ — nie wiadomo.

Poczmistrz wyniósł po chwili z gospody korrespondencję. Powiedział podróżnym „dzień-dobry“, otworzył z tyłu powozu rygle pocztowego pudła, jedne pakiety papierów ztamtąd wydobył, drugie tam zasunął, zaryglował pudło napowrot, i rzekł głośno:

— Gotów!

Odkłonił się na ukłon podróżnym, i stał jesze chwilkę z głową odkrytą. Padać zaczynał deszcz mglisty, cieńki, lecz żywy.

Tymko wgramolił się na kozieł. Przed chwilką, skoczył on był do chaty naprzeciwko. Fajkę może tam zapalił. Mruczał teraz pod nosem, poprawiając siedzenie pod sobą:

— Popomiętos-ty choć roz!... Pszia-mać jego!

Konie urznęły wnet dziarskiego kłusa.

Zabudowania kamieńskie, ciągnące się długiemi szmatami strzech łatanych, obmokniętych od tygodnia, popłynęły natychmiast za odjeżdżającymi wstecz, ku Jeżowej, w stronę opuszczonego Niska, jako dwie strugi wspomnień monotonnych, skołatanych, tułaczych.

Zagrała trąbka na pożegnanie. Nie było ono pierwszem. Czy było ostatniem?... Na to pytanie, podróżnik, kaptur sobie czarny na oczy narzucił...

Przed sobą widział już tylko wzmagające się mgły i szarugi, i dalszy ciąg drogi tułaczej, bezdomej..

Dzieciak kaszlał, obwijając kołdrą czerwoną nogi ojcu i sobie.

* * *

Kraj tu równy, lekko falisty.

Lasy, z początku gęste i stłoczone, rozchodzą się około Sokołowa, niby wrota rozwarte na świat szeroki... wolny... głodny i chłodny.

Jak na imię temu krajowi?

Inteligencja miejscowa zwie go Sybirem galicyjskim.

Czemu? — Nie bez powodów podobno.

Cywilizacyjnie, nie wiele o tych stronach wie dotąd geografia powszechna. Dla publicystyki zachodniej ważą one na mapie Europy nieledwie tyle, ile na mapie Afryki ważą odkrycia naszego rodaka Rogozińskiego. Nie mówi się wprawdzie o nich, że to są ziemie nie znane, terra incognita, gdyż już Strabon, zdaje się, coś podobnego o nich nadmienił. Natomiast, ilekroć za dni naszych przyjdzie się o nich wspomnieć Malte Brunowi lub E. Reclusowi, powiadają oni wprost: „terres mal connues, presque incultes.“

Presque incultes! To nie zupełna prawda. Są tu powiaty całe, należące do rodzin możnych, nie polskich, któreby się bynajmniej nie powstydziły stanąć do porównania, pod względem swej uprawy, z gruntami na Szlązku, lub nawet w Hannowerze. Dominium np. Niskie, obejmujące dwa niespełna powiaty lasów i ziemi ornej, należy pod każdym względem do wzorowych. Służba, administracja, książki rachunkowe — są tu wprawdzie niemieckie; lecz za to gospodarka, zabudowania jej, machiny, konie tartaki, uprzęże — czyste jak gotówka miljonowa. A posiadacz, acz hrabia, i z imienem dobrze znanem w dyplomacji francuzkiej, prawie nie złazi z konia, chyba na bryczkę; widzisz go w kurzu i pocie od rana do wieczora, w zimie i w lecie.

Co do reszty — jesto kraj nasz... Sanockie. Tak przynajmniej zwie ten zakątek hr. St. Tarnowski w pięknym życiorysie ks. Juljana Leszczyńskiego, niedawno zgasłego kapłana tych stron, w której to monografij tyle jest tylko mowy o gospodarstwie, o przemyśle, o zamożności parafialnej tych ziem, ile tego wszystkiego zmieścić się może na z romańska wyszywanym ornacie... I tyleż tylko jest podobno i w rzeczywistości. Bądź-co-bądź, lud prosty nic a nic nie wie w Sanockiem o owem „Sanockiem,“ Na pierwszej czy na ostatniej popasowej stacji, zarówno prywatny faktor w Rzeszowie jak uprzywilejowany przewoźnik w Dzikowie, jednakowo odpowiedzą podróżnemu na zapytanie o nazwę tych stron, — stron zkądinąd, (gdyby to od nich zależało) bardzo gościnnych i miłych

— Je to prosę pona Syberyja galicyjska

I zaiste, zasłużony to ma być tytuł. Prowincja ta, wetknięta ku północy, w nieestetyczny zarys dolnych części Kongresówki, jako klin ostry, a stercząca na galicyjskiem tułowiu, u krakowskiej jego główki, gatunkiem „oślego ucha“, źle jest, jak zapewniają widziana w sferach „wyższych“. Ilekroć i gdziekolwiek — powiadają — urzędnik zbyt twardo kark trzyma, lub też, nie dość głęboko zapada na nogi przed lada postumentem reprezentacji autonomicznej, natychmiast w „wysokim wydziale“ kraju polsko rusińskiego (tak chce mieć autor „Polityki nerwów“) znajdzie się referent, który do ucha swego superiora szepnie: — „To posłać go na Sybir“... I rzecz szczególna! Pomyłka w tłumaczeniu tej alluzji na język niemiecki, nie trafia się nigdy. Zawsze urzędnik zanotowany w ten sposób, znajdzie w swym formularzu, na marginesie, wskazówkę następującą: „nach Raniszów, Kolbuszów, Ulanów, Nisko oder Tarnobrzeg“.

Tyle wieść gminna niesie. Cóż mówi historja?

Historja utrzymuje, że jest to istotnie Syberja, lecz bynajmniej nie galicyjska, a w ogólności: nasza, polska.

Za dobrych czasów króla Olbrachta, i nawet za gorszych cokolwiek, za czasów królowej Bony i Maryny Mniszcówhnej, kraj ten był prawdziwym cul de sac Rzeczypospolitej. Wiadomo, co znaczy francuski ten wyraz. W naukach średniowiecznych zachodniego rycerstwa, „cul de sac“ było to podziemie, była to baszta dolna, wnętrze ciemne, dokąd ściekały niepotrzebne rzeczy z piętr górnych, i dokąd sadzano niepotrzebnych społeczeństwu ludzi, a nareszcie i samych

baronów. Czemś podobnem stało się Sanockie hrabiego Tarnowskiego w starych naszych czasach. Dzisiejsza ludność tego kraju z wierzchu do niepoznania już mazurska, w głębi była mięszaniną żywiołów najróżnorodniejszych, ściągniętych ze wszystkich krańców świata: z pod Wiednia, z pod Moskwy, z Czech, z Węgier, z Wołoszczyzny, z Krymu, z Rusi włodzimierskiej, z Litwy jadźwińskiej. Różnica ta tylko, odnośnie do cul de sac zamków zachodnich, że owa ludność była tu potrzebną, i że ją osadzano „na woli.“ Byli to jeńce Rzeczy pospolitej. W głąb tej puszczy sandomierskiej, przerzniętej niegdyś jedynie błyszczącym sierpem Sanu, dziś gdzie ino spojrzysz ogołoconej z wianków zielonych siekierą niemiecką, prowadzono za dawnych czasów brańców królewskich i wojewódzkich, z północy i południa, ze wschodu i zachodu. Oni to strzegli lasów, oni uprawiali pola... I nawzajem — bór był dla nich strażnicą, — ale i chatą, więzieniem i przytułkiem. Żadne szczególne obwarowanie potrzebnem tu nie było: nie było tu, z tego powodu wcale ani zamków, ani okopów, ani „horodyszcz“, jakie wznoszono na właściwych „kresach“ polskich. Wnętrze to było, a nie „Ukraina“. Wnętrze nie lada, istne jelita Rzeczypospolitej! Nie lada kto do nich się dobrał. Raz czy dwa Jadźwing, później Tatar, zapędził się wprawdzie na te „jamnice“, na te „zarbnie“, na te „wydry“, na te „turbie“ na te „pławy“, na te „warchoły“, na te „niska“, na te „nawiry“, na te kępy“, na te „żabna“... Zapędził się, ale zaplątany w tysiączne zarzecza, osieki i ostępy „klonowe“ „swierczynowe“, „cisowlasowe“, „bukowinowe“, „modrzewiowe“, ugrzązł raz i bez śladu zginął*) pośród tych topieliski moczarów, dokoła których lub na ktorych rozsiadły się następnie różnoplemienne kolonje, „maziarzów“, „kołodziejów“, „kowalów“, „porębników“, i imionami już dziś tylko przypominające swe pochodzenie z rodu „moskalów“, „wołochów“, „turków“, „szwedów“, „cyganów“, „czechów“, „rusinów“. Wszystkie te dzikie „Zaleszany“, „wielki“, „woliny“, „nowe-wsie“, „nowiny“, wzajem się pilnowały, poprzegradzane będąc bojarskiemi lub mazursko-szlacheckiemi zaściankami Dąbrow wielkich, długich, małych, Dąbrowek prostych, krzywych, wązkich, wysokich, Lipic, Sosnowic, Rzeczyc, Grobli, Bojanów, Dębic. Były to naturalne przęsła i warownie tej polsko-syberyjskiej matni, okrytej ciemnym gąszczem lasów odźwiernych, ujętej w obcęgi Wisły i Sanu, a poprzecinanej wewnątrz, w kierunkach rozmaitych, jątrzącemi się i niepewnemi nurtami rzek i rzeczułek: Łęgu, Jeziornej, Zapawy, Przyrwy, Osi, Rudej, Trześni, Mokrzycowej, że już pominiemy zawiłe pozostałości Starego - Sanu, rozpryśnięte za dni naszych na dwadzieścia odnóg i kawałków, których żaden topograficzny rysunek ująćby nie zdołał w linje jakiegokolwiek prawidłowego biegu — lub też, wyrażając się ściślej po galicyjsku — w linje jakiegokolwiek rozumniejszego zastoju.

Taką jest ta ziemia.

A ludzie na niej?

O ludziach... czemuż nie mogę krótko powiedzieć z poetą: „znałem ludzi — dwoje“...

Nie, nie znałem ludzi „dwojga“, ach znałem tu ludzi dużo: dobrych, szlachetnych zacnych, których wspomnienie snuć się i mięszać we śnie będzie ze wspomnieniami stron rodzinnych, dawno opuszczonych — długo, długo: do śmierci już za wrotami.

Nie, nie spotkałem tu ludzi dwojga. Spotkałem tylko serce jedno — kwiatek jeden... Nawet nie kwiatek, ziarnko jedno...

(Dokończenie nastąpi)

*) Nie zupełnie bez śladu co do Jadzwingów np. miejscowość Jażwinie około Grębowa, jeżeli nie etnologicznie, to może choć etymologicznie, pamiątka to staro-litewskich najazdów.

Nie budźcie jej!

Nie budźcie jej, niech spi!..
Przy wiejskich pieśni miłem cichem brzmieniu.
Usnęła o zachodzie słońca —
Z promieni powstał w krzewów cieniu
Archanioł marzeń na kształt gońca
I składa skrzydła na jej skroni...
Gdy wśród lipcowych kwiatów woni
W szesnastej wiośnie spi!

Na złotych arfach gra
Skrzydlatych duchów zastęp biały —
I wstaje pałac z mgły różowej,
W djamenty strojny i kryształy,
A u werandy marmurowej
Trubadur klęczy uśmiechnięty
I patrzy na ten świat zaklęty —
I serenadę gra!

A przez rozkoszny sen
Młodzieniec jej podaje ręce —
I w takt do czułej pieśni zwrotki
Na świeże usta jej dziewczęce
Gorąco złożył całus słodki!
A z pocałunku w lot się snowa
Przeczysta miłość księżycowa —
Najsłodszy życia sen!

Niech w tej miłości spi,
Nim życie weźmie jej wezgłowie,
Na którem teraz biedna marzy!...
I nim trubadur jej wypowie,
Że będzie żyła bez ołtarzy,
Że będzie z smutnem chodzić czołem,
Że jest samicą nie aniołem!...
Nie budźcie jej, niech spi!

Wład. Stebelski.

Wodi.

Realizm w powieści.

Szkic literacki.

Ciekawem jest zjawiskiem, że w kilku ostatnich dziesiątkach lat objawił się silny bardzo zwrot w literaturze. Poezja ustępuje prawie zupełnie miejsca powieści, i to powieści z gruntu zmienionej, niepodobnej ani do Walterskotowskich romansów, ani do długich opowiadań o subtelnie a szeroko obmyślanej intrydze. Czyżby ten zwrot pochodził z wyczerpania się kastalskiej kryniey, czy z owego tak powszechnie głoszonego znamienia wieku — prozaiczności i praktycznego zmysłu, — trudno orzec odrazu. Ale jeżeli pewnem jest zdanie, że piśmiennictwo zdrowe, ściśle zespolone z kierunkiem swego społeczeństwa, jest zawsze wyrazem jego uczuć i prądów w niem nurtujących, to przyczyn wiele by się nasuwało.

Przyszły one logiczną drogą w rozwoju ducha ludzkiego.

Potężny prąd poezji, który od końca przeszłego wieku wziął na barki nowożytne uczucia i tętna społeczne, w przeciągu długiego szeregu lat wydał geniuszów, których imiona niezatartem piętnem naznaczyły się w księdze dziejów. W nieprzebranej twórczości sięgneli oni w tajnie duszy, wyczerpali do dna wszystkie uczucia, jakie kiedykolwiek drgały w piersiach ludzkich, i przemienili je w perły poetyczne swem czarodziejskiem dotknięciem. Zacząwszy od tragicznego zwątpienia w niemoc ducha ludzkiego, które Faustowi kładzie w usta słowa: „Da steh ich nun ein armer Thor, und bin so klug als wie zuvor,“ przebiegli całą szeroką skalę tajników człowieczego serca, wyśpiewali wzniosłe uczucia ojczyste — wglądneli wgłąb miłości, tęsknoty. Od sarkazmów Heinego i melancholijnego szału Musseta, ciągnęła poezja w mistyczny, legendowy świat przeczucia i proroczej ekstazy. — Dla nas nic nie zostało na tem polu, po Gustawie, Werterze i całym szeregu ich braci — trudno bez powtarzania dawnych motywów opisywać cierpienia zbolałego serca, a Faust, Manfred, Konrad i Kordjan zamknęli szereg Tytanów, idących przebojem w niebieskie przestwory. Mistycyzm przeleciał cicho jak cień i bezpowrotnie, bo czasy, które go swem omdlałem tchnieniem do życia budziły, dawno już przeszły w świat tradycji.

Na miejsce filozofii spekulatywnej, która swym idealnym, marzycielskim charakterem, dziwnie nadawała się na kanwę do dzierzgania złudnych obrazów fantazji, wystąpiło chłodne badanie.

Nauka przyłożyła brutalnie ucho do dziewiczej piersi natury, wsłuchała się w jej tajniki i skalpelem rozdarła jej łono. Dawne

widziadła rozpalonej głowy, ustąpiły miejsca surowym badaniom in anima vili.

A tymczasem przyszły nowe ideały, ale już wyrodne dzieci owych cudnych marzeń, które do snu kołysały Helladę, które nęciły na wschód żelazem okute szeregi z nad Renu i Dunaju, które jadem i zgrzytem napełniały serce Byrona, ideały chłodne, zimne, nieubłagane. zbudzone do życia zmianą stosunków społecznych, ideały trzeźwe aż do przesady, gniotące pięścią twardą potrzeby i życia pieszczone utwory naiwnej wiary, ideały które wywołały skargę na usta poety: „Przeminął czas, przeminął czas, tęczowej cudów powieści,— już opustoszał święty las — i czarów w sobie nie mieści.“ „Już w nich nie mieszka żaden duch — Faun płochy albo Dryada — na skrzyżowaniu ciemnych dróg, — żadne już widmo nie siada.“

Tak więc z jednej strony poezja wypowiedziała swe ostatnie słowo w danej epoce, i zamilkła — nie wiadomo na jak długo — z drugiej strony postać Europy się zmieniła.

Wiek XIX powołuje do życia nowe żywioły, które kosztem krwi własnej zdobywają sobie nowe prawa, a przez to następuje wielka zmiana dekoracyj. Przewrót wywołuje nowe zasady, i do nich nagina się wszystko; duch ludzki raz złamawszy pęta zakazu, rwie się zębem krytyki na wszystko, i z wielkim stygmatem postępu na czole, druzgoce jak burza, bez miłosierdzia wszystko, co mu pęta chce nałożyć — prąd badawczy szeroko rozlewa się w koło — olbrzymiejąc coraz bardziej i zdobywając sobie nowe łożyska i ujścia. Ścierają się więc dwa motywa: — z jednej strony występuje pewne niedowiarstwo, sceptycyzm w obec utworów traktujących bezwzględnie uczucie, samo dla siebie, bo ten pierwiastek zużył się i zbladł przez zbytnie spowszednienie,— a z drugiej strony staje zmieniony bieg stosunków, z całem bogactwem nowych kształtów i myśli. Kolizja tych dwóch kierunków rodzi nową gałęź sztuki: powieść, opartą na podwalinach zupełnie różnych, jak dawniejsza powieść, czerpiąca swe środki i przedmioty z szerokiej dziedziny codziennych zjawisk powszedniego życia, i wpływem tego otoczenia tłumacząca objawy tego życia; jednem słowem rodzaj piśmiennictwa, który powszechnie nosi nazwę realizmu — nazwę nadużywowaną często, a częściej potępianą.

Zanim przystąpimy do jej scharakteryzowania, weźmy pod uwagę pewną okoliczność, która nam to zadanie znacznie ułatwi.

Pewną jest rzeczą, że wiele, może większa część naszych sądów i wyobrażeń nie pochodzi z własnego doświadczenia, z naocznego zgłębienia zjawisk, ale wytwarza się powoli z tysiąca co dzień spotykanych obrazków, rycin, olejodruków i opisów. Wielu z nas nie widziało np. morza, a jednak każdy umiałby opowiadać wiele o słonem tchnieniu porannego wiatru nad Salaminą, o perlistej pianie morskiej, o wschodzie krwawej tarczy słonecznej, gdzieś koło skalistej Kaprei, o szumie wzburzonych fal oceanu, — bo poeci, malarze, trud naocznego sprawdzenia wzięli na swoje głowy, i w zupełności wywiązali się z tego zadania. To samo da się powiedzieć o tworzeniu w naszych czasach, tak płodnych w artystyczne wielkości. Materjał gotowy w leksykonach i kollekcjach rycin — pozszywać go tylko, według tej lub owej szkoły — otoczyć grubą mgłą idealnej tajemnicy, lub nastrzępić kilku realnymi figurami o podartej koszuli, i utwór artystyczny już gotowy, bez sięgania w głąb prawdy życiowej, bez naocznej obserwacji. To utwór wcale nie zły a przecież czegoś mu brakuje, czegoś, co takiemu n. p. Wereszczaginowi nadało dziką grozę i siłę przykuwającą. U niego na szarej brudnej płachcie śniegu, szereg wstrętnych, ohydnych ofiar wojny, kupa trupów o bydlęcych, nieogolonych twarzach, w dziurawych szynelach, mówi całą przejmującą prawdę i szarpie najnieczulsze nerwy — bo on malował to, co widział naocznie i co w duchu długo przetrawiał. Gdy przeciwnie obraz bitwy ze sztabem oficerów świetnych i nieodstępnym trębaczem, jaskrawe dzieło jakiegoś spokojnego widza manewrów, nie wywoła żadnego wrażenia, chyba kilka wykrzykników ze strony dam znajomych.

Więc nie bez przyczyny świat artystyczny dzisiejszej doby wyrzekł się komunału i sztucznego życia, ale dzieje sztuki w logicznej konieczności zbliżył do natury, do studjowania jej przejawów.

Dziś krytyka krok za krokiem, w każdym wielkim nieśmiertelnym utworze dopatruje się tego prawa, że obserwacja a nie sama intuicja przypina skrzydła geniuszom. To jest podstawą powieści dzisiejszej. I ona dochodzi do szukania pod nogami realnego gruntu. Jest to pierwsze odstąpienie od dawnego pisania powieści intuicyjnie, z samej fantazji.

Słusznie też jeden z krytyków Gustawa Flauberta, najcelniejszego przedstawiciela realizmu — powiada: „Nic bardziej sztucznego nad owe sentymentalne powieści z epoki romantycznej, kiedy życie człowieka oprawione było w ramki artystycznego obrazu, w którym świat zewnętrzny żywy, czy martwy, tyle tylko zajmował miejsca, ile autorowi było potrzeba do uwydatnienia charakteru osobistości głównych. Tam wpływy nie grały żadnej prawie roli. Ludzie byli prawdziwymi bohaterami — działali w myśl swojej woli i zwyciężali przeszkody materjalne z taką samą łatwością, jak i własną naturę. Każdy krok ich był nowym tryumfem, każda myśl czynem. Tam robili oni co chcieli, w powieści realistycznej przeciwnie działają tak, jak im każą nerwy, temperament, wychowanie, charakter, świat zewnętrzny, okoliczności, i ta cała masa drobnych wpływów, które się składają na utworzenie całości życia. Osoby drugorzędne, nie mogą już dziś zachowywać się biernie, ponieważ autor wprowadza je dla nich samych, a nie jak przedtem dla oświetlenia jednego charakteru. Każda z nich działa na swoją rękę, i powieść przez to o tyle traci na palącym interesie, o ile zyskuje na prawdzie.“ Dla przekonania się o tem, weźmy pierwszy lepszy przykład. I tak: w Pani Bovary daje Flaubert obraz kobiety— która padła smutną ofiarą lekkomyślności, nudy i temperamentu pełnego pożądań i tajemnych zachceń. Utwór ten jest powszechnie głoszony za nie moralny. Kto pierwszy z tem zdaniem wyrwał się, i czy tak jest rzeczywiście, to nas obecnie nie obchodzi. Należy tylko nawiasem nadmienić słowa Sygietyńskiego: „Pani Bovary nie jest trucizną, brak jej do tego chorobliwego sentymentalizmu, zajmującej intrygi i uroku tajemnicy,“ i dodać, że Flaubert to dzika normandzka natura, o budowie olbrzymiej, o umyśle głębokim, surowym, jednem słowem kamienny charakter, któryby dla sensacji i drażnienia ludzkich nerwów nie upodlił wspaniałego pióra.

Otóż uderzający jest sposób, w jaki autor zakreślił główną osobistość, żywo i plastycznie wychylającą się z kartek powieści. On o samej Emmie nie wiele więcej mówi, jak o innych osobach mniej ważnych, nigdzie nie pozwolił sobie uwag osobistych, w jakich rozpływa się zwykle każdy utwór pani Sand lub nawet Balzaka. Tylko ze ścisłością, której nic nie szkodzi lakoniczny ton reportera, opisuje nam wpływy, jakie od dzieciństwa rzeźbiły kapryśną, pożądliwą naturę bohaterki. Dowiadujemy się od niego, jak po śmierci matki odwiózł ją ojciec, prosty fermier, do klasztoru, jak: „żyjąc bezustannie w ciepłej atmosferze klas i wśród tych kobiet o bladej cerze, które nosiły różańce z krzyżem miedzianym, powoli zadrzemała ona w tem mistycznem omdleniu, co wydziela się z woni ołtarza, świeżości kropielnic i migotania świec kościelnych. Dla umartwienia raz próbowała zostać przez cały dzień z postem.“ A dalej wprowadza autor nowy wpływ, działający na rozczarowany umysł dziewczyny. Stara romantyczna panna, kuzynka biskupa, śpiewa pannom w klasztorze sekretnie, dawne ballady: „Były tam damy prześladowane, które mdlały w pawilonach pocztylioni zabijani na każdym popasie, konie padające, ponure lasy, bicie serca, przysięgi, łkania, łzy i pocałunki, łódki przy świetle księżyca, mężczyźni dzielni jak lwy, łagodni jak baranki, cnotliwi jak nie jest się w ży-

ciu, a płaczący jak fontanny." Potem ta istota obracająca się w świecie marzeń tajemnych i kontemplacji zmysłowej, wraca do codziennygo życia folwarcznego, do rubasznego ojca i wychodzi za mąż za człowieka trywjalnego, prozaicznego, za skończonego głupca. Choć to figura zupełnie podrzędna dla powieści, autor dużo poświęca jej miejsca; poznajemy ją dzieckiem niezgrabnem, potem towarzyszymy w rozwiązłem życiu na akademii, zaglądamy nawet w jego pożycie z pierwszą żoną, a wszystko dla tego, żeby uczynki Emmy lepiej sobie tłumaczyć wpływem charakteru męża. Taka para żyje w małomiejskiej, dusznej jednostajnością atmosferze, którą nam autor równie szeroko i mistrzowsko opisuje, jakby szukając w tej gromadzie poczciwców zewnętrznych czynników dla psychologicznego obrazu p. Bovary. Ona się nudzi wśród tych przemysłowców i aptekarzy, którym nigdy serce dla poezji nie zadrgało; żaden z nich nie umie robić szpadą, ani grać na gitarze, więc ona umiera z nudów i jednostajności. Jeden bal w arystokratycznym eleganckim zamku, budzi w niej wszystkie pragnienia, burza szaleć zaczyna, i Emma leci jak po równi pochyłej, do zaparcia się obowiązku., do złamania wiary, w kałużę upadku. Wreszcie łyżka arszeniku kończy smutne jej dzieje. Lecz tu jeszcze powieść się nie kończy, choć bohaterkę w pogodny, majowy dzień, w cieple złotych odblasków wiosennego słońca, poniesiono na cichy spoczynek.

Bo i w życiu nie na tem koniec. Autor maluje nam więc dalsze koleje życia małomiejskiego, rozpacz łatwowiernego męża, obojętność bezduszną dawnych wielbicieli Emmy. Ale mąż odkrywa listy nieboszczki, łuska spada mu z oczu. Pojedynku żadnego ztąd nie było; ludzie tej miary nie stać na niecie. Flaubert dobrze o tem wiedział. Złamany życiem, nie żywi już żalu do nikogo. Wina to fatalizmu: „Nazajutrz— mówi autor, mała córeczka znalazła go nieżywym w altanie. Miał głowę opartą o mur, oczy zamknięte, usta otwarte i trzymał w rękach długi kosmyk czarnych włosów."

W tej powieści autor, nitka po nitce, chwyta najdelikatniejsze wpływy, nie uroni żadnego objaśniającego szczegółu, nie tłumaczy sam nic i nigdzie: on patrzy i notuje, a my sami rozumujemy. W rezultacie mamy powieść, może jedyny w swym rodzaju a typowy wzór realizmu, w którym spotykamy wszechstronne zestawienie wszystkich czynników, kształtujących charakter ludzki, i bezstronne opisanie toku wypadków. Widać jak na dłoni, że to co się stało, nie stało się dlatego, że autor tak sobie z góry założył, lecz że tak stać się musiało, że pewien szereg przyczyn koniecznie musiał takie wywołać następstwa.

Taka empiryczna, chłodna metoda, redukująca dawne fantastyczne wycieczki do sumiennego konstatowania] przejawów życia, ma jednak w sobie porywający urok głębokiej prawdy, a skąpe szafowanie podmiotowych wykrzykników, zastępuje genialnie podchwyconymi rysami, wprost z życia przeniesionymi nam przed oczy. Tak np. w powieści Julia de Trecoeur w epizodzie końcowym rozszalała bohaterka, rzuca się na koniu w przepaść bezdenną. Mąż, który ją kochał bez granic, patrzy na jej śmierć. Czy wybucha on w patetycznych tyradach? Nie! Zatapia tylko paznogcie w ramię przyjaciela z konwulsyjną siłą, i stoi niemy, blady, zapatrzony w przerażające widowisko. Ten prosty ruch lepiej tłumaczy stan jego duszy, niż 10 kartkowa analiza osłupienia.

Mamy więc zasadnicze cechy nowszego rodzaju powieści. Dalsze wszystkie wynikają z nich bezpośrednio A zatem, najprzód upaść musi owo wcielanie ideałów i doktryn wyrozumowanych axpriori, w postacie bohaterów lub heroin, wobec spokojnej obserwacji wszystkich włókien, składających się na obraz charakteru żywego. Jednostronne typy usuwają się na rzecz żyjących w całej pełni ludzi, i to nie wyjątkowych ludzi.

Z pomiędzy najcelniejszych realistow może jeden Daudet najwięcej od tej zasady odstąpił, to też w postaciach jego razi niewspółmierność pewna, wzgląd na konwenans i dobry smak według reguły. Ta literacka dyskrecja dla egzotycznych czytelniczek z przedmieścia St. Germain, wiele ujęła krwi i kości kreacjom byłego sekretarza księcia de Morny. (D. c. n.)

Obudzenie sumienia.

Nowela hiszpańska.

W ciemną, zimną noc 1834 r. mocne kołatanie do drzwi przebudziło staruszkę, zamieszkującą biedną chatkę pirenejską, przyczepioną jak gniazdo ptaka, do rozpadliny skały. Jednocześnie usłyszała znany sobie głos: „Otwórzcie matko Amadeo! To ja, Piotr Zarga. Przynoszę wam wiadomość od waszego męża."

Staruszka zapaliła łuczywo, i wyszła z niem do sieni, której nizkie drzwi zamknięte były na mocną drewnianą zasuwę. Oświetliła mały czworokątny otwór, wyrznięty w ścianie, i ujrzawszy w nim wyraźnie znajomą twarz Piotra Zargi, bez wahania odsunęła zasuwę. Zaledwie jednak drzwi się rozwarły. Zarga rzucił się gwałtownie na nią i powalił na ziemię. Przy świetle łuczywa ukazały się mundury hiszpańskich żołnierzy. Starą w oka mgnieniu związano i zatkano jej usta. Potem wszyscy weszli do nizkiej, dusznej izby, w której dogasający na kominie ogień błyskał chwilami, i jaskrawym blaskiem oświetlał poczerniałe belki pułapu i ubogie sprzęty.

W kącie po za kominem, stało nizkie łóżko, usłane skórami o długiej miękkiej sierci, a na niem spał mały chłopczyk.

Zbudzony odgłosem kroków i szczękiem broni, chłopczyna wyskoczył z łóżka. Z niemą trwogą patrzył swemi wielkiemi, czarnemi, szeroko rozwartemi oczyma, na gromadę obcych uzbrojonych ludzi. Ujrzawszy pomiędzy nimi znajomą twarz Zargi, przytulił się do niego, jak pisklę, szukające schronienia pod skrzydłami matki; lecz Zarga odepchnął go szorstko i wyrzekł groźnie kilka słów w języku baskijskim, wskazując mu przytem, nakazującym gestem łóżko. Chłopczyna wskoczył na nie w oka — mgnieniu, i z przestrachem zasunął sobie aż na głowę wełnistą skórę, która mu za kołdrę służyła.

Tymczasem żołnierze dorzucili kilka drewek na ogień, i zasiedli dokoła, grzejąc swe zziębłe ręce. Było ich jedynastu, razem z dowódcą, który siadł za grubo ociosenym drewnianym stołem, wetknąwszy palące się łuczywo w otwór, umyślnie na to zrobiony.

Wzrok jego utkwiony był badawczo w Zargę.

— Jesteś więc pewny, że ich złapiemy w tej jaskini? zapytał go wreszcie.

— Najzupełniej — odrzekł Zarga. — O północy Czterolistek będzie mnie oczekiwał w jaskini. Godzinę więc możemy jeszcze tu odpocząć, a za dwie godziny dostaniemy się do ich legowiska. Ale ścieżka tam niebezpieczna, znana tylko śmiałym górskim myśliwym. Dla waszych nie wprawnych nóg, będzie to ciężka praca. Nie obejdzie się bez sznura!

— Nie troszcz się o nas! Raczej zważaj sam pilnie na drogę! Wiesz, jaka cię czeka nagroda, jeśli się dzisiejsza wyprawa powiedzie. Lecz przysięgam ci, jeźli chcesz nas wprowadzić w jaką zasadzkę, pierwszy przypłacisz to życiem.

— O! gdybym jeszcze dotychczas służył sprawie Basków, z pewnością postarałbym się o lepszą niż wy zdobycz. Nie zadawałbym sobie tyle pracy i mozołów po to tylko, aby zgubić jedynastu Hiszpanów. Mówiłem już wam przecie, że nienawidzę teraz swych dawniejszych towarzyszy, więcej, niżli wy sami.

— No dobrze — dobrze! Tymczasem moje dzieci, odpocznijcie sobie godzinkę, i nabierzcie sił do dalszego pochodu.

Postawiono straż przed chatą, a pozostali jedli i zapijali wesoło przed ciepłym kominem. Jeden tylko żołnierz nie jadł i nie pił wcale. Siedział smutny, odsunąwszy się od swoich towarzyszy. Słyszał on, jak chłopiec, leżąc na łóżku, wzdychał i płakał, tłumiąc łkanie; jak się modlił pocichu „A ita gurea,“ słowa te wyraźnie obiły mu się o uszy. Wzdrygnął się i smutny wsparł głowę na dłoni.

Zadumany żołnierz rozumie te słowa dziecięcej modlitwy. On sam cichym szeptem wymawia je co wieczór przed snem. Są to słowa pacierza w jego ojczystym języku, w starym języku Basków.

Dawno, bardzo już dawno zamienił milczący żołnierz rodzinne góry na obce, cudze równiny; wiele już lat ubiegło od tego czasu, a on nie mógł dotąd ani razu przemówić mową swych ojców — chyba tylko do Boga; lecz chował w sercu pamięć stron rodzinnych, i powtarzał co wieczór słowa baskijskiej modlitwy, których nauczyła go matka...

Dzieciakiem był jeszcze, gdy musiał uchodzić ze swym ojcem z wyżyn pirenejskich daleko na południe Hiszpanii; ojciec wkrótce umarł tam, a chłopiec wyrósł w nędzy pośród obcych mu ludzi, którzy nie troszczyli się wcale o małego Baska, i śmiali się tylko z jego łamanej hiszpańskiej mowy. Przyswoił on sobie wkrótce ten język, i na pozór zamienił się w zupełnego Hiszpana. Na pozór, bo w istocie nie mógł się oswoić ze swem otoczeniem, i marzył ciągle o powrocie do swej górzystej ojczyzny. Ileż razy odkładał swe drobne oszczędności w nadziei, że kiedyś ujrzy znowu śnieżne szczyty gór, u stóp których upłynęły jego dziecinne lata; że tam pod własną strzechę wprowadzi jedną z tych ślicznych wysmukłych góralek, które ukazywały mu się nie raz w jego snach młodzieńczych, w ciasnych gorsecikach, w krótkich spodniczkach, przybrane w różnobarwne wstążki, jak je, pamiętał z lat dziecinnych. I oto wrócił nareszcie w te rodzinne strony; lecz jakże inny był ten powrót, jak różnił się od tego, o którym on marzył! Zaciągnięty do wojska królowej Krystyny, wcielony został do oddziału, udającego się ku Pirenejom, dla przytłumienia tam powstania Basków, którzy w zajadłej walce bronili swych odwiecznych praw i swobód, wobec nowej władzy hiszpańskiej.

W milczeniu szedł też ku północy, wśród swych współtowarzyszy Hiszpanów, nie domyślających się zgoła, iż ten zamyślony, zawsze w sobie zamknięty młodzieniec, pochodzi właśnie z krwi owych buntowniczych Basków, których oni mieli zdruzgotać i upokorzyć swym mieczem. Serce silniej mu w piersi zabiło, gdy ujrzał na widnokręgu tak dobrze sobie znane śnieżne gór szczyty. Lecz szedł dalej krokiem mierzonym. Nie przyszło mu nawet na myśl, że będzie przelewać krew bratnią. Poddał się w milczeniu żelaznej karności wojskowej. Ba! wysłał już nawet kul kilka w gromadę powstańców, którzy ze szczytów skał usiłowali powstrzymać pochód wojska... Teraz dopiero cicha modlitwa w mowie ojczystej, wypowiedziana niewinnemi ustami dziecięcia, wstrząsnęła całą jego istotą; teraz dopiero rzeczywistość przedstawiła mu się w całej swej grozie. Czyż więc ma zanurzyć broń swą w krwi braci, ma dopomódz do tego, aby oni nazawsze ulegli rządowi hiszpańskiemu, aby siłą oręża nagiąć ich pod obce jarzmo, odebrać im ostatek ich praw narodowych?.. Powiadają, że to zbójcy, bandyci... Dla czego? Czy dla tego, że bronią świętego dziedzictwa swych ojców?.. że siłą odpierają siłę?.. A gdyby nawet rzeczywiście był to naród rozbójniczy, to przecież on jest jego synem, i nie powinien walczyć przeciwko własnej ojczyźnie!

Spojrzał na Zargę. Bask ten zdradził sprawę swych braci, i oto teraz zamierza wydać głównego wodza powstania w ręce nieprzyjaciela. Podły! Siedzi tu oto spokojnie, i wysypuje z trzosa na dłoń pieniądze, które lśnią krwawym blaskiem przy czerwonawem świetle ogniska. Pieniądze te—to zadatek za podłą zdradę Judasza!

Jakże chętnie rzuciłby się na tego nędznika, i zadusił go tym przeklętym trzosem pełnym złota! Niestety! Nietylko nie zadusi go, lecz sam nawet stanie się wspólnikiem tego podłego czynu. Sam pomoże zdradzić swój naród, i pojmać jego przywódców. Jak temu zapobiedz? A jeśli chybi? Przeniewierczy żołnierz padnie pod ciosami towarzyszy, a zdrajca wykona swoje...

— Dalej w drogę — zawołał dowódca.

— Trzeba jeszcze związać chłopca i zatkać mu usta... — radził Zarga.

— Spi twardo — nadmienił zadumany żołnierz.

— Dajmy mu pokój! Należy tylko dobrze zamknąć drzwi od sieni, aby nie mógł uwolnić matki - - wyrzekł oficer.

Zarga tymczasem opasał się mocnym sznurem. Tym samym sznurem opasali się również wszyscy żołnierze, i w ten sposób utworzyli długi żywy łańcuch. Ścieżka, wijąca się po stoku skały, była tak wązką, że tylko pojedyńczo schodzić po niej mogli. Naprzód szedł szpieg, potem oficer, a za nimi ów żołnierz, który słyszał w góralskiej chacie cichą modlitwę dziecięcia. Było ciemno. Śnieg tylko bielił się mdłym blaskiem w rozpadlinach skał, powyżej jeszcze połyskiwały lodowe szczyty — a w dole, pod ich stopami, w przejmujących grozą ciemnościach kryły się przepaście bezdenne.

— Ostrożnie... upominał Zarga.

— Ścieżka ślizga od lodu, i gwałtownie pochyla się ku przepaści, znajdującej się za tą stromą skałą. Tam skręcimy na prawo, w górę, wygodniejszą ścieżką. Tymczasem ostrożność! Opierajcie się o ścianę skały.

Zwolna, uważnie oddział zstępował na dół, zbliżając się ku wystającej skale.

— Co tam szepcesz? zapytał oficer, zwracając się do żołnierza, idącego tuż za nim, gdy już dochodzili do zakrętu skały, — czy modlisz się ze strachu?

Żołnierz przestał szeptać, lecz w duszy modlił się dalej: „A ita gurea“ i nagle, rozpostarłszy swe silne baskijskie ramiona, rzucił się z szybkością błyskawicy na dowódcę, i pchnął go silnie ku Zardze, stojącemu nad brzegiem przepaści.

I żywy łańcuch, ciało za ciałem, stoczył się do czarnej bezdennej otchłani...

Początek i rozwój staro-egipskiej religii

przez

Jerzego Ebersa

(z niemieckiego.)

(*Dokończenie*)

Pozycja egipskich bóstw w różnych miejscach i czasach nie była jednakową, lecz jak mówiliśmy, nie ma żadnego z głównych bożków Egiptu, który by nie był tak dawny jak najstarsze pomniki, choć także można w pierwotnych tekstach odnaleść ślady uznania zjednoczonego Boga. Życie całe Egipcjan przedstawia nam się, na co musimy nacisk położyć, jak coś zupełnie skończonego w zarysach. Jest to drzewo, którego korzenie uschły, lecz pień i gałęzie utrzymały się wyśmienicie. To co widzimy na nim rosnącego, są to tylko liście; spotykaliśmy je w najdawniejszej, badaniu przystępnej epoce, jako pączki na dobrze ukształconych gałęziach. Spostrzeżenie to nie znosi zarzutu, gdybyśmy chcieli jednak z Le Page Renouf'em iść za zmianami, które się w ciągu egipskiej historji znachodzą, to zaledwie potrzebowalibyśmy uważać w rozwiązaniu naszego zagadnienia na rozmnażanie liczby niektórych bóstw drugorzędnych i demonów, które najwydatniejszym historycznym faktom początek zawdzięczają; ale podnieślibyśmy stanowczo, że podczas gdy w starożytnem państwie monoteistyczne idee wyrażały się rzadko i niepewnie, w nowem te same z licznych tekstów wyraziście występują. — Nie tylko w hymnie Amona, zachowanym w Bulaku, Jeden, Zjednoczony bywa wysławianyma, lecz i w innych miejscach. A i napisy z czasów

Ramessidów, wyryte na ścianach grobowców królewskich, które już Naville odczytał, dowodzą, że kapłani egipscy z owego czasu, monoteistycznym poglądem panteistyczny system zaczynają wykształcać. Ten zawiera wiele myśli, które szczególnym trafem przypominają pewne nauki Heraklita, jak wykazał Teichmüller, i pierwszych platonistów.

Nauce wiary egipskich kapłanów, jak wielu naturalnym religiom, zdaje się dualistyczne zapatrywania podłożono, a z tych prawdopodobnie rozwinęły się wyobrażenia monoteistyczne i panteistyczne ostatnich czasów. Posłużyliśmy się umyślnie wyrażeniem „nauka wiary egipskich kapłanów“ ponieważ zdaje się ona przewyższać inne na afrykańskiej ziemi powstałe, które później szym religijnym obrzędom egipskim, właściwej zewnętrznej formy użyczyły, i do których określenie Pietschmanna „feteszyzm egipski“ znalazło by zastosowanie. Dla lepszego zrozumienia rzeczy wykażemy początek i skład egipskiej oświaty ludowej. Uciekniemy się wprawdzie przytem w dziedzinę hypotez, ale ani antropologia, ani porównawcza filologia wyrażonych tu, a już gdzieindziej umotywowanych przez nas wyobraźni, zachwiać nie mogła.

Pierwotni mieszkańcy Egiptu byli Afrykanami, lecz fala ludów azjatyckich już bardzo wcześnie rozlała się w dolinie Nilu, i zapanowała nad ciemnoskorą ludnością, która z nią do pewnego stopnia się połączyła. — Przybysze znaleźli w zdobytym kraju ludność skłonną do zwierzęcego feteszyzmu, sami zaś ze swej ojczyzny przynieśli nad Nil kult sabaicki. Powoli nadawali mu stosowną do warunków nowej siedziby postać. Stosownie do wyższego uzdolnienia swego szczepu dziecinnej tej służbie dali głębszą treść duchową, a formy zwierzęcej użyli tylko dla odróżnienia jednej czczonej istoty od drugiej. Głowy bogów były urobione na wzór zwierząt, zasób bowiem ich artystycznej wiedzy nie sięgał tak daleko, by módz w antropomorficznych kształtach obrazy bóstwa zatrzymać i uplastycznić. Co przez wyraz twarzy, rozwinięcie i postawę ciała nie udało się wyobrazić, to przez zwierzęce symbole dla ogółu stawało się zrozumialszem. W ten sposób religijne nawyczki mieszkańców były uwzględnione, a równocześnie przybyszom nadarzała się sposobność ukazania swych wyższych duchowych talentów i subtelnej siły pojęcia. Niema żadnej religii, któraby nie posiadała cech dawnej religji po której nastąpiła, chociażby tylko w formie zabobonu. Uzdolniony lud, w kraju regularnej zmiany i powtarzania się zjawisk natury, łatwo mógł to powtarzanie uznać jako jednę z górujących własności działania bóstwa; i tak zwierzęta, których odrębna istność i byt typowo, niezmiennie z rodzaju na rodzaj przechodziła, dla działalności różnorodnych jako odpowiednie symbole boskiej siły mogły być uważane. Byk i baran wyobrażały wybornie użyźniające siły, wzbijający się w górę krogulec istotę podnoszącego się słońca, nacierpliwsza z mamek, krowa, macierzyńską istność żywiącego bóstwa, i może być łatwo, że Plutarch poniższe zdanie w dziele o Izisie i Ozirisie, do którego czerpał po większej części z dobrych egipskich źródeł, powtarza za kapłanem broniącym kultu zwierząt przez swój lud wykonywanego: „Słusznem jest, iż nic nieuduchowionego (bez duszy) nie otrzyma pierwszeństwa przed udochowionom (z duszą) nic nieczułego przed czującem, choćby nawet wszystko złoto i szlachetne kamienie na jeden stos ułożono; ponieważ nie w kolorze, blasku, pestaci przebywa bóstwo, a co nioma udziału w życiu, ani natura jego nie żyje, nędzniejszem jest niż umarłe. Przeto w owych, (świętych zwierzętach) bóstwo nie gorzej bywa przedstawione niż w marmurze i kamiennych dziełach rąk ludzkich, które wprawdzie wybornie przyjmują kolor i barwę, pozbawione są jednak rozumu i zmysłu.“ Ze zdań wyrażonych o świętych zwierzętach to uznaję za najsłuszniejsze.

Feteszyzm zwierzęcy zdaje nam się z środka nierozwiniętego, afrykańskiego szczepu pochodzić, lecz subtelna inteligencja azjatyckich przybyszów podniosła go już w przedhistorycznej epoce na wyższy szczebel istnienia. Nie podlega wątpliwości, iż święta symbolika zwierząt, wyszła z tego samego ludowego ducha, który hieroglify i późniejszą naukę o życiu duszy po śmierci wymyślił.

Lokalne obrządki t. j. cześć oddawana niektórym zwierzętom w różnych miejscowościach kraju, prawdopodobnie należy do najodleglejszej starożytności; zatrzymano ją, lecz coraz więcej uduchowiano, uszlachetniano i z czcią przybyszów dla gwiazd połączono. Tej ostatniej było przeznaczonem wkrótce całą wiarę Egipcjan opanować, a na niej opierają się jak mówiliśmy jeszcze w historycznej epoce istniejące myty. W ten sposób również wyjaśnia się, że niejedne szczegóły Azjatów w religji egipskiej znachodzą zastosowanie.

Azjaci nie mogli kojarzyć się tylko między sobą — bo byli zmuszeni nijako kobiety afrykańskie pojmować za żony. Przewodnicy ich podzielili kraj między swych zaufanych a ci zostawili krajowcem uprawę roli, hodowlę bydła, budowę okrętów których potrzebowali, i inne rzemiosła przynoszące im korzyść, a sami podczas długiego pokoju ćwiczyli się w umysłowych zadaniach, aby i duszą ujarzmionego ludu owładnąć. Tak powstało kapłanstwo, które jeszcze na dawnych historycznych pomnikach, nie przedstawia nam się wcale jako z sprawą obrządków obeznana hierarchja, ale raczej jako luźnie spojone towarzystwo, które koło osoby króla przebywa, o godności duchowe, ziemskie, a nawet i wojskowe ubiega się, i stara się gorliwie o sprawowanie rządów w swych włościach. W kole tej uprzywilejowanej gromady, która daleko będąc od nieprzyjemnego odosobnienia, zezwalała na każdy wyjątek wypełniający warunki na ich uzdolnienie i wiadomości nałożone, wymyślano wszystko, wypracowywano z wytrwałością, i wykonane starannie ukazywano, wszystko co egipskiej mądrości między ludami starożytnemi tak wysokie stanowisko nadało. Kapłani również byli tymi, którzy „jedną, jedyną“ rządzącą życiem ludzkiem i światem siłę uznali, oni dla każdego objawienia boskiej mocy i dla odnawiającego się zawsze bytu natury, trafne symbole wynachodzili; ale właśnie najwyższe zdobycze swych duchowych usiłowań, uważali za stosowne przed tłumem stojącym po za ich „uświęconem“ towarzystwem, ukrywać. — „Bogi“ im samym nie mogli być czem innem jak hieroglifami, jak nazwiskiem pojedynczej własności, wszechmocnego wiecznego Boga którego znali; mimo to ofiarowywali i urządzali im świątynie, ponieważ dawna reprezentacja domagała się swych praw obok wielkich złączonych myśli — i każda troistość boga, na której w żadnem sanctuarium nie zbywa, prawidło wiecznego bytu w symboliczny sposób przedstawiała. Czyż po tem może nas jeszcze dziwić, gdy w historycznym czasie w pismach moralnych egipskich ułożonych przez kapłanów niekiedy o „bogach“ o „Bogu“, (gdyż także to tłumaczenie byłoby dopuszczalnem) o „jednem bóstwie“ jest mowa?

Słowo egipskie „nuter“ które my zwykle „Bóg“ tłumaczymy, Le Page Renouf początkowo opiera na znaczeniu „mocy“. Dowody jego przekonują nas zupełnie, a nie tylko dlatego iż rezultat ich snadniej z naszemi niż jego pojęciami licuje.

Hypotezie uczonego autora staraliśmy się inną przeciwstawić i oświadczyć w końcu, iż czytelnik prelekcji Le Page Renouf'a znajdzie tam starannie narysowany obraz egipskiej religji; tylko początek tejże zdaje nam się, że pojmujemy inaczej niż nasz kolega. Jego dobrze napisana książeczka, zyskuje szczególnie przez obfitość poprawnie przetłumaczonych tekstów egipskiej literatury z wszelkich epok, które zawiera. Służą one bezsprzecznie do wytłumaczenia i lepszego zrozumienia rzeczy.

Przegląd literacki.

(Geschichte der polnischen Literatur von Heinrich Nitschmann. Leipzig, Friedrich (w dużej 8ce — VIII do 500 str.)

W r. 1832 w Berlinie urzędnik ministerjalny Józef Lehmann założył „Magazin für die Literatur des Auslandes“ jako organ, dla spraw literatur wszystkich narodów ucywilizowanych. Tygodnik ten, w najnowszych czasach przeszedłszy w nakład Wilhelma Friedricha w Lipsku, i przybrawszy nazwę: „Magazin für die Literatur des In- und Auslandes“, coraz mniej literaturami słowiańskiemi a zwłaszcza polską się zajmuje. Nakładca zaś wydaje mnóstwo tłumaczeń z rozmaitych piśmiennictw, między innemi i dzieł polskich, ale pod takimi warunkami, iż to komis raczej, nie nakład. Bo p. Wilhelm Friedrich więcej jeszcze niż większość księgarzy, przedewszystkiem interesem spekulacyjnym się kieruje...

Prócz wielu rzeczy małej wagi, które za pomocą reklamy w niebogłosy krzyczącej p. Friedrich całemu światu jako arcydzieła obwieszcza, wychodzą tam i niektóre dzieła rzeczywistej wartości. Do takich zaliczyć wypada przedsięwzięte świeżo wydawnictwo: „Geschichte der Weltliteratur in Einzeldarstellungen“, którego tomy dla siebie całość stanowiące, pojedyncze literatury w sposób dla szerszej publiczności zajmujący przedstawiać mają. Tom pierwszy wydawnictwa obejmuje całokształt piśmiennictwa francuskiego, z życiem i zapałem doskonale narysowany, tom drugi stanowi dzieło, które tu bliżej omówić zamierzamy.

Dotychczas Niemcy wiadomości o literaturze polskiej z nowszych dzieł zaczerpnąć pragnący, następujące środki ku temu podali.. W 1868 r. wyszła w Wrocławiu „Geschichte der polnischen Literatur übersichtlich dargestellt von E. P.“, a w Moguncji 73 r. „Geschichte der polnischen Nationalliteratur von E. Lipnicki“. Zestawiamy książki te razem, bo autorem obu jest p. Emil Puffke, obecnie redaktor praskiej „Politik“, który rozliczne fejletony o literaturze polskiej po niemiecku ogłaszał, i artykuły tego przedmiotu dotyczące w Meyera „Conversations-Lexicon“ napisał. Z dzieł wymienionych pierwsze zanadto pospiesznie ułożone, drugie wybitniejsze postacie literatury polskiej na podstawie nowych podręczników nieźle rysuje. W r. 1680 u Żupańskiego p. Kurtzmann, niepomiernie zasłużony około obywatelenia literatury naszej u Niemców, wykłady ś. p. Cybulskiego, już dawniej po polsku wydane, w oryginale niemieckim wydał, objaśniając je uwagami i sam tłumacząc największą część prób poezji, które Cybulski, wykładający w Berlinie po niemiecku dla słuchaczów przeważnie polskich, w oryginale cytował. Wykłady te jednak, jak wiadomo, tylko pewną część literatury naszego stulecia uwzględniają.

Oprócz wspomnionych dzieł istniały i istnieją tylko jeszcze omawiania literatury polskiej w podręcznikach, traktujących o literaturze powszechnej, jak n. p. w znakomitem dziele Scherra, w książce Leixnera i t. p.

P. Henryk Nitschmann tłumaczył oddawna poezje z rozmaitych języków, ale żadnej literaturze z tak wielkiem nie oddawał się zamiłowaniem, jak polskiej. Język polski poznał za młodu w prowincji, z której jest rodem. W r. 1860 wystąpił z maleńkim zbiorkiem, ledwie kilkadziesiąt wierszy polskich wraz z jego przekładami tychże zawierającym. Tytuł dziełka tego był: „Polska na Parnasie“ „Der polnische Parnass.“ Następywały szybko po sobie wydania, aż r. 1875 wyszło wydanie czwarte, bardzo znacznie pomnożone, zawierające obfity zbiór wierszy od złotej epoki aż do naszych czasów, wierszy poetów pierwszo-, drugo-, trzeciorzędnych, same już przekłady bez oryginałów, z notatkami biograficznemi i obszernym wstępem o literaturze polskiej.

W obecnie wydanej historji literatury polskiej, podzieliwszy dzieje na epoki według najczęściej przyjętej metody, omawia p. Nitschmann w luźnych rozdziałach o osobnych tytułach, to pojedynczych poetów, to ważniejsze dzieła, to stosunki społeczne lub charakterystyczne znamiona odnośnego okresu. Nacisk kładziony na stosunki dziejowe i obyczajowe, na których tle rozwija się piśmiennictwo, jeśli już zawsze w podobnych dziełach, to istotnie przedewszystkiem tu był pożądany, gdzie chodziło o zapoznanie obcokrajowców z literaturą nieznaną, powstałą śród stosunków również mało czytelnikom znanych.

W całem dziele p. Nitschmanna największa sympatja dla spraw polskich się przebija. Łagodzi on, i o ile można, usprawiedliwia na każdym kroku co było złe, a wszystko co dobre, uznaje i chwali z gorącego serca. W ogóle stanowisko p. N., jakie się w ocenianiu faktów wszędzie przebija, jest stanowisko konserwatywne, religijne, w szczególności konserwatyzm protestancki. Nie przeszkadza to jednak auterowi iż n. p. niechętny dla Jezuitów, przecież wszędzie dobre ich strony podnosi i na pochwałę zakonu przytacza co może.

Z tą pod pewnym względem bezbarwną „przedmiotowością“ autora bardzo dobrze licuje styl jego, nie mający również jak zapatrywania jego wybitnych cech — styl już to kwiecisty, już to suchy, ale rzadko silny: obfitujący w słowa i zdania, ale nie dający dokładnego plastycznego obrazu, na który inny pisarz mimo większego lakonizmu byłby się zdobył. W ogóle jest to styl bardzo wygodny, tak dla autora, jak dla czytelnika, któremu już mało do własnego rozmyślania pozostaje. Także nieraz autor sprzęga razem zdania nie należące do siebie, widocznie kiedy jeszcze o czemś napomknąć chciał, a nie wiedział gdzie tę wzmiankę wsunąć.

(Dok. nast.)

Przegląd muzyczny.

Koncert pp. Bürgera i Löwenberga.

Miejsce przeznaczone na recenzje muzyczne, zajęło w zupełności w ostatnim numerze sprawozdanie z koncertu p. Tyberga, z tego powodu zmuszeni byliśmy odłożyć recenzję z ostatniego koncertu pp. B. i L. do numeru niniejszego.

Koncert ten odbył się we czwartek 16. b. m. w sali Towarzystwa muzycznego w obec bardzo nie wielu słuchaczów, co może nieco wygórowanym cenom przypisać należy. (Najtańsze krzesło 2 złr. 50 ct., na Lwów za wiele). P. Bürger, wiolonczelista znany u nas z koncertów zeszłorocznych, jest artystą w całem tego słowa znaczeniu i włada instrumentem zupełnie. Ton nie wielki ale nadzwyczaj miłej barwy, *czystość wzorowa*, deklamacja wyraźna i rozsądna, świadcząca o jasnem zrozumieniu rzeczy, gruntownem muzykalnem wykształceniu i niepospolitym talencie. W sonacie D-dur Rubinsteina, która była najpiękniejszym numerem koncertu, a którą obaj artyści *zasłużenie* burzę oklasków wywołali, szczególnie zachwycił nas świetnem, nadzwyczaj subtelnem, i w całem tego słowa znaczeniu prześlicznem wykonaniem ustępu środkowego (Moderato assai) pełnego poezji i głębokiego uczucia. Pianista p. Löwenberg, który swą powierzchownością zrazu jakieś dziwne uczucie wątpliwości i niedowierzania w nas wywołał, uzyskał zaraz po ukończeniu sonaty — gdzie miał ogromne pole do popisu, i gdzie myślą kompozytora do głębi przejęty, porywał słuchaczy swym ogniem i namiętnością — ogólną sympatję. Wykonał ją też bardzo pięknie i (prócz kilku miejsc w których fortepian w obec idealnego pianissima a niezbyt wielkiego tonu pana B. cokolwiek za mocno występował), tworzył z wiolonczelistą jedną duszę i jedno ciało — znakomity ensemble. Wszystkie, tak liczne w tym utworze, acceleranda i rallentanda, crescenda i decresc., jednem słowem najsubtelniejsze odcienie, wykonane były z przedziwną zgodnością, — dowodziły nie tylko wspólnej pracy ale i wspólnej myśli.

P. Bürger odegrał następnie Adagio i Allegro Boccheriniego, rzecz o cały wiek różniącą się od kompozycji Rubinsteina, — w jednej szalona, rozhukana, co chwila przełamująca wszelkie zapory, namiętność (sonatę łacnie fantazją nazwaćby można) w drugiej zaś spokój, i miła słodycz niezamącona i nienaruszona. A obydwa te dzieła, dwa przeciwne bieguny, jedno po drugiem grane podobały się bardzo, — jak to tłumaczyć? Sami sobie z tego sprawy zdać nie możemy — to jednak pewna, że egzekutor umiał znakomicie przejąć się duchem każdej z tych kompozycyj. — Marzenie Schumanna, ten kilkunastutaktowy poemat, choć na fortepian pisany, nadający się jednak doskonale na instrument smyczkowy, przypominający nam zawsze, nie wiemy już czyje powiedzenie, że gdzie się mowa kończy, tam muzyka zaczyna — wykonane i było bardzo skończenie pięknie, jakby na potwierdzenie słów przytoczonych. Kaskadą Davidoff'a, kompozycją nadzwyczaj trudną, w której p. B. mógł się popisać ogromną techniką — Cismoll Etudą Chopina w transkrypcji de Swert'a, Poppera, Mazurką i Tańcem Nimf, w którym podziwialiśmy równe i swobodne spiccato, a przy szalonych zmianach pozycji — czystość niezwykłą — zachwycił koncertant wszystkich słuchaczów. Wywołał też burzę oklasków i zmuszonym był dls uśmierzenia jej dodać nad program śliczny Gavot Poppera w którym mu p. Löwenberg doskonale z pamięci towarzyszył.

Temu ostatniemu nie można odmówić ogromnie rozwiniętej techniki, jasności deklamacji, i muzykalnego rozumu (którego dowiódł w sonacie Rubinsteina i jako akompanjator) — nie zachwycił nas jednak jako solista tak, jak jego towarzysz, nie ma bowiem legata, co szczególnie w wykonaniu „Am Abend" Schumanna i „Melodji" Moszkowskiego czuć się dawało. Najlepiej może wykonał pieśń bez słów Mendelssohna i Walc Moszkowskiego; — w Menuecie Mozarta raził nie mile swojem zbyt gwałtownem forte. W celu wykazania, iż pokonać może wszelkie techniczne trudności, odegrał, jako ostatni numer programu, Danse macabre Saint-Saens'a w układzie Liszta i „brał lekko" licznie najeżone „przeszkody."

Ł.

ZIARNKA.

Niadawno temu wytknęliśmy na tem miejscu niestosowność w wyborze tematów do odczytów, przeznaczonych dla robotników, a uczyniliśmy to z powodu odczytu w „Czytelni ludowej"... o skowronku. Obecnie widzimy się w położeniu powtórzyć te same uwagi a propos ogłoszonych na sezon zimowy odczytów w „Gwieździe. Oto ich spis:

W grudniu: Dnia 3. Ksiądz dr. Jan Siemieński: „O literaturze polskief". Dnia 8. Karol Rawer: „Olesko", Dnia 10. Ks. dr. Jan Siemieński: „O literaturze polskiej". Dnia 17. Zimmermann: „Narody słowiańskie nad Elbą".

W styczniu: Dnia 7. Dr. Józef Żuliński: „O najdawniejszych zabytkach pracy ludzkiej", Dnia 14., 21. i 28. Zygmunt Sawczyński: „Dziecię w rodzinie".

W lutym: Dnia 2. Władysław Zawadzki. „O zamku Wawelskim". Dnia 4. i 11. Dr. Tadeusz Żuliński: „Hygena rzemiosł". Dnia 18. Zimmermann: „Z historji Lwowa". Dnia 25. Dr. Józef Żuliński. (Tytuł nieznany.)

W marcu: Dnia 4. Dr. Dobiński: „Zarys chorób umysłowych i znaczenie szpitalów dla obłąkanych". Dnia 11. Dr. Dobiński: „O wyrabianiu woli". Dnia 18. Karol Rawer: „Odsiecz Wiednia".

Specjalnie wystąpić musimy przeciw tematom z historji. W odczytach przeznaczonych dla robotników, trzeba przedewszystkiem unikać ustępów wyrwanych z całości, z których im w głowie nie wiele pozostanie, a podawać ogólne poglądy na dzieje, na cywilizacyjny rozwój społeczeństw i t. d. Takie wiadomości jak o zamku Wawelskim, o odsieczy Wiednia nie na wiele się przydadzą, można to wszystke wiedzieć, a jednak mieć bardzo ciasne poglądy. Ogólny pogląd na dzieje, wskazanie jaką drogą kroczy ludzkość, aby dojść do swego ostatecznego celu, do zapewnienia bytu i naturalnego rozwoju wszystkim jednostkom — oto tematy, które przedewszystkiem uwzględnić należało. Nie możemy się także zgodzić na takiego prelegenta, jak dr. Siemieński, który z pewnością nawet historji literatury polskiej użyje do propagowania swych wstecznych zasad, z czego jest znany. Będziemy się starali śledzić bacznie te odczyty, o ile odpowiedzą swemu zadaniu.

* * *

Podczas gdy wszystkie prawie stany mają u nas stowarzyszenia wzajemnej pomocy — ten stan, który tyle położył zasług około zakładania stowarzyszeń — stan dziennikarzy dotyehczas nie posiada nic podobnego. Obecnie możemy z przyjemnością skonstatować, że luka ta, wcale nie pochlebnie o nas świadcząca, zapełnioną zostanie. Projekt statutu stowarzyszenia wzajemnej pomocy dziennikarzy jest już gotowy, i w tych dniach ma być przedyskutowany. Nie wątpimy, że myśl wejdzie w życie, i że w obec wspólnych wszystkim interesów, powinne w tym względzie umilknąć wszelkie nieporozumienia, będące wypływem zapatrywań i przekonań w sprawach publicznych. Wszyscy dziennikarze, do jakiegokolwiek obozu by należeli, powinni przystąpić do stowarzyszenia i wykluczyć tylko należytych, którzy dziennikarstwu hańbę przynoszą, owych rewolwerowiczów, którzy swojem postępowaniem w obec nieświadomej bliższych stosunków publiczności tak zdyskredytowali reprezentantów opinii publicznej. Z tymi zawsze i wszędzie za drzwi!

* * *

P. Banzemer, autor licznych artykułów statystycznych w pismach warszawskich podał projekt, aby każda „inteligentna" rodzina polska złożyła na pomnik Mickiewicza przy wieczerzy na wilję Bożego Narodzenia 1. rubla, a młodzież akademicka w Krakowie agituje tę samą myśl u nas z zamianą tylko waluty rosyjskiej na austrjacką. Ciekawy będzie rezultat, ile się znajdzie tych „inteligentnych" rodzin?

* * *

Ze zdziwieniem dowiadujemy się z publicznych doniesień, że prezes towarzystwa oświaty ludowej przyrzekł „kółkom włościańskim" nie robić nic takiego, coby wchodziło w ich zakres działania. Jest to szczególne przyrzeczenie, boć oba towarzystwa mogą się tylko wzajemnie wspierać, a działania ich w żaden sposób nie mogą i nie powinne się wzajemnie paraliżować. Spodziewamy się, że prezes towarzystwa ośw. ludowej zrobił krok ten bez wiedzy wydziału, i że tenże aprobować go nie będzie, a w każdym razie powinien go znacznie z modyfikować.

ZAPISKI.

Literatura.

* Komisyja antropologiczna pod przewodnictwem Dra Majera odbyła posiedzenie dnia 18 b. m. — Przewodniczący przedstawił dużą obręcz bronzową i 2 takież naramienniki o dwóch odwrotnych wolutach, wielce cenne przedmioty wyorane we wsi Wojczy, majętności pana Jana Popiela w powiecie stopnickim i przez tegoż komisji ofiarowane. Po uwagach nad niemi sekretarz komisji Dr. Kopernicki przedstawił prace i materjały z różnych stron nadesłane lub zapowiedziane; mianowicie wskutek odezwy komisji o dostarczenie wykazów, mogących posłużyć do oznaczenia średniego trwania życia, przyrzekli swój udział Dr. Mazurkiewicz i słuchacz medycyny Koray z Krosna, Dr. Prochaska z Brzostka, Dr. Bogdanik z Biały, Dr. Janiszewski z Glinian. Liczne przyczynki entnologiczne otrzymała komisja od X. Brykczyńskiego z Ciechanowa w Król. Pol.

pp. A. Stopy z Osielca pod Makowem, Dra. Wł. Dybowskiego z Niańkowa, od pań: Z Rokoszowskiej, S. Stablewskiej, M. Mierzejewskiej p. Tomaszewskiej, J. Moszyńskiej. Wielce cenne prace etnologiczne przyrzekli p. B. Popowski z Zalewańszczyzny na Ukrainie, Dr. Wł. Semeran zbiór pieśni Podhalan. Następnie przyjęła komisja do wiadomości przez prof. Łuszczkiewicza, potrzebę umiejętnego rozkopania cmentarzyka w Bykowcu pod Haliczem, należącego prawdopodobnie do XI. lub XII. wieku, tudzież oświadczenie Dra. Ł. Malinowskiego, iż za jego pośrednictwem p. R. Zawiliński odda komisji zbiór opowieści ludowych z okolic Zabarazia, w powiecie Nowosandeckim, oraz wskazówki do poszukiwań etnograficznych.

* Jules Claretie czytał w tych dniach w Gymnase nową komedję swoją „Monsieur le Ministre“.

* W handlu księgarskim ukazała się siódma serja albumu widoków Polski Napoleona Ordy. Ryciny, wykonane jak zwykle starannie, przedstawiają rozliczne miejscowości ziemi wieluńskiej, łęczyckiej oraz gubernii kieleckiej,

* P. Marjan Baraniecki, docent uniwersytetu warszawskiego, otrzymał upoważnienie na wydawnictwo czasopisma: *Bibljoteka matematyczno-fizyczna*. Wydawnictwo obejmować będzie fizykę, geografję fizyczną, fizjografję, matematykę, mechanikę, astronomję, rysunek techniczny, buchalterję, zbiór zadań, sposoby nauczania powyższych przedmiotów, artykuły popularne z tegoż zakresu, wreszcie słownictwo naukowe. W ciągu roku wychodzić mają najmniej dwa tomy.

Teatr i muzyka.

* Świetny dowód wyrobionego krytycyzmu, złożyła przed niedawnym czasem publiczność londyńska. Wiadomo że Tennyson, uwieńczony poeta angielski uważany jest przez Anglików za najznakomitszego poetę współczesnego, a sława jego jest tak dalece drogą Anglikom, że każda nieprzychylna krytyka poezji jego zagranicą zdawała im się obrazą całego narodu. Tennyson był nietykalny, a krytyka miejscowa niemiała odwagi wypowiedzieć słów prawdy, nawet po przedstawieniu kilku dramatów jego, wprowadzonych na scenę przez Ironiego, których najlepszą stroną były dekoracje. Nareszcie sam gust wrodzony publiczności się obudził. Niedawno temu przedstawiono w „Globe“ nowy fabrykat dramatyczny Tennysona pt. „The Promise of May“, który najkompletniejszego doznał fiaska. Cała sztuka niema i śladu akcji lub charakterystyki. Jest to po prostu czcza deklamacja przeciw materjalizmowi, czy socjalizmowi, bo to u autora niezbyt jasne; bohaterem a równocześnie czarnym jak smoła charakterem jest jakiś człowiek, który uwodzi dziewczynę dlatego, że jest materjalistą, a później ze „skruchy“ chce się żenić po formie z jej siostrą. Tego wszystkiego za dużo było publiczności londyńskiej. W teatrze powstały niesłychane wrzaski, c echo ich odbiło się w krytyce dziennikarskiej, która przyznała zupełną słuszność publiczności.

* W Bolonii miał wielkie powodzenie w „Teatre Comunale“ Wagnera „Lohengrin“

Sztuki piękne.

* W Chartres zmarł w tych dniach Mikołaj Lorni, jeden z najznakomitszych malarzy na szkle we Francji, który dostarczył wspaniałych szyb do restaurowanych kościołów w Bourges, Roiuen, St. Denis, Lugdunie, Orleanie i do św. Szczepana w Wiedniu. Malowidła jego odznaczały się smakiem i silnym kolorytem.

* Dla tych, którzy się interesują historją kobiernictwa, będzie zajmującą wiadomość, że nakładem A. Quantina w Paryżu wyszło nader cenne dzieło ozdobione heliograwirami według rysunków Margueta i Dauphinot. Autorem dzieła jest M. Ch. Loriquet, a tytuł jego „Les tapisseries de la cathedrale de Rheims“.

* Rosyjska ilustracja „Niwa“ pomieściła w jeduym z ostatnich numerów kopię z obrazów Siemiradzkiego p. t. „Granice władzy.“

W ostatnim numerze tegoż czasopisma znajduje się piękny drzeworyt Raszewskiego, zatytułowany: „Werbunek w Anglii“

* W amerykańskiej „New-York-Herald“ pomieszczono sprawozdanie z obrazu Alfreda Kowalskiego, przedstawiającego krajobraz zimowy polski. Obraz doznał za oceanem gorącego przyjęcia w świecie artystycznym, recenzja zaś oddaje wielkie pochwały pędzlowi Kowalskiego.

* Do salonu Krywulta mają wkrótce przybyć z Wiednia dwa obrazy Hansa Makarta, przedstawiające bogactwa ziemi i morza. Od czasu wystawienia „Czterech pór roku“ w towarzystwie zachęty sztuk pięknych, Warszawa nie oglądała obrazów wiedeńskiego mistrza.

* Nakładem Lewentala ukazała się kolekcja rysunków Andriolego, przedstawiających bohaterki poezji polskiej.

* Hołd pruski z Wiednia ma być przesłany do Rzymu, gdzie zapewne wywoła gorący zapał w pośród artystów i krytyków.

MISCELANEA.

Marja Stuart przedstawiała się dotąd inaczej w historji, a inaczej w poezji. Geniusz poety stworzył szlachetną postać, która zdołała pozyskać sobie sympatję i współczucie czytelnika, zaś historja powiada nam, że kobieta ta nie wahała się targnąć na życie męża, byle tylko zadość swym żądzom uczynić. Tymczasem pokazuje się, że może poeta miał więcej słuszności, niż cały zastęp uczonych, potępiających nieszczęsną królowę, bo oto Dr. E. Becker w monografii o Marji Stuart wykazuje zupełną jej niewinność.

Schiller poszedł za zdaniem obrońcy królowej, Gentza, jednak był przekonanym, że stosunek jej do Darnleya i Bothwella był tego rodzaju, iż bez winy z pewnością ona nie była. Bezstronnych świadectw współczesnych nie miał pod ręką, a na podstawie tych, jakie były, wyrobiło się przekonanie, że Marja wiedziała o spisku na życie męża, a mimo to w kilka miesięcy po strasznym czynie oddała rękę temu, którego opinia publiczna całkiem słusznie wskazywała jako mordercę.

Jednak rzecz szczególniejsza, że wszystkie akta dyplomatyczne współczesne milczą o winie królowej, a pogłoski o współudziale jej w morderstwie, poczynają się rozchodzić dopiero w siedm miesięcy po ślubie z Bothwellem. Królowa Elżbieta nie zważa jednak na nie, i w dwa lata po śmierci Darnleya oświadczyła, że nie ma najmniejszej podstawy do obwinienia królowej, dopiero gdy uciekła do Anglii i gdy ją wtrącono do więzienia, na nowo poczynają krążyć pogłoski, ubliżające jej sławie. Zjawiły się listy, które Marja miała pisać do Bothwella, a które ją mocno kompromitowały. Dr. Becker gruntownie zbija prawdziwość ich, i pokazuje się z jego badań, że w całej tej sprawie motywy osobiste małą odgrywały rolę, a natomiast przyczyną katastrofy było polityczne położenie ówczesnej Szkocji. Oto królewska para była katolicką, a przytem ściśle związaną z Hiszpanią i Rzymem, partja więc protestancka uknuła spisek, którego ofiarą stał się król, zaś jeden ze spiskowych miał zająć jego miejsce, a tym szczęśliwym był Bothwell. Dnia 9. lutego 1567 r. wyleciał w powietrze zamek Darnleya, a już 19. kwietnia tegoż roku zażądała protestancka szlachta i kler, by Marja oddała rękę Bothwellowi, co miało być niezbędnem ze względu na dobro ludu. Marja odmówiła, co jest faktem historycznym, ostatecznie uległa konieczności; jednak od tej chwili czuła się sama najnieszczęśliwszą z kobiet...

Wszystkie oskarżenia późniejsze były to wymysły Elżbiety i partji protestanckiej, szło bowiem o to, aby Marję uczynić w Szkocji niemożliwą, bądź co bądź bowiem mogła być niebezpieczną. Zrobiono więc z niej wiarołomczynię i morderczynię męża, a świat przez długi czas wierzył tym wymysłom. Monografią tą stara się Dr. Becker oczyścić sławę przez tak długi czas potępionej królowej.

Korespondencja Redakcji.

P. W. W. w Konoopach. Chętnie umieścilibyśmy, ale brak nam rubryki w tym kierunku, a brak kaucji niepozwala nam w ogóle zabrać głosu w tym względzie. Ks. D. w Ober.... Prenumeratorów naszych zapewniamy, że ekspedycja odbywa się regularnie, a powodem wszelkich nieprawidłowości jest tylko urząd pocztowy. Mimo to prosimy o reklamację.

Treść.

O zasady.
Tokarzewicz-Hodi: Przy drodze.
Stebelski Włodz.: Nie budźcie jej (wiersz).
Realizm w powieści (Szkic literacki).
Obudzenie sumienia (nowela hiszpańska).
Początek i rozwój staro-egipskiej religii.
Przegląd literacki.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.
Korespondecja Redakcji.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 10. We Lwowie dnia 2. Grudnia 1882. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

NOWE PRAWO KOBIETY.

Długoletnie usiłowania związku, znanego pod nazwą: „Married Women's Property Committee", do którego należeli tacy obrońcy praw kobiety, jak Jakób Brigth, Errington, Mac Laren, Miss Arnold i inni, nareszcie został uwieńczony pomyślnym skutkiem: Z dniem 1. Stycznia r. 1883. ustają dotychczasowe ograniczenia majątkowych praw kobiety zamężnej. Nowa ustawa pod nazwą „Married Women's Property Act", nietylko znosi owe ograniczenia, ale w ogóle nadaje kobiecie zamężnej tyle swobody, co do rozporządzania majątkiem, że Anglia, która dotąd w tym względzie była najbardziej może zacofaną, odtąd stanie się wzorem dla niejednego z państw „cywilowanych".

Według tej nowej ustawy, każda kobieta która zawrze związek małżeński z mężczyzną, od 1. stycznia r. p. będzie miała prawo wyłącznej własności i samodzielnej administracji całego swego osobistego majątku tak ruchomego, jak i nieruchomego, który przed zawarciem małżeństwa do niej należał, lub przez nią w czasie pożycia małżeńskiego nabytym został. Majątkiem tym może ona dowolnie rozporządzać bądź testamentem, bądź w inny spsób. Nadto ustawa ta zabezpiecza żonie nieograniczoną własność tego, co sobie ona w stanie małżeńskim przez własną pracę lub talent zarobi, i wyjmuje tę część majątku z pod władzy mężowskiej. Tak tedy odtąd mąż nie śmie naruszać ani szeląga z prywatnego majątku żony, bez wyraźnego tejże zezwolenia.

Chcąc ocenić całą doniosłośc tej reformy, należy zestawić znany konserwatyzm ustawodawstwa angielskiego, z iście opłakanym stanem, w jakim się dotąd w Anglii znajdują prawa kobiety.

U nas i w większej części stałego lądu, głównym przedmiotem t. zw. kwestji kobiecej bywa stanowisko kobiet niezamężnych, które nie mogąc korzystać z opieki męża, muszą same na siebie zarabiać, i bronić się od rozlicznych niebezpieczeństw moralnych i materjalnych. Kwestja więc kobieca (zdaniem umiarkowanych obrońców kobiet) redukuje się u nas do kwestji „pracy kobiet", a tylko radykalni, (t. j. konsekwentni) zwolennicy emancypacji idą dalej, i żądają zniesienia innych jeszcze ograniczeń praw kobiety, zarówno zamężnej, jak nie zamężnej. To też w ruchu emacypacyjnym w środkowej Europie, jak dotąd, udział biorą przeważnie kobiety bądź nie mające widoków na zamążpójście, bądź mężatki jak to mówią — „wykolejone", słowem tylko „katylinarne egzystencje" rodu niewieściego; podczas gdy kobiety, którym się udało szczęśliwie dopłynąć do portu małżeńskiego, zdala się trzymają od tego ruchu, a najczęściej wręcz mu są przeciwne, i chętnie wierzą w zapewnienia konserwatystów, że „naturalnem przeznaczeniem kobiety jest być matką i gospodynią". Pominąwszy bowiem zawisłość moralną od woli mężowskiej, kobieta zamężna u nas doznaje opieki nie tylko męża ale też i prawa: majątkiem swoim prywatnym wolno jej zarządzać swobodnie, mąż ma tylko prawo użytkowania co do posagu, który z reguły pozostaje własnością żony; wspólność majątkowa między małżonkami nie wynika z samego prawa, a może się opierać jedynie na osobnej umowie (§. 1233 austr. kod. cyw.); posag po śmierci męża dziedziczy żona, a w razie gdyby ona przed mężem zmarła, jej spadkobiercy (§. 1229 p. ks. u. cyw.). Gdy się nadto zważy, że według prawa mąż jest obowiązanym starać się zawsze o stosowne utrzymanie żony i „zastępować ją w wszelkich przypadłościach", to łatwo zrozumieć, że zwykłej miary istoty, wychowane zresztą w tradycyjnych pojęciach o wyższości rodu męskiego, nie czują jarżma, jakie na nie nakłada prawo, mianujące męża „głową rodziny", której się po-

słuszeństwo należy, i utrudniające nieskończenie r o z w ó d. — i uważają stan małżeński za szczyt dążeń kobiety.

Inaczej stoją rzeczy w Anglii. Tam zależność kobiet zdaje się prawie zaczynać dopiero z zawarciem związku małżeńskiego. Biedną zarobnicą opiekują się w znacznej mierze wzorowe ustawy fabryczne, karjera naukowa stoi otworem dla kobiet chcących jej się poświęcić*), możność zarobkowania jest jak najszersza; istnieją schroniska i inne instytucje dobroczynne dla guwernantek itp., na niwie literatury kobiety angielskie pracują więcej od innych, a tak liczna nareszcie w Anglii kategorja „starych panien“, prócz większych niż gdzieindziej względów opinii publicznej, cieszy się przynajmniej jedną rzeczą: swobodą rozporządzania majątkiem i zarobkowania dla siebie. Żona natomiast w Anglii, z chwilą ślubu przestaje być sobą samą; jej osoba zlewa się z osobą męża tak dalece, że prawo jej jako indywiduum zupełnie już nie uznaje. Mąż zabiera wszystko: prawa, majątek i wolność. Mąż i żona są jedną o s o b ą p r a w n ą, znaczy to, że wszystko co ona posiada, staje się jego własnością, ale n i e p r z e c i w n i e: nie wszystko co on posiada jest też jej własnością; zasada ta nie dotyczy męża, chyba że potrzeba odpowiedzialności jego względem osób trzecich za żonę, zupełnie tak jak pan odpowiedzialnym jest za czyny i sprawy swych poddanych lub swego bydła***). Żona niczego począć nie może bez milczącego chociażby przyzwolenia męża, nie może nabywać własności dla siebie; skoro własność jakaś n. p. przez dziedzictwo, jej się dostanie, już i p s o f a c t o przechodzi i na niego. W tym punkcie położenie kobiety w obec prawa angielskiego, jest gorsze niż stosunek poddanych, w obec kodeksu wielu państw. Wedle prawa rzymskiego n. p. niewolnik mógł posiadać dla siebie małą fortunkę, którą mu do pewnego stopnia prawo poręczało na własny użytek**). Prawo angielskie stawia kobietę zupełnie na równi z kalekami, nieletnimi i głupowatymi. Są to zabytki średniowiecznych jeszcze przepisów, które swą srogością w tej mierze przechodzą miarę naszej pojętności. W starych prawach Anglii małżonek zowie się panem rodziny (L o r d); uważano go literalnie za samodziercę, tak dalece, że mord popełniony na mężczyźnie, zwał się „zdradą“ (t r e a s o n, t. j. małą zdradą w przeciwieństwie do głównej zdrady, „h i g h t r e a s o n“) a karano ją ostrzej niż główną zdradę, gdyż zbrodniarkę taką żywcem palono. „Od czasu — mówi J. St. Mill. — jak ta groza wyszła z używania (bo po większej części jej prawnie nie zniesione wcale, albo zniesiono dopiero, gdy już dawno w praktyce istnieć przestała) utrzymują, że wszystko na lepsze się odmieniło w związku małżeńskim jakim jest dziś, i nieustannie powtarzają, że cywilizacja i chrześciaństwo nadały kobiecie słuszne prawa. Mimo to jednakże jeszcze jest prawdą, że żona rzeczywiście jest niewolnicą męża, nie mniej, oczywiście w szrankach zobowiązań prawnych, jak prawdziwi niewolnicy“.

Trudno zaprawdę uwierzyć, że podług prawa angielskiego dziś jeszcze żona nie odpowiada wcale za zbrodnie, popełnione w obecności męża. Pominąwszy niektóre najcięższe wypadki zbrodni lub znaczniejsze choroby męża, które mu nie pozwalają używać swoich sił, prawo przypuszcza, że samodzierzca małżeński jest dość silnym, aby swoją żonę powstrzymać od popełnienia zbrodni; skoro obowiązku tego zaniedba, to sam odpowiada za skutki. Szkody wyrządzone przez żonę, tak samo należy wynagradzać, jak szkody przez bydło domowe popełnione*).

Wprawdzie niesprawiedliwość prawa obchodzoną bywa przez specjalne umowy, mianowicie pod względem praw majątkowych, ale ze środka tego korzystać mogą jedynie t. z. klasy wyższe, t. j. majętniejsze, a kobiety z klas średnich i niższych jak we wszystkiem, tak i w tym względzie znosić muszą całą niesprawiedliwość urządzeń społecznych.

W obec takich stosunków, aż nadto nam się wydaje usprawiedliwionym wykrzyknik Milla, że „nie ma poddanego, którego niewola byłaby tak zupełną, jak u kobiety“.

Z wejściem w życie nowej ustawy, słowo to wkrótce może się stanie anachronizmem; lecz niemniej stanowisko kobiet tak w Anglii jak i w innych krajach wiele jeszcze pozostawiać będzie do życzenia, a szlachetny Mill, gdyby był przy życiu, niejedną jeszcze mógłby stoczyć walkę w obronie praw kobiecych. Zanadto ścisłym jest związek t z. „kwestji kobiecej“ z całością kwestji wieku, kwestją s p o ł e c z n ą, aby zbyt wielką wagę przywiązywać można do takiej jednej reformy, jak niniejsza; jest ona p a l j a t y w e m, jak każda częściowa naprawa. Ostateczne zaś załatwienie kwestji kobiecej nastąpić może dopiero w chwili, gdy cały nasz ustrój społeczny dojdzie do kresu ewolucji, którą zwolna lecz wyraźnie odbywa...

*) Uniwersytet londyński jeszcze w r. 1878 uchwalił większością 110 głosów, że kobiety mają być przypuszczone do studjów uniwersyteckich tak samo jak mężczyźni („*The Times*“ z d: 17. stycznia 1878. r.)

**) J. S t. M i l l „Poddaństwo kobiet“, przekład polski, Toruń, 1870.

***) M i l l, l. c.

*) Holtzendorff „Die Verbesserungen in der gesellschaftlichen und wirtschaftlichen Stellung der Frauen“, Berlin 1877.

Przy drodze.

Nowela

przez F. Tokarzewicza-Hodi'ego.

(Dokończenie.)

Deszcz padał cienki, gęsty.

Po skrajach zasępionego widokręgu włóczyły się omdlałe mary, sinawe, zimne.

Pod niemi pełzały smugi niw zżółkłych, obnażonych, wyżytych, zawcześnie skoszonych zawiejami chudej jesieni.

Pusto było dokoła.

Kto tylko miał chatę — a któż jej oprócz cygana i tułacza nie ma? — skrył się do środka, naniecił ogień, i grzał się przy nim, urągając przez okno niebiosom zastygłym, lejącym strugi chłodnej wilgoci w zanadrza lasów, za kołnierz wzgórzom.

Ziemia nie zawsze tu sucha, nawet śród stałych upałów, rozłaziła się teraz, po kilkudniowej słocie, połaciami błock, kałuż, trzęsawisk.

Środkiem ich, jedynie droga kamienna szła sobie twardo, krzepko, gładko, nieporuszenie, niby wązka a długa i prosta kładka marmuru białego, zarzucona na te topieliska, a dążąca ztąd w jednę stronę aż do Rzeszowa, a w drugą hen, hen! wstecz aż do Niska... Dziwna droga! Ani jej tu co ulewy poradzą, ani burze, ani huragany, ani powodzie! Czemuż to nad samym Sanem nie poprowadzili jej ludzie? Ocembrowałaby go ona na wieki. Czemu?! — bo nie prowadzili jej ludzie. Budawał ją — człowiek. Lud też nie zwie jej ani powiatową, ani królewską, ani gminną. Zwie ją po prostu: „drogą Brzezińskiego“. Utrzymuje, że całkiem inaczej, niż gdziekolwiek indziej, została tu ona ułożoną. Ani jeden z niej kamyk nie osiadł podobno kurzawą na sumieniu przedsiębiorców i dostawców... Byćby to mogło. Z zupełną pewnością mógł coś o tem wiedzieć jedynie chyba podróżny ten oto w burce, z kapiszonem na głowie, z workiem starym, skórzanym za sobą... Przed dwiema to bowiem właśnie godzinami uścisnął go przed pocztą niską sam pan Brzoziński, który obecnie, wróciwszy do swej izby nie wysokiej, zbierał z posadzki książki swe kurzem okryte, z torby skórzanej wyrzucone z rana. Zbierał, odmuchiwał, — a milczkiem je za przypiecek składając, stawał niekiedy, w dłonie ujmował twarz swą czerstwą i rumianą, choć już siwiejącą, troską okoloną, i na świat przez zapływające szyby poglądał oczyma zadumanemi tęsknie... Myślał może o drodze tej swojej, którą ongi usypał... akurat na wyjazd swego przyjaciela.

Przyjaciel tylko-co właśnie opuścił Kamień.

Pójdźmy za nim.

Tuż zaraz za pierwszą od Kamienia karczmą — w stronę Rzeszowa — jest wzgórze, które droga Brzezińskiego na wylot przeszywa sposobem termopilskiego przejścia. Za wzgórzem, na jego południowym spadku, znajduje się spora gromadka drzew, gatunku mięszanego, przy polance dość jeszcze stosunkowo zielonej jak na taką porę. Zasłonięte od wiatrów północnych, borek i polanka, siedzą tu sobie spokojnie jak dziad z babą, otoczone drobną dziatwą lichych i karłowatych krzewów w podartej odzieży.

Na czoło rodziny tej, koczowniczej rzekłbyś, niejako w podróży spóźnionej za latem, które oddawna tabor swój tu zwinęło i odeszło, wysunął się pochyły już i mocno pomarszczony, lecz krępy jeszcze i jary dąbstaruszek, ostatni może potomek rozległej niegdyś w tych stronach puszczy sandomierskiej. Ramiona starzec roztoczył szeroko, krzepko; od wierzchu atoli świeciła na nim łysina ogromna, a nogawice jego od spodu ledwo się ciała trzymały, tak były zszarpane, znoszone, postrzępione.

Stało pod tym dębem ludzi dwoje.. dzieci raczej dwoje. Dziewczyna lat może czternastu, piętnastu, bosa, oparta o pień drzewa, miała na głowie i ramionach płachtę białą grubo-wełnianą, na sobie spodnicę twardą, zmoczoną, w kratki czerwone, rude i błękitne; czarnemi wielkiemi oczyma, na twarzy mizernej, cygańsko-śniadej, spoglądała w zadumie łagodnej i bezcelowej, ku drodze. Przy niej o krok, chłopak smukły w szarej kapotce przepasanej cienko, w butach tęgich, juchtowych, w czapce ostrej, wysokiej, „godunowką“ zwanej, ręce w tył na sękaty kij założył, i zuchowato głowę w stronę odrzucił, jakby w co nagle zasłuchany.

Za nimi, nieruchomie łby ku sobie nachyliwszy, pozwalały się siec deszczowi po grzbietach: wół i krowa, lub też może dwie krowy, lecz w takim razie jedna była... łysa, druga nie. Przyglądały się sobie z obojętnością senną.

Zabrzmiała w tej chwili trąbka za górą.

— Poczta... — powiedziała dziewczyna.

— A ino! — odrzekł chłopak potwierdzająco.

Dziewczyna westchnęła z cicha, poprawiając ręką drobną włosy swe czarne i lśniące się pod płachtą, jak lugduński jedwab. Usta jej skromne i drobne, naiwny wyraz oczu błyszczących, nos mały, cienki, świadczyły o nierozwinięciu pierwszej młodości; lecz dwa mocne łuki brwi ściągniętychi, migocąca raz po raz nabrzmiałość skroni, zdradzały jakby zaniepokojoną pełnię wczesnego rozkwitu, czy też wczesnej tylko troski i biedy.

Piękną była; pociągała ku sobie wyrazistym zarysem mizernego oblicza i wiotkością postaci, chybkiej i giętkiej jak trzcinka, wyrastająca śród bagien przyrody skarlałej — prosto a w górę.

Chłopiec wlepiał w nią od czasu do czasu spojrzenie głębokie i jasne — lecz ostre, jakby zdziczałe. Postawę miał butną, zarozumiałą, ruchy ciała zwięzłe, swobodne, nieokrzesane. Bił pięścią w kij za sobą jak młotkiem, ilekroć cokolwiek było mu nie po myśli.

— Tymko hej tam twój jedzie...—ozwał się junak cierpko.

Dziewczyna oczy pytające na niego podniosła i odparła bez namysłu:

— Taki on mój, jak ja... twoja.

Lecz natychmiast dłonią zgiętą niby do chuchania, wargi sobie przydusiła; powiedziała może za wiele lub też więcej, czegokolwiek powiedzieć nie chciała.

Chłopiec się poruszył. Ofuknął twardo:

— Jużcić, że nie moja, skorom cię nie wziął i nie kupiuł...

Zmierzyła go wzrokiem.

— Kupiuł, kupiuł... rzekła nie bez cienia ironji, i to wcale nie chłopskiej — Co słowo u ciebie kupno, Stachu. Nie wszystkoć można kupić...

Przestępowała to mówiąc z nogi na nogę, i stopę o stopę ogrzewała po kolei. Stopy miała białe, chude, delikatne.

— Owa! — odrzucił Stach z lekceważeniem, ale twarz zaraz odwrócił — Owa! czego na świecie nie kupić?

Pięścią w kij uderzył.

Dziewczyna z oczu go nie spuszczając, mówiła łagodnie, zwolna:

— Aj! aj! Stachu ty, Stachu... Poszedłbyś oto lepiej choć raz kiedykolwiek, wieczorem, w niedzielę, do szkoły, a nie gadałbyś darmo... Poszedłbyś i posłuchał, czem jest pieniądz bez nauki... i bez poczciwości...

Podrosła zdało się i wypogodniała cała przy ostatniem słowie, tak to słowo ślicznie wypadło z jej ust maleńkich, do powagi nastrojonych. A i chłopiec rozchmurzył się od razu na ten głos dobitny, szczerością zaakcentowany. Ale upartym był Powilańczuk. Odpowiedział dziewczynie na przekor:

— Alboć to ja zyd, Basiu, zebym do skoły chodziuł!..

Wpatrywał się atoli w nią znowu jak w obrazek, przez promienie swych źrenic kąśliwych.

Basi mimowolnie na to spojrzenie odsłoniły się dwa rzędy ząbków jak perełki; ale ze swojego ustąpić na serjo nie myślała.

— Co to, to prawda, że nie jesteś żydem — prawiła przykrywszy rzęsami długiemi iskierki swych węgli. — Bo gdybyś był żydem, tobyś teraz oto w kramiku siedział, i na pastwisko bez potrzeby nie biegał w deszcz taki... Sprzedawałbyś sobie cokolwiek, o żadnem kupnie nie mówił, a o braniu mnie, tobyś i przez złość nie pomyślał. Żeś nie żyd, to nie żyd. Ale i to także pewno, Stachu, że inaczej by jeszcze było, o! zupełnie inaczej, gdybyś czasami do książki mógł zajrzeć...

— No albo czemu?

— Temu, że byłoby ci z tem... ot, byłoby ci z tem lepiej na świecie...

Stach się skrzywił.

— Pleciesz — rzekł. — Toć i bez książki mam i chleb i do chleba, a pana Boga wszakcić i na pamięć chwalić potrafię...

— Nie-tylko pacierza książka naucza...

— A ino?

Dziewczę główką pokiwało, połknęło ślinkę.

— Rozmaitych rzeczy. Jak z ludźmi żyć, jak do nich mówić, jak być względem nich sprawiedliwym, nie zważając, czy kto jest katolikiem, czy żydem, byle tylko kochał ziemię, na której siedzi, a ludziom dobrze robił...

Stach śmiechem parsknął.

Owa! owa! — zawołał — dużo o tem i Leonczuk gadał wróciwszy ongi z targu w Nisku, gdy mu Szyfmanowa dała bułki szabasowej kawał!... Ta!... jak kto swego chleba nie ma, to pytluje cudzy, aż mu para z gęby wali...

— Stachu! — krzyknęła dziewczyna — Co tobie jest? Co ci się dziś stało? Prawisz jak opętany! Alboż temu Leonczuk winien, że biedny, że sam jeden, sierota, bez ojca, bez matki?.,. A Szyfmanowa czy źle zrobiła, że głodnemu jeść dała?... Skończenie świata z wami, jeżeli tak zawsze będziecie niepoczciwi i głupi!..

Znowu rączką zsiniałą usta sobie zamknęła.

— To ja to wiem, wiem dobrze, oho!— wywiódł Stach przeciągle — że ty wszyćko przekręcić potrafisz! Mało czego! Ale chleba jak nie miałaś, tak i nie masz z matką. Co ci z tego, że nie mówisz już jak wszyscy: a d y ć, a i n o, p o n j o n z y n i o r? Alboż dla tego masz trzewiki? alboż krowy nie pasiesz?

Basia oczyma zaświeciła.

— Nie pasłabym, gdybym niechciała — odrzekła z naciskiem... I trzewiki bym nosiła... a może i co więcej jeszcze...

Stach zerknął złośliwie...

— Ba! — powiedział — Chusteczkę czerwoną od Tymka... co?

Dziewczyna zapłonęła.

— Chusteczkę?... — jęknęła — Ach, ty złośniku podły!... Aleź na chusteczkę matula... Tymkowi pieniądze dali do Rzeszowa... kiedy tam jeździł!...

Mówiła to drżąc cała, dusząc się oddechem własnym.

— I! I! odciął się Stach — Co tam darmo językiem wiercić! Pieniądze Tymko matce wrócił, i swoich jej jeszcze dopożyczył!..

Basia pobladła.

Stanęła jak posążek wkopany w ziemię, patrzący bezmyślnie. Źrenice jej mgłą zaszły.

Teraz dopiero Stach postrzegł, że popełnił zły uczynek, i nie wiedział jak z niego wybrnąć.

— I cóż ja... cóż ja temu, nieszczęśliwa, winna? — wyszeptała dziewczyna skróś łzy.

Ręce jej opadły, rozwiała się na niej płachta.

Stach kij swój sękaty oburącz do połowy w mokrą glebę wpakował, i za gudunówkę się chwycił. Darł siebie za głowę — nie drapał.

— Alboż to powiadam? — tłumaczył się — Alboż ci kiedy cokolwiek.., ot choć raz kiedykolwiek, powiedz, czy co złego zrobiłem, kiedy cię ten pamiętasz, sędzia Huczko, psiąwiara, świeć Ponie jego duszy — wzion w koncelaryi wpół, jak matka wyszła, a ty w niebogłosy krzyknęła? Co nie prawda? Albo kiedy za spodnicę cię uchapiuł ten wetorynosz od dobytku z wielgim nosem, przed wielgonocką... co, czy może nie uchapiuł? Gadołżem tobie co wtedy? Narzekoł? Krzycoł?

Obracał, gniótł, mówiąc to, czapkę swą i wodę z niej wyciskał.

Drażniły go widocznie te przypomnienia, bo się znów rozzuchwalał i perzył w miarę swych pytań...

— Co, nie? — nastawał — Nie tak było? Albo jakdo ciebie laz prochfesor wasz, ten mały, porsywiec brudny, pamiętos? pod lipą cyruliczki, w sam sabas zydoski, kiedy go później Storesta kazoł do sądu psywołać?.. Co, moze zmyślam? Co moze i on ciebie nie wzion, nie broł?

Urwał nagle, spojrzawszy na Basię. Godunówką rznął siebie najprzód po kolanie, później po twarzy.

— Basiu! — zawołał rozpaczliwie — Basiu! przysięgam Bogu, że do skoły puńdę!.. puńdę zaroz jutro...

Ale dziewczę, za płaczem, już go nie słyszało. Mówiło łkając, twarz swą w dłoniach utuliwszy:

— Taki sam ty... taki sam ten sędzia... taki sam ten profesor dureń... tacy sami wy wszyscy! Ten trzewiki, ten chusteczkę, a tamten książkę tka, której w domu kupić matuś nie ma za co... Pójdę od was gdzie oczy poniosą!... Będę żydom wodę nosiła, będę im dzieci nauczała, a z wami tu nie wytrzymam... Ani tu doli, ani prawdy, ani dobrego słowa! Tymko już rozumniejszy! On cię jeżeli i zrani twardem słowem, to i kułakiem od napaści obroni...

— Basiu! — mówił do niej Stach głosem więcej niż miękkim i wzruszonym — Basiu! Najdroższa ty moja! moja ty jedyna!...

Kajał się przed rozpłakaną, do kolan sie jej słaniał, niby staroście jakiemu lub naczelnikowi kancelarji polskiej...

W powietrzu coś zahuczało.

Dziewczyna drgnęła od stóp do głowy.

— A pszia-mać twoja! — wrzasnął Tymko Zyzuń nadlatujący galopem z górki.

Ręką jedną w mgnieniu oka pocztyljon lejce ściągnął, drugą dał młynka hamulcowi bryczki — i sam za rowem błyskawicą się znalazł.

— Jezus Marja! — krzyknęła przeraźliwie dziewczyna.

— Ojcze! ojcze! — zakrzyknęło dziecko w bryczce.

Człowiek czarny z pod nakrycia powozu się wychylił, za okulary się chwycił. Deszcz lał z góry jak przez sito grube.

— Ratujcie! ludzie — ratujcie! — wołała dziewczyna, zanosząc się od płaczu i wyciągając ręce ku podróżnym.

— Ojcze to ona!... — wrzeszczał chłopiec mały, rwąc się i pnąc przez wierzch pokrycia powozu...

— Co tobie jest, Kaziu? co tobie jest? — pytał człowiek czarny, ockniony naraz z dum sennych.

Rozległo sią za rowem klaśnięcie jedno, drugie.

— Ona! darł się malec — Maziarzówna!

Człowiek czarny kołdrę z nóg odrzucił, za parasol się porwał...

Ale już Tymko był na koźle.

Rznąwszy przed chwilą raz jeszcze i drugi biczyskiem po oczach Powilańczuka, którego do rowu zwalił, a który daremnie silił się ztamtąd wydostać, — pocztylion hamulec bryczki odkręcił, konie zaciął i polecieli.

— Popamięta teraz pszia jego jucha! — warczał.

Obejrzeć się było trudno, co zaszło, tak się to wszystko stało szybko, doraźnie — jako gdzie kiedy „siła większa“ huraganem przejdzie.

Malec tylko nie przestawał krzywić się i wołać, czepiając się rękami za krawędzie nakrycia powozu.

— To ona, ależ to ona ojcze!

— Kto ona? czyżeś zwarjował, Kaziu? Co ci się stało, powiedz? — badał człowiek czarny, odwalając w tył po za siebię budę bryczki.

— Ona! Basia! — zawodząc mówił chłopczyna — ta, co do szkoły przychodziła... comnie abecadła... co mnie pacierza uczyła... śliwki z domu przynosiła... co mnie całując, obiecała że z nami pojedzie... Ojcze!... ach ojcze, zatrzymaj... każ zatrzymać!..

Ale konie jak wichry leciały po drodze gładkiej, równej, zbitej jak głaz, dzwoniącej jak metal — po drodze tej Brzezińskiego.

Więc człowiek czarny spojrzenie tylko po przez mgłę i szarugę mógł posłać w stronę, gdzie biedna dziewczyna wciąż stała z wyciągniętemi ku drodze rękami... Spojrzeniem jej tylko mógł podziękować za opiekę nad dzieckiem, za pierwszy jego w życiu „ojcze-nasz“...

Łza mu gorzka zabłysła na wynędzniałej „żydowskiej“ twarzy, zsuwając się po niej na ziemię tę niską, ubogą, smętną, gdzie tyle ludzi dobrych spotkał... nie poznał ich bliżej... do serca ich nie przemówił... i ani jednego ziarna przy drodze ocalić nie mógł...

Lecz łza ta jego nie padła samotnie. Na szarem tle niebios obojętnych, w chłodnej oponie zmarniałych ich deszczów, dojrzał, że tam, pod dębem, na zieleńszej polance, zatoczyła się, i w czerniejącym strumieniu równie zgasła łza druga... jako zapowiedź, jako obietnica, jako przykazanie dla nas — wędrowców ubogich — byśmy nareszcie przestali „pytlować chleb cudzy, i walić z gęby parę pochwał“, przez to jedynie, że swego kąta lub kęska nie mamy, i dla tych przedewszystkiem, którzy powstające na niwach naszych ziarnka cnotliwego ubóstwa, deptać tylko umieją karocową swą butą, a sławę sobie krzesać frazesami zpodlałego umiarkowania w rzeczach oświaty publicznej...

Więc podróżny czarną swą twarz podniósł, i wzrok roziskrzony, wartki a nieprzeparty, jak płacz rozkaszlanego jego dziecka, posłał w strony dalekie, odległe, kędy z poza wachlarza tułaczych niepogód i snów uperlonych rosą tęsknoty, wychylało się czarniejsze jeszcze od jego twarzy oblicze wieszcza, w promiennym wieńcu słów nieśmiertelnych:

„Plwajmy na tę skorupę, i zstąpmy do głębi“...

Drezno, dnia 25. paźdz. 1882.

GŁOS KONSERWATYSTY O REWOLUCJONIŚCIE.

(z Wiktora Hugo)

Byłoż to snem ponurym? lub widzeniem dzikiem
Człowiek ten — byłże Persem, Turkiem czy Chińczykiem?
Osobistość poważna i pełna rozsądku,
Należąca do partji tak zwanej porządku,
Rzekła do mnie otwarcie: Śmierć, która spotkała
Owego anarchistę, tego samochwała,
Była sprawiedliwością. Słusznem jest, by siła
Publicznego porządku i prawa broniła.
Możnaż cierpieć, by władzę kiedy roztrząsano?
Zresztą ona jest na to, żeby ją słuchano.
Są prawdy wiekuiste, mój szanowny panie,
Które winno popierać, nawet rusztowanie.
Nowator ten, systema głosił niedorzeczne

Miłość, postęp — i inne rzeczy niebezpieczne —
Wyszydzał starożytną wiarę oprócz tego,
Dla takich filozofów nic nie ma świętego,
Nic oni nie szanują, co jest szanowane;
Żeby doktryny wpajać, wielu podejrzane,
Szedł w świat i nagromadził Bóg wie z jakich krajów,
Pastuchów i rybaków, zgryźliwych hultajów,
Bosonogich włóczęgów, bez grosza, posłania,
Wśród kanalji ucztował i miewał kazania,
Nie zwracał się do ludzi wykształconych frakcji,
Mądrych, wielkich, szanownych, posiadaczy akcji,
Dóbr ziemskich i pałaców. Wprowadzał w błąd masy,
Podnosił w górę palce i czyniąc grymasy
Wmawiał w lud, że uzdrawia kalekę, chorego,
Wbrew krajowemu prawu. Lecz nie dosyć tego:
Zebrawszy koło siebie hultajstwa gromady
Błądził bez celu, mówiąc: wstępujcie w me ślady!
I wiódł ich, bez pasportów, od miasta do miasta,
Musi być podejrzany, kto się ciągle szasta!
Wojnę domową głosił jak najoczywiściej,
Zagrzewał do pogardy i do nienawiści,
Widziano jak się za nim włóczyły pogany:
Jeden kulawy, ślepy, drugi obszarpany,
Trzeci niemy i głuchy, inny jednooki..
Uczciwy człek ze wstrętem cofał swoje kroki
Widząc taką czeredę tego szarlatana.
Podczas pewnego święta, rzecz skonstatowana,
Człowiek ten, za bicz porwał i łając brutalnie,
Deklamując, wypędzał i to dotykalnie
Patentowanych kupców, dowód na to mamy,
Dzielnych ludzi, w świątyni mających swe kramy,
Z upoważnienia kleru. Okoliczność święta,
Bo kler za pozwolenie brał pewne procenta!
Ciągnął wszędzie za sobą coś nakształt dziewczyny
Perorami rozprzęgał podstawy rodziny,
Wszelkie zasady wiary, oraz społeczności!
Podkopywał moralność i prawa własności.
Lud biegł za nim tłumami, opuszczając pola —
To było niebezpiecznem. Dowodził, że rola
Owoc dla wszystkich rodzi — napadał bogaczów,
Pochlebiał biednym. Wołał: Na padole płaczów
Wszyscy jesteśmy równi, a z tego wynika,
Że nie ma wielkich, małych, pana, niewolnika.
Mówił: u Boga miłość, nie siła zwycięży.
Co zaś dotyczy wszystkich bez różnicy księży,
Tych, to darł na kawały. Wszystko to w ulicy
Mógł słyszeć cały motłoch, nawet ulicznicy.
Trzeba było raz skończyć. Władza jest surowa...
Więc go ukrzyżowano. — Te ostatnie słowa
Mocno mnie uderzyły; więc pytam się Panie,
Kto jesteś? kogo tyczy twe opowiadanie?
— Jestem, pisarzem świątyń „Elizabeusem“;
Mówię o tym włóczędze, co go zwą Chrystusem...

M. Rodoć.

Realizm w powieści.

Szkic literacki.

(Ciąg dalszy).

Przypatrzmy się teraz praktycznej, że się tak wyrażę, stronie powieści, temu, co się w najszerszem słowa znaczeniu rozumie pod wyrazem „tendencja“.

Że dążność do moralizowania jest pewną wadą czy zaletą utworów sztuki — to prawda stara, jak świat. Kreacje z wybitnym celem dydaktycznym, są nieprawemi dziećmi sztuki, jest w nich coś obłudnego, udają piękno, by łatwiej się wkraść do rozumu. Ale pojęcia dobra, piękna i prawdy przerastają się wzajemnie, i ostatecznie każdy utwór sztuki niesie w sobie pewne etyczne pryncypia, konieczne już przez to, że są one wytworem życia.

W przedstawieniu owych etycznych zasad, różni się nowszy kierunek od poprzednich sposobów. — Dawniej brał autor pewną prawdę moralną i z nią w myśli pisał powieść, która miała posłużyć do wykazania ujemnych lub dodatnich stron tej prawdy. Wszystko, co nadawało się do jej poparcia, rosło i piętrzyło się druzgocąc prawa równowagi społecznej i psychologii, życie i wypadki rozwijały się w kierunku zasadniczej myśli. W końcu czytelnik miał jak na dłoni udowodnione skutki zbytkownego życia, lub zwycięstwo miłości i moralne zdanie pojące go wstrętem do złego. Ze stanowiska ciasnej moralności, jest to doskonały typ i cel powieści. Słusznie też po dziś dzień pedagogia przepisuje dzieciom ten zbawienny rodzaj umysłowego zajęcia, bacząc roztropnie na to, że smutny los nieumiarkowanego Józia obrzydzi im łakomstwo, a nieszczęśliwa historja chłopczyka, ruszającego nabitą strzelbą, będzie odstraszającem lekarstwem na nieostrożność. Ale wskutek tych bajek prawda życia cierpiała bez końca, a z pod pióra wychodziły istoty blade, anormalne, żyjące jakby posłannictwem pouczającego przykładu. Dziś tendencja inaczej się objawia.. Powieść obiera sobie za przedmiat pewien objaw życia, objaw silnie związany prawem skutku z całym szeregiem poprzednich, prawem przyczyny z przyszłością, i roztacza przed nami szereg objawów namiętności i czynu, — i nie idzie tu o to, czy rzecz zła lub dobra, moralna czy nie — ale idzie o to, czy ona prawdziwa i czy jest obrazem stosunków. Opisuje ona bieg wypadków, obudza drzemiące w duszy instynkta, ale właśnie przez to trzymanie się związku myśli i działań, daje bogaty obraz moralności jednostki czy ogółu, bo w śród tysiąca kolizyj i starcia się uczuć, wpływów i pożądań, wytwarza się w końcu rezultat zły czy dobry, będący wyrazem wspólnego działania tych czynników, noszący na sobie piętno jakieś moralne czy etyczne.

Patrzymy, jak fale życia biją jedna po drugiej na człowieka i urabiają jego charakter, wolę, całą duchową stronę, a potem dociekamy przyczyn upadku lub tryumfu. Ztąd większa część spółczesnych powieści nie kończy się z ostatnią kartką. O n e p o b u d z a j ą m y ś l, w p r a w i a j ą j ą w r u c h s z y b k i, n i e s p o k o j n y, — s t a w i a j ą j a k ą ś w i e l k ą, c i e m n ą z a g a d k ę l u d z k i e j d o l i. i to jest głównym ich charakterystycznym rysem. Sens moralny pochodzi tu nie z wcielania abstrakcji w żywą istotę, ale z wejrzenia w głębię życia, z dotknięcia jego sprężyn. A teraz popatrzmy się, jakie momenta i zjawiska tego życia maluje nam powieść spółeczna, jakie główne jego cechy? Najlepiej przedstawi nam je nowela, jako rodzaj pozbawiony aż do przesady wszystkiego, co nie wchodzi w zakres samej fabuły, samego faktu, wszystkiego, co może się nazwać artystycznym środeczkiem i efektem. Nowela w swych ciasnych ramach tyle zamyka treści, że ta treść rozsadza i dominuje nad formą. Otoż, jak mówi jeden z krytyków „pojawienie się noweli nie jest rzeczą obojętną, lecz stoi w związku z ogólną historją myśli ludzkiej. Już krótki przegląd noweł O u i d y wystarczy, aby wskazać, jak się pojawiły na czasie, w chwili przesytu i gorących pragnień, aby to co złe i niesprawiedliwe, zniknęło z ziemi.“

A tem silniejsze jej działanie, że przedstawia rzeczy codzienne, dobrze znane, obok których przechodzi się w życiu obojętnie, i których okropność dopiero w książce czujemy.

Czyż J a n k o m u z y k a n t jest anomalią, czy jeden Nello konał z gorącego pragnienia sztuki, a żaden mecenas nie podniósł go z błota ulicznego?

Każda prawie nowela, jeźli tylko snuje swą tkankę z codziennego życia, a autor zadał sobie dość trudu, by kwestję ważną, piekącą obrać za temat, jest ukrytą petardą o druzgocącej sile, o strasznych skutkach. A nowela tak jest na pozór niewinna, ładniutka, że trudno ją posądzić o jakieś doniosłe zamiary....

Będzie to jakaś różowa twarzyczka kwieciarki o małych nóżkach, obutych w drewniane buty, będzie jakiś biedny marzący chłopczyna, zapatrzony wśród nocy jasnej w tęczowe okno gotyckiego tumu, jakiś Wawrzuś i Marysia, rzuceni w rojną stolicę nowego świata, bez grosza i bez znajomości języka, — w końcu głupi Michałko pomocnik murarzów, słowem istota słaba bez znaczenia, bez racji bytu w tym wielkim mechanizmie społecznym, a jednak na myśl o nich serce nas boli, i zaciskamy pięść, unosimy się gniewem... i przeciw komu to? kto im winien? Tu szkopuł, tu główny węzeł nowelli.

Nikt nie winien i wszyscy. — Nie widzimy tam żadnego osobistego kata tych ofiar, nikt temu biedactwu nie rzuca rękawicy wyzwania. Więc świat cały winien, winny stosunki, winna obojętność ludzkości — za te jęki drobne, ciche, jak brzęk skrzy-

deł komara, a jednak straszne swą powszedniością. A czemu tak jest, a nie inaczej? tu już nie ma żadnej odpowiedzi, chyba taka jaką dał król chłopków pokrzywdzonemu kmieciowi: „Masz krzesiwo w trzosie, a hubę w lesie rośnie.“

Ale nowella, to już kwiat realizmu nowszego, to kwintesensja pytań społecznych, których ostre cierniste krawędzie owija barwna, puchowa tkanka poezji. Słusznie też o niej krytyk powiedział, że jej pogodne blaski łatwy przystęp znajdą tam, gdzie poważne słowo myśliciela nie trafi.

Głównym motywem powieści jest walka z przesądem w najrozleglejszem znaczeniu, i to według osobistego zapatrywania, jakie sobie autor w życiu wyrobił. I tak Freytag w swej powieści „Soll und Haben“ wprowadza nas tam, gdzie wre mrówcza praca i mrówcza ruchliwość niemieckiej burżoazji i wykazuje nam, że nie szlachecka junakerja, lecz bohaterstwo kantoru i łokcia w swej matematycznej sumienności i uczciwej pracy, dają państwu gwarancję trwałego bytu.

Kiedy Emil Zola roztacza przed nami wnętrze Paryża w powieści: Le ventre de Paris i opisuje nam ów syty, wygodny i ciasny, egoistyczny i moralnie lichy świat rybnego targowiska i masarskich zakładów, gdzie rozlega się hasło, że spokojny kąt, dymiący półmisek, wstęp na honorowe miejsce w parafii i sposobność pokłócenia się 7 razy w tygodniu, warto okupić małą podrostką; kiedy powtarzamy na tle tego świata tragicznie rysuje postać czułego, nerwowego marzyciela wolności, który z narażeniem życia ucieka z Kajenny i na pół umarły z głodu staje w Paryżu, by znów głosić swe idee; kiedy inna autorka (choć trudno ją policzyć w zakres realistów) Zofia Szwarc pisze jednę powieść za drugą, a w każdej jedna myśl, jedni występują ludzie, którzy po za omszałą tarczą herbową i szeregiem poczerniałych płócien nic w małodusznem odosobnieniu nie widzą, ludzie tacy jakich Balzac umieścił w swym gabinecie starożytności, zamykających uszy i oczy na postęp nauk i spółczesnych haseł, jednem słowem arystokraci, którzy swojego wysokiego stanowiska ani nie rozumieją, ani nie używają, to ci ludzie z powieści stykają się z innymi ludźmi, z wielbicielami wolności, żelaznej pracy, osobistej zasługi, i pod ich wpływem przemieniają się w energicznych braci ludu.

Ta sama walka z przesądem cechuje i naszą literaturę.

Wezmy naprzykład kwestję socjalną, jak ona się przedstawia u różnych autorów. Kraszewski w swej powieści „Szalona“ którą par excellence starał się przeprowadzić realistycznie, i w której tendencja wpada na pierwszy rzut w oko, przeprowadza nam młodą, piękną, inteligentną kobietę, przez całe piekło stopniowego upadku, przewrotu pojęć, zatarcia uczuć familijnych, konkubinatu, i w końcu odartą ze wstydu rzuca na bruk paryski, w wir kawiarnianego zgiełku, upojoną absyntem. Nie tu miejsce sądzić, czy ten sposób walki z najważniejszem zagadnieniem wieku, jest sumienny czy nie; bądź co bądź widzimy, że autor głosem Cicerona woła: „Caveant consules“...

Orzeszkowa znowu z innego punktu traktuje to samo pytanie i w Sylwku cmentarniku walczy z przesądem. A „Pańskie dziady“ Bałuckiego czyż to nie jeden z tych głosów, choć w innym tonie! Stolarzowi konającemu prawie z głodu, kazano sprawić pogrzeb żonie zmarłej w szpitalu, inaczej pokrajana przez uczniów, pójdzie w wspólnej trumnie na cmentarz. Stolarz nie ma ani grosza, więc idzie do jednej z dam, dzierżących w swych rękach skarbonkę miłosierdzia. Wyczekawszy się w sieni na mrozie, staje w końcu przed obliczem rozdawczyni; nie dano mu nic, bo gotówkę wyniósł przed chwilą wyzyskiwacz, grożący publikowaniem skandalicznych historyjek.

Widzimy z tych trzech przykładów, że wszystkie one rozwiązują to samo pytanie w różny sposób.

W ogóle, jak tu przebija pewna dążność do roztrząsania najdonioślejszych kwestyj jedna po drugiej — tak w całej nowszej powieści czytamy odbicie prądów, nurtujących łono naszego czasu.

(Dokończenie nastąpi)

Młoda matka.

Opowiadanie prawdziwe.

Pan sędzia H... był człowiekiem w sile wieku, i uchodził ogólnie za co najmniej okazałego, jeżeli już nie ładnego mężczyznę. Dzięki swojemu stanowisku urzędowemu i odziedziczonemu niedawno spadkowi, pod każdym względem niezawisły, miał życie wcale wygodne; od ludzi nie uciekał, przeciwnie w pożyciu towarzyskiem był nader miły i uprzejmy, więc też dziwiono się ogólnie, że pan sędzia dotychczas był kawalerem, i mimo swojego szczególnego upodobania w życiu rodzinnem, nie usiłował stworzyć sobie własnego ogniska.

Po ukończeniu przepisanych studjów, jako praktykant sądownictwa, później adjunkt, sędzia samoistny i t. d. wiódł z konieczności żywot koczowniczy, w ciągu którego poznał mnóstwo miejscowości w kraju, i niemal wszystkie panny na wydaniu, córki swoich przełożonych. Młodego i eleganckiego pana sędziego, który się zawsze tak korzystnie prezentował, że nikt nigdy nie zmiarkował dość szczupłej jego sytuacji finansowej, wciągano chętnie we wszystkie towarzystwa, zapraszano na wieczorki z tańcami, partje wistowe i rozmaite inne zabawy, i zaledwie w którem miasteczku pobył trzy tygodnie, zaraz stawał się przedmiotem cichej spekulacji ze strony tej i owej matki, mającej córkę na wydaniu.

Otóż — aby wyznać prawdę, pan sędzia H... zanim odziedziczył ów mająteczek, nie rozporządzał najskromniejszym nawet zasobem mamony, a nadto z pensji swojej wspierał stale dwie młodsze siostry. To też gdyby go była ochota zebrała ożenić się w tych czasach, byłby zgotował sobie djabelnie kusą egzystencję. Na szczęście pan sędzia kochał szczerze swoją wolność kawalerską, a kochał ją tem silniej, im częściej i natarczywiej narażany był na jej utratę. Nie przeszkadzało mu to jednak uważać małżeństwo jako bardzo pożyteczną instytucję, w rozmowach towarzyskich często z niekłamanem współczuciem narzekał na fatalną dysproporcję liczby panienek będących na wydaniu, a mężczyzn dla myśli matrymonialnej wrogo usposobionych, i przy każdej sposobności gorąco bronił płci pięknej. Mimo to wszystko z drugiej strony polowanie na mężów uważał za robotę śmieszną a nawet wstręt budzącą, i pewnego razu na zabawie, gdy gospodyni domu mająca oczywiście dojrzałą córeczkę prześladowała go uprzejmością i słodyczą, wyznał bez ogródki na ucho młodej mężatce, żonie swojego kolegi urzędowego, że postanowił sobie asystować odtąd tylko... mężatkom. — „Bo proszę pani — mówił tonem wyraźnego oburzenia i niechęci — niepodobna bawić się swobodnie z którąkolwiek panienką, a broń Boże już, ot, tak z grzeczności ofiarować jej bukiet, lub na tym samym wieczorze kilka razy z jedną z nich tańczyć, aby w lot nie swatano z nią człowieka. Jednego ranka jużeś zaręczony, a nazajutrz skargi i lamenta, żeś ją porzucił. Przyzna pani, że to wcale sytuacja nie do pozazdroszczenia!“

Stosownie do tego postanowienia, konsekwentnie trzymał się towarzystwa wyłącznie kobiet zamężnych, i często wśród mężczyzn dawał się słyszeć na pół serjo, na pół żartem, że koledzy pozabierali najładniejsze kobiety, a tych które zostały, ani porównać z tamtemi! Swobodny i wesół z kobietami, raził pozornym chłodem i obojętnością każdą pannę, to też w końcu te ostatnie wido

cznie od niego stroniły. Pan sędzia rad z tego — choć mówiąc nawiasem lata nie stały na miejscu, i elegancki kawaler powoli starzał wyraźnie — przyjmował chętnie rolę przyjaciela domu wielu małżeństw młodych, i zdawał się być zupełnie zadowolonym ze spokojnego przyglądania się domowemu szczęściu swoich dobrych znajomych. Od dzieciństwa przywykły do pożycia rodzinnego, nie znał większej rozrywki po biurowej pracy, nad kilkogodzinną gawędę u pani radczyni lub doktorowej, którą zwykle prowadzono w dziecinnym pokoju.

Niewinne zabawy i igraszki dziecinne zachwycały go szczerze, i nie jedna czarująca piękność na balu mniej mu się podobała, niżeli każda młoda, skromna matka w kole swoich dziatek. Urok, którym kobietę otacza troskliwość macierzyńska, robił na nim najprzyjemniejsze wrażenie. „Dopiero szczęście matki — powtarzał często — udoskonala kobietę! Co głównie podziwiamy w madonach Leonarda da Vinci, Rafaela, Tycjana, to właśnie sprawia tam wyraz najwyższego szczęścia macierzyńskiego; nie jedna szczęśliwa kobieta z ludu służyła za modelkę owym artystom do tych arcydzieł niebiańskich. Ten właśnie uroczy wyraz madony, znachodzę i dziś w twarzy każdej młodej matki, przyczem mimowoli przypominam sobie tę czułość i słodycz, z którą moja matka na mnie spoglądała.“

— Jeżeli się H... kiedy ożeni, wybrana jego będzie niechybnie wdową z kilkorgiem dzieci... — żartował sobie sędzia R... — Bo przecież prawdopodobnie nie będzie wymagał, aby który z nas z miłości dla jego fantastycznych kaprysów, rozwodził się z swoją najdroższą połowicą!

Z kolei proponowano mu różne wdówki, do jarzma małżeńskiego skore, lecz rzecz dziwna, nie usiłował nawet którąkolwiek z nich poznać, jakkolwiek polepszone stosunki finansowe pozwalały mu, już na serjo pomyśleć o stworzeniu sobie rodziny. Widocznie było, że znajdował rozkosz jedynie w illuzjach, bo cofał się ze strachem, ilekroć ideały jego mogły były być bliskiemi urzeczywistnienia — jak gdyby się obawiał, że rzeczywistość nigdy tego nie da, co fantazja przyrzekła. Tak mijały lata, wreszcie po długiej wędrówce z miasteczka do miasteczka, sędzia „zarozumialec“ — jak go panny przezwały, dostał się do stolicy.

Jakkolwiek ruch wielkomiejski odpowiadał żywemu usposobieniu towarzyskiego sędziego, i długie lata był przedmiotem gorących jego życzeń, mimo to znalazłszy się tam, już po krótkim czasie zatęsknił szczerze za dobrymi znajomymi i spokojnem życiem małego miasteczka. Najbardziej dobo-rowe towarzystwa stolicy nie smakowały mu obecnie, zrobił się za wygodnym, by się do nich stosować ciągle. Te sztywne zebrania i ceremonialne recepcje wnet mu zbrzydły nieznośnie, a jednak ani mógł, ani chciał wyrzec się ich zupełnie. Za każdym razem, ilekroć wybierał się na takie zabawy, wzdychał ciężko, wahał się, ociągał, w końcu szedł, jak gdyby mu to nakazywał jakiś obowiązek surowy.

Tak samo było pewnego wieczora lutowego, gdy znowu „wypadało“ mu pójść na jakiś raut czy piknik. Powietrze było wyjątkowo niezwykle łagodne i ciepłe, i byłby niechybnie wolał użyć pieszo przechadzki, gdyby nie obawa zabłocenia nowych trzewików lakierowanych. Nadjechał właśnie wóz kolei konnej, dążący w tę samą stronę. Wsiadł, a równocześnie z nim zjawiła się młoda elegancka kobieta, za nią piastunka z małym dzieciakiem na ręce. W pełnym już wagonie z trudnością przyszło mu zrobić miejsce dla siebie, i z kurtoazji dla przybyłej kobiety. Gdy nareszcie usiadł — a przypadek zdarzył, że właśnie naprzeciw młodej nieznajomej, z ciekawości zupełnie usprawiedliwionej, począł się jej przypatrywać. Po chwili obserwacji, aż się przestraszył, tyle podobieństwa znalazł w jej twarzyczce do wymarzonego ideału madony! Taki sam ujmujący owal twarzy, łagodne jak u sarneczki oczy, drobne uśmiechnięte usta, ciemno orzechowe włosy — słowem zjawisko czarujące! Spojrzenie jej spoczywało ciągle na dzieciaku, będącym na rękach piastunki, a był to chłopak wesoły, który ustawicznie śmiał się do pięknej mamusi. Ta ze swej strony usiłowała w coraz to nowy sposób skrócić malcowi jednostajną jazdę. Obracała mu przed oczyma balonik, raz mu go podawała, to znowu odbierała z przymileniem, ciągle o coś pytała — z czego on zdaje się nie wiele rozumiał, choć każdy raz przeciągłym chichotem odpowiadał — głaskała go po krągłym rumianym buziaku, gdy na chwilę spoważniał — słowem zajęta nim była z troskliwością rozczulającą. Konduktor — człek już nie młody, — zapomniał o swoim obowiązku, i przypatrując się z upodobaniem igraszkom domniemanej matki z dzieckiem, zauważał, że i on ma w domu podobnego „hultaja“. A wszyscy siedzący w wagonie uśmiechali się do dziecka i bawili pozornie jego figlami, jakkolwiek chcieli właściwie w ten sposób przypodobać się ślicznej matce. Ona jednak — zdawało się przyjmowała przyjacielskie spojrzenia wyłącznie na rachunek malca, i widocznie ani domyśliwała się, że przedewszystkiem jej piękność urocza była przedmiotem ogólnego zajęcia. Na jednym z przystanków, wsiadła jakaś staruszeczka z gminu, i zwyczajem starych, poczęła indagować o wiek dziecka, sposób chowania, dziwowała się, że tak pięknie wygląda i t. p. Nieznajoma odpowiadała na liczne pytania z przyjacielską otwartością, na koniec z uśmiechem podziękowała staruszce za uwagę, aby malca dobrze otulić przed chłodem wieczornym, wiejącym od drzwi wagonu.

Całej tej rozmowie p. sędzia H... przysłuchiwał się z taką uwagą, jak gdyby w biurze słuchał zeznań świadka do protokołu. Przytem obraz pięknego v i s - a - v i s coraz wyraźniej odbijał mu się w umyśle. Umiejąc rysować, byłby ją z pewnością umiał z pamięci zportretować najdokładniej w świecie; i elegancki płaszczyk, i aksamitny kapelusik z ciemnoróżowem piórkiem, i te drobne rączki w popielatych rękawiczkach, nawet maleńka nóżka w eleganckich obcisłych bucikach nie uszła bacznej uwadze pedantycznego pana sędziego. Od czegoż bo był sędzią śledczym! A gdy pomyślał sobie, że lada chwila utraci z przed oczu to cudowne zjawisko, istny dreszcz żalu i przestrachu ziębił go całego — poczem ze zdwojoną pilnością wpatrywał się w pogodną twarzyczkę ślicznej kobiety, że ta aż rumieniła się, formalnie odczuwając uporczywie ją śledzący wzrok nieznajomego. W tem konduktor zadzwonił, i piękna podniosła się z miejsca, przyczem opuściła balonik dziecka, a sędzia miał to szczęście, że go w locie pochwycił, i z uprzejmością, na jaką go tylko stać było, podał właścicielce. Tymczasem na ulicy deszcz począł padać gęsty, i właśnie H... chciał ofiarować jej swój parasol, gdy w tem zjawił się u stopni wagonu jakiś mały jegomość, który widocznie tutaj na nią czekał. Podał jej ramię, i za chwilę urocza kobieta, z piastunką i dzieciakiem, i tym niepokaźnym towarzyszem, zniknęli mu z oczu.

— Szczęśliwy człowiek!.. — pomyślał H... jadąc dalej — szczęśliwy człowiek! — szeptał jeszcze w duchu z serdecznym jakimś żalem, choć już wchodził do rzęsiście oświetlonych salonów recepcyjnych.

Z dwudziestu kilku nazwisk pań i panów obecnych, z którymi z konieczności został zaznajomiony, nie zapamiętał tego wieczora — ani jednego. Zawsze elegancki i uprzejmy sędzia, zrobił tym razem na zabawie wrażenie nieznośnego, sztywnego odludka. I mogłoż być inaczej, gdy umysł jego był zaprzątnięty jedynie myślą, gdzie też mieszkała urocza nieznajoma, jak się nazywała, kto był jej mąż, zapewne ów malenki komiczny człowiek? To ostatnie zwłaszcza pytanie drażniło go niewymownie — był-że kupcem, uczonym, sędzią? Niech go kaci porwą! — kończył w myśli, ilekroć o nim wspomniał w duchu.

Znał przecie dotychczas tylu mężów, z których żonami bawił się wyśmienicie, a ani jednego z nich nie przeklinał nigdy. Dopiero ten nieznajomy wydał się mu od pierwszego wejrzenia okropnie nieznośnym — Jakżebo niezręcznie podawał ramię tej ślicznej kobiecie, i chyba trzeba być ślepym, aby nie widzieć, że przerażająco niedobrana z nich para! — powtarzał sobie raz po raz, dławiąc się niewytłumaczonym gniewem i oburzeniem.

Nazajutrz dzień był śliczny wiosenny, i pan sędzia postanowił pójść na daleką przechadzkę, tem bardziej, że obecnie wytrzymać nie mógł ani godziny w czterech ścianach kawalerskiego mieszkania. Poszedł do publicznego parku w tej nadziei, że może wśród tłumów ujrzy jasny płaszczyk nieznajomej. Lecz naprożno wytężał oczy na wszystkie strony — wprawdzie nie jeden taki i podobny płaszczyk dostrzegł — bo w końcu ileż to takich okryć fabrykują co roku modystki — lecz upragnionej nieznajomej nie spotkał nigdzie. — Już się zabierał uciekać z gwarnego ogrodu, i w tym celu wybrał krótszą drogę, która wiodła mimo szerokiego placu, przeznaczonego na zabawy dla dzieci. I tu było pełno — ciepłe słońce wywabiło mnóstwo malców z matkami, bonami i niańkami. Mimochodem rzucił okiem na różnobarwną gromadę — i o dziwo! dostrzegł nagle niebieski burnusik wczorajszego dziecka z tramwaju, i ciemnoróżowe piórko na kapelusiku młodej kobiety. Brakło mu oddechu w piersiach... Czemuż ten park nie był w tej chwili jakim borem dzikim, wśród którego ona mogłaby zabłądzić, gdzie co krok czatowały by na nią niebezpieczeństwa, a on, jak rycerz w bajce, miałby sposobność ratować ją i bronić! Jakże ochoczo byłby się narażał dla niej, a tymczasem w rzeczywistości, mógł tylko przejść koło niej, i przywitać ją konwencjonalnym ukłonem. Gdy go ujrzała, zdawało się że go poznała, i zpłonęła wyżej uszu. Po chwili — jak gdyby ją co pędziło, poczęła nagle gotować się do odejścia, niańka przywołała dorożkę, i wnet piękna nieznajoma, dzieciak i piastunka, zniknęli zdumionemu sędziemu z przed oczu. (D. n.)

CLAUDE LORRAIN.

Szkic artystyczny z powodu 200 rocznicy jego śmierci.

W stolicy Lotaryngii odsłonięto 21 listopada b. r. jako w dwóchsetletnią rocznicę śmierci wielkiego artysty, pomnik Klaudjusza Gelce, zwanego Lotaryńczykiem. Dzienniki francuskie rozbierają z tego powodu zasługi Claude Lorraina, i uważając je w perspektywie z historycznego stanowiska, piszą o jego znaczeniu i wpływie na historję malarstwa w ogóle, a pejzażu w szczególności, a wszystkie, pomimo ogromnej różnicy, która dzieli wyobrażenia naszych czasów o sztuce, od zapatrywań wielkiego mistrza lotaryńskiego, przyznają mu, że stworzył epokę. O tak wpływowym artyście i nam więc godzi się głos zabrać, choćby tylko dlatego, że przy tej sposobności będzie można powiedzieć kilka słów o zasadach sztuki, i streścić zapatrywania nowsze na Claude Lorraina które zasadniczo różnią się od dawnej opinii.

W loggiach pinakoteki monachijskiej uwieczniony jest Claude Lorrain pędzlem wielkiego Corneliusa: Artysta ściga wzrokiem zachodzące słońce, amor dotyka różowym paluszkiem lutni jego, zdala podchodzi do niego Psyche z podwójnym fletem,, a Zefir wietrzyk łagodny pędząc przed sobą chłodzi jego czoło.

W tym obrazie zamknięty cały żywot Klaudjusza Gelée. W jego obrazach czuć że amor, kochanek natury grał na jego lutni, drzewa jego lekkim poruszane wietrzykiem żyją i cieszą się blaskami słońca, które zdaniem samego artysty, było jego jedynym nauczycielem.

W epoce zmanierowanego zopfu, nikt lepiej, głębiej i cieplej nieodczuwał natury od Klaudjusza Lataryńczyka. Ani Poussin ani Kasper Dughet, o lepsze z nim współubiegać się nie mogą. Dał mu takie świadectwo nawet genialny Humboldt, zwąc go „idylicznym malarzem światła i wonnej oddali.“

Podstawą do ocenienia, a raczej zrozumienia dokładnego artysty, jest życie jego. O życiu Klaudjusza Gelée nie wiele jednakowoż da się powiedzieć. Utrudnia to poniekąd scharakteryzowanie talentu, ale same dzieła jego tłumaczą nam dość jasno usposobienie wielkiego pejzażysty i na tej podstawie będziemy sią też starali stworzyć pełny obraz tego największego lubownika natury w XVII stuleciu.

Z pozostałych wiadomości o życiu Klaudjusza Gelée, najwięcej wiarygodnem jest świadectwo współczesnego mu Sandrarta. Późniejsze wiadomości, podane przez Baldinuccego, nie ostały się pod skalpelem nowszej krytyki historycznej, a i to, co wiemy zkąd inąd o jego życiu, a zwłaszcza młodości, po analizie Karola Blanca okazało się bardzo nieprawdopodobnem. Pozytywnem jest tylko tyle, że Klaudjusz Gelée, czy jak się sam pisał Gillée, urodził się w zamku Chamagne niedaleko Epinal w r. 1600, że ojciec go odumarł gdy miał lat 12, poczem młody Klaudjusz, jak opowiada Sandrart, ruszył do Rzymu, gdzie przyjęty został do służby przez niejakiego Agostina Tassi, malarza, u którego pełnił wszelkie obowiązki służącego, rozcierał farby i czyścił palety i pendzle.

Wspomniany Tassi († 1642) był jednym z najznakomitszych uczniów Pawła Brila, a wykształcony na pejzażach Tycjana i Annibala Carracci, odznaczał się wielu zaletami, które później w wyższym dalekostopniu posiadł Lorrain.

Tyle tylko wiemy dotychczas o młodości wielkiego pejzażysty. Więcej jak pewne, że pierwsze wykształcenie odebrał od Tassego i że później (w r. 1625) wrócił do ojczyzny, gdzie jak twierdzą jego biografowie spodziewał się zdobyć lepsze stanowisko. Obliczenia te okazały się fałszywe. W r. 1627 powrócił do Rzymu, i odtąd zaczynają się dlań świetne czasy. Pierwszy kardynał Bentivoglio, kupił kilka obrazów od niego, i zachwycony ich pięknością pokazał je papieżowi Urbanowi VIII, który natychmiast zamówił kilka innych dzieł Lorraina dla siebie. Niemniej przychylny był dla niego papież Inocenty X., a sława Klaudjusza wzrosła wskutek tego tak wysoko, że o dzieła jego dobijano się, a Lorrain mógł za nie żądać bajeczne i niesłychane dotąd ceny. Ta pokupność jego obrazów spowodowała innych malarzów do naśladowania maniery Lorraina, i wydawania ich za dzieła oryginalne sławnego artysty, co stało się dlań przyczyną wielu utrapień. Gelée umarł w listopadzie 1682 r. i pochowany został w kaplicy Santa Trinita de'Monti. Thiers sprowadził w r. 1840 zwłoki Lorraina z Rzymu do Paryża. Tam leżą też popioły genialnego pejzażysty, a nad niemi wznosi się pomnik dłuta Lemoin'a, przedstawiający w alegorji malarstwo.

Claude Lorrain był dzieckiem swojego wieku. Pomimo wrodzonego, jeżeli tak się można wyrazić, poczucia natury, patrzył on na nią przez szkła XVII stulecia, które w stylu kartonowym barrocca i zopfu, widziało wzór wykwintności i smaku, wytrefionych bohaterów Racin'a uważało za prawdziwy klasycyzm, a wymuszone dygi dworskie za szczyt dobrego tonu. Wiek ten miał swoje właściwe spojrzenie na naturę, i zupełnie w czem innem, jak słusznie dowodzi Riehl w swych „Culturstudien“ widział prawdziwe jej piękno, aniżeli wiek romantyków, lub nasza dzisiejsza epoka. Monotonna płaszczyzna z widokiem gubiącym się w oddali, była ideałem krajobrazu. Pejzażysta ówczesny unikał też starannie gór niebotycznych, urwisk, skał dzikich i rozpadlin, a w razie koniecznym łagodził ich kontury i zaokrąglał.

I Claude Gelée więc niemógł wznieść się po nad wiek swój, a chociaż stanął na czele wszystkich pejzażystów europejskich w tym wieku, uległ słabostkom stulecia, i wraz z Poussinem stworzył za przykładem A. Caraccego pejzaż idealny.

Krajobraz Lorraina ma olbrzymie zalety. Linie jego są miękkie i pełne harmonii, a objawy świetlne rozmaitych pór dnia, prawie godzin, iście odkradzone są naturze, i jak powiada bardzo trafnie Carriere, przypominają zawsze ten wiersz Uhlanda:

„Der Himmel ist so feierlich,
So ganz als wollt'er öffnen sich:
Dies ist der Tag des Herrn!"

Jakaś jasność i czystość, lejąca uspokojenie w serce widza, zadziwiają w pejzażach Lorraina. Zdaje się, że wśród liści drzew jego wieje lekki zefirek, że z oddali płynie ku nam orzeźwiające powietrze.

Ale mimo tego bogactwa światła, mimo prześlicznego nieba, nie jest to jeszcze natura ta, którą nam stworzył pejzaż dzisiejszy, który umie odgadnąć charakter i typ każdej okolicy, a nadać cechę właściwą najmniejszemu widokowi. Znamieniem charakterystycznem naszego pejzażu jest tz. Stimmungsbild. Nie znała go wcale epoka pejzażu idealnego czy heroicznego, nie znali go pejzażyści romantyczni, kochający się w dzikich urwiskach i wądołach, a odczuwali go tylko malarze niderlandzcy.

U Lorraina, tak samo jak u wszystkich pejzażystów tej szkoły, natura wygląda zanadto wymuskana, a jak mocno zmieniły się pod tym względem zapatrywania, dowodem najlepszym będzie to, że krytyka dzisiejsza nie uznała za najlepsze tych właśnie dzieł jego, które on sam i współcześni za najznakomitsze uważali, nie uznała za najlepszy ani pejzażu z królową Esterą, ani owego prospektu villi Madama, którego nie chciał Gelée sprzedać za tyle dukatów, ile się ich w ramach obrazu zmieści. Owszem za najpiękniejsze dzieła jego uznają obecnie znany z licznych reprodukcyj „Młyn" z galerji Doria w Rzymie, tudzież widok morski z królową Sabą, znajdujący się w galerji narodowej Londyńskiej. Oba te widoki odznaczają się prawdą i głębokiem poczuciem natury.

Przegląd literacki.

(Geschichte der polnischen Literatur von Heinrich Nitschmann. Leipzig, Friedrich (w dużej 8ce — VIII do 500 str.)
(Dokończenie).

Co się tyczy omówienia pojedynczych autorów, to istotnie przyznać należy, iż autor rozczytał się na dobre w dotychczasowych pracach na polu literatury polskiej. Co do dawniejszych epok, omawia pisarzy sprawiedliwie, stosownie do znaczenia jakiem ieli, to obszerniej, to mniej obszernie. Dopiero w naszem stuleciu metoda ta zmienia się. Natychmiast uderza n. p. bardzo szerokie omówienie Mickiewicza, w porównaniu ze szczupłemi ramami obrazów działalności Słowackiego i Krasińskiego.

Przyczyna tej dysproporcji jest następująca. P. Nitschmann dawno, nim myślał o pisaniu literatury polskiej, zaczął przekładać rozliczne wiersze poetów polskich. Umieszczał je w swoim „Polnischer Parnass," w każdem nowem wydaniu dodając wiersze, w międzyczasie przezeń tłumaczone. A ponieważ tłumaczył i z większych poetów i z najmniej znanych, tylko ze względu na sam wiersz, który czasem i nieszczególnemu skądinąd poecie udać się może, przeto już w swym „Poln. Parnass" nagromadził był wiele imion, niepotrzebnych dla obcego czytelnika, mogących u tegoż budzić mniemanie, iż są to s t e l l a e f i x a e.

Tymczasem coraz wzrastał zasób tłumaczeń p. Nitschmanna.. koniecznie trzeba było się oglądnąć za jakimś magazynem dla nich, a tym magazynem stała się historja literatury. Wszystko co p. Nitschmann jeszcze posiadał z tłumaczeń, tu umieścić zamierzał i umieścił. „Ein für allemal sei bemerkt, dass sämmtliche Literaturproben im vorliegenden Werke, vom Verfasser desselben übersetzt sind," czytamy na str. 5. Oprócz prób wyjętych z „Poln. Parnass", jest tu całe mnóstwo nowych tłumaczeń, a wszystkie pióra p. Nitschmanna. Jeżeli gdzie, to na polu usiłowań umysłowych, powinne być wykluczone: wszelki egoizm, wszelka małoduszność; powinniśmy dążyć do jednego celu, nawzajem sobie pomagać, jeden uczyć się od drugiego, jeden dopełniać drugiego. Przeciw tej zasadzie, że nie jednostki, tylko sprawa górować winna, zgrzeszył p. Nitschmano, t y l k o s w o j e p r z e k ł a d y u m i e s z c z a j ą c.. Nie bralibyśmy mu tego i wtedy za złe, gdyby z dzieł, które oprócz innych i on tłumaczył, swój przekład umieszczał; ale on z dzieł takich, których sam nie tłumaczył, choćby i największą miały wagę, żadnego, nawet najdrobniejszego wyjątku nie przytacza, — a za to dzieła bardzo małą wartość posiadające, omawia i przytacza, jeżeli sam je tłumaczył. W taki sposób szerokie miejsce zajmują pisarze drugo i trzeciorzędnej wartości, a pisarze lub utwory pierwszorzędne, jeżeli dotąd nie doznały szczęścia dostania się pod pióro p. Nitschmanna, po macoszemu traktowane. N. p. Zmorski zajmuje 7 stron, Gustaw Zieliński 8 wierszy, a Hołowiński wzmianką o trzech liniach zadowolić się musi. A nawet w ustępie zresztą obszernym o Mickiewiczu „Konrad Wallenrod" słabo występuje, bo z niego nic Nitschmann nie tłumaczył, a również zaniedbane i „Dziady".

Takich możnaby przytoczyć całe mnóstwo przykładów. Ale nawet i wówczas, gdy żadnego tłumaczonego przykładu niema, p. N bardzo niesprawiedliwie postępuje, pisarzy, którzy na wzmiankę a często obszerniejszą, niż omawiani, zasługują, wcale ignorując. Tak n. p. Pług zajmuje więcej niż pół strony, Rogosz, Lam, Chłędowski i inni wymienieni.. a Jeża Miłkowskiego nawet nazwiska nie ma. Z historyków żyjących są Bobrzyński, Smolka, Wojciechowski, Liske, o którym cała strona, z wymienieniem pism w 5 językach wydanych (!), traktuje, a Kubala, Tatomir i t. d. nie wymienieni Pomiędzy dramatykami są ślusarczyk Staszczyk, autor „Nocy Świętojańskiej", Galasiewicz („Czartowska ława"), i drukarz Łętowski („Uroki"), a nie ma n. p. Bronisława Komorowskiego i t. p.

Dosyć, iż skutkiem tej nierówności w traktowaniu, czytelnik obcy zupełnie fałszywe wyobrażenie o znaczeniu wielu autorów wyrobić sobie musi. W ogóle co do nowszych i najnowszych czasów powinien był autor ograniczyć się na małej ilości pisarzy, na pisarzach wybitne i ustalone zajmujących stanowisko — ale też tych omawiać wszechstronnie i sprawiedliwie. A istotnie tak się dzieje, że p. Nitschmann przy Słowackim wymienia „Die polnischen Erzählungen: Lambro, Wacław, Bieniowski," sprzęgając razem tak różnorodne utwory, nic więcej o nich nie, mówiąc a przy Syrokomli o „Janie Dęborogu" nawet nie wspomina i t. d.

Co do tłumaczeń, których obfity zbiór jak już wspomniałem tu umieszczony, zawsze się one łatwo czytają, a wiele jest wierszy tłumaczonych znakomicie. Ale często wybierając metrum nieodpowiednie, mianowicie za krótkie wiersz w stosunku do oryginału, p. Nitschmann jest zmuszony wiele piękności oryginału uronić, a zawsze prawie brakuje mu dobitnych wyrażeń siły. Charakter oryginału często się zaciera. Dlatego tłumaczenia p. N. obcemu czytelnikowi nie znającemu oryginału, się podobają, a dopiero gdy weźmiemy do rąk oryginał, wydają się o zbyt słabych nerwach. Ale gdzie nie chodzi o oddanie jakichś silniejszych, charakterystyczniejszych akcentów, tłumaczenia są bardzo dobre, powtarzany — nieraz znakomite.

W dziele swem omawia p. Nitschman muzykę polską, z wielkiem jak wszędzie zamiłowaniem i szacunkiem dla naszego narodu. Bardzo dobrze uczynił, bo wolno było w dziele dla obcej szerszej publiczności przeznaczonem, już i te objawy oświaty, bardziej niż poezja do kosmopolityzmu się nakłani

jące, uwzględnić. Na końcu autor gorąco przemawia za językiem wykładowym polskim, podnosi zalety i jedynie zbawienne zastosowanie tego systemu, i omawia uniwersytety krakowski i lwowski, wymieniając z pochwałą wielu z docentów czasem słusznie czasem niesłusznie, a znów niejednego zasłużonego pomijając.

Przytem wydarzył się autorowi zabawny przypadek, iż w alfabetycznym spisie imion na końcu dzieła oprócz innych jak Baroniusa, Dubrowskiego jako nie - Polacy tu nie należących, umieścił także Buhla i Sauera, o których w dziele wspomina, iż wykładają u nas po niemiecku. Takim sposobem dostali się ci dwaj giermanowie do literatury polskiej, o czem z pewnością nigdy nie marzyli.

Kończący dzieło ustęp o czasopismach polskich, przedmiotowo i spokojnie, a w ogóle zgodnie z prawdą napisany.

Summa: dzieło p. Nitschmanna jest pierwsze o szerszych rozmiarach dla publiczności niemieckiej napisane, napisane z najlepszą, najżyczliwszą wolą, z uszanowaniem dla historji i praw narodu polskiego; dzieło o lekkim stylu, o przystępnym wykładzie. Wadami jego: wymienienie nader wielkiej ilości nazwisk, sztuczne tworzenie wielkości, nierówne uwzględnianie autorów i pojedynczych dzieł, w stylu nieraz niedbalstwo i rozrzucenie szczegółów, które powinne być bardziej skupione. W ogóle dzieło wychodząc w zbiorze, dla którego wydawca o puzany się postara, dzieło o 30 arkuszach, nie dające się tak łatwo przeoczyć, przyczyni się do tego, iż wielu Niemców ocknie się z błędnych co do języka i literatury naszej zapatrywań, na jakie niestety jeszcze ciągle napotykamy.

Dr. Albert Zipper.

(„Wszyscy za jednego“ — fraszka — nap. Włodzimierz Wysocki. Kijów. Nakład księgarni Bolesława Koreywy. 1882. r- str. 56 in 8vo.

Tak miejsce wydania jak i tytuł, jeden z tych szumnych frazesów, którymi posługiwać się tak często lubimy — nie mało rozciekawiają czytelnika. Dozna on rozczarowania, gdy się spodziewa wiązanki patrjotycznej frazeologii — nie dozna, gdy pragnie poznać prawdziwy obraz życia polskich obywateli na kresach dawnej Rzeczy posp. Panowie szlachta tęsknią za przeszłością, bo

Dawniej, gdziebyś nie przybył, o jakiejbądź porze,
Niezawodnie znalazłeś zabawę na dworze;
Tam spotkał człek jednego, drugiego sąsiada,
Więc się nowin nasłucha i sam się nagada;
Bywałeś się i najadł, napił i wyhasał,
Żyło się — jednem słowem — jak pan Bóg [przykazał!
A dzisiaj...

Dzisiaj, pan brat Wincenty Wątroba, dziedzic wsi Obij-boki, gubernii wołyńskiej, siedzi w kieszeni niemca Zeifera, który mu wywłaszczeniem rodzinnej ziemi grozi. Pan Wątroba widzi ruinę, chce pracą odwrócić nieochybne złe — cóż kiedy się kończy na dobrych chęciach:

O „dobre chęci“ nasze — o najlepsze cele,
Któż was — jak my polacy — posiada tak wiele!
O! szczytne chęci polskie, czynami jałowe!
Dziatki nasze rodzone — chwasty narodowe!.
Jak bójnie w sercach naszych i głowach rośniecie [cie
I jak nam z wami dobrze na tym bożym świecie!.
Gdyby was dobre chęci nie było broń Boże!
Któżby kark nasz opasły ozdobił...w obrożę?..

Pozostaje więc jedynie p. Wątrobie odezwać się do patrjotyzmu sąsiadów — obywateli. Wysełał Elka karczmarza do miasteczka — zaciąga nowy dług, by uraczyć sąsiadów kiepskiem winem z omszałych flaszek, i pełen różowych nadziei — podejmuje licznych gości. Charakterystyka szlachty udatna. Dobrze schwycony ex-marszałek co nie upadł na duchu:

Dziś także dzielnie pije i za czterech jada,
Ztąd toż respekt ogólny w powiecie posiada!

Obok niego inni, jak p. Prokop Zawada, którego zdaniem:

Osuszyć takie bagna i w tak krótkim czasie,
To chyba niemiec może, który z djabłem zna się.

Patrjotyczne wygadywanie na niemców — daje możność autorowi, włożenia w usta młodego Władysława Opolskiego tych słów, pełnych gorzkiej ale rzetelnej prawdy:

Sami winni jesteśmy — nic nam nie pomogą
Żadne żale i skargi ..niemcy nas przemogą,
Wywłaszczą nas, przygnębią, wsiądą nam na [karku,
Jeżli się nie obudzim z gnuśności letargu;
Jeżli nasze potrzeby, obowiązki, cele
Będziem sobie zasypiać, jak gruszki w popiele.
Cóż dziwnego, że niemiec ręką swoją sięga
Po to, co z wieków nasze!.. Polak — niedołęga
Czy umie tak jak niemiec, roztropnie a skrzętnie
Prowadzić swoje sprawy, żyć skromnie oszczę- [dnie
Czy idzie za postępem? za nauką śledzi? [dzi?
Czy długo myśl poważna w polskiej głowie sie-
Umysł nasz ociężały, gnuśny i leniwy
Zdolny tylko na krótkie, chwilowe porywy,
Któremi choć myśl błyśnie i ducha rozpali,
Lecz gaśnie nim się wcieli i w czynie zkrysztali..
I tylko po tych błyskach zostaje w polaku [li..
Buta — jak czad duszący po spalonym kłaku!.
Czem świecimy przed światem? — Czy nasz [umysł płaski
Zdobył się na odkrycia jakie? wynalazki?
Czy położył zasługi w dziedzinie nauki?
Ach! prawda! trochę zasług ma na polu sztuki
Słyniemy także z tańców... nasze tańce górą!
I kuchnia słynna nasza — nasz polski barszcz [z rurą!
Oto wszystko!... Któż winien, że nad nami wisi
Groźna chmura zagłady ostatecznej.. Dixi...

Naturalnie słowa prawdy wywołały patrjotyczne oburzenie, któremu wyraz dał w mowie swej pan Ryczywół. Świetnej tej próbki naszej czysto-narodowej frazeologii, z braku miejsca z żalem powtórzyć nie możemy. Czytelniku! kup książkę — dość tania, porównaj ten ustęp z liryczno-patrjotycznymi artykułami niektórych naszych dzienników, z mowami „naszych znakomitych“, ich utworami — a przekonasz się, że niejeden ale tysiące za Ryczywołem powtarzają:

Kto swoich zbytnio gani, a obcych wychwala
Podobnym jest do ptaka — co swe gniazdo kala!

Że

Z każdą chwilą — mospanie - gorzej nam, gorzej,
Lecz to nie z naszej winy ale woli bożej...

Urażona szlachta w swym patrjotyzmie, by zadać kłam słowom Opolskiego — postanawia nie dać się wywłaszczyć niemcom i wspólnie się ratować:

Tak wszyscy za jednego i za wszystkich jeden!
Rzekł Ryczywół — niech wiedzą! niech wie Berlin, [Wiedeń,
Że nie łatwo nas połknąć — pierwej się zakrztuszą,
Lecz panowie, od dzisiaj bądźmy jedną duszą...
Sprawa święta, społeczna dłonie nasze splata!
A kto nie z nami — będzie jako apostata,
Jako zdrajca nikczemny!

Prawda że ładnie, cóż czy nie po polsku, i nie po polsku się kończy? Gdy nazajutrz patrjotyczna gorączka zasilona winem ustąpiła — gdy niemiec przybyłym do niego w celu rokowań zaproponował korzystne wyprzedanie się i uraczył dobrem śniadaniem — zapomnieli o wczorajszych przyrzeczeniach — wyprzedali się wszyscy zamiast jednego! Wahanie się szlachty — jej wewnętrzna walka — jej w końcu złożenie broni i odwoływanie się na opatrzność — doskonale i wiernie skreślone. Kto uratował Ubij-boki? ptak co własne gniazdo kalał, Opolski.

Wiersz czasami niezbyt gładki odznacza się niewyczerpanym humorem i werwą — i co najwięcej godne pochwały — to prawda w przedstawieniu osób i działania. Kto zaś popatrzy na etnograficzną mapę Rosji, skreśloną ręką Petermanna, i spostrzeże, że Wołyń dziś już prawie niemieckim, ten musi przyznać autorowi zasługę za wychłostanie naszych „poczciwców“. „Wszyscy za jednego“ powinno być darmo ofiarowane każdemu z obywateli, którego wieś przeszła w niemieckie ręce — na pamiątkę, by kiedyś wnuki z wdzięcznością dla autora, odczytać mogły biografie swych dziadów..

K. Ż.

ZIARNKA.

Sprawa teatru lwowskiego nie przebyła jeszcze wprawdzie perjodu nieznośnej tymczasowości — padł jednak na nią jasny promyk nadziei, i wszystko każe się spodziewać,

że lepsza dola dla naszej sceny zaświta. P. Jan Dobrzański, któremu tak wielką a niesłuszną wyrządzono krzywdę, przenosząc nadeń obecnego dyrektora, podał się o dyrekcję teatru, zniewolony do tego przez deputację poważnych obywateli, którzy go wezwali do starania się o teatr w imię dobra ogółu. P. Dobrzański postawił jako warunek przyrzeczenie, że Wydział krajowy przedłoży Sejmowi projekt budowy teatru letniego we Lwowie, a marszałek dr. Zyblikiewicz dał pod tym względem deputacji, która się do niego udała, zadowalającą odpowiedź. Mamy niepłonną nadzieję, że komisja, która ma w swych rękach rozdawnictwo dyrekcji teatru, jednogłośnie odda ją p. Dobrzańskiemu, a przejdzie do porządku dziennego nad osobą obecnego dyrektora, który złożył tyle dowodów swej nieudolności, że wprost stał się niemożliwym!... Choćby nas miano posądzić o samochwalstwo, nie możemy przemilczeć, że „Ziarno“ było jedynem pismem w Galicji, które śmiało i otwarcie wystąpiło przeciw obecnej dyrekcji, a w obronie chylącej się do zupełnego upadku instytucji. Poczytujemy to sobie za zasługę..

* * *

„Gazeta Narodowa“, zdając sprawę z odbytego dnia 28. z. m. wieczorka na cześć Mickiewicza, wyraziła słuszne zdanie, że obchody te urządzane przez młodzież akademicką, ważne są z tego względu, ponieważ nastręczają raz do roku sposobność tejże młodzieży, wystąpić przed szerszą publicznością, zamanifestować swe dążności i dać próbkę swych sił moralnych. Wychodząc z tego punktu widzenia, musimy wypowiedzieć kilka uwag, które nam tegoroczny obchód Mickiewiczowski nastręczył. Otóż wrażenie, jakie odnieśliśmy — było takie same, jakbyśmy wracali z udałego, ale pospolitego koncertu.. Część muzykalno-deklamacyjna, i to wykonana przeważnie nie przez akademików, odznaczająca się przytem nie zbyt stosownym do uroczystości programem — stanowiła główną treść wieczorka — a przemówienie i odczyt wyglądały tylko na jakiś konwencjonalny dodatek.. Mniejsza jednak o program, mniejsza o śpiew, fortepian i skrzypce — nie idzie nam o to, co i jak młodzież akademicka śpiewa lub gra, ale o to co myśli, co czuje, do czego dąży.. Cóżeśmy się pod tym względem dowiedzieli od prezesa „Czytelni akademickiej“ p. Sawczyńskiego, który wygłosił wstępne przemówienie? Nic — zupełnie nic.. Mowa była gładka, wygłoszona płynnie, ale oprócz utartych, po części zwietrzałych frazesów, i to wygłoszonych na zimno, nic w niej nie było.. Nie żądamy, aby takie przemówienie zawierało program przyszłej działalności młodzieży, każdy jednak radby się był dowiedzieć, czy młodzież akademicka oprócz chłodnego uszanowania dla przeszłości i starania się o zrobienie w przyszłości karjery, ma co innego jeszcze na myśli, czy pojmuje i odczuwa wielkie prądy wtrząsające społeczeństwami, czy pragnie dążyć naprzód pod hasłami postępu i sprawiedliwości, czy posiada silne a jasno określone przekonania i zapał do wprowadzenia ich w życie.. Kilka słów wypowiedzianych z głębi serca więcej znaczy, niż cała rzeka choćby najzgrabniejszych, najjedwabniejszych, urękawicznionych frazesów. Odczyt p. Mazanowskiego był także bladym pod tym względem, chociaż nastręczał spsobność do zamanifestowania zapatrywań i przekonań młodzieży.. Więcej ognia, panowie akademicy, krwi młodzieńczej więcej, a mniej pozowania na powagi.. Tylko do takiej młodzieży nasza przyszłość należy — dla tej, która tego zapału nie posiada, która się nie da porwać, która więcej rachuje, niż czuje — dla tej wygodne łóżko i szlafmyca!

* * *

Bardzo szczęśliwą myśl powziął „Lwowski chór męski“, zamierzając wydać śpiewniki, zawierające pieśni polskie i ruskie na wzór niemieckich wydawnictw „Regensburgskich“. Dotychczas towarzystwa nasze śpiewackie zmuszone były posługiwać się śpiewnikami niemieckimi, zawierającymi mnóstwo utworów ulubionych przez Niemców, ale wcale niesympatycznych dla nas. Zamiarem wydawnictwa „Lwowskiego chóru męskiego“ jest wyrugować te śpiewniki z polskich towarzystw śpiewackich. Zarząd chóru zapowiada, że wydawnictwo będzie tanie, ponieważ zebranie materjałów i korekta dokonane zostaną bezinteresownie. A więc jest nadzieja, że niedługo będziemy posiadać zbiorek kwartetów takich kompozytorów, jak Moniuszko, Żeleński, Rudkowski, Wierzbicki, Ławrowski i inni, których utwory mogą śmiało rywalizować z zagranicą. Przedsięwzięciu „Chóru męskiego“ życzymy szczere powodzenia.

* * *

Jeżeli na brak czego często u nas uskarżać się przychodzi, to pewno nie na brak pomysłowości, płodnej w rozliczne projekta. Inna rzecz, że największa ich część mimo to, a może właśnie skutkiem tego, rodzi się i ginie projektem... A wielka szkoda, że czasem społeczeństwo (mówiąc nawiasem, przyzwyczajone słuchać co dzień innej a nowej piosnki, i zaraz o niej zapominać!) nie podniesie myśli, rzuconej w najlepszej chęci w łamach tego lub owego czasopisma, i nie zamieni go w czyn! — Tę uwagę nasunął nam wyczytany w jednym z tygodników warszawskich projekt nowy, mający na celu powiększenie funduszów na pomnik Mickiewicza. Nawiązując do propozycji p. Banzemera, o której wspominaliśmy poprzednio, aby mianowicie każda rodzina przy opłatku tegorocznym złożyła wedle możności jakiś datek na rzecz pomnika, wnioskodawca apeluje do serduszka pięknych pań w ten sposób: Minionego roku, podczas zapust, warszawskie panie zobowiązały się były solidarnie, ze względów oszczędności, nie używać na bale, pikniki itp. zabawy, innych toalet, jak tylko perkalikowych. Mimo skromnych kostiumów, bawiono się wyśmienicie — a sens moralny z tego, że bez kosztownych materyj i koronek śmiało obejść się można przy tańcu. Stara prawda! Otóż proponują Warszawiankom, aby i w przyszły karnawał dały się namówić na tanie sukienki, a osiągnięte ztąd oszczędności przeznaczyły na fundusz pomnika.

Czy te słowa perswazji i zachęty utorują sobie drogę do przekonania pięknych pań syreniej stolicy — przyszłość okaże... My nie bardzo wierzymy w obfity sukces. Jakże jednak przyjemnego rozczarowania doznalibyśmy, gdyby tak u nas we Lwowie jak i na prowincji, panie nasze urządziwszy strejk, postanowiły nie pojawiać się na publicznych i prywatnych zebraniach zapustnych w kosztownych zwykle strojach — a natomiast każda z nich przy końcu zapust przynajmniej kilka guldenów przesłała komitetowi pomnikowemu w Krakowie! Dwojaki cel byłby osiągnięty — i kieszenie ojców i mężów coś by na takim strejk'u zyskały, i fundusz pomnikowy powiększyłby się przynajmniej o paręset guldenów. Zastanówcie się nad tem chwileczkę — piękne panie...

ZAPISKI.

Literatura.

* W Poznaniu, nakładem J. Z. Żupańskiego wyszły świeżo ciekawe „Pamiętniki Kilińskiego“, rzecz napisana z talentem i prostotą iście homeryczną. Ten sam niezmordowany wydawca Wielkopolski zapowiada na rok jeszcze bieżący ukazanie się pism Gen. Morawskiego w 4 tomach i Pamiętniki Barzykowskiego, także w 4 tomach.

* W Warszawie opuścił prasę przekład Molierowskiego Mizantropa — dokonany przez p. W. Szymanowskiego, — jak zapewniają warszawskie recenzje — nader wiernie i wzorowo. Podobno w tym przekładzie ukaże się niebawem Mizantrop na scenie warszawskiej.

* P. Aleks Marczewska, znana autorka kilku cennych prac na polu piśmiennictwa ludowego, wydała ostatniemi czasy w Warszawie powieść dla wieśniaków i rzemieślników p. t. „Królewski dziadek“, powieść z czasów „króla chłopków“. Fabuła opowieści opiera się na podaniu, jak pewnego razu Kazimierz W. przebrany za dziada lirnika trzymał do chrztu dziecko

ubogiego wieśniaka. W dalszym ciągu autorka przedstawiła po krótce dzieje dynastji Piasta, a zakończyła pobieżnym opisem panowania Łokietka. Poprawny język, styl popularny i poczciwa tendencja — oto zalety ostatniej pracy p. Marczewskiej.

* W wydawanym rok rocznie przez „Stow urzędników austryjackich“ albumie literackim, którego wyszedł już tom 12 za r. 1883 pt. „Die Dioskuren“ znajduje się obok dwóch świetnych wierszy Hamerlinga, i wielu innych cennych rzeczy, także przekład jednoaktowego dramatu Korzeniowskiego „Gentile Bellini“, dokonany przez dr. Alberta Weissa.

* W niemieckiej popularnej przeróbce dr. Wollheima wyszło w Berlinie zajmujące dzieło Nordenskjölda „Die Fahrt der „Vega“ in Asien und Europa“. W nader zaciekawiający sposób opowiada ono o podróży „Vegi“, o krajach i miastach przez wyprawę zwidzanych, tudzież o trudnościach, jakie okręt na tej drodze spotykały.

Teatr i muzyka.

* Z benefisu p. Woleńskiego, z którego swój dochód przeznaczył beneficjant na pomnik dla śp. Stanisława Dobrzańskiego, wpłynęło 270 zł., co z ofiarowanemi poprzednio na ten cel przez „Stowarzyszenie wzajemnej pomocy artystów“ 100 zł., czyni kwotę 370 zł. Komitet pomnikowy wydał odezwę wzywającą do składek. Sprawę pomnika polecamy gorąco czytelnikom.

* Na benefis Żółkowskiego, który się odbędzie w dzień jubileuszu jego 50 letniej działalności, rozkupiono już biletów za 5000 rubli. Jak długo istnieją teatra w Polsce, żaden jeszcze benefis nie przyniósł takiego dochodu, ale bo też nie było dotychczas takiego Żółkowskiego.

* Kontrakt zobowiązujący Adelinę Patti na 4 miesiące do podróży artystycznej po Brazylii w r. 1883, zapewnia jej za to 200.000 dolarów wynagrodzenia. Jest to najwyższe wynagrodzenie dla artystki, o jakiem słyszano dotychczas.

* W Paryżu wznowiono z ogromnem powodzeniem, które stało się rodzajem tryumfu dla sędziwego poety, genialne dzieło Wiktora Hugo „Le roi s'amuse“ („Król się bawi“; tragedję tę tłumaczył na polskie Wł. Sabowski). Tribouleta grał Got, Franciszka I. Monnet Sully, Blankę panna Bartet, a cygankę pani Samary.

MISCELANEA.

— Czy dałby kto wiarę z niewtajemniczonych, że najsilniejszemi zwierzętami są — owady? A jednak uczony przyrodnik zdoła przytoczyć na to tyle wymownych przykładów, że w końcu przekonać musi każdego powątpiewającego niedowiarka. Posłuchajmy. Oto n. p. o maleńkim wrogu ludzkości — pchle — skonstatowano, że zdoła ona uciągnąć ciężar ośmdziesiąt razy większy, niżeli sama go posiada. W ten sposób jej siła muskularna, jest 27 razy większą, niżeli u konia, a że ten ostatni rozporządza siłą 7 razy większą, jak człowiek, więc ostatecznie pchła — oczywiście reflektując na jej ciężkość i organizm — jest 900 razy silniejszą od — człowieka. Do tego ten siłacz potrafi skoczyć na równą wysokość jak szarańcza, o tej zaś wiadomo, że z pomocą skrzydeł skacze na wysokość 200 razy tak wielką, jak jej długość. W tym stosunku człowiek powinienby przy odpowiedniem zużyciu siły, skoczyć z łatwością prawie 1000 stóp wysoko, a koń w stosunku do swego ciężaru, mógłby chyba przesadzić skokiem najwyższy szczyt Alp! W ogóle mizerna pchła przebywa jednym skokiem dwustukrotną długość swoją, a ponieważ człowiek, przy wielkiem wytężeniu skoczy zaledwie podwójną długość swojego korpusu, więc siła skoku u pchły jest 100 razy większą, jak u człowieka. Równie niepoślednią siłę rozwija robak spotykany zwykle na owocach (cimex baccarum), który swoim maleńkim cieniutkim ryjkiem przebija ciało czterykroć cięższej od niego gąsieniczki, i mimo jej kurczowych drgań i zwrotów, unosi swobodnie zdobycz w powietrzu.

O chrząszczu, zwanym powszechnie „krówką“ albo „grabarzem“, opisał przyrodnik minionego wieku J. G. Gleditsch, w roczniku berlińskiej akademji z r. 1752. następujące spostrzeżenia: „Zauważyłem niejednokrotnie, że ciała nieżywych kretów i innych drobnych zwierzątek, znikały — szczególnie na rozruszanej ziemi — w dziwnie krótkim czasie. Chcąc dojść przyczyny tego, położyłem martwego kreta na grządkę w moim ogrodzie. Trzeciego dnia, już go tam niebyło. Zacząłem w tem miejscu kopać, i oto w głębokości trzech cali znalazłem zgubę, pod nią cztery chrząszcze. Dopiero teraz wytłumaczyłem sobie zagadkę. Te chrząszcze były grabarzami kreta — który znowu miał służyć za pożywienie ich potomstwu“. Uczony powtórzył następnie kilkakrotnie ten eksperyment, i raz nawet świadkiem był naocznym, jak jeden taki grabarz zakopywał kreta 40 razy odeń większego i cięższego. Innym razem położył martwego ptaszka w naczynie, do połowy pulchną ziemią napełnione, i wpuścił tam dwa chrząszcze. Niezwłocznie zabrały się do roboty, aby pod trupem wybrać zagłębienie. Szczególnie pracował samiec. Kopał pięć godzin bez wytchnienia — poczem wypoczywał godzinę — po spoczynku kopał dalej. Nazajutrz rano tułów ptaszka pogrążył sie o $1^1/_2$ cala w ziemię, ku wieczorowi — o $^1/_2$ cala głębiej, a na trzeci dzień już był ziemią zupełnie nakryty. Clairville spostrzegł pewnego dnia na ścieżce w ogrodzie martwą mysz, która mimo to ruszała się od czasu do czasu. Obróciwszy ją laską, ujrzał na drugiej stronie grabarza, który trupem poruszał; że jednek grunt był twardo ubity i szutrowany, więc niezmordowany robotnik wytężał wszystkie siły napróżno. Po niejakim czasie, porzucił mysz, i polazł ku pobliskiemu trawnikowi, pozornie zrozpaczony i zamyślony, co począć dalej. Na trawniku znalazł ziemię pulchną, i w lot zaczął w niej kopać. Że mu ta robota poszła prędko, wnet wrócił do myszy. Zaczął ją ciągnąć, potrącać, poruszać, usiłując przysunąć widocznie do przygotowanego grobu. Atoli to olbrzymie przedsięwzięcie nie szło mu, więc w końcu roztoczył skrzydełka, i uleciał gdzieś w przestrzeń. Clairville, obserwujący to widowisko, przypuszczał, że wprawdopodobnie zniechęcony trudem, porzucił robotę przekraczającą jego siły. Jakże się zdziwił jednak, gdy po krótkiej chwili ujrzał wracającego go w towarzystwie trzech czy czterech kumów. Jak gdyby na dany znak, wszyscy natychmiast weźli pod mysz, i niby na żywych kółkach, zaczął się trup zwolna toczyć ku wygrzebanemu pierwej dołkowi na trawniku.— Chcąc sobie dokładnie przedstawić moc tego zwierzątka i siłę zużywaną przezeń przy podobnej robocie; wystarczy pamiętać, że ten mały hultaj może ciągnąć za sobą ciężar cztery razy większy, jak jego własny. W tym stosnku, człowiek ważący 70 do 75 kilogramów, powinienby podnieść ciężar 280 do 350 kilogramów, co jak wiemy, jest wręcz niepodobnem. Gdyby słoń posiadał odpowiednio do swojego ciężaru stosunkowo tyle siły, co taki chrząszcz grabarz, to zdołałby z łatwością unosić ogromne kamienice na swoim grzbiecie, mając zaś trąbę tak silną jak ryjek u pierwszego lepszego chrząszczyka, byłby w stanie łamać nią najgrubsze dęby i najwytrwalsze mury forteczne. Jeden z dawniejszych badaczy przyrody twierdzi również, że gdyby słoń stosunkowo wyposażony był taką siłą — jak znany jelonek, mógłby lekko poruszać góry z miejsca; porównując pracę mrówki z jej obojętnością, doszedł do przekonania, że żadne zwierzę nie rozporządza tak wielką stosunkowo siłą, jak ta pracowita mieszkanka lasów.

Francuskiemu badaczowi p. Plateau, udało się zkonstruować nader zmyślny przyrząd z wóreczkiem miniaturowym, z pomocą którego oznaczać mógł zdumiewającą siłę, rozwijaną przez owady. Niezliczone z niemi próby doprowadziły do pewnika, że najmniejsze owady są stosunkowo najsilniejsze. Próbował n. p. z chrząszczem majowym. Sposób ten nadzwyczaj prosty. Jednym końcem nitki uwiązuje się nóżkę chrząszcza, na drugim wisi maleńka ważka, obciążona stosownie do potrzeby mikroskopijnemi ciężarkami. Takim eksperymentem Plateau skonstatował, że chrząszcz majowy w proporcji, dwa razy tyle uciągnie, co koń, pszczoła zaś trzydzieści razy tyle więcej. Koń — jak wiadomo — uciągnie tylko $^6/_7$ części swojego ciężaru, podczas gdy chrząszcz majowy 14 razy ciężar własny, a poczciwa pszczoła 20 razy.

Skąd jednak biorą owady tę niezwykłą siłę? Wiemy przecie że siła n p. konia, wołu i t. p. stoi w ścisłym związku z jego pożywieniem Co dotyczy zaś owadów — to pomijając ową epokę ich życia, gdy są gąsienicami (kiedy właśnie bardzo często występują w roli groźnych niszczycieli) zresztą prawie wszystkie z wyjątkiem wędrownej szarańczy — potrzebują bardzo mało pożywienia, a nawet niektóre z nich zdają się obchodzić bez niego zupełnie! Ponieważ jednak siła i u nich bezwarunkowo wytwarza się z pożywienia, więc zdumiewające zaiste to zjawisko, że z tak małych danych tak olbrzymie rezultaty osiąga ten światek skrzydlaty!

Treść.

Nowe prawo kobiety.
Tokarzewicz-Hodi: Przy drodze (dok).
Hugo W.: Głos konserwatysty o rewolucjoniście.
Realizm w powieści (Szkic literacki).
Młoda matka.
Claude Lorrain.
Przegląd literacki.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 11. We Lwowie dnia 9. Grudnia 1882. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

OBCHÓD ODSIECZY WIEDEŃSKIEJ.

Wyjątkowe położenie, w jakiem się znajdujemy, wyrodziło w nas pewną wadę, której na imię: zapalność. Zapalamy się prędko, a częstokroć bez należycie ugruntowanego powodu, szczególnie do wszystkiego, co dotyczy naszej przeszłości. Jeżeli pod jakim. to pod tym względem brak zimnej a bezstronnej krytyki, daje się u nas najbardziej odczuwać. Tłumaczymy to, trudno jednak pochwalić — trudno zgodzić się na nieuzasadnione wybuchy i porywy, którym brak podstaw, trudno przyklasnąć entuzjazmowaniu się do faktów mających ściśle historyczną wartość, ale pozbawionych głębszej idei, pozbawionych nici, wiążących je z teraźniejszością, słowem pozbawionych tego, co przeszłość z teraźniejszością zespala, co nadaje oderwanemu faktowi wartość, niespożytą zębem czasu. Wiemy dobrze na co się narażamy, wiemy, że pobudzimy przeciwko sobie wszystkich, u których uczucie rozum zastępuje, wiemy, że gotowi nam imputować intencje najgorsze... — a jednak nie możemy przenieść na sobie, aby nie przedstawić w świetle właściwem odsieczy Wiednia, dokonanej przez króla Jana III Sobieskiego — faktu dziejowego, który cały kraj ma uroczyście obchodzić. Zasadą naszą jest mówić prawdę, i od tej zasady nie odstąpimy, choćbyśmy byli zupełnie odosobnieni...

Czegoż się wymaga od faktu dziejowego, któremu ma potomność składać hołd wieczysty, który ma uważać niejako na sztandar pod którym gromadzić się należy, za punkt wyjścia działania w teraźniejszości? Bezwarunkowo wymaga się, aby w tym fakcie wcieloną była jakaś wielka niespożyta idea, aby ona była przewodniczką działania społeczeństwa na przyszłość, aby przynajmniej fakt ów był aczkolwiek nieudałym, ale wielkim krokiem na drodze ogólnego rozwoju narodu.

Kim był Sobieski? Czem była odsiecz Wiednia?

Pomimo ogólnych pień pochwalnych, przeciw którym nawet skeptyczni uczeni krakowscy głosu nie podnoszą, bo są one im na rękę, Sobieski w świetle historji przedstawia się, jako pierwszorzędny talent wojskowy XVII wieku, jako wódz na owe czasy znakomity, jako dzielny rycerz romantycznego zakroju, ale też i na tem—koniec. Szlachcic polski, starej daty, dostawszy się na tron, zachował wszystkie zalety swej kasty, ale też i wszystkie wady. Obdarzony wielkim militarnym talentem, więcej powiemy geniuszem — odważny jak lew, a zarazem przezorny jak wódz w bojach osiwiały, Sobieski bił się dzielnie, na czele skrzydlatych husarzy dokazywał cudów waleczności, mało jednak zdawał sobie sprawę z tego, do czego jego zapał wojenny doprowadzi... Słowem tęgim był wojakiem, ale ani krzty politykiem. W obec takiego Batorego, który chciał uratować Rzecz pospolitą od anarchji możnowładców, w obec Władysława IV mającego zamiar przeprowadzić ugodę z Kozakami, a w ten sposób zagoić wieczną ranę na ciele ojczyzny, w obec takiego Stanisława Leszczyńskiego, przepełnionego najlepszemi reformatorskiemi zamiarami, jakże maleje owa wielka postać Sobieskiego z mieczem skrwawionym po rękojeść, depcącego po karkach zgromionych Bisurmanów? Dzielność osobista, animusz rycerski, — to cnoty przedstawiające się nader ponętnie w poetycznej perspektywie, ale to nie zasługi, przed któremi potomność bezmyślnie z pochylonem czołem korzyć się powinna...

Przypatrzmy się teraz, jak właściwie przedstawia się odsiecz Wiednia? Nie chcemy mówić w tem miejscu o fakcie samym, nie chcemy się sprzeczać, czy Sobieski czy Lotaryńczyk przyczynił się najwięcej do uwolnienia Wiednia, fakt ten bowiem według nas jest dostatecznie rozświetlony, a tylko szowinistyczne zaślepienie Niemców może po-

dawać w wątpliwość zasługi Sobieskiego pod tym względem — idzie nam o pobudki czynu i o jego rezultaty. Otóż historja poucza nas, że Sobieskiego do wyprawy pod Wiedeń skłonił przedewszystkiem ów animusz rycerski, w połączeniu z pewnymi ubocznymi względami, które przypomnieć należy. Wszystkim wiadomo, jaki wpływ na rycerskiego króla wywierała królowa Marysieńka. Sobieski, kiedy wstępował na tron, był zdecydowanym zwolennikiem polityki francuskiej, a przeciwnikiem Austrji, a był nim dopóty, dopóki Marysieńka nie przechyliła szali na stronę przeciwną. A jakiż był tego powód? Oto Marysieńka, czyli Marja, Kazimiera, Ludwika, margrabianka Langrange d' Arquien obraziła się na Francuzów z przyczyny, że Ludwik XIV. ojcu jej nie chciał oddawać honorów książęcych. Gniew namiętnej kobiety wpłynął na losy Polski, a względnie Europy... Jak zaczęła nastawać na Sobieskiego, aby porzucił politykę francuską, tak i dokazała swego. Cherchez la femme — daje się w zupełności zastosować do tego wielkiego faktu dziejowego. Przekabacony przez żonę Sobieski, kiedy przyszła chwila, na przekor interesom Francji poszedł pod Wiedeń, i stał się obrońcą Chrześcijańtswa.. Czy zwycięstwo odniesione pod Wiedniem, pod względem politycznym miało dla Polski błogie rezultaty? Trzebaby o tem pisać długo i szeroko... a my tyle tylko dadamy, że było to ostatnie wielkie zwycięstwo polskiego oręża, po którem nastąpiła apatja, ohydna epoka Sasów, a wreszcie upadek Rzeczypospolitej...

Z tego, cośmy powiedzieli, widać, że zapał do obchodzenia uroczystego rocznicy odsieczy Wiednia, jako faktu pierwszorzędnej w naszych dziejach doniosłości, może być bardzo szlachetnym i poszanowania godnym, nie posiada jednak należytych podstaw. Jest on wypływem reakcji, wywołanej przez Niemców, chcących sobie samym przywłaszczyć zasługę uwolnienia Austrji od bisurmańskiego napadu, i tem się też tłumaczy. Czyż jednak szowinizm Niemców, ma koniecznie wywoływać szowinizm polski? Nie.. To też znaczna część naszej inteligencji, jakkolwiek uznaje ważność omawianego przez nas faktu dziejowego, wcale się nim nie entuzjazmuje w ten sposób, jakby to nasi menerzy w ogół wmówić usiłowali, a my pisząc te słowa, jesteśmy wyrazem tych zapatrywań. Niech Wiedeń, jako jedynie interesowany obchodzi rocznicę swego oswobodzenia, Polacy mogą wziąć udział w obchodzie tego historycznego faktu, ale zresztą... nie ma się wcale czego zapalać do faktu, będącego objawem osobistej rycerskości, który dla nas nie jest niczem innem, jak tylko poetycznem wspomnieniem...

Intratna posada.

Nowela.

Napisał W. I. Wdowiszewski.

Działo się w jednem z większych miast Galicji.

Przez spruchniałe ściany przedmiejskiego domku, przez źle opatrzone okienka, niedomykające się drzwi, do niskiej, ciasnej, zatęchłej izdebki przewiewał ostry jesienny wiatr.

Huczał on w kominie — szeleścił zasuwą kuchenki — podzwaniał szybkami okien, a przez zniszczony, wygięty pułap, przeciekały do izby krople deszczu. — Mała, naftowa lampka, stojąca na okapie kuchenki, oświetlała izdebkę mdło, niewyraźnie, że zaledwie można było w półmroku rozróżnić sprzęty, których tu było nie wiele bardzo niewiele.

Cisza panowała w izbie, jakby w niej żywego ducha nie było. Przerywał ją tylko odgłos kropli deszczu, spadających z pułapu na podłogę — w jednostajnych odstępach czasu, z okropną monotonją. A jednak izdebka nie była pusta...

Żyło w niej pięcioro ludzi — spoczywało dwoje umarłych...

Troje dzieci spało na tapczanie pod ścianą. Przytuliły się do siebie, aby im było cieplej, bo nędzna, lekka kołdra, którą były przykryte, nie chroniła ich dostatecznie od zimna. Spały spokojnie, choć o kilka kroków na drugim tapczanie, spoczywały zwłoki ich ojca i najmłodszego brata, resztkami jakiegoś prześcieradła nakryte. Dlaczegoż spać nie miały? Wiek dziecięcy boi się wprawdzie czasem umarłych, ale nędza zawsze się łatwo brata ze śmiercią. Gdy im oznajmiono o śmierci ukochanych, może płakały serdecznie, ale płacz znużył, wysilił je i — zasnęły. Nic dziwnego! Najstarsze miało lat 12, najmłodsze szósty...

Przy zwłokach z głową spartą na rękach, siedziała żona zmarłego, zarazem matka trzechletniego synka. Wzrok jej utkwiony w prześcieradło, zastępujące całun śmiertelny, bezmyślny był — prawie idiotyczny. Gdyby ją nagle zapytano o czem myśli, nie umiałaby powiedzieć...

O wszystkiem i o niczem. Najprawdopodobniej o całem życiu nędzy...

Przed dwudziestu kilku laty — jako córka ubogiego nauczyciela wioskowego, poznała drugą biedę — swojego późniejszego męża. Był urzędniczkiem niskiej rangi przy cyrkule, miał pensyjkę wystarczającą zaledwie na najpierwsze potrzeby kawalerskiego życia — groziło im ubóstwo, ale ona znała je, nie bała się biedy, bo kochała. Kochała go zaś, gdyż był uczciwy, skromny, pracowity, nie pijak, nie karciarz, a dobry Polak... Ten ostatni przymiot przeważył wszystkie inne, i oddała mu rękę...

W roku 1861 — gdy na świat przyszedł synek — pierworodne maleństwo — ochrzczono go Tadeuszem... Nad kolebką zawieszono Tadeuszkowi, zamiast obrazu świętego, wizerunek Kościuszki w siermiędze, z szablą w dłoni. Miał to być jego patron...

W roku 1863, gdy Tadeuszek miał dwa lata, jakiś usłużny kolega ojca zabawił się w „szlachetnego donuncjanta“, i doniósł o obrazie Kościuszki — w domu urzędnika! — przełożonej władzy. Ojciec Tadzia, uznany w skutek tego jako „politisch verdächtig“ wyleciał z urzędu jak z procy. Z takiemi indywiduami nie wiele ceremonji robiły ówczesne rządy.

Biedni ludziska siedli na lodzie. Oddanym pod nadzór policyjny, trudno było znaleść zajęcie. Czegoż miał się chwycić? Uczciwy był, skromny, pracowity, ale — nie wiele umiał. Znał trochę ustawy — trochę niemczyzny i ładnie pisał. Został pokątnym pisarzem. Ale i tu wkroczyła władza z całą surowością prawa, i zabroniono mu najostrzej „winklerki“.

Z czego żyć? A trzeba! Przybywało dzieci. Co rok prorok, a w domu nędza, że siekierą by nie uciął. Ale żyło się jakoś... wegetowało raczej — patrjotę wspierali po trosze patrjoci — i dopchało się biedactwo do r. 1868.

W roku tym odetchnięto swobodniej. Nastały lżejsze czasy; były kancelista otrzymał posadę djurnisty przy starostwie, Płacono mu 20 reńskich miesięcznie. Za dużo by z głodu umrzeć, za mało by żyć! A że musieli żyć — więc pracowali.

Od świtu do nocy skrzypiało w jego rękach gęsie pióro, zapełniały się całe arkusze to urzędową robotą, to przepisywaniem dla prywatnych. Często świt poranka zastawał go pochylonego nad stolikiem, przy łojowej świeczce, z zaczerwienionemi oczyma. Ona, nie tylko oporządzić i nakarmić musiała gromadę dzieci, ale po całych dniach prała i prasowała bieliznę studentów, byle coś grosza do mężowskiego zarobku przysporzyć, na utrzymanie rodziny.

Nie tylko na utrzymanie, ale i wychowanie Nędza ścigała ich ciągle, a zdawało im się, że winien temu brak naukowego wykształcenia u ojca, że gdyby on więcej umiał, nie potrzebowałby tak ciężko pracować. Przynajmniej niechby ich najstarszy syn wyszedł na uczonego człowieka, na jakiego adwokata, doktora, profesora, radcę; przynajmniej on niechby nie znał, co głodu i chłodno. O dej-

mowali więc sobie od ust prawie, zmniejszali porcje innym dzieciom, byle posełać Tadeusza do szkoły, byle go wyrwać z niskiego stanu, w jakim żyć musieli. Żądza wyniesienia tego chłopca do wyższych godności w społeczeństwie, przeszła w nich w obłęd, w manję. O tem mówili tylko ze sobą, to stało im przed oczami we śnie i na jawie. Matka zwłaszcza tylko tą myślą żyła, tylko ta żądza dodawała jej sił do pracy, do znoszenia najstraszniejszej nędzy. Ojciec wzrok tracił na nocnej pisaninie, matka ręce sobie do krwi ścierała piorąc bieliznę, a wszystko, byle Tadzia pchnąć w szkołach, byle go — jak mówili — na człowieka pokierować. A szło to coraz trudniej. Wysilające pisanie po całych dniach i nocach wpłynęło na oczy djurnisty, i ani się spostrzeżono, jak przed jego oczami było coraz ciemniej, coraz bardziej ponuro i smutno, jak jednego poranka, gdy przepięknie schodziło słońce, zapytał żony krzątającej się koło kuchni, dlaczego tak rano wstała — wszakże to jeszcze noc...

Kobieta odwróciła się od komina — spojrzała na męża, i w głos się rozpłakała... Zrozumiała nową nędzę...

Mąż jej — oślepł...

Teraz na jej barki i na barki dorastającego Tadzia spadło utrzymanie rodziny. A była liczna. Do stołu prócz ślepego ojca, spracowanej matki i Tadzia, siadała jeszcze jego rówieśnica siostra, sparaliżowana na nogi, i czworo mniejszego drobiazgu. Miał o czem i o kim myśleć...

Właśnie przed dwoma miesiącami dwudziestoletni chłopak skończył gimnazjum z wyszczególniającym egzaminem dojrzałości, i miał zamiar jechać do stolicy na uniwersytet, na wydział filozoficzny, gdy ojbiec obłożnie zachorował. Wypadało odjazd odłożyć a zająć się rodziną... Choroba ojca pochłonęła wszystkie zapasy, jakie z lekcyj zeszłorocznych potrafił na dalsze swoje wykształcenie zebrać maturzysta... Jeden sprzęt po drugim wędrował w świat, między handlarzy starzyzny, w domu zostały ledwie dwa tapczany, stolik i ława. Tylko sprzętów z izdebki osobnej, gdzie mieszkał Tadeusz, nie pozwalała sprzedać matka; dla niej świętością była własność syna. On — według niej — potrzebował mieć swój kącik, gdzieby się uczył. On, podpora rodziny. Nie mogła mu przecież zapomnieć, że od lat kilku młode chło pię, po skończeniu nauki w szkole, biegało codziennie z jednego końca miasta na drugi, na lekcje licho płatne, byle jej w końcu miesiąca przynieść kilkanaście reńskich. Belferował nieukom, byle kupić chleba ślepemu ojcu, starej matce spracowanej, kalece siostrze, i ukochanemu drobiazgowi.

Gdzie cienko, tam się rwie. Podczas choroby ojca wybuchł w mieście tyfus i ospa. Tadeusz lekcje potracił. Klienci jego dowiedziawszy się, że w domu ma chorego, wymówili mu zajęcie. Nie dali sobie wytłumaczyć, że choroba ślepca nie była tyfusem, ale inną, zapalną słabością. Obawa przemogła rozumowania...

Na domiar złego najmłodsze z rodzeństwa, trzechletni synek zachorował również, zdeklarowała się ospa.

Rozpacz czepiała się głowy Tadeusza. Doktorzy opuścili łoże starca i łóżko dziecka — odwoływali się na cud.

Od dwóch dni nie było czem w piecu zapalić; — dziś rano spożyto ostatnie pół bochenka chleba — a tu wiatr świszczał przeraźliwie — łupotał dzwiami — trząsł domem — w lampce dopalała się nafta, na tapczanie legły rano dwa trupy, które trzeba było pochować...

Nędza, ostateczna nędza...

To pojęcie wyzierało z każdego kąta — siedziało na twarzy kobiety nieruchomie w trupy zapatrzonej — czuć je było w atmosferze izdebki. O niem myśleć także musiała druga niewieścia postać, która w głąb starego, zniszczonego fotelu wciśnięta, siedziała obok pieca kuchennego, jakby sama jego bliskość mogła jej dodać ciepła, którego niebyło w izdebce.

Dziwne, że nędza rodzi często aniołów. Z pięknej choć smutnej i bladej twarzy dziewczęcia wiał jakiś niezwykły urok, jakaś nieokreślona pogoda duszy — że się koniecznie zdawało, jako ona nigdy się nie otarła o brud i nędzę, jakby tej istocie płynęło życie rozkoszą, niezamąconem szczęściem. I w tej chwili, choć cisza zalegająca izdebkę przejmowała dreszczem, choć przed nią leżały dwa trupy, choć widziała matkę nieprzytomną prawie z bolu i rozpaczy, na jej twarzy była pogoda, jakieś dziwne poddanie się losom, połączone z niezachwianą wiarą w przyszłość. Nędza doszła do ostatnich granic, a przecież ona ufała...

Może ufała Tadeuszowi, który wyszedł ugodzić trumny dla umarłych. Wprawdzie wiedziała, że wyszedł bez grosza przy duszy, ale on sobie da radę. Tego chłopca Bóg nie opuści — nie może opuścić... Widziała w nim świat swój cały. I nic dziwnego. Co wiedziała, czego się nauczyła, winna była temu ukochanemu bratu. On każdą wolną chwilę — a miał ich tak mało — poświęcał jej wykształceniu. On, ją kalekę, ukochał jak wybraną duszę — ona jedna rozumiała go zupełnie. W obec myśli o bracie, znikła z przed jej oczu otaczająca nędza, ona tylko nadsłuchuje, czy Tadeusz nie wraca...

Ale nie — cisza — przerażająca cisza — tylko krople deszczu spadają z pułapu na podłogę z okropną jednostajnością...

Po chwili jedno ze śpiących na tapczanie dzieci — najmłodszo — przebudziło się i usiadło.

— Mamo, mnie się tak chce jeść...

Matka ocknęła się z zadumy i powstała.

— Spij, spij Karolku — jeszcze Tadeusz z miasta nie wrócił.

Dziecko zapłakało i rzuciło się powtórnie na tapczan.

Matka stanęła na środku izdebki i słuchała poświstu wiatru.

— Tam taki wicher... Nie pamiętasz Jadziu, wziął też Tadzio paletot zimowy? Żeby się nie przeziębił...

— Wziął mamo — dał się słyszeć melodyjny, choć cichy głos córki. Po chwili dodała: Mamo, mam tu kawałek chleba. Nie mogłam jeść. Daj mama Karolkowi, niech nie płacze..

Matka wzięła kromkę chleba od córki i poniosła dziecku, które chciwie wbiło w nią białe ząbki i płakać przestało. Był to ostatni kawałek chleba w domu.

I znowu cisza, tylko krople deszczu spadały na podłogę.

Nareszcie skrzypnęły dzwi od sionki — ktoś idzie.

— Tadzio! przemówiła kaleka, a matka spojrzała ku drzwiom.

Do izdebki weszło dwóch ludzi.

— Dobry wieczór — przemówił młodszy.

— Niech będzie pochwalony! odezwał się basowy głos starszego.

— Na wieki wieków! odpowiedziała matka. — Jesteś przecie!...

— Musiałem długo czekać na majstra — przemówił syn całując rękę matki — nie było go w domu.

— A potem wstępowaliśmy do piekarza i do składu drzewa — objaśniał basem przysadkowaty mieszczanin. Oto macie tu pani pisarzowa wiązkę buczyny — będzie ciepło jak u pana Boga za piecem... — To mówiąc, wydobył z pod płaszcza drzewo i złożył przed kuchnią.

— Bóg wam zapłać za trud majstruniu..

— Za mało, pani pisarzowa, za mało. Co ci to za trud.. tać człek nieraz całe dyle dźwiga a nie stęknie... Co komu patrzy.. Godniej mnie nosić drwa, jak panu akademikowi. Ot tak dla znajomości i dobrej woli... Ale szkoda czasu, bierzmy się do roboty...

Mówiący zdjął z siebie płaszcz, wyciągnął z za cholewy metrówkę, a przeżegnawszy się pobożnie, począł mierzyć umarłych.

Dzieci zbudzone wejściem i rozmową, posiadały na tapczanie i z ciekawością przypatrywały się tej „robocie“ stolarza, podczas

gdy matka odbierała od Tadeusza chleb, w chustkę zawinięty.

— Czemuś nie wziął paletota moje dziecko, jeszcze mi się przeziębisz... Czy już mało zmartwienia?

— Zapomniałem mamo. Gdzie mnie myśleć o tem...

— A tyś Jadzlu mówiła, że wziął...

Brat spojrzał znacząco, z niemą prośbą, na siostrę.

— Zdawało mi się mamo — wykrztusiła dziewczyna szeptem, a równocześnie chwyciła rękę Tadeusza i do ust przycisnęła. Nim ją zdołał cofnąć, uczuł na niej łzy.

Tych dwoje rozumiało się wybornie...

— Czemże zapłacimy trumny? zapytała z cicha matka.

— Pieniądzmi mamo — odpowiedział również cicho — Za dawniejsze pisaniny odebrałem od Dyrektora kilkanaście reńskich. Wystarczy.

— Bóg łaskaw na nas! Wdowa otarła łzę — a syn uśmiechnął się dziwnie ironicznie i smutno. Ale uśmiech ten dojrzała tylko siostra.

Tymczasem stolarz skończył „robotę“ swoją.

— No, ja już gotów. Na jutro wieczór dostawię trumny jak pieścidełka. Choć zamówień mam dużo, bo ludziska umierają, chwała Bogu, jak muchy, to się w słowie stawię. U mnie robota idzie, że się wszyscy święci w niebie śmieją.

— Ale trumny będą lakierowane? zapytała wdowa.

— Ma się wie, pani pisarzowo, dycht lakierowane, że się i do sądnego dnia będą świecić...

— Nie mamy przecież zgody na lakierowanie — przemówił Tadeusz.

— Fracha, mamy czy nie mamy... Kiedy mówię, że będą lakierowane, to będą...

— Zechcecie drożej panie majster, a nas nie stać...

— O! jaki to z pana filozof. Zechcę albo nie zechcę. Któż mówi, że zechcę! To pan wie nawet, czego ja nie wiem. I od kogo to brać za lakier! Niebożęta! dość już was bieda polakierowała....

— Ani możemy, ani chcemy przyjmować jałmużny — rzucił dumnie Tadeusz.

— Chryste Jezu, a to dopiero gorączka!.. Dobre serce, panie akademik, nie jałmużna. Wy biedni i ja prawda nie bogaty, ale nędza z biedą w parze idą. Stracić na was nie stracę, a choć nie zarobię, to się odbiję na bogatszych... Dobrego serca się nie odrzuca panie akademik.. Stoi?

Tu stolarz wyciągnął spracowaną dłoń do Tadeusza. trudno ją było odepchnąć.

— Bóg wam zapłać majstrze — i uścisnął serdecznie rękę rzemieślnika.

— Za mało, za mało! Bywajcie państwo zdrowi... Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków — odpowiedział mu głos wszystkich.

Po pogrzebie.

Zmarła w bolu bardzo rano....
Gdy usnęło serca bicie.
Requiem jej zadzwoniono,
Wieczna pamiat' zaśpiewano,
I złożono młode życie,
Skroń zzimniałą, pierś zmęczoną,
W wieńcu kwiatów w kurhan śnieżny,
W świat bezbrzeżny!

Na zwalonym szczęścia tumie
Serc współczucie stawia krzyże...
Ale między spłakanymi
Tylko dwoje śmierć rozumie:
Ty w żałobnym życia kirze,
Ty i ta, co drzemie w ziemi,
Girlandami uwieńczona —
Ty i ona!

Chcesz-że wskrzesić świat cmentarny
Przez ten ból, co jest bez skargi?
Przez ten żal, co niemy woła?...
Chcesz-że prochu ziemski, marny,
Bladych grobów kląć letargi,
Jako wzięły ci anioła,
Co tak młodo w tym pogrzebie
Zgasł bez ciebie?

Ona wróci — ta, co w duszy
Nieśmiertelnie jest odbita!
Z każdą wiosną wracać będzie...
Gdy się świeży kwiat zapruszy,
Gdy cię słońca blask powita,
Ona w dziatek szepnie rzędzie,
Że choć ma posłanie w grobie,
Jest przy tobie!

Ona wróci z mgieł spowicia
Duszą z duszy, kością z kości,
Jak ci wieszczą wiary hasła...
Wróci piękna jak za życia,
Z uśmiechniętą łzą miłości,
Z łzą tą samą z którą zgasła!...
A więc daj jej w wiarę zbrojny,
Sen spokojny!

Włodz. Sebelski.

Realizm w powieści.

Szkic literacki.

(Dokończenie).

Weźmy kilka przykładów: I tak owa cecha wieku, ów brak indywidualności typowych, o szeroko zakreślonem działaniu i swobodzie ruchów, owo dążenie do zlania sił mnogich jednostek, wysuwa się ostro z kartek powieściowych. Półbogi ustępują miejsca ludziom prozaicznym; ani Montechristo, ani Lagardére nowy nie rozwija się z pieluch literackich; tytaniczna moc ducha tętni w łonie Spielhagenowskich bohaterów, ale nie wybucha na zewnątrz w krewkim czynie; wulkany wrą i dymią, ale nie leją lawy; uczucia i zamiary krążą po głębokich, niewidomych cieśniach, ale na niczem się kończą. Parturiunt montes...

Typ tego rodzaju dał nam Flaubert w „sentymentalnem wychowaniu“: „Fryderyk Moreau jest to natura słaba, ma dobre chęci, inteligencję wrodzoną, charakteru żadnego. Ani jednego ze swoich wielkich pragnień urzeczywistnić on nie może. Pierwotnie chciał pisać dramaty o średniowiecznych bohaterach, następnie i to stosownie do podmuchu miłości własnej, miał zostać historykiem sztuki lub malarzem, mówcą lub deputowanym. Wszystkie projekta spełzły na niczem; po kilku dniach entuzjazmu ręce mu opadały i wracał napowrót do swej zwykłej bezczynności.“ W końcu dochodzi do moralnego bankructwa, do nirwany, do znudzenia wszystkiem. „Niemasz książki, mówi Juliusz Lemaitre, któraby równie dokładnie dawała nam poznać całą bezużyteczność istnienia, nicość ludzkiej działalności, rząd przypadku, względne znaczenie cnót i wad, i mówiąc prawdę, miernotę naszego rodzaju.“ Krytyka tej powieści może wszystkiego odmówić, ale nagiej prawdy nigdy; tej to prawdzie zawdzięczyć należy, że Fryderyk się zmarnował, bo inny powieściopisarz pewnoby drogi jego prostował, i cel wielki zbliżałby doń sztucznemi środkami.

Chyba tylko w powieściach J. Verne'a i niektórych kreacjach Jokaja ma człowiek możność w walce czy to z życiem, czy z potęgami przyrody, spożytkować wszystkie swe siły, działać we wszystkich kierunkach. To też z tych powieści, choć nieraz brak im prawdy i pełni, bije wezbrana, rwąca struga namiętnego, rozmachanego rzutu, jakiego brak najcelniejszym nawet utworom, nieskończenie wyższym dla swej szerokiej skali psychologicznej.

Ten ruch demokratyczny, który przeleciał od końca do końca po starym lądzie Europy i pod przeciętną miarę podciągnął umysły i serca, rozprzestrzenił także obszary ludzkości, powołał nowe żywioły do równouprawnionego bytu i pozwolił im czuć, działać, myśleć po ludzku. Więc występuje na arenę życia, kobieta jako istota dobijająca się swych praw długo jej przeczonych.

„Marta“ Orzeszkowej to pouczający typ z tego zakresu. Jest to smutna hi-

storja kobiety, którą modne wychowanie przerobiło na egzotyczny kwiatek, mogący pięknie kwitnąć w salonie przy ognisku domowem, ale niezdolny do samodzielnego życia, do walki z niedolą. Marta, wypróbowawszy wszystkie środki uczciwego zarobku, zewsząd z niczem odprawiana, kradnie w przystępie rozpaczy trzy ruble, by dziecku kupić mleka...

Pytanie postawione dobitnie i jasno.

Równie lud wiejski staje w całej prawdzie przed oczy czytającej społeczności. Już to nie jest ów idyliczny pasterz dmący w fujarkę u stóp cienistego klonu, już nie Wiesław bijący w podkówki ze stali, ale młodsze dziecko cywilizacji, długo odpychane przez nią, często zepsute, częściej sponiewierane i zapomnieniem okryte. Jego los etyczny i moralny, świat jego staje się przedmiotem powieści, a ta wprowadza nas we wnętrze chaty, na pole, przed szynkwas brudny, wilgotny, rysuje cyniczne, choć w gruncie poczciwe postacie Siemieńców, opisuje nieszczęśliwe ofiary ciemnoty i pijaństwa, słowem zapoznaje nas z chłopem takim, jakim on jest w rzeczywistości, i broni sprawy jego przed trybunałem dojrzalszej części, wielkiej rodziny społecznej. Z ciemnych zaułków, z błota przedmiejskiego, z cichych wiosek o szumiących wierzbach, wysuwa się jakby karawana nieskończona istot bladych, pokrzywdzonych, odepchniętych od życia, a przecież żyjących i czujących prawo do tego życia.

Nie można twierdzić, żeby to zjawisko było powodem, do zajęcia się intelligencji niższemi warstwami, że poezja ludowa dostarczyła już na początku naszego wieku motywów romantycznej szkole, że filantropia bierze lud w opiekę, zakłada mu kasy, szkółki, że wytrąca mu z ręki kieliszek i broni go od pijawki lichwiarskiej, że mu w państwach konstytucyjnych otwiera sale sejmowe i sędziowskie ławy, nie można twierdzić stanowczo; to pewna, że powieść dużo przyłożyła się do tego, otwarła oczy ludziom, którzy nigdy nie zastanawiali się nad dolą naszych parjasów, że najlepiej o tem poświadczy nieopisane wrażenie, jakie wywarły w Rosji „Pamiętniki myśliwca“ pierwszy płód mistrzowskiego pióra Turgeniewa. A „Szkice Węglem“, czy to nie satyra krwawa samorządu gmin w królestwie Polskiem, a niektóre drobne powiastki Okońskiego...?

Nie zwykłej miary na tem polu dosięgnął Emil Zola w kilku swych „Typach duchowieństwa francuzkiego“. Na żadne ze swych pytań nie dał odpowiedzi, każde zagadkowem światłem komety migoce nad horyzontem XIX wieku.. Ale rozwiązanie do powieściopisarza nie należy, praca to nad siły jednostki. Ludzkość od świtania pierwszej doby pracuje nad tem, a ideału nie osiągnęła po dziś dzień. Tendencja powieści polega tylko na zapisywaniu takich znaków zapytania na dziwnej drodze pochodu człowieczeństwa.

Trudno nam krok za krokiem iść i zbierać na szerokiem polu beletrystyki wszystkie te ziarna żywotne, jakie w sobie mieszczą jej płody. Trudno je podzielić w pewien system, bo każda celniejsza powieść nosi na sobie jakiś pokost oryginalny, wyróżniający ją z podobnych jej płodów. Dopiero dążności i cele powieści wzięte razem, ułożone w mozajkę o nieprzeliczonej skali barw, odcieni i blasków, zlewają sią w jeden ogólny, charakterystyczny wyraz, będący objawem społeczeństwa, jakie go wykołysało.

Wtedy zobaczymy, że treść rzeczy została ta sama, co była od wieków. Jeden wyraz „człowiek“ zawiera w sobie to wszystko, co wypełnia karty powieściowe, co drga i drgało na strunach poezji. Treść zostaje ta sama, ale forma i pojęcie treści w nowe przelały się kształty. Czy te kształty są już ostatniem słowem tworzenia, dziś trudno o tem sądzić — ale są one wytworem, którego posady zakorzenione są w najgłębsze tajniki teraźniejszości, to też do nich tylko przystają one, jak odlew do swego łożyska. Zasługa tej fazy w dziejach umysłowości polega, że bierze ona swój żywioł surowy z pierwszej ręki, ze samego źródła, i walczy samą prawdą, nie goniąc za efektem, nie obarczając się balastem inwencji. Z tą drogą każdy twórca zawsze rachować się będzie musiał. Ma realizm swe skazy, w rękach pozbawionych owego delikatnego dotknięcia, klóre instynktowo rozstrzyga, czy coś nada je się do tła artystycznego, czy też lepiej nie tykać brudnych plam i kału, — powstaną na tej drodze kreacje wstrętne, a co więcej nie moralne. Szukanie impresji i drażniącej nerwy senzacji, równie niebezpieczne wydaje skutki w powieści, jak w malarstwie i rzeźbie. Tego rodzaju utwory osławiły kierunek zkądinnąd zdrowy i naturalny, ale kto z nich sądzić chce ogół, ten i romantyków potępi, dla przesady i ckliwości wielu ich adeptów, ten każdy kierunek wyśmieje, bo znajdzie wśród arcydzieł potworny płód lichej kompilacji...

J. Ł.

Młoda matka.

(Opowiadanie prawdziwe.)

(Dokończenie)

Najchętniej byłby H... pobiegł za doróżką, lecz na szczęście w oka mgnieniu zorjentował się, że to chyba byłoby już za wielką niedorzecznością; na tem stanowisku, w tym wieku należało mu przecie być rozsądniejszym, i nie dać się oślepić zupełnie pierwszej lepszej pięknej twarzyczce. Wszak słyszał ledwie dwadzieścia słów z jej ust, i mógł nabrać prawie pewności, że młoda, nieznajoma jest zamężną, zapewnie małżonką tego prozaicznego małego jegomości, jak to zresztą niejednokrotnie już spotykał w swojem życiu.

Atoli rzecz pono wiadoma ogólnie, że w późniejszych latach namiętności goreją silniej, niżeli szybko przemijające wrażenia młodego wieku... Po długich medytacjach i rozumowaniach, obudziła się w w sercu sędziego gwałtowna i silna potrzeba miłości, i oczywiście wspomnienie pięknej nieznajomej prześladowało go bez miłosierdzia.

Napróżno mówił sam sobie, że karmiąc się tem uczuciem, stanie się niebawem jakimś zrozpaczonym Werterem lub nicponiem Don Żuanem — nadaremnie stawały mu w pamięci wszystkie widziane na deskach teatralnych dramata i tragedje, których treścią było właśnie wiarołomstwo małżeńskie, tak bezwzględnie zawsze przezeń potępiane! W końcu nie widział dla siebie innego ratunku, jak zakopać się w pracy, i w zapomnieniu szukać ulgi dla zbolałej duszy... Zabrał się więc do roboty z gorączkowym zapałem, i dnie całe trawił pochylony nad biurkiem. Trwało to jakiś czas, sędzia zmizerniał, stracił na humorze, aż jeden z kolegów, uderzony tą dziwną zmianą, postanowił oderwać „hypochondryka“ od pochłaniających go aktów, i wywabić na świat, między ludzi. W tym celu po długich perswazjach, wmówił w niego, że koniecznie musi pójść z nim na bal maskowy, bo on to w jego imieniu przyrzekł radczyni X i pani Y, z tej przyczyny też miał nawet bilety dla obudwu w kieszeni.

Sędzia się wymawiał, ociągał, na koniec uległ. Gdy przyszedł ów wieczór, choć miał przykry ból głowy, poszedł przecie na bal, nie chcąc przyjacielowi zrobić zawodu.

Usiadł w loży, obojętnie patrzył na różnobarwny tłum masek i kostiumów, i nie mniej obojętnie słuchał zagadującego co chwilę przyjaciela, który starał się rozerwać go, wskazując raz po raz na tę lub ową sławną w stolicy piękność. Zdawało się pozornie,

że słuchał słów kolegi, bo machinalnie wodził oczyma po sali, lecz w rzeczywistości myśli jego błąkały się ztąd daleko. Podczas gdy tu otaczały go śmiechy, szepty, wrzawa radosna, on widział „oczyma duszy“ — jak zwykli mówić poeci, — młodą kobietę pochyloną nad dzieciakiem, i usypiającą go śpiewem rzewnym. W tej chwili wszedł do pokoju ów mały jegomość, pocałował żonę i śpiącego malca, i oddalił się na palcach do sąsiedniego pokoju. Jacyż to szczęśliwi ludzie, jak z głębi serca zazdrościł zwłaszcza jemu, tej rozkoszy! Gdy tymczasem dla niego takie szczęście było marą nieuchwytną— on snać skazany był przez okrutny los na zabijającą samotność i nędzne życie!

Widząc zamyślonego i pochmurnego kolegę, przyjaciel wziął go pod ramię i sprowadził na dół do sali. Skoczne tony Strauss'owskiego walca rozdzierały mu uszy i drażniły tak okropnie, że już chciał zawrócić i uciekać, gdy w tem ujrzał „coś“, co go niemal w miejscu przykuło. Wśród tłumu tańczących, zobaczył swą piękną nieznajomą, walcującą z jakimś oficerem. Wyglądała prześlicznie, a przytem miała taki dziewiczy urok w twarzy i całej postaci, że z pewnością nikt byłby nie odgadł, że owa piękna tancerka zostawiła małego synka w domu, i jest małżonką owego niepokaźnego jegomości, koło którego w tej chwili właśnie posadził ją jej tancerz. Miała na sobie gustowną suknię z białego jedwabiu. zamkniętą skromnie aż po szyję, a w bujnych splotach kosztowną gwiazdę brylantową.

Wyobrazić sobie łatwo, co na ten widok działo się w sercu sędziego, i jak chętnie byłby ją poprosił do tańca. Niestety jednak nie miał nikogo, żeby go jej przedstawił, a w dodatku w tej chwili ujrzał, jak nieznajoma podniosła się z towarzyszem, i skierowała kroki do bufetu. Poszedł za nimi, i nad wyraz wszelki czuł się szczęśliwym, gdy mógł jej podać talerzyk z lodami, do którego jej mały towarzysz nie mógł docisnąć się wśród tłumu. Podziękowała mu z pewnem zakłopotaniem, i gdy po chwili odchodziła, oparta na ramieniu męża, rzuciła mu przelotne spojrzenie, które głęboko uwięzło w sercu sędziego.

— Dosyć tego Zosiu na dziś! — usłyszał H... Jesteś już zmęczona, okryj się narzutką, pójdziemy.— I owszem — odpowiedziała z uśmiechem — już późno, a nie chciałabym obudzić małego i Maryni.

Za chwilę opuścili salę.

Nie trudno pono zgadnąć, że wnet potem sędzia uciekł z balu. Gdy się znalazł w swojem mieszkaniu i położył do łóżka, ból głowy zwiększył się mu gwałtownie i dreszcze trzęsły go do rana, choć się przykrył ciepło. Nazajutrz zwlókł się jeszcze do biura, na trzeci dzień jednak nogi odmówiły mu posłuszeństwa, i chcąc nie chcąc postanowił pozostać w domu, i na usilne rady poczciwej gospodyni, przywołać lekarza. Ale którego? Dotychczas był zdrów zawsze, i jak na biedę nie znał w stolicy ani jednego eskulapa. Gospodyni radziła, aby wezwać dr. W.... który zażywał sławy zdolnego lekarza, miał liczną klientelę, i jak wraz mieszkał w tym samym domu. Sędzia zgodził się na to.

Posłana służąca nie zastała doktora w domu, właśnie był gdzieś zawezwany, ku wieczorowi jednak miał wrócić napewne. Już zmierzchało, i służący zapalił lampę, gdy za drzwiami odezwał się znajomy jakiś głos, dopytujący o sędziego H... Po chwili wszedł doktor W.

O mało nie runął na ziemię ze wzruszenia, ujrzawszy wchodzącego — więc to ten sam mały jegomość a jej mąż owym doktorem, mieszkał w tym samym domu, i ona... ona... tutaj, tak blisko... Najróżnorodniejsze uczucia miłości, radości, nienawiści, skrzyżowały się i starły w okamgnieniu w jego sercu.

Nic też dziwnego, że przy oględzinach doktor znalazł u pacjenta tętno gwałtownie przyspieszone, skonstatował z objawów obecność silnej febry, skutkiem przeziębienia, i wielkie podrażnienie nerwów. Na razie zalecił ma największy spokój, rozkazał położyć się do łóżka, i odchodząc przyrzekł odwidzieć go nazajutrz rano.

I rzeczywiście doktor W. pojawił się na drugi dzień punktualnie, o zapowiedzianej godzinie, i jakkolwiek sędziemu zdawało się w pierwszej chwili, że musi koniecznie nienawidzieć człowieka, który był w posiadaniu „najszlachetniejszego klejnotu“, mimo to niebawem zauważał, że niepodobna go niepolubieć. Stanowcze i pewne siebie traktowanie choroby przejmowało mimowolnie zaufaniem do jego sztuki i wiedzy, a przytem serdeczne jego obejście odbierało wszelką ochotę, aby choć chwilkę tylko popatrzeć nań z ukosa. Ach, jakże szczęśliwą musiała się ona czuć w pożyciu z nim, jakkolwiek wiele mu brakowało do zewnętrznej okazałości sędziego, a głowa jego i zarost twarzy dobrze już przyprószyła siwizna.

Trwało tak kilka tygodni, i doktor wyprowadził chorego szczęśliwie z niebezpiecznej febry — odwidzał go często dwa razy dziennie, doglądał z troskliwością niemal kobiecą, słowem pamiętał o wszystkiem, cokolwiek mogło posłużyć mu dla jego ulgi. A gdy już był w stanie rekonwalescencji, nieraz jeszcze spędził z nim godzinkę na poufałej rozmowie, usiłując w ten sposób rozerwać mu długie wieczory samotne. H... nie należał nigdy do niewdzięcznych ludzi, tem większą zatem czuł obecnie sympatję dla człowieka, który oprócz tego, że mu tyle dobrego zrobił, nadto mimowolnie każdego pociągał ku sobie. Zresztą słabość przebyta podziałała na usposobienie sędziego w łagodzący sposób. Dzika jakaś namiętność poprzednia przemieniła się w cichą tęsknotę. Ktokolwiek z nas wracał do zdrowia po ciężkiej chorobie, wie dobrze, z jaką to radością wita się darowane życie, jak wszystkie szorstkie wspomnienia zdają się być oszlifowane i wygładzone, a kolory dawniej rażące, teraz przytłumione i złagodzone.

Przyszła wiosna, nie z tem zwodniczem jeszcze ciepłem marcowem, ale na prawdę już słoneczna i kwiecista. Okna sędziego wychodziły na ogród, skąd, gdy były otwarte, przychodziła do jego pokoju woń bzów rozkwitłych. Lecz niczem mu było słońce i wonie wiosenne, nad częsty widok ślicznej kobiety, która w pogodne dnie woziła dzieciaka po ogródku. Jakże byłby rad zejść do niej, i wynurzyć jej uczucia swoje, które ciągle jeszcze paliły go w sercu. Takich dni, gdy go odwidzał doktor, twierdził, że słabość zostawiła po sobie w upominku trochę melancholji, z której należało mu otrząść się jak najprędzej. Zdaniem doktora najlepszem na to lekarstwem byłoby towarzystwo i rozrywka.

— Przyjdź pan do nas kochany sędzio— rzekł pewnego dnia doktor w ciągu swojej bytności. — Pierwszą wizytę darujemy panu z uwagi, żeś jeszcze przez pół pacjentem, zresztą żona moja nie należy do rzędu kobiet, przestrzegających surowo przepisów etykiety, a ucieszy się szczerze, gdy pan zechcesz towarzszyć nam w święceniu pierwszej rocznicy urodzin naszego Jasia. Niejednokrotnie już byłem dopytywany o stan pańskiego zdrowia; otóż sądzę, najlepiej pan sam odpowiesz, gdy się u nas pojawić zechcesz. Więc do widzenia, oczekuję pana w gabinecie, w godzinach ordynacyjnych, bo chciałbym przed tem przekonać się o skutku ostatniego proszku.

I nie czekając na odpowiedź niepokaźny doktor odszedł, a sędziemu nie pozostało nic, jak stosownie do rady, udać się tam o oznaczonej godzinie. — I dla mnie będzie lepiej — myślał po drodze — gdy pójdę odważnie w sam ogień... prędzej się może przemogę i uleczę.

Za chwilę służący wprowadził go do parloaru doktorskiego. Drzwi prowadzące ztąd do dalszych pokojów, były niedomknięte, dzięki czemu słyszał, niemal widział najdokładniej, jak młoda matka bawiła swojego Jasia, huśtając go na rękach, skacząc po pokoju i wyśpiewując pół głosem. Po kilku minutach usłyszał te słowa:

— A teraz zobaczymy, czy tatko wrócił, lub też czy może dziś nawet każe swojemu Jasiowi tak długo czekać na siebie... — Z ostatnim wyrazem otworzyła drzwi i stanęła jak wryta w miejscu przed wystraszonym sędzią. Nie mniej jednak i ją niespodziany widok nieznajomego formalnie przestraszył — w oka mgnieniu zbladła i spłonęła na przemian ze wzruszenia. — Przepraszam pana, nie przypuszczałam, że ktoś jest... odezwała się pierwsza, cofając z dzieckiem.

— Czekam tu na pana konsyljarza, wi dzę jednak, że mimowoli stałem się natrętnym. .

— O bynajmniej nie — odparła. — Władzio przyjdzie zaraz, proszę pana usiąść tam na fotelu... wyglądasz pan znacznie gorzej, niżeli wówczas gdyśmy się pierwszy raz spotkali... Atoli Władysław twierdził zawsze, że pan masz znakomicie silną naturę, w przeciwnym bowiem razie, ta okropna febra byłaby go przemogła... O! myśmy często o panu myśleli... — Urwała zakłopotana widocznie, jak gdyby za wiele powiedziała była, i niby ratując się zwróciła się do dziecka. — Jasiu podajże temu panu rączkę! Tak, tak, aniołku! A teraz pokaż panu baranka, sukienkę nową, i czerwone trzewiczki...

Jaś wesół i niezwykle przyjacielski, wykonał co mu rozkazano, a nawet więcej, bo przeginając się, zaczął poufale targać brodę i wąsy sędziego. Ten ze swej strony spróbował wziąć malca na ręce, który ku zdziwieniu młodej kobiety, poszedł doń ochoczo.

— A ty mały zdrajco! — zawołała Zosia — zostańże teraz u tego wujcia, nie weźmę cię!

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł doktor.

— A! to pan sędzia! i jak widzę już z Jasiem w przyjaźni! Zofio, ty znasz zapewne pana sędziego?

— Pani dobrodziejka nie pozwoliła mi dotychczas przedstawić się... przerwał H...

— Pani dobrodziejka? Być może, że kiedyś nią będzie, nie prawdaż Zosiu? Obecnie jednak zawsze jeszcze panna Zofia! — odparł doktor z uśmiechem.

— Więc pani nie zamężna? zapytał sędzia, i ze wzruszenia o mało dziecko na posadzkę nie upuścił.

Skądże to przypuszczenie i kogo pan uważałeś za szczęśliwego męża Zosi?

— Pana!..

— Mnie? — powtórzył doktor, i począł śmiać się serdecznie.. — Ależ Zosia poprzysięgła sobie, że nigdy nie poślubi mężczyzny tak niskiego wzrostu, jak ja. Zresztą co do mnie, dzięki Bogu, mam już żonę, jej rodzoną i podobną do niej siostrunię... No, ale chodźmy teraz do gospodyni domu, mojej Maryni... ona biedna chorowała prawie cały rok, a Zosia musiała przez ten czas grać rolę matki i gospodyni. To też rozpuściła mi malca gorzej, jakby rodzona matka...

Każdy się pono domyśli, że w kilka dni sędzia formalnie oświadczył się doktorowi o rękę Zosi, a ten ze swej strony przyjął go z otwartemi ramionami, rozerwując oczywiście dla panny Zofii ostateczną decyzję.

Panna Zofia zgodziła się na propozycję bez wahania, a gdy sędzia ośmielony już i uważając się za narzeczonego, opowiedział jej całe swe życie dotychczasowe, i wspomniał o tem, jak to swojego czasu postanowił był asystować tylko mężatkom, Zosia zastrzegła sobie na serjo, aby odtąd zapomnia raz na zawsze o tem oryginalnem postanowieniu....

Wzory przemysłu domowego.

(Kilka słów o wydawnictwie Muzeum przemysłowego we Lwowie.)

Sztuka i przemysł mają wiele punktów stycznych, a niekiedy łączą się tak ściśle, że niepodobna pociągnąć pomiędzy niemi granicy, i trudno w istocie powiedzieć gdzie się kończy rękodzieło, a zaczyna się artyzm właściwy. Jest to rzecz naturalna, bo i sztuka nie wyszła skądinąd, jeno z przemysłu, a jeżeli pierwszego matką były potrzeby materjalne, matką drugiej nie było nic innego jak potrzeba moralna umysłu ludzkiego, który chciał dogodzić faztazji swej twórczej, i mając już rzecz potrzebną dla wygody swojej, poczuł, jak pięknie dowodzi J. Kremer, iż n a d o b i e jest je upiększenie, nadanie jej ozdobnych kształtów.

I począwszy od człowieka pieczar, który kościaną czy rogową broń swoją ozdabia niezdarną dłonią i jeszcze niezdarniejszem narzędziem, człowiek podoba sobie w tej pracy, która jest już na dobie, i ubiera wyobrażenia swoje w kształty i linie zmysłowe, a dogadza w ten sposób tylko naturze swojej, która jest dlań najwyższym imperatywem.

Nowsza estetyka niewierzy w dogmaty. Jej podstawą jest także empiryzm, a ztąd to dawna spekulatywna teorja sztuki przemieniła się dziś w historję. Krytyka nie wydaje już wyroków apodyktycznych na zasadzie reguł stałych wzorów klasycznych, lecz opierając się na faktach danych sądzi każdą epokę według jej dziejowej wartości, odpowiednio do wpływów i okoliczności zewnętrznych.

Z tego powodu badanie pierwiastków sztuki, jej początków, —niezmiernie ważnem jest dla estetyka. Rysunek twardy mieszkańca jaskiń na płytce łupku, jest historycznie równie ważnym, a bodaj czy nie ważniejszym pomnikiem fantazji ludzkiej, jak dzieło artysty z epoki renesansu, a wytwór przemysłu domowego, jako dzieło nieukształconej fantazji, jest tak samo rozwiązaniem nie jednej zagadki psychologicznej czy etnologicznej, jak wielkie kompozycje epoki Fidiasza i Praksytela. Każdy rozwój ma, jak powiada Tyszyński, swoje uprawnienie i powód już w ziarnie, a kto pozna siły i powód kiełkowania rośliny, ten odgadnie także wzrost jej przyszły.

W przemyśle domowym ludu tkwi bez kwestji zaród sztuki. Prof. Exner dowodził słusznie, że w wielu wypadkach należałoby wziąć za wzór wyroby przemysłu domowego włościan, jako wytwory niezepsutego smaku i naiwnego a prostaczego uczucia, i właśnie jako takie mają one nie tylko wielkie znaczenie artystyczne, ale niemniej ważne są dla historyka, śledzącego rozwój sztuki nie tylko tam, gdzie ona w kwiat się rozwija, ale i w jej stanie pierwotnym. Podobieństwo pewnej symbolistyki i ornamentyki wyrobów pierwotnych u wszystkich ludów wskazuje nam, że wytworzył je nie przypadek, nie stosunki zewnętrzne, ale konieczna analogia fantazji artystycznej w pewnej epoce życia ludzkości.

Z tego powodu zwrócono w ostatnich czasach wszędzie uwagę na wyroby przemysłu t. z. domowego, a u nas wielkie w tym kierunku położył zasługi p. Ludwik Wierzbicki, dyrektor Muzeum przemysłowego, który od lat kilku wydaje wspaniałą publikację pt: Wzory przemysłu domowego.

Obecnie dwie nowe serje V. i VI. tego wydawnictwa, zawierają wyroby ceramiki domowej i wyroby metalowe huculów, i ta okoliczność uprawnie do nas do obszerniejszego pomówienia o „Wzorach“ w ogóle, chociaż raz jeszcze będziemy musieli do nich powrócić, gdy wyjdą dalsze zeszyty, mające zawierać wyroby z drzewa, słomy i sitowia.

Serja pierwsza i druga zawiera hafty włościan ruskich, mieszkających po lewym brzegu Dniestru: na Podolu, Wołyniu i Pokuciu. Hafty te wykonane są rozmaitym sposobem; włościanki nasze znają się równie dobrze na ściegu tkackim jak na krzyżykowym, a wykonują desenie widocznie podług wzorów odwiecznych, żyjących w tradycji, i przenoszących się z pokolenia na pokolenie. Wzór każdy ma swoje nazwisko, a jakkolwiek niejednokrotnie trudno dociec zkąd ono powstało, to przecież pewne nazwy dowodzą, że powstały one po prostu z wzorów

naturalnych, które haftom służyły za podstawę.

Często rysunek deseni przypomina bardzo żywo te wzory, a chociaż głównym i powtarzającym się najczęściej motywem jest tu krzyż wpleciony w rozmaity sposób pomiędzy ornamenta, z powodu czego wzór nazywa się raz „chresty hreczkoju“ to znów „chresty kupczasti“, „powiji“ lub „rozbyti chresty,“ nie brak w nich przecież i innych motywów, a mianowicie motywów roślinnych, przedstawionych ornamentacyjnie, jako to liści i owoców winogradu, lub chmielu, tudzież plecionek skombinowanych (kosyczki,) gwiazd (zwizdy) owitych bardzo pięknym rysunkiem i tp. Pomiędzy wzorami tymi zaś znajdziemy mnóstwo deseni, wobec których powstydziłaby się nie jedna z zawodowych, a wykształconych specjalnie na „klasycznych“ wzorach hafciarek, mimo to, że owe hafty włościańskie wykonane są po największej części tylko dwoma kolorami, czerwoną nicią i niebieską, w których kolor niebieski odgrywa rolę cienia. Pomiędzy wzorami jest kilka nadzwyczaj gustownych szlaków (znaszywki), z wzorów większych każdemu podobać się może deseń nazwany przez jakiegoś rozkochanego widocznie „czarnobrywci“ (Serja I. Tabl. V. fig. 1.) lub „połanycznyk“ (X. 3) w serji II. „wid wusatych riski“ (II. 2.) „czubati“ (IV. 2.) lub „kupczasti“, (VI. 1.), a żałujemy, że brak miejsca nie pozwala nam wymienić więcej przykładów. Panie nasze zajmujące się haftem, powinne by brać desenie te za wzór raczej, a nie ubiegać się za nienaturalnymi, bo z charakterem haftu niezgodnymi wzorkami, przedstawiającymi sceny jakieś, polowania, lub tym podobne wyszukane rzeczy, które chyba dlatego tylko ładne są, że jaskrawe. W obu serjach „Wzorów“ znajdą rzeczy prostotne wprawdzie, naiwne, ale niemniej gustowne, i jeżeli tak powiedzić można — stylowe.

Skoro jesteśmy już przy haftach, godzi się powiedzieć na zakończenie pierwszego artykułu choć słowo o serji III i VI. „Wzorów“ zawierających dywany i kilimki.

Kobiernictwo wszelkie pochodzi ze wschodu. Nazwiska przyjęte u nas najlepiej dowodzą, że ztamtąd przyszedł do nas ten przemysł wraz z rysunkiem wzoru, chociaż te desenie zmieniły się u nas z czasem przybierając charakter rodzimy. Więcej tu barw, aniżeli w haftach, ale wiele motywów znanych, z pewnemi odmianami w tle i rysunku się powtarza. Jedyną nowością jest tu może owa sztywna, stylizowana roślina (Tab. 19.), jakiej niemieliśmy w haftach przykładu, ornamentyka złożona z kwiatów i motyli (Tab. 20.) i w ogóle większa śmiałość w wynajdywaniu i układaniu wzorów, chociaż w parze z tą śmiałością, nie idzie zawsze poczucie i pewność konturu.

Tyle o czterech pierwszych serjach „Wzorów.“ Na zakończenie godzi się wspomnieć, że wykonanie tych dwóch zeszytów pod względem wytworności nie pozostawia nic do życzenia. Wzory haftów, zwłaszcza wykonane w szkole rysunków muzeum przemysłowego pod nadzorem p. Tschirschnitza przez p. Helenę Komorowską, odznaczają się nadzwyczajną starannością, a odbite są wzorowo w zakładzie litograficznym Kostkiewicza. Pochwała ta może zbyt spóźniona, ale niechaj ona będzie wyrazem uznania dla zakładu, który umiał nadać wydawnictwu pomnikowemu cechę europejską.

Przegląd muzyczny.

Koncert p. M. Wolfsthala.

Już z samego programu koncertu, który się odbył w sobotę d. 2. b. m. można było wysnuć pewne wnioski co do kierunku gry pana W.

Program ten a zwłaszcza kilka jego numerów jak 17. koncert Paganiniego (Ddur resp. Esdur,) Souvenir de Haydn Leonarda i Tarantela Wieniawskiego, kazały nam się spodziewać, że koncertant stanął pod względem techniki na wyżynie nie wielu dostępnej, jak również, że przenosi efekt i brawurę nad głębszą i poważniejszą muzykę. I rzeczywiście wrażenia, któreśmy odnieśli z koncertu, były p r a w i e identyczne z wyobrażeniami przed koncertem powziętemi.

Mówimy p r a w i e, bo nie spodziewaliśmy się znaleść u p. W. tego tonu, który jakkolwiek (z winy zapewne nie szczególnej jakości instrumentu) nie zawsze równie wdzięczny i miły, zasługuje jednak w każdym razie na nazwę więcej niż średniego.

Mimo jednak tych zalet, mimo wielkiej czystości, deklamacji sumiennej i dokładnej, gra p. W. nie wywarła na nas silniejszego wrażenia. Aby słuchaczów rozgrzać i porwać, nie podobna samemu zimnym pozostać, a u p. W. zaledwie przy odegraniu ostatniego utworu (Scherzo-Tarantelle Wieniawskiego) mogliśmy zauważać maleńkie podwyższenie temperatury. O ile jednak szło o wprowadzenie publiczności w zdumienie, to cel ten osiągnął p. W. w zupełności odegraniem koncertu Poganiniego, i w całem tego słowa znaczeniu artystycznem wykonaniem utworu Leonarda, szczególnie warjacji z własnym akompanjamentem. Szkoda że p. W. nie grał wszystkich warjacyj.

Natomiast jako kompozytor nie stoi p. W. wysoko. Polonez jego najeżony trudnościami i bardzo efektowny, nie ma myśli przewodniej, jest jakby konglomeratem pojedyńczych melodyj, warjantów tychże, ustępów o charakterze bolera i t. p. i prócz pierwszego nowego i świeżego motywu, w całości rzeczą słabą. P. Gerbicz był przy głosie i odśpiewał Chant de Mai Meyerbeera i Wüdmung Füchsa, a zwłaszcza to ostatnie prześlicznie. Zauważyć musimy, że nieszczególny fortepian był fatalnie rozstrojony.

Ł

ZIARNKA.

W kilku dniach ostatnich byliśmy tu świadkami paru procesów kryminalnych, które żywo zainteresowały publikę miejscową. Sala sądowa bywała oblężoną, a miejscowe dzienniki podawały długie, stenograficzne niemal sprawozdania z przebiegu rozpraw sądowych. Rozprawy rozkrywały przed ławą przysięgłych i natłoczoną publicznością okropne, krwawe dramata, przed sądem stawali rzeczywiści, lub domniemani sprawcy tych zbrodni — nic też dziwnego, że ludność naszego miasta interesowała się żywo tem wszystkiem. Jeżeli z zaciekawieniem czytamy powieści, które roztaczają przed nami całe pasma scen dramatycznych, wyjaśniają nam ich ukryty wątek, roztwierają przed nami dusze bohaterów; jeżeli spieszymy na widowiska teatralne, w których podobne wydarzenia uhrano w łudzącą szatę rzeczywistości, to dlaczego nie mamy spieszyć do sądu, gdzie sama naga rzeczywistość pokazuje nam swe niepodmalowane, okropne nieraz, a często tak głęboko smutne oblicze...

Nie dziwi nas to powtarzamy. Kto jednak obserwował naszą przeciętną publikę sądową, ten nie nabrał niewątpliwie zbyt korzystnego wyobrażenia o jej intelligencji i poczuciu moralnem. Wiadomo także, iż w teatrze publika śmieje się często, lub w inny sposób zdradza swoje niezrozumienie rzeczy i brak krytycnego zmysłu w ustępach, podczas których intelligenty widz oddech prawie wstrzymuje i wpada w zadumę. Podobne jednak beztaktowne i bezrozumne objawy w obec samej rzeczywistości, w sądzie, są o wiele przykrzejsze. A któż ich nie obserwował!

Zbytkiem taktu nie grzeszy również i dziennikarstwo. Panowie sprawozdawcy sądowi, wiedzieć by naprzód powinni, że rozprawa sądowa służyć ma przedewszystkiem

dla wykrycia prawdy nie zaś dla zabawienia gawiedzi. Rozprawa toczy się często dni kilka i sprawozdania czytają także panowie przysięgli, ton więc tych sprawozdań i sposób przedstawienia rzeczy może i na nich nie pozostać bez wpływu. Nie sądzimy zaś, ażeby korzystnie oddziaływały na publiczność i sędziów udramatyzowane fantasmagorje panów reporterów zatytułowane: „Potwory i t. p., w których często wątek sam tylko zaczerpnięto z sali sądowej. Kto ma gust i wolę pisywać kryminalne romanse, ten inne może, mniej szkodliwe znaleść miejsce po temu. Rozprawa sądowa, powtarzamy, której sprawozdanie ma być odbiciem, służy przedewszystkiem do wykrycia prawdy...

Sprawozdawcy przytem winni być przejęci tym duchem humanitarnym, jakim przejęte jest nowsze prawodawstwo kryminalne. Jeżeli pragną traktować sprawozdania, jako utwór sztuki, to niech będą przedewszystkiem realistami, i niech wleją weń pewien sens szlachetniejszy, pewną ideę, jaka ożywiać winna intelligentnego pisarza. Niech zaś przedewszystkiem znają i pojmują ducha nowoczesnego prawodawstwa, ażeby z nim nie stawali w kolizji i nie tworzyli przykrych dysonansów. Od czasu nieśmiertelnego ucznia encyklopedystów francuskich Beccarii i broszury jego (Dei delitti e delle pene — 1764), broszury przetłumaczonej na wszystkie europejskie języki, a której humanitarne tendencje znalazły następnie częściowe choć uwzględnienie w prawodawstwach — rozprawa karna służy przedewszystkiem dla wykrycia nie winy lecz niewinności domniemanego lub zdeklarowanego sprawcy zbrodniczego czynu; odkąd wyrzucono z izb sądowych tortury fizyczne, nie ma także miejsca i dla tortur moralnych, a osoba zbrodnicza nawet otoczona być winna humanitarnem współczuciem. Sąd patrzeć winien nie na czyny tylko, lecz na ich wewnętrzne pobudki, na cały psychiczny proces wewnętrzny, który zachodził w duszy zbrodniarza przy spełnieniu zbrodniczego czynu, na jego charakter i intencje. Trzeba mieć w pamięci głębokie, ludzkie badania Roberta Owena, który uczył, że człowiek, a więc i zbrodniarz jest wytworem otaczających go stosunków, i działa z pewną wewnętrzną koniecznością, o czem znowu poucza psychologia współczesna.

Tem zaś ważniejszem jest to tam, gdzie prawodawstwo zatrzymało jeszcze karę śmierci, zabytek sądów średniowiecznych, oparty na przestarzałej zasadzie, „ząb za ząb, oko za oko", która zastosowana do pojęć dzisiejszych, mogła by doprowadzić do niespodziewanych wcale dla zwolenników zasady jus talionis konsekwencyj...; tam nareszcie, gdzie instytucja sądów przysięgłych, swobodna prasa i opinia publiczna, ma wypełniać zastarzałe braki kodeksów, i martwą literą prawa natchnąć rozumną i humanitarną treścią współczesną.

* * *

Po kilkumiesięcznej przerwie przedstawiono znowu na scenie tutejszej nie starzejącą się dotąd komedję Beaumarchais'go „Wesele Figara." Nie mamy zamiaru pisać oceny gry artystów, którzy w niej występowali, możemy nawet powiedzieć, że rażących zbyt braków nie było. Nie oto nam jednak idzie. Chcemy zrobić tylko przy sposobności uwagę, że ilekroć patrzymy na nieśmiertelne dzieło francuskiego mistrza, przypominają nam się słowa zmarłego niedawno Hettnera, wypowiedziane z powodu „Cyrulika Sewilskiego i Wesela Figara" Beaumarchais'go. Otóż Hettner, najznakomitszy niewątpliwie badacz dziejów umysłowego rozwoju zeszłego wieku, w klasycznej swej „Historji literatury XVIII stulecia" powiedział, że wielką rewolucję francuską, w Paryżu przygotował właściwie Beaumarchais swemi komedjami. Wyrzeczenie to illustrują wymownie znane losy komedyj. Długo nie zezwalano na wystawienie „Wesela Figara", z powodu wycieczek przeciw istniejącemu porządkowi, licznie rozsianych w utworze Beaumarchais'go. Komedja czas jakiś kursowała w rękopiśmie, odczytywana i odgrywana poufnie w salonach liberalizującej arystokracji ówczesnej. Talent jednak w końcu zwyciężył. W roku 1784 król zezwolił na wystawienie komedji. Powodzenie było nieznane dotychczas w dziejach sztuki tetralnej. Lud paryski formalnie cisnął się do przybytku Melpomeny. Dano ni mniej ni więcej tylko 100 przedstawień z rzędu, co na stosunki teatralne ówczesne było rzeczą niesłychaną. Przedsiębiorca zarobił na Beaumarchais'm 500.000 — pół miliona franków, a i autor dostał honorarjum w pokaźnej summie 80.000 franków. Fakta te silnie popierają zdanie Hettnera.

Cóż jednak było powodem tego niezwykłego sukcesu? Nie mówimy o zaletach artystycznych komedji, o jej realizmie, akcji nader ożywionej, zręcznym i ciętym djalogu, co wszystko jaskrawo odbijało od klasycznych tragedyj Corneila i Rassyna, wykrochmalonych, sztywnych, przesadnych, których bohaterowie chodzili na koturnach. Zalety jednak artystyczne nie wytłumaczą nam jeszcze tajemnicy ogromnego wpływu komedyj Beaumarchais'go. Było tam jeszcze coś więcej, była treść współczesna, wiał w nich już duch, zasiany przez encyklopedystów i wiszącej już w powietrzu rewolucji. Do czasów Cyrulika i Figara bohaterowie rekrutowali się wyłącznie z klas uprzywilejowanych, lud nie godzien był tego zaszczytu, lud stał przy drzwiach. Syess jednak miał niezadługo powiedzieć, że stan trzeci był dotąd niczem, będzie zaś wszystkiem. W komedjach Beaumarchais'go lud ów jest już wszystkiem. Przedstawiciel jego, intelligentny, przebiegły i śmiały Figaro umie wszystko pokierować na swą korzyść, pan zaś jego hrabia Almaviva jest niedołężnym manekinem, który zachowuje już tylko pozory władzy i wpływu. Komedja zresztą przepełniona jest śmiałemi wycieczkami i alluzjami do stosunków ówczesnych, a Don Basilio nauczyciel fortepianu, i sędzia Don Guzman Brid - Oison w niezbyt pochlebnem występują świetle. Wszystko to czyni nam słowa Hettnera nader zrozumiałemi.

A teraz jedna jeszcze uwaga. Słuchając „Wesela Figara" mimowoli nasuwa się porównanie między komedjami Beaumarchais'go, a dzisiejszemi naszemi operetkami z wyraźną barwą satyryczną, z Offenbachem, Lecoqiem... Miejsce nie pozwala nam rozsnuwać bliżej jej analogji, intelligentny czytelnik sam ją sobie uprzytomni.

Pisarze dramatyczni mogą także uczyć się od Beaumarchais'go tajemnicy wpływu na spółczesnych. Trzeba tylko umieć uderzyć w właściwą strunę i ton odpowiedni wynaleźć...

* * *

Z Krakowa piszą do nas: „Wieczór tegoroczny na cześć Adama, śmiało można powiedzieć, wypadł o wiele świetniej, niż lat zeszłych. Najciekawsze było słowo wstępne p. Pawlikowskiego, prezesa Czytelni akademickiej. — Mowa owa, jak na „Słowo" trochę przydługa i rozwlekła — była niejako publicznem wyznaniem wiary młodzieży krakowskiej, reprezentowanej przez p. Pawlikowskiego."

„Mowca zcharakteryzował jej obecne hasła i dążności... Było to poniekąd odpowiedzią na zeszłoroczną mowę prof. Bobrzyńskiego, w której zaklinał on młodzież, by „czcząc i uwielbiając Adama" nie we wszystkiem szła za jego hasłami. P. Pawlikowski odpowiedział dziś, że młodzież nie może iść bezwzględnie za wszystkiemi hasłami „Ody" — mickiewiczowskiej, — bo od czasu jej stworzenia, świat o całych lat kilkadziesiąt postąpił, — że dziś nam raczej „zamiary podług sił", a nie „siły na zamiary" mierzyć wypada, że młodzież rozumie, iż nie powinna dla „marzenia" lub „szału" poświęcać... krytycznego i pozytywnego roz-

sądku — że więc z p o z o r u — rada słuchać rad podawanych jej przez przewódców, — to... z drugiej strony czyni to z innych pobudek... Młodzież czuje oddźwięk w swych sercach na hasła „w o l n o ś c i i r ó w n o ś c i“ — powtarza w duszy za poetą: „że jej z daniem wstrząsnąć bryłę świata“ — wie jednak, że naczelną dziś ideą jest „s i ł a“ — w jej moralnem, umysłowem i fizycznem znaczeniu — siła, przez którą dąb burzom i wiekom się opierał, a która nie pozyska się ani wiecznem marzeniem, ani też pustym frazesem „pracy organicznej“

„Po owem programowem wystąpieniu p. Pawl. — usłyszeliśmy przy końcu już wieczoru... widocznie „bezprogramową“ mowę prof. Smolki. Tendencje jej można streścić w tych słowach:

„Tu burzą się i kipią fale szerokiej i głębokiej rzeki, zwanej p a t r j o t y z m e m, — tam płyną z zachodu „mętne, wstrętne“ i i ludziom dobrej woli „niechętne“ wody... pozytywizmu, anarchii... rewolucji!!.. Chciałbym Was, młodzi przyjaciele, — przewieść pośrodkiem, ścieżką „rozsądku“ i karjery... — Byście jednak nie wpadli na dno rzeki (gdzie można życie i karjerę postradać) a nie obłocili się w rynsztoku materjalizmu, pozytywizmu etc. w tem cała trudność“...— I dla tego trudno mi się dobrze wygadać“ — dośpiewajcie sobie w duszy...“

„Odbył się tu także drugi uroczysty wieczorek akademicki... nie tyle już publiczny — bo w Czytelni akademickiej, w obec zapchanego szczelnie audytorjum młodzieżą uniwersytecką — i kilkoma gośćmi z miasta. Urzeczywistnienie „życzenia“ prof. Smolki — stanowiła obecność paru księży profesorów wraz z rektorem na czele... Prof. Smolki nie było... Dodać należy, że był to obchód rocznicy listopadowej.. Wśród miłego programu, urozmaiconego muzyką i deklamacją, obok przemówienia p. Pawlikowskiego — mniej więcej tej samej barwy i tendencji, co na wieczorze Mickiewiczowskim, — wyszczególniał się odczyt jednego z medyków, p. Łuszczkiewicza, zarówno świetną formą, jak zdrowem jądrem. Przebiegłszy zwięźle dzieje nasze porozbiorowe — scharakteryzował powstanie 1831 r. los jego i ostateczny upadek — i wykazał właściwe przyczyny, zarówno tego, że powstanie to nie może zwać się „rewolucją“, jak i tego, że powstanie takie, nawet przy innych warunkach pomyślnych, jakie były i jakich nie było, — upaść m u s i a ł o, bo nie było z niem największej siły narodu, l u d u. A lud nie miał zgoła interesu mięszać się do zatargów między swoimi gnębicielami, a gnębicielami swoich gnębicieli...“

„Wypadałoby jeszcze powiedzieć coś... o immatrykulacyjnej mowie ks. Pelczara, drukowanej w stańczy- i antistańczykowskich dziennikach. Swadą swą — tym razem więcej żółcio — niż miodopłynną — dotknął w niej ks. Rektor — wszystkie .. izmy, począwszy od pozytywizmu i indyferentyzmu religijnego, skończywszy na.. materjalizmie i nihilizmie, — i przestrzegając przed nimi młodzież, — w taki sposób umiał przedstawić... te molochy zachodniego barbarzyństwa, czyhające na zgubę ludzkości - - że gdyby mowę tę czytał lub słyszał najskrajniejszy z skrajnych radykałów, — dostrzegłby ze zdziwieniem, — że... są rzeczy na świecie s k r a j n i e j s z e jeszcze od niego!...“

* * *

Z Paryża piszą do „Przeglądu Tygodniowego:„ Kompanja eksploatująca telefony Edisona, nałożyła areszt na wyrób wszystkich tego rodzaju instrumentów, jako objętych patentem amerykańskiego wynalazcy. P. Ochorowicz umyślił wtedy spożytkować zasadę, którą dawniej był już wykombinował. Zawiera się ona w działaniu magnesu z oddalenia na prochy żelazne, niklowe, lub kobaltowe. Magnes zmienia układ molekularny metalicznego prochu, i reguluje prąd. Zbudowany na podstawie tej mikrofon, służy doskonale do przenoszenia głosu, i bodaj czy nie przewyższa wszystkie dotąd znane telefony pod tym względem, że z wzrastaniem odległości siła głosu słabnie bardzo nieznacznie. Wynalazek został w tych dniach ukończony, i natychmiast znalazł nabywców. Barbier, znany fabrykant elementów elektrycznych, kupił prawo wyrobu na Francję. Bankier Roosweld — na Anglję i Amerykę. Traktują także z p. Ochorowiczem o Niemcy i Austrję. Pomimo, że dziś dopiero (25. sobota) ostatecznie umowa zawartą została, jest już 2000 zamówień ze strony rządu, nie licząc prywatnej możności zbytu. P. B. Abakanowicz znowu, prócz wynalazków w dziedzinie elektryczności, eksploatuje wykrytą przez siebie zasadę cynematycznę, śruby o zmiennem nachyleniu gwintu. Przedstawiał on w roku zeszłym Akademii swój integrometr. W poniedziałek (27), profesor Bertrand przedstawi temuż ciału i n t e g r a t o r, mający z wielką korzyścią zastępować wszelkie planimetry. Prócz tego, pan Abakanowicz ma wkrótce wykończyć i t e g r a f, przyrząd do kreślenia krzywej całkowej.

* * *

Sprawa teatralna znowu poczyna się zaciemniać. Jak donosiliśmy, o teatr podał się były dyrektor p. Jan Dobrzański. Obecnie dowiadujemy, się o nowym konkurencie, pewnym dziewięcioupałkowanym Lovelasie. Jakto? Po konkursie? Gdzie indziej, w takich Niemczech, Francji lub Anglji byłoby to nie możliwem, ale cóż w Galicji stać się nie może? My nieodrodni przodków potomkowie, wszystko robimy — po swojemu!

ZAPISKI.

Literatura.

* L w o w s k a komisja historyczna Akademji umiejętności, uchwaliłana jednem z ostatnich posiedzeń przystąpić z Nowym rokiem do rozpoczęcia druków czwartego tomu „Monumentów“. Tom ten obejmie: Źródła pomorskie i pruskie, dalej żywoty świętych jak: Wojciecha, Jacka, Kingi, Salomei, Jadwigi, pięciu braci Eremitów, źródła klasztorne i kronikę Jana z Komorowa. Oprócz dra. Liskego, dra. Kętrzyńskiego, komisja zaprosiła na członków dra. Anatola Lewickiego i dra Fryderyka Papée, a odjeżdżającemu do Moskwy drowi A. Prochasce, poleciła zwrócić uwagę na źródła, znajdujące się w tamtejszych zbiorach, o ile zasługują na uwagę i uwzględnienie w Monumentach.

* Ostatni numer „Kłosów“ zamieszcza portret utalentowanej poetki Marji K o n o p n i c k i e j, oraz jej życiorys, kreślony piórem A. Pługa. Jest to pierwszy obszerniejszy artykuł, poświęcony osobie znakomitej poetki, o której dotychczas wiedzieliśmy nie wiele szczegółów.

* Nową powieść Daudeta p. t. „Evangeliste“ zaczął drukować w fejletonie paryski „Figaro.“

* Zasłużony i sympatyczny poznański pisarz ludowy J. C h o c i s z e w s k i, wydał znowu S k a r b c z y k p o e z j i p o l s k i e j d l a l u d u i m ł o d z i e ż y, i P i ś m i e n n i c t w o p o l s k i e w ż y c i o r y s a c h n a s z y c h z n a k o m i t s z y c h p i s a r z y d l a l u d u i m ł o d z i e ż y — w drugiem poprawnem wydaniu. Nie godząc się zawsze z zapatrywaniami autora i doborem niestosownych tematów w opowieściach ludowych — jak n. p. owa bajka „O dwunastu rozbójnikach“ przyznać trzeba, że p. Chociszewski jak umie i może służy gorliwie poczciwej sprawie oświecania ludu.

* Od „Koła polskiego“ z Pragi dochodzi nas pismo następujące:

„Koło polskie“ w Pradze, rozpoczyna 1. stycznia 1883 r. całkowite wydanie prac J. I. Kraszewskiego w czeskim przekładzie, które wychodzić będzie w zeszytach od 3 do 9 arkuszy druku. Wydawnictwo ma się rozpocząć utworami mniejszych rozmiarów od 3 - 6, albo od 6—12 arkuszy druku. Adres redakcji: Celestyn Frycz w Pradze, Wodczykowa ulica nr. 28.“

* „Mojmir“ dramat konkursowy Juljusza Turczyńskiego, odznaczony przed kilkoma laty w Krakowie jedyną nagrodą, wyszedł z druku. W dramacie tym

bohater, jeden z książąt nadłabskich, przedstawiony jest w walce z pokrewnymi książętami, kastą kapłańską i ludem — czując brak sił, łączy się on z wrogami Słowiańszczyzny — i na tem polega dramatyczność akcji. Autor „Mojmira" znany jest z swych prac dawniejszych „Kiejstuta", „Tragedji życia" „Rozbioru Dziadów" i t. d.

* P. W. Boberski znany pracownik w dziedzinie geologji, wydał w Warszawie małą broszurkę p. t. „Powstawanie gór i lądów". Oparty na najświeższych badaniach naukowych, autor przedstawia zajmującą kwestję w popularny sposób. Język rozprawki czysty i jędrny, a styl dla każdego zrozumiały — zalecają najnowszą pracę p. B. wszystkim, którzy nie obojętni dla tak ważnej umiejętności, jak geologia.

* Prześlicznie ilustrowane dzieło popularno-naukowe o ssakach, wydaje Bruckmann w Monachium. Autorem dzieła znany Karol Vogt, ilustratorem równie ceniony w swym zawodzie Fryderyk Specht. Całe dzieło w 25 zeszytach in folio po 1½ ark. w zeszytu ma być ukończone do Wielkiejnocy.

* Z Weimaru donoszą o wielkiem powodzeniu poetycznego dramatu Pawła Heyse'go „Alkibardes".

* W Lipsku nakładem Brockhausa wyszedł obecnie 3 tom objaśnień do Dantego „Boskiej komedji" p. t. „La divina Commedia di Dante Alighieri Riveduta nel testo e commentata da G. A. Scartazzini". Autor pracował lat ośm nad ułożeniem tego komentarza, który jest zbiorem a względnie streszczeniem wszelkich objaśnień, jakie dotychczas pojawiły się w języku włoskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Autor dodaje do nich własne uwagi, a obiecuje wydać jeszcze tom czwarty, który będzie zawierać historyczno-literackie prolegomena. Jest to dzieło jedyne w swoim rodzaju, mimo to, że Scartazzini studiując całą literaturę dotyczącą począwszy od Jacopo Lana aż do Gwalberta de Marzo, przyznaje, że niektóre części „Il paradiso" są dlań ciemne i wątpliwe.

* Pod tytułem „Slaves et Teutons" wyjść ma wkrótce dzieła Edwarda Marbeau w Paryżu. Nadesłany nam spis rozdziałów zawiera: 1) Walka nieuchronna między Słowianinem a Teutonem; 2) Ugrupowanie Słowian w Europie; 3) Przyczyny antagonizmu między Słowianami i Teutonami; 4) Punkta zetknięcia między Słowianami i Teutonami. Dalej idzie serja rozdziałów p. n. „Walka w Austrji". Rozdział XII nosi nazwę: „Niemcy w Galicji". rozdział XIII: „Język niemiecki w Galicji"; rozdział XIV: „Polacy w Galicji"; rozdział XV: „Stosunek Czechów do Polaków". Drugi szereg rozdziałów zatytułowany: „Walka w Prusach", zajmuje się wyłącznie polsko-pruskiemi stosunkami.

Teatr i muzyka.

* Coquelin bawi obecnie wraz z całem towarzystwem swojem w Odessie, zkąd udaje się dalej do Rosji, a po drodze zwidzi także Warszawę. O grze jego powiemy obszerniej w jednym z najbliższych numerów.

* Lecoq'a nowa operetka „Kosicki" dawana jest ciągle przy miejscach wyprzedanych w Wiedniu.

* W Burgu przedstawiony zostanie wkrótce nowy dramat Wilbrandta „Assinuta Leoni" Rolę tytułową gra Wolter. W tym samym teatrze odbywają się próby czytane z „Mentora" Fredry (syna).

* M. Guniewicz, muzyk i kompozytor zmarł w zeszłą sobotę w Poznaniu. Ze znanych jego dzieł zasługuje na uwagę oratorjum, zatytułowane: „Niewola Babilońska". Guniewicz posiadał talent niezaprzeczony, który gdyby miał czas rozwinąć się w pełni, byłby zajaśniał blaskiem nielada.

* W Manheimie, dnia 27 z. m. wystawiono na scenie tamecznego teatru drugą część „Fausta." Przedstawienie trwało od 5-ej godziny po południu do godziny 2-ej po północy. Publiczność przepełniająca teatr, ani na jedną chwilę oznakami niecierpliwości nie ubliżyła czci, należnej nieśmiertelnemu arcydziełu.

Sztuki piękne.

* „Przyjaciel sztuki kościelnej." Pod powyższą nazwą zacznie wychodzić od Nowego roku 1883 w Krakowie nowe pismo ilustrowane zeszytami, sześć razy na rok. Wydawnictwem tem zajmuje się towarzystwo Ś-go Łukasza.

* P. Stanisław Rostworowski, autor rysunku konkursowego do Balladyny, nagrodzonego przez krak. „Koło artystyczne literackie", otrzymał w Petersburgu patent ukończenia Akademji, oraz medal srebrny Iszej klasy. Takiż sam medal otrzymał jeszcze z polaków-malarzy p. Malinowski.

* Na wydziale architektury Akademji petersburskiej z pomiędzy Polaków medale srebrne Iszej klasy otrzymali: Mikołaj Tołwiński, Piotr Brukalski, Roman Kowalski i Eugenisz Brzozowski.

* Z Monachium donoszą, iż Defreger kończy obraz, odnoszący się również, jak dwa poprzednie, do walk z r. 1806. Tłum włościan kuje w skalnej pieczarze broń, iskry ulatują w powietrze i oświetlają scenę w głębi. Z przodu stoi barczysty chłop, który pracuje pilnie przy kowadle, grupę średnią zaś i główną tworzy kilkunastu wieśniaków, z ciekawością i przerażeniem słuchających wieści niewesołych widocznie, które opowiada chłopak stojący w środku o przebiegu boju. Wszystkie twarze ożywione są nadzwyczaj silnym wyrazem uczuć, głównym charakterem sceny jest zapał, gotowość do walki i poświęcenia ostatniej kropli krwi w obronie swoich. Znawcy stawiają obraz ten obok najlepszych kompozycyj artysty. Niedługo będzie on ukończony, a w przyszłym roku pojawi się z pewnością na międzynarodowej wystawie sztuki w Monachium.

* Nakładem Neffa w Stutgardzie, wyszły niewiemy już w którem wydaniu wspaniałe kompozycje genialnego M. Schwinda „Melusine" i „Sieben Raben".

* Wiedeńskie towarzystwo „für vervielfältigende Künste" wydało obecnie pierwszy zeszyt wspaniałego wydawnictwa „Palastbauten des Barockstyls in Wien", które przy pomocy ministerstwa oświaty wydaje arhitekta G. Niemann. Dzieło to obliczone jest na 8 zeszytów (40 tablic); tablice zawierają miedzioryty w formacie 48·62 cntm. Pierwszy zeszyt zawiera pałac ks. Schwarzenberga w 5 tablicach. W następnych zeszytach będą odwzorowane pałace ks. Kinskyego i Liechtensteina a dalej Burg cesarski, biblioteka nadworna, Belweder, gmach ministerstwa finansów itp. Cena zeszytu 6 zł.

* Rada zawiadowcza austr. „Kunstverein" utworzyła sekcję dla sztuki religijnej, która naznaczyła 2 osobne nagrody dla dzieł treści religijnej. Nagród 10 za rok 1882 przyznano: 1. premię cesarską wiejskiemu obrazowi Wilh. Richtera w Wiedniu: „Łowy dworskie na Węgrzech"; 2 i 3. premię ks. Koburgskiego pejzażom „Noc księżycowa" A. Riegera w Wiedniu i „W jesieni" H. Lipińskiego w Krakowie; 4 i 5 nagrody biskupie obrazom „Anioł stróż" H. Nigga i „Dobry pasterz" Ludwiki Cadecasa w Wiedniu; 6. premię ks. Schwarzenberga obrazowi M. Lenza „Neron nad zwłokami Agrypiny"; resztę nagród p. Kohlschütterowi w Dreznie Gustawowi Ranzoni, I. Hayerowi i Haunoldowi.

* U Weigla w Lipsku wyszło w nowem wydaniu ozdobne dzieło dr. Fr. Rebera „Die Ruinen Roms", w którem znajdzie każdy, chcący się zapoznać ze starożytnym Rzymem, mnóstwo szczegółów interesujących, ożywionych ilustracjami.

* W Kunstvereinie wiedeńskim zwracał na siebie szczególną uwagę znany z wystawy krakowskiej piękny obraz S. Buchbindera „Zygmunt III w pracowni złotniczej"; krytyka chwaliła szczególnie świetny koloryt obrazu, i oddawała należne uznanie charakterystyce postaci króla.

* Nakładem Duwinage'a w Berlinie wyszedł znakomity sztych N. Bartelmessa, z obrazu C. E. Böttichera, który pod tytułem „Wieczór nad Renem" przedstawia zabawną chwilę z życia kółka artystów niemieckich. Na obrazie przedstawiającym scenę hulaszczą, odrysowane są figury kilku znakomitych malarzy a mianowicie prócz samego Böttichera, portrety K. F. Lessinga, Karola Hübnera, Augusta Webera, Adolfa Seela, Karola Hertla, Ernesta Boscha i rytownika Fr. Vogla.

Archeologja.

* Muzeum Frauenberskie otrzymało kolekcję przedmiotów bronzowych, wykopanych z r. w dobrach Schwarzenberga; bronzy te mają według obliczeń prof. Smolika w Pradze, przeszło 2000 lat, a jest pomiędzy nimi 16 pierścieni o 214 mm. średnicy, niektóre z ornamentami w liniach, 542 pierścieni mniejszych gładkich, 3 sierpy, 2 wędzidła końskie, dzwonek o 63 mm. średnicy, czara z nakrywą, ozdobiona u dołu ornamentyką linij. Kolekcja ta będzie wystawiona przedewszystkiem w pałacu ks Swarzenberga w Wiedniu a prof. dr. Woldrich będzie mieć wykład o tych wykopaliskach.

Miscelanea.

—Udoskonalenie lamp elektrycznych spowodowało nietylko specjalistów, ale nawet i całe gminy większych miast do wypróbowania praktyczności tego

nowego rodzaju oświetlenia, do którego wprowadzenia jeden tylko powód stał na zawadzie, t. j. wzgląd na stosunkowo wysoką cenę światła elektrycznego. Aż do tego czasu jednakże nie przedsięwzięto prób na większą skalę, i dopiero w przeszłym miesiącu zdołano kwestję wyjaśnić w Berlinie, zaprowadziwszy oświetlenie elektryczne na placu Potsdamskim, i na jednej części ulicy Lipskiej od pl. Potsdamskiego do ulicy Fryderykowskiej.

Dla porównania siły i kosztów światła elektrycznego, oświetlono dalszą część ulicy Lipskiej t. j. od ulicy Fryderykowskiej do ulicy Kommendanten-Strasse, lampami gazowemi, (tak zwane regeneratory systemu Siemensa), podczas gdy prostopadle ulicę Lipską przerzynającą Fryderykowską, oświetlono z jednej strony światłem gazowem systemu Bray'a, z drugiej zaś strony ulicy oświetleniem gazowem systemu Lacearriere'a.

Tak więc na skrzyżowaniu dwóch ulic, z wyjątkiem ulicy pod Lipami, najznaczniejszych Berlina, t. j. ulicy Lipskiej i Fryderykowskiej, w czterech kierunkach cztery systemy oświetlenia się znajdują.

Lampy Siemensa są to lampy o wieńcu płomyków naokoło płytki ustawionych, która to płytka rozgrzana powoduje subtelniejsze zużytkowanie węglika, rozdzielonego w małych płomieniach gazu, co wywołuje większy efekt światła.

Dwa ostatnie systemy, Bray'a i Laccariere'a, są tylko skombinowaniem zwyczajnych płomieni gazowych.

Chcąc czytelnikom naszym przedstawić przestrzeń w Berlinie światłem elektrycznem oświetloną, powiemy: Powierzchnia placów wynosi 70 arów (585 kwadratowych prętów), a długość wymienionych części ulic wynosi 880 m. ($412\frac{1}{2}$ sążni), przestrzeń natomiast ulicy 110 arów (920 kwadr. prętów). Przy tych rozmiarach plac oświetlony jest 13tu lampami systemu Siemensa, powierzchnia ulicy 23 lampami, każda o sile światła 400 świec normalnych (13 na 1 kg). Lampy te zastępują 105 latarń, konsumujących 0195 m. sz. na godzinę o sile gazu 17 świec.

Podług kontraktu z firmą Siemens et Halske, oświetlenie elektryczne od zmroku aż do północy kosztować będzie w przeciągu roku t. j. 1900 godzin 26,040 marek czyli 13,70 marek za godzinę.

Przy ścisłem obliczeniu wypada oświetlenie jednego aru (mniej więcej $8\frac{1}{3}$ prętu kwadratowego) na godzinę 7,61 pf., podczas gdy światło gazowe (przy dotychczasowej cenie, $13\frac{1}{3}$ pf. za metr kub., 3 m za 1000 stóp sześć) kosztuje przy oświetleniu tej samej przestrzeni 1,52 pf. Światło elektryczne jest więc przy wymienionych cenach w Berlinie 5 razy drorższe od gazowego.

Obliczywszy jednakże siłę światła elektrycznego, których 39 płomieni przedstawiają siłę światła podług wymienionych danych 36 pomn. na 500 =18000 świec normalnych, podczas gdy w porównanie wzięte 205 płomieni gazowych posiada siłę światła tylko 105 pomn. na 12=1786 rot 1800 świec reprezentują, przekonywamy się, że pięć razy droższe światło elektryczne 10 razy silniej oświetla aniżeli światło gazowe, czyli, że jeżeli chcemy równie silnie przestrzeń jaką oświetlić, światło elektryczne jest o połowę tańsze od światła gazowego przy użyciu zwyczajnem jednopłomiennych latarni.

Jest to wynik na poważnych cyfrach oparty i nie ulegający żadnej wątpliwości.

Lampy tak zwane regeneratory Siemensa, oświetlają 600 m. (280 sążni), długą część Lipskiej ulicy. Na tej przestrzeni ustawionych jest 54 regeneratorów, które pochłaniają na godzinę i płomień 0,75 kub. metr. ($31\frac{1}{3}$ st. sz.), przy sile światła 130 — 160 świec normalnych. Po północy świecą te same lampy, zużywając na godzinę tylko 0,4 kub. m. ($16\frac{3}{4}$ st. sz.).

Ponieważ oświetlona powierzchnia zajmuje 75 arów (627 pr. kw.), wypadają koszta oświetlenia jednego aru na godzinę przed północą 7,20 pf., a po północy 3,84 pf.

Porównawszy z światłem elektrycznem przychodzimy do przekonania, że do oświetlenia 880 m. długiej przestrzeni 23 lampami, potrzebaby było przy tych samych kosztach oświetlenia 79 lamp Siemensa, któreby razem dawały siłę światła — przeciętnie biorąc 79 pomn. na 145=11,455 świece st. pórownane z siłą 22 lamp elektrycznych dających siłę światła 23 pomn. na 500=11,500 świec, przedstawia równą siłę światła przy równym prawie koszcie 7,61 względem 7,20 pf. Ostatnie liczby pokazują, że światłem gazowem możemy przestrzeń równie silnie oświetlić przy tym samym, a może cokolwiek mniejszym koszcie, jeżeli użyjemy regeneratorów Siemensa.

Naturalnie zależne jest to od ceny i dobroci gazu.

Podnieść tu tylko musimy wpływ systemu lampy na siłę światła. Regeneratory Siemensa, spotrzebowując 750 lamp gazu, dają siłę światła równającą się mniej więcej130 świecom, czyli że siłę światła jednej świecy dostarcza 5 litrów, podczas gdy zwyczajny płomień o sile 17 świec potrzebuje 1951, czyli siłę światła jednej świecy wywołuje dopiero 11,5 l. innemi słowy w regeneratorach Siemensa gaz przeszło dwa razy więcej światła daje, niż zwyczajne płomienie latarni.

Próby z dwoma wymienionemi systemami lamp Braya i Lacarriera, wykazały, że w żadnym stosunku ceny oświetlenia zwyczajnym płomieniem gazowym nie zmieniają, i że przy równej sile światła są od oświetlenia elektrycznego dwa razy droższe, że zaś równać się nie mogą z regeneratorami Siemensa.

Chociaż porównania zrobione są tylko z jednym rodzajem lamp elektrycznych, uważać jednakże można próby berlińskie za rozpoczęcie walki między światłem elektrycznem a gazowem.

Znaną jest rzeczą, że pająki posiadają słuch wykształcony w nader wysokim stopniu, a doświadczenia Boysa wykazały ten fakt nader dosadnie. Od tego czasu jednak czyniono w tym kierunku doświadczenia z innymi owadami, a Graber doszedł do dość zdumiewających rezultatów. Według niego najbardziej delikatny słuch posiada karaluch (Blatta germanica.) Jeżeli wypuścimy na wolność schwytanego karalucha i pociągniemy po strunach skrzypiec, wstrzymuje się on nagle i słucha dłuższy czas dłuższy. Przy drugiem doświadczeniu włożył Graber kilka sztuk do słoja szklannego, i pociągnął nad niemi smyczkiem po skrzypcach. Owady zaczęły latać jak szalone, a te, które się już wydostały na górę, pospadały na dno. Przy doświadczeniu trzeciem naturalista oślepił karalucha i przywiązał go za nogę na nici. Owad długi czas wisiał nieruchomy, ale rzucać się począł gwałtownie, gdy w odległości metra od nici poruszono smyczkiem po strunie, a po chwili wisiał głową na dół. Drugie pociągnięcie smyczka wywołało tylko lekkie drganie, ale po kilku godzinach okazywał karaluch takąż samą czułość na dźwięki, jak przedtem. Kilka gatunków chrząszczy i much okazywały również drażliwość na muzykę, u mrówek i u pędraka (kryzalida chrabąszcza majowego) niezauważył naturalista nasznajmniejszej drażliwości na dźwięki.

Z owadów, żyjących w wodzie czynił Graber w akwarjach doświadczenia na pająku wodnym (coriza). Mają one zwyczaj kilka minut utrzymywać się spokojnie na powierzchni wody leżąc na grzbiecie i oddechając. W razie podrażnienia jednym susem nóg wiosłowatych umykają w głąb wody. Jeżeli uderzono więc delikatnie rurką szklanną o brzeg akwarjum, pająki w jednej chwili biegały po wodzie jak szalone. Chcąc się przekonać, czy powodem tego zamięszania nie jest równoczesne poruszenie wody, badacz okrążał długim pręcikiem leżące spokojnie na powierzchni pająki, ale to wszystko ich nie zaniepokojało; okropne wrażenie zaś czynił na nich dźwięk dzwonka, sprowadzony za pomocą takiego samego pręcika; wszystkie w jednej chwili poczynały uciekać, co powtarzało się również po wydobyciu najwyższych tonów ze strun wiolinowych, począwszy od trzykrotnie przekreślonego *d*. Niemniej wielkie wrażenie robiło staccato, lub silne pizzicato, a uderzenie młotkiem w szybę szklanną po nad akwarjum, doprowadzało stworzeńka do rozpaczy. Badanie innych owadów wodnych było połączone z trudnościami. Większa ich część schowana w mule lub pod liściem roślin wodnych, rzadko kiedy ukazuje się na powierzchni, chociaż badania dowiodły, że niektóre gatunki wodnych chrząszczów (Laccophilus, Laccobius) czułe sę także na dźwięki. Inne przeciwnie zdają się nie posiadać wcale organu słuchu.

Treść:

Obchód odsieczy wiedeńskiej.
Wdowiszewski: Intratna posada.
Stebelski W.: Po pogrzebie.
Realizm w powieści (Szkic literacki) (dok.)
Młoda matka (dok)
Wzory przemysłu domowego.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Wydawca: *Bolesław Spausta.*

Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 12. We Lwowie dnia 15. Grudnia 1882. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Reklama.

Piśmiennictwo nasze perjodyczne, mimo wszelkich wad zarzucanych mu słusznie i niesłusznie, wcale jest dobroduszne. Gdzie indziej pozyskanie tego lub owego organu prasy, połączone jest z zachodami i kosztami — a u nas najczęściej wystarcza dobre słowo, nawiązanie przyjacielskich stosunków, i drobne wpływy zakulisowe. Są wyjątki, ale o tych należałoby mówić w artykule zatytułowanym, „Sprzedajność"... To cośmy powiedzieli, ujawnia się najdobitn,ej w t. z. reklamie, w robieniu rozgłosu tej lub owej osobie, temu lub owemu dziełu, bez poprzedniego krytycznego zbadania, albo też wręcz temu, czy w ogóle na to zasługują.

Weźmy przykład. Przyjedzie jakiś koncertant, o którego muzykalnych zdolnościach nic świat nie wie; „rzuca się" jak to mówią „we frak", przychodzi do tej lub owej redakcji, kłania się nisko, wygłasza kilka banalnych komplementów — i oto nazajutrz czytamy: „Pan X. nader utalentowany i sympatyczny wirtuoz, który z najświetniejszem powodzeniem koncertował we wszystkich znaczniejszych miastach Europy i Nowego Świata, przyjechał do naszego grodu i wystąpi z koncertem. Spodziewamy się, że muzykalna nasza publiczność pospieszy tłumnie na koncert p. X. aby podziwiać grę jego, pełną wysokich artystycznych zalet. Program koncertu zawiera kilka wyborowych numerów"...

Nadszedł koncert i pokazało się, że p. X. rzępoli niemiłosiernie, wyszło da[lej] na jaw, że owe wielkie miasta europejskie, w których występował, nazywają si[ę] Tarnopol i Kołomyja — ale cel został osiągnięty. Sala była nabita, a wśród sykań dawały się słyszeć oklaski.

Inny przykład. P. Y. napisał zbiorek wierszy od siedmiu boleści, zatytułowanych „Jęki i dźwięki" czyli „Dumania przed zgonem". Rozumie się, że egzemplarze opatrzone stosowną dedykacją, rozesłał do wszystkich redakcyj. Żaden z dziennikarzy nie wziął do ręki tej zdumiewająco zajmującej publikacji, mimo to za protekcją pana Z., który zna cioteczną siostrę pewnego recenzenta, pojawiła się w dziennikach następująca notatka: „Na ubożuchnej niwie naszej poezji, osieroconej przez wielkich mistrzów słowa, wystrzelił w tych dniach kwiatek świeży a bujny, o barwach tęczy i czarownej woni. Domyślą się czytelnicy, że mamy tu na myśli zbiorek poezyj p. Y. pod skromnym, a tak ponętnym tytułem „Jęki i Dźwięki". Było prawdziwą klęską dla naszej literatury, że p. Y. tak długo trzymał w tece swoje utwory, że tak długo jak skąpiec, ukrywał swój talent przed wiadomością ogółu. To jedno tylko mamy mu do zarzucenia; ale przebaczamy mu ten błąd, będący wypływem młodzieńczej skromności. Utwory poetyckie zamieszczone w zbiorku, którego tytuł podaliśmy powyżej, odznaczają się świeżością myśli, prześlicznym językiem, wybornem obrazowaniem, patrjotycznem ciepłem, i wysoko nastrojonem uczuciem.Do najlepszych utworów zaliczamy sentym entalny wierszyk p. t. „Skacząca żabka" „Umierający Filon" i „Rozmowa róży polnej z harbuzem". Spodziewamy się, że p. Y. który już tym zbiorkiem stanął w rzędzie wybitnych naszych wieszczów, niedługo nam każe czekać na nowe płody swej niewinnej Muzy"...

P. Y. przeczytawszy tę reklamę zbzikował in puncto poezji, a choć ma wielki talent do kaligraficznego odpisywania odezw sądowych. nic nie robi, tylko pisze dalej „Dumania przed zgonem," a kilku ludzi, którzy kupili jego wiersze, na polecenie przytoczonej recenzji, klną go na czem świat stoi, za wyrzucone za okno pieniądze.

Wypada nam jeszcze pomówić o innego rodzaju reklamach. Są to reklamy, robione

przez ludzi zajmujących wybitne w literaturze stanowisko, a nadużywających w tym kierunku wyrobionej swej reputacji. Znaliśmy tu we Lwowie pewnego głośnego pisarza, który z czystej dobroduszności chwalił i wynosił pod niebiosa każdego, który się tylko pięknym ukłonem lub zręcznym komplementem o to postarał. To też w krótkim czasie napłodził on w Galicji tylu „wielkich ludzi,“ że się między nimi trudno było przecisnąć. Albo nasz dostojny jubilat? Niech n. p. „Samorząd“ wystosuje list do niego, a natychmiast otrzyma odpowiedź, której nie omieszka wydrukować, mniej więcej takowej treści: „Samorząd“ — to wielka rzecz — to starosłowiańska przeszłość — to przyszłość nasza. Poczciwą myśl powzięliście. Pismo wasze czytuję z rozkoszą. Przyjmijcie staro— polskie „Sczęść Boże!“ I cóż się okazuje? Oto, że w owem piśmie niema ani przeszłości ani przyszłości, że nie można go czytać z rozkoszą, bo niema sensu, a z tego powodu Pan Bóg niema się niem dla czego tak specjalnie opiekować — słowem że to wszystko „Ignacy — a Ignacy nic nie znaczy“.. U Kraszewskiego ta dobroduszność w robieniu reklam doszła do takiego stopnia, że niema niedołęgi umysłowego, któremuby nie przyznał choć szczypty talentu, nie ma złego którego w danym razie by nie usprawiedliwiał...

Drugim pisarzem, który także lubi robić reklamy, tylko nie tak bezwzględnie pochlebne, jak Kraszewski, jest p. Lam. Utalentowany lwowski humorysta ma swe sympatje i antypatje, a wiedząc, jaką wagę ma jego słowo, usiłuje wmówić czasem w publiczność, że czarne jest białem, a białe czarnem. Ponieważ u nas mało ludzi zastanawiających się krytycznie, udaje mu się w niejednego wmówić, n. p. że „Szczutek“ ma więcej dowcipu od „Różowego Domina“, że wszystkie zdrojowiska europejskie są niczem w porównaniu z Morszynem i t. d.

Wszystkie te rodzaje reklam, które wymieniliśmy, są w wysokim stopniu demoralizujące i szkodliwe, a to zpowodu, że podnosząc niezasłużenie ludzi, którzy nie warci tego, obniża się tem samem rzetelne zasługi, a powtóre, że publiczność traci wiarę w prawdomowność tych, którzy powinni być właśnie kapłanami czystej niczem nieskalanej prawdy. To też postanowiliśmy sobie z otwartą przyłbicą i stanowczo walczyć przeciw tej ujemnej stronie naszej publicystyki, a mamy pewność, że zdrowa część publiczności stanie po naszej stronie.

Intratna posada.

Nowela.

Napisał W. I. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy)

Po wyjściu majstra dzieci zwlokły się z tapczana, i postawały koło pieca.

— Rozpal ogień Zygmuś — przemówił Tadeusz do najstarszego chłopca, wyjmując z kieszeni pęk wiór stolarskich i zapałki.

Wezwany zabrał się z zapałem do tej pożądanej operacji, a dwaj młodsi przypatrywali się, pomagając.

— A u ciebie w piecyku zapalić?—spytał palacz.

— Nawet się nie masz o co pytać — przemówiła matka, otwierając drzwi do przyległej izdebki. — Daj zapałki, ja sama rozpalę.

— Dobrze mamo, ale pod warunkiem, że dziś Jadzia z dziećmi będzie spała u mnie, a ja z mamą tutaj... i z umarłymi. Nam to nie zaszkodzi...

- Tylko dzieci mój Tadziu — cichutko wtrąciła Jadwiga — ja z wami...

— Odkądże to panna siostra wyemancypowała się z pod mojej komendy?—rzekł Tadeusz łagodnie, głaszcząc płowe włosy siostry. Będziesz spała z dziećmi...

— Jak każesz, mój drogi...

— Tylko życzę sobie...

Podczas tego, matka wyszła do sąsiedniej izby zapalić w żelaznym piecyku, za nią wysunęły się dzieci, zadowolone z rozkazu brata tem więcej, że prędsze rozgrzewanie się żelaznego pieca, dawało im zapewnienie wczesniejszej przyjemności ciepła.

Brat i siostra zostali sami — z umarłymi.

Tadeusz chodził po izdebce, Jadwiga wodziła za nim oczami. Postać jego, w niskiej izbie wydawała się olbrzymią. Był też istotnie wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, bardzo kształtny, a twarz jego inteligentna zdradzała dojrzałość nad wiek, i nikt patrząc na tę energiczną postawę młodego chłopca, nie byłby uwierzył, że miał dopiero lat dwadzieścia. W ruchach przebijała stanowczość charakteru — siła woli, i widać było że nie „w pieluchach marzeń“ ale wśród twardej, znojnej pracy, wśród troski i nędzy wyrastało jego ciało, dojrzewała dusza. Na jego postaci musiało się z przyjemnością zatrzymywać oko kobiet; — oko siostry spoglądało z bezgranicznem przywiązaniem.

— Tadziu! zawołała cichutko Jadwiga.

Chodzący zatrzymał się — rękami przetarł oczy, jakby się ze snu budził, i przystąpiwszy ku miejscu, gdzie siedziała siostra, stanął obok jej fotelu tak blisko, że ze sobą szeptem rozmawiać mogli, nie będąc słyszanymi w sąsiedniej izbie.

— Tobie zimno, Tadziu...

— Mnie gorąco, moja droga, strasznie gorąco...

— Tak długo cię niebyło..

— Goniłem za zarobkiem,.. Ale nigdzie — no, nigdzie go nie znalazłem... Wszystkie, nawet najmniej popłatne miejsca zajęte... Na jednę posadę djurnisty stu kompetentów... Bez protekcji ani rusz... A gdzież jej szukać? Odprawiają ładnemi słówkami, nadziejami, obietnicami — ale na razie możesz zginąć z głodu... Każą bezpłatnie praktykować, i to za pozwoleniem wyższej władzy... Czysta ironja!..

— A u hrabiego byłeś?

— Byłem. Potrzebuje wprawdzie sekretarza, ale ten musi umieć doskonale po angielskn. Obiecywałem nauczyć się tego języka w przeciągu kilku miesięcy, ale nic nie pomogło. On chce, by jego sekretarz zaraz jutro pisał mu po angielsku memorjał jakiś... Sfiksował na uczoność. Polemizuje osobiście z Darwinem... Idjota!..

— Więc cóż będzie mój kochany bracie...

— Będzie co ma być... Pobrniemy biedą dalej... Dobrze, że choć dziś zaspokojone — do pojutrza nie pomrzemy z głodu — jest chleb... Sekretarz magistratu obiecał dać mi do roboty jakieś statystyczne wykazy, zestawienia, wprawdzie licho płatne, ale lepszy rydz jak nic... Obiecał obiecać!.. I to pociecha... Tymczasem sprzedałem paletot na chleb, drzewo, naftę i trumny... Zapłaciłem za nie naprzód, aby się pieniądze na co innego nie rozeszły... I znowu jestem bez grosza...

— A w domu już nic niema sprzedać...

— A tak — niema! powtórzył Tadeusz jak echo...

— Chyba... gdyby... powiedziała po chwili nieśmiało Jadwiga.

— Mów odrazu, nie cedź po słówku.

— Twoje biurko i szafkę...

— Ależ z największą chęcią, tylko wyprawmy matkę choć na godzinę z domu, bo ona woli i siebie i nas zamorzyć głodem, niż sprzedać moje rzeczy. Znasz przecie ten błąd matczynego serca...

Tak... tak... dajmy pokój tym zamiarom. Biedne matczysko gotoweby życiem przepłacić tę sprzedaż...

— A jednak coś wymyśleć musimy. Grosza trzeba... Zaraz jutro wypada iść zgodzić dwa groby. Trzeba grobarzowi zapłacić za nie, a ja nie mam złamanego szeląga... Chyba im sam grób wykopię...

—Tadziu! —Jadwiga złożyła ręce błagalnie i spojrzała z wyrzutem na brata.

— I cóżby było dziwnego moja droga... Niechby kielich goryczy był pełny i do dna spełniony... Ale cicho, matka wraca..—Podszedł ku niej. — Moja matusiu, czasby był położyć się trochę. Wszakże mama trzy noce oka nie zmrużyła...

— Niech się pierwej dzieci położą...

— Wszakże dopiero wstały. Będą sobie gwarzyć koło piecyka, a mama się zdrzemnie na mojem łóżku. Ja tutaj dzieci obdzielę kromkami... Moja mateczko złota — połóż się.,.

Trudno było oprzeć się prośbie swojego ulubieńca — jemu nigdy i nic nie odmawiała. To też wkrótce w pokoiku syna spoczęła na łóżku; dzieciaki siedząc koło piecyka zajadały spore kromki chleba, a w pierwszej izbie — obok umarłych — gwarzył szeptem brat ze siostrą o przyszłej doli i niedoli... A przedstawiały się one nie w ładnych barwach, ale owszem pokazywały smutne, groźne oblicze; w obec nich milkły najskromniejsze żądania, przycichały wszelkie marzenia — z po za tajemniczej zasłony przyszłości wyzierały ku młodym sercom upiory głodu i nędzy...

A szepty rodzeństwa były tak ciche, że w izbie słychać było wyraźnie poświst wiatru przez ściany, dźwięczenie szybek u okien i spadanie kropli deszczu z pułapu na podłogę...

— — — — — — — — — —

Nazajutrz — gdy matka jeszcze spała prawie o świcie — wysunął się z izby Tadeusz. Wyszedł tak wcześnie, aby matka zbudziwszy się, nie kazała mu wziąć paletota na siebie.

W nocy deszcz ustał, wybrało się na pogodę. Dzień obiecywał być chłodnym, ale nie dżdżystym. Tadeusz błądził bez celu po ulicach miasta, aby doczekać ósmej. Gdy ta wybiła na ratuszowym zegarze, był już u bramy cmentarza.

Siedziało tam już kilka żebraczek, a przed domem grobarza stało kilku mieszczan i grabarze z łopatami.

Tadeusz również tam pospieszył.

— Czy pan też przyszedł po grób? zapytał go jeden z mieszczan.

— Po dwa nawet — odpowiedział.

— To pan źle trafił, jak i my... mówił tenże sam mieszczanin. — Właśnie nam powiedzieli grabarze, że pan grobarz umarł nagle na tyfus, i niema komu przyjąć zapisu.

— A to porządek dopiero! oburzał się inny — to kalkulacja!

— Że tam panu grobarzowi podobało się umrzeć, to my przez to nie mamy mieć grobów...

— I do tego za nasze własne pieniądze...

— A to ci porządek magistracki...

— Bodaj ich wciurnascy...

— Musimy stać przed drzwiami jak jakie fagasy pana grobarza... Widziane to rzeczy?

— Moi panowie — przemówił Tadeusz — przecież nieboszczyk nie winien, że czekać musimy. Dajcież mu spocząć, nie wyzywajcie go. Niech kto pobiegnie do magistratu i doniesie co się stało. Przyszlą kogo z urzędu i zarządzą co potrzeba. Umarli czekać nie mogą. Przepis wymaga pogrzebania zmarłych do trzech dni.

— Ma się wie — wymaga. Dobrze pan mówią... A no, leć ty Macieju...

— Oho! zaraz! Albo ja to magistratowi wynajął nogi czy co?

— Pewnie! Zaraz na wysługi! Albo ja głupi!..

— Więc ja biegnę sam — bo mnie pilno...

I Tadeusz odszedł szybko. Młode nogi niosły go prędko. Nie minął kwadrans, gdy stanął w biurze sekretarza magistratu i oznajmił mu o śmierci grobarza.

— A to nas urządził! zerwał się ze stołka dygnitarz magistracki. — W taki czas umierać! Codziennie 15 do 20 pogrzebów! Bo to i ospa i tyfus! To się wybrał stary dureń. Nie mógł zaczekać!.. A tu jak na złość nie ma odpowiedniego kandydata...

— Czyż tak trudno o grobarza? zapytał Tadeusz.

— Pewnie że trudno, bo to niezbyt przyjemne zajęcie. Brrr!?...

— Jakichże kwalifikacyj żądacie panowie?..

— Uczciwości i znajomości czytania i pisania poprawnie.

— A jakież ma obowiązki?

— Nadzorować cmentarz, utrzymywać go w porządku; pilnować prawidłowego wybierania grobów, wyznaczać je według następstwa lat, i prowadzić książkę umarłych i pogrzebanych.

— A płaca grobarza?

— Stałej on niema. Ale pobiera za to taksy od grobów, dość znaczne; ma dochody z utrzymywania i przystrajania nadgrobków. O! to panie ładne dochody, tylko że nieprzyjemne. Żyć z umarłych! Brr!.. Kogo by to dać na miejsce nieboszczyka? Rzecz nie cierpi zwłoki...

I zafrasowany sekretarz przemierzał biuro wielkiemi krokami, mając ręce w tył założone.

Tadeusz patrzył na niego z dziwnym jakimś uśmiechem, a im dłużej patrzył, tem czoło jego stawało się pogodniejsze, oczy traciły wyraz ponurego smutku.

— Od kogo zależy, panie sekretarzu, nadanie tego miejsca? spytał Tadeusz.

— Od Zwierzchności gminnej a właściwie od burmistrza, odpowiedział zapytany nie przestając chodzić.

— A czy ja mógłbym je otrzymać?

Sekretarz stanął jak piorunem rażony i błędnemi oczami spojrzał na pytającego, jakby go niezrozumiał...

— P... a... n...?

— Tak, ja.

— Żarty! zaśmiał się sekretarz.

— Najszczersza prawda — powiedział Tadeusz z naciskiem.

— Ale żarty panie Tadeuszu, ty akademik — grobarzem?

— Nie żartuję, panie sekretarzu — ja proszę o to miejsce..

— Ależ to niemożebne! — oburzył się dygnitarz.

— Dlaczego? Czyż nie jestem dość ukwalifikowany?

— Ależ to czyste warjactwo!..

— Panie sekretarzu, mam na głowie utrzymanie rodziny z pięciu osób złożonej, a nie mam grosza. Dlaczegoż nie mam być grobarzem?

— Ależ zastanów się panie Tadeuszu... Masz przed sobę taką piękną przyszłość, zdałeś tak świetnie maturę...

— Która mi się nawet na to nie zdała, aby otrzymać miejsce djurnisty w jakim urzędzie. Wszyscy mi mówią o świetnej przyszłości, a o nędznej teraźniejszości nikt wiedzieć nie chce... Nie pyta mnie nikt, czy mamy co jeść dzisiaj, ale obiecuje mi uczty rozkoszne kiedyś... kiedyś, gdy rosa oczy wyje...

— I pan byś tak łatwo zrzekł się marzeń o przyszłości?

— O swojej bez wahania, byle rodzinie zapewnić przyszłość.

— Więc pan na serjo opierasz się przy swojem grobarstwie?

— Ja proszę o nie, jak o największą łaskę...

— Chodź pan do burmistrza, rzecz skończy się w dwóch słowach... Mnie pana żal, serdecznie żal, ale za to miasto cieszyć się powinno... A to curiosum — dodał biorąc kapelusz z pulpitu. — Maturzysta grobarzem! Jeszcze mi to się w życiu nie przytrafiło... (D. n.)

Ostatni raz!

Drżące mi gwiazdy rzekły nad Sanem
„Pamiętaj nas!“ —
Gasnąc w zamgleniu złoto różanem
Ostatni raz!
I cicho wsiąkły jedna po drugiej
W niebieski sklep —
A przed mem okiem rozwił się długi
Piaszczysty step!
Drzewa szeptały w głuchym rozgwarze
Posępną wieść,
Że znów po obcych światów obszarze
Mam — ból mój nieść!
I wpatrywały się zamyślone
W ubiegły czas...
A wiatr im zrywał liści koronę —
Ostatni raz!
I wodne lilje wybiegły blade
Nad srebrny staw —
I na tajemną wezwały radę
Gromadkę traw!
I coś... w zmąconą patrząc się wodę
Wróżyły wraz —
A dzień się ubrał w smutną pogodę
Ostatni raz! —
I w brylantowe marzeń po dwoje
Wolne od skaz —
Duch tęskne loty skierował swoje
Ostatni raz!
Żegnając łzami, co serce palą
Ten cudów świat —
Co się unosił nad życia falą,
Jak lilji kwiat!
U nóg mi padły ostatnie liście
Uwiędłych róż, —
Zachód w purpurze płonął ogniście
Ostatni już! —
Po raz ostatni zabrzmiał w przestrzeni
Wieczorny dzwon —
I obwieściły hymny jesieni
Natury zgon!...
Ziemię owiały — cisze cmentarzy
I zimne mgły...
Pod ich dotknięciem, na mojej twarzy
Przystygły łzy!
Nim tak i serce długiem cierpieniem
Skrzepnie na głaz —
Ach! dziś Was jeszcze żegnam westchnieniem
Ostatni raz!..

Marja B.

Louis Blanc.

Któż nie znał w Paryżu sławnego człowieczka o śniadej, oliwkowej twarzy, z dużem ciemnem okiem, ciskającem błyskawice, krępej budowie i silnej postawie, w ubraniu nader prostem, zaniedbanem prawie i z ręką wetkniętą za klapę tużurka? Ten południowiec, tak mały, że mu na mownicy zawsze podstawiano stołek, aby go widzieć można z za balustrady, niepokaźny i skromny, a głosem miękkim i łagodnym raczej do kobiety podobny, ten „h o m u n c u l u s“, jak go nazywał Proudhom, to nie kto inny tylko „L a t o u r d'A u v e r g n e p r a c y“, czyli — jak się sam najchętniej nazywał: „P i e r w s z y z r o b o t n i k ó w F r a n c j i“, to L o u i s B l a n c, przewodniczący obradom w „parlamencie robotniczym“ w pałacu Luxemburskim.

Podobnie do tylu innych znakomitości francuskich, i Louis Blanc był obcego pochodzenia, był południowcem. Urodził się w Madrycie (d. 28. Paździerika 1813 r.) z matki korsykanki (sławnego rodu Pozzo di Borgo) i do 7. roku chował się w Korsyce. Ojciec jego był wychodźcą francuskim w czasach wielkiej rewolucji, i wrócił do Francji w r. 1820 wraz, dwoma synami z których jeden (Karol) stał się później sławnym malarzem, drugi zaś to właśnie Louis. Louis Blanc wróciwszy do Francji, chodził naprzód do gimnazjum w Rodez, skąd w r. 1830 przybył do Paryża dla — zarobku.

Siedmnastoletni wówczas młodzieniec, pełen zapału dla studjów, z talentem rokującym świetną przyszłość, widział się zmuszonym pójść z a c h l e b e m. Ojciec jego z upadkiem Burbonów stracił swoją pensję, i nie mógł utrzymać synów. Młody Blanc rzucony na bruk paryski, bez doświadczenia praktycznego, bez przyjaciół, do tego figurą swoją zupełnie do dziecka podobny, znalazł się w położeniu rozpaczliwem, i w tej to chwili niezawodnie uczynił ową przysięgę Hanibala, o której później wspominał, będąc u szczytu swojej sławy. Tę to chwilę swego życia miał on na myśli, gdy na posiedzeniu komisji dla spraw robotniczych, z d. 29. kwietnia 1848 r. powiedział do kolegów: „Jestem dzieckiem ludu. Tak przyjaciele, w młodości mojej wycierpiałem wiele — więcej niezawodnie niż wy wszyscy; i ja byłem ubogim, i ja byłem zmuszonym szukać zarobku w pocie czoła mego; i ja uczułem na sobie brzemię tego świata, źle urządzonego. Przeto dzieckiem niemal jeszcze będąc, powiedziałem sobie: Przysięgam w obec Boga i sumienia mego, gdybym kiedykolwiek powołany został do uporządkowania tych urządzeń społecznych, to nie zapomnę, że byłem jednym z najnieszczęśliwszych dzieci z ludu, że mnie społeczeństwo ugniatało! Przeciw ustrojowi społecznemu, który unieszczęśliwia tylu braci moich, uczyniłem przysięgę Hanibala“.

Nietrudno uwierzyć, że gorący młodzieniec uczynił ślub taki, jeśli się zważy, że przez cztery lata (1830-1834) zmuszony był utrzymywać się częścią z zapomóg od krewnych, częścią z przepisywania i z lekcyj. W końcu po dwuletnim pobycie w Arras, gdzie był guwernerem, i próbował pióra swego w piśmie „P r o p a g a t e u r d u P a s- d e C a l a i s“ i otrzymał nawet nagrodę tamtejszej akademji za trzy wierszowane utwory, — uczynił Blanc to, co czyni tylu innych utalentowanych młodzieńców, niemogących znaleść odpowiedniego zarobku: z o s t a ł d z i e n n i k a r z e m! W r. 1834 ukazały się pierwsze artykuły jego pióra w dzienniku „L e B o n S e n s“ którego odtąd był stałym współpracownikiem.

Los jego był rozstrzygnięty: utorował sobie drogę do przyszłej wielkości politycznej, ale też ściągnął na siebie, klątwę ciężącą na zawodzie dziennikarskim. Ciągle a u q u i v i v e, ciągle na usługi publiczności, miotany od przedmiotu do przedmiotu, rozstrzeliwając swe siły na tysiące i tysiące drobnostek, dziennikarz niema prawie chwili, gdzieby mógł skupić swe myśli, gdzieby mógł zgłębić jakiś przedmiot, dotrzeć do jądra jakiej kwestji

Tak to absorbuje człowieka nieszczęsna beczka Danaid, zwana dziennikarstwem, i nie jeden zmarniał już geniusz, skazany na jej obsługę. Mało bardzo jest takich, którzy będąc dziennikarzami, zdołali jeszcze zająć się badaniami naukowemi, najrzadszymi zaś wyjątkami są dziennikarze, którym się udało nowe odkryć prawdy naukowe.

Do takich to wyjątków niezawodnie należy Louis Blanc. Jego teorja trzech okresów dziejowych, rozwinięta w historji rewolucji francuskij, — jego wywód o zgubnym wpływie wolnej konkurencji i nauki ekonomji menczesterskiej, to bez wątpienia wielkie zdobycze na polu naukowem. Lecz pewnem jest niemniej, że jego teorja rewolucji dziejowej była genialnie wprawdzie ale jakby od niechcenia tylko rzuconą, a później dopiero przez i n n y c h zagłębioną i rozszerzoną, a zaś teorja o „organizacji pracy“, jakkolwiek oparta na nieporównanie bystrej krytyce obecnego ustroju społecznego, tak była niedostatecznie wypracowaną, że sam autor znalazłszy się nagle na czele „p a r l a m e n t u r o b o t n i c z e g o“, i mając w ręku wszelką władzę urzeczywistnienia swoich marzeń o uszczęśliwieniu klas pracujących, nie wiedział, jak się do rzeczy zabrać, i robił wrażenie lunatyka, co dostawszy się we śnie na szczyt dachu, nagle został obudzonym, lub (jeśli to porównanie za śmiałe) człowieka, który nauczywszy się trochę pływać, naraz się znalazł na pełnem morzu. Nabraliśmy tego przekonania, odczytując znakomitą mowę, którą wygłosił Louis Blanc d. 10. marca 1848 wobec 250 robotników, wezwanych przez komisję rządową do wyboru delegatów. „Mamże wyznać wam“ — rzekł on — „przyjaciele, że w chwili, gdy mnie zamianowano prezesem tej komisji

(dla spraw robotniczych), serce moje zadrżało z radości i dumy, jakkolwiek zastrasza ogromem swoim to pytanie, które mamy rozwiązać. Miałżebym odrazu znaleść się w pośród tych robotników, których los był przedmiotem najdroższych starań moich. Przy nich i z nimi, miałbym pracować nad urzeczywistnieniem myśli, które przedtem powierzać mogłem tylko książkom, nie wiedząc, czy kiedykolwiek tryumfować będą, Tak, przyznaję, przez chwilę czułem niezmierną dumę. Jeśli to niesłuszne, przebaczcie mi; jest to szczęściem mojego życia. A teraz przystąpmy do określenia prawdziwej istoty naszej misji. Troskliwie i z zamiłowaniem studjować pytania, które dotyczą moralnej i materjalnej poprawy waszego losu; wyniki formułowac w projekty do ustaw, które po przyjęciu przez rząd uchwalone będą przez zgromadzenie narodowe, oto zadanie komisji dla robotników . . . . . Będzie tu chodzić o właściwe zniesienie niewoli, o niewolę ubóstwa, ciemnoty, występku, o niewolę robotnika, który niema schronienia dla swego ubogiego ojca; córy ludu, która, aby wyżyć oddaje się występkowi w szesnastym roku; dziecięcia z ludu zakopanego żywcem w przędzalni w 10. lub 12. roku. Czy to wszystko jest tak zgodnem z istotą rzeczy ludzkich, żeby szaleństwem aż było wierzyć, iż ono kiedyś się zmieni? Któż śmiałby to twierdzić, bluźniąc tem postępowi? Skore społeczeństwo jest złem, to je przemieńcie!.. Znieście niewolę! Lecz, jeszcze raz powtarzam, niemasz nic trudniejszego, nic coby wymagało głębszego badania i większej ostrożności...“

Z umysłu przytoczyliśmy dłuższy ustęp z tej mowy, jako wielce charakterystyczny dla usposobienia autora. Tak nie przemawiają ludzie, którzy mają już pewne, urobione zdanie o kwestji, i plan działania, z którym przystępują do praktyki. To nie styl Bismarków ani Lassalle'ów; to nie mowa ministra, który inauguruje nowy system,—najwięcej członka kongresu socjalistów lub „przyjaciół pokoju.“ Całe też działanie „parlamentu robotniczego“ streszcza się w bezustannem wahaniu między teorją a praktyką, i w teorji najskrajniejsze żądania równości i braterstwa, a w praktyce — łatanina na tle starych urządzeń, i poszanowanie nawet dla różnych świętości starego rządu. Pierwszą kreacją praktyczną Blanca, był projekt mieszkań robotniczych, do których jednak wstęp mieli tylko robotnicy legalnie żonaci *)

Inaczej też być nie mogło, bo teorja socjalizmu naonczas była w pieluchach, a nawet takie części jej, które dziś są przyjęte za pewniki naukowe, były jeszcze przedmiotem zaciętej polemiki między samymi socjalistami. Chwila do praktycznego zastosowania teorji“, jeszcze nie była nadeszła.

*) Ob. Augsb. „Alg. Ztg.“ nr. 81 z r. 1848.

Nadto Louis Blanc miał licznych wrogów. Sami członkowie rządu prowizorycznego starali się oto, aby mu jego zadanie jak najbardziej utrudnić, aby go skompromitować. Wiadomo że t. z. Warstaty narodowe“ były pomysłem wroga jego, ministra robót publicznych p. Marie, obliczonym tylko na to, aby do absurdu doprowadzić teorję „organizacji pracy“ i aby wytworzyć armję przeciw samemu jej przedstawicielowi i jego stronnikom. Owocem tych niecnych zabiegów były dwa razy zamachy na życie Louis Blanca, a w końcu dzień 16 czerwca, stanowiący jedną z najbrzydszych kart w dziejach Francji.

Jakkolwiekbądź jednak zdaje nam się, że Louis Blanc byłby szczęśliwszym w stosowaniu swojej teorji do danych warunków, gdyby był mężem stanu, a byłby zupełnie zaniechał tego zamiaru, gdyby był tylko badaczem naukowym; poszedł zaś inną drogą, dlatego, że był — dziennikarzem.

Mimo niepowodzeń swoich, oddał Louis Blanc znakomite usługi sprawie wolności. Śmiało powiedzieć można, że całej rewolucji lutowej on swoją potężną indywidualnością nadał sygnaturę. Wpływ jego na klasę robotniczą w kilka lat po rewolucji lipcowej, był tak wielkim, że gdyby to w ogóle było możebnem, byłby z pomocą zastępów robotniczych sam rewolucję zrobił; lecz rewolucje się nie „robią“; one jak burze — spadają z elementarną siłą, skoro się nagromadzi palny materjał. Materjałem tym prócz korupcji rządu, była straszna ilość i nędza proletarjatu roboczego, i dlatego rewolucja 1848 r. miała charakter wybitnie socjalny. Dzieła historyczne Blanca a mianowicie „Historja lat dziesięciu“ i „Historja rewolucji francuskiej“ wiecznie żyć będą, jako wzory historjografji i jako klasyczne zbiorniki poglądów szczerze demokratycznych, a jego „Organizacja Pracy“ pomimo swych niedostatków, stała się podstawą, na której później Marx i inni oparli znakomite swe badania socjologiczne. Część zwłaszcza krytyczna tej małej książeczki, potępienie wolnej konkurencji i wyzyskiwania, zawiera tyle prawd w oczy bijących, że dziś już nawet rządy nie mogą się im oprzeć, i biorą w obronę warstwy słabsze wobec wszechwładzy kapitału. Niektórzy nazywają Louis Blanca „ojcem nowoczesnego socjalizmu“. Jest to prawdą o tyle, o ile jego krytyka obecnego ustroju społecznego posłużyła za punkt wyjścia nowszym teoretykom socjalizmu. Różniły zaś Louis Blanca od typu tych socjalistów dwa mianowicie charakterystyczne punkta w jego poglądach: Louis Blanc był narodowcem i zwolennikiem silnej władzy państwowej. Gdy w r. 1871 delegaci komuny paryskiej jawili się przed zebraniem w merji drugiego okręgu paryskiego, aby się porozumieć co do wyborów, Louis Blanc unosząc się gniewnie zawołał: „Jesteście powstańcami przeciw zgromadzeniu wolno obranemu (w Wersalu). My, mandatarjusze prawowici nie możemy traktować z rokoszanami. Chcemy zapobiedz wojnie domowej, lecz nie chcemy uchodzić za waszych pomocników w oczach Francji.“ *)

W r. 1848 i później Louis Blanc ściągnął na siebie liczne gromy ze strony kolegi swego i antagonisty Proudhoma, właśnie z powodu jego adoracji dla silnego rządu. Proudhom nazywał go małym Robespierrem (Aborton de Robespierre), a w czasie rewolucji pomawiano go nawet o zachcianki dyktatorskie.

Louis Blanc, jako prawowierny uczeń Jana Jakóba Rousseau, kierował się przeważnie uczuciem. Uczuciowość jego dochodziła do tego stopnia, że popełniał przez to najgrubsze błędy polityczne. On to głosował w zgromadzeniu narodowem przeciw banicji synów Ludwika Filipa i — Ludwika Bonapartego, tego samego, który później podpisał dekret skazujący Blanca przez trybunał w Bourges za rzekomy udział w manifestacji 15. maja (na rzecz Polski!). „Logika republikańska, — mówił on w Izbie — nie dopuszcza, aby syn był karany za ojca.“**) — Lecz Louis Blanc głosował także za zniesieniem kary śmierci i obstawał za Polską, a w r. 1878 gorąco bronił amnestji dla uczestników komuny, którą tak był przedtem potępił.

* * *

Staraliśmy się w tym krótkim szkicu scharakteryzować działanie i umysł człowieka, którego Francja uczciła pogrzebem na koszt narodu. Był on za życia przedmiotem licznych napaści, a i po śmierci trafił go już niejeden zarzut. Rzecz naturalna, bo płynął przeciw wodzie, walczył z obecnym porządkiem rzeczy.

Lecz cokolwiek bądź mu zarzucą, to pewna, że całe życie poświęcił sprawie ludu, sprawie ogólnej. O takim człowieku śmiało powiedzieć można:

He was a man!

Ludwik Inlender.

*) Lissagaray „Histoire de la Comune“.

**) Louis Blanc, Pages d'histoire de la Revolution de 1848.

KOCI RAJ.

Bajka przez Emila Zolę..

I.

Miałem lat dwa, i byłem bezwątpienia najtłustszym i najnaiwniejszym ze wszystkich kotów. Już w tak młodym wieku miałem uprzedzenia, i gardziłem lubością domowego ogniska. A przecież jakąż wdzięczność winien byłem opatrzności, że umieściła mię u pańskiej ciotki! Poczciwa kobieta mię uwielbiała. W komodzie miałem urządzoną sypialnię, poduszkę z miękkiego puchu i trzy kołdry. A żywność była godna łoża; nigdy nie widziałem chleba, nigdy zupy, zawsze tylko mięso, wyborne mięso, soczyste...

A przecież, pośród tego życia pełnego słodyczy, miałem jedno pragnienie, jedno marzenie... wymknąć się przez okno i skoczyć na dach. Pieszczoty zdawały mi się mdłe, miękkość mego łoża sprzykrzyła się, byłem tłusty tak, że ciężyłem sam sobie i nudziłem się przez dzień cały z samego... szczęścia.

Trzeba wam wiedzieć, że wyciągnąwszy szyję widziałem z okna dach przeciwległy. Cztery koty bawiły się na nim z naszczurzoną siercią, z mordkami otwartemi tarzały się na płytach siwego łupku, oświetlonego promieniami słońca, wydając okrzyki radości. Dotychczas niewidziałem nigdy coś tak nadzwyczajnego. Odtąd przyszedłem do innego przekonania. Szczęście prawdziwe było tam na dachu, za tem oknem, które zamykano starannie. Wyobrażałem sobie, że w ten sposób zamykano drzwi spiżarni, gdzie chowano mięso.

Postanowiłem uciec. Na świecie musiało być przecież coś lepszego od krwistego mięsa. Było to coś nieznanego, był to ideał. Pewnego dnia zapomniano zamknąć okno od kuchni, a ja skoczyłem na mały daszek, który był pod oknem.

II.

Jakiż ten dach był piękny! Pokrywały go szerokie gonty, wydające cudowne wonie. Szedłem z rozkoszą po tych gontach, a łapy moje grzęzły w delikatnym pyle, ciepłym i miłym nieskończenie. Zdawało mi się, że chodzę po aksamicie. Słońce przygrzewało, paliło prawie i przypiekało mi tłuszcz pod siercią.

Nie będę ukrywać, że drżałem na całem ciele. Radość moja była połączona ze strachem. Przypominam sobie szczególnie jedno wrażenie, które omal nie strąciło mnie na chodnik. Trzy koty, spuszczając się z dachu przeciwległego, szły ku mnie miaucząc okropnie. A kiedym mało co nie upadł, zaczęły mię traktować jak ostatnie bydlę i rzekły, iż miauczą ze śmiechu. Miauczałem więc z nimi razem. Było to rozkoszne! Zuchy te nie miały takiej miny głupiego tłuściocha jak ja. Drwiły sobie ze mnie, kiedym ślizgał się jak kula po płytach cynkowych, rozpalonych od słońca. Stary kocur, jeden z tej bandy poprzyjaźnił się ze mną. Ofiarował się, że weźmie mię na wychowanie, co przyjąłem naturalnie z wdzięcznością.

Ah! jakże pieszczoszek ciotki waszej był ograniczony! Piłem wodę z rynny i nigdy mleko z cukrem nie wydało mi się tak słodkie. Wszystko wydawało mi się piękne i dobre. Kotka nadeszła, prześliczna kicia, a na jej widok obudziło się we mnie nieznane dotąd wzruszenie. Tylko w marzeniach sennych widziałem dotąd te śliczne stworzeńka, których figurka nie ma nic sobie równego. Ruszyliśmy na spotkanie przybywającej razem, we czwórkę. Wyprzedziłem inne, chciałem złożyć uszanowanie moje prześlicznej koteczce, gdy nagle jeden z mych towarzyszy ukąsił mię boleśnie w kark. Wydałem jęk boleści.

— Bah, bah! — rzekł do mnie stary kocur wstrzymując mię, zobaczysz dość innych.

III.

Po godzinie przechadzki uczułem głód wilczy.

— Cóż wy tu jecie na dachu? — zapytałem towarzysza.

— Co się znajdzie, — odpowiedział stary kocur tonem profesorskim. Odpowiedź ta wprowadziła mnie w kłopot. Szukałem wszędzie, ale nic nie znalazłem. Nareszcie spostrzegłem w mezaninie młodą robotnicę przygotowującą sobie śniadanie. Na stole pod oknem leżał śliczny kotlet, nader apetytnego koloru.

— To moja rzecz, pomyślałem w naiwności mojej.

I skoczyłem na stół i pochwyciłem kotlet. Ale robotnica spostrzegła mnie i spuściła na grzbiet mój okropnej wielkości miotłę. Upuściłem mięso, a umykając rzuciłem straszne przekleństwo.

— A więc nie udało się? rzekł do mnie kocur. Mięso leżące na stole jest na to, aby zapalać naszą pożądliwość. Jedzenia trzeba szukać w rynnie.

Nie mogłem nigdy pojąć tego, że mięso w kuchniach nie jest własnością kotów. Żołądek mój zaczął się dopominać na serjo. Kocur doprowadził mnie do rozpaczy mówiąc, że trzeba czekać nocy. Tymczasem zeszliśmy na ulicę i przewracaliśmy kupki śmiecia. Czekać nocy! Mówił to spokojnie jak stoik zatwardziały. Ja zaś na samą myśl, że post ten będzie trwać dłużej, upadałem z osłabienia.

IV.

Powoli nadeszła noc, noc mglista, która mnie przeniknęła do kości. Wkrótce deszcz zaczął padać, cieniuchny, zimny, pędzony gwałtownymi podmuchami wiatru. Zeszliśmy po zgniłych progach schodów. Jakże brzydką zdawała mi się ulica! Nie było tu już owego ciepłego pyłu, słońca palącego i dachu białego od światła, gdzie tak było rozkosznie. Łapy ślizgały mi się po wilgotnym chodniku. Z goryczą wspomniałem sobie trzy kołdry i poduszeczkę z puchu.

Zaledwie znaleźliśmy się na ulicy, kiedy przyjaciel mój zaczął trząść się ze strachu. Kurczył się i kulił, i sunął się wzdłuż kamienic, mówiąc abym spieszył za nim. Kiedy znalazł drzwi otwarte, chował się szybko do sieni i mruczał zadowolony. Pytałem go o powód ucieczki.

— Widziałeś tego człowieka, który niósł kosz i hak? pytał.

— Widziałem.

— Otóż ten człowiek zobaczywszy nas, byłby nas zadusił i zjadł na rożenku!

— Zjadł na rożenku? — zawołałem. A więc ulica nie jest dla nas? Nie jemy nic, a możemy być zjedzeni!

V.

Tymczasem wyrzucono śmiecie z kamienic na ulicę. Rozrzucałem te kupy i znalazłem dwie lub trzy suche kosteczki, leżące w popiele. Mój towarzysz kocur rozgrzebywał te kupy artystycznie. Kazał mi tak biegać aż do rana, zwidzając każdy rynsztok. Przez 10 godzin przeszło siekł mię deszcz, drżałem na całem ciele. Przeklęta ulica, przeklęta wolność! Jakże tęskniłem za mojem więzieniem!

O świcie, kocur mój, widząc, że się słaniam na nogach:

— Masz dosyć tego? — zapytał mnie zdziwiony.

— Ah, dosyć, dosyć, — odparłem.

— Chcesz wrócić do domu?

— Zapewne, lecz jak go odnaleźć?..

— Chodź że, chodź, Z rana widząc cię wychodzącego, poznałem, że taki kot — pasibrzuch jak ty, nie jest stworzony do zażywania wolności. Wiem, gdzie mieszkasz odprowadzę cię do bramy.

Mówił spokojnie, zacny ten kocur, a gdyśmy przyszli na miejsce:

— Do widzenia! rzekł, nie okazując najmniejszego wzruszenia.

— Nie, nie, — zawołałem, — w ten sposób się nie rozejdziemy. Pójdziesz ze mną. Będziemy dzielić ze sobą łóżko i jedzenie. Pani moja jest poczciwa kobiecina...

Nie dał mi dokończyć.

— Zamilknij, — rzekł surowo, — jesteś głupiec. Ja umarłbym w waszych miękkich puchach. Opływasz we wszystko,

ale życie takie dobre dla kotów bastardów. Koty wolne nie kupują za cenę niewoli mięsa ani poduszki puchowej... Bywaj zdrów... I odszedł na dach. Widziałem zdala chudą jego figurę drżącą z radości pod ciepłem promieniem wschodzącego słońca.

Kiedy wszedłem, ciotka pańska chwyciła rózgę i dała mi lekcję, którą przyjąłem z głęboką radością. Cieszyłem się, że mi ciepło i że zostałem zbity. W chwili, gdy mię biła, myślałem z rozkoszą o mięsie, które mi rzuci później.

VI.

— Widzisz pan, zakończył kot mój, wyciągając się przed kominkiem, — prawdziwem szczęściem, rajem prawdziwym, mój panie, jest być zamkniętym i bitym nawet tam, gdzie jest także mięso. — Mówię to o kotach tylko...

Przejście Wenery przez tarczę słońca.

napisał

Dr. K. Hertz. *)

Dzień 6 grudnia pamiętnym będzie w historji astronomii, gdyż tego dnia miało miejsce zjawisko, które powtórzy się dopiero za 122 lat, a mianowicie dnia 8 czerwca 2004 r. Jeżeli to zjawisko niebieskie znane pod nazwą przejścia Wenery przez tarczę słońca, jest już ciekawem z powodu swej rzadkości, to staje się ono niezmiernie ważnem z tego względu, że służy do wyznaczenia odległości ziemi od słońca. Zadanie o wyznaczeniu odległości ziemi od słońca należy do najważniejszych i najtrudniejszych zadań astronomii. Ważność jego polega na tem, że odległość ta stanowi jednostkę do mierzenia wszystkich odległości niebieskich, tak że błąd w wielkości odległości ziemi, od słońca, odbija się we wszystkich innych pomiarach niebieskich.

Nie znając ścisłej wartości promienia drogi ziemskiej, nie znamy też ani promieni dróg innych planet, ani średnic ich, ani też odległości gwiazd. Co więcej, błąd co do tej jednostki zasadniczej, daje też błędne rezultaty przy obliczaniu biegu ciał niebieskich. Gdyby nasze dane były zupełnie ścisłe, to analiza matematyczna dałaby nam możność obliczenia na wieczne czasy zarówno przeszłych jak i przyszłych położeń ciał naszego układu i warunków, odnoszących się do ich dróg. Lecz najmniejsze błędy co do tych danych, chociaż nie wpływają na wypadki odnoszące się do epok nie bardzo oddalonych od chwili obecnej, to jednak z biegiem czasu potęgują się i dają wypadki zupełnie niezgodne z rzeczywistością. Tak np. mała niepewność odnośnie do odległości ziemi od słońca, czyni wątpliwemi wszelkie wnioski mogące być wyprowadzonemi z rachunków biegu ziemi, odnośnie do epok odległych na kilka tysięcy wieków. Otóż, ponieważ niektóre zadania nauk przyrodniczych, a szczególnie geologii wymagają ścisłej znajomości warunków biegu ziemi w epoce odległej na kilka milionów lat, więc nic dziwnego, że astronomowie starają się wyznaczyć odległość ziemi od słońca z największą ścisłością.

Odległość tę wyznaczyć bardzo łatwo, jeżeli tylko znaną będzie pewna wielkość, znana pod nazwą paralaksy słońca. Dla wyjaśnienia czytelnikowi, co to jest paralaksa słońca, i w jaki sposób ona może służyć do wymierzenia odległości ziemi od słońca przypomnimy sposób używany przez geometrów dla wyznaczenia na ziemi odległości punktu niedostępnego. Wiadomo, że w tym przypadku obiera się na ziemi pewną długość nazwaną podstawą, którą się jak najściślej oblicza i za pomocą teodolitu wyznacza się kąty, j kie linie prosto poprowadzone od końców podstawy do punktu nieprzystępnego tworzą z podstawą. Znając te dwa kąty, możemy też bardzo łatwo znaleźć kąt, jakie te proste tworzą ze sobą w punkcie nieprzystępnym. Poznawszy zaś te kąty, możemy na zasadzie twierdzeń geometrycznych lub trygonometrycznych, obliczyć szukaną odległość punktu nieprzystępnego. Tę samą metodę można też zastósować przy obliczeniu odległości ciała niebieskiego. W tym celu należy na ziemi obrać sobie dwa punkty dość od siebie odległe, i jednocześnie wyznaczyć, jakie położenie względem zenitu zajmuje owe ciało niebieskie w dwóch punktach obranych. Wyznaczywszy to położenie, możemy bardzo łatwo znaleźć kąt, jaki proste poprowadzone od ciała niebieskiego do dwóch stanowisk na ziemi tworzą pomiędzy sobą. Znając zaś ten kąt i odległość dwóch stanowisk na ziemi, możemy obliczyć odległość ciała niebieskiego. Gdy chodzi o odległość słońca, należy wyznaczyć kąt, jaki tworzą ze sobą w słońcu proste poprowadzone do środka słońca ze środka ziemi i z punktu na ziemi, dla którego słońce w danej chwili wschodzi. Otóż ten kąt nazywa się p a r a l a k s ą s ł o ń c a. Jeżeli wyobrazimy sobie trójkąt prostokątny utworzony promieniem ziemskim, prostą styczną do ziemi i przechodzącą przez środek słońca, i prostą łączącą środki ziemi i słońca, to znając paralaksę słońca i promień ziemi, bardzo łatwo możemy obliczyć odległość ziemi od słońca. Promień więc ziemski znamy bardzo dokładnie, pozostaje nam zatem tylko obliczyć paralaksę słońca.

Bezpośrednie wyznaczenie tej paralaksy sposobem wyżej wspomianym nie prowadzi do ścisłych wypadków, a to z powodu nadzwyczajnej jej małości — nie jest ona bowiem mniejszą od 9". Dotychczasowe obserwacje i pomiary dały wypadki zawarte pomiędzy 8". 75 i 8". 88, lecz ta mała różnica wynosząca zaledwie 0". 3 daje wypadki różniące się pomiędzy sobą o półtora miliona kilometrów. Otóż niemogąc bezpośrednio wyznaczyć paralaksy słońca, astronomowie starali się podać metody pośrednie, oparte na różnych zasadach. Ze wszystkich tych metod najlepszą jest metoda podana w roku 1677 przez znakomitego astronoma angielskiego, Halley'a, i polegająca na obserwowaniu czasu przejścia planety Wenus przez tarczę słońca. Nim przystąpimy do bliższego wyjaśnienia metody Halley'a, musimy zwrócić uwagę na to, że paralaksa słońca wchodzi prawie do wszystkich rachunków astronomicznych, poczynając od tych, które się odnoszą do układów gwiazdowych i budowy wszechświata i kończąc na tych, które się odnoszą do wyznaczenia miejsca, jakie zajmie księżyc w pewnej epoce, za pomocą którego to wyznaczenia obliczamy długość geograficzną na morzu.

Metoda Halley'a zasługuje na najwyższy nasz podziw, gdyż za jej pomocą zamiast mierzyć kąt wynoszący zaledwie kilka sekund, dość jest wyznaczyć czas, wynoszący przeszło piętnaście minut. Rozumie się samo przez się, że w niniejszym artykule nie mogę podać wszystkich szczegółów metody znakomitego astronoma i muszę się ograniczyć na wskazaniu głównej jej zasady. Niekiedy zdarza się, że tak nazwane planety wewnętrzne, to jest te, które się znajdują pomiędzy słońcem i ziemią (Merkury i Wenus) przy ich niższem złączeniu (t. j. gdy środki słońca, planety i ziemia znajdują się na jednej prostej i w porządku takim, że planeta znajduje się pómiędzy ziemią i słońcem) przechodzą przez tarczę słońca, i wtedy z ziemi widziane przedstawiają się na tarczy słonecznej jako bardzo wyraźne czarne okrągłe plamy.

(Dok. nast.)

---

*) Ciekawy ten i wyczerpujący artykuł pozwoliliśmy sobie wyjątkowo umieścić z ostatniego numeru warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego". (P. R.)

Wzory przemysłu domowego.

II.

Garncarstwo słynęło u nas z lat dawnych. Przemysł domowy powstawał wszędzie tam, gdzie tylko znalazła się obfitość gliny odpowiedniej, a w XVI, XVII i XVIII wieku zakładano w rozmaitych miejscach fabryki naczyń polewanych, tz. kamiennych, a nawet fajansu i porcelany. Ale wyrób ten opłacał się tylko tak długo, póki przy ulepszeniu dróg komunikacyjnych nie spotkał się z konkurencją zagranicy. Dziś w niektórych miejscowościach tylko wyrabiają naczynie proste a tanie, potrzebne do domowego użytku, któremu nie szkodzi żadna konkurencja dlatego, że po prostu szkodzić mu nieopłaci się nikomu.

Były jednak i takie miejsca, gdzie dawna utrzymała się tradycja, gdzie tajemnica malowania naczyń i ozdabiania ich szklistą polewą zachowała się, gdzie jednem słowem garncarstwo stało na stopniu dawnej świetności. To zwróciło uwagę naszych przemysłowców, a wskutek kilku wystaw, na których wyroby te zdunów wiejskich zajęły poczesne stanowisko, wzięto się do zakładania szkół garncarskich.

Czy te szkoły doprowadzą do pożądanego rezultatu, trudno dziś orzec. To pewna, że znane nam dotąd wzory świadczą, iż gałęź ta przemysłu mogłaby się u nas bardzo pięknie rozwinąć. Naczynia kosowskie w ogóle dowodzą, że nam nie brak dobrego materjału na wyroby ceramiczne, a niektóre arcydzieła Aleksandra Bachmińskiego (którego życiorys i portret podano w serji V Wzorów przemysłu domowego.) znane pod nazwiskiem majolik kosowskich, są przykładem jasnym, że włościanom naszym, nie brak także wrodzonego gustu i poczucia piękności linij ornamentacyjnych, jak i umiejętności przyozdobienia naczyń, i nadania im polewy, i szkoła może tu uczynić bardzo wiele jako kierowniczka, a w danym razie dostarczycielka pięknych wzorów. Ona może podać garncarzom wiejskim pomocną rękę nietylko w wyuczeniu ich sposobów, używanych przy wyrobach podobnych gdzieindziej, ale dostarczyć im potrzebnych przyrządów, a w końcu ułatwić zbyt dalszy wyrobom.

Na dwunastu tablicach serji V, zamykającej wzory wyrobów garncarzy kosowskich, pomieszczono trzy dzbanki, dwa lichtarze, flaszki i bukłaski, miski, garnek i kubek. Jakkolwiek wyroby te nie są zupełnie ściśle kopiowane z natury, i jakkolwiek rysownik widocznie starałsię linie ich przyprowadzić do pewnego stylu, każdy przyznać musi, że pomiędzy temi naczyniami są rzeczy bardzo piękne, mogące iść śmiało w porównanie z wyrobami zagranicznemi. Nie jedno z nich kształtem przypomina wyroby ceramiczne greckie, a zadziwia ornamentyką, która łączy z prostotą nadzwyczajną szlachetność linij. Przypatrzmy się jeno dzbanowi z nakrywką (Tab 2), a przyznać musimy, że odznacza on się nie tylko wysmukłością kształtów, ale i doborem dekoracyj, które u szyi dzbana bardzo pięknie udają zdobną niby w wisiorki zasłonę, a łączą się wybornie w jedną całość z wieńcem, otaczającym w okół brzuszek dzbana.

Również podobać się musi każdemu kształtny lichtarz (Tab 5.), ozdobiony gustowną ornamentyką, złożoną z krzywych linij, plecionki i punktowań, a narzucony u podstawy wypukłemi guzami, niby klejnotami. W lichtarzu tym są rozmiary mało co nie powiemy architektoniczne, a przedewszystkiem wiele poczucia rysunku. To samo dałoby się powiedzieć o miskach, a zwłaszcza też o misce, której głąb przedstawia stylistycznie narysowany kwiat, wyrastający, z kształtnego dzbanka. (Tab. 8 b.) tudzież o drugiej w której motywem ornamentacyjnym jest krzyż bardzo pięknie skombinowanyz gwiazdą a wreszcie i o puharku ozdobionym kielichami kwiatów (czyż może być piękniejszy motyw do ozdoby kubka czy kielicha, jak kielich kwiatu?), nakoniec o miseczce należącej do garnituru (!), z gwiazdą po środku a wiotkim i leciuchnym wianuszkiem na krawędzi.

Wszystko to więc świadczy o usposobieniu i umiejętności, ale czy ta umiejętność kiedykolwiek dojdzie do takiego rozwoju, aby wytworzyła o własnych siłach przemysł, mogący konkurować z wyrobami zagranicznymi, to wielkie a nader ważne dla przyszłości pytanie. Pytanie to trudno rozwiązać obecnie, gdy mamy zdać sprawę z wydawnictwa i gdy nam niewolno wdawać się w ocenienie istoty rzeczy. Przy sposobności jednak, kiedyś, poruszymy tę sprawę z innego stanowiska, a teraz wracamy do rzeczy.

Serja VI „Wzorów“ zawiera wyroby metalowe huculów. Przemysł ten utworzyło samo zamiłowanie ludu do ozdób. Sięga on bez wątpienia bardzo dawnych wieków i dzisiaj upadł prawie zupełnie. Dr. Exner, sądząc z podobieństwa niektórych motywów ornamentacyjnych, mniema, że początek jego sięga jeszcze czasów przed wędrówką narodów, i przyniesiony został wprost z Indyj. Jakkolwiek bądź, jest rzeczą pewną, że niektóre z tych ozdób używanych później od święta, miały z pewnością dawniej znaczenie jakieś symboliczne, służyły jako symbol władzy, odznaka godności lub rodu, i sięgają zamierzchłej przeszłości. Mamy na myśli toporek bez ostrza (kielus) u mężczyzn, tz. czilce (dyadem) u kobiet. Ale nie o to nam idzie. Pragniemy ocenić metalowe wyroby huculskie pod względem artystycznym, i dla tego wprost do nich przystąpimy.

Ubiór hucuła i hucułki składa się z mnóstwa ozdób. Ozdoby te są wyrobem domowym. Hucuł sam robi model, sam odlewa w nim przedmiot, i sam go wygładza i upiększa później ornamentyką z linji lub punktowań. A robota to nie dyletancka. Począwszy od pierścieni i obrączek (perstyni i obruczkie), kolczyków i łańcuszków, a skończywszy na toporku, prochownicy, połyci, wszystko to robione starannie, a modelowane i cyzelowane artystycznie. Niektóre z krzyżyków np. Tab. III 1. 5 IV 5 i pierścieni Tab. II 5, 10 IV 10, 11, mogłyby służyć za wzór wielu fachowym robotnikom. Równie pięknie wykonane są wszelkie nabijania gwoździami czy guzami, lub okładanie łuskowym pancerzem (Tab X, 12), choć najwięcej podnieść by chyba należało ozdoby wykonane na pistolecie i prochownicy, gdzie hucuł robi po części konkurencję sławnym robotom Boulowskim.

Przemysł ten dziś w zupełnym znajduje się już upadku. Najpiękniej zdobione przedmioty są pomnikiem i zabytkiem dawnych lepszych czasów, pochodzą jeszcze z „oprywszczyny“, o której hucuł wspomina zawsze z dumą. Głównym powodem upadku tego przemysłu, jest jak powiada p. Wierzbicki w przedmowie, obawa przed opodatkowaniem, w skutek czego góral trudni się wyrobem takich rzeczy przy innej pracy, uważając je za uboczne zajęcie. Konkurencja fabrycznych wyrobów zabija przemysł domowy, opodatkowanie zada im cios ostateczny. Chcąc go utrzymać, należy przedewszystkiem ochronić od ciężarów i podać mu pomocnąrękę: ułatwiając zbyt i dając mu potrzebne środki i narzędzia pracy.

Na tem kończymy sprawozdanie nasze o „Wzorach“, a wyrażając p. Wierzbickiemu imieniem ogółu podziękowanie za to, co dotąd uczynił, oczekujemy z niecierpliwością reszty.

Przegląd literacki.

(Zdrajca, powieść współczesna w 2 tomach. Napisał Józef Rogosz — Lwów 1882.)

Autor głośnych swojego czasu „Chorób Galicji“ „Marzycieli“, kilku innych powieści o mniejszej wartości, i bodaj czy nie

najlepszych z wszystkiego „Wspomnień z Włoch" i studjów krytycznych o „Matejce i Grottgerze", napisał ostatniemi czasy dużą, bo prawie 700 str. liczącą powieść, pod efektownym tytułem „Z d r a j c a." W konwencjonalnem „Słowie" wstępnem autor zastrzega się uroczyście, jakoby w charakterystyce tej i owej postaci odwzorował kogoś z ludzi żyjących, zapewnia, iż usiłował jeno stworzyć typy „znane dobrze w Galicji między r. 1860 — 1880", a nie kopie, że one jednak potroszę przypominają czytelnikowi — choćby tylko kilkoma szczegółami — ludzi powszechnie znanych, nic dziwnego, gdy się zważy, ze „ilekroć w powieści pojawia się figura żywa, a nie manekin, musi ona kogoś przypominać." — Trudno nie zgodzić się z autoremna to zapatrywanie, i wyznamy otwarcie, żeśmy bardzo ciekawi byli, jak też autor pojął i nakreślił te żywe figury, a dobrze znane u nas typy! Zadanie to oczywiście dla pisarza niepospolicie trudne, bo nie da się zaprzeczyć, że tworząc powieść na tle stosunków, — że się tak wyrazimy — ledwie wczorajszych, wprowadzając w niej postacie, którym dla owej typowości, kładzie się w usta często frazesy znanych ludzi... łatwo, bardzo łatwo popaść można — dodamy, nawet wbrew własnej woli i chęci — w ton fałszywy, trącący paszkwilem... Ostatecznie wiedzą to pono wszyscy, że pomiędzy t. z. prawdą naturalną — w charakterystyce takich typów współczesnych — a paszkwilem, nadzwyczaj cieniutka linja demarkacyjna, prawie niewidzialna, i bez kwestji łżej ją przekroczyć, niżeli zatrzymać się przy niej... Snać o tem wiedział i czuł to autor dobrze, skoro w wyżwspomnianem, „Słowie", usiłował z góry odeprzeć wszelkie w tym kierunku podejrzenia, które mogłyby się zrodzić w niejednym czytelniku... Co do nas sądzimy, że po uważnem przeczytaniu całej powieści, tym wszystkim, który w ostatnich latach bądź udział brali w życiu publicznem, w najszerszem tego słowa znaczeniu, bądź tylko przypatrywali się mu zdaleka, informując się dajmy na to z gazet, musi się wydać koniecznie, że... autor trochę za wiernie przeniósł pewne fakta i reminiscencje na kartki swojego ostatniego utworu, co niewątpliwie pod pewnym względem obniża poziom artystycznej jego wartości... Powieść współczesna, z tendencją wybitnie polityczną, mogła śmiało obejść się bez ścisłości „historycznej" w szkicowaniu niektórych faktów i ludzi... lepiej do tego nadawałyby się p a m i ę t n i k i.

Po tych kilku ogólnych uwagach, czas zastanowić się przedewszystkiem, do jakiej kategorji powieści zaliczyć wypada „Zdrajcę"? Autor nazwał go powieścią współczesną, i słusznie, bo dał jej za tło stosunki społeczno-polityczne w Galicji z ostatnich lat. Fabuła w „Zdrajcy" zajmująca, zawiązanie intrygi zręczne, a przeprowadzenie jej z małemi wyjątkami, dość naturalne i logiczne; wprowadzone postacie, zwłaszcza kilka z nich, „wymodelowane" do najdrobniejszych niemal szczegółów — słowem pozornie wszystkie warunki dobrej i „poczytnej" powieści, a mimo to całość, a szczególnie część druga, robi wrażenie zręcznie udramatyzowanej broszury politycznej. Jeżeli było zamiarem autora (a z wszystkiego zdaje nam się, że było!) pewne teorje polityczne, w wygodnej i popularnej formie powieści zaaplikować ogółowi p r o m e m o r i a, osiągnął on cel swój bez wątpienia. „Zdrajca" jest w sukienkę romansu ubranym, a na wskróś tendencyjnym traktatem z dziedziny t. z. „wyższej polityki", a la margr. Aleks. Wielopolski... Otóż o nią nam w tem miejscu nie idzie wcale, i pomijamy zupełnie, czy ewentualnie pisalibyśmy się lub polemizowali z autorem i n p u n c t o doktryn politycznych, wygłaszanych przez głównego bohatera „Zdrajcy," Ryszarda Gozdawę...Mimochodem, jedną tylko uwagę jeszcze musimy przy tej sposobności zrobić autorowi, mianowicie: czy w sześciomilionowem społeczeństwie niema innych żywiołów godnych badawczego oka pisarza, innych figur do rysowania, jak jeno taki stary szlachcic lekkomyślnik (typ wprawdzie ogólny, ale okropnie już zużyty i nadużyty!), zbogacony kradzieżą żyd — łotr skończony — i znowu szlachcic (już młody) p. Ryszard? Notabene ten ostatni dziwne mixtum compositum — jak określa lud dosadnie: ni pies ni baran. A inne znów figury w roli statystów, także mniej więcej z t y c h s a m y c h s f e r, które, otwarcie mówiąc, okropnie się już przeżyły w powieści i przejadły. Ostatecznie — skoro autor ma widoczną predylekcję do „karmazynów", trudno mu to wyrzucać serjo i dziwić się, bo może w końcu łatwiej mu poruszać nimi na papierze, niżeli rozglądnąć się za bohaterem w świecie, w którym ludziska żyją i obchodzą się jakoś bez „herbów i koligacji," i ztamtąd rzeczywistego człowieka przedstawić z prawdą realną.

Wracając do rzeczy, musimy pominąć tendencje polityczne „Zdrajcy", a natomiast przypatrzymy się mu ze stanowiska oceny literackiej, jako powieści. Zatem bohaterem jej wspomniany wyżej Ryszard Gozdawa. Któż to taki? Młody, 26 letni człowiek, z rodziny zamożnej, „świetnie skoligaconej", jak o tem niejednokrotnie autor chętnie wspomina, syn poczciwego safanduły, wraca do domu z zagranicy (z Paryża oczywiście!) gdzie bawił dłuższy czas dla nauki, i skąd przywozi aż dwa doktoraty: filozofii i medycyny. P. Ryszard robi pozornie wrażenie człowieka, wychowanego na dogmatach pozytywnej filozofii, w rozmowie sam bardzo często, z pewną dumą, mieni się p o z y t y w i s t ą, ale równocześnie raz tym i owym postępkiem w życiu codziennem, to znowu enucjacją niedwuznaczną, zdradza aż nadto wyraźnie, że o nowożytnym pozytywizmie, o poglądach tegoż na kwestje społeczne, o zastosowaniu jego teoryj w życiu, wrzekomy pozytywista ani wy obrażenia niema.. — przynajmniej autor niedał go nam poznać z tej strony.Przeciwnie bohater ten wygląda, po bliższem zastanowieniu się, na młodego człowieka, który przesiąknięty do szpiku i poniekąd zaskorupiony tradycjami ciasnej kastowości, wprawdzie grzał się jakiś czas przy wielkich ogniskach nauki i postępu wszechstronnego, ale mimo to do kraju przywiózł z sobą ledwie wiązankę wiadomości fachowych, które łatwo mógł był nabyć dajmy na to w Krakowie lub Wiedniu, nie fatygując się aż do Niemiec i Francji. Nie wiadomo, po co właściwie autor wysełał go na tę kosztowną ekskurzję kilkuletnią—chyba że to zwyczajem u „karmazynów"? Bo jakże pogodzić, na przykład, z wynikami sumiennej nauki i dobrze pojętego liberalizmu, ową zabobonność Ryszarda, o której raz serjo mówi, lub owo uprzedzenie plemienne i wstręt nawet do ślicznej kobiety — w której się zakochał, a li dla tego, że wrzekomo żydówką była? Wprawdzie autor usiłował umotywować to przy sposobności, jednak szczerze powiemy, nie przekonał nas... Młody medyk, tem samem człowiek, któremu nie tajne prawa rządzące człowiekiemi przyrodą — z a b o b o n n y, i odwracający się uparcie od pięknej anielskiej dziewczyny, dla której serce i głowa mu płona, a odwracający tylko skutkiem antisemityzmu — to s p e c i e s zupełnie nowa i co gorzej nienaturalna! Zresztą Ryszard nie tylko w tym kierunku grzeszy olbrzymią niekonsekwencją — oczywiście mając zawsze na o ku okoliczność, że prawdopodobnie autor, wyposażywszy go osobistymi przymiotami, chciał go mieć rozumnym postępowcem, opartym na nauce i wiedzy pozytywistą, słowem człowiekiem, który czuł w sobie powołanie na r e f o r m a t o r a społeczeństwa swojego. I tak, przebywając po powrocie dłuższy czas na wsi, bawi się on w filantropa; leczy chorych bezpłatnie, kupuje im lekarstwa, a raz nawet zapłacił za egzekwowanych kilku włościan biednych zaległości podatkowe. Od czasu do czasu gł osi piękne teorje społeczno — polityczne, jest zdecydowanym antisemitą, prz

wyborach poselskich udaremnia — ponosząc przy tem znaczne ofiary — zabiegi niejakiego Sterna o mandat, zna tego Sterna na wylot, jakito ptaszek, a równocześnie z fatalistyczną jakąś obojętnością przypatruje się, jak ten Stern zarzucił sidła na jego ojca, starego Gozdawę, i przygotowuje mu konsekwentnie zgubę majątkową. — Już to portret Sterna udał się autorowi znakomicie, i w ogóle wszędzie, gdzie potrąca o tz. kwestję żydowską, widać sumienne studia i niepospolity zmysł spostrzegawczy obytego z przedmiotem pisarza. Przypominamy sobie, że i w „Chorobach Galicji“ jeden z najlepszych rozdziałów stanowili „Żydzi“.

Mniej szczęśliwym pomysłem wydaje nam się wprowadzenie Rózi — wrzekomej córki Sterna, a rzeczywiście sieroty pochodzenia chrześcijańskiego, podstawionej z umysłu przez żonę Sterna za jego dziecię — z obawy przed rozwodem. Prawdopodobnie potrzebną była autorowi dla dramatycznej intrygi i rozmaitych sytuacyj popisowych z bohaterem. W ogóle czytając „Zdrajcę“ co chwila nasuwała nam się uwaga, że w obec wcale wiernie zchwyconego i oddanego otoczenia, bohater sam za mało ma w sobie zwykłego śmiertelnika a przeciętnie rozumnego człowieka, a za nadto znowu wygląda na dziwnie skombinowaną fikcj autorską, której kazano tak a nie inaczej ę chodzić, mówić, działać, byle tylko nadawała się do założenia... Ztąd brak naturalnego rozwoju w akcji, uciekanie się dla rozwiązania pogmatwanych nici intrygi do takich przestarzałych, a już i pensjonarkom na znaną skądinąd bajeczkę wyglądających środków jak cała historja z Dobrzyńskim, Ściernickim i t.p. niezrozumiałe, i dodamy dla rzeczy samej zbędne zupełnie epizody. W drugiej części bohater pojawia się w stolicy, i dla skutecznej walki z Sternem, który zdołał przekabac na swą stronę jedyny w kraju organ polityczny, p. Ryszard zakłada pismo polityczne. Przedtem jednak autor skreślił, nie bez znajomości faktycznych stosunków, smutny obraz dziennikarstwa naszego... cóż kiedy uczynił to w sposób tak zgryźliwy i namiętny, wrzekomy typ „dziennikarza“ przedstawił w tak wstrętnem świetle, że chyba, powiedzmy otwarcie, rozminął się zupełnie tym razem z widocznem zresztą wszędzie u niego poczuciem i miarą artystyczną, a co gorzej z p r a w d ą...

Twierdzimy stanowczo, że gdyby nawet istniał u nas kiedykolwiek taki Żylewicz, człowiek bez czci, ambicji i poczucia honoru, słowem potworne monstrum pod każdym względem, nie należało w powieści wyśrubować go do znaczenia „typu“, bo rzecie możliwy wyjątek choćby istniał kiedy nie może być za zbiorowego przedstawiciela całego zawodu uważany, i wątpimy bardzo, czy autor, który sam zaliczał się do niedawna do grona tych pracowników, może z ręką na sercu tak w czambuł potępić cały zastęp ludzi, tworzących u nas t. z. stan dziennikarski? A trzeba nie zapominać, że powieść ma wstęp wszędzie, — i pokazując czytelnikowi takiego okropnego Żylewicza — jako typ dziennikarza, może nie mało przyczynić się do podtrzymania u ogółu, i tak grasujących tam już epidemicznie a najczęściej niesłusznych uprzedzeń i niechęci, ba! nawet wzniecić pogardę dla ludzi, którzy z małemi wyjątkami, z własnem zaparciem pracując długie lata dla dobra publicznego, wynagradzani są stosunkowo gorzej, niżeli pierwszy lepszy robotnik rękodzielniczy, a niejednego z nich czeka starość chłodna i głodna, bez jakiegokolwiek zaopatrzenia...

Chciejmy wierzyć, że może tylko bujna fantazja, faworyzująca widocznie i przy każdej sposobności swego benjaminka Ryszarda, i w tym wypadku, chcąc stworzyć dlań silny kontrast, dla tem większego efektu, a nadto być może w połączeniu z resztkami niewygasłej jeszcze niechęci jakiejś i goryczy... uniosła autora zadaleko, i pozbawiła go na chwilę artystycznego spokoju w traktowaniu rzeczy... O ile tytuł powieści „Zdrajca“ stosowny i usprawiedliwiony, nie możemy i niechcemy sądzić, zważywszy, że wysnuty on na podstawie przeprowadzonych teoryj politycznych, których rozbiór i krytyka przekroczyłyby zakres naszego pisma. Dodamy jeno, że już w dzisiejszych czasach, nawet „bezmyślny tłum“ na głos pierwszego lepszego krzykacza, nie piętnuje c z ł o w i e k a z a s a d i p r z e k o n a ń, choćby nawet diametralnie różnych od jego własnych, nazwiskiem „zdrajcy“, jak to usiłował autor, przedstawić w końcowej scenie, na zgromadzeniu wyborców. - - Nakoniec zaznaczamy, że p. Rogosz i w „Zdrajcy“ złożył świetny dowód, iż jest doskonałym stylistą, a język jego poprawny i jędrny.

Stan. W.

ZIARNKA.

Niepomyślną mamy porę do siewu naszych ziarnek, Aura naprzód fatalna — ni zima, ni jesień, grunt rozmoczony i błotny, w błocko zaś nie tylko pereł, lecz i ziarnek rzucać nie można. Na gruncie takim nie tak łatwo wyrosnąć może jakaś roślina, a cóż dopiero dojrzeć, ziarnka i wysypać... W sfery wielkiej polityki, ba nawet mizernych „Tages-fragen“ wkraczać nam ustawa prasowa zabrania — pozostaje nam więc obszerna sfera życia intellektualnego i artystycznego. Konia jednak z rzędem, kto wyszuka u nas jakiego donioślejszego objawu z dziedziny życia umysłowego, a ze sfery artystycznej mamy tylko do notowania różne amatorskie koncerta, urządzane przy pomocy naszych instytucyj muzycznych na różne cele dobroczynne. Bacząc na dobre chęci łaskawych amatorów i nadobnych amatorek, bierze się zwykle chęci za uczynek i prawi się oklepane komplementa... Bale mniej lub więcej skoczne, mniej lub więcej taneczne dopiero w stadjum przygotowania... i o tem więc pisać nie możemy, ubiegają nas w tem wszystkiem zresztą pisma codzienne... nie powiemy więc nawet nic nowego, gdy doniesiemy im o blizkim przyjeździe do sławnego grodu Lwa słynnej wiolinistki panny czy pani de Blanc, którą znają obie półkule. Do zbytku już także mają zapewne czytelnicy procesów kryminalnych, któremi zawalone są formalnie nasze dzienniki, jakby innych ważniejszych i ciekawszych nawet tematów już zabrakło. A młodzież wszechnic... O tej ostatniej pisaliśmy już niejednokrotnie, słynie ona tem przedewszystkiem, że emigrują z niej zdolni docenci i dobijają się sławy na szerokim świecie, jakby na świadectwo znanej maksymie, że n e m o p r o p h e t a...; młodzież zaś niczem się nie przypomina, chyba swoją nieobecnością... Pod tą wyjałowiałą skorupą może i nurtują jakie prądy, i nowe jakie życie kiełkuje, tymczasem jednak, prócz drobnych wstrząśnień podziemnych i drobniejszych jeszcze wybuchów wulkanicznych, nic o niej nie słychać. Kto wie, czy nie miał racji nasz nowelista, gdy kończąc swoje spostrzeżenia zebrane „przy drodze“ doradzał.... Ot stawmy kropkę i basta...

* * *

W dzisiejszym numerze umieszczamy krótką „bajkę“ Emila Zoli. Czytelnicy przekonają się z niej, że nie wszystko prawda, co mówią o tym bądź co bądź znakomitym pisarzu ci, którzy z pewnością nie znają żadnego z dzieł jego, a powtarzają tylko za panią matką to, co się komuś z przeciwników kierunku artystycznego Zoli powiedzieć chciało. I my również nie ze wszystkiem godzimy się ze sposobem przedstawiania niektórych rzeczy przez Zolę; ma on pewną słabość do używania barw jaskrawych, i często przechodzi granice, na jakie pozwala zwykłe realistom rzucanie silnego światła na główne sceny i obrazy, ale wytłumaczyc te wady łatwo choćby tem

że u przełomu pewnej epoki historycznej a zwłaszcza przy zmianie zapatrywań artystycznych, jaskrawości takie zawsze się zdarzają. Umieszczona w numerze dzisiejszym bajka czy powiastka jest satyrą głęboko pomyślaną, a świetnie przeprowadzoną w szczegółach, tak, że z tego jednego choćby obrazka pozna każdy, że to nie lada gryzi piórka, dążący do podniecenia nerwów, za jakiego by go niektórzy przedstawić chcieli, ale pisarz posiadający oko o szerszym poglądzie na świat, umiejący równie silnie przemówić do serca jak do rozumu.

* * *

Ktoś i kiedyś zrobił raz uwagę, że moda, ta potężna a kapryśna i niezmienna bogini — ma pod pewnym względem małe podobieństwo do — „ułamków ciągłych“. O ile to porównanie stosowne, zostawiamy do oceny samemu czytelnikowi — i nie będziemy się gniewali bynajmniej, gdy spotka je znany zarzut, że chroma, jak każde porównanie od czasów Homera począwszy. Na każdy jednak sposób, o tyle przynajmniej ów pierwszy, który się dopatrzył pomiędzy modą a „ułamkami ciągłemi“ pewnej analogii, ma niezbitą rację, że jak u tych charakterystyczną cechą jest ciągłe powtarzanie się pewnego szeregu liczb (ztąd ich nazwa), tak i w dziejach mody widzimy w pewnych odstępach czasu systematyczny powrót tych samych gustów i upodobań, pod względem ubioru, zabaw, itd. itd. O przykład nie trudno. Oto donoszą z Paryża, że tamtejszym adeptom Terpsychory znudziły się już polki, walce, a w ich miejsce proponują tańce z czasu Ludwików: menueta i gawota. Płeć piękna, a w tym wypadku i brzydka, choć pochopna do każdej nowości, przynajmniej na razie podobno zakłopotana niezmiernie — bo łatwo to powiedzieć: odtąd będziemy tańczyli menueta i gawota, a precz z monotonną polką i walcem niemieckim! Ale jak tańczyć, gdy się nie umie, zkąd wziąć „mistrzów“, i gdyby się nawet znalazł jaki, czy podobna w tym krótkim czasie, który już dzieli nas od karnawału — wyuczyć się tych pełnych wdzięku i gracji pląsów, któremi rozbrzmiewały głośne na cały świat zabawy wersalskie? Roztrząsając z należytą powagą te doniosłe kłopoty i utrapienia pięknych Paryżanek, dzienniki francuskie wspominają zarazem o ostatnim znakomitym „mistrzu“ w menuecie i gawocie, niejakim p. Michaud, który zmarł już niestety, nie doczekawszy się powrotu tego, co podług niego największą wartość narodu francuskiego stanowiło. Opowiadają o nim, że kiedy po ogłoszeniu się cesarzem Napoleona III, powrócił z Anglii, gdzie się był przed republiką schronił, podał memorjał do tronu, przedstawiając, że wprowadzenie dawnych tańców powinno być najpierwszym obowiązkiem monarchy. „Sire, kończył wymowne swe pismo — placez l'aurore de votrs regne sous l'egide de Terpsichore“ a kiedy tron na przedstawienia jego był głuchy, mawiał: „Ce régime n'a pas su restaurer les danses nobles, il ne fermera pas l'ere de revolutions“.

ZAPISKI.

Literatura.

* Przegląd archeologiczno-bibliograficzny po dwuletniem istnieniu przestał wychodzić, skutkiem braku poparcia ze strony publiczności...

* Zakład nar. Ossolińskich, założony jak wiadomo w r. 1817, według sprawozdania za rok ostatni zawiera następujące „zbiory: Dział Drukowanych unikatów 73.610; dubletów 4811: rękopisów 2745, rycin 22501; atlasów i map 1072, obrazów 669; podobizn 75; przedmiotów muzealnych 1650; autografów 2666, monet polskich 1697, rzymskich 2602, innych monet, medali i ich dubletów 6148 sztuk; zbrojownia posiada 586 sztuk broni i zbroi starożytnych, zbiór przyrodniczy około 10000 okazów.

* Od początku wieku bieżącego tj. w ciągu lat 80ciu. 178 badaczów Afryki środkowej przepłaciło śmiercią swój zapał dla nauki i odkryć. W tej liczbie było 75 anglików, 37 niemców i 35 francuzów. Większość z pomiędzy nich uległa klimatowi, dwudziestu zginęło z rąk krajowców, a pięciu dzikie wierzęta.

* Pod oryginalnym tytułem, przypominającym książki i broszury z XVI, XVII i XVIII w. a to „Skarbiec odkryty, bogactwa, piękności i wszystkich prawideł zasadniczych mowy i pisowni polskiej. Zebrał i najściślej opracował Bożydar Ożyński L. etc. etc“. wyszło ostatniemi czasy w Krakowie w drukarni uniwersyteckiej dzieło, którego celem ma być: uczynić mowę naszą „klasyczną i własności prawidłową jako mającą wszystkie zalety dialektu najbogatszego w świecie“. Autor zdradza w całej pracy, że czytał rzeczywiście bardzo wiele, ale zbytek rudycyjnego ballastu, a przytem brak jakiegokolwiek systemu w układzie całości, stwarza taki chaos, że ostatecznie nie wiedzieć czego chce, a czego nie chce. Za przykładem Fr. Zagórowskiego i ks. Malinowskiego, p. B. O. proponuje nową grafikę i pisownię, zaklina ogół aby je przyjął, jeśli mowa nasza ma być uratowana od zguby(!). Cóż, kiedy reforma autora polega li na dziwacznem upstrzeniu liter naszego abecadła dodatkami, które przyczyniłyby się tylko do osłabienia wzroku! Prawdopodobnie kosztowne wydanie „Skarbca odkrytego“ spocznie snem wiecznym na półkach kilku bibliotek i księgarni, a reformatorskie chęci autora przeminą bez odgłosu. Szkoda było „czasu i atłasu“.

* Świetny poemat Hamerlinga „Amor und Psyche“ wyszedł na gwiazdkę w wspaniałem wydaniu ilustrowanem przez Thumana.

* Antony Trollope, znany powieściopisarz, zmarł w Londynie. Urodzony w 1815 roku, syn zażywającej rozgłosu autorki Frances Trollope, podróżował czas długi po Ameryce, Australji i Afryce. Oprócz wielu opisów podróży, pozostawił Trollope znaczną liczbę powieści, z których najlepszą jest „Doktor Thorne.“

* Pierwsza serja cennego dzieła „Culturgeschichtliches Bilderbuch“ złożonego z 12 zeszytów, a wydawanego przez G. Hirtha, opuściła właśnie prasę. Jest to zbiór podobizn starych rycin i rysunków, zawierających charaktetystyczne przyczynki do historji obyczajów, ubiorów, urządzeń domowych i tp, od XVI w. począwszy. W serji wydanej mieści się 555 rycin na 390 kartkach wielkiego formatu in folio. Dla artysty jest to publikacja nieocenionej wartości

* Pani Adam, głośna wydawczyni „Revue nouvelle“ napisała powieść p. t. „Lachanson des nouveaux époux“ (Piosnka nowożeńców) która wyszła z druku z illustracjami Benjamina Constant, Munkaczego Ed. Detaille, Pawła Laurent, Juljusza Lefebre, Lamotte, Leroux, Toudouze, A. Moret, G. Doré, Każdy z rysunków wykonany przez doskonałego rytownika, a całość stanowi w ten sposób zbiór ilustracyj wspaniałych.

* Znakomity fizjolog J. Moleschott oddał do druku dzieło pt. „Hermann Hettner's Morgenroth“ o którem sam pisze w liście prywatnym, że będzie w niem opisywać cztery lata, przepędzone ze swoim przyjacielem (1847 — 1850), znakomitym historykiem literatury. Książka ta obudza ogólne zajęcie, bo oprócz osobistych wspomnień, treścią jej główną będą uwagi historyczno-estetyczne.

* Paryska akademia umiejętności rozpoczyna wydawnictwo pomnikowego dzieła, do którego od 50 lat zbierano materjały. Dziełem tem będzie „Historyczny słownik języka francuskiego“.

* Ryszard Mahrenholtz, autor znakomitego dzieła o życiu i dziełach Moliera wydał obecnie pracę tę w streszczeniu z opuszczeniem źródeł.

Teatr i muzyka.

* W Warszawie przygotowują przedstawienie dramatu Henryka Ybsena pt.: „Podpory społeczeństwa“

* Wkrótce już oczekiwaną jest w Petersburgu p. Marcelina Sembrich Kochańska, przebywająca obecnie w Dreznie, dokąd udała się po ukończeniu sezonu w Madrycie. Jeżeli mamy wierzyć sprawozdaniom dzienników hiszpańskich, pobyt artystki w Madrycie był nieustającym szeregiem tryumfów. Partja Ofelji, którą astystka po raz pierwszy w Madrycie śpiewała, miała być wykonaną tak świetnie, iż wobec niej blednie rola Łucji, uważana dotąd za najlepszą w jej repertuarzu.

* „Śliczna“ Ira Reichówna po tryumfach odniesionych w Warszawie, gdzie śpiewała Halkę po polsku, wybiera się do Krakowa z koncertami, a po drodze z pewnością i do Lwowa zajrzy.

* Skrzypek Ondrziczek zawarł w Wiedniu z impresarjem Ignacym Kuglem umowę na trzechletnią podróż artystyczną po Niemczech, Rosji, Skandynawji, Holandji i Włoszech, na nader korzystnych dla siebie warunkach.

* W „Theatre des Vodevilles" przedstawiona będzie w tych dniach nowa komedja Wiktoryna Sardou „Feodora".

* W odbitce osobnej wyszły dwa artykuły z muzycznego leksykonu, Mendla Reissmana. Jeden z nich traktuje o muzyce skandynawskiej, drugi, będący tłumaczeniem z francuskiego artykułu Dr. Waxla, obrabia muzykę portugalską.

* „Der Bettelstudent" Pod tym tytułem wystawiono w teatrze *an der Wien* udatną operetkę Zella i Gene'go, do której arcy-wdzięczną muzykę napisał Millöcker. Rzecz dzieje się w zeszłym wieku w Krakowie i traktowana jest dla nas sympatycznie.

* Popołudniowe przedstawienia wchodzą w modę w Paryżu; zeszłej niedzieli odbyło się tam 17 przedstawień a wszędzie teatr przepełniony był mimo że równocześnie (początek o 1 lub 1½) od. i bywały się cztery koncerta.

* W teatrze Porte St. Martin w Paryżu, dają bez przerwy nowy fabrykat Jul. Verne'a i Dennery pt. „Le voyage a travers l'impossible". Ta udramatyzowana podróż podobnie jak poprzednia znana już pt. „Podróż naokoło ziemi w 80 dniach", składa się z 25 stacyj czyli obrazów, i skutkiem świetnej i oryginalnej wystawy cieszy się oczywiście niezwykłem powodzeniem.

Sztuki piękne.

* „Kunsthändler" Gurlitt w Berlinie rozpisał konkurs na ramę artystyczną. Biorący udział mają przysłać projekt szkicowany w rozmiarze : 10j tudzież wykończony rysunek rogu ramy. Trzy najlepsze projekta otrzymają 250, 150 i 100 marek. Termin do 15 stycznia 1883.

* „Hołd pruski" jest już obecnie wystawiony w Rzymie—głosy wszakże dzienników włoskich nie doszły nas jeszcze.

Młodzi artyści polscy, kształcący się w wiecznem mieście, przysłali krakowskiemu mistrzowi adres okolicznościowy, pełen wyrazów czci uwielbienia. Na czele podpisanych stoi Franciszek Krudowski, twórca „Golgoty".

* Przy szkole malarstwa na porcelanie, szkle i fajansie, istniejącej w Warszawie pod kierunkiem p. Zdżarskiej, powstaje gabinet artystyczny, gdzie wyroby, odznaczające się gustem i estetycznem wykończeniem, będą wystawiane.

* Brama florjańska w Krakowie, ten przedziwny zabytek architektury gotyckiej, jakim tylko Norymbergja poszczycićby się mogła, ma być wkrótce stosownie odrestaurowana.

* W kościele ewangelickim w Krakowie odsłonięto w tych dniach obraz nowy Siemiradzkiego przedstawiający „Chrystusa uśmierzającego burzę".

* J. Burger, ceniony powszechnie rytownik wykonał dwa nowe sztychy. W jednym podaje wspaniale odtworzoną Madonnę della Sedia, w drugim Florę Tiziana z galerji Uffizi.

* W miejsce znanego kostiumoznawcy prof. Weisa, który jest zajęty obecnie studjami w zbrojowni, powołany został do wykładów historji kostiumu do berlińskiej akademji sztuk pięknych, malarz A. Heyden.

* W. „Temps" wyraża się znakomity krytyk francuski Paul Mantz o „*Pięciu zmysłach*" Makarta z bardzo skromnemi pochwałami, i powiada między innemi, że kompozycja równa się zeru, że silne tła szkodzą nagim figurom, które tracą świeżość w skutek tego. Makart zna prozę form, ale nie rozumie się na poezji. „Pięć zmysłów" nie są piękne, a jako typ nieprawdziwe.

* Wiktor Brodzki ukończył w Rzymie okazały monument z marmuru kararyjskiego, zamówiony przez Elżbietę z Grabowskich (córkę Michała) ku pamięci zgasłego przed laty kilkoma jej męża, Maurycego Poniatowskiego. Pomnik ten stanie prawdopodobnie w krakowskim kościele św. Piotra.

MISCELANEA.

(L. W.) Znany astronom W. Valentiner, pisze o wielkim komecie tegorocznym: „Według doniesień dotychczasowych o wielkim komecie, budzi tenże niezaprzeczenie tak wielkie zajęcie, jak mało który tak pod względem swojego zjawiska jak też pod względem swojej kolei. Spostrzegł go najprzód jako zjawisko bardzo jasne astronom Finlay, 8. września na przylądku „dobrej nadziei," to też gdy takim zjawiskom widocznym już bez dalowidzu, zwykliśmy nadawać imię odkrywcy, kometę tego nazwać należy kometą Finlaya a nie Crula. Niestety nadeszły wiadomości z przylądka „dobrej nadziei" do Europy bardzo późno, w przeciwnym razie udałyby się były, także przed przejściem komety przez przybliż słoneczną, które 17. września się odbyło, na innych miejscach liczne spostrzeżenia, któreby miały wielką wartość dla obliczenia kolei komety. Szczególnie byłyby się spostrzeżenia te, z przyczyny bardzo małego oddalenia, w jakiem kometa przed powierzchnią słońca przeszedł, przyczyniły do rozstrzygnięcia pytania, czyli kometa w skutku przejścia przez warstwy wewnętrzne atmosfery słoneczej, albo innego, słońc może okrążającego ciała lotnego albo z przyczyn innych nie dających się ani spostrzedz ani obliczać, nie doznawał zmiany ruchu swojego. Obliczono dotychczas, że oddalenie najmniejsze w którem kometa przechodził przed powierzchnią słoneczną, około 50,000 myriametrów wynosi. Po za to oddalenie rozszerza się jednak tak zwany wieniec słoneczny, kometa więc przeszedł niewątpliwie przez niego.

Pomimo że kolej jego bardzo podobna do kolei komet z roku 1668, 1843 i 1880, to jednak zdaje się, jakoby ze żadnym z tych komet nie był identyczny i jakoby przeciwnie istniała gromada wielkich komet, krążących po tej samej około słońca kolei. Prawdopodobnie kometa długo jeszcze będzie widomy, przez który to czas dowiemy się z pewnością o łączności jego z kometami dawniejszymi. Koleje tamtych komet, pozostały niepewne, z przyczyny, iż bardzo krótko można było je spostrzegać.

Jako zjawisko przewyższył jasnością swoją większą część komet, których mamy opisy, gdyż jak wiadomo, widziano go na wielu miejscach oczyma gołemi, a z przylądka „dobrej nadziei" widziano go przechodzącego między ziemią i słońcem aż do wejścia przed tarczę słoneczną. Nawet teraz pomimo wielkiego oddalenia od słońca i ziemi, przedstawia jeszcze pyszny widok. Czyli przedmiot mglisty odkryty przez Dr. Schmidta w Atenach, lecz w skutku małej wyraźności tylko przez 3 dni spostrzegany, do komety należał, nie da się już rozstrzygnąć.

Wielkie przemiany odbywały się w jądrze komety. Widziano 8. października jądro podwójnie podzielone, a to samo spostrzeżono także na spostrzegalni w Karlsbadzie 19. października i w Kielu. Rozdział musiał się odbyć po 7 października, gdyż z tego dnia mamy spostrzeżenia więcej astronomów, którzy jednak o tem nic nie wspominają. Po 30 października nie widziano już żadnego podziału w jądrze. Ogon komety tego jest bardzo długi: jego długość kątowa, jak nawet w jasnej nocy księżycowej spostrzeżono, wynosi przynajmniej 5.000,000 myriametrów.

Treść:

Reklama.
Wdowiszewski : Intratna posada. c. d.
Marja B. Ostatni raz.
Zola E.: Koci raj
Wzory przemysłu domowego II.
Przegląd literacki.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 13. We Lwowie dnia 23. Grudnia 1882. Rok I.



TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cent. od wiersza druku petitem.

Idea stowarzyszeń.

Wielcy działacze, którzy u schyłku zeszłego stulecia wysoko podnieśli sztandar „praw człowieka" (droits de l' homme) i wyrazili je w znanem haśle: wolność, równość i braterstwo (liberté, égalité et fraternité) — z owej niepodzielnej trójcy najlepiej pojmowali i najgoręcej odczuwali, pierwszą jej osobę — wolność. W społeczeństwie skrępowanem więzami średniowiecznego porządku, pragnienie swobody i swobody przedewszystkiem osobistej, było uczuciem nader naturalnem, i zupełnie zrozumiałą potrzebą. Dalsze dwie zwrotki owego trójjedynego hasła słabo jeszcze pojmowano, o ile zaś stawały się one zrozumiałemi, odbijało się na tych pojęciach dominujące znaczenie pierwszego hasła. Równość pojmowano także, jako usunięcie różnych osobistych ograniczeń, ścieśnień i przywilejów, jako równość wobec prawa, gdy zaś i odczuwano dość niewyraźnie niedogodności i chropowatości istniejących stosunków społeczno-ekonomicznych, machano na nie ręką; ryczałtem wreszcie potępiono całą nowożytną cywilizację, i salwowano się aż do arkadyjskiego stanu natury. Braterstwo pojmowano sentymentalnie, jako panowanie wybaczającej wszystko i godzącej się ze wszystkiem miłości — a i tej najlepiej jakoś było w owym stanie natury.

Dalszemu biegowi wypadków i głębszemu wmyśleniu się w stosunki społeczne późniejszych działaczy, pozostawione było lepsze zrozumienie dwu haseł ostatnich. Życie samo i dalszy rozwój stosunków społecznych zrozumienie owe coraz bardziej ułatwiały, i czyniły je coraz bardziej dokładniejszem. Gdy względna przynajmniej wolność zapanowała wewnątrz państw i społeczeństw, faktyczna nierówność, przedewszystkiem ekonomiczna tem wyraźniej wystąpiła na plan pierwszy. Sama zresztą wolność i swoboda najpełniej może urzeczywistniona w stosunkach ekonomicznych, w gronie posiadaczy, wspierała coraz skuteczniej potęgowanie tej nierówności, a kapitał i połączone z nim osobiste przywileje ekonomiczne, zaczął szybko nader gromadzić się, wzrastać, i coraz bardziej wszechwładne zajmować stanowisko.

Pozbawione tego przywileju jednostki, coraz lepiej zaczęły spostrzegać, jak szybko zwiększa się przedział między posiadającymi i nieposiadającymi, i jak złudną w takich warunkach staje się sama owa wymarzona swoboda nieposiadających i nieuprzywilejowanych...

Niezmordowana myśl ludzka nie przestała doszukiwać się przyczyn tego stanu i szybko dość spostrzeżono, że owa upragniona równość winna być przedewszystkiem nie prawną tylko, lecz i ekonomiczną, i że wtedy dopiero i pierwsze hasło — swoboda znaleźć będzie mogło faktyczne zastosowanie. Przy takiem pojmowaniu rzeczy, i czułostkowe pojęcie braterstwa zyskało realniejszy swój wyraz w pojęciu solidarności (solidarité) wszystkich, dalszym rozwojem stosunków pokrzywdzonych, a więc nieuprzywilejowanych, nieposiadających, a pracujących.

Niełatwy proces rozwoju owej trylogii zajmuje cały wiek nasz obecny; z przebiegiem jego związane są ściśle wszystkie zawody i nadzieje naszego stulecia — na tem tle rozwijały się i rozwija dotąd całe pasmo stosunków wewnętrznych, i rzecz się o tyle wypełniła i dojrzała, że miejsce fantastycznej dość swobody jednostek, zajęło pojęcie swobodnego i solidarnie zorganizowanego społeczeństwa ludzi, nie fiziologicznie i psychicznie, lecz ekonomicznie i społecznie równych, lub raczej w równych warunkach pracy i działania postawionych.

Przedstawiliśmy, o ile można, zwięźle cały przebieg tej najżywotniejszej dziś sprawy ludzkiej, ażeby stworzyć sobie ra

w których pomieszczą się wszystkie zadania społeczne, i zająć stanowisko, z którego jedynie można dziś na nie z pełną słusznością spoglądać.

W poglądach należy być ścisłym i zwięzłym — stosunki jednak ludzkie nie rozwijają się, jak pojęcia, po linii najmniejszego oporu, i nie tak ogólnikowo, jak niewzruszone formuły algebraiczne. Szematyczny szkielet rozwoju istnieje tylko w pojęciu, życie zaś przynosi nam nieskończoną rozmaitośc objawów, które mają nie tylko szkielet, lecz krew, nerwy i mięso, co nadaje taką barwność zmiennemu tokowi społecznych i dziejowych wydarzeń.

I idee przytem nie wyskakują gotowe, jak Minerwa z głowy Jowisza, lecz odbywają mozolny dość, uwarunkowany naturą ludzką i otaczającemi stosunkami szybszy lub wolniejszy proces swego powstawania i rozwoju. To więc, co przedstawiliśmy jako formułę niezmienną niejako, tworzyło się, snuło i uzupełniało, na mniej lub więcej przyśpieszone tępo, i mniej lub więcej przygodnie.

Jako remedium i przeciwdziałanie szybko rozwijającemu się egoistycznemu kapitałowi osobistemu, powstała w głowach niektórych głębszych myślicieli idea assocjacyi, s t o w a r z y s z e ń. Idea ta podówczas była zupełnie n o w ą, nie trzeba bowiem zapominać, że powstała ona wtedy, gdy wszelkie związki i korporacje potępiono w zasadzie stanowczo, jako średniowieczny zabytek, i kiedy wszelką solidarność zbiorową uznano za więzy, krępujące wolną jednostkę.

Idea więc była nową i narodziła się oczywiście przedewszystkiem w głowach ludzi, pozbawionych „praktycznego zmysłu" i „zdrowego rozsądku", w głowach „marzycieli", „idealistów" i zwolenników wszelkiego rodzaju „utopii".

Takimi marzycielami u schyłku zeszłego i w początku bieżącego stulecia byli: Saint-Simon, Owen i Fourier, że pominiemy ideologów drugorzędnych.

Idea stowarzyszeń, dojrzewając jako pojęcie, szukała zarazem dróg do realnego wcielania się w życie. Poczęto zawiązywać różne towarzystwa i stowarzyszenia p o m o c y w z a j e m n e j, stosując je do różnych celów życiowych, bądź to ekonomicznych, bądź humanitarnych jedynie. Zrehabilitowana i odrodzona w ten sposób myśl związków społecznych, napotykała niejednokrotnie na pewne pozostałości dawnych, zeszłowiekowych korporacyjnych zabytków, które już przetwarzano według nowych wzorów, już to pozostawiono w spokoju, jako skamieniałe rudymenta dawnych formacyj, na które jednak z mniejszą już teraz zaczęto spoglądać nienawiścią i uprzedzeniem.

Najłatwiej zahaczały się o dawne asocjacyjne zabytki, towarzystwa pomocy wzajemnej z celami więcej humanitarnemi, i związki korporacyjne natury fachowej.

Zastosowanie idei stowarzyszeń do produkcji, spożycia, handlu i w ogóle do całego obecnego systemu produkcji i konsumcji, musiało oczywiście natrafiać na największe trudności, i dotąd jeszcze nie znalazło zadowalniającego rozwiązania, nawet w teorji. I nic dziwnego. Cały dzisiejszy kapitalistyczny ustrój produkcji obcy jest zupełnie zasadzie stowarzyszeń pomocy wzajemnej, ustrój ten zaś rozwinął się tak silnie, że wszelkie prawie dotąd współubieganie z nim nowej asocjacyjnej organizacji, okazało się mało owocnem. Uciekano się do różnych środków. Gdy sama pomoc wzajemna, s a m o p o m o c (Schulze-Delitsch), okazywała się niedostateczną i zbyt słabą, uciekano się, jak Lassalle, do zasady pomocy państwowej, subwencji itd.

Jeżeli jednak stowarzyszeniom trudno było dotąd współzawodniczyć z rozwiniętą, kapitalistyczną produkcją fabryczną, to pozostało dostępniejszem dla nich dość jeszcze obszerne pole, nie zajęte dotąd przez wielką produkcję, dziedzina drobnego przemysłu i rękodzieł. O ile urzeczywistnieniu idei stowarzyszeń w tym zakresie nie stanął na zawadzie, nie tylko już brak specyalnych wiadomości, lecz poprostu brak elementarnej oświaty, brak dalej pewnej wytrwałości, energii, znajomości rzeczy, a wreszcie brak szczupłych choćby zasobów — zdołała ona mniej lub więcej szczęśliwie przyjąć się w tej ekonomicznej dziedzinie.

Mając na względzie rzemiosła i rękodzieła, zastosowano ją do stowarzyszeń dla zakupu surowych materjałów i magazynowych, w części zaś do produkcyjnych. Na zachwaszczonym gruncie drobnego przemysłu nie łatwo przychodzi się rozwijać stowarzyszeniom, tam jednak gdzie stojące im na zawadzie, przeszkody przełamano, zdołały one nie tylko przynieść bezpośrednią korzyść drobnej produkcji, lecz wsparły ją znakomicie w konkurencji z produkcją fabryczną.

Jak dalece stowarzyszenia wyrosłe na gruncie drobnej produkcji przemysłowej, konkurować dziś mogą z wielką produkcją fabryczną — pytanie to należy do nader interesujących i mało rozpatrzonych zagadnień ekonomiczno społecznych. Biorąc rzecz ekonomicznie tylko i technicznie, nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby stowarzyszenia drobnych rękodzielników lub robotników, pozyskały w drodze assocjacyi to wszystko co wielka produkcja fabryczna posiada, dojść bowiem w tej drodze można i do fabryk — obok jednak technicznych, stoi temu na przeszkodzie wiele innych trudności, a przedewszystkiem brak szerszej oświaty, umiejętnego kierownictwa, brak dostatecznych zasobów i niemożliwa wskutek tego konkurencja z wielką kapitalistyczną produkcją fabryczną.

Gdyby jednak szkopuły te szczęśliwie przezwyciężono, ujrzelibyśmy, jak wielką potęgę rozwinęłaby praca stowarzyszona, oparta na samorządzie, ogniskującym się w małych grupach i szerszych związkach, na wspólnem posiadaniu środków produkcyi i słusznem wynagrodzeniu za pracę, stosownie tylko do jej ilości i jakości. Podobnie zorganizowana działalność produkcyjna potrafiłaby pod koniec przezwyciężyć i tę największą przeszkodę, jaką sprawia współzawodnictwo, tanim robotnikiem, rozporządzającej produkcji indywidualistycznej, i zupełnie ją z czasem usunąć.

Idea stowarzyszeń, stosowana jako zjednoczenie na zasadzie pomocy wzajemnej sił drobnych, najłatwiejsze i najszersze znalazła zastosowanie w sprawach kredytowych. Powstałe, za inicjatywą Schulzego z Delitsch towarzystwa zaliczkowe, oparte na pomocy wzajemnej, rozwijały się w początkach szóstego już dziesiątka naszej doby, nader pomyślnie, i oddały już dotąd niepoślednie usługi produkcji rękodzielniczej i kredytowi osobistemu, rugując rozpanoszoną w tych zapuszczonych dziedzinach ekonomicznych — lichwę. Zastosowanie zasady stowarzyszeń do kredytu przeszło już wszelkie próby, i nie potrzebuje szczegółowego udowodnienia.

Nie jesteśmy zdania, że tam szczególniej, gdzie rozwinęła się już potężnie fabryczna produkcja kapitalistyczna, istniejąca i szczepiona równolegle produkcja asocjacyjna, może skutecznie i powinna iść z pierwszą o lepsze, nawet przy silnej pomocy z zewnątrz, byłoby to bowiem chcieć wytworzyć dwie równolegle istniejące i wpółzawodniczące produkcje.

Idea jednak asocjacji jest o tyle potężną i tak wybitnie społeczną, t j. zgodną z naturą społeczeństwa, że umiała ona utorować sobie drogę i do tej twierdzy, która jej się dotąd z powodzeniem opiera, umiała przeniknąć i w sam dzisiejszy ustrój ekonomiczny. Dostała się zaś tam w dwóch postaciach, raz jako z j e d n o c z e n i e, nie ludzi, lecz k a p i t a ł ó w, czego coraz liczniejsze mamy przykłady w stowarzyszeniach i spółkach akcyjnych — powtóre, jako k o o p e r a c j a p r a c y, wiadomo bowiem, że wielkie przedsiębiorstwa fabryczne mają to do siebie, że wymagają zjednoczenia znacznej liczby pracujących, przy uwzględnieniu podziału pracy i zajęć.

Nie tylko zresztą temi drogami wsiąka idea stowarzyszeń w dzisiejszy ustrój ekonomiczny. Robotnicy fabryczni skooperowani dziś przy pracy, łączą się przytem w zbiorowe korporacje fachowe. Gdzie zaś takowe istnieją wytwarza się wzajemne równoważenie dwóch czynników produkcji: kapitału i pracy. Przedsiębiorcy zresztą także wiążą się w korporacye. Obok fachowych syndykatów, złożonych z majstrów, lub przedsiębiorców fabrycznych, jak we Francji, stają syndykaty robotnicze, lub trads unions, jak w Anglii. Pomiędzy temi stronami zachodzą spory, starcia, wybuchają bezrobocia i bunty, istnieją jednak i sądy rozjemcze, „conseils de prudhommes", które umożliwiają układy wzajemne, — tam zaś gdzie te układy doprowadziły do przyznania robotnikom udziału w zyskach, produkcja indywidualistyczna przemienia się powoli i nieznacznie w zbiorową, assocjacyjną, kto bowiem ma prawo do udziału w zyskach, tantjemy, ten jest już współwłaścicielem, akcjonarjuszem, a jako taki ma znowu prawo kontroli i wyboru zarządu; gdzie zaś naturalny bieg rzeczy doprowadza do takiej konsekwencji, nie ma indywidualnego przedsiębiorcy, jest tylko co najwyżej wielki akcjonaryusz; postępując jeszcze krok dalej po tej drodze przychodzimy do stowarzyszeń, opartych na solidarnej pomocy wzajemnej, które przyjmują maximum udziału, i zasadą których jest demokratyczne zrównanie praw tam, gdzie odpowiedzialność jest już solidarną i równą.

Zaszczepiona w ten sposób idea stowarzyszeń w łonie dzisiejszego ekonomicznego systemu, nie zaniedba rozszerzyć się w nim coraz wyłączniej i coraz szerszy sobie zakres wywalczyć, torując w ten sposób drogę do pełnego urzeczywistnienia w życiu społecznem trzech wielkich haseł: wolności, równości i solidarności. *E. P.*

Intratna posada.

Nowela.

Napisał W. I. Wdowiszewski.

(Dokończenie).

Gdy w chwilę potem z gabinetu burmistrza wyszedł sekretarz z Tadeuszem, twarz młodego człowieka była poważna, tylko koło ust igrał mu uśmiech pół wesoły, pół smutny, a usta same drżały nerwowo...

— Stójkowy! zawołał sekretarz na sługę policyjnego—przyprowadzić mi dorożkę. Jedziemy na cmentarz...

Stójkowy pobiegł wypełnić rozkaz.

— Oddam panu książki, wprowadzę w czynność i będziesz pan instalowany.

— Pozwoli pan sekretarz napisać kilka słów do rodziny. Przyjęty obowiązek nie dozwoli mi być w domu przed wieczorem, a chciałbym rodzinę uspokoić z powodu mojej nieobecności.

— Siadaj pan i pisz. Tam na biurku est papier i koperty.

Tadeusz pisał.

„Kochana mateczko! Los nam się uśmiechnął. Po zmarłym dziś urzędniku magistrackim, otrzymałem bardzo dobre miejsce. Dni głodu i chłodu skończyły się. Przybędę dopiero wieczorem i więcej opowiem... Twój kochający syn Tadeusz".

Zakopertował list i zaadresował, a sekretarz wsiadając z Tadeuszem do dorożki, powierzył list ten stójkowemu dla doręczenia według adresu... O tem, że Tadeusz został grobarzem, dotąd prócz burmistrza i sekretarza nikt jeszcze nie wiedział.

— — — — — — — — — —

Tadeusz wieczorem wracał do domu. I on innym jak wczoraj wracał, i inne go czekało przyjęcie. Wprawdzie lampka świeciła tak samo mdło i niewyraźnie, ale za to na twarzach domowników był blask, który rozświecał półmrok izdebki. Nie panowała w niej także ponura cisza, ale spokojna choć cicha rozmowa. Będący w izbie nie mogli cieszyć się głośno, bo obok nich leżało dwoje ukochanych, którzy dnia radości nie dożyli.

Mimo jesiennego chłodu, powracający Tadeusz spocony był, spracowany fizycznie, ale wchodząc miał twarz spokojną, radosną nawet. Dzieciaki nie dały mu dojść do matki, uczepiwszy się zaraz przy dzwiach jego kolan... Wyswobodziwszy się z objęć malców, Tadeusz podszedł ku matce, i obie jej ręce do ust poniósł.

— Matko! matko! Jaki ja szczęśliwy! — To było całe jego powitanie. Głos jego drżał, mimo wysilenia, aby się zdawał wesołym.

— Niech cię Bóg błogosławi moje dziecko — załkała matka całując syna w czoło; — należało ci się szczęście. Wprawdzie świetniejszą pozycję marzyłam dla ciebie — ale widać nie było przeznaczenia. Idźno do Jadzi, ona ginie z ciekawości...

Podszedł ku dziewczynie Tadeusz i pałającą jej twarzyczkę do piersi przycisnął.

— Dla was moi drodzy, zrzekł bym się najświetniejszych widoków na przyszłość... Nie narzekajmy, bo mamy zapewniony byt i byt dobry. Teraz ja drugi wasz ojciec nie lepszy jak tamten — wskazał ręką na zmarłego — ale szczęśliwszy...

Chwilę trwało milczenie po uroczystych słowach Tadeusza. Przerwała je matka.

— Opowiadajże nam przecież, jakim sposobem dostałeś miejsce.

— Najprostszym w świecie. Byłem w magistracie, gdy przyszła wiadomość o śmierci mojego poprzednika. Z pomocą sekretarza uzyskałem to miejsce od burmistrza i cała parada.

— A cóż to za posada? zapytała matka.

— Jakby to mamie powiedzieć... Manipulacyjna.. administracyjna — prowadzenia wykazów, książek... Wprawdzie pracy będzie po uszy, ale bo też i płaca dobra. Nie żal rąk przyłożyć, bo posada bardzo intratna...

— Intratna posada? Naprawdę?

— Co się zowie!.. Dość mamie powiedzieć, że kupcy dowiedziawszy się o jej objęciu, na wyścigi otwierają mi kredyt. Wiedzą, że z godziwemi dochodami ubocznemi mogę mieć koło 3000 reńskich rocznie...

— Matko najświętsza! A to dopiero szczęście!.. zawołała matka. Widzisz Tadziu, co to znaczy, jak człowiek ma szkoły. Zaraz inne uważanie!.. Boże mój miłosierny! coby to z ciebie mogło być, gdybyś był dalej poszedł na akademję... Pan!..

— Moja matusiu, tymczasem byście się morzyli głodem.. Lepiej przyjąć co Bóg dał. Wracając do domu, kupiłem różnych rzeczy. Zaraz tu posługacz przyniesie kosz z wiktuałami i pakiecik... Macie chłopaczki na początek ciepłe buciki, mamie sprawiłem płaszcz — Jadzi pled doskonały. Powoli sprawimy więcej rzeczy potrzebnych, a przedewszystkiem wyniesiemy się z tej zatęchłej, niezdrowej dziury. Tyleśmy tu nędzy przeżyli!..

Ledwie tych słów domówił, drzwi się otwarły i wszedł posługacz z koszem i pakietem. Odebrano od niego sprawunki. Dzieci rzuciły się przedewszystkiem na świeże bułki. W tej chwili buciki były dla nich rzeczą podrzędnego znaczenia. Tadeusz okrywał pledem nogi Jadzi, a matka uśmiechając się przez łzy, przymierzała płaszcz i próbowała dobroci materji — dziwiąc się w duchu rentowności posady, która jej synowi dozwalała sprawić starej matce takie eleganckie okrycie. Jeszcze Tadeusz nie wyładował z kosza wszystkich sprawunków, gdy drzwi znów się otwarły, i do izby wszedł majster, a za nim dwóch ludzi wniosło trumnę i trumienkę...

— Niech będzie pochwalony! pozdrowił stolarz

— Na wieki wieków!..

I cisza zaległa izdebkę. Na twarzach ożywionych przed chwilą radośnie, osiadł

smutek; w oczach każdego członka rodziny pojawiły się łzy...

— A co? Stawiam się w słowie... prawda? Ja tak zawsze... Powinszować... pani pisarzowo — tęgiego macie syna... To mi człowiek!.. Umie pracować... nie wstydzi się pracy.. Choć szkoły kończył, a przestaje na prostym uczciwym zarobku... Nie zazdroszczę mu, co prawda...

Tadeusz zmięszał się widząc, że matka ze zdziwieniem słuchała niezrozumiałych dla niej słów majstra.

— Jakto nie zazdrości ma'ster? zapytała.

— Bo choć to intratna posada, ale przykry chleb...

— Ależ, panie majster, gdzież tam — starał się rozmowę na inny przedmiot zwrócić Tadeusz.—Można się przyzwyczaić...

— Nie rozumiem was — odezwała się matka — jakbyście po turecku mówili. Tadziu, ty coś kryjesz przedemną...

— Bynajmniej kochana mamo... Macie tu na piwo chłopcy — zwrócił się do terminatorów — a niech który jutro przyjdzie zabić wieko...

Tadeusz gorączkowo wyprawiał stolarczyków — w ruchach jego była gorączka, a ile razy spojrzał na matkę, drżał cały. Mówił byle mówić.

— Ładnieście ulakierowali trumnę panie majstrze...

— Jak umiałem... Za to mi pan kiedyś ładne miejsce na grób wybierze... powiedział śmiejąc się stolarz.

— Co majster plecie! oburzyła się matka.

— Moja mateczko droga, nie irytujcie się i nie gniewajcie... To moja wina, żem odrazu nie powiedział mamie całej prawdy. Zostałem... zarządcą... cmentarza...

Wdowa wypatrzyła się ogromnemi oczami na mówiącego — potem skoczyła do tapczanu, podniosła prześcieradło okrywające umarłych, a wstrząsając z całych sił trupem męża, krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Stary! Słuchaj! Tadzio został grobarzem!.. rozśmiała się strasznie i osunęła na podłogę...

W przeciwnym kącie izdebki rozpłakała się Jadzia, a dzieci potrwożone pochowały się za jej fotel... Tadeuszowi zakręciła się łza w oku, ale ją stłumił i pobiegł do matki. Położył ją na drugim tapczanie — poszukał pulsów, a że biły jeszcze, krzyknął na stolarza:

— Panie majstrze, na miłość boską biegnijcie po doktora... Mieszka w trzecim domu... Ten młody!..

— Wiem wiem! Wrócę z nim pewnie

Wybiegł.

— Więc to prawda mój drogi, żeś został grobarzem? spytała z za łez siostra, cicho, łagodnie.

— Prawda Jadwigo!... A najpierw pogrzebałem marzenia o świetnej przyszłości.. Wszakże mi nie utrudnisz zadania obecnego?

— Nie, mój drogi... Ja cię rozumiem!..

— Gdyby mnie jeszcze serce matki zrozumieć chciało!.. westchnął Tadeusz trzeźwiąc matkę. Na czoło jego występowały krople potu, czuł że pulsa biły u niej coraz słabiej...

Nareszcie wszedł za majstrem młody doktor. Pokazano mu leżącą na tapczanie, i opowiedziano wypadek.

Zbadał ją i po chwili powiedział cicho:

— Jestem już zbyteczny...

— Dzieci, dzieci, drogo kupiłem wam kawałek chleba!...

Z temi słowami na ustach — ukląkł Tadeusz przy zwłokach matki, i rozpłakał się jak dziecko...

* * *

Przed dwoma miesiącami, w dżdżysty dzień październikowy, około godziny czwartej po południu, zadzwoniłem u drzwi małego domku, stojącego w ogródku, o kilkadziesiąt kroków od cmentarza. Wskazano mi, że w nim mieszka grobarz. Przyszedłem zamówić grób dla jednego z moich przyjaciół.

Na odgłos dzwonka wybiegła służąca i poprosiła do pokoju. Wszedłem.

Owiało mnie przyjemne ciepło pomięszane z zapachem kwiatów. Znajdowałem się w bardzo eleganckim saloniku, a powitała mnie piękna, młoda kobieta, siedząca z robótką w ręce opodal okna, na fotelu. Nogi miała okryte szalem.

— Niech pan będzie łaskaw zaczekać chwileczkę. Brat wróci za kwadrans. Pojechał po dzieci do miasta — przywieść je ze szkoły.

Zapowiedziany kwadrans minął mi nader szybko wśród ożywionej rozmowy, nie spostrzegłem jak przed dom zajechała dorożka.

Do pokoju wbiegło trzech tęgich chłopców, ubranych w ciepłe zimowe płaszczyki. Wszyscy po kolei biegli do siostry i witali ją pocałunkami. Każdego z nich pytała łagodnie:

— Jakże tam z cenzurą dzisiaj?

— Dobrze, niech Tadeusz poświadczy — zapewniało każde z dzieci, oglądając się ku drzwiom.

I ja tam spojrzałem. Stał przy drzwiach młody, przystojny, silnie zbudowany mężczyzna, i milcząco przypatrywał się scenie powitania. Na twarzy miał dziwnie pociągający uśmiech rozradowania.

Był to „pan grobarz“. Z wszystkiego było widać, że w domu jego panowało szczęście, że posada była intratną...

Dlaczegoż kiedy niekiedy po twarzy jego przebiegał dziwnie bolesny uśmiech? Dlaczego nieraz usta jego drżały kurczowo?..

Dlaczego?..

Sanok w Listopadzie 1882.

Ballada o chłopcu na stepie

Fryderyka Hebbla.

Śnił chłopiec, że pan go wyprawił na step,
Miał w torbie trzydzieści talarów i chleb,
Szedł spiesznie nie tracąc ni chwili,
Lecz zbójcy go w drodze zabili.

Widziadło to jeszcze nie pierzchło, gdy w tem
Przebudza pan dziecko dręczone złym snem.
Powstaje chłopczyna znużony,
Pan pyta czem jest przerażony.

„Ach panie! ach panie! przeczuwam twój gniew!
Dziś słońce na niebie czerwone jak krew!“
„Dość gadań! gdy nie masz ochoty
Mnie słuchać, wnet pójdziesz w obroty!“

„Ach panie! ach panie! okropny mój los!
To była twarz twoja, twój wzrok i twój głos!
Tyś schwycił...“ Zmilkł chłopak jak wryty,
Co? nie rzekł i został obity.

„Ach panie! ach panie! już idę, bądź zdrów,
Lecz matce mej powtórz te kilka mych słów:
Gdy szukać mnie będzie po świecie,
Pod wierzbą odnajdzie swe dziecię!“

„Marsz w drogę!“ Po drodze szeroko i wzdłuż
Step straszny, siedziba zawieruch i burz.
W pospiechu się chłopiec nie leni:
„Krok każdy niech w tysiąc się zmieni!“

Tak cicho, tak głucho i w okół i w szerz,
Nie ujrzysz człowieka, drzew domów i wież,
Z chmur tylko zgłodniałe mkną ptaki,
By chwytać w powietrzu robaki.

Stał domek samotny pasterza wśród błoń
I chłopiec w podróży przybliżył się doń,
I przestrach się jego wzmógł srodze,
Przystanął przez chwilę na drodze.

„Pasterzu! tyś dobry człek! wesprzeć mnie chciej!
Ot cztery srebrniki w torebce są mej,
Każ komu ze swojej czeladzi,
Do wioski niech mnie doprowadzi.“

„Groszaki te dam mu. Niech za nie w dniu świąt
Napije się piwa... lecz pragnę pójść stąd.
Z pieniędzmi chcę rozstać się wcześnie,
Bo za nie zabito mnie we śnie.“

Gospodarz zawołał, wszedł jeden ze sług
I zmierzył chłopczynę od głowy do nóg;
Był rosły i ręce miał duże,
Aż chłopca mróz przeszedł po skórze.

„Ach panie pasterzu, dziękuję już wam,
Nie trzeba mi sługi, pójść mogę i sam!“
Drab na to rzekł z miną złośliwą:
„Groszaków żałuje na piwo!“

„Więc macie groszaki!“ I rzucił je wnet
I zwrócił się szybko i spiesznie w step szedł.
Do Wierzby już droga niedługa,
W tem nagle dogonił go sługa.

„Nie spiesz tak, ustaniesz, zabraknnie ci tchu,
Dzieciaku, powoli, odpocznij no tu.
Zapewne ci ciężą, mój synku,
Pieniądze, więc użyj spoczynku.“

„Choć, usiądź pod wierzbą, opowiedz mi ten
Sen brzydki, bo widzisz, jam także miał sen,
Niech piekło mnie porwie żywego,
Jeżeli inakszy od twego!“

I wiedzie chłopczynę pod wierzbę na błoń,
A chłopiec sił nie ma, by wyrwać mu dłoń,
Wiatr w stepie tak wyje rozgłośnie,
A strumyk tak szemrze żałośnie.

„Więc gadaj co śniłeś dziś? — Człowiek to był. —
„Ja może? Patrz na mnie, czyś o mnie dziś śnił?
Bo mnie się o tobie marzyło!
No, mówże jak dalej tam było?“

„Wydobył on noża.“ — „Takiego jak ten?“
„Ach! tak! tak!“ — Wydobył i...“? „Pchnął mnie
[przez sen.“
„I pchnął cię? trysnęła krew strugą?
I pewno nie męczył cię długo?“

Pytacie co dalej?.. Odpowiem ja wam,
Spytajcie dwóch ptaków, co były wciąż tam.
Kruk wielce był rad ze zdarzenia,
A gołąb aż słabł z przerażenia.

Kruk powie, co zrobił zły człowiek wśród błoń
I jaką po strasznym tym czynie czuł woń,
A gołąb, jak w stepie na błoni
Chłopczyna się modli, łzy roni...

Wł. Sabowski.

Lady Barcker.

(Kobieta geograf.)

Lady Barcker należy do licznego rzędu kobiet angielskich, które, dzięki urzędowemu stanowisku swych mężów, mają sposobność osobiście poznać poza-europejskie posiadłości Anglii. Jest ona, że tak powiemy, typem angielki-kosmolitki, w najlepszym znaczeniu słowa tego. Dzieckiem będąc, bawiła się w gajach i lasach Jamajki, następnie u podnóża gór Himalajskich, dalej w Nowej Zelandji i innych tym podobnych krajach. Dzieło jej o Nowej Zelandji, czyli raczej „o mojej ślicznej Zelandji“, jak się zwykle o niej wyraża, zyskało wielkie pochwały Jest w niem wszystko; autorka z równą przyjemnością opowiada o domowych kłopotach swoich, o kuchni, sługach i dzieciach, jak i o silnem wrażeniu, wywartem na nią przez kraj, dotąd prawie dziewiczy. Gdzieby ją losy nie rzuciły, wszystko stara się poznać, zgłębić i opisać, przyczem styl jędrny i prosty, idzie o lepsze z ni pospolitym darem postrzegawczym, jakim się odznacza.

W ostatniem swem dziele „Rok życia w Południowej Afryce“, lady przenosi nas do „cudnego Natalu“, w którym niedawno jeszcze stoczono tyle walk krwawych to z Zulusami, to znów z Basutosami lub Boerami. Dziś ten kraj spokojny. Autorka opisuje naturę jego, a dalej życie domowe i społeczne tamtejszych plemion w kolorach tak żywych, że zdaje się, iż się widzi Natal własnemi oczyma.

Podróż z Indji do Natalu była bardzo uciążliwa, szczególnie dla kobiety, obarczonej dwojgiem dzieci, z których jedno ma zaledwie lat kilka. Na morzu panowały nieustanne burze. Gdy nareszcie przybyła do Natalu, był już listopad. Jest to miesiąc „uroczej“ wiosny dla kraju tego, następującej po zimie „suchej“, podczas której Natal wygląda, jakby spowity w nieustannych kłębach czerwonego kurzu. Natal podczas wiosny wygląda jak jeden kobierzec kwiatów i traw. Trawy bardzo wysokie, ale za to, wyjąwszy skalisty grzbiet gór w zachodniej stronie, nigdzie nie ma lasu. Rośnie tam wprawdzie drzewo kauczukowe, przeniesione z Australji, lecz nędznie wyglądających i niewielkich kupek jego, nie sposób nazwać lasem. Spotyka się również różne gatunki dębu karłowatego, a dalej wierzby płaczące rozsiane z rzadka nad brzegami rzek. Główne miasto Maritzburg, zbudowane na płaskowzgórzu wysokiem, robi wrażenie ciszy.

Ze sto domów, kilka ulic — ot i cała stolica. Ulice długie, szerokie, przecinające się pod kątem prostym, po bokach obsadzone drzewami tak, że patrzącemu zdala, wydaje się miasto dość malowniczem. Ale tylko zdala; wstąpiwszy bowiem doń, urok wnet znika. Maritzburg nie posiada literalnie ani jednego pięknego budynku, a ulice jego, pogrążone w ciągłym jakimś lekkim pół mroku, wtedy tylko ożywiają się nieco, przedstawiając jednocześnie oryginalny widok, gdy przybędą kafrowie z furami zabierać towary w głąb kraju. Podczas zimy transporty zupełnie ustają, a to z powodu braku paszy dla wołów, któremi się posługują kafrowie, zaprzęgając do każdej fury nie mniej jak po dwadzieścia. Woły tak chude, że pojąć trudno, jak są zdolne trzymać prosto ogromne swe rogi, a nie dopiero coś uciągnąć, a wyglądają one jeszcze głupiej, jak inne rasy bydła rogatego, któremu zoologia pod względem głupoty oddaje prawie palmę pierwszeństwa. Kafr nie popędza ich z tyłu, lecz idzie przed niemi; taki furman u Kafrów, nazywa się „wywiadaczem“.

Kafrowie prezentują się bardzo pięknie. Chodząc trzymają się prosto, jak struna, krok ich lekki i zarazem leniwy, jak zwykle u dzikich. „Widziałam murzynów, — powiada lady, — w czterech rozmaitych częściach świata, lecz nie udało mi się ani razu widzieć takiego murzyna, któryby z własnej i nieprzymuszonej woli szedł prędko. Należy zresztą pamiętać, iż dla kafra myśl, że mężczyzna może zająć się jakąkolwiek, choćby najlżejszą robotą, wydałaby się czemś tak nowem, a nawet rewolucyjnem, że wolałby umrzeć, aniżeli się zająć fizyczną robotą. To też kafr nawet nie pogania wołów, ale wlecze się przed niemi krokiem leniwym, a te już machinalnie w ślad idą. Według pojęć kafra, praca jest dla kobiet, a dla mężczyzn wojna i kompletne próżniactwo. To też stara się, jak można najmniej, przyłożyć ręki do czegoś. Chyba coś nadzwyczajnego zmusić go może do roboty jakiej, lecz skoro tylko jest o tyle zamożnym, iż może kupić kilka sztuk podobnych mu „zwierzat jucznych“, t. j. kobiet, to bodaj czy się znajdzie choć jeden pomiędzy nimi taki, któryby choć palcem poruszył. Od czegóż kobiety? — one za niego i dla niego pracować powinne. Takie-to są wyobrażenia w tym punkcie — i kobieta kafrka niezmiernie jest dumną, gdy kupioną została za duże pieniądze. Bo dla niej jest to znak, że coś warta, że dużo pracować potrafi — to też nie bez pewnej dozy pogardy odzywa się ona zwykle o swych białych siostrach, dostających mężów za posag bogaty“.

W innem znów miejscu, lady Barcker pisze: „Czem więcej znajomię się z kaframi, tem więcej poczynam ich kochać i cenić. Panuje wyobrażenie, iż spuścić się na nich nie można; ja zaś uważam ich za ludzi dobrodusznych, wesołych, posłusznych i grzecznych. Nawet pastuch w polu, wita mię słowy: „zako wono“, t. j. dzień dobry, gdy bywało wyjdę zrana na wycieczkę szukać paproci i różnych innych roślin — a z kuchni i ze stajni wciąż mię dolatuje wesoły śmiech. Zresztą wesołość ich, jest zupełnie innego rodzaju, jak wesołość starych moich znajomych, negrów indyjskich, którzy czy to u siebie w domu, czy na folwarku, a wciąż tylko śmieją się i gawędzą. Będąc w towarzystwie, kafry zwykle są bardzo poważni, i nie jest rzeczą łatwą rozśmieszyć ich czemkolwiek lub wzbudzić podziwienie; ale będąc w domu u siebie, w kraalach swych, lud to bardzo udzielający się, wesoły i towarzyski“.

Lady Barcker dużo opowiada o tych ich kraalach. Zajrzymy z nią choć do jednego,

Oto jak wygląda: składa się z 20 chałupek, kształtu ulowego, ustawionych w półksiężyc; największa z nich we środku — to mieszkanie „macimbulu“, t. j. naczelnika kraalu, a u wchodu stoi najmłodsza t. j. najświeższa żona jego, zajęta krajaniem dyni na drobniutkie kawałki, z której zamierza sporządzić rodzaj zupy, zwanej „skof“. Młoda pani „macim bulu“,—powiada autorka. — była to najpiękniejsza, ale zarazem i najopryskliwsza ze wszystkich, jakie tylko znałam kafranek. Miała na sobie ładne łańcuszki i różne inne brzękadełka błyszczące; włosy zaczesane porządnie, ufarbowane na czerwono; cała zaś reszta toalety składała się z kawałka wiśniowej pięknej płachty. Czegoż zdaje się potrzeba więcej?—a jednak pomimo tak pięknej elegancji kafranki, mogła ona służyć za wzór istoty w najgorszym humorze“.

„Tuż za chałupą „macibulu“, koło ściany leżała cała kolekcja najrozmaitszych „rzadkości“, uchodzących w pojęciu kafrów za niezawodne środki przeciwko piorunowi, a mianowicie: zużyte groty pik, muszle, złamane uszko od fajansowego kubka i jakiś pstrokaty łachmanek z zabawki dziecinnej. A wiedzieć trzeba, że rzecz każda, której kafry nie znają i nie używają, jest w ich oczach niezawodnym środkiem zamawiania burz i żywiołów“.

Udało się przedtem autorce być na dwóch weselach kafrskich. Przedstawiały one mięszaninę dziwaczną barbarzyństwa z pretensjami do cywilizacji.

„Było to w jasny zimowy poranek — słońce świeciło w całym blasku — gdy orszak weselny ruszył w tryumfie z kościoła; szli parami. Na czele postępowali państwo młodzi, a do koła zaproszeni goście i tłum ciekawych. Trzeba było widzieć, z jaką niczem niezachwianą powagą szedł oblubieniec z oblubienicą, pomimo szczęśliwej radości, błyszczącej w ich wzroku. Pan młody, również drużbowie i przyjaciele jego, mieli na sobie fraki z szarego letniego płócienka, umyślnie kupione na tę uroczystość sławną, i wyglądali naturalnie bardzo komicznie, tem bardziej, że jakby na dobitkę, obuli się w buty — wielce rzecz niewygodną — a na kędzierzawych czuprynach sterczały miękkie filcowe kapelusze szare. Co do panny młodej, ta była ubrana także na sposób europejski, t. j. w bieli z długim welonem tiulowym, zarzuconym na wianek z kwiatów pomarańczowych, zdobiący krucze kędzierzawe włosy. Postępowała z okazałością i wdziękiem, tylko kafrankom właściwym, a długi tren sukni zamiatał proch uliczny. Istotnie chód jej był pełen wdzięku. Patrząc na nią, nie chciało się wierzyć, że jeszcze wczoraj całem jej ubraniem był kawałek płótna u bioder — a oto teraz tak umiejętnie nosi suknię, jakby od dzieciństwa była przyzwyczajona do tego, i z taką dumą i naturalną godnością trzyma czoło wysoko, jakby nigdy nic miała do czynienia z czerwoną ziemią i ciężką robotą. Nie mogłam dobrze widzieć rysów jej twarzy, lecz co do szyji i rąk, to te były czarne jak heban, co stanowiło niemały kontrast z białą ślubną suknią. Za panną młodą postępowało z pół tuzina młodych dziewcząt, tak samo w białych sukniach, z tą tylko różnicą, że zamiast welonu miały długie na głowach woale z błękitnego tiulu. Reszta zaproszonych gości wystąpiła w pstrokatych perkalowych sukniach i różnokolorowych frakach. Bądź jak bądź, ale każdy i każda, byli nadzwyczaj z siebie zadowoleni“.

Tylko co opisane wesele, było to wesele Kafrów cywilizowanych; drugie zaś, na którem była lady Barcker, należało do kafrów w stanie pierwotnym.

Przed ślubnym orszakiem postępowała najpierw kupa silnych wojowników, odzianych w skóry zwierzęce na plecach, a w ogromne pęki piór na głowie. Gibkie, żylaste ich ciała lśniły się na słońcu; postępowali szparko, lecz nie o tyle jednak, ażeby nie powitać lady Barcker wdzięcznym ukłonem. Była to awangarda — kwiat kafrskich rycerzy — odprowadzająca córkę pewnego naczelnika kraju po za góry, gdzie odtąd zamieszkać miała ta piękna, oblubienica siły niezwykłej. Nie szli oni, ale raczej biegli, co było koniecznem według ich etykiety, a cały orszak weselny leciał tym samym pędem. Za rycerzami z panną młodą, szli krewni, tłumem nie małym i bardzo pstrokatym z powodu rozmaitych kawałków różnych części odzieży europejskiej, w które się przystroili. Ubiór panny młodej przedstawiał również dziwaczne połączenie nagości ciała z odzieżą, ale za to wszyscy mieli w uszach zamiast kulczyków tabakierki z rozmaitego materyału, bez czego nic u nich.

Po za tłumem krewnych panny młodej postępował jeszcze gęstszy tłum, do którego już i kobiety wchodziły. Odznaczał się szczególnie zastęp niewiast, z których każda miała dużą obręcz mosiężną na czole — znak nieodzowny szlachetnego rodu. Nogi u wszystkich były gołe; zwierzchnią zaś część ciała poza biodra, okrytą mieli kawałkami wełnianej materji. Panna młoda była bardzo piękną, słuszną i wiotką, z wyrazem twarzy bardzo miłym, pomimo widocznego znużenia. Kawałek jakiejś płachty cynamonowego koloru, stanowił całe jej ślubne ubranie dziewicze; pomimo jednak tak skromnej toalety, potrafiła ona tak się udrapować, że piękność kształtów była na okaz, bez szwanku dla wstydliwości dziewiczej. Lica jej i włosy były pofarbowane na czerwono.

Miłość w małżeństwie u kafrów nie odgrywa najmniejszej roli. Wiadomo, że udziałem kobiet w Południowej Afryce jest jedynie ciężkie jarzmo niewoli małżeńskiej. Ale nie wszystkie kobiety ulegają jarzmu. Czarownice, zwane „ispijangi“ cieszą się tam ogólnem poszanowaniem. Leczą one i przepowiadają; tłumaczą sny, są kapłankami przesądów i zabobonów, używają praw wszelkich na równi z mężczyznami, noszą broń, polują i stroją się dumnie w trofea swych zwycięztw: w węże skóry, w lamparcie futra i t. p. rzeczy. Starania rządu angielskiego zniszczyć wpływ czarownic na ludność, nie odniosły, jak dotychczas, skutku, i zapewne dużo jeszcze upłynie czasu, zanim to się uda. Ludność miejscowa po dawnemu uznaje „ispijangi“ za rodzaj prorokiń, którym wszystko wiadomo, które wszystko potrafią i których słuchać należy. Nie rzadkie są wypadki, że za ich przyczyną wymordowywano całe kraale, lecz z drugiej strony na rozkaz ich ucichały waśnie i nie przychodziło do wojen. Rozdział poświęcony przez lady Barcker temu przedmiotowi, jest nader interesujący. Zresztą trudny tu wybór, bo całe dzieło jest zarówno wielce ciekawem. Widać, że słynna autorka nie zmarnowuła czasu w Afryce. Podejmowała liczne wycieczki w głąb kraju, zwidzała kraale, szkoły i misjonarskie stacje. W stacji Edendal, w której czas dłuższy mieszkała, znajdują się cztery szkoły z 200 uczniami, oprócz szkół niedzielnych, do których uczęszcza 280 dzieci.

Zbrodnia Piotra Michajłowicza.

Obrazek

skreślił

L. Jażminów.

Jestem bardzo wiernym poddanym, kocham moją ojczyznę, ubóstwiam batiuszkę-cara, a jednakowoż nie mogę się równać z Piotrem Michajłowiczem. Piotr Michajłowicz, — może go znacie — należy do najporządniejszych obywateli Charkowa. Jest on właścicielem kamienicy na rogu Wyższej kupieckiej, a pod Charkowem ma fabrykę cegły, i rocznego dochodu do 30 tysięcy; ma przytem żonę, przystojną blondynkę i dwoje dzieci aniołków.... Ale o to mniejsza. Piotr Michajłowicz jest wzorem obywatela — gotów poświęcić wszystko dla cara i ojczyzny. Piotr Michajłowicz modli się każdego ranka i wieczora z rodziną i służbą razem, za cara i jego familię; robotnicy w jego fabryce zaczynają

i kończą robotę śpiewem „hymnu narodowego“, a w każdym pokoju u Piotra znajdziecie najmniej jeden wizerunek cara. Kocha on cara nad wszystko — imienia jego nie wymówi, nie zdjąwszy wprzód czapki. Nic też dziwnego, że Piotr Michajłowicz czuł się najszczęśliwszym, gdy zapowiedziano przyjazd batiuszki do Charkowa. Z wielkiej radości ofiarował, pomimo sprzeciwiania się żony, 10 tysięcy na jego przyjęcie. Ludzie mówili, że chce zasłużyć sobie „chrest“, ale to proste oszczerstwo. Piotr Michajłowicz co robił, robił z najczyściejszego patrjotyzmu. Oprócz tego sutego datku Piotr Michajłowicz i własnej swej osoby nie szczędził, aby tylko godnie przyjąć cara-batiuszkę: biegał po wszystkich ulicach, doglądał wszystkiego, i uspokoił się dopiero w dzień przyjazdu swego „gosudara“, uspokoił się o tyle, że nie biegał już, ale od wczesnego ranka przechadzał się po peronie, oczekując carskiego pociągu.

Zacnym człowiekiem był Piotr Michajłowicz, a przecież miał wrogów i to z własnej winy, bo nie rozumiał się na rzeczy. Do gubernatora nigdy nie poszedł, „Gradonaczelnika“ nigdy nie zaprosił do siebie, generałowi nie chciał taniej jak innym sprzedać cegły na dom, kapitana żandarmer i, umizgającego się do jego żony, omal nie obił, i tak był zaślepiony w sobie, że wszystkich nazywał „maszennikami“. Przy tem wszystkiem był za prędki, a czasem nawet nierozważny.

Teraz chodzi Piotr Michajłowicz po peronie; czasem zatrzyma się, poprawi chorągiewkę albo wianek, napędzi którego obywatela, aby przebrał czystą koszulę, a nawet i samego naczelnika zwrócił uwagę, że należałoby wziąć biały krawat na taką uroczystość. Naczelnik przygryzł wargi, a przyjaciele Piotra Michajłowicza poczęli go w głos chwalić za jego lojalne usposobienie.

— To obywatel!

— To patrjota!

— Temu należałby się chrest.

— On go pewnie dostanie, car-batiuszka nie pominie jego zasług.

— Jemu to być naczelnikiem grodzkim!

— O kim panowie mówicie? — zapytał naczelnik, idąc ku gromadce przyjaciół Piotra Michajłowicza.

— O kimże innym, jak nie o Piotrze Michajłowiczu?! To człowiek, to patrjota! On zasługuje na carską łaskę.

— Carska łaska.... naczelnictwo grodu mu w głowie — pomyślał naczelnik odchodząc. — O nie tak to do nich dobiera się, bratku... Kto wie gdzie ty jeszcze zajdziesz!...

Piotr Michajłowicz nie widział groźnego wzroku naczelnika, on patrzał w stronę, z której miał nadjechać carski pociąg, patrzał i naraz począł wołać „hurra“. Zobaczył maleńką chmurkę dymu na widokręgu, i domyślił się, że to komin lokomotywy, ciągnącej carski pociąg. Piotr Michajłowicz nie omylił się (on w takich razach nie mógł się mylić, a jego miłość była przeczuwająca). Za chwil kilka stanął pociąg przed peronem, a w oknie wagonu zajaśniało święte oblicze cara batiuszki.

Jasność carskiego oblicza oślepiła na chwilę Piotra; usłyszał tylko „zdrastwujte rebiata“ i gdy spojrzał dokoła siebie, nie ujrzał już cara.

Ale nasz Piotr Michajłowicz nie taki, aby się dał czembądź zbyć; szybko też roztrącił tłum obywateli, krzyczących bez ustanku „hurra“ i wypadł na dworzec, gdzie car właśnie wsiadał do powozu.

Piotrowi Michajłowiczowi błysnęła genialna myśl.

— Bracia, — zawołał on na swych przyjaciół — car batiuszka, a my jego rebiata! Zawieźmy go sami do miasta!

Słowa Piotra Michajłowicza zelektryzowały jego przyjaciół; w jednem oka mgnieniu przyskoczyli do carskiego powozu, i poczęli wyprzęgać konie. Kuczer przestraszony wypuścił lejce, z powozu wyskoczył car zbladły, a przytomny adjutant krzyknął: Żandarmi!

Żandarmi, to najwierniejsi carscy słudzy, im nie należy oporu stawić, i przyjaciele Piotra Michajłowicza rozskoczyli się jak żywe srebro; on jeden został a wyprzęgając konie wymyślał żandarmom.

— Co wy maszenniki, nie chcecie pozwolić rebiatom wieść batiuszkę, nie chcecie pozwolić dotknąć mi się przynajmniej carskiego konia?...

Policja byłaby może grzeczniej obeszła się z Piotrem Michajłowiczem, ale gdy on jednemu żandarmowi, który go z lekka płazował, dał policzka, związali Piotrowi ręce i zaprowadzili go do tiurmy.

— Posiedzę dziś w tiurmie, ale jutro pewnie car wezwie mnie przed siebie, a wtedy ja wam pokażę maszenniki, jak można uczciwego człowieka, wiernopoddanego patrjotę zamykać w tiurmie... — odgrażał się Piotr Michajłowicz i spokojnie położył się na pryczę, by odetchnąć po trudach. Nie oburzała go tiurma, nie budził w nim wstrętu brud i niechlujstwo celi — był on zanadto patrjotą; wiedział, że tiurma była carska, a co carskie — to święte!

Rano przygotowuje się Piotr Michajłowicz na posłuchanie u cara, ale już i południe, już i wieczór, a Piotra nie wzywają. To zaniepokoiło go, dopytuje się straży, ale straż milczy. Na drugi dzień powiedziano Piotrowi, że car odjechał. Piotr Michajłowicz popadł w rozpacz, później w wściekłość, a nakoniec w otrętwienie. Tydzień mija a o niego nikt nie zapyta i nie pozwalają mu do nikogo napisać; prosi, aby mu było wolno widzieć się z gubernatorem, ale i to napróżno. Ledwie zdołał uprosić strażnika, aby mu przyniósł papier i przybory do pisania. Piotr napisał prośbę do gubernatora.

Strażnik nie chciał wziąć na siebie doręczenia tej prośby, ale Piotr Michajłowicz nie trapił się tem: on wymyślił już sposób. Naprzeciw więzienia mieszka gubernator. Piotr widział go wczoraj w oknie, przechodząc się po więziennym ogrodzie, przywiązuje swe podanie do kamenia i ciska je przez okno.

Piotr Michajłowicz spodziewał się jak najlepszego skutku, ale nieszczęście chciało, że właśnie gubernator siedział przy tem oknie, i kamień stłukłszy zwierciadło, przy którem gubernator robił toaletę, upadł mu na kolana. Gdyby to jeszcze na innego gubernatora trafiło, może byłoby inaczej, ale nasz gubernator, to człowiek bardzo lękliwy. Z przestrachu przeleżał tydzień w łóżku, a Piotrowi Michajłowiczowi przeczytano wyrok, skazujący go na przesiedlenie do Jakutskiej gubernii. Obwiniono go o zamach na imperatora i gubernatora.

I wywieziono Piotra Michajłowicza, a Charków z małymi wyjątkami cieszy się z tego.. Gubernator już zdrów, naczelnik wesoły, generał dostał cegłę za półdarmo, a kapitan umizga się do Piotrowej. Mnie żal Piotra Michajłowicza, ale nie można się sprzeciwiać wyrokom opatrzności, która kieruje krokami naszego rządu. Może to i dobrze....

Przejście Wenery przez tarczę słońca.

napisał

Dr. K. Hertz.

(Dokończenie.)

Gdy Halley w r. 1677 znajdował się na wyspie Ś-tej Heleny, miał on sposobność obserwować przejście Merkurego przez tarczę słoneczną. Nadzwyczajna dokładność z jaką obserwował to zjawisko, naprowadziła go na myśl korzystania z przejścia Wenery dla wyznaczenia paralaksy słońca. W chwili niższego złączania, Wenera musi znajdować się w takiem położeniu, że jej środek dzieli prostą łączącą środki ziemi i słońca w pewnym oznaczonym stosunku. Dajmy na to, że w chwili złączenia odległość Wenery od słońca wynosi 0,73 całej tej prostej, odległość

zaś Wenery od ziemi wynosi 0.57, czyli innemi słowy, że Wenera jest 2.7 razy więcej oddalona od słońca niż od ziemi. Wyobraźmy teraz sobie dla większej prostoty, że dwaj obserwatorowie znajdują się na końcach jednej średnicy ziemskiej. Oczywiście, że ci dwaj obserwatorowie nie zobaczą Wenery w jednym punkcie tarczy słonecznej, lecz w dwóch różnych punktach, jak o tem łatwo się każdy przekonać może, nakreśliwszy sobie dwa koła, z których jedno ma mu przedstawić ziemię, drugie słońce, a pomiędzy niemi punkt mający przedstawiać Wenerę, i następnie prowadząc proste od końców średnicy, na których znajdują się obserwatorowie, do Wenery i przedłużając je do tarczy słonecznej, Na zasadzie bardzo prostego rachunku geometrycznego, łatwo przekonać się możemy że odległość miejsc tarczy słonecznej, w których obserwatorowie widzą Wenerę, jest 2.7 razy większą, niż średnica ziemska. Ztąd wypada, że kąt pod którym odległość tę widzieć będziemy ze środka ziemi, jest 2,7 razy większym niż kąt, pod którym średnicę ziemską widzieć będziemy ze środka słońca, t. j. 2,7 razy większą od podwójnej paralaksy słońca. Pokazuje się więc ztąd, że dla obliczenia tej paralaksy wystarcza wyznaczenie odległości miejsc, w których na tarczy słonecznej ukazuje się obserwatorom Wenera. Otóż na zasadzie bardzo prostego rachunku można obliczyć tę odległość, znając tylko długość cięciw, jakie planeta przy swojem przejściu zdaje się opisywać na tarczy słonecznej. Lecz geometrja uczy, jak ze znanej prędkości biegu planety i czasu łożonego na przebieżenie tych cięciw, obliczyć ich wielkość i położenie. Otóż celem wszystkich ekspedycyj naukowych wysłanych dla obserwowania przejścia Wenery, jest ścisłe wyznaczenie położenia cięciw, opisanych przez planetę na tarczy słonecznej.

Jak tylko Halley ogłosił swoją metodę, wszyscy astronomowie wieku przeszłego starali się zbadać w praktyce jej wartość i dla tego też, gdy w latach 1761 i 1769 miały miejsca przejścia Wenery przez tarczę słońca, wszystkie ludy ucywilizowane wysłały ekspedycje naukowe dla obserwowania tego zjawiska. Otóż okazało się, że dla różnych przyczyn, pochodzących już to z niedokładności narzędzi astronomicznych i oka ludzkiego, już też z natury światła, obserwowania przejścia Wenery przedstawia nie zmiernie wielkie trudności, i dla tego też różni astronomowie znaleźli najrozmaitsze wypadki, różniące się o całe 0,4 sekundy kąta, tak. że według późniejszych obliczeń astronomów Powalkiego, Stona, Fay'a i wielu innych, błędy obserwacyj w r. 1769 były tak wielkie, że z nich można tylko wyprowadzić wniosek, iż wartość paralaksy słonecznej jest prawdopodobnie zawarta pomiędzy 8",7 i 8". Z tego to powodu świat uczony zwrócił szczególną uwagę na przejście Wenery, które miało miejsce dnia 9 grudnia 1874 r.

Najważniejsze punkta obserwacyjne na półkuli południowej, były: wyspa Śgo Pawła, wyspy Kergulen, Maurycego i różne miasta Australji, na półkuli zaś północnej: Ykohama Pekin, wiele miast w Indjach, wiele stacyj na morzu Czerwonem, Aden, Suez, Egipt i Syberja.

Chociaż wypadki tych obserwacyj nie są jeszcze ostatecznie obliczone to jednak możemy już powiedzieć, że wielkość 8", 88 jest bardzo zbliżoną do prawdziwej wartości paralaksy słonecznej. Musimy tu dodać, że Francuzi i Amerykanie pokładali wielkie nadzieje w sposobie fotografowania tarczy słonecznej wraz z planetą w najrozmaitszych fazach zjawiska przejścia Wenery, lecz doświadczenie pokazało, że metoda ta nie daje ścisłych rezultatów, jak to już widać z tego, że Burton z fotografij angielskich znalazł paralaksę równą 8", 25, gdy z tychże samych fotografij kapitan Tupman znalazł 8",08. Zjawisko tegoroczne widziane było w Ameryce południowej i większej części północnej Europy, z wyjątkiem Skandynawii, oraz w większej części wschodniej Europy, koniec zaś we wschodniej części Nowej Holandji i na wyspach Australji. Dla obserwowania tego zjawiska wysłane zostały ekspedycje naukowe do Ameryki północnej i południowej przez wszystkie prawie państwa. Wszyscy astronomowie biorący udział w ekspedycjach, na odbytej poprzednio konferencji międzynarodowej, zgodzili się odstąpić od dokonywania zdjęć fotograficznych zjawiska, jako niedokładnych i do badań naukowych nieprzydatnych.

Zaraz na samym początku artykułu powiedzieliśmy, że zjawisko przejścia Wenery przez tarczę słońca jest rzadkiem. Pochodzi to ztąd, że płaszczyzna drogi planety jest nachyloną do płaszczyzny drogi ziemskiej pod kątem 3° 24'. Gdyby Wenera odbywała swój bieg na płaszczyźnie ekliptyki, wtedy przejście miałoby miejsce przez tarczę słońca przy każdem złączeniu dolnem, lecz z powodu nachylenia płaszczyzn dróg planety i ziemi, Wenera przechodzi już to nad, już pod tarczą słoneczną, tylko wtedy, gdy w chwili złączenia dolnego znajduje się w bliskości węzłów, czyli punktów przecięcia się dróg ziem i planety, może ona być widzialną na tarczy słonecznej. Porównywając czasy obiegów ziemi i Wenery znajdziemy, że 8 obiegów ziemskich równają się 13 obiegom Wenery, i że oprócz tego, 235 obiegów ziemskich równają się też 382 obiegom Wenery. Jeśli więc pewnego razu złączenie dolne Wenery miało miejsce w bliskości węzłów, i planeta przeszła przez tarczę słońca, to następne przejście może nastąpić po upływie lat 8, następnie zaś dopiero po upływie lat 235. Ponieważ zaś to cośmy powiedzieli, odnosi się i do drugiego węzła, więc przejście Wenery przez tarczę słońca może się tylko zdarzyć cztery razy w ciągu 243 lat.

Przegląd literacki.

(Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych między Łabą a granicami dawnej Polski od czasu wystąpienia ich na widownię dziejową aż do utraty politycznego bytu i znamion narodowych. Napisał Dr. Sieniawski, członek honorowy Towarzystwa naukowego w Toruniu. Gniezno, nakładem autora czcionkami J. B. Langiego 1881.)

Dzieje Europy w średnich wiekach przedstawiają dziwny i straszny zarazem widok, bo z jednej strony zdziczenie dochodzące do zenitu, a z drugiej jakieś iście młodzieńcze porywy, pędzące tłumy na śmierć pewną gdzieś aż w azjatyckie pustynie. A chociaż błędne to było rycerstwo, co biegło walczyć o ziemię świętą, to jednak pewną jest rzeczą, że zbawienne po części pozostawiło po sobie skutki. Nie można tego powiedzieć o tych wojownikach za wiarę chrześcijańską, którzy chcieli nawracać pogan europejskich, bo podobnie krwawemi dziejami bodaj, czy się jakie czasy poszczycić mogą. Mieszkały dwa ludy obok siebie: na zachodzie surowi, na pół dzicy, w boju niemal wzrośli, ale za to c h r z e ś c i j a ń s c y Niemcy, a na wschodzie spokojni, pracowici w pokoju rozmiłowani, bezbronni, lecz niestety p o g a ń s c y Słowianie, a już to samo uprawniało ich zachodnich sąsiadów do pastwienia się nad nimi. I rzeczywiście żaden naród nie skorzystał tak ze swego i rzekomego prawa i położenia i przewagi wreszcie fizycznej jak Niemcy. Pod pokrywką szerzenia wiary chrześcijańskiej napadali raz po raz przez kilka wieków zachodnią słowiańszczyznę, a postępowanie ich musi wstręt i oburzenie w każdym obudzić. Ostatecznie dopięli celu, krzyż zapanował na wolnych niegdyś ziemiach, ale wówczas, gdy ani śladu nie pozostało z dawnej słowiańszczyzny, bo zdziczenie do takiego doszło stopnia, że biskupi na czele hord palili pogańskie wsie a mieszkańców przedawali w niewolę, doszło zaś do tego, że zupełnie wytępiono dzielny ten naród i dziś na da-

wnej, czysto słowiańskiej ziemi stoi stolica cesarstwa niemieckiego. Nieszczęśliwy naród nawet obrońców u potomności znaleść nie mógł, aż dziś dopiero znachodzą się ludzie, co się dziejami jego zajmują. Prawda, że Niemcy mają już całą literaturę, traktującą o stosunkach Niemiec z zachodnią Słowiańszczyzną, ale łatwo się domyśleć, w jakim duchu ona pisana, a uczony, i u nas najlepiej znany Giesebrecht prawie nie uznaje Słowian za naród, lecz za jakieś dziwny konglomerat, który własnej, osobnej historji mieć nie może. U nas jeszcze gorzej, bo to, cośmy dotąd mieli, to były przeważnie tylko wzmianki przy jakiejś sposobności, a niestety często niesprawiedliwe, jak n. p. Bartoszewicz nie waha się najdzielniejszych ludzi bezpodstawnie zdrajcami nazywać. Dr. Sieniawski podjął się nie łatwej pracy pisząc swój „Pogląd na dzieje Słowian zachodnio-północnych“, a trzeba mu przyznać, że dość zwycięsko wyszedł. Przedewszystkiem zaznaczyć należy sumienność, z jaką wziął się do pracy, zbadał bowiem wszystkie niemal źródła, poznał literaturę obcą, odnoszącą się do Słowian, a wreszcie znać z dzieła, że robił poszukiwania na miejscu, między ludem, Zaopatrzony takim zapasem wiedzy mógł się wziąć do pisania i rozprawić się przytem z pisarzami niemieckimi, fałszującymi dzieje. Cały dowód o tem, że Słowianie są autochtonami jest bardzo gruntownie przeprowadzony, może nawet ze zbytnią skrupulatnością, bo autor nie pominął najmniejszego szczegółu, co czytelnika może nawet znużyć. Daleko swobodniejszym jest w części, traktującej dzieje polityczne, a jakkolwiek stara się być bezstronnym, to jednak znać, że stoi po stronie uciskanej, usprawiedliwia upór i zaciętość, z jaką Słowianie trzymali się wiary pogańskiej, boć skoro chrześcijańska przynosiła im ciężary i niewolę niemiecką, toż nie mogli jej przyjąć. Zdziczenie, jakie się okazuje u Słowian nawet w XII. w., dalej owo straszne Duńczyków korsarstwo jest również wynikiem tej blisko czterystoletniej wojny. W tej części szanowny autor za mało zajmuje się stosunkami politycznymi, należało koniecznie więcej powiedzieć o wpływach i dążnościach Czech i Polski szczególniej w w. XI. i XII.

Bardzo gruntownie opracowana jest część, traktująca o dziejach wewnętrznych słowiańszczyzny, o jej urządzeniach, życiu domowem, handlu, przemyśle, oświacie, rządzie, urządzeniach wojskowych i t. d. Jeśli o walkach możemy się ostatecznie i z niemieckich pisarzów dowiedzieć, to o owych stosunkach dokładnie pouczyć się możemy chyba z dzieła Dra Sieniawskiego. Nie jest jednak i ono bez usterek. A najpierw Część II. — ogólną — należało umieścić najpierw, a dopiero potem dzieje polityczne, jestto układ tak naturalny, że dziwić się należy, dlaczego autor inaczej postąpił. Następnie mimo wielkiego zasobu wiedzy znać pewną powierzchowność, jakiś niepotrzebny pospiech, a kto pisał dzieło o 469. stronnicach, ten nie potrzebował się zbytnio liczyć ze słowami, powinien był wypowiedzieć wszystko i nie pozostawić czytelnika w wątpliwości, choćby się ona odnosiła do bagateli. Gdy jednak ten błąd zestawimy z drugim, wręcz przeciwnym, mianowicie z ową zbytnią drobiazgowością w niektórych miejscach, to przyjdziemy do przekonania, że obydwa pochodzą z braku wprawy pisarskiej i niezawodnie z czasem ustaną. Przy tem autor daje się łatwo porwać jakiejś hipotezie, jak np. owej p. Obermüllera, która, jak to sam dr. S. po części przyznaje, jest fantazją i prawie niczem więcej mimo genialności jej autora. — Walnym zarzutem byłby język, który okropnie wyszedł z pod pióra dra S., gdyby nie trzeba było uwzględnić okoliczności, że autor przebywa stale jako urzędnik w Düsseldorfie nad Renem. Z tego powodu musimy go usprawiedliwić i darować mu owe błędy przeciwko czystości języka.

Autor obiecuje napisać dzieje południowo-zachodniej Słowiańszczyzny; przypominamy mu ową obietnicę i prosimy, by ją jak najprędzej spełnił.

J. Zimerman.

ZIARNKA.

Jeżeli jaki cudzoziemiec oglądał w tym tygodniu nasze miasto, bez wątpienia wyniósł wrażenie, że stolica Czerwonej Rusi to wcale ruchliwy — zaścianek Europy. I rzeczywiście, świąteczny ruch na ulicach panował nader ożywiony — tłumy ludzi a szczególnie nasze gosposie z zafrasowanem najczęściej obliczem snuły się wszędzie od wczesnego ranka dążąc najwięcej ku rynkowi, gdzie taka piękna, bogata wystawa „szopek“, gdzie zresztą główny targ na ryby, i bazary — z tanią lichotą na „boże drzewko“. Patrzyliśmy nieraz przechodząc, oczywiście potraceni co chwila, do wnętrza tej i owej księgarni — może bodaj teraz cisną się tam ludziska, by dla swej dziatwy kupić choć „na gwiazdkę“ coś z towaru drukowanego! Gdzie tam! Księgarnie były puste — jak zwykle. Za to w sklepach korzennych, osobliwie firm wziętych w mieście — ścisk nieznośny, Bodaj to być przekupniem towarów — dla żołądka!...

...I gardła — dodać należy zważywszy, że objadłszy się ryb, kutji, gołąbków i tp. specjałów — broń Boże popić wodą... miałżeby się człek z pyszna! Więc kto z nas zasobniejszy, ani chybi, musi kupić na święta kilka lub kilkanaście butelek wina, oczywiście węgierskiego mospanie! bo na francuskie, reńskie i inne zagraniczne nas nie stać. Rozumie się, że kilka kropli wódeczki, już z hygienicznych względów niezbędne... a kto już bardzo a bardzo się z groszem liczyć musi, no to piwkiem się zadowala, ale co najmiej ono być musi koniecznie... „Bo to „Panie Dobrodzieju“ — „kumie„ — „człecze“ i jak tam jeszcze ludzie się tytułują — ryba pływała za życia więc i td.“

Będziemy więc jedli — pili — ciepło nam będzie (choć prawdopodobnie silny mróz na oknach porysuje kwiaty fantastyczne) i wesoło... Wesoło powtarzamy — bo kto by tam zakłócał sobie świąteczny nastrój ducha jakiemś wspomieniem — niby upior cmentarny, strasznem i groźnem — że nie wszyscy na tym pięknym świecie w ów wieczór „wilią“ zwany — mają i barszczyk z uszkami — i rybkę — i mogą czem popić doskonale — że są tacy, oczywiście niewidzialni dla każdego oka, którzy łzami będą ogrzewać skrzepłe z zimna ręce, i radziby choć kawałkiem chleba suchego, zatumanić głód doskwierający... A jednak Ten Maleńki z Betlejem, którego urodziny świat chrześcjański co roku obchodzi tak uroczyście — (specjalnie my Polacy i Rusini przygotowujemy się do tego święta sutą wieczerzą...) — Ten Maleńki — wśród mnóstwa cudownych prawd i niespożytych nauk, mówił coś — o miłości bliźniego — o braterstwie ogólnem —, o... lecz dajmy spokój lepiej złammy odwiecznym zwyczajem opłatek kochany czytelniku, i życzmy sobie: Szczęśliwego dosiego roku!

* * *

Z Nowym rokiem pojawiają się zapowiedzi nowych pism. Na pierwszem miejscu musimy postawić dwutygodnik Przyszłość organ młodzieży polskiej, który wychodzić będzie w Krakowie. Jak widzimy z rozesłanego prospektu będzie to pismo niezależne, i szczerze postępowe. Nadmieniwszy o dzielności fizycznej i duchowej, które młodzież cechować powinno, mówi prospekt, że „umysł zdrowy ukochać musi drogi pewne i proste, a niedać się zwodzić ścieżkom obłędnym..., ukochać on musi wolność i wiedzę oswobodzicielkę z więzów przesądu, dogmatu i doktryny... Zdrowie mo-

ralne nie pozwoli młodzieży samolubnych celów obierać, ale miłością każe ogarniać tłumy i w pochodzie ku przyszłości podeprzeć uciśnionych". Mówiąc potem że każdy powinien być przedewszystkiem obywatelem pisze redakcja w prospekcie: Uderzymy z wszystkich sił na ów często powtarzany frazes, że młodzież sprawami publicznemi zajmować się nie powinna, że po nad książkę nic ją niema obchodzić. Zasada taka, to posiew bezprzekonaniowości i nieobywatelskości".

Młodego towarzysza naszej pracy witamy serdecznie. Mamy nadzieję, że „Przyszłość" poprze moralnie i materjalnie cała lepsza młodzież, że obudzi ona apatyczną i uspioną w większości młodzież naszą dzisiejszą.

W Rzeszowie znowu ma wychodzić Tygodnik Rzeszowski, pismo poświęcone sprawom społeczno-ekonomicznym. Życzymy i temu pismu powodzenia, jeżeli umiejętnie bacząc na interes ogółu, nie pojedynczych jednostek podnosić ono będzie sprawy społeczne.

Wiadomo zapewne czytelnikom, że w Tarnowie wychodzą obecnie aż trzy pisma Orzeł Pogoń i Unia, nie licząc Przyrodnika. Od nowego roku ma przybyć jeszcze czwarte. Niewiemy jakiem będzie to nowe pismo, o dotychczasowych jednak nic korzystnego powiedzieć nie możemy.

O projekcie wydawania nowego dziennika o czem zamyślają podobno pp. Męciński i Dzieduszycki, nic jeszcze pewnego nie wiadomo.

* * *

W ubiegłą sobotę została nareszcie rostrzygniętą sprawa teatru lwowskiego. Dyrekcję otrzymał p. Jan Dobrzański, chociaż czyniono wszelkie zabiegi, aby usunąć go od stanowiska, na którem przed kilkoma laty tak dobrze dla ogółu się zasłużył. Poruszono przeciw niemu wszelkie sprężyny, wytężono wszelkie wpływy, użyto wszelkich możliwych protekcyj i protekcyjek, mimo to „trzech członków Rady nadzorczej fundacji skarbkowskiej nie dało się otumanić i oddało mu swoje głosy. Czwartemu, prezesowi wszelkich możliwych towarzystw osłabienie starcze podyktowało „votum separatum" z pewnego rodzaju protestem. Czasby już nareszcie dać spokój z temi „poważnemi minami", nie mającemi już energji do samodzielnego myślenia i do otwartego postępowania. P. Dobrzański w palmową niedzielę przyszłego roku obejmuje dyrekcję teatru. Życzymy mu owodzenia...

Ostatni tydzień przyniósł nam trzy nowości, o których warto zrobić notatkę. Niestety — był to tydzień przedświąteczny, a w tym czasie publiczność ma za wiele wydadków, aby jeszcze pozostały pieniądze na teatr. To też przedstawienia pod względem kasowym były ubożuchne. W poniedziałek na dochód ulubionego Seweryna Zamojskiego, vulgo „Ziomka", jak go powszechnie nazywają, odegraną została komedja Szekspira „Henryk IV.", w której beneficjant z właściwym sobie talentem i porywającym humorem odtworzył nieśmiertelną postać „są czy z kufla" — Falstaffa. Przedstawienie w ogóle nie szczególnie wypadło, co przypisać należy niadostatecznemu przygotowaniu — a ze Szekspirem nie ma żartu! Mimo to publiczność inteligentna opuściła z zadowoleniem teatr, jeżeli bowiem nie zbyt ubawiła się — to w każdym razie wyniosła nie jeden szczegół ilustrujący rozwój literatury dramatycznej w Europie.

W środę w pustej prawie zupełnie sali odbył się koncert nadwornej skrzypicielki króla Belgijskiego pani Ahny de Blanc. Koncertantkę poprzedziła głośna reklama: dawała kilka koncertów w Krakowie i w Warszawie i unoszono się tam nad jej grą?— Czy na serjo! Wątpimy, pani de Blanc bowiem przedstawiła nam się jako mierna artystka, goniąca tylko za efektami, bez głębszej myśli i o średniej wyrobionej technice.. Na zaszczytne wyszczególnienie zasługuje kapelmistrz p. Przibik, który wybornie w jej koncercie prowadził orkiestrę..

Nakoniec w czwartek, i piątek zrobiła się z sali teatralnej nie w przenośnem znaczeniu, ale prawdziwa szopka. Grano „Jasełka", utwór w rodzaju dawnych dyalogów przedstawiające narodziny Chrystusa, a składający się ze znanych kolend powiązanych ze sobą pod względem treści przez dr. Soleckiego, a w muzyce przez p. W. Czerwińskiego. Są tam żydowscy kapłani, Bartek, Wojtek, Szymek i inni pastuszkowie z kolend, są patrjarchowie z długiemi brodami w dwurożnych infułach, chóry anielskie na scenie stajenka Betlejemska, za sceną Marja z dzieciątkiem, stary Józef i td. słowem wszystkie postacie z kolend wraz z nieodzownymi podarunkami w maśle, jagniętach, gołąbkach e t. c. e t. c. Niektóre kolendy tchnące czczą prostotą i naiwnością mają rzeczywistą wartośc artystyczną. Przedstawienie nie źle się udało a na maluczkich ciałem (dzieci było mnóstwo) zrobiło nawet pewne wrażenie.

* * *

Przed kilku dniami zmarł w mieście naszem Mieczysław Chrzanowski zastępca dyrektora oddziału rachunkowego w wydziale krajowym, człowiek wielkiej pracy i wielkiej zacności. Wiadomość o jego zgonie przyjęli też wszyscy co go bliżej znali, a cenić musieli z głębokim żalem. Zmarły nie brał żywszego udziału w życiu publicznem, ale to co do niego należało, wskromnym swym zakresie spełniał sumiennie a dodajmy szczerze i ochotnie. Człowiek ten systematyczny i spokojny był stworzony do pracy biurowej; urzędnikiem też był wzorowym; pracowitość jego mogła służyć za wzór kolegom i przełożonym. Pracował za dziesięciu, gorączkowo, bez przerwy, a praca ta żmudna była jedną z przyczyn jego choroby i śmierci. Od roku już był chory, ale nie ustawał w pracy, a obok robót biurowych zajmował się z zapałem zbieraniem dat do historji teatru lwowskiego. Teatr w ogóle był oprócz biura jedynem jego zamiłowaniem, jego namiętnością. W zawodzie artysty dramatycznego sam się próbował, a wolne chwile uprzyjemniał sobie tłumaczeniem dramatów. W ten sposób przez lat kilkanaście przetłómaczył dla sceny lwowskiej przeszło 120 sztuk wyborowych, między innemi zaś przełożył niemal wszystkie utwory Wiktoryna Sardou. Do zbierania materjałów do historji teatru lwowskiego spowodował go „Teatr w Polsce" Estrajchera w którym kronika sceny lwowskiej jest pełna luk, a już od chwili objęcia teatru przez Smochowskiego i Nowakowskiego składa się z luźnych dat nie dających jasnego obrazu ani o repertoarze ani o artystach. Materjały te są zupełnie uporządkowane i może się znajdzie ktoś taki, co je potrafi zużytkować. Zmarłemu nie było przenaczonem dokończyć rozpoczętej pracy. Są ludzie, ktorzy wskazani są na to, aby żywot ich upłynął w pocie i udręczeniu. W chwili gdy się zrywają do pracy owocnej śmierć przecina nić życia i niepozostaje nic po nich jeno wspomnienie i żal szczery w sercach ludzi zacnych, którzy umieją uszanować prawdziwą pracę i czystość charakteru.

ZAPISKI.

Literatura.

* Ukazał się już na półkach księgarskich 5ty tom dzieł Litwosa (Henryka Sienkiewicza). Mieści on w sobie drukowane poprzednio nowele „Latarnik" (druk. w „Niwie"), „Bartek zwycięzca" (druk. w „Czasie" i „Słowie"), „Nowela tatarska" (druk. w „Tygodniu"), dramat Na jedną kartę", przedstawiany na scenie war-

szawskiej, wreszcie nową a prześliczną nowelkę pt. „Jamioł“. Piękne pióro Litwosa zbyt jest znane naszej publiczności, ażebyśmy potrzebowali jeszcze zachęcać czytelników do rychłego zaznajomienia się z nowo wydanym tomem jego pism, z których zresztą nie omieszkamy przy sposobności zdać sprawy.

* Konkurs Redakcji „Kur. Codz.“ w Warszawie na najlepszą trzy fejletonową nowelę został w ubiegłym tygodniu roztrzygnięty. Z ośmdziesięciu kilku nadesłanych prac, otrzymała pierwszą nagrodę 100 rubli nowela p. Krypiakiewicza ze Lwowa p. t. „Buty Michałka“. Drugą w ilości 60 rubli przyznano utworowi p. Marji Konopnickiej, pt. “Wojciech Zapała“, a zaszczytna wzmianka dostała się „Babusi“ p. Br. Grabowskiego.

* Zbiorek poezji o ż y d a c h wyszedł z druku we Lwowie ostatnimi czasy. Najpiękniejsze z pomieszczonych tam utworów są: „Jankiel“ Mickiewicza, „Księgarz uliczny“ Syrokomli, „Mosiek“ gawęda Wł. Wolskiego, „Rabin“ Romanowskiego.

* W ostatnim N-rze „Tyg. Powsz.“ zamieszczony został portret i życiorys Kaz. J a r o c h o w s k i e g o z którego wyjmujemy następujące daty: Jarochowski urodził się w poznańskiem, 12 września 1829, r. Ojciec jego Cypran, ziemianin-żołnierz, był w r. 1848 członkiem komitetu narodowego. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych w Poznaniu i po odbyciu odpowiedniej rekolekcji w murach więziennych, za wykroczenie politycznej natury, wstąpił na wydział prawny uniwersytetu berlińskiego w r. 1847 a odbywszy jednocześnie z karabinem na ramieniu służbę wojskową w pamiętnej ruchawce 1848 r. złożył następnie egzamin na auskultatora, co mu w kilkanaście lat później, po złożeniu egzaminów państwowych, posłużyło do pozyskania godności sędziego w Poznaniu, którą dopiero w roku zeszłym, uzyskawszy emeryturę, opuścił. Uciążliwe obowiązki sędziego nie przeszkadzały jednak Jarochowskiemu ani oddawać się poważnym studyom nad dziejami ojczystemi, ani stać u steru Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, i pobudzać do życia i ruchu społeczeństwo poznańskie. Poczet prac naukowych J. jest dotychczas weale pokaźny. należą tu: „Dzieje panowania Augusta IIgo, „Opow. hist.“ serya I (Poznań 1860), także „Opowiadań“, serya II i III, wydana w rb. Z wydawnictw źródłowych wspomnieć należy: „Tekę Gabr. Jun. Podoskiego“ w sześciu tomach, nadto piękną, barwnie skreśloną rozprawę o „Literaturze poznańskiej w bieżącem stuleciu.“ Obecnie, usunąwszy się od obowiązków sędziego, J. poświęcił się przeważnie gabinetowej pracy na polu literackiem i historycznem, oraz korespondencyom politycznym do poważniejszych organów prasy polskiej. Główną zaletą pisarską J. jest jasność i potoczystość wykładu; w krytyce zaś historycznej bezstronność w traktowaniu osób i wypadków, wolna od wszelkich stronniczych względów.

* W Warszawie opuściły niedawno nakładem Gebethnera i Wolffa prasę „N o w e o p o w i a d a n i a i s t u d j a h i s t o r y c z n e“ J a r o c h o w s k i e g o, badacza czasów saskich z dziejów naszej Rzeczypospolitej. Prace pomieszczone w tym tomie przeważnie były już drukowane po czasopismach i z wyjątkiem szkicu „Brandenburgia i Polska w pierwszych latach po traktacie oliwskim“ obejmującego lata od 1000 1003, nie wychodzą po za obręb epoki, którą autor zawsze tak chętnie się zajmuje. Szkice te i studja oparte na gruntownem i sumiennem badaniu źródeł, a zwłaszcza aktów tajnego archiwum w Dreźnie, wyświecają nam wiele bardzo ciekawych szczegółów z przeszłości naszej Rzeczypospolitej. Największa ich część, jak „Zamachy Augusta II na Stan. Leszczyńskiego“, „Katastrofa Patkula 1704 — 1707“, „Koniec Radziejowskiego 1704 — 1705“ itp. odnoszą się do czasów wojny północnej; studjum „Próba emancypacyjna polityki Augustowej i intryga Posadowskiego r. 1720“ rzuca światło na późniejszą epokę rządów Augusta IIgo.

* Przed niedawnym czasem odkryto, a raczej wydobyto na jaw ciekawe ze wszechmiar A r c h i w u m P o n i a t o w s k i c h w Jabłoniu. Zbiór ten posiadający znaczny zapas ważnych materjałów do epoki stanisławowskiej, był dotychczas w zapomnieniu i korzystały z niego jedynie... myszy. Jabłonna, a z nią owe archiwum, dostały się drogą spadku hr. Aug. Potockiemu, który zajął się salwowaniem od zagłady i uporządkowaniem cennych dokumentów. W obszernym pokoju, którego 3 ściany założone są książkami, mieści się około kilka tysięcy listów sekretarza król. Ghigiottego, mogących rozświetlić wiele ciemnych jeszcze punktów z dziejów p. Stolnika litewskiego. Najciekawszą częścią zbioru są podobno księgi rachunków prywatnych wydatków króla i wykazy pensyj płaconych faworytom i zausznikom hojnego pana. Rachunki sięgają aż po za rok 1764, i zawierają wiele wymownych szczegółów do historji upadku Rzeczypospolitej!

* Pod tytułem „C z a r y w k r a i n i e w i e d z y“ opuściło nakładem księgarni Lesmana i Świszczowskiego w Warszawie prasę dzieło dla młodzieży, a autorką Czarów w krainie wiedzy jest znane popularyzatrka nauk przyrodniczych Arabella B. Buclay, treść zaś książki jest powtórzeniem jej wykładów mianych w gronie młodych słuchaczy, które zyskały jej szerokie uznanie w angielskim społeczeństwie. Wykłady te ujęte są w dziesięć rozdziałów, mówiących o różnych zjawiskach przyrody, o promieniach słonecznych, powietrznym oceanie, o pszczołach, węglu, kwiatach i t. d. Treść bardzo obfita i urozmaicona, a wykład popularny i zrozumiały. „Czary w krainie przyrody“ zasługują na jak największe rozpowszechnienie.

* W Turynie wyjdzie wkrótce z pod prasy I tom listów C a v o u r a, obejmujący korespondencje tego wielkiego dyplomaty od r. 1821 — 1852. Drugi tom pomieści listy dotyczące wypadków począwszy od wojny krymskiej. Ciekawe to dla historyków wydawnictwo prowadzi były sekretarz Lamarmory, major Chiala.

* P. Lopez, portugalczyk, pracujący obecnie nad obszerną monografią o C a m o e n s i e, zwidzał temi czasami bibliotekę Jagellońską, poszukując przekładów dzieł wielkiego poety.

* R e g a l d i Józef wydał w Bolonii dzieło pt „Egipt“, w którym opisuje krainę Faraonów pod względem historycznym, naukowym, geograficznym i etnograficznym. Jest to praca nader wyczerpująca i wszechstronna.

* Losy nieszczęśliwej królowej szkockiej, bohaterki dramatów Schillera i Słowackiego, żywo j mują wciąż uczonych badaczów. Jako cenny przyczynek do rozjaśnienia kilku chwil jej życia posłużyć może wydany obecnie w Monachium przez Dr. B. Seppa „T a g e b u c h d e r u n g l ü c k l i c h e n S c h o t t e n k ö n i g i n M a r i a S t u a r t w ä h r e n d i h r e s A u f e n t h a l t e s z u G l a s g o w v o m 23—27 J a n. 1567.

* Niezmiernie interesujące studjum literacko-historyczne o E. T e g n é r ż e, t w ó r c y s ł y n n e j F r i t h i o f - S a g i, w y d a ł w ł a ś n i e J e u s C h r i s t e n s e n (w L i p s k u). Zupełnie nowe a nieznane szczegóły o życiu poety, jego stosunku do Goethego, Scott'a, Byron'a i greckich mistrzów, o stanowisku jego w literaturze świata i o znaczniejszych utworach, a specjalnie o Frithiofie stanowią treść pokaźnego dzieła, któremu Niemcy przyznają bardzo wysoką wartość.

Teatr i muzyka.

* P. Romana (Popiel) Swięcka, jak zapewniają dzienniki warszawskie, zamierza wrócić na tamtejszą scenę.

* Panna D e r y n g wychodzi za mąż i opuszcza scenę warszawską od połowy stycznia r. b.

* W Tryeście odegrano 14. bm. fragment (2 akty i 3 sceny III aktu) dramatu „Sulla“, pozostawionego przez genialnego Piotra C o s s ę.

* Wiedeńska opera nadworna wznawia operę G o u n o d a „Filemon i Baucs,“ którą przedstawiono po raz pierwszy 4 paźdz. 1878.

* Cenzura zakazała w Cieplicach przedstawić wspaniały dramat G r i l l p a r z e r a „Ottokars Glück und Ende“.

* Towarzystwo dramatyczne D i e u d o n n é C o q u e l i n po występach w Odessie przybyło do Kijowa Coquelina przyjmowano z zapałem.

Sztuki piękne.

* W salach Künstlerhausu otwarta została na rzecz dotkniętych powodzią w Tyrolu w y s t a w a g o b e l i n ó w cesarskich, które w ogóle szerszym kołom nie są weale znane, bo przechowywane są w rollach w Schönbrunie i nigdy nie bywają używane. Są to prawdziwe arcydzieła sztuki kobierniczej, których wykonanie mierzy się z pięknością wzorów użytych za model.

* Drugi suplement do „K u n s t h i s t o r i s c h e Bilderbogen“ E. A. Seemanna wyszedł w tych dniach i zawiera kilka polichromicznych tablic, objaśniających sposób malowania tu budowli rzymskich i naczyń greckich.

* Towarzystwo, „für vervielfältigende Kunst“, wydało pierwszy zeszyt V. rocznika pisma swego „D i e g r a p h i s h e n K ü n s t e,“ który oprócz dalszego ciągu studjum o galerji Schacka zawiera rzecz o rzeźbach Kundmanna z prześlicznemi reprodukcjami pomnika Schuberta, figury przedstawiającej przemysł i tp.

MISCELANEA.

Ostatni numer „Revue politique et littéraire“ zamieściła 15 „petitspoemes en prose,“ napisanych przez Iwana Turgeniewa. Są to wylewy chwilowego uczucia znakomitego pisarza, a przeważa w nich znana melancholia autora „Dymu“. Powtarzamy jeden z tych miniaturowych utworów, aby dać poznać czytelnikom manierę pisarza.

III. Odwiedziny.

Siedziałem rankiem przy otwartem oknie. Był pierwszy dzień majowy. Nie płonęła jeszcze zorza, ale ciemna noc ustępowała powoli. Nie powstawały jeszcze mgły, a poranny wiatr nie dmuchał. Wszystko spało w ciszy, ale czuć można było zbliżającą się chwilę przebudzenia, a w powietrzu woniała świeżość rosy. Nagle usłyszałem w pokoju moim coś, niby uderzenie skrzydeł wielkiego ptaka. Zadrżałem i spojrzałem w około. Nie był to ptak. Było to maleńkie, skrzydlate dziewczę, w opiętej, długiej sukni.

Była ubrana w perłowe szaty. Tylko skrzydła jej były zrumienione, niby liść pękającego pączka róży. Wieniec z konwalij otaczał loki jej główki okrągłej, a nad jej czołem wznosiły się i opadały podobnie jak macki u motyla dwa pióra pawie. Przeleciała dwa lub trzy razy pod pułapem. Drobne jej lica uśmiechały się. Nadmiernie wielkie, czarne, błyszczące jej oczy śmiały się także. Podczas wesołego jej lotu oczy te błyszczały jak brylanty. W ręku trzymała długą łodygę stepowego ziela. Moi ziomkowie zwą tę roślinę „berłem carowem". I podobna jest óna w istocie do berła. Kiedy widmo to przeleciało koło mnie jak błyskawica, dotknęło głowy mej berłem. Chciałem ją ścigać, ale wyleciała przez okno. W ogrodzie powitała ją z krzaku bzu turkawka pierwszem swem grzechotaniem, a mleczno-białe niebo zróżowiało z lekka tam gdzie zniknęła.

Poznałem cię, boginio fantazji! Tyś odwiedziła mnie tylko przypadkowo biegnąc do jakiegoś młodego poety. O poezjo, młodości, uroku dziewiczy, i piękności niewieścia — Wy, pojawić mi się możecie tylko na chwilę, z pierwszym promieniem, pierwszego dnia wiosny!...

Madagaskar, wyspa na wschodnim brzegu Afryki, leżąca na uboczu wielkich dróg handlowych, znaną jest zaledwie zawodowo uczonym. Posiada ona zupełnie odmienną faunę i florę od tej, jaka znajduje się na sąsiednim kontynencie tak, że łatwo przyjść do przypuszczenia, iż na Indyjskim Oceanie znajdował się niegdyś stały ląd, którego Madagaskar jest najwyższym szczytem. Także geologia wyspy, typy jej mieszkańców, tychże mowy i obrządki religijne — wszystko to wskazuje na łączność z Azją wschodnią i Polinezją, a kategoryczną niezależność od Afryki. Uczeni dyskutują o Madagaskarze, ale ogół nie interesuje się tą wyspą, o której niedawno jeszcze niejeden nie wiedział, w jakiej części świata się znajduje.

Madagaskar obejmuje 592000 kilometrów kwadratowych, jest zatem prawie tak wielki jak Austrja, ludności zaś liczy mniej więcej 3 do 5 milionów. Większa połowa ludności należy do szczepu Hova, zamieszkującego środek wyspy. Jestto czysty typ; podczas gdy nadbrzeźni mieszkańcy północy i zachodu, zwani Sakalawa zdradzają przymieszkę krwi arabskiej i indyjskiej. Na brzegach dawno osiedlili się już Arabowie i żenią się z córkami krajowców; brzegi zachodnie zwiedzali handlarze indyjscy, Afrykanie prowadzili handel niewolnikami z Madagaskaru. Szczepy na południu i wschodzie, z których najpotężniejszym jest Betsimisaraka najbardziej zbliżają się do Europejczyków i prawdopodobnie są potomkami korsarzy z przeszłego stulecia.

Widać już z tego, że Madagasowie dawno już byli w stosunkach z ludami cywilyzowanemi, a myliłby się ten, ktoby ich chciał na równi stawiać z dzikiemi nowo odkrytych krajów. Przeciwnie posiadają oni cywilizację nie niżej stojącą od Zachodnich prowincyj Chin, a w każdym razie wyżej od cywilizacji Afrykanów, Indjan, i Polinezjan. Oto ich ustrój państwowy. Naczelnik szczepu panuje nieograniczenie; wspierają go w rządach liczni doradcy i urzędnicy, którzy z wyjątkiem nauczyciela nie pobierają żadnej pensji. Ludność dzieli się na trzy klasy ściśle od siebie odgraniczone, które tylko wyjątkowo łączą się małżeństwami. Szlachta to naczelnicy plemion podbitych; mieszczanie są sobie równi, a niewolnicy uważani za członków rodziny, to albo jeńcy wojenni albo indywidua zakupione na targu. Tylko mieszczanie są obowiązani do danin; zresztą nie ma podatków, a każdy jest obowiązany do jakiejś publicznej roboty. Przemysł domowy stoi u nich wysoko; mężczyzna uprawia pole, buduje dom, idzie na wojnę; kobieta zajmuje się gospodarstwem domowem, a w wolnych chwilach sporządza suknie dla dzieci i wyplata maty, któremi zaścielona jest niedylowana podłoga. W ostatnich czasach szczególnie w wielkich miastach podniosła się produkcja i wzmógł się handel z zagranicznymi kupcami. Broni palnej używają od dawna, z wyjątkiem kilku plemion nadbrzeżnych, gdzie są jeszcze w użyciu łuki i strzały. Obrzezanie chłopców jest ogólnym zwyczajem, nie ma jednak znaczenia religijnego; w ogóle pod względem wyobrażeń religijnych Madagasowie nie bardzo wyżej wznieśli się nad prostą cześć amuletów. Mowa i zwyczaje są różne u poszczególnych plemion i nigdzie nie dochowały się w czystości; wszędzie prawie widać obce wpływy. Kiedy zarówno dobrze poznamy leśnych mieszkańców wyspy, jak obecnie znamy prowincje centralne, wtedy da się z tego wysnuć historja wyspy. Starożytni pisarze niejednokrotnie wspominają o wielkiej wyspie obok Afryki, Plinius nazywa ją nawet Cyrne, ale trudno dojść, czy miał na myśli Madagaskar.

W Europie w średnich wiekach nie wiedziano nic o wyspie Madagaskar, a odkrycie jej odnosi się do późniejszego czasu. Marco Polo słyszał coś o niej w swoich podróżach i opowiadał swym ziomkom Wenecjanom o niej i prawdę i fałsze. On to wprowadził na widownię olbrzymiego ptaka Rooka, który do niedawna był uważany za płód fantazji a obecnie jako Aepyornis należy do nauki. Z drugiej strony mówi on o słoniach i żyrafach, których nigdy na wyspie nie było. Pomięszał on Mozambik z Madagaskarem.

Po opłynięciu przylądka Dobrej Nadziei przez Portugalczyków podróżnicy do Indyj niejednokrotnie słyszeli o Madagaskarze, ale żadnemu z nich nie przyszło na myśl odnaleźć tę wyspę i dopiero 1. lutego roku 1506 piszący Europejczyk wstąpił na brzegi tej wyspy. Był nim Fernando Suares komendant floty li prowadzonej do Europy z Indyj z ładunkiem korzeni.

W dzień św. Wawrzyńca tegoż roku odkryto brzegi Zachodnie i nadano wyspie imię świętego, w którego dzień odkrytą została, jak to było wówczas w zwyczaju. Dopiero w sto lat później przywrócono jej właściwe nazwisko. Portugalczycy nie przywiązywali wagi do posiadania tej wyspy, a Holendrzy, którzy po nich przyszli, musieli odpłynąć zdziesiątkowani chorobami. Do 1go wieku nikt właściwie Madagaskarem się nie zajmował.

W r. 1642 Franciszek Canche z Rouen podjął podróż do Madagaskaru, a ogłoszony przez niego dziewięć lat później opis wyspy dał Francuzom sposobność do twierdzenia, że stali się jej właścicielami a błędowi temu dotychczas hołdują. Założyli oni kilka kolonij wojskowych w rozmaitych miejscowościach wyspy, nie miały one jednak wielkiego wpływu. W faktycznem posiadaniu Francji znajdują się tylko trzy małe wyspy: Saint-Marie, Nossibé i Mayotte, liczące razem 25000 mieszkańców.

Cywilizatorski wpływ Francuzów na mieszkańców Madagaskaru nigdy nie był wielki; daleko skuteczniej w tym kierunku działali od r. 1818 Anglicy a manowicie ich towarzystwa misyjne. W tym czasie w stolicy Antananarivo panował król Radowa, jako jeden z najpotężniejszych władców szczepu Hova. Był on przyjacielem postępu, zniósł niewolnictwo i pozwolił spokojnie działać misjonarzom. Po nim nastąpiła królowa Ranawatona, kobieta okrutna, która zniweczyła dzieło męża i podbudziła krajowców przeciw misjonarzom. Jej następca Radama II. został zamordowany za sprzyjanie Europejczykom.

W r. 1863 wstąpiła na tron królowa Rasolesina. Nauczona losem swego poprzednika, nie występowała z początku z ideami postępowemi. Rozsądne jej postępowanie wkrótce wydało owoc, już bowiem w r. 1865 mogła zawrzeć z Anglją traktat handlowy. To utrwaliło stanowisko Europejczyków, wszystkie znaczniejsze familie Madagasów przeszły na chrześcijanizm, a przy sposobności koronacji królowej Ranawalony II chrześcijaństwo uzyskało oficjalne uznanie, a biblja zajęła miejsce amuletu. Następnego roku odbył się chrzest królowej i wszystkich ministrów, a równocześnie założono kamień węgielny pod zamkową kaplicę.

Zwykle postęp idzie od brzegów do środka wyspy, w Madagaskarze przeciwnie. Naprzód przyjęły chrześcijaństwo szczepy w środku wyspy i ztamtąd zaczęło się rozszerzać ku brzegom. Powodem tej jedynej w swoim rodzaju anomalji jest geologiczna formacja wyspy, i wypływające z niej stosunki klimatyczne.

Wnętrze wyspy jest wyżyną 1000—2000 st. wyniosłości, brzegi zaś są płaskie i bagniste. Wnętrze jest urodzajne, ale nie tak, żeby można wyżywić się tam bez troski. Tym warunkom i górskiemu klimatowi zawdzięcza szczep Howa swe siły fizyczne i panowanie nad wyspą. Mieszkańcy wybrzeży są słabi i nie mogą wznieść się wyżej. Stosunki klimatyczne wybrzeży wielce utrudniają kolonizację. Trzeba koniecznie przebyć nadbrzeżny pas kilkokilometrowej szerokości, a wtedy dopiero dochodzi się do okolic, które można kolonizować i w których można szerzyć cywilizację.

Angielscy misjonarze przebyli ten pas, a w ślad za nimi zjawili się Francuzi. Ważnym krokiem było zajęcie wyspy Nossibé, ale z osiadłymi na przeciwległym brzegu Sakalawa nie wiele było można zrobić, a do szczepu Hava trudno było dojść tą drogą. Lepszem jest położenie wyspy Sainte — Marie na wybrzeżu wschodniem. Ztąd francuzcy ajenci w najnowszych czasach byli skutecznie czynni na drodze Antananariva i wyparowali wpływ Anglików.

Treść:

Idea stowarzyszeń.
Wdowiszewski: Intratna posada. (dok.)
Fryderyk Hebel; Ballada o chłopcu na stepie.
Lady Barcker. (kobieta geograf).
L. Jaźminów: Zbrodnia Piotra Michajłowicza.
Dr. K. Hertz: Przejście Wenery (dok.)
Przegląd literacki przez J. Z.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Wydawca: *Bolesław Spausta.* Odpowiedzialny redaktor: *Bolesław Czerwieński.*

Z drukarni „Dziennika polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 1. We Lwowie dnia 1. Stycznia 1883. Rok II

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Negatywna moralność.

W człowieku wszystko kształci się i rozwija. Filozofia dawno już przyszła do przekonania, że idee wrodzone nie istnieją, a poznanie dobra, piękna i prawdy, zależy od stopnia wykształcenia człowieka, od wychowania, okoliczności, wpływów...

Toż i odwrotnie, stopień tego przeczucia jest wskazówką cywilizacyi danego społeczeństwa, a wszelkie utwory ludzkiego umysłu, prawa i urządzenia społeczne są dla badacza dowodem stanu, w jakim się społeczeństwo znajduje, a jeżeli prawdą jest, że moralność jest podwaliną ludzkości, to wyobrażenia o moralności w danem społeczeństwie będą wyrocznią jego losu i bytu.

Oceniając z tego stanowiska życie nasze przyjść musimy do nader smutnego przekonania. Moralność nasza jest, niestety, tylko negatywna.

Żyją pośród nas ludzie, którzy szczycą się szacunkiem, nie powiemy ogółu, ale znacznej liczby osób, bez rzeczywistego powodu i zasługi. Chórem powtarzają o każdym z nich: to zacny człowiek, to honorowy człowiek i t. p. podczas gdy w istocie pokazuje się, że ten człowiek faktycznie nigdy nie zrobił nic dobrego nikomu a tem mniej społeczeństwu, że zasługą jego jest tylko tyle, iż przez cały ciąg długiego (naturalnie) żywota, nic nie ukradł i nikogo nieoszukał, że słowem należy on prędzej do królestwa roślin, niżeli do ludzi, że życie jego całe jest rodzajem wegatacji nieszkodliwej wprawdzie, ale także niepożytecznej.

Otaczając tego człowieka szacunkiem niezasłużonym, społeczeństwo wydaje sobie nader smutne świadectwo, dowodzi, że znajduje się dotychczas w stanie dziecka, niezdającego sobie sprawy z tego, co złe a co dobre.

Przykład drugi: Są ludzie, których opinie ogółu zupełnie słusznie surowo potępia. Zdrowe towarzystwo, rozumne i uczciwe odrzuca od siebie takie zgniłe części, operuje gangrenę i wycina wrzody. Anemiczne społeczeństwo nasze, bojące się operacji i puszczenia krwi, nie czyni tego i zamiast wzgardy zna dla ludzi tego rodzaju, co najwięcej obojętność. To nie wystarcza, to dowód, że organizm nasz jest chory.

Ale na tem nie koniec. Oba przytoczone przykłady są objawem smutnym, ale nie są być może wadą ogólną. Gorszą stokroć rzeczą jest coraz bardziej szerząca się zaraźliwa obojętność na wszystko.

Ileż to razy słyszymy narzekania na to, że ludzie źli i ograniczeni wciskają się wszędzie, że przewodzą i ton nadają, ale skargi to próżne i dziecinne. Ci, co apatycznie usuwają się od wszystkiego i dają pole do działania wyzyskiwaczom niemają prawa do narzekania i żalów.

Dobrze jest spełniać obowiązek w ciasnym zakresie swego działania, ale od pracy dla dobra ogółu nikomu się usuwać nie wolno.

Żywot ślimaka dobrym jest dla ślimaków, życie człowieka jest pracą i walką.

Kto ją za zabawkę uważa i z obojętnością usuwa się od każdej pracy obywatelskiej, ten może się doczekać uznania podobnego i pochwały, jakie należą się dziecku, które bawiło się grzecznie i niepopsuło cacka. Są to umarli, którzy niechaj grzebią umarłe swoje.

Cierpliwość, spokój i cierpienie nawet nie wystarcza.

Są to cnoty bierne, a tem samem negatywne, które niczego nie budują i nie porwą do naśladownictwa. Życie ludzkie jest pracą i czynem; pracy więc i czynu przedewszystkiem potrzeba społeczeństwu, które niechce umrzeć na uwiąd starczy. Czyn dla dobra ogółu jest najwyższą moralnością i cnotą i o taką moralność wołamy.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

Urodziła go w brudnej, zimnej izbie małomiejskiej karczmy, ośmnastoletnia, piękna dziewczyna. Późnym już wieczorem szkaradngo dnia listopadowego, przywlokła się była tu pieszo z małem zawiniątkiem w ręce, i kilkunastu guldenami w kieszeni. Stary Abramko, właściciel karczmy, znający doskonale wszystkich mieszkańców okolicy, zdumiał się, ujrzawszy o tak późnej porze wchodzącą do izby szynkownej „pannę Katarzynę od pani hrabiny"; zdziwił się bardzo, gdy usłyszał, że go prosiła o pozwolenie przenocowania, a po chwili okazywana na razie uprzejmość ustąpiła miejsca chłodnej obojętności, gdy w ciągu indagacji usłyszał, że przybyła nie jest już w służbie u „jaśnie

pani.“ Zapewnienie jej, że za nocleg i jaki taki posiłek chętnie zapłaci żądaną kwotę, skonwinkowało cokolwiek Abramka — przypomniał sobie, że na drugiej stronie domu stoi pustką „gościnny pokój“ i ofiarował go padającej z nóg dziewczynie, zapowiadając z góry, że kosztuje za dobę pięćdziesiąt krajcarów — ale bez opału! — dodał. Słów parę o tej pannie Katarzynie... Dziesięcioletnią sierotę po ekonomie, wzięto do pałacu, do garderoby, jak mówiono „z łaski,“ chcąc jej tem nagrodzić stratę ojca, który służąc uczciwie i wiernie kilkanaście lat w jednym z folwarków bogatej pani, nadmiar gorliwości przepłacił życiem. Popsuło się coś było w młocarni parowej, mechanik w tej chwili nie był pod ręką, i ów ekonom, żałując pańskiego czasu i pracy, by nie zmarnować kilku godzin, usiłował sam zastąpić mechanika. Niewprawny zabrał się de roboty niezręcznie, koło zgruchotało mu rękę, i umarł po kilkudniowych męczarniach. Że był wdowcem i miał jedno dziecię, ową Kasię, która nagle została sama jedna, pani hrabina zasłyszawszy o tragicznym wypadku i sierocie, kazała ją zabrać do pałacu i umieścić w garderobie. W kilka lat, Kasia wyrosła na dorodną dziewczynę — że była zręczna, nadzwyczaj pojętna i ochocza do roboty, pani ją polubiła bardzo i zamianowała swoją przyboczną „panną służącą“. Wywołało to ogromną zazdrość w dość licznym fraucymerze pałacowym, a szczególnie rozsierdziło niejaką pannę Barbarę, długoletnią i wyłączną adjutantkę i powiernicę bogatej pani. Nie dziwna to wcale, bała się współzawodnictwa w łaskach chlebodawczyni, zresztą stanowisko zausznicy i totumfackiej, dawało jej znaczne prerogatywy wśród tłumu sług obojga płci. — więc też Kasia wyawansowana tak rychło, choć dla wszystkich grzeczna i dobra, nie miała przyjaciół w pałacu. Minęły tak ze dwa lata, gdy pewnego poranka pani hrabina, odbywszy długą konferencję z panną Barbarą w cztery oczy w swoim gabinecie, rozkazała wydalić natychmiast ulubioną dotychczas Kasię ze służby i pałacu. Dowiedziała się, że Kasia ma zostać matką...

Właśnie rok upływał, jak w domu bawił ukochany jedynak bogatej pani, wróciwszy po kilkuletnim pobycie za granicą, gdzie z wielkim sumptem starano się o tz. „wyższy“ polor światowy i... odrobinę wiadomości encyklopedycznych dla rozpuszczonego, okropnie leniwego, a jedynego spadkobiercy starego rodu i licznych włości. Zaledwie pobył kilka miesięcy, zaczęły krążyć po korytarzach i garderobach pogłoski, podawane w tajemnicy z ust do ucha, że „panicz“ szczególnie zaglądał za piękną Kasią... Oczywiście, najbardziej zgorszoną tem czuła się czterdziestoletnia panna Barbara, choć jak potem szeptano sobie, sama podobno ułatwiała paniczowi zalecanki do sieroty... Doświadczona panna Barbara, wiedziała zapewne, czem to się skończy, a znając przytem surowe w tej mierze zapatrywania swej pani, czekała tylko sposobności, by jej otworzyć oczy i pozbyć się niebezpiecznej rywalki. Niedługo na nią czekała... Panicz wyjechał na kilkutygodniowe polowanie do odległych dóbr, a na drugi dzień późnym wieczorem, Kasia pieszo dotarła do odległego o kilka mil powiatowego miasteczka.

Gdy się znalazła w owym pokoju gościnnym u Abramka, rzuciła się co prędzej na łóżko, bo znużenie waliło ją z nóg. Przyniesiono jej szklankę gorącego mleka, by się niem ogrzała — ledwie go trochę nadpiła. Mdłe światło łojówki szabasowej, okopcone ściany brudnej i zimnej ciupki, twarde łóżko, wszystko to okropnie jej wyglądało po schludnej, ciepłej i przestronnej garderobie pałacowej... Bardziej nad to przygnębiała ją myśl, co jutro ze świtaniem słońca pocznie z sobą biedna?

W małem, ubogiem miasteczku służby ni zajęcia nie dostanie — zresztą wstyd by jej był przebywać tu, pod boki m pałacu, z którego ją z hańbą wygnano, i gdzie zostawiła wspomnienie kilku chwil szczęśliwie przeżytych... Nie miała ni rodziny, ni znajomych, do których by zapukać mogła o przytułek choćby czasowy, całe jej mienie składało się ledwie z kilkunastu guldenów, wypłaconych jej na odchodnem, i kilku sukienek, pochwyconych z kółka w pospiechu. W prawdzie świat szeroki stał jej otworem, lecz czyż znajdzie gdzie wśród niego odrobinę miłosierdzia nieszczęśliwa sierota, ofiara chwilowego szału i zapomnienia?... Z kolei wróciła się myślą w czasy dziecinne, tak piękne i szczęśliwe — w porównaniu z późniejszem życiem — przypomniała sobie ojca — jego śmierć — otrzymane odeń błogosławieństwo, gdy konał — i zaczęła płakać cicho — lecz tak rzewnie i gorąco, że się jej lżej zrobiło na sercu i duszy. Wśród płaczu usnęła.

Niespała jednak długo. W kilka godzin obudziły ją okropne bole... a tu sama była, i omdlewającej co chwila nie było komu podać łyżkę wody, a sił nie miała — tak nagle zaniemogło biedactwo — by się zwlec i prosić żydów o ratunek. Bóg jeden wie, wśród jakich mąk doczekała ranka. Słysząc krzątanie się po sieni — ostatnim wysiłkiem zawołała raz i drugi: Panie Abramku! — na krzyk ten wszedł rozespany jeszcze stróż karczemny. Przyniósł wody w kwarcie, i na jej żądanie przywołał starą Abramkowę. Przed nią wyznała Kasia, ukrywszy głowę w dłoniach, w jakim znajduje się stanie, i że te bole zwiastują prawdopodobnie, przyspieszoną — skutkiem przebytych wrażeń i pieszej drogi — chwilę krytyczną... Wysłuchała z powagą i wielkiem zdziwieniem przerywanych łkaniem słów dziewczyny stara żydowica, coś jej zakołatało w piersi, niby współczucie — boć przecie tylokrotnie sama matką była — i zadecydowała, że posłać trzeba niezwłocznie po doskonałą w swoim „fachu“ starą Rabinkę która wszystkim jej dzieciom i niezliczonemu mnóstwu potomków Izraela w okolicy, ułatwiła oglądanie światła bożego. „Ale musisz jej panna Katarzyna zapłacić dziesięć reńskich z góry — bo ona drogo się ceni! — dodała rachując w duchu naprzód, że się tą dziesiątką podzieli ze starą Rabinką.

Przybyła niebawem Rabinka, — ku wieczorowi dnia tego przyszedł na świat zdrowy chłopak. W trzy dni Kasia dostała gorączki pokarmowej i groźnego zapalenia — zatrwożona stanem kobiety Rabinka pobiegła po lekarza miejskiego, żyda chirurga, a ten rozpatrzywszy się w symptomatach, po odbytej z Rabinką konferencji, zawiadomił Abramkowę w cztery oczy, że chora chyba „cudem“ ocaleje... Że się cudy w dzisiejszych czasach nie dzieją, a brak był lekarskiej sztuki i pomocy, Kasia po kilkudniowych męczarniach umarła... Przed śmiercią zawołano proboszcza, dobrodusznego i poczciwego staruszka, którego spowiedź Kasi i jej los okrutny tak przejęły, że konającej przyrzekł zaopiekować się jej dzieckiem.

Pochowano Kasię kosztem proboszcza, a kilkudniowego chłopca kazał zacny kapłan przynieść na plebanję, gdzie go ochrzcił zaraz. Dał mu imię „Jędrzej,“ bo było właśnie 30 listopada św. Jędrzeja, podług obowiązującego prawa nazwisko matki, a w księdze metryk, w odpowiedniej rubryce, wpisał sumiennie: illegitimi thori — z nieprawego łoża.

Pielęgnowanie niemowlęcia powierzył specjalnie starej Magdalenie, żonie organisty, wszechwładnej gospodyni na plebanji i ogromnej gderalskiej, która udawała zrazu, że jest bardzo niezadowoloną z krzykliwego przybysza, lecz w duszy rada mu była lubiąc dzieci, których jej niestety „pan Jezus nie dał.“ Pono nie darmo mówi ludowe przysłowie ruskie „*nad syrotoju, Boh z kałytoju*“ — przynajmniej w tym wypadku w lepsze ręce nie mógł się dostać Jędruś, sierota...

* * *

Minęło lat pięć — mogiła Kasi zapadła się i zarosła burzanem, a z niemowlęcia jej

urósł szczęśliwie zamaszysty chłopak — faworyt plebana, Wojciecha organisty i organiściny. Prawda, że żywy z natury, rozpustny był niemal do zbytku, ale winną w tem była trochę przybrana matka, która pieściła malca — jak własne dziecko. Bo też hultaj ładny był, „jak pańskie dziecko“ mawiała Magdalena, i choć zbroił co, trudno było się nań gniewać, tak filuternie pokorną przybierał minkę i zaraz przepraszał — a przytem roztropnością i pojętnością nad wiek, zastanawiał wszystkich. Nawet p. Wojciech tak się powoli przywiązał do chłopaka, że raz wróciwszy w różowym humorze z jakichś chrzcin, i rozgadawszy się wbrew zwyczajowi — bo poważny był zwykle i milczący, jak tego wymagał urząd jego — ni ztąd ni zowąd zagadnął żonę:

— A wiesz kobieto, co mi dziś przyszło do głowy na tych chrzcinach?

— No cóż? podchwyciła ciekawa Magdalena.

— Ot, że markotno człeku na starość, gdy się pomyśli, że Bóg nie dał dzieci... Ludziska mają ich tam często do zbytku — że brak im nieraz kawałka chleba, aby zatkać wszystkie gęby, — a my, choć Bogu dzięki nie wiemy co bieda, ani jednego bębna nie mamy...

— A Jędruś... Wojciechu — czyż nie nasz?... oho! nie dam ci go nikomu! Zresztą, ktoby tam sie upominał o sierotę biedną.

— Ba! twój i nie twój — wyrośnie, pójdzie w świat, zwyczajnie jak obcy...

— To weźmy go za swojego — jak Kowalowie z tą małą zrobili, poradź się ino księdza proboszcza, gdzie o to pisać. Wszak kochamy go tak, jak własne dziecko, krewniaków bliskich nie mamy, a jak wyrośnie, czej się odwdzięczy nam, i będzie podporą w starości. Ho! ho — powiadam ci stary, on wyjdzie na ludzi — dziś już taki mądry, że strach. Nuż będzie kiedy proboszczem...

— Oho! zaraz proboszczem — a nie dosyć dla niego organistą! Albo mi to źle w tym fachu, daj Panie Boże tak każdemu do śmierci.

Stanęło zatem, że przyjmą Jędrusia za swego, a proboszcz staruszek miał im być w tem u dotyczącej władzy pomocnym.

Gdy nazajutrz organista po mszy zwierzył się księdzu ze zamiaru adoptowania sieroty, i pytał o zdanie, a w końcu prosił o radę, jak się wziąć do rzeczy, staruszek ucieszony pochwalił mu tę myśl, bo sam przepadał za Jędrusiem, i przyrzekł zająć się dopełnieniem przepisanych prawem formalności.

— Dobrzeście postanowili — rzekł — bo to i zasługa przed Bogiem, przytulić taką sierotę, i dla was przyjemniej, gdy będziecie mieć koło siebie nie obce już, ale niby własne dziecko. Zresztą to widzę chłopak pojętny, rozum mu z oczu patrzy — damy go za rok, dwa lata do szkół, i...

— Będzie kiedyś organistą na moje miejsce — przerwał Wojciech — i tak już mnie nie długo służyć Bogu i ludziom, siódmy krzyżyk rozpoczęło się na dobre.

— Et! siódmy, siódmy, a cóż ja mam mówić, mój Wojciechu, starszy od ciebie znacznie... dalej zgubię rachunek z latami — odparł proboszcz żartem. — Co do Jędrusia widzisz kochanie, bez tego wybieram się temi czasami do Lwowa, to tam się poradzę znajomego adwokata, jak to zrobić najlepiej.

Nie wyjechał wówczas, jak sobie układał, bo coś zaniemógł był starowina, projekt wyjazdu do stolicy poszedł w odwłokę, a z nim oczywiście i prawna adoptacja Jędrusia. Nie przeszkadzało to jednak wcale, że Wojciechowie, a zwłaszcza ona, uważała odtąd sierotę za własnego syna, zaczęła mówić o tem głośno przed ludźmi, i niebawem całe miasteczko wiedziało, że organista przyjął „znajdę“ za swego. Jak to zwyczajnie na świecie bywa, jedni się dziwowali, inni znajdowali to zupełnie naturalnem, z uwagi, że starzy Wojciechowie, mając się dostatnio, nie mieli żadnych krewnych, a byli i tacy, którzy przebąkiwali, że prawdopodobnie organista dostał skądsić „grube pieniądze“ za to, aby sierotę przyjął za własne dziecko. Tymczasem chłopak rósł, i rzeczywiście zastanawiał każdego objawianym sprytem, pojętnością i ciekawością. Przy tem ładny był, że koniecznie ściągał na siebie uwagę ludzi. Bywało w niedzielę lub święto, gdy go Magdalena ubrała w kolorową sukienkę, utrefiła mu kędzierzawe jak len białe włosy, i z dumą matki posadziła w kościele koło siebie ślicznego chłopczynę, z białą niby jabłko-krągłą i rumianą twarzyczką, o dużych czarnych oczach i ciemnych rzęsach — a on nie mogąc przez całą sumę wysiedzieć spokojnie — stanął w ławce i po tłumie pobożnych śmiało się rozglądał — nie mogli się wszyscy dość nadziwować i napatrzyć pięknemu Jędrusiowi. Nawet pani pocztmistrzowa, która mając własnych kilkoro dzieci, jak zapewniała same — „przecudne aniołki“ — nie bardzo skorą była do pochwalenia czyjego obcego, widząc raz i drugi Jędrusia, raczyła uznać, że to wcale ładny dzieciak, ten wychowanek organisty. A potem dodała zaraz „Szkoda, że to...“ i urwała, z pewnym grymasem niechęci i pogardy w twarzy. Miała na myśli pochodzenie sieroty...

* * *

Jakoś w dwa lata po owej rozmowie z proboszczem, w przedmiocie adoptowania Jędrusia, — które mówiąc nawiasem, ciągle jeszcze było dobrą chęcią tylko, bo staruszkowi zawsze coś wlazło w drogę, gdy już tuj, tuj, był na wyjezdnem do Lwowa — pierwsza Magdalena zwróciła uwagę męża, że chłopak skończy niebawem 7 lat, i czas byłby posłać go do szkoły.

— Do książki aż go niemo, — mówiła. Ledwiem mu pokazała kilka liter w mojej książce do nabożeństwa, spokoju mi nie daje, jeno ciągle męczy, bym mu więcej pokazywała. Jak mówiłam zawsze, ani chybi będzie z niego uczony człowiek.

Wojciech nagabywany w ten sposób kilka razy, poszedł oczywiście przedewszystkiem na radę do proboszcza.

— A jakże, a jakże — trzeba go zapisać do „sztuby“ — mówił staruszek wysłuchawszy z czem przyszedł organista, — sam myślałem o tem nie raz i zbierałem się, by ci to powiedzieć Wojciechu... no, ale zawsze jakoś zapomniało się... Że to trzeba chłopca trochę przebrać inaczej, i kupić mu książki, dam ci na to parę reńskich... — i posunął, wlokąc ledwie nogę za nogą — do kantorka. W ostatnich czasach starowina podupadł był zupełnie na siłach.

— Całuję nogi księdza proboszcza — całuję. Jest tam wprawdzie i u nas trochę zapaśnego grosza, ale człek nie rad to ruszać, chowając na czarną godzinę... — dziękował Wojciech, kontent z niespodziewanego zasiłku.

Jeszcze tego samego dnia przywołano z miasteczka Icka, reputowanego krawca, który szył bekiesze mieszczanom, łatał i sztukował od czasu do czasu kilkudziesięcioletnią garderobę plebana, a nawet robił raz kompletne garnitury dla „paniczów od pana respicjenta“ — gdy wyjeżdżali do gimnazjum, o czem zawsze z pewną dumą i satysfakcją wspominał ślepy na jedno oko Icek. Miał wprawdzie od niejakiego czasu rywala w kunszcie swoim, osiadłego tu niedawno młodego Moszka, który złośliwie rozpowiadał, że stary Icek „na jedno oko był ślepy, a na drugie nic nie widział“, i skutkiem tego fatalnie wypadały roboty jego; lecz mimo to Icek miał najlepszą i najliczniejszą klientelę w miasteczku, w którem się urodził, i po ojcu a nawet dziadku, rzemiosło odziedziczył.

Wziął tedy Icek miarę na bekieszkę i inne części ubrania dla Jędrusia, zabrał stary surdut Wojciecha, obiecując po przenicowaniu go „rychtyk nowy“ wystrychnąć surducik dla malca, na resztę miano kupić łokieć sukna szaraczkowego — i w ten sposób sprawa przebrania Jędrusia na studenta, była zupełnie załatwioną. Zobowiązał się

zrobić wszystko na czas t. j. początek września, a można mu było wierzyć, bo byli ledwie w lipcu.

Przypatrując się z boku długim operacjom Icka przy braniu miary na chłopca, stara Magdalena płakała czegoś po cichu. Jędruś natomiast wesół był, jak zwykle, i ani trochę nie czuł się zakłopotanym lub zdziwionym. Od tego dnia ciągle się dopytywał, kiedy Icek ubranie przyniesie, wyglądał go co dzień od rana do wieczora — i nie mógł się doczekać zawsze niedzieli, na którą „mama“ zapowiadała pojawienie się krawca, chcąc się chłopca pozbyć chwilowo. Tak mu dziwnie pilno było przedzierzgnąć się w „studenta,“ do którego to tytułu, zdaniem rówieśników, uprawniało dopiero kompletne ubranie na krój starszych mężczyzn.

Przyszła nareszcie wyczekiwana niecierpliwie niedziela, a raczej przyszedł Icek z zawiniątkiem, z którego wyjął z powagą surducik cudackiego wprawdzie kroju i formy, ale dla Jędrusia był on szczytem marzeń cichych i radości. Przebrał się chłopak w lot, z uciechy skakał po izbie, potem po dziedzińcu jak szalony. Stara Magdalenna znowu płakała, ujrzawszy pieszczocha zmienionego ubiorem. — zwyczajnie jak kobiety, które czują, że z chwilą ubrania takiego surducika dziecko jak ptaszę porosłe już w pierze, wymyka się z pod skrzydeł, i lada chwila uleci... może na zawsze, w szeroki bezbrzeżny świat... Czyż prawie każdy z nas nie pomni podobnej chwili i łez u matki w zaraniu swojego życia, które to łzy wówczas dziwnemi się zdawały może, lecz jakże często niestety usprawiedliwia je potem życie niejednego... serce matki znać odczuwało wtedy, że nie na taniec ochoczy spieszy jej małe chłopię... C. d. n.

Nowy Rok.

Starego roku już postać sędziwa
W ponure grobu zapada się cieśnie,
Niechaj staruszek pod darnią spoczywa,
I niechaj mary nie trapią go we śnie,
Że nam dobrego przysporzył tak mało,
Że nie był czerstwy, ni silny, ni zdrowy...
Staruszek kona i — dobrze się stało,
Niech kona, co stare — niech żyje rok nowy!

Niech żyje... Lecz czyli się spełnią nadzieje
Te, które w młodości człek zawsze pokłada?
Czy lice mu prawdą świetlaną rozdnieje,
Czy skroń mu uwieńczy gwiazd nowych plejada?
Cyy ciemność przed jego się wyrokiem rozprószy,
Czy pękną przesądów i fałszu okowy,
Czy szerej się zrobi dla serca i duszy,
Czy n o w y m prawdziwie, ten będzie rok nowy!.

Czy będzie on chwilą wśród wieków pochodu,
Co w dziejach dokona wielkiego przełomu
Nasyci tych, którzy konają wciąż z głodu,
Przytuli tych, którym cichego brak domu!
Pocieszy tych, którzy walkami znużeni
Nie mają gdzie złożyć ciążącej im głowy?
Czy przyszłość szczęśliwa się w nim zazieleni,
Czy n o w y m prawdziwie ten będzie rok nowy?

Czy krzywdy odwieczne, występki i zbrodnie
Doznają nareszcie i pomsty i kary,
Czy ludzkość odetchnie raz przecie swobodnie
Zdeptawszy nogami na miazgę świat stary,
Świat fałszu, ciemnoty, poniżeń, obłudy,
Rozpusty i mordów i hańby wiekowej,
Czy ludźmi nareszcie raz staną się ludy,
Czy n o wy m prawdziwie, ten będzie rok nowy?

Ha! trudno przewidzieć... Spokojne lazury
Okryte w burzliwych chmur czarne łachmany —
Z zachodu i wschodu huk słychać ponury,
Zbliżają się wielkie dziejów huragany...
Ach! burza orzeźwia!.. Zawarczą pioruny,
Tak głosem potężnym, jak z łona Jehowy
I prawda wśród krwawej objawi się łuny —
I n o w y m prawdziwie się stanie rok nowy!

Bolesław Czerwieński.

Seminarjum Nikolas du Chardonnet.

Ustęp z pamiętników Ernesta Renana*)

W kwietniu roku 1838 pan de Tallayrand, przeczuwając w zamku swoim Saint-Florentin bliski swój koniec, uważał za konieczne poddać się formom towarzyskim i postanowił pogodzić się dla pozoru z kościołem, który by go był z pewnością przekonał o jego bezecnych występkach i haniebnem bluźnierstwie, gdyby był w ogóle uznał prawdy przez ten kościół głoszone. Do wykonania tak trudnej operacji nie można było użyć ani poważnego duchownego starej szkoły gallikańskiej, któryby żądał uzasadnienia odwołania, skruchy i pokuty, ani też młodego ultramontanina nowej szkoły, któryby w starcu z góry już był wzbudził wstręt i odrazę. Trzeba było raczej kapłana, któryby był zarazem człowiekiem światowym, literacko wykształconym, jak najmniej filozofem, a wcale nie teologiem. Oprócz tego musiał by on pozostawać z dawną szlachtą w stosunkach towarzyskich, bez których Ewangelia rzadko tylko znajduje przystęp do tych kół, dla których stworzoną nie została. Abbé Dupanloup był właśnie człowiekiem, jakiego szukano. Bezwiednie też brał on udział w tej sprawie już naprzód ułożonej, którą łatwowierni mieli uważać za budujące oświecenie z niebios. Stosunek jego do księżniczki Dino, a bardziej jeszcze do córki tejże, której wychowaniem religijnem kierował, zupełna zgoda jego z zapatrywaniami pana de Quélen, protekcja arystokracji, którą uzyskać potrafił zaraz z początku swojej karjery i która zdziałała, że mieszkańcy Faubourg St. Germain uważali go za równego sobie wszystko to pozwalało uważać go za zdolnego do wykonania dzieła, które wymagało więcej taktu salonowego niż teologji, i dla którego trzeba było umieć podejść zarazem ziemię i niebo.

Mówią, że pan de Talleyrand, spostrzegając ze zdziwieniem pewne wątpliwości pana Dupanloup, w pierwszej chwili zawołał: „Młody ten ksiądz nie zna się na swojem rzemiośle!“ Jeżeli to powiedział, to się mocno mylił. Młody ksiądz rozumiał sztukę swoją, jak nikt dotąd. Postanowiwszy dopiero wtedy jednem rozstrzygającem słowem zadać kłam całej przeszłości swojej, kiedy już tylko jedna godzina do życia mu zostanie, odpowiadał starzec uporczywie na wszelkie nalegania i prośby: „Jeszcze nie!“ Z nadzwyczajną zręcznością trzeba było postępować według znanego: Sto ad ostium et pulso. Omdlenie lub nagłe przyspieszenie zgonu mogło zniszczyć wszystko. Natrętne naleganie mogło spowodować sprzeciwienie się i tem samem zaniechanie sprawy tak zręcznie i przebiegle obmyślonej. Dn. 17 maja, w dzień śmierci starego grzesznika, z rana nic jeszcze nie było podpisanem. Wszyscy byli ogromnie rozdrażnieni... Czas naglił; postanowiono odważyć się na wszystko. Pan Dupanloup znajdował się tuż obok pokoju, w którym leżał chory. Posłano tedy do łoża starca owo cudne dziecko, które on zawsze przyjmował z uśmiechem. I, o cudzie. Odpowiedź brzmiała: tak! Teraz wszedł kapłan. Cała sprawa trwała tylko kilka minut. Młody katecheta, wychodząc z pokoju, niósł w ręku papier, na którym konający podpisał się szumnie całem swojem nazwiskiem: Charles Périgord, Maurice de Talleyrand książę Benvenuto.

I wielką była radość, jeżeli nie w niebie, to przynajmniej w katolickich kołach Faubourg St. Germain. Oczywiście, że zwycięstwo zawdzięczano przedewszystkiem wdziękom kobiety, która pieszczotą swoją nakłoniła starca do odwołania całej jego rewolucyjnej przeszłości, ale wychwalano też młodego kapłana, który bądź co bądź, z wielką zręcznością wywiązał się z zadania, mogącego bardzo łatwo się nie udać. Od tego dnia był pan Dupanloup jednym z pierwszych kapłanów Francji. Koła najbogatsze i najbardziej wpływowe ofiarowały mu wszystko, co tylko mógł sobie życzyć: uzędy, godności, znaczenie towarzyskie, pie-

*) Jestto rozdział z ogłoszonych świeżo w „Revue de deux Mondes“ pamiętników znakomitego filozofa pt. „Souvenirs d'enfance et de jeunesse“; wybraliśmy ten rozdział umyślnie ponieważ on najlepiej charakteryzuje opinie Renana, a będzie więcej jak inne zajmować czytelników, bo rzecz chodzi tu o znanego szezerszym kołom ks. Dupanloup.

nią dze. Wybierał ostatnie. Ale niechaj nikt go nie posądzi o chęć osobistych korzyści... Plan wielkiej propagandy nauk klasycznych i religijnych opanował duch jego, i temu to planowi chciał się teraz poświęcić z namiętną gorliwością, która ożywiała wszystkie jego przedsięwzięcia.

Seminarjum St. Nicolas du Chardonnet, położone obok kościoła tegoż nazwiska, służyło od czasu rewolucji za małe seminarjum dyecezji paryskiej... Zakład ten do roku 1837 nie posiadał wcale tego blasku, który go później odznaczał. Literacko wykształcony i światowy klerykalizm świetnie odrodził się dopiero między rokiem 183 a 1840. Przez pierwsze trzy dziesiątki naszego stulecia pozostał Nicolas nieznanym zakładem duchownym, do którego przyjmowano tylko takich wychowanków, którzy poświęcali się kapłaństwu, a w którym część świecka nauk była zupełnie zaniedbaną! Pomysł arcybiskupa paryskiego, pana de Quélen, aby kierownictwo tego zakładu powierzyć panu Dupanloup, był iście genialnym. Arystokratyczny ten kapłan nie mógł znaleść upodobania w czysto duchownym kierunku, który dotychczas nadawano wychowaniu w seminarjum. Lubiał on pobożność, ale pobożność światową, salonowę, bez scholastycznego barbarzyństwa lub mistycznej gadaniny, lubiał pobożność jako uzupełnienie arystokratycznego ideału. Dla pana Dupanloup żywił najgorętszą sympatję. Ten ostatni był wówczas legitymistą i ultramontaninem... Pan de Quélen widział w nim syna, który podzielał wszystkie jego przesądy, który pogardzał wszystkiem, czego on nie szanował. Znał też niewątpliwie tajemnicę jego urodzenia. Rodziny, które po ojcowsku zajmowały się wychowaniem młodego duchownego i dały mu wstęp do swoich kół dla wielu zamkniętych, były i dla pana de Quélen granicami świata. Widziałem wtedy pana de Quélen, zrobił na mnie wrażenie typowego biskupa z owych czasów, Przypominam sobie jeszcze jego piękność niewieścią, jego wzrost imponujący, i wdzięczne ruchy. Wykształcenie ducha jego było czysto światowem i salonowem. Religia była dla niego nierozłączną od dobrego ułożenia i od pewnej dozy zdrowego rozumu, który czerpiemy z studjów klasycznych. To samo da się powiedzieć o panu Dupanloup.. Humanizm, wykształcenie powierzchowne ale wszechstronne, dla obu były celem dostatecznym, poklask wykształconego salonowca najwyższem kryterjum dobrego... Teologję uwielbiali obydwaj z daleka... Wiara ich była gorącą i szczerą, lecz ślepą, nie wiele troszcząc się o dogmaty, w które wierzyć trzeba było.

Tego tedy usposobienia był pan de Quélen, kiedy oddał w ręce pana Dupanloup nieznany i karnie prowadzony zakład. Według brzmienia konkordatu, było małe seminarjum paryskie dotychczas tylko szkołą wychowawczą dla przyszłych księży paryskich... Nowy zwierzchnik myślał o czemś zupełnie innem. Zdawało mu się, że wszystko potrzebuje reform i odnowienia, począwszy od budynku, z którego młot pozostawił tylko gołe mury, a skończywszy na planie nauk, który pan Dupanloup gruntownie zreformował. Zamiary jego objawiały się głównie w dwóch punktach. Po pierwsze przyszedł do przekonania, że seminarjum czysto duchowne nie ma w Paryżu żadnych widoków powodzenia i zamierzał dla tego pozyskać dla zakładu, głównie z zachodniej Francji i z ojczyzny swojej, Sabaudji, utalentowanych wychowanków, na których zwrócono jego uwagę. Po drugie, chciał stworzyć z zakładu wzorowy instytut wychowawczy, a nie seminarjum z charakterem duchownym i ascetycznym. Dlatego też starał się u najpierwszych rodzin Francji o oddanie mu ich synów do wychowania. Przez szczęśliwe załatwienie sprawy na ulicy St. Florentin, wszedł był w modę u legitymistów; pewne stosunki z kołami orleanistycznemi kazały się i ztąd spodziewać pomnożenia liczby wychowanków. Nie lekceważąc zmiennych kaprysów mody i popularności, starał się o względy wszystkich, którzy chwilowo mieli znaczenie. Zasady jego były na wskróś arystokratyczne, rozróżniał jednak trzy rodzaje arystokracji: szlachtę, kler i literaturę. Myślał o liberalnej metodzie wychowawczej, opartej na chrześcijańskie i klasycyzmie, równie dobrej dla duchownych jak dla młodzieży z Faubourg St. Germain. Studjum umiejętności było prawie wykluczonem, o niem i on nie miał pojęcia.

Tak stał się stary zakład przy ulicy St. Victor domem, w którym przez kilka lat najwięcej wymieniano nazwisk historycznych i znanych; przyjęcie do niego było dla młodego człowieka łaską, za którą płacono skarbami. Wielkich sum, któremi sobie bogate rodziny tę łaskę okupiły, użyto do bezpłatnego wychowania niezamożnych młodych ludzi, którzy nadzwyczajnym postępem w szkole zwrócili uwagę na siebie. I w tem widać tę głęboką wiarę, jaką pan Dupanloup żywił dla studjów klasycznych. Był przekonany, że kto miał zostać duchownym, musiał w taki sam sposób być wychowanym, jak ten, którego przeznaczeniem było zająć kiedyś najwyższe w społeczeństwie stanowisko. Wirgiliusz zdawał mu się być dla duchowego wykształcenia kapłana co najmniej tak koniecznym, jak biblia. Spodziewał się dalej, że elita klerykalnej młodzieży, przez obcowanie z synami najlepszych rodzin Francji, nabędzie salonowej ogłady i wykwintniejszych manier, niż w innych seminarjach, zaludnionych wyłącznie przez synów ubogich włościan. I rzeczywiście, pod tym względem dokonał cudów. Chociaż utworzony z przeciwności, na pozór nieprzejednanych, był zakład zupełnie jednolitym. Przeświadczenie, że talent miał większe znaczenie niż wszystko inne, usuwało wszelką niezgodę, a po ośmiu dniach choćby najuboższy i najniezręczniejszy chłopak, jeźli tylko napisał dobre pensum lub skleił pięknie kilka wierszy łacińskich, był przedmiotem zazdrości małego milionera, który nie przeczuwał nawet, że za tamtego czestne zapłacił. (Dok. nast.)

Lichtarz loteryjny.

Humoreska
Otta Buchwalda.

Od lat trzydziestu jesteśmy zaślubieni, i mamy jedną córkę. W jakim ona wieku, niewiem dokładnie, zdaje mi się jednak, iż jak nasz stary zegar, stanęła na pewnej oznaczonej liczbie. Atoli żona moja mówi, że panna ma jeszcze widoki dostać męża, co mnie uspokaja. Córka nasza nazywa się poetycznem imieniem: Esmeralda, na cześć bogatej babuni ciotecznej, która „Dzwonnika z Notre Dame“ co roku dwa razy czytywała, a po śmierci naszej Esmeraldzie nie zostawiła ani grosza.

Pewnej niedzieli siedziałem w moim gabinecie i czytałem Liwiusza, gdy w tem weszła Esmeralda lekkim krokiem, jak przystoi dziewczynie, która ma widoki zamąż—pójścia.

— „Ojcze! zagadnęła — „Stowarzyszenie Hymenu“ urządza loterję fantową, której zyskiem ma być wyposażona para narzeczonych, czekających na siebie 10 lat, a środki obojga są dotąd bardzo szczupłe. Może i ty ojcze przyczynisz się czemkolwiek?— Pochwaliłem zupełnie zajęcie się mej córki narzeczonymi, którzy chcą się pobrać i chętnie dobyłem sakiewkę.

— Nie — rzekła Esmeralda — wolisz dać ojcze fant jaki. —

— Zgoda, lecz co? spytałałem wodząc wzrokiem bezradnie po pokoju — niewiem coby dać...

— Ja wiem! przerwała tryumfująco — lichtarz z nowego srebra.

— Kochane dziecię — odparłem, lichtarz ten mam już przeszło lat trzydzieści.

Pochodzi on jeszcze z kawalerskich czasów, i jest jedynym przedmiotem, który raz w życiu wygrałem na loterji.

— Z tem wszystkiem jednak jest zupełnie nieużytecznym, odparła mi córka bez namysłu— i chyba nie ma innego celu istnienia, jak był odczyszczany co miesiąc. — Co do nieużyteczności miała słuszność. Lichtarz ten, pomimo swego wieku i widocznego starcia skutkiem ciągłego czyszczenia, wyglądał okazale, lecz otwór miał za płytki a takich rozmiarów, iż najgrubsza świeca kościelna przestraszyła by się tego okręgu. Raz zwyczajną świeczkę obwinąłem całym numerem niedzielnym „Ciotki Voss" i wsadziłem w otwór: lecz świeca natychmiast wypadła na podłogę rozmiażdżona, jak kość pacierzowa jaszczurki, rozebranej anatomicznie.

— Kochane dziecię — zacząłem znowu, — tego — hm — nieużytecznego czyli mało potrzebnego lichtarza nie...

— Właśnie dla tego najstosowniejszym jest na loterję fantową, wtrąciła Esmeralda szybko. — Często gniewałeś się na lichtarz, ja także, gdyż go czyścić musiałam. Teraz sposobność doskonała, by się go pozbyć! — I już wzięła lichtarz do ręki.

— Jeszcze musisz wziąć ojcze kilka losów po 50 ct. weź — trzy!

Wiedziałem, że córce zależało na tem, by jak najwięcej losów rozsprzedać, zrobiłem więc zadość jej życzeniom w pewnej nadziei, iż więcej nigdy przez resztę mego żywota nie będę w podobnem położeniu.

Upłynęło blisko 14 dni — gdy raz Esmeralda rzekła przy stole:

— Dziś jest losowanie, „Hymenu", ciekawam co też wygrasz ojcze!

Przy tych słowach straciłem apetyt. Nie przerażałem się myślą, iż wygrać coś mogę, ponieważ byłem przekonany, że los mój nie wyjdzie wcale. Ale od czternastu dni myślałem o pozbyciu lichtarza z nowego srebra, jak o ciężkiem przewinieniu.— Jeżeli ktoś z twych znajomych wygra go, który sto razy lichtarz widział u ciebie, nie będziesz mógł bez bicia serca progu domu twego przekroczyć! Ta uwaga dręczyła mnie bez ustanku; nawet we śnie ukazywała mi się mara w postaci fatalnego lichtarza. Raz powiększył mi się do rozmiarów szubienicznego pala, do którego byłem przywiązany. Innego znów razu — gdy wykładałem w klasie różnicę pomiędzy doryckiemi, jońskiemi i koryndckiemi słupami we śnie przemienił się lichtarz to w jeden to w drugi słup, a zawsze u każdego był obszerny, płytki otwór u góry, iż ze strachem myślałom o losie świecy, która tam się dostanie.

Więc też na wiadomość o ciągnieniu, mdło zrobiło mi się na sercu.

— Nie wygrywam nigdy... nic rzekłem półgłosem.

— Może tym razem będziesz szczęśliwszym — pocieszały mnie żona i córka.

Niewinne dusze nie przeczuwały, że mnie nawet wygrana nie ucieszy, jak długo nie będę wiedział, komu na łono fortuna rzuci mój lichtarz.

Jak oskarżony, nad którego losem przysięgli się naradzają — spędziłem popołudnie. Towarzyszki spoglądały na mnie z współczuciem, myślały żem chory — co było prawdą. Kawa ani cygaro nie smakowały mi.

— Kiedyż skończy się ta historja? spytałem żony z wymuszoną miną.

— Sądzę, iż o szóstej Esmeralda powróci, odparła żona, patrząc na mnie ze zdziwieniem. Choroba nie dawała się już ukryć.

Wreszcie przyszła Esmeralda — ale nie wesoła i fertyczna, jak przystoi dziewczynie, która ma jeszcze widoki matrymonialne — lecz pomięszana i nieśmiała.

— Wygrałeś ojcze... rzekła bojaźliwie.

— Któż wygrał mój lichtarz? zawołałem, nie będąc w stanie ukryć niecierpliwości.

— Ty ojcze!

— Bogu dzięki! zawołałem oddychając z pewną ulgą, i pospieszyłem z lichtarzem do mego gabinetu.

Żona i córka zaśmiały się głośno sądząc, iż zachwytem tym wyrażałem żartobliwie złość swoją: nie przeczuwały zupełnie, ile w tem było prawdziwej radości. Stanął więc mój nieużyteczny lichtarz znowu na swojem miejscu — i mogę powiedzieć, iż nigdy dotąd nie był mi tak miłym jak teraz, gdy z wiernością psa wrócił do mnie napowrót. Znowu co miesiąc czyszczono go starannie— a jego olbrzymi otwór służył młodym muchom za szkołę gimnastyczną.

Pewnego dnia znikł lichtarz; myślałem w pierwszej chwili, że jak zwykle wzięto go do czyszczenia, i nie pytałem o nic. Gdy jednak po kilku dniach nie było go na zwykłem miejscu, wziąłem Esmeraldę na egzamin. Ach! co też usłyszałem! okropność! Żona i Esmeralda sądziły na serjo, iż wygrany napowrót lichtarz gniewa mnie srodze. Z tego powodu Esmerelda, nieszczęśliwe dziecię, nie miała nic pilniejszego, jak oddać go na nową loterję, którą jakieś stowarzyszenie na jakiś piękny cel urządziło.

Spojrzenie, którem obrzuciłem ją po tem wyznaniu, może w grozie swej mierzyć się tylko z tem, jakiem mój zmarły kolega Seyfried zmierzył był trzecioklasistę, gdy ten odpisał łacińskie ćwiczenie współucznia. Esmeralda zbladła i nie wyglądała wcale, jak dziewczyna, która ma widoki pójść za mąż.

— Ojcze — wyjąkała— sądziłam w istocie, iż będziesz kontent, pozbywszy się lichtarza; wszak najzupełniej był niepotrzebnym.

Właśnie ten sprawiedliwy powód oburzał mnie.

— Tem gorzej!... bezsumiennie jest, nieużyteczny lichtarz pchać w rękę niewinnym ludziom, którzy kupili los za 50 cnt.

Mówiłem to z gniewem, a Esmeralda wyglądała jak widmo w księżycowym blasku. Wzruszony jej widokiem rzekłem łagodniej:

— Wiele losów masz jeszcze do rozsprzedania?

Znałem zwyczaj podwójnego opodatkowania; najpierw daje się fanty, potem bierze się losy a w końcu...

— Dziesięć — przerwała Esmeralda ciąg dalszy mych myśli.

— Daj je tu — rzekłem — rozsprzedam je między kolegami.

Był to jedynie wykręt do pokrycia rozrzutności mojej. W istocie miałem stanowczy zamiar,— lichtarz mój napowrót odzyskać, i nie zadowoliłem się nawet temi dziesięcioma losami, ale bez wiedzy żony i córki z innego żródła wziąłem jeszcze pięć.

Uzbrojony piętnastoma losami, oczekiwałem ważnego dnia z spokojem; w myślach już widziałem lichtarz stojący na dawnem miejscu.

Nadszedł dzień losowania. Esmeralda, która nie tylko narzeczonymi od 10 lat interesowała się gorliwie — miała znowu dużo do czynienia, i późno przyszła do domu. Przy kolacji rzekła:

— Ojcze! znowu jak zwykle nie miałeś szczęścia — z dziesięciu losów jeden tylko wygrał!

— Oczywiście nie lichtarz! odparłem ile możności zimno, by ukryć rozczarowanie — uważam to z twoich słów,..

— Nie — parę podbródków — rzekła Esmeralda prawie smutno; zdawała się odczuwać wyrzuty sumienia, iż nie wygrałem lichtarza.

W tej chwili nie pomyślałem wcale, że te podbródki mogą być użyte kiedyś—ewentualnie przy wybuchu nowej loteryjnej epidemii — zajmowałem się tylko przypuszczeniem, że jeszcze inne pięć losów lichtarz wygrać mogą. Trzy dni rozważałem możliwości i niepodobieństwa — w końcu rzecz została rozstrzygniętą — żaden los nic nie wygrał— lichtarz mój poszedł w obce ręce pod krytyką ludzką. Biedny lichtarz, o! gdybym przynajmniej wiedział o jego losie!

Życzenie to spełniło się niebawem. Pewna dama z kolącemi oczyma i wąskiemi wargami,— której humor dobry zmniejszał się z latami, przyszła pewnego dnia do żony na kawę. Stół kawowy podobny jest do miejsca, gdzie wyładowują zamorskie towary

— jest ich zwykle przerażająca ilość. Starzejąca się jejmość nie próżnowała: pakę za paką pełną nowości wytaczała na widok, naraz zamąciło mi się w głowie — gdy usłyszałem przez otwarte drzwi w moim pokoju coś o starym z nowego srebra lichtarzu, który na ostatniej loterji, na cel dobroczynny urządzonej, wygrała. Ciekawie przystąpiłem bliżej, ponieważ zdawało mi się niemożebnem, iżby taki drugi lichtarz egzystował, więc o moim lichtarzu musi być mowa. Tak jest! o moim lichtarzu! O! a opisanie tegoż — opisanie! Szkaradniejszego lichtarza od stworzenia świata żadna służąca nie czyściła. Jego szanowny wiek—piękny kształt — skromne wyglądanie wszystko pominięto, a wady z upodobaniem powiększono. Zdaje się, jak gdyby wszystkich fabrykantów świec chciał zbogacić, tyle świec z niego wypadło i połamało się; otwór jego równał się kotlinie, gdzie harcować mogły swobodnie stada bawołów.

Miałem dość tego, więc jak wypoliczkowany żak szkolny zamknąłem drzwi, tłumiąc gniew mną miotający.

Gdy szanowna dama ładunek swój wyrzuciła, i pożeglowała dalej — poszedłem do żony i córki.

— Widzicie — rzekłem — co mam z tej przeklętej loterji, a może zechcecie zaprzeczyć, że to nie o moim lichtarzu była mowa?

Żona i Esmeralda milczały w poczuciu własnej winy. W końcu żona rzekła:

— Sądzę, że kochana nasza przyjaciółka z chęcią odstąpiła by ci lichtarz...

— Tak? zawołałem, aby w ten sposób kochana nasza przyjaciółka domyśliła się łatwo, że to ja to straszyzydło dałem na loterję, i żeby swój list gończy przy innych kawowych stolikach nazwiskiem mojem uzupełniła! No, tego jeszcze brakowało!

Esmeralda lepszą dała radę.

— Ojcze! mówiła — założę się, iż w następnej loterji lichtarz pojawi się na stole, wtedy będziesz mógł...

— Znowu piętnaście losów wziąć — zawołałem nieostrożnie, – aby wygrać parę podbródków, które ty później może...

Przy tych słowach córka moja uważała, za stosowne zarumienić się, jak przystoi dziewczynie, mającej widoki zamążpójścia. Nie rzekłem już nic więcej, i wróciłem zły do swego gabinetu. Nawet familijnych nieporozumień był przyczyną ten nieszczęśliwy lichtarz!

Minęło kilka tygodni, gdy raz na przechadzce rzekł stary poborca do mnie:

— Doktorze, dziś jest loterja „pończoszkowego stowarzyszenia dla Hotentotów“ Chodź pan, oglądniemy zbiór fantów — jestem przymusowym członkiem komitetu, więc muszę być obecnym.

Od razu wyjaśnił mi się powód nadzwyczajnego zajęcia Esmeraldy w ostatnich czasach. Z losami jednak nie odważyła się przyjść do mnie.

Jakkolwiek złość moja przeciw każdej loterji fantowej po lichtarzowej aferze, była usprawiedliwioną, nie mogłem staremu przyjacielowi odmownej dać odpowiedzi, zwłaszcza, iż mówiąc otwarcie byłem ciekawy zobaczyć, czy przepowiednia Esmeraldy co do lichtarza sprawdzi się teraz. Weszliśmydo dużej rzęsiście oświetlonej sali, w której członkowie komitetu nie mało zabierali miejsca. Osób pragnących wygrać coś z prześlicznych rzeczy, było bardzo dużo. Za kwadrans miało odbyć się losowanie. Esmeralda oczywiście krzątała się żwawo, i tyle miała ciągle do czynienia, że mnie nie zauważyła wcale.

— Patrz pan! rzekł do mnie poborca podatkowy z złośliwym uśmiechem, prowadząc mnie do stołu założonego fantami — oto zbiór, niepokupnych towarów — dary ze sklepu. Wazy, kałamarze, postumenciki, które choć wyglądają zupełnie dobrze, są nie modne i nie mają odbytu. Jeśli zobaczysz pan starego znajomego z wystawowego okna, proszę się nie dziwić. A tu — ciągnął dalej zatrzymując się przy innym stole — spoczywa owoc pracy naszych panienek i niezamężnych kobiet średniego wieku.

Ujrzałem cały magazyn bielizny rozłożony w porządku: kołnierzyki, szaliki, fartuszki, podbródki i inne pożyteczne przedmioty kończące się na „ki“:

— Mój Boże! pomyślałem — gdyby nawet miasto nasze pięć razy zostało powiększonem, jeszczeby wszystkie dzieci do 3 lat w podbróoki, szaliki, kołnierzyki, fartuszki i t. p. były zaopatrzone.

Jakże byłem zadowolony, iż wygrane podbródki zachowałem dla Esmeraldy.

— Tu — objaśniał szanowny poborca śmiejąc się skrycie – jest najciekawszy stół! Nazywam go „stowarzyszeniem wędrujących starców“. — Oglądnąłem stół dokładnie. Leżały tu premie stalorytowe niewątpliwego wieku, mapy podejrzanej młodości, albumy pewnie nie nowe, i inne rzeczy — bezsprzecznie stare.

— Widzisz pan — zauważał poborca podatkowy — to są stali goście każdej loterji — pewien rodzaj marek do grania. Każdy z biegiem czasu coś z tych rupieci wygrywa, i znowu bez wyrzutów sumienia daje na cel dobroczynny. Tym sposobem przechodzą one szybko z ręki do ręki; kaprys losu rozrzuca je po świecie, ale tu schodzą się zawsze, jak starzy hotelowi towarzysze po wojażu z niezawodną pewnością. Stół ten po 50ciu latach tak samo wyglądać będzie, jak dziś...

Ostatnie słowa wymówił z pewnem namaszczeniem.

— I on tu jest znowu panie radco — rzekł sługa stowarzyszenia, zaśmiawszy się w głos z rażącą poufałością.

Niemiłem przeczuciem tknięty, spojrzałem w kąt stołu, gdzie wskazywał palcem O! chciałbym był w tej chwili na szczycie Chimborassu siedzieć jak sowa — lub pod kaskadę Niagary, jak rak pełzać po piasku. Tam w kącie stał mój lichtarz — długoletni mój przyjaciel z nowego srebra w gronie starych towarzyszy podróży — naznaczony numerem 111. Numer ten tak wpadał w oczy, iż nikt go nie zapomni.

Nie wiem co byłbym jeszcze pomyślał w tej krytycznej chwili, gdyby donośny głos nie zawołał wyraźnie: Los 224 wygrał numer 111.

— Ja! — dał się słyszeć zadowolony głosik, i mała dziewczynka wystąpiła z słodkim uśmiechem. Lecz ach! jakże długą i płaczliwą zrobiła się jej twarzyczka, gdy ujrzała nieszczęśliwy lichtarz.

W tem dobra myśl przyszła mi do głowy — nie słuchałem dalej wywoływanych numerów, pospieszyłem do biednej dziewczynki.

— Twój lichtarz podoba mi się moje dziecko — rzekłem porywczo — czy nie odstąpiłabyś mi go za talara?

Dziewczynka spojrzała na mnie niedowierzająco — zapewne wzięła mnie za oszusta lub szaleńca; potem jednak szybko chwyciła z rąk mych talara, wcisnęła mi los swój, i znikła tak spiesznie, jakby obawiała się, bym nie cofnął propozycji.

Potrząsając głową, podał mi sługa stowarzyszenia wygrany lichtarz. Jak chłopiec, który zgubiony na ulicy cukierek bojaźliwem spojrzeniem podnosi prędko, i chowa, by w domu go spożyć — schowałem lichtarz do kieszeni i z pospiechem opuściłem salę.

Gdy w kilka godzin Esmeralda znużona całodziennym trudem przyszła do domu, rzekłem:

— No! lichtarz jest znowu tu... lecz między starych wędrowców nie pójdzie on już nigdy więcej — pamiętaj to sobie moja córko. Losy na loterję będę kupować w przyszłości, ale fantu żadnego nie dam... za nic w świecie!

Uroczystość niedźwiedzia.

Szkic etnograficzny.

Cześć oddawana zwierzętom, od bardzo dawnych czasów panuje wśród licznych narodów. W tym względzie Egiptowi, jak wiadomo, pierwsze należy się miejsce. Krokodyle, ibisy, koty, apis, żuk święty i t. p. których wizerunki i mumje po nasze dochowały się czasy, świadczą wymownie o rozległym kulcie tych zwierząt u starożytnych Egipcjan. Gwinejczyk obchodzi krwawe święto rekina, poświęcając dziesięcioletnie dziecię na ofiarę potworowi, a pociesza się przytem przynajmniej tą nadzieją, że paszcza rekina będzie jego niemowlęciu furtą do nieba.

W sobie zamknięty Hindus czci strasznego gawiala, podczas gdy u sąsiadów Chińczyków żóraw żyje w wielkiem poważaniu, tak iż wymawiając jego nazwisko, Chińczyk dodaje ze czcią „miłościwy żóraw". Różne pobudki skłoniły w dziecięcej prostocie ducha żyjącego człowieka do ubrania jednego lub drugiego zwierzęcia, jako celu swych pobożnych westchnień — to obawa przed straszliwą paszczą potwora, to pożytek, jaki pewne zwierzę przynosi, to jawienie się jego w czasie przyjaznych człowiekowi zjawisk, lub w końcu inne, błahe częstokroć powody, wystarczyły niejednokrotnie do zrodzenia kultu jakiegoś zwierzęcia. Tak powstał kult niedźwiedzia. Nietyle bojaźń przed potężnymi kłami, ile raczej jego skóra, tłuszcz, i mięso, zjednały mu miejsce między świętymi Ainosów.

Na jednej z wysp japońskich, Jesso, żyje dość plugawy i biedny naród, Ainosów, którego zwyczaje i obyczaje, stosunki topograficzne, i w ogóle przyrodę kraju — opisuje v. Siebold, sekretarz legacji niemieckiej w Japonii, a streszczenie powyższego studjum podaje w „Wędrowcu" z 1882. dr. Dudrewicz. Znajdujemy tu jednak tylko wzmiankę o tej ciekawej uroczystości, na którą Ainos, chcący uczcić bóstwo i zabawić się zarazem, czeka z upragnieniem.

„Kimui-Kamui", tem budzącem szacunek, a bóstwo oznaczającem mianem, zowie Ainos kudłatego bartka, dla którego ma wielką cześć i poszanowanie. I nic dziwnego — jakże tu nie szanować tej wybornej szuby, nie cenić wysoko tych tłustych szynek i w lecznictwie Ainosów wielką rolę grającej żółci, — a z drugiej znów strony potrzeba trzymać na wodzy zachcianki mysia, wdzierającego się do obór, i niszczącego konie, te ważne dla Ainosa zwierzęta domowe. Łatwo więc zrozumieć, iż dziecięca wyobraźnia Ainosów, widzi w niedźwiedziu boskiego przedstawiciela, którego jak chętnie zabija, tak chętniej jeszcze oczyszcza się z wrzekomego grzechu, umieszczając czaszkę zabitego niedźwiedzia na boski częstokół, otaczający od strony wschodniej domostwo. Tu właśnie miejsce ofiary bogom przynoszonej, a zatknięta czaszka przedmiotem świętym, który pod nazwiskiem Kamuimarapto przedstawia bóstwo. Lecz każde bóstwo żądne czci i ofiar ludu, a ten chętnie czci i ofiaruje, i urządza na jego cześć wielkie według świętego pojęcia uroczystości. I oto motywa uroczystości niedźwiedziej, zwanej u Ainosów „iomate", którą dr. Scheube jako świadek naoczny i wytrawny znawca ziemi Ainosów opisuje.

Było to w roku 1880 dnia 10. lipca, — mówi dr Scheube, — kiedyśmy z Oshamambe przybyli do niedalekiej wioski Kunnui. Wioska cała była w bardzo świątecznym nastroju, nazajutrz bowiem miała się rozpocząć uroczystość niedźwiedzia. Mały sysaczek złowiony w zimie w pobliskim lesie, miał paść ofiarą bóstwa za wszystkie pobite przez Ainosów jego pobratymce. Z początku mamczyła go Ainoska jak własne dziecię, później podawano mu pokarm przeważnie z ryb złożony, a kiedy myś takiej nabrał siły, że klatka, w której siedzi zamknięty, trzeszczy pod jego razami, to pora do odprawienia uroczystości „iomate", przypadającej najczęściej na wrzesień lub październik. Poprzód tłumaczą się Ainosi przed bóstwem, iż utrzymywali niedźwiedzia tak długo jak tylko mogli, dziś muszą go zabić, nie mając go czem wyżywić. Gospodarz, któremu przypadło w udziale być inicjatorem całej uroczystości, połączonej, jak na takich chudopachołków, z wielkimi kosztami, szczególnie na napitek „sake", wyszedł ubrany w świąteczne szaty wraz z gośćmi naprzeciw nam, zapraszając uprzejmie na uroczystość. Szaty jakie Ainosi w uroczystych dniach przywdziewają, są to przeważnie stare suknie japońskie, noszące ledwie ślady dawniejszej świetności, a obecnie, upstrzone plamami i brudem na nich spoczywającym. Dodajmy do tego, iż dla Ainosa jest rzeczą podrzędną, czyli suknia służyła niegdyś kobiecie czy mężczyźnie, a będziemy mieli dziwaczny obraz, jaki się przedstawił oczom dr. Scheuba. Lecz same suknie nie stanowią jeszcze całej toalety. Mężczyźni nałożyli na czoło rodzaj korony uwitej z korony dzikiego wisza, ozdobionej wiórami, kłami niedźwiedziemi, i rzeźbionymi kawałkami drzewa. Płeć piękna, (w której gronie nie ujrzy ładnej twarzyczki) prócz pstrej sukni, nawieszała od święta mnóstwo naszyjników z muszelek, a nawet jedna z uczestniczek miała na głowie chustkę, którą nakrywała siwe już włosy. Utatuowanie twarzy i rąk po same ramiona, dopełniało resztę toalety.

Tak ustrojone towarzystwo czekało na obszernem podwórzu, a wszystkich oczy i rozmowy były zwrócone na głównego bohatera dnia, biednego niedźwiedzia, który snać nie przeczuwając niczego, bawił się w najlepsze w swej klatce. Uroczystość rozpoczęła się w chacie. Dziś wyglądała ona nieco czyściej jak zwykle, chociaż woń tu panująca zbyt razi powonienie Europejczyka, a czarne okopcone ściany i powała bynajmniej nie dodawały powabu. Natomiast wyszły na jaw odświętne sprzęty i ozdoby: stare zardzewiałe miecze zawisły na północnej ścianie nad skrzynią, w której były w dnie powszednie ukryte. W kącie południowo-wschodnim, poświęconym bogu domowemu, umieszczono różnej długości drążki, opatrzone na końcach drobnymi wiórkami. Drążek taki zwany „inabo" to sprzęt święty, zastępca bóstwa i znajdować się musi w każdej chacie, a nawet dziś dla podniesienia uroczystości chwili, zatknięto w każdym rogu klatki niedźwiedziej po jednym „inabo"; podobnież sterczał „inabo" w samym środku izby, gdzie zwykle rozniecają ognisko. Dokoła rozścielono maty, i całe towarzystwo starszych i znakomitszych gości zajęło swe miejsca, czekając rozpoczęcia ofiary. Gospodarz ofiarował najpierwej nad ogniskiem bogu ognia, a w kącie świętym bogu domowemu, za przykładem zaś gospodarza ofiarowało bogom całe towarzystwo. Ofiara ta odbywa się według pewnych przepisów. Gospodarz ujmuje puhar lewą ręką i podnosi do czoła, wznosząc jednocześnie rękę prawą dłonią do góry zwróconą; następnie wziąwszy do 30 ctm. długi, płasko wystrugany, częstokroć rzeźbiony pręcik, który dotychczas leżał na puharze, zanurza go w trunek i pryska kilka kropli na ofiarę bogu, a poruszając kilkakrotnie pręcikiem nad puharem, mruczy krótką modlitewkę, podnosi wąsy pręcikiem i pije potężnymi haustami. Podczas tych libacyj odbywają się pozdrowienia, przyczem Ainos pochylając kilkakrotnie głową, gładzi brodę lub włosy na przodzie głowy, prawiąc przytem rozmaite komplementa.

Gospodyni domu, która wykarmiła niedźwiedzia, siedzi na boku w ciągu całej ceremonji, wybuchając od czasu do czasu wcale nieudanym płaczem, i roniąc łzy nad losem swego wychowanka. W końcu i ona łącznie z kilkoma starszemi niewiastami ofiarowała bogom, pocierając przed wypiciem, bo tak obyczaj niewieści każe, kilkakrotnie palcem wskazującym pod nosem. Córki gospodarstwa dość czysto ubrane, nie biorąc podobnie jak inne dziewice udziału w libacji, nieodstępowały kociołka, w którym przygotowywały z jagieł przysmaki dla gości.

Po skończonej ceremonji w chacie, podążyli wszyscy do klatki, w której siedział

niedźwiedź, i tu powtórzył gospodarz, wraz z kilkoma poważniejszymi gośćmi libację, podając następnie kilka kropli trunku niepokojącemu się mysiowi. Widać, że mu to najście tylu obcych wcale się niepodobało, wywrócił bowiem podaną czaszę, nietknąwszy napoju. Wnet rozpoczęły się tany. Panny i mężatki klaszcząc w dłonie i śpiewając monotonne piosnki, skakały jak opętane dokoła klatki; później przyłączyła się do grona tańczących sama gospodyni i kilka innych matron, które już nie jednego wychowały niedźwiadka, a chociaż łzy im z oczu płynęły obficie, tańczyły koło niedźwiedzia, głaszcząc i klepiąc biedaka po grzbiecie. Widocznie rozczuliły mysia te pieszczoty, gdyż zaczął się niepokoić i skakać po klatce, szarpać jej pręty i wyć przeraźliwie. Niemal jednocześnie odgrywała się druga scena około świętego częstokołu, który świątecznie ustrojono, osadzając na nim aż pięć nowych „inabo“, ozdobionych liśćmi bambusowymi. Bambusem ubierają w dniu dzisiejszym „inabo“ na znak ponownego odżycia zabitego niedźwiedzia. Prócz „inabo“ wywieszono na częstokole miecze i święte kołczany, trzy łuki i trzy strzały, które mają posłużyć do zastrzelenia niedźwiedzia, tudzież różne ozdoby jako: kolce i naszyjniki do ozdobienia nimi nieżywego zwierzęcia. Tu rozpoczął naczelnik z Oshamambe nowe libacje bogom, którym podwórze było poświęcone, poczem trzej młodzieńcy mający polecenie wydobycia niedźwiadka z klatki, umieścili trzy nowe „inabo“ na świętym częstokole.

Tymczasem skutki wypitego „sake“ stawały się z każdą chwilą coraz widoczniejsze, krzyki, śpiewy, tańce coraz bardziej potęgowały się, potrzeba więc było przystąpić do ostatniego aktu, — ofiarowania niedźwiedzia. Najdzielniejszy młody A i n o s dostąpił zaszczytu wyciągnięcia z klatki niedźwiedzia. Przyodziawszy suknię świąteczną, przystępuje do dzieła, odejmuje ze stropu klatki belek i zarzuca przez otwór arkan na szyję niedźwiedzia, którego następnie wyciąga i po całem domostwie oprowadza, aby je raz jeszcze obejrzał i pocieszył się przed śmiercią wrzekomą wolnością. Pod przewodnictwem naczelnika rozpoczyna się strzelanie z łuków poświęconych, a poranione zwierzę ciągną przed święty częstokół, gdzie je dziewięciu mężczyzn klęczących na podstawionym belku dodusza. Tymczasem kobiety i dziewczęta rozpoczynają tany, i wrzeszcząc przeraźliwie uderzają po plecach duszących niedźwiadka mężów, chcąc im niejako w ten sposób odpłacić za popełnione okrucieństwo. Uduszonego mysia czyszczą z kurzu, a złożywszy na macie przypasują miecz i kołczan, (a jeżeli to była niedźwiedzica stroją ją w kolce i naszyjniki) zastawiają następnie potrawę z jagieł omaszczoną tłuszczem rybim, konewczkę z napojem „sake“, kubek i pręcik opatrzony wiórami. Dokoła siadają mężczyźni ofiarujący pod przewodnictwem najstarszego wiekiem i rozpoczynają pijatykę na wielkie rozmiary, aż w końcu sen skleił im powieki i usnęli na matach.

Tymczasem młódź i kobiety, które mniej do czaszy zaglądały, nowe rozpoczynają tany, te jednak dzięki coraz częściej krążącym kieliszkom, przeistaczają się w dzikie orgie, i w tych przedewszystkiem starsze kobiety czynny biorą udział, śpiewając przy tem pieśni składające się z ciągle powtarzanych słów nie wielu, nie mających zwykle najmniejszego znaczenia.

Nie będziemy opisywali kilku odmian tańca, które chyba samym tylko A i n o s o m podobać się mogą, wspomnimy tylko, że przestanki tańca wypełniają A i n o s i grami towarzyskiemi, z których jedna (bardzo starożytna według ich zdania) na tem polega, iż za jeden koniec sznura ciągnie płeć piękna, podczas gdy chłopcy trzymając drugi koniec w rękach usiłują dziewczęta po za zakreśloną granicę przeciągnąć. (Zabawa ta podobna dziwnie do ludowych „hahułek“ na Rusi).

Tymczasem uroczystość doszła do zenitu. Dwóch młodych A i n o s ó w, którzy pomagali wyciągać niedźwiedzia z klatki, wyłazi na dach chaty, a zabrawszy z sobą pełny koszyk kul jaglanych, rzucają niemi na otaczającą dom gromadę. Krzyki, piski, tłumienie się kobiet, młodzi, i starych, uganianie za rzuconem ciastkiem, podobnie jak u nas dzieci gonią rzucone pomarańcze, trwają tak długo, aż w końcu kul braknie w koszyku.

Scena końcowa odbywa się z większą powagą. Zwykle na drugi dzień zbiera się na nowo cała drużyna w celu zakończenia uroczystości. Młody A i n o s ściąga w obecności całej gromady umiejętnie skórę z niedźwiedzia, a odciąwszy głowę od tułowiu, pozostawia takową w łączności ze skórą. Wytoczoną krew chwytają obecni chciwie w podłożone kubki, które krążą z rąk do rąk z czerwonym nektarem; wątrobę dobytą krają na drobne cząstki a posoliwszy zjadają jako niezwykły przysmak, podczas gdy mięso i wnętrzności odnoszą do domu i rozdzielają drugiego dnia między uczestników uroczystości. W czasie paproszenia niedźwiedzia rozpoczynają dziewczęta i kobiety taniec dokoła świętego częstokołu, starsze zaś matrony, które dopiero przed chwilą w gronie młodszych szalały, wznawiają ponowne szlochy. Zdjętą skórę wraz z głową kładą przyozdobioną pod częstokół, a zasadziwszy nowy „inabo“ powtarzają libację. Tymczasem pozostał jeszcze jeden nietknięty przysmak, a tym jest mózg w czaszcze niedźwiedziej. Odjęto więc skórę z lewej strony czaszki (u niedźwiedzicy z prawej strony) a wyłamawszy otwór wyciągnięto mózg, który zmięszany z napojem wypito, w miejsce zaś mózgu napchano świętych wiórów. Podobnie też uwieńczono głowę wiórami, a paszczę nieboszczyka wypełniono listkami bambusowymi. Nakoniec jeden z uczestników pełniący służbę rzeźnika, wyjął oczy zwierzęcia, owinął je wiórami i napowrót zasadził w oczodoły. I znowu taniec ogólny i suta libacja towarzyszyły tej świętej operacji, aż nareszcie powieszono skórę na półtrzeciametrowym drągu, ustrojoną w kołczan i miecz, a po obydwóch stronach umieszczono w celu podniesienia świętości po jednym „inabo“ owiniętym w listki bambusowe. Jeszcze jedna libacja, w której i starsze matrony roniąc łzy udział biorą, a uroczystość skończona. Cała zaś gromada pożegnawszy się teraz ceremonialnie z uprzejmym gospodarzem rozchodzi się do domów i tylko niedobitki, którym jeszcze niewywietrzało „sake“ z głowy, pozostają, by nazajutrz unieść resztki świętego mięsiwa do domu.

Wład. Boberski.

Przegląd literacki.

(S z k i c z A n g l j i, Sewera, w 3 częściach. Lwów nakładem księgarni K. Łukaszewicza. 1883.)

Nie podobna lepiej zcharakteryzować, naród, który po Szekspirze i Newtonie w kilku wiekach ostatnich — wydał tyle innych wielkich geniuszów, — jak to się udało Sewerowi w przedmowie do świeżo wydanych jego „Szkiców z Anglji“. Naród angielski — pisze tam — wychowany pod opieką wolności, pracowity i wytrwały — religijny i odważny — przebiegły, a naiwny — poważny, a posiadający przytem wiele komizmu — pełen form, a mimo to oryginalny, — praktyczny i jednocześnie dziecinny, dla którego zysk jest Bogiem a religia rozpada się w najrozliczniejsze odcienia sekt; uwielbiający wolność, a nieznoszący równości, goniący za odkryciami i gwałtownemi zmianami w przemyśle i nauce, a trzymający się uparcie starych form...“. Chcąc dojść samemu do takich prawd, które w swej definicji już są zrozumiałe dla każdego, kto tylko choć pobieżnie zna dzieje starej Anglji — potrzeba przedewszystkiem i koniecznie długiego pobytu pomiędzy tymi dumnymi a nie łatwo przystępnymi synami

Albionu, a potem talentu danego z natury a zwanego pospolicie, zmysłem spostrzegawczym. Autor „Szkiców“ bawił długie lata w Anglji, zmysł spostrzegawczy posiada w wysokim stopniu wykształcony, jak to zresztą wiedzą wszyscy, którzy mieli sposobność przeczytać choćby jednę tylko nowellę Sewera. Więc łatwo pojąć, że pisarz wyposażony tym przymiotem a władający językiem w sposób oryginalny, pod względem stylu nie pozostawiający nic do życzenia, gdy zbudziła się w nim ochota, odwzorować otaczające go przez długie czasy społeczeństwo, zdołał wywiązać się z zadania tak, że pod skromną nazwą „Szkiców“ stworzył arcydzieło niepospolitej wartości. Przeczytawszy „Szkice“ Sewera — dodać należy, że się je tak łatwo i przyjemnie czyta, jak powieść najlepszą — dopiero zrozumieć można, że komiczne na pozór figury z utworów genialnego Dickensa, to nie karykatury satyryczne powstałe w bujnej fantazji pisarza, ale żywi ludzie, których co krok się spotyka w Anglji tak dobre dziś, jak przed kilkudziesięciu laty — i dalej — jak przed kilkuset laty, za czasów nieśmiertelnego Szekspira.

W „Szkicach“ Sewer przedstawił właściwie jeden tylko, oczywiście olbrzymi odłam społeczeństwa angielskiego — burżoazję. Pominął arystokrację, która w Anglji zawsze jeszcze stanowi walną część społeczeństwa, i minął liczną, liczniejszą niżeli gdzie indziej może, klasę robotniczą. Nie robimy mu z tego tytułu zarzutu, bo ostatecznie pisał pod wpływem tego, na co najczęściej może patrzył własnemi oczyma — ale w takim razie — raczej „londyńskiemi“ zwać by się powinne te bezprzecznie śliczne jego obrazki, przeniesione żywcem na papier, wnętrza ulic i domów czteromiljonowego olbrzyma. Wprawdzie każdy Anglik utrzymuje z dumą podobnie jak W. Hugo, o Paryżu — że Londyn to — Anglja — nie spieramy się o to, — nie godzi się jednak przeoczyć, że i w tym Londynie prócz komicznych a przebiegłych mastersów — w tejże formie — uganiających się całe życie za biznesem i bifstykiem przy porterze — nie brak zapewne wielu a wielu innych równie ciekawych i oryginalnych typów. Ogólny charakter narodowy, być może da się określić tem jednem słowem: b i z n e s — interes — (nie znając Anglii, trzeba wierzyć piszącym o niej na słowo —) w szczegółach jednak nie brak różnobarwności, nastręczającej pisarzowi nie zliczone mnóstwo coraz to świeżych a wdzięcznych epizodów. Sewer cokolwiek przedstawiał, uczynił to, rzec można śmiało, po mistrzowsku, zdaje nam się jednak, że wyczerpał tylko małą cząstkę i jednostronnie z całej tej masy typów — w które Anglja tak obfituje.

Stan. W.

ZIARNKA.

Na uczczenie Bożego Narodzenia objedliśmy się porządnie, i napiliśmy się po „staropolsku“. I jakże tu twierdzić, że jesteśmy czem innem, niż nie odrodnymi potomkami naszych przodków, żeśmy nie ich kość z kości, że nie szanujemy przeszłości i nie radzibyśmy tę przeszłość w przyszłość wcielić? Pomimo wszelkich kataklizmów, które przebyliśmy, grunt nasz pozostał taki sam, jak był przed wiekami... Czy to dobrze dla nas samych? Czy to dobrze, że wykaz pijanych z czasów Augusta III. (mamy go w tajnych archiwach redakcyjnych) równa się mniej więcej wykazowi z roku pańskiego 1882? Kwestja to dosyć zawiła, a trzebaby chyba zawezwać w pomoc lwowskie biuro statystyczne, którego znaczniejsza połowa już od roku r e f o r m u j e na n o w o Kraków — niestety naprożno... Ale mniejsza o rzeczy, które tak trudne są do uchwycenia, skonstatujemy raczej, żeśmy się bawili ochoczo, żeśmy na święta byli w tak dobrem usposobieniu, iż kto wie czybyśmy byli się spostrzegli, gdyby coś niespodziewanego było nas zaskoczyło... Rozśpiewani kolendami, rozpromienieni wzajemnemi życzeniami, „zdrowia, szczęścia, pomyślności, rychłego ożenienia, ładnych dzieci“ i t. d. zapomnieliśmy o Bożym świecie — i było nam dobrze. Zapomnienie się nasze doszło nawet tak daleko, że pomimo odezw dzienników, pomimo rozlepionych w Krakowie plakatów, prawie zupełnie nie pamiętaliśmy, o poruszonej przez „Tygodnik Illustrowany“ a następnie powtórzonej przez „Ziarno“, „Gazetę Krakowską“ i „Gazetę Narodową“ propozyzji, aby każda polska rodzina przy obchodzie wilji złożyła choćby najskromniejszy datek na pomnik Mickiewicza. Przeglądaliśmy skrupulatnie wykazy datków na ten cel w pismach codziennych, i okazało się, że tych rodzin p o l s k i c h, które poczuły się do obowiązku złożenia ofiarki na pomnik Mickiewicza, jest w Galicji co najwięcej — pięćdziesiąt! Nowy to dowód, jak społeczeństwo nasze pod wpływem rozwielmożonej frazeologji zkarłowaciało... Na ustach szumne frazesy, przyjdzie do czynu nic... — A propos tej składki mamy osobliwą a usprawiedliwioną pretensję do młodzieży akademickiej, bo któż powinien więcej pamiętać o takim celu, jak pomnik Mickiewicza, aniżeli młodzież akademicka? Otoż uniwersytet nasz, po odtrąceniu Rusinów liczy kilkuset uczniów Polaków. Każdy z nich był gdzieś na wilji... Czyż nie było obowiązkiem każdego przypomnąć, że przy wieczerzy należy coś złożyć na pomnik największego z naszych poetów? Z pewnością niktby dłoni nie zamknął — a liczba rodzin, które coś na pomnik Mickiewicza ofiarowały, wzrosłaby z kilkudziesięciu na kilkaset... Ale większa część naszej młodzieży uznała, że taka propaganda nie jest bynajmniej szczeblem do zrobienia karjery, milczała... i oto smutny rezultat składek, jakiegośmy się doczekali, a którego musimy się wstydzić przed innnemi dzielnicami dawnej Polski...

Ale dosyć tych rekryminacyj... Kiedy numer ten dostanie się w ręce szanownych czytelników, na niebie zaświta już rok nowy... I posypią się życzenia, jedne płynące z serca, drugie, za które będzie płacić potrzeba, i znowu nastąpi uroczystość grzebania starego roku, i wznoszenie toastów na cześć nowonarodzonego... Chociaż jesteśmy dalecy od ślepego uwielbiania tradycji, nie możemy przenieść na sobie, aby czytelnikom naszym nie powinszować nowego roku. Życzenia nasze bynajmniej nie są skromne, a jeżeli chcecie się dowiedzieć, jakie są one, odsełamy Was do wiersza p. t. „Nowy rok“ umieszczonego powyżej.

* * *

A więc jest nadzieja, że Lwów oświetlony będzie światłem elektrycznem! Zawiązała się spółka kapitalistyczna złożona z kilku osób, z pomiędzy których wymieniamy pp. Simona, J. Dobrzańskiego i Marchwickiego, która weszła w porozumieniu z reprezentantem Edisona i ma zamiar naprzód w teatrze, a następnie w innych lokalach, wreszcie na ulicach zaprowadzać zamiast dotychczasowego gazowego — światło elektryczne. Spółka ta wysłała już rzeczoznawcę do Białej, gdzie jest wspólnik tejże, jakiś fabrykant i ma na miejscu obliczyć wszystkie wydatki i zrobić plan sieci drutów dla Lwowa. Życzymy z serca powodzenia przedsiębiorstwu, pozwolimy jednak sobie zrobić kilka uwag. Oto lampy systemu Edisona zasilane są elektrycznością z jednego zbiornika, a kontrakt towarzystwa gazowego wyraźnie się temu sprzeciwia, aby oświetlenie tego rodzaju mogło być przed wygaśnięciem rzeczonego kontraktu zaprowadzonem we Lwowie. Czyż nie lepiej byłoby sprowadzić lampy Faure'a z akomulatorami, osobnymi do każdej lampy, a w ten sposób prawnie zanulować kontrakt gazowego towa-

rzystwa Dessauskiego. Wydatek na razie byłby znacznie większy, ale w przyszłości korzyści są nieobliczone. Nie jesteśmy pesymistami, ale obawiamy się, że jeżeli spółka tego nie uskuteczni, plan jej może spotkać ten sam los, jak projektowaną przez p. Dumina sieć telefonów we Lwowie.

* * *

Jak ciężkie więzy ciężą na myśli ludzkiej w Galicji, a szczególnie w Krakowie, jak wielmożny wpływ wywiera pewna klika na nasz ruch umysłowy, niech za dowód posłuży fakt następujący. W jednym z ostatnich numerów krakowskiej „Nowej Reformy“ czytaliśmy artykuł p. t. „Przesądy i zabobony“ a w nim ustęp, który przytaczamy: „Niedawno pojawiła się nader cenna rozprawa pośmiertna jednego z najzacniejszych lekarzy polskich, dr. Erazma Majewskiego p. t. „O wpływie nauk przyrodniczych i lekarskich na pokonanie przesądów ciemnoty i zniknięcie chorób umysłowych, zwanych „demonicznemi“ (Kraków, drukarnia Zwiazkowa 1882. str. 50.) Praca ta nie mogła wyjść na widok publiczny za życia autora, gdyż jak powiada on w przedmowie, ogłoszenie jej w Krakowie napotkał, na pewne trudności, wyrażano bowiem obawy, ażeby studjów nad przesądem i czarami, nie uważano tu za przynoszące ujmę religji chrześcijańskiej. Ktokolwiek wszakże przeczyta tę rozprawę z uwagą, łatwo się przekona, że ona owszem dowodzi, że te straszne klęski, którym dawniejsze wieki ulegały, owe palenia czarownic na wielkie rozmiary, owe Justizmorden Niemców były zupełnie przeciwne duchowi religji, jak cień do światła i że dopiero nauki przyrodnicze i lekarskie odniosły stanowcze zwycięstwo nad błędami niewiadomości i położyły koniec tym okropnym nadużyciom. „Czyż nie ilustruje to wybornie stosunków, że takiego dziełka nie mógł autor wydać za życia, czyż nie dowodzi to, że „Pół-Azja“ nie jest dla nas mianem wcale przesadnem?

* * *

Z Krakowa... Stary gród podwawelski zaczyna się ruszać nie żartem. Zaledwie donieśliśmy o zapowiedzi nowego organu postępowej młodzieży krakowskiej, „Przyszłość“, gdy znowu dochodzi nas wieść o piśmie pod tytułem „Przegląd Narodowy“, które konserwatywny obóz młodzieży zamierza wydawać w Krakowie. Wybornie! Nic tak nie ożywia ruchu umysłowego, jak starcie przekonań. W takiem tylko starciu określają się, klarują się one, stają się bardziej stanowcze i wyraźne. Walka zagrzewa zapaśników, myślom daje polot, koloryt, elastyczność, zaostrza je, bo tępym mieczem nikt nie wojuje. Za długo już społeczeństwo nasze hołduje ślamazarnej opinii, że jedynie dobroduszna i owcza jednomyślność nas zbawi. Jest pewna indolencja, lub zwykły faryzeizm w tem twierdzeniu, bo jednomyślność ta, to zawsze tryumf przekonań utartych, przyjętych, dogodnych, przeciwko którym nikt nie śmie wystąpić śmiało i otwarcie.

Gdzie się podziały te stare dobre czasy kiedy to w Krakowie niepodzielnie królował „Czas“ i jego falanga! Dziś prócz „Czasu“ ma odmładzający się Kraków Nową Reformę, ba i Gazeta Krakowska siamskim trybem połączona ze starą Reformą. Sterany w walce i zakrawający często już na safandułę Diabeł, powinien się cieszyć z tego przyrostu opozycyi, a choćby tylko konkurencji... I Przegląd Polski ma coś niby współrówieśnika w osobie Przeglądu literackiego który, tylko w humorystycznym odcinku zdradza pewne „warcholskie“ zachcianki, w wyższych zaś piętrach jest za to aż nadto poważnie nudnym...

Mamy nadzieję, że gdy młodzież krakowska wystąpi na tę publicystyczną arenę, bardziej jeszcze się ona ożywi. A trudno o miasto, w którem by śmiała myśl postępowa miała grunt bardziej sprzyjający. Krańcowy konserwatyzm, z natury rzeczy, w młodej i pełnej życia młodzieży wywoływać winien żywą opozycję. A młódzieży tej w Krakowie nie mało. Uniwersytet, nie taki, jak nasz lwowski, posiada wydział medyczny, który daje pozytywną wiedzę i realny pogląd na świat... Prócz uniwersytetu przytem istnieje szkoła techniczna, szkoła sztuk pięknych i wiele innych. Młodzież ta przytem nie rekrutuje się wyłącznie z klas wyższych, przeciwnie, w żadnem może polskiem mieście nie ma tyle młodzieży kształcącej się, wychodzącej wprost z ludu.

Pod dobremi auspicjami zaczyna Kraków rok nowy... Młodym siłom, pracującym tam dla przyszłości, szlemy z nadpełtwiańskiej stolicy serdeczne pozdrowienie i zachętę do wytrwania w pracy.

ZAPISKI.

Literatura.

* Dramat T. T. Jeża „Narzeczona Harambaszy“, zalecony został do grania przez komisję teatralną w Warszawie. Znawcy odzywają się z ogromnemi pochwałami o tym pierwszym utworze dramatycznym znakomitego naszego pisarza.

* Nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa w Warszawie, ukazały się świeżo dwa tomy „Pism Supińskiego“, oraz tom drugi „Szkiców historycznych“ Smolki; a staraniem F. Sulimierskiego wyszedł w przekładzie z czeskiego Dra Jarosława Vlacha „Lud afrykański w świetle najnowszych badań“.

* Jeden z najwcześniejszych i najlepszych tłumaczów Szekspira, Jan Komiorowski, człowiek zacny i prawy obywatel, żołnierz b. wojsk polskich, poźniej urzędnik, zmarł w Warszawie w połowie tego miesiąca.

* Kustosz Bibljoteki w Hali, dr. Karol Werner mianowany profesorem literatur słowiańskich w Kopenhadze, rozpocznie w styczniu odczyty o piśmiennictwie polskiem w uniwersytecie tamecznym.

* „Dzieje stosunku wiary do rozumu,“ znakomite dzieło J. W. Drapera w przekładzie Jana Karłowicza, wyszło w Warszawie nakładem L. Polaka. W dwunastu obszernych rozdziałach wielki uczony i badacz zebrał wszystko, co historja ludzkości nastręcza jako materjał dla pozytywnej krytyki, i z właściwym sobie talentem genialnym skreślił rozwój i przebieg stosunku wiary do rozumu człowieka. Język tłumacza jasny i poprawny,

* „Hygiene sociale contre le paupérisme“ dzieło Adolfa Coste, uwieńczone konkursową nagrodą 5000 franków z zapisu Izaaka Pereire,wyszło ostatniemi czasami w Paryżu z pod prasy.

* Hektor Malot płodny i utalentowany romansopisarz francuski, napisał nową dwutomową powieść pt. “La petite sour“. Należy ona do najlepszych podobno jego utworów.

* W ostatnim tomie Encyklopedia Britanica znajduje się życiorys Mickiewicza.

* Wspaniałe wydanie dzieł Goethego, przedsięwzięte przez księgarnię Hallbergera w Sztutgardzie doszło do 18 zeszytu, zamykającego tom pierwszy.

Ilustracje w tym tomie dają świetne świadectwo dla ilustratorów niemieckich i ksylografii, chociaż pod względem inwencji i gustu w rysunku najwyżej stoją ilustracje Lossowa, pełne humoru i wdzięku. Tom pierwszy zawiera poezje Goethego i Hermnaż

Teatr i muzyka.

* Henryk Jarecki, warszawianin, b. kapelmistrz opery polskiej we Lwowie, udał się na stały pobyt do Paryża. Przed kilkoma dniami orkiestra Pasdeloup'a wykonała uwerturę Jareckiego do „Balladyny.“ Pełen talentu kompozytor nasz zwrócił nią na siebie uwagę krytyki i protektorów sztuki

* Marcelina Sembrich Kochańska wystąpiła zeszłego tygodnia na scenie opery włoskiej w Petersburgu. Na pierwszy swój występ artystka wybrała partję Ofelji w „Hamlecie“. Powitanie artystki było nader gorące... Wśród wieńców wyróżniał się jeden lakonicznym, a wymownym napisem „Enfin“.

* Verdi wybudował w miejscu swego urodzenia, Busetto w własnym kosztem szpital, i urządził go z wszelkiemi wygodami.

* W Hamburgu przedstawiona zostanie wkrótce nowa opera Jul. Massenetta „Herodjada„.

* Massenet, utalentowany kompozytor „Herodjady“, pisze obecnie nową operę, do której libretto wzięte ze znakomitego romansu W. Hugo „Notre Dame de Paris“. Utworem tym będą podobne inaugurowane przedstawienia w nowej operze ludowej w Paryżu.

* Bornstern — Björnson opuszcza ojczyznę swoją i przesiedla się do Paryża wraz z żoną i dwie-

ma córkami. znakomity pisarz chce się utrzymymać tylko z prac literackich.

Sztuki piękne.

* Wiktor Brodzki wykończył ostatecznie swego „Batorego“, tudzież dwa inne utwory, a mianowicie „Kopernika“ i „Venus enivré d'amour“, ta ostatnia przeznaczona na międzynarodową rzymską wystawę sztuki.

* W Krakowie wystawiony jest obecnie najnowszy obraz mistrza Siemiradzkiego „Piraci“, treść którego wziął artysta z życia korsarzy w starożytności. Z Krakowa obraz przybędzie do Lwowa, następnie do Warszawy.

* Dla zebrania funduszu na zakupno „Gladyatora“ Welońskiego powstała w Krakowie myśl wydania zbiorku szkiców pt. Gladyator. Na ozdobną kartkę tytułową ogłoszono konkurs, który d. 30 bm. ma być rozstrzygnięty.

* W tych dniach zmarł w Warszawie Antoni Kołobrzeg Kolberg, artysta—malarz. Kolberg urodził się w roku 1816-ym w Sandomierskiem i po ukończeniu tamtejszego liceum poświęcił się malarstwu. Udawszy się dla dalszego kształcenia się w tym zawodzie do Berlina, zwiedził później akadamje paryską i rzymską, poczem w roku 1847-ym wrócił do Warszawy. W ostatnich czasach Kolberg był nauczycielem rysunku w gimnazjum na Krakowskiem Przedmieściu. Płótna jego, przeważnie treści religijnej, już od pierwszego wystawienia „św. Jana na puszczy“, zwracały uwagę znawców. Z licznych jego obrazów wymienić należy „św. Emilję“ i portret biskupa Benjamina Szymańskiego, dobrze znany z rozpowszechnionych sztychów. Jego też pędzla są: artystyczny plafon w dzisiejszej cukierni Loursa, część fresków w kościele Wilanowskim i freski w sali głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

* Ajdukiewicz Tad. utalentowany malarz krakowski, pracuje obecnie nad portretem p. A. Hoffmann, znanej artystki dramatycznej. Portret ten artysta pono przeznaczył do Muzeum w Sukiennicach, gdzie już znajduje się portret Modrzejowskiej pędzla również Ajdukiewicza.

* W drodze do domu nazywa się ostatni obraz G. Maxa, który wystawiony w Norymberdze ściąga tłumy widzów. Treść obrazu prosta, jak we wszystkich Maxa, sprawia olbrzymie wrażenie. Dziewczę — wracając do domu, zmarzło w drodze, wśród zawiei śnieżnej. W lewej rączce trzyma jeszcze kromkę chleba, a na twarzyczce jej panuje już spokój grobowy. Wykonanie obrazu podobno mistrzowskie.

* Henryk Hussaye, syn znanego powieściopisarza Arsena, wydał temi czasy w Paryżu dzieło pt' „L'art francais depuis dix ans“. Autor skutkiem swego prawdziwego wykształcenia artystycznego, a przytem pisarz wykwintny, należący do powag francuskich w dziedzinie estetyki, sprawił ostatnią swą pracą powyższą wiele wrzawy w paryskim świecie artystycznym. Francuscy malarze, uważają się za najlepszych współczesnych artystów, i wypowiadają otwarcie, że oni to odrodzili europejską sztukę. Tymczasem p. Houssaye powiada im we wspomnianem dziele bez ogródki, że znajdują się na ślizkiej pochyłości do upadku, i że sztuka francuska od lat dziesięciu biorąc za probierz coroczne wystawy, objawia chorobliwe dążności, a wielkie tradycje artystycznie giną widocznie.

* Młody i utalentowany rzeźbiarz paryski Falguières powziął zamiar wykonania olbrzymiej grupy przedstawiającej Francję na tryumfalnym rydwanie ciągnionym przez cztery rumaki wśród amblematów pokoju i wolności, która to grupa ewentualnie ulana ze spiżu, stanąć ma na szczycie znanego powszechnie „Łuku“ tryumfalnego na placu Gwiazdy. Projekt jego zyskał ogólne uznanie w kołach artystycznych, artysta postanowił wykonać go własnym kosztem w naturalnych rozmiarach, i wystawić na widok publiczny na miejscu, dla którego jest przeznaczonym, tj., na szczycie Łuku. Chce on w ten sposób zbadać głos opinii i krytyki, i stosownie do niego plan swój ulepszyć. Posąg zatem, który obecnie stoi na wierzchołku Bramy Tryumfalnej, jest tylko modelem artystycznym.

Miscelanea.

Historja lubi czasem płatać dziwne figle, a nad rozwiązaniem tajemnic jej pracują nieraz badacze wieki całe, i rady dać im nie mogą. Rzadko zaś które czasy kryją tyle nierozjaśnionych zagadek, jak czasy wędrówek narodów. Burza przeszła wówczas przez Europę, nic się jej oprzeć nie mogło, obaliła wszystko niemal, a to co po niej pozostało, nie było dziełem skończonem, lecz raczej dało podstawę tylko późniejszym organizacjom. Jaki jednak jest początek owych pierwszych społeczeństw, zkąd ród swój wiodą — oto pytania, na które dotąd jasno i dobitnie jeszcze nie odpowiedziano. Węgrzy, a raczej ich pochodzenie przedstawia dotąd jedną z takich tajemnic. Podczas gdy jedni każą im pochodzić ze szczepów ugro-fińskich, od koczowniczych azjatyckich Ostjaków i innych dotychczas prawie dzikich ludów, inni bratają ich z szczepem rycerskim tureckim, lub co najmniej turecko-tatarskim. Oczywiście braterstwo z owymi dzikunami azjatyckiemi nie może być ani zbyt zaszczytnem ni też ponętnem. Toż Węgrzy bronią się przed niem, jak mogą. I rzeczywiście sądząc z historji, należałoby im koniecznie przeznaczyć nieco poczestniejsze miejsce, boć wiele sił umysłowych, nie pospolitą tegość charakteru musi mieć naród, który mimo, że tak nie liczny, mógłby zaimponować ludom o tysiącletniej przeszłości.

Profesor Vambery, wydał w Lipsku książkę pt. „O pochodzeniu Węgrów“, w której dowodzi, że są oni jednego pochodzenia z Turkami. Nie podobna w tem miejscu zdać dokładnie sprawy z tak wielkiego dzieła, nadmienimy tylko, że znacznie mniejszą część jego zajmuje historja, a większą badania językowe. Na ich to podstawie przychodzi uczony badacz do przekonania, że pochodzą oni z tego samego szczepu, co i Turcy. Język węgierski jest mową, powstałą ze zmięszania się kilku innych, a znacznie przeważa w niej żywioł turecki, co profesora Vambery'ego utwierdza w przekonaniu o wspólnem pochodzeniu tych narodów.

Dziś uczeni poczynają się zastanawiać nad pomysłami szanownego autora, zarzucają mu niedostateczną argumentację, odrzucają wprost jego hipotezy, co w każdym razie dowodzi zainteresowania się tą sprawą, to zaś bez porównania lepsze, niż milczenie.

Dla charakterystyki Turgieniwa podajemy jeszcze dwa ustępy z ogłoszonych przez niego niedawno „Stichi w prozie“.

Wróbel,

Powracałem z polowania i szedłem przez ogrodową aleę. Pies biegł przodem. Nagle, zwolnił kroku i począł się skradać, jak gdyby poczuł przed sobą zwierzynę. Spojrzałem po alei i ujrzałem młodego wróbla z żółtym jeszcze dzióbkiem i puchem na głowie. Wypadł z gniazda (wiatr w alei silnie kołysał brzozy) i siedział nieruchomy, rozczupierzywszy bezsilnie, zaledwie porastające skrzydełka. Pies mój zwolna zbliżał się do niego, gdy nagle, zerwawszy się z pobliskiego drzewa, stary wróbel z czarnem na piersiach pierzem padł jak kamień przed samym jego pyskiem — i cały zaperzony, zmieniony, z rozpaczliwym i żałosnym piskiem, furknął kilka razy ku zębatej roztwartej paszczy. Rzucił się on na ratunek, zasłonił sobą swoje dziecię... ale maleńkie jego ciało całe drżało z przerażenia, głosek zdziczał i ochrypł, zamierał, poświęcał samsiebie! Jakim-że olbrzymim potworem wydawać mu się musiał ten pies! A jednakże nie mógł dosiedzieć na swojej wysokiej, bezpiecznej gałązce... Siła, potężniejsza od jego woli, strąciła go ztamtąd. Moj Trezor stanął i cofnął się... Widocznie i on uznał tę siłę. Odwołałem czemprędzej pomięszanego psa i oddaliłem się przejęty uwielbieniem. Tak jest; nie śmiejcie się. Uwielbiałem tego maleńkiego, bohaterskiego ptaszka; i wybuch jego miłości. Miłość, pomyślałem sobie, silniejszą jest od obawy śmierci i od śmierci. Tylko przez nią: i tylko przez miłość trwa porusza się życie.

Pies.

Dwoje nas w pokoju pies mój i ja.. Na dworze wyje straszna burza. Pies siedzi przedemną i patrzy mi w oczy, jak gdyby chciał mi coś powiedzieć. Niemy on, bez słów, sam siebie nie rozumie — ale ja go rozumiem. Rozumiem, że w tej chwili i w nim i we mnie, istnieje jedno i to samo uczucie, że między nami niema żadnej różnicy, Jesteśmy zupełnie jak jeden; w każdym z nas płonie i świeci teńże sam drżący płomyk. Śmierć nadleci, machnie swojem szerokiem skrzydłem... — I koniec!

Kto potem dojdzie, jaki właśnie w każdym z nss tlał płomyczek. Nie! to nie zwierzę i człowiek zamieniają spojrzenia... To dwie pary jedynakich oczu, zwróconych na siebie. — I w każdej z tych par, w zwierzęciu i w człowieku — jedno i toż samo życie bojaźliwie tuli się do drugiego.

Treść:

Negatywna moralność.
Estwoyn J.: „Illegilimi thori“.
Czerwieński B.: Nowy rok (wiersz).
Renan E.: Seminarjum Nicolas du Chardonnet.
Buchwald O.: Lichtarz loteryjny.
Boberski Wł.: Uroczystość niedźwiedzia.
Przegląd literacki przez Stan. W.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literckie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 3. We Lwowie dnia 13. Stycznia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta**. Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**

Prenumerata na „Ziarno“

W miejscu rocznie 12 zł.	na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „	„ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct.	„ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji: „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Nasza prasa prowincjonalna.

Prasa, jej tendencje i rozpowszechnienie, są bez zaprzeczenia ważnem kryterjum cywilizacyjnego rozwoju każdego narodu, dowodzą bowiem, jaka ilość jednostek uczuwa potrzeby umysłowe i jakiej one są natury. To też w krajach wysoko pod względem cywilizacyjnym stojących, liczba dzienników i tłoczonych egzemplarzy dochodzi do wysokości, o jakiej społeczeństwo nasze nie ma prawie wyobrażenia. Czytają tam wszystkie warstwy ludności, każda najlichsza mieścina ma swoje pismo, częstokroć nawet kilka. A u nas? Jak pod każdym tak i pod tym względem nędza, jakiej drugiej chyba trudno znaleźć w Europie. Ale do czego prowadzą narzekania — radźmy raczej, jakby dojść do lepszych stosunków. Zamierzamy mówić o naszej prasie prowincjonalnej, która poczyna się rozwijać i wielkie ma do spełnienia zadanie. Do niedawnego czasu nie mieliśmy w Galicji ani jednego pisma na prowincji, choć nie brak u nas miast ludnych i ludniejszych jeszcze okolic — obecnie mamy ich już kilka. Tarnów posiada aż trzy dwutygodniki „Orła“, „Pogoń“ i „Unię“, w Przemyślu wychodzi „San“, w Stanisławowie „Echo z Pokucia“, w Rzeszowie wreszcie z Nowym rokiem ujrzał światło dzienne „Przegląd Rzeszowski“. Czy jednak pisma te odpowiadają celowi, czy rzeczywiście spełniają misję, jakiej się podjęły? — przecząco musimy dać odpowiedź. Jak prawdą jest, że każde społeczeństwo ma takie dziennikarstwo, jakiego jest warte — tak znowu z drugiej strony od dziennikarstwa wiele bardzo zależy, aby to społeczeństwo wychowac w pewnych zasadach, i prowadzić je ku światłu i prawdzie. Od samego także dziennikarstwa zależy, aby pobudzać coraz to szersze koła do czytania, a tem samem, aby ogół zainteresować sprawami publicznemi. Wszytkie powyżej wymienione pisma prowincjonalne nie wytrzymują pod tym względem krytyki. Zacznijmy od Przemyskiego „Sanu“, jako najstarszego i najlepiej redagowanego z wszystkich wymienionych: konserwatywny co do tendencji, spokojny i poważny „San“ jest „Czasem“ *en miniature*. Wielkie polityczne kombinacje, głębokie roztrząsania administracyjne — oto teren, na którym redakcja lubi najbardziej się poruszać. Ta nienaturalna powaga, to drapowanie się w togę uczonego statysty — są słabemi stronami „Sanu“, który niepowinien zapominać, że pismo prowincjonalne powinno mieć czysto lokalną cechę, że powinno być zwinnem i ruchliwem, jeżeli chce swych czytelników zainteresować i przywiązać do siebie. Choć z tendencją „Sanu“ nie zgadzamy się zupełnie, musimy przyznać jak już powiedzieliśmy, że pod względem redakcji jest on pisemkiem prowadzonem z taktem i przyzwoicie — należałoby tylko uwzględnić nasze uwagi, podyktowane szczerą chęcią przyczynienia się choć pośrednio do rozwoju naszej prasy prowincjonalnej.

„Orzeł“, „Pogoń“ i „Unja“... Nieszczęśliwy Tarnowie, cóżeś zawinił, że cię taką trójcą losy ukarały? Jedno pisemko lichsze od drugiego, jedno od drugiego bardziej rozczochrane, jedno nad drugie sadzi się na dziwolągi pod względem stylu i sensu. Charakterystycznem jest, że i w tych pisemkach pojawiają się artykuły pseudo-poważne, rozciągnięte na kilka, ba nawet na kilkanaście numerów o ustroju społecznym i t. d. — elukubracje zarówno nudne, jak niesmaczne. Ale najpocieszniejsze są niby — humorystyczne kroniki p. t. „To i owo“, „Ni to, ni owo“ itp. w których jacyś próbujący sił swoich „dziennikarze“ sadzą się na cudackie koncepta, zupełnie sensu pozbawione i łają się od ostatnich słów. W ogóle polemiki tam nie mało — tylko niestety polemika ta toczy się o wiatraki. Mimo antagonizmów jakie tylko na prowincji są możebne, w jednym punkcie wszystkie trzy się zgadzają, a tym punktem stycznym jest serwilizm i bigoterja. Dochodzą one w tym kierunku aż do wstrętności, i zaiste dziwić się należy, że Tarnowianie mogą w czemś podobnem smakować.

„Przegląd Rzeszowski“ prezentuje się lepiej od Tarnowskich kolegów, jest redagowany barwniej, ale to, cośmy tamtym zarzucali pod względem tendencji, w całej rozciągłości i do „Przeglądu“ się stosuje — wreszcie „Echo z Pokucia“ przedstawia się bardzo licho, a zamieszczaniem takich artykułów, jak „Rzecznictwo u Rzymian“ z pewnością nie zdobędzie sobie szerszego koła czytelników.

Jak widzimy, ani jedno z pism powyżej wymienionych nie odpowiada swemu celowi, jedno z nich jest za ciężko redagowane, inne pod względem kierunku nie spełniają swego zadania. Potrzeba nam koniecznie prasy prowincjonalnej, któraby żywo interesując publiczność, podawała jej zarazem zdrową strawę, obznajamiała ją w sposób przystępny z ruchem wstrząsającym całą Europę,

i o wszystkiem, co dotyczy prawdziwego postępu na polu nauki i sztuki. Rozumie się, ;o do ostatniego punktu wiele zależy od ram pisma i stopnia ukształcenia ludności, w każdym jednak razie punkt ten koniecznie trzeba mieć na oku. Jak dojść do tego? Jak stworzyć prasę prowincjonalną, którąby rzeczywiście spełniała swoje zadanie? Oto w każdem większem mieście znajduje się pewna ilość jednostek, posiadających dostateczne wykształcenie i pogląd dość szeroki, aby stworzyć takie pisemko. Jeden zawodowy dziennikarz wystarczy, aby pismo takie poprowadzić. Oto ci ludzie, jeśli posiadają tylko dobrą wolę, powinni zawiązać się w komitety i zakładać pisma prowincjonalne. Koszta są niewielkie i łatwo je pokryć. Tylko trzeba dobrej woli, a przedewszystkiem potrzeba, aby ludzie, którzy się biorą do zakładania pism, byli czyści pod względam charakteru i zupełnie wolni od wpływów koteryjnych, które jako pozbawione głębszych zasad, każdą sprawę skoszlawią a ostatecznie zniweczą. Pismo prowincjonalne powinne być dobre i uczciwe — od lichych i koteryjnych — lepsze żadne.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Przyszła jesień, owego roku tak brzydka, jak już dawno ludzie nie pamiętali. W porze „babiego lata", kiedy to często u nas przyroda, zda się, powtórnie przywdziewa na siebie strojne szaty młodzieńczej wiosny, wtedy deszcze nie ustawały, z północy dęły bez przerwy wiatry nieznośne, a ziemia-niebo wyglądały w okół tak niewesoło, ponuro i nieswojsko, jak gdyby w niemem zadumaniu oczekiwały lada chwila nowego potopu i zagłady zupełnej.

Taka aura, jak wiadomo, jest zabójcza dla ludzi, którym się już z życia nie wiele należy. To też statystyka wykazuje, że zwykle na wiosnę i w jesieni najwięcej umiera ludzi chorowitych i starych. Do tych ostatnich należał bez kwestji zacny nasz proboszcz, który przytem od dawna już co chwila zapadał na zdrowiu. Obowiązki kapłana, które spełniał zawsze sumiennie, bez najmniejszego względu na siebie samego, wywoływały go niemal codzień z domu w dalszą lub bliższą drogę. Na jednej z takich wycieczek do jakiegoś chorego, zaziębił się starowina nie na żarty, dostał zapalenia płuc, i umarł...

Nad zamykającą się mogiłą rzadkiego ze wszech miar człowieka, płakali wszyscy z niekłamanym żalem. Najrzewniej jednak i najdłużej płakał niechybnie Jędruś i organiścina... Stara Magdalena przywiązała się była przez kilkadziesiąt lat pobytu do proboszcza, jak do rodzonego ojca, zresztą z jego śmiercią ustawały jej rządy na plebanji, bo nie ulegało wątpliwości, że następca zwyczajem w świecie praktykowanym, otoczy się nowymi ludźmi. Z osobistości wpływowej w parafii, wśród poczciwego ludku, zeszła skutkiem śmierci plebana na skromne stanowisko zwykłej organiściny, - a przecie pojąć łatwo, jak to boli, gdy dziś jeszcze z władzą i znaczeniem usnęło się spokojnie, a nazajutrz obudzą z hałasem — precz ztąd!

Jędruś znowu miał kilka ważnych przyczyn do płaczu. Nasamprzód płakała mama, więc płakał i on, jak to dzieci robią zwyczajnie, dla nich bowiem i dla kobiet płacz jest podobnie zaraźliwy, jak dla ludzi w ogóle ziewanie. Potem zmarły staruszek lubił go bardzo, niejednokrotnie przywoławszy do siebie, wycałował sierotę serdecznie, darował mu to cwancygiera, to jakąś książeczkę z obrazkami, to obrazek święty zresztą nie raz mówiła mama, że gdyby nie ksiądz proboszcz, Jędruś może byłby nie żył... powinien go zatem miłować, jak ojca rodzonego. Kochał go też tak szczerze, ile dzieciak w jego wieku kochać zdoła.

I poszły rzeczy swoim trybem. W miesiąc po pogrzebie ledwie czasem wspomniano o proboszczu, a w rok nie było o nim ni wzmianki, jak gdyby starowina nigdy nie żył przedtem na świecie. A jednak w czasie długiego swojego żywota nie jednę on łzę biedakom otarł ukradkiem, nie jednę zbłąkaną ofiarę, czy to losów, czy ludzkiej niegodziwości, wątłemi rękami powstrzymał w rozpaczliwym rozpędzie — nad brzegiem otchłani bezdennej...

* * *

W dziesięć lat później widzimy Jędrusia w stolicy, w gimnazjum. Przez ten czas zmienił się chłopak nie do poznania. Ładny był wprawdzie, jak ongi dzieckiem, ale ani śladu dziś w nim się nie ostało z dawnej wesołości. Nad wiek swój młody zrobił się poważny, i tęsknemi oczyma patrzył na świat. Bo też nie wesołe od dawna już miał życie, i ciągle łamać się musiał z niedostatkiem, z potrzebą chleba codziennego. Opowiemy pokrótce dzieje tego dziesięciolecia.

Już był Jędruś na ukończeniu szkoły w rodzinnem miasteczku, gdy pewnego dnia Wojciech organista tknięty apopleksją, umarł nagle. Za mężem poszła w krótkim czasie Magdalena z żalu, a zresztą i starości, i chłopak został powtórnie sierotą na łasce i niełasce ludzkiej. W lot zjawili się jacyś krewni dalecy organiściny, rozdrapali wszystko, co po zmarłej znaleźli, a Jędrusiowi oświadczyli, że może iść sobie w tej chwili, gdzie go oczy poniosą, bo i tak długo już tuczył się nieswojak z ich krzywdą. Byłoby im może więcej zostało, gdyby nie chodowanie tyloletnie jakiegoś przybłędy... Wielką jeszcze łaskę okazali, gdy pozwolili sierocie zabrać małą skrzyneczkę z kilką sztukami odzieży i bielizny, bo po prawdzie i to pochodziło z ich „krwawicy" mówili w głębokiem przekonaniu, że prawo spadkowe za nimi.

Zabrał się chłopak z płaczem serdecznym, z pod dachu niskiego domku, gdzie spędził całe życie od kolebki, i w jakiejś bezwiednej rozpaczy czy żalu, dźwigając niewielką skrzynkę na plecach, puścił się w drogę, z postanowieniem powędrowania gdzieś w swiat, między lepszych ludzi. Że gościniec szedł mimo cmentarza, wstąpił tam, by pożegnać się z grobem ukochanej matki. Na świeżą jeszcze mogiłę padł chłopak jak długi, z godzinę modlił się wśród płaczu rzewnego, ucałował ziemię kryjącą zwłoki tej, która jedna kochała go sercem matki, uczynił to samo na grobie Wojciecha — w końcu proboszcza, a potem zabrał skrzynkę i ruszył w drogę.

Kawał za miastem spotkał go profesor, znany nam pan Piotr, wracający z dalekiej przechadzki, i zdziwił się niezmiernie, ujrzawszy chłopca zapłakanego, dźwigającego na plecach skrzynkę. Zatrzymał go i zapytał co to znaczy. — Gniew i oburzenie wstrząsły nim całym, gdy usłyszał, że niegodziwie wygnano sierotę, jak psa bezpańskiego. Wiedział wprawdzie o śmierci organiściny, i sam myślał o tem, co się teraz stanie z Jędrusiem. Sądził jednak w dobrej wierze, że spadkobiercy zagarnąwszy dobytek zmarłej wezmą zarazem i chłopaka w opiekę, który był „okiem w głowie" u nieboszczki, jak go zawsze nazywała poczciwa kobieta. Dowiedziawszy się teraz o właściwym stanie rzeczy, dziwił się w duchu, jak to się stało, że umierając nie przekazała prawnie dla Jędrusia skromnego swojego mienia, składającego się bądź co bądź z domku, dwu krów, i zapewne jakiegoś zapasiku gotówki, — które przecie byłoby dało przynajmniej czasowy przytułek i utrzymanie opuszczonemu sierocie. Widocznie — myślał — nie spodziewała się skończyć tak rychło, i nie postanowiła nic w tej mierze, a ci ludzie bez serca i sumienia skorzystali z tego, i w brutalny sposób rzucili chłopca na łaskę Opatrzności.

Pan Piotr, jak wiemy, był człowiekiem poczciwym, więc nie namyślając się wcale, choć Bogiem a prawdą, sam miał mało, postanowił sierotę zabrać do siebie.

— To dobrze...— zaczął swoim zwyczajem— no, nie becz już chłopcze nie becz... zabiorę cię do siebie, będziesz chodził tu dalej do szkoły, a potem coś postanowię o tobie...

Jędruś, jak długi, upadł mu do nóg i zaczął całować go po kolanach. Profesorowi zdawało się, że go kurcz ścisnął w gardle — i coś niby łza spłynęło na szpakowatą brodę starego hulaki.... Skrzywił się przelotnie, i był w tej chwili mocno z siebie niezadowolony, bo zawstydził się tego objawu jakiejś czułostkowości, którą berwarunkowo potępiał u mężczyzny.

W ten sposób Jędruś dostał się w opiekę profesora,— o czem gdy się dowiedziała zawsze jeszcze niechętna sierocie pani pocztmistrzowa, odezwała się z ironią: Ciekawam co sobie upatrzył do tego chłopczyska ten bałwan stary... Niech by to gęsi lub cielęta pasło... najstosowniejsze powołanie dla takiego stworzenia..., ale nie ubierać go na pośmiewisko, jak ludzkie dzieci, i dawać razem z niemi do szkoły... Ej te szkoły dzisiejsze także djabła warte... zakończyła z gniewem, nie mogąc nigdy przebaczyć profesorowi, że stosownie do zasług klasyfikując uczniów swoich, jej Kazia lokował gdzieś na szarym końcu, gdy jednocześnie ten przeklęty ocajdusza Kobylski był pierwszym w klasie!

Gdy Jędruś ukończył szkołę normalną, zawiózł go profesor do Lwowa, zapisał do gimnazjum, i ulokował na stancji u jakiejś wdowy po urzędniku, która za skromną zapłatę karmiła kilkunastu biednych studentów.

Dopiero gdy po kilkodniowym pobycie w stolicy, odjechał do domu profesor, okropny żal schwycił Jędrusia. Pierwszy raz w życiu ujrzał się sam jeden wśród obcych sobie ludzi — duże miasto, jego gwar, i co krok nieznane a obojętne twarze, wszystko to podziałało w wysokim stopniu przygnębiająco na wrażliwego chłopca... Z tydzień cały nic prawie nie jadł, jeno płakał dniem po kątach, bo się wstydził drugich, a nocą do poduszki. Powoli uspokoił się jednak, przyzwyczaił i z zapałem zaczął przykładać się do nauki, która — jak mu to często opiekun p. Piotr powtarzał przedtem — miała mu wszystko zapewnić w życiu...

(C. d. n.)

Z naszych dni.

Zwiędły sztuczne kwiaty marzeń,
Które dawno zmierzchłe czasy
Wonią sztucznych ideałów
Ustrajały w złudne krasy.
Dziś od mrzonek — twardy rozbrat
Niby murem ludzkość dzieli...
Pięknem iście jest marzenie
Lecz, jeżeli — w czyn wystrzeli.

Precz z ekstazą sentymentów!
My już snów dziś nie pragniemy,
Nie wyleczą naszych bolów
Hipotezy, ni systemy.
U nas, — co jak Dante kroczym
Po przestworzu mąk ognistem,
Rozum stawia hipotezy
A czyn tylko tworzy — system.

Czemże w obec wież niezłomnych,
Które strzegą prawdy grodu,
Na powiewnej mgle oparte
Eteryczne zamki z lodu?
W wieku maszyn, kotłów, fabryk
Nie karmelków nam potrzeba;
Dziś brzmi tylko jeden pacierz:
„Powszedniego daj nam chleba!“..

Tak! I piękniej, uroczyściej
Ludzkość modły owe składa —
Bo już nie ta sama ona
Zadumana, tęskna, blada;
Ani nie ta, co na pole
Rwać chodziła wonne kwiaty.
W ręku jej miecz błyszczy dzisiaj
A na barkach ż stali szaty!

Wyleczona z mistycyzmu,
Co ją trzymał w swoich pętach,
Kolejowym goni torem,
Na parowych śni okrętach:
U jej kolan dźwięczy dzisiaj
W miast czułego słów minstrela
Cyfr szeregiem strojny wywód
Edisson'a,-Graham, Bell'a

Praca, praca, myśl i czyny,
Ożenione w zgodnej parze,
Wiodą ją drogami, które
Doświadczenia rozum wskaże;
I nie pragnie ona szychu,
Wysnutego z kruchej przędzy,
Dzisiaj, gdy milionów życie
W bezgranicznej spływa nędzy.

Ale wara, jadem szyderstw,
Lekkomyślnej jadem blagi,
W zaślepieniu nienawistnem
Plwać na dawne sarkofagi,
Z strupieszałej ojców skroni
Laur odzierać na wpół zwiędły;
Zdzierać z piersi całun, który
Wielkie dzieje im uprzędły.

Wara śmiać się z ich mar jasnych,
Co śpią tam, w mogile głuchej;
Inny wiek bo był ich ojcem,
Inne je poczęły duchy,
Nam nie wolno ich idei
Czcząpiętnować tylko brednią:
Przeszłość matką jest przyszłości,
A więc czoło chylmy przed nią.

Z czcią, młodzieży, krocz po smętnem
Cmentarzysku dziejów świata;
Anioł wiary niech z cieniami
Zmarłych wielkich cię pobrata —
On to niechaj twoje kroki,
Wiedzie w nowej ery świecie,
A nad mogił zwaliskami
Musi błysnąć nowe życie...

Rossowski.

OJCIEC NIEREMBERGIUS

Darwinista XVII. wieku,

przez

Ludwika Hodolego.

Że samorództwo, ów punkt wyjścia teorji pochodzenia ustrojów, przyjmowało wielu dawnych pisarzy, nie wyłączając i katolickich, jak święty Augustyn, to rzecz ogólnie wiadoma. U jednych to śmielej wypowiedziane, niż u drugich, którzy podają, tylko luźne wypadki powstawania nawet wyżej ustrojonych istot z ciał nieustrojonych, w co wszystko przestano wierzyć od wystąpienia Redi'ego. Czy dziś powstają istoty ustrojowe drogą samorództwa, — ale w każdym razie tylko o najniższe rozchodzi się tutaj, — to rzecz nieroztrzygnięta, przyjmujemy jednak tyle przynajmniej, że samorództwo dało początek pierwotnym ustrojom, z których powstały wszystkie inne przez transformizm. Tak więc dzisiejsza teorja somorództwa jest racjonalnem po części zredukowaniem, po części zaś uogólnieniem owych dawnych poglądów.

Rzecz inna z transformizmem, czyli, jak go zwykle zwiemy, darwinizmem. Tu zwykliśmy za pierwszych chociaż fantastycznych inicjatorów uważać dopiero De Maillet'a i Robinet'a. Niektórzy autorowie wspominają wprawdzie, że ślady opinij transformistycznych dałyby się może znaleźć i u dawniejszych pisarzy, jednak sprawę tę zwykle pomijają bez bliższego rozbioru. W ostatnich dopiero czasach kilku autorów, których prace nie miejsce tu rozbierać, starało się wykazać, że początek transformizmu sięga dalszych czasów. I mnie się właśnie dostało pod rękę dzieło z roku 1635, o którem nigdzie nie znajduję wzmianki, a które mi także nasuwa podobne myśli. Ledwie dodać potrzebuję, że pierwotny transformizm ten występuje tu jeszcze w bardzo nieokrzesanej formie i ze względu na fakta, na których się opiera, a które dziś u nikogo nie znajdą wiary, może on mieć w dzisiejszym transformizmem tylkę tę wspólną myśl, że jedne ustroje mogą się w inne przeobrażać. Różni się on jeszcze tem od dzisiejszego, że brak mu uogólnienia na cały świat ustrojowy podobnie, jak to i dziś niektórzy twierdzą z Bastian'em, że te-

orja descendencji nie może wytłumaczyć pochodzenia wszystkich istot ustrojowych, a „do wyższych klas zwierząt stosowana sprzeciwia się nawet zasadom przyrodniczym“ (?), że jednak stosowana do niższych istot może się ostać „jako czasowo pozwolona hypoteza.“

W każdym jednak razie zobaczymy poniżej, że już w dawniejszych czasach zaczęły kiełkować poglądy, odpowiadające naszym przynajmniej w odległej miniaturze.

Dzieło, które mi tę myśl nasuwa, nosi tytuł: „Joannis Eusebii Nierembergii Madritensis ex societate Jesu in Academia regia Madritensi Physiologiae Professoris— Historia naturae maxime peregrinae libris XII distincta. Antverpiae. Ex oficina Plantiniana Balthasaris Moreti. 1635.“

Jest to zoologia i botanika, poprzedzona bardzo obszernym wstępem ogólnym, powiedzmy, teoretycznym. Sam opis zwierząt i roślin przedstawia się wprawdzie dość interesująco, gdyż znajdziemy tu rzeczy, jakich nasi przyrodnicy nawet nie przewidują jak n. p. rośliny, na ktorych kwiatach widać jak najdokładniej cierniową koronę, kielich z hostją, narzędzia do mąk Chrystusa i t. p., ale najwięcej zajęcia budzi sam wstęp, i dla tego tylko o nim mówić zamyślamy. Pomijamy nawet ze wstępu podobne kwestje, dziś ponoś wykluczone z nauk przyrodniczych, jak n. p. gdzie jest niebo. czy aniołowie są zwierzętami, co to był za wąż, co skusił Ewę i t. d., a wybierzemy tylko co, dotyczyć może dzisiejszej teorji transformizmu. Pamiętajmy przytem, że autor ten był profesorem fizjologii w madryckiej akademii, że więc nie jest dylletantem, którYby ku rozrywce łatwowiernych bajał o cudactwach, tylko jest mężem uczonym, mogącym reprezentować współczesną wiedzę, jak tego wreszcie dowodzi i ta okoliczność. że dzieło jego na ostatniej stronnicy jest z Rzymu zalecone do czytania, autor zaś wychwalony jako badacz przyrody („Nierembergius potest luste iaureari. ut arcanorum naturae diligens investigator“): — a zdziwi nas mocno, że są tu takie poglądy, że uogólniwszy je tylko, otrzymamy teorję transformizmu, lecz w całej pierwotnej prostocie, nawet naiwności, bo opartą wyłącznie na wierze w bardzo, jak dla nas, podejrzane obserwacje.

Same tytuły rozdziałów świadczą o transformistycznych poglądach autora, jak np.: O zwierzętach, które wydają rośliny, lub o roślinach, które zmieniają się w zwierzęta i t. d. Autor zestawia następnie cały szereg spostrzeżeń transformizmu, zachodzącego u zwierząt i roślin, a dając im zupełną wiarę, wypowiada wzeszcie ogólne zdanie, że przekształcanie się zwierząt i roślin odbywa się w przyrodzie bezsprzecznie. I tak autor ten widzi w tem coś całkiem możebnego, że „pewnemu jeleniowi wyrosł z rogów bluszcz“, albo że „pewnej kobiecie wyrosło zboże na nosie“, — „jeżeli bowiem z nieżywego zwierzęcia same powstają rośliny, dla czegożby nie miały powstać z żywego?“

Jak pojęcie rośliny i zwierzęcia było w owych czasach pomięszanem, to nam ilustruje taki ustęp: „Bardzo często zdarza się, że na grzbietach ryb wyrastają mchy i algi; często też raki i ostrygi okrywają się mchami. Czytamy nawet u najsławniejszych autorów, że grzbiety ogromnych wielorybów tak się okrywaja roślinami, że często wielkie te zwierzęta wydają się żeglarzom wyspami, ku największemu ich niebezpieczeństwu, gdyż ci, zarzuciwszy kotwicę, wychodzą na grzbiet tych zwierząt, jakby na ląd, rozpalając tam ogień, budzą śpiącego wieloryba ze snu, i zmuszają go do ucieczki i do zanurzenia się w wodę, skąd nie rzadko okręty i żeglarze topią się“ (Lib. III. Cap. IV. P. 31—32).

Między innemi wspomina dalej autor, że pewien bardzo wykształcony mąż „(vir summa eruditione spectabilis)“, widział drzewo, którego liście, spadłszy na rzekę, zmieniają się w ryby, spadłszy zaś na ziemię, zmieniają się w ptaki, i taką do tego nawiązuje uwagę: „Cóż w tem dziwnego? Jak bowiem na ziemi zmieniają się jedne rośliny w inne, tak nad ziemią powstają zwierzęta same z siebie (e se ipsis)“.

„Podobną historję podają S a x o G r a m m a t i c u s, A e n e a s S i l v i u s, M u n s t e r u s i D e l v i u s, mówiąc, że w Szkocji znajdują się drzewa wydające owoce owinięte liśćmi, które spadłszy w stosownym czasie na wodę, odżywają i zmieniają się w ptaki żywe, zwane gęsiami drzewnemi. Drzewo to rośnie także na wyspie Pamonia która niedaleko jest oddalona od Szkocji w kierunku północnym.“ S i l v i u s i O l a u s M a g n u s E p i s c o p u s U p s a l e n s i s opierając się na S k o t u s i e, opowiadają, że na wyspach Orkadach owoce pewnego drzewa, spadłszy w morze, zmieniają się w kaczki. „A i sam O l a u s potwierdza, że w północnych okolicach znajdują się gęsi powstające z drzew, jak owe kaczki szkockie.“

Autor przytacza zdanie wielu pisarzy, o różnych p t a k a c h (blanta, bernicla, avis berneca, berneta etc), „k t ó r e p o w s t a j ą z o w o c ó w d r z e w, a p o n i e w a ż n i e p o c h o d z ą z r o d z a j u p t a k ó w, p r z e t o s o l ą z a p r a w i a n e, b y w a j ą z j a d a n e w c z a s i e p o s t u c z t e r d z i e s t o d n i o w e g o, jak to dowiedzieliśmy się od ludzi, którzy to widzieli; rzecz zaś jest stwierdzoną świadectwem tak wielu poważnych mężów, że nie powinna być wcale uważana za wątpliwą.“

Podobnych „spostrzeżeń“ powstawania zwierząt z roślin, wylicza autor jeszcze więcej, i kończy wreszcie ten rozdział ogólnym wnioskiem: „Tak więc z żyjących roślin powstaje bardzo wiele zwierząt.“ (Lib. III. Cap. V. p, 32—33).

Transformizm w całej swej pierwotnej nagości! Jeżeli ci transformiści odważyli się powiedzieć, że pewne kaczki, gęsi etc. powstają bezpośrednio z roślin. albo pewne rośliny ze zwierząt, to o ileż skromniejszym wyda nam się dzisiejszy transformizm, wiążący w rozwojowym szeregu ze sobą tylko najbliżej ustrojem pokrewne istoty.

Ale nawet pod względem psychicznym przypisywano dawniej zwierzętom zdolności, w nader wysokim stopniu, a małpy to już uważano chyba prawie równe ludziom, jak to najlepiej dowodzi taki ustęp z naszego N i e r e m b e r g i u s a:

„Małpy, nad czem się zdziwisz aż do nieuwierzenia, umieją arytmetykę. Przez naocznych świadków i pewne wiadomości jest stwierdzonem, że w kraju Peru małpy żyją w takiej zażyłości z krajowcami, że razem z nimi o pieniądze (pro argento) grają w (karty?). Gdy ich zwyciężą idą razem do karczmy na napitek i płacą należytość z wygranej.“ Lib. I. Cap. XIII. P. 8.) Zdanie to powtarza autor jeszcze drugi raz w swem dziele i mówi, że kiedy z niem wystąpił przed audytorjum, nikt mu nie chciał dać wiary, aż właśnie przyjechał z Ameryki pewien mąż „nader wiarogodny,“ który wszystko najzupełniej potwierdził.

Skoro tylko D a r w i n podniósł umiejętnie teorję descendencji, podnieśli głos opozycjoniści wszelkich obozów, że teorja ta jest fałszywą chociażby dla tego, że wszystkie gatunki istot ustrojowych są ściśle od siebie odgraniczone, a niemasz między nimi żadnego powolnego stopniowania. Pominąwszy, że dziś, kiedy znamy krocie ustrojów, transformiści wykazali już dosadnie bezpodstawnoć tego zarzutu, możemy się przecież przekonać, że jest to rzecz tak bijąca w oczy, że nie mogła nawet ujść uwagi N i e r e m b e r g i u s a, który przy swej szczupłej znajomości form ustrojowych, co jest naturalnem, jak na owe czasy, mógł już zauważyć ową stopniowość. Mówi on wyraźnie, że przyroda nie zna wcale gwałtownych skoków, że nie masz żadnej przerwy, żadnego rozpierzchnięcia form, że wszystko jest z sobą ściśle związane, jak w łańcuchu pierścień z pierścieniem“ (Lib. III. Cap. III. P. 29).

Zdziwi to może niejednego, że jak z powyższych słów widać, musimy ojca jezuitę Nierembergiusza zaliczyć do prymitywnych transformistów, jakich, sądząc z jego cytat, było więcej równocześnie z nim i jeszcze daleko przed nim. Myliłby się jednak, jak powtarzamy, ten, ktoby sądził, że nasz ojciec jezuita jest transformistą par excellence, bo ostatecznie do Boga odnosi on początek wszystkich istot, a wreszcie zajmuje się takiemi kwestjami, jak np. w jaki sposób sklasyfikować aniołów, lub węża co skusił Ewę, albo gdzie jest niebo i td.; — chodziło mi tylko o wykazanie, że już w dawniejszych czasach wierzono w przemiany ustrojów nietylko w legendach o zakroju metamorfoz Owidjusza, lecz także wygłaszano to w naukowej formie z katedr akademickich, jako fakta niezaprzeczalne. — Wreszcie co do tego zdziwienia, że mamy tu właśnie z ojcem jezuitą do czynienia, to złagodzonem ono zostanie, gdy wspomnę tu jeszcze o niedawno wyszłej pracy księdza jezuity Hummelauera, która także prawie przypadkowo do rąk mi się dostała, a która zawiera bardzo wielkie koncesje dla transformistów, o czem ci może nawet nie wiedzą, gdyż przy znanem obopólnem naprężeniu stosunków doszło w końcu do tego, że transformiści wprost ignorują wszystko, co wyjdzie z rąk księży. Ksiądz jezuita Hummelauer pisze mianowicie w „Ergänzungshefte zu den „Stimmen aus Maria Laach“ 4, w pracy pt. „Der biblische Schöpfungsbericht. Ein exegetischer Versuch“. Freiburg in Breisgau, 1‑77, na str. 149, co następuje: „Z tego, cośmy powiedzieli, nie trudno pojąć, jak się ma zachować eksegeta biblijnego podania o stworzeniu względem darwinizmu. Pod tą nazwą nie rozumiemy tu owego grubego błędu, który nawet w rozumnym człowieku nic więcej nie widzi, jak tylko spotęgowaną małpę. Pod darwinizmem rozumiemy tu raczej tylko ów pogląd, który wyprowadza wszystkie zwierzęce i roślinne formy z kilku pierwotnych form, a może nawet z jednej, całkiem prostej, zasadniczej formy. Naturalnie nie jest rzeczą naszą walczyć przeciw temu poglądowi lub potwierdzać go, tylko tyle zechciejmy skonstatować, że on wcale nie sprzeciwia się Genezie 1.“ Tu następuje tłumaczenie Genezy, wykazujące, że rzeczywiście nie ma tego przeciwieństwa, podobnie, jak to po wielu walkach postąpiono ze słońcem Jozuego w obec systemu Kopernika. A więc wolno już transformistom wykazywać przekształcanie się gatunków zwierząt i roślin, byle tylko nie włączać do tego i człowieka, koncesja jakkolwiekbądź olbrzymia, która transformistom wlać może tylko przekonanie że pod naciskiem swych dowodów już tyle zdołali wywalczyć od swych największych przeciwników. Widząc sprawę w tem nowem świetle, nie tyle się już zdziwimy okolicznością, że w pośród pierwotnych poprzedników Lamarcka i Darwina, znajdziemy także ojca jezuitę Nierembergiusza.

Takie to pierwotne fazy rozwoju przebywał transformizm, zarówno jak i inne idee ludzkości. Dziwnym a często i niedocieczonym jest pochód myśli ludzkiej! Z najdziwaczniejszych opinii przeszłości rodzą się często wielkie prawdy naukowe. Ze śmiesznej wiary astrologów wyszła astronomia; z próżnej ciekawości i interesowności alchemików powstała chemia; z pociesznych elukubracyj, szumnie filozofią nazwanych, powstała ścisła nauka, łącząca w jedność całą wiedzę ludzką; z szarlatańskich sztuczek magnetyzerów rodzi się nowa, dziś jeszcze tyle tajemnicza nauka: — z łatwowiernych zbiorów „arcanorum naturae w guście ojca Nierembergiusza powstała umiejętna teorja descendencji.

Słuchaj!

Opowiadanie *Ludwiki R****

Byliśmy zaręczeni, ja i Alfred, najlepszy człowiek, jaki żył kiedy na świecie. Mężczyźni wychwalali jego rozum, panie sławiły piękność — mnie podobało się najwięcej jego serce, bijące dla wszystkiego co dobre i piękne. Ach! było to serce namiętne, zapalające się żywo, trwałe w uczuciu i wierne.

Będzie temu lat ośm, gdy matka Alfreda zaprosiła mnie do posiadłości swej Marienburga na święta Bożego Narodzenia. Zaprosiła dużo gości, poczyniono przygotowania: bale, żywe obrazy, przedstawienia teatralne były w programie — a ja, jak pisał Alfred miałam być królową tych uroczystości. Niestety! Przed otrzymaniem zaproszenia zachorowała mi siostra niebezpiecznie; napisałam zatem iż przybyć nie mogę, ale pospieszę, skoro tylko choroba się przesili do Marienburga. Siostrze polepszyło się znacznie, jednakże nie mogłam jej samej jeszcze zostawić z obcymi. Prosiłam więc Alfreda, którego listy coraz częstsze i natarczywsze się stawały, o cierpliwość. W końcu pisał do mnie, było to na tydzień przed Bożem Narodzeniem — z namiętną goryczą — iż wie dobrze, że siostra bezemnie obejść się może; że w dniu odebrania listu urządzony będzie bal czy przedstawienie teatralne u nich, że liczy z pewnością na obecność moję — że będę na czas, jeżeli następnym pociągiem do Marienburga wyjadę, i że tego żąda koniecznie. Wprzeciwnym razie jeżeli 18. grudnia oczekiwać mnie będzie naprożno — będzie to dowodem, że więcej kocham siostrę niż jego — a wówczas opuści Marienburg niezwłocznie, i wyjedzie w świat by mnie więcej nie widzieć.

Zalewałam się gorącemi łzami czytając te słowa, siostra zaklinała mnie, nakłaniając do jazdy, serce moje pragnęło również pojednać się z rozgniewanym i wypełnić jego życzenie; jak można zatem było, najprędzej przygotowałam się do podróży.

Byłam prawdziwie uspokojoną, gdy w wagonie pierwszej klasy wspierając się na miękkich poduszkach, przebiegłam mgłą okrytą przestrzeń. — Nikogo prócz mnie niebyło w mdło oświetlonem coupé — owinęłam się ciepłem futrem i wsłuchiwałam się w monotonny hałas na pół senna. O 6. godzinie wieczorem obudził mnie dziwny świst, jaki wydaje maszyna zagłębiając się w tunel. Spojrzałam na zegarek. Była godzina ósma, gdy wjechaliśmy w długi tunel odległy cztery mile od Marienburga. Serce biło mi na myśl, iż wkrótce już ujrzę Alfreda, gdy nagle, w skutek uderzenia wagonu o coś innego, silnie potrącona upadłam na poduszki. Gdy ochłonęłam ze strachu, słyszałam turkot oddalającego się pociągu — słyszałam jak opuszczał tunel — a ja zostałam sama, otoczona straszną ciszą. — Nie mogłam się łudzić co do mego położenia: wagon w którym siedziałam, był ostatni w pociągu, odczepił się jakimś sposobem od innych, i pozostał w tunelu. Spuściłam szybko okno i zawołałam do sąsiedniego cupé. Ale jedno światło odbiło się tylko na ścianach tunelu — światło z mego coupé, dwa inne były nieoświetlone. Byłam jedynym pasażerem w tym wagonie. Krzyczałam, lecz zdawało się, iż ciemność pochłania dźwięk mego głosu.

Brzmi to szczególnie! — Rozpaczałam strasznie myśląc, ile czasu będę musiała w tej trwodze przepędzić, nim zostanę uwolnioną. Wkrótce przypomniałam sobie, że opuszczony wagon znajduje się w środku i może być wzięty w krzyżowy ogień nadchodzących pociągów — może być zgruchotany jeśli pociąg pójdzie tą samą linią — a właśnie za 10 minut ma pójść pociąg drugi, jak mi mówił służący odprowadzający mnie na dworzec!... Słuchaj! —

Tak jest! przeraźliwy świst lokomotywy daje się słyszeć — szum — i gwizd, który umilkł nagle i pociąg wjechał w tunel. Dzikie przerażenie mózg mi rozsadza, dusi

w piersiach. Szum zbliża się ku mnie — stłumiony turkot wzrasta coraz więcej — przemienia się w huk grzmotu, w gwałtowną burzę — z którą pociąg dzięki Bogu — wjeżdża na inne szyny koło mnie. Nie mogę dłużej zostać w wagonie. Żywo rzucam się do drzwi, chcąc je otworzyć — były zamknięte... obie.

Ah, wszakże można przez okno wyskoczyć. — Nie, zapewne z obawy, aby szaleniec jaki nie rzucił się oknem — urządzono je w sposób taki, iż nikt wydostać się tamtędy nie może. Usiadłam — by nabrać zimnej krwi i rozważyć, co czynić mi należy — niepodobna! Wszystkie moje myśli i uczucia koncentrowały się w tem słowie: słuchaj!!! Słucham... Okropność! przeraźliwy świst rozległ się znowu wśród nocnej ciszy — słyszę znowu wrzaskliwy hałas zmieniający się w stłumione mruczenie. Zrospaczona podniosłam się z siedzenia. Idzie — idzie coraz bliżej. — Z uczuciem, o którem pomyśleć wzdrygam się dzisiaj — uczuciem śmiertelnej trwogi i rozpaczy — odczuwając chęć życia i omdlenie zarazem, rzucam się do okna, rozbijam szybę i krzyczę głośno. W tej samej chwili błysnęło mi w oczy światło i głos męski ozwał się koło mnie. Co mówił ten człewiek niewiem, wiem tylko że czując się ocaloną, zemdlałam. Długo, długo byłam w omdleniu i dopiero później dowiedziałam się, że po ocuceniu dostałam gorączki i zapalenia mózgu wskutek wstrząśnienia. Odzyskawszy przytomność — ujrzałam się w jakiemś obcem, lecz nader miłem miejscu. Zdziwiona spojrzałam w około i spostrzegłam staruszkę, która z macierzyńską troskliwością podniosła mnie na poduszki. Nie znałam jej; zdziwiona spojrzałam przez otwarte okno do ogrodu, gdzie zamiast śniegu błyszczały drzewa okryte świeżą zielonością, skąpane w promieniach słońca. Zamyślona skłoniłam głowę na rękę a w tem rozpuszczone włosy upadły mi na kolana; z przerażeniem wstrząsłam się cała: były zupełnie siwe, jak włosy staruszki. Czyż lat tyle już upłynęło od owej straszliwej nocy? Nie, bo ta, co w tej chwili zbliżyła się do mnie moja rówieśniczka, wygląda jak róża kwitnąca — to siostra Alfreda! Łkając zarzuciłam jej ręce na szyję.

A Alfred? Dotrzymał słowa; tej samej nocy — kiedy nie przybyłam — wyjechał i nikt nie wiedział dokąd. Byłam najnieszczęśliwszą istotą na ziemi, młoda staruszka, — opuszczona narzeczona. Siostra Alfreda jednak pozostała mi wierną. Ponieważ leśniczówki, położonej blisko tunelu, gdzie mnie owej nocy przyniesiono, opuścić nie mogłam — przychodziła ona z służącą do mnie codziennie z Marienburga. Pewnego pięknego czerwcowego wieczora prosiłam ją by mi coś przeczytała dla rozweselenia, bo w sercu miałam dziwny jakiś niepokój i tęsknotę. W tem, słuchaj! Odezwał się w powietrzu gwizd lokomotywy, potem niby grzmot podziemny, i znowu świst przeraźliwy. Ale teraz ten głos dźwięczy mi niby wyzwolenie z śmiertelnej trwogi, niby oddech swobodny, niby okrzyk radości. — Tym pociągiem powraca Alfred, — wraca do domu — i do mnie!

Ośm lat temu; siwe są włosy moje — ale serce młode i szczęśliwe.

Obyczaje kupieckie.

Studjum Herberta Spencera.

(Przełożył L. Iulender.)

Pod tytułem obyczajów kupieckich, nie mamy zamiaru bynajmniej mówić o znanych do syta oszustwach handlowych, jakkolwiek i w tej materji nie zabrakłoby nam argumentów nowych. Znachodzą się jednak w obrocie handlowym nieuczciwości mniej wyraźne, i mniej przeto zauważane, na które niniejszem chcemy zwrócić uwagę. Ten sam brak sumienia, który się przejawia w zwyczaju mięszania krochmalu do kakao, fałszowania masła smalcem wieprzowym, farbowaniu cukierków chromatem ołowiu lub arsenianem miedzi, koniecznie przejawia się także w formie bardziej utajonej, a o tych to ukrytych formach oszustwa prawie ua pewne utrzymywać można, że są zarówno liczne, jak fatalne w skutkach.

Wielu wyobraża sobie — acz niesłusznie, że w świecie handlowym tylko niższe warstwy zdolne są do oszukańczych manipulacyj, a jednak istotnie klasy wyższe w przeważnej części zasługują na naganę. Średnio biorąc, ludzie, którzy w interesie liczą na bele i tony, mało co pod względem wartości moralnej różnią się od tych, co liczą na łokcie i funty. Mnóstwo niedozwolonych praktyk wszelkiego gatunku i formy, począwszy od drobnych niedokładności aż do prostego złodziejstwa, śmiało kłaść można na karb wyższych sfer naszego kupiectwa. Oszustwa bez liku, kłamstwa w czynach lub słowach, fałszerstwa z góry obmyślane i przygotowane, wszędzie możesz napotkać, a niektóre z tych sposobów wzniesiono nawet do rzędu instytucyj prawnych, pod nazwą „zwyczajów kupieckich“, co więcej — pod tym tytułem znajdują one nawet rzeczników i obrońców.

Pomińmy więc kramarzy, tyle obwinianych; winy ich są tego rodzaju, że każdemu z nas cośkolwiek o nich wiadomo; zwróćmy się raczej do win popełnianych przez klasy wyższe w hierarchii kupieckiej.

Firmy hurtowne, zwłaszcza handlujące towarami modnymi, trzymają osobnych „akwizytorów“ (którym poruczone jest zakupno towarów). Każdy dom handlowy ma zazwyczaj kilka oddziałów, a na czele każdego oddziału stoi taki akwizytor. Akwizytor bywa do pewnego stopnia niezależnym; jest on niejako negocjantem podwładnym. Na początku roku szef jego otwiera mu kredyt, odpowiadający pewnej części kapitału obrotowego. Tą sumą nasz negocjant operuje jakby własną. Zamawia u fabrykantów towary, odpowiadające jego działowi w ilościach, stosownych do spodziewanego odbytu, a następnie stara się zbyć jak najwięcej tych towarów u handlarzy drobiazgowych, należących do klienteli firmy. Z końcem roku inwentarz wykazuje, jaką korzyść w interesie przyniósł kapitał oddany mu do dyspozycji, i stosownie do wyniku rma go zatrzymuje a nawet często podwyższa mu płacę, lub też go uwalnia.

W obec takiego urządzenia, nie należałoby się spodziewać korupcji. A jednak wiemy z bardzo poważnego źródła, że ci akwizytorowie, to zazwyczaj korumpujący i skorumpowani zarazem. Aby pozyskać „kundsmanów“, robią im prezenta — jest to praktyka dawno ustalona; rozumieją się oni w tej mierze dobrze z swoimi interesentami. W celu rozszerzenia swej klienteli między detalistami, wydają obiady i świadczą różne grzeczności. Zakupując zaś towary, oni sami dają się pozyskać przez podobne sposoby. Zdawałoby się, że w obydwu wypadkach własny ich interes powinien ich powstrzymywać. Lecz trzeba wierzyć, że użycie tych sposobów nic ich nie kosztuje. Skoro się zdarzy — a zdarza się często — że kilku fabrykantów przedstawia towary tej samej dobroci i po równej cenie, lub kilku akwizytorów robi zamówienia i stawia warunki tak mało się różniące, że wybór jest trudny, nie masz właściwie powodu do przeniesienia jednego nad innych, i wtedy to rozstrzyga właśnie owo „bene“ bezpośrednie. Dla czego tak się dzieje, niewiemy; sam fakt zaś pewny i dzieje się nietylko w Londynie, ale i na prowincji. Akwizytorowie pozwalają się hojnie fetować fabrykantom przez kilka dni z rzędu, a jak rok długi, tak w celu utrzymania ich względów, ciągle im posyłają to dziczyznę, to indyki, to wino i tp. Co więcej, dają im nawet łapówki w gotówce, a to jak nas zapewniał pewien fabrykant — często w biletach bankowych, częściej zaś w kształcie prowizji od ceny zakupionych towarów.

System ten jest bardzo rozpowszechniony, możnaby powiedzieć ogolnie przyjęty. Oto przykład na dowód: Pewien człowiek zbrzydził sobie był te praktyki, lecz wnet się przekonał, że jest wplatanym w system więzami nierozerwalnymi. Wyznał on nam, że wszystkie jego interesa odbywały się jak następuje: „Każdy akwizytor — mówił on — z którym mam do czynienia, oczekuje przy sposobności łapówki w tej lub owej formie. Jedni lubią brać w sposób więcej ukryty, drudzy biorą bez żenady. Daiesz jednemu z nich pieniądze, a on ci powie: o, ja nie robię takich interesów! Lecz daruj mu jaki przedmiot tej samej wartości, to się ani słówkiem nie sprzeciwi. Natomiast mój przyjaciel X., który mi przyrzekł na ten sezon, grubszy obstalunek, oczekuje — wiem o tem dobrze — prowizji $1_0|^0$ w gotówce. Są to rzeczy nieuniknione. Mógłbym wymienić kilku akwizytorów, którzy są ze mną na bakier, i niechcą nawet spojrzeć na moje towary; wiem dla czego oto nigdy nie kupiłem, sobie ich protekcji." Tu mój znajomy odwołał się na świadectwo innego negocjanta, który potwierdził, że w Londynie nie podobna inaczej operować. System jest tak rozwinięty, a niektórzy z akwizytorów tak są chciwi grubych zysków że takowe pochłaniają znaczną część zarobku, i że sprzedający często zadaje sobie pytanie, czy też warto nadal starać się o ich klientelę. Następnie — jak już nadmieniliśmy — ta sama historja powtarza się w transakcjach między akwizytorem i detalistą, tylko że uwiedziony staje się zwodzicielem. Jeden z tych panów, wyraził się raz w obec tego, którego powołaliśmy na świadectwo: „Wydałem już mnóstwo funtów (sterlingów) na pana X. tu wymienił znaczną firmę krawiecką) i sądzę że teraz go pozyskałem." Po takiem wyznaniu akwizytor jął się żalić na swoją firmę, że mu nie daje żadnego benefisu za jego wydatki wzmiankowanego rodzaju.

Poniżej akwizytora, jako samowładnego pana oddziału domu handlowego, znajduje się w tymże spora ilość pomocników, którzy traktują z kupcem drobiazgowym podobnie jak tenże traktować zwykł z szeroką publicznością. Ci pomocnicy wyższego rzędu, w pracy swojej uciskani tak samo jak pomocnicy niższego rzędu, również nie znają skrupułów. Każdej chwili czeka ich wydalenie ze służby, skoro im sprzedaż nie pójdzie dobrze; postępują zaś w randze stosownie do ilości towarów sprzedanych po dobrej cenie; widzą oni zresztą, że nigdy ich nie ganią za nieuczciwe wybiegi, a raczej ich za to chwalą; nie dziw przeto, że ci młodzi ludzie składają dowody nieuczciwości trudne do uwierzenia. Tacy co niegdyś służyli w ich randze, sami potwierdzają, że nieszczerość u nich jest stałą, i co usta otworzą to kłamią, a w swych wybiegach przechodzą całą skalę, od najprostszych aż do iście machiawelicznych. Przejdźmy kilka próbek. — Gdy się traktuje o kupno z detalistą, przyjętym jest zwyczaj, aby zachować dla siebie, to co się wie o istocie interesu, i oszukiwać na towarach, na których się kupujący najmiej zna. Skoro sklep jego, znajduje się w okręgu, w którym największy jest popyt za towarem lichszego gatunku (który to fakt stwierdza poprzód wojażer), wnoszą stąd że tam mało się znają na towarach lepszych, zwłaszcza gdy stosunkowo mało takowych żąda, i wyzyskują tę jego nieznajomość. Nadto przyjętym jest zwyczaj okazywania próbek sukna, jedwabiu i tp. umyślnie w takim porządku, żeby sąd kupującego zmylić. Gdy się kosztuje artykuły żywności lub wina rozmaitego gatunku, smak ostrzejszy wprawia zazwyczaj podniebienie w stan taki, że ono już poźniej nie jest w stanie ocenić należycie smaku delikatniejszego tak samo ma się rzecz z innymi zmysłami; po silnem podrażnieniu następuje chwilowa bezwładność. Tyczy sią to nie tylko oczu pod względem ocenienia barw, ale także, (jak nam poświadczył człowiek doświadczony w interesie) palców, które mają oceniać tkaninę. Kupcy zaś przebiegli korzystają z tego, aby ubezwładnić po części zmysły kupującego, i w ten sposób podają mu towary drugiego gatunku za najlepsze. Inna sztuczka zasadza się na tem, że się udaje tkniość, której niema. Krawiec chce się za opatrzeć w sukna pewnej szerokości. Otóż proponują mu dobry interes. Przedstawiają mu trzy sztuki: dwie w dobrym gatunku po 14 szylingów łokieć n. p., a jedną bardzo lichą po 8 szylingów. Wszystkie trzy sztuki z umysłu są trochę pomięte, aby uczynić prawdopodobnem ustępstwo, które niby ma być zrobione. Oświadcza się tedy krawcowi, że mu się odstąpi te niby uszkodzone sztuki „hurtem" po 12 szylingów łokieć. Zmylony pozorami krawiec sądzi, że w istocie obniżono mu ceny, uderza go nadto, że dwie sztuki lepsze, w istocie o wiele więcej warte, niż za nie żądają; i wcale się nie spostrzeże, że lichość trzeciej sztuki przywraca w zupełności równowagę, kupuje więc i jest przekonanym że zrobił wyśmienity interes, podczas gdy w istocie zapłacił porządną cenę za każdy łokieć.

Głębiej jeszcze pomyślane oszustwo, opisał nam były pomocnik w handlu hurtownym, który się sam tem oszustwem posługiwał zarówno z innymi, i udawało ono mu się tak dobrze, że mu często przysyłano klientów, którzy innym nie chcieli iść na lep, a później ci sami nie chieli już od innego kupować, tylko od niego. Polityka jego polegała na tem, że udawał bardzo prostodusznego i uczciwego, i przy pierwszych zaraz zakupnach obiawlał tę rzekomą prostotę tem, iż sam wskazywał niedostatki proponowanych towarów. Zyskawszy w ten sposób zaufanie kundsmana, zmienił z nienacka sposób działania, i wpychał mu towary najlichsze po cenach wygórowanych.

Oto niektóre z rozlicznych manewrów stale w handlu używanych. Rozumie się, że dla poparcia takowych używa się całej serji kłamstw w słowach i czynach. Jestto powinnością subjekta, czynić wszystko co będzie potrzebnem, aby uskutecznić sprzedaż. „Tylko głupcy sprzedają to, co było żądanem" wymawiał pewien szef swemu pomocnikowi gdy się temu nie udało wepchać klientowi rzecz zupełnie inną, aniżeli on żądał. Żądają, aby pomocnicy byli kłamcami bez skrupułów, i nakłaniają ich do tego własnym przykładem; doprowadzają ich do takiej demoralizacji, że nie możemy powtórzyć wyrazów, jakiemi nam takową opisywano. Jeden, z tych, co nam dawali informacje w tym względzie, zmuszonym był opuścić swoją posadę, gdyż nie mógł zdecydować się zejś na wymagany stopień poniżenia. „Kłamiąc, nie masz pan nigdy dość poczciwej miny", zauważał mu nieraz drugi pomocnik, — a mówił to w tonie wyrzutu!

Ci z pomocników, co mają sumienie najmniej wrażliwe, najlepiej wychodzą, najszybcej postępują na posady dobrze płatne, i najwięcej mają szans do otworzenia własnego handlu. Łatwy stąd wniosek, że szefowie na punkcie moralności niedaleko odbiegli od swych pomocników. Zwykłe malwersacje firm hurtownych stwierdzają to zdanie. Nietylko bowiem pomocnicy — jak to właśnie widzielismy, znajdują się ustawicznie pod presją, która ich zmusza do oszukiwania klientów na gatunku kupowanego towaru, lecz prócz tego ci ostatni, oszukiwani są na ilości towaru, a to bynajmiej nie przypadkowo lub w sposób niedozwolony, lecz za pomocą systemu zorganizowanego, za który odpowiada sama firma. Prawie ogólnie przyjętym jest zwyczaj wyrabiania artykułów o długości mniejszej, niż wypisano na sztuce. Sztuka perkalu mająca rzekomo mierzyć 36 łokci, w istocie nigdy niema więcej jak 31, a w handlu, rozumie się już samo przez się, że niema więcej mierzyć. Zwyczaj ten każe wnosić o nagromadzeniu całej serji przestępstw: świadczy on, że długość stopniowo była zmiejszaną, i to naprzód przez jakiegoś neofitę nieuczciwego cechu, a potem z konieczności przez licznych jego konku-

rentów. Tak się rzecz ciągnie z dnia na dzień i rośnie z przyspieszaną szybkością, jak to się zawsze dziać zwykło, gdy oszustwo nie może być odkrytem i powstrzymanem odrazu. Towary, które się sprzedaje w małych wiązankach, motkach, pakietach lub w innej formie, która nie daje możności sprawdzenia w chwili kupna, zawsze prawie wykazują braki. Wstążki tak zwane „po sześć czwartych“ czyli 54 cali, w rzeczywistości mają tylko cztery czwarte (yarda), czyli 36 cali. Wstążki niciane lub bawełniane, dawniej sprzedawano w groszach po 12 zwojów, a zwój po 12 yardów, dziś jednak te zwoje dwunastoyardowe mają najrozmaitsze długości od 8 yardów aż do 5, i jeszcze mniej. Średnia długość jest 6. To znaczy, że ze 144 yardów dawnego grosu, dziś zrobiło się poniekąd tylko 60. Oszukują zarówno na długości jak i na szerokości. Motki bawełny francuskiej naprzykład (które prócz nazwy nie mają nic francuskiego) wyrabia się w rozmaitych szerokościach, oznaczanych liczbami 5, 7, 9, 11. Każdy taki numer oznaczać ma ilość nici bawełnianych, idących na szerokość, a raczej m a j ą c y c h iść na takową. Motki bowiem, które powinne mieć numer 5, noszą liczbę 7, a siódemki oznaczone są dziewiątką. Z trzech próbek rozmaitych firm, które nam okazał nasz przyjaciel, jedna tylko miała prawdziwy numer. Podobnie frendzle, które sprzedają zwinięte na kartonie, mają częstokroć dwa cale szerokości po stronie widzialnej, zwężają się jednak aż do jednego cala w miarę jak się zbliżają do kartonu; lub też 20 yardów z pierwszego końca będzie dobrych a reszta, schowana pod spód, lichszego gatunku. Oszustwa te popełniają bez zarumienienia; „to handel“, mówią ludzie. Widziałem na własne oczy obstalunek zapisany w księdze zamówień pewnego komisanta, w którym wymienione były wyraźnie długości rzeczywiste, w jakich miały być ucięte towary, i długości rzekome, mające być wypisanemi na winietach, o wiele przewyższające długość istotną. Oto co nam powiedział pewien fabrykant. Zamawiają u mnie wstążki po 15 yardów, a każą mi pisać na etykiecie „gwarancja za 18 yardów“ i gdybym nie dał fałszywej etykiety, towar będzie mi niechybnie zwróconym, a w ostatecznym razie pozwolą mi wysłać towar bez etykiety.“

Trudno przypuszczać, że domy hurtowne w stosunkach swoich z fabrykantami trzymają się innego kodeksu moralności, aniżeli w obec detalistów, którzy u nich kupują. Fakty stwierdzają zresztą, że rzecz ma się jednako na obie strony. I tak naprzykład, akwizytor (zajmujący się wyłącznie zakupywaniem wyrobów fabrycznych dla firmy hurtownej) częstokroć kupuje u pierwszorzędnego fabrykanta niewielką ilość jakiego nowego wyrobu, na który sporządzono model, kosztujący wiele czasu i pieniędzy. Nabywszy tę nowość, nasz akwizytor oddaje ją innemu fabrykantowi, który z niej odrabia niezliczoną ilość naśladownictw. Niektórzy akwizytorowie czynią swoje zamówienia ustnie, aby je módz następnie odwołać. Zdarzyło się nawet, że pewien fabrykant, oszukany poprzednio w sposób powyższy, żądał podpisu akwizytora pod zamówieniem, lecz mu podpisu odmówiono.

Są jeszcze inne niesprawiedliwości, praktykowane w handlach hurtownych, za które — ile nam się zdaje, odpowiedzialni są szefowie. Drobni fabrykanci, którzy operują kapitałem niedostatecznym, i w czasie t. zw. martwego sezonu nie mogą wydołać przyjętym zobowiązaniom, częstokroć zmuszeni są oddać się zupełnie w ręce firm hurtownych z któremi mają stosunki; te zaś wyzyskują ich położenie w sposób nielitościwy. Skoro fabrykant dostanie się w takie ręce, widzi się wnet zmuszonym sprzedać cały swój zapas ze znaczną stratą (30 lub 40 % niżej ceny), lub takowy dać w zastaw; skoro zaś dom handlowy stał się raz jego wierzycielem hipotecznym, mało mu pozostaje nadziei, by się wydostał z rąk jego. Najczęściej zdarza się to w handlu jedwabiem. Jeden z wielkich kupców tego działu zapewniał nas, że śledząc upadek wielkiej liczby swoich kolegów, doszedł do tego wniosku, że „można ich oszczędzać przez czas jakiś, tak jak kot oszczędza mysz schwytaną; lecz w końcu muszą być zjedzeni.“ My zaś tem bardziej możemy wierzyć jego słowem, że na prowincji widzieliśmy niektórych garbarzy, trzymających się tej samej polity ki wobec małych szewców, podobnie jak niektórzy handlarze chmielu i słodu wobec pomniejszych szynkarzy. Czytamy w książkach, że w Hindostanie, skoro żniwo nie dopisze, r a j a s i pożyczają u żydów na zasiewy, zaś raz dostawszy się w ich szpony przepadli. Zdaje się, że podobne rzeczy dzieją się w naszym handlu. (C, d. n.)

Przegląd literacki.

Dr. Aleksander Hirszberg. Koalicja Francji z Jagiellonami z r. 1500. Lwow 1882).
(Dokończenie).

Od dawna była główną osią polityki królów francuskich, walka z domem habsburskim. Zawistnem patrzano we Francji okiem, gdy Maksymilian przez związki małżeńskie i pokojowe traktaty zapewniał domowi swemu bogate dziedzictwo burgundzkie, królestwo kastylijskie, aragońskie, sycylijskie, i bogate nowo odkryte kraje Ameryki.

Wiedziano nadto we Francji, że Maksymiliana myślą ulubioną było nabycie dla domu swego Węgier i Czech, które już raz poprzednio złączone były z dziedzicznymi krajami austryjackimi. Po śmierci Macieja Korwina pozostały wprawdzie starania i zabiegi Maksymiliana o koronę św. Szczepana bez skutku, umiał wszakże przebiegły władca wyzyskać na swoją korzyść kłopotliwe położenie, w jakiem się znalazł szczęśliwszy rywal jego Władysław, król Czech i wymógł na nim znany traktat preszburski — którym zapewnił domowi swemu następstwo w Węgrzech, na wypadek wygaśnięcia węgierskich Jagiellonów.

Gdyby kraje wspomniane wyżej rzeczywiście w jednych spoczęły rękach — punkt ciężkości polityki europejskiej musiałby się przenieść do stolicy Habsburgów, a Francja musiałaby zrzygnować z ulubionej myśli przewodzenia ludom Europy.

Jak więc widzimy, oba państwa dążyły ku jednemu celowi — za czem idzie, że ich antagonizm był naturalny i całkiem usprawiedliwiony. Nie tu czas i miejsce wykazywać cały szereg intryg, dyplomatycznych sztuczek i walk orężnych między oboma przeciwnikami. I Francja i dom habsburski, starały się wszelkiemi sposobami osłabiać się wzajemnie. Tworzono najdziwaczniejsze koalicje i zawierano traktaty — których warunków dotrzymać było niepodobna.

Lecz któż myślał w 15 wieku o dotrzymaniu traktatów! Był to przecież czas najwyższego rozkwitu machiawelizmu, czas, w którym otwarcie wypowiedziano zdanie, iż traktaty się zawierają na to, ażeby je w danej chwili łamać, a przysięga służy tylko do uspienia niebacznego przeciwnika. Rozumie się, że tak Francja jak i Maks, nie szczędzili zabiegów, by do walki wciągnąć jak najszersze koło sprzymierzeńców. W tym też celu zapewnia Maksymilian bezustannie posłów polskich, proszących jego i Rzeszę niemiecką o pomoc przeciw Turkom, o szczerych chęciach swoich dla Polski i Olbrachta, a przestrzega przed Francją i obietnicami ztamtąd czynionemi. Obawiał się widocznie cesarz zbliżenia się Jagiellonów do Francji już wówczas — kiedy jeszcze może nie powstała w umyśle Ludwika XII. myśl kosalicji z Polską i Węgrami. Łudzi Polskę i jej króla nadzieją pomocy osobistej, i koalicją wszystkich państw chrześciańskich. Przyrzeka zwołać wkrótce sejm Rzeszy niemieckiej dla naradzenia się

nad niebezpieczeństwem tureckiem, a nawet wydaje posłom polskim mandaty dla niektórych książąt Rzeszy, w których tychże wzywa — ażeby niezwłocznie pospieszyli Olbrachtowi z pomocą, gdyby tenże od nich jej przeciw Turkom zażądał. W ten sposób chciał Maks. przekonać Olbrachta o swoich dobrych chęciach dla Polski, a jednocześnie odwrócić go od Francji — która w poszukiwaniach swoich za sprzymierzeńcami — prędzej lub później natrafić musiała na Jagiellonów.

Całą tę pod każdym względem ciekawą i zajmującą sprawę przedstawił w znakomitem zestawieniu Dr. Hirszberg. Oparłszy się na dotąd mało znanych, a w części zupełnie nowych źródłach węgierskich i francuskich, skreślił żywo i zajmująco zabiegi Ludwika XII. około nawiązania stosunków z Jagiellonami. Lecz główną oddał historji polskiej przysługę wyświeceniem nader trudnej i zawiłej sprawy małżeństwa Władysław.. z Anną Candale. Dotąd bowiem domyślano się tylko, że poseł francuski wiózł ze sobą do Polski i Węgier prócz warunków przymierza, nadto jeszcze gotowy projekt małżeństwa króla węgierskiego z księżniczką francuską.

Sprawę tę rostrzygnął autor na podstawie nieznanych dotąd naszym pisarzom relacyj francuskich posłów i instrukcji Ludwika XII, danej tymże. Tem się też tłumaczy stanowisko Maksymiliana po r. 1500 względem Jagiellonów. Wspomnieliśmy, że traktatem preszburskim zapewnił sobie Maksymilian następstwo w Węgrzech na wypadek bezpotomnej śmierci Władysława. Władysław tymczasem dobiegał już lat pięćdziesięciu w stanie zupełnego celibatu. Z dniem każdym rosły nadzieje Maksymiliana, już widział się u celu swoich marzeń, gdy wtem zbliżenie się Francji do Węgier i małżeństwo Maksymiliana z Anną Candale zmieniły wszystko do niepoznania. Nietylko bowiem otrzymają Węgry następcę tronu — lecz nadto wpływy pięknej i rozumnej francuzki, neutralizować będą wpływ zauszników habsburskich, których dość miał Maksymilian na dworze peszteńskim.

B. M.

Przegląd muzyczny.

Nowy rok zapowiedziany jako wojenny, w początkach swych zawiódł zupełnie, okazując się — u nas przynajmniej — przeważnie muzom oddanym. Koncerta, występy gościnne i na nowo odgrzewane operetki w teatrze przerywane bywają tylko — cudackiemi zgromadzeniami w ratuszu. To też odwracamy się ze zgorszeniem od tych ostatnich pragnąc wstyd za niektórych lwowian utopić w morzu tonów.

Niezaprzeczenie ponętą swego programu i sposobem wykonania zajął tu naczelne miejsce pierwszy tegoroczny koncert Galic. Towar ystwa muzycznego. Oddając hołd płci pięknej najpierw podnosimy nr. 4. programu: Kawatynę wiecznie nową i młodą — bo prawdziwie piękną do słów: *una voce poco fa* z Cyrulika Sewilskiego. Utwór ten Rossiniego, stał się niejako kamieniem probierczym, za pomocą którego spiewaczki zwykły dawać poznać materjał głosowy, którym rozporządzają i stopień doskonałości, jaki osiągnęły w jego użyciu. Pani Gerbicz — o ile wiemy — po raz pierwszy występująca przed naszą puublicznością, zdobyła sobie od razu zupełne uznanie tak w pierwszym jak i w drugim względzie. Głosik bo to prawdziwie srebrny, szczególnie w wyższych tonach dźwięczny i czysty jak dzwonek; przytem metoda wyborna, wyrównanie głosu we wszystkich przejściach znakomite, giętkość i łatwość w najtrudniejszych pasażach wcale niepospolita, dykcja wyborna. To też uwzględniając nieunikniona w takich razach a na śpiewaczkę szczególnie deprymująco działającą obawę o wynik pierwszego występu z przyjemnością konstatujemy fakt, że powodzenie było zupełne i zasłużone. Dowodem tego dwukrotne, bardzo gorące oklaski, któremi dosyć chłodna zresztą publiczność tego koncertu artystkę odznaczyła. Mniej powodzenia miał p. K. mimo, że wedle najlepszej widocznie możności swej starał się interpretować spiew p. t. „Skrucha“ z towarzystwem instrumentów smyczkowych pana Mikulego. Kompozycja ta głęboko pomyślana, wymagająca głosu silniejszego a oddania większem ciepłem przejętego. To rozżalona dusza wyrywająca się z pęt tego świata, jak to nad wszelki wyraz pięknie tłómaczą ostatnie takty akompaniamentu. Szkoda żeśmy niemogli usłyszeć poraz drugi tego bardzo sympatycznego utworu. Najbardziej pociągającym numerem tego koncertu prawdziwą *„piece de résistance“* był niezawodnie poraz pierwszy we Lwowie słyszany prelud do biblijnego poematu „Potop“ kompozycji Kamilla Saint-Saenśa. Śliczna bo też to rzecz Temat dosyć prosty, ale tą prostotą piękny, bo z głębi duszy płynący, nader zręcznie za pomocą prostych, i stosunkowo do pełnej orkiestry ubogich środków kwartetu smyczkowego, uzmysłowiony, coraz głębiej wciska się w duszę słuchacza; zadziwia przytem rozmaitość dźwięków, jakie z połączeniem tych instrumentów przez znakomite ich przez kompozytora użycie i ugrupowanie wynikają, tak, że po przebrzmieniu ostatnich akordów tęskno się robi słuchaczowi, jakby z czarownego snu się obudził. Sądzimy, że wyrażamy życzenie ogółu uczestników koncertu niedzielnego zanosząc prośbę do dyrekcji o powtórzenie tego prawdziwego cacka nowożytnej kompozycji zaraz na najbliższym koncercie.

Po tym utworze nowej ery zrazu dziwnie jakoś sztywnym, w ciasnych formach skrępowanym zdawał nam się prześliczny i znakomity w swoim rodzaju, Bacha koncert na 3 fortepiany z towarzystwem instrumentów smyczkowych. Ale już po pierwszych kilkunastu taktach ustąpiło to wrażenie prawdziwemu zajęciu, które wywołała gra trzech młodziutkich uczennic p. Mikulego, „jakby jeden mąż“ pracujących nad trudnem swem zadaniem: perłowa równość we wszystkich pasażach, z zadziwiającą akuratnością przeprowadzane crescenda i dimminuenda, zupełna jedność myśli w najsubtelniejszych odcieniach, złożyły się na całość skończenie piękną.

Zanim zakończymy niniejsze sprawozdanie, wypada nam wspomnieć o serenadzie (c dur) Dworzaka, (pierwszy numer programu) która mimo dosyć udałego wykonania nie zdołała wzbudzić w nas najmniejszego zajęcia.

Natomiast dodać musimy z uznaniem że p. Wolfsthal, po którego występach solowych, nie wiemy dla czego powstała w nas obawa ażali on, mimo oślniewającej swej techniki, potrafi odpowiedzieć zadaniu pierwszego skrzypka w kwartecie nader miłą nam zrobił niespodziankę; grał bowiem ustępy w serenadzie, a szczególnie w preludjum, na pierwszym skrzypku polegające, nie tylko czysto i poprawnie, ale z wcale pięknym tonem a nawet z uczuciem, których brak właśnie mieliśmy mu do zarzucenia po jego poprzednich występach, a zwłaszcza po koncercie dnia 2. b. m. na korzyść „Przymierza braci“ odbytym. Jedną wszakże prośbę zmuszeni jesteśmy zanieść do p. W. w imieniu tej części publiczności, która jeszcze niezagłuszyła w sobie poczucia piękno aby w ustępach śpiewnych, w nutach przeciągłych wstrzymywał się od tremolowania a przynajmniej nie tak często jak to dotychczas u niego uważaliśmy, go używał. Wszak to należy niezaprzeczenie do pierwszych zadań Towarzystwa muzycznego, aby kształcić i podnosić smak estetyczny ogółu, czego przecież osiągnąć się nie da schlebianiem modzie. Zostawmy to raczej dyletantkom i dyletantom, którym przebaczyć można jeśli, jak się działo na wspo-

mnianym właśnie „dobroczynnym“ koncercie, bez wielkich trudów — na które narażać się nie mają potrzeby — zaimponować chcą wykwintnym programem i zaskarbić sobie poklask grona słuchaczy, jedynie w celach dobroczynnych bywających na koncertach.

Uwagi te jednak bynajmniej się nie stosują do 1go numeru programu z dnia 2. bm. (Andante con variazioni Hummla, na dwa fortepiany), który odegrany był przez pannę Fr. i p. dyr. Mikulego, z lekkością, werwą i miarą jedynie prawdziwemu artyzmowi właściwą.

O koncercie p. Anny de Blanc, który nawiasem mówiąc dosyć niepostrzeżenie przeszedł, dla braku miejsca sprawy zdać nie możemy. Ile się zdaje ani program ani jego wykonanie, nie zdołały przełamać obojętności ogółu. X.

ZIARNKA.

Z Krakowa doszła nas smutna wieść o śmierci Stanisława Lipińskiego, artysty rzeźbiarza, który dobrze zasłużył się sztuce krajowej. Urodzony w r. 1841 na Ukrainie uczęszczał początkowo do szkoły sztuk pięknych w Warszawie, i kształcił się pod kierunkiem Hegla. Kiedy w r. 1860 szkoła ta zamkniętą została, młody artysta udał się do Genui, gdzie w swoim zawodzie kształcił się dalej. Powstanie 1863 roku przerwało tę pracę. Lipiński wrócił do kraju, i własnym po części kosztem a głównie własnym zachodem utworzył oddział kawalerji, po którego rozbiciu dostał się do niewoli. Chciano go powiesić, ocaliło go jednak to, że podał się jako obywatel austryjacki, w skutek czego wysłany został tylko... na Sybir. Po pięciu latach niewoli biedny artysta udał się do Francji i Włoch, a w r.1875 ożeniwszy się, wrócił do Galicji: Odtąd zaczynają się najtwardsze chwile jego żywota. Artysta u nas nie kroczy po różach. Troska o chleb powszedni zabija w nim święty ogień zapału, zmusza robić nie to, co każe natchnienie, lecz to do czego znagla potrzeba. Zamówinaeń prace artyczne u nas nie wiele. Braknam mecenasów sztuki, brak w ogóle pieniędzy na poparcie estetycznych zachcianek, więc artysta zamiast dążyć do wyższych celów i zadań, często nawet bardzo często zniżać się musi do rzemieślniczej roboty... Doświadczył tego boleśnie Lipiński. Potrzeba zmuszała go nieraz rzucać roboty artystyczne, i oddawać się modelowaniu ornamentów, a nawet kamieniarce. Żywot ten był tem trudniejszym dla Lipińskiego, ile niepodległy charakter jego nie pozwalał mu się płaszczyć, i prosić o poparcie. Wolał on żmudnie pracować na kawałek chleba, aniżeli jednem słowem pochlebstwa lub prośby zdobyć sobie byt niezawisły.

Ztąd też poszło, że najpiękniejsze dzieło jego „Opuszczona“, która zdobyła sobie na wystawie wiedeńskiej r. 1873 medal I. klasy, musiała być zastawiona wyraźnie z a s t a w i o n a w Paryżu...

Lipiński mimo wielu prac drobnych, dokonanych dla chleba, pozostawił po sobie prócz „Opuszczonej“ kilka rzeczy wysokiej wartości artystycznej, a mianowicie dwa szkice „Powój“ i „Wolny,“ a w ostatniej chwili doświadczył srogiej ironii losu. Powołany do wykonania kilku figur dla fryzu budującego się w Wiedniu gmachu parlamentu, zalecił się wymodelowaniem „Galicji“ w stylu klasycznym, w skutek czego polecono mu wykonać „Austrję“ i wiele prac innych. Prace te były by mu przyniosły dochód dość znaczny, ale właśnie w tej chwili sroga Parka przecięła dni jego żywota.. W Krakowie poruszono myśl, aby wykupić ze składek z zastawu jego „Opuszczoną“ dla Muzeum w Sukiennicach. Myśl tę popieramy gorąco, bo będzie ono przynajmiej pięknym pomnikiem działalności utalentowanego artysty.

* * *

„Biblioteka warszawska“ umieściła bardzo cenny i gruntownie opracowany artykuł o galicyjskich szkołach średnich, nie wyczerpała jednak przedmiotu o tyle, że nie wszędzie podała środki zaradcze przeciwko złemu. I tak n. p. mówiąc o fatalnej instytucji suplentów, wykazuje wszystkie słabe jej strony, słusznie wini rząd, że cierpi coś podobnego u siebie, ale nie dodaje zarazem że aby zapobiedz złemu, należy wprowadzić częściowe egzamina takie, jak mają wszystkie inne wydziały uniwersyteckie. Bo cóż się dziś dzieje? Oto ukończony gimnazjasta zapisuje się na Wydział filozoficzny, a że go nic i nikt do nauki nie zmusza, więc często się zdarza, że przez 3 lata nic nie robiąc zapomina to, czego się w gimnazjum nauczył. Jest to niestety smutny fakt, ale fakt. Gdyby wprowadzono egzamina częściowe, nie narażanoby słabości natury ludzkiej na takie niebezpieczeństwa, bo każdy czułby się do nauki,niejako zmuszonym, za co — swoją drogą — każdy byłby wdzięczny.

Po drugie, ministerstwo utrzymuje przy każdem gimnazjum etat nauczycieli z przed 30 kilku laty, jak gdyby zapomniano że ilość młodzieży w szkołach nie podwoiła, ale się co najmniej potroiła od tej pory, a dla miłej oszczędności z obsadą posad wstrzymują się nie raz po roku. Niechże najpierw pomnożą liczbę posad profesorskich, a następnie niech zniosą system nieegzaminowania suplentów, a wiele złego się tym sposobem usunie.

* * *

Od kilku dni, wieczorami, róg Halickiej koło lwowskiego pałacu sprawiedliwości alias kryminału, roi się tłumem ciekawych, którzy zadarłszy głowę ku gwiaździstemu firmamentowi, mimo siarczystego mrozu, z nabożeństwem przypatrują się godzinami niebywałemu u nas zjawisku. W tem miejscu bowiem ustawiono lampę, widocznie próbną, która z odległości już kilkus et kroków zwabia ku sobie przechodniów intezywnym i szerokim snopem światła, - w obec niego zaś, staruszki latarnie gazowe wyglądają tak niepocieszne, jak żydowska szabasówka przy eleganckiej świecy woskowej. Nie wiemy, kto właściwie urządził tę prób ę, podobno magistrat z codziennych dzienników miejscowych, jak zwykle „dobrze poimformowanych“, o tem, jak nie mn ej w ogóle, czy to lampa elektryczna, czy gazowa z umyślnym jakimś palnikiem, dowiedzieć się trudno — na każdy jednak sposób różnica oświetlenia, w porównaniu z niefortunnemi dotychczasowemi eksperymentami gazowej spółki, bez kwestji tak uderzająca w oczy, że nie podobna nie oświadczyć się odrazu za tą nowością. W Europie myślą serjo o oświetleniu miast lampami elektrycznemi — my tu we Lwowie prosimy kogo należy, przynajmnie o takie latarnie gazowe — jak ta próbna.

ZAPISKI.

Literatura.

* L i s t y i d e p e s z e S t a n. P o n i a t o w s k i e g o z r. 1758, jako posła Rzeczyposp. przy dworze petersburskim pisywane do Brühla, znajdujące się w wielkiej ilości w jednem z archiwów zagranicznych, mają posłużyć za osnowę do ciekawego obrazu, jaki na tej podstawie zamierza niebawem skreślić p. K. Jarochowski. Listy te będą prawdopodobnie ogłoszone oddzielnie, i przyczynią się niemało do uzupełnienia dziejów przedkrólewskich Stanisława Poniatowskiego.

* Dwóchsetną rocznicę zwycięstwa króla Jana III pod Wiedniem, postanowiła krak. Akademia umiejętności upamiętnić cennem wydawnictwem w oddzielnej książce źródeł, odnoszących się wyłącznie do dziejów wiekopomnej wyprawy króla rycerza. Już od lat kilku Akademja grom dziła materjał do historji samego bohatera owej ep ›ki. Mianowicie, ogłoszono pod red. T. Kluczyckiego 2 tomy p. t. „Pisma do wieku i spraw Jana Sobieski ›go“, które obejmuję okres od 1629 do 1674. Wydan › później dwa tomy korespondencji dyplomatycznej, sięgającej aż po rok 1679. Także nieodżałowanej pamięci dr. Lucas, zebrał był liczne dokumenta, listy i pisma dotyczące owej opeki. Ostatecznie Akademja wydelegowała prof. Smolkę do Wiednia, któremu podobno udało się wynaleść w archiwum państwowem wiele ciekawych materjałów, rzucających na sprawę odsieczy nowe światło. Najnowsze wydawnictwo Akademji, na podstawie tych ostatnich badań, wyjdzie prawdopodobnie z pod prasy w ciągu kilku miesięcy, a obejmuje mnóstwo listów króla Jana do żony, i dostarczy wątku do niejednego rysu psychologicznego tego wielkiego wojownika.

* Dziełem nader ważnem dla historji kościoła w Polsce, równie jak dla dziejów ogólnych, zawierającem mnóstwo szczegółów dotąd nieznanych, z akti archiwów, przeważnie gnieźnieńskich, zaczerpniętych, jest ks. Jana Korytowskrego, kanonika gniezn. praca wielkich rozmiarów, owoc długoletnich badań i poszukiwań: „Prałaci i kanonicy katedry metropolitalnej Gnieznieńskiej, od r. 1000 aż do naszych czasów. Tom III ciekawego tego wydawnictwa jest już na ukończeniu (zesz. XI. Sirmieński).

* W ostatnim zeszycie pisma „Russkaja myśl“ pojawiła się naszkicowana monografia Kostomarowa, o Mazepie, w której jest mnóstwo nowych szczegółów.

* Jako próbkę, wymowną, o ile różni się nasza Galicja od ziem zabranych, pod względem ochoty do czytania i prenumerowania pism perjodycznych przytaczamy z radomskiej korespondencji w Nowinach warszawskich, następującą notatkę: Za pośrednictwem poczty, księgarni i kantorów, Radom otrzymuje 267 dzienników, 274 tygodników i miesięczników treści ogólnej, a 228 — specjalnej, oraz 285 pism illustrowanych a 106 ludowych i dziecięcych. Z dzienników przychodzi do Radomia 22 egz. Echa 12. Gazety handl., 14 Gazety polskiej, 48 Gazety warszawskiej, 2 Kurjera porannego, 94 Kurjera warszawskiego, 21 Nowin 13 Słowa, 26 Wieku. Z tygodników najwięcej czytelników ma „Tygod. Ilustrow.“

* Pierwszy zeszyt niemieckiej publikacji „Zeitschrift für Geschichte und Länderkunde der Provinz Posen“, zawiera artykuły o Międzyrzeczu, o historji augsburgskiego wyznania w Poznaniu, o Janie Łaskim, o ludności niemieckiej w czasie rozruchów w r. 1848, o Fryderyku W., obwodzie nad Notecią i t, d.

* „Niwa“ zapowiada nowe opowiadanie Turgeniewa, które ma się pojawić w tem piśmie jeszcze bieżącej zimy.

* W jednym z ostatnich numerów „Figara“ Albert Wolff opowiada genezę nowej powieści Daudeta „Ewangelistka“ Daudet miał z początku zamiar napisać dla „Figara“ romans humorystyczny p. t.: „Trousseaux et layettes“ (wyprawy i wyprawki); cały plan powieści był już gotowy, gdy w tem zdarzył się wypadek, który zmienił zupełnie zamiary autora. Najstarszy syn Daudeta pobierał lekcje języka niemieckiego od pewnej niemłodej już kobiety. Autor „Nababa“ zauważył kilkakrotnie, że nauczycielka jego syna była bardzo smutną, i nieraz łzy płynęły jej z oćz mimowoli. Daudet zaprosił ją do swojego gabinetu, i ta opowiedziała mu o swojem nieszczęściu. Miała ona córkę, którą zawerbowała w swoje szeregi fanatyczna sekta protestantyzmu, zwąca się „Armią zbawienia.“ Młoda dziewczyna do tego stopnia przejęła się doktrynami, że porzuciła matkę, i zaczęła walczyć pod sztandarem sekty, co było przyczyną smutku opuszczonej a kochającej nad życie swoją córkę matki.

Z relacji tego wypadku, Alfons Daudet miał gotowy temat do powieści; postanowił napisać studjum psychologiczne, którego celem miało być przedstawienie kolejne wszystkich faz obłąkania religijnego. Skończywszy swą pracę, czyli jak ją sam nazwał „obserwację“, poświęcił ją słynnemu psychiatrze paryskiemu dr. Charcot.

* Ludwik Blanc pozostawił po sobie zupełnie ukończone dzieło, obejmujące historję Francji z roku 1875, w którem rząd trzeciej republiki w sposób dosyć pessymistyczny przedstawia.

* * *

Teatr i muzyka.

* Sławna wiolonistka Teresa Tua, która niedawno temu we Wiedulu tyle entujazmu wywoływała, zdaje się będzie miała niebawem niebezpieczną rywalkę, jeśli oczywiście zawierzyć można na słowo pełnym zachwytu sprawozdaniom włoskich dzienników. Oto w Catanii dała się słyszeć ze swoją grą ostatniemi czasy młoda sycylianka Lucietta Neglia, w artyzmie swoim nie ustępująca wcale głośnej pannie Tua, i równie jak ta młoda i piękna. Jeden z zapalonych reporterów nazywa ją: „un amore di bambina“, a wszystkie dzienniki przepełnione są pochwałami dla młodziutkiej artystki, której dziś już rokują świetną karjerę.

* Niemiecki pisarz Ernst Wildenbruch, wykończył temi czasy nowy utwór sceniczny pt. „Król Kandji“, w 3 aktach, zapełniających cały wieczór. Ma to być komedja współczesna oparta na tle stosunków i przesądów kastowych, które autor miał sposobność wystudiować naocznie.

* Jak zapewniają francuskie dzienniki, mise en scene nowej opery Saint-Sensa pt. „Henryk VIII“, którą mają niebawem wystawić w Paryżu, kosztuje bagatelkę — 240000 fr.

* Suppé skomponował nową operę p. t.: „Czterdzieści dni.“

Adelina Patti otrzymała order Kapiolan od monarchy hawajskiego Kalakau I.

* * *

Sztuki piękne.

* Ministerstwo nadesłało już dla krakowskiej szkoły sztuk pięknych zakupionyprzez siebie obraz Kozakiewicza: Żydzi modlący się w synagodze.

* Nakładem Didota w Paryżu wyszło dzieło: Dictionaire de l'art et de la Curiosite par M. Bose. Siedemset dwie rycin i cztery litografje zdobią tę publikację.

* J. Sonnenleiter, znany miedziorytnik został mianowany profesorem wiedeńskiej akademji sztuk pięknych.

* Rząd pruski zakupił kolekcję obrazów japońskich Gerkego, o której pisaliśmy w ostatnim numerze, i przydzielił ją do oddziału sztychów.

* Piotr Gross, sławny malarz na szkle, który na nowo niejako odkrył tajemnicę malowania na szkle, umarł w Bonn, licząc 70 lat życia.

* Wykopaliska w Pompei wciąż dostarczają bogatego plonu archeologom. W ostatnich czasach wydobyto znów mnóstwo ciekawych przedmiotów. Między innemi zwraca uwagę wspaniała fontanna, o wysokiej kopule. Pokrywa ją bogata mozajka na tle błękitnem, przedstawiająca cały szereg bóstw przeróżnych, tudzież zwierząt. Wszystko wykonane wprawną ręką dobrego artysty. Odnaleziono także wielkich rozmiarów malowidło, które podobno wyobraża sąd Salamona (?)

* Posąg dłuta Bartholdi'ego „Bogini wolności“, który temi dniami wysłano z Paryża na miejsce przeznaczenia do Now. Yorku, jest o 40 stóp wyższy od kolosu rodyjskiego, zatem posiada w całości t. j. od stóp do szczytu pochodni, nie licząc w to piedestalu, 145 stóp wysokości. Rozmiary piedestalu u góry, gdzie spoczywają nogi posągu i rozścielają się draperje spływające, zawierają 40 stóp kwadr.

* Architekt Gurlitt sądzi, że udało mu się odnaleźć młodzieńczą pracę Andrzeja Schlütera w zamku Wilanowskim. Przedłożył on w berlińskiem tow. architektów szkic pałacu i twierdzi, że w architektonicznem ugrupowaniu części wykończonej za Jana Sobieskiego (1691—1694), wyraźne są podobieństwa w traktowaniu fasady, z zamkiem Berlińskim.

* Ostatni zeszyt „The Academy“ zawiera interesujący artykuł o rzeźbie asyryjskiej, napisany prsez T. L. Conolly'ego p. t.: „Assyrian sculptures in the Vatican.“

* Oskar Mothes, saski radca budowniczy, wydał pierwszą i drugą część dzieła, p. t.: „Die Baukunst des Mittelalters in Italien“, w którem oparty na badaniach najnowszych w tym kierunku, dochodzi do wielu nowych rezultatów.

Wiadomości społeczne.

* Z nadesłanego nam z Jass „sprawozdania z czynności Towarzystwa Bibljoteki polskiej w Rumunji za r. 1882,“ wyjmujemy niektóre cyfry, jako najlepiej świadczące argumenta o istnieniu, pożyteczności i rozwijaniu się stopniowem a ciągłem tej jedynej polskiej instytucji na Wschodzie. W roku ubiegłym darowano bibljotece 178 dzieł, a bogata czytelnia posiadała wszystkie pisma polskie, bądź za darmo, bądź za pół ceny. Wkładki miesięczne 70 członków, składki na szkołę polską i inne dochody pomniejsze, uczyniły przez rok pokaźną cyfrę 3774 franków. Obecnie fundusz żelazny bibljoteki wynosi 6521 frank' fundusz, budowy szkoły: 8088 franków.

Aby otworzyć szkołę, potrzeba jeszcze 4000 fr., które być może w roku następnym przy pomocy kraju zbiorą się, tymczasem trzeba pomyśleć o kupnie domu na własność Towarzystwa bibliot. w którym tak książnica jak i szkółka polska mogłyby się pomieścić.

Zarząd biblioteki składają pp.:

Dr. Łukaszewski, Dworzak, Gąsiorowski, Kliński, Dr. Lippa, Linde, Zbyszewski.

* Graphic podaje, że w granicach Indyj angielskich używają nie mniej nie więcej jak 132 rozmaitych języków.

* Na Wystawie Stenograficznej w Paryżu miano sposobność porównać 84 metod stenografii. Pierwsza z nich datuje się z r. 1683, a twórcą jej szkot Ramsay. Wśród mnóstwa wystawionych rzeczy, dwie zwracały tam ogólną uwagę, jako osobliwości w swoim rodzaju: zwykłą korespondentka, na której zdołano pomieścić 44000 słów, i stenograficzne wydanie biblji.

Nauki przyrodnicze.

* Paweł Bert, znakomity fizjolog francuski odkrył że krew zwierząt roślinożernych, zaaklimatyzowanych na wyżynach co najwięcej 3500 metr wysokości, zawiera znacznie więcej tlenu, niźli u tych samych zwierząt wśród dolin. W 100 centmtr. kub. krwi u ostatnich znalazł ledwie 10—12 ctmtr. kub. tlenu, podczas gdy w odpowiedniej ilości krwi czworonożnych tamtych mieszkańców gór, okazało się 16—22 kub. ctmtr. Być łatwo może, że podobny stosunek zachodzi odpowiednio i u ludzi.

* Egiptolog Maspero, jeden z najznakomitszych badaczów francuskich w krainie Faraonów, dyrektor muzeum w Bulaku, znalazł w jednym z sarkofagów osę w stanie mumii, która zapewne równocześnie z ciałem zabalsamowanem dostała się do środka trumny. Ponieważ ten sarkofag pochodzi z epoki bardzo odległej, bo na 3500 lat przed Chrystusem, może być nader ciekawą rzeczą zbadanie, ze względu na transformizm, czy i o ile osa epoki dzisiejszej, różni się od swej prastarej towarzyszki.

* Candolle dowiódł, że z 140000 znanych gatunków roślin, człowiek zpotrzebowuje dla siebie na rozmaite cele ledwie 300.

MISCELANEA.

Wyprawy naukowe w niegościnne strefy zimne nie tylko nie ustają, ale raczej ciągle się wzmagają. Obecnie już nie zajmują się niemi tylko odważni nauce oddani podróżnicy, ale niemal wszystkie państwa europejskie zaopiekowały się tymi ludźmi, co własne życie ważą dla dobra ludzkości, jak również i celami tych ważnych wypraw. Niezawodnie nie mogą one wszystkie równie pomyślnych wydać rezultatów, bo często spotykają przeszkody, które im uniemożliwiają jakąkolwiek pracę, ale to pewna, że bez wpływu na naukę znaczna ich część nie pozostanie.

O austryjackiej wyprawie na wyspę Jan Mayen, pisaliśmy już obszernie, zaś obecnie nic jeszcze nowego o niej powiedzieć nie możemy, nie nadeszły bowiem dotąd wiadomości dalsze. — Niemiecka wyprawa stanęła już na miejscu przeznaczenia w północnej Ameryce, na północ od zatoki hudsońskiej, ale na wynik jej prac również jeszcze czekać potrzeba. Druga wyprawa niemiecka udała się do Południowej Gerogii na oceanie południowym lodowatym.

Hamburgskie Towarzystwo geograf. postanowiło, na jednem z ostatnich posiedzeń swoich urządzić nową wyprawę do nieznanych jeszcze obszarów w środku wschodniej Afryki. Gdy w r. 1879. Denhardt wrócił do Europy, jeden z jego towarzyszów wyprawy, Dr. med. J. A. Fischer pozostał w Zanzibarze, i w lecie z r. zniósł się z Tow. hamburgskiem, celem dalszych badań. Chciał on nasamprzód dotrzeć do gór śnieżnych, a potem zwrócić na północ do krajów Gallasu. W tym celu subskrybowało zaraz 40 członków fundusz z 15000 marek. Obecnie Towarzystwo zebrało wystarczające fundusze na dłuższą wyprawę, która ma niebawem złączyć się z Fischerem.

Francja wysłała tylko jedną wyprawę na Kraj Ognisty w południowej Ameryce, a w Kanadzie funkcjonują stacje angielskie. Nawet Finlandja idąc za ogólnym prądem, urządziła u siebie kilka stacyj, a nie widzimy w tym spisie z państw, nadmorskich, trzech wielkich półwyspów południowo-europejskich. Że bałkański nie bierze udziału w pracy międzynarodowej — nic dziwnego, boć on sam znajduje się w stanie, dla którego należałoby urządzić także jakieś obserwacje, ale Włochy i Hiszpania nie były powinne pozostawać tak bardzo w tyle.

Rosja urządziła wielką stację obserwacyjną, u ujść Leny, w północnej Syberji, zaś siedm mniejszych w środku lądu stałego. Niefortunnie powiodło się wyprawom holenderskiej i duńskiej. Pierwsza miała za cel przeznaczone ujście Jenisseju, druga przylądek Czeluskin, obie niestety musiały pozostać na morzu karyjskiem, gdzie je lody otoczyły. Czy uda im się uwolnić z tych zimnych uścisków — dotąd niewiadomo. Również szwedzka ekspedycja do Spitzbergu nie zupełnie się udała, lody bowiem ją powstrzymały, więc zawinęła do przylądku Tordsen, i tam urządzono stację obserwacyjną. Ameryka północna nie pozostała w tyle za Europą, i urządziła dwie wielkie stacje na północy, a do Grenlandji przybiła się druga, szczęśliwsza od pierwszej wyprawa duńska. Że zaś Rosji udało się założyć stały punkt obserwacyjny na Nowej Ziemi, nie bardzo rzecz szczególna, skoro zważymy, że przystęp do niej jest dość łatwy.

Treść:

Nasza prasa prowincjonalna.

Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)

Rossowski: Z naszych dni (wiersz).

Hodoly L.: Ojciec Norymbergius.

R. Ludwika: Słuchaj!

Spencer H.: Obyczaje kupieckie.

Przegląd literacki.

Przegląd muzyczny.

Ziarnka.

Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Miscelanea.

Od Administracji.

Zwracamy jeszcze raz uwagę Szanownych Prenumeratorów naszych, że rozpoczęliśmy kwartał drugi i chcemy uregulować nakład.

Prosimy o odczytanie ostatniego ustępu pierwszej stronicy okładki, gdzie są podane warunki przedpłaty.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza

Nr. 4. We Lwowie dnia 20. Stycznia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta**. Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Literacki nasz dorobek

w porównaniu
z ościennymi narodami.

Stary Pitagoras już powiedział, że cyfry rządzą światem — my dziś powiemy, że nie rządzą, lecz są określonym i ścisłym wyrazem stosunków, które przedstawiają. Przyznają też nam czytelnicy, że niewymownie ciekawą jest rzeczą dowiedzieć się, jak też w świetle owych cyfr wygląda roczna nasza produkcja dziennikarska i książkowa — wiadomość ta przytem stanie się tem dla nas ciekawszą i tem więcej mówiącą, gdy rezultaty naszej produkcji umysłowej, uwidocznione czarno na białem, porównamy z produkcją tejże kategorji innych narodów, w nieco przynajmniej podobnych z nami żyjących warunkach.

Dobrze to jest, od czasu do czasu zaglądać w podobne zestawienia — stokroć lepiej, niż dusić się w gęstym dymie kadzideł, które sami wsypujemy do trybularza, funkcjonującego przed naszemi własnemi ołtarzami, i lepiej równie poradzić się cyfr, niż udrapowawszy się w pessymistyczną togę, rzucać fajerwerkowe gromy na to, o czem się nie ma dokładnego pojęcia.

Żałujemy, że bilans nasz literacki za świeżo ubiegły rok jesze nie zamknięty, za rok jednak zaprzeszły, 1881, posiadamy go w całej pełni, wraz z porównawczemi zestawieniami, dzięki p. Kornelemu Heckowi, którego sumienną nader rozprawę, świeżo wyszłą we Lwowie p. t. „Bibliografia Polska z roku 1881." mamy właśnie pod ręką. Dobrze rekomendujący się swym literackim debiutem młody autor rozprawy, nie poprzestał jednak na ułożeniu własnego naszego bilansu, lecz porównał go z ruchem literackim za tenże czas w Czechach, na Węgrzech i w Rosji. Okoliczność ta czyni pracę jego tem cenniejszą, dodać przytem należy, że autor starał się nawet porównawczy zakres swej pracy dalej jeszcze rozszerzyć, wywody przytem swe pracowicie ułożył w odpowiednie tablice.

Spieszymy tedy zapoznać czytelników naszych z najważniejszemi wynikami tej interesującej pracy.

Autor dzieli słusznie całą produkcję piśmienniczą na dwa wielkie działy: prasa perjodyczna i wydawnictwa książkowe. Nader przytem racjonalnie stawia p. Heck ruch piśmienniczy, szczególniej zaś dziennikarski w zawisłości od czterech głównie, najsilniej wpływających nań, warunków. Warunkami temi są: samodzielny byt polityczny, swobody konstytucyjne, oświata i dobrobyt. Mając na uwadze te wpływy, łatwiej zrozumiemy każdoczesny stan produkcji umysłowej w każdym narodzie.

Zaczynajmy od nas samych. Przystępując do zobrazowania naszego piśmienniczego dorobku, musimy przedewszystkiem traktować każdą z trzech wielkich dzielnic, zamieszkiwanych przez nasz naród oddzielnie, następnie zaś dopiero zebrać to w summę ogólną. Tak też postępuje i autor „Bibliografii polskiej z r. 1881." Nader różne warunki, w jakich znajduje się każda z naszych dzielnic, odcisnąły też wybitne piętno i na produkcji literackiej polskiej. Uwzględniwszy tę dopiero okoliczność, zająć się możemy porównaniami.

Otóż naprzód w krajach polskich pod panowaniem pruskiem, na 2,700.000 zamieszkałej tam ludności polskiej, wychodziło 30 tylko czasopism, wypada więc 1 czasopismo na 90.000; w ziemiach polskich pod panowaniem austrjackim wychodziło na 3,238,534. przyznających się do narodowości polskiej 87 czasopism, co stanowi 1. czasopismo na 37.225 mieszkańców; w krajach wreszcie polskich pod panowaniem rossyjskiem, na 7,100.000 ludności polskiej wychodziło 85, czasopism, czyli 1 czasopismo na 85.880 mieszkańców — razem wychodziło w r. 1881. na 13.638,534 polaków 202 pism polskich, z czego wypada 1 pismo na 64.540 polaków.

W tymże czasie wychodziło czesko-słowackich pism ogółem 182, na 7,031.000 ludności, t. j, 1 pismo na 38.630 mieszkańców. Widzimy więc, że Czecho-słowacy o połowę mniejsi liczebnie od nas, równą prawie posiadali liczbę czasopism.

Jeszcze korzystniej wypada cyfrowy rezultat dla Węgrów. Węgrzy, liczący wszystkiego 6,400.000, posiadali w tymże czasie 224 czasopism, t. j. 1 pismo na 28.400 mieszkańców.

Piśmiennictwo perjodyczne rossyjskie o wiele przewyższa naszą cyfrę bezwzględną, jest jednak słabo jeszcze, stosunkowo do ludności i zamieszkiwanych przez nią obszarów, rozwinięte. Na 44,600.000 ludności wielkorossyjskiej wychodziło 489 czasopism t. j. 1. pismo na 91.200. Ostatni ten stosunek wypadnie o wiele niekorzystniejszy, jeżeli zwiększymy po za granicę

wielkorossyjskiego plemienia ludność, czytającą w języku rossyjskim.

Z innych jeszcze literatur — Rusini z Przed i Zalitawii, na 3,150.600 ludności posiadali pism 17, co stanowi 1 pismo na 185.360 mieszkańców.

Nie będziemy szczegółowo tłumaczyć, dlaczego dochodzimy do takiego, a nie innego cyfrowego rezultatu, czytelnicy bowiem, pomnąc na ogólne przyczyny, wpływające na wzrost lub upadek piśmiennictwa, sami sobie tę sprawę łatwo wytłumaczą.

Przejdziemy natomiast do szczegółów. Przedewszystkiem co do rozmieszczenia czasopism w interesujących nas tu krajach, notujemy, że z ogólnej liczby czasopism, w Poznaniu wychodziło 18, w Krakowie 17, we Lwowie (51 i 14 ruskich,) w Warszawie 78. W Pradze wychodziło tyleż, ile w Warszawie. 78. W Peszcie 115, w Petersburgu 204, w Moskwie 59., w Kijojowie 15., w Odessie 14. Polskie czasopisma wychodziły w 28. miejscowościach, czeskie w 52., węgierskie w 66., rossyjskie w 90.

Co do rodzajów czasopiśmiennictwa — polskich było ogółem: 59 politycznych i społecznych, 36 belletrystycznych, 51 naukowych, 10 ludowych; czeskich: 58 polit. i społ., 24 belletryst., 28 naukowych, 10 ludowych — prócz tego 20 agronomicznych, gdy my posiadaliśmy tylko 5 pism tej kategorji; węgierskich: 92 polit. i społ., 22 belletr., 40 naukowych, 14 ludowych; rossyjskich: 161 polit. i społ., 48 belletr., 123 naukowych, 11 ludowych. Pism codziennych było: polskich 21, czeskich 7, węgierskich 22, rossyjskich 58.

Mówiąc dotąd o ilości pism, wychodzących w danym kraju, mieliśmy na uwadze tylko przeważającą w nim narodowość, żaden jednak kraj dziś wyłącznie przez jedną narodowość jest zaludniony, niektóre przytem narodowości, wsparte szczególniej hegemonią państwową, jaką posiadają nad innemi narodami, a nadto jesze wyższym zwykle stopniem kulturnego i cywilizacyjnego rozwoju, daleko po za właściwe swe etnograficzne granice rozszerzają wpływ swego piśmiennictwa, i posiadają stosunkowo znaczną liczbę pism perjodycznych w krajach, w których etnograficznie stanowią niewielką ilościowo mniejszość.

W krajach państwa rossyjskiego narodowość wielko-ruska ma za sobą przewagę państwową a w części i cywilizacyjną, w Austro-Węgrzech, niemiecka korzysta z państwowego i cywilizacyjnego uprzywilejowanego stanowiska. W Austro-Węgrzech w ogóle na 9,888.864 narodowości niemieckiej wychodziło ogółem 915 czasopism, gdy inne narodowości w tych granicach zamieszkałe, na 27,547.545 ludności posiadały tylko 655 pism perjodycznych (224 węg. 182 czes. 87 pol. 58 włosk. 104 innych) podczas więc, gdy Niemcy stanowili tylko 26.98 zaludnienia, czasopiśmiennictwo, ich w tychże granicach stanowiło 64.7 proc. ogólne liczby.

Rozpatrując tę rzecz szczegółowej widzimy, że w niemieckich prowincjach, Austrji niższej i wyższej, na blisko 2.900.000 ludności niemieckiej wychodziło 500 zgórą czasopism, reszta zaś t. j. przeszło 400 wychodziła w krajach, częściowo tylko niemieckich, lub zupełnie nie niemieckich, i te przytem, które wychodziły na ziemi niemieckiej, miały wielu czytelników wśród innych narodowości, hegemonii niemieckiej podległych.

Ostatnia przytem cyfra, rozkładała się na pojedyńcze kraje i prowincje w ten sposób, że na Węgrzech, na 1,850.000 narodowości niemieckiej, wychodziło 95 czasopism niemieckich (o 10 blisko więcej niż polskich w Galicji), w samym zaś Peszcie było ich 48. W samych Czechach, na 2,054.174 niemców było 127 czasop. niem. W Morawie. posiadającej 628.907 narod. niem. było 46 czasop. niem., podczas gdy 1.511.913 narod. czeskiej, tamże zamieszkałej miał ich tylko 20. Na Bukowinie na 108.820 niemców było 11 pism niem. i 3 w innych językach (1 pol. 1 rum. i 1 rus.) na 459.639 innych narodowości. W Galicji, na 324.336 ludności niemieckiej (żydowskiej przeważnie) wychodziło tylko 6 czasop. niem., wiedeńskie jednak czasopisma nader pokaźną niewątpliwie mają w niej cyfrę czytelników.

W Wielk. ks. Poznańskiem panują stosunki podobne do austrjackich, gorsze jednak dla nas znacznie, niż w Galicji. W dzielnicy tej, na 750.000 ludn. niem. a 1,000.660 polsk., wychodzi 66 pism niemieckich, a tylko 19 polskich; w samym Poznaniu na 17 niemieckich tylko 13 polskich. W Królestwie Polskiem ludność niemiecka nie zajmuje dominującego stanowiska; na kilkakroćstotysięczną ludność niemiecką tej dzielnicy wychodzi 1 tylko pismo niemieckie, (w Łodzi,) przy 85 polsk. 17 rossyjsk. i 2 hebr. W Rossji natomiast europejskiej, bez W. ks. Finlandzkiego i Król Pol. z prowincjami natomiast Nadbałtyckiemi, na 7?6.000 niemców wychodzi 48 czasopism niemieckich.

Dla porównania dodamy, że Anglicy posiadają w ogóle 16.000 czasopism, Niemcy 7.200, Francuzi 3.700. Hiszpani 1.600, Włosi 1.500.

Pozostaje nam jeszcze do zaznaczenia statystyka literatury książkowej. Otóż w r. 1881. wyszło dzieł polskich, ogółem 1.377 z czego pod panowaniem pruskiem 84, pod austrjackiem 632, pod rossyjskiem 648, po zatemi granicami 6. Z miast stołecznych: w Poznaniu wyszło 61, w Krakowie 361, we Lwowie 205, w Warszawie 545. w Wilnie 62, Ogółem 1 dzieło polskie przypada na 9.480 polaków.

Dzieł w języku czesko-słowackim wyszło w tymże czasie 805, w węgierskim 1.578 w rossyjskim 4.124.

Ciekawą jest jeszcze statystyka różnych działów wydawnictw książkowych. We wszystkich literaturach, tu rozpatrywanych, przeważają dzieła treści teologicznej i belletrystycznej. W języku polskim mieliśmy 199 teol. 284 belletr. Dalej dopiero idzie literatura naukowa, w której znowu historja, archeologia i literatura zajmuje wybitne miejsce. My mieliśmy w r. 1881 162 dzieł w tym dziale. W dziale nauk politycznych i społecznych mieliśmy dzieł 98.

Na tem kończymy. Podaliśmy same cyfry prawie czytelnicy jednak sami sobie z nich wnioski wysnują.

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Mijał rok po roku, Jędruś rósł, jak to mówią niby bułka na drożdżach, choć uczył się i pracował za trzech, a „na stancji“ u pani Müllerowej na wszystko inne można było uskarżać się raczej, niżeli na zbytek jadła. Otyła pani komisarzowa—tak bowiem tytułować się kazała. choć ś. p. pan Müller był pono tylko kancelistą całe życie — sama jadła często i wiele, powierzonym jednak jej pieczy studencikem nigdy nie dała sposobności do jakiejś niedyspozycji, skutkiem przeładowania żołądka. Sumienie jej na to nie pozwalało, wszak zastępowała im matkę! Zresztą konwiktorami jej były dzieci samych chudopachołków, którzy ściągali się z ostatniego, aby co pierwszego posłać jej po kilkanaście reńskich od „sztuki“ a z takiego funduszu, przy znanej od jakich lat dwudziestu drożyźnie lwowskiej, ani myśleć o dostatniem utrzymaniu choćby dziesięcioletniego chłopaka. Nadto za Jędrusia pan Piotr płacił ledwie dziesięć złotych miesięcznie a i to stanowiło dlań znaczny wydatek przy skromnej pensji nauczyciela ludowego.

Nie dziwna zatem, że Jędruś co dzień kładł się głodny — co jednak wcale nie zmniejszało jego zapału dla książki i nauki.

Gdy się skończył rok szkolny, zawsze z pierwszą lokacją wracał do miasteczka na wakacje. Pan Piotr był dumny z sieroty, po całym świecie — wyjąwszy oczywiście dom pani pocztmistrzowej, rozgłaszał niezwykłe zalety Jędrusia, i po niejakim czasie — a sierota ani marzył pewnie o tem, był on bohaterem, stawianym często jako przykład i wzór starszym odeń lub młodszym chłopakom nieukom.

Zaledwie dostał się do czwartej gimnazjalnej, choć dopiero trzynastoletnie chłopię, pracować postanowił sam na swoje utrzymanie. W tym celu zaraz na początku roku szkolnego, wynalazł sobie lekcję na przedmieściu u niezamożnego rzemieślnika, gdzie za „mieszkanie, wikt: i pranie, obowiązany był uczyć trzech chłopaków, dwóch w szkole normalnej a jednego już w pierwszej gimnazjalnej. Ciężkie przyjął, biedak zadanie, bo za otrzymany kawałek chleba i kącik w warstacie, musiał prawie wszystek wolny czas po za godzinami szkolnemi, poświęcać dla niesfornych elewów, którzy zdaje się, jedynie nad tem przemyśliwali zwykle dzień cały, jak się dostać najłatwiej do gniazda wróblego, w strzesze lub na topoli w ogrodzie, albo w którą stronę urządzić wyprawę na „wojnę". Taka „wojna", w języku malców to bójki codzienne z pauprami żydowskimi. Rzecz wiadoma, że żak każdy u nas jest wrogiem zaciętym dwu stworzeń na ziemi: żyda i wróbla. Jest *to* bądź co bądź objaw dość charakterystyczny...

Uczniowie Jędrusia, jak nadmieniliśmy wyżej, nie stanowili wyjątku z reguły, i ile wróbli młodych rok rocznie padło ofiarą ich drapieżnego czy złośliwego tylko instynktu, a równocześnie ile guzów i sińców oberwało się tchórzliwym ich rówieśnikom starego zakonu, chyba by nie policzyć tak łatwo! Za to do książki mając wstręt niezmierny, daremnie tylko buty psuli na codzienną wędrówkę do odległej szkoły. Jędruś podjął się był poprawić ich i do nauki wciągnąć, i mimo że sam był tak młody jeszcze — a być może właśnie dla tego, — udało mu się w krótkim czasie wpłynąć na rozpuszczonych dzieciaków tak korzystnie, że ojciec ich p, Wawrzyniec Kaczka, po kilku miesiącach oczu swoim nie wierzył, widząc u „wierutnych hultajów" w miejscu dawnej pustoty, pilność i statek niebywały. Ile to kosztowało pracy Jędrusia, zgadnąć łatwo. Nocami uczył się z pożyczanych książek, bo swoich nie miał — a dnie całe trawił częścią w szkole, a zresztą przy bakałarzowaniu, wśród tego zaś twardego życia jedyną osłodą i podnietą była mu ta myśl, że nie był już ciężarem opiekunowi dobremu, bo sam zarabiał na utrzymanie swoje.

Zarzuci kto może piszącemu tę historję Jędrusia dodamy najprawdziwszą w świecie, — że jak na kilkunastoletniego chłopaka trochę za wiele miał on powagi, zastanowienia i w końcu charakteru nawet... Nie nadzwyczajna to rzecz. W dzisiejszych ciężkich czasach, w tej epoce zpotęgowanej walki o byt, napotkać można co krok chłopczynę, który o głodzie i chłodzie, z wybladłą twarzą skutkiem bezsennych nocy, w wyszarzanym surduciku i mocno defektownem obuwiu, pnie się siłą mocą do nauki, i bądź to rozmiłowawszy się w niej, bądź słysząc zewsząd, ze ona mu da później i mieszkanie ciepłe i strawę do syta i buty całe, stara się o własnych siłach posuwać mozolnie z klasy do klasy, byle dalej, byle bliżej tego wyglądanego celu w odległej przyszłości. kawałka chleba za dekretem... Takie życie wcześnie rozpoczęte, urabia najczęściej usposobienie spokojne a pełnerefleksji, i charakter żelazny. Dostatki pono mało wyplekały wielkich serc i umysłów — bieda i ciągłe pasowanie się z potrzebami codziennemi, były gruntem, na którym z mizernego dziecka urósł w olbrzyma nie jeden bohater ludzkości...

Mimo pracy, pochłaniającej wszystkie siły chłopięce, sierota rozwijał się pomyślnie, zdrów był i wesół, jak za szczęśliwych czasów dziecięcych w domu organiściny. Ładniał przytem z każdym rokiem, że na ulicy odwracano się za jasnowłosym ślicznym chłopakiem, gdy z książką i skrypturkami pod pachą biegł, co tchu miał, do szkoły z dalekiego przedmieścia. Pracowity, cichy, usłużny i przyjacielski, lubiany był zarówno od profesorów jak kolegów. Pan Wawrzyniec, u którego kilka lat już mieszkał, przepadał za nim, i choć sam biedę popychał naprzód wszystkiemi siłami, ile razy tylko mógł, dawał wyraz swej wdzięcznośsi i uznania dla pracy Jędusia i jej widocznych owoców. Gdy przyszły święta, zawsze kupił mu w prezencie to surducik skromny, to buty, a nie mniej pani Wawrzyńcowa usiłowała kilka razy zkompletować przynajmniej do niezbędnej ilości ubogą bieliznę Jędrusia, — i jakoś życie płynęło sierocie.

A już wszystkie dzieweczki od 12 do 15 lat, mieszkające przy tej ulicy, która wiodła z przedmieścia do miasta, to marzyły we śnie i na jawie o pięknym chłopcu z jasną kędzierzawą głową, i dużemi czarnemi oczyma... Ani przypuszczał Jędruś, ilu westchnień tajemnych, płynących z głębi dziewiczych serduszek, był powodem wyłącznym i że wśród młodziuchnej płci pięknej przedmieścia liczył tyle wielbicielek ukrytych ile par oczu patrzyło nań ukradkiem, gdy bądź to w przechodzie mijał którą w pospiechu, bądź gdy umyślnie wiele z nich czatowało nań o zwykłych godzinach, za firankami okiennemi.

* *

Porzućmy na chwilę Jędrusia, a popatrzmy, co się tymczasem działo z benjaminkiem pani pocztmistrzowej, znajomym już nam Kaziem.

Wiemy z poprzedniego, że na równi z matką swoją rozpustny ten chłopak żywił niechęć głęboką do naszego bohatera, z tą oczywiście konieczną różnicą, że u pani pocztmistrzowej przynajmniej na jakie takie usprawiedliwienie jej gniewu możnaby przytoczyć okoliczność, iż drażniła ją wyższość Jędrusia w każdej mierze nad jej ulubionym synem. To zaś bolało ją tem bardziej, ile że w oczach tej tuzinkowej kobiety, pochodzenie sieroty rzekomo wypaliło na jego czole pogardy godne i niozmazalne piętno hańby, które zdaniem jej degradowało każde takie stworzenie, jak dziecko nieszczęśliwej Kasi, poniżej wartości najgorszej jednostki w społeczeństwie.... U Kazia natomiast rankor jego do Jędrusia wytłumaczyćby można chyba tą tylko, niestety jednak spotykaną już bardzo często u dzieciaków na ławie szkolnej, zawiścią małoduszną, którą nadto potęgowało pełne jadu i pogardy wyrażanie się i mniemanie matki o wychowanku organistów. A wszystkiego tego sprawcą nieświadomym był zacny pan Piotr, który odważył się preferować „bębna jakiejś tam awanturnicy", nad prawowitego potomka rodu szlacheckiego, i reprezentanta miejscowej inteligencji!

O! bo pani pocztmistrzowa nader dumną była z odziedziczonego po przodkach klejnotu szlacheckiego, i „edukacji" otrzymanej w domu rodzicielskim. Kronika miejscowa twierdziła, że też tylko tyle — a oboje w nader podejrzanej walucie — otrzymał pan pocztmistrz za żoną w posagu — pani pocztmistrzowa jednak, gdy jej to doszło, nazywała tę plotkę niegodziwym wymysłem „ordynaryjnej respicjentowej" i utrzymywała, że jakkolwiek rzeczywiście skromny tylko majątek przypadł jej w udziale po rodzicach, ma jednak ogromnie bogatą a bezdzietną jakąś ciotkę na Wołyniu czy Ukrainie, która w testamencie naznaczyła ją jedyną sukcesorką olbrzymiej swej fortuny, zastrzegając jeno dla siebie dożywocie.

Kazio tedy był jedynym męskim spadkobiercą rodowych splendorów po kądzieli (pan pocztmistrz niestety nazywał się wcale po plebejuszowsku, Jacenty Świder, i podochocony

czasem węgrzynkiem w zaufanem towarzystwie, nie tail się z tem wcale, że wywodził się z górali Nowotargskich) i przyszłym posiadaczem owych dóbr za Kordonem. Nic więc dziwnego, że ojciec i matka, a zwłaszcza ta kochała go nad własne życie. Miał jeszcze Kazio dwie młodsze siostry, Manię i Jadwisię, obydwie ładne i potulne dziewczątka. Ale te już nie posiadały ani połowy serca matki, i były od maleństwa maniakami, na których Kazio zaprawiał kułaki swoje do zręcznych szturchańców. Pieszczony od kolebki, nie rozumiejąc znaczenia wyrazów: „nie wolno", „nie można", a będąc nadto z natury popędliwego temperamentu, ledwie kilkuletni malec był już w domu rodziców tyranem i despotą dla całego otoczenia. Wady te, wszczepione w dziecko ręką rodzonej matki, stopniowały się w nim z rokiem każdym, i gotowały mu przyszłość pewnie nie taką, o jakiej marzyła dla jedynaka zaślepiona w nim nierozumna matka.

Przez cały czas pobytu w szkole miejscowej pod panem Piotrem, Jędruś i Kazio kolegowali z sobą, i nieraz jeszcze poczubili się nie na żarty. Po skończeniu szkoły normalnej, Jędrusia, jak wiemy, profesor zawiózł do Lwowa, a Kazia ojciec ulokował w jednem z gimnazjów prowincjonalnych.

(C. d. n.)

Excelsior!

Ojciec gdy konał, dał mu na pamiątkę
Sygnet i rzekł mu: Tu w wieńcu wawrzynu
Dałem wyrzeźbić „Excelsior" w pieczątkę,
Herb ten i hasło zostawiam ci synu
Excelsior!

. . . .

W kilka lat później konała mu matka;
Zarobek nędzny słabość pochłonęła
I wszystko musiał sprzedać do ostatka,
Lecz walka z życiem hasła mu nie wzięła:
Excelsior!

Nareszcie przyszła straszna chwila: zima,
W wilgotnej izbie mrze matka w agonii,
Ciepła i strawy, i okrycia nie ma...
Więc zawył z bólu, ścisnął sygnet w dłoni:
Excelsior!

Wyszedł... do jednej z kamienic na rynek,
Na dole bank był, co dawał jałmużny...
Lecz dłoń mu palił święty upominek;
On nie mógł hasłu temu zostać dłużny:
Excelsior!

Wyżej!... Bogaty pan mieszka na piętrze
(A był młodzieńca to szkolny kolega)
Można zapukać... Lecz hasło najświętsze
Rumieńcem dumy na skroń mu wybiega:
Excelsior!

I wybiegł wyżej... i przypomniał złote
Dnie młode, w których roił szczęście, sławę,
Jak szedł do życia przez pracę i cnotę,
Jak nieraz wołał, chociaż przez łzy krwawe:
Excelsior!...

Na trzeciem piętrze spotkała go o n a,
Pyta: dla czego starganą ma duszę,
Lecz jej w odpowiedź on ścisnął ramiona,
I rzekł „bądź zdrowa!" ja wyżej iść muszę,
Excelsior!...

Wyżej! na czwarte piętro — do zastawu
Chwieje się... słania... jeszcze krok do mety,
Lecz w progu pada i wraz z strugą krwawą
Z piersi wybiegło ostatnie niestety
Excelsior!...

Roman Poliński.

Izajasz Tegnér
i poemat o Frytjofie.*)

Szkic literacki
Dra. Alberta Zippera.

Najdawniejsze podania mienią Azję kolebką ludzkości. Choć umiejętność co do innych części świata nie bezsprzecznie na to twierdzenie się pisze, co do Europy nie podlega ono wątpliwości. Do pustej niezaludnionej Europy przybyli z Azji mieszkańce, najpierw szczep celtycki, potem ludy italskie i heleńskie, przybyli Germanie a nakoniec Sławianie. Germanie, na których dziś uwagę zwrócić muszę, „bramą narodów" między Uralem i morzem Kaspijskiem do Europy wstąpiwszy, nie do dzisiejszych Niemiec, lecz wprost ku Skandynawii podążyli — wkrótce zaś większość ich opuściła pierwotne te siedziby, i silnym prądem zalała dzisiejsze Niemcy, rozpościerając się dowolnie w szerokiej przestrzeni.

Północni skandynawscy Germanie, zwani też „mężami północy", Normanami, w niedostępnej dla obcych zaciszy zdołali narodową religię, podania, obyczaje narodowe łatwiej i dłużej zachować w pierwotnej czystości, bezcudzej przymieszki, niż bracia ich w Niemczech. A kiedy i do nich chrześcijaństwo choć późno się wcisnęło, i pogańskim pamiątkom wojnę wypowiedziało, tedy jeszcze odległej, na samotną widownię zorzy północnej, ognistych wulkanów i nieznikłych lodów, na wyspę islandzką pobożny Norman wiózł bogów swoich, świętą wiarę przodków i wolność swoją. Tu w Islandji, powstały owe sławne, tchnące duchem, lśniące złotem najszczerszej poezji, pieśni o bogach i bohaterach, owa „Edda", zdrój wszelkich wiadomości o pogańskiej wierze i dawnych obrządkach u Germanów. Śpiewali pieśni te i inne Skaldowie (tak w Skandynawii i na Islandji poetów przezwano) po dworach rycerzy — zgromadzonym słuchaczom, a czyny bohaterskie i awanturnicze współczesnych, godne opiewania, pomnażały z każdym dniem skarb utworów pieśniarskich.

W taki to sposób powstała w Skandynawii znaczniejsza niż u innych narodów ilość opowiadań poetycznych, które pokolenie pokoleniu podawało, opowiadania głoszące cześć bohaterów narodowych, odwagę ich nieustraszoną, wyprawy i walki w dalekich stronach, tęsknotę za ojczyzną. Podania takie nazywano „sagami", a czczono nawet osobną boginię „Sagę", boginię opowiadań dziejowych i poezji, która bogom o doli śmiertelników oznajmia. U nas odpowiada wyrazowi „saga" baśń, a jeszcze lepiej wyraz „klechda", jako tradycja, podanie gminne.

Oprócz tych sag, opowiadań obszerniejszych, powstało u Skandynawów w późniejszych już czasach mnóstwo szczuplejszego zakroju opowieści poetycznych. Nikt nie podał, nikt nie zna autorów tych prześlicznych rzewnych, porywających ballad, ale lud cały je śpiewał i powtarzał, bo wyśpiewane były z jego duszy, z jego serca i myśli.

Szczęśliwy naród, który z dawien dawna posiada takie skarby niewyczerpane poezji! Bo kiedy nadejdą czasy wyższej oświaty, kiedy z nią i poezja jako sztuka powstanie, czyż może artystyczna ta poezja na łatwiejsze, przychylniejsze trafić warunki? Wszak j e j zadaniem, to co naród sobie umiłował, myśli które wysnuł, uczucia, które wypielęgnował, postacie, które wydumał. — wszak j e j zadaniem, te myśli, te uczucia, te postacie wznosić w sferę artyzmu, wplatać w całość estetyczną, wydoskonalać i uzupełniać tak, żeby nie przestały być narodowemi, a równocześnie zadowalały najwyższe wymagania umysłów wykształconych.

Ale niestety mimo tych niesłychanie pomyślnych warunków, i Skandynawia nie może się szczycić szczęśliwszym rozwojem s z t u k i poetycznej, niż większość narodów europejskich. Wiadomo bowiem, iż z nowożytnych ludów jedynie Anglicy i Hiszpanie mieli to szczęście, iż wytworzyli u siebie szczyt choć jednej gałęzi poezji w ciągłym rozwoju, wprost na narodowych podstawach: wypia-

*) Niedawno obchodziła Szwecja stuletnią rocznicę zgonu największego swego wieszcza. Aby i z naszej strony uczcić pamięć znakomitego poety, ogłaszamy niniejszy szkic, który autor wygłosił w „sali redutowej" we Lwowie dnia 6. marca 1882 r. z wielkiem powodzeniem jako odczyt publiczny.
(Pr. Red.)

stowali sobie Hiszpanie Calderona i Lopeza. Anglicy Szekspira, a jedni i drudzy dramat swojski, narodowy.

Ale jak wszystkie inne narody, tak i Skandynawię owionął wraz z przybywającą oświatą nie oddech orzeźwiającej prawdziwej poezji, tylko zatruwające powietrze uczonego wierszoklectwa — bo trudno rymowania te nazwać poezją. Na wszystko, co narodowe, patrzyli z podełba uczeni, a im więcj wiersze się oddalały od ducha ojczystego, im więcej napuszałych frazesów, wiadomości geograficznych, historycznych, przyrodniczych, medycznych, jurydycznych i t. d. i t. d.. im więcej tego balastu a im mniej poetyczności, tak, że cię, żar zupełnie wszelki polot przygniótł, — tem doskon. lszy bywał wiersz. Umiejętność i uczoność fabrykowały poetów na zawołanie... a choć istotnie do ludu nic z tych lichot nie dochodziło, (któż dbał tam o głupi lud!) wzajemnie się podziwiając, wieszcze peruki nazywały się Homerami, Wirgiljuszami, Pindarami...

Dopiero na początku naszego stulecia, kiedy poezja niemiecka, po torujących im drogę poprzednikach takimi geniuszami, jak Schiller i Goethe, zajaśniała była, kiedy szkoła romantyczna w Niemczech narodową przeszłość badać i na ważność czynnika narodowego w poezji wskazywać zaczęła, kiedy w Byronie pierwszorzędna gwiazda nietylko Brytańczykom się okazała, wtedy gdy i u nas, gdy nawet u Moskali, gdy we Francji nowy przygotowywał się zwrot w zapatrywaniach na poezję wówczas dopiero i dla Szwedów nastała epoka odrodzenia. I w Szwecji zaczęto targać więzy, narzucone niegodnie prawdziwej poezji, zaczęto napadać na obóz mizernych fałszywych klasyków, zaczęto budować gmach literatury na podstawie zapału i ducha. i na podstawie narodowości. Jednym; i największym z tych mężów przełomu jest Izajasz Tegnér, sława swej ojczyzny.

Izajasz Tegner urodził się 13. listopada 1782 r. w Kirkerud. w powiecie szwedzkim Wermland, jako najmłodszy syn ubogiego plebana. Jeszcze dzieckiem odumarł go ojciec i już w 9. roku musiał przepisywaniem aktów u poborcy podatkowego na życie zarabiać. Tułając się po rozmaitych miejscach, pracując na utrzymanie swoje, nie zaniedbywał własnego wykształcenia. tak że 1799 r. zapisał się na wykłady uniwersytetu w mieście Sund, gdzie po kilku latach otrzymał posadę profesora estetyki. później literatury greckiej. Jeszcze później zwyczajem szwedzkim łączył z profesurą i godność duchowną (kaznodziei) W 1824 r. zamianowano Tegnera biskupem z rezydencją w Wexio — nie odpowiadało to stanowisko, choć najsumienniej obowiązki jego wypełniał, powołaniu poety. Walki nieustanne z fanatyzmem i nietolerancją wpływowych, z nieuctwem i powinnością poddanych, zgryzoty, które przysparzało pożycie domowe, przytem i chorowitość fizyczna coraz bardziej przysłaniały i przygasały światłego ducha — popadł nareszcie w rodzaj głębokiej melancholii, która się na obłąkanie zamieniła. Kiedy wyleczonego z zakładu wydano, okazało się, iż duch wprawdzie nie był już zaciemniony, ale zupełnie złamany. Z tak smutnego położenia wybawiła go śmierć dnia 2. listopada 1846 r.

Rozpoczął wcześnie Tegner zawód poetyczny wierszami pomniejszemi, które aczkolwiek uznanie nawet w szerszych kołach znalazły, nie okazują jeszcze wszystkich indywidualnych zalet jego talentu. Dopiero w poemacie p. t. „Szwecja“, pierwszą nagrodą przez akademię uwieńczonym w 1811 r. bije prawdziwe tętno muzy Tegnera. Równocześnie on, Gejer i inni, rozpoczęli w czasopiśmie „Iduna“ walkę z klasykami, i poezję oparli o silną podstawę narodowej przeszłości i rodzinnej ludowej pieśni. W tym duchu całą swą działalność rozwinął Tegner, a owocami jej najznakomitszymi są: idyla teologiczna: Dzieci u św. komunii“; romans „Axel“ i „Saga frytjofowa“, na której tak w ojczyźnie jak i u obcych narodów głównie sława poety polega.

„Saga frytjofowa“ nie jest to dopiero wymysł Tegnera; treścią swą sięga ona czasów pogańskich. i jak wiele innych klechd, tak i ona została nam zachowaną w starej swej formie. Jak wszystkie twory wyobraźni germańskiej, i saga frytjofowa w formie pierwotnej nosi charakter wspaniały wprawdzie, ale nadludzko olbrzymi; potężne bryły, na tak imponującą budowę przez fantazję upiętrzone, nie zdobne delikatnemi rzeźbami, działają mniej pięknością i polotem, jak ogromem i siłą, mniej powabem i harmonią, jak nieokrzesaną śmiałością i rubasznością. Odpowiadało to czasom, kiedy powstała saga; dla nowoczesnego poety jest to cenny, lecz nieforemny materjał do harmonijnego dzieła sztuki.

A tu tkwi zasługa Tegnera. Zachował wprawdzie zarys i szkielet pierwotnej sagi; zachował charakterystyczne cechy i koloryt epoki; ale dzikość, barbarzyństwo, zbytnie rażące dzisiejszy smak, to wyrzucał, to łagodził, uzupełnił na podstawie głębokich studjów starożytności obraz, barwami skądinąd zaczerpniętemi — ale co najważniejsza, lakoniczne, suche opowiadanie zamienił na pełen życia i wdzięku poemat, szkieletowi nadał plastykę cielesną, i twórczą siłą tchnął weń oddech, iż zatętniała krew i uderzyło serce. Ćwierć wieku w łonie swojem całokształt tego poematu wypiastował, ćwierć wieku nosił się z postaciami temi, które mu wszędzie towarzyszyły, aż zakłał je w kształty ostateczne, doskonałe, i stworzył poemat, który u wszystkich narodów germańskich — Niemców, Duńczyków, Anglików, Hollendrów, — uchodzi pod pewnym względem za jedyny. Jak bowiem poprzednio wspominaliśmy, najwyższem zadaniem poetycznej s z t u k i winno być uchwycenie postaci i myśli narodowych w estetyczną całość. Mimo że germańskie narody obfitują w podania, w postaciach. które duch narodu sam wykołysał, jak Sygfryd, Gudruna i tyle innych, przecie żaden z narodów germańskich dotąd ostatecznego artystycznego przelania tych prastarych klechd w formę najdoskonalszą nie posiada: tylko Szwedom jedynym „Sagę frytjofową“ dał Tegner, urzeczywistniając w tem dziele najwyższy ideał sztuki narodowej.

Omówiwszy tak w głównych zarysach warunki powstania poematu o Frytjofie, przystępuję do drugiej części, w której również w głównych rysach treść sagi frytjofowej podam, wplątując niekiedy słowa poety samego.

Za zamierzchłych czasów pogańskich cała Skandynawia rozpadała się na mnóstwo drobnych niepodległych państw. Takiem było i królestwo Sognu, po obu stronach zatoki do dziś dnia sognijską zwanej, w uroczej okolicy norwegskiej rozłożone, główne widowisko naszego poematu. Na południowym brzegu zatoki był gród stołeczny Systrand, gdzie panował król Bel, a w pobliżu na wysokiej skalistej górze po nad zatoką, wznosiła się świątynia jasnego Boga słońca, Baldera, obszerna drewniana budowa, opasana uroczym cienistym gajem. Bel choć był królem, w najściślejszej od młodości przyjaźni żył z ziemianinem Torsteuem, którego rozległa majętność Framnes rozciągała się wprost stolicy na północnym brzegu zatoki. Bo król normandzki tylko podczas wojny właściwym był władcą nieograniczonym wolnych ziemian. Mimo władzy tak ścieśnionej, cześć dla królów miano największą, bo rodów królewskich początek do samych bogów odnoszono. Król Bel młodzieńcem jeszcze wybrał sobie zwyczajem normandzkim przyjaciela, tak zwanego brata po broni, w osobie ziemianina Torstena. Obaj młodzieńcy w uroczystych formach i słowach przysięgli, iż nigdy siebie w żadnej przygodzie nie odstąpią, a cokolwiek los im nadarzy, za wspólne uważać będą. W tak uszczęśliwiającym związku przeżyli długie pasmo lat, a starcami pragnęli, by równa przyjaźń łączyła i dzieci ich. Król Bel miał dwóch synów i córkę, Torsten jedynaka Frytjofa. Wspólnem potomstwa wychowaniem zajął się poważny starzec Hilding.

A tu znów wypada wspomnąć o osobliwszym zwyczaju Normanów. Jak wszystkie narody germańskie, tak i oni odznaczali się potężnym duchem wojennym, a skąpa ziemia kamienista ledwie starczająca na wyżywienie małej garstki, pobudziła do szukania łupu i bogactwa u obcych plemion. Dzielny młodzian zasiliwszy się dostatnią drużyną, morzem od dzieciństwa mu znanem i niestrasznem w dal się puścił, niekiedy obcą ziemię opanował, zwykle ze zdobyczą bogatą wracał, aby w ciągu długiej zimy, śród wypoczynku i szumnych biesiad, gotować się do nowych wypraw. Od życia tego awanturniczego polubianego za młodu, nie odwykli i mężowie. Tak Norman od wiosny do późnej jesieni sprawą wojenną zajęty, która go na długi czas od rodzinnej ziemi oddalała, nie mógł osobiście czuwać nad wychowaniem swych dzieci. Matka ledwie dziewczętom i młodszym chłopcom starczyć mogła, starsi potrzebowali innego kierownictwa, a wyłącznie na takie oglądać się trzeba było, gdy matka już na ziemi nie przebywała. Tak też król Bel synów i córkę, a przyjaciel jego Torsten jodynaka oddali starcowi Hildingowi, który dzieci jak własną rodzinę w cichej wiejskiej zagrodzie wychowywał. Jak dąb i róża, rośli obok siebie Frytjof i Ingeborga królewna, a równocześnie w duszach ich i miłość wzajemna rosła. Czytając w w księgach prastarych o boginiach, Frytjof nad wszystkie przenosił swą towarzyszkę; ona tkając na kanwie wizerunek boju, spostrzega że twarz dowódcy coraz wyraźniej Frytjofa przypomina. Pierwszego niedźwiedzia, którego zwalczył, do stóp Ingeborgi niesie; rozmarzony na wszystkich drzewach litery J. F. połączone wyrzyna. W dzień oni nikogo nie widzą prócz siebie, w nocnych marzeniach słyszą tylko siebie. W zachwycie tej czystej, głębokiej i bezgranicznej, całą istotą władającej miłości, gotowi ziemi wydrzeć co posiada najcudniejszego, morzu jego perły, gotowi słońca i księżyca pozbawić niebo, aby jak kwiatkami polnymi, nawzajem tem wszystkiem się obdarzyć.

„Synu! — raz Hilding rzecze surowy:
Miłość młodzieńca na zbyt cię ośmiela,
Wam bogi dały los niejednakowy;
Twa Ingeborga, jestto dziecię Bela.
Gwiaździstych stropów gdzie Odyn panuje,
Ród jej dosięga — ród świetny — szanowny!
Tyś syn ziemiana; tylko z równą równy
Prawdziwe szczęście na ziemi znajduje!“

Na co Frytjof;

„Ojcze! swobodny mąż kroku nie cofa,
Ziemia mu wszystka w dziedzictwie puszczona.
Jeśli los zniżył — los wzniesie Frytjofa!
I u nadziei jest swoja korona!...

Za córkę Bela, ja w obliczu Boga
W każdej nie blednąc stanąłbym godzinie!—
O kwitnij, kwitnij, liljo ma droga!
Kto nas rozłączy — biada temu — zginie!

Zapatrywał się starzec na życie prozaicznie, spokojnie wypowiedział to zdanie; ale na tem poprzestał, bo sam z własnego młodych lat wspomnienia wiedział, iż Frytjofów nie zmienia się na wystygłych starców, i że młodość pragnie przeszkód, walki, nie widzi zapór i trudności, jeno w cel świetny piękny wzrok jej wlepiony. Ale jak zawsze, sprawy poszły za doświadczonem zapatrywaniem sędziwego prozaika...

Król Bel i brat po broni jego Torsten doszli byli późnej starości, a czas był na gotowanie się do śmierci. Ponieważ bowiem germańskie narody miały przekonanie, iż tylko umierający od ran zadanych bronią do Walhalli jako towarzysz bogów dojdzie, przeto starce nie mający sposobności zginięcia na polu bitwy, by ujść śmierci zwanej słomianą, t. j. na łóżku od zgrzybiałości lub choroby, sami obrzędowe samobójstwo na sobie spełnili. Bel i Torsten, jak żyli wspólnie, i wspólnie zginąć pragnęli, a przedtem na pożegnanie i błogosławieństwo synów do siebie przywoławszy, wiele nauk pełnych głębokiej mądrości im prawili, do przyjaźni wzajemnej namawiali, a po odejściu synów sami śmierć sobie zadali.

Helg i Halfdan objęli po ojcu królestwo, a starszy Helg miał w rządach pierwszeństwo i opiekę nad siostrą Ingeborgą na się zlaną; Frytjof odziedziczył rozległą majętność i trzy klejnoty o cudownych przymiotach, które przodkowie jego zdobyli: miecz, złotą manelę i wojenny okręt Ellidę.

(C. d. n.)

Mój wuj Duval.

Opowiadanie Spaha

(przez K. Dollfus'a)

Było to, jak powiada Chenier, — kiedy wiosna znowu zielenią pokryła łąki, — prozaicznie mówiąc przy końcu kwietnia 1854.

Jako kapitan Spahów na urlopie w Paryżu, wszedłem pewnego wieczora, około piątej godziny do ogrodu Tuilerjów, i usiadłem na jednem z krzeseł, ustawionych do użytku spacerujących wzdłuż alei kasztanowej z widokiem na ulicę Rivoli. Siedząc rozmyślałem, jak przepędzić dzisiejszy wieczór? czy pójść do teatru Français lub do starej markizy Verdaine? Ważna kwestja, której nie spieszyłem się rozwiązać, lubiąc w mych decyzjach połowę działania pozostawić największej potędze tego świata, Jego Mości przypadkowi.

W powietrzu wszystko tchnęło pieszczotą, światłem i wonią. W około mnie dziewczątka i wróble skakały i szczebiotały na wyścigi, wspólnie święcąc ucztę, jaką im sprawiała wiosna. Mając serce młode mimo lat trzydziestu, odczuwałem jednozgodnie tę radość, a imaginacja wzlatywała na skrzydłach, patrząc na bawiące się ładne dzieciaki, które przechodziły koło mnie, w swej grze zupełnie zatopione. Myślałem sobie, jak słodko być musi przy zbliżaniu się dojrzałego wieku, gładzić ręką włosy jedwabne, ucałować po dniu ukończonym, przed udaniem się na spoczynek, lica niewinne, spotkać jasne spojrzenie, odzwierciedlenie niewinności, którą my utraciliśmy; odnaleść szczególnie siebie w tych drobnych istotach, we dwoje je kochać i posiadać, posiadać i kochać się w nich.

Zważywszy to wszystko, myślałem dalej, czy mianoby kochać kobietę i być na wzajem kochanym tylko z tej strony morza Śródziemnego? Czyliż nie znalazłaby się zdrowa i odważna natura, przenosząca życie oryginalne na górze Kabil, albo wśród oazy, nad pospolite i jednostajne ewolucje, wykonywane przez kobiety w tej ujeżdżalni, zwanej wielkim światem paryskim? Marzymy w każdym wieku, a mundur nie jednego kryje poetę. Afryka zresztą, oddzielając od biegu świata cywilizowanego, chroni nas od prędkiego starzenia się, i pozostawia młodymi, niekiedy nawet zbyt długo.

Marzyłem więc tego wieczora, podczas kiedy słońce zachodziło a ogród Tuilerjów coraz bardziej stawał się pustym.

— Pójdę na obiad do Ledoyen, pomyślałem sobie; — ztamtąd do cyrku nie daleko, gdzie przepędzę godzinę, a zakończę wieczór u markizy.

Powstałem zachwycony programem tak szczęśliwie ułożonym, gdy zobaczyłem małą dziewczynkę, bardzo elegancko ubraną, która szła ulicą płacząc.

Zbliżyłem się do niej:

— Szukasz zapewne swojej mamy lub bony, panienko. Nie rozpaczaj, my ją odnajdziemy.

— O! mój panie, poczęła mówić płacząc jeszcze silniej, — już blisko pół godziny szukam Suzety; czy sądzisz pan, że ona poszła do domu?

— Bardzo to być może, odpowiedziałem. Ale w jaki sposób straciłaś ją z oczu?

— Ona temu nie winna, mój panie. Usłyszałam muzykę tam w dole (wskazy-

wała kierunek mostu królewskiego) i pobiegłam by zobaczyć. Gdy wróciłam na miejsce, gdzie zostawiłam bonę, już jej tam nie zastałam.

— Bez wątpienia i ona szukała ciebie, i dlatego rozminęłyście się w drodze, sądzę jednak szukać jej dłużej, nie przyda się na nic; twoja bona wróciła do domu, a rodzice pewnie niespokojni o ciebie. Gdzie mieszkasz lube dziecię, i jak się nazywasz?

— Nazywam się Berta Satigny, a mieszkam przy alei Cesarzowej.

— A więc uspokój się, zaprowadzę cię tam. Dałem znak przejeżdżającemu fiakrowi i pojechaliśmy.

Dziewczynka nie płakała więcej.

— Dzięki ci panie tysiąckrotnie, za twą dobroć. Jak mama ci będzie dziękować. Pewnie strasznie niespokojna, a mój ojciec jeszcze bardziej, jeżeli wrócił już do domu, bo często piszą o tem w gazetach, że jacyś ludzie kradną cudze dzieci.

— Nie wszystko to prawda, co w gazetach piszą moje dziecko...

— Ależ to drukowane!

Temu sprzeciwić się było niepodobne.

Czy sądzisz pan, poczęła po chwili, że Suzeta zostanie oddaloną, przecież ona nie winna, że ja się zgubiłam?

Odpowiedziałem stanowczo, że nie. Tąmczasem pędziliśmy szybko przez pola Elizejskie.

Dorożka zatrzymała się przed pięknym pałacykiem, w stylu Ludwika XIII niedaleko bramy lasku. Dziecko zeskoczyło i zadzwoniło. Dzwi się otwarły.

Misję swoją uważałem za skończoną.

— Żegnam cię panienko zawołałem za nią, sprawuj się dobrze, a drugim razem nie opuszczaj bony dla zobaczenia przechodzącego wojska.

Innego zdania była moje mała, bo zwracając się szybko ku mnie zawołała:

— O nie! nie! panie... potrzeba koniecznie abyś poszedł ze mną na górę, aby mama cię widziała. Ja tak chcę!

— A... jeżeli tego żądasz, jestem na twe usługi panienko: niepodobna ci odmówić.

Podążyliśmy razem po schodach. W przedpokoju służba ustawiła się rzędem na nasze spotkanie. Byłaby, jestem tego pewny, w otwarte ramiona przyjęła cudne dziecię; ale liberja, podobnie jak szlachectwo, musi uważać na różne względy. Lecz gdzie była matka? Spodziewałem się, że na odgłos dzwonka u drzwi wchodowych, przynoszącego jej dobrą nowinę, wybiegnie uradowana na nasze spotkanie. Znaleźliśmy ją dopiero w salonie. Zbliżyła się do córki, która rzuciła się w jej ramiona, a potem wzróciło się ku mnie, wskazując jako swego wybawcę. Matka Berty, dama o wykwintnej postaci, chciała mi podziękować zwykłym jakimś frazesem, lecz słowa zawisły jej na ustach, podczas kiedy wielkie czarne oczy zatrzymały się na mej osobie. Zdawała się walczyć z jakąś niepewnością i zdziwieniem.

Podobnież i ja, studjując przez chwilę jej rysy, czułem wyłanianie się z nich, i aby się tak wyrazić, postępowanie ku mnie jakiegoś wspomnienia z innych czasów. Byłem w położeniu człowieka, który stara coś przypomnieć sobie, a boi się popełnić omyłkę; ona znajdowała się widocznie w takiej samej sytuacji. Jeżeli by nie imię, które mi podało dziecię, byłbym ją zaraz poznał; ale jakże odgadnąć w pani Satigny osobę, o której wiedziałem, że wyszła za mego wuja Duvala? Musiało to być tylko nadzwyczajne przypadkowe podobieństwo.

Jeszcze nie otrząsłem się ze zdziwienia, gdy wszedł — wuj Duval. Poznaliśmy się od razu i uścisnęli serdecznie.

Kochałem zawsze i szanowałem tego godnego człowieka, brata mej matki w którym odnajdywałem po części, jeżeli nie jej rysy, to wyraz poważny i dobroduszny jej fizjognomii. Ale jak się postarzał. i jak smutek rozsiadł się na jego wynędzniałej twarzy! Był już tylko ruiną w porównaniu z dawniejszem wyglądaniem. Czyliż zmartwienie lub słabość była powodem, że zdawało się, jakoby nosił podwójny ciężar swych lat pięćdziesięciu?

— Co za niespodziane szczęście oglądania ciebie znowu! wykrzyknął. Nie zmieniłeś się wcale.,. wyglądasz zdrów wesół...

— Wesół z powodu odnalezienia ciebie, kochany wuju. Lecz cóż to się stało, że cię spotykam w Paryżu, a sądziłem że jesteś w Clermontr

— Tak, tak... prawda, nie wiesz o niczem. Jesteśmy tutaj od sześciu miesięcy. Kupiłem ten pałacyk i pełnię służbę ajenta banku, aby mieć jakiekolwiek zajęcie. Chroni mie to od próżnowania. Zresztą Clermont nie było wcale miejscem pobytu dla Aliny... dla twej ciotki, dodał zniżając głos i jakby przestraszony tem, co powiedział.

Zwróciłem się ku jego żonie, patrzała przez okno.

— A teraz na ciebie kolej — ciągnął dalej zacny człowiek całkiem mną zajęty, — jakim że sposobem jesteś w Paryżu a szczególniej u nas, skoro sądziłeś, że jesteśmy na prowincji?

Opowiedziałam dwoma słowami dzisiejszą przygodę.

— Berta! takie sprawki często jej się przytrafiają. Chodź tu, malutka abym cię uścisnał. Tym razem szczęśliwie ci się udało, lecz pamiętaj, że co dzień nie spotyka się kuzynów; rzadko wygrywa, kto traci.

Mój wuj lubiał zawsze cytować dowcipne przysłowia nie sprawdzając jednak na sobie aforyzmu Rochefoucaulda: „Dowcipnisie, brzydkie charaktery".

— Prawdziwie, oryginalny wypadek, dodał po chwili namysłu. Przypadek, powia dają, jest czasem rozumny. Dzisiaj jestem jego najuniżeńszym sługą. Wypijemy zaraz twoje zdrowie Pawle, bo oczywiście zjesz obiad znami?

— Jeżeli pozwolisz, mój dobry wuju i za pozwoleniem mej cioci...

Słowa te wymówiłem z trudnością. Moja ciocia! ta młoda kobieta, młodsza odemnie, jeżeli mnie pamięć nie myli, o cztery czy pięć lat, którą uważałem w gronie mych sióstr za najstarszą z nich. Ale mniejsza o to... była to żona mego wuja, a jeżeli dziwne było to nasze pokrewieństwo, on był tego powodem. Czterdziestkę już minął, gdy ożenił się z panną Aliną Beaumont, liczącą wówczas tylko lat siedmnaście.

C. d. n.

Obyczaje kupieckie.

Studjum Herberta Spencera.

(Przełożył L. Iulender.)

(Ciąg dalszy)

Jest inny dział kupców hurtownych, a mianowicie ci, co dostarczają handlom korzennym towarów zagranicznych i kolonialnych: o tych powiedzieć można, że malwersacje ich, jakkolwiek już samej natury interesa mniej są liczne i urozmaicone a zarazem bardziej ukryte, to jednak pochodzą z tej samej beczki co i tamte. Trudno przypuszczać, żeby cukier i korzenie były środkami przeciwgnilnymi zarówno dla strony moralnej jak fizycznej; należy raczej spodziewać się, że ci co prowadzą handel hurtowny tymi towarami, puszczą się tym samem torem co i inni, a to w kierunku gdzi znajdą drogę najłatwiejszą. Jakoż fakta stwierdzają, że oni wyzyskują detalistów, bądź pod względem jakości, bądź ilości towarów, które im sprzedają. Opisy towarów, które sami podają, z reguły bywają błagą; próbki, które rozsyłają swoim klientom, podawane bywają za pierwszy gatunek, chociaż są w istocie gatunku drugiego. Wojażerowie, których wysyłają, mają za zadanie potwierdzać te kłamstwa. Skoro zaś korzennik-detalista niema dość sprytu naturalnego i wia

domości fachowych, zawsze będzie oszukanym. W pewnych razach nawet największa w świecie przebiegłość nieuchroni go od oszustwa. Są takie oszustwa, które z czasem stały się „zwyczajem handlowym“ *(usance)*, i w obec których detaliście nic nie pozostaje, jak tylko się poddać. I tak, gdy kupuje cukier, bywa oszukiwanym tak na jakości, jak na wadze. Oto pokrótce dzieje tego złodziejstwa: W zasadzie tara (waga opakowania) przyznana przez kupca na każdą beczkę, wynosiła 14°|₀ wagi *brutto*. Waga rzeczywista drzewa, z którego składała się beczka równała się ówczas około 12°₀ wagi brutto. Tak tedy tolerancja kupiecka pozostawiła nabywcy czysty zysk 2°|₀ na wadze; stopniowo jednak beczka stawała się coraz mniejsza i coraz cięższa, a obecnie nakoniec zamiast 14°|₀ wagi brutto czyni aż 17°|₀. Gdy zaś dotychczas przyznaną jest tara jak przedtem 14°|₀, więc kupujący traci 3°|₀, to znaczy: że 3°|₀ jego wydatków strąca się na zapłacenie drzewa do cukru. Na jakości oszukuje się w ten sposób, że się kupcom podaje próbki z najlepszej części beczki. W ciągu podróży swej z Jamajki lub innego kraju aż do miejsca zbytu, cukier znajdujący się w beczkach drenuje się z wolna: Melasa (czyli osad cukrowy) znajdujący się tam zawsze w mniejszej lub większej ilości, sączy się z górnej części cukru ku dołowi, a dół ten (zwany technicznie „spodem“ czyli „nogą“) przez to przybiera kolor ciemniejszy i ma mniejszą wartość. Ilość tych części gorszych różną bywa w różnych beczkach, a kupiec, który kupuje podług próbki fałszywej, musi odgadywać, ile też w beczkach nabytych znajdzie się owego „spodu“? — skoro przyjął za niską cyfrę, to jego strata. Można się o tem przekonać z następującego listu, wyjętego z „głównej księgi publicznej“ z dnia 20. października 1858. Skargi te, najcięższe z tych, o których mówiliśmy, są powodem agitacji obecnie się toczącej.

„Odezwa do zajmujących się drobnym handlem korzennym w Zjednoczonem królestwie“.

„Panowie,

„Czas już, aby świat kupiecki poruszył sprawę rewizji tary cukru w handlu się znajdującego. Fakta świadczą, że niedogodności obecnego systemu coraz bardziej stają się dotkliwemi. Poddajemy waszej rozwadze fakt następujący, fakt jeden z pomiędzy dwudziestu Dnia 30. Sierpnia 1858 kupiliśmy trzy beczki cukru „Barbedos“, znak

F. G.
K.

Nr beczki	Tary według faktury			Tary skonstatowane		
	cetnarów	ćwierć cetnarów	funtów	cetnarów	ćwierć cetnarów	funtów
1	1	2	14 + 6 (okruchów)	1	3	27
2	1	2	7	1	3	20
3	1	2	21	1	3	27
S^a	4	3	20	5	3	18
			Od tego:	4	3	20
			Okazuje się różnica	0	3	26

po 42 szylingów, to jest w pieniądzach 2 funty szterlingów, 1 szyling, 3 pensy (czyli w wal. austr. około 23 zł. niedoboru).

„Żądamy tedy zwrotu 2 funt. 1 sz. 3 p.; lecz hurtownik odpowiada, że niema widoków na wynagrodzenie straty“.

„Inne jest jeszcze złe, z którem ma do walczenia detalista: jest to sposób podawania próbek surowego cukru; spód cukru bowiem nigdy nie bierze się do próbki Możemy udowodnić faktami, że w kampanji obecnej na tysiące beczek „Barbedos“, średnio wypada po 5 cetnarów spodu w każdej beczce; zdarzało nam się nawet zwracać takie, w których było po 10 cetnarów spodu, co czyni na cetnarze 5 szylingów (3 złr. w. a.) różnicy w wartości stosownie do próbki; i w tym wypadku oświadczono nam, że nie ma widoków na wynagrodzenie. Dla tej to podwójnej przyczyny setki ludzi ciężko pracujących bliskie (są obecnie ruiny, a setki innych będą do niej doprowadzone, skoro świat kupiecki nie weźmie się ostro do rzeczy; wzywamy was, abyście się połączyli w celu uzyskania rewizji tak naglącej.

Zostajemy, panowie, waszymi sługami

*Watker & Steines *).*

Birmingham dnia 17. października 1858.

Winniśmy jeszcze wymienić rodzaj oszustwa bardziej subtelny. Jest to sposób używany przez rafinerów; kładą oni cukier wilgotny i pokruszony do suchych beczek. Zanim detalista otworzy taką beczkę, suche drzewo wsiąka wodę obficie znachodzącą się w cukrze, przezco tenże znacznie się ulepsza. Lecz gdy następnie kupiec zważy beczkę, znajduje, że jest ona o wiele cięższą, niżli tara wymieniona przez hurtownika; żąda naturalnie zwrotu dyferencji, lecz hurtownik odpowiada: „Odeszlij mi beczkę; w y s u s z ę ją i zważę następnie, stosownie do zwyczaju handlowego“.

Nie będziemy dalej badać szczegółów tych manipulacyj: te które powyżej wyliczyliśmy, są — być może — najgorsze ze wszystkich; wskażemy tylko na inną stronę działalności firm hurtownych, redagowanie prospektów. Wielu kupców hurtownych ma zwyczaj rozsyłać klientom perjodyczne przeglądy zawartych interesów, oraz stanu targu obecnego i spodziewanego w najbliższej przyszłości.

Dokumenta te kontrolują się wzajemnie, i nie mogą się przeto zbytnio oddalić od prawdy. Trudno jednak przypuszczać, aby były zupełnie lojalnie ułożone. Ci którzy je puszczają w swiat, — z uwagi, że wysokość ich zysków zależy od cen towarów, do których się odnoszą owe okólniki, — mają dobrze na uwadze swój interes, gdy układają obraz spodziewanych konjunktur. Detaliści mający dobry pogląd, strzegą się z tej strony.

Pewien korzennik na prowincji, który zna z gruntu swój interes, mówił nam: „U mnie reguła taka, że palę w piecu okólnikami“. I nie bez racji taki sąd wydał o prawdomowności tych dokumentów. Posłuchajmy, co w tej mierze mówią inni kupcy: Dwóch handlarzy skórą, — jeden z prowincji, drugi z Londynu — zgodnie ubolewało w obec nas, że okólniki firm tej gałęzi służą tylko do zbałamucenia ludzi. Nie ma tam fałszów wyraźnych; lecz one naprowadzają na fałszywe domysły, przez zamilczenie faktów, o których wspomnąć należało.

Zastanówmy się teraz nad moralnością fabrykantów: ograniczymy się do jednej klasy, a mianowicie do fabrykantów towarów jedwabnych. Dla uporządkowania zaś faktów, najlepiej będzie śledzić fazy, przez które przechodzi jedwab od chwili przywiezienia go do kraju, do chwili, w której może służyć na ubranie.

Pączki surowego jedwabiu, skoro przybędą z zagranicy — z wagą częstokroć sztucznie na niekorzyść kupującego pomnożoną, a to przez różne dodatki, jak kamyczki, drewna i t. p. puszczają się na rynek. Zakupują je na rachunek domów handlowych, tak zwani „maklerzy zaprzysiężeni“, przyczem przyjęta jest reguła, że maklerzy mają funkcjonować jedynie w charakterze ajentów. Wiemy jednakże z ust fabrykanta jedwabiów, że ajenci ci częstokroć, i to całkiem otwarcie, spekulują jedwabiem na rachunek własny lub z polecenia trzeciej osoby; zaintersowani w ten sposób co do cen jedwabiu, naturalnie stają się złymi ajentami. Za fakt powyższy jednak ręczyć nie możemy, chociaż ogólne jest mniemanie, że się tak dzieje.

Jedwab w ten sposób nabyty przez kupca londyńskiego, posełą się do miejscowości fabrycznych, gdzie go się „organzynuje“ t. j. przędzie w podwójne nici, przydatne do tkania. Zwyczajne warunki targowe mię-

*) Nadużycia w tym liście opisane, dziś być może już są zniesione. (Uw. autora).

dzy kupcem „organzynerem“ (t. j. owym fabrykantem, który jedwab przędzie) przedstawiają dziwny przykład oszustwa zorganizowanego i uznanego. Prawdopodobnie wyrodziło się ono z jakiegoś oszustwa dawniej praktykowanego, lecz następnie powstrzymanego. Przędzenie jedwabiu zawsze połączonem bywa z niejaką utratą w materjale przez urwane końce, węzły, nici za słabe do tkania. Braki te wynoszą stosownie do jakości jedwabiu z 3% aż do 20%; średnio zaś 5%. Ponieważ wysokość możliwego niedoboru jest tak zmienną, więc jasną jest rzeczą, że nieuczciwy fabrykant przy niedostatecznym dozorze, może sprzeniewierzyć część materjału, a oddając robotę, złożyć ten ubytek na karb t. z. „spilażu“ (po angielsku *spillage* t. j. ubytek w przędzeniu.)

Z tego powodu obmyślano system, wedle którego fabrykant zobowiązanym bywa oddać kupcowi po wykończeniu pełną wagę otrzymanego jedwabiu. Nazywa się to, że fabrykant „robi na własny koszt“, co — zdaje mi się — znaczy, że jeśli fabrykant spowoduje ubytek, to ponosi koszt. Pamiętajmy jednak, że dziś niepodobna uprząść jedwabiu bez ubytku (3% a zazwyczaj 5%). Umowa więc powyż wzmiankowana, zawiera koniecznie jakieś oszustwo, rozumie się — jeśli można nazwać w ogóle oszustwem rzecz, która jest ułożoną między stronami interesowanemi. Oto poprostu wypada powiększyć wagę uprzędzonego jedwabiu. Ubytek wagi spowodowany przy przędzeniu, uzupełnia się za pomocą różnych sztucznych dodatków. Najczęściej używa się w tym celu mydła. Trochę mydła zawsze brać należy, aby nie, połyskiwały podczas roboty; otóż bieże się więcej tego mydła, niż koniecznie potrzeba, i sprawa załatwiona. Używają także cukru, tak czy owak: dodaje się tyle obcych ziół do jedwabiu, aż tenże nie przybierze wymaganej wagi. Każdy organzyner musi używać tego sposobu, a niektórzy nawet mocno z niego korzystają, aby pokryć niedbałą fabrykację lub coś gorszego jeszcze.

Następnie jedwab poddaje się dalszej operacji, mianowicie farbowaniu. I tu oszustwo zagnieździło się już stale. Dawniej, jak nam mówił pewien fabrykant wstążek, głównie oszukiwano w ten sposób, że zwiększano wagę jedwabiu przez dodawanie wody; Motki, które wracały od farbiarza, jakkolwiek nie były zewnątrz zmoczone, jednak zawierały dość wilgoci, aby nią zastąpić pewną część jedwabiu zatrzymaną w farbiarni. Z tej strony więc należało się strzedz. Dziś *) jednak wynaleziono sposób oszukiwania o wiele wyższy od tamtego: moczą jedwab w ciężkich farbach. Następujące szczegóły mamy od pewnego organzynera: Dziś — mówił on — będzie z lat 35, odkąd ten system nastał. Przedtem jedwab tracił zawszo znaczną część wagi w ogrzewaczce. Wiadomo, że pierwotne nici jedwabiu, gdy wychodzą z pod gruczoła przędnego jedwabnika, pokryte są warstwą pokostu rozpuszczalnego we wrzącej wodzie. W kąpieli więc pokost, który stanowi 25% całkowitej wagi jedwabiu, schodzi, i jedwab staje się o wiele lżejszym. Tak tedy dawniej z 16 uncyj jedwabiu posłanych do farbiarza, wracało zaledwie 12. Lecz zwolna w miarę używania coraz to cięższych farb, wynik okazał się odwrotny. Obecnie bowiem jedwabiowi przybywa wagi, i to nieraz w stosunku trudnym do uwierzenia. Według przyjętego zwyczaju farbiarz oddaje 12 do 14 uncyj za funt jedwabiu. Jedwab zamiast tracić jak powinien 4 uncje wagi, zyskuje na niej, a to zapomocą niektórych farb aż do 24 uncyj! Zamiast gęstości o 25% niższej niż pierwotna, wykazuje gęstość wyższą o 150%; zawiera on bowiem 175% przymieszki obcych ciał! Zważywszy dalej, że w ciągu tych rozlicznych manipulacyj, jedwab w handlu liczy się na wagę, wynika jasno, że wprowadzenie i rozwój tej procedury obejmuje długi szereg oszustw. Obecnie w handlu każdy już wie o tem, i ma się na ostrożności. Podobnie do innych, i to fałszerstwo stawszy się ogólnem, nie przynosi już nikomu korzyści. Mimo to zaś charakteryzuje ono dosadnie moralność tych, którzy się doń przyznają.

*) T. j. w r. 1858 kiedy ta rozprawa pisana, odtąd zapewne wynaleziono jeszcze „lepszy“ sposób. (Uw. tłum.)

Jedwab uprzędzony (organzynowany) i ubarwiony przechodzi w ręce tkacza; i tu znowu napotykamy nieuczciwe postępki. Fabrykanci materyj jedwabnych okradają kolegów przez naśladownictwo modeli. Ustawy wydane przeciw tej kategorji rozboju świadczą, do jakiego stopnia one się rozwielmożniły. I dziś jeszcze nie podoboa ich powstrzymać. Jedna z ofiar tego postępowania zapewnia nas, że dotąd fabrykanci zwykli dostawać obcych modeli zapomocą przekupiania robotników. W stosunkach swoich z „akwizytorami fabrykanci znowu uciekają się do oszustw, prawdopodobnie aby sobie wynagrodzić wydatki miane poprzednio podczas targu i t. d. Towary przedtem już oglądane i odrzucone przez innych akwizytorów, proponują się nowo przybyłemu, z rozlicznemi ostrożnościami, jakoby dla zachowania sekretu, zapewnia go się, że towar ten umyślnie dla niego był zachowany. Nie jeden daje się na to złapać. Co do samej fakrykacji, to jest tam dość oszustw właściwych i niema o tem wątpienia. W wyrobie wstążek n. p. istnieje procedura, która się zowie: „Kończyć umierając,“ to jest, że wyrabia się starannie pierwsze trzy yardy, zaś resztę chowaną w rulonie robi się z lichej tkanki po 80 nici na cal, zamiast 108. Inne oszustwo zasadza się w podawaniu imitacyj z lichszego materjału, czyli w podrabianiu tkaniny. Ten zwyczaj wyrabiania lichoty bynajmniej nie jest rzadkim, owszem jest on dziś już instytucją, która się rozwinęła szeroko i z niesłychaną szybkością.

Nowość, która się sprzedaje początkowo po 7 szelingów 6 pensów yard (około 5 zł. metr,) wywołuje szereg imitacyj, a po upływie 1½ roku dostać można taką podróbkę za 4 szlg. 3 p. (a więc niemal za połowę.)

Zdarzają się nawet zniżki ceny z 10 szyl na 3 i aż do dwóch szelągów za yard. W końcu zły gatunek tych podróbek staje się tak widocznym nareszcie, że ich pozbyć niemożna: następuje reakcja, która się kończy bądź zwrotem ku wyrobowi oryginalnemu, bądź sporządzeniem innej nowości, mającej tamtą zastąpić.

W zapiskach naszych znajdujemy mnóstwo innych łotrostw, używanych w handlu hurtownym, które wolimy tu pominąć. Nie możemy się zatrzymywać nad całkiem zwyczajnym wybiegiem takim, jak używaniem fałszywej marki handlowej, lub naśladowaniem opakowania innego fabrykanta, wszystko w celu oszukania kundsmana. Wystarczy nam wskazać jedynie na pewne firmy, mające pozór uczciwości, które jednak zwiedzą ogółu kupują towary w sposób oszukańczy sporządzone. Jesteśmy zmuszeni powstrzymać się od bliższego określenia tych postępków, ukrywających się pod pozorami zacności, służącymi — jak się zdaje — jedynie do ukrywania zbrodniczych czynów. Łotrostwa powyż opisane, są to tylko próbki istniejących stosunków, na których opisanie zaledwie starczy tom cały.

Lecz są inne przykłady niemoralności kupieckiej, które tu podać wypada, takie mianowicie, które się dadzą poniekąd usprawiedliwić: można się z nich przekonać, jak to ludzie przez skłonność nieznaczną i nieprzezwyciężoną prawie popadają w nieuczciwość. Niema wątpliwości, że każdy nowy sposób oszukiwania zawsze bywa wynalazkiem handlarza, niemającego cienia sumienia. Zwolna inni wstępują w jego ślady: są to ci, którzy mają sumienie dość elastyczne. Ci zaś, którzy są uczciwi, wystawieni bywają na ciągłą pokusę przyjęcia nieczystych sposobów, używanych przez ich otoczenie. Im więcej osób ulega tej pokusie, tem bardziej oszustwo staje się ogólnem.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

(Dr. Szaraniewicz: O latopisach i kronikach ruskich XV. i XVI. w. a zwłaszcza o latopisie welikoho kniaźtwa litowskoho i żomojtskoho.)

Wiadomo, że historycy nasi odbyli przy współudziale zagranicznych swych kolegów (Roepell, Caro) w maju 1880 r. w Krakowie pierwszy swój zjazd tak zwany Długoszowy. Na zebraniu poruszono nie jedną żywotną kwestję nauki historycznej, i omawiano wiele projektów. Uczestnicy zjazdu wzięli sobie do serca wypowiedziane tam zdania, i przystępują już, chociaż powoli, do urzeczywistnienia nakreślonych planów.

Na zjeździe tym podniósł prof. Szaraniewicz bardzo ważną myśl wydawnictwa ruskich źródeł do historji polskiej.

Rozprawa niestrudzonego profesora, której tytuł wymieniliśmy na czele, jest „przedwstępną pracą" do tego wydawnictwa. Ma ona głównie za cel, zaznajomić nietylko świat uczony ale, i szerszą publiczność z kronikarzami ruskimi, oznaczyć ich wartość — słowem zainteresować rzeczą dotąd nieznaną. Zadanie autora było wcale niełatwem, musiał być zrozumiałym, zwięzłym a mimo to nie mógł i nie powinien był spuścić z oka naukowej metody, nie powinien zapominać ani na chwilę o wymogach krytyki historycznej. Bardzo trafnie postąpił więc autor poprzedzając rozprawę ogólnym wstępem, pouczającym o historyografii ruskiej, która stała, powiedzmy to zaraz, na niskim stopniu. Do końca XVIII° w. bowiem nie wyszła poza kroniki i latopisy; jestto wcale dokładne źwierciadło oświaty ogólnej.

Autor dzieli historyografią Rusi na trzy okresy: I. do 129?, obejmujący czasy niezawisłości i politycznej samoistności Rusi południowej; tu należą Nestor, kronika kijowska i wołyńska. II. od 1340 względnie 1387 (a więc luka lat stu) aż do 1648 tj. od czasu połączenia Rusi i Litwy z Polską aż do wojny kozackiej. III. od 1648—1750. Okresy te nazwać można: ruskim, ruskolitewskim i najnowszym.

Zauważyć musimy, że autor naszkicował tylko podział; może dlatego, że nie jest on nowym. A przecież brak obszerniejszych wywodów daje się uczuwać już z tego powodu, że wiadomości nasze o pracach dotyczących historyografii ruskiej są bardzo luźne. Braku uzasadnienia więc żałujemy tem bardziej, że u nas nie mógł nikt lepiej tego uczynić, jak Sz. autor tak gruntownie z przedmiotem tym obeznany.

Po wstępie przechodzi autor do właściwej pracy tj. do kronik okresu drugiego czyli litewsko-ruskiego. „który dla jedności zapatrywań politycznych i solidarności litewsko-ruskiego żywiołu względem króla i władz najwyższych Rzeczypospolitej więcej się nadaje do spokojnego i przedmiotowego rozpatrzenia."

Kronik tego okresu znamy sześć, z których dwie zalegają dotąd w rękopisie. Autor oceniwszy zwięźle wydania czterech kronik i opisawszy rękopisy (kopie) dwóch kronik zaznacza, że dotychczas daje się czuć brak: 1. oceny i rozbioru latopisu w. ks. litewskiego w stosunku do innych źródeł tego okresu, 2. porównania wszystkich kronik ze źródłami północno-ruskimi, pruskimi, inflanckimi i polskimi. 3. redukcyi Długosza, Bielskiego i Stryjkowskiego do kronik litewsko-ruskich. Zanim jednakże będzie można przystąpić do rozwiązania tych kwestyj należy wprzód wyjaśnić wzajemny stosunek kronik tego okresu. Nad tym ostatnim więc jakoteż nad latopisem W. ks litewskiego — jestto rdzeń pracy — zastanawia się głównie prof. Szaraniewicz w swej rozprawie i przyszedł do bardzo ważnych rezultatów, które składa w formie przystępnej a zwięzłej. Najważniejsze z wyników są: wszystkie kroniki i latopisy średniego okresu mają wspólne źródło, którem jest kronika smoleńska; latopisiec wielkich książąt litewskich a właściwie jego pierwotne źródło wchodzi w skład kroniki litewskiej i latopisu wielkiego księstwa litewskiego i żmudzkiego; w kronice kijowskiej rękopisu supraślskiego i w latopisie wielkich książąt litewskich są ślady dwóch kronik. Najciekawszym jednakże rezultatem pracy są wiadomości o autorach kroniki.

Prof. Szaraniewicz przejrzał w tym celu bardzo sumiennie kroniki, zebrał skrupulatnie wszelkie wzmianki i wskazówki dotyczące autorów i podał nam o każdym z nich cenne wiadomości. Ważną jest okoliczność, że profesor zaznaczył tu na podstawie kronik samych zapatrywania polityczne autorów, ich stosunki do wysoko położonych osób współczesnych, bez czego brakłoby nam podstawy do ocenienia niektórych wiadomości kronik. Rozprawę zamyka porównanie i sprostowanie chronologii wypadków przez kronikarzów podanych.

Oto treść rozprawy!

Dodamy jeszcze, że pisana jest bardzo zwięźle i że autor ugrupował przedmiot umiejętnie. Rozprawa ta jest pierwszym krokiem do wypełnienia dotkliwej dotąd luki w naszej historyografii — a jej zalety czynią ją przystępną nawet nieobeznanym z przedmiotem.

Kończymy wyrażając nadzieję, że Sz. autor nie każe nam zbyt długo czekać na dalsze pouczające wyniki swych studyów.

K.........i

Przegląd muzyczny.

Historyczne Koncerta po zeszłorocznych, tak świetnem powodzeniem w Krakowie uwieńczonych próbach teraz i do nas przez znakomitą ich inicyatorkę, Ks. Maryę Czartoryską wprowadzone, zainteresowały naszą publiczność nadzwyczajnie, tak że pierwszy z nich odbył się (d. 14. b. m.) w zapełnionej słuchaczami po ostatnie zakątki sali i utrzymał uwagę tychże we wzrastającem z każdym utworem zajęciu. Zaraz na wstępie wykonana — jak na szczupłe siły nasze zupełnie zadowalniająco pieśń „Bogarodzica" podniosła nastrój słuchaczy do uroczystej powagi; trudnoby wyobrazić sobie utwór przy całej prostocie równie podniosły. I reszta choralnych kompozycyj, a zwłaszcza imponująca siłą, a zadziwiająca śmiałością w prowadzeniu głosów pieśń rokoszan (z r. 1606) wywarły głębokie wrażenie.

Z większem jeszcze zajęciem słuchaliśmy Fantazyi (Fm. op. 49. Chopina, której wstęp, niezmiernie uroczy i poważny, ze znakomitem zrozumieniem przez wykonawczynię oddany głębokie zrobił wrażenie. Dalszy przebieg fantazyi, niezmiernie obfitej w niespodziane przejścia, już tylko dla znających dokładnie ten utwór mógł być zupełnie zrozumiałym; zakończenie zaś prześlicznym swoim recitatiwem znowu cały ogół słuchaczy zachwyciło. Z nadzwyczajnem powodzeniem wykonał p. Wolfsthal Koncert militarny K. Lipińskiego, przy towarzyszeniu fortepianowem p. Dr. Mikulego. Wspaniały ten utwór, którym nieodżałowany nasz Lipiński zdobywał sobie w swoim czasie podziw świata muzykalnego całej niemal Europy, przedstawił nam p. W. z całem zrozumieniem: trudności techniczne jakby nieistniały dla niego, w kadencyi zaś, bardzo zręcznie do całości zastosowanej uwydatnił on mistrzowskie panowanie nad instrumentem i wprawił ogół słuchaczy w taki entuzjazm, że oklaskom zupełnie zasłużonym nie było końca.

Trudne po tem miała stanowisko pani S. a jednak wcale szczęśliwie się z zadania swego wywiązała; zwłaszcza miły Krakowiaczek Madejskiego, ogólnie się podobał.

Ustępu z kwartetu Noskowskiego nie mogliśmy już słyszeć, chcąc bowiem jeszcze przed wieczorem dostać się do domu a znając dokładnie przedpotowe urządzenie naszej garderoby koncertowej, musieliśmy wcześniej opuścić salę.

O ile mogliśmy zasięgnąć zdania innych kompetentnych osób, z jednego ustępu Kwartetu Noskowskiego nie wiele sobie obiecywać można po całości.

ZIARNKA.

Gdyby wszystkie piękne projekta, dotyczące pomnożenia funduszu pomnika Mickiewicza, przyjęły się były tylko u jednej setnej naszego „intelligentnego" ogółu — więcej jak pewna, że Komitet rozporządzałby obecnie kwotą, która niechybnie starczyłaby na okazały monument spizowy dla wielkiego wieszcza. „Opłatek Mickiewiczowski" przysporzył u nas ledwie paręset guldenów, choć po tym opłatku skonsumowano bez wątpienia ryb i bakalij, co najmniej za kilka kroć sto tysięcy! Inny projekt, któryśmy także swojego czasu zanotowali na tem miejscu — zaadresowany specjalnie do płci pięknej, mianowicie, aby panie zechciały używać w tym karnawale strojów jak najbardziej skromnych, a choćby część tylko oszczędzonej w ten sposób kwoty przeznaczyły na pomnik — przebrzmiał podobno bez żadnego odgłosu... Widocznie nie przemówił do przekonania „sfer decydujących" w naszej prasie codziennej, nie polecono go ogółowi, jak to przynajmniej częściowo stało się było z owym opłatkiem, i myśl, która mogła była przynieść funduszowi pomnikowemu przy jakiem takiem zainteresowaniu się nią, przynajmniej kilkadziesiąt guldenów, poszła do archiwum miljona niewykonanych projektów, — na wieczny odpoczynek.

W obec tego choćbyśmy znowu mieli być tylko owym „Janem wołającym daremnie na puszczy" poczuwamy się jednak do obowiązku, podać do wiadomości naszych czytelników, co następuje:

Jeden z czytelników warszawskiego „Tygodnia illustr." proponuje, ażeby podjąć wydawnictwo albumu Mickiewicza, sposobem fotodrukowym, na wzór wydanego w swoim czasie „albumu Kopernika". Czysty dochód, uzyskany z rozsprzedaży takiej publikacji, mógłby w pomyślnym razie przynieść kilkaset lub kilka tysięcy rubli, względnie guldenów, na cele pomnika. W albumie tym znalazłyby pomieszczenie podobizny portretów wieszcza z rozmaitych czasów, jego rodziców, jak nie mniej osób, które w bliższych zostawały z nim stosunkach. Widoki miejsca urodzenia, domów i miejscowości w których młodość swoją spędził, owego domostwa w Konstantynopolu, w którem skończył, dalej — ulubione i ciągle używane przezeń przedmioty, jak zegarek, laska, kałamarz, słowem możnaby tam pomieścić wiele rzeczy, które interesowałyby każdego, komu nieobojętne imię największego z poetów polskich. Oczywiście wszystko miałoby równocześnie tekst objaśniający, i w ten sposób album takie byłoby rodzajem illustrowanej monografii popularnej. Warszawa prawdopodobnie przedsięweźmie wydanie takiego albumu, i w ziemiach zabranych rozejdzie się na pewne parę tysięcy egzemplarzy. Ciekawa rzecz. ile ich zażąda Galicja?...

* * *

Czytamy w „Przeglądzie Tygodniowym": Ciekawa to rzecz, co robią warszawscy literaci, jeżeli jeszcze istnieje ten rodząj stworzeń w naszem mieście... Przeglądając tegoroczne prospekta, publikowane przez redakcje „warszawskich organów" wszędzie gdzie tylko znajdujemy listę współpracowników, spotykamy się z nazwiskami literatów lwowskich, krakowskich, poznańskich, słowem ze wszystkich części świata, prócz warszawskich. W prospekcie „Tygodnika Illustrowanego" na szesnastu wymienionych, tylko dwóch jest Warszawiaków, i tak mniej więcej wszędzie. Czyżby to była grzeczność dla gości? — czyżby nam zabrakło „naszych wielkich" miejscowych bożków? Istnieją gazety w Warszawie, jak np. Polska, które jedynie składają się z korespondencyj, podtrzymywane pracą korespondentów i żyjące ich myślami, ich zdaniem, gdyż z własnem nie uważają produkować się za stosowne. Inne pisma. jak Słowo lub Echo bardziej jeszcze postępują bez ceremonii, i obywając się bez utrzymywania korespondentów, wcielają do swych szpalt całe artykuły, przepisują rubryki i poglądy... Wygodne to niezawodnie, bo nie wymaga pracy i nie wiele kosztuje... Ale z tem wszystkiem, czy to dziennikarstwo? Przecież cała nasza wartość zależy na tem, ile nowych myśli zdołamy sprodukować lub przetworzyć do naszego użytku, ile świeżych sił przygotować jesteśmy w stanie do pracy społecznej i literackiej, Niestety, przygotowaniem reporterskiego bigosiku nie da się to zrobić... ale bo i reporterów zapisujemy sobie z Galicji, tak jak herbatę z Moskwy lub cygara z Hamburga. Górą światło warszawskie!

ZAPISKI.

Literatura.

* Krakowska Akademia umiejętności przygotowuje trzy publikacje ze zbiorów archiwum krajowego, aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie, mianowicie projekt skróconego postępowania sądowego z początkiem XVI. w. z rękopisu współczesnego, „liber formularum" procesu polskiego i pozwy z czasów Zygmunta starego, ważne jako przyczynki do historji prawa i obyczajów XVI w.

* Slowansky Sbornik, którego jeden rocznik wyszedł w r. z., będzie i nadal wychodził zeszytami miesięcznemi pod tym samym kierunkiem Edwarda Jelinka. Pomiędzy współpracownikami spotykamy nazwisko Br. Grabowskiego, Kirkora, i Kraszewskiego. Pierwszy zeszyt już wyszedł.

* Niemieckie Stowarzyszenie miłośników literatury, rozpisało trzy konkursowe nagrody 4000 i 2000 marek za dzieło najlepsze, odnoszące się do dziejów rozwoju oświaty w Niemczech, jak np. wybitniejsza epoka rozwoju którego z ludów niemieckich, dzieje jednego z państw niemieckich w czasie jego rozkwitu, lub wpływ mężów, stanowiących epokę w dziejach narodu ze stanowiska politycznego, społecznego, literackiego, lub artystycznego. Termin nadsełania prac konkursowych naznaczono na 1. październik 1883.

* Dr. Aug. Mosbach rozpoczął druk dzieła w niemieckim języku pt. „Przyczynki do historji wojen francusko-niemieckich od r. 1800—1813, z pamiętników oficerów polskich". Dzieło to czerpane z materjałów, pozostałych po Bratkowskim, Dembińskim, Dobieckim, Gorajskim, Kieszkowskim, Wojciechowskim, Wybranowskim, Załuskim, Sokolnickim, Sułkowskim, Weissenhofie, Niemcewiczu i wielu innych, ma na celu obznajomienie Niemców, jaki udział i wpływ mieli Polacy w tych kampaniach.

* W Tyflisie przedsięwzięto wydanie zbioru starodawnych utworów literackich pt. „Klasycy gruzińscy". Zbiór ten rozpocznie się od poematu Czachodzego, który żył w XII. w. Oryginalny tytuł poematu: brzmi „królowa Tamara i jej mąż Dawid". Po nim nastąpią poezje ludowego poety gruzińskiego z XI. w. Dzagnakorolego.

Teatr i muzyka.

* H. Laube napisał nową komedję pt. „Schauspielerei", która ma być w lutym przedstawiona w wiedeńskim Burgteatrze.

* Franciszek Liszt bawi obecnie w Peszcie.

* Krystyna Nilson jest już zdrowa (chorowała na ból w krtani) i wystąpiła z ogromnem powodzeniem w New-Orleanie.

*Coquelin wyjechał już z Warszawy, i udał się na Wiedeń do Pesztu, gdzie rozpocznie szereg gościnnych występów w operze narodowej.

* Sardou pobiera tytułem tantiemy od przedstawienia „Fedory", 15% od brutto dochodu, co mu dotąd przynosi przeciętnie po 1300 fr.

* Znany pisarz francuski Julius Claretie pracuje nad nową tragedją pt. „Imperia" w której rzecz się rozgrywa za czasów panowania w Rzymie Juliana II. Nowy jego dramat pt. „Monsieur le ministre" ma być niebawem praedstawiony w teatrze „Gymnase". Korektę scenicznego utworu przeprowadził Dumas, za co otrzymać ma część tantiemy.

Sztuki piękne.

* Rzeźbiarz Otto w Rzymie ukończył olbrzymi posąg W. Humboldta, który stanąć ma u wejścia do uniwersytetu berlińskiego. Figura znakomitego wieszcza jest dwa razy większą od naturalnej wielkości.

Humboldt jest przedstawiony w pozie siedzącej, w długim surducie z odkrytą głową. Z ramion spuszcza mu się płaszcz, a w jednej ręce trzyma akt założenia uniwersytetu. Rzeźby na cokole przedstawiają figury alegoryczne: sprawiedliwość, archeologię i filozofię.

* Na pomnik narodowy dla Wiktora Emanuela, rozpisano znowu konkurs powtórny. Pomnik stanie na północnym stoku wzgórza kapitolińskiego w ten sposób, że główna oś Rzymu, Corso, wprost skierowaną będzie ku środkowi budynku. Powiadamy budynku, bo pomnik cały ma się składać z wspaniałych wschodów, z architektonicznej podstawy i statuy króla na koniu. Do konkurencji wezwano znów rzeźbiarzów z całego świata, wątpić jednak należy, czy po doświadczeniach pierwszego konkursu, ubiegać się będzie kto inny prócz Włochów. Termin nadesłania trwa do połowy grudnia r. b.

* Paweł Mantz, dotychczasowy dyrektor sztuk pięknych w francuskiem ministerstwie oświaty, z powodu kłótni z podsekretarzem stanu Logerotte, podał się do dymisji. Sprawami odnośnemi zarządza więc obecnie Logerotte, adwokat, który dobrał sobie do pomocy byłego inspektora sztuk pięknych Kaempfena.

Miscelanea.

Znakomity myśliciel angielski, Herbert Spencer, urzeczywistnił nareszcie dawne swoje pragnienie zwidzenia Stanów Zjednoczonych, t. j. kraju w którym najwięcej może filozofia jego ma wielbicieli. Przyjmowany przez rozmaite stowarzyszenia naukowe z wielkiemi owacjami, miał sposobność wypowiedzenia na jednym z bankietów, którymi go uczczono, poważnej mowy, illustrującej z jednej strony charakter yankesów, a z drugiej — poglądy etyczne samego mówcy. Amerykanie, według niego, zanadto się oddalili od pierwotnego stanu cywilizacji, zanadto odbiegli od typu barbarzyńskich swych przodków, — nie znaczy to bynajmniej, by byli przecywilizowani, — owszem brak im jeszcze wielu cech, a przedewszystkiem owej łagodności obyczajów, która odróżnia głównie uspołecznionego w wysokim stopniu człowieka od dzikiego. Inaczej trzeba pojmować ową przesadę. Jak wiadomo, życie mieszkańca stepów i w ogóle wszystkich surowych plemion, bije nader nierównem tętnem. Wszystkie czynności jego uwarunkowane są jedną dążnością: zaspokojenia głodu. Niekiedy przez dni kilka żołądek jego próżnuje, to znowuż, gdy uda się upolować piękną zdobycz, dziki wynagradza sobie zbyt długi post i objada się do zbestwienia, by po kilku dniach w nową udać się pogoń za strawą. W ogóle charakterystyczną cechą takiego życia, jest nierównomierność, brak systematu, gorączkowość, zaspakajanie jedynie potrzeb chwili, i nieprzewidywanie tego, co nastąpić musi, lecz co się jeszcze czuć nie dało. W kraju ucywilizowanych dzieje się wprost przeciwnie. Wszystko tam idzie podług wielkiego pulsu społeczeństwa. Ani śladu dorywczości i lekkomyślności dzikiego; myśl o jutrze zaprząta umysł tak samo, jak i potrzeba chwili. Czasami nawet myśl ta absorbuje całkiem człowieka, odbiera mu wszelki spokój, nawet wtedy, gdy o wiele mniejsza doza przezorności wystarczałaby; jest to druga ostateczność: w nią właśnie wpadli Amerykanie. W swej niezmordowanej pogoni za karjerą, w bezustannej i po największej części nieuzasadnionej trosce o przyszłość — nie znają. oni młodości. Gdzie spojrzeć, same siwe głowy. Spencer twierdzi nawet stanowczo iż amerykanie przeciętniowo o 10 lat wcześniej siwieją, niż mieszkańcy starego świata; zabijają się pracą przechodzącą wątłe siły człowieka, i stąd pospolitem u nich zjawiskiem, jest chorobliwy stan systematu nerwowego. Lekkomyślność dzikiego w odniesieniu do przyszłości, przeszła u yankesów w lekceważenie teraźniejszości. Wszystko dla duszy obałamuconej ciągłemi planami i kombinacjami, nic dla ciała, dla naturalnych i słusznych pożądań wykształcenia człowieka. To też myśliciel i poeta, którego stratę amerykanie teraz opłakują, Emerson, w swym „Szkicu o dżentlmenie“ woła: przedewszystkiem część zwierzęca musi być zaspokojoną, stosuje się to tak do człowieka, jak i do ojca, obywatela etc.

Jakiż wynik tego zapierania się swego człowieczeństwa i zrzekania się wszelkich. jego przywilejów Ten, iż gdy amerykanin gorączkowe krzątania się koło przyszłego dobra chce już przerwać jakąś estetyczną rozrywką, jakąś rozkoszą, nie umie jej użyć nie czuje jej widocznie sercem, lecz rozumem; chciałby wszystko ogarnąć jednym rzutem oka, byleby najwięcej zaoszczędzić czasu. Dla tego, powiada Herbert Spencer, że podczas gdy on i inni przez tydzień cały codziennie podziwiali wodospad Niagary, krajowcy bez odpoczynku spędzali przy jeziorze dzień cały, byleby nazajutrz nie potrzebować już przychodzić. Toż samo dzieje się, gdy oglądają np, osobliwości sztuki i natury Europy. Cierpią na tem zresztą nie tylko oni sami, lecz i dzieci ich, całe następne pokolenie. Wyradza się ono pomału, bo odziedzicza po ojcach słabe nerwy, zdezelowany organizm i też samą gorączkowość czynu. Podczas gdy powinno być wprost przeciwnie. Dzieciom przekazywać powinniśmy jak najwięcej sił fizycznych i moralnego zdrowia; powinniśmy, jeżeli już tak dbamy o przyszłość, postarać się i o udoskonalenie naszych potomków.

Ideały ludzkości zmieniają się z biegem czasu. Kiedyś, w starożytności — a i teraz jeszcze w wielu zakątkach świata a nawet Europy — najwyższą cnotą społeczną albo raczej antispołeczną, był możliwie wielki udział w wojnach: walka z sąsiadami nieumotywowana żadnemi pobudkami, prócz chyba instynktu krwiożerczego — stanowiła cel najwyższy, ku któremu dążyli wszyscy. Innemi pogardzono; pracę gospodarczą, jako niegodną mężczyzny, powierzano kobietom i niewolnikom. Rys ten w krajach oświeconych zredukowała kultura do minimum. W Anglii n. p. i Ameryce północnej nie istnieje on już prawie. To co ongi było uważane za hańbę, za upadlającą pracę, stało się chlubą i cnotą. Boga wojny i łupiestwa wyrugował Bóg pokoju i organicznej pracy, i gdzieindziej nawet za despotycznie rządzi ludźmi, jak to stwierdzają też same Stany Zjednoczone.

Czyż ideał ten będzie wieczny? Trudno przypuścić. Gdyby bowiem tak być miało, znaczyłoby to, iż ludzkość dosięgła już najwyżzego szczebla rozwoju, i wyżej posunąć się już nie może. Spencer sądzi inaczej. Gdy to, około czego grupują się głównie dążności współczesnego człowieka, zostanie osiągniętem, gdy walka z naturą zakończy się zwycięstwem człowieka i odda główne jej siły na jego usługę, a według wszelkiego prawdopodobieństwa czas taki nadejdzie kiedyś, — wówczas będą musiały powstać inne ideały, inne cele.

Gdy John Sturt Mill, — powiada Spencer, którego był przyjacielem został lordem-rektorem instytutu St. Andreu, wypowiedział mowę cenną, jak i wszystko, co z pod pióra jego wychodziło, gdzie poruszył ten sam przedmiot. Utrzymywał on, że, „życie należy do nauki i pracy.“ Już wówczas, a teraz tembardziej, Spencer z zdaniem tem nie zgadza się owszem staje on nawet na stanowisku wprost przeciwnem. W zasadzie Milla, jak i wszystkich, co mniej lub więcej do niej się stosują, widzi on niewłaściwe akcentowanie środka i stawianie go na miejscu przynależnem celowi. Genezę tego powszechnego u ludzi zjawiska, obszernie przedstawił autor „Systematu filozofii syntetycznej“ w „zasadach etyki“. Wykazał on tam i szkodliwy w ogóle wpływ tej nieszczęśliwej manii człowieka, która sprawia, że po za drogą przeocza on metę, że utylitaryzm lub eudajmonizm bywa najniesłuszniej piętnowany, gdyż do nich w gruncie rzeczy daje się sprowadzić wszelka moralność. Otóż i praca bądź umysłowa, bądź praktyczna, sama przez się celem, a życie tylko środkiem nie jest i być nie może. Żyć to postulat pierwszy, naczelny; zapełnić to życie jak największą sumą szczęścia: to główne, przez samą naturę podyktowane zadanie każdego człowieka. Zaś praca wszelkiego rodzaju jest celowi temu podporządkowaną, jako droga do niego prowadząca. Skąpiec całujący złotą monetę i żyjący tylko myślą skupienia jej w największej ilości, musiałby „przyparty do ściany przyznać, że pieniądze to tylko środek, narzędzie“. Jeżeli przeto zapomina o tem, jest w stanie chorobliwym. W miarę postępu cywilizacji, wzrastać będzie i rozumna świadomość celu, i umiejętność redukowania środków do ich rzeczywistego znaczenia. Ewolucja dokona tego, że bezustanna praca przestanie być uważaną za cel życia. Nadejdzie czas, gdy prawa natury ludzkiej zyskają większe obywatelstwo, a na miejscu teraźniejszego apostolstwa pracy, zjawi się apostolstwo odpoczynku i szczęśliwości.

Treść:

Literacki nasz dorobek.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
Poliński R.: Excelsior. (wiersz.)
Dr. A. Zipper: Izajasz Tégner i poemat o Frytjofie.
Dollfus K.: Mój wój Duval.
Spencer H.: Obyczaje kupieckie. (c. d.)
Przegląd literacki.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Od Administracji.

Zwracamy jeszcze raz uwagę Szanownych Prenumeratorów naszych, że rozpoczęliśmy kwartał drugi, i chcemy uregulować nakład.

Prosimy o odczytanie ostatniego ustępu pierwszej stronicy okładki, gdzie są podane warunki przedpłaty.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza

Nr. 5. We Lwowie dnia 27. Stycznia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

O czem i jak należy pisać dla ludu.

I.

To, co nazywamy literaturą popularną, ludową, — jest rzeczą zupełnie nową, płodem dopiero XIX stulecia. W dawniejszych wiekach aż do Pestalozzego nikt nie pomyślał nawet na seryo o udzielaniu dla ludu jakichkolwiek nauk, które były wyłącznie przywilejem klas możnych i majętnych. Szkoły ówczesne, nawet ludowe, ograniczały się na nauce czytania i pisania, wcale nie dbając o to, by temu, kto raz posiadł tę naukę, dać przy jej pomocy jakiś prawdziwy pokarm umysłowy, Dopiero w naszem stuleciu rozwój zdrowych pedagogicznych zasad jakoteż rozwój ideji demokratycznych przyczynił się do utrwalenia tej myśli, że „nauka" czytania i pisania nie jest właściwie nauką, lecz tylko drzwiami do niej, tak jak łyżka nie jest pokarmem, lecz tylko jednym ze środków do przyjmowania pokarmów. Koniecznem następstwem takiego zwrotu myśli były starania o utworzenie literatury dla ludu, jak naukowej tak i pięknej, — koniecznym też jego wynikiem były i główne zasady, jakiemi kierować się potrzeba przy tworzeniu tej literatury. Co ma służyć dla ludu, musi przedewszystkiem być dla niego z r o z u m i a ł e, t. j. musi posługiwać się jego własną mową, częstokroć nawet jego djalektem lub żargonem, — ztąd też poszła w naszym wieku ta niezmierna decentralizacja, że tak rzekę, form językowych, w jakie przywdziewa się myśl i nauka, — ztąd poszło powstanie takiej masy nowych literatur w językach ludów drobnych, ongi zupełnie zapomnianych i zapoznanych, ztąd studja nad językiem i etnografią wszystkich drobnych odcieni i lokalnych odmian pewnego narodu. To, o czem dawniej pisano w całej Europie tylko po łacinie, — dziś zjawia się nie tylko po francusku, niemiecku lub po polsku, lecz także po prowansalsku, plattdeutsch, po kaszubsku lub białorusku. Drobne mowy i narzecza wychodzą na widownię z długiego zapomnienia, dopominając się i dla siebie równouprawnienia śród więcej wyrobionych, niajako uprzywilejowanych państwowych języków — na polu ducha to samo zjawisko, które widzimy na polu społecznem i ekonomicznem.

Lecz nie dość na tem. Wyrażając pewne myśli w pewnym języku, jeszcze nie koniecznie będziemy zrozumiałymi dla ludu mówiącego tym językiem. Potrzeba umieć przystosować się do pojęć, wyobrażeń i sposobu myślenia tego ludu, — potrzeba myśli ogólno-ludzkie urobić w pewną specjalną, dla danego ludu przystępną i swojską formę, tak jak muzyk jest w stanie pewną arję nie zmieniając jej układu, przeprowadzić z jednej tonacji w drugą jej pokrewną.

Nie zmieniając i nie fałszując! Tutaj dotykamy jednej z najważniejszych zasad popularyzowania nauki, która u nas niestety dotychczas nigdy nie była przeprowadzoną w rzeczywistości. Popularyzatorowie nasi wychodzą zwykle z tej zupełnie mylnej zasady, że naukę należy ludowi podawać ile możności okrojoną, bezbarwną, elementarną, tj. w życiu do niczego nie dającą się zastosować. Wszelkie, dla całego myślenia i postępu ludzkości tak niezmiernie ważne zdobycze nauki nowoczesnej mają być dla ludu na zawsze zamknięte, ponieważ lud ten wrzekomo nie jest do nich przygotowany. Tymczasem każdemu, kto ma jakąkolwiekbądź naukę w całej jej rozciągłości, jasno będzie od razu, że rzecz ma się prawie przeciwnie. Rezultaty każdej nauki, owoce długich, niezliczonych i mozolnych badań zuozumiałe są dla każdego, dla dziecka nawet — metoda tylko tych badań i ich specjalne, drobne zdobycze mogą być dla niewykształconych umysłów niezrozumiałe lub obojętne. I tak n. p. traktując popularnie fizykę, czyż mielibyśmy ograniczać się na ogólnych własnościach ciał lub na elementarnych pojęciach chemji, — z któremi lud nie będzie wiedział co począć i które ani na cal wyżej nie podniosą jego umysłowego poziomu? A z drugiej strony czyż tak już zupełnie niezrozumiałą będzie dla ludu cała filozofja fizyki, wykazująca jedność wszystkich sił i związek wszystkich zjawisk? Lecz jeżeli już w naukach ścisłych nie można stawić żadnych granic dla popularnego wykładu, to tem mnicj można je stawić w naukach o żywych istotach, o człowieku i jego społecznem (przeszłem i teraźniejszem) życiu. Tutaj rzeczywiście trzeba koniecznie przyjąć za zasadę — m ó w i ć l u d o w i c a ł ą p r a w d ę, bez partyjnych lub klasowych względów. Bo i cóż wielkiego zrobi np. ten popularyzator, który nawet w całym szeregu książeczek poda ludowi opisy zwierząt, kamieni lub roślin, niczem ze sobą nie powiązane? Poda on tylko masę szczegółów luźnych, które nie mając ośrodkowego atrakcyjnego punktu, z konieczności muszą rozlecieć się z pamięci czytelnika, Dopiero spojone w jedną całość przez teoryę rozwoju,

szczegóły owe zyskują przyczynowy związek, stanowić będą całość organiczną, która raz utkwiwszy w pamięci nawet chłopca, nie tylko, że z niej nie zniknie, lecz ciągle zbogacona i potwierdzana jego własnem doświadczeniem, stanie się tak samo normą jego myślenia, a więc zupełnie nowym i nieocenionej wartości nabytkiem cywilizacyjnym, jak i u każdego człowieka wykształconego.

Wiemy, że wymaganie to, opowiedzieć ludowi w każdej gałęzi myślenia i badania całą prawdę, wszystko to, do czego doszła współczesna nauka i krytyka, spotka silną opozycją osobliwie w naszym kraju. Jakto, — zawołają niektórzy, — mamyż podawać ludowi to, do czego doszły badania Darwina, obliczenia Spallanzaniego, szperania Tylora, myślenie Spencera, analiza Marksa lub krytyka Straussa? Odpowiadamy: tak! Badania tych i tym podobnych uczonych dochodzą, każde w swoim zakresie, do pewnych ogólnych poglądów, do pewnych wyników, mających ogromne praktyczne znaczenie dla reformy całego naszego światopoglądu i uspołecznienia. Oświecili oni rozmaite wielkie problemata, o które umysł ludzki ciągle potrąca, i które wymagają jasnej i stanowczej odpowiedzi, nie tylko w umysłach ludzi uczonych, lecz niemniej też i w umyśle chłopa. Nie potrącać o nie w literaturze popularnej, to znaczyłoby pozbawić ją wszelkiego żywotnego znaczenia dla ludu, — a potrąciwszy raz, staje się przed dylematem — albo rozmyślnie kłamać i oszukiwać lud, albo też powiedzieć mu całą prawdę.

Lecz jak by to trzeba i można było zrobić, o tem następnym razem.

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

— Krzyż pański z tym chłopcem — mawiała zwykle pani profesorowa Antocka, a wtórował jej wymownem westchnieniem mąż, ilekroć wspomniano o Kaziu, którego u nich umieszczono.

— Do książki hultaja ani weź, do lamparterji zawsze pierwszy, psuje nam tylko drugich, a zuchwałe to, grymaśne i wymyślne, jak gdyby jaki „hrabczuk“.

W tych słowach streszcza się dosadnie reputacja, którą wkrótce wyrobił sobie swawolny chłopiec, i konsekwentnie utrzymywał ją potem przez cały czas pobytu swego w gimnazjum w G... Przełaził z klasy do klasy, bo oczywiście w tym a nie innym celu oddano go do profesora, i płacono dość drogo za utrzymanie malca i korepetycje. Byłby prawdopodobnie w ten sposob szczęśliwie przebrnął wszystkie ośm klas, gdyby nie zdarzenie, które uniemożliwiło pobyt jego w tem gimnazjum, mimo względów, które grono profesorów miało dla kolegi Antockiego, a po części także i dla ojca Kazia. Ledwie „to odlazło od ziemi“, jak się wyrażała często pani profesorowa — dla ustawicznych bowiem zgryzot z powodu niesfornego konwiktora, oboje z mężem nie bardzo lubili Kazia — zatem ledwie miał siedmnaście lat, dopytał się towarzystwa podobnych mu łobuzów, i zaczął z nimi co dzień namiętnie grywać w karty t. j. w ferbelka. Z początku grywali w niedzielę i święta, po tem kilka razy w tygodniu, nakoniec codzień, urywając sobie w tym celu jedną lub dwie godziny z lekcyj szkolnych Kaziowi fortuna statecznie nie dopisywała; z razu płacił „frycówki“ guldenami wykpiwanemi listownie od matki, pod najrozmaitszemi pozorami. Póżniej i tego było zamało, zaczął sprzedawać książki, w dalszym ciągu pozastawiał odzież, bieliznę u żydów, zegarek, który mu matka dała, słowem wszystko, co tylko miał nie do codziennego użytku, a na co usłużny żydek pożyczył choć kilkadziesiąt krajcarów.

Podczas jednej z takich partyj, gdy przegrał był prawie wszystko z rozdobytych pieniędzy, a w domu i kuferku nic już nie miał do zpieniężenia,—posprzeczał się z jednym z partnerów. Słowo po słowie, przyszło do bójki, wśród której Kazio podrażniony jakiś dotkliwszym szturchańcem przeciwnika, dobył scyzoryka, i w szalonej zapamiętałości wbił mu klingę w ramię, po samą rękojeść. Zraniony zemdlał, na widok krwi smarkacze potracili głowy, a pierwszy Kazio jak drapnął, tak się oparł aż w odległem stąd o kilka mil miasteczku, u rodziców. O właściwej prawdzie zamilczał oczywiście, a tłumaczył się, że gdy niewinnie dostał od tamtego w twarz, stracił z gniewu przytomność, i nie wiedząc sam co robi, skaleczył go scyzorykiem. Matka znalazła to zachowanie się jedynaka zupełnie odpowiednem, zdaniem jej tylko krew rycerska, płynąca po kądzieli w żyłach Kazia odezwała się gracko, — inaczej nie mógł uczynić. Ojciec, słaby safanduła, któremu całe życie okropnie ciężyło szlacheckie pochodzenie i edukacja żony—milczał, bo zresztą wiedział od dawna, że opozycją nic nie wskóra, a ściągnie sobie jeno jaki tydzień dąsów i gniewu małżonki. Innego jednak zdania byli profesorowie w gimnazjum. Gdy rzecz cała, doniesiona przez rodziców skaleczonego chłopca, do wiadomości dyrekcji szkoły, wyszła po indagacjach na jaw, wydalono Kazia z gimnazjum. Nie pozostało teraz poczmistrzowi nic innego, jak postarać się o przyjęcie synalka do innego gimnazjum. Po długich naradach, zdecydowano udać się do Lwowa, za czem przemawiała obecnie i ta okoliczność, że od dwu lat mieszkała w stolicy kuzynka pani poczmistrzowej, u której można było umieścić Kazia.

Tak tedy pewnego ranka, Jędruś ze zdziwienia aż usta otworzył szeroko, widząc wchodzącego do klasy starego swojego wroga. Dodać bowiem musimy w tem miejscu, że ile razy sierota był u opiekuna pana Piotra na wakacjach, Kazio zawsze przy spotkaniu, na ulicy czy w kościele, z wyzywającą pogardą patrzył na niego, nie witając się po koleżeńsku, lecz przeciwnie ignorując go z umysłu. Pan Piotr widział to niejednokrotnie, a potem z żartobliwym śmiechem pytał zawsze: „A widziałeś dziś Jędrusiu twego „wroga“?“

I „wróg“ ów zmięszał się widocznie, spostrzegłszy siedzącego w pierwszej ławce Jędrusia. Udał, że go widzi pierwszy raz w życiu, a potem pilnie wystrzegał się zbliżenia do dawnego kolegi, jakkolwiek nowi towarzysze usiłowali zaraz zaznajomić go z lubianym przez nich „prymasem“ Kobylskim.

Po niejakim czasie, po zjawieniu się w klasie Kazia, uderzyła Jędrusia pewna zmiana w postępowaniu z nim i zachowaniu się kilku kolegów, z którymi szczególniej przystawał zwykle. W miejscu poprzedniej serdeczności, jakiegoś respektu mimowolnego, już w szkołach bowiem zwykło się mieć respekt dla tych, którzy tem czy owem imponują, choćby tylko pierwszą lokacją w klasie... i dokumentowanej codzień przynajmniej dwa razy przyjaźni, ujrzał z wielkiem zdziwieniem chłód zagadkowy, unikanie go niemal ostentacyjne, i ukośnie rzucane spojrzenia chmurne. Gdy zauważył te bezprzyczynne objawy niechęci, graniczące nieomal z pogardą, o której mimo młodego wieku miał już dość wyrobione wyobrażenie — zaniepokoił się mocno, był jednak zbyt dumny w duszy, aby pytać o przyczynę. Aż po jakim miesiącu, jeden z owych towarzyszy, chłopak z gruntu poczciw i serdeczny, przyszedł do niego pewnej niedzieli po południu, i przyczyna zagadkowego boczenia się wszystkich wobec Jędrusia, została wyjaśniona.

— Słuchaj no Kobylski — zaczął przybyły po sakramentalnem „serwus studenkiem — ten Swider okropne historje porozpowiadał o tobie...

Jędruś zbladł, i zadrżał mimowolnie, serce zaczęło mu bić gwałtownie.

— Jakie okropne historje, nie rozumiem cię.. — wybełkotał po chwili: — chyba to,

żem biedak, sierota od dziecka, jak palec sam jeden na świecie...

— Ba sierota, to najmniejsza... Ale on mówił nam, że ciebie b....... u nich w domu nazywają żeś się urodził na śmieciu żydowskiem w miasteczku, że Bóg wie kto twoim ojcem, a matka umarła w kryminale... za kradzież ..

— Łże podły nikczemnik'... — wrzasnął Jędruś, i jak wściekły rzucił się z miejsca. Zabiję tego łotra przy pierwszem spotkaniu... moja biedna matka umarła w kryminale... cóż za niegodziwy kłamca i oszczerca... — i łzy rzuciły mu się potokiem z oczu.

— Daj spokój, nie płacz Jędrusiu, płacz nie do twarzy nam mężczyznom — perswadował dobry chłopak, obejmując sierotę ramionami, i całując go serdecznie w zwilżone łzami policzki. Udawał mężnego, a jemu samemu nie wiele już brakowało do płaczu.

— Nie wierzę mu, dalibóg, nie wierzę nic.... Powiedziałem ci to wszystko,' bo uważałem sobie za obowiązek, wyświecić całą prawdę. Dam ja mu sam za to, dam... On mi się od razu nie podobał... Udaje paniczyka, a to osieł kwadratowy, i nazywa się tak śmiesznie po chłopsku.. Owa! jaki mi panicz, taki Świder... — W tych i podobnych słowach usiłował chłopak uspokoić łkającego Jędrusia, lecz mu się to nie udało tak rychło.

Gdy się jednak wypłakał do syta, usiadł na łóżku, posadził koło siebie kolegę, i po krótce opowiedział mu historję swego pochodzenia, o ile ją znał z niewyraźnych wzmianek, zasłyszanych w dzieciństwie od nieboszczki organiściny. Kto był jego ojcem, nie wiedział rzeczywiście, choć doszło go raz przypadkiem, że to był podobno jakiś bogaty, młody pan — a nieszczęśliwa matka, ledwie wydała go na świat, zaraz umarła, i leży na cmentarzu w owem miasteczku. Wychowali go od niemowlęctwa poczciwi organistowie, przyjąwszy za swojego, a dopiero po ich śmierci krewni zmarłych wygnali sierotę. Wtedy zabrał go do siebie profesor miejscowy, pan Gwizdowicz, i dotychczas opiekuje się nim ciągle.

— Oto masz bracie najświętszą prawdę... Osądź sam, ile w tem okropnego, i czy zasługuję na taką nikczemną obmowę? Nie pierwszy to raz obecnie on mię nazywa b...... Jeśli nim jestem, cóżem winien... przecie na świat się nie prosiłem sam... Czem zresztą różnię się, dajmy na to, od tego samego niegodziwego Świdra? Przecie — równie jak on — musiałem i ja mieć ojca i matkę! Gdyby biedaczka była nie umarła, byłby może i ojciec mój później kiedy nawrócił się do niej... Zresztą, co komu do tego? Nie dość dla mnie nieszczęścia to sieroctwo zupełne? potrzebaże nadto, ażeby mi wyrzucać Bóg wie za co, moje pochodzenie?,.— Ha! podły bydlak!... — Zaświeciły się oczy chłopczynie. Kurczowo zacisnął pięście, i obiema pogroził w powietrzu.

Kolega tymczasem, zapatrzony machinalnie w jeden punkt na pokoju, słuchał zdaje się uważnie genezy Jędrusia, i późniejszych jego wynurzeń bolesnych. Czy go one przekonały i pociągnęły zupełnie na stronę sieroty... nie wiemy. To pewna, że są wyrazy, które skutkiem zżytego z niemi znaczenia i pojęcia, tak okropnie brzmią w uszach z w y k ł y c h ludzi, iż nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby ów dobroduszny chłopak, mimo dotychczasowej przyjaźni i serdecznej życzliwości dla sieroty, obecnie co najmniej połowę tych uczuć utracił bezpowrotnie dla b...... Siła przesądów jest bez kwestji potężniejsza od serca i nerwów, jeśli im w pomoc r o z u m nie przyjdzie...

(C. d. n.)

Do Prutu.

Siwy Prucie! — tęskny Prucie!
Gór pieśniarzu stary —
Jakiež w pieśni twoich nucie
Uroki i czary! —

Nastroiłeś srebrną lutnię
Na przeszłości tony,
Co pielgrzymkę wita smutnie...
... Pogrzebnymi dzwony!

Oj! Lirniku siwobrody
Siadłeś na mogile...
A z szumami twojej wody
Płynie jęków tyle...

Że mi łzami serce wzbiera
Jak w minione lata —
Och bo serce nie umiera
Nawet... w kaźni świata!

I jak dawniej, drży w mem łonie
Niespokojnem biciem —
Tylko chłód — owionął skronie,
Co się zowie życiem!

I jak dawniej roje pieśni
W koło niego dźwięczą —
Tylko szczęścia sen się nie śni —
Przepasany tęczą!

Tylko pękł, wiążący z niebem
Łańcuch tajemniczy —
I powszednim dni mych chlebem
Dziś... uśmiech goryczy!

I ty, w dawne dzwonisz tony
Na lutni młodzieńczej!
Tylko wiosny maj zielony
Brzegów ci nie wieńczy.

Tylko szron jesienny rosi
Jarzębin korale
I wiatr uschły liść unosi
Na zmącone fale!

Tylko wron urągowiska
Nad pożółkłe łany —
Tylko zimy groźba bliska
W chmurze ołowianej!

Więcej... nic się nie zmieniło...
Czemuż tak żałośnie?
Starcze! nam się może śniło
O szczęściu i wiośnie?

Pocóż wzrok obracać smętny
Na gasnące zorze?
Dalej!... ja w świat — obojętny,
Ty — w dalekie morze!

Marja Bartus.

Z życia wodziarki.

Napisał
Karol Wład. Żółkiewski.

Jużto pani Wydrzycka miała słuszność, —z Janową trudno było wytrzymać. Obdarta, brudna, wiecznie stękająca — wcale nie była sympatyczną, a najgorzej to z temi rękoma, popękanemi od mrozu, wiecznie zawalanemi. No jakże pozwolić, by takie babsko kładło swe łapy na kuchnię zastawioną garnkami — nie — pani Wydrzycka zupełną miała słuszność. Janowa była nie do zniesienia, i jedna tylko zaleta dawała jej prawo do posługi, to jest, że dość tanio, bo za dwa złote miesięcznie całymi dniami nosiła wodę na drugie piętro,— Ale jej dziecko, sześcioletnia Minka — to któżby za panią Wydrzycką nie powtórzył „po co właściwie takie psiarstwo się rodzi?“ Ani to odziać się ma w co porządnego, wiecznie brudne, obdarte, od zimna zsiniałe na twarzy wychudłej z głodu, wyrażające całą swą grzeczność całowaniem brudnemi ustami delikatnych rąk państwa — a gdy tego z wstrętem zabraniano—końce pańskich rękawów. Toż pani Wydrzycka, nie mogąc znieść jej widoku, nakazała raz na zawsze Janowej, by swoją córkę zostawiała w sieniach. Wprawdzie w kuchni mogłoby być jej cieplej — ale mogłaby zawadzać, stłuc co, a któżby wynagrodził — a tak mogła sobie siedzieć spokojnie w sieniach, wprawdzie nie ogrzanych i wystawionych na wszelkie przeciągi — ale takiemu dziecku cóż to mogło zaszkodzić — zawsze lepiej w sieniach, aniżeli na ulicy. Wysiadywała też Minka całemi godzinami schody, i nie było jej nudno. Miała towarzysza w psie pani Wydrzyckiej — Wiernusiu. Oboje byli w dość wielkiej przyjaźni — szczególnie w zimie — gdy Minka zziębła i psie figle jej się sprzykrzyły, brała Wiernusia na kolana, układała go do snu, i jego ciała ciepłem ogrzewała sobie nogi. Lecz nic na świecie stałego. Toż i z Wiernusiem przychodziło do zerwań przyjaźni, szczególnie w porze

poobiedniej. Jużto Wiernuś miał szczęście do ludzi — jemu rzucano ochłapy, z których choć nieco ogryźć mógł mięsa, czego mu właśnie Minka zawsze zazdrościła— bo choć i jej wynosiła matka nieco jarzyny z ugotowanego rosołu—to jednak po niejczuła zawsze jeszcze wielki apetyt na obiad Wiernusia. Nieraz też niepomna przyjaźni, rozpoczynała z nim wojnę — niezawsze szczęśliwą. Grzeczny dotąd Wiernuś wyszczerzał zęby, warczał a nieraz i zębami za rękę Minki schwycił— rzadko kiedy trafiła na dobry humor swego towarzysza. I wtenczas chwytała za kość, i na wszystkie strony co sił starczyło obgryzała ją, głaszcząc i całując w podziękę małego psa. Dziś, niestety! od samego rana coś Wiernuś był nie w humorze, ciągle szczekał — uciekał od Minki — skomlał pode drzwiami i koniecznie napierał się do kuchni. — Było to pierwszego grudnia — na dworze chmurno — po ulicach chodzili panowie w futrach z kołnierzami do góry postawionymi, — więc psu może było zimno. Minka jednak tego nie zrozumiała — i choć jej dziś ręce bardziej opuchły aniżeli kiedykolwiek — w każdym razie nie śmiałaby naśladować psa w jego chętkach wdarcia się do ciepłej kuchni — coby na to „pani“ powiedziała — wreszcie nim by ją pani zobaczyła — jużby ją matka z obawy czegoś podobnego sama za drzwi wypchała. Siedziała przeto na schodach, dziwiąc się psiej fantazji. Ale zimno było—skuliła się więc, jak to mówią we troje — założyła jedną rękę w rękaw drugiej i czekała na ciepłe jarzyny z ugotowanego rosołu, przysłuchując się — nie wiedzieć z góry czy z dołu — dolatującym jej uszu dźwiękom fortepianu. Nie rozumiała ich wprawdzie — nie wiedziała, że to tęskny mazurek Chopina: „Jego dotąd niema, a duszyczka roi“, ale słuchała z przyjemnością— jakoś ją to ukołysało — i powoli oparła głową o poręcz schodów—zasnęła. Jak długo sen trwał, nie wiedziała — aż uczuła jakieś silniejsze szarpnięcie za ramię i głos matki — Janowej. — „Minka — słyszysz — masz — jedz — a bodaj cię.... — gotowa zamarznąć — słyszysz Minka — jedz — bo cię bić będę.“ Ochrypły głos ten drżał nieco.. Minka słyszała to — chciała oczy otworzyć — ale mimowolnie się kleiły — dreszcze przebiegały ją po ciele — w końcu, czy woń jarzyny— czy ciepła jej para bijąca w twarz ją ocuciły, dość, że otworzyła oczy, chciała mówić, ale tylko silnie zębami zadzwoniła — nie mogła rąk wyjąć z rękawa.

— Widzisz Minka - zimno - no, na masz, otwórz gębę. — Minka połknęła nieco ciepłej jarzyny — przebiegły ją silniejsze dreszcze — powoli zjadła wszystko, odzyskała siły. Za chwilę wyniosła kucharka na miseczce wątróbkę, ulubioną potrawę Wiernusia. Rzucił się na nią chciwie — ale zaledwie kucharka odeszła—znalazła się obok jego mordy sina, opuchnięta ręka Minki — pies zawarczał, ta się nie cofnęła — chwyciła za kilka kawałków — mierząc do ust. Pies się rzucił — rozpoczęła się walka — zniecierpliwiony uchwycił za rękę — pisk bolu rozległ się w sieniach. W dzwiach kuchni zjawiła się przestraszona Janowa. W jednej chwili pies był w jej rękach, a za sekundę na dole skąd wracał okropnie skomląc ze złamaną nogą. Na górze czekała już na niego pani Wydrzycka, wywabiona z pokoju niezwykłą wrzawą. Zirytowana do najwyższego stopnia, nie mogła pojąć jak „taka“ Janowa śmiała jej psa zrzucić z piątra — przeszło to wszystkie możliwe granice—trudno, Janowa dłużej u pani Wydrzyckiej pozostać nie mogła. — „Nie śmiecie więcej pokazać się na moim progu — ruszajcie z swoim bachorem — macie tu dwa złote — dziś miesiąc się skończył — dosyć już tego ani słowa więcej...“

— Pani Dobrodziejko! to on Minkę ukąsił — ja niewinna — pani Dobrodziejko — tych słów już jednak pani Wydrzycka niesłyszała — drzwi były zamknięte. Janowa czekała — miała dwa reńskie w garści, w końcu wziąwszy Minkę za ręce, zeszła ze schodów. Ostatnią straciła posługę, sama w jaki sposób nie wiedząc. Nie miała jeszcze czasu zastanowić się nad jutrem, toż znalazłszy się na ulicy wstąpiła do szynkowni „pod Sobieskim“. Minka lubiała szynkownię—w niej, choć ludzie nieraz i szturchnęli — było ciepło, i matka zawsze dała do napicia się jakiegoś słodkiego płynu, po którym uczuwała miłe ciepło w ciele. Więc i dziś, gdy łzy na twarzy osuszył zimny wiatr, a ból na chwilę ustał — rada usiadła za stołem koło matki, chciwie spoglądając na rozstawione przed nią studzone nogi. Dawniej kilka razy nadaremnie prosiła matkę — dziś ta sama przysunęła jedną porcję. — Na jedz Minka — jedz — oj żebyś raz już zdechła, toby i tobie i mnie lepiej było — na jedz — a bodajby ją wraz z psem djabli wzięli — no jedz — kiedy ci mówię.— Sama mało jadła — wolała pić — Minka zaś bez zachęty matki połykała żarłocznie kawałek za kawałkiem — coraz cieplej i weselej jej było. Janowa wychylała kieliszek za kieliszkiem, klnąc coraz więcej panią Wydrzycką, która w tej chwili po opatrzeniu nogi psa — siedziała w fotelu niedaleko piecyka z Krasińskim w ręku — zachwycając się po raz już setny może „Ułamkiem naśladowanym z glossy św. Teressy“. Trudno, Janowa i czytać może nie umiała — może i ona znalazłaby ukojenie po stracie ostatniej posługi w umysłowej rozkoszy — ale teraz piła wódki coraz więcej, tracąc przytomność. Śmiała się, choć od dobrej chwili Minka płakała. Piekły ją odmrożone nogi, ręce, twarz, chciała iść do domu, znowu na mróz, byle tylko nieznośny ból ustał — ale matka iść nie chciała. W końcu mało już mając grosza — zataczając się po izbie, doszła do drzwi. Czy próg był za niski, czy tez może w skutek pchnięcia właściciela szynkowni — dość, że Janowa straciła równowagę, i zatoczywszy się upadła na bruk — centy trzymane w garści się rozsypały — ludzie się zbiegli — oddzielili — sobą od matki Minkę — i nim się ta spostrzegła, już matka w towarzystwie stójkowego ładnemi sankami szybko środkiem ulicy jechała. Minka kawał drogi biegła, wołała — daremnie — sanki mknęły szybko — wreszcie na jakimś szerokim placu, okolonymi dokoła oświetlonemi i przystrojonem wystawami sklepów, straciła je z oczu. Została sama. Przelękła patrzała na tłum przed oczyma przesuwający się — płakała. Nie wiedziała i nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Rozglądała się — dokoła iskrzyły się światłem szyby sklepowych wystaw. Powoli, nieśmiało zbliżyła się do jednej. Stała długo z wlepionemi oczyma w prawdziwe dla niej cuda. Co za śliczne lalki, jakie strojne, a żołnierze takie małe — ona nigdy czegoś podobnego nie miała — stała, patrzała — nie czuła ani zimna, ani głodu, i stałaby nie wiedzieć jak długo, gdyby nie odepchnął jej przechodzący tłum, i mimowoli z sobą nie uniósł. Znalazła się w jakiejś brudnej uliczce, oświetlonej gdzieniegdzie, tylko latarnią. Silny wiatr się zerwał, wznosił białe tumany śniegu do góry, zasypując całemi płatami podarte łachmany Minki, to znowu przypierał ją do muru — wkradał się dziurami sukni, przesuwał po ciele, łaskotał, i leciał dalej.

Skuliła się — drżała. Chciała krzyczeć, bała się tej strasznej ciemnej ciszy, przerywanej świstem wichru czasem zdało jej się, że słyszy głos matki, chciała wyciągnąć rękę — uczuła ból — nie mogła. Powoli zimna nie czuje, i jakoś dobrze zaczyna jej się robić — ni krzyczeć ni ruszyć się nie może. Od czasu do czasu ciepłe dreszcze przebiegają po plecach. Zapatrzona w dalekie światło latarni zmruża oczy, ale jej czerwony pajac z żółtemi blaszkami wciąż coraz silniej w uszach dzwoni, to lalki w białych skrzących się sukniach przed oczyma migocą, to znowu zasłaniają je ciemne plamy..

Minka zasnęła. Nikogo na ulicy nie było.

. . . .

Nazajutrz o godzinie trzeciej popołudniu na podwórzu jednej redakcji z codziennych dzienników, czytał stary lokaj w kronice świeżo wyniesionej gazety :

„Wczoraj wieczorem mieliśmy silny przymrozek. Dziś rano znaleziono na jednej z bocznych, mało uczęszczanych ulic, zmarzłe ciało niewiadomego nazwiska dziecka — ciało odwieziono do szpitala“.

Kilka wierszy dalej:

„Jak się dowiadujemy ze źródeł wiarygodnych, składki na chrześcijańskie misje w Chinach płyną obficie. Towarzystwo mające na celu wykupywanie dzieci chińskich z rąk rodziców pogan, by wychowawszy je w chrześcijaństwie wyrwać z paszczy wiecznej zagłady — nader pomyślnie się rozwija — oddaje ono nie tylko usługi kościołowi, ale i cywilizacji.“

. . . .

Co się stało z Janową? Nie wiem, może gdzie później zginęła pod płotem.. Nazwiska jej nigdy nie czytałem w urzędowym wykazie zmarłych, być może dlatego, że należała do ludzi „niewiadomych“ z nazwiska.

Izajasz Tegnér
i poemat o Frytjofie.

Szkic literacki

Dra. Alberta Zippera.

Nowi królowie nie posiadali cnót zmarłego Bela: Helg chytrego serca, dumny i gniewliwy, a młodszy Halfdan trzpiot i niewieściuch, jak nikogo nie pociągali do siebie, tak i z Frytjofem stosunek ledwie formalny utrzymywali, który rychło się przeciął. Albowiem Frytjof pochowawszy i opłakawszy ojca, widząc się z Ingeborgą i słysząc, że z braćmi w zamku królewskim i jej już nie tak dobrze, posmutniał, dumał długo, błąkał się samotny, nareszcie pewnego dnia odwiązał okręt i wyruszył do królów, nad grobem Bela właśnie zgromadzeniem ludowem kierujących. Śmiało stanął przed nimi.

„Królowie! Ingeborga ma serce me,
Toż i siostry dziś waszej za żonę chcę:
Tym ślubom sędziwy
Wasz ojciec, cny Bele, był zawsze życzliwy.

Ni z królów, ni szlachty wiódł ojciec ród,
Lecz wieszcze go sławią, czci imię lud,
Kamienie z wierszami
I czoło kurhanu lśnią jego czynami.

Wszak łatwobym ziemie, mógł zdobyc i tron,
Lecz wolę żyć z braćmi ojczystych stron,
Chcę z mieczem na straży
Strzedz murów królewskich, i siedzib nędzarzy.

Wstał Helge i szydząc, też zaczął grzmieć:
„Za żonę chce siostry królewskiej-kmieć?
Nie! córy Walhalli
Za żonę li-króle Normanów bierali.

Chcesz ziemi mej bronić? To nie twa rzecz?
Sam burze poskromię, mam berło, miecz;
Lecz w każdej godzinie
Za sługę cię przyjmę w domowej drużynie,“

„Twym sługą nie będę! wzniósł Frytjof głos.
Jak ojciec, ja wolny wybrałem los.
Hej mieczu nad miecze!
Rzuć pochwę, niech brzeszczot na rozkaz [mój siecze!“

Ale przypominając sobie, że tu grób Bela, przeciął tylko jednym zamachem tarczę Helga, a przestrzegłszy go, by mu nie wchodził w drogę, wrócił do swej posiadłości. — Lecz nie tylko wrogi stosunek do braci Ingeborgi oddalał parę kochającą, groziło jeszcze inne niebezpieczeństwo.

Panował wówczas w Nordlandzie zacny i mądry król Ryng. Starzec ten po śmierci drugiej żony postanowił zaślubić Ingeborgę, i dziewosłęby wyprawił. Helg nim odpowiedział, zbadał wyrocznię Bogów, lecz ofiary w tym celu uczynione niepomyślnie wypadły.

Trzpiot Halfdan wyszydza zgryzoty te:
„Weselną ochotę
Psy zjadły! Grzyb stary umizgi swe
Dziś stroić chce
Jak czapla w kobiałce. — Odprawić hołotę!“

Zjątrzeni posłowie odbiegli precz,
I głoszą obelgę:
Ryng pobladł, gdy całą wysłuchał rzecz:
„O! grzyba miecz
Nauczy szacunku Halfdana i Helgę!

Już posły wojenne do Helga mkną,
Toż zaczął żałować.
„Ryng silny! zbyt ciężko się miecze zwrą;
Ja siostrę swą
W świątyni Baldera rozkażę zachować.“

A ona nie wiedząc o doli tej
Z schyloną w dół szyją,
Haftuje złociście w komnacie swej.
Na łono jej
Łza spada jak rosa na białą liliją....

Gotowali się tedy bracia do wojny, a starego wspólnego piastuna Hildinga do Frytjofa z prośbą o rychłą pomoc posłali. Zastał Hilding wychowańca swego przy stoliku z bratem po broni Bjornem w szachy grającego, a Frytjof w zdaniach niby do Bjorna i do gry zastosowanych, zgoła wszelkiej pomocy odmówił. Nawiasem wspominając, ustęp ten poematu należy do najoryginalniejszych lakonizmem swym, a niemniej zewnętrzną formą...

Gdy tedy całe państwo przed bojem oczekiwanym drżało, Frytjof dumą z upokorzenia królewskich pyszałków serce swoje pocieszał — a równocześnie najwyższem szczęściem miłości się upajał:

Z dolin w doliny,
Wy Bela syny,
Bieżcie po miecze — swego nie dam wam!
W Świątyni Boga
Mieszka ma droga
Tam pole walk mych, cały świat mój tam!
O, tam, niepomny zemsty królewskiej
Niepomny nędzy synów padołu!
Z mą Ingeborgą puhar niebieskiej
Radości spełniać będę pospołu!

Skoro słońce w morzu utonęło, przez zatokę pod świątynią Baldera okrętem zapływał, wierni towarzysze czuwali u wchodu świątyni, aż ze świtem dowódca ich uszczęśliwiony z objęcia kochającej Ingeborgi do Framnesu swego wracał. Ale nie uszło to szczęście oczu nienawistnego Helga. Bo gdy nareszcie łzami i prośbami Ingeborga na twardym jak głaz Frytjofie wymogła, by powtórnie prosił o rękę jej teraz, kiedy niebezpieczeństwo państwu grożące królów pychy poskramiać musiało, kiedy całe zgromadzenie ludu przyklasnęło oświadczynom, stary piastun za Frytjofem przemówił, a nawet młodszy z królów za niem błagał, tedy Helg nocne schadzki ze siostra a przez to zakłócenie spokoju świątyni wyrzuca. Wszyscy krzyczą: Frytjofie mów, że nie! Ale ten:

Chociaż od słowa jednego zależy
Szczęście dni moich na ziemi,
Przecież się nie bój! kłamstwem nie zdobędę
Szczęścia żadnego! Siostrę twą widziałem
I rozmawiałem z nia nocą w świątyni,
Ale boskiego spokoju Baldera
Nie znieważyłem!“..

Całe zgromadzenie tedy Frytjofa odstąpiło a król nałożył nań wyrok, by na możnym władcy w dalekich stronach mieszkającym daninę od wielu lat zaległą wymógł. Frytjof Ingeborgę przy ostatniem widzeniu gorąco namawiał, aby z nim wespół uchodziła do cudnych okolic południowych, gdzie w cichem szczęściu domowem pogodnie dni im popłyną. Lecz Ingeborga odrzecze:

Córa Bela nie porwie ukradkiem

Szczęścia, chociażby jak najbliżej stało.
Postanowiłam w ojczyźnie pozostać
I być ofiarą, którą dla ołtarza
Brat przechowuje.. Ja córa północy,
Cóżbym znaczyła pod słońcem Południa!
Biedne oczy moje

Z wieczną tęsknotą patrzyłyby w stronę
Kędy polarna gwiazda jak stróż czujny
Pilnuje z nieba mogił naszych Ojców!..
Piękne ustronie któreś mi malował,
Byłoby czynów twych ledwie rozkwitłych
Smutną mogiłą.. Nie! nie! tak nie będzie!
Złóżmy ofiarę ze szczęścia ziemskiego
I siebie wzajem pożegnajmy!.,

Niepodobna tutaj gorącą ciężką walkę biednej kobiety obszerniej wyłożyć. Frytjof na odmawiającą ucieczki zżyma się, na chwilę zapoznaje jej miłość, żałuje i gore na nowo, a ostatecznie wesół żegna z nadzieją rychłego powrotu, kiedy spełniwszy wyrok króla, wolny od zarzutu, już od n a r o d u rękę kochanki żądać będzie. ale smutnem przeczuciem, rozpaczą przepełnione serce Ingeborgi.

Jesiennych wichrów szał
Podnosi pierś morza w olbrzymi wał:
Ja z brzegu źrenicę stęsknioną
W dal puszczam zamgloną
Już dawno patrzę stąd,
Widziałam, jak żagle gnał wichrów prąd,
Jak wpłynął w zachodnie tumany
Mój Frytjof kochany...
Zawieje wiosny woń,
On wróci, lecz luba nie wyjdzie doń,
Nie spotka jej więcej jedyny
Śród kwiecia doliny...

Frytjof, jak wspominaliśmy, pełen otuchy odbił od wybrzeża rodzinnego. Wprawdzie zajadły Helg gusłami morze przeciw odjeżdżającemu podburzał, lecz Ellida zwycięsko bałwany przerznęła, dopłynęła do celu a po kilku miesiącach pana swego na łono ojczyzny powróciła. Jakąż tęsknotą serce żeglarza drżało! Jakąż radością zatętniało, gdy ujrzał znów skały nadbrzeżne, znany przylądek, gaj świątyni! Ale nie wychodzi tu naprzeciw jemu droga Ingeborga, a smutniejszy płynie dalej ku zagrodzie swej nie znajduje jej, zniknęła, tylko popioły i węgle wiatr tu obraca! Stary piastun nadchodzący wszystko wyjaśnia: Gdy wojna nastała, Helg tchurząc uciekał z pola, zemsty chciwy zagrodę frytjofową podpalił dla okupienia pokoju najeżdżającemu Ryngowi rękę Ingeborgi oddał.

Teraz na Frytjofa kolej mścić się; wpada w świątynię Baldera, drżącemu już od samego głosu przybysza Helgowi trzos z daniną w oblicze ciska, lecz z pogardą odwraca od zemdlałego króla jako niegodnego miecz swój. Spostrzegając na posągu Boga naramiennik, który darował był przy pożegnaniu Ingebordze, ale król wydarłszy jej Balderowi na ramię zawiesił, szarpie i targa Baldera, że obrażony Bóg rzuca się na stos płomienny. Wicher dmie, pożar ogarnia wszystko, mimo usiłowań najzaciejszych cała świątynia w perzynę zamieniona. Wyklęli Frytjofa kapłani i jako świętokradcę ogłosili go banitą. (Dok. nast)

Mój wuj Duval.

Opowiadanie Spaha
(przez K. Dollfus'a)
(Ciąg dalszy)

Związek ten, którego matka moja nie życzyła sobie, wypłynął, że tak powiem, ze zbiegu szczególnych okoliczności. Sierota i córka jedyna przyjaciela mego ojca, którego zrujnowały zbytnio wygórowane spekulacje, panna Beaumont, od piętnastego roku przyjętą została w nasz dom i traktowana była na równi z własnemi córkami przez mych rodziców. Mimo to znałem ją mało, bo tylko podczas wakacyj dwóch ostatnich lat mej nauki wojskowej w Saumur. Z powodu pożycia jej tak ścisłego z memi siostrami, sądzę, że byłbym uległ urokowi jej piękności i wdziękom umysłu, tak samorodnym i niewieścim zarazem, gdyby właśnie w tym czasie serce moje nie było gdzieindziej zajęte. Matkę martwiło to mocno, bo jak się później dowiedziałem, przeznaczyła nas w sekrecie dla siebie. Żałowała zaś tem mocniej, wiedząc, że osoba, którą kochałem, do mnie należeć nie może. W krótkim czasie po wyjeździe moim do Afryki, dowiedziałem się o małżeństwie wuja. Pozostawała jeszcze tajemnica do rozwiązania. Jakim sposobem imię Duval zmieniło się na Satigny? Wiedziałem, że wuj był wolny od wszelkiej niedorzecznej próżności. Czyliż zmiany nazwiska żądała żona, lub też przyjął je, aby ukryć się przed światem tak łakomym obmowy? Zostawiłem najbliższej przyszłości rozjaśnienie tej zagadki, którą dyskrecja zakazywała teraz poruszyć.

W bardzo ożywionem usposobieniu byliśmy przy obiedzie. Przerzucaliśmy księgę wspomnień, kronikę rodzinną, a podczas całego obiadu zadawaliśmy sobie ciągłe zapytania i odpowiedzi co do różnych członków familii. Straciłem bardzo a nawet zbytnio z ócz moich krewnych, i czyniłem teraz dobrowolną pokutę. Moja ciotka pozostała zimna podczas naszej rozmowy, a tylko czasem dorzucała słówka z odcieniem pogardliwej ironii, która raziła mnie. Niczem nie zagadnęła męża, ani razu nie zwróciła się, nie spojrzała na niego. Zatopiony w reminiscencjach z Clermont nie zauważał tego, albo udawał, że nie spostrzega. Przy końcu obiadu pił bez ustanku zdrowie tych, których wspomnienie wywoływaliśmy. Przy deserze ożywienie jego, które zdawało mi się zbyt gorączkowem, aby było zupełnie naturalnem, ustąpiło miejsca milczeniu ponuremu. Było już czas, abyśmy powstali od stołu.

Kiedyśmy znaleźli się sami w jego pokoju, musiałem bardzo się natężać, aby rozmowa nasza nie urwała się zupełnie. Był widocznie w gorączce i jakby pomięszany.

Nie mogąc wytrzymać dłużej począłem w ten sposób:

— Jesteś szczęśliwym wuju! Ciotka jest osobą zachwycającą. a posiadasz córeczkę, którą miałbym wielką ochotę ci zabrać.

Jego twarz zmarszczyła się, pobladł strasznie.

— Nie ma na świecie człowieka bardziej nieszczęśliwego odemnie... odpowiedział i pod nawałem wrażenia zbyt nagłego począł szlochać. Opamiętał się jednak wkrótce i dodał tonem gorzkiej ironii:

— Nie prawdaż, to nierozsądnie, płakać w moim wieku! Nie jestem przecież słabą niewiastą, wiesz o tem. Niech mnie poszlą na armaty, niech dostanę wiadomość o stracie mego majątku, a nawet — co niech mię Bóg broni! — o śmierci mego dziecka, mojej jedynej pociechy! nie złamie to mojej równowagi... Ale być nienawidzonym od własnej żony, żony, która się ubóstwia, która jest mojem życiem, — przed tem upadam bez siły i woli! Jesteś jedyną istotą na świecie, w obec której spowiadam się z mej nędzy, i jedyną pozostaniesz. Wybuchłem płaczem, nie byłem wstanie powstrzymać się. Zanadto cierpię, rozumiesz... zanadto! przebacz...

Chwyciłem go za ręce: były bardzo gorące.

— Przesadzasz sytuację, z pewnością przesadzasz wuju. Żona twoja, młoda kobieta, nie czuje ku tobie tego, co nazywamy miłością: ale nienawidzieć ciebie poznawszy, jest niepodobieństwem. Człowieka tak godnego nienawidzieć nie jest się w stanie. wypowiadam wojnę czy to kobiecie czy mężczyźnie, który ciebie nienawidzi. Uśmiechnął się smutnie spuszczając głowę.

— Niestety! nie przekonasz mnie. Nietylko mnie nienawidzi, nie znosi, nadto jestem dla niej wstrętnym. Nie wiem nawet, czy nie jestem dla niej wprost obrzydliwym? Moja obecność przyprowadza ją do rozpaczy Powiedziała mi to.

— Mówią się nieraz takie rzeczy mężowi w chwili rozdrażnienia, bezmyślnie. Do krocset! Niepodobna przecież żywić uczucia tak ohydnego przeciwko osobie, która na to nie zasłużyła, a przeciwnie przez swe postępowanie godna jest miłości, a na wszelki wypadek szacunku.

Można nienawidzieć to, co się szanuje. A potem zapominasz, że ten ktoś jest mę-

żem. Miałem nadzieję do niedawna zmienić ją siłą ustępstw i względów. Moje względy jednak i grzeczności jeszcze bardziej ją rozjątrzyły. Oświadczyła mi przed ośmiu dniami, abym się nią więcej nie zajmował i uwolnił ją od widzenia mojej osoby i słyszenia głosu mojego, oświadczyła, że nie jest w stanie słuchać mego kichania, nie znosi mego chodzenia w przedpokoju! Powiedziała mi także, że nie może patrzeć na mnie, gdy jem. Śniadam dlatego osobno, a obiaduję najczęściej za domem; jeżeli wracam na obiad do domu, staram się przychodzić później po obiedzie i obiaduję na osobności. Przyszło nawet do tego, że nie chciała nosić nadal mojego nazwiska, nazwiska twojej matki, a ja słaby, zmieniłem je — co za nędza! na Satigny. Podług tego nazwiska znana jest w świecie: przed służbą lubi mnie nazywać czasem Duval.

Takie jest nasze położenie. Ach! zrobiłem szalone głupstwo żeniąc się, teraz pokutuję... o! pokutuję strasznie.

— Jeżeli rzecz tak się ma, odparłem, dlaczego nie weźmiesz rozwodu? Byłoby to lepiej dla ciebie i dla niej.

Separować się! To już dokonane. Jeżeli by nie twoje przybycie, nie bylibyśmy się widzieli dzisiaj. Nasz rozwód jest zupełny, mimo to mieszkamy pod jednym dachem; na co mu dać uświęcenie sądowe, któreby dosięgło nasze dziecię? Ach! gdyby nie ta droga dziecina, zakończylibyśmy prędko w jakikolwiek bądź sposób... Ofiara każda byłaby dla mnie oswobodzeniem w porównaniu z męczarnią, którą cierpię, zostając. Wszystko nas rozłącza, wyjąwszy córkę, wiążącą nas mimo naszej woli; ona to mnie zatrzymuje w tym domu, w którym stary błazen, marzyłem o raju, a który jest piekłem najgorszem z piekieł!

To przerażające odkrycie przygniotło mnie, oniemiałem.

Służący wszedł, by zabrać naczynie od kawy.

Gdy wyszedł wuj mówił dalej:

— Moja służba widz to wszystko, jest to ostatni stopień poniżenia. Nie jestem nawet w stanie ukryć boleści w mem sercu, bo mogłoby pęknąć z żalu. Mówiłem ci, jesteś jedyną istotą przed którą się spowiadałem z mych mąk; to prawda, ale czy wystarcza, niestety! milczeć aby zachować tego rodzaju tajemnicę? Jest to rzeczą nie podobną. Cały Paryż pozna wkrótce nasze położenie, a świat będzie miał śmiać się z czego!

— Czy chcesz abym cię zabrał wuju, i abyśmy uprowadzili twoją córeczkę?

Zdawał się namyślać chwilę nad tą niespodziewaną propozycją.

— Nie, odrzekł, dziecko by umarło, a zresztą prawo zabrania tego. Potrzeba by je zwrócić matce. Jeżeli rozwód byłby dozwolony, proponowałbym sam mej żonie przerwać łańcuch, który ciągniemy razem, a oddalając go od siebie tylko bardziej rozciągamy. Ale prawo zabrania mi naprawić moje głupstwo. Ono nas sprzęgło razem. Trzyma w ręku klucz tego łańcucha, którego nie możemy złamać, a nie wolno nam przerwać legalnie!

Mówił prawdę. Żal mi było głęboko biednego człowieka.

— Przynajmniej to cię powinno pocieszyć, że masz żonę uczciwą, podczas kiedy tyle innych kobiet, nie posiadających jej piękności...

Moja uwaga, którą wypowiedziawszy żałowałem zaraz, uczyniła na nim wrażenie uderzenia kuli działowej.

Uczciwa kobieta! tak wierzę temu, ale do jakiego czasu? O! jeżeli by mój honor miał być kiedyś podobnie naruszony, jak moje szczęście, nie przeżyłbym tego, bo kocham ją jeszcze, szalony, jak w pierwszym dniu, kocham ją może bardziej; jej pogarda wznieca moją miłość i egzaltuje. Poruszyłeś ranę chłopcze. Żyję w ciągłej bojaźni, pot zimny oblewa mnie gdy myślę o tem, a myślę codzień. Jestem podobny do skazańca, siedzącego na stopniach rusztowania, któremu kat użycza chwili zwłoki Spodziewać się chyba cudu? Ona jest młoda, gorąca, mimo pozornego wzniosłego chłodu, i jedna z najbardziej czarujących kobiet czyż mogę sądzić, że nie pokocha innego? Może już pokochała, może pokocha jutro...

Chętnie byłbym ominął odpowiedzi. Ale moje milczenie wyglądało by na potakiwanie, lub przynajmniej powątpiewanie na korzyść bojaźni, o której mówił. Szukałem dlatego w mej głowie odpowiedzi, która by nie była banalną, ani też czysto formalną, gdy wejście lokaja uwolniło mnie od niej.

— Pani, rzekł tenże zwracając się prosto ku mnie, jedzie do Opery; kazała pytać się pana, czy nie raczył byś jej towarzyszyć. Zdziwiony dosyć, popatrzyłem na wuja z miną pytającą.

— Jedź, mój drogi, powiedział tonem najzwyklejszym w świecie. Korzystaj z sposobności. Nasza loża wyborna; dają Fausta, a Nilson gra Małgorzatę. Nie zobaczysz czegoś takiego w twych górach algerskich.

I nie zostawiając mi wcale czasu do namysłu, odprawił służącego temi słowy:

— Powiedz pani, że siostrzeniec będzie jej towarzyszył z przyjemnością, i w tej chwili jej służy.

— A więc to na serjo wuju? spytałem gdy lokaj odszedł. Jedziesz z nami, nie prawdaż?

— Nie idę nigdy do teatru z moją żoną.

— A więc...

— A więc, całkiem naturalnie, siostrzeniec z nią pojedzie. Zaręczam ci, zrobi ci to przyjemność, nie pożałujesz fatygi. Potrzeba zresztą, abyś odnowił znajomość z twą ciotką; przywłaszczyłem sobie ciebie od twego przybycia, ciotka ma prawo się gniewać. Będziesz miał większą przyjemność rozmawiać z nią, i napawać się piękną muzyką, aniżeli słuchać narzekania starego gderacza. Należy ci się wynagrodzenie, a zresztą, dodał tonem pół żartobliwym ale zniżając głos,—mówię nie tylko w twoim interesie, ale i w moim, bo liczę na ciebie, że prz sposobności wstawisz się za mną słówkiem. Młodzi adwokaci bywają usłuchiwani. Spuszczam się na twoje dobre serce. A więc, prędko jesteś oczekiwany. Życzę ci pomyślności.

— Dziękuję wuju, możesz liczyć na mnie. Moja ciotka była już usadowiona w powozie, gdym zeszedł.

— Zdaje się mój panie, zagadnęła mnie swym tonem szczególnym, kiedy zająłem miejsce obok niej,—że Afryka nie jest wcale szkołą grzeczności. Spostrzegam to od pięciu minut.

Wielce przepraszam panią... ciocię, ale wuj...

Uderzenie ostre wachlarzem o róg drzwiczki dało mi znak milczenia.

— Lubisz pan muzykę?

— Bardzo.

Nie słyszałeś jej często w brzydkiej fortecy Napoleon?

A pani zkąd wiesz o tem?

— My kobiety wiemy o wszystkiem, chociaż nie znać to po nas, jest to przeciwny stosunek do mężczyzn. Uważam, że mężczyźni są naiwni... w ogóle. Znasz przynajmniej utwór Gounoda ze słychu?

— Tak jest.

— Czy lubisz Mozarta?

Nadzwyczaj.

To mnie dziwi.

Dlaczego?

— Nie wyglądasz na to.

— Jakto?

— Jest to rzecz prosta. Aby się lubować w czułych arjach w rodzaju Mozarta i Gounoda, trzeba być zakochanym lub zdolnym zakochać się na przyszłość. Sądzę zaś, że jeżeli byłeś kiedy zakochanym, w co pozwalam sobie wątpić, nie będziesz nim nigdy więcej...

— Czy uczynię, dobrze gdy zachowam serce chłodne?

— Zależy to od okoliczności...

Przybyliśmy po uwerturze.

— Otóż co to znaczy, powiedziała, dać czekać na siebie.

Loża wybornie była położona, naprzeciw sceny i dostatecznie głęboka dla ukrycia się w niej przed wzrokiem publiczności. Zamiast usiąść na przodzie Alina usiadła w cieniu. Zasłona podniosła się do pierwszego aktu. Podczas całego czasu trwania przedstawienia, do północy, nie zwróciła się do mnie ani jednem słóweczkiem, i nie widziałem żadnego poruszenia jej twarzy, ani raz usta jej nie zadrgały, najmniejszy giest nie zdradzał doznanych wrażeń. Zdawała się zadowoloną z wizyt, które odbierała w międzyaktach, że ją uwalniały od rozmowy ze mną.

Byłoż to na przekor?

Przebiegły Edyp, nie szukający południa w czternastej godzinie, byłby niezawodnie znalazł określenie dla sfinksu z marmuru, którym mimowoli zachwycałem się; określenie to opiewa: kobieta! Ale ja nie należę do rasy Edypów i nie mam się wcale za bardzo przenikliwego, nawet gdy idzie o mężczyznę. Co do kobiety gubię się, przekonałem się zresztą, że w tym względzie nie różnię się wcale od najzręczniejszych. Nie opłaci się więc szukanie. A zresztą znalazłszy zagadkę straciło by się urok. To co najbardziej przyciąga serce i umysł, to owa nieświadomość zostawiająca szerokie pole imaginacji. Mimo to zadawałem sobie wewnętrzne pytanie, co uczyniłem tej zachwycającej osobie, że ona w ten sposób ze mną się obchodzi? Ona być musi— myślałem, patrząc na nią z ciekawością, która podziwia,—aniołem lub szatanem. Szatanem, niestety! dla biednego wuja. W ten sposób przeszedł dla mnie ten pamiętny wieczór, w którym obok myśli moich, przepełniony byłem uczuciami, jakie poddawała mi muzyka czysto miłosnej treści. (D. c. n.)

Obyczaje kupieckie.

Studjum Herberta Spencera.

(Przełożył L. Iulender.)

(Ciąg dalszy.)

Ludzie się z niem oswajają, a tym, którzy się opierali, coraz trudniej jest się utrzymać. Konkurencja gniecie ich coraz bardziej. Muszą toczyć nierówną walkę, dla nich bowiem zamkniętem jest źródło zysków, z którego czerpią ich przeciwnicy! W końcu zmuszeni są ustąpić i trzymać kroku z innymi.

Świece zwykłego gatunku sprzedają się — jak wiadomo — w paczkach, z których każda ma ważyć funt. Z początku waga nominalna zgadzała się z rzeczywistą. Dziś dzieje się inaczej: brakuje zwykle ¼ uncji do 2, a czasem różnica wynosi 12½ %. Gdy jaki uczciwy fabrykant świec oferuje detaliście towar, przepuśćmy po 6 szelingów funt, odpowiada mu tenże: „O ja mogę dostać po 3 szyl. 8 pensów.“ — „Lecz moje, odpiera fabrykant, mają pełną wagę, a te co pan kupujesz po 5 szyl. 8 p. jej nie mają,“

— „Cóż mi to szkodzi? Mowi na to kupiec, funt świec, to funt świec,moi kundsmani biorą paczki i nie troszczą się wcale o różnicę, jaka zachodzi między pańskiemi paczkami a innemi.“ Tak więc fabrykant uczciwy, spotykając się wszędzie z tem samem rozumowaniem, przychodzi w końcu do przekonania, że mu nie posostaje, jak przyjąć fałszywą wagę, lub porzucić interes.

Oto fakt inny: mamy go zarówno jak poprzedni, z ust osoby, która zmuszoną była sama poddać się ogólnej praktyce.

Tym razem chodzi o znane tkanki elastyczne, tyle teraz używane do butów, i t. p. Pewna firma londyńska, z którą nasz przyjaciel miał liczne interesa, przysyła mu raz próbkę takiej elastyki, pochodzącą od jakiegoś konkurenta, z zapytaniem, czy może wyrobić taki sam towar po tyle a tyle jard (wymieniając cenę niższą od tej, którą dotąd pobierał) dał mu także do zrozumienia, że jeśli nie może, to on (piszący) uda się w inną stronę. Zagadnięty w ten sposób, jął troczyć próbkę, (którą nam pokazywył,) i przekonał się, że mnóstwo nici nie było jak należy — z jedwabiu lecz z bawełny. Doniósł o tem firmie oświadczając zarazem, że z taką przymieszką może dostawić towar pe cenie proponowanej; jakoż przy pierwszej sposobności otrzymał zamówienie pod rzeczonemi warunkami. Widział on jasno, że gdyby działał inaczej, straciłby znaczną część swych interesów. Widział także, że jeśli tym razem nie da się namówić, to będzie zmuszonym uczynić to samo później; należało się bowiem spodziewać, że inni fabrykanci tkanek elastycznych jeden za drugim zobowiążą się wyrabiać falsyfikaty po cenach odpowiednio zniżonych tak, iż nareszcie on sam jeden produkowałby pozornie tę samą tkankę, po wyższej jednak cenie i rozumie się nie znalazłby na nią kupca. Fabrykant, o którym mowa, jest jak się o tem dokładnie przekonaliśmy, człowiekiem niezwykłej delikatności i zacności charaktru, a jednak widzimy, jak przemocą prawie wtrąconym został w odmęt oszustwa.

Jest to przerażające, a jednak prawdziwe: ten co się opiera korupcji częstokroć naraża się na bankructwo, a nieraz wprost do niego zmierza. Nie jest to prosty wniosek logiczny na powyższych faktach oparty, mamy przykłady stwierdzające powyższe twierdzenie. Pewien sukiennik (mamy tę opowieść z ust człowieka wychowanego w jego domu), który nie pozostawił był swego sumienia przededrzwiami sklepu, niedał się nakłonić do oszustw praktykowanych w handlu. Nie chciał podawać swych towarów za lepszy gatunek istotny, nie utrzymywał, że model jest nowym, gdy pochodził z ubiegłego sezonu, nie mówił także, że się materja będzie dobrze prała, gdy wiedział, że kolor jej pełznie. Unikał słowem wszelkich malwersacyj, praktykowanych przez konkurentów. Wnet się okazało, że z dniem każdym ubywało mu kupców na artykuły, które konkurenci pozbywali ciągle za pomocą kłamstw. Interes jego szedł tak źle, że dwa razy popadł w bankructwo. Zaś nasz interlokutor mniema, że temi bankructwami wyrządził on więcej złego swoim bliźnim, aniżeli by był wyrządził trzymając się praktyk nieuczciwych, utartych w handlu.

Widać stąd, o ile kwestja ta jest skomplikowaną, i jak trudno jest ocenić winę kupca. Często (możnaby powiedzieć: zazwyczaj) ma on do wyboru między dwoma błędami. Próbował on postępować w interesie jak najskrupulatniej, sprzedawał zawsze tylko niesfałszowane towary, dawał dobrą miarę. Tymczasem konkurenci jego fałszują towar lub uciekają się do innych sposobów oszukańczych, i są w stanie sprzedawać po niższych cenach. Klienci jego, nie umiejąc należycie ocenić jego towarów co do jakości i ilości, zachęceni natomiast pozorną tanością innych magazynów, opuszczają go. Rzut oka na księgi handlowe wnet zmniejszające się z dnia na dzień, niedługo będą za małe, aby pokryć przyjęte zobowiązania i utrzymać rodzinę ciągle się zwiększają. Cóż więc ma robić wobec tego? Czy ma iść dalej tą drogą i zawiesić wypłaty: przyprawić swoich wierzycieli o grube straty, a siebie i rodzinę rzucić na bruk? Czy też pójść za przykładem swoich rywalów: uciec się do ich środków i oferować klientom te same co oni urojone korzyści? Ostatnia ta alternatywa nietylko jest najmniej przeciwna jego interesom, lecz zdaje się także najbardziej zgodną z interesem drugich osób. Zresztą wszystko to czynią ludzie co uchodzą za zupełnie *„respectable“*. Pocóż niszczyć siebie i rodzinę, aby uchodzić za bardziej uczciwego od innych? Uczyni więc to co oni czyn ą.

Takiem jest położenie kupca, takiem rozumowanie, ktorem się usprawiedliwia. Trzeba być bardzo już surowym, aby go potępić. Ani słowa, rzecz ma się czasem i-

naczej. Są niektóre gałęzie w handlu, w których konkurencja nie tak silnie występuje. Wtedy niema już wymówki, gdy się kto da wciągnąć w nieuczciwe praktyki; w tych zresztą wypadkach mniej się te praktyki napotykają; tak samo wielu kupców zdołało wyrobić sobie dostateczną klientelę bez użycia drobnych łotrostw; jeśli więc ci zniżają się do takiego stopnia, to niemasz dla nich usprawiedliwienia. Nadto bywają ludzie, którzy z chciwości, a nie z konieczności wynajdują owe fałsze i przebrzydłe oszustwa. Na tych to oburzać się winniśmy głównie naprzód dla tego, że sami stają się winnymi, niemając usprawiedliwienia, dalej zaś dla tego, że pociągają do złego i drugich. Pomińmy zresztą tych ludzi, których w końcu bywa nie wiele,*) cała zaś masa kupców przedstawiających zwykły tryb interesów, zdaniem naszem zasługuje na mniej surowy sąd, gdyż zmuszeni są iść za ogólnym prądem, skoro chcą uniknąć zguby. Ze wszech stron tedy doszliśmy do przekonania, że ludzie oddający się zwykłemu handlowi mają do wyboru dwie tylko rzeczy: przyjąć praktykę używaną przez konkurentów, lub porzucić interes. Mówiliśmy z ludźmi rozmaitych zawodów i rozmaitej kondycji, — rozumie się z sumiennymi i widocznie wzdrygającymi się wobec poniżenia, do jakiego byli zmuszani — i jednym głosem potwierdzono nam, że nie podobna w handlu postępować z zupełną ścisłością, kożdy z nich zresztą zapewniał, że człowiek skrupulatnie uczciwy musi koniecznie uledz.

Jest jednak jeden przedmiot, o którym w zeszłym roku wiele pisano w dziennikach, a który zatem możemy tu szerzej traktować: są to wykroczenia praktykowane w interesach bankowych. Możemy przyjąć za pewne, że dotyczące fakta są powszechnie wiadome, i poprzestaniemy na kilku objaśnieniach.

Według świadectwa osoby, której sąd co do trafności mało kto przewyższa, rzadko się zdarza, aby dyrektor banku akcyjnego wprost i bezpośrednio popełniał jaką nieuczciwość. Wyjąwszy pewne znane wypadki, można w ogólności przyjąć za fakt, że dyrektorowie nie mieli bezpośredniego interesu w spekulacjach tak zgubnych dla akcjonarjuszów; najczęściej się zdarzało, że oni pierwsi na tem ucierpieli*) Wina ich zawierała się raczej w tem, że nie mieli dostatecznie na uwadze swojej odpowiedzialności. Często rzucali się oni bez dostatecznej świadomości w odmęt interesów, w które rzucono kapitały ogromne, od biedaków pochodzące. Zamiast starać się o lokację tych funduszy tak, jakby te były ich własne, wielu okazywało w tej mierze lekkomyślność karygodną: bądź to lokowali kapitał nie troszcząc się o pewność, bądź też pozwolili działać swoim kolegom nie pytając, jak działają. Ani słowa, można przytoczyć nie jedno na ich obronę. Wiadomo, że sumienie w większem ciele (korporacji) zawsze bywa słabszem, gdyż odpowiedzialność jest podzieloną: jest to okoliczność łagodząca. Można jeszcze przytoczyć na korzyść tych zbrodniarzy, że skoro akcjonarjusze, bacząc przedewszystkiem na bogactwo i stanowisko osoby, obierają dyrektorem nie najzdolniejszego, najbardziej doświadczonego, nie człowieka wypróbowanej uczciwości, lecz człowieka, który ma najwięcej pieniędzy i najwyższe stanowisko społeczne, że mówimy w takim razie ganić należy nie samych tylko tych, co w ten sposób obrani zostali, lecz po części i tych, co ich wybierali, nadto nagana spaść winna na publiczność niemniej jak na akcjonarjuszy, gdyż nierozsądny wybór dyrektora wypływa po części ze znanych przesądów depozytarjuszy.*)

Lecz to przyznawszy uznać należy, że zarządcy banków, którzy ryzykują pieniądze klientów, pożyczając je spekulantom, pod względem moralnym są bliskimi kuzynami samych spekulantów. Spekulanci ci ryzykują obce kapitały w przedsiębiorstwa, z których się spodziewają zysków; to samo czynią dyrektorowie, pożyczając im na to pieniądze. Oni też z pewnością powiedzą, że skoro pożyczali pieniądze, to tylko w nadziei, że im będą zwrócone z grubym zyskiem, tamci zaś mogą tak samo utrzymywać, że z obrotu swego spodziewali się nietylko wycofać włożony kapitał, ale jeszcze i zysk. W obydwu wypadkach transakcja jest tego rodzaju, że — gdy się nie uda, szkoda nie tyle dotknie działającego, co innych.

Można — co prawda — utrzymywać na korzyść dyrektora, że on przedewszystkiem miał na oku dobro swoich komitetów, podczas gdy spekulant myślał o swoim własnym interesie; lecz na to jest odpowiedź, że jeśli dyrektor dał się skusić do grzechu przez powód mniej naganny, to sam przez to nie na mniejszą między dwoma zasłużył naganę. W istocie rzecz ma się tak: Jeśli dyrektor banku pożycza kapitały akcjonarjuszów ludziom, którymby własnych kapitałów nie pożyczył, to nadużył zaufania. Śledząc odmiany zbrodni, możemy rozróżnić kradzież drugiego stopnia, trzeciego i t. d. Bez wątpienia ten, co spekuluje obcemi pieniądzmi nie może być obwinionym o kradzież w zwykłem słowa znaczeniu, lecz o kradzież drugiego stopnia: on bowiem z rozmysłem naraża obce pieniądze, mając z góry powzięty zamiar: zagarnąć sobie ewentualne zyski, zaś straty ewentualne pozostawić drugiemu. Wina jego jest więc rodzajem spotęgowanej kradzieży. Odpowiednio więc do tego, osoba, która jako dyrektor banku sprawując urząd zaufania, oddaje w ręce spekulanta powierzone sobie pieniądze, musi być nazwany wspólnikiem możliwej kradzieży.

Jeżeli tak srodze potępieni są ci, co pożyczają spekulantom pieniędzy depozytowych, jak również spekulanci, którzy je wypożyczają, to cóż powiedzieć o ludziach bardziej jeszcze winnych, — o tych mianowicie, którzy nie tylko narażają obcą własność skoro im się ona dostanie w ręce, lecz nadto aby ją posiąść używają fint? Jak bowiem inaczej określić postępowanie tych, co robią pieniądze zapomocą tak zwanych „weksli grzecznościowych“ (*billets de complaisance*)?*) Dwie osoby *A* i *B*, zmawiają się, że jeden wystawi, drugi przyjmie (zaakceptuje) na 1000 funtów szterlingów „wartość otrzymana“; w rzeczywistości zaś między nimi, nie było ani dostawy towarów, ani wypłaty gotówki; tranzakcja więc owa nietylko jest kłamstwem ucieleśnionem, lecz kłamstwo to staje się następnie żywem i działającem. Ten co eskontuje ów weksel, czyni to w przeświadczeniu, że *B* dostawszy 1000 funtów szter. w towarach, w chwili zapadnięcia wekslu znajdzie się w posiadaniu takiegoż waloru— bądź w towarach, bądź w gotówce, aby wykupić weksel. Gdyby on wiedział, że rzeczone towary nigdy nie były w ręku — ani pana *A*, ani pana *B*, a tem mniej inna jaka wartość przeznaczona na zapłatę wekslu, byłby go nie eskontował, nie pożyczał swoich pieniędzy manekinowi, nie dającemu żadnego zabezpieczenia.

W gruncie rzeczy jest to tak samo, jak gdyby *A* wziął, z banku fałszywy list zastawny i kazał sobie nań pożyczyć pieniędzy. W praktyce „weksel grzecznościowy“ jest fałszerstwem. Mylnem byłoby zapatrywanie, że fałszerstwo zachodzi wtedy jedynie, gdy sporządzonym został dokument materjalnie fałszywy, t. j. zawierający

*)Zdaniem naszem autor zanadto różowo rzecz widzi. Ci co wynajdują fałszerstwa i oszustwa w handlu, właściwie więc twórcy systemu, który opanowuje cały świat kupiecki, to są ludzie chciwi a nie potrzebni; od nich zależy wyłącznie zmiana tego systemu, nie należało ich przeto „pomijać“ (Pr. tłum.)

*)Przypominamy, że mowa tu tylko o stosunkach angielskich, i że rzecz pisana przed „rozkwitem ekonomicznym“ z lat siedmdziesiątych (Prz. tł.)

*)Autor zbyt wielką zdaje się przykładać wagę do „wyboru“ i kierowników bankowych; widocznie nieznana mu była instytucja t. zw. „Strohmänner ów“ czyli „słomianych“ akcjonarjuszy. (Pr. tłom.)

*) Do tej kategorji oszustw należą znane u nas do sytu t. zw. *Kellerwechsel*. (Tłum.).

fałszywy podpis lub inne cechy niezgodne z rzeczywistością; fałszerstwem — ściśle biorąc — jest tak samo i fabrykowanie dokumentów moralnie fałszywych. W czem bowiem zawiera się zbrodnia, gdy kto puszcza w obieg fałszywe banknoty? Oto nie w samej tylko mechanicznej imitacji ona jest tylko środkiem do celu i sama dla siebie nie stanowi żadnego czynu zbrodniczego. Zbrodnia raczej zawiera się w zamiarze nakłonienia innych do przyjęcia banknotu, który ma rzekomo przedstawiać pewną wartość a w istocie niema żadnej. Czy kto dopnie tego celu kopjując kształty liter i godeł — jak to ma miejsce przy fałszowaniu banknotów, — czy też kopjując dane formuły, jak w wekslach grzecznościowych, to jedno. W obudwu wypadkach nadaje się pozór wartości rzeczy, która jej niema wcale; w tem cała zbrodnia. Wprawdzie indosant wekslu grzecznościowego zazwyczaj spodziewa się, że w chwili zapadnięcia będzie w stanie zapłacić. Lecz jeśliby go ktoś chciał tem uniewinnić, niechaj też pomyśli o tem, że mnóstwo ludzi, którzy przysparzali sobie pieniędzy zapomocą fałszerstw w nadziei, że później będą w stanie zwrócić pieniądze, uznano mimo to za fałszerzy i jako takich skazano.

Twierdzimy więc, że fabrykantów weksli grzecznościowych zaliczyć należy do rzędu fałszerzy. Czy zyskałoby się wiele, gdyby prawo ich jako takich traktowało, tego powiedzieć nie możemy. Należy tu uwzględnić kilka kwestyj. Czy zmiana taka nie przedstawiałaby tej niedogodności, że powstrzymałaby mnóstwo tranzakcyj nieszkodliwych, jakie się zdarzają między ludźmi wypłacalnymi, pod pokrywką tej fikcji? Dajmy na to, że zabronionem będzie używać słów: „wartość otrzymana“ w wypadkach, gdzie nie było wypłaty wartości; czyż nie wyniknie stąd po prostu, że wkrótce ujrzymy nowy rodzaj weksli bez owych słów? Czy korzystniej jest, aby weksel zawierał dowód wyraźny, że przedstawia interes rzeczywiście zrobiony lub też nie? Czy nie możnaby ukrócić kredyt nielegalny przezto, iżby bankierowie i eskomtujący, na pewnych wekslach noszących żyro prostego spekulanta lub jakiego manekina, znajdywali wyznanie że to „weksel grzecznościowy“? Lecz nie myślimy się wdawać w dyskutowanie kwestyj ubocznych; chodzi tu jedynie o moralną stronę przedmiotu.

Jakkolwiekbądź, aby ocenić należycie doniosłość tego, pamiętać należy dwie rzeczy, że malwersacje tego rodzaju są bardzo liczne; dalej, że każda z nich pociąga mnóstwo innych. Pierwsze kłamstwo popełnione rodzi zazwyczaj dalsze kłamstwa, które znowuż powodują liczniejszą jeszcze serję kłamstw i tak dalej z progresją, ciągle wzrastającą. Skoro *A* i *B* w przeddzień terminu, w którym weksel zapada obejrzą się, że zysków spodziewanych ze spekulacji nie ma i skoro ujrzą, że — jak to się często zdarza, że interes ukończył się stratą, zamiast zarobkiem, lub jeszcze nienadeszła chwila zrealizowania spodziewanych zysków, albo też zyski — jeśli są — nie pokrywają nadmiernych wydatków, — słowem: skoro widzą, że niemogą wycofać wekslu, to mają nato jeden tylko sposób: fabrykować nowe weksle na pokrycie pierwszego. Gdy zaś doszło do tego, to powiedzą sobie zapewne, że lepiej wziąć od razu więcej, aby mieć pokrycie bieżących wydatków. Jeśli następnie szczęśliwym trafem nie uda im się wydobyć z matni, to ta sama gra rozpocznie się na nowo, i tak dalej. Tak trzymają się oni na powierzchni, dopokąd ich kryzys chwilowa nie zwali. Przez ten zaś czas, dzięki wielkiej liczbie będących w obiegu weksli z ich podpisami, — używają oni reputacji pewnego dobrobytu, który wzbudza zaufanie i ułatwia im zdobywanie nowych kredytów.

Zdarza się czasem, że przedsiębiorstwo przybiera znaczniejsze rozmiary: miewa się styczności z ludźmi rozsianymi po różnych miastach królestwa, a nawet w różnych częściach świata, którzy gotowi są do podpisywania weksli i w takim razie pozory jeszcze lepiej są zachowane i łatwiej przychodzi mydlić ludziom oczy. Jakkolwiekbądź jednak interesa te prowadzą się pożyczonym kapitałem i wypada opłacać procent; dla podtrzymania tedy tej zorganizowanej kradzieży, potrzebne są ciągłe wydatki, a od czasu do czasu nawet nadzwyczajne ofiary. Gdy nadto ten system z konieczności pociąga za sobą sposób spekulowania nieracjonalny, fabryka fałszów lada dzień spodziewać się musi katastrofy; zaś upadając musi wprowadzić w ambaras nietylko swoich wierzycieli ale i wiele innych osób.

Złe nie tylko w tem się zawiera, że ten system od czasu do czasu wprost przyprawia o straty uczciwych kupców. Pośrednio wyrządza on im wiele innych jeszcze szkód. Fabrykanci fałszywego kredytu służą zazwyczaj za narzędzie do obniżenia cen. Aby się uwolnić z ambarasu, bywają oni nieraz zmuszeni sprzedawać ze stratą, gdyż inaczej nie mogliby płynąć dalej. Chociaż każdy z nich rzadko przychodzi w to położenie, to jednak wziąwszy na uwagę całą ilość przemysłowców tego rodzaju w każdej gałęzi handlu, co chwila zdarza się, że jeden lub drugi z nich widzi się zmuszonym do ofiar i przezto wywiera „quit“ na ceny rynkowe. Krótko mówiąc kapitał, wyłudzony podstępem od kilku kupców, trwoni się częściami na spekulacje, które innym handlującym przeszkadzają w robieniu interesów korzystnych: szczęście, jeśli ci ostatni nie popadną w ambaras znaczniejszy.

Mimoto jednak, jeśli mamy wyznać całą prawdę, potępienie na jakie zasługują te upiory handlu, nie powinno ograniczać się do nich samych tylko; należy je rozciągnąć także mniej lub więcej na klasę ludzi o wiele liczniejszą. Pomiędzy projektowiczem bez centa, który wyłudza kapitał za pomocą kłamliwych obietnic, a uczciwym kupcem, który nie przyjmuje więcej zobowiązań ani żeli może dotrzymać, wszystkie szczeble drabiny są zajęte. Od interesów, robionych jedynie obcym kapitałem podstępnie wyłudzonym, przechodzimy do tych, które się robią kapitałem w dziesiątej części realnym, w dziewięciu zaś dziesiątych pożyczonym; stąd do innych interesów, w których stosunek kapitału rzeczywistego do fikcyjnego jest trochę korzystniejszym, i tak dalej — aż dojdziemy do ludzi, którzy tylko nie znacznie po nad stan robią interesa. Stopnie, po których dochodzimy od jednej ostateczności do drugiej są całkiem nieznaczne, a najmniej winni jeszcze nie są całkiem wolnymi od plamy, która na drugich tak jest widoczna. (C. d. n.)

Przegląd literacki.

(Pierwszy romantyk opowiadanie z przeszłości spod Aer, wydane w Krakowie nakładem redakcyi Przeglądu polskiego).

Sympatyczny pisarz ukrywający się pod psendonimem Aer, a znany z kilku pomniejszych prac nowellistycznych, wystąpił niedawno z dziełem, które zasługuje na większą uwagę. „Opowiadanie z przeszłości“ bowiem, jak je skromnie nazwał autor jest wyborną powieścią historyczną z czasów Stanisława Augusta skreśloną z wielkim talentem, piórem barwnem i z głęboką znajomością ducha epoki, na której tle rozsnuwa się opowiadanie. Bohaterem jego jest Franciszek Dyonizy Kniaźnin nieszczęśliwy z owej epoki poeta, którego życie więcej aniżeli dzieła słusznie zjednać mu może tytuł pierwszego „romantyka“. Żywot jego skreślony na tle okoliczności i wypadków w których poeta mniejszą lub większą odgrywał rolę, został przez autora, jako temat do powieści świetnią, wyzyskany Niemasz tu naturalnie nawięzywanych sztucznie intryg i sytuacyj strasznych rozpalających fantazję czytelnika; tu autor działa inaczej. Środkami na pozór bardzo prostemi, których używać wszakże umie

z mistrzowską wprawą, przykuwa uwagę czytelnika, tak, że rzecz która ostatecznie dałaby się streścić na kilku kartkach encyklopedji literatury, czyta się z wielkiem zajęciem i korzyścią... Albowiem obok kreślenia żywo ta poety opowiada autor sposobem barwnym, językiem odwzorowanym znakomicie z zabytków epoki owej, całe niemal panowanie ostatniego króla Polski, z wielką ścisłością i bezstronnością sumiennego badacza. Stosunek poety do księżniczki Marji Czartoryskiej, późniejszej księżnej Wirtemberskiej, stanowiący właściwą fabułę dramatyczną powieści, odmalowany tu także zajmująco, zwłaszcza, że autor z niepospolitą bystrością głębokiego psychologa motywuje romantyczny charakter młodej księżniczki, rozkochanej w ideale ,,ojczyzny". Postać bohatera jak i innych osób w opowiadanie wchodzących występuje plastycznie, i wszystkie wrażają się głęboko w umysł czytelnika, stają przed nim jakby żywe, a to podobno już najwięcej, co można powiedzieć w pobieżnej wzmiance o zaletach dzieła Aera, które radzibyśmy widzieć w każdym domu polskim, obok dzieł Rzewuskiego. Takie bowiem miejsce przyznać należy, ,,Pierwszemu romantykowi", jednej z najlepszych prac współczesnego nam pisarza.

Przegląd muzyczny.

II. Koncert historyczny
ks. Marceliny Czartoryskiej.

W drugim koncercie historycznym, danym 21go b. m. w sali Towarzystwa muzycznego przez ks. M. Czartoryską przy współudziale chórów i orkiestry Towarzystwa usłyszeliśmy powtórnie wzniosłą pieśń „Bogarodzico tym razem z większą swobodą przez chóry Towarzystwa odspiewaną, skąd też wrażenie, jakie na bardzo licznie zgromadzonej publiczności zrobiła, było silniejsze, niż za pierwszem jej wykonaniem. Następne trzy chóry słuchane z „namaszczeniem", byłyby z większym pożytkiem (?) i na dłuższy czas utkwiły w pamięci publiczności, gdyby do programu dodano ich tekst, (co zresztą za granicą jest w zwyczaju) gdyż toby było umożliwiło tym przynajmniej słuchaczom, którzy nie dla pokazania się tylko byli na koncercie, zastanowienie się nad stosunkiem, w jakim muzyka tych utworów zastaje do ich treści i o ile kompozytor potrafił uwydatnić w muzyce charakter i usposobienie jakie wyrażają słowa. Rzecz ta zdaje nam się dość ważną; gdyż np. co do „Pieśni weselnej" króla Zygmunta Augusta, nie podobna było dociec, w jakim związku ona być mogła z weselem. Sucha, bezbarwna, zupełnie nie charakterystyczna, mogłaby się równie dobrze „pogrzebową" nazywać. — Jeden numer pierwszej części programu, z niewiadomych nam przyczyn opuszczono; może w chęci zapobieżenia znużeniu publiczności, której cierpliwość przed rozpoczęciem koncertu, p r z e s z ł o p ó ł g o d z i n y s p ó ź n i o n e m, w obec napisu na afiszach „początek z u d e r z e n i e m 12½ w południe" na zbyt twardą próbę narażono.

Drugą, bardziej zajmującą, bo dzieła nowoczesne obejmującą, część koncertu rozpoczęto finałem z wielkiej konkursowej symfonji Fel. Ig. Dobrzyńskiego (temat: ,,Alboż my to jacy tacy...") pod energiczną batutą kapelmistrza orkiestry teatralnej p. Przibika. Trudne to finale, w którem podziwiać można w całej pełni znakomity talent w instrumentowaniu, zupełną znajomość orkiestry i wszystkich jej tajników, czem się odznaczał ś. p. Dobrzyński — wykonane zostało z ogromną werwą a przytem sumienną dokładnością w oddaniu wszystkich odcieni i — zelektryzowało słuchaczów, którzy się też długo uspokoić nie mogli raz po raz wywołując dyrygenta. Jeżeli się temuż należy słuszne podziękowanie za wzmocnienie orkiestry przyciągnieniem do niej sił nowych, z grona muzyków pod jego wpływem zostających, to jeszcze bardziej zadowoleni byśmy byli, gdyby się dało i do działu kwartetu smyczkowego tej orkiestry, przywabić więcej adeptów młodych a s t a ł y c h i w y t r w a ł y c h. (Brak smyczkowych instrumentów, a szczegolnie skrzypców pierwszych i drugich ogromnie czuć się dawał). Kiedy już mowa o orkiestrze, nie możemy pominąć dwóch numerów dopełniających program niedzielnego koncertu. — „E l e g i ą" Karpińskiego wykonaną pod tąż samą dyrekcyą, nie zachwyciliśmy się wcale; charakter jej, a zwłaszcza marcjalny ustęp środkowy nie koniecznie odpowiedni t y t u ł o w i. Wspaniały polonez Żeleńskiego wykonano dobrze, tylko tempo wzięto za leniwe, co trudnościami jakie ta kompozycya daje do zwalczenia tłumaczyć musimy. Tu znów brak dobrze obsadzonego kwartetu, tego szkieletu każdej orkiestralnej budowy, jeszcze bardziej niż w poprzednich utworach czuć się dawał. Mimo całego wysilenia tych kilku skrzypków, którzy współdziałali, niedała się pokryć (szczególnie w pianach i pianissimach) ta, że tak powiemy, chudzizna tonu, — i ten brak pełni i zaokrąglenia w ,,forte", przez który najważniejsze efekta instrumentacyi dla nas ginęły. Czy w obec tego kardynalnego braku, wypada jeszcze zaznaczyć, że w triu (trio) poloneza, które się najwięcej podobało zamiast fortepianu wolelibyśmy arfę?!

Dwa spiewy solowe, nokturn Chopina i Mazurek Grossmanna ,,Ptaszku luby" (z Ducha Wojewody) wygłosiła pni A. Głos metaliczny, pełny, dzwięczny, o nadzwyczaj miłem ,,timbre", biegłość i piękna deklamacya, świadczą pochlebnie o wielkim talencie dyletantki i o zdolnościach nauczycielskich pana Darewskiego, który miał być — jak nas zapewniono — jej maestrem.

Hołdując znakomitym zdolnościom dyrektora naszego konserwatorjum p. K. Mikulego, odegrała szanowna inicyatorka koncertu Baladę i Walc jego kompozycyi, przyczem wystąpiły zarówno piękności utworów jak i artystyczne usposobienie wykonawczyni, szczególniej walc odznaczający się niezrównaną szlachetnością i elegancyą w obrobieniu, misternie wykonany przeciągłe wywołał oklaski. Nie mniej dobrze wypadły na zakończenie koncertu — a więc już po części pod wpływem szmeru i niespokoju w sali — wykonane: Nocturne (op. 62 Nr. 1 Hdur) Chopina, o ile sobie przypomnieć możemy, nigdy przedtem we Lwowie publicznie nie grany a więc tem samem, nie dla każdego słuchacza równie przystępny — i dwa śliczne Mazurki Chopina, z których pierwszy Cismoll op. 30 Nr. 4 z powodu kwint, których krytycy, zwłaszcza niemieccy, darować Chopinowi nie mogą tem bardziej, że w zewnętrznym głosie przychodzą (nawet Ambros, choć w 8mej Etudzie op. 25, gdzie ich jest cała girlanda z powodu, że genjalnie wprowadzone, musiał się z niemi pogodzić) znany jest powszechnie w świecie muzycznym. *L.*

ZIARNKA.

„Wybory do Rady miejskiej, które się odbyły we czwartek mocno rozruszały zwykle drzemiących mieszkańców naszego miasta. O zasady nie szło, jednak mimo to ruch ten, jak każdy inny w obec ciągłej apatji uważamy za objaw pocieszający. Polemika plakatowa przybrała prawdziwie amerykańskie rozmiary; co chwila pojawiał się nowy mesaż do narodu, i co chwila kursowały nowe odezwy, prasy drukarskie jęczały dnie i noce. Jeżeliby kto potrudził się zebrać wszystkie odezwy, jakiemi formalnie zasypywano mieszkańców poczciwego Lwowa miałby kolekcję nader ciekawą, dobrze ilustrującą stopień wykształcenia naszych współmieszkańców. Przeważnie odezwy były źle pisane pod względem językowym i zawierały same nic nie znaczące frazesy, w których co słowo była obelga, co słowo kalumnja. „Podły denuncjant", „człowiek bez czci i wiary", „zdrajca" itd. takie komplementa rzucali sobie wzajemnie zacięci przeciwnicy. Nie brakło nawet pewnego orędzia do narodu z winietą słynnej „Jägermanówki" na czele, podawanego z rąk do rąk, którego tenor mógłby być umieszczony chyba w jakiem piśmie

pornograficznem. Nadużywanie poważnych haseł było na początku dziennym, a agitatorowie ciągle mieli na ustach „Boga“ i „Ojczyznę“. Kursowała lista licha z wizerunkiem Kościuszki, lista, której członkowie stoją w takim stosunku do narodowego bohatera, jak obozowy ciura do naczelnego wodza . . . Były to nadużycia, czysto „tromtadracskiej“, natury, które nas nie oburzają, ale śmieszą. Ale i to minęło, a po dniu szału wyborczego, większość tych, którzy się najbardziej zapalali zapytuje się po cichu: o co nam chodziło?

* * *

Czytamy w „Prawdzie“ Po wielu pismach obiegła radosna wiadomość, że p. Otton Hausner zamieścił w „*Wiener Allg. Zeitung*“ rozbiór przekładu *Pana Tadeusza*. Szanowny poseł galicyjski w Radzie państwa przemawia po niemiecku z konieczności, a w literaturze pisze po niemiecku z dobrej woli. Pojmujemy korzyść z używania powszechnie zrozumiałego języka w kwestjach praktycznych lub ściśle naukowych: pojmujemy, gdy Chałubiński wyniki swych badań botanicznych ogłasza po łacinie, a Baudouin de Courtenay zamieszcza rozprawy lingwistyczne w wydawnictwach niemieckich: oni chcą przemówić do uczonych całej Europy Ale jakie mają znaczenie a przynajmniej — z jakiego powodu tak nas cieszą artykuły literackie p. Hausnera w pismach niemieckich — przy jednoczesnem unikaniu polskich? Może wzgląd na rozpowszechnienie sławy Mickiewicza? Ach, szanowni panowie, Mickiewicz zbyt jest wielkim, ażeby nasi krytycy w niemieckich kurtach potrzebowali go podsadzać na Parnas europejski. Jeżeli cudzoziemcy uczą się języka zulusów i maorisów dla poznania ich pieśni, to doprawdy mogą się nauczyć także po polsku dla poznania i przetłómaczenia swym rodakom Mickiewicza. Jeśli zaś wiedzieć o nim nie chcą, to dla nich wstyd a dla nas żadna strata. My lepiej pracujmy dla siebie, niż mamy cudzą mową wysławiać *Eroberung (!) Mickiewicz's für die deutsche Literatur*. Obowiązku tego nie narzucam p. Hausnerowi, który ma zupełne prawo zbierać wawrzyny na tem polu, które go najbardziej nęci, zwracam tylko uwagę, że mu się od nas laur nie należy.

* * *

Tydzień ubiegły przyniósł nam dwie wieści Hiobowe. Gustaw Doré, słynny ilustrator, umarł w Paryżu — w Darmsztadzie dokonał żywota kompozytor „Stradelli“ i „Marty“ Fryderyk Flotow. Sztuka straciła w dwóch tych ludziach pierwszorzędne znakomitości, gwiazdy, których blask oświecał silnie artystyczny horyzont. Ale ze śmiercią nie ustał ich wpływ na społeczeństwo. Dzieła ich pozostaną zawsze wielkie. Z powodu, że wiadomość o śmierci obu wielkich artystów doszła nas za późno — dokładne ich życiorysy odkładamy do następnego numeru.

ZAPISKI.

Literatura.

* Album dla Jeża przygotowane pod kierunkiem p. Ludwika Jenikego w Warszawie w krótkim już czasie będzie gotowe i jubilatowi odesłane. Fotografii będzie w niem przeszło dwieście. W samym zakładzie Mieczkowskiego wykonano więcej niż dwie trzecie portretów literatów, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków i dziennikarzy tutejszych. Album będzie nader gustowne ze stosownemi emblematami na wierzchu.

* Czytelnia akademicka w Krakowie wysyła do T. T. Jeża adres jubileuszowy w imieniu młodzieży. Wszystkie stowarzyszenia młodzieży nadesłały arkusze z podpisami, tylko Lwowskie i Dublańskie towarzystwa wysyłają osobne adresy. Pięknie to, że młodzież umie czcić istotną zasługę.

* Historji literatury powszechnej dr. Jana Scherra w przekładzie i uzupełnieniu przez p. Br. Zawadzkiego, wyszedł zeszyt trzeci tomu drugiego.

* Wkrótce ma się ukazać w Warszawie ciekawa praca p. Em. Bronieskiego pt. Tablice graficzne do dziejów Europy. Na wielkim arkuszu podzielonym na kilka sekcyj, przedstawiającym rodzaj drobnej siatki, które obejmuje przeciąg lat tysiąca, zastosowaną jest metoda graficzna do wyłożenia pewnej strony wypadków dziejowych.

* Na posiedzeniu historyczno-filozoficznej komisji krak. Akademji umiejętności, w dniu 10. bm. odbytem, dr. K. Hoszowski odczytał monografję o rezydencji przy ulicy dawniej Legackiej, a teraz Poselskiej, niegdyś Jana Chojeńskiego iJędrzeja Lipickiego, biskupa krakowskiego. Prelegent podał treściwie żywot tych dwóch dygnitarzy i ich zasługi dla kraju.

* „Wspomnienia o pułku trzecim ułanów byłych wojsk polskich“ spisane przez L. Szumskiego, byłego oficera tego pułku wyszły z pod prasy w Krakowie.

* Pomiędzy papierami pozostałemi po Gambecie, znaleziono zupełnie wykończone dzieło pt. „Juris prudence de Rabelais“

* Z fundacji zmarłego w grudniu r. z. w Paryżu wydawcy Wiljama Galigagni, ma powstać na Boulevar Bineau dom przytułku dla wiekowych literatów, księgarzy i drukarzy. W instytucji tej 50ciu znajdzie przytułek za opłatą 500 fr. rocznie, a 50 darmo. Zmarły zapisał na ten cel plac obejmujący 700 metr. kwadr. 70000 fr. rocznej renty i dwa domy przynoszące 100.000 fr. rocznie.

Teatr i muzyka.

* Panna Marja Dering od ostatniego wystąpienia na scenie Warszawskiej dość ciężko zachorowała. Z tego też powodu ślub jej musiał być odłożony.

„ W piątek d. 26 bm. daną będzie na benefis zasłużonego około opery kapelmistrza p. Adolfa Cecha opera „Halka“ Moniuszki. Tytułową rolę śpiewać będzie panna Reichówna, która tę partję niedawno w Warszawie śpiewała po polsku. W Pradze ostatnie przedstawienie Halki było jeszcze w r. 1868 d. 21 maja, a więc lat już temu 15.

* Zbiór najpopularniejszych i najulubieńszych pieśni ruskich, ukrainek i kołomyjek, ułożony przez Winc. Rychlinga, wyszedł w Krakowie nakładem J. Wildta.

* „Divadelni Swiet“ rodzaj naszej biblioteki teatrów amatorskichstanowiący dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Divadelnich Listów“ pomieścił dotychczas w bardzo dobrych przekładach Fr. Wł. Hovorki.

1. Kalosze, I. A. hr. Fredry (syna),

2. Teatr amatorski (Ochotnické divadlo), M. Bałuckiego—i

3. Złoty cielec (Zlate tele) St. Dobrzańskiego.

Ostatnia sztuka u nas jeszcze nie była drukowana. Tak więc przekład uprzedził oryginał.

* Zbrodnia Fenayrounów, którą tak żywo interesował się swojego czasu cały Paryż, została udramatyzowaną pt. „La crime du Pecq“, i ma być graną w Belgii. We Francji zabroniono przedstawiać tę sztukę publicznie, ale dowcipny antreprener, mający jeździć z nią po Belgii, zamierza podobno oszukać władzę, urządzając w jednym z paryskich teatrów przedstawienia prywatne, na które wstęp ma być dozwolony tylko za rzekomemi zaproszeniami.

Sztuki piękne.

* Na wystawie rzymskiej będzie zamieszczony w osobnym pawilonie wielki obraz mistrza Siemiradzkiego „Tryumf światła“.

* Pan Ajdukiewicz kończy portret pani Hoffmanowej, który przeznaczył dla muzeum narodowego, zostającego pod opieką gminy krakowskiej.

* Gabrjel Max wykończył nowy obraz, przedstawiający włoską „Żebraczkę“.

* Historyczna wystawa w Wiedniu urządzoną zostanie w salach wiedeńskiego ratusza. Składać się będzie z trzech oddziałów. Do pierwszego wejdą: broń, zbroja i trofea wojenne; — do drugiego: historyczne obrazy, plany i widoki oblężonego Wiednia, oraz dokumenty i dzieła: do trzeciego monety, medale i t. p.

Treść:

O czem i jak należy pisać dla ludu.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
Marja B.: Do Prutu.
Żółkiewski K. W.: Z życia wodziarki.
Dr. A. Zipper: Izajasz Tégner i poemat o Frytjofie.
Dollfus K.: Mój wój Duval. (c. d.)
Spencer H.: Obyczaje kupieckie. (c. d.)
Przegląd literacki.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 6. We Lwowie dnia 3. Lutego 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: Bolesław Spausta. Redaktor odpowiedz.: Bolesław Czerwieński

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1|_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

O czem i jak należy pisać dla ludu.

II.

Ułożenie popularnej encyklopedji, któraby ludowi w przystępnej dla niego formie, a zarazem nieuchybiając samej nauce, podała w szeregu dziełek całokształt wiedzy ludzkiej, jest rzeczą niezmiernie trudną. Wymaga ono z jednej strony dokładnego poznania wszystkich tych nauk, które chcemy ludowi podać, poznania nie tylko t. zw. poglądowego, ale dosyć specjalnego, ażeby przy popularyzowaniu módz z masy nagromadzonych w nauce faktów wybrać jak najcharakteryczniejsze, i pojęciom ludu najbliższe. Z drugiej strony zaś wymaga dokładnego poznania samego ludu, jego sposobu mówienia i myślenia, wymaga miłości dla ludu i jego oświaty, bez czego wszelka popularyzacyjna praca będzie suchą i jałową.

Co się zaś tyczy samej metody, jakiej — by trzymać się należało przy układaniu encyklopedji popularnej, to i tu zdaniem mojem nauka wychowania daje nam bardzo pewne i cenne wskazówki. Postępować od szczegółów do pojęć ogólniejszych i od konkretów do abstraktów, oto jest najpewniejszy sposób nauczania początkowego, a więc i popularyzacji. Gadać ludowi, nie przywykłemu jeszcze do ścisłego myślenia i do operowania abstraktami, o jego „obowiązkach", o „rodzinie", „religii", i t. p. na nic się nie zda, — przedewszystkiem należałoby podać mu jakie takie pojęcie o tem, co go najbliżej otacza, o tym świecie zjawisk konkretnych i o koniecznym przyczynowym związku tych zjawisk, a dopiero poznawszy wielką prawidłowość w przyrodzie, zdoła on należycie pojąć i ocenić prawidłowość w życiu społecznem i duchowem. Dlatego też myślę, że na początek dla ludu najodpowiedniejszemi byłyby opowiadania z geografii, Ta nauka właśnie jest jedyną może ze wszystkich, która łączy w sobie doskonale obie strony wyż wyrażonej pedagogicznej metody, podaje umysłowi i wyobraźni masę ciekawych i całkiem konkretnych szczegółów, które przy należytem jej traktowaniu bardzo łatwo dają się składać i grupować w większe, poglądowe całości, rozszerzając umysł i pogląd człowieka. I w istocie, w opowiadaniach n. p. podróży i przygód odkrywców geograficznych można połączyć taką masę ciekawych spostrzeżeń z geografii, fizyki, zoologii, botaniki i mineralogii, etnografii i geologii, że dziwić się i żałować należy, że u nas dotychczas, nie już w wydawnictwach popularnych, ale nawet w szkołach, tak kompletnie nie umiano ocenić pedagogicznej wartości geografii i traktuje się ją tak sucho i niepedagogicznie, że jest ona tylko męczarnią dla dzieci, przeciążeniem ich pamięci i pustym balastem, z którego w dalszym postępie wykształcenia żadnych nie mogą ciągnąć korzyści.

Opowiadania geograficzne, zdaniem mojem, powinny stanowić niejako rdzeń całej encyklopedji popularnej, powinny być niejako tym przewodnikiem, który odmyka dla ludu podwoje wszystkich nauk i daje mu pierwsze wskazówki do ich poznania. W takich opowiadaniach należy potrącać o wszystko, o co człowiek zwykle potrąca w życiu i w podróży: czy to ciekawe zjawisko meteorologiczne, fizyczne, czy społeczne; zwierzę czy kamień, zwyczaj lub rasa ludzka; wszystko co samo przez się nasuwa się opowiadającemu i budzi ciekawość słuchaczów, przygotowując ich tem samem do czytania lub słuchania dalszych, specjalnielszych dziełek szczegółowo wyjaśniających każde z potrąconych opowiadaniem zjawisk.

Żeby dać przykład, jak mniej więce przedstawiam sobie taką encyklopedję i związek logiczny, łączący wszystkie jej części w jedną całość, wezmę np. opowiadanie o galicyjskich kopalniach soli. W pierwszem dziełku, pisanem więcej zajmująco i barwnie, przedstawioną by być mogła podróż naszego chłopa od jednej kopalni solnej do drugiej. Ciekawie przyglądą się on urządzeniom każdej z nich, szybom, kieratom, pokładom soli warzelniom i t. p. Rozmaite nasuwają mu się przytem uwagi i pytania, na które mu odpowiadają górnicy; lecz wreszcie przychodzi mu chętka zapytać się: I skądże się też to wszystko wzięło na ziemi? Jaki też może być początek tych pokładów? Na to górnicy nie umieją mu odpowiedzieć i odsyłają go o inżyniera. Na tem też skończylibyśmy dziełko opisowe. W drugiem dziełku przedstawioną by była rozmowa owego ciekawego człowieka z inżynierem, w której ten ostatni wyłożyłby na podstawie ogólnego zarysu geologicznej nauki skład chemiczny i genezę soli, jej znaczenie w życiu i gospodarstwie człowieka, dalej znaczenie jej w państwie, dochody, jakie państwo pobiera z jej przywłaszczenia i zmonopolizowania, szkody, jakie z takiego zmonopolizowania wypływają dla gospodarstwa ludowego i t. d. Jednem słowem, w tej drugiej części mielibyśmy w jednym jednolitym obrazie wykazany związek, jaki zachodzi między solą, a masą innych fizycznych, chemicznych i społecznych zjawisk na świecie. Taka praca popularna pewnie byłaby dla naszego ludu zdrowym

pokarmem, zdrowym nabytkiem kulturowym i rozszerzałaby od razu horyzont jego światopoglądu, nie narzucając mu od razu nic absolutnie nowego, nawiązując zawsze jedno zjawisko do wiadomych mu już innych, wdrażając mu poczucie koniecznego związku wszystkich zjawisk i budząc w nim ducha krytyki, samodzielność myślenia. To tylko byłaby prawdziwa oświata.

Albo jeszcze jeden przykład. Ludowi naszemu od dzieciństwa, w kościele i szkółce wiejskiej nabijają głowę opowiadaniamj biblijnemi o stworzeniu świata, raju, potopie i t. d. Oczywista rzecz, opowiadania te podają się ludowi w formie bardzo dalekiej od oryginału, przenicowane i przykrojone niby to do jego pojęcia, a w rzeczy samej pofałszowane w interesie niektórych klas dla poparcia pewnych wierzeń i przesądów. Azaliż nie jest obowiązkiem ludzi, szczerze dbających o prawdziwą oświatę ludu, o wyzwolenie jego rozumu z wszelkich więzów podać mu i te opowiadania wiernie, według oryginału i z całym aparatem naukowej krytyki, z jakim obecna nauka te opowiadania traktuje? Zdaje mi się, że ze stanowiska racjonalnego oświecenia przeciw temu nic powiedzieć nie można, a nawet światłe duchowieństwo, widzące, że nie w tych opowiadaniach, nie w jednych cudach i z nauką faktów niezgodnych twierdzeniach, lecz jedynie w duchu, prawdzie i sprawiedliwości leży prawdziwa religia, — nawet duchowieństwo, mówię, w dobrze pojętym interesie ogółu, nie powinno sprzeciwiać się zamysłowi podania, w całym szeregu dziełek, krytycznego rozbioru opowieści biblijnych dla ludu. Taki zaś szereg dziełek bezprzecznie więcej światła wniesie pod wiejskie strzechy, więcej z nich przesądów i zabobonów wypleni, niż całe tomy pustego i namaszczonego gadania.

J. F.

Tak źle nie jest.

(Sylwetka)

— Kłamiesz — mości dobrodzieju — tak znowu źle nie jest — to musiała tylko jedna krokiew trochę się nagiąć a wy już z muchy robicie wołu i tak jak wczoraj mości dobrodzieju kpie — mówiłeś że kara kobyła połamała nogi, a tu... jedną tylko sobie złamała — i z tego może być wyleczona.

— Proszę wielmożnego dziedzica — jedną złamała co prawda — ale względem tego interesu ze stajnią — to się zupełnie z przeproszeniem — zawaliła — i niech się wielmożny dziedzic przekona.

— Oho — tak źle nie jest — wy mi tylko kłopotu zawsze jak najwięcej chcecie narobić — a teraz mi mój mości dobrodzieju ruszaj — i nie kłam mi więcej — bo gotów jestem wyłoić cię cybuchem za takie głupie wiadomości.

Karbowy wyszedł z pokoju dziedzica — który mocno z irytowany złą wiadomością — chodził sobie po pokoju mrucząc wreszcie zapalił fajkę na długim cybuchu i powiedziawszy sobie: tak źle nie jest — położył się na sofie — i puszczał w górę kółka dymu — dopokąd fajka nie wymknęła mu się z dłoni — a z gęby nie dały się słyszeć świst i chrapanie snu sprawiedliwego,

Sen jednak został przerwany wpadnięciem do pokoju gospodyni (gospodarz był starym kawalerem: dalekiej krewnej gospodarza — i ta z daleko dobitniejszą wymową niż karbowy — dowodzić zaczęła zaspanemu jeszcze cokolwiek dziedzicowi — jak srogiej dopuszcza się niedbałości w gospodarstwie że mu stajnia zawaliła się zupełnie — że bydła nie będzie gdzie trzymać — i w końcu zakonkludowała — że gorzej już być nie może.

Dziedzic nie dał mimo to za wygraną — będąc skończonym prawnikiem dowiódł gospodyni jak na dłoni — że tak źle nie jest i że tylko jedna krokiew prawdopodobnie pękła., że ona tylko z muchy robi słonia itp. Gospodyni odeszła przepowiadajac mu srogie katastrofy z tej niedbałości; — a dziedzic został nakładając — z pewną irytacją swą fajkę — położył się na sofie — do pokoju z którego można było widzieć stajnie, nie poszedł — na świat nie wyszedł — i leżał dalej nie wierząc w głupie wiadomości.

Pociesznie było widzieć — jak na drugi dzień — dziedzic wyjeżdżając na parę dni do Tarnowa — odwracał głowę od stajni. — Jedź, krzyknął na furmana — i chociaż karbowy mocno przedstawiał trudności wynikłe z katastrofy stajennej — i prosił o wydanie pieniędzy na budowę, dziedzic jednakże powiedziawszy mu — że zbyt czarno rzeczy widzi ruszył z miejsca — i tylko siny dymek z fajki na długim cybuchu pozostał jeszcze chwilę na dziedzińcu — a po dziedzicu zostało jeno wspomnienie. My zaś widzimy go — jak leży u siostry w Tarnowie — na sofie — i pali fajkę na długim cybuchu. Wizyta parodniowa rok się przeciągnęła, listy od gospodyni opatrzone komentarzami uspokajającymi szły w kosz — konie zaprzęgały się prawie co dnia — ale nasz dziedzic zapalał fajkę na gługim cybuchu — ażeby jeszcze jedną wypalić wśród czego późno jakoś się robiło na dworze i konie zabierano do stajni. Przybyła wreszcie po niego i gospodyni — przerażająco przedstawiając stan jego majątku.

— Nie jest tak źle, moja kochana, jak mówisz — ty wszystko zbyt czarno widzisz, ale już jadę — dajcie mi spokój.

Zaprzęgnięto dwa ekwipaże gospodyni wsiada do pierwszego — on sę całuje po tysiąc razy z siostrą — łza nawet pokazała mu się w oku — gospodyni zaczyna się niecierpliwić — rusza więc z miejsca swym ekwipażem — tymczasem fajka zagasa — dziedzic powraca po węglik do kuchni — (bo miał pasję węglem fajkę zapalać) — tymczasem znowu wychodzi chmurka i spadają na ziemię cztery krople deszczu. Wypada tedy przeczekać wypalając jeszcze jedną fajkę na sofie.

Gospodyni wróciła do domu — sprzątania było co niemiara — na powrót gospodarza już nawet rozpaliła na kominku parę węglików do fajki; — on jednak wrócił aż za pół roku w czasie, gdy gorsza chmura szła na horyzont niż poprzednie — a był nią rok 46. W Sanockiem — gdzie to się dzieje — nie zaszły rzeczy tak daleko — jak gdzie indziej i niepisał o nich Dawid ni szeroko ni wązko — jednakże zaczęło być coś nie dobrze między ludem — chociaż nasz dziedzic nie dał temu wiary — nie sądząc aby tak źle było — i na trwogi swe gospodyni — odpowiadał: mości dobrodzieju jesteś głupia moja kochana — śmiej się z tego. — Tu, jak gdyby nic obmacywał swoją głowę — czy gdzie nie zrobił się otwór między włosami — które przy karku wyrastające dość długo koncertowo układał, czem zakrywał potężną łysinę; — pilnie bacząc — aby, gdy idzie leżeć na sofie w tył się nie osunęły — co jednakże dość często się działo — gdy zrywał się w ferworze zaprzeczając jakiej nie zbyt pocieszającej wiadomości.

I obecnie widzę go — jak zerwał się z sofy — Fajka spadła — łysina się odkryła — gospodyni przedstawia mu jakieś grożące niebezpieczeństwo.

— Śmiej się z tego — mówi jej dziedzic lecz gospodyni blednie i ręką na okno wskazuje przez które — jakby na potwierdzenie jej strachów gwar jakiś do pokoju dolata Wyglądnął dziedzic na drogę i przestał macać łysinę. Drogą wiodącą z wioski R. jedzie ułan polski z dobytym pałaszem — za nim idzie tłum chłopów i wloką się dwa wozy — na wozach siedzą związani jacyś panowie. Wybiegł dziedzic na drogę, ułan staje przed nim — on niedowierza swym oczom — i teraz gotówby przynać, że jest źle cokolwiek — bo w ułanie poznaje znanego złodzieja i zawadiakę zwanego Tomkiem; na wozach widzi swoich znajomych sąsiadów — swego mandatarjusza — i ci mu opowiadają — że chłopstwo pod wodzą Tomka napadło na dwór w R. zrabowało go do szczętu i pobiwszy ich straszliwie wiezie do

starostwa, w Sanoku; a Tomko zabrawszy jednemu z tych panów mundur ułański z 31 roku — zachęca chłopów do z nęcań się przeróżnych.

W oku naszego dziedzica łza zabłysła — drży z oburzenia — gotówby Tomka cybuchem wyłoić — jednakże zaczyna być źle na prawdę bo Tomko coś mruczy, aby i jego związać chłopstwo zaczyna cisnąć się do dworu. Chwila krytyczna. Pomoc jednakż nadchodzi — właśni chłopi i baby tłumem wysypują się z karczmy i otaczają swojego pana. — Sołtys swą głową za niego ręczy — i obiecuje z wszelkiem bezpieczeństwem do Sanoka go eskortować.

Nasz dziedzic był ich ulubieńcem — groził co prawda cybuchem — groźba jednakże nigdy w czyn się nie zmieniła;— co tylko złego zbrojono, uszło płazem; broniono tedy dziedzica — jako rzecz wcale użyteczną.

Smutne to — ale poetyzować — dia prawdy nie mogę. Przebaczyć im atoli — bo ciemni — więc nieszczęśliwi.

Uspokoiło się w kraju. Nasz kawaler stary widział pod okna swojego domu maszerujących moskali: widział znów tłumy chłopstwa — gotowe pierzchnąć na jeden wystrzał — ciągnące mimo to bronić granicy od najścia Węgrów. Widział słupy stawiane na górach ze słomą i smołą — jako telegrafy nieszczęścia; — tym razem przepowtednia jego — że może tak źle nie będzie — sprawdziła się — i armja nie potrzebowała się rozpierzchać — bo nikt do niej nie strzelał.

Nasz dziedzic leży na sofie — twarz jego blada fajka stoi oparta opodal — węgliki wygasły. W sieni dają się słyszeć szybkie kroki. Stary kawaler szybko się maca po głowie — i włosy napędza do służby pokrycia łysiny. Weszła gospodyni. Na zmiłowanie boskie — mówi — poślij po doktora — nic jeść nie możesz — chudniesz z dniem każdym — ręce ci drżą tyś ciężko chory.

— Tak źle nie jest — moja ty głupia.

— Oj źle — źle — ciągnie gospodyni— nie zważa na protesta; — wreszcie ulega jej stary i dodaje: no poślej — niech cię tam licho — zagram z nim marjasza.

Nim doktor przybył, stary nie palił już fajki — łysiny nawet nie macał — musiało mu już być źle bardzo.

Nareszcie doktor nadjechał — nasz jegomość umiał mu tak chorobę przedstawić — że ten zapomniał języka w gębie; gdyż zamiast o bolach i osłabieniach — usłyszał mnóstwo historyjek o miłosnych zwycięztwach — pacjenta — naturalnie bardzo dawno temu wygranych — usłyszał o rozmaitych ciekawych partjach wista — o pierożkach przewybornych — które pacjent jadł u ciotki przed dwudziestu laty; gdy zaś przyszło do choroby — rzekł lekarzowi: Śmiej się konsyljarzu z tego — głupia baba robi z muchy wielbłąda — nic mi nie jest — ot coś kataralnego.

Doktor uspokojony zupełnie odjechał. Tem czasem chory legł w łóżko — znowu po doktora jeżdżono — tym razem ten już nie wierzył i nie śmiał się mimo zeznania Źle było i coraz gorzej. Leżał więc w łóżku bez przerwy — a fajka stała obok.

Raz przyszła z jakimś interesem do dziedzica ładna kobieta wiejska a że on mimo choroby i starości do płci pięknej zawsze miał pociąg — zawołał ją bliżej do siebie — i wykręciwszy cybuch z fajki musnął nim pod nos kobiecie — racząc ją z żartu sokiem tytoniowem.

— A widzisz bestyjko — zawołał — jeszcze tak ze mną źle nie jest.

Lecz cybuch wypadł mu z ręki — a twarz oblała się potem. Na to weszła gospodyni. Co tobie krzyknęła — zbladłeś.

— Nic mi nic — moja kochana — podnieś mi cybuch, rzekł jej cichym głosem — poczem opuścił głowę na poduszki i dalej leżał bez ruchu — i z pewnością było mu nie źle — bo nie żył.

M.

Pod lasem.

(*„Z Ogniska“.*)

I.

. . . .

Nie swatała mi cię swatka,
Ani ojciec, ani matka,
Jeno pieśni skowronkowe,
W te poranki, w te majowe;
Jeno jasne one zdroje,
Kędy konia mego poję,
Jeno gołąb ten skrzydlaty,
Jeno dróżka do twej chaty,
I fujarki owej granie,
Co rozlega się po łanie,
I te trzciny, rokiciny:
— Jedźże Jaśku, do dziewczyny!
Hej!...

Nie swatały mi cię kumy,
Jeno ciemnych borów szumy,
Jeno tęskność, co się ściele
Po zagonach — jako ziele;
Jeno mokra ona łąka,
Kędy mgła się nocą błąka;
Jeno zgasłe ono słońce
W cichych zorzach zachodzące...
Odwieczerzem jednem, drugiem
Pług za łanem, ja za pługiem.
Za mną zasię słonko chodzi:
Dziewczę ci się Jaśku, godzi!
Hej!...

Ludzie mi cię nie raili,
Ani do mnie miodem pili,
Jeno ten miesiączek biały
I te gwiazdy cię swatały;
Nie chodziły tu sąsiady,
Na namowy — na wywiady,
Jeno cichość wieczorowa
Niosła skądciś miłe słowa;
Nocka jeno w oknie stała,
Chłodną rosę przypijała,
Chłodną rosą mnie ziębiła:
A gdzie Jaśku twoja miła?
Hej!...

II.

. . . .

A kiedy mi przyjdzie zagrać
W polu dziewczynie,
Wykręcę ja fujareczkę
W tej wodnej trzcinie!
Bo ta trzcina się ugina
Za wiatru wianiem
Nic inaksza i dziewczyna
Z swojem kochaniem.
Wprawiłaby jasne słonko
W okna u chaty;
Wyglądałaby — czy jedzie
Do niej bogaty!

. . . .

A kiedy mi przyjdzie zagrać
Na cudzym progu,
Wykręcę ja fujareczkę
W tym ostrym głogu!
Będzież śpiewać mi przy sercu
Gorzkiemi łzami,
I rozkrwawiać jasne zorze
Rankiem nad nami!
Chodzi krzywda popod lasem,
Po jarach chodzi:
Nikt nie zgadnie, co zaczasem
Złe ziarno zrodzi!

A kiedy mi przyjdzie zagrać
W tym pańskim dworze,
Wykręcę ja fujareczkę
W najgęstszym borze!
Pamiętają stare drzewa
Tę krwawą dolę,
Co tu przeszła przez te chaty,
I przez to pole!
Rozśpiewająż się w mej pieśni
Jęki a płacze,
Aż ściemniają złote stoły,
Białe kołacze!:

A kiedy mi przyjdzie zagrać
Tej nocy śniącej;
Wykręcę ja fujareczkę
Z wierzby płaczącej!
Hej polecąż z niej piosenki,
Jako ptaszkowie,
I rozbudzą ciche szumy
W leśnej dąbrowie!
Ni ja roli, ni ja chaty,
Nędzny koniucha
Nocka przecie patrzy na mnie
I słucha — słucha!..

Marja Konopnicka.

Izajasz Tegner
i poemat o Frytjofie.

Szkic literacki
Dra. Alberta Zippera.

(Dokończenie.)

Głęboko czuł Frytjof winę swą, grzech przeciwko Balderowi. Opuścił na nowo ziemię rodzinną, by ze śmiałymi bohaterami za przygodami gonić, a

Prując potężnie pienistych mórz wały,
Szeroko zwycięstwy zasłynął,
Prześledził Południa ostrowy i skały,
Przez morze Hellenów przepłynął.

Ale w trzecim roku nie mógł się oprzeć tęsknocie za ojczyzną i kochanką, ku północy okręt zawrócił, a zwierzywszy się z zamiarem tylko ukochanemu Bjornowi, w same święto julowe, z pory i obchodu Bożemu Narodzeniu u nas odpowiadające, podczas uczty przebrany za starca wszedł do sali króla Rynga. Ale wnet rzucając osłony i odzienie niedźwiedzie, okazał młodzieńczą, naturalną swą postać:

Królowej białe czoło spłomienił nagły dziw,
Tak zorza się północna czerwieni w śniegach
[niw:
Jak wodne dwie lilje, gdy wicher w fale dmie,
Tak pierś jej raz się wznosi, raz w głębi
[fałdów tchnie —

a gdy na polecenie króla winem przybysza częstowała:

Wręczając puhar z winem schyliła wstydu ą
[skr oń
A puhar drżał jej w ręku i oblał nieco dłoń;,
Jak łuna zórz wieczornych odbita z lilji tła,
Tak z ręki jej śnieżystej purpura w kro-
[plach drga

Ale niemiał Frytjof zamiaru porwania cudzej małżonki: głębokie przekonanie, iż winą gniew Baldera na siebie ściągnął, iż wszystko co cierpi, z rządzenia znieważonego Boga nań spadło — świadomość ta przygniata dawną siłę -- a gdy przyjaciel Biorn myśl porwania Ingeborgi mu podsuwa, myśl taką precz odpycha. Spędza tedy całą zimę u Rynga, który i po postaci opiewanej przez spiewaków i po odwadze i sile i duchu przybysza dawno poznał, i wie iż Frytjof u niego gości. Na wiosnę podczas łowów urządzanych gdy król pod strażą Frytjofa usnął, ten by pokusę pokonać miecz swój daleko odrzuca. Ryng, który sen tylko udawał, zwierza się iż bojana zna dobrze.. iż go polubił i u siebie zatrzymać rad, lecz dziwuje się również, iż

Wieść stugłowa wrogiem bogów
Zwie Frytjofa — królem mórz,
Kruszy tarcze, z świętych progów
Czyni hardo pył i kurz.
Pomyślałem: z tarczą wojny
Pewnie wpaść tu będzie chciał
A on przyszedł w kostur zbrojny
I jak żebrak w kącie stał..
„Nie jak złodziej jam przychodził,
Rzecze Frytjof, marszcząc brwi
Powiedz — ktoby mi przeszkodził
Bym nie porwał żony ci?
Ach! jam tylko oblubioną
Raz - raz jeszcze widzieć chciał,
I niestety! pierś schłodzona
Rozżarzyłem w dawny szał!
Lecz nie wrócę w zamku progi,
Gnuśniem tutaj strawił dnie,
Niezbłagane gniewne Bogi
Wszędy gonią, dręczą mnie..,
„Niech znów wyją wściekłe wały,
Niech zahuczy grzmotów wir —
Frytjof kocha dzikie szaty
W pierś mu dawny wróci mir.
Starcze! morze pełne wrogów,
Brzęczą tarcze, świszczy grot!
Legnę wesół, zbłagam Bogów
I z pokładu pójdę w lot!“

Ale losom Frytjofa nagle inny kierunek nadaje śmierć króla Rynga, który umierając synka młodego i Ingeborgę opiece bohatera powierza. Frytjof wybór chłopięcia na króla mimo oporu przeprowadza, ale Ingeborgi za żonę nie bierze mimo że zgromadzeni Nordlandczycy to uchwalili:

Namarszczył brwi Frytjof: „Dziś w myśli są
Nie swaty nam
Dziś wybór następcy — a dolą mą
Ja rządzę sam.
Bóg słońca złocisty wciąż gniewnie drga
Źrenicę swą
On jeden mi znowu bogdankę da.
Boć wydarł ją.“

I pospieszył Frytjof do ojczyzny i długo i gorąco modlił się u grobu rodzica, jakim sposobem przebłagać gniew Boga. W tem spojrzał przed siebie - nad pogorzeliskiem po świątyni spalonej inną cudną świątynię w obłokach się wznoszącą zobaczył. Uszczęśliwiony widzeniem tem przekonany, iż wola Bogów w niem się objawiła i skruszonemu drogę do łaski wskazuje, zajął się natychmiast wystawieniem na miejscu dawnej drewnianej, świątyni przepysznej, jakiej nie widziano dotąd. Kiedy nadszedł dzień poświęcenia, stanął Frytjof przed kapłanami a najstarszy z nich napominał go by nie przestając na budowie świątyni pogodził się z rodem królewskim tedy dopiero Balder przebaczyć może. A dowiaduje się Frytjof iż Helg znienawidzony już życie zakończył. Jedynym królem łagodny Halfdan

A Halfdan przekracza
Próg miedziany, przystaje... i trwożnie
[zatacza
Oczyma widząc syna Torstena w świątyni,
Lecz Frytjof godło pomsty odpasał z rzemieni
I przemówił sam tonem godnym w tym boju
Ten zwycięży, kto pierwszy dłoń poda pokoju.“
Stalową rękawicę król ściąga i płonie.
I długo rozdzielone znów splotły się dłonie...
Tu kapłan z wyklętego los zdejmuje srogi
Domawiał ..alić Ingeborga weszła w święte
[progi
Do ślubu w gronostajach, w białych dziewic
[świcie,
Jak miesiąc gdy prowadzi gwiazd orszak w
[błękicie.
Ze łzami w modrych oczach, z głębokiem
[wzruszeniem
Na łono bratnie padła lecz ten z rozrze-
[wnieniem
Do piersi ją Frytjofa przytula stęsknionej —
A ona nad ołtarzem dłoń daje ze drzeniem
Od dziecka kochankowi z doliny zielonej.

Tymi wierszami kończy się Tegnera poemat, o Frytiofie którego treść miałem sposobność w najgłówniejszych tylko linjach przedstawić. Bo o wielu epizodach ani wspomnieć nie mogłem, ani rozwoju pojedyczych charakterów przeprowadzić, a jeszcze mniej przytoczyć najpiękniejsze miejsca. Albowiem w tym celu trzebaby cały niemal poemat odczytać, którego pojedyncze ustępy podczas długich lat autor uczynił tylomaż misternemi cackami.. a wlał w nie gorące uczucia i wspomnienia własnych radości i własnych żalów.

Już z krótkiego wspomienia o treści okazało się, jak tam wszystkie odrębne zwyczaje normańskiej starożytności uwydatnione — a na tem tle rozwija się miłość dwojga wiernych dusz o szale, szczęściu, rozpaczy, o wszystkich tych starych a codzień nowych, bo głęboko-ludzkich objawach. Ale kryształy te mistrz objął w cudnej piękności, coraz się zmieniają, formę każdy bowiem z 24 ustępów poematu innym rodzajem wiersza i zwrotki utworzony, a szata ta zewnętrzna nie tylko że odpowiada najdokładniej każdorazowej treści, ale już samym formalnym urokiem czytelnika ujmuje i ku dalszemu czytaniu porywa.

Nim skończę proszę mi jeszcze pozwolić kilka słów o rozpowszechnieniu „Sagi Frytjofowej“ po świecie. Niema cywilizowanego narodu, któryby nie posiadał sobie przyswojonej. „Sagi frytjofowej“ Niemcy i Anglicy jako najwybitniejsze narody germańskie, przodują — bo posiadają około 20 już rozmaitych przekładów, z których niejeden kilku edycyj się doczekał. Nie będę tu wyliczał wszystkich przekładów francuskich, włoskich, rosyjskich i td. tylko o polskich jeszcze wspomnę.

Kiedy właśnie 40 lat temu, J a n W i e r n i k o w s k i w W i l n i e romans Tegnera „Aksel“ po polsku ogłaszał, po raz wtóry za dni naszych przez hr. Engeströma przetłumaczony, w przedmowie zwracał się gorąco do literatów, by obznajomili się z wieszczem szwedzkim i dla publiczności polskiej jego dzieła zdobywali; Skutkiem tej

odezwy Franc... Morawski, Roman Żmorski Alfons Walicki, Wincenty Dawid po czasopismach ogłaszali tłómaczone, wyjątki „Sagi frytjofowej“ lecz pierwszy zupełny jej przekład wydał Jagielski 1856 r. w Poznaniu Dzieło to jest unikatem w literaturze naszej: autor jego zachorowawszy na kołowaciznę starosławiańską, tak dalece naszpikował opowiadanie starosławiańszczyzną i reczę że z wyjątkiem kilku slawistów, a kilkudziesięciu ćwierć — i pół slawistów, co z ławek uniwersyteckich jeszcze jakieś pozostałości przymusowej słowiańszczyzny zachowali, żaden i najwykształceńszy Polak nie rozumie i rozumieć nie może języka p. Jagielskiego,

Zato 1859 r. w Warszawie Józef Grajnert, a 1861 r. w Petersburgu wspomniany już najwcześniejszy orędownik Tegnera w Polsce, Jan Wiernikowski, wydali tłómaczenia „Sagi frytjofowej“, o których tylko z największą wdzięcznością wspominać wypada. Grajnert zachował nawet najtrudniejsze rytmy i rymy i jędrność wysłowienia oryginału — a mimo to zrozumiałym pozostał Wiernikowski w swobodniejszej formie, nie skąpy wyrazami, z myśli i treści oryginału nic nie uronił.

Przekłady obydwu zaopatrzone są w objaśnienia pod względem obyczajów i religji starożytnych Normanów. Albowiem nie wolno przemilczeć że jak Malczewskiego „Marję“ (która w tym samym co „Saga Frytjofowa“ roku wyszła) r a z w tym celu przeczytać trzeba, by związek pojedynczych ustępów należycie pojąć tak przy pierwszem czytaniu „Sagi Frytjofowej“ z mitologią germańską, zresztą nie zbyt trudną, do zapamiętania a wysoce interesującą, zapoznać się trzeba, aby wżywszy się raz w świat ten idei odmiennych, swobodnie upajać się balsamiczną wonią i igrać w ciepłem tchnieniu tej przecudnej i uroczej poezji. Bo duch poety wsłuchiwał się w głosy lat minionych i głosy wiecznie też same serca. — w pochrzest uarcz i świst strzał, w dźwięk sajdaków i brzęk pucharów, w tętęt koni, lot sokołów i szczęk mieczów, długie, tęskne, rozmarzone śpiewy słowika i jeszcze bardziej rozrzewniające monotonne kwilenia przepiórki śród cichej gwiaździstej nocy letniej...

Na tę to poezję pragnąłem zwrócić wagę szerszego koła czytelników kilku prostem słowy przypomnieć europejskiej sławy wieszcza „Sagi o Frytjofie“.

Mój wuj Duval

Opowiadanie Spaha

(przez K. Dollfus'a)

Dokończenie.

Kiedy kurtyna zapadła po wzniosłem crescendo tak wspaniale spiewanem przez pannę Nilson: „Aniołowie czyści, aniołowie promieniejący światłością“, które w szeregu transpozycyj tonalnych ciągle wyższych wskazuje jakoby wznoszenie się ku niebu, dokąd unosi się dusza oczyszczona Małgorzaty, byłem dosłownie przytłoczony wzruszeniem. Usadowiony znowu obok Aliny w jej ciasnym powoziku, unoszącym nas szybko przez Paryż, doznawałem uczucia, jakoby mitologiczne hippogryfy unosiły nas wspólnie w krainę marzeń. Wracaliśmy ztamtąd. Najchętniej zamknąłbym był oczy i milczał. Sen i rzeczywistość pomieszały się, a ja nie starałem się ich oddzielić. Jednakowoż nasze wzajemne milczenie, po kilku minutach, stawało się przykrem. Siliłem się je przerwać, wymawiając słów kilka o piękności opery i muzyki w ogóle. Nie była to chwila stosowna, aby jej mówić o wuju. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi i znowu milczenie nastało. Powóz wjechał na ulicę Concordia, kiedy uczułem, że zadrżała.

— Czy pani zimno, zapytałem.

— Można się udusić, odrzekła.

Pragnąłem już być na miejscu, a zarazem chciałbym był zwolnić każdy obrót koła który nas zbliżał do jej mieszkania. Niechaj wytłumaczy, kto potrafi, sprzeczność bolesnej niespokojności i rozkoszy zarazem, którą jej obecność mi sprawiała. Myślą tą napawałem się, zatapiałem w niej me zmysły i duszę.

W tem nagle zarzuciła Alina ramiona w około mej szyi a przycisnąwszy swe usta do moich, okryła mnie namiętnymi pocałunkami. Przycisnąłem ją do mej piersi.

Uwolniła się z mych objęć i rzuciła się w kąt powozu.

— Kochasz mnie więc, wyrzekła głosem głębokim.

Nie śmiałem powiedzieć nie, nie śmiałem powiedzieć tak.

Nie odpowiadasz A więc ja cię kocham i to nie od dzisiaj. Jeżeli nie byłbyś kochał inną, nie byłabym teraz panią Duval, byłabym twoją żoną i szczęśliwą, podczas kiedy teraz życie moje jest okropne.

Przykuta od lat siedmiu do człowieka którego nienawidzę, nad którym się pastwię, bo cierpię niesłychanie, do człowieka, który z dniem każdym staje mi się nieznośniejszym. Jemu ofiarowałam pierwszą połowę mej młodości. jemu mam ofiarować dalszą część mego życia. Dlaczego pytam? Nie, w ten sposób dalej żyć nie chcę. Jest to oszukaństwo, piekło dla obojga. Niechaj wielcy kaznodzieje świętości i cnoty szukają aniołów, by znieść podobne męczarnie: ja nie jestem aniołem i nim być nie chcę; jestem i chcę być kobietą. Chcę kochać, i mam prawo kobiety być nawzajem kochaną; Jeżeli mnie nie kochasz dzisiaj, powiedz mi to, ty który nie kochając mnie dawniej stałeś się przyczyną mego nieszczęścia i wtrąciłeś mnie w to piekło przez obojętność i niedbałość.

Pojazd się zatrzymał, drzwiczki się otworzyły:

—Jutro—wybąknęła, oznajmisz mi mój los. Do widzenia, Piotrze, odprowadź pana do mieszkania.

Noc, możecie sobie wyobrazić, nie miałem spokojną. Jednakowoż nad rankiem udało mi się jasno przedstawić sobie rzecz całą i ponałem wtedy, w co się wplątałem, dając się uwieść zmysłom i młodości raczej, aniżeli prawdziwej miłości. Słowa wypowiedziane wczoraj przez wuja odbiły się w mem sumieniu. „Jeżeliby; mój honor miał być kiedyś równie naruszony. jak moje szczęście, nie przeżyłbym tego.“

Słowa te, wymówione przez niego powoli, skandowane, brzmiały w mych uszach jak dzwonek pogrzebowy. Mnie obrał on sobie za powiernika, rachował, że za wstawieniem się mojem żona lepiej się z nim będzie obchodzić. Nie żądał od niej miłości, tylko trochę litości. Co za zmiana w kilku godzinach i jak daleki byłem od wczorajszego dnia! W jaki sposób uwolnić się teraz z koła fatalnego, które mnie chwyciło za pomocą ręki dziecka—ich własnego dziecka? Można się oderwać od żelaza i stali zostawiając nawet na nich kawały swego ciała; ale od słodkich objęć takiej czarodziejski, na pamięć pocałunków, które ci palą usta i krew, i rzucają twe serce w wir rozkoszy w którym wola bierze górą nad głosem sumienia?

Jednakowoż musiałem zapanować nad sobą lub stać się podłym. Byłbym w stanie stać się zbrodniarzem, mordercą przez miłość—nie potrafię oszukiwać. Zastosować da się niejako do mnie zdanie pewnego człowieka dumnego: świat nie wart kłamstwa. Oszukiwać rodzonego brata mej matki, który mi nigdy nic złego nie zrobił, który cierpi i kocha mnie, który mi powierzył swą boleść, być może i nadal powiernikiem jego mąk, a podczas tego uderzac na jego honor ciosami skrytemi! Nie! Mojem rzemiosłem wojsko a nie grabież. Nie chcę być zabójcą jego honoru! Odjadę jeszcze dzisiaj wieczór; kiedy morze będzie między nimi a mną wtedy będę spokojny.

Tak rozmyślając wstałem późno. Pociąg nocny do Marsylii odchodził o ósmej wieczorem. W jakich alternatywach przepędzę ten czas? Czy utrzymam się przy mem

przedsięwzięciu? Straszna walka rozpoczynała się, w obec której odpieranie Beduinów sam na sam z szablą w dłoni byłoby tylko przyjemnością. Jednakowoż wytrzymałem do szóstej godziny. Ale w miarę jak zniżał się dzień, upadała także moja odwaga; zgasła zupełnie wraz z zapalonemi światłami bulwaru. Obraz jej wyłonił się namiętny, jedyny z ciemności oświetlonych, mnie otaczających. Ona mnie oczekiwała, oczekuje jeszcze. Pewność ta, przybierająca kształty jej piękności dla mnie obecnej, pociągała mię ku niej siłą nieprzepartą; był to jakby nieprzewyciężony magnes który mię pociągał w przestrzeń. Wszedłszy na przedmieście Saint-Honoré przyspieszyłem kroku.

W uszach mi huczało, gorąco mi było i drżałem. Tymczasowo deszcz, który padał, zmienił się w plutę wiosenną, a ulice Paryża stały się prawdziwymi potokami. Musiałem się zatrzymać. Stanąłem pod jedną z bram i czekałem na próżną dorożkę. Te co przejeżdżały od kwadransa wszytkie były zajęte.

Mamże przypisać mej stacji przedłużonej, długiemu oczekiwaniu w mokrem odzieniu, z nogami w wodzie — powrót przedsięwzięcia rannego? Nowe myśli i krew odświeżona wróciła mi zimne zastanowienie. Korzystałem z tego, aby naprowadzić na prostą drogę me siły moralne. Złączyłem je pod chorągwią prawości, wzywając pamięć mej matki, mych uczciwych sióstr, spędzających życie na prowincji, pamięć wszystkich serc prawych, które znałem a które mnie uważały za równego. A gdy deszcz się zmniejszył, zawróciłem nazad ku bulwarowi.

Wróciwszy do hotelu Bade, gdzie mieszkałem, nie zostawiłem sobie czasu do nowych rozmyśliwań, ale począłem z pospiechem pakować rzeczy do kuferka. Potem zadzwoniłem i zażądałem rachunku. Chłopcu, który mi go przyniósł, kazałem zawołać natychmiast fiakra, aby odjechać na dworzec Lyoński. Zegar wskazywał siódmą godzinę. Miałem około kwandransu czasu. Na listku papieru wyrwanego z mej notatki, starałem się nakreślić słów kilka do mego wuja, które mogłyby być zarazem nie konpronutując, zrozumiane przez jego żonę. Nie byłem w stanie; ręka mi drżała a myśli brzęczały i mieszały się w mej głowie jak pszczoły w ulu. — Napiszę im z Marsylii, pomyślałem sobie, tak lepiej będzie.

Chłopiec hotelowy przyszedł mi oznajmić, że dorożka już czeka i chwycił za kuferek. Zeszedłem za nim, ale na trzecim schodzie skrzyżowałem się z kobietą, która wychodziła do góry. Chwyciła mnie za ramię i ścisnęła je konwulsyjnie.

Była to Alina.

— Nie omyliłam się, wyszeptała, jedziesz. Życzę szczęścia! Lecz nie pojedziesz nim mnie nie wysłuchasz, nim się nie dowiesz, co czynisz.

Drzwi mego pokoju były otwarte. Weszliśmy razem; machinalnie podałem jej krzesło, którego nie przyjęła. Kiedy otwierałem usta, by coś powiedzieć, zawołała:

Nie mów nic, Daremnie; wiem co chcesz powiedzieć. Jesteś człowiekiem prawym i niechcesz oszukiwać brata twej matki. Kochasz mnie, uciekasz przedemną, aby uciec przed samym sobą. Ja również brzydzę się kłamstwem. Mam wszelkie możliwe błędy, ale nienawidzę skrytości. Bądź co bądź, hipokrytką nigdy nie będę. Mówiłam ci, że nienawidzę mego męża, mówiłam to i jemu. Mówiłam ci, że cię kocham, przyszłam, aby ci to potórzyć. Jaką byłam, taką pozostanę. Będąc takiemi jak my jesteśmy, nie możemy się kochać, nie możemy należeć jedno do drugiego, oszukując. Dlatego odjeżdżasz, dlatego przychodzę by ci powiedzieć: jadę z tobą, w obec całego świata z głową podniesioną!

— Zastanów się Zabilibyśmy go.

— Jest poinformowany. Zostawiłam bilecik, który mu wyjaśni rzecz całą: że cię zawsze kochałam, że jesteś człowiekiem uczciwym, że jadę z tobą, bo ja tak chcę, a jeżeli byś się sprzeciwił, odjechałabym sama. Niech się stanie, co chce, moja noga nie postanie więcej w jego mieszkaniu.

— A twoja córka?

— Zostawiam ją jemu.

— Nie kochasz jej więc?

— Ubostwiam, ale kocham ciebie. Zresztą kiedyś zostanie mnie, nam oddaną.

— Jest to niepodobieństwem.

— Niepodobieństwem — dlaczego?

— Bo byłoby to podłością, a jeżeli mógłbym stać się zbrodniarzem, nie chcę być podłym.

— Czy to ostatnie twe słowo?

— Tak jest.

— Więc i to jeszcze przewidziałam dobrze — powiedziała wówczas głosem powolnym z akcentem gorzkiej ironii rzucając na mnie spojrzenie swych cudownych ócz, w których widziałem przesuwający się cień śmierci.

A wyciągając małą flaszeczkę z zarękawka ciągnęła dalej: Są kobiety, które używają takich flaszeczek, aby się otrzeźwić, gdy padają w omdlenie. Ja nie cierpię na mdłości, mam silną wolę, a w tej flaszeczce trzymam mą wolność. A więc jedziesz sam?

Stanąłem wryty, nieruchomy przez chwilę; potem wyciągnąłem rękę, aby jej wyrwać narzędzie śmierci. Rzuciła się wstecz i rzekła zimno:

— Gdybyś mi nawet odebrał — byłoby to daremnie. Śmierć jest zawsze na usługi szukającego jej. Jeden jest tylko sposób kochania, jest ich kilka by umrzeć. Pojadę z tobą lub umrę.

Alternatywa ta wypływająca z położenia jak też z jej słów, przygniatała nas oboje jakby w kleszczach żelaznych. Godzina upływała; trzeba się było natychmiast zdecydować. Ale jak?

Pojechaliśmy.

Z Florencji napisałem do wuja; opowiedziałem mu, nie opuszczając nic, ani też nic nie dodając, rzecz całą. Odpowiedział mi natychmiast. List swój zakończył w ten sposób „Nie przestałem ciebie szanować, ani kochać. Starajcie się być szczęśliwemi. W krótkim czasie będziesz mógł zwać ją żoną, zabierzecie wówczas nasze dziecię, które ci powierzam i wszystko będzie w porządku. Po prostu nie będę w tedy na świecie. „Kilka tygodni później dowiedzieliśmy się o jego śmierci. Opuściłem karjerę wojskową i poświęciłem się wychowaniu jego córki, której wkrótce stałem się jedynem opiekunem, matka bowiem wstąpiła do teatru, aby ujść przed nudami życia prywatnego. Doczekała się tam powodzenia. Nie wiem, czy jest szczęśliwą, ale osiągnęła sławę, a imię jej znane jest światu całemu.

Gustaw Doré.

Przed kilku dniami wstąpiłem po drodze do małej dystrybucji na przedmieściu. „Proszę o dziennik“, rzekłem do starej trafikantki kładąc dziesiątaka na stole. „Wstała szybko i podała mi numer,

„Niech pan czyta“ rzekła, „warto, bo jest ważna wiadomość“. „Ważna?“ spytałem zdziwiony. „Oh ważna, bardzo ważna, bo umarł Gustaw Doré“.

Tak jest. Kobieta ta nieznająca z pewnością nazwiska żadnego artysty, wiedziała kto jest Doré. Dotychczas żaden artysta nie doszedł do takiej popularności jak francuski ilustrator. Większych od niego było wielu, głośniejszego żadnego. Reklamę tak szeroką zrobiły mu jego rysunki do biblii, które rozeszły się w krociach egzemplarzy, z różnojęzycznym tekstem po całym świecie. Sława jego za życia była głośniejsza, aniżeli będzie kiedykolwiek po śmierci, mimo to, że wkrótce może pojawią się liczne studja o jego pracach, które w historji sztuki zajmą nie małe miejsce, chociaż w żaden sposób nieusprawiedliwią tego powodzenia z jakiem one zostały przyjęte wtedy, gdy Doré w sile wieku tworzył je niejako dla rozrywki, z łatwością człowieka, który posiada fantazję na zawołanie, a umiejętność rysunku przyniósł ze sobą jako ideę wrodzoną.

Gustaw Doré urodził się 6 stycznia 1833 w Strasburgu, a już jako chłopię okazywał nadzwyczajną zdolność do rysunku.

W 10 roku życia swego wydał szereg szkiców do historji obyczajów departamentu de' l' Aine, mając lat 15 jest już współpracownikiem pisma humorystycznego „Journal pour rire", a wkrótce potem zdobywa sobie uznanie powszechne i sławę jednego z najzdolniejszych ilustratorów. Płyną więc zamówienia jedne po drugich, a niestrudzony artysta nietylko przyjmuje i wykonuje wszystko, ale w wolnych chwilach rzuca mnóstwo szkiców i wykończonych rysunków rozmaitej treści, począwszy od karykatury, krajobrazu i scen rodzajowych, a skończywszy na kompozycjach szerszych przedstawiających batalje, sceny historyczne i t. p.

W ten sposób powstają ilustracje do Suego „Żyda wiecznego tułacza", do Balzaca „Contes drolatriques", Rabelaisgo „Gargantua et Pantagruel" Perialta „Contes de ma mere l'Oye" i wiele innych. Próbuje on sił swych we wszystkiem, bo nie mając podstaw szkolnych nie może poznać granic swego talentu, i posiadając łatwość tworzenia, sądzi się geniuszem uniwersalnym. Oryginalność jego pokrywa błędy wynikające z braku techniki, i szkolarze dziwią się, że człowiek, który sam niemiał szkoły tworzy szkołę. Sposób jego rysowania wymaga nowego traktowania drzeworytu. Doré zrywa z manierą linijną i rysując szerokim i śmiałym rzutem, wywołuje ogromne efekta i wrażenie rysunkami swemi, które drzeworytnicy tacy jak Pannemaker i Pisan, umieją dopełnić w duchu artysty, stwarzając impresjonizm w drzeworycie, który współubiega się o lepsze z metalorytami. W tem leży wielka wartość rysunków Dorégo. Charakter malarski jego drzeworytów olśniewa ogół, i zdobywa mu nawet uznanie wielu znawców. Imię Dorégo coraz szerszy zdobywa sobie rozgłos. Nakładca z Tours Alfred Mame pierwszy poznaje w nim potęgę europejską, i zamawia u artysty ilustracje do biblii. W dniach ośmiu cały nakład jest wyczerpany, biblia Dorégo wychodzi we wszystkich niemal językach europejskich, i przynosi nakładcy olbrzymie dochody. Później zarabia także artysta ogromne sumy. Jedna z firm londyńskich zamawia u Dorégo ilustracje do Shakespeara, ofiarując ćwierć miliona, później zaś rysunki do „Londynu" Jerrolda za milion franków.

A przecież te rysunki wszystkie nie są arcydziełami. Ołówek Dorego umie wydobyć efekta świetne, genialny jest w poczuciu piękności natury, w krajobrazie, nader miły w humorystycznych scenach rodzajowych karykaturach, ale do wielkich rzeczy, do isen regilijnych brak mu natchnienia. Historyczne i biblijne sceny ustępują wobec pejzażu i stają się sztafażem, a ztąd najwyżej ze wszystkich prac Dorégo stoją zawsze rysunki jego etnograficznej treści, sceny rodzajowe humorystyczne i t. p. tak, że daleko wyżej niż znane powszechnie ilustracje do biblii, stoją rysunki jego do Daviller'a „Hiszpanii" do Cervantesa Don Quichota, lub do bajek Lafontaina.

W ostatnich latach Doré niezadowolony z powodzeń swych na polu ilustracyjnem, rzucił się do malowania obrazów olejnych. Kompozycji mu niebrakło, brakło jednak poczucia kolorów. Pierwszym obrazom usiłował nadać jakiś niezwyczajny dziwny ton ogólny, który nic nie miał wspólnego z realistycznem, właściwem mu pojmowaniem rzeczy, w następnych przestraszony krytyką używał farb krzycząco jaskrawych. W ogóle krytyka o tym punkcie jego działalności wcale nie pochlebnie się wyrażała, co było powodem wielu goryczy i zgryzot. Albert Wolff z „Figara" opowiada, że Doré lat kilka gniewał się za krytykę jego o obrazach olejnych i do końca mu tego widocznie przebaczyć nie mógł. Pomysły do tych obrazów były także nieszczęśliwe. Doré z przyjemnością dziwną przedstawia tu okropności rozmaite: Chrześcijan na arenie rzymskiej jedzonch przez dzikie zwierzęta „Godzinę strachu" po skonie Chrystusa, oświetloną błyskawicami, „Dante i Virgil w wieńcu wężowym w piekle, obraz pełen szczegółów wstrętnych i wiele podobnych. Najwięcej pochwał zjednał mu jeszcze „Wjazd Chrystusa do Jerozolimy," płótno olbrzymie, na którem jest około 100 figur wykończonych starannie do najmniejszych szczegółów, a w ostatnich czasach (podczas wystawy ostatniej paryzkiej), wielkiego rozgłosu znowu narobiły prace jego plastyczne, a mianowicie oryginalna, prześliczna waza, pokryta scenami bachijskiemi. Oprócz ilustracyj Doré powinien był się poświęcić modelowaniu takich wzorów, które przy fantazji, oryginalności pomysłu i łatwości wykonania jemu właściwej, byłyby mu z pewnością zjednały znakomite imię w historji sztuki. Popchnięty w tym kierunku sądami krytyki, byłby on bezwątpienia stworzył jeszcze niejedno arcydzieło podobne do owej wazy, śmierć jednak przerwała nić jego żywota niemal w sile męzkiego wieku. Doré umarł 23 stycznia b. r. mając zaledwie lat pięćdziesiąt.

Obyczaje kupieckie.

Studjum Herberta Spencera.

(Przełożył L. Iulender.)

(Ciąg dalszy.)

Cel u wszystkich jest jeden i ten sam: zyskać kredyt większy, aniżeliby mieć mogli, gdyby stan ich interesów był całkowicie znany; a gdy kredyt jest częściowo tylko odkrytym, a nie zupełnie — jak być powinno, to różnica leży tylko w stopniu. Wielu bardzo wielu, przychodzi już teraz do przekonania, że popieranie oszustw pośrednich, bynajmniej nie jest ostatnią z przyczyn naszych nieszczęść handlowych. Biorąc rzecz ogólnie, każdy kupiec dąży do tego, aby zabezpieczyć kapitał innych tak jak swój własny. Skoro zaś A zapożyczył się kredytem pana *B*, *B* kredytem pana C, a C kredytem A; skoro w całym świecie handlowym każdy przyjmuje zobowiązania, których nie jest w stanie dopełnić bez pomocy pośredniej lub bezpośredniej, i skoro każdy liczyć musi na pomoc drugiego chcąc się uratować od zguby, wtedy katastrofa jest nieuniknioną. Kara ostateczna za niemoralność wszystkich może się spóźnić, ale w końcu przecież nadejdzie.

Niemożemy w tak krótkiej rozprawie dać zupełnego obrazu średniej moralności w handlu. Z jednej strony nie mogliśmy przytoczyć jak tylko małą liczbę przykładów typowych z malwersacyj, plamiących handel, z drugiej byliśmy zmuszeni wyrywać te przykłady z całości; należałoby bowiem liczyć się z ogromną masą interesów uczciwych, pośród których fakty owe prawie się gubią. Gromadząc fakty tego rodzaju, zaostrzylibyśmy znacznie werdykt potępiający: przeciwnie żaś, rozpraszając je pośród niezliczonej masy transakcyj godziwych, jakie się codziennie zawierają, ułagodzonoby ten werdykt. Jednakowoż, mimo te wszystkie względy, obawiamy się, że stan rzeczy jest straszliwym. W tej mierze zaś sąd nasz nie tyle opiera się na faktach powyżej wyliczonych, ile na opinji tych, co nas informowali. U wszystkich tych napotkaliśmy, jako rezultat długiego osobistego doświadczenia przekonanie, że handel z gruntu zepsuty. Ci ludzie znający się na interesach, mówili rozmaicie, każdy podług swego charakteru, jedni z obrzydzeniem, drudzy zniechęceni, inni oburzeni, niektórzy z ironią; lecz u wszystkich przebijało się to samo przeświadczenie. Gdy pominiemy wyższe gałęzie handlu, niektóre gałęzie całkiem specjalne, a wreszcie wypadki wyjątkowe, w których człowiek jakiś potrafił opanować cały rynek, to wszyscy sędziowie kompetentni zgodzą się na to, że do sukcesu bez skazy dojść nie można. Aby żyć wśród świata handlowego

trzeba, zdaje się, koniecznie przyjąć jego moralność, ani ją przewyższać ani poza nią zostawać, nie chcieć być uczciwszym od ogółu. Ci bowiem którzy staną niżej, niż ten program wymaga, będą wykluczeni, a ci co się zechcą wznieść się wyżej, będą sprowadzeni do właściwej miary, lub się zrujnują. Dla obrony własnej człowiek niecywilizowany dziczeje między dzikimi; tak samo dla obrony kupiec, który się kieruje skrupułami zmuszonym bywa pozbyć się tych skrupułów w miarę, jak ich brakuje jego konkurentom. Powiedziano kiedyś, że prawem istot żyjących jest: „jeść, by być zjedzonym;" tak samo powiedzieć można o świecie handlowym, że prawo które nim rządzi jest: „Oszukiwać, aby być oszukanym." System ostrej konkurencji, który — jak to widzimy — rozwija się bez dostatecznej moralnej kontroli, nie jest ni mniej ni więcej kanibalizmem, przemienionym w formalną instytucję między handlującymi. Są tylko dwie alternatywy: wojować tą samą bronią co przeciwnicy, lub być zwyciężonym i pożartym.

Pomiędzy pytaniami, jakie nasuwa ten wniosek, jedno jest najnaturalniejsze a mianowicie: czy głęboko zakorzenione uprzedzenie względem handlu i handlujących nie jest zupełnie uzasadnionem? Wszystkie te brudy i nieuczciwości wraz z poniżeniem moralnem, które im służą za podstawę —, czy nie dają słuszności tym, co mają tylko pogardę dla ludzi kupczących? Czytelnik spodziewa się zapewne po nas, że bez wahania powiemy „tak", nam jednak nie zdaje się, aby to było całkiem stosowną odpowiedzią. Zdaje się raczej, że te występki są wynikiem przeciętnego charakteru Anglików pod wpływem specjalnych okoliczności; żaden słuszny powód nie nakazuje wierzyć, żeby klasa kupiecka w gruncie mniej wartała, niż jakakolwiek inna. Weźcie na chybił trafił ludzi zklas wyższych lub niższych, i postawcie ich w te same warunki, n najprawdopodobniej uczynią tak samo. I w istocie kupcy mogą łatwo odbić cięcie. Któż to rozwodzi się nad ich występkami? Może dwokat? nie wiele potrzeba, aby go zmusić do milczenia, niechaj przypomni sobie zmazy bez liku któremi upstrzoną jest reputacja tej kasty. Może obrońca? A cóż zwyczaj utarty w tych kołach, bronienia spraw o których się wie, że są niesłuszne, a przyjęty również zwyczaj brania honorarjów za czynności, których się nie wykonuje! Krytyka jego w zupełności zwraca się przeciw niemu. Czy może prasa wypówiada ów sąd surowy? skazany może jednak przypomnąć piszącym, że to nie bardzo uczciwie wydawać sąd o książce, którą się zaledwie przejrzało, lub pisać panegiryki o niegodziwych dziełach, jeśli się zostaje w przyjaźni z autorem, traktując równocześnie i lekceważeniem dzieła wyborne, jeśli są pisane przez osobistego przeciwnika; może on zresztą zapytać, czy ci, co z rozkazu przełożonego piszą rzeczy, w które nie wierzą, nie popełniają czasem większej winy, bo winy fałszowania opinji publicznej?

Nadto kupcy mogą utrzymywać, że w znacznej części zmusza ich do wybiegów niesprawiedliwość klientów. Handlujący zwłaszcza modnymi towarami mogą przytoczyć na swoją obronę, że jest zwyczaj żądania od nich opustów, co świadczy, że publiczność nie dba o to, aby kupiec miał przyzwoity zarobek; aby się więc obronić od tych, co chcą oszczędzać na ich koszt, widzą się oni zmuszeni wymieniać ceny wyższe od rzeczywiście żądanych. Mogliby jeszcze nadmienić, że często wprowadzają ich w ambaras najzamożniejsi nawet klienci, nie płacąc na czas rachunków, i że to także jest powodem do malwersacyj z ich strony; przez to bowiem zmusza ich się szukać wszelkich środków - godziwych i niegodziwych — aby wydobyć fundusze potrzebne na pokrycie zobowiązań. Jako próbkę złego, które im wyrządzanem bywa przez ludzi nie należących do handlu, mogliby oni przytoczyć jako przykład właścicieli największych magazynów *West-End'u**), zrujnowanych przez nieakuratność klientów lub zmuszonych do zawieszania od czasu do czasu wypłat, gdyż to był jedyny sposób uregulowania rachunków. Tak tedy wykazawszy, że wszyscy ci ludzie tak obojętni dla praw obcych niemają na to żadnego usprawiedliwienia, mogliby kupcy zapytać, czy oni sami tylko zasłużyli na naganę, skoro walcząc z bezlitosną konkurencją (co znowuż ich usprawiedliwia) okażą taką samą obojętność w innej formie.

Co więcej, nawet wobec tych, co stoją na straży sprawiedliwości w życiu społecznem, wobec prawodawców, mogliby oni zawołać: *tu quoque* (i ty także!)! Zapytają oni, czy skorumpowanie sługi klienta jest gorszem od skorumpowania wyborcy? lub czy zyskiwanie głosów za pomocą mówek obliczonych li na efekt a naszpikowanych kłamliwemi zapewnieniami, zastosowanemi do smaku wyborców nie jest takiem samem złem, jak wyrabianie sobie zamówień przez oszukiwanie na ilości towarów. Nie zaiste! uczciwe badanie wykazałoby niezawodnie, że jest mało takich klas — jeśli są jakie w ogóle, któreby były wolne wszelkiej nieuczciwości, i że błędy mając na względzie pokusy wszędzie są takie same, jak w wypadkach przez nas poruszonych. Bez kwestji nie będą one ani tak podłe, ani tak grube, skoro okoliczności nie będą sprzyjały drobiazgowości i prostactwu; nie byłyby także tak stałemi zorganizowanemi, gdyby ustrój nie był przemienił ich w zwyczaj.. Lecz po tych zastrzeżeniach, śmiało, zdaje nam się, będzie można bronić tezy następującej: klasy handlujące same w sobie nie są ani gorsze, ani lepsze od innych; do niecnych obyczajów jakie u nich widzimy, zmusiły ich przyczyny zewnętrzne.

Inne pytanie, które się tu nasuwa jest: czy te niedostatki nie stają się coraz gorszemi? Z pomiędzy faktów, któreśmy przytoczyli, wiele zdaje się przemawiać za tem. A jednak mnóstwo jest faktów innych, które świadczą przeciwnie. Ważąc prawdopodobieństwo, dochodzimy do mniemania, że zwiększona uwaga, jaką dziś publiczność zwraca na te kwestje, sama jest przyczyną mylnych zapatrywań: ludziom się zdaje, że wady świeżo odkryte, są wadami świeżo powstałemi, podczas gdy w istocie dawniej te same wady były tylko niedostatecznie rozpoznane, lub zupełnie zapoznane. Jest pewnem, że tak się rzecz miała co do zbrodni, co do nędzy i co do ciemnoty ludu; jest zaś prawdopodobnem, że obecnie rzecz ma się tak samo co do nieuczciwości handlu. Można powiedzieć w ogólności o indywiduach, że stopień, jaki one zajmują na drabinie społecznej, stosuje się do stopnia ich poczucia osobistego (samowiedzy); to samo pod pewnym względem da się powiedzieć o społecznościach. Społeczności bardziej rozwinięte, mające organizm bardziej wydoskonalony, tem się różnią od niższych, że u nich bardziej jest rozwiniętem to, coby nazwać można samowiedzą społeczną t. j. poczucie każdego z osobna obywatela o stanie, w jakim się znajduje ogół obywateli. U nas (w Anglii) na szczęście w ostatnich latach ta samowiedza społeczna znacznie się zwiększyła, i temu to, zdaje się, nam, przypisać należy mniemanie, jakoby się malwersacje handlowe wzmogły.

Fakty odnoszące się do handlu z czasów dawniejszych, które doszły do naszej wiadomości, potwierdzają to przypuszczenie. Defoë, w swoim „Doskonałym kupcu angielskim", pomiędzy innymi wybiegami kramarzy, wymienia i ten, że do sklepów swoich wpuszczają złudne światło w celu nadania towarom innego pozoru.

Jest tam mowa także o „retoryce sklepowej", o „potoku kłamstw", którym handlarze zwykli byli przyjmować klientów; przytacza także ich usprawiedliwienia, a to, że oni nie mogliby żyć, gdyby nie kłamali. Zapewnia, że nie było może ani jednego kupca, któryby nie puszczał w kurs monet fałszywych lub niepełnoważnych, i że najuczciwsi nawet ludzie często pysznili się z talentu pozbywania się złej monety. Te fakty dowodzą, że zwyczaje kupieckie w owych czasach żadną miarą nie były lepszemi od obecnych; a skoro sobie przypomniemy liczne prawa, które dawniej trzeba było usta-

*) Najbogatsza dzielnica Londynu (Tłum.)

nawiać dla zapobieżenia oszustwom różnorodnym, to się przekonamy o słuszności owego wniosku. Ten sam wniosek da się wyciągnąć także z ogólnego stanu społeczeństwa.

Wówczas, gdy za każdą zmianą panowania, rząd obniżał wagę monet, trudno było by żądać, aby moralność klas średnich wyżej stała, niż dziś. Wpośród generacji ludzi tak mało czułych, dla dobra bliźnich, że handel niewolnikami wydawał im się sprawiedliwym, że — co więcej — pierwszy, który handel ten zainaugurował, otrzymał za ten czyn w nagrodzie pozwolenie noszenia herbu z odpowiednią dewizą, nie było możebnem, aby ludzie mieli więcej niż dziś poszanowania dla praw wsp ółobywateli. W epoce, w której sądownictwo stało na tak niskim stopniu, że w samym Londynie utrzymywały się kryjówki zbrodniarzy urągających prawu, a na gościńcach opryszki wykonywały niecne swoje rzemiosło, nie mogło też być mowy o zbytniej uczciwości w handlu. Natomiast czas taki jak nasz, w którym opinia publiczna zmusza już prawodawców do tylu zmian w duchu sprawiedliwości społecznej, nie powinien też być czasem, w którymby się wzmagał a nie zmniejszał, brak sprawiedliwości w stosunkach między ludźmi.*) A jednak nie dą się zaprzeczyć, że między oszustwami wyżej wskazanemi mnóstwo jest wynalazków całkiem świeżych. Wiele z nich w ciągu ostatnich lat trzydziestu, przemieniło się już w instytucje, inne właśnie co dopiero wchodzą w życie. Jakże więc pogodzić te pozorne sprzeczności?

Zadanie to nie jest zdaje nam się trudnem. Oszustwa z n a c z n i e j s z e i b e z p o ś r e d n i e stały się rzadszemi; oszustwa zaś d r o b n e i p o ś r e d n i e się wzmogły, tak co do rozmaitości jak i liczby: w tem cała rzecz. To zaś zgadza się ze zdaniem, że moralność kupiecka dziś wyżej stoi jak przedtem. Skoro bowiem pominiemy jako nienależące do rzeczy wpływ kar świeckich i religijnych, i zastanowimy się, jaki to powód moralny głównie wstrzymuje człowieka od porywania się na drugiego, to znajdujemy, że tym hamulcem moralnym nie jest nic innego, jak tylko odczuwanie przez sympatję bolu, jaki drugim sprawiamy. Żywość tej sympatji będąc zależną od żywości, z jaką sobie kto wyobraża ów ból, zmienia się stosownie do natury wypadku. Ma ona być dość znaczną, aby zapobiedz uczynkom, któreby wywołały wielki ból, lecz nie dość silną, aby powstrzymać od czynów lekkie tylko cierpienie wywołujących. Dość żywa, aby powstrzymać człowieka od naruszenia wprost lub pośrednio praw obcych, może jednak być za słabą, aby zapobiedz wybrykom, które jedynie drogami pośredniemi szkodzić mogą ludziom zresztą nieznajomym. Rzeczywistość potwierdza ten wniosek: Hamulec moralny jest tem silniejszym, z im większą jasnością przedstawiają się złe skutki czynu. Mnóstwo ludzi, coby się wzdragali na myśl samą wykradania pieniędzy z kieszeni, nie robi sobie żadnych skrupułów, fałszując swoje towary! Inny znowu, któremu nigdy przez myśl nie przeszło puszczać w obieg fałszywą monetę, snadno przystępuje do oszustw w banku akcyjnym. Tak tedy — jakeśmy nadmienili, skoro formy oszustw najsubtelniejsze i najbardziej skomplikowane, stają się częstszemi, to się zgadza z ogólnym postępem moralności, przyjąwszy zresztą za pewne, że oszustwa prostackie równocześnie ustają. (C. d. n.)

*) Sprawiedliwość w stosunkach społecznych w ten sposób wchodzi w życie, że coraz to nowe działy i kręgi życia społecznego obejmuje. Ustały już niesprawiedliwości grube takie jak feudalizm, niewola; ustają proste rozboje i t. p. ale nie ustał w y z y s k e k o n o m i c z n y a z nim oszustwa w handlu; owszem i jedno i drugie się w z m a g a. Wszechwładna k o n k u r e n c j a to matka wszelkiego wyzysku i nieuczciwości w handlu i przemyśle, a konkurencja jak wiadomo coraz jest większą. Dopiero gdy konkurencja a z nią wyzysk dojdą do takiego punktu, że już wytrzymać nie będzie można, wtedy na tem polu doczekamy się urządzeń sprawiedliwości. (Uw. tłum.)

Przegląd literacki.

„Ognisko“.

książka zbiorowa, wydana dla uczczenia 25-letniej pracy T. J. Jeża, Warszawa 1882 r. — Str. 423 w wielkiej 8ce.

„Czcigodny panie! pisze redakcja tej książki zbiorowej do dzielnego naszego powieściopisarza: — Przesyłając Ci „Ognisko“, słaby objaw naszego hołdu i niezupełny wyraz naszych pragnień, prosimy, abyś uwierzył, że za twą 25-letnią pracę dla polskiego piśmiennictwa więcej wdzięczności pozostawiamy w naszych sercach, niż wypowiadamy w publicznych słowach. Kiedy Ty, szanowny Panie, już ozdobiłeś swe imię wymownem apostolstwem zasad i godeł postępowych, my nauczyliśmy się dopiero ich donosiość mierzyć i wartość pojmować, z naszych więc rąk szczególnie należy Ci się wieniec, który zbiorowo uwity ze skromnych prac w tej książce składamy zdaleka na Twe zasłużone czoło. Przyjm go, Panie, nie jako ozdobną koronę, ale jako pamiątkę roku jubileuszowego, w którym grono pokrewnych umysłów cześć Ci objawiło“.

Temi słowy, wypisanemi na pierwszej karcie „Ogniska“ zaczyna się ten „jubileuszowy wieniec“, włożony na czoło dzielnego, bojownika szabli i pióra przez liczne grono postępowych pisarzy warszawskich, kupiące się około „Prawdy“, redagowanej przez Al. Świętochowskiego (Wł. Okońskiego). Książka cała ma barwę jednolitą, złożyło się bowiem na nią „grono pokrewnych jubilatowi umysłów“, jest ona też zbiorowym niejako wyrazem przekonań i opinii tego grona. Sama już zapowiedź „Ogniska“, podjętego przez pozytywistów warszawskich, przyjętą została nader przychylnie przez obóz nasz postępowy, nim bowiem jeszcze książka ta ukazała się z druku, cały jej parutysięczny nakład, rozkupiony został w drodze przedpłaty, a wyszła właśnie książka jubileuszowa mieści przy końcu długą listę przedpłacicieli, z których wielu nadesłało sumy pieniężne, przewyższające cenę prenumeracyjną wydawnictwa. Cały dochód czysty z tej sprzedaży autorowie i wydawcy „Ogniska“ przeznaczyli na honorarium za powiastkę jubilata, która mieści się w końcu książki. Szybkie rozkupienie książki takiej przez pewien żywotny odłam naszej publiczności upoważniło redakcję jej do słusznego oświadczenie we wstępnem „Objaśnieniu“, że fakt ten „jest dla naszej chorągwi i naszych usiłowań świadectwem zbyt chlubnem, ażebyśmy niem poszczycić się nie mogli“. Forma uczczenia długiej i mozolnej pracy sympatycznego i zasłużonego pisarza, jaką wybrali inicjatorowie i wykonawcy wydawnictwa, świadczy również wymownie o ich rozumie i uczciwym sposobie myślenia. „Ognisko“ jest obszernie niejako wyłożonym programem tego odcienia naszego postępowego obozu, który pozytywizm wypisał na swym sztandarze; przeznaczenie dochodu z tej książki na rzecz jubilata jest godnym żywego uznania objawem wdzięczności dla pisarza, który długie lata mozolnie dla społeczeństwa pracował, doczekawszy się lat podeszłych i licznej rodziny, a który dotąd pozostał biednym pracownikiem, mimo, że wielu już wzbogacił księgarzy i wydawców. Konserwatywny i niezdecydowanej barwy obóz warszawskiego dziennikarstwa inny nieco wybrał sposób złożenia hołdu naszemu pisarzowi. Warszawscy literaci tego autoramentu przygotowują dlań album, złożone, nie z prac, lecz z podobizn fizjognomii licznej rzeszy tych mężów, którzy przypuszczają prawdopodobnie, że jubilat nasz wysoce jest ciekaw, jak też ci panowie wyglądają.

Sympatyzując z zadaniem, jakie postawiło sobie „Ognisko“, postaramy się zapoznać czytelników naszych z zawartością tej pracy zbiorowej. Z góry jednak zastrzegamy się, że nie wszystkie zapatrywania wyrażone w tej książce podzielamy. W ogóle, zamieszczone w niej prace z charakterem więcej publicystycznym i krytycznym, mniej przemawiają do naszego przekonania, niż rozprawy naukowe. To też ostatnie, naszem zdaniem, stanowią główną wartość wydawnictwa, pierwsze jednak dla grona czy obozu „pozytywnego“, z łona którego wyszło „Ognisko“ są typowe i dlatego poddamy je pobieżnemu choć rozbiorowi.

Na początku „Ogniska" mieści się praca Piotra Chmielowskiego o Jeżu.

„Przypatrując się wizerunkowi naszego powieściopisarza, mówi krytyk, nawiązując do portretu jubilata, umieszczonego na jednej z pierwszych kart wydawnictwa, rozważając tę kościstą budowę jego twarzy zawiędłej a kańczastej trochę, te brwi nastroszone, ten wąs obfity, zawiesisty, wyraz energii, siły i hartu jaki z oczu jego bije, mimowoli zrobić musimy spostrzeżenie, że fizjognomia ta wyróżnia się jaskrawo od przeciętnej dzisiejszej twarzy poetów i belletrystów: nasuwa ona raczej pamięci widza, wizerunki naszych dawnych ziemian-rycerzy, co to odpasawszy miecz od boku, zasiadali do spisywania wspomnień ze swego życia i poglądów na sprawy Rzeczypospolitej".

Do tej fizjognomii portretu podobną jest też bardzo literacka fiziognomia naszego pisarza. Całe życie jego i wszystko co wyszło z pod pióra, nacechowane jest przedewszystkiem wybitnemi przekonaniami barwy postępowej i demokratycznej. Przewijają się one jak nić Aryadny przez wszystkie utwory Jeża. Nie szkodzi to bynajmniej artystycznej budowie utworów pióra, jak chcą niektórzy wyznawcy artystycznej bezprzekonaniowości, lecz przeciwnie, nadaje pojedynczym rysom więcej wyrazistości i siły, całość zaś zyskuje tylko na barwności i platystycznym rysunku. Chmielowski, w swojem studjum zwraca wyłączną uwagę na zapatrywania wypowiedziane w utworach Jeża, artystycznej ich budowie poświęcając zaledwie parę wierszy. Praca Chmielowskiego jest biograficzno-literackim szkicem, rzuconym dość pobieżnie. Dla zupełnego wykończenia brakuje jej lepiej podmalowanego tła historycznego i odpowieniej skali porównawczej. Gdyby to było przytem więcej studjum, niż artykuł publicystyczny, należałoby więcej nieco miejsca poświęcić artystycznej stronie powieści jubilata. W ogóle zresztą zaznacza Chmielowski realistyczny charakter i wielkie artystyczne zalety utworów naszego powieściopisarza. (Dok. nast.)

ZIARNKA.

Karnawał dobiega do końca, karnawał huczny, wesoły, rozpromieniony tańcem i winem. Lwów się bawi, co dzień bal nowy, a czasen i kilka na jeden dzień wypada. Obcy podróżny przyjechawszy do nas w obecnej porze, wyniosłby jak najlepsze wyobrażenie o naszem położeniu. Ha! Bawmy się aby zapomnieć o biedzie; — to także metoda mająca swoich gorących rzeczników... Bale publiczne były urządzane przeważnie na różne cele, a dochód z niektórych był wcale znaczny. Nie jedno towarzystwo posiliło się pracą pięknych nóżek. Redutę mieliśmy dotychczas tylko jedną, z której dochód przeznaczony był na pomnik Mickiewicza, Czytelni Akademickiej i Towarzystwa muzycznego. Udała się bardzo dobrze — zdaje się głównie dla tego, że była jedyną. Nie długo to już jednak trwać będzie — nastąpi pokarnawałowy „Katzenjammer", zepsute żołądki uczują potrzebę śledzia i znowu wejdziemy w zwykły tryb życia. Żeby tylko ten pokarnawałowy „katzenjammer" nie trwał za długo, żebyśmy po godziwych zabawach z odrodzonym umysłem wzięli się raźniej do roboty, i całoroczną pracą zasłużyli sobie na przyszłoroczną hulankę!

* * *

Niedawno podaliśmy na tem samem miejscu życiorys rzeźbiarza Linińskiego, którego szczegóły bolesne powinny były dotknąć każdego czytelnika. Od lat tylu cieszymy się tryumfami sztuki naszej zagranicą. podnosimy je z dumą ale miano to artyści nasi mrą z głodu w chwili. gdy ich tęsknota za krajem zmusi wrócić w strony rodzinne. Odpowiedź na to być może: Nie dziw, kraj ubogi, a sztuka jest rodzajem zbytku. Prawda i to, ale opatrzmy się tylko ile wydajemy niepotrzebnie na rozmaite owacje, przyjęcia, bramy tryumfalne itp. demonstracje bez wartości a przyjdziemy do przekonania, że wydajemy zanadto na zbytki i to nieprodukcyjne, a w dodatku nietrwałe. Niemamy wprawdzie magnatów i mecenasów, ogół nie jest w stanie wspierać artystów. ale są instytucje, które by w tym razie role mecenasów nie tak wielkim bardzo kosztem mogły wziąć na siebie. W ostatniej kronice lwowskiej poruszył tę myśl Jan Lam, i namawiał naszą radę miejską aby coś uczyniła w tym kierunku i zaiste, czas by był, aby myśl tę nowa rada wzięła sobie do serca. Inaczej sztuka u nas nigdy się nie podniesie, a największe nawet talenta z czasem muszą się chwycić pracy rzemieślniczej, która zabija talent i zagłusza wszelkie wyższe porywy.

* * *

W teatrze cisza. Zwykle pusty amfiteatr zapełnił się wprawdzie w ostatnich czasach nieco na występach gościnnych pana J. Rychter i pani Leontyny Parznickiej, ale i to nieodświeżyło wcale repertoaru. P. Rychter zapowiedział wprawdzie występ w „Braciach Rantzan", ale przyrzeczenia dotąd niedotrzymał, a i pani Parznicka dotychczas również popisywała się w znanych sztukach, w których ją lwowska publiczność już wiedziała. Notujemy więc tylko fakt, niezastanawiając się nad grą naszych gości.

Czytamy w „Przeglądzie Tygodniowym" „Z niemałem przerażeniem spostrzega lojalna przeciętnie dusza galicyjska lwowskiego korespondenta Gazety Polskiej, jak do owczarni bogobojności i prawowiernej szlachetczyzny, zakrada się wilk pozytywizmu warszawskiego... Struchlałym z trwogi bürgerom przemycanego na bruk warszawski stańczykowstwa, opowiada: iż lwowskie *Ziarno* i krakowska *Przyszłość*, są redagowane przez ludzi wyznających zasady Przeglądu Tygodniowego, a nawet idących w przekonaniach swych daleko dalej... Wprawdzie tego „dalej" nie ocenia korespondent z porównania pism, gdyż prawdopodobnie oscylując między lembergerką a narodówką, które mu służą za źródło łokciowych dziennych korespondencyj, pism warszawskich postępowych czytać niema czasu, ale to „dalej" łowi z plotek ulicznych, których krystalizacja w formie objaśnienia, stanowi wprawdzie intratne zajęcie, ale czy bardzo zgodne z charakterem literackim, nie wiemy. — Co zaś do kwestji, czy lwowski organ postępowy należy do ziaren, „które na gruncie galicyjskim nie mogą się głębiej zakorzenić", niech zacny korespondent nie wyśpiewuje przedwcześnie hosanna — gdyż niewątpliwe mnożą się poznaki, iż myśl w Galicji blizka jest już ocknięcia się i zapewne pójdzie w pozytywnym kierunku, gdyż jest to konieczną reakcyą dotychczasowego jej nastroju. Samo ukazanie się *Ziarna* i *Przyszlości* jest poniekąd tego dowodem, tem więcej, iż redakcye obu pism wykazały talent i zrozumienie położenia, nie popadając w krańcowość, aby umiarkowanem i objektywnem wypowiadaniem zasad, krok za krokiem zyskać grunt pod stopami własnemi. Korespondent więc zdradza co do tego swą obawę, udzielając podstępnej rady „Ziarnu," aby odkryło przyłbicę i wystąpiło do boju gwałtownie. Jezuicka ta taktyka, polegająca na drażnieniu przeciwnika i skłonieniu go do ryzykownego kroku, jest już nieco przestarzałą, tem więcej, że lwowski organ postępowy jak i pierwsze numera „Przyszłości", są dowodem, iż zwolennicy postępu nauczyli się już czegoś z taktyki, iż czują się dość silnymi, aby przemawiając spokojnie, tem pewniej osiegnąć zwycięztwo swych zasad. — Korespondent do tego stopnia nie zna położenia postępowych pism warszawskich, iż mięsza organa, kładzie na jednej linii sprzeczne odcienia, słowem prawi o rzeczach, których zapewne nawet nie widział, i wydaje sądy jak ślepy o kolorach. Dziwić mu się przecież nie można, mężowie jego pokroju zanurzeni w letejskich wodach galicyjskiego obskurantyzmu, są niedostępni dla promieni światła, niezabarwionych kolorami ich okularów. Szczęśliwi!"

ZAPISKI.

Literatura.

* W dodatku książkowym do ostatniego numeru Tygodnika Powszechnego znajdujemy przekład milutkiej powiastki z życia czarnogórskiego Józefa Holeczka p. t. „Stenia“. Autor długo podróżował po Czarnogórzu i wskutek tego wybornie poznał i oddał w swych pismach zwyczaje i obyczaje ludu tamecznego, zadziwiające swą jędrnością i prostotą. Z tego powodu na przekład zasługiwałyby nietylko wszystkie „Czernohorskie powidky“, lecz i znakomite szkice z podróży p. t. „Za Svobodu. Kresby z bojów czernohorskych a hercegovskych proti turkom“. Słyszeliśmy, że jeden z literatów przekłada ustęp z tych ostatnich p. t. „Sparta Słowian“.

* Znakomity estetyk M. Carriere wydał niedawno zbiorek poezyj lirycznych pt. „Agnes“. Tak się zwała żona jego, córka Liebiga, którą Carriere utracił po 10 latach pożycia i do której i dziś zwraca się z miłością i przywiązaniem. Wiersze filozofa i estetyka są pełne ciepła, chociaż brak im może barwy i można by o nich chyba powtórzyć to, co poeta mówi przy sposobności: „Hinaus aus dem Gemüthe in den Geist ich flüchten muss“.

Teatr i muzyka.

* Na pamiątkę 200 letniej rocznicy odsieczy Wiednia przez króla Jana III. ułożył na fortepian i wydał znany kompozytor p. Alojzy Lipiński wybór najnowszych tańców, a mianowicie: „Uroczysty“ polonez — „Naprzód zuchy“ mazury — „Sen młodzieńca“ walce — „Wabicielka“ polka francuska — Żartobliwa“ mazurka — „Ze świata tonów“ kadryle — „Z rąk do rąk“ galop — Utwory te odznaczają się oryginalnością i zwykłą u p. Lipińskiego melodyjnością.

* Paweł Lindau ukończył nowy dramat „Marianens Mutter“ w której przedstawiane są walki matki, starającej się sądownie o odzyskanie córki z rąk niegodnego ojca.

* Barytonista paryski Lasalle opuszcza akademię muzyczną i udaje się z drobną trupą, złożoną z tenorzysty, prymadonny i basisty w podróż artystyczną. Artyści występować będą wszędzie z siłami miejscowemi, a mają przygotowany następujący repertuar: Afrykanka, Hamlet, Don Juan, Wilhelm Tell, Hernani, Rigoletto i Bal maskowy.

* Alfred Silven, dziennikarz paryski wprowadza na scenę teatru „Porte St. Martin“ Don Quichota, ułożonego scenicznie na podstawie arcydzieła Cerwantesa.

* Teatr Gaiety w Londynie z 1 stycznia skończył 14 rok swego istnienia z którego dyrektor Hollingshead zdał publicznie rachunek. Przez lat 14 wynosił dochód brutto: 544.000 fut. szt. z których zapłacono 19.000 podatku, 30.000 honorarjum autorom, 40.000 za anonse, a 300.000 gazy. Panu dyrektorowi pozostała ładna suma w zysku.

Sztuki piękne.

* W Rzymie otwarto uroczyście 21 zm. wystawę międzynarodową dzieł sztuki. Mowę inauguracyjną miał syndyk rzymski. Odpowiedział na nią serdecznie król, poczem tocząc rozmowę z architektem Piacentinim, twórcą pięknego budynku, zwidził szczegółowo wystawę. Z zagranicy nie wiele dzieł przysłano a w ogóle zdaje się, że cała wystawa ograniczy się na dziełach artystów włoskich. a pomiędzy wystawionymi odznaczają się zaszczytnie prace rodaków naszych Welońskiego Siemiradzkiego, Matejki. Tego ostatniego „Hołd pruski“ nie zbiera wyłącznie wprawdzie pochwał, ale rzecz to naturalna w obec wymagań Włochów, którzy na dziełach XVI stulecia nauczyli się dobrze oceniać i odczuwać harmonię barw. Obraz Siemiradzkiego za to wywołuje powszechne pochwały, a Welońskiego „Lirnik“ współubiega się nawet pod względem techniki z Włochami, stojącymi w tym punkcie, jak wiadomo bardzo wysoko.

* Krakowska rada miejska na jeden z ostatnich posiedzeń uchwaliła program obchodu jubileuszowego obrony Wiednia. Według tego programu w przeddzień rocznicy 12 września odbędzie się uroczysta procesja z kościoła na Piasku do katedry na Wawelu. W kościele OO. Karmelitów, na Piasku znajduje się obraz Matki Boskiej przed którym Sobieski modlił się idąc na wyprawę wiedeńską, i w tym roku właśnie przypada koronacja tego obrazu. W tym samym dniu odsłoniętą zostanie płaskorzeźba pamiątkowa Welońskiego, na ścianie zachodniej kościoła Panny Marji, zwróconej frontem ku Sukiennicom. Wieczorem miasto będzie illuminowane. W ciągu całej uroczystości grób Sobieskiego będzie otwarty dla zwidzających, i rozdawane będą publiczności Książeczki pamiątkowe o odsieczy. Na koszta płaskorzeźby rada m. uchwaliła 9000 zł.

* Gladjator Welońskiego, tak jak zakupiony już dla Muzeum narodowego w Krakowie. Pierwszą ratę kilkuset zł. koło artyst. lit. krakowskie wysłało już artyście do Rzymu.

* Biust marmurowy śp. Podczaszyńskiego, dłuta B. Syrewicza, ustawiony został w gmachu krak. Akademji umiejętności.

* Honorarjum 230000 marek otrzymała w Nizzy francuzka artystka malarka Róża Bonheur za wielkie płótno, przedstawiające lwów dzikich, odmalowanych według żywych modelów.

* W Londynie wyszło nader interesujące dzieło „The history, treasures and antiquities of Salamis in te island of Cyprus“, w którym opisane są zbiory starożytności egipskich generała Cesnoli. Dzieło ozdobione 700 ilustracjami.

* Pod tytułem „Die Kaiserliche Gemäldegallerie der Eremitage in St. Petersburg“ wyszedł pierwszy zeszyt reprodukcji obrazów znajdujących, się w tym mało znanym ogółowi zbiorze, dokonanych przez Ad. Brauna. Tekst objaśniający pisze do dzieła W. Bode, dzielny znawca holenderskiego malarstwa, które najbogaciej jest zastąpione w Eremitażu. W pierwszym zeszycie znajdujemy rzeczy Rembrandta (Portret Polaka, Danae, Żydówka) Fr. Halsa (oficer), Tenier'a (uroczystość strzelecka), Rubensa (Andromeda).

* Pod tytułem „Italia“ zaczęło wychodzić pismo artystyczne w Rzymie, którego treść nie zapowiada jednak dotychczas nic interesującego.

* W zakupionym przez muzeum berlińskie zbioru manuskryptów Hamiltona znalazły się świetne ilustracje Aleks Botticellego do Dantego. Jeden z najznakomitszych mistrzów epoki wczesnego renesansu zatrzymał typ Dantego stworzony przez Giotta, ale sam wymyślił prześliczną Beatriczę.

* W Rzymie słynie obecnie na całą Europę pracownia odlewów artystycznych Aleks. Nellego na via della Lungara. Ukończyła ona niedawno posąg, mający stanąć w Rzymie na cześć braci Cairolich, którzy zginęli w boju z papieskiem wojskiem 23 paźdz. 1867 w chwili, gdy chcieli wzbudzić w Rzymie powstanie w tym czasie, gdy Garibaldi szedł na Mentanę. Posąg ten dłuta Rosy stanie naprzeciw termów Dyoklecjana. Równocześnie w pracowni odlewa się grupa olbrzymia, przedstawiająca tryumf Izabeli katolickiej i wiele innych.

* Minister oświecenia przyrzekł, że do ozdobienia auli politechnicznej we Lwowie użyte będą wyłącznie tylko siły krajowe.

Nauki przyrodnicze.

* Podróżnik Przewalski organizuje nową wyprawę do Azji środkowej. „Nowosti“ donoszą, że już w lutym wyprawa ma przyjść do skutku Obecnie Przewalski opracowuje i porządkuje notaty z ostatniej wyprawy, które mu posłużą następnie do dokładnego opisu zbadanych miejscowości i krajów.

* Dr. Brühl prof. anatomii w Wiedniu, na podstawie długoletnich doświadczeń dowodzi w artykule zamieszczonym w piśmie „Auf der Höhe“, że teorja Schoppenhauera na punkcie różnicy w budowie mózgu jest czczym wymysłem, i że w budowie zwojów mózgowych kobiet i mężczyzn żadna nie zachodzi różnica.

* P. Stevenson zmierzył wysokość bałwanów Oceanu i sprawdził, że wysokość ich dochodzi do 13 metr. długość zaś do 169 metr. Bałwan przebiega $14^1/_2$ metr. na sekundę, czyli 52 kilometrów na godzinę. Siła balistyczna wielkich bałwanów jest nadzwyczajna. Wedle obserwacyj Stevensona, bałwany na rozmaitych punktach przy brzegach Anglii, poruszały odłamy skał, ważące 1200 do 5600 ton, a mierząc ich siłę dynamometrem skonstantowano, że siła niektórych fal wynosi 20400 kilogr. na metr. kwadr.

* Dr. Tom. Taylor w Waszyngtonie zrobił spostrzeżenie, że muchy w swych trąbach mają pasożytów, należących do rodziny Anquillula. Pasożyty te są widzialne już przy 25 krotnem powiększeniu.

* Medyczny Australski dziennik „The Australian medical Journal" ogłasza ciekawe studium o zastosowaniu pomidorów w terapeutyce, zwłaszcza jako środka zabezpieczającego przeciw chorobom epidemicznym, między innemi przeciw cholerze. Oto na mocy jakiego rozumowania i spostrzeżeń autor dochodzi do wniosku, który gdyby okazał się trafnym, byłby prawdziwem dobrodziejstwem dla ludzkości: Wpływ zbawienny pomidorów na pasożytne choroby innych roślin, jest faktem uzna nym przez wielu ogrodników; pomidory wysuszone na łodydze i włożone między ziarna, zabezpieczają je od rdzy, śniedzi, pruchnienia itp. Tę własność zawdzięcza pomidor siarce, której znaczną ilość posiada. Może więc być, że dzięki tej zdolności niszczenia zarodków pasożytnych w roślinach, pomidor mógłby oddawać podobne usługi człowiekowi w chorobach miazmatycznych. Zagorzali stronnicy teorji o harmonji w naturze, powołują się nawet na ten argument, że skoro pomidory dojrzewają w porze, gdy gorączka tyfoidalna najbardziej grasuje, widocznem jest, że sama przyroda obok choroby i lekarstwo umieściła.

MISCELANEA.

Rossyjski „Goniec urzędowy" ogłosił ciekawe materjały, obejmujące statystykę czasopism wydawanych w roku 1882 w cesarstwie rosyjskiem, kr. Polskiem, i w. ks. finlandzkiem.

Nieliczące polskich ogólna cyfra czasopism wydawanych w państwie rozsyjskiem wynosiła 694. Cyfra ta przewyższa zwykle dotychczas podawaną i rozpowszechnianą w Rosji oraz zagranicą — a wynoszącą około 450.

Goniec podzielił te dane na trzy części: czasopisma 1) petersburskie, 2) moskiewskie, 3) prowincjonalne. Do liczby ostatnich dostały się przez pomyłkę czasopisma polskie. Spis trzeciego działu będzie, jak zapowiada dziennik, ogłoszony, więc będziemy mieli materjał, który ułożony należycie a nie według systemu przyjętego przez redaktora „Gońca" p. Danilewskiego, pozwoli umieścić każdą rzecz w miejscu właściwem.

Przytaczając dane statystyczne, o których mowa, żałujemy, że nie mamy pod ręką statystyki czasopism innych krajów ucywilizowanych, także statystyki sił zbrojnych. Byłoby bardzo pouczającem zestawienie liczby gazet z liczbą żołnierzy w każdem z państw i porównanie wyników tego zestawienia. Oprócz tego ciekawe są wykazy, na ilu mieszkańców przypada jedna gazeta u różnych narodów, one bowiem świadczą o rozwoju publicystyki porównawczo nietylko państw politycznie niepodległych, ale również narodów niezależnych moralnie.

Porównywając należałoby brać nie *wydawnictwa* ale ilość *numerów* i tę dopiero zestawiać z liczbą żołnierza i z ludnością. Nie wątpimy, że znajdzie się kto, co potrafi skorzystać z materjału, jakiego dostarcza nam dziennik rossyjski, i stworzy obraz stosunków najbliżej nas obchodzących a prawdopodobnie — posiadający cechy bardzo sprzeczne.

Dwa pierwsze działy obejmują 272 wydawnictw, z których 167 przypada na Petersburg i 75 na Moskwę. W tej liczbie w języku rossyjskim: 249 czasopism, w trzech językach — jedno, w dwóch — jedno, w niemieckim języku w obu miastach—9, we francuskim — 4, w łacińskim i żydowskim po 2, w angielskim, polskim, fińskim i armeńskim po 1.

Dział trzeci liczy (oprócz polskich) 425 czasopism a razem z polskiemi 504, które wychodzą w 124 miastach. W tej liczbie w 80 miastach gubernialnych—400 czasopism, w 32 — powiatowych 58, w 12 miastach nadmorskich—46.

W tejże liczbie podział podług języków jest następujący: rossyjskich—265, polskich 80, fińskich 43, szwedzkich 39, niemieckich 36, łotyskich 13, estońskich 10, armeńskich 9, gruzińskich 4, francuskich i tatarskich po 2 i aderbejdżańskie (narzecze) 1 czasopismo.

Spis ten nie jest widocznie dokładny jak dowodzi poniższy wykaz według miast. W Warszawie, która figuruje tu jako miasto prowincjonalne, policzono 79 a wszystkich czasopism polskich 80. To ośmdziesiąte stanowi pewnie tygodnik polski petersburski, a gdzie się podziały nasze pisma prowincjonalne, łomżyńskie, płockie, lubelskie, kaliskie, łódzkie, piotrkowskie i t. d. niewiadomo.

Otóż według „Gońca" miasta prowincjonalne liczą: Helsingfors 36, Ryga 23, Tyflis 21, Kijów 20, Odesa 19. Kazań i Charków po 11, Rewel 9, Dorpat i Mitawa po 8, Uleaborg 7, Abo, Wilno, Woroneż i Uwiaskül po 6, Kiszyniów, Lilawa, Nowogród i Saratów po 5, w ośmiu miastach po 4, w dwudziestu jednem po 3, w trzydziestu ośmiu po 2, a w pozostałych trzydziestu siedmiu po jednem.

Z wykazu czasopism cudzoziemskich widać, że najwięcej takowych jest w języku niemieckim— razem 45 czasopism. Zważywszy, że inne czasopisma nie mające znaczenia krajowych, autochtonicznych, są nieliczne i porównawszy cyfrę niemieckich z francuskiemi (6 w całem państwie) oraz z angielskiemi (jedno) przekonamy się jak wielką przewagę ma na tem polu kultura niemiecka. Nie mówimy już o porównywaniu ilości niemieckich gazet z polskiemi np. w Petersburgu, ale porównajmy te 45 czasopism niemieckich z 80 — niepolskiemi, które służą krajowi swojemu nie kolonii. Zastanawiające!

Z innych szczegółów zrobimy ważną uwagę nad ilością numerów. Są to cyfry nie dające całości i malujące tylko największe wydawnictwa petersburskie i moskiewskie.

W ilości	71000 egz.			odbija się	czasopism	1
„ „	25000	„		„ „	„	1
„ „	24000	„		„ „	„	2
„ „	20000	„		„ „	„	5
„ „	10000	do	20000	—	—	7
„ „	5000	„	10000	—	—	25
„ „	1000	„	5000	—	—	87
„ „	500	„	1000	—	—	94
„ „	100	„	500	—	—	39

Razem 261 czasopism wydaje około 879700 egzemplarzy. Nie wliczono tu czasopism prowincjonalnych.

Kosztem osób prywatnych wychodzi w Petersburgu i w Moskwie 193, a kosztem rządu, municypalności i towarzystw 79 wydawnictw.

Najwięcej czasopism liczono treści *polityczno-literackiej* i *mieszanej*, mianowicie: w Petersburgu 59, w Moskwie 3, *informacyjnych* 8 i 4. *teologicznych* i *kościelnych* 5 i 6, poświęconych *oświacie* i *pedagogii* 8 i 3, *prawu* i *administracji* 9 i 2; nareszcie *rolnictwu* i *gospodarstwu* 8 w Petersburgu i 2 w Moskwie oprócz treści innej.

Czasopism *bez cenzury* wychodzi w Petersburgu 101, w Moskwie 30, *z cenzurą* 96 i 45. Najwięcej liczono *gazet codziennych* w Petersburgu 19, w Moskwie 12; *tygodników* wychodziło 15 w Petersburgu i 6 w Moskwie; *miesięczników* 63 w Petersburgu i 22 w Moskwie; ilustracyj 34 w Petersburgu i 10 w Moskwie.

Najdawniejsze czasopismo rossyjskie wchodzące do tego spisu istnieje 156 lat.

Najdroższe — „Journal de St Petersbourg" — kosztuje rocznie 18 rubli.

Treść:

O czem i jak należy pisać dla ludu.
Tak źle nie jest. (Sylwetka)
Konopnicka Marja: Pod lasem (wiersz)
Dr. A. Zipper: Izajasz Tegnér i poemat o Frytjofie
Dollfus K.: Mój wój Duval. (c. d.)
Gustaw Doré.
Spencer H.: Obyczaje kupieckie. (c. d.)
Przegląd literacki.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Od Administracji.

Niniejszy numer (6) jest **pierwszy** w miesiącu lutym, upraszamy zatem Szan. panów Prenumeratorów miesięcznych o rychłe nadesłanie przedpłaty za luty.

Tych z pp. abonentów, którzy nie odnowiwszy dotychczas przedpłaty za kwartał bieżący, nie zwrócili nam pierwszych numerów „Ziarna" i skutkiem tego otrzymują je dalej, prosimy o **przysłanie niezwłoczne** zalegającej przedpłaty.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 7. We Lwowie dnia 10. Lutego 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: Bolesław Spausta. Redaktor odpowiedz.: Bolesław Czerwieński.

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1|_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Korrupcja.

Stoimy wobec faktu, aż nadto często spotykającego się w życiu społeczeństw dzisiejszych. Faktem tym jest korrupcja, która szerzy się coraz głębiej, i coraz szersze, wyżej i niżej, obejmuje kręgi. Moglibyśmy, wzorem starych proroków judejskich, rzucać gromy potępienia na świat zgangrenowany; moglibyśmy długie prawić kazanie o piękności i pożyteczności cnoty i ohydzie występku — moglibyśmy posłusznym dzieciom obiecać nagrodę, a nieposłusznym zagrozić karą, moglibyśmy grozić potępieniem wiecznem i zjednywać szczęśliwością w życiu przyszłem — nie zrobimy jednak tego, a pójdziemy drogą więcej zgodną z sceptycznem usposobieniem ludzi współczesnych, postaramy się przedewszystkiem sam fakt objaśnić, a wtedy łatwiej może wskażemy jakie na zło to lekarstwo.

Przedewszystkiem korrupcja nie jest rzeczą tak bardzo nową, ażebyśmy mogli apelować do dobrych starych czasów, do złotego wieku ludzkości, kiedy to wszyscy byli dobrzy i cnotliwi, a występek i zbrodnia rzadkością — bynajmniej, zepsucie, korrupcja jest tak starą prawie, jak rodzaj ludzki, ma ona atoli jedną właściwość, zmienia się, stosując do otaczających warunków, do stopnia cywilizacyjnego, społecznego i politycznego, umysłowego i obyczajowego rozwoju, przechodzi różne fazy, wciąż jednak w ciągle odnawiającej się formie istnieje.

Nie mówimy to dlatego, ażeby zło to nieodłącznem było od natury ludzkiej i ustroju społeczeństwa, żeby stanowiło wieczną ludzką właściwość — bo jeżeli ludzie nie mogą być samą tylko doskonałością, to jednak same zmiany, jakim ulega zepsucie, sama jego zależność od otaczających warunków i współczesnej moralno-umysłowej atmosfery, wskazuje na możność ilościowej i jakościowej zmiany tego zła, i czyni prawdopodobnem doprowadzenie go do minimalnej dozy. Trzeba jednak wpierw poznać chorobę i jej źródła, zanim przystąpimy do wynalezienia środków zaradczych.

Otóż każda dotychczasowa doba historyczna miała swoją korrupcję. Rozległe despotyczne caraty starożytności miały niesłychany ucisk i niewolę mas całych obok samowoli i zbytku niewielkiej liczby możnych i władców: miały w wysokich swych sferach rozprzężenie obyczajów i orgie dzikiego wyuzdania. Czasy dawniejsze i późniejsze miały z gruntu zepsuty kler faryzeuszowskich augurów i zakapturzonych z pozoru mnichów; miały sybarytyzm szlachty obok poniżenia i nędzy pracującego ludu — ma też i czas dzisiejszy swego robaka, co go podgryza i toczy.

Żyjemy w każdej historycznej dobie, skoncentrowanem niejako życiem przeszłych pokoleń, w życiu więc późniejszych tkwią zawsze pozostałości, lub choćby tylko rudymentalne szczątki dawnych urządzeń, a więc i dawnego zepsucia, pewno jednak, nowe zło zwykle dominuje, nadaje odpowiedni obok innych objawów, koloryt swej epoce.

Żyjemy dziś w czasach liberalizmu. Zmiękł ucisk z góry, ustały niby przywileje rodowe i beneficja duchowne — jesteśmy niby społeczeństwem świeckiem i demokratycznem, w którem wszyscy równi są w obliczu prawa.

W obliczu prawa, pisanego rozumie się — piękny wyraz, na papierze. Nierówni jednak jesteśmy wobec jednego przywileju, posiadania majątku, posiadania pieniędzy. A pieniądz, w naszem „demokratycznem“ społeczeństwie stał się wszechwładną potęgą, osią, około której obracają się wszystkie nasze sprawy. On jest przywilejem rodowym, talizmanem władzy i wpływów, władcą dusz ludzkich, gwarancją naszego osobistego szczęścia i dobrobytu. Cóż dziwnego, że tak namiętne odbywają się za nim pogonie? Każdy chwyta za ten filozoficzny kamień nowoczesnego świata, za ten eliksir długiego życia i pieniący się szampan rozkoszy.

Nie wszyscy atoli mają możność brania udziału w tych igrzyskach, dla pewnej znacznej liczby ludzi, dla mas całych pogoń za złotem sprowadza się do skromniejszych zamiarów ubiegania się o łyżkę ciepłej strawy, o dach nad głową i kawał koszuli na plecach; dla innych jednak, dla „oberen zehntausend“ ma on cały czarodziejski urok, i odurzać może jak wiara w rzeczywiste istnienie jednej z bajek tysiąca nocy...

Ci więc szczególniej nie ustają w tym szlachetnym sporcie. Nieraz przytem dawniej krępowały więcej warstwy panujące jakieś przesądy i obowiązki ogólne. Obawiano się czasem ongi na serjo mąk piekielnych, i dbano o szczęśliwość przyszłego żywota. Ludzie wychowywali się w surowych przepisach moralności, oprawionych w ramki niewzruszonych i groźnych dogmatów. Były przytem położenia, w których uprzywilejowana nawet warstwa miała obowiązek, nie tylko biernego reprezentowania, lecz i czynnego popierania, a nawet bronienia interesów całego ogółu. Groza tedy trzymała w rygorze, nadzieja pociągała i roztkliwiała; gdy przytem przyszła chwila poświęcenia i czynnej pracy dla drugich, zniewieściałe cha-

raktery hartowały się w ogniu mozolnych wysileń...

Dziś to wszystko, w używaniu bez troski, nikogo nie krępuje. Strach przed groźnym Olimpem przemienił się w sceptyczny żart lub sarkazm niedowiarka. Raj Mahometa nie wabi nas już swemi huryskami. Interes cały życia naszego przenieśliśmy na ziemię. A na tej ziemi pod mroźnym powiewiem sceptycyzmu, rozluźniły się surowe karby moralności, odkąd przestano wierzyć we wszelkie dogmaty. Nie tylko już groźba piorunowładnego Jehowy, lecz sztywne, wykrochmalone karby obyczaju nie wiążą nas już dzisiaj.

Idziemy za własnemi popędami, nie zważając, na zastrzeżenia i obyczaje, w których wykryliśmy tyle sprzeczności i naiwności. Z klas uprzywilejowanych zdjęto przytem wszelkie wędziło obowiązków ogólnych, wszelki hamulec egoizmu im odjęto. Wynaleziono przytem teorję, że żadna władza nie śmie się mięszać w „prywatne" sprawy społeczne. Niech kazdy goni tylko swobodnie za własnym zyskiem, gdzie wskazuje mu własny jego egoizm, a w rezultacie wypadnie przedziwna harmonia społeczna...

I cóż z tego wyszło?

Oto, że społeczeństwo, zwolnione z pęt umysłowej niewoli i wyswobodzone w części z surowego obyczajowego rygoru, rozbiegło się, w swych warstwach wyższych, na wsze strony, każdy pogonił za zyskiem, za zarobkiem, za groszem, za karjerą. Pogoń ta ma charakter wybitnie egoistyczny, że nie powiemy cyniczny. I nie zawsze gonimy szlakami, aprobowanymi przez nasze nawet pojęcia uczciwości i słuszności, owszem, dla zbyt wielu dobre są wszelkie manowce, byle tylko w tych powszechnych wyścigach za zyskiem i wyzyskiem prowadziły do pożądanego celu. Spaczyły się zresztą wszelkie pojęcia o uczciwości. Czem jest, pytamy, moralność kupiecka, czem machinacje na giełdzie i spekulacje grynderskie? A tak zwykły sposób dochodzenia do majątku za pomocą pracy drugich... a spożywanie pasożytnicze dobytku nagromadzonego przez spadkodawców, a tyle, tyle innych zajęć i naszych sposobów życia i użycia — czem jest wistocie pytamy?

Daleko odbiegliśmy od jedynie słusznej zasady ludzkiej, że tylko spożywanie owoców własnej, rzetelnej, pożytecznej pracy czyni z nas ludzi w całem szczytnem znaczeniu tego wyrazu.

I my nie zbyt daleko już jesteśmy od portu zupełnego zepsucia, a coraz nowe tego mamy przed oczami świadectwa...

Taka jest djagnoza korrupcji dzisiejszej.

Jakie na nią lekarstwo?

Długo rozprawiać nie będziemy. Powiemy tylko, że taki tylko ustrój społeczny, któryby usunął możność życia z zysku i wyzysku, uniemożliwił szaloną pogoń za groszem i majątkiem, do którego dziś dojść można nieuczciwością i podstępną spekulacją — ustrój któryby na miejsce tego wszystkiego zaprowadził solidarną pracę społeczną, a społeczeństwa całe przejął potężnym duchem zbiorowym, tylko taki ustrój zbawił by nas i zbawi od korrupcji, szerzącej się coraz gwałtowniej.

Reszta, to paliatywy tylko, półśrodki.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Gdy wkrótce po tej rozmowie do zbytku otwarty koleżka pożegnał Jędrusia, sierota rzucił się na łóżko, zakrył twarz rękoma, i z godzinę szlochał namiętnym płaczem, w którym boleść serdeczna szła o lepsze z zapamiętałym a bezsilnym gniewem. Zaczął rozpamiętywać usłyszane słowa... Jeżeli zarzut uczyniony jego pochodzeniu bolał go i dręczył okrutnie, a sprawiał przytem wrażenie pocisku, który śmiertelnie zawadza w organizmie, pozbyć się go jednak nie można, — to o ileż dotkliwiej ugodzono weń szkaradnem a nikczemnem zpotwarzeniem pamięci biednej matki... Nie pamiętał jej i nie znał wcale, lecz czuł instynktem, że to być nie może, ażeby on był dzieckiem złodziejki!... Przypominał sobie zresztą jak przez sen, niejednokrotnie słyszane opowiadanie ś. p. organiściny, o nagłym zgonie matki, nieraz odwidzał wspólnie z opiekunką jej mogiłę na cmentarzu — a wszak organiścina nie kłamała nigdy. Na koniec, po dłuższych deliberacjach postanowił znieść się z opiekunem panem Piotrem, i zapytać go otwarcie, ile prawdy rzeczywistej zawiera się w okropnych inwektywach „starego wroga". Ta decyzja uspokoiła go trochę, słusznie bowiem od przyszłej dopiero odpowiedzi profesora zrobił zależnem, co mu uczynić wypadnie z nielitościwym oszczercą, — i usnął szczęśliwie. Wiek młody posiada między innemi i tę zazdrości godną zaletę, że lada płacz lub zmartwienie głębsze, ściągają zwykle na oczy sen dobroczynny, o który w wypadku analogicznym bardzo trudno już wówczas, gdy się jest starszym latami, i co zatem idzie, na każde cierpienie wytrzymalszym.

Nie rychło przyszła odpowiedź Jędrusiowi. List jego zastał opiekuna w łóżku od dłuższego już czasu chorego, i dobry miesiąc minął, zanim tenże mógł zebrać się na zapisanie ćwiartki papieru, ukośnemi szeregami nieczytelnych hieroglifów, z których połowę trzeba było domyślać się na chybi-trafi. Zacny pedagog w ciągu ostatnich lat zestarzał w dwójnasób, i ręce trzęsły mu się nieznośnie. Mimo to wszystko, doczytał się Jędruś tego, czego pragnął z całej duszy,— stanowczego zaprzeczenia haniebnej obelgi, rzuconej na drogie mu imię nieboszczki matki. Nie ręczymy, czy przyszedłszy wkrótce po owej pamiętnej dlań pogadance z kolegą, list ten nie byłby wywołał groźnego starcia pomiędzy nim, a małodusznym spadkobiercą „szlacheckich tradycyj" pani pocztmistrzowej i oczekiwanych dóbr na Wołyniu — na szczęście jednak dla panicza (rzecz dowiedziona praktyką, że fortuna zwykle nie tylko głupich, ale i łotrzyków matką zapobiegliwą!) Jędruś miał czas ostygnąć, a pierwszy jego gniew szalony przemienił się ostatecznie w głęboko zakorzenioną niechęć i pogardę, dla niegodziwego potwarcy. Na szczęście powtarzamy, — bo mimo dziewczęcego wyglądania i urody, Jędruś miał niezwykłą siłę herkuliczną, i mógł był w pasji djabelnie poturbować wcześnie zblazowanego przeciwnika.

Całe to zdarzenie miało ów jedyny skutek widoczny, że wesół do tej pory i uśmiechnięty zwykle chłopak, nagle osowiał zupełnie, zpoważniał i zmizerniał znacznie; nawet pan Wawrzyniec Kaczka, i jego połowica szanowna, zauważali niebawem uderzającą zmianę, choć oboje zajęci pracowicie — on warstatem, ona gospodarką i synami — nie wiele mieli czasu i głowy do obserwowania „pana dyrektora".

* * *

Znowu parę lat pogrążył czas w mroku bezdennym, zwanym wiecznością. Jesteśmy u schyłku lata, które onego roku niebywale stałą odznaczało się pogodą. Dnie były słoneczne i gorące, nocami odwilżał spragnioną ziemię i roślinność lekki deszczyk, słowem ludzie mieli idealnie pomyślny czas dla zbioru plonów rolnych. A były one wszędzie obfite, i obiecywały dostatnią zimę. Nadzieję tego widziało się na wesołych twarzach wieśniaków, dzierżawców i właścicieli większych posiadłości.

Wioska Zręby, gdzie obecnie prowadzimy czytelnika na zwiady, leży cała schowana w wianku rozległych borów. Sama nazwa jej wskazuje a położenie potwierdza dostatecznie, że tam przed laty w miejscu chat dzisiejszych, łanów dworskich i pól wieśniaczych, były lasy, które z czasem wykarczowano, tworząc osadę z urodzajną, długie wieki wyspoczywaną glebą. W środku

dużego koła, stanowiącego terytorjum dworskie, a obwiedzionego zewsząd zieloną i wysoką ścianą dębów, buków i grabów, stał dom mieszkalny z obejściem i budynkami gospodarczemi, — własność państwa Wilskich. Już od pierwszego wejrzenia na ten tak zwany dwór, i z porównania go ze stojącą opodal stodołą, spichrzem, stajnią, a nawet kurnikami, poznawało się snadnie, że właścicielowi Zrębów widocznie więcej zależało na korzystnem przechowaniu każdorocznie zebranych stert zboża, i pomieszczeniu żywego inwentarza, niżeli na pomieszkaniu dla siebie, rodziny swej i służby. O ile budynki tamte prezentowały się już z daleka przystojnie, o tyle dom robił wrażenie t. z. ekonomówki, gdzie to zazwyczaj często zmieniają się mieszkańcy.

Stary domina z dachem nieproporcjonalnie wielkim, przytłaczającym tułów głęboko w ziemię, z bokami wygiętemi w kabłąk, i małemi oknami, z których każde w inną wykrzywiło się stronę, zdawał się ledwie jakimś cudem stać na miejscu. Robił wrażenie pijaka, który lada chwila zwali się na ziemię, gdzie mu oczywiście bezpieczniej i wygodniej będzie. To też lęk zbierał pierwszy raz tam wchodzącego, choć państwo Wilscy mieszkali tu już długie czasy, i nie podzielali wcale tej obawy. Dom był im ciepły, zaciszny, wygodny, a dopiero każda przedsięwzięta naprawa gruntowna, mogłaby pono przyspieszyć łatwo katastrofę — wiedzieli o tem dobrze i nie ruszali staruszka, pobielając go jeno z wierzchu od czasu do czasu. W lecie dziki winograd spinający się po słupkach ganku i umyślnie przystawianych kratkach, a zasłaniający sobą niepoczesny front, gazonik pokryty cały różnorodnem kwieciem, zresztą gdzie spojrzeć urocza zieleń drzew i trawników, nadawały rezydencji państwa Wilskich tanim kosztem pozór wcale ponętny; — w zimie, gdy śnieg, stary despota ubierający przymusowo całą przyrodę w jedną sukienkę — zasłał otoczenie, na tle jego fatalnie rysowały się kontury zestarzałego domostwa. Jak zewnątrz, tak i wewnątrz domu, co krok jeden więcej spotykało się dowód, że myślą przewodnią tych ludzi było tylko gorliwe staranie o chleb powszedni — wszystko poświęcono w tej mierze, zgoła nic nie robiono dla uprzyjemnienia sobie pobytu ciągłego, dla zachwycenia oka przybysza. Ów gazonik z kwiatami, na widok którego krzywił się zawsze pan Wilski, a wyglądający tu jak bukiet przypięty do starego kożucha i winograd na ganku, były to owoce długich zabiegów i walk panny Małgorzaty, jedynaczki właścicieli Zrębów, z ojcem, nie pojmującym zupełnie, jak można preferować kląby i kwiaty, nad widok swobodnie uganiającego się i żerującego ukochanego drobiu i nierogacizny. Na gazon oczywiście pożyteczne te w gospodarstwie wiejskiem stworzenia nie miały przystępu, a ciągle zdradzały widoczną ochotę wtargnięcia w to zaczarowane koło. Stąd powstawały latem częste starcia między niemi a małą Naścią, kamerierą panny Małgorzaty, na których widok, potok narzekań i wymówek wyrywał się zawsze z piersi bądź pana bądź pani.

Dla uzupełnienia charakterystyki musimy kilką słowy wspomnieć o przeszłości państwa Wilskich. Pobrali się w młodym wieku. On miał ledwie 24 lat — skromną garderobę kawalerską, najtyczankę przejeżdżoną i cztery mierzynki, darowane mu z tytułu żeniaczki od zamożniejszego krewniaka. Ona liczyła sobie lat dwadzieścia, urodę miała nieszczególną, — za to zdrowa była i wytrzymała — i dwieście dukatów w posagu. Oboje wiedzieli z przeszłości, jak wygląda niedostatek, i od razu przedsięwzięli silne postanowienie dobicia się majątku. Zaczęli od maleńkiej dzierżawy, co kilka lat brali się do większej, zarabiając na każdej grosz na groszu; dzieci choć co roku się rodziły, nie chowały im się początkowo — sobie skąpili wszystkiego, od ust odejmując i dwa razy oglądając każdy kąsek chleba — za to po latach kilkunastu takiej pracy i zaparcia, zebrali tyle, że mogli pomyśleć o nabyciu własnego kawałka ziemi. Szczęśliwie im się zdarzyło kupić Zręby tanio, jak twierdzili sąsiedzi za „psie pieniądze“, a była to wioska, w której rzeczywiście mleka i miodu w bród było zawsze. Gdy się tu sprowadzili, mieli dwoje dzieci, Małgosię i Jasia. Dziewczę było faworytką ojca — chłopak młodszy matki ulubieńcem.

(C. d. n.)

Z ŻYCIA ARTYSTY.

...Był przedewszystkiem — artystą!
Kochankiem — złudy!
Miał duszę — jasną i czystą
Wierzącą — w cudy

Więc wierzył — w Boga na niebie,
W piękno i cnotę!
W swą sztukę, w ludzkość i w siebie,
Rojąc sny złote!

Miał umysł — ludzi szlachetnych —
Prosty i hardy!
Dla zbrodni, choć w szatach świetnych,
Nie taił — wzgardy!

Włos kruczy czoło mu cienił —
W bujne pierścienie,
W twarzy się uśmiech promienił —
W oku — natchnienie!

Miał też — przyjaciół niemało!
I — znawców koło!
Wróżących, że przyszłość — chwałą
Zwieńczy mu czoło!

Że go laurami okryje,
Miłość narodu!
(Gdy tylko próbę przeżyje —
...Zimna i głodu!)
. . . .

Zawcześnie z istotą drogą
Związki najświętsze
Zawarł, i żył z nią ubogo —
...Na trzeciem piętrze!

Rzucając dumne wyzwanie
Sfinksowi życia!
Łódź wspólną wiodąc w otchłanie
— W grozę ...rozbicia!
. . . .

Słońce patrzyło z ukosa —
W ciemną pracownię —
Gdzie duch Artysty w niebiosa
Rwał się gwałtownie!

Słońce patrzyło.. szyderczo
Z złotego tronu —
Jak z losem walkę morderczą,
Staczał — do zgonu!

Jak — u kochanej sztalugi
Siadał wybladły, —
Gdy troski — jedna po drugiej,
W duszę się wkradły!

I żmudną — natchnień poloty —
Zabijał pracą —
Kończąc „żądane“ roboty,
Za które — „płacą!“ —

Bo tam... za ścianą... schylona
Nad grubem płótnem —
Zgłodniała czeka nań żona —
— Z obliczem smutnem!

W kolebce — dziecina blada..
Hojne łzy roni!
A jemu... pędzel wypada —
Z zakrzepłej dłoni!
. . . .

Jedyne tylko wypieścił
Duszy swej dziecię!
Lecz choć w niem moc zwą obwieścił,
Prawdę i życie

Przez wyraz — męczeńskiej dumy
W Świętym Szczepanie —
Obraz — wielbiony przez tłumy
... Został — na ścianie.
. . . .

I zwolna w oczach znużonych
..Gasły promienie...
Na ustach — żarem spalonych,
Siadło — zwątpienie!

Codzień — przejrzystsze miał skronie
I lica chudsze...
I kaszlu odgłosy w łonie —
Cichsze.. i krótsze!

Aż przyszła chwila . . konieczna
Po męce marnej ! —
Gdy światłość zeszła doń — wieczna
W pracowni czarnej...

A z nią się dusza wykradła,
Z więzów — zdradziecko !
I z łkaniem na zwłoki padła —
Żona i dziecko !

A tłum przyjaciół — dokoła
Otaczał łoże, —
I szeptał, schylając czoła,
Zrządzenie Boże !

Miał talent ! i świat go cenił !
Lecz go zmarnował,
Bo się zawcześnie ożenił !
I zapracował. —

. . . .

I z cicha go pogrzebiono
W świecie nielicznej...
Obraz — z „litości“ kupiono
Z składki publicznej !

By spłacić — sumą zyskaną
Koszta pogrzebu...
..Żonę zaś z dzieckiem — oddano
W opiekę . . . Niebu !

Marja Bartus.

BALLADOMANIA

po pierwszym wystąpieniu

MICKIEWICZA.

W politycznych i umysłowych dziejach społeczeństw, dostrzec można śród biegu wieków pewnych wstrząśnień, które niszcząc przestarzałe wyobrażenia, zasiewając inne — wytwarzały zrazu pewien zamęt, niekiedy nawet sprowadzały naród na błędne szlaki, ale zawsze w następstwie otwierały mu nowe światy myśli i dążeń, zawsze budziły szereg nowych ideałów, mających świecić dalszemu postępowi narodu.

Wtedy ścierają się pojęcia, krzyżują myśli : konserwatyści bronią status quo, postępowi wszelkimi sposobami usiłują wywalczyć prawo obywatelstwa swym zdaniom. Powstają silne spory, gorąca walka dopiero zdejmuje rdzę z żelaza, a połysk stali daje miarę wartości nowych wyobrażeń.

Z pomiędzy wielu sporów w dziedzinie umiejętności, najżwawsze, najgłośniejsze bywają pewnie spory literackie. Podobne, jak je Mochnacki nazywa „sektarstwo estetyczne odbyło się i u nas z niezwykłą siłą, w pierwszej połowie naszego wieku, ogólnie znane pod nazwą sporu klassyków z romantykami. Bardzo ciekawe są dzieje tej walki i tem ciekawsze, że po jednej stronie stali weterani, doświadczeni i wytrawni, po drugiej z zapałem i ogniem rwała się młodzież, nieświadoma dobrze swej sprawy, na oślep naprzód idąca. Długo i powoli zbierał się materjał, z które go powstały nowe wyobrażenia, i ukazały się nowe kierunki.

Zewnętrzne prądy coraz silniej wnikały w umysły, nastrajane do ich przyjęcia zmianami wewnątrz kraju. Prace sejmu czteroletniego i komisji edukacyjnej nie padły na opoczystą glebę ; konstytucja nadana przez Aleksandra I, jakkolwiek pozorna, dozwalała atoli swobodniej się nieco poruszać. Wolno było Polakom mieć swą ojczyznę i młodzież gorąco lgnąć poczęła do wyzyskiwanego dotychczas kraju. Obok tworzącego się w ten sposób poczucia narodowości, zwiększyła się masa wyobrażeń i pojęć, wskutek powolnego wprawdzie, ale ciągłego wpływu zagranicy.

W Niemczech oddawna już w umiejętności i sztuce trwał zwrot nowy. Minęła najświetniejsza epoka Getego i Szyllera ; romantyzm niemiecki przeszedł w drugie stadjum : w stadjum niesłychanego rozkiełzania fantazji, i nadania uczuciu (Gemüth) praw najwyższego kierownika w życiu. Filozofia i krytyka sankcjonowała nowe zdobycze myśli romantyków, a Szelling i Fichte wespół ze Szleglami panowali w tej dziedzinie prawie niepodzielnie.

Powoli wciskały się nowe myśli i dzieła do Polski, a zanim wytworzyły się teorytyczne sprawozdania z tego ruchu za granicą, jawiło się dość przekładów z niemieckiego i angielskiego. Teatr okazał się tu najbardziej postępowym. Od 1790 roku grano w Warszawie Emilią Galotti Lessinga, Hamleta, Króla Lira, Otella, Romea i Julią, w 1801 Don Karlosa i Fiesca Szyllera, w 1812 Rogulski przetłumaczył Makbeta. Grano nadto Zschokego, Spiesa. Schrodera. Niebawem pojawiają się artykuły o ruchu umysłowym za granicą, a równocześnie pierwsze słabe próbki naśladownicze wedle obcych wzorów.

W 1816 Bentkowski podaje w Pamiętniku warszawskim pierwszą wiadomość o nowym rodzaju literatury w Niemczech. Równocześnie Minasowicz tłumaczy balladę Szyllera Nurek[1]), a nadto Tymowski, Brodziński i Mieroszowski bądź to przekładają z niemieckiego, bydź piszą oryginalne dumy na wzór angielskich, z któremi już był zapoznał Niemcewicz.

W 1817 obok przekładów umieszcza Pamiętnik [2]) dumę w guście romantycznym S. Okraszewskiego pt. Izora i Artur, a w nastepnym roku ukazują się pierwsze polskie artykuły polemiczne. W artykule „Dla czego język i literatura niemiecka zdolniejsze są do ukształcenia rozumu i serca niż francuskie ?“ [1]), nicuje Dr. Jan Kaulfuss Getego, zarzucając mu „rozbujałość“ imaginacji i rozwiązłość obyczajów“, a kończy listem „jednego z mężów uświetniających literaturę narodu polskiego (może Jana Śniadeckiego)(?): „Romantyczność jestto przedsięwzięcie rozpaczy, jestto idealizm sentymentalny, jak kantyzm jest idealizmem zmysłów. Jedno i drugie kalectwem i chorobą myślącego człowieka.“ Ponieważ atoli były to głosy sporadyczne, nie obudziły zrazu silnej opozycji ze strony konserwatystów. Dopiero rozprawa Brodzińskiego o klasyczności i romantyczności [2]), rzuciła nieco światła na nowy kierunek literatury i wywołała starcie.

Ruch stawał się coraz szybszy, a przekłady i artykuły literackie sypać się poczęły. jak z rogu obfitości. Romantyzm szybko jedna sobie mnóstwo zwolenników, a Ossyan, Petrarka, Szekspir i Dante, Szyller. Gete, Walterscott i Byron coraz więcej czcicieli Znana polemika Śniadeckiego i dzielna lubo nieco bezwzględna odprawa w Pamiętniku warszawskim[3]) budzą żywe zajęcie, zwiększają liczbę romantyków. Rozpoczęła się walka. Romantycy walczyli głównie dziełami, których wydawali bardzo wiele, klasycy zaś starali się wykazać ułomność „bredni młodych wierszokletów“, jak Koźmian te dzieła nazywa. Mierząc chłodno owe chwile pełne uniesień, orzec dziś musimy, że jedni i drudzy mylili się we wielu względach bo — słusznie mówi Grabowski — „żywiołem jednego koła było szyderstwo, pochlebstwo i zamniemanie, drugiego entuzjazm niewiadomość i znów zamniemanie“.

W tej szermierce gorącej romantycy usiłowali coraz nowymi utworami zarzucić, przygnieść i zmusić do milczenia klassyków którzy znów jednym ciętym dowcipem ośmieszali niekiedy cały utwór.

Śród różnych rodzajów broni, używanej przez romantyków, jeden osobliwymi cieszył się względami, a najczęściej rzucany klasykom przed oczy, najwięcej był przez nich szarpany. Łatwo się domyśleć, że była to ballada. Ogromną rolę odgrywa ona w walce romantyków z klasykami. Każdy z wyznawców nowego kierunku poezji najpierw siły na balladzie zaprawiał, jawiło się więc ballad bez liku po różnych pismach perjodycznych, i gdy romantycy śmiali się, że Koźmian napisał 1000 wierszy o sadzeniu grochu, ci pięknem płacąc za nadobne, bez litości chłostali tę „dzicz balladową“[4]) opiewającą „czułość“ zbójców, wdzięki wi-

---

1)Pam. Warsz. t. IV. str. 213.
2)Pam Warsz. marzec. 1817.

---

1) Ib. 1818 zesz. sierpn. st. 523.
2)Pam. Warsz. 1818.
3)Rok 1819. s· XIV. str. 458. i d.
4) [illegible] L. Semieńieski str. 103.

sielców, mogiły, mogilniki, kurhanki i zgliszcza [1].

Wprawdzie w głównym obozie walczono bronią tęższą: Mickiewicz pisał Dziady, Grażynę, Wallenroda... ale siły mniesze brały się do ballad. Śledząc cały przebieg walki — przychodzi się do przekonania, że ballada, pomimo to, iż jest spaczoną i staje się z czasem prawdziwą karykaturą tych pięknych utworów, jakie tworzyli Oelenschläger, Bürger, Göthe, Stolberg, Rosegarten, Holtey, Schiller, Percy lub Walter-Scott, pomimo to wytrwale towarzyszy całemu literackiemu przewrotowi, i pierwsza prawie ruch ten wznieciwszy, ostatnia niemal ustępuje z pola walki. Rok 1819 przedstawia już widok znacznie odmienny od lat poprzednich. Tłumaczenia i wiersze oryginalne — przeważnie ballady, zajmuią w warszawskich czasopismach miejsce dawnych epigramatów i bajek. Tygodnik polski warszawski zamieszcza przekłady Ossyana (Ostatnia walka Fingala [2]), Pieśń poranną przed bojem [4]). Wyjątek z Temory [3]), Komala poema [5]), Szyllera Dziecię igrające [6]), oraz ballady z angielskiego, Pies wściekły, lub z niemieckiego Rycerz: nadto zapoznaje z Herderem, mówi o balladzie, jako poemacie nowego rodzaju [7]) i wysoko podnosi poezję niemiecką.

Pamiętnik warszawski daje tłumaczenia Byrona, Szekspira, a oraz oryginalne utwory L. S. np. Zdanek i Halina [8]), zbliżone treścią i formą wiersza do ballad wileńskich poetów.

Pamiętnik naukowy drukuje wiele nowego rodzaju poematów, między innymi ballady Józefa Korzeniewskiego Ernestyna [9]), Niemcewicza z angielskiago: Jest nas siedmioro [10]), naśladownictwo Leonory w balladzie Alonzo i Helena [11]), i drugie Lacha Szyrmy pt. Kamilla [12].) Nadto zajmuje się Pamiętnik specjalnie Lenorą, wskazując na podobne podanie u nas, i wzywając do obrobienia tegoż. Widzimy, że pierwsze hasła nowego ruchu podnoszą się w Warszawie — i pierwsze ballady tam się ukazują. Atoli i Lwów nie pozostał w tyle. Rozmaitości lwowskie wcześnie okazują dążności postępowe. W 1818 zamieszczają obchód zwycięstwa Szyllera w przekładzie Brodzińskiego oraz powieści w rodzaju ballad: Ludmiła [13]), Edwin i Zelina [14]), a w 1820 Ifigenia czyli skutki niewierności, p. Ant. Mal,..iego, Atenais [15]) Zbigniew i Malwina [16]), Mścisław, i Halina p. AG. N. [17]), Elwira [18]). Dopiero w 1821 roku ruch przenosi się do Wilna, które dotychczas najmniej brało udziału w sporze, i tyleż prawdopodobnie wiedziało o poezji nowej.

W Dzienniku Wileńskim w 1821 pojawia się wiersz Felicyi Malikowskiej pt. Elmira i Alkar [1]), którego treścią wzgardzona miłość Alkara, a wnet potem Meliton i Ewelina, [2]) A. Januszkiewicza — również o tragicznie zakończonej miłości. Taki mniej więcej krótki rys pierwszych zarodów poezji romantycznej u nas, zainaugurowanej przeważnie przez ballady. Atoli cechy ballady przed Mickiewiczem nieco odmienne. Osobliwie wiersz nie posiada tej giętkości i świeżości, w obrazowaniu znać chylenie się do plastyki klasycznej, treść zaczerpnięta że średniowiecznej rycerskości, a w ogóle nie ma myśli użytkowania własnych podań ludowych, całego rozległego świata pieśni gminnej. Wilno podaje myśl tę, a Chodźko Aleks. w 2 konwersacjach z przeszłości opisuje zrodzenie się, w umysłach młodych studentów.

Pewnego razu, kiedy kółko młodzieży było zebrane na wieczornem literackiem posiedzeniu u jednego z kolegów, Czerniawski, syn profesora rosyjskiego języka, przyniósł i odczytał rosyjskie przerobienie Żukowskiego bürgerowskiej ballady Lenora, Zachwycona nią młodzież rzuciła się do tego rodzaju poezji — i posypały się utwory Zana, Mickiewicza, Odyńca i innych. Zapał młodych poetów do tworzenia ballad był niewymowny. Chodźko mówi, że zaraz nazajutrz utworzył Tomasz Zan Cygankę „pierwszą balladę w języku polskim“ [3], potem Neris i Świteź. Pisano zaraz w początkach wiele, choć nie drukowano. Poezje obiegały w odpisach, albo bardzo często kryły się i dotychczas kryją w stambuchach będących wówczas w powszechnem użyciu. Obecnymi byli owego wieczoru prócz Mickiewicza i Zana – Jan Czeczot, Jeżowski Józef, Malewski Franciszek. Trudno przypuścić, znając ducha ówczesnej młodzieży, aby oni też nie pisali ballad, atoli utworów ich nie znamy, Wymieniamy tu ballady Zana wedle własnego jego świadectwa [4]) w owym czasie utworzone: Nerysza, Twardowski (Stef. Dąbrowskiego), Neris (u Klotyldy Wołodkiewiczówny), Świteź (w stambuchu p. Łuczkiewicz), Cyganka (w dz. wil. między r. 1820 a 21) [5]), Aryon poeta i td.

Mickiewicz pisze najpierwszą balladę swoją Lilie [6]), potem To lubię (ściśle nie da się oznaczyć, kiedy – w każdym razie przed zerwaniem z Marylą tj. przed kwietniem 1821), następnie Świteź, Rybkę, a 12 sierpnia 1821 Świteziankę [1]).

W 1822 wydaje już cały ich tomik w Wilnie. Jakie wrażenie uczyniły te jego poezje, okazują doskonale zbytniem uniesieniem tchnące słowa spółczesnego świadka, które tu przytaczamy, objaśniają bowiem poniekąd powstanie naśladowców.

„Kiedy przypomnę sobie owe chwile, dusza młodnieje i jakby w orle skrzydła uzbrojona, podrywa się z kału ziemskiego, ulatując w eteryczne sfery, napawając oczy swoje widokiem rajskiej krainy, pierś oddycha całą pełnią swobody, karmi się balsamiczną wonią najcudniejszych kwiatów i pierwszy raz poczuwa, co to jest życie niebieskie“ [2]) Łatwo pojąć, że: „co tylko pisać umiało, co kleiło wierszyki, wszystko rzuciło się do bazgrania ballad i romansów“. [3]) Ukazanie się tych poezji stanowi ważną chwilę w dziejach romantyzmu a stanowczą w dziejach balladomanii: one bowiem sprawiły pojawienie się wielu poetów prawie wyłącznie piszącycych ballady.

„Z ballad Mickiewicza odrazu stały się najpopularniejszemi: Powrót Taty i Pani Twardowska. Wszyscy umieli je na pamięć; naśladowców ćma powstała między tymi Stefan Witwicki“ [4]) Trudno przypuścic, aby ten wówczas młody poeta był najpierwszym Mick. naśladowcą. Z danych, jakie posiadamy wynika, że Odyniec poszedł pierwszy śladem Adama.

Ballady Mickiewicza ukazały się 16 maja 1822, a 21 maja drukuje Odyniec balladę Adela, naśladując Bürgera Lenorę i w uwadze dodaje, że „idzie za przykładem p. Mickiewicza, który w swoich wzorowych balladach wiele z pieśni gminnych korzystał“. Stwierdza to jeszcze fakt, że jakkolwiek przedtem poeta ten zajmował się Bürgerem (pierwszy bowiem przekład ballady „der wilde Jäger“ umieścił w zeszycie kwietniowym z oryginalnym atoli utworem wystąpił dopiero „za przykładem p. Mickiewicza“. Za tym samym przykładem poszedł Zan i drukował

---

[1])Morawski w poemacie Klasycy rom. polscy.
[2]). str 30,[3])str. 70 [4])str. 40, [5])str 51, [6]) str 38
[7])Tygodnik Pols. warsz. r 1819 str. 100 nr. 44.
[8])Ibd. r. 1816 str. 98
[9])Pam. nauk. r. 1819 t. 2 str. 154.
[10])Pam. nauk. 1819.
[11]) Ibd. r. 1819 nr. 2 str. 276.
[12])Ibd.
[13]) nr. 85 [14]) nr. 72. [15]) nr. 106 [16]) nr. 9 w 36
[17]) nr. 49 [18]) nr. 76 r. 1821.

[1]) r. 1821 str. 51
[2]) t. 3 str. 185,
[3])Jak wiemy z powyższego to mylne. Podobnie myli się Odyniec, gdy mówi, że „najpierwszy, który zaczął pisać ballady był Tomasz Zan“ (L. z podr. t. I. str. 357)
[4]) Korespondencya i żywot Tom. Zana List z Orenburga do Marji Putkamerowej wr. 1836.
[5])Cyganka wyszła dopiero w 1822.
[6])Od Listy z pedr. t. I. 357.

[1]) U Gąsiorowskiego w dziełku Ad. Mick. i pisma jego do r. 1829na str. 26 zachodzi sprzeczność. Mówi: Ad. Mick. w Wilnie pisał większą część swych ballad. Najwcześniejsze są Świtezianka i Lilje“. Na str. 29 zaś: „Z końcem 1820 r, przyjął posadę naucayciela literat. polsk. i łać. przy gimn. w Kownie“. Wypadałoby, że większa część ballad, na czele Świtezianka, i Lilie powstały przed końcem 1820 t... Tymczasem Świtezianka wydana w 1822 w marcowym zeszycie Tygodn. Wileń. na str. 348 ma udołu dopisek: „pisano w r. 1821; 12 sierpnia w Płuży nad Świtezią“.
[2])Wojcicki K. Ostatni klassyk Bibl. warsz 1872 t. 1 str. 343
[3])tamże str. 339
[4])Ostat. klas, Wojcicki Bibl. Warsz. 1882 t, 1 str. 341

Cygankę [1]) W ślad zatem idzie Warszawa. Pamiętnik Warszawski, który z początkiem r. 1822 przeszedł pod redakcyą Brodzińskiego, Skarbka i Skrodzkiego i znacznie zmienił dotychczasową tendencję, otwiera łamy młodym poetom. Już w czerwcu pojawiła się ballada Lubor [2]) do której treść zaczerpnął poeta z podań ludu litewskiego, a wprowadzeniem rusałek, przepowiadających śmierć bohatera, żywo przypomina sposób ujęcia i obrazowania Mickiewicza.

Współcześnie z Zaleskim wystąpił z balladami Stefan Witwicki, drukując poemat Xenor i Zelina [3]) a w lipcu tłómaczy Odyniec Pasterkę z Getego,[4]) Dziewczynę obcą z Szyllera [5]) Sen ubogiej Zuzi [4]) w listopadzie zaś ogłasza w Tygodniku wileńskim nową oryginalną pt. Strachy. (C. d. n.)

GOLDA

przez

Ama

Chcecie? pójdziemy... A nie powiodę was ani w cieniste gaje, ani w urocze doliny nad szemrzący strumień. Między ludzi pójdziemy — ale nie do woniejącego buduaru, gdzie piękność olśniewającego uczy się uśmiechu, i gotując się do walki, naprzód jedwabne więzy przędzie dla zwyciężonego, ani na lśniące posadzki salonu złotemi pysznego obiciami... Dalej miniemy te wyniosłe budynki, siedziby zbytku i przepychu i dalej jeszcze, dalej, jeżeli wam sił stanie i ochoty. Tu między te niskie domki, lepianki raczej..... tu wejdziemy. Wybudowała je potrzeba, a czas mury odarł, pokrzywił, powciskał głębiej w ziemię, dachy podziurawił i okna.... a nędza dziurawe dachy gdzieniegdzie słomą zapchała, lub szmatami, okna zalepiła papierem. Tu w tych domkach mieszkają, tu żyją ludzie. Na małym tym placu rojno było przed chwilą i gwarno od tego drobnego tłumu, co bawił się wesoło, teraz krzykliwy rozbiegł się na wszystkie strony, a tu i owdzie blada dziecka wygląda twarzyczka trwożnie do muru przytulona; one, te lękliwe dzieci przyglądają wam się ciekawie... z daleka. Tylko jedna mała dziewczynka powoli zbliża się z twarzyczką schorowaną. Ona stała pod murem, przyglądając się ich zabawie... możeby i pobawić chciała się z niemi". Ale któż jej tymczasem małego potrzyma braciszka? Możeby i uciec chciała z niemi — ale mały na jej ręce naparł się ciebie, o piękna pani, chce widzieć z bliska, a blada dziewczynka dźwiga z wytężeniem sił wszystkich — a on uśmiecha się do twojej pięknej postaci, i wyciąga rączki ku tobie by dotknąć twe sukni. O usuń się tak: usuń się, nie zbliżaj się do tego brudnego żydowskiego dziecka... Patrzcie! i starsi na wasze spotkanie wybiegli, wyście tu ciekawem a dziwnem zjawiskiem, bo są tacy, co tu się urodzili i dalej nie wyszli jeszcze i więcej nie widzieli nic, nad ten szmat nieba niewielki, nad te kilka walących się domków, a plac ten niebrukowany, i wąska uliczka sterczącymi, nierównymi pokryta kamieniami, całym im są światem. Nie wielu jest takich — ale są. Inni, a tych jest więcej, widzieli już nieraz i widzą codziennie i patrzą codziennie na piękność i zbytek miast — wieczorem z całodziennej wracają wędrówki do lichych swych mieszkań i nocą na twardem posłaniu, pod dziurawymi dachy (na twardem posłaniu) marzą o wysokich, świetnych budynkach, bogatą zdobnych rzeźbą, o wielkich sklepach z olbrzymiemi zwierciadlanemi szybami. Ale tu tak na jawie rzadko, bardzo rzadko pokazuje się mieszkaniec z tamtego pięknego świata, więc dziwią się wam ci ludzie. Ludzie?... ten tłum wynędzniały o bladej twarzy, w sukni wymiętej i podartej, ja nazywam ludźmi! O przebaczcie tę obelgę straszną wyrządzoną rodzajowi ludzkiemu... Ludzie? ty znasz ich przecie — oni noszą fraki czarne i aksamitne treny i mają twarze jasne i pochlebne słówka i słoneczne uśmiechy i mówią po francusku najczystszym akcentem. Dla tego tłumu, co niezrozumiałym wrzeszczy szwargotem, który ci ucho rani, jedną masz tylko nazwę... żydzi. A oni goniąc za tobą oczyma, pokazują cię palcami, i dziwią się twej strojnej urodzie. Tam z tego lochu, co tu sklepem się nazywa, do którego po kamiennych, wyszczerbionych wstępuje się schodach, z tego wilgotnego lochu wybiegła kobieta aż na sam środek ulicy, przypatruje się tobie. Ona cały dzień w sklepie swym sól waży i tasiemki mierzy, ona jeszcze nigdy tak pięknej nie widziała postaci... O nie odwracaj się od niej! Przypatrz jej się, przypatrz bliżej, nie odwracaj się od tej poczwary. Czy widziałaś kiedy delikatniejsze rysy i cerę bielszą i bardziej przejrzystą? Czy widziałaś? Nie! nie widziałaś jeszcze u nikogo takich głębokich przepaścistych oczu, czarnych jak otchłanie, nie widziałaś łagodniejszego uśmiechu. O nie odwracaj błękitnego wejrzenia, nie lękaj się. Gdy wrócisz nikt nie pozna, że lazur twego oka skaziłaś tym widokiem, gdy wrócisz, jak wprzód hołdy ci nieść będą i wielbić cię będą, i w źrenicach twych jak dawniej niebios ujrzą odbicie. O ona piękną by być mogła! Gdybyś ją widziała, kiedy dziewczyną jeszcze, bo już zamężna, czarne swe rozpuściła włosy, one rozsypane okrywały ją całą i wlokły się za nią daleko po ziemi, jak bogaty płaszcz królewski za tą pogiętą, pokrzywioną postacią. O! ona tobie może smukłością dorównywałaby kibici, bo natura chciała ją mieć piękną i wszystkiemi obdarzała ją skarbami. — los nie chciał i czułą nadarzył jej piastunkę. Ona codziennie dziecię nosiła do miasta rodzicom do sklepu, żeby choć raz przez dzień pieszczotkę swą widzieć mogli, potem dbała o zdrowie dziecka szła z niem na przechadzkę... na świeże powietrze. Ale świeże powietrze nie służyło dziecku widocznie, służąca brała je rano z domu zdrowe i świeże, wieczorem przynosiła zbiedzone, spłakane. Gdyby ona tobie opowiedzieć chciała, na co od najrańszego dzieciectwa patrzyła, tybyś paluszkami zasłoniła uszy... Gdyby te wszystkie wrażenia tych pierwszych lat wyryły jej się w duszy, one tam w smutny, brudny złożyłyby się obraz, jasnemi przeplatany smugi... te jasne smugi to pieszczoty i pocałunki rodziców, na szarą resztę dymna ciasna składała się izba z wysoką ławą, na którą ją rzucano niby kawał nieczułego drzewa, nabrzękłe twarze obecnych — a płaczu jej tam, gdy z wysokiej stoczywszy się ławy na ziemi leżała, słychać nie było, bo obecni głos jej słaby zagłuszali krzykiem, zagniewana i zaczerwieniona twarz piastunki tulącej ją szturchańcami, gdy do domu wracały.

Gdyby ona dziś to pamiętała?... Lecz szczęściem wrażenia te przez oczy i uszy do duszy nie weszły i nie zapisały się tam niezatartymi ślady — ohydne — pierwsze na resztę życia. Ona nie pamiętała nic z tego. Raz Magda bardzo chmurna i gniewna była, i biła ją choć ona nie płakała, bo to było rano jeszcze — odgrażała się głośno dziewczynie jakiejś, zaciskając pięści, wreszcie nabrała kamieni w fartuch, rzuciła dziecko, bo jej zawadzało i pogoniła. Nie pamiętała, nie czuła dziś tego strasznego bolu, jaki czuła wtedy — nie pamiętała. A przecież pamiątka dnia tego na całe została jej życie. Poźnym wieczorem dziewczyna wróciła do domu z podbitem okiem, i potłuczonem dzieckiem, dziewczyna, którą biedna kobieta płaciła tak drogo, żeby jej jedynego strzegła dziecka. A rodzice kochali ją, tę Perełkę swą kochali i pieścili, bo ona była ich jedyna — ostatnia została ze wszystkich. Kochali ją i pracowali dla niej we dnie, troskali się w nocy, pracowali jej na posag. A że przy pracy dziecka strzedz sami nie mogli pilnie jak chcieli, najęli piastunkę. A ona je strzegła jak oka w głowie, i zrobiła je kaleką. Taka jest historja tej biednej kobiety, z tą śliczną twarzą na pokrzywionem, karłowatem ciele, — smutna. Taka historja ich wszystkich szara, jednostajna jak życie ich, nieustanna walka z nędzą o kawał codziennego chleba. Oni ci jej nieopowiedzą, ale czytać ją można

---

[1]) Dzien. Wil. r. 1882 zeszyt czerwcowy.

[2]) Pam warsz. 1822 str. 130.

[3]) Pam. warsz. 1822 czerwiec str. 243.

[4]) Pam. warsz. 1822.

[5]) Pam. warsz. 1822.

wypisaną na bladych ich twarzach, na nagich ścianach tych dziur, które oni mieszkaniami zowią. O nie zagiądaj tam przez okienka! — Tam naga nędza, otrząsnąwszy ostatni łachman, którym ją okryć usiłował wstyd lub pamiątka lepszych czasów, stanie przed tobą bezczelna, z cynicznym uśmiechem i opowie ci, jak ona w codzienne z człowiekiem musi wchodzić zapasy. Jak on we dnie i w nocy pracuje, ale pomimo wszelkich wysiłków zwalczyć jej nie może, nie może jej wypędzić. Bo kiedy ona strapionemu ojcu zgłodniałych nakarmić pozwoli, kiedy nie płacze już łzami dzieci i nie woła już ich głosem „ojcze chleba“ — a on myśli, że ją już wygnał — ona schowana gdzieś w kącie czeka — i wychudłą twarz z za nieopalonego wychyla pieca, i zapadłemi świecąc oczyma woła: „jestem“, i śmieje się z rozpaczy z jaką on ją wita, śmieje się bezzębne szczerząc szczęki. O bo ona dowcipna! A przez wytłuczone okna i drzwi popaczone wiatr jesienny świszcze i przechadza się po pustej izdebce jak po królestwie swem, a mróz wchodzi tu bezpieczny na mieszkanie.

Ona wypędzić się nie da, bo i czemużby ona miała stąd uciekać? Tu tylko dwoje ramion z nią walczy, a tyle głosów jęczy co rana: „Ojcze jeść“ i tyle rąk skostniałych z zimna wyciąga się ku niemu codziennie. Tu jej tak dobrze, tak przestronno we wszystkich kątach, dziurawemi oknami na świat patrzeć może Boży, a głosy jęczących dzieci i ciężkie westchnienia ojca grają jej najpiękniejszą muzykę a w takt jej ona hula sobie. Czyż jej tu źle? Czyż jej źle tu u łóżka chorej kobiety, pięknej dziewczynie zuchwale w czarne zagląda oczy i cieszy się, bo ona, ta dziewczyna śniada blednie na myśl, że jutro chorej swej matki nie będzie miała czem posilić, jeżeli dziś tej roboty nie skończy. I pochylona pilniej jeszcze pracuje — tak tej dziewczynie dnie schodzą wszystkie jednostajnie, pracą wypełnione, ciągłą troską o chleb dla starej matki.

Czasem zmęczone spadną jej ręce, ona główkę pochyli i zamarzy, i gorące pragnienie zapłonie w jej duszy i twarz jej obleje koralowym rumieńcem, tak pięknym, że aż go żal, gdy ostygnie powoli — rumieńca takiego ty w całej twej nie masz gotowalni — ona myślą poleci gdzieś daleko do zaczarowanych światów. Ale marzyć ona na miękką nie rzuca się sofkę w pięknej układając się pozie, ona niby bezwiednie białymi paluszkami nie obrywa róży, w zachwycającem roztargnieniu rozsypując ją po dywanie, bo sofki nie ma, tylko twardą ławę i niskie krzesełko, — bo róży nie ma. — Uwierzysz? ona jeszcze nigdy róży nie miała, a choćby i miała, jej kwiatu śnieżnego żałby było na igraszkę palców — jej żałby było róży?

O poczciwa dziewczyna! Tak pani, ona poczciwa, najpoczciwsza w świecie, ona czasu niema na długie marzenia i dłuższe jeszcze przygotowania do nich, zadumaną budzi syczenie garnka, i biedz musi od ognia go odsunąć, bo gdyby wykipiał rosół staruszki, cóżby jej dała? To zwykła żydowska dziewczyna. Jej nikt pochlebnych nie szepta słówek, nikt nie czeka jej wejrzenia ani jej uśmiechu, choć wejrzenie czarnych jej oczu gorące — choć uśmiech jej piękny na purpurowych zakwita ustach, a z za uśmiechu drobne połyskują ząbki białe i równe. Jej nikt nie powiedział, że jest piękna, jej tego żadne nie zdradziło wejrzenie niemego uwielbienia pełne, jej tego własne niepowiedziało zwierciadełko, zczerniałe i rozbite, ono jej twarz krzywą pokazywało i nieznośną.

(C. d. n.)

Obyczaje kupieckie.

Studjum Herberta Spencera.

(Przełożył L. Inlender.)

(Dokończenie).

Lecz główną kwestją nie jest to bynajmniej, czy obyczaje kupieckie dziś są lepsze lub gorsze, niż dawniej i ważniejszem nierównie jest wiedzieć, dlaczego one dziś są tak złe? dlaczego pośród cywilizacji jaka nas otacza, tyle jest śladów zmyślnego egoizmu dzikich? dlaczego po latach nauki; w której tylokrotnie starano się nam zaszczepić poszanowanie słuszności i uczciwości, następuje życie które się składa z bezecności? dlaczego w brew napomnieniom, które co niedziela słuchać muszą kupcy, już w poniedziałek wracają do swoich sztuczek zwyczajnych? co to jest za siła nieprzezwyciężona, która unicestwia prawie zupełnie wpływ wychowania, praw i religji?

Możnaby wymienić mnóstwo przyczyn drugorzędnych; pominiemy je tutaj, aby tem snadniej pomówić o przyczynie głównej. Aby wyczerpać przedmiot, trzebaby napomknąć cokolwiek o łatwowierności konsumentów, co się dają łapać na niemożliwe korzyści, któremi im oczy mydlą, i cokolwiek także o ich chciwości, która im każe żądać zawsze więcej, niż się należy, i zachęca kupca do kaptowania ich sobie przez złudne obietnice. Dalej zważyć należy, że ciągły wzrost ludności coraz bardziej utrudnia życie; jest to także ważna przyczyna. Nadto ludzie coraz lepiej chcieliby wychowywać swoje dzieci; to kosztuje więcej niż przedtem, zatem również nie jest bez wpływu. Lecz wszystkie te przyczyny są względnie małej wagi. Główny bodziec popychający kupców do malwersacyj, to gorące pragnienie zostania bogatym, a gdyby się zapytano dlaczego to pragnienie, odpowiemy: z powodu szacunku, jakiego doznaje bogactwo bez rozróżnienia.

Wyróżniać się z tłumu śmiertelników, odgrywać rolę, zdobyć sobie imię, stanowisko — oto cel ogólnej ambicji: aby zaś dojść do tego, pono środkiem najpewniejszym i najłatwiejszym jest zebrać majątek. Ludzie zawczasu już uczą się tego. W szkole dziecię widzi, że oddają hołdy kolegom, do których rodzice przyjeżdżają powozem: tak więc dzieciak ubogi, który garderobą swoją zdradza niedostatek rodziców, wnet zapisuje w pamięci zasadę: że ubóstwo jest przedmiotem wzgardy. Gdy ta istota wstąpi w świat, nauki moralne których mu udzielono o szlachetności, abnegacji, o poszanowaniu dla talentu, o piękności nieskazitelnego żywota itp. wnet są rozwiane przez doświadczenie: czyny jakie widzi u otaczających go ludzi, świadczą mu, że oni bynajmniej nie tak się zapatrują na rzeczy. Wkrótce spostrzeże on się, że chcącj zdobyć sobie u współobywateli wszelkie możliwe oznaki poważania, znajdzie na to niezawodny prawie środek, gdy obróci całą swoją energię na zbieranie majątku, podczas gdy wszelkie inne środki najczęściej nie dopisują, że nawet gdyby tego celu dopiął innymi środkami, to szacunek, jakiego dozna, nie będzie zupełnym: będzie on zawsze zmięszanym potroszę z mniej lub więcej wyraźnym odcieniem protekcji. Wówczas zresztą młody człowiek dojdzie do poznania, że bogactwo łatwo zdobyć może miernym swoim talentem, że zaś chcąc się odznaczyć świetnemi odkryciami, czynami bohaterskimi, lub arcydziełami, potrzebowałby zdolności umysłu i serca, których nie posiada; poświęca się więc duszą i ciałem handlowi — to rzecz jasna.

Nie chcemy utrzymywać, że ludzie zanim przystąpią do działania — zupełnie świadomie rzecz rozważają w powyższy sposób: wzmiankowane konkluzje są jednak mimowolnym wynikiem codziennego doświadczenia ich. Od dzieciństwa, wszystko cokolwiek słyszeli lub widzieli, przyczyniało się do zaszczepienia im myśli, że bogactwo i poważanie u ludzi to tylko dwie strony jednej i tej samej rzeczywistości. Myśl ta rośnie wraz z nimi, umacnia się i nareszcie przeradza się w to, cobyśmy nazwać mogli przekonaniem organicznem. Na mocy tego to właśnie przekonania organicznego terają oni wszelkie siły na gromadzenie pieniędzy. Utrzymujemy, że głównym bodźcem nie jest w tym wypadku zamiłowanie w bogactwie samem dla siebie, lecz żądza oklasków i stanowiska, jakie nam przynosi bogactwo. W tym punkcie zgodzili się z nami liczni kupcy inteligentni, z którymi mieliśmy sposobność mówić.

Niepodobna uwierzyć, aby ludzie do tego stopnia zużywali ciało i umysł, jedynie dla osiągnięcia korzyści, jakie nastręcza pieniądz. Któżby zechciał — prócz pracy swojej — wziąć jeszcze na się nowe troski, parać się około coraz nowych interesów na to, aby mógł złożyć w piwnicy wyborowe wino, które sam ma wypić? Kto się obciąża takiemi troskami, z pewnością ten chce mieć dobre wino, aby niem częstować gości i od tych zbierać pochwały. Któryż kupiec chciałby siedzieć chociaż godzinę dłużej w kantorze jedynie na to, aby z czasem mógł nająć mieszkanie w wykwintnej dzielnicy, gdzie mu będzie wygodniej?

Wie on dobrze, że o ile przez to nie zdobędzie nic prócz zdrowia i wygody, to traci na zamianie, i nie da się na to namówić chyba że przez zmianę mieszkania na lepsze spodziewa się wzrostu szacunku, jakiego używa u ludzi. Gdzie jest człowiek, któryby zechciał trawić noce całe na obmyślaniu sposobów pomnażania dochodów w nadziei, że zdoła kupić dla żony powóz, gdyby chodziło o powóz sam w sobie? Lecz powóz doda mu *eclat*, i dla tego to właśnie splendoru rzuca on się w odmęt spekulacyj. Prawdy te są tak w oczy bijące, tak znane, że wstydzilibyśmy się kłaść na nie nowy nacisk, gdyby kwestja tego nie wymagała.

Jeśli więc żądza zbierania oklasków, których przysparzać zwykło bogactwo, główną jest przyczyną gorliwości w gonitwie za majątkiem, to nikt inny tylko ci co tych oklasków udzielają (skoro to czynią, jak dziś bez rozróżniania prawie) ponoszą winę nieuczciwości, do których się w swojej gorliwości uciekają kupcy. Skoro kramarz, zamykając rok korzystnie i mając dobre widoki na przyszłość, dał się raz namówić żonie, aby sprawić nowe meble kosztujące więcej, niźli się spodziewać może dochodu; skoro potem — zamiast spodziewanej nadwyżki z końcem roku następnego znajdzie ubytek w interesie; skoro wydatki jego zaczną przewyższać dochody — wtedy uczuje on niemałą pokusę do naśladowania jakiego fałszerstwa nowo wynalezionego, lub innej jakiej malwersacji. Skoro hurtownik dawszy się trochę poznać światu przez wystawę itp. zacznie wydawać obiady odpowiadające kasie dziesięćkroć pełniejszej, niż jego własna, i czynić inne wydatki na rachunek przyszłości skoro po niejakiem trwaniu tego kosztownego życia spostrzeże się naraz, że niemógłby się na tej drodze zatrzymać bez skompromitowania swej sytuacji; wtedy prawie przemocą popychanym bywa do przedsiębiorstw coraz szerszych, przekraczających jego siły; musi chcąc nie chcąc otwierać większy kredyt niźli powinien, słowem wdrażać się w znany szereg nadużyć coraz bardziej skomplikowanych, na końcu których znajduje się sromotne bankruetwo. Skoro zaś takie są fakty niepodpadające żadnej dyskusji, nie można się oprzeć wnioskowi, że ślepe uwielbienie, jakie okazuje społeczność dla samego bogactwa i tegoż pozorów, jest prawdziwem źródłem tych występków bez nazwy *).

Tak jest, zło siedzi głębiej niżby się zdawało; jest to roślina która sobie szuka pokarmu głęboko pod powierzchnią. Ten olbrzymi system nieuczciwości, który puszcza gałęzie i przybiera wszelkie możliwe formy nieuczciwości, ma korzenie które się ciągną popod całą naszą budową społeczną, i posyłając swe włókna aż do naszych domostw, ciągnie soki ze słów naszych i czynów. W każdej sali jadalnej jakiś korzónek tej rośliny znajduje dla siebie pokarm, gdy rozmowa toczy się około szczęśliwej spekulacji pana x lub y, o jego ambicji w obrotach i o domniemanem bogactwie jego, lub o znacznym spadku który się właśnie co dostał takiemu to a takiemu, o świetnem małżeństwie innej znowu osoby — gdyż mówiąc w ten sposób o kimś oddaje się milcząco hołdy o które się ludzie ubiegają, za które walczą. To samo widzimy w salonie: admirują tam wszystko co drogie, jedwabie „bogate" t. j. drogo kosztujące; suknie złożone z niezmiernej masy materyj, to jest kosztowne; porcelanę chińską która jest starą, a więc znowu kosztowną. I w tych to drobnych a licznych uwagach, w rozmaitych szczegółach zachowania się, które we wszystkich kołach co chwila dowodzą, jak dalece wyobrażenie o zacności połączonem jest z pojęciem wielkich wydatków, roślina owa znajduje nowe soki żywotne.

Wszyscy jesteśmy winni, wszyscy chcąc niechcąc służymy za narzędzie panującej opinji. Nawet i ci, co opinji tej nie uznają, nie mają odwagi uznawać cnotę w łachmanach, z taką szczerością, jak gdyby ona była otoczona zbytkiem. Trudno przyjdzie znaleść człowieka, któryby łotra ubranego w porządne suknie nie traktował lepiej niż łotra w łachmanach. Ludzie, okazawszy się pobłażliwymi wobec bogatego engrosisty lub szczęśliwego łotrzyka, sprawiają sumieniu swemu ulgę, okazując pogardę w niższych sferach: lecz skoro następnie znowu stanie przed nimi cały ów imponujący aparat pokrywający nicość, traktują go tak samo. Dokąd zaś nicość olśniewająca odbiera zewnętrzne oznaki uszanowania, dotąd — rzecz naturalna — znajduje się w stanie kwitnącym.

Ztąd to pochodzi, że ludzie trwają w działalności karygodnej, którą wszystko potępia. Mogą oni sobie w ten sposób zapewnić szacunek, który — co prawda — nie z serca pochodzi, lecz — gdzie chodzi tylko o pozory — wart tyle co najszczersze uznanie. Gdy człowiek zdobył majątek przez życie łotrowskie, co mu to szkodzić może, że imię jego wszędzie będzie tyle co oszust? Czyż on nie doznał oficjalnie honoru, być dwukrotnie wybranym na burmistrza miasta (historyczne)? a honor ten, w połączeniu z szacunkiem który okazują dla jego osoby, czyż w oczach jego nie wart więcej o wiele od wszystkiego, co o nim mówią i o czem on może nigdy słowa nie usłyszy? Gdy w kilka lat po skandalu z powodu niegodziwości w handlu popełnionych, kupiec osiągnąć może najwyższy zaszczyt cywilny, jaki wogóle królewstwo dać może, i to jeszcze z pomocą, tych którzy sami najlepiej znają jego wady, czyż to nie jest podnietą dla niego i dla innych, aby gardzili uczciwością, a starali się jak najwięcej zyskiwać? Skoro, wysłuchawszy kazania, w którem między innemi potępiono także nieuczciwości przez niego popełniane, bogaty złoczyńca w bramie kościoła spotyka sąsiadów, którzy przed nim głowy odkrywają — czyż takie milczące uznanie nie może zniweczyć skutku tego wszystkiego co on właśnie słyszał? W istocie dla przeważnej liczby ludzi, zewnętrzny wyraz opinji publicznej jest najpotężniejszym bodźcem, względnie hamulcem. Chceszli ocenić moc tej kontroli? wystaw sobie więc, że się przechadzasz po ulicach w ubiorze zamiatacza ulic, lub roznosisz jarzynę od domu do domu; niezawodnie uczujesz wtedy, że wolałbyś popełnić jakie wykroczenie moralne, niż tak hardo stawić czoło zwyczajom i wystawiać się na śmieszność. Wtedy uczujesz, co to za silny hamulec dla ludzi otwarte potępienie ze strony bliźnich, a z drugiej strony, jak niezrównanym bodźcem dla nich bywają oklaski bliźnich. Wystawmy sobie dokładnie te fakty, a przekonamy się, że brak moralności w handlu w znacznej części przypisać należy niemoralności opinji publicznej.

Nie należy sobie wyobrażać po tem wszystkiem, że my potępiamy uznanie udzielane bogactwu uczciwie nabytemu i dobrze używanemu. Uszanowanie takie, o ile zachowuje pierwotne swoje znaczenie i trzyma się pewnych słusznych granic, nie może być

---

*) W tem miejscu pozwolimy sobie zwrócić kilka uwag: Choroba którą autor rozbiera, istniała zawsze i wszędzie, kiedy i gdzie tylko się objawiał silniejszy nieco ruch w produkcji i handlu. *Sacra auri fames* nie w dzisiejszych tylko czasach bywała powodem mnogich nieszczęść. Lecz choroba ta nie zawsze w ten sam sposób się przejawiała. Przedewszystkiem zaś nie była ona nigdy tam zorganizowaną jak za dni naszych. Wypływała ona dawniej przeważnie z ogólnoludzkich przywar i przeto zawsze była bardziej sporadyczną. Dziś stała się ona nagminną, bo stoi w związku z całym ustrojem społecznym, opartym na kapitalizmie. Źródłem nieuczciwości w handlu dziś przeważnie jest coraz bardziej rozrastający się system konkurencyjny, związany z produkcją kapitalistyczną, i w tym to systemie szukać należy charakterystyki współczesnych obyczajów kupieckich.

(Tłum.)

złem. Naprzód bowiem bogactwo jest oznaką inteligencji (? tłum.), ta zaś zawsze zasługuje na szacunek. Aby nabyć majątek uczciwie, wymaga się sprytu, energji, panowania nad sobą; są to wszystko rzeczy godne podziwu, którego im się udziela pośrednio, gdy się podziwia ich skutki. Podobnież aby módz dobrze zarządzać ojcowizną i takową powiększać, trzeba mieć cnoty niezwykłe, zachowanie się więc takie zasługuje poniekąd na pochwałę. Nadto ludzie, którzy zdobywają i zwiększają majątek, prócz poklasku należącego się ich talentowi, zasługują na dalszy poklask jako dobroczyńcy ogółu. Człowiek bowiem, który jako fabrykant lub kupiec potrafił, nie czyniąc krzywdy drugiemu*), nagromadzić mienia, dowiódł przez sam fakt, że się lepiej wywiązał ze swoich czynności, niż inni którym się nie powiodło. Mając więcej zręczności, więcej zdrowego sądu lub zmysłu oszczędności od konkurentów, przeprowadził swoją rolę z większą dla ogółu korzyścią. Jego zyski nadzwyczajne są tylko cząstką nadwyżki produktu, którą wyrobił jedynie nakładem kapitału: z nadwyżki tej korzystają konsumenci**). Tak samo właściciel ziemski, który przez stosowne nakłady zwiększył wartość (to jest urodzajność) swej posiadłości, powiększył przez to bogactwo narodowe. Ze wszystkich zatem względów dobrze jest, aby bogactwo uczciwie nabyte i dobrze zużytkowane odbierało należny podziw.

Lecz co najbardziej potępiamy jako główną przyczynę nieuczciwości kupieckiej, to podziw bez rozróżniania, podziw który się mało albo wcale nic nie troszczy o charakter bogacza. Skoro, co się najczęściej zdarza, okazujemy respekt dla czystych pozorów, które niczego nie dowodzą o wewnętrznej wartości człowieka a raczej pokrywają niegodziwość osobistą, to uczucie takie jest niemoralnem. To bałwochwalstwo, które ubóstwia symbol bez względu na rzecz którą wyobraża, jest źródłem wszystkiego złego które wyżej opisaliśmy. O ile ludzie okazują szacunek dla dobroczyńców ludzkości*), którzy nabyli bogactwa godziwymi środkami, o tyle dają silną podnietę pracy: lecz skoro część tego szacunku udzielamy owym zbrodniarzom społecznym, którzy się stali bogaczami zapomocą nieuczciwości, wtedy popieramy korupcję, stajemy się współwinnymi oszustw handlowych.

Co do sposobu zaradzenia złemu, to jest oczywiście tylko jeden: puryfikacja opinji publicznej. Skoro społeczeństwo takie same obrzydzenie, jakie dziś ma dla prostej kradzieży, okazywać zacznie i dla kradzieży pośredniej wszelkiego gatunku, wnet zniknąć muszą wykroczenia handlowe. Z dniem, w którym nietylko handlarz fałszujący towary lub oszukujący na wadze, lecz także i kupiec który operuje nad siły, dyrektor banku który popiera blagi fezerów, i dyrektor kolei żelaznej uchylający się od odpowiedzialności, znajdą się w tem położeniu, że ich traktować będą na równi z rzezimieszkami, obyczaje kupieckie staną się tem, czem być powinny.

Jednakowoż mało mamy nadziei, aby opinia publiczna wkrótce już stanęła na tej wyżynie. Obecny stan rzeczy zdaje się być w znacznej części koniecznym wynikiem dzisiejszej fazy postępu. W całym świecie cywilizowanym, szczególnie zaś w Anglji i Ameryce, czynność społeczeństwa cała prawie obraca się na wytworzenie dobrobytu materjalnego. Podbijać przyrodę, doskonalić do najwyższego stopnia siły produkcyjne i dystrybucyjne, oto dążenie naszych czasow, i prawdopodobnie następnej generacji. Jak zaś w czasach, gdy obrona narodowa i zdobycz były głównym celem usiłowań, zaszczycano nadewszystko waleczność, tak dziś, gdy głównym celem jest rozwój przemysłu, honor przedewszystkiem oddaje się tym, którzy jakimś sposobem przyczyniają się do postępu w przemyśle. Naród angielski znajduje się obecnie w stanie, którybyśmy nazwali diatezą**) komercyjną; zaś przesadne podziwianie bogactwa zdaje się być koniecznym przejawem, towarzyszącym temu stanowi. Związek między temi dwiema rzeczami bardziej jeszcze unaocznia się w znanym kulcie Amerykan dla „wszechmocnego dolara“. Dopokąd zaś trwać będzie diateza komercyjna ze swojem wyobrażeniem o wartości ludzkiej, tak długo niedostatki, któreśmy tu naszkicowali, nie mogą być skutecznie leczone. Niema zdaje się nadziei, aby się ludzie nauczyli rozróżniać dwa rodzaje bogactwa: takie które oznacza wyższość osobistą i usługi oddane społeczeństwu, i tamto drugie.

Symbole i pozory dzierżą moc kierowania masami w całym świecie, i długo moc tę zachowają. Nawet umysły wykształcone, które się wystrzegać zwykły przesądów pochodzących z asocjacji myśli, i starają się zawsze odróżnić rzeczywistość od ułudy, nie mogą się ustrzedz od wpływu panującej opinji. Wypada nam więc zadowolnić się żądaniem powolnej naprawy.

Mimo to dziś już można osiągnąć pewien rezultat, protestując silnie przeciw adoracji prostego sukcesu. Protest taki byłby bardzo ważnym, gdyż owo uczucie wadliwe znajduje dziś ogólne zastosowanie. Skoro widzimy, że jeden z najcelniejszych moralistów naszych z coraz większą gwałtownością głosi uświęcenie przez siłę; skoro nam mówią ci, że egoizm zmęczony wyrzutami sumienia jest godnym pogardy, egoizm zaś dość potężny, aby powalić wszystko, co mu tamuje bezlitosny pochód ku obranemu celowi godnym jest wszelkiego podziwu; skoro widzimy, że siła bez względu na to jakiego jest rodzaju i dokąd dąży, z chwilą w której jest dość znaczną, znajduje zawsze ludzi, który ją podziwiać każą, nie dziw wcale, że się obawiamy, aby ogólna adoracja sukcesu jakoteż i wykroczenie w handlu, do których tamta największym jest bodźcem, nie wzrosły raczej, zamiast się zmniejszyć. Ten kult siły brutalnej zainaugurowany po kulcie heroizmu, z pewnością nie ulepszy społeczeństwa; przeciwnie, dojść do tego można tylko przez ostrą krytykę środków, które dopomogły do sukcesu, przez uczczenie form czynności najwyższych i najmniej samolubnych.

Na szczęście są już oznaki, że się wytwarza taka bardziej moralna opinia publiczna. Zwolna bez dyskusji przyjmuje się nauka, że bogaci nie powinni tak jak dawniej poświęcać życia li własnej tylko przyjemności, że raczej powinni oddawać się na usługi dobra ogólnego. Co rok więcej uwaga wyższych klas zwraca się ku naprawie ludu. Z co rok wzrastającą energią starają się one przyczyniać do postępu materjalnego i moralnego mas. Tych zaś, którzy się nie przyczyniają do osiągnięcia tych szczytnych celów, zaczynają — za przykładem samych klas wyższych — traktować z pogardą mniej lub więcej wyraźną. Ten fakt tak nowy i tak zachęcający w dziejach ludzkości, to rycerstwo nowe i lepsze, obiecuje stworzyć nam ideę wyższą o honorze, i tak zaradzić niejednemu złemu, a mianowicie temu, któreśmy tu opisali. Gdy nadejdzie dzień, w którym bogactwo nabyte nielegalnie za-

---

*) Zdanie które w tekście podkreślamy, rozumiał autor oczywiście tak, że ów fabrykant lub kupiec nie popełniał żadnej z nieuczciwości, o których mowa w tej rozprawie. Jest jednak mnóstwo innych, a większych jeszcze zbrodni społecznych, od których mało kupców, a jeszcze mniej fabrykantów, może się czuć wolnymi. Taką zbrodnią jest przedewszystkiem nadmierne i niesłuszne wyzyskiwanie pracy. Gdy zaś, jak wiadomo, przeważna część zysków pochodzi właśnie z „oszczędności“ w zakresie pracy wytwórczej, klasa zaś pracująca która przez te oszczędności bywa krzywdzoną stanowi część i to bardzo znaczną społeczeństwa, przeto — skoro weźmiemy na uwagę ten rodzaj krzywdzenia drugich — to z „dobrodziejstw“ owych dla ogółu mało co pozostanie. (Tłum.)

**) To zdanie wykracza przeciw tylu prawdom ekonomicznym, że zbijanie go wymagałoby osobnej rozprawy. Zaznaczymy tu tylko, że konsumentami są przeważnie ludzie należący do klasy pracującej, której kosztem wytwarzają się owe nadwyżki produktu, co więc z jednej strony zyskują jako konsumenci, to z procentem oddają jako robotnicy. Zresztą patrz powyższy przypisek. (Tłum.)

*) Patrz powyższe przypiski.

**) Diatezą zwie się w medycynie ogólny stan chorego, w przeciwstawieniu do przypadłości drugorzędnych i bardziej widocznych, które z niego wynikają. (Tłum.)

czni: wywoływać potępienie tylko, zaś bogactwo uczciwie nabyte zyskiwać pochwały należne mu i nic więcej, podczas gdy hołd najwyższy zachowanym będzie dla tych, którzy poświęcają swoją siłę i talenta dziełom najszlachetniejszym, wówczas także — bądźmy tego pewni — spełni się niejedna piękna rzecz, a zwłaszcza ta, że obyczaje k.-pieckie znacznie będą oczyszczone.

Przegląd literacki.

„Ognisko“,

książka zbiorowa, wydana dla uczczenia 25-letniej pracy T. J. Jeża, Warszawa 1882 r. — Str. 423 w wielkiej 8ce.

(Ciąg dalszy).

Na drugiem miejscu w „Ognisku“ mieści się niezbyt stosunkowo obszerny artykuł pana Świętochowskiego p. t. „Wskazania polityczne“. Są one wymownym dowodem, jak mało obóz „pozytywistów“ warszawskich dojrzał w kierunku politycznym. Zapatrzeni w ogólne prawa cywilizacyjnego rozwoju, widząc jak wielką rolę w tym ogólno-ludzkim pochodzie ku swobodzie i światłu odgrywają czynniki zasługujące istotnie przedewszystkiem na miano cywilizacyjnych jak szerzenie się idei postępowych we wszystkich kierunkach życia, postęp kultury, zwany po naszemu „spokojną mrówczą pracą organiczną, „pozytywiści“ nie oceniają należycie tego wielkiego dziś jeszcze wpływu, jaki na cywilizacyjny ów rozwój społeczeństw wywierają warunki polityczne. Jest to zakamieniała do pewnego stopnia i zdogmatyzowana w obozie pozytywnym reakcya przeciwko romantycznym porywom zbrojnym, według recepty „siły na zamiary“. Pozytywiści warszawscy z obozu „Prawdy“ nie spostrzegają jak mało sami oni w tym względzie są realistami i jak bardzo w swych zapatrywaniach politycznych zbliżają się, jeżeli nie do romantyków, to do metafizyków niemieckich ze szkoły Hegla, którzy ongi prawili o samoistnym rozwoju w dziejach idei bezwzględnej i dla których wszystko istniejące było niewzruszalnem i koniecznem.

Przyjrzyjmy się jednak owym „wskazaniom“. Jeżeli zbadamy dokładnie, oczyszczone z fantastycznych przymieszek wskazówki polityczne dla naszego społeczeństwa, mówi autor artykułu, to w nieobfitym ich splocie dostrzeżemy jedną nić wspólną, która się przez nie przewija — mianowicie zasadę odradzania się przez rozwój cywilizacyjny przy stanowczym rozbracie z tradycyą porywów zbrojnych“. Ma być to tak „szeroko odczutym wynikiem naszych doświadczeń“, że w tej materyi pozytywiści warszawscy zgadzają się najzupełniej ze stańczykami krakowskimi, jak twierdzi autor Wskazań. Wniosek ten jest dla autora „przykrą i niemiłosierną koniecznością“, muszą mu się jednak poddać bez wahania ludzie „woli i czynu“. Niema w dziejach naszych chwili, czytamy dalej, którąby wymagała od nas równego bohaterstwa i poświęcenia nad to, które spełniamy obecnie, nad poświęcenie „ruchów zbrojnych“ dla „spokojnych prac“.

Jest zapewne pewna doza słuszności w tem co pisze dalej Świętochowski: „Gdyby dla społeczeństwa urzeczywistniły się już te warunki istnienia, o których marzy, sięgająca w daleką przyszłość myśl ludzka; gdyby one już mogły złożyć ten rynsztunek wojenny, którym się wzajemnie przeciw sobie dotąd ubezpieczają; gdyby zdołały bez obawy o życie rozwijać swe siły materyalne i duchowe oraz zadowalać swe potrzeby — z liberalnego stanowiska sama utrata własnych instytucyj politycznych nie wydawałaby się nam wcale niewolą. Szczęście bowiem ogółu, według nas, nie jest bezwzględnie zależne od jego siły i samodzielności politycznej, lecz od możności uczestniczenia w cywilizacyi powszechnej i posuwania własnej. Znamy wszyscy narody całkiem niepodległe, a jednakże półmartwe, w postępie cofnięte i bynajmniej nie wiodące żywota pomyślnego. Jeżeli przed oczyma naszemi świeci jakiś wyczekiwany a dotąd niespełniony ideał społeczeństwa, to nie jest on groźnem, zakutem w zbroję państwem, lecz systematem stosunków, dozwalających wszystkim jednostkom rozwijać się naturalnie, pracować spokojnie ujawniać swe pragnienia wszechstronnie. Bo czegoż z nas żąda każdy w odosobnieniu? Czy własnych żołnierzy, bitew, zwycięstw, zaborów, parlamentów, posłów, ministrów — słowem aparatu politycznego? Nie, każdy marzy o tem tylko, ażeby mógł żyć szczęśliwie, z prawami swej osobistej i zbiorowej natury zgodnie. Ów więc aparat sam przez się olśnić zdolny jedynie umysły, za błyskotliwemi pozorami goniące itd. itd....

Dość zaprawdę potrzeba cierpliwości, ażeby spokojnie brnąć przez te wszystkie owe „gdyby“, o których „marzy“. w „daleką przyszłość sięgająca myśl ludzka“. Kto jednak nie jest zwolennikiem rozsnuwania mało realnych i marzycielskich tkanin, na tle choćby spencerowskich opowieści socyologicznych, ten łacno spostrzeże, że patrząc na rzeczy realnie, dzisiejsze nawet formy polityczne mogą być potężną dźwignią społecznego rozwoju gwarancyą przytem bytu i swobody, zarówno jednostkowej, jak i społecznej. I przyszłość nie odrzuci ich również, „systembowiem stosunków, dozwalających jednostkom rozwijać się naturalnie“ będzie nie czem innem, jak dzisiejszemi formami politycznemi, przerodzonemi tylko według wymagań politycznego rozwoju, formami, które oprą się na samowiednym udziale w życiu publicznym wszystkich dojrzałych obywateli, zabezpieczonych reformami socyalnemi w swym bycie materyalnym. Pozostaną więc i „parlamenty i posły“, bo trudno sobie wyobrazić wolnych instytucyi politycznych, któreby nie były oparte na zasadzie reprezentacyjnej, idzie tylko o to, żeby reprezentacya ta była istotną i podlegała kontroli całego społeczeństwa.

Sam autor zdaje się spostrzegać jak mało realnemi są jego polityczne „wskazania“, wpada bowiem dalej na nowy bardzo pomysł, że społeczeństwa przywiązują wagę do owych „pozorów politycznych“ gdyż one służą za tarczę w walce o byt, z czego wysnuwa autor znów zdumiewająco nowy wniosek, że formy polityczne cenione są dziś głównie dla tego, że zabezpieczają rozwój wewnętrzny. Od konkluzyi tej jednak robi jeszcze autor zwrot całkiem niespodziewany, mówiąc: „Osłońmy dostatecznie to życie (wewnętrzne), a rojenia polityczne z niego ustąpią. Nam — jak rzekliśmy — rozwiała je konieczność. Los zamknął wszystkie nasze życzenia i nadzieje w pracy cywilizacyjnej....“

Pojmujemy nie mniej jaki sz. autor całą doniosłość „pracy cywilizacyjnej“, „organicznej“ nawet, nie rozumiemy jednak tej konieczności któraby zmuszała nas do zrzekania się tak potężnego czynnika rozwoju, jak swobody polityczne i odpowiednie dla nich formy. W szeregu innych zdobyczy społeczeństwo nasze i po nie sięgać powinno, a występowanie przeciwko temu jest szerzeniem kwietyzmu i niemocy społecznej w imię pewnych powikłanych i nieuchwytnych marzeń cywilizacyjnych. Nie idzie zatem, żebyśmy, zamknąwszy oczy na otaczającą nas rzeczywistość żyli i działali wyłącznie w sferze innych znowu marzeń, politycznych — społeczeństwo jednak nasze, na równie z każdem innem, krocząc po gościńcach cywilizacyjnych, nigdy zapominać nie powinno o politycznych swobodach, stanowiących potężną dźwignię i koronę społecznego rozwoju. Ideały i formy naszych dążeń politycznych zmieniać się mogą niewątpliwie, mogą ulegać pewnym zmianom, zgodnie z ogólnym rozwojem społeczeństw, możemy je urzeczywistniać stopniowo, nikt jednak realnie na stosunki społeczne patrzący, z programów naszych ich nie wykreśli.

Pod koniec owych „wskazań“ autor ich robi uwagę, że swobodna myśl postępowa musi być demokratyczną, musi się zwracać w kierunku stosunków socyalnych.

Zwrok ten jest stosunkowo dość nowym w łonie warszawskiego „pozytywizmu“, który długo obracał się wyłącznie w sferze oderwanych idei filozoficznych, dla stosunków zaś społeczno-politycznych, wymyślił jedno tylko nie zbyt wiele mówiące hasło: „pracy organicznej“. Sprawami temi zbyt jednak niedawno

zajmują się pozytywiści warszawscy, ażeby mogli wyrobić sobie w tym kierunku jakieś realniejsze, bardziej określone poglądy.

To też, gdy p Swiętochowski załatwił się w sposób powyżej przedstawiony z „r o j e n i a m i p o l i t y c z n e m i", inny pozytywista p. Władysław Wścieklica wystąpił z równie naukową niby filipiką przeciwko „r o j e n i o m s o c j a l i s t ó w p o l s k i c h". Pan Wścieklica postanowił pobić na głowę „kilkudziesięciu ludzi umysłowo niedojrzałych" na własnym ich gruncie i własną ich bronią, bo teorją mistrza ich Marksa. Znakomity ten ekonomista, jak wiadomo było przed panem Wścieklicą, w głośnem dziele swojem „Das Kapital" przedstawił rozwój dzisiejszego kapitalistycznego ustroju społecznego, który pozostawiony samemu sobie, jak to już można dziś na Anglii zauważyć, prowadzi do tego, że olbrzymie kapitały gromadzą się w ręku coraz nieliczniejszych kapitalistów, masy zaś całe schodzą na stanowisko nędznego i zawisłego proletarjatu, który otrzymuje tyle tylko wynagrodzenia za swą pracę, ile mu najkonieczniej do wyżywienia potrzeba, reszta zaś niepłaconej jego pracy zwiększa ciągle mienie i władzę kapitalistów. Taki jest ogólny szemat rozwoju kapitalistycznego ustroju, który Marks, opierając się głównie na stosunkach angielskich, gdzie proces ten zaszedł najdalej, z imponującą erudycją i ścisłością przedstawił. Marks jednak nie spieszy się z wyciąganiem wniosku, ażeby ogólne stosunki ludzkie pozwoliły gdziekolwiek na doprowadzenie kapitalistycznego rozwoju do ostatnich jego konsekwencyj, gdyż równolegle razwijają się inne czynniki, mniej lub więcej ograniczające wyłączny i konsekwentny rozwój kapitalistycznego ustroju; nie ma on również pretensyj przedstawiania stosunków angielskich za wzór rozwoju dla innych społeczeństw. Raczej obraz jego zdolen jest powstrzymać inne społeczeństwa w zbyt skwapliwem i wyłącznem kroczeniu po torach kapitalistycznych. Znając przytem żywy udział Marksa w politycznych i społecznych ruchach niezbyt odległej przeszłości, przekonamy się, że nie jest on bynajmniej zwolennikiem jakiegoś fatalistycznego poglądu, któryby nakazywał społeczeństwom, znajdującym się na niższych szczeblach kapitalistycznego rozwoju, przebywać długą, mozolną i bolesną drogę wyczekiwania wieki całe, nim kapitalistyczny ustrój dojrzeje, i spadnie sam z drzewa jak przegniłe jabłko.

I pan Wścieklica nie zupełnie zdaje się podzielać wnioski, wysnuwane przezeń z nauki Marksa. Niektóre z nich, jak twierdzi, niewytrzymują ścisłej krytyki, czego mieli dowieść między innymi Dühring, Lange i M. Block. W rozbiór tych zarzutów p. Wścieklica jednak nie wchodzi, dla celu bowiem, jaki sobie założył, potrzebna mu jest cała niewzruszona teorja Marksa rzekomo, która opiewać ma, że społeczeństwo musi przejść długowiekowe fazy kapitalistycznego rozwoju, zanim dojrzeje kwestja socjalna. Ponieważ zaś socjaliści polscy, opierając się na Marksie, dziś już, gdy stoimy jeszcze w przedsionku kapitalistycznego procesu, zrywają się do propagandy zasad socjalistycznych i mówią nawet o jakimś ruchu etc.... są więc niedouczkami, zasługującymi na surowe skarcenie, tembardziej, że działalność ich jest... niepatrjotyczną! Autor przedstawia, lubo pobieżnie, cały dotychczasowy przebieg propagandy socjalistycznej w ziemiach dawnej Polski, o ile się ona ujawniła w procesach, pismach i broszurach. Pozostawiamy bezpośrednio zainteresowanemu odpowiedź na czynione mu przez p. Wścieklicę zarzuty, co do nas zaś zauważymy jeszcze że wywody pana Wścieklicy dalekie są od naukowej ścisłości, do której zdaje się mieć pretensję, a brak im również odpowiedniej powagi i taktu w traktowaniu przedmiotu. Pseudonaukowy i inkwizycyjny ton tego artykułu, powiemy po prostu, ubliża tak poważnemu wydawnictwu, jak „Ognisko".

Tak tedy, zdaniem pp. pozytywistów warszawskich, wyrzec winniśmy się r o j e ń politycznych i socjalnych, zdac się zaś całkiem na jakieś nieokreślone niby prawa cywilizacyjnego niby rozwoju, które nas gdzieś, kiedyś do jakiejś przystani doniosą. A jeżeli nie — no to widocznie leżało to w owych prawach, musimy więc poddać się im koniecznie.

Pozostawiamy do ocenienia czytelnikom, o ile podobne wywody, ów jakiś cywilizacyjny kwietyzm, czy fatalizm zgadza się z prawdziwie postępowemi pojęciami o życiu i rozwoju społeczno politycznym....

Rzeczą to już dawno stwierdzoną, że, gdy nauka zbyt daleko odrywa się od warunków realnych, i roztopiona we mgle jakichś teoryj przestaje oddziaływać bezpośrednio na życie społeczne, zjawia się mistycyzm, usiłujący apelacją do sił nadprzyrodzonych, mistycznych ratować ludzkość, u której myśl i czyn rozprzęgły się i nie wspierają się już na wzajem.

Gotowiśmy powiedzieć, że coś podobnego dzieje się już z „po ytywizmem" warszawskim, w końcu bowiem „Ogniska", znajdujemy tkankę z dumań p. Straszewicza, przed obrazem Ary Scheffera, zatytułowaną „Nieprzejednani", w której mistycyzm ów dosyć wyraźnie przegląda. Na górze nieopodal Jerozolimy kusi Mistrza z Nazaretu, nie zwykły czart, lecz muskularny, zahartowany w pracy i zgorzały na słońcu proletarjusz, który wskazując mu na krzywdy społeczne, wzywa do energicznego ich usunięcia. Mistrz jednak ze zgrozą odwraca się od kusiciela, mówiąc, że sama wszechmiłość, łagodna i wyrozumiała zbawi ludzkość, nie zaś energiczny czyn. Straciwszy nadzieję pociągnięcia mistrza za sobą czarny człowiek odchodzi przepełniony goryczą, rzucając na pożegnanie Mistrzowi następujące słowa:

„O Judejo, Judejo, nieszczęścia twoje stają się większe, niż złość wrogów twoich, bo prorocy twoi żyją w mglistych marzeniach pragnień niepochwytnych"!

Na tem i my zakończymy tę część oceny „Ogniska".

(Dokończenie nastąpi).

M. Wiszowaty.

ZIARNKA.

Piśmiennictwo polskie poniosło stratę nader dotkliwą, stratę, która, kto wie, czy tak prędko powetowaną zostanie... Józef Szujski umarł, umarł człowiek wielkiego talentu i wielkiej pracy. Jako poeta dramatyczny zajmuje on w literaturze naszej stanowisko pierwszorzędne; nie spełnił wprawdzie w tym kierunku pokładanych w nim początkowo nadziei, nie stał się owym Mesjaszem dramatycznym, na którego tak długo, napróżno oczekujemy, nie stworzył wzorowego polskiego dramatu, ale mimo to pozostawił kilka dzieł prawdziwej artystycznej wartości, które długo będą ozdobą repertoaru scen naszych. Jako publicysta był śp. Szujski znakomitością, jakich nie wiele posiadamy, wszystko co z pod jego pióra wyszło, odznaczało się formą wykwintną, jasnością w przedstawieniu i logicznem wnioskowaniem. Nie zgadzamy się na jego wywody — bo nie zgadzamy się na założenie, przyznać jednak musimy, że ze swego stanowiska był zawsze sumiennym i konsekwentnym. To bardzo wiele — dowodzi bowiem, że był to umysł zdrowy, rozumny i nieskazitelny charakter. Największe zasługi położył Szujski, jako historyk. Źródłowe jego prace archiwalne, jak niemniej dzieła popularne posiadają zalety tak wielkie, że nie możemy ich innemi zastąpić! Szujski się napracował — całe życie poświęcił pracy i nie ustawał w niej, choć choroba podcięła mocno i tak już od urodzenia słabe jego siły. Legł jak żołnierz na posterunku, a przed samym jeszcze skonem szeptał: „Dlaczego muszę umierać, tyle jeszcze rzeczy pozostało mi do zrobienia"... Cześć mu za tę myśl ciągłą o dobro ogółu.

* * *

Przed kilku dniami zmarł we Lwowie pisarz ruski i publicysta, redaktor wychodzącego tu „Diła", Włodzimierz Barwiński. Zmarły uczciwą i mozolną pracą na niwie dziennikarskiej i publicznej, zasłużył sobie na ogólną sympatję i uznanie, to też za trumną jego szła masa ludzi, bez różnicy narodowości i wyznania. Niesiono przeszło 40 wieńców od ruskich przeważnie instytu-

cyj, towarzystw i czasopism, były jednak i polskie wieńce: „Polscy dziennikarze ruskiemu koledze“, od Czytelni Akademickiej i redakcji „Sztandaru i Strażnicy“. Nad grobem przemawiali Rusini i Polacy.

* * *

Skończyłsię karnawał, nadeszły suchedni, a wraz z nimi sezon odczytów i koncertów. Nie powiedzielibyśmy, że jest to sezon zbyt zabawny, choć mógłby nim być, gdyby tak koncerty jak odczyty u nas były choć coś trochę mniej zgodne z charakterem postu. Niestety daleko u nas do tego, a szczególnie co się tyczy odczytów, prześladuje nas jakieś fatum okropne. Obecnie np. zapowiedziano równocześnie dwa odczyty o Sobieskim, ale nawet tytuły obu brzmią jakoś dziwnie, i bez wątpienia nie zwabią zbyt dużo słuchaczów do sali wykładowej. Jeden z prelegentów mianowicie zapowiedział odczyt „o odsieczy ze stanowiska strategicznego“, a ten wzgląd z pewnością nie wpłynie na obudzenie ciekawości tych osób, które u nas zazwyczaj uczęszczają na prelekcje; podczas gdy drugi znów p. Kulczyckiego w połączeniu ze śpiewami i oryginalnemi demonstracjami planów i obrazków, może wzbudzić tylko poruszenie ramion, tem bardziej, że i prelegent dotąd wcale nie dowiódł kwalifikacji do tego przedmiotu, i ma chyba prawo zabierać głos w tej sprawie dlatego, że jest pra-prawnukiem tej historycznej postaci, która w nagrodę za zasługi, otrzymała później tytuł i charakter... pierwszego kawiarza wiedeńskiego.

* * *

Już to dyrekcja naszego teatru ma gusta szczególne. Co się jaka nowość pojawi — to jedna mniej warta od drugiej. W tych dniach obdarzono nas „Gambettą“, dramatem niejakiego Hahna — sztuczydłem pisanem na kolanie, bez sensu i myśli, które mogło być przedstawionem w jakimś przedmiejskim teatrzyku, ale nigdy na scenie stołecznej. Utwory takie tylko obniżają estetyczny i moralny poziom gustu publiczności, estetyczny dla tego, że są liche, bo nikt w jednej chwili na dany temat choćby znośnej sztuki stworzyć nie potrafi, moralny - bo brać asumpt z czyjejś śmierci, aby zaraz pisać sztukę osnutą na stosunkach nieboszczyka, jest rzeczą wstrętną ludzkim uczuciom. Po co było rzecz taką przedstawiać?

Z nowości teatralnych, w chwili gdy się „Ziarno“ drukuje, przedstawiają 3aktową fraszkę p. A. Abrahamowicza „Ciurkiewicz czy Dziurkiewicz?“ (tytuł bardzo jakoś niewybredny!)—a we środę ujrzymy tragedję Szekspira, zawsze młodą, zawsze świeżą, bo osnutą na wiecznie młodym i świeżym temacie — „Romea i Julję“. Sztuka ta odegraną zostanie na benefis sympatycznej i zasłużonej artystki pani J. Woleńskiej — a Romea odegra któż inny, jeśli nie małżonek?

* * *

„Powodzenie „Ogniska“ pisze *Kur. Codz.* staje się solą w oku dla pewnego pobożnym pokostem powleczonego pisma, które gotowe zawsze ciskać żółciowe klątwy na największą nawet zasługę, jeżeli nie jest naznaczoną stemplem klerykalnym. Pismo to powinno pamiętać że, już sam język w którym wychodzi, obowiązuje je do szacunku dla ludzi, którzy czynem i słowem składali dowody umiłowania sprawy ogólnej i gorąco-obywatelskiego ducha. To bezsilne, zajadłe miotanie się na Jeża, który stanowi i stanowić będzie jedną z najpiękniejszych postaci w literaturze naszej, który dorzucił do jej skarbca tyle cennych klejnotów, świadczy wyraźnie o tem, że fanatyzm często rzuca na oczy bielmo, a to zatruwa umysły jadem nienawiści ślepej i nieusprawiedliwionej.

Kole to w oczy pobożny organ, że garstka postępców przeprowadziła śmiało i skutecznie myśl swoją, że potrafiła złożyć hołd pisarzowi, który ćwierć wieku pracował dla kraju goręcej i użyteczniej, aniżeli cały legion fabrykantów drukowanego klerykalizmu. Co prawda, jednak pismo owo samo oddało Jeżowi hołd bardzo wysoki, przyznając, że „mógłby odegrać u nas rolę Gambetty, gdyby miał teatr po temu, że dążności obu tych ludzi, w jednym skupiały się celu“. Jeż i Gambetta! — to zestawienie świadczy w każdym razie, że porównania nie są mocną stroną logiki szanownego organu... Niech jednak się nie dziwi, że z rąk weterana postępu pragniemy otrzymać błogosławieństwo, bo czujemy „potęgę moralną“ tych idei, które on reprezentuje, bo Jeż nie należy do tych, co umieją tylko błogosławić ciemnotę i fanatyzm, lekceważąc uczciwą pracę i obywatelską zasługę“.

ZAPISKI.

Literatura.

* W Bibliotece „Mrówki“ wydawanej przez księgarnię polską wyszła bardzo piękna rzecz p. Lucjana T a t o m i r a napisana jeszcze wr. 1861, a odznaczająca się jak wszystkie inne prace tego pisarza prześlicznym językiem. Jest to obrazek powieściowy „Lubawa“, osnuty na tle walk Słowian nadłabskich z germanizmem, szerzącym zapomocą krwi i pożogi wiarę chrześciańską. Obrazek ten gorąco polecamy naszym czytelnikom.

* Z powieści historycznych J. I. Kraszewskiego wyszły obecnie: S e m k o (czasy bezkrólewia po Ludwiku, Jagiełło i Jadwiga,) w 3 tomach i M a t k a k r ó l ó w (czasy Jagiełłowe) w 2 tomach. W cyklu dziejowych obrazów znakomity nasz pisarz doszedł obecnie do portretów tak wielkich postaci, jak Jagiełło, ks. Witołd, biskup Oleśnicki, tak uroczych jak Jadwiga, lub tak dramatycznych, jak owa matka rodu Jagiellonowego, królowa Zonka (Zofia, trzecia żona Władysława. Bujna fantazja powieściopisarza w połączeniu z możliwą ścisłością historyka) stworzyły w obu powyższych pracach barwne, ruchliwe, pełne charakterystyki ludzi i czasu obrazy epoki, a wszystko ożywione akcją prowadzoną zajmująco, równo i potoczyście. Zwłaszcza Semko, należy bez wątpienia do najlepszych utworów Kraszewskiego w zbiorze ostatnim jego powieści historycznych.

Teatr i muzyka

* W środę 7 bm. grano w warszawskim Teatrze rozmaitości po raz pierwszy 3 aktową komedję p. Zofii Mellerowej p. t. K t o w i n n i e j s z y? Najnowszy ten utwór utalentowanej pisarki, odznacza się przedewszystkiem tendencją na wskroś realistyczną, i wśród konserwatywnej prasy warszaw. nie znalazł szczególniejszych pochwał. Obecnie drukuje go P r z e g l ą d T y g o d n i o w y.

* „Monsieur le ministre“, pięcio-aktowy dramat przerobiony ze znanej powieści Juljusza Claretie, doznał za pierwszem przedstawieniem w Gymnase paryskiem zasłużonego powodzenia.

Sztuki piękne.

* Jaskinia Piratów słynny obraz Siemiradzkiego, który otrzymał na wystawie w Melbourne pierwszą nagrodę, przybył do Lwowa i wystawiony jest w hotelu Żorża. W następnym numerze podamy obszerną krytykę tego obrazu.

* Akademia sztuk pięknych w Medjolanie ogłosiła konkurs z fundacji Myliusa na dwa obrazy, mianowicie: Pierwszy ma przedstawiać dowolnie obrany przedmiot ze sławnej powieści historycznej A. Manzoniego p. t. N a r z e c z e n i, nagroda 800 lirów; — drugi, grupę zwierząt przestraszonych burzą, nagroda 600 lirów. Obydwa mają być malowane na płótnie olejno, i obejmować 0.85 i 1.20 metra. Wszystkie nadesłane najpóźniej 30 czerwca rb. będą wprzód na wystawie publicznej umieszczone, a dopiero potem zostanie ogłoszony wyrok. Dzieła nagrodzone zostaną własnością Akademii.

* Pod nazwiskiem „Ecole pratique d'a r c h e o l o g i e et d'histoire de l'art“ otwarto z końcem b. r w Paryżu rodzaj akademii archeologicznej, w której chwilowo otworzono pięć katedr, a mianowicie katedrę galicyjskich starożytności, którą objął Alex Bertrand, konserwator muzeum przedhistorycznego w St. Germain, katedrę starożytności egipskich, o których czyta Pierret i Revillont, dalej zaś rozpoczęli wykłady C. Ledrain o epigrafice fenickiej i armeńskiej, i Revaisson o plastyce greckiej i rzymskiej. Do demonstracji służą uczniom bogate zbiory Luwru.

Korespondencja redakcji. S u l i we Lwowie. Wiersz pański nie może być drukowany, prosimy się jednak tem nie zrażać, i nie zapominać o nas na przyszłość. B e n.. w Wiedniu. Przekład pański otrzymaliśmy, o inne prace prosimy. Idyla będzie drukowana w jednym z następnych numerów.

T r e ś ć.

Korrupcja.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
Bartus Marja: Z życia artysty.
Mazanowski A.: Balladomania.
Spencer H.: Obyczaje kupieckie. (dok.)
Przegląd literacki.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Korespondencja redakcji

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 8. We Lwowie dnia 17. Lutego 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Koło literackie we Lwowie.

Niedawno temu odbyło Koło literackie walne zgromadzenie, na którem wybrano „nowy“ wydział, a w dziennikach pojawiły się wzmianki, że po wydziale tym spodziewać się należy świetnego rozwoju tego tak pożytecznego towarzystwa, że będzie to jednym krokiem naprzód w rozwoju naszego piśmiennictwa i t. d. i t. d. Niestety, nie podzielamy tych różowych nadziei, a dla czego, będziemy się starali jasno a treściwie przedstawić.

Lwowskie Koło literackie już w założeniu swojem miało suchoty. Cel stowarzyszenia, którym miały być jedynie odczyty, odbywające się regularnie co tydzień, był chybiony, trudno było bowiem przypuścić, aby wobec braku prelegentów, jaki u nas w ogóle odczuwać się daje, wskutek czego wszystkie odczyty publiczne straciły moc przyciągającą — aby w obec tego w Kole literackiem znalazła się dostateczna liczba dobrych prelegentów, mogących zainteresować śmietankę inteligencji, bo ludzi traktujących literaturę, sztukę i nauki fachowo, a nie po dyletancku. To też wkrótce okazało się, że obawy te ludzi rozumnych były uzasadnione, i członkowie, którzy początkowo licznie uczęszczali na zgromadzenia tygodniowe, zaczęli pojawiać się w coraz to szczuplejącej liczbie, odczyty były coraz gorsze, coraz bardziej partackie, coraz słabiej opracowane — tak, że nareszcie wydział musiał chwytać prawie na ulicy prelegentów, byle w jaki sposób wieczór zapełnić. To też nastąpiło coraz ogólniejsze zniechęcenie do towarzystwa, czemu wcale nie zaradziły t. zw. „luźne pogadanki“, które — wydział, widząc, że same odczyty nie pociągają nikogo, wprowadzić uznał za stosowne. Cóż to były za pogadanki, jaką miały cechę, czy wyświecano w nich jakie sprawy naukowe, lub literackie, czy ścierały się w nich zdania i przekonania, czy rodziły się z nich myśli dobro publiczne mające na oku? Nic z tego nie było — pogadanki w Kole literackiem były zwykłem gawędziarstwem przy kufelku, czasem wesołem, najczęściej zaś nudnem, jak lukrecja, z powodu sztywności członków i drapowania się niektórych osób w wypłowiałe togi powagi. Przy tem Koło literackie dało sobie wyraz prawdziwego moralnego ubóstwa, występując w roli policjanta w obec nowego, realistycznego kierunku, reprezentowanego przez Zolę, Goncourtów, Flauberta i innych, a to z powodu „Nany“ Zoli. Można się z tym kierunkiem nie zgadzać, można go nawet potępiać — jest to rzeczą zapatrywania, ale żeby stowarzyszenie literatów miało udawać się do władz z prośbą o konfiskatę dzieła, które w każdym razie jest warte więcej, aniżeli wszystko to, co wszyscy członkowie Koła razem napisali — to rzecz nie bywała, to coś monstrualnego, co musiało zrazić do Koła wszystkich ludzi, uważających policję, a literaturę za dwie rzeczy — nieco odmienne. Dalszą wadą Koła było to, że zasiadali w niem i zasiadają dotychcsas i to w znacznej liczbie ludzie, nie mający żadnego stosunku z literaturą, posiadający wpływy i pieniądze, którzy jednak ani jednych ani drugich na literackie lub naukowe cele nie używają. Przeważnie na tych to ludziach i na literackich miernotach — kilku członków Koła postanowiło się oprzeć, aby wszechwładnie panować, błyszczeć, rozrzucać się, pozować, w ogóle gdzie się tylko da, występować ze swojem „ja“, opromienionem nie zasługą, lecz zarozumiałością. Ludzie ci, bez głębszych podstaw, narzuciwszy się na menerów, ośmieszali jak mogli Koło, i z poważnego ciała, jakiem miało być stowarzyszenie, zrobili jakąś instytucję więcej tromtadracką, aniżeli literacką, zajmującą się urządzaniem owacyj dla geniuszów, opierających swą wielkość na banalnych frazesach, a nie mogącą się zdobyć choćby na lada jakie pismo zbiorowe dla takiego męża, jak Teodor Tomasz Jeż.

Oto powody, dla których Koło literackie znajduje się w stanie ciągłej dekadencji. Ażeby Koło mogło nadal istnieć i rozwijać się, potrzeba te wszystkie wymienione wady usunąć, w przeciwnym bowiem razie w krótkim czasie zakończy lichy żywot, a z pewnością nikt mu nie napisze przychylnego nekrologu. Czy nowy wydział da temu radę, czy odpowie zadaniu, czy wleje życie w chory organizm, czy zdoła ogół literatów pociągnąć i zainteresować? Nie wierzymy w o, a głównie z powodu, że właśnie do tnowego Wydziału weszły osobistości, które najwięcej Kołu zaszkodziły. Wybór nowego Wydziału miał być stanowczą operacją, ustąpić miały stare siły — tymczasem postąpiono połowicznie, a wszelka połowiczność do niczego nie prowadzi. To też nieufność nasza w przyszłą działalność Koła nie jest izolowanem zapatrywaniem, a jeżeli ta nieufność istnieje, to już zły, bardzo zły pro-

gnostyk dla instytucji, która nie ma nieprzyjaciół, którą wszyscy radziby widzieć w jak największym rozwoju. Cóż więc robić? Po prostu rozwiązać Koło, a założyć inne, z charakterem Kasyna, jak w Krakowie, powołać do zarządu nowych ludzi zdolnych a energicznych, i ułożyć program czynności, któreby odpowiadały życzeniom ogółu literatów. a nie jednostek....

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Trawieni ciągłą gorączką gromadzenia majątku, państwo Wilscy nie mieli widocznie czasu pomyśleć o wychowywaniu potomstwa. Wprawdzie i ksiądz proboszcz miejscowy, i zjeżdżający do Zrębów raz na rok brat stryjeczny gorszyli się ogromnie takiem lekkomyślnem zaniedbywaniem dzieci, i z początku żartami, później wcale ostro wyrzucali zwłaszcza Wilskiemu, że prócz mienia bardziej jeszcze pamiętać powinien o nauce i przynajmniej jakiem takiem wykształceniu umysłowem swych spadkobierców. Ale wszystkie te perswazje i wyrzuty nie przekonywały upartego ojca.. Wymawiał się zawsze, że czas jeszcze, że edukacja kosztuje, wcześnie zresztą rozpoczęta zdrowiu nawet szkodzi, a „da Bóg na przyszłą wiosnę pomyśli się o tem". Tych zapowiadanych wiosen minęło szczęśliwie z pięć czy sześć, chłopak liczył już lat dziesięć, dziewczę jedynaście, a oboje żyli zawsze jeszcze w błogiej nieznajomości wielkiego i małego abecadła. Zdarzyło się wreszcie, że zmarł wspomniany brat stryjeczny, stary kawaler, i czystą wioskę ze znacznym kapitalikiem zapisał Jasiowi i Małgosi, stawiąc jednak w testamencie konieczny warunek, aby dochody z majątku w znacznej części obracane były na odpowiednie wychowanie spadkobierców, aż do ich pełnoletności.

Egzekutorem testamentu ustanowił nadto starego przyjaciela swego p. Dręckiego, energicznego człowieka, o którym był przekonany, że ściśle zastosuje się do jego woli i zdoła przeprowadzić ją, choćby otwartą wojną z „zapamiętałym skąpcem".

Nad spodziewanie wszelkie, pan Wilski bardzo rad przyjął osnowę testamentu z tym kodycylem — ostatecznie choć mu szło głównie o zabezpieczenie majątku dzieciom, nie bez tego jednak, aby i on nie uznawał w duchu potrzeby dla nich wykształcenia umysłowego, a tylko żal mu było na ten cel łożyć własny pieniądz ukochany, z takim trudem zdobyty.

Zaczęła się tedy wędrówka nauczycieli i guwernantek do Zrębów, z których każde nie długo tu popasało, bo sknerstwo panujące wszechwładnie w tym domu, a posunięte aż do systematycznego głodzenia domowników, rychło pędziło ztąd nieszczęśliwe te stworzenia, zwane pospolicie: pan dyrektor lub panna guwernantka, jakkolwiek płaca asygnowana dla nich przez wykonawcę testamentu, była wcale pokaźną. Wilscy sami sobie żałowali wszystkiego, żałowali nawet dzieciom własnym, nic więc dziwnego, że obcy ludzie, przytem „dobrze płatni" — jak to często pan domu z ciężkiem westchnieniem wspominał, przymierali z głodu. Świeże powietrze wiejskie młodym ludziom przysparza zwykle apetytu, a w Zrębach bynajmniej nie starano się o jego zaspokajanie rzetelne. Co która lub który pobył kilka miesięcy, uciekał czem prędzej, bo zamiast spodziewanego odżywienia się na wsi u „szlaguna" po dłuższym lub krótszym głodnym pobycie na miejskim bruku, zastawał idealnie skromne obiady, a co do kolacji to najcześciej ledwie talerz hreczannej kaszy z mlekiem, sowicie wodą chrzczonem, dawano za posiłek wieczorny.

Można sobie wyobrazić, że w takich warunkach, gdy co chwila niemal światłodawcy się zmieniali, dzieci nie wiele korzystały z nauki. Po dwu latach edukacji Małgosia i Jaś ledwie czytać umieli z drukowanego, a do pisania daleko im jeszcze było. Dziwował się temu niezmiernie pan Dręcki, zaglądając do Zrębów co pół roku, jak nie mniej trudno mu było wytłumaczyć sobie przyczynę ciągłych zmian personalu nauczycielskiego. Jakkolwiek bowiem słyszał wiele o bezprzykładnem skąpstwie Wilskich, nie przypuszczał jednak, ażeby ono posunięte było tak dalece, iżby aż uniemożliwiało pobyt ludziom, potrzebującym przecie kawałka chleba. Dopiero przypadkowe zapoznanie się z jednym z tych, którzy już uciekli byli ze Zrębów, otworzyło mu oczy. Postanowił odtąd płacić Wilskim za przyzwoite utrzymanie nauczyciela i nauczycielki, bo tylko w ten sposób możliwe było rozwiązanie kwestji, jak również sam zobowiązał się wynaleść we Lwowie odpowiednich ludzi.

Prosto ze Zrębów udał się do stolicy, a tam któryś z profesorów znajomych nastręczył mu Jędrusia, zalecając jako młodzieńca zdolnego, skromnego i pracowitego.

Jędruś wtedy był już na ukończeniu wydziału filozoficznego, a prywatna guwernerka była właśnie wyłącznem żródłem jego utrzymania. Gdy skończył gimnazjum i zdał maturę z wyszczególnieniem, zapisał się na fakultet filozoficzny, i zwykle w ten sposób łatał biedę, że rok pracował gdzieś na wsi bakałarzując sumiennie i gorliwie, a z oszczędzonej przez ten czas pensji następny rok żył we Lwowie gdzie uczęszczał na kolegia, i pilnie kształcił się, spędzając wszystkie wolne chwile w bibliotekach nad dziełami poważnej zawsze treści. Na zewnątrz przez te kilka lat zmienił się ogromnie i dodać należy, nader korzystnie. Rozrósł się, zmężniał, dziewicza jego uroda z chłopięcego wieku zkrystalizowała się w kompletną piękność męską, wyglądał teraz jak żywa kopia Apollina belwederskiego.

Razem z Jędrusiem p. Dręcki wysłał do Zrębów nauczycielkę dla Małgosi, pannę Karolinę Protowicz. O tej na razie tyle tylko powiemy, że była to brunetka niskiego wzrostu, lat około trzydziestu, krępa, dość zażywna, ni brzydka, ni przystojna, jak Rusin powiada „hože ne hože, stworinie Bože," aczkolwiek nie małe miała wyobrażenie o swej urodzie, mającej zdaniem jej dla mężczyzn urok i pociąg niepospolity... O tej właściwości panny Karoliny, o znakomitych partjach matrymonialnych, które odrzuciła, o jej rozumie, wykształceniu, i ostatecznie nieprzepartej a niebezpod stawnej pogardzie dla całego rodu męskiego, dowiedział się z jej wielomownych ustek Jędruś w przeciągu kilku stacyj kolejowych, gdy oboje pociąg w kierunku Zrębów w jednem coupé unosił ze Lwowa. Zanim dojechali do stacji, skąd do Zrębów jedna tylko mila końmi pozostawała, dowiedział się Jędruś, już trochę spłoszony obcesową otwartością towarzyszki i ciągle uparcie milczący, że wyjątkowo zrobił na niej nader korzystne wrażenie od pierwszego niemal wejrzenia, że musi być bardzo a bardzo dobrym młodym człewiekiem skoro zaś los pchnął ich oboje na jedne tory, powinni zawrzeć sojusz przyjaźni, i pomagać sobie w trudnem zadaniu, które ich czeka. O Wilskich, ich skąpstwie przebrzydłem i nieuctwie rozpuszczonych dzieci, słyszała już wiele — a jeśli się zdecydowała przyjąć obowiązki nauczycielki w tym domu, to jedynie w nadziei, że wpływem swoim zdoła ucywilizować i zreformować tę „dziczyznę dorobkiewiczoską", w całem bowiem życiu swem więcej się poświęcała dla dobra drugich, niżeli pamiętała o sobie... (C. d. n.)

W przyszłość!

W przyszłość, z postępem do szczęścia ludzkości,
Podążym razem, niczem nie wstrzymani,
Hasłem potężnem wzruszeni, rozgrzani,
Zapalim szczytne pragnienie wolności.

W przyszłość! do życia pchnijmy ludu fale:
Niech się rozleją w jedno wielkie morze,
Z szumem rozerwą ciasne biegu łoże,
I na tle dziejów zabłysną wspaniale.

W przyszłość! niech runą strupieszałe bogi!
Cienie przesądów, co kryją świat stary,
Pierzchną, gdy wzniesiem postępu sztandary,
Z rozgłośnem hasłem: precz z drogi!

Zimno powszechne serc nam nie ostudzi,
Z pochodnią wiedzy, jak z gwiazdą na czele,
W boje z ciemnotą pójdziem przyjaciele,
Nędzarzów tłumy budzić w wolnych ludzi.

Niech samolubni śpią w ducha martwocie —
Nam żyć i działać w sprawie odrodzenia.
Na ołtarz ludu nieść trud i cierpienia,
Położyć życie w czoła krwawym pocie..

A chociaż droga cierniami zjeżona,
Za prawdę ległych wałem się pomości;
My sztandar silniej przyciśniem do łona
Z wiarą rychłego zwycięstwa — w przyszłości.

S. D.

BALLADOMANIA
po pierwszem wystąpieniu
MICKIEWICZA
przez Antoniego Mazanowskiego.

Na wierzchołku jednej góry
Stały zamku pyszne mury.

W zamku djabeł straszy. Przybywa poeta, i w ciągu kilku nocnych posiedzeń deklamuje poetyczne utwory, czem wypłasza stracha, który znika z pałacu *in saecula saeculorum.* Istnieje analogia między Panią Twardowską a Strachami. Obie żartobliwe. Tam przedmiotem żartu sytuacja djabła, który czmycha przed kobietą, najcięższych dopełniwszy zadań; tu podobnież, z tą odmianą, że ucieka od poety.

W następnym roku ruch się ciągle wzmaga. Odyniec pisze dalsze przekłady z obcych, jak Leonardo i Blondina[1]) i Wierność z Bürgera[1]). Oprócz przekładów tworzy oryginalne, jak Bolesław Śmiały i Ofiara przerwana W pierwszej podanie o śmierci biskupa Stanisława i pokucie króla nieco zmodyfikowane. Król w Ossyaku spowiada się jakiemuś mnichowi, tłumacząc popędliwość swą, miłością, jaką czuł do porwanej poddanemu dziewczyny, za co go biskup upominał.

„Ofiara przerwana" powtarza wielekroć zużywaną treść. O rękę Zofii ubiega się Oskard i Henryk. Zofia kocha ostatniego, ale ojciec chce ją wydać za Oskarda. Nadchodzi godzina ślubu i chwila przysięgi —wtem wpada do kościoła Henryk, i Zofia kończy mu przysięgę, rozpoczętą Oskardowi.

Odyniec, który potem znacznie się odmienił, grzeszy tu wielu błędami, właściwymi najgorszym naśladowcom. Nie wprowadza wprawdzie duchów i djabłów, ale nie ma w jego utworach wcale dramatycznego pierwiastka i charakterystyki, nadto rozwlekły i nudny, bo wplata w akcję sentencje moralne. W Pamiętniku naukow. z tegoż roku znajduje się ballada Witwickiego pt. Odsługa [2]), osnuta na tle powstania chłopów na Ukrainie w 1765. Naśladownictwo Mickiewicza nawet w wyrażeniach. Podajemy przykład: na spokojnie biesiadujących obywateli wpadają hajdamacy,

Wiążą pana, dzieci, żonę,
Rzeź — nie przepuści nikomu.
Koniec wam., śmierci czekajcie,
Lecz wprzód pieniądze oddajcie.

Albo gdzie indziej matka woła:

Ach, wszystko zabierzcie sobie,
Ale zostawcie mi dziatki.

Wspomnieć wypada i o dwóch balladach Al. Chodźki. W pierwszej z nich „Co jest najdroższem dla człeka?" — motywem głównym — wdzięczność.

Ojciec rodziny skazany na śmierć, może być ułaskawiony tylko pod warunkiem, jeśli kto z krewnych przyniesie to, co dla człowieka najdroższe. Córka udaje się w świat, by skarb ów odszukać. Z kolei przynosi złoto, kroplę krwi bohatera, co poległ za ojczyznę, odrobinę chleba, którą ojciec jej nakarmił raz umierające z głodu dzieci — i nic nie pomaga. Wreszcie wraca spłakana, że już nic nie znalazła — a ta rzewna łza wdzięczności wybawiła ojca od kaźni.

Motyw wcale świeży, wiersz oryginalny i gładki, sposób przedstawienia lepszy niż u innych naśladowców. Jak w tej tak i drugiej balladzie pt. Wasilek [3]) nie ma wcale maszynerji duchów, djabłów i upiorów — ulubionej przez balladomanów. W Wasilku podanie ludu o sierotce, co na grobie rodziców płaczem i modlitwą zjednała powrót ich w postaci gołębia, i sama się w gołąbka zamieniwszy, uleciała, a na tem miejscu wyrósł wasilek czyli bławatek, — podanie wcale poetyczne samo przez się, ubrał autor w piękną szatę, lubo gdzieniegdzie, podobnie, jak na całości, cięży nieubłaganie duch mickiewiczowski, z którego się mniejsi poeci otrząsnąć nie zdołali. Przechodzimy do roku 1824, najważniejszego w okresie balladomanii.

Tyraljerka balladami nie ustawała. Romantycy po czasopismach rozsypywali mnóstwo przekładów z obcych znakomitych poetów, wiele utworów oryginalnych, a śród tych poważna ilość ballad. Znany skąd inąd przyjaciel Słowackiego, Ludw. Spitznagel, umieścił w Dzien. Wil.[1]) długą i nudną balladę „Zemsta." Wzgardzony kochanek morduje szczęśliwego współzalotnika i sam ginie.

Bogucki Jul. naśladował Panią Twardowską,[2]) w balladzie Sowy. Koło zamku czatuje djabeł na dziewczynę, którą uwodzi przybierając kształty hożego młodzieńca. Dziewczę pokutuje za okazaną uległość. Wszystko to jednak były pojedynczo rozrzucone ballady. Większego zbioru nie było. Dopiero teraz w 1824 Witwicki wydaje cały dwutomowy zbiór własnych ballad i romansów [3]) zbiór niesłychanie ciekawy, bo będący doskonałem świadectwem, do jakich zboczeń doszło bezmyślne a ślepe naśladownictwo u ludzi — bez należytego wykształcenia i jakichkolwiek zdolności poetyckich.

W okresie balladomanii zjawisko to bez wątpienia najciekawsze. W przedmowie do 1. tomiku określa autor prawidła romantyka.

„Nie krępować się gustem jednego narodu,
Albo co jeszcze więcej jednego pisarza,
Lecz ze świętego dziejów i prawdy ołtarza
Ogarniać całą ludzkość, poezyą wrócić
Na tron, z którego śmiał ją pedantyzm [był zrzucić
Uczynić ją mistrzynią i rozkoszą ludów,
Nie do tego jedynie używać jej cudów,
Aby wiersze uczone, wynękane, biedne,
Jakby świece ulewać zawsze w formy jedne,
Ale serca rozkosznie wznieść, udoskonalać
Miłością cnót i Boga umysły zapalać,

1) Dz. wil. 1823. str. 457. Rozm. lw. 1823. W kron. Rodz. 1880. str. 428. opowiada Szan. autor, że w 1823 czytał Adamowi tłumacz. tej ballady. Adamowi treść się nie podobała, bo uważał ją za przesadzoną.

1) Astrea 1823. t. 3. str. 182—188.
2) Pam. nauk. 1823 t. V. str. 36.
3) Parnas polski. Poznań 1833. Data u dołu 1823 r.

1) r. 1824 t. I.
2) Rozm. lw. r. 1824 nr. 29.
3) Ballady i romanse Warszawa 1824.

Nawracać słodko czucia w te krainy świetne
Gdzie wszystko jest wyniosłe, piękne i [szlachetne,
W dziełach swych zajmującym, świeżym, tkliwym zostać,
Dbać o istotę rzeczy, nie o błahą postać
Otóż to są prawidła“...

Pomijamy okoliczność, że kilka ogólników nie dają żadnego albo fałszywe pojęcie znaczenia poezji, ale bijącą w oczy jest niezgodność teorji i praktyki.

Prawodawca zostaje ze swym kodeksem w ciągłej sprzeczności, ilekroć chce być poetą.

W teorji zastrzega się wobec przejęcia się gustem jakiegoś jednego pisarza, jako źródło poezji wskazuje dzieje i prawdę, — w praktyce pozostaje niewolniczo pod wpływem Mickiewicza, i ani z dziejów nie czerpie. ani prawdy życiowej bynajmniej nie uwzględnia. W teorji prawi o krainie, gdzie wszystko wzniosłe, piękne i szlachetne, a w rzeczywistości ciągle przebywa w krainie, gdzie wszystko niskie, szkaradne i wstrętne. W teorji mówi o świeżości i tkliwości, sam zaś wcale aniświeżymani tkliwym nie jest. Wreszcie jedno tylko realizuje tj. nic a nic nie dba o formę, bo wychodzi z wygodnej tezy, reasumującej całą, zda się, ówczesną wiedzę estetyczną autora:

„Każdy rodzaj jest dobry, byle nie był nudny“. Zepsucie smaku, przesada fantazji dochodzi tu do kresu. Ową wolność nieograniczoną romantyków, dowolę formy i treści tylekroć przez klasyków wyrzucaną, uważać można w najwyższym stopniu w tych poezjach.

Szczegółowo przebiegać jeden utwór po drugim, wykazywać niezliczone błędy kompozycji i treści, dziwactwa smaku, zupełny brak głębszej myśli, poczucia zadania prawdziwej poezji, cudackie objawy fanazji — nie podobna, Drobnostkowy rozbiór byłby zresztą zbytecznym. Wypada jednak zaznaczyć najwybitniejsze, najbardziej charakterystyczne ustępy pojedyncze i wady ogólne.

Witwicki wówczas nie posiadał jeszcze takiego wykształcenia, by mógł sobie wytworzyć samodzielnie jasne pojęcie o romantyczności. Cóż dziwnego, że ślepo wierzył „in verba tmagistri“, zwłaszcza takiego, jak Mickiewicz.

Mickiewicz pisał: „Nowe uczucia i wyobrażenia samym barbarzyńcom właściwe, tak zwany duch rycerski i z nim połączony szacunek i miłość ku płci pięknej, Grecji i Rzymianom obcy, ścisłe przestrzeganie praw honoru, uniesienia religijne, podania mityczne i wyobrażenia ludów barbarzyńskich dawniejszych pogan i nowoczesnych chrześcian, pomięszane razem— oto jest, co stanowi w wiekach średnich świat romantyczny, którego poezja zowie się też romantyczną[1].“ Witwicki przyjął te wyrazy za prawo tworzenia, i dwa tomy poezji jego są jakby zbiorem przykładów na powyższe reguły.

Pierwsza zaraz ballada pt. „Ludwika i Lubor,“ albo „Turnieje“ przenosi nas w wieki średnie. Książę, mający córkę na wydaniu, sprasza rycerstwo, ofiarując ją zwycięscy w nagrodę. Lubor waleczny wyzywa kilku do walki. zwycięża — i bierze księżniczkę.

Motywem głównym — miłość, tak ważną odgrywająca rolę w świecie pojęć romantyków:

Staje się ona bodźcem występku w następującej balladzie pt, Pokutnik. Myśl główna:

Gdy miłość szalona raz sercem owładnie
pilnować się trzeba, bo szczęście przepadnie,

Dwaj bracia w jednej się rozmiłowali dziewczynie. Starszy zabija młodszego, a gdy bez powodu ginie Rozyna. Zelomir bratobójca pokutuje. Otóż męki jego kreśli autor w ten sposób.

Raz niby brat jego postacią mu znaną
Wychodzi z cmentarza, z otwartą swą raną,
On bieży do niego, chce ścisnąć Tubara,
Wtem chwyta w piekące objęcie go mara.
To znowu Rozyna zlatuje z obłoku,
Gadziny we włosach. a wściekłość ma w oku,
Do ślubu go woła przed święte ołtarze,
Schwyciła za rękę.. krwią ciepłą ją maże,
On niby śród morza z krwi ręce umywa,
Aż trzoda piekielnych go duchów porywa,
Zmieniło się morze w otchłanie ogniste..
Tu węże, tu smoki, tam piece siarczyste“

Sytuacje same przez się wstrętne, a jeśli zważymy, że w podobnym tonie snuje się cała ballada, łatwo zrozumieć, iż owo „Chwytanie mary w piekące objęcie“, „mazanie się krwią“, gwałtowne przemiany morza, w którem zbrodniarz umywa ręce — w węże, smoki i piece siarczyste, że to wszystko zdradza zbyt śmiałą fantazję, lekceważenie poezji i niezrozumie jej istoty, Nadto nie szukać tu nic narodowego: Ani podanie ani sytuacje nie mają ani w jednym rysie charakteru słowiańskiego. Zresztą o jakiejkolwiek charakterystyce nie ma mowy. W balladzie Wierność apoteozuje autor psią wierność, przenosząc ją nad ludzką. Bohater ballady miał kochankę, przyjaciela, krewnego i psa. Kochanka go zdradziła, przyjaciel nie pożyczył pieniędzy, krewny odtrącił, pies jeden pozostał przy nim i zginął w usłudze dlań, ratując wór pieniędzy. Wszystko dzieje się w sposób nadzwyczajny, sceny występują jak w kartonowym teatrze, niby na skinienie czarodziejskiej rószczki autora. Po zdradzie — nagle bohater przegrywa wielką sumę pieniędzy, po zawodzie doznanym u przyjaciela, musi jakąś daleką odbyć podróż, zaledwie wjeżdża w las sam w towarzystwie konia i psa, w tem wypadają zbójcy — itd. Wygłosiwszy wreszcie apoteozę psiej wierności kończy westchnieniem:

Czemuż psów przykład nie budzi,
Do cnoty niewdzięcznych ludzi?

Wniosek wysnuty z ballady zgoła mylny, a więc i nauka moralna pusta i bez treści. Wyjątkowe zresztą sytuacje dają niezwykłe rezultaty, a cała ballada zamiast obrazka ze stosunków ogólnoludzkich, zawiera opis paru scen niewiarogodnych.

Nadzwyczajność w następnej balladzie pt. Xenor i Zelina, o tyle staje się bardziej rażącą, że autor wprowadza na scenę nie osoby, jeno całe zastępy zbrojnych.

Miłość wzajemna obojga, miłość tak potężna, że się łzami rzewnemi przejawia, zostaje przerwaną wtargnięciem hordy tatarskiej, wtem występują zbrojne szyki mężnych obrońców i Tatarzy odparci, ale wśród tego giną kochankowie. Miłość indywidualna kończy się tragicznie. W dość wąskiej skali wyobrażeń, któremi szermują romantycy, miłość stanowi ton główny. A już z powyżej wymienionych ballad poznać można, jak miłość indywidualna pod różnemi postaciami dostarcza i balladom głównych motywów. Zazdrość, niewiara, przeszkody zewnętrzne nawet naturalna śmierć skutkiem miłości — oto ognisko, około którego koncentrują pierwsi romantycy, a osobliwie naśladowcy Mickiewicza większość sił swych poetyckich. Przekonamy się niebawem, jakie jeszcze kolizje życia zwracały uwagę naszego romantyka. W balladzie „Srogi opiekun albo noc wielkiej soboty“ widzimy zwykłego, brudnych instynktów zbrodniarza, który brutalnie się znęca, i wreszcie topi sieroty jego powierzone opiece. Za karę pożerają go śród pewnej podróży węże i pochłania otchłań. Ciekawy tu opis uczty wężej:

„Gadziny, żmije z każdej strony
Na siarką cuchnącym wietrze,
Suną się węże z krogulczemi szpony,
Ogniem zajmując powietrze.
W przebrzydłe, w ciężkie zbierając się kłęby
Szpony swe krwią czarną ropią,
Piekłem buchając, wściekłe wilcze zęby
W żywocie zbrodniarza topią.

Obok uczucia przywiązania macierzyńskiego, dla którego współczucie swe usiłuje wyrazić poeta przez użycie wielkiej ilości pieszczotliwych wyrazów, jak aniołeczki, rączki. sierotki, dziateczki, dzieciątka i dziateńki, paciorek, robaczki, czeladka, gwiazdeczki, bratunek itd. stawia poeta grozą i wstrętem przejmujący brak jakiejkolwiek

1) Przedmowa do 1. wydania poezji w 1822. O poezji romantycznej.

wrażliwości u bohatera, który nawet śród męczarni zachowuje się biernie — i jak woskowa figura, nie okazując wcale duszy.

W balladzie „Kasper Karliński" znajdujemy niewyraźny i niedość wyzyskany motyw patrjotyczny, wątku bowiem do niej dostarczyło znane podanie o obronie Olsztynu; Nie wyzyskał go autor, bo brakło mu głębszego zrozumienia dramatyczności położenia, a tak nie masz tu wcale kolizji obowiązków, walki i chwiania się pomiędzy miłością dziecięcia i rodzinnego kraju. Był to przedmiot na siły Witwickiego za trudny. Fakt sam zatem opowiedziany sucho i bez życia. Z większem nieco powodzeniem obrabia autor w następnej balladzie pt. Gołąbek albo Obraz Bogarodzicy podanie o wypędzonej przez macochę kalekiej dobrej sierotce, która chroni się do kościoła, cudem odzyskuje nogi. wdziękami zdobywa miłość księcia i zostaje księżną.

W ogóle, gdzie chodzi o uczucia proste zwykłe, tam nieco mniej przesady i liczenia na efekt. Najsłabsze są sceny z życia awanturniczego, z życia ludzi bez domu i łomu, rozbójników, wisielców, skazańców itd. Wybitny przykład tego daje ballada „Sługa i pan", której osnowa wzięta z dziejów hajdamackich. Sługa ratuje dziecię pana, a dziecię wyrósłszy ratuje od śmierci sługę. Poeta znajduje dość sposobności do przedstawienia obrazów z rozbójniczego życia hajdamaków. Postacie to niby groźne, w istocie trochę komiczne.

„I w rząd za stołem siedzieli
I łokciami się podparli,
Ręce krwią ociekłe mieli
I wściekłe oczy wywarli.
Pili i znów nalewali,
Z zabójstw się swych przechwalali.

Ballada „Przymuszone śluby" zapożyczyła pomysłu od Dziadów Mickiewicza. Marvla kochała Jasia, oddano ją innemu i straciła zmysły.

Podobnie następna: Wieczór św. Andrzeja zaczerpnięta częścią z Lenory, częścią z Ludmiły Żukowskiego [1]; chóry wprowadził autor nakształt chórów z Dziadów: chór starców, ksiądz, chór niewiast. Myśli i obrazy są reminiscencją Mickiewicza. Np Ksiądz:

„Co było duchem, do ducha wraca,
Co było prochem, w proch się obraca..";

albo chór niewiast:

Siwowłosy ojciec czeka
Kochanego syna woła,
Młoda stęskniona kochanka,
Czeka go u drzwi kościoła. itd.

1) Zarzucał to już Grabowski. Witwicki się tłumaczył, ale słabo. Analogia i podobieństwa obu wielkie.

Dla uzupełnienia dodajemy, że drugi tom prawie cały obejmuje „Czarowny zamek albo próby rycerza" [2], gdzie rycerz pokonawszy obżarstwo, żądzę, bojaźń i pychę — zyskał nagrodę. (C. d. n.)

2) Myśl z poematu Walterscotta The bridal of Trievmain or the vale of St. John.

GOLDA

przez

Ama

(Ciąg dalszy.)

I tę dziewczynę ja się odważyłam . . . o wybacz piękna pani . . . ja z twej białej szyi pereł sznurek rozwiązałam i wplotłam je żydówce, w lśniący warkocz i drogą twoją opasałam ją szarfą, i w myśli mej ta odarta dziewczyna stała mi piękna i wyniosła jak postać królewska . . . . i perły nad jej ciemnem czołem nowego nabierały blasku, i szarfa ta złota opasująca wdzięcznie smukłą jej kibić, piękniejszą mi się wydała.

O wybacz pani! Gdyby ona strój twój miała! Teraz cię ujrzała i wybiegła przez otwarte drzwi sionki przyjrzeć się tobie — pracy swej odbiegła i czarnemi śledzi cię oczyma. — Długo, długo ona o tobie mówić będzie ze starą swą matką, co widzieć cię nie mogła, z towarzyszkami swemi, wśród pracy z myślą swą — o nie zapomni cię ona tak prędko, ty jej się śnić będziesz, w tej lśniącej jasnej sukni. O! takiego stroju ona nie widziała jeszcze. Ona ma na sobotę spodniczkę czarną w złote kwiatki i kaftanik niebieski, ona ma jeszcze czerwoną wypłowiałą wstążkę, kupiła ją u starej Jentele gałganiarki na przystrojenie czarnego warkocza. Ale takiego stroju.... O gdyby ona miała! gdyby ona miała choć jedną złotą obrączkę z białego twego ramienia matka jej na jutro świeżą miałaby bułkę i mięsa kawałek. A tak....! A na ulicy znowu zrobiło się rojno i gwarno. Dzieci znowu ze wszystkich powybiegały kątów i biegną ku niej a ta kobieta pochylona idzie ze swemi dwoma koszami na rękach, nogi ledwie powłócząc za sobą. One cisną się do niej niecierpliwie, dzień cały na nią czekały, bo nigdzie tak dobrze kupić nie można jak u starej Ruchli, ona daje dwie czasem nawet trzy gruszki za jednego półcenta. I obstąpiły ją krzykliwie i poglądają jej w oczy, ciekawe, czy też się nie uśmiechnie. Ale ona dziś smutna, nie uśmiecha się figlarnie, nieogania się natrętom, nawet nie trzepnie żadnego, choć wszystkie te drobne ręce na kosz. jej się rzuciły, skwapliwie resztki rozdrapując owoców. Ona dziś dziwna jakaś! Dawniej pieniądz każdy uważnie ze wszystkich oglądnęła stara nim go schowała, dziś obojętnie wsuwa je do skórzanego woreczka, co go nosi zawsze pod płócienkowym fartuchem, niepopatrzywszy nawet — i idzie dalej. A starsi patrzą na nią pochyloną wiekiem i troską, kiwają głowami — a dzieci dziwią się dlaczego stara Ruchla dziś się nie śmieje — ona, co zawsze dla nich i uśmiech i żarcik miała wesoły, co tak śmiała się serdecznie, trzepiąc je po rękach. A dziś nieodpowiada nawet na ich pozdrowienia, tylko idzie — taka chmurna. Przypatrz jej się i ty. wszak to twoja, znajoma, widziałaś ją nieraz i codziennie ją widzisz. Ona przechodzi po przed twojemi oknami, ta sama mała staruszka z tą pomarszczoną" twarzą i wpadłemi usty, zawsze w tym żółtym, szychowym czepku, w tej połatanej spodnicy i przydeptanych pantoflach. Dwa ciężkie kosze owoców niesie na rękach i uśmiecha się do oczek niebieskiej pończochy, co przesuwają jej się ciągle między palcami, szybsze niż myśli. Ale ty jej nie znasz, skądbyś ty ją znać miała? Choć nieraz patrzyłaś na nią, aleś jej nie widziała, choć nieraz na ulicy ona zagadnęła cię, czy nie kupisz jej ber soczystych — ty jej nie znasz. I pocóżbyś ty ją znać miała? Tobie owoce na kryształowych podają podstawkach najświeższe — najpiękniejsze — tybyś je kupować miała u brudnej żydówki! Nie znasz jej i nie dziwi cię, że olbrzymi kłębek w próżnym leży koszu a przy nim zaczęta pończocha do góry sterczy drutami — a ona z pochyloną głową wlecze się ulicą, mówiąc coś sama do siebie. I czegożbyś się dziwić miała? Cóż dziwnego, że stara żydówka gada do siebie — rachuje pewnie — prawda? bo cóżby innego, ona pracuje od świtu -- ledwie oczy przetrze, oblicza jak sprzedać, jak oszukać i zedrzeć, wieczór, gdy oczy zamyka rachuje, jaki zysk dzień jej przyniósł. Ona i teraz rachuje na drodze do domu i cieszy się z zysku — ta stara żydówka. Cieszy się — ale jej twarz taka smutna i łza po zmarszczkach jej spływa. Ona płacze?.... I czegóż ona płakać może? Ty nie wiesz, ty jej nie znasz, ty niewidziałaś jej uśmiechnionej i szczęśliwej i łza ta jej nie dziwi cię i nie boli — ale ja znam ją — ja znam ją dawno — i łza ta z jej wypełzłego oka pali mnie — muszę wiedzieć jej przyczynę. O chodźmy za nią!.... Nie chcesz? ty nie chcesz zbliżyć się do tej biednej kobiety, ty taka tkliwa na cierpienie drugich. Lękasz się, by łza jej słona nie splamiła ci sukni, padłszy na nią przypadkiem? O bo łzy jej — inne niż twoje

— one gorzkie i gryzące. Lękasz się iść za nią tą wązką uliczką, by w tłumie jedwabnych nie zedrzeć koronek i atłasowego pantofelka na brudnej nie zawalać podłodze? — Nie chcesz iść? — Ale ja pójdę.

Widziała ją dziś tę swoją dziewczynę. Wychowała ją sobie, wychowała bezsennością nocy, troską dnia, poświęceniem serca swego. Wychowała ją sobie na boleść i zgryzotę, na wstyd siwej swej starości. I pieściła ją i kochała wszystko swoją miłością. A jak tu nie było pieścić, jak nie było kochać, kiedy to taka rozkoszna była dziecina, w kołysce jeszcze a takie było dobre, niekrzykliwe, tak mądrze niebieskiemi patrzyło oczyma, tak ku niej drobne wyciągało rączęta i uśmiechało sie jej, że matce serce rosło z radości. A gdy już chodzić zaczęła ta mała i mówić — to była pociecha! Matka nie wiele nią się cieszyć mogła, bo skoro świt, wziąwszy kosz szła na miasto — ale myślami swemi była z nią zawsze razem, uśmiechała się jej figlom dziecięcym, widziała ją ciągle. Bo ona taka była, jak te aksamitne laleczki, co bawiły się na trawie — taka sama. I stara z uśmiechem zbliżała się chcąc pogłaskać, ucałować je za to, że takie były jak to dziewczątko jej w domu, ale dzieci uciekały i zestraszone z krzykiem przypadały do kolan piastunki. I odchodziła — a za nią gonił krzyk i wyzywania oburzonej dziewczyny, jak ona, ta żydówka śmie dotykać się, jak ona śmie uśmiechać się pańskiemu dziecku.... Niech tam sobie krzyczy jak chce — niech sobie mówi, przecież jej piastunka piękniejsza, choć nie wystrojona w aksamitną sukienkę i koronki i pióra, przecież piękniejsza, — i włoski jej jedwabiste bardziej połyskują i twarzyczka jej bielsza i oczka ciemniejsze i większe. O ona piękniejsza — ale, bo też takiego dziecka niema pod słońcem. I szła dalej i nie mogła już doczekać się, by ją ujrzeć. A wieczorem do domu nie wlokła się tak jak dziś noga za nogą, ale biegła szybko, bo wtedy ona młodszą była i sił miała więcej, bo tęsknota ją gnała i obawa. Może tam Dwojra, bo ona jeszcze wtedy nie była wydana, może małej siostrzyczki nie dopilnowała, może ona gdzie upadła i pokaleczyła się!.....

Biegła bo słyszała jej płacz — biegła i zdyszana wpadała do izby. — A ta mała cichutko z twarzyczką różową, z rozwianymi włoski, rączkę drobną podłożywszy sobie pod główkę spała — piękna jak obrazek. Nazajutrz ona miękkiemi rączkami opasywała jej szyję i tak serdecznie świeże swe usteczka na zwiędłe kładła jej usta, pocałunkiem witając ją za wczoraj i żegnając na dzień dzisiejszy. Ona wtedy biegła, i nie było tu biedz? Któżby nie biegł, któżby się nie spieszył do tego złotego aniołka? A dziwna, wszystkie jej dzieci czarne miały włosy i ciemne twarze; u niej u tej jej najmłodszej, niewiedzieć skąd, twarzyczka się wzięła taka jasna i bielutka i piękne niebieskie oczy i włosy jak szczere złoto. A co dzień stawało się to dziecię piękniejsze, lepsze co dzień, takie przywiązane a posłuszne, tak na każde jej uważne skinienie. A z niem było tu tak dobrze, tak wesoło i jasno — ta ciasna izdebka nie wydawała jej się tak ciemną i pustą. wieczory nie dłużyły jej się tak bardzo a dni nie były takie ciężkie. Ona wtedy spieszyła do domu, witał ją tu śmiech dziecka wesoły i nieustanne jego szczebiotanie. Bo gdy podrosła i do szkółki chodziła ta mała, ona już z powitaniem czekała na matkę i nie kładła się. Nieraz znużonej czekaniem oczy się kleiły i zasypiała a matka tak ją tam zastawała klęczącą na ziemi, z główką opartą na dłoni, przed nią na krzesełku leżała książeczka a złote włosy miękkie jak jedwab rozsypywały jej się po białej rączce i kartkach otwartej książki. Ale na skrzypięcie drzwi budziła się i biegła twarzyczką ze snu różową powitać matkę. Znużoną całodziennem chodzeniem sadzała na krześle, książkę w przód uprzątnąwszy a próżne kosze niosła do kąta. I dopiero zaczynały się opowiadania ciekawe i ważne z dnia całego, o obiedzie jaki jej Dwojra ugotowała, o pięknej sukni jaką dziś pani miała w szkole i o rękawiczkach Mani, co przy niej w szkole siedziała i zawsze takie piękne białe nosiła fartuszki — o, o tych rękawiczkach było co opowiadać i mała odżałować nie mogła, że matka tego dziwa nie widziała. Matka słuchała i uśmiechała się i darzyła ją pięknem jabłuszkiem, które umyślnie dla niej z kosza odłożyła. A zawsze tak wiele było do opowiadania — tak wiele, o tak ważnych rzeczach, że czasem i wieczór nie starczył, a maleńka, leżąc na posłaniu, przypominała sobie coś z dnia o czem matce opowiedzieć zapomniała i nazajutrz, kiedy ją matka prowadziła do szkoły kończyła wczorajsze opowiadanie. I tak im razem czas schodził wesoło.

Ale kiedy mała na powitanie jej nie zerwała się i nie przybiegła do niej, lecz pochylona nad krzesełkiem rozpoczęte kończyła zadanie, ona wszedłszy cicho do izdebki chodziła na palcach, jakby się bała kogoś śpiącego obudzić i usiadłszy z pocałunkiem swym czekała i patrzyła na nią, ale dziecka nie odrywała od nauki. Kiedy inne dzieci w jej wieku, jej koleżanki szkolne biegały tu i owdzie na własnych posyłkach ona choć zmęczona sama wolała iść, sama przynieść i zrobić, żeby dziecka nie odrywać od zadania i dziwiła się, jak to inne matki czynić mogą. — Siedziała i patrzyła i myślała sobie o jej przyszłości. — O ona owocarką nie będzie, ta mała — ją inna czeka dola — nie taką nędzną, ale pilną i mądrą dziewczynką. Bo jej córeczka bardzo była mądra, choć ona się na tem nie znała, bo sama ani czytać ani pisać nie umiała biedaczka, ale widziała przecież, że wszystkie literki tak równo stawiane jedna obok drugiej, że na książeczkach i zeszycikach jej ani jednej plamki nie było, bo ona każdy zeszycik starannie owijała papierem. Słyszała przecież, jak ona gładziutko czytała jej z książki, jakie długie wierszyki mówiła na pamięć, nie zająknąwszy się ani razu. A zresztą, gdyby ona nie uczyła się dobrze, gdyby nie umiała, za cóż dawano jej takie śliczne czerwone książeczki ze złotymi napisami, za cóż chwalonoby ją w tej wielkiej sali na popisie? O ten popis! Gdy on nadszedł, choć to nie było święto, owocarka świąteczne brała suknie i koszów nie niosła do miasta — ale szła tam do tej wielkiej sali i patrzyła na dziecko swe i słuchała, jak ona głośno piękne mówiła wierszyki, jak ładnie spiewała. Stała z bijącem sercem i słuchała, jak wszyscy chwalą jej dziecko, jak nauczycielka głaskała ją po włosach i głośno nazywała ją grzeczną dziewczynką, słowiczkiem swym, i na palcach się spiąwszy mała wyciągała po stać, by ujrzeć. by usłyszeć lepiej i łzy błyszczały jej w oczach i ręce drżały z radości i biedz chciała tam na środek sali, pochwycić ją i pokazać ją tym strojnym paniom i panom, całemu pokazać światu, że to dziecko rozumne i piękne, co tak ładnie spiewa, to jej dziecko, to jej mała Gołdzia. Ale nie szła. trwożna usuwała się i kryła za drzwiami. Gdy wszyscy wyszli ona dopiero do swego przysuwała się dziecka, całowała je po rękach i włosach i płakała z radości. A nikt by wtedy nie powiedział, że to dziecko jej, niktby nie powiedział, że ta nieśmiała żydówka to matka tej dziewczynki z pańską twarzyczką, strojnej w lekką białą sukienkę — niktby nie powiedział, choć ona dziś sobotnią miała na sobie suknię. Bo ona ją stroić lubiała tę małą Goldzię swą. Kiedy jej nową trzeba było sprawić sukienkę lub wstążeczkę barwną do warkocza, ona już naprzód szczędziła i odkładała, wszystkiego sobie odmawiając, już miesiąc cały nie wstępowała do garkuchni na obiad, już nie kupowała sobie śledzia na śniadanie, kawałek suchego chleba starczyć jej musiał na dzień cały. Ale w tej sukience jej Goldzie tak pięknie było, ona tak cieszyła się i całowała matkę za dar taki. Syta tą radością dziecka zapominała głodu i trudów. A trudy te nie małe były. Dnie całe dreptać i dźwigać ciężkie kosze i zachwalać i dopraszać się kupującym.

A od promieni słońca głowa jej pękała odsłoniona a rozpalone kamienie piekły jej stopy przez podarte pantofle, a ręce jej mdlały z gorąca. Ale ciężko wzdychając, ona nie wstawała, nie wypuszczała drutów z ręki i szła dalej z nieodstępną swą pieszczochą nieodpocząwszy i chwili. Ale choć ustawała z gorąca i pragnienia nie wzięła na ochłodę ani jednego jabłka z swego koszyka ani jednej jagody winogrona na ugaszenie pragnienia — wolała schować dla Goldzi. W zimie tylko, bo ona i w zimie handlowała, roznosząc mak, groch gotowany lub rozmaite pieczywo, wtedy tylko niebieskiej nie robiła pończochy bo palec ją znowu bolał — ona wtedy ręce w rękawy watowanego chowała kaftana i zziębnięta chodziła i liczyła, ile jej na zapłacenie straganu potrzeba. Gdyby ona stragan mieć mogła, wypoczęłaby, nogi, te jej okropnie umęczone nogi nie bolałaby jej tak okropnie, a w zimie ona skostniałe ręce mogłaby ogrzać nad garnkiem gorących węgli — ale nie o to jej chodziło. Gdyby na stragan miała, targowałaby więcej i mogłaby coś uskładać dla dziewczyny swej, bo ona rosła tak prędko — matce się wydawało. A tymczasem już inne dziewczęta jej rówieśnice zarabiały na siebie to w sklepach, to w domu i pomagały rodzicom, inne powychodziły za mąż, a jej Goldzia chodziła jeszcze do szkoły. Sąsiedzi widząc ją idącą tą wązką uliczką wybiegali, by przyjrzeć się jej tej pięknej dziewczynie, której złote warkocze aż niżej pasa spadały, i głowami kiwali i wzruszali ramionami, dziwiąc się jej takiej pięknej i strojnej. „Panią sobie chowa“ mówili i dziwili się, że matka tak sama pracuje na dziewczynę, nic jej robić nie dając. I cóż ona robić mogła taka piękna i delikatna? Ona stać nie umie w sklepie i marznąć i dąsy znosić kupca i kupujących i dopraszać się na ulicy przechodniom swym pięknym srebrnym głosem — ona taka piękna! Kiedy w mieście tam ukryta za murem lub w sieni jakiego domu patrzyła na nią idącą z koleżankami tak piękną — cieszyła się, a serce matki wołało jej: „Ona najpiękniejsza“ I była najpiękniejsza, ta dziewczyna z jasnemi włosami i temi ciemnemi szafirowemi oczyma pod czarnemi wązkiemi brwiami. I tak jak wtedy w tej wielkiej sali tak teraz do tej pięknej panny na środku rynku serce ją ciągnęło, bo ona nie miała jej ujrzeć aż wieczór w domu. Lecz nie poszła — w tej łatanej spodniczynie i brudnym fartuchu, z rękoma zgrabiałemi od mrozu ująć jej drobne białe rączęta, pokazać im, że ta piękna, delikatna panienka to jej córka, jej biednej przekupki? — nie! Choć ludzie gadają, choć Arzumko w domu ciągle na nią się gniewa, że dziewczyny do pocziwej nie przyzwyczaja pracy, że ją psuje, ona przecież pracować będzie na nią, aby ją ubrać ładnie, aby ją widzieć tak piękną i świeżą. O ona, jej nieda zapracować się, bo cóż ona nawet mogłaby robić, ta dziewczyna jej? Owocarką przecież nie będzie, gdzieżby w białych rączkach ona takie ciężkie uniosła kosze, a drobne jej nóżki nie nastarczyłyby całodziennemu chodzeniu. O ona jasnej twarzyczki nie opali na słońcu — ona owocarką nie będzie! I biedna matka nie wiedziała jaką, ale jej w myśli świetną gotowała dolę, nie tak nędzną, jak jej własna. Anioł iskrzący brylantowe jej przynosił marz'nia o jasnej przyszłości jej najmłodszego dziecka, a ona trzęsąc się z zimna uśmiechała się tym marzeniom. Chwilami wzdychała smutnie, kiedy ciężkie czasy i bieda przypomniała jej się dokuczliwiej, ale znowu jasna przyszłość jej dziecka któremu Bóg szczęście i świetną gotował dolę. I szła dalej z marzeniami swemi. Wieczorem na wązkiej siedząc skrzyneczce patrzyła jak Goldzia pokończywszy zadania swoje siadała pod okienkiem, kapelusik sobie strojąc, lub obrzynając sukienkę. Onaby jej tak chętnie pomogła, ale nie umiała nawet wziąć tych różowych i niebieskich pajęczyn odmrożonemi palcami, tej małej, choć ją przeszło o głowę przerosła, lecz matce zawsze jeszcze jej maleńką się wydawała córeczką, jej szło to tak składnie, tak zręcznie i z białych paluszków pięknie wychodziło i świeże. Taka to już jakaś zręczna była do wszystkiego. (C. d. n.)

Powrót Jerzego Brandesa.

Za kilka dni opuszcza Berlin człowiek, który był tego miasta jedną z najpiękniejszych umysłowych i literackich ozdób. Jerzy Brandes wraca do duńskiej swej ojczyzny, którą przed pięciu laty opuścił, zrażony napaściami swych reakcyjnych i ortodoksyjnych przeciwników. W ciągu zaś ostatnich lat zapanowała w Danii większa swoboda myśli, a rzecznicy jej postanowili zachęcić dzielnego swego przywódcę Brandesa do powrotu na ojczystą ziemię. W pobieżnem sprawozdaniu niepodobna skreślić znaczenia tego człowieka dla skandynawskiej północy. Bodaj, że niemcy ocenili jego działalność dokładniej niż ziomkowie zeszło-tygodniowego solenizanta, którego żegnano w Berlinie wspaniałą ucztą pożegnalną, wydaną na cześć jego w Kajzerhofie.

W okazałej sali zebrały się najpierwsze znakomitości niemieckiej stolicy. Zgromadzili się tu najprzedniejsi dziennikarze, literaci, profesorowie i członkowie parlamentu. Pierwszy toast wzniósł prof. Scherer, jako specyalny znawca dzieł i zasług Brandesa. Scherer, wbrew swemu zwyczajowi w podobnych razach, porzuciwszy swój patetyczno-krasomówczy nałóg, przemówił jasno i zwięźle, wyjaśnił umysłowe wpływy i oddziaływania wzajemne Niemiec i krajów Skandynawii, przyczem dał ilustracją działalności swego kolegi Brandesa wedle metody, którą ten ostatni stosował, rozbierając bohaterów i poetów. Scherer położył nacisk na małą rozprawę Brandesa pod tyt.: „Gete w Danii“ jako na rzecz polemiczną przeciw prof. Dubois-Raymond, który przed kilkoma miesiącami uderzył na poetę w odczycie pt. „Goethe und kein Ende“, wywoławszy z tego powodu liczne komentarze.

Z kolei zabrał głos wielce zasłużony publicysta Juliusz Rodenberg, zastanawiając się nad umysłowem wpływem jego w Danii i nareszcie nad stylowym i myślowym temperamentem pisarza. Nader taktownie załatwił się mowca z Brandesem, jako z pisarzem niemieckim. Brandes w przedmowie do swoich „Nowych prądów“ (Moderne Geister) objaśnił, że niema pretensji uchodzić za niemieckiego pisarza, posługiwał się zaś tym językiem, aby mógł zrozumiale przemawiać do Europy. Na słowa mowcy odpowiedział Brandes improwizowanemi słowy, któremi obecnych, jako cudzoziemiec władający niemieckim językiem, zadziwił. Wspomniał on o owym jesiennym wieczorze, gdy po raz pierwszy zawitał do Berlina, kiedy przechodząc Lipami pomyślał sobie, że wprawdzie nie znajdzie tu zwolenników i przyjaciół, ale też nie spotka niechętnych mu przeciwników i wrogów. Dziś ma już tu przyjaciół i ani jednego wroga, czego bynajmniej za pochwałę sobie nie poczytuje; dzielny człowiek bowiem w ognisku swojej działalności, zawsze mieć będzie przeciwników, wrogów i zawistnych i tych mu w Berlinie brakowało, gdzie osiadł jako cudzoziemiec, jako spokojny obserwator. Próżnię, jaką po sobie zostawi, przekonał się bowiem dziś, ile tu ma przyjaciół, poczytuje sobie jako szczęście niezasłużone. Poważny głos nęci go tam, gdzie się urodził i gdzie walczył w obronie umysłowej swobody.

Scherer — dowodził Brandes — mało znadzieje jego młodości, więc niektóre szczegóły z tej epoki wygłasza. Obecni poznali owo jego osamotnienie, dowiedzieli się jak solenizant spokojnie w małem państwie życie wiódł zdala od europejskiego ruchu, jakna-

reszcie postanowił przełamać wszelkie krępujące go zapory. Ze słów tych wnieść było łatwo, jak on swemi pracami pobudzał ziomków do tłómaczenia obcych arcydzieł. Wraca nareszcie do ojczyzny, gdzie czekają go liczne walki i zawiści; jednakże ani na chwilę nie waha się, idąc za głosem wołających go przyjaciół; czeka go w Danii poważne zadanie. Niemcom zawdzięcza on wiele szlachetnych pobudek i tego nigdy nie zapomni. On i przyjaciele jego, liberalni Skandynawcy, zawsze chętni byli bezprzesądnym stosunkom z Niemcami, które jednak sprawę tę same nieraz utrudniały, dowodem ostatnia rezolucja o powinności wojskowej w północnym Schleswigu. „Wiem — rzekł Brandes — że Niemcy nazbyt są silne, aby nie potrafiły być wspaniałomyślnemi. Rzecz prosta, że obecni na uczcie Niemcy czuli się w obowiązku na ten taktowny komplement odpowiedzieć rzęsistym oklaskiem.

Brandes zawsze odznaczał się dzielnością charakteru. Połączył też zręcznie powyższemi słowy wymówkę uczynioną Niemcom z pochlebnym wykrzyknikiem, którym gorzką osłodził pigułkę.

Po mowie tej zabrał głos członek parlamentu Löwe-Calbe, wznosząc toast na cześć solidarności liberalnych idei w Europie.

Zakończył mowy prof. Lazarus, odczytawszy piękny wiersz, przysłany na uroczytość tę z Monachium przez poetę i powieściopisarza Pawła Heysego.

Fryderyk Flottow.

Znakomity twórca „Marty“ zakończył dnia 24 stycznia b. r. życie w Darmstadzie. Nazwisko jego niegdyś świetnie jaśniało na horyzoncie opery europejskiej, a jakkolwiek w późniejszych latach nie zdołał się utrzymać na wysokości sławy, którą pozyskał w połowie naszego stulecia, to bez wątpienia nieliczne lecz cenne płody jego wdzięcznego i ożywionego talentu, zapewniają mu na zawsze w historji muzyki znakomite miejsce. W ostatnich czasach mianowice, gdy publiczność z upragnieniem dzieł melodyjnych oczekująca, dotkliwie czuje posuchę w krainie tonów, z podwójnym smutkiem dowiedzieliśmy się o śmierci kompozytora, który zachwycał miłym humorem, darząc nas harmonijnemi utworami. Flottow nie należał do grona pierwszorzędnych geniuszów, nie wznosił się też w górnym polocie do burzliwego natchnienia; właściwym przymiotem jego uzdolnienia była raczej wytworność w rodzaju kompozytorów francuskich, z odcieniem łagodnej uczuciowości. Lecz rozporządzał on szczodrze zasobami swego talentu. Świeże źródło jego melodyj tryskało orzeźwiająco; nie dręczył słuchaczów utworami wzniośle nudnemi, a gdy w późniejszych latach wyczerpała się w części jego twórcza działalność, nie szukał zadowolenia w pisaniu grubych ksiąg, gdzie autor z lekceważeniem mówi o melodji, mszcząc się, iż mu odmówiła swych darów... Flottow z upodobaniem przebywał w Wiedniu, gdzie był nie tylko jako uzdolniony muzyk, lecz także dla swych osobistych zalet wysoko cenionym; jego posiadłość wiejska w pobliżu Reichenau, była przez długie lata miejscem zebrania grona artystów wiedeńskich. Meklemburczyk rodem, ujrzał światło życia w dobrach rodzinnych Rentendorf, w dniu 27 kwietnia 1812 r. Ojciec obrał dla niego zawód dyplomatyczny, ale w młodzieńcu wcześnie się objawiło upodobanie do muzyki, a artystyczne życie paryskie jeszcze więcej utwierdziło go w tej skłonności. Pierwsze opery w młodych latach utworzone, uwydatniły już wdzięczny Flottowa talent, a cztero-aktowa opera „Le naufrage de la Méduse“, — której trzy akta opracował, (jeden akt był przez Pilotego skomponowany) — pierwsza pozyskała wielkie powodzenie, i w r. 1839 oraz 1840 była przeszło pięćdziesiąt razy przedstawioną. Pomijając w tym pobieżnym zarysie inne dzieła Flottowa, przechodzimy do opery „Stradella“, naprzód w Paryżu przedstawionej, a następnie w tryumfalnym pochodzie obiegającej wszystkie sceny miast europejskich. Dalej nastąpiła „Marta czyli jarmark w Richmond“; opera ta komiczna osiągnęła bezprzykładną niemal popularność, jej melodje zamieniły się w pieśni ludowe, i nie ma przybytku muzy na świecie, któryby do repertoaru swego nie zaliczał tego melodyjnością, rozkosznym humorem i subtelnością pomysłów zachwycającego dzieła, mającego dziś jeszcze dłuższą przyszłość zapewnioną, niż niektóre wymuszone utwory, nadętą swą próżnią słuchaczów usypiające... Flottow później jeszcze wykończył kilka oper romantycznych i lirycznych, które jednakże nie dorównywają pierwszym jego utworom pod względem świeżości i oryginalności melodyj. „Cień“ („L'ombre“) był z powodzeniem przedstawiony w paryskiej operze komicznej w r. 1869, natomiast na scenach niemieckich dzieło to nie mogło się utrzymać. W roku 1856 Flottow został mianowany intendentem teatru dworskiego w Szwerynie, i urząd ten do r. 1863 z wielką sprawował gorliwością. Później znów udał się do Paryża, gdzie przepędził większą część ostatnich lat swego życia. W podeszłym wieku Flottow uległ osłabieniu wzroku, w końcu przebywając u swej siostry w Darmstadzie, zaniewidział prawie zupełnie. W roku zeszłym Flottow był obecnym w Wiedniu przy uroczystem pięćsetnem przedstawieniu „Marty“ w gmachu opery dworskiej. Starzec z uśmiechem przysłuchiwał się bądź wesołym, bądź tęsknym melodjom, przypominającym mu czas jego młodości. — Do końca życia Flottow nie mógł się oprzeć namiętnemu zamiłowaniu w twórczości muzycznej, a gdy siły nie dozwalały na wykończenie dzieł większych rozmiarów i poważniejszych, wtedy w pieśniach wynurzał swe uczucia. W ostatnim czasie jeszcze skomponował kilka romansów, dedykowanych swej małżonce. W pozostałych po Flottowie dziełach znajduje sią podobno niejedn utwór muzyczny, pomiędzy innemi niewykończona opera. Flottow oprócz wdowy pozostawił syna i córkę. W razie gdyby wśród pozostałości znajdowały się pamiętniki, przedstawiłyby one prawdopodobnie zajmujące opisy jego licznych stosunków z różnemi osobistościami znakomitemi. Niedawno jeszcze Flottow zręcznie władający piórem, umieścił w jednem z pism niemieckich ożywione wspomnienia z czasu swego pobytu w Paryżu.

P. T.

Nowe odkrycie archeologiczne.

Senzacyjne odkrycie archeologiczne w Turcji azjatyckiej, stanowi przedmiot fachowej rozprawy, ogłoszonej w protokołach posiedzenia berlińskiej Akademii umiejętności z 11. stycznia b. r.

Jest to pod każdym względem niezwykły, bogato dziełami sztuki ozdobiony grecki grobowiec, który szczególnym sposobem dotąd uchodził uwadze podróżników.

Pan E. Sester, na Wschodzie zamieszkały niemiecki inżynier, pierwszy dowiedział się o jego istnieniu, i zawiadomił o tem Conze'go w Berlinie, który natychmiast spowodował bliższe umiejętne zbadanie.

Badania te podjął młody uczony niemiecki dr. Otto Puchstein, i przeprowadził je ubiegłego lata z nadzwyczajnym skutkiem.

Monument znajduje się w oddaleniu 250 kilometrów na północny wschód od Aleksandretty, (tureckie Skanderun nad zatoką Syryjską) na prawym brzegu Eufratu i leży na wierzchołku góry Nemrud Dagh (6500) panującej nad całą Mezopotańską równiną. Jestto stożkowaty wzgórek (tumulus) za kończący wspaniale imponującą piramidę naturalną, na której szczycie leży. Zbudowany z gruzu kamiennego ma 45 metrów wysokości, a średni-

ca podstawy wynosi metrów 150. Na wschodniej i zachodniej stronie wykute w litej skale platformy mieszczą artystyczne ozdoby grobowca, a stanowią je liczne płaskorzeźby i olbrzymich rozmiarów figury, które po obu stronach wzgórka są identyczne, i w tym samym ustawione porządku, tak że pomnik ze wschodu i zachodu jednakowy przedstawia widok. Wyobraża on założyciela grobowca Antyocha, króla Kommageny (69—34 przed Chr., —była to najdalej na północ wysunięta część Syrji pod własnymi królami z domu Seleucydów) otoczonego bóztwami opiekuńczemi swej dynastji i szeregiem przodków. Przodkowie przedstawieni sa w płaskorzeźbie, Antyoch zaś i bogowie jako statuy. Obydwie platformy są otoczone nizkim murem, a od wzgórka oddzielone szerokiemi w skale ciosanemi wchodami. Ponad temi wchodami siedzi na tronach rzędem pięć kolosów, wykutych z kamienia wapiennego. Wysokość każdego z nich przenosi 7 metrów. Środkowy przedstawia Jowisza - Oromozda, obok niego rozsiadł się Antyoch i bogini patronka Kommogeny, dalej dwa bóstwa Herakles Ares i Appollo — szereg zamykają lwy i orły zwrócone na północ i południe. Na tylnej ścianie pięciu tronów, zwróconej ku stożkowi (powierzchnia tej ściany wynosi 40 metrów kwadratow.) znajduje się monumentalny napis; mówi on o założeniu grobowca, o ustanowieniu dlań osobnych kapłanów, i uroczystości w dzień urodzin i w dzień koronacji królewskiej.

Płaskorzeźby, przedstawiające przodków, mają na odwrotnej stronie napisy z nazwiskiem i tytułem wyobrażonego, i były umieszczone na murach otaczających platformy.

Zdaje się, iż wszyscy przodkowie, począwszy od Dariusza Histaspa, byli przedstawieni w postawach stojących, z czarami ofiarnemi, w ręku zwróceni twarzą do siedzących na tronach bogów. Przed każdym wizerunkiem przodka, stał ołtarz do składania ofiar.

Nie wszystkie płaskorzeźby zachowały się, ręka niszczycieli, którzy usiłowali nawet, chociaż bezskutecznie, wtargnąć do wnętrza grobowca, postrącała wiele z nich ze swoich miejsc, teraz leżą gdzieś pod gruzami.

Dr. Puchstein, mając do pomocy w swych poszukiwaniach, tylko czterech Kurdów, z którymi przez 14 dni mieszkał w jakiejś grocie na szczycie góry, nie mogąc się nawet z nimi dla nieznajomości języka dokładnie porozumieć, będąc wystawionym na dotkliwe zimna i zaopatrzonym zaledwie w najniezbędniejszą żywność, nie mógł przy takim stanie rzeczy myśleć o wykopaliskach, musiał się więc na razie ograniczyć na skopiowaniu napisów, i na opisaniu dzieł sztuki znajdujących się na powierzchni ziemi. W sprawozdaniu swojem utrzymuje on, iż pomimo znacznych uszkodzeń istotne części grobowca w zupełności są zachowane, a expedycja, którą dyrekcja berlińskiego Muzeum niewątpliwie wyszle wkrótce, celem gruntownego zbadania i zdjęcia planów tego wspaniałego zabytku starożytnej sztuki, powróci niechybnie z piękną zdobyczą.

Spodziewać się należy, iż znajdująca się według wszelkiego prawdopodobieństwa wewnątrz grobowca komnata z zwłokami królewskiemi, jest nienaruszona. Rzecz wątpliwa, czy z powodu znacznej odległości i niedostępnego położenia miejsca, na którem grobowiec się znajduje, dadzą się uratować wszystkie dzieła sztuki, niemniej przeto ważnem jest to odkrycie dla historji i sztuki.

Przegląd literacki.

„Ognisko“,

książka zbiorowa, wydana dla uczczenia 25-letniej pracy T. J. Jeża, Warszawa 1882 r. — Str. 423 w wielkiej 8ce.

(Dokończenie).

Dział naukowy czysto reprezentowany jest w „Ognisku“ bardzo poważnie. Znajdujemy tu najpierw „Notatkę statystyczną“ pana Sulimierskiego, w której oblicza on, że jest nas, Polaków, ogółem 11,910.000. Dalej idzie artykuł p. Karola Dunina p. t. „Indywidualizm w życiu społecznem“, którego autor dowodzi obszernie, że w dziejach widzi „ciągłą dążność do wyzwalania się jednostek z więzów społecznych“. W pracowitej rozprawie p, t. „Sprawa włościańska i służebności“ zebrał p. Franciszek Olszewski całe szeregi cyfr i danych, dotyczących obecnego stanu sprawy włościańskiej w Królestwie. Pan Olszewski rozpoczyna pracę swą od słusznego twierdzenia, że „prasa nasza stanęła w sprawie włościańskiej po stronie interesów większej własności, zapoznając i lekceważąc zupełnie interesy drobnej, których nawet nie starała się poznać dokładnie“. — P. Jan Karłowicz, przystępując do przedstawienia „Próby charakterystyki szlachty polskiej“ wychodzi z założenia, że „niezłomne prawa rządzą światem, a więc i losami ludzkiemi“, następnie zaś stara się zbadać szczegółowo warunki, które uczyniły szlachtę polską tem, czem była i opisać jej obecne cechy charakterystyczne. Mówi więc naprzód o „wpływach przeszłości“, etnograficznych, następnie geograficznych i dziejowych; dalej zaś zastanawia się nad pojęciami i działaniem społecznem szlachty naszej w teraźniejszości, zastanawia się nad jej charakterem politycznym, religijną stroną charakteru, inteligencją, a wreszcie nad charakterem jej prywatnym i domowym. Część historyczna kończy się okresem następującym: „Z lekkomyślnością i dobrą wiarą wszystkich ludów pierwotnych braliśmy masami dary z Zachodu; nie rozwijaliśmy kiełków własnej cywilizacji, bo jeśli i posiadamy takowe, to apostołowie duchowni i cywilni zachodu starannie i energicznie je deptali; więc naśladowaliśmy ciągle, a kto naśladuje, ten zwykle robi gorzej i przesadza; grunt umysłów naszych nie był przygotowany do przyjęcia w krótkim stosunkowo czasie wielowiekowego dorobku zachodniego; otóż przyjmowaliśmy bez różnicy złe, dobre, nie mieliśmy czasu przetrawić nabytków, chwytaliśmy mnóstwo rzeczy powierzchownie tylko, przesadziliśmy w gorliwości, jak wszyscy przygotowani niedostatecznie neofici; przebraliśmy miarkę w służalstwie Rzymowi, szliśmy na skinienie jego w ogień, zapominając o własnych interesach; przedrzeźniając później Francuzów, paplaliśmy (i paplamy) ich językiem, zaniedbując własny przyjmując za ewangelię zasadę rzymską o panach i niewolnikach, rodzonemu bratu naszemu, chłopu polskiemu odmówiliśmy praw nie tylko do ziemi, ale i do człowieczeństwa, a przesadzając Cycerońskie nihil agricultura honestius, obrzydziliśmy sobie i zohydzili handel i przemysł, poniżylismy mieszczanina z jego łokciem i miarką — a sobie,.. grób polityczny wykopaliśmy, a co gorsza, skaziliśmy i skrzywili charakter.“ Obraz dzisiejszy wypada również nie zbyt pochlebnie. Autor kończy to wszystko sentencją; „zrozumienie i poznanie prowadzi do przebaczenia i naprawy wszystkiego“.

„Pierwsza karta historji religii“ p. Radlińskiego jest ciekawem studjum, w którem autor na podstawie najnowszych poszukiwań i na tle dzisiejszej umiejętności religii, przedstawia nam skrystalizowane w księgach świętych, zachowanych na glinianych tabliczkach, wierzenia religijne Akado-Sumirów, starożytnego bardzo narodu swego turańskiego. Naród ten zamieszkiwał pierwotnie Babilonię i Assyryę, zasiedloną następnie przez plemię semickie. „Echa z epoki kamiennej“ p. Juliusza Ochorowicza są cennym zbiorem faktów, poczerpniętych z języka, obrzędów religijnych i zwyczajów, w których zachowały się, niezrozumiałe już dla następców, szczątki pierwotnej kultury kamiennej. „Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej, obszerne i źródłowe stydyum historyczne p. Władysława Smoleńskiego zapoznaje nas z całym zewnętrznym blichtrem tej epoki, z jej przesądami i zabobonami, z jej obrzędowym formalizmem, pod którą tą fary-

zeuszowską powłoką kryło się ograniczenie umysłowe, spaczenie uczuć moralnych i zdziczenie obyczajów. Jest to cenny nader i pracowicie zestawiony obraz, malowany ciemnymi wyłącznie prawie barwami, bo epoka owa innych nam barw jaskrawych nie dostarcza. — W „Śmielszych błyskach humoru polskiego w literaturze staropolskiej“, szkicowem studyum p. Antoni Gustaw Bem odgrzebał nam śmielsze błyski satyryczne naszych pisarzy, odnoszące się do religii, duchowieństwa, bytu politycznego i obyczajowego naszego społeczeństwa, błyski, które nasi chwalcy urzędowi i zakapturzeni puryści skrupulatnie zawsze zasłaniali, nie radzi pokazywać je na widok publiczny. „Wychowanie przeszłe i obecne“, obszerny szkic pana Adolfa Dygasińskiego zapoznaje nas z całym dziejowym rozwojem różnych metod pedagogicznych i charakteryzuje wymagania dzisiejszej racyonalnej pedagogii. Przedstawiając nam „Spór o nauki przyrodzone w szkole“ p. Stanisław Kramsztyk wymownie broni pedagogicznej doniosłości jaką ma nauka przyrody, wbrew twierdzeniom scholastycznych wielbicieli klasycyzmu, którym by, chcieli tylko zagwoździć młodociane mózgi swych pupilów. Nauka przyrody wzbogaca umysł masą pożytecznych szczegółów i żywo zajmuje, rozbudzając samodzielność umysłu i zasilając wyobraźnię. P. Bodouin de Courtenay, lingwista opowiada nam o „Słowianach we Włoszech“, rozproszonych grupami po tym kraju.

Artykuły z dziedziny nauk ścisłych podamy tylko w tytułach. P. Bruno Abakanowicz napisał o Integratorach własnego wynalazku; p. J. J. Boguski napisał obszerną rzzprawę O szybkości reakcyj chemicznych; p. Władysław Gosiewski O funkcyach ciągłych, dla których istnienie całek ogólnych jest wątpliwem.

W końcu znajdujemy nowelę Elizy Orzeszkowej, Dobra Pani, odznaczającą się zazwykłemi letami tej utalentowanej autorki. P. Marya Konopnicka dała wiersz Podlasem, znany już czytelnikom Ziarna. Pauzaniasz, obrazek dramatyczny W. Okońskiego jest właściwie ułamkowym tylko fragmentem, rzeźbionym śmiałem piórem autora „Ojca Makarego“. O Nieprzejednanych p. Ludwika Straszewicza mówiliśmy już. Sam szanowny jubilat dał opowiadanie p. t. Dołęga, umieszczone na końcu tej pamiątkowej księgi.

M. W.

ZIARNKA.

Rok bieżący fatalnym jest dla ludzi głośnego imienia. Zaledwie półtora miesiąca upłynęło od chwili, gdy wybiła pierwsza godzina roku 1883, a już nekrologię wszechświatową wzbogaciły takie imiona, jak Gambetty, Chanzy'ego, Dorégo, Flotowa, Maciejowskiego, Szujskiego i — Ryszarda Wagnera. Sławny reformator muzyki, twórca t. zw. muzyki przyszłości, kompozytor Rienziego, Lohengrina, Tannhäusera, Walkiryj, Pierścienia Nibelungów, Parsivala, człowiek który miał fanatycznych zwolenników i fanatycznych przeciwników, zgasł nagle w Wenecji, w pałacu hr. Chamborda, powracając do ulubionego Bejreutu Czy kto się zgadza na kierunek Wagnerowski, czy nie, musi przyznać, że był to umysł wielki, potężny, głęboki, i że wywarł na muzykę, wpływ kolosalny. Stanowczem wystąpieniem przeciw banalności, w jaki popadają często włoscy kompozytorowie, wprowadzeniem w życie niewzruszonoj zasady, że muzyka i treść powinna tworzyć całość nierozdzielną, wywoływaniem potężnych efektów orkiestralnych — zrobił on przełom w muzyce dramatycznej, a nawet takie wielkości, jak Verdi niemogły się oprzeć jego wpływowi, jak tego dowód mamy w „Aidzie“. W przyszłym numerze podamy życiorys Wagnera — obecnie musimy zakończyć tę pobieżną wzmiankę. Cześć pamięci wielkiego artysty!

* * *

W Warszawie zmarł znany autor Historji prawodawstw słowiańskich b. profesor warszawskiego uniwersytetu z przed r. 1830, Wacław Aleksander Maciejowski. W nieustannej pracy naukowej Maciejowski dożył 90 roku życia. Przed kilku laty jeszcze wydał *Historję włościan w Polsce*; nieustannie przytem wydawała Dodatki do wielkiego swego dzieła o prawodawstwach słowiańskich. Prócz dzieł powyższych zmarły weteran pracy naukowej wydawał kilka jeszcze prac obszerniejszych, dotyczących zamierzchłych naszych dziejów i literatury.

Wacław Aleksander Maciejowski należał do nielicznego u nas grona słowianofilów, z początku i pierwszej połowy bieżącego stulecia. W pracach tych podnosił i idealizował pierwotny ustrój społeczeństw słowiańskich, w badaniach swych przytem i poglądach nie ograniczał się własnym narodem, lecz rozszerzał je i na inne narody słowiańskie. Jakkolwiek nad wielu poglądami słowianofilów ówczesnych, szczególniej zaś nad ich niektóremi uprzedzeniami nauka przeszła do porządku dziennego, to jednak należy i dziś jeszcze oddać im, szczególnie zaś Maciejowskiemu słuszność, że umiał zająć wobec innych naszych badaczy własne swe samodzielne i krytyczne stanowisko, że pole swych badań i zapatrywań rozszerzył, i miał odwagę śmiało przekonania swe wypowiadać. Maciejowskiemu przytem przyznać należy, że umiał w poszukiwaniach swych sięgać głębiej w stosunki społeczne, że nie bił bezwarunkowo czołem przed feudalno-klerykalną cywilizacją, która szła do nas z Zachodu — że dostrzegać umiał dodatnie strony pierwotnego ustroju Słowiańszczyzny, zbliżonego bardziej do demokratycznej równości, w czem w niektórych względach zetknął się z Lelewelem.

Zmarły do końca życia zachował żywą sympatję dla umysłów młodych i samodzielnych. Trumnę jego na miejsce wiecznego spoczynku poniosła młodzież akademicka warszawska.

* * *

W tych dniach odbył się w „Czytelni akademickiej“ wieczorek deklamacyjno-muzykalny, na który po raz pierwszy przybyli członkowie ruskiego „Bractwa akademickiego“ a nawet wzięli czynny udział w wykonaniu programu. Dzienniki z radością fakt ten powitały i rzeczywiście zasługuje on, aby się zeń radowano, dowodzi bowiem, że antagonizmy dzielące starszych, oparte przeważnie na uprzedzeniach takiej natury, że i mówić o nich na serjo nie warto że antagonizmy te nie zapuściły korzeni w sercach uczciwej młodzieży. Jeżeli kto, to młodzież stanąwszy śmiało pod sztandarem postępu — powinna zerwać z tradycyjną zawiścią, powinna pozbyć się uprzedzeń, powinna poznać, że więcej nad wszystkie kłótnie językowe i religijne (curiosum w 19. wieku!), wartą jest praca nad dobrem ludu i nad ogólnem podniesieniem poziomu cywilizacji! Pod takiem hasłem zginą wszelkie różnice i wszyscy możemy być zadowoleni, a przyjdzie czas, że ze wszystkich swarów, które obecnie hamują postęp narodów, ludzie śmiać się będą, wzruszając ramionami, i nie będą mogli pojąć, jak się o coś podobnego kłócić było można!

* * *

Znajomość przysłów, tak niegdyś rozpowszechniona, zaczyna niestety upadać, a szkoda, bo gdyby ją z równą jak dawniej uprawiano pilnością, możeby przysłowie „Nec

sutor ultra crepidam" znane było i p. Leopoldowi Wajglowi, autorowi „Obrazów natury zaw. w panu Tadeuszu" i powstrzymało go od napisania podobnego horrendum, jakiem obdarzył publiczność w fejletonie „Dziennika polskiego".

Szanowny profesor kołomyjski może być bardzo dobrym naturalistą i nie wątpimy, że gdyby za tło do swego wykładu historji naturalnej nie był użył „Pana Tadeusza", krajowa Rada szkolna byłaby poleciła tę jego pracę, jako kwalifikującą się do zakupna dla bibliotek ludowych. Wszak zawiera tyle pięknych i prawdziwych myśli! Z jakąż korzyścią np. byłoby to dla naszego chłopka, gdyby się dowiedział dopiero od p. Wajgla, że wisznie są w samej rzeczy czerwone, że pszczoły istotnie brzęczą w ulu i miód robią, że woły przy pracy trzeba oszczędzać bo i one czują, że jastrząb lata po powietrzu, i tyle innych równie mądrych i głęboko pomyślanych rzeczy.

Szanowny profesor więc utrudnił sobie samochcąc drogę do sławy — ale! tylko nie rozpaczać szanowny profesorze! jeszcze tylko parę równie udałych elukubracyi, a będziesz pan najsławniejszym... a przecież sława zawsze sławą.

Wszak i Herostratowi nie chodziło o to, jak o nim będą mówić — byle mówili.

Jeżeli więc p. Leopold Wajgel do takiej dążył sławy — może spać spokojnie bo osiągnie ją niechybnie, . . .

* * *

Młodzież Uniwersytetu lwowskiego i wyższej Szkoły rolniczej w Dublanach, wysłała chcąc uczcić 25letni Jubileusz T. T. Jeża, następujący adres do Jubilata.

„Czcigodny Panie!

„Kiedy naród cały gotuje się nieść ci Czcigodny Panie hołd w uznaniu Twej długiej a ofiarnej pracy, daruj, że my się w pierwsze przeciskamy szeregi. Spieszno nam innych uprzedzić. O bo Ty mistrzem, Tyś wodzem naszym prawdziwym, Ty „niosąc przed narodem oświaty kaganiec" nie wiodłeś go szeroką i wygodną drogą, upajając wspomnieniami szlachetnej i pięknej przeszłości, ale ukazałeś wąskie i ciernistę ścieszki powolnego postępu, podnosząc niby drogoskazy: oświatę i umoralnienie ludu, łączną pracę wszystkich od wieśniaka do magnata. Pierwszy wpoiłeś nam przekonanie, że każdą pracę winno się cenić skalą pożytku ogólnego, miarą i liczbą tych cząstek czynnej siły, których zbiorowa masa dźwiga naród na wyżyny dobrobytu i moralnego zadowolenia. Zawsze z całą stanowczością i mocą, jaką Ci natchnęło głębokie przekonanie — ukazywałeś w swych dziełach, niby w zwierciadle, wady i ułomności, nie jak surowy i bezlitosny sędzia, nie z góry, nie dumnie, ale z miłością i prostotą, jak kochający ojciec, co daje rady synowi, bo z własnego wie doświadczenia, jak gorzkie są owoce błędów. Tak zaiste, Tyś Czcigodny Panie „sumienie Polski sumieniem czystem i prawem". Więc za ćwierćwiekową czcimy Cię pracę, za konsekwencję i moc Twych przekonań, za bezinteresowność i prawość rad Twoich, za miłość z jaką nam ich udzielałeś".

„Racz panie przyjąć szczerem sercem wyrazy głębokiej wdzięczności młodzieży polskiej — co Cię pozdrawia na całą Polskę głośnym okrzykiem: Żyj nam i przoduj drogi Mistrzu w długie jeszcze lata".

Na ten adres odpowiedział czcigodny Jubilat następującemi słowy:

„Panowie!

„Odezwy tego rodzaju, jak ta, któraście mnie zaszczycili, odmładzają mnie, pozdrowienia, przysyłane mi przez młodzież polską z ziemi ojczystej i z poza granic jej, mają dla mnie znaczenie szczególne.

„Odmładzają mnie.

„Jakże wam nie dziękować za to.

„Dziękuję.

„Zarazem jeknak protestuję przeciwko temu, żeście mnie wodzem nazwali. Nigdym się nie spółubiegał i nie spółubiegam o takie w moralnym mianowicie względzie, stanowisko wysokie. Należałoby mi się ono w takim jeno razie, gdybym wynalazł ideę jaką nową, a zbawienną. Niczegom nie dokazał podobnego. Do hetmanienia zatem w prawie się nie czuję. Nie wodzem, ale współpracownikiem waszym jestem, współpracownikiem, który dawniej aniżeli wy, do pracy się wziął i wytrwał, sztandaru obowiązkowego nie zwijając. Kocham Polskę — służyłem jej, jak mi sumienie nakazywało. W tem zasługa moja cała. Wynagradzacie mi ją sowicie, waszą o wygnańcu pamięcią życzliwą.

Genewa, dnia 6 stycznia 1883.

Z. Miłkowski. (T. T. Jeż.)"

ZAPISKI.

Literatura.

* P. P. Stanisław hr. Tarnowski i dr. Fr. Zell otrzymali od rodziny J. Szujskiego pozwolenie do zajęcia się wydawnictwem dzieł zmarłego historyka i w tym celu sprosili komitet, który ma się zająć zebraniem potrzebnych na to funduszów.

* Zasłużony bibliograf krakowski p. Estreicher wydał ostatniemi czasy w Lipsku u Brockhausa cenną monografię p. t. Tomasz Kajetan Węgierski 1755-1787. W rozprawie tej znajdują się najlepsze i najdokładniejsze wiadomości o żywocie i pismach sławnego satyryka i utalentowanego poety z epoki Stanisławowskiej. Między innemi badacz krakowski twierdzi słusznie, że Węgierski w poezjach bynajmniej nie był większym cynikiem, jak ks. Naruszewicz i szambelan Trembecki. Natomiast miał w utworach swoich więcej życia jak oni, i językiem władał znakomicie.

* W „Dzienniku Pozn". p. Bolesław Erzepko podaje wiadomość o świeżo odkrytym w bibliotece miejskiej w Wrocławiu dziełku Jana Lubeletyka „Wiridarz Krześciyanski pięknye przyprawiony a z pisma świętego wdzyęcznymi zgoły zasadzony ku pociesze wiernym ludzyom za Krystusem Krzyż noszącym nowo veziniony y vszczepiony dnia dzyesiątego Miesiąca Kwiethnya: Roku od narodzenya Pańskyego M. D. LVIII."

Po dedykacji autor daje argument jako położenie wszystkich rzeczy, które się w książkach zamykają; autor między innymi mówi do czytelnika:

Tu naydzesz wdyęczne kwiatki pełne wszechwonności,
Czy są duszy przyiemne w smutkach a w ciężkości,
Naydzesz thež y lekarstwa ociążoney duszy
Która w wielkości grzechów żałosyą nie suszy.

Jestto traktat teologiczny napisany w duchu protestanckim, a zawierający w siedmiu oddziałach szereg myśli i uwag o tem jako „Kreściani tu ziemi bez krzyża a ucierpienia nigdy być nie mogą".

* Zjazd IV lekarzy i przyrodników polskich, który miał się odbyć w Poznaniu d. 15. grudnia przeszłego roku, — w skutek poważnych głosów z kół uniwersyteckich, odłożony został na wrzesień bieżącego roku, — o czem wydział gospodarczy zjazdu zawiadamia. Dzień zebrania później oznaczony zostanie.

* Nakładem I. Otta w Pradze, poczęły wychodzić zeszytami „Rzeczy Dra Frant. Kad. Riegera" (Mowy dra F. Wł. Riegera i jego działalność prawodawcza). Stanowią one ważny szczegół do historji narodu czeskiego za ostatnie dziesięciolecie, i bez wątpienia licznych znajdą czytelników. Przekład czeski Marji Czerwinkowej. Całość wyjdzie w dziesięciu do czternastu zeszytach.

* Nakładem Fr. Simaczka w Pradze wychodzą obecnie utwory utalentowanego powieściopisarza i nowelisty czeskiego, Alojzego Wojciecha Szmilowskiego. Wszystkie jego prace odznaczają się poetycznością obok prawdy najszczerszej, realizmem obok szlachetnego dażenia do ideału. Tematy jego utworów są czysto narodowe. Najznakomitszym utworem jest romans p. t. Martin Oliva, oraz Kmotr Rozumec. Z drobniejszych zasługują na szczególną wzmiankę Jehla, i Proculnegotiis.

* Adolf Heyduk, jeden z najwybitniejszych lirycznych poetów czeskich, wydał obecnie nowy zbiór poezji p. t. Vzatiszi.

* „Ziemla" towarzystwo wydawnicze literackie akcyjne ma już wkrótce zacząć swą działalność w Petersburgu. Towarzystwo będzie mieć na celu: a) wydawnictwo różnych organów perjodycznych, b) wydawnictwo różnego rodzaju książek i dzieł. Ustawa towarzystwa przedstawiona już została do zatwierdzenia rządu. Kapitał zakładowy towarzystwa wynosi pół miliona rubli. Założycielem towarzystwa jest p. Botezat, redaktor dziennika „Ziemla".

* W Kopenhadze wyszło bardzo cenne i ściśle opracowane dzieło w języku duńskim i niemieckim p. t. Codzienne życie w Skandynawii w XVI wieku, przez profesora uniwersytetu w Kopenhadze, Troelsa Lund. Dzieło to ma z wielu względów dla nas niepospolitą wartość.

* W Berlinie u Weidmana wyszły nader zajmujące listy Karoliny Kalb do Jean Paula. Listy tej kobiety, która tak ważną rolę odgrywała w życiu Jean Paula i Schillera, odsłaniają nam cały temperament twórczy tej ekscentrycznej natury, i nietylko z literacko-historycznego, ale i z psychologicznego punktu widzenia są bardzo cenne i ważne.

* Ukazał się w Paryżu dziennik „Le passage de Vénus“. Przy drugiem przejściu planety wyjdzie drugi numer.. Nastąpi to w czerwcu roku 2004go. Czas odnowić prenumeratę !..

Teatr i muzyka.

* Edward Pailleron pracuje nad dramatem historycznym, który ma być pisany wierszem, chwilowo jednak przerwał tę pracę i pisze nową komedję obyczajową. Utwór ten ma być już w jesieni r. b. przedstawiony na scenie Theatre Francais.

* W Teater an der Wien odbywają się próby z nowej operetki Souppego pt. Podróż do Afryki ; w marcu pod kierownictwem kompozytora odbędzie się pierwsze przedstawienie.

* Artysta wiedeński Mitterwurzer występował gościnnie w Czerniowcach z ogromnem powodzeniem ; obecnie bawi w Wrocławiu.

* Teuber Oskar wydał interesującą dla teatralnych kół rzecz p. t. Geschichte des Prager Theaters.

Sztuki piękne.

* Nowy obraz Gabryela Maxa „Wypełniło się“ zostanie w tych dniach wystawiony w wiedeńskim Künstlerhausie.

* W konkursie o restaurację Sorbonny odnieśli nagrody architekci Nenot, Lorche, Ballu i Formige. Pierwszy był niedawno zwycięzcą w konkursie na pomnik Wiktora Emanuela.

* Stow. akwarelistów angielskich otwiera wystawę 30 kwietnia rb. w akademii londyńskiej i zaprasza artystów wszystkich do udziału.

* Rzeźbiarzowi Rude chcą postawić obecnie posąg w Paryżu i zaczęto już na ten cel zbierać składki.

* Pod tytułem Senola Romana zaczęło wychodzić w Rzymie pod redakcją Cugnoniego pismo, poświęcone literaturze i sztuce ale przedewszystkiem szkole włoskiej.

* Belgijskie gazety donoszą o śmierci znakomitego snycerza Wilh. Geefs'a ; był on jednym z najstarszych przedstawicieli belgijskiej sztuki; stworzy wiele pomnikowych dzieł, a mianowicie : wspaniały monument poległych w Brukselli 1830 roku : pomnik hr. Merod w katedrze brukselskiej ; pomnik kompozytora Grétry'ego w Lüttich : pomnik Rubensa w Antwerpii (1838) ; posąg króla Leopolda I w Brukselli (1851) i wiele innych posągów i biustów. Statua Rubensa i pomnik poległyh w Brukselli — należy do najlepszych płodów współczesnej sztuki belgijskiej.

Miscelanea.

Tanie motory. — Do obecnej chwili maszyny parowe reprezentują główny, prawie jedyny motor, będący w powszechnem użyciu, do wprowadzania w ruch fabryk, transportowania pasażerów i towarów, oraz do różnych innych celów. Lecz motor ten pożyteczny przy wielkich produkcjach, staje się niedogodnym z wielu przyczyn, w zastosowaniu do małych pracowni i w ogóle tam, gdzie są potrzebne maszyny o małej sile. Dla usunięcia tej niedogodności robiono w różnych czasach wynalazki maszyn kalorycznych, działających przy pomocy ogrzanego powietrza lub gazu, lecz i te w większości wypadków dawały zaledwie tak małe oszczędności w wydatku dziennym, że dotychczas wszystkie maszyny, działające przy pomocy ognia, okazały się niepraktycznemi dla małych przemysłów do tego stopnia, że nie mogą współzawodniczyć z koniem. Przytem oprócz znacznych nakładów na urządzenie i znacznego wydatku dziennego, maszyny kaloryczne, czyli działające przy pomocy ognia, przedstawiają niebezpieczeństwo pożaru i eksplozji kotłów, wskutek czego prawo, mnóstwem krępujących przepisów, ogranicza użycie tych maszyn w pośród pomieszkań. Nakoniec komplikacja tych maszyn zniewala do utrzymywania kosztownych maszynistów.

Dla tych to wszystkich powodów, tylko maleńka stosunkowo część pracy w kraju wykonywaną jest przy pomocy pary, a ogromna reszta pracy wykonywaną bywa przy pomocy siły żywej.

Jednym z naturalnych motorów jest wiatr. Niezadawalająca budowa wiatraków, niemożebność pracowania na wiatrakach podczas bezwietrznej pogody, mała ilość pożytecznej pracy, pozyskanej z wiatraków, jakoteż warunki co do miejsca ich budowy ; — wszystko to nadzwyczaj ograniczyło zastosowanie wiatru, jako motoru, pozostawiło na jego dział li tylko nieliczne, małoznaczące przemysły, i zniewoliło do pogardzenia przymiotami tego bezpłatnego motoru. W miarę jednak tego, o ile pewne odkrycia coraz bardziej powiększają zasób naszej wiedzy, o tyle wszystkie wymienione wyżej niedogodności stopniowo zostają usuwane, i w perjodycznej literaturze technicznej często odzywają się głosy za rozszerzeniem zastosowanych wiatraków. Tak np. w jednym z sierpniowych numerów dziennika „Enginaring“ ukazał się artykuł Woulfa pod tytułem „Windmils“, w którym autor dowodził bezzasadności dotychczasowych zarzutów przeciwko szerokiemu zastosowaniu wiatru, jako motoru.

Wedle spostrzeżeń uskutecznionych nad mnóstwem wiatraków, praca ich trwa średnio od 8 do 10 godzin na dobę. Chociaż praca ta wykonywaną jest dość nieprawidłowo, to jednak nic nie stoi na zawadzie pożytkowaniu jej w celu *ściśnienia powietrza, lub w celu napompowania wody w specjalne rezerwoary*; nagromadziwszy zaś tą drogą zasób siły, można go będzie użyć z taką prawidłowością, z jaką zapragniemy. Głównym zarzutem przeciwko zastosowaniu wiatraków do takiego sposobu gromadzenia siły, były dotąd znaczne nakłady, potrzebne na budowę rezerwoarów, pomp i rur, lecz współczesne odkrycia w dziedzinie elektryczności, w znacznej części usuwają i te zarzuty. *Maszyny dynamo-elektryczne przenoszące pracę na znaczną odległość*, pozwalają zbierać siłę od dowolnej liczby wiatraków w punkcie dowolnie wybranym; przyczem kosztowne rury i rezerwoary zastąpione są przez nieporównanie tańsze druciane przewodniki elektryczności i przez akumulatory.

Akumulatory należą do rzędu najpierwszych, w najwyższym stopniu ważnych wynalazków w dziedzinie elektryczności. W podobny sposób, jak rezerwoar baszty wodociągowej i wychodząca z niego sieć rur służy do nagromadzenia i rozprowadzenia wody w dowolne punkty i w dowolnej ilości, tak akumulator służy do nagromadzenia elektryczności, rozprowadzanej następnie przy pomocy przewodników w punkty dowolnie wybrane, i w dowolnej ilości, do obrócenia jej albo w pracę mechaniczną, albo w światło. Koszt akumulatorów systemu Plaute'go i Faur'a nie przewyższa obecnie 30 do 75 franków (w tej cenie wyrabia je we Francji Cobat); dla przeniesienia małej nawet pracy, potrzeba ich kilkudziesięciu; pomimo to jednak wydatek ten stosunkowo jest mały, i nie może tamować nawet teraz wprowadzenia ich w użycie.

Pobudowanie wiatraka ze śmigami od 10 do 25 stóp długiemi kosztować może 200 do 2000 rubli. Na podstawie tych danych Woulf przychodzi do wniosku, że i teraz już, bez względu na wszelkie niedokładności wiatraków i akumulatorów, mogą one z wielką korzyścią zastąpić maszyny parowe w tych wypadkach, gdzie wypada posługiwać się maszynami o małej sile, a mianowicie: wliczając w wartość pracy godzinnej procenty od wyłożonego kapitału na budowę wiatraka, na remont, nadzór i smarowanie, oraz procenty od nakładu na akumulatory i przewodniki, okaże się że praca ta (od 0, 12 do 1, 34 konia parowego) jest dwakroć tańszą od pracy maszyny parowej o małej sile.

Woulf uznaje nawet za możliwą konkurencję wiatraków z maszynami parowemi o znacznej sile, lecz wziąwszy w rachubę znaczny nakład na urządzenie, taki wniosek zdaje się być przedwczesnym, przy dzisiejszym systemie akumulatorów i wiatraków.

Treść.

Koło literackie we Lwowie.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
S. D. W przyszłość (wiersz).
Mazanowski A. : Balladomania. (c.d.)
Powrót Jerzego Brandesa.
Fryderyk Flottów.
Nowe odkrycie archeologiczne.
Przegląd literacki.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 9. We Lwowie dnia 24. Lutego 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta**. Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Nieszlachetna taktyka.

Nie tylko rozumiemy, ale usprawiedliwiamy i tłumaczymy namiętność w polemice. Zależy to od usposobienia jednostki, czy się mniej lub więcej do jakiejś sprawy zapali, w każdym jednak razie jeżeli ma się silne, ugruntowane przekonania, trudno pozostać zimnym w polemice, i czasami nie dać się porwać potężniej, ogniściej.. Jedną tylko rzecz trzeba mieć zawsze na względzie, od niej nigdy pod karą infamji odstąpić nie wolno — a mianowicie trzeba mieć poczucie uczciwości, trzeba wojować prawdą — nigdy fałszem. Niestety zasada jezuicka, że każdy środek dobry, byle prowadził do celu, zasada przez wszystkich zacnych potępiona, jako rzecz przeciwna podstawom moralności, — ma u nas licznych wyznawców... Rzucaj na przeciwnika oszczerstwa, kłam w żywe oczy, jeżeli on powie: biało, a to ci nie na rękę, wmawiaj w niego i ludzi, że powiedział: czarno — wszystko dobrze, byle wroga zniszczyć. Bezczelność, jeżeli nie przekona ludzi słabo myślących, to w każdym razie obałamuci ich, zachwieje — a to już w danym razie równa się zwycięstwu! Oto haniebna teorja, oto podłość — o której chwilowo zapomnieliśmy, a którą nam w najgorszym sposobie przypomniał *Czas* w jednym z ostatnich numerów.

Czytaliście zapewne, łaskawi czytelnicy, piękną, pełną myśli a prostoty odpowiedź Jeża na adresy młodzieży, wystosowane do niego z powodu 25 letniego autorskiego jubileuszu. Odpowiedź ta została przyjętą z najwyższem uznaniem, a choć może nie jeden nie zgadzał się na wszystkie myśli wypowiedziane przez znakomitego męża, musiał przyznać, że jest uczciwym, z głębokiego przekonania płynącym wyrazem zapatrywań tak Jeża, jak i licznej partji postępowej. Ale to bagatela dla *Czasu* — przecież, jeżeli nie można pójść otwarcie, można krytym sztychem — jeżeli nie można zwalczać skutecznie zapatrywań przeciwnika, bo są jasne i uczciwe — to się potrafi przekręcić jego zdania, albo podsunąć mu inne, a czytelnicy są tak łatwowierni, że uwierzą w kłamstwa, tem bardziej, jeżeli je drukują „powagi" — od *Czasu*. Z łatwych do zrozumienia powodów nie możemy przytaczać odnośnych, bądź to poprzekręconych, bądź podsuniętych ustępów, którymi *Czas* wojuje, konstatujemy tylko fakt, który zasługuje na potępienie, jako niesumienność. Nie znaczy to, abyśmy się nie zgadzali na te przekręcone cytaty *Czasu*, owszem przyjmujemy je, chętnie jako swoje, ale rzecz idzie o to, że ich Jeż nie napisał, a w takim razie nie można mu podsuwać myśli, choćby się z jego przekonaniem zgadzały, jeżeli ich kategorycznie i w ściśle określonej formie nie wypowiedział...

Przejdźmy teraz do dalszych twierdzeń *Czasu*. Oto wbrew faktycznemu stanowi rzeczy twierdzi on, że cześć okazana Jeżowi przez wydanie jubileuszowej książki „Ogniska" była tylko wyrazem zapatrywań kilku jednostek, a owe adresy od młodzieży podpisane były przeważnie przez ludzi, nie zdających sobie dokładnie sprawy z własnych czynności. Fałsz bijący w oczy. Proszę przejrzeć listę prenumeratorów, umieszczoną w „Ognisku", która zajmuje 10 kartek bitego druku w dwie szpalty, a okaże się, że nie było u nas jeszcze wydawnictwa, cieszącego się taką popularnością, co przecież jasno dowodzi, że to nie kilkunastu ludzi, ale tysiące uznały za stosowne złożyć hołd uznania dzielnemu szermierzowi postępu. Co do zarzutu, jakoby akademicy podpisani na adresie nie zdawali sobie sprawy z tego, co czynią, to zaiste trudno zbadać, co mogłoby logicznie *Czas* do takiego wniosku doprowadzić? Czyż tylko ci wiedzą, co czynią, którzyby, dajmy na to, podpisali adres do p. Koźmiana lub Lisickiego? Jakże można rzucać taką obelgę uczącej się młodzieży? Przeholowaliście, mości *Czasie*, i wywołaliście swym artykułem wręcz przeciwny od zamierzonego skutek. Artykuł ten nie odarł, nie przypruszył ani jednego listka laurowego wieńca, który otacza poorane w uczciwej pracy czoło Jeża — a grot wymierzony zwrócił się w tego, który go cisnął, okazało się bowiem w całej nagości moralne nicestwo służalców ciemnoty, którzy w braku argumentów muszą się uciekać do kłamstw i obelg... Szczególnie młodzież powinna to sobie zapamiętać...

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Jędruś nie śmiały z natury, a tem bardziej w obec płci pięknej, z którą dotychczas mało miewał relacyj w swem życiu, czuł się formalnie oszołomionym i oniemiałym ciągłą paplaniną panny Karoliny. Głowa go rozbolała, słuchał już machinalnie, a na stawiane pytania odpowiadał ledwie monosylabami, najczęściej potakując wszystko.

— Więc zgoda panie Andrzeju — bo tak go nazywała, utrzymując że „Jędrzej“ brzmi trochę gminnie — zawieramy sojusz zaczepno-odporny, i ślubujemy sobie przyjaźń przynajmniej — na czas dłuższy.... zakończyła rallentando, wyciągając obie ręce do towarzysza, i oblewając go długiem, wymownem spojrzeniem.

— Ależ... z chęcią największą... łaskawa pani... — bąknął chłopak przyjmując podane rączki pulchne, które przypadkiem, czy z umysłu, zostały przez chwilę w jego dłoniach... Krew mu uderzyła do głowy, i równocześnie uczuł w całem ciele jakiś dreszcz nieznany, coś, niby prąd elektryczny, poruszyło go gwałtownie od stóp do głowy. Spuścił w dół oczy, dziwny niepokój załechtał go w piersiach, i instynktownie cofnął obie ręce. Na szczęście dlań, w tem arcykłopotliwem położeniu, lokomotywa zagwizdała z oznajmieniem, że pociąg wjeżdża na stację. Ponieważ tu już wysiadać mieli, zaczęło się zwykłe w takim wypadku krzątanie, i szukanie za pudełkami, torebkami i zawiniątkami, których panną Karolina wiozła z sobą mnóstwo imponujące. Oczywiście Jędruś, choć tam nie wiele z resztą znał się na galanterji, tyle jednak wiedział, że należy mu zabrać jak najwięcej tłumoczków towarzyszki co mu o tyle łatwiej przyszło, że prócz kuferka skromnych rozmiarów, nieodzownego parasola i laski, nie miał zresztą więcej pakunków własnych.

Zanim dostali się do oczekującej ich przed dworcem bryczki ze Zrębów, jakiś podróżny, spieszący widocznie na szklankę piwa do restauracji, potrącił Jędrusia, przeładowanego pudełkami, znienacka tak silnie, że biedak upadł przez szyny, jak długi, a wszystkie mantelzaki rozsypały się po peronie. Panna Karolina widząc to wydała okrzyk zgrozy słowami: „Jezus, Marja! moje kapelusze“ i choć ten tak słodko przedtem atakowany pan Andrzej ledwie nie ledwie podniósł się, z widocznie rozbitym i skrwawionym nosem, nie mogła się wstrzymać, aby mu niewyrzucić, „jak może być tak niezgrabnym i krótkowidzącym!“ Zawstydzony i zakłopotany chłopak starał się wykrztusić jakieś niewyraźne słowa przeprosin, i zaraz, potem choć krew mu się rzuciła gęstemi kroplami, nie myśląc wcale o nosie swoim, wziął się pilnie do zbierania rozprószonych na wsze strony tłumoczków. Pierwszy jego debiut in puncto kurtoazji dla płci pięknej, jak widzimy wypadł dlań dość fatalnie, i skończył się natłuczeniem nosa. Człowiek przesądny byłby może z tego wywnioskował horoskop dla siebie niepomyślny, i trzymałby się odtąd na uboczu choćby tylko wobec tej samej panny Karoliny, będącej pośrednio przyczyną tego tragikomicznego wypadku. Jędruś nie miał nigdy najmniejszej skłonności do jakiegoś mistycyzmu, zdarzenia wszystkie oceniał według danych, zdrowym rozumem łatwo pojmowanych, więc i w tem widział tylko skutek nieostrożności swej i nieuwagi. Szkoda tylko, że jedno uszło jego baczności, mianowicie, zachowanie się panny Karoliny, której widocznie szło więcej o kapelusze i rozmaite fatałaszki, wystawione na szwank wśród tej katastrofy, niżeli o osobę usłużnego towarzysza.

Gdy się usadowili na bryczce, panna Karolina ochłonąwszy z irytacji, usiłowała złagodzić wrażenie, sprawione jej poprzednim gniewem i szorstkością. Tłumaczyła się, że jest ogromnie nerwowa, najmniejsza drobnostka pozbawia ją na chwilę spokoju i równowagi umysłu — a wszystko to są tylko następstwa mnogich nieszczęść i cierpień bolesnych, w życiu przebytych. Na zgodę zupełną kazała się w rękę pocałować, co Jędruś uskutecznił natychmiast.

* * *

Państwo Wilscy z pewnem uprzedzeniem i niechęcią oczekiwali przybycia ze Lwowa zapowiedzianej przez Dręckiego pary nauczycielskiej. Gniewała ich myśl, że odtąd stosownie do umowy z opiekunem będą musieli starać się o całe inne zywienie guwernera i guwernantki, co znowu pociągnie za sobą z konieczności pewne zmiany w panujących dotychczas zwyczajach domowych. Nie czuli się nawet tem uspokojeni trochę, że znaczna część zwiększonych w ten sposób wydatków, będzie się im wracała, gdyż jak wiemy, Dręcki zobowiązał się płacić im sześćset zł. rocznie tytułem bonifikacji za przyzwoite utrzymanie dwojga ludzi. Po dłuższej walnej naradzie i wynurzeniu wzajemnem utyskiwań i żałob na tego „przeklętego dziwaka“ Dręckiego, pocieszyli się ostatecznie nadzieją, że może to długo nie potrwa, a gdy się już dzieci trochę poduczą od tych „rarytnych“ jakichś nauczycieli, znajdzie się jakiś sposób pozbycia się z domu niewygodnych przybyszów.

Już to właściciele Zrębów mieli szczęście pozazdroszczenia godne. Dorobili się majątku w stosunkowo krótkim czasie, a prawda dodać każe, nie krzywdą ludzką, lecz w pocie czoła i zaparciem się własnem. Rok rocznie urodzaje mieli najpiękniejsze, grad choć stronami często wymłacał łany dworskie i zagony wieśniacze, omijał zawsze Zręby, inwentarze mnożyły im się bajecznie — a co do dzieci, to już chyba lepszych życzyć sobie nie mogą nawet najwięcej od losu wymagający rodzice.

Jaś i Małgosia były to idealnie dobre i ładne przytem dzieci. Szczególnie dzieweczka, bialutka szatynka o dużych szafirowych oczach, rysy twarzy miała nadzwyczaj regularne i harmonijne, zgrabną figurkę, wzrost nad wiek swój (liczyła ledwie trzynaście lat) aż nadto wybujały, rączki i nóżki maleńkie. Już teraz była zachwycającym podlotkiem, a w przyszłości obiecywała rozwinąć się w skończoną piekność. Przytem łagodna, cicha, trochę nawet do zadumy skłonna, była ulubioną nie tylko ojca, który wobec niej jednej zdolny był nawet do pewnych ustępstw nieznacznych w kwestji swego nieubłaganego skąpstwa i surowego dla podwładnych obejścia — ale jednała sobie każdego kto tylko raz w swem życiu widzieć ją miał sposobność. Kobiety wiejskie przepadały za śliczną gołąbką, jak ją nazywały powszechnie, a uczucie to żon swoich podzielali i gospodarcze, ubiegający się przy każdej sposobności o zadokumentowanie uwielbienia swego wobec dobrej panienki.

I nie mogło być inaczej, gdy się zważy, że lud umie być wdzięcznym. Małgosia nieraz, w największym oczywiście sekrecie przed rodzicami, poratowała na przednówku biedaków jaką miarką żyta lub grochu. Często wyprosiła u ojca wypuszczenie zajętej na dworskiej łące krowy, gdy ta była własnością jakiego biedactwa. Biedaków, jak wiadomo, nie brak nigdy wśród naszego ludu. dla tych zaś jedna krowina całym zwykle dobytkiem i poczciwą karmicielką rodziny. Choć zpasła np. trawy za parę ledwie centów, była jednak reguła w Zrębach przestrzegana pilnie, że złapana na szkodzie sztuka bydła podlegała karze dwu złotych. Skądże wziąć taką ogromną kwotę? — krowa w areszcie, a tu dzieci jeść wołają. Jedna Małgosia w takich razach umiała ubłagać ojca — o tem wiedziano na wsi, i kochano ją, jak dobrego anioła. Taką była elewka panny Karoliny.

Jaś, chłopak również przystojny, faworyt matki, zawadjaką był niesłychanym i zawczasu zdradzał, że co do namiętnego szacunku dla grosza, nie daleko jabłko padło od ja-

błoni. Ojca się bał, matkę, — pieszczącą go po kryjomu, w sposób jednak sobie właściwy, o ile to nie kłóciło się z jej bezgranicznem sknerstwem — otóż tę matkę kochał wprawdzie, ale w gruncie rzeczy mało dbał o nią: malec ledwie, w obejściu z nią był zimny i arbitralny. Takim samym objawiał się w stosunku do siostry. Do nauki nie miał szczególniejszej ochoty, natomiast najulubieńszem dlań zajęciem było od dziecka, przebywanie w spichrzu lub w stodole koło robotników, których naganiał i łajał surowo, jak fachowy gumienny.

(C. d. n.).

Z poematu „Nędza." *)

Balsam kwiatów włoską ciszą
Ukojenie biednej niesie —
W porfirowym pinij lesie
Siadła i usnęła już...
Ptasze śpiewy ją kołyszą,
Błękit w koło — tylko w dali
Cyprysowy liść się żali
W dumnem rondzie dzikich róż.

Patrz! jak leży prawie naga
Na jedwabnych traw wezgłowiu
W młodej siły hardem zdrowiu —
Mirty zdobią pyszną skroń,
Biała pierś przez sen się wzdraga....
A aromat kobiecości,
Narkotycznej pełen mdłości,
Przezwycięża kwiatów woń.

Spiąc bez skargi i szemrania,
Wśród ciepłego serca bicia,
Śniła wielką rozkosz życia
W tajemniczym cieniu drzew —
A gdy wstała z mchów posłania
Jak duch leśny z ziół wstający,
To uczuła ból palący
I omdlałą czuła krew.

Z nagłej żądzy i zawzięcia
Poleciała wtedy ona,
Depcąc kwiaty jak rażona,
W tłumy ludzi zgiełk i ścisk —
Miała wtedy wzrok zwierzęcia,
Gdy z ponurej jej źrenicy,
Wśród pałaców na ulicy
Strzelił dziki głodu błysk...

Z rozpuszczonym lecąc włosem,
Z nieśmiertelnych tchnień wysnuta,
Z żył toczona, z krwi wykuta,
Nie zdołała głodu znieść! —
I łkającym z bolu głosem,
Przerażała sytych grono,
Kiedy z twarzą roziskrzoną
Wciąż wołała tylko: Jeść!

Włodz. Stebelski

---

*) Ustęp z niewydanego jeszcze poematu.

BALLADOMANIA
po pierwszem wystąpieniu
MICKIEWICZA,
przez Antoniego Mazanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Trudno nie zauważyć, jak ubogi świat pomysłów Witwickiego.

Zaledwie kilka motywów nieustannie się powtarza, motywów, nie celujących nowością ani głębokością. Stosunek dwojga kochanków, przeszkody, stosunek dzieci do rodziców, sługi do pana — oto wszystko. Narodowej nuty prawie nie słychać.

Znajomości ludzi i świata nie ma.

Autor nie przeżył wiele, nie usiłował dotychczas poważniej myśleć nad życiowymi objawami. Filozoficznego wykształcenia nie miał, praktycznego rozumu życia jeszcze mniej, estetycznego brak prawie zupełny. Czego więcej, to zdolności poetyckich co się zowie miernych. Obrazy jego grzeszą często trywialnością wstrętną i obrzydliwą.

Ta paszczę jak wilk rozwarła,
Jakieś wnętrzności pożera,
Tamta w ręku dziecię trzyma
I zębem mu ciało zdziera,
Ta męcząc się kona niby,
A we krwi wypluwa płuca,
A ta w kształcie strasznej ryby
Włosy, jak pasma zarzuca (str 171);
Głos piszczy, jak rozbita skrzypka".

„Koń dysze, jak z pieca rozdętemi nozdrzyma" i t. d. Lichy to poeta, co posiadał tak mało wrażliwości artystycznej. Fantazja jego biedna a pretensjonalna, szuka koniecznie obrazow i porównań, sili się na odtworzenie zmysłowymi dźwiękami zjawisk w naturze lub życiu.

U dziewczęcia „jasna noc puklów osłania czoło", chłopiec smutno pochyla głowę „jak kwiat na ostrzu kosy", „zalały się czarne żale", śmierć w kościanej pościeli", „Noc czarne lochy trzyma w około", krok dziewczyny „wietrzny", szyja „ptasia", kochanek wyciąga ku lubej „ogniem ziejące dłonie" i t. d. Do tego dodać należy cały ogromny zbiór wyrażeń i obrazów, przejętych od Mickiewicza, że wskażemy tylko naprzykład opis djabła w balladzie.

Zamkowa góra, nęcenie chłopca przez wodnice, gdzie wiersze całe przypominają Mickiewicza.

Woda „tak go coś pieści i łechce", a dalej: „Lekko się marszczy i mąci,

Niby draśnięta wietrzykiem". Gdzie indziej matka wzywa dzieci:

„Zbiegnijcie czasem na grób waszej matki,
Z paciorkiem za grzeszną duszę", albo też wyrażenia jak „błędne kroki niesie" „w niebo oczy wznosi", „głucho wszędzie" „cóż to będzie?" i t. d. Dodać należy wielką niedbałość wiersza i niepoprawność języka. Księżyc promienie swe „wkłania", róg sapie „pogłuchu" i wiele innych.

Jedyną może zaletą byłaby rozmaitość kształtów wierszowych, zaleta ważna, bo w obec alexandrynów, którymi posiłkowali się klasycy — nowa; atoli osłabia się ona znacznie tem, iż zasługa należy się w pierwszym rzędzie Mickiewiczowi.

To wszystko stwierdza dostatecznie, że Witwicki w początkach zawodu poetyckiego okazał się bardzo bezmyślnym naśladowcą[1]).

Romantyzm szerząc się coraz więcej, przenika i do Galicji. J. N. Kamiński znanymi powszechnie przekładami ballad Szyllera toruje mu drogę, Bogucki Julian i Bielowski August tłumaczeniami wpływają także na zmianę wyobrażeń. Pierwszy przekłada z Szyllera Żórawie Hika [2]), drugi Rybaka Getego [3]). Wreszcie i ta część kraju ma swego Witwickiego, a jest nim niejaki Łapsiński Józef, którego zbiór wydany dopiero w 1829 należy duchem ściśle do pierwszego okresu balladomanii. Obejmuje on obok 54 sonetów, sześć ballad i legendę. Ballady są treścią, formą i obrazowaniem podobne do Witwickiego, niektóre gorsze. Ani jednego nowego motywu — wszystko już znane, wyzyskane i zużyte.

W balladzie „Wstępna środa" Sambor wykradł kochankę Helwirę: ścigają go i łapią siepacze ojca Bojomira. Helwira zabija kochanka i sama ginie w płomieniach. W tok głównej treści wplata „śpiew pielgrzyma" z całym aparatem duchów, kulawych djabłów z rożnami, puszczyków, podskakujących trupich głów, suchych szkieletów i t. d.

W „Jeńcach Warneńskich" zdrada główną gra rolę. Jedenastu Polaków wraz z jednym Bułgarem wzięli Turcy do niewoli. Polacy knują bunt, Bułgar ich zdradza. Koniec tragiczny.

Pod każdym względem godną Witwickiego jest ballada „Wigilia św. Jana". Jest to naśladowanie przeważnie Prób Rycerza, po części pani Twardowskiej i Tukaja.

---

1) To też wystąpienie jego wywołało ostrą naganę tak ze strony romantyków jak klasyków. Ze strony pierwszych mianowicie Grabowski Michał w Astrei z tegoż roku, surowo ale sprawiedliwie ocenił te niedojrzałe poetyckie płody, potępiając je od początku do końca. Powtarzano głośno, że Witwicki pisał ballady w drukarni, co jeszcze zwiększało naganę.

2) Rozm. lw. 1825 nr. 9.

3) Ibd. nr. 21.

W wigilią św. Jana idzie chłopiec szukać skarbów. Zwycięża pokusy z mocą i wytrwałością.

„Bieży niemka — kusa — tłusta:
Dyk — dyk przed nim, w talerz stuk—stuk,
Lecz on świadom czartowskich sztuk
Zamknął oczy, uszy, usta"

i pomimo, że

„z pod ziemi buchają dymy,
Wije się wojsko straszydeł,
Drzewa mienią się w olbrzymy,
A wilk dostał orlich skrzydeł,
Żmije, węże przy nim syczą,
Nad nim skrzeczą sępy, wrony i t. d.

pomimo tego – nie uległ: djabeł więc „krótko i węzłowato

Capes naszego biedaka
I wnet z nim za piekieł kratą".

Osnowa taż, co w Próbach rycerza, o tyle bezmyślniejsza, że tam przynajmniej stałość i męstwo zyskały nagrodę — tu karę.

W balladzie „Czary" czytamy dzieje miłości Hanki, która dwóch razem kochała (Józia w Dziadach); w „Sierotce", podanie opracowane już przez Chodźkę w „Wasilku". Sierotka na grobie matki wzywa matkę, która duszę jej zabiera do nieba. Łapsińskiego łączy z Witwickim obok ubóstwa oryginalności, podobny sposób używania mowy w celu uzmysłowienia uczuć grozy, przestrachu lub współczucia i przywiązania. Np. w balladzie ostatniej w 6 zwrotkach 17 wyrazów zdrobniałych, jak trawniczek, kurhanek, wstążeczka, wierzbeczka, gałązeczka i t. d., łączy go z Witwickim niedbałość wiersza i niepoprawność języka. Częste są wyrażenia: „zawiść zemstą podszepta", „ockła się Hanka", „westchła na wieki", „pozyskać zemstę", „rycerze w odwrocie uwięźli dusze",

„Uchem słuchają księgi proroka,
Bo przemoc księgę nie czyta,
Ale nie wlepić w ich dusze oka,
Jaka tam księga wyryta" (Wstępna Środa str. 94).

Łączy go nareszcie z Witwickim naśladownictwo niewolnicze. Balladę Czary kończy mickiewiczowskiemi strofami z Romantyczności:

Gmin ślepo wierzy, choć często błądzi,
Jednakże żywe ma prawdy,
Niekiedy mędrzec, co głębiej sądzi,
Nie widzi istoty zawdy.
Wierzmy, jak wiara wierzyć nam każe,
Czujmy, jak czucie nam gada,
Śmiejmy się, gdy gmin plecie potwarze,
Lecz go i posłuchać nada.

Słowem — u obu tych poetów wady jednakie, u obu ballada dosięga szczytu zepsucia.

W czerwen 1825 pojawia sie w Warszawie zbiorowe wydanie ballad Odyńca, po części rozprószonych dotąd po pismach perjodycznych. Poprzedza je Odyniec wstępem, gdzie wykazuje istotę i zakreśla prawidła estetyczne ballady, oparte i wysnute z wzorów obcych.

Zaznaczyć należy, że wyobrażenia estetyczne Odyńca są już znacznie więcej wyrobione, niż Witwickiego, są o jeden ton mniej ogólnikowe, niż tamte. Wprawdzie u Odyńca „wszystko polega na tem, aby zainteresować czytelnika", ale poeta ten szuka gdzie indziej środków zainteresowania. Bądź co bądź za zasługę należy mu poczytać, że poezję traktuje, jako artyzm, a dzieła jej powinny jednać i zniewalać pięknymi kształtami, udatną kompozycją, zgrabną formą. Z tego stanowiska wychodząc, kreśli prawidła ballady. Ma ona w sobie dwa pierwiastki, epiczny i liryczny, stąd układ ballady winien być powieściowy, formy śpiewne. „Powieść musi mieć pewne ramy i w nich poeta „wypadki i osoby działające dowolnie szykować może, na pilnem wszakże mając baczeniu, aby, jako w malarskim obrazie, te z nich tylko w większem występowały świetle, na które uwagę czytelnika najbardziej zwrócić pragnie. Na tem polega jedność interesu, najgłówniejsze poezji powieściowej prawidło".

Jestto nieśmiało i niejasno określone główne prawo wszelkiego dzieła sztuki, iż rysy obrazu służą do uwydatnienia wybitnej jego myśli. Treść ballady może być zaczerpniętą z dziejów własnych lub obcych, ale woli „aby się opierała na podaniach gminnych własnego narodu, albo wypadkach z czasów rycerskich". W prawidłach nie pomija autor nawet strony psychologicznej. „Przymioty i charakter bohaterów powieści — powiada — muszą być wyższe nad inne współdziałające". Tak się wywiązują kolizje bohatera ze światem zewnętrznym — i akcja, która „ściśle wiązać się winna z jednością interesu".

Dotąd, jak widzimy, możnaby się zgodzić z autorem na wszystko, choć nasuwa się mimo woli uwaga, że przepisy te dadzą się równie dobrze zastósować np. do poezji dramatycznej. Autor atoli formułuje się ściślej. Chodzi o bliższe wskazanie źródeł treści ballady. „Duch wojenny panujący powszechnie w wiekach średnich, powiązany z delikatnością uczuć i szlachetnością działania. Chęć szukania coraz nowych przygód i niebezpieczeństw, mocna a pełna imaginacji wiara we wszystko, co było nadludzkiem i nadnaturalnem, stąd rozliczne zwyczaje i przesądy po dziś dzień jeszcze się zachowujące, dostarczą poecie przedmiotów najzdolniejszych do poetyckiego działania." Że wszystko to niedostateczne, bardzo ogólnikowe i bardzo powierzchowne, dowodzić nie potrzeba. I właśnie, ponieważ mocna a pełna imaginacji wiara w nadnaturalność, była — według Odyńca — jednym z głównych rysów wieków średnich, a tak nęciła młode umysły romantyków, właśnie dla tego owa charakterystyczna „dziwność" w balladach stanowi dominujący czynnik. Odyniec broni „dziwności", a dowody, jakimi za nią przemawia — słabe. „Epopeja ma dziwność, czemuż balladzie mieć jej nie wolno", — oto dowód pierwszorzędny. Zresztą u Odyńca „dziwność" — to niby jakaś maszynerja odrębna, nie mająca zgoła związku z życiem wewnętrznem człowieka, potrzebna w balladzie dla zainteresowania, której użycie podobne do użycia n. p. w teatrze kuli w celu wywołania gromów. Słabe ma pojęcie o tem, że najwięksi poeci w duchach i demonach uosabiali siły spoczywające w głębi ludzkiej natury, po za światem wyobrażeń i pojęć, owo wiecznie czynne a dotychczas tajemnicze „fatum" starożytności, a dalej — namiętności, żądze, ukryte instynkta i t. d.

Odyniec dobrodusznie przyznaje się, że „zresztą wprowadzenie dziwności w balladzie nie jest jej koniecznym warunkiem" i że on „unikał jej, bo nieczuł talentu w sobie do trafnego jej użycia".

Autor posiada niezaprzeczenie większy zasób wiadomości estetycznych i większe poczucie piękna, niż Witwicki, ale dowody, jakie złożył, wcielając powyższe prawidła, przypominają wielce przedział, jaki zwykle istnieje między postawieniem prawa, a jego wykonaniem. Nie jest on wprawdzie tak bezmyśnym naśladowcą jak Witwicki lub Łapsiński, ale zaledwie parę razy udaje mu się napisać dobry oryginalny utwór. Zresztą źródłem grzechów Odyńca są wzory obce. Jakkolwiek pragnie, aby poeci czerpali treść do ballad z podań własnego narodu, nie idzie śladem słów tych, i bądź tłumaczy bądź przerabia obcych. To też zbiór powyżej wzmiankowany obejmuje przeważnie przekłady z obcych języków, oryginalnych drobną zaledwie ilość: z Bürgera Lenora, Myśliwiec i Wierność, z Żukowskiego Świetlana, z angielskiego Matylda czyli zamek Little-kot-Hall, Allendal i Pielgrzym [1]), oryginalne: Bolesław śmiały i Ofiara przerwana, które pomijamy, wadami bowiem i właściwościami należą do lat poprzednich.

Zbiór ten świadczy — niekorzystnie o autorze. Bohaterowie bowiem oryginalnych ballad nie mają wcale tej ważności, jakiej od nich żąda przedmowa, opowiadanie zbyt długie i nudne, sytuacje nienaturalne —

1) Równocześnie naśladował ją i Bohd. Zaleski.

słowem — ani „interesu“ ani „akcji“. Odyniec w tym okresie swej działalności, jako balladopisarz podrzędne zajmuje miejsce. W następujących latach ruch balladowy nie ustaje. W r. 1826 umieszcza Dziennik warszawski[1]) balladę anonyma Djabełek w Rumszyszkach. Jest to kompozycja żartobliwa na wzór pani Twardowskiej. Był sobie kochanek i kochanka, djabeł chciał im spłatać figla. Stroi się, jedzie w konkury do panny, która daje mu 3 zadania: nanieść złota, usypać olbrzymią górę, „by się na niej ptak utrzymał“ i zbudować most na Niemnie. Gdy djabeł most już kończy, panna stroskana bieży z kogutem na górę; kogut płoszy djabła, a panna szczęśliwa, „w skarby bogata

Żyła z kochankiem przyjemnie,
Bo się kochali wzajemnie.
Póki nie zeszli ze świata“.

Tegoż roku tamże znajdujemy ballady: Ordyńca Trzy krzyże pod Brykowem i Tyszkiewicza Wiesław i Halina.

W 1827 pojawiła się Kolenda, gdzie liche ballady zajęły czoło; później Chwila spoczynku, małe piśmidło, żywiło się tegoż rodzaju poezja, a dopiero co wymieniony Dziennik warszawski podał znów naśladowanie pani Twardowskiej po małorusku przez Hułaka Artymowskiego, który w sposób oryginalny ale niegodziwy, w chłopskie ją przyodział szaty. Na dowód parę ustępów:

„Rizut skripki i bandury,
Diwczata hopciujut,
Chłopci piut, aż ljetsia z szkury,
Koło ich harciujut
Briaszczat czarki, lulki skwarcziat,
Szumuje horyłka,
Stuk, harmyder, swystiat, krycziat,
Hołosyt sopiłka, —
a dalej:
Syknuwś ułan, win wzdowż joho,
Szablukoju trisnuw.
Ułan: tiu, tiu, ha, ha, ho, ho
Zajcem w kutku prisnuw.

Z 1828 wymieniamy Pokutę Abrahamowicza, Jaromir i Halina bezimiennego[2]). Pierścień Polikratesa w przekładzie W. Ch.[3]) Nadto czasopismo Polihymnia, wychodzące we Lwowie w 1827 r. w sześciu tomach umieszcza śród innych poezyj wiele ballad, znanych już z lat poprzednich.

W 1829 r. wydaje Odyniec najpierw noworocznik Melitele, gdzie znajdują się ballady: Machwiczowej Felicji: Zosia na cmentarzu, Upiór ballada Morlacka przez Al. Chodźkę oraz Odyńca Wieczór św. Jana (nap. 1826), Wesele 1828), Branka Litwina (1828). Wszystkie trzy weszły do zbiorowego wydania poezyj tegoż autora, dokonanego w Poznaniu 1829 w 1szym tomie Parnasu polskiego.

Daje ono wymowny dowód postępu, jaki zrobił Odyniec od czasu pierwszego wydania swych poezyj (w 1825), jakoteż zmiany w wyobrażeniach o balladzie i jej znaczeniu w walce romantyków z klasykami. Z przekładów znajdujemy tu prócz wszystkich poprzednio wydanych: z Bürgera Dziewczyna i Zakonnik, z Walterscotta Wieczór św. Jana (po raz 1szy w Meliteli 1829), Pielgrzym, z Puszkina Czarny szal, z serbskiego Hajducy; z oryginalnych zaś, Sen Olesi, Zbrodniarz, Wesele, Branka Litwina i Romantyczność albo Niewiadomo co.

Najsłabszy z oryginalnych utworów — Sen Olesi, obrazek rodzajowy, niby chwilka z życia zalotnej pensjonarki. Olesi śniło się, że chodziła z jakimś mężczyzną po łące i widziała w gniazdku parę gruchających gołębi. Samiec odleciał i w smutku pogrążył samkę. Ciekawe dziewczę pyta mamki o wyjaśnienie, a ta przeprowadza analogię między parą gołębi, a nią i mężczyzną. Treść nie zupełnie odpowiada przepisom przedmowy, obrobienie jej niesmaczne i niedbałe. Nadzwyczajna skromność Olesi, wywołująca co słowo żywy rumieniec obok natarczywej ciekawości, a oraz te nienaturalne dekoracje i porównania sprawiają, iż ballada grzeszy przesadą w wysokim stopniu. Olesia ładna „jak anioł“, mamka, posiadająca „nadludzką mądrość“ zwie ją „swoim narcyzem“, a najlepszy dowód przesady daje obraz gołębi, które „oboje bielsze od śniegu.

Rzadko albowiem inne światełko.
Na którem błysło pióreczku,
Wzajem się pod swe tuląc skrzydełko
W jednem siedziały gniazdeczku.

Godną większej uwagi jest ballada Zbrodniarz.

(C. d. n.).

1) Nr. 18 str. 163.
2) Rozm. lwow. 1828.
3) Ibd.

GOLDA

przez

Ama

(Ciąg dalszy.)

Jednego wieczora stara powróciła — a jej nie było jeszcze. Usiadła na zwykłem swem miejscu i czekała.... Pewnie dłużej dziś została w szkole, a może zabawi się u swojej przyjaciółki w mieście, ją tak wszyscy kochają i zapraszają do siebie. Ale nie przyszła ani powiedzieć ojcu albo sąsiadce, że dziś później przyjdzie, ani książek nie zostawiła, jak to czynić zwykła — wiedziała przecież, że ona taka niespokojna będzie. Jej tak tęskno było za nią, bo nie widziała jej i w mieście, choć na nią czekała. Ale niech się tam bawi, niech się bawi młoda i piękna, ona nie na to taka młoda i piękna jak kwiat, aby tu uwiędła pod dziurawym dachem w tej ciemnej izdebce..... nie na to. I znowu marzyć zaczęła o córce swej bogatej i wielkiej pani w przyszłości. — Już późno było, Awrumko już dawno wrócił i spać się położył, a ona siedziała jeszcz i czekała. Na kolanach leżał jej kaftan podarty, który łatać miała, ale znużone ręce jej spadły, głowa się pochyliła i.... usnęła. A we śnie widziała ją piękną i strojną tak bardzo w białej powłóczystej sukni z wiankiem zielonym na włosach, ubraną jak do ślubu. Szelest jakiś ją zbudził — ocknęła się i nasłuchiwała, i biorąc opuszczony kaftan oglądała wielkie dziury, które jej łatać trzeba było i uśmiechała się do snu swego. Gdyby się sen jej sprawdził, gdyby ona dziewczynę swą wydać mogła — bogato. Ale cóż jej da? tę jedną perłową opaskę, którą dla niej chowała tak dawno — i cóż jeszcze? Perłową opaskę? Tak, ona miała perłową opaskę na włosy z białych, lśniących pereł; był czas, kiedy ona miała i brylantowe kólczyki do stroju. Bo stara Ruchla nie zawsze starą była i pomarszczoną, nie zawsze z owocami chodziła po mieście. Był czas, kiedy ona miała lat osiemnaście i czarne pełne ognia oczy i uśmiech wesoły na koralowych ustach, ta uwiędła starowina — i najpiękniejszą, najweselszą była dziewczyną w miasteczku. Był czas, kiedy ta biedna przekupka była bogata — bardzo bogata i sklep miała swój własny. Choć ona nie była u ojca jedyna, bo miał ich ośmioro, a nie był bogaty, dostała w posagu czterysta reńskich, a do wyprawy brylantowe kólczyki i perłową zawiązkę. To majątek był wielki, i stary jej ojciec z trudem zdobył się na to, ale trudno, czekać już nie chciał z dziewczyną, ani nie mógł dłużej, bo starzała się, już i tak miała lat osiemnaście, a Awrumko za którego ją wydawali, był z bardzo pobożnej familii i sam biegły w księgach świętych — mógł dostać więcej. Więc wydali ją, z ostatniego ogołociwszy się grosza. I tak na Ruchlę spadło nagle wielkie szczęście z nieba, wszyscy jej zazdrościli, bo ona do wielkiego jechała miasta — a ona smutna żegnała rodziców i wszystkie kąty swe, bo to wielkie szczęście obawą ją przejmowało, smutna jechała do wielkiego miasta z olbrzymim swym majątkiem i mężem pobożnym. A on był pobożny ten jej Awrumko, rano brał księgę i szedł do bóżnicy, wieczorem w do-

mu zaczęte kończył modlitwy, a ludzie kłaniali mu się i w wielkiem mieli go poszanowaniu — bo on był uczony. Ruchla pracowała za niego i za siebie, zabiegała w małym swym sklepiku, żeby majątku przysporzyć, ale nie szło jakoś niedoświadczonej kobiecinie, nie przybywało nic a ubywało ciągle. Olbrzymi majątek stopniał w jej rękach — i nie miała już nic, ani sklepu ani pieniędzy „W złą godzinę zaczęła" tylko perłowa została jej opaska i mąż pobożny, i dwie zdrowe ręce. Zawiązkę owinęła miękkiemi szmatami i schowała na dno do kuferka, wyjmując z początku tylko na sobotę, potem nie wyjmując zupełnie; mąż jak dawniej całemi dniami przesiadywał w szkole, a ona zdrowych swych rąk rozmaicie użyć próbowała, różnych się imając zajęć. Wreszcie za brylantowe kólczyki nakupiła towaru i wziąwszy kosze na ręce szła na miasto po nędzny zarobek. I tak stała się owocarką a perłowa zawiązka leżała zawinięta w kuferku na dnie, i czekała lepszej doli. Gdyby dziś, myślała sobie starowinka, gdyby ona dziś miała te pieniądze, co wtedy, sen jej stałby się rzeczywistością. Onaby ją wydała.... Ale za kogo? czy był kto na świecie wart tego królewskiego dziecka, gdyby książę jaki nawet sam po nią zajechał, ona namyślałaby się jeszeze, onaby mu może nie dała — a..... księciu jakiemu dałaby już może tę swoję złotą dziewczynę....... I nasłuchiwała znowu, ale cicho było, tylko serce jej tłukło się głośno i mąż jej coś gadał przez sen. Już lampka zagasła — a na dworze noc taka była czarna, ani jedna jasna gwiazdka z ciemnego nie patrzyła nieba, ona już położyć się musiała, lecz z otwartemi oczyma nasłuchiwała — czekała aż do świtu. Pierwszy raz ona takie jej sprawiła zmartwienie, pierwszy raz przez całą noc nie była w domu. Ale za ten niepokój ona jej... żeby przynajmniej była powiedziała!.... ale niechby już tylko tu była — już jej daruje, dziś pierwszy raz. — A skoro świt z zapadłemi oczyma i niewyspaną twarzą dała śniadanie mężowi, i powiedziała mu, że Goldzia dziś u Dwojry (bo już ją wydała) nocowała, i wyszła jak zwykle na miasto, nie mogąc się jej w domu doczekać. Skłamała biedaczka, ale on nie lubił, on zawsze się gniewał na te odwidziny Goldzi u koleżanek w mieście, gdyby wiedział, że ona tam noc przepędziła!.... Ona ją tu spotka pewnie wracającą. Ale naprózno patrzyła i szukała, nie spotkała jej nigdzie, nie widziała jej wracającej w południe ze szkoły, pobiegła do domu, do znajomych i tam jej nie było. I drugi minął dzień i wieczór, i trzeci i czwarty, i cały przeszedł tydzień, a ona szukała jej wszędzie — a ona czekała jej — na próżno. Siedziała nieruchoma z okiem w drzwi wlepionem i czekała. Nie mogła pojąć, nie mogła zrozumieć, w głowie jej się pomieścić nie chciało, że jej dziewczyna nie wróci tu więcej. Ona przed chwileczką wyszła, ledwie że drzwi zamknęła za sobą, tylko jej ta chwileczka tak dłuży się okropnie, bo onaby wiecznie z dziewczyną swą razem być chciała — a to nie można. A wieczór Awrumko wrócił z bóżnicy milczący i modlił się i płakał i okropnym jęczał głosem, bo taka jeszcze zakała na ród ich pobożny i wierny taka jeszcze plama nie padła.

Jej nie było! i ona już do nich nie wróci wyrodna, przeklęta. Przeklęta ona, powietrze, którem oddycha i woda, którą pije i chleb, który pożywa — przeklęty, niech w truciznę jej się przemieni — przeklęte miejsce, gdzie nogą stąpi..... I ręce wznosił do góry i modlił się, przekleństwo śląc na jej głowę A ona obronić swej dziewczyny nie mogła, ona mu przerwać nie mogła. Łamiąc ręce, twarzą upadła na ziemię, a straszne jego milczenie mówiło jej: „Tyś winna" — i oskarżało ją przed nim, przed sumieniem jej własnem, przed Bogiem tam w górze. I przypomniała sobie teraz, jak on jej mówił, żeby dziewczynę zostawiła w domu, żeby jej nie puszczała tam między nich, bo oni ją popsują, oni ją tam trucizną zaprawią. Ale ona niesłuchała go, tylko jej prośbom, tylko swoim uległa pragnieniom, któremi natchnął ją szatan pychy, i wychowała ją.... wychowała ją sobie n a ból i sromotę.

I siedzieli obydwoje siedm dni na ziemi, ledwie pożywiając się i płakali po niej, jak zmarłej. Ósmego dnia on nie miał już córki — wstał i blady szedł do bóżnicy, bledszy niż zwykle, z głową pochyloną, nie śmiejąc podnieść oczu — ale czuł, jak oni patrzyli na niego, wytykali go palcami, głowami kiwając litośnie, słyszał, jak szeptali za nim: „Wychrzciła się" — Za nim Ruchla, wziąwszy kosze, szła do miasta ze zwyczaju, a ludzie nie poznali jej, przez te dni kilka ona zestarzała się i zgięła, i cała jej boleść i wszystkie łzy jej duszy wypisały jej się na twarzy głębokimi zmarszczkami, oczy przygasły, usta zapadły — przez jeden ten tydzień ona postarzała się o lat dwadzieścia..... Biedna kobieta! Ale dobrze jej tak, ona pyszniła się tą swoją laleczką, jak niewiedzieć czem, i nikogo słuchać nie chciała, choć jej wszyscy mówili, że to nie wyjdzie na dobre. Bo zdawna to można było powiedzieć, że ta strojna dziewczyna, taka zawsze wyświeżona, co z wysoka na drugich patrzyła, z nikim się nieprzyjaźniąc, że ona niedługo tu wytrzyma, że pociągną ją tam tańce te i zabawy. Po co to było piąć i wdzierać się nie do swego?.... Ma teraz, na co sobie zarobiła. A ona szła, nie słysząc. Po co ona wlokła się dziś do miasta, na kogo jej było pracować teraz? Ona też już nie wołała, już nie dopraszała się przechodniom — ale milcząca rozglądała się wszędzie. I ujrzała ją jadącą w powozie, przybliżyła się szybko, chcąc ujrzeć ją lepiej — a błoto uliczne rozpryskując się pod kołami padło na twarz jej żółtą, w tej chwili rozpromienioną radością, ona stała tuż przy niej, widziała jej bladą twarzyczkę na aksamitnych poduszkach — ale córka jej nie poznała, nie widziała jej — i powóz jechał dalej. — Ona biegła za nim, za dzieckiem swem, — ale szybko on znikł jej w tłumie, i ona została na gościńcu sama. – Już dziecka swego nie widziała więcej...

* * *

Odwracasz głowę piękna pani, ujrzawszy mnie. Więc pamiętasz jeszcze? — a to już tak dawno, a ty pamiętasz jeszcze tę naszą wspólną przechadzkę, i tę wązką uliczkę, i starą żydówkę i...... Nie pamiętasz? Bo prawda, i cóż tu do pamiętania?

Nie pamiętasz nic z tego, ale zapomnąć nie możesz, że tam na sterczących kamieniach delikatną zraniłaś nóżkę, zapomnąć nie możesz, nie możesz mi tego darować. O nie gniewaj się pani i nie lękaj się, dziś nie wywiodę cię nigdzie. Tu z tobą zostanę, bo stara już jestem i umęczona, taka okropnie umęczona, te kilka lat to sprawiły — i nie ciekawa już jestem jak wtedy. I dziś jednej z tobą jestem myśli, że lepiej i wygodniej w pięknej loży, w tak dobranem znajdować się towarzystwie, wśród mnóstwa jarzących świateł i pięknego słuchać śpiewu, niż po nierównych, niebrukowanych tłuc się ulicach, i do brudnych zaglądać mieszkań..... że zdrowiej dla ciała i umysłu. Czemużem się wcześniej przekonać nie dała? O nie lękaj się, bezpiecznie na twem aksamitnem możesz pozostać krzesełku, ani na chwilę nie wywabię cię, ani na chwilę twego artystycznego nie przerwę ci uniesienia. Zasłuchana i zapatrzona ledwie śmiesz odetchnąć, aby i jednego nie stracić tonu, a melodja ta tęskna i rzewna wciska ci się w duszę, — to płacze i skarży ci się boleśnie, to namiętnymi wybucha tony i rozpacznie się miota, to znowu, wszelkiej zapomniawszy boleści unosi się lekka i srebrna, aby znowu zwolnieć, przycichnąć i w świeżą wylać się skargę i nowem przeciągłem wybuchnąć łkaniem..... Łza połyskuje na jedwabnych twych rzęsach! Jaka ona piękna w tem wzruszeniu, w tej ciężkiej powłóczystej sukni, z koralową we włosach opaską! Kształtna jej główka ugina

się pod złotym ciężarem jej warkocza, a szafirowe oczy pod czarnymi brwiami połyskują tak głęboko — jakby dopowiadając, czego pieśń nie dośpiewała. Jaka ona piękna! A kiedy ty cała w poetycznej rozpłyniona ekstazie pod silnem wrażeniem jej uroczego śpiewu i cudownej jej piękności, kiedy ze wsząd dolatuje cię szept uwielbienia, niby echo twych własnych słów i myśli: „Oh comme elle est belle! comme elle est belle cette juive" ja przypomniałam sobie tę starą owocarkę z tej brudnej wązkiej uliczki, którąśmy widziały tam obie razem - pamiętasz? Coby też ona powiedziała ta starowinka, jakby się cieszyła biedaczka, widząc sen swój spełniony na jawie, widząc dziewczynę swoją strojną i blaskiem otoczoną, i świetnością? Dziwne wspomnienie! ono tobie jasnych twych brudzić nie przyszło uniesień, tyś zapomniała tej starej owocarki i córki jej i ja zapomniałam, i nie wiem skąd ona teraz w pamięci mej stanęła. I ujrzałam ją, za długim ciężkim trenem śpiewaczki ujrzałam jej małą postać w łatane odzianą suknie, i głowę wytartym krytą czepkiem, i twarz jej zżółkłą i pomarszczoną. Ręce drżące wyciągła, jak wtedy, kiedy biegła za córką swą jadącą w powozie i wołała smutna: „O nie byłoż tobie złote moje dziewczę zostać ze starą matką, niż stać tu samej z twarzą taką bladą i ze łzami w oczach!"...

(Dok. nast.)

Ach ci Francuzi!

Humoreska

Pawła Schöntan.

W północnych Niemczech ludzie strasznie przyzwoici. Uczucie moralności jest tu tak czułe, jak liść mimozy, a rumieniec, ten objaw uczciwości i niewinności, który się łączy tak harmonijnie z błękitną jasnością zasad moralnych, występuje zawsze, ile razy tylko zdarzy się coś . . . nieprzyzwoitego. Niezasłonięte nogi stołowe i nagie ramiona kinkietów, które niestety spotyka się w każdem przyzwoitem towarzystwie, są oddawna solą w oku dla wielu niewinnych; pewna znajoma mi dama niechce nawet pokazać swej młodziuchnej córeczce pobliskich okolic Saskiej Szwajcarji, ponieważ tam skały są nagie. Jest to ta sama pani, która z pokoju swej Idy, gdy ta doszła do lat szesnastu, kazała wynieść z pokoju portret Bismarka, ponieważ i Bismark jest mężczyzną. W takich stosunkach oburzenie na literaturę francuską, zwłaszcza dramatyczną, jest całkiem naturalnem, a co do mnie przyznaję, że nie wiele sztuk z repertoaru Theatre Français lub z Ambigu byłoby odpowiednich do grania w teatrze amatorskiem, urządzonym przez pensjonarki na cześć dnia urodzin przełożonej. Ale nie to jest celem poezji dramatycznej. Jeżeli taka rozwiązła sztuka paryska dostanie się przez granicę do Berlina, to dzieje się z nią podobnie, jak z owym motylem, którego ściga chłopak z podniesionym kapeluszem: jeżeli go ma pod spodem, w takim razie dziki łowiec klęka obok, podsuwa kapelusz powoli, aby bliżej się przypatrzyć swej ofierze, którą później przebija szpilką, a kto wie czy jej skrzydeł nieobedrze. Potem motyl puszczony bywa na wolność, jego rzeczą, dokąd zaleci. Tak czyni surowa cenzura: Przedswszystkiem zakazuje się przedstawiać sztukę dotyczącą, później zaś bliższa analiza rozstrzyga o jej losie. Wiele sztuk nie widzi więcej światła dziennego, inne po długich rozprawach zostają wydane dyrekcjom pod warunkiem, że niemiecka gruntowna sekcja oddali z nich jad francuzki; bo . . . inaczej niemożna ich przedstawiać, t y c h Francuzów! . . .

Niemam ja dla cenzorów, (jakkolwiek są to jedyni ludzie, starający się o to, aby nie wszystko było drukowane, co kto napisze), szczególnego szacunku, ale to nie przeszkadza mi bynajmniej być w stosunkach dość przyjaznych z jednym z urzędników cenzury.

Niedawno spotkaliśmy się będąc w dobrym humorze, a ponieważ jest to właściwością ludzi poczciwych, że przy nadarzonej sposobności lubią pomówić o tem, co im leży na sercu, niemogłem ukrywać w obec mego towarzysza przekonań swych osobistych co do skutków, jakie wywołuje ucisk policyjny, ciężący na kilku generacjach, przyczem z wprawną wymową, pobudzoną przez wybornego burgunda, broniłem Francuzów. Cenzor skrzywił twarz swoją, kończącą się charakterystycznie spiczastym nosem, którego kolor przypominał czerwony ołówek cenzuralny, spojrzał na mnie z niekłamanem poczuciem wyższości i szepnął:

— Niechaj mi pan wierzy, że wszyscy Francuzi są łotry.

Niemożna nic puścić, n i c, n i c . . .

Wstrząsnąłem głową niechętnie.

— Pozwól pan, — ciągnął dalej — jutro przyszlę panu książkę, przejrzyj pan ją, a potem dopiero mówić będziesz.

Obiecana książka nadeszła. Spodziewałem się dzieła ze szkoły naturalistycznej i byłem też niemało zdziwiony, zobaczywszy dzieło pedagogiczne, francuzko - niemiecką gramatykę, której tekst był podkreślony i opatrzony uwagami i krzyżykami zakreślonemi znanym jaskrawym kolorem cenzorskiego ołówka; rzecz oczywista czytałem te miejsca przedewszystkiem, i powtarzam je tu nie bez oburzenia. Kto się łatwo rumieni, ten najlepiej uczyni opuszczając te wypisy.

Gramatyka jest w sposób zwykły, jak i inne książki szkolne, podzielona na lekcje. Ale cóż to za lekcje! Oto czytamy zaraz w drugiej:

„Babka moja jest w ogrodzie. Dziadek s p r z e d a ł ogród myśliwemu".

Tu czerwony ołówek zaznaczył §. ustawy, mówiący o sprzedaży dziewcząt. Z trzeciej lekcji wyszczerza do nas zęby dziki cynizm znanego przysłowia „W starym piecu djabeł pali"

„Dziadek twego przyjaciela i żona waszego ogrodnika, są w waszej piwnicy".

Zawzięte kreski, które gubią się dopiero w czwartej części książki, podkreśliły te zdania.

„Nasz poczciwy wuj odjechał. Wierny przyjaciel waszego wuja przybył. Ciotka nasza jest z a d o w o l o n a".

Zdaje mi się, że tu nie potrzeba już zwracać uwagi na bezwstydny związek tych zdań ze sobą; niemieckie pióro, które zresztą zdolne jest do wszystkiego, wzdryga się na myśl o jakimkolwiek komentarzu.

Ale jesteśmy dopiero przy trzeciej lekcji. Idźmy dalej:

4 Lekcja. Księżyc jest okrągły. Ławka ogrodowa jest wygodna. Gdzie jest twoja poczciwa siostra. Moja siostra i twój szwagier są w ogrodzie".

Proszę! w ogrodzie, przy księżycu! Ale idźmy dalej. Obwiążmy się pasem ratunkowym moralnych przekonań, i zanurzmy się z głową w tę toń brudną galijskiego cynizmu.

W 7 lekcji chodzi widocznie o skreślenie podobnej sytuacji:

„Twój szwagier lubi czereśnie. Córka naszego nauczyciela lubi także czereśnie. Sad twego szwagra jest wielki; nauczyciel sprzedał mu swój sad".

No tutaj, to już jasno leży jak na dłoni, że szwagier, który już w 6 lekcji zbliżał się do ciotki włościanina w sposób podejrzany, potrafi obecnie sprowadzić siostrę nauczyciela (a ty łotrze francuski!) n a c z e r e ś n i e do s w e g o ogrodu.

Ale tylko dalej:

13 Lekcja. „Kapitan odjechał, ale kuzynka moja nie odjechała. Gdzież jest twoja kuzynka? K u z y n k a m o j a j e s t c h o r a: ona pisze list, kapitan n i e p i s z e listu".

A dalej:

„Karol ma n i e b i e s k i e oczy. Żona sąsiada ma czarne oczy. Dziecko sąsiada ma niebieskie oczy".

Tu wstrzymać się muszę od wszelkich dodatków, raz dlatego, że pióro się przeciw temu wzdryga, a powtóre, że każde tłumaczenie powiększyłoby tylko złe, tkwiące w tych zdaniach. Refleks rumieńca niejednako odbija się na lekcji 15, przekreślonej na krzyż czerwonym ołówkiem.

„Wdowa leśniczego zgubiła naparstek. Żołnierz i wdowa leśniczego szukają naparstka. Naparstek leży pod stołem. Żołnierz jest śmiały.

Zakończeniem tej pięknej lekcji jest zdanie, które najlepiej charakteryzuje zanotowany na marginesie §. 183 pruskiej procedury karnej.

„Gdzie jest lampa? Lampy nie ma w pokoju, ale Antoni i wnuczka sąsiada są w pokoju. Antoni lubi światło, ale woli ciemność“.

Ma on powody do tego przekładania ciemności nad światło, ten luby pan Antoni. A tak idzie ciągle dalej i dalej; z przyrostem słów nowych, opisy te nie do oddania zyskują coraz bardziej plastyki, a przewodnią myślą wszystkiego jest ciągle, „przeniewierstwo małżeńskie“ i „złamanie wiary“ w rozmaitych formach i odmianach.

Chwyciłem książkę przez rękawiczki, włożyłem kapelusz i pobiegłem do mego przyjaciela, aby mu zwrócić gramatykę z wymownym wzrokiem, pokorą grzesznika i głębokim wstrętem. Wyraziste rysy jego przybrały w chwili, gdy odbierał bezwstydną książkę z rąk moich, grymas największego obrzydzenia. Zamknął on tę pedagogiczną bezwstydność do wielkiej szafy podzielonej półkami, a przeznaczonej wyłącznie na książki francuskie, bo na grzbietach czytałem znane imiona; Augier, Belot, Daudet, Claretie i tp. aż do Zoli, nad którego półką oprócz tego była zawieszona etykieta, wyobrażająca trupie główki, takie same, jakich używają aptekarze dla oznaczenia flaszeczek z trucizną. Ah, ci Francuzi!

Przystąpił znowu do swego biurka, skinął na mnie i tonem szeptu, stosownym w świętych ścianach urzędu, czuwającego nad moralnością, rzekł do mnie:

— Oh, jakaż to przyjemność wziąć zaraz po tem jaką książkę niemiecką do ręki.

Mówiąc to podał mi cieniutką książkę w blado-zielonej okładce. Tytuł jej brzmiał: Das Wichtigste der französischen Umgangssprache etc.“ „Selbstverlag des Verfassers“ Napis ten inaczej oddziałał na mnie.. Już to czysto niemieckie słowo Selbstverlag“! Wszakże lat dwadzieścia mając, wdarłem się i ja także na tę górę kalwaryjską karjery literackiej.

Przypatrzmy się tej „moralnej“ książeczce bliżej. Autor „najważniejszych frazesów z francuskiej mowy potocznej“ podzielił także książkę swoją na lekcje, ale zwie je „obiadami“, a potrawy przezeń podane to nie francuski jad wiarołomstwa małżenskiego, ale niewinne mleko poczciwej myśli i zasad. „Każda flaszka musi być opatrzona marką ochronną“. Wzrok mój pada na 5 obiad: Żołnierz, który u bezwstydnego Francuza szuka pod stołem naparstków z wdowami, który opuszcza nikczemnie kuzynki w chwili krytycznej bez pożegnania, tu przedstawiony jest w innem świetle. Tu stoi wyraźnie:

„Wschód słońca jest piękny, ale pałasz u boku żołnierza jest jeszcze piękniejszy.“

„Kapitan chwali błyszczące guziki dzielnego żołnierza“.

„Flaszka z lakierem grenadjera jest wielka, ale patrontasz dragona jest większy“.

„Parada jest piękna, ale wojna jest piękniejsza“.

„Dobry żołnierz lubi proszek do czyszczenia guzików“

„Stary generał jedzie wierzchem na spacer, a inni oficerowie jadą także na spacer“.

„Dlaczego oficerowie jadą na spacer?“

„Bo nie mają nic do roboty.

„Wuj nasz jeździłby także, gdyby był żołnierzem, ale on jest tylko kupcem. – Powinien się wstydzić tego“.

Fizjognomia moja nabrać musiała wesołego wyrazu; poznałem to po wyrazie oczu zazwyczaj poważnego cenzora, który zwrócił uwagę moją na dalsze lekcje, zatytułowane „Śniadania“. Tu inny panował ton, ztąd uśmiechał się do mnie krasny bukiet wonnych kwiatów, zebranych w mowie potocznej; jakaż woń niewinna otaczała te zdania w porównaniu z siarczannym dymem, wiejącym z drugiej książki. Oto kilka prób, wybranych na chybi trafi.

„Papuga niedawno poszła za mąż. — Babka złapała tysiąc motyli. — Kolibri udał się na drogę prawa — Nogi rzeźbiarza są wytrwałe.“

Cenzura projektowała tu „ramiona“ zamiast „nóg“; poprawka ta w interesie przyzwoitości publicznej musi być pochwalona. Dalej:

„Muchy, płuca i młyny mają skrzydła. — Lubimy buty wieśniaka. — Poeta bawi się z psem...“

Cenzor niecierpliwił się chcąc usłyszeć moje zdanie, i w końcu przerwał mi:

— Cóż, znalazłeś pan coś nieprzyzwoitego? Z dumnym uśmiechem wstrząsnąłem głową.

— Nic takiego, abym nie miał tej książki polecić każdej przyzwoitej niemieckiej matce.

— Oh jakże pięknem by było nasze powołanie, — mówił cenzor dalej. — Jakże inaczej by urządzić można biurowe godziny, gdyby nie było tych Francuzów!.

Przegląd literacki.

Dwa nowe dzieła, traktujące o ostatnich chwilach przedrozbiorowych...

(Sejm czteroletni — napisał X. Walerjan Kalinka T. I. Kraków, 1880. T. II. Lwów, 1881. Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta — przez Tadeusza Korzona T. I. Kraków, 1882.)

napisał

B. Limanowski.

XVIII wiek w Europie słusznie nazwać można reformacyjno-rewolucyjnym. Porządek feudalno-stanowy walił się pod ciosami, które uderzały nań z góry i z dołu. Nie odpowiadał on już bowiem ani umysłowym, ani też politycznym i ekonomicznym potrzebom postępowszych społeczeństw owego czasu.

W tej epoce przeobrażania się polityczno-społecznego, Rzeczpospolita polska musiała także zastosować się do nowych form, w które zaczęło się układać życie społeczeństw europejskich. Musiała to uczynić pod groźbą utraty niepodległego bytu. Pojmowały to wszystkie umysły, wzbijające się ponad nawyknienia rutyny, i przesądy partykularyzmu ciasnego.

Jakież to reformy były przedewszystkiem nieodbicie potrzebne dla Rzeczypospolitej?

Zaprowadzenie, po wojnie trzydziestoletniej, wojsk stałych i scentralizowanie władzy wykonawczej nadały pństwom europejskim większą jednolitość, i uczyniły je na zewnątrz silniejszemi. Zaprowadzenie wojsk stałych osłabiło znaczenie panów feudalnych, i w logicznem następstwie prowadziło do konskrypcji, tj. do przeniesienia obrony kraju z szlachty, której powołaniem było to dotychczas, na ludność całego kraju. Szlachta przestawała być *stanem rycerskim* a więc traciła najgłówniejszą rację bytu. Dla utrzymania silnego wojska potrzebne były: gęsta ludność i znaczne podatki. Z tych powodów władza centralna z jednej strony musiała dążyć do usunięcia wszystkiego, co tamowało przypływ nowej ludności i wstrzymywało rozrost dawnej; z drugiej zaś strony, troszcząc się o większą zasobność swej kasy, skłaniała się więcej ku interesom miast i mieszczan, aniżeli szlachty, która potrafi-

ła była zrzucić z siebie ciężar podatkowy. Im monarcha był postępowszy, tem bardziej traktował szlachtę jako stan nieprodukcyjny. Józef II mówił o magnatach galicyjskich: „ci bogacze podobni do much, które tylko po domu brzęczą i brudne ślady wszędzie po sobie zostawują“ (Pamiętniki Karpińskiego, w wydaniu Turowskiego: str. 1166). Wszystko więc składało się na to, że punkt ciężkości polityczno-społecznej przenosił się od panów ziemskich do stanu miejskiego, czyli burżuazji. W ten sposób państwa europejskie traciły swój dawny charakter feudalno-szlachecki, a przeistaczały się w biurokratyczne monarchje z rosnącym wpływem mieszczaństwa.

Wśród coraz bardziej uwidoczniającego się tego przeobrażenia w Europie, Rzeczpospolita polska świeciła jaskrawo swoją szlacheckością. Była najbardziej szlacheckiem ze wszystkich państw europejskich, bardziej nawet szlacheckiem od węgierskiego, tak pod względem liczebnym, jak ekonomicznym i politycznym. „Ani we Francji, ani w Anglii, ani w krajach niemieckich stan tytułowany nie dosięgał cyfr nawet absolutnych szlachty polskiej XVIII wieku. Ta mogła zwać się narodem, skoro liczniejszą była od ludności niejednego z państw pomniejszych np. Szwajcarji, Danii. (Korzon 247 i 248)“. W Węgrzech — podług spisu ludności z 1785 r., liczono jednego szlachcica na $21^1|_2$ mieszkańców; w Polsce zaś 1791 r. — biorąc liczby sprawdzone przez p. Korzona, którego mozolną i ważną w tym względzie pracę należy się podnieść z wielkiem uznaniem — na ogólną jej ludność 8.790.000 (Tab. 62 na str. 318) przypadało szlachty 725.000, czyli jeden szlachcic na 8·2 mieszkańców. Szlachecki charakter Rzeczypospolitej polskiej uwydatnił się także w stosunkach ekonomicznych, „Od czasu jak trzysta okrętów angielskich, holenderskich i francuskich zawinęło do portu Gdańskiego (1392) poszukując zboża i płacąc za nie ogromną cenę (9—12 grzywien za łaszt), rzuciła się szlachta do produkowania zbóż na handel zamorski, rozwinęła się wielka uprawa folwarczna, powstawały, rozszerzały i nareszcie upowszechniły się i zapanowały na całej przestrzeni kraju stosunki pańszczyźniane, a Polska stała się krajem rolniczym par excellence. W wieku XVI a nawet jeszcze w XVII była ona spichlerzem Europy, porównywano ją z dawnym Egiptem i Sycylją... I szlachcic ziemianin oparł na roli całą egzystencję swoją: dla roli pogardził nawet innemi źródłami bogactwa krajowego“. (Korzon str. 331). To wyłączne zajęcie się wytworem zboża w celu jego spieniężania, nie wychodziło na korzyść narodu polskiego — jak pomiędzy innymi słusznie już zauważał Monteskijusz w swoim Duchu praw (Esprit des lois L. XX., c. XXIII). Istotnie, popyt ogromny na polskie zboża skierował całą niemal ludność chrześcijańską kraju ku pracy rolniczej. Ta tylko praca doznawała poszanowania. Przemysł coraz mniej popłacał i coraz bardziej upadał. Miasta, które przedtem wzrastały, wzbogacały się, szerzyły oświatę w XV i XVI stul. *) zaczęły upadać. Ekonomiczna ta przyczyna upadku miast połączyła się z polityczną. Albowiem szlachta, tak politycznie jak ekonomicznie przodująca w kraju, skonfiskowała egoistycznie całą władzę na swoją korzyść. „Stan włościan zamieniony w ciężkie poddaństwo, mieszczanie ze wzgardą odepchnięci od wszelkiego wpływu do prawodawstwa i władzy wykonawczej, ujrzeli się pod słabem berłem królów, wybieralnych sierotami we własnej ojczyźnie“. (Surowiecki w wydaniu Turowskiego, str. 124). Wolność szlachecka, ten prawdziwy klejnot przy zupełnem osłabieniu władzy wykonawczej, musiała przerodzić się w dowolność magnacką. Kto był bogatszy i możniejszy, ten panował. Możnowładztwo, z drobnej szlachty zrobiwszy pospólstwo, nie spoglądało więcej na resztę ludu polskiego, tylko jak na rzecz własną i w niczem się od bydląt nieróżniącą (Kołłątaj w listach do Małachowskiego. część II O poprawie rzeczypospolitej str. 317).**)

Do najważniejszych więc potrzeb Rzeczypospolitej należały: ukrócenie dowolności magnackiej przez wzmocnienie władzy wykonawczej, i usunięcie wyłączności szlacheckiej przez podniesienie stanów upośledzonych.

*) Jan Śniadecki trafnie zaznacza ten fakt. „Historja nauk krajowych w XV i XVI wieku uczy, nas że... szlachta szukała chwały z dzieł waleczności w obronie kraju, a wsie i miasta polskie, jako to Kraków, Toruń, Gdańsk, Lwów, Poznań, Biecz, Sambor, Sanok, Pilzno, Krosno, Olkusz, Janiszki, Kurzelów, Szamotuły, Głogów, Dubno, Miechów, Łowicz i inne, służyły naukom i oświeceniu, i wydały szereg najpiękniejszych dowcipów, i wsławionych rozległą nauką ludzi“. (str. 42. Żywot literacki Kołłątaja — w Bibljotece Mrówki.)

**) Drugi spółczesny pisarz (Karpiński) także pozostawia w Pamiętnikach swoich świadectwo o magnatach „...pycha ich daleko większa była od nich, i byle sobie dogodzić, wszystkie prawa boskie i ludzkie gotowi byli podeptać, zabójstwo, krzywoprzysięstwo, kradzież skarbu publicznego, albo odebranie gwałtowne majątku słabszego obywatela, takie zbrodnie za nic pospolicie u nich ważone...Poddanego wieśniaka równo z bydlęciem kładli, mieszczanina w ostatniej pogardzie mieli, równego nakoniec sobie szlachcica, tylko dlatego, że ubogi, upodlili, — i z tego to upodlenia poszły te zwyczajne w kraju w obcowaniu z panami wyrazy: upadam do nóg, całuję nogi pańskie, niegodny podnóżek i tym podobne... (str. 1182).

Potrzeby te odczuwano w Rzeczypospolitej. Tak zewnętrzne jak wewnętrzne warunki przyczyniały się do tego.

Dzieło ks. Kalinki zapoznaje nas dokładnie z zewnętrznemi warunkami. Dają się one streścić w tych kilku wyrazach: sąsiedztwo trzech silnych i zaboru chciwych monarszych rządów.

Nad wewnętrznemi warunkami godzi się trochę dłużej zatrzymać.

Anarchiczna, „złota wolność“, która uboższych i słabszych pozostawiała bez opieki a na możniejszych i silniejszych nie nakładała wędzidła, zniechęciła ku sobie większość szlachecką, pracowitą, dostatnią i miłującą porządek. Czytując pamiętniki Wybickiego, Kitowicza, Karpińskiego, znajdujemy tego liczne dowody. Potrzeba wzmocnienia władzy wykonawczej uczuwała się nader powszechnie i nader silnie. Tylko magnaci i pełni humanizmu utopiści, oczywiście wychodząc z odmiennych pobudek, byli temu przeciwni. Ogół pojmował, iż trzeba położyć koniec oligarchii szlacheckiej. Staszic dobitnemi słowy wyjaśnił tylko to, co większość niejasno odczuwała. „Jakże to, opodal stoi Polska! — czytamy w jego Przestrogach (str. 253), — Gdzież to już zabiegły insze kraje. Gdzie indziej już despotyzm upada. W Polszcze jeszcze oligarchija szlachecka. Polska dopiero w wieku piętnastym, cała Europa już wiek ośmnasty kończy!“

„Duch rycerski — powiada ks. Kalinka — przygasł w narodzie, i nie mogła go zaprawdę odżywić Konfederacja barska“ (str. 52 i 53, I). Czytać należy: w narodzie szlacheckim. Lecz nie tylko duch rycerski przygasł, ale — co ważniejsza — szlachta zaczęła tracić wiarę, ażeby mogła sama, bez pomocy czyjejkolwiek, obronić ojczyznę od napaści wrogów. Jedni oglądali się za pomocą rosyjską, drudzy pruską. Ci, co chcieliby dźwignąć się siłami własnego narodu, zaczęli wciągać w rachubę: mieszczan, włościan a nawet żydów. Już podczas konfederacji barskiej, która rozpoczęła się była pod hasłem czysto-szlacheckiem, pojawiają się marszałkami w generalności kozak (Sawa Caliński), szewc (Szczygieł), rzeźnik (Morawski). „Gdyby niebaczna szlachta nie była miast naszych odrzuciła. . . . zapewne nigdyby tak ohydny podział naszego kraju nie był nastąpił“ — pisał Staszic w Przestrogach w 1790 r, Było to zdanie nie jego jednego. „Brały mocarstwa obce w niewolę szlachcica, spoglądał na to miljonowy niewolnik z obojętnością, tak właśnie, jak wprawiony do jarzma wół rozwozi ćwierci nieszczęśliwych

a podobnych sobie ofiar. . ." pisał Kołłątaj także w 1790 r. I nie jeden to samo myślał. Szlachta, w coraz większem poczuciu swej bezsilności, zaczynała coraz powszechniej wołać o aukcję wojska. Sejmiki z r. 1783 już jednogłośnie żądały pomnożenia wojska. Wreszcie zapadła w sejmie nadspodziewana uchwała: „szlachta dobrowolnie przyznała się do obowiązku płacenia stałego podatku dla Ojczyzny (Kalinka, 437 I.) Był to pierwszy krok na drodze zrzeczenia się wyłączności szlacheckiej. „Dzień dzisiejszy (26 marca 1789 r.) — pisze Essen rezydent saski w raporcie do rządu swego — jest świadkiem bezprzykładnego w dziejach polskich wypadku, i jeśli to się utrzyma a będzie wykowywane, to Polska może jeszcze odzyskać swe miejsce w senacie narodów. Gdyby Rzpta umiała się była wznieść do takich uchwał, nigdyby nie doznała tych nieszczęść, jakie na nią spadły." Jeszcze bardziej rewolucyjnym krokiem, pod względem zrzeczenia się wyłączności szlacheckiej, była uchwała z dnia 4 grudnia 1789 r., upoważniająca do poboru jednego człowieka ze stu dymów szlacheckich. Wszak to konskrypcja była jednym z najważniejszych powodów zawziętej walki w tym czasie szlachty węgierskiej z Józefem II! Konskrypcja, to — podług trafnego spostrzeżenia Staszica — przypasanie poddaństwu szabli, tej jedynej szlacheckiej wolności zasady." (294. Przestrogi.) — Wielka szkoda że ks. Kalinka nie opowiedział szczegółowo — jak to czyni w innych wypadkach — sesji tego ważnego dnia.

Podczas gdy szlachta coraz świadomiej czuła swoją bezsilność wobec wrogów zewnętrznych, w innych klasach — pod wpływem głosów nawołujących zaczynało się rodzić i wzmagać poczucie obywatelskie. Pierwsze oczywiście odezwało się mieszczaństwo. Podczas wojny 1792 okazało wielką gorliwość w bronieniu ojczyzny. W 1794 r. mieszczanie byli niezadowoleni z Kościuszki, że Najwyższą Radą Narodową złożył z samej szlachty i mówili: „Dotąd powierzaliśmy całkiem szlachcie rząd kraju, nie sprzeciwialiśmy się ich ustawom, chętnie płaciliśmy uchwalone przez nich podatki i byliśmy zawsze im posłuszni. Cóż stąd za skutki wynikły? Oto, szlachta kraj zdradziła, dwa razy podzieliła, handel i rękodzielnie zniszczyła, — a jako zdobycz za ich nieustanne kłótnie i niespokojności, mamy obce wojsko. I jakże dziś, kiedy albo wszystko zyskać, albo wszystko stracić odważamy się, samej szlachcie ster rządu mamy zostawić?" —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd teatralny.

(Gęsi i Gąski, komedja w 5 aktach przez Michała Bałuckiego.)

Doczekaliśmy się oryginalnej sztuki. Jest to za czasów obecnej dyrekcji prawdziwy wypadek, o którym już dlatego samego warto by pomówić obszernie tem bardziej zaś poczuwamy się do tego obowiązku, że mamy do czynienia z nową komedją p. Bałuckiego.

P. Bałucki zjednał sobie jako komedjopisarz zasłużoną sławę. Wszystkie jego utwory sceniczne mają wielkie zalety, a mianowicie odznaczają się niewyczerpanym a naturalnym humorem w djalogu i sytuacji, świetną charakterystyką typów, i szlachetną, prawdziwie postępową tendencją. Ma podobne zalety i ostatni utwór jego, przedstawiany w środę po raz pierwszy na scenie naszej pt. „Gęsi i gąski". Treść tej komedji da się opowiedzieć w kilku słowach: P. Karol Marzycki, urzędnik, a przytem uzdolniony autor, oświadczył się o pannę Joasię Kłopotkiewicz, młodziutką „gąskę" wiejską, i został z ochotą przyjęty. Niedługo ma się odbyć ślub i p. Marzycki właśnie przyjeżdża na wieś, aby poprowadzić swą ukochaną do ołtarza, ale zastaje w domu „ciocię" Rzempielińską, starą elegantkę z Paryża, która wszystkim poprzekręcała w domu głowy i pragnie nawet wydać kuzynkę za wietrznika i wartogłowa Durnickiego, który ukończywszy szkołę kadecką, niewidząc karjery dla siebie w wojsku, „puścił się" jak to mówią w świat, i trwoni pieniądze mamy. Rzecz prosta, intryga „cioci" nie udaje się, starzy Kłopotkiewicze i Joasia wracają do rozumu, i p. Marzycki żeni się z ukochaną „gąską".

Z treści opowiedzianej widzi każdy, iż komedja p. Bałuckiego nieodznacza się ani skombinowaną intrygą, ani zbyt oryginalnym pomysłem. Jest to po prostu obrazek obyczajowy, który z powodu luźnej intrygi nie wiąże się dość ciśle w organiczną budowę, i potrzebował nawet kilku epizodycznych postaci do powiązania słabych nici faktury. A przecież mimo to całej komedji słucha się z przyjemnością! Tajemnica leży w tem, że p. Bałucki, obdarzony nie małym zmysłem spostrzegawczym, umie oddać z fotograficzną wiernością pewne sceny żywcem podchwycone z rzeczywistości, a nadające wiele krwi i życia pojedynczym sytuacjom, i wprowadza na scenę kilka typów charakterystycznych równie żywych i prawdziwych. Niektóre z nich, cofnięte na plan drugi i naszkicowane zaledwie, jak stary Kłopotkiewicz i Marja, już mają wiele rysów typowych, którychby się nie powstydził najznakomitszy pisarz dramatyczny, inne zaś wprost zasługują na nazwę oryginalnych kreacyj. Durnicki np. jest typem zupełnie nowym na scenie, choć w społeczeństwie dość napotykanym, a różne cechy oryginalności i świeżości ma także Joasia, a nawet pani doktorowa, której rola niestety, fatalnie była u nas grana. W ogóle o grze artystów nie wiele da się powiedzieć pochlebnego. P. Walewski, który miał Durnickiego rolę, bardzo ważną w komedji, przesadzał okropnie; był szorstki i gburowaty, podczas gdy ta rola właśnie wymaga pewnej gładkości w obejściu, i salonowego wychowania. Znakomicie grała pani Aszpergerowa, która przedstawiła typ starej elegantki nadzwyczaj charakterystycznie, tudzież p. Zamojski i pani Kwiecińska. Pierwszy nie miał wielkiego pola do popisu, ale starał się, o ile możności, nacechować typ gospodarza wiejskiego, którego oprócz gospodarstwa nic nie obchodzi; druga zaś z wdziękiem przedstawiła rolę, „wiejskiej gąski". P. Kwieciński spełnił swoje zadanie dość przyzwoicie, o reszcie zaś krytyka łaskawie zamilczeć powinna...

ZIARNKA.

Dziesięć stopni mrozu jednego dnia, a zaraz nazajutrz deszcz, po nim znowu mróz i nieunikniona we Lwowie gołoledź karkołomna, — pełne komicznych efektów obrady walnego zgromadzenia delegatów ziemskiego Towarzystwa kredytowego: w teatrze komedja Bałuckiego „Gęsi i gąski", a później „Halka" z obsadą, którąby niechybnie do rozpaczy przywiodła nieśmiertelnego jej twórcę; odwołanie koncertu skrzypka Friemana, z arcyprozaicznego powodu, że w całym Lwowie ledwie 3, wyraźnie trzy osoby się znalazły, które zdecydowały się „w tych ciężkich czasach" kupić bilet wstępu — oto mniej więcej skromny bilans kronikarski za tydzień bieżący. Komentarze jakiekolwiek częścią niemożliwe w „Ziarnie", częścią zupełnie zbyteczne...

Jako pożądaną dla ogółu wiadomość na przyszłość najbliższą, notujemy, że nowa dyrekcja teatru (p. Jan Dobrzański) zaprzątnięta gorliwie przygotowywaniem nowych sztuk, oper i operetek — z których wtajemniczeni wymieniają na razie: głośną Fedorę W. Sardou'a, Karnawał rzymski Straussa, i podobno jedną z najnowszych oper Thomasa. *Qui vivra, verra!*

* " *

W tych dniach wywozi p. Krywult „Jaskinię Piratów“ Siemiradzkiego ze Lwowa, i wystawi ją w salonie swym artystycznym w Warszawie. Przed miesiącem, kiedy wymieniony obraz naszego mistrza znajdował się jeszcze w Krakowie, zamieściliśmy w „Ziarnie“ obszerny opis i ocenę „Jaskini“. Zdanie tam wyrażone jest zupełnie zgodne z naszem i ze zdaniem ogółu krytyki, która w tym razie odezwała się z dziwną jednomyślnością. Z tego powodu nie zamieszczamy o „Jaskini piratów“ obszerniejszej recenzji, odsełając czytelników do numeru styczniowego naszego pisma.

* * *

Pisma codzienne doniosły już o trzeciej nagrodzie konkursowej w kwocie 3.000 rubli, którą otrzymał znany rzeźbiarz pan Teodor Rygier za projekt pomnika, który wystawiony ma być zabitemu samodzierżcy Wszechrosji Aleksandrowi II. Dodano już do tego faktu komentarze,' na które piszemy się w zupełności. Gdybyśmy nawet hołdowali spłowiałej zasadzie estetycznej „sztuka dla sztuki“, to jeszcze pozostaje kwestja tematu, jaki panowie artyści biorą za przedmiot swych artystycznych produkcyj. Trudno dziś jednak o sztukę bez tendencji, ma ją też i 3000 rublowy projekt p. Rygiera. Do tego, co już artyście temu powiedziano, dodamy jeszcze to tylko, że minął już na szczęście czas sztuki panegirycznej, kiedy to adepci żyli resztkami z pańskiego stołu, i wywdzięczając się za to, żywot swych chlebodawców uprzyjemniali i palili na cześć ich kadzidła. Dziś mecenasem rzetelnego artysty, który szanuje siebie i sztukę, jest ogół, jego celem praca dla postępu i prawdy.

* * *

Z Warszawy, nic szczególnie zasługującego na uwagę zanotować nie mamy. Pan Wierzbowski wykłada historję literatury polskiej na uniwersytecie warszawskim. w języku wykładowym tej wszechnicy, w języku obcym społeczeństwu, które uważa Warszawę za serce swoje i głowę... Oficjalnym augurom trudno dostrajać się do pulsu, jaki bije w ich otoczeniu Nie zdobył się też i p. W. na zerwanie z drogą, po której jako stypendysta kroczył dotychczas... Młodzież warszawska umiała właściwie ocenić postępek takiej kreatury rządowej, jakim jest ten profesor... Piotr Chmielowski inaczej zupełnie postępował sobie w tej sprawie. Umiał być tem, czem jest, jednym z lepszych chorążych postępowego obozu, odrzucił też ze wzgardą i 3000 rubli, ofiarowanych mu przez rząd rosyjski za stratę czasu i zawiedzione nadzieje.

Pocieszającym objawem jest rozkupienie „Ogniska“ w drodze prenumeraty, tem przyjemniejszym, że nie jest to fakt odosobniony, bo i pierwszy tom „Szkiców“ Spencera, wydanych przez młodzież polską, kształcącą się w Petersburgu, został już rozkupiony. Podobno przytem młodzież zamyśla i o innych wydawnictwach dzieł postępowych, o których nie wiedzą nawet, kroczący ślimaczą i utartą drogą nasi panowie wydawcy.

* * *

W dzisiejszym numerze umieściliśmy humoreskę Pawła Schöntana, na którą zwracamy umyślnie uwagę czytelników. Jest to satyra zjadliwa, w której w sposób jaskrawy a nader dowcipny porównani są Niemcy z Francuzami Rzecz ta pisana przez Niemca, mogłaby mieć i u nas poniekąd pewne zastosowanie, ileże owa dziwna nienawiść, jaką część naszych krytyków żywi do obecnycho reprezentantów szkoły naturalistycznej francuskiej, opiera się niestety, zbyt często na fałszywem pojęciu ich tendenji.

ZAPISKI.

Literatura.

* Wydawnictwo Szkiców Spencera, które świeżo opuściło prasę w Warszawie, musiało odpowiedzieć istotnej potrzebie naszego społeczeństwa, kiedy egzemplarze od prenumeraty pozostałe, prawie wszystkie rozkupione już zostały. Jest ich podobno w handlu księgarskim nie więcej nad setkę.

Tłumacze zebrawszy fundusz na druk dalszych tomów wydawnictwa Imienia Jeża, przystąpili do przygotowania rękopismu na tom drugi, który obejmie dalszy ciąg tych samych szkiców, a między innemi większą rozprawkę Spencera „o rządzie reprezentacyjnym“.

* Wyszła z druku broszura p. t. „Dziesięć lat pracy na kresach“ (kartka z dziejów Szląska austr.), w której autor opowiada o działalności towarzystwa pomocy naukowej dla księstwa Cieszyńskiego.

Celem towarzystwa jest wspieranie ubogich młodzieńców pochodzenia polskiego, zostających w średnich i wyższych zakładach naukowych, lub w jakimkolwiek zawodzie pożytecznym dla kraju, którzy często i jedynie dla braku utrzymania nie mogą nauk kończyć i poświęcać się wyższym zawodom. Towarzystwo udziela corocznie wsparć w kwocie od czterdziestu do sześciuset złotych reńskich, a majątek jego wynosi obecnie 6900 złotych reńskich. Z tych skromnych środków od czasu założenia towarzystwa otrzymało wsparcie 153 młodych ludzi, a dyrekcja w udzielaniu zapomóg kierowała się utylitarnemi dla kraju względami, udzielała bowiem wsparć przeważnie kształcącym się w medycynie, teologii, pedagogice i agronomii.

Członkiem zwyczajnym towarzystwa, jak się dowiadujemy z pracy p. Bełzy, może być każdy składający na cele oświaty jednego guldena (respective — rubla.) Prezesem towarzystwa jest dr. Józef Fiszer, zastępcą jego ks. Ignacy Świeży, sekretarzem zaś wielce zasłużony redaktor „Gwiazdki cieszyńskiej“ Paweł Stalmach.

* „Współczesne znakomitości“ (Célébrités contemporaines). Pod powyższym tytułem rozpoczęte zostało w Paryżu wydawnictwo życiorysów rozmaitych zasłużonych osobistości. Dotychczas wyszły już biografie: Wiktora Hugo, Juliusza Grévy, Ludwika Blanca i Gambetty. Każdy z tych życiorysów w oddzielnej mieści się broszurze, i może być nabywany pojedynczo.

* Znany estetyk wiedeński Robert Zimmermann zamieścił z powodu przekładu Lipinera, „Pana Tadeusza“ w „Wiener Ztg.“ dwa artykuły, w których stawia Mickiewicza w szeregu najpierwszych poetów wszech świata. Na zdanie to niepotrzebowaliśmy czekać aż do łaskawego odezwania się p. Zimmermana.

Teatr i muzyka.

* „Narzeczona Haram baszy,“ pierwszy dramat T. T. Jeża, dzieło wielce oryginalne, pełne świeżości i kolorytu, który przed niedawnym czasem został zalecony przez komitet artystyczny w teatrze warszawskim, ma być równocześnie—a przy znanej opieszałości w Warszawie, — może i wcześniej wystawiony na scenie teatru praskiego. Prawo przekładu i wystawienia na scenach czeskich uzyskał p. A. Schwab-Polbsky.

* Jedno z pism illustrowanych umieściło w Nrze. 36 życiorys i portret znanego zaszczytnie kompozytora i profesora muzyki p. Maxa Konopaska. Niezmordowany ten pracownik na polu muzyki, który zwrócił już dawno uwagę świata muzycznego znaczną ilością kompozycyj z motywów słowiańskich, p. t. „Slovanki“ ogłosił dotąd ogółem przeszło 60 utworów własnych.

* Juliusz Massenet, twórca opery p. t. „Herodiada“—pisze nową operę do libretta, wziętego z treści znanego romansu Wiktora Hugo: „Notre Dame de Paris.“ Dzieło to ma być wystawione po raz pierwszy na inauguracyjnem widowisku w nowobudującej się paryskiej operze ludowej.

* Juliusz Claretie, znany francuski poeta, pracuje obecnie nad nową tragedją, która będzie nosić tytuł: „Imperia.“ Rzecz dzieje się za czasów cesarza Juliana.

* W Frankfurcie n. M. produkować się będzie niedługo oryginalna śpiewaczka. Madame Marie Selika (Williams), 23 letnia murzynka, urodzona w Ameryce, wystąpi na scenie opery tamtejszej jako „Otello“.

* W Berlinie umarł w tych dniach znany dawniej i lubiony komik tamtejszy Filip Grobecker licząc lat 68.

Sztuki piękne.

* Frańciszek Löfler wymalował na zamówienie piękną kortynę dla teatru miejskiego w Bernie. Kortynę tę odfotografował zakład Angerera w Wiedniu.

* Z Budapesztu, gdzie obecnie wystawione są obrazy Wereszczagina, dochodzi wiadomość, że niedługo mają być zakupione wszystkie batalje genialnego malarza rosyjskiego

* Cesarz cofnął swoje imię, zapisane tytułem protektora na liście członków „Kunstvereinu“ wiedeńskiego, który w ostatnich czasach dostawszy się w ręce niejakiego Terkego, b. urzędnika instytucji a później dyrektora jej i członka rady zawiadowczej, dopuszczał się rozmaitych brzydkich

czynów. Między innymi p. Terke dopuszczał się rozmaitych oszustw artystycznych i na jednej z wystaw „Kunstvereinu“ ukazał publiczności rzekomą kopię oryginalną z Schwinda prześlicznego cyklu „Das Märchen von sieben Raben,“ która okazała sie później po prostu fotografią, retuszowaną i przemalowaną tylko w kilku miejscach przez zmarłego artystę. Oburzenie z tego powodu przeciw „Kunstvereinowi“ wzrastało, a obecnie stowarzyszenie będzie się musiało rozwiązać.

MISCELANEA.

Nędza wynalazców. Przed kilku dniami doniosły dzienniki angielskie o śmierci pewnej panny, Alicji Taylor, która przeżywszy lat dziewięćdziesiąt i jeden, zmarła w wielkiej nędzy na jednem z przedmieść Londynu.

A przecież jej ojciec był pierwszym, który wymyślił i zbudował prawdziwy parostatek!

Dzisiaj roją się morza i rzeki całego świata parostatkami, przedstawiającemi razem wartość miliardów; pierwszy jednak ich twórca umarł z głodu, nie zostawiając wdowie i czterem swym córkom nic, prócz sławnej „nędzy wynalazców“.

Parostatek polega na dwóch momentach. Po pierwsze, na myśli zastąpienia wioseł kołami (później śrubą), powtóre, na użyciu ku wprowadzeniu tychże w ruch — pary.

Pierwsza myśl wydaje się być bardzo dawną. Kiedy Rzymianie r. 211 przed Chr., wylądowali na wyspie Sycylii, używali już wówczas okrętów z olbrzymiemi kołami, poruszanemi za pomocą wołów, zaprzężonych do aparatu odpowiadającego naszym obecnym kieratom. Przyrząd ów jednak nie musiał być zbyt praktycznym, gdyż Rzymianie powrócili wkrótce do starych wioseł.

W przeszłem stuleciu znów podjęto myśl wprowadzić koła w użycie zamiast wioseł, i nawet pewien anglik, nazwiskiem Tomasz Savery w Londynie, uzyskał r. 1696, patent na taki okręt. Z tej też przyczyny uważa go wielu za wynalazcę parostatku, jednak niesłusznie. Savery bowiem chciał poruszać koła ręczną maszynerją. Dopiero znacznie później, bo w r. 1775, zbudował Francuz Perrier mały okręcik, na którym żwawo płynął w dół Sekwany. Pod wodę jednak nie szedł ów statek, tak że zachodzi wątpliwość, czy koła i parowa maszyna na jego okręcie, miały w ogóle jakie znaczenie.

Żył podówczas w pobliżu Londynu człowiek interesujący się wielce wszystkimi fizycznymi problematami — James Taylor. Prawdopodobnie nic o próbie Perriera nie wiedział, gdyż wówczas bardzo mało jeszcze było dzienników zajmujących się podobnemi rzeczami. Przypuścić jednak należy, że mu był znanym patent Savery'ego.

Szukał więc mechanika, któryby mu zbudował małą parową maszynę z przyrządem do obracania kół, ile możności lekką, aby zbyt nie obciążać statku. I znalazł rzeczywiście takiego sztukmistrza, w osobie Wiliama Symigtona, człowieka, trawiącego całe swe życie na nieszczęśliwych wynalazkach.

Taylor i Symington zjednoczywszy umysły, pracowali odtąd wspólnie, do jednego dążąc celu. Cały świat uważał ich za szaleńców; w lecie jednak r. 1788, usiłowania ich uwieńczone zostały tryumfem: Na jeziorze Dalstwintońskiem kołysał się pierwszy parowy parostatek!

Cała Anglia zgromadziła się na brzegach Dalstwintońskiego jeziora, aby podziwiać ten ósmy cud świata!

Parostatek przyjmujący także gości na swe barki, poruszał się wspaniale: naprzód, wstecz, w lewo, prawo — jak chciano.

Taylor i Symington byli przez jakiś czas bohaterami chwili; później, zwolna, zapomniano o nich, i znów pogrążyły ich losy w ciemnościach zapomnienia i nędzy. Parostatkiem na jeziorze coraz mniej się interesowano, i tylko bardzo rzadko przyjeżdżał podróżny, pragnący zobaczyć ów dziwotwór.

Jeszcze raz zaświeciło szczęście wynalazcom, gdy lord Dundas i książe Bridgewater, zamówili kilka parostatków na swoje wody. Jednak zmarł książe Bridgewater, zanim jeszcze uskutecznionym został jego plan, a lord Dundas, będąc obecnym na próbie na Forth i Clydecanal, przestraszył się wielkich bałwanów, między wązkiemi ścianami kanału, sądząc że bezpieczeństwo tegoż byłoby zagrożone. Cofnął tedy swe zamówienia.

Taylor zmarł w nędzy i zwątpieniu. Symington, również doprowadzony do rozpaczy, usunął się zupełnie od publicznego życia. Zdawało się, że nowy wynalazek „szybkich automatycznych statków“ zaginął wraz z nimi.

I rzeczywiście zaginął on w Europie; jednak równocześnie zbudził się ku nowemu życiu w Ameryce, Wprawdzie nie lepszego od Taylora i Symingtona losu doczekali się Jonatan Bitch i Patrick Miller, jednak Robert Fulton rozwinął myśl Taylora na większą skalę.

Jako dwudziestoletni młodzieniec, widział on ów piękny parostatek na Dalswintońskiem jeziorze i zbudował parostatek „Clezmoot“ w Nowym Yorku.

W Sierpniu r. 1807 ruszył z miejsca olbrzymi okręt, i stał się przodkiem ogromnej floty, przerzynającej już w kilka lat potem rzeki i morza Ameryki.

Europa zaledwie słabe miała jeszcze wiadomości o tych wodnych olbrzymach. Można sobie przeto wyobrazić zdziwienie i ironiczne uśmiechy poczciwych mieszkańców Glasgowa, kiedy d. 5 sierpnia 1812 r., spostrzegli następujące plakaty na rogach ulic:

„Wielkim kosztem urządziłem piękny statek, mający przeznaczenie, za pomocą wiatru, powietrza i pary, odbywać na Clydzie drogę między Glasgowem a Greenok. Odtąd odjeżdżać będzie statek każdego wtorku, czwartku i soboty w południe, odpowiednio do przypływu; miejsce lądowania: Droomielaw. Elegancja, komfort, bezpieczeństwo i szybkość, zyskają niewątpliwie uznanie publiczności. Cena: pierwsza kajuta 4 szylingi, druga kajuta 3 szylingi. Henry Bell“.

Tak więc płynął trzy razy tygodniowo parostatek Bella po Clydzie tam i napowrót, zawsze jednak prawie bez pasażerów. „Landkuczery“ i przewoźnicy, do tej pory wyłącznie dzierżący ruch pomiędzy Glasgowem a Creenock, zatrzymali go i nadal dla siebie, spoglądając z pogardą na „djablą skrzynię“, chcącą im wydrzeć zarobek. Glasgowczycy w ogóle nie dowierzali „Komecie“, gdyż Bell był z zawodu tylko cieślą — jakżeż mógł przeto jakieś cudowne maszyny puszczać na wodę?

Tak byłby runął i ten śmiały przedsiębiorca, gdyby mu nie była przyszła w pomoc straszna zima. Wiadomo, że zima 1812 r. należała do najgroźniejszych w historji świata. Ona to była powodem ruiny francuskiej armii w Rosji, i ona to popchnęła krótkowidzących i upartych Glasgowczyków do ciepłych kajut „Komety“. Musieli bowiem odbywać podróże do Greenok, a w czółnach i omnibusach zimno było nie do zniesienia. Tak więc uratowała zima pierwszą parową żeglugę Europy. „Kometa“ utrzymał się i zwyciężył wozy pocztowe i czółna, a w r. 1813 zyskał nawet towarzysza, który już nietylko pływał po Clydzie, lecz także i na morze się puszczał. W niewiele lat potem posiadała już Anglia parową flotę.

Wiadomość o tym zwrocie przedarła się aż do tych głębokich i ciemnych warstw, w których nierozum współziomków pogrążył Symingtona i rodzinę Taylora. Symington wniósł do lordów prośbę o zapomogę. Rzucono mu z łaski 100 funtów szterlingów. Przeżywszy takowe napisał znów żebraczy list, pełen skarg i wyrzutów. Dano mu „odczepnego“ 50 funtów i później nic więcej.

W r. 1830 liczyła już Anglia 315 parostatków w ogólnej objętości 33,500 tonn, — Symington jednak, twórca pierwszego parostatku, błąkał się po ulicach Londynu, podtrzymując życie żebraniną.

Również i wdowa po Taylorze zwróciła się do pariamentu, i jej powiodło się szczęśliwiej, aniżeli byłemu wspólnikowi jej męża. Zamiast jednorazowego wsparcia, otrzymała szczupłą, lecz stałą pensję, która przeszła po jej śmierci w r. 1837 na jej cztery córki. Było to wszakże niewiele; każde z dziewcząt pobierało tylko 50 funtów, z czego trudno wyżyć w drogiej Anglii. W takiej potrzebie przepędziły dzieci Taylora smutne życie, podczas gdy Wielka Brytania, posiłkując się wielką myślą Taylora, corocznie w ogromne wzbogacała się sumy.

Alicja Taylor — zmarła niemal w ostatnich dniach — nie widziała prawdopodobnie nigdy małego, wesołego parostatku na Dalstwintońskim jeziorze; jednak musiała często słyszeć o nim opowiadania. Iluż bolesnemi skargami miotało się jej serce — ilekroć ujrzała inne tegoż podobizny?

Gdyby rodzina Taylor pobierała tylko jednorazowo po jednym funcie „opłaty za wynalazek“ od każdego nowo zbudowanego parostatku w Anglii, od r. 1812 do 1882, należałaby niewątpliwie do zamożnych! Doznała natomiast owej nieskończonej „nędzy“ połączonej z szyderstwem, prześladowaniem, rozczarowaniem i brakiem codziennych potrzeb, nie otrzymawszy nawet w zamian tej zdawkowej monety, którą świat mianem „sławy“ obdarzył...

Komuż bowiem znane jest nazwisko Taylora? James Watt i Robert Fulton całą prawie sławę zagarnęli dla siebie, pozostawiając dla właściwych i rzeczywistych pionierów parowej żeglugi, zaledwie nieznaczne miejsce pamięci świata.

Dopiero śmierć musi ludziom przypomnieć ich obowiązki, i pamięć ich znowu zaostrzyć.

Biedna Alicja Taylor!

Treść.

Nieszlachetna taktyka.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
Stebelski Wł.: Z poematu „Nędza“ (wiersz).
Mazanowski A.: Balladomania. (c.d.)
Ama: Golda (c. d.)
Schöntan: Ach ci Francuzi!
Przegląd literacki.
Przegląd teatralny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 10. We Lwowie dnia 24. Lutego 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

„Przegląd Akademicki" — odrodzony.

Donosiliśmy w swoim czasie o założeniu pisma przez młodzież krakowską pt. „Przyszłość", gorąco je polecając poparciu publiczności. Dwutygodnik ten zupełnie odpowiedział oczekiwaniu, obudził ruch i życie. Zawiera w sobie artykuły, jakich nie wiele w literaturze publicystycznej w Galicji—tak pod względem treści, jak formy. Jednakże za dużo było w tem piśmie życia i ognia, nic więc dziwnego, że sennie usposobiona część ludku krakowskiego wydobyła przeciw niemu ze swego arsenału popsutą sikawkę, która pod nazwą „Przeglądu Akademickiego" pod datą 25. lutego ujrzała w numerze pierwszym światło dzienne.

Pismo ma w sobie coś z cmentarnego widma, bo i tytułem przypomina mozolnie żyjący i z trudem pogrzebany niedawno bł. pamięci organ „Czytelni Akademickiej" krakowskiej, i siłę do bytu czerpie nad grobami, już to podsłuchując program swój przy świeżej mogile Szujskiego, już to wzywając do rady „Cienie Zygmunta". Krótki artykuł wstępny stawia pismo pod kolumnami „gmachu przeszłości"; rzecz jasna, bo pismo to powstało wskutek reakcji przeciw „Przyszłości".

Dalej mowa o „p i e l ę g n o w a n i u ducha narodowego" (widocznie jest chory ów „duch", kiedy go potrzeba pielęgnować) i po odrzuceniu wszelkiej światowej marności, pozostawia się jedno hasło „służba ojczyźnie". Daremnie jednak pytać, jak pismo myśli to hasło zrealizować. Na 8 stronach znajduje się tylko jeden krótki ustęp, zawierający wzmiankę o praktycznem urzeczywistnieniu tej myśli: tj. poparcie składki na teatr poznański, zbieranej z balów i teatrów amatorskich. O tak, będziemy tańczyć i urządzać teatrzyki — wszystko, wszystko dla ojczyzny! — W obec tego gorącego ognia patrjotyzmu, wszystko inne maleje i niknie. Precz więc z wszelkiemi teorjami społecznemi i politycznemi, woła artykuł wstępny — i „pisma zaciekającego się tylko w tajniki wiedzy, nam nie trzeba". Redakcja tak ściśle wzięła to przekonanie, że młodzież akademicka nie potrzebuje wcale stykać się z nauką, iż nie umieściła ani jednego artykułu naukowego,—za to jest powiastka i wierszyk. W obec tego radzilibyśmy szanownej redakcji zmienić tytuł, zamiast „Przegląd Akdemicki" nazwać pismo „Towarzyszem pilnych dzieci", (tembardziej że pismo pod tym tytułem przestało właśnie wychodzić).

Wziąwszy rozbrat z nauką, zerwano stosunki i z „Collegium Logicum". Po wstępnej zapowiedzi, że się nie będzie pismo bawić w „apodyktyczne zdania", spotykamy już w tym numerze bardzo wyraźne tego dowody. Artykuł wstępny z naciskiem twierdzi, „że naród nasz w ostatnim wieku odmienną poszedł koleją życia" — artykuł zaś następny pięknymi słowy Szujskiego karci swego poprzednika, piętnując „partykularyzm narodowy... naginający świat do p r z y w i d z e ń i m a r z e ń, wyjmujący dzieje nasze i losy z pod ogólnych prawideł rządzących światem, zasłaniający stan nasz p r z e d d j a g n o z ą r o z u m u, n a u k i, z d o b y c z y c y w i l i z o w a n e g o ś w i a t a etc". W innem znowu miejscu natchnienie poety zamiast mówić o „przeszłości" według programu, majaczy o tych, co „czystemi drogi (?)..... w lepszą p r z y s z ł o ś ć wierzą jeszcze i duchy swe z b r o j ą"..... Widać, że nic tu nie jest „apodyktycznem". Pomijając inne niedorzeczności tego rodzaju, musimy podnieść powiastkę. Program estetyczny wypisany na górze szpalty brzmi:

„Zachowanie kultu ideału, miłości tego, co piękne i wzniosłe". Gdzież się ma lepsza sposobność objawić piękno i wzniosłość, jeśli nie w produkcji literackiej? Patrzmy więc niżej, kogo to fejleton, jako wzór postaci pięknej i wzniosłej, wystawi? Pokaże się spragnionym ideału oczom naszym jakiś gimnazjasta niezdarny, zapisujący się na uniwersytet, „nudzący się na wykładach" i „d o j r z e w a j ą c y p o j e d n o m i e s i ę c z n e j l e k t u r z e". Czyż to wasz ideał? Być może zresztą, że się mylimy — może to nie powiastka, ale historja „dojrzenia" którego z redaktorów „Przeglądu"? ! Z całego pisma widać; że tak. Wy nie lubicie „zaakcentowanej różnicy zapatrywań, nie macie ciekawości do „tajników wiedzy". Wy odzywacie się, jak widma grobowe „kroczące zwolna i statecznie", lecz nie jak przedstawiciele młodzieży polskiej. Gdzie młodzieńcza krew płynie w żyłach, tam jest i puls żywszy, i nauka, przygotowująca do samodzielnej myśli i czynu!

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Skromnie prezentujący się i z wszystkiego zadowolony zawsze pan Jędrzej, czyli jak z pewnym akcentem poprawiała panna Karolina pan Andrzej, zyskał mimowiednie w krótkim czasie względy obojga Wilskich. Nie tak rychło to się powiodło pannie Karolinie. Przyjechała do Zrębów, jak to wiemy z własnych jej słów — z zamiarem reformowania i cywilizowania „zaśniedziałych i do brudu skąpych szlagunów“, a ufna w swoją niezaprzeczoną wyższość umysłową i nieomylną znajomość ludzi, z góry ułożyła sobie, wstępnym bojem podbić „ciasne głowy i zimne serca“ chlebodawców. Wnet po zainstalowaniu się w domu, bystrem okiem dojrzała, że Małgosia jest jedyną słabą stroną surowego i nieprzystępnego Wilskiego, — więc dla ułatwienia sobie zwycięstwa w przyszłości, postanowiła przedewszystkiem zjednać dla siebie całą przychylność i uległość elewki. W obec anielskiej prostoty i poczciwości ślicznego tego dziewczęcia, ta część zadania udała się jej nader pomyślnie, —odtąd Małgosia miała być w jej rękach owym taranem, którym można było w stanowczej chwili zrobić wyłom w murach fortecy.

Atoli pierwsze jej zapędy i próby reformatorskie, jakkolwiek dotyczące tylko drobiazgów nieznacznych z codziennego życia, nie udały się, po prostu z tej przyczyny, że wprawdzie nie oponowano jej w oczy, ale też i drugiem uchem wypuszczono zaraz, co jednem usłyszano. Gdy w następstwie raz i drugi uparcie dopominać się zaczęła o wykonanie jej projektów, zniecierpliwiła już, zwłaszcza pana Wilskiego.

— Ho... ho... to jakiś „fein fein“ ptaszek, ta guwernantka... — mówił raz wieczorem w kilka miesięcy potem do żony, gdy się znaleźli sami. — Uważałaś, jak ją dziś kluski z serem w zęby kłuły?

— A widziałam... byle to tylko takie kluski do końca życia miało... — zauważyła z indygnacją pani Wilska.

— Ten chłopak, to już całkiem co innego, bardzo mi się podoba... Cichy, skromny, cały boży dzień z Jasiem, z wszystkiego kontent, nosa swego nigdzie nie wścibia... A jak mi ładnie porubrykował całą książkę rejestrów, powiadam ci, jakby drukowana! Ale ta przemądra guwernancica, to jakiś próżniak od świata, tylko się stroi, czart wie dla kogo, do wszystkiego się miesza, na wszystko nosem kręci, a niewiadomo nawet, czy Małgosia uczy się przy niej.. Oj! podobno nie będzie z tej mąki chleba!...

— Ej! prawdę powiedziawszy, Małgosia się widocznie więcej niż przedtem uczy, bo i ta panna Karolina — uważałam — bardzo uczona, i polubiła ją. Książek nawiozła z sobą cały kufer, i słyszałam od Naści, że codzień do północka czyta w łóżku.

— Tak, tak, i po nocy wypala mi naftę, a potem spi do dziesiątej rano...— mruknął z niechęcią pan Wilski.

— Ha! cóż robić, dla dobra dzieci człek wiele przecierpić musi! — wetschnęła pani, bo i jej widocznie żal było tej nafty.

— Wprawdzie teraz Dręcki płaci za nich, ale ta niewygoda w domu, potrzeba ciągłego krępowania się w obec obcych, którzy, djabli wiedzą, czy nie szpiegują cię na każdym kroku, to są nieprzyjemności niczem nie wynagrodzone... Ach, żeby to Bóg dał, skończyć już raz z tą ich nauką!

Dla Małgosi dość będzie z dwa trzy lata, ale Jasio biedak ma jeszcze wiele przed sobą: trzeba przecie, żeby chłopak przynajmniej łacińskę szkołę skończył...

— Po co, na co mu tych mądrości!.. obuszył się pan Wilski.—Wszak ja doszedłem był ledwie do syntaksymy, a Bogu dzięki ot i żyję, obchodząc się bez dalszej nauki doskonale. I majątku się dorobiło, choć niczem prawie zaczynało, i ludzie szanują... byle on tylko doprowadził do tyla...

— Ba, a testament nieboszczyka brata, a Dręcki, ho ho! on nie pofolguje...

— Jak chłopak sam nie zechce, to go nie przymusi... Jego dziś już więcej gospodarka obchodzi, niżeli ślęczenie nad książką.

Przytoczyliśmy z umysłu tę całą rozmowę czułych rodziców, jako wielce charakteryzującą wielu jeszcze niestety ojców wśród naszego społeczeństwa. O majątek dla dzieci dbają z poświęceniem największem, wykształcenie potomstwa uważają natomiast jako *malum necessarium*, z którego jak najwięcej urwać sądzą rzeczą godziwą i sumienną. Zrobiliśmy niejednokrotnie w życiu to spostrzeżenie, że obarczony rodziną urzędnik, biedny rzemieślnik, często gęsto chłop nawet, żyjący w stosunkowo najuciążliwszych warunkach bytu, bez porównania więcej kłopocą się o wyposażenie dzieci zasobami ducha i umysłu, niżeli mniej lub więcej zamożni panowie „obywatele“ wiejscy. Obojętność ich w tej mierze i obskurantyzm okropny, są oburzającym, a jednak zawsze jeszcze aż nadto ogólnym objawem charakterystycznym pośród tej kasty! *Quousque tandem?!*

Omylił się jednak pan Wilski, licząc i radując się w duchu przedwcześnie, że jedynak wstępując w jego ślady żywić będzie dla książki wstręt i pogardę stateczną, a jedynie robota w polu lub w spichrzu stanie się dlań celem i treścią życia całego. Już w kilka miesięcy bytności Jędrusia w Zrębach, Jaś coraz więcej „ślęczał“ nad książką, a coraz rzadziej widać go było przy warstacie gospodarczym. Całą duszą i sercem przylgnął był rychło do młodego nauczyciela, przywiązawszy się doń tak silnie, że, jak to mówią, byłb chętnie w ogień skoczył na jego skinienie. Za tem już łatwo poszło, że nabrał ochoty i zamiłowania do nauki, byle tem tylko sprawiać przyjemność panu dyrektorowi.

Z Małgosią panna Karolina z miejsca zaraz nie miała wiele zachodu. Zyskawszy jej serduszko bez zabiegów, mogła nader pojętnem a pracowitem dziewczęciem tak kierować w każdym względzie, jak sama chciała. Dla miłości prawdy dodać należy, że choć w tem i owem dałoby się było wiele zreformować u panny Karoliny — która sama znowu dziwny pociąg miała do reformowania wszystkich i wszystkiego — atoli jako nauczycielka, sumiennie pojmowała swoje obowiązki, a rozporządzała przytem dość pokaźnym zapasem wiedzy encyklopedycznej i pedagogicznegn talentu.

* * *

Był piękny wieczór lipcowy, z księżycem w pełni na bezobłocznym ciemnoszafirowym firmamencie, i z ową, rzadko czem zakłócaną ciszą wiejską — która umysły wrażliwe koniecznie do zadumy nastraja... Balsamiczne powietrze zdało się przepełnionem przez połowę rozkoszną wonią świeżo skoszonego siana, zalatującą z pobliskich łąk, a przez połowę odurzającym prawie zapachem lipowego kwiecia i wszystkiej zresztą roślinności, odżywiającej się skwapliwie rosą wieczorną po całodziennym upale słonecznym.

Wąską drożyną, biegnącą wśród łanu bujnej przenicy, szły zwolna, nurzając się w jasnem świetle księżycowem, dwie pary. Przodem, trzymając się za ręce, Jaś i Małgosia, za nimi o krok Jędruś i panna Karolina.

— Cóż za przepiękny wieczór dziś mamy! zagadnęła panna Karolina zamyślonego Jędrusia, który od samego domu szedł obok niej w upartem milczeniu.

— A rzeczywiście śliczny, choć o ile sobie przypominam, podobno wczoraj i przedwczoraj również był pogodny, i również za-

chwycał panią...— odezwał się Jędruś z odcieniem pewnej niechęci i ironji w głosie.

— Pan raczył zapamiętać, co wczoraj mówiłam! Doprawdy nie spodziewałam się tego, uważając, że od pewnego czasu pamięć pańska w zagadkowy sposób szwankuje... Czy jednak wszystko z wczorajszej pogadanki naszej, tak dobrze utkwiło panu w pamięci?

— Co do słowa, mógłbym nawet na żądanie spisać dziś wierny protokół.

— W takim razie, upominam się, że zostałeś mi pan dłużnym odpowiedź na ostatnie moje pytanie...

— Na które? pozwalam sobie zauważyć, bo tyle ich było na raz przy końcu naszej, na żwawą sprzeczkę już zakrawającej pogadanki poprzedniej, że nie mogłem oczywiście od razu dać odpowiedzi na wszystkie.

— W takim razie zmuszona jestem powtórzyć je dzisiaj. Idźmy za porządkiem: Pierwsze, dlaczego to od niejako czasu dostrzegam dziwną zmianę w postępowaniu pańskiem w obec mnie? Zdaje mi się, żeś pan stracił wiele, a być może wszystko nawet, z początkowej życzliwości swej dla mnie... a nie mogę pojąć, za co, bo sądzę, niczem nie zasłużyłam sobie na to...

— Ależ myli się pani, panno Karolino! Życzliwym jak byłem, tak jestem obecnie...

— Zbyt lakoniczne zapewnienie, widocznie, że tylko sama grzeczność je panu podyktowała.

— Zawsze wyżej od grzeczności stawiam otwartość szczerą, choćbym w ten sposób nawet zgrzeszył czasem w obec utartych formułek i zwyczajów towarzyskich.

— Chciałabym bardzo uwierzyć panu, ale... nie mogę... Coś mi tu mówi — przy tych słowach dotknęła ręką okolicę serca — że pan Andrzej nie ten już, jakim był w pierwszych tygodniach naszego poznania... a tak trudno mi się oswoić nawet z myślą samą, iż mógłby się zmienić dla mnie...

— Ależ pani łaskawa, to czyste przywidzenie tylko; tak mało doznałem w krótkim czasie życia przychylności ludzkiej, że nie podobna, bym jej nie umiał cenić u pani, i nie odpłacał wzajemnością, o ile mnie stać...

— Znowu traktujesz mię pan zdawkową monetą, a jabym rada, byś ze mną mówił, jak z oddaną sobie przyjaciółką najlepszą... Wolałabym pewność choć najstraszniejszą, niżeli powątpiewanie... Panie Andrzeju — dodała nagle zatrzymując się i chwytając go za rękę — bądź pan szczerym ze mną, i otwórz mi swoje serce...

— Najchętniej, jeno uprzedzam panią, że widok tego otwartego serca, świecącego pustką zupełną, nie zabawi pani...

— Pustką... zupełną? — powtórzyła zwolna i z naciskiem — a!... więc niema tam nikogo jeszcze, nawet stojącej w tej chwili przed panem przyjaciółki, która biedna już roiła sobie nadzieję, że posiada w niem bodaj kącik ubogi na szarym końcu'...

(C. d. n.)

Wiersz niedrukowany *)
Juljusza Słowackiego.

Powstał naród wykonawca
Ręka świata i Miecz zbawca
Zatrząsł twierdzą i łańcuchem
Serce rozgrzał — ruszył duchem.

Panie, o którym na Niebiosach słyszę
Gdzie słychać grzmot słońc — albo gwiazd dzwonienie.
Panie w którym ja naraz się uciszę
Gdy padnę we łzach — twarzą na kamienie.

Gdy noc głęboka wszystko uspi i oniemi,
Ja ku niebu podniosłszy ducha i słuchanie
Z rękami wzniesionemi — na słońca spotkanie
Lecę — bym był oświecon ogniami złotemi.
Podemną noc i smutek — albo sen na ziemi.
A tam już gdzieś nad Polską świeci zorzy pręga,
I chłopek swoje woły do pługa zaprzęga,
Modli się. — Ja się modlę z niemi i nad niemi...
Tysiące gwiazd nademną na błękitach świeci,
Czasem ta w którą oczy głęboko utopię
Zerwie się i do Polski jak anioł poleci —
Wtenczas we mnie ta wiara co w litewskim chłopie
Że modlitwa w niebiosach tak jak anioł kopie,
A czasem ziarno ducha wrzuci i zanieci.

BALLADOMANIA
po pierwszem wystąpieniu
MICKIEWICZA,
przez Antoniego Mazanowskiego.

(Ciąg dalszy).

Jestto u Odyńca pierwsze skuteczniejsze usiłowanie przedstawienia kolizji sumienia i wpływów zewnętrznego życia. Wątku dostarczył napad hajdamaków. Bohater służył na Ukrainie u hrabiego, i zakochał się w jego córce.

Z hajdamakami wpadł, porwał ją i chciał zmusić do wzajemności, lecz gdy mu się nie udało, zabił, a sam się oddał w ręce sędziów. Człowiek to wedle Odyńca — wyższy, w gruncie szlachetny, ale natura gwałtowna, burzliwa, dzika. Dowodem szlachetności, że sam się oddaje w ręce surowej sprawiedliwości i żąda wymiaru śmierci, a motywem co go skłonił do tego kroku, były wyrzuty sumienia.

„Przeklęty wiecznie, na czyjej duszy,
Ciężą występku wspomnienia,
Cichość nie uśpi, gwar nie zagłuszy
Głosu mściwego sumienia....
Na sobiem doznał tego dowodnie“...

Jeszcze atoli brak prawdy, przesada i jaskrawość obrazowania i pewne na efekt obliczone sensacyjne opowiadanie „Zbrodniarza“ przebiegu wyrzutów sumienia, osłabiają wartość ballady, i nie dają jej praw takiej dobroci, jak dwom najlepszym ze zbioru ballad Odyńca: Wesele i Branka Litwina. Treść pierwszej wzięta z życia dawnej szlachty polskiej.

O córkę kasztelana starał się szlachcic — i odmowną otrzymał odpowiedź: starał się starosta — i wbrew woli panny Kasztelan wyprawił wesele. Podczas uczty wchodzi szlachcic, i dzielnem słowem entuzjazmuje szlachtę, która zdobywa d'ań pannę.

Tło oddane wiernie, a nader trafnie za przyczynę konfliktu służy stosunek szlachty do magnatów, stosunek tak oryginalny w Polsce jak nigdzie, którego wyrazem: „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie“.

Za główny motyw akcji służy tu miłość, ale obok tego — jako współrzędny prawie — niby środek do jej zdobycia — dzielność i odwaga szlachcica. Postać to w istocie sympatyczna i wyższa ponad zwykłe. Kiedy w zapale woła do szlachty:

„Na tożem w krwawych bojach,
W ciągłych trudach i znojach,
Kraj piersiami zasłaniał —
By mię lada kasztelan —
Waszem wsparciem ośmielan
Jak psa z domu wyganiał!“ —

współczuje się z nim żywo, i pojmuje się nagłą rezolucję gorącej szlachty:

„Dobrze mówi — zuch! brawo!
Zostań z nami! masz prawo!
Do stu djabłów magnaci“...

Oprócz żywości akcji i dramatyczności, oprócz swojskiego gruntu, wiernego tła czasu, oprócz udatnej charakterystyki bohatera, odznacza się ballada oryginalnością pomysłu, zwięzłością i zgrabnością formy, prostotą i naturalnością obrazowania.

Równe zalety, prócz oryginalności myśli, posiada Branka Litwina [1]) poczynająca się od słów:

„No — no Laszko dość jęku. —
Nie płacz, nie mdlej w mych ręku“

Jestto właściwie pendent do Mickiewicza Trzech Budrysów.

---

*) „Przedświt“ czerniowiecki zamieszcza ten wiersz znaleziony w rękopisach poety, znajdujących się w bibliotece Ossolińskich.

1) Odyniec chwali się we Wspomn. spisanych dla Wojcickiego, że Goethe znał Brankę Litwina, i z uznaniem wyraził się o żywości akcji. (Wojc. Życ. Mickiew).

Budrysi u Mickiewicza uprowadzają Laszki. Odyniec zmienia to o tyle, że Laszka uwieść się Litwinowi nie daje, wyrywa się z jego objęć i rzuca się w ogień. Śmiały pomysł, dotykający stosunku dwóch narodów, byłby wielką zaletą, gdyby stanowił własność Odyńca. Należy przyznać jednak, że wniknięcie i oddanie rysów charakteru narodowego wierne, akcja dramatyczna i żywa, a zwięzłość i prostota stawią tę balladę obok poprzedniej.

W całej poetyckiej działalności Odyńca, jako balladopisarza, rozróżnić trzeba dwa stadja i dwa kierunki. Ballady wydane w r. 1825 — o ile są oryginalne grzeszą mniej więcej wszystkie wadami, właściwemi ogółowi naśladowców. Zresztą w tym pierwszym okresie Odyniec przeważnie rozpływa się w przekładach.

Gdzie, jako pisarz oryginalny, czerpie wątek z zawikłań duszy, ze świata popędów i namiętności — okazuje brak dramatycznej siły, brak psychologicznego wykształcenia; moralizuje, opowiada za rozwlekle, słowem nie potrafi znaleść należytej miary i taktu.

W oddaniu uczuć tkliwych — przesadza, do namiętnych i burzliwych nie dorasta, nie ma daru ani głębokich pomysłów, ani też nie wnika w rdzeń życia psychicznego bohaterów.

Po roku 1825 Odynie otrząsa się z wielu wad, pogłębia pomysły i staje się więcej samodzielnym, a ballady powstałe w 1828, wydane w poznańskim zbiorze w 1829 (Parnas poetów pol.) celują pod wielu względami.

Usiłuje tu czerpać treść z przeszłości własnego narodu — i udaje mu się odtworzyć jakiś rys obyczajowy, jakiś odcień narodowego charakteru, tu jest świeży, barwny, a nadto przedziwnie oddaje uczucia żartobliwe, swobodne, figlarne, co zdaje się być właściwością jego talentu, i w czem dzielnie wspiera go zgrabna, lekka, do wesołej gawędy nadająca się forma wiersza.

Słowem — Odyniec pierwszą połową działalności swej należy do naśladowców gorszych, drugą do lepszych, stojąc niby w środku balladowego ruchu.

(C. d. n.).

GOLDA

przez

Ama

(Dokończenie).

O nie byłoż tobie dziewczę u starej twej zostać matki; — ona różowej twarzyczki strzegłaby przed wiatru powiewem, ona umiałaby utrzymać jasną pogodę twego oka, ona miłością swą sprawiłaby wszystko. O! nie lepiej ci było zostać przy niej, niż iść między obcych na ból i rozczarowanie, niż iść w świat szeroki samej jednej, gdzie troska rumieniec z bieluchnej ci wypiła twarzyczki, i jasną pogodę oka łza przyćmiła, gdzie zgryzota spokój twej zamąciła duszy. O nie lepiej było?.....Śmieszne lamenty! .ale pani, ta dziewczyna, która cię uroczym zachwyciła głosem, której wszystkie poruszenia pełne wdzięku w najcudowniejszą zlewają się harmonję, ta dziewczyna tak młoda jeszcze, ona już z boleścią walczyła i rozpaczą, ona niejedną bezsenną noc przepłakała, — ona smutną miała przeszłość! Ona smutną miała przeszłość.! I cóż w tem dziwnego, co godnego uwagi, co tu ciekawego do opowiadania? Ja też nie opowiadam o pani! Cóż dziwnego? Kto pyta o przeszłość, o życie artystek... ich przeszłość zawsze burzliwa i życie za koncertową salą burzliwe, dziwnych intryg pełne. Kto dziś o to pyta! Wszystkie one na bruku, lub w nędznej jakiej dziurze wyrosły – opuszczone bez ojca i matki, wszystkie po ulicach i szynkowniach słuchaczy srebrnym swym zabawiały śpiewem, aż zjawił się protektor, zwykle jakiś dyrektor teatru lub przynajmniej wielki miłośnik sztuki...i te biedne wczoraj istoty dziś już na teatralnych deskach błyszczą jak pierwszorzędne słońca, rojem otoczone księżyców. — To już tak cię znudziło, nasłuchałaś się, naczytałaś o tem dziewczynką jeszcze młodziuchną, że dziś i o czem wspominać nie ma. Ty wiesz, prawda, że są inne, ty znasz je niektóre, co od dzieciństwa już męczyły się a teraz pokończywszy najsłynniejsze konserwatorja, wyszły z nich skończonemi artystkami, ale z nich żadna nie sprofanowałaby siebie ani talentu swego tak prostą rzewną piosenką...one klasyczne na wskroś i nie mięszają się z tłumem. Ale ta nie jest klasyczną, choć klasyczne, surowo klasyczne mury obudziły w niej gorące nieprzeparte pragnienie poświęcenia się sztuce Ale ta nie jest klasyczną, ale też niema tak nadzwyczajnej pełnej romantycznych przygód przeszłości. Nie jest ostatnim zmarniałym potomkiem wielkiego domu, i choćby chciała otrząść swoje incognito ona nawet u najdawniejszego z najdawniejszych przodków swych nie znalazłaby tego maleńkiego a dziwnie dźwięcznego „de“ aby je przed swojem wypisać nazwiskiem. Ona nawet porządnego własnego nazwiska nie ma, ona była zwykłą, najzwyklejszą żydówką. Nie, ona nie zdałaby się na bohaterkę wzruszającego romansu, bo życie jej rozwijało się tak normalnie, z początku może nawet za jednostajnie. Rodzice jej ubodzy uczciwi byli nie wyrzucili jej na bruk — a matka jej ta biedna przekupka, wiesz przecie, jak ją kochała. Kochali ją wszyscy i nauczycielki i koleżanki i ona na opuszczenie, na ciężkie osmotnione dzieciństwo skarżyć się nie mogła. Dni uchodziły jej jednostajnie w szkole, wieczory przepędzała w domu, w ciasnej izdebce, przy matce swej, albo na pysznych salonach pani S... Na salonach?!... dziwisz się pani i nie wierzysz, żeby kto na salonach swych cierpieć miał żydówkę, córkę biednej przekupki. Pani S. ją cierpiała a nawet lubiła ją bardzo, bo jej Mania ani chwili bez swej koleżanki obyć się nie mogła. I nic dziwnego, ona sama lubiła dziecię ciche, co takie zasłuchane patrzyło na nią pięknemi oczyma, na nią grającą — podziwu pełne, lubiła tę panienkę piękną i nie zakazywała swej Mani obcowania, z nią. I była Goldzia w tym pańskim domu jak córa, wszędzie, na wszystkich bawiła się wieczorach, bo dziewczyna była miła i układna.. i tak dobrze wychowana., choć żydówka Pani S wiedziała, że koleżanka jej córki jest żydówką — o matkę nie pytała — i żałowała biednej dziewczyny, wiedziała, że jest biedną żydówką i to jej wystarczyć mogło i powinno, aby dziewczęcia nie przyjmować u siebie. Ale... wiem, że ty ją usprawiedliwisz, wiem, że ty nawet, piękna pani, choć tak pogardliwie wykrzywiasz usteczka, dość gorliwą jesteś, aby gdy idzie o nawrócenie choćby jednej niewiernej, nie szczędzić ofiar i poświęceń, wiem, że zbyt czułe masz serce, aby nie zadrżało radośnie na samą nadzieję uratowania choćby jednej duszyczki,. od piekielnego ognia, i to duszy dziewczyny pięknej, co tak w sobie nic żydowskiego nie miała. A pani S. ubolewała nad nieszczęściem dziewczyny i miała tę nadzieję, i ta nadzieja... nie zawiodła jej. Kiedy siedziała wśród tłumu pod wysokiem, gotyckiem sklepieniem a wnętrze kościoła jaśniało od tysiąca jarzących świateł, a piękne obrazy świętych oderwane szły od ścian ku nie wielkie, nieśmiertelne, w potokach światłości, a cały ten tłum na jedno słowo kapłana klękał i padał na ziemię, kiedy wśród ogólnej ciszy z góry zabrzmiało:

„Stabat mater dolorosa...“ i z olbrzymiego chóru coraz potężniejsze spływały tony podniosłej modlitwy, żydowskie dziewczę bladło i zimny dreszcz po całem mu przechodził ciele i szafirowe oko łzą wilgotniało... Ona wtedy patrząc na nią cieszyła się, że Bóg oświecił ją w przybytku swym, że prawda jedynej wielkiej wiary Chrystusa przemówiła do niej, że ona nawrócenia bliską. I korzystała z chwili spo-

sobnej... A dziewczyna szła do domu z pochyloną głową i słuchała..... i wierzyła. Te słowa katechetki wchodziły do jej duszy z tymi podniosłymi tonami, i rosły jej tam i olbrzymiały i rozwijały się razem z pieśnią. Od najmłodszego dzieciństwa ona śpiewała bardzo pięknie z dziwnem u dziecka odczuciem, od dzieciństwa na dźwięk muzyki lub ludzkiego śpiewu ona stawała zasłuchana — a dźwięk ten jeden rozbrzmiewał jej w duszy, rozegrywał się i brzmiał jej ciągle, aż cała ułożyła się melodja, aż z duszy wypłynęła na usta — i dziecko śpiewało piosenki rozmaite, których u nikogo się nie uczyło. — Nauczycielka w szkole mówiła, że dziecko ma słuch dobry. Jak w dzieciństwie tak i dziś pieśń ta brzmiała jej w duszy, i w nocy ją ze snu budziła i wśród ciszy płynęła jej wyraźnie... A za melodją wciskały się słowa, które ona tam w duszę jej rzuciła... i ona wierzyła. O to wielki, święty i jedynie potężny musi być ten Bóg, któremu takie wielkie, takie piękne stawiają świątynie, o to wielka i podniosła musi być ta wiara, co człowiekowi mogła natchnąć tak wielki i podniosły śpiew. O dobry musi być ten Bóg i łagodny, co pozwala się tak widocznie czcić pieśnią i modlitwą. Takiej świątyni ona nie widziała, takiej pieśni nie słyszała, jej Bóg nie miał... musieli mu świątyni nie stawiać, musieli mu takich nie śpiewać śpiewów, bo ona nie widziała, bo ona nie słyszała. Raz tylko jeden była w bóżnicy, bardzo dawno dzieckiem jeszcze stęskniona za matką, że od rana tam poszedłszy nie wracała; prosiła Dwojry i ona ją zaprowadziła do niej. A tam w tej izbie sianem wysypanej tak ciasno było i duszno, wszyscy w białe odziani płachty tak płakali głośno i tłukli się w piersi... tam było tak okropnie, iż zaraz uciekła, tu całemi siedziałaby godzinami. O ten Bóg był dobry. On nie wymagał od ludzi płaczu i pokuty... tylko pieśni. I uwierzyła...

...I wszedłszy raz w zaczarowane koło, gdzie zaklęły ją te blaski i dźwięki podniosłe, już wyjść zeń nie mogła. Zresztą nic nadzwyczajnego nie zaszło w jej życiu. Kiedy obie ujrzały, że się nierozumieją, kiedy pani S. dostrzegła, że młoda neofitka żywszy kult żywi dla muzyki niż dla nowej wiary, ostygł jej zapał, kiedy już zebrała laury należne jej za nawrócenie tej młodej duszyczki... rozstały się. I odtąd dziewczyna szła sama przez życie — sama jedna, a w samotności swej nie znalazła nikogo, ktoby ją do tej wyprotegował świetności... na miłość i sławę zapracowała sobie sama, jedyną nieodstępną towarzyszką była jej miłość sztuki. Ach prawda! ona nie była taka sama bez nikogo. Pani S była dobra i litościwa, onaby tak samej dziewczyny do wielkiego nie puściła miasta, ona jej dała listy polecające, co miały jej ułatwić wstęp do kilku domów i znalezienie pracy. I to wszystko, bo cóż tu ciekawego do opowiadania? Jak ona pracować musiała, uczyć drugich i za ciężko zapracowany grosz samej się kształcić w muzyce. Jak pomimo listów polecających nie jedno przyszło jej znieść upokorzenie, kaprys niejeden i wyrzut, nie jedno podejrzenie za swą niczem nieochronioną samotność. Jak nieraz rumieniec ją oblewał żywy pod ich badawczemi wejrzeniami i docinkami złośliwemi, jak niejedną łzę połykała, aby przed nimi ze swą się nie wydać słabością. Jak biedna nieraz dopraszać się prawie musiała o pracę...a to bolało strasznie! aleby trzeba porzucić studja... bez tego... pocóżby żyła? Jak wieczorem, długim wieczorem na odpocznienie po pracy tęsknota przychodziła za matką trapiącą, i zgryzota wkradała się gryźć jej serce. Ta stara, biedna kobieta tam pewnie przeklina jej niewdzięczność — a ona takby ją ujrzeć chciała, ona tak ją ujrzeć musiała, ale nie pójdzie do niej wcześniej, aż blaskiem otoczona i świetnością. Ale to nic zajmującego..., I dziwna, ona w niczem nie była podobna tym wielkim — nic nie miała z ich przygód, ona nie musiała chodzić prosić się profesorom, nikt nie odesłał jej z głosem i talentem do kuchni lub przedpokoju, jak to się często wielkim wydarza z początku, bo na geniuszach nie znają się ludzie, jej nikt nie powiedział, że ona do świątyni sztuki wejść niegodna, pierwszy ocenił ją zaraz i drzwi świątyni dla niej otworzył, i ona wstąpiła a w progu dreszcz ją przeszedł wzruszenia.. i zawahała się trwożna... lecz bogini powitała ją łaskami i przyjęła na swoją kapłankę... I ona pracowała... Raz, rok temu myślała się być bliską celu, wróciła to do rodzinnego miasta po poklask należny jej, po uścisk macierzyński... ale pustym śpiewała krzesłom. I choć głos jej drżał srebrny i głęboki, choć bezmierne cieniowało go uczucie, przelewające się z piersi... w sali było cicho i pusto. Musiała się porwać zawcześnie. I nie widząc matki wróciła,.. było za wcześnie, tęsknota ją musiała zmylić i pognać wcześniej, niż iść mogła.

Już sława jej pełny dowinęła wieniec, i ona wróciła w blasku i świetności do matki swej paść jej do nóg, usłyszeć jej przebaczenie, i szczęściem i pogodą ostatka życia zapłacić jej za przepłakane noce i dni przetęsknione. Wróciła... a tam w wąskiej uliczce powóz jechał tak powoli, a serce biło jej tak silnie i szybko że wyskoczyć chciała, by ujrzeć ją prędzej, mieszkańcy z swych powypadali izdebek, dziwiąc się pysznemu pojazdowi i pięknej pani... nie poznali jej. Tam na progu, gdzie matce upaść miała w ramiona, nieznajome, obce powitały ją twarze.... matki nie było i ojca nie było. Ojciec, którego całe życie jedną było modlitwą, już nie żył dawno — matka zmarła przed tygodniem. Ona już nie miała nikogo... A tu hucznymi ją powitano oklaski, cała ta wielka sala zapchana słuchaczami. Na miesiąc jeszcze przed jej przyjazdem wszystkie zakupiono miejsca, i impressarjo za jeden ten wieczór kilka jej wyliczył tysięcy. Dziś na afiszu którym występ swój ogłaszała, wypisane było: „Goldetta“ dawne jej żydowskie imię, trochę zmienione, bo z Włoch przybywała właśnie. Wtedy przed rokiem na afiszu skromnie „Zofja“ chrzestne jej widniało imię... bo jeszcze wtedy we Włoszech nie była. Na pożegnanie znowu oklaski i wieńce jej rzucają, i deszczem zasypują ją kwiatów. Za kwiaty i oklaski ona wdzięcznym dziękuje uśmiechem, złotą główkę na wszystkie skłaniając strony... Już cicho... i pusto, już uśmiech jej znikł i z złamanemi rękoma stoi wśród kwiatów. I cóż jej one?... jedynej, coby się z nią razem z tych kwiatów i ze sławy jej cieszyła... nie było, jedyna coby jej przebaczyć chciała, coby ją dziś do swego przytuliła serca... jej matka leżała tam pod nagą, wilgotną ziemią, raz przecież dając wypoczynek swym biednym nogom — umęczonym tak okropnie. A z pomiędzy róż i fiołków robak wypełza zwątpienia i szepce: „O ten wielki i miłosierny przez lata nędzy i boleści ją chował i przenieść jej pozwolił niedolę i smutek i rozpaczy noce, aby ją nakoniec u świtu dnia tęsknica dojadła, i pozazdrościł jej jednej chwili radości i szczęścia, pozazdrościł jej i tobie, po tylu latach boleści i smutku“...

* * *

„Jaka deklamacja w jej śpiewie, jaka barwa i wyraz jej głosu, jakie prawdziwe, głębokie wzruszenie i odczucie. A jaka ona piękna“! Jak ona się ubrać umiała, aby z ciężkich, bogatych fałdów aksamitu i koronek piękność jej delikatna jeszcze piękniej wyszła, żeby w czarny owinięta aksamit kibić jej wydała się jeszcze giętszą i smuklejszą jeszcze, a białość twarzy bardziej olśniewała, a włosy jej skromnie wiązką ściśnięte korali, w całem swem ukazały się bogactwie i piękniejszym jaśniały połyskiem.- Jaka ona piękna zapomnieć nie możesz i naopowiadać się nie możesz tym, co jej nie widzieli... Kwiatami zasypać ją chciano a kwiaty te rozsypane, pogniecione leżą na podłodze; a na nich ciężka aksamitna wala

się suknia prawdziwemi naszywana koronkami. Włosy jej złote rozsypały się i spłynęły aż do stóp łóżka na ziemię, a ona pałającej swej głowie miejsca znaleźć nie może, i z rozogniona twarzą i płonącemi oczyma rzuca się . . . . w gorączce.

Złodziej Leśny

(obrazek ze wsi)

Las szumiał. W powietrzu było cicho i spokojnie, ale szpilki sosen mimo to drgały i sprawiały w górze dziwny szmer, jakby rój pszczół gdzieś brzęczał. Las coś szeptał — ale co? to chyba wiedziały sikorki czepiające się gałązek lub dzięcioły kujące po konarach a może chłopiec obdarty, idący drożyną, rozumiał te głosy, bo co chwila podnosił głowę do góry i słuchał. — Chłopiec miał może dziewięć lat, szedł boso, w potarganej sukmance, na głowie miał czapkę — a z pod niej wymykały się kosmyki jasnych włosów, które mu aż do ócz spadały; w ręku niósł garnek próżny — Nędzne to było jakieś biedactwo i ot — szło samo przez las, a nie bało się. Ba! nie bało — tato kazali iść, ta idzie. Ej! gdyby to tato! Tato nie byłby posłał dziecię samo do lasu, by szło ukradkiem zbierać jagody. Może by poszedł sam, a może by wysłał kogoś doświadczeńszego, ale nie własnego chłopca, a do tego jeszcze tak małego. Tato już dawno w mogiłce, a teraz ojczym opiekuje się dzieckiem. To i cóż dziwnego, że puścił same do lasu. Wprawdzie opierał się chłopczyna, ale ojczym zagroził kijem.....

Słońce strzelało już tylko połowa swych promieni na ziemię oświecało las, ale rzadko który promyk zdołał wkraść się do środka. — Drzewa z brzegu dobrze pilnowały i nie przepuszczały światła dalej — jakby mówiły — „pocoś takie ciekawe?“ Bo i prawda, co za ciekawość, jeszczeby wydało, że małe chłopię poszło do lasu kraść jagody. — Ale słońce siało wciąż pękami promieni i oświetlało dzewa z brzegu, malując je hojnie złotem i purpurą. — Dziecię szło drożyną, i tu i owdzie zginało się po jagodę, a chwilami przystawało, bo zdawało mu się, że słyszy trzask gałęzi, jakby kto szedł niedaleko. — Obracało się dokoła, ale nic widać nie było. — Może to wiewiórka gdzieś zaszel ściała, a może dzięcioł odłupał kawałek kory, szukając robaczków. Chłopiec nabrał odwagi, zboczył z drogi, i zapuścił się głębiej w las, gdzie było więcej jagód.

Zbierał tam, tak zbierał, aż sam nie wiedział, kiedy cały garnek już nazbierał i przeszedł na drugą stronę lasu. Przez ten czas niejednokrotnie przeszła mu przez głowę myśl: „a nużby gajowy?“ Ale nakaz ojca odpędzał owe myśli — Siadł wtedy sobie pod drzewem, położył dzbanek obok siebie, chciał odpocząć.

„A tuś mi Jędruszku!“ huknął wtem nagle jakiś głos syczący, — i ruda głowa gajowego ukazała się z poza drzewa. „To ty gałganie jakiś będziesz kradł w pańskim lesie?! Czekaj łajdaku! sprawię ja ci łaźnię! i podniósł kij do góry—Chłopiec na pierwsze słowa drgnął jakby zelektryzowany — pobladł i w gardle go coś ścisnęło. — Chciał uciekać, ale gajowy trzymał go mocno za kołnierz sukmany — „Oj! nie bijci! jęknął — „Ta bo niema i co,“ mruknął gajowy spuszczając laskę „ale czekaj złodzieju! krzyczał coraz głośniej — czekaj ja cię i bez tego nauczę — „To tato kazali!“ „Co? ojciec! a czegoś go posłuchał ty biedo jakaś, kiedy wiesz że to pańskie!“ „Dawaj garnek! Chłopiec oddał jagody, a łzy duże jak groch i gorące spłynęły mu po twarzy „A teraz,“ mówił gajowy zdzierając mu czapkę i ubranie, tak iż w jednej tylko koszuli został — „marsz do domu abyś wiedział łotrze jeden gdzie na drugi raz na jagody chodzić“ — Chłopiec dał z sobą wszystko zrobić. — Gajowy wziął ubranie i poszedł swoją drogą „A to psi naród mruknął, no czapkę zaniosę do dworu na znak żem złapał złodzieja — jagody dam pani — przyjedzie z szóstka — a to i popatrzał się na łachmany Jędruszka — no tego nie zaniosę do dworu, pan by się gniewał. Tak! pan by się gniewał, —pan miał ludzkie serce, i nie pozwalał nigdy obdzierać do koszuli — Ale gajowy zrobił to już z własnej satysfakcji, bo już dawno nie udało mu się złapać kogo na szkodzie.

II

Chłopiec szedł drogą do domu przez las. — Mrok już padał — zimno mu było; nie płakał ale dziwnie roiło mu się po głowie. — To gorąco biło mu do skroni, to znowu dreszcz mu członki przechodził — „Och boże! boże!“ szeptał — Zszedł do parowu, potem na łąkę a potem między grupami drzew znikł, dążąc do chaty — Gdy zaszedł — noc już odsłoniła gwiazdy. „Ta co będę szedł do chałupy — i tak dostanę“ — myślał i powlókł się do szopy, gdzie tymczasowo cielę miało swe mieszkanie. Tam legł na słomie, bo ledwo mógł się utrzymać na nogach... W nocy wzięła go gorączka i już nie wiedział co się z nim działo.

W chacie ojczym wcale o niego się nie troszczył — „Nie ma, to niema może gdzie licho porwało — to i lepiej nie będzie darmo zawadzał ... Matka tylko była niespokojna i parę razy wybiegła przed chatę — „Gdzieś posłał chłopaka? pytała „Ot gdzieś poszedł“ — była odpowiedź. Kobieta popatrzyła na męża i westchnęła— Jędruszek nie przychodził. No choć przyjdzie późno, to pójdzie bodaj do szopy“ pomyślała — zamknęła chatę i poszła spać.

III

Słońce weszło i zarumienił się letni poranek. Ojczym Petryk obchodził gospodarstwo. — Wszedł do szopy, zobaczył chłopaka na wpół nagiego — Co ty tu robisz? krzyknął, „a szelmo jedna, gdzie garnek z jagodami?“ i huknął go w bok kułakiem Chłopak otworzył oczy i mruknął coś niewyraźnie. — „Za co go bijesz?“ krzyknęła Petrykowa, która właśnie nadbiegła, „ta widzisz że słaby“ — i chwyciwszy w pół chłopca zaniosła go do chaty — „Otóż to głupia baba!“ rzekł Petryk i splunął — Przyszły baby z ziołami i lekami... Poiły Jędrka przez pięć dni, aż szóstego gorączka się zwiększyła i chłopiec skończył . . . Pogrzeb odbył się w trzy dni po tem — było na nim parę bab sąsiadek i kilku chłopów. Petryk był obojętny. Żona tylko płakała i od czasu do czasu jęczała „oj! doląż moja!“ po pogrzebie poszła Petrykowa smutna do domu, kilka bab ją odprowadzało. Aż dopiero gdy jedna jej przypomniała, że kogo święta ziemia raz pokryje, ten już z niej nie wyjdzie, uspokoiła sią znacznie i przestała płakać!

Petryk poszedł do karczmy i swych towarzyszy częstował. — Rozmawiali wszyscy wesoło — Petryk sam śmiał się i opowiadał różne zabawne historje. Wprawdzie jeden gospodarz zagadał go o syna . . . „Et... zawsze to był niezdara, tylko darmo kaszę jadł“. I odtąd nikt o nim nie wspomniał. Dobrze mówił Petryk, pewno chłopiec był niezdara — naprzód kraść nie chciał, a potem kraść całkiem nie umiał, a to zawsze są bardzo złe skłonności w tak małym chłopcu...

A. I.

„Armia Zbawienia“

Przed kilkoma dniami w dziennikach politycznych można się było spotkać z następującą depesza, datowaną z Genewy: „Wydanym został dekret wygnania przeciwko pannie Booth, „marszałkowi Armji Zbawienia“. Banitka wyjechała natychmiast do Coppet, w kantonie Vaud“.

Wiadomość powyższa musiała zastanowić każdego, co ją tylko odczytał: najpierw dlatego, że pochodziła z Szwajcarji, kraju słynącego z tolerancji i nieodmawiającego dotąd gościnności przedstawicielom i wyznawcom nawet najbardziej krańcowych i czerwonych idei; skądże więc ów wyjątek względem „Armii zbawienia", czyżby armia ta miała być niebezpieczniejszą od armii „Czerwonej międzynarodówki" i innych związków komunistyczno-rewolucyjnych?

Powtóre, cóż to za „armia", w której marszałkiem jest... panna. Do czego ona dąży, jakie jest pole jej działania, jakie cele?

„Armia Zbawienia" nie jest wprawdzie, tak liczną, jak dajmy na to.. landwer pruski, w każdym razie jednak z niej żartować nie można. W dniu 31 grudnia 1881 roku dzieliła się już ona na 251 korpusów i liczyła w swoich szeregach 533 oficerów obojga płci, oraz 13,393 żołnierzy. W ciągu tegoż roku odbyła ona 200,000 bitew (czytaj zgromadzeń) i walczyła (czytaj przemawiała do) z 3 milionami osób. Urzędowy jej organ „The War Cry" odbijał się w 200,000 egzemplarzy; drugie jej pismo, „The Little Soldier" specjalnie dla dzieci przeznaczone, rozchodziło się w 50,000 egzemplarzy. Z końcem roku zeszłego do „Armii Zbawienia" należało już 760 płatnych oficerów i 15,000 żołnierzy.

Cyfry to zbyt poważne aby „Armię Zbawienia" można było obejść milczeniem. Dlatego też opowiemy tu pokrótce jej historję i organizację, korzystając z materjału, jakiego nam dostarcza „Temps" paryski.

Założycielem „Armii Zbawienia" jest William Booth, były pastor. W r. 1865, przebywając w Londynie, został on „tak wzruszony widokiem pijaków i dziewczyn ulicznych" iż postanowił sobie nawracać ich za pomocą gorących napomnień i przemów, zwykle pod gołem niebem wygłaszanych.

Myśl była o tyle oryginalną, iż w Anglli spodobała się, i po pewnym przeciągu czasu Booth znalazł dość licznych naśladowców.

Gdy zaś liczba jego uczni wzrastała coraz bardziej, wówczas powziął on zamiar zawiązania stowarzyszenia. Ze wszystkich wzorów, jakie mogły mu być przydatne w przeprowadzeniu tego planu — najwięcej podziałał nań przykład Ignacego Lojoli. To też Booth — za główną, podstawę organizacji nowego stowarzyszenia — przyjął bezwarunkowe, ślepe posłuszeństwo; pod tym względem przeszedł on nawet swój pierwowzór; gdy generał jezuitów jest skrępowany nieraz w swoich postanowieniach różnemi ustawami — wola Booth'a nie jest niczem ograniczoną. Jakiekolwiek byłyby jego rozkazy, podwładni mu członkowie „Armii Zbawienia." są bezwzględnie obowiązani wykonywać je. Rygor w szeregach jest zachowany z całą ścisłością; żadnemu członkowi nie wolno nic pisać, jeśli nie otrzymał na to odnośnego pozwolenia przełożonych.

Tak jak i każda armia, „Armia Zbawienia" składa się z żołnierzy, podoficerów i oficerów. Nie brak też w niej sierżantów kapitanów i pułkowników. Tytuły te wybrano głównie dla tego, iż są zrozumiałe dla każdego.

Procedura, poprzedzająca wstąpienie do armii jest następująca: jeśli ktoś życzy sobie być zaliczonym do szeregów, to najpierw jest dopuszczonym do t. z. „ławy pokutników." Następnie, jeśli penitent nawróci się zupełnie — zostaje „żołnierzem." Jeśli zaś okaże wyższe jakieś zdolności, kwalifikujące go na oficera, wówczas bywa wysłanym do t. z. „Szkoły wojennej", założonej przez „Armię" w Londynie. W owej „Szkole wojennej" uczą go przedewszystkiem Biblii i jej historji; gdy zaś po pewnym przeciągu czasu uczeń okaże się zdolnym przemawiać do tłumu, do prowadzenia rachunków „Armii," do utrzymania korespondencji ze sztabem głównym — wówczas dostaje patent i zostaje „oficerem" czynnym. Jako „oficer" nosi on niebieski mundur z literą S (Salut = zbawienie) na obydwóch stronach kołnierza. W wyjątkowych razach procedura powyższa bywa opuszczoną Jak np. panna Katarzyna Booth, córka założyciela „Armii" została od razu „marszałkiem," chociaż liczy dopiero 22 lat.

Nikt się wszakże nie dziwi temu: dzieci panujących otrzymują zwykle szybkie awanse, dla czegóż więc panna Katarzyna miałaby stanowić wyjątek pod tym względem?

Żołnierze „Armii," jako nie opuszczający zwykłych swych zajęć, służą bezpłatnie; oficerowie jednak, całkowicie poświęcający się propagandzie otrzymują stałe pensje. W takim razie jednak, obowiązki ich są dość trudne. Nie wolno im naprzykład przebywać w żadnem mieście dłużej jak 5 miesięcy, a to w tym celu „aby nie przywiązywali się zbytecznie do jednych osób lub do jednego miejsca." Każdy oficer musi poświęcać od 30 do 35 godzin tygodniowo na urządzanie zebrań, na których obowiązany jest nawracać swą wymową niewiernych. Oprócz tego zobowiązany jest także zużyć 18 godzin tygodniowo na nawracanie grzeszników w ich własnych mieszkaniach.

Wynagrodzenie, jakie otrzymują oficerowie — przedstawia się jak następuje. Kapitan-kawaler dostaje 47 fr. 25 ct. tygodniowo. Kapitan żonaty 60 fr. 75 ct. i po 2 fr. 25 ct. na każde z dzieci. Kapitan-kobieta (płeć piękna bowiem nie jest wykluczona z „Armii") 33 fr. 75 ct. i t. d.

Budżet „Armii Zbawienia" przedstawia się wcale pokaźnie; w r. 1881 „Armia" wydała ogółem 1,425,000 fr. Generał Booth nie otrzymuje pensji, „od samego" początku bowiem „Pan dał mu środki do życia zupełnie niezależne od tych, jakimi rozporządza Armia."

„Armia" prowadzi wojnę z szatanem. Miejsca schadzek są polami bitwy. Świadectwa nowo-nawróconych są działami, które się zwraca przeciwko nieprzyjaciołom. Nawróceni są zwycięstwami. Manifesty „generała" i córki jego „marszałka" — są rozkazami dziennemi. Oficerowie urządzają po miastach stacje. Stacje te tworzą korpusy armii, które generał od czasu do czasu przegląda i musztruje osobiście.

Język, jakiego używa „Armia Zbawienia" jest językiem wojska w kampanii. Jak np. gdy wyruszyła ekspedycja pod dowództwem „marszałka" (panny Booth w celu zajmowania Szwajcarji — wówczas dziennik „Armii" wychodzący p. t.: „En Avans" (Naprzód) pomieszczał następujące depesze z „placu boju": „Marszałek zamierza rozpocząć atak w czwartek wieczorem" albo też: „Posiłki z dwóch oficerów o których telegrafowaliśmy — już nadeszły."

Rozkazy dzienne generała Bootha zawierają w sobie zwykle wskazówki: w jaki sposób należy poprowadzić kampanię i jakiej należy się trzymać taktyki. Przed tem nim „Armia Zbawienia" wybierze jakieś miasto za cel swojej propagandy, to poprzednio musi ona obeznać się dokładnie z miejscowością, zbadać usposobienia publiczności i co najważniejsza — odnaleść salę, w której byłoby najdogodniej urządzić zgromadzenie niewiernych, w celu nawrócenia ich na „Wiarę."

Gdy już miasto zostało dostatecznie zbadanem, wówczas „Armia" przypuszcza szturm do niego. Szturm ten jest wysoce oryginalnym z tego względu, iż główną bronią, jaką do przeprowadzenia go używają — są: anonse i reklama. Odbija się w tem historyczne pochodzenie całej sekty, która powstała i rozwinęła się w dwóch krajach, słynących ze zręcznej reklamy, Anglii i Ameryce. Ściągnąć na siebie publiczną uwagę, robić jak najwięcej hałasu —oto cel podobnej taktyki! To też czem anons jest bardziej dziwaczny tem lepiej poskutkuje. Na ścianach domów zatem przylepia się ogromne ogłoszenia, donoszące o tem, że: „Armia Zbawienia przybyła," albo też, „Ogień i krew..." Czytający dowiaduje się później, że tą „krwią" jest krew Chrystusa, a tym „ogniem" — natchnienie

Ducha Św., odchodzi więc rozczarowany nieco w swej ciekawości, w ten sposób jednak „Armia“ osiąga najważniejszy swój cel tj. daje znać o sobie Organizowanie szumnych i hałaśliwych procesji, zaskarbianie sobie łask u dziennikarzy należy także do wojennej taktyki „Armii“ „Artykuły dziennikarskie“ bowiem, jak się wyraża generał Booth w jednym ze swych rozkazów dziennych — „artykuły dziennikarskie, jakiekolwiek by one były, oddają wielkie przysługi: powiększają audytorjum, a zatem i dochód.“

Generał uczy także w swych manifestach, w jaki sposób mają być urządzane zgromadzenia: estrada, z której przemawiają mowcy, powinna być dostępną li tylko dla dobrych, wypróbowanych już „żołnierzy.“ Potrzeba bowiem, aby mowca czuł zawsze, iż stoi za nim gotowa bronić go w każdej chwili „siła energiczna i wierząca.“ Każdy co znajduje się blisko powinien wołać: „Amen“ albo „Alleluja!“ na wszystko, cokolwiek tenże wygłosi. Jeżeli czasami udaje się podczas samego zgromadzenia, oddziałać na którego ze słuchaczy do tego stopnia, iż wyjawia on publicznie dotychczasowe swoje błędy i wyjawia chęć przyłączenia się do „Armii Zbawienia“ — wówczas szczęśliwy mowca - oficer zostaje awansowanym przez generała, i otrzymuje od niego pochwały, w formie manifestu.

Możnaby jeszcze przytoczyć o „Armii Zbawienia“ wiele innych szczegółów, mniej lub więcej charakterystycznych, sądzimy jednak, że dość i tego, cośmy dotąd powiedzieli! Pierwotna myśl pastora Booth'a: nawracanie pijaków i upadłych kobiet, zasłużyła sama z siebie na sympatje ogółu.

Później wszakże, gdy stowarzyszenie rosło, zmieniały się powoli jego cele: towarzystwo, które początkowo dążyło tylko do wytępienia pijaństwa i prostytucji — stało się, w całem słowa znaczeniu — sektą religijną, niezależną od żadnego kościoła i nie podciągniętą pod żadne prawa. Wojowniczy i zaczepny charakter tej sekty uwydatnia się już w samem jej nazwaniu, a zaszczepianie w ludziach fanatyzmu religijnego zdaje się być głównym jej celem. W krajach, gdzie „Armia Zbawienia“ prowadzi swoje dzieło wyrządziła ona już podobno wiele szkody, i zaczęła nabierać cech społecznego złego: zwróciła też już na nie uwagę nie tylko prasa, ale nawet i poważni romanso-pisarze. W znanym romansie „Ewangelistka“ — Daudet przeprowadza właśnie cały proces obłąkania fanatycznego, jakiemu uległa nieszczęśliwa bohaterka romansu E. Ebsen. Fakt, przedstawiony w powieści, miał podobno, z pewnemi rozumnie się zmianami — miejsce w rzeczywistości. Przytem nie jest to fakt odosobniony, ale raczej jeden z tysiąca podobnych mu wypadków. „Port Zbawienia“ w Ewangelistce“ nie jest niczem innem jak tylko „Armią Zbawienia,“ a środki, dzięki którym „panie — ewangelistki“ odciągnęły Elinę od życia rodzinnego i zrobiły z niej zagorzałą fanatyczkę — są właśnie środkami jakich używają „oficerowie w „Armii“ generała Booth'a.

Już samo istnienie podobnej sekty, krzewiącej, w najbardziej cywilizowanych krajach Europy — fanatyzm religijny w czwartej ćwierci XIX wieku — może się wydać nieprawdopodobnym niemal; wymowne fakty jednak dowodzą, iż sekta nietylko, że istnieje, ale zarazem wzrasta w siły i powodzenie.

Śmiałość, z jaką występują nowi sekciarze i środki, jakich zaczynają używać w celu swej propagandy, zwróciły już uwagę najliberalniejszego chyba i najbardziej tolerancyjnego rządu w Europie, Szwajcarji, która ich wypędziła ze swych granic...

Przegląd literacki.

Dwa nowe dzieła, traktujące o ostatnich chwilach przedrozbiorowych.

(Sejm czteroletni — napisał X. Walerjan Kalinka T. I. Kraków, 1880. T. II. Lwów, 1881. Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta — przez Tadeusza Korzona T. I. Kraków, 1882.)

napisał

B. Limanowski.

(Ciąg dalszy)

„Szlachta straciła nasze zaufanie; doświadczenie mówi przeciwko niej, a w tak ważnem przedsięwzięciu na jej cnoty i miłość ojczyzny spuszczać się nie możemy — Pytamy się nadto: Kto podniósł teraźniejszą rewolucję? Czy szlachta? Ona zaledwo pierwszy podała jej zarys, który bez naszego wsparcia, próżnym zostałby projektem. My mieszczanie zaczęliśmy ją z niebezpieczeństwem życia własnego; my to wypędziliśmy Moskali z Warszawy, Krakowa, Wilna, i od nas zależy najdzielniej ją poprzeć i doprowadzić do końca. Nasze przeto żądania są godziwe, sprawiedliwe, i teraźniejszemu położeniu najwłaściwsze.“ (str. 70 i 71. O rewolucji polskiej w roku 1794 napisał Woyda). Jak widzimy więc, mieszczanie nie tylko już poczuwali się do czynnego udziału w bronieniu sprawy ojczystej, ale nawet więcej ufali w swoje poczucie obywatelskie i w swoją gorliwość. — O wiele trudniej było się spodziewać, ażeby włościanie odezwali się na nawoływania patrjotyczne. I same te nawoływania były nieliczne i ostrożne, ponieważ nie ustawała obawa, „że chłopi uzbrojeni mogą szlachtę wyrznąć!“ (461, Korzon). Czyż włościanie mogli inaczej, jak tylko nieufnością odpłacać za nieufność? Wszak jeszcze w lutym 1789 r. stawiano wniosek o pospolitem ruszeniu na chłopów, i znaleźli się tacy, co go popierali! A jednakże włościanie także odezwali się. Już w 1792 r. Mazury i Krakowiacy chcieli gromadnie z kosami i siekierami iść na Rosjan (1214, Pamiętniki Karpińskiego). Bitwa Racławicka. Wojciech Głowacki, Świstacki, Łukasz Kalinowski — to już czynny udział. A Głos za Włościanami, wydany podczas powstania 1794 r., słusznie powiada, że wszelkim uniwersałom i obietnicom nie zawierzą włościanie dopóty, dopóki nie postawimy ich w stanie, iż panów nie będą się obawiać i będą mieć w swem ręku moc „na odparcie ich gwałtu“, i radzi Naczelnikowi, aby „przydał chłopów do wszystkich komisyj i sądów, nawet do Najwyższej Rady Narodowej.“ Patrjoci z coraz większą świadomością widzą przyszłość Polski w włościanach*). I żydzi nawet odezwali się w pamiętnym 1794 roku. Na kartach dziejowych zapisanem zostało nazwisko Berka, dowódcy pułku Lekkokonnego, Starozakonnego. P. Korzon powątpiewa o istnieniu tego pułku; — Łagowski jednak w swoim Pamiętniku, wyliczając oddziały wojskowe, formowane po wypędzeniu Igelstroma z Warszawy, wymienia także pułk izraelitów, a Karpiński, mówiąc o przygotowywaniu się Suwarowa do ataku na Pragę, świadczy, że mieszczanie Warszawy byli się opuścili, „sam tylko regiment żydowski nie odstępował nigdy okopów, i pilnie robił powinność swoją“. (str. 1234). Widzimy przeto, jak wielkie w ostatnich latach Rzeczypospolitej uczyniło postępy poczucie, że obowiązek zbrojnej obrony kraju należy nie do samej tylko szlachty, jeno do wszystkich jego mieszkańców. Skoro więc tak ważny obowiązek miał się rozciągać na wszystkie stany, dla czegóż miałaby tylko jedna szlachta korzystać z praw, które opierała właśnie na tym obowiązku?!

Nie tylko powody polityczne, ale i ekonomiczne także podkopywały wyłączność przywilejów stanu szlacheckiego. Rolnicza praca, która przez długi czas uważała się

---

*) Po ostatnim rozbiorze Polski, widzimy przykład konspiracji od dołu, pomiędzy włościanami: jest to konspiracja Gorzkowskiego. Byłoby bardzo pożądanem, ażeby który z naszych młodych a szczerze sprzyjających ludowi dziejopisarzy, podjął się zbadania tego ważnego w dziejach porozbiorowych objawu.

za jedynie zyskowne i poważane zajęcie, przestawała przynosić dawniejsze korzyści. Pochodziło to z różnorakich przyczyn. Eksploatacja rolnicza, prowadzona w sposób ekstenzywny, wyczerpała w znacznej mierze rolę. Ażeby znowu podnieść rolnictwo, trzeba było uczynić je bardziej intenzywnem, a to wymagało znacznych nakładów, których większość właścicieli ziemskich nie mogła łożyć: „Tym końcem — powiada wolnomyślny zwolennik Staszica (Poparcie Uwag nad życiem Jana Zamoyskiego — roku 1788) — znieść koniecznie należy to prawo za czasów barbarzyńskich i ciemnych ustanowione, a odsuwające mieszczan i nieszlachtę od nabycia dóbr ziemskich "(str 107) W takim razie bowiem „kupcy zbogaceni handlem nabędą włości... włożą w nią (rolę) znaczne nakłady i w dwójnasób jej pomnożą płody". (str. 108) Sam sejm szlachecki w lutym 1789 r. przyznał zięciom bankiera Teppera, Schultzowi i Arndtowi, prawo nabywania dóbr ziemskich, wprawdzie za usługę finansową okazaną przez ich teścia. Drugą ważną, a może najważniejszą przyczyną upadku rolnictwa, było ciężkie poddaństwo włościan. Spostrzegano to coraz, wyraźniej. Zalecano więc uwolnienie poddanych coraz częściej z powodów ekonomicznych. „Jako wolne nabycie przez kogokolwiek dóbr ziemskich, przyłoży się do bogactw narodowych, tak uwolnienie poddanych równe krajowi przyniesie korzyści" (str. 110) powiada wspomniany już zwolennik Staszica. Przedewszystkiem, uwolnienie włościan zapobiegłoby ich emigracji, i przyczyniłoby się do powiększenia ludności, a było to w owe czasy bardzo żywotną kwestją (patrz u Korzona str, 368 i 369); następnie, wzmogłoby pracowitość, sumienność, roztropność pracującego ludu, a więc praca jego przynosiłaby większe korzyści posiadaczom ziemi.

W miarę jak słabnie zaufanie w wielką ryzykowność rolnictwa, tworzy się w kraju przekonanie o potrzebie przemysłu i handlu, a szlachta nietylko popiera zakładanie fabryk, jak znakomity Antoni Tyzenhauz, Wincenty Potocki, Ignacy Działyński i inni, ale nawet z własnego łona wysuwa jednostki, które jak Lewald, Jacek Jezierski same biorą się do zakładania fabryk. Prot Potocki i książę Aleksander Lubomirski zakładają banki. Ażeby przełamać dawny wstręt do kupiectwa, szlachta robi z niego pewien rodzaj popisu. „I tak pierwsi panowie — powiada Stanisław hr. Małachowski w Pamiętnikach (str. 24, Lwów 1876) — mieli pod firmą swoją sklepy, a mój stryj (marszałek sejmu czteroletniego) miał sklep sukna, i choć raz powinien się był w nim znajdować i łokciem mierzyć".

Kwestja więc zrównania mieszczan z szlachtą i uwolnienia poddanych, ku końcowi XVIII stul. w Polsce, nie była tylko kwestją filozoficzną i filantropijną, ale była także kwestją bytu i dobrobytu narodowego. Stanowczo przekonywamy się o tem, wczytując się w argumenty, któremi starano się skłonić szlachtę do zrzeczenia się tyrańskich praw, jakie posiadała nad włościanami. Oto, naprzykład argument, którym zwolennik Staszica zamyka swoje rozumowanie. „Ustanowiliście — powiada — wojsko; najznaczniejsza część jego z stanu rolniczego ludzi składać się będzie: wymagać od nich będziecie męstwa i odwagi: a któryż kiedy niewolnik te posiadał duszy własności? Jakież ci żołnierze mieć będą pobudki bronienia Ojczyzny, kiedy w niej najsroższą znajdują tyrankę? Owszem, bez odporu przejdą na stronę pierwszego nieprzyjaciela, gdyż rząd jakikolwiek ich osłodzi niedolę. A broń Boże, żeby na swych uciemiężycielów nie podnieśli oręża." (str. 116 i 117). Mamyż się dziwić przeto, że młodzież patrjotyczna, kochająca więcej ojczyznę aniżeli interesy swego stanu, była przejęta silnie myślą uwolnienia włościan — jak o tem świadczy kanclerz rosyjski hr. Bezborodko, poufnie przedkładając konieczność zniszczenia Polski. (Korzon, 492).

Ważna więc praca rewolucyjna odbywała się w łonie narodu polskiego za czasów panowania Stanisława Augusta, a zwłaszcza od rozpoczęcia się sejmu czteroletniego. Trzeba mieć to przekonanie na uwadze, chcąc zrozumieć dobrze przyczynową łączność odbywających się wypadków. Polska, by się utrzymać na stanowisku w o l n e g o i n i e p o d l e g ł e g o państwa, musiała uledz politycznospołecznemu przeobrażeniu. Gdyby poszła za królem i Rosją — czego jak zdaje się pragnąłby ks. Kalinka — prawdopodobnie zakonserwowałaby się dosyć długo w swoich społecznych, a może i politycznych formach (jak np. bałtyckie prowincje), ale nie byłaby ani niepodległą, ani wolną. Gorzej byłoby niż za czasów Repnina, Stackelberga, Siewersa, Igelstroma. Z drugiej strony szlachta, którą p. Korzon nie bez pewnej słuszności bierze w swoją obronę przeciwko ks. Kalince i krytykom rosyjskim, prawdopodobnie zrzekłaby się swej wyłączności i wielu przywilejów, ale zupełnego przeobrażenia Rzeczypospolitej starałaby się nie dopuścić, czego nawet dowiodła w późniejszych dziejach. Czy możliwa była przeto w Polsce, potrzebna rewolucja? P. Korzon zdaje się wątpić o tem. Co do mnie, nie wątpię. Ktożby przeto był w stanie dokonać tej rewolucji? — Ta młodzież patrjotyczna, na którą już wskazywał hr. Bezborodko, ta młodzież, z łona której wyszli Kościuszko Niemcewicz, Sułkowski, Kniaźnin, Dąbrowski i tylu innych. Młodzież ta znalazłaby silną pomoc w ludności mieszczańskiej, którą z każdym niemal rokiem" coraz żywszy udział w życiu społecznem i politycznem zdobywała i coraz większy pochop do posług obywatelskich okazywała" (Korzon 30), która — jak to widzieliśmy z przytoczonych słów Pamiętnika Woydy — zaczynała coraz świadomiej dążyć do objęcia steru spraw publicznych w Rzeczypospolitej.

* * *

„Sejmu Czteroletniego" Ks. Walerjana Kalinki wyszły dotąd dwa tomy, czyli raczej tom pierwszy i część drugiego. Opowiadanie zostało doprowadzone do pierwszych dni kwietnia 1791 r.

Autor, rozpocząwszy opowieść od przymierza austrjacko-tureckiego, wojny tureckiej (1787 — 1788), planów Hertzberga, przedstawia następnie zamiary Stanisława Augusta, skierowane do wciągnięcia Polski w wojnę z Turcją. Łatwo było królowi przyrzec Katarzynie II. pomoc polską, ale nie łatwo było przezwyciężyć mnogie trudności, chcąc dotrzymać obietnicy. Stanisław August nie widział innego ku temu środka, jak zawiązanie konfederacji poza sejmem, czyli z samych stronników królewskich. Konfederacja taka, gdyby doszła była do skutku, wzmocniłaby niezawodnie władzę królewską, ale „Katarzynie nie chodziło o to bynajmniej, aby rząd polski był silniejszy i czynniejszy" (57, Kal.), przeciwnie nie życzyła sobie tego, i dla tego nie zezwoliła na taką konfederację. Nie zgodziła się także i na projekt konfederacji Branickiego i Szczęsnego Potockiego, bardzo słusznie przez autora oceniony, ponieważ „podobne wewnętrzne bunty — jest to uwaga samej Katarzyny — bodajby nas tylko więcej nie zajęły, niż nam się zdaje, i nie zmusiły nas przedwcześnie zwrócić większej części sił naszych na uspokojenie Polski i na zabezpieczenie granic naszych z tej strony, z której dziś, i bez tego, niczego się nie obawiamy!" (60 i 61, Kal.). Kiedy rosyjscy partyzanci posyłali swój plan konfederacji do Petersburga, pruscy partyzanci, prawdopodobnie popierani przez rząd pruski*), nosili się także z zamiarem konfederacji. Rosja budziła niepokój w Prusach, a Prusy w Rosji. Skoro więc Stackelberg zawiadomił

*) Ks. Kalinka robi ciekawą przytem uwagę: „... pomimo całej swobody, z jaką w temże (berlińskiem) archiwum dozwolono nam korzystać z korespondencji dyplomatycznej, do korespondencji rządu pruskiego z poddanymi Rzplitej nie mieliśmy przystępu." (63, I.).

Buchholtza o zamierzonej propozycji traktatu odpornego z Polską, rząd pruski oświadczył także, iż zamierza proponować Polsce podobneż przymierze. Współzawodnictwo to dworów, które dopuściły się były gwałtu rozbioru, mogło postawić sprawę polską w w bardzo korzystnem położeniu. Należało tylko żadnemu z nich nie ufać a szybko robić swoje. Bardzo słuszną była rada księcia de Ligne, który mawiał: „Nie bądźcie ani Prusakami ani Moskalami, bądźcie Polakami...“

„Aukcja wojska i poprawki wewnętrzne, oto cała nasza na teraz robota“ — pisał Stanisław August. Przedewszystkiem aukcja wojska była głównem pragnieniem większej części obywateli. Widocznem to było na sejmikach 1788 r. Szlachta czuła gwałtowną potrzebę silnego wojska, ale ciężar utrzymania jego zamierzała z rzucić — jak tego dowodziły instrukcje poselskie — na duchowieństwo, miasta i dobra pojezuickie, które — jak wiadomo — były przeznaczone na wychowywanie młodzieży. Przyszłością więc nowych pokoleń gotowa była okupić uprzywilejowane swoje położenie!

Sejm zgromadził się 6. października i na drugi dzień, po rozmaitych porozumieniach i umowach, zawiązał się w konfederację. Już samo zawiązanie się konfederacji po zagajeniu sejmu, a nie przed sejmem, jak o to starał się był król, wskazywało, że szlachta nie tylko nie przyłoży się do wzmocnienia władzy króla, ale będzie się starała nawet osłabić tę, jaką król był już zdobył, zwłaszcza od czasu utworzenia departamentu wojskowego (1776), zawdzięczając głównie wysokim zdolnościom organizacyjnym i pracowitości jenerała Komarzewskiego, a z drugiej strony temu, że hetmani, których zresztą władzę znacznie ograniczono, świecili tylko buławą a nic nie robili. Przeciwko więc departamentowi wojskowemu rozpoczęła się długa walka, która przytem przybrała charakter walki wpływu pruskiego z rosyjskim. Król — trzeba przyznać — okazał w tej walce wiele wytrwałości i taktu. Wreszcie 3. listopada uchylono departament wojskowy. Całą tę walkę ks. Kalinka opowiada szczegółowo, czyniąc często trafne uwagi.

Sejm konfederacyjny, ucieszony tem pierwszem zwycięstwem, zapomniał nawet o tem, że zebrał się był w innym celu, a nie w celu ograniczania władzy króla. Słusznie więc zawołał poseł gorzeński: „Mieliśmy Rzeczpospolitą wzmacniać, wojsko pomnażać, podatki uchwalać, a jak dotąd, wojujemy tylko z królem!“ Słuszność jednak niezawsze zgadza się z logiką faktów. Przeciwko królowi walczyli i ci, co chcieli zachować panowanie szlachty w Polsce, i ci, co zamierzali wprowadzić Rzeczpospolitą na nowe tory. Ci ostatni, chociaż nie stanowili większości sejmowej, przedstawiali jednak największą siłę moralną. Opozycja miała czyste pobudki, i to dawało przewagę posłom opozycyjnym. „Mówili śmiało, z tą siłą, jaką nadaje uczucie własnej bezinteresowności; mówili w przekonaniu, że nimi tylko dobro publiczne kieruje, kiedy w przeciwnym obozie podejrzenie, które padało na kilku winnych, osłabiało większość tych, co wcale — jak wspomnieliśmy przedajności winnymi nie były. A za tą przewagą opozycyjnych w kole sejmowem, musiała iść w stopniu jeszcze wyższym ich wziętość u publiczności, i kiedy zabierali głos, słuchano ich z sympatją i uszanowaniem; kiedy radzili, z góry przyklaskiwano, mniejsza o to — co, jak i dla czego? Charakter, który uchodził za niepokalany, stał za wszystko. Bo człowiek, który się nie sprzedaje, który kocha Ojczyznę i gotów poświęcić się dla niej, czyż może w swem zdaniu pobłądzić?... Całkiem inaczej było po stronie królewskiej; stamtąd i najsilniejsze racje nie skutkowały. W mowach tego obozu nie czuć było zapału, w radach nie było nic, coby do fantazji przemawiało, tylko przezorność i rachuba, poza którą domyślano się bez wyjątku: — albo ślepej dla króla uległości, albo — rubli moskiewskich!... (Kal., I, 279).

Uchwalone prawo o komisji wojskowej (20. grudnia 1788), jakkolwiek z wielu miar wadliwe, tę przynajmniej miało dobrą stronę, że rozwiązywało ręce sejmowi, uprzątało wewnętrzne zawady do powiększenia wojska, które było głównym celem i obowiązkiem zawiązanej konfederacji. Można było mniemać, że sejm przystąpi teraz bez zwłoki do uchwalenia podatków, ile że z zewnątrz nie było do tego żadnej przeszkody“. (Kal., I, 288). Ale sejmowi chodziło o odebranie władzy królowi. Wszczęła się więc walka o radę nieustającą, tembardziej nieunikniona, że Rada była „obcym pomysłem i obcą przemocą“ — jak się wyraził Ignacy Potocki — i ukończyła się 19. stycznia 1789 r. zniesieniem tej instytucji ogromną większością głosów: 120 przeciw 11, 62 posłów wstrzymało się od głosowania.

Zwaliwszy dzieło rąk moskiewskich — jak powiadano — „dwie (depart. wojskowy i Rada!) celniejsze sprężyny moskiewskiego rządu w Polsce“ (str. 69, Kołłątaj, „O ustanowieniu i upadku konstytucji 3. maja“, Biblioteka Mrówki); większość sejmowa — jak to musiało nastąpić z natury rzeczy — zaczęła się rozpadać. Stronnictwo hetmańskie chciało teraz wyzyskać dokonane osłabienie władzy królewskiej na korzyść władzy hetmana. Zaczęło więc szerzyć pogłoski o buntach chłopskich na Ukrainie i w celu jakoby ich uśmierzenia postawiło dziki wniosek, napiętnowany z godnością przez posła Wawrzeckiego, wniosek pospolitego ruszenia szlachty na chłopów. Wniosek ten wzbudził w opozycji silną nieufność do hetmana i jego stronników. „Między opozycyjnemi — pisze król — powstała defidencja do hetmana Branickiego. Jedni, tak jak i my, suponują, że on wraz z wojewodą sieradzkim*), jedynie na to magnifikuje wszystkie pozory buntu chłopskiego!, aby pretekst rozpoczętej już wojny domowej postawił go na czele wojska i powagi w kraju, a wojewodzie sieradzkiemu dał przy nim sposobność grabienia i bogacenia się, czego, jako zrujnowany, wielce potrzebuje. Drudzy idą jeszcze dalej, że gdy tylko raz dorwie się hetman komendy nad znacznym zbiorem i dawnego i nowego wojska, wtedy razem będzie się deklarował przy Moskwie przeciw Turkom, chcąc tym jednym ciosem zostać sam i potężny w kraju, i poważany za granicą**). Odtąd hetmana Branickiego nieustannie podejrzywano, i dość było ażeby jego partja zaczęła co gorliwie popierać, ażeby zniechęcić do tego opozycję. Taki był wypadek z milicjami popisowemi. Pomimo, że ten projekt podobał się był średniej i uboższej szlachcie, pomimo że Kołłątaj oświadczał się za nim — nie przyszedł on nawet pod obrady sejmowe.

(Dokończenie nastąpi).

*) Michał Walewski.

**) Król i wielu posłów było nawet tego zdania, że puszczane pogłoski o buntach chłopskich miały właśnie na celu pobudzić chłopów do buntu. „Te wszystkie odgłosy o buntach — pisze do Olizara — od czterech miesięcy umyślnie na to były rozsiewane, aby to samo chłopstwo, które obecnie nie myślało, pobudzić do buntu, a potem niby przez zasługę zgromienia tego buntu, dogadzać ambitnym projektom, takim, które nigdyby się nie zgodziły z dobrem powszechnem ani z wolnością sejmików“. Str. 114. Korespondencja krajowa Stanisława Augusta. Poznań, 1872.

ZIARNKA.

„Pan Lam poszedł w konserwatysty“ — oto co sobie opowiadają a propos ostatnich kronik lwowskiego dowcipnisia, z których w jednej puścił się na filozoficzne wywody o powstaniu wszechświata, i posunął się do tak monstrualnego twierdzenia, że „nikt nigdy nie twierdził, żeby materja była wieczną“, a w drugiej—zidentyfikował się z „inaczej myślącymi“. Nowina ta, dla nas nie jest żadną nowiną. P. Lam był i jest

reakcjonarjuszem pod każdym względem — talent ma, ale wszystko co pisze, to bardzo płytkie i dawno przebrzmiałe. W ostatnich czasach dekadencja jego umysłowa coraz większa, a publiczność wzrusza już tylko ramionami czytając jego arlekinady. Oto do czego dochodzi talent — bez silnych a jasnych zasad. Kto wie czy jeszcze p. Lam nie będzie pisywać klerykalnych humoresek ks. Podolskiemu! Piękne te dwie dusze zrozumiałyby się teraz już całkiem dobrze... Drugim wypadkiem dnia jest pojawienie się powieści Koszczyca w „Gazecie narodowej" pt. „Szermierz przeznaczenia". Już sam tytuł jest nielogicznym — przeznaczenie bowiem, jeżeli jest jakie, żadnego szermierza nie potrzebuje — da ono sobie radę we wszystkiem i bez pana Koszczyca. Ale mniejsza o tytuł. W tekście tam dopiero dziwolągi! Czytając „Szermierza" zdaje się, żeśmy się przenieśli w jakieś strony, gdzie nie dotarł jeszcze promień cywilizacji. Takie to wszystko cudackie, zamotane, pozbawione treści i myśli. Dodajmy jeszcze do tego styl bombastyczny w przerażający sposób — a będziemy mieli całość skończoną. Dziwna rzecz, co mogło skłonić „Narodówkę" do drukowania tego unikatu w naszej spółczesnej literaturze!

Z teatru mamy do zanotowania „Palestranta", lichą operetkę Millöckera. Treść tej sztuki pozbawiona dowcipu, a muzyka jest zlepkiem znanych z innych operetek motywów. Ślicznie dyrekcja p. Miłaszewskiego pieczętuje swoją „zasłużoną" działalność.

W sobotę odbył się benefis p. Bocskay, z którego dochód artystka ofiarowała na pomnik dla śp. St. Dobrzańskiego. Świadczy to pięknie o beneficjantce.

* * *

Czytamy w „Przeglądzie tygodniowym" „Mój Boże, żyję sporo lat i zdawało mi się, że rozumiem słowo „autor" — aż w tem szast, prast, i aniołowie wzięli całą moją znajomość tego słowa. Owo szast, prast, jest to sobie książka wydana na welinie we Lwowie r. 1883 p. t. „Sobieski w poezji polskiej", zestawiona przez „*autora* Antologii polskiej". Jakim sposobem można być autorem „Antologii" i chełpić się tem mianem na zbiorku obcych utworów, o tem może pouczyć jedynie p. W. B. we Lwowie. Pomijając jednak tę kwestję, przeglądnijmy „Głosy poetów polskich", o Sobieskim. Przedewszystkiem układający a raczej „autor" (może tacy rzeczywiście na bruku lwowskim nazywają się autorami?), jest wyższy po nad wszelki porządek chronologiczny, wszystko mu jedno, czy to poeta z XIX czy też XVII lub XVIII wieku — a przecież nie była to znów praca „autorska" nad siły, by zestawić utwory poetów w ten sposób, by każdy wyrażał swe pojęcie i zrozumienie Jana III. Wprawdzie zbierający chciał w pierwszej części utrzymać porządek biograficzny—że jednak nie każda chwila wierszami jest upamiętnioną, nie rozumiemy potrzeby togo układu mięszanego. Zresztą wydanie piękne, nawet ozdobne..."

* * *

Gdy już powyżej mowa o dwóch wydawnictwach lwowskiego nakładcy p. H. Altenberga (następcy F. Richtera), dodać należy, że takie wspaniałe tegoż edycje pod względem typografii, jak ilustrowana „Antologia poetów polskich", „Antologia poetów obcych", „Pan Tadeusz" z ilustracjami Andriolego, „Mohort" z ilustracjami Kossaka, mogą iść śmiało w zawody z najwybredniejszemi w tym kierunku produktami zagranicy, a skutkiem wcale przystępnej ceny, powinnaby znajdować się w każdym domu polskim — tak w bogatym salonie, jak w skromnym pokoju bawialnym. Nieśmiertelny „Pan Tadeusz" w nader eleganckiej i gustownej oprawie, jak niemniej „Mohort" i obie „Antologie", są to cacka prawdziwe, które bez kwestji lepiej poświadczą o właścicielach, niżeli najozdobniejsze nawet tego rodzaju okazy, francuskie lub niemieckie...

* * *

Jedno z pism tutejszych zamieściło niedawno ciekawą recenzję naznaczoną lit. W. K., na którą nie zwróciliśmy uwagi, aż przypomniał nam ją Kurjer Paryski" powtarzając z wielkiemi pochwałami. Powtarzamy je jako curiosum.

„Na przepadłe imię, kartki z niedokończonej tragedji. Dwie to gawędy orlem piórem skreślone. Kartki wierszowe, mądrością ducha napiętnowane, równej wartości i siły, co Księgi Hijobowe. Trudno o poetyczniejszy a zarazem prawdziwszy obraz męczeństwa bohaterskiego. Klęcząc u podnóżka tronu Bożego, wydobywa autor ze swej wieszczej liry nuty do przyszłej epopei polskiej. Pjewca natchniony otwiera skarbnicę ideałów prawdziwych, skąd powstali nasi wieszczowie genjalni."

„Po barbarzyńskim najeździe pozytywizmu w sfery duchowe, a stańczykostwa w polityczne życie narodowe, poezja nasza umilkła chwilowo zgrozą zdjęta, również dla niej wstrętnemi ukazały się stęchłe moczary dobrobytu, wyklętego już dawniej w Księgach Pielgrzymstwa, jak i służalstwo podłące się z zaprzańswem. Próby rymotwórcze z Parnasu pastewnego i niewolniczego, poczęte na poziomie powszedności w zgniłej nauce lub zacietrzewionej doktrynerji, odstraszają od poezji i wstręt do niej budzą u polskiej publiczności. Ginie wśród nich parę nutek poetyckich, tak zakneblowanych cenzurą najezdników, wyrodków i bibliopolów chamską ręką wciskających je do plugawego worka, lub naginających pod jarzmo kaudyńskie, kwilą one na prokrustowem łożu przemocy, ale bez widocznej korzyści dla ogółu. Mistrz w tej chwili rzuca imię swe głośne na przepadłe aby, przykładem z siebie powiedzieć to samo, co Matejko obwieścił uczniom szkoły sztuk pięknych, że dla nas zesromoconych niewolą, dostępne są tylko ideały patrjotyzmu niepodległego, jak Bóg przykazał."

Konia z rzędem temu, kto zrozumie całe to bałamuctwo nadęte!

ZAPISKI.

Literatura.

* „Biblioteka Mrówki" (wydawana przez Księgarnię Polską) pomnożyła się poemacikiem Leonarda Sowińskiego pt. Petro. Jest to kilka obrazków z życia ludu wiejskiego na Podolu, przed laty kilkudziesięciu, nakreślonych z prostotą i nader wiernem odwzorowaniem natury.

* Księgarnia nakładowa lwowska H. Altenberga (przedtem F. Richtera) wydała już z „Biblioteki klasyków polskich" 6 tomów, w nader starannej i ozdobnej formie, mianowicie: tom poezyj Węgierskiego, 2 tomy Jana Kochanowskiego i 3 tomy dzieł Krasickiego. W krótkim czasie zapowiedziano ukazanie się 6 dalszych tomów. Przystępna cena tego wydawnictwa, (1 zł. 20 ct. za tom) powinna by mu zjednać szerokie koła nabywców w naszym kraju.

* „Kłosy" warszawskie zamieściły w ostatnich czasach niedokończony dramat Mieczysława Romanowskiego pt. „Wanda"..

* P. Kaz. Waliszewski wydał w Poznaniu: Listy Katarzyny z Potockich Kossakowskiej, zgromadzone ze zbiorów Wilanowskich, Fr. Kulczyckiego i z arhiwum w Rosi, w pow. Wołkowyskim, gub. Grodzieńskiej. Publikacje te posłużą może do okazania w prawdziwem świetle słynnej u nas swojego czasu kobiety.

* „Mapa hydrograficzna dawnej Słowiańszczyzny, W. K. Część zachodnio-północna. Wilner freres a Teplitz, Boheme — Rzeki i Jeziora. Tekst objaśniający do mapy hydrogr. dawnej Słowiańszczyzny, części północno-zachodniej przez W. K. Warszawa 1883". Ważną przysługę nauce geografii Słowiańskiej oddał prof. Walery Kopernicki, starannem wypracowaniem mapy powyższej, oraz tekstu odpowiedniego. Dał on na jednym arkuszu dokładną siatkę rzeczną, na której mogą być zarysowane granice działów wodnych, będących podstawą granic etnograficznych, administracyjnych i politycznych, w historycznem ich przekształcaniu się i zmianach.

* Prof. med. uniwersytetu Warszawskiego. Dr. L. Neugebauer wydał równie zajmującą jak pouczającą pracę: O narzędziach chirurgicznych, odnalezionych w ruinach Pompei i Herculanum. Jest to praca posiadająca wysoką wartość naukową, nietylko jako przyczynek do historji chirurgi, lecz i pod względem filologicznym i archeologicznym. Dzieło zawiera nadto liczne podobizny chirurgicznych narzędzi starożytnych.

* We Wiedniu wyszło dziełko znanego z kilku prac historycznych Maurycego Smets, p. t. Wien in und aus der Türken Bedrängnis (1529-1683), w którem omawiając oblężenie Wiednia, kieruje się prawdą historyczną i sprawiedliwością, i nie tylko nie pomija, ale przeciwnie kładzie zasługi Jana III na pierwszym planie. Rara avis!

* Sully Prudhome, jeden z najznakomitszych współczesnych poetów francuskich, napisał w kilkunastu strofach poemat p. t. Wenus z Milo. Arcydzieło to w swoim rodzaju, jak zapewnia p. Sarcey, znakomity krytyk paryski, w odczycie mianym przed liczną publicznością, nie wyszło dotychczas z druku, ale krąży dopiero w licznych odpisach wsród przyjaciół i wielbicieli utalentowanego poety.

* W „Revue Alsacienne“ znajdujemy ciekawy artykuł p. t.: „Kleber et Dombrowski“, rozprawiający o stosunkach naszego wodza-legjonisty ze zwycięzcą z pod Heliopolis.

Sztuki piękne.

* Kościół św. Piotra w Krakowie posiada pomnik ks. Piotra Skargi, piękną ambonę, z której kazał, a w podziemiach grób Skargi. Grób otwieranym bywał zawsze, ilekroć zwidzający pragnęli go oglądać; wszelako wejście przykre i pozór piwniczny, nie każdego zachęcały do zejścia w podziemie. Restaurator grobów królewskich na Wawelu, a grobu Długosza na Skałce, p. Łepkowski, od dawna przemyśliwał nad odnowieniem grobu Skargi. Chodziło atoli o uzyskanie funduszu, którymby było można tę piwnicę przemienić na kryptę, odpowiednią czci narodu dla Skargi. Dzieło to już jest dokonane. Ściany grobu zostały zrównane, otynkowane kufsztańskiem wapnem, zaprowadzono wentyle, tak że w podziemiu oddycha się tem samem powietrzem, co w kościele. Wejście do grobu ze środka nawy kościelnej mile czyni wrażenie. Drzwi metalowe z napisem „Grób Skargi“ ujęte w obramienie z czarnego marmuru, mają pozór bronzu i bardzo staranne okucie według rysunku p. Ludwika Łepkowskiego. Zbudowano wygodne kamienne schody, któremi schodzi się do sklepu pierwszego, jakby do przedsionka, zkąd na lewo krypta z sarkofagiem biskupa Andrzeja Trzebickiego. Wejście środkowe wiedzie do grobu Piotra Skargi. Na zrestaurowanym świeżo piedestale stoi trumienka cynowa ze zwłokami, obok niej kamienna (z roku 1845) ze szczątkami sutanny. Trumna metalowa ornamentowana w stylu rococo, przykuta do kamiennego postumentu łańcuchem — na wierzchu trumny księga, po bokach blachy z napisami, które świadczą, że fundatorką tej trumny była Katarzyna z Sobieskich Radziwiłowa, siostra króla Jana III, żona wojewody wileńskiego, podkanclerzego litewskiego i hetmana polnego w roku 1695. Grób oświetlają metalowe świeczniki odznaczające się smakiem i ładnem wykończeniem. Restauracja dokonaną została sumptem wdowy po ś. p. Maurycym Poniatowskim (córki Michała Grabowskiego), pani Elżbiety Colonna Czosnowskiej.

* W ostatnim, lutowym zeszycie francuskiego miesięcznika L'Art, poświęconego sztuce pojawił się bjograficzno - krytyczny artykuł o nieodżałowanym twórcy „Zgonu Barbary“ ... Simlerze.

„Imię — pisze na wstępie autor p. L. de Veyran, nieznane prawie publiczności paryskiej, lecz rozgłośnie brzmiące nad brzegami Wisły, zdobył sobie Józef Simler znakomitym obrazem, przedstawiającym „Śmierć królowej Barbary“, epizod jeden z najbardziej wzruszających i poetycznych w historji polskiej.“

„Urodzony w Warszawie roku 1823, syn niezamożnego tapicera, który o innym, niż jego własny, zawodzie nie marzył dla dziecka, Simler czuł już od pacholęctwa nieprzeparty pociąg do sztuki, której stać się miał tak świetnym przedstawicielem. Ojciec czyniąc zadość gorącym pragnieniom syna, wysłał go do Drezna... Srebrny medal tamtejszej Akademji i żywe zainteresowanie się młodzieńcem późniejszych jego przewodników w Paryżu, Bendemanna, Genell'ego i Delaroche'a, potwierdziły nadzieje w nim pokładane. W r. 1848 wraca Simler do kraju jako skończony artysta, i zwraca na siebie uwagę obrazami religijnej treści. W kilka lat potem zwidził Włochy, gdzie przedewszystkiem Rafael i Fra-Angelico byli dlań przedmiotem niewyczerpanych studjów“

„Od tej daty rozpoczyna się zawód Simlera, jako historycznego malarza. Do zalet najwybitniejszych artysty, wzorowego rysunku i szlachetności kompozycji, przybywa jeszcze jeden pierwiastek, głębokie uczucie, ożywiające każdy obrany przezeń przedmiot... To też przejawia się ono we wszystkich jego utworach historycznych, w „Zgonie Barbary“, w „Dworze Zygmunta Igo“, w „Więzieniu Jana finlandzkiego“, w „Przysiędze Jadwigi“. Z drugiej strony dwieście portretów rozmaitych osób, wyszłych przez czas krótki artystycznej działalności przedwcześnie zgasłego artysty, służą za dowód jego wziętości u ziomków“.

Pan Veyran zwraca szczególniejszą też uwagę na sympatyczną, szlachetną nieskazitelnego charakteru postać samego człowieka.

„U Simlera — pisze — wielki talent szedł w parze z wzniosłą duszą, ze szlachetnem sercem. Kochał on wszystko co piękne i wielkie, i utwory jego były w zupełnej harmonji z jego charakterem. Najlepsze swe pomysły znajdował w głębi własnej duszy. W życiu prywatnem odznaczał się prostotą i skromnością“.

Nie pominął też sumienny autor niezwykłego oczytania Simlera, oraz biegłości jego w literaturze klasycznej i w teologji, a mówiąc o częstych i miłych zebraniach literatów i artystów w jego gościnnym domu, wspomina o bytności swej u Simlera, podczas której najlepszą miał sposobność podziwiać głębokie i trafne poglądy jego na sztukę w ogóle, i na rozwój jej w dzisiejszych czasach.

Rozwój ów polskiemu artyście, przeniknionemu do głębi wysoce religijnem uczuciem, zdawał się na błędne skierowywać drogi — to też w ostatnich latach życia znowu wrócił do religijnego malarstwa, chcąc niejako być apostołem właściwego kierunku w sztuce.

Śmierć wytrąciła mu pędzel z ręki w 45ym roku życia...

* Koło literacko-artystyczne krakowskie przeznaczyło z dochodu balu kostjumowego oprócz 1000 zł. na zakupno „Gladjatora“ Wełońskiego i 1000 marek na teatr poznański — 500 złr. na zakupno i wykonanie w marmurze „Opuszczonej“ ś. p. Stanisława Lipińskiego.

* Wereszczagin pracuje obecnie nad nową serją obrazów, przedstawiających sceny z życia kaukaskiego. Artysta zamierza tę nową kolekcję wystawić na widok publiczny w Wiedniu.

* W kołach artystycznych monachijskich wielkie obudził zajęcie obraz olejny, malowany na szkle, nową metodą, wymyśloną przez malarza L. Pachera, a przedstawiający zachód słońca widziany z terasy w Bogenhausen. Chodzi tu o nowy sposób malowania na szkle, które nie zależy na wpalaniu farb w szkło; szyba pomalowana jest na obu stronach farbami olejnemi, a płaszczyzna szkła nie jest gładka lecz chropawa.

Miscelanea.

Miasto bez kobiet odkryto nareszcie. Znalazł się więc raj dla starych kawalerów, zgryźliwych uczonych, dla których śmiech srebrny dziewczęcia i krzyk dzieci jest piekłem. Czy daleko leży to miasto, pyta zawiedniały filozof, twierdzący, że wszystko złe na świecie sprowadziły kobiety poczawszy od Ewy i Pandory, a skończywszy na owych kobietach, o które dopytuje się Dumas wołając: Cherchez la femme! Dość, niestety daleko, z pewnością dalej, aniżeli może się wybrać schorzały nieprzyjaciel kobiet, lub zasuszony mól książkowy. Miasto to zwie się dziwnym sposobem Majmaczyn, pomimo to, że maj rozkoszy miłosnych jest zdala od niego.

Wiadomość o niem podaje Henry Lansdell w opisie podróży po Syberji i powiada, że leży ono na granicy chińskiej, w południowej stronie Kiachty. Maj-ma-czin znaczy po chińsku „kupować i sprzedawać“, co w tym razie jest charakterystycznem, bo Majmaczyn jest istotnie wielkiem targowiskiem. Miasto liczy 3000 dusz i to samych dusz męskich! Ani jednej kobiety tam niezobaczysz, nie usłyszysz jęku dziecięcia. Mimo to mieszkańcy tamtejsi nie są wszyscy kawalerami; wielu ma rodziny w Chinach, ale rząd państwa niebieskiego, chcąc ochronić swych poddanych od zopsucia w pobliżu rosyjskiej granicy, niechce, aby kobiety mieszkały w Majmaczynie. Miasto jest zamieszkane tym czasem tylko przez kupców, którym niewolno tam mieć własnych posiadłości. Mąż chcący odwidzić swoją żonę, musi odbyć cało miesięczną podróż przez puszczę na wielbłądzie. Oprócz Chińczyków mieszka tam jeden Anglik, który, powiadają, umknął przed kłótliwą żoną; odtąd też każdy mąż chcąc uspokoić swoją żonę może jej powiedzieć: — Jeżeli nie przestaniesz się kłócić, pojadę do Majmaczynu.

Treść.

„Przegląd literacki“ — odrodzony.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
Wiersz niedrukowany Juljusza Słowackiego.
Mazanowski A.: Balladomania. (c. d.)
Ama: Golda (c. d.)
Złodziej leśny.
„Armia Zbawienia“.
Przegląd literacki.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 11. We Lwowie dnia 10. Marca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Zasada powagi*).

Dwa prądy ścierają się bezustannie w rozwoju dziejowym ludzkości: powaga i wolność, tradycja i postęp. Wziąwszy pod uwagę niezbyt długi okres dziejów, zdaje nam się prawie, jakoby te dwa prądy ważyły się nawzajem, jakoby raz tradycja raz wolność górę trzymała, słowem, jakoby postępu stanowczego nie było, a ludzkość stała na miejscu. Skoro zaś zmierzymy okiem dłuższy okres dziejowy, a tem bardziej całą przestrzeń wiadomą, którą ludzkość dotąd przebiegła, wnet wśród zygzaków pochodu dziejowego odkryje się nam teren, krok za krokiem zdobywany przez ducha postępu w walce z powagą, — i otucha w nas wstępuje.

Dość porównać stan cywilizacji europejskiej w wiekach średnich z dzisiejszym jej stanem, i przypomnąć sobie główne etapy rozwoju społecznego w tym całym okresie, aby się przekonać o prawdzie powyższego zdania.

Gruby pomrok niewoli i ciemnoty z trudnością tylko i zwolna ustępował wobec działania takich czynników, jak wynalazek Gutenberga, jak odkrycie Ameryki, reformacja, wielka epoka odrodzenia, odkrycia naukowe Koperników, Newtonów i Galileuszów. Żadne jednak z tych wydarzeń dziejowych nie przeszło bez pozostawienia zbawiennych następstw, a następstwa te sumując się sprawiły, że ludzkość w swym pochodzie postępowym coraz bardziej przyspieszała kroku. W ostatnim wreszcie stuleciu działanie idei postępowych i reakcja autorytar na tak często się luzują, że ten proces przypływu i odpływu wolności coraz bardziej staje się podobnym do drgania wahadła, z tą jednak różnicą, że okresy reakcyjne stają się coraz krótsze, okresy zaś wolnościowe coraz dłuższe i silniejsze. Największą zaś zdobyczą nowszych czasów jest to, że ludzkość, która dawniej zdobywała sobie wolności prawie bezwiednie, wśród obrony własnej, dziś w swej walce o wolność coraz bardziej się uświadamia, a to głównie dlatego, że coraz lepiej poznaje wroga wszelkiej wolności. Wrogiem tym jest *zasada powagi* czyli autorytetu.

Zasada powagi jest zasadą, mocą której życie pojedynczego człowieka i życie ludów opiera się na poszanowania tradycji. Powaga jest potęgą, i działa jako potęga przez samo istnienie swoje, a nie przez żadne powody rozumne. Jej środkami działania są: przymus i bojaźń. Ona opiera się na dobrowolnem lub przymusowem poddawaniu się umysłów pod jarzmo istniejących stosunków.

Zasada powagi może być zastosowaną w kościele i państwie, w społeczeństwie i w rodzinie, a nawet w zakresie poznania ludzkiego jako zasada poznania i pewności.

W okresie poprzedzającym rewolucję francuską, rewolucję, która stała się matką wszystkich swobód, wszystkich zdobyczy postępowych, któremi się dziś szczycimy, rewolucję, której dziećmi chcąc niechcąc wszyscy jesteśmy — w okresie owym zasada powagi objawiała się we wszystkich zakresach powyżej wskazanych.

Rewolucja wybuchem swoim nie we wszystkich odrazu zakresach życia duchowego obaliła tę zasadę: rugowała ją krok za krokiem, stopniowo. Okazało się zaś wówczas, że istnienie jej we wszystkich zresztą sferach życiowych, zawisłem jest od istnienia jej w sferze, która uważaną bywa za najwyższą, t. j. w kościele. Kościół bowiem jako powaga, udzielał swojej powagi wszystkim innym działom życia społecznego (np. królestwu z „bożej łaski", małżeństwu pojętemu jako sakrament i t. d.) Powagą kościoła stała i wraz z nią runęła zasada powagi u wszystkiah powag drugorzędnych. Jak tylko powaga kościoła była podkopaną, wnet w upadku swoim pociągnęła za sobą i inne powagi.

Gdy po burzy rewolucyjnej nastąpiła reakcja, obrońcy autorytetu, a raczej ich rozbitki, wnet zaczęli odbudowywać zwalony gmach powagi, i znowuż zaczęli stawiać go w tym punkcie, w którym nim naprzód wstrząśnięto, — zaczęli od powagi religijnej.

Cała epoka restauracji we Francji przedstawia nam obraz dążności do odbudowa-

---

*) Szkic niniejszy oparliśmy przeważnie na znakomitym wywodzie walki autorytetu z wolnością w epoce restauracyjnej, zawartym w trzecim tomie Brandes'a „Haupströmmungen der Litteratur des 19. Jahrhundertes."

ia zasady autorytetu: naprzód w kościele, potem w państwie i w rodzinie, w społeczeństwie i w nauce. Szermierze tacy jak Bonald, i de Maistre (Józef), Chateaubriand i Laumenais, stają do walki z filozofią 18. wieku, z filozofją, która obwieściła wolność badania i krytyki, i przeciwstawiła tę wolność powadze i tradycji.

De Maistre zwalczając teorje Jana Jakóba Rousseau staje wyraźnie w obronie powagi, i uczy że „jest to zarozumiałością wobec Boga nie mieć zaufania do rzeczy nie przewidzianych“, i że „każdy rząd ustanowiony przez prawo, jest uzurpacja owagi prawodawcy boskiego“. Bonald zaś stara się wykazać, że społeczeństwo opiera się na stosunku ojcostwa i zawisłości, władza zaś spoczywa u Boga samego, i przez niego bywa udzielaną. Laumenais wreszcie w swojej epoce reakcyjnej twierdzi, że „prawdziwą religią jest ta, która spoczywa na jak *największej powadze widomej*“.

W jednem zdaniu Bonalda streszcza się cały pogląd obrońców powagi i tradycji. „Bóg — mówi ten autor — jest nieograniczoną *władzą* nad całą ludzkością, głowa państwa jest *władzą* nad wszystkimi poddanymi, głowa rodziny jest *władzą* w domu. Ponieważ wszelka władza stworzoną jest według obrazu Boga, zatem wszelka władza jest absolutną“. W tych słowach Bonalda zawiera się ostatnia konsekwencja zasady powagi. Zasada ta przedstawia nam się jako zasada *zaparcia się własnej istoty*, w przeciwstawieniu do zasady indywidualnego poczucia i osobistego badania. Jestto owa wielka zasada *teokracji*, samowładzy Boga w przeciwstawieniu do władztwa ludu; zasada *autorytetu i siły* w przeciwstawieniu do zasad wolności, praw człowieczych i solidarności obowiązków.

Działanie tej idei odbija się wszędzie. W państwie widzimy, jak pod jej wpływem w miejscu zasady prawa powstaje zasada siły, którą nazywają władzą boską, wywodząc z niej królestwo z bożej łaski. W społeczeństwie ruguje ona ideę braterstwa, i na jej miejsce stawia stosunek patrjarchalny nawpół tyrański, a w miejsce równości stawia zasadę zawisłości. W dziedzinie moralnej znosi ona prawo wewnętrzne, wskazuje na sobory i bulle. Religię określai ona nie jako wiarę, lecz jako przymus, jako „kajdany polityczne“ wedle wyrażenia mężów rewolucji. Podnosi z naciskiem nierozerwalność umowy w małżeństwie i w pastwie. Uczy, że człowiek otrzymał mowę wprost od Boga, i w ten sposób niszczy w zarodku wszelką filologię. stawiając nad jej trupem wielką piramidę teologiczną. Uniemożebnia wszelką naukę poznania, gdyż wstrzymuje badanie ciągłem wskazywaniem na jak największą widomą powagę. Zatruwa młode pokolenie, oddając wychowanie jego w ręce — jezuitów.

Porządek i harmonia! Oto hasła obrońców zasady powagi. Tak jest, porządek i harmonia! Lecz świat musi się nauczyć i nauczy się wreszcie, chociażby na to i kilku wieków potrzeba, że porządek i harmonia są dziełem dowolnego prawodawstwa lub kodeksu karnego i opinii publicznej, opierających się na tradycji i powadze. Niemasz rozumnego urządzenia społeczeństwa, jak to, które się opiera na naukowem rozpoznaniu organizmu ludzkiego. Wszelkie społeczności tak rodziny, jak państwa, nie istnieją same dla siebie, lecz dla osobników, istnieją na to, aby te osobniki osiągnąć mogły pewne wielkie cele i dobra. Celami takiemi są: czystość obyczajów, wychowanie dzieci, obrona kobiet. Gdyby więc te cele nie dały się osiągnąć inną drogą, jak tylko tą, którą wskazuje zasada powagi, to wolność w tych działach życia społecznego musiałaby być uważaną za przekleństwo. Skoro zaś cele te inną drogą, być może nawet *lepiej* inną drogą dadzą się osiągnąć, — a trudno zaprzeczyć tej możliwości, skoro nareszcie tradycyjną drogą wcale prawie nie zostały osiągnięte, wtedy koniecznem jest wolne badanie bez żadnych względów i bez najmniejszej obawy przed jakimkolwiek autorytetem.

„Ja — mówi Brandes — z mej strony konstatuję tylko to, że zasada powagi jako zasada, która zagradza drogę wszelkiej dyskusji, jest najgorszą, najgłupszą, najbardziej poniżającą ze wszystkich, i że ona sama siebie potępiła. Ktokolwiek przez to, że wyszydza lub zabrania wolnej dyskusji na jakiemkolwiek polu społecznem, staje się powodem, że jedna lub druga a chociażby tylko jedna szczególna — hipoteza użyteczna dla ludzi, nie śmie się ukazać na światło dzienne, lub nie może być badaną i porównywaną z rzeczywistością, staje się zbrodniarzem, dla którego najostrzejsza kara nie będzie za ostrą“... *L. I.*

„Illegitimi Thori“.

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Zamilkła, przy jasnem świetle księżyca Jędruś ujrzał łzy w czarnych oczach towarzyszki, i rzeczywiście żal mu się jej zrobiło. Wziął jej rękę, podniósł do ust, pocałował, i rzekł z nieudanem zakłopotaniem:

— Doprawdy... zawstydzasz mnie pani, darząc szczególniejszemi względami, których dotychczas nie zasłużyłem sobie, a z drugiej strony ogromnie znów przeceniając wartość mojej przyjaźni... Mój Boże, tysiące ludzi spotkać można co krok, którzy niechybnie godniejsi są sympatji kobiety tak poczciwej i rozumnej, jak pani panno Karolino...

— Nie przeczę, że miałam i mam szczęście do ludzi ... ale wyznam otwarcie, że człowieka panu podobnego nie spotkałam jeszcze... Chyba w końcu przypuszczać zacznę, dodała z uśmiechem zalotnym, trzymając w swej dłoni rękę Jędrusia, — żeś mię pan oczarował, panie Andrzeju, że...

— Jezus, Marja! — w tej chwili krzyknęły naraz Jaś i Małgosia, odskakując w tył. — Coś tam leży panno Karolino. A takie duże... — wyrecytowała drżącym z przestrachu głosem Małgosia, tuląc się do nauczycielki. Wskazywała o parę kroków naprzód, gdzie wał wysokiej pszenicy zacieniał zupełnie węższą w tem miejscu drogę polną. Rzeczywiście widać tam było coś, jakby dużą bryłę, poruszającą się chwilami. Jaś tymczasem roztropnie zretirował się już za plecy pana dyrektora.

Jak się domyśleć nietrudno, Jędrusiowi jako „mężczyźnie“ należało zbadać inkryminowany objekt, który tak niespodzianie wlazł w drogę wywnętrzającej się do głębi serca pannie Karolinie, i całe towarzystwo przestraszył. Przystąpił tedy do owej bryły, pochylił się, i po chwili obserwacji z wielkiem zdziwieniem zawołał:

— Wszak to jakaś biedna kaleka... bez ręki, która widocznie zaniemogła tu niespodzianie..

— Prędzej może upiła się w karczmie i teraz się wyspia na świeżem powietrzu... — dorzuciła z niechęcią p. Karolina, zła, że to spotkanie przerwało jej interesującą rozmowę z Jędrusiem.

Małgosia zasłyszawszy, że to kaleka i prawdopodobnie słaba, jednym skokiem znalazła się koło nieznajomej. „Co wam jest, biedna kobieto“! pytała przyklęknąwszy koło niej i drąbną rączką usiłując podnieść bezwładnie leżącą głowę żebraczki. Chora nie odpowiedziała, bo widocznie była bezprzytomna.

— Trzeba ją w jakiś sposób przenieść do dworu, bo tu jeszcze umrze bez ratunku... Boże mój Boże, biedna kobieta... mówiła Małgosia łamiąc ręce, i już jej się na płacz zbierało.

— Ależ uspokój się Małgosiu, czyż warto to tak interesować się i kłopotać jakąś babą, która najpewniej jest pijana! Gdy się wyspi, powlecze się jutro dalej! — perswadowała z chłodem i spokojem panna

Karolina, przystępując zwolna i z powagą do klęczącej ciągle Małgosi.

— Panna Małgosia słusznie mówi — wtrącił Jędruś niemile dotknięty zachowaniem się i obojętnością panny Karoliny. — Widać przecie, że ta biedaczka chora, i żadną miarą nie godzi się zostawić ją tutaj... Pobiegnę do dworu po dwóch parobków.

— Tak, tak, niech pan prędko idzie, my tu zostaniemy tymczasem koło niej — wtrąciła szybko Małgosia.

— Dobrze, ale w takim razie zawczasu, przygotuj się pan, a i ty Małgosiu także, na burę od ojca.. Znasz go przecie, że nie pozwala zatrudniać sługi bez swojej wiedzy — zauważała przezornie panna Karolina.

— Już ja tateczkę przeproszę... leć pan czemprędzej panie Andrzeju...

Gdy Jędruś pędem strzały pobiegł do niedalekiego ztąd domu, panna Karolina nie mogła się powstrzymać, ażeby surowo nie wyrzucić Małgosi, że wcale nieodpowiednio dla panienki jej wieku znalazła się była przed chwilą... Klękać na ziemi dla jakiejś tam żebraczki, i to koło młodego mężczyzny, — bo Jędruś także pochylony był nad chorą, — to nie a propos dla panienki dobrego domu... — strofowała gorliwa nauczycielka. Małgosia milczała, bo łagodne dziewczę nie odważyło się nigdy tłumaczyć lub protestować, jeno potem rozpłakała się rzewnie, nie rozumiejąc, za co otrzymała naganę.

W kwadrans zjawił się Jędruś z dwoma parobkami, i nieprzytomną kalekę zaniesiono za poradą jednego z nich, do stojącego na uboczu mieszkania żonatych fornalów. Panna Karolina wróciła z dziećmi do domu, chmurna i zła w duchu, Jędruś poszedł zająć się kaleką. Po kilkogodzinnych cuceniach przyszła do siebie; pokazało się, że biedaczka idąc pieszo z daleka do wsi rodzinnej, przez kilka dni prawie nic w ustach nie miała. Wypocząwszy przez dwa dni, a zaopatrzona przez Jędrusia jakim takim groszem, powlokła się staruszka dalej, błogosławiąc jego i „śliczną panienkę,“ która również przyniosła jej była węzełek z pożywieniem na drogę, i kilkadziesiąt centów. Cały to był zapas Małgosi, który miała uskładany z owych chwil rzadkich, gdy tatko rad z jakiegoś interesu, zarobiwszy dajmy na to tysiąc guldenów, dał dzieciom po szóstaczku, zalecając by go szanowały, bo to „duży już pieniądz“ na te ciężkie czasy!

* * *

Miesiące szły w Zrębach zwykłym trybem — dzieci państwa Wilskich robiły znaczne postępy w nauce, do której się nawet przykładały z widocznem już zamiłowaniem, — a i stosunek rzekomej przyjaźni ścisłej, w który panna Karolina zręcznie wplątała nieopatrznego Jędrusia, zdawał się rozwijać pomyślnie, podług jej zamiarów skrytych. Sądzimy, że zbytecznem byłoby podnosić z naszej strony, jakiej to osnowy i natury mogły być owe zamysły panny Karoliny co do ładnego, i ze wszech miar nader korzystnie przedstawiającego się młodzieńca... Jędruś liczył wówczas dwadzieścia kilka lat, był tak piękny, jak się rzadko ludzi spotyka; miał przy tem zalety wszystkie, o jakich zamarzyć tylko może kobieta doświadczona i nie pierwszej młodości, gdy pomyśli o tym wybranym którego ma kiedyś poślubić. Pracowity, zdolny, miał przed sobą przyszłość tak jak zapewnioną słowem mógł być idealnym mężem dla każdej, a nie dopiero trzydziestoletniej panny, która prócz zaokrąglonych lecz przekwitłych niestety wdzięków, wielkiej dozy zarozumiałości, paczki świadectw z długoletnich obowiązków prywatnej nauczycielki, i — o czem zresztą tylko sama zapewniała na ucho — kilku tysięcznej gotówki odziedziczonej czy uciułanej szczęśliwie... nic więcej zresztą nie miała tak dalece do dyspozycji dla upatrzonego męża... Mylimy się — szczyciła się nadto protekcją osobliwą jednego z dobrze podtatusiałych już panków galicyjskich, który podobno tak ją lubił i uważał, jak bliską sobie krewnę... Niejednokrotnie w rozmowie wyjeżdżała z ową znajomością i przyjaźnią znakomitą, i zdawało się jej, że ogromnie tem imponuje Wilskim. Tymczasem pan Wilski, choć w oczy milczeniem zbywał, poufnie przed żoną w niedwuznacznie złośliwy sposób wyrażał się zawsze o tym przechwalanym stosunku tej „guwernantki“ z baronem***...

Panna Karolina tedy miała się nie na żarty ku Jędrusiowi. A Jędruś? Zrazu czegoś instyktownie odciągał się, i chłodno przyjmował częste wynurzania afektów przyjaznych. Atoli wytrwałość i upor kobiety zwyciężyły w końcu nieotrzaskanego z życiem i ludźmi chłopaka... Zaczął wierzyć w nadzwyczajną jej życzliwość i przyjaźń dla siebie, i powoli, powoli, inaczej jakoś nawykł patrzyć w wiele obiecujące oczy panny Karoliny... Gdy się raz znalazł na tej drodze niebezpiecznej, było tylko kwestją czasu i sztuki zręcznej w swej robocie kobiety, ażeby go osidłać do reszty, i zrobić z nim, co sama zechce. Otóż rozminęlibyśmy się z prawdą w opowiadaniu, twierdząc, że Jędruś zakochał się w pannie Karolinie, — choć wielu by nam z tych uwierzyło, którzy nieraz widzieli w swem życiu ten fenomen szczególny, że przedmiotem pierwszej miłości młodych chłopców, najczęściej bywają znacznie starsze od nich kobiety. Jędruś — powtarzamy — nie zakochał się, aczkolwiek z drugiej strony ciągle ułatwiano mu rozbudzenie tego uczucia: mimo to jednak, polubił ją, i co gorzej dlań, nie wystrzegał się już samotnego z nią spotykania. Przeciwnie zauważył, że na rozmowie z nią wcale przyjemnie zeszły mu codzień jedna lub dwie godziny — wolne od zajęcia. Coś go niebawem zaczęło ciągnąć bezwiednie na te konferencje o szarej godzinie... (gdy raz zapytał pannę Karolinę, czemu o zmroku lampy nie zapala, odrzekła mu, że niechce robić przykrości Wilskim, którzy krzywią się, gdy ona więcej nafty zpotrzebuje w swym pokoju...) i wcale miłemi znajdował pogadanki poufne, t e t e a t e t e na małej kozetce.

Tematu do rozmowy nie brakło im nigdy, zwłaszcza pannie Karolinie, gdyż Jędruś najczęściej słuchał tylko. Zwykle rozpoczynała od rozpamiętywania kończącego się dnia i jego wypadków. Państwo Wilscy skąpstwem swojem i rozmaitemi dziwactwami dość nastręczali się jako dogodny przedmiot do przyjacielskiej obmowy. Powoli, nieznacznie, panna Karolina zawsze zeszła na własne „ja“ — a w tej znowu mierze miała mu tyle, tyle do powiedzenia...

(C. d. n.)

Z poezyj W. Z. Kościałkowskiej.

Z dni smutku.

Gdy się nam wdzięczy losu bożek zmienny,
Rozkosz gdy z pełnej czary nam się leje —
O! Jest z kim zrywać szczęścia kwiat wiosenny,
O! Jest z kim dzielić wiarę i nadzieję,
Łzy i uśmiechy... W radości, w weselu,
Na uczcie życia jest przyjaciół wielu!

Ale gdy chmura osiędzie na czole,
Troska — macocha, gdy wesołość spłoszy,
I młodość złamie — a w biesiadnem kole
Któż pozostanie? Ci co w dniach rozkoszy
Wiernymi byli — odstąpią w niedoli...
Kielich goryczy — kiedy serce boli
Pijem samotni. Fortuny czciciele
Wraz z nią odbiegli — gdzież są przyjaciele?

Na to pytanie cóż nam odpowiada?
Niewdzięczność jednych — innych zapomnienie —
Jęk uniesiony przez wędrowne stada,
Echo odbite o mogił sklepienie...
Bo wspomnień parę — tęsknot bardzo wiele —
Oto jedynie wierni przyjaciele!

Z Lermontowa.

Nie wiń mię, błagam, o panie wszechmocny,
Za to, że kocham ziemski pomrok nocny,
I że zwątpienie w mej wzburzonej duszy

Żywe strumienie twojej woli głuszy:
Za to, że rozum wśród walki z zwątpieniem
Przed tobą, Panie, cofa się z cierpieniem,
Lecz nie z pokorą... Namiętności szały
Wrąc w piersiach moich serce mi skowały,
Oczy chmurnemi zamglone powłoki
Spragnione patrzą w wiedzy krąg szeroki..
Nie wiń mnie, Panie! Mnie ciasno na ziemi
I pieśni nucę ustami drżącemi —
I chciałbym wzbić się i latać po niebie —
Chciałbym się modlić,.. chociaż nie do ciebie!
Panie, zgaś we mnie ten płomień natchnienia
Serce mi zamknij pieczęcią z kamienia
I duch mój wolny, śmiały i proroczy
Zagaś!... Gdy grobu chłód mię już otoczy
Wśród ciszy mogił, bez pragnień, marzenia —
Tam może wejdę na drogę zbawienia!!

Żagiel.
(z Lermontowa)

Bieleje żagiel samotny wśród lekkiej
I mglistej morza fali. W szybkim biegu
Czego on szuka tam w stronie dalekiej..
Cóż on porzucił na rodzinnym brzegu?

Pienią się fale — wicher żagiel wzdyma
I maszt pod żaglem z jękiem się ugina...
O nie! on szczęścia nie szuka wśród toni —
I nie za szczęściem on tak chyżo goni..

Gdy pod nim wody jak lazury czyste
A nad nim słońca promienie złociste —
Wtedy się miota, bo spragniony burzy
Lecz nie spokoju — jemu wicher służy!

BALLADOMANIA
po pierwszem wystąpieniu
MICKIEWICZA.
przez Antoniego Mazanowskiego.

(Dokończenie).

Po roku 1829 balladomania nieco ustaje. Ballad pojawia się wprawdzie jeszcze nie mało, atoli świat poezji romantycznej odkrywa coraz nowe obszary i zajmuje je, na czem traci ballada. Wprawdzie czasopisma porjodyczne nie bronią jej wstępu, ale wyłącznych zbiorów nie masz, a pojedyńczo rozrzucone, różnią się znacznie od poprzednich. Znika bezpowrotnie „dziwność,“ zapanowuje nastrój łagodniejszy, większa naturalność i prostota. W drugim tomie Meliteli na r. 1830 umieszcza Odyniec już tylko jedną balladę Gaszyńskiego Konstant. pt. Wesele Hajkony. Jestto naśladowanie ballady Odyńca pt. Wesele.

O rękę i serce Hajkony ubiega się stary bogacz Mustafa-aga, i młody ubogi Sonko Dubbini. Dziewczę woli młodego. Ojciec jednak oddaje ją staremu. Podczas weselnego obchodu porywa ją Sonko, a widzowie kontenci z tryumfu dzielnego Sonka.

W 1831 w Bibliotece Ossolińskich [1]) znajdujemy oryginalną balladę J. Milewskiego [2]) pt. Olszyna, a w zeszycie następnym Iskra. Obie zbyt długie i nudne. W Olszynie np. przez ciąg kilkudziesięciu zwrotek dziecię, wzywając ojca do zemsty za śmierć matki — w uniesieniu przemawia językiem filozofa — moralisty.

Pajgert Józef pisze w 1831 balladę: Żal poety po zgonie matki [3]); Stefan Garczyński miał jeszcze w 1833 pisać ballady. [4])

W 1833 wychodzi w Poznaniu dalszy ciąg wydanych w 1829 poezyj pt. Nowy parnas polski, a w 2 tomie zbiór poezyj Aleksandra Chodźki, który uważać można za ostatni silniejszy odgłos balladomanii.

Jeżeli Witwickiego uznaliśmy za ślepego i najmniej narodowego naśladowcę, jeżeli Odyniec, w pierwszej połowie działalności poetyckiej należy do miernych, w drugiej wyzwala się i staje się bardziej oryginalnym, — to najmniej grzeszy, najwięcej jest swojskim, choć wcale nie wolnym od wpływu Mickiewicza — Chodźko.

Pomieniony zbiór zawiera 7 ballad, łącznie z balladą Wasilek, o której była mowa wyżej.

W Malinach naśladuje autor Lilje Mickiewicza. Do matki dwóch córek przyjechał pan, by jedną z nich obrać za żonę. Obie mu się podobały. Dzban malin ma wybór rozstrzygnąć. Wybiegają obie: jedna drugą zabija, a fujarka, wykręcona przez panicza z wierzbiny, co nad grobem zabitej wyrosła, zdradza zabójczynię, która „pobladła, jak stała padła.“ Jestto przerobienie znanej ludowej piosnki:

„Graj pastuszku graj,
Bóg ci pomagaj“ itd.

To samo podanie i u Mickiewicza. Główne różnice w tem, że Mickiewicz oparł je o tło historyczne, sięgnął głębiej w charakter kobiety, że wreszcie bardziej zmodyfikował zewnętrzny kształt baśni ludowej. U Chodźki przeważa liryzm: głębszych motywów dopatrzeć nie można; Mickiewiczowi wcale a wcale nie dorównóje, atoli forma udatna, wiersz dziwnie śpiewny, gładki i wyrobiony.

Bardziej opisową, odznaczającą się pięknymi obrazami jest ballada „Łódź rybacka,“ przerobiona z Knoxa. Maluje w niej autor uczucia trwogi, żalu i niemej rozpaczy, jakie przejmowały oddalającego się bez steru w dal morską rybaka.

Umiarkowanie i pewna harmonia cechuje sposób przedstawienia Chodźki. Zapewne — dramatyczności tu nie szukać, prawdy psychologicznej w odtworzeniu stanów uczucia mało, atoli najlepszym dowodem wielkiej zmiany sposobu widzenia romantyków na korzyść prawdy realnej jest to, iż Chodźko nie korzysta wcale ze sposobności wprowadzenia duchów na scenę, jakkolwiek moc okoliczności sprzyjała.

Trzecią z rzędu balladą w owym zbiorku są Herby. Większe, niż gdzie indziej naśladowanie Trzech Budrysów. Forma piękna treścią sojusz Litwy z Polską. Inne, jak Hajduki, Upiór, Nieznajomy, mniej zasługują na uwagę. U Chodźki przeważa liryzm. W balladach po części wcielają się słowa motta na poezjach: „śmiechy, żale, przyjemności i gorycze, w jednej godzinie posiane razem weszły.“ Wszędzie zaleca go prostota i naturalność obrazowania, niekiedy plastyka, której mógłby mu pozazdrościć ówczesny Mickiewicz. Chodźko jest nawskróś swojskim, zamiłowanym w podaniach ludu słowiańskiego i jego życiu. Często spotkać można śliczne opisy natury, jak perły tu i owdzie rzucone. W Wasilku czaruje barwnością obrazowania.

„Poranne słońce na wioskę blask roni
Dokoła złoci się zboże,
I żółte fale pływają po błoni
Jak płyną fale przez morze.“

Nigdzie przesady: wszędzie poczucie miary, i spokojne a trafne ujęcie epicznego poety.

Zbiór Chodźki uważamy za ostatni większy objaw ruchu balladowego, który słabnie coraz bardziej i wreszcie zupełnie ucicha. Rodzaj ten poezji, tak popularny między rokiem 1822 a 1830, co tyle klasykom krwi napsuł, a tak się podobał romantykom, teraz zapomiany, usunięty, zastąpiony przez inne rodzaje, znika prawie całkiem, służąc niekiedy za zdawkową monetę poezji do zapełnienia luk w noworocznikach, kalendarzach i tym podobnych efemerycznych wydawnictwach Dla uzupełnienia obrazu balladomanii, wskażemy ogólne wady tego ruchu i pokrótce wyjaśnimy wzrost ich skutkiem ślepego naśladownictwa.

Nie trudno z powyższego przeglądu wyrozumieć, że świat pojęć autorów ballad obejmował poglądy z życia społecznego, rodzinnego i indywidualnego.

Do życia obyczajowego przeszłości zwracają się później i odtwarzają dość udatnie parę jego rysów. Atoli o wniknięciu w głębie charakteru narodowego, o wynalezieniu w przeszłości narodu rysów rodzinnych, jemu tylko właściwych, i o odtworzeniu z nich narodowego ideału, naturalnie mowy być nie

---

1) zesz. 1 1831
2) 1832 zesz. 2 str. 29
3) Rozm. lwow. 1831 ur. 42.
4) Koresp. Mick. T. 1. str. 116

mogło w balladzie. Używano jej, jako oręża w walce, z zamiarem zdobycia stanowiska — i nic więcej. Szermierze pierwsi szli do boju z balladą, bo im ją wskazano, ale zresztą słabe mieli wyobrażenie o dziedzinie poezji romantycznej [1]) Religia, państwo, narodowość były to dźwięki prawie obce balladowym szermierzom. Owej późniejszej przewagi żywiołu narodowego w poezji, owego odtwarzania myśli i uczuć przeszłych wieków, którego nauczyła filozoficzno-estetyczna krytyka — w balladzie nie ma. Świat wyobrażeń ogranicza się przez to do przedstawienia życia rodzinnego i indywidualnego. Ale i tu — jak niebawem bliżej ujrzymy — ubóstwo wielkie. Treści przeważnie dostarczały stosunek sługi do pana, ojca do syna lub kochanki do kochanka — i odwrotnie: — kilka kształtów życia prymitywnych, łatwo dających się spostrzegać, i dostarczających nie wiele a niezawikłanych konfliktów.

Zdawałoby się więc, że życie osobiste, przez romantyków podniesione wysoko — w balladzie znajdzie silnego i wymownego tłumacza. Istotnie stanowi ono najczęstszy motyw — ale nic więcej. Rzadkie i nieudatne są pokusy przedstawienia głębszego pokładu, wielkich namiętności, entuzjazmu, młodzieńczych, pełnych siły i zapału zapędów, jak u Mickiewicza. Są zwyczajne uczucia, a dźwiękiem, który się nieustannie obija o uszy — jest miłość. Witwicki świat poetów łączy ze światem miłości [2], przypisuje jej niezwykłą siłę przeczuć [3]), Zaleski sądzi, że „zewnętrz serca niema życia" [4]), a trzy czwarte wszytkich pomysłów służą do przedstawienia różnych kolizyj miłości. Ale cząstkowość i ubóstwo tychże najsilniej uwydatnia się w powtarzaniu jednego motywu pokilkakroć — zwykle śladem wybitniejszego poety. Po Czatach Mickiewicza — potrącają o te same dźwięki Odyniec w Weselu i Brance Litwina, Chodźko w Herbach, Gaszyński w Weselu Hajkony; Pani Twardowska służy za wzór dla Boguckiego (Sowy), autora Djabła w Rumszyszkach, Odyńca (Strachy), Witwickiego (Zamkowa góra), Artymowskiego. Wierność znajduje swych poetów w Odyńcu i Witwickim itd

Samo opracowywanie jednego i tego samego motywu nie ubliżałoby poetom, gdyby umieli wybierać — i wynużać dźwięki nowe, świeże. Jużci nikt nie mógł żądać od naśladowców Mickiewicza, aby samodzielnie tworzyli pomysły genialne i zdumiewające nowością. Słusznie atoli można było wymagać, by naśladownictwo nie było niewolnicze, by postacie żyły, a zarysów ich można odszukać w jakiemkolwiek społeczeństwie lub uczuciach własnego serca, by zresztą w powtarzaniu pokilkakroć motywu — każdym razem uwydatnił się jakiś nowy pominięty rys natury ludzkiej. Tak nie było. Wybierano do naśladownictwa ballady, jak Powrót Taty, Pani Twardowska, lub rysy obyczajowe jak wierność, ballady same w sobie nie poruszające ważnych i głębokich strun duszy ludzkiej. Ale nie dość, że całe bogatwo życia, mnóstwo zagadnień i tajemnic jego sprowadzili naśladowcy do kilku konwencjonalnych pierwiastków honoru, wierności i miłości. Nie celując ani wybitnemi zdolnościami, ani nauką — entuzjazmowali się na zimno, tworząc skutkiem tego dziwolągi. Można do nich zastosować słowa Brandesa: „wszystkie uczucia i namiętności, jak ujeżdżane konie rycerzy poddane są doskonałej tresurze. Zawsze wie się z góry, jaką ma drogą pójść wszystko." [1])

Jeśli ballady — główna broń naśladowców Mickiewicza — nie świadczą chlubnie o ich filozoficznem wykształceniu — to i o ich artyzmie nie lepsze dają wyobrażenie. „Unsere Zeiten — wyraził się Tiedge, sind zu sehr und zu wenig poetisch." Da się to zastosować do powyższego ruchu w literaturze. Wielu poetów romantycznych nie pojmowało istoty poezji nowej. Kiedy Mickiewicz pisał ballady, czując, że nowy kierunek się spotęguje, zabierając w swe panowanie dziedziny poezji gminnej, dotychczas nietknięte, inni szli za nim bez tej świadomości, często dla tego tylko, by pozyskać nieco sławy, rozgłosu... A środek do jej zdobycia tak się wydawał łatwym. Cóż bowiem łatwiejszego, jak wymyśleć bajkę o upiorze, nadziać ją duchami, cmentarzam itd.? „Nie dziw więc, (mówi jeden ze spółecznych) że zamiast pięknego jelenia łowią strasznego dzika lub potwornego niedźwiedzia. Posłyszeli, że dziwność jest duchem, znamieniem i najwyższą romantyczności ozdobą, chwytają więc z Goszczyńskiego sowy, puchacze i wisielców, z Mickiewicza czatyrdachy, namary, kurhanki itd, nie mając pojęcia, że każdy płód poetyczny z sfery sobie właściwej czerpać powinien swoje piękności." Powszechnie zarzucano im „brak wszelkich reguł, przesadę stylu, ciemność wyobraźni i dziwactwo imaginacji" [2]) Bliższe rozpatrzenie rysów ogólnych ballad wykaże słuszność tych zarzutów.

Wiadomo, pod jak silnym wpływem poezji i balad niemieckich pozostawali ci, co pierwsi rozniecili jej pochodnie u nas. Wiadomo: że poezja gminna streszcza w sobie ducha ludu, jego wyobrażenia, obyczaje, zwyczaje, pojęcia religijnego i rodzinnego życia, stanowiąc prawdziwie rodzimy pierwiastek każdego narodu. Jak tedy różne są z istoty swej charaktery Niemców, Słowian itd. tak też odmienne cechy mają ich podania gminne, ich poezja ludowa. Ale jeżeli zważymy, że w artystycznem obrobieniu — ostre rysy się łagodzą i zaokrąglają, wybitne cechy bardziej uogólniają i poemat często przybiera ogólne ludzkie pozory, nie tracąc w głębi ukrytego pierwiastka swojskiego, którego ledwie dostrzec i odróżnić potrafi oko wprawnego znawcy, łatwo pojąć, jak niebezpiecznym mógł stać się dla wielu młodych poetów wpływ utworów poetycznych, zwłaszcza ballad niemieckich, co tak nęciły swą oryginalnością, świeżością i świetną formą zewnętrzną. Tylko taki poetyczny talent, jak Mickiewicza, pod względem artystycznym niesłychanie wrażliwy i czuły, potrafił wówczas powstrzymać zapęd pierwszych uniesień i odpowiednią zachowawszy miarę, zastósować swe utwory do istoty ducha narodu, z którego czerpał ich wątek.

Charakter ludów germańskich nie zupełnie podobny do charaktsru Słowian. W balladach gminnych germańskich widać zamiłowanie czynnego i pełnego przygód życia, wszystko tam tragiczne, nawet litość; pieśni słowiańskie odznaczają się uczuciami o wiele łagodniejszemi, spokojniejszemi, i większą zdradzają miękkość.

Otóż główną wadą naśladowców pod względem artystycznym, było przejmowanie z obczyzny tego, co nie odpowiadało duchowi narodu. I stało się, że ci, co ciągle mówili pisali i walczyli o narodowość poezji, sami okazali się w swych poetycznych utworach wcale nienarodowymi.

Z tego zarzutu wypływa bezpośrednio, drugi, nie mniej ważny: niewykłe rozbujanie fantazji. Mickiewicz trzymał całą akcję w należytych karbach — i wprowadzając wpływ świata nadzmysłowego na człowieka, przedstawiał ludzi i ich stosunki najczęściej po ludzku, a we wpływie świata duchowego, czuć naturalność wiary ludu; naśladowcy przekraczają granice prawdopodobieństwa. Tam, gdzie trzeba było zakres fantazji ściśle zwęzić, bo sam wątek podań skupiał wiele pierwiastku nadnaturalnego, naśladowcy rozszerzyli granice jej ad infinitum, — zamiast złagodzić, wyostrzyli wszystkie rysy wiary ludowej tak, że lud niezawodnie nie przyznałby się do swych wierzeń, w ten sposób

1) Odyniec w r. 1823. 31 marca pisze odę do Teofila Januszkiewicza wedle reguł klasycznych. Zaczyna „O ty, co przez czarowne dzielnych farb użycie itd." Zresztą nierównie później, bo w 1829 poglądy Adama na poezję wydają mu się „całkiem nowe" (Od. listy T. 1. str. 343).
2) Czarowny zamek t. 2 str. 111
3) Heron i Zena t. 2 ostatnia ball. (fragm)
4) Dzien. Warsz. 1786 str. 62.

1) Bibl. pol. war. r. 1826 t. 3 str. 230.
2) Głów. prądy lit. 19 w. t. 2 str. 231.

zmienionych. Wskażemy tu jako przykład choćby tylko nadużycie owego „coś,“ niewidomej siły natury, wciskającej się w czyny ludzkie. Autorowie ballad widzą „coś“ wszędzie i zawsze, nawet, w drobnostkach i to upatrywanie dochodzi do śmieszności.

„Coś jakby pies zębami
W samą piętę ukąsiło,
Rozśmiało się i uciekło.“ (Witw. str. 54)
„Coś pod wodą zajaśniało“ (Ibd. str. 58)
„Z hałasem się coś poruszy“ (Ibd. 65
„Coś po cmentarzu chodziło Ibd. 124)
„Coś by skrzydlate,
Zgrzytło, zapisło“ (Łapsiński 11) itd

Nie mniej ważną, a w ścisłym związku z powyższą wadą, jest ciągłe utrzymywanie czytelnika w naprężeniu uczuć. Często poeta wydaje się raczej oprawcą lubuje się w scenach gwałtownych, okrutnych, oddając uczucia uderza w najwyższe ich tony, miota nami nielitościwie.. Owe mordy, męki, pokuty, cierpienia to istne piekło, gdzie płacz i zgrzytanie zębów. Pod jednym tylko względem balladomania rzetelnie i prawdziwie okazała się pożyteczną, a zarzuty klasyków, czynione jej — niesłusznymi — pod względem czysto formalnym.

Poeci, piszący ballady, wprowadzili taką rozmaitość form wiersza, odznaczających się przeważnie śpiewnością i giętkością, że za to należy im się prawdziwe uznanie.

W obec panującego usiłowania odtworzenia w dźwiękach mowy i kształtach wiersza uczuć lub głosów natury, musiała się wyrabiać mowa i doskonalić technika wiersza, wyginając się bądź dumnie i hardo, to znów układając wdzięcznie, pieściwie lub zalotnie.

Łatwość wierszowania dozwalała autorom ballad igrać z formami jego — i niewiele znaleźlibyśmy przykładów ciężkiej, niezgrabnej lub koszlawej jego budowy. A dla tego, jeśli ze względu na treść w całej osnowie słusznem wydaje nam się złośliwe wspomnienie Mickiewicza o balladzie Kułakowskiego o szczurze „gdzie były kapitalne wiersze:

I strzyże uszami
I kłapie zębami
I kręci ogonem (miarowe!)“ [1]) to ze względu na formę zastósować go do balladomanów nie można. Tu ballada spełniła swe zadanie, podając późniejszej poezji środek łatwiejszego korzystania ze świata fantazji. — Jeśli chodzi o istotne, wewnętrzne znaczenie ruchu balladowego — nie jest ono dodatniem. Zamiast w balladach ująć świat wierzeń ludu słowiańskiego, tak fantastyczny i piękny, tworzyli dziwne sytuacje, obce narodowi charaktery, i nie ludzkie wywoływali postacie. Źródło tego leżało w małej znajomości drogi, którą szli, i środków, jakimi się mieli posługiwać. Można też słusznie odwrócić broń romantyków, i zarzucić im względem romantyczności to, co sami zarzucali klasykom:

Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą
Czy to pies
Czy to bies? (Epilog do ballad Odyńca).

1) List. do Zalesk. koresp. 1880 T. 1. str. 181

„Lepiej póżno niż nigdy“

Obrazek z życia wiejskiego

napisał

A. S.

Zima była tak ciężka i mroźna, że starzy ludzie we wsi jeszcze takiej nie pamiętali. Śnieg spadł masami i potworzył ogromne zaspy. Ludzie bali się wychodzić na pole, bo się raz wydarzyło, że gdy Martyn Dudek, sławny kłusownik we wsi, poszedł z towarzyszami na polowanie, to zapadł się w jar, zasypany śniegiem tak głęboko, że gdyby nie szybka pomoc kompanów, pewnoby go więcej ludzkie oko nie ujrzało, i jego kłusownicza dusza siedziałaby po same uszy w piekle, „bo by był poszedł bez świętych sakramentów“ — tak przynajmniej wszystkie stare baby we wiosce utrzymywały.

Ranek był jasny, lecz mroźny, słońce biło promieniami w skorupę śniegową, i raziło w oczy tych, którzy chcieli przypatrywać się okolicy.

Na dachu chaty siedział Proć Kleban w kożuchu z czarnych baranów, które już należycie zrudziały, w czapce i z fajką w gębie. Jedna strona słomianego dachu była już czystą, teraz przyszła kolej na drugą. Ba! ale tuż obok chałupy Procia stała chata Iwana Sroki i opierała się dachem o dach sąsiada, tworząc z nim jakby wielkie koryto.

Proć myślał.. Ta, boć i miał o czem myśleć! Ledwie bowiem usunął śnieg z swej strony, to on nasuwał się zaraz z strony sąsiada.

— Hm! bo to i słoma się nie psuje i w chacie cieplej, i przecie jakoś porządnie, ale co ja mam jego śnieg zgartywać... Hej! kumie — zawołał z góry do sąsiada, który właśnie szedł do chaty.

— A co tam?

— Widzicie! bo co ja zrzucę z mego, to wasz mi się nasypuje.

— Dach to mój, ale śnieg nie mój, możecie go sobie zabrać!

— A to jak? zapytał Proć!

— No tak... wytłumaczył mu Iwan.

— No to za was nie będę robił...

— A któż wam każe?

— Ej! bo to widzicie i cieplej w chałupie i słoma się nie psuje, i zawsze to porządniej!

— Mnie i tak dobrze.

— E — posłuchalibyście dobrej rady.

— Co mi tam mruknął Iwan i poszedł do chaty.

— Ta cóż... to zmiotę i za niego, bo będzie mi naciekać! — i zmiótł śnieg z obu dachów. Podobna rozmowa powtórzyła się kilka razy.

— Ej! słuchajcie! albo zmiatajcie z swego dachu — albo sobie inaczej poradzę...

— A to jak?

— Poskarżę do sądu...

— Ta dobrze... i znowu Iwan poszedł swoją drogą.

— Czekaj psia wiaro... już ja cię teraz nauczę — i podał skargę do sądu.

— A co? pyta sąsiad na drugi dzień, opierając się rękami o płot Procia. Proć nic nie odrzekł, tylko palił fajkę i rąbał drzewo tak zamaszyście, aż trzaski o dwadzieścia kroków odlatywały. — No — a co? pyta po raz drugi.

Proć obrócił się i zawołał: Pójdziesz? Oczy mu się zaświeciły, a wyglądał tak strasznie z siekierą w ręku, że Iwan odstąpił czemprędzej od płotu, i z trwogą spoglądnął na sąsiada.

— Owa... jaki mi straszny pan! krzyknął już w progu chaty.

Proć nic już nie powiedział, tylko dalej rąbał.

II

Była niedziela, nabożeństwo już się skończyło i ludzie wychodzili z kościoła. Na drodze stał Iwan i przypatrywał się przechodzącym obok, jakby kogoś szukał. W krótce znalazł go, i sam postąpił ku niemu. Był to Proć, w nowym kożuchu, w ogromnych butach i w ogromnej czapce. Był już blisko Iwana, ale ani na niego nie spojrzał. — A to barania głowa... rzekł półgłosem. Proć podniósł głowę do góry, siwe oczy powiększyły się dwa razy, policzki krwią nabiegły, i przez wpół otwarte usta połyskiwał zębami.

— Ej! słuchaj ty świszczypysku jeden... ty prałacie jakiś! stul mordę, bo jak cię lunę, to wszystkie zęby ci wylecą!

— A no! rzekł nastawiając się Iwan. Ale Proć się pohamował.

— Postąp się! wrzasnął na tamującego mu drogę. Iwan zawahał się, ale ustąpił.

Ot! widzisz go... mruknął drwinkując.

— Ato psia morda ... myślał Proć... Był zirytowany... Nie poszedł już do karczmy, jak zwykle, lecz do chałupy. Baba siedziała w alkierzu, pilnując dzieci. Proć siadł na ławie

— Ej! słuchaj Hanka, żebyś ty mi się nigdy z tym złodziejem nie wdawała...

— No albo co? a co to między wami? Mąż splunął tylko. — Iwanową to poczciwa baba... rzekła broniąc sąsiadkę.

— No Iwanowa! ale z nim nic, rozumiesz?

— Dlaczegobym nie rozumiała? może ta co zjesz? Jest kapuśniak, ta pierogi z kartoflami.

— Ta daj — i zaczęli łyżka za łyżką z jednej miski powoli zajadać. A Proć od czasu de czasu spluwał, i tupnąwszy nogą. mruczał: „Czekaj szelmo“.

III

Nadszedł luty.

Proć pojechał do lasu po drzewo, wracał wieczorem do domu i spotkał jadącego Iwana.

— A przyszło już tam z sądu pyta? — śmiejący się Iwan. Proć zaciął konie, i minął sąsiada nie nie powiedziawszy. Z sądu nieprzychodziło nic, i to go niewymownie martwiło — przecież miał słuszność za sobą!

Wreszcie i wiosna poczęła topić śniegi i zielenić łąki i gaje. — No teraz to mi coś zrobi... myślał Iwan. Proć przestał także się martwić — stracił nadzieję przyjścia wyroku i począł powoli o tem zapominać. — E! cotam!.. mruczał od czasu do czasu.

Maj porozwijał liście wszystkim krzewom i drzewom, i napełnił lasy ptactwem. Wszyscy byli zajęci w polu i ogrodach.

W tem dnia jednego otrzymują obaj sąsiedzi rozkaz stawienia się do wójta. Zebrali się i poszli. Obaj pełni radości, obaj uśmiechnięci: jeden szyderczo, drugi tryumfująco. Weszli do gminnej kancelarji, i miny im spoważniały Wszyscy radni byli zgromadzeni.

— No! macie odpowiedź ze sądu, rzekł wójt i począł czytać:

„Iwan Sroka ma natychmiast śnieg z swego dachu zgarnąć, wprzeciwnym razie ulegnie stosownej karze.“

Żaden z obecnych się nie roześmiał.

— Przecie stanęło na mojem! zawołał uradowany Proć. Radni kiwnęli głowami, Iwan uśmiechał się z powątpiewaniem.

— A gdzie śnieg,?... ta niema... rzekł jeden z radnych. Towarzysze znowu kiwnęli głowami.

— To to niby tak: wilk syty i koza cała... ktoś się znów wyrwał.

— No ta tak.. potwierdzili wszyscy.

— Lepiej późno niż nigdy... dodał wójt.

— Ta niby...

— Ej chodźcie się napić na zgodę.!

— Ta tak, to wypada... — odrzekł Proć i podali sobie ręce.

A potem cała rada gminy z wójtem na czele poszła do karczmy, i pijąc śmierdziuchę podziwiała Salomonowy wyrok.

Przegląd literacki.

Dwa nowe dzieła, traktujące o ostatnich chwilach przedrozbiorowych. .

(Sejm czteroletni — napisał X. Walerjan Kalinka T. I. Kraków, 1880. T. II. Lwów, 1881. Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta — przez Tadeusza Korzona T. I. Kraków, 1882.)

napisał

B. Limanowski,

(Ciąg dalszy)

Rozdziały, poświęcone trwogom ukrainnym, należą do najlepszych w dziele ks. Kalinki. Bezstronnie. odważnie i gruntownie ocenił on postępowanie większości szlachec kiej w tej smutnej sprawie. „Przykro te rzeczy opowiadać — pisze ks. Kalinka — a jednak wiedzieć je trzeba, choćby dla te go, aby zrozumieć późniejsze wypadki. Odtąd chłop ruski na Wołyniu stał się jesz cze zawziętszym rządów, polskich nieprzyjacielem; w czasie kampanii 1792 r., ks. Józef skarżył się ustawicznie, że nie może zna leść żadnego chłopa, któryby mu o ruchach armii nieprzyjacielskiej donosił; kiedy przeciwnie wszystko, co się w wojsku polskiem działo, było dokładnie Moskwie wiadome; przychodziło do tego, że musiano aż z Warszawy sprowadzać ludzi do śledzenia obrotów rosyjskich. Odtąd też i ksiądz unicki na Wołyniu, ktory i dawniej nie był w wierze umocniony, stracił do reszty przywiązanie do Kościoła, i wiadomo, że dość później było jednego ukazu Katarzyny, aby unja na Rusi niemal odrazu zniknęła. .“ (Kal., I, 376 i 377). Autor bardzo słusznie ocenia, co były warte pogłoski o buntach chłopskich rozsiewane w Warszawie a stamtąd po całym kraju. Przypuszczając — na co nie godzę się w zupełności — że kobiety zajmowały się szerzeniem tych pogłosek, — autor dalej powiada: — „Bezwątpienia, czyniły to w dobrej wierze, a przynajmniej z jakichś patrjotycznych pobudek, nie zdejmuje to jednak z nich odpowiedzialności za fatalne i krwawe skutki tych popłochów, które rozsiały...“ (Kal., I, 382). Dzienniki galicyjskie powinnyby dobrze zapamiętać te słowa

Pomnożenie wojska potrzebowało przedewszystkiem ustanowienia nowych podatków. Sprawa jednak z niemi szła bardzo opornie. Za nim zdołanoby obmyśleć nowe źródła dochodów, uchwalono 26 stycznia 1789 r. podatek tymczasowy (pro tunc). Szlachta już doszła była do zrozumienia tego, że prawa jej wyjątkowe zmuszają ją także do pewnych obowiązków, i zastrzegła, że podatku tego nie należy ściągać z poddanych. Nie na wiele jednak to się przydało. Ponieważ zupełnie od woli szlachty zależało, samej zapłacić ustanowiony podatek lub chłopów swoich zmusić do tego, interes pieniężny przeważył wszelkie inne poczucie. W dalszym ciągu obrad nad podatkami, w dniu 26 lutego wniesiono do sejmu projekt: podwójnej kwarty od starostw, intraty z dóbr duchownych i dziesiątego grosza z dóbr szlacheckich. Starostowie zgadzali się na płacenie podwójnej kwarty, lecz chciano jeszcze, by płacili dziesiąty grosz mający być ustanowionym od dóbr szlacheckich. Starostowie jednak, których było 130 w izbie poselskiej — jak zauważył poseł Jezierski - oczywiście zdołali się obronić. Duchowieństwo atoli, które zgadzało się było płacić 20% od swoich dóbr, musiało jeszcze przyzwolić na płacenie tak zwanego *Subsidium charitativum.* Wreszcie z nadspodziewaną zgodnością szlachta przyzwoliła na dziesiąty grosz z dóbr swoich. Uchwała ta przejęła zdziwieniem przedstawicieli cudzoziemskich, uważnie śledzących za przebiegiem spraw sejmowych, a reprezentant Austrji, de Caché, który nie wierzył był, by zanadto pospiesznie uchwalona przez sejm w dniu 18 października 1789 r. stutysięczna armja mogła przyjść do skutku, zaczynał teraz w nią wierzyć. Narowy jednak szlacheckie stłumiły tę chwilową gotowość do ofiar. Kiedy bowiem przyszło obmyśleć sposób ściągania uchwalonego podatku, szlachta odrzuciła projekt Moszyńskiego, oparty na statystyce i cyfrach, a postanowiła zadowalniać się zaprzysiężonym wykazem samych dziedziców i ich sług. „Godna uwagi — powiada ks. Kalinka — że w całej tej sprawie podatków szlacheckich i ich poboru, od początku do końca Rzplta nie mogła rozstać się z ulubionemi nałogami. Głos jednego sejmującego zatrzymał niespodzianie projekt podatku; wobec jego opozycji, wola Stanów nie znaczyła nic, dopóki on dobrowolnie od niej nie odstąpił. Uchwała zapadała nie skutkiem narady, ani większością głosów, ale przez aklamacyję, jednomyślnie. Tylko, broń Boże, nie podatku, bo podatków stan rycerski nie płaci, bo nikt do niczego szlachcica wolnego zmusić nie może; więc to jest dobrowolna ofiara A gdy z kolei zajęto się jej wyszukiwaniem, wyznaczono niby komisarzów, w gruncie jednak wszystko zostawiono po dawnemu dobrej woli obywateli, bez innej kontroli, prócz sumienia. I to się działo nie pod zwyczajnym sejmem, lecz pod węzłem wszechwładnej konfederacji. Snać, na nic się nie przyda poprawna forma obrad lub rządu, dopóki w narodzie trwa duch niepoprawny. I przez zmienione formy potrafi on się przebić.“ (Kal., I., 441.).

Długie sejmowani, przedłużane — jak wiemy — rozmyślnie przez intrygantów mo

skiewskich, przynosiło jednak swą korzyść. Ze starcia się zdań zawsze tryska światło, a światło tylko na złych z gruntu nie działa. Spostrzegano przytem szkodliwość chaotycznych obrad i bezużyteeznej gadatliwości, przekonywano się o korzyści wnoszenia na sejm dobrze już opracowonych poprzednio ustaw. Potrzeba porządku, pewnego regulaminu dawała się mocno uczuwać. „Litwa, zawsze przezorniejsza od Korony“ (Kal., I., 498) pierwsza dała przykład, jak należy przygotować ustawy do przyjęcia przez sejm“. Umówiwszy się między sobą o obowiązki i skład tych magistratur (komisyj porządkowych), posłowie litewscy przedyskutowali je starannie na sesjach prowincjonalnych, i jako rzecz ostatecznie ukończoną podpisali wszyscy, zmuszając swego marszałka, Sapiehę, do podpisu i do wniesienia na sejm. W tym kształcie, na sesji 17 listopada (1789) zjawił się projekt o *komisjach porządkowych cywilno-wojskowych na Litwie*. Zaraz kilku posłów koronnych poczęło robić nad nim uwagi, żądać poprawek i zanosiło się na długie rozprawy. Król rzekł: „co posłom litewskim wydało się dobrze dla Litwy, to Koronie szkodzić nie może, proszę o przyjęcie całej ustawy.“ Nie było racji do odmowy i zawołano trzykrotnie *zgoda*“ (Kal., I., 498). Korona poszła za przykładem Litwy i 24 listopada wniosła na sejm już gotową także ustawę o komisjach porządkowych. Ustawy te należały do najpożyteczniejszych ustaw Sejmu Czteroletniego.

Niezaprzecznie do silniejszego poruszenia i naprężenia umysłów w sejmie, a jeszcze bardziej poza sejmem, znacznie przyczyniła się rozwijająca w tym czasie rewolucja francuska. Zaobserwował to bardze trafnie nuncjusz papieski. Ks. Kalinka oczywiście widzi tylko szkodliwy wpływ zarazy szerzącej się od Sekwany, zwłaszcza że już to nie byli dla kościoła ci Polacy co dawniej, jak zauważył nuncjusz papieski. Szlachta nie tylko zmusiła duchowieństwo do płacenia więcej, niż ono samo było zamierzało, ale nadto nałożyła 20-procentowy podatek na dobra maltańskie, przeznaczyła na wojsko dochody jednego z najbogatszych biskupstw — krakowskiego — po odtrąceniu 100000 złp. na pensję biskupa, i postanowiła to samo uczynić z dobrami wszystkich innych biskupów, po śmierci tych, którzy wówczas rządzili. Zabór majątku biskupstwa krakowskiege ks. Kalinka nazywa krokiem nieprawnym i arbitralnym, i dodaje, że ten krok do wielu innych arbitralności dał początek i swem zuchwalstwem stał się godnym zająć mniejsze obok spółczesnych uchwał Zgromadzenia narodowego we Francji.“ (Kal., I., 465).

Zupełnie inaczej patrzę na wpływ rewolucji francuskiej. Oczywiście, trudno przypuszczać, ażeby sejm konfederacyjny polski złożony z szlachty, mógł pójść za przykładem Zgromadzenia Narodowego we Francji gdzie liczba reprezentantów stanu trzeciego o przeszło 100 głosów przewyższała liczbę reprezentantów szlachty i duchowieństwa. Ale jak tam tak i tu, w samej szlachcie następowało rozdwojenie, i lepsza, światlejsza część szlachty coraz silniej poczuwała się do konieczności pewnych ustępstw, pewnych ofiar ze swojej strony dla sprawy dobra publicznego. W dniu 4 grudnia 1789 r. — jak wspominaliśmy już - zapadła bardzo ważna uchwała o rekrucie. Na wniosek posła Krasnodębskiego, zrobiono do ustawy dodatek, który bądź co bądź świadczy, że myśl rozszerzenia wolności na inne stany zyskiwała zwolenników pomiędzy szlachtą. Postanowiono bowiem, że włościanin, który pozostanie w wojsku na dalsze sześć lat, za przyzwoleniem atoli dziedzica, i nie popełniwszy żadnego kryminalnego występku, otrzyma wolność po ukończeniu służby. T. Korzon (424 — 438) bardzo starannie wynotował i inne uchwały, odznaczające się względnością dla włościan. Sprawa miejska w sejmie przedstawia jeszcze większy dowód. Mowy Niemcewicza, Kublickiego, Chreptowicza rozbijały potężnie przesądy i uroszczenia szlacheckie. Kiedy Suchodolski, przestrzegając szlachtę, by nie dopuszczała mieszczan do prawodawstwa, wskazał był na Danię, gdzie mieszczanie, przyszedłszy do udziału w sprawach publicznych, stracili wolność zarówno swoją jak i szlachty, — poseł Kublicki zauważał, że rewolucja francuska naprawi to, co złego zrobiła duńska: Wypadki francuskie wpłynęły niepomału na to, że dzięki zabiegom Kołłątaja i Deherta odbył się „niesłychany zjazd mieszczan“ w Warszawie i zaczął upominać się o swoje dawne prawa. Ks. Kalinka jest tego zdania że trudno dziś orzekać, czy to dopomogło sprawie mieszczańskiej czy nie. Dla nas niema wątpliwości, chociażby tylko z tego względu, że rozbudziło w mieszczanach świadomość swego położenia i poczucie swych praw, — a to jest zawsze najważniejszą rzeczą. Jak ważnem było dla Rzeczypospolitej przyznanie prawa mieszczanom, dowodzi najlepiej ustęp z dzieła Ks. Kalinki, gdzie on przytacza słowa naszych wrogów, obłudnie udających przyjaźń.! Lucchesini pisał do króla pruskiego: „Chroniąc się jawnego wystąpienia, staram się pocichu przeszkadzać mieszczanom. Ucisk, w którym szlachta polska utrzymywała dotąd klasę miejską (a w niej najwięcej jest Niemców) nie zachęcał nikogo do przybywania tutaj z zagranicy i wstrzymywał zakładanie fabryk. Lecz gdyby ta klasa przyszła do udziału w administracji kraju, mogłoby to wielu mieszczan zagranicznych sprowadzić do Polski, a nadto przykład ten stałby się zaraźliwym dla państw sąsiednich.“ Odpowiada mu Fryderyk Wilhelm 14 grudnia (1789): „Dobrze robisz, że nieznacznie i pokryjomu przeszkadzasz. Bo w rzeczy samej, jeśliby udało się miastom polskim odzyskać dawne przywileje, toby fabrykanci z moich państw zaczęli przenosić się do Polski.“ (Kal., I., 511).

Na sesji 17 grudnia (1789 r.) przedstawiono stanom sejmującym *Zasady do poprawy rządu*, ułożone przez deputację konstytucyjną a głównie przez Ignacego Potockiego. „I duch i styl w nich francuski, połączony z tym republikanizmem polskim, który nie obala tronu, owszem zatrzymuje go, ale jakby na to tylko, by przy nim i ponad nim majestat i wszechwładztwo sejmowe tem lepiej zaznaczyć.“ (Kal., I., 556) „Nie jestto *deklaracja praw człowieka*, uchwalona przed kilkoma miesiącami we Francji — powiada dalej ks. Kalinka na nią w Polsce, dzięki Bogu (dla czego?), było jeszcze zawcześnie“. Ks. Kalinka widzi w *Zasadach* „całą butę i wielmożność szlachcica, który w swej wiosce dziedzicznej ma swoich poddanych, a w urzędnikach Rzpltej swe sługi (Kal., I., 558). Inaczej jednak i słuszniej przedstawia tę rzecz Kołłątaj. Ks. Kalinka usiłuje nawet rzucić cień podejrzenia na szczerość deputacji, mówiąc: „punkt pierwszy, który na wzór francuski, wszystkim mieszkańcom Rzpltej przyznawał wolność i równość, nie utrzymał się, nikt go nawet nie bronił.“ (Kal., I., 560). Kołłątaj jednak objaśnia, dla czego się tak stało (str. 116). Spieszono na gwałt z poprawą rządu, i unikając walczenia o słowa, zmierzano głównie ku temu, „izby została się łatwość udoskonalenia z czasem dzieła, i najmniej na przyszłość wiązaną była władza prawodawcza.“ (Koł., 111).

Drugi tom dzieła ks. Kalinki zajmuje się prawie wyłącznie polityką zagraniczną Rzpltej, a przeważnie stosunkami z rządem pruskim Obłuda i zdradzieckość tego rządu były ogromne. Już spółcześni napiętnowali byli je należycie, jak przykonywamy się o tem, odczytując znakomite mowy Foxa, wypowiedziane w parlamencie angielskim w 1794 r. Ks. Kalinka wydobył wiele nowych szczegółów, które w jeszcze jaskrawszem i wstrętniejszym świetle malują zdradziecki rząd pruski, zdradziecki — zauważmy nawet — względem własnego narodu, gdyż traktatem bazylejskim 1795 r. oddał niemiecki lewy brzeg Renu Francuzom, i ułatwiał samo rozbicie cesarstwa niemieckiego Pomimo to wszystko, postawa przyjazna,

chociażby nawet nieszczera, Prus względem Rzpltej, wielką jej pomoc przynosiła, i Rzplta mogłaby jeszcze większą korzyść odnieść z przymierza pruskiego, gdyby co najmniej polegała na Prusach, a wszystkiego spodziewała się jedynie od samej siebie. Doboli słusznie pisał do króla: „Każdy dwór ma swoją politykę, trzeba abyśmy i my mieli własną i nie spuszczali się na drugich, bo to ostatnia rzecz oczekiwać polepszenia od tych, którzy owszem popsuć mają interes“.

„Gdańsk i Toruń — powiada ks. Kalinka — oto tajemnica dziejów Czteroletniego Sejmu z ich zewnętrznej strony, oto klucz polityki dworu berlińskiego od czasu wybuchnięcia wojny tureckiej! I opieka jego nad Turcją, i związanie się z Anglją i Holandją, i przymierze z Polską, nie miało innego a przynajmniej ważniejszego zadania, jak zabór tych miast. Z żelazną konsekwencją, z wytrwałością żadnem niepowodzeniem nie dającą się zrazić, a giętką aż do podziwienia, dążył on do tego celu nowych wciąż probując środków i po każdej porażce inne układając kombinacje“. (Kal., II., 198). Wprawdzie, rząd pruski ukazywał w perspektywie Polakom odzyskanie Galicji, ale zato miał „zażądać czegoś nowego a dużo więcej“ (Kal., II, 198). Była to — jak widzimy — polityka zawsze zaborcza. Zaufać jej było wielkim błędem, ale korzystać z niej było obowiązkiem. Postawa rządu berlińskiego trzymała na wodzy rząd petersburski, i przyczyniła się do roznieceenia ruchu narodowego w Galicji. Jedno i drugie było pożyteczne dla sprawy narodowej. Lubo więc rząd pruski późniejszą zdradą wyrządził wielką krzywdę Rzpltej, to wszakże zaszkodziła ona sama sobie najwięcej, nie przykładając wszystkich sił do najważniejszej chwilowo sprawy: potężnego uzbrojenia się. — Opowiadanie o ruchu galicyjskim, należy także do lepszych ustępów dzieła ks. Kalinki.

O ile opowiadanie ks. Kalinki jest gładkie, potoczyste, zajmując, trafną dające pewnych osobistości ocenę jak np. Komarzewskiego i Debolego, przeplatane często uwagami pełnemi zdrowego rozsądku, o tyle ogólny jego przegląd historyczny, tak w zastosowaniu do nas jak w ogóle do wszystkich ludów europejskich, trąci *staroświecczyzną*. Ks. Kalinka nie wyszedł jeszcze z fazy teologicznej. W poglądach swoich nie wiele się różni od Bossueta. Zresztą autor wcale nie kryje się ze swemi przekonaniami (patrz o wojnie I, 5°, o przywiązaniu podwładnego do swego zwierzchnika — I, 193: o arystokracji — I, 71; o kobietach I, 219; o rządzie — I, 193; o arystokracji I, 298 Ad.). Kaznodzieja nieraz zastępuje dziejopisarza. Autor ksiądz pobłażliwie sądzi biskupów i niepomiernie wysokie ma rozumienie o prymasie, ks. Michale Poniatowskim- Monarchiczno-ortodyksyjne jego stanowisko objaśnia nam także jego sympatję dla Rosji, do której, od czasu Józefa de Maistre'a, zaczęły się zwracać nadzieje wielbicieli przedrewolucyjnego ustroju społeczno-politycznego.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przegląd muzyczny.

Drugi koncert gal. Towarzystwa muzycznego za r. $188^2|_3$, dany w niedzielę d. 4. marca r. b., zgromadził tak liczną, prawdziwej muzyki łaknącą publiczność, jaką się żaden z koncertów, w ostatnim roku dawanych, nie mógł poszczycić. I z pewnością nie było ani jednego muzykalnego słuchacza, któryby nie wyszedł z sali zupełnie zadowolony. Rozpoczęto symfonią (d-dur) Beethovena. Jestto jeden z najpiękniejszych utworów tego mistrza, a tem więcej nas zachwycił, że był wzorowo, a jak na naszą orkiestrę znakomicie wykonany. Nawet klarnety, które zazwyczaj stanowią najsłabszą stronę ensemblu spisały się (szczególniej w Scherzu) bardzo dobrze. Słyszeliśmy zarzuty, że Larghetto było wzięte w tempie cokolwiek zanadto przyspieszonem, że przez to charakter tej części był zalterowany. Tak jednak zdaniem naszem nie jest. Larghetto to ma właśnie charakter swobodnej wesołości, jak cała symfonja; jedna melodja jest wprawdzie poważniejszego i głębszego nastroju, jestto jednak tylko jakby chwilowy odcień tęsknoty i smutku, bo zaraz w pierwszych warjantach skrzypcowych przebija się większa swoboda (Gemüthlichkeit), powiedzielibyśmy styl więcej Mozartowski, przy wolniejszem zatem tempie waryacje te wypadłyby zbyt rozwlekle i zatraciłyby właściwą cechę. Finale za to było wzięte w nader ożywionem tempie i odegrane ze szczególną werwą. A część ta jest prawdziwem zakończeniem, z każdego taktu czuć, że to korona i uosobnienie wszystkich uczuć szczęścia radości i siły młodzieńczej, przebijających w całej symfonii.

Jako N. 2gi koncertu odśpiewała Pni A. z p. Gerbiczem duet z opery Gounod'a Romeo i Julja. Jakkolwiek kompozycja ta dramatyczna nie nadaje się do produkcji koncertowej, mimo to z wielką przyjemnością słuchaliśmy ślicznego głosu p. A. i jej jasnej, rozumnej a pełnej uczucia deklamacji. Natomiast p. Gerbicz nie zadowolnił nas tym razem, partja ta bowiem nie leży w jego głosie i jest dlań za forsowną. Następnie odegrał p. Wolfsthal Arję węgierską Ernsta, kompozycję na wskróś skrzypcową pełną najpiękniejszych efektów i niezwykle wdzięczną dla każdego wirtuoza, którego notabene nie odstraszą kolosalne trudności techniczne. Wiemy jednak z poprzednich występów p. W., że ta przeszkoda nie istnieje dla niego, pokonywa bowiem wszystko z łatwością mistrza. Podziwialiśmy zwłaszcza szczególnie czyste wykonanie flageoletów na strunie G., które tem trudniejsze były do oddania, że instrument jego dalekim jest od Cremońskich ideałów. Pomijając dalsze szczegóły, z uznaniem zaznaczamy, że p. W, odegrał ten utwór z wielkim ogniem, i chętnie to podnosimy, że zadziwił nas swym temperamentem, któregośmy z pierwszych występów nie mogli w jego grze dostrzedz.

Jako N. 4. odśpiewała p. A. bardzo ładnie „Sabaudkę“, Troschl'a i Chopin'a mazurkę „Śliczny chłopiec“ poczem orkiestra Towarzystwa zakończyła pięknem wykonaniem Sarabandy Gounod'a i Tańca Piratów Rebera. W tym ostatnim utworze flety i piccola troszkę się w końcowym ustępie pokłóciły, co jednak krótko trwało i bardzo nie raziło. Obie te kompozycje, łatwe do zrozumienia, podobały się ogólnie i przyczyniły się nie mało do miłego wrażenia całego koncertu.

Zaciekawieni oryginalnym programem pospieszyliśmy na pierwszy wieczorek Towarzystwa muzycznego we środę dnia 7. marca, a spieszyliśmy rzeczywiście, by stanąć na miejscu punktualnie o godzinie 7ej wieczór, gdyż programy wyraźnie zapowiedziały, że produkcja rozpoczną się „n a j n i e z a w o d n i e j z uderzeniem tej godziny, że nawet z rozpoczęciem każdego utworu wstęp do sali będzie „wstrzymany“. Cóż za frazeologja! Chyba kpiny czy żarty z publiczności? Nietylko, że rozpoczęto o 18 minut później, lecz i po rozpoczęciu kilka osób wcale nie „wstrzymanych“ weszło do sali i najswobodniej ulokowało się przy towarzyszeniu muzyki na swoich miejscach. Radzilibyśmy temu, do kogo to należy, albo wykreślić z afiszów te oryginalne zastrzeżenia, albo. co słuszniej, szanować samemu własne słowa i dawać przykład punktualności a wtenczas i ogłoszenia tego rodzaju będą zbyteczne, bo publiczność wiedząc, że na nią nie zaczekają i że straci jakiś piękny ustęp lub numer koncertu przybędzie zawczasu. Ale dość o tem. Mieliśmy na tym wieczorku więcej jeszcze rozczarowań i zawodów. Rozpoczęto sonatą fortepianową Onslowa (e-mol) na cztery ręce, odegraną przez pnę Zł. i dyr. Mikulego. Wykonana wzorowo z subtelnem i rozumnem cieniowaniem podobała się bardzo. W numerze drugim dał się słyszeć p. F.,

uczeń prof. Gerbicza i nader miłe zrobił wrażenie swym pełnym i bardzo dźwięcznym głosem barytonowym. Odśpiewał wcale pięknie i z wielkiem ciepłem ładną piosnkę Radwana „Kruk“. O drugiej, (Recitatiw i Romans z Halki) tego powiedzieć nie możemy. Dziwimy się, a nawet powątpiewalibyśmy o zdolnościach pedagogicznych p. Gerbicza, (gdyby z jednego wypadku sąd o tem wydawać można) że pozwolił swemu uczniowi, w pierwszym zaraz występie śpiewać rzecz tak forsowną, i tak rujnującą głos, jak wiele kompozycyj Moniuszki i szczególnie powyższy ustęp z Halki. Radzimy p. F., by więcej oszczędzał i racjonalniej używał pięknego głosu, swego byłaby bowiem nieoceniona szkoda zmarnować taki dar Boży.

Główną siłą przyciągającą na ten wieczorek był zapowiedziany kwintet fortepianowy Sgambattiego, kompozytora u nas nieznanego i dotychczas nie słyszanego publicznie. Jakiż zawód spotkał tych, którzy się spodziewali po uczniu Liszta i gorącym Włochu utworu namiętnego, do duszy przemawiającego, tem bardziej, że użycie całego kwintetu, każe wnioskować, iż treść potrzebuje ram tak wielkich, iż nie dałaby się zmieścić w mniejszej formie. Słuchaliśmy z całem wytężeniem i niestety nic a nic nie znaleźliśmy pięknego ani w całości ani w pojedynczych ustępach. Nie ma tam ani jednej myśli jasnej, ani jednego ustępu, któryby wyraźnie mówił czego pragnie, co czuje, co chce powiedzieć kompozytor. Rytmy dziwaczne, enharmoniczne zmiany bezustanne a wszystko bez celu, bez jakiejś przewodniej myśli — gmatwanina nieskończona. Niektóre ustępy — może z partytury czytane — są dla muzyka, że tak powiemy, „frapujące“, ale słuchaczów chyba interesują jak zagadka z ukrytą myślą lub bez niej. Po wysłuchaniu całego utworu mieliśmy tylko uczucie niesłychanego znużenia i zupełnego niesmaku. Prawdziwie szkoda tak dobrego odegrania jakiem się odznaczyli wczorajsi wykonawcy pna Ob, a zwłaszcza p. Kozłowski (Altówka), który przypomniał sobie dawne czasy i grał z t o n e m, którego by mu nie jeden wiolista pozazdrościł.— Rzeczy tego rodzaju jednak, jak ten kwintet można próbować w prywatnych salonach, dla poznania nowego kompozytora, dla odmiany, dla zaostrzenia smaku, by potem z tem większym gustem powrócić do Schumana lub Mendelssohna, ale karmić niemi publiczność, która jeszcze nie straciła bynajmniej apetytu na arcydzieła klasyczne lub wielkich romantyków — to nie stósowne. Dziękujemy za takie nowości!

Może rozstrojeni i zmęczeni tym utworem nie byliśmy dobrze usposobieni, ażeby osądzić piękność „Obrazów roku“ Gade'go, ale przyznać musimy, że i ta kompozycja nie zachwyciła nas bardzo, i nie zdołała zatrzeć (mimo, że z wyjątkiem głosu altowego w terccie dobrze była wykonaną) złego wrażenia, z którem też opuściliśmy salę. *L.*

ZIARNKA.

Z nowości teatralnych ujrzeliśmy ubiegłego tygodnia dramat Oktawiusza Feuilleta „Romans paryski“. Tym razem Feuillet nas zawiódł. Ani pod względem charakterystyki, ani techniki scenicznej „Romans paryski“ nie wytrzymuje porównania z dawniejszymi utworami utalentowanego pisarza, z „Dwoma światami“, lub „Miłością ubogiego młodzieńca“. Fabuła sztuki jest słaba — rozłazi się — a epizody wypełniają prawie całą połowę pięcioaktowej sztuki. „Romans paryski“ przedstawiony był na benefis prawdziwej ozdoby naszej sceny, pani Anieli Aszpergerowej. Publiczność zgotowała beneficjantce gorącą owację, na jaką zasłużyła sobie pierwszorzędnym talentem, i długoletnią a sumienną pracą. Drugim ważnym „wypadkiem dnia“ w świecie artystycznym był odczyt p. Strakosza, słynnego niemieckiego recytatora, który wygłosił „Urjela Akostę“. P. Strakosz w zawodzie deklamatorskim mało ma sobie równych, wnika głęboko w ducha autora, szczęśliwie jego myśli interpeluje, a bogatą modulacją głosu wydobywa kolosalne efekta. Jeżeli zważymy, że znakomity recytator nie posługuje się mimiką, ani tem wszystkiem, co uplastycznia rzecz na scenie — a mimo to wywołuje wrażenie niezwykłe — to musimy przyznać mu prawdziwą artystyczną potęgę. P. Strakosz we wtorek odczyta „Zbójców“ Szyllera — po raz pierwszy, a w sobotę da się słyszeć w „Hamlecie“.

* * *

Ubiegły tydzień odznaczał się obfitością zabaw umysłowych. Oprócz produkcyj wyżej wymienionych i koncertu, o którym mówimy na innem miejscu, mieliśmy wieczór muzykalny na dochód żydowskiego stowarzyszenia robotników „Jad Charuzim“, i przedstawienie amatorskie w Kasynie miejskiem. Wieczorek udał się wcale dobrze, a szczególną uwagę zwróciła na siebie gra młodziutkiej pianistki, panny P., uczennicy utalentowanego nauczyciela fortepianu p. Br. Rakowieckiego. Przedstawienie amatorskie składało się z jednoaktowej komedyjki tłumaczonej z francuskiego i operetki Adama „Lalka norymbergska“. Gra amatorów była wyborna, a w operetce śpiewy szły tak wiernie i artystycznie były wykonane, jakby w przedstawieniu brali udział nie dyletanci, ale artyści skończeni. Rzadko przychodzi nam wydać sąd tak bezwzględnie pochlebny, dlatego też zdanie nasze, które jest zarazem zdaniem ogółu, z przyjemnością podkreślamy. Na zakończenie musimy zanotować pewien objaw charakterystyczny a pocieszający. Oto w sobotę równocześnie był benefis pp. Skalskich („Palestrant“, Millöckera, odczyt p. Strakosza, wieczorek na dochód towarzystwa „Jad Charuzim“, wreszcie przedstawienie amatorskie w Kasynie — i wszędzie było pełno. Lwów zaczyna się przynajmniej w tym kierunku ruszać nie na żarty!!

* * *

Przyszły tydzień jest ostatnim w dyrekcji p. Miłaszewskiego. Laurów ustępujący dyrektor nie zebrał przez czas dwuletniej swej działalności, ale jak zapewniają ludzie dobrze poinformowani, odchodzi z dobrze naładowaną kiesą. Jest więc czem pocieszyć się po utracie dyrekcji, i będzie za co wieść w Krakowie spokojny żywot *procul negotiis*. Nowa dyrekcja krząta się żywo. Z obecnego personalu ustępuje p. Hierowski i panna Knapczyńska (p. Webersfeld już pierwej ustąpił), natomiast powracają na naszą scenę pp. Zboiński, Fiszer i prawdopodobnie Podwyszyński, a z nowych przybywają pp. Wojdałowicz, Żelazowski, Feliksiewicz, Szymanowski, Barski, i panie: Stachowiczówna i Kasprowiczowa. Widzimy, że nabytek znacznie pokrywa ubytek. Pierwsze przedstawienie za nowej dyrekcji odbędzie się w poniedziałek wielkanocny. Podobno daną będzie „*Balladyna*“ w której rolę Kostryna odegra p. Żelazowski, Grabca p. Wojdałowicz. Oprócz tego zajdą jeszcze inne, drobniejsze zmiany w obsadzie.

* * *

Pisma tutejsze z oburzeniem wspomniały o ogłoszeniu pewnego kupca, który umieścił na niem herb polski, i w imieniu ojczyzny wzywa publiczność, aby kupując u niego towary, budowała Polskę w ten sposób. Bezwarunkowo pomysł to głupi i niestosowny, ale niech nasze dzienniki uderzą się w piersi i zapytają się, czy one nie są winne temu dziwnemu objawowi? Tak jest — one to przy lada sposobności nadużywając patrjotycznych haseł, przy la-

da osobistej drobnostkowej sprawie wsiadając na wielkiego konia, przyzwyczaiły publiczność do tego, że teraz już w imię ojczyzny każą kupować ocet, lub czernidło do butów.

* * *

Ojcowie jezuici zawsze są pomysłowi. Ot teraz w czasie wielkopostnym urządzają osobne rekolekcje dla kobiet, a osobne dla mężczyzn. Czy tak mało dowierzają cnocie swych owieczek, że obawiają się wpuścić do kościoła razem kobiety z mężczyznami? Czy inną głoszą moralność mężczyznom, a inną kobietom? Wartoby to przecież zbadać... My tyle tylko wiemy, że Chrystus, kiedy kazał na puszczy do rzeszy, takich różnic płci nie robił, a w każdym razie głosił rozumniejsze i uczciwsze rzeczy, niż te, na co ichmoście w czarnych rewerendach zdobyć się mogą...

* * *

Dnia 10. i 11. b. m. odbyło się w sali kasyna mieszczańskiego przedstawienie amatorskie w połączeniu z operetką. Ta ostatnia pod kierownictwem znanego zaszczytnie nauczyciela spiewu p. Walerego Wysockiego. Sala kasyna na obu przedstawieniach była przepełnioną a publiczność doskonale się ubawiła lekką i swobodna grą amatorów w komedyjce jednoaktowej E. Labich'a p. t. „Moja córeczka", którą poprzedziła odegrana przez tutejszą muzykę 9 pułku uwertura Webera p. t. Oberon. Jako trzeci numer przedstawiono „Lalkę norymbergską" operetkę komiczną w 1 akcie A. Adama. Występujący w niej amatorowie spiewali czysto poprawnie i ze zrozumieniem, a przy tem grą swobodną i pełną werwy zasłużyli niewątpliwie na wszelkie uznanie, które też zamanifestowała publiczność w często się powtarzających a przeciągłych oklaskach. Szczególniej wypada podnieść spiew i grę nader sympatycznej p. List. Czystością intonacji sumiennością wykonania swej partji zwróciła powszechną uwagę tem więcej, że gra jej mogła zadowolnić wszelkie wymagania najwybredniejszych krytyków.

Tak świetny wynik przedstawienia tej operetki nalеży przypisać także i to przedewszystkiem jej artystycznemu kierownikowi p. Waleremu Wysockiemu, który z właściwą sobie niezmordowaną pracą i poświęceniem podjął się wyuczenia wszystkich śpiewających w tej operetce. Biorący udział w operetce panowie są o ile nam wiadomo wszyscy uczniami p. Wysockiego. Tacy uczniowie przynoszą zaszczyt ich maestrowi.

* * *

Nakładem. Redaktora „Przeglądu literackiego" i zarazem właściciela księgarni w Krakowie wyszły niedawno dzieła Ignacego Krasickiego w 3 tomach, Jana Kochanowskiego w 4 tomach i Juliusza Słowackiego w 5 tomach. Wydanie to obejmujące wszystkie dzieła wymienionych poetów jest poprawne i staranne co przedewszystkiem nadzwyczaj tanie a więc przystępne do nabycia dla każdego, który pragnie wzbogacić swą bibliotekę naszymi klasykami. Należy poczytać za zasługę p. wydawcy że zadowalniając się najskromniejszym zyskiem dał sposobność także i najuboższym zaopatrzyć się w tak cenne dzieła.

ZAPISKI.

Literatura.

* W Krakowie nakładem autora, a drukiem Anczyca, wyszła rozprawa p. St. Skrzyńskiego pod tyt. „Andrzej Zamojski i jego program polityczny," małe 8-vo, str. 55. Autor korzystał z dotychczasowych prac o Zamojskim i z korespondencji prywatnej; w pozedmowie zapowiada obszerną monografię.

* „Obrazki Syberyjskie" Ludwika Niemojewskiego, wyjdą w krótce w Londynie w przekładzie angielskim pani Hasslet, nakładem znanej firmy angielskiej „Hurst and Blackett-Great Malborough Street."

* Michał Czajkowski (Sadyk basza) niegdyś należący do naszej literatury, rozpoczął w czasopiśmie rosyjskiem „Ruś" druk ciekawego opowiadania p. t. „Sułtan Abdul-Azis i prawda o jego śmierci." Opowiadanie to jest bardzo żywe i bardzo zajmujące.

* „Revue Britannique" w zeszycie styczniowym zamieszcza biografię p. Modrzejewskiej, pióra A. de Vignerie, która jak wszystkie dotąd, zawiera szczegóły czerpane z bujnej imaginacji autora, lub ze źrudeł niewłaściwych. Autor objawia życzenie aby Modrzejewska wystąpiła przed publicznością paryską.

* Najdawniejsze zabytki starogruzińskiej literatury, jak donosi gazeta „Kaukaz" mają być zebrane, staraniem gruzińskich literatów w Tyflisie. Pierwsza serja zbioru, mającego nosić tytuł „Klasycy Gruzińscy," rozpocznie się wydawnictwem poematu: „Królowa Tamara i Dawid jej mąż,"utworu poety Czachruchadze z XII w.; w II-ej serji mają wyjść poezje ludowego piewcy z XI w.; Dzagnakoreli.

* Wychodzi obecnie w Niemczech dykcjonarz somnambulizmu. Dotąd ukazały się dwie głoski. Czytamy tam pomiędzy innemi życiorys Berwińskiej, polki, która w r. 1792 w Wejmarze była, jako rzadkiej natury lunatyczka, przedmiotem badań lekarskich.

Teatr i muzyka.

* Pani Sembrich-Kochańska występować będzie w krótce w operze wiedeńskiej, gdzie ma śpiewać po włosku i artystce naszej miano ofiarować 3000 złr. za występ, sumę jakiej dotąd niebrała żadna śpiewaczka.

* W Monachium przygotowuje intendantura teatru przedstawienie dramatu historycznego, pozostałego po humoryście Marcinie Schleichu. Treść i główna figura dramatu i nas powinna zainteresować; tytuł jej brzmi: „Wit Stwosz".

* W Paryżu przedstawiono nową operę Saint Saénsa „Henryk VIII". Librecista krzyształ z z treści dramatu Shakespeara. Opera podobała się dla orkiestralnych efektów i świetnej harmonizacji. Pod względem melodji opera Saint Saénsa ma być uboga i wcale nieoryginalna.

* Przedstawienia „Parsivala" Wagnera mają się wkrótce rozpocząć w Bayreucie. Król pragnie je przyspieszyć tem więcej, że w papierach Wagnera znalazła się notatka, iż zmarłych artystów najbardziej się czci przez przedstawienia ich utworów.

* Straus kończy nową operetkę pt. „Guwernantka" do libretta Fr. Schöntana,. Może znowu raz doczekamy się po sławnych libretach Mailhaca i Halevy do kompozycyj Offenbachowskich, operetki... z sensem.

* W operze paryskiej przedstawiona będzie 5 bm nowa opera „Henryk VIII".

* L'opera comique przygotowuje operetkę Delibésa p. t. „Lacaine".

* „Teatre française" wznawia obecnie znakomitą komedję Augiera pt. „Bezczelni".

* Pani Wolter wyjechała na gościnne występy do Pragi.

* Profesor Joachim popisuje się w koncertach w Londynie.

* W Paryżu istnieje obecnie, nie licząc café-concertów itp. 48 teatrów. Najwięcej miejsc (3500) posiada Chatelet, gdzie dawano ongi wszystkie czarodziejstwa, dalej idzie Theatre des Nations (2500) i W. Opera (2100), Chateau d' Eau (2000), Ambigu (1900), Gaité i i Porte St. Martin (1800) opera ko-

miczna (1500), Odeon (1467) i Comedie Française (1380). Największy personal artystyczny i techyniczn posiada opera wielka, ma ona 95 muzyknntów, 20 śpiewaków, 18 śpiewaczek, 7 tancerzów, 52 baletniczek, 100 chórzystów i figurantów, 87 „sujets“ do baletu, 155 maszynistów itp.

Sztuki piękne.

* Obraz Michała Anioła, przedstawiający w małym formacie Przenajświętszą Rodzinę, nabył panujący książę Lichtenstein do swoich zbiorów od niejakiego pana Maurice Maore, w którego posiadaniu to arcydzieło znajdowało się od dawna. Komisja rzeczoznawców w Rzymie oceniła ten obraz na 250.000 lirów.

* W Monachium zmarł 12 zm malarz Edward Joung ur. 1823 w Pradze. Joung bawił czas długi w Danii, a od lat kilku mieszkał w Monachium, gdzie oddał się prawie wyłącznie obrazom rodzajowym. Najwięcej znanym obrazem jego jest „Der Preisstier“.

* Juliusz Allgeyer i K. Bolhoevener wynaleźli nowy sposób robienia ilustracyj, który nazwali typograficznym fotodrukiem, a który ma rozwiązywać najtrudniejszy problement na polu reprodukcji fotograficzoej, mianowicie zużytkowanie w tym celu maszyny drukarskiej. Rzocz cała opiera się na czułości żelatyny, w połączeniu z solami chronowemi na światło.

Miscelanea.

Warjat, którego utwor nagrodziła akademia francuska, jest niezawodnie rzadkiem zjawiskiem, a jest nim Filip August h. Villiers d'Isle-Adam, jakkolwiek dodać należy, że jest on warjatem raczej dla oryginalności, aniżeli z powodu choroby umysłowej. Jego „Nowy świat“ zyskał mu nagrodę akademii, a inne dzieła cieszą się mniejszem lub większem powodzeniem. Sam o sobie opowiada rzeczy niebywałe, lub nawet robi coś takiego, co istotnie na myśl przywodzi warjactwo. I tak np. zgodził się raz za służącego przy pewnem przedsiębiorstwie pogrzebowem, a gdy go spytano, co go do tego skłoniło, odpowiedział, iż zbyt wesołe poprzednie życie, za które chcąc odpokutować, nosi obecnie trumny dla nieboszczyków. Wkrótce porzucił to zajęcie i służył jako „model“ w pewnym zakładzie dla obłąkanych, to znaczy, że przy swej szczególniejszej powierzchowności udawał wyleczonego warjata, a gdy przywożono jakiego nowego chorego, to rodzinie przedstawiano hrabiego Villiers mówiąc, że i ten pan był kompletnym warjatem, ale dzięki naszej metodzie leczenia i łagodnemu obchodzeniu się, stan jego polepszył się znacznie, i jest wszelka nadzieja, że kiedyś niezawodnie . . . . etc. etc Zajęcie to przynosiło mu miesięcznie 200 franków. Znów innym razem podobało mu się mieszkać w jakimś przez wszystkich opuszczonym szynku, gdzie tylko piwo sprzedawano, i tu przyjmował swych przyjaciół, zwolenników i nakładców. Oczywiście piwiarnia w Paryżu nie mogła się cieszyć zbytnem wzięciem, więc też nie raz całemi dniami stała pusta, wówczas gospodarz i kelner wychodzili na przechadzkę, a Villiersa prosili, by tymczasem pilnował szynku, gdy zaś przypadkowo trafił się wówczas jaki gość, to go odsyłał do naprzeciw będącej winiarni. W „Odeonie“ nieprzyjęto mu sztuki a natomiast grano ją w „Theatre des nations“. Villiers chcąc się zemścić, wsiadał codziennie do tramwaju idącego do Odeonu i z wagonu wołał na cały głos niby to do znajomego na ulicy, że jedzie do Odeonu czytać nową sztukę. Przez pół roku bawiło go to. Przy tem wszystkiem był i muzykalny, a nawet dorabiał muzykę do własnych sztuk, jeśli potrzebną była.

Oczywiście przyjaciół nie ma, i to z własnej winy, sposób bowiem, w jaki się ze znajomymi obchodzi, nie może mu zyskać sympatji. I tak n p jednego dnia jest dla kogoś nadzwyczaj serdecznym, zwierza się ze wszystkiem, opowiada najskrytsze tajemnice, a na drugi dzień wcale nie zna tego człowieka, nie wita się, gdy go na ulicy spotka. Może i to robi dla oryginalności, a w takiem razie nim się postarzeje — ma bowiem obecnie 42 lat — doprowadzi rzecz swoją do doskonałości. U nas na Rusi jest przysłowie, dające się w tym wypadku wybornie zastosować: Dobre duryty, koły prystupaje

---

Alfons Daudet i Emil Zola. Z wydanego studium M. G. Conrad'a o życiu prywatnem koryfeuszów współczesnej literatury francuskiej, podajemy wyjątek o tych dwóch wybitnych pisarzach nowszej szkoły.

Daudet i Zola zarówno lubią spokojne, ciche domowe pożycie, unikają wielkiego świata, i tylko w szczupłem kółku znajomych lubią pozostawać. Daudet używał nawet dawniej oryginalnego, własnego pomysłu ubioru, aby nie wyglądać, jak tuzinkowy dandy paryski. Czas go dopiero uleczył z tego dziwactwa.

Przestał już nosić pasterski kapelusz, aksamitną marynarkę, przystrzygł spadające na ramiona kędziory, i nie widać już u niego ząbkowanych mankietów. Na przemianie tej nie straciła wcale jego zawsze ujmująca powierzchowność.

Mizantrop Zola, dla którego praca stanowi największą rozkosz życia, tylko przez zime przebywa w Paryżu, przez całe zaś lato zagrzebuje się w odalonej wiosce w pobliżu Médan. gdzie za sąsiadów ma tylko chłopów, i gdzie z trudnością przyszłoby go odszukać Paryżaninowi. Dom, w którym mieszka, oddalony jest o 5 kilometrów od najbliższej ludzkiej siedziby — i składa się z czworokątnego wieżycą zdobnego budynku, u którego stóp przykucnął maleńki domeczek. Po przed nim rozciąga się ogród warzywny oddzielony od przerzynającej wieś drogi Wschodniej kolei żelaznej, wysokim żywym płotem. W wieży urządził dla siebie pracownię na sposób atelier malarskiego. Światło dostaje się przez jedno ogromne okno, które obejmuje całą ścianę od strony północnej. Widok rozciąga się na ogromną płaszczyznę, ogołoconą zupełnie z zarośli. Podobnie jak w malarskiej pracowni, mnóstwo tu rozmaitych staroświeckich mebli, obić, średniowiecznych zbroi, broni i tym podobnych przedmiotów. Ogromny artystycznie ozdobiony komin, w którym możnaby zmieścić całą furę drzewa — uzupełnia umeblowanie sanctuarium naszego antiromantyka. W małym domku mieści się pozaliterackie mieszkanie Zoli, jego żony i służącej. Temperament Zoli robi go nieprzystępnym. W wyborze towarzystwa jest nadzwyczaj trudnym. Jego bezwzględność, otwartość w wypowiadaniu poglądów w najdrażliwszych literackich, artystycznych i politycznych sprawach, będących porządna nąpzienny — poróżniła go z niebem i ze światem. Daudet, Turgieniew, wydawca jego dzieł Charpentier i jeszcze może trzy lub cztery osoby — oto cało grono nieco zbliżone do tego hipochondryka, wprawdzie szczęśliwego w pożyciu małżeńskiem, ale bezdzietnego. W zimie zaprowadził w kółku swych przyjaciół niedzielne obiady, w celu gromadzenia się razem. Obiady te odbywają się kolejno. Czasami bywają na nich i dalsi znajomi. Pewnego dnia zgromadzono się u Charpientera. Całe towarzystwo było w wybornym humorze. Szczególniej po czarnej kawie bawiono się doskonale, opowiadano anegdotki, wesołe nowinki, komiczne wypadeczki. Pomału rozmowa zeszła na poważniejsze tory, i dowcipy, anegdotki i kalambury zamieniono na rozprawy o najnowszych objawach naturalistycznej literatury.

— Musimy wysłuchać zdania Zoli, wszak to nieomylny sędzia! — odezwał się jeden z towarzyszy.

Dopiero teraz zauważano jego zniknięcie.

— Zola! Zola! zaczęto wołać na wszystkie strony.

Żadnej odpowiedzi.

Przeszukano wszystkie kąty — salon — pokoje — dopiero w najodleglejszym pokoju znaleziono ona fotelu z głową wtuloną w poduszki, chrapiącego w najlepsze.

Zola lubi jeść dużo i dobrze, ale nie pije, nie pali, nie nawidzi wesołych hulaszczych zabaw — a mimo to ileż u niego dowcipu, jaka bujna fantazja!

Treść.

Zasada powagi.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
Z poezji W. Z. Kościałkowskiej.
Mazanowski A. : Balladomania. (dok.)
A. S. : Lepiej późno niż nigdy.
Przegląd literacki.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 12. We Lwowie dnia 17. Marca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cent. od wiersza druku petitem.

Od Administracji.

Z dniem 1. kwietna rozpoczynamy trzeci kwartał naszego wydawnictwa. „Ziarno" wychodzić będzie pod tymi samymi warunkami jak dotychczas.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu kwartalnie 3 złr.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct.
Na prowincji kwart. 3 „ 25 „
„ miesięcz. 1 „ 15 „

Celem uregulowania wydawnictwa prosimy o **wczesne nadsełanie prenumerat**; natomiast zaś przyrzekamy, że odtąd w ekspedycji pisma naszego nie zajdzie żadne opóźnienie, które wynikało jedynie z niedokładności administracyjnych, obecnie już usuniętych.

Z powodu objęcia teatru
przez nową dyrekcję.

Po dwu latach rządów, a właściwie po dwuletnim nierządzie p. Miłaszewskiego, który to okres będzie stanowić najsmutniejszą kartę w dziejach naszego teatru, obejmuje dyrekcję człowiek, mający już około sceny niezaprzeczone zasługi, położone w latach poprzednich, i dający gwarancję, że pod jego kierownictwem podniesie się nasz teatr z obecnego upadku. P. Dobrzański co do teatru posiada szlachetną ambicję, a znając jego energję możemy być pewni, że zdoła wiele dobrego zdziałać. Będzie to jednak praca żmudna i uciążliwa — naprawiać to, co zostało zepsute, wiązać to, co rozerwane, budować z gruntu to, co zniszczone. Nowa dyrekcja obejmuje po starej — zepsutą, prawie zdziecinniałą już publiczność, artyzm w kompletnym upadku, i zdezorganizowany personal. Śliczna sukcesja —- nie ma co mówić... To też będzie potrzeba wielkiego wysiłku, aby istniejące zło usunąć, systematycznej, jasno określonej pracy, rozłożonej nie na tygodnie i miesiące, ale na całe lata...

Pozwolimy sobie przedstawić, jaką w naszem pojęciu ma być ta praca. Zacznijmy od podniesienia estetycznego poziomu publiczności. Uczęszczając dłuższy czas systematycznie do teatru, mogliśmy śledzić krok za krokiem upadek dobrego smaku. To, co w swoim czasie byłoby wprost niemożliwem z powodu złego opracowania scenicznego i braku zdrowego sensu, przyjmowano później już bez oburzenia, następnie z pobłażliwością, a obecnie bawią się tem i nie szczędzą oklasków. Nie raz będąc na przedstawieniu, ze zdziwieniem zapytujemy siebie, z czego publiczność się śmieje, z jakiego powodu objawia swe zadowolenie? Śmieszny, przesadny patos — to moment dramatyczny, licha, cyrkowa arlekinada — to komizm znakomity! Idąc tak coraz niżej ze stopnia na stopień, doszlibyśmy do tego, że w opinii publicznej szczytem tragedji stałyby się „Chłopcy czerwienni" lub „Rycerze mgły", a kwiatem komedji byłoby „Zawalenie się wieży ratuszowej we Lwowie", „Morderstwo na Zarwanicy", lub „Berek zapieczętowany". A jeżeli mówimy o upadku smaku, to mamy na myśli nietylko klasę słabo umysłowo rozwiniętą, ale także t. z. „inteligencję", która co raz to częściej odzwyczaja się jasno patrzeć i myśleć logicznie. Ażeby skutecznie oddziałać przeciwko temu upadkowi smaku, należy być bardzo oględnym i wybrednym, co do wyboru sztuk, które się ma zamiar przedstawiać; przedstawiać tylko rzeczy choćby względnie dobre, i nie dać się co do tego niczem sprowadzić z obranej drogi. Nie wymagamy, aby repertoar był przeważnie klasyczny — na to nie ma sił odpowiednich i kierunek ten nie odpowiada obecnym prądom — ale wybór sztuk, czy to dramatów społecznych, czy komedyj, czy wreszcie fars, powinien być zawsze staranny. Dyrekcji nie powinno zależeć na wystawieniu jak największej liczby sztuk nowych - ale sztuk dobrych. Wymaga to nieraz pewnego poświęcenia, ale też tem większą jest zasługa, a w przyszłości systematyczna działalność w tym kierunku, nawet pod względem materjalnym nie okaże się bezowocną.

Względny brak nowości, które posiadają zawsze siłę pociągającą — można zastąpić czem innem, co również, choć nie zaraz w pierwszej chwili, zdoła publiczność zainteresować. Mamy tu na myśli stosowną obsadę ról i staranność pod względem artystycznego wykonania. Jeżeli publiczność się przekona,

że artyści rzeczywiście pracują, a nie zbywają, jak to teraz bywa, swych ról po rzemieślniczemu, jeżeli będzie mogła śledzić i porównywać wypracowanie w szczegółach— wtedy zainteresuje ją to, jako prawdziwa u nas nowość. To wszystko zależy od artystycznego kierowni twa, w którego ręku leży podniesienie sztuki. Dawną tradycję artystyczną trzeba wskrzesić, trzeba artystów pobudzić do sumiennej pracy, wywołać między nimi szlachetną emulację — a powodzenie będzie zapewnione, publiczność bowiem nauczy się cenić talent i pracę, artyści cenić rozumną i wykształconą publiczność, i w ten sposób nawiązany zostanie znowu serdeczny stosunek między artystami a publicznością, który od dawna już tylko do mitu należy...

Na zakończenie tych kilku luźnych uwag, które nam się pod pióro nasunęły, chcemy pomówić o niedzielnych przedstawieniach popołudniowych. Zdanie, jakoby te przedstawienia były przeznaczone dla publiczności niższej wykształceniem i wymaganiami, jest w znacznej części fałszywe. Są pewne warstwy inteligencji miejskiej, które po części z braku czasu w dnie powszednie, po części dla taniości cen, uczęszczają na niedzielne, popołudniowe przedstawienia, resztę zaś publiki stanowi t. z. publiczność niedzielna. Ze względu na tę ostatnią nie należy na poobiednie przedstawienia wybierać utworów przystępnych tylko pewnym sferom społecznym, np. wyższej salonowej komedji, ale ze względu na jej pożytek i przyjemność inteligentnej części publiczności, nie można traktować lekceważąco tych przedstawień, owszem należy zwrócić baczną uwagę, tak na wybór sztuk rozsądnych i o dobrej a jasnej tendencji, jak i na sumienne artystyczne wykonanie. W ten sposób poobiednie przedstawienia odpowiedzą wymaganiom ogółu i spełnią swe zadanie, które w części jest posłannictwem. Mając nadzieję, że zapatrywania nasze są identyczne z zapatrywaniami nowej dyrekcji — witamy ją serdecznie na drodze żmudnej, a oby kiedyś w świetne rezultaty obfitej — pracy!

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Pewnego wieczora panna Karolina niezwykle smutna była, milcząca i rozdrażniona. Na zapytanie Jędrusia,— który choć przyzwyczajony do jej kaprysów, w takim jednak humorze nigdy jej nie widział dotychczas— co mogło być tego powodem, wybuchnęła spazmatycznym płaczem, i nie rychło potem zdołał ją zdziwiony i zakłopotany chłopak uspokoić, co swoją drogą pod względem wymowy szło mu ogromnie chropawo i niezręcznie. Brakowało mu słów perswazji, jąkał się, a ratował sytuację tylko gęstemi pocałunkami, któremi okrywał pulchne rączki towarzyszki. Podobno te właśnie argumenta najwięcej poskutkowały.

— Przecie Bóg łaskaw nad nieszczęśliwą kobietą... zaczęła po chwili otarłszy oczy i odetchnąwszy głęboko. — Ot! w tem życiu mem gorzkiem i z wszystkich iluzyj odartem, samej jednej na świecie Opatrzność zesłała w panu, drogi panie Andrzeju, gwiazdę przewodnią, która rozjaśnia mi czarny horyzont mej niedoli, i napawa otuchą lepszej przyszłości... O tak!... nieobłudna przyjaźń pańska i życzliwość, złote serce i anielska dusza są mi rękojmią, że przynajmniej co do ciebie, panie Andrzeju, nie zawiodę się... że przynajmniej tym razem sympatję moją, więcej powiem, jak dziś już przywiązanie ślepe, w godne złożyłam ręce... O! bom ja całe me życie bardzo... bardzo była nieszczęśliwą... dodała ciszej, i znowu zagrażał Jędrusiowi potok łez, który będzie trzeba tamować heroicznie.

— Jeśli przyjaźń moja i życzliwość mogą w czemkolwiek służyć pani, oddaję je najchętniej na rozkazy, tak obecnie jak i w przyszłości. Do końca życia możesz pani śmiało liczyć na mnie w każdym wypadku. Szczęśliwym się nazwę, gdy w danym razie będę miał sposobność czynem wywzajemnić się pani za jej przyjaźń i sympatję.

— Choćbym nawet wiele... wiele zażądała?... podchwyciła biorąc go za obie ręce i nachylając ku niemu zwilżoną łzami twarz tak blisko, że gorący jej oddech poczuł Jędruś na swojem obliczu.

— Spełnię wszystko z roskoszą, co tylko w mocy mej będzie... — odparł Jędruś w rzetelnem uniesieniu i z owym zapałem, tak właściwym, gdy się zważy młody wiek jego i towarzyszące okoliczności.

— Przysięgasz?

— Przysięgam...

— Więc... więc... dowiedz się o tem drogi Andrzeju, że cię kocham nad życie... że bez ciebie zginęłabym marnie... żeś pierwszym i ostatnim człowiekiem, który zabrał mi serce, głowę, spokój, całe jestestwo moje... że odtąd chcę i będę należeć tylko do ciebie, żyć li dla ciebie, umrzeć tylko z tobą... wyrecytowała jednym tchem namiętnie, rzucając się na piersi Jędrusia...

Gdy w godzinę potem Jędruś powrócił do swego pokoju, wzburzony i rozstrojony jak nigdy, i w myśli zreasumował wypadki tegodnia, poczęły w nim kiełkować równolegle obok siebie dwa uczucia zupełnie nowe: Litość i wstręt... Obydwa one dotyczyły niestety panny Karoliny, która niechybnie wszystkiego innego raczej, aniżeli takiego efektu spodziewała się z dzisiejszej pogadanki..

Choćbyśmy wyznaniem następującem narazić mieli w wielu oczach na szwank, dobrą reputację naszego bohatera — jednak dla miłości prawdy dodać musimy, że wstręt przerósł wnet tamtego rówieśnika, i zapanował wszechwładnie nad nerwami i wyobraźnią młodego chłopca.

Biedna panna Karolina!...

* * *

Przez kilka tygodni następnych Jędruś widocznie stronił od „przyjaciółki"... Spotkawszy ją, czy to przy obiedzie czy kolacji, unikał starannie świdrujących go na wylot czarnych oczu panny Karoliny, dnie całe z umysłu przesiadywał w swoim pokoiku — a o „szarej godzince" ani mowy nie było, i być nie mogło. W tem wszystkiem bowiem pomocną mu była i ta okoliczność, jak wraz dlań nadarzona szczęśliwie, że właśnie zjechała była do Zrębów na „krótki pobyt" ciocia Wilska, stryjeczna kuzyna pana Wilskiego, którą z braku odpowiedniego wygodnego miejsca w nieobszernym domu, zakwaterowano w pokoju panny Karoliny.

Ten „krótki pobyt" trwał ze dwa miesiące, oczywiście ku wielkiemu niezadowoleniu gospodarstwa, utyskującego po cichu na zwiększone, skutkiem jej bytności w domu, wydatki codzienne. Atoli niechęci swej dla gościa, jawnie, bez ceremonji okazać się im nie godziło z uwagi, że ciocia posiadała kapitalik kilkunastotysięczny, lat przeszło pięćdziesiąt, przeżytych w surowem a nader nabożnem panieństwie, i nie kryła się wcale z zamiarem legowania swojego mienia „kochanej Margericie", którą rzeczywiście kochała, jakby własną córkę.

Niezadowolenie Wilskich z przyczyny bytności cioci w Zrębach, podzielała nie mniej gorąco, a może nawet w wyższym stopniu, panna Karolina. Jej znowu szło o zupełnie co innego... Rychło zauważała uderzającą zmianę w postępowaniu Jędrusia, i zalękła się niezmiernie, bo stawiając wszystko na jedną kartę, pewna była zupełnej wygranej... Szukała okazji, by się doń zbliżyć zręcznie, pomówić w cztery oczy, i każdą ceną bardziej przywiązać do siebie... a tu jak na zbytki, nie było nigdy takiej dobrej okazji. Jeżeli się zaś jaka taka nareszcie zjawiła, chłopak formalnie z umysłu uciekał od niej, gry oczu nie rozumiał, czy rozumieć nie chciał, słówek rzucanych w przechodzie

nie słyszał — słowem całe był inny, nie do poznania... Złość szalona i żal okropny szarpały nią na przemiany, przeklinała w duchu „ciocię“, siebie, Jędrusia, świat cały, a choć jej to chwilową ulgę sprawiało, po uldze przemijającej, gryzące uczucia, jak paroksyzm w chorobie, wracały ze zdwojoną zda się potęgą. Były dnie, że chodziła jak pijana lub obłąkana, a nadto dobijała ją wtedy obojętność tego niewdzięcznika“, który nawet nie popatrzył na nią nigdy. Ach! z jaką roskoszą byłaby go udusiła własnemi rękami, lub rozszarpała i psom łańcuchowym na pastwę rzuciła! Gdybyż przynajmniej to było lato, mogłaby listownie zaprosić go gdzieś na tajną schadzkę, i tam mu oczy wydrapać, lub do reszty spętanego z tryumfem do nóg swoich rzucić! Byli wtedy ledwie w marcu, do wiosny i ciepłych dni należało jej czekać jeszcze wieki całe, dwór zaś w Zrębach ciasny i przepełniony mieszkańcami, ani jednego kącika nie posiadał, gdzieby można bezpiecznie stoczyć taką bitwę walną... Rozpacz ją ogarnęła, posmutniała na serjo, zmizerniała, stała się opryskliwa dla całego domu, i nie było dnia, żeby Małgosia nie płakała potajemnie,—na niej bowiem w pierwszym rzędzie bez dania racji, odbijały się gniewy i zawody boleśnie dotkniętej kobiety..

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Gorliwość.

Raz siedzieliśmy sami,
Gdzie altanka brzozowa;
Ona między kwiatami,
Jak prawdziwa królowa.

A jam siedząc u boku
Patrzał na nią nieśmiele —
Ach! bo w modrem jej oku
Czytać było tak wiele....

O miłości czytałem,
Która poi nam serce;
Tam ją w oczkach widziałem
Już tlejącą w iskierce. —

I czytałem tam wiele
O nadziemskiej słodyczy,
Troski, bole, wesele,
Któż to wszystko wyliczy?

Ku niej schylam me czoło
Szepcąc słowy cichemi,
Cisza taka w około —
Już już... lecę od ziemi.

Gdy zkądś mucha wypadła
Jakaś żywa i pusta,
I niegrzeczna usiadła
Na królowej mej usta.

Jam pokraśniał z wzruszenia
Na ten owad skrzykłaty,
Że nam mąci marzenia,
Mając trawki i kwiaty

A że trudno też było
Płoszyć muchę rękami,
Więc się szybko zgoniło..
Brzydki owad ustami.

A. S.

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

Gustaw Flaubert urodził się w Rouen r. 1821. Zmarłszy tamże w r. 1880, pozostawił europejską poezję w innym stanie, aniżeli ją zastał nikt w sztuce nie może żądać lepszej sławy. Praca jego życia oznacza krok w historji romansu.

Był on pisarzem prozaicznym pierwszego rzędu, a nawet przez lat kilka pierwszym we Francji. Siła jego prozy polegała na artystycznej i literackiej sumienności, wznoszącej się do geniuszu. Był wielkim artystą, bo i przygotowując się do pisania i pisząc nie uchylał się od żadnego trudu, lecz zbierał spostrzeżenia i wyjaśnienia tak starannie, jakby był tylko uczonym, a materjał usiłował plastycznie i harmonicznie kształtować z taką namiętnością, jakby był tylko wielbicielem formy. Mistrzem nowoczesnego romansu stał się przez to, że z przezwyciężeniem się powziął zamiar, aby przedstawiać tylko prawdziwe zjawiska duchowe, pomijając wszelkie efekta poetyckiej wymowy, wszystkie momenty patetyczne albo dramatyczne, które kosztem prawdy wydają się piękne i interesowne. Jego imię oznacza artystyczną powagę i literacką ścisłość.

Nie był to uczony, który zarazem był poetą, albo stał się nim w biegu czasu; on pracę poetycką ugruntował na głębokich, zwolna pozyskiwanych studjach przygotowawczych. Książki jego nie mają w sobie nic młodzieńczego albo płochego, nic uśmiechniętego albo zgrabnego. Te książki są wynikiem powolnej i późnej dojrzałości. Wystąpił po raz pierwszy mając lat 35, i pozostawił w 59 roku życia tylko 7 dzieł, chociaż poświęcał cały swój czas literaturze [1]).

Była to bardzo oryginalna, ale nie pierwotna natura. Oryginalność polegała na tem, że w umyśle jego zlewały się dwa główne prądy literackie, i tworzyły nowe źródło. W młodości otrzymał równocześnie, albo prawie równocześnie dwa impulsy, które określiły zawód jego życia.

Pierwszym prądem, który go dosiągł — był kierunek romantyczno-opisowy literatury, pochodzący od Chateaubrianda, barwny styl, ożywiony liryką, jaki w „Atalj“ i „Les Martyres“ po raz pierwszy oczarował Francuzów a później w „Les Orientales“ i „Notre Dame de Paris“ Wiktora Hugo otrzymał rytm jeszcze silniejszy i potężniejszy, i o wiele większą malowniczą siłę. Flaubert był w młodości, jak wszyscy poeci i wszyscy ludzie, nastrojony lirycznie. Próby liryczne, których nigdy nie drukował, były to zgodnie z rozwojem poezji francuskiej iskrzących barw melancholiczne hołdy, składane religji piękności. Drugim strumieniem, który wszedł do wnętrza jego ducha, był kierunek współczesny romansów Balzaca, charakteryzujący się zmysłem dla brzydoty i nagości (brutale); ich namiętny pociąg do rzeczywistości, i prawdziwość spostrzegania. Te dwa prądy spływając się u niego, zmieniały się po upływie pewnego czasu i otrzymały nową barwę i nowe imię.

Jako młodzieniec pisał do szuflad swego stolika wiele opisowych i patetycznych liryk w stylu W. Hugo, Gautiera i Byrona; ale odczuwając, że w tym kierunku nie odznaczy się oryginalnością, że na tem polu zgoła nie można już być oryginalnym, zatrzymał swoje produkcje i można go było uważać za nieuzdolnionego a przynajmniej nieproduktywnego człowieka. Prawie w tym samym czasie pisał próby przeciwnego rodzaju; wymieniał zwykle komiczną tragedję o krowiej ospie; lecz i tych prób nie wydał. Dopiero kiedy Chateaubriand i Balsac w jego umyśle zrodzili nową poetycką formę, uznał się pewnym swojej oryginalności, i wystąpił publicznie.

I.

Ci nawet, którzy mało albo nic Flaubert'a nie czytali, wiedzą, że pisarz ten romansem „Miłe rozkosze“ 1856 r. nadzwyczajne wrażenie zrobił w Paryżu, a wkrótce potem w całej Europie.

1) Tytuły: Madame Bovary, Salambo, L'education sentimentale, La tentation de Saint-Aintoine, Le Candidat, Trois Contes, z tych 2 przełożono na język polski. „Legenda o św. Julianie“ w Przegl. Tygod. a Prostacze serce w Ateneum)“; Bouvarde Pécuchet. W polskim języku wyszła pierwsza p. t. Pani Bovary w Warszawie nakł. red. Przeglądu Tygodniowego, druga p. t. Córka Hamilkara, wyszła osobno, a była także p. t. Salambo drukowana w Warszawie

Głupi proces — prokurator oskarżył autora o niemoralne tendencje, i stanowcze uwolnienie przez sędziów mało mogło się przyczynić do powiększenia uwagi, jaką nowy talent obudził już sam przez się. Książka, jak wszystkie nowe początki w literaturze, wydała się dziwaczną i gorszącą (anstössig). Było to oznaką sprzeczności. Porównywano ją z utworami czasu dawniejszego, i pytano czy to poezja? Niejednemu przypominała raczej chirurgję i anatomję. Jeszcze znacznie później mówiono w literackich kołach paryskich, gdzie utrzymało się dawniejsze pojęcie poezji: „Dziękujemy za szkielety p. Flaubert'a". Autor został nazwany ultrarealistą, a romans uznano za nielitościwą, nieubłaganą fizjologję codziennego życia w jego smutnej brzydocie.

Nie dojrzano w pierwszej chwili, że temu fizjologowi wymykał się tu i ówdzie wyraz wprawdzie nieosobisty — ale obrazowy i barwny, który zdawał się przynosić wieść z całkiem innego niż w romansie świata. Na pół wykształcona literacka publiczność nie zauważyła, że miała przed sobą opis płaskich stosunków prowincjonalnych i prowincjonalnych nieszczęść, politowania godnych błędów i nędznej śmierci, w stylu zarazem czystym jak źwierciadło i dźwięcznie muzykalnym dla ucha. Liryk leżał zagrzebany pod tą książką, a z grobu wydobywało się niekiedy ogniste słowo.

Była to właśnie chwila, kiedy pokolenie zrodzone między 1820 a 1830 r. opanowało literaturę, i jako cecha jego oblicza pojawiła się szorstkimi rękami przeprowadzona analiza rzeczywistości. Nowa generacja odwróciła się od filozoficznego idealizmu i romantyki i z prawdziwym zapałem podnosiła nóż sekcyjny. W tym samym roku, w którym wyszła „P. Bovary", anatomizował Taine w dziele p. t. „Les philosophes français du 19 siecle" panującą naukę spirytualistyczną, unicestwił Cousina jako myśliciela, i bez pokonywania romantyzmu oświadczył z zimną obojętnością, że Hugo i Lamartine są już klasykami, których młodzież czyta raczej z ciekawości niż z sympatji, i że od niej stoją tak daleko, jak Szekspir i Racine. Oni są „podziwu i czci godnymi zabytkami wieku, który był wielkim i już nie istnieje". Jego przyjaciel Sarcey napisał nie wiele później ów artykuł w Figarze, opiewany i wyszydzany przez Bauville'a, wychowańca wielkich romantyków, — który koncentrował się w tych słowach: „Naprzód przyjaciele! Precz z romantyzmem! Voltaire i szkoła normalna!" [1]).

W poezji dramatycznej zdawało się, że opozycja przeciw romantyce w małej, niepłodnej Ecole de bon sens rozbiła się; Ponsard i jego pokrewni duchowo nie mogli już dawno tego dotrzymać, czego kiedyś od nich oczekiwano. Ale nowi realistyczni dramatycy przyłączyli się do nich właśnie w owym czasie. Augier, który Ponsardowi dedykował swoje pierwsze poezje, i z początku poszedł za jego kierunkiem sentymentalno-mieszczańskim, w r. 1855 wstąpił na nowe tory drastycznego opisu czasów bezpośrednio minionych. Odważniejszy, bardziej szorstki Dumas wskazał mu właśnie tę drogę, i sam pomimo całej czci dla generacji ojca, rozpoczyna bezpośrednio i trafnie wyszydzać romantyczne ideały; — obacz role Naujac'a w „Demi monde" — de Montegre'a w „L'ami de femmes". Słowa, którymi Montegre zmieszany wyższością de Ryon'a odpowiada mu: „Jesteś pan fizjologiem" — były w rzeczywistości jedyną odpowiedzią, jaką przeciwstawiała dawniejsza generacja krytyce młodszej.

Augier urodził się w r. 1820, Dumas 1824, Sarcey i Taine 1828. Poeta „P. Bovary", który ujrzał światło 1821, widocznie miał pokrewnych pomiędzy najbliższymi z współczesnych. Różnił się od nich potajemną niezachwianą wiernością dla ideałów poprzedniego pokolenia. Ale razem z nimi napadał na jego karykatury z taką bezwzględnością, że bez dalszego dochodzenia zaliczono go do tej grupy antyromantyków.

A przecież prawie jeszcze więcej przypomina on zimną surowością, w poprzedniej generacji w odosobnieniu stojącego Mérimée, dla wielu nawet wydawał się on tylko cięższym, szerszym Mérimée. Bo co naprzód zwracało w nim uwagę, to zimny poeta, a te dwie cechy, zimny i poeta połączone zjawiły się tylko u Merimée. Ale bliższe studjum wykazałoby, że zimna krew Mérimégo była innego rodzaju, niż u Flaubert'a. Mérimée traktował romantyczną treść w stylu nie — romantycznym, suchym i zwięzłym. Ton i styl zgadzały się, bo ton był ironiczny, a styl nieobrazowy i zimny. Ale ze stylem i tonem stała w sprzeczności dzikość, i barbarzyńska namiętność indywidualności autora.

Przeciwnie u Flaubert'a godził się przedmiot z tonem, bo przedstawiał z nieskończenie wyższą ironją próżność i głupstwo. Ale z przedmiotem i tonem nie zgadzał się styl. Nie był rozumowy i chudy, jak u Mérimé'go; jaśniał farbami i brzmiał harmonijnie. Poeta rozciągnął złotem tkany kwef na wszystko płaskie i smutne, o czem opowiadał. Kiedy kto książkę głośno odczytywał, zdumiewał się nad muzyką tej prozy. Styl zawierał tysiące tajemnic melodji: ironizował ludzką słabość, bezsilną tęsknotę i zabiegi, oszukiwanie siebie i zadowolenie ze siebie, z towarzyszeniem organowej muzyki. Kiedy w tekscie chirurg bez okazania współczucia, krajał do mięsa i rozrywał, liryk kochający piękno łkał w akompanjamencie. Otwórz taką stronicę, gdzie wiejski aptekarz wygłasza na pół naukową gadaninę, gdzie opisana podróż dyliżansem, albo stara szafka, jestto opis pod względem stylistycznym, świeżością wyrażeń i tęgą budową zdań barwny i trwały jak obraz mozajkowy. Tak silnie był spojony każdy napisany ustęp, że Flaubert sam miał uczucie, że nie możnaby nigdzie ująć dwóch słów, bo inaczej w rytmicznem wygłoszeniu popsułaby się cała stronica. Dokładna delikatność obrazów, spiżowy dźwięk zwrotów, potoczysta szerokość prozaicznych rytmów nadawały sposobowi opowiadania zadziwiającą, bądź malowniczą bądź komiczną siłę.

Oczywiście leżała mu w charakterze jakaś szczególna dwoistość. Istota jego składała się z dwóch uzupełniających się żywiołów: palącej nienawiści głupoty i nieograniczonej miłości sztuki.

Nienawiść ta czuła pociąg, jak zwykle nienawiść, ku swemu przedmiotowi. Głupstwo we wszystkich kształtach, jako głupkowatość, (błazeństwo) naiwność, przesąd, zarozumiałość, parafjańszczyzna, przyciągało magnetycznie, wabiło i inspirowało go. Musiał je malować we wszystkich rysach, znajdował je interesującem samo przez się, nawet kiedy inni nie mogli w niem widzieć nic interesującego ani komicznego. Robił formalne zbiory głupstw, chował masami bezmyślne załączniki procesów niesmaczne illustracje, posiadał kollekcję złych wierszy, tylko przez lekarzy pisanych; każde świadectwo ludzkiej głupoty miało dlań wartość. W dziełach nic więcej nie czynił, prócz tego, że mistrzowską ręką stawiał pomniki ludzkiemu ograniczeniu i zaślepieniu, naszemu nieszczęściu, o ile wypływa z głupoty. Obawiam się, czy dzieje świata nie były dlań historją ludzkiego głupstwa.. Wiara jego w postęp rodu ludzkiego była bardzo chwiejna. Tłum, nawet czytająca publiczność była dlań „wiecznym głupcem, który się wyraża nieosobistym zwrotem" (der ewige Dummkopff, der man genannt wird). Jeśli się chce tę stronę jego istoty oznaczyć owem ulubionem a jemu tak nienawistnem słowem na i s t a, to nie możnaby go nazwać z całem prawem pessymistą, ani nawet nihilistą; słowo to brzmiałoby; i m b e c i l l i s t a.

(C d. n.).

Ślubna sukienka

naszkicował.

A t o m

Sala balowa czarujący przedstawiała widok.

W ogniu świateł, wśród upajającej woni, tonęły wirujące pary.

---

1) Patrz Th. de Bauville: Odes funambulesques, Vilanelle Des pauvres housseurs, i dwa tryjolety.

Muzyka grała jednego z tych uroczych Straussa walczyków, w których tonów kaskadzie serce silniej bije, zmysły półsen jakiś niebiański spowija, a cała istota człowieka zapomina często o rzeczywistości, przenosząc się w krainę, gdzie panuje zwodnicza królowa marzeń.

Różnemi kolorami mienią się brylanty i drogie kamienie, a błyszczące oczy kobiet walczą z niemi o pierszeństwo.

Wszędzie kwiaty, rozkosz — istny przedsionek raju Mahometa.

W zacienionym kwiatami kąciku, usiadło na kozetce młode szesnastoletnie dziewczę.

Sukienka blado lazurowa ubrana wstęgą kwiatów, rysowała na różowem tle kanapki piękną kibić dziewczyny.

Okryte koronkami piersi, falowały gwałtownie, a biała rączka poruszała wachlarzem coraz szybcej. Zmęczona musiała być bardzo.

Jakieś upojenie malowało się na zarumienionej twarzyczce.

Pysznie oprawione błękitne oczy przymknęły się do połowy, usta rozchyliły, a jasne włosy ujęte splotem pereł i fiołków, malowniczo wzburzone, spadając ocieniały czoło.

Zamyśliła się bardzo... i marzeń urocze motylki rojem obsiadły główkę opadłą na piersi.

Marzyła. I o czem? Trudna odpowiedź.

Wiemyż o czem dumają te piękne kwiatki, dla których burzy huragany nieznane, których życiem śliczny dzień słoneczny, wegetacja bez troski, rozkoszą własna woń i krasa. W lubej zalotnej kontemplacji dumają, niby marzą — aż burza i wicher nadciągnie, zdmuchnie z lica barwne uroki, a czasem na zawsze złamie, by je rzucić wszechpotężnemu demonowi śmierci...

Marzy. Pst... nie budzcie jej...

Piękna lilijko, kwiatku święty, czemuż wiecznie nią być nie możesz, czemu niezłomne prawo natury i ciebie nie oszczędzi? Lata upłyną i z uroku twego cóż zostanie? ruina marzeń i wdzięków!

Ona marzy! o nie budźcie jej...

Szczęśliwa bo marzy — nieszczęśliwa, bo marzenia, to jasne chmurki na życia tle. Płyną, nikną — a wspomnienie czyż nagrodzi zawody. Dziś do niej należy... a jutro?... kto zna swoje jutro... więc niech marzy... nie budźcie jej.

A tam w dali muzyka gra, bawią się — szaleją.

Prawda z kłamstwa szermierzami toczy bój zawzięty. Wesołość na twarzy, w duszy cierpienie i odwrotnie — wieczna komedja życia.

Światem bal.

I ona marzy?!

Wytwornie ubrany mężczyzna, brunet o rysach twarzy wydatnych i pięknych, uderzającej dystynkcji stanął przy niej.

Drgnęła mimowolnie i oprzytomniała.

— Cieszę się bardzo, że panią odszukałem. Tak nagle opuściłaś pani salon, że byłem zaniepokojony. Czuje się pani nie dobrze?

— Ależ nie! dlaczegożby... uśmiech pokazał jej drobne białe ząbki.

— Cieszy mię moja omyłka... westchnienie poruszyło mu piersi.

— Czemuś pan westchnął, tak głęboko?

— To tak w... mimowolnie.

— Tęsknisz pan?... zarumieniła się.

Tesknię bardzo.

— Czy mogę wiedzieć za czem?

— Za minionym walczykiem, pani.

Roześmiała się głośno.

— O nie śmiej się panno Heleno. Ten walczyk z panią przetańczony, i nasza rozmowa, to najpiękniejsza chwila w mojem życiu. Gdyby można ją przedłożyć w nieskończoność byłbym szczęśliwy... ale...

Spojrzała mu smutnie w oczy.

— Czy to możebne?

Dziewczę poczuło jakieś nieznane jej przedtem drżenie.

— O wierz mi pani, że od czasu gdy miałem zaszczyt zbliżyć się i bywać w domu Państwa, utraciłem dawny spokój duszy... Czy Pani niczego się nie domyślasz, czy to cierpienie moje, skryte w sercu głęboko nigdy niezdradziło się oczyma?

Spąsowiała cała, serce biło jej gwałtownie. Chciała mówić, lecz usta odmówiły posłuszeństwa... milczała poprawiając machinalnie drżącą ręką suknię.

— Miałyby mię oczy i serce zwodzić... więc jestem dla pani obojętnym?

— Nie... wyszeptała i trochę zbladła.

Szał jakiś ogarnął ich zmysły.

Porwał ją w ramiona i przycisnął namiętnie do piersi.

— Kocham cię Heleno.

Głowa jej opadła mu na piersi.

Blask jej oczu jasnych, sina mgła przyćmiła. W uszach dziewczęcia dzwoniło wibrując rzewnemi tony, to z niebios słówko: kocham. I w sercu jej coś grało i w około chichotało — tak lubo pieszczotliwie; a egzotycznych roślin kwiaty drżąc tajemniczo nad ich głowami mówiły: on kocha, ty kochasz kochajcie się.

Całus pierwszy spoczął na jej ustach.

— Panie!... Alfredzie... mama.

A tony w dali konającego walczyka powtarzały szeptem: Panie... Alfredzie... mama.

Alfred oświadczył się. Prosił matkę Heleny o rękę jej córki i został przyjęty. Był codziennym gościem w ich domu kochany przez obie.

Czas płynął im rzeką szczęścia, i byli bardzo szczęśliwi oddychając wzajemną miłością.

Te długie wieczory spędzone na przechadzkach, gdy księżyc świecił i majowe kwiaty wonią dyszały; te rozmowy wesołe te poważne, czasem nawet łzawe — popychały ich nieraz w zapomnienie o rzeczywistości. Żyli w krainie nowej, przedtem nieznanej, w świecie czarów prawie każdemu z młodych znajomym, w świętym gaju miłości,

Nadeszło miłe lato. Senów trwał ciągle. Jedna struna tylko mąciła czasem tę cudną harmonję.

Helena wychodząc z wspomnianego balu przeziębiła się.

Z początku przeszło to prawie niepostrzeżenie, lecz w krótce niepokoić zaczęło jej matkę. Doznawała kłucia w piersiach lub dziwnego rodzaju bolu.

— Katar — nic więcej, mówiono... przeminie.

Wyprawa była ukończoną.

Ślubna sukienka z białego muślinu, zdobna kosztownemi koronkami i białemi różami była gotową. Welen i wianuszek dziewiczy przyniesiono — gdy raptem jak piorun zawitał smutek.

Helena dostała gwałtownego krwiotoku. Niewiadomo czy z zmęczenia, wzruszeń czy z kataru. Rozpacz matki i narzeczonego była straszną. O ślubie na razie niemogło być mowy.

Coraz gorzej jej było. Trwoga narzuciła swe panowanie. Wezwano lekarzy i zaczęła się słabość. Pytano ich, badano poruszali głowami, zapisywali lekarstwa; uspokojali, ale polepszenia nie było. Wprawdzie czasem jednego dnia nadzieja zaświtała, nazajutrz było jak dawniej.

Alfred przychodził prawie codziennie. Cierpiał widocznie, lecz nie okazywał tego Był jak dawniej wesół, mowny, czasem dowcipny, i niecierpliwie oczekiwał chwili polepszenia — ślubu. On ją tak kochał, pragnął widzieć swą żoną — swoją na zawsze. A jednak gdy powrócił do domu i zmęczony, znękany rzucił się na łoże... wśród nocy ciszy — umysł nie mógł się uspokoić. Jakieś myśli smutne złowieszczo mózg rozpalały i drażniły serce. Gdy usnął, sny gorączkowe, dziwne chaotyczne tworzyły obrazy, raz miłe i rozkoszne, to straszne i ponure.

Twarz jego dawniej tak świeża utraciła swą barwność. Zmęczenie ciała i duszy wycisnęło swe blade piętno. Biedny Alfred zdecydował się nareszcie zapytać lekarza, co sądzi o słabości. Lekarz spojrzał na bladą twarz młodzieńca, zadumał się i współczucie zajaśniało w oczach.

— Jesteś mi pan dobrze znajomym, domyślam się, że ta panienka jest ci nieobojętną.

lecz zataić nie mogę, że stan jej jest niepokojący... My lekarze czasem z stanowczością zdania objawić nie możemy. Są słabości, a do tych i ta należy, gdzie pewność sądu niemożliwa. Czasem z dużej chmury mały deszcz. Ja myślę i mam nadzieję, że będzie dobrze, jakkolwiek w tak młodziutkim wieku słabość ta jest zawsze groźną...

Z tego oświadczenia Alfred się domyślił, że życie jego lubej zagrożone śmiercią.

Jesień nadeszła. Przyroda w szacie tęsknej melancholii — jak piękna niegdyś kobieta, słała w ubiegłą przeszłość smutne słońca wspomnień promyki. Gasła jej uroda — płakała jesiennych deszczów łzami. Coraz smętniejsza, brzydsza — konała.

Zbliżał się śnieżny Anioł zimowy.

Stanowczo zadecydowano, że Helenka bardzo jest chorą.

Po całych dniach otulona kaszmirskim szalem siedziała smutnie zamyślona. Wszystko ją drażniło — płakała często, dlaczego nie wiedziała sama. Grała coraz częściej ulubiony mazurek Chopina „Jego dotąd niema, a duszyczka roi", poczem znowu siadała na miękkiej ottomance, i w patrując się w niebo wzrokiem goniła szare jesienne chmury. Czasem nagle się ożywiała, twarzyczka się rumieniła, błyszczały oczy, była wesołą — śpiewała i grała.

Przyjaciółki jej z pensji przychodziły do niej często w odwidziny, wówczas figlowały, śmiały się i bawiły jak dawniej. Prawda że po wyjściu, mówiły wiele o jej bladej twarzy i gorączkowych rumieńcach, słabym głosie. Mówiły wiele i o jej narzeczonym, może zazdrościły... Widać było po tajemniczych wejrzeniach, że coś wiedzą, jakieś słowo wymówić się boją, bo ją kochały. Żadna niechciała być pierwszą.

W domach znajomych, zaczęto coraz częściej mówić o słabości Heleny, i z ust do ust, przechodziło słowo — suchoty.

Suchoty — wyraz straszny jak śmierć!

Nikt nie mógł biednej matce tego powiedzieć. Dla niej było tylko to słowo katar... przeminie... całą pociechą.

(C. d. n.)

Korespondencja „Ziarna".

Wiedeń 10. marca 1883.

(Echa karnawałowe, wystawy w „Kunstvereinie" i „Künstlerhausie", artyści polscy. Nowości teatralne.)

„Le carneval est mort',
vive le carneval".

Lubo z ambon wiedeńskich rzucają na karnawał jak najgroźniejsze gromy, lubo popielec już dawno minął, mimo to gość ów hulaszczy hasa jeszcze z niezakłóconą niczem wesołością. Fale uciech i zabaw, co tak wysoko przed siódmym Lutym w górę biły, że w niektórych zakładach publicznych jak np. „Neue Welt", „Collosseum", Universum itd. przybrały formę zdrożnego kankana, przywdziały, rzekłbym, koszulkę niewinności i wstydliwości, usunęły się z olbrzymiego łożyska publiczności, w ciaśniejsze, skromniejsze brzegi. Zabawy, bale domowe w sferach arystokracji, plutokracji i wyższej burżoazji, są na porządku dziennym, a uscenowane z tak ogromnym zbytkiem w wystawie, wyposażeniu, oświetleniu — to ostatnie stało się przeważnie prerogatywą elektrotechniki — i dekoracji z kwiatów, że wydatki jednego wieczorku reprezentują częstokroć sumy, z których procentu skromna familia wcale przyzwoicie żyćby mogła. Ta uwaga nie zawiera jako żywo żadnego wyrzutu lub moralnego granum salis....

„Przy pańskim stole i dziad się pożywi" mówi stare przysłowie, a ja sobie tak to tłumaczę. Taki kosztowny bal domowy przyczynia się daleko więcej do podniesienia industrji i ogólnego dobrobytu, niż rezonowanie jakiegoś tam p. rajcy magistrackiego, co to posiada czteropiątrową kamieniczkę na przedmieściu, prócz tego kilka setek tysięcy majątku, a którego expensa ograniczają się co najwięcej na dobry stół i partyjkę wiska, taroczka lub preferka w kawiarni. Tacy zapleśniali kutwiarze nie mają już wcale powodu do rezonowania nad „lekkim" zarobkiem baronów giełdowych, lub też z pp. Skrejszowskym, Isztoczym etc. propagować antisemityzm....

Künstlerhaus i Kunstverein przesadzają się w gorliwości, by przez wystawę jak najlepszych i jak najwięcej interesujących utworów w dziedzinie plastyki i malarstwa, przynęcić publiczność. Pierwszy tak daleko poszedł w swej wzpaniałomyślności, że wstęp w dnie powszednie z 50 ct. na 30 ct., w niedziele zaś popołudniu z 20 ct. na 10 ct. zredukował. O nigdy nie nasycona publiczności, dla której nic i nigdy nie jest dość tanio, zwłaszcza in puncto sztuki, czegoż jeszcze pożądasz? Kunstverein i jego reprezentant p. radca rządowy Terke tak daleko zapędzili się w zapamiętałości współzawodniczej, że aż sądownie musieli być zniewoleni do odstąpienia znienawidzonemu Künstlerhausowi najnowszego obrazu Gabrjela Maxa: „Spełniło się". Obraz ten jest własnością pewnego handlarza dzieł sztuki w Pradze. W całej tej sprawie miały zajść takie nieczyste rzeczy, że cesarz cofnął swój protektorat tego szanownego towarzystwa. Künstlerhaus śmieje się w kułak i paraduje wspomnianym obrazem, jakby to było arcydzieło najpierwszego rzędu. Tak jednak bynajmniej nie jest. Już na ostatniej wystawie międzynarodowej w 'iedniu dowiódł był Gabrjel Max swoim obrazem: „Dziewica Orleańska na stosie", że mu brak idei i pojęcia istnie historycznych obrazów, gdyż bohaterską „posłanniczkę bożą" przedstawił jako niewinne jagnię ofiarne bez wyrazu i czucia, podobnież i w obecnym obrazie Chrystusowym prezentuje się nam, pomimo niektórych niezaprzeczonych zalet w rysunku i wytrawnem modelowaniu, jako malarz, któremu więcej idzie o uwydatnienie motywu podrzędnego, niż o sam motyw główny. U stóp krzyża widać pięć par rąk wyciągniętych z różnym wyrazem boleści. Mowa tych rąk wprawdzie wymowna, ba nawet pobudza fantazję widza do uzupełnienia sobie osób do onych rąk należących. Z tem wszystkiem, jestto igraszka, jestto, że się tak wyrażę szarlatańskie sztukowanie, którebyśmy przy tak wyłącznie tragicznem sujet chętnie byli malarzowi darowali. Takie to niby genialne wybryki fantazji znachodzą się prawie na każdym obrazie Maxa, choćby nawet w postaci muchy, spoczywającej na ręce Jaira.

Będzie was niezawodnie interesowało usłyszeć o dwóch obrazach na obecnej wystawie specjalnej Künstlerhausu, których autorem jest rodowity polak, Julian Maszyński z Warszawy. Jeden pod numerem 59 przedstawia „Serenadę Mefistofela" wcale charakterystycznie, lubo sposób oświetlenia mało jest uwydatniony. Śmielszy rozdział światła i cienia byłby go zrobił daleko cenniejszym i pożądańszym. Drugi wyobraża wiejską idyllę pt. „Fechtowanie na kije". W altanie powojem obrosłej, zabawia się towarzystwo pań i panów, posilając się dobrym truneczkiem, na przodzie zaś odbywa się równocześnie żartobliwy pojedynek na kije pomiędzy chłopcem i starszym jegomościem w nader wiernie oddanym stroju narodowym. Sujet trochę za suche ale z wielką żywością i wspaniałym kolory tem przedstawione

W salach Kunstvereinu wystawili pp. C. Chełmoński, obecnie w Monachium przebywający, tudzież H. Lipiński z Krakowa, dwa obrazy, które sobie zjednały, ogólne zainteresowanie się nimi, pochwałę i uznanie. Obraz Chełmońskiego pod numerem 10 przedstawia „Corso z 18. stulecia" i to tak jasno, żywo i malowniczo, że cenę 2000 złr., którą artysta naznaczył, bez wątpienia dostanie. Ogniste siwosze w modnych szorach stanowią tak efektowny kontrast do złotej brunatności liścia jesiennego, powietrze tak miłe i przezroczyste, że nie przypominamy sobie, kiedyśmy coś więcej skończonego widzieli. Lipińskiego obraz „W ogrodzie" przedstawia wśród bujnej, napuszystej zieloności scenę pomiędzy

dziewczynką i mniejszym od niej nader lubym chłopaczkiem — widocznie z pańskiego domu — a kosarzem, który z uśmiechającą się miną, wyciąga ku malcowi swą zgrubiałą od pracy rękę, malec jednak nie ma odwagi jej się dotknąć. W przezroczu w dali widać wieżyce miasta. Całość świadczy wymownie, że autor zupełnie pojął przedmiot, i oddał go z świeżością w chrakterystyce, i skończoną techniką. Życzymy artyście szczęścia i kupca.

W teatrach, z których Carlteater przez niezręczność swego dyrektora przeszłego miesiąca wyzionął ducha, panuje febryczna ruchliwość. Maluczko a słoneczko rzucać będzie doskwierające promienie na granitowy bruk wiedeński, więc trzeba się spieszyć i zbierać zapasy pieniężne. Stadtteater wystawia co tydzień nową jakąś francuską albo raczej paryską farsę, w których jak np. w ostatniej „La brebis egarée (zbłąkane jagniątko) Meilhaca i Bernarda nie szczególnie uwzględniono obyczajność i cnotliwość, które atoli postawiły dyrektora Bukowicha w rzędzie najlepiej sysurwanych dyrektorów. Teater an der Wien gra operetkę Millökera: Der Bettelstudent“ (studencina), którą i dla sceny lwowskiej nabyto, lubo ja bardzo powątpiewam, czy ta rozpustna, powien rodzaj polskiej arystokracji persyflująca melofarsa będzie u nas miała jakiekolwiek powodzenie. Opera nadworna wystawiła w krótkich przerwach dwie nowości: Haracz Zamary“, wielką operę romantyczną Gounoda, do której sukcesu niespożyta Lucca przeważnie się przyczyniła i „Muzzedin“, operę komiczną w dwóch aktach J. Bachricha, członka orkiestry operowej, która jednakże należałaby się raczej do teatru nad Wiedenką, niżeli do arystokratycznej opery przy Ringstrasse. Hofburgteater, gdzie po wznowieniu różnych utworów antykwarskich wieje znowu świeży, nowomodny duch, nie zrobiwszy szczęścia utworami zgrzybiałych dramaturgów Bauernfelda i Laubego (konia Alcybiadesa i Aktorstwo), wystawił z ogromnem powodzeniem 24go lutego dramat swego dyrektora p. Wilbrandta p. t. Assunta Leoni. Sukces ten przypisać po części należy znakomitym siłom, na których barkach spoczywały główne role, mianowicie pani Wolter, pp. Somenthal, Baumeister i Gabilon. Przedmiot nie nowy przypomina poniekąd Dalilę Feuilleta, ale u Wilbrandta więcej jest interesujący, więcej bowiem posiada psychologicznego przejęcia się, charakterystyki i poezji. Młody artysta, rzeźbiarz, którego trzyma na uwięzi czar stalowobłękitnego nieba na Capri, i jeszcze jedno niebo spoczywające w oczach Assunty (Wolter), młodej wdówki po zmarłym na „sarkofagu“ Tiberiusa artyście, daje się swemu bratu, dyplomacie Emilowi v. Buchan (Gabillon) po nader gwałtownej walce wewnętrznej nakłonić do opuszczenia wysepki i Circe, aby znowu żyć dla sztuki, talentu i sławy. Obydwaj bracia mylą się gruntownie pod względem duchowej wartości Assunty, która nie dla tego pozostaje na Capri aby kurować koty i zostać siostrą loteryjną, jak to utrzymuje bezuczuciowy dyplomata, lecz po przebyciu w Neapolu choroby, jakiej ją nabawiła haniebna ucieczka ukochanego amanta, zaręcza się z pielęgnującym ją lekarzem Drem. Clintonem, zdobywszy sobie już dawno jego miłość. Jako skończona dama światowa z namiętną żądzą wiedzy, spotyka się w Rzymie, ze swoim, z tęsknoty za ulubioną trawiącym się Arturem (Sonnenthal) w jego atelier, niby pod pozorem kupienia słynnej statuy jego dłuta: „Opuszczona Arjadna“, w rzeczy samej zaś, aby mu dać uczuć całą sromotę jego niecnego postępku. Artur skruszony nie przestał jej bowiem nigdy kochać — a jego przemądry brat przychodzi do przekonania, że popełnił głupstwo, że dwóch dla siebie stworzonych serc bezkarnie rozłączać nie wolno — ale za późno. Assunta jest narzeczoną Clintona, który zwąchał pismo i zdjęty szaloną zazdrością po bardzo burzliwej scenie pomiędzy Assuntą a artystą, zmusza Artura do pojedynku amerykańskiego. Kostki rozstrzygają na jego niekorzyść, ale serce Artura wzdryga się na tak okropne rozwiazanie: przywołuje, pomimo najdzikszego oporu Clintona Assuntę, która ma przeszkodzić samobójstwu Clintona, i rzeczywiście przeszkadza. Poczciwy Amerykanin odstępuje przyjacielowi dobrowolnie kochankę, i dramat kończy się idyllą znowu na owej błogiej wysepce, gdzie się rozpoczął. Oto rdzeń akcji, około której oplatają się śliczne wesołe epizody jak np. Dr. Krause (Schöne) z Bädekerem w ręku w towarzystwie swej młodej połowicy galopujący po Włoszech — uderzający konterfekt owych podróżujących uczonych, co to utrzymują, że w jednym miesiącu kraj i ludzi przestudjowali, i powróciwszy do domu zabierają się do napisania dzieła o krajach i ludach na podstawie własnych spostrzeżeń. Więcej wam o tej sztuce nie powiem, bo wnet ją sami ujrzycie. P. Wilbrandt upoważnił p. Soleckiego, znanego tłumacza „Córki p. Fabrycjusa“ do przekładu Assunty Leoni, która niezawodnie obiegnie wszystkie sceny starego i nowego świata, jak ongi Arria i Messalina,

I. M. S.

Przegląd literacki.

Dwa nowe dzieła, traktujące o ostatnich chwilach przedrozbiorowych.

(Sejm czteroletni — napisał X. Walerjan Kalinka T. I. Kraków, 1880. T. II. Lwów, 1881. Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta — przez Tadeusza Korzona T. I. Kraków, 1882.)

napisał

B. Limanowski.

(Dokończenie).

„Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764, — 1794), badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i prawnego“ Tadeusza Korzona — mają stanowić cztery tomy. Obecnie mówimy tylko o pierwszym, który został przez Akademję umiejętności w Krakowie wydany w 1882 r.

Autor podaje na początku sumienną i ciekawą charakterystykę źródeł, z których czerpał; są one bardzo liczne a niektóre dotąd prawie nieznane, przynajmniej mało przystępne, — mówi o rękopismach znajdujących się w archiwum warszawskiem, w bibliotece warszawskiej i niektórych bibliotekach prywatnych.

Po ogólnej charakterystyce dziejów polskich od połowy XVII stul. i w szczególności Stanisława Augusta, p. Korzon przystępuje do badań statystycznych.

Zaczyna od rozległości. Metoda autora jest poprawna. Nie ogranicza się świadectwami spółczesnemi, ale sprawdza je, posługując się wymiarami dokonanemi w ostatnich czasach z polecenia rządów rosyjskiego, austrjackiego i pruskiego.

W podobnyż sposób oblicza ludność, chociaż musi tu walczyć z bez porównania większemi trudnościami jak to łatwo zrozumieć. Wynajduje przybliżoną ludność całej Korony i Litwy na pierwsze lato po pierwszym rozbiorze, w ogóle na epokę pierwszego rozbioru i na rok 1791. Oblicza przytem oddzielnie szlachtę dziedziczną, gmin szlachecki, duchowieństwo, mieszczan, włościan, katolików, unitów, dyzunitów, protestantów, żydów, tatarów i td. Wbrew liczbie podanej przez Lelewela (3.000.000) i sprostowanej przez p. Duchińskiego (2.000.000) *), p. Korzon nie

---

*) Lelewel comptait en 1827, dans les frontiéres de la Pologne de 1772, environ 300000; nous n'y en comptons que 2000000; la cause de cette différence se trouve dans ce que Lelevel mettait au nombre des nobles les bourgeois de Varsovie, de Cracovie, de Leopol, de Vilna, de Vitebsk, de Mohylew et d'autres villes qui avaient quelques — uns des privilèges des nobles.“ Str. 93. Peuples Aryas et Tourans Agriculteurs et Nomedes. Nécéssité des Réformes dans l'exposition de l'histoire des paeuples Aryas-Européens et Tourans.. — par F. H. Duchiński. Paris. 1864.

przypuszcza, „aby za Stanisława Augusta przed pierwszym rozbiorem cała szlachta mogła liczyć miljon głów, „Więc podane przez broszurę *„les Paradoxes“* **) 1.331.000 szlachty — mówi dalej autor — uznajemy za cyfrę przesadną i nieprawdopodobną, ze względu na ludność ogólną“. (Korz. 161) Ścisłe i przekonywające obliczenie p. Korzona istotnie zniewala do odrzucenia cyfry podanej przez p. Duchińskiego, — pomimo to jednak wydaje się nam, że sam autor zmniejsza ją ogromnie ***). Przy obliczaniu gminu szlacheckiego, autor, korzystając przeważnie ze źródeł rosyjskich, opowiada bardzo ciekawe i smutne jogo dzieje pod panowaniem rosyjskim Jest to prawie zgoła nieznana dotąd stronnica dziejowa. Pedzielamy w zupełności sympatję autora do tych nieszczęśliwych szaraczków.

P. Korzon robi ciekawe zestawienia statystyczno-porównawcze. I tak, Polska po pierwszym rozbiorze była co do rozległości prawie tak wielka jak Francja, ale pod względem ludności stanowiła w 1791 r, prawie trzecią jej część. ****) Jestto ważne i nawet bardzo ważne. Nie upoważnia to jednak do wniosku, jakoby Polska nie mogła się obronić w 1792 r. od najazdu wrogów, jak to uczyniła w tym samym czasie niemal Francja. Wprawdzie autor szłusznie zaznaczył, że Francja miała większe i lepiej skupione siły aniżeli Polska, — ale wypada także niezapominać tego, żę siły uderzające z zewnątrz na Francją i starające się ją wewnątrz rozsadzić były też o wiele większe. Przeciwko Francji wystąpiła Anglja na czele koalicji, złożonej z Austrji, Prus, cesarstwa niemieckiego, Hiszpanii, Sardynii, Neapolu, papiestwa. Samego wojska najezdniczego, prócz floty, stanęło 350000. Przypuszczając, że w 1792 r. wkroczyło 10000 Rosjan (jest to maximum) w granice Rzeczypospolitej, i biorąc liczbę ludności z tabelki 49tej w dziele p. Korzona (Francja w 1789 r. miała ludności 26.000000 Polska w 1791 r. — 8.790000), znajdziemy, że stosunek wojska najezdniczego był groźniejszy dla Francji aniżeli dla Polski. Ale p. Korzon powiada: we Francji co innego, tam centralizacja była, a u Polaków federacyjno-stanowa forma uspołecznienia. We Francji „pierwszy lepszy“, co stanął przy korbie machiny centralizacyjnej, minister królewski, żyrondysta, Robespiere, czy dyrektor Barras, każdy mógł rozrządzać mieniem, wolą, osobą, życiem wszystkich prawie 26 miljonów Francuzów. Jakaś setka tysięcy szlachty nie chciała ugiąć głowy przed rządem rewolucyjnym, lecz nie znalazła w kraju zasobów do walki, wyniosła się na emigracją i tyko w sojuszu z nieprzyjaciołmi ojczyzny, mogła wandejskie wzniecać rokosze.“ (Korz., 171), Pomijając, że wielu mniema — i ja podzielam to zdanie że centralizacja polityczno-społeczna jest najodpowiedniejszą formą dla prowadzenia wojen najezdniczych zaborczych, ale dla obrony własnego kraju jest korzystniejszą forma federacyjna, muszę jednak przypomnieć, że właśnie w 1792 r. sejm zrzekł się niejako swej władzy na korzyść króla, z zupełną ufnością nie tylko oddając mu wojsko i skarb, ale nadto pezwalając brać za kwitami od obywateli wszystko, co dla wojska mogło być potrzebnem. Byłoby z pewnością lepiej, gdyby sejm nie był zalimitował swych sesyj i „miał pilne oko na wszystkie czyny władzy wykonawczej“ i „nie spuszczał się na czyjąśkolwiek gorliwość, w najważniejszej sprawie narodu“, — jak to mu doradzali ludzie przezorni (Koll. — o Konstytucji, 3 0). Opór wewnętrzny w Polsce redukował się niemal do zera. Wcale inaczej było we Francji. Tam nie sama tylko setka tysięcy szlachty nie chciała ugiąć głowy przed rządem rewolucyjnym. „Dziesiąty sierpnia — mówił Danton w Zgromadzeniu Narodowem Prawodawczem — podzielił nas na republikanów i rojalistów; pierwsi są w małej liczbie, drudzy liczni. My republikanie postawieni jesteśmy pomiędzy dwa ognie: z jednej strony wróg zewnętrzny, z drugiej rojaliści“. A w obozie rojalistów widzimy nie samą tylko szlachtę i nie samo duchowieństwo, ale także włościan i nawet mieszczan. I że rojaliści byli istotnie liczni jak powiedział Danton — dowiódł tego nię tylko rokosz wandejski, ale także rokosz w Normandji i na południu Francji. W Lyonie nie szlachta, ale głównie wzbogacona burżuazja wystawiła 20000 żołnierza przeciwko rządowi republikańskiemu. Niebezpieczeństwo grożące Francji było większe, aniżeli to, jakie groziło Polsce od Rosji i Targowicy, i prawdopodobnie los Polski byłby spotkał Francję, gdyby straszny ogień rewolucyjny nie był wydobył z jej łona strasznej energji. W Polsce także duch był wszędzie, ale z zapału i patrjotytyzmu nie korzystano, bardziej uchylano go jeszcze“ — świadczy Kościuszko w swoim Pamiętniku. I Kościuszko i Kołłątaj w przekonywujący sposób dowodzą, że Polska w 1792 r, obronić się mogła. Wreszcie sam p. Korzon przyszedł do tego wniosku, że „statystyka ludności z r. 1792 przedstawiała jeszcze dostateczną skarbnicę sił i narzędzi do obrony narodu“ (Korz. 320). Mniema jednak, że do tego potrzeba było geniusza i bohatera. Ależ mieliśmy w zapasie i jednego i drugiego, i byli nimi Kołłątaj i Kościuszko! Trzeba było czegoś więcej. Czego? *Idei rewolucyjnej.* Ona tylko mogła poruszyć i zentuzjamować masy. P. Korzon stara się wykazać, że reformy sejmowe zrobiły wrażenie korzystne na włościan a nawet na ludność dyzunicką. Otóż, mamy najzupełniejsze prawo przypuszczać, że gdyby sejm nie był zalimitował swych sesyj, ale poświęcając przesądy dobru ojczyzny, reformy te pesunął jeszcze dalej, to i wrażenie byłoby jeszcze korzystniejsze. *)

Charakterystyka stanów, którą podaje p. Korzon, jest bardzo trafna. Widać, że autor

---

**) P. Korzon powiada: „Autorem ma być d'Alembert“. Dla czego? Czy dla tego, że we wstępie broszury znajdujemy zaprzeczeine temu, i że tam powiedziano: „La personne dout nous tenous cette piére n'est ni philozoph nie, hommec des lettres...„

***) P. Wł. Smoleński w recenzji dzieła p. Korzona, zamieszczonej w Ateneum (styczeń, 863 r.), zwrócił np. uwagę autora na to, że mylnem jest jego zapewnienie, jakoby Wielkopolska „nie posiadała w końcu XVIII w. żadnych osad ani zaścianków szlacheckich (str. 100), i jakoby ona należała do tych prowincyj, w których według Holsch'ego dobrej szlachty nie było wcale (str. 100), i że w ziemi dobrzyńskiej i w obwodzie liptawskim musiała być także drobna szlachta.

****) Przyznaję się otwarcie, że wywód, podany pod N. 20, przedstawia dla mnie zagadkę. Szukałem jej rozwiązanie w rachunku prawdopodobieństwa i Statystyce internationalnej przez Quetelet'a i Heuscheling'a i nie znalazłem.

*) P. Korzon, objaśniając dla czego Ustawa Trzeciego Maja nie mogła zrobić wiele dla włościan, niezupełnie trafnie powołuje się na niektóre fakty. „Przynajmniej sobie . powiada — że sejm węgierski uchwalił w 1641, że opodatkowanie szlachty nigdy nie powinno być przedmiotem obrad, a w r. 1765 odmówił wszelkiego udziału w proponowanym przez rząd regulaminie stosunków pomiędzy chłopem a dziedzicem.“ (str. 437 i 438). Ale dla czegoż p. Korzon nic nie mówi o sejmie 1761 r., który niezaprzeczenie więcej zrobił dla włościan, aniżeli sejm polski z tegoż roku.

Sejm węgierski dozwolił włościanom swobodnie przechodzić od jednego pana do drugiego tj. zamienił włościanina glebae adscriptum na colonum liberae migrationis i nadał włościanom prawo apelacji od sądów dominjalnych do sądów królewskich i zobowiązał panów, by starali się o oświatę swych włościan. Dalej p. Korzon powiada, że „kwestję ekonomiczną rozstrzygnął radykalnie tylko sejm francuski w nocy 4 sierpnia roku 1789. Ależ tam działał stan trzeci“.. Dziwna rzecz, że p, Korzon, który widocznie sprzyja szlachcie, w tym wypadku jest niesprawiedliwy dla niej. Dzieło 4 sierpnia jest dziełem samej szlachty. Ludwik Blanc, opowiedziawszy szczegółowo tę pamiętną sesję, kończy temi wyrazami: „Była to gorączka wspaniałomyślności, był to szał zaparcia się samych siebie, nic podobnego nie przedstawiały nigdy kroniki żadnego innego kraju (str. 496. Histoire de la révolution françaize. T. II. Paris. 1847). Wreszcie p. Korzon powiada: „Pod względem zaś ekonomicznym, jak przyznają dzisiaj Francuzi (powołuje się przytem na dzieła Vogel'a), ten przewrót zadał dobrom ziemskim szkody „niepowetowane“. Jak rozumieć? Czy gospodarstwo rolne pogorszyło się? Czy produkcja zmiejszyła się? Przeciwko Vogel'owi, przytoczyłbym setkę pisany francuskich, którzy wręcz co innego mówią. Alfons Esymiros np. powiada: „jeśli ekonomiści, którzy mówią nieustannie o zgubnym wpływie ruchów ludowych na dobrobyt klas robotniczych lub rolniczych zapytają was teraz: Co zrobiła dla was rewolucja?

wżył się niejako w stosunki polskie XVIII st, z zupełną też słusznością bierze w obronę gmin szlachecki. Na sejmie zwyciężyła zasada fizjokratyczna, „że istotnie przywiązanemi do kraju obywatelami są ci, którzy posiadają własność ziemską, że oni więc sami obierać i być obranymi mają prawo“ (Kołłątaj, o K.) Sejm jednak — trzeba przyznać — nie miał na myśli tego poglądu, który jeszcze dzisiaj błąka się po niektórych szlachecko myślących głowach, że przewodnictwo polityczne w kraju należy do właścicieli większych posiadłości, albowiem sejm nie robił różnicy pomiędzy wielką a małą własnością ziemską — ma się rozumieć — szlachecką. Jak powiadamy, zasada fizjokratyczna zwyciężyła, i szaraczków, niebędących właścicielami gruntowymi, pozbawiono praw politycznych. Usprawiedliwiano to tem, że z powodu swej ciemnoty i zależności ekonomicznej, byli oni biernem tylko narzędziem w ręku możnowładców. „Nie godziło się jednak zapominać — powiada słusznie p. Korzon — że ta masa szaraczkowa pochopną a dzielną była do kordu, do spisy, że pomimo ciemnoty żywiła w sercu iskrę miłości ojczyzny i gotowość do poświęceń, stwierdzoną przez niechętnych jej obserwatorów naszego stulecia. Sejm czteroletni nie zatamował jej wprawdzie wstępu do tworzącego się wojska, ale też nie wyzyskał należycie jej zalet żołnierskich“. (str. 271) Powiedzmy jeszcze że przy rozumnej polityce gmin szlachecki wraz z narastającem mieszczaństwem mógł stanowić dobry fundament do utworzenia stanu trzeciego w krótkim czasie, a w każdym razie był to żywioł z natury rzeczy rewolucyjny, na który postępowa młodzież mogłaby zawsze rachować.

Stan włościan w Polsce był bardzo nędzny. Mówią o tem otwarcie nasi publicyści XVIII stul., Cudzoziemcy, zwiedzając nasz kraj, w czarnych także kolorach malowali stosunki włościańskie. Jeden z nich, Marcel-de-Serres, podróżujący w pierwszych latach XIX stul. spostrzegał w Galicji taką straszną różnicę pomiędzy szlachcicem i chłopem, że nasuwało się mu pomimowoli pytanie, ażali pomiędzy tymi ludźmi nie było jakiej rasowej różnicy*) Myśmy sami — mam na myśli naszych demokratycznych pisarzy z późniejszych czasów — nie szczędzili czarnych kolorów, potępiając poddaństwo włościan i pragnąc gwałtownie jego odmiany. Korzystając z tego wrogowie naszej narodowości zaczęli przedstawiać Polaków prawie jako wyrzutków jakichś, wśród rzeszy innych ludów europejskich. Oczywiście, musiała nastąpić w tym względzie reakcja w naszem piśmiennictwie. Zaczęliśmy pilniej rozpatrywać się w przeszłości i spostrzegliśliśmy, że zanadto mocno zaczerniliśmy obraz. Było co prawda — źle, — ale przedstawialiśmy jeszcze gorzej. Szkoda, że p. Korzon nie zajął się szczególniej tym przedmiotem. Chętniej darowalibyśmy mu wiele innych szczegółów, które podług naszego widzenia rzeczy — chociaż wiele wymagały pracy, ale nie tyle są ważne. Wszakże i to co p. Korzom podaje, pozwala sprostować ,,mylność“ poglądów, jakoby cały stan włościański znajdował się był w okropnem położeniu. P. Horzon liczy wszystkich włościan w 1793 r. około 630000, z tej liczby tylko co najwięcej połowa stanowiła klasę poddanych szlacheckich. Poddani dóbr duchownych tworzyli prawie 13 1/2 % (86000). ,,Włościanie (w tych dobrach) pańszczyzną nie obciążeni, mieli się dobrze, lepiej o wiele, niż w dobrach szlacheckich“ — powiada ks. Skarszewski, mówiąc o krakowskiem tj. największem biskupstwie. Dosyć liczne świadectwa potwierdzają te słowa ks. Skarszewskiego i ze względu na inne biskupstwa. Liczbę poddanych w królewszczyznach podaje p. Korzon na 840.000 a poddanych w dobrach stołowych na 190.000, razem 1.030.000(przeszło 16 %). „W ekonomijach powinności włościan były łaskawie umiarkowane“, na krzywdy i ucisk służyło prawo skargi przed administracją królewską. W starostwach czyli królewszczyznach powinności dworskie i robocizny były inwentarzami dokładnie określone illustracjami, przynajmiej przy każdej zmianie possesora, przez dworzan skarbowych sprawdzone i stwierdzone, a starostom i dzierżawcom nie wolno było zwiększać ciężarów nad zakres inwentarza. Nadużycia mogły się dziać tu i ówdzie, jeśli starostą był magnat złego serca, wszakże włościanie mieli drogę do poszukiwania krzywdy swojej, koronni w sądach referendarskich, litewscy w assesorji“. (Korż. 350). Nadto było przynajmniej miljon takich włościan, którzy nie byli przywiązani do gleby; pomiędzy nimi wielu, dzierżawiąc ziemię, używało stosunkowo pomyślnego bytu.

Jeżeli w dwóch poprzednich rozdziałach ogrom liczb przytoczonych może poczęści znużyć czytelnika, to wynagrodzi mu to trzeci rozdział (Rolnictwo i rolnicy) bardzo ciekawą swą treścią. Ciekawe są szczegóły o rolnictwie, ale o wiele ciekawsze o rolnikach. Widzimy, jak w światłej części narodu wzmaga się coraz potężniej zajęcie się sprawą włościan, i kwestja włościańska — rzec można — coraz szybciej dojrzewa. Przedmiotem tym w ostatnich czasach dosyć chętnie zajmowano się, — co zdaniem mojem może tylko korzystnie oddziałać na nasz ruch umysłowy. Koniec XVIII stul. dostarcza nam bowiem licznych dowodów, że pragnienia reformatorskie nie tylko się godzą z pragnieniem patryotycznem niepodległości, ale czynią je żywszem i gorętszem. P. Korzon widocznie z zamiłowaniem gromadził fakty wzmagającego się interesu w sprawie włościan, i jeszcześmy nigdzie nie spotykali takiej olbrzymiej obfitości faktów w tym przedmiocie, co w jego dziele.

Książka p. Korzona ważnym jest przyczynkiem do naszej literatury naukowej. Pomimo cyfr, któremi z natury rzeczy musi być chojnie najeżona, czyta się z wielkim interesem. Zrobilibyśmy tylko zarzut wielkiego przeciążenia tekstu drobnemi, mniej ważnemi szczegółami, któreby można zupełnie dobrze umieszczać w odsyłaczach, i pewnej chaotyczności w układzie. Zwłaszcza lepsze uporządkowanie treści byłoby bardzo pożądane.

---

française? Odpowiedźcie: Dała chleb Franceji„. (str. 164 Histoire des martyrs ge la liberte. Paris, 1851). Posłuchajmy wreszcie, co mówi w tym względzie John Stuart Mill, którego powaga — mniemam — jest większa od pewnego dziesiątka Vogelów. „Francją — mówi on — powszechnie wystawiają jako kraj, w którym własność gruntowa w ręku włościan sprawiła najgorsze skutki, w którym zbyt drobny podział gruntów doprowadził rolnictwo do upadku i przyprawił rolników o największą nędzę i głód. Trudno zaprawdę pojąć, jakim sposobem mogły się rozszerzyć i znaleść powszechną prawie wiarę opinje tak sprzeczne z prawdą. Wiadomo przecie, że rolnictwo we Francji znajdowało się w upadku, a włościanie byli w najgorszym i najnędzniejszym stanie przed rewolucją, a jednak wtenczas nie byli właścicielami ziemi“. (Str. 254. Zasady ekonomii politycznej. T. I. Petersburg. 1659.)

*) Str. 147. III. „La distence xui existe en Gallice entre le noble et le serf est immense: on pourrait se demandes si ce sont bien les memes hommes“ Voyage en Anutriche. A Paris. 1814.

Przegląd muzyczny.

Kilkakrotnie zapowiadany i odwoływany koncert p. Wolfsthala odbył się wreszcie w piątek d. 9go b. m. przy niezbyt licznym udziale publiczności. A już dla samego Nru 1go programu warto było pójść. P. W. odegrał piękny koncert Vienstemp'sa Nr. I. (Edur Czł.) tak znakomicie, że śmiało to powiedzieć możemy, stanął na wyżynach prawdziwego artyzmu. A utwor ten wymaga bardzo wiele od wykonawcy. Wymaga przedewszystkiem wielkiego i pełnego tonu, szerokiego stylu i wytrawnej deklamacyi. Pod każdym z tych względów zadowolił nas koncertant, a zrobił na nas wykonaniem tej kompozycji tak silne wrażenie, że chyba tylko znakomite odegranie Nocturn'a (Esdur) Chopina w transkrypcyi Sarasatego moglibyśmy w równym rzędzie postawić. Nato-

miast polonez Wieniawskiego (2gi Edur) aczkolwiek pod względem technicznym najsubtelniej oddany, nie był odegrany po polsku". Przekonaliśmy się dowodnie, że charakter muzyki narodowej nie tyle leży w samej kompozycyi, ile zależy od wykonania. Lekkie, nie wielkiej zresztą wartości muzycznej hiszpańskie tańce Sarasatego (Nr. 1 sp. 21) i Zapateado (sp. 23) podobały się ogólnie, biedna publiczność musiała jednak przez kilka minut bić brawo, zanim koncertant zdecydował się .... rozczarować ją, nie zagrał bowiem innego z 8u tańców Sarasatego, czego się spodziewano, lecz powtórzył Zapateado. Obawiając się narazić na zarzut pessymizmu, lub złośliwości w krytyce nic nie powiemy o produkcyi chóru męskiego i pani G. Pannie Ma... zaś, która dobrze odegrała Döhlera fantazję z Wilhelma Tella zganić musimy wybór tej oklepanej, nie wiele wartej i dziś już nie na czasie będącej kompozycyi.

Drugi wieczór Towarzystwa muzycznego d. 14 b. m rozpoczął się Schumanna Bajkami (Märchenerzählungen) na fortepian (pana K.), skrzypce (p. Wolfsthal) i altówkę (p. Kozłowski)

Śliczna to kompozycya pełna głębokiej a zawsze świeżej myśli, formy pojedyńczej ale uroczej i powabnej, była pod każdym względem zadowalniająco wykonana. Tego niestety nie możemy powiedzieć o wykonaniu kontrapunktycznych waryacyj Scholza Gavotta Händla na 2 fortepiany przez pny Löw. i Ma. Amatorek nie wolno krytykować, chyba chwalić — otóż przyznając rzeczywiście wiele zalat w grze — radzimy im jednak, by przynajmniej kilka prób więcej odbywały przed produkcją.

Zamiast pani Sa. odspiewał p Alma Romans z 1go aktu Aidy i Piosnkę Moniuszki Głos jego wydał nam się milszym w sali koncertowej, niż zazwyczaj w teatrze. Koroną wieczorku był kwartet Gdur Haydn'a Odegrali go pp. Wolfsthal, Stankowski, Kozłowski i Wollman i to tak znakomicie, że od czasu pobytu u nas kwartetu florentyńskiego, nie pamiętamy takiego wykonania. Szczególnie na uznanie zasługuje p. Wolfsthal, który dowiódł, że jest nie tylko znakomitym solistą, lecz — co jest rzeczą nie zawsze w parze idącą — gra wybornie w ensemblach.

Z.

KAROL MARX

słynny ekonomista, autor wiekopomnego dzieła „Das Kapital", w którem dał naukowe podstawy nowoczesnemu socjalizmowi, właściwy twórca *Internacjonału*, b. sekretarz b. niemieckiej sekcji tego stowarzyszenia, i członek b. rady głównej b. międzynarodowego tego związku pracującego ludu wszystkich krajów, na którem to stanowisku wszechwładny wpływ wywierał, człowiek, który siłą swego genjuszu poruszył obie półkulę ziemskie do nowego ruchu — zmarł przedwczoraj w Argenteuil pod Paryżem. W następnym numerze podamy życiorys znakomitego uczonego.

ZIARNKA.

Piękne to były czasy, gdy jako chłopcy dwunastoletni z małymi rówieśnikami grywaliśmy własnego układu komedje! Rozumie się, że sensu w tem nie było, ale za to każdy popisywał się konceptami, jakie w szkole usłyszał, i mógł bredzić, ile mu się podobało, co wprawiało w dobry humor poczciwe matki i ciotki, i podobało się kolegom. którzy tem więcej się śmiali, im sytuacja była nieprawdopodobniejszą, i im więcej który z artystów bałamucił. Dzięki p. Ruszkowskiemu, przypomnieliśmy sobie żywo te błogie chwile! Jakie to wszystko w jego „Bankructwie pana Filipa" dziecinno-naiwne, jakie to niedotknięte tem wszystkiem, co się nazywa doświadczeniem, nauką, wymogami artystycznemi i tym podobnemi wytworami, których duch ludzki kształcąc się nabiera! Ale co jeszcze dziwniejsza, znaczna część dojrzałej publiczności przypomniała nam wiernie nasze chłopięce audytorjum, takie to wszystko było zadowolone i wesołe z niedorzeczności wygłaszanych na scenie. Znaczna część publiczności mogła była się ubrać w piękne majteczki ze szlarkami, czapeczki z piórkiem i jak w „Donnie Juanicie" śpiewać: Hopa! hopa! hop!. Ale żart na stronę. P. Ruszkowski zadrwił sobie z publiczności, przedstawiając rzecz niżej wszelkiej krytyki. To się nie godzi, to skarcić potrzeba. Głównie zaś winimy dyrekcję, która na samo zakończenie swej działalności składa dowody kompletnej ignorancji. Również musimy wystąpić przeciw klace, która na przedstawieniu „Bankructwa" była nader czynną. Jesteśmy przekonani, że urządzili ją przyjaciele p. Ruszkowskiego, nie pomnąc, że za wielka gorliwość często jest szkodliwą. Pan Ruszkowski jako artysta utalentowany i sumienny nie potrzebuje klaki — jako autor zaś został przez klakę jeszcze bardziej ośmieszony. Ostre i gorzkie nasze słowa, ale prawdziwe, a podyktowała nam je sympatja dla utalentowanego aktora, który w swym zawodzie może mieć piękną przyszłość, ale jako autor złożył dowody zupełnej nieudolności.

* * *

Słynny recytator wiedeński p. Strakosch zjechał do Lwowa i rozpoczął szereg odczytów dramatycznych „Urjelem Acostą" Gutzkowa, po którym nastąpiły „Zbójcy". Mieliśmy sposobność słyszeć już kilkakrotnie znakomitego profesora, ale zawsze dziwiliśmy się szczególnemu repertoarowi jego. Naszem zdaniem byłoby daleko lepiej gdyby p. Strakosch wybierał do odczytów swoich raczej tz. dramata książkowe i poematy dramatyczne, a nie dzieła sceniczne, znane już z przedstawień teatralnych. Pojmujemy jeszcze czytanie „Hamleta", w którym zawarta jast taka mnogość myśli, ginących w przedstawieniu scenicznem, ale nie pojmujemy wcale po co p. Strakosch popisuje się „Zbójcami" lub „Dymitrem", a zwłaszcza sceną sejmową tego poematu, która już ze względu na exsemble nie kwalifikuje się do deklamacji przy zielonym stoliku.

* * *

„Przeglądu Akademickiego" wyszedł już numer drugi... Zastrzegamy się jak najmocniej, ażebyśmy nastawali na życie tego akademickiego pisma i chcieli sprawiać rzeź niewiniątek. Owszem, pojmujemy jak najzupełniej rację bytu dwu pism, będących organami naszej młodzieży, jeżeli tylko pisma te reprezentują odrębne zasady. Nie należymy bynajmniej do zwolenników owczej jednomyślności i rozumiemy potrzebę starć polemicznych. Wiemy także, że wspołeczeństwie całem, a więc i wśród młodzieży istnieją dwa główne stronnictwa konserwatyści i postępowcy — niechże więc żyją zdrowi i spierają się. Wytłumaczywszy się szeroko z naszego usposobienia względem rzeczonego akademickiego organu, życzymy mu jednego tylko — niech pilnie studjuje naukę i rzecz wszelką, zanim po-

cznie robić głębokie zarzuty. „Przeg. Akad." mniema, że niepodobało się nam, t. j, „Ziarnu", warszawskie „Ognisko", dlatego, że uznaliśmy je, a właściwie umieszczone w niem „Wskazania polityczne" p. Świętochowskiego za „zbyt postępowe dla naszego społeczeństwa". Wystąpiliśmy przeciw „Wskazaniom" dlatego, że widzimy w nich polityczno-społeczną bezprogramowość i zapoznanie doniosłości pewnych czynników w życiu społecznem w ogóle, specjalnie zaś w naszem. Czy to się nazywa pomawiać „Wskazania" o zbytnią postępowość - niech się Przegląd Akademicki uważnie zastanowi...

* * *

Czytamy w „Przegl. tydodn:"

I znowu śmierć nawiedziła naszą literacką niwę, ale tym razem zabrała spracowanego robotnika w winnicy ojczystego piśmiennictwa, jednego z tych prostych, skromnych szeregowców, którzy ubywają z szeregu cicho, niepostrzeżenie. Zmarły i pochowany w tych dniach Zygmunt Komarnicki dogorywał oddawna i niebrał w ostatnich czasach czynnego udziału na tym rynku zgiełkliwym, który się prasą warszawską zowie, to też ledwo bibliograf spostrzegł jego ubytek... a pisma codzienne milczkiem przesunęły się nad rozwartą dlań mogiłą. Zresztą nad jego postacią ciężył grzech nieprawowierności. W szkicu wydanym w Dreźnie „Bolesław Śmiały — antyteza dziejowa" — Komarnicki na zasadzie źródeł odważył się poddać w wątpliwość postępowanie Stanisława Szczepanowskiego i sąd historji nad dzielnym prawnukiem Chrobrego. Była to krytyka czysto objektywna, dokumentowa. historyczna, bez oglądania się na poboczne względy lecz takiej też krytyki było dość, aby ściągnąć na siebie całą wściekłość partji zachowawczo-katolickiej. Na szczęście Komarnicki położył już poprzednio pewne zasługi jako tłumacz kroniki Gallusa i Dytmara, wobec czego brukowi krytycy nie śmieli się zapuścić w nieznane sobie krainy erudycji i dali spokój całej sprawie. Wymijano tylko starannie nazwisko Komarnickiego i prace jego marniały w grobowem milczeniu.. Zniechęcony usunął się też na ubocze od wszelkiego ruchu literackiego i tam popadłszy w chorobę, dogorywał samotny. Życie jego powinienby ktoś bliżej wtajemniczony opowiedzieć szczegółowo — byłby to bowiem przyczynek do zobrazowania stosunków naszych literackich, tak smutnych i rozdzierających jak uwiędłe nadzieje, zmarnowana praca i zagasłe światło inteligencji. Umarł Komarnicki 24 lutego, a świat literacki dowiedział się o tem, gdy już grób zimny przyjął martwe zwłoki.

* * *

O Wagnerze z powodu śmierci jego pisze cały świat. Pisma codzienne, tygodniki ilustrowane, fachowe muzyczne, w jakimkolwiek języku wydawane, pełne są anegdot, facecyj i historyjek o wielkim muzyku.

Ciekawą historję opowiada Deutsches Montagbl. o wykonaniu symfonji maestra, którą napisał mając lat 19. Wagner chcąc swej żonie zeszłego roku na urodziny sprawić niespodziankę, udał się do Liceo Marcello w Wenecji z zapytaniem, czy nie zechcianoby owej symfonji pod jego kierownictwem wykonać. Na to zgodzono się, oczywiście chętnie. Wagner sam dyryguje! co za sposobność dla muzyków nauczyć się czegoś podczas kilku prób! Wszystko poszło gładko, próba ostatnia zadowoliła maestra zupełnie, pani Cosima o niczem nie wiedziała, zatem i tajemnicy dochowano ściśle. Dnia 25 grudnia 18.. w 45tą rocznicę urodzin pani Cosimy Wagner (z domu Liszt) wykonano w obec familji i ścisłego grona przyjaciół wielkiego muzyka symfonję ową, pod osobistem kierownictwem kompozytora. Chcąc podziękować współdziałającym muzykom, kazał Wagner sprowadzić z sławnego hotelu „Danieli" 3 bufety, za które 800 litrów zapłacił — można sobie wyobrazić, że śniadańko było nie złe! Na drugi dzień otrzymał list od Licco Marcello — sądziłby kto, że z podziękowaniem od owej muzycznej korporacji — gdzietam! list zawierał rachunek za współudział członków na 2200 lirów! Wagner zapłacił natychmiast, pani Cosima jednak prosiła męża, by jej w przyszłości tak drogich podarków na urodziny nie robił.

* * *

Kompozytor francuski Massenet dyrygował nie dawno w Hamburgu pierwszem przedstawieniem swej opery „Herodias", przyczem zrobiono mu ogromną owację. Wieńce, bukiety, liry sypały się na scenę bez miary. Wszystkie trofea z laurowych liści kazał mistrz zapakować do skrzyni, i wysłać do Paryża, dokąd sam wrócił. Wkrótce otrzymał od kolei północnej list frachtowy, awizujący mu posyłkę „ziół medycznych" (Medicinalkräuter). Zrazu nie wiedział, od kiedy został aptekarzem - wkrótce się jednak rzecz wyjaśniła, i cła oczywiście nie zapłacił.

* * *

Wychodzący w Petersburgu tygodnik polski „Kraj" przedrukował w ostatnim numerze z „Ziarna" — tłumaczony obrazek Zoli „Koci raj" i artykuł „Nasz dorobek literacki, w porównaniu z ościennymi narodemi" — a polski noworocznik petersburski „Gwiazda" umieścił jako motto ustęp z wiersza drukowanego w numerze 1. „Ziarna". Zagranicami kraju, daleko — daleko — więcej się pismem naszem interesują aniżeli dzienniki tutejsze... Ale prawda, wszak one dają wskazówki Europie — nie starczy więc im czasu na to, co mają pod bokiem.

ZAPISKI.

Literatura.

* P. Julian Kułaczkowski, znany z kilku cennych prac treści archeologiczno-artystycznej wydał świeżo „Pamiątki po Janie Sobieskim", nader pracowite a interesujące zestawienie pamiątek po zwycięskiej pod Wiedeń wyprawie, będących w posiadaniu muzeów krajowych i zagranicznych. Szanowny autor opisuje po porządku, broń, sprzęty i naczynia, będące niegdyś własnością Sobieskiego, a dalej książki i rękopisy, tudzież obrazy i portrety lub ryciny przedstawiające bądź to jego samego, bądź to uświetniające który z czynów wielkiego wojownika.

* Emil Zola pracuje już podobno znów nad nową powieścią. W tych dniach wyraził się do jednego z najfanatyczniejszych i najbardziej uzdolnionych swych uczniów Pawła Alexeis „J'espére ecrire cette fois un roman de passion." Tytuł swego nowego romansu autor otacza jeszcze tajemnicą.

Teatr i muzyka

* Znakomity tragik amerykański Eltori Booth przybywa w święta wielkanocne do Wiednia i wystąpi od 30|III do 8|IV sześć razy w Stadttheatrze, a mianowicie jako Otello, Lear i Hamlet. Pierwsza z tych tragedyj grana będzie dwukrotnie; raz grać będzie Booth Otella a Mitterwurcer Jaga. drugi raz przeciwnie.

Sztuki piękne.

* Hordy samozwańczego proroka w Sudanie pochwyciły dwóch uczonych podróżników europejskich. Szwajcara Artura Rotha i Włocha Roversi, którzy badali okolice górnego Egiptu. Obaj na rozkaz Mahdiego internowani są w osadzie Bara, gdzie doznają w ogóle łagodnego obchodzenia się ze strony władz i ludności miejscowej.

* John Richard Green jeden z historyków angielskich, zmarł w tych dniach. Green wsławił się szczególniej napisaniem dzieła p. t. „Historja narodu angielskiego.“ Zmarły uczny miał zaledwie czterdzieści sześć lat wieku. Umarł w Mentonie.

* Eitelberger wychwala w „W. Z.“ działalność p. Daniela Pentera ze Lwowa, jako kustosza akademickiej galerji wiedeńskiej. Od czasu objęcia tej posady przez niego wynotował on przeszło 60 obrazów i ustawił obrazy w sposób artystyczny według szkół, a restytuował niejako nazwisko artysty w czem mu była pomocną jego głęboka znajomość malarskiej techniki pojedynczych szkół i malarzów.

* Krystyna Nilson spiewa obecnie w Kanadzie.

* W Urbion czynią wielkie przygotowania celem urządzenia uroczystości w 400 letnią rocznicę urodzin Rafaela, przypadających 28 bm. W dniu tym odbędzie się w sali pałacu kapitolińskiego uroczystość pod przewodnictwem rzymskiej akademii di San Lucca i z współudziałem akademii muzycznej di Santa Cecilia.

* F. A. Kaulbacha „Lutnistka,“ która stanowiła główną wygraną na loterji zeszłorocznej międzynarodowej wystawy w Wiedniu a na którą padł numer niewygrany zakupił cesarz austryjacki.

* Michał Munkaczy kończy nowy obraz, będący pendent do „Chrystusa przed piłatem, a przedstawiający Mesjasza na górze kalwaryjskiej, pomiędzy łotrami.

* Słynne „ośle uszy Panteonu,“ czyli wieżyczki dwie osadzone na tym gmachu przez Barwiniego zostały zniesione. Minister Bacceli stara się oczyścić również ściany Panteonu z przylegających budynków, tak, że to arcydzieło sztuki będzie odtąd stanowić całość dla siebie.

* Francuskie towarzystwo operowe pod dyrekcją Carrona, zamierza puścić się w podróż artystyczną po Niemczech i Austrji. Przedstawienia rozpoczyna towarzystwo w Stutgardzie. Gwiazdą personalu jest panna Duranty.

* W Paryżu święci obecnie prawdziwe tryumfy znana i u nas pianistka pani Leszetycka — Essipow.

* Kompozycja Lackenbachera: „Memoiren eines Clawirs,“ która ogromnie się podobała na koncercie tow. śpiewackiego w Wiedniu wyszła nakładem Buchholtza.

* Dramat Pawła Heysego „Prawo mocniejszego“ przygotowują na jesień w Berlinie

* W Krakowie przedstawiono na benefis Hoffmanowej z ogromnem powodzeniem „Fedora“ Wiktoryna Sardon.

* Max Bruch udaje się z koncertami 1. kwietnia do Ameryki.

Miscelanea.

Nowy pałac króla Bawarskiego. Król Ludwik II Bawarski, powrócił niedawno do Monachium, spędziwszy cztery miesiące w swej nowej rezydencyi wiejskiej „Neuschwanenstein. Jestto najnowszy i najwspanialszy ze wszystkich zamków jakie posiada, a co do wielkości w pierwszym zaliczony być może rzędzie najsławniejszych rezydencyi królewskich w Europie. Zamek Neuschwanenstein stoi na odosobnionej skale zwanej Tegelrock, naprzeciwko znanego Hohenschwangau i dwa wielkie wiadukty, łączą go z drogą po obu stronach. Zamek wysoki na sześć piętr, wybudowany jest w stylu czysto włoskim z mnóstwem balkonów i wież narożnych z granitu. W pośrodku gmachu znajduje się wielka wieża 360 stóp wysoka, z dwoma werandami u szczytu. z których cudny roztacza się widok na góry bawarskie. Pałac pokryty jest miedzianym dachem. Ogromny podwórzec prowadzi do majestatycznego portyku, który jest prawdziwem arcydziełem snycestwa kamiennego. Front prawego skrzydła zamku, ozdobiony jest dwoma malowidłami alfresco czterdzieści stóp wysokiemi, z których jedno przedstawia Ś-go Jerzego zabijającego smoka, drugie zaś Matkę Boską z dzieckiem, jako patronkę Bawarji. Na frontonie tego skrzydła umieszczony jest herold w zbroi starożytnej, trzymający sztandar Bawarski, zaś z lewej strony lew brązowy bawarski. Wnętrze tej królewskiej rezydencyi zawiera niesłychaną liczbę posągów, umieszczonych pomiędzy dwoma rzędami kolumn, w stylu pałacu genueńskiego, wspaniałość zaś sal przyjęcia z trudnością dałaby się opisać; sufity pokryte są malowidłami alfresco penzla najlepszych malarzy monachijskich. Temata tych malowideł zaczerpnięte są z historji królów bawarskicch od 1806 do 1867 r. i epizodów wojny francusko-niemieckiej 1870-71 r.,w których wojska bawarskie brały udział, a nakoniec sceny z ostatnich dramatów muzycznych Wagnera, z Nibelungów i Parsifala. Posadzkę okrywa mozaika w cudne wzory układana z różnokolorowego drzewa. Mieszkanie króla znajduje się na szóstem piętrze i składa się oprócz pracowni, biblioteki i sypialni z jednej tylko sali audyencjonalnej, w której król przyjmuje raporta ministrów. Pracownia królewska ozdobiona jest popiersiami krewnych króla a oprócz tego Wagnera, generała von der Tanna i kilku innych znakomitości bawarskich. Na jednej ze ścian znajduje się obraz przedstawiający scenę Rhinegold Wagnera. W tym to pokoju król otrzymał kilka tygodyi temu wiadomość o śmierci swego drogiego przyjaciela Wagnera. Czwarte i piąte piętro zajmują wielkie sale przeznaczone na wielką bialiotekę, zbiór broni i muzeum numizmatyczne. Cały zamek oświecony jest lampami elektrycznemi Jabłoszkowa na zewnątrz, wewnątrz zaś lampami Swana i Edisona. Nawet stajnie królewskie ozdobione są freskami, przedstawiającemi sceny z czasów przedhistorycznych.

Korrespondencja redakcji. P. Sol. we Lwowie: Proszę zgłosić się do redakcji. p. A. R. naucz. gimn Recenzja pańska porusza rzeczy zbyt specjalne i nienadaje się do naszego pisma. Krytyki szkolnych wydań klasyków należą do pisma fachowego dla szkół gimnazjalnych.

Treść.

Od Administracji.
Z powodu objęcia teatru przez nową dyrekcję.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
A. S.: Gorliwość (wiersz)
Brandes Jerzy: Gustaw Flaubert.
Atom: Ślubna sukienka.
Korespondencja z Wiednia.
Przegląd literacki.
Przegląd muzyczny.
Karol Marx.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.
Korespondencja redakcji.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 13. We Lwowie dnia 24. Marca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta**. Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1\frac{1}{2}$ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Od Administracji.

Z dniem 1. kwietna rozpoczynamy trzeci kwartał naszego wydawnictwa. „Ziarno" wychodzić będzie pod tymi samymi warunkami jak dotychczas.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu kwartalnie 3 zł.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct.
Na prowincji kwart. 3 „ 25 „
„ miesięcz. 1 „ 15 „

Celem uregulowania wydawnictwa prosimy o **wczesne nadsełanie prenumeraty**; natomiast zaś przyrzekamy, że odtąd w ekspedycji pisma naszego nie zajdzie żadne opóźnienie, które wynikało jedynie z niedokładności administracyjnych, obecnie już usuniętych.

Z przyszłym kwartałem rozpoczniemy druk nader zajmującej powieści „**autora Marzyciéli**" pt. „**Ostatni Szaraczek,**" opartej na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848.

Ogłoszenie konkursu.

Redakcja „Ziarna" rozpisuje niniejszem konkurs na nowellę, obejmującą druku od 2 do 3 arkuszy, w dużej ósemce, garmondem. Praca uznana za najlepszą otrzyma nagrodę w kwocie 100 złr. Dwie następne będą wyszczególnione i wydrukowane po porozumieniu się z autorami za odpowiedniem wynagrodzeniem. Autor nagrodzonej noweli po wydrukowaniu jej w „Ziarnie" pozostaje w pełni praw co do swojej własności. Jako termin ostateczny nadsełania prac konkursowych naznaczamy 1szy wrzesień b. r. Do 1go października konkurs zostanie rozstrzygnięty. Skład komisji ogłosimy później.

Wszystkie pisma polskie upraszamy o powtórzenie niniejszego ogłoszenia.

Redakcja „Ziarna"

W obronie pokrzywdzonych.

W czasach niewolnictwa i pańszczyzny wyzyskiwano w sposób okropny pracę człowieka, ale w zamian za to dawano mu przynajmniej wszystko, co mu było najkonieczniej potrzebne do życia, dawano mu strawę i ubiór, mieszkanie i nocleg. Czasy te przeszły, człowiek odzyskał godność swoją i rzekomo wolność osobistą i patrzy na te dawne wieki z uśmiechem pogardy i litości, chociaż istotnie zbyt często sam niewie dla czego.

W gruncie bowiem rzeczy nie wiele się zmieniło, a kto wie, czy się nie zmieniło pod pewnym względem na gorsze. Uganianie się za pracą doprowadziło do jej deprecjacji i stworzyło stan rzeczy dawniej nie znaczy, bo brak pracy, co za tem idzie brak chleba. Wszystko to zagraża rewolucją.

Starożytność nieznała tego nowożytnego hasła rewolucyjnego, wołającego o chleb, hasła, które porusza masy niby iskrą elektryczną obudzone. Społeczeństwo starożytne i średniowieczne uważało, że obowiązkiem jego jest dać utrzymanie każdemu członkowi zdolnemu do pracy, a dopiero nowożytna cywilizacja powinności tej się wyrzekła. W ostatecznych tylko razach myśli ona dzisiaj o środkach zaradzeniu złemu, ale środki te są, rzecz oczywista, niedostateczne; dla naprawy tego stanu rzeczy, koniecznem jest zerwanie radykalne z dawnemi zasadami. Nędza jest rodzajem hydry stugłowej Herkulesa, odradza się i mnoży sama z krwi własnej, a tem samem wszelkie ankiety, usuwające nędzę w jednej stronie nastręczeniem sztucznem pracy zgłodniałym nie na wiele się przydadzą. Rzecz należy po prostu zmienić z gruntu i powrócić do zasady, że społeczeństwo ma bowioązek nastręczyć pracę każdemu ze swych członków.

Niechcemy sięgać zbyt daleko i niebędziemy mówić o paliatywnych środkach zaspokojenia nędzy za pomocą rozpoczęcia nagłych i wielkich robót, ale zwrócimy się do tego, co z każdym rokiem więcej budzi obaw, do proletarjatu inteligencji. Reakcjoniści ujrzawszy coraz bardziej wzrastające szeregi tych nowych proletarjuszów nastraszyli się tego objawu i przemówili za zniesieniem przymusu szkolnego. Ale panowie ci się mylą. Brak przymusu szkolnego nie usunie jeszcze wzrostu proletarjatu inteligentnego, a jeżeli obowiązkiem jest społeczeństwa dać każdemu z swych członków pole do pracy i zarobku, to na odwrót społeczną jest zbrodnią i marnotrwstwem niewyzyskać wszystkich możliwych sił, któremi ono w danym razie rozporządza, w kierunku, jaki im wskazuje natura.

Ale społeczeństwo nie troszczy się oto. Trawi ono pasożytnie własne siły i wyzyskuje pracę najlepszych lat niedając za nią żadnego wynagrodzenia.

Przed laty odbyliśmy wielką kampanię w obronie nauczycieli, którzy niestosunkowo do pracy swej byli wynagradzani. Była to walka słuszna, lecz jednostronna. Niewchodząc bowiem juz w to, czy rezultat walki w tym razie zadowolił słuszne wymagania lub nie, przypatrzmy się, że podobnie anormalne stosunki istnieją i w innych działach pracy inteligencji, że człowiek młody po ukończeniu szkół wstępując w życie praktyczne tak samo w sądzie, jak w szkole i w innych urzędach publicznych, a nawet prywatnych musi pracować przez kilka lat bezpłatnie, i zanim zdobędzie jakąkolwiek pensję musi, niestety, pożerać czas długi kapitał jakiś problematyczny, lub sterać siły swoje zarabiając na życie ubocznie. Jest to największe przestępstwo, jakiego się może dopuścić społeczeństwo, jest to rodzaj samobójstwa, a względnie rodzaj lichwy, którą znieść jak najprędzej należy. Społeczeństwo dbałe o siebie nie powinno znosić aplikantów niewynagradzanych w szkołach, auskultantów bezpłatnych w sądach i licznej roty praktykantów po rozmaitych urzędach i biurach. Kto powiada, że takiego wyzyskiwania sił młodych wymagają koniecznie względy oszczędności ten czyni podobnie jak ów żyd, który przez oszczędność chciał odzwyczaić konia od jedzenia, ten zapomina, że oszczędność taka prowadzi z czasem do ruiny a nazywa się w zwykłym języku występkiem.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Raz w niedzielę, pod nieobecność pana Wilskiego - który w jakiejś ważnej sprawie z bolem serca musiał ruszyć na kilka dni do Lwowa — za namową cioci wszyscy z wyjątkiem Jędrusia wybrali się do kościoła w najbliższem miasteczku, na sumę. W ostatniej chwili, już przy wsiadaniu do staroświeckiego kocza, pannie Karolinie — jak twierdziła —nagle źle się zrobiło, i musiała w domu zostać. Małgosia ofiarowała się również nie jechać, panna Karolina jednak stanowczo się temu sprzeciwiła.

Domyśleć się nie trudno, że niespodziana ta niemoc była jeno ułożonym pozorem, ażeby skorzystać ze sposobności i rozmówić się sam na sam z Jędrusiem. To też ledwie powóz znikł z oczu ich obojga stojących na ganku, zwróciła się zaraz do niego, obawiając słusznie, ażeby jej nie uciekł.

— Proszę pana ze mną na chwilę rozmowy, panie Andrzeju...

— Słucham panią.

— Nie tu, nie tu... Raz, że się czuję niezdrową, i chłodne powietrze mi zaszkodzi, a powtóre, zbyt to ważna sprawa, ażeby można ją stojąc na ganku w minucie załatwić.

— Może pójdziemy do bawialnego pokoju?

— Nie nie, pójdziemy do mego pokoju. Tam nikt niepowołany nam nie przeszkodzi...

Poszli. Zaczęło się od płaczu i wyrzutów dotkliwych, skończyło zupełnem zwycięstwem panny Karoliny. Płacz, to potężny środek w rękach kobiety w obec miękiego mężczyzny... Prawie zawsze osiąga zamierzony skutek — rozzbraja niechęć, przejmuje współczuciem, a od tego już krok tylko do kapitulacji, choćby jeno chwilowej. Ostatecznie młoda krew wzięła górę nad chłodną rozwagą, nad owym wstrętem niedawnym, nad obawą następstw niebezpiecznych, chłopak ponownie uległ zabiegom nieodrodnej pra wnuczki Ewy, i węzeł przyjaźni został jeszcze silniej zadzierzgnięty.

Odtąd panna Karolina w duszy uważała Jędrusia za swoją niezaprzeczoną własność, a w obec niego — o ile oczywiście pozwalały na to okoliczności i nie patrzyły cudze oczy — nie szczędziła czułości i poufałych słów, co wszystko znowu on przyjmował dziwnie chłodno i obojętnie. Jakkolwiek bowiem dość słabym był i niedoświadczonym, ażeby mógł zerwać te stosunki i wydobyć się z zdradzieckich sideł przebiegłej a z świadomością celu działającej kobiety, mimo to w głębi duszy instyktownie czuł całą ohydę położenia swojego, i niejednokrotnie przemyśliwał nad sposobem, za pomocą którego najłatwiej zdołałby uciec od tej kobiety. W takich razach rozsądek doradzał mu najprościej, ażeby starał się co prędzej opuścić Zręby. Cóż, kiedy tuż za tem przychodziły soizmata, które z jednej strony każąc się obawiać jakiego skandalu, z drugiej tłumaczyły mu, że w całej tej sprawie on przecie niewinny bynajmniej, a dla skrupułów dziecinnych grzechem byłoby porzucić posadę doskonałą. Posada jeszcze pół biedy, nie ta, to inna, ale żal by mu było porzucić Zręby, do których się rzeczywiście bardzo przywiązał.

Jaś był nader posłusznym i pojętnym uczniem, przytem okazywał tyle szczerego przywiązania do swojego nauczyciela, że czas poświęcony lekcjom schodził Jędrusiowi szybko i nieuciążliwie. Państwo Wilscy nie taili się z tem, że mieli dla niego niezwykłą sympatję, a naostatek śliczna Małgosia, która niemal z każdym dniem wyrastała i rozwijała się na czarująco piękną dziewczynę, patrzyła ciemno szafirowemi swemi oczyma tak łagodnie i pociągająco, że niepodobieństwem byłoby zapomnieć o nich kiedykolwiek w życiu...

Analizując w duchu motywa przemawiające za pozostaniem w Zrębach, Jędruś spostrzegł, że najwięcej żal byłoby mu za temi oczyma Małgosi.

* * *

W czasie wakacyj letnich, po egzaminie rocznym Jasia, który wypadł doskonale ku ogólnemu zadowoleniu, dostał Jędruś pewnego dnia list, wzywający go natychmiast do rodzinnego miasteczka. Poczciwy jego opiekun dawny, pan Piotr, leżał śmiertelnie chory, i przed zgonem chciał koniecznie widzieć Jędrusia.

Wiadomość ta dotknęła go nader boleśnie, dla starego profesora bowiem miał uczucie synowskie, i pamiętał, ile był mu winien. Zabrawszy od pana Wilskiego wszystkie swoje fundusze, pojechał najbliższym pociągiem do Lwowa. Tu zatrzymał się tylko tyle, ile potrzeba było czasu, ażeby zabrać z sobą lekarza, i z nim popędził zaraz do chorego.

Gdy przybyli na miejsce, okazało się, że wszelka pomoc lekarska była już zbyteczną, bo starzec leżał nieprzytomny, w agonii. Na kilkanaście godzin przed śmiercią przyszedł jeszcze do zmysłów, poznał Jędrusia, i w obec świadków przywołanych na usilne jego życzenie, zrobił go jedynym spadkobiercą skromnej swojej spuścizny. Pobłogo-

sławiwszy sierotę ojcowskiem sercem, zamknął oczy na wieki, a u zwłok jego Jędruś płakał długo i serdecznie, bo aż teraz dopiero ujrzał się zupełnym sierotą na szerokim świecie.

Na pogrzebie zobaczył całą rodzinę pocztmistrza, nawet pana Kazimierza, który mimo „pańskich" swoich kierunków i wyobrażeń, uznał za stosowne oddać ostatnią usługę pierwszemu w życiu nauczycielowi. Z dawnym kolegą Jędrusiem, pan Kazimierz raczył przywitać się dość przyjacielsko.

Pan Kazimierz przez ten czas, gdyśmy go z oczu stracili, zmienił się pod względem powierzchowności, na oko niby korzystnie. Słusznego wzrostu, silny brunet, o bladej „interesującej" cerze twarzy, ze starannie ułożonym wąsikiem czarnym i krótko przystrzyżonemi faworycikami, miał wiele szczęścia do płci pięknej... Widocznie też in usum tejże dbał ogromnie o swoje wyglądanie, bo od kołnierzyka i krawata w ubraniu, a skończywszy na sztywnych, t. zw. pańską pogardę dla hołoty, i noszalansję wyrażać mających ruchach ciała, i obejściu z ludźmi, wszystko u niego było dobrane, z góry obmyślane, wyuczone. W młodym wieku był zeń już doskonały aktor, umiejący swą rolę expedite, a przejęty nią do najdrobniejszych szczegółów. W głowie, w sercu, a specjalnie u niego i w kieszeni, były ciągłe pustki, za to językiem zdolen był zaimponować każdemu, nawet takiemu, który w danym razie zjadł zęby na żmudnem studjowaniu poruszonego przedmiotu. Dzięki dobrej pamięci posiadał dość spory zapas pobieżnych wiadomości encyklopedycznych, umiał kilkadziesiąt frazesów, cytatów, przysłów różnojęzykowych, i temi skromnemi zasobami dokazywał często w dyspucie cudów waleczności, zapędzając nieraz przeciwnika — który choć o całe niebo był odeń wyższy erudycją, nie umiał się jednak wygadać — jak to mówią w myszą dziurę. Bezczelnie zabierał głos tak dobrze w pogadance o uprawie buraków lub chmielu, jak w poważnej rozprawie z dziedziny astronomii, przemawiał zawsze z stanowczością, cechującą głupców nieuleczalnych, lub ludzi rzeczywiście uczonych i pewnych swojego, lada jakiej opozycji nie znosił, zakrzyczawszy ją w zarodku jeśli zaś poczuł przeciwnika zbrojnego w realną wiedzę i naukę, to w lot zwijał chorągiewkę, i podszywał się pod argumenta dotychczasowego oponenta. Lub jeszcze jednego sposobu używał ze skutkiem. Z natury złośliwy i wcale dowcipny, gdy widział przeciwnika, którego pochodzić nie potrafi, czepiał się zaraz jego osobistości, wyśmiewał go, wyszydzał, i wówczas prawie zawsze miał po swej stronie większą część słuchaczy, którzy byle ubawić się i uśmiać serdecznie a cudzym kosztem, przyklaskiwali mu ochoczo, nie zdając sobie nawet sprawy, jak błądzili niesprawiedliwie i bezmyślnie. Taką partyzancką zręcznością i taktyką zdobył sobie wśród kolegów i znajomych sławę „łepaka" (termin studencki!), kobietom tuzinkowym imponował, a już w domu dla matki i sióstr, to bóstwem był wszechwładnem.

Krótko zebrawszy, pan Kazimierz był skończonym typem — niestety tak gęsto spotykanym za naszych czasów!— młodego blagiera, który to, tak prędko zaaklimatyzowany w mowie naszej wyraz francuski, jest poniekąd zbiorowem nazwiskiem, na głupoty, zarozumiałości, egoizmu wygórowanego, innych licznych mankamentach moralnych, dających się pomieścić chyba na wołowej skórze. *La phrase, la pose et le manque du respect*, zdają się być jedynem hasłem tego rodzaju ludzi, któremu są wierni aż do zaparcia poczucia człowieczeństwa — do zupełnego spodlenia.

Że się na pogrzebie przywitał z Jędrusiem — oczywiście tylko w sposób wysoce protekcjonalny, z „pańska" — pobudką mu była zasłyszana wiadomość, iż tenże przywiózł do chorego lwowskiego lekarza, na co widocznie musiał mieć fundusze. Przytem Jędruś ubrany skromnie ale gustownie, robił wrażenie człowieka, który nie kłopoce się o pieniądze. „Może dostał jaką sukcesję... licho go wie"... myślał w duchu pan Kazimierz — „mógłbym go uszczęśliwić propozycją o pożyczenie mi jakich kilkuset blatów... trzeba z nim nawiązać stosunek dawny"... Pieniędzy i ciągle pieniędzy potrzebował zawsze zacny syn pani pocztmistrzowej, a „taki" Kobylski przecie mu nie odmówi, rad nad wyraz wszelki, gdy się będzie mógł wkupić marną monetą w znajomość tak dystyngowanego kolegi! Postanowiwszy zatem zbliżyć się doń, poszedł na pogrzeb, i pierwszy przystąpił do idącego za trumną z niekłamanym smutkiem i pochyloną na piersi głową, spłakanego Jędrusia. (C. d. n.)

Cała karjera zwichnięta.

Więc pan, panie kontrolerze
Gazet nie czytujesz wcale?
No, to powiem panu szczerze,
Ja, radca, tego nie chwalę.
Proszę, oto „Narodówka",
Czytaj pan, tu, od nagłówka:

„Pan Biedacki, dyjurnista,
„Chorej siostrze, biednej wdowie,
„Z szczupłej pensji złotych trzysta,
„Na kurację w Kulparkowie
„Posyła miesięczną ratą
„Złotych dziesięć"... cóż pan na to?

Nic — wiedziałem o tem z góry,
Panu nie zaprząta głowy
Powaga Magistratury
I dobrobyt narodowy.
Wszystko na mnie! wszystko w okół!
Siadaj pan i pisz protokół:

U góry: „Sprawa nagląca."
„Pan Biedacki, siostrze składa
„Dziesięć złotych co miesiąca.
„Co obliczywszy, wypada
„Równo sto dwadzieścia rocznie;
„Która to kwota, widocznie

„Nosi cechę procentową.
„Więc mnożąc stopę normalną
„Pięć od sta, przez kwotę ową,
„Mamy sumę kapitalną:
„Dwa tysiące i czterysta.
„A która, jako wieczysta

„Darowizna się uważa.
„Że zaś punkt sto dwa i dalej
„Fiskalnego cyrkularza
„I percentualnej skali
„Mówi: że z sumy takowej
„Płyną odsetki państwowe,

„Więc, według powyższej treści,
„Na rzecz skarbu, pan Biedacki
„Ma złotych dwieście czterdzieści
„Wnieść w walucie austryjackiej.
„Rekurs i termin protestu
„Służy w ciągu dni trzydziestu."

Teraz, niech pan to wysuszy
I odda do ekspedycji...
. . . .

Smutno, że w tej młodej duszy
Polot fiskalnej ambicji
Dziwny jakiś zły duch pęta.
Cała karjera zwichnięta!

M. Rodoć.

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Dokończenie).

Temu nieustającemu prześladowaniu głupoty, którego gorzki charakter ukrył się po za nieosobistą formą, odpowiadała, jak powiedziałem namiętna miłość literatury. Literatura wyraziła dlań piękno i harmoniję, przedstawiała mu najwyższą sztukę, i pielę-

gnowa ją z ciągłem dążeniem do doskonałości, które go najpierw oniemiło, następnie późno uczyniło mistrzem, a potem znowu wcześnie bezpłodnym. Przedstawiając stosunki codzienne sam cierpiał na tem najwięcej; dlatego usiłował sztuką obrobienia podnieść przedmiot, a ponieważ uważał na najważniejszy przymiot pisarza plastykę, ubiegał się przedewszystkiem za wydatnością. Powiedział to sam przy sposobności i to się odczuwa przy studjowaniu jego osobistości w stylu. Już w pierwszem dziele wystąpiły tego stylu wszystkie zalety.

Odczytajmy owo miejsce u Mme Bowary, gdzie Emma, jeszcze nie wydana za mąż, wyprowadza do drzwi Bowarego po lekarskiej wizycie:

,,Towarzyszyła mu zawsze do pierwszego stopnia schodków. Zatrzymywała się jeśli konia jeszcze nie przyprowadzono. Po pożegnaniu już nie rozmawiali; świeże powietrze obejmowało jej postać, podwiewało miękkie jak puch włosy na plecach, albo uderzało po biodrach wstążkami stanika, które jak chorągiewki kręciły sie i zwijały. Pewnego razu podczas odelgi na podwórzu sączyła się woda z kory drzew i śnieg topniał na dachach budynków. Ona stała na progu; wróciła po parasolkę i roztworzyła ją nad sobą. Przez parasolkę z niebiesko-zielonego jedwabiu przebijało słońce i ruchomymi odblaskami oświecało białą płeć jej oblicza; słychać było, jak padały krople deszczu jedna po drugiej na rozpostarty daszek".

Tak drobnostkowa rzecz, jak to zwyczajne pożegnanie, staje się interesującem przez zamiłowaną staranność opisu, a regularne rozstawanie się nabiera indywidualnego życia przez podniesienie pewnego dnia, w którym zresztą nic innego się nie zdarzyło. Dokładność przedstawienia codziennej sytuacji zamienia się w obraz wyższego stopnia, który oddaje zarazem wrażenia wzrokowe i słuchowe, od razu położenia i ruch.

Albo przypomnijmy sobie miejsce, gdzie Emma po zamążpójściu kocha się po raz pierwszy: „Emma schudła, lice jej zbladły; twarz się wydłużyła. Z czarnymi w szerokie gładkie pasma dzielącymi się włosami, z dużymi oczami, prostym nosem i chodem ptasim, zawsze milcząca — wydawała się tak, jakby przechodził był nie dotykając go, jakby niosła na czole niewyraźne piętno jakiegoś wyniosłego posłannictwa. Była tak samotną, tak spokojną, tak miłą, a zarazem tak odpychającą, że w jej pobliżu ogarniał urok lodowaty taki, jakiego uczucie dreszczem przejmuje w kościele, gdzie zapach kwiatków miesza się z zimnem marmurów". Porównanie jest nowe, trafne, krótkie. Tropimy tu w opowiadaczu poetę. Wyśledzimy go jeszcze wyraźniej idąc dalej. Damy miejskie podziwiały jej gospodarność, pacjenei grzeczność, ubodzy dobroczynność. Ale w niej było pełno żądzy, pełno szału i nienawiści. Ta suknia z prostymi fałdami ukrywała wzburzone serce a te wargi tak czyste nie opowiadały jego męki.

Zakochała się w Leonie .., Dowiadywała się o każdym jego kroku; wyglądała jego twarzy; wymyśliła całą historję, aby mieć pozór do odwiedzin jego pokoju. Aptekarzowę uważała za szczęśliwą dlatego, że spała pod jednym dachem z nim; a myśli jej ciągle opadały za ten dom, jak gołębie „Złotego Lwa, które ciągle tam przylatywały, aby w wodzie rynien na dachu zwilżyć różowe stopy i białe skrzydła."

To porównanie jest ogólnie wymierzone, lecz zapożyczone ze stosunków wsi zamieszkiwanej przez Emmę. Tak żywo stoi ta wieś opowiadającemu przed oczyma. Niekiedy zbiera całe opisanie w jedno potężne poetyczne słowo. Tak w ustępie, gdzie występuje stara służąca wywołana na zgromadzeniu Towarzystwa Gospodarskiego dla otrzymania srebrnego medalu wartości 25 franków w nagrodę za 54-letnią wierną służbę w jednym folwarku.

Katarzyna Nikodema Elżbieta Leroux, mała stara babka, skurczona w ubogiej odzieży pokazuje się na podwyższeniu. Widać chudą, pofałdowaną w zmarszczki twarz w czepcu i długie ręce z sękowatymi palcami, które kurz stodół, tłuszcz z wełny i potaż pranej bielizny obciągnęły taką skorupą, że chociaż wymywane czystą wodą, wyglądają brudno i nie mogą się już całkiem, zejść lecz jakby na to, aby dać świadectwo o tak wielkiej ilości przecierpianych znojów, pozostają rozwarte. Widzimy mniszą sztywność jej posta wy (Ausdrucks ?), zwierzęcą niemotę wybladłych oczu, nieruchomość ze zmieszania wskutek niezwykłego widowiska z chorągwiami, graniem trąbek i orderowymi panami w czarnych frakach. Wtedy Flaubert zbiera obraz w następujące słowa:

„Tak stało przed tymi zamożnymi mieszczuchami pół wieku niewoli", Jak opis jest dokładny do drobnostek, tak wielki majestatyczny wyraz uogólniający. Dobrze się czuje, że dla tego pisarza sztuka pisania była największą ze wszystkich.

Nie tylko to, że dla niego pisanie było bezwarunkowo jedynym zawodem; nie popełni się wielkiej przesady mówiąc, że pogląd jego na świat zmierzał do myśli: „Świat istnieje na to, aby był opisywany.

Dał wyraz temu poglądowi w bezwzględnie oznaczającym go zwrocie. W przedmowie do pozostałych dzieł po Ludwiku Bouilhet zwraca do młodzieży następujące słowa z alluzją do przyjaźni, jaka go wiązała z tym poetą:

„A ponieważ przy każdej sposobności żądają morału — więc oto macie:

Jeśli są gdzie jeszcze dwaj mło dzi ludzie, którzy święta spędzają na wspólnem czytaniu jakiego poety; którzy sobie wzajemnie udzielają prób, planów, porównań, które im na myśl przyszły, — zdanie jakieś, słowo zręczne — którzy — jakkolwiek zresztą obojętni na sąd innych, ukrywają tę namiętność z dziewiczą wstydliwością — to ja daję im tę radę:

Idźcie ramię do ramienia w lasy, deklamujcie sobie wiersze, wciągnijcie w dusze wasze sok drzew i nieśmiertelność arcydzieł, nurzajcie się w sny powszechnodziejowe, oddajcie się wrażeniu wzniosłości . . . a kiedy doprowadzicie do tego, że postrzegając zdarzenia świata widzicie w nich tylko złudzenia ktore są do opisania — i to w tym stopniu że wszystko, włącznie z waszem własnem istnieniem, zdaje się nawet nie mieć innego użytku, a dla tego zawodu wy decydujecie się na każdą ofiarę, to występujcie, wydawajcie książki!". Rzadko wyraził pisarz właściwość nie zamierzając bezpośrednio. Życie swoje poświęcił powołaniu opisywania złudzeń, dla prawdziwego pisarza wszystko co się dzieje, jest obrazem, marą, którą tylko ma sztuka utwierdzić. Można jednak bez naciągania jego słowom nadać dalsze znaczenie, że życie w ogóle najstosowniej pojmuje się ze stanowiska wzajemnie następujących złudzeń, a wtedy zdanie to do niego dokładnie, się stosuje. Przejdźmy w myśli jego fabuły od pierwszych światowych i zaświatowych snów, którymi Emma Bovary stara się podnieść z próżni prowincji i płaskość małżeństwa aż do rozpędzonych hallucynacyj w pustyni św. Antoniego — czem że innem było to dla niego, jak illuzje do opisu!

Illuzja ma w sobie dwojaki charakter, odpowiadający naturze Flaubert'a. Złudzanie jeśl się pominie właściwość marzenia, jest piękne, ma barwę i woń, napełnia umysł i udziela mu spotęgowanego życia ten przymiot nęcił wielbicieia piękna we Flauberrze. Aie Illuzja jest dalej próżna i pusta, często głupia, nie rzadko po prostu śmieszna; tak potę więziła we Flauberze realistę, człowieka, który spojrzeniem ogarniał życie duszy i znajdował zadowolenie w rozkładaniu powietrznych zamków wyobraźni na najprostrze pierwiastki.

Ślubna sukienka

naszkicował.

Atom

(Dokończenie).

W miłym saloniku pryska, ogień na marmurowym kominku. Płomyków ogniste wężyki wiją się, wspinają i opadają bezwładne. Dym fantazuje — uchodzi, jak ludzkie marzenia. Na kanapie spoczywa wpatrzona w ogień Helena.

— Mamo dziś bal. To rocznica oświadczyn Alfreda. Jak sen uroczy ta noc balowa minęła. Widzę ten salon, tę kozetkę różową, skrytą w lasku palm, pomarańcz, kwiatów — słyszę jak usta jego pierwszy raz wymówiły, że mię kocha. A ten całus, ach mamo moja mamo, jakam wówczas była szczęśliwa!... Minęło to, minęło... wyszeptała ciszej.

Jakaż różnica między teraźniejszością a przeszłością. Dziś jam chora... ten katar piersiowy wyczerpał mi siły, lekarze pewnie mię zwodzą, ja się czegoś lękam... A ten biedny Fredzio! On mię tak kocha, tak pragnie widzieć mię zdrową i nazwać mię swoją żoną. Ach mameczko, żebyś ty wiedziała jak ja go kocham, ile cierpi biedne serce moje, mamo moja droga! Ślubna moja sukienka leży od sześciu miesięcy nietknięta... pójdęż w niej kiedy do ślubu?..,

—Heleniu, niepłacz dziecko moje... na cóż dręczysz się sama posępnemi myślami? Bóg dobry da ci zdrowie, tylko mu zaufaj. Widzisz, znowu kaszel powraca, ach śty. Józefie ratuj... Zażyj ten proszek... wody popij... ktoś tam dzwoni, pewnie lekarz.

—Dziękuję ci mamo, już mi dobrze; kiedy przyjdzie Fredzio?

—Powinien już być... pół do szóstej, zwykle o tej porze przychodzi.

Wszedł lekarz.

—Dobry wieczór — jakże tam Pani dzisiaj się czuje?

—Zwykle jednakowo - dzisiaj czuję się zdrowszą.

—Miała kaszel przed chwilą bardzo gwałtowny, odrzekła matka.

—A proszki zażywała pani?

—Właśnie przed przybyciem pana dałam jej jeden do zażycia. Jużto muszę się panu poskarżyć na Helunię, że taka uparta i słuchać nie chce. Wyimaginowała sobie, że lekarstwa jej szkodzą i brać ich niechce.

— To źle panno Heleno, bardzo źle — trzeba się zastosować do rady mojej, jeżeli mamy być zdrowi a czy kłócie powtarza się w górnej części lewego płuca?

— Prawie ciągle.

—Apetyt pani ma?

—Żadnego.

—Hm, zapiszę pani pigułki, proszę jednak najregularniej zażywać; organizm nadwyrężony, więc trzeba ciało wzmacniać koniecznie.

Usiadł przy stole i zadumał się.

Gdyby matka i córka obserwowały odwróconą twarz lekarza, dostrzegłyby jak uśmiech bolesny wybiegł mu na usta i skonał.

Pisał receptę i spokój był w salonie, tylko na kominku syczały niespalone wilgotne drewka.

— Tak... to będą pigułki, niechże pani będzie pilną... no — a potem zobaczymy.

— Chciałam się jeszcze pana zapytać, czy niemogłaby córka używać inhalacji żywicznej? — tyle dobrego o tym wynalazku słyszałam...

—To jest... widzi pani, można i owszem, sam myślałem o tem. Zaszkodzić nie może, a pomódz? w każdym razie spróbować można. Przyrząd w każdej aptece pani dostanie. Żegnam panie.

—A proszę o mnie nie zapominać, rzekła Helena.

—Ach co za myśl! Chociaż jestem stary, pomimo tego chybabym oczu niemiał ażebym mógł zapomnieć o takiej ślicznej istotce.

—Uścisnął jej rączkę... ale słuchać potrzeba, dodał poważnie.

Uśmiechnięta matka przeprowadziła lekarza i w przedpokoju o coś pytała.

Gdy powróciła do córki,—smutna i przybita patrzyła na swój skarb jedyny.

—Czemu mateczko tak dziwnie patrzysz na mnie?

—Myślę, czemu do wiosny tak daleko, dopiero styczeń... jeszcze cztery miesiące. Właśnie mi lekarz mówił, że świeże górskie powietrze może cię uleczyć.

I tak długo czekać potrzeba.

Cisza nastała.

Ciemny zmrok już zapadł. Biedna matka gorące czoło do szyb okna przycisnęła i patrzyła w ciemną dal Serce czegoś żalem wezbrało. Płakała.

A Helena?

Myślała o swoim Alfredzie i — ślubie.

. . . .

—Dobrze żeś przyszedł Fredziu, mówiła Helena zarzucając mu ręce na szyję. Myślałam że już nie przyjdziesz. Czemuś nie wesół, dlaczego tak smutnie patrzysz mi w oczy? Czy i ty przeciwko mnie? może nie kochasz mnie już? nudzić cię muszę nieprawdaż? Dawniej tak wesoło czas nam upływał a teraz i ty sposępniałeś i bledszym jesteś. Niedobrze poddawać się... zresztą dziś zdrowszą jestem - bądźmy wesołymi jak dawniej. W maju pojadę na świeże powietrze i wyzdrowieję. Ty pojedziesz ze mną, bo i cóżbym ja tam z mamą robiła? Zanudziłybyśmy się, a ty jak będziesz przy nas, to już naprzód pewną jestem, że czas mile spędzimy. Góry, nowe okolice poznamy; będziemy robić wycieczki, ja z mamą na wózku — ty przy nas na górskim koniku jak rycerz średniowieczny. Tylko drogi w górach mię niepokoją, podobno bardzo niewygodne, toby mateczkę męczyło!

A ciebie nie Helo? z uśmiechem pytał Alfred.

—Niewiem, ale przecież do tego czasu będę pewnie zdrową. Przecież ten katar wiecznie trwać nie będzie... zresztą czasem całkiem jestem zdrową, naprzykład dzisiaj... nie czuję się cierpiącą—poszłabym na bal chętnie!

—O! o.. o... przesadzasz przerwała jej matka.

—Zdaje ci się tak, Helo, przeceniasz moja droga twoje siły, zresztą co o tem mówić...

—Fredziu, jakiś ty niedobry. To mię do rozpaczy przyprowadza, że z mamą wmawiacie we mnie więcej, jak jest w istocie słabości. Helenko nie męcz się nad robótką, Helenko nie możesz wyjść z pokoju, chociaż dzień piękny i wszyscy chodzą. Helenko nie mów wiele — niegraj na fortepianie; a ja wiem, że tylko czasem słabnę i gdyby mi wszystko robić wolno było, tobym już zdrową była.

—Mówisz jak pięcioletnie dziecko, przecież ja twoja matka, a wiesz, jak cię kocham... Gdybym wiedziała i była przekonaną, że toby ci pomódz mogło, toż ja bym za ciebie życie oddała.

Helena okrywała matkę całusami, i śmiała się wesoło do ukrytego w cieniu Alfreda.

A ten biedny, rzucił się na kanapę i patrząc na narzeczoną ponuro się zamyślił.

Helena się śmiała i nieuważała boleści rozlanej na twarzy kochanka, niewidziała łez które mu drgały na rzęsach.

Mateczko droga!.. ja chcę dzisiaj być na balu...

—W imię Ojca i... co pleciesz...

—Muszę mamo złota... Fredziu ty...

—Ależ Helo!

—Boże wielki, jakżem nieszczęśliwa!

—Helena zanosiła się od płaczu i kaszlu.

—Heleniu zlituj się, zastanów....

—Matusiu tańczyć nie będę.... to rocznica....

. . . .

Bóg gdy kogo karze, przyćmiewa mu rozum Można wierzyć w przeznaczenie? Filozofowie odpowiedźcie! Uśmiechacie się.. Kaprys słabej dziewczyny—zwyciężył. Gdzież rozum—wola u starszych? A miłość? Powinna być rozumna! A, tak?!

Na nieba stropie, prześliczny wieczór rozrzucił swą gwiaździstą szatę.

Księżyc—tęskny, świetlany trubadur ziemi, płynął powoli w nadziemskich eterach, muskając śnieżną szatę ziemi, swoim błękitnawym blaskiem.

Na ulicy ruch niezwykły. Setki ludzi, sanek — dzwonków.

Wszystko spieszy..... to ostatni dzień karnawału!

W saloniku jasno płoną lampy.

Matka kończy toaletę swej córki.

Przed dużem weneckiem zwierciadłem siedzi Helena.

Nuci wesołą piosenkę.... i uśmiecha się do własnych myśli.

Matka upina jej bujne włosy, wtyka kwiaty i wpatruje się w twarz ukochanej jedynaczki. Jaskrawe rumieńce odbijają dziwnie na matowo bladej twarzyczce dziewczęcia.

Smutna, porównuje ją z przeszłoroczną, świeżą, zdrową Helunią.

Znać niekorzystne i bolesne były jej myśli, gdy nieproszone łzy cicho toczyły się po licach.

— Córka ujrzała twarz matki w zwierciedle

—Mamo! co to? płaczesz?... czemu?

—Nic mi—dziecię drogie, to wspomnienie...

—Czego matusiu?

—Chwili kiedy jak ty siedziałam przed zwierciadłem, a drużki moje upinały mi włosy... Wspomnienie niepowrotne. To przecież wesołe... tatko był tak dobrym,. po cóż płakać? taka jestem teraz dziwna, że niemogę patrzeć na łzy.... zaraz na myśl mi przychodzi, że to z mojej przyczyny.

Umilkły...

—Czy dobrze tak Heluniu?

—Dobrze mamo, dziękuję — jeszcze trochę pudru na twarz, bo te rumieńce...

— Będziesz za bladą.

—Troszeczkę... o tak... jeszcze tu... teraz dobrze... a gdzie suknia?

Heleniu nie bierz ślubnej, to nie uchodzi nie można...

—Ależ mamo! jak wyzdrowieję, to mi inną piękniejszą sprawisz, a ta zniszczeje bez użytku,. do maja tak daleko!...

—Jesteś tak upartą, Heleno, i wyzyskujesz moją słabość...

Córka zamknęła jej usta pocałunkiem.

Lampka płonąca przed obrazem matki Boskiej, zabłysła silniej i zgasła.

Biedna matka zbladła — załamała ręce.

—Heluniu zostań w domu... prosiła.

—Dlaczego Mamo?... wszakże już ubraną jestem i tak się cieszę,..

—O! i Fredzio z powrotem... przebrany!

—A co? powóz jest?

—Czeka, wyrzekł głosem cichszym, stłumionym...

—Muszę ci włosy poprawić i krawatkę, chcę żebyś był piękny... ładnie się prezentował i pocałowała jego blade czoło.

—Która godzina zapytała matka.

—Ttrzy kwandranse na dziesiątą.

—A to chodźmy, jedźmy, zawołała Helena

—Otuloną futrami i szalami sprowadził ją Alfred ze schodów.

Pojechali.

A tam na szafirowym niebie, zadrżała jedna gwiazdka mała i zgasła.

. . . .

W sali balowej, przy wejściu do garderoby pań - natłok osób niezwykły.

Zamięszanie i przestrach, maluje się na twarzach kobiet wychodzących z garderoby.

—Co się stało? pytają w około.

—Panna Helena S. umiera.

Na szerokiej sofie, w ślubnej sukience leży Helena.

Bezwładna główka opadła na ramiona matki, złocistą falą spływają jej włosy... Obok stargane kwiatki.

Na dziewczęcia białych piersiach i śnieżnej sukni, jak sznur koralików stargany, krople krwi się czerwienią.

Twarz biały pokrył całun, usta drgają — powieki opadają.

Pot, zimnemi kroplami wieńczy czoło — chwila okropna... to śmierć!

Nieszczęsna matka tuli ją do serca, całuje — cuci. Twarz jej, to rozpacz.

—Mamo tam... tam stoi... przyszedł po mnie. Ach takjasno... cudnie... Matko Boska... módl się mamo... uśmiecha się, już.... Matko idę,..

—Fredziu!

Głowa jej opadła na piersi matki.

Boże aniołki, uniosły czystą duszę dziewczęcia.

Wbiegł Alfred z lekarzem i przypadł do narzeczonej.

Lekarz go odepchnął — pochylił się nad ciałem Heleny.

—Nie żyje.

Zdala dochodzi gwar głosów i muzyki srebrzyste dźwięczne śmiechy — bawią się, tańczą.

Cottilion! mesdames agauche,

Lwów $^{1}/_{2}$ 1883 w nocy.

Aleskander Dumas (syn)

o swoich dramatach.

W ostatnich czasach Dumas wydał edycję swych komedyj, przeznaczoną specjalnie dla aktorów, którzy grywali jego sztuki. Wydaje on prace swoje tylko w 99-u egzemplarzach. Pojedyńcze zaś tomy poprzedza autor przedmowami, które mieszczą w sobie ciekawe komentarze dotyczące powstania dramatów jego. Komentarze te służą za obronę pełną zręczności i bystrości, pojęć moralnych autora wobec napaści i krytyki. Trzeci tom tego wydawnictwa mieści dramata Dumasa: *Fils naturel* i *Pere prodigue*. W przedmowie też do pierwszego z tych utworów Dumas ponowie zastrzega się przeciw zarzutowi, jakoby zadrwił sobie z moralności i zarazem bardzo dokładnie dowodzi, że scena czasami zmuszoną jest ilustrować stosunki, w przekonaniu mieszczańskiem niemoralne, aby tem samem stać się pomocną i pożyteczną moralności. Dumas jako swobodnie tworzący artysta, nie może naturalnie podzielać poglądu, jakoby scena miała spełniać zadanie katedry moralnych umiejętności.

Natomiast dowodzi on, że dramat podobnie jak każda ze sztuk pięknych, na razie nie rachuje się z moralnością, że więc nie może działać moralizująco, ale raczej moralnie w wyższem pojęciu. „Wszystko co jest moralne — powiada Dumas — jest pożyteczne, lecz nie wszystko co jest pożyteczne winno przez to być moralne.” Tak więc podobno teatr, jak polityka wedle Cavoura, nic wspólnego nie ma z moralnością. „Nigdzie bardziej usprawiedliwić się nie da połączenie niemoralności z pożytkiem, nigdzie nie tryumfuje ono bardziej jak w teatrze naszym. Na samym wstępie — powiada autor — wszystko co spostrzegamy sprzecza się z najprostrzemi zasadami moralności. Tu rozprawiamy tylko o miłości, czy to legalnej czy też nieprawej; tu jedynym celem mężczyzny jest posiąść kobietę, którą kocha, kobiety zaś należeć do mężczyzny, na którego padł jej wybór. Tu zakreślamy namiętne i nie zawsze uczciwe projekta, tu śmiejemy się ze wszystkiego, a człowiek, owa korona stworzenia, staje się celem satyry i wszelkich możliwych pokus. Zmysły widzów ulegają podniecaniu i podrażnianiu młodzieńczą pięknością i wdziękiem aktorek, które możliwie wyzywająco ukazują się na scenie. Od aktorek też wymagamy tylko talentu i wdzięków, nie żądając zdania rachunków z ich prywatnego życia, a nawet awanturnicze przygody aktorek powiększają ich powodzenie. Tak się przedstawia pole naszej dramatycznej działalności, od którego zdala trzymac winniśmy młode dziewczęta i chłopców, jeśli pragniemy w czystości zachować ich uczucia. Wśród podobnych zaś warunków, a nawet mimo nich, jesteśmy w stanie moralnie oddziaływać. Wszelako ta moralność teatralna jest niemniej przeto moralnością dla siebie, posiadającą własne języki własne zasady. Należy je dla widzów dopasowywać względnie do ich umysłowego rozwinięcia. Gromadzą się oni w teatrze, aby ujrzeć tu coś zupełnie odrę-

bnego i czego im dostarczyć trzeba: to jest przyjemności pod wszelkiemi możliwemi postaciami łącznie ze łzami, twrogą i boleścią.

Dumas, rozwinąwszy szczegółowiej owe myśli, przechodzi w dziedzinę tematów, jakie jeszcze pozostały nowoczesnemu poecie, jeśli pragnie stworzyć rzecz trwałej wartości. Dziś wszelka literacka twórczość będzie niedostateczną i bladą, jeśli posuwać się nie będzie z prądem nowych pojęć i wzruszeń. Po za tem poeci klasyczni uczynili wszystko co było w ogóle do zrobienia. Rasyna, Kornela, Moliera i Szekspira wprost prześcignąć niepobna; nie należy też ich naśladować, ale trzeba raczej w innych dziedzinach szukać wawrzynów. „Swiat istności swojej jutro nie zakończy, ma on jeszcze przed sobą miliony lat i dopóki istnieje, tworzyć będzie wielkie ciała społeczne, lub jeśli chcecie, wielkie zbiorowiska ludzi, które mimo wszelkich katastrof mnożyć się wciąż będą i podlegać różnym wypadkom, wojnom, odkryciom i rozwojom wszelkiego rodzaju, nowym wreszcie potrzebom i pojęciom. Prawa i obyczaje tych społeczeństw, które wzajemnie się warunkują, wpłyną na zmianę charakterów i poglądów. Wśród tych społecznych ciał istnieć będą zawsze teatra, które stały się składową częścią towarzyskiego życia. Poeci zdecydują się, czy prowadzić mają dalej dzieło teatralnej sztuki, aby podjąć walkę na tej samej co wielcy ich poprzednicy arenie, czy zechcą zadowolnić się naśladownictwem i przez milijony lat powtarzać jedne i te same osnowy pod różnemi formami. Czyż istnieje choćby jedna wielka namiętność lub zbrodnia, którejby już dawniej jakiś wielki poeta nie upostaciował i nie uśmiertelnił? Potomnym pozostaje wprawdzie jeszcze w studjach ludzkiego serca obok wielkich dawnych pomysłów, doszukiwać się szczegółów i subtelności, któ re uszły uwagi mistrzów. My wszyscy od dwóchset lat poszukujemy owych szczegółów i drobiazgów, które Mariveaux jak najdokładniej wyzyskał. Na tej jednak drodze dodobni będziemy do homeopatów, którzy chwytają się coraz to słabszych roztworów tak że w końcu zatraciwszy w zupełności pierwotną substancję dojdziemy do nicości."

Gdym spostrzegł — powiada dalej autor *Naturalnego syna* — jak szybko najznaczniejsze nawet literackie talenta naszych czasów zużywają się, dzięki nienasyconym instyktom publiczności — doszedłem do przekonania, że możliwem jest nakłonić publiczność do solidarności z nami, a sztukę naszą związać z rozwojem i postępem pewnych socjalnych pojęć, któremi teatr nigdy nie uważał za potrzebne się zajmować. Czemuż by nie posiłkować się potężnemi środkami, pozostając w służbie owych pojęć skoro one nasuwają naszej wyobraźni nowe postacie i dramatyczne charaktery, równie zajmujące jak Sganarelle, Oresty, Ximeneny i Desdemony. Jakkolwiek ciasnem jest koło namiętności, miłością zwanej, w której obracać się musiemy jak konie w cyrku, jakkolwiek z lekceważeniem poważni ludzie na nią się zapatrują — jest ona jednak niezmiernie rozciągliwą, zamyka bowiem w sobie ludzkie serce i dla tego granic nie ma. Właśnie w zakresie pewnych przyczyn i skutków społecznych, które poprzednicy nasi pomijali lub nie znali ich, możemy wykazać naszą oryginalność, rozszerzyć nasz widnokrąg i dziedzinę prawdy, aby w tym kierunku właśnie oddziaływać pożytecznie. Niemożliwem jest, aby człowiek, umiejący obserwować i myśleć, a posiłkujący się zarazem sceniczną formą, pragnąc wyrazić swoje poglądy, nie dążył do traktowania na scenie owych nowych zasadniczych kwestyj, które dotyczą praw ludzkości całej.

Dziwnym sposobem poeci dramatyczni najwięcej zyskali sławy i najwięcej też scena uszlachetniła się przez podejmowanie takich tematów, które w pierwszej chwili zdawały się niepojednanemi z tradycją teatru i publiczności. Nie podobna wołać do nas: „Dotąd, a nie dalej!" Wszystko czem jest mężczyzna i kobieta stanowi naszą własność, nietylko przez stosunek, łączący za pomocą uczucia i namiętności mężczyznę z kobietą, ale także dzięki ich pojedyńczym i wspólnym stosunkom do wypadków, obyczajów, pojęć społecznych, moralnych, politycznych i religijnych praw, którym uledz mogą. Jest to wprawdzie zasada, którą nie wszyscy podzielają, nie należy jednak dziwić się temu oporowi, z którym tłum przyjmuje wszelkie nowe zjawiska. Oburza się on i mniema, że dramatyczni poeci nie mają żadnego innego prawa nad dostarczanie rozrywki. Tłum tak zawsze usiłuje zredukować naszą rolę do poziomu prostych żartownisiów, przypominających improwizatorów w tak zwanej *commedia dell' arte*, która starego Henryka V i młodego Ludwika XIII tak bardzo zachwycała. Autorowie jednak nie chcą ograniczyć się do podobnej roli. Molier pierwszy, chociaż z początku bardziej niż ktokolwiek posługiwał się włoską farsą, nie zawahał się jednak zerwać z nią, a we wstępie do swego *Tartufe* powiada: „Jeśli zadaniem komedji jest poprawa ludzkich błędów, w takim razie nie sądzę, aby którykolwiek z nich pominąć należało!"

„Wychodząc z zasady naszego mistrza, zobaczymy, czy nie słusznie przystąpiłem do dramatycznego obrobienia mego *Naturalnego syna*. Mimo wielkiego powodzenia, jakiego sztuka ta na pierwszem przedstawieniu doznała, zauważono na następnych opozycyjne głosy podczas scen między Jacques'em a jego synem. Pewna część prasy również wrogo wystąpiła przeciw sztuce „W utworze tym — dowodzono — najzacniejsze uczucia zostały podeptane, syn i bada i oskarża własnego ojca, jakby winowajcę, brakowało tylko jeszcze, aby ojca własnego kijem obił i t. d." Słusznie dowodzi Dumas, że Molier, którego taż sama krytyka tak podziwia, w swych *Fourberies de Scapin* wprowadza syna, który ojca swego wsadza do worka i bije i tak tenże poeta w sposób niemoralny kreśli stosunek Harpagona do Cléanta, który pierwszego okrada, w obu zaś razach dzieje się tak dla tego jedynie że ojcowie opierają się miłostkom synów. „Dowodzi to — powiada Dumas — że stanowisko ojca na scenie nie wystarcza, aby go ustrzec od pewnych dokuczliwych ewentualności, podczas gdy synom dzięki ich miłosnym okolicznościom dozwala chwycić się wszelkich możliwych środków przeciw ojcom. Niech i tak będzie! Wszelako chciwość jest jedyną namiętnością, jaką ojciec mieć może, i dla tego, mam prawo, gdy wprowadzę innego ojca z innemi przywarami, postąpić z nim tak, jak mój mistrz Molier uczynił gwoli podziwowi swoich współczesnych i potomnych. Czemużby ojciec, który wydał na świat dziecię bez imienia, pomocy, wychowania i fachu w oczach dramatycznego autora miał być nietykalniejszym i bardziej uszanowanym od ojca prawego, który tyle tylko, że synowi swemu pieniędzy dać nie chce. Pierwszy zdaniem mojem stokroć jest winniejszym od drugiego. Że utwór mój nie jest arcydziełem molierowskiem to nie ulega wątpliwości, ale przeczę stanowczo, aby miał być niemoralniejszy a nawet przeciwnie, sztukę moją uważam za moralniejszą od *Skąpca*.

„Zkądże się więc wzięło, że akceptujemy sytuacje we *Fourberies de Scapin* i w *Skąpcu*, a odrzucamy je w *Synu naturalnym* jako niemoralne? Pochodzi to ztąd, że nikt z was nie uważa się za sknerę i jeśli nim jest. przypuszcza zawsze, że nikt o tem nie wie, a najmniej wasz syn. Śmiejecie się chętnie z przygód, które nie mogą wam się przytrafić. nikt z was jednak nie jest pewny czy jakiegoś pięknego poranku dwudzietoletni wyrostek nie stanie przed wami joko oddźwięk lekkomyślnej waszej młodości i nie zażąda od was rachunku ze swego urodzenia i nieszczęścia. A jeśli pewni jesteście, że syn nie wpakuje was do wora, to jednak zaręczyć nie możecie, czy nie jest czasami ko hankiem jakiejś małej ro-

botnicy; nie byłoby wam bowiem na rękę, gdyby zażądano od niego publicznie, żeby z robotnicą się ożenił, lub żeby conajmniej uznał dziecko za swoje Jeśli zaś tego nie uczyni będzie niegodziwcem. Wolelibyście może, aby pojął za żonę córkę jednego z waszych dobrych przyjaciół, a przecież dramaturg nie może tak na zawołanie owej robotnicy zrobić córką dobrego przyjaciela. Pragniecie, aby syn wasz podobnie jak wy, zrobił dobrą partję i dla tego oponujecie przeciw sztukom podobnym do *Naturalnego syna*, dowodząc, że scena nie może być polem podobnych obyczajowych obrazów, które są tylko gorszącym przykładem. Wolelibyście z krzeseł przypatrywać się, jak chłoszczą wady waszych sąsiadów, nie zaś wasze. Ponieważ zaś sąsiedzi wasi też same mają pragnienie, pomyślcie więc dokądby nas zawiodły wasze życzenia. Ja zaś, jako obserwator i człowiek uczciwy, cenię sztukę moją tak jak wy kupcy np., wasz podpis; ja jako obowiązany dostarczać wam rzeczy możliwie najlepszych, zmuszony jestem dotrzymać słowa i powiedzieć wam co uważam za prawdę i czem pragnąłbym być pożytecznym większości z pomiędzy was. A nie jestże pożytecznem powtarzać wciąż, o ile nie wiecie lub nie wierzycie, że dziecko, chociażby nie prawe, jest z waszej krwi, a tem samem i świętem stworzeniem, i że danie mu życia jest ważnym czynem pociągającym za sobą ciężką moralną i społeczną odpowiedzialność, której mężczyzna z siebie zrzucić nie może, i że dziecię zmuszone przez całe życie jęczeć pod brzemieniem waszej niegodziwości i samolubstwa—ma prawo czepić się was za to niezasłużone swoje nieszczęście."

„Oto co właśnie czyni Jacques (w synu naturalnym) gdy pokochawszy Herminię spostrzegł, że nieprawe jego urodzenie staje mu do związku małżeńskiego na przeszkodzie, gdy własny ojciec do niego powiada: „Prawda, żem twoim ojcem, lecz dla tego właśnie nie mogę dać ci za żonę mojej siostrzenicy, ponieważ nie uznałem cię, a tyś naturalnym synem, z którym przyzwoita rodzina połączyć się nie może." Wniosek więc ostateczny jest następujący: „Jestem lekkomyślny, samolubny i nieuczciwy i dla tego ty nieszczęśliwym być musisz?

Wyprowadzając podobne wnioski, osiągam cel mój, jako autor. Oto właśnie co nazywam pożyteczną komedją. Nie poprzestaje ona na pobudzaniu słuchaczy do śmiechu lub płaczu, ale zarazem do rozmysłu na ideę autora. Idea ta porusza sumienie i mąci spokój ludzi, którzy ufając tradycyjnym poglądom, lekkomyślnym obyczajom, niedokładnym i niedostatecznym prawom chętnie uważają się za uczciwych i honorowych ludzi.-

---

Obserwacje nad małpą.

przez

H. Schneidera.

Dla uspokojenia czytelników zaznaczam naprzód, że w artykule tym nie idzie o to, aby pod pod pokrywką obmyślanego nagłówka werbować prozelitów dla darwinizmu, ani też autor nie zamierza rozwodzić się, w jaki sposób wysoko rozwiniętą małpę np. goryla, lub szympansa wyuczył tego lub owego nie szczędząc trudów przy zastosowaniu swej wychowawczej metody. Chcę tylko przedstawić sposób życia małej małpki jawajskiej, zostającej na bardzo niskim stopniu rozwoju, jej obcowanie z ludźmi, jej naturalne, a nie sztuczne zachowanie się, na które żadną nauką nie wpływałem, a sądzę, że te spostrzeżenia będą zajmujące tak dla badaczy, jak dla wszystkich miłośników nauk przyrodniczych.

Oddawna miałem wielkie zamiłowanie do małp, a chęć posiadania takiego zwierzęcia ciągle we mnie wzrastała; wreszcie przed półczwarta rokiem poprosiłem dr. Bodinusa, dyrektora zoologicznego ogrodu w Lipsku, aby mi odstąpił jeden z licznych egzemplarzy tych zwierząt. Skoro mu zapewniłem, że małpę, którą otrzymam, otoczę odpowiednem staraniem, dr. Bodinus przysłał na moje prośby i wkrótce potem, za miernem wynagrodzeniem otrzymałem w koszyku małpkę Zawajską. Nie opisuję bliżej transportu, nadmieniam tylko, że zwierzątku w koszu było bardzo niewygodnie i że z wielką radością znalazło się w mojem pomieszkaniu. Ale przyjęcie małpy w domu muszę dokładniej opisać a naprzód zauważyć, że żona moja wszystkie moje poprzednie opisy małp uważała za żarty; — kiedy w przeddzień starą klatkę wiewiórczą sporządzałem na przyjęcie małpy, uśmiechała się na pół z niedowierzaniem, na pół ironicznie sądząc, że z tego wszystkiego nic nie będzie. Każdy łatwo może sobie odmalować jej zdziwienie, kiedy się pojawiłem w domu z prawdziwą, żywą małpą; stanąłem na środku pokoju z koszem, w którym małpa motała się i krzyczała, żona moja i służąca oniemiały ze zdziwienia, a mała moja córeczka z rozpaczą malująca się twarzą trzymała się matki za suknię — obraz godzien malarza.

Wiele słów musiałem stracić, zanim zwierzątko przetransportowałem do klatki — na różne tony odzywałem się do mojej połowicy, prosząc, aby się małpką zajęła — ale napróżno; na moje namowy odpowiedzią było milczenie głębokie. A więc wydaną została wojna — a za chwilę miałem się udać do biura. Zacząłem się zastanawiać: „Niesnaski domowe z powodu małpy. To być nie może! Ohydny odór ze źwierzęcia w pokoju Małpa będzie wszystko niszczyć, a szkody będą znaczne! Każdego, kto się do niej zbliży, będzie drapać i kąsać! Zresztą klatka za mała i za słaba — wyłamie drut i ucieknie, a z pewnością nikt jej złapać nie potrafi!"

Wszystkie te myśli przesunęły mi się przez głowę, gdym szedł do biura; później się uspokoiłem i postanowiłem próbować jeszcze raz odobruchać żonę. Nadszedł wieczór; powracam do domu; spozieram na żonę — ona się odwraca, ale zdaje mi się, że z uśmiechem! Chwała Bogu! Przecież małpie nic złego się nie wydarzyło! A to co? Drzwi klatki otwarte — klatka pusta! W tem żona podnosi chustkę, którą miała na kolanach a tam leży moja małpka zwinięta i śpi. Tego się nie spodziawałem, byłem pierwej przygotowany, że strop niebieski zwali mi się na głowę.

Małpa obudzona, zaczęła wykonywać takie same ruchy, jakie można codziennie widzieć u dziecka, gdy się je obudzi; wyciąga się we wszystkich kierunkach, ziewa z zamkniętemi oczyma, przeciera oczy pięścią i drapie się po całem ciele; nagle, jakby za pociśnięciem sprężyny zrywa się na nogi — a w tej chwili ja łap ją za kark i — do klatki! Ale jakże się role zmieniły! Żona moja błaga mię, abym w ciasnej klatce nie zamykał „tego małego, grzecznego, zabawnego zwierzątka" — ale żebym mu pozwolił poigrać jeszcze trochę na wolności. Wszystkie moje przedstawienia, że małpy, częstokroć są fałszywe i podstępne — na nic się nie przydały — małpa koniecznie bawić się chciała; dla czegożby nie? wszak podczas mojej nieobecności przez całe popołudnie igrała po pokoju! Musiałem ustąpić i zadość uczynić żonie.

Główna przeszkoda została tedy usuniętą, jedna myśl tylko zajmowała mię: klatka stanowczo była za małą i za lekką, a nie brałem w rachubę kosztów sprawienia nowej klatki, bo i tak kupno samej małpy obciążyło nieco mój budżet dpmowy. Ale i ta troska miała wkrótce ustąpić. Kiedy dnia następującego w południe przyszedłem do domu, zobaczyłem moją małpę w dużej, nowej klatce. Żona moja tak już polubiła to stwo

rzenie, że kupiła klatkę za swoje oszczędzone pieniądze i zrobiła mi tę niespodziankę. Taka zmiana może się tylko wtedy dokonać, jeżeli żywy przykład żada kłam wszystkiem ludowym opowiadaniem i bajkom o małpach, które powstały w fantazji mamek; żeby zaś te błędne pojęcia zbić, opiszę żywot mojej małpy w klatce, jej zwyczaje i jej wybryki.

Wiadomą jest rzeczą, jaką wyższośćemają małpy nad innemi zwierzętami przez to, że mogą używać rąk, co więcej swoich czterech rąk; miałem sposobność obserwować to na igraszkach mojej małpy, z bardzo zręcznym i zwinnym, bolońskim pieskiem. Moja małpeczka, którą odtąd będę krótko nazywać po imieniu „Czega", bawiła się pewnego dnia w pokoju; raptem rzuca się z przysłowiową u małp chyżością na stół i porywa stojącą przedemną filiżankę napełnioną do połowy kawą i to tak szybko, że nie mogłem temu przeszkodzić; chcę ją schwytać, ale ona tym czasem idąc na dwóch łapkach z filiżanką chroni się na zieloną sofę rypsową, którą już w duchu widzę poplamioną; uznałem tedy za stosowne nie gonić jéj, ale łagodnie do niej przemówić. Popatrzyła na mnie i stojąc na poręczu sofy, wypiła kawę do dna z największym spokojem, potem zlazła ze sofy i postawiła filiżankę na ziemi; na sofę ani jedna kropla nie upadła.

Zachowanie się Czegi podobne jest do zepsutego, źle wychowanego dziecka. Jak długo mówi się do niej przyjaźnie i pieści się ją, jest bardzo grzeczną i igra w najoryginalniejszy sposób; skoro tylko odmówi się jakiemu jej życzeniu, skoro się jej odbierze cokolwiek, czego dotykać się, lub jeść niepowinna, w tej chwili wydaje straszliwe, przeraźliwe krzyki, macha rękami i nogami i rzuca się na odnośną osobę — jeżeli nie ma mnie gdzie w pobliżu. Ponieważ przestrach absolutnie w mojej naturze nie istnieje, naturalnie, że nie odważa się do takiego nieprzyjaznego wystąpienia przeciw mnie, był jednak wypadek, o którym później wspomnę, że i względem mnie chciała próbować także coś podobnego.

„Słuchać" — to jej słaba strona; igrając łazi po mnie tak, że się zdaje iż można ją złapać każdej chwili, kiedy gram w karty siada mi na ramieniu i przerzuca ciągle karty, albo rewiduje moje kieszenie, w której to manipulacji wyciąganie zegarka jest dla niej najpocieszniejszłem; skoro jednak tylko spostrzeże, że się ją chce zchwytać, na nic się nie zdadzą wszelkie namowy, a choć nie skacze już na firanki, za co raz porządne cięgi dostała, to wyszukuje sobie jako kryjówkę najskrytszy kącik pod sofą lub łóżkiem. Jeżeli ją się, jak to mówią, do muru przyciśnie, gdy widzi, że się mi już nie wywinie, robi minę zrozpaczoną, zacina zęby i otwiera usta wydając przytem głos szczególny, żałośliwy, jak długo się obawia, że może otrzymać karę. Jak tylko jednak spostrzeże, że niebezpieczeństwo minęło i skoro łagodne słowo usłyszy, nie może się z wdzięczności od pieszczot powstrzymać; obejmuje mię za szyję, kładzie uszy po sobie, wskutek czego na czole powstają zmarszczki, porusza niezliczoną ilość razy ustami w sposób czarujący — a czyni to tak długo, jak długo się do niej przyjacielskim tonem przemawia. Nawet gdy pogrążona jest w najtwardszym śnie, jeśli mówię o niej do kogoś, w tej chwili spoziera na mnie i porusza się wydając przytem głos przeciągły, żałośny brzmienia — ah ho — hae.

Jeżeli Czega ma chłostę odemnie odebrać, to skoro ją już zchwycę, zdaje się zupełnie na swój los; nie przyjęłaby jednak chłosty od kogo innego, nawet od mojej żony i pod tym względem małpa stanowczo się różni od psa, który daje się bić każdemu domownikowi i kręcąc ogonem jeszcze prosi o przebaczenie. Tutaj muszę przytoczyć wypadek, w którym ja sam nie jestem pewny; jeżeli bije małpę, a zawsze kara nie jest zbyt dotkliwą, to, jak już powiedziałem, znosi chłostę spokojnie, tylko minę ma rozpaczliwą; ale gdy jest żona moja w pokoju i jak się zwykle dzieje interwenjuje na korzyść małpy, ta czega wietrzy pomoc i wie, że żona moją bierze ją w obronę, to muszę się strzedz i zręcznie wymijać, aby mię nie ukąsiła, co niejednokrotnie próbowała, wydając głos tryumfujący a gardłowy.

Toż zachowanie się małpy — powtarzam to — jest zupełnie inne niż psa w podobnych wypadkach — i że tak powiemy — bardziej ludzkie.

Jeśli Czega popełni jakie głupstwo, to zaraz choćby tego nikt nie widział zdradzi ją złe sumienie. Jeżeli wejdę do pokoju, a małpa z miną zrozpaczoną, kłapiąc zębami tuli się w kącie klatki, wiem pozytywnie, że coś spłatała i wyrwała gruby pręt w klatce, lub pochwyciła dziecku lalkę, lub wreszcie popełniła jaką nieprzyzwoitość. W tym wypadku zupełnie jest podobną do dziecka, które gdy coś zbroiło, nie potrafi tego ukryć i zaraz się zdradzi miną i giestami.

(D. n.)

Przegląd literacki.

Prawo spadkowe rzymskie

napisał dr. Leonard Piętak, profesor uniwersytetu lwowskiego tom I Lwów 1882)

Wiadomo, że nasza literatura prawnicza, szczególnie w zakresie prawa rzymskiego, jest nadzwyczajnie ubogą, jakkolwiek znaczenie tego prawa w nauce jest nader wielkie, choćby tylko dla tego, że jest ono podstawą prawie wszystkich dzisiejszych systematów prawodawczych. Ucząca się młodzież uniwersytecka, chcąc korzystać z dzieł polskich, musi się ograniczać ledwie na kilku podręcznikach, systematycznie chociaż w mniejszych ramach opracowanych, jako to: Franciszka Maciejowskiego, Józefa Zielonackiego, Meciszewskiego, Louis, kilku monografij jak Ohęckiego, Hubego, Zolla etc, a z źródeł ledwie instytucje Gaja i Justyniana mamy w polskim przekładzie: pierwsze Dydyńskiego, drugie Cukrowicza. Dlatego cenną i pożyteczną jest każda samodzielna praca, choćby w najmniejszych ramach na tej niwie, a z żywem zajęciem i z uznaniem winniśmy przyjmować pracę napisanę z taką sumiennością i w takich rozmiarach, w jakich powyższe dzieło się przedstawia, wnosząc już z Igo tomu dotąd wydanego. Dziwi nas tylko, że (o ile nam wiadomo) żadne z tutejszych pism prawniczych nie objawiło w tej mierze swego zdania.

Dr. Piętak znany jest już z kilku znaczniejszych prac, szczególnie w zakresie prawa handlowego, z których wymieniamy tylko: „Kto ma być poczytany za kupca," „O towarzystwach zarobkowych i gospodarczych." „O giełdzie i czynnościach giełdowych ze stanowiska prawa austryjackiego," „O istotnych znamionach czynności kredytowych i ich nieważności według ustawy lipcowej z r. 1877" etc. Także i temi pracami zdobył on sobie zaszczytne miano zdolnego i sumiennego pisarza.

Z dziedziny prawa rzymskiego jest to pierwsza praca większych rozmiarów profesora Piętaka.

W obszernej przedmowie obznajamia nas autor ze stanowiskiem, jakie zajmuje względem przedmiotu. Zarzuca przyjęty w w Niemczech i Austrji podział wykładu prawa rzymskiego na 2 działy tj. historję i instytucje z jednej, a pandekta z drugiej strony. Te ostatnie są tylko przedstawieniem prawa justyniańskiego, o ile takowe zyskało w Niemczech moc prawa obowiązującego. Zarazem oświadcza się przeciw praktykowa-

nemu najczęściej przez współczesnych prawników zwyczajowi, kładzenia w swych pracach głównego nacisku na pandekta, które choć w Niemczech może ma cel praktyczny, jednak w rzeczywistości szkodzi należytemu poznaniu prawa rzymskiego. Następnie ws azuje autor cel, do jakiego dzieło jego ma służyć (przedewszystkiem do użytku młodzieży akademickiej). W końcu mówi o literaturze, z której korzystał, przy czem z naciskiem podnosi, że korzystał z literatury niemieckiej i polskiej bieżącego stulecia.

Zestawiwszy pod napisem „literatura“ dzieła obejmujące wykład prawa rzymskiego, rozpoczyna od wstępu. W nim przedstawia ogólne zasady prawa spadkowego, jako to: pojęcie tegoż prawa, rodzaje, następstwa na wypadek śmierci, ogólne warunki i następstwa na wypadek śmierci pod względem podmiotów, i określenie spadku leżącego *(hereditas jacens)*. Poczem następuje część pierwsza: O dziedzictwach (w tomie I. nieskończona). Tu jest mowa naprzód o warunkach dziedziczenia w ogólności, a następnie mieści się historyczne przedstawienie rozwoju dwóch odrębnych w prawie rzymskiem systemów dziedziczenia wedle *jus civile i jus honorarium* (*hereditas i bonorum possesio*). Jestto jedna z najważniejszych części w prawie spadkowem, albowiem prawo pretorskie (jus honorarium) stanowczy wywarło wpływ na zmianę dadawnego i przestarzałego jus civile, wprowadzając nowe zasady dziedziczenia, odpowiadające duchowi czasu. Te zasady przetrwały długie czasy, i dopiero nowelami Justyniańskiemi w przeważnej części zostały uchylone chociaż wiele pozostało przypadków bonorum possesji na przepisach juris honorarii się opierającej. Dlatego jasno i zwięźle a przytem zajmująco opracowana ta część dzieła, podnosi jeszcze więcej wartość całości. Na tem kończy się rozdział I. części pierwszej. W rozdziale IIgim mówi autor o powołaniu do dziedzictwa.

Przyznać trzeba, że w wielu miejscach powyższego dzieła czytelnik spotka się z oryginalnymi, nowymi poglądami na przedmiot, a i podział samego przedmiotu jest samodzielnie naszkicowany. Już i ztąd widać, że autor nie trzymał się ściśle w tej mierze metody niemieckiej, co mu za zasługę poczytać należy.

Aby wydać dokładny sąd o tem dziele musimy jeszcze wrócić do wstępu, ale tylko dlatego, ponieważ w nim autor jak to wyżej zaznaczyliśmy, mówi między innemi także o celu swego dzieła. Ma ono służyć wedle słów autora, w pierwszym rzędzie do użytku młodzieży uniwersyteckiej. Jakkolwiek chwalebnem jest, że autor pragnął się przysłużyć uczącej się młodzieży, to jednak nie sądzimy aby w rzeczywistości młodzież chciała i mogła korzystać z niego. Przedewszystkiem stoi temu na przeszkodzie powszechnie w Austrji przyjęty podział wykładu prawa rzymskiego na historję i instytucje z jednej, a pandekta z drugiej strony, których to ostatnich składową część właśiwie w myśl tego podziału ma stanowić prawo spadkowe. Wprawdzie często formalnie wydzielają prawo spadkowe rzymskie jako osobny przedmiot wykładu, jednak to złego nie naprawia, ponieważ właśnie wskutek tego podziału, przedmiot ten zaledwie w bardzo małych ramach bywa przedstawiony w wykładach uniwersyteckich. Powtóre, dzieło to nie stoi w żadnym propocjonalnym stosunku do tego, czego wymagają na uniwersytetach austryjackich od młodzieży składającej egzamina historyczno-prawnicze, a to kriterjum stanowi właśnie wskazówkę dla uczących się. Prawo spadkowe rzymskie Dra. Piętaka jest obszerne, wyczerpujące i źródłowo opracowane i dla tego naszem zdaniem jest nader pożytecznem dziełem dla studnujących ten przedmiot z poświęceniem. Ponieważ zaś autor starał się raz całą historycznie, rozwinąć więc uczynił ją zajmującą. Przytem za zasługę wielką należy mu poczytać że wszystko przedstawił nadzwyczaj przystępnie, wskutek tego bowiem z tego dzieła, mimo że jest nader obszernie opracowanem, może korzystać każdy, choćby wcale nieobeznany z prawem rzymskiem.

Również do wyrobienia sobie dokładnego sądu o powyższem dziele, przyczynić się musi wyjaśnienie z jakich materjałów czerpał autor. Na to pytanie znajdujemy odpowiedź w przedmowie, w rozlicznych cytatach, i całymi ustępami przywodzonych materjałach w tekście. Z nich dowiadujemy się że dzieła tu użyte są liczne, nadto widać że autor zna oskonale wszystkie źródła prawa rzymskiego. Wytknąć musimy mu tylko jedną wadliwość w opracowaniu tego dzieła. A jest nią, że powołuje jak wspomnieliśmy mnóstwo źródeł, ale miejscami nie zajmuje się ich krytyką. Brak krytycznej oceny źródeł jest powodem, że czytelnik nie mając wskazówek, wedle których mógłby powołane w cytatach zdania osądzić, musi się błąkać między niemi i często na los szczęścia wybierać nie to które jest najprawdziwsze, lecz to które odpowiada jego indywidualnym wyobrażeniom, co stać się może ze szkodą dla nauki. Stosujemy to szczególnie do cytatów z dzieł rozmaitych prawników. Nagromadzenie to różnorodnych a często nie koniecznie w harmonijnej zgodności zostających ze sobą zdań, częściowo bez krytycznego opracowania, zabrało niezmiernie wiele miejsca w dziele, lecz nie zdoła czytelnika zorjentować. Ta ujemna jednak strona tej pracy niknie w obec wyżej wykazanych wielkich zalet jakiemi ona nie wątpliwie się odznacza, tem więcej że autor wiele kwestyj spornych o tyle wyjaśnił, iż własne zdanie w tem miejscu wyraził. Zresztą jeżeli zważymy, że dzieło to jest pierwszem w swoim rodzaju w naszej literaturze prawniczej, że zatem jest pierwszym krokiem do wypełnienia dotychczasowej luki w nauce prawa rzymskiego, nadto że jest napisane z prawdziwie Tacytowską zwięzłością, stylem potoczystym i pięknym, musimy przyznać, że przynosi ono zaszczyt swemu autorowi.

Dr. F. W.

ZIARNKA.

Wielkie wrażenie uczynił w mieście naszem, a bezwątpienia i w całym kraju zapis, uczyniony z własnej inicjatywy przez włościanina z okolicy wielickiej, Kucharskiego, który przeznaczył cały swój majątek i grunt na budowę szkoły w miejscu swojem rodzinnem Dobroczanach. Jest bo też istotnie rozczulającym i zawstydzającym czyn ten szlachetny wieśniaka, który w prostocie ducha poczuł potrzebę oświecenia najniższych warstw społeczeństwa, jestto najdotkliwszy policzek, dany wszystkim tym panom, którzy przemawiają za oszczędnością w budżecie szkolnym i odtąd na każdy wniosek i propozycję reakcji w sprawach oświaty, wystarczy za odpowiedź nazwisko szlachetnego włościanina!

* * *

Świat teatralny od niedzieli świątkuje.. Stara dyrekcja umarła — a nowa się jeszcze nienarodziła.. Toż artyści bezpańscy bawią się podczas bezkrólewia.. Co dzień przybywa ktoś nowy — co dzień wymiana zdań o różnych scenach i aktorskich losach... Ale nie powiemy, aby się wszyscy bawili przyzwoicie... Oto np. p. Lubicz.. Poprzedziły go huczne reklamy, zdawało się, że będzie miał ich dosyć... Gdzież tam.. zachciało mu się ich jeszcze więcej — i ośmieszył się kapitalnie.. Przyjechawszy z Petersburga uznał za stosowne umieścić na wystawie jednego z tutejszych sklepów wszystkie zebrane nad Newą trofea — a więc wieńce, spinki, cygarniczki i t. d. Jestto szarlatanerja niegodna artysty, poważnie swój zawód pojmującego — blaga, jaką się posługują sztukmistrze, ale której powinni unikać artyści.. To też uważamy za nasz obowiązek skarcić ten niefortunny pomysł — o ile wiemy, istny dotychczas u nas unikat.. A propos laurów p. Lubicza zebranych w Petersburgu.. Oto w ostatniem numerze „Kraju“ czytamy:

„Dowiadujemy się, że artysta tutejszej sceny polskiej p. Lubicz przed kilkoma dniami opuścił nasze miasto i naturalnie nasz teatr. Aktor ten, ceniony wysoko przez publiczność petersburgską, przed dwoma tygodniami nadesłał nam, prosząc o zamieszczenie w „Kraju“ list, w którym w sposób kategoryczny oświadczył, że przez całe dziesięć ostatnich zapowiedzianych przedstawień pozostanie w Petersburgu, i pracować będzie dla dobra sceny. Jakie powody skłoniły p. Lubicza do niedotrzymania własnowolnie zrobionego i solennego zobowiązania się przed publicznością tutejszą — nie wiemy...

Radzibyśmy, aby się p. Lubicz wytłumaczył, bo to rzuca nie zbyt jasne światło na jego trofea!..

* * *

W ostatnim numerze dziwiliśmy się repertoarowi p. Strakoscha, wybierającego do recytowania dramaty, w których ensemble odgrywa główną rolę, a słysząc go następnie deklamującego poematy opisowe, przekonaliśmy się, iż słuszność była po naszej stronie, i że recytator wiedeński powinien w ogóle czytać poematy a nie dramata, a przedewszystkiem nie dramata Shakespeara. Recytacja p. Strakoscha ma bowiem charakter klasyczny i nie odznacza się tyle charakterystyką, ile patosem. Z tego powodu też daleko większe wrażenie czyni na słuchaczach „Hamlet“ lub „Pieśń o dzwonie“ aniżeli „Uriel“, lub „Zbójcy“. Charakterystyka osób pojedynczych występuje tu bowiem dość blado. P. Strakosch kładąc główny przycisk na piękność wymowy i wokalizacje, często zaciera ton właściwy przedmiotu, i gubi się w obrazowaniu deklamacyjnem, bardzo odpowiedniem przy wygłaszaniu poematów i opisów, ale nader szkodliwem ze względu na plastyczne wystąpienie pojedynczych charakterów. Są to jednak zarzuty ogólne, które wcale nie uwłaczają uznanemu talentowi znakomitego recytatora, który jako interpretator poezyj z pewnością nie ma sobie równego współzawodnika.

* * *

Niedawno podniósł słuszne skargi „Kosmos“ na brak poparcia pism fachowych w gazetach naszych codziennych, ale głos jego nie skruszył niestety nikogo. Dzienniki nietylko nie popierają oddać „Kosmosu“, ale przestały nawet umieszczać treść innych pism pożytecznych, i milczą o najlepszych wydawnictwach perjodycznych, których poparcie powinno by być dziennikarskim obowiązkiem. Gazety nasze postępują owszem na przekór. Nie znajdziesz w nich wzmianki o pismach fachowych, przyrodniczych, naukowych, pedagogicznych, ale znajdziesz za to cześć lichych tygodników, wydawanych wprost dla spekulacji, lub religijnych w sposób zaprzeczający wszelkim postępom nauki, pisanych, jak gdyby na drwiny. W wieluż to dziennikach naszych umieszczają się reklamy dla „Świata illustrowanego“ Bensingera, lub dla „Przedświtu“ czerniowieckiego, ale w żadnym nie znajdziesz choćby sucho podanej treści „Szkoły“, „Łowca“, w którym są nieraz bardzo piękne studja z życia zwierząt, lub „Kosmosa“. Kto wie, czy niedługo nie przyjdzie do tego, że pisać się będą fejletony o nowych sennikach !..

* * *

Powstaje we Lwowie pismo, którego brak dawno już dawał się uczuć dotkliwie. Wielkie (!) nasze dzienniki polityczne, zapchane wielką polityką, przedrukami i surowym materjałem dziennikarskim, zbyt mało poświęcają miejsca wielu interesującym faktom bieżącym, zbyt rzadko wypowiadają własne zapatrywania, i wiele spraw różnych pozostawiają w cieniu. Pismem, który brakowi temu ma zaradzić, będzie Kurjer Lwowski, pismo codzienne poświęcone polityce i sprawom społecznym, który wychodzić zacznie od 1. kwietnia. Pojawienie się „Kurjera“ wpłynie nieco na zmianę „Różowego Domina“, które przestaje wydawać dodatek polityczno-społeczny, wychodzący pod nazwą „Przeglądu Tygodniowego“ i będzie dołączać natomiast swym prenumeratorom niedzielne numera „Kurjera“, w którym kronikę tygodniową prowadzić będzie p. Włodz. Zagórski (Chochlik), redagujący „Różowe Domino“. Dziennikarskie te nowiny zapisujemy tem chętniej, że „Kurjer Lwowski“ z projektów zapowiada się jako pismo szczerze postępowe, „Różowe Domino“ zaś prowadzone jest z niezaprzecznym talentem.

* * *

Przed kilku dniami opuścił miasto nasze b. kapelmistrz orkiestry teatralnej p. Przibik. Z objęciem teatru przez nową dyrekcję, która zaangażowała na kapelmistrza tyle cenionego kompozytora naszego p. Jareckiego, p. Przibik stracił swoją posadę. Koła muzykalne naszego miasta daremnie go chciały zatrzymać we Lwowie, gdzie pomimo całego uznania, jakie przez krótki czas pobytu umiał on sobie zjednać pośród prawdziwych miłośników sztuki, ceniących w nim znakomitego kierownika orkiestry, zdolnego kompozytora i dzielnego wykonawcę, niepodobna było wyszukać dla p. Przibika odpowiedniego stanowiska. Z tego powodu z żalem pożegnać musieliśmy szanownego muzyka, któremu towarzyszą do Pragi szczere życzenia wszystkich jego zwolenników i przyjaciół!

ZAPISKI.

Literatura.

* „Marzyciele“, powieść historyczna Józefa Rogosza, została przetłumaczona na język francuski. Tenże autor wydał obecnie we Lwowie nową powieść z r. 1846, pt. „Ostatni Karmazyn“, której ocenę wkrótce w naszem piśmie umieścimy. Rzecz ta drukowana poprzednio w „Gazecie Narodowej“ budziła w najszerszych kołach wielkie zajęcie.

* Nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego we Lwowie wyszedł „Zarys dzisiejszego europejskiego Prawa narodów“ Br. Leopolda Neumanna, w tłumaczeniu polskiem dokonanem przez studentów tutejszego uniwersytetu wydziału prawa i administracyi, pod kierunkiem prof. G. Roszkowskiego. Przekład tego cennego dzieła, jest dokładny i sumienny, a dla młodzieży uniwersyteckiej, już z tej przyczyny jest nadzwyczaj pożądanym, że dotychczas każdy chcący zapoznać się z prawem narodów był ograniczony na podręczniki niemieckie i musiał walczyć z częstokroć niezrozumiałemi terminami niemieckiemi, i tylko mechanicznie przyswajać je sobie.

Dziełko prof. Neumanna obejmuje treściwie całe prawo międzynarodowe i jest wyłożone w sposób nader przystępny, dla tego młodzież uniwersytecka chętniej zeń korzysta aniżeli np. z dzieła Hefftera mimo, że to ostatnie posiadamy już dawniej w przekładzie polskiem.

* „Ruch literacki“ i naukowy w uciskanej przez Węgrów „Słowacyi“, wzmaga się powoli. W ostatnich właśnie czasach pojawiły się następujące wydawnictwa:

Dr. Stefan Koczevar, przyjaciel znakomitego poety chorwackiego Stanka Vraza, wydał książeczkę p. t. „Slovenska mati“, traktująca o wychowaniu fizycznem dzieci.

Marn wydał „Novice dr. Zanez Bleiweis“, traktujące o działalności dr. Bleiveisa od r. 1843. Owocem usiłowań o równouprawnienie języka słowackiego w szkołach, są książki naukowe w tym celu pisane. Hasło do prac podobnych dał J. Jesenko, jako autor podręczników historycznych i geograficznych. W ślady jego wstąpili inni.

* Romans hr. Wałujewa „Lorin“ został uscenizowany i przedstawiony będzie wkrótce na scenie petersburskiej.

* Wyszły już dwa tomy Angela de Gubermatis „Historji powszechnej literatury“, które zawierają dzieje dramatu pt. „Storia del teatro“ i „Florilegio dramatico“. Pomiędzy innemi jest tam wcale dobrze ułożona historja teatru polskiego.

Teatr i muzyka.

* Komitet sędziów konkursowych, upoważniony do przyznania nagrody rs. 150 najlepszej komedyi z nadesłanych, nadającej się do przedstawienia na scenie teatru amatorskiego przy warszawskiem Towarzystwie dobroczynności, jednogłośnie uwieńczył komedyę jednoaktową pod tytułem „Rocznica ślubu“ której autorem jest Franciszek Lanci z Warszawy.

Zaszczytne odznaczenie przyznano obrazkowi dramatycznemu pod tyt. „Drugi raz“ Bronisława Grabowskiego z Częstochowy, jednoaktowej komedyi

„Jedna chwila“ Leopolda Świderskiego i obrazkowi ludowemu pod tytułem „Marysia“. niewiadomego autora.

* „Sembrich Kochańska“ wystąpi w Wiedniu dopiero w jesieni, albowiem śpiewa do 18 kwietnia w Moskwie, od maja do końca czerwca w Londynie a później w Madrycie i Bawarji. Ponieważ pani Kochańska po niemiecku śpiewać nie chce więc albo artyści wiedeńscy będą musieli śpiewać partje swoje także po włosku, albo na czas krótki sprowadzeni zostaną towarzysze jej z Petersburga, tenor Siva i barytonista Devoyod.

* Z Paryża donoszą o wielkiem powodzeniu jakiego doznał tam p. Gustaw Lewita, uczeń a później b. prof. konserwatorjum warszawskiego, który tam wystąpił w koncertach.

* Theatre Français poniesie wkrótce ogromne straty, albowiem Delaunay opuszcza teatr już w maju, a pani Magd. Brohan z końcem roku. Znakomity Got, który należy do składu teatru przeszło od lat 40 na przyszły rok także opuszcza scenę.

* „Edwin Baoth“ rozpocznie 3 t. m. występy w Stadteatrze „Hamletem“, a 2 t. m. grać będzie „Otella“.

* Pod nazwiskiem „The National Englisch Opera Company“ zawiązało się w Londynie towarzystwo akcyjne, które pragnie przyprowadzić do skutku projekt wybudowania opery nad Tamizą i stworzenie oryginalnej opery angielskiej.

* W Wiedniu wykonano w wielki piątek „requiem“ Hektora Berlioza.

Sztuki piękne.

* „Towarzystwo zachęty sztuk pięknych w Warszawie“, według sprawozdania, miało w roku zeszłym uczestników 2820, a mianowicie członków honorowych 31, członków korespendentów 98, rzeczywistych 1566 i zwyczajnych 1135. Dochody Towarzystwa w roku zeszłym wyniosły rs. 16,837 kop. 16, a mianowicie: za bilety wejścia rs. 1577 kop. 25, składka od członkow bieżąca rs. 12,245, zaległe rs. 270, fundusz rządowy rs. 1650, inne dochody i procenta rs. 924 k. 16, wydatki na potrzeby bieżące uczyniły rs. 10,166 k. 72, pozostałej zaś sumy użyto w całości na zakup obrazów, tak, że remanentu z dochodów żadnego nie zostało Nowych dzieł sztuki wystawiono w ciągu roku zeszłego 335; sprzedano osobom prywatnym 44 dzieł za rs. 5606, zaś do rozlosowania nabył komitet 53 obrazów, ozdób i szkiców za rs. 6670.

* „Kongres artystów włoskich“, zwołany z powodu wystawy rzymskiej uchwalił urządzać rok rocznie wystawy większe w jakim z miast włoskich a międzynarodową wystawę sztuki urządzać co 4 lata w Rzymie. Następne wystawy odbędą się w Wenecji i Palermie.

* Na rozkaz dyrekcji muzeów berlińskich zrestaurował prof. F. Schaper „Hermesa“ Praxitela odkrytego w Olimpii. Jak wiadomo figurze tej, która dała nam poznać znakomite zalety dłuta Prozitelowego brakło jednej ręki, którą obecnie dodał Schaper w odlewie gipsowym i wsadził w dłoń podniesioną Hermesa grono winne, do którego obecnie całkiem naturalnie drze się malutki Bachus siedzący na spuszczonym ramieniu Merkurego.

* Znany malarz historyczny „Karol Wurginger“ prof. w Wiedeńskiej akademii sztuk pięknych zmarł 16 b. m. w Wiedniu.

Miscelanea.

Bardzo cenny katalog starych druków, wydany świeżo pod tytułem „Księgozbiór Ignacogrodzki“ przez warszawską księgarnię St. Giejsztora, powinien na ciekawe te zbiory zwrócić uwagę wszystkich bibljofilów. Trzy tysiące kilkaset dzieł (między temi niejeden prawdziwy „kruk biały“) z oznaczeniem, o ile to możebne, czasu i miejsca pochodzenia, oraz dzisiejszej ceny, oto, co katalog ten zawiera. A wszystko co tu zebrano pod ogólnym tytułem „księgozbioru Ignacogrodzkiego“, to dzieło jednego człowieka. Trudno też o coś sympatyczniejszego, coś więcej wzruszającego, jak spowiedź starego i zacnego zbieracza J. K. Giejsztora, zamieszczona na czele tego katalogu p. t. „Słowo wstępne“, a wyjaśniająca dzieje tego cennego zbioru. Zawiązkiem jego pierwszym była bibljoteka Zawiszyńska, należąca do rodziny Dowgiałłów-Zawiszów, z dawna osiadłej w kowieńskiem i z zamiłowaniem przechowującej dawne kroniki, o czem sąsiednia szlachta dobrze wiedziała, i gdzie też chętnie lokowała swe dokumenta. Niestety, *habent sua fata libelli*. To, co gromadzili z niemałym trudem Zawiszowie w X II i XVIII wieku, a zwłaszcza major Ignacy (ztąd nazwa), rozproszyło się nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności w latach 1826 i 1830, a zwłaszcza po śmierci Ignacego Zawiszy w roku 1833. Z tego to księgozbioru, J. K. Giejsztor w roku 1840 ocalił niejakie szczątki, resztę zaś, t. j. to wszystko, co obecnie zbiór ten zawiera, dopełnił własnym trudem i kosztem, w ciągu czterdziestoletniego skrzętnego poszukiwania, za pośrednictwem sąsiedzkich stosunków na Litwie i antykwarjuszów wileńskich, znanych tam dobrze, mianowicie Kinkulkinów i Zorucha. Tym sposobem niejedna rzadka książka zbiór ten wzbogaciła, i oto zgromadziło się przeszło 5,000 dzieł i broszur, — wcale nie mało, jak na szczupłą szlachecką fortunę. A zacny zbieracz, skarbów swych nie chował pod korcem, bo jak pisze, część jego bibljoteki w roku 1861 była w Kownie, jako zapomoga bibljoteki klubowej, a zazwyczaj dzieła belettrystyczne, przy zapamiętałem zbieraniu napotykane, oddawały się do czytelni, egzystujących wówczas w tych prowincjach, w których Giejsztor zamieszkiwał. „Lecz niespodzianie — pisze zbieracz ten w przedmowie do swego katalogu — nastały wypadki, i kilkanaście lat nie widziałem moich zbiorów, które jednak życzliwa ręką sąsiadów prawie w całości przechowała. Z rzeczy dawniejszych zginął mi Henbinjus i parę innych, z nowszych album „Wileńskie“; niektóre dzieła zdefektowały się. Dział beletrystyczny prawie cały przelałem do czyteln bezpłatnych, lecz gdy dawna pasja nie opuszczała, już w Warszawie zdobyło się wiele ciekawych inkunabułów i cennych polskich druków. Większą stratę (podczas nieobecności, o której mowa) poniosłem w archiwum. Był tam śliczny zbiór dekretów trybunałów litewskich, od ich ufundowania do ostatniej chwili, nie brakło z żadnej kadencji dekretów, z podpisami Marszałków trybunału i deputatów, Zbiór ten, oprócz masy autografów, miał wartość i dla studjującego nasze sądownictwo. Lecz daleko dotkliwszą była inna strata. Od 1857 r. jako jeden z najczynniejszych członków komitetu do spraw włościańskich, nie tylko starałem się jak najszerzej przeprowadzić ważną reformę, lecz i gruntownie sam zbadać naszą przeszłość i współziomkom tako wą, opartą na dowodach okazać. Najważniejszem źródłem do ocenienia stosunków między panem a włością, były tak zwane na Litwie inwentarze, i takowych spory zbiór już miałem, przeważnie z XVIII w., chociaż nie brakło z XVII, a nawet było parę z XVI w. Inwentarze te układali sami dziedzice, dla własnej tylko wiadomości, było to więc źródło zupełnie pewne. W latach od 1857 63 praktyczny rozwój kwestji włościańskiej nie dozwolił zająć się pracą źródłową, obecnie brak mi tych dokumentów. Jednakże zwracam uwagę, że na Litwie nie brak jeszcze po starych dworach podobnych inwentarzy, i warto byłoby, aby ktoś raz chciał się podjąć pracy, by w rzeczywistem świetle przedstawić nasze dawne stosunki włościańskie. I tak, to co było zbieranem z początku bez stałego planu, a potem z myślą przekazania jakiej narodowej instytucji, zbiegiem wypadków zostało jedynym funduszem. Z tą myślą przed paru laty mały kapitalik włożyłem w księgarnię syna (Stanisława Giejsztora, ktory katalog ten wydał), powny poparcia tak niegdyś licznych i życzliwych współobywateli... gdy sprzedaż przy tem bibljoteki była już koniecznością, miałem nadzieję, że się znajdzie wśród zamożnych obywateli amator dawnych pamiątek, i zechce odrazu położyć fundament przyszłej znakomitej bibljoteki. Jak jedno tak drugie zawiodło. Obecnie przedstawiam katalog z trzech tysięcy kilkuset dzieł drugi numer katalogu także z przeszło 1,500 jest w druku, a przytem spis atlasów i map. Oprocz tego bogaty zbior dzieł i broszur z epoki Stanisława Augusta, już bezwarunkowo przeznaczony do sprzedaży tylko razem, a dodawszy dział książek i broszur nowszych, ogólna liczba Ignacogrodzkiego księgozbioru przenosi 6,000 numerów“. Dodać potrzeba sporo autografów, rękopisma i trochę rycin jeszcze nieskatalogowanych, a będziemy mieli obraz zbiorow prywatnego niezamożnego człowieka, który jasno przedstawi całe jego zamiłowanie. Na wielu dziełach są nadpisy autorów, na innych książkach jak np. Grużewskiego: „Ultima Mutatio“, w ciągu dwustu lat nadpisy świadczące o przejściach tej książki. „Katalogi są ułożone wprost w celu wyprzedaży, bibljografom najchętniej najszczegółowsze udzielimy objaśnienia; dla pracujących zaś, wszystkie nasze zbiory są zawsze otwarte. Puszczając w świat katalogi moich zbiorów, łudzę się jeszcze nadzieją, że może się one nie rozproszą i znajdzie człowiek dobrej woli, któremubym mógł je przekazać z szczerem życzeniem, aby wzrastały na pożytek społeczeństwa“.

Treść.

Od Administracji.
Ogłoszenie konkursu.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
M. Rodoć: Cała karjera zwichnięta.
Brandes Jerzy: Gustaw Flaubert. (Dokończenie).
Atom: Ślubna sukienka. (Dokończenie)
Aleksander Dumas (syn).
H. Schneider: Obserwacje nad małpą.
Przegląd literacki.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

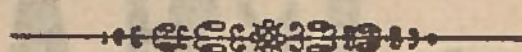
Nr. 14. Rok II.

We Lwowie 7. Kwietnia 1883.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY

wychodzi od 1. października 1882 co sobotę w objętości półtora arkusza w okładce.



Przedpłata na **„ZIARNO“** wynosi:

W miejscu rocznie: **12 zł.** — na prowincji: **13 zł.**

„ kwartalnie: **3 „** — „ **3 „ 25 ct.**

prenumeratorowie kwartalni otrzymają pierwszy kwartał „Ziarna“ za połowę ceny

Dla ułatwienia zaprowadzamy prenumeratę miesięczną w kwocie **1 zł. 10 ct.** w miejscu, a **1 zł. 15 ct.** na prowincji.

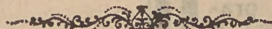
Na okładce każdego numeru umieszczamy INSERATY po 5 ct. od wiersza petytem.

Prenumeratę tak miejscową, jak z prowincji przyjmuje:

Administracja „ZIARNA“ w drukarni „Dziennika Polskiego“ we Lwowie ul. Halicka l. 46.,

tudzież wszystkie księgarnie.

Od Administracji. Upraszamy Sz. pp. Prenumeratorów miejscowych „Ziarna,“ aby prenumeratę na nasze pismo składali w Administracji ul. Halicka l. 46. Za prenumeratę składaną na ręce kolporterów, Administracja „Ziarna“ nie bierze na siebie odpowiedzialności.



PP. Autorowie i nakładcy, którzy sobie życzą mieć ocenę swych dzieł w „ZIARNIE,“ raczą nadesłać redakcji egzemplarze wydanych książek.

Nr. 15. „Ziarna“ wyjdzie d. 14. Kwietnia 1883.

Polecenie towarów!

Polecając wszystkie nazwy kawy z jednego wora i wszystkie gatunki wina z jednej beczki — jest bezczelnością. Mogę tylko towary w przednim i najprzedniejszym gatunku według nazw własnych polecać i sprzedawać:

CUKIER w głowie I. 49 II. 46 ct. za kilo.
„ w kostkach „ 52 „ 50 „ „
„ w mączce „ 48 „ — „ „

KAWA w wypróbowanych i uznanych z dobroci i wybornego smaku gatunkach:

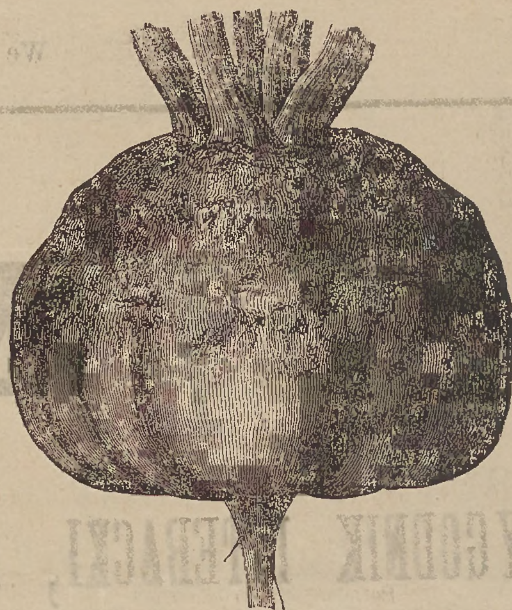
PORTOCABELLO ZIELONA Nr. I.|80 ct. II.90 ct. III.1 zł za pół kilo.
COSTARUCCA 70 ct. . . . . . za pół k
CUBA ZIELONA Nr. 0|75 ct. . . . . „ „
PERŁOWKA ZIELONA Nr. 1·05 zł. żółta 85 ct. „ „
MOCCA ARABSKA 1 zł. . . . . . „ „
JAWA ŻÓŁTA Nr. I|80, II.|90 ct. III.|1 zł. . „ „
JAWA BRUNATNA 1·10 zł, ZŁOTA 95 ct. . „ „
HERBATA CONGO Nr. 0|1·50 zł. I.|1·75 zł. II |2·25 III.|2·75 zł. IV.|3·25 zł . . . . . „ „
HERBATA SOUCH ONG Nr. I.2·55 zł. II 2·75 zł III.|3·25 zł. IV.|4·25 zł. . . . . . „ „
HERBATA PECCO KWIAT VI.|3·25 zł. VII.4·25 zł. VIII.|5·25 zł. . . . . „ „
WYSIEWKI HERBATY (własnych herbat) 1·50 zł.
JAMAJKA RUM Nr. I·|1 zł. II 1·20 zł. III.1·50 zł. IV.|2·25 zł. za butelkę . . . . . „ „
COGNAC FRANCUSKI WYBORNY 24-letni 4 zł. 10-letni 2·50 zł., 2-letni 1·50 zł. za butelkę.
PORTER PRAWDZIWY ANGIELSKI lepszy niż Hoffa piwo słodowe, butelka 60 ct. pół butelki 40 ct.
SOK MALINOWY prawdziwy kilo 1·60 zł. flaszka 50 i 25 ct.
POWIDŁA SŁODKIE i CZYSTE kilo 32 ct.
RODZENKI Z PESTKAMI 1 kilo 72 ct.
„ bez pestek 1 „ 80 ct.
„ czarne 1 „ 60 ct.
MIGDAŁY SŁODKIE Nr. I. 1 zł. 30 ct.
BRYNDZA wyśmienita kilo 72 ct.
SLEDZIE SOLONE, SARDYNKI w oliwie i occie.
SER EMENTALSKI, SZWAJCARSKI, ROMADOUR i LIMBURSKI po najtańszych cenach.
KROCHMAL przeniczny 40 ct., ryżowy 54 ct. za kilo
RYŻ włoski 48 ct., długi po 40 ct., krótki I. 26 ct. II. 32 za kilo.
WINA NATURALNE i ROZOLISY podług osobnych cenników.

KROCHMAL POŁYSKUJĄCY, dotychczas celowi najlepiej odpowiadający, przyjemny w noszeniu delikatnej bielizny, i zatrzymujący trwale białość i sztywność, którą z Niemiec, Anglii i Austrji sprowadzane nie posiadają i tylko przez szarlatańskie ogłoszenia i kolorowe opakowania błyszczą. Tylko gospodynie i osoby trudniące się praniem bielizny mogą to kompetentnie osądzić i moje dowodzenia potwierdzić. Paczka zawiera 4 pakieciki, i aby tanim ofertom za złe wyroby zapobiedz, kosztuje od dzisiaj tylko 14 ct., pojedyńcze pakieciki.

MASA WOSKOWA DO ZAPUSZCZANIA POSADZKI, nieporównanie najlepsza i długo trwająca w 6 kolorach, a prawdziwa tylko z moją marką fabryczną i opakowaniem pudełko 60 ct.

O. T. WINKLER

we Lwowie.



Główny skład

NASION i ROSLIN

J. STACHIEWICZA

we Lwowie

pl. Marjacki liczba 11.

poleca całkiem świeżego zbioru NASIONA jarzyn, kwiatów, buraków, i traw pastewnych, koniczyny, lucerny oryginalną francuską oraz drzewa owocowe, róże, krzewy do ozdoby parków, szparagi i t. p.

Posełki na prowincji uskuteczniają się odwrotną pocztą.

Główny CENNIK NASION na rok 1883 na żądanie franco.

Nakładem księgarni F. H. RICHTERA
(W. Altenberga) we Lwowie
wyszły:

ZE ŚWIATA

OBRAZKI I HUMORESKI przez autora „Kłopotów starego komendanta“, Treść: Zemsta doktora. — Śledztwo domowe. — Na wycieczce. — Królik domowy.
Cena 1 złr. 80 ct.

Tegoż autora

Za groszem

OPOWIADANIA. Treść: Za groszem. — Pociecha artystów. — Zięć obywatelski.
Cena 1 złr. 80 ct.

Zajmująca treść, humor i lekkość stylu stawiają te powiastki w rzędzie najlepszych tego autora, isą prawdziwą ozdobą współczesnej literatury rozrywkowej. 1

Nr. 14. We Lwowie dnia 7. Kwietnia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Od Administracji.

Z dniem 1. kwietna rozpoczynamy trzeci kwartał naszego wydawnictwa. „Ziarno" wychodzić będzie pod tymi samymi warunkami jak dotychczas.

Prenumerata na „Ziarno"

W miejscu kwartalnie 3 złr.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct.
Na prowincji kwart. 3 „ 25 „
„ miesięcz. 1 „ 15 „

Celem uregulowania wydawnictwa prosimy o **wczesne nadsełanie prenumeraty**; natomiast zaś przyrzekamy, że odtąd w ekspedycji pisma naszego nie zajdzie żadne opóźnienie, które wynikało jedynie z niedokładności administracyjnych, obecnie już usuniętych.

W tym numerze zaczynamy druk nader zajmującej powieści **„autora Marzycieli"** pt. **„Ostatni Szaraczek,"** opartej na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848.

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli".

I.

Na kolei w Stryju roiło się jak w ulu. Prócz kilkudziesięciu osób, spieszących do tego miasteczka na rzeczne kąpiele, pociąg lwowski przywiózł w tym dniu cały tłom żydów, wracający na „szabas" do domu. Gdy konduktor pootwierał wagony czwartej klasy, zaczęło się z nich wysypywać istne mrowie postaci nieczystych i obszarpanych, które dźwigając kosze, zawiniątka i poduszki, spieszyły przez peron, głośno hałasując. Wysiadłszy z mego przedziału, zatrzymałem się chwilę przy drzwiczkach; właśnie z wagonu czwartej klasy wysiadał pewien izraelita lwowski, znany powszechnie jako miljoner.

— Pan do Stryja na kąpiele? zapytałem.

— Nie... ja jadę na moje własne, świeże powietrze.

Prawda, pan Kiczkes miał piękną wioskę niedaleko Stryja.

— Ale jak to się stało — znowu zapytałem — żeś pan przyjechał czwartą klasą?

— A czy jest piąta? odparł pan Kiczkes tak naiwnie, że zawstydzony oddaliłem się, żałując, że nie umiem jak on oszczędzać.

Przecisnąwszy się przez tłum w sieniach, znalazłem się po drugiej stronie dworca kolejowego, gdzie stoją obszarpane dorożki, wózki i jakieś inne przyrządy, służące do wożenia ludzi, skazanych na podróż do Stryja.

— Z Nowegosioła nie ma koni! — zewsząd zawołano. Że moich koni nie zastanę, sam wiedziałem, chcąc bowiem zrobić żonie niespodziankę, przyspieszyłem powrót o dni kilka; nie moich też koni teraz szukałem, lecz jakiego wózka od biedy, w którymbym bezpiecznie mógł zajechać do domu.

— Może Wielmożny pan do Schwamma! Tam wszyscy panowie zajeżdżają: — wołał mały, pękaty żydek, usiłując wyrwać mi torbę, którą w ręku trzymałem.

— Pan hrabia zajedzie pod „Czarny Orzeł" tam jest kasyno, tam jenerał zawsze przychodzi! — krzyczał drugi, usiłując odtrącić i zepchnąć w błoto swojego współzawodnika.

— Idź do kata! — zawołałem — ja nie jestem hrabią!

— Czemu Wielmożny pan nie ma być hrabią? Pan jeszcze lepszy niż hrabia!

Obawiając się, że krzykom i szarpaniom końca nie będzie, skoczyłem na wózek najbliższy i kazałem jechać do miasta. Dopiero tam oświadczyłem mojemu woźnicy, że mię powiezie do Nowegosioła.

Żyd z zakłopotaniem poskrobał się w głowę.

— Nie wiem, jak to będzie... dziś wieczór szabas.

— Jedź tylko dobrze, a pewnie wrócisz!

Żyd pokręcił głową, spojrzał na słońce a zaciąwszy konie, ruszył z miejsca.

Na długim moście, zbudowanym w Stryju nad rzeką tego samego nazwiska, na którym znajduje się napis, że prędka jazda jest tu wzbroniona pod karą „dwóch guldenów“, konie wlokły się powoli, krok za krokiem, a pan ich chcąc im jeszcze ulżyć, zeskoczył z koziołka i obok nich szedł zamyślony. Prawdopodobnie dręczyła go niepewność, ażali wróci do domu na szabas — z drugiej zaś strony żal mu było pewnego zarobku.

Przy końcu mostu mój woźnica zawołał głośno i radośnie na człowieka, który zmierzał ku nam. Nadchodzący podniósł głowę, uśmiechnął się na pół wesoło, na pół idjotycznie i żydowi uścisnął rękę kordjalnie. Obadwaj zaczęli z sobą rozmawiać po żydowsku, co usłyszawszy konie, stanęły.

Nieznajomy był wzrostu miernego i mógł mieć lat przeszło pięćdziesiąt; dzięki krępej i żylastej budowie ciała, w ruchach był zwinny, prawie młody. Na głowie, jasnym włosem okrytej, rzadko gdzie pokazywała się siwizna; brwi długie krzaczaste, zwisły nad oczyma głęboko osadzonemi, wąsy spadające zasłaniały mu usta. Ubiór jego był dziwaczny, ani chłopski, ani mieszczański. Na głowie miał czapkę francuzką, z daszkiem prosto stojącym, na ramnionach wisiał surdut barwy czekoladowej, przymocowanej pod szyją nakształt dołmana węgierskiego; pąsowa kamizelka z guzikami uderzała w oczy z daleka, a wysokie buty z ostrogami, czyste i połyskujące, uzupełniały resztę odzienia.

Rozmówiwszy się z żydem, nieznajomy spojrzał na mnie i lekceważąco jednym palcem machnął koło czapki. Ruch ten miał starczyć za ukłon.

Nie obraziwszy się tą poufałością, odkłoniłem mu się uprzejmie, boć sam widok tego człowieka, był dla mie miłem zjawiskiem. Jego ruchy, ubiór, mowa żydowska, choć na pierwszy rzut oka można było poznać, że nie był żydem, nareszcie dziwaczne spojrzenia, robiły go istotą niecodzienną, którą może warto było spotkać i bliżej poznać.

— Wielmożny pan daruje — przemówił żyd do mnie — że ja dalej nie pojadę. Ja muszę wrocić do domu, bo dziś szabas, ale mój przyjaciel, pan Bereźnicki, pojedzie za mnie... On w całym Stryju najlepiej powozi.

Pan Bereźnicki podziękował Moszkowi za komplement i zaufanie, serdecznem ręki uściśnieniem, a skinąwszy mi znowu palcem, wskoczył jak kot na kozioł.

— Hej kary! dalej siwy! — krzyknął głosem piskliwym, i świstając batogiem, ruszył co koń wyskoczy.

II.

W Słobódce konie osadziły na miejscu.

— Pan dobrodziej lubi piwo? zapytał dziwaczny woźnica, pół ciałem do mnie się obracając

— Jak czasem.... Jeżeli dobre.

— O! tu dobre, słowo honoru, bardzo dobre! Ja panie dobrodzieju tak lubię piwo, że gdybym mógł, piłbym od rana do wieczora.

— To każ sobie dać — rzekłem.

— Każ sobie dać? — powtórzył, mierząc mnie groźnem spojrzeniem. — A czy to ja jaki dureń, czy co, żebym sobie kazał dawać. Patrzcie go jaki mi pan! Ja jak piję to nigdy sam!

— Więc napijemy się obadwaj.

— Tak to mi się podoba! Zaraz poznać, żeś pan szlachcic. Szlachta panie dobrodzieju, zawsze pije w kompanji. Hej żydzie! — krzyknął, dumnie głowę podnosząc— piwa dwie szklanki!

Przed karczmą stał żydek pejsaty, i z ciekawością właściwą wszystkie arendarzom, przypatrywał się memu woźnicy.

— Słyszałeś hultaju! czy chcesz, żebym ci powtórzył batogiem?

To rzekłszy, chciał z wózka zeskoczyć, co widząc żydek, wbiegł do karczmy i pochwili wyszedł z dwiema szklankami, w których nie tyle było piwa ile piany.

Bereźnicki podał mi jedną szklankę, drugą wziął sam i trącając o moją zawołał:

Na zdrowie, panie dobrodzieju!

Wypił, rękawem usta sobie obtarł i nie czekając, aż żyd wyda mi resztę z dwudziestu krajcarów, uderzył konie i zawołał:

— Furda kilka centów! Szkoda czasu, panie dobrodzieju! Teraz pojedziemy po kawalersku, po szlachecku panie dobrodzieju!

Po tych słowach stanął na wózku i balansując zręcznie, jak linoskok, popędzał ciągle konie, które ponoś od dawna nie były w rękach tak energicznych. Biedne koniska, wytężając resztę sił, biegły ku Wierczanom bezustannym galopem.

— Dajcie pokój biednym koniom — przemówiłem, szarpiąc go za surdut — gotowe popadać.

— Nic im nie będzie, panie dobrodzieju nic; Przecie my nie pojedziemy jak zmazią. Jak Bereźnicki jedzie, to aż ziemia drzy!

— Bardzo to pięknie, mój panie Bereźnicki, lecz jeżeli Moszko dowie się od kogo, jak bez litosci obchodziliście się z jego końmi to....

— To niech wszyscy djabli porwą żyda psiąwiarę! — przerwał mi szorstko, spuszczając cały grad batogów na grzbiety biednym zwierzętom.

— Czy godzi się tak wyrażać o swoim przyjacielu?

— O moim przyjacielu? — powtórzył Bereźnicki bezwładnie upadając na kozioł. Czy doprawdy ja mam być jego przyjacielem?

Zmiana, która teraz w mówiącym nastąpiła, była tak nagła, tak dla mnie niepojęta, że mimowoli oddech wstrzymałem, jak gdybym chciał ukryć gwałtowniejsze serca uderzenia. Byłaż to obawa, lub wrażenie niespodzianki?

Bereźnicki puścił batóg i lejce, oddając konie ich własnej woli; potem obróciwszy się do mnie, wsparł łokcie na koziołku i spojrzał mi w oczy.

Twarz jego była mocno pomięta i blada: brwi złączyły się razem, usta lekko drgały, a oczy siwe, z głębokich jam wyzierając rzucały światło niepewne, jak ogniki błędne. Wyraz jego oblicza był gorzki i bolesny.

— Więc pan doprawdy myślisz, że Moszko jest moim przyjacielem? — mówił powoli, od czasu do czasu głową potrząsając.— Czyż na tym świecie trudno o człowieka tak rozumnego, któryby przecie pojął, że Hilary Bereźnicki, szlachcić z dziada pradziada, nie może być przyjaciem takiego łakomego i brudnego żyda, który Chrytusa Pana ukrzyżował?

— Jeżeli pan szlachcic i Bereźnicki się, nazywasz, to czemu wysługujesz się żydom? Wszak już z tego, że mówisz po żydowsku, łatwo się domyśleć, żeś z nimi niemało spędził czasu.

— Czemu się żydom wysługuję, czemu? Cha! cha! cha! Alboż pan dobrodziej nie wiesz, że mnie ludzie zrobili warjatem, szalonym. Słowo honoru, panie dobrodzieju. jakem szlachcic, jakem Bereźnicki ja warjat! warjat! Po tych słowach błysnął złowrogo oczyma. a chwyciwszy lejce i batóg, krzyknął jak dawniej:

— Hej kary! Dalej siwy!.. Po kawalersku, po szlachecku panie dobrodzieju!

Przestraszone koniska wyciągnęły się jak struny.

III.

— Jak się macie, Iwanie, czy wół wam już wyzdrowiał? — Kaśko! Kaśko! a kiedy twoje wesele? Czy Semko wrócił już z wojska?— Hryciu, czemuś uciekł ze dworu? Poczekaj! odstawią cię żandarmi! — Hej! panie przysiężny, pożegnajcie się z chałupą... Z banku przedwczoraj przyszło do sądu, żeby wam za dług zlicytować grunt i chałupę... A nie mówiłem wam, kiedy czas był jeszcze, że to bank złodziejski? — Patachno! a to co Kto ci oko podbił? Pewnieś się opiła w kar-

czmie. — Ej! ty dzieciaku, nie płacz się po drodze, bo cię przejadę! Twojej matce dałbym sto batogów, że cię puszcza na drogę!

Tak przemawiał pan Bereźnicki do włościan, gdyśmy przez wieś jechali. Chłopi uśmiechali się do niego, niektórzy nawet kapelusze zdejmowali, lecz on nie odkłonił się żadnemu, ani nie czekał, by mu odpowiedziano na jego zapytania.

— Jak widzę — przemowiłem doń za Podhorcami — to Bereźnicki zna tu każdego człowieka.

— Nie tylko człowieka, zna każdą krowę, każde cielę, każdego wieprzka. Na trzy mile dokoła Stryja wiem panie dobrodzieju, ile każdy gospodarz ma gęsi!

— Na cóż tych wiadomości?

— Na to, panie dobrodzieju, żeby wszystko mieć w małym palcu. Potrzebuje Moszko furmana, Bereźnicki jedzie, potrzeba kogo posłać z miasta z depeszą o trzy mile, Bereźnicki idzie, choćby na dworze była północ, a deszcz, lub śnieg oczy zasypywał; nie ma woźnych w sądzie, a potrzeba rozesłać dużo papierów po wsiach okolicznych, Bereźnicki niesie wszystko pod pachą; potrzeba być pomocnym przy jakiej licytacji, lub ściąganiu podatków, Bereźnicki jest także, bo on wszystko ma w małym palcu, on wszystko umie, on do wszystkiego!

— To bardzo pięknie, że pan Bereźnicki bierze się do wszystkiego... Czy jednak nie byłoby lepiej poświęcić się jednemu zawodowi? Czy takie życie nieporządne, rozerwane, może sprawić przyjemność? Wszak każdy człowiek powinien mieć jakiś cel przed sobą...

Jak wtedy, gdym go nazwał przyjacielem Moszka, tak i teraz mój woźnica z człowieka, jak na swój wiek, zbyt wesołego rozstrzepanego, stał się od razu starcem złamanym i zamyślonym.

Właśnie byliśmy na wyżynie, łączacej Podhorce z Komarowem. Dzień był tak piękny, jak uśmiech anioła. W złotem słońca oświetleniu kołysały się szare łany żyta; obok nich bociany przechadzały się poważnie; przepiórki biły w jęczmionach, a bydło rycząc, wracało z pastwiska na spoczynek południowy. Powietrze było tak czyste, tak przejrzyste, że poza sobą widziałem wszystkie kontury Karpat, z ostatniemi szmatami białego śniegu, a na lewo wzrok gonił wzdłuż równiny kilkumilowej, zasianej wioskami i lasami, między któremi, jak cienka nić srebrna, wiła się rzeka Stryj, dążąca tędy do Dniestru.

Bereźnicki zatrzymał się w pobliżu krzyża, znajdującego się w tem miejscu i spojrzał na równinę. Tajemniczy ten człowiek tak mnie zajął, że z największą chęcią poddałem się jego kaprysowi i wyskoczywszy z wózka, stanąłem tuż przy nim. On siedział ciągle na koziołku, spoglądając przed siebie, a że z rąk bezwładnych lejce mu wypadły, więc biedne konięta, skorzystawszy ze sposobności, zwiesiły głowy, by skubać trawę nad rowem.

Z oczu mojego woźnicy zaczęły padać łzy, które jak groch toczyły się po jego policzkach.

— Pan mię pytasz — przemówił po chwili — czemu nie poświęciłem się jednemu zawodowi i czemu się żydom wysługuję? Alboż ja wiem, jak to się stało? Powiedz mi raczej ty, mój młody panie, czemu ludzie nieszczęśliwi, chociaż na to nie zasłużyli, czemu pokutują ci, którzy nigdy nie zgrzeszyli? Ja sam nieraz długo nad tem myślałem, ale chociaż głowa mi pękała, nie umiałem sobie odpowiedzieć. Ludzie mną gardzą i warjatem zowią; ja sam czuję, że w głowie mojej coś się popsuło, bo czasem, gdy wszyscy płaczą ja śmieję się, jak szalony, a gdy śmieją się inni, ja płaczę, nie wiedząc czemu... Czy wiesz pan jednak, że i ja byłem innym, a nie zgrzeszywszy niczem, zostałem takim, jakim dziś jestem? Smutno to powiedzieć, mój młody panie, bardzo smutno, że człowiek cierpi nieraz niesprawiedliwie!

Rzekłszy to, pan Bereźnicki ukrył twarz w obu dłoniach i dość długo trwało, zanim głowę podniósłszy, znowu mówić zaczął:

— Gdybym w Boga nie wierzył, w Jego sprawiedliwość i miłosierdzie, tobym musiał przypuścić, że ludzie rodzą się nie wiedząc na co, że już w kolebce większa ich połowa jest skazana na łzy i niedolę, mniejsza przeznaczona do uśmiechów i szczęścia! Ale kiedy tak nie jest, kiedy Bóg jest spawiedliwy, to chyba nas karze za grzechy ojców A ciężkie musiały być te grzechy, skorośmy tak zeszli na marne. Bo niech pan jeno spojrzy dokoła siebie. W tamtej wsi na prawo, mieszkał szlachcic zamożny, dziś w jego dworze żyd pejsaty wyspiewuje „majufes“. Hen na lewo, przed dwudziestu jeszcze laty żyła rodzina starożytna, znałem ją dobrze, oj! bardzo dobrze! dziś jakiś adwokat wyłudził od niej majątek, a nieletnich jej potomków wypędził w świat o kiju żebraczym! Tu w tych wsiach przed nami, rozsiedli Prusaki, gorsi od żydów, bo nieużyteczni dla kraju, jak oni, a stokroć od nich zuchwalsi! Tak to, mój panie, ginie szlachta stara, która kiedyś tam za polskich czasów, miała królom rozkazywać, szlachta zaś drobniejsza, zagrodowa, ta już dawno żydom wodę nosi. Tak, mój młody panie, tak, zeszliśmy na dziady, na psy i wkrótce ślad ostatni po nas zaginie!

— Zanadto w czarnych kolorach widzisz wszystko, mój panie Bereźnicki — przemówiłem. — Na świecie nie jest tak źle, a kto tylko szczerze chce się podźwignąć, zawsze może.

— Cha! cha! cha! — rozśmiał się na pół dziko — każdy mówi kazanie, bo to nic nie kosztuje, ale nie każdy wie, że łatwiej prawić, niż tak żyć, jak radzimy. Gdyby, mój panie żyć było tak łatwo, toć wszyscy księża byliby świętymi, a i ja nie wiózłbym dziś pana żydowskiemi szkapami, które od rana nie musiały mieć nic w pyskach, bo ot, jak żrą bodiaki: — Kto chce, może się podźwignąć!... — Niby to wszyscy nie chcemy, a jednak zeszliśmy na psy! Kazanie prawić nie sztuka, ale żyć, to mi sztuka i kawałek!

Pan Bereźnicki był zirytowany. Mówił szybko, rękami wymachiwał, czasem w czoło się uderzał, to znowu czapkę na głowie poprawiał. Usta miał sine i skurczone, jego oczy na wskróś mnie świdrowały; wyglądał jak człowiek, którego coś zaniepokoiło. Bojąc się go rozdrażnić, milczałem; on tymczasem mówił coraz szybciej i tylko niekiedy nagle urywał, jakby szukał wspomnień w pamięci. Zaledwie je znalazł, słowo znowu biegło po słowie, zdanie po zdaniu. Niektóre z nich były piękne, nawet głębokie; inne niejasne, urywane. Na pozór zdawało się, że to był człowiek rozumny tymczasem słuchając go dłużej, musiało się uwierzyć, że w jego siatce mózgowej zerwała się owa nić logiczna, którą ludzie wiążą swoje myśli.

Z tego wszystkiego, com słyszał, a słuchałem go godzin kilka, utworzyła się całość, niemająca w prawdzie głębi psychicznej, ani powabów idealnych, lecz zasługująca chociażby dla tego na powtórzenie, że jest obrazem owej szlachty zagrodowej, która na Rusi Czewonej przed czterdziestu jeszcze laty liczyła głów tysiące, dziś zaś tak znikła, że prawie ślad po niej nie został. Jedni rozpłynęli się w tym stanie średnim, który po naszych miastach dopiero się tworzy i nawet sobie nie przypominają, ażali kiedy byli szlachtą — drudzy nie mogąc losu zwyciężyć, zstępowali szczebel po szczeblu coraz niżej, i jak pan Bereźnicki wysługują się żydom. Prawdę powiedział, że ciężkie musiały być grzechy ojców, skoro synowie znikli z powierzchni ziemi, a nikt po nich nie płacze!

(C. d. n.)

W świątyni borów...

W wysokiej borów świątyni,
Gdzie szmaragdowe kolumny
Gwieździsty wspierają dach —
W cudownej borów świątyni
Rozlicznych tworów lud tłumny
Modli się.. w łzach! —

Gdy pierwszy promień poranny
Odchyli nocy zasłonę
Na szczytach dalekich wzgórz —
Leśnych dzwoneczków dźwięk szklanny
Do modłów krzewy zbudzone
Przyzywa już...

Słońce kotarą z purpury
Złotemi nićmi przetkniętą
W niepochwycony wzór —
Przystraja ołtarz natury,
Nad którym melodyą świętą
Brzmi ptaszął chór!

I chylą czoła królewskie
Z cichym pacierzy rozgwarem
Gromady sędziwych drzew —
I niezabudki niebieskie
Rozbudza po nad moczarem
Strumienia spiew!

Każdy tu kwiatek malutki,
Każdy liść trawek kobierca
I każdej muszki brzęk —
Nucić swe żale i smutki
I jasne uśmiechy serca
I skargi jęk —

Jak ciche a ufne dzieci
Niosą anielską tę spowiedź
Na Ojca wysoki próg! —
Gdzie słońc miliony się świeci
Gdzie czuwa — wieczna odpowiedź
...Bezsenny Bóg!

O! kto wśród losów zamieci
Utracił wiary kotwicę
W głębi bezdennych fal! —
O czyje, gwiazdy nadziei
Dojrzeć nie mogą źrenice,
Choć patrzą... w dal! —

Niech wejdzie w bór ten odwieczny —
Niech z rzewną dziecka prostotą
Spojrzy w ten cudów świat!
A znajdzie... uśmiech serdeczny
Wiążącą z niebem — nić złotą —
Ubiegłych lat!...

Ale — nie każdy dosłyszy
Tej tajemniczej w pustyni
Rozmowy światów dwóch —
Mnie, wśród najgłębszej ją ciszy
Powierzył — kapłan świątyni
— Poety duch!

Marja Bartus.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

— Jak się masz Kobylski — poznajesz mnie zapewne? — zaczął p. Kazimierz pół głosem z przyjaznym uśmiechem, chwytając za rękę idącego za trumną Jędrusia.

— A... ty tutaj? Świder... jak się masz kolego, ja jak widzisz przynajmniej w tej chwili mam się nieszczególnie. Grzebię jedynego na świecie przyjaciela mego...

— Ha cóż robić, wszyscy kiedyś pomrzemy, a profesor stary już był i prędzej później, z porządku rzeczy, musiał wyciągnąć kopyta . . . perswadował z właściwym sobie cynizmem p. Kazimierz.

— Tak znowu bardzo stary nie był nieboszczyk, miał ledwie siedmdziesiąt kilka lat. Przy spokojnem życiu i pielęgnowaniu, mógł był jeszcze śmiało żyć z dziesięć, piętnaście lat . . .

— Niechże mu tam świeci *in aeternitatem* światło niebieskie . . . Cóż ty robisz, już bo kopę lat cię nie widziałem.

— Kończę wydział filozoficzny, a równocześnie jestem nauczycielem domowym u państwa Wilskich w Zrębach.

— Wilscy Wilscy . . . coś mi znajomego. A! prawda, słyszałem, że to podobno bogaty szlagun, dorobkiewicz i przytem skąpiec okropny. Jak że ci tam jest u nich?

— Jestem z tego obowiązku bardzo zadowolony. Wynagradzają mię wcale dostatecznie, uczeń mój chłopak pojętny i dobry, państwo Wilscy są mi życzliwi, lepszej posady doprawdy życzyć sobie nie mogłem.,.

— To mnie cieszy... W zamian o sobie nie mam ci wcale co do powiedzenia. Kończę wydział prawniczy we Wiedniu, gdzie przesiaduję większą część roku. Resztę przebywam u rodziców, i bawię się wyśmienicie. Bywam w sąsiedztwie u szlachty, poluję, hulam, powiadam ci, rozrywają mnie sobie. Od czasu do czasu robię wycieczki na Litwę do bogatej babki, i czekam cierpliwie kiedy zacna staruszka umrzeć raczy..

Jak to mówią od *a* do *z*, wszystko zmyślił pan Kazimierz, który niczego nie posiadał tak obficie, jak bujnej fantazji w opowiadaniu o sobie. Od dwu lat już nie uczęszczał na uniwersytet, bo nie podoławszy pierwszemu egzaminowi, nie kusił się o niego powtórnie. Pani pocztmistrzowa zaś utrzymywała, że taki przystojny i dobrze urodzony" kawaler, mający nadto w perspektywie majątek duży, może wcale obejść się bez studjów, nieodzownych chyba dla hołoty, która potrzebuje w przyszłości kawałka chleba. Wyposażony tylu warunkami Kazio może i musi ożenić się wyśmienicie, a do tego przecie zupełnie są zbyteczne prawa; byle nabrał ogłady towarzyskiej i był eleganckim młodzieńcem, będzie mógł sięgnąć po rękę i wdzięki najbogatszej panny.

Pan pocztmistrz wprawdzie w duchu był innego zdania, on jednak już bardzo dawno odzwyczaił się objawiać swoje przekonania głośno, i najlepiej mu z tem było, gdy milcząco potakiwał przemądrym wywodom swojej małżonki. Czasem, gdy raz, drugi i dziesiąty przyszło mu oddać dla cacanego a wiecznie potrzebnego jedynaka ostatnie pieniądze z domu, odważył się zwrócić uwagę żony, że mają jeszcze oprócz Kazia dwoje dzieci, że Kazio trochę za dużo wydaje, i trzy czwarte ich dochodów zabiera, że już się zadłużyli na realności, i gdy tak dalej pójdzie, to w końcu zejdą wszyscy na żebraków; perswazje te jednak nie pomagały, a jeno ściągały nań zawsze burzę gniewów i wyrzutów. Ostatnim argumentem pani pocztmistrzowej było zapewnienie, że Kazio ożeni się doskonale, i wszystkich wówczas poratuje. Dla szczęścia takiego jedynaka, należało im oddać choćby ostatnią koszulę. Mąż safanduła uznawał się czy udawał pobitego, i Kazio dalej rujnował skromny dobytek rodziców.

Wśród cichej rozmowy prowadzonej dalej urywkami, doszli do bramy cmentarza i tu pan Kazimierz odstąpił Jędrusia, obiecując się odwidzić go nazajutrz. Nie wypadało mu przecie na pogrzebie mówić o spadku po profesorze i ewentualnie nagabywać go o pożyczkę.

Na drugi dzień przed południem, zjawił się pan Kazimierz.

— A, gratuluję ci zaczął po zwykłem powitaniu. — Słyszałem, że jesteś uniwersalnym sukcesorem nieboszczyka?

— Rzeczywiście poczciwy opiekun, wbrew nawet mojemu życzeniu, darował mi całe swoje mienie. Tłumaczył się, że krewnych bliskich ani dalszych nie miał, a mnie za syna swego zawsze uważał.

— Zrobił bardzo pięknie, i z tytułu życzliwości koleżeńskiej dla ciebie należą się za to odemnie trzy Ojcze nasz za jego duszę. Cóż właściwie stanowi tę niespodzianą sukcesją?

Ten oto dom ze wszystkiem co zawiera, ogród, coś dziesięć morgów pola, kilka sztuk bydła, no i trochę gotówki...

A' więc stary miał i gotówkę? Wieleż przecie znalazłeś?

— Nie szukałem, bo mi za życia ją wręczył. Jak dla mnie suma wcale znaczna,

aż ośmset guldenów w listach zastawnych. Starowina snać całe życie od gęby odejmował sobie,

— Jak że się urządzisz teraz? Przecie dla tego bydła i pola nie zamieszkasz u nas?

— To bez kwestji... Powiem ci jednak prawdę, że dotychczas jeszcze nie ułożyłem sobie nic stanowczego.

— Jako obeznany ze stosunkami, pozwól, że dam ci dobrą radę. Bydło i ruchomości sprzedaj, dom i pola wydzierżaw, a gotówkę ulokuj w pewnych rękach. Będziesz miał z niej podwójny procent. W tem ostatniem mogę ci nawet pośredniczyć...

Na pierwsze dwie propozycje Jędruś zgadzał się, co do ostatniej okazał pewne wahanie. Atoli wymowa pana Kaźmierza, zaprawiona sporą dozą bezinteresownej życzliwości, zwyciężyła. Spieniężywszy wszystko i wynająwszy domostwo z rolą, Jędruś złożył przeszło tysiąc reńskich w depozyt do pana Kaźmierza, który miał tę sumę ulokować mu w krótkim czasie na 10 czy 12 procent, — i pożegnawszy drogie sercu mogiły matki, profesora, proboszcza i organistów, wracał do Zrębów, za któremi się już stęsknił był na dobre.

* * *

W Zrębach oczekiwano Jędrusia niecierpliwie, a nawet z niepokojem i utęsknieniem. To ostatnie oczywiście dotyczy specjalnie panny Karoliny, której dnie jego nieobecności przedłużały się w całe epoki obawy, niepewności żalu i tęsknoty. Pojechał na trzy dni, nie wracał tydzień cały, nuż nie wróci zupełnie! A jeżeli wróci, czy taki sam, jak pojechał! Tydzień w życiu młodego stanowi czasem zupełny przewrót w jego umyśle, upodobaniach, zamiarach, odmienia go nie do poznania. Wiedziała o tem panna Karolina z własnego doświadczenia, obfitego w przeróżne epizody, to też każdy dzień dalszy nieobecność Jędrusia przejmował ją coraz większą trwogą.

Podobnie tęsknił Jaś, który serdecznie przywiązał się był do swego nauczyciela. Po trzech dniach od jego wyjazdu codzień o tej porze, gdy mniej więcej pociąg stawał w pobliskiej stacji, wybiegał daleko na drogę, wiodącą ztamtąd, i codzień wracał zasmucony, że pana dyrektora jeszcze niema. Czasem, pod pozorem przechadzki w dzień pogodny towarzyszyła mu w takiej wycieczce Małgosia, która nie okazując wprawdzie tak jak brat zniecierpliwienia i tęsknoty za panem dyrektorem głęboko jednak, gdzieś aż na dnie czternastoletniego serduszka swego, dziwną czuła próżnię zaniepokojenie skutkiem nieobecności w Zrębach tego poczciwego pana Jędzeja.

Od owego bowiem zdarzenia w polu z chorą kaleką i żywego zainteresowania się Jędrusia biedną staruszką, śliczne to dziewczę powzięło dlań gorącą sympatję i życzliwość, z których to uczuć na razie nawet nie umiała sobie zdać sprawy, mierząc je młodocianym swym umysłem i niewinnem sercem jedynie jako względy, które się należały mu, jako człowiekowi wykonywującemu cnoty Samarytanina. Atoli nad tem, że o tej sympatji swej nie odważyłaby się powiedzieć ani mamie ani pannie Karolinie, że śmiało jak dawniej nie zdołałaby popatrzeć teraz w oczy młodego chłopca nad nie zastanawiało się wcale — ani jej to na myśl nie przyszło! I nic dziwnego. Wychowana od dziecka sama jedna na wsi, w odosobnieniu od rówieśnic, które jedne w takich razach zdobywają sobie zaufanie i przystęp do młodziuchnego serca, w myślach swych siebie lokowała zawsze na ostatniem miejscu po Panu Bogu, rodzicach, bracie, pannie Karolinie i książce. Miała więc o czem myśleć — a że równocześnie to uczucie ciche i skryte, gdy raz zatliło w serduszku, nie wygasło, jeno owszem zwolna i stopniowo obejmowało coraz szerszy krąg w koło siebie, łatwo wytłumaczyć. Przecie Małgosia urodziła się kobietą!

(C. d. n.)

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

II.

W jaki sposób stał się takim, jakim go poznajemy w pierwszym romansie?

Ojciec jego był sławnym chirurgiem w Rouen, człowiekiem surowej uczciwości, dobrego serca, który synowi dał dobre i swobodne wychowanie. Że pierwszą jego siedzibą był dom lekarza, uczuwa się to w jego książkach. Sam studjował przez pewien czas medycynę, później prawo, ale już w szkole namiętny czuł pociąg do literatury, i spotykał się w tych marzeniach z rówieśnym przyjacielem, Ludwikiem Bouilhet, z którym zawarł przyjaźń na całe życie. Bez wątpienia znajdują się autobijograficzne pierwiastki w opisie przyjaźni między Fryderykiem a Deslauriers w romansie L'education sentimental Fl. jak iFryderyk przybył w 19 leciech do Paryża dla nauki. Ojciec jego kupił wiejski dom Croisset koło Rouen, który on potem odziedziczył pędził życie na przemian w Paryżu i w Rouen, życie, w którem zachodzą dwa wypadki: podróż na wschód, przedsięwzięta w 30tym roku i późniejsza podróż do Afryki północnej która poprzedziła wykonanie S a l a m b o. W Rouen zamykał się na całe miesiące aby studjować i pisać; w Paryżu szukał głównie rozrywek. W młodości był wytrwały w pracy i gwałtowny w zadowoleniach. Miał temperament odpowiadający jego powierzchowności. Widziałem go tylko przelotnie. Ale się nie zapomina tego wielkookiego, niebieskookiego Herkulesa, o czerwonej twarzy, wysokiem łysem czole i długim wąsie, nakrywającym wielkie usta i potężne szczęki. Głowę nosił wysoko, nieco w tył, brzuch nieco naprzód występował; chodzić wprawdzie nie lubił, ale zresztą lubił gwałtowne poruszenia i rozkładał szeroko ramiona, kiedy grzmiącym głosem wyrzucał z ust olbrzymie paradoksy. Był dobrodusznym, jak wszystkie hałaśliwe olbrzymy. Złość jego — mówi jeden z przyjaciół — wykipiała i upadała jak mleko.

Wyrósł w czasie rozkwitu francuskiego romatyzmu, pierwsze piętno otrzymał w jego szkole i zachował zeń ślady, nie tylko w stylu i w przypominającym Th. Gautiera „dzikim“ sposobie łajania burżoazji, ale nawet w manierze ubioru. Lubił nosić szerokie, cieniste kapelusze, wielkokraciaste spodnie i surduty wązko do figury przylegające; w lecie w mieszkaniu chodził w szerokich spodniach w białe i czerwone paski i w rodzaju burki, która go czyniła podobnym do turka. Pomiędzy przyjaciółmi obiegała pogłoska, że mieszczanie w Rouen przy świątecznych wycieczkach na wieś, robili dzieciom obiecankę: „Jak będziecie grzeczne, to pokażemy wam pana Flauberta w jego ogrodzie“.

Powiedziałem, że kilka podróży było głównym wypadkiem w jego życiu. Kobiety mniej miejsca zajęły w niem, aniżeli u większości innych ludzi. W dwudziestu latach kochał je jak Trubadur. Wówczas dwa razy odbył dwumilowy spacer aby w pysk pocałować najfundlandczyka, którego pewna dama lubiła pieścić. Później przyzwyczaił się do grubszego poglądu i praktyki w sprawach erotyki. Lubił anegdotę i powiastki w rodzaju Rabelais'go i w książkach swoich brał miłośną illuzję tak samo szorstkiemi rękami jak i wszystkie inne. Nie mniej przeto była na tym punkcie jak i na tak wielu innych charakteru Flauberta, stała dwoistość. Stary kawaler, namiętny palacz tytoniu, obcujący poufale tylko z mężczyznami, który nie znajdował przyjemności w towarzystwie żadnych kobiet, chyba pięknych a nie surowych obyczajów, wierzył zapewne w skutek osobistego doświadczenia jako też na podstawie ogólneg

przekonania, iż wszystko co istotne nie udaje się człowiekowi, w to że naturalnem, można rzec regularnem jest dla mężczyzny, przez całe życie żywić jedyną wielką miłośną namiętność, nigdy nie zaspokojoną. W dobrej zgodzie z tem pisze w jednym z listów, z ostatnich lat życia żartobliwie, ale zarazem z bolesną prawdą: „My biedni pracownicy literatury! dlaczego zabroniono nam to, na co chętnie zezwalają wszystkim mieszczuchom? Oni mają serce! a my nigdy, przenigdy! bo powtarzam ci raz jeszcze, że ja jestem niezrozumianą duszą, ostatnią gryzetką, jeden pozostały przy życiu ze starej rasy trubadurów".

Pomimo tego wszystkiego ta „niezrozumiana dusza" nie starała się zwracać do kobiet w celu szukania zrozumienia. Bał się miłości, jako niebezpieczeństwa i ciężaru. Tylko przyjaźń była dlań religją, a pomiędzy przyjaciółmi nikt nie stał przy nim tak blisko, jak ów pierwszy otwarty przyjaciel Bouilhet. Nie wiem, czy były kiedykolwiek czasy życzliwie usposobione dla duchów niezawisłych. Ale to jest pewnem, że ci dwaj młodzieńcy wstępujący w życie, kiedy burżuazja pod Ludwikiem Filipem osiągnęła panowanie i znalazła poetyczny wyraz częścią w słabej owej, poczciwej Ecole du bon sens, częścią w komedjach Scrib'a, losem natrafili na czas najgorszy ze wszystkich. Romantyka się przeżyła i wydała własną swą karykaturę. Wszędzie należało do dobrego tonu chwalić zdrowy rozum a poezję wyszydzać. Natchnienie i namiętności były to stare mody — a przeto śmieszne. Wszystko, co nie mierne, uważano za nudne. Dwaj młodzieńcy pojmowali swój wiek jako medjokrację, panowanie mierności, przypatrywali się, jak zwycięska miernota na kształt trąby wodnej, wszystko wsysała i toczyła w swym wirze.

To im obu dało za podstawę melancholję i głęboką powagę, podkład pogardy ludzi, uczucie duchowego odosobnienia, a stąd popęd do produkcji w rodzaju nieosobistym, niokazującym współczucia.

III.

Pod naciskiem takiego nastroju postanowił nareszcie Flaubert w dojrzałym męskim wieku wystąpić w roli pisarza i napisał Madame Bovary. W tej książce uderzało lodowe zimno, takie wrażenie, jakby autor prawdę wywindował nakoniec z głębokiej, zimnej studni, gdzie ona leżała, i jakby ta prawda stała na piedestale zmarznięta, wyniosłszy ze sobą zimny dreszcz z bezdennej głębi. Dziwna to książka, napisana zupełnie bez tkliwości względem przedmiotu. Inni przedstawiali spokojne życie na wsi i na prowincji z rzewnością, z humorem, albo nawet idealizując, co zwykle jest skutkiem przyglądania się z odległości. On patrzył na nie bez współczucia, przedstawiał je tak bezdusznem, jakiem było. Landszafty były bez tak zwanej poezji, tylko zwięźle i dokładnie malowane. W surowem mistrzostwie tem się zadawalniał, aby dawać tylko główne te rysy i główne barwy, ale te rysowały i malowały landszaft całkowicie. A tak samo mało czułości żywił dla głównej osoby — rzadkie zjawisko u poety, zwłaszcza gdy jest nią jak tutaj kobieta młoda i piękna, wabiąca zmysły, która wśród tęsknot, pragnień i zmysłowo-duchowych posądzeń żyje, błądzi, rozczarowuje się, upada i ginie nigdy właściwie nie spadając poniżej poziomu swego otoczenia. Ale każdy sen, każda nadzieja, każde świecidło, każda naiwna i niezdrowa żądza, która przeszła jej przez mózg, została zbadaną i wydobytą na jaw, bez poruszenia umysłu, nawet z ironją unoszącą się nad opisem. Zaledwie jest jedna faza jej bytu, kiedy się nie wydaje śmieszną lub moralnie wstrętną i dopiero gdy umiera straszną śmiercią, przygaszona ustępuje ironja i Emma skonała wprawdzie nie jako przedmiot współczucia, ale też już nie jako przedmiot pogardy.

Pozornie był poeta nawet przy opisie okropności godziny śmierci zupełnie zimnej. Że ten pozór złudny, świadczy list znajdujący się w dziele Tüne'a „O inteligencji" *): „Kiedy pisałem o otruciu Emmy Bovary, czułem w ustach smak arszeniku, i tak dokładnie sam się zatrułem, że przez dwa dni nie mogłem trawić, nawet wymiotowałem po objedzie". Duchowe i cielesne przejęcie się autora zostało w romansie ukryte w skutek zupełnego panowania nad sobą w czasie wykonania.

W całej książce nie występuje ani jedna osoba, z którąby poeta miał coś wspólnego albo o którejby można myśleć, że chciałby nią być, chociażby w najmniejszym stopniu; osoby były wszystkie bez wyjątku zwyczajne, nie piękne, występne lub godne litości. I na tem stanowisku trwale się utrzymał. Młoda kobieta naprzykład pomimo niebezpiecznych instynktów zła, w tęsknocie do piękna, w dążeniu do ideału i długotrwałej wierze w romantykę miłości, takie właściwości, które nieco inaczej albo ostrożniej przedstawione mogłyby ją uszlachetnić nawet w błądzeniu; czegóżby z niej nie była zrobiła George Sand! Ale Flaubert właśnie nie chce wpaść na dawne ślady i umyślnie ze wszelkiej poezji obdziera tak zwane piękne albo słodkie grzechy. Oszukany małżonek również, pomimo że jest niezdarą jako lekarz, a prostak jako człowiek ma wskutek dobroci, cierpliwości, poczucia honoru i wiernego wielbienia dla Emmy pierwiastki, któreby w innych okolicznościach były działały wzruszająco; a przy jej śmierci rozwija przymioty, szczere przywiązanie, zapomnienie o sobie, które przez lekkie naciśnięcie palcem poety mogłyby się były wydać ważnymi, zakazującymi uszanowanie. Ale poeta nie chce zrobić tego małego nacisku w glinie; z miłości prawdy utrzymuje stale postać wewnątrz granicy, wydającej mu się prawdziwą, i od początku do końca pozostawia Bovarego dobrodusznym; bez godności bez zdolności, nieapetytnym nieborakiem.

W całym romansie znajduje się jedna tylko poniekąd sympatyczna postać, mały chłopiec aptekarski Justyn, z odległości ubóstwiający Emmę; i jest chwila po jej zgonie, kiedy zdaje się, iż poeta chce go uideali owa󠁧ć. Kiedy wszyscy odeszli, zbliża się on do grobu i taki następuje opis:

„Na grobie pomiędzy jodłami klęczało płaczące dziecię i pierś jego prawie pękając od łkania, jęczała pod ciężarem niezmierzonego bólu, który był łagodniejszy od miesiąca a bardziej niezgłębiony, niż noc".

Dziwimy się, że tych wierszy autorem jest Flaubert. Ale rzecz ciągnie się dalej: „Nagle zatrzeszczały drzwi żelazne. Był to grabarz Lestiboudois; przychodził szukając zapomnianej łopaty. Poznał Justyna przełażącego przez mur, i wiedział teraz, kto to był tym niegodziwcem, co mu wykradał kartofle".

To zdanie jedyne po pierwszej lekturz „Mme Bovary" po dziesięciu latach pozostało mi w pamięci i jest to podziwu godne zdanie; nie jest ono samowolnie ironicznie a la Heine; ironja jest tu głębokiem dziełem wszechstronnego ducha. Naturalnem jest, że Justyn przy śmierci ubóstwianej pani czuje serdecznie i poetycznie, nie mniej jest naturalnem, że on pierwej kradł kartofle i że grabarz za pomocą genialnej intuicji w tej okoliczności, że on przełazi przez mur, widzi wskazówkę jego kradzieży kartofli. Ale że Flaubert ma na oku obie te rzeczy, te obie strony życia, to jest świadectwem duchowej siły i panowania nad przedmiotem, jakie o ile mi wiadomo nie wystąpiło nigdy w tej formie.

Artystyczna ironja jest też tu całkiem inaczej nieosobista, nieprzypadkowa i prawdziwa, jak u Merimee'go. Jest to sposób patrzenia przez stereoskop, nadający rzeczywistości plastyczność, przedstawiający ją okrągłą i wolną.

Nie ma nic dziwnego, że w tem dziele zrazu nie odkryto nic, jak ten sposób widzenia i zgodność z prawdą, jako jego wyrzut. Jeśli się pominie ten krótki czas, kiedy rozszerzy się całkiem naiwne pojawienie Flauberta jako pisarza nieobyczajnego, to potem powszechne było o nim pojęcie takie, że on był co

*) Warszawa.

się nazywa, realistą. Kopiował rzeczy nieznaczne i ważne z jedną i tą samą sumiennością, ale z upodobaniem do powszedności i tego, co narzuca moralność; wszystko stoi u niego na jednym planie, silnie ale surowo. Wielbiciele książki znajdowali jej wykład znakomitym; niechętni mniemali, że sposób Flaubert'a jest fotograficzny a nie artystyczny. Oczekiwano albo obawiano się z jego ręki nowej Pani Bovary. Ale oczekiwano nadaremnie. Lata ubiegały a on milczał. Wreszcie po upływie siedmiu lat wystąpił na nowo, a świat czytający głośno dał poznać zadziwienie. Treść książki była bardzo odległa od wiosek Normandji i 19. stulecia. Znaleziono zniknionego autora pani Bovary na ruinach starej Kartaginy. Przedstawił w „Salambo" ni mniej ni więcej, tylko Kartago za czasów Hamilkara, miasto i cywilizację o której się prawie nic nie wie, — wojnę pomiędzy Kartaginą i wojskiem zaciężnem miasta, wojnę, która nawet nie nastręczała interesu ani powszechnodziejowego ani idealnego. Oczekiwano paryskiego romansu wiarołomstwa, a otrzymano natomiast staro-punicką kulturę, cześć Tanity i kult Molocha, oblężenia i bitwy, okropnosci bez liczby i miary, śmierć głodową całego wojska, podobne męczeństwo schwytanego dowódcy libijskiego.

A najdziwniejszem było to, że wszystko to, o czem nikt nic nie wiedział i czego nikt nie mógł skontrolować, że ten cały zamarły świat dziki i barbarzyński występował z taką plastyką i drobnostkową dokładnością, jaka nie ustępowała wcale Pani Bovary. Odkryło się, że metoda jest niezależną od właściwości osnowy, ta sama wobec kolosalnego i obcego, co w obec codziennego, jak pierwej przedmiotu Ustroił sobie żart z publiczności, dowiódł przekonywająco, jak mało go zrozumiano. Jeśli go kto pierwej uważał za realistę przywiązanego do niwy wiejskiej, mógł teraz dowiedzieć się, że Flaubert w krajach płomiennych czuł się jak w domu. Jeśli kto mniemał, że mało-miejskie życie zdolne go było ująć swą brzydotą, koniecznością, że jego talent był hollenderskiej natury, musiał teraz odkryć, że Flaubert dzielił marzenia młodości z mężami z r. 1830. i zupełnie tak, jak oni, czuł pociąg do prymitywnych namietności i obyczajów barbarzyńskich. Ale do jakiego stopnia Flaubert w istocie podzielił sympatje i naiwności arcyromantyków, o tem nawet po „Salambo" domyślało się bardzo niewielu. Słońce Afryki i życie wschodnie uświęcili mu Byron i Wiktor Hugo, a osobiste wrażenia tylko umocniły poetyckie. Zapach kawy naprowadzał mu hallucynacje wędrujących karawan, i pożerał najobrzydliwsze potrawy z uczuciem religijnem, jeśli tylko miały nazwisko egzotyczne.

Flaubert zrobił wszystko co mógł aby utworzyć coś podobnego do starej Kartaginy. Ale był dość artystą, aby wiedzieć, że tu nie idzie o prawdę zewnętrzną, ale o wewnętrzną, czyli o prawdopodbieństwo. Jego opis był dla wielu bezwarunkowo przekonywający; na wątpliwość co do zgodności jego z dawno znikłą rzeczywistością odpowiedział w mojej obecności jeden z najpierwszych krytyków francuskich: „Wierzę, że jest prawdziwym". Ale przeciw niedowiarkom wystąpił Flaubert jawnie i śmiało, odpierając napaść Sainte-Beuve w następujących słowach: „Tutaj nie zależy na prawdzie. Do djabła, stosuję się do archeologji. Jeśli barwa nie jest jednolita, jeśli szczegóły nie zgadzają się ze sobą, jeśli obyczaje nie dają się wyprowadzać z religii, a wypadki z namiętności, jeśli charaktery nie są utrzymane, jeśli kostiumy nie odpowiadają zwyczajom, a budynki klimatowi, w takim razie moja książka jest bezwątpienia nieprawdziwą. Jeśli zaś nie — to nie".

Tem wyrażeniem ugodził w centrum zagadnienia; czuć w niem dobre sumienie mistrza i stąd pochodzącą powagę jego słów. Dzieło to nie było, jak tyle późniejszych romansów, maskaradą, w której występują nowoczesne uczucia i namiętności w starożytnej odzieży: nie, wszystko to było z jednego odłamu, miało to samo dzikie i okrutne piętno. Miłość, chytrość, mściwość, religijność, siła charakteru, wszystko było nie nowożytne.

Miłość prawdy była widocznie tutaj tak samo szczerą i silną, jak w pierwszym romansie. Tylko stało się śmiesznem w obec tego zwycięstwa nad śmiercią i przeszłością mówić przeciw fotografowaniu Flaubert'a. Można więc było z punktu tej książki zyskać dobre stanowisko do oglądnięcia „realizmu" poprzedniej. Stało się jasnem, że Flaubert nie należał do kopistów przypadkowej rzeczywistości. Ujrzano, że ta dokładność opisów pochodziła ze szczególnej, precyzji jego wyobraźni. Widocznie posiadał w równym stopniu oba pierwiastki, stanowiące istotę artysty, dar spostrzegawczy i siłę konstrukcyjną. Miał popęd i zdolność do studjum natury; historji, oko badawcze, któremu się nie wymknie żaden stosunek pomiędzy szczegółami. O fotografowaniu mówić było tu niemożliwością. Bo studjum jestto coś aktywnego, ognistego, poglądem rzeczy istotne; fotografowanie jestto coś biernego, machinalnego i obojętnego na różnicę między cechami istotnymi a nieistotnymi. A dalej Flaubert miał temperament artystyczny, bo usposobienie umysłu, które wszystek nagromadzony obserwacją i studjami materjał przetapia i przekuwa i nadaje mu stempel za pośrednictwem stylu. Bo czemże innem jest styl, jak nie zmysłowym objawem temperamentu, jak nie środkiem, za pomocą którego zmusza autor czytelnika, aby tak patrzało, jak on patrzał! Styl czyni różnicę pomiędzy artystycznym rysunkiem wiernym prawdzie a udałą fotografią, — a styl był u Flaubert'a wszechobecny. Zaledwie pozbierał dla jakiego dzieła obserwacje i studja przygotowawcze, przestały go już one jako takie interesować. Teraz zależało na tem, aby tę książkę zapisać doskonałym językiem. Język stawał się wszystkiem a zapiski uczynione znikały jak rzeczy obojętne, bezwarunkowo podrzędne. Mawiał zwykle, że nie jest to żadną zasługą, że on jest dokładnym i zaufania godnym, jestto tylko prostą rzetelnością, jaką winien autor w obec publiczności zachować, ale prawda sama przez się nie ma nic w sztuce do czynienia: nie, — grzmiał i rozkładał szeroko ramiona, — jedyną ważną i wieczną rzeczą pod słońcem jest dobrze sformowane zdanie, zdanie mające ręce i nogi, spojone z poprzedniem i następującem i radujące ucho, jeśli się je samemu głośno odczytuje. Tak pisał każdego dnia mały ustęp, najwyżej 5 do 6 stronic, ważył każde, aby uniknąć powtórzeń, rymów, twardości; szukał powtarzającego się słowa w odległości 30 do 40 wierszy, a nawet nie znosił powtarzania się tej samej sylaby w jednem zdaniu. Często złościła go jakaś litera i poszukiwał słów, w których się nie znajdowała; niekiedy robił polowania na r — y, kiedy potrzebował płynnego dźwięku. Potem odczytywał sobie głośno to, co napisał, wyśpiewywał głosem stentorowym tak, że ludzie stawali na drodze pod jego domem. Wielu nazywało go adwokatem, i sądzono, że się ćwiczy w mowach sądowych. (C. d. n.)

Z najnowszej powieści

EMILA ZOLI.

Wyjmujemy charakterystyczny ustęp w którym opisana jest kradzież, popełniona w magazynie koronkowym i ustęp ten zatytułowany *Une voleuse* brzmi: Szelest koronkowych wyrobów wzmaga się z każdą minutą. Wielka ta wystawa białych towarów tryumfuje dzisiaj w całem tego słowa znaczeniu. W serduszkach kupujących pań, na widok tej niezliczonej ilości coraz to piękniejszych tkanin, których tysiące rozwija się okazów przed ich oczyma, krew raźniej krąży, formalny szał je ogarnia i żądza posiadania tych przedmiotów zbytku z każdą potęguje się chwilą. Cała ta przestrzeń, która się przed wzrokiem naszym roztacza, wygląda jak śnieżnej białości powleczona

barwą kaplica. Od dołu aż do samej góry piętrzą się stosy tiulów i gipiurów tworząc niebo, otoczone roskosznie igrającemi tu i owdzie obłoczkami, w których się odbija różanną barwą wschodzące słońce.

Oczy twe uderzają kolumny gęstych obłoków, złożonych z wolantów, wstawek, pończoszek obok białych sukienek baletniczych, jak bujające w powietrzu masy śnieżnych połyskliwych płatków.

Wszędzie, gdzie tylko rzucisz wzrokiem, na stołach i półkach uderza cię olśniewająca białość. Tu hiszpańskie blondyny powiewne jak puszek — tam brukselskie wyroby zdobne tkanemi kwiatami — gdzieindziej *Point a l'aiguille* — weneckie koronki, tkaniny *d' Alençon*, i wyroby koronkarskiego zakładu w Brügge, które obok królewskiego przepychu, noszą na sobie cechy religijne... Zdaje się, jakoby Bóg tego przemysłu tam sobie obrał swój ołtarz ofiarny.

Kiedy już hrabina de Boves w towarzystwie córki „nasyciła swój wzrok ogromem przedmiotów, z których każdy nęcił ku sobie, kazała sobie podać panu Deloche, koronki alensońskie. Deloche podał jej najprzód karton „Imitation", ale zażądała pra wdziwych, najlepszych, jakie magazyn posiada. Nie zadowolniły ją wcale małe garnitury po 300 fr. za metr — kazała sobie podać wolanty po cenie tysiąca franków za metr i chusteczki do nosa po 700 do 800 franków. W minucie leżało już przed nią na stoliku tyle kosztownych przedmiotów, że za ich cenę piękny możnaby zakupić majątek.

W zagłębieniu oddziału stał inspektor Jouve, który przez cały czas przechadzki po magazynie nie spuszczał oka z pani de Boves, a który i teraz nieporuszenie śledził każdy jej ruch ustawicznie.

— Masz pan taże *Berthes et point a l'aigille* zapytała habina de Boves. Proszę mi je podać.

Komisant, którego już od dwudziestu minut zatrudniała sobą, zawachał się chwilę nad tem, co ma zrobić — gdyż od czasu, jak przed kilku tygodniami popełniono kradzież dziesięciu metrów tak drogich towarów, wyszedł surowy zakaz od zarządu magazynu, aby niepozostawiać na wierzchu tak drogich przedmiotów. Ale wahanie to ustąpiło wnet zaufaniu obudzonemu dostojnością i manierami pańskiemi damy i zdecydował się pójść po koronki alensońskie.

— Patrzno mamo, ozwała się Blanka, oglądając karton z walencyjskiemi koronkowemi wązkiemi wstawkami dość wysokiej ceny; możeby wziąść tych wstawek na poduszki?

Hrabina nic nie odpowiedziała, Blanka rzuciła wzrok ku matce i ujrzała w tej chwili, jak zanurzyła rękę w zwój koronek z zamiarem przyswojenia sobie kilku kosztownych wolantów i ukrycia je w rękaw płaszcza. Blanki nie zadziwiło to wcale owszem zbliżyła się dość szybko z takiem poruszeniem, jakby chciała sobą osłonić matkę.

W tej chwili inspektor Jouve stanął niespodzianie pomiędzy niemi.

— Racz pani udać się ze mną—szepnął uprzejmie do ucha hrabiny.

— Dlaczego — hrabina odpowiedziała.

— Racz pani udać się ze mną, powtórzył inspektor, nie zmieniając tonu swego głosu.

Hrabina, na której licu przelotnie odbił się wyraz niepokoju, obejrzała się szybko do koła, poczem z postawą pełną godności, jak jaka królowa, krokiem majestatycznym, poddała się woli przewodnika.

Ani jedna z pań zatrudnionych w tej chwili oglądaniem i kupnem tych zbytkowych przedmiotów, nie zwróciła uwagi na całą tę scenę. Deloche powracając z żądanym kartonem, kiedy ujrzał hrabinę w towarzystwie inspektora, rozdziawił tylko gębę ze zdziwienia.

— Co? i ta? taka dostojna dama...— mruknął do siebie po chwili.

Blanka, którą pozostawiono na wolności postępowała z dala za matką, wybladła jak chusta z trwogi i obawy, chwiejąc się pomiędzy obowiązkiem nakazującym jej towarzyszyć matce, a trwogą przed niebezpieczeństwem grożącem jej samej. Widząc, że matka zniknęła w gabinecie Bourdoucle'a, postanowiła zaczekać na nią. Boudoucle w wypadkach kradzieży gdzie szło o damy wyższego stanowiska, sam się zwykł zawsze zajmować badaniem.

Jouve już od dawnego czasu zwracał uwagę Bourdoucle'a na hrabinę de Boves, nie zdziwiło go też wcale, gdy się teraz o kradzieży dowiedział. Zresztą, podobnego rodzaju wypadki trafiały mu się już nieraz i wyrobiły w nim przekonanie, że taka strojnisia dla zadowolenia swej żądzy posiadania błyskotek, do wszystkiego jest zdolną, że zaś Bourdoucle wiedział doskonale, jakie zachodzą stosunki pomiędzy jego dyrektorem, a hrabiną, przeto zachował się względem niej z wyszukaną grzecznością.

— O, pani, potrafimy uwzględnić chwile wybuchu tego rodzaju słabości, ale pomyśl pani, do czego ją może doprowadzić podobne zapomnienie się. Gdyby też był kto przypadkiem zwrócił uwagę, jak pani ukryła koronki...

Słowa te oburzyły niezmiernie hrabinę. Nie dozwoliła mu przyjść do słowa, odgrywając wielką damę, której honor śmiertelnie został obrażony.

Słysząc ją, każdy inny na miejscu Bourdoucle'a byłby struchlał z trwogi i obawy, czy przypadkiem nie zachodzi tutaj niesłuszne podejrzenie, zwłaszcza, gdy hrabina zagroziła sądem w obronie swej dotkniętej czci.

— Pamiętaj pan — rzekła — że mąż mój całą tę sprawę przedłoży samemu ministrowi.

— Nie posiadasz pani ani na jotę więcej roztropności, jak inne w podobnem położeniu – odrzekł trochę zniecierpliwiony.— Ostatecznie, gdy tego okaże się konieczna potrzeba, zrewidują panią.

Ale i teraz jeszcze hrabina nie dała za wygraną i z wszelką pewnością odrzekła:

— Dobrze, proszę mnie zrewidować; ale zwracam pańską uwagę, że stawiasz tem na kartę reputacyę i egzystencyę firmy!

Jouve wyszedł z gabinetu w celu przywołania dwóch sklepowych sprzedających gorsety. Za powrotem oznajmił p. Bourdoucle, że towarzyszka hrabiny czeka przy drzwiach i że możnaby ją jeszcze i teraz przyaresztować jako współwinną.

Ale Bourdoucle nie chciał narażać hrabiny na to, aby się musiała rumienić przed córką.

Obaj mężczyzni wsunęli się do przyległego pokoju, podczas gdy sklepowe zajęły się zrewidowaniem hrabiny. Zdjęły z niej płaszcz, suknię pozostawiając ją tylko w gorsecie i spodniem ubraniu. Oprócz wolantów alensońskich (12 metrów po 1000 fr.) ukrytych w rękawie płaszcza, znalazły jeszcze pod gorsetem zwiniętą koronkową chusteczkę, wachlarzyk i *fichu* — co wszystko stanowiło wartość czternastu tysięcy franków.

Hrabina już od roku praktykowała podobne kradzieże pod wpływem szalonej, niepokonanej żądzy, która z czasem stopniowała i stała się w niej nałogiem. Żadne względy na następstwa, na hańbę jaką mogła okryć siebie i męża, zajmującego wysokie urzędowe stanowisko, nie zdołały jej powstrzymać na drodze występku. Teraz, gdy mąż pozwalał jej czerpać z swej kasy, kradła mając napełnione złotem kieszenie— dla samej kradzieży, jedynie z zamiłowania zgubnego nałogu; szła do magazynu jedynie w celu zadowolenia tej żądzy.

— To zmowa! — zawołała do Boudoucle i Joves'a wchodzących do gabinetu. — Te koronki zatknięto mi umyślnie za gorset. Gotowa jestem w każdej chwili przysiądz na to!

Upadła na fotel, zalała się łzami, które wycisnęła złość z jej oczu i łkając złorzeczyła im dalej.

Bourdoucle, urzędnik odpowiedzialny za ten oddział zakładu, odprawił sklepowe i

rzekł z nieopuszczającą go ani na chwilę zimną krwią:

— Jesteśmy gotowi z uwagi na stosunki familijne i towarzyskie pani hrabiny, zataić przed światem rzecz całą, ale proszę o podpisanie deklaracji tej treści:

„Skradłam w zakładzie „Au bonheur des dames" takie a takie koronki".

Pod spodem podpis i data. Obowiązuję się także zwrócić pani tę deklarację, jak mi pani przedstawi kwit na złożone na rzecz ubogich dwa tysiące franków.

Hrabina zerwała się płonąc od gniewu.

— Raczej umrę, jak podobną deklaracyę podpiszę!

— Nie umrzesz pani. Tylko oświadczam, że w przeciwnym razie złożę urzędowne zawiadomienie o całym wypadku do komisarza policji.

Po słowach tych nastąpiła tragiczna scena. Hrabina zaczęła łajać obydwu, zaklinać ich, dowodzić im, że się niegodzi z ich strony tak udręczać słabą i dystyngowaną kobietę. Jej wspaniała postawa, piękność jej rysów zatarły się w jej konwulsyjnych wybuchach wściekłego gniewu. Potem usiłowała ich skruszyć łzami, zaklinała obydwu na wspomnienia ich matek, nareszcie klęcząc żebrała ich litości i przebaczenia.

Lecz kiedy obaj, przyzwyczajeni już do podobnych scen, wysłuchali obojętnie i ani na chwilę nie zdradzili zamiaru ustąpienia ze swych żądań — usiadła, chwyciła za pióro i szybko podpisała żądaną deklaracyę.

— Oto jest, ulegam tylko sile!

Bourdoucle obejrzał pismo, złożył je starannie i schował do szufladki swego biurka.

— Widzisz pani, że zakład ma już deklaracyę... zapomnieć odebrania swego *bilet doux*... Powtarzam, że deklaracja jest do rozporządzenia pani za sumę 2000 fr.

Ubrała się i przybrawszy znowu postawę pełną godności, zapytała:

— Czy mogę już odejść?

Ale Bourdoucle zupełnie czem innem był teraz zajęty. W tej chwili myślał o oddaleniu z zakładu Delauch'a. Niedołężny to komisant, który pozwoli kraść kupującym i nie umie poznać się na nich.

Pani de Boves powtórzyła swoje pytanie, na co Bourdoucle dał tylko znak zezwalający ręką.

Hrabina rzuciła na obydwu piorunujący wzrok i z wyrazem pogardy, mruknęła:

— Podli!

I wyszła prędko zatrzaskując drzwi za sobą.

Obserwacje nad małpą.

przez

H. Schneidera.

(Dokończenie).

Nie mogę twierdzić, żeby Czega była żarłoczną, przynajmniej wygląda tylko na nią wtedy, kiedy chce coś dostać, czego jej odmawiają. I tak gwałtownie rzuca się na słoik z masłem, lub puszkę z kawą i oboma rękami napycha sobie tak usta, i może żuć przez pół godziny — ale przy zwykłem karmieniu jé czasem strasznie powoli. Jeżeli jej się postawi filiżankę mleka do klatki w ten sposób, że na mleko pada cień od pręta z klatki, minutami wpatruje się w cień, potem chce go schwytać w rękę i rozgląda się z największem zdziwieniem, a że nic w ręku nie ma. Wreście rewiduje filiżankę dokładnie z dołu do góry, a dopiero przekonawszy się, że nic wniej oprócz mleka nie ma, zabiera się do picia. Tak samo postępuje przy jedzeniu. Łupiny, ani skórki nie je, z zielonego grochu obłuszcza naprzód staran nie łupinę, a nawet z orzecha zdejmuje cieniutką skórkę. Jak ludziom najlepiej smakują zakazane owoce, tak samo i Czedze, która jak już powiedziałem wtedy tylko rospustnie się zachowuje, gdy chce coś dostać czego jej odmawiają; na tem, opieram się chcąc jej zadać jakie lekarstwo: rumbarbarum jej niesmakuje — o tóż gdy sobie popsuje żołądek zaczynam się bawić kawałkiem rubarbarum — Czega z ciekawością spogląda, ale ja bronię wszelkiemi sposobami, aby owego kawałka nie chwyciła — wtedy Czega raptem rzuca mi się na rękę, wyrywa rubarbarum i w jednej chwili z zadowoleniem połyka lekarstwo. W ten sposób zadaję jej także sodę, ale z tą różnicą, że przy tej manipulacji muszę sam zażyć małą dawkę.

Dziwnem zjawiskiem jest nienawiść, jaką pała Czega do małej mej córeczki. W mojej obecności Czega igra spokojnie na około dziecka, ale nie odważyłbym się ani chwili pozostawić ich razem samych, bo jestem pewny, żeby Czega ukąsiła niebezpiecznie dziecko. Skoro się tylko córeczka moja zbliży do klatki, Czega, wyciąga jak może najdalej obie ręce, aby ją pochwycić, a ręczę, żeby ją skaleczyła silnie, gdyby ją tylko dosięgła, tak wielką nienawiść do dziecka ma Czega. Jak zresztą utrzymują, wszystkie małpy nienawidzą dzieci, co wczęści da się wytłumaczyć uczuciem zazdrości, w części po czuciem fizycznej przewagi; przynajmniej uważam to tłumaczenie za jedyne, a równocześnie najnaturalniejsze.

Bardzo interesujące są figle małpy z moim małym pinczem jadalnym, który jest samcem. Pies ma do niej popędy, które dla niej są zupełnie obce — ona go nuży tak mocno, że pincz mój ledwie oddycha, a ona wtedy najdziksze skoki przez niego wyprawia.

Z początku małpa chce się niby pieścić z psem, nagle zrywa się chwyta go za gardło i rzuca na ziemię — wszystko to działa w jednej chwili, albo raptem siada mu na grzbiecie, lub wreszcie chwyta go za tylną łapkę i ciągnie po całym pokoju — co bardzo zabawny przedstawia widok.

Zadziwiającym był dla mnie wypadek następujący: Po długiej gonitwie małpa skoczyła na sofę — pies za nią, choć daleko bardziej powoli; małpa skacze ze sofy na stół — pies za nią; małpa ze stołu — psu było to zawysoko stanął na stole i zaczął się namyślać. Z chwili też skorzystała małpa; oboma rękoma chwyciła za obrus, którym był stół nakryty; pociągnęła silnie i za chwilę pies leżał na ziemi usiłując się wydobyć z obrusa, w który się zaplątał — tymczasem małpa skoczyła na okno i zwidocznem zadowoleniem zaczęła klaskać w dłonie, że jej się figel udał.

Jest to bezwarunkowo dowodem rozmysłu, zastanowienia się, co podziwiać należy w źwierzątku tak małem i stosunkowo tak nisko stojącem, które tak samo mało, jak jego przodkowie, żyło między ludźmi.

Wieczorem przed pójściem na spoczynek, Czegę „się wyprowadza", co dzieje się w ten sposób, że ją wystawiam trzymając w ręku za okno. Czega, tak jak dzieci bardzo się boi o swe życie, a kiedy ją trzymam nad przepaścią, ze strachu zaraz się wypróżnia. Po tej operacji zaraz idzie do łóżka. Czega od więce niż trzech lat spi ze mną w łóżku. Jażeli żona moja zawoła ją do siebie — to pójdzie, ale nie długo powraca, kładzie mi się w ramiona, obejmuje mię lewem ramieniem za szyję, a prawą rękę kładzie w moją lewę i tak spi twardo przez całą noc. Bardzo rzadko się budzi w nocy, a wtedy płata zaraz figle, drapie mię, ciągnie lekko za włosy i udaje, jakby mię iskała. Gdy się obudzę, uderzam ją z lekka, w tedy natychmiast kładzie się spokojnie i zasypia.

Aby przypadkiem Czega w nocy nie zrobiła niemiłej wizyty mojej córeczce nosi obróżkę, od której sznurek obwiązuję sobie na szyi. Ostrożność ta zaraz w początku okazała się bardzo rozsądną. Gdyby Czega odemnie pójść chciała, to sznurek pociągnąłby mię za szyję i musiałbym się obudzić. Ale Czega i na to sobie umiała poradzić, co znowu świadczy o znakomitej rostropności; jeżeli się czasem teraz obudzi, zachowuje się tak spokojnie, jakby ciągle spała, że tylko jeżeli sam nie spię mogę to zau-

ważyć, potem lekko paluszkami odpina obróżkę, odwiązuje sznurek, na szczęście jednak nie udaje się to w zupełnosci, a ja obudziwszy się mam przyjemność obserwować jej usiłowania i natężenia inteligencji.

Na koniec wspomnę jeszcze jedno. Skoro zasypia widać zjawisko, które często u ludzi można obserwować. Człowiek w półśnie marzy często, że spada z wysokiego rusztowania lub dachu, kurczy się konwulsyjnie poczem zazwyczaj natychmiast się przebudza. Z Czegą bezwątpienia musi się dziać, także coś podobnego; kurczy się nagle we śnie, poczem natychmiast się budzi, przytula się do mnie silniej, porusza ustami, jak by mię całowała i wydaje głos tęskny, płaczliwy.

Opisawszy w ten sposób dokładnie sposób życia mojej nietresowanej małpy, sądzę, że podałem szczegóły, które mogą zainteresować fachowców i niefachowców. Należę do loików w nauce, a miałem zamiar podać spostrzerzenia', jak one się loikowi przedstawiają; opis mój niepretensjonalny ma tę jednak zaletę, której sobie odmówić nie mogę, że jest co do litery prawdziwy. Nic nie pszesadziłem, nic nie opuściłem, nic nie dodałem! Przyszedłem do jednego przekonania, nie z książek, ale z doświadczenia, a mianowicie, że małpa jest zwierzęciem, która w sposób skończony umie się zastanawiać i myśleć. Jeżeli się zastanowimy, jaki przedział istnieje między mało rozwiniętą małpką jawajską, a takim szympansem, lub gorylą — logiczny wniosek ani chwilę nie może być wątpliwym!

Przegląd literacki.

(Herbert Spencer. Szkice filozoficzne. Wydawnictwo imienia T. T. Jeża; Tom I. Warszawa 1883)

Zdarzało mi się spotykać głosy w prasie, że jedynym faktycznym objawem czci społeczeństwa okazanej Jeżowi było „Ognisko".Tytuł ogólny książki, którą mamy przed sobą stanowczo temu zaprzecza; zaiste, kilka liter umieszczonych w nagłówku, bez żadnej przedmowy, mogącej wyjaśnić pochodzenie wydawnictwa utrudniło zaznajomienie się z niem szerszego koła publiczności i przez to usunęło na dalszy plan pracę i trudy tej dzielnej młodzieży, która czując wielki brak przekładów dzieł poważnych w literaturze polskiej podjęła się ten brak wypełnić. Praca, jak widzimy ze spisu rzeczy, była podzieloną między dwunastu tłumaczów. Nic nie można zarzucić wyborowi pisarza. Spencer nie należy wprawdzie do tytanów wytykających nowe drogi dla myśli ludzkich ale jest to najzdolniejszy tłumacz i propagator idei ewolucjonizmu we wszelkich kierunkach i na wszystkich polach. Ideę rozwoju obrabia on tak wszechstronnie i tak detalicznie, popierając ją masami faktów, że doszedł do wielu nowych wniosków w bijologii, socjologji i psychologii. Szkice, o których mowa (po angielsku pod tytułem: *„Essyays, scientific, political and speculative"*), były pisane 30-25 lat temu (po większej części, parę ma 20-18 lat) drukowane w czterech poważniejszych miesięcznikach angielskich, później wyszły w 3 tomach w wydaniu stereotypowem. Dane te przytoczyliśmy, żeby jednym przykładem więcej stwierdzić, jak długo polski ogół czekać musi na przykład poważniejszych dzieł. Ma to swoje łatwe do zrozumienia, złe strony — praca naukowa w Europie nie ustaje, i perjod 25 lat wiele znaczy, nie dziw więc, że z dwunastu szkiców znajdą się takie (jak naprzykład: „Organizm społeczny i „Teorja łez i śmiechu"), które nie stoją na społecznym poziomie nauki. Analogja pomiędzy organizmem zwierzęcym a społeczeństwem nie sięga tak daleko, jak tego chce Spencer, a odkrycie pierwiastków socjalnych (Espinas i in.) w życiu zwierząt usuwa poniekąd potrzebę takiej analogji. Co do teorji łez i śmiechu to przypomnę, że fizjologja nerwów i nauka o odruchach została stworzoną dopiero w ciągu ostatnich 25 lat, nic więc dziwnego, że objaśnianie śmiechu zapomocą potrzeby wypędzenia nad miaru tlenu z płuc, zarówno, jak płaczu — usuwania zbytecznej wilgoci z mózgu, należą do przestarzałych. Z innych szkiców niektóre, jak „moralność handlowa" i „etyka więzień" są osnute na tle wyłącznie angielskich stosunków i dlatego mają daleko mniejsze dla nas znaczenie. Nie dość krytyczny wybór pozwala nam przypuszczać, że wydawnictwo nie zatrzyma się na jednym tomie szkiców Spencera, ale wyda je wszystkie co byłoby niezaprzeczoną zasługą i cennym nabytkiem dla piśmiennictwa naszego. Przejdźmy teraz do samego tłumacza; jak wspomnieliśmy, praca jest zbiorową co utrudnia określenie jakości przekładu, gdyż każdy dział nosi na sobie piętno indywidualnego stylu tłumacza; trzeba wszakże przyznać, że rażących skoków niema i przekład robi ogólne wrażenie stylu niezbyt łatwego. Co do zgodności z oryginałem to trzeba przyznać, że sumienność pod tym względem posunięto do pedantyzmu i zaledwie parę miejsc znajdzie się, gdzieby można wskazać pewne zmiany lub wyrzutnie. Czysto językowe błędy są liczniejsze. Dość znaczna ich ilość nie powinna zniechęcać tłumaczy ale zmusić ich do zajęcia się poprawieniem języka. co zwłaszcza przydać się może przy dalszem wydawnictwie.

Przegląd teatralny.

W drugie święto wielkanocne rozpoczęła się nowa epoka w dziejach sceny lwowskiej. Jak poprzedni okres można śmiało nazwać czasem upadku, tak początek obecnego pozwala rokować, iż będzie mu można nadać nazwę odrodzenia. Nie chcemy zanadto zagalopować się w proroctwach, bo choć z początku widoczny zapał tak dyrekcji, jak i publiczności do teatru, choć jedna i druga ożywiona najlepszemi chęciami — to przecież nie można zapominać o tem, że u nas wszystkie zapały wybuchają jak płomień ze słomy — i tak też prędko giną. Czy dyrekcja wytrwa na stanowisku, jaki początkowo obrała — czy publiczność poprze i nadal — czas to pokaże.

P. Dobrzański, jako dyrektor teatru zrobił co tylko mógł, tego mu nikt nie zaprzeczy. Tak licznego i doborowego towarzystwa dawno niepamięta scena lwowska. W prawdzie w personalu żeńskim czuć pewne braki jeszcze — mamy jednak nadzieję, że i to da się uzupełnić.

Z dawnych znajomych powrócili na scenę naszą pp. Zboiński, Fiszer i Lubicz z nowych przybyli pp. Żelazowscy i Wojdałowicz z Krakowa. Operetka zaś zyskała w p. Bandrowskim wcale dobry nabytek.

Na pierwsze przedstawienie daną była Balladyna, w której gra pp Aszpergerowej, Nowakowskiej i Wojdałowicza zyskała powszechne oklaski i pochwały. Podziwialiśmy nowe i ładne kostjumy, oraz nadzwyczajną staranność w całem przedstawieniu.

W dzwonach kornewilskich przypomniał się znowu dawnym znajomym p. Zboiński i grał jak dawniej, t. j. dobrze. Dziś zobaczymy go w roli Radziwiłła — nad którą unoszą się recenzje dzienników petersburgskich.

W rozbitkach Blizińskiego rolę Straszy odegrał p. Żelazowski — a publiczność, która widziała go w roli Kirkora w Balladynie i poczęła już pewne wątpliwości okazywać co do zapowiedzi o jego talencie, jakie poprzedziły ten występ, jednogłośnie przyznała wielki talent i inteligencję artyście, który odegrał tę rolę świetnie. Jedną uwagę niech p. Żelazowski przyjmie — w grze jego, co do szczegółów wykończonej — brak gry i wyrazu fizyognomji.

Panią Żelazowską znów prosimy o powolniejszą deklamację — trochę pracy, bo talent niezaprzeczony.

A teraz słów parę o p. Wojdałowiczu. Młody i utalentowany artysta w roli Grabca zyskał ogólne pochwały — w Rozbitkach zaś, jakkolwiek się podobał, nie wyzyskał przecież wszystkiego, co to rola, choć mniej wdzięczna wydobyć pozwala. Z drugiej strony ma wielkiego rywala w p. Zamojskim. Z takiej jednak rywalizacyi tylko sztuka i publiczność korzyść odniosą. P. Wojdałowicz talent ma niezaprzeczony, siłę komiczną również — a przy pracy zdobędzie sobie stanowisko, pierwszorzędnego artysty.

Operetkę pod zmienionym tytułem „Wesoła wojna“ odegrano i odspiewano w nowej obsadzie. P. Bandrowski wystąpił po raz pierwszy w roli, którą dawniej spiewał p. Myszkowski. Jako tenor, p. Bandrowski jest dobrym nabytkiem, ale gra pozostawia wiele do życzenia. Ogromny brak rutyny i życia. W prawdzie to dopiero pierwsze kroki na scenie — można się zatem spodziewać, że wnet się oswoi z deskami i będzie nietylko śpiewał ale i grał poprawnie.

Wczoraj dano „Rozwiedźmy się“ Sardou — w sztuce tej odniosła tryumf, p. Kwiecińska. Artystka ta, tak dawniej zapoznana, niewłaściwie używana nawet do operetki — jednem słowem gnębiona — wczoraj okazała jak wielkim zasobem talentu rozporządza. Dyrekcja baczyć winna, aby tego talentu znowu nie sprowadzić przez niesumienną lub uprzedzoną reżyserję na fałszywe tory.

Publiczność zapełniła teatr na każdem przedstawieniu — okazała tem sympatję dla nowej dyrekcji — okazała — że jeżeli dyrekcja nie będzie traktować sztuki po macoszemu, może liczyć na jej poparcie.

Tumułt.

ZIARNKA.

W artykule „W obronie pokrzywdzonych“ podnieśliście słusznie oburzający fakt, że rząd przyjmuje do sądownictwa, nauczycielstwa etc. aplikantów bazpłatnych, że nie wynagradza ich pracy. Lecz sąd wasz uważam za jednostronny, obwiniacie tylko jedną stronę, a czyż mniej są winni ci, którzy pracę swoją bezpłatnie ofiarują? Czyż nie są bardziej winni, iż czynią to folgując przesądom, których jako ludzie wykształceni miećby niepowinni. Czyż nie oni tworzą rozmyślnie proletorjat inteligencji? Czyż syn szewca ukończywszy politechnikę albo uniwersytet ma się wstydzić rzemiosła? Gdyby ci panicze co po ukończeniu wyższych naukowych zakładów idą na djurnistów, bezpłatnych aplikantów, lub siedzą z założonemi rękami wyczekując aż im jakieś urzędowanie się zdarzy, wzięli się do pożytecznej uczciwej pracy w przemyśle, handlu, rzemiośle. Społeństwo miałoby z nich rzeczywisty pożytek, pożytek podwójny, raz że zajęcia te zyskałyby światłych wykonawców, dobrych rzemyślników, rozumnych kupców, którzyby zbawiennie oddziaływali na podniesienie poziomu umysłowego mieszczaństwa, powtóre, że oddziałaliby zbawiennie na usunięcie tak bardzo u nas silnego przesądu, że szlachcic — rolnik jest czemś bezporównania wyższym moralnie od innych warstw społecznych. Czyż stopień doktora praw lub inżyniera przeskadza być dobrym krawcem lub handlarzem? Czyż wyższe wykształcenie potrzebne tylko ziemianom? Powie kto może, że rzemieślnik, kupiec może się obeść bez wykształcenia, a przydatniejszem mu wykształcenie fachowe. Zapewne, tak ziemianinowi również pożyteczniejsze jest fachowe wykształcenie. Nikt nie może żądać od rolnika, kupca, rzemieślnika aby koniecznie kończył uniwersytet, wcale się na to nigdzie, nie tylko u nas, nie zanosi. Wszakże bierzemy rzeczy jak one są. Mamy ludzi z wyższem wykształceniem więcej aniżeli ich możemy zużytkować jako prawników, inżynierów i t. p. i ci ludzie nie mogą sobie znaleść chleba w powyższych zawodach, dla czegoż więc nie szukają go w innych, które stoją otworem? Oto dla głupiego powodu, że zajęcie rzemieślnika lub kupca jest niższe, podlejsze aniżeli urzędnika, adwokata lub inżyniera, i dla braku ducha przedsiębiorczego. Przesąd ten jednak, który ma silną podstawę w tem, że zajęcie rzemieślnicze i handlowe uprawiane przez ludzi z bardzo ograniczonem wykształceniem, zostałoby znacznie z modyfikowanem, gdyby właśnie ludzie wykształceni jęli się tych zajęć. Wdalszej zaś konsekwencji gdyby ci panowie doktorowie zechcieli szukać zajęcia w gałęziach, które stoją dla wszystkich otworem i gdzie zawsze znajdą pracę i kawałek chleba, rząd niemając nadmiaru sił roboczych w urzędach byłby zmuszonym płacić sprawiedliwiej swoim urzędnikom, bo nie miałby tak obfitego zaofiarowania bezpłatnej pracy.

Zpoważaniem

A. J.

* *
*

Jest unas zwyczaj zakorzeniony niestety głęboko w dziennikarstwie, chwalenia wszystkiego, bez względu na to, że takie bezmierne a niesłuszne pochwały przyczyniają się do zbałamucenia opinii i wyrazają brak krytyki u ogółu, który szerząc się we wszystkich kierunkach tyle nam już przyniósł szkód w życiu, a jest tamą prawdziwą na drodze ogólnego rozwoju społeczeństwa. Zwracamy na to uwagę mimo to, że w tym samym sensie poznaliśmy artykuł wstępny i mimo to, że w tym wypadku chodzi o rzecz niewielkiej wagi, bo o zwyczajny odczyt Loewensteina o Farysie Mickiewicza. Dzienniki nasze podniosły z oznaczeniem, że prelegent dopatrzył się symbolicznej myśli w poemacie Adama i widział w owym goniącym po stepie Polskę, w sępach, okrążających głowę jeźdźca trzy rozbiory i tp. i tp. Podobnym hipotezom należałoby kres położyć. Wolno szukać wszędzie myśli symbolicznych i mistycznych ale niewolno czynić tego absolutnie na koszt cudzy, a zwłaszcza nie na koszt Mickiewicza. Wszelkie podkładanie znaczenia symbolicznego poematowi tam, gdzie poemat sam przez się jest jasny i zrozumiały zwie się nadużyciem, bo jest wykrzywianiem, koszlawieniem zdrowej myśli. Za takie podkładanie wyszukanego znaczenia pod treść poematu słuszne już zaczuły A. Małecki zarzucił Szujskiemu za jego komentowanie „Ojca zadżumionych“ Słowackiego, a zdaje się, że zarzut ten dotyczyłby jeszcze więcej p. Loewensteina. Niechaj prelegent będzie spokojny o Mickiewicza. „Farys“ jego będzie genialnem poematem, nawet bez komentarzów i hipotetycznej symboliczności p. Loewensteina....

* *
*

Boże! broń mię od moich przyjaciół! mógł zawołać p. Adolf Abrahamowicz przeczytawszy w „Kurjerze Lwowskim“ następującą reklamę swej nowej fraszki scenicznej. Oto owa reklama:

Również wkrótce pokaże się na deskach teatralnych „Pupil pupila“, wyzwolony świeżo z kurateli sądowej przez p. Adolfa Abrahamowicza, niepospolicie utalentowanego naszego pisarza dramatycznego i niestrudzonego oracza na tej tak zaniedbanej u nas niwie. Polski ten Labiche opracowuje teraz nową komedję p. t. „Zgromadzenie przedwyborcze“, osnutą na tematach, dostarczonych przez ostatnią agitację wyborczą w naszem mieście. Będzie to prawdziwy *tono de forco* (?) w sztuce układu scenicznego, bo przed widzem przesuną się jak w kalejdoskopie najbardziej charakterystyczne momenta akcji wyborczej, wśród których wić się będzie czerwona nić fabuły miłosnej, a do spazmatycznych wybuchów śmiechu pobudzać będzie ten wesoły humor, swojski, szczery i

dobry, a nieraniący nikogo, którego takie niewyczerpane zasoby posiada p. Abrahamowicz. I wszystko to, co jest właśnie największą sztuką, zamknięte będzie w wąskich ramach jednoaktówki. Żałujemy mocno, że dyskrecja nie pozwala nam na razie podać szczegułowego opisu tej znakomitej komedji.

„Kurjer" zrobił przysługę p. Abrahamowiczowi, nazywając go polskim Labichem, do czego z pewnością p. A. nie ma i nie może mieć żadnej pretensji, szkoda, że „Kurjer" niezzrobił go odrazu Sardou! Proszę o hamowanie się w robieniu reklam — choć odrobinę — bo w śmieszność się w pada.

ZAPISKI.

Literatura.

* Publiczność interesująca się literaturą zagraniczną ucieszy się zapewne wiadomością iż „Don Żuan" Byrona w tłumaczeniu Wiktora z Baworowa, został już ukończony i wyjdzie niebawem z druku. Poemat ten, obejmujący 16,000 wierszy, jest jednem z najznakomitszych dzieł Lorda Byrona niejako treść całej działalności jego, wyzwaniem do walki z której autor zwycięzko wyszedł, gdyż świat ówczesny zmusił do uznania potęgi swego geniuszu. Goethe powiedział o Don Żuanie: „Don Juan ist ein grenzenlos geniales-Werke, Menschenfeindlich bis zur höchster Grausamkeit... der Dichter schont die Schprache so wenig mit den Menschen". Mieliśmy sposobność czytać rękopis i przyznać musimy, że przekład Wiktora Baworowa posiada olbrzymie zalety. Tłomacz poeta oddaje nie tylko sam przedmiot, ale wżywszy się w autora i jego arcydzieła oddaje treść jego bogatą i różnorodną co do ducha i formy z największą dokładnością, przyswajając sobie technikę poetycką, właściwości stylu, manierę i nawet pozorne wady orginału. Tłomacz więc zmienia według kaprysu autora ton, język i rytm, naginając zręcznie do treści opowiadanie, przelatując całą skalę tonów, aby oddać obrazy pełne uczucia lub grozy, smutku lub ironji, tragiczne lub humorystyczne na pozór, mówię na pozór barda gdyż humor i wesołość lorda angielskiego nie są niczem innem jak tylko zamaskowanym sarkazmem Zdanie jakoby Don Zuan był lekkim i żartobliwym jest zupełnie mylne, podobnie jak uśmiech wzgardy i szyderstwa nie bywa wyrazem wesołego nastroju ducha. Lord Byron rozgoryczony, znękany nieszczęściem domowem i niesprawiedliwym sądem ówczesnego społeczeństwa angielskiego, w poczuciu własnej wyższości spoglądał na świat, który go potępiał z uśmiechem wprawdzie, ale nie litości, ani wesołości. W Byrońskiem śmiechu jest coś tak strasznego, że dreszcz przejmuje czytelnika. Z drugie strony, utwór w którym poruszone są wszystkie zagadnienia psychologiczne. moralne, poetyczne i społeczne trudno nazwać lekkim. Styl jest potocznym bez śladu retoryki i metafor, jak go spółczesny krytyk anonim słusznie nazwał „anti-humbug-style." Tłomacz wywiązał się z tego trudnego zadania z wielką zręcznością, sumiennością i talentem, stworzył prawie język „ad hoc", poprawny, elegancki i z oryginalnemi właściwościami. Ze znajomością erudyta, zbogacił wyrazownictwo polskie mnóstwem wyrazów zapomnianych lub nie używanych, zastosowując je zręcznie i właściwie, co sama może mu być poczytane za zasługę. w reszcie nie wątpliwie wzbogacił literaturę naszą znakomitem dziełem, owocem długoletniej pracy i głębokich studjów i postawił pomnik poecie angielskiemu na ziemi polskiej, który wywarł tak stanowczy w ływ nacharakter i dzielną naszej poezji romantyczne;

* Dr. Antoni J. ogłosił nowe opowiadanie historyczne p. tyt. „Niewiasty kresowe". Przedstawił nam tu autor kilka kobiet, zmuszonych niepewnością życia w obliczu napadających ciągle Tatarów do rzemiosła wojennego. Twarde warunki wyrabiają w tych niewiastach hartowną duszę, a żołnierskie zajęcie wytwarza w nich dzikość obyczajów. Prawie wszystkie dosiadują konia, walczą, porają się z sąsiadami, a niektóre, jak Młocka, spieszą w ślad za uwięzionymi swymi mężami do Turcji. Prawie wszystkie odznaczają się temi samemi rysami. Ta jednostajność charakterów sprawia pewną monotonność. Pierwszy obrazek czyta się z zajęciem, drugi tak samo przy trzecim męczy się umysł a przy czwartym nuży się uwaga.

* Pan Hilary Nussbaum wydał w Warszawie dziełko pt. „Leon i Lajb." studjum religijno-społeczne. W dziełku tem przedstawia autor obraz poglądów dwóch stronnictw, ścierających się na łonie społeczności żydowskiej, mianowicie postępowego, goto wego podejmować obowiązki obywatelskie w kraju i staro-żydowskiego. uważającego swoje interesa, obyczaje, mowę i pojęcia za odrębne, uprzywiliowane królestwo swoje. Wychodząc z zasady, że wszelkie dysputy religijne nie są dziś na dobie, użył autor formy dyalogu, w którym dwóch reprezentantów wskazanych obozów broni swoich opinji.

* Wydawcy „Gazety Rolniczej" i „Kurjera Rolniczego" przystąpili do wydawnictwa „Głównych zasad gospodarstwa wiejskiego", dzieła, które w przystępnej i popularnej formie obejmie systematyczny wykład wszelkich gałęzi produkcji rolniczej. Pierwsza praca „Ogólna uprawa roli" wyjdzie niedługo i stanowić będzie I. tom wydawnictwa. Później wyjdzie „Uprawa szczegółowa roslin" a następnie „Hodowla zwierząt".

* Znany tłómacz poetów greckich, profesor krakowski Jan Czubek wydał w osobnej odbitce dziełko pt. „Lirycy greccy" Kraków 1883 r. str. 115.

* Staraniem „Przeglądu Tygodniowego" wyszło dzieło pt. „Historja Hellady i Rzymu" przez Dr. Herszberga, przełożona przez Bronisława Grabowskiego.

* Karol Marx, jak donosi Kolońska Gazeta, zmarł nie w Argenteuil pod Paryżem, ale w Londynie, gdzie stale do końca życia zamieszkiwał. Pomyłka ta powstała ztąd, że bióro telegraficzne Wolffa otrzymało wiadomość od zięcia zmarłego, redaktora paryzkiej „Justice", Ch. Longuel, mieszkającego w Argenteuil u którego Marx bawił przez parę miesięcy w przeszłym roku. Taż gazeta donosi, że drugi tom dzieła „Das Kapital" pozostał przygotowany prawie do druku i ukaże się wkrótce. Wydaniem zajmie się Fryderyk Engel. W tomie tym traktuje Marx o przechodzeniu majątków, podczas gdy w pierwszym traktował o ich powstawaniu. W trzecim tomie zamierzał zmarły opracować dzieje ekonomii, ale nakreślił kilka kart początkowych.

* W otoczeniu Makarta krążą wieści, iż Aleksander Dumas nosi się z myślą wydania książki o jego dziełach i że podobno w tym celu kazał zbierać w Wiedniu reprodukcje wszystkich obrazów Makartowskich, któremi ma być ozdobione jego wydanie. Książka o Makarcie ma zresztą stanowić jeden tom, dwunastotomowego dzieła, mającego być wydanem pod kierunkiem Dumasa, które będzie zawierać monografie dzieł i życia dwunastu najsławniejszych artystów współczesnych.

* Z wydawnictw na jubileusz odsieczy wiedeńskiej zasługuje na uwagę nowe dzieło p. Toifela „Die Türken vor Wien 1683," które zaczęło wychodzić poszytami u Tempskiego w Pradze Czeskiej. Z pierwszego zeszytu trudno wyrokować o wartośc całego dzieła, ale ilustracje, zdobiące je obficie, są kopiami rycin współczesnych, a z tego względu praca p. Toifela będzie zapewne ogólnie poszukiwana.

Teatr i muzyka.

* „Teatr polski w Petersburgu" doznał niemiłego zawodu, gdyż antreprener tegoż otrzymał zawiadomienie władzy wyższej, że widowiska polskie zostają zakazane na przeciąg całego wielkiego postu w Petersburgu, tak jak i widowiska w języku rossyjskim. Czynne są tylko trupy; francuzka i niemiecka operetka

* Wielkiem powodzeniem, cieszy się wystawiony w tych dniach w „Odeonie" paryskim, dramat czteroaktowy, wierszem, Augusta Vacquerie, zatytułowany „Formoza". Rzecz się dzieje w Anglii, w wieku XV.

* Zarząd teatru w Beireuth ogłasza, że od 8 lipca począwszy odbędzie się tam 12 przedstawień „Parsifala", w drugi dzień zarządu.

Sztuki piękne.

* W sali hotelu Georg'a wystawione zostaną wkrótce dwa obrazy Makarta. „Bogactwo ziemi i morza" z salonu Krywulta w Warszawie. Wystawę uzupełni kilka portretów pędzla p. A. Grabowskiego.

* W „Atheneum" występuje Lanciani przeciw mysli postawienia pomnika Wiktora Emanuela na wzgórzu Kapitolińskim, które ma tak wielkie znaczenie dla historji. Pocieszającą jest tylko nadzieją, że w ten sposób mnóstwo nowych wykopalisk odzyska, w które kapitoliński pagórek, jak przekonały dawniejsze czasy, zdaje się być tak bogatym.

Treść.

Od Administracji.
Autor „Marzycieli": Ostatni Szaraczek.
Bartus Marja: W świątyni borów.
Estwoyn J.: Illegitimi thori (c. d.)
Brandes Jerzy: Gustaw Flaubert. (c. d.)
Z najnowszej powieści Emila Zoli.
H. Schneider: Obserwacje nad małpą. (Dok.)
Przegląd literacki.
Przegląd teatralny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza

Nr. 15. We Lwowie dnia 14. Kwietnia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

Z kwietniowym śniegiem.

Z kwietniowym śniegiem? Cóż nowu! Wszakże kwiecień jest miesiącem kwiecia, w którym drobne pierwiosnki i leśne modre sasanki wychylają już swe kraśne kielichy ku słońcu i ciepłu, oddychając z roskoszą pierwszemi balsamicznemi powiewami rodzącej się wiosny... Tak, zapewne — dziś jednak:

Zawcześnie kwiatku zawcześnie
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie
Dąbrowa jeszcze nie sucha......

Nie sucha — dmą lute wichry, wieją śnieżne zamiecie, ziemia pokryta jeszcze białym całunem śniegowym, a z pośród twardej grudy i zimnego błota żadne ziarno nie śmie zrzucić swych grubych liścieniowych pokryw i strzelić swobodnie i wesoło ku światłu....

A czas by już i wielki. Czyż nie przebyliśmy długich, mroźnych miesięcy bezlitośnej zimy, czy niedość długo jeszcze wszelkie życie żywiące kryło się po kątach i rowach, przywdziewało na się grubą baranią odzież; czy nie liczyliśmy niecierpliwie długich, ciemnych nieprzespanych nocy czy nie czas, gdy nastąpiło już wiosenne przesilenie dnia z nocą, gdy rozkoszna Nija, nadobna córa Żywienny wstąpiła na zlodowaciałą ziemię, a zakochany w niej Śmigus rozkuł rzeki z lodowych wrzeciądzy i rozlał szeroko wody po łanach i smugach, gajach dąbrowach, gdy spłynęły już po niwach i ugorach, a ruń ozima rwie się gwałtem ku słońcu i ługi pragnęłyby przywdziać barwniejszą szatę świąteczną, utkawszy swe kosy złotolistnym kaczeńcem.... Czyż nie czas.

I latający mieszkańcy naszych lasów oczekują jej niecierpliwie. Zwiastun wiosny, skowronek już by wzbił się wysoko, wysoko po nad świeżo przeoraną skibę i kąpiąc się w promieniach słońca rad nucił swą radośną piosenkę. I starzy nasi przyjaciele długodziobe boćki chcieliby, powrócić z dalekiej podróży zasiąść na starych swych gniazdach ojczystych i poważnym klekotem przywitać opuszczone siedziby i porzuconych mimo woli sąsiadów...

I to co tkwi, rośnie na miejscu — pragnęłoby rześko skrzydła rozwinąć i wszelkie ptactwo, które wygnała z domu nieubłagana, mroźna konieczność radeby zatrąbić pobudkę powrotu, któraby weselej brzmiała jak ciche sygnały odlotu.

Niezawodnie, wszystko z upragnieniem oczekuje wiosny, a jej jak niema, tak niema! Bezlitośna zima trzyma ją w swych mroźnych okowach i tłumi wszelki swobodniejszy ruch ku światłu, swobodzie i ciepłu.

Myśli te cisną się gromadnie i gwarno, gdy przed dalekowidzącym wzrokiem naszej wyobraźni stanie urocza postać wiosny natury i życia... Jakże różną jednak od czarującego tego obrazu jest naga rzeczywistość. Spojrzyjcie przez okno. Śnieg miecie i miecie jak w lutym, a mróz, żeby go inszy grudzień i styczeń pozazdrościł. Dumamy więc dalej zapatrzeni posępnie, a myśl ta wiecznie, buntownicza, niespokojna i ciekawa snuje coraz dalej wątek nawiązanej myśli i na tle odwiecznej walki wiosny z zimą, życia ze śmiercią, wybiegłszy po za ciasne szranki naszych zmysłów odsłania nam rozległe widnokręgi, za nami i po za nami, utkane wzorzystą i barwną siecią minionych i nienadeszłych wydarzeń i wypadków.

Praojcowie nasi, którzy w bliższej żyli z całą naturą styczności i kolei ludzkich nie odrywali tak bardzo od losów otaczającej ich przyrody na podstawie tego sprzeciwieństwa oparli pyszną legendę o Ormuzdzie i Arymanie, o dwóch potęgach, zawzięcie walczących ze sobą, o walce dobrego i złego, nocy i światła zimy i wiosny.

I choć w nawidzanych klęskami i ciemiężonych Indjach wyrodziła się pełna rezygnacyjnej rozpaczy nauka Nirwany (małpowana obecnie przez niektórych niemieckich filozofujących filistrów), która powiadała, że nicość jest najwyższą roskoszą jaka ludzkość oczekiwać może, że jest ona zresztą niecofnionym i jedynym jej udziałem: choć surowi i beznadziejni sceptycy spokojnie pozbawiali się życia, lub szli przez niego zahartowani na przeciwności, nieczuli na zwodnicze roskosze — obojętni — choć czasem rozpacz w czarniejszej jeszcze doli gasiła niejednokrotnie wszelkie błędne nawet płomyki nadziei, to jednak rzeczywistość nie zawsze była tak zimna i nieubłagana, a ilekroć pękało choć jedno ogniwo krępującego

jej łańcucha — człowiek myślą choć, nadzieją biegł ku wiośnianym blaskom ludzkiego życia i rad chwytał ustami choć kropelkę słodyczy z kielicha, jaki ono ma dla wybranych szczęśliwców. Ci co kosztowali go tylko, lub niedopili, w braku samej ambrozji marzyli o niej, o szczęściu, o życiu. Gdy już rzeczywistość zbyt mało odpowiadała tym marzeniom, przenoszone je w życie przyszłe, gdzieś po za świat, po za materję, po za skończone granice czasu. I chrystusowe „królestwo boże“ nie było początkowo po zaświatem. Pierwsi uczniowie nowej ewangelii, jak to wytłomaczył Renan, oczekiwali nadejścia go bezpośrednio na ziemię, za swego życia, oczekiwali przyjścia Chrystusa jako rzeczywistego króla tego przyszłego państwa i nieubłagana rzeczywistość przeniosła dopiero owe królestwo za światy, przyoblekając ja wprzejrzystą szatę ideału, który nawet blaknął powoli i pierwotną swą czystość utracał.

Inni nie przestali walczyć za zwycięstwo Ormuzda nad Arymanem na ziemi i wierzyć w rzeczywiste nadejście królestwa na ziemi. I wiara ta zyskuje coraz bardziej swe naukowe wytłumaczenia w coraz większej znajomości kolei ludzkich i środków, jakiemi ludzkość dla swego uszczęśliwienia rozporządza.

Jesteśmy jednak jeszcze na przełomie zimy i wiosny. Spadają na nas kwietniowe śniegi i zamiecie, choć czas by już było odetchnąć i piersią całą wchłonąć balsamiczne powiewy wiosenne....

Przebyliśmy dość. Wieki całe panował ucisk, stulecie całe pokrywały nas ciemności Erebu. Zahukani i ciemni nie znaliśmy dróg wyjścia. Szliśmy prowadzeni na pasku i wierzyli w to co nam powiedziano, w to zresztą co wiedziano — a wiedziano nie wiele.

Powoli jednak krzesały się iskry niepodległej wiedzy w tej ciemności, a zapalane coraz liczniejsze pochodnie rozświeciły nam tyle już tajemnic natury i życia. Z światłem tym w ręku pójdziemy lepszą sobie zdobyć dolę.... Idziemy też ku niej i po drodze tej wskazać byśmy mogli na przebyte etapy. Bywało, różnie i różnie jeszcze będzie, z drogi tej jednak nic już nie cofnie, leży ona w prawach zbiorowego życia ludzkiego, a jak po nocy dzień następuje, a po surowej ziemi łagodna i orzeźwiająca wiosna, tak i po latach niedoli nastaną lata lepszej doli. Jesteśmy na przełomie, wpół drogi....

Tylko te kwietniowe śniegi!

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli“.

IV.

U Karpat podnóża, na równinie, przez którą rzeka Stryj płynie, falą wartką, z jednej strony oparta o wzgórza wyniosłe, z drugiej okolona ławą żwiru białego, leży wioska Bereżnica. Nazwisko nie jest rzadkie: powtarza się ono często na Rusi Czerwonej, gdzie prawie nie znaleść większego kawałka ziemi, żeby na niem nie było Bereźnicy szlacheckiej, królewskiej, lub jakiej innej. W jednych mieszkają włościanie, w drugich na mocy przywilejów królewskich osiadła szlachta. A że według zwyczaju, w dawnej Polsce przyjętego, panowie brali nazwisko od włości, z której ród wywodzili, więc i każdy mieszkaniec takiej Bereźnicy szlacheckiej, zwykł się był nazywać Michałem, Stanisławem, lub Janem z Bereźnicy, Bereźnickim. Tym sposobem mieszkańcy wsi całej, mieli jedno, wspólne nazwisko.

Bereźnica, do której czytelnika wprowadzamy, była także szlachecka i miała samych Bereźnickich. Chociaż wieś była czysto ruska, dzięki klejnotowi schlacheckiemu, nadanemu jej przez Króla Jana Kazimierza, powierzchowność jej mieszkańców powoli całkiem się zmieniła. Mężczyźni byli rośli, silnie zbudowani i wejrzenie mieli pewne siebie, prawie zuchwałe, czem odróżniali się od zawsze cichego, pokornego i nędznie wyglądającego chłopa ruskiego; — dziewczęta zaś, zamiast jak ruskie wieśniaczki zawodzić pieśni żałośne i boso chodzić na robotę, wyśpiewywały sobie wesoło, ubierały się strojno, nosiły trzewiki, a były między niemi i takie, które bez rękawiczek, jakkolwiek najczęściej z prostego płótna zrobionych, nie wychodziły nigdy kopać do ogrodu. Do mężczyzn mówiono „panie Janie“, „panie Michale“ — dziewczęta były wszystkie „pannami“. Kojarzyli się między sobą, lub ze szlachtą okoliczną, i taki pierwszy lepszy „pan Stanisław“ prędzejby się na mary położył, niżby córkę wydał za „chama“, lub „mudja“, jak chłopów nazywał.

Za klejnotem szlacheckim poszła zmiana wyznania i języka. Niegdyś Unici, teraz są już wszyscy rzymskimi katolikami i ruskiego języka, którym rozmawiali ich ojcowie, oddawna się wstydzą. Chociaż po polsku jeszcze się dobrze nie nauczyli, ciągle po polsku między sobą rozmawiają, bo z tłumu wieśniaczego pragną wyróżnić się nietylko przywilejem i wyznaniem, lecz także mową.

Zamiast pańszczyzny, od której jako szlachta byli wolni, opłacali właścicielowi wioski za posiadaną ziemię czynsz, stosunkowo niewielki i ztąd poszła ich nazwa, szlachty czynszowej. Ziemia niosła im tyle, ile potrzebowali na opędzenie swoich skromnych potrzeb, ale ponieważ wydarzały się często klęski elementarne, po których głód mógł nastapić, a prócz tego i właścicielowi wypadało czasem pomódz, chłopi bowiem w innych włościach, byli tak nieliczni, że zaledwie we własnych wsiach mogli dworską ziemię uprawić, więc panowie szlachta wychodzili także na zarobek, a wychodzili tłumno i gwarno, jakby na sejmik jaki. I broń Boże, żeby ich kto chciał wtedy z chłopami pomięszać! Takiej obrazy nigdyby nie zapomnieli.

Raz zdarzyło się, że pod nieobecność hrabiego i jego rządcy, pani domu, hrabina Eufemia, chcąc okazać jak znakomitą jest gospodynią, wydała rozkaz ekonomowi, by szlachtę i włościan wziął razem do pszenicy, która od dni kilku na sierp czekała. Szlachta, dowiedziawszy się o tem,, poczęła mruczeć. Nareszcie jeden ze starszych wziąwszy sobie dwóch do asystencji, udał się do pałacu i rzekł do hrabiny:

— Proszę jaśnie panią, my z chamami na jednem łanie robić nie będziemy.

Hrabina w Paryżu wychowana, nie mogła tego zrozumieć,

— A to czemu? — zapytała z drwiącym uśmiechem.

— Bo szlachcic szlachcicem, a cham chamem! Przecie pani hrabina, jako szlachcianka i do tego karmazynowa, rozumie, że takie bratanie się z mudjami na jednem łanie, ubliżyłoby naszemu klejnotowi szlacheckiemu. U nas tylko szlachta równa, ale chłopu od szlachcica wara!

— Kiedy takimi są arystokratami — odparła hrabina, obracając się do ekonoma— to niech Krukowski pójdzie z nimi i da im tam osobno. Tylko trzeba doglądać, żeby silnie robili.

— O! proszę panią hrabinę! — przemówił znowu najstarszy -- toby dla nas był jeszcze większy „kunirunek“. Szlachcic wie, co do niego należy i nikt go nie będzie doglądał

Hrabina lękając się burzy, ustąpiła, szlachta zaś poszła na łan i przez pół dnia więcej zżęto pszenicy, niż równa liczba włościan na drugim łanie przez dzień cały.

Szlachta czynszowa miała swoje cnoty: gościnność większa, niż włościanin, poczucie obowiązków i ofiarność dla kraju, lecz obok tego miała także wady starszej szlachty, mianowicie niesforność, zarozumiałość, skłonność do pijaństwa i kłótni, nareszcie ślepe

służalstwo dla możnych, co ją w oczach świata dzisiejszego poniża, a co wówczas kraj gubiło. Panowie wichrzyli, bo szlachta wspierając ich swemi głosami i szablami, pozwalała im wichrzyć. Jeżeli na kim, to na tej drobnej szlachcie sprawdzają się spostrzeżenia tych myślicieli, którzy utrzymują, że obok krwi i rasy jest także wychowanie, które na rozwój ludzki niemały wpływ wywiera. Ta szlachta, niegdyś w siermiędze chłopa ruskiego, łagodna i potulna, dziś zmieniła się na hałaśliwą i butną. Przykład szedł z góry, od szlachty, która miała włości, a z którą zagrodowa i czynszowa uważała się na równi. Tym sposobem wychowanie zmieniło w wielkiej mierze krew i rasę. Bryńscy, którzy jako potomkowie senatorów, otrzymali od rządu austrjackiego tytuł hrabiowski, nie mieszkali dawniej w Bereźnicy. Panowie rozległych włości, zaliczając się do możnowładców, kręcili się zawsze dokoła dworu, od którego otrzymywali zaszczyty i donacje. Dopiero po upadku Rzeczypospolitej, straciwszy trzy czwarte dawnej fortuny, zamieszkali w Bereźnicy. Niegdyś w usługach swoich miewali szlachtę bogatszą, która trzymając się pańskiej klamki, chciała przy jej pomocy wznieść się do dostojeństw: teraz zeskromniawszy, wzięli do dworu różnych panów Bereźnickich, z których jeden był marszałkiem, drugi kucharzem, a dwaj inni pełnili obowiązki leśniczego i ekonoma na odleglejszych folwarkach.

Ojciec dzisiejszego hrabiego, był pierwszym z rodu, który w Bereźnicy zamieszkał, i jemu to zawdzięczał pan Jacenty Bereźnicki, że w szkołach stanisławowskich nauczył się trochę czytać i pisać, poczem został marszałkiem dworu hrabiego. Pan Jacenty pełnił swoje obowiązki bardzo sumiennie, ale nagle zaczął na wzrok zapadać, hrabia oceniając, jak należało jego zasługi i stosując się w tem do dawnych tradycyj, kazał mu wydzielić z dworskich łanin sześćdziesiąt morgów wystawić domek mieszkalny i budyneczki gospodarskie, a że Jacenty niewiele grosza uciułał, więc dał mu jeszcze na początek parę wołów, parę koni, cztery krowy, najpotrzebniejsze narzędzia rolnicze i sto srebrnych cwancygierów. Marszałek spłakał się jak bóbr i upadł do nóg hrabiemu, odtąd bowiem, przestawszy być szlachcicem czynszowym, został „zagrodowym", który za darowiznę nie potrzebował dworowi ani odrabiać, ani czynszu opłacać.

Pan Jacenty, ujrzawszy się sam w pustym dworku, pomyślał o ożenku, i mimo wzroku słabego, w garderobie pani hrabiny wyszukał sobie piękną i skromną panienkę, z którą po kilku miesiącach stanął u ołtarza. Żona powiwszy mu dwoje dziatek, syna i córkę, pożegnała męża i świat boży— a chociaż pan Jacenty opłakał jej stratę łzami krwawemi, nie poczytywał się za tak nieszczęśliwego, jak ongi, gdy był kawalerem, ponieważ odtąd miał dwoje dziatek, których głosy dom mu ożywiały, a dla których sam żyć potrzebował.

W tym czasie mieszkańcy pałacu także się zmienili. Stary hrabia, wdowiec od lat kilku, pospieszył za swoją żoną, a majątek po nim objął jego syn jedyny, który ożeniony z panną jakiejś wielkiej rodziny, dotąd mało przebywał w kraju. Przyjechawszy do Bereźnicy, nowy dziedzic pooddalał dawną służbę, a przyjął nową, w połowie niemiecką, w połowie francuską, hrabina bowiem nie mogła do innej przywyknąć — i całe gospodarstwo zaczął urządzać na wzór zagraniczny. Szlachta we wsi potrząsała głowami, a pan Jacenty Bereźnicki, mimo że nieraz głęboko westchnął i głośno powtarzał: ach! Panie Boże! nie tak to za mojego pana bywało! — dla nowego dziedzica, nie stracił ani miłości, ani szacunku. Za dobrodziejstwa, które z rąk ojca otrzymał, nie przestał być wdzięcznym synowi.

(C. d. n.)

Beatrix.

W rozigranych nerwów drzeniu
Gaśnie moich wrażeń czystość,
A w gorączki rozemdleniu,
Opowita widziadłami,
Chora dusza wciąż się mami —
Sen to czyli rzeczywistość?

Patrz! w gwiaździste strojna wianki
Zeszła do mnie w noc zimową —
Miała jasną twarz kapłanki,
Gdy podała znękanemu
Klejnot z swego dyademu
I szepnęła wiary słowo.

Ciepła dłoń jej w moim ręku —
Zatopiony w szeptach szczytnych
Jak w anielskiej arfy dźwięku,
Szukam gwiazdy mej w chaosie
I poznaję ją... po głosie
I po oczach jej błękitnych.

I oblała mnie promienna
Swych oddechów falą wrzącą:
„Wstań do życia, duszo senna!
Przez północnych mar zawiłość
Patrz! przynoszę tobie miłość,
Upragnioną tak gorąco!"

I widziałem ją w powodzi
Wieńców, pereł i szkarłatów..
Tak się każda miłość rodzi!
Więc jak feniks zmartwychwstałem
Nerwem każdym, sercem całem,
W tej miłości z gwiazd i kwiatów!

I gdy oczy wznoszę do niej,
Rozmodlony w hołdu hymny —
Ona wtedy na mej skroni,
Jak królowa uśmiechnięta,
Jak archanioł biała, święta...
Położyła okład zimny.

Gdy jej ręce czule pieszczę,
Ona rzekła: „Panu słabo?" —
Widzę ciebie, widzę jeszcze,
Z twoim zębem mamutowym,
W kaftaniku twoim płowym,
Widzę ciebie, stara babo!

* * *

Ach to temu, piękna pani,
Winna febry chora mglistość,
Że-m cię w ułud mych otchłani
W takiem monstrum ucieleśnił!...
Ale-m sen uroczy prześnił,
Nim go zwiała rzeczywistość!

Wł. Stebelski.

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

Cierpiał męki w tem dążeniu do doskonałości. Były to bole porodowe, znane każdemu pisarzowi, ale u niego były tak bolesne, że on wyskakiwał krzyczał i łajał siebie: „Ty głupcze! idjoto!" bo zaledwie pokonał jednę wątpliwość, a już powstawała inna. Jak zamagnatyzowany siedział nad biurkiem, pogrążony w milczącą rozwagę i zamyślony. Turgieniew jego przyjaciel wierny i bliski, który go tak często widział, twierdził, że było to wzruszającem widzieć jego, niecierpliwego, tak cierpliwym w boju z językiem. Nad jedną stronicą swego ostatniego romansu pracował przez cały dzień nieprzerwanie, wyszedł, aby zjeść, a wróciwszy wieczorem chciał leżąc już w łóżku zabawić się odczytaniem swojej kartki, znalazł ją jednak niedobrą, wyskoczył z łóżka — a lat miał 50 - zaczął w jednej koszuli kartkę przepisywać i przepisywał ją raz po raz przez całą noc, częścią przy stole, częścią kiedy go zimno stamtąd odpędziło — w łóżku.

Jakże on kochał i jakże przeklinał swoję mowę. Czyż to go nie znamionuje, że w Mme Bovary tylko na jednem miejscu się zapomina i mówi we własnem imieniu, a mianowicie tam gdzie oburzony w skutek tępej obojętności Raula względem wyznań miłosnych Emmy, brzmiących zwyczajnie a jednak wychodzących ze wzburzonej namiętności tak mówi: „Jakby pełnia uczuć nie wylewała się czasem z duszy w najpustszych porównaniach, jakby kto mógł dać dokładną miarę swoich potrzeb, wy-

obrażeń i uczuć, bo ludzka mowa jest tylko pękniętym kotłem, za którym wybijamy melodje tak brzmiące, jakbyśmy grali niedźwiedziom do tańca — wówczas, kiedybyśmy nimi chcieli gwiazdy rozczulić".

Taka skarga w takich ustach jest jednak tem, czem być odmawia ludzkiemu słowu: m i a r ę bolesnego usiłowania wielkiego stylistę o doskonałość artystyczną.

Gdy się taka dążność raz w sztuce ukazała, nie może zaginąć. Żaden adept sztuk piszący po Flanbercie a rozumiejący swój pisarski ideał, nie może z czystem sumieniem postawić sobie znacznie albo istotnie mniejszych żądań. Dla tego są przyjaciele, duchowo pokrewni i uczniowie Flaubert'a najsurowszymi i najoryginalszymi stylistami naszego wieku.

Nie dla tego jednak, jakoby Flaubert sam był teoretycznym zwolennikiem oryginalności stylu. Wierzył on naiwnie w jeden styl ide , alny, absolutnie dobry. Nazywał ten styl, który starał się urzeczywistniać, zupełnie nie osobistym, ponieważ wcale nie wyrażał jego indywidualności, nie ukazującej mu się w tem co napisał.

Guy de Maupassant dowcipnie powiedział, że wyszarzane słowo: styl — to człowiek, dadzą się o nim odwrócić: „Ów człowiek — to styl". Był on, rzec można, uosobionym stylem. Nie jest to wcale nieistotną albo obojętną rzeczą, że pisarz przed wszystkimi innymi przedstawiający nowoczesny kierunek i nowoczesną formułę literatury francuskiej, bardzo daleki od tego iżby był naśladowcą przypadkowej natury albo (jak zwykle brzmi zarzut) fotografem, przeciwnie był nienagannym artystą.

IV.

Flaubert publiczności nie opowiedział o sobie nic ani nawet najdrobniejszego szczegółu. Zachował milczenie tak samo o zasadach artystycznych, jak i o życiu prywatnem. W tych okolicznościach należy zbadać wszystkie drogi stojące otworem, które mogą wprowadzić do wnętrza jego ducha, — a jedną z najbliższych i najlepszych jest dokładne studjum dzieł serdecznego przyjaciela, druha Ludwika Bouilhet. Na pozór wydaje się, że ci ludzie mają nierówne usposobienia i nierówne zdolności. Flaubert stawia epokę we francuskiej literaturze, Bouilhet był i jest poetą drugo, lub trzeciorzędnym; Flaubert był romansopisarzem, Bouilhet lirykiem i dramatykiem, ale ta nierówność mało dotyka istotnego charakteru przyjaciół kochali się, bo byli duchowo pokrewni nie bez ważnej przyczyny poświęcił Flaubert Bouilhetowi pierwszą książkę, a ów jemu nawzajem wszystkie najznakomitsze utwory. Uważne porównanie wykazuje tak silne analogje między poezjami Bouilhet'a a prozaicznymi dziełami Flaubert'a, i przez to zaostrza się wzrok na bardziej przysłonięte właściwości większego z nich,

Do najbardziej uwagi godnych poematów Bouilhet'a należą „Les foniles", — rozpoczyna się wspaniałym obrazem przedpotopowego świata z życia przedpotopowych zwierząt, a potem w formie poetycznej i w duchu naukowym zarazem - śledzi historję rozwoju ziemi aż do wystąpienia człowieka, kończy się zaś natchnioną wizją przyszłych czasów ludzkości.

To upodobanie do kolosalnych, dziwnie ogromnych przedmiotów — odnajduje się u autora „Salammbo"; widzimy w odgrzebywaniu zaginionych ludów i religji u Flauberta ten sam pociąg do „wykopalisk" jak u Bouilhet'a, a nakoniec okazuje się u Flaubert'a wyraźnie skłonność, pojawiająca się tu i owdzie w dziełach przyjaciela, aby naukę i poezję stopić w jedno.

Tak, jak Flaubert zagłębiał się w literaturę klasyczną i semicką, — Bouilhet studjował język chiński i w długim szeregu poezji obrabiał chińskie motywy i przedmioty Obaj starali się owymi badaniami i poetycznymi eksperymentami, jakie w nich wzięły początek, usunąć się od wieku, który był im wstrętny, obydwa nieświadomie poszli za przykładem Goetego. Ale przytem zaspokoił swój popęd, aby pokazać czytelnikowi względność wszelkich form życia, wykorzenić mu dumę z powodu „iż tak daleko doprowadziliśmy", aby mu przywieść na myśl przeczucie. że nasza cywilizacja po tysiącach lat wygrzebana i przedstawiona będzie się wydawać mało rozumniejszą od tej starożytnej lub odległej.

Obaj chcieli, aby świat dawny występował w historycznej albo przedhistorycznej czystości bez domieszki nowoczesnych dodatków i nie ustępowali przed żadną trudnością. Jakby to samo przez się nie było dość trudnem, odmalować świat przedpotopowy, jego dziwną wegetację i bezkształtne olbrzymie potwory, — pozbawił się Bonilhet wszstkich wyrażeń, przypominających nowożytne ideje. Opisuje pterodaktyle, plezjozaury i ichtjozaury, mamuty i mastodony nie nazywając ich; rozpoznaje je po postaci, po chodzie i zachowaniu. Całkiem podobnie powstrzymał się Flaubert w „Solammubo" nawet dalekiej alluzji do współczesnego świata; zdaje się, że go nie zna poeta, lub zapomniał, że istnieje. Artystyczna przedmiotowość zgadza się tutaj z naukową.

— A to jest rzecz główna u obu poetów. Ulegali świadomie lub nieświadomie nowej ideji o stosunku poezji do nauki Chcieli się przyczynić do tego, iżby poezję całkowicie wystawić na naukowych podstawach.

Najwyższą ambicją Bouilheta było według jego wyznania napisać poemat, któryby zbierał wyniki nowoczesnej nauki, i mógł być tem dla naszych czasów, czem podziwu godny poemat Lucrecjusza „De rerum natura" był dla starożytności. Flaubert widocznie miał też marzenie podobne. Ale życzenie wyraziło się bardziej stanowczo w skutek jego nienawiści do ludzkiej głupoty. Urzeczywistnił je w sposób negatywny i w dwócz różnych formach, w dziele „Pokusa św. Antoniego", gdzie robi przegląd wszystkich religijnych i moralnych systemów ludzkości pod postacią szalonych hallucnacji pustelnika, i w ostatniej powieści „Bouvard i Pécuchet", w której niezliczone błędy i omyłki dwóch biednych głupców dają poecie sposobność ułożyć rodzaj encyklopedji ze wszystkich obszarów ludzkiej wiedzy, do których się oni porywają. W „Pokusie sw. Antoniego" przedstawił tragiedją ducha ludzkiego; duch ludzki objawia się tutaj we wspaniałej miotającej się i skarzącej wściekłości. W „Bouvard et Pécuchet" narysował karykaturę, naiwną niewiadomość, fuszerstwo dyletanckie we wszystkich zakresach naukowych i technicznych, — uosobione w śmiesznej parze słonych przyjaciół.

Dzieło wyszło po śmierci i mamy tylko pierwszą część (w formie zbliżonej do wykończenia, w najwyższym stopniu charakterystycznym jest dla Flaubert'a zamiar, uzupełnienia tę część przez drugą, aby obraz uniwersalnej głupoty uczynić całkowitym; dwaj starzy dziwacy, którzy rozpoczynają i kończą swoję karjerę na pisaniu, mieli tam wykonywać myśl przepisać głupoty ze wszystkich najbardziej znanych pisarzów (włącznie z panem Flauberte'm) i zebrać je w jednym tomie.

Tak więc Flaubert i Bouilhet w pracy swojej kierowali się silnym popędem, w tej lub owej formie, pozytywnej lub negatywnej złożyć w dziełach rezultaty współczesnej nauki; do nich obu się odnosi, co Flaubert powiedział o Bonilhet, że główną myślą, genjalnym pierwiastkiem jego ducha był rodzaj naturalizmu, przypominający Odrodzenie. Ale kiedy Bouilhet utracił swą najlepszą siłę na dramaty mierne, tradycyjnie romantyczne, Flaubert nie zhołdował ani w jednej pracy tradycjom, w większym stopniu czynił głębokie naukowe studja jako przygotowanie do twórczości, i dla tego tylko u niego stosunek nauki i poezji jest nerwem i głównym przedmiotem zajęcia w dziełach.

V.

Z d a j e s i ę n i e o m a l, j a k o b y z a n a s z y c h d n i k o ń c z y ł y s i ę c z a s y, k i e d y t o r o m a n s o p i s a r z p e w n e g o p i ę k n e g o p o r a n k u z a s i a d a ł p r z e d a r k u s z e m b i a ł e g o p a p i e r u i o d

razu rozpoczynał wykonanie swego utworu.

Przynajmniej Flaubert wprowadził metodę poetycznej produkcji, która ją mocno zbliża do naukowej. Aby uzyskać jedno wyjaśnienie we względzie swojego przedmiotu, przepędzał całe tygodnie w bibljotekach, przeglądał stosami miedzioryty, aby ułatwić się z ubiorem i postawą wcześniejszej generacji. Jako studjum przygotowawcze do Salammbo przeczytał 98 tomów starej i nowszej literatury a potem udał się w podróż do Tunisu, aby studjować widoki i pomniki starożytnej Kartaginy. Nawet aby odmalować takie fantastyczne widoki, jak w Legendzie o św. Julianie, zwiedzał okolice mogące mu dać zbliżone wrażenie do tego, o jakiem marzył.

Skoro plan do jakiej książki przeniósł na papier, rozpoczynał dla każdego rozdziału badanie źródeł; każdy rozdział miał swoję tekę, która się ciągle zapełniała. Przeszedł cały zbiór ,,Charivari" z czasów Ludwika Filipa, aby ,,Cygana literackiego Hussonet w L'éducation Sentimentale" zaopatrzeć w dowcipy w stylu owoczesnym. Przestudjował niemniej jak 107 dzieł dla zapisania 30 stronic o rolnictwie w ,,Bouverdet Pécuchet". Wypisy porobione dla tego ostatniego romansu wyniosłyby w druku 5 tomów w ósemce.

Oczywiście w czasie tych studjów tracił tymczasem romans z oczu a zamierzał tylko powiększyć wiedzę. Upodobanie do gromadzenia wiadomości było a raczej stopniowo stawało się tak żywem, jak zapał przy kształtowaniu wątku duchowego.

Przeglądając jego dzieła w chronologicznym porządku znajdujemy coraz wyraźniejsze przechylanie się punktu ciężkości z poetycznego w naukowy pierwiastek, albo innymi słowy zamianę żywiołu ludzkiego psychicznego na zjawiska historyczne, techniczne i naukowe, które zabierają niezasłużone miejsce. Flaubert zawsze stał w obec niebezpieczeństwa zostania nudnym autorem — i stawał się nim coraz więcej.

Wyszedł ze słusznego mojem zdaniem uczucia, że poeta za naszych czasów nie może być tylko pisarzem bawiącym, maitre de plaisir. Czuł, że okręt poetyczny bez naukowego balastu naraża się na niebezpieczeństwo łatwego wywrotu. Ale stopniowo, z postępem rozwoju opanowała go namiętność pokonywania trudności; chciał wlec rzeczy najcięższe, unieść największe kamienie, i powoli obładował okręt tylu i tak wielkimi kamieniami, że się stał zbyt ciężkim, zanurzał się za głęboko i zleciał na dno. Ostatni romans jest tylko mozolnie uszykowanym szeregiem wyciągów z kilku tuzinów rozmaitych, umiejętności, prawie nieczytelnym jako dzieło poetyczne, ale jest uwagi godnym pod względem psychologicznym jako konsekwentny i definitywny wyraz wielkiego indywidualizmu a błędnego poglądu estetycznego.

Ogólny kierunek ku studjom zjawisk zewnętrznych nie jest jednemu Flaubert'owi właściwy, ale cechuje całą grupę ludzi, do których on należy. Pochodzi z uprawnionego wstrętu do racjonalistycznego pojmowania człowieka jako oderwanej istoty rozumnej, i z deterministycznego pociągu naszego wieku, iżby życie duchowe jednostki tłumaczyć przez wpływy klimatyczne, etnopsychologiczne i fizjologiczne. W rozmaitych odcieniach odnajduje się ta dążność u najznakomitszych współczesnych ziomków Flaubert'a, u jego nauczyciela i przyjaciela Teofila Gautier, u Rénana, Taine'a, braci Goncourt.

Te umysły przy całej rozmaitości mają to za wspólne i bardzo nowożytne piętno, a oprócz tego jeszcze jednę, niemniej nowożytaą właściwość, a mianowicie tę, że w ich artystycznie wykonanych dziełach zanadto daje się czuć po za niemi leżąca praca, trud, z którym zostały utworzone a niekiedy rodzi się po prostu nieprzyjemne wrażenie przeładowania. Renan, do którego to się najmniej odnosi, opisuje nie rzadko rzeczy stojące zupełnie po za ramami przedmiotu; Gautier jest z tych wielkich artystów jedynym, z którego słowa i obrazy zdają aię swobodnie wytryskać, a nawet on czasem wypuścił ze swej ręki słownik i encyklopedją.

U Flaubert'a encyklopedja powoli ruguje objawy psychiczne. Gautier z latami stawał się coraz mniej poetą a coraz więcej malowniczym opisywaczem. Flaubert stawał się z wiekiem coraz więcej uczonym i zbieraczem.

Rzućmy okiem na całą jego produkcję od pierwszych początków do końca, to obaczymy, jak żywioł psychiczny, który pierwiastkowo wszystko zalewał i użyźwiał pomału odpływa, usuwa się i pozostawia tylko suche, kamienne łożysko historycznych albo przyrodniczych faktów.

W ,,Madame Bovary" jeszcze wszystko żyje. Opisy są rzadkie i krótkie. Nawet opis Rouen, miejsca urodzenia autora, dokąd Emma jeździ dliżansem dla spotkania z Leonem, jest podany w niewielu wierszach. Prócz tego ożywia go opis zawrotu głowy, jakim bucha na Emmę ów zbiór tysięcy istot, jakby wszyscy ci ludzie obwiali ją wyziewami namiętnęści, jakie ona im przypisywała.

Bezpośredni opis miasta, moment malowniczy jest tu całkowicie zamieniony na psychologję, na wrażenie, jakie robi miasto na główną osobę — a to się u Flaubert'a staje coraz rzadszem.

W ,,Salammbo" musiało się studjum i dział czysto opisowy z konieczności silniej zaznaczyć. Są wielkie partje w tem dziele, które się czytają jako ustęp z historji starożytnej sztuki wojennej albo jako archeologiczna rozprawa raczej niż jak romans, i dla tego działają nużąco. Ale ,,Salammbo" obfitowała jeszcze w motywy ogólno ludzkie. Na przykład odczytajmy rozdział, gdzie kapłani postanowili przebłagać Molocha ofiarą pierworodnego z każdego domu, gdzie kilku z nich puka do drzwi Hamilkara, a ten stara się uratować z ich przemocy małego Hannibala.

Koloryt tu przedstawiony przez Flaubert'a jest taki, jaki musiał być w punickiem mieście po rozporządzeniu takiej gromadnej ofiary a na tem tle szczegółowe zdarzenie wznosi się w niezatartych rysach. Hamilkar wpada do pokoju córki, chwyta jedną ręką Hannibala, drugą sznur leżący na podłodze, związuje ręce, nogi chłopca, zapycha resztę sznura do ust jak knebel i chowa go pod łóżkiem. Potem klaszcze w ręce i każe przynieść dziecko niewolnicze, 8 do 9 lat mające, z czarnymi włosami i wystającem czołem.

Przynoszą dziecko biedne, chude i obrzmiałe zarazem, o skórze tak ciemnej jak gałgan obwiązany naokoło lędźwi. Hamilkar wpada w rozpacz; czy jest to możliwem, aby przemienić to dziecko w Hannibala! Ale chwile są drogie, i pomimo wstrętu zaczyna dumny suffet nędzne chłopię myć, wycierać i maścić; nakłada mu ubiór purpurowy, zapina na plecach dyjamentowymi agrafami, a dziecko uśmiecha się, uszczęśliwione paradą, i wyskakuje z radości. Uprowadza ze sobą chłopca. Ale kiedy go na dolnem podwórzu z udaną boleścią oddaje kapłanom Molocha, pokazuje się w górze na trzeciem piątrze domu pomiędzy kolumnami z kości słoniowej blady ubogo ubrany, strasznie wyglądający mężczyzna z wyciągniętymi rękoma. ,,Moje dziecko!" — woła. ,To jest piastun dziecięcia" pospiesznie powiada Hamilkar i jakby chcąc skrócić rozstanie wypędza kapłanów za bramę. Kiedy odeszli, posyła niewolnikowi najlepsze rzeczy z kuchni, mięso, bób i marynaty; starzec, który długo nic nie jadł, rzuca się na to i połyka wśród łez, a kiedy Hamilkar wieczorem powraca do domu, widzi w wielkiej sali, gdzie padało światło księżyca przez otwory w kopule, przesyconego, napół pijanego niewolnika rozciągniętego na marmurowej podłodze, pogrążonego we śnie. Patrząc na niego uczuwa rodzaj litości. Końcem nogi podsuwa mu dywan pod głowę.

Nieprzespany Sen
pani Maciejowej z Leszna.

Obrazek
Wiktora Gomulickiego.

Cóż się to dzieje, najmilszy Jezusieczku! Gdzie spojrzeć, wszędzie srebro i alabaster. Drzewa z alabastru i domy z alabastru, a ulica jak okiem sięgnąć, cukrem wysypana I biało tak, aż ślepi. Świat się cały w mleku wykąpał, czy co?

W powietrzu migają srebrne gwiazdki. Gdy wiatr dmuchnie, gwiazdki wirują i tańczą. Zupełnie jak rój komarów w ciepły, wiosenny wieczór. Czasem w górze załomocze coś i sypnie garścią brylantów. Czasem nad dachami, w tumanach płowego dymu, przepłynie białe widmo: niby śmierć, niby Matka Boska z dzieciątkiem...

Niebo nabrało szklannej przejrzystości i szklannego połysku Zapadło się przytem w głąb, że go prawie nie widać. A słońce roziskrzyło się wspaniale i wygląda z poza kominów, złote jak monstrancja...

Panię Maciejowę dziwi to wszystko niezmiernie. Skuliła się za swym straganikiem i oczy mróży od wielkiego blasku.

Osiemdziesiąt osiem lat żyje na świecie a jeszcze takiego dnia nie widziała. Osobliwy on jakiś, mleczno-brylantowy, pełen blasku i cudowności. Pewnikiem, wyjdzie z niego jakie nieszczęście: albo chleb zdrożeje, albo się kto obwiesi...

Po drugiej stronie leżą dwa sfinksy. Śnieg nakrył im głowy białemi koronami. Sfinksy patrzą na panię Maciejowę, pani Maciejowa patrzy na sfinksy. Ta wymiana spojrzeń, odbywa się codziennie, już od lat piętnastu. Ale sfinksy nigdy jeszcze nie patrzały tak dziwnie jak dzisiaj Coś one wiedzą coś kryją...

Tymczasem targ idzie nie sporo. Ludziska przebiegają koło straganu szybko, z nosami schowanemi w futra i szale Nikt nawet nie zerknie na straganowe przysmaki. A jednak wyzierają one ponętnie z czterech koszyków, ślicznie przystrojonych złotym i czerwonym papierem...

Pani Maciejowej poczyna być zimno. Wyszła dziś z domu bez gorącej strawy. Na rozgrzewkę wypiła tylko dwa kieliszki „zielonej". Wódka ta smaczna i na łamanie w kościach pomocna, ale dwa kieliszki przy takiem mrozie, to mucha. Szczęściem, pod straganem stoi flaszka, ledwie że rozpoczęta...

Starowina pije ziołówkę i ręce ogrzewa nad garnkiem z węglami, a tymczasem świat poczyna się w jej oczach przeinaczać..

To, co się wydawało śniegiem, okazuje się po prostu masą białego pachnącego kwiecia. A owo dzwonienie sanek? To szczebiot zięb, kosów i pliszek, które uwijają się wśród gęstwiny. I nie żadna ulica biegnie środkiem, jeno strumień. Po tej jego stronie łąka, usiana jak dywan trawą i kwiatami, po tamtej budynki gospodarskie i młyn, umączony a klekoczący.

Największa jednak pociecha z owemi sfinksami wrzekomemi. Nie sfinksy to rzadne, lecz zwyczajne młynarskie kondle. Jak podjedzą to zawsze wylegują się tak na słońcu, jeden obok drugiego. Psiska to pozornie leniwe, ale Boże broń zaczepi którego. Jedna tylko Marynka, córka młynarzowa, może bezkarnie ciągnąć je za uszy i targać im wełnistą sierść na brzuchach.

A toż i ona. Wyszła przed ganek, trzymając w jednej ręce pęk bzu kwitnącego, a w drugiej kawał chleba z miodem. Matka osłoniła ją białą chustką, żeby sobie głowy nie przepaliła na słońcu. Z pod chustki wyglądają kosmyki lnianych włosów, ogromne, szare oczy i tłuste policzki, miodem usmarowane. Dziewczyna zajada chleb i wodzi oczami za pliszką, skaczącą koło strugi. Nagle, krzywi się i poczyna płakać.

— Co ci to, Maryno? — pyta ojciec ukazując się we drzwiach młyna w białej szlafmycy i z fajką porcelanową w ustach.

A dziewczynka, łkając:

— Mucha; proszę tatulka, usiadła mi na chlebie i miód zjada...

Pani Maciejowa przygląda się temu wszystkiemu z coraz większem zajęciem. I czuje nagle dziwny dreszcz, który ją całą przenika i wstrząsa. Najsłodsze rany Chrystusa! Wszakże tą dziewczynką pucułowatą, tą miodem karmioną młynarzówną jest, nie kto inny, tylko ona sama — ona, uboga straganiarka z Leszna...

— Poczemu jabłka? — rozległ się nagle głosik piskliwy.

Straganiarka otwiera oczy i widzi studencika, czerwonego od mrozu i tupiącego nogami dla rozgrzewki.

— Większe po pięć, mniejsze po trzy — odpowiada, nie wiedząc dobrze gdzie jest i co się z nią dzieje.

-- Dam po trzy, ale za większe.

— Niech tam!

Bierze od malca pieniądze, wydaje resztę i wtyka mu jeszcze różany karmelek na dokładkę.

A potem zaczyna zrzędzić nosem na Rózię, wnuczkę, która jej dotąd śniadania nie przyniosła...

Oj! nic dobrego z tej dziewczyny nie będzie! Dziś rano zaspała, bo wczoraj wróciła do domu po północku. Mizdrzy się, kryguje, włosy nad czołem przestrzyga, a o starej babce nie pamięta ani kruszyny. Pójdzie szerokim gościncem jak inne!...

Na świecie coraz jaśniej i coraz zimniej Pani Maciejowa znów sięga po flaszkę i węgle w garnku rozdmuchuje. Mróz kole ją w nogi miljonem ostrych szpilek. Gdy przymknie na chwilę oczy, a potem je otworzy to widzi wielkie szkarłatne plamy, migocące w powietrzu. Przechodnie coraz szybciej wymijają jej straganik i coraz mocniej tupią nogami.

Ah, cóż za niegodziwe dziewczynisko z tej Rózi! Żeby choć garnuszek gorącego barszczu przyniosła!...

Zresztą, mniejsza o nią. Słońce zachodzi za młynem; niedługo będzie kolacja. Wieczór ciepły, prawie upalny. Żaby hukają w sitowiu, derkacz drze się na łące. a woda pod młyńskiemi kołami wre i kipi, jak wrzątek w kotle.

— Co tam, Marynko! wszystko pójdzie dobrze!... Rodzice są mi dziś krzywi, ale i z niemi się poradzi. Jak wrócę oficerem na własnym koniu, z krzyżem na piersiach, to mi się pierwsi pokłonią. Daj Marynko buziaka, wszystko pójdzie dobrze!

Ślicznie mówi ten Stach. A i sam śliczny, jak obrazek. W ułańskim mundurze tak mu do twarzy! Szkoda tylko, że jutro jak świt, rusza z pułkiem na wojaczkę...

Słońce zgasło, młyn stanął, ptaki na łące posnęły. W ogródku słowik spiewa czeremcha pachnie, a kochankowie rozmawiają — pocałunkami.

Śliczny ten Stach. I gdzież Maćkowi przyrównywać się do niego. — Maćkowi co ma twarz od piegów czerwoną i plecy w pałąk wygięte..

Ale Maćka ojciec lubi. Zarządza on całym młynem, a zna się na rzeczy jak nikt inny. Niedawno stary młynarz powiedział przy ludziach, że córki nie odda nikomu tylko Maćkowi. .

Dla serca Marynki ciężki to frasunek. Jak uciec przed nielubionym? jak pozbyć się narzuconego?

. . . .

— Patyczków miętowych za cztery!

— Chleba świętojańskiego za dwa!

— Orzechów!

— Pierników!

Gromada malców otacza straganik, tłocząc się i sztukając w stół miedziakami.

— Zaraz, moje dzieci, zaraz — mówi pani Maciejowa, przecierając oczy. — Dostaniecie wszyscy czego wam potrzeba. Tylko nie krzyczcie-ż tak głośno. Maciejowa jeszcze nie ogłuchła.

I obdziela malców przysmakami, zgarniając miedzianą monetę do dużej, skurzanej kieszeni.

Chłopcy odchodzą, krzycząc i przepychając się i podrzeźniając starą straganiarkę

Mróz ani na włosek nie zelżał. Niebo ziemia iskrzą się jak kryształowe. Ile razy otworzą drzwi od szynku naprzeciwko; bucha z niego para wielkiemi białemi kłębami.

Panią Maciejową nogi bolą nie żartem, I zesztywniała jakoś, że poruszyć się nie może

A Rózi jak niema, tak niema..

Trzeba znów sięgnąć do (pocieszycielki).

Tylko, że ta ziołówka, zwykle tak pomocna, dziś wcale nie działa. Ani do żołądka nie idzie, ani do głowy, tylko — w nogi. Zamiast pokrzepić, osłabia zamiast pocieszyć, zasmuca...

Oj tak! smutna to dola siedzieć na mrozie i staremi oczami wypatrywać, zkąd spadnie trojak lub pięciogroszówka!

W młynie weselej...

Weselej, albo i nie. Maciek po ślubie. zrzędniejszy jeszcze i gorszy. Na dom skąpi, a sam hula i pije na potęgę W miasteczku ma kamratów i kochankę. Coraz częściej wyjeżdża na zabawy, a młyn na łasce ludzi zostawia. I niema komu gospodarczyć, bo ojczyśko dawno już w ziemi. Dni się wloką ponuro, ciężkie, nudne. Gdyby nie dziecko, toby przyszło chyba spróbować, jak też głęboka woda pod kołami...

A Stach?

Kości jego przesypał żółty, nadnarwiański piasek. Wieczne odpocznienie zmarłemu, a spokój tym, którzy go przeżyli!...

— Słysz, ty stara, nie spij! Zmarzniesz jeszcze, a nam będzie bieda!

Tak wykrzykuje przechodzący mimo straganu policjant i taska panią Maciejowę za ramię.

Staruszka otwiera oczy, — siwe wyłzawione oczy, które błyszczą matowo, jakby na nie bielmo śmierci wchodziło — i twierdzi, że jako żywo nie spała...

Potem wlepia wzrok w dwa sfinksy, które po dawnemu leżą nieruchomo, białemi płaszczami śniegu okryte.

— Co to za głupi naród! — mruczy. Wmawiają we mnie, żem spała. Zesłabłam jeno kruszynę i tyle.

Sfinksy ją nudzą, więc podnosi głowę wyżej nad kominy. Ludziska muszą palić w piecach co się zmieści, bo każdy komin zieje kłębami dymu, jak wulkan. Dymy te słoneczną jasnością przyjęte, układają się malowniczo, tworząc niby pałace, niby kościoły...

Pani Maciejowa radaby zapomnieć o bólu, który z nóg przechodzi do krzyża. I dlatego ściga wzrokiem te przezrocze gmachy, rozpływające się na wietrze.. Czasami frontowa ściana gmachów w gruz się wali i wówczas oko sięga do wnętrza. A we wnętrzu pełno filarów, ołtarzów świeczników Podobne to trochę do Fary, a trochę do kościoła na Grzybowie. Tylko większe i bogatsze

Ché znów, bliżej się wpatrzawszy, nie gmachy to, tylko ogrody. Najwyraźniej widać klomby, aleje i szpalery Każdy gatunek drzewa odróżnić można z łatwością. Tu stoją kuliste lipy, obok nich pierzaste akacje, dalej piramidalne kasztany, a w głębi buki, pokręcone wężowo.

Ale wszystko to znika wobec wysmukłych włoskich topoli, któremi wysadzona jest długa a prosta aleja. W końcu tej alei świeci słońce, i długie pasma blasku wśród drzew rozsnuwa. Kurz wzbija się kłębami dosięga wierzchołków topoli, a potem opada. Z tumanu wynurza się oddział jeźdźców. Boże, jacyż śliczni! Nad błyszczącemi ich kaskami szumi las chorągiewek. Na mundurach tyle barw, że aż w oczach ćmi się. Jeden w drugiego, rumiani, z podkręconym wąsem i skrami w źrenicy. A na ich czele najrumiańszy i najśliczniejszy, w oficerskim mundurze z szablą dobytą i krzyżem na piersiach (za waleczność).

Oddział postępuje równo bez brzęku i szczęku. Nagle staje. Ten, który mu przewodzi, zatacza ognistym rymaniem i w miejscu go osadza. (Otóż jestem) — mówi wesoło, muskając wąsik jedwabny. I dodaje z konia zeskakując (daj buziaka Marynko wszystko pójdzie dobrze!)

Słychać śpiew choralny, organy i księdza intonującego (*Veni Creator*). Wszystko drży, płonie i migocze. Uskrzydlone główki wychylają się z obłoków. Obraz w wielkim ołtarzu rozsuwa się, dając widok na jakąś głębię czarowną. Ztoto tam błyszczy i brylanty. I gdzie spojrzeć, różowo, różowo, różowo...

. . . .

— Wstawajcie babciu, śniadanie wam przyniosłam!

Ale babcia spi twardo, i nie obudzą już jej najgłośniejsze nawet wołania.

Kronika naukowa.

(Elektroliza i barwniki: Motor elektryczny i maszyny do szycia. „Dynamit paille“ Cottego.)

Jak wiadomo prąd ele tryczny przechodząc przez słabo zakwaszoną wodę rozkłada takową na jej części składowe na wodór i tlen; własność ta prądu elektrycznego została zużytkewana przez Goppelsrodera do farbiarstwa elektrycznego

Wynalazca wnioskował w ten sposób:

Jeżeli do wody przez którą prąd przepuszczamy, dodamy jakiegoś ciała, które pod wpływem jednego z tych gazów się rozkłada lub wiąże w jakie nowe połączenie chemiczne, to musi to nastapić i tutaj tem bardziej iż wywiązujace się gazy działają „in statu nascenti“. Najwięcej używanym materjałem do wyrabiania farb jest obecnie maź popazowa, z mazi tej otrzymujemy farby „anilinowe“ tak wysoce cenione. Nim jednak maź dostarczy nam żadnych barw przebyć musi długi szereg zmian chemicznych, które jednak właściwie nie są niczem innem jak tylko utlenianiem materji t. j. dorzucaniem do jej składu tlenu lub też redukowaniem tejże t. oddzielaniem z jej składu za pomocą wodoru Otóż tego utleniania i redukowania podjął się prąd elektryczny.

Goppelsroeder rozpuszcza w zakwaszonej wodzie materje organiczne, zmieniające się pod wpływem wywiązanego tlenu lub wodoru w materje barwiące i działa prądem elektrycznym przepuszczając go przez wodę. Wywiązujący się wodór i tlen działają na znajdujace się w wodzie połączenia, częścią redukująco częścią utleniająca. Zdarzyć się więc może, że na jednym biegunie otrzymamy barwę inną, niż na drugim, chcąc więc mieszaniu się barw zapobiedz dzieli Goppelsroeder naczynie na dwie części, wstawiając w środek tegoż porowatą ściankę. Wskutek tego zbierają się barwniki powstałe przez utlenienie w jednej zagrodzie, w drugiej zaś barwniki powstałe przez redukcję. Wynalazca czynił próby z solami anilinowemi, dalej z rozmaitemi aminami i naostatek z fenolem i otrzymał rozmaite barwniki jako to: farby anilinowe czarne, niebieskie, violett Hoffmanna, sztuczną alizarynę i t. d..

Na biegunie zaś dodatnim osadzaja się barwniki anilinowe czarne i niebieskie, podczas gdy alizaryna na piegunie ujemnym Chcąc otrzymać barwnik anilinowy niebieski trzeba do kąpieli, przez którą się prąd przepuszcza, dodać ros-aniliwy w roztworze wodnym z alkoholem matylowym kwasem siarkowym i jodkiem potasu.

Na wystawie elektrycznej w Paryżu w r. 1881 znachodziło sie kilkadziesiąt sztuk materyj jedwabnych farbionych metodą Goppelsroedera budziły one powszechne zajęcie.

* * *

Elektryczność stara się ciągle wtargnąć w dziedzinę pary i pracy rąk ludzkich. Przyznać należy iż jej się to w pewnych razach całkowicie udaje, szczególnie tam gdzie chodzi o otrzymanie siły nie zbyt wielkiej:

Szanowne czytelniczki wiedzą jak męczącem jest szycie na maszynie, otóż p. Wiliam Griscom w Filadelfii postanowił zastąpić pracę nóg elektrycznością i udało mu się to zupełnie.

Elektryczności dostarcza motorowi baterja złożona z sześciu stosów, składających się z środkowej płyty cynkowej i dwóch bocznych płyt węglowych, które mogą być mniej lub więcej w roztwór dwuchromianu potasowego i kwasu siarowego zanurzone. Baterja cała znachodzi się w skrzyneczce drewnianej, która służy zarazem jako krzesło i może być do maszyny do szycia przysuniętą. Z boku skrzynki znajduje się deszczułka, naciśnięcie jej nogą sprawia zanurzenie płyt stosów w roztwór, prąd zaczyna krążyć i porusza motor a z nim i maszynę; z chwilą podjęcia nogi deszczułka powraca w swe pierwotne położenie, płyty się wynurzają, elektryczność przestaje krążyć, motor i maszyna stają.

W ten sposób można każdej chwili z wszelką łatwością puścić maszynę w ruch lub ją też zatrzymać. Oprócz tego od mniejszego lub większego naciśnienia deszczułki zależy mniejsze lub większe zanurzenie płyt, co ostatecznie sprawia powolniejszy lub szybszy ruch maszyny. Sposób więc dostarczania elektryczności jest jak najlepiej obmyślany.

Drugą częścią jest motor elektryczny udzielający maszynie do szycia potrzebnej siły za pośrednictwem pasa, przechodzącego przez koło motoru i maszyny.

Składa się on z dwoch silnych elektromagnesów zasilanych elektrycznością z wmocnionych poprzednio stosów; elektromagnesy sprawiają obrót induktora Siemensa położonego między niemi, cś zas induktora posiada na swem przedłużeniu koło, służące do nawinięcia pasa, który w dalszym swym ciągu przechodzi przez koło maszyny do szycia, to już w górze nadmieniliśmy. Cały ten motor nie waży więcej nad 2 klg. i daje się z łatwością umocować za pomocą odpowiednich śrub do stolika maszyny. Mimo swych małych rozmiarów, bo ma zaledwie cztery cale dlugości a $2^1/_4$ szerokości, wykonuje ten motor zadziwiająco wielką pracę, igła maszyny porusza się pod jego wpływem z szybkością 700 uderzeń na minutę. Dalszą zaletą jego jest, iż odznacza się wielką prostotą w swej budowie; jest nadzwyczaj pojedynczy a ztąd trwały i tani. Posiada słowem wszystko co mu może zapewnić jak najlepsze przyjęcie w sferach interesowanych.

* * *

Po prochu nastąpiła bawełna strzelnicza, po bawełnie strzelniczej nitrogliceryna a po niej mnożą się coraz więcej, coraz silniejsze środki eksplodujące. Jednym z takich mat rjałów wybuchowych nowszych czasów jest: nitrocellulosa, której rozliczne, odmiany posiadamy. Między innemi znachodzi się także tak zwany; „Dynamit paille“ czyli dynamit ze słomy wynalazku Cottego.

Słoma posiadająca krzemionkę w swym składzie pozostawia się przez 15 do 18. godzin w roztworze potażu gryżącego i sody, przezco wszystkie części rozpuszczalne odłączone być mogą w wodzie wrzącej.

W ten sposób przyrządzoną słomę miele się w młynach papierowych, zarabia na masę i formuje arkusze o znacznej grubości, 1 kwm. podobnego papieru waży około 300 gr.

Arkusze pocięte w pasy szerokości 2 do 3 mm. zanurza się w mieszaninie 3 części kwasu azotowego dymiącego z 5 objętościami kwasu siarkowego. W mieszaninie tej pozostawia się 3—4 godzin wymywa tak długo w czystej wodzie dopóki nie przestanie dawać kwaśnej reakcji. W ten sposób otrzymuje się nitrocellulozę posiadającą nadzwyczaj wielką siłę wybuchową, przyczem użycie jej jest nader łatwe Ostatecznie wkłada się ją w roztwór saletry i dodaje proszku węgla. Stosunek w jakim te ostatnie odczynniki użyte bywają jest różny i zależy od celów, w jakich się nitrocellulosy używa.

Cotte miesza jeszcze otrzymaną ze słomy nitrocellulosę z 2—3% potażu i sody, tłucze ją na proch i dodaje 50% nitrogliceryny.

„Dynamit paille“ Cottego nie marznie pozostaje zawsze plastyczny i eksploduje nawet przy dosyć niskiej temperaturze.

Kaz. Spoliński.

Przegląd literacki.

Zeitschrift für Geschichte und Landeskunde der Provinz Posen herausgeben von Dr. Christian Meyer königl. Staatsarchivar der Provinz Posen. Erster Band. Erster Heft Posen 1882 J. s. 380.

Minęły już czasy kiedy niemieccy uczeni słynęli z swej bestronności i gruntownej wiedzy — dziś po zwycięskiej kampanii francuskiej szowinizm narodowy owładnął armią niemieckich piór. Od najmniejszego pisemka do najpoważniejszych wydawnictw wszystko owiane jednym duchem, iście krzyżacką pychą i pogardą ku wszystkiemu co nie-niemieckie, co prócz prawa niema za sobą dla ich poparcia brutalnej siły miliona iglicówek. Kierunek ten najjaskrawiej przebija się w niemieckich pismach traktujących o obecnych zdarzeniach lub o przeszłości Polski z równą nienawiścią i stronniczoscią, a niestety dzieło, któregośmy poważny tytuł wyżej przytoczyli z tej ogólnej reguły wcale nie jest wyjątkiem. Prawdziwe lub nie – mniejsza o to—zesławiono, by tylko dzieje naszc w niekorzystnem przedstawić świetle, a Poznańskie jako niemiecki kraj. Sam wydawca Dr. Christian Meyer według którego Poznań „to naj tarsze i najznakomitsze niemieckie założenie“ (str. 124) daje nam dwa artykuły „Niemcy w poznańskiej prowincji przeciw polskiemu powstaniu 1848“ i „Fryderyk Wielki i Pobrzeże nadnoteckie“. W pierwszej rozprawie rzecz naturalna odmalowane są żywo wszystkie „okrucieństwa“ jakich się dopuściły „polskie bandy powstańcze“ na spokojnych obywatelach niemieckich i żydach“ Szczególnie żydzi, pod pozorem, jakoby na powstańców z okien strzelać mieli, zostali ciężko pobici, skrzywdzeni, a mieszkania ich splądrowane „(str. 216) lub, jak na str. 222 „Teraz nastąpiło plądrowanie domów, które do niemców i żydów należały, czego nie zrabowano zniszczono. Zburzono także synagogę“. Tak to pod piórem Dr. Meyera wyrośli nawet cisi i trwożliwi zazwyczaj żydzi na bohaterów i męczenników niemiecko-narodowej sprawy. W drugiej swei pracy roztacza autor przed oczyma czytelnika „dokładny obraz błogiej działalności Fryderyka. W około podniesienia przez polskie gospodarstwo głęboko upadłego kraju pod względem gospodarczym „(str. 145) ma się rozumieć za pomocą germanizacji. Zachwycają wydawcę słowa Frydryka że „najpewniejszym środkiem, by słowiańscy ludzie nabrali lepszych wyobrażeń i obyczajów zmieszać ich z czasem z niemcami“ powtarza je aż dwa razy jakby dla łepszego w bicia ich w pamięć czytelnika. Ponieważ zdaniem Fryderyka W. „polscy ludzie są za gnuśni i leniwi i niemają żadnej ochoty do pracy“ „należy przeto na to baczyć by sprowadzać ludzi z Meklemburgii i Łużyc i osiedlać ich tutaj“ w przeciągu też lat jedynastu (1775—86) osiedlono 2,200 rodzin czyli około 11.000 osób. Słusznie mówi autor, że „w ogólności dzieło kolonizacji znakomicie się królowi powiodło“, bo dziś okolice nad Notecią należą do najbardziej zgermanizowanych części dawnej Rzeczyposp. Cały t. zw. Netzdistrikt na przestrzeni 222 ☐ mil mieścił w sobie 1861 r. 351,800 Niemców, a zaledwie 158,000 czyli 30 % Polaków (patrz :

Szymański Statystyka ludn. polskiej pod zaborem pruskim str. 14) Szkoda że autor „w dokładnym tym obrazie“ zapomniał o tysiącach Polaków przesiedlonych gwałtem z nad Noteci na Pomorze, o polskiej młodzieży branej przemocą do wojska w niemieckie strony i innych tym podobnych dobrodziejstwach, na których nie poznała się tylko „gnusność i głupota prostego (sc. polskiego) człowieka (str. 230). Bardzo ciekawie opowiada Dr. Meyer o bezprawnem wbrew rozbiorowemu traktatowi z r. 1772 (gdybyśmy nawet i ten za prawny wziąść chcieli) wysunięciu granicy o 2 mile po za Noteć w głąb ziem Rzeczypospolitej. „Dopiero jesienią — mówi on 1772 roku przyszło do rozbiorowego traktatu między Rosją, Austrją a Prusami. Już przedtem rozkazał Fryderyk większemu oddziałowi wojska posunąć się po Notei, tak daleko miał sobie kraj przywłaszczyć. Wyciągnął swą rękę jeszcze dalej i wziął drugi brzeg Noteci. Pełnomocnik jego von Brenkenhof dał się przyjaciółce swojej hr. Skorzewskiej właścicielce Łabiszyna, która jako gorąca aliantka Prus słusznie obawiać się mogła o swe dobra w Polsce, nakłonić do wysunięcia nowej granicy pruskiej po za Łabiszyn, tak, że nie Rynarzewo, jak postanowiono, było najdalej wysuniętem punktem granicznym, ale objęto jeszcze granicą dobra Łuboczyńskie i Boroznickie, na których przeważnie (?) żyli niemcy. Tak więc Szulice zostały ostateczną granicą. Frydryk II. był z tego zadowolony i zapragnął wkrótce jeszcze więcej, ponieważ nie spotkał się z żadnym oporem“ (str. 158) Co za litość dla jakiejś Skórzewskiej — co za bohaterstwo zabierać cudzą własność, skoro właściciel sił niema ich bronić! Rzeczywiście czyny godne, by poświęcić im osebne studjum!

Dzielnego współpracownika znalazł Dr. Meyer w swym wydawnictwie w Dr. Max. Bärze autorze czterech rozpraw „Dzieje luterskiej gminy w Poznaniu“ „Jan Łaski reformator Polski“ „Bambrzy koło Poznania“ w końcu „Relacja naocznego świadka bitwy pod Byczyną“. Skąd autor przyszedł do przekonania, że podczas reformacji „w miastach Wielkopolski i Prus niemiecki element był przeważającym i że zachowało się w nich żywe współczucie wypadków w dawnej (niemieckiej) ojczyźnie“ (str. 66) co pomyślnie wpłynąć miało na rozszerzenie reformacji, trudno odgadnąć— jeżeliby bowiem przyszło sądzić o narodowości luteranów w Poznaniu, to z opisu 15stu ich reprezentantów przy zawarciu kupna pałacu po Stanisławie Górze 1593 r. dla ewangielickiej gminy zawyrokować byśmy musieli na korzyść polskiego żywiołu. Na 12 nazwisk polskich znachodzimy zaledwie trzy niemieckie. Zdaje się jednak, że dla Dr. Bära nie jest to żadnym argumentem. Wśród nazwisk niemieckich kolonistów przybyłych z początkiem zeszłego wieku w okolice Poznania jak nazwa ich wskazuje „Bambrzy“ z Bambergu znachodzi dwa nazwiska polskie: Andrzeja Koszyckiego i Jakóba Kosmatego. Ponieważ w kontrakcie zawartym między Bambrami, a poznańską gminą po wyliczeniu ich nazwisk dodano „którzy to wszyscy są niemcami i katolickiej religji“ autor zamiast przypuścić że do Bambrów przyłączyło się kilku Kaszubów lub innych polaków i że gmina mając na uwadze całość nie uzględniła narodowości dwóch — zamiast tego wszystkiego, autor stara się udowodnić, że Koszycki był rodowitym niemcem. Wzmianka w jednym z późniejszych aktów o tymże Koszyckim „nec non Koszyckim incolam Ratajensem linguae polonicae optime peritum“ zdaniem dr. Bära tem silniej przemawia za niemieckością Koszyckiego. Na pytanie skąd pochodził odpowiada zgodnie z tradycją (n, b. mówiący o ogóle Bambrów) z Witembergii — szkoda, że nie dodał „wiadomo bowiem powszechnie, że tam wszyscy wieśniacy mimo niemieckie pochodzenie noszą polskie imiona i nazwiska“ a sprawa byłaby jasną jak słoneczny promień i nie potrzebowałaby długich dowodów.

O dalszym ciągu pracy „o Bambrach“ mówić nie będziemy. Nie jest to już bowiem naukowa rozprawa, ale zwykle polityczny artykuł wzywający rząd do zgermanizowania oddawna spolonizowanych Bambrów za pomocą szkoły i kościoła na tej podstawie, że niegdyś byli niemcami. Ciekawiśmy tylko coby dr. Bär powiedział, gdyby Rosja po zagarnięciu Prus wschodnich dlatego, iż znajduje się tam garstka Filiponów rosyjskiego pochodzenia, chciała całe Prussy wschodnie zrusyfikować. Byłoby to zapewnie gwałtem, na które tylko „*niedźwiedź*“ północny zdobyć się może.

Nie starczyłoby nam miejsca, gdybyśmy o każdej pracy z osobna pomówić chcieli. Z tego cośmy już przytoczyli — czytelnik łatwo sąd sobie o całym wydawnictwie wyrobi. Pod względem naukowym nie przynosi ono prawie żadnej korzyści, a jeżeli dr. Mayer postawił sobie za zadanie przekonać rząd pruski o zbawienności germanizacji „niemieckiej prowincji poznańskiej“ to nie potrzebował do tego ubierać się aż w poważną togę uczonego.

K. W. Żółkiewski.

Przegląd teatralny.

Obiegłszy sceny: krakowską i warszawską, przedstawił się nakoniec lwowskiej publiczności „Wujaszek Alfonsa“ Stanisława Dobrzańskiego — i utrzymał ją przez pół godziny w nieustającym śmiechu. Jest to jednoaktowa farsa z b u d o w a n a z humorem i ogromną znajomością efektów scenicznych. I to jest główna jej zaletą; bo w żadnym razie nie zgodzimy się z owymi „znakomitymi znawcami sztuki“, którzy utwór ten, pełen wprawdzie humoru, ale niewytrzymujący poważniejszej krytyki, nazwali „genialną farsą“. Wyrazami: genialny“ „znakomity“ „świetny“ szafować nie trudno, ciekawym jednak, co pozostanie dla utworów zasługujących rzeczywiście na te nazwy. Wybuchy śmiechu wśród widzów, nie są jeszcze dowodem wartości sztuki.

„Wujaszek Alfonsa“ ma przedewszystkiem tę wadę, że pod koniec akcja i humor tak raptownie słabną, iż w chwili gdy zasłona zapada, widz już miał czas przyjść do refleksji, że pół godziny blisko śmiał się z nienaturalnie naciągniętych sytuacji.

Farsę tę odegrano z humorem i życiem, p. Fiszerowi zaś należy się odznaczenie.

Wspomnieliśmy ostatnim razem, że zobaczymy p. Zboińskiego w roli Radziwiłła, w roli, o której recenzje dzienników petersburgskich pisały hymny pochwalne. Niestety, nie możemy unisono zapiać z nadnewskimi krytykami, bo p. Zboiński nie przedstawił nam takiego Radziwiłła, magnata, figlarza i facecjonisty, jak nam go historja i tradycja wyobrażać sobie pozwala. Wyjąwszy charakteryzacji, która była bardzo dobrą, p. Zboiński grał rolę tę bez humoru. Wszystkie owe facecyjki improwizowane przez Radziwiłła, wyrecytował p. Zboiński nie budząc żadnego interesu w słuchającym. Historyczne „panie kochanku“ nie wyrywało się mimowoli jako przysłowie „przeklęte“, którego w rozmowie z Syruciem chciał nawet uniknąć Radziwiłł, a nie mógł; p. Zboiński wymawiał je, jako dalszą część zdania rozpoczętego. Pominąć nie możemy i tego, że nawet taki magnat, jak Radziwiłł, nie wybierał się na polowanie w pysznym aksamitnym kontuszu, mógł zatem p. Zboiński — a wiemy że miał możność — skromniejszy wziąść kostjum do aktu pierwszego.

P. Lubicz widocznie nie ocknął się jeszcze, że występuje teraz przed inną publicznością, która o przyzwoitości dobrze wychowanego człowieka ma cokolwiek delikatniejsze pojęcia. Gra jego w „Chichotkach“ mogłaby się niezaprzeczenie podobać „Kańczukowom“ i t. p. — ale w naszej

publiczności może tylko obudzić co najmniej niesmak, jeśli nie oburzenie; gdyż taka wymowna gestykulacja jest lekceważeniem i obrażaniem sztuki i publiczności. Mamy nadzieję, że p. Lubicz będzie się starał złagodzić w przyszłości zdziczałe nawyczki przywiezione z dalekiej północy.

W „Boccaccio“ debiutował młody baryton p. Fontana. Możemy powinszować Dyrekcji tego nabytku. P. Fontana posiada obszerną skalę głosu silnego i przyjemnego, który potrzebuje wprawdzie jeszcze szkoły, ale też zasługuje na tę pracę. O grze możemy tyle powiedzieć, że jakkolwiek zdaje się, że p. Fontana nie ma wyobrażenia o tem co to jest „trema“ i zupełnie obojętnie spogląda na publiczność, powinien starać się o swobodę w ruchach, a osobliwie nie trzymać ciągle niewolniczo rąk przy korpusie.

Nakoniec musimy zrobić jeszcze tę uwagę, że panuje w naszym teatrze naganny zwyczaj, iż gdy publiczność po efektowniejszej scenie obdarzy grającego artystę oklaskami, ten powraca z za kulis i kłania się uśmiechnięty publiczności, nie zważając, że jeszcze dalsza odgrywa się scena. To powracanie wśród aktu psuje wartość następnych scen i wprowadza w ambaras grających. W większych zagranicznych teatrach nie wolno pod karą powracać aktorowi z za kulis wśród aktu na oklaski publiczności; co innego w operetce, jeżeli publiczność domaga się powtórzenia piękniejszego numeru. Na podziękowanie publiczności za uznanie wyrażone oklaskami jest najodpowiedniejszy czas po zapadnięciu zasłony.

Tumult.

Przegląd muzyczny. *)

Kiedy Beethoven grał w r. 1795 u swego protektora i wielbiciela ks. Lichnowskiego 3 pierwsze tria swojej kompozycji, radził mu stary Haydn, którego B. był uczniem, aby trzeciego (c-moll) nie publikował, a że radził mu szczerze, z najgłębszego przekonania, o tem dziś n i k t nie wątpi, gdyż poczciwemu, dobrodusznemu Haydnowi nie mogło się ono podobać, nie mógł się niem zachwycić, musiałby bowiem zerwać z całą swą przeszłością sprzeniewierzyć się tradycji..... mając lat 63! Nie tak jednak zapatrywał się na to młody Beethoven, a ostra choć z przekonania płynąca krytyka zraziła go wielce, utwierdziła w błędnem mniemaniu, że pochodzi z zazdrości, i przyczyniła się do zerwania i tak już nieco naprężonych stosunków między uczniem a nauczycielem.

Beethoven Trio Cmoll (op. 1 N. 3) odegrali pp. Dyrektor Mikuli, Wolfsthal i Wollmann. Jedna z najpiękniejszych kompozycyj nieśmiertelnego mistrza, oto pierwszy Nr. którym rozpoczęto 4y wieczór Towarzystwa muzycznego we środę d. 11. b. m. a któryby sam wystarczył do zapełnienia sali. P. dyr. Mikuli rzadko się daje słyszeć, grywa zwykle raz w roku na jednym z wspomnianych wieczorów i nie obejdzie się wówczas nigdy bez tradycyjnych bukietów, wieńców i t. p. owacyj. Tak też i w środę wyszedłszy na estrudę zastał w miejsce fortepianu jeden wielki bukiet, cały bowiem instrument wraz z klawiaturą pokryty został kwiatami, których dostarczyły uczennice, wielbicielki i wielbiciele jego. Trio Cmoll! Któż go nie zna? Kto go nie słyszał choć parę razy w życiu! Nie było może nikogo w sali, komuby było obce, jesteśmy jednak pewni, że w takiej interpretacji mało osób je słyszało! P. Mikuli posiada wielką technikę, nie jest ona jednak u niego alfą i omegą sztuki, jest tylko środkiem, zawsze podporządkowanym, z całą służbistością oddanym na usługi ducha kierowanego myślą kompozytora. Zaraz w „Allegro con brio“ z pierwszej frazy poznać było mistrza a cóż dopiero w andante, w warjacjach! W 3ej warjacji passaże, to istne perełki, 5ą zaś grał w oktawach, których w oryginale nie ma, ale grał ją tak, że gdyby Beethoven żył i słyszał te oktawy, byłby je chyba w manuskrypcie dopisał! Menuet (Q u a s i Allegro) w którym gamy i glissanda odegrane były z prawdziwym gustem, z prawdziwie artystycznem „con amore“ rozentujazmował publiczność. Całe trio zrozumiane i wypracowane aż do najdrobniejszych szczegółów, wykonane było znakomicie, o tem mówić nie ma potrzeby, że zaś pod względem t e c h n i c z n y m pod względem p r e c y z j i i d o k ł a d n o ś c i w mechanizmie nie pozostawiało oddanie go nic do życzenia, to sam przyzna i najzawziętszy antagonista p. Mikulego! A p o d n o s i m y to, bo słyszeliśmy niedawno z kilku stron głosy, że p. Mikuli nie powinien już występować publicznie (?) Jeżeli twierdzący to, byli na ostatnim wieczorze, zapewne zmienili już swoje zdanie. Pod względem tedy precyzji w wykonaniu nie można było nic zarzucić a gdyby i były „kiksy“ (powiadamy *„gdyby“*) które zresztą i Rubinsteinom i Bülowom się zdarzaja, to czy jedna taka fraza, jedno świetne rubato, jedno takie parlando, jakie zagrał p. Mikuli ot n. p. w końcowym ustępie Presta“ (finale) nie kazałyby o wszystkich zapomnieć ?...

Znakomicie sekundowali fortepianowi pp. Wolfsthal i Wollmann, to też po każdej części tria powstawała burza oklasków.

O ryczywole zamilczeć wolę, choć „Narodówka“ właśnie tylko spiew podniosła (!!)

Następnie odspiewała pani J. kilka ładnych piosnek.

Prof. Janouszek odegrał na waltorni z towarzyszeniem kwintetu (!) „Pożegnanie“ Lübecka. Grał ładnie, kompozycja jednak wcale nam się nie podobała. Szkoda tego aparatu do takiego utworu, — wolelibyśmy byli usłyszeć coś innego.

Zakończeniem wieczoru, zakończeniem odpowiedniem do początku, był 6ty (Cmoll) kwintet smyczkowy Mozarta. Rzecz śliczna, prześliczna, odgrana była znakomicie. Pan Wolfsthal zwyczajem swoim grał cudownie. Pierwsze Adagio (con sordini) oddeklamował tak poetycznie, z takiem przejęciem się i ciepłem przytem cieniując tak subtelnie, że porwał i zachwycił wszystkich; oklaskom też nie było końca.

Szkoda, wielka szkoda, że nie posiada instrumentu któryby jego był godnym. Wszyscy współdziałający w kwintecie (zwykły kwartet Tow. muz. i p. Sch.) jako 2ga altówka, trzymali się doskonale na wysokości zadania, jakiego pierwsze skrzypce w rękach takich jak p. Wolfsthala, od nich wymagały.

---

*) Dotychczasowy nasz sprawozdawca muzyczny L. przestał pisać i stąd brak tej rubryki w kilku poprzednich NN., chcąc bowiem by sprawozdania nasze pisał ktoś kompetentny musieliśmy szukać innego referenta.

Redakcja.

ZIANRKA.

W ubiegłą sobotę uczciła młodzież akademicka pamięć 34. rocznicy zgonu Słowackiego wieczorkiem muzykalno-deklamacyjnym, który w wielkiej sali ratuszowej zgromadził liczne i doborowe audytorjum. Do wzbogacenia programu przyczyniła się ceniona i zawsze chętna pjanistka panna Konopacka, młody tenor p. Bandrowski i uznany już powszechnie skrzypek p. Tyberg. Ożywiły znacznie wieczorek młodzieży produkcje lwowskiego chóru męskiego który w szerokich kołach towarzystwa stołecznego zdobył sobie już dawno stanowisko — s i t v e n i a v e r b o — powagi wokalnej. Koncert zagaił jeden z akademików krótkiem przemówieniem i.. nic nie powiedział. Wygłosił wprawdzie cichym panieńskim

szeptem kilka ogólników o poezji nieśmiertelnego Juljusza, ale z ducha tej poezji nie wysnuł żadnego programu dla obecnej chwili. Młodzież, deklamująca pod biustem Słowackiego „Grób Agamemnona", powinna być mniej dyplomatyczną, a więcej otwartą mniej anemiczną, a więcej krewką zwłaszcza że na wieczorku sobotnim mnóstwo dziewic pragnęło usłyszeć wyznanie wiary tej generacji, w której sercu i ręku spoczywa przyszłość...

* * *

Tak jesteśmy przyzwyczajeni do ostatnich Mohikanów w naszej literaturze i nauce, że nie robią na nas żadnego wrażenia. Oto mamy zanotować nowy objaw. W Przewodniku literackiem (z kwietnia b. r. znajdujemy rozprawę dra (sic!) Maksymiljana Kawczyńskiego p. t. Metoda Taina (sic!) Potrzeba wiedzieć światu, że dr. Maksymiljan Kawczyński porwał się z miejsca i tak natarczywie uderzył w Tainowską „metodę", że ją zabił: niczem już zwycięstwo Dawida nad Goljatem. Praca naszego Dawidka upleciona z cieniutkich nitek. Autor opiera się na przedmowie „Historji literatury angielskiej" i w całej 25. stronicowej rozprawie usiłuje dowieść czytelnikom, że nic więcej z Taine'a nie czytał (por. streszczenie dzieła De l'intelligence) Długo i szeroko wykazuje błędy stylistyczne tej przedmowy, koryguje mylnie podane przykłady, ale ile razy uda mu się w dorywczych przykładach wykazać błąd, tyle razy sądzi, że zbił już i zasadę, której ów przykład miał być wyjaśnieniem. Rzeczona przedmowa wcale zresztą nie jest najwyższym wyrazem teorji Tain'a. Znajdzie ją dr. Kawczyński, jeśli już po skrytykowaniu zechce zasięgnąć o niej bliższych szczegółów, w dziele „O inteligencji" (część II) i w Filozofji sztuki.

Obrony Taine w obec wystąpienia dra Kawczyńskiego wcale nie potrzebuje. Według niego psychologiczna teorja Taine'a tylko w niektórych wypadkach jest słuszna, t. j. dzieło tylko „niekiedy" (str. 314) bywa płodem umysłu poety, zwykle zaś zapewne przynosi mu je .. bocian. Taine nic nowego literaturze nie dał, bo jest ślepym naśladowcą Monteskjusza, Buckle'a, Darwina i jakiegoś hrabiego C o n t e, kilkakrotnie wymieniony. Chcielibyśmy prosić dra Kawczyńskiego o podanie nam „metody" literackiej tych krytyków, przyrodników, a zwłaszcza owego hrabiego, znanej mu może z ukrytych rękopiśmiennych źródeł. Dla całego świata dotychczas Taine stanowi epokę w historji literatury, pomimo wszystkich błędów, z których jego teorje oczyścił ostatni lat dziesiątek: błędów, o których krytyk nasz nie wie i wcale nawet o nie nie potrąca.

Radzimy mu tylko przeczytać choćby najmniejszy podręcznik psychologji, aby drugim razem uniknął takich absurdów, jakimi są ustępy o systematyczności myśli ludzkiej (str. 303. 304.) albo o determinizmie woli (str. 308), wywodzonym od Monteskjusza i Darwina (!!! a potępianym na str. 309, kiedy na str. 299. był on prawdą dość pospolitą i starą", o której „k a ż d y c h ł o p wie".

Taką logiką obala wszystko — a stawia w to miejsce „psychologiczne prawa, właściwe jedynie literackiej twórczości" i „wewnętrzną możność rozwoju form literackich". Można będzie w państwie Laputy ogłosić te wynalazki i patent na nie otrzymać.

Dziwimy się, że Przewodnik wydrukował tę ramotę, kompromitującą zarówno to pismo, jak i stan wiedzy naszych ludzi... nauki.

* * *

Nad poznańskim teatrem zawisło widocznie jakieś fatum, bo od samego początku doznaje przykrych ciosów. Wybudowany za mozolnie pozbierane składki zbierane w Poznańskiem, Galicji i Królestwie polskiem, gdyż cała Polska spieszyła z datkami, aby utrzymać tę jedyną prawie świątynię języka polskiego pośród szerzącego się spiesznym krokiem germanizmu, nie może teraz znaleść kierownika, któryby umiejętnie i sumiennie odpowiadał temu ważnemu zadaniu. W ostatnich czasach dyrektorzy zmieniają się ciągle, opuszczając scenę i towarzystwo w bardzo krytycznem położeniu. Aby zaradzić jakoś temu złemu, a ewentualnie uchronić scenę polską w Poznaniu od zupełnego upadku, odbyło się walne zebranie spółki akcyjnej teatru polskiego, na którem postanowiono, że odtąd obejmie spółka prowadzenie teatru na swoją rękę, kierownictwo zaś artystyczne powierzone zostanie weteranowi sceny p. Józefowi Rychterowi. Faktem jest, że scena polska w Poznaniu nie utrzyma się bez subwencji; wprawdzie komitet gorąco krząta się około zebrania potrzebnego funduszu i składki płyną, ale fundusz ten wynosi dopiero 55 00 marek, a to jeszcze bardzo mało, aby odsetki od kapitału potrzebnego mogły wystarczyć na najskromniejszą subwencję. Mamy nadzieję że i nasze społeczeństwo choćby drobnemi datkami przyczyni się i pomoże naszym braciom stękającym pod pikelhaubą.

* * *

Od dni kilku wystawione są w sali hotelu Żorża dwa obrazy Hansa Makarta. Artysta wiedeński jest we wszystkich swych kompozycjach w ogóle malarzem dekoracyjnym, a czemże by innym miał być ten gdzie dekoracyjność wyłącznie była jego celem? „Bogactwa ziemi" i „Bogactwa morza" przygotowane są widocznie do ozdobienia jakiegoś plafondu pałacowej sali i dlatego obliczone są tylko na efekt chwilowy. W obu obrazach jest dużo ruchu i życia, a przedewszystkiem wdzięku, ale treścią nie odznacza się żaden. Bogactwa ziemi przedstawia na obrazie kilka jarzyn, owoców i kóz kilka, bogactwa morza zamykają się w kilku koralach i muszlach Ale nie to stanowi główną rzecz u Makarta. W obu obrazach płody te natury otoczyły kobiety o pięknych, miękkich kształtach i cały rój geniuszków pełnych życia i powabu, bezmyślnych, i wesołych bo szczęśliwych. Te stanowią główną podstawę obrazu, one ocalają całość. Wyborny układ tych figur w grupy siła i harmonia kolorów tylu zlewających się zgodnie w jedno oto najważniejsze zalety malowideł Makartowskich. Obok tych rozgłośnych dzieł wiedeńskiego mistrza wystawiono dwa skromne portrety lwowskiego malarza p. Andrzeja Grabowskiego. Portrety te niepotrzebują wstydzić się swego sąsiedztwa. Owszem stanowią one jawny kontrast pomiędzy brawurą a prawdziwą sztuką. Równie świetne w charakterystyce jak w wykończeniu szczegółów oba te płótna świadczą nietylko o wielkiem talencie naszego portrecisty ale i o sumiennem, a poważnym traktowaniu sztuki.

ZAPISKI

Literatura.

* „W s z e c h ś w i a t" tygodnik popularno-naukowy przetrwał już rok cały, bilans jego nie wykazuje dostatecznego poparcia publiczności, cyfra jednak 800—900 prenumeratorów nie jest znowu tak zniechęcająca, iżby od dalszego wydawania odwodzić miała. „Wszechświat" będzie też i nadal wychodzić. Życzymy mu więc jak najwyższego powodzenia, wypełnia on bowiem lukę powstałą przez ustanie wydawnictwa: „Przyroda i przemysł". — Najnowszy jego numer zawiera: Przemiany owadów. O zrzuceniu skóry czyli wylince u owadów, napisał dr. J. Sznabl.— Wpływ światła na ruch i wrażliwość na barwy u istot najniższej organizacyi, przez J. N.— Zawieje śnieżne, przez E P, (dokończenie). —Sprawozdanie. — Kronika naukowa. — Ogłoszenia.

* S w a t y w a r m i ń s k i e sztuka teatralna w trzech aktach przez Jana Liszewskiego. Pod powyż-

szym tytułem ukazała się książeczka, której autor zdradza wielką znajomość ludu polskiego na Warmii, i dar przedstawienia jego zwyczajów, sposobu wyrażania myśli i przekonań. Pożądaną by wielce rzeczą było, by autor nie poprzestał pracy na niwie ludowego pisarstwa — a spodziewamy się, że stanie się w ten sposób pożytecznym sprawie narodowej szczególnie wśród opuszczonej ludności polskiej Warmii.

Sztuki piękne.

* Wielka wystawa sztuki Japońskiej ma być jeszcze w kwietniu otwartą w Paryżu. Organizowaniem wystawy zajmuje się pan Ludwik Gonse, redaktor dzienika „Gazette des Beaux Artes". Wystawa ta będzie nader interesującą, poraz pierwszy bowiem, można będzie widzieć zgromadzone w jednym miejscu to, co sztuka japońska wydała najrzadszego i najciekawszego w przeszłych wiekach Będą tam okazy autentyczne, nie mające nie wspólnego z produktami podejrzanego gustu, któremi Europa jest zarzucona. Przedmioty wielkiej wartości umyślnie nadesłane zostały z Japonii, z których można naocznie się przekonać, że owa wyrafinowana cywilizacja kraju tak długo zamkniętego dla cudzoziemców, obejmuje perjod całych dziesięciu wieków, i podczas kiedy w Europie w średnich wiekach za czasów Karola Wielkiego iluminatorowie ozdabiali manuskrypta. artyści Kioto pokrywali cudnemi malowidłami ściany pałaców Mikadów.

* „Oesterreichisches Museum" zamyśla równie jak corocznie zamówić kilka obrazów u malarzy krajowych, w r. b, jest mowa o 4 portretach, a pomiędzy tymi ma się znaleźć także portret dr. Fr Smolki, przeznaczony do ministerstwa oświaty.

* Dla podniesienia malarstwa al fresco uczynił p. Kalkhorst z Meklenburga, miłośnik i opiekun sztuki, krok godny naśladowania. Przeznaczył on znaczny kapitał na ten cel, ażeby co dwa lata wynagradzano ozdobnie jednego budynku tym rodzajem malowidła. Wybór budynku i osoby artysty należy do berlińskiego akademii sztuk pięknych. Przed czterma laty powierzono młodemu malarzowi Prellowi z Lipska ozdobienie ścian w sali zabudowania berlińskiego towarzystwa architektów, którą to pracę obecnie ukończył. Przeznaczenie budynku dało artyście wątek do przedstawienia historji sztuk, a przedewszytkiem budownictwa pięknego. Do ozdobienia były trzy ściany, jedna przeciwległa ścianie okiennej i dwie do niej przyległe. Jedną z dwóch ostatnich wybrał artysta na przedstawienie sztuki starożytnej, drugą średniowiecznej przeciwległą zaś oknom nowożytnej.

* Nakładem Bruckmana w Monachium wychodzić zacznie „Allgemeines historisches Porträtwerk", które zamknie w sobie 600 portretów osobistości historycznych od r. 1300. W pierszej serji pomieszczone zostaną potrety papieża Juljusza II. według Rafaela Gustawa Adolfa Van Dycka, Marji Stuart Zucherego, Ludwika XIV. Guneslnia i Marji Teresy Mytensa.

* Wystawa międzynarodowa w Monachium otwarta zostanie już w lipcu. Nieporozumienia z Berlinem zostały załagodzone, Francuzi przyrzekli bogato obesłać wystawę.

* Pod tytułem „Die Maler der Gegenwart" zaczęło wychodziś nakładem Fr. Bondy w Wiedniu dzieło, które według prospektu ma pomieścić najlepsze obrazy współczesne. Pierwszy zeszyt zawiera album Defreggera, dalsze zawierać mają obrazy Muzykalnego, Knausa, Vautier'a, Kaulbacha, Grütznera. Obok dodane biografie i portrety artystów.

Miscelanea.

Bibliografia czasopism.

Od czasu rozwoju literatury perjodycznej, olbrzymi dorobek piśmienniczy, zawarty w dziennikarstwie, nie mógł pozostać obcym dla śledzących postęp ducha. To też oddawna pojawili się zbieracze, skrzętni kontrolerowie wszystkiego, co się na niwie myśli ukaże.

W Anglii 1848 r. wystąpił William Poole, obecnie kustosz biblioteki w Chicago, z inicyatywą utworzenia indeksu artykułów dziennikarskich. Praca jego, przygotowana jako próba, podana była do druku w nowym Yorku p. t. „Index to subjects treated in the reviews and other periodicals". Następna edycja, sześćkroć powiększona, ukazała się 1873 r. Odtąd uzupełniano ją ciągle, przy współudziale dziennikarzy, literatów i księgarzy, i w ten sposób w roku bieżącym powstało dzieło o dwóch tysiącach stronnic: „An Index to periodical literature", drukowane w Bostonie, które Anglicy nazwali godnym podziwu Indeksem. Aby dać pojęcie o tym zbtorze, dość powiedzieć, iż zawiera sprawozdania z treści 200 czasopism, drukowanych w Anglii od 1802 r.

Francja od lat kilkudziesięciu szczyci się Polibiblionem. Jestto wydawnictwo miesięczne, w dwóch częściach, obejmujące wykazy najnowszych publikacji, oraz osnowy czasopism. Podobna bibliografia od lat kilku wydaje się w Madrycie, a jak jest szczegółową, dość powiedzieć, iż w niej spotykamy wykazy z „Bibl. Warsz.", „Atheneum", i „Niwy". Istotnie, w tym stanie rzeczy, przy względzie na sąsiedztwo Niemiec pobliżkich, i przykład ich sumienności na tem polu, w co się już dla braku miejsca szczegółowo nie wdajemy („Neuer Anzeiger für Bibliographie und Bibliotekwissenschaft, von Petzholdt"; „Allgemeine Bibliographie von Deutschland"; „Allgemeine Bibliographie der deutschen und ausländisehen Literatur von O. Kistner"), wstyd było, że u nas o niczem podobnem nie pomyślano.

Wprawdzie, już Dmochowski, na początku wieku bieżącego, ułożył spis artykułów, zawartych w 20-tu tomach „Pamiętnika" (1801—1805 r.) Praca ta jednak pozostała w rękopiśmie i w tej formie dołączoną nie była do ostatniego poszytu wydawnictwa. Urzeczywistnił ją Bentkowski dodając do 21 tomu swojego pisma (1815—1821) porządną tablicę analityczną całego zbioru.

Były to jednak usiłowania pojedyncze, za których przykładem poszedł „Tygodnik polski" (tomów dwadzieścia, 1818—1822) redakcja „Wizerunków" (treść 24 zeszytów), oraz wyjątkowo niektóre inne pisma. W pomnikowym „Zbiorze" swoim Iocher (1840 r., w tomie I., str. 367) ugrupował bibliografię czasopism poszytowych od r. 1737 do 1830, uprzedzając, że pracowita jego kwerenda nie wyczerpuje całego materjału. Zacny Estreicher, pod rubryką, „Czasopism" w swej pomnikowej „bibliografii", usystematyzował w skróceniu zawartość niektórych czasopism. Była to jednak praca niemożliwa dla człowieka, mającego zamiar spisywać książki, co już i tak siły pojedyńcze wyczerpywało.

Właściwie umiejętnie pojęto zadanie podporządkowywania zbiorów perjodycznych w sumiennym spisie.

Glücksberga, sporządzonym 1876 r. dla „Kłosów" i Estreichera dla „Tyg, Ill." 1877 r. i „Bibl. Warsz." 1875. Indeksy te wszakże, jako specjalne, nie zaspakajały potrzeby ogólnego spisu zawartości literackiej dziennikarstwa.

Dopiero Wisłocki, przed pięciu laty, wciągnął do swego „Przewodnika bibliograficznego" rubrykę czasopism poszytowych, oraz ilustracyj. Wydawca wszakże mając głównie na względzie publikację książkową i kronikę działalności na polu biblioznawstwa i druków, nareszcie stosunki księgarskie nie mógł czasopiśmiennictwu specjalnej poświęcić rubryki, zadawalniając się ogólnemi notatkami, w kształcie ogłoszeń o treści czasopism pomienionych.

Posterunek więc nie zajęty zajął dopiero u nas p. Paprocki, rozpocząwszy w roku zeszłym, gdy niedokładny katalog Czarnowskiego przestał wychodzić, wydawnictwo miesięczne „Wiadomości Bibliograficznych", które obok wykazów książkowych, miało spełnić posłannictwo notowania postępu myśli na polu dziennikarstwa. W dwuarkuszowym zeszycie pomieszczano spis książek wydawanych w kraju lub zagranicą, i od czasu do czasu przeglądu dziełek, mających znaczenie dla ogółu szerszego, wreszcie ogłoszenia o nowych wydawnictwach.

Najważniejszą jednak dla nas rubrykę stanowi bibliografia czasopism. iście koboldowa praca, a dla robiących kwerendy nieopospolitego znaczenia; wystawmy sobie spis wszystkich artykułów dziennikarskich, usystematyzowanych, ustawionych w szeregi, jak żołnierzy. Ogromny dorobek literacki ukryty w ruchu prasowym, dzięki tej pracy, już nie zaginie, gdyż po upływie lat całych, gorliwy szperacz doszuka się go z łatwością. Niema tu opuszczeń, ani pomyłek, bo argus „Wiadomości" umie dobrze śledzić i artykuły chwyta w locie, a co ważniejsza, doskonale je segreguje, nie dając się przez tytuł, często nieodpowiedni, w błąd wprowadzić.

Jednem słowem, jest to wydawnictwo, wielkiej wartości, jedyne u nas, niestety! a pomimo to mało doznające poparcia. Czemu to przypisać, nie wiemy. Dowodzi to chyba, że daleko w tyle jesteśmy za Anglikami i Francuzami, którzy doskonale rozumieją wartość i znaczenie swoich „Indeksów" i „Polibiblionów", i protogują je i popierają wszelkiemy siłami.

Z. P.

Treść.

Z kwietniowym śniegiem.
Autor „Marzycieli": Ostatni Szaraczek. (c. d.)
Stebelski Włodz.: Beatrix.
Brandes Jerzy: Gustaw Flaubert. (c. d.)
Gomolicki W.: Nieprzespany sen.
Kronika naukowa.
Przegląd literacki.
Przegląd teatralny.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza

Nr. 16. We Lwowie dnia 21. Kwietnia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem.

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli".

V.

Pan Jacenty nosił buty wysokie, w nich szarawary, i kapotę w zimie z sukna szarego, z płótna zaś w lecie, z czarnemi pętlicami. Tą jedną częścią swego stroju różnił się od braci czynszowej, która nosiła kapotę taką samą granatową, jakiej do dziś jeszcze używają małomieszczanie galicyjscy i włościanie wielkopolscy. Głowę okrywał mu w lecie kapelusz słomiany, w zimie czapka rogata, a pas skórzany z klamrą na codzień stalową, od święta posrebrzaną, spoczywał na żupanie. Tak ustrojony, pan Jacenty uważał się już za coś lepszego, i na wszystkich panów Bereźnickich, mimo że między nimi miał krewnych nie mało, spoglądał z pewnej wysokości.

Niech co chcą mówią bezwzględni wielbiciele czasów minionych, mnie ta równość szlachecka, o której tyle nasłuchałem się za lat studenckich, jakoś dziwnie teraz wygląda. Wszyscy pisywali do siebie „panie bracie" i w rozmowie tak się nazywali, tymczasem możnowładca spoglądał z góry nawet na takich Zamoyskich i Ossolińskich, gdy ci własnemi zdolnościami coraz wyżej się wzbijali i długo nie chciał ich uznać za równych sobie. Wojewoda, choćby najmniejszy, uważał starostę i kasztelana, za coś podrzędniejszego od siebie, starosta nie zawsze raczył spojrzeć na szlachcica wioskowego, a ten znów miał za nic szlachcica czynszowego. W teorji była więc równość, ale w rzeczywistości była stanów różnica, bez której nie sposób sobie wyobrazić najbardziej oświeconego społeczeństwa. Bo czyż jej nie ma w tych, z równości i wolności tak sławionych Stanach Zjednoczonych! Tam wyróżniają się ludzie bogactwem, a są i tacy, którzy w herbowych karetach, jakkolwiek do nich żadnego prawa nie mają, jeżdżą po ulicach Nowego Yorku. Ludzkość rozumiejąc, że każda jednostajność nosi w sobie śmierci zarody, poszukuje sama rozmaitości, która jest żródłem walki, a więc i życia.

Synowi pana Jacentego było na imię Hilary, córeczce Zofia. Dziewczynka była jeszcze malutka, ale chłopczyk odrósł już dobrze od ziemi i z gniazd w stodole zręcznie wróble wykręcał. Mimo, że skończył rok czternasty, nauk nie pobierał prawie żadnych, ojciec bowiem nie rozumiał, by większa nauka była niezbędna dla gospodarza. Przy pomocy organisty, nauczył syna tabliczki Pytagorasa, tak zwanego wówczas „Ein mal Eins" czytać z drukowanego i trochę gryzmolić. Na tem skończyła się edukacja.

— Ej! panie Jacenty — mawiał doń nieraz ksiądz proboszcz — waszemu chłopcu dobrze z oka patrzy, widać, że nie głupi. Gdybyście go tak zaczęli do szkół posełać, kto wie, czyby się nie wydrapał na człowieka.

— Panie Boże zapłać za łaskawe słowo — odpowiadał pan Jacenty — ale ja, proszę jegomości dobrodzieja, nie mogę marnować pieniędzy, bo ich nie mam. To, co umie, niech mu wystarczy, boć i ja nigdy więcej nie umiałem, a przecież żyję. Z łaski nieboszczyka pana hrabiego — wieczne odpoczywanie, racz mu tam dać, Panie! — mamy spory kawał ziemi, którą jeżeli tylko będzie dobrze uprawiał, lepiej wyjdzie, niż gdyby został sędzią i z chłopów darł skórę.

— Dlaczego miałby być koniecznie sędzią — zauważył proboszcz. Wszak mógłby tak samo zostać urzędnikiem.

— A w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego! — zawołał pan Jacenty, z przestrachem się żegnając — co też jegomość dobrodziej mówią najlepszego! Więc mój Hilary, syn Jacentego i Katarzyny z Słupskich Bereźnicki, szlachcic z dziada pradziada, po mieczu i po kądzieli, miałby się obcym wysługiwać?? A toż wolałbym go wpierw widzieć na marach, niż doczekać się takiego despektu.. Odkąd mnie nogi noszą, a mam już przecie pięćdziesiątkę z okładem, jeszcze nie słyszałem, żeby jaki szlachcic szedł w służbę niemiecką.

— A mandatarjusze, czyż nie składają przysięgi w cyrkule?

— Prawda, że składają, lecz na sprawiedliwość Panu Bogu, nie na wierność Niemcom. Zresztą proszę księdza Dobrodzieja, sędziów nie rząd płaci, jeno szlachta. Ona też ich przyjmuje i odprawia.

Proboszcz widząc, że szlachcica nie przekona, ustąpił. Hilcio, który się rozmowie

przysłuchiwał, bardzo był uradowany, że spełzła na niczem. Jemu tak się podobała wiejska swoboda, on z takiem upodobaniem biegał z fuzyjką po polach i krzakach; on z taką radością wyglądał każdej niedzieli, aby w kościele przypatrzeć się pięknym szlachciankom, wieczorem zaś pohulać z niemi ukradkiem w gospodzie, że teraźniejszego życia nie oddałby za żadne skarby świata, tem mniej za ławki szkolne, o których po wsiach dziwne wieści krążyły. Ze słowem „szkoła“ łączyła się dyscyplina, którą profesorowie krnąbrnych uczniów do nauki zachęcają, karcer o chlebie i wodzie, i różne inne nieprzyjemności, na których samo wspomnienie Hilciowi włosy stawały na głowie.

Wolał on już od własnego ojca brać bizuny i dalej próżnować. Wprawdzie ojciec budził go ze świtem i do gospodarstwa wypędzał, lecz Hilcio tylko udawal, że ojca słucha. W polu, zamiast pługów pilnować, bawił się z pastuchami; w stodole i w stajni figlował z dziewczętami, a jeżeli tylko w lecie było gorąco, pewnie leżał pod kopicą siana i chrapał w najlepsze. Ojciec mając wzrok krótki, rzadko schwytał syna na gorącym uczynku, za to ilekroć mu się to udało, nie żałował harapa. Czasem smarował mu także plecy cybuchem, z którym nigdy się nia rozstawał. Hilciopłacząc, przyrzekał poprawę, lecz zaledwie ojciec się obrócił, robił swoje. I nie mogło być inaczej. Wszak czternastoletni chłopiec musiał być takim, jaką w owych czasach była cała młódź szlachecka, bez względu, czy pochodziła z domów zamożniejszych, czy biedniejszych. Bawić się, hulać, nic nie robić i ojcowiznę trwonić — oto cel, jakiemu się wówczas młodzież oddawała. Nie przeczę, że gdzie niegdzie znajdowały się wyjątki, ale Hilcio był stworzony na wzór i podobieństwo innych i do wyjątków bynajmniej nie należał.

Hrabia Bryński miał syna Leonarda, który acz był młodszy od Hilcia o cztery lata, dzięki bonom i zagranicznym guwernerom, umiał już niemało rzeczy przeróżnych a między temi po francusku i grać na fortepianie. Hrabina była dumna i nieprzystępna, ale hrabia miał serce otwarte, polskie. Ujrzawszy raz Hilcia w pobliżu dworskiego ogrodu, zapytał, czyimby był synem, a gdy chłopiec rezolutnie mu odpowiedział, jak się nazywa i gdzie mieszka, hrabia bardzo się tem ucieszył, pan Jacenty bowiem należał niegdyś do jego ulubieńców. Poszedł też zaraz do dawnego marszałka, a powiedziawszy mu kilka komplementów o jedynaku, poprosił go, by chłopcu pozwolił czasem przychodzić do dworu.

— Mój Leonardek — kończył hrabia — potrzebuje towarzystwa młodszego, niż jego guwernerowie, którzy jak dla niego, są zanadto starzy i poważni. Wasz chłopiec będzie mu zawsze miłym gościem.

Pan Jacenty zbyt długo był dworakiem, by mu takie żądanie nie miało sprawić przyjemności, z drugiej jednak strony zasumował się pomyślawszy, czy jego Hilcio potrafi przyzwoicie znaleść się w pałacu.

— Jaśnie pan hrabia — rzekł, do kolan mu się kłaniając — jest dla swego chudziny bardzo wspaniałomyślny i ja tego Jaśnie Panu nie zapomnę, ale lęk mnie zbiera, gdy sobie przypomnę mojego chłopca. Gdzie to takiemu urwipołciowi chodzić na pańskie pokoje. To jeszcze dzikie, zwyczajnie jak u szlachetki, a i bez matki się wychował, więc i to coś znaczy.

— Nie troszcz się tylko o niego, mój Jacenty przerwał hrabia już ja wiem, że on nie da się zawstydzić. Ręcze, że się będzie zachowywał jak najprzyzwoiciej, a jeżeli w naszem towarzystwie coś skorzysta, tem lepiej dla niego.

— Byle mu się w głowie nie pomąciło.

— O cóż to — odparł hrabia — alboż stare przysłowie nie mówi, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie!

— Prawda, że tak mówią, chociaż na świecie inaczej się dzieje. Już to panowie zawsze panami, a chudopachołkowi do nich się nie piąć.

— Więc nie chcesz pozwolić swemu synowi, by czasem do nas przychodził?

— Uchowaj Boże! Jaśnie Panie, gdzieżbym ja śmiał odmówić. Alboż to ja nie pamiętam, com winien nieboszczykowi ojcu Jaśnie Pana hrabiego, Panie, świeć tam nad jego duszą! Ja wiem, że dla mego chłopca to wielka łaska, tylko że to do niczego, zwyczajnie drapichrust, wychował się bez matki, rozpuszczony jak batóg cygański.

— No, no, zobaczymy, czy tak jest, jak wam się zdaje odpowiedział hrabia, uderzając przyjaźnie Jacentego po ramieniu.

Po tej rozmowie, z początku raz na tydzień w niedzielę, później dwa i trzy razy w tygodniu, młody pan Hilary Bereźnicki chodził do pałacu, gdzie pod okiem guwernera bawił się z hrabiczem.

Lolo, jak matka pieszczotliwie nazywała jedynaka, był chłopcem dobrym, nawet serdecznym, prędko też Hilcia pokochał, i tak tęsknił do jego towarzystwa, że hrabina, ilekroć synowi chciała sprawić miłą niespodziankę, do dworku Jacentego posełała własne konie po „panicza“. Tak ścieśniała się znajomość, a ze znajomosci rodziła się przyjaźń.

Hrabia był rozumniejszy, niż jego otoczenie. Chociaż jedynaka kochał nad życie, wiedząc, że wychowanie domowe nawet najstaranniejsze, nigdy publicznego nie zastąpi, postanowił oddać Lola w dwudziestym roku do szkół łacińskich. Napróżno matka płakała i mdlała; na nic się też nie przydały perswazje ciotek i wujaszków, hrabia gdy raz co postanowił, nigdy się nie cofał. Lolo więc miał wyjechać do Przemyśla, gdzie hrabia postanowił umieścić go u blizkich swoich krewnych, którzy tam mieszkali. Ale rychłemu tej myśli spełnieniu rzecz jedna stanęła na przeszkodzie. Oto Lolo żadną miarą nie chciał wyjechać bez Hilcia. Próżne były uwagi ojca, nawet jego gniewy; malec uparł się i tak prosił, dopóki hrabia nie posłał po Jacentego.

W długiej przemowie hrabia wytłumaczył, jak niezbędną jest nauka dla każdego człowieka, a gdy z potakiwania głową szlachcica wywnioskował, że Jacenty jest tego samego zdania, tak zakończył:

— Postanowiwszy wysłać mego syna do szkół przemyskich, pomyślałem także o waszym Hilciu. Chłopiec pojętny, mógłby się czegoś nauczyć. (C. d. n.)

SOWY.

(BAJKA.)

Stał gmach wspaniały na gruzach zniszczenia:
Ponuro lśniły poszczerbione ściany,
I czasem tylko przechodzień zbłąkany,
Kiedy nań spojrzał źrenicą marzenia,
Na starych murach smutne czytał wieści:
Niegdyś w dniach szczęścia świetnych czynów dzieje,
A później — długie dni łzawych koleje
A więc w tęsknocie i cichej żałobie
Żegnał ten święty przybytek boleści;
Czasem zapłakał, jak na matki grobie,
I wspomniał, co tam lud poczciwy gwarzy,
I co o zamku tym mówili starzy...

* * *

W koło się różne roiło tam ptactwo,
Skąpo karmione z nieżyczliwej ręki,
I nawet słowik na pobliskiem drzewie
Czasami tęskne wywodził piosenki.
Pytacie, czemu na gruzach przeszłości
Zgłodniałe ptactwo chętnie dotąd gości?
Bo tam rodzinne stare gniazdo leży,
To orle gniazdo — tam na szczycie wieży!

* * *

A w koło zamku sów dość liczne grono
Cicho drzemało pod pułapu cieniem:
Im jako starszym wiekiem, doświadczeniem
Pieczę nad starym gmachem powierzono.

Raz, gdy na gruzach błysnął świt różowy,
Wnet w alarm wielki uderzyły sowy:
— Biada, nam, biada! — zawołały — dzieci!
Patrzcie! to ogień niszczy zamek cały! —
Na szczycie wieży siadł orzeł wspaniały
I rzekł: Precz z trwogą! wszak to słońce świeci!

Antoni Pilecki.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Nie dziwno, że młodzież tęskniła za Jędrusiem, gdy nawet państwu Wilskim, obojgu żyjącym li dla miłości groszy, zimnym i każdemu uczuciu całe nieprzystępnym, kilkudniowa nieobecność nauczyciela dzieci, zdała się za długą, brakowało im go formalnie, wyglądali go niespokojnie. Oni, którzy dawniej tak niechętni byli zawsze obcemu człowiekowi w swoim domu!

Prawda, że w polu roboty były gorące, oko pańskie nie zawsze i wszędzie mogło czuwać nad „płatnymi wrogami , jak to zwykle nazywał pan Wilski służbę i robotnika, a Jędruś nawet jako nadstawnik przy żeńcach, okazał się był bardzo sumiennym i o dobro właściciela dbałym. A z temi regestrami, to już chyba nikt pono nie zdołałby obchodzić się tak systematycznie i skrupulatnie, jak ten Kobylski! Zatem dłuższa jego absencja groziła okropnym nieporządkiem i stratami niepowetowanemi, bo ,,djabli tam dojdą potem tych rachunków".

Pani Wilska słuchająca cierpliwie tych żalów i utyskiwań, potakiwała im monosylabami, dodając od siebie, że dalej dalej, Jaś się gotów od kiążki odzwyczaić i rozpróżniaczyć, a szkoda by było, bo chłopiec widocznie zasmakował w nauce, i według zapewnień kompetentnego proboszcza i opiekuna Dręckiego, może daleko doprowadzić ze swojemi zdolnościami.

Tak stały rzeczy w Zrębach, gdy wreszcie pewnego wieczora jednokonnym wózkiem chłopskim zjawił się Jędruś. Witano się z nim, jak z dawno niewidzianym a ukochanym krewnym bliskim. Jaś o mało go nieprzewrócił uściskami, a na twarzach panny Karoliny i Małgosi widać było — gdyby kto oczywiście był uważał tylko — jawne wzruszenie, które u pierwszej zamanifestowało się żywemi k olorami, u drugiej wręcz przeciwnie, bo bladością niezwykłą.

Nakarmiony z macierzyńską troskliwością przez gospodynię domu, musiał opowiedzieć z drobnemi szczegółami dzieje tych kilku dni. O ile rzeczywiście poruszył wszystkich opis śmierci zacnego profesora i dowód jego przywiązania dla Jędrusia, objawiony ową darowizną skromnego mienia, o tyle zirytowała Wilskich i pannę Karolinę okoliczność, że uzyskaną gotówkę dał nieopatrznie w ręce jakiemuś smarkaczowi. Jak można być tak lekkomyślnym i łatwowiernym! oburzano się jednogłośnie, bo już z samego opisu owego kolegi dawnego, choć w nim Jędruś pominął epizody z lat szkolnych, faworyt pani pocztmistrzowej grubo się niepodobał wszystkim.

Zwłaszcza panna Karolina uspokoić się nie mogła. Tysiąc guldenów z górą... toż to w dzisiejszych czasach niemal majątek!

Wiemy, że w głębi duszy uważała Jędrusia za przyszłego męża — czy zechce czy nie zechce, będzie musiał!... W obec tego bardzo zaniepokoił ją los tej pokaźnej sumy, ulokowanej tak niefortunnie.

Doradzano mu, aby zaraz nazajutrz wrócił tam, i odebrał pieniądze panu Kazimierzowi. Oparł się jednak, obiecując napisać niezwłocznie i zapewniając, że o ile zna Kazimierza, choć mu zarzucić można to i owo, na punkcie uczciwości w oczach jego stoi niezmazany, a wszystkie w tej mierze przypuszczenia i obawy, są co najmniej płonne.

— Et! przez posła wilk nie utyje... zrobiłeś asan głupstwo nie do darowania i basta! Rób sobie zresztą jak chcesz! — zakonkludował pan Wilski.

* * *

Po dwu latach widzimy wszystkich mieszkańców Zrębowskiego dworu we Lwowie.

Mieszkali tu już od niejakiego czasu, bo ciężka i co w tajemnicy było przed dziećmi, nieuleczalna choroba pana Wilskiego wymagała ciągłej pieczy doktorów. Choć z bolem serca na widok potrojonych wydatków i opuszczonej a na łaskę ,,płatnych wrogów" zdanej gospodarki, musieli jednak stale zamieszkać w stolicy. Jakkolwiek bowiem oboje skąpi byli bez granic, nie mniej jednak przywiązani do życia, i gotowi największe nawet wydatki i przykrości ponieść dlań w ofierze.

Panna Karolina została dalej, atoli teraz więcej w roli towarzyszki Małgosi, niżeli nauczycielki. Śliczna panna Małgorzata kończyła już edukację przeciętnej panny posażnej, i brała jeno lekcje konwersacji od rodowitego Francuza i muzyki od najsławniejszego pianisty lwowskiego. Reszty miało dokonać czytanie naukowych dzieł do spółki z panną Karoliną, w zimie lekcje tańca, no... i chyba już dosyć byłoby dla pięknej a bogatej dziewczyny. Tak przynajmniej twierdził opiekun pan Dręcki, z ręką na sercu, czując się w swem sumieniu uspokojonym zupełnie, że obowiązki opiekuna, włożone nań przez ś. p. przyjaciela, spełniał uczciwie i r zetelnie.

Jaś chodził do gimnazjum, i choć Jędruś widząc się poniekąd zbytecznym, chciał pożegnać swoich chlebodawców, na usilne prośby wszystkich, został dalej w domu Wilskich. Zapowiedział jednak, że jeszcze rok tylko może dla nich poświęcić, bo po nim należy mu pomyśleć serjo o przyszłości swojej, jeśli nie ma zejść na całe życie do roli prywatnego bakałarza.

Powiedzieliśmy wyżej „na prośby wszystkich"... Nie przesadzone to wcale. Dla starych Wilskich był prawie niezbędnym. Jaś przepadał za nim, o pannie Karolinie mówić zbyteczne, że rada była mieć go blisko siebie na oku, a co się działo na samą myśl rozstania w serduszku Małgosi, o tem najdokładniej powiedzieć by nam mogła chyba jaka jej rówieśnica, która z przebiegłością skąpca kryje w sobie cichą, ale nie mniej przeto głęboką i namiętną, bo pierwszą miłość dla wyidealizowanego kochanka.

Czy o tem wiedział ten szczęśliwy Jędruś, i czy żywił równe dla niej uczucia? Musiałby chyba być człowiekiem urobionym z przepalonego żużla, a nie pełnym zdrowia i życia dwudziestokilkuletnim chłopakiem, aby widząc tyle czasu blisko siebie tak śliczne dziewczę, nie pokochać go całem sercem i duszą, a przytem nie wyczytać ze spojrzeń ukradkowych, jej przecudownych cząt, nie przeczuć instyktownie, że mu wzajemną była!

Wiedzieli oboje, jak są sobie mili choć dotychczas żadne jednem słowem nie zdradziło się drugiemu — co gorzej jednak, tajny ten spisek młodych serc nie uszedł wprawemu oku panny Karoliny.

Gdy na podstawie kilku pochwyconych w przelocie spojrzeń Małgosi, przesłanych ukradkiem w stronę Jędrusia — innych bowiem poszlak nie miała, zresztą i mieć nie mogła — wysnuła łatwy dla kobiety wniosek, że coś się pomiędzy młodą parką święci, w pierwszej chwili zadrżała... Tej miary rywalka, jak Małgosia, to zbyt wielka przeszkoda, i kiedy? wówczas gdy już widziała się tak bliską spełnienia swoich zamiarów. To okropne! Od czegoż jednak była sprytną kobietą. Najstraszniejszy orkan

łamie igruchoce dęby wyniosłe, wiotki zaś szuwar wodny kładzie się mu do nóg pokornie, ale na to, aby za chwilę powstać i szydzić z groźnego pogromcy, gdy on już daleko...

Więc i to odkrycie, choć ją w pierwszej chwili powaliło, nie złamało jednak...

(C. d. n.)

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

Tu jest wyciągnięta treść ogólno ludzka ze specyficznej sytuacji kartagińskiej.

„Salambo", jak powiedziałem, zrobiła nie mało hałasu, ale nie mniej przeto była rozczarowaniem dla czytelników i krytyki. Nie podzielano z autorem upodobania do przedmiotów ogromnych i płomienistych, niechętnie przedzierano się przez opis starożytnych machin oblężniczych i taranów; proszono go aby napisał nowe opowiadanie miłosne, nowy „roman de passion". Flaubert nareszcie z końcem roku 1869 uległ żądaniu, wydając romans „L'education sentimentale", dzieło najcharakterystyczniejsze i najgłębsze, które jednak zupełnie nie miało powodzenia. Łaska publiczności, oziębiona przez „Salambo", od tej chwili całkowicie się od niego odwróciła.

Nowa książka była nowym rodzajem książki. Tytuł prawie nie dający się przetłumaczyć („Wychowanie serca") nie jest poprawny; nikt i nic się nie wychowywa, jednak książka maluje życie uczuciowe Ale przedstawia raczej stopniowo postępujące stępienie kończące się wydarciem z korzeniami uczucia miłości, aniżeli jego rozwój. Książka mogłaby się słuszniej nazywać „Illuzja miłości i jej wykorzenienie". Jestto jedna z głównych prób Hauberta wydestylować puste nie w postaci czystej iluzji ze wszystkich tęsknot i dążeń zwyczajnego ludzkiego życia. W „Salambo" obracał się cały wątek około świętej zasłony bogini Tanity zwanej Zaimpf; ta zasłona jest promieniejąca i lekka; miasto pozbawione jej ginie, człowiek jeśli się w nią odzieje, nie ulega zranieniu, ale kto sie nią osłoni, musi zginąć. Illuzja jest taką, jak owa zasłona. Jest promienną, jak słońce i lekką jak powietrze, udziela pewności lunatyka a żre, jak koszula Nessusa.

Powiedziałem, że Flaubert wierzył w namiętną miłość trwającą całe życie, nigdy nie zaspokojoną. Taką przedstawił w stosunku Fryderyka do pani Arnoue. Miłość ta jest wstydliwą, tłumioną, wychodzącą na jaw tylko w kilku nierozumnych poświęceniach dla jej męża i w kilku do połowy wypowiedzianych platonicznych zapewnieniach wzajemnych sympatji, które nie prowadzą do niczego, do przyrzeczenia, cofniętego później, do kilku chybionych zamiarów, a po upływie 20 lat do bezskutecznego wyznania i jedynego uścisku, z ktorego się wyrywa kochanek, bo się kochanka tymczasem postarzała i białe jej włosy napełniają go wstrętem.

Szczególnem jest w tym romansie znacznie wybitniej, niż w „Pani Bovary", i to że nie ma żadnego bohatera a zresztą również nie ma i bohaterki. W przestarzałym wyrazie „bohater" leży dziedziczny zwyczaj staromodnej poezji Od wieków autorowie urządzali paradę z bohaterem, był silny i piękny, wielki w cnocie lub występkach, przykład do naśladowania lub odstraszenia — tu schwycił poeta młodego człowieka tego rodzaju, jaką jest największa część młodzieży i bez wyrażenia żalu ani nagany okazał, w jakiej nicości upłynęło jego życie i jak spadały na niego rozczarowania, nie wielkie i rzadkie rozczarowania — w ogóle nie doświadcza on nic wielkiego ani rzadkiego — nie, małe rozczarowania, które składają się na życie. Długo łańcuch małych rozczarowań z pojedyńczemi większemi rozczarowaniami między nimi —to jest Flaubert'a definicja regularnego życia ludzkiego. Ale urok, książki nie polega głównie na przeprowadzeniu melancholicznego kolorytu. Główną zaletą jest dla mnie wdzięk i czystość, którą prowadzone pióro, w opisach miłości Fryderyka.

Głębokie zrozumienie marzycielstwa młodzieńca wskazuje na własne doświadczenie poety. Nigdzie Flaubert nie pisał tak bezpośrednio z własnej duszy.

Fryderyk kocha bez ukrytej myśli, bez nadziei, wzajemności, bezwzględnie, uczuciem podobnem do wdzięczności i doznaje potrzeby, ofiary i poświęcenia się dla kochanki, wzmagającej się wskutek niezaspokojenia. Ale lata upływają i rozwija się podobne uczucie u ukochanej kobiety. Jestto dla nich rzecz pewna, że nigdy do siebie nie będą należeć; ale ich smak, ich sądy zgadzają się z sobą: „Nieraz jedno przysłuchując się drugiemu rzecze ze smutkiem: „I ja także" a wkrótce potem kolej przychodzi na drugie westchnienie. „I ja także"! I marzyli, że gdyby chciała opatrzność, toby ich życie było tylko miłością napełnione, „czemś słodkiem, jasnem i wzniosłem, jak drżące migotanie gwiazd".

„Prawie zawsze zatrzymywali się na wolnem powietrzu w werandzie, a jesienne żółtawe korony drzew rozpościerały się przed nimi nierówno aż do brzegu bladego nieba; albo siadali w pawilonie na końcu aleji, gdzie kanapa pokryta szarem płótnem była jedynym sprzętem. Czarne punkciki poplamiły źwierciadło, ściany tchnęły stęchlizną, oni tam pozostawali, gwarząc o sobie, o innych, o czem bądź, we wzajemnym zachwycie. Niekiedy promienie słońca torujące sobie drogę przez okna sufitu aż do podłogi wyglądały jak struny na wielkiej lirze".

Tą lirą była jak sądzę lira stara, lira prawdziwa; pochodząca z czasów trubadurów; z dni młodości Flauberta i wydaje się, jakby on w tem miejscu właśnie uderzył w jej strony.

„L'education sentimentale" wyszła w czasie, kiedy cesarstwo znajdowało się w epoce ostatnich przejść swoich. Pokup był mierny. Wszystkie dzienniki ogłosiły, że książka jest nudną, a oprócz tego rozumie się niemoralną. Najsmutniejszym było dla Flaubert'a następujące po tem milczenie. Siedmioletnia praca wydawała się straconą.

Przyczyną było to, że za wiele pracował. Aby przedstawić Paryż po r. 1840, studjował stare obrazy, stare plany, rekonstruował znikłe ulice, zgłębił kilka tysięcy gazet z referatem o mowach klubowych i bójkach ulicznych.

Chciał dać absolutnie wierny obraz czasu i za wiele nacisku na to położył. Aparat historyczny działa nużąco. Nienawiść głupoty zaprowadziła go i tu zadaleko. Już w młodości należało to u niego do zabawy, urządzonej wspólnie z Bouilhetem, spisywać jak można najwierniejsze kopje mów oficjalnych w ogóle, wierszy okolicznościowych przy poświęceniu dzwonu albo przy pogrzebie monarchy; owacyj ludowych i uroczystych wielkiego rodzaju. Znaleziono całe pakiety takich rzeczy po śmierci Bouilhet'a. W „Pani Bovary" zabawił się, oddając całą mowę naczelnika wystawy rolniczej, jej zapał na obstalunek i styliczne naiwności; tutaj włożył in extenso mowę liberalną, wygłoszoną do tego po hiszpańsku przez „patrjotę z Barcelony" na zgromadzeniu ludowem 1848 w Paryżu. Mowa jest nieprześcigniona jako wzór frazesów o wolności i postępie, ale ona jak i całe zgromadzenie na którem została wygłoszoną, zbyt mało mają związku z głównemi osobami. Obraz czasu zanadto się tutaj rozszerza; jak w „Salambo" podstawa stała się za wielką dla figur. Flaubert zapewne sam to uczuł, bo już pracując nad „Salambo" pisze z niezadowoleniem do jednego z przyjaciół:

„Studjum kostjumu sprowadza zapomnienie o duszy. Dałbym pół ryzy papieru, którą w przeciągu pięciumiesięcy napełniłem notatami, za to, aby przez 3 sekundy uczuć si

porwanym namiętnościami moich osób". — Ale nie zdołał opisać okoliczności, usposobień i stanów ogólnych usunąć w tył dostatecznie. Czuje się, że u niego studjum coraz bliżej dosięga w biegu wyobraźnię, jak w północnej mythologji potwór Mondgarm czychający na księżyc, i że ów biedny księżyc wciąż staje się bliższym pochłonięcia.

Trzy opowiadania „Prostacze serce" „Legenda o świętym Juljanie Gościnnym" i „Herodias" były małą trylogją arcydzieł: nowella z czasów dawniejszych, Legenda z wieków średnich i obraz ze starożytności ;„Herodias" w stylu „Salambo" jest pewnym, silnym obrazem Palestyny za czasów Jana Chrzciciela, na którym świeci ciekawa, obwisła twarz hulaszczego Witteliusa ze wzrokiem wlepionym w martwe oczy odciętej głowy św. Jana. „Legenda o św. Juljanie" jest wzorem odrodzenia średniowiecznego ducha. Żaden mnich nie napisał prawdziwej chrześcjańskiej legendy, jak ten ateista. Nic nie zachowuje ściślej legendowego stylu, jak zakończenie o trędowatym żebraku, pożerającym ostatni kawałek słoniny i ostatni kąsek chleba Juljana, plugawi jego talerz i czarę, nakoniec nietylko rozciąga się na łożu Juljana, ale żąda od niego, aby go ogrzewał nagiem ciałem, A kiedy były książe w pokorze ducha uniża się i czyni to, trędowaty obejmuje go z całą siłą i w tej chwili odmienia się postać żebraka: oczy stają się czyste, jak gwiazdy, włosy długie i jaśniejące, jak promienie słońca, oddech wonieiący jak róże; dach z chaty odlatuje i Juljan unosi się w niebieską przestrzeń, twarzą w twarz widzi Chrystusa, który go wprowadza do nieba.

W „Prostaczem sercu" opowiedział Flaubert, można rzecz, dzieje starej premijowanej służącej z „Pani Bovary". Jestto wzruszające opowiadanie, o starej dziewce, wyzyskiwanej i opuszczonej przez wszystkich, która w końcu całą miłość serca swego przelewa na papugę; podziwia ją nadewszystko; w prostocie zdaje się jej, że jest ta papuga podobną do ducha swiętego w postaci gołębia namalowanego w ołtarzu wiejskiego kościoła, i zwolna zapełnia miejsce ducha świętego w jej świadomości. Ptak ginie, ona każe go wypchać. Ale w godzinie śmierci widzi go w olbrzymiej wielkości, z rospostartymi skrzydłami przyjmuje ją i wprowadza do raju. Jestto jakoby bardzo żałośna parodja zakończenia legendy. Tu i tam wizja i illuzja; przy słabości naszej istoty, łatwości złudzenia i potrzebie pociechy — zdaje się mówić Flaubert, tonąc tak dobrze chwytamy za jedno źdźbło słomy, jak za drugie.

Trzy opowiadania powodzenia nie miały. W nich studjum zrobiło jeszcze jeden krok na koszt życia. Po pierwsze nie było już tu rozmów i odpowiednie opowiadania były raczej regestrami, jak nowellami · czuło się, że poeta zaczyna gardzić właściwą poetyczną techniką. Po drugie zanadto się rozszerzyła uczoność. Zadziwiające studjum było złożone np. w Legendzie. Przeczuwamy, ile legiend Flaubert przeczytał, aby módz z taką dokładnością odtworzyć charakter, Ale nie podjął starania, aby wyniki tej uczoności postawić w perspektywie przed oczami współczesnego czytelnika. Ani dróg ani ścieszek nie przerąbano w dziewiczym lesie legendowym, stoi mocno zrosły i zamyka spojrzeniu wolne tory. Wydaje się, że opowiadanie nie liczy na zwyczajnych nowoczesnych czytelników, lecz albo na ludzi 13. stulecia, albo na wykształconych znawców. (C d. n.)

Pokrewne duchy.

Bywają ludzie tak podobni do siebie pod względem charakteru i usposobienia, że nieraz widząc co jeden z nich uczynił lub jak sobie postąpił w pewnych okolicznościach, z matematyczną, prawie pewnością przepowiedzieć można co drugi człowiek tego samego typu uczyni wśród podobnych okoliczności.

Takie pokrewieństwo duchowe uderzyć musi każdego kto uważnie studjował żywot dwóch sławnych agitatorów: Ulryka von Hutten i Ferdynanda Lasalle'a.

Ulryk von Hutten a Ferdynand Lassalle! Wiek 16ty a wiek 19ty! Rycerz germański a literat semicki! Zdawałoby się że same antytezy. A jednak ci dwaj mężowie to przedstawiciele jednego i tego samego typu duchowego.

Obaj oni byli pionierami przyszłości — każdy w swoim czasie; obaj walczyli z panującym kierunkiem nauk, walczyli z władzą; wystąpili przeciw klasom przzowodnia przeciw możnym i bogatym; obaj życie poświęcili dla tej walki, oddani zupełnie agitacji obaj umarli w młodym wieku (Hutten w 36. Lassalle w 39. roku życia), obaj wreszcie mimo idealny swój kierunek, przywiązywali ogromne znaczenia do „władzy", jako do najlepszego środka przeprowadzenia reform zbawiennych.

Pokrewieństwo duchowe tych dwóch mężów wykazał bardzo pięknie Jerzy Brandes w swojej biografji Lassalle'a. Sam zresztą Lassalle zawsze czuł wielką sympatję dla postaci Ulryka von Hutten i nawet mu pał znaczną rolę w swoim dramacie „Franz von Siekingen". Postać Ulryka von Hutten, jak ją nakreślił Lassalle w tym dramacie. jest najlepszym kluczem do psychologji samego autora i zastępuje wybornie autobiografię. Wiadomo zresztą, że Lassalle z upodobaniem cytował wiersz Wergila, który służył za dewizę i Ulrykowi von Hutten: „Plectere si nequeo superos, Acheronta movebo", — wiersz, który wybornie oddaje tok myśli obu agitatorów: Naprzód starali się pozyskać superos — możnych swego czasu dla reformatorskich planów; gdy zaś ci głuchymi się okazali na ich wołania, rzucili się w wir agitacji, zstąpili na ulicę i poruszyli „acheron" zwany ludem, czyli „masą ciemną".

Kogo zajmuje paralela tych dwóch żywotów, tego odsyłamy do wzmiankowanej pracy Brandesa. My w tem miejscu chcielibyśmy podnieść jeszcze jeden szczegół ciekawy, który świadczy nietylko o pobratymstwie duchowem Huttena i Lassalle'a, ale o czemś więcej jeszcze, bo o uderzającem podobieństwie dwóch odległych od siebie epok historycznych.

Ulryk von Hutten żył w latach 1488 1523, Lassalle 1825-1864. Pierwszy więc był świadkiem wielkiej rewolucji jaką sprawiły w Niemczech odrodzenie się nauk przez humanistów i reformacja Lutra, drugi znalazł się w wieku młodzieńczym wśród rewolucji r. 1848, która poruszyła tyle kwestyj politycznych, społecznych a nawet religijnych.

Wiadomo powszechnie jaki był stan spraw politycznych i kościelnych w czasach w których żył Hutten; lecz nie tak wiadome są stosunki społeczne, bo o nich w kompendjach szkolnych nie uczą.

Otóż znajduje się między słynnymi djalogami Huttena jeden djalog pod tytułem „Praedones" (rozbójnicy), który nam dosadnie maluje tak stan społeczeństwa ówczesnego jak i stanowisko autora w tym względzie. W dyalogu występują: Ulryk von Hutten, pomocnik wielkiego domu handlowego Fuggerów i Franciszek von Siekingen. Ulryk powstaje przeciw kupczykowi z powodu, że ten nazwał rozbójnikami rycerstwo niemieckie. Siekingen uspakaja przyjaciela i stara się przekonać kupca, że rycerze nie są tak złymi ludźmi, tłómacząc, że nie wszyscy rozbójnicy są ze szlachty i że prawdziwy rycerz brzydzi się rozbojem, gdy walka nie była formalnie wydana.

W dalszym toku dyalogu Hutten rozwija program czysto socjalistyczny wykazując, jak prócz rycerzy i inne stany popełniają rozboje na słabych i bezbronnych. Według Huttena rozbójnikami są: „1. wszyscy co na gościńcu opadają wędrowców i

kupców w celu odarcia ich. Tego szlachta — zdaniem jego nie czyni: zapowiada ona formalną walkę lub też żąda okupu za wolne przejście. 2. gorszymi rozbójnikami są kupcy, którzy przez sprowadzanie obcych towarów, korzeni, jedwabiu i sukien, wyciągają z kraju pieniądze. Najgorszymi zaś z pomiędzy nich są kupcy z wielkiego domu Fuggerów (ówczesni Rotszyldowie); ci bowiem uciskają i innych kupców swojemi pieniądzmi, a droga do Indyj to tak jakby dla nich tylko była otwartą; 3. rozbójnikami są pisarze i adwokaci: 4. rozbójnikami wreszcie są źli księża (Pfaffen); do zaszczytów bowiem duchownych nikt się dostać nie może, kto nie ma pieniędzy, lub takowych dostać nie może, aby w Rzymie lub u innych władz kościelnych parafję kupić. Ci zaś, co urząd w ten sposób kupili, piastują go też tylko za pieniądze i dla pieniędzy".

Kto czytał współczesne nam pisma socjalistyczne, dostrzeże niechybnie, że z małemi tylko odmianami (mianowicie z pominięciem p r o t e k c j o n i s t y c z n e j części powyższego programu) dzisiejsi socjaliści tak samo określają stosunek klas: Ci których Hutten jędrnym swoim stylem nazwał rozbójnikami" nazywają się u Lassalle'a i jego współwyznawców „burżoazją", czyli klasą „wyzyskującą" w przeciwstawieniu do klasy pracującej. I otóż widzimy, że kwestja socjalna, która uchodzi za tak nową, nietylko istniała w całej pełni za czasów Huttena, ale nawet co do formy przejawów mało co inaczej występowała, niż dzisiaj, tylko, rozumie się, nie tak jaskrawo i trzeba było umysłów tak wysoko się wznoszących po nad swój czas jak umysł Huttena, aby ją dostrzedz i określić. Że zaś Hutten miał słuszność, okazały wojny c h ł o p s k i e które wnet po śmierci jego wybuchły. „A c h e r o n" poruszony przez niego, potężnie się wzburzył. O trzy wieki później zaczęli się burzyć robotnicy przemysłowi w Niemczech, poruszeni przez agitację Lassalle'a.

L. J.

Kronika naukowa.

(Wystawa elektryczna w Wiedniu.)

Ostatnie dwudziestolecie nazywają zwykle okresem: wystaw powszechnych. Przyczyniły się one nie mało do poznania cywilizacji narodów żyjących w najdalszych kończynach świata, dały sposobność ocenienia ich wysokości umysłowej, ułatwiły wynalazkom drogę do jak najszerszego rozpowszechnienia, spełniły wiele, a jednak i one nie były bez błędu. Złą stroną podobnych urządzeń było za wielkie nagromadzenie nowości, rozrywających nawet poważnego widza, nie dając mu poczynić żadnych studjów głębszych. Zresztą dałoby się tu przytoczyć wiele innych usterek jak n. p. zbyt liczna frekwentacja i t. d. Błędy te zwróciły na siebie uwagę fachowców, którzy starają się je ominąć, wynikiem tego jest: mniejsza ilość wystaw powszechnych. Ich miejsce poczynają zastępować wystawy specjalne, fachowe. Dowodem liczne, już to krajowe, już to międzynarodowe wystawy rolnicze, przemysłowe, obrazów rzeźby i t. d.

W obecnych czasach zwróciła na siebie szczególną uwagę całego świata elektryczność.

Kwestja oświetlenia, przenoszenia siły na znaczne odległości i wiele innych są zbyt ważne by je milczeniem pominąć można

Elektryczność rozwiązuje je już dzisiaj w mniej lub większym stopniu. Uczuwano więc potrzebę zreasumowania wszelkich wyników na tem polu; zestawienie podobne dają wystawy. Z tego powodu urządzono w r. 1881 wystawę elektryczną w Paryżu, w r. 1882 w Monachium, w bieżącym roku urządza ją Wiedeń w lokalnościach wystawy powszechnej z r. 1873.

Wystawa w Wiedniu otwartą zostanie 1. sierpnia i trwać będzie do 30. październik. nika t. j. trzy miesiące. W celu przyprowadzenia wystawy tej do skutku, zawiązała się komisja złożona z osobistości znanych w świecie naukowym z hr. Wilczkiem na czele.

Dla ułatwienia przeglądu podzielono przedmioty wystawowe na 18 grup, oprócz tego przez cały przeciąg wystawy odbywać się będą doświadczenia naukowe pod przewodnictwem osobnych komisyj naukowych

Czysty dochód z wystawy przeznaczony będzie zakładom naukowym i pojedynczym osobom w celu dalszego prowadzenia doświadczeń na polu elektryczności w kierunku wskazanym przez komisje wystawowe.

Według dotychczasowych doniesień, wszystko wskazuje, iż wystawa wiedeńska doścignie swemi rozmiarami wystawę paryską z r. 1881, obecnie przewyższyła już nawet wystawę monachijską.

Zgłoszeń tak krajowych jak i zagranicznych co dzień przybywa, liczba wystawców wzmaga się nieustannie, dość powiedzieć, iż znana rotunda nie wystarcza na pomieszczenie wszystkich przedmiotów. — Systemów oświetlenia elektrycznego zgłoszono już dzisiaj kilkadziesiąt, będą one wszystkie podczas wystawy funkcjonować i reprezentują już obecnie siłę około 280 tysięcy świec.

W grupie V. reprezentującej wszelkie systemy telefonów i przedmiotów wchodzących w zakres telefonii znajdować się będzie ulepszony telefon p. Machalskiego, doświadczenia robione z tym przyrządem; tak w kraju jakoteż we Francji między Paryżem a Le Mans, a więc na przestrzeni 500 klm. wypadły w zupełności na korzyść jego. Zdaje się, że i na wystawie wiedeńskiej zajmie on dominujące stanowisko.

Pomiędzy zabudowaniami wystawy kursować będzie kolej elektryczna najnowszego systemu. mającego pod względem ekonomicznym pierszeństwo przed systemem Siemensa. Kolej tego ostatniego pobiera swą siłę od motoru umieszczonego na jednym z końcowych punktów drogi, podczas gdy lokomotywa kolei systemu nowszego wiezie swój własny motor w postaci silnej baterji stosów drugorzędnych.

Tyle na dzisiaj; spodziewamy się jednak dać Szanownym czytelnikom we właściwym czasie szczegółowe sprawozdanie o przebiegu tej wielce interesującej wystawy.

Kaz. Spoliński.

Przegląd literacki.

(Nowe badania historyczne nad Galileuszem. Antonio Favaro Galilio Galilei e lo Studio di Padova, Firenze, Successori Le Monnier 1883).

Jubileusz czterechsetletni Kopernika, obchodzony równie uroczyście u nas jak w Niemczech i Włoszech dał powód historjografom umiejętności ścisłych do nowych badań nad życiem genialnego astronoma naszego jak w ogóle całej epoki, która sprowadziła przewrót zupełny w zapatrywaniach na kosmogoinę, stanowisko świata, a względnie człowieka. Włochy mianowicie przyczyniły się wielce do rozjaśnienia wielu ciemnych punktów co do tego okresu i dość wspomnieć tylko o odkryciu ważnych dokumentów dotyczących pobytu Kopernika w Bolonii przez Carla Malagotę, o ważnem odkryciu promocji Kopernika w Ferrarze 1503 r. dotąd zupełnie nieznanej, aby poznać że prace w tym kierunku niebyły płonne. Zajęcie się Kopernikiem poprowadziłoby jednak dalej do studjów nad Galileim i Keplerem, a rezultat ich częściowy leży właśnie przed nami.

Prof. uniwersytetu padewskiego Antonio Favaro złożył w dwóch tomach wynik swych sumiennych studjów nad 18 latami życia Galileusza (od 1592—1610), z których dowiadujemy się wiele zajmujących a nowych szczegółów.

Aż do r. 19 życia Galilei uczęszczając na uniwersytet w Pizie wcale nie uczył się matematyki, aż dopiero w r. 1583. porzucił medycynę i oddał się w zupełności naukom przyrodniczym. Studjum Archimedesa doprowadziło go wkrotce do wynalezienia wagi hydrostatycznej. Zapoznanie się z wpływowym marchese Guidubaldo del Monte przyczyniło się do tego, że młody uczony już w r. 1589 (licząc 25 lat) otrzymał katedrę matematyki w Pizie, gdzie mu płacono rocznie 60 skudów. Tu wynajduje on cykloidę i położył podstawę do dynamiki przez odkrycie prawideł spadku, które demonstrował eksperymentami. Nowe jego pomysły (ogłoszone w dyalogach o mechanice dopiero w r. 1638) poczyniły mu wielu nieprzyjaciół między kolegami, ale wpływom przyjaciół udało się nareszcie (1592) wyjednać dla niego miejsce lektora matematyki w uniwersytecie padewskim, gdzie pobierał 180 skudów pensji.

Tu Galilei szedł w wykładach swoich utorowanemi szlakami. Pomiędzy r. 1593—1605 wykładał on tu o elementach Euklida, o mechanice Aristotelesa i o almagiście tytuł arabski astronomicznego dzieła Ptolomeusza. Z tego ostatniego wnosić należy, że Galilei był przez czas długi zwolennikiem geocentrycznej teorji Ptolomeusza. Nie zdziwi to nas bynajmniej jeż li zważymy, że teorja luliocentryczna Kopernika niebyła jeszcze wówczas wcale uznaną, że Tycho Brahe był jej przeciwnikiem, Bacon jej nieuznawał, a jeden Kepler tylko mógł uchodzić za jej zwolennika. Nowe odkrycie Galileusza na polu teleskopu dały jej dopiero nowe podstawy. Po raz pierwszy starł się Galileusz z scholastykami padewskimi przy sposobności nowej gwiazdy w konstelacji Ophierchos, którą on pierwszy obserwował 10 paź. w r. 1604. Miał on o tem trzy odczyty publiczne, w których wystąpił przeciw zasadom zwolenników Aristotelesa o nieskończoności. Ulepszenie teleskopu i połączone z tem odkrycie rozszerzyły sławę Galileusza. W r. 1609 przedłożył on weneckiemu senatowi nowy teleskop, a już w r. 1610. 7 stycznia zrobił najpiękniejsze odkrycie, odkrycie księżyców Jowisza. Wiadomość o tem odkryciu rozeszła się szybko po Europie a jeden Kepl r powitał je z radością, chociaż większość uczonych czas długi z ukosa patrzała na rezultaty prac Galileusza. Taka jest treść pracy uczonego Favaro. Drugi tom zawiera dokumenty, przedrukowane z archiwów włoskich, a rzecz cała kończy się dowodem konieczności krytycznego wydania wszystkich dzieł Galileusza.

(Józef Wójcik: Jakby można uczyć języka polskiego jako ojczystego w klasie pierwszej naszych szkół średnich.)

Literatura pedagogiczno-dydaktyczna jest u nas dopiero w zawiązku i choć mamy kilka wcale nie złych podręczników w tym kierunku, to jednak wszystkim im daleko do wzorów, pozostałych po nieśmiertelnej pamięci komisji edukacyjnej. Przyczyny tego szukać należy w braku specjalnych rozpraw, opracowanych przez fachowców, każdy więc objaw podobnej pracy należy powitać z całą serdecznością. P. Wójcik nie mało się przysłużył nauczycielom języka polskiego, wydawszy rozprawę, której tytuł przytoczyliśmy, bo rzecz to opracowana tak gruntownie, że za wzór może posłużyć innym podobnym pracom. Autor zastanowiwszy się najpierw pokrótce nad potrzebą wychowania, zadaniem szkół w ogólności, nad koncentracją nauki, stanowiskiem nauki języka ojczystego w instrukcji szkolnej, nad celem tej nauki, środkami naukowemi, podręcznikami szkolnemi, przechodzi wreszcie do nauki gramatyki. Tu wypowiada sąd i zdanie swoje jak prawdziwy badacz, jak człowiek, który zapanowawszy nad przedmiotem teorytycznie, uzupełnił wykształcenie swoje praktycznie jako nauczyciel. Jakkolwiek przyznaje nieraz słuszność dzisiejszemu systemowi, to jednak nie godzi się nań zupełnie i radzi wprowadzić pewne zmiany, które naukę języka polskiego przy dzisiejszej szczupłej liczbie godzin, jakie mu poświęcono, znacznie by posunęły naprzód. Z równą znajomością traktuje autor lekturę szkolną, a chcąc rzecz wyczerpać zastanawia się nawet nad ustępami czytać się mającymi, oraz ocenia nieraz, czy też szczęśliwie złożono dzisiejsze wypisy polskie i oczywiście odpowiada przecząco.

Trzecią część stanowią wypracowania piśmienne, których liczba w pierwszej klasie jest za wielka. I tej części wskazówki mogą się przydać nawet wytrawnemu pedagogowi.

Jakkolwiek w wielu wypadkach moglibyśmy się nawet słusznie spierać z autorem z powodu nieraz kategorycznie wypowiedzianych zdań, które w praktyce nie dadzą się przeprowadzić, to jednak przyznajemy mu wielką zasługę, że się podjął pracy tak żmudnej, a wyznajmy, niewdzięcznej, bo czytelników wielu nie znajdzie. Mamy żal do p. W:, że tak późno wystąpił z swoją pracą, a mielibyśmy jeszcze większy, gdyby na następną równie długo kazał nam czekać, bo kto tak poważnie przedmiot traktuje, jak on, ten powinien częściej głos zabrać w kwestjach naukowych.

I. Z.

Pzegląd teatralny.

Fedora, dramat w pięciu aktach Wiktoryna Sardou

Do mieszkania swego kochanka Włodzimierza Garyszkina wpada zaniepokojona nie stawieniem się jego na umówioną' schadzkę księżna Fedora Romazow (p. Nowakowska), i wkrótce dowiaduje się z przerażeniem, że ten powrócił śmiertelnie ranny z tajemniczej wycieczki w odległą dzielnicę miasta. Komisja policyjna rozpoczyna natychmiast w mieszkaniu rannego śledztwo, przyczem Fedora z przenikliwą bystrością wskazuje na drobne okoliczności, mogące wyjaśnić przyczynę morderstwa i wyjawić samego zbrodniarza. Ojciec Włodzimierza, naczelnik policji, człowiek dziki, okrutny i z całą zajadłością prześladujący nihilistów, otrzymał pogróżki, iż jeżeli nie zaprzestanie prześladowań, będzie nosił wkrótce żałobę po swoim synie. Oczywiście, nie kto inny tylko nihiliści z pobudek politycznych zamordowali Włodzimierza, a gdy się jeszcze okazuje, że w dniu tym, w nieobecności Włodzimierza był w jego mieszkaniu sąsiad, znajomy Lorys Ipanow i wykradł z biurka list zapraszający Włodzimierza na tajemniczą schadzkę, nie ulega wątpliwości, że Ipanow (p. Żelazowski) należy do partji rewolucyjnej i zwabiwszy Włodzimierza podstępnie w odludne miejsce, wykonał morderczy zamach na niego Włodzimierz wkrótce umiera z odniesionej rany, a Fedora urągając bezradności władz policyjnych przysięga krwawą zemstę mordercy. Odtąd wykrycie, schwytanie i zemsta na mordercy staje się jej jedyną myślą, jedynym celem, do którego dąży z męką siłą i wolą. Poszlakowany o zbrodnię Ipanow opuszcza potajemnie kraj i udaje się do Paryża, gdzie

go w akcie drugim spotykamy w salonie hrabiny Olgi Sucharew (p. Sułkowska), kobiety znużonej życiem i goniącej za ekscentrycznemi wrażeniami. Ale i księżna Fedora przybyła do Paryża, aby śledzić Ipanowa, uzasadnić dowodami podejrzenia i w razie dowodów, podstępnie, lub z użyciem gwałtu wydać go na pastwę srogim sądom swojego rządu. Otacza go szpiegami, śledzi każdy krok, każde poruszenie się jego, ale daremnie, żaden krok Ipanowa nie zdradza, aby był w styczności z partją rewolucyjną. Fedora widzi, że tą drogą niczego się nie dowie, chwyta się innego środka; poznaje, że ją Ipanow kocha, Ha! czego szpiegi nie potrafią, tego miłość dokaże. Przyjmuje wyznanie miłości, jest wzajemną, ale żąda od kochanka uniewinnienia się z ciążącego na nim zarzutu — jeśli prawdziwie kocha, wyzna wszystko. Bada go i przenikliwym wzrokiem chce na wskróś przejrzeć tajniki jego duszy — czyha na to wyznanie z gorączkowem drżeniem — ale równocześnie z kocią fałszywością głaska miłosnem wyznaniem ofiarę i dowiaduje się, że Ipanow jest rzeczywiście mordercą Włodzimierza; zabił go, bo miał prawo do tego, bo Włodzimierz potargał jego szczęście, uwodząc mu żonę. Wyznanie to, jak grom uderza w Fedorę; w jednej chwili zupełny w niej przewrót następuje. Pamięć dawnego kochanka zaciera się wzgardą, pragnienie zemsty ustępuje nowemu uczuciu — Fedora kocha Ipanowa. a miłość nie ustępuje w potędze pierwotnej żądzy. Ale za późno. Intrygami i policyjną machinacją wtrąciła brata Lorysa do więzienia, w którym niewinna ofiara ginie; stara matka na wiadomość o tem umiera, a Lorys zaocznie na śmierć skazany. A gdy nakoniec Lorys dowiaduje się, kto jest sprawcą tylu strasznych ciosów dla niego, szalonem oburzeniem uniesiony odtrąca gadzinę od siebie i w przystępie boleści i rozpaczy chce zabić już nie kochankę ale potwora — księżna Romazow uprzedza go, w jednej chwili zażywa truciznę, którą zawsze przy sobie nosi w pamiątkowym krzyżyku i umiera, błagając kochanka ostatniemi cichemi słowy o przebaczenie.

Taka jest treść ostatniego dramatu Wiktoryna Sardou. Jak wiadomo, Sardou napisał ten dramat dla jednej osoby, dla jednej roli, a rolę przeznaczył Sarze Bernhardt. Wszystkie inne osoby w dramacie, niewyjmując nawet Lorysa, służą tylko jako środek do wyrzeźbienia takiej postaci jak Fedora. To kobieta, w której żyłach żar płynie, nienawidzi i kocha z namiętnym szałem, a równocześnie łączy w sobie niezłamaną wytrwałość, zimną przebiegłość i chytrość; kobieta która potrafi w jednej chwili przejść z jednego uczucia do drugiego, a zawsze być przytomną i świadomą celu. Ta ognista namiętność u prawiedliwia też zupełnie tragiczny koniec bohaterki dramatu, który, jak wspomnieliśmy, napisany jedynie dla tej roli, chroma, jak wszystkie podobne utwory pisane dla jednej roli popisowej, pod względem budowy. Licznie wtrącone epizodyczne sceny, służące do wyjaśnienia głównej akcji, psują jednolitość i ciągłość takowej,

Zastanowić się nam teraz wypada, jak odegrano w naszym teatrze ten dramat. O innych rolach drugorzędnych wspominać nie będziemy, bo te nie dały artystom pola do popisu; zajmiemy się tylko samą Fedorą i najgłowniejszą z drugorzędnych, rolą Ipanowa Aby odegrać rolę Fedory, potrzeba być artystką przejętą poczuciem prawdy i piękna, potrzeba wielkiej siły, aby postać tę, która co chwilę zmienia się przed naszemi oczyma, raz jest namiętną kochanką, srogą mścicielką, to znowu z całą chytrością i finezją indagującą kobietą salonową, aby kobietę tę przedstawić jednolicie, naturalnie i prawdziwie. Po takiej artystce, jak p. Nowakowska, mogliśmy się spodziewać, że gra wypadnie dobrze. Co do jednolitości p. Nowakowska ze swego stanowiska, przeprowadziła całą rolę konsekwentnie. Była namiętną, była srogą, była wreszcie obłudną, a mimo to stworzyła całość jednolitą, Co innego, czy zgadzamy się na to stanowisko, na jakiem stoi artystka. Pani Nowakowska należy do tak zwanej szkoły francuskiej, której zasadniczą wadliwością w ogóle ów konwencjonalny patos, który dla scenicznego efektu, każe podnosić momenty psychiczne wybitniejsze do pewnego deklamacyjnego nastroju. Ten patos jest ostatkiem pseudoklasycznej rdzy, której niemogli jeszcze dotąd wytrzeć z umysłów rewolucjoniści literaccy, tak romantycy jak i naturaliści. W sztuce aktorskiej Sara Bernhardt potrafiła wyzwolić się z pod tej tyranji starej formuły, pod którą niestety upada tak dobra artystka, jak p, Nowakowska. Obok artyzmu, obok piękna wołamy: prawdy! prawdy! i jeszcze raz prawdy! Oto przyczyna dlaczego gra p. Żelazowskiego nie podobała się tym, co przywykli do sztucznej, nienaturalnej deklamacji. Na grę p. Żelazowskiego zgadzamy się zupełnie — widzimy na scenie człowieka, a nie emfatycznego retora, z którego ust brzmi tyrada pełna zapału, w stylu przekraczającym realną granicę; — u niego prawda bierze górę nad efektem, unika łatwego efektu, choć wie że tą drogą trudniej zyskać poklask mniej wybrednych widzów, i to właśnie zapisujemy na karb jego inteligencji i talentu Moglibyśmy wytknąć małe usterki, jakie dostrzegliśmy w grze p. Żelazowskiego, usterki, które w przyszłości łatwo będzie mógł usunąć n. p. za szybką deklamację — ale całość pochwalić tylko możemy i życzyć aby wytrwał na obranem stanowisku.

W końcu nadmienić musimy, że tak starannego wystawienia sztuki dawno we Lwowie nie widzieliśmy, co notujemy jako bezstronne uznanie dla Dyrekcji i reżyserji.

Tumult.

Przegląd muzyczny.

Dawno już nie mieli melomani takich przyjemności, jak w ostatnim tygodniu: odbyły się cztery koncerta i to koncerta pierwszorzędnych artystów. W sobotę dnia 14. b. m. produkwał się kwartet smyczkowy Hellmesbergera. Grano kompozycje: Volkmana, Schumana, Haydna i Beethovena. Najbardziej nas zachwyciło wykonanie dwóch pierwszych utworów.

Pomijamy usterki, od których nawet ci artyści nie byli wolni — podnieść jednak musimy oddanie całości, wycieniowanie najsubtelniejsze wszelkich szczegółów, jak crescenda decrescenda, piana i pianissima, które do niezwykłej doskonałości były doprowadzone. Żaden instrument nieuprawniony nie podniósł głosu na niekorzyść drugiego — spiew był prowadzony wzorowo: nawet w miejscach gdzie melodja przechodzi częściowo przez wszystkie instrumenta, było czuć łączność zupełną i oddanie jej z taką artystyczną dokładnością,, jak gdyby jeden grał instrument. Mieliśmy sposobność doskonałą porównania tego kwartetu z kwartetem naszego Towarzystwa muzycznego, i pierwszą najważniejszą różnicę znaleźliśmy w jakości instrumentów. Jedna siła tonu, miękkość i łagodność każdej nuty, możność wycieniowania najdokładniejszego pianissima lub fort'a — to są zalety, które zależały przeważnie od instrumentów, a któremi się kwartet Helmesbergera odznaczał. Szczególnie takiej pysznej wiolonczelli zazdrościć musimy kwartetowi, a wiolonczella jest właśnie piętą Achillesową naszego kwartetu. P. Sulzer wydobywał tak miękkie okrągłe, cudowne tony ze swego instrumentu, że śmiało twierdzimy, iż wiolonczella jego musi być jedną z najlepszych n a ś w i e c i e. Altówka również odznaczała się pięknością tonu. Instrument

ten różni się zawsze od skrzypców szczególnem zabarwieniem swego łagodnego, melancholicznego brzmienia i gra właśnie dla tego bardzo ważną rolę w kwartecie. Niestety pod tymi względami nasz kwartet Towarzystwa jest bardzo biedny, nawet Florentyni na takich tandetnych instrumentach nie byliby wstanie wielkiego wywołać efektu.

Uderzył nas sposób zasiadania artystów (I. skrzypce, wiolenczella — II. skrzypce i wiola) różny od naszego (I. i II.skrzypce — wiola, wiolonczella). Wydaje on się nam właściwszym i korzystniejszym — śpiew bowiem w kwartecie przechodzi najczęściej z I. skrzypców do wiolenczelli i te instrumenta są główne. Veni, vidi, vici, — przyjechali, zagrali i odjechali, zostawiwszy wrażenie, które na długo pozostanie w pamięci słuchaczy.

P. Emil Sauret dał się słyszeć w trzech koncertach i o nim dałyby się te same słowa powiedzieć: gwiazda zabłysła, olśniła nas i znikła. Wielki ten artysta odznaczył się najbardziej wykonaniem utworów swoich rodaków i w ogóle kompozytorów szkoły francuskiej. Koncert Ernsta, Vieuxtemps'a. Fantazya z Fausta Wieniawskiego i Introdukcya; Rondo capricioso Saint-Saensa były świetnie wykonane.

Zwłaszcza ta ostatnia kompozycja należy z pewnością do najlepszych w repertoarze wielkiego wirtuoza. Mniej nas za to zadowolnił odegraniem koncertu M. Brucha. Jestto głęboka i pełna myśli kompozycja niemieckiego muzyka, wykonaną była pod względem technicznym i frazowania doskonale — nie było jednak przejęcia się wielką całością; chcąc oddać uczucie, trzeba je z siebie wydobyć — w skrzypcach ani smyczku ono nie leży. Również i romans (f-dur) Beethovena był zanadto zimno odegrany — było to oddanie zupełnie klasyczne — Beethoven jednak zdaniem naszem potrzebuje i zasługuje na to, aby go grać s e r c e m. Za to byliśmy zachwyceni prześliczną i gorącą deklamacya poetycznej Ballady Vientemps'a. Być może, że artysta chciał właśnie wywołać ten efekt, grając romans trochę zimno, czysto klasycznie i przeciwstawiając mu romantyczną balladę, w którą wlał całe ciepło swego uczucia. Polones był odegrany z nadzwyczajną brawurą i elegancją, za mało jednak było zacięcia, co również w odegraniu Arji węgierskiej Ernsta (samego tematu) zauważaliśmy. Brak miejsca nie pozwala nam przechodzić szczegółowo wszystkich utworów odegranych przez koncertanta— wspomniemy jeszcze tylko o trzech kompozycjach Sauret'a: „Scene espagnole„ oraz „Impromptu i Scherzo“... Pierwsza kompozycja nie ma zdaniem naszem żadnej wartości muzycznej podaje ona tylko artyście sposobność okazania swej nadzwyczajnej techniki; trzecia zaś jest dosyć wdzięczną, zdaje nam się jednak, że tylko wtedy, gdy ją gra sam Sauret. W końcu zauważamy, że ton skrzypców p. Sauret należy do więcejjak średnich a jest bardzo miły, okrągły i pełny. Gra zaś odznacza się nadzwyczajną swobodą i elegancją iście francuską.

R.

Poświęcenie się pana Bajolein.

Nowella z francuskiego.

Pewnego ranka w miesiącu marcu, zeszłego roku zdarzył się szczególny wypadek w starej księgarni pod firmą „Brochat synowiec“ przy ulicy Jean—Jaques Rousseau, w Paryżu. Właśnie wybiła godzina dziewiąta, a wielki, skórą obity fotel, na którym p. Bajolein, buchhalter firmy, zasiadał od 19 lat codziennie z najprzykładniejszą punktualnością — o godzinie pół do dziewiątej rano — był dotychczas niezajęty. Jak sięga pamięć współpracowników tej księgarni i starego taburetu, jeszcze nigdy ten fenix punktualności niezapomniał się do tego stopnia. Spóźnienie o pół godziny! To coś niesłychanego!

Pryncypał p. Brochat synowiec, przychodził zazwyczaj dopiero o dziewiątej.

Zaledwie wszedł — spostrzegł od razu swem wprawnem okiem szefa, miejsce wolne za kratką w głębi pokoju.

— Bajolein? — zapytał tonem mrukliwym i opryskliwym, który sobie umyślnie w obec podwładnych nadawał.

— Musi być słaby — odpowiedział jeden z subjektów.

— Niema go dotychczas?

— Nie ma.

— Słaby? On nigdy nie choruje! Miałby właśnie zachorować dzisiaj, kiedy mamy tyle do roboty. Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy wysoka, szczupła i trochę przygarbiona postać wsunęła się przez na pół zaledwie uchylone drzwi do sklepu.

— A! — otóż i on! — zawołano chórem.

Przybyły był rzeczywiście „ojcem Bajolein“ jak go zazwyczaj nazywano, mimo, że nie był żonatym i liczył dopiero 45 lat. Zadyszany, zarumieniony jak student, którego złapano na gorącym uczynku — przywitał szybko wszystkich i kłaniając się w przechodzie panu Brochat synowi, pospiesz ył zająć miejsce na swym fotelu, który w tej chwili aż zaskrzypiał z zadowolenia.

— Bajolein, przemówił p. Brochat synowiec z miną nieukontentowania, Bajolein, pan się zaniedbujesz jak widzę?

— O! Panie Brochat!... protestował obwiniony.

— Dosyć... Nie lubię pomocników gadatliwych.

— Chciej pan wybaczyć... Zapomniałem jedną rzecz... pulares... i musiałem się wracać do domu. Dlatego tylko się spóźniłem.

Wyjąkając to tłumaczenie — poczciwy Bajolein czuł, że mu krew na twarz wystąpiła — powiedział bowiem tylko część prawdy.

Mały Fourrageot, największy żartowniś ze wszystkich, który chociaż najmłodszy nie wiele sobie robił z surowych mów i naciągniętej powagi pryncypała zawołał drwiąco:

— Ja się bardzo obawiam, czy to nie jaka awantura miłośna była powodem opóźnienia p. Bajolein!

— Ależ! — bronił się p. Bajolein tracąc prawie oddech.

— Mojem zdaniem — zabrał głos p. Brochat synowiec — jeżeli kawaler zaczyna się zaniedbywać w swoich obowiązkach...

— Oh! Panie Brochat!...

— Kto może wiedzieć gdzie on swój czas przepędza?

— Oh! Panie! — tyle tylko był wstanie wybąkać na swoją obronę biedny p Bajolein, którego to dokuczanie na pół serjo — tak zmieszało, że sam sobie na razie nie mógł zdać sprawy, czy rzeczywiście nie popełnił jakiego czynu karygodnego.

P. Bajolein był ideałem porządnego człowieka. Mieszkał przy ulicy Serpente na piątem piętrze w dwóch małych izdebkach, których okna wychodziły na niewielki ogródek. A mieszkał bez przerwy od czasu gdy wstąpił jako pomocnik do handlu p. Brochat synowca. Daleki od mizantropji, ale nadzwyczaj skromny i bojaźliwy, nie chcac się nikomu narzucać, Bajolein nie znał wcale rozkoszy i przyjemności Paryża, miał tylko jedną namiętność, jedną miłość... dla starych książek. To też odźwierna tego domu, zacna pani Muche stawiała go zawsze za wzór i przykład wszystkim lokatorom.

W spokojnem i samotnem życiu p. Bajolein, reprezentowała pani Muche całą płeć piękną, w skromnym charakterze gospodyni.

Była to wdowa wcale jeszcze dobrze się trzymająca, i dzielnie dźwigająca pięć-

dziesiątą drugą jesień. Pod względem moralnym zasługiwała w całem tego słowa znaczeniu na miano uczciwej kobiety. Pod względem fizycznym robiła wrażenie tęgiego żandarma, silną budową, zdrową cerą, świeżymi rumieńcami i maleńką brodawką z ewej strony nosa, pokrytą pączkiem dość bujnych rudawych włosów. Brodawka ta była rzeczywiście charakterystyczną; w ciągłym ruchu i wiecznie zmieniająca położenie nadawała oryginalną cechę wyrazowi twarzy pani Muche.

Bajolein, trzymając się od 19 lat stale firmy p. Brochat synowca, nie zmieniał również od tego czasu mieszkania i pozostał wiecznym swej gospodyni.

I dlaczegoż miałby się pozbawiać usług pani Muche? Ktożby więcej niż ona mógł zasługiwać na jego zaufanie? Któraż kobieta potrafiłaby tak punktualnie, zawsze z uderzeniem godziny pół do siódmej rano przynosić mu czekoladę, jego zwykły i jedyny posiłek jaki w domu przyjmował? Czyjaż ręka miałaby tak troskliwie i ostrożnie ścierać piórkiem proch z jego książek, z jego nieocenionych szpargałów?

Pani Muche zauważyła zaraz w początk ch nadzwyczajną punktualność p. Bajolein w płaceniu czynszu i wszelkich należytości — zauważyła również jego nieprzezwyciężony wstręt do robienia długów. Tymi przymiotami zrobił p. Bajolein odrazu stanowczy wyłom w sercu tej nieocenionej gospodyni. Z czasem zaś do poważania i sympatji jakie powzięła pani Muche dla „swego pana“ przyłączyło się prawdziwe przywiązanie tej dobrej istoty, które też p. Bajolein ze swej strony w zupełności podzielał i godnie odpłacał. Po dziesięciu latach pan i gospodyni doszli do tego, że życzyli sobie imienin dając sobie wzajemne upominki, bukiet lub jakąś chusteczkę na głowę za niewielką cenę (zważa się bowiem na intencję — nie na wartość przedmiotu.) Zaczęła pani Muche. On się z początku wzdragał, gniewał, bronił, jak zwyczajnie bywa, musiał w końcu ustąpić i naturalnie zrewanżował się przy najbliższej sposobności. W rok później nowy zamach stanu. P. Muche odważyła się po raz pierwszy zwrócić uwagę p. Bajolein na jego szalone wydatki na stare książki, jak gdyby nie było książek całkiem nowych po księgarniach. Podejrzywała go, i słusznie, że cały prawie swój nie wielki dochód obraca na zakupno starych szpargałów nie składając nic na przyszłość, na nieprzewidziane wypadki. Pozwalała sobie okazać mu swój niepokój z tego powodu — na co Bajolein nie znalazł odpowiedzi.

— To nie wszystko, jestem pewną, że Pan nieraz odmawiasz sobie na niezbędne potrzeby, byle tylko zebrać jak najwięcej tej paskudnej bibuły. Pan chodzisz widocznie z końcem każdego miesiąca, miałabym wielki gust zobaczyć jakie to pan obiady jadasz po restauracjach.

To wszystko było wypowiedziane jednym tchem, kosmata brodawka aż zadrżała na tyle odwagi.

— Pani Muhe, odpowiedział ojciec Bajolein, z zakłopotaniem, Pani wiesz dobrze, że ja jestem zbyt rozsądny, aby robić głupstwa.

Przyznać trzeba, że sobie stary pochlebiał — dowodem tego właśnie przygoda, która go dziś rano spotkała. Wyszedł wprawdzie z domu zawczasu, nie miał bowiem, jak wiemy zwyczaju spaźniać się. Mimo że mu codzienna droga wypadała koło kilku antykwarni — szedł znowu prosto nie wstępując do żadnej — za to w południe zjadłszy na prędce śniadanie w jednej z mleczarń przy ulicy Pont Neuf obracał pozostałe mu trzy kwadranse na poszukiwanie swoich skarbów. Trzy kwadranse było wprawdzie bardzo mało, wynagradzał to sobie w niedzielę, spacerując i plądrując po wszystkich księgarniach od ulicy Pont Neuf aż do Pont Royal!

Jak on dobrze znał, jak lubił ulice naszpikowane antykwarniami! Nieszczęściem Bajolein nie był bogatym; miał zaledwie dwieście franków miesięcznej płacy: stąd też ta jego przechadzka narażała go na walkę z coraz nowemi pokusami. I dzisiaj idąc rano do pracy westchnął głęboko na widok tylu otwartych sklepów, w których szarzały poważne i szanowne wolumina:

— I po co właściwie ja łażę tędy po całych dniach? Dzisiaj już trudno tu zrobić jakie korzystne odkrycie. Zajęcie zbieracza straciło dawne znaczenie — wszystko ma obecnie swój kurs w handlu; antykwaryusze zmądrzeli, włóczą się teraz po wszystkich licytacjach, wydają katalogi, znają się na każdej książce — nie tak to jak dawniej kiedy za darmo można było nabyć nieraz najcenniejsze dzieło. To mówiąc, zawrócił na ulicę l'Arbre-Sec.

W tej samej chwili zadrżał, rzuciwszy okiem na jakiś przedmiot. Dziwne wzruszenie odmalowało się na jego twarzy.

Na progu nowo założonego handlu żelazem, leżał worek pełny rozmaitych papierów, starych gazet czasopism, rejestrów ekonomicznych, broszurek i podartych książek. Te szpargały i gałganki zrobiły wrażenie szczątków rozbitego okrętu, tak były porozrzucane i pomięszane. Z otwartego i w wielu miejscach dziurawego worka wylazły kartki jakiegoś almanachu, podarte i zbrukane — niektóre z nich wiatr pochwycił i igrał swobodnie po ulicy.

W tem śmiecisku Bajolein spostrzegł przedmiot, który przykuł jego wzrok.

Była to bardzo stara, skórzana okładka, zawierała ona tom w 12ce bardzo zbrukany, lecz zresztą w dobrym jeszcze stanie. Ten tom... ktoby się tego mógł spodziewać! — ten tom.. to był „kalendarz historyczny Jana de Tournes: prawdziwy biały kruk Skąd on się tam mógł wziąść? Co za dziwna igraszka losu, jaki szereg szczególnych zdarzeń, przypadków, katastrof, rzucił tę perłę pomiędzy śmiecie! Któż to zbada? A jednak fakt był niezaprzeczony, pewny, namacalny!

W Paryżu zdarzają się nawet rzeczy nieprawdopodobne — niemożliwe. Jednym rzutem oka ocenił Bajolein ten skarb. Zobaczył datę edycji „Lyon, 1562 — szerokie marginesy. blado-różowe i nie okalające każdą stronicę nie pominął w swym przeglądzie okładki obleczonej wytartą skórą. W jednej chwili zrobił przegląd całego dzieła i przekonał się, że zawiera oprócz kalendarza psalmy Marot'a z muzyką Claudyusza Gondimela. Słowem, zmierzył i zbadał odrazu całą wartość znalezionego antyku. I on trzymał tę nieocenioną zdobycz w ręku, jakby coś zupełnie zwykłego, on jej dotykał własnemi rękami — ona mu się z pewnością nie wymknie.

Właściciel handlu żelaznego pochodził Auvergne, a sam Merkury dałby się wywieść w pole przebiegłym mieszkańcom tej prowincji;

Bajolein nie był stworzonym na kupca. Radość, wzruszenie, zadowolenie zbieracza zbyt jasno malowały się na jego twarzy, by ich nie uważał zbliżający się handlarz.

— Co kosztuje ta książka? — zapytał Bajolein tonem niezbyt ze wzruszenia pewnym.

Kupiec popatrzył najpierw uważnie na pytającego — następnie na towar, który tak obojętnie nazwano książką i przekonał się odrazu że jegomość przed nim stojący ma minę amatora na exemplarz wygląda na antyk większej wartości. Wreszcie zważywszy wszystko szeroko i głęboko, odpowiedział z miną poważną i właściwym rodzinnym swym akcentem:

To warte jest pięć franków, jak obszył! Bajolein zaśmiał się w duchu, wstrzymując jednak jak mógł swą radość — wyjął szybko pięciofrankówkę, wręczył ją kupcowi i chwytając książkę pod ramię chciał odejść.

Naiwny stary! — Mój mąż się pomylił, dał się słyszeć jakiś głos — to kosztuje 10 franków. Jeżeli Auvergne'ia wydaje lu-

dzi którzy przewyższają wszystkich na punkcie przebiegłości kupieckiej, to świat jest przecie pomszczony, bo prowincja ta wydaje również kobiety.

Żona handlarza była jednocześnie jego rodaczką.

Zatrzymany w ten sposób Bajolein spostrzegł z niemiłem uczuciem siedzącą w kącie kobietę ostrych rysów, która mu się wydała nie zbyt łatwą do ustępstw — przeciwnie stanowczy wyraz jej twarzy, zaniepokoił mocno zapalonego bibliomana.

— To trochę za drogo — próbował Bajolein.

— Na amatora to wcale nie dużo.

— Przyjmijmy ośm franków — zgoda?

— Ani nawet 9·50.

W tej chwili Bajolein chcąc płacić spostrzegł z przerażeniem, że niema przy sobie tej sumy — fatalny skład okoliczności! Trzeba iść aż do domu po pieniądze!

— Dobrze! rzekł z rezygnacją, dam dziesięć franków. Nie mam przy sobie dosyć pieniędzy, za chwileczkę wrócę i zapłacę. Ale spodziewam się że tym razem już stanowczo targ ubity. Ja wracam w tej chwili.

To mówiąc wybiegł ze sklepu — przeleciał pędem kilka ulic i zadyszany wygramolił się na piąte piętro, drząc z obawy by nie spotkać Pani Muche, przez którą musiałby się zaraz tłumaczyć. Na szczęście nie spostrzeżony przez znaną gospodynię, wpadł do swego mieszkania i pochwyciwszy pulares zawierający pieniądze przeznaczone na wydatki do końca miesiąca, wybiegł znowu i ciągle spiesząc dręczony naprzemian myślą o spóźnieniu do księgarni, to znów drząc z obawy, czy znajdzie jeszcze swój skarb, któregoby już za nic w świecie z ręki niechciałby wypuścić — wleciał bez tchu do sklepu żelaznego. Oczekiwała nań czcigodna małżonka handlarza. Każdy inny tylko nie Bajolein, poznałby z jej miny, że się coś nowego święci. Poczciwy jednak Bajolein ani się domyślał jaka go czeka niespodzianka. Już wyjmował pulares, by zapłacić umówioną sumą, gdy miła ta kupcowa, odezwała się najspokojniej w świecie.

— To już nie będzie za 10 franków.

— Co? Czy pani żartuje?

To już nie będzie za 10 franków.

Podczas pańskiej nieobecności był tu jeden Pan który ofiarował nam 30 franków za te książki.

(c. d. n.)

ZIANRKA.

Zobaczyliśmy wreszcie przemyconego na deski teatralne jednoaktowego dziwoląga pt. „Zgromadzenie przedwyborcze“, wyszłego z pospiesznej fabryki p. Adolfa Abrahamowicza. Fabrykat ten, którego do żadnej kategorji utworów dramatycznych zaliczyć nie podobna, usuwa się z pod wszelkiej krytyki; zamordował sam siebie ukazaniem się na scenie, znęcać się zatem nad trupem nie mamy zamiaru. Nie możemy przecież zamilczeć uwagi, jaka się przy tej sposobności nasuwa — uwagi, którą dyktuje jedynie życzliwość dla autora poronionego płodu. P. Abrahamowicz przy swoim talencie i przy swej ogromnej o c h o c i e do pisania dla sceny, mógłby zająć nie złe miejsce między pisarzami dramatycznemi, gdyby mu nie przeszkadzali jego p r z y j a c i e l e, którzy tak zapamiętale okadzają go pochwałami i uwielbieniami, że te obłoki dymu woniejącego tak odurzyły p. Abrahamowicza, iż zdaje mu się, że gdy napisze na kolanie kilkanaście scen i zatutułuje k o m e d j ą, to już obdarzył ludzkość arcydziełem, godnem nieśmiertelnej pamięci. Zamiast co miesiąc lichą, niech raczej raz na rok, lecz dobrą komedję napisze p. Abrahamowicz, a literatura zamiast żalu, wdzięczność mu winną będzie.

* * *

„Kurjer lwowski“ w jednym z ostatnich numerów na czele „kroniki“ umieścił senzacyjną wiadomość, że gospodarz pewnego gościnnego domu robi na żądanie któregokolwiek ze swych gości niewidzialnym. Uważamy to za żart, ale artykulik ten jest tak pisany serjo, że niejednego z łatwowiernych czytelników w błąd może wprowadzić. Dlatego też zapytujemy szanowną redakcję „Kurjera“, czy propaguje jakieś spirytystyczne sztuczki, czy też żartuje, nawiasowo mówiąc w sposób dosyć dziwaczny? Mamy tem większe o prawo to zapytać, że na czele „Kurjera“ stoi pozytywista, który przecież trudno, żeby wierzył w bajeczne kamienie robiące człowieka niewidzialnym..

* * *

Cudze chwalicie,
Swego nie znacie,
Sami nie wiecie,
Co posiadacie!

Stary ten wierszyk można u nas powtarzać przy każdej sposobności, słysząc ciągłe gadaniny o podniesieniu przemysłu krajowego, a widząc równocześnie, że wyroby krajowe, aby mieć pokup, muszą się podszywać pod zagraniczne firmy, lub przynajmniej obce przybierać etykiety. Weźmy naprzykład papierki cygaretowe. Powszechnie rozpowszechnione i słusznie uznane za bardzo dobre są t. zw. papierki rumuńskie i francuskie, noszące nazwy „Dorobantul“, „Ramanul“, „Les dernieres cartouches“ i t. d. Na ozdobnych okładkach jako miejsce tych wyrobów wymieniony jest Paryż, chociaż właściwem miejscem wyrobu jest Sassów. Nie bierzemy za złe fabrykantowi, że używa takich okładek, on to robi tylko dla tego, że te same papierki, z polskimi napisami z pewnością przez naszych popieraczy przemysłu krajowego uznane byłyby za gorsze, za pozbawione „francuskiej“ delikatności. Widzieliśmy te same papierki w okładkach, na których były wizerunki naszych znakomitości, a choć napisy były francuskie mało znalazły pokupu, trąciło to już bowiem swojskością, a nie zagranicą.. I jakże w obec tego się dziwić, że z nas obcy kpią, jako z blagierów, którzy ciągle kraj mają na ustach, popierają jednak tylko to co z zagranicy pochodzi, czy to francuskie papierki z Sassowa, czy też francuską musztardę, wyrabianą na Zamarstynowie? Mają kompletną rację.

* * *

W pewnem tutejszem stowarzyszeniu dam statut postanawia, że zgromadzenie może się odbyć tylko wtedy, jeżeli zbierze się dziesięć pań.. Otóż w tych dniach odbyło się takie zgromadzenie, ale przybyło na nie tylko 9. członków w powłoczystych sukniach i turniurach.. Co robić, jak zaradzić wymaganiom statutu? Przewodnicząca jednak zaradziła temu; oto obecnym dwom panom, jednemu wysokiemu urzędnikowi, a drugiemu starszemu lekarzowi poleciła reprezentować jedną skombinowaną damę. Czy we wszystkiem ci dwaj mężczyźni potrafią zastąpić jedną kobietę?

ZAPISKI.

Literatura.

* Dawno oczekiwanej biografii R a f a e l a przez Crowego i Cavalcaselle wyszedł właśnie tom pierwszy. Dzieło to ma tytuł: Raphael, his life and works, i zawiera w 7 rozdziałach, dzieje młodości mistrza aż do chwili powołania go do Rzymu, ale z tego już pokazuje się, że cała praca spółki autorskiej będzie bez wartości. Autorowie ignorują zu-

pełnie znakomite studja Lermoliow nad Rafaelem, biorą tak zwaną „książkę" szkiców Rafaela w akademii weneckiej za dobrą monetę.

* U Fromentina wychodzi serjami bardzo ważne dzieło: „Peintres et sculpteurs contemporains" par J. Claretie.

* Eugéne Plon wydał: Bonvenuto Cellini, recherches sur sa via et son oeuvre.

* Bar. Charlez Davillier, jeden z najznakomitszych znawców sztuki we Francji zmarł 3. stycznia w Paryżu. Był on między innemi autorem „Hiszpanji" ilustrowanej przez Dorégo, a najwięcej zasłużył się historji przemysłu artystycznego wybornemi studjami nad początkiem ceramiki porcelanowej w Europie, które wydał r. z.

Sztuki piękne.

* Karol hr. Lanckoroński, jak donosi All. Kunst-Chronik, przebywający od września r. z. na wschodzie, zajęty topograficznemi badaniami w Pamphilji, na południowem wybrzeżu Małej-Azji, prowadzi dalej roboty przedsięwzięte przez austrjacką ekspedycję w Gjölbaszi. Dotąd pod kierunkiem zamiłowanego w archeologji i sztuce magnata poczyniono kilka ciekawych odkryć, mianowicie przy odkopywaniu tamże świątyni doryckiej i świątyni Hekaty w Kargi.

* W katakombach San Pietro i Marcellino w Rzymie, w pobliżu mauzoleum Heleny (Tor Pignatara na via Sabicana) znaleziono niedawno taflę szklanną, w której środku znajduje się szkic wielkiej świątyni w Jeruzalem, obwiedziony pozłacanemi brzegami. Podług zapewnienia kompetentnego w tej mierze znawcy G. B. de Rossi, jestto najpiękniejszy okaz szkła, jakie dotychczas w katakombach rzymskich znaleziono.

Wychodzący w Rzymie Tygodnik filologiczny podaje opis następujący:

Na pagórku wznosi się świątynia, której front wsparty na czterech kolumnach, a szczyty ozdobione są siedmioramiennemi świecznikami. Po obu stronach świątyni wznoszą się dwie kolumny odosobnione, podczas gdy całą przestrzeń świątynię obejmującą, z trzech stron otacza portyk złożony z kolumn, a z przodu krata. Do świątyni prowadzą stopnie w górę — w pośrodku ustawiony stół, na którym znajduje się siedmioramienny świecznik, złote wazy i tym podobne insygnia izraelskie. Z boków świątyni piętrzą się dwa o kopułach budynki do wież podobne, które podług Rossiego, mają przedstawiać dwa grobowce. Dwa greckie napisy, z których jeden świątynię „Domem pokoju" mianuje — podług Rossiego, są wielkiej typograficznej wartości i wskazują, że obraz ten jest o trzy lub cztery wieki wcześniejszy od dawniej już odkrytego. Fragment ma być niebawem ogłoszony w „Bulletino di archeologia christiana." Sam fragment znajduje się obecnie w Museo sacro w Bibliotece Watykańskiej.

* Rząd włoski zakupił za sumę 2,500.000 lirów pałac ks. Corsini w Rzymie wraz z biblioteką i bogatą galerją obrazów, i zamierza go przemienić na palazzo delle scienze, w którym pomieszczą się rozmaite towarzystwa uczone.

* Dla uczczenia pamięci Juljusza Hübnera zmarłego r. z, urządził syn jego w Berlinie wystawę wszystkich niemal obrazów jego, która się składa z 40 obrazów olejnych, tudzież 200 blisko rysunków, studjów i akwareli.

* Podczas poszukiwań w forum Romanum odkopano między innemi z północnej strony Basilica Giulia fundamenta łuku tryumfalnego, który archeologowie uważają za łuk Tyberjusza. Wnosząc ze szczątków nieznajdował on się na via sacra lecz na Vico Jugario.

* „Sara„ Merwarta znana dobrze i u nas a tak bardzo chwalona przez krytykę francuską, doznała nieprzychylnego przyjęcia w Wiedniu. Ranzoni sądzi, że w obrazie są tylko głowy obu figur dobrze malowane. Widocznie artyści polscy niebędą nigdy w Niemczech prorokami;

* Galerja Uffiri zakupiła niedawno obraz Carpaccia, a raczej część jego za 12.000 liwrów.

Teatr i muzyka.

* Dzienniki warszawskie donoszą, że balet tamejszy zaangażowany został na występy do Krakowa.

* Edwin Booth ukończył występy swoje w Wiedniu. Grał on Hamleta, Otella i Leara, i w tej ostatniej roli podobał się najlepiej, chociaż grał on tylko zwykłego obłąkańca, który niebył ani w jednym akcie królem.

* Berlin ma otrzymać nowy teatr ludowy dla dramatów klasycznych.

* Angello Neimann chce przedstawić „Nibelungi" Wagnera po ukończeniu reprezentacyj w Wenecji, także w Rzymie, Medyolanie, Florencji i Belgji.

* Nowa opera Mackenziego „Colomba" z ogromnem powodzeniem przedstawiona została po raz wtóry w teatrze Druzy Lenc w Londynie,

* Fryderyk Flotow pozostawił następujące po sobie utwory: Wielką operę zupełnie wykończoną, którą skomponował na zamówienie dyrektora Ricordi z Medjolanu. Tytuł tej opery „Sakuntala." Drugi utwór pt. „Muzykańci." Rzecz z czasu pobytu Mozarta w Mannheimie. W większej części — instrumentowany. „Zemsta kwiatów," melodram, na kwartet smyczkowy i fortepian. „Harfa," melodram. Dwa koncerty na fortepian A. i C moll, oraz też same na cztery ręce rozłożone. Ośm sonat na 4 ręce na fortepian. Kompozycję koncertową na fortepian, Mszę na cztery męzkie głosy, chór i solo. Bolero na sopran. Zbiorek 16 pieśni i wiele innych kompozycyj z dawniejszych i nowszych czasów.

Miscelanea.

(S) Cyfra X używana przez matematyków na wyrażenie niewiadomej powstała według prof. De Lagarde w sposób następujący: Starzy włosey matematycy używali na wyrażenie nieznanej w równaniu słów: cosa albo res, które albo całe pisali albo też znaczkiem zastępywali. Słowa te nie są jednak niczem innem jak tylko tłumaczeniem arabskiego: sai rzecz jak się u Arabów w Hiszpanii niewiadoma nazywała. Słowo to pisali oni tylko w skróceniu: s. Później przyjęto ogólnie w Hiszpanii w miejsce arabskiego: s, łacińskie: x.

W ten sposób przyjęto x na niewiadomą a więc nie z powodów jakoby ta litera była ostatnią w alfabecie.

Treść.

Z kwietniowym śniegiem.

Autor „Marzycieli": Ostatni Szaraczek. (c. d.)

Pilecki Antoni: Sowy.

J. Estwoyn: Illegitimi Thori (c. d.)

Brandes Jerzy: Gustaw Flaubert. (c. d.)

Gomolicki W.: Nieprzespany sen.

Kronika naukowa.

Przegląd literacki.

Przegląd teatralny.

Przegląd muzyczny.

Poświęcenie się pana Bajolein.

Ziarnka.

Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 17. We Lwowie dnia 28. Kwietnia 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac
„Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petite m

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli".

V.

— To prawda, jaśnie panie, nasz ksiądz proboszcz także mi już o tem wspominał, ale gdzie tam chłystkom myśleć o szkołach. Mój chłopak niech lepiej w domu siedzi, Boga chwali i mnie pomaga, bom już stary.

— W domu macie córkę, która wnet podrośnie, ona zatem niech wam pomaga, a chłopiec niech idzie w świat, może zostać księdzem.

Jacenty podniósł głowę, którą aż dotąd pokornie ku ziemi trzymał schyloną. Podobała mu się nadzieja, jaką mu zrobił hrabia.

— Księdzem? Ta prawda, coby nim mógł zostać... przecie nie święci garnki lepią. Ale żeby księdzem zostać, trzeba się długo uczyć i dużo wydać pieniędzy.

— W tem już moja głowa, Jacenty; wasz chłopiec będzie z moim mieszkał, a za to, że będzie pamiętał o Lola garderobie, dostanie całe utrzymanie. Nie zapomnę także o jego ubiorze i książkach.

Jakkowiek hrabia mówił oględnie, szlachcic nie potrzebował się domyślać, że jego syn będzie właściwie nie tyle towarzyszem, ile służącym hrabiego. Ale taka propozycja bynajmniej go nie obraziła. Wszak on sam służył niegdyś w pałacu, a żona jego była także panną służącą. Nie zapomniał również, co mu nieboszczyk ojciec opowiadał, że za dawnych czasów, jedna połowa szlachty rządziła, a druga tejże służyła. Służba u szlachcica nietylko nie poniżała, przeciwnie, przynosiła zaszczyt. Za to służba u nieszlachcica równała się zniewadze. Jak we wszystkich społeczeństwach mało rozwiniętych, szło tu nie o treść rzeczy, lecz o formę. Szlachetka brał chętnie bizuny, byle z rąk możniejszego, niż on szlachcica i na dywanie.

Uszczęśliwiony łaską pańską, Jacenty ucałował rękę hrabiego, do kolan mu się skłonił, a wróciwszy do domu, przywołał Hilcia, żeby mu opowiedzieć, jakie go szczęście spotyka. Chłopiec wysłuchawszy, zaczął kręcić głową.

— Jakie ty miny stroisz! — ojciec zawołał. — Zamiast mi do nóg upaść, a potem pójść do pana hrabiego i to samo uczynić, ten hultaj głową kręci, jakby mu się nie podobało, że będzie człowiekiem.

— Bo mi się nie podoba! — odciął rezolutnie.

— Nie podoba ci się?! — krzyknął ojciec i mimo lat podeszłych, w tejże chwili znalazł się w kącie izby, gdzie stały fajki. — Nie podoba ci się? — powtórzył, cybuch z fajki wykręcając.

Chłopiec ku drzwiom się cofnął.

— Pewnie że mi się nie podoba — odpowiedział — ja nikomu służyć nie będę!

Ojciec oniemiał, oczy na syna wytrzeszczył, z rąk wypadł mu cybuch...

— Ty służyć nie będziesz? — powtórzył, po chwili odzyskując utraconą przytomność, a z nią i energją. — A czy ty nie wiesz wisielcze, że takiemu paniczowi służyć, to honor!

— Może dla kogo, ale nie dla mnie. Ja taki dobry jak i on.

Tego panu Jacentemu było już za wiele. Grozą i oburzeniem przejęty, chwycił chłopca za rękę, a podniósłszy cybuch z ziemi, spuścił cały grad razów na plecy jedynaka. Hilcio wrzeszczał i dokoła ojca biegał, a ten sapiąc z gniewu wołał:

— Widzicie, jak mu się w głowie pomąciło!... Chodził do pałacu i teraz masz! Przeczuwałem, że tak będzie... Myśli, że z hrabiczem może żyć za pan brat. Tak, tak, pozwól świni w grzędy, ona myśli, że jej wolno wszędy!... Ty służyć nie będziesz?! Zobaczymy, czy nie będziesz! Skórę z ciebie łotrze ściągnę, jak psa zabiję!

— Choćbyś mnie ojcze zabił — powtórzył Hilcio, łkając — niczyim nie będę lokajem.

Ojciec, któremu się zdawało, że chłopie po tych cięgach skruszy się i ulegnie, usłyszawszy nową protestacją, cybuch wypuścił. W prawdzie po chwili chciał go drugi raz podnieść, aby dalej łamać opór wyrostka, lecz na szczęście Hilcia, ośmioletnia jego siostra, Zosia, usłyszawszy w ogro-

dzie, gdzie się bawiła, płacz brata, wpadła teraz do izby i sobą go zasłoniła.

— Nie, tatku, nie bij Hilcia! — zawołała przestraszona.

Ojciec, który dla córki miał więcej niż miłość, bo słabość, cofnął się do drugiej izby, gdzie kilka godzin przesiedział. Dopiero nad wieczorem przywołał syna do siebie i już spokojnie tak doń przemówił:

— Jesteś synem nieposłusznym i człowiekiem niewdzięcznym! Jeżeli nie pójdziesz zaraz do pana hrabiego i nie podziękujesz mu za łaskę, precz z mego domu, i niech cię więcej moje oko nie widzi! Wyrzekam się syna, który mi wstyd przynosi.

Chłopiec ojca w rękę pocałował, wyszedł do drugiej izby, związał w węzełek swoją bieliznę i suknie, przerzucił buty przez ramię i tak gotów do podróży, stanął znowu przed ojcem.

— A ty gdzie się wybierasz? — zapytał stary.

— Do szkół, do Przemyśla.

— Czyś zwarjował? Czy cię Pan Bóg odstąpił?

— Żeby ojciec nie sądził, że ja się szkoły boję, więc pójdę do Przemyśla i sam się uczyć będę, ale służyć nikomu nie myślę!

Ojciec wpatrzył się w syna i głową potrząsł; potem zbliżywszy się do szafy, wyjął zeń bochenek chleba czarnego i dał go synowi, mówiąc:

— Niech cię Bóg prowadzi!

Pan Jacenty należał do tych ojców starego autoramentu, którzy byli tego zdania, że syn powinien ojca bać się, nie kochać. Gdy raz co synowi powiedział, nigdy słów swych nie cofał, to też, lubo że mu teraz serce pękało, nie okazał najmniejszej słabości. Pozwolił mu ucałować najprzód rękę swoją, potem kolana, lecz sam ani spojrzał na niego. Dopiero gdy jedynak był już za bramą, przywołał Zosię, która gorżko płakała, a dając jej trzy talary z portretem Marji Teresy, rzekł:

— Wynieś mu na drogę.

Dziewczę nieco pocieszone wybiegło, a starzec usiadł pod piecem i głowę zwiesił na piersi.

W tym czasie za bramą odbywało się między rodzeństwem ostatnie pożegnanie. Brat wziął siostrę na ręce, a ona mówiła, gładząc go po twarzy:

— Ucz się, Hilciu, dobrze i pisuj do Zosi często... pan organista zawsze mi twój list przeczyta, a jak się już nauczysz, to potem wrócisz i będziesz Zosię uczył. Prawda, Hilciu?

Mówiła pieszczotliwie i tak się doń tuliła, że brat rozpłakał się na cały głos; bojąc się jednak, by go kto nie zobaczył, ucałował raz jeszcze siostrę, postawił ją na ziemi i cwałem pobiegł na drogę.

Pan Jacenty siedział ciągle pod piecem i ciągle sobie zadawał jedno pytanie: Co się stało z moim chłopcem?

Poczciwy szlachcic nie wiedział, że jak ziemia nie stoi na jednem miejscu, jeno ciągle się obraca, tak i ludzkość bez przerwy się porusza. To co wczoraj uważali za prawdę, dziś za błąd poczytują, i kto wie czy prawd dzisiejszych, świat jutro nie potępi. On i jego ojcowie służyli panom wiernie nazywając to cnotą — a oto syn nie chce już służyć, mówiąc, żeby mu to ubliżyło. Widocznie w jednostce zaczęła budzić się godność, której nie znali ludzie dawniejsi. Ale kto wlał nowe pojęcia w tego wyrostka, który dotąd nie miał jeszcze ani czasu, ani sposobności zasłyszeć, jakie prądy zaczęły w społeczeństwie nurtować? Alboż jest filozof, któryby zbadał wszystkie prawa światem rządzące, któryby wszystkich skutków znał przyczyny, któryby mógł jasno określić, w jaki sposób wiatry cywilizacyjne ziarna postępu nawet tam zanoszą, gdzie słowo postęp jest nieznane? W dniu, w którymby człowiek to zbadał, przestałby być człowiekiem, boby został Bogiem.

VI.

Hilcio dotrzymał przyrzeczenia. W tydzień po wypadkach wyżej opowiedzianych stanął w Przemyślu z zawiniątkiem i butami na plecach, a dwoma talarami w kieszeni. Trzeci, wraz z chleba bochenkiem wyszedł na drogę.

Inne to były stosunki w owych czasach, niepodobne do dzisiejszych. Młodzież dopiero zaczynała do szkół się garnąć, więc wyglądała jak owi koloniści amerykańscy, którzy na ziemi im obcej, wśród gór, rzek i lasów, mają budować sobie przyszłość! Niepewność i obawa wytwarza zawsze solidarność, to też i młódź ówczesna łączyła się, gromadziła, wspierała. Bogatsi tulili do siebie uboższych, ubodzy łączyli się po kilku, czasem po kilkunastu, i żyli jak mogli.

Zaledwie Hilcio wszedł do miasta, nawinął się Icek rudowłosy, jak się sam nazywał „faktor wid wszystkiegi“, który wypytawszy chłopca zkąd i po co przychodzi, za kilka groszy zaprowadził go do pewnego domu pod górą zamkową, w którym mieszkali prawie sami studenci. Tu w ciągu godziny nasz bohater zakwaterował się jak u siebie. Kolonja, w której się znajdował, składała się z synów księży ruskich, szlachciców zagrodowych, ekonomów i leśniczych. Była to więc dziatwa biedna, ale ponieważ ich rodzice niedaleko Przemyśla mieszkali, więc raz na tydzień, zawsze w dzień targowy, studenci otrzymywali z domu przeróżne wiktuały, z których cały tydzień żyli.

Za dwa pokoiki które odnajmywał jakiś biedny urzędnik magistratualny, płacili razem trzy talary, za co mogli także korzystać ze wspólnego ogniska w kuchni. Ciekawy to był widok, gdy w południe stało na kuchni kilka, czasem kilkanaście garnuszków, w których chłopcy objad sobie gotowali. Ten przyszedł i groch sobie posolił, tamten wbiegł by kapustę zamieszać, inny niecierpliwił się ziemniakami, że mu się nie chciały ugotować. I mimo różnorodności temperamentów, mimo że w kuchni było ciasno, chłopcy godzili się i kochali, bo nic tak nie łączy, nie brata, jak niedola.

Hilcio mając na początek dwa bite talary, nie należał do najbiedniejszych. W owych czasach, taniość była nadzwyczajna, a potrzeby żadne. Porozumiawszy się więc z kolegami, zamieszkał między nimi jak równy z równymi i rozpoczął życie nowe, z którego sam sobie jeszcze sprawy nie zdawał. Gdy po niejakim czasie wyczerpały się jego kapitały, koledzy, ktorzy go tymczasem szczerze pokochali, Hilcio bowiem był zawsze wesół i mimo biedy trzymał uszy do góry, dzielili się z nim objadami, dopóki pan Jacenty, zaciągnąwszy języka i przekonawszy się, że jedynak w rzeczy samej chodzi do szkoły, nie zaczął mu z domu, przysyłać chleba, krup, masła i słoniny, tudzież dwa bite na miesiąc, by miał z czego mieszkanie zapłacić i inne wydatki opędzić. Odtąd los Hilcia był świetny.

(C. d. n.)

Z Fausta Goethe'go.

(Małgosia siedzi samotnie przy kołowrotku).

Mój spokój zniknął,
Serce się smuci;
Mój spokój nigdy,
Nigdy nie wróci.

Gdy go przy sobie
Nie mam — jam w grobie;
Blask cały świata
Zémiewa ta strata.

W mej biednej głowie
Myśl bieży wspak,
W mej błędnej mowie
Spokoju brak.

Mój spokój zniknął,
Serce się smuci;
Mój spokój nigdy,
Nigdy nie wróci.

Li za nim z okna
Patrzę po drodze,
Dla niego tylko
Z domu wychodzę.

Ten wyniosły chód,
Tej postaci czar,
Uśmiech jego ust,
Jego oczu żar,

I jego mowy
Czarodziejski dar,
Ten uścisk ręki,
Ach! całusa żar!

Mój spokój zniknął,
Serce się smuci;
Mój spokój nigdy,
Nigdy nie wróci.

Tych marzeń tęsknie
Muszę się imać;
Gdybym go mogła
Ująć, zatrzymać!

U ust mu zwisnąć,
Ach! z nich rozkosz ssać,
I tak w omdleniu
Wiekuiście trwać!

Wincenty K.

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Ciąg dalszy).

Nareszcie rok 1874. przyniósł dzieło, które Flaubert sam uważał za najgłówniejsze i nad którem pracował lat 20; które daje najwyraźniejszą definicję jego ducha; odurzające dzieło. Kiedy się poraz pierwszy rozeszła pogłoska, że francuski romansopisarz napisał „Pokusę św. Antoniego“, z pewnością $^{9}/_{10}$ publiczności sądziło bez wahania, że tytuł należy rozumieć żartobliwie, lub symbolicznie. Któż mógł się spodziewać, że dzieło traktuje z całą powagą historję pokusy dawnego pustelnika egipskiego.

Czegoś podobnego nie próbował nigdy żaden romansopisarz ani poeta. Wprawdzie Goethe napisał „Die classische Walpurgisnacht“, Byron dostarczył wzoru do szczegółów w drugim akcie „Kaina“, Turgienjew w „Wizjach“ po mistrzowsku opracował na całkiem małą skalę z daleka spokrewnioną osnowę; ale dramat w siedmiu oddziałach, składający się z jednego monologu, a raczej zawierający tylko punktowane przedstawienie tego, co pewnej strasznej nocy przeszło w mózgu hallucynującego człowieka — takiej książki przedtem nigdy w świecie nie napisano. A jednak to dzieło, chociaż chybione, ma w swej melancholijnej monotonji wielkość spokojną i piętno bezwzględnie nowożytne, jak mało poezji we francuskiej literaturze.

Święty Antoni stoi na progu chaty, na górze w Egipcie. Długi krzyż zatknięty w ziemi, stara pogięta palma schyla się nad przepaścią, a Nil tworzy jezioro u podnóża góry. Słońce zachodzi. Pustelnik znużony po dniu spędzonym w poście, pracy i umartwieniach; czuje więc, jak z nadejściem ciemności umniejsza się siła duchowa. Marząca tęsknota do świata napełnia mu serce. Nęcą i dręczą go wspomnienia, to lubieżne, to dumne, to znów sielankowo uśmiechnięte.

Najpierw tęskni za dzieciństwem, za Ammonarją, młodą dziewczyną, którą kochał niegdyś; przypomina sobie ulubionego ucznia Hilarjona, który go opuścił, przeklina życie samotne.

Ptaki wędrowne, ciągnące nad jego głową, obudzają życzenie ulecenia jak one. Ubolewa nad losem swoim, zaczyna się skarżyć i jęczeć. Dlaczego nie został spokojnym mnichem w celi, czemu nie obrał spokojnego i pożytecznego zawodu kapłana. Chciałby być gramatykiem, albo filozofem, celnikiem u mostu, bogatym, familijnym kupcem, albo dzielnym rzeźkim żołnierzem; wtedy mógłby użyć siły swego ciała. Rozpacza nad swoim położeniem, wybucha łzami, szuka pociechy, zbudowania w piśmie świętém. Ale w „Dziejach Apostołów“ znajduje miejsce, gdzie pozwolono Piotrowi jeść wszystkie zwierzęta, czyste i nieczyste, a on się nęka w ostrym ascetyzmie; w starym testamencie również czyta, jak żydom dane było prawo wszystkich nieprzyjaciół zabijać, rzeź między nimi urządzać, — kiedy on powinien nieprzyjaciołom przebaczać; czyta o Nabuchodonozorze i zazdrości jego uczt, — o Ezechjaszu, i wstrząsa się dreszczem od żądzy, na myśl o jego kosztownych wonnościach i skarbach złota, o pięknej królowej Sabie, i zapytuje, jak mogła pomyśleć o pokuszeniu mądrego Salamona — i zdaje mu się, że cienie, które ramiona krzyża rzucają na ziemię, zbliżają się do siebie jak dwa rogi. Wzywa Boga, i oba cienie zajmują napowrót dawne miejsce. Nadaremnie stara się upokorzyć; z dumą przypomina sobie długie męczeństwo; wzbiera mu serce na wspomnienie zaszczytów, jakimi go ze wszech stron obrzucają, sam cesarz trzy razy pisał do niego; potem widzi, że dzban na wodę stoi pusty, chleb pożarły szakale głód i pragnienie gryzą mu wnętrzności.

Przypomina sobie zazdrość i nienawiść, z jakiemi wystąpili przeciw niemu ojcowie kościoła na soborze w Nicei, i dusza woła o zemstę. Marzy o znakomitych damach, które go dawniej tak często wyszukiwały w pustyni, aby wyznać grzechy i błagać, o pozwolenie, iżby mogły pozostać przy świętym. Wpatruje się tak długo w te sny, aż się wydają rzeczywiste. Widzi delikatne panie z miasta, zbliżające się w lektykach; gasi pochodnię, aby rozpędzić te twarze i patrzy, jak dopiero teraz wyraźnie widzi na ciemnem niebie nocnem, jak szkarłatne obrazy na hebanie przebiegają w wirowym pośpiechu.

Podnoszą się głowy z ciemności, ofiarują mu kobiety stosy złota, wspaniałe potrawy. To jest początek pokusy, pragnienie zwierzęcych popędów. Potem marzy, że jest powiernikiem cesarza, pierwszym ministrem, że dzierży całą władzę. Cesarz koronuje go swoim dyjademem. Okrutnie się mści na wrogach, ojcach kościoła, brodzi w ich krwi, i nagle znachodzi się pośród uczty Nabuchodonozora, gdzie potrawy i napoje tworzą góry i rzeki. Namaszczony wonnościami i ubrany w drogie kamienie siedzi cesarz na tronie, a Antoni z oddalenia czyta na jego czole dumny polot myśli. Tak doskonale go przeniknął wzrokiem, iż nagle sam staje się Nabuchodonozorem, i w całym tym zbytku uczuwa potrzebę, stania się zwierzęciem, rzuca się na ziemię na czworaki i ryczy jak wół; rozdrapuje sobie rękę o kamień i obudza się. Biczuje się dla ukarania za tę wizję tak długo, aż ból staje się rozkoszą, i natychmiast ukazuje się przed kim królowa Saba, włosy ma obsypane niebieskim pudrem, obrzucone złotem, dyjamentami i oddaje mu się z dziką zalotnością; wszystkie kobiety w niej jednej; wie, że jeśliby palcem dotknął jej ramienia, wlałby mu się strumień ognia w żyły, stoi pachnąca wszystką wonnością wschodu, słowa jej dźwięczą jak przedziwnie sidląca muzyka, i z palącą żądzą rozkłada ramiona; ale opanowywa się i odpędza ją. Ona znika z całem swem otoczeniem. W tedy szatan przybiera postać dawnego ucznia jego Hilarjona, aby zachwiać go w wierze.

Mały, zwiędły Hilarjon zwraca uwagę ku jego utrapieniu na to, że on w fantazji zdobywa rozkosze, jakich odmawia sobie w rzeczywistości, tłumaczy mu, że Bóg nie jest Molochem zakazującym używania życia, że usiłowanie, aby Boga zrozumieć, więcej jest warte, jak wszystkie utrapienia. Ukazuje mu najpierw sprzeczności między starym, a nowym testamentem, potem sprzeczności nowego testamentu. I Hilarjon rośnie. Wynurza się w mózgu Antoniego przypomnienie wszystkich

kacerstw, o których słyszał i czytał w Aleksandrji i gdzieindziej, a które na pewien czas pokonał. Sto i więcej odszczepieństw pierwszych sekt chrześcijańskich, poglądy jedne potworniejsze od drugich, ryczą mu do ucha sami kacerze. Szczekają na niego, jak hyeny. Każdy z nich wylewa na niego swoją wściekłość. Kobiety histeryczne i kochanki męczenników rzucają się wyjąc na popioły zmarłych. Antoni widzi kacerzy, którzy się kastrują — kacerzy, którzy się rzucają w ogień. Appolonjusz z Tyru ogłasza się mu cudotwórcą nie ustępującym Chrystusowi. I Hilarjon rośnie coraz więcej. Po kacerzach następują bogowie rozmaitych religji w ogromnym pochodzie, od szkaradnych i zabawnych bożków z kamieni i fetyszów drewnianych z najdawniejszych czasów, aż do krwawych bogów wschodu i pięknych bóstw Grecji; wszystkie przesuwają się przed nim aż każdy z nich z okrzykiem skargi wywraca kozła i spada w wielką nicość. Widzi bogów wpadających w omdlenie, innych porywanych wirem, jeszcze innych rozmiażdżonych, rozrywanych, spychanych w ciemną przepaść, bogów topiących się, rozpływających się w powietrzu, zabijajacych się. Pomiędzy nimi wznosi się Budda, który we wszystkiem co opowiada o sobie, ma najwyraźniejsze podobieństwo do Zbawiciela. W końcu Crepitus rzymski bóg trawienia, i Jehowah, bóg zastępów, robią skok w otchłań.

— Wtedy powstaje straszny spokój, głęboka noc.

„Wszyscy poszli precz“, rzecze Antoni.

„Ja pozostałem“ — głos odpowiada.

I Hilarjon stoi przed nim, jeszcze większy, przemieniony, piękny, jak archanioł, błyszczący, jak słońce, a tak wielki, że Antoni musi w tył głowę przechylić, aby go obaczyć.

„Kto ty jesteś ?“

Hilarjon odpowiada: „Państwo moje jest tak wielkie, jak wszechświat, a żądza moja nie ma granic. Idę zawsze naprzód, uwalniając duchy i ważąc światy, bez bojaźni, bez współczucia, bez miłości i bez Boga. Nazywają mnie: wiedzą.“

Antoni się cofa ze strachem: „Tyś raczej szatanem“

„Chcesz go ujrzeć?“ Pokazuje się końska noga, djabeł bierze świętego na rogi i niesie go przez przestrzeń, przez niebiosa współczesnej nauki, gdzie światy są tak liczne jak pyłki. I widnokrąg rozszerza się wraz z myślami Antoniego „Wyżej, wyżej!“ woła. Nieskończoność przedstawia się jego wzrokowi. Trwożliwie zapytuje szatana o Boga. Ten odpowiada nowemi zapytaniami z wątpieniem: „Co nazywasz formą, jest może błędem zmysłów, co nazywasz substancją, urojeniem myśli. Kto wie, czy świat nie jest wiecznym strumieniem rzeczy i wypadków, pozór jedyną prawdą, illuzja jedyną rzeczywistością!“ — „Uwielbij mnie“ — zawoła nagle — szatan „i przeklinaj mamidło, które nazywałeś Bogiem!“ Znika, a Antoni budzi się leżąc plecami na brzegu skały.

Ale zęby mu dzwonią, jest chory, nie ma już ani chleba, ani wody w swej chacie; hallucynacje rozpoczynają się na nowo. Gubi się w tłumie zwierząt bajecznych, fantastycznych potworów ziemi. Znachodzi się na brzegu między mieszkańcami i roślinami morza i lądu; już nie może zwierząt i roślin rozróżnić; miesza państwo roślin i kamieni z państwem ludzkiem, dynie wyglądają jak piersi kobiece, babilońskie drzewo Dedaim wydaje jako owoc głowy ludzkie; krzemionki są podobne do mózgów, dyjamenty błyszczą jak oczy. Uczuwa panteistyczną żądzę zlania się z całą naturą i oto jest jego ostatnie wykrzyknienie:

„Chcę lecieć, pływać, szczekać, ryczeć, wyć. Chciałbym mieć skrzydła, pancerz łuskowy, skorupę, dziób, wić się ciałem, rozdzielać się, być we wszystkiem, rozchodzić się jak zapach, rozwijać się, jak roślina, brzmieć, jak ton, błyszczeć, jak światło, ukrywać się we wszystkich formach i każdy atom przenikać!“ Noc ma się ku końcowi. Była to tylko nowa zmora. Słońce się wznosi, a na jego tarczy zaświeciło mu oblicze Chrystusa. — Tu ostatnia dyskretna ironja poety: Antoni czyni znak krzyża i rozpoczyna znowu przerwaną wizjami modlitwę.

(d. n.)

Mrzonka studenta.

(humoreska)

napisał

A. S.

I.

— „Ach! jak ja ją kocham!... jak ja kocham!“ szeptał młody chłopiec siedząc nad gramatyką grecką, przy czem podparł się oboma łokciami i zasłonił sobie oczy. — Lampa oświecała blado studencki pokoik.

— „Co to za śliczna istota ta panna Zofia! — jakie włosy! jakie oczy! Czuję jak mi serce mocno bije. — A jednak nie wiem... jest mi ona wzajemną, czy nie?... To pewna, że jest bardzo uprzejma — ale czasem, czasem to tak się dziwnie przecież uśmiecha, jakby się śmiać chciała. — Naprzykład wtedy gdym jej dał takie, śliczne obrazki do odbijania — jak ona to mile przyjęła, a jednak popatrzyła na mnie takim wzrokiem, jakby szydziła ze mnie i czuję jakem się okropnie zarumienił. — Ale ta Józia, to także nieznośny smarkacz! Ledwo ma to siedem lat, a jak zaczęła krzyczeć „Dla kogo pan schował to ciasteczko, co panu Zosia dała?“ — A i ten pan Władysław coś się zanadto koło niej kręci a może już co między nimi zaszło?

— „Panie Kazimierzu! czemu pan tak długo siedzi przy lampie?“ woła gospodyni pani Gumolska, u której stał na stancji.

— „Ale bo ta gramatyka!“ mruknął nieco przestraszony Kazio; i zaczął mruczeć wyrazy z gramatyki greckiej — „aoristus używa się“...

Na oblicze biednego studenta wystąpił wyraz ogromnego niezadowolenia — a z tym wyrazem nie było mu bardzo do twarzy, gdyż i tak natura obdarzyła go facjatą pospolitą, gulkowatym nosem, szeroką gębą i małemi czarnemi oczami.

— „Ach ta piąta klasa!“ mruknął — I znowu począł dumać i dumać, głowa zsunęła się aż na gramatykę grecką i wreszcie sam się nie spostrzegł, kiedy zasnął twardo.

Gdy się ocknął była już szósta rano. Sam nie wiedział kiedy całą noc przespał.

„Ależ bo te profesory męczą okropnie te biedne dzieciaki!“ mówi na drugi dzień pani Fafulska, stara sługa domu — „toż to biedactwo do szóstej godziny nad książką siedziało; a już i tak wygląda, jak wymokłe kocie.

II.

O kłamcy! kłamcy! którzy chcecie twierdzić, że dość podłożyć książkę pod poduszkę, a wszystko wlezie do głowy — gdzie tam! to istna nieprawda. Kazio spał całą noc na gramatyce, a nic mu do głowy nie wlazło. — Kazio poszedł do szkoły, ale był to feralny dzień. — Zaraz z pierwszego przedmiotu t. j. z greki oberwał trzecią i z innych nie lepiej poszło.

Wrócił do domu zły i zmartwiony — „To wszystko dla niej“ myślał, „ale co to!

„Wiesz co Kaziu?“ rzekła mu na wstępie pani gospodyni „jesteśmy zaproszeni“.

— „Gdzież to proszę pani“? spytał wpół ciekawie.

— „O będziesz się bawić, dziś idziemy na ślub panny Zofii“.

— „Panny Zofii!?... rzekł Kazio przeciągle — i wleciał do swego pokoju, padł na kanapę i rzucił książki, które się na ziemię rozsypały. „Ach! ona! ona! nie-

wdzięcznica! to to za moje... ach! za kogo? za tego pana Władysława adjunkta sądowego! ach to okropne!“... i łzy mu w oczach stanęły. „Ale ja pójdę, tak pójdę i powiem jej, powiem wszystko... niech wie jak strasznie... i urwał... bo nie wiedział, co dalej mówić.

Objad nie smakował mu wcale. — Wieczorem o siódmej zebrał się i poszedł z panią Gumolską do kościoła, gdzie zajął miejsce przy samym ołtarzu.

Kościelny kończył już oświecać kościół. — Tłum ciekawych utworzył długi szpaler od drzwi wchodowych, aż do wielkiego ołtarza; niektórzy powyłazili na ławki.

Wnet rozległ się turkot powozów, trzask z biczów i rżenie koni.

„Już jadą!... już jadą!“ zaczęli szeptać zgromadzeni — i jedni wystawiali głowy z szeregu, drudzy w pół się zginali, a stojący wspinali się na palcach i wytrzeszczali oczy, jakby się przygotowywali do połknięcia panny młodej, która też w krótce weszła do kościoła, prowadzona przez dwu drużbów.

— „Ach panie! uważaj pan! takeś mię pan nazdeptał! woła gruby jegomość kładąc na „z“ syczący nacisk,

— „O! przepraszam! Bąka przestraszony kawaler i bojąc się dalszych wyrzutów, cofa się w tył i znowu depce i tratuje osoby z stylu stojące·

„Ależ mój panie!...“ „Och! a to jakaś niezgraba!“ odzywają się głosy z oburzeniem, ale on nie pyta; kontent, że już wydostał się z tłumu, czemprędzej ucieka za filar i powoli po cichu wyłazi na ławkę i jeszcze się wyciąga, bo tłumy gości całkiem widok zasłaniają.

„Popatrz! popatrz! jak śliczna!“ mówią dwie panie. — O! psiakr... — ale ci!... syknął z podziwem jakiś kawaler, a wszyscy zaglądają w oczy, radziby wszystko wyczytać co tam w duszy panny młodej — Ale ona na przekór wszystkim, albo spuszcza oczy, albo patrzy w prost przed siebie, a ciekawi znów robią swoje uwagi. —

Ale nie ma co mówić Kazio miał słuszność — panna Zofia była jednem słowem śliczna. — Średniego wzrostu, ale wiotka i zgrabna, mogłaby zakasać piękną figurą wszystkie obecne panny, — Oczy czarne jak węgle, teraz matowe nieco rozmarzeniem i włosy czarne, pięknie ustrojone wiankiem i welonem białym, długim, na którym były poprzyczepiane małe bukieciki z pączków róż. — A brew!... a usta! a nosek! nie grecki wprawdzie, ale tak foremny jak może żaden ze starożytnych, a bródka okrągła... a!... ale co to opisywać istna rusałka, przyszła na świat, by jeszcze i przy ołtarzu ludzi czarować!

Doszła do jego stopni i stanęła. — Podniosła oczy, zobaczyła panią Gumolskę i z lekka się do niej uśmiechnęła. A Kazio? Ach on nie wiedział co się z nim działo; krew mu biła do głowy, w oczach mu migało — on oprócz panny młodej nie widział nic — pchał się coraz bardziej naprzód, aby go mogła zobaczyć; ale panna młoda go nie widziała — była czem innem zajętą. Panowie drużbowie z cicha coś do niej szeptali, ona się im uśmiechała —

Ach ten uśmiech; zachwycał biednego Kazia i sprawiał mu męki niesłychane. —

Za panną młodą szedł pan młody, prowadzony przez dwie drużki, młode podlotki; które trzymając go z obu stron wesoło szczebiotały. — On im się dobrotliwie uśmiechał. Pan młody był człowiek lat trzydziestku kilku, blondyn, nieco łysy, z wielkimi wąsami i siwymi oczami, a tak dobrym wyrazem twarzy, iż naprzód można było przewidzieć, że będzie mężem posłusznym i wyrozumiałym.

Dalej szli goście i krewni parami. Rodzice młodych stali zaraz z tyłu. Panią sędzinę, grubą i otyłą kobietę ciągnął pod rękę chudy jakiś, ale wysoki jegomość, pochyliwszy się jakby taszczył jaki wóz ciężko obładowany.

Pani sędzina czuła dobroczynny wpływ jego opieki, gdyż sama, jako osoba znacznej objętości była mało ściśliwą i nieprzepchałaby się nigdy sama przez tłumy. Za to sapała za siebie i za troskliwego kawalera, któremu pot rzęsisty lał się z czoła Dalej szły panie już mniej przestronne, ale ubrane, aż w oczy ćmiło. Były niektóre starsze pewno dochodziły do trzydziestu kilku po odtrąceniu siedemnastu lat panieńskich, które nie w chodzą w rachubę. Wszystkie były wygorsowane dość dobrze, a nawet może za dobrze, bo nawet stary pan radca stojący z boku aż cmoknął, a żona jego srogo mu w oczy spojrzawszy, w bok się odwróciła. Za niemi panienki młode, którym już nie potrzeba było nic odtrącać, gdyż rzeczywiście niektóre nie miały i szesnastu lat.

Jedne z powagą i z dumą, mrużąc oczy, kroczyły przez kościół, inne skacząc jak żabki, śmiejące się i wesołe — a jedna biegła tak prędko, że kawaler jej towarzyszący pan auskultant bezpłatny, usiłując ją dogonić zaplątał się w dywanie i chrymnął jak długi

Łoskot odbił się echem po murach kościoła, a goście ze strachem poczęli spozierać na sklepienie, bo myśleli że może cegła jaka usunęła się i spadła. — „Ależ to chrymnął!“ szepnęła z cicha młoda panienka do matki.

„Musiał się bardzo potłuc“ odrzekła mama — pan auskultant już wstał, był czerwony, miał łzy w oczach, czy z bolu, czy ze wstydu. — Spojrzał z wyrzutem w stronę mówiących.

Niektórzy nastrajali minę do śmiechu, inni psztykali za plecami; ale pan auskultant, jak się zerwał, tak i zniknął, a ceremonia już się rozpoczęła. Chór przespiewał swoje, ksiądz pobłogosławił, państwo młodzi oświadczyli, że mają wolę i zaraz poczęto wychodzić z kościoła. Pan organista popisywał się przy wychodzie piękną polką. Pierwsze pary wydostały się z kościoła dość szczęśliwie, ale następnie widzowie zachowując porządek zwany galimatiasem tłumili się, popychali, cisnęli, a który był już blisko drzwi, to wylatywał, a nie wychodził, tak dzielnie popierano z tyłu.

Jeden jegomość nawet podczas tej ewolucji, rozbił sobie nos na kamieniu, złamał laskę, stłukł kolano, umalował twarz na czarno i zgubił cylinder; na szczęście chwycił go i zmykł, by go jeszcze co gorszego nie spotkało.

Kazio z panią Gumolską wyszli prawie przy końcu, wsiedli do fiakra i udali się na zaproszony bal.

III.

Stara klucznica pani Anyżowska, wraz z kilkoma życzliwemi sąsiadkami, wszystko przygotowały. Z początku mały podwieczorek, potem trochę tańczono, aż do dziewiątej — a wreszcie wieczerza. — Istna uczta królewska!

Kazio zmachawszy się trochę przy tańcu, zabrał się na serjo do jedzenia i picia. Widok panny młodej drażnił go okropnie, to też jadł i pił bez zaprosin chyląc jeden kieliszek po drugim. Pito zdrowia. On pił je również, ale nie wstawał.

Szczęście że nikt na niego nie uważał, ale to go tem bardziej złościło. Daremnie jego młoda sąsiadka, panienka z konwiktu sławnego we Lwowie usiłowala zwrócić jego uwagę na siebie. On nie widział nic, nie słyszał; zajmywała go tylko panna młoda i tal rz

Otóż to młodzież!“ myślała biedna dziewczynka, „ani pomówić, ani... ach! jak on okropnie gębę otwiera!“ i z pewnym przestrachem usunęła się cokolwiek. Biesiada trwała cztery godzin; rozmawiano, żartowano. Gwar był ogromny wszyscy prawie kierowali swe oczy i dowcipy do panny młodej. Ale było między gośćmi kilka

par szczęśliwych, które podczas tego gwaru słodko gruchały. To ona spuści oczy, zarumieni się, a on na nią wciąż patrzy. Coś jej powiedział, ona roześmiała się i spojrzała na niego,.. teraz na jego twarz występują lekkie róże. Ci się jeszcze bawią; ale druga para obok nich to tak melancholijnie przewracała oczami, że prawie tęczówek im widać nie było. On na nią zawróci oczy, to ona w bok, on w bok, to ona na niego, i tak było do końca uczty. Tu mówiły wszystko oczy, bo usta były zamknięte; otwierały się tylko przy jedzeniu. Pomiędzy daniami były przestanki. Kazio kładł wtedy nóż i widelec i odpoczywał. Patrzał wciąż na pannę młodą, która mu się kilka razy mile uśmiechnęła.

„Nie! ja muszę jej powiedzieć! myślał sobie — byle tylko to się skończyło— Wreszcie skończyła się i bieda — Poczęto całować rączki, dziękować, kłaniać się, suwać nogami, a następnie opuszczono jadalnię i udano się do bawialnego pokoju, gdzie też miały się na nowo tańce rozpocząć.

Kazio wstał z trudem, bo wino było mocne i poszedł do bocznego pokoju, gdzie głęboka ciemność panowała.

„Ona musi tędy przechodzić! tu jej powiem!“ Właśnie los chciał, że pani Anyżowska przechodziła przez pokój.

— „Pani“ szepnął Kazio łapiąc ją za rękę.

— „Ach! kto taki?“ krzyknęła przerażona.

— „To ja“

— A! to pan? cóż pan chce?

— „Pani ja nie wytrzymam, ja muszę! szepnął niewyraźnie młodzieniec.

— „Ach cóż to jest? zlituj się pani!“ Ale jej już nie było. Kazio widząc, że przedmiot jego napaści gdzieś uszedł, wrócił z gorzką miną do salonu — Panna młoda, która również była na chwilę wyszła, weszła w tej samej chwili — Kazio spojrzał na nią wzrokiem okropnym — chciałby ją w tej chwili nim zabić. Ona na niego patrzała przyjaźnie. „Może by pan się napił lemoniady? zapytała — „Dziękuję! rzekł sucho — Pani Zofja odwróciła się i wnet rozpoczęła tańce z panem Władysławem.

„Ach! fałszywa! i ona tak, jakby między nami nic nie zaszło!“ mruknął Kazio— i w tejże chwili postanowił się zemścić, postanowił pannę młodę ani razu nie prosić do tańcu — „Niech wie, że mię nie obchodzi“ myślał i zbliżył się do swej sąsiadki, którą przy uczcie tak ignorował.

Zaczęto grać polkę. W szalonym wirze pary zaczęły się kręcić po sali. Kazio upojony winem i tonami muzyki kręcił się również, lecz przy tańcu powstał silny zawrót głowy. Tancerz począł tracić takt, nogi zaczęły mu się plątać, nieuważny nadeptał pulchną nóżkę swej danserki. — „Ach!“ krzyknęła poszkodowana. On przestraszony chciał się wydobyć z tłumu zrobił jeden krok dłuższy, pośliznął się drugi raz, już!.. już!.. byliby upadli, gdyby nie interwencja jakiejś pary, która ich powstrzymała.

— „Proszę pani, ja bardzo przepraszam, ala tak mi się głowa kręci!“ zabełkotał i zostawiwszy danserkę na środku sali, sam wrócił na swe dawne miejsce. Panna młoda tańczyła ciągle wesoła. Siedział więc chmurny przez cały wieczór, — Lecz na piąto-klasistę nikt nie uważał wiele — oprócz nieszczęśliwej danserki, która obrażona od czasu do czasu brzydkiem oczkiem na niego spojrzała.

Już świtało gdy wrócił do domu — rzucił się na łóżko...

„Ach niezrozumiała mię! nie zrozumiała! myślał przypominając sobie ciemny pokoik. „Co to znaczy być niezrozumianym.. o! Boże!.,. i począł chrapać.

Pan Kazimierz od owego dnia zabrał się do książki widząc, że jego mrzonki znikły. W parę lat zdał maturę, jest teraz na prawach i nieraz ze śmiechem, lecz i z pewnem zadowoleniem przypomina sobie swoje studenckie miłostki. Scenę w pokoiku wyjaśniła mu w parę dni po balu stara klucznica pytając się „Co panicz wtedy chciał odemnie?“ Eee!“ odpowiedział i zwrócił się zarumieniony. I z tego śmieje się nieraz serdecznie; żal mu tylko biednej panienki, której nogę nadeptał, tem bardziej, że teraz bardzo wyładniała, a on się obawia, czy przypadkiem nie pamięta owego fatalnego balu.

Europa w XX. wieku.

Niespełnionem nigdy pragnieniem ludzkiego serca jest przewidywanie dalszej przyszłości w jej pozytywnych kształtach. Każdy z nas radby zerwać zasłonę, kryjącą losy naszych potomków. I poeci też usiłowali odgadnąć zagadkowe myśli sfinksa, strzegącego progów przyszłości. Nigdy chyba jednak pokusa skreślenia stosunków życiowych przyszłych pokoleń nie kołatała równie głośno w naszej piersi, jak we współczesnej epoce. Im bardziej w dziedzinie myśli zaspakajamy naszą ciekawość, tem ona żarłoczniejszą się staje. Wszak każdy dzień przynosi nam nowe zdobycze i naukowe niespodzianki, a wciąż dążymy do nowych odkryć i do wyzyskania na swój pożytek sił przyrody. Co zaledwie przed lat dziesiątkiem zdawało się utopią, stało się dziś własnością naszą. Najzuchwalsze marzenia naszych pradziadów pozostały daleko po za zdobyczami drugiej połowy XIX stulecia. Gdy fakta te potęgować się będą postępowo, wtedy trudno by przewidzieć, jakie w przyszłości uskutecznią się przewroty w różnych społecznych stosunkach; może przyszłość zniesie czas i przestrzeń, które dotychczas ścieśniają ludzkie pragnienia i dążenia.

Niemiecki humorysta Kurd Lasswitz usiłował w swych pięknych *Obrazach przyszłości* przedstawić, jak zdumiewające odmiany i udoskonalenia uśmiechają się śmiertelnym tej ziemi. Od chwili pojawienia się tej książki, rzeczywistość przyniosła nam nowości takie, że niepodobna obecnie naigrawać się nad przeholowanemi karykaturami cywilizacyjnych pragnień, ale raczej przyjąć należy jako dewizę, że „nieprawdopodobieństwo stanie się faktem“.

Obecnie znów zjawił się francuz rysownik i zarazem literat z powołania, p. A. Robida i kreśli dzieło w rodzaju proroctw Lasswitza. Z ręki Edisona, Grahama i innych, niby śmiały chiromanta przepowiada przyszłość. Przytem jednak rozsiewa tyle komicznych ziarn, że jednocześnie śmiać się musimy i mimowoli zapytujemy się, czy w samej rzeczy pewnego dnia przyszłość urzeczywistnić nie zdoła choćby najśmielszych wymysłów fantazyi pana Robidy.

Tytuł nowego tego dzieła jest: Roman d'une Parisienne d'apres—demain.“ który wyszedł nakładem Dentu w Paryżu. Ilustracje wykonał autor, a ołówkiem włada równie zręcznie, jak piórem. Na karcie tytułowej spostrzegamy damę w szacie francuzkich adwokatów, na głowie jej tradycyjny biret;broni ona właśnie sprawy; z miny jej odgadujemy, że chodzi tu o kwestję ośmieszonego równouprawnienia kobiet. Bohaterkę romansu tego Helenę Colobry widzimy tu na jednym z etapów jej życia jako adwokatkę. Wyrazy te: bohaterka, romans, nie mają tu swego zwykłego znaczenia. Bohaterka ta nie jest właściwie bohaterką, a romans nie jest romansem. Heleną Colobry posługuje się autor jako pozorem, aby żartobliwe swe pomysły o przyszłości uszeregować niby różańcowe ziarna. Nie może tu być mowa nawet o romansie w zwykłem francuskim tego słowa znaczeniu, Helena praktykuje jako adwokatka, dyplomatka, finansistka, dziennikarka i t. d.

We wszystkich tych zawodach nie zdradza uzdolnienia, to też ostatecznie dopływa do — małżeńskiego portu i łączy się związkiem małżeńskim z Filipem Ponto, synem bankiera Ponto, swego opiekuna. Oto wszystko. Fabułę tę możnaby skreślić w kilku wierszach. Fabuła jednak jest tylko powieściowym wybuchem, albo raczej sposobnością, która dozwoli autorowi wesołe jego pomysły ugrupowywać dokoła pewnej osoby; osobą tą jest właśnie owa Helena Colobry.

P. Robida bierze za punkt wyjścia pewne specjalne siły: jak elektryczność w ogólności, telefon, fonograf, maszyny, żeglugę nadpowietrzną, gorączkę spekulacyjną i równouprawnienie kobiet. W śmiałych swych przypuszczeniach buja autor i pojedyncze żarty tak dokładnie obrabia, jak gdyby o najświętszą chodziło powagę. Duch czasu jednak więcej jeszcze posiada honoru od tego, który się nad tą epoką naigrawa. Oto np. opowiada Robida między innemi o pewnej młodej parze, która wybiera się w podróż poślubną nadpowietrznym wehikułem. Przed laty w samej rzeczy odbył jakiś areonauta podróż poślubną balonem. Wobec podobnego faktu, trudno uważać opisy Robidy jako czystą farsę. Wprawdzie karykaturzysta przedstawia nam takie koziołkowe sceny, że mimowoli zauważyć musimy, iż najodleglejsza przyszłość nawet cienia z tego nie będzie w sobie mieściła, co Robida jako rzecz załatwioną uznaje.

Tak więc tedy rozpoczyna się rzecz w „Romansie pojutrzejszej paryżanki", r. 1952, więc niespełna w jedno stulecie od dnia dzisiejszego; mimo to rozprawiają tam o nas jakby o średniowiecznych narodach. Anachronizm ten można sobie jedynie w ten sposób wytłómaczyć, że w obec codziennie wyskakujących nowości, każda godzina więcej przynosi zmian i przewrotów niż przed tem lat dziesiątki... R. 1952. znajdujemy się w chwili, gdy zapomocą balonowego omnibusa, córki Ponta: panny Barbe, Barbanetta i wychowanica jego Helena powracają do rodzinnego Paryża z odległego liceum, w którem się wychowywały. Ojciec Ponto wraca w nadpowietrznym koszu z giełdy do domu. Pani wyszła na miasto, lecz w fonografie zostawiła wszelkie zlecenia i dość jest nacisnąć guzik, aby usłyszeć wszystko to, co pani domu wychodząc, do wnętrza instrumentu wygłosiła. W domu pana Ponto poznajemy starego wuja nazwiskiem Plangadec, który, jako do dawniejszego należący pokolenia, dziwi się, że podróż z Bretanii do Paryża odbyć można na pneumatycznej kolei w przeciągu trzech kwadransów. Jakkolwiek 1915 r. przebiegła ostatnia lokomotywa między Paryżem a Calais—obecnie mieści się jako osobliwość w muzeum Cluny—wuj Plangadec wciąż jeszcze rozprawia o tym nieistniejącym już komunikacyjnym środku. Areonautyczne omnibusy, helikoptery, pneumatyczne koleje, wszystko to mieni nam się w oczach, nie podobna nawet wobec tego oprzytomnieć, gdyż na każdej stronie tej książki spostrzegamy sensacyjną nowość. Do najbardziej dziwacznych reform należy i to, że szkolnictwo podlega gruntownemu przekształceniu. Oto wykładają np. „skocentrowaną literaturę". W kilku wierszach dowiaduje się uczeń w streszczeniu o dziełach poety; zamiast obciążać jego umysł wszystkiemi pisarza pracami. Dzieje się to w ten sposób np.: Homer, poeta grecki; rodzaj: poezja bohaterska; znaki szczególne: niewidomy. Pod murami Ilionu walczyli grecy lat dziesięć pod wodzą Menelausa, Ulissesa, Agamemnona i syna Peleusza, Hektor syn Pryjama poległ w bitwie..."

Wszystkie stosunki są czysto praktycznej natury. Szkoda czasu, gdyż czas to pieniądz. Pośpiech i komfort są najważniejszemi celami życia. Może nie wszystkie owoce XX. wieku będą się nam podobały. Nie zbyt nas zachwyci pani Ponto jako polityczna kandydatka, walcząca o kandydaturę ze swoim mężem; natomiast chętniej przyjmiemy wynalazek zwany: *Gazeta telefoniczna*, której nie potrzeba czytać—sama ona bowiem ustnie udziela nam wszelkich wiadomości. Czyni ona to, ile razy ważna wiadomość nadchodzi, czem znaczne oddaje usługi giełdowym spekulantom w rodzaju pana Ponto. Helena dowiaduje się z *Gazety telefonicznej* o małej nieprzyjemności; służąca jej bowiem zapomina podczas nocy zasunąć telefon i w skutek tego Helena, która poraz pierwszy usnęła pod rodzicielskim dachem, wciąż jest budzoną wiadomościami z różnych krajów. Doświadczeni zasuwają wieczorem telefon, a rano dowiaduje się wszelkich nowości *en bloc*, które w ciągu nocy zatelefonowano...

Poznajemy się tu z *Międzynarodowym hotelem*, w którym mieści się 10,000 gościnnych pokoi, jak również z *Pałacem uwięzionym* w powietrzu z bujającym również podług planu *café chantant*, podług planu którego w krótce urządzone zostaną domy mieszkalne. Kto lubi rozrywki udaje się balonowym omnibusem do „obłocznego pałacu"...

Pięknym również wynalazkiem jest „telefonoskop", który przesyła nie tylko głos mówiącego, ale i jego powierzchowność. W ten sposób nie tylko słyszymy, ale i widzimy ze znaczniejszej odległości. Wynalazek ten zostaje zastosowanym głównie w dziedzinie teatralnych widowisk, na podstawie wielkiego akcyjnego towarzystwa. „Uniwersalne towarzystwo telefonoskopowoteatralne" posiada w całym świecie sześć milionów abonentów i udziela teatralnym dyrektorom subwencje...

Oto pan Ponto i jego rodzina pragnęliby rozerwać się przedstawieniem teatralnem. Naradzają się tedy, jakąby sztukę wybrać? „I cóż dzisiaj przedstawiają w Wiedniu?" — zapytuje Barnabetta. — Zobaczymy np. w Operze: „Nibelungów" Wagnera. — „jak na Wiedeń, to trochę za późno. Zegar wiedeński wyprzedza paryski o czterdzieści pięć minut; jest więc teraz w Wiedniu trzy kwadranse na ósmą. Spóźniliśmy się". Ostatecznie rodzina Ponto decyduje się na paryskiego *Fausta*...

Zbyt przeciążylibyśmy uwagę czytelnika przedstawieniem różnych reform, jakim teatr ulegnie. Jedną z najważniejszych — pomijając operę — będzie to, że żaden teatr nie potrzebuje własnej orkiestry, gdyż jedna grać będzie sposobem telefonowym dla wszystkich, a nawet teatra nie potrzebują pod tym względem trzymać się ściśle jednej pory. Dzięki świetnej kombinacji, tony muzyczne zatrzymane będą, dopóki przez odkręcenie kórka tony te nie wypłyną... Słynni artyści w ten sposób grywać będą u siebie w wygodnym fotelu. Recytować oni mogą całe utwory, a abonenci przysłuchiwać się im będą... Istnieć również będzie tak zwany *Téatre retrospectil*. Znakomitości teatralne wygłaszają słynne swe role przed fonografem, tak, że role te nawet po śmierci artystów mogą być powtórzone. Rzecz prosta, że w ten sposób zakonserwowano świetne role Sary Bernhardt.

Obiad wydany u krewnych pana Ponto daje nam sposobność poznać niektóre domowe urządzenia. Nie potrzeba licznej służby, gdyż towarzystwa spożywcze zaopatrują swych prenumeratorów najlepszemi potrawami. „*La grande compagnie d'alimention*" wypieka dziennie 30,000 kur i gotuje 100,000 litrów bulionu. Wszystko dokonywa się na wielką skalę. Maszyna zastępuje rękę ludzką i to bez żadnej ze strony ludzi zachodów! Bulion płynie z rury jak dziś woda studzienna. Karty, głoszące o najmie mieszkań, zawiadują zarazem, że „wszystkie piętra zaopatrzone są w zupę".

Zręcznie przeskakuje autor z jednego szczegółu do drugiego. To też z trudnością możemy za nim podążyć. Przedstawia tedy nam następców *Bon marché*, magazyny na Trocadero o 15-górnych a 4-ch dolnych piętrach, obsługa wynosi 15,000 subjektów, składy zaopatrzone są w sypialnie dla klientów, którzy, za dnia nie zdoławszy załatwić

się z danym interesem, pragną następnego dnia sprawę załatwić.

Dalej zapoznaje nas autor z powietrznemi szlakami z tak zwaną *atmosferyczną żandarmerją*. Dalej z domami gry, umieszczonymi w pobliżu chmur. Następnie zstępujemy znów na ziemię i spostrzegamy jak rozpowszechniony humanizm przestępców nie w więzieniu osadza, ale raczej na łonie pięknej natury, aby doskonalili się pod orzeźwiającemi wpływami świeżego powietrza. To znów zaglądamy do mieszkań, gdzie nie spostrzegamy fortepianów, które umieszczono między osobliwościami w muzeach, gdzie zajęły miejsce obok gilotyn. Towarzystwo akcyjne dostarcza gotową muzykę. Zakładają w danym domu muzykę, podobnie jak dziś rury gazowe. Muzyka fortepianowa dla całego domu kosztuje rocznie 10 fr., skrzypcowa i flet 6 fr., klarynet 2 fr., 50 c. W przedpokojach zamiast służącego, znajduje się przyrząd meldujący przybyłych.

Znajdujemy się w towarzystwie Heleny, która szybko pożegnała się z adwokaturą, aby posłuchać kursów polityki, podzielonych na dwie klasy: na klasę opozycji i klasę rządzenia. Helena przepada przy egzaminie; ponieważ zaś wygłosiła mowę poselską wierszem, zauważył więc komisarz egzaminacyjny, że winna poświęcić się literaturze. Helena usłuchała rady i rozpoczęła swoją karjerę literacką kadydaturą do akademji francuskiej, do której przyjmują wedle dawnego zwyczaju. Składa tedy obowiązkowe wizyty akademikom, a następnie bierze udział w uroczystem posiedzeniu akademii, jako reporterka dziennika *Epoka*. Na posiedzeniu tem dokonywają się zadziwiające odkrycia historyczne. Dziejopis Felicjan Cadoul wykazuje, że Napoleon I. nie był właściwie żołnierzem, ale nader pobożnego usposobienia filistrem. „Pisarz zeszłego wieku Adolf Thiers“ — dowodzi dalej uczony p. Cadoul — napisał dzieje Alaksandra W. których księgarze nabyć nie chcieli dla tego, że dzieło nie ilustrowało faktów współczesnych. Pewnego dnia spostrzegł on wizerunek Napoleona na koniu. Przychodzi mu tedy szalona idea. Spieszy do domu, chwyta rękopism i przerabia dzieje Aleksandra W. na romans o Napoleonie I. Imię Aleksandra przemienia na Napoleona.

Robida przedstawiwszy w ten sposób akademję, która zawsze jeszcze jest ostatecznym celem ambicji wszystkich francuskich literatów — zapoznaje nas z dziennikiem *Epoka*. Na platformie redakcyjnego gmachu przy pomocy telefonoskopu widać wypadki, tak jak one dzieją się w odpowiednich miejscach i które to fakta specjalni sprawozdawcy komunikują. Jeżeli np. cesarz chiński odbywa przegląd wojsk, wtedy prenumerator *Epoki* z napowietrznego omnibusu przejrzeć się może przeglądowi i usłyszeć każde słowo komendy. *Epoka* nie jest pisaną, lecz telefonowaną. Dla tego też zdarza się, że romans zostaje przerwany nagle, z powodu chrypki autora. Abonentom zależy na tem, aby sami słyszeli głos współpracowników *Epoki*. Do najpospolitszych nowości należy i to, że wyścigi konne odbywają się w powietrzu. Konie zresztą, z powodu udoskonalonej lokomocji, tuczone są jedynie na spożycie.

Największą niespodziankę stanowi dzień 2 kwietnia, 1953 r., w którym przypadają wakacje, powtarzające się co lat 10. Podczas wakacji tych rząd zostaje obalony, przed tem zapowiedziana rewolucja wybucha, a urządzona w tym celu Bastylla zostaje zdobytą i na zakończenie dymisjonowani ministrowie otrzymują dożywotne pensje, jako członkowie izby zaufania. W ten sposób niesforny duch francuski może znaleść ujście dla siebie i spokój zostaje znów zapewniony na lat dziesięć.

Helena utraciwszy swą posadę w *Epoce* — nie spieszno jej bowiem było stanąć do pojedynku, czem naraziła sobie naczelnego redaktora — przeniosła się do świata finansowego. Dięki tej zmianie, mamy sposobność poznać spekulacje pana Ponto i jego plany. Śmiały bankier przeistacza Włochy, które zakupił, *w park europejski* i jednocześnie założył podmorskie miasto. Pokusił się on całą Francję zamienić w towarzystwo komandytowe, którego wszyscy francuzi byliby akcyonarjuszami; plan ten jednak nie udaje mu się. Jako wielki „grunder“ pozostawał on w stosunkach z rządem. W towarzystwie jego zwiedzamy gmachy sądowe i dowiadujemy się tam, że prezydentem republiki jest automat. „Ręka która dzierży pióro“ — powiada Ponto — jest sztywną; można nią poruszać, potrząsać nią ona jednak pozostaje nieruchomą. W ręce tej umieszczono pióro tajemnicze... zupełnego bezpieczeństwa. Mechanizm jest strasznie skomplikowany, mieści on trzy zamki i trzy klucze. Prezes rady ministrów posiada jeden klucz, prezes izby drugi, i prezes senatu czyli „izby zaufania“ — trzeci. Potrzeba co najmniej dwu kluczy, aby w ruch wprowadzić mechanizm. Jeśli między prezesem ministrów i izby powstaje spór, zwołany zostaje prezes senatu, który kluczem swoim obraca mechanizm, wtedy automat podpisuje.

Mimo wszelkich starań pana Ponto, Helena nie czyni żadnych postępów w finansowości. Przy pewnej operacji bankierskiej, popełnia omyłkę na 745,889 fr. 75 centimów. Ta drobna pomyłka nakłania pana Ponto do przeniesienia Heleny do prywatnego życia. Ponieważ syn jego Filip z nią się żeni, mógł więc autor książkę zakończyć: ale nie chodzi mu koniecznie *o Pojutrzejszą Paryżankę*, to też w dalszym ciągu opowiada jakkolwiek Helena została już zapewnioną i usuniętą z opowieści...

Dowiadujemy się tedy, że w powietrzu znajdują się kuracyjne zakłady, że p. Ponto trzyma bardzo elegancki aeroyacht, i tym podobne zajmujące szczegóły z XX wieku zastępują miejsce ubyłej bohaterki,

Gigantycznemi, podobnie jak wszystko w tym wieku, są projekta pana Ponto. Nienasycony tem, że przeistoczył Włochy w park wesoły, zaludnia on Pompeję ludźmi antycznie przystrojonymi, których tryb życia taki sam być musi jak pompejan w 79 r. po Chrystusie. Wszystko zresztą ulega zmianie. Konstantynopol stał się najpierwszem kąpielowem miejscem w Europie, turczynki wyemancypowały się. Nawet do najrozleglejszych okolic Afryki przecisnęła się cywilizacja. „Ciemny kontynent“ posiada elektryczne oświetlenie i pneumatyczne koleje żel. jak Europa. W Zanzibarze, w Gandakoro, Tombuktu, Liyanti i t. d. znajdujemy parlamenty. Mieszkańcy Niacus-Niaus nie prowadzą już wojen dla zaspokojenia apetytu, dla pożarcia nieprzyjaciół, jak miłe barany...

Podróże tak bajecznie szybko się odbywają, że wszelnie zboczenie z drogi nic nie stanowią.

Rodzina Ponto, udając się do New-Yorku za interesami, robi drobną wycieczkę do czerwonoskórych. Rasy ludzkie również zostały zredukowane. Wspomnienia o dawnych czerwonoskórych znajdują się w specjalnych muzeach. Pozostałe potomstwo zatrzymało po swych przodkach jedynie tylko romantyczne imiona, które w każdym razie kontrastują z zajęciami tych ludzi. „Biały sęp“ jest portjerem we wspomnianym muzeum, „Oko królicze“ notarjuszem, „Szumiąca kaskada“ sprzedaje kiełbaski, „Giętka linia“ modniarką...

Po drodze przytrafił się naszym podróżnym wypadek. Podmorski yacht rozbija się o zanurzoną w morze torpedę, pasażerowie ratują się na sztuczną wyspę Nr. 124, jedno z owych schronisk, które dla morskich podróżników zostało urządzone. Po pewnym pobycie na Nr. 124, sztuczna ta wysepka odrywa się z kotwicy i płynie dalej. W ten sposób podróżni nasi dopływają do wysp polinezyjskich, których widok budzi w umyśle Filipa ideę do kolosalnego

przedsiębiorstwa. Za pomocą technicznych środków postanowiono zbić wszystkie te wyspy w jeden stały ląd. Będzie to szósta część świata, przezwana „Helenią“... W Taiti skomunikował się Filip telefonicznie ze swym ojcem, który ideę tę przyjmuje z zapałem i natychmiast przystępują do rzeczy.

„Uroczyste otwarcie nowej części świata, oznaczono na 1-go stycznia 1960. Spacerowe pociągi sprowadzać będą gości ze wszystkich krajów, przedstawicieli prasy i rządów aby obchodzić cudowne zwycięstwo pracy i nauki nad brutalnemi siłami oceanu.

Tą wiadomością kończy Robida swoją książkę pełną humoru. Mimo całej wesołości nieraz nasuwa się nam poważne pytanie: Gdzie zatrzyma się nowoczesny postęp w swoim biegu? Gdzie są osiągalne granice dla twórczego ludzkiego ducha.? Czy dzisiejszy sen nie przeistoczy się jutro w rzeczywistość.? Może przyjdzie czas, że wyraz „niemożliwe“ zostanie ze słownika wykreślony? Sam autor przy końcu książki swej poważnieje i z wysokości XX wieku usiłuje zajrzeć do XXI stulecia. Ponieważ jednak nie umie dać odpowiedzi, wraca do swojej wesołości, bo też śmiejąc się, najłatwiej nam dźwigać nasze losy. Rabalais miał słuszność: Śmiech jest właściwością ludzką.“

Poświęcenie się pana Bajolein.

Nowella z francuskiego.

(Ciąg dalszy).

Ponieważ Pan się już przedtem z nami umówiłeś, więc uważaliśmy za swój obowiązek, zostawić Panu pierwszeństwo. Jeżeli więc Pan sobie życzy, może pan nabyć to dzieło za 30 franków.

Bajolein zgłupiał. Nic jednak nie pomogło — na nic się nie zdały jego odwoływania się do zawartej już umowy—protestacje zaklęcia, — im więcej się irytował i bronił, tem wyraźniej i jaśniej dowodził swej gorącej chęci kupienia antyku; dlatego też kupcowa pozostała niewzruszoną. Biedny człowiek był w prawdziwej rozpaczy. Bez wątpienia kalendarz był dla niego książką nieocenioną, ale wydać 30 franków w jednym miesiącu! Trzeba będzie odmawiać sobie wszystkiego, taić się z tem przed Panią Muche — i oszukiwać zacną kobietę — to był właśnie najważniejszy szkopuł, który mu odejmował odwagę.

Przemógł się, i wyszedł pomału ze sklepu. Miał jeszcze nadzieję, że go zawołają. Gdzie tam! A jemu tymczasem za każdym krokiem przedstawiały, się w myśli to stara spłowiała okładka, to wielkie marginesy, słowem wszystkie uroki i powaby Jana de Tournes... który niestety nie należał do niego. Nie mógł wytrzymać. Wrócił i zapłacił żądanych 30 franków. W okamgnieniu ukrył swą zdobycz na piersiach za surdutem i uciekł jak człowiek, który zbrodnię popełnił. Wzburzony i do głębi poruszony tem nadzwyczajnem zdarzeniem, skierował szybko swe kroki do księgarni Brochata.

To była przyczyna, że ten wzór pilności spóźnił się tego dnia o pół godziny. Wszedłszy do sklepu i siadłszy przy biurku ,wsunął natychmiast swój skarb do szuflady, którą często otwierał, mógł zatem codziennie niezliczoną ilość razy cieszyć się klejnotem który był jego własnością. Gdy nadeszła godzina śniadania, Bajolein wsunął go znowu za surdut. Nieszczęściem, gdy wychodząc kłaniał się p. Brochat, książka wyśliznęła się z ukrycia i upadła pod same nogi pryncypała.

— Co to jest? zapytał p. Brochat synowiec.

— To — to — proszę Pana to — to jest książka.

— Ja to widzę dobrze — nie ma wątpliwości, że to książka...

Bajolein — nie wypieraj się... pan, zbierasz stare książki!

Bajolein spuścił głowę.

— Domyślałem się tego — mówił stary mruk — Pan masz wszystkie wady i zamiłowania starych kawalerów. Myślisz Pan może, że ja Pana nie widziałem kręcącego się często koło antykwarni. Strzeż się Pan, Panie Bajolein, takie namiętności rujnują ludzi i sprowadzają ną złą drogę. Wierz Pan memu doświadczeniu.

— No a Pan przecież nie jesteś mimo to na złej drodze — odpowiedział nieśmiało Bajolein, probując się uśmiechnąć.

— Oh! ja się ożeniłem—i to mnie uratowało. Żeniąc się wyrzekłem się wszelkich egoistycznych przyjemności.

Bajolein zakłopotał się znowu. Księgarz tymczasem zapytał go już innym tonem.

— I cóż to właściwie za dzieło — które Pan masz? Wolno zobaczyć... Kalendarz historyczny Jana de Tournes! Bagatela! Nic więcej?

— O Panie Brochat — to trafem — bardzo szczęśliwie i tanio kupione.

Pryncypał tymczasem oglądał i wertował dzieło okiem znawcy i z lubością prawdziwego amatora.

— Zresztą — rzekł — oddając egzemplarz właścicielowi — nie mam prawa mięszać się do pańskich interesów. Pamiętaj tylko Bajolein, hamuj swoją namiętność! Nareszcie znalazłszy się na ulicy Bajolein odetchnął, tuląc do piersi swój skarb.

— Zdawało mi się już, myślał jeszcze ze strachem — że p. Brochat ma wielki gust na ten kalendarz!

O mój Boże — tyle wzruszeń w jednym dniu!

I jak gdyby przeznaczenie uwzięło się na niego, spotkała go w tej chwili nowa niespodzianka.

O kilka kroków dalej, P. Muche, obrócona tyłem do niego, oglądała wystawę jakiegoś handlu bławatnego. Spostrzegłszy ją Bajolein, zaniepokojony cokolwiek, przekonał się przedewszystkiem czy jego książka dobrze zakryta surdutem, następnie zaś nie czując się dostatecznie pewnym siebie, by przywitać Panią Muche — widząc jednak z jej postawy i ze słów niezwykłe w niej poruszenie jakieś, stanął na uboczu i obserwował ją z daleka.

Oddźwierna oglądała i próbowała w rękach materje rozłożone na ławkach w otwartych drzwiach magazynu. Ze szczególnem upodobaniam powracała zawsze do jakiejś wełnianki merynosowej koloru szczawiowo zielonego, która widocznie miała dla niej pewien urok pociągający, gdyż kobiecina nie mogła się od niej oderwać.

Subjekt z handlu zbliżył się.

— Jedyna sposobność! rzekł, po 4 franki metr. To prawie za darmo!

P. Muche zaczęła targować. Było widocznem, że p. Muche czuła w głębi serca nieodzowną potrzebę posiadania sukni koloru szczawiowo-zielonego — a jednak nie mogła postąpić do 4 franków.

Jej wyrazista brodawka dowodziła tego aż nadto.

— Jakie te kobiety dziwne — myślał Bajolein — nigdy nie mają dosyć tych gałganków, suknia merynosowa! Na co jej tego. Tymczasem ani subjekt nie chciał ustąpić ani Pani Muche nie zdecydowała się zapłacić żądanej ceny. Kupno nie przyszło do skutku. Jej ostatnie słowa były:

— To za drogo — i Bajolein widział jak odeszła.

— Ona widać także trafiła na swego Auvergnat'a.

Przewracając wieczorem kartki swego Jana de Tournes — przebiegał Bajolein w myśli wypadki tego dnia. A gdy się zastanowił, dlaczego P. Muche tak koniecznie pragnęła mieć suknię merynosową, szczawiowo-zieloną, przypomniał sobie, że za kilka tygodni ta dobra kobieta miała asystować

swojej siostrzenicy przy uroczystości pierwszej komunji. Teraz zrozumiał jej,zachciankę. O pół do jedenastej wieczór Bajolein zgasiwszy świecę, zasypiał z myślą o swoim kalendarzu.

— Ja go mam — a Pani Muche nie ma sukni.!

II.

Nazajutrz wieczorem p. Bajolein przyszedłszy do domu, kazał sobie dać grzanego wina, skarżąc się przed p. Muche na nudności, dreszcze i zupełny brak apetytu. P. Bajolein, jak wiemy, nigdy nie chorował, i wcale się nie pieścił, to też jego gospodyni mocno się zaniepokoiła tym wypadkiem. Na drugi dzień rano, wychodząc do biura, Bajolein tak zasłabł na schodach, że widział się zmuszonym powrócić na górę i położyć do łóżka. Pani Muche była bliską rozpaczy, posłała czemprędzej po doktora, narzekając na nieopatrzność swego pacjenta:

— Założyłabym się, że wczoraj łaził znowu za owemi książkami, nie zważając na słońce, ani na wiatr — musiał się przeziębić. Ci mężczyźni, to prawdziwie jak dzieci!

Przybyły lekarz skonstatował symptomaty gorączki tyfoidalnej — i nagryzmoliwszy jakieś receptę zabrał się do wyjścia.

— Ale to przecież nic niebezpiecznego? zapytała go P. Muche już w sieni.

Doktor nastroił poważną minę — wymijająca jego odpowiedz nie dodała bynajmniej otuchy już i tak wielce przestraszonej kobiecie.

Bajolein nie słyszał wprawdzie tej rozmowy z doktorem, musiał się jednak czuć gorzej, gdyż zmuszając się do uśmiechu, zaczął przepraszać gospodynię za kłopot jakiego ją nabawia swą chorobą.

— Moja poczciwa Pani Muche, mówił, widzę jaką Pani sprawiam przykrość. Nie zaprzeczaj Pani — wiem o tem dobrze — Ale cóż robić — wierz mi Pani, żem temu nie winien — sam nie wiem, skąd to przyszło.

— Eh! nic Panu nie będzie — odpowiedziała dzielna ta kobieta — jestto tylko lekkie zaziębienie — i nic więcej.

Czy to tylko nie zaraźliwe?

— Ale skąd!

— To dobrze, bo się tego najbardziej obawiałem. Ale tymczasem trzeba będzie oznajmić Panu Brochat o mojej chorobie i wytłumaczyć mnie. To zacny człowiek, ja go bardzo żałuję — chociaż czasami jest taki opryskliwy.

— Dobrze, pójdę sama do niego, a pan niech się tymczasem trochę przespi — ja spuszczę story...

— Ale jak pani zasłoni okna, to ja nie będę mógł widzieć moich książek!

— Właśnie też! Pan masz teraz spać a nie patrzeć na książki — rzekła gospodyni stanowczym tonem, jakiego sobie pozwoliła użyć ze względu na nadzwyczajne okoliczności i nie czekając przyzwolenia pospuszczała story. Po jej odejściu Bajolein zastanawiał się nad niesprawiedliwością na tym świecie. Ta poczciwa kobieta zasłużyła przecie na suknię merynosową, której tak pragnie.

— Ona jej nie ma — powtórzył — ja mam Jana de Tournes! I w tej chwili uczucia bibliomana zawładnęły nim zupełnie. Nie bez wysiłku wylazł z łóżka i powlókł się do swych książek. Na omack wynalazł ukrytego w głębi po za innemi Jana de Tournes, i drząc cały z zadowolenia i zimna położył się napowrót chowając swój skarb pod poduszkę.

— Teraz będę mógł spać spokojnie, rzekł, układając się do snu.

I rzeczywiście wkrótce ogarnął go sen ciężki, chorobliwy, pełny gorączkowych widziadeł i marzeń. (d. n)

Przegląd literacki.

(Różni ludzie: Nowele i obrazki: przez Zygmunta Sarneckiego. Kraków 1883.

Kiedy malarstwo pędzla coraz bardziej rozszerza u nas ramy swych płócien, olbrzymie stwarzając obrazy, malarstwo słowa. powieść, uległszy ogólnemu w całym pismiennictwie europejskiem prądowi,rzuca się z szczególną predylekcją do drobnych misternych studjów z natury. Jeżeli kiedy, to teraz rzeczywistością staje się paradoks Symonidesa: obraz — to powieść, powieść — to obraz.

„Powieść — to obraz“ w tych dwu słowach zawarta cała charakterystyka dzisiejszej literatury nowelistycznej. Realizm ostatnich dopiero lat dziesięć, szybko wziął górę nad wysilonym idealizmem. Jak ów Gallów przywódca nad bramami upokorzonego Rzymu, podnosi on dzisiaj tryumfalny okrzyk: *Vae victis*!

Nowela jest jedną z najwybitniejszych córek tego tryumfatora; sama jej nazwa dawnych poprawdzie sięga czasów, pojęcie jednak, jakie z nią się łączy, urosło dopiero pod wpływem prądu realistycznego. Zerwała ona zupełnie z teorją spekulatywną: nie siląc się wcale na stwarzanie ideałów, do których rzeczywiste kreacje naginać by potrzeba, podchwytuje nagą prawdę, aby ją na szkle sztuki odtworzyć. W samem nawet upięknieniu gardzi dawną modłą: renesansowe przeładowanie ozdób nie ma wstępu do jej wnętrza. Jak świątynia dorycka zachwyca nas ona powagą prawdy, a prostotą.

Zdawałoby się, że nic łatwiejszego nad stworzenie noweli. Nie ma miejsca na świecie, któreby nie porastało w temata nowelistyczne. Człowiek w tysiącznych najrozmaitszych swoich przejawach jest niejako nieustanną ich fabryką. I to każdy: grube dłonie drwala zasługują się w tej mierze na równi z powłóczystemi spojrzeniami pięknej mieszkanki salonów.

A jednak!...

Aby prawdę podchwycić, aby dopatrzeć, w jaki sposób wypadki o struny ludzkiego uczucia uderzają, w jaki sposób wywołują z nich melodją upojenia lub zgrzyt rozpaczy, jak wreszcie każdy z tych tonów wiąże się ze sobą, na to trzeba właściwego wzroku i słuchu estetycznego.

Czy posiada je p. Sarnecki? Przekonajmy się.

Jego różni ludzie to dobrzy nasi znajomi; widujemy ich nieraz w naszem otoczeniu na ulicy czy w salonie.

Ten „Franeczek“ naprzykład ileż razy przesuwa się w kalejdoskopie naszych stosunków... Natura nie wysiliła się bynajmniej przy jego stworzeniu, chyba na garbek, który potężnie na barkach mu się rozsiadł. Użyciem wynagrodzić sobie brak innych przyjemności — oto jego dążność. Jakoż dzięki giętkiemu karkowi przy braku tego co sumieniem nazywamy staje Franeczek nareszcie u celu życzeń. Hula w Paryżu, imponując bulwarowym kokotkom, a tak sobie tam „dogadza“ że po powrocie, z łóżka podźwignąć się nie może. Rozpusta obala jego i tak wątłe ciało, pamięć zaś bezprawiów zatruwa ostatnie chwile tego nędznego żywota...

Nie wiele więcej zajmującym jest charakter pana Karola (*Niewolnik kupidyna*), który pośród rozkochanych par wychowany, w ośmnastym już roku życia „zapragnął dotknąć czary miłości, nieustannie koło jego ust krążącej“. Schwytany na romansiku z respektową panną, jedzie kosztem ciotki za granicę, gdzie w kole pięknych kobiet zapomina o starganem sercu biednego dziewczęcia. Naiwna Leosia umiera z tęsknoty, ale los mści się za nią na panu Karolu. Ożeniony z inną, dobrej tuszy, a energicznej ręki Leosią ma ciągłą sposobność do odpukutowania dawnych swych grzesków...

Najsłabszą jest postać „Dolcia„, niepomna kształconego na znakomitego śpiewaka,

a wygwizdanego za niezgrabność już w pierwszym debiucie na deskach paryskiej „Wielkiej opery“. Niedoszła „wielkość“ kończy w Szarantońskim (Charenton) zakładzie obłąkanych.

Jeżeli *różni ludzie* męzkiego rodzaju nie wielu jaśnieją dobremi przymiotami, to kobietom w ich towarzystwo przez autora wplątanym, nie tylu brakuje zalet, ile szczęścia.

Nieładna, ale serdecznie (może nawet zanadto ckliwie) poczciwa „Terenia“ pada trupem ujrzawszy męża w objęciach mamki swego syna.?

Piękna „Salusia“ także niema szczęścia. Izraelitka, kształcona na nutach i żurnalach odpycha próżnią swego serca, tego który ideałem był jej marzeń. Biedaczka ulegając woli rodziców, wychodzi za brzydkiego, a bogatego kantorowicza, „Sali go nie kocha, ale ma malutką śliczną córeczkę którą ubóstwia. Uczy ją sama historji kraju rodzinnego i wiele rzeczy nie należących do wykładów na wyższych pensjach warszawskich“.

A czyż szczęśliwsza od niej „Aniela“? ta piękna dumna księżniczka, dobrowolnie skojarzona z człowiekiem którym pogardzać musi?

Jedna tyko „Marta“ na los swój skarzyć się nie może. Jako piętnastoletnie jeszcze dziewczę przyjęła na wychowanie znalezionego pod swemi drzwiami podrzutka. Była mu opiekunką, a kiedy wzrósł i w mężczyznę dojrzał, amorek zastawił na tę parę swoje sieci. Czy dacie wiarę? Pobrali się...

Śliczne! tylko czy prawdopodobne?

Nieprawdopodobieństwo to wraz z innymi częścią istotnymi, częścią upatrzonymi szwankami kreacji p. Sarneckiego dało krytyce pochop do zbyt ostrego o r ó ż n y c h l u d z i a c h sądu. T. I. Choiński nie wahał się im nawet odmówić l u d z k o ś c i życia. Wydały mu się za blade... Zola — twierdzi on — stworzyłby był z tych postaci typy o wiele potężniejsze. Nie wątpimy, ale ztąd jeszcze nie racja, aby potępiać wszystko, co utworom Zoli nie dorówna. Zola przecie pisuje czasem i recenzje lepsze pono od recenzyj p. Ch...

R ó ż n i l u d z i e, każdy bezstronny to przyzna, są w istocie l u d ź m i, jakkolwiek r ó ż n e m i... W ich postawach i działaniach nie mogliśmy się dopatrzeć braku psychicznej prawdy. Jedna może „Aniela“ za wiele ma w sobie ducha, za mało ciała...

Spokój, nazwany przez przyzwyczajonych do pieprznego Zoli sędziów — nudnym, gładkość wykończenia — będąca według ich zdania ręką mierności — są w oczach estetyki zaletą i my też poczytujemy je za dodatnią utworów p. Sarneckiego stronę.

Śmiesznym jest zarzut przez Choińskiego przeciw „Franeczkowi“ podniesiony. Franeczek nie jest w oczach jego nawet dobrym typem szubrawca, a to dla tego, że śmierć widząc przed sobą, o przebaczenie tych prosi, względem których zawinił. Konsekwencja zbrodni ma przecież także swą granicę, a zbrodniarz który nawet w tej strasznej chwili żalu nie czuje, byłby abstrakcją równie wstrętną, jak nieprawdziwą.

Słusznie atoli zarzucono p. Sarneckiemu brak fantazji. Wszystko to co w jego książeczce spotykamy, dysze życiem. W żyłach jego kreacji pulsuje nie sztuczny jakiś preparat, ale krew prawdziwa, a w ich ruchach nie podrygi manekina widać, jeno giętkość żywych członków. A jednak zyskałyby te obrazki na efekcie, gdyby trochę więcej z nich przebijała l' a r t p o u r l' a r t. Czy nie jest np. zakończenie „Tereni“, zbyt dla naszej publiczności, realnem?

Do ujemnych też stron policzylibyśmy pessymizm autora. Zasada sama wprawdzie uderzyła już p. Choińskiego niemile jako „tz. poczciwa tendencja“. My żałujemy, że autor wskazuje nam, czem b y ć p o w i n n i ś m y przez przedstawienie tego, c z e m b y ć n i e p o w i n n i ś m y. Czyż życie nie ma chwil jaśniejszych, czyż całe społeczeństwo składa się z samych tylko występnych lub nieszczęśliwych?

A jednak mimo tego wszystkiego *różni ludzie* zyskali uznanie, jeśli nie krytyków, to publiczności. Z przyjemnością przegląda się te obrazki wiernie z natury skopiowane. Autor nie goni w nich za tendencyjną jaskrawością, ale pióro jego umie wykwintnie malować... Jest tam życie, wdzięk, czasem i humor. A to już wiele... Gdyby tylko odrobinę mniej chmur posępnych, odrobinę więcej pogodnego nieba!...

Rossowski.

Przegląd teatralny.

Nora, dramat w 3 aktach Ibsena.

Jak człowiek, który po dłuższym pobycie w podziemnym lochu wydostanie się nakoniec z dusznej atmosfery, i z rozkoszą wdycha niezatruty strumień świeżego powietrza, tak widz na przedstawieniu Nory, uderzony został prądem zdrowszego powiewu, jaki tchnął z dramatu skandynawskiego pisarza. Przyzwczajeni patrzeć na utwory, których dramatyczność polega na konflikcie brudnych namiętności, a specjalnie na łamaniu wierności małżeńskiej, tematu, nad którym tak niezmordowanie się znęcają pisarze, osobliwie francuscy, zdziwieni zostaliśmy motywem świeżym wziętym z życia społeczeństwa zdrowszego i poważniejszego, aniżeli nasze. Nie goniąc za tradycjonalnemi efektami, potrafił autor podpatrzeć w zwykłem, domowem pożyciu, tak prosty, a mimo to, głęboki dramat.

Przedstawia nam małżeństwo na pozór szczęśliwe. Mąż egoista, człowiek rozumny, moralny, ale moralność jego nie przekracza praktyczności — żona, pieścidełko, pusta, lekkomyślna, chociaż szlachetna, idąca instynktownie za popędem serca. Nie jest to towarzyszka męża, która ma dzielić zarówno rozkosze jak i troski i trudy życia, ale zabawka, którą mąż niby kocha i pieści, bo taka ładniutka, wesoła figlarka. Ona czuje, jak poniżającą rolę odgrywa, ale niema czasu zastanowić się nad tem, zresztą po co, — jej i tak dobrze, ulega mężowi, zdaje jej się, że go bardzo kocha; pieści, a raczej bawi się dziećmi, jak zabawkami i czuje się szczęśliwą ze swego położenia.

Na jasnym horyzoncie tego szczęścia szarzeje jednak ciemna plama, która zagraża wzrośnięciem w ogromną chmurę, przysłaniającą pogodne niebo pożycia małżeńskiego. Do Nory przychodzi wierzyciel, od którego pożyczyła potajemnie przed laty na kurację męża znaczną sumę, sfałszowawszy podpis ojca na wekslu. Wierzyciel grozi wyjawieniem tego postępku, jeżeli nie zostanie za jej protekcją przyjętym do banku, którego dyrektorem mianowany został Torwald Helmer, mąż Nory. Torwald ani słyszeć nie chce o tym człowieku, którym się brzydzi, bo Krogstad, tak się nazywa wierzyciel, karany był więzieniem za sfałszowanie podpisu. Stanowczo odmawia prośbie żony. Nora drzy na myśl, że Krogstad wyjawi jej postępek, gdyż wie, że chwila ta będzie kresem jej szczęścia.

Autor znalazł nowy motyw dramatyczny a tym jest sfałszowanie wekslu. Słyszeliśmy uwagi pewnej części publiczności, że motyw zanadto dziecinny, błahy, aby na jego podstawie dramat można budować. Oczywiście, nie dziwmy się wcale, zwłaszcza tym, którzy tak głośno wypowiadali swe zdanie. Bo jakże mogli pojąć, żeby podpisanie ojca na wekslu, mogło być motywem poważnego dramatu, skoro takie same a liczne operacje uchodzą w ich gronie za rzecz codzienną, a kończącą się w najgorszym razie, jeżeli „papie“ zawiele, ogłoszeniem w inseratach, iż takie weksle nie będą płacone. Ale w społeczeństwie, gdzie moralność surowiej jest pojmowaną, weksel taki poczytywany, jest nie samym kodeksem tylko, za zbrodnię.

Cała dramatyczność polega na konwulsyjnych prawie wysiłkach Nory, aby chwilę

wyjawienia jej czynu przewlec jak najdłużej. Helmer dowiaduje sie wreszcie o wszystkiem. Brutalnie czyni wyrzuty żonie, a w tych wyrzutach przebija się tylko jego miłość własna. Gdy zaś skruszony Krogstad zwraca mu ów1 jałszywy dokument, unosi się radością, przebacza żonie, ale li dla tego, że jemu samemu nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo.

Nora widzi przed sobą egoistę zimnego, bo nawet te pieszczoty wypływały z egoizmu a nie miłości; egoizm męża zabija w niej miłość dla niego, a te kilka chwil nieszczęścia obudziły w niej drzemiące pragnienie poważniejszego życia. Opuszcza go, opuszcza dzieci, aby poznać życie. Na zaklęcia męża aby nie zapoznawała obowiązków matki i żony, odpowiada, że pierwej musi poznać obowiązki człowieka. W naszem społeczeństwie żona nie, opuści męża, bo na to nie pozwoli dogmatyczny absurd nierozwiązalności, małżonkowie pozostaną ze sobą zatruwając sobie całe życie, przedstawiając dzieciom przykład obłudy lub skandalów. Dlatego i ten krok Nory nie był przez nasze społeczeństwo zrozumiany, a co więcej, był potępiony. A zatem i koniec dramatu odmienny od tylu znanych, przed naszemi oczyma przesuwających się utworów. Niema tradycjonalnego sztyletu, lub trucizny, jako narzędzi mszczącej się moralności, ani też małżonkowie nie padają sobie w ramiona z frazesem efektownym, w życiu nie mającym znaczenia. Cała więc atmosfera dramatu jest odmienną od naszej; aby zaś zrozumieć rysy obyczajowe, trzeba koniecznie stanąć na tym gruncie z którego sztuka powstała. Osoby dramatu oryginalne; mąż, żona, doktor, co z rezygnacją idzie umierać, i w przeddzień śmierci wyjawia swą bezinteresowną miłość, wierzyciel, który pragnie się podźwignąć i brnie coraz więcej w podłości, to postacie prawdziwe, pochwycone z natury. W całej sztuce znać metodę realistyczną ale spokojną, głęboką, opartą na głębszem wydobywaniu treści psychicznej, Dramatyzm tej sztuki wyraża się w formach prostych, akcja oryginalna ma efekta niezwyczajne, a jednak niesztuczne. Tę wadę chyba wytknąć można, że dwa pierwsze akty, za mało przygotowują pod względem psychicznym rozwiązanie dramatu, przezco akt III. zyskałby więcej ułudy i prawdopodobieństwa. P. Zapolska przedstawiła się lwowskiej publiczności po raz pierwszy jako Nora. Gra jej naturalna swobodna. Deklamacja bez przesady i patetycznego nastroju, rolę przeprowadziła ze zrozumieniem. A rola to trudna, bo obok wybuchów dziecinnej, szalonej wesołości, wydobywają się myśli poważne, które przekształcają dziecko w kobietę silną. Dziś powiedzieć możemy, że p. Zapolska ma wszelkie warunki na dobrą artystkę. Męża dobrze odegrał p, Woleński. P. Kwieciński z roli przez autora niesmacznie nakreślonej, zrobił nam niespodziankę. Biedny doktor wywołał współczucie; rola ta choć niewielka, należy naszem zdaniem do najlepszych p. Kwiecińskiego, słusznie też bardzo obdarzyła go publiczność kilkakrotnie oklaskami. P, Hierowskiemu również winniśmy oddać należne uznanie za rolę Krogstada: scena, kiedy Krogstad grozi wyjawieniem tajemnicy, należała do najlepszych w przedstawieniu.

Tumult.

ZIARNKA.

Delegaci towarzystwa tatrzańskiego zapraszają członków tego towarzystwa na ogólne zgromadzenie w d. 3. maja, którego celem będzie zawiązanie nowego oddziału z siedzibą we Lwowie i wybór zarządu tego oddziału. Oddział lwowski obejmie dziesięć powiatów, a to: Lwów, Bóbrka, Żydaczów, Stryj Turka, Staremiasto, Sambor, Drohobycz, Rudki i Gródek. Wszyscy dawni członkowie towarzystwa tatrzańskiego, którzy zechcą należeć do nowego oddziału, składać będą wkładki pieniężne już nie centralnemu Towarzystwu w Krakowie, lecz do zarządu oddziału we Lwowie. O ile słyszeliśmy, nowy oddział ma zamiar być dość ruchliwym; już teraz projektują członkowie na najbliższą przyszłość wspólne wycieczki w góry i umożliwienie publiczności pobytu w zdrowych okolicach naszych Karpat.

* * *

W ubiegłym tygodniu przedstawiono w naszym teatrze aż dwie nowości. Trzyaktową farsę p. t. Ulica Pigall Nr. 15. A. Bissona i operetkę Straussa p. t. Karnawał w Rzymie. O farsie francuskiej tyle możemy powiedzieć, że gdyby nie wypisane nazwisko autora, nieposądzilibyśmy wcale tego utworu o pochodzenie nadsekwańskie. Niema życia i werwy takiej, jakie cechują płody autorów francuskich. Sztukę ratowała staranna gra artystów pp. Kwiecińskiego, Zamojskiego i Wojdałowicza oraz p. Aszpergerowej; p. German musimy wytknąć szarżę, na którą lubi się puszczać ta artystka. O operetce Straussa pomówimy w następnym numerze obszerniej, dziś tylko zaznaczamy, że p. Bandrowski okazał wczoraj nadspodziewane postępy i obdarzony został od publiczności licznemi oklaskami.

* * *

Dn. 25. t. m. odbyło się w Szczercu walne zgromadzenie oddziału lwowskiego tow. pedagogicznego. Mimo, że wiosna prawdziwie galicyjska, nie pozwala mieć wyobrażenia o pogodnem niebie, zebrała się dość pokaźna liczba uczestników, tak ze Lwowa, jak i z okolicy. Pierwszy odczyt wygłosił p. Karol Rawer pt. „Ród i wychowanie króla Jana Sobieskiego“. P. Godziewicz mówił o trudnościach, na jakie napotyka nauczyciel wiejski w wypełnianiu swych obowiązków i jak może je usunąć. Zakończył zaś p, Baranowski odczytem, pt. „Mickiewicz i Goethe, paralela pism i życia“, a wykład zakończył wezwaniem do składek na pomnik Mickiewicza. Towarzystwo rozwija się bardzo skutecznie, o czem świadczą liczne zgromadzenia, tak sympatycznie przez obywatelstwo popierane.

ZAPISKI.

Literatura.

* P. M. Berson wypadkowo nabył w Amsterdamie książkę sławiącą Jana III. wydaną w dn. 15 listpada 1683. (we dwa miesiące po zwycięstwie) w języku hiszpańskim, p. t. „Tryumfy orła a zaćmienie księżyca etc.“ (Tryumphos del Aguila y eclipsos de la luna etc.“) Książka ta, wielbiąca bohatera polskiego jest dowodem jednym więcej, że stolica Habsburgów jemu zawdzięcza ocalenie, choć niemcy zaprzeczyć się starają. P. Berson zamierza wydać tę książkę we wspaniałej edycji w oryginale wraz z przekładem polskim p. I. A. Święcickiego.

* I. Al. Fredro przeznaczył honorarja i dochody autorskie z grających się sztuk jego, na dochód sceny poznańskiej. Postępek bardzo chwalebny — gdyby to jeszcze dyrektorowie teatrów chcieli zamiast lichych tłomaczeń sztuk niemieckich, uwzględniać w repertuarze utwory naszego komedjopisarza, to słowo szlachetne przemieniłoby się w ciało, pożądane dla znękanego teatru poznańskiego.

* W celu uczczenia 25 letniej chlubnej i sławę naszemu narodowi przynoszącej pracy, dyrektora szkoły sztuk pięknych w Krakowie Jana Matejki, postanowiła młodzież uroczystym obchodem oddać hołd mistrzowi. Matejko wystąpił z pierwszą pracą w r. 1858, w tym roku więc przypada jubileusz 25 letni. W dniu przeznaczonym na obchód, wręczy młodzież jubilatowi album pamiątkowe — a w teatrze wieczorem przedstawione będą żywe obrazy, ułożone podług obrazów naszego niestrudzonego mistrza

---

Treść.

Autor „Marzycieli“: Ostatni Szaraczek. (c. d.)
Goethe: Z. Fausta.
Brandes Jerzy: Gustaw Flaubert. (c. d.)
A. S.: Mrzonka studenta.
Europa w XX. wieku.
Przegląd literacki.
Przegląd teatralny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 18. We Lwowie dnia 5. Maja 1883. Rok II

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński**

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac
„Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petite m

Nasi liberalni.

Niedawno temu zdarzyło się we Lwowie, że pewien obywatel, będąc wylosowanym na sędziego przysięgłego w publicznej rozprawie karnej, wzbraniał się złożyć wymaganej przysięgi, oświadczając, że przysięga taka nie zgadzałaby się z jego przekonaniami filozoficznemi.

Fakt ten na pozór nie miał ogólniejszego znaczenia. Sąd załatwił sprawę doraźnie, karząc grzywną przysięgłego — atoli usza, a dalej j-ż ani władze sądowe, ani ustawodawcze nie znalazły powodu zajmowania się tym wypadkiem, lub kwestją przysięgi w ogóle.

Mimo to nieda się zaprzeczyć, że zdarzenie o którym mówimy, zrobiło silne wrażenie. Śmiałe, mężne wystąpienie pana Cz. było czemś tak nowem, tak niebywałem u nas, że nawet tak apatyczna publika, jak nasza, ludzie, których zazwyczaj poruszyć zdoleń chyba gruby jakiś skandal, zmuszeni byli przez czas jakiś zajmować się kwestją poważną, mimowoli może poruszoną przez owego obywatela.

Że wystąpienie p. Cz. jednomyślnie potępionem zostało przez wsteczników i konserwatystów wszelkiego rodzaju, o tem chyba i mówić nie potrzebujemy: Gdyby istniała święta inkwizycja, kacerz ten byłby niezawodnie spalonym. Natomiast ciekawem jest zachowanie się t. zw. „liberałów“ wobec tego faktu.

Śledziliśmy głosy czasopism mieniących się liberalnymi, lecz nie znaleśliśmy nigdzie wyraźnej aprobaty postępku p. Cz. Niektórzy z liberałów wyraźnie go potępiali, a radykalniejsi bądź wstrzymywali się od komentarzy, bądź też wdawali się w rozbiór strony p r o c e s u a l n e j wypadku, z pominięciem zasadniczej. Najlepiej zaś charakteryzuje sposób myślenia tych ludzi, elukubracja znanego kronikarza niedzielnego jednego z pism liberalnych, który *ad vocem* wypadku w sali sądowej z właściwą sobie wyższością przypomniał anegdotę o Piusie IX i protestancie który nie chciał jego błogosławieństwa i starał się naszego p. Cz. przedstawić jako f a r s e r a, stawiając go w jednym rzędzie z Karolem Bradlaugh, który (notabene według zdania kronikarza) zawsze figurować będzie tylko w kronice skandalów. Fakt, iżby się znalazł człowiek poważny, który z przekonania odmówi złożenia przysięgi kończącej się słowami · „tak mi Panie Boże dopomóż!“ wcale się nie mógł pomieścić w głowie kronikarskiej.

Ab uno disce omnes! Takimi są wszyscy nasi liberalni“. Przekonia wolno mieć choćby nawet, *(o horror!)* r a d y k a l n e; ale się z niemi a f i s z o w a ć, publicznie je objawiać, to nieładnie! Cóż to kogo obchodzi, że p. X. lub Y. niewierzy w Boga? Zresztą są ludzie dla których wiara jest p o t r z e b n a (liberalizm to tylko przysmaczek dla wybranych, ale nie dla byle kogo) mogliby się zepsuć! A w końcu (patrz kronika niedzielna) pod „Bogiem“ każdy może sobie wyobrażać co mu się żywnie podoba i śmiało składać przysięgę. Jest więc i *reservatio mentalis*!...

— Doszliśmy do najczystszego j e z u i t y z m u: Mniejsza o grzech, byle nie było z g o r s z e n i a p u b l i c z n e g o.

Błąd logiczny w powyższem rozumowaniu jest aż nadto widocznym. Jeżeli popełniam czyn o którym wiem, że jest niemoralnym, to staję się podwójnie winnym, skoro go popełniam w sposób mogący pobudzić drugich do naśladownictwa; tak dalece więc jezuici mają słuszność. Jeśli zaś mam jakie przekonanie, które uważam za lepsze od innych, a zachowuję je dla siebie, wystrzegając się objawienia go wobec ogółu, to nietylko niemam żadnej zasługi, ale wprost s z k o d z ę ludzkości, przyczyniając się mojem milczeniem do dalszego istnienia przekonań odmiennych, a według zdania mego niedobrych, a temsamem, staję w sprzeczności z samym sobą. Niemasz na świecie przekonań przeznaczonych *„ad usum delphini“*; skoro ktoś mniema że ateizm jest m o r a l n y m, to nie może mniemać, że on jest moralnym tylko dla niego samego, a

raczej musi wierzyć, że on jest moralnym w o g ó l e i przeto życzyć sobie, aby jego przekonanie udzieliło się drugim. Wynika z tąd że *horror* „zgorszenia" w dziedzinie przekonań moralno-filozoficznych nie tylko jest nie na miejscu, ale że owszem powinno się w tej mierze *sit venia verbo* w y w o ł y w a ć z g o r s z e n i e.

Źleby nas jednak zrozumiał, ktoby z tego, coś my dotąd powiedzieli, chciał wywnioskować, że jesteśmy zwolennikami p r o z e l i t y z m u religijnego lub filozoficznego. Żądamy tylko w o l n o ś c i d y s k u t o w a n i a; żądamy, aby się opinje ścierały, aby wzajemnie na się wpływały. Przez z a t a j e n i e zaś przekonań wpływ ten staje się niemożebnym, dyskusja niema miejsca! Do tego zaś dąży rutyna liberalna.

Oportunizm, który nas opanował w polityce i w sprawach społecznych, wciska się już w dziedzinę poglądów moralnych, i dojdziemy do tego, że ustawiczne „*shoking*" naszych powag liberalnych wstrzyma wszelki postęp, jak to się działo do niedawna w wzorowo „przyzwoitej" Anglji. Na szczęście Anglija ma swoich Millów, Spencerów, Darwinów, my zas nawet Bradlaugh'a tęgiego doczekać się nie możemy.

Widzimy już jak nasze Pikwiki liberalne ruszają ramionami i pogardliwie się uśmiechają na nasz ferwor radykalny. Dla nich więc przepisujemy tu ustęp z autobiografji M i l l a, którego zpewnością nie zechcą zaliczyć do bohaterow kroniki skandalicznej, jak to uczynili z nieustraszonym p. Bradlaugh. „Zdaje mi się — mówi Mill — że nadszedł czas, w którym jest obowiązkiem wszystkich, posiadających potrzebne w tej mierze wiadomości i przekonanych po dojrzałej rozwadze, nie tylko o fałszywości, ale nadto o niebezpieczeństwie opinij panujących, dać poznać że ich nie podzielają wcale, przynajmniej jeżeli ci ludzie pozostają na takim stanowisku i o ile są poważani, że ich opinja mogłaby wzbudzić uwagę. Takie wynurzenie się odrazu położyłoby kres na zawsze rozpowszechnionemu przesądowi, który przypisuje tak zwanemu niewłaściwie niedowiarstwu, wszelkie skażenie umysłu a w dodatku i serca... Nie ma już dziś przeszkody w przyjęciu myśli, że deista może być człowiekiem prawdziwie religijnym. Wszelako, jeżeli religję mają stanowić pewne przymioty charakteru, nie zaś pewne dogmaty, można również nazwać religijnymi tych ludzi, których wiara nie pochodzi do deizmu".

Forward.

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli".

(Ciąg dalszy).

Młody hrabia Bryński chodził także do szkół w Przemyślu i jak niegdyś w Bereźnicy, był i tu prawdziwym Hilcia przyjacielem. Ani różnica społeczna, ani wpływ matki na wskróś przesiąkłej pojęciami arystokratycznemi, ani zniewieściałość wychowania początkowego, nie zdołały w nim zabić dobrej natury, którą po ojcu odziedziczył. Lolo był najlepszym kolegą, najszczerszym przyjacielem i tylko tem różnił się od innych, że nie brał nigdy udziału w awanturach studenckich. Lolo był pod czujnym dozorem guwernera, który mu bez siebie nie pozwalał nigdzie krokiem się ruszyć.

Ojciec Lola przyjechawszy syna odwidzić, posłał po młodego Bereźnickiego. Chłopiec myślał że hrabia będzie się nań gniewał, ten jednak przyjął go bardzo łaskawie, po twarzy pogłaskał, a na odchodnem dając mu pięć talarów rzekł:

— Masz to chłopcze na książki... A ucz się dobrze, abyś wyszedł na człowieka.

Hilcio uczył się, ale czy dobrze, trudno to przyznać. Ówczesny system nauczania w publicznych szkołach austrjackich, był zabijającym dla ducha młodego. Prusacy, jakkolwiek o życzliwość dla rasy słowiańskiej w ogólności, a Polaków w szczególności, trudno ich posądzić, długo pozwalali polskiej młodzieży uczyć się w jej języku ojczystym; dopiero odkąd im się zdaje, że są świata panami, zaczęli w Wielkopolsce szkoły niemczyć. Austrja inaczej postępowała. Ta oświadczywszy zaraz na wstępie, że Galicja jest prowincją niemiecką, której ludność prędzej lub później musi być niemiecką, kazała przedewszystkiem uczyć młodzież po niemiecku, i kto tym językiem biegle władał, mógł być pewnym, że przez nauczycieli będzie kochany i protegowany. Obok niemczyzny, uczono w szkołach łaciny, trochę rachunków i niewiele historji, w wyższych klasach greki, ale do czego wielką także wagę przykładano, to do wzorowego postępowania młodzieży. Dobrze zaś ten się zachowywał, kto będąc szlachcicem, dodawał do swego nazwiska zawsze *Ritter von* i na syna chłopskiego z góry spoglądał, jak nie mniej ci, którzy pana dyrektora uwiadamiali o wszystkiem, co się działo w szkole i po za szkołą. Podtrzymywaniem różnicy stanów, usiłowano przeszkodzić możliwej jedności w kraju, systemem szpiegostwa chciano młodzież zdemoralizować, aby przy jej pomocy trzymać rękę na pulsie kraju.

Trudno żądać, by taki system do nauki zachęcał Młodzież mało się też uczyła, obracając większą część czasu na awantury przeróżne. Z resztą należy i to wziąć na uwagę, że młodzież z przed roku 1848, z opowiadań ojców i dziadów, miała jeszcze żywo w pamięci, ostatnie lata upadającej rzeczypospolitej, lata hulaszcze, gwarne i awanturnicze. Dawne narowy nie mogły zniknąć od razu, a że teraz nie było już ani sejmików, ani najazdów, więc panowie studenci w inny sposób objawiali swoją krewkość.

W epoce naszego opowiadania, gimnazjum przemyskie, było bez zaprzeczenia najliczniejsze w Galicji. Nigdzie filozofowie nie nosili większych wąsów i grubszych lasek; nigdzie żydzi nie byli dla studentów z głębszym szacunkiem; nigdzie nie wypijano więcej wina i miodu, nigdzie nie mieli studenci więcej długów, i nigdzie pan *Kreishauptmann* nie był w większym strachu, jak właśnie w Przemyślu.

Rozpędzić całą dzielnicę żydów i wybić okien tysiące, jeżeli jaki żyd obraził, lub skrzywdził w czemkolwiek którego ze studentów; obić *landsdragonów*, a panu staroście wyprawić kocią muzykę, jeżeli jaki student został oddany do wojska; nareszcie połapać panów profesorów w wilcze doły i udawać, że stało się to przypadkiem, oto drobnostki, które się powtarzały codziennie prawie. Co do owych wilczych dołów, to jednej nocy studenci złapali w rzeczy samej pięciu profesorów. Zwyczajem było wówczas, że profesorowie wybierali się późną nocą na lustrację tych domów, gdzie studenci stali na stancji. Pewnego poranku, jeden z kolegów dowiedział się przypadkiem, że wieczorem tegoż dnia, profesorowie rozbiegną się po przedmieściach, lecz nie wejdą do mieszkań, jak według zwyczaju, tylko przez okna będą zaglądali, ażali studenci nie piją, lub w karty nie grają. Aby gości nieproszonych przyjąć odpowiednio, za poradą Hilcia, który był wyrocznią, wykopali studenci pod każdem oknem dół na sążeń głęboki, dzięki czemu między godziną dziewiątą a dziesiątą wieczór, pod pięciu mieszkaniami, pięciu jeńców wpadło w wilcze doły. W jednem miejscu obito nawet profesora pod pozorem, że to złodziej chciał się zakraść przez okno do domu.

Na takich rozrywkach niezbyt przyzwoitych i pedagogicznych, schodził czas mło-

dzieży. Bądźmy jednak bezstronni. Nie wszyscy wiedli życie awanturnicze. Wprawdzie od wypraw ważniejszych, nikt, z właszcza ze starszych, nie mógł się uchylić, lecz za to byli tacy, którzy po bójce z żydami spieszyli do książki i bez odpoczynku uczyli się godzinami całemi, a wykierowawszy się na ludzi, dziś gdy te słowa piszemy, są wyższymi urzędnikami, głośnymi prawnikami, lub dzierżą kanonje.

Sprawiedliwość każe jednak wyznać, że pochodzą oni prawie wszyscy ze stanu włościańskiego, lub są synami księży ruskich, synowie bowiem szlachty mając w krwi próżniactwo, i myśląc że do końca świata będą rozkazywali, zamiast uczyć się pilnie, marzyli tylko o burdach.

Do tych drugich należał Hilcio Bereźnicki. Z wielką trudnością, i przy pomocy hrabiego, który go u profesorów protegował, mijał klasę po klasie, chociaż z nauk nie wiele korzystał. Za to myślał wiele o swojej powierzchowności i sile. Gdy przyszedł na pierwszy rok filozofji, jako młodzieniec dwudziestoczteroletni, miał już dobre wąsy, a lubo wzrostu nie był słusznego, na pięć mil w około uchodził za największego „siłacza“. Na wiosnę nosił laskę grubą, jak ręka, i tę nazywał „letnią“. Z pierwszym śniegiem, brał inną, niesłychanie sękatą a grubą jak noga i tę nazywał „zimową“. Gdy szedł przez miasto, z głębokiem uszanowaniem ustępowali mu się z drogi nie tylko żydzi, nawet *landsdragoni*, a ilekroć podczas wykładów chrząknął w sali, profesor literatury niemieckiej mały garbaty niemczyk, podskakiwał zawsze na krześle wykrzykując „O! Herr Gott!“ co w najwyższym stopniu rozweselało filozofów.

Studenci kochali i wielbili Hicia, pod jego bowiem przewodnictwem udawały się wszelkie wyprawy. Jak świat miał Napoleona, tak Przemyśl miał Hilarego.

Hilcio panował więc w Przemyślu, pijąc za dziesięciu, grając nalepiej w labeta, kurząc tytoń najmocniejszy i hojnie rozdając guzy nieprzyjaciołom wesołej młodzieży. Ale snać w księdze przeznaczenia nie było napisane, aby znakomity ten młodzian ukończywszy drugi rok filozofji, poszedł na teologję i został księdzem.

Oto pewnego wieczora Hilcio ulotnił się gdzieś jak kamfora.

(c. d. n.)

Dwa głosy.

Stał, jak cyklop, przedemną, bladym, wątłym, cichym..
Fabryczne piekło przy nas dzikim chórem grzmiało,
A metal, urągając ludzkim cieniom lichym,
Z czarnej gardzieli pieców buchał lawę białą.

Stał, jak cyklop, i mówił, wstrząsając prawicą:

— Oto nasze zapasy! oto dzieła nasze!
My przed ludźmi nie kwilim, jak zranione ptaszę,
Ani ich olśniewamy rymów błyskawicą;
Purpura nas nie zdobi, ni wawrzynu liście.
Na skroń wzięliśmy tylko blade perły potu,
A pieśń nasza z żelaza, płonąca ogniście,
Grzmi jak piorun skandówką fabrycznego młota.
Gdy dla was ma przyroda tylko słodkie czary,
Tylko dźwięki, płynące melodyjną strugą,
Myśmy się z nią jak chłopy ujęli za bary,
I w twarde jarzmo wprzągłszy, uczynili sługą.
Czy widzisz, jak pod młotem ta bezkształtna bryła
Miota się, skrami parska groźnie jak wąż syczy?
Weź lutnię, ze strun dobądź pieśń pełną słodyczy,
I spróbuj, czy ją zaklnie pustych dźwięków siła..
Czemże są wasze marne z widziadłami boje
Przy walkach z tą materją bezduszną a wściekłą?
Wy znacie tylko głupie nerwów niepokoje,
Nami wstrząsa, jak trzciną, całe ziemskie piekło.
Kiedy słońce przyszłości nad ziemią zaświeci,
Gdy wstaną męże biali z pośród czerni gminu,
Lud wytrąci wam berło — książkowi poeci!
I wawrzynem uwieńczy nas — poetów czynu!
Skończył, i wraz mu wszystkie przytakněły — młoty.

A ja rzekłem:

— Nie bluźnij ni pieśniom, ni księdze:
Bo w księgach drzemią czyny, jak w chmurach grom złoty,
A z pieśni płynie balsam na światowe nędze.
W kotle życia wrą społem metalów tysiące,
Boskość topi się z grzechem, szał dziki z nadzieją.
A wieszcze nad nim chylą czoła siwiejące,
I z wrzątku ognistego chłodne strofy leją.
Cicha cela poety pustą ci się zdaje,
A jednak, w nocnym mroku i w ogniach południa,
Tłum powietrznych postaci z gwarem ją zaludnia:
Białe pułki aniołów i szatanów zgraje.
Przed wieszczem stają widma z piersią zakrwawioną
I topią w jego licu wzrok, błyszczący łzami,
Wskazują na skroń bladą i na krwawe łono,
I jęczą: „Sędziom duchów poskarż się za nami!.
Upiór przed nim potrząsa ramieniem bez ciała
I błaga, jakby groził: „Pomsty na mordercę!..“
A biały trup dzieweczki, co nazbyt kochała,
W milczeniu na rozdarte pokazuje serce.,
Rój dziecięcych duszyczek, niby ptaków stado,
Żałośliwem kwileniem napełnia komnatę,
I suną zwolna starce z twarzą trupio-bladą,
Na ostatnich swych złudzeń skarżąc mu się stratę.
Wieszcz rozmyśla — a przed nim ciągnie orszak chmurny,
Jak armja, co przegrała ciężką życia bitwę,
I w otchłań jego serca rzuca, jak do urny,
Ból swój i złorzeczenia, klątwy i modlitwę.
Ty szydzisz z walk duchowych? a cóż świat porusza,
Jeśli nie wola tłumów, zlana w wieszcza wolę!
Ty dzielisz pieśń od czynu? — wspomnij Tyrteusza
Za którym lud lawiną potoczył się w pole!
Pieśń tworzy bohaterów i unieśmiertelnia...
W dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głowy
I kreśli pierwszy zarys społecznej budowy,
Którą kończy powszednich pracowników kielnia.
Pieśń nie jest gołębicą, która słodko grucha
Gdy jej dobrze, a cierpiąc, równie słodko kwili —
Idzie ona do boju, jako szermierz ducha,
A nigdy i przed nikim czoła nie uchyli.
Wskazujesz mi swych braci czoła uznojone?
Mówisz, że wrzący metal ciemnem piętnem plami?
Spojrzyj: na skronie wieszczów świat włożył koronę,
Lecz zpod niej krew żywemi spływa rubinami!
Kiedy wschodzi nad ziemią wieszczych natchnień tęcza,
Ten, który ją rozpalił, w zapomnieniu ginie —
Bo ludzkość swe proroki od wieków umęcza,
I laurom róść pozwala na grobach jedynie.
A czy wiesz, jak się umysł mroczy chmurą czarną,
I jaka chęć porywa bluźnić dzikim głosem,
Gdy człowiek w bratnie serca rzucił ducha ziarno,
I umiera, nie widząc, by strzeliło kłosem?...
Z jednej stali i pióro i młot wykowano.
A czy z młotem, czy z lutnią noc życia kto prześni
Z cnót jedynie zdziałanych osądzą go rano—
Więc księgom nie urągaj! nie urągaj pieśni!
Poezja — jak Bóg jedna jest i jednakowa.
W niej wszystkich dzieł potężnych kiełkują przyczyny,
I próżnobyś przepaścią dzielił czyn od słowa,
Bo w czynach tkwi poezja, a w poezji czyny!

Wiktor Gomulicki.

Gustaw Flaubert

przez

Jerzego Brandesa.

(Dokończenie.)

W tym poemacie zawarty jest cały Flaubert z tą ciężką krwią, ponurą fantazją, przykro naciskającą się uczonością, z dążeniem do zniewolenia starych i nowych illuzji, starych i nowych wiar i przesądów. Prawie brutalna gwałtowność jego usposobienia występuje na jaw, gdzie boga Crepitus usuwa przed Jehową. Że wybrał legendę o św. Antonim do tego, iżby ulżyć swemu sercu i wypowiedzieć gorzką prawdę ludzkości, pochodziło stąd, iż w tej osnowie znalazł ulubione: wschód i starożytność. Mógł użyć tu wielkich miast i krajobrazów Egiptu za tło, rozrzucać błyszczące farby i gigantyczne formy. A tu nie malował już bezwładności i głupoty jednej społeczności — ale świata, tu pohasał — całkiem nieosobiście — jak ludzkość w każdej godzinie życia brnęła po kostki w błocie i krwi, i wskazał na umiejętność, której się boją jak djabła, — jako za jedyny ratunek.

Idea była wielką i nową; — ale niestety wykonanie wcale nie dosyć na wysokości planu. Książka jest zużytym do niej materja-

łem przygnieciona do ziemi. To nie jest dzieło poetyzmu, ale na pół teogonija, na pół historja kościoła a wszystko to jest podane w formie psychologji szaleństwa. Znajdują się tam wyliczenia szczegółów, nużące, jak wstępowanie na prostopadłą ścianę góry, niektóre partje są całkowicie zrozumiałe tylko dla uczonych, a nie do czytania dla zwyczajnej publiczności. Wielki pisarz zwolna rozstopił się w oderwanej surowości i oderwanym stylu. Trafnie rzekł o nim Emil Zola: „Smutny to był widok patrzeć, jak ten, tak potężny talent kamieniał, jak postacie starożytnej mitologji. Zwolna od stóp do pasa, od pasa do głowy, stawał się Flaubert marmurowym posągiem".

VII

Odłożyłem opowiedzenie ostatniej wizji Antoniego, ponieważ wydaje mi się ze wszystkich najgodniejszą uwagi, i była z pewnością własną hallucynacją poety. Kiedy wszyscy bogowie zniknęli, i zakończyła się podróż po przestrzeni niebios, zobaczył Antoni na przeciwnym brzegu Nilu Sfinksa wyciągającego pazury i kładącego się na brzuchu. Ale skacząc, lecąc, wyjąc, zionąc ogniem z nozdrzy, okrąża go chimera. Czem jest sfinx? Czemże innem jak ciemną zagadką, przygwożdżoną do ziemi — wieczne pytanie, szperująca nauka! Czemże jest chimera? — niczem innem, jak oskrzydloną fantazją, która przelatuje przestrzeń, i gwiazdy dotyka końcami swych skrzydeł!

Sfinks mówi: „Stań spokojnie Chimero. Nie biegaj tak prędko, nie lataj tak wysoko, nie hucz tak mocno. Przestań dąć mi płomieniem w twarz, ty przecież nie stopisz mego granitu.

Chimera odpowiada: „Nigdy nie stoję spokojnie. Ty schwycić mnie nie możesz, ty straszny Sfinksie!"

Chimera galopuje przez korytarze labiryntu, leci przez morze, wgryza się w żeglujące chmury.

Sfinks leży nieporuszony i rysuje szponami w piasku głoski, myśli i rachuje, a kiedy morze wzbiera, faluje zboże, kiedy się przesuwają karawany, kiedy się miasta zapadają, on wzrok utkwił w dali, w horyzoncie. I woła: O fantazjo! wydobądź mnie ze śmiertelnej nudy na swoich skrzydłach!"

A Chimera odpowiada: „Ty nieznajomy! jestem zakochana w twoich oczach, jak rozogniona hyjena krążę około ciebie, o uściskaj mnie, zapłodnij mnie!

Sfinks się podnosi. Ale Chimera ucieka obawiając się, aby jej kamienny ogrom ciężaru nie zdruzgotał. „Niepodobna!" wyjęczał sfinks i zapada w głęboki piasek.

Widzę w tej scenie ostatnie wyznanie Flaubert'a przytłumioną skargę na ułomność dzieł całego życia — a tego dzieła — dzieła głównego — w szczególności, Sfinks i Chimera, nauka i poezja pożądały się u niego, odszukiwały się ciągle nawzajem, krążyły z palącą żądzą i ogniem naokoło siebie; ale dobre zapłodnienie poezji przez naukę nie udało mu się.

Nie dla tego, jakoby zasada była niesluszną lub niezdrową. Przyszłość poezji jest tutaj, w to wierzę bez wątpliwości; bo tutaj jest jej przyszłość. Najwięksi poeci tacy jak Eschilos, Dante, Goethe, umieli wszystko istotne, co było za ich czasów wiadomem, i złożyli swoją wiedzę w poezji. Wprawdzie surowość i naukowe wyształcenie same przez się nie mają poetycznej wartości. Nie potrafią nigdy i nigdzie z a s t ą p i ć poetyckiego uczucia artystycznej konstrukcji. Ale gdzie się znajdzie poetycka zdolność, tam się zaostrza wzrok przez wglądnięcie w prawa przyrody i duszy ludzkiej, i przez studjum historji. Ale bez wątpienia jest to w naszem stuleciu, kiedy wiedza została na nowo stworzona we wszystkich kierunkach, trudniej, aniżeli kiedy indziej objąć materjał naukowy, a Flaubert nie posiadał pierwotnej harmonji ducha, która trudność czyni lekką i godzi głębokie sprzeczności świata a ideji.

„La tentation de Sainte-Antonine" została odprawioną w Paryżu bulwarowym dowcipem. Tylko nie wielu miało cierpliwość zagłębić się w książkę, a wielka publiczność prędko się ułatwiła ze sądem: książka była śmiertelnie nudną. Jak mógł myśleć autor, że coś podobnego zabawi Paryżan! Nie, „Madame Bovary", to co innego! Dla czegoż się on nie powtórzył (jak wszyscy pisarze tuzinkowi), dlaczego nie napisał dziesięciu nowych", „Pań Bovarych?" A on usunął się do Croisset, zamykał się dotknięty do żywego na długie miesiące i zwolna zaczął na nowo pracować. Postarzał się. Przez śmierć starszych przyjaciół, George Sand, Teofila Gautier a dalej Ludwika Bouilhet, Feydean, Juljusza Goncourt utracił druhów młodości i jednomyślących. Został osamotniony. Stał się chorowitym, nie mógł znieść chodzenia, nawet przykro mu było patrzeć, jak inni chodzą. Zubożał. Stracił majątek, w dobroci powierzony siostrzenicy — mąż jej przegrał go, i w późniejszych latach życia dręczył się troską o wyżywienie. W końcu rzadko Paryż odwiedzał; nawet już do ogrodu nie wychodził, przechadzał się tylko pomiędzy sypialnią a pracownią i spożywał samotnie objady.

Umarł w maju roku 1880 — i został pogrzebany w Rouen. Konwój był mały, składał się z niewielu przyjaciół z Paryża. Z Rouen nie był nikt w pogrzebowym orszaku bo większości mieszkańców był zupełnie nieznajomy, a mniejszość, znająca go nienawidziła, jako niemoralnego i niereligijnego pisarza.

1881

Jerzy Brandes.

Poświęcenie się pana Bajolein.

Nowella z francuskiego.

(Dokończenie.)

Od tego czasu choroba jego przeszła w właściwą fazę: raz ciężka odrętwiałość — to znów zupełna bezsenność — męczyły go naprzemian. W rzadkich chwilach, gdy mu cierpienia mniej dokuczały, i gdy mu powracała chęć zamglona przytomność, zdawało mu się ciągle, że słyszy szelest jakiejś jedwabnej sukni, która mu robiła wrażenie materyi merynosowej szczawiowo-zielonej. Otwierał wtedy oczy i spostrzegał przed sobą ciągle czuwającą P. Muche, która już nie opuszczała prawie jego pokoju. To przygotowywała mu jaki napój chłodzący, to znów wietrzyła pokój, nie oziębiając go zbytecznie lub zmieniała mu poszewkę, badając co chwila czy jej wielkie dziecko nie potrzebuje czego.

Często żądał napoju. Pragnienie dokuczało mu najbardziej. Raz gdy mu podawała szklankę, odezwał się ze wzruszeniem:

— Jak mnie Pani psuje swoją dobrocią!

— A — Panie Bajolein — nie ma o czem mówić.

— Tak jest — Pani mię psujesz. Pani jesteś dla mnie Opatrznością.

— Niech Pan nie mówi — to Panu może szkodzić.

— Złote serce bije pod tą sukienką; — jak to właściwie nazywa się?

— Co?

— Ta materja, którą pani masz na sobie.

— To jest cycowa; suknia — dla czego Pan się pyta?

— Cycowa, tylko cycowa — mówi jak do siebie. — Ona jest wcieloną Opatrznością, a merynosy są dla niej za drogie!...

Znowu upłynęło kilka dni.

Chory zapadał coraz gorzej, a lekarz nie wiele już dawał nadziei szczęśliwego

wyleczenia. Zrozpaczona P. Muche nie jadła, nie spała, zapomniała o całym świecie, siedząc bezustannie nad łóżkiem i odgadując myśli pacyenta. Kilkakrotnie odwiedzali chorego koledzy z księgarni, zawsze prawie zastając go w strasznej gorączce. Raz nawet sam pryncypał wygramolił się na piąte piętro, dowiadując o stan chorego.

— Ciagle nieprzytomny, rzekła gospodyni.

P. Brochat, bardziej wzruszony niżby chciał okazać, przystąpił zwolna do łóżka.

— Nie zbliżaj się pan, możesz się zarazić! zawołała p. Muche.

— A Pani?

— Ja co innego, odparła z prostotą.

P. Brochat ustąpił.

W tej chwili pacyent, leżąc nieruchomo z oczyma szeroko rozwartemi — zaczął majaczyć:

— Przedruki i imitacye nie są oryginałami... — Francja potrzebuje takich Janów de Tournes,. po cztery franki metr...

— Widzi Pan znowu biedaczysko gorączkuje — serce pęka patrzcie na to. Człowiek tak dobry, tak zacny!

I poraz pierwszy żelazna ta istota wybuchła głośnem spazmatycznem łkaniem.

— Tak, jak na kawalera, to był rzeczywiście zacny człowiek — zamruczał P. Broehat i wyszedł nagle, czując się nadto wzruszonym. W jego oczach Bajolein już był straconym.

P. Brochat omylił się. Z końcem trzeciego tygodnia choroby nastąpiło przesilenie. Po zażyciu jakiegoś energiczniejszego lekarstwa, Bojolein zapadł w głęboki dwudziesto kilkogodzinny sen. Pani Muche była już wielce zaniepokojoną tak długą bezwładnością i zupełną nieruchomością pacjenta. — Szczęściem nadszedł lekarz.

P. Muche śledziła wyraz twarzy doktora, gdy ten badał puls chorego, i wyczytała z jego oczów szczęśliwą wiadomość.

Uratowany! zawołała, drżącym ze wzruszenia głosem.

— Tak sądzę, jeżeli nic niespodziewanego nie zajdzie, odpowiedział lekarz i zapisawszy odpowiednie lekarstwo, opuścił pokój serdecznie odprowadzony przez odźwierną.

W godzinę później Bajolein otworzył zwolna oczy. Spostrzegł przed sobą swą gospodynię, siedzącą w nogach łóżka z okiem wilgotnem i promieniejącem, zwróconem na niego.

— Pani Muche...

— Obudził się! Poznał mnie! zawołała z najwyższą radością. Ale sza! niech pan nic nie mówi, doktor zalecił spokoj.

Wiadomość o tem szczęśliwem przesileniu doszła szybko P. Brochat. Gdy stary przyszedł odwiedzić swego wiernego pomocnika zdziwił się nie mało ujrzawszy w pierwszym pokoju Panią Muche, która wyszła na jego spotkanie. Radość i szczęście, które się malowały na jej twarzy, uczyniły ją prawie piękną i stanowiły szczególnie korzystny kontrast z dawnym wyrazem troski i ciągłego niepokoju

Zdawało się, że kobiecina odmłodniała a charakterystyczna brodawka, znowu wędrowała wesoło po lewym policzku, będąc najwyrazistszym tłumaczem uczuć swej właścicielki.

— A Panie Brochat. zawołała — jakżeż on się ucieszy, widząc Pana u siebie. Proszę niechże Pan będzie łaskaw wejść. Tylko... chciałabym jeszcze coś Panu powiedzieć... parę słów.

— Parę słów? To będzie może trochę za wiele. Ale zresztą, o cóż idzie?

— To jest właściwie... ja mam do pana prośbę... wielką prośbę.

— No, cóż takiego?

— Przedewszystkiem, żeby Pan nic nie mówił panu Bajolein na co, i że tak długo chorował, niech mu pan powie, że to było zaziębienie lub lekkie zapalenie, bo onby zaraz przypuszał, że ja się zamęczyła pielęgnując go i Bóg wie co!

— Dobrze, to mi wszystko jedno, byle tylko mógł już raz przyjść do księgarni i zabrać się do roboty.

— Mam nadzieję, że do trzech dni wyzdrowieje o tyle, by zaglądnąć na chwilę do pana, chociaż wątpię czy zaraz będzie się mógł wziąść do pracy. Zależałoby mi jednak bardzo na tem, żeby był zdrów na św. Anzelm.

— A to dlaczego?

— W tym dniu wypadają jego imieniny. I właśnie z tego powodu miałam prośbę do pana... Chciałabym mu zrobić jaki prezent, jakiś skromny podarunek na pamiątkę szczęśliwego powrotu do zdrowia. Nie mogę ponieść wielkiego wydatku, ale pragnęłabym z drugiej strony ofiarować mu coś, coby mu rzeczywistą sprawiło przyjemność. A cóż dla niego może być milszego, jak jaka stara książka! pan by mógł pomódz mi w tym względzie... coś niezbyt drogiego... tak do 10 franków — bardzo a bardzoby mnie pan tem zobowiązał!

Pan Brochat próbował się zachmurzyć i usiłował przybrać zwykły szorstki i surowy ton — zdobył się jednak tylko na lakoniczną odpowiedź:

— Pomyślę o tem... Przyjdź pani do mnie za parę dni — może się to da zrobić.

To mówiąc wszedł do pokoju pacjenta.

Bojolein siedział w wielkim fotelu przy oknie naprzeciw swej biblioteki. Jasne promienie słońca oświetlały białe firanki, czysto pokryte łóżko i grzbiety starych książek, które gdzieniegdzie błyszczały jeszcze na pół wytartemi złoceniami.

Na widok swego pryncypała, chory chciał powstać — p. Brochat powstrzymał go ruchem ręki prawie rozkazującym.

— Dziękuję panu, żeś był tak łaskaw mnie odwiedzić. Wielką mi pan tem przyjemność sprawiłeś, bardzo wielką.

I rzeczywiście wyraz jego twarzy potwierdzał w zupełności te słowa: szczera radość malowała się w jego oczach i uśmiechu bladych jeszcze cokolwiek ust. P. Brochat, pomny przestróg odźwiernej, nie pozwolił mu wiele mówić, zresztą Bajolein był jeszcze jakby zmęczony chorobą, słowa leniwie i jakby z trudnością mu przychodziły — niemniej jednak z całą uprzejmością pełnił obowiązki gospodarza, prezentując gościowi swoją bibliotekę.

A było na co spojrzeć!

We wzorowym porządku stały cenne dzieła na półkach, z wyrazem godności i powagi, który odpowiadał ich wiekowi i pochodzeniu. Od najmniejszych formatów do pełnych „in folio“ wszystkie imponowały, to dobrze jeszcze zachowaną okładką pergaminową, to znów zupełnie oddartym grzbietem, który dozwalał widzieć zżółkły papier z brunatnymi już prawie brzegami lub złotem i różnymi kolorami wyciskane ozdoby

P. Brochat oglądał te dzieła pojedyńczo, czytając głośno tytuły.

Były tąm: Życie Moliera przez Grimarest, wydanie z r. 1705; Uwagi polityczne nad zamachem stanu, przez Gabryela Naudé „Paryż, 1679“. List śp. P. Balzaca do P. Conrart'a“ prawdziwy elzewir Amsterdamski z r. 1664, dobra data!. Było tam jeszcze wiele innych równie cennych antyków, p. Brochat jednak przerwał swój przegląd i zapytał nagle:

— A Pański kalendarz historyczny? Nie ma go tu?

— Mój Jan de Tournes? — odpowiedział chory trochę zmieszany. On będzie w kieszeni mego szlafroka.

— W kieszeni! To pan się z nim kryjesz?

— Tak jest Panie Brochat, ukrywam go ale to nie bez kozery. Dziwię się, że go pani Muche nie zobaczyła podczas mojej słabości. Gdyby go odkryła domyśliłaby się może jego wartości — chociaż ja go bardzo tanio kupiłem — ale zawsze ona by się tem zmartwiła.

— A pan byś nie chciał jej martwić?

— Ją! — O! P. Brochat, gdybyś Pan wiedział jak ona mnie pielęgnowała podczas słabości! To się nie da wypowiedzieć! Byłbym podłym niewdzięcznikiem, gdybym kiedykolwiek o tem zapomniał, gdybym się nie starał jej zato wszystkiemi siłami wywdzięczyć!.., I właśnie mam się pana o coś zapytać...

— Dobrze, pomyślał p. Brochat, dziś jakiś szczególny dzień zwierzeń.

— Moje pytanie wyda się panu może śmiesznem — ale niech pan będzie wyrozumiałym — kawalerowie nie mają najmniejszego wyobrażenia o niektórych rzeczach... Wiele naprzykład może kosztować materya na całą suknię, jeżeli metr po 4 franki?

Pan Brochat poruszył się zdumiony. Zrozumiał, że Bajolein miał także jakiś prezent na myśli. Dwie te zacne dusze: pana i gospodyni spotkały się więc w jednakiej intencji.

— Mój kochany, ja nie mam także o tem dokładnego pojęcia — wiem tylko tyle, że rachunki modniarskie mojej żony zwiększają bardzo znacznie ogólne moje wydatki na dom.:

— Ah! to tak dużo wynosi? zawołał Bajolein cokolwiek zaniepokojony.

— Niestety! Cóż robić... Ale co do twego zapytania to sądzę, że tak cała suknia wyniesie około 70 do 80 franków... Ośmdziesiąt franków powinno wystarczyć.

— Ośmdziesiąt franków! — powtórzył Bajolein z przerażeniem. P. Brochat mógł czytać w twarzy biedaka wyraz szczerego smutku i przygnębienia Bajolein myślał widocznie o tej, którą tak szanował i kochał, która go nie odstępowała w czasie choroby i z narażeniem zdrowia pielęgnowała, która go uratowała od śmierci... I on nie mógł jej okazać swej wdzięczności nawet taką drobnostką, jak suknia merynosowa za 80 franków!

Pryncypał zamyślił się również.

Mruk ten układał jak się zdaje jakąś kombinacyę — bo po chwili zapytał swego gospodarza odmiennym cokolwiek tonem:

— Z tem wszystkiem Pan mi nie pokazałeś swego kalendarza, no wyjmij go pan z kieszeni. Kryjesz się z nim jak byś się bał, abym ci go nie odebrał.

Bajolein poruszył się niespokojnie.

— Od czasu, jak ten kalendarz wypadł panu z kieszeni w księgarni, myślałem o nim dużo — a teraz widok pańskiej biblioteki poruszył we mnie dawną żyłkę b bliomana.

Bajolein zbladł.

— Czy panu tak bardzo na nim zależy? Bo jabym miał na niego rzeczywiście wielki gust — ale jeżeli panu to przykrość sprawia — nie będę pana kusił.

Nie mówmy o tem.

B jolein nie odpowiedział nic. Straszne przeczucia i obawy ścisnęły mu serce. Przesunęła mu się bowiem w myśli możność kupienia sukni koloru szczawiowo-zielonego — za cenę... Jana de Tournes! Ale rozłączyć się z tą książką!

— Dajmy temu spokój — powtórzył p. Brochat. Niepotrzebnie poruszyłem tę sprawę, tem bardziej, że mógłbym panu za niego ofiarować zaledwie 100 franków a on wart więcej. Możemy o tem zresztą pomówić, skoro pan zupełnie wyzdrowiejesz, co spodziewam się niezadługo nastąpi.

P. Brochat nigdy może nie przemawiał tak łagodnie i tak miękkim głosem — czuł on potrzebę oszczędzania rekonwalescenta, któremu swą propozycją tak straszną zadał ranę.

Dla tego też nie nalegając dłużej powstał i pożegnał się:

— Do widzenia zatem w krótce w księgarni.

Bajolein, pozostawszy sam, rozmyślał długo nad propozycyą swego pryncypała. Widział on, że mu wypada poświęcić tę drogą książkę, która mu już tyle chwil rozkosznych sprawiła, z powodu której już tyle miłych doznał wzruszeń i którą z dniem każdym coraz bardziej cenił i lubił.

I teraz wziął ją do ręki i z prawdziwem uczuciem na skarb swój spoglądając, otworzył ją po raz tysiączny. Przewracał kartki ze szczególną uwagą przypatrując się pięknym ozdobom każdej strony. Tak chciwie i z takiem zajęciem oglądał i podziwiał swój kalendarz, nie mogąc się odeń oderwać, jak gdyby to było po raz pierwszy lub .... ostatni. Nagle jednak powstał i szybko położył książkę na jej dawne miejsce — bojąc się może, by się do niej zbyt nie przywiązał.

Bajolein źle spał tej nocy. Na szczęście nie było obawy recydywy. Jakież szczególne sny trapiły biedaka! Suknia, książka — wypróżniona zupełnie sakiewka, wszystko jakby w dzikim tańcu przesuwało się przed jego oczyma. Ledwie nad ranem zdołał cokolwiek zasnąć. Obudził się dopiero koło dziesiątej rano, był smutny — lecz spokojny. Ofiara była postanowioną.

W dwa dni później została rzeczywiście spełnioną.

III.

21 kwietnia w dzień św. Anzelma Bajolein wstał wcześniej niż zazwyczaj; w dobrym humorze. Jasny promień wiosennego słońca wesoły jak on, igrał przed oknem a Bajolein zdrów już zupełnie lekki swobodny zacierał ręce z zadowoleniem.

— Za chwilkę ma przynieść mi czekoladę.. a to będzie wyborne! to będzie znakomite! Mówiąc to wyjął z komody dość spory pakiet źle zawinięty, gdyż z pod rozsuniętego cokolwiek papieru widać było jakieś zielone sukno... Zamykając szufladę rzucił biedny Bajolein okiem na miejsce gdzie dawniej leżał Jan de Tournes i westchnął głęboko.

W tej chwili zapukano do pokoju. Bajolein miał zaledwie czas ukryć swój pakiet za plecami i chrząknąć dla nabrania pewności.

— Proszę — rzekł.

Pani Muche zarumieniona jak piwonia, weszła trzymając coś pod fartuszkiem — zapewne jakiś pakiecik.

— Panie Bajolein — rzekła — dzisiaj Pańskie imieniny

— Pani o tem pamiętała?

— Naturalnie.

— Bo ja także — chciałem...

— Ja sobie pozwoliłam, Panie Bajolein..

— ...Pani ofiarować...

W tej chwili oba pakiety wyszły z ukrycia i dwa radosne wykrzykniki rozległy się w pokoiku.

— Suknia merynosowa!

— Jan de Tournes!

Niemy podziw i usłupienie malowały się w twarzach dwóch tych godnych istot. Wreszcie Pani Muche pierwsza zdołała się zdobyć na słowo:

— Panie Bajolein — co Pan znowu zrobiłeś! Pan się rujnujesz! Po cóż ten prezent — przecież to Pańskie — nie moje — dziś imieniny!"

— Ale Pani! co Pani sobie myślisz! Ta książka nieoceniona to — więcej jak lekkomyślność, to jest prawdziwe szaleństwo!

— Ta książka mnie wcale nie wiele kosztuje. — Pan Brochat mi ją sprzedał za cenę może książki do modlenia... To zacny człowiek ten Pan Brochat!

— O! tak Pani Muche, to bardzo zacny człowiek — nawet bardziej zacny niż Pani możesz przypuszczać! I szczęśliwy bi-

blioman nie mógł powstrzymać gorącej łzy wzruszenia, którasplynęła mu po policzku..

— P. Muche rzekł czule — chcesz mi Pani zrobić wielką przyjemność?

— Cóż takiego?

— Pozwól mi pani się pocałować?

P. Muche spłoniona nastawiła pełny policzek, na którym Bajolein złożył głośny, serdeczny pocałunek.

Była to piękna chwila.

Tymczasem czas upływał — trzeba było iść do księgarni.

Bajolein zobaczywszy P. Brochat synowca, z bijącem sercem zaczął mu dziękować. Pryncypał był dziś jakoś nieprzystępny.

— Ja kupuję i sprzedaję — jak mi się podoba — nie życzę sobie, by się kto mieszał w moje interesa, odpowiedział tonem ostrzejszym jeszcze, niż zwykle.

— Dziękuję, dziękuję—Panie Brochat.

— A! byłbym zapomniał panu powiedzieć. Będziesz Pan teraz miał o 50 franków miesięcznie więcej — ale bój się Boga — oszczędzaj — rachuj się z groszem!

Cesarzowa autorką dramatyczną.

Literatura z ostatnich czasów wykazuje cały szereg monarchów ubiegających się o skromny wieniec autorstwa.

Dość przytoczyć etnograficzne prace arcks. Rudolfa, nader pochlebnie przez bezstronnych znawców przyjęte, — wspomnienia z podróży, utwór straconego w Meksyku arcks. Ferdynanda Maksymiliana, — liryczne poezje obecnej królowej rumuńskiej (Carmen Silva) Karola XV szwedzkiego — komedje Amalii, ks. saskiej i Elimara Oldenburskiego („Al. Günther"), — tragedje pruskiego ks. Jerzego („G. Conrad") i mnóstwo innych, aby dojść do przekonania, że ręka do berła przyzwyczajona, może tak samo zręcznie jak dłoń każdego innego śmiertelnika chwycić za pióro...

Żadna jednak cesarzowa od wieku już nie wystąpiła na widownię literackiego świata. Ażeby tytuł naszego studjum usprawiedliwić musimy cofnąć się aż po wiek XVIII, i w osobie Katarzyny II bohaterkę swoją obrać...

Semiramis północy, jak ją pochlebnisie petersburscy nazywali, rywalizowała o pierwszeństwo z Fryderykiem Wielkim zarówno w polityce, jak w literaturze. Podobnie. jak on, starała się Katarzyna o przyjazne stosunki ze znakomitymi pisarzami owczesnej Francji. Znaną jest jej korespondencja z Voltair'em i D'Alembertem, których napróżno usiłowała na swój dwór sprowadzić. Naśladując też króla Frydryka, napisała sama kilka dziełek. Historja Rosji, słynny wstęp do księgi ustawodawczej, moralne i alegoryczne powiastki dla wnuków — najważniejsze w ich liczbie zajmują miejsce.

O wszystkiem tem obszerne napotkać można wzmianki w licznych biografiach Katarzyny, i trudnem było by kusić się o zdobycie jakichś nowych szczegółów z tego zakresu. Jest jednakże jedna strona jej działalności nietknięta dotąd, a choć może mniej jak inne ważna, to w każdym razie równie ciekawa i zajmująca...

Po powrocie z Krymu (1787) odegrano na scenie „Eremitażu" w Petersburgu cały szereg nieznanych dotąd komedyjek i przysłów dramatycznych, a już ta okoliczność, że tylko specjalnie przez sekretarjat carski zaproszeni goście mieli wstęp do amfiteatru widzów, musiała naprowadzać na różne domysły o autorstwie przedstawianych utworów dramatycznych, Jakoż w istocie kilka z nich, sześć mianowicie, wyszły z pod pióra Katarzyny. Hr. Kudwik Filip de Ségur d'Aguessau utworzył ze sztuczek przedstawionych w „Eremitażu" cały zbiorek i wydał go 1798 r. na widok publiczny.

We wstępie do tej, dziś za nadzwyczajną rzadkość uchodzącej, książeczki pisze wydawca: „Doborowa trupa artystów, do której sławny Aufréne i Fastier (uczeń Préville'a) należeli, odegrała utwory te przed nieliczną, wyłącznie do tego uprawnioną publicznością. W gronie autorów znajdowała się cesarzowa, — hr. Coblenz poseł niemiecki, — P. Ségur, minister francuski, — książe Ligne, austrjacki generał, — Alexander Momonof, ulubieniec cesarzowej, — hr. Strogonof, senator, — Iwan Szuwałow, wielki podkomorzy carski, — D'Estat, urzędnik carskiego gabinetu i córka aktora Aufréne..."

Jakkolwiek zajmującą byłoby rzeczą prace wszystkich wymienionych dyletantów przejrzeć, plan zakreślony zmusza nas do pozostania wyłącznie przy cesarzowej. Przedewszystkiem zauważyć musimy, że genialnych jakichś blasków napróżnoby w jej ramotkach szukać. Inny sąd byłby czczem tylko pochlebstwem. Gdyby nie sława cesarzowej, wiadomość o Katarzynie II. jako autorce dramatycznej nie doszłaby naszych czasów. Prac dramatycznych „wielkiej carowej" nie można jednak potępiać bezwzględnie; przebija z nich lekkie pióro, gdzieniegdzie żywy djalog, czasem humor, a zawsze dokładna znajomość warunków scenicznych. Są tam nawet rzeczy, które i dzisiaj jeszcze uchodzićby mogły, jako lever de rideau.

Z sześciu utworów Katarzyny II pięć jest przysłowiami dramatycznemi. Szósty składa się z szeregu luźnych, niepowiązanych scen dramatycznych tak różnego charakteru, że niepodobna ich ująć w żadną definicję. Tytuł tego dziwadła brzmi: „Imition de Shakespeare", niżej zaś czytamy zgodny z rzeczywistością przypisek: „sans obserwation d'aucune regle du théatre". Tragiczność nie stanowiła widocznie pola popisowego dla cesarzowej; w życiu umiała ta nieugięta, własnego męża detronizatorka, o wiele potężniejsze wywoływać efekta.

W „imitacji Szekspira" — nie myśl czytelniku, aby istotnie było w niej coś szekspirowskiego, — wprowadza Katarzyna Ruryka na scenę. Gostomusil (sic.) książe nowogrodzki przekazuje na śmiertelnym łożu tron po sobie trzem synom swojej córki Umili: Rurykowi, Syneusowi i Truworowi. Vadim, syn najmłodszej córki wytęża wszystkie swoje siły, ażeby trzech tych braci z tronu ogołocić, i samemu ich miejsce zająć. Wszystkie jednak jego zabiegi pozostają bezskuteczne; Ruryk wstępuje na tron, dwaj inni bracia dzielą z nim władzę, a zawstydzony otrzymanem przyrzeczeniem Vadim, zrzeka się swych ambitnych planów W postaci Umili, widocznie z osobliwszem zamiłowaniem naszkicowanej, przedstawia autorka kobietę zupełnie swemu mężowi uległą, uwielbiającą go jak bożyszcze. Rzecz dziwna, że kreacja taka mogła właśnie powstać w wyobraźni kobiety, która nigdy wobec męża swego podobnej poddańskiej roli nie grała. Jeżeli zwarzymy, iż słowa te skreśliła Katarzyna, jak dziwnie brzmi wtedy w ustach Umili następujące zdanie: „Przywykłam bez szemrania znosić twoją wolę, wiem bowiem, jaką ozdobą płci naszej jest pokora. Tyś królem: sprawy twoje — to sprawy państwa. Chociażem twoją żoną, uważam za rzecz niegodną wdzierać się w tajemnice twego dostojeństwa..." Mimowoli przypomina się tu pewien ustęp z pamiętników tejże cesarzowej (przez Hercena wydanych): „Z natury byłam już skłonną i przyzwyczajoną do wypełniania obowiązków. Ale potrzebowałam wyjść za mąż za człowieka, któryby rozum posiadał, a tego właśnie jemu (Piotrowi III) brakowało... Inny znowu rys charakteru Katarzyny odnajdujemy o parę kartek dalej,

w słowach jakiegoś nowogrodzkiego mieszczanina: — „Im więcej znajduje się ludzi, którzy gorliwie pracują dla dobra swego księcia i dla zbawienia ojczyzny, tem więcej bywa też intrygantów, ale władca, który nie po słodkich minach, jeno po zacnych czynach sądzi ludzi, potrafi żelazną ręką wykorzenić te chwasty społeczeństwa...“

Komedyjka „Le tracasier“ jest illustracją przysłowia Un tiens vaut mieux, que deux tu l'auras“ (Lepszy wróbel w garści niż kanarek w powietrzu). Rodencour, istota wściupska i gadatliwa, sprowadza zamięszanie pomiędzy swego kuzyna Noncalme a jego narzeczoną i markiza de Souche. Zawikłanie to skłania ostatecznie piękną markizę, do zrzeczenia się pysznych swych planów i oddaje rękę kawalerowi Moncalme.

Udramatyzowane prrysłowie „prometre et tenir c'est deux“ nosi tytuł „La rage aux proverbes, Bohaterem, który wiele przyrzeka, a nic nie dotrzymuje jest Mr. Dantée. Przyrzekł on dla pani Tautine, której kuzynkę Rozalią, do szaleństwa pokochał, ułożyć parę przysłów. W charakterystyce tej pani Tautine, szydzi cesarzowa ze samej siebie. „Dniem i nocą zajmuje się przysłowiami: układa je lub przedstawia, wyczerpawszy się zaś sama, żąda aby inni takowe tworzyli, lub przedstawiali. Jedni przyrzekają jej, ale nigdy przyrzeczeń nie dotrzymują: inni, którym cierpliwości już nie staje uciekają, od niej, jak od szalonej. Są też i tacy, którzy w krwawym pocie czoła kleją dla niej przysłowia. Tak więc jej żądza dziwaczna porusza świat cały, zmuszając siebie do myślenia, innych do mówienia, a jeszcze innych do przedstawienia wymyślonych i opowiadanych przysłów...“ Mr. Dantée pomimo najszczerszych chęci nie umie dotrzymać przyrzeczenia. Przedtem jednak przechodzi on kilka scen drastycznego komizmu. Wyborna też jest nauka poczciwej ciotuni, uczącej swą siostrzenicę praktyki życia. Niewypada, aby młoda dama dobrego pochodzenia, miała cerę tak zdrową, jak ludu wiejska dziewczyna; delikatność cery, wiotkość członków — to jej ozdoba. Dla tego też pość moje dziecię, nocami czuwaj jak możesz najdłużej, a z pewnością, zaćmisz wszystkie swe rówieśniczki pięknością...“

Najwięcej atoli satyry przebija się z jednoaktowego żartu „Le flatteur et les flattées“. Jestto dramatyczne przedstawienie znanej bajeczki o kruku i lisie, mogące służyć za dowód, że cesarzowa umiała zachować na swej wysokości należyty sąd o pochlebcach.

Przysłowie „A beau mentir qui, vient de loin“ dostarczyło koronowanej autorce motywów do hulaszczej komedyjki p. t. „Les voyages de mr. Bontemps“. Mme du Poid ma wesprzeć znacznym zasiłkiem swego kuzyna, nazwiskiem Bontemps. Bo też straszny los go spotkał! Zaskoczony przez bandę opryszków „w kraju, gdzie pełno kur i kogutów, ale jaj brak zupełny, gdzie pomimo mnóstwa krów i byków ani jednego niema cielęcia“ — musiał złożyć im on całe swoje mienie dla uratowania życia. Poczciwa ciotunia otwiera już kasę, gdy nagle wpada ojciec Bontemps'a. Kłamstwo młodego łobuza wychodzi na jaw, a bajeczna kraina okazuje się nie czem innem, jak prostą fantazją, wymyśloną dla spłacenia już protestowanych wekslów.

Jeszcze żwawiej toczy się przysłowie „il n'y a point de mal sans bien“ przepełniony pieprznymi djalogami. Huczne oklaski miały się odezwać w audytorium „eremitażu“ przy odpowiedzi mr. Maigret'a na zapytanie, dla czego panią Richardet właśnie, a nie kogo innego chciałby połączyć małżeńskiemi węzłami ze swym kuzynem...

— „Rzecz prosta!“ — mówi poczciwy mr. Maigret — „Dom pani Richardet leży w tej samej dzielnicy, co dom mego kuzyna. Ażeby inną żonę mu wyszukać, musiałbym odbywać znacznie dalszą drogę; pani Richardet miała tę nieocenioną zaletę, że mieszkała najbliżej. Pojmiecie całą doniosłość tej okoliczności dla człowieka, który tak jak ja, na odciski cierpi...“

Wszystkie te dramatyczne bagatelki Katarzyny II, są owocem czysto dyletanckim. Zrodziła więc je chęć oklasków? Niezawodnie! W każdym z wymienionych utworów smaga cesarzowa sama siebie biczem ironii, wyzywając tym sposobem protesty, ktore niczem innem być nie mogły, jak wyrafinowanem pochlebstwem...

Eros.

Kronika naukowa.

(Otrzymanie diamentów drogą sztuczną).

Węgiel znachodzi się w naturze w trzech różniących się znacznie odmianach. Każda z nich ma obszerne zastosowanie: węgiel bezpostaciowy ogrzewa nasze pomieszkania, porusza maszyny wykonuje tysiąc czynności; grafit...! któż nie zna ołówków? któż nie zna tych fabrykatów Hartmutha, Fabera i t. d. Nakoniec któż nie podziwiał trzeciej odmiany węgla mieniącego się tysiącznemi barwami diamentu. Własności tej ostatniej odmiany, jako też jej rzadkość, a więc w następstwie wysoka cena, sprawiły iż zaczęto jej używać jako ozdoby.

Każdy przedmiot droższy usiłowano zawsze, w wysokim zaś stopniu dzisiaj, zastąpić innym, tańszym, zbliżającym się ile możności do oryginału. To samo stało się z diamentem; najrozmaitszego rodzaju przemysłowcy usiłowali zastąpić go i naśladować. W tem celu używano rozmaitych gatunków szkła, posiadającego także własność załamywania światła, podobnie jak diament tylko w mniejszym stopniu. Naśladownictwa tego rodzaju są często nadzwyczaj udatne, sprawiają one w oku to samo złudzenie i różnią się tylko składem chemicznym i twardością od naturalnego diamentu. Z czasem pokuszono się o wytworzenie diamentów prawdziwych drogą sztuczną. Spodziewano się iż wykrycie płynu, w którymby się węgiel rozpuszczał, przyniesie żądane rozwiązanie. Bo cóż łatwiejszego jak rozpuścić węgiel w podobnym płynie, aby go napowrót otrzymać w postaci kryształów. Płyn podobnego rodzaju wykryto nareszcie, jest nim roztopione żelazo, które rozpuszcza w sobie znaczny procent węgla. A więc diamenty już dają się otrzymać sztucznie? Tak. Diamenty dają się otrzymać, tylko nie w ten sposób. Węgiel wykrystalizowany z żelaza wydziela się nie jako diament, lecz jako grafit; tą drogą nie otrzymano więc pożądanych rezultatów, lecz otrzymano je w sposób zupełnie inny.

Chcąc należycie poznać ten wynalazek, a właściwie odkrycie młodego chemika J. B. Hannay musimy wstąpić na chwilę do jego pracowni i przypatrzyć się doświadczeniom, które już od dłuższego czasu go zajmują.

Na pozór nie mają one nic wspólnego z diamentami, sam Hannay wykonując je nie spodziewał się podobnego rezultatu. Badania jego miały na celu poznanie zachowania się rozmaitych cieczy w zamkniętych naczyniach wystawionych na działanie wysokich temperatur. Nie był on pierwszym na tem polu, już przed pół wiekiem zajmował się tą samą kwestją wynalazca syreny Cagniard de la Tour i Andrews.

Prace tego ostatniego doprowadziły do poznania pewnej temperatury, którą nazwano: punktem krytycznym. Jako przykład

objaśniający weźmy bezwodnik węglowy, który w zwykłej temperaturze jest gazem.

Jeżeli to ciało gazowe ogrzejemy znacznie i poddamy ciśnieniu kilkudziesięciu atmosfer, zauważymy wówczas, iż gaz się jeszcze nie skroplił, znajduje się jednak w jakimś stanie pośrednim między gazem a cieczą. Przy obniżeniu temperatury bezwodnik węglowy przechodzi natychmiast w ciecz, przy obniżeniu ciśnienia napowrót w gaz. Podobne doświadczenia wykazały wszelkie stopnie, jakie ciała przechodzić muszą aby, ich stan skupienia lotny przeszedł w ciekły i na odwrót; wykazały one dalej iż podobne przemiany nie odbywają się raptownie lecz powolnie i nieznacznie, tworząc nieprzerwane pasmo między jednym a drugim stanem. Ta właśnie charakterystyczna temperatura, przy której największe ciśnienie nie zdoła już gazu zamienić w ciecz zowie się: punktem krytycznym; punkt krytyczny jest dla każdego gazu inny, zaś dla tego samego stały.

Naodwrót ciecz zamieniona w gaz i ogrzana po nad punkt krytyczny, nie daje się również skroplić.

Rozpuśćmy jakie ciało stałe w cieczy zamkniętej w naczyniu i ogrzewajmy ją po nad punkt krytyczny, ciecz zamieni się wówczas w gaz lecz cóż się stanie z ciałem rozpuszczonem?...

Podobne pytanie postawił sobie Hannay przy swych doświadczeniach.

Na pierwsze wejrzenie zdawać by się mogło, iż ciało rozpuszczone wydzieli się napowrót jako ciało stałe, jeżeli się w temperaturze, do jakiej ciecz ogrzaną została, nie ulatnia. Tymczasem doświadczenie wykazało zupełnie co innego. Ciało stałe nie wydzieliło się wcale, lecz pozostało rozpuszczonem... w gazie.

Opiszemy tu jedno z licznych doświadczeń wykonanych przez Hannay'a.

Gruba rura została do połowy napełnioną roztworem alkoholicznym jodku potasu, zatopioną i wystawioną na działanie temperatury wyższej od punktu krytycznego. Alkohol przeszedł w stan gazowy a jodek potasu pozostał w nim rozpuszczony. Za pomocą odpowiedniego urządzenia można było wystawić kawałek jodku potasu na działanie gazów alkoholu i obserwować jak się w tym niewidzialnym rozczynniku powoli rozpuszczał.

Zmiejszając ciśnienie wewnątrz rury wydziela się jodek potasu na ścianach naczynia w postaci drobnych kryształków, które się znowu rozpuszczają i nikną z zwrastającem ciśnieniem.

Podobne doświadczenia robiono z najrozmaitszemi ciałami i otrzymywano zawsze ten sam skutek, nic więc dziwnego iż Hannay postanowił to samo uczynić i z węglem.

Na wstępie powiedzieliśmy już, iż węgiel rozpuszcza się tylko w płynnem żelazie. W jakimże więc naczyniu zamieniać żelazo w stan lotny, w jakiej temperaturze? Są to trudności, które skłoniły Hannay'a do rozwiązania tego problematu nie wprost, lecz drogą uboczną.

Jeżeli jaki węglowodor gazowy t. j. ciało zawierające w swym składzie chemicznym tylko węgiel i wodor, poddamy wysokiemu ciśnieniu w temperaturze żaru w obecności niektórych metali jak, magn lub sód, wówczas następuje rozkład; wodor węglowodoru łączy się z metalem, podczas gdy węgiel wydzielony zostaje.

Oto wynik naukowy badań Hannay'a. Przy badaniach tych posługiwał się on rurami żelaznemi o średnicy otworu $^1/_2$ a grubości $3^1/_2$ cala, mimo tego rury te pękały jeszcze dziewięć razy na dziesięć doświadczeń.

Węgiel w ten sposób wydzielony ma wszystkie oznaki diamentu.

Badany przez odkrywcę i prof. Maskelyne okazał się w rzeczy samej najczystszej wody diamentem. Rysuje on doskonale nawet safir, załamuje światło zupełnie prawidłowo, ciężar gatunkowy jego wynosi 3·5, spalony daje 97·8% czystego węgla. Wszystkie te cechy wskazują jak najdokładniej, iż materja otrzymana przez Hannay'a nie jest niczem innem jak tylko prawdziwym diamentem. Problem więc rozwiązany, zachodzi jednak pytanie czy sztucznie otrzymany diament posiada warunki, któreby mu nadawały prawo zjawić się na targu w odpowiedniej ilości, jakości i cenie?

Dla uspokojenia jubilerów i zapewnienia im spokojnego snu dodaję, iż nie ma. najmniejszej obawy aby p. Hannay wystąpił ze swymi diamentami na targ.

Nie są one „zadziwiającej wielkości“ jak zwykle się w takich razach powiada, lecz owszem „zadziwiającej małości“. Koszta otrzymania dosięgają ceny wartości tychże, wszystkie więc obawy jubilerów jak na dzisiaj są bezzasadne, akcje kopalń diamentów stoją dobrze i nie obawiają się przesilenia.. Otrzymywanie diamentów drogą sztuczną ma, jak na dzisiaj, znaczenie li tylko czysto naukowe, spodziewać się jednak należy, iż wynalazczy duch ludzki nie poprzestanie na tym tryumfie naukowym lecz przeniesie go także i na pole przemysłu.

Kaz. Spoliński.

Przegląd artystyczny.

(Adaptacja dawnego kościoła przy spalonej akademji

Znawcy i miłośnicy sztuki narzekają oddawna już na to, że wszelkie naprawy i odnowienia budowli u nas odbywają się w sposób barbarzyński, niezgodny z najostrzejszemi zasadami estetyki. Szczególnie przy adaptacji budynków prywatnych restauracje wykonywane bywają bez względu na szacunek zabytków dawnych, ornamentyki starożytnej i tp. a dość przypomnieć sobie owo zerwanie wazonów barokowych przy zmianie dachów gontowych na blaszane, lub zmienianie charakterystycznej ornamentyki przy naprawie ścian, aby zapytać z żalem: Czemuż u nas nie zajmuje się nikt ochroną i tak niebardzo licznych pamiątek artystycznych, czemu w takich razach nie korzysta z praw swoich p. konserwator, mający obowiązek czuwania nad ich utrzymaniem.

Mając tyle przykładów niewesołych w naszem mieście pod tym względem, patrzyliśmy oddawna z obawą na ruiny kościoła obok spalonej akademji, czekając, rychło się weźmie ktoś do ich naprawy.

Obawy nasze nie były płonne. W tych dniach mieliśmy sposobność oglądać plan fasady odmurowanego kościoła i z żalem powiedzieć musimy, że budynek w sposób projektowany wykończony, nie będzie odpowiadać wymaganiom estetycznym. Kto zna ruiny dawnego gmachu — a któż ich niezna — mógł się spodziewać, że całość wykończą w tym samym duchu i w stylu poważnym Odnowiona będzie mogła iść o lepsze z najpiękniejszymi budynkami we Lwowie. Tak jednak nie będzie. Sądząc według planu architekta, któremu powierzono wykonanie renowacji, z pięknych stosunków stworzył istny chaos. Główna fasada podzielona na dwie kondygnacje, jest w górnej swej części stosunkowo za wysoka, portyk zaś w wyższej kondygnacji, mający odpowiadać dolnemu, pięknemu portykowi o doryckich kolumnach, nie stoi w żadnym związku architektonicznym z dwoma wieżycami. Pod względem proporcji w ogóle spotykamy tu mnóstwo wad, a mianowicie dziwi nas, jak mógł architekta pozostawić w tak wielkiej dysproporcji okna w wieżycach, w stosunku do głównej bramy wchodowej, która z niemi prawie jednakowe ma rozmiary. Brak ten stosunku jest nawet przykry dla oka patrzącego na plan, a w rzeczywistości, bez kwestji wystąpi jeszcze jaskrawiej.

Wiemy o tem, że z góry, w zasadzie przyjęto konieczność osadzenia pięciu kopuł na cerkwi, nie winimy więc o to architekty, który główne warunki przyjąć musiał. Ale

wykonanie warunku należy już absolutnie do niego. Projektant umieścił główną kopułę nad nawą, inne nad prezbiterjum tudzież w obu wieżycach. Korony te ciężkie na wieżach, jeszcze więcej podnoszą ich linję pionową, tembardziej że obie kopuły spoczęły tu na dość wysokich bembnach, a wystrzeliły również w górę wyniosłemi latarniami. Cały gmach w ogólności, według projektu, znanego nam z planu jest chaotyczny, bo niema w nim linji dominującej, która jest głównym warunkiem stylu odrodzenia.

Roboty około fasady nie są dotąd rozpoczęte i dlatego zwracamy uwagę na wady kardynalne planu, które dotąd jeszcze łatwo dadzą się usunąć. Autor powinien by zastanowić się nad tem, i odpowiednie swemu pojęciu rzeczy poczynić poprawki. *H.*

Przegląd literacki.

(„Z różnych sfer. Serja nowa. 1. Sielanka nieróżowa. Daj kwiatek! Złota nitka. Zefirek. Lwów. Księgarnia polska 1882“,)
ocenił Antoni Mazanowski.

W życiu naszego społeczeństwa istnieje obok kwestyj powszechnie znanych, rozbieranych i wyjaśnianych, pewna ilość zagadnień, tkwiących głęboko, rozsuwających swe skutki — na szerokie koło socjalne, jak długie pasma, których węzłów szukać należy chyba w trudnościach psychologicznego rozwoju ludzkości. Stoją te kwestje obok reformy szkół, oświaty ludu, doskonalenia się handlu przemysłu i rękodzielnictwa, obok kształtujących się we wszystkich kierunkach form autonomii narodowej, wreszcie obok wielu kolizyj religijnych — z zakresem szerszym ogólniejszym, a treścią bogatszą, obejmującą całe dzieła narodowego życia. One to właśnie stanowią osnowę czterech obrazków Orzeszkowej – z ogólnie określonym tytułem „z różnych sfer“.

W 4tych obrazkach wydobywa autorka z różnych sfer społecznych kilka zagadnień wpływających na wytworzenie zła społecznego — i stara się je przedstawić zmysłowo, niby rany jątrzące się w żywem ciele, rzucając na nie snop jaskrawego, troszkę rażącego światła. Przypatrzmy się im bliżej.

Sierota Władek — bohater nieróżowej sielanki — wychowuje się na dalekiem przedmieściu Ongrodu w małej brudnej i ciemnej chacie pod okiem starej ciotki, kobiety złej, bez serca, skąpej, trudniącej się lichwą i zdzierstwem uboższych jeszcze sług i zarobników. — Z natury jest to chłopak bystry, pojętny, skory do czynu i wytrwały, niemal uparty. Łatwo sobie wyobrazić owoce zasiewu. Wypędzany z domu — głodny włóczy się po mieście i własnym przemysłem stara się zdobyć jedzenie. Nie uczą go pracować, nie zna przeto innego środka — jak żebranina, i kradzież. Żebrze więc. Co do kradzieży — o to nie tak łatwo. Zrazu cieszy się tylko widząc spryt Franka w tej sztuce. „Aj, aj, aj, Franek — jaki ten Franek zabawny, ściągnął chłopu z woza ser i uciekł... a chłop nie wie, gdzie ser podział się i wrzeszczy... ot, żebym tylko potrafił tobym też ściągnął, ale jeszcze nie dostanę ręką tak daleko“. Potrzeba tylko dobrej woli — a zdolność się znajdzie. Władek też próbuje „ściągać“ — to cukierki i ciastka ze stołu w cukierni stryja, dokąd niekiedy zagląda, to marchew i owoce na rynku, a wreszcie wpada na pomysł wyucza sobie gołębia przewodnika — i kradnie gołębie.

Takim jest Władek w 8ym roku życia. Jest to skończony łobuz, ale jeden rys czyni go łobuzem niepospolitym. Włócząc się po mieście — widzi panów i panie, karety i powozy ludzi bogatych — i rodzi się w nim najpierw pragnienie pieniędzy, a potem poczucie społecznej niesłuszności, co tak rozmaicie obdarza niemi ludzi. „Na pieniądzach świat stoi. Kto grosza nie ma, ten grosza nie wart, a kto go ma — hej — hulaj dusza!... Wszystko za pieniądze, i buty i surdut i jedzenie i zabawa“.

„Czy to sprawiedliwie na świecie? jeden ma wszystkiego po uszy, a drugi nic, jeden paniczem sobie jest, nie wiadomo za co, a drugi takim ot — obdartusem jak ja... także niewiadomo za co!“ Wreszcie przybywa jeszcze jedno — nienawiść dla ludzi za to, że go takim zrobili. „Mnie wszystkie złości biorą, jak sobie pomyślę, że tak mię ludzie haniebnie zaniedbali. Ani nauki ani wychowania, ani majątku“ — a do tego — nikt mu nawet dobrego słowa nie powie. To też tak mu już zbrzydło to psie życie, że „ot — czasem ze zgryzoty rzuciłby się w tę sadzawkę“.

Tak powoli kształci się w jednym kierunku Władek. I nic go z drogi nie zwraca. Siła nawyknienia i przekonania — obok zupełnego braku poczucia praw własności, braku poczucia konieczności zastósowania celów i środków obfitych do tychże w całem społeczeństwie, spycha go coraz niżej po pochyłej i śliskiej drodze występku. Życie jego staje się niepewnem pasmem przyczyn i skutków, wysnutem przez autorkę konsekwentnie i ściśle do końca. W latach 18tu Władek na współkę z Frankiem, mistrzem swoim, usiłuje okraść bogatego ogrodnika, ale schwytany dostaje się za więzienne kraty. Skończona karjera. — A jednak Władek przedstawiał materjał na pożytecznego członka społeczeństwa. Wrodzone zalety, objawiające się w latach dziecinnych z większą siłą, później uśpione, zdradzają w nim dobroć i uczynność. Okazuje się to w stosunku do towarzyskich zabaw Marcysi. Taka sama sierota i uboga nieprawa córka pijaczki — pozostaje na wychowaniu u jego ciotki — w tych samych co on warunkach. Atoli mniej samodzielna, miękka, wrażliwa natura kobieca, czuła była, cierpliwa, skryta jak Władek, pilna w pracy i uważna — zdolna przedewszystkiem do kochania. Kiedy więc Władek marzy o bogactwie, ona czuje się jego marzeniami szczęśliwą. Pamięta troskliwą opiekę, jaką ją Władek otaczał, gdy była małą — i kocha go za to całą siłą serca, co pomimo mętów życia, w których przebywało, pozostało czystem i nieskalanem. Miłość staje się dla Władka, kiedy urósł, środkiem zaspokojenia popędów zmysłowych, dla Marcysi zaś aniołem Bożem broniącym ją od upadku.

Władek nie kocha Marcysi — albo raczej kocha jej kształtną postać, ładną twarz i wymowne oczy, jej smukły wzrost i pyszne włosy; ona przylgnęła doń całą duszę, całem głębokiem pierwszem uczuciem — co się oddaje niepodzielnie i na zawsze, na całe caluteńkie życie jak mówi. Kiedy więc Władka uwięziono, Marcysia rozpaczała — i prawie w szaleństwie upija się. Istotnie wcale to nie różowa sielanka. Z dwóch gniazd z gniazda lichwiarki i pijaczki — dwoje dzieci — przechodzą przez życie, każde zresztą swoją drogą, związane tylko pozornym węzłem miłości — i w połowie kończy się to życie katastrofą. Kto winien? Niesprawiedliwie postąpibyśmy, przypisując winę jedynie Władkowi i Marcysi.

(Dokończenie nastąpi).

Przegląd muzyczny.

Ostatni (czwarty) koncert Towarzystwa muzycznego odbył się w Niedzielę d. 22. z. m. Rozpoczęto Serenadą na instrumenta smyczkowe Hrimaly'ego, Dyrektora Towarzystwa muzycznego w Czerniowcach, który sam przybył do Lwowa i dyrygował naszą orkiestrą przy wykonaniu tego utworu. Jestto kompozycja instrumentowana bardzo kunsztownie, co dowodzi, że autor odbył sumienne studja, lecz nadto wyszukane efekta instrumentacyjne, wobec lekkich aczkolwiek wdzięcznych motywów, rażą cokolwiek przesadą. Z wyjątkiem trzeciego ustępu tej serenady, w którym solo wiolonczelowe przy akompanjamencie „pizzicato

całej orkiestry, bardzo pięknie, czysto i z tonem odegrał p. Duz, młody amator wraz z p. Hrimalym z Czerniowiec przybyły, — pozostawiało wykonanie tego utworu pod wielu względami dużo do życzenia. Kompozycja ta wprawdzie wiele od orkiestry wymaga; jednak i znacznie trudniejsze rzeczy wykonywała orkiestra Tow. muzycznego wcale dobrze, tu więc tylko chyba niedostateczną ilością odbytych prób owe usterki tłumaczyć można. Z obowiązku sprawozdawcy nadmieniamy, że po każdym ustępie Serenady publiczność nie szczędziła oklasków a po skończeniu jej wywołała p. H. kilkakrotnie.

Następującemi potem numerami koncertu, dyrygował już p. Mikuli, a pierwszym z nich był utwór „In media nocte‟ Lesuer'a kompozytora francuskiego z końca XVIII w. na solo tenorowe, orkiestrę i organy.

Melodja to ciepła, wprost z duszy płynąca, umiejętnem stopniowaniem pięknie rozwinięta, ładnie przez p. Gerbicza odśpiewana, wielkie na słuchaczach sprawiła wrażenie.

Po raz drugi słyszeliśmy potem prześliczny prelud z poematu „Le Déluge‟ (Potop) Saint-Saens'a, jednego z najznakomitszych spółczesnych kompozytorów francuskich. W wykonaniu tego utworu odegrało główną rolę solo skrzypcowe, oddane prześlicznie przez p. Wolfsthala. Malutki ten wstęp tak nam się wydał ładnym i świeżym, że pragnęlibyśmy usłyszeć całe oratorjum, spodziewając w niem poznać jedną z pereł tegoczesnej literatury muzycznej.

Zakończyły koncert niedzielny dwa małe ale bardzo ładne utwory: „Hjertesar‟ (rany serca) i „Varen‟ (wiosna). Melodje te dziwaczne a tem samem nadzwyczaj oryginalne i charakterystyczne, w których obrobieniu i przeprowadzeniu znać rękę mistrza Griega — owego Chopina północy, (jak go Niemcy nazywają), — wykonane były przez orkiestrę smyczkową znakomicie i zachwyciły słuchaczów.

We środę d. 25, zm. odbył się piąty wieczorek Tow. muzycznego. W pierwszych dwóch numerach programu wystąpił znany nam już z niedzielnego koncertu p. Duz, amator,-wiolonczelista. Odegrał z panną Męsonatą. Onslowa na fortepian i wiolonczelę i wykonał ją, jak na amatora, bardzo dobrze. Dziwi nas tylko wybór kompozycji, jest przecież tyle prześlicznych sonat na wiolenczelę znakomitych kompozytorów n. p. Bethovena, Mendelssohna, Rubinsteina etc. u nas wcale nigdy albo oddawna nie granych, nie rozumiemy zatem tej szczególnej predylekcyi dla Onslowa, którego utwory nie odznaczają się ani głębokością myśli ani znów tak szczególną pięknością formy.

I pna Ma. i p Duz. okazali bardzo wiele zalet w grze swojej, całość jednak nie była bez braków. Panna Ma. nie jest jeszcze dosyć rutynowaną w eusemblach, dla tego też tempo nie zawsze równe zachowywano, fortepian przyspieszał, wiolonczela znowu w miejscach bardziej śpiewanych ritardowała cokolwiek a często nie zdołała (jak n. p. ze staccatami z 2 części) na czas zdążyć w obec pośpiechu młodziutkiej pianistki. Braki te kładziemy na karb tremy, od której rzadko są wolne sumienne a skromne uczennice p. Mikulego. Zresztą jeżeli sąd nasz wypadł zbyt surowo, to pod wpływem świeżego jeszcze wrażenia z koncertów Sauret'a, boć wiemy, że od amatorów nie mamy prawa wymagać tego artystycznego wykończenia w najdrobniejszych szczegółach, jakiem się wirtuozi odznaczać winni,

Następnie odegrał p. Duz. Nocturne Chopina i Gavotte Poppera a na uśmierzenie nie ustających oklasków nad program, Mazurek Chopina. W Nocturnie podziwialiśmy piękny ton jego instrumentu i pełną uczucia deklamację. W gawocie (wziętym w tempie cokolwiek za rozwlekłem) dał nam p. D. poznać swą dosyć wyrobioną technikę. Reasumując wszystkie zalety i wady gry pana D. musimy młodemu dyletantowi przyznać o l b r z y m i t a l e n t, wiele uczucia i dobry smak muzykalny, — widoczny jest jednak w grze jego brak dobrej, gruntownej szkoły a wskutek tego wiele usterek, które u samouka prawie jakim jest p. D. nie łatwo byłoby usunąć, są one bowiem wypływem błędnego traktowania zasadniczych reguł, będących podstawą techniki. Słowa tego ostatniego użyliśmy tutaj w znaczeniu szlachetniejszem, w znaczeniu środka do wzorowej i subtelnej deklamacji, łatwości w cieniowaniu w de-lub-crescendowaniu, w oddaniu pianissima nie pozbawionego dźwięczności i pełności tonu i t. p. Techniki bowiem w obszerniejszem znaczeniu (co do możności wykonywania i b a r d z o t r u d n y c h utworów) nie można panu D. odmówić. Niech nam szanowny nasz gość z Czerniowiec nie bierze za złe tych kilku uwag dyktowanych szczerą życzliwością — mieliśmy bowiem na myśli dalsze jego kształcenie się artystyczne a nie chcielibyśmy aby tak w i e l k i t a l e n t zmarniał, zabity czczemi i bezmyślnemi pochwałami.

Zakończono wieczorek znakomitem wykonaniem ślicznej ballady Rheinbergera „Klarcia z Eberstein‟ na głosy solowe i chór mięszany z towarzyszeniem fortepianu. Cała rzcz szła doskonale, szczególnie zaś podnieść musimy spiew solowy pani A., która z nadzwyczajnem przyjęciem odśpiewała ustęp „Matusiu ma‟ i wzruszyła słuchaczy dźwięcznością swego głosu i pełną głębokiego uczucia deklamacją.

Wdzięczni jesteśmy bardzo Szan. Dyrekcji, iż dołączyć kazała do programu cały tekst ballady, nie możemy się jednak wstrzymać od uwagi, że możnaby we Lwowie znaleźć przecież kogoś, ktoby potrafił lepiej to przetłumaczyć, a choć to rzecz nie łatwa, uniknąłby może wierszów takich n. p.

„Twój ojciec leniwie bardzo tkał‟
„Źle przędła twa matka mi też‟.

albo:

„Na grobie czerwony i biały kwiat
„Pokrzywa zasiadła tam także na czaty
„Tę pokrzywę sprządź do twych ślubnych szat
„W koszulę mi śmiertelną kwiaty?
„Gdy obie mi sprzędzież, wesele *se* zrób‟
i t. d.

R.

ZIARNKA.

W ostatnich dniach czarodziejska wiosna obficie poczęła sypać z rogu obfitości swe uroki. Planty miejskie, i okoliczne pagórki zazieleniły się mocno — że człowiekowi mimowolnie raźniej się jakoś robi na sercu i weselne myśli idą do głowy. Drzewa milczą jeszcze — tylko topole pokryte mocno bażkami — a wierzby ubrane w drobniutkie listki — kasztany zrzucają już piewszą łuskę. Wszystko czeka na deszcz. Zeus w piątek wieczorem ponagromadzał chmury—i popisał się z pierwszemi grzmotami — poczem w nocy skropił lekko ziemię więc zdaje się, że i wielki rozwój w naturze prędko teraz pójdzie. Życie obudzające się w przyrodzie wpłynęło i na ludzi Muzyka wojskowa rozpoczęła już popisywać się na publicznych miejscach. Zawiązują się komitety celem urządzenia wycieczek i całe miasto poczyna się nie na żarty ruszać, — a mając na względzie to, że fantazja z wiosną największą prawie rolę odgrywa, należy się spodziewać — że i na polu literatury niejedna myśl nowa i świeża — jak te kwiaty wiosenne — przysporzy dziełu autora sławy.

* * *

W rocznicę 3. maja urządzono we Lwowie przeróżne nabożeństwa, wieczorki, odczyty i zgromadzenia — do ostatnich zaś Lwów ma szczególne szczęście. Nie może-

my roztrząsać, czy pod względem politycznym osiągają zamierzonego celu — idzie nam tylko, by na przyszłość nie zamieniały się w tak zwaną „hecę narodową“ by zamiast poważnego wrażenia niewywoływały na ustach uśmiechu. Pewne osobistości nieumiejące nawet poprawnie się po polsku wyrażać — występują na trybunę, by pleść prawdziwe androny — a słuchacze zadowolnieni z „hecy“ biją oklaski — i to wszystko ku uczczeniu narodowej uroczystości!

Gdzieindziej dziennikarstwo z całą surowością potępiłoby podobne wystąpienie — u nas inaczej — inaczej inaczej.

* * *

„Przegląd tygodniowy“ pisze:

Powiadają złośliwi, a może tylko prawdomówni, że kiedy raz do sławnego malarza bitew i koni, Adama, który w Monachium królował, zgłosił się pewien głośny polski artysta, aby pod jego okiem w sztuce rysowania koni się doskonalić, mistrz kilka razy zwrócił mu uwagę na niedokładność w kopiowaniu natury, a w końcu powiedział z uśmiechem: „wracaj pan do domu i maluj jak malowałeś dotąd. Masz pan dużo talentu i gustu i pewną manierę, której nie pozbędziesz się tak łatwo. Daj więc pokój usiłowaniom próżnym, zostań przy wadach, a staraj się wydoskonalić przymioty, zdobiące twój pędzel“. Orację tę warto-by z pewną zmianą powtórzyć p. Wojciechowi Kossakowi, który w ostatniej pracy swojej, wystawiającej ujeżdżalnię królewską, wprawdzie przy wadach dawniejszych został, ale o dodatnich stronach swego talentu zdaje się zapominać. Młody Kossak odznaczał się przedewszystkiem umiejętnym układem kompozycji, ciepłym kolorytem i szczęśliwem oświetleniem grup koni i ludzi złożonych z figurek drobnych, więc niewymagających zbyt ścisłych, anatomicznych studjów. W ujeżdżalni nie spotykamy tych stron dodatnich, ale za to oświetlenie jest zimne, szare, odpowiada ono nieźle brudnym ścianom manežu, ale wcale obrazu nie ożywia. Barwa odzieży amazonek i jeźdźców, ubo przystrojnych w szaty malownicze francuskie z zeszłego stulecia, wypłowiała, niepewna, a jaskrawe wyłogi odzianego w mundur gwardjaka, dowódcy karuzelu, traktowane są ostro i do harmonii się nie przyczyniają. Niedostatek światła nie pozwolił nawet artyście z końmi się popieścić i refleksami przerwać jednostajną barwę ich sierści, brak zaś wprawy w malowaniu wnętrza nie dał mu możności urozmaicenia dalszych planów sztafażem, rozmieszczonym na galerji, która z lewej tylko strony, i to bokiem, jest pokazana i dźwiga kilka osób równie nieszczęśliwych, jak znajdujące się na parterze, bo ani charakterystycznych w pozie i rysach, ani zajmujących malowniczością stroju. Trudno widać było p. Kossakowi mocować się z tematem nowym dla niego, i niebardzo wdzięcznym, tembardziej, że punkt widzenia, wziętym za wysoko, skazywał go z góry na niepowodzenia perspektywiczne, które się z tylu innemi niepowodzeniami zbiegły.

ZAPISKI.

Literatura.

* P. Aureli Urbański, tłumacz wielu operetek zabrał się do napisania oryginalnego libretta, do którego muzykę skomponował p. Maurycy Fall, kapelmistrz orkiestry wojskowej.

* Nicolas Bernardini pracuje nad dziełem statystycznem dziennikarstwa całego świata. Będzie to spis wszystkich czasopism, ich historji, imiona redaktorów, współpracowników, wydawców; wymieniony będzie format, cena prenumeracyjna, ilość stron, ryciny, waga każdego numeru, cena pojedynczych egzemplarzy. Zamieści biografje najsławniejszych dziennikarzy i wiele innych dat dotyczących historji dziennikarstwa. Wydawca uprasza wszystkich redaktorów o przysłanie po jednem egzemplarzu swych pism i udzielenie najpotrzebniejszych dat. Adres autora i wydawcy tej encyklopedji jest: Nicolas Bernardini. Lecco. Italia.

* W Bernie wyszły nowe nowelle Alfreda Hartmana. „Auf Schweizererde“ Tom pierwszy zawiera dwie barwowe nowele „Autochtonen und Turisten“ i „Orgetorix“.

* Wyszedł z druku zeszyt 1-szy na szeroką skale przez Redakcję: „Biesiady“ i przez księgarnię T. Paprockiego rozpoczętego wydawnictwa: „Złota przędza poetów i prozaików polskich“. Złota przędza będzie na wzór zagranicznych dzieł tego rodzaju obszerną antologją, obejmującą wybór najcelniejszych utworów pisarzy naszych wierszem i prozą i jako teka, stanowić ma w przykładach podany, biografícznemi wiadomościami uzupełniony całkowity kurs literatury polskiej od początków jej rozwoju, do najnowszych czasów. Każdy tom dzieła, których liczba nie da się z góry określić, obejmie 12 zeszytów po 5 arkuszy druku. Pierwszy zeszyt zawiera wybór poezji Brodzińskiego, krótką biografję tego autora, oraz bibljografję jego.

W tymże zeszycie rozpoczęto druk wyjątków z dzieł Mickiewicza poprzedzony również treściwą biografją. „Złotej przędzy“ życzymy jak najszczerzej, jak najszerszego rozpowszechnienia.

* W Wrocławiu ukazała się książka pod tytułem: Peter Skarga's Sonn-Festags- und Gelegenheits Predigten w przekładzie Świentka. Przedmowa zawiera szkic polskiej wymowy kaznodziejskiej, a czasopismo niemieckie pod tyt: Literarische Rundschau pomieszcza z powodu książki tej obszerne uwagi o złotoustym kaznodziei.

* Figaro paryskie rozpoczęło w fejletonie druk nowej powieści Emila Zoli pt.: Jacques Damour.

* Znana powieść Al. Daudeta „Les rois en exil“ ukaże się na scenie teatru Vaudeville przerobiona przez Coquelina starszego.

* W Siedlcach pocznie wkrótce wychodzić pismo tygodniowe.

Teatr i muzyka.

* Massenet, kompozytor opery Herodjada, przygotowuje nowe dzieło pt. Manon Lescaut. Utwór przeznaczony dla paryskiej opery komicznej.

* Hennequin i Velabrégue napisali tekst do nowej operetki, do której pisze muzykę Jan Strauss.

* Prof. konserwatorjum w Petersburgu Aleksander Famniszyn napisał muzykę do znanej tragedji Gutzkowa Uriela Acosty. Partyturę wręczono król. teatrowi w Dreźnie.

* „Times“ donosi, że „Columba“, nową operę Markienziego przyjęto z wielkiem entuzjazmem. W Londynie rozpocznie się sezon tegoroczny w operze Hamburskiej.

MISCELANEA.

Blondini i Albinosi — w rzędzie ludzi moralnie, typowo ukształconych, uważani już byli dawniej, jako twory patologiczne, nienormalne, dotknięte chorobą skóry, polegającą na braku barwnika w skórze, a mianowicie w podskórnej warstwie, w uwłosieniu i w tęczówce oka. Mansfeld oznaczył tę „chorobę“ skóry i włosów, ogólnem mianem Leucopathia, rozróżniając zupełnie albinizm od niezupełniej leukopatji, która znów według niego, bywa albo ogólną (płowe włosy, jasne oczy, biała skóra), albo częściową tylko. Według badań dotychczasowych, zupełna i niezupełna leukopatja zdarza się pomiędzy ludźmi wszelkich ras, a albinizm nawet w krajach podzwrotnikowych i równikowych nierzadko bywa napotykany. Broca uważał albinizm za chorobę krwi, nabytą przez ludy osiedlone w bagnistych okolicach. Obecnie Poesche, znany etnolog podjął się kwestji w „Archiv f. Anthropologie“ a dowodzi na przykładach i faktach z historji, że białe rasy słabsze są od ciemniejszych. Na pociechę dla licznych blondynów zaznacza on jednak, że dzisiejsi ludzie o płowych włosach, nie są to typowi blondyni, lecz są już mieszańcami tej szczególnej rasy czy odmiany, z innemi ciemniejszemi — gdy prawdziwi blondyni dzisiaj są odmianą wymartą, jak się zdaje od dosyć dawna.

Treść.

Nasi liberalni.
Autor „Marzycieli“ Ostatni Szaraczek (c. d.)
Wiktor Gumoliński: Dwa głosy.
Brandes Jerzy: Gustaw Flaubert (c. d.)
Poświęcenie się pana Bajolcin (dokończenie.)
Cesarzowa autorką dramatyczną.
Kronika naukowa.
Przegląd artystyczny.
Przegląd literacki.
Przegląd muzyczny.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 19. We Lwowie dnia 12. Maja 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac „Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli“.

(Ciąg dalszy).

VII.

Nikt sobie nie wyobrazi, jakie przerażenie zapanowało między młodzieżą, gdy najbliżsi przyjaciele pana Hilarego oznajmili innym kolegom, że ideał studentów zginął bez wieści.

W smutnym tym dniu wszystkie klasy były puste i profesorowie naprożno uczniów wyglądali: studenci na znak żałoby poszli do Moszka na gęś i miód, aby pospołu zastanowić się nad zdarzeniem, którego nikt nie rozumiał.

— Co się z nim stać mogło? z różnych stron pytano.

— Bóg wie jeden! Może się utopił, a może do wojska wstąpił.

— Furda! — krzyknął któryś ze starszych — on za mądry i za uczciwy ażeby się topił bez powodu.

— On zanadto Niemców nie cierpi — dodał drugi — ażeby dobrowolnie wstępował do wojska.

— Ja wam coś powiem pod sekretem, wtrącił trzeci — robiąc minę arcytajemniczą i palec do ust przykładając, na znak, że już z góry chce sobie zapewnić dochowanie tajemnicy.

— Cóż takiego?

Zapytany przysuwał się kolejno do kolegów i każdemu coś szeptał do ucha. Jedni głośnym parsknęli śmiechem, drudzy zamyślili się głęboko.

— Bardzo być może — zauważył jeden z najmłodszych. — Rojzy nie widziałem od wczoraj rana.

— Więc i ty za nią chodzisz?

— Chodzę, nie chodzę, ale ponieważ mieszkam niedaleko domu jej rodziców, więc rzecz naturalna, że ją często muszę spotykać. Hilcio bywał tam bardzo często, dziewczyna śmiała się do niego, łatwo więc być może...

— Dajcie pokój tym głupstwom! — zauważył głos nowy — i nie ubliżajcie ani jemu ani jej. Rojza poszła przedwczoraj zamąż za zyzookiego Herszka z Jarosławia, a kochany nasz Hilcio wyniósł się przed długami.

— Aha! — zawołali wszyscy i na tem skończyła się rozmowa.

Kolega, który wziął Rojzę w obronę, powiedział prawdę najświętszą. Hilcio żył niedgyś bardzo skromnie, ale odkąd zostawszy filozofem, został równocześnie królem studentów, idąc torami szlachty polskiej, począł robić długi, w czem mu był pomocnym ten sam Icek rudowłosy który go umieścił na „stancyi“. Z początku lichwiarze pożyczali mu na procent wysoki, wszakże gdy pierwsze trzy miesiące minęły, a pan Hilary ani kapitału nie zwrócił, ani odsetków nie popłacił, runął od razu kredyt na kruchych nogach zbudowany i zaczęły się prześladowania ze strony żydów. Do ojca nie chciał pisać po pieniądze gdyż wiedział, z jakiem oburzeniem oszczędny staruszek przyjąłby taką wiadomość, a do swego przyjaciela hrabiego Leonarda wstydził się zgłaszać. W Hilciu tkwiła zawsze pewna duma, która do prośby nie pozwalała mu się zniżać.

W takiem położeniu, król studentów postanowił nareszcie ulotnić się z Przemyśla, co też uskutecznił.

Ale gdzie wyjechał pan Hilary?

Nad rozwiązaniem tej zagadki myśleli najwięcej właśnie ci żydzi, którzy mu pieniędzy pożyczali; po kilku zaś tygodniach, nie otrzymawszy żadnych wiadomości o zbiegu, postanowili wysłać kogoś umyślnie w okolicę, dla zasięgnięcia języka.

W owych czasach nie było jeszcze ani telegrafów, ani kolei żelaznych, to też uciekający przed długami, był pewny, że skoro pięć lub sześć mil ujedzie, wieść o nim na długie lata zaginie. Wiedząc o tem, lichwiarze zawołali Icka, a dawszy mu na drogę trzy srebrne cwancygiery, kazali szukać pana Hilarego.

Icek wyszedłszy za rogatkę, wyciągnął nos jak wyżeł.

VIII.

O kilka mil od Przemyśla, znajduje się miasteczko N., w którem pan mandatarjusz K., pełnił w owych czasach najwyższe obowiązki polityczne, sądowe i policyjne. Pan mandatarjusz był potężnym jak pasza, albowiem czternaście wiosek należało do jego „dominium“. W kancelarji pisało ośmiu aktuarjuszów, w czterech więzieniach siedziało trzydziestu obwinionych, a dwunastu „policajów“ stało z kijami przy tyluż ławkach, na których doraźnie wymierzano najwyższą sprawiedliwość.

W pierwszym pokoju, którego atmosfera była przepełniona dymem, buchającym z czterech długich cybuchów, siedziało czterech młodych ludzi. Jednym z nich był pan Hilary. Zbankrutowawszy w Przemyślu, biedny Hilcio oparł się aż w N. u pana mandatarjusza, który niesłychanie był uszczęśliwiony, że filozofa dostał do swojej kancelaryi.

Właśnie nasz przyjaciel wypalił szóstą fajkę i zreferował szósty *Bericht*, gdy pod oknem, przed którem siedział, coś nagle mignęło. Hilcio podnosi głowę, patrzy i własnym oczom nie wierzy, Na dworze koło furty, prowadzącej do ogrodu, przed domem, stoi Icek, powszechnie znany faktor z Przemyśla. Postrzegłszy, że pan Hilary głowę podniósł i w niego się wpatrzył, Icek mrugnął okiem, uśmiechnął się z zadowoleniem i skłonił uprzejmie, zdejmując czapkę do kolan. On już tak długo szukał zbiega, a znalazłszy go nareszcie w N. przeszło dwie godziny stał pod oknem prosząc Boga gorąco, by pan Hilary podniosł przecie głowę i raczył go zobaczyć.

Pan Hilary zobaczył go nareszcie, lecz na ukłon nie odpowiedział ukłonem. Najpierw zbladł potem zgrzytnął zębami, wreszcie usiadł przy stole i głowę wsparł na dłoni. Wiedząc, że żyd nie odważy się wejść do kancelarji, myślał długo jak wybrnąć z kłopotliwego położenia, a gdy nakoniec plan ułożył, zbliżył się do jednego ze swoich kolegów, pana Wawrzyńca, a wziąwszy go pod ramię, poszedł do drugiego pokoju gdzie długo z nim rozmawiał. Pan mandatarjusz był tego dnia na imieninach o trzy mile od N.

Po konferencji Hilary usiadł na dawnem miejscu, a pan Wawrzyniec kazał policjantowi, który stał przy drzwiach, sprowadzić natychmiast Icka do kancelarji.

Wielkie było przerażenie Icka, gdy wąsaty policjant wezwał go sucho a węzłowato, żeby niezwłocznie szedł za nim do kancelarji. Biedny żydek zawahał się i już chciał umknąć, ale policjant w czas go za kraik przytrzymał i przymusowo do biura odstawił.

Pan Wawrzyniec przybrawszy minę arcyurzędową, zaczął z Icka ciągnąć protokół, wypytując go o miejsce urodzenia, wiek, zajęcie i miejsce teraźniejszego pobytu. Icek chciał najpierw wmówić w pana Wawrzyńca, że pochodzi z N., ale w czas się przekonawszy, że pan Wawrzyniec zna w N. najmniejszego nawet żydka, uznał za rzecz niezbędną, przyznać się do istotnego swego nazwiska! Na kikakrotne zapytanie, po co przyszedł z Przemyśla, nie dał jednak żadnej odpowiedzi.

Podczas tej indagacji, która dosyć długo trwała, Icek zbliżał się ciągle do stolika, przy którym siedział pan Hilary, pragnąc znaleźć u niego pomoc i obronę. Hilcio siedział atoli nieporuszony, jak mumja i obojętnie spoglądał przez okno.

Skończywszy protokół, pan Wawrzyniec napisał coś na kartce, potem przywołał z sieni policjanta i oddając mu Icka rzekł:

— Ten żyd pójdzie do Przemyśla *ciupasem, als passloses Individium.*

Icek chciał protestować i opierać się; może byłby się nawet rzucił do nóg Hilaremu i prosił go o przebaczenie, ale nieubłagana sprawiedliwość, wezwawszy do pomocy rękę policjanta, wyrzuciła go do sieni, gdzie niezwłocznie rozpoczęła się smutna operacja.

Odsyłanie „ciupasem“ polegało na tem, że skazanemu na tę podróż przymusową, związywano ręce na plecach, do których przywiązywano sznur odpowiednio długi. Policjant lub wieśniak, odprowadzający szupaśnika, trzymał koniec tego sznura, aby w ten sposób zabezpieczyć się od możliwej ucieczki skazańca.

W owej epoce, każdy, kto bodaj o milę od swego miejsca pobytu znalazł się bez paszportu, mógł być w ten sposób odesłany do gminy, której był członkiem.

Biedny Icek wyruszył z głową zwieszoną, a gdy koło okna przechodził, spojrzał na pana Hilarego wzrokiem litości żebrzącym. Pan Hilary odpowiedział mu drwiącym uśmiechem. Ujrzawszy to Icek, zatrząsł się cały i straszliwie, chociaż cicho, zaklął po żydowsku.

Wypadek chciał, że gdy nazajutrz wieczorem Icek prowadzony przez chłopa, stanął u rogatki w Przemyślu, prawie ci wszyscy żydzi, którzy go wysłali, znajdowali się w tem miejscu na weselu u karczmarza Spostrzegłszy komiczną postać Icka, który nie mając rąk wolnych, nie mógł sobie ani pejsów, ani czapki, ani hałatu poprawić, mimo całego współczucia dla nieszczęśliwego posłańca, nie mogli wstrzymać się od śmiechu i niejeden zawołał pokazując nań palcem:

— *Kik, kik Icek wus ist dus?*

IX.

W miesiąc po zdarzeniu właśnie opowiedzianem, u Moszka za miastem, znajdowało się dwudziestu filozofów, którzy jak według zwyczaju gęś zajadali popijając ją miodem. Było właśnie o północy i niektórzy byli już na wychodnem, gdy do izby wbiegł jeden z kolegów i głosem urywanym zawołał:

— Wielkie nieszczęście!

— Cóż takiego? zapytali wszyscy zrywając się się z ławzk i stołków.

— Hilcia żydzi zabili!... Zamordowali!

— Hilcia?

A tak Hilcia,.. Lecz da Bóg jutra doczekać, musimy go pomścić!

Przerażeni studenci otoczyli kołem przybysza, a ten jak umiał, opowiedział smutną przygodę pana Hilarego.

Hilcio odesławszy Icka szupasem do. Przemyśla, pisał dalej *Berichty*, ku wielkiemu zadowoleniu pana mandatarjusza, który w nim już widział przyszłego męża najstarszej swojej córki, i kto wie czy w krótkim czasie nie byłby sam został mandatarjuszem, gdyby nie arcysmutny wypadek, który na dość długo oderwał go od studjowania kodeksów i *Verordnungów*.

Kilka dni temu pan Hilary wyjechał z N. do P... Miejscowość ta leży o półtorej mili od Przemyśla, a karczmę i rogatkę utrzymywał tamże ojciec tego samego Icka, który zrobił tak niefortunną wycieczkę po złote runo. Ślepy przypadek zrządził, że gdy Hilcio stanął przed karczmą, aby myto opłacić, Icek który tego dnia przyszedł ojca odwidzić, zobaczył go przez okno. Była właśnie niedziela i przed karczmą stało kilkudziesięciu wieśniaków. Icek przypomniawszy sobie krzywdę doznaną, w mgnieniu oka uknuł plan szatański. Podbiegł do najbliżej stojących dwóch urlopników i coś z nimi pogadał. Urlopnicy zachęceni przyrzeczoną nagrodą, skoczyli czemprędzej do wózka pana Hilarego i bez powodu wszczęli sprzeczkę z jego woźnicą. Podczas gdy to się działo na drodze, Icek agitował między pozostałymi wieśniakami. Hilcio prosił z początku chłopów, by się ustąpili i dali pokój jego woźnicy, lecz gdy to nie pomogło, wyciągnął z wózka cybuch, z którym nigdy się nie rozłączał, i najbliżej stojącego poczęstował dobrze po grzbiecie. Uderzony krzyknął wprawdzie z bolu i o

kilka kroków w tył odskoczył, lecz inni widząc to, rzucili się na wózek, a ściągnąwszy zeń pana aktuarjusza, niemiłosiernie go poturbowali. Najwaleczniejszym w tym ataku okazał się Icek. Kto wie na czem by się było skończyło, gdyby los szczęśliwy nie był sprowadził miejscowego proboszcza, który uśmierzywszy zapał chłopów i żydów, zabrał Hilcia na swoją bryczkę i odwiózł go do domu. W godzinę po tym wypadku, posłaniec był już w Przemyślu po lekarza. Od niego to dowiedział się opowiadający o tem zdarzeniu niemiłem.

— Więc Hilcio nie zabity! — krzyknęli wszyscy radośnie, gdy opowiadający mówić przestał.

— Prawda, że nie zabity, chociaż dla nas wszystko jedno, bo gdyby nie ksiądz byliby go pewnie zabili.

— Ma rację! — zawołano zewsząd chórem — trzeba łotrów przykładnie ukarać! Niech wiedzą, co studenci znaczą.

— Ukarać! Z dymem ich puścić!

— Dobrze dobrze — przemówił jeden ze starszych.

Coś trzeba koniecznie zrobić, ale ponieważ ani czas ani miejsce potemu, więc jutro o ośmej wieczorem zbierzemy się na „Wygodzie“. Tam zapadnie postanowienie. Tymczasem chodźmy spać a jutro zejdziemy się wszyscy!

— Wszyscy! Śmierć żydom!

Nazajutrz o godzinie umówionej do koła „Wygody“ roiło się jak w mrowisku, albowiem prócz filozofów i uczniów wyższych klas gimnazjalnych, pojawili się także studenciki ledwie dziesięcio i dwunastoletni, aby wspólnemi siłami przeprowadzić wielkie dzieło zemsty.

Zapał między zgromadzonymi był niezmierny.

Prócz wielkiej izby szynkownej „Wygoda“ miała jeszcze mały pokoik gościnny, stale przez studentów wynajmowany, który służył za salę konferencyjną i arsenał. Ilekroć miała zapaść ważniejsza uchwała, w pokoiku owym radzili najstarsi filozofowie i dopiero potem zawiadamiali o wyniku zgromadzonych w izbie szynkownej. W owym pokoju leżały także olbrzymie laski i palestry, będące jedyną bronią walecznej młodzi przemyślskiej. Dawniej klucz od tego sanctuarium nosił pan Hilary; teraz przechował go w swojej kieszeni pan Dyonizy.

Z powodu ciemności na dworze panujących, był to bowiem koniec listopada, nikt z jadących gościńcem nie byłby się domyślił, że „Wygoda“ mieściła w sobie tego wieczora kilkuset studentów, którzy zachowali się jak najspokojniej, by niczyjej nie zwrócić uwagi.

Konferencja starszyzny, trwała całą godzinę i następujące zapadły na niej uchwały:

1) Z pomiędzy studentów wybiera się stu najsilniejszych i najsłuszniejszych.

2) Trzej najroztropniejsi wyjdą naprzód na zwiady, by żydów przytrzymać aż do nadejścia całej armji, łatwo bowiem mogło by się zdarzyć, że żydzi wietrząc pismo nosem, wynieśliby się wcześnie z karczmy.

3) Aby pan *Kreishauptmann* nie mógł w niczem przeszkodzić, należy, bądź co bądź, sprowadzić jego syna, Maurycego, i zmusić go do wzięcia udziału w wyprawie.

Po jednomyślnem przyjęciu tej uchwały, która przez resztę kolegów, biorących udział w konferencji, miała być zachowaną w największej tajemnicy, pan Dyonizy wszedł do izby szynkownej i oświadczył, że wybrani powinni nazajutrz o godzinie szóstej rano zgromadzić się pod „Wygodą“, inni zaś zostaną w mieście i pójdą do szkoły.

Po wybraniu stu najdzielniejszych, reszta ze spuszczonemi nosami, a malce nawet z płaczem, poszli do domu, żeby na zajutrz zamiast maszerować na żydów, pocić się nad łaciną i niemieczczyzną.

(c. d. n.)

TROSKA POETY.

Muzo kapłanko wieszczych zapałów,
Mnie jednostajność twoja obrzydła!
I twoje tkane z eteru skrzydła
I twarze stare twych ideałów,
I jednobarwna pieśń twa jałowa,
I te odwieczne twoje ozdoby —
I zapleśniałych słowników mowa
W znanym gatunku dla każdej doby.
Nudzą mię perły twej etykiety:
Te wschodzącego słońca „purpury“,
Te szafirowych niebios „lazury“
I te „anioły ziemi“ — kobiety,
I te „niebieskie raju“ dziewice,
I „rozmarzone“ i „na wpół senne“
I te „świetlane“ i te “promienne“
I modrookie“ i „bladolice...“
I twarz „kochanka ziemi“ mięsiąca,
I te „brylantów nieba“ myrjady,
I kryształowe wrzące kaskady“
I ten twój „zefir, co listki trąca“
I epitetów nudnych obfitość,
I ta „urocza piosnka słowika,
Co to do głębi duszy przenika“
Och! jak przenika nie mów przez litość!
Już mi obrzydły kłamstwa o róży
I „wylęknionej gazelki zwinność“
I wymyślona „lilij niewinność“ —
Wszystko to dręczy mię dziś i morzy.
Czyliż nie znajdę na całym świecie
Ja dźwięków nowych dla mojej pieśni?
Czyliż widnokrąg mój się zacieśni
W róży, w słowiku, w gwiazdce — w kobiecie?
Czyż wszystko pewną pójdzie koleją?
Czyż w tej bezdusznej świata przestrzeni
Wiecznie jednako płaczą, szaleją,
Czyż nic nie zginie, nic się nie zmieni?
Pytając, oczy wzniosłem do góry.
Nowych dla duszy szukałem wrażeń.
Nowych dla pieśni słów i wydarzeń...
I cóżem ujrzał? Chłodne „lazury“
Chmurek „kryształy“, obłoków „wieńce“
„Okrąg miesiąca“ w obłokach blady
„I brylantowych iskier myrjady“
I „zapłonionych zorzy rumieńce“...
Dość! Nie myślałem już czekać końca:
Konwencjonalnej wiatru przechadzki,
Ni klasycznego wstawania słońca,
Ni osławionej walki jednakiej,
Jego promieni zcieniami nocy,
Ni obudzonych ze snu skowronków,
Ni sielankowych pasterskich dzwonków,
Czekać nie chciałem — nie miałem mocy.

Mar. Boh.

Pierre Vaneau
i
POMNIK SOBIESKIEGO.

W kronice paryskiej Przegl. Pols. czytamy co następuje:

Zbliżający się obchód dwóchsetletniej pamiątki bohaterskiego czynu Jana III, odbił się silnie we Francji, silniej niezawodnie, aniżeli w chwili samego wypadku, którym się cieszyć zakazywał despotyczny Ludwik XIV; powód zaś podał do tego zbieg okoliczności zewnętrznych, który sprawił, że i francuska sława ma tu także pole do popisu. Rzecz jest taka: Jeszcze w 1880 r. p. Marius Vachon, jeden z najlepszych francuskich artystycznych krytyków odbywał z przyjacielem, swym malarzem, wycieczkę po prowincjach *Turaine* i *Velay*. Naturalnie głównie zwiedzali kościoły, gdyż w zacofanym partykularzu, one są jedynemi muzeami sztuki. W *Bonnet-le Chateau* w *la Chaise Dieu* i *Puy* uderzyły ich rzeźbione posągi świętych, bądź jako figury oddzielne, bądź jako grupy w bogatych płaskorzeźbach. Jedno dłuto wybitne powtarzało się w nich ciągle, a nie umiano dać im żadnych wskazówek, jakiego mistrza utworamiby one były. Po długich poszukiwaniach udało im się wykryć, że autorem tych cennych dzieł sztuki jest niejaki Pierre Vaneau, flamandczyk, którego najznakomitszem dziełem ma być nagrobek dla Jana Sobieskiego. Dotarłszy do tego szczegółu, poszukiwacze nasi zaczęli przetrząsać bibljoteki i archiwa i wykryli kilka ważnych

szczegółów, odnoszących się tak do samego artysty jak i do jego najważnieszych utworów.

Owocem tych długich poszukiwań, jest w sposób zbytkowny u *Charvay-frères* wydana książka p. t.: *La vie et l'oeuvre de Pierre Vaneau, sculpteur français du XVII siècle et le monument de Sobieski par Marius Vachon.* Z tej książki wyjmujemy szczegóły, które dla nas znaczenie mieć mogą.

Piotr Vaneau nie był wcale Flamandem ale Francuzem, gdyż urodził się w Montpellier 1653 r. Syn cieśli, oddał się rzeźbiarstwu i prawdopodobnie długi czas bawił w Rzymie. Po powrocie do kraju, zyskał opiekę margrabiego Armanda de Béthune, biskupa w *Puy* i na jego żądanie dokonywał roboty dla kilku kościołów. Fakt olbrzymiego historycznego znaczenia odsiecz Wiednia, wprowadził go na pole historyczne i pod wpływem wrażenia, jakie bohaterski ten czyn na ówczesny świat wywierał, Vaneau wykonał posąg dla Sobieskiego, mający przedstawiać gloryfikacją obrony Wiednia. P. Vachon utrzymuje że artysta dla wykonania tego przedsięwzięcia, bawił nawet dwa lata w Polsce i, że pomnik tam postawił, a tylko prawdopodobnie Moskale później zniszczyć go musieli, jak również, że pomnik ten obstalował dwór polski. Czy Vaneau był rzeczywiście w Polsce, o to spierać się trudno, gdyż piśmienne podania, jakie p. Vachon przytacza, nie rozstrzygają tego w sposób stanowczy; co do tego zaś, że pomnik ten był przez dwór polski zamówiony, pozwalamy sobie wątpić, gdyż Jan III o uwiecznianie sławy swojej, nie dbał wiele, a otaczający go o tem także nie myśleli. Również, żeby pomnik miał być wykonany przypuszczać niepodobna, zostałoby o tem bowiem jakiekolwiek wspomienie, jak również milczeniemby nie pokryto, gdyby on miał być przez kogokolwiek zniszczony. Że nie był to także monument nagrobny świadczy o tem okoliczność, że artysta śmiercią swą wyprzedził króla bohatera, umarł bowiem 1694 roku. Przypuszczać więc ze wszechmiar należy, że dzieło Vaneau nie powstało wskutek jakiegoś zamówienia, ale wskutek dobrowolnej chęci artysty, natchnionego faktem wielkiego historycznego znaczenia. Przejdźmy jednak do samego pomnika.

Ponieważ pięć figur głównych, mających go zdobić, oraz wszystkie bareliefy, wykonane w drzewie, dokładnie się przechowały, na podstawie więc ich można sobie wyrobić dokładne pojęcie o całości. Podług tych dobrze zachowanych szczegółów, rekonstruował cały pomnik p. Edward Corroyer, a ponieważ rekonstrukcja jego wszystkie cechy prawdopobieństwa nosi, podług tego więc podajemy krótki opis pomnika

Cokół pomnika prostokątny miał być ozdobiony czterema płaskorzeźbami, z których dwie większe, każda na 2 metry i 45 cent. długości, a metr i 5 cent. wysokości przedstawiały: jedna porażkę Turków pod Wiedniem, druga wejście tryumfalne do miasta. Dwie zaś mniejsze, poboczne (1, 40×1, 05), jedna uwieńczenie Sobieskiego przez Pokój i Zgodę; druga portret bohatera w medalionie. Ponad cokołem wznosił się piedestał, ozdobiony czterema płaskorzeźbami i tyluż fryzami, przedstawiającymi symbolicznie zwycięstwo Orła polskiego i Krzyża nad islamem i półksiężycem. Po czterech rogach piedestału znajdują się cztery postacie, mające przedstawiać ludy nad którymi odniósł zwycięstwo Sobieski, mianowicie ma to być: Turczyn, Węgier Tatar i Moskal. Na wierzchu posągu postać Sobieskiego w zdwojonej naturalnej wielkości, przybrana w pancerz i bojowy strój starożytnych. Cztery płaskorzeźby większe, są dzisiaj własnością spadkobierców hr. Ksawerego Branickiego i znajdują się w zamku *Montrésor* (dep. Indre et Loire), jakim zaś sposobem tam się dostały, autor nie umie objaśnić. Płaskorzeźby mniejsze, oraz fryzy są własnością hr. de Chaumenil-Lacoste w zamku *Pradelles* (dep. wyżej Loary), a pięć figur są w posiadaniu p. Pruns i znajdują się w zamku *Brassac*.

Jeśli artysta nie był sam w Polsce, to przynajmniej musiał mieć wyborne materjały do utworzenia swojego arcydzieła. Świadczy o tem raz, po kilkakroć powtarzająca się postać Sobieskiego, która jest wszędzie portretowana, a po wtóre wykonanie *bas-reliefów*, gdzie historyczna ścisłość i współczesność zachowane są z całą wiernością. Wspominamy tylko płaskorzeźby większe. Batalia pod Wiedniem przedstawiona jest w całej swej żywości i ruchu. Na pierwszym planie wyraźny bohater Polski, na czele wojsk chrześcjańskich, obok niego syn jego Jakób, książęta niemieccy i z tyłu, jako tło, roty pancernych i husarzów. Naokoło wiersz łaciński:

Castra licet triplici prostent circumdata Vallo
Hac via magnanimo ferro patet invia regi.

Druga płaskorzeźba, wejście do Wiednia, przedstawia Sobieskiego na koniu w koronie, obok niego królewicz Jakób ks. Lotaryński, ks. Waldeck, Jerzy Saski i inni. Żołnierze na dzidach niosą głowy tureckie, a ludność miasta rzuca się do nóg zwycięzcy. Wokoło napis łaciński:

Toto solus in orbe est
Qui velit, ac possit victis præstare salutem.

Co do płaskorzeźb bocznych, ważną jest rzeczą, że na jednej, przedstawiającej uwieńczenie Sobieskiego, jest on w stroju polskim, doskonale oddanym, na drugiej medalion, będący co się zowie wykończonym jego portretem. Podnim czyta się napis:

Divisque videbis
Permixtos heroas, et ipse videbitur illis.

Ponadtem Czas trzyma inny medalion, przedstawiający portret ks. Lotaryńskiego, pod którym jest napis:

Vires nec tempora virtus sustinent.

P. Vachon, krytyk poważny, któremu ze wszelkich względów wiarę dać można, utrzymuje, że ten pomnik Sobieskiego należy do najznakomitszych utworów sztuki francuskiej, a więc i ogólnej. My oryginałów wszystkich znamy, a dokładnie tylko zastanawialiśmy się nad starannemi ich ze produkcjami i uwagami naszemi nie wahamy się podzielić z łaskawemi czytetnikami. Przepyszną jest postać Sobieskiego, tem cenniejszą, że artysta utrzymawszy się przy historycznej ścisłości, nie wpadł w pospolitość, odtwarzając wiernie tuszę Sobieskiego, która współczesnym nie raz za przedmiot szyderstwa służyła. Jego Sobieski z zachowaniem zupełnego podobieństwa rysów jest figurą herkulesową, godzącą się znakomicie z pojęciem owego *fulmen Orientis*, który chcąc przewagę nad barbarzyńskim światem utrzymać, musiał odznaczyć się także potęgą fizycznej swej natury. Nadto postać bohatera, w rzymskie przybrana szaty, a umieszczona na dość wyniosłej wysokości, nastręczać musiała pewne niekorzystne na pierwszy rzut oka wrażenie. Artysta umiejętnie uniknął tego, zarzucając mu na ramiona płaszcz gronostajowy. Podobnież znakomitemi są w swoim rodzaju cztery nagie postacie, mające przedstawiać zwyciężonych. Jedna z nich tylko naśladująca zbyt wyraźnie Laokoona, powtórzeniem niemile razi, ale zato trzy pozostałe znamionują siłę, jaką tylko u Michała Anioła widzieć przywykliśmy.

Jeśli jednak pojedyncze figury potęgą swoją zaraz na pierwszy rzut oka uderzają, nie powiedzielibyśmy tego samego o płaskorzeźbach. Prawda, że gwar wojny, ruch życie, schwycone tu przepysznie, ale jeśli kompozycja wielkiemi zaletami celuje, to szwankuje dosyć jej wykonanie W rakursach (nie wiem czy polski język posiada właściwy termin na wyrażenie francuskiego technicznego *racourcis*) znać wielkie błędy rysunku i mimowoli przypuszczać można, że prawdopodobnie podług szkiców mistrza, części te jego pracy wykończali uczniowie lub pomocnicy. Jakkolwiekbądź dzieło Vane-

au jest znakomite i, jeśli nie będzie nas stać na odlanie jego w bronzie i postawienie na ziemi polskiej, to przynajmniej powinniśmy się zdobyć na gipsowe odlewy, które do muzeów francuskich już są zamówione.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy)

Jeszcze nie za późno — myślała — i można rzecz stłumić w zarodku. W duchu też dziękowała Opatrzności, z pomocą której w samą porę zdołała spostrzedz niebezpieczeństwo. Bo, że je ominie, nie wątpiła ani chwili — nadto ufną była w skuteczność swojej akcji, wspartej doświadczeniem i rutyną. Przedewszystkiem postanowiła oczywiście podwoić odtąd czujność, i niejako obronnym wałem środków i środeczków otoczyć serce i główkę Małgosi przed zdradzieckim wtargnięciem tego niegodziwego niesumiennego bałamuta.

Zdrajca, bałamut niesumienny, to jeszcze najłagodniejsze były zarzuty, które mu w myśli ciskała na głowę nic nie domyślającego się Jędrusia. W ecy bowiem ani wyrazem twarzy niewydała nigdy, co się tam działo na dnie jej rozgoryczonego serca, przeciwnie była dlań słodką, uprzedzającą i czułą, jak za najlepszych czasów pobytu w Zrębach...

Za to Małgosia kobiecą przenikliwością, a może i przeczuciem zakochanego więc na wszystko wrażliwego serca, rychło zauważała, że względy, jakiemi się Jędruś cieszył dotychczas w oczach panny Karoliny, nieznacznie ustępowały miejsca niechęci; wyraźnej antypatji. W rozmowach poufnych od czasu do czasu wyrywało się teraz z ust nauczycielki także ostre słowo krytyki przeciw przedtem zwykle zachwalanemu i widocznie protegowanemu mentorowi Jasia, tyle plam wynajdowała co chwila na tem słońcu, że najobojętniejszemu nawet zdało by się to rażącem i musiałoby wywołać zdziwienie i zastanowienie.

Raz przyszło nawet do małego między niemi starcia, które w następstwie tylko bardziej utwierdziło pannę Karolinę w podejrzeniach, zniewoliło do tem pilniejszej baczności. Przyczyną nieporozumienia był wybór książ-k. Jędruś miał obowiązek dostarczyć im dzieł do czytania, które częścią zakupywał w księgarni na własność Wilskich, częścią wypożyczał w czytelni. Otoż był tego zdania, ku zadowoleniu Małgosi a które panna Karolina zrazu również podzielała, że młoda osoba powinna przedewszystkiem poznać dokładnie arcydzieła własnej literatury.

W dalszym dopiero ciągu dość czasu będzie przeczytać utwory cudzoziemskich mistrzów słowa. Stosownie do tego planu dzieła Mickiewicza, Krasickiego, Słowackiego, Syrokomli, Ujejskiego, E. lyego, z prozy Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Kaczkowskiego, stanowiły zawsze jeszcze przedmiot wspólnej lektury. Nic dziwnego, że gorący i namiętny Słowacki najbardziej ulubionym był autorem Małgosi. panna Karolina także się nim czas dłuższy zachwycała — dopiero w ostatnich czasach zmieniła zapytrywanie swe, a niewiadomo czy dla opozycji, że i Jędruś zapałał się najbardziej ku namiętnej poezji ubóstwianego przez młodzież Juljusza, czy z obawy, aby pełne marzeń rozkosznych i miłosnego kolorytu dźwięki jego rymów, nie podsycały domniemalnych uczuć i wyobraźni dziewczęcia.

Z tej czy z owej przyczyny, dość że razu pewnego odebrała Małgosi z rąk tom Słowackiego.

Dziewczę wypatrzyło się na nią dużemi oczyma ze zdziwieniem.

— Wolałabyś czytać jaką powieść Wilkońskiej, lub Orzeszkowej, aniżeli te niedorzeczne chorobliwe plątaniny rymowane na pół zwarjowanego człowieka... A jeżeli już chcesz konieczne wierszy, to czytaj Musset'a, Lamartine'a, przynajmniej skorzystasz w francuskim języku.

— Słowacki niedorzeczny, warjat... ależ panno Karolino, czyż to się godzi w ten sposób wyrażać o tak wielkim geniuszu naszym! Zresztą, przecie zawsze sama pani nie miała dość słów uwielbienia dla jego cudownych poezji, a i pan Jędrzej...

— Co mi tam pan Jędrzej... niech pilnuje Jasia.. za co chleb je... aczkolwiek i jemu zdałby się jeszcze guwerner któryby nie jeden nonsens wybił z głowy zarozumiałego młokosa...

Małgosia spłonęła silnie, serce jej biło gwałtownie, usteczka drobne drzeć zaczęły. Dławiło ją w gardle, potrzebowała spłakać, lecz całą siłą utrzymywała się, bo panna Karolina badawczym, a zawiściąziejącem okiem patrzyła na nią. Po chwili wewnętrznej walki, dziewczę zebrało się na odpowiedź dość nawet rezolutną.

— Nie bronię pana Jędrzeja, bo nie zdołałabym skutecznie, zresztą on tego nie potrzebuje, dziwi mię jednak, za co utracił tak prędko wszystką łaskę panny Karoliny... W Zrębach, a i dłuższy czas tutaj jeszcze, było wcale inaczej...

— Proszę.,. proszę, co ja słyszę, jak to się ząbki przetarły pannie... Radzę jednak niezapominać, ile mi jest winną, i że dotychczas rodzice i opiekun nie zwolnili mnie z obowiązków nauczycielki panny Małgorzaty... — zawołała z gniewem, i wybiegła z pokoju zatrzasnąwszy gwałtownie drzwi za sobą.

Teraz dopiero Małgosia zaniosła się rzewnym, serdecznym płaczem, tak bowiem przykrych słów nie słyszała jeszcze nigdy, przytem ogromnie zabolał ją zarzut szyderczy, zrobiony temu, który był już wyłącznym władcą jej serduszka i wyobraźni.

Panna Karolina wnet się opamiętała, że gniew porwał ją zbytecznie, a tego rodzaju konflikt mógł jeno spotęgować uczucia dziewczęcia. Więc po dobrym kwandransie wróciła, uspokojoną już Małgosię wycałowała, przepraszając niejako za to, że się chwilowo uniosła była i zwalając winę tego wyłącznie, na karb rozdrażnienia, spowodowanego migreną, która ją napada i często trapi w tym nieznośnym Lwowie.

(C. d. n.)

Głodny.

szkic

M. Albowa.

Newski Prospekt roił się od ludzi. Było to właśnie o tej porze dnia, gdy *fine-fleure* Petersburga, odbywa przedobiednią przechadzkę dla emocji. Tłum ludzi strojnych posuwał się po stronie ulicy, wystawianej na promienie słońca, na całej jej długości od rogu ulicy Litiejnej i Newskiego Prospektu do mostu Policyjnego, w postaci dwóch równoległych, naprzeciw siebie dążących kolumn; stąpając spokojnie, płynnie, powoli.,. Nie ujrzysz w tym tłumie zafrasowanych lub pracujących. Chyba gdzieś tam, skromnie i przekonywująco razem, migną mosiężne okucia safjanowej teki wpółukrytej pod lamowaniem futra jakiejś ważnej biórowej osoby, nie niższej rangi niż radcy nadwornego, lub wyżej, aż do rzeczywistego radcy stanu. Gdyby nie ta teka, kto by pomyślał, że taż sama osoba, należąca widocznie do rzędu lekkomyślnych starców, sądząc z jego figlarnego uśmiechu z jakim słuchał paplaniny idącego z nim pod rękę młodziutkiego jeszcze, bezwąsego oficera od ulanów, wpijającego się lubieżnie wzrokiem w każdą niebrzydką kobiecą twarzyczkę, — ktoby powtarzam pomyślał, że niesie może ona w tej chwili w swej głowie cały stos

projektów administracyjnych?... O tej porze Newski prospekt wygląda wesoło, świątecznie i swobodnie. O tej porze możesz iść tuż obok osób, których w innem miejscu i o innej porze nigdy nie spotkasz. Oto znany całemu Petersburgowi dwunastowerszkowy śpiewak, stąpający jak posąg komandora w dramacie Puszkina. Tam, znany też całemu światu literackiemu, chromający nieco gastronom, idzie pod rękę z niosącym przed sobą własny brzuch, niemniej znanym autorem krwawych dramatów historycznych, z wątłymi kosmykami opadającymi na kołnierz futra ogromnych włosów, w cylindze i pince-nez na zagiętym na podobieństwo papuziego dzióba, nosie... Tam, zupełnie już znakomity, rumiany i otyły z powierzchownością *commis - voyager'a*, autor tysiąca korespondencyj, nowel, monografij z bytu kaukazkiego, skandynawskiego, eskimoskiego, aleuckiego, brazylijskiego, polinezyjskiego, hotentockiego, i innych... Tam znów ciekawa gromadka figur o pomarszczonych kobiecych twarzach, w niebieskich spódnicach i kaftanach, z długimi warkoczami i wachlarzami w ręku — to chińczycy z poselstwa. Tam ... ależ niepodobna zliczyć tych wszystkich znakomitości! Wszystko to zarysowuje się na chwilę i znów niknie w pstrym kalejdoskopie inteligentnych twarzy, wykwintnych fryzur, eleganckich bakenbardów, szlifów oficerskich, wykrzykników, „a, dzień dobry, dokąd idziesz?“, czernionych brwi i kobiecych uśmiechów... Miejscami słychać mowę francuską, brzęczy pałasz oficera gwardji, krzyżują się spojrzenia i jaśnieją powitalne uśmiechy dwóch rozdzielonych przez tłum znajomych, przyczem szlak na czapce wojennej kiwa się, a błyszczący cylinder zatacza płynny ruch w powietrzu... Wszystko przyzwoicie, wstrzemięźliwie, jak przystoi. Wszystko tchnie harmonją, jednoczącą cały ten tysiączny tłum przyzwoitych ludzi w poczuciu własnej godności, będącej rezultatem zabezpieczonego bytu, zdrowego żołądka i pięknej pogody. I jeżeli w tym tłumie znajdzie się ktoś taki, który żywi się byle czem, i na to jeszcze nie zawsze liczyć może, — to kryje się wstydliwie, czując sam, że jest dysonansem..

Jeden taki człowiok był tam właśnie.,. O, **t e n** musiał koniecznie czuć, że jest dysonansem!

Szedł on od strony gmachu admiralicji posuwając się zwolna obok murów, których uparcie się trzymał, nie zwracając uwagi na okna magazynów, zatrzymując się chwilami i chroniąc pod daszek ganku, gdzie płynąca fala ludzi stawała się mniej gęstą. Postawszy trochę, ruszał dalej, tym samym wolnym krokiem, wlokąc się noga za nogą. Przy zbiegu ulic przyspieszał kroku, starając się zmięszać z tłumem, obchodząc i śledząc ostrożnie każdy ruch dojrzanego zdala policjanta... Rzeczywiście, na tle wykwintnej masy spacerujących, musiał się on wydawać nieprzyzwoitą plamą. Za sam ubiór możnaby go było zaprowadzić do cyrkułu. Na grzbiecie widać było coś takiego, co przypominało do pewnego stopnia marynarkę, która była zapewne w swoim czasie bronzową, ale teraz przedstawiała się jako same tylko łachmany. Nie w lepszym stanie znajdowały się też i pantalony, z lekkiego jasnoszarego kortu, które niegdyś należały może do jakiego eleganta; na prawem kolanie, silnie rzucała się w oczy zupełnie jasna, niebieska łata. Na nogach buty, z wyglądającemi palcami, rozlaziły się do ostatnich granic możliwości, a czapka na głowie stała się podobną do maślanego blina. Słowem trudno byłoby wymyśleć starzyznę bardziej lichą i obrzydliwszą od tej, która mu służyła za ubiór.

Fizjonomja tego obdartusa należała do tego nieokreślonego typu, który mógł dostarczyć szerokiego pola do przypuszczeń tyczących, się jego położenia socjalnego, począwszy od byłego lokaja, do dymisjonowanego urzędnika. Lat miał od 30 do 40. Zielonawo bladą i opiłą twarz pokrywał rzadki zarost, w postaci wąsików i brody koloru cielistego. Maleńkie oczy, wydawały się jeszcze mniejszemi z powodu szeroko wystających kości twarzy i chowały się głęboko w orbitach, patrząc z niespokojnym i drapieżnym wyrazem głodnego. Koniec nosa posiniał mu od chłodu. Często ruszał ramionami i dmuchał w swoje ogromne, czerwone ręce, wystające daleko z króciutkich rękawów ubrania, skąd widać było kraj brudnej różowej perkalowej koszuli, lub też często, chwytając się za piersi ze spadającemi na nią końcami starej włóczkowej chustki, okręconej około szyi, poczynał dusić się od głuchego, jak z beczki, zaziębionego kaszlu.

Wczoraj jeszcze miał palto, prawda, że nie lepsze od reszty ubrania, lecz zawsze mogło się utrzymać na plecach, a główna rzecz, że grzało. Wczoraj podczas nabożeństwa porannego, w przysionku cerkwi Zbawiciela na ulicy Siennej, zebrał około dziesięciu kopiejek jałmużny (stanął zdala od stowarzyszenia żebraków, które to miejsce sobie kupiło, i dla tego go nie wypędzano), a do południa drugie tyle zebrał od przechodniów. Pożywił się objadem, złożonym z chleba i wątróbki, za trzy kopiejki, z miski, i wstąpił do brudnego szynku na kanale obwodowym. Pozostałe pieniądze przepił w jednej chwili — i podchmielił się. Uderzyło mu do głowy i śmiertelnie mu się zachciało jeszcze się napić; na ulicy był mróz, a ciepłe powietrze szynku przyjemnie ogrzewało zziębnięte ciało i po wszystkich członkach rozlewało omdlenie... Palto zostało zdjęte i powędrowało za bufet, a zamiast niego na stole znalazło się nowe naczynie z ożywczym napojem. Pił więc i grzał się, grzał się i pił.., Następnie wszystko zmięszało się we mgle i nic już więcej nie pamiętał.

Pamiętał tylko, jak gdyby przez sen, jak tęgie ręce służącego bufetowego ujęły go pod pachę, podniosły ze stołka i prowadziły, a on chwiał się i powłóczył nogami, potknął się i o mało nie rozbił sobie twarzy o schodki, potem nagle uderzył go strumień mroźnego powietrza, też same mocne ręce z siłą wypchnęły go i zatrzasnęły drzwi, a on jak kłębek potoczył się w mrok i pustkowie ulicy. Nie miał już wtedy paltota i czuł ołów w głowie i nogach. Zapadł wieczór. On trzeźwiał powoli, a przytem i zimno poczęło go silniej przejmować. W kieszeni znów nie miał ani kopiejki. Smiertelnie chciało mu się spać a zęby szczekały jak bęben wojskowy. Przycisnąwszy się do parkanu stał z godzinę, jeśli nie więcej, od czasu do czasu tylko zmieniając miejsce, i przez cały ten czas nic mu się nie dostało. Ulica była zupełnie pusta, przechodniów mało, a ci, którzy go mijali, szli pospiesznie, pędzeni przez zimno. Raz tylko zatrzymała się przed nim gruba i krótka figurka człowieka, w jonatkowym futrze, sądząc po chodzie wolnym i niepewnym zapewne podpiłego.

— Na nocleg, w imię Chrystusa...

Futro zatrzymało się i wpatrzyło się w niego, rozszerzając obok siebie delikatny bukiet alkoholu.

— Na nocleg? Ejże, kłamiesz! Ejże przepijesz!

Pomimo to jednak futro sięgnęło do kieszeni i, chwiejąc się, zaczęło wydobywać jakąś drobnostkę.

— Możeś ty szubrawiec jaki, albo co ... No, ale djabeł z tobą, dobrze. M-masz! Weź! wypij... bo my teraz sami wszyscy... tacy...

Lecz on już nie słuchał. W ręku jego znajdowała się cała dziesiątka, otwierająca mu wrota do szczęścia.

Noc tę przepędził w znajomym sobie przytułku nocnym, dosyć liberalnym pod względem paszportów, co było dla niego szczególniej ważne; w nim umieścił się ostatniemi dniami i ztąd go tam znano.

Dzisiaj nie miał jeszcze nic w ustach; a w żołądku, jak powiadają, przewracała się dziewiąta fala... Eh! zdałoby się palto! Czuł on, jak wilgotna odwilż ogarniała mu plecy i piersi ostrym i jednocześnie jakimś lgnącym chłodem, a wilgoć z chodnika, znalazłszy drogę przez szpary kamaszów, coraz bardziej nasycała szmaty, któremi miał obwiązane nogi.

A słońce świeciło jasno..,

Cmiło mu się w oczach od tłumu, który go mijał. Pożądliwy, a jednocześnie roztar

gniony wzrok jego ślizgał się po tych wszystkich twarzach obojętnych, nie zwracających na niego uwagi. Od czasu do czasu na chybił-trafił, rzucał do kogoś półgłosem, stały swój frazes! „Na chleb, w imię Chrystusa“, Lecz nikł on w chórze odgłosów ulicy.

Doszedł do rogu Newskiego Prospektu i ulicy Michajłowskiej. Na samym rogu, wyszedłszy tylko-co z najbliższego ganku, zatrzymał się jakiś pan naprzeciwko dorożkarza, z widocznym zamiarem najęcia go. Twarz pełna, rumiana i apatyczny wyraz wielkich szarych, oczu... To zapewne, bardzo dobry człowiek!

— Na chleb, w imię Chrystusa...

Pan ów rzucił łaskawym wzrokiem na łachmany proszącego i pulchną ręką z pierścieniami na palcach, slągnał do kieszeni od kamizelki.

Głodny poczuł, że mu w oczach pociemniało. Da napewno! I pewnie nie miedź..

Tamten siągnął ręką do drugiej kiesze ni od kamizelki.

A może da całe dwadzieścia kopiejek, myślał głodny, a serce mu zamierało.

Lecz pan ów w tejże chwili zapiął palto kiwnął głową.

— Nie mam drobnych, kochanku... Dorożka! Do „Małego Jarosławca!“

Siadł i pojechał.

Głodny odprowadził go wzrokiem, jak odurzony, dopóki tenże nie znikł zupełnie.

Ruszył dalej.

„Boże, jakże mi się chce jeść! gdyby tak kieliszek wódki, drugi, trzeci... rozeszłoby się po wszystkich stawach! A potem porcję czego, kapuśniaku naprzykład dobrego, gorącego... O!!“

Zazgrzytał zębami.

„No i cóż, i cóż, gdyby każdy z tych przechodzących dał chociaż kopiejkę... Boże! ileżby to wyniosło! Tyle ludzi i gdyby każdy dał! I ten to oficer, i ta wystrojona dama z lokajem,.. A lokaj taki nadęty! Syty pewnie, bestja! Patrzaj, co za gęba. mało nie pęknie, a i zdrów, że drągiem go nie zabijesz! Widzisz go. pańskiego pieska niesie... Eh, wziął by go. szelmę i łbem o słup!..“

Przytulił się do ganku. A strojny tłum wciąż sunął, sunął obok niego bez końca. Tam ot idą dwaj panowie. Jeden wysoki, chudy starzec, z faworytami, siwy jak gołąb, drugi niższy, czarny, w złotych okularach; palto rozpięte a na kamizelce błyszczy gruba złota dewizka. Idą zrównali się. Obaj rozmawiają...

— ...ofiary naszego społecznego nieładu! I gdybyś pan przejrzał sprawozdania naszych zebrań ziemiańskich...

— Na chleb, w imię Chrystusa.,.

I jeden i drugi spojrzał na obdartusa, odwrócił się i szedł dalej.

— Od tych żebraków nie opędzisz się, doleciało do niego — nawet tutaj, na Newskim! I czego ta policja pilnuje?!

Więcej nie słyszał.

— Precz! gdzie leziesz?! zawołał nań lokaj w liberji, z złotym galonem i takąż kokardą u kapelusza, zjawiwszy się niewiadomo zkąd, rzucając się do otworzenia drzwiczek karety, która zatrzymała się przy chodniku a następnie obok niego, podtrzymując ubranie, stąpając niechętnie po zabłoconym chodniku malutkiemi nóżkami, obutemi w wykwintne jak cukierek trzewiczki, przemknęła do ganku okazała piękna młoda kobieta, tuląc twarz w puszystem futrze swojej bogatej salopy, krytej różowym aksamitem. Połą futra potrąciła zmięszanego obdartusa, otaczając go wonnym strumieniem jakichś wysoce delikatnych perfum.

Wszystko to było dziełem jednej chwili lecz w tej jednej chwili odbył się w nim cały proces moralny, Dawno już przywykł on do swoich łachmanów, czując ich niewygodę tylko z powodu złej ochrony od zimna. Lecz teraz, w tej chwili poczuł nagle, że jest obrzydliwym, nędznym, oberwanym żebrakiem, podobnym do kawałka błota, że wszyscy to wiedzą, lecz nikt nie zwraca na to uwagi tylko przez pobłażanie; że każdy, każdy bez wyjątku, nietylko z tego tłumu ludzi przyzwoitych, lecz i ten złocony sługus, co go potrącił przed chwilą, usuwając z drogi, nawet ten syty stróż, siedzący poważnie na ławce pod bramą — wszyscy, wszyscy oni, teraz, natychmiast, mają prawo odpędzić go, jak odpędzają jakiegoś obrzydliwego, parszywego psa, który tylko wskutek braku dozoru wcisnął się do miejsca publicznego spaceru, gdzie nie pozwalają niszczyć trawy i przyprowadzać psów i dokąd wstępu nie zabroniono tylko przyzwoicie ubranym: że sama jego obecność tutaj, o tej porze, na Newskim Prospekcie, obraża wszystkich. A tymczasem wszystko tonęło w oślepiającym blasku, błyszczało, płonęło, i tęczowemi barwy mieniło się na słońcu. I krzyż na ogromnej kopule Kazańskiego soboru, i najwyższy punkt na cerkwi Włodzimierskiej, i iglica na gmachu admiralicji, i śnieg i sople lodu na dachach i szyby w oknach szerokich ulic i podwórz, gdzie tylko ono zajrzeć mogło.

Kronika naukowa.

Ogólny rzut oka na postępy elektrotechniki.

przez C. K.

Elektryczność dzierży dziś bezwarunkowo berło postępu, wdarła się we wszelkie gałęzie praktycznego życia, w których coraz to nowe zastosowania znajduje. Zajmuje ona i pociąga ku sobie zarówno uczonych, jak i praktycznych mechaników, i konstruktorów, a przez olbrzymie skoki, jakie w codziennem życiu ostatniemi zrobiła czasy, zniewala każdego wykształconego człowieka, chociażby obcego zupełnie zagadnieniom naukowym i najmniej z naukami przyrodniczemi obeznanego, do zaciekawienia się i zapoznania się z tym najnowszym ruchem postępowym, którego skutki na każdym przejawiają się kroku.

Najogólniejszym, w oczy rzucającym się faktem, któremu elektrotechnika zawdzięcza ten szybki i płodny ruch naprzód, jest reforma zupełna w sposobach wytwarzania siły elektrycznej, jaka od niedawna — bo od dziesięciu lat zaledwie — uskutecznioną została.

Za lat parę nauka obchodzić będzie stuletni jubileusz odkrycia w fizyjologicznej pracowni Galvaniego — objawów powstającego strumienia elektrycznego. Elektryczność zatem dynamiczna nie jest bynajmniej tak nową, a stosy Volty i Bunsena, działanie prądów galwanicznych i ich zastowania są — względnie rzeczy biorąc — rzeczą starą. Otrzymywanie wszakże elektryczności drogą chemicznego działania na siebie związków w „stosie“ czyli „baterji“, jest zbyt kosztownem źródłem siły, ażeby te wytwórcze przyrządy mogły zapewnić elektryczności szerszy rozwój i ogólniejsze zastosowanie. Pierwsze te czasy techniki elektrycznej t. j. okres wywiązywania strumienia elektrycznego drogą chemiczną, są perjodem niemowlęctwa, lub — z punktu widzenia historycznego — historją starożytną. Następnie ma elektryczność swoje wieki średnie; jestto indukcja strumieni elektrycznych i magnetycznych, a bohaterami tej epoki są' Faraday, Amperé i Rumkorff. Od czasu, jak pierwszy z tych mężów wypowiedział (1831), że: strumień elektryczny może być wzbudzonym przez magnes lub zwój skręconego drutu, któremu nadanym zostanie odpowiedni ruch, lub że odwrotnie, istniejący strumień może wywołać ruch mechaniczny części miękkiego żelaza; od tego czasu kwestja przeobrażenia jednej siły w drugą teoretycznie była rozwiązaną,

a podwalina przyszłego rozwoju elektrotechniki ufundowaną. Pozostawały wszelako jeszcze wielkie trudności do zwalczenia to też dopiero razem z rozwojem teorji jedności sił przyrody, z ustaleniem pojęć o przemianie sił i ich mechanicznym równoważniku, nastaje i dla nauki elektryczności okres historji nowożytnej, w którym teoretyczne czysto pobudki doprowadziły jednocześnie Siemensa i Wheatstonea (1867) do zaprojektowania przyrządów elektrodynamicznych, w których użycie siły mechanicznej wyradza napięcie elektryczne. Szczęśliwe usiłowania D-ra Pacinottiego (1860), a ostatecznie francuskiego mechanika, Belgijczyka rodem, Grammea (1870), skierowane ku temu, aby w sposób praktyczny zamienić skutecznie przerywane i zmienne strumienie na strumień stały i oznaczonym kierunku, pozwoliły w praktyce wyzyskać i zrealizować piękne pomysły Siemensa i Wheatstonea.

Dopiero z chwilą, gdy zbudowane na tych zasadach maszyny elektro-dynamiczne, w których ruch nadany krążkowi miękkiego żelaza, przeistacza się w elektryczną energją, rozwiązały kwestją łatwych, pewnych i bardziej korzystnych źródeł siły elektrycznej, prawdziwy postęp techniczny się rozpoczyna Aby zrozumieć doniosłość postępu od stosu, w którym przez chemiczne spalenie cynku, otrzymywano słaby stosunkowo strumień do nowych elektro dynamicznych maszyn, poruszanych siłą pary — dość powiedzieć, iż względnie do ceny zużywanych materjałów i osiąganego przytem skutku, te ostatnie przyrządy są dwadzieścia przynajmniej razy korzystniejsze, t. j. że ta sama ilość i jakość pracy elektrycznej kosztuje drogą mechaniczną dwadzieścia razy mniej niż drogą chemiczną.

Pomimo to dziś jeszcze, w najlepszych dynamo elektrycznych przyrządach, zużytkowanie energii wiele zostawia do życzenia a „wydajność" przyrządu, t. j. stosunek wytworzonej za jego pomocą energii (elektrycznej) do wydatkowanej na ten cel energii pierwotnej (spalanego węgla), jest jeszcze bardzo mierną. Najlepsze dzisiejsze „wzbudzacze" elektryczności (generatory, dynamoelektryczne maszyny) wydają jedną dwudziestą tej energii, jaka zawartą jest w użytym na ich opalanie węglu. Motory i maszyny parowe okazują lepszą znacznie „wydajność" utylitarną; niema więc dotychczas mowy o tem, aby elektryczne przyrządy wprost wyrugowały parę w jej zastosowaniach do wykonania czysto mechanicznej pracy. Przy obecnem jednak udoskonaleniu przyrządów „elektrodajnych", mogą one szerokie znaleść zastosowanie tam, gdzie siła w formie elektrycznej właśnie energji specjalną pracę ma wykonać oświetlenie, galwanizowanie, telegrafja i t. p.) Nadto w takich wypadkach, gdzie pożądanemi są niektóre odrębne własności motorów, właściwe dynamoelektrycznym przyrządom, nietylko mogą one znaleść zastosowanie, ale jeszcze mają niekiedy pierwszeństwo, a nawet znaczną wyższość nad motorami parowemi.

Zupełnie odrębną i li tylko elektryczności właściwa zaletą, niekiedy nadzwyczaj ważną i doniosłą, jest możność przenoszenia i rozprowadzania energii na dalekie choćby odległości za pomocą przewodnika. W razie potrzeby, możemy w sposób bardzo prosty korzystać w oddaleniu z elektrycznego napięcia przeprowadzonego po drucie, jako takiego, lub zużytkować tę z daleka płynącą energją, przeobrażając ją na światło, ciepło, dźwięk lub ruch.

Najwięcej zastosowania obiecuje chwilowo ta pierwsza przemiana: oświetlenie elektryczne z każdym dniem niemal się doskonali. Najnowszemi są jednak zastosowania z dziedziny dwu, na końcu wymienionych przemian: telefony wraz z mikrofonami i szeregiem innych tego rodzaju przyrządów, głos ludzki od bardzo niedawna na strumień i odwrotnie zamieniające; jeszcze nowszemi są projekty zastosowania elektryczności jako środka lokomocji.

Zatrzymamy się chwilowo nad rozpowszechnieniem oraz udoskonaleniem telefonów i innych akustyczno-elektrycznych przyrządów, aby następnie przedstawić najnowsze usiłowania, poczynione w kierunku zużytkowania strumieni elektrycznych do kierowania balonami, oraz do prowadzenia pociągów na drogach żelaznych.

Telefon w ciągu ubiegłego roku zyskał prawo obywatelstwa we wszystkich pięciu częściach świata. Prym trzyma Ameryka północna, gdzie wiele miast — a naczelne miejsce zajmuje Chicago — liczy po 2 do 3 tysięcy abonentów, a rozmowa telefonowa weszła do trybu życia, praktycznie życie biorących jankesów. W drugiej linji idzie Anglja, w której kupieckich i portowych miastach rozwój sieci telefonowej obiecuje przybrać rozmiary amerykańskie. Za wielką Brytanją idzie Francja i inne państwa Europy, a zaszczytne miejsce przynależy tutaj Paryżowi, tak ze względu na znaczną ilość abonentów (3000, z tych około 700 przybyło w ciągu roku 1882), jak i na ogromną długość razem wziętych drutów pomiędzy abonentami i biurami (3500 kilometrów!). Drut sieci telefonowej w Paryżu jest podwójny to znaczy, że cały strumień (tak idący jak i powracający) przechodzi po przewodniku metalicznym, gdy w większej części urządzeń telefonowych, tak jak w sieciach telegraficznych, rolę drugiego drutu gra ziemia i tylko połowa strumienia przebiega po drucie. Przebieg prądu w całości po linii metalicznej nadzwyczaj dodatnio wpływa na wyraźne, dokładne i prawidłowe funkcjonowanie telefonu, ale urządzenie takie jest bardzo kosztownem. Paryskie urządzenie biur i stacji centralnej, oraz przeprowadzenie całej podwójnej linji pod ziemią, w ścieżkach kanałów, jest wzorowe i przewyższa pod tym względem wszelkie inne podobne urządzenia Ameryki i Europy. Ale i pozostałe 3 części świata posiadają dziś telefony. Pod koniec ubiegłego roku (1882), Kalkuta z pomiędzy ośmiu lub dziesięciu miast Azji najwięcej miała abonentów (108) pozostawała jednak w tyle za Aleksandrją w Egipcie, która liczyła abonentów 132; zarówno Azją jak Afrykę wyprzedziła jednak Australja, gdyż w Honolulu, mającem zaledwie 10000 mieszkańców, abonentów, opłacających telefon w tym samem czasie było 89-iu.

Nietylko jednak w obrębie miast pojedyńczych zaprowadzono ten nowy środek porozumienia się ludzi. W Anglii, po procesach, wytoczonych telefonowym przedsiębiorstwom przez urząd pocztowy i długich następnie pertraktacjach, nastąpiła polubowna ugoda pomiędzy pocztą a jednem z towarzystw, które nabyło za opłatą ogromnego haraczu prawo połączenia kilku miast między sobą, lecz wyłącznie na użytek ośmiu tylko w każdem mieście abonentów. Ograniczenie to, oraz wysoka opłata (za połączenie Glasgowa z Edymburgiem 650 Łstg., czyli przeszło 6500 rubli, Glasgowa z Grenockiem 220 Łstg. rocznie i t. p.), którą ponoszą interesowani przemysłowcy i kupcy, posiadający w kilku różnych miastach swoje zakłady. — mają na celu zabezpieczenie poczty od strat przez użycie telefonu wynikających. Pobierając te, tak niesłychanie wygórowane wynagrodzenia, poczta dozwalała używać towarzystwu telefonowemu z należących do niej słupów telegraficznych, na których wszakże specjalne druty towarzystwa do obsługi telefonu zakładane być mają. Przy takich odległościach, jak z jednego miasta do drugiego, na jakich telefon ma działać i dostateczną wyrazistość w przenoszeniu dźwięków okazywać, linja musi być całkowicie metalową, t. j. druty podwójne. Przy aparatach na stacjach umieszczone są cewki indukcyjne; strumień więc, wywołany głosem mówiącego w przesyłaczu, nie przechodzi na linja, lecz cała komunikacyjna linja podwójna tworzy oddzielny, zamknięty łańcuch. Strumień pierwotny, po przejściu przez wewnętrzny zwój

cewki, odprowadzonym zostaje do ziemi; wzbudza on w zewnętrznym zwoju cewkowym strumień indukowany (wzbudzony), który przebiega w danym kierunku po drucie linji, przebiega przez zewnętrzny zwój cewki na stacji odbierającej i powraca po drugiej linji, w odmiennym niżeli szedł, kierunku. Przechodząc przez tę ostatnią cewkę, wzbudza (indukuje) w wewnętrzym jej zwoju strumień, który już bezpośrednio wchodzi do przyrządu stacyjnego, telefonu, z tym samym skutkiem, jak gdyby pierwotny prąd przesyłacza nigdzie nie przerywany, doń napływał. Skutkiem tego jednakże, iż linja podwójna drutów komunikacyjnych miedzy stacjami, stanowi oddzielny, zamknięty łańcuch metaliczny, w którym strumień „biegnie" w jednym, a „powraca" w odwrotnym kierunku, wpływy poboczne, wywoływane działaniem telegraficznych strumieni, działając odwrotnie na jednę i na drugą z linij telefonowych, wzajemnie się znoszą: indukowane strumienie, powstające jednocześnie w obu równoległych częściach jednego nieprzerwanego łańcucha, muszą się spotykać i wzajemnie się niweczyć. Dowcipne to urządzenie pozwala „telefonować" zapomocą drutów, sąsiadujących z drutami, po których się jednocześnie „telegrafuje".

W dziedzinie „telefonii" ciekawem jest jeszcze udoskonalenie mikrofonu, skombinowanego z telefonem przez de Lochta a któremu wynalazca ten nadał nazwę „pantelefonu". Przyrząd ten przenosi podobno najdrobniejsze nawet szmery z najsubtelniejszemi ich odcieniami na stosunkowo znaczne odległości i z tego względu służyć ma specjalnie w górnictwie do sygnalizowania wywiązujących się gwałtownie gazów. Przy napływie gazów, czy to sprowadzających eksplozją, czy też pociągających za sobą śmierć przez uduszenie, powstaje za wsze w kopalniach charakterystyczny szmer, który — gdyby był zawsze słyszany — mógłby przestrzedz i uprzedzić przezto trafiające się nieszczęśliwe wypadki. Wynalazca pantelefonu proponuje założenie przyrządów odbierających w podziemiach znajdująch się w odbudowie. Szmer pochwycony przez aparat, zostaje przeniesionym do przyrządu z rezonatorem, umieszczonego w biurach lub kancelarji nad ziemią i pantelefon zaraz poczyna „mruczeć", zwracając uwagę osób w blizkości się znajdujących. Po rozpoznaniu bliższem, skąd alarm pochodzi, można zarządzić zaraz środki, zapobiegające nieszczęsnym wypadkom. Elektryczność zatem nietylko rozpraszając ciemności, może — w latarniach morskich i innych tego rodzaju przyrządach optycznych — oddać przysługi ludzkości, jako sygnał ostrzegający i upewniający, ale ona też przez umiejętne zastosowanie do akustycznego działania, może być zbawiennym sygnałem „samogadającym" i „głosem" o tem, co dzieje, ostrzegać.

Pocieszającym dla zwolenników postępu jest faktem, że taka sama nauka, której corazto nowsze zastosowania na coraz śmielsze i awanturnicze napozór wiodą nas drogi, — ta sama dostarcza nam broni i środków przeciw mnóstwu niebezpieczeństw, które łagodzi lub unicestwia.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

(Dokończenie)

Winni najpierw rodzice, potem społeczeństwo, że do rozwoju osobistych celów członkom niestarczyło odpowiedniego środka, potem dopiero członkowie, że dążąc do załatwienia własnych interesów nie uwzględniają zupełnie celu ogólnego. Względy prawne i moralne bywają skutkiem tego naruszone, a sprawiedliwość wymierza się ze stratą stron obu.

Społeczność traci członków — członkowie zaś zostają przemocą złamani w szkodliwych swych dążeniach. Obrazem takich stosunków jest powyższa nowela.

Obraz ten wybitnie rysuje się na tle ubóstwa nędzy i nepotyzmu wraz z rozpustą i pijaństem. Jaskrawo występują sceny w chacie Władkowej ciotki, gdzie się zbierało niekiedy towarzystwo złożone ze sług i lokai — bez służby.

Wtedy w pośrodku stołu zjawił się miedziany kociołek, napełniony alkoholicznym wyskokiem, a nad nim zwieszony na stósownym przyrządzie wielki kawał cukru. Z nad kotła wybuchał siny płomień palącego się spirytusu, oświecał ściany i wszystkie zakąty izby błękitnawym światłem i błękitnawą też bladość rzucał na twarze męskie i kobiece, które roztarganemi warkoczami otoczone, lub ocienione zmiętemi czapkami, skupiały się wszystie ku środkowi stołu i przybliżone ku sobie, ciasnym wieńcem otaczały kocioł, pochylając ku niemu coraz bliżej i z coraz większem zachwyceniem w oczach i uśmiechach przypatrując się lejącemu do kotła deszczowi grubych czerwonych kropel roztapianego cukru. Woń spirytusowa mocna, upajająca, zmieszana z bluszczowym deszczem łojowego kaganka rozchodziła się po izbie, cisza oczekiwania zapanowała przy stole, tylko czarki blaszane brzękały w bardziej niecierpliwych rękach, albo głos jakiś kobiecy zachichotał nagle, albo burknęło półgłosem wyrzeczone przekleństwo". Iście rembrandtowski obrazek.

Takie tło całej powiastki: ciemne i niewesołe. W głębi jeno, na dalszym planie, niby za firanką wsunięty, ukazuje się świat, oświecony jasnym promykiem dobrobytu, wesela i uczciwości. Jest to życie w domu stryja Władka — cukiernika — życie spokojne i dość szczęśliwe. Ale o niem nie masz co więcej i powiedzieć.

Mówiąc o nieróżowej sielance, (bezwarunkowo najlepszej noweli z 4ch wyżej wymienionych) — nie możemy pominąć osobliwej własności autorki, w sposobie przedstawienia rzeczy. Orzeszkowa nie opisuje, przedmiotów, nie kreśli obrazów charakterów i sytuacji zupełnie realistycznie, jak są, jeno wyostrza je, podnosi o jeden stopień, zabarwia silniej, jaskrawiej, wyraziściej.

Da się to uzasadnić i przeprowadzić w każdej z powyższych 4ch nowelek, ale osobliwie w 1szej. Dla tago zdaje nam się z początku, że autorka inaczej widzi przedmioty niż my. „Powietrze u niej złote, od wieczornych świateł", wzrok „pałający" „namiętny", niebo „liljowe", powierzchnia czystej wody „zielonawa", pole „od słońca złote", okna „rubinowe", Marcysia ma włosy „oguiste", mgły poranne są „sine", oświecone słońcem, ajery stoją „w ogniu", ściana jaru „gorąco-różowa" kołyska słońca „czerwona", (zachód słońca). czoło starej kobiety „żółte", meble w cukierni „czerwone", nawet na szyję cukiernianego chłopca kładzie „czerwoną" chustkę i t. d. A dalej. Osoby tej wyrażają się językiem śmiałym, dobitnym, bez omówień, bez ogólników: „Czemu sama nie przychodzisz do jaru? — pyta władca Marcysi — Boisz się, czy drogi jeszcze nie znasz? Jeśli boisz się — toś głupia — bo wilki cię nie zjedzą, a jeśli drogi nie znasz — to kiedy z matką idziesz, lepiej oczy wytrzeszczaj". I tak zawsze. Jak jaskrawo przedstawione są sytuacje — widzieliśmy w opisie orgij: Wogóle na wskróś oryginalne i wyborne są opisy scen wziętych z życia w tych niskich, ciasnych i brudnych domkach przedmieścia, dokąd się przebijać trzeba przez wąskie, pełne błota i śmieci podwórka. Ta pewna skrajność odzywa się i w strojeniu osób w łachmany i strzępy, albo w natłoku prześlicznych ozdób, jakiemi otacza piękne twarze. Jest to może trochę kokieteryjne usiłowanie wysunięcia przedmiotów okazywanych ze zwykłych ram obrazu, aby się nam jeno dobitniej przedstawił. Bądź co bądź stanowi to oryginalność kolorytu Orzeszkowej.

Rys ów w całej rozciągłości możemy zastosować do następnego obrazu — p. t. Daj kwiatek! Jak poprzednio z życia mało-

mieszczańskich chrześcian, tak tu treść wzięta z życia ubogich żydów. — Bohaterem jest mały dzieciak Chaimkie, wnuk ubogiej łachmaniarki Chaity. Treść b. i bardzo uboga. Chaimkie włóczy się po Ongrodzie, spotyka piękną panią — z bukietem prześlicznych kwiatów. Zachwycony biegnie za nią, chwyta ją za suknię i tym sposobem zwraca jej uwagę. Dobra Pani pyta go, czego chce. Ale Chaimkie nie umie po polsku. Pani uczy go więc dwóch słówek prożby — i w nagrodę pojętności udziela mu pęk kwiatów. Chaimkie niezmiernie uradowany — myśli ciągle o skarbie swoim, a na noc, aby kto nie skradł, kładzie je pod poduszkę, kwiaty więdną i mną się, a dziecię zpoczątku rozpacza, potem zapomina, ale długo, długo wraca w chwilach ponętnych i gorzkich, widzenie dobrej, pięknej Pani — i nawet kiedy mu usiłuje wpoić nienawiść ku chrześcianom, staje anioł modlitwy i litości w postaci owej kobiety z nieodłącznem słowem: „Daj kwiatek“. Oto treść całа. Użyła jej autorka tylko jako środeczek do przeprowadzenia tendencyjnej myśli. Chaimkie jest to dziecię przedewszystkiem b. ładne. „Czy uważaliście to państwo — że wszystkie bez wyjątku prawie dzieci izraelskiego plebsu, w pierwszych latach dzieciństwa bywają b. ładne! Potem stopniowo: twarze ich chudną, źrenice gasną, usta pobladłe otwierają się, z wyrazem gapiowatego osłupienia. Ale nie tylko ładnym jest Chaimkie. Ma on osobliwsze poczucie piękna, i niezwykle bujną wyobraźnią. Kiedy wieczór babka wróci z koszem łachmanów — dzieciak zatapia chciwie obie ręce w koszu. „Jakaż radość! ileż tam wtedy wykrzyków zachwytu! Świetności za świetnościami występują długim szeregiem. Czasem np. ciekawe i niecierpliwe ręce Chaimka z trudem pewnym wyciągają z kosza babki wielką długą, falbaniastą suknię z liliowego muślinu. Suknia ta plam i dziur pełna, ale Chaimkie ich nie dostrzega, widzi on tylko piękny kolor liliowy i z otwartemi usty przygląda się zwikłanym gałązkom deseniu“ i t. d. A kiedy zobaczył kwiaty „żywe wonne, świetne gorącemi barwami, operlone jeszcze srebrnemi kroplami rosy, drżał od niewymownego zachwycenia. Okrągłą twarzyczkę oblały ogniste rumieńce, czarne oczy iskrzyły się jak brylanty, a drobne usta, otwierały się zachwyconym uśmiechem“. Obok tej wrażliwości i poczucia piękna — jest owe dziecko żydowskie b. dobre i roztropne, kiedy wieczorem wraca do chatki ze swej pielgrzymki po mieście, a babki jeszcze nie masz, wynajdzie zapałek, rozniеca ogień w małej lampce i stawia ją na okienku, aby przyświecała krokom babki, gdy ona przebywać będzie podwórko“. A gdy babka wróci, Chaimkie biegnie do niej, pomaga jej zdjąć z pleców ciężar jej, a następnie wyciąga ku niej rączkę z niedojedzonym kawałkiem obwarzanka lub sera i woła: „Jedz, Babe!“

Słowem — czemże różnią się dzieci żydowskie od chrześciańskich. Chaimek jest ideałem dziecka — i nie różni się niczem. Dla czegoż więc żydzi mają tyle rysów odrębnych, i osobliwe skąd nienawiść, do ostatnich posunięta granic, której tłómaczem w noweli jest Reb Nochim. I znów spotykamy się ze społecznem zagadnieniem. Jak fizycznie zmieniają się dzieci żydowskie, brzydną, więdną b. szybko, tak i duchowo — rosnąc, kształcą się w swój sposób na wrogów chrześcian.

Winią przedewszystkiem społeczeństwo, które tak wyosobniło tę część swą, iż o równo uprawnieniu nie ma mowy. A wszakże nie podobna się nie zgodzić z autorką, która powiada o Chaicie:

„Zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią, a mną istnieje jedna wielka ścisła, nie rozerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do tej ogromnej rodziny, która zwie się ludnością. Krewna to więc moja — i wasza. Jest to prawda, przeciw której żaden wstręt pełen wytworności uczuć, żadna wysoka ściana pełna złoceń i ozdób, żaden, gest białej dłoni, pełnej pierścieni i wzgardy, nic nie mogą“.

I gdyby społeczeństwo całe w takim stosunku stało do żydów, jak owa piękna pani, co obdarzyła żyda pękiem kwiatów — to żydzi pamiętni doznawanych odeń dobrodziejstw byliby inni. Winni też dalej sami starzy — którzy bezwzględnie nienawidzą wszystkich chrześcian za jednostki — odtrącają z pagardą nawet świadczone im dobre czyny — i nienawiść swoją, ciemną, brutalną usiłują przekazać pokoleniom następnym.

Tem dzieje się, iż Chaimków, obdarzonych zaletami — niegorszemi od wszystkich dzieci chrześciańskich, wytwarzają się jednostki, dla społeczeństwa szkodliwe, usiłujące dla własnych interesów wyzyskać siły produktywne społeczeństwa — i wchodzące tem samem w kolizje z ogólnymi jego celami. Dotychczas przebywaliśmy w sferze ubogich, niskich domków, graniczącej z nędzą i występkiem.

W „Złotej nitce“ wprowadza nas autorka do innej sfery. Osobliwszego rodzaju jest rodzina Olińskich. Ojcem i gospodarzem jest były obywatel, który po sprzedaniu majątku żyje w Ongrodzie z procentu — i majątkowo składa się z ludzi poczciwych dobrych, choć przyłożyć do rany.

Mają oni wprawdzie właściwe wiekowi skłonności, jak np. — babka jest gderliwą, sam Oliński — gaduła i nudziarz, córka — pretensjonalna, gimnazjaliści — famfarony — ale cóż w tem złego? Żadnej osobie nie można przecie nic a nic zarzucić występnego. Bo i cóż występnego, co szkodliwego zawierać się mogło w spaniu, ubieraniu się, piciu, i jedzeniu do pory obiadowej? co w preferansie, bałamucie, sztukach zkartami i nożami, w sprzeczkach o żółtą i czerwoną różę, które napełniały porę poobiednią? W piciu, jedzeniu i gawędzeniu na których schodziły wieczory?“ Pewnie występnego nic — tylko, że nic dodatniego, nic pożytecznego. Żadna z osób nie robi nic złego, ale też nic dobrego. Są to kompletne zera w społeczeństwie, nie stanowią ani pierwiastku ujemnego, ani dodatniego. Albo raczej stanowią ujemny, jeno bezwiednie — i pośrednie. Stanowią pierwiastek ujemny każda bowiem jednostka absorbując pewną dozę sił społecznych, musi produkować coś także. Skoro nic nie produkuje, krzywdzi tem samem inne jednostki, boć, albo powstaje w ciągłej równowadze produkcji społecznej szczerba, albo, celem utrzymania tej równowagi, inne jednostki muszą zużywać dwa razy, tyle sił własnych. Pewnej ilości społecznych trutniów musi odpowiadać pewna liczba pszczół — robotnic. Taką robotnicą w powyższej rodzinie jest żona Olińskiego Felicja. Jest to typ — dość częsty u Orzeszkowej — zupełnie podobny do Marcysi, jeno w innych wyrosły stosunkach. Kobieta wykształcona bardzo, inteligentna, głęboko wrażliwa, dobra — a przy tem wszystkiem jeszcze młoda i piękna — ze spokojną rezygnacją poddaje się swemu smutnemu losowi.

Felcia jest zresztą w rodzinie „kochaną, najdroższą, jedyną, złotą“ — ale Felcia przyrządza wszystkim kawę, Felcia siada do bałamuta, jeśli nie ma odpowiedniej liczby osób, Felcia podaje stołeczek pod nogi babce, Felci nie wolno pomówić swobodnie, bo co chwila odbiegać musi to po ratafijkę do spiżarki, to po lekarstwo na ból zębów etc. A cóż ma ona dla siebie? Czytywać nie może: czasem chyba zrana pomiędzy wydawaniem objadu a nalewaniem herbaty, czasem wieczorem, pomiędzy poobiedniem jedzeniem i zabawą, a wieczorną herbatą i najczęściej w nocy. Muzykę lubi namiętnie, ale pana Józefa — Olińskiego muzyka drażni — gra więc rzadko, chyba jak wszyscy wyjdą w niedzielę do kościoła.

Istota głęboka, tęskniąca do życia w innym świecie, niz ten, co ją otacza, stworzona do szczęścia, a w tłoczona okolicznościami w jarzmo ciężkich obowiązków. Wy-

robiła więc filozofię własną, która się godzi jakoś ze smutną dolą. „Godność osobista człowieka i szczęście jego — to przecie rzerzy o wiele różne. Otóż zdaje mi się — mówi — że bogaci w duchu są najdostojeńsi, a ubodzy najszczęśliwsi! „Wszystkim nam prawie — mówi gdzie indziej — coś, co nie jest wolą i wyborem naszym, podaje w ręce prząśnicę i wątek, z których snuć mamy długie pasmo życia. Pasma bywają różne. Moje jest szare". Ale „nad szarą przędzą moją błysnęła złota nitka wysoko i wysoko pozostanie. Świeci mi z góry, jak promień słońca" (str. 215). Tą złotą nitką — jest miłość. Felicja pokochała człowieka inteligentnego, wykształconego i głęboko myślącego. Łatwo wyobrazić takie położenie kobiety zamężnej.

Naturalnie musiała ukrywać i niczem nie zdradzić uczucia. Były naprzemian chwile ciężkie i jasne. Zresztą bliższe dzieje stosunku nie opisane, bo też o to nie chodzi.

Chodziło autorce o przedstawienie stosunku anormalnego konsumcji i produkcji i skutków zeń wynikłych. „Inteligencja w służbie u samolubów i próżniaków" — a zdaniem autorki — w tem ukrywa się jedna z ważnych przyczyn smutnego ekonomicznego stanu, któremu, kraj nasz podlega. Dość ściśle wiąże się ze złotą nitką następna, najsłabsza z nowelek p.t. Zefirek. — Jest to sfera urzędnicza i szlachecka. Pretensjonalność i uprzedzenia rodowe podupadłej szlachty nie poparte przymiotami, ani majątkiem przedstawiają w istocie patologiczny objaw życia i sprowadzają katastrofę — w skutkach łamiącą życie następnego pokolenia. Widzimy tu dwie matki i dwie córki. Matki stare, jedna z nich pochodzi z zamożnego niegdyś domu, druga była żoną znacznego urzędnika. każda ma córkę. Córka prezydentowej (szlachcianki) ulega matce we wszystkiem i przesiąka jej wyobrażeniami; córka urzędnikowej staje się prostą robotnicą, wyrzeka się pretensjonalności matki, nosi wodę, rąbie drzewo, gotuje jedzenie, słowem staje się sługą niedołężnej i w strojach zakochanej matki. Obie stare pożyczają cały majątek swój krewnemu, który niby ratuje rodową godność, wistocie hula, oszukuje wierzycielki swoje i ucieka, a one pozostają bez środków do życia. Prezydentowa umiera, córka jej żyje z robótek; urzędnikowa nie pozwala córce swej iść za mąż za rzemieślnika; sama natomiast włóczy się za jałmużną, przypominając swe dawne miłosne sukcesa. Najgodniejsza litości jest Brygida, córka urzędnikowej. Idzie ona w służbę i marnuje się, między sługami — schodząc coraz niżej. Córki więc stają się nieszczęśliwe przez matki.

Śród tego świata zbutwiałego i cuchnącego starzyzną, a roszczącego pretensje do młodzieńczego życia — istota taka jak Brygida jedna rozumie smutną sytuację, jedna czuje, że życie jej zmarnowane. Jej też należy się więcej, ona pełna sił i młodości — i za krzywdę tę, jakie jej wyrządza to życie — pokutują nie postaci — ale pokutuje i ona, bo brak jej mocy, by się zeń wyłamać.

Już to świat kobiet u Orzeszkowej wielką nie odznacza się rozmaitością. Typ kobiety, posiadający dodatnie pierwiastki umysłowe — jednaki wszędzie. Marcysia, Felicja, Brygida, a nawet Chaita to jedne i te same postaci — w innych stosunkach i okolicznościach. Cała różnica w sferze

Ogólnym rysem takiej kobiety, jej wewnętrzna potrzeba, jej celem w życiu jest miłość. a uczucie to prawdziwe, ogarnia duszę i zabawia wszystkie czyny kobiety. nadaje kierunek jej życiu. Natomiast świat mężczyzn rzeczywiscie wielką celuje rozmaitością charakterów. Jest to zresztą naturalne. Główną myślą, celem Orzeszkowej jest tendencja społeczna, przedstawienie jakiejś wady w ustroju społecznym. Nic dziwnego, że mężczyźni, którzy stanowią właściwe ogniwa w łańcuchu życia socjalnego — że mężczyźni osobliwie ją zajmują. W patruje się w nich pilnie, chwyta rysy wybitne, śledzi ich rozwój i całość kosekwentną i wyrobioną.

Oceniając powyższe nowele miarą ważności kwestji rostrząsanej — pierwszeństwo przyznać trzeba noweli pt. Sielanka nieróżowa, ze względu na obrobienie artystyczne, ze względu na wyrazistość charakterów umotywowanie ich i sytuacji — nowela ta 1sze w zbiorku zajmuje miejsce. Słabsze są już następne. W nich też dotkliwiej czuć się daje zły stosunek osnowy do tendencji. Treść prawie niska np. w Daj kwiatek lub Złotej nitce. To też potrzeba wielkiej żywości i barwności, aby autorka nie stała się nużącą albo moralizującą. Dramatyczność leży tu przedewszystkiem w charakterach, najmniej w sytuacjach. Ten brak węzłów dramatycznych właściwy zresztą większości tendencyjnych romansopisarzy — stanowi wadę kompozycji Orzeszkowej. Okazuje się ona nierównie więcej w trzech dalszych nowelach, mniej w Sielance nieróżowej. Bądź co bądź — nowele te stanowią nowy niezbity dowód, że Orzeszkowa z pośród dzisiejszych romansopisarzy polskich — potrafi b. żywo odczuwać anomalje ustroju społeczeństwa polskiego, że się niemi interesuje i szuka na nie środków, zaradczych — któreby w społeczeństwie tem umożliwiły żywszy postęp i harmonijne działanie wszystkich zgodnie funkcjonujących sprężyn.

Antoni Mazanowski.

ZIARNKA.

Z pięknej powieści T. T. Jeża — zrobił się lichy dramat. Jest to los wszystkich przeróbek — mówiliśmy dawniej o tem obszerniej, dziś dowodzić tego nie potrzebujemy. Zwłaszcza Jeżowe powieści, które są tylko opowiadaniem, nie mają żadnej akcji ani intrygi nie nadają się bynajmniej do przerabiania na utwory sceniczne. Wszystkie zalety powieści, obrazy przyrody stosunków malowanego społeczeństwa — zniknęły, a pozostały tylko luźnie nieraz powiązane sceny pojedynczych ustępów opowiadania. Mimo to „Narzeczona Harambaszy" utrzymać się może jako sztuka niedzielna.

Dyrekcja nie szczędziła kosztów na staranne wystawienie, sprawiając piękne oryginalne kostjumy południowych słowian. Artyści z danego materjału zrobili wszystko co mogli, i wywiązali się dobrze — najlepiej zaś, p. Żelazowski.

* * *

Lwowski uniwersytet ze sprawą utworzenia wydziału lekarskiego, możnaby porównać z Tantalem i jego wiecznem pożądaniem. Zgłodniałemu biedakowi mitycznemu zdawało się, że już, już ukąsi smacznego owocu, tymczasem one bujały nad jego głową, natrząsając się tylko z jego męczarni głodowych. Jota w jotę to samo z wydziałem lekarskim. Zdaje się, że już sprawa ubita, budżet uchwalony, już nie zachodzą żadne przeszkody — gdzie tam! wiatr jakiś wionie, i jak w podaniu starożytnych, konarami, tu ostateczną decyzją poruszy, i fakt utworzenia, jak owe jabłuszka ulecą gdzieś daleko, pozostawiając tylko ślinkę łaknącym. A przecież potrzeba wydziału lekarskiego przy uniwersytecie lwowskim jest rzeczą, której konieczności nawet dowodzić nie potrzeba. Wykazał to przemawiającemi datami Dr. Roszkowski na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej. Przytoczę tu najjaskrawszą, jak tę, że w Galicji znajduje się sześć powiatów, w których jeden lekarz przypada na przeszło dwadzieścia tysięcy! Cyfra mówi sama za siebie — komentarz upełnie zbyteczny.

Straszna powstała wrzawa w dziennikarstwie polskiem, gdy jakiś moskal przetłumaczył komedję jednego z naszych autorów i posłał ją na konkurs do Petersbusga, jako oryginalną. „Od morza do morza“ podniósł się okrzyk zgrozy — a za jednego plagjatora cały rosyjski świat literacki otrzymał nazwę... która wypływa z przekroczenia siódmego paragrafu dekalogu. Ale gdy u nas pojawiła się w fejletenie pewnego pisma, które tylko oryginalne prace w swym odcinku zamieszcza, nowelka, oryginalna, podpisana nazwiskiem autora, zresztą poważnego, która jest tylko lichem nawet tłómaczeniem prześlicznej nowelki umieszczonej w „Fliegende Blaetter“, tego nikt nie uważał za stosowne skarcić, a występek taki napiętnować, jak na to zasługuje. „Fliegende Blaetter“ jest pismem najpoczytniejszem u nas — dowiedzieć się zatem o plagjacie nie było trudno.

* * *

Artyści nasi zdobywają sobie coraz większy rozgłos zagranicą. Znany i w mieście naszem p. Stanisław Barcewicz, skrzypek, który we Francji, Szwecji święcił wspaniałe tryumfy, obecnie występuje na koncercie z wielkiem powodzeniem w Niemczech „Dresdener Ztg. porównuje grę jego z grą najsławniejszego skrzypka obecnie żyjęcego Pabla Sarasatego i powiada między innemi, że taniec hiszpański charakterystyczny numer popisowy Sarasatego, Barcewicz grał nawet lepiej od hiszpańskiego wirtuoza.

ZAPISKI.

Literatura.

* Józef Bliziński napisał 2-aktową komedję, która będzie w przyszłym sezonie wystawiona na scenie teatru krakowskiego — nie wątpimy, że i naszego.

* Autor p. Damazego napisał nowelę pt. „Baba“, która będzie drukowaną w „Przeglądzie literackim“.

* Opróżnioną przez śmierci śp. Józefa Szujskiego posadę sekretarza Akademji Umiejętności otrzymał prof. Dr. Stanisław Tarnowski.

* Najnowszy numer (19) „Wszechświata popularnego tygodnika warszawskiego poświęconego naukom przyrodniczym zawiera cenne prace jak: Fosforyscencja. Na zasadzie badań prof. Radziszewskiego przez Zn. — Ogólny rzut oka na postępy elektrotechniki przez C. K. (ciąg dalszy) — Nowoczesna kosmogonja przez M. Siedlewskiego (dokończenie) Dalej następuje: Kalendarzyk astronomiczny. Sprawozdania. Kronika naukowa. Ogłoszenia. Jak widzimy treść pociągająca i nadzwyczaj bogata. Illustracje starannie wykonane. A jednak „Wszechświat“ nie cieszy się wielką liczbą prenumeratorów w Galicji; czemuż to przypisać jeżeli nie... apatji publiczności naszej.

* Poemat Byrona pt. „Beppo“ ukaże się wkrótce w tłumaczeniu Wiktora hr. Baworowskiego znanego tłómacza „ Child Harolda.

* Tygodnik powszechny rozpoczął druk powieści St. Grudzińskiego pt. „Lala“.

* Zawartą już została w Berlinie dnia 19. kwietnia b. r. konwencja literacka między Francją a Niemcami.

Teatr i muzyka.

* Z trupy włoskiej impresarja Mezellego występującej obecnie w Wiednin zdobyła sobie prymadonna signorina Turolla ogromną sympatję i uznanie publiczności wiedeńskiej.

* Znany komik wiedeński Knaak występuje gościnnie w Magdeburgu.

* Rodak nasz p. Stanisław Barcewicz dawał ostatniemi czasy koncert w Berlinie — przez recenzentów tamtejszych nadzwyczajnie chwalony.

* W paryskiej „Opera comique“ daną była 14 kwietnia b. r. po raz pierwszy opera trzyaktowa Deslibesa pt. Lakme — i doznała najlepszego przyjęcia.

* Ze słynnej na cały świat fabryki fortepjanów Bösendorfera, wyszedł w tych dniach tysięczny z rzędu fortepjan. Przy tej sposobności obchodzono uroczystością wygotowanie jubileuszowego instrumentu.

* Massenet' kompozytor pięknej „Herodjady' napisał nową operę komiczną pt, Manose Lescaut.

* P. Juljan Zakrzewski ukończył swoje występy gościnne w Warszawie i wrócił do Moskwy.

* Coquelin starszy przerobił znaną powieść Daudet'a „Les rois en exil“ na scenę. Sztuka ta wystawiona będzie na scenie teatru Vaudeville.

Sztuki piękne.

* Zaszczytnie znany podróżnik a nasz rodak **Przewalski**, który już od dłuższego czasu cierpiał na dokuczliwy ból oka, wybiera się obecnie w nową podróż naukową po Azji środkowej- Wyprawa uda się pod jego przewodnictwem celem zbadania gór **Tian Schan** poczem wyruszy do wnętrza Tybetu.

* W pierwszych dniach maja odbędzie się w Medjolanie odsłonięcie pomnika poety Alexandra Manzoniego.

* Z Weimaru donoszą, że w. książe nadał malarzowi rodzajowemu Ottonowi Piltgewi i malarzowi historycznemu Zygmuntowi Suchodolskiemu tytuł profesorów.

* W Wiedniu odbywają się obecnie dwie nader interesujące wystawy: historyczna ekspozycja przedmiotów z bronzu i **wystawa indyjska**. Ostatnia składa się oryginalnych przedmiotów, wykopanych przez dr. Leitnena, z odlewów wykonanych według oryginałów, znajdujących się w muzeum w Lahore i w South- Kensington — Muzeum, tudzież z fotografij, z których wnosić można o wielkim wpływie sztuki greckiej w Indji w epoce po Aleksandrowskiej.

* P. Marjan Gorzkowski, znany autor pisanych ilustracyj historycznych, a objaśniających treść obrazów **Matejki** wydał znów „objaśnienie“ do obrazu nowego „Sobieski pod Wiedniem“, z którego dowiadujemy się, że Matejko przedstawia w nim scenę oddania listu donoszącego o zwycięstwie posłańców do papieża kanonikowi Denhofowi. Na obrazie wyobrażony jest król na koniu, obok niego królewicz Jakób Po prawej stoi, orszak niemiecki z kr. Lotaryńskim na czele, obok nich kardynał Wilczek i Hieronim Lubomierski, w tyle Stahremberg oprócz wielu innych postaci, których nie wymieniamy.

* Stany zjednoczone Ameryki północnej zamierzają w tym roku wysłać ekspedycję do bieguna północnego celem odszukania wyprawy popularnej z roku ubiegłego, która wyruszyła pod przewodnictwem porucznika **Grecly** i udała się w tym kierunku zatoki Lady Franklin aby tam założyć stację meteorologiczną. Koszta wyprawy oceniono na 350.000 funtów sterl.

* **Akademja rzymska** dei Virtuosi col Panteon“ ogłasza konkurs doroczny na obraz „Kuszenie Chrystusa na puszczy. Obraz ma być olejny na płótnie w formacie 0.90 m szerok i 0.70 m. wysokości O nagrodę i medal złoty 1000 frank. wartości ubiegać się mogą artyści każdej narodowości, katolicy Termin upływa z 30 kwietnia 1884.

* Rząd włoski zebrał za **karty wstępu** do muzeów opłacone najwięcej przez cudzoziemców w r. zeszłym 299004.75 lirów.

* W wiedeńskim Kunstvereinie powszechne budzi zajęcie najnowszy obraz Maxa przedstawiający Rzymską żebraczkę, u stóp grobowca Cecylji Metelli.

Treść.

Autor „Marzycieli“ Ostatni Szaraczek (c. d.)
Mar. Boh: Troska poety.
Pierre Vaneau.
Estwoyn: Illegitimi Thori. (c. d.)
M. Alhow.: Głodny.
Kronika naukowa.
Przegląd literacki.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 21. We Lwowie dnia 26. Maja 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"

W miejscu rocznie 12 zł.		na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „	„	3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct.	„	1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.

INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli".

(Ciąg dalszy).

XII.

Hilcio rok rocznie po kilka tygodni w domu przepędzał, przyjeżdzając zawsze na wakacje, wszakże nigdy jeszcze widok ojczystej zagrody, nie zrobił na nim tego co teraz wrażenia. Dawniej przyjeżdżał jak każdy student, szukający w domu rodzicielskim wypoczynku i rozrywki; teraz spieszył do domu, jak człowiek, który wie, że go tam czekają nowe i ciężkie obowiązki.

Mimo całej lekkomyślności, mimo, że ciągle żył z dnia na dzień, boć i ten pobyt w szkołach, nie był właściwie wynikiem planu rozumnie obmyślanego, tylko jednym z owych rzutów, do których ludzie jego temperamentu zawsze są gotowi: mimo więc lekkomyślności, która znamionowała każdy jego krok ważniejszy, Hilcio miał złote serce. Od dalszych wypadków, które nim jak kruchą łodzią miotały, nigdy bowiem nie usiłował nad niemi zapanować, zależało niestety, czy miał pójść wyżej, czy zostać na stanowisku dotychczasowem, czy też upaść i więcej się nie dźwignąć.

Obawy co do zdrowia ojca, nie były bezpodstawne. Staruszek sądził, że ma gicht w nogach, zło przemijające; tymczasem jego nogi były sparaliżowane. Lekarz który co kilka dni do pałacu przyjeżdżał z polecenia młodego hrabiego przyszedł, oglądnąć chorego. Wybadawszy go sumiennie powiedział synowi na ucho, że ojciec władzy w nogach więcej nie odzyszcze. Hilcio zmartwił się bardzo, a ponieważ lekarz stanowczo mu oświadczył, że na cierpienia tego rodzaju medycyna nie ma lekarstwa, on zaś ojca chciał koniecznie ratować, więc począł zasięgać rady rozmaitych kobiet i wróżbitów, których na Rusi Czerwonej, w owej epoce było znacznie więcej niż lekarzy patentowanych. Z bliższych i dalszych stron schodziły się tedy baby i dziady, ten radził smarować, ten kąpać, inny mruczał coś pod nosem i „zamawiał". Na prośbę syna i córki, chory wszystko z sobą robić pozwalał, chociaż wiedział, że mu to nie pomoże. Nareszcie z niecierpliwiony, wypędził fałszywych proroków, zrzucił plastry i rzekł:

— Dajmy pokój tym bzdurstwom, które człowiekowi jeno grosz z kieszeni wyciągają! Co Pan Bóg dał to będzie! Pamiętam nieboszczyk mój rodzic tak samo zaniemógł. Męczył się, kurował, a jednak tak przyszło, że umarł. Już mi nie odmienić co tam przeznaczono!

Odtąd ciągle siedział w dużem krześle poręczowem, zrobionem z prętów laskowych, i bądź godzinami całemi czytał książkę do nabożeństwa, w której ze starości wszystkie karty pożółkły, a rogi na strzępy się podarły, bądź po raz setny przeglądał kalendarz, w którym każde słowo umiał na pamięć, bądź grywał w warcaby. Tę ostatnią i najmilszą rozrywkę, dzielili ze staruszkiem, prócz jego dzieci, czasem także proboszcz lub ekonom, a niekiedy i sam pan mandatarjusz.

Hilcio zaczął gospodarzyć, w czem siostra gorliwie mu pomagała.

Zosia miała już lat ośmnaście i należała do tych rzadkich istot, na których widok ludzie wielkiego świata pytają ze zdumieniem, jakim cudem pod strzechą słomianą, mogło urodzić się i wychować takie śliczne stworzenie. Wzrostu nie była słusznego, lecz figurkę miała zgrabną i jakby toczoną; włosy na głowie koloru brunatnego, bujne i połyskujące w dwóch dużych warkoczach na ramiona jej spadały; oczy, o których nie można było powiedzieć jakiego właściwie były koloru, tak barwa niebieska zmięszała się w nich z zielenią toni morskiej, patrzyły na każdego bez trwogi i zdziwienia; na ustach małych i pełnych igrał uśmiech swobodny; po obu stronach buzi rumianej miała dwa dołeczki, nosek był na końcu

trochę figlarnie zadarty; na koniec czoło było gładkie, spokojne i jasne, jak myśli, które pod niem obrały sobie siedlisko. I nie sama tylko powierzchowność Zosi w połączeniu z drobną ręką i małą nóżką, piękną ją robiła; co jej najwięcej dodawało uroku, to niewymuszona wesołość, to swoboda delikatna znamionująca serce szlachetne, ta łagodność prawdziwie dziecięca, która jej nigdy nie pozwalała się rozgniewać. Ktokolwiek ją zobaczył, czuł się do niej pociągniętym, a kto bliżej ją poznał, musiał ją pokochać. Kochali ją też wszyscy, począwszy od panów Bereźnickich we wsi mieszkających, a skończywszy na panu mandatarjuszu, i jeżeli kto nie widział w niej skończonego anioła, to chyba jeden Krukowski ekonom hrabiego, który rozmawiając o Zosi miał jej zawsze coś do zarzucenia. Ale ktoby tam zważał na jego zdanie! Krukowski słynął ze złego języka, a że sam miał cztery dorosłe córki na wydaniu, po które jakoś nikt się nie spieszył, więc nie dziwota, że piękna Zosia Bereźnicka była mu solą w oku.

Gdy Hilcio do domu przyjechał, siostra nacałowawszy się go do syta, wzięła go za rękę, i poprowadziła do swego gospodarstwa.

— Widzisz jakie mam śliczne kurki czubate — mówiła na podwórzu — a jakie kaczki i gęsi! Kurek dochowałam się z tej pary, którą mi tatuś kupił w Stryju przed dwoma laty, dwie kaczki dostałam już dawno w prezencie od pani sędziny, a gęsi kupiłam sobie sama za nasienie ze słoneczników.

— Za nasienie ze słoneczników? — brat zdziwiony powtórzył.

— Nie inaczej, Hilciu! Jeżeli sobie przypominasz, to zeszłego lata cały nasz ogród obsadziłam słonecznikami... chciałam żeby było ładnie i anim przypuszczała, że mi to się na coś więcej przyda! Tymczasem w jesieni zgłosił się jakiś żydek i za samo nasienie dał mi tyle, że kupiłam sobie dwie pary gęsi! Mówią, że z tego nasienia robią olej... szkoda żem tego przedtem nie wiedziała, byłby mi musiał więcej zapłacić.

— A tego roku czemuś słoneczników nie zasadziła?

— Zasadziłam Hilciu, jeszcze więcej niż w roku przeszłym, ale cóż kiedy ani połowa nie zeszła. Ksiądz probosz mówił mi, że to z powodu zbytniej wilgoci, którą mieliśmy tej wiosny, a pan Krukowski utrzymuje że temu winna moja ręka nieszczęśliwa. Nie dał byś wiary mój Hilciu, jaki nieznośny ten Krukowski! Zawsze musi mi coś niemiłego powiedzieć, a nieszczęście chce, że nie ma dnia bym go gdzieś nie spotkała! Ale mniejsza oto, niech sobie plecie, co mu się podoba, ja dalej będę prowadziła moje gospodarstwo i przekonamy się czy moja ręka nieszczęśliwa! Ach! gdybyś ty wiedział mój Hilciu, jakie ja mam jeszcze świnki. Tatuś kupił mi dwa prosiaczki od kucharza, gładziutkie różowiutkie, aż miło spojrzeć. To jeszcze nieboszczyk pan hrabia sprowadził kilka takich świnek z Anglji, a teraz i ja mam dwa prosiaczki. Przekonasz się Hilciu, jak je każę wypuścić, że śliczne do pocałowania!

To mówiąc rzuciła się bratu na szyję i serdecznie go ucałowała.

— Całujesz mnie Zosiu, jak bym był jedną z tych świnek, w których jesteś tak zakochana!

— Mów co się podoba, a ja ci powtarzam, że są prześliczne, cudowne!

— Czy na nich kończy się już twoje gospodarstwo? — brat zapytał.

— Bardzo proszę! Przecie mam jeszcze śliczną krowę i dwoje cieląt jak gałeczki wszystki ci pokażę... Nie myśl mój Hilciu, że ja tu próżnowałam nie! Ja co dzień rano już o czwartej byłam na nogach, bo odkąd tatuś zaniemógł, musiałam go wyręczać. Teraz wspólnie będziemy pracowali.

— Więc ty wstajesz o czwartej?

— O! czasem jeszcze wcześniej! Naprzykład, jeżeli mam chleb upiec to zrywam się już o trzeciej, bo na naszą Marjannę trudno się spuścić. Tak, tak mój Hilciu, będziesz wcześnie wstawał, bo to zdrowo i pożytecznie, jak ksiądz proboszcz powiada.

— A o której wy się tu spać kładziecie? — brat znowu zapytał.

— W lecie po zachodzie słońca, w zimie czasem już o szóstej, bo światła szkoda. Ale mój Hilciu, ty mnie pytasz o rzeczy, które przecie sam znasz doskonale.

— Prawda że znam, lecz widzisz Zosiu, myślałem, że tu się może co odmieniło... tymczasem jak było, tak jest.

Hilaremu nie podobało się życie pod strzechą ojczystą. Jako student wstawał o godzinie siódmej, jako pan aktuarjusz o pół do ósmej, czasem nawet później; za to wieczorami bawiąc się w karteczki i fajkę kurząc, zwykł był przy szklance miodu gawędzić do północy; tu zaś miał żyć jak pustelnik, którego zmierzch usypia, a pierwszy promień słońca budzi. Wstrząsł się i zrobił minę kwaśną. Zosia jej nie dostrzegłszy, tak przemówiła:

— U nas dzięki Bogu wszystko po dawnemu i dobrze nam z tem... Ksiądz probosz powiada, że każda zmiana jest niebezpieczną, i wskazuje na nieboszczyka pana hrabiego, który jak zaczął w swojem gospodarstwie rozmaite zmiany zaprowadzać, tak do tego przyszło, że teraz młody hrabicz mało co ma z roli.

— Ej! mnie się zdaje — brat przerwał — że tu nie tyle winne zmiany ile pan Krukowski, który ponoś skarb okrada.

— Ja tam niewiem ile w tem prawdy, chociaż we wsi tak mówią... Czy ty Hilciu będziesz u hrabiego Lola? — zapytała bratu w oczy patrząc.

— Trzeba pójść, przecie przyjaźniliśmy się dziećmi, a potem w szkołach... chociaż, przyznam ci się Zosiu, ja Lola wolę w mieście niż w Bereźnicy.

— A to czemu?

— Bo tam nie ma jego matki... Anibyś przypuściła, jaka to dumna kobieta! Tyle razy byłem w jej domu i bawiłem się z Lolem a ona ani mi się w rękę nie pozwoliła nigdy pocałować, ani mnie do stołu zapraszała. Dla ludzkiego oka mnie i synowi kazała zawsze nakrywać na innym stole. Nieboszczyk hrabia gniewał się za to, i zdaje mi się, że jej nieraz z tego powodu robił wymówki, lecz zrozumieć ich nie mogłem; bo ciągle po francusku z sobą rozmawiali.

— To źle mój Hilciu, żeś się nie nauczył tej mowy.

— A mnie naco języka baraniego. Panowie mogą sobie gadać, jak im się podoba, ale szlachcic będzie tylko tym językiem rozmawiał, który dostał od Pana Boga... Piękny mi jezyk, w którym co drugie słowo trzeba powtarzać *mojsie mojsie.* Niby my tych Moszków dość nie mamy, żebyśmy jeszcze o nich mówić potrzebowali. A bodaj ich z taką mową baranią.

Zapanowało milczenie, które Zosia pierwsza przerwała.

— U hrabiego powinieneś być jak najprędzej, bo trzeba ci wiedzieć, że niedawno pierwszy nas odwiedził. Będzie temu czternaście dni stałam właśnie przy parobkach, którzy drzewo rąbali, gdy młody hrabia konno przyjechał. Zlękłam się czegoś bardzo i uciekłam najpierw do izby, potem do komory, z kąd mnie dopiero tatuś przywołał. Hrabia siedział obok ojca, i rozmawiał z nim tak po przyjacielsku, żem się aż zadziwiła. Ciągle mu mówił „panie" Jacenty „kochany" panie Jacenty... Musi mieć bardzo dobre serce, kiedy taki grzeczny. A i o tobie wiele nam opowiadał. Mówił że cię bardzo kocha, że się dobrze uczysz i wkrótce zostaniesz wielkim człowiekiem.

— Tak wam mówił? — zapytał pan Hilary.

— Przecie ci mówię Hilciu, że tak... Kiedy na głos ojca wyszłam z komory, musiałam być bardzo czerwona... czułam w twarzy gorąco i prawie nic nie widziałam... Gdy hrabia powstał i rękę ku mnie wyciągnał... nie wiedziałam co począć... aż on sam wziął mnie za rękę... Wtedy jeszcze goręcej mi się zrobiło... musiałam być czerwoną jak piwonja... Prawda Hilciu, że mnie z tem brzydko, jeżeli jestem czerwona?.

Zosia mówiąc to, miała minkę zakłopotaną i na brata nie patrzyła. Jej oczy, ku ziemi spuszczone, zdawały się czegoś szukać.

— Nie powiem — brat odparł — żeby ci z rumieńcami nie było do twarzy. Przeciwnie, jesteś wtedy nawet piękniejszą.

— Doprawdy?! zawołała dziewczyna zarzucając bratu ramiona na szyję — jakiś ty dobry Hilciu, że tak pięknie mówisz! Ja się bałam żeby mnie hrabia nie wziął za jaką prostą dziewczynę.

— A cóż by to ci szkodziło?

— Mnie nic... lecz zdaje mi się, że toby tobie przykrość sprawiło... Wszak będąc jego przyjacielem nie chciałbyś zapewne wstydzić się przed nim twojej siotry? Tak, tak, Hilciu, ja tylko dla tego chciałam się jemu dobrze przedstawić, żeś ty moim bratem...

Pan Hilary nie należał do głębokich psychologów, to też słowa siostry wziął tak, jak je wypowiedziała.

— I jeszcze muszę ci powiedzieć, Zosia dalej mówiła — że gdy się żegnał, prosił nas usilnie, byś go niezwłocznie odwidził, jak skoro przyjedziesz. On taki dobry Hilciu, że warto abyś zaraz jutro poszedł do niego...

Na pożegnanie znowu mi rękę uścisnął... A jaką ma rękę delikatną, jak panienka! Gdy wychodził, odprowadziłam go na podwórze.

— Źle zrobiłaś moja Zosiu — brat rzekł poważnie. — Panienka nigdy mężczyzny nie wyprowadza, choćby on był hrabią, a ona biedną szlachcianką.

— I ja tak sobie myślałam, chociaż nikt mnie tego nie uczył, ale wierz mi Hilciu, iż tylko dla tego wyszłam, że chciałam przypatrzeć się jego koniowi. Śliczny konik Hilciu, śliczny, jak malowany! I cóż pójdziesz do niego?

— Pójdę.

— Czy jutro, Hilciu?

— Jutro!

— Chodź niech cię uściskam mój dobry braciszku! — zawołała całując go po oczach i twarzy.

Potem szybko i lekko, nucąc coś wesołego, pobiegła do kuchni, aby przygotować wieczerzę.

Z motywów biblijnych.

Szir-ha-szirim

(Pieśń nad pieśniami)

Król Salamon z libanońskich cedrów
Wybudował pałac okazały.
Lśni się srebrnych kolumn zastęp długi
Spływa na dół szkarłat od powały;

A we wnętrzu droższe jeszcze skarby
Tam w zaciszu w mgłach czarownej woni
Król miłośnik najpiękniejsze z dziewic
Przed oczyma swych poddanych chroni.

Chodź Sulamit cudna czarodziejko!
Król się w twojej rozkochał ozdobie...
W cieniu zasłon jedno łoże próżne
On to łoże ofiaruje tobie.

„Nawróć się“ — mówię — „Sulamitko!“
O! niechcę królu, Panie! —
Ty hufce dziewic masz — bezemnie
Mój luby sam zostanie.

Słodsza mi jego miłość szczera,
Niż złoto i dostatki...
O puść mię królu z pysznych komnat
Do jego cichej chatki.

Wyższa jabłoń niźli krzewy,
Szczytem wznosi się nad gaje —
Jako jabłoń pośród krzewów
Luby mój wśród innych staje.

Chciałam siedzieć w cieniu jego —
Siedzę: słodkie jem owoce...
On mię w dom swój w wiódł miłości
Ogień w oczach mu migoce.

Jako-m miała mu nieuledz?
Patrzę zbiega ku dolinie,
A tak chyży, jak jelonek
Jak mgła, co z wietrzykiem płynie.

Już przed domem już u okna
Już go słyszę jak mię wzywa:
„O wyjdź przyjaciółko moja
Gołębico wyjdź trwożliwa!

„Pora zimy dawno przeszła
Nie zsyłają deszczów nieba
Kwiatów pełne nasze łąki
Zbóż i trawy pełna gleba.

„Woń od winnych płynie sadów,
Już figowy gaj w rozkwicie,
I z wieśnianą piosnką ptaszą
Ściga muszki po błękicie.

„O chodź gołębico moja,
Rzuć rozpadlin skalne wnętrza,
Nad płomienne słońca skwary
Miłość moja jest goretsza“. —

Jesteś piękna o moja siostrzyco
Jako Tersa jako Jeruzalem.
Kogoż oczy twoje nie zachwycą,
Nie napełnią rozkoszą i — żalem?

Zęby twoje jako owiec stado
Kiedy z czystej, źródlannej kąpieli
Jaśniejącą wychodzą gromadą
Pełne blasków i śnieżystej bieli.

Nos twój, jako wieża Libanonu,
Szyja, niby słup z słoniowej kości
Oczy — to sadzawki Hesebonu
Głowa — to Karmelu wyniosłości.

A twe piersi... Istnych saren dwoje
Co igrają pasąc się na łące!
A w około łąki szemrzą zdroje
I lilijki kwitną wonające.

„Co ma twój kochanek
Po nad inną młodzież?
Czy dobytek większy
Czy wspanialszą odzież?“

— „Nie! córko Syonu!
Nie zdobią go szaty,
Mój miły to pasterz
Z ubożuchnej chaty.

Lecz taką urodą
Przedziwną przyodzian
Że mu nie dorówna
Najpiękniejszy młodzian.

Palce ma u dłoni
By hiacyntów grono —
A jak kość słoniowa
Śnieżne jego łono.

Policzki podobne
Ziół wonnych dolinie,
Wargi, jako lilie
Z których mirra płynie;

Krucze mu nad czołem
Powiewają sploty,
Głowa jak rzeźbiona
W bryle szczerozłotej,

A oczy te jasne,
To gołąbków para
Zawisłe u powiek,
Niby u konara.“

Sen mię ogarnął, ale słyszę we śnie
Dźwięk słów miłego: „Otwórz moja miła

„Już ptaki nocne kończą swoje pieśnie,
„Rosa poranna głowę mi zwilżyła,
„Nim dzień słoneczną zabłyśnie żrenicą
Otwórz mi siostro, otwórz gołębico!“ —

— „Zwlokłam już szatę mamże je wdziać znowu?
Umyłam nogi, mam je skalać świeżo?
Lecz czekaj luby, jam posłuszna słowu
Posłuszna prośbom, co z ust twoich bieżą
Otwarłam odrzwie, drżąc od chłodu cała
A mirra z palców na zworę kapała.

Lecz już nie było kochanka na dworze
Odszedł i zniknął pod nocy pokrywą.
Wołałam myśląc, iż się ozwie może
Iż mię pocieszyć przyjdzie nieszczęśliwą,
Lecz jako rosa niknąca bez śladu,
Tak głos mój zginął w krzewach winogradu.

Źródło ogrodne srebrzyste,
Wód żywych kryształne zdroje —
Libanońskie cedry smukłe
I wy smuklejsze powoje,
Co po gałęziach omszonych
Korony splatacie jasne
W jeden szum zlejcie się lube,
Aż weń wsłuchawszy się zasnę.

Wonne kwiatuszki szafranu,
Granatne kwiaty jabłoni,
Kasje z cudnymi kielichy
Rozlejcie uroki woni.
Napójcie mię swym zapachem
Napójcie mię zioła krasne
Aż odurzonej — bezwiednie
Powieki spadną i zasnę.

Od gór Saniry i Hermon
Od wzniosłych szczytów Amana,
Z jaskiń lwich, z siedzib tygrysów
Wietrzyku powiejesz z rana.
Powiejesz zbudzisz mię śpiącą,
Gdy zorza da znak poranka —
A nie zapomnij mi przywieść
Lubych pozdrowień kochanka...

O! jako pieczęć przyłóż mię
Na drżące serce swoje,
Tu nas nie dojdzie świata głos
Nie dojdą niepokoje.
Posłaniem nam kobierce traw
Uroczej pełne woni...
Cedr konarami zwisa w dół,
Od słońca nas ochroni.

Czy widzisz? Miłość duma
Ukryta w cieniu liści —
Płomienny żar oczyszcza ją,
Jak ogień złoto czyści.
Cudowny-ż żar to — on ma blask
Jaśniejszy ponad zorzę,
A niech zapłoni tylko raz
Nie zgasi go i morze.

St. Rossowski.

Kronika naukowa.

Ogólny rzut oka na postępy elektrotechniki.

przez C. K.

(Dokończenie).

Lokomotywy elektryczne różnego rodzaju wprowadzili następnie Dupuy, Murchisson i inni; zastosowano też maszyny elektodynamiczne do łodzi i statków. Nie mamy zamiaru rozbierać tu tego szeregu rozmaitych pomysłów przeróżnego stosowania tych samych w zasadzie motorów. Wzmianka jednak należy się kolejom elektrycznym, projektowanym przez prof. Ayrton i Perry w Londynie. Ci dwaj znakomici elektrotechnicy, którzy utrzymują w Londynie naukową pracownię li tylko do celów elektrotechnicznych, zmodyfikowali pomysł D-ra Siemensa i osiągnęli postęp na tej drodze, który spodziewać się każe prędszego rozwoju „kolei elektrycznych“, aniżeli dotąd z osiągniętych rezultatów wydawać się mogło.

Prof. Ayrton okazywał modele swego systemu i objaśniał swój pomysł na odczycie, wygłoszonym w końcu ubiegłego roku w Royal Institution w Londynie. Odczyt ten, w skróceniu jedynie dotychczas nam znany, nie zawiera wszelkich, specjalistę interesować mogących szczegółów, wyjaśniających to nowe, a wielce ciekawe urządzenie, lecz pomimo to dostateczne daje wyobrażenie o głębokości pomysłu i jego doniosłości.

Zasadniczą podstawą systemu Ayrtona i Perryego jest urządzenie tego rodzaju, że strumień elektryczny biegnie nie po źle odosobnionych i dużą stratę siły powodujących szynach, lecz po oddzielnej, wzdłóż szyn ułożonej linie metalowej, odosobnionej starannie zapomocą zewnętrznej warstwy gutaperchowej, na wzór lin telegraficznych podwodnych. Z liny tej, zapomocą dowcipnie obmyślanych, w pewnych odległościach umieszczonych słupków, strumień może przechodzić na szynę metalową, starannie od ziemi odosobnioną, a podzieloną na części czyli oddziały, niemające ze sobą elektrycznego połączenia, tj. wzajemnie odosobnione. Zetknięcie elektryczne pomiędzy liną a danym oddziałem szyny metalowej następuje w ten sposób, że wierzch słupków może być naciskany i pod naciskiem tym obniżać się może tak, że metalowy guzik metalowy wierzchniego denka przytyka wtedy do guzika spodniego, mającego elektryczne z liną połączenie. Słupki i wagony pociągu urządzone są tak, że zetknięcie elektryczne, t. j. przycisk wierzchniego dna słupków następuje przy przejściu wagonów. Pędzący zatem pociąg automatycznie przez takie naciskanie zamyka w danem miejscu łańcuch elektryczny, a elektromotor jego, otrzymując tym sposobem siłę, działa jako mechaniczny przyrząd ruchu. Elektryczność po nieodosobnionej szynie biegnie tylko na tych jej częściach czyli oddziałach, które w danej chwili w bezpośredniem pozostają zetknięciu z pociągiem; na całej pozostałej przestrzeni elektryczność biegnie po linie, dobrze odosobnionej, przezco zapobiega się iej rozpraszaniu i większej stracie siły, tak, że strata ta przy najdłuższej linji jest tak dużą, jak przy najkrótszej. Jestto ogromnym w praktyce krokiem naprzód i prawdziwą wyższością nad dawnym, — to jest aż trzyletnim systemem Siemensa. Obok głównego udoskonalenia, posiada projekt nowy dwie jeszcze, wielce ważne zalety. Prof. Ayrton w wykonanych na małą skalę modelach swojej kolei, zaprowadził automatyczne urządzenie tego rodzaju, iż pociąg nietylko na danych oddziałach otwiera zetknięcie elektryczne lub je znosi, ale jeszcze wpływa na odosobnienie szyny, doprowadzającej elektryczność z liny, w przyległym, przebytym oddziale, tak, że gdy na jednym oddziale łańcuch elektryczny jest zamknięty, to na oddziale poprzednim zamknięcie łańcucha w taki sam sposób jest niemożliwem, a strumień z szyny odosobnionej na motor przechodzić nie może. Wyobraźmy sobie zatem, że na jednym z oddziałów pędzi pociąg; gdyby jednocześnie na sąsiednim oddziale inny zjawił się pociąg, to elektromotor jego nie otrzyma siły elektrycznej, po odosobnionej linie płynącej; strumień wcale do motoru nie wejdzie, gdyż krótszą dla siebie znajdzie drogę. Wówczas motor pod wpływem ruchu, jaki poprzednio pociągowi został nadany, wskutek bezwładności stanie się „odwróconą“ maszyną, w której ruch przeobrażać się będzie w elektryczność, a rodzący się w ten sposób ogromnie silny (o krótkim przebiegu i małym oporze) strumień elektryczny, przeciwnego kierunku, w niesłychanie szybkim czasie zrównoważy nadany prawem bezwładności ruch pociągu i automatycznie go hamuje. Zetknięcie się zatem dwu pociągów w ten sposób, staje się w ten sposób niemal niemożliwem; natomiast z chwilą, gdy pociągi znów się oddalą, a odosobnienie szyny przywróconym zostanie, oba elektromotory znów jako takie, działać i pociągi prowadzić będą mogły. Niepodobna nie przyznać ogromnego wpływu na niebezpieczeństwo pociągów temu, czysto automatycznemu, a nie sygnało-

wemu, jak we wszystkich innych wypadkach, urządzeniu. Drugiem, w tym samym kierunku, ale mniej ważnem udoskonaleniem, jest również w modelach kolei projektowanej osiągnięte urządzenie, iż przy przejściu pociągu od jednego słupka do drugiego, otrzymuje się przez nacisk denka zamknięcie pobocznego jeszcze łańcucha elektrycznego. Prof. Ayrton posługuje się tem, ażeby w stałym, przy końcu linji umieszczonym przyrządzie, wskazywać graficznie bieg pociągu, w miarę jego posuwania się: osadzając skazówkę przyrządu na schematycznej mapie całej kolejowej linji, otrzymuje się wprost geograficzny obraz jazdy, jaką pociąg na odległości odbywa. Urzeczywistnienie takiej automatycznej. w każdem miejscu możliwej kontroli, jest rzeczywiście wspaniałem, a w praktyce posłużyć może do kontroli szybkości jazdy i do natychmiastowego wskazania w razie wypadku, gdzie i kiedy nieszczęście nastąpiło.

Czy te wszystkie udoskonalenia dadzą się łatwo i tanio zastosować na wielką skalę w komunikacjach cywilizowanego świata, tego osądzić niepodobna, i cośkolwiek wypowiedzieć o tem, byłoby przedwcześnie. Niezaprzeczenie koleje elektryczne, niedające wcale dymu i o wiele od taborów parą prowadzonych lżejsze, na znaczne zasługują pierwszeństwo w tunelach i w nadziemnych, na słupach ponad miastami w Ameryce prowadzonych kolejach.

Na zwykłych drogach jednak, dziś parą obsługiwanych, elektryczność ma do zwalczenia nietylko rachunek możliwych korzyści i szanse bezpieczeństwa, ale zajadłą stoczyć musi walkę z dwoma potężnymi wrogami: z rutyną i z kapitałem. Walka ta była przedmiotem odczytu Prof. Perry'ego, wygłoszonego przed londyńską publicznością, kilka miesięcy już temu. Oprócz podniesionych przez nas powyżej porównawczych względów spożytkowania siły w motorach parowych i elektrycznych zwraca Perry nader słusznie uwagę na inne, drobniejsze, ale nie małoważne względy. Gdy np. lokomotywa — powiada on — przystaje za stacji, marnuje się znaczna ilość siły: traci się i ciepła i dużo ruchu. Daleko większą stratą jest, uchodząca wciąż w czasie jazdy, niespożytkowana w największej części, para zużyta (returowa), której corocznie na kolejach marnowana ilość ogromne musi stanowić kapitały. Przy dynamo-elektrycznej maszynie, straty te sprowadzone zostają do minimum; oszczędzona przy zwolnieniu biegu lub przy zatrzymaniu siła pozostaje niestracona, a warunki spalenia węgla mogą być najstaranniej i najkorzystniej obmyślane.

A jednak, poważna bardzo oszczędność gdyby ję osiągnąć tu się udało, z trudnością chyba zwalczy urządzenia, które mają za sobą rutynę i za których utrzymaniem mówi interes wielu bardzo jednostek. Czy można sobie! wyobrazić' aby miano wyrzucić i wycofać z użycia tysiące lokomotyw i powiązanych z niemi urządzeń? czy potentanci przemysłowi i finansowi, tacy, jak Borsig i Sigl, jak angielskie i belgijskie wielkie towarzystwa budowy lokomotyw, dadzą się zrójnować, niebroniąc się przedtem do upadłego przeciw Siemensowi i Halskemu lub Bréguetowi? Nieprzesądzając końca rozpoczynającej się już walki, stanowczo przepowiedzieć można, że bardzo będzie uporczywą i zaciętą.

Jak mieliśmy sposobność zaznaczyć powyżej, zasadniczym przymiotem elektryczności jest łatwość w jej rozprowadzeniu. Prof. Perry może ma słuszność, twierdząc, iż tak jak w swoim czasie para, owładnąwszy całkowicie wytwórczym przemysłem, stała się przyczyną wielkiej, a według najnowszych teoryj socjalnych, nadmiernej — centralizacji przemysłu w ogólności i skierowanych ku niemu kapitałów, tak w najbliższej znów przyszłości, elektryczność sprowadzi decentralizacją pracy ludzkiej, zapewni osobistą wytwórczość wyrobnika i osłabi znaczenie kapitałów w przemyśle dziś rzeczywiście bardzo potężne. Nierozporządzający bowiem kapitałem pojedynczy pracownik, będzie mógł — skoro wzniesione po miastach zostaną wielkie zakłady elektro-dynamiczne, wytwarzające ze spalonego węgla strumienie elektryczne, kupić lub wynająć odpowiednią siłę, wprowadzić drut do izdebki i otrzymać w ten sposób nietylko światło i ciepło do użytkowania, ale i motor mechaniczny do swej pracy.

Dla takiego urządzenia, do takich miejskich „fabryk elektryczności" bardzo wszakże tymczasem daleko, a projekty, jakie się rodzą i rozwijają, zasługują przeważnie na uwagę jako prąd czasu. Są one zwiastunami leniwszego od nich postępu rzeczywistego. W szeregu tych zwiastunów pominąć wszakże — gdy o nich mowa — nie należy, bardzo śmiałego projektu Bessemera. Proponuje on, aby powszechne „fabryki elektryczności", nie w zużytkowujących siłę tę miastach, lecz w kopalniach węgla jedynie zakładać. Wiadomo, że cena węgla na kopalni jest stosunkowo bardzo niską, a w większości wypadków koszt przewozu przedstawia największą część ceny węgla, w miejscowościach niezbyt bliskich źródła, gdzie go z łona ziemi wydobywają. Ponieważ zaś drut miedziany jednocalowej średnicy (m. ang.) — wedle doświadczeń i obliczeń naukowych — przeprowadzić może siłę elektryczną, równą sile 84000 koni parowych, czyli 6300000 kilogrametrow pracy na sekundę, przeto Bessemer wyliczył, że zaprowadzenie drutów z kornwalijskich kopalni — znaczną da oszczędność w koszcie wszelkich sił dla całej brytańskiej stolicy i obficie opłaci procent i umorzenie od uczynionego na to nakładu.

Obok tego korzystnego — jak twierdzą projektodawcy na teoretycznych dotychczas podsławach — zużycia siły, a raczej energji zawartej w węglu, wspomnieć koniecznie wypada o dawniejszym już projekcie wyzyskania tą drogą sił przyrody, bezpośrednio pod formą ruchu się przejawiających. Thomson i Houston, zajmując się teoretycznie kwestją „przenoszenia siły (ruchu) zapomocą (?) „elektryczności," wyrachowali, że ogromna, a marnująca się w przyrodzie siła spadku Niagarry, mogłaby być zużytą na odległość 500 mil angielskich (około 800 kilometrów czyli 850 wiorst) za pośrednictwem drutu miedzianego, niespełna pół cala ang. średnicy mającego. Gdy więc dotąd tylko w bezpośredniem sąsiedztwie wodospadów leżące zakłady mogły użytkować z dobrodziejstwa sił natury, elektryczność pozwoli nam może pójść dalej i na wszelkich odległościach zużywać takie źródła siły które nic nie kosztują, a które stoją otworem dla człowieka, o ile on korzystać z nich zechce i potrafi. Jeśli obrachować, jak wielki zapas niewyzyskanej dziś siły mógłby w ten sposób dla ludzkości być spożytkowanym, jakże nie unieść się, jak nie uwierzyć w potęgę tej nowej dla celów praktycznych siły, w szybki jej rozwój i w piękną przyszłość. Aby jednak w tym kierunku zbytniemu nie dać się uwieść złudzeniu, pamiętać potrzeba ciągle, że pomiędzy teoretycznemi spekulacjami, a praktycznem ich urzeczywistnieniem, przedział jest wielki, trudności do przebycia ogromne, a najpiękniejsze nieraz rozumowania, gdy ogniową próbę wykonania przejść mają, rozbijają się często w twardą i przykrą rzeczywistość.

Co z dotkniętych w powyższem projektów przejdzie w życie lub ku urzeczywistnieniu swemu się zbliży, o tem będziemy się starali dalsze od czasu do czasu dawać wiadomości.

PAWŁO, DRWAL.

SYLWETKA

W. R. Lewickiego.

— Pawło! ot wiozą.

— E! indziej.

- Ale ba! już nam się patrzy zarobek.

Szeroki wóz łatrowy z drzewem skrzypiąc po śniegu, powoli toczył się w bramę.

Maksym ręce zatarł, siekierą machnał. Pawło osełkę z za pazuchy wyjął, piłkę do piersi przycisnął i zwolna przekładając zęby począł wycierać i ostrzeć.

— Idźże no, spytaj ta zgodź sie.

— Zaraz, zara. I leniwo wlókł się w podwórzec.

— Będziemy robić proszę łaski panny? spytał patrząc z podełba na pilnującą drzewa służącę.

— Nie potrzeba, odcięła fertycznie dziewczyna, u nas aresztantów pan bierze do rąbania.

— O! patrzcie ją, zły zamruczał, złodziejom to daje, a biedny człowiek niech z głodu mrze.

— Ouwa! jaki mi mądry się wziął — odcięła służąca.

— A bodaj was za naszą nędzę Pan Bóg skarał z waszym kryminałem — zaklął, z pod pieczonki splunął z niechęcią i powoli z bramy na ulicę wracał, gdzie Maksym go pocieszał.

— Indziej to się trafi. I obaj wymyślać poczęli

Schował osełkę w zanadrze i ręce skostniałe potarł. Szli zadumani pospołu.

Mróz brał siarczysty, zimno im dojęło, głód dokuczał, złość drażniła.

Serdak jeden z drugim ścisnął, kawał świty za rzemień upchał i czapkę ułańską na ucho głębiej nasunął. Mróz wąsy im zmroził a brwi nastrzępione igiełkami brylantów w słonecznem świetle migały.

Pawło targnął wąsiska i strząsł ochuchane ust ciepłem strzępy lodowych kryształków.

Z ukosa na świat patrzyli już nie myszkując łatrowych wozów z drzewem. A świat był taki ruchliwy, promienny, taki wesoły, a taki jasny i słoneczny, a białe domy z słońcem igrające i śnieg ozłocony i lśniące niebo tak jasnością biły, że w nie, patrzeć nie sposób.

— Licho, że tych złodziei nadało, od domu się to wałęsa do domu i z pod nosa człowiekowi robotę zmiata.

— Boga to w sercu państwo ci nie mają — mruknł towarzysz.

— Psia taka dola człowieka!

— Grosza nie wykrzeszesz. Ręką chciał wąsa musnąć, a mróz na odpowiedź żylastą chwycił skórę spracowanej dłoni żelaznymi kleszczami, że zgiąć jej nie był w stanie.

— Chyba łykniem gorzałki, bo krew się w żyłach ścina.

— Ba! ino żebym miał grejcar przy duszy.

— Ej jakoś to będzie.

— Bez tego głodem mrą doma.

— Ta prawda.

Klnąc zwlekli się do szynku.

Dym i zaducha zmieszane z parą wyziewów niewonnych duchem ich uderzyły. Owiani ciepłem nawet tej atmosfery zwolna przychodzili do siebie. Skostniałe ręce aż spotniały. Łzą oczy im zaszły i gryzącą parą.

Na stołach szklanki, przed nimi kilku nędzarzy, w kącie dziewczyna gziła się z piaskarzem, co wstąpił na łyk jeden, konia przed drzwiami z piaskiem zostawując. Za podniesionym szynkwasom stara Ruchla żydowica o spoconych policzkach, tłustemi palcami druty przebierała po zbrudzonej pończosze.

— Daj siwki.

— A zapłacisz?

— Już to nie twoja głowa.

— Ty się tem nie turbuj! ty stara omędro!

— Naści ty wiedźmo — huknął rzucając siekierę, w zastaw, daj półkwaterek.

Aż się zaśmiał do cynowej miarki pieniącej się siwuchy.

— Do ciebie kumie,

— „Szob' łycha ne znaty“ i wychylił miarkę, łyknał raz i drugi.

Kum za drowie dziękował, wypił na cur lichu, szpeką zakąsił i wąsy obtarł lewym rękawem.

Obaj byli na ławie. Duchem się ogrzali i dumać sobie jęli.

— U mnie — bo jeszcze pół biedy, stara stanie do balji, ta grosiwa gdzie wydrze.

— Ba! Moja na Pokrowę rok będzie — ze wszystkiem mi marnieje,

Kwęka dzień i noc ciągiem.

Pomorka ją chwyciła pewnikiem na przednowek kiwnie.

— Ta niechby!

— Tylo nie stanie na księdza, ta trumnę...

Noc zapadała, mroczne wychylając łono w stu gwiazdach błysła na zbrudzonym podwórzu. W głębi stał lamus wznosząc się pośród śmieciska rozmaitego: węgli, łup, niedoimków rzepy i zgniłych ziemniaków. W tym przyścianku na barłogu poczerniałego okłotu leżała chora kobieta. Stękanie jej przerywał to płacz to krzyk kilkorga wynędzniałych dzieci. Bose to i zamursane, drżące od zimna i głodu, do boskiego stworzenia niepodobne wołały za chlebem.

W tem z pod wianka chmur ukazujący się miesiąc w pełni, zarwał rąbkiem srebrnego światła bladą twarzyczkę dziewczęcia i blaskiem swoich promieni oświecił na wpół przechylóną główkę, powiewnej tej postaci... Aksamitny puszek brzoskwiniony ośniedzał ciemny inkarnat cery, wiśniowe usta i włos w nieładzie kruczo szafirowy robiły z niej w tem pół świetle jasnego księżyca, jakąś cygankę z nad Ebru.,.

Matka ze słomianego barłogu zawołała: „chleba“.

— Matulu moja! w domu ni łyżki ciepłej strawy znaleść -- i łza sperliła jej oko, tatunio wnet przyjdą, ta chleba przyniosą.

— „Jeść“ wrzeszczały dzieci.

Ona je ręką garnąc utulała...

— Tatunio co ino, co ino u proga.

— Bobyś łyżkę mleka zkąd mi wydostała — jęczała chora żałośnie.

— Duchem już przyjdą; co ledwo nie widać — to mleka wam kupią a migiem je sprażę. Rogóżą chorą okryła i wybiegła w podwórzec wypatrzyć z ulicy kiej ojca nie zobaczy.

W tem panicz jakich wiele, przystanął u proga i rękę strwożonej uchwycił. Coś prawił do ucha. Stanęła jak wryta. Aż ręką musnął po twarzy. Dziewczyna spłonęła krasnym rumieńcem. Po chwili szamotania, wyrwała się gwałtownie. W pąsie, brylantowa w oczach, Pawło z szynku się wlokąc nadybał. Panicz gdzieś w lot znikł jak kamfora. Ona z miłością do ojca się tuląc tonęła, we łzach na piersi. „Durna ty! durna!“ mruczał stary przez zęby idąc ku izbie i spoglądał z ukosa.

— Ta ino z nim trza ci się było zadać.

— Nie chcę Tatuniu! niech mię ręka broni.

— Ej! nie ochota tobie z młodymi?

— Ja go się boję, on bardzo zły widno.

Pawło patrząc wilkiem na ziemię, markotno głową pokręcił i huknął.

— To ruszaj za nim on da pieniędzy! Teraz ty zarabiaj — ja już nie umiem

— Tatuniu! nie pójdę, nie chę, broniło się dziewczę

— Niechcesz? to zechcesz!... jak gębę ci z głodu wykręci!,..

„Jeść jeść!“ krzyczały dziecięta zgłodniałe.

Odczepcie wy się, nie mam jeść!

— „Chleba“, jęknęła chora.

— Nie mam! — ryknął.

— Pieniędzy skąd ja dostanę pieniędzy... zawodziła dziewczyna?

— Skąd pieniędzy dostanę... powtórzył echem mimowolnie Pawło.

— Skąd dostanę? — i oko groźnie mu błysło, aż ciarki przeszły dziewczynę.

— Pójdę kraść:..

* * *

Wiosna ożywczem wionęła ciepłem Śnieg tajał, woda rynsztokami po ulicech biegła. Dzień był słoneczny. Miasto pełne wrzawy. Środkiem ulicy ciągnął oddział aresztantów.

Ich krojone jednaką miarą sieraki, ich twarze posępne, ich wzrok ponury ostro odbijały od różnobarwnego, wesołego tłumu przechodniów. Każdy sobą zajęty, nie oglądając się spieszył. Z ulicznego gwaru nagle się wyłoniło dziewczę o bladym inkarnacie twarzy i upstrzonem ubraniu, za jednym z tych niewolników niespokojnem wiodąc okiem.

— Masz za czem się oglądać — ta za złodziejami, ofuknęła starsza — ondzie hrabia idzie.

Aresztanci zniknęli w bramie jakiejś kamienicy. Na podwórzu stały sągi łatrowe. Pod nimi drwale myszkujący roboty. Jeden zglądnął się na przybyłych i stanął wryty.

— Pawło! ta wy to?

Ocknął się zadumany; na głos Maksyma głowę podniósł.

Był zaniedbany, o zapadniętych policzkach i wygasłem oku. Pobladł silniej, wpatrzył się weń żałośnie, aż mu łzą zaszły oczy, w gardle coś załechtało, a słowa uwięzły na ustach.

Pokonał się.

— Tera mam ci robotę...

Maksym chciał się przywitać, dozorca nie pozwolił się zbliżyć.

— Taki befel.

— Cóż moja? pytał Pawło.

— Oho! już indziej.

— A dzieci?

— Po świecie. Starsza ot... — machnął ręką — i mówić nie warto, a małe — na żebrach..,

Świat zyskał złodzieja, ziemia mogiłę, a ludzie żebraków chleba i miłości.

10. grudnia 1881.

Przegląd literacki.

(Liberalizm i Obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815 1823) p. Piotra Chmielowskiego (Ateneum 1883 styczeń-kwiecień.)

(Ciąg dalszy)

Powstawały więc projekta reformy. Chciano żydów prowadzić na stepy i tam zrobić dla nich udzielną prowincję; proponowano usunięcie ich stanowczo od dzierżaw propinacji. Co więcej, aby zapobiec rozradzaniu się ich, projektował ks. Marczyński „nakaz życia w wiecznem bezżeństwie tym wszystkim żydom, którzy nie mają kapitału 500 rubli albo rzemiosła“. W ogóle myśli o równouprawnieniu i uobywateleniu nie było: usiłowano tylko wynaleść sposoby usunięcia zła ekonomicznego.

I tu reakcja odegrała smutną rolę. Kiedy kwestją włościańską, a po tem kwestją oświaty ludowej zajęte były wszystkie czasopisma „Miesięcznik Połocki“ nawet słabym głosem nie zaznaczył, że współczuje z prądem nurtującym w społeczeństwie. Kiedy pojawił się wzmiakowany artykół w Wiadomościach brukowych, dążacy do tępienia złego w zakresie stosunków włościańskich, czuł się niejaki Ignacy Łagiewnicki spowodowanym do założenia Gębacza — w celu przeciwdziałania. A co ważniejsza, jak w kwestji oświaty usiłowali poddańczością i wystawianiem wychowania liberalnego za szkodliwe rzadowi — podsunąć mu stołka, tak tu wstecznictwo osłaniają miłością kraju. Nieznajomy autor „Uwag o wolności poddanych w naszym kraju“. — Zwolennik poddaństwa i pańszczyzny kończy: „Obywatel wierny tronowi, przywiązany do ojczyzny i w cnotliwem postępowaniu znajdujący wspólną nagrodę, świętą znajduje powinność odkryć w swojem piśmie to wszystko, cokolwiek krajowi szkodliwem być może“.

Takie były wyobrażenia liberalnych i obskurantów w dwóch najważniejszych kwestjach ówczesnego życia narodu. Istniały atoli inne — mniejszego znaczenia, niemniej jednak ciekawe, jak: kwestja polityczna i narodowa, kwestja emancypacji kobiet, łączenia się w towarzystwa — i jeszcze specjalniejsze — pozostające w sferze naukowych badań kwestja krytyki dziejowej, filozofii i literatury.

Wszędzie zaznaczyły się mniejsze lub większe różnice zapatrywań, nie od rzeczy więc będzie przejść je pokolei choć pokrótce.

Z osobliwą siłą i sarkazmem występują Wiadomości Brukowe przeciw kastowym przesądom szlachty i pustym brzękom w narodową strunę. W kraju Bibencji (Listy indyjskie nr. 127) mieszkańcy dzielą się na 2 kasty: z urodzenia rozumna i z urodzenia głupia.

Pierwsi umieją wszystko z urodzenia, mają przywilej posiadania pieniędzy, przywilej bezczynności, są częstokroć s o b i e n a w e t niepożyteczni, drudzy muszą pracować, znosić kaprysy pierwszych, być użytecznymi dla kraju. Istnieje tu tak zwana świątynia narodowości. Czciciele jej składać muszą przysięgę tej osnowy: „Ja N. N. obiecuję i przysięgam, iż stale, czule, serdecznie i sentymentalnie kochać będę narodowość i bronić jej jak najmocniej, a mianowicie 1o szczerze i najmocniej wierzyć, iż każdy u r o d z o n y ziomek umie wszystko doskonale i zdolny jest do piastowania wszelkich urzędów, a oraz nigdy się nie zapytam, co umie i gdzie się uczył, a nawet drugim tak niedorzecznych pytań czynić niedopuszczę. 2 będę wszelkimi sposobami powstawał przeciw wolności nieurodzonych, 3. wszystkie zagraniczne hotele napełnię sławą mego narodu przez wspaniałe i zbytkowne wydatki. 4 będę próżnował przez całe życie, brzydził się wszelką profesją i pogardzał ludźmi co tak nikczemnym żyją sposobem, 5 nie będę nigdy płacił długów, 6 będę chwalił i uwielbiał wszystkie narodowe przesądy, 7 raz przynajmniej upiję się na dzień, 8 nazwę się nakoniec hrabią i za resztę majątku kupię krzyżyk maltański“.

Ciekawą jest rzeczą, że już wówczas występuje kwestja emancypacji i racjonalnego, trzeźwego wychowania kobiet. Niejednokrotnie poruszano ją w pismach. Ganiono sposób wychowania domowego, co się praktykowało po domach możnych. Wynikiem głównym jego: mówienie po francusku, gra na fortepianie—taniec; wskazywano błędy pensjonatów, radzono większą baczność na stronę fizyczną; wreszcie zachęcano zdolniejsze do pracy literackiej.

Co się tyczy towarzystw, zaznaczyć musimy, że większa część ich miała tendencje liberalne. Uniwersytet wileński i pod tym względem okazywał się instytucją wzorową. Pozostawał on w ciągłej i ścisłej łączności ze społeczeństwem przez comiesięczne t. z. posiedzenia akademickie publiczne, na których czytano rozprawy, popularyzując naukę. Krom tego tworzyły się towarzystwa ku wspieraniu ubogich uczniów, towarzystwo lekarskie, a osobliwie ważne towarzystwo typograficzne, zajęte taniem wydawnictwem pożytecznych a popularnie napisanych dziełek.

Spółrzędnie istniały dwa inne towarzystwa, których celem było „szerzenie idei humanitarnych w ogóle, tolerancji religijnej, swobody myślenia, oświaty prawdziwej we wszystkich warstwach społecznych, równości wobec prawa, wolności politycznej w zakresie legalnym; przeciwdziałanie zabobonom, przesądom, bigoterji, fanatyzmowi, nieprawnej przewadze jednej klasy nad drugą, wszelkiemu uciskowi, wszelkiemu służalstwu“. Łatwo odgadnąć, że były to towarzystwa wolnomularzy i szubrawców.

Pojęcia w kwestjach nankowych rozmaitością swą i skrajnością wywoływały

żywszą nierównie polemikę, niż w zakresie kwestji społecznych. Budzący się duch krytyki dziejowej nie przenikał wcale do umysłów obskurantów, którzy hołdować woleli przesądom i ślepo wierzyli w tradycję.

„Miesięcznik połocki“ — główny organ obskurantów, zostający pod redakcją księży Jezuitów, usiłował zohydzić filozofię francuską XVIII wieku. Zadaniem filozofii — wedle autora „Przestróg religijno-politycznych, od pewnego wielkiego filozofa danych swojemu uczniowi“ — jest powstawać przeciw swym gnębicielom, całego rozumu zażywać przeciw ustawom towarzyskim i wszelkimi sposobami szukać szczęścia, które mu przyrodzenie wskazuje; a jeśliby w całem przyrodzeniu nie znalazł pomocy, wówczas filozofia radzi takiemu wrócić się do pierwszego jego bytu“ t. j. zostać zwierzęciem. Miesięcznik wzdycha do czasów, w których filozofia była służebnicą teologii i piorunuje na wiek XVIII.

Podobne to głosy wywołały rozprawę Śniadeckiego „o filozofii“, gdzie między innemi roztrząsa autagonizm filozofii i teologii. „Potwarze i prześladowania ludzi uczonych — pisze — zaczęli teologowie; przez co szkodzili religii, moralności i naukom. Uczeni wzięli się nakoniec do obrony: roztrząsnęli naukę teologów, oddzielili w niej to co jest prawdziwie boskie i religijne, od tego, co jest wymysłem i przywłaszczeniem ludzi chcących nad światem przewodzić i panować: i stąd wypadły drogie i wielkie dla religii i społeczności przysługi ale też stąd wyszło źródło nieubłaganej na filozofię zawziętości“. „Każda nauka — mówi w końcu Śniadecki — ma swoich półmędrków i kuglarzy, którzy ją znieważają i psują, i ma także prawych czcicieli i wyznawców, którzy ją z chwałą i pożytkiem doskonalą i szerzą. Własnością pierwszych jest powierzchowność, podłatana dumą i zuchwałością; przymiotem drugich jest gruntowność, ozdobiona skromnością i wielką przezornością w sądzeniu. Gruntowny teolog nie osłabia filozofii, ale jej się uczy, jako sobie nie tylko pomocnej, ale nawet istotnie potrzebnej“...

Podobnie jak Śniadecki — w sposób jasny, dosadny, a przytem dowcipny i ostry lubo żartobliwy odpiera zarzuty czynione filozofii artykulik Wiadomości Brukowych p. n. „Rozmowa, przechadzka i znowu rozmowa.“ (Dok. nast.)

Partja bilardu

przez

Alfonsa Daudeta.

Cóż dziwnego że żołnierze z sił opadli... walcząc od dwóch dni na ulewnym deszczu. I teraz od trzech długich godzin stoją zziębli, z bronią do nogi na drogach zalanych wodą, śród pól grząskich i błotnistych.

Osłabieni, znużeni bezsennością, w przemokłych mundurach cisną się wzajemnie w zbitą masę, aby się utrzymać na nogach.

Niektórzy spią stojąc, opierając się o tornistry sąsiadów; a zmęczenie i bezsilność przebija się na tych twarzach, dziwnie bezbarwnych sennością...

Deszcz, błoto, zagasłe ogniska, ani kropli ciepłej strawy, nad głowami obłoki ciężkie i czarne, a dokoła zastępy wrogów. Ponury to widok.,.

Cóż się tam robi? cóż się tam dzieje?...

Armaty zwrócone rozwartemi paszczami ku lasom, zdają się czatować na kogoś... Ukryte kartaczownice patrzą nieruchomie stalowemi rurami. Wszystko zdaje się być gotowem do ataku. Czemuż nie atakują, czemuż czekają jeszcze?

Oczekują rozkazów — z głównej kwatery nic nie przybywa.

A przecież do tej głównej kwatery niedaleko.

To ów piękny zamek Ludwika XIII, którego czerwone cegły jeszcze bardziej poczerwieniały. Prawdziwie książęca siedziba i godna zaiste być kwaterą marszałka.

Przed zamkiem wielka fosa i schody kamienne, zieloności wiele i wazonów pełnych kwiecia. Z drugiej strony gaiki i strumień, po którym pływają łabędzie; w wielkiej klatce, zbudowanej w kształcie pagody, wydają ostry krzyk pawie i złote bażanty bijące skrzydłami. Chociaż państwo opuścili zamek, nie czuć pustki i owego milczenia, które sprowadza wojna. Chorągiew naczelnika armji strzerze tu najdrobniejszego kwiatka w trawniku.

Deszcz bijący w niegodziwe błoto po drogach, tu zdaje się być deszczykiem eleganckim, arystokratycznym, który ożywia czerwoność dachówek, zieloność trawników, rozjaśnia liście pomarańczowych drzew i białe pióra łabędzi. Wszystko to błyszczy i oddycha miłym spokojem. Zaprawdę, żeby nie sztandar, powiewający na szczycie zamku, gdyby nie żołnierze odbywający wartę za żelazną bramą, któżby przypuścił, że się tu mieści główna kwatera? Konie w stajniach Tu i owdzie kręcą się ordynanse lub zaglądają do kuchni, ogrodnik w czerwonych pantalonach grabi spokojnie dziedziniec.

W jadalni, której okna wychodzą na taras, stoi stół, na nim odkorkowane butelki. Puste szklanki po winie. Z sali bocznej dochodzą śmiechy, stukanie bil, brzęk szkła. Marszałek gra w bilard — oto dla czego armia czeka daremnie rozkazów. Skoro rozpoczął partję, nic nie jest wstanie przerwać mu... choćby się świat zawalił...

Jest to słaba strona tego wielkiego wojownika. Przyjrzyjcie mu się — poważny jak na polu bitwy, pierś jego pokryta orderami, oko błyszczące, wargi zaognione. Otaczają go adjutanci, pełni uszanowania, a każde jego uderzenie budzi w nich admirację. Gdy marszałek robi jeden punkt, wszyscy cisną się do tablicy; gdy mówi że ma pragnienie, wszyscy śpieszą aby mu przygotować grog.

Partnerem marszałka jest oficer sztabowy, niskiego wzrostu, w jasnych rękawiczkach; jest to bilardzista znakomity, któryby mógł zwalczyć wszystkich marszałków, a jednak dzielny ten kapitan trzyma się w przyzwoitej odległości względem swego szefa, stara się aby nie wygrać, pamięta jednak i o tem, aby wygrana nie przyszła marszałkowi zbyt łatwo...

„Baczność młodzieńcze, trzymajże się... marszałak ma o pięć punktów więcej. Należy partję w ten sposób doprowadzić do końca, to nam przyniesie awans pewny, pewniejszy niż na ulewnym deszczu, śród błota, gdzie daremnie wyczekują rozkazów“.

Jestto w samej rzeczy zajmująca partja. Bile biegają po zielonym suknie, ocierając się o siebie zlekka... Nagle ogień ukazał się w powietrzu i głuchy łoskot strzałów działowych uderzył w szyby, obecni z przerażeniem spojrzeli po sobie. Marszałek tylko przechylony nad bilardem nic nie słyszał...

Po chwili nowe błyski... strzały amartnie odzywają się jeden po drugim, potem mieszają się razem. Adjutanci biegną do okien. Czyżby prusacy atakowali?...

— Mniejsza o to, niechaj atakują, zawołał marszałek, wznosząc kij bilardowy. Na ciebie kolej, panie kapitanie.

Oficer sztabowy drży z zachwytu.

Czemże był Turenjusz zasypiający na armatniej lawecie, wobec naszego marszałka tak spokojnego przed bilardem w chwili akcji... Podczas tego wrzawa rośnie. Z hukiem armat mieszają się rozdzierające głosy kartaczownic i piekielne gruchanie rotowego ognia. Płomienie ogarniają głębie parku. Pawie i bażanty przerażone lamentują w pagodowych klatkach, arabskie konie w staj-

niach poczuwszy zapach prochu stają dęba. Główna kwatera zaczyna się ruszać. Depesze zjawiają się za depeszami, przerażone sztafety nadbiegają oklep — wzywają marszałka.

Marszałek jest nieprzystępny.

Powiedziałem wam zresztą, że nic go nie zdoła powstrzymać od dokończenia partji.

— Na ciebie kolej, kapitanie.

Lecz kapitan zdawał się jakiś roztargniony. Co to znaczy być młodym! Rzekłbyś, że głowę stracisz, ani się spostrzegł gdy był bliskim wygrania partji. Marszałek wpadł w wściekłość, która rozjaśniła zobojętniałe jego oblicze. W tej chwili właśnie jeździec wpadł na dziedziniec, a koń zmęczony pada bez życia. Adjutant okryty błotem odtrąca żołnierza stojącego na warcie, wpada do sieni, wołając: „marszałku marszałku“. Marszałek zadyszany od gniewu, czerwony jak kogut, zjawia się w oknie z kijem bilardowym w ręku:

— Co to jest?... co to znaczy?... Gdzie się podziały szyldwachy?!...

— Ależ marszałku...

— No tak... dobrze... za chwilę... niech czekają moich rozkazów, do wszystkich dja...!

Po tych słowach marszałek gwałtownie zamknął okno.

Każe czekać rozkazów!

Biedni ludzie. Niektóre bataljony rozbite zupełnie, inne znów stoją z bronią na ramieniu, nie mogąc zdać sobie sprawy z własnej bezczynności. Czekają rozkazów — zbyteczne te rozkazy w chwili gdy żołnierze padają secinami, zapełniając fosy naprzeciw milczącego zamku — leżących już na ziemi kartacze rozszarpują, a z ran płynie szlachetna krew Francji... A tam, w sali bilardowej, marszałek bierze górę nad swym przeciwnikiem, lecz kapitan broni się jak lew...

Siedemnaście, ośmnaście, dwadzieścia!

Ledwie nadążono zaznaczyć punkta.

Zgiełk wojenny coraz bardziej się zbliża. Już granaty wpadają na dziedziniec—jeden z nich pęka nad strumieniem, płynący łabędź skręca się śród wiru zmąconej wody i znika, pozostawiając kilka piór skrawionych...

Po chwili nastąpiła wielka cisza; nie było słychać nic, prócz padającego deszczu...

W chwili gdy marszałek wygrywał partję, cała armia była w zupełnem rozprzężeniu...

Przegląd muzyczny.

Niejednokrotnie dawały się słyszeć głosy w naszych pismach publicznych z utyskiwaniem na szczególne uwielbienia naszego społeczeństwa dla artystów obcych przybywających do nas z zagranicy — a zupełne zapoznawanie naszych rodzinnych talentów, które muszą wpierw nabyć sławy na obczyźnie, aby znaleść u nas uznanie i jakie takie powodzenie. Przysłowie „nemo propheta in patria sua“ sprawdza się u nas niestety bardzo często. Taki Barcewicz nie miał u nas wielkiego powodzenia, a pobratyniec nasz Ondriczek zmuszony grać przed pustemi krzesłami z gorzką ironią wyraził się o będących wówczas na porządku dziennym frazesach, o wielkiej sympatji dla Czechów. A dzisiaj artyści ci zbierają laury i uznanie u obcych, u wrogów nawet naszych, muszą więc zapewne zasługiwać na nie. Artyści ci są dzisiaj uważani za granicą za p i e r w s z o r z ę d n y c h, a mając patent zagranicznej sławy, mogą już i u nas liczyć na powodzenie.

Utyskiwanie to słuszne zupełnie; niesłusznie jednak pisma nasze zwalają winę na polską publiczność, gdy przeciwnie same winne się uderzyć w piersi i przyznać że one są złego powodem. Chwaląc z a w s z e i b e z w z g l ę d n i e wszystko co nasze, dobre czy złe dla tego tylko że nasze wyrażając się z jednakiem uznaniem o talencie prawdziwym, jak i o niedouczonym, ale obdarzonym wielką dozą zarozumiałości i „cywilnej odwagi“ blagierze, zdyskredytowały się przez ten właśnie brak krytyki zdrowej i sprawiedliwej o tyle, że publiczność nie mając najmniejszej rękojmi, iż domorosły artysta nie zada kłamu swym występem powszechnym kadzidłom i pochwałom, a bojąc się doznać zawodu — wyczekuje poprostu pochwał krytyki zagranicznej, i nie spieszy z uznaniem dla „rodaka“. Takie bezwzględne pochwały dla młodego skrzypka p. Tyberga, który może kiedyś zostać artystą, ale dziś jest dopiero absolwowanym uczniem konserwatorjum, takie wyrazy uwielbienia dla tylu innych artystów lub amatorów (pna. Paltinger) tego rodzaju jałowe i bezmyślne sprawozdania jak n. p. z ostatniego koncertu p. Zaremby — muszą pociągać za sobą wyżwykazane konsekwencje — muszą obudzić stanowczą nieufność do tego co dzienniki chwalą jako piękne lub wielkie, dla tego tylko że nasze — a w danym razie ta nieufność obraca się właśnie na niekorzyść rzeczywistej zasługi. Z koncertu p. Zaremby nie damy szczegółowego sprawozdania, gdyż nie możemy traktować p. Z. jako artystę. Wspominamy tylko o tem, co z całego programu miało rzeczywistą artystyczną wartość: o grze p. Wolfsthala. Arję Berha (na strunie G.) odegrał tak prześlicznie, z takim olbrzymim tonem, i z tak subtelną a ciepłą deklamacją, że wskazał od razu publiczności i komuś, gdzie jest artyzm — a gdzie... wielka odwaga. Po odegraniu Motto perpetuo (Morceau de Concert) Paganiniego oklaski rozentuzjazmowanej publiczności nie miały końca, a my jesteśmy zmuszeni radzić p. W., by jak najprędzej wyjechał za granicę na podróż koncertową i... jak najprędzej wrócił do nas z „wyrobioną“ już sławą. *R.*

Przegląd teatralny.

Dom otwarty kom. w 3 akt. M. Bałuckiego. Narzeczona Harambaszy dramat T. T. Jeża. Pan Damazy kom. J. Blizińskiego. Trzpiot kom, Barriera.

Różne okoliczności złożyły się na to, że w paru ostatnich numerach naszego pisma brak było niniejszej rubryki. Pozostaliśmy bardzo w tyle i zaiste niełatwo przyjdzie wywiązać się z zadania, aby w szczupłych rąmach, jakiemi rozporządzić możemy, zdać sprawę czytelnikom naszym z ubiegłych tygodni. Widzieliśmy na scenie kilka nowości a choć niektóre nie zasługują więcej, jak na wzmiankę, to paru z nich należy się serdeczne przywitanie i parę chwil zastanowienia.

Idąc porządkiem chronologicznym rozpocząć musimy od Domu otwartego, trzyaktowej komedji, sympatycznego pisarza M. Bałuckiego. Powtórzyliśmy za afiszem „komedji“, gdyż naszem zdaniem jest to obrazek, fotografja satyryczna, żywcem zdjęta ze społeczeństwa mieszczańskiego, jest to satyra na owe doraźne baliki domowe, po których pozostają tylko niesmak i plotki.

Dla czytelników, którzy nie mieli sposobności widzieć na scenie Domu Otwartego podamy w kilkunastu słowach treść tego pięknego obrazka.

Państwo Żelescy żyją sobie wraz z wujem Telesforem i siostrą Kamilą w zaciszu domowem bardzo wygodnie i spokojnie. Za radą przyjaciółki, kobiety pustej, kokietki, postanowili wydać wieczorek tańcujący, na który, w braku znajomości, zapraszają całą falangę „facetów“ nieznajomych“ Dom dotychczas zamknięty w najściślejszym kółku — otwierają; ztąd też pochodzi tytuł sztuki niezupełnie usprawiedliwiony.

Bal się udaje o tyle, że goście tańczą jedzą, piją i palą do woli. Powstają małe nieporozumienia, bo zaproszona młodzież zupełnie nieznajoma, wchodzi czasami w kolizję z kodeksami towarzyskimi, kochane zaś „najserdeczniejsze“ czerpią z tej zabawy pełnemi garściami materjał do plotek,

mogących nawet zniszczyć szczęśliwe pożycie małżeńskie. Rozczarowani gospodarze powracają napowrót do błogiego życia, ograczonego na kółku rodzinnem i wypróbowanych w przyjaźni znajomych.

W sztuce Bałuckiego przesunęły się przed oczyma naszemi nasi dobrzy znajomi, na których, co dzień patrzymy temu też przypisać można powodzenie sztuki. Taki „fortencer", zasuszony i przygnębiony małżonek, kawaler z prowincji, półlewek uliczny, poczciwy wujaszek, energiczna mama — oto szereg typów zdjętych z fotograficzną prawdą z natury. A typy te, znalazły na naszej scenie jak najlepszych wykonawców. Rzadko zdarzy się u nas, aby cała sztuka tak dobrze była graną jak Dom otwarty. Niejednokrotnie spotkać się można z zarzutem, co potwierdzić sami musimy, że w niektórych sztukach, kilka ról jest dobrze granych, lecz ensemble niewytrzymują żadnej krytyki. Dom Otwarty, stanowi wyjątek. Chcąc rozbierać pojedyncze role, mu sielibyśmy każdemu artyście i artystce z osobna i innym frazesem oddać hołd za odtworzoną postać. Poprzestać musimy na wybitniejszych tylko. P. Wojdałowicz dopiero w roli wujaszka przedstawił się Lwowianom jako niepośledni talent talent. Z dotychczasowych ról, w jakich u nas występował. ta należy do najlepszych i jesteśmy przekonani, że autor nie mógł sobie lepszego wymarzyć wujaszka, jak ten, którego p. Wojdałowicz z życiem, humorem przedstawił. Scena z szachami była wyborną przez pomysłowe szczególiki, w akcie drugim fantazją rozentuzjazmował publiczności

Pan Lubicz przedstawił nam fortencera z taką prawdą i lekkością, że każdy widząc w nim jakiegoś znajomego przyklasnął wybornej grze jego. Pp. Fiszer, Kwieciński, Walewski i Woleński odegrali role swoje jak można najlepiej, charakterystyką zaś odznaczyli się i powszechną zwrócili uwagę pp. Ruszkowski i Sachorowski, pierwszy w roli zahukanego męża, drugi w roli kawalera z prowincji.

O rolach kobiecych to samo musimy powtórzyć co powyżej, chociaż role ich w obec typów męskich, słabiej są przez autora narysowane. Podziękować tylko musimy paniom Kwiecińskiej, Żelazowskiej, German i Sułkowskiej, za dotrzymanie tonu w ogólnej harmonji. Dom otwarty długo utrzyma się na naszej scenie, na co najzupełniej zasługuje.

Z koiei wypadałoby zastanowić się nad dramatem T. T. Jeża, przerobionym z powieści pt. Narzeczona Harambaszy. O przeróbce tej jednak, mimo wielkiego uznania i czci dla autora nie możemy wyrazić się pochlebnie. Pismo nasze objawiło już swoje zdania o tej sztuce w Nr. 19. Tutaj dodać tylko musimy uznanie dla artystów, którzy z ról wcale nie popisowych zrobili co mogli. Z ról męskich pp. Żelazowski, Ruszkowski, Hierowski Zboiński najlepiej wywiązali li się ze swego zadania. Z ról kobiecych zaś uznanie to jedynie p. Aszpergerowej oddać możemy. P. Nowakowskiej już raz wytykaliśmy przesadny patos, dziś powtarzamy to samo. Namiętna Fatma hanem gdyby z taką emfazą przemawiała w rzeczywistości, nie zapaliłaby nie tylko kapitana Marka, ale nawet najzwyklejszego zdrowego śmiertelnika. P. Żelazowskiej, która pracuje sumiennie i z postępem musimy zwrócić uwagę na większy spokój i na zaokrąglenie ruchów w ogólności.

P. Damazy jest zanadto dobry nasz znajomy, abyśmy nad jego wartością zastanawiać się mieli. Wciągnęliśmy go zaś do naszego sprawozdania dlatego, że przedstawionym był w zmienionej obsadzie Rolę Helenki grała po raz pierwszy na naszej scenie p. Felicja Stachowiczówna, która odbywszy szkołę sceniczną w Krakowie, należała przez rok do towarzystwa dramatycznego w Petersburgu, w końcu zaś przybyła do Lwowa, aby być — mówimy stanowczo — ozdobą naszej sceny. Rolę Helenki odegrała panna Stachowicz z taką swobodą, odtworzyła tak sympatycznie postać prawdziwie polskiej niewinnej panienki, jaką tylko w poczciwym dworku spotkać możemy, że tym pierwszym występem zjednała sobie odrazu sympatję całej publiczności. Talent p. Stachowiczównej, co z dalszych jej występów wnioskować mogliśmy, skłania się więcej do ról lirycznych i w tym zakresie nie ma u nas dzisiaj równej współzawodniczki. Rolę Mańki, dziewczyny pełnej prostoty, wystawionej na ciągłe poniżanie, dziewczyny za wcześnie ugodzonej ciosem zawodu bolesnego, grała p. Żelazowska dobrze i może najlepiej z ról, w których dotychczas występowała. P. Fiszer, jako rejent Bajdalski był wybornym, przyklasnąć tylko i powinszować mu możemy tej postaci, którą śmiało może wliczyć w repertoar swych najlepszych ról. Już mniej nas zadowolnił p. Żelazowski, jako Seweryn, nie wiemy, co wpłynęło na artystę, ale w tej roli wydawał nam się za sztywnym, którego nie wiadomo za co ciocia tak pokochała. Reszta ról była w dawnej obsadzie. P. Zamojskiego chyba nikt nie przewyższy w tej roli, grał ją też jak i dawniej zamaszyście z hukiem, krzykiem, ale sercem. Łobuza Genia otworzył doskonale. p. Kwieciński.

Z nowości odegrano trzyaktową farsę Barriera p. t. Trzpiot. Cóż powiedzieć o niej? Oto tyle, że mniej w niej humoru, jak w innych francuzkich farsach, a za to więcej nieprzyzwoitości i trudności dla maszynistów, którzy muszą między aktem pierwszym a drugim budować na scenie schody. Wspominamy dlatego o tej farsie, aby zwrócić reżyserji uwagę, że sztuki tej kategorji wtenczas tylko mogą mieć względne powodzenie, jeżeli tempo sztuki będzie nadzwyczaj przyspieszone. A właśnie tego było brak w nowo wystawionej farsie.

Pomimo więc dobrej gry pp. Zamojskiego, Fiszera, Kwiecińskiego i Zboińskiego oraz p. Sułkowskiej i p. Junoszy, sztuka, której jedynem zadaniem jest bawienie, musiała znudzić widzów. P. Zapolska, której nie odmawiamy talentu, nie zadowolniła nas w roli tytułowej, przypominała Norę; w każdym razie użyta przez reżyserją do ról odpowiednich jej talentowi, może być wkrótce bardzo użyteczną na naszej scenie.

Tumult.

Czytelnicy „Ziarna" przypominają sobie zapewne obrazek p. t. „Przygoda Piotra Michajłowicza", napisany przez Jaźminowa. — W obrazku tym autor przedstawił bezgraniczną wierność i przywiązanie Michajłowicza ku swemu carowi — jego zabiegi ku przypodobaniu się mu — i wreszcie jak skutkiem tego Michajłowicz niezrozumiany, podejrzywany o zbrodnicze zamiary względem „ojca narodu" dostaje się do kozy. Obrazek był skreślony z takim talentem, że zwrócił na siebie uwagę znawców — rokowano nieznajomemu autorowi świetną przyszłość... i kto wie, czy nie zawiódłby on pokładanych w nim nadziei, gdyby nie nędza, która młodego naszego współpracownika wtrąciła przedwcześnie w grób. Zdaleka od gwaru miasta, w zadusznej izbie wiejskiego nauczyciela — wśród ludu, u którego szukał typów, dla swych utworów umarł Lew Wasyłowicz. Na grobie jego nie złożono ni laurowych wianków z wstęgami o szumnych napisach, ni wygłoszono mów pochwalnych — Trumnę zbitą z białych desek wynieśli chłopi na swych barkach na wiejski cmentarz i przy „Wicznaja pamiat" przykryli ziemią ciało człowieka, co marzył o poprawieniu ich losu. Cześć jego pamięci!

ZIARNKA.

Dżdżyste i posępne niebo nad nami, a w obec tego trudno zdobyć się na myśl wesołą. Wszystko psuje się jakoś a i klimat, który dawniej nas raczył tylko 7 miesiącami zimy, zawziął się i nie chce nic wiedzieć o wiośnie Ztąd zastój w robotach i ciężkie wzdychanie gospodarzy wiejskich, — no, już ci rolnicy zdaje się nigdy nie będą zadowoleni — a co gorsza najzupełniejszy zastój w życiu towarzyskiem i społecznem Z powodu niepogody odłożyć musiano mnóstwo projektowanych wycieczek, z powo du niepogody (może z in nego powodu?) wloką się nudnie przygotowania do wyborów sejmowych, a pod rubryką ruch zanotować by chyba wypadało — ruch budowlany. Rzeczywiście pod tym względem miasto nasze istotnie dość się podnosi i postępuje, bo dawny styl koszarowy naszych kamienic zastępują coraz artystyczne bardziej budynki. Kto lat kilka nie widział Lwowa, ten pod tym względem znaczną w nim znajdzie różnicę, a do dawnych domów przybędzie w tym roku kilka nowych.. Oprócz willi przy ulicy Skrzyńkich, ukończonej już prawie przez p. Wł. Halickiego, przybędzie piękny dom obok gmachu sejmowego. Przy ulicy Kraszewskiego stanie cały szereg wielkich kamienic, a na pustym placu przy ulicy Zimorowicza zaczęto budować kilka nowych domów, pomiędzy tymi zaś stanie wcale ładny budynek towarzystwa gimnastycznego „Sokół“. Pożyteczne to stowarzyszenie, któremu oddawna potrzeba było sali gimnastycznej, zebrało już część na ten cel potrzebnych funduszów i rozpoczyna z nimi budowę spodziewając się, że publiczność chętniej teraz pospieszy ze składkami na pokrycie reszty kosztów, które stosunkowo nie są zbyt wielkie. Niedługo zamierza „Sokół“ urządzić na ten cel festyn i nie wątpimy, że tym razem rzęsiściej popłyną składki na fundusz tak pożyteczny.

* * *

Smutno nam się jakoś zrobiło odczytawszy wierszyk p. T. L., który komitet jubileuszu Matejkowskiego przeznaczył za tekst kantaty, jaka ma być odśpiewaną w dzień uroczysty. Zamiast słów jędrnych i męskich, któreby uczciły mistrza, a słuchaczom natchnęły poczucie lepszej doli, mamy jakąś dziadowską, bez składu i ładu piosenkę, kwilącą łzami i babską kwilących niemocą. Poeta powiada, iż

Z błękitu anioł leci
Z skrzydły tęczowemi
Cały jasnym blaskiem świeci
I przyświeca ziemi...

anioł ten, obleciawszy świat, spostrzegł nareszcie lasze plemię „drzemiące“.

I ze skrzydeł swych bez zmazy
Rwał pióra tęczowe
I w girlandy i obrazy
Stroił sennych głowę.

. . . .

Oni głowy podnosili
Na wpół przebudzeni,
Do anioła się zwrócili
Tym snem zachwyceni.

Ale anioł znikł w połowie,
Sny w obrazy zmienił,
Siebie w człeka, co tęczowe
Te sny opromienił
I Matejko zowie.

Czy jest co niesmacznego nad pomysł tej metamorfozy, czy raz nie należałoby zerwać z temi figurami mistycyzmu i nie należało przemawiać zrozumiałym i męskim językiem? Jakaż muzyka może być zastosowaną do tego kwilenia i czy ta muzyka będzie stosowną do uroczystości. Warto, aby nam odpowiedzieli ci, co się nad tym wierszykiem unoszą.

* * *

„Przegląd tygodniowy“ pisze:

Oddawna już malarze lwowscy zapomnieli o salonach artystycznych w Warszawie, i dlatego z pewną przyjemością spotkaliśmy się na wystawie Tow. zachęty sztuk pięknych z szeregiem krajobrazów, namalowanych przez p. Henryka Grabińskiego, lwowskiego artystę. Dwa z tych obrazków są większe, cztery małe, a wszystkie przedstawiają okolice podkarpackie, studjowane widocznie z natury, bardzo starannie. Jeżeli zacząć mamy od wyliczenia przymiotów młodego pejzażysty, wypada nam zaznaczyć wysoką umiejętność rysunku, uwydatnioną w całej grupie jego robót. Pan Grabiński od gór do stafażu i kamieni przydrożnych poczynając, wszystko starannie i umiejętnie rysuje, zachowując odpowiednie ustosunkowanie wielkości pomiędzy przedmiotami i nie robiąc kęp liści większemi od człowieka, a gór mniejszych od stojących u ich podnóża ludzi, co się niejednemu z naszych domorosłych talentów zdarza. To jednak przywiązanie się do drobiazgów szkodzi trochę efektowi całości, która sztywnie wygląda i zimno. Zdaje się, że p. Grabiński, dla pozyskania większej swobody w układzie planów, powinien na czas pewien z drobiazgowych studjów, którym się oddaje z takiem zamiłowaniem, przejść do robót na wielkich płótnach, mieszczących drobne partje krajobrazu. Przy takiej metodzie sama natura rzeczy zmusi lwowskiego artystę do szerokiego traktowania przedmiotów, pozwoli mu swobodniej oddawać efekta oświetlenia i odcienia barw delikatnie studjować. Zaprawiony na takiej przygotowawczej robocie p. Grabiński będzie mógł powrócić do swego ulubionego rodzaju widoków drobnych rozmiarami, a szerokie obejmujących horyzonty. W każdym razie nawet bez zmiany sposobów traktowania sztuki i natury, p. Grabiński doskonałym jest nabytkiem dla naszych artystycznych stosunków. Liczy się bowiem do niewielkiej liczby pejzażystów, umiejących wyrazić myśl swoją a rysujących doskonale.

* * *

W ubiegłą środę wystawiła dyrekcja nową operetkę Souppego pt. „Gaskończyk“. Muzyka tej operetki, to zbiór reminiscencyj z różnych oper i operetek. Cała piękność jego polega na chórach, a świeżość w instrumentacji. Z wybitniejszych numerów wymienić możemy: balladę szkocką, romans Mary, duet jej z Croustillakiem i finale w akcie 2gim, oraz duet Jamesa z Croustillakiem i finale aktu trzeciego. Główne partje spoczywały w rękach pp. Bandrowskiego i Almy, oraz pań Skalskiej i Bocskaj. Na pochwałę p. Bandrowskiego powiedzieć musimy, że z każdym dniem robi postępy i nabiera rutyny scenicznej. Co do strony wokalnej, to partja Coroustillaca, trzymana w tonie niskim, przedstawiła p. Bandrowskiemu wielkie trudności do pokonania; wywiązał się jednak z niej ku zadowoleniu publiczności, czego dowodem oklaski, które razem z p. Almą po duecie w akcie trzecim kilkakrotnie otrzymał. P.p. Skalska i Bocskaj jak zawsze partje swe odśpiewały bardzo dobrze.

Nie możemy pominąć uznania dla p. Jareckiego, pod którego kierunkiem chóry doskonale wyćwiczone spiewają jak, w tym utworze poprawne i podtrzymują całą operetkę.

* * *

Już raz na tem miejscu pisaliśmy z uznaniem o gorliwem krzątaniu się lwowskiego Towarzystwa tatrzańskiego. Dziś słowa nasze możemy poprzeć otrzymanem zaproszeniem na wycieczkę w góry stryjsko-sokalskiej, którą urządza zarząd lwowskiego oddziału Tow. tatrzańskiego.

Wycieczka naznaczoną jest na dnie 21. 22. i 23. iipca z okazji walnego zjazdu Tow. pedagogicznego w Stryju. Uczestnikom wycieczki obmyślił zarząd wszelkie ułatwienia

i przyjemności. Za skromną opłatą kilkunastu guldenów zapewnia komitet wycieczkowy wspólne śniadania, objady i kolacje, oraz nocleg wygodny przez cały czas tej artystyczno naukowej wycieczki. Jeżeli pogoda nie zawiedzie, chociaż stuletni kolendarz jak na złość prorokuje czas słotny, — jesteśmy przekonani, że liczne grono wesołych turystów opuści na trzy dni niewonną atmosferę Lwowa, aby całą piersią zaczerpnąć ożywiającego powietrza karpackiego.

* * *

Do czego się doszło! Upór komitetu krakowskiego pomnika Piusowi IX jest tak wielki, iż mimo opozycji całego społeczeństwa, trwa podobno komitet w swym zamiarze postawienia monumentu na Wawelu. Jak wiadomo, Dr. Zyblikiewicz, w charakterze burmistrza krakowskiego, wystosował protest przeciwko temu, podnosząc, iż Wawel nie może być panteonem dla cudzoziemców, choćby nawet narodowi polskiemu zasłużonych. Do tego protestu zrobiła akces niemal cała prasa, wszyscy ludzie wpływowi, swobodniejszych przekonań — lecz nic to nie pomaga, komitet pomnika milczy, stojąc przy swym zamiarze, chcąc przeczekać burzę i swoje zrobić! Rozeszła się nawet w tych czasach pogłoska, iż komitetowcy zamierzają tajemnie ustawić pomnik w katedrze, a skoro się to stanie, ogół będzie się musiał liczyć z faktem spełnionym i jak zwykle przed tego rodzaju faktami, sarkając ustąpi. Przecież pomnika papiezkiego nie wyrzucą z kościoła gwałtem, siłą, kiedy się władza duchowna na pomieszczenie go tam godził. Wprawdzie magistrat utrzymuje, iż w interesie bezpieczeństwa publicznego ma prawo dozwalania lub zabraniania wznoszenia budowli, przerabiania kościołów i z tego prawa chce skorzystać w tym razie, lecz co istotnie poradzi z komitetem, mającym wszechwładne wpływy w kapitule? Radzą niektórzy postawienie warty, któraby strzegła kościoła od samowoli komitetu i jego potężnych przyjaciół. Czy nie cudackie to, czy nie śmieszne?!

ZAPISKI.

Literatura.

* Pośród posuchy na niwie naszej poezji, pojawienie się obszernego poematu p. t. „Roman Zero“ p. Wł. Stebelskiego, poety posiadającego dobrze zasłużoną popularność za swe udatne wiersze humorystyczne, wywarło w sferach miłujących literaturę, prawdziwe wrażenie. Praca to prawdziwie piękna o głębszym zakroju filozoficznym i społecznym, pisana wierszem gładkim, barwnym włoskiemi oktawami na wzór poematów Bajrona i Słowackiego. Pod względem języka i siły obrazowania „Roman Zero“, zajmuje zaszczytne miejsce między utworami poetycznymi naszych czasów, a pochwały oddane poematowi temu przez St. Tarnowskiego i I. J. Kraszewskiego zupełnie są zasłużone. W przyszłym numerze podamy recenzję „Romana Zera“, a tymczasem możemy go sumiennie polecić czytającej publiczności.

* Wydawnictwa Macierzy Polskiej zostały polecone przez krajową Radę szkolną do bibljotek szkół niedzielnych i na nagrody szkolne.

* Pod tytułem „Bażanty Julka“, dość zręczna powiastka autorki pisującej pod pseudonimem Z. D., drukuje się obecnie w „Gazecie Polskiej“.

* „Wiek“ rozpoczął dzisiaj w dodatku druk powieści Wacława Masłowskiego, pod tytułem „Ząb za ząb“. Utwór ten naszego wysoce utalentowanego belletrysty, osnuty jest na tematach, poczerpniętych z życia ludów Kaukazu.

* W Stanisławowie zacznie wychodzić z dniem 1. czerwca br. dwutygodnik poświęcony młodzieży.

* Björnstjerne Björnson napisał nowy trzyaktowy dramat p. t. „Rękawiczka.

* W Nowym Jorku poczęnie wychodzić czasopismo p. t. „The Moon“ wydawane przez obłąkanych.

* Wyjdzie niebawem w Paryżu w dwóch tomach korespondencja Stanisława Augusta z rodziną.

* U Leitgebra w Poznaniu opuścił prasę poemat narodowy „Svea“ Ezajasza Tegnera, szweda. Przekładu na język polski dokonał hr. Wawrz. Engestroem.

* Posąg Edgara Quntet, znakomitego francuskiego myśliciela, odsłoniono w mieście Bourg, dnia 13. bieżącego miesiąca.

Posąg jest dziełem rzeźbiarza Millet'a.

Quinet wyobrażony jest w pozycji siedzącej; jedna jego ręka trzyma książkę i wspiera się na poręczy fotelu, druga zaś zdaje się dopełniać odpowiednim gestem wykład uczonego filozofa, historyka i poety. Na podstawie wypisane są złoconemi głoskami tytuły dzieł Quinet'a, oraz ważniejsze daty z jego życia.

Edgar Quinet osobisty przyjaciel i wielbiciel Mickiewicza, urodził się w Bourg, 3. lutego 1803 umarł w Paryżu 27 marca 1875.

Teatr i muzyka.

* Bohaterski tenor p. Mierzwiński przybywa na występy do Warszawy.

* Pani Modrzejewska bawi obecnie w Chicago w Kalifornji, gdzie przepędzi na wsi letnią porę, w zimie zaś puści się na nowo w artystyczną podróż.

* F. Dowiakowska primadonna opery warszawskiej przybędzie niebawem do Lwowa.

* Władysław Żeleński napisał tryumfalną kantatę na cześć zwycięstwa Sobieskiego. Tekstu dostarczył Wł. L. Anczyc.

* Świeżo opuścił prasę utwór fortepianowy Wład. Żeleńskiego nakładem Kirstnera w Lipsku p. t. „Grand Scherzo de Concert“.

* Zakład berliński Knolla połączony został telefonicznie z operą w celu dostarczenia gościom gratysowego koncertu.

Sztuki piękne.

* W paryskim tegorocznym salonie znajdują się następujące obrazy polskiego pendzla: Bakałowicza portret męski, Brandta ustęp z wojen polsko-tureckich z XVII w., Chełmoński dwa obrazki: polowanie na lisa i sanie oblężone przez wilki, Gąsowski „Ranek mglisty w Ares“ (Gironde), Gerson „Bez nadziei i światła“, Krabański „Portret kobiety“, Krasnopolski, Kruczkowski pejzaże, Merwart dwa studja, Piotrowski polowanie w XVIII w., Pochwalski portret kobiecy, Przepiórski typ humorystyczny ulicznika, Słomczyński krajobraz górski, Wierusz Kowalski dzień jesienny, P. Wisłocka portret F. Duchińskiego, Zier (ojciec) Śtą Magdalenę, Zier (syn) Esterę. — Wystawiony w Berlinie obraz Władysława Czachorskiego „Hamlet pośród aktorów“ zyskuje uznanie miejscowej krytyki, również potwierdzającej dawniejszy swój sąd o Brandcie, który wystawił obraz „Jazda czwórką podolską“. — W paryskim salonie następujący polacy wystawili swe rzeźby: p. Dąbrowska „Rozkapryszone dziecię“ w terrakocie, Godebski biust ks. Gorczakowa i drugi Mierosławskiego (z bronzu) Kossowski dwie grupy: udatna próba, Bernard Paliisy, Hagel biust i statuetkę „rosa“ Łosik medalion Bronisława Zaleskiego, p. Pietkiewicz medalion bronzowy, Michał Giedroyc dwa medaliony bronzowe.

* Sławny sztych Rembradta, znany powszechnie pod nazwą „Petrus van Tol“, wyobrażający portret Dra. Arnolda Tholinex, wzbogacił znakomity zbiór sztychów p. Dutuit w Rouen. Zapłacił za niego 1501 funtów szterlingów dzięki współzawodnictwu Anglików.

* Kustendż rumuńskie nadbrzeżne miasteczko, zamierza wznieść pomnik Owidjuszowi, który w r. 9. po Chrystusie był wygnany do Tomi. Owe Tomi miało się znajdować na mniejscu, gdzie dzisiaj się wznosi Kustendże.

* Jul. Goupil, uczeń Ary. Schaffera znany malarz rodzajowy zmarł w Neuvilly.

Treść.

Autor „Marzycieli“ Ostatni Szaraczek (c. d.)
Rossowski: Z motywów biblijnych.
Kronika naukowa.
W. R. Lewicki: Pawło drwal.
Daudet A.: Partja bilardu.
Przegląd muzyczny
Przegląd teatralny:
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 22. We Lwowie dnia 2. Czerwca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

OSTATNI SZARACZEK

powieść
osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848
przez
autora „Marzycieli".

(Ciąg dalszy).

XIII.

Lolo przyjął Hilcia otwartemi ramiony. Wypytywał go co słychać w Przemyślu, co w okolicy, i bardzo żałował, że wyjechawszy wcześniej do domu, w pamiętnej wyprawie na karczmarza nie mógł wziąć udziału. Gdy mu pan Hilary opowiedział, w jaki sposób ukarał Maurycego, Lolo zasępił czoło i tak przemówił:

— Zleście zrobili, a najgorzej ty mój Hilciu, że sądząc go, tem samem przyjąłeś na siebie całą odpowiedzialność. Maurycy jest skryty i mściwy, jego zaś ojciec ma władzę, więc łatwo mogą ci dokuczyć...

— Śmiej się mój drogi! Djabła ten zje kto mnie znajdzie w Bereźnicy.

— A mnie się zdaje przeciwnie, że w Bereźnicy znaleźć cię najłatwiej, jeźli bowiem gdzieby cię szukano, to najprędzej tu, jako w miejscu twego urodzenia. A cóż byś zrobił, jeżliby naprzykład starosta przemyślki zgłosił się do stryjskiego, do którego należysz, i zażądał by cię ukarano?

Panu Hilaremu nie podobało się to przypuszczenie; zaczął tedy przygryzać końce wąsów, które już przyzwoicie twarz mu ozdabiały, i aby sobie dodać odwagi, kilka razy mruknął: hm. Na koniec wyrozumowawszy sobie, że mu najmniejsze nie grozi niebezpieczeństwo, zawołał:

— Strachy na Lachy! Już ja się nie obawiam, żeby Maurycy cokolwiek przed ojcem wyspiewał! Przyrzekłem mu za to skórę ściągnąć, a on wie, że Bereźnicki dotrzyma gdy raz przyrzecze. Dajmy więc pokój temu przedmiotowi i raczej mówmy o czemś przyjemniejszem. Najpierw muszę ci podziękować mój drogi Lolu, że ojcu memu nic o tem nie wspominałeś, iż „dawszy nogę" z Przemyśla, oparłem się aż w N. Stary myśli, że prosto ze szkół do niego przyjechałem.

— Alboż zapomniałem, co powiada studenckie przysłowie: choćby cię smażono i pieczono w smole, nie mów studencie co się dzieje w szkole.

— Dziękuję ci za to Lolu serdecznie dziękuję, i dałby Bóg żebym ci się mógł kiedy wywdzięczyć. Nie uwierzysz, jak mnie tem sobie ująłeś.

Koledzy usiadłszy, zaczęli teraz rozmawiać o tem, co na przyszłość czynić postanowili. Hrabia mimo lat młodych, zapatrywał się na życie trzeźwo i spokojnie; to też wiedząc, że nieboszczyk ojciec nie zostawił mu majątku w stanie kwitnącym zamierzał oddać się gospodarstwu całą duszą, aby jak najprędzej zapłacić długi i dochody zrównać z wydatkami. Wszakże spowiadając się ze swoich zamiarów, równocześnie nie taił, że na tej drodze będzie miał niemało trudności do zwalczenia. Wychowany na paniątko, które miało tylko używać, a nie pracować, nie wiedział jak się wziąć do dzieła. i jeżeli co mu otuchy dodawało, to obecność Krukowskiego, który okazywał mu wiele przychylności i na gospodarstwie znał się wyśmienicie. Usłyszawszy to pan Hilary, chciał mu już powiedzieć, by ekonomowi nie dowierzał, lecz gdy pomyślał, że dowodów, któreby o nieuczciwości Krukowskiego świadczyły, ani on, ani nikt inny dotąd nie zebrał, ukąsił się w język i dalej słuchał w milczeniu.

Gdy hrabia przestał, zaczął mówić Hilcio. Lolo myślał, że przyjaciel ma także cały plan ułożony, tymczasem on ani się zastanawiał nad swoją przyszłością.

— Ojciec mnie wezwał — rzekł — więc przyjechałem, bo trudno, aby gospodarstwo całkiem djabli wzięli, już i tak ze-

szło ono na psy, ale Bóg wie, czy ja wiele poradzę. Zresztą muszę ci się przyznać, że chodzenie za pługiem i doglądanie świń nie bardzo mi do smaku przypada. Człowiek zakosztował już życia lepszego, a tu aby nie pójść z torbami, trzeba jednego dnia jeść kapustę i barszcz, drugiego zaś barszcz i kapustę. Doprawdy nie wiem, na czem to się skończy, ale gdyby nie to, że ojciec chory, i że Zośki nie mogę samej zostawić, tak bym drapnął, że nie oparłbym się aż chyba za górą dziesiątą.

— A ziemi ci nie żal?

— Ta możeby i żal było, lecz co z nią począć, kiedy ona tyle nawet nie da, ile człowiek na przyzwoite życie potrzebuje? Zresztą zobaczymy jak to jeszcze będzie. Może się przyzwyczaję.

— Ale! ale! - zawołał Lolo jakby sobie coś nagle przypomniał, *a propos* panny Zofji, o której wspomniałeś, muszę ci pogratulować takiej siostry. Śliczna jak anioł i cudownie ułożona. W jakim też pensjonacie pan Jacenty ją wychowywał?

— W zagrodowym! — śmiejąc się Hilary odpowiedział.

— Jak to w zagrodowym?

— A tak nasza zagroda służyła jej za pensjonat.

— Doprawdy? Nie był bym przypuścił.

Mój drogi, wychowywani pod okiem bon, guwernerów i w pensjonatach, nie przypuszczacie, by dziewczyna mogła się dobrze w ubogim domu wychować, tymczasem widzisz, że moja Zosia dziko nie wygląda, chociaż wyrosła w zagrodzie, i do tego bez matki. Jak mnie, tak i ją najpierw ojciec, potem organista uczył czytać i pisać, teraz ja zapoznam ją z wiedzą, którą ze szkół przywiozłem, chociaż mówiąc między nami nie wiele się tam w mojej głowie zostało, a że pani sędzina nauczyła ją brzdąkać na gitarze i spiewać o Filonie który klaszcze za borem, więc mam nadzieję, że nie powstydzę się moją Zosią, jeżeli po nią przyjedzie jaki hreczkosiej lub mandatarjusz.

— A którego byś z nich wolał?

— Którego? Jużci że mandatarjusza. Bo to widzisz mój Lolu, mandatarjusz ma nie tylko pieniądze i honor, ale i władzę! Taki hreczkosiej musi siedzić za piecem i cicho Boga chwalić, gdy przeciwnie mandatarjusz wsadza do kozy, sypie po dwadzieścia pięć, bierze pieniądze na prawo i lewo, żydzi i chłopi dobrowolnie do rowu się wywracają, byle mu się zdrogi ustąpi i wszyscy, nawet sam starosta, mówi mu „panie sędzio" a jego zaś żonie „pani sędzino". O! mandatarjusza nie zjeść w kaszy! Jeżli ma dobre dominium, wielki z niego człowiek.

Podczas gdy Hilcio to mówił, wzrok mu się iskrzył i twarz rozpromieniła. Taki to wpływ wywiera samo wspomnienie o władzy. Ze wszystkich namiętności, najgwałtowniejszą jest pragnienie władzy. Ogarnia ono człowieka, panuje nad jego uczuciami, przeistacza jego istotę. Mniej więcej wszyscy do niej dążymy, pragnąc stać wyżej i drugim rozkazywać, i jedynie ten prawdziwie silnym może się nazwać, kto raz jej zakosztowawszy, wrócił do zacisza domowego i wyrzekł jej się na zawsze.

Pan Hilary Bereźnicki do tych nie należał. Przeciwnie, ilekroć sobie przypomniał, jakiego to on zażywał znaczenia spisując *Berichty* w kancelarji mandatarjusza w N. jak go się chłopi bali, a jak żydzi drzeli, wzdychał zawsze do owych pięknych czasów. O ile tego konieczność wymagała, lub właściwie by ojca nie martwić, i całkiem go sobie nie zrazić, doglądał gospodarstwa, lecz za to ledwie znalazł chwilę swobodną, biegł na drugi koniec wsi do pana Pukalskiego, który był sędzią w Bereźnicy i temu pomagał, nie żądając za to wynagrodzenia. Bo czyż mogła być dl..n większa rozkosz, jak gdy usiadłszy przy zielonym stoliku, wybadywał złodzieja, który się wikłał w zeznaniach, lub jeżeli mógł być świadkiem, jak żydom chłostę wymierzano? Za to co go ongi przy rogatce spotkało, byłby z przyjemnością wyliczył po 25 wszystkim synom Izraela.

Gospodarka szła nie źle. Pan Jacenty o wszystko syna pytał i zdrowych rad mu udzielałał, a ten zaś chociaż na własną rękę nic nadzwyczajnego nie przedsięwziął, przynajmniej tak się zachowywał, że nic nie zepsuł. Zresztą gospodarstwo było zdawien dawna uregulowane, mogło więc iść o własnych siłach, bez współudziału nawet pana Hilarego, zwłaszcza że Zosia, aby bratu ulżyć, wyręczała go najchętniej, ilekroć po temu nadarzyła się sposobność. Gdy jej Hilcio za to dziękował, odpowiadała:

— Za te drobnostki mój braciszku nie zasłużyłam sobie na podziękowanie, a jeżeli już koniecznie chcesz mi wdzięczność okazać, to naucz mnie tych pięknych rzeczy, których w szkołach cię uczono. Nie uwierzysz Hilciu, jak ja pragnę wiedzieć dużo, bardzo dużo! Zdaje mi się, że gdybym była rozumną, to musiała bym być i lepszą.

Brat przypomniał sobie, że już przed Lolem zwierzył się z zamiarem kierowania siostry edukacją; teraz gdy ona sama oto go prosiła, lubo nie bardzo chętnie, nauka bowiem dawno mu z głowy wywietrzała, powyciągał książki, które z przemyślskiego pogromu ocalały, i jak ucznia zaczął ją uczyć. Nauczyciel nie był wprawny — za to uczennicą była pojętna i pilna. On jeszcze ust nie otworzył, ona już się domyślała, co chciał powiedzieć. W takich warunkach nauka szybko postępowała i pan Hilary ani się spostrzegł, kiedy siostra całą mu wiedzę zabrała.

Zkąd pochodzi, że chłopcy umysłu tępego uczą się tak pilnie a ci których Bóg wielkiemi obdarzył zdolnościami od książki stronią? A czemu znów dziewczęta prawie zawsze chłopców pilnością przewyższają? Miałożby to znaczyć, że świat we wszystkich swoich obawach kieruje się jednakowemi prawami, że dla tego na każdym kroku widzimy potwierdzenie tej prostej prawdy, że człowiek jedynie tego pragnie o co walczyć musi! Bo czyż umysł tępy nie walczy o wiedzę — a kobieta czyż nie potrzebuje walczyć o naukę?

Lolo odwidzał czasem zagrodę Jacentego, chociaż Hilcia częściej do siebie zapraszał. Hilcio chodził tam ale nie często. W pałacu było mu duszno, widok hrabiny, która jakkolwiek rzadko się pokazywała, a z nim jeszcze rzadziej rozmawiała, oblewał zimną wodą jego serce i głowę. Mimo że kolega przyjmował go z równą zawsze serdecznością, czuł, że między nimi jest zbyt wielka różnica społeczna, by ją mogło wyrównać wspomnienie lat studenckich. W tym względzie był podobnym do swego ojca, który do pałacu nigdy się nie cisnął. Prócz tego u Hilcia grała także wielką rolę duma, której dla Bryńskich, nie miał pan Jacenty, a która jego synowi nie pozwalała patrzyć obojętnie na imponującą minę hrabiny.

Gdy z pałacu do domu wróciwszy, wynurzał się przed Zosią ze swoich wrażeń, ta usiłowała zawsze usprowiedliwić matkę Lola.

— Ona temu nie winna — mawiała że ma takie wyglądanie i mało się udziela, lecz to pani bardzo dobra i bogobojna. Ksiądz proboszcz nie raz nam opowiadał o jej dobroczynneści.

— Co mnie z jej dobroczynności! — brat odparł. Ja od niej nic nie potrzebuję i nie chcę także, żeby mi nos zadzierała. Do pałacu więcej nie pójdę i basta!

— Jak to, więc z hrabią przyjaźń zerwiesz?

Jeżeli zechce, może do mnie przychodzić.

— Prawda, ale jeżeli ty mój Hilci nigdy do niego nie pójdziesz, to w końcu i on...

— Niech sobie robi co mu się podoba! — przerwał niecierpliwie. — Ja widzę, że ta przyjaźń na włosku wisi... gdzie tam panowie będą kiedy długo przyjaciołmi! Dziś nudzi się, więc mnie zna, lecz niech tylko jutro zmienią zię stosunki, niech by się naprzykład ożenił, ręczę, że ani by spojrzał w tę stronę, gdzie ja się obracam.

Rzekłszy to, wyszedł. Zosia została na dawnem miejscu. Jej twarzyczka, tak zwykle spokojna i wesoła, była teraz smutną. Oczy miała mgłą osłonięte, ręce trzymała na białym fartuszku. Nareszcie powstała, westchnęła, i zwolna zbliżyła się do szafki, w krórej utrzymywała swoje książki. Wzięła jednę. Była to *Marja* Malczewskiego, którą dzień przedtem pożyczył jej hrabia. Już dwa razy całą przeczytała, a jednak ręka poczęła znowu karty przerzucać, i oko szukało ustępów, które najbardziej wzruszały młode serduszko. Znalazła. Jakiś czas czytała, dopóki łzy duże i jasne jak perły, nie zalały najpierw oczu, potem książki.

(C. d. n.)

Z życia humorysty.

Jak u Pana Boga w niebie
Tak mu upływało życie,
Zaś w kieszeni grosz z redakcji
Nagromadzał się obficie.
Każdy lubiał go i wielbił
U...iskiego i u...eskiej
Nieśli go na rękach prawie
Za te pyszne humoreski.

Ale cóż? Przy całem szczęściu
Coś mu jeszcze brakowało.
(Nawet sercu humorysty
Los być nie pozwala skałą).
Chciał się żenić pan Antoni,
Co się zresztą w świecie zdarza,
Chciał się żenić i zawiesić
Humoreski u ołtarza.

Tylko w mieście... nasz bohater
Zawziął się na miejskie panie,
Mówiąc o nich mruczał ciągle:
„Blansze... pudry... udawanie..“

Myślał, że w tem przedsięwzięciu
Bogi będą mu łaskawsi
Tam, gdzie prawda z niewinnością
Dotąd w parze żyją — na wsi.

A znał cud urody, cnoty,
Skryty pod wioskową strzechą.
Jej wspomnienie słodkie dotąd
W sercu brzmiało mu jak echo
Nie raz o niej w zabaw gwarze,
Nie raz myślał w samotności...
Pod gościnną więc tę strzechę
Zdecydował się pójść w gości.

„Papa“ przyjął go serdecznie —
„Mama“ była nader czuła,
Córka zaś, — ta swym powabem
Wnet do siebie go przykuła.
Po obiadku miał sposobność
Sam się bawić z nią w ogrodzie —
Ach! cudownie mu prawiła.
O — kwiatuszkach i pogodzie.

Wzrok tak miała tęskny, łzawy —
Usta tak rozkosznie świeże, —
Twarz tak białą, dłoń tak małą
A głos tak dźwięczący szczerze, —
Że nasz gość — stał, jak studencik
I raz pierwszy dotąd może,
O wielkości swej zapomniał, —
O sarkazmie i humorze.

Przyszedł wieczór — z nim rozstanie
Aż do jutra... Pan Antoni
Obok kuchni miał pokoik...
Tam na dworze ptaszek dzwoni,
Patrzy księżyc, błyszczy rosa,
I — o dziwo, po raz pierwszy
Zachwyciły go niebiosa.

Zachwyciła go natura
Do snu się układająca,
Gwiazdki kwiaty i mgieł obłok,
Co o faie rzeki trąca.
Rosną w sercu tęskne mary,
(Jak po deszczu rosną grzyby...)
Kto wie, czyby humorysta
Nie był w liryzm popadł, — Gdyby...

Nagle wrzask się rozniósł z kuchni:
— Ach! na Chrystusa rany,
Ta — że panna mię zabije!“ —
(Nie zbyt cienkie były ściany;
Aby nie przepuścić krzyku).
Pan Antoni słucha, słucha
I okropna myśl mu wpada
W głębię marzącego ducha.

Już nie wabią go mgły, gwiazdy,
Ani słowik, ani zorza —
Krzyk czasami silniej rani
Od najostrzejszego noża...
Zrywa się od okna z trwogą
I bez tchu do kuchni wpada...

* * *

Przy porannej kawie — panna
Była czegoś bardzo blada.

„Mama“ wpadła w roztargnienie,
„Papa“ sapał, nakształt miecha...
Z serca pana Antoniego
Ustąpiły słodkie echa.
W mieście go „czekała praca“
Musiał więc powracać szybko,
I już odtąd nigdy nie gnał
Za niewinną wiejską rybką.

Na myśl przyszła mu, bajeczka
Treści może na zbyt znanej,
O skromniutkim tym słowiku,
Co to dusić miał barany.
Nie złorzeczył odtąd „pudrom“,
Drwił natomiast z „westchnień“, z „łezki“
I rzuciwszy swój ideał,
Siadł do nowej humoreski.

St. Rossowski.

Młodzieńcze utwory.

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

szkic przez

Z. G.

Nie wiem, czy który z poetów miał szczęście od najpierwszych lat znajdować się w tak pomyślnych dla swego rozwoju warunkach, jak Zygmunt Krasiński. Ojciec jego, magnat, ordynat opinogórski, gromadził w swoim domu przepych zewnętrzny i koncentrował życie umysłowe stolicy. „Dziedziczny pałac Czapskich wyrestaurował i ozdobił kosztownymi sprzętami, które ze skarbów Radziwiłłowskich i Krasińskich nagromadził; salę jedną zapełnił portretami przodków, których starannie wyszukiwał, zebrał piękną i bogatą zbrojownię ze starożytnej i nowoczesnej rzadkiej i bogato oprawnej broni, o bibljotece nie zapomniał, do której stare dzieła zbierał, nowe w ozdobnych wydaniach sprowadzał“.*) Były tam „dzienniki krajowe i zagraniczne, wszelkie

*) Kaj. Koźmian. Pamiętniki. T. III. str. 314.

nowo wydane dzieła ojczyste i godniejsze uwagi zagraniczne". **)

O sobotnich objadach, przy których zasiadał cały świat literacki i uczony Warszawy, opowiedział nam wiele powszechnie znanych szczegółów A. E. Koźmian ***) Oddychając takiem powietrzem młody. Zygmunt miał doborowych mistrzów: do r 7. baronową La Haye, emigrantkę z czasów rewolucji, od kwietnia do końca roku 1819. Józefa Korzeniowskiego, po nim zajął miejsce Piotr Chlebowski który go przygotował do najwyższej (szóstej) klasy liceum, gdzie wstąpił w r. 18:6. a w z. 1828 przeszedł na uniwersytet ****).

Nie będę powtarzał anegdot o dowcipie cudownego dziecka, bo są mało pewne i zbyt mało charakterystyczne. Ważniejszą wiadomość przekazano nam o pilności i wczesnej chciwości na najszerszą wiedzę przyszłego poety *). Dowodem rozległej znajomości literatury polskiej i nawet obcych, jest jego list do Bonstettena, są liczne motta z przeróżnych dzieł i poematów w pierwszych utworach.

Umysł się rozwijał, gotowało się i w sercu. W szóstym roku życia, — więc tak prędko po rozwikłaniu się z pieluch — przebolał zaręczyny Anny Sapieżanki i nie dawał się pocieszyć, mówiąc, że „ drugiej Anny nie może być na ziemi, jak dwóch słońc na niebie nie ma". Wyprzedził więc Byrona o dwa lata... Lecz pomijając to dzieciństwo widzimy go jako kilkunastuletniego chłopaczka rozmiłowanego we wspólnie z nim wychowanej kuzynce Amelji Bronikowskiej, która w tymże czasie wychodzi za hr. Załuskiego **). Zapalne serce już w r. 1828 uwielbiało „pannę Helenę", spotykaną w domu babki, starościny opinogórskiej***). Toż później skarży się na swoje lata dziecinne (9 lutego 1836): Powiedz mi drogi mój, pisze do Gaszyńskiego, czy pamiętasz, jakem był lekkomyślny, wesoły, jak mi dni schodziły gdyby motyle. Oh! nie! podobno ja nigdy takim nie byłem, już w dzieciństwie mojem były namiętności, które mnie kaziły, które mi czystość duszy odebrały przed czasem; starością, jakąś cechowały mnie Bogi, nigdym nie był tak niewinny, tak dobry, tak ufny jak ty, i dlategom nigdy nie był jako ty szczęśliwy". ****) „Miłości te i zazdrości" *) zapewne nie były bez wpływu na jego twórczość literacką. Rozpoczęła się zadziwiająco wcześnie. Wspominają o powiastce napisanej w szóstym roku pt. La bonne fée Marie. **) Tarnowski w wykładach swoich podawał jako autentyczny okrom wątpliwości dwuwiersz pochodzący z ósmego roku życia, umieszczony na tarczy bawiącego się z nim w rycerza rówieśnika imieniem Bronisław:

„Dawnych rycerzów plemię jeszcze nie wygasło
Ich duch żyje w mem łonie, a w imieniu hasło .

Następnie mamy wzmiankę o przekładzie Świtezianki na język łaciński *); dość niepewną wiadomość o powieści napisanej jakoby w 14 roku życia i złożonej ojcu w darze, drukowanej na bibule**). Wreszcie w roku 1827 pisze „Grób rodziny Reichshalów", ***), tłumaczy w r. 1828 pierwszą część „początkowego prawodawstwa polskiego Lelewela na język francuski ****), a w r. 1829. czy 1830. wychodzi w trzech tomach powieść pt. „Władysław Herman i Dwór jego. Powieść historyczna z dziejów narodowych XI. wieku przez N. K. Warszawa 1830"

Kilkunastoletni chłopaczek występuje z utworami powieściowymi w chwili, kiedy można było cały ówczesny skarb utworów tego rodzaju policzyć na palcach *). Ale dziełka Krasińskiego prócz podobnych nagłówków u początku każdego rozdziału i prócz rynsztunku rycerskiego mało mają z nimi wspólnego. Charakteryzują się te i inne romansy spokojną, mieszczańską, tkliwą atmosferą, zaprawioną stosowną dozą historycznych nazwisk, dat, obyczajów i wypadków. U Krasińskiego historycznego balastu niej ma zgoła; a ludzie przedstawiani jeszcze więcej różni od jemu współczesnych ziomków, jak od tych, których mają wystawić według podpisu. Wiek XVII i wiek XI różni się tylko rodzajem broni; zresztą na przekór wszelkiej historji w obu wiekach przedstawia się idealnie doskonały ustrój feudalny. Natomiast w obliczu głównych bohaterów ujrzymy wielkie podobieństwo do postaci Byrona. Uczucia, mowa Mestwina, Zbigniewa, Allana, są na wskroś byroniczne Wpływ Byrona unaocznia się w nadzwyczaj charakterystycznym ustępie z Reichsthalów.

„Wpadał czasem Leslie w czarną posępność. Zdawało się, jak gdyby pamięć jakiegoś nieszczęścia wszystkie jego zatłumiła uczucia, i serce tylko zemście otwierała. Z nikim nie obcował, nigdy uśmiechem nie powitał przyjaciela, nigdy oka nie zwrócił na hoże dziewice. Sam w sobie znajdując świat cały, głuchy był na wesołe pienia, na uniesienia radości. Zimne jego serce niczem się nie wzruszyło, chyba kiedy wlewało w nie gorycz przeszłych zdarzeń przypomnienia. Wtenczas zdawał się odchodzić od zmysłów. Oczy jego zawsze martwe żywym zapałały ogniem, podobnym do błyskawicy, która wśród czarnej nocy rozdziera chmury i ogłasza światu grzmot strasznego piorunu. Chodził po długich zamku korytarzach. Jęczał i wzywał zemsty niebios na wroga. Przysięgając jego zgubę dobywał miecza i miotał przekleństwa". Na pierwszy rzut oka przypominamy sobie, że znamy całkiem podobny ustęp rytmiczny — charakterystykę Wallenroda. A jednak dzieła oba, Reichsthale, i Wallenrod, były pisane w tym samym roku, autorowie się nie znali, żadnego z nich o plagiat ani umyślny ani mimowolny posądzić nie można Rzecz się tak tłumaczy, że obaj używali rysów psychologicznych bohaterów byronowskich

W formie powieści historycznej znajdujemy treść zaczerpniętą z wielkiej poezji romantycznej. Jestto wypadek decydujący na przyszłość poety. Posiada zawsze temat ważny, wielki, jednolity — stosowny do poematu, a nie powieści; ale forma długo pozostaje prozaiczna. Brak zdolności do wierszowania, brak ćwiczenia utrzymuje go przy prozie, ale z czasem treść wywiera na formę głębszy wpływ, chce ją podnieść, upiększyć; tworzy własny styl, pełen siły i malowniczości; zowie ją autor sam „prozą poetyczną", a dzieła „poematami prozą". Zamyśla rzecz wielką: „Proza i wiersz gdy spłyną w jedno, będzie wielka mowa

**) A. E. Koźmian w Życiorysie poprzedzającym wydanie Listów o St. Czarnieckim Krasińskiego str. 21.

***) tamże i we Wspomnieniach.

****) B. Twardzicki. Utwory Z. Kraś. str. 30 33,

*) Świadectwo Korzeniowskiego w literaturze Sowińskiego III 202 i A. E. Koźmian 18.

**) Twardzicki XXIX.

***) Tarnowski w Przedmowie do dzieł Kr V. Listy (1882) str. 154. wspominają tuż przy imieniu Heleny o „dramacie w garderobie babki".

****) Listy (1882) str. 75.

*) Ibidem 5.

**) Twardzicki XVII.

*) Tarnowski IV.

**) A. E. Koźmian 27.

***) Drukowany w Rozmaitościach Dmuchowskiego 1828.

*) Niemcewicz Pan z Łęczyna 1825. Pojata 1826 Nałęcz. 1828. Skarbek. Tarło 1837. Damian Ruszczyc 1827. Wężyk Władysław Łokietek 1828. Zygmunt z Szamotuł 1828.

udzka. Co myślisz o tem? Może jedyną zasługą autora naszego (pisze o sobie samym) będzie wskazać innym szczęśliwszym, że to stać się musi i może".

W romansach, o których mówimy, leży zarodek dalszego poetyckiego kierunku autora, bo pomimo tego, że styl nie jest jeszcze ozdobny, treść jednak stara się wynieść po nad poziom zwyczajnych opowiadań. (C. d. n)

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Po kilku dniach pobytu we Lwowie, ciocia siedząc raz koło łóżka chorego brata, gdy byli sami w pokoju, wszczęła rozmowę o Małgosi.

Nie mając dość słów pochwały dla jej urody, rozumu, wykształcenia i tym podobnych zalet, co wszystko oczywiście w dobry humor wprawiło starego Wilskiego — bąknęła w końcu, że nie zawadziłoby pomyśleć o zabezpieczeniu jej przyszłości.

Na uwagę brata, że Małgosia otrzyma po rodzicach i stryju znaczny spadek, zatem zbyteczna zupełnie troska o jej przyszłość, odparła ciocia:

— Nie o majątku mówię, bo zresztą co ja posiadam, wszystko przeznaczyłam dla ukochanej mojej dzieweczki — ale właśnie tem bardziej należy postarać się zawczasu, aby wraz z nią dostał się ten majątek w poczciwe ręce... Niech Bóg nam brata zachowa do stu lat, wszyscy jednak śmiertelni jesteśmy i przezorność, zwłaszcza w obec córki, jest obowiązkiem ojca.

— Racja w tem zupełna, ani słowa — w jakiż to sposób zdaniem twojem trzeba zapewnić się o jej przyszłości? — zagadnął pan Wilski poruszając się na łóżku gestem niezadowolenia.

— Wydać ją za mąż za porządnego człowieka, odparła ciocia rezolutnie i śmiało, niezrażona widocznie. Znajdzie w nim opiekuna, a wy będziecie mogli spokojnie oczekiwać chwili, gdy z woli Boga przyjdzie wam kiedyś zamknąć oczy.

— Tra lala... ledwie dziecko od ziemi odrosło, i już byś ją za mąż wydawała? Cóż to, oboje jutro umierać mamy, czy co? Żem słaby, to prawda, ale mimo to wcale nie spieszy mi się jeszcze na łono Abrahama.. Zresztą gdybyś mię nawet, kochana siostro, wyekspedjowała do nieba — to Małgosia ma przecie zdrową matkę, brata opiekuna Dręckiego — a przy majątku i swojej urodzie każdej chwili na zawołanie znajdzie sobie męża... z pewnością nie zostanie starą panną...

— Ależ nie irytuj się drogi bracie... uspokój się... Wszak co mówię, to czysto z serca i przywiązania do Małgosi. Ani ciebie wyprawiać na tamten świat nie zamyślam, ani Małgosi jutro za mąż nie wydam. Zróbcie jak chcecie, jak wam rozum dyktuje, a ja kochając ją i postanawiając j e d y n ą m o j ą s u k c e s o r k ą, sądziłam, że mam prawo przynajmniej objawić moje przekonanie w tej mierze...

Słowa powyższe podkreślone, bo je ciocia z naciskiem wypowiedziała, wiedząc dobrze, że niechybią celu. I rzeczywiście wspomnieniem o sukcesji, zachmurzone oblicze pana Wilskiego rozpogodziło się nieco.

— Ale masz to prawo, masz kochana siostruniu, odparł łagodnie już nie zaprzeczam ci go wcale... Myślę jeno, że mamy dość czasu mówić o wydaniu Małgosi.

— I ja powtarzam ci — zaczynając o tem dziś rozmowę, nie przyszłam z projektem, aby ją zaraz wydać. Dość czasu za rok, dwa. Lecz z drugiej strony nic by w tem złego nie było, gdyby, jeśli się trafi człowiek odpowiedni — starać się poznać go, wypróbować, dobrze wybadać, zanim by oddało mu się w ręce skarb taki, jak moja najdroższa Małgosia...

— Ależ Małgosia ma jeszcze nauczycielkę, kończy dopiero edukację!

— To też nie w roli konkurenta mógłby bywać w waszym domu.

— Przecie nikomu drzwi przed nosem nie zamknę, lecz dotychczas nikt jeszcze z młodych ludzi nie bywa u nas.

— Bo żyjecie jak odludki... Wstyd doprawdy z takim majątkiem kryć się przed światem i kwasić siebie i dzieci.

— Kryć nie kryjemy się bynajmniej, jeno wiesz przecie, że to ta moja słabość nieszczęśliwa sprowadziła nas do miasta i trzyma tutaj. Wobec niej, a przytem, gdy dzieci zajęte jeszcze nauką śmiesznie byłoby myśleć o zabawach.

Zręczna ciocia widząc, że jak na pierwszy raz, więcej nie wskóra, a jeno zbytecznie podrażnić może brata, sprowadziła rozmowę na inny przedmiot, postanowiając rzecz wznowić przy sposobności.

* * *

W kilkanaście dni potem pewnego południa chłopak, Grześ we Lwowie udający nie bez efektu lokaja, w Zrębach zaś zwykle pełniący funkcje podstajennego — zameldował, że jakiś pan młody przyszedł z wizytą do siostry samego pana.

— Spytaj się, jak się nazywa, lub niech ci da bilet swój — zadysponowała ciocia.

Za chwilę wrócił Grześ z dużym biletem wizytowym, na którym przeczytano pięknie litografowany napis: Kazimierz Świderski. Nad tem nazwiskiem wyrobiony był herb z mitrą książęcą.

— A poczciwy Kazimierz! — zawołała ciocia radośnie. — Proś tego pana do salonu. (C. d. n.)

Przegląd literacki.

(Liberalizm i Obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815 1823) p. Piotra Chmielowskiego (Ateneum 1883 styczeń-kwiecień.)

(Ciąg dalszy)

Od r. 1822 poczyna się postać rzeczy zmieniać. Towarzystwa wolnomularzy, szubrawców i typograficzne zniesiono, mija najświetniejszy okres rozwoju uniwersytetu wileńskiego, czterech podejrzanych o liberalne poglądy profesorów ks. Bobrowskiego, Lelewela, Daniłowicza i Gołuchowskiego usunięto: inni, jak Frank, Jundził usunęli się sami, Anacewicz był więziony, Grodek umarł; upadają czasopisma przez towarzystwa wspierane, reakcja się wzmaga, idee liberalne stają się nie tylko podejrzane, ale i prześladowane, odzywa się nawet głos — i to z uniwersyteckiej katedry — wsteczny i zgubny. Zdaniem Degurowa profesora historji „wysoki stopień rozwinięcia władz umysłowych w Europie główną przyczyną tych zaburzeń, które już przeszło od lat 30 zagrażają nie tylko spokojności i szczęściu narodów, ale nawet i powszechnemu ich bytowi". Ale święte przymierze ocaliło Europę; „Słusznie odrzucono fałszywe zasady filozofii! Żadna nauka nic nie postąpiła, odkąd z religją zerwała. Nie było postępu ani w nauce prawa przyrodzonego, ani w nauce moralności, fizyce i historji. „Na-

ród zawżdy jest poddanym i niczem innem być nie może". Ponieważ tę naukę posłuszeństwa bezwarunkowego wpaja religja, jej tedy ugruntowanie zapobieży raz na zawsze obłąkaniem rozumującej części ludzi".

Widzimy tu też same myśli, które się pojawiały u księży Jezuitów — myśli wsteczne głoszone z poważnej katedry uniwersyteckiej.

Reakcja zwyciężyłaby, gdyby nie nowy zwrot różny od obu prądów poprzednich, gdyby nie romantyzm.

Oto pobieżna i zwięzła treść na szeroką skalę obmyślanego studjum. Jeszcze kilka uwag krytycznych.

Liberalizm w szędzie i zawsze oznaczał opozycją przeciw nadużyciom, przeciw wadom psującego się rządu, usiłował usunąć przewagę panującej jednej klasy, brał w obronę i opiekę masy ludu, walczył w celu zniszczenia podstaw tych instytucji politycznych, które tamowały rozwój społeczny — a natomiast pracował nad dźwignięciem ustroiu nowego, opartego na swobodnym rozwoju sił społecznych, mogącago zaspokoić interesa większej części ludności. Tak pojęty świadomieni ku jednemu celowi skierowany — skupia prąd ów zastępy pracowników i tworzy siłę nieprzepartą.

Czy u nas w istocie istniał taki zastęp, zorganizowany w świadomą celów swych czynną siłę? Czy owe głosy reformatorskie — nie były raczej opinią kilku ludzi, wykształceńszych i wśród odmiennych wychowanych pojęć? Czy autor studjum zdołał ściśle i dostatecznie umotywować możliwa ilością przesłanek — związek tego lub owego prądu z dążnościami reformatorskimi liberalistów.

Autor w pracy swej opiera się na czasopismach, broszurach i niektórych dziełach spółcześnie pisanych.

Wyzyskuje polemikę w pewnych — zdaniem jego — najważniejszych kwestjach, zestawia z wielką bystrością i trafnością znamienne, a niezawodnie najostrzejsze rysy artykułów — i tworzy barwny, żywy, b. plastyczny obraz chwili, niezawodnie odznaczającej się niezmierną ruchliwością w rozbiorze ważnych zagadnień społecznego życia.

Atoli właśnie to, że autor bierze rysy najostrzejsze, a powtóre to, że usiłuje zbyt skwapliwie podciądnąć wszystkie ruchy myśli ówczesnej pod którykolwiek z dwóch wskazanych prądów — powoduje niektóre słabe strony tego zresztą wybornego studjum.

Niektóre bowiem rysy sporów — wyzyskane na rzecz walki liberałów z obskurantami, jakkolwiek znamienne, nie są jednak zasadniczemi wyrazami tendencji artykułów, nie mogą więc służyć, jako motywa dla poparcia z a s a d y. Tak się ma rzecz zdaniem naszem, ze sporem literackim Styczyńskiego z X. Wincentym Buczyńskim o Pułtawę Muśnickiego. Nie ma on wcale takiego znaczenia, aby stanowił jeden z objawów walki dwóch stronnictw. Należy do sporów literackich, stokroć mniej głośnych niż np. szeroki i doniosły spór Romantyków z klasykami, który się w tej epoce właśnie rozgrywał. Niknie w paru artykułach i paru replikach, w których bynajmniej nie poruszają się kwestje zasadnicze, a wojującym chodzi, zdaje się, mniej o nie, niż o wykazanie swej erudycji. „Są alluzje — pisze na str. 102 Chmielowski — pozwalające dojrzeć po przez las cytat, że Styczyński chciał dać poznać publiczności, ku jakim przedmiotom i w jakim celu zwracają się natchnienia i prace Jezuitów". Otóż alluzje te stanowczo musimy nazwać urojonemi. Owszem Styczyński wyraźnie odpiera możliwość takiej insynuacji (Dz. Wil. 1817 grudz. 14622) w ustępie zatytułowanym „co do towarzystwa, którego X. Muśnicki był człowiekiem" twierdząc wbrew Bentkowskiemu i innym, że Jezuici wcale nie przyczynili się do upadku nauk w Polsce. Toż samo zupełnie da się uzasadnić co do podciągnięcia pod hasło walki liberalizmu z obskurantyzmem niewinnej krytycznej pracy Borowskiego Leona pt. Uwagi nad Monahomachią Krasickiego.

Ten zarzut da się zastosować do wrzekomego związku mistycyzmu z reakcją. Mistycyzm — którego apostołami byli Poszman, Oleszkiewicz łączył się z magnetyzmem — w obronie sił którego stanął Ignacy Lachnicki, redaktor pamiętnika magnetycznego. Autor — uważając magnetyzm za czynnik w dziejach ścierania się dwóch prądów cywilizacyjnych ważny — nie wykazuje tego dowodami, których de facto nie ma. Walka bowiem ogranicza się do wymiany opinii dwóch lub kilku ludzi — nie może zatem rościć sobie pretensji do przedstawiania prądu nurtującego w całem społeczeństwie, lub choćby jego części, a samo zapewnienie, że oprócz Poszmana i Łachnickiego „byli tacy, co się magnetymem bawili" nie wystarcza i nie wiele dowodzi. Musimy wyznać że cały prąd mistyczny, wraz z manią magnetyczną w ó w c z a s nie przedstawiał, zdaniem naszem, wielkiego znaczenia — a już żadną miarą nie można go traktować na równi z walką o zasady.

Wspierany siłami jednego człowieka — pamiętnik magnetyczny, jako jedyny szermierz — nie budzi ani interesu (bo autor sam przyznaje, że nie miał prenumeratorów) ani też nie ma ważności, bo nie celuje dowcipem i siłą słowa.

Musimy zwrócić uwagę jeszcze na parę okoliczności. W pierwszych rozdziałach studjum walka liberalizmu z obskurantyzmem występuje wyraźnie; autor wszystkie promienie dowodów skupia w tym kierunku, aby główne światło n a n i ą właśnie padło. Później ostre kontury obrazów ścierają się; antagonizm partji łagodnieje — a co więcej, znika ich współrzędność kwestji — uwłaszczenia chłopów, wychowania kobiet, towarzystwa, kwestje mistycyzmu i magnetyzmu, kwestja zresztą oświaty ludu zarówno w ustach liberałów, jak obskurantów znajdują pożytecznych szermierzy, albo raczej — nie znajdują należytego oporu, a więc obskurantów właściwie nie masz dążenie to przynajmniej pozostaje na dalekiem tle, nie dając należytego oporu liberalizmowi. Jeśli dodamy do powyższych motywów i ten, że obraz nie obejmuje w całej pełni wszystkich odcieni spółczesnego życia, że np. wspomnę o niewyzyskanym dziale prądów literackich, to musimy przyznać, iż nawet pomimo pewnej jednostronności przedstawienia, pomimo użycia rysów ostrych, nie zupełnie udało się autorowi uzasadnić współrzędność stronnictw. Zdaniem naszem liberalizm i obskurantyzm nie były hasłami owego czasu, a już pewnie nie były współrzędnymi, tak zasadniczo różnymi prądami, jak np. klasycyzm i romantyzm. Odmawiając takiej wagi liberalizmowi i obskurantyzmowi — przyznać musimy, że studjum ma ogromne dla nas znaczenie osobliwie z jednego względu kto uważnie śledził różne głosy spółczesnych w różnych podnoszone kwestjach, musiał zauważyć, jak dziwna istnieje analogja pomiędzy ówczesną epoką a dzisiejszą.

I dziś — z małemi odmianami — występują te same stronnictwa, toczy się walka o te same kwestje.

Kwestję włościańskę zastąpiła sprawa oświaty ludu; kwestja wychowania i emancypacji kobiet nie doczekały się załatwienia, w dziale filozofii, literatury podobnie sprzeczne panują prądy. Chmielowski liberalistów charakteryzuje w następujący sposób: „Byli to ludzie dążący z zapasem wielkiej inteligencji do celu drogą racjonalną, niezmiernie głęboko wnikali w życie społeczeństwa, rozumieli jego potrzeby, znali wady — i z bystrością podziwienia godną stanowczą przyganą lub biczem ostrej satyry karcili je,

zwracając ze zboczonego kierunku na właściwą drogę. Czy powyższą charakterystykę można zastosować do naszych liberalistów? łatwiej gdzie indziej niż u nas. Natomiast czasowi naszemu odpowiadają znamienne rysy cechujące ówczesnych wsteczników, którzy nie walczyli z przeciwnikami bronią dowodów, bronią rozbioru teorji i poglądów sobie niemiłych, ale starali się wystawić te teorje i poglądy, jako szkodliwe dla społeczeństwa i rządu; a w tem staraniu się na nic nie zważali, brali najskrajniejsze wybryki i podawali je jako ogólny wynik wszelkiego niezależnego wnioskowania, materjalizm praktyczny będący wynikiem grubych instynktów żądzy używania i t. d. wystawili jako bezpośrednie następstwo studjów nad zjawiskami i prawami przyrody... ludzi wyznających i głoszących swobodę rozbioru i krytyki denuncjowali, jako niebezpiecznych dla państwa. Takie postępowanie wolno napiętnować nazwą „niemoralnego“. Pomijając już wysoką wartość nawskróś oryginalnego tego studjum, jako jednej z nielicznych a lśniących barwami i celujących plastykę prób przedstawienia obrazu cywilizacji w danym okresie, pomijając ważność wielu oryginalnych rezultatów, mnóstwa nader trafnych spostrzeżeń i uwag, podziwiać prawdziwie należy bystrość, z jaką autor obrał epokę i skupił rysy, do uwydatnienia tendencji służące.

Antoni Mazanowski.

Sztuka kuglarska.

Szkic brazylijski

przez

F. Gerstäckera.

Francisco Continho był synem bogatego Facenderos czyli plantatora kawy w głębi kraju — niemogąc pogodzić się z cichem życiem jakie tam prowadzono został wysłany do wuja zamieszkałego w stołecznem mieście, by się czegoś nauczył i trochę okrzesał. Rodzicom coś z niego zrobić trudno było. Wuj jego w Rio nie wiele miał z niego pociechy — chłopak był piękny i z rozwiniętą głową, lecz leniwiec i lampart najlepszego gatunku — w każdej psocie w Rio dokonanej musiał przewodniczyć każdy figel wymyśleć — doszło wreszcie do tego, iż wszystkie znakomitsze rodziny zamknęły przed nim domy i starały się ile możności go unikać, a matki strzegły córki swoje tak troskliwie, jak kokosz kurczęta gdy ujrzy w powietrzu krążącego jastrzębia.

Wuj w Rio jeden z najbogatszych kupców stolicy doniósł o niepoprawnym siostrzeńcu bratu w głąb kraju, wskutek czego postanowiono za wspólną naradą, zdziczałego młodzieńca wysłać na parę lat pod opiekę i nadzór surowy trzeciego brata jenerała Continho do Lisbony.

Francisco Continho wsiadł wreszcie na okręt francuski odpływający co miesiąc do Lisbony, a stolica odetchęła swobodniej, gdy ten burzyciel pokoju oddalał się od brzegów, od których coraz większa przestrzeń go oddzielała.

Tak upłynęło trzy lata. Pustego dzikiego młodzieńca dawno zapomiano, albo przynajmniej nie spodziewano się nigdy oglądać w Brazylji.

Wtem raptem rozeszła się pogłoska: Francisco Continho powrócił ostatnim parowcem! Na liście pasażerów stało wyraźnie jego imię i nazwisko — nie można było o tem wątpić. Oczywiście wszystkie sprawki młokosa stały dotąd żywo w pamięci Brazylijczyków, przeto można sobie wyobrazić, iż radość z jego powrotu nie była bardzo donośną.

Jednakże wkrótce rozgłoszono w mieście — może przez jego familję — Francisco stał się innym człowiekiem — poprawił się zupełnie — lecz — nie wierzono temu trzy lata jest to przeciąg czasu zbyt krótki do poprawienia tak zepsutego młodego człowieka — mówiono sobie.

Z początku nikt go prawie nie widział — w pierwszych tygodniach siedział najwięcej w domu. Czasami tylko na wspaniałym wierzchowcu przywiezionym z Europy wyjeżdżał poza obręb miasta. Ale życie takie raziło go monotonnością, pomału zaczął robić wizyty, by nawiązać dawne znajomości. Tu ma się rozumieć dowiedział się dość wcześnie że dawniejszego postępowania jego niezapomniano, i wskutek tego nie dowierzano, by tak prędko i gruntownie narowy złe porzucić można. Zdarzyło się najczęściej, iż dam o które pytał nie było w domu. Wyszły do kościoła, wyjechały na wieś lub do San Pedro słowem były wszędzie tylko nie tam, gdzie on życzył je sobie widzieć — a to powtarzało się tak często, że w końcu rozgniewany napisał do ojca: Rio de Janeiro jest niczem innem tylko dużą wsią — zatem nie myślę dłużej życia tu prowadzić. Chcę napowrót jechać do Lisbony lub do Paryża, Brazylję niech porwie licho. Rodzice nie chcieli syna wyprawić znowu za morze — namawiali go ustnie do pozostania — dał się nakłonić probując raz jeszcze odnowienia stosunków towarzyskich — ale niestety! i teraz nie lepiej się powiodło, mówiono w tajemnicy — lecz o poprawie mowy być nie może. Zamykano mu drzwi przed nosem wskutek czego oświadczył raz ciotce iż dłużej w stolicy zostać nie chce.

Wuj jednakże naciskany przez brata nie mógł na wyjazd mu zezwolić, a że pobyt Francisca w Rio Janeiro był nieznośny postanowił spróbować jeszcze „ostatniego środka“ by nietylko Francisca z Towarzystwem w Rio Janeiro pogodzić — lecz także pokazać, iż tenże (Francisco) jakkolwiek w młodości nieco dzikich pozwalał sobie wybryków — teraz się ustatkował i zasługuje, aby do porządnego towarzystwa był przypuszczonym. Urządził zatem w pięknym swym domu z którego całą zatokę widać było — wspaniały bal, na którym najznakomitsze rodziny z miasta obecności swojej odmówić nie mogły i nie chciały. Cała śmietanka zebrała się tam razem a gospodarz nie szczędził kosztów i zabiegów by uprzyjemnić zabawę przepychem iście czarodziejskim dostojnym gościom ten wieczór.

Francisco był najmilszym i najuprzejmiejszym, zdając się zupełnie okazywaną mu wzgardę zapominać — jednakże mimo wysiłków z jego strony — wskutek nieszczęsnej reputacji jaką sobie pozyskał — młode kobiety nawet te, które chętnie byłyby się doń zbliżyły — usuwały się z bojaźnią przed nim widząc, że wszelką poufałość wzięto by im za zbrodnię.

Siostrzeńcowi domu niegrzeczności okazywać nie wypadało, zatem zręcznie unikano go, gdzie tylko można było; co wreszcie niedowierzający Francisco zmiarkował i z niechęcią sam usunął się w kącik. Niedługo tam pozostawał — chciał wyjść, gdy wuj zatrzymał go, lękając się by Francisco nie opuścił towarzystwa, a wtedy plan jego zupełnie zostałby unicestwiony.

Nie bój się wuju — rozśmiał się zagadnięty — dlaczegożbym miał salę opuszczać? Bawię się wybornie — tylko chciałem ku rozrywce tych, którzy nie tańczą coś wymyśleć, również pokazać poczciwcom iż nie na darmo przebywałem trzy lata na kontynencie.

Cóż chcesz uczynić?

Zostaw to mnie — zaśmiał się Francisco — przygotowałem niespodziankę dla wszystkich i daję ci wuju słowo, iż jutro całe miasto dla którego dziś nie istnieję prawie o niczem nie będzie mówić tylko o mej nieznacznej osobie. Ale potrzebuję do tego pewnych przygotowań.

To mówiąc, wysunął się z ręki wujowi.

Taniec trwał dalej — młode dziewczęta szeptały między sobą łamiąc główki, gdzie też się podział młody Continho. Bały się go — jednakże byłyby wolały — gdyby był z niemi. Takie to dziwne stworzenia są te młode panienki:

Obok sali znajdował się mały gabinet przysłonięty ciężką jedwabną portjerą, gdzie dla mniejszego zebrania zastawiono zwykle rodzaj buffetu. Dziś miejsce było by tu za szczupłem, zostawiono więc go próżnym, mając zamiar później stoliki do kart w nim przygotować.

Tu przez nikogo niespostrzeżony Francisco z pomocą Negrów pracował nad ustawieniem dużego stołu i zniesieniem różnych aparatów, które przywiózł z sobą z Lisbony, a które dotąd nie widziały światła bożego.

Przygotowania nie trwały długo — właśnie co tylko ukończono, ulubiony taniec rodzaj fandanga gdy raptem z chińskiego Tam Tam, czy gong rozległ się głos by strzał armatni na sali — a równocześnie rozsunęła się zielona portjera od gabinetu. Przestraszone chwilowo damy cofnęły się przed raptownie otwartą tajemnicą — lecz on jak prawdziwy kuglarz stał na podwyższeniu nakrytem białem prześcieradłem otoczony małemi stolikami, gdzie lśniące dziwnego kształtu naczynia błyszczały na równi z jarzącemi świecami.

Teraz wszyscy cisnęli się by „sztuki“ bliżej zobaczyć — panowie oczywiście musieli pierwszeństwa ustąpić paniom — przeto w kilka minut ujrzał się Francisco, którego piękne sennority w Rio tak starannie dotąd unikały — ślicznym wieńcem kwitnących młodych panienek otoczonym — które z ciekawością i natężeniem oczekiwały rozpoczęcia przedstawienia.

Gdy się uspokojono, Francisco przemówił melodyjnym pełnym głosem:

Jeśli dzisiaj pozwalam sobie wyborowe sztuki kuglarskie, starożytności znane, szanownym państwu pokazać, czynię to by państwo zabawić jakoteż aby dowieść — iż czasu przepędzonego w Europie nie zmarnowałem jak to niektórzy zdawali się mniemać“.

Wierzycie w czary moje piękne panie?— Będę próbował tutaj pokazywać takie rzeczy ktore graniczą z czarodziejstwem — przeto proszę uprzejmie patrzeć ciągle na moje palce. Rękawy mam zatoczone nic się w nich nie ukryje. Proszę zwrócić uwagę teraz; zaczynam,

Na dany znak muzyka pouczona poprzednio zagrała wesołego walca. Podczas tego zrobiono niektóre przygotowawania — przyniesiono odpowiednie naczynia i ustawiono je na przeznaczonem miejscu. Rozpoczęły się „sztuki“ znane nam dobrze jak robienie ponczu z bawełny, skrywanie kanarka — zniknięcie dukata, otwarcie pierścienia i inne, które jednak w Rio Janeiro po większej części były nowością. Francisco pokazywał sztuki z zadziwiającą zręcznością i łatwością wyłączny do tego miał talent — brazylijskie damy były zachwycone.

Francisco uśmiechał się tylko — gdy burzliwe oklaski brzmiały na sali — skromnie rozpoczynał nową zadziwiającą sztukę a często zagadkową — aż w końcu rzekł: Szanowni państwo — czas uchodzi, widzę, iż już dano znak do zastawienia kolacji a nie chciałbym za nic w świecie być nudnym. Pozwólcie zatem mi jeszcze pokazać ostatnie, a trudne doświadczenie czem zakończę wieczór. Czy mogę prosić pięknych pań o powierzenie mi jeszcze na chwilę swych kosztowności? Sip! chodź tu! Na to skinienie, przyniósł jeden z niewolników — barczysty neger Sip, duży mosiężny moździeż i postawił przed nim.

Zatem sennority! rzekł z miłym uśmiechem Francisco, obchodząc z koszykiem w ręku widzów w około — proszę łaskawe panie szczególnie o zegarki — nie potrzebują być duże — takie, same damskie zegarki — bardzo piękne — ach! to cudowny chronometer — śliczne — tylko nie dużo — proszę łaskawych pań — mam jak mi się zdaje zegarki całego towarzystwa — także proszę kilka kolji i łańcuszków - tak — bardzo pięknie bardzo pięknie — Obdarzyłyście mnie po królewsku.

W przeciągu kilku minut napełnił koszyk najcenniejszemi klejnotami, których w Rio używano z rozrzutnością. Gdy chciał wejść na podwyższenie podała mu jeszcze młodziuchna śliczna dziewczyna zaledwie trzynastotetnia z uśmiechem zegarek. Francisco wziął go spojrzał na dziewczynę i na koszyk i oddajac zegarek rzekł:

Żałuję moja panienko, iż tym razem koszyk mój tak jest zaopatrzony bogato, że zegarka przyjąć nie mogę. Na drugi raz wezmę go najpierwej.

Wstąpił znowu na swoje podwyższenie — i gdy wszystkie spojrzenia skierowały się na niego ułożył starannie każdy przedmiot z biżuterji w moździerzu. Uwaga widzów była naprężona — oczekiwano co teraz zrobi — a było niepodobieństwem by coś sfałszował, gdyż moździerz stał na oczach publiczności, która widziała najwyraźniej jak dwoma palcami przedmiot każdy ujmował i wkładał. W końcu napełniony moździerz podniósł i pokazał iż nie brakuje w nim ani jednego łańcuszka.

— Jest wszystko — rzekł biorąc ciężki tłuczek moździerzowy — który mu właśnie Neger przyniósł — teraz szanowni Państwo proszę dokładnie uważać — gdyż nadchodzi rozstrzygająca chwila! poczem niemiłosiernie opuścił na kosztowną zawartość moździerza z taką siłą, iż wyraźnie brzęk szkiełek zegarkowych i słabych przedmiotów słyszeć było można.

Kilka pań wykrzykło cicho, manipulacja ta była tak naturalnie zrobioną, iż czuły niepokój o własność swoją; Francisco jednak tłukąc bez przerwy w moździerzu śmiał się i rzekł!

Proszę się nie lękać łaskawe panie — wszystkie te potłuczone przedmioty na zaklęcie wyczeczone przezemnie przybiorą kształt swój dawny — to właśnie jest sztuka proszę uważać!

Prawie całe pięć minut tłukł niezmordowanie, w końcu odrzucił tłuczek od siebie wyprostował się i odetchnął.

Łaskawe panie — rzekł biorąc moździerz by go przewrócić — sądzę, że zabawiłem was nieco dzisiejszego wieczoru — było to moim obowiązkiem za przyjęcie jakiego doznałem od was wszystkich po powrocie z zagranicy — za tyle uprzejmości i przyjaźni wywdzięczyć się musiałem. Teraz proszę patrzeć — Przewrócił moździerz i wysypał z z niego potłuczone klejnoty na biały obrus — nikt kształtu żadnego rozróżnić nie mógł — była to świecąca massa i proszek.

Głośne „Ach“ dało się słyszeć z ust niektórych piękności cisnących się do oglądania zniszczonych przedmiotów. Franciszek jednak pewny swego śmiał się ciągle jednakowo.

Nie przestraszajcie się sennority — teraz wymówię czarodziejskie słowo — proszę zwrócić oczy wasze tu na massę, gdyż podczas przemówienia mego dokona się przemiana w oczach waszych.

Pochwycił ze stołu laskę w prawą rękę — wyprostował się i w całej okazałości stanął z podniesioną prawicą, podczas czego na jego skinienie muzyka znowu grała coś wesołego.

Raptem lewą ręką zwolna potarł czoło — błędnem okiem spojrzał na zgromadzonych

Najświętsza Panno! — zawołał — Zapomniałem to słowo! — I jak szalony skoczył w tył i zniknął za tapetowemi drzwiami przysłoniętemi firanką. Widzowie bez poruszenia siedzieli w męczącem natężeniu. Był to żart — żart godny Francisca — niespodzianka rażąca jak piorun. Muzyka grała ciągle dalej.

Ta psota nowego rodzaju Continhy wołała jakaś jejmość stara, starając się dostać naprzód, — mój nowy śliczny zegarek roztłukł w moździerzu! okropność!

Wiele osób już podczas denerwującej manipulacji przeobrażenia klejnotów w massę uczuwało trwogę — lecz z obawy by później ich nie wyśmiano, milczało — teraz uczucie to eksplodowało — damy były złamane — martwem spojrzeniem obejmowały resztki wspaniałych ozdób zgromadzone razem na obrusie — połyskujące a bezkształtne — zaledwie jakiś brylantek — kółka od zegarka kawałek szkiełka — ogniwo od łańcuszka pogięte i zmiażdżone rozróżnić się dało.

Gwar, który teraz wybuchł (nie mało kosztowało pracy uciszenie wycinającej skoczno muzyki) był nieopisany — młodzi panowie rozbiegli się w wszystkie strony, by wyszukać sprawcę tej zbrodni, ale gdzież był Francisco?

Słudzy pod zagrożeniem kary wyznali później, iż od rana już kufry swoje spakowane miał w łódce portowej, gotowej każdej chwili do odbicia. List napisany po południu a zostawiony w pokoju, który zajmował, nie pozostawił żadnej wątpliwości co do posądzenia go o rozmyślną psotę.

Dowiedziano się potem tylko, że rano okręt odpłynął do Nowego Yorku, na którym pewnie był zbieg poszukiwany. W ten sposób Francisco Continho zemścił się na pięknościach z Rio, które go lekceważyły.

Kronika naukowa.

Prądy morskie są zjawiskiem odwiecznem, a przecie do niedawnych czasów mało znanem, chociaż i dziś powiedzieć nie można, by były zupełnie zbadane. Znaczenie ich jest bardzo wielkie, bo ułatwiają one niepospolicie żeglugę, łagodzą temperaturę, a nareszcie przyczyniają się do rozprzestrzenienia roślin. Gdyby je znała była odległa starożytność, to przy ówczesnych środkach żeglarskich, byłyby one oddały niepospolite usługi, a nawet i w czasach późniejszych, w czasach wielkich odkryć, nie umiano należycie zużytkować owych olbrzymich strugów morskich. Dopiero nowsze czasy odsłaniają powoli ich tajemnicę, ale najbieglejsi badacze nie mogą się odważyć wyrzec o nich ostatniego słowa, chociaż badania ich oparte są nie na czczych domysłach, ale na studjach, popartych tak. długiem doświadczeniem, jako też środkami którymi dziś nauka rozporządza. Dodać i to należy, że dziś nie pojedynczy ludzie, ale państwa zajmują się badaniem tak ważnych czynników rozwoju całej ludzkości, jak prądy morskie. I tak Stany Zjednoczone północnej Ameryki złożyły, że się tak wyrazimy, komisję, której wyłącznem zajęciem jest badanie t. zw. prądu golfowego. I słusznie, że się nim prawie wyłącznie zajęto, bo pomiędzy prądami morskimi, to prawie rzecz pewna, że najważniejszy. Długi czas mniemano, że bierze on początek w zatoce meksykańskiej, tymczasem najnowsze badania wykazują, że zatoki tej dotyka on bardzo mało. Z pomiędzy wszystkich członków komisji Stanów Zjednoczonych największej zasługi — jak dotąd — położył Bartlett, który zajął się specjalnem badaniem prądu zatokowego, powszechnie golofowym zwanego.

Poczyna się on cokolwiek przed małymi Antykami, gdzie się kończy gorący t. zw. prąd równikowy, który przy przylądku św. Rocha, w południowej Ameryce rozdziela się na dwie części: jedna idzie ku południowej kończynie Ameryki południowej, druga zaś ku możu karaibskiemu. Pomiędzy wyspami Małych Antylów wchodzi do tego morza, jak prąd zatokowy, czyli jako już powiedzieliśmy, golfowy. Podług badań Bartletta ma on o $2^1/_2$ stopnia wyższą ciepłotę, aniżeli sąsiedni ocean atlantycki, zajmuje zaś całe morze Karaibskie. Przebywszy je wchodzi do cieśniny Jukatau, z której w pada do zatoki meksykańskiej.

Długo, bo do dnia dzisiejszego, mniemano, że prąd zatokowy zajmuje prawie całą zatokę meksykańską, tymczasem pokazało się, że wszystkie prądy w tej zatoce prawie żadnego związku nie mają z prądem golfowym. Wyszedłszy z cieśniny jakotańskiej idzie on wprost w kierunku północno-wschodnim, do cieśniny Florydy. W cieśnie tej najwyższy pas wynosi około 48 mil angielskich, gdy się zaś mierzy ilość wody, jaką ta cieśnina wylać może do północnej części Atlantyku, to przyjdziemy do przekonania, że prąd ten nie przyczynia się w żaden sposób do znacznego podwyższenia temperatury północnej części oceanu Atlantyckiego. Następnie prąd golfowy idzie dalej na północ, poczem rozdziela się na kilka części. I tak: Jedna wchodzi do cieśniny Dawissa, inna idzie dalej aż do Spitzbergen, przy czem przy wyspie Jan Mayen pozostawia mnóstwo drzewa, naniesionego, z północnej Ameryki, inna nareszcie wraca do punktu, z którego wyszła. W skutek tego między prądem równikowym a ową północną częścią golfowego, zwracającą się ku wybrzeżom Norwegii, tworzy się ta olbrzymia 65.000 kw. mil zajmująca przestrzeń, która nosi nazwę **ł ą k i s a r g a s o w e j** z powodu wodorostu zwanego sargassum, który ją bardzo grubą warstwą pokrył, naniesiony przez prądy.

Podług badań Bartletta prąd golfowy nie wszędzie ma jednakową szybkość. Uczony ten sądzi, że przyczyną tego są podmorskie przeszkody, nie zdaje mu się zaś, by spotkanie się z północnym prądem zimnym było ważną przeszkodą, wstrzymującą bieg jego. W ogóle oprócz tego, że dwa przeciwne prądy nigdy się nie mięszają, ale przeciwnie jeden drugiemu ustępuje z drogi, w jaki bądź sposób, nic prawie zresztą nie wiadomo o stosunku, jaki między nimi zachodzi w razie zetknięcia się. To tylko pewna, że północny spotkawszy się z golfowym nie ustępuje mu w ten sposób jakoby się miał obniżać na dno morskie, bo badania temperatury ostatniego sprzeciwiają się temu. Zresztą jakkolwiek nieprawdziwem jest twierdzenie, że prąd golfowy nawet w olbrzymich głębokościach, dotyka dna morskiego to z drugiej strony to jest pewnem, iż w miejscach którychby prąd północny miał iść po pod nim, dotyka niezawodnie samego dna morskiego. Świadczy o tem najpierw samo dno, wypłukane tak, jak strumyki górskie, a powtóre temperatura wody.

Niezawodnie, że badania Bartletta nie dają jeszcze w niektórych punktach zupełnie zadowalniających rezultatów, ale też nie wyrzekł on jeszcze ostatniego słowa. Badania całej komisji są w pełnym toku, gdy zaś wzięli się do tego ludzie z wykształceniem fachowem, toż możemy być pewnymi, że bądź co bądź w połowie drogi nie ustaną.

I. Z.

O znaczeniu rodziny w Chinach.

Pod tym tytułem napisał p. Simon niedawno cenne dzieło. Długo autor przebywał w tym kraju jako konsul francuski. Wprawdzie pod względem głównych zasad potwierdza on tylko to, co przed nim napisali dawniejsi podróżnicy, a co pan Reclus ostatni sformułował. Ale ponieważ p. Simon badał w sposób wyłączny rodzinę chińską, ztąd praca jego zasługuje na szczególną uwagę.

Główną nowością dla czytelników europejskich w rozprawie pana Simon, jest oznaczenie liczby mieszkańców państwa niebieskiego. Wiadomo, że w tem zachodzi dotąd wielka sprzeczność: jedni liczą niecałe 300 milionów, drudzy posuwają do czterechset, a oto p. Simon podaje ogromną liczbę 530 milionów dusz. W niektórych okręgach przypada od 12 do 15 mieszkańców na hektar, do czego nie dochodzi ani Belgia, ani Lombardja, dwa słynne rojowiska ludzi w Europie. O ośmset mil francuskich od wybrzeży, są miasta liczące do miliona mieszkańców. Dzięki udoskonalonemu rolnictwu, masy te znajdują wyżywienie. Pola ryżowe wydają od 12 do 14,000 kilogramów ryżu na hektar: ztąd też wartość ziemi nadzwyczaj wysoka. Cena hektaru wynosi po 25 do 30,000 franków. Autor wymienia właścicieli, którzy z trzech hektarów i pół odkładają rocznie po 18,000 fr. Każda piędź ziemi starannie tu spożytkowana: na skałach widać urządzone sztucznie pola, na tratwach kwitną ogrody. Ten dobrobyt materjalny, ta rojąca się ludność, nadają szczególną cechę krajobrazom chińskim. Pan Simon określa je w malowniczy sposób. „Lasy, mówi on, znikły zupełnie, zastąpiły je wsie tak wielkie i ludne, jak w pobliżu wielkich miast europejskich. W odstępach między jedną wsią a drugą, widzimy rozrzucone pomniejsze zagrody, obejmujące ledwie po trzy hektary gruntu: każda z nich otoczona polem, osadzona drzewami. Te liczne wsie i zagrody, stykają się prawie, ale co jeszcze szczególniej zbliża, to, że rodziny uboższe, znajdują w zamożniejszych, z których się wyroiły, pomoc systematycznie uorganizowaną. Każda wieś, każda grupa osad posiada osobny swój zarząd. Mieszkańcy mają swoją szkołę swego wójta, swój sąd familijny, a w razie potrzeby znajdują gotową zawsze pomoc: wspólne ręce do pracy, wspólne bawoły i tp. Jest to ustrój komunistyczny, właściwy ludom patryarchalno-demokratycznej cywilizacji.

„Pod względem malowniczym, ciągnie dalej autor, bywają niewątpliwie piękniejsze obrazy; nigdzie jednak przyroda nie przedstawia się milej i sympatyczniej. Tu i owdzie na pochyłości wzgórków, piętrzą się gaje bambusowe, każde pole osadzone drzewami. Każdy domek otoczony ogrodem. Widać jeszcze w około wielkich pagod lub na wierzchołkach gór, szczątki dawniejszych lasów, ale co najbardziej zachwyca oko, to ogromna moc kwiatów wszelkiego rodzaju. W około domów kwitną cały rok prześliczne róże, wonne gardenie, purpurowe azalee i rododendrony; po ścianach i parkanach pną się glicynie z fioletowym kwiatem i mnóstwo innych roślin.

„W tych malowniczych wioskach żyje lud słodki, uprzejmy, łagodny. Każda twarz uśmiechnięta, pełna spokoju, przypomina owe obrazki na parawanach i porcelanie chińskiej. Pragnienia tego ludu umiarkowane, troska o przyszłość nie spędza mu snu z powiek; w pieśniach jego odbija się głęboki spokój. Snać Chińczyk urzeczywistnił swój ideał; nigdzie na świecie tak wielka liczba ludzi nie używa stosunkowego dobrobytu".

Ukazawszy kwitnący stan kraju, p. Simon bada instytucje, którym lud zawdzięcza pomyślność długotrwałą. Daje naprzód poznać ustrój społeczny, a następnie cnoty rodzinne.

Ziemia wszystka w Chinach, jest własnością państwa, rząd wydzierżawia ją mieszkańcom na czas nieograniczony, za opłatą oznaczoną raz nazawsze od jednego i pół do pięciu franków z jednego hektaru. Mimo ulepszeń zaprowadzonych przez dzierżawcę opłata nie może być nigdy podniesioną. Ten podatek stanowi niejako tytuł własności, dzierżawca opłaca go też pilnie. Pierwsze pytanie jakie tu zadają, kwalifikując postępowanie członka rady familijnej, jest to: „czy opłacił podatek"? Prawo gwarantuje każdemu dzierżawcy z ziemi uprawianej przez niego, część, której nie wolno mu odłużyć ani sprzedać Ta cząstka daje mu utrzymanie, a ztąd czyni go niezależnym. Na 330 milionów hektarów, stanowiących terytorjum właściwych Chin, 70 do 75 milionów pozostaje w ręku jednych i tychże samych rodzin. Ten systemat bardzo sprzyja rozwojowi drobnych posiadłości. Wielka liczba rodzin uprawia tylko po pół hektara, inne znów po hektarze lub więcej. Majątki obejmujące dwadzieścia hektarów w małej są bardzo liczbie, nikt zaś nie posiada więcej nad sto hektórraw. Na ziemi tak rozdrobnionej dzierżawcy krzątają się pilnie, aby szczupły rozmiar zastąpić bogatą produkcją; te też ani okrucha nawozu nie marnuje się w państwie chińskiem; rola wydaje płody po kilka razy na rok.

Opłata z ziemi stanowi jedyny podatek w Chinach; zaspokoiwszy go Chińczyk używa zupełnej swobody. Może prowadzić handel lub obrać jaką chce gałęź przemysłu, nie troszcząc się o patent ani akcyzę. Ztąd pochodzi nadzwyczaj energiczny rozwój tak handlu jak przemysłu. Chińczycy fabrykują tanio swoje wyroby i sprzedają je za bezcen Europie, która nie zdoła współzawodniczyć z nimi. Mimo ogromnej liczby ludności, mało tam widać ubogich, a pytania społeczne szarpiące dziś łono europejskich społeczeństw, zupełnie tam nieznane.

Jedna z przyczyn ogólnej pomyślności, jest nadzwyczaj tanie utrzymanie rządu. Państwo złożone z 530 milionów ludności, liczy zaledwie 25 do 30,000 urzędników. Ztąd to podatek z głowy jednej wynosi eldwie trzy franki, gdy we Francji dochodzi do 90 franków. Tymczasem prace publiczne opstępują szybko, na wielką skalę. Pan Simon utrzymuje, że sieć kanałów przecinających całą przestrzeń Chin, nie ma równej sobie w żadnym kraju europejskim.

Porządek, ta silna podstawa społecznego bytu, opiera się tu głównie na obyczajach. Chińczycy realizują samorząd w całem znaczeniu słowa; rządzą się i administrują sami, w rodzinie przez radę złożoną ze wszystkich jej członków, w mieście przez delegowanych własnego wyboru, nad którymi urzędnicy państwowi mają rzec można tylko prezydencją, a i ci prezydenci zależą od miast w pewnym względzie. Pan Simon opowiada historję gubernatora, który gdziekolwiek spełniał urząd, złą pamięć zostawił po sobie. Mieszkańcy miasta dokąd był przeznaczony, czekali na niego u bram, pozwolili mu spocząć, uczęstowali go z chińską gościnnością; potem oświadczyli że nie pragną mieć go u siebie, a trzej z pomiędzy nich będą mieli zaszczyt odprowadzić go do stolicy.

Każdemu wolno tu otworzyć szkołę, posyłać dd niej lub nieposyłać dzieci, a przecież wszyscy je posyłają; każdy bowiem Chińczyk umie czytać i pisać, zna dobrze rachunki i rysunek. Nigdy rząd chiński nie stawiał przeszkody zawiązującym się stowarzyszeniom. Wolno każdemu przenosić się z miejsca na miejsce, paszporta nie istnieją; a co najważniejsza, wolno im sądzić własne sprawy. Nie ma w Chinach urzędowego sądownictwa.

Trudno Europejczykom, przywykłym do machiny administracyjnej o licznych kołach, odebranej spadkiem po Rzymie, trudno powtarzamy zrozumieć im, jak może istnieć państwo bez urzędowego trybunału, bez urzędowej rady wychowawczej. Potęga ducha rodzinnego wystarcza tu za wszystko Chińczycy czerpią mądrość praktyczną w głębokiej czci dla naddziadów. Według ich pojęć, człowiek nie jest oderwaną jednostką ale raczej ogniwem łańcucha łączącego czas przeszły z przyszłemi czasy. Otrzymali oni cywilizację od naddziadów, korzystają z niej

i powinni przekazać ją następcom. Zmarli przodkowie stanowią z żyjącymi wnukami ścisłą, nierozerwalną jedność: żywi działają niejako pod ich okiem Cała moralność chińska spoczywa na tej myśli: „to co czynię, ażaliż podoba się naddziadom? będęż ja godzien złączyć się kiedyś z nimi“? W każdym domu znajduje się księga rodzinna: zapisują w niej daty urodzenia, małżeństwa, smierci, wyroki sądowe zatwierdzone przez trybunał familijny, pochwały zmarłych, życiorysy, testamenta. Podczas uroczystych obrzędów, starszy z rodziny wydobywa tę księgę, odczytuje z niej biografią najznakomitszych przodków, którzy tym sposobem uczestniczą w godach domowych.

Największem nieszczęściem dla Chińczyka, brak potomstwa, któreby kiedyś uczciły jego pamięć. Zaręczają dzieci w kolebce. Dwódziestoletni młodzian bezżenny, prawdziwą jest osobliwością. Małżonkowie bezdzietni wychowują cudze dziecko przypuszczając je do praw familijnych. Nad każdym z członków swoich rodzina ma nieograniczone prawo. Skazuje winowajców na więzienie, na dyby, na pozbawienie praw rodzinnych. Ta ostatnia kara najokropniejszą jest dla Chińczyka. Po długiej pokucie odrzutek taki wraca do domu, błaga o przebaczenie. Nie jeden z nich, gdy sądzi że cierpieniem zmazał już winę, zadaje sobie śmierć aby prędzej złączyć się z naddziadami.

Starszyzna rodzinna wywiera baczny dozór nad każdym członkiem swoim. Ponieważ ma w ręku moc wykonawczą, każdy usiłuje zjednać sobie jej względy. Ta potrzeba zniewalania starszych, nadaje kierunek wychowaniu. Rozwój pojęć moralnych przeważa tam nad rozwojem umysłowym. Najwyższym wyrazem nauki są przepisy postępowania, sformułowane przez starożytnych mędrców. Wychowany w tych zasadach lud, ma obyczaje łagodne i wysokie poczucie godności osobistej.

Na dowód p. Simon stawia piękne przykłady. Nieraz, kiedy przybył do jakiegoś większego miasta, przyprowadzono mu do drzwi skazanych na karę winowajców; na wstawienie jego, ci biedni otrzymywali łaskę, lub przynajmniej zmniejszenie kary. Przywilej ten służy w Chinach wszystkim znakomitym podróżnikom.

„Bardzo często, mówi autor, zmuszony byłem odmawiać znacznych pożyczek, ofiarowanych mi bez procentu, na słowo, przez mandarynów lub zamożnych mieszczan. „Panie, mówili do mnie, oddalony jesteś od swoich, może potrzeba ci pieniędzy; rozporządzaj nami!“ Raz nawet mandaryn jeden przysłał mi 8000 franków i kazał zostawić je w ciemnym zakącie pokoju, lubo wcale ich nie żądałem.“

Cyprjan Karol Norwid, utalentowany poeta zakończył życie dnia 23 maja br. w zakładzie św. Kazimierza w Paryżu. Norwid przed laty czterdziestu przybył z kraju do Paryża młodzieńcem, wzbudzającym najświetniejsze nadzieje; poezje jego miały wysoki polot i pewną głębokość uczucia i myśli choć zaciemnioną mistyzmem i ekscentrycznością. Władał z równą łatwością pędzlem i dłutem jak piórem, ale zwykł był tylko rzucać hojne pomysły, pełne fantazji, którym atoli brakło zawsze wykończenia. Zbytnie powodzenie pierwszych występów młodego poety-malarza i rzeźbiarza było może jednym z głównych powodów, że ten talent nie rozwinął się normalnie. Podniosłość charakteru, szlachetne uczucia i zdrowe zasady, łączące wielką miłość ojczyzny, jednały zmarłemu przyjaźń wszystkich członków emigracji, ale pogoń za oryginalnością i nadzwyczajnością stały się wnet powodem złamania talentu. Spokój jego cieniom!

ZIARNKA.

Trzy nowe sztuki ujrzały w ubiegłym tygodniu światło kinkietów. Na dochod Towarzystwa Oświaty urządził komitet przedstawienie, na którem odegrano nową komedyjkę jednoaktową p. Madejskiego pt. Syrena“ i wprawdzie znaną już pod innym tytułem, ale przerobioną przez p. Abrahamowicza: „Naprzeciwko“.

W piątek zaś zmartwychwstał „Nieboczyk“ sztuka poważniejszego zakroju, napisana przez pp. Bol. Czerwieńskiego i Aurelego Urbańskiego. Notując tylko tymczasem że sztuka znalazła jak najlepsze przyjęcie, już to przez wartość swoją, jak przez wyborne odegranie, odkładamy szczegółowsze sprawozdanie do następnego numeru.

Konkurs na pomnik odsieczy wiedeńskiej przeznaczony do katedry św. Szczepana w Wiedniu został rozstrzygnięty.

Program konkursu rozpisanego przez ministerstwo oświaty żądał wykonania projektu w stylu, który był panującym w czasie wypadku, a więc w stylu barokowym, mimo to, jednak nagrodę otrzymał projekt prof. Edmunda Helmera, zachowujący formy surowego, najlepszej epoki odrodzenia. W projekcie część, wyobrażająca mensę, ozdobiona jest płaskorzeźbą, wyobrażającą odsiecz stolicy. Powyżej wznoszą się słupy korynckie połączone odpowiednim architrarem, zamykające wielką niszę z grupą główną. Bogatą ornamentyką zdobny przyczołek z herbem austrjackim i z wielką postacią cesarza Leopolda w zbroi z berłem i koroną uwieńcza całość, główna grupa zaś przedstawia w środku ks. Staremberga na koniu tratującego turka. Nad nim unosi się geniusz zwycięstwa, koło niego zaś grupują się liczni obrońcy. Na niższej części pomnika stoją posągi biskupa Kolonicza, burmistrza Liebenberga, na architrasie stoją po jednej stronie Sobieski i Maksymilian Emanuel, elektor bawarski, z drugiej elektor Jan Jerzy Saski i ks. Karol Lotaryński. Taki jest projekt pomnika, który wkrótce stanie już w kościele św. Szczepana. Podajemy umyślnie cały opis projektu na tem miejscu, ponieważ chcemy zwrócić uwagę na to, w jaki sposób komitet układający projekt, a za nim i artysta pragnęli sfałszować historję i kosztem Sobieskiego wysunąć ks. Staremberga na głównego bohatera odsieczy z r. 1683.

Do takich to absurdów i przekręcań prowadzi nienawiść narodowa. Rozumiemy, że miasto Wiedeń stawiając pomnik odsieczy chce uczcić przedewszystkiem swego obrońcę Stahremberga, ale sprawiedliwość na każdy sposób nakazywała przeznaczyć niemniej jakie z głównych miejsc Sobieskiemu.

* * *

Czytamy w warszawskim Kurjerze Codziennym.

W dniu (28 majaja r. b. zmarł w wiejskiem ustroniu, w Pilicy, jeden z najdzielniejszych pracowników na naszej niwie muzycznej. Jeżeli dotychczas posiadamy jeszcze jaki wybitniejszy talent wśród rzeszy organistów naszych, bez wątpienia wyszedł on z pod nauki jedynego nauczyciela prawdziwej gry organowej. August Freyer był osobistością popularną w Warszawie. Gdy zabrzmiał z pod palców poważny chorał, twarz jego ja

śniała blaskiem wewnętrznego, natchnionego spokoju. W niniejszych wyrazach czcić musimy już tyko pamięć zgasłego artysty!

August Freyer urodził się 1803 r. w Muldzie pod Drezrem. Nauczycielem jego był kantor Geissler. Już w dziesiątym roku życia Freier był w stanie zastępować swego nauczyciela. W skutek różnych okoliczności, w młodzieńczym wieku osiedlił się z Warszawie. Tu kształcił się dalej w kompozycji pod kierunkiem Elsnera. Chęć wydoskonalenia się jednak w grze organowej pochłaniała mu każdą wolną chwilę; w grze pedałowej rzeczywiście doszedł do niezwykłej doskonałości.

Cncąc się popisać rezultatami swej pracy, udał się w artystyczną podróż za granicę..

Wszędzie gra jego wzbudzała przynależną ocenę. W podróży tej zapoznał się z takiemi znakomitościami, jak Mendelsohn e Spohr.

Po powrocie do Warszawy, Freyer otrzymał osieroconą w skutek śmierci Einerta — posadę organisty kościoła ewangielickiego (1836). Na tej posadzie pracował wytrwale prawie do śmierci, gdyż zaledwie od lat paru w skutek poważnego wieku zmuszonym był korzystać z emerytury.

Będąc w pełni sił, Freyer zdołał zebrać około siebie kółko artystów i amatorów, które pod jego przewodnictwem wykonywało poważne dzieła, jak np. oratorjum Mendelsohna „Paulus“, tegoż „Lauda Sion“, mszę Elsnera i t. p.

Dla sztuki naszej najwięcej ma znaczenia nauczycielska działalność ś. p. Freyera Wśród uczniów jego jaśnieją imiona takich muzyków, jak Moniuszko. Wykształcił on niejedno pokolenie w grze fortepjanowej i harmonji. Jako nauczyciel gry organowej w założonym przez Apolinarego Kątskiego instytucie muzycznym, znalazł najodpowiedniejsze pole swej pracy. Przelewał on w uczniów swych tradycję gry organowej, jaką tylko niemcy poszczycić się mogą. Ubóstwo tylko i zaniedbanie, w jakiem jest pogrążony stan organistów i gra fortepianowa u nas, nie pozwoliły niejednemu z uczniów jego zajaśnieć chwałą znakomitego wirtouza. Jest to jeden z najciemniejszych punktów polskiego muzycznego artyzmu.

Jako kompozytor wydał nieboszczyk kilka zeszytów warjacyj na organy, preludyj mniejszych rozmiarów, kacjonał ewangelicki (Choralbuch). W dziedzinie pedagogicznej „Szkoła na organy“ ma poważniejsze znaczenie, „Wstęp praktyczny do nauki harmonji“ i tp.

Dla prawdziwej owocodajnej pracy zawsze cześć czujemy. Niech tych słów parę świadczy o wdzięcznej pamięci, która imię osiwiałego i zgasłego pracownika w sercach długo zachowa.

ZAPISKI.

Literatura.

* Koło literackie artystyczne ogłasza, że dnia 13 czerwca odbędzie się nadzwyczajne walne zgromadzenie członków koła literacko artystycznego dla omówienia sprawy pierwszego zjazdu literatów i artystów polskich w Krakowie.

* „Rok wojny 1683“. Pod tym tytułem wyszła w tych dniach w Wiedniu bardzo zajmująca publikacja. Dzieło to ułożone jest mianowicie przez historyczno-wojenny oddział archiwum wojskowego.“

* W „Ragojnie“ (Ragnit), w Prusiech, wyszedł pierwszy numer litewskiego miesięcznika, pod tytułem „Auszra“ (Jutrzenka), pod redakcją dra J. Bassanowicza (z Pragi czeskiej).

* Pan Dygasiński pracuje obecnie nad obszernym życiorysem głośnego filologa Baudoina de Courtenay.

W życiorysie tym pomieści się krytyczna ocena pracy Boudoina na polu porównawczego językoznawstwa, pogląd na stanowisko jego w gronie profesorów tego przedmiotu na uniwersytetach Cesarstwa, oraz na roboty uczniów Baudoina, a dzisiaj już samodzielnych i poważnych uczonych.

* „Kawiareńka“ — taki tytuł nosi pierwszy, a prześliczny obrazek z warszawskiego życia, skreślony piórem Wiktora Gomulickiego na felietonowej ścianie „Kurjera Warszawskiego.

* Komisja konkursowa pruskiej „Concordii“ uznała za najlepszą prace na temat żądany: Znaczenie muzyki Wagnera dla sztuki narodowej, rozprawę Ludwika Nohla z Heidelbergu.

Teatr i muzyka.

* W Paryżu zamknięto dnia 31. maja 5 teatrów, a mianowicie Dejazet, theatres des Nouveautes i Bouffes, tudzież Renaissans i Athénée. Na 16 innych scenach mimo upałów czerwcowych publiczność je tłumnie odwidza.

* W operze narodowej wiedeńskiej występował obecnie gościnnie Niemann i zakończył występy swoje „Rienzim“.

* Hrabina Rzewuska w spółce ze znakomitym adwokatem Spasowiczem starają się o koncesję na teatr polski w Petersburgu. Wiadomość tę podajemy z zastrzeżeniem.

* We Lwowie p. Fall przygotował operetkę „Z pod kurateli“, a w Krechowie (Galicją) p. Wiktor Matiuk napisał muzykę do libretta Mysłowskiego „Inwalid“.

* W Rzeszowie zmarła w tych dniach b. artystka dramatyczna teatru lwowskiego Klara Rudkiewiczowa w 81 roku życia. Pomimo wieku podeszłego grywała z powodzeniem role naiwne.

Sztuki piękne.

* W salonie paryskim odznaczają się następujące dzieła artystów polskich: Józef Brandt nadesłał obraz, przedstawiający wzięcie w niewolę straży tureckiej przez polskiego kawalerzystę, Wiktor Zier wystawił „Sen św. Magdalenny“, J. Chołowiecki zaś „pogoń“ wilków za sankami. Oprócz tych popisują się jeszcze inni artyści nasi a mianowicie: Wiarus Kowalski, A. Fr. Piotrowski, Bakałowicz i Gerson; z mniej znanych Lucjan Przepiórski, Artur Gąsowski i Gustaw Krabański. Na wystawie zastąpiona jest i rzeźba, wśród krórej bardzo zaszczytnie odznacza się młody artysta p. Kossowski obok znanego już powszechnie p. Cyprjana Godebskiego. Pierwszy wystawił wspaniały posąg Bernarda Palissy, drugi charakterystyczny p. Mierosławskiego.

* W Künstlerhausie wiedeńskim otwarto w tych dniach specjalną wystawę świetnych akwareli pejżażysty holenderskiego P. Tetar von Eloen'a.

* Sobieski pod Wiedniem. obraz p. Jana Kruszyńskiego, malarza tutejszego, zostanie jak nam donoszą wkrótce wystawiony na widok publiczny.

Treść.

Autor „Marzycieli“ Ostatni Szaraczek (c. d.)
Rossowski: Z życia humorysty.
Z. G.: Młodzieńcze utwory Zyg. Krasińskiego.
J. Estwoyn.: „Illegitimi Thori“ (ciąg dalszy).
Przegląd literacki.
F. Gerstäcker.: Sztuka kuglarska.
Kronika naukowa.
O znaczeniu rodziny w Chinach.
Nekrologja.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 23. We Lwowie dnia 9. Czerwca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: Bolesław Spausta. Redaktor odpowiedz.: Bolesław Czerwieński.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1\frac{1}{2}$ arkusza. Adres redakcji i administrac
„Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cent. od wiersza druku petitem

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli"

(Ciąg dalszy).

XIV.

Lolo był dobrym i bardzo grzecznym młodzieńcem. Chociaż Hilcio rzadko teraz do pałacu zaglądał, on, jakby go za to chciał delikatnie ukarać, co raz częściej zachodził do zagrody pana Jacentego, i dla wszystkich jej mieszkańców z równą był uprzejmością. Z panem Jacentym grywał [illegible], co staruszek sobie za największe szczęście poczytywał, na żadnego bowiem z Berežnickich nigdy równy splendor nie spłynął; z Hilarym rozmawiał o gospodarstwie, do którego z dniem każdym bardziej przywykał, a pannę Zosię bawił najczęściej opowieściami o dalekich krajach, do ktorych za życia ojca rok rocznie wyjeżdżał. Dziewczę słuchało oddech tamując, cało zapatrzone w błękitne oczy opowiadającego. A umiał zająć rozmową. Każdy szczegół na pozór mało znaczący, każda nawet drobnostka, przemieniała się u niego w obraz piękny i zajmujący, który na wieki zostawał w pamięci młodej dziewicy.

I nie tylko opowiadał. Częściej przynosił dzieła nowych poetów, których nazwiska były jeszcze obce dla ogółu, a którzy zwiastowali nową erę. Ich wiersze pełne myśli głębokich, wypowiadane w formie niespokojnej, a tak przemawiającej do serc i umysłów budzących się właśnie teraz z wiekowego uśpienia, zdawały się robić wrażenie nawet na panu Jacentym, który prócz kolędy i kilku psalmów, w życiu swojem innych wierszy nie czytał; i z głowy Hilcia przynajmniej chwilowo wypędzały marzenia o zielonym stoliku, na którym w dzień można spisywać *Berychty*, wieczór zaś grać labeta lub djabełka. Jednakże z wszystkich Zosia najpilniej go słuchała i najlepiej rozumiała. W miarę jak czytał, twarz jéj to się rozjaśniała to bladła; spojrzenie czasem trwogą się łamało, czasem było pełne rzewnej tęsknoty; usta to się zaciskały, to do połowy rozwarte zdawały się słowa połykać, które w powietrzu brzmiały; a serce, to serce dziecka niewinnego, drżało wszystkiemi uczuciami, jakie Bóg w niem zasiał! Dusza pieśniami poetów zbudzona, rwała się w światy dotąd jej obce, a jednak tak urocze, tak upragnione, że samo przypuszczenie iżby je mogła utracić, byłoby dla niej najwyższem cierpieniem!

Hrabia czytał z przejęciem, z czuciem z zapałem. W tedy na białej jego twarzy, którą wychowanie wydelikaciło, pojawiał się lekki rumieniec, oko mu błyszczało, głos robił się dźwięcznym i donośnym. Zosia słuchając, i w niego się wpatrując, nie wiedziała jak godziny mijały, i tak pieśnią kołysana, byłaby słuchała do rana, wieczność całą!

Ojciec, mimo szacunku, jakim był przejęty dla gościa dostojnego, czasem się zdrzemnął; brat od czasu do czasu ziewnął do ściany się obróciwszy, tylko Zosia jedna ulegając wpływowi siły, która ją porywała, była zawsze przytomna i szczęśliwa!

Gdy hrabia odchodząc, kolejno ich żegnał, już bez trwogi rękę mu podała; kilkakrotnie nawet zdarzyło się, że mu dłoń czulej uścisnęła, niżby to może wypadało lecz czyż jéj była wina, że czując dlań wdzięczność za tyle chwil rozkosznych, pożegnaniem przyjacielskiem, chciała mu podziękować za przyjemność doznaną, a prosić o nowę?

Lolo snać to zrozumiał, powoli bowiem zaszedł tak daleko, że stał się gościem codziennym pana Jacentego. Odkąd do tego przyszło, Hilcio przestał mu dotrzymywać towarzystwa. Wiedząc, że ojciec i siostra będą się wieczorem dobrze bawili, chodził do proboszcza, odwidzał znajomych w oko-

licy, chociaż to się rzadko zdarzało, a czasem zaglądał także do sędziego.

Gdy go siostra pytała, jak czas spędza u państwa Pukalskich, odpowiadał, że gryWa w taroka, tymczasem Krukowski, który słyszał jak trawa rośnie, zapewniał, że pan Hilary „ma się" do panny Hortenzji.

Panną Hortenzją nazywała się jedyna córka mandatarjusza. Była to osoba młoda, wcale przystojna, skromnie wychowana i nie biedna. O panu Pukalskim mówiono, że nie był bez pieniędzy, a pani Pukalska oddawna, skupowała sreberko dla Horci na wyprawę. Ponieważ pan Hilary Bereźnicki chcąc, mógł do roku zostać sędzią, a prócz tego po ojcu miał odziedziczyć przyzwoity ziemi kawałek, więc nie dziw, że sędziostwo byli mu radzi, a co do panny Hortenzji, to i ona krzywo nań nie patrzyła. Hilcio nie był zbyt powabny, ale i nie liczył się do brzydkich; rozum jego nie należał do nadzwyczajnych, lecz zważyć należy, że między mężami znadują się nie raz i ograniczeni, a mimo to żony ich kochają; słowem pan Hilary nie był orłem ale i nie dudkiem Jak dla córki sędziego, był partią wcale odpowiednią. Potrzebował zatem tylko sięgnąć, aby ją dostać.

Jednego dnia przyszedł rano do dworku Krukowski. Minę miał buńdziuczną, tę samą, z którą pokazywał się zawsze dworskiej służbie i chłopom na polu, bo tylko dla hrabiego i „jasnej" pani miał minę drugą, pełną uniżoności i udanej słodyczy. Wszedłszy do sieni zapytał Marjannę, czy młody pan Bereźnicki jest w domu.

— Jestem — odpowiedział Hilcio, który właśnie wychodził. — Czem mogę służyć panu Krukowskiemu.

— A dobrze się składa nieprzymierzając, że pana Hilarego spotykam na wychodnem, idąc, pomówimy... Szkoda bo i czasu tracić na rozmowy w izbie. Dziś właśnie nieprzymierzając mam skończyć siejbę owsa i aż mi włosy stają ze strachu, żeby mi deszcz nie przeszkodził.

Spojrzał ku górze, głową pokręcił i zrobił minę dwuznaczną, jakby w rzeczy samej słoty się obawiał.

— Ciężka to sprawa z tą gospodarką, mówił dalej, idąc drogą — ale człowiek dałby sobie jeszcze nieprzymierzając radę, boć to dla mnie nienowina, gdyby chociaż na niej się kończyło. A gdzie tam! Jasnej pani za mało, że Krukowski wiernie służy i dobrze gospodarzy, ona nieprzymierzając chciałaby z niego, Bóg wie jeszcze co zrobić. Nie ma rzeczy, której by odemnie nie żądała, wszystko w mig spełnić bo inaczej, gniewy! Ot niedawniej jak wczoraj wieczór kazała mi nieprzymierzając szukać panny do garderoby i ani jej to w głowie, gdzie ja ją znajdę.

— Zdaje mi się, że o nią trudno nie będzie, Hilcio zauważył. - Między szlachciankami znajdzie się nie mało takich, które by to sobie za zaszczyt poczytały, gdyby się mogły znajdować w garderobie pani hrabiny.

— Wiem, że chętnych dosyć by się znalazło, lecz cóż, kiedy stosownej nie ma ani jednej. Ta brzydka nieprzymierzając, a jasna pani brzydkiej nie chce na oczy, druga ułomna, trzecia leniwa, a najwięcej znowu takich, które nic nie umieją. Ot kłopot. Gdyby nie przywiązanie, jakie mam do rodziny nieboszczyka hrabiego, jak mi Bóg miły nieprzymierzając, zarazbym za służbę podziękował.

Hilcio uśmiechnął się złośliwie, czego ekonom nie dojrzał.

— Pan Krukowski miał ponoś do mnie jakiś interes? - przemówił.

— A tak, tak... chciałem nieprzymierzając zapytać pana Hilarego, który przecie jest dziś głową w domu, czy by też panna Zofia...

— Cóż takiego? — Hilcio podchwycił na drodze stając.

— Ja chciałem zapytać nieprzymierzając, czyby panna Zofia nie chciała pójść do pałacu.

— Moja siostra? — brat takim głosem zapytał, że aż Krukowski ze zdziwieniem w oczy mu spojrzał.

— Ta, panna Zofja — powtórzył. — Przecie pałac nie na końcu świata, a nieprzymierzając będzie jej tam bardzo dobrze, chyba jej braknie mleka ptasiego... Pani hrabina jest dobra i szlachetna, prócz pensji będzie jej także prezenta dawała, bo panna Zofia jest sprytna, oho, oho! główkę nieprzymierzając nosi nie od parady!...

— A czemu pan Krukowski nie da której ze swoich córek? — Hilcio zapytał. Głos jego był pozornie spokojny, chociaż kipiało w jego wnętrzu.

— Chciałem, jak pragnę Boga przy skonaniu, chciałem z całej duszy, ale cóż kiedy nieprzymierzając żadna z nich nie podobała się jaśnie pani. Już to co Bogiem a prawdą, panna Zofia ma więcej szczęścia do ludzi, chociaż nieprzymierzając moje córki i więcej edukowane i delikatniejsze.

— Każda liszka swój ogon chwali — przerwał Hilcio niecierpliwie. — Ja się tam z panem oto sprzeczać nie będę, ale czy myślisz mości Krukowski, że ja, który niegdyś sam służyć nie chciałem, oddałbym dziś w służbę moją siostrę jedyną?

Ekonom uśmiechnął się złośliwie i jednem okiem mrugnął.

— Już to nieprzymierzając, ja wiem co mówię. Gospodarstwo pana Jacentego małe, dla dwojga nie wiele się tam z niego okroi, zwłaszcza że stary jeszcze żyje, lepiej zatem będzie, jeżeli brat wszystko obejmie, a siostra nieprzymierzając o sobie pomyśli.

— Odczep się panie Krukowski, bo nie przymierzając jak cię za uszy porwę, to mi je z pewnością w garści zostawisz!

Głos mówiącego był stanowczy, choć jeszcze ciągle spokojny: wszelako po za tym spokojem czuć już było gniew wielki, który każdej chwili mógł wybuchnąć. Ekonom nie bez przestrachu cofnął się o kilka kroków.

Patrzcie co za pan! — rzekł głową kręcąc. Fiu! fiu! fiu! jaki hrabia... Nawet nie przymierzając nie wolno zaproponować. Ktoby myślał, że to Bóg wie jakie państwo, a to syn sługi, któremu dali chleb łaskawy. Zobaczymy nieprzymierzając, czy to państwo długo potrwa.

Z całego przemówienia Hilcio nic już nie słyszał, szybkim bowiem krokiem oddalał się zmierzając ku swoim pługom. Tu jednak długo nie zabawił. Rozdrażniony poszedł do sędziego, ale i z tamtąd wypędził go niepokój. Za zniewagę, jaką w jego przekonaniu wyrządził mu ekonom, potrzebował zadość uczynienia, lecz jakie ono być miało, sam nie wiedział. Nakoniec postanowił udać się do Lola.

Opowiedziawszy w słowach treściwych czego Krukowski śmiał żądać od niego, tak zakończył:

— Jedynie dla tego kości mu nie połamałem, iżem przypuszczał, że to się stało za wiedzą twoją i pani hrabiny, czyli mówiąc jeszcze jaśniej, z waszego rozkazu,

— Kolego! przyjacielu! — hrabia zawołał, obejmując go — czy mogłeś przypuścić coś podobnego! Krukowski zrobił to na własną rękę i abyś nie sądził, że w czem kolwiek zawiniłem, zaraz dziś go oddalę... Co do panny Zofii, tę pójdę osobliście przeprosić... Gdzież bym ja na coś podobnego zezwolił, choćbyś nawet ty sam nie miał nic przeciwko temu! Oddalę, go, oddalę! Zobaczyż, jak wyleci.

Sięgnął ręką, by na służącego zadzwonić, Hilary mu w tem przeszkodził.

— Nie rób tego — rzekł — bo najpierw nie radbym, żeby ten człowiek przezemnie miejsce tracił, a następnie nie chcę tej rzeczy rozmazywać. Siostra moja nie o

liey, chociaż to się rzadko zdarzało, a czasem zaglądał także do sędziego.

Gdy go siostra pytała, jak czas spędza u państwa Pukalskich, odpowiadał, że gryma w taroka, tymczasem Krukowski, który czyżrał jak trawa rośnie, zapewniał, że pan Hilary „ma się" do panny Hortenzji.

Panna Hortensja nazywała się jedyna córka mandatarjusza. Była to osoba młoda, wcale przystojna, skromnie wychowana i nie biedna. O panu Pukalskim mówiono, że nie był bez pieniędzy, a pani Pukalska oddawna skupowała sreberko dla Horci na wyprawę. Ponieważ pan Hilary Bereźnicki chcąc, mógł do roku zostać sędzią, a prócz tego po ojcu miał odziedziczyć przezwoity ziemi kawałek, więc nie dziw, że sędziostwo byli mu radzi, a co do panny Hortenzji, to i ona krzywo nań nie patrzyła. Hilcio nie był zbyt powabny, ale i nie liczył się do brzydkich; rozum jego nie należał do nadzwyczajnych, lecz zważyć należy, że między mężami znadują się nie raz i ograniczeni, a mimo to żony ich kochają; słowem pan Hilary nie był orłem ale i nie dudkiem. Jak dla córki sędziego, był partją wcale odpowiednią. Potrzebował zatem tylko sięgnąć, aby ją dostać.

Jednego dnia przyszedł rano do dworku Krukowski. Minę miał bundziuczną, tę samą, z którą pokazywał się zawsze dworskiej służbie i chłopom na polu, bo tylko dla hrabiego i „jasnej" pani miał minę drugą, pełną uniżoności i udanej słodyczy. Wszedłszy do sieni zapytał Marjannę, czy młody pan Bereźnicki jest w domu.

— Jestem — odpowiedział Hilcio, który właśnie wychodził. — Czem mogę służyć panu Krukowskiemu.

— A dobrze się składa nieprzymierzając, że pana Hilarego spotykam na wychodnem, idąc, pomówimy... Szkoda bo i czasu tracić na rozmowy w izbie. Dziś właśnie nieprzymierzając mam skończyć siejbę owsa i aż mi włosy stają ze strachu, żeby mi deszcz nie przeszkodził.

Spojrzał ku górze, głową pokręcił i zrobił minę dwuznaczną, jakby w rzeczy samej słoty się obawiał.

— Ciężka to sprawa z tą gospodarką, mówił dalej, idąc drogą — nie człowiek dałby sobie jeszcze nieprzymierzając radę, bo to dla mnie nienowina, gdyby chociaż na niej się kończyło. A gdzie tam! Jasnej pani za mało, że Krukowski wiernie sługę i dobrze gospodarzy, ona nieprzymierzając chciałaby z niego, Bóg wie jeszcze co zrobić. Nie ma rzeczy, którejby odemnie nie żądała, wszystko w mig spełnić bo inaczej, gniewy! Ot niedawniej jak wczoraj wieczór kazała mi nieprzymierzając szukać panny do garderoby i ani jej to w głowie, gdzie ja ją znajdę.

— Zdaje mi się, że o nią trudno nie będzie, Hilcio zauważył. — Między szlachciankami znajdzie się nie mało takich, które by to sobie za zaszczyt poczytały, gdyby się mogły znajdować w garderobie pani hrabiny.

— Wiem, że chętnych dosyć by się znalazło, lecz cóż, kiedy stosownej nie ma ani jednej. Ta brzydka nieprzymierzając, a jasna pani brzydkiej nie chce na oczy, druga ułomna, trzecia leniwa, a najwięcej znowu takich, które nie nie umieją. Ot kłopot. Gdyby nie przywiązanie, jakie mam do rodziny nieboszczyka hrabiego, jak mi Bóg miły nieprzymierzając, zaraz bym za służbę podziękował.

Hilcio uśmiechnął się złośliwie, czego ekonom nie dojrzał.

— Pan Krukowski miał ponoć do mnie jakiś interes? — przemówił.

— A tak, tak... chciałem nieprzymierzając zapytać pana Hilarego, który przecie jest dziś głową w domu, czy by też panna Zofia...

— Cóż takiego? — Hilcio podchwycił na drodze stając.

— Ja chciałem zapytać nieprzymierzając, czyby panna Zofia nie chciała pójść do pałacu.

— Moja siostra? — brat takim głosem zapytał, że aż Krukowski ze zdziwieniem w oczy mu spojrzał.

— Ta, panna Zofja — powtórzył. — Przecie pałac nie na końcu świata, a nieprzymierzając będzie jej tam bardzo dobrze, chyba jej hrabianie mleka ptasiego... Pani hrabina jest dobra i szlachetna, prócz pensji będzie jej także prezenta dawała, bo panna Zofia jest sprytna, oho, oho! główkę nieprzymierzając nosi nie od parady!...

— A czemu pan Krukowski nie da której ze swoich córek? — Hilcio zapytał. Głos jego był pozornie spokojny, chociaż kipiało w jego wnętrzu.

— Chciałem, jak pragnę Boga przy skonaniu, chciałem z całej duszy, ale cóż kiedy nieprzymierzając żadna z nich nie podobała się jaśnie pani. Już to co Bogiem a prawdą, panna Zofia ma więcej szczęścia do ludzi, chociaż nieprzymierzając moje córki i więcej edukowane i delikatniejsze.

— Każda liszka swój ogon chwali — przerwał Hilcio niecierpliwie. — Ja się tam z panem oto sprzeczać nie będę, ale czy myślisz może Krukowski, że ja, który niegdyś sam służyć nie chciałem, oddałbym dziś w służbę moją siostrę jedyną?

Ekonom uśmiechnął się złośliwie i jednem okiem mrugnął.

— Już to nieprzymierzając, ja wiem co mówię. Gospodarstwo pana Jacentego małe, dla dwojga nie wiele się tam z niego okroi, zwłaszcza że stary jeszcze żyje, lepiej zatem będzie, jeżeli brat wszystko obejmie, a siostra nieprzymierzając o sobie pomyśli.

— Odczep się panie Krukowski; bo nie przymierzając jak cię za uszy porwę, to mi je z pewnością w garści zostawisz!

Głos mówiącego był stanowczy, choć jeszcze ciągle spokojny; wszelako po za tym spokojem czuć już było gniew wielki, który każdej chwili mógł wybuchnąć. Ekonom nie bez przestrachu cofnął się o kilka kroków.

Patrzcie co za pan! — rzekł głową kręcąc. Fiu! fiu! fiu! jaki hrabia... Nawet nie przymierzając nie wolno zaproponować. Ktoby myślał, że to Bóg wie jakie państwo, a to syn sługi, któremu dali chleb łaskawy. Zobaczymy nieprzymierzając, czy to państwo długo potrwa.

Z całego przemówienia Hilcio nic już nie słyszał, szybkim bowiem krokiem oddalił się zmierzając ku swoim pługom. Tu jednak długo nie zabawił. Rozdrażniony poszedł do sędziego, ale i z tamtąd wypędził go niepokój. Za zniewagę, jaką w jego przekonaniu wyrządził mu ekonom, potrzebował zadość uczynienia, lecz jakie ono być miało, sam nie wiedział. Nakoniec postanowił udać się do Lola.

Opowiedziawszy w słowach treściwych czego Krukowski śmiał żądać od niego, tak zakończył:

— Jedynie dla tego kości mu nie połamałem, iżem przypuszczał, że to się stało za wiedzą twoją i pani hrabiny, czyli raczej jeszcze jaśniej, z waszego rozkazu.

— Kolego! przyjacielu! — hrabia zawołał, obejmując go — czy mogłeś przypuścić coś podobnego! Krukowski zrobił to na własną rękę i abyś nie sądził, że w czemkolwiek zawiniłem, zaraz dziś go oddalę... Co do panny Zofji, to pójdę osobiście przeprosić... Gdzież bym ja na coś podobnego zezwolił, chociażbyś nawet ty sam nie śmiał nie przeciwko temu! Oddalę go, oddalę! Zobaczysz, jak wyleci.

Sięgnął rękę, by na stolecego zadzwonić, Hilary mu w tem przeszkodził.

— Nie rób tego — rzekł — bo najpierw nie radbym, żeby ten człowiek przezemnie miejsca tracił, a następnie nie chcę tej rzeczy rozgłaszać. Siostra moja nic o

tem nie wie, niech więc wszystko zostanie między nami. Nakaż mu tylko, żeby z podobnemi głupstwami więcej się do mnie nie zgłaszał. Moja drażliwość prawdopodobnie dziwną ci się wyda, ja sam nie wiem, zkąd się ona we mnie wzięła, mój ojciec był przecie sługą twego dziada, a jednak zamiast się jej wyprzeć, czuję, że z dniem każdym we mnie się zwiększa. Widać powoli zaczynamy wszyscy przychodzić do przekonania, że jesteśmy ludźmi.

Lolo serdecznie podziękował przyjacielowi. I on nie chciał tej rzeczy rozmazywać, zwłaszcza że panna Zofia o niczem nie wiedziała, a chociaż w pierwszej chwili chciał Krukowskiego oddalić, wolał, że to nie nastąpiło, ekonom bowiem umiał sobie zjednać jego zaufanie i stać mu się niezbędnym.

Wieczorem tego dnia, jak według zwyczaju przyszedł do państwa Bereżnickich, i jakby w zamiarze nagrodzenia krzywdy, którą Zosi wyrządzono, był dla niej jeszcze grzeczniejszym niż zwykle. Dziewczę swobodnym uśmiechem dziękowało mu za życzliwość, nie wiedząc, że te uśmiechy były już objawem tych uczuć, które nas wiodą daleko, na koniec świata, a czasem i po za jego krańce.

(C. d. n.)

FACECJA WETERANA.

Przyszło w rozkazie: „Wychodzić nie wolno
„Za obręb miasta żadnemu z żołnierzy".
Ale cóż? w człeku jakiś djabeł leży!
Więc raz wieczorem tajną drogą polną
Poszedłem sobie za miasto.
Właściwie

Było to jakieś opętanie czarta,
Bo mię ciągnęło i wino i karta
I wzrok dziewczyny, która się na niwie
Przy zachodzącem słońcu przechadzała.

Ba! człek by musiał serce mieć, jak skała,
Gdyby płomieniom miał się oprzeć wzroku.
Ja z tych nie jestem. Przyspieszyłem kroku
I najczulszy wąsa nałożycie:

— „Signora bono" rzekłem do niej rzekę
Jeśli nie wzgardzisz, przyjmij mą opiekę.
Gwiazdy już w krótce zajdą na błękicie...
Kobiecie samej o wieczornej porze

Chodzić po polu nie wypada może!!
To mówiąc z gracją poprawiłem czako.
Odpowie ona: „Signor Austriaco"!

„Wprawdzie do domu już mi nie daleko,
„Lecz zaszczycona tak dzielną opieką,
„Z chęcią przyjmuję podane mi ramię
„I, że mię cieszy to mocno, nie kłamię.

Wtedy dopiero ja już w komplimenty!
(Komplimencisty nie było nademnie)
Przyszło do tego wreszcie, żem f o r e m n i e
Miłość swą wyznał jej wdziękiem ujęty.

Jak gruchających synogarlic dwoje
Szliśmy wonnymi łąk i gajów ściegi,
Na rozmaite brałem się wybiegi
Aby przedłużyć drogę. Serce moje
Najnieszczęśliwszym z jeńców było jeńcem...
Ba! Czyż to dziwne, gdy się jest młodzieńcem?

Jak gruchających synogarlic dwoje,
Tak prowadziliśmy się z sobą razem,
I zapomniałem wiodąc mą dziewoję,
Że się na drodze tej mijam — z rozkazem.

„Wszak wstąpisz do nas, rzekła — przyjacielu
Gdyśmy nareście stanęli u celu.
Rodzicom moim chcę pokazać ciebie,
A u nas nie brak na winie i chlebie,
Przekąsisz przecie może co po drodze?

W ł a ś c i w i e mówiąc, głodny byłem srodze...
Toż gdy wspomniała o chlebie i winie,
Taki się rozlał czar w mej czułej minie,
Że nie pytając mię już o nic dalej
Rozwarła odrzwie.
Z rozkoszą — na stole

Ujrzałem spory kawał parmezana.
Ach! pomyślałem — to sobie pozwolę!
Bóg niech zapłaci ci moja kochana,
(Co do mnie byłoby z zapłatą krucho,
Bo ni fenika nie miałem w kieszeni)

Starzy coś byli nie zadowoleni
Lecz moja b e l l a rzekła im na ucho,
Widocznie kilka mądrych słów, bo wreszcie
Dali mi spokój z swoją kwaśną miną.

Jadłem ser tedy, popijałem wino
Podczas gdy o n a plotła mi powieście,
Które, choć wiele z nich nierozumiałem,
Z nieutajonym słuchałem zapałem.

Stary Włoch musiał jeszcze wyjść na pole
Pozbierać za dnia mykane fasole.
Obecność jego była mi mniej luba:
Złość mu patrzała i zminy i czuba,
I ile razy spojrzał na me czako
Mruczał pod nosem „Corpo di Bacchho"!

Z stokrotnie przeto lepszym apetytem
Wziąłem się teraz do wina i sera.
A wino było iście wyśmienitem!
Lepszem z pewnością niż niejedno schera*)
Wciąż napełniała się moja szklanica
I choć do trunku dawno byłem zwykły,
Nadobna włoszka i brudna świetlica
Butla i talerz we mgle mi gdzieś znikły.

* * *

Nagle mię zbudził wystrzał... Skąd to? Co to?
Pytam sam siebie jeszcze w pół zaspany,
Lecz w odpowiedzi puste tylko ściany
Patrzą się na mnie włoską swą brudotą.
Gdzie Rozalina? Gdzie jéj ojciec, matka?
Ba! Lecz ser został... Jak to mię rozczula!
Naprzód więc zjedzmy, co jest do ostatka,
A potem myślmy... Co to? znowu kula!

W cieniu zarośle, tuż przy samym płocie
Kilka postaci czarnych się chowało.
Nie było czasu myśleć o odwrocie
Zresztą tchórzostwa mam na to zbyt mało.
Zaryglowałem tylko drzwi, ze środka
I zasłoniwszy okno firankami
Szczeliną-m śledził ruchy u przypłotka

Widocznie Włochom brakło na salami
Mięsa — i myśląc, żem ja może osłem,
Chcieli mię ubić. To mnie obraziło
„Łotry", krzyknąłem, czy wam żyć nie miło?
Bez oślich uszu chwała Bogu wzrosłem
I że-m nie osieł tego wam dowiodę!"

Jeszcze-m nie skończył, gdy ujrzałem brodę
Długą, spiczastą... Był to mój gospodarz.
Bęc! sztrzelił — chybił... Ach! dalipan szkoda-ż!
Broni nie miałem, biorę więc szklanicę.
I stłukłszy szybę — „Masz" — krzyknę „psiajucho!"
Lepiej trafiłem dostał po za ucho,
Aż krew na czarne wystąpiła lice,

Zaledwie jednak skryłem się, na froncie
Nieprzyjacielskiej linii — zaszła zmiana,
Z śród krzewów wyszła moja ukochana
I, gdybym nie był tak przyczajon w kącie
Strzał jej ugodziłby mnie niezawodnie;
Tak jednak musnął tylko moje spodnie.

Cudowna była, cudowniejsza może
Niż w swej miłości, w swojej nienawiści;
Tak aniołowie — szatany ogniści
Rzucać musieli się na trony Boże.
Więc darowałem jej, że pantalony
Moje paradne popsuła mi na nic
I chociaż byłem mocno rozjuszony
Z umiarkowanych nie wyszedłem granic.

Strona przeciwna natomiast zgniewana
Niepowodzeniem w operacji swojej
Widząc, że nawet może i do rana
Takim sposobem kurty mi nie skroi,
Poczęła atak do okien i do drzwi.

Jam stał w pośrodku i czekałem chwili,
Kiedy już pęknie żelaziwo odrzwi
Nad którem tyle ciężkich rąk się silli.

Jedno mi tylko pozostało jeszcze,
Spiżarnia, ciężkim zamykana hakiem
Tam pomyślałem wygodnie się zmieszczę
Tam nie wywali mi nikt drzwi kułakiem.

Więc, gdy rozpękać już drzwi poczynały,
Ja do spiżarni... Ach! co za widoki!
Tu parmezany, tam mięsa kawały
Owdzie chleb przedni i miodu patoki
Wino, owoce, słowem czego dusza
W głodowych chwilach tylko pragnąć może,
Wszystko znalazłem w najobfitszym zbiorze...
(Dotąd mię jeszcze to wspomnienie wzrusza).

---

*) Xerra.

A więc na beczce usiadłszy od mąki
Począłem badać terenu zalety.
Wroga nie było, chyba, że pająki
Co na me krasne wsiadłszy epolety
Tam swoje szare snuć zaczęły siatki —
Takżebym wliczył do wrogiej gromadki.

Natomiast dosyć miałem licznych skrytek
(Tylko o trwogę niech mię nikt nie wini):
Bo mieścił w sobie ten piękny przybytek
Z tuzin beczułek, z drugi tuzin skrzyni.
Broni nie było sztucznej, strzelb ni mieczy,
Ale w nadziei jakowejś odsieczy,
Której spodziewać się miałem przyczynę,
Pewnym był przecie, że marnie nie zginę.

Między innemi leżały dwa stosy
Główek kapusty — i starej sałaty.
Przy braku innych mogły być ich ciosy
Tak samo srogie, jak gdyby granaty;
Tuż przy kapuście znalazłem w koszyku
Zapasy włoskich orzechów bez liku.
Więc rzekłem sobie „ha! i to coś znaczy,
Przy bombach możesz wziąść się do kartaczy.

Zapchawszy siebie w kąt obwarowany
Skąd wszystko-m widzieć mógł, sam niewidziany
Wyczekiwałem, co to będzie dalej.
Niedługo-m czekał jedyne okienko,
Jakie w spiżarni tej się znajdowało
Prysło maluchną wytłuczone ręką.
(Ręka być może silną, choć jest małą.
Nieprawda piękno panie?) potem głowa
Starego Włocha pokrwawiona nieco

Zajrzała w środek, pochmurna, surowa
Jak rysy sępów, co za ścierwem lecą.
Czas do działania myślę i z swej niszy
Niepsując niczem panującej ciszy —
Wypuszczam kartacz orzechów na Włocha.
Snać mu to było nieprzyjemne trocha
Bo strasznie zaklął. — Tymczasem
Z hukiem i pryskiem i owym hałasem,
Co krwawą bitwę zawsze zapowiada,
Bomba kapusty w samą twarz mu pada.

Popłoch był wielki — lecz i wróg miał olej,
Więc raz przeszedłszy taką straszną kolej
Inne wnet sobie zajął stanowisko.
Poznał że na zbyt posunął się blisko
I z oddalenia już gradem kamieni
Dał nowe hasło bitwy... Ja wśród cieni

Półek i desek patrzyłem bez trwogi,
Jak się te groźne toczyły pociski,
Bo mnie szaf tarczą osłaniały bogi.
Wiele natomiast cierpiały półmiski
I plony w pocie uzbierane czoła.
Strach było spojrzeć na to spustoszenie.
Wino strugami płynęło dokoła
Z rozbitych flaszek, drażniąc powonienie;

Pękały sery, spadały cytryny
W piasek rozprysła się złota polenta;
Takich zaburzeń jak wśród tej godziny
Najstarszych ludzi pamięć nie pamięta.

Nieraz przed oknem jasne-m widział czoło
Mojej cudownej, pięknej Rozaliny —
Ciekawy wzrok swój rzucała w około
(Patrząc zapewne, czym wreście ubity)
I nigdzie spostrzec mię nie mogąc, klęła.

Jam nie próżnował także koło dzieła.
Stos kapuściany, chociaż tak obfity
Zmalał fatalnie — szczędzić było trzeba.
Lecz przy największej oszczędności nawet
Musiałby ogień był ustać z mych lawet
Gdyby... O słabych pamiętają nieba.

* *
*

Gdzieś tak w godzinę, stać się coś musiało,
Bo kamieniami pryskające działo
Nagle ustało.

Słyszę, na dworze klątwy, złorzeczenia,
A potem cisza... potem nagle w dali
Tentent.., Ba! los się mój widocznie zmienia
I od kamiennej śmierci mię ocali.

Właściwie już-em się domyślił zaraz,
Co włochom taki sprawiło ambaras:
A gdym posłyszał głos mego kamrata
Który obsaczył to niecne plugastwo
Było mi, jakbym dostał skąd pół świata
Bo mimo męstwa nie miło jest pastwą
Takiej hołoty zostać.
Patrzę w okno,

A tu jóż Włochy z sznurkami na ręku —
Zgrzytają męże, baby we łzach mokną...
— „Bodajże ciebie!“ wrzasnę — mospanenku!
A toś ich chwycił! —
Kamrat więc nuż do mnie;

Ściskać, całować. — To ty tu i żywy?
Któż opiekuńczym tobie był aniołem?
„Ty i kapusta“ i śmiechem parsknąłem,
Bo, kiedy wzrok mój padł na twarze wroga
Podpuchłe, krwawo, sine niby śliwy;
Kiedy ujrzałem kapuściane głowy,
Wśród których grzęzły ich nogi zakute,
Mimo, żem człowiek na sercu surowy,
Musiałem popaść w tak wesołą nutę.

„Puszczaj tych łotrów“ rzeknę — „później powiem
Jak to i co to ze mną się tu działo;
Szkoda dalibóg znaczyć ich ołowiem
Niechaj uchodzą, póki czas jest, cało.
Adieu! urocza moja Rozalino!
Dzięki za serce i wyborne wino!

„Tak czyli owak, zabrać ich nie mogę
Traf tylko "powie —„ zagnał mię w tę drogę
Ważniejsze teraz czekają nas sprawy;
Bierz sobie konia, pędźmy co wyskoczy.
Dzisiaj, jeżeli los będzie łaskawy
Więcej krwi włoskiej jeszcze się potoczy.
A gdy już koniom uzdy były spięte
— „Jaka dyrekcya?*) pytam.
„Na Magentę!“
Rossowski.

---

*) Jaki kierunek drogi; techniczne wyrażenia wojskowe.

Urzędowe dzieło o Sobieskim.

W sprawie dwóchset-letniego jubileuszu odsieczy wiedeńskiej pojawiło się po wielu różnej barwy, zasługi i tendencji dziełach i broszurach — temi dniami dzieło, które pod każdym względem na najwyższą uwagę zasługuje. Wojskowość austrjacka rozwija od kilkunastu lat ogromną czynność na polu historycznem. Wydała źródłowo i fachowo opracowane dzieła nietylko o kampanjach z r. 1859, 1864 i 1866, ale także z czasów dawniejszych. Żadne przecie dla ogółu, a zwłaszcza dla nas nie jest tyle interesującem, co wyszłe właśnie dzieło, p. n. „Rok wojenny 1683“ [das Kriegsjahr 1683], według aktów i innych źródeł autentycznych przedstawiony przed oddział dla historji wojennej c. k. archiwum wojennego. Wiedeń 1883. Nakładem c. k. sztabu generalnego“.

Przytoczyliśmy cały tytuł; z niego bowiem wypływa, że dzieło jest pochodzenia ściśle urzędowego. Nie mamy go jeszcze przed sobą, wszelako w niektórych pismach napotykamy dość przytoczonych z niego wyjątków, aby się dowiedzieć autentycznie:

1) że istotny udział Sobieskiego i wojsk polskich w pogromie turków, przed, podczas i po odsieczy był bardzo mały;

2) że polacy plondrowali;

3) że król Sobieski spisał się niegrzecznie.

Więc czytamy między innemi, a należy rozważać każdy niemal wyraz:

Dowód „eines echten Feldherrn-Genies złożył książę Lotaryński (naczelny wódz wojsk cesarskich) już przed oblężeniem Wiednia przez turków, a następnie poczas oblężenia — zwycięskiemi potyczkami i doskonałem strategicznem ustawieniem się, nie pozwalając Tökölemu połączyć się z turkami, pobić wojska cesarskie i przeszkodzić nadejściu wojsk posiłkowych.

Zarazem książę według możliwości forytował wszystkie przygotowania do odsieczy, on to obmyślał plan ruchów wojska chrześcjańskiego ku Wiedniowi, tudzież plan bitwy odsiecznej.

Po nadejściu wojsk odsiecznych umiał książę króla polskiego, obu elektórów i ich jenerałów pozyskać dla swoich zapatrywań. Urokiem swoim osobistym, powagą, jaką mu nadały jego czyny poprzednie, zjednał sobie książę duchowe sternictwo całej sprawy.

Wielkie dzieło oswobodzenia Wiednia z żelaznych uścisków ogromnej armji tureckiej było w najlepszym ręku — w ręku wielkie-

go wodza eines grossen Feldherrn) ks. Lotaryńskiego, tudzież w ręku nadzwyczaj tęgiego generała (eines überaus tüchtigen Heerführers) jak król Sobieski.

Poparte przez polsko-niemieckie posiłkowe wojska — dzieło wszechdziejowe armii cesarskiej udało się w sposób najświetniejszy.

W bitwie pod Wiedniem wojsko chrześcijańskie pod dowództwem rycerskiego i wprawnego w rzemiośle wojennem króla Sobieskiego, odniosło świetne zwycięstwo. Ale główne zadanie — otwarcie komunikacji z Wiedniem rozwiązał ks. Lotaryński i jego to ruch ku prawemu skrzydłu wojska tureckiego rozstrzygnął chwiejny dotąd wynik.

Zwrot lewego skrzydła (chrześcijańskiego) na prawo, atak flankowy, nietylko zmusił prawe skrzydło turków do cofania się, ale zarazem też zmusił do odwrotu i lewe skrzydło turków, które dotąd uparcie stawiało opór polakom. Na lewem skrzydle swojem turcy dopiero wtedy podali tył, kiedy spostrzegli rozsypkę swego prawego skrzydła i nieustanne posuwanie się niemców ku ich lewemu skrzydłu.

Dzieje wojenne r. 1683 wskazują niezbicie, że jeśli nawałę Osmanów powstrzymano, należy to zawdzięczyć przedewszystkiem wytrwałości cesarza, talentowi i energii ks. Lotaryńskiego i Stahremberga (komendanta Wiednia), tudzież heroizmowi austrjackiego żołnierza i austrjackiego mieszczanina. Kiedy wojska posiłkowe nadciągnęły, już były zastępy Kara Mustafy moralnie pokonane. Nadciągnięcie sprzymierzeńców i ich udział pomogły tylko do wywalczenia zwycięstwa taktycznego.

W tem wszechdziejowym dziele, w jednym z najznamienitszych zwrotów dziejowych, w jednem z największych zwycięstw cywilizacji, w ostatecznem zwycięstwie krzyża na pół-księżycem równa przypada zasługa Leopoldowi (cesarzowi), Sobieskiemu, Lotaryńczykowi i Stahrembergowi. A spełnili to wszyscy w wysokim poczuciu swego obowiązku.

Wieczorem po bitwie wydano rozkaz, że wojsko ma stać pod bronią i pod karą śmierci nie wolno występować z szeregów. Ale rozkazu tego (str. 260) usłuchali tylko niemcy, podczas, gdy polacy zdobyty obóz rychło plondrować poczęli i im się też największa część łupów dostała.

Król polski wynurzył życzenie wkroczenia do miasta (str. 267). Całemu światu zaś wiadomo było, że cesarz tylko dla osoby Sobieskiego nie wziął udziału w chwale dnia poprzedniego (w bitwie); że zaś teraz naturalnie chciał pierwszy stanąć w swojej ocalonej stolicy i już w tym celu wybrał się w drogę, żądanie Sobieskiego musiało go tedy zadziwić. I w samej rzeczy, kiedy król przez furtę wycieczną koło Szkockiej bramy wstąpił do miasta, opuścili go obaj elektorowie i ks. Lotaryński, cesarscy jenerałowie zaś tylko ze wstrętem ruszyli za Sobieskim do miasta.

Był to fakt dziwny, że po spotkaniu się obu monarchów pod Szwechatem, król wrócił do obozu, nie sprezentowawszy wojsk polskich cesarzowi. Ale w dobroci swojej, cesarz strawił tę niegrzeczność króla polskiego i wizytował potem wojsko polskie, które mu hetman Jabłonowski sprezentował.

Uciecha, jaką ocalenie Wiednia wywołało w wdzięcznym Leopoldzie, nie pozwoliła powstać żadnej ansie do Sobieskiego, który już nieraz, a ostatnim razem przez swój uroczysty wjazd do Wiednia, obraził uczucia cesarza. Ale też i króla polskiego ogarnął od czasu tego spotkania niesmak, który się często odzywa w jego listach prywatnych.

Użalał się w nich na cesarza, na księcia Lotaryńskiego, że nie ma starania około polaków, na hr. Stahremberga, że nie wpuszczał żołnierzy polskich do Wiegnia; na nuncjusza, kard. Buonavisiego, że nie daje pieniędzy, asygnowanych przez papieża na utrzymanie wojsk polskich. Wynikłe następnie w dalszym przebiegu wojny trudności pochodziły przeważnie z tego mniemanego upośledzenia, którego król polski nie mógł zapomnieć.

Tak prawi austrjackie historyczne urzędowe dzieło wojskowe — a jednej przecie okoliczności pominąć nie mogło.

Oto w południe nastała przerwa w bitwie, i powszechnie z wytężeniem wyglądano nadejścia polaków. Każdy żołnierz patrzał w stronę, z której się mieli zjawić polacy. Nareszcie, kiedy ze zdobytego przez sasów wzgórza ujrzano powiewające w powietrzu proporcje lanc jazdy polskiej, rozległ się w szeregach wojowników chrześćjańskich powszechny okrzyk radości: i zaledwo z trudem zdołano powstrzymać pałających ogniem bojowych żołnierzy, którzy bez komendy i sygnału, chcieli na nowo począć bitwę.

Wtedy też, dopiero teraz przyznaje dzieło wspomniane, zarzucono myśl zaprzestania na ten dzień boju, i ks. Lotaryński po naradzie wojennej zawołał: „Marchons donc!"

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Grześ poszedł wykonać rozkaz, a ciocia żywo pobiegła do pokoju bratowej z nowiną o przybyciu gościa.

— Niechże bratowa go przyjmie serdecznie — mówiła, ubierając czemprędzej odświętną suknię — bo to młodzieniec nadzwyczaj dystyngowany, ma przed sobą świetną przyszłość, znajomości wśród najlepszego towarzystwa, powiadam ci ósmy cud świata... no i... —

— Bez wątpienia siostra chcesz go swatać Małgosi — przerwała z uśmiechem mrugając oczyma pani Wilska, rada ze swej domyślności. — Rzeczywiście ciekawa jestem ujrzeć ten „ósmy cud świata".

— Głowę dam w zakład, że ci się podobać musi. A co się tyczy tych swatów — to nie taję się, kiedy już otwarcie mówimy, że nazwałabym się szczęśliwą, gdybym ich skojarzyła, ale to u was wszystkich widzę nie tak, jak u ludzi... Zresztą o tem potem... A przyjdźże z Małgosią do salonu, — dodała już na wychodnem, spiesząc do przybyłego.

W salonie, a raczej skromnie wyglądającym pokoju bawialnym, siedział na krześle, rozglądając się badawczem okiem w koło pan Kazimierz Świderski, w którym czytelnik domyślił się już zapewne naszego znajomego pocztmistrzowicza, ongi Kazimierza Świdra, dziś zaś z szlachecka Świderskim się mieniącego.

Winniśmy wytłumaczyć się, jak przyszło do tej zmiany nazwiska. Takiego kawalera, pełnego wykwintnych aspiracyj towarzyskich i kierunków pańskich, jak dawny kolega Jędrusia — srodze bolało nazwisko rodowe, brzmiące tak okropnie gminnie i mimowoli przypominające pochodzenie od jakiegoś praszczura cieśli, lub kołodzieja.

W równym stopniu utyskiwała na to fatalne nazwisko mama, pani pocztmistrzowa, i w oczach jej było ono ciężkim grzechem, którego żadną miarą przebaczyć nie mogła potulnemu mężowi. Początkowo na wzmiankę uczynioną przez jakiegoś domorosłego jurystę, marzyła o udzieleniu kochanemu synalkowi swego rodzinnego nazwiska. Gdy się później jednak przekonała

go wodza einen grossen Feldherrn) ks. Lotaryńskiego, tudzież w ręka nadzwyczaj tęgiego generała (einen überaus tüchtigen Heerführer) jak król Sobieski.

Poparte przez polsko-niemieckie posiłkowe wojska — dzieło wszechdziejowe armii cesarskiej udało się w sposób najświetniejszy.

W bitwie pod Wiedniem wojsko chrześcijańskie pod dowództwem rycerskiego i wprawnego w rzemiośle wojennem króla Sobieskiego, odniosło świetne zwycięstwo. Ale główne zadanie — otwarcie komunikacji z Wiedniem rozwiązał ks. Lotaryński i jego to ruch ku prawemu skrzydłu wojska tureckiego rozstrzygnął ostateczny dotąd wynik.

Zwrot lewego skrzydła (chrześcijańskiego) na prawo, atak flankowy, nietylko zmusił prawe skrzydło turków do cofania się, ale zarazem też zmusił do odwrotu i lewe skrzydło turków, które dotąd uparcie stawiało opór polakom. Na lewem skrzydle swojem turcy dopiero wtedy podali tył, kiedy spostrzegli rozsypkę swego prawego skrzydła i nieustanne posuwanie się niemców ku ich lewemu skrzydłu.

Dzieje wojenne r. 1683 wskazują niezbicie, że jeśli nawałę Osmanów powstrzymano, należy to zawdzięczać przedewszystkiem wytrwałości cesarza, talentowi i energii ks. Lotaryńskiego i Stahremberga (komendanta Wiednia), tudzież heroizmowi austrjackiego żołnierza i austrjackiego mieszczanina. Kiedy wojska posiłkowe nadciągnęły, już były zastępy Kara Mustafy moralnie pokonane. Nadciągnięcie sprzymierzeńców i ich udział pomogły tylko do wyrażenia zwycięstwa faktycznego.

W tem wszechdziejowym dziele, w jednym z najznamienitszych zwrotów dziejowych, w jednem z największych zwycięstw cywilizacji, w ostatecznem zwycięstwie krzyża nad półksiężycem równa przypada zasługa Leopoldowi (cesarzowi), Sobieskiemu, Lotaryńczykowi i Stahrembergowi. A spełnili to wszyscy w wysokim poczuciu swego obowiązku.

Wieczorem po bitwie wydano rozkaz, że wojsko ma stać pod bronią i pod karą śmierci nie wolno występować z szeregów. Ale rozkazu tego (str. 260) usłuchali tylko niemcy, podczas, gdy polacy zdobyty obóz rycznie plondrować poczęli i im się też największa część łupów dostała.

Król polski wymusił życzenie wkroczenia do miasta (str. 267). Cełemu światu zaś wiadomo było, „że" cesarz tylko dla osoby Sobieskiego nie wziął udziału w chwale dnia poprzedniego (w bitwie); że zaś teraz naturalnie chciał pierwszy stanąć w swojej ocalonej stolicy i już w tym celu wybrał się w drogę, żądanie Sobieskiego musiało go tedy zadziwić. I w samej rzeczy, kiedy król przez furtę wyłomem koło Szkockiej bramy wstąpił do miasta, opuścili go obaj elektorowie i ks. Lotaryński, cesarscy jenerałowie zaś tylko za wstrętem ruszyli za Sobieskim do miasta.

Był to fakt dziwny, że po spotkaniu się obu monarchów pod Schwechatem, król wrócił do obozu, nie sprezentowawszy wojsk polskich cesarzowi. Ale w dobroci swojej, cesarz sprawił tę niegrzeczność króla polskiego i wizytował potem wojsko polskie, które mu hetman Jabłonowski sprezentował.

Ucieczka, jako ocalenie Wiednia wywołało w wdzięcznym Leopoldzie, nie pozwoliła powstać żadnej urazie do Sobieskiego, który już nieraz, a ostatnio razem przez swój uroczysty wjazd do Wiednia, obraził uczucia cesarza. Ale też i króla polskiego ogarnął od czasu tego spotkania niesmak, który się często odzywa w jego listach prywatnych.

Użalał się w nich na cesarza, na księcia Lotaryńskiego, że nie ma starania około polaków, na hr. Stahremberga, że nie wpuszczał żołnierzy polskich do Wiednia; na nuncjusza, kard. Buonavisiego, że nie daje pieniędzy, asygnowanych przez papieża na utrzymanie wojsk polskich. Wynikłe następnie w dalszym przebiegu wojny trudności pochodziły przeważnie z tego mniemanego upośledzenia, którego król polski nie mógł zapomnieć.

Tak prawi austrjackie historyczne urzędowe dzieło wojskowe — a jednej przecie okoliczności pominąć nie mogło.

Oto w południe nastała przerwa w bitwie, i powszechnie z wytęsknieniem wyglądano nadejścia polaków. Każdy żołnierz patrzał w stronę, z której się mieli zjawić polacy. Nareszcie, kiedy ze zdobytego przez sasów wzgórza ujrzano powiewające w powietrzu proporcje lanc jazdy polskiej, rozległ się w szeregach wojowników chrześcijańskich powszechny okrzyk radości; i zaledwo z trudem zdołano powstrzymać palących ogniem bojowych żołnierzy, którzy bez komendy i sygnału, chcieli na nowo począć bitwę.

Wtedy też, dopiero teraz przyznaje dzieło wspomniane, zarzucono myśl zaprzestania na ten dzień boju, i ks. Lotaryński po naradzie wojennej zawołał: „Marchons donc!"

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Zatwcyna.

(Ciąg dalszy).

Grześ poszedł wykonać rozkaz, a ciocia żywo pobiegła do pokoju bratowej z nowiną o przybyciu gościa.

— Niechże bratowa go przyjmie serdecznie — mówiła, ubierając ezem prędzej odświętną suknię — bo to młodzieniec nadzwyczaj dystyngowany, ma przed sobą świetną przyszłość, znajomości wśród najlepszego towarzystwa, powiadam ci ósmy cud świata... no i... —

— Bez wątpienia siostra chcesz go swatać Małgosi — przerwała z uśmiechem mrugając oczyma pani Wilska, rada ze swej domyślności. — Rzeczywiście ciekawa jestem ujrzeć ten „ósmy cud świata".

— Głowę dam w zakład, że ci się podobać musi. A co się tyczy tych swatów — to nie taję się, kiedy już otwarcie mówimy, że uważałabym się szczęśliwą, gdybym ich skojarzyła, ale to u was wszystkich widzę nie tak, jak u ludzi... Zresztą o tem potem... A przyjdźże z Małgosią do salonu, — dodała już na wychodnem, spiesząc do przybyłego.

W salonie, a raczej skromnie wyglądającym pokoju bawialnym, siedział na krześle, rozglądając się badawczem okiem w koło pan Kazimierz Świderski, w którym czytelnik domyślił się już zapewne naszego znajomego poczmistrzowicza, ongi Kazimierza Świdra, dziś zaś z szlachecka Świderskim się mieniącego.

Winniśmy wytłumaczyć się, jak przyszło do tej zmiany nazwiska. Takiego kawalera, pełnego wykwintnych aspiracyj towarzyskich i kierunków pańskich, jak dawny kolega Jędrusia — srodze bolało nazwisko rodowe, brzmiące tak okropnie gminnie i mimowoli przypominające pochodzenie od jakiegoś prząszcza cieśli, lub kołodzieja.

W równym stopniu odczuwała on to fatalne nazwisko mama, pani poczmistrzowa, i w oczach jej było ono ciężkim grzechem, którego żadną miarą przebaczyć nie mogła potulnemu mężowi. Początkowo na wzmiankę uczynioną przez jakiegoś domorosłego jurystę, marzyła o udzieleniu kochanemu synalkowi swego rodzinnego nazwiska. Gdy się później jednak przekonała

że to wobec obowiązujących ustaw jest rzeczą do przeprowadzenia zbyt trudną, a łatwiej już uzyskać przeróbkę nazwiska dodaniem końcówki „ski“ — dołożyła wszelkich starań i zabiegów u dotyczącej władzy, aby uzyskać odnośne przyzwolenie.

W ten sposób pan Kazimierz ze Świdra stał się Śwideskim i gdy przypadkiem wyczytał w herbarzu, że na Litwie istnieje rodzina ruskich kniaziów Świderskich, bez wahania kazał sobie na biletach wizytowych wytłoczyć herb owych kniaziów z imponującą mitrą książęcą. Genialnym tym pomysłem mama tak się ucieszyła, że w nagrodę kupiła mu złoty sygnet i na nim wyryć kazała ten sam herb z cyframi.

Na usprawiedliwienie przed dotychczasowemi znajomymi, ułożono następującą bajeczkę z tłem nawet historycznem. Oto pradziad Kazia — kniaź Hrehory Świderski — pan licznych włości na głębokiej Litwie sąsiad i przyjaciel od serca — a pono nawet krewny bliski Radziwiłłów — który miał znakomity udział w konfederacji barskiej — przy jakiemś spotkaniu z moskiewskim generałem, faworytem carowej Katarzyny (nazwiska jego już nie pamiętano — ale zapisane ono w papierach familji) poprzeczał się z nim, i następnie w pojedynku go ubił jak wróbla. Gdy później wojska rosyjskie zajęły Litwę — skonfiskowano pradziadowi dobra — on sam zaś ledwie uciekł z życiem za granicę, gdzie dla skuteczniejszego ukrycia się przed ścigającą go wszędzie zemstą rozgniewanej carowej — przybrał plebejuszowskie nazwisko Świdra. Później przybył do Galicji i tu osiadł z rodziną — z tych samych względów nie powracając do rodowego nazwiska i tytułu.

Byli łatwowierni, którzy temu wszystkiemu uwierzyli, byli jednak i tacy, którzy w duchu i poza oczy nie szczędzili słów powątpiewania o prawdziwości tej genezis, i drwili niemiłosiernie z bezczelnego podszywania się „ordynarnych Świdrów“ pod cudzy herb i nazwisko.

— A kochanego pana witam — wołała ciocia ode drzwi już, wyciągając obie ręce ku gościowi.

— Do stóp ścielę się pani dobrodziejce, — brzmiała odpowiedź przybyłego, który porwawszy się z kozetki, przypadł do cioci i z nabożeństwem ucałował podaną jej rękę. Jakże doprawdy ślicznie dobrodziejka wygląda we Lwowie — widocznie stolica lepiej służy od prowincji.

— W samej rzeczy czuję się tu zdrowszą i weselszą niżeli u siebie w domu. Ale bo też dość patrzeć z bliska na moją drogą Małgosię, ażeby nabrać ochoty do życia i czuć się zadowoloną zupełnie. Anioł nie dziewczę.

— Czy w domu panna Małgorzata? — tak radbym z całej duszy poznać ukochaną kuzynkę pani dobrodziejki.

Wierzymy. Słyszał o znacznym majątku Wilskich, spadku po stryju — wiedział z ust samej cioci, że nadto Małgosia odziedziczy po niej kapitalik przyzwoity, więc nie bez racji usiłował pozyskać sobie względy cioci, co mu się w samej rzeczy powiodło.

— W domu, w tej chwili jednak zajęta jeszcze jakąś robótką wraz z dawną swą nauczycielką. Lecz prawdopodobnie niebawem przyjdzie tu do nas z matką. Dawno przyjechałeś pan do Lwowa?

— Przed kilku dniami i ledwie się trochę rozglądnąłem w stolicy; i wywiedziawszy się o mieszkaniu państwa, pospieszyłem tu zaraz, złożyć moje uszanowanie pani dobrodziejce — dodał z powagą i namaszczeniem. Wiedział bowiem o tem, że niczem łatwiej jak pochlebstwami, zdobywało się względy starej panny cioci. W swej naiwności bezgranicznej była ona w stanie pochłonąć konwencjonalnych komplimentów, kadzideł i pochlebstw, nawet najniezręczniejszych, mnóstwo niesłychane.

— Dobrze pan zrobiłeś, i nie pożałujesz tego, mam nadzieję... — dodała z tajemniczą miną a przyjaznym uśmiechem. W jakiż sposób dowiedziałeś się pan, gdzie mieszkamy?

— Przypadkiem spotkałem na ulicy dawnego mego kolegę ze szkół, Jędrzeja Kobylskiego, który w domu państwa Wilskich jest guwernerem.

— A Jędrusia, więc to pański kolega? Bardzo porządny chłopak i w wielkich łaskach u mego brata.

— Tak... rzeczywiście... nie poznaję go prawie, jak się odmienił ostatniemi czasy na awantaż... Dawniej bowiem — wyznam otwarcie — był lekkoduchem, wisusem niepospolitym... i powiem nawet pani dobrodziejce, z tego powodu długie lata między nami stosunek koleżeński był nader chłodny... O! bo mama moja dbając o mnie ogromnie, zabraniała mi surowo obcowania z kolegami takimi, którzy pod każdym względem nie dawali rękojmi statku i przyzwoitości...

— Więc ten tak poważny dziś i pracowity Kobylski był dawniej łobuzem? pytała ciocia z niekłamanem zdziwieniem.

— Skończonym, powiadam pani dobrodziejce.. Przytem miewał fatalne skłonności przeróżne, które ostatecznie można było złożyć chyba na karb nieszczęśliwych jego stosunków rodzinnych...

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika naukowa.

(Analiza nerwowa przez prof. dra. Gustawa Jägera podał Dr. K. H.

O tej oryginalnej pracy, zagraniczne czasopisma naukowe a nawet i polityczne, podały już wyczerpujące sprawozdania i dla tego uważałem za stosowne obznajmić i naszą publiczność z tą ciekawą pracą, lubo nie zupełnie wierzę w ścisłość doświadczeń prof. Jägera, po części znanego już naszej publiczności z pracy o odkryciu duszy (die Entdeckung der Seele), która w swoim czasie narobiła dużo hałasu.

Przedewszystkiem muszę opisać przyrząd, którym się Jäger posługiwał przy swoich badaniach. Jest nim znany *chronoskop Hippa*, zbudowany w celu mierzenia małych odstępów czasu, lub bardzo wielkich prędkości. Przyrząd ten znalazł następnie zastosowanie i w fizyologii do mierzenia prędkości, z jaką podrażnienie nerwowe się rozchodzi. Pierwsze praktyczne zastosowanie w tym kierunku znalazł chronoskop dla wyznaczenia tak nazwanego, *równania osobistego* u astronomów, i co Jäger nazywa *czasem nerwowym*. Chronoskop jest przyrządem zegarowym, składającym się z dwóch cyferblatów nad sobą pionowo ustawionych, z których każdy podzielony jest na 100 równych części. Skazówka, którą jest opatrzony górny cyferblat, wykonywa pięć obrotów na sekunkę, tak, że na nim można odczytywać $^1/_{500}$ sekundę (1 podziałka). Skazówka dolnego cyferblatu opisuje pięć podziałek na sekundę, tak, że każda podziałka zostaje opisaną w ciągu $^1/_5$ sekundy.

Osobliwość chronoskopu polega na tem, że oddzielna maszynerja porusza skazówki i oddzielna — sam zegar i obie mogą być dowolnie połączone lub rozłączone. Gdy są rozłączone zegar porusza się bez skazówek, gdy zaś zostaną połączone, wtedy skazówki natychmiast zaczynają się poruszać. Połączenie i rozłączenie przyrządu zegarowego ze skazówkami, dokonywa się za pomocą

strumienia elektrycznego. Zamykanie i odmykanie strumienia, uskutecznia się za pomocą zwyczajnego klucza telegraficznego. Czułość chronoskopu jest tak wielka, że za jego pomocą można wyznaczyć czas, w którym kula karabinowa przebiega jedną stopę. W tym celu wzdłuż trajektorji kuli umieszczają się dwa druty, odległe od siebie na stopę, tak, że naprzód zostaje przestrzelony pierwszy drut, następnie drugi. Gdy kula rozcina pierwszy drut, wtedy strumień elektryczny łączy przyrząd zegarowy z przyrządem skazówkowym, gdy zaś kula przecina drugi drut, wtedy połączenie to zostaje przerwanem i wskazówka się zatrzymuje. Tym sposobem możemy wyznaczyć czas użyty przez kulę dla przebieżenia stopy.

Opisawszy chronoskop przystępujemy do samego przedmiotu.

Analiza nerwowa Jägera polega na wyznaczeniu pewnego czasu, nazwanego *czasem nerwowym*. Gdy kto obserwuje moment ukazania się jakiegoś sygnału i moment ten powinien miarkować jakimś szczególnym znakiem, np. ruchem palca, to pomiędzy chwilą ukazania się sygnału i momentem ruchu palca, zawsze upływa pewien przeciąg czasu, potrzebny na to, by wrażenie otrzymane w oku, przeszło przez nerw wzrokowy do mózgu, a ztąd przez nerwy ruchowe do mięśni palca. Ten czas właśnie Jäger nazywa *czasem nerwowym*, a astronomowie *równaniem osobistem*. Dla mierzenia tego czasu za pomocą chronoskopu, obserwator staje przed przyrządem, z natężoną uwagą patrzy na położenie skazówki i powolnym ruchem ręki zamyka strumień elektryczny, przez co natychmiast rozpoczyna się ruch skazówki. Jak tylko obserwator spostrzegł ten ruch, natychmiast przerywa strumień elektryczny i znowu odczytuje położenie skazówki. Różnica położeń strzałki, w chwili gdy obserwator spostrzegł jej ruch, i w chwili gdy przerwał strumień, da nam czas nerwowy wyrażony w ułamku sekundy.

Otóż Jäger z tysiąca doświadczeń wyprowadził następujące wnioski.

Przy jednakowem natężeniu sygnałów, czas nerwowy zależy: 1) od stanu przewodnictwa naszego przyrządu nerwowego i mięśniowego; 2) od naszej woli, albo raczej od stopnia natężenia naszej uwagi i woli, a mianowicie jeżeli wola nasza jest bardzo energiczna i silna, wtedy przy tym samym stopniu przewodnictwa nerwowego i mięśniowego, czas nerwowy jest krótszy, aniżeli przy słabszej woli i energji.

Tak samo ma się rzecz odnośnie do stopnia uwagi z jaką obserwujemy sygnał. W analizie nerwowej jest rzeczą niezmiernie ważną utrzymywać ten drugi wpływ na jednakowej wysokości, to jest wykonywać wszystkie działania z jednakową uwagą i jednakową energią woli. Do tego potrzebną jest wprawa, o której musimy nieco obszerniej pomówić. Jakeśmy wyżej powiedzieli, pod wpływem woli wykonywamy dwa ruchy, najprzód podnosimy palec dla wprawienia w ruch skazówkę, następnie go opuszczamy dla wstrzymania tego ruchu. Dopóki nie mamy dostatecznej wprawy potrzebne są do tego dwa impulsy woli, jeden dla podniesienia palca, drugi dla opuszczenia go, a pomiędzy niemi upływa pewien przeciąg czasu, którego trwanie zależy od stanu organu woli, od duszy. Lecz przez wprawę stan ten ulega zmianie na zasadzie tak nazwanego prawa *współuszykowania* (kordynacji), doskonale znanego wszystkim fizyologom.

Prawo to polega na tem, że jeżeli dwa dowolne ruchy (zamykanie i odmykanie strumienia elektrycznego np.), wykonywamy często jeden po drugiem, to dla nas wystarcza jeden impuls woli. Z początku oba te ruchy są zupełnie dowolne, lecz po pewnej wprawie drugi ruch pod wpływem *jednego* impulsu woli, nietylko *dowolnie* wykonywamy pierwszy ruch, lecz jeszcze *mimowolnie* wykonywamy drugi. Gdy eksperymentator doszedł do tej wprawy, wtedy czas nerwowy jego, to jest czas, jaki upływa pomiędzy zamykaniem a odmykaniem strumienia elektrycznego, prawie zupełnie *nie zależy od woli, a jedynie od stopnia przewodnictwa przyrządu nerwowego i mięśniowego*.

Ponieważ zadaniem analizy nerwowej jest zbadanie tego stopnia przewodnictwa, albo raczej wpływów, od których zależy, więc wprawa jest rzeczą niezmiernie ważną; wprawy tej każdy nabyć może w ciągu dni kilku.

Dotychczas zwracano zwykle uwagę tylko na przeciętną wielkość „czasu nerwowego", lecz Jäger zauważył, że czas ten podlega ciekawym wahaniom, szybko po sobie następującym. Jeżeli wykonywać będziemy znaczną liczbę obserwacyj czasu nerwowego za pomocą chronoskopu, np. sto, w odstępach czasu od dziesięciu do dwudziestu sekund, to otrzymamy rząd cyfr znacznie pomiędzy sobą się różniących i zmiany tych cyfr są bardzo charakterystyczne. Zmiany te można przedstawić graficznie za pomocy linij krzywych, sposobem powszechnie znanym. Na rysunkach wykonanych przez Jägera i jego uczniów ¼ milimetra przedstawia tysiączną część sekunky. Krzywą, przedstawiającą wypadki wszystkich pojedynczych obserwacyj, Jäger nazywa krzywą *szczegółową* (Detailcurve), lecz oprócz niej kreśli on jeszcze drugą krzywą przedstawiającą cyfry, które otrzymujemy, biorąc średnią z 10 kolejnych obserwacyj pojedynczych. Przeciętną z dziesięciu obserwacyj Jäger nazywa *dekadą*. Krzywa przeciętnej dekadycznej tem się różni od szczegółowej, że w niej pojedyncze wypadki nie odznaczają się punktem, lecz kreską poziomą, której długość jest proporcjonalna do wielkości cyfry. Zarówno krzywe szczegółowe, jakoteż przeciętne, Jäger nazywa *krzywemi analizy nerwowej*, a to dla dwóch przyczyn;

1) Dają one jasny obraz chwilowego stanu naszego układu nerwowego, a raczej jego zdolności przewodnictwa dla otrzymanych wrażeń i zmian zachodzących w tem przewodnictwie, zmian, na które dotychczas nie zwrócono uwagi. Analiza zatem nerwowa oznacza w liczbach stan naszego przyrządu nerwowego.

2) Przekonałem się, powiada Jäger, i to stanowi najważniejszą część mojego odkrycia, że za pomocą takiego oznaczenia stanu naszego układu nerwowego, możemy: a) zbadać, które wpływy zewnętrzne i wewnętrzne oddziaływają zmieniająco na stan naszego układu nerwowego; b) z chwilowego stanu układu nerwowego *możemy odwrotnie* wyprowadzić pewne wnioski o naturze wpływu, któremu układ nerwowy uległ w chwili doświadczeń. Tym więc sposobem możemy użyć układu nerwowego do wyznaczenia wpływów zewnętrznych, nań działających.

Z doświadczeń Jägera i jego uczniów wynika, że kształt krzywych analizy nerwowej, które Jäger nazywa jeszcze „psychogramami" (*endo* i *exo*) zmienia się pod wpływem wszystkiego co z zewnątrz dostaje się do organizmu, jako też i pod wpływem wewnętrznych afektów jak np. zadowolenia, gniewu, bojaźni, głodu, pragnienia, znużenia, febry i t. d. Oprócz tego każdemu oddzielnemu wpływowi lub też afektowi, odpowiadają pewne charakterystyczne krzywe (musimy tu nadmienić, że krzywe odpowiadające wpływom zewnętrznym Jäger nazywa *exopsychogramami*), tak że mogą być krzywe radości, zadowolenia bojazni, głodu, pragnienia i t. d. Za pomocą tych krzywych możemy na papierze badać stan duszy.

Oprócz tego Jäger przekonał się, że jeśli dwie różne osoby zostają pod wpływem tego samego zapachu, lub jeśli one przyjęty ten sam pokarm, to psychogramy, przez nie

wykonane, w ogólności nie są identyczne, mogą one bowiem być albo podobne do siebie, albo zupełnie odmienne. Po spożyciu pewnego pokarmu przez dwie różne osoby, krzywe wypadną identycznie, gdy ten pokarm obydwu eksperymentatorom jednakowo smakuje, gdy zaś jednemu pokarm smakuje, drugiemu nie, wtedy psychogramy wypadną zupełnie odmienne.

Co się zaś tyczy jednej i tej samej osoby, to ona pod wpływem jednego i tego samego zapachu, wtedy tylko otrzymuje tę samą krzywą, jeżeli przed wprowadzeniem do organizmu zapachu lub pokarmu, stan jej narządu nerwowego był ten sam w obu razach. Ta ostatnia okoliczność jest niezmiernie ważną, gdyż chcąc otrzymać wypadki mogące być ze sobą porównywane, musimy robić doświadczenia w warunkach zupełnie identycznych, a zatem należy przyjmować te same pokarmy w tej samej porze dnia, należy wykonywać oznaczenia czasu nerwowego w pokojach jednakowo umeblowanych, przy jednakowym stanie czystości powietrza i jednakowym ubiorze eksperymentatora, a przedewszystkiem należy zwracać baczną uwagę na stan zdrowia i ducha. Kilka wyznaczeń chronoskopowych czasu nerwowego wystarczają biegłemu eksperymentatorowi dla przekonania się, czy on znajduje się w tem samem *nerwoanalitycznem usposobieniu* (Nevralanalytische Disposition) co i w doświadczeniach poprzednich. Według Jägera, organizm przedstawia nadzwyczajną czułość pod tym względem, gdyż mała kropelka spirytusu, puszczona na stół lakierowany wystarcza, by zapach lakieru rozchodzący się w pokoju zmienił psychogramy, a tem samem i cały bieg doświadczeń. (C. d. n.)

RYBACY

Nowelka

przez

Guy de Maupassant.

Paryż był oblężony i zgłodniały. Wróble na dachach poznikały i kanały podziemne zostały opustoszone.

Żywiono się byle czem.

Pan Morissot, dawniej zegarmistrz, obecnie obrońca ojczyzny, przechadzał się po bulwarach z rękoma w kieszeniach munduru narodowego; śliczny wiosenny dzień jaśniał wesoło, jednak pan Morissot był smutnym, gdyż miał pusty żołądek; nagle twarz jego się rozjaśniła, spotkał pana Sauvage dobrego przyjaciela, z którym się był poznał nad wodą łowiąc ryby.

Przed wojną co niedziela o świcie pan Morissot z bambusową laską w ręku i blaszanem pudełkiem na plecach wsiadał na pociąg w Argenteuil, wysiadał w Colombes, a ztamtąd piechotą dochodził do wysepki Marzante, tu się zatrzymywał, zarzucał wędkę i nieruszał się z miejsca do wieczora.

Co niedziela spotykał w tem miejscu pana Sauvage, właściciela małego sklepu przy ulicy Notre-Dame de Lorette; był to sobie człowieczek mały, krępy, wesoły, wiecznie uśmiechnięty a zagorzały rybołowca. Siedzieli często całe pół dnia przy sobie z nogami zwieszonemi, nieruchomi, z oczami wlepionemi w wędkę; zaprzyjaźnili się z sobą.

Czasem rozmawiali trochę, częściej jednak nic nie mówili, ale rozumieli się wyśmienicie, mając te same usposobienia i gusta.

Zwykle na wiosnę około 10 z rana, gdy słońce płynąc z jasnych wód brzegiem, zaczynało im w plecy przypiekać, oznajmując cieplejszej pory przybycie, Morissot odezwał się do sąsiada: — A co, czy to nie rozkosz prawdziwa, hę! Sauvage odpowiadał tym samym tonem: Nie znam nic lepszego na świecie.

I to im wystarczało, rozumieli się przewybornie.

W jesieni zaś, gdy pod wieczór purpurowe chmury jasno zabarwiały wodę, zachodzące słońce ich samych ognistem otaczało światłem, a drzewa dreszczem chłodnym zdały się poruszać, pan Sauvage spoglądał z uśmiechem na pana Morissot i mówił:

— Co za przepyszny obraz! — Morissot nie spuszczając oka z wędki dodawał.— Mogą się i bulwary schować, hę!!

Spotkawszy się teraz w tak odmiennych okolicznościach, ścisnęli się za ręce wzruszeni. Pan Sauvage westchnął i rzekł!

— A to dopiero nieszczęśliwe wypadki.

Morissot westchnął głębiej jeszcze.

— A co za pogoda!

— Dziś właśnie taki dzień mamy przepyszny.

Niebo było rzeczywiście świetlne lazurowe.

Szli w milczeniu smutni, obok siebie. Morissot znów zaczął:

— A nasze wędki, kiedyż się do nich wrócimy, hę!

Pan Sauvage westchnął.

— Miłe wspomnienie.

Weszli do maleńkiej kawiarni na kieliszek piołunówki, potem znów rozpoczęli spacer po bulwarach. Morissot zatrzymał się nagle:

— Gdyby tak drugi kieliszek, hę!

Pan Sauvage zgodził się i na drugi i weszli do winiarni.

Trochę im w głowach szumiało gdy wychodzili, jak to zwykle bywa, gdy na głodny żołądek alkohol działać zacznie. Na dworze było ciepło przyjemne.

Lekki wietrzyk muskał ich po twarzy.

Pan Sauvage bardziej jeszcze tem ciepłem upojony, spytał naraz:

— A gdybyśmy tak poszli?

— Dokąd?

— Na ryby.

— Ależ dokąd?

— No do naszej wysepki. Nasze forpoczty są w Colombes. Znam pułkownika Dumoulin, puszczą nas niezawodnie.

Morissot aż zadrżał cały z radości.

— I owszem, ja idę.

I poszli po wędki.

W godzinę potem kroczyli obok siebie gościńcem, do willi pułkownika. Ten się tylko uśmiechnął z ich pomysłu i dał im kartę wolnego przejścia.

Poszli więc, przebyli forpoczty, wioskę Colombes opustoszałą, i znaleźli się wśród maleńkich winnic spuszczających się do brzegu Sekwany.

Była godzina jedynasta.

Naprzeciwko nich leżała Argenteuil, cicha jak grobowiec; pagórki Orgemont i Sannois panowały nad krajobrazem. Cała płaszczyzna wstronę Nanterre pusta i martwa gdzie okiem sięgnąć.

Pan Sauvage wskazał palcem pagórki i wyrzekł:

— Prusacy są tam.

Mrowie przeszło ich obu.

Prusacy! Nie widzieli ich wprawdzie nigdy, ale ich czuli od kilku miesięcy na około i w samym Paryżu; rujnowali oni kraj, łupili, zabijali, głodzili, a to wszystko niewidzialną i wszechmocną dłonią. Do nienawiści jaką pałali do Prusaków, dołączyło się teraz uczucie jakiejś trwogi przesądnej dla tych nieznanych okrutnych zwycięzców.

Morissot szepnął:

— Gdybyśmy ich tak jednak spotkali hę!

A pan Sauvage na to zwykłym sobie drwinkowatym tonem.

Nr. 24. We Lwowie dnia 16. Czerwca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"

W miejscu rocznie 12 zł.	na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „	„ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct.	„ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1\frac{1}{2}$ arkusza. Adres redakcji i administrac „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.

INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

BRAK CHARAKTERÓW.

W szeregu wielu chorób i epidemij trapiących dzisiejsze społeczeństwo i nas tu nad Sanem i Pełtwią— nieposlednie miejsce zajmuje ciężka niemoc społeczna, której miano: brak charakterów.

Mówimy to oczywiście o tej części społeczeństwa, która prowadzi życie czynne na szerszej widowni i bierze udział w sprawach publicznych. Może tam gdzie w głuchych kątach i zaściankach kwitną gdzie w cieniu jakie cnoty domowe, dobroduszna poczciwość, wielu niewątpliwie i w chatach włościańskich i po dworkach szlacheckich znalazłoby się „ludzi uczciwych" — nie są to jednak „charaktery" tej miary, o jakich myślimy. Są to raczej cnoty bierne, ludzie ci nie stanęli nigdy w kolizji z kodeksem kryminalnym, nie popełnili żadnego szelmostwa, w ciasnem swem kółku domowem uznani nawet zostali za ludzi dobrych, niczem jednak nie okazali swego charakteru.

Charakter musi przedewszystkiem błyszczyć czynami i jak stal w ogniu, tak on musi się chartować w walce z przeciwnościami. Ten tylko może być nazwany człowiekiem charakteru, kto umiał zwalczyć różne pokusy, kto śmiało stawił im czoło, kto okazał w różnych kolejach życia męstwo i odwagę i kto umiał pójść naprzód przedbojem.

Bo nie ten tylko ma charakter, kto oparł się mężnie pokusom, lecz umiał samodzielnie pójść drogą, jaką mu jego uczucia i przekonania nakazywały i z drogi tej nie zboczyć.

Wielkie i niespożyte charaktery rodzą się więc naprzód, wykołysane, jakimś silnym prądem, który da im przekonania i przejmie niemi do szpiku kości — rodzą się przytem tylko w życiu czynnem i twórczem, które jest kolebką charakteru, jego powietrzem i słońcem.

Obejrzmy się w około — gdzież mamy te warunki tworzenia się charakterów. Naokół spotykamy albo masę bierną, bezmyślną, serwilistyczną, lub resztki charakterów, ludzi, którzy kiedyś byli może owiani chwilowo, jakimś szerszym prądem, którzy sercem i myślą wybiegli po za ciasny widnokrąg codzienny, którzy jednak umieli wyjść cało z rozbicia, a nie rzadko unieść ztamtąd worki przywłaszczonych lub otrzymanych srebrników. W życiu naszem publicznem nikt nam nie błyszczy promiennym światłem charakteru, a ludzie, co kiedyś uważani byli za wcielenie narodowych aspiracyj zużywają się, starzeją nader szybko.

Ci co nie zatracili jeszcze potrzeby posiadania ludzi na swem czele, którychby mogli uwielbiać za ich przekonania i charakter, którzy byliby wcieleniem spółczesnych ideałów — napróżno oglądają się za takimi ludźmi.

W szeregach pracowników prasy, wykolejonych zazwyczaj rozbitkach, piszących temu, kto płaci i śród wydawców, biorących szwajggeldy, pośród całej tej rzeszy bieduących, używających, lub pędzących życie bez jutra — ogół przestał już szukać swych heroldów.

Gdzież więc ich znajdzie?

— Nie znajdzie rychlej, póki świeży jakiś powiew umysłowy nie przewietrzy stęchłej i spleśniałej naszej atmosfery i póki żywy jaki prąd spółczesny nie odrodzi nas do głębi.

I mało mamy nadziei, żeby duch ten nowy wyleczył już i ożywił to, co już moralnie umarło, może on niektórych tylko jeszcze odświeżyć, zresztą zaś wynieść go musi na swych barkach młode niezużyte pokolenie, nie to obecne plemie płytkich faryzeuszów — muszą te świeże żywioły wyjść z ludu, wyjść z pod strzech i dworów gdzie zgnilizna nie przegryzła jeszcze wszystkiego do gruntu.

Niechże więc nam przybywają jak najrychlej nieskalane, czyste umysły i charaktery i niech w twardej walce z życiem się hartują!

Nasz program!

Hej ramię do ramienia silnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy...
Dalej! z posad bryło świata
Nowemi popchniem Cię tory!!
Aż . . . .

Mickiewicz.

I.

Na cmentarzysku, kędy mogiły,
Popioły Ojców naszych pokryły,
Nieustraszony młodzieniec stał,
W jego błyszczących oczach natchnienie
W ściśniętych ustach jedno westchnienie,
W piersi wre jakiś ogień czy szał...

II.

Około niego tłumy zgłupione,
Jak lawa, wrzące, straszne, wzburzone;
Miecą nań tysiąc pogardy słów...
I krzyczą „Zdrajco! nędzne Twe drogi
„Ty nas przed obce chcesz nieść Bogi,
Co myślisz? żądasz? Co działasz? mów!“

III

A on, rzuciwszy okiem na tłumy
Rzekł, pełen wzgardy i pełen dumy
„Więc się lękacie o wieczny zmrok?
„Więc się rzucacie ślepo w odmęty
„A jam jest zdrajca, przez Was przeklęty,
„Co wstrzymać pragnę Wasz błędny krok!

IV.

„Wy się modlicie, bezmyślnie, głupio!
„Wy co działacie, działacie trupio,
„Strasznie to życie musi Was gnieść...
„Moja modlitwa jedna — prawdziwa —
„Bracia a bracia praca uczciwa
„Może nas zbawić i zjednać cześć“

V.

„Ludzi nam trzeba nie w pstrych kolorach,
„Nie do ukłonów po obcych dworach,
„Albo patrzących gdzieś w chmury, w dal...
„Dziś już nie w modzie słowicze jęki,
„Dziś nie na czasie szablicy brzęki,
„Ludzi nam trzeba twardych, jak stal“...

VI.

„Tych starych trumień zbutwiałe szczątki
„Świetnej przeszłości, smutne pamiątki,
„Toć to proch tylko, toć wątły pył...!
„Nam pod wyniosły Ołtarz wolności,
„Nie słabych prochów choć z zacnych kości
„Lecz granitowych potrzeba brył“...

VII.

„Nam sił potrzeba nam trzeba trudu,
„Trzeba oświaty naszego ludu,
„Aby tchnąć życie w stuletni trup!
„Bracia!! szablice i słuckie pasy
„Patriotyczne krzyki, hałasy
„Pójdą wraz z wami na wieki... w grób!

VIII.

Zamilkły tłumy... cisza w około,
Młodzieniec w górę jasne wzniósł czoło,
I szepnął „Przyszłość należy nam“!
Bo wzgardy tłumy nań nie miotały,
Bo w koło widział „Naród“ dojrzały,
Bo się do pracy miał wziąć nie sam.

L. Dziubiński.

OSTATNI SZARACZEK

powieść
osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848
przez
autora „Marzycieli“

(Ciąg dalszy).

XV.

Propozycja ekonoma nie pozostała bez następstw. Chociaż pan Hilary wierzył, że w tej przykrej sprawie Lolo żadnego nie wziął udziału, nie mógł darować pałacowi że ktoś, co się do jego sług zaliczał, kosztem honoru biednego szlachetki, chciał sprawić przyjemność hrabinie.

Prócz tego nie miał on żadnej pewności, czy matka Lola takiego rozkazu swemu słudze nie wydała. Nie pytał o to, otrzymawszy bowiem stanowcze potwierdzenie, musiałby zerwać stosunki ze wszystkimi mieszkańcami pałacu, a on bądź co bądź miał dla Lola przyjaźń i szacunek. Wiedział również, jaką by to nieprzyjemność sprawiło panu Jacentemu, któremu wizyty hrabiego niezmiernie pochlebiały, i Zosia w jego towarzystwie tak zyskiwała. Pozornie zatem niby się nic nie zmieniło, ale wniknąwszy w głąb rzeczy, widziało się, że pan Hilary Bereźnicki ulegał metamorfozie. Odkąd w nim ambicję podrażniono, robił się coraz mniej ufającym, coraz bardziej podeirzliwym i to głównie w obec tych, którzy pod względem społecznym wyżej od niego stali. Lola kochał, wszakże potrzeba było jeszcze jednego wstrząśnienia, by ta miłość na wieki w nim zagasła. Od tego dnia pamiętnego, do pałacu więcej nie zajrzał, a gdy siostra o przyczynę zapytała, zbywając ją tak odpowiedział:

— Nie raz ci już mówiłem, moja Zosiu, że kto się szanuje, tego i ludzie szanują. Ja tam chodzę i Lolo tu bywa, a hrabina jaką była taką jest... ani ze mną nie rozmawia, ani ciebie nie zaprosi. Kiedy taka pani niech więc sama siedzi i pacierze odmawia. Ja jej potrzebuję chyba do chrzanu.

Dotrzymał słowa. bo więcej nie poszedł. Z tego powodu Lolo robił mu z początku łagodne wymówki, jednakże gdy to nie pomogło, tak je zakończył:

— Chociaż ty mój Hilciu jesteś nie grzeczny, ja cię zawstydzę i nie przestanę cię nachodzić, chyba, że mnie sam wyprosisz.

Roześmiał się pan Hilary, uścisnął dłoń przyjacielowi i na tem się skończyło.

Tak mijały dni, tygodnie, miesiące.

Tymczasem umysł Zosi szybko rozwijał się i dojrzewał. Książki, które jej hrabia przynosił, a miał ich dosyć, pożerała ze skwapliwością gorączkową; opowiadania jego miała żywo w pamięci, a rozumne uwagi proboszcza, jakie kiedykolwiek usłyszała, mogła powtórzyć od pierwszej do ostatniej. Do rozmowy, którą mężczyźni prowadzili, rzadko się mięszała, ale za to jeżli odezwała się z jakiem zdaniem, pewnie było tak trafne i rozumne, że nieraz dziwił się sam proboszcz, zkąd młoda i w zagrodzie wychowana dziewczyna, mogła się tak rozwinąć i wykształcić.

Wszelako obok tych zmian dodatnich w Zosi, dostrzegało się jeszcze inną; mniej może korzystną, która szczególnie brata niepokoiła. Oto dawna jej wesołość, znamionująca ptaszę niewinne, które usiadłszy na gałęzi trzepoce radośnie skrzydełkami, pełne nadziei, że dokoła będzie wieczna wiosna ta wesołość z dniem każdym ją opuszczała, póki z Zosi swobodnej, wiecznie uśmiechniętej i spiewającej, nie zrobiła się Zofia poważna i prawie smutna...

Ojciec widział to wzdychał, i po godzinkach, które do dnia spiewał, dodawał zawsze cichą modlitwę, by Pan Bóg zesłał mu jak najprędzej zięcia uczciwego. Według

jego przekonania, pannie, gdy z wiekiem smutnieje, nawet doktor nie poradzi. Na jej smutek najlepszem jest lekarstwo małżeństwo.

Modlitwa starca została wysłuchana. Z Krynicy, wioski o kilka mil odległej, zgłosił się najbogatszy z panów Krynickich, szlachcic także zagrodowy, prosząc o rękę panny Zofii Bereźnickiej. Ojciec sądził, że córka nie da sobie tego dwa razy powtórzyć, tymczasem ona rozpłakała się jak dziecko i o małżeństwie ani sobie mówić pozwoliła. Ojciec nie tylko zdziwiony, sądząc w dobrej wierze, że on jeden wie czego jej do szczęścia potrzeba, chciał już użyć środka nieomylnego, to jest rozkazu, do którego szlachta w takich wypadkach często się uciekała; i kto wie na czem by się było skończyło, gdyby nie pan Hilary, który jak niegdyś Zosia jego, tak teraz on ją wziął w obronę. Wytłumaczywszy ojcu, że przymus zrobiłby ją może nieszczęśliwą, wymógł na nim, że swatów odprawiwszy, córce jeszcze wolność zostawił.

— Dziękuję ci Hilciu, dziękuję! — szlochając na jego piersi siostra zawołała. Gdyby mnie ojciec był wydał, byłabym umarła!...

— Nie płacz już Zosiu, nie płacz... chociaż dalibóg nie wiem, co cię tak bardzo przestraszyło... przecie nie taki djabeł straszny jak go malują, i nie każdy mąż żonę bije. Mówią że pan Krynicki jest człowiekiem dobrym i statecznym.

— Choćby sobie był najlepszym, jabym za niego pójść nie mogła.

— Ale czemu? Powiedz mi teraz otwarcie... jak widzisz, nie ma już nikogo.

Oglądnęła się po izbie, aby się upewnić, że swatów w rzeczy samej nie ma, potem przez łzy na brata spojrzała i szepnęła:

— Bo ja za mąż nigdy nie pójdę!

— Nigdy?

— Nigdy, Hilciu, nigdy! — jęknęła z głębi serca, i jak by w obawie, by jej brat więcej nie badał, z głośnym płaczem do komory pobiegła.

Pan Hilary patrząc za nią głową potrząsał.

— Co się z nią stało? — Czy ona prawdę powiedziała, czy tylko chce mnie zmylić?

Odpowiedź na to zapytanie miał otrzymać w niedalekiej przyszłości. Odwidziny hrabiego nagle się urwały. Pierwszego i drugiego dnia mężczyźni nie zwrócili na to uwagi, wszakże gdy się nie pokazał pięć dni z rzędu, zaczęli to sobie różnie tłumaczyć. Pan Jacenty był pewny, że hrabia czemś się obraził, to też gdyby jeno mógł był z miejsca się ruszyć, niezwłocznie poszedłby go był przeprosić; Hilcio zaś mniemał, że albo gdzieś wyjechał nie powiedziawszy im bądźcie zdrowi, lub postanowił więcej do nich nie zachodzić, co zresztą on od dawna przewidywał. Mimo że pan Hilary był człowiekiem miernej inteligencji i małego doświadczenia, tyle rozumiał, że panowie, mający inne poglądy, zwyczaje i wymagania, nie przywiązują się nigdy stale do osób z obcej sfery. Ludzie zamożni, są przedewszystkiem wygodni, pożycie zaś z biedniejszymi wymaga wyrzeczenia się pewnych nawyknień i upodobań czego panowie nie lubią, gdyż bądź co bądź każdy przymus jest niewygodny.

Zosia zupełnie co innego przypuszczała. Chociaż jej tego nikt nie powiedział, była by przysięgła na ten krzyżyk, który jej matka umierając na szyję włożyła, że hrabia zachorował. To też ilekroć brat lub ojciec z innem odzywali się zdaniem, Zosia upierała się przy swojem, a gdy ustąpić nie chcieli, wychodziła ze łzami w oczach.

Dworek naszych przyjaciół był od frontu ozdobiony gankiem wspartym na czterech słupach drewnianych, zkąd na lewo był widok na wioskę, na prawo na pałac, i dworskie budynki. Przesiadując teraz na ganku długiemi godzinami, Zosia przypatrywała się białym murom pałacu, biegając okiem niespokojnem od jednego do drugiego okna, jak by się tam kogo zobaczyć spodziewała. Próżne nadzieje! Czasem znowu zdawało się jej, że ktoś z pałacu wyszedłszy, zmierza do jej zagrody. Wtedy podnosiła się z widocznem wzruszeniem, aby postąpić kilka kroków na spotkanie nadchodzącego. Idący jednak skręcał w bok do wsi, i na nią ani spojrzał, Nowy zawód! Chciała kogo zobaczyć ze służby i zapytać, co w pałacu słychać, lecz jakby umyślnie przez pięć dni nikt się obok ich dworku nie pokazał.

Niespokojna chwyciła się środka ostatniego. Zaczęła brata namawiać by poszedł i zapytał, co się z hrabią stało. Hilcio opierał się z początku, twierdząc, że kiedy o sobie nie dał wiadomości, to widać że nie chce by go nachodzono; Zosia jednak umiała tak zręcznie zbić skrupuły brata, że ten przyrzekł nareszcie uczynić zadość jej żądaniu. Pozór pod jakim miał pójść do pałacu sam się nastręczył. Zosia przeczytała wszystkie książki, które jej hrabia przyniósł, teraz więc chciała prosić o nowe. Tak wiele i przekonywująco mówiła o tych książkach, że Hilcio sam uwierzył, iż na nich siostrze stokroć więcej zależy, niż na wiadomości o Lolu.

Poszedł w kwadrans i wrócił bez książek. Zosia wyglądała go na ganku. Gdy nadchodził, wybiegła za bramę na jego spotkanie. Zdaleka postrzegła, że czoło miał zasępione.

— I cóż? — zawołała oddech tamując.

— Zgadłaś... chory.

— Chory?! — powtórzyła, poczem głęboko odetchnęła, jakby jej ciężar spadł z serca; A czyż wam nie mówiłam, że musi być chory! Ale nie niebezpiecznie? — dodała z roztargnieniem, na twarzy się zmieniając.

— Przeciwnie, dość niebezpiecznie... lekarz nie wychodzi z jego pokoju... Chciałem go zobaczyć, nie puszczono mnie. Lokaj mówił, że nikogo nie poznaje.

— Boże! taki chory! — jęknęła twarz sobie zasłaniając.

Brat udał się do ojca, siostra zaś bledsza niż ściany jej dworku, z głową zwieszoną i krokiem chwiejnym, poszła do komory, która jedna była powiernicą jej marzeń, westchnień i cierpień.

Całe trzy tygodnie trwała choroba hrabiego. Przez ten czas nasi przyjaciele mieli o nim codzień wiadomości. Hilcio zawsze rano chodził do pałacu, gdzie najczęściej widywał się z samym lekarzem. Gorączka, która z początku była bardzo groźna, zaczęła się nareszcie zmniejszać chory odzyskał przytomność. Usłyszawszy że przyjaciel tak troskliwie o niego się dowiaduje, kazał go prosić do siebie W słowach serdecznych podziękował mu za pamięć i bardzo prosił, by był pośrednikiem i tłumaczem jego uczuć przed panem Jacentym i panną Zofją. Lekarz, który był przytomny ich rozmowie, nie mógł się dość nadziwić; pierwszy bo dopiero raz zdarzył mu się spotkać hrabiego, który z chudopachołkiem był na stopie tak poufałej.

— A co tam panna Zofja przez ten czas bez książek porabiała? — Ręczę, że jej to musiało sprawiać przykrość największą.

— Źle nas osądzasz — Hilcio przerwał, jeźli przypuszczas, że nas więcej obchodzą książki, choćby najpiękniejsze, niż twoje zdrowie.

— Mówisz za siebie, mój przyjacielu odparł chory z żałośnym uśmiechem — bo masz dobre serce... Ale kto wie, co kobieta myśli, a co czuje.

Pan Hilary chciał przeciw temu zaprotestować, lecz w czas się zatrzymał. On już zaczął Zosię podejrzywać, więc rozmyślnie wszystkiego teraz unikał, co by owo podejrzenie mogło w nim potęgować. On raczej wolał jeszcze przypuszczać, że się mylił.

Nazajutrz dzień był ciepły i pogodny. Pan Jacenty zjadłszy smacznie objad, kazał się wynieść na ganek, gdzie z synem zaczął grać warcaby. Zosia jak według zwyczaju, wziąwszy do rąk robótkę, usiadła obok na ławeczce. (c. d. n.)

Młodzieńcze utwory

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

szkic przez

Z. G.

(Ciąg dalszy.)

Pole pokryte strumieniami krwi; miecze tak szybko migają, strzały tak gęsto przelatują świszczac w powietrzu, iż zakrywają słońce. W ich cieniu ruszają się olbrzymy stalą odziani tak hartowni, jak ciężkie miecze wiszące im u boku, tak płomieniści, jak zarzewia podkładane pod namioty wrogów. Nie wiedzą, co niebezpieczeństwo i bojaźń. „Bóg chyba, kiedy w dzień sądu ostatniego zejdzie na chmurach pośród piorunów i burzy, zdoła mnie przestraszyć“. — mówi Zbigniew. Ale na ziemi gotów każdy na wszystko uderzyć, w co nakaże ugodzić duma, miłość, nienawiść lub zemsta. Uczucia słabego nie ma u tych natur, każde uczucie jest namiętnością gwałtowną, bezwzględną, niszczącą. „Kocham Hannę z Ciechanowa, chcę ją posiąść, przysiągłem że albo moją będzie, albo zginie“. (Mestwin). Takie są ich wszystkie uczucia. Kiedy namiętność wejdzie do serca, napełnia je całe, zabiera je niepodzielnie, wszystkie inne uczucia wypiera; ludzie zamieniają się w maszyny poruszane jedną sprężyną*). Kiedy tę sprężynę wyjmiesz lub złamiesz, maszyna przestaje działać. Gdy w sercu takiem zasiędzie nienawiść lub zemsta, staje się machiną piekielną, niosącą śmierć i zniszczenie. A te właśnie uczucia są najczęstsze. Allan Reichsthal. Mieczysław**), Zbigniew***), Sieciech****), Mestwin z Wilderthalu*), Henryk z Kaniowa**), zaprzysięgłszy zemstę poświęcają życie zadowoleniu jej, częstokroć sami palą się jej w ofierze***).

Namiętności jednostek niezawisłych i potężnych ścierające się ze sobą tworzą akcją i wypadki. Co u Szekspira np. było odbiciem świata współczesnego, to u romantyków jest już idealną retrospekcją. W tych najpierwszych utworach Krasińskiego ideał potęgi jest surowy, materjalny, jest nagromadzeniem władzy i posiadania; przetrwa on jeszcze w Agaj-Hanie, pózniej zamieni się w genjalność, w potęgę wewnętrzną bardziej niż zewnętrzną i tak utworzy jako fabułę Nieboskiej Komedji monomachją Henryka z Pankracym, tak w starożytnym Rzymie pokaże jeden czynnik ruchomy — genjusz Irydjona.

A poniżej panów czerni się mrowie podwładnych, sług i poddanych. Ich zadaniem ściśle przestrzeganem jest bezwzględna ścisła wierność i posłuszeństwo panom, w dobrem i złem. Chlubią się tem, że nie ma zbrodni, którejby na rozkaz pana nie zechcieli wykonać (Gierda, Mestwin)*). Za jego wolą mordują się walczą, nie pytając o co i dlaczego, idą za nimi nie dla poparcia tego lub owego zamiaru, ideji, lecz w skutek zależności osobistej. Zresztą mają popędy do okrucieństwa, do rabunku i zbrodni, wodzowie utrzymują ich w karbach**).

Z jednej strony wielkie serce i potęga, z drugiej popędy antispołeczne i zależność osobista: to jest kształt społeczny, jaki znajdujemy w pierwszych pracach Krasińskiego, kształt przenikający późniejsze, subtelniejsze jego pojęcia socjologiczne. Podwładni w Nieboskiej“ i w „Irydjonie doputy walczą z Henrykiem tylko, dopóki mają nad zieję zwycięstwa; gdy sprawa upada, nie mają tego poświęcenia dla ideji, co ich wodzowie, podlą się, usiłują zdradzić, jednak mimo to nie ratują się od śmierci „Na świecie masy najczęściej idą jak bydło (list z r. 1834), porwane entuzjazmem chwilowym lub interesem długim. Fanatyków jest bardzo mało prawdziwych“***). Na takich podstawach opierał się ideał społeczny — arystokracji rodowej, który był mu stałą całego życia wiarą****).

Dzikie tłumy i olbrzymy na ich czele, to jest postać społeczeństwa tych pierwszych romansów. Miara etyczna przykładana do nich musi być inna niż zwyczajna, bo w burzach namiętności cnota częstokroć stoi o krok od zbrodni. Są to w duchu romantycznej etyki zwykle mięszane, cnotliwo-zbrodnicze charaktery, ludzie, jak Ulrych np., któremu „w samych zbrodniach pewnego rodzaju szlachetności i cnoty odmówić nie można“*). Badano psychologję zbrodni, pierwsze co uderzyło, były ich wielkie rozmiary, wspaniałość, pozyskująca romantyczne serce. Zbrodnia nie pokazywała się w odosobnieniu, źródłem jej były namiętności, a „każdy przyzna, (mówi o późniejszym Teodorze) że skierowane na dobrą drogę mogłyby go i bohaterem uczynić“. „Najdzielniejszy w Polsce bohatyr“ **), Zbigniew, robi takie żonie wyznanie: „Choć jeszcze młody, uniesiony namiętnościami daleko już zaszedłem w drodze niesprawiedliwości. Raz podsycała mnie chęć sławy, to znów żądza zaszczytów i wielkości. Nie jednego już tą ręką strącił z tego padołu nieszczęść. Zdradą pozbywałem się wrogów, głuchym byłem na jęki niewinności, lub proźby pokonanego nieprzyjaciela. Wśród burzy i nocy zatapiałem mój sztylet w serca podobnych sobie, wśród biesiad i radości, w lśniących się puharach posyłałem śmierć w darze, zawziętym na mnie. Ale przyjaźni, dopóki mi wierną była, nigdym nie zdradził“*). Dochowanie przyjaźni uważa Zbigniew za cnotę; że podobnie sądzi i autor, wnosimy z tego, co na innem miejscu, mówi o Zbigniewie; że „uniesiony miłością może był najszlachetniejszym w swem życiu“**). O ile takie równoważenie się popędów zbrodniczych z uczuciami jednostkowej przyjaźni

---

* „Wallensteinowi prawdziwa miłość niedostępną była. Jedna w nim tylko władała duma i pycha, żadną przeszkodą, żadnym nie zrażona oporem“. Grób Reichst. str. 15.

**) Wł. Herman. str. 31. 38, 163—4.

***) str. 160. 217. 232. 285.

****) str. 158.

*) str. 171.

**) str. 275. 281.

***) Tak samo w nieco późniejszych powiastkach: „Teodoro“ i „Zamek Wilczki“. Na twarzy Henryka Wilczka po zgonie, jeszcze „malowała się nienawiść, ostatnie uczucie którem oddychał“:

*) Por. ustępy charakterystyczne w Gr. Reichst. str. 55. 66. 83. 87. w Hermanie: str. 56. — str. 21. 224. (Gierda). — str. 60. 171. (Mestwin) — str. 173. 195. (Ulrych) — str. 97. (Henryk) etc.

**) Por. np. Grób Reichst. 2.—Herman str. 56.

***) Listy I. (1882) str. 45.

****) Por. ibd. str. 118—122 (list z r. 1847) „Właśnie dziś w szlachcie ocalenie Polski w pogodzeniu się jej i w pojednaniu z ludem wiejskim jedyny zaród siłą; W przewodniczeniu jej nad tłumami jedyny zakład przyszłej, lepszej doli“.

*) Herman str. 274

**) Ibd. str. 190.

*) Ibd. str. 28.

**) Ibd. Roz. I.

lub miłości jest psychologicznie prawdziwe, o tyle ze względu etyki jest faktem obojętnym. Żaden kodeks prawa ani moralności nie może przyjąć uczucia przyjaźni lub miłości dla jednej osoby za tak przeważny czynnik w ocenie moralnej wartości danej jednostki. Jest to najbardziej abstrakcyjny punkt etyki Krasińskiego, wspierającej się na uczuciach. (C. d. n.)

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

Wejście pani Wilskiej z Małgosią przerwało im rozmowę w najciekawszem miejscu. Ponieważ tajemnicze i ogólnikowe półsłówka pana Kazimierza o przeszłości Jędrusia, jeno podrażniły w wysokim stopniu i zaostrzyły łatwo zrozumiałą ciekawość starej panny, której jednak obecnie zaspokoić nie mogła, więc w duchu przyrzekła sobie przy najbliższej sposobności wrócić do tego przedmiotu i gruntownie wybadać pana Kazimierza.

Słysząc tyle pochwał o gościu, z pilnem zajęciem śledziła go pani Wilska, a pierwszy jej sąd o nim musiał wypaść dość dlań, korzystnie, przynajmniej wnosić by to można z jej oczu i twarzy, z których jak z otwartej książki, umiejący czytać, wiele rzeczy mógł się dowiedzieć łatwo. To też sprytna ciocia, znająca dobrze bratowę, zaraz dorozumiała się korzystnego jej usposobienia dla swego protegowanego, i z zadowolenia pokryjomu zatarła ręce.

Natomiast nie tak pocieszającą dla niej była chłodna obojętność Małgosi, której widocznie nie podbiła odrazu wdzięczna powierzchowność pana Kazimierza. Czarująca jej piękność olśniła wybrednego na punkcie urody kobiecej poczmistrzowicza w pierwszej chwili — jak to mówią zapomniał o języku w gębie. Rychło się jednak zorjentował, że zamiast potulnej gąski wiejskiej, jaką spodziewał się ujrzeć i bez trudności zawojować, miał przed sobą prześliczną pannę, której dystynkcja w ruchach i ułożenie, szły w parze z powierzchownością imponującą i wykształceniem, jak dla salonu aż nadto dostatecznem.

W obec tego zręczny pan Kazimierz w lot dostroił się do sytuacji, i przykrywając zwykłą mu towarzystwach innych arogancję i pozowanie, maską wygórowanej uprzejmości, słodyczy i jakiejś zadumy sentymentalnej, przedstawił się w zupełnie innem — jak sądził w duchu — a znacznie korzystniejszem świetle. Gdy wkrótce wyszedł — choć go ciocia zatrzymywała jeszcze — a on mimo to przepraszał, że i tak jak na pierwszą wizytę przedłużył ją po za granice etykiety — na pytanie cioci odpowiedziała pani Wilska, że pan Świderski jest bardzo sympatycznym młodzieńcem.

— To mało powiedzieć „sympatyczny" — przerwała z entuzjazmem ciocia — fenomenalny pod każdym względem. Bo to i uroda, i wykształcenie, i nazwisko — wszystko za nim przemawia. A, jakże się on tobie podobał, moje dziecko? — pytały w końcy Małgosię.

— Rzeczywiście przystojny, dobrze ułożony i zdaje się rozumny człowiek — mówiła Małgosia spokojnie i bez zachwytu, co cioci nie podobało się trochę. Cóż zresztą dziś więcej powiedzieć można o nim — kochana cioteczko, po pierwszem widzeniu?

— No... tak... tak... Jestem pewna, że po każdem następnem spodoba się wam bardziej, bo to rzadkich zalet młodzieniec — zakonkludowała ciocia.

Wychodząc z kamienicy, spotkał pan Kazimierz Jędrusia.

— Dobrze, że cię widzę, kochany kolego — zaczął, ściskając mu serdecznie obie ręce. — Wybierałem się właśnie odwiedzić cię, aby pomówić z tobą w kwestji tego tysiąca reńskich. Masz w tej chwili czas wolny?

— Służę ci.

Wziął Jędrusia pod ramię z protekcyjną poufałością i poszli ku miastu.

Wytłumaczył Jędrusiowi, że stosownie do jego polecenia ulokował — jak to zresztą w swoim czasie doniósł mu już — te pieniądze w pewnych rękach znajomego im obudwu mieszczanina w rodzinnem miasteczku; procent płaci dłużnik regularnie a jeśli Jędruś zechce odebrać kiedy kapitał, to potrzebuje tylko zawiadomić o terminie na parę tygodni, a bez kwestji na czas należytość całą odbierze.

Gdy sprawę finansową w tak łatwy sposób ubito, wypytywał dawnego kolegę pan Kazimierz, ale oczywiście ostrożnie i z daleka, o stosunki rodzinne i majątkowe państwa Wilskich, a dla urody Małgosi, a rozumu i zacności cioci i matki pięknego dziewczęcia, nie miał dość słów gorących pochwał i uniesienia.

Jędruś milczeniem lub monosylabami jeno potwierdzał jego opinję, w duszy zaś coś niedobrego dla siebie przeczuwał z tej bytności cioci we Lwowie, i wizyty Kazimierza w domu Wilskich.

Od razu przyszło mu także na myśl, czy przypadkiem pan Kazimierz nie poweźmie zamiaru starania się o rękę Małgosi. Jak boleśnie dotknęło go to przypuszczenie, pono zbyteczne dodawać; — jedno go tylko pocieszało, to głos instyktu, który mu szeptał, że Małgosi taki Kazimierz nie pozyska sobie. A zresztą, myślał, dziej się wola Boga! W jego położeniu, i warunkach, zuchwalstwem byłoby samą myślą sięgać po rękę panienki tak pięknej, bogatej, i z dobrej rodziny — podczas gdy on sam jeden stał na świecie, nie miał nikogo za sobą, nawet z nazwiska swego ojca nie znał...

(C. d. n)

Przegląd literacki.

(Francis Bacon czy Wiliam Szekspir sławnym poetą? sprawozdanie z artykułów Engla Edwarda w Magazin für die Litt. d. Ausl. 1883, 19, 20, 21 przez Ant. Mazanowskiego.)

Kwestją, która świeżo nie mały obudziła interes w kołach literackich, jest spór o autorstwo 37 dramatów przyznawanych dotychczas Wiliamowi Szekspirowi, a od niedawna Francisowi Bakonowi. Spór, jak to już przewidywać można, nie skończy się na wymianie zdań kilku ludzi. Sam fakt, że obie strony, tak zwolennicy hypotezy nowej, czyniącej lorda kanclerza autorem dramatów, jak obrońcy Szekspira, zapowiedzieli po wstępnych utarczkach nowe szeregi dowodów, każe przypuszczać, iż przecież tkwi w tej nowej nadzwyczaj śmiałej hypotezie jakiś czynnik mamiący nawet krytycznie rozumujące umysły, z drugiej znów strony pewne rozgorączkowanie zwolenników Szekspira nadaje już teraz sporowi cechę borby, wcale nie liczącej się ze słowami. Geneza sprawy taka. W roku 1857 pojawiło się w New-Yorku u Putman et Cie dzieło Miss Delii Bacon pt. „The Philosophy of the Plays of Shakespeare nufolded". ze wstępem Nathaniela Hawthorne. Nie wzbudziło ono interesu i poszło w niepamięć, nie poparto bowiem hipotezy pozytewnymi dowodami, a nazwisko autorki i śmierć jej w domu obłą-

kanych przyczyniły się też w pewnej mierze do nieufności tak, że o przypuszczeniu niemal zapomniano.

Dopiero na początku b. r. podniesiono je powtórnie. A mianowicie: Znalazł się w British Muzeum rękopis o 50 stronicach in folio, uznany za rękopis lorda Bacona.

Dostarczył on niejakiej Mrs. Henry Pott wątku do grubego dzieła pt.:

„The Promus of formularies and elegancies being private notes, circ, 1594 hitherto nupublished, by Francis Bacon. Illustrated and elucidated by passages from Shakespeare by Mrs Henry Pott". str. 628 wielk. 8o, i XIV str. wstępu.

W istocie Promus wygląda tak, jak każdy inny nieczytelny rękopism — i zdaniem Engla, nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby kiedyś wykryto, że jest to ni mniej ni więcej, jeno brulion lub notatki jakiego studenta z Oksfordu lub Cambridge. Wszakże coś zupełnie podobnego przytrafiło się owemu głębokiej nauki francuskiemu misjonarzowi, co brulion młodzieńczy wziął za okaz zaginionego pisma i języka Jndyan — i napisał o tem grubą książkę. Śmiała się więc cała Europa i Ameryka tak serdecznie, jak chyba wówczas, kiedy to berlińskie muzeum nabyło zużyty but wojskowy lub kilka czerepów z pruskiej gliny, mając pierwszy za h łm polski, drugie za moabickie szczątki. Nie podobna tedy absolutnie wykluczyć przypuszczenia, że pan Mande Thopson, kustosz manuskryptów w British Muzeum mógł się pomylić w swem twierdzeniu, jakoby Promus był niewątpliwym rękopisem Bacona. Bądź co bądź, zawiera on zbiór notatek trojakiego rodzaju: 1o pozdrowienia, jak „good morrow", good morning", „good evening", „good night" lub inne krótkie luźne wyrazy, niekiedy nawet nie dające się już wytłómaczyć, jak „well", „you have", „is't possible" lub „rome". 2o Zdania, wyjęte z klasyków greckich i rzymskich np. Sed fugit interea fugit irreparabile tempus, lub Mundus vult decipi, lub Dulce et decorum est pro patria mori, a wreszcie 3o Zbiór przysłów jak All ist not gold what glisters, itd.

Mrs Henry Pott postanowiła drogą zestawień i porównań stwierdzić hypotezę podjętą przez Miss Delią. Przeglądnęła tedy jak zeznaje 6000 książek różnych autorów poprzedzających Szekspira i tuż po nim następujących, porównała nadto wyrażenia, zdania i przysłowia Promusa troskliwie z dziełami Szekspira i doszła do przekonania 1o, że co się tyczy pozdrowień, te zostały dopiero wprowadzone przez Bacona, w Promusie po raz pierwszy użyte, przedtem zaś nieznane Anglikom inne zdania niekiedy lubo b. rzadko trafiają się u różnych autorów. 2o Że Szek pir natomiast pierwszych używa 250 razy w 37 dramatach, a wszystkie tak wyrazy luźne, jak zdania i przysłowia znajdują sie też u niego jakkolwiek przekształcone artystycznie i do potrzeby zastosowane.

Obok więc każdego z 1655 wyrażeń Promusa kładzie Mrs Pott odnośne cytaty z Szekspira, mające udowodnić tożsamość źródła.

Rzecz naturalna, że zarówno fakt starannego przeglądnięcia 6000 dzieł w celu poszukiwań za luźnemi wyrazami pozdrowień lub przysłowiami, jako też i zapewnienie, jakoby ich wcale przedtem nie było, musiały wzniecić nieufność.

Pierwsze wymaga natężonej przynajmniej 20 letniej pracy, niesłychanie uciążliwej i niemal mechanicznej. Aby zeń wysnuć tak doniosły wniosek, musi poszukiwanie być nader staranne i ścisłe. Ależ i wówczas należałoby uwzględnić nie tylko wyrażenia, jeno sposób myślenia obu ludzi, fantazją, poglądy na świat i mnóstwo innych czynników, składających twórczość poetycką: boć luźne podobieństwa wyrażeń, mogły by być przypadkowe, właściwe dwom indywiduom.

Dzięki kontroli Engla mamy sposobność przekonać się o ścisłości i staranności, z jaką dokonano przeglądnięcie owych 6000 książek. Z wymienionych na liście Mrs Pott skontrolował on ledwie kilka i doszedł do odmiennych rezultatów.

Główną wagę kładzie Mrs Pott na pozdrowienia.

„Good morrow", „good evening" itd. powtarzają się u Szekspira około 250 razy. Jeśli zważymy, dodaje, że form tych nie używano w Anglii przed 1594 t. j, przed Promusem Baconą, to nie trudno wysnuć wniosek, jaki związek mają formy pozdrowienia w Promusie i tak częstem ich użyciem u Szekspira.

Engel konstatuje najpierw, że już w 14 wieku Chancer używa pozdrowienie „Good morrow", a nadto, że znajdują się one prawie u każdego pisarza tak tuż przed, jak i po Szekspirze i Baconie. I tak: Mrs Pott wskazuje Good morrow" w The Alchemist Ben Jonsona raz akt. II sc. 1.) Engel w tym samym akcie (sc. 3) znalazł dwa razy.

Toż samo twierdzi Mrs Pott co do wyrażenia „Believe itd."; Engel pobieżnie szukając, znajduje je powtórnie w akcie V. sc. IV. W innym dramacie tegoż autora pomimo zapewnien Angielki, jakoby nie było wcale pozdrowień, Engel wskazuje na nie kilkakrotnie. Mrs. Pott nie znalazła ich w tragedji The Maids Tragedy Beaumonta i Flechtera ani razu: Englowi udało się to niejednokrotnie. Również mylne zdanie, jakoby nie było wcale form pozdrowienia w poezjach Johna Donne. Jeden z jego utworów ma nawet napis „Good morrow".

Dowody zatem, mające poprzeć twierdzenie, jakoby owe 6000 „starannie" przeglądniętych dzieł nie zawierały wyrażeń w Promusie będących, okazują się oczywistą blagą, rachującą z wysokiem lekceważeniem na brak wszelkiego krytycyzmu i łatwowierność czytelników.

Nie mniej kruche są podstawy zestawień stwierdzających mniemany związek wyrażeń Promusa z dziełami Szekspira. Do każdego z 1655 wyrażeń lub słów luźnych Promusa, dodaje, jak powiedzieliśmy, Mrs Pott cytaty z Szekspira. Atoli parę przykładów starczy do przekonania się, jak fikcyjnym jest ów związek.

I tak Baco notuje w Promusie zdanie Erasma: Difficilia quae pulchra. Mrs Pott cytuje z Szekspira (Troilus i Cressida III. 1).

Is my Cressid then, so hard to win? (Czy Cressidę moją zdobyć tak trudno?) Każdy widzi, jak przypadkowy związek pomiędzy obiema myślami.

Inny przykład. Baco pisze w zeszycie swym wyraz „you have".

Zdaje się Mrs Pott, że następujące ustępy z Szekspira są dalszą artystyczną redakcją tego pierwowzoru.

„And have you done it? I have (Dwaj panowie Werony I'. 1.) You conclude, then, that i am a sheep? I do. (Tamże I. 1.)"

Albo jeszcze inny przykład, Baco pisze w Promusie, mając prawdopodobnie na myśli Dyogenesa: Vita doliaris: Mrs Pott sądzi, że myśl ta dała wątek do epitetu grubego Falstaffa w Henryku IV. „a tun of a man", — „a huge bombard of, sack". Istotnie nadzwyczaj śmiały pomysł!

Jeżeli więc niedokładność i pobieżność poszukiwań spowodowała wnioski mylne co do stosunku pozdrowień i słów luźnych do dzieł Szekspira, to podobnież dowolność i naciąganie w zestawieniu przykładów wysnuła fałszywe rezultaty co do związku, zdań autorów klasycznych z myślami poety. Powstaje trzeci szereg zdań Promusa — przysłowia. Autorka sądzi, że przysłowia notowane w Promusie weszły w artystycznem obrobieniu do dzieł Szekspira. Trzeba jednak zważyć, że wielka część całego sze-

regu przysłów w Promusie Bacona wypisana z Epigramatów Johna Heywooda, które już w 1563 wydrukowano, a więc w rok po urodzeniu Bacona, dwa lata przed Szekspirem. Trzeba nadto zważyć, że mnóstwo przysłów było już wówczas w powszechnem użyciu. Nie może więc być mowy o związku notowanych w Promusie z temi, które się, znajdują u Szekspira, boć poeta mógł je czerpać bądź z tegoż samego źródła, co Baco, bądź z ustnej tradycji.

Tem samem upada argument ostatni. Niepodobna pominąć jednego szczegółu z dzieła Mrs Pott; szczegół to drobny, zdradza jednak grubą ignorancją, z jaką zabrała się do studjum, dającego wątek tak doniosłym wnioskom. Jest to elementarny błąd w znajomości historji dzieł Szekspira.

Pod Ur. 1200 w Promusie znajduje się wyraz „rome“ ze znakiem skrócenia na ostatniej samogłosce. Mrs Pott wychodząc z założenia, że to wyraz grecki, oznaczający „siłę“, sądzi, iż stał się on pobudką do nazwy jednego z bohaterów Szekspira, tj. Romea. Bacon — zdaniem jej — wynalazł to imię, zanotował je sobie i dając je Romeowi chciał oznaczyć siłę jego miłości. Wywód najfałszywszy. Pierwsza lepsza monografia o Szekspirze wyjaśnia sprawę. Tragedja Romea i Julia powstała w 1592, nie mógł więc Baco w 1594 tworzyć nazwy Romea. A zresztą powszechnie wiadomo, że wątek do tragedji dała włoska nowella Bandella, zmarłego w 1561. roku urodzenia Bacona. W 1562 nazwa Romeo była już znaną i w Anglii; pod tytułem bowiem Romeus and Juliet przerobił włoską nowellę na angielski Arthur Brook.

Oto oczywiste dowody ścisłości i sumienności autorki.

Naturalnie Szekspir wobec takich pocisków nic nie stracił. Sprawa jego autorstwa jak dotąd, nie ulega wątpliwości.

Mrs Pott atoli zapowiedziała dzieło obszerne. Jakkolwiek ani erudycja autorki, ani gruntowność jej badań nie rokują wyników zdumiewających, ostateczny wszakże sąd w tej mierze należy jeszcze do przyszłości.

ALONZO CANO.

nowella z życia artysty.

Wolny przekład z niemieckiego.

Wieczór. Powietrze przesycone aromatyczną wonią i śpiewem ptasząt drży rozkosznie nad gajami oliwek i pomarańcz. Zdala dolatują dźwięki gitar i kastaniet. Niekiedy wzniesie się ochocze fandango namiętnego syna Południa, który w okna swej ukochanej miłosną nuci serenadę. Słowem wszystko tchnie życiem, szczęściem i radością...

Czy wszędzie?

Na balkonie pałacu Canów dwie widać postacie. Jedna z nich o siwem włosie i pomarszczonej twarzy — prawdopodobnie stara i wierna duenna. Ze współczuciem wpatruje się ona w młodą kobietę, na której obliczu pomimo całej piękności i świeżości nie trudno doczytać się wyrazu niepokoju i smutku... Oczy donny Elwiry w dal utkwione noszą na soble ślad łez niedawnych Zagłębiona w swej zadumie zdaje się ona nie słyszeć sędziwej powiernicy, która właśnie ciszę przerwała,..

„Donno Elwiro! jakaż troska przygniata twe serce?

Ledwie od paru miesięcy zamężna, siedzisz ze zwieszoną główką niby kwiat przedwcześnie zwarzony, I czemu to? Mąż twój to jeden z najpiękniejszych; najszlachetniejszych kawalerów Grenady: człowiek w dworze mile widziany ulubieniec samego króla; wielki artysta, kochający, łagodny małżonek.. Któż w tej pięknej, dumnej dziś donnie odnajdzie ową skromną, wesolutką, figlarkę igrającą niedawnymi jeszcze laty na mem łonie?

Wszak mnie wolno w ten sposób pytać? Rozjaśnij twe oblicze drogi mój skarbie! Stań się napowrót moją swywolną pieszczotką, pogodną, rozkoszną — jak ten mąż — którego uśmiech właśnie znać na ogrodach naszej ojczyzny!“

Tu rozczulona staruszka chwyciła donnę Elwirę w swe objęcia i błagająco na nią spojrzała.

„Daruj droga Rozito — odparła wreszcie piękna donna — jeśli Ci mem smutnem usposobieniem troskę sprawiam. Pocieszyć mię jednak nie w Twej mocy...“ O Rozito! czegom ja w tych dniach nie przeżyła! Cierpię niewymownie..,“ Łkając złożyła Elwira swe blade czołko na piersi dziewicy.

„Cóż się jednak stało—klejnocie mój? Powiedz dziecię komuż zaufasz jeśli nie mnie?“ Tak Rozito — masz słuszność. Powiem, opowiem Ci wszystko. Może boleść zmniejszy się, jeśli znajdę duszę, która ją podzielić zechce. Ach! Rozito gdybyś Ty się domyślić mogła!“

A zatem mów — luba moja — ulżyj sercu twemu; mów perełko moja“.

„Och! jak ciężko przychodzi oskarżać tego, kogo się z całej duszy kocha“ — szepnęła Elwira nerwowo ściskając brunatne dłonie starej Andaluzyjki. „Słuchaj, sądź sama Rozito czy nie mam prawa za nieszczęśliwą się uważać? Gdzież jest mój mąż obecnie? Czy choć jeden wieczór w ciągu ostatniego tygodnia spędził w domu? Nie wyśmiałże mnie, gdym mu dziś rano z tego powodu wyrzuty robiła? Nie chwyciłże mnie potem w swe ramiona i jak małe dziecko po pokoju obnosił?

Nie jestże to zaniedbywanie lekceważenie swych obowiązków? Zupełnem zobojętnieniem? Czyż dałam mu przynajmniej do tego powód? czyż nie, byłam stale kochająca, wierną mu żoną? O co może mnie oskarżyć? Czego szuka poza domem? No powiedze Rozito! Ożyw się głazie!“

I oczy pięknej donny rozjaśniały jak błyskawice, jej drobniutkie rączki zadrżały konwulsyjnie.. W tej chwili zdała się być zdolną na śmierć się pokłócić.

Na duennie wpływu tego namiętnego wyznania znać nie było: nie było znać wzruszenia — bo cierpienia podobne dusz młodych nie były dla niej tajemnicą. Początkowo wprawdzie stan Elwiry przejął ją obawą; skoro jednak prawdziwy stan rzeczy poznała i przyczynę moralnej niemocy, uspokoiła się zupełnie i dobry humor wnet do niej powrócił.

„Ależ dziecię — przemówiła — niesprawiedliwą jesteś, najniesprawiedliwszą względem twego małżonka! Chciałabyś może, aby sławny Alonzo Cano nie odstąpił ani na chwilę swej samolubnej pieszczochy, jak mojej sukni ten swywolny kotek?“

Tak? Ty! moja szkaradna! kruszysz jeszcze kopię w obronie nędznika, uniewinniasz tego, który mię w tych strasznych nudach na powolną śmierć skazuje i ironicznym uśmiechem doradza mi przy krosnach ślęczyć, lub na lutni brzdąkać?

„Ależ gołąbko ukochana! gdzie rozsądek? gdzie zastanowienie? Król wrócił do Madrytu; mąż twój — powtarzam, należy do jego ulubieńców; czyż można się dziwić, jeśli panujący jego towarzystwa pożąda i wesołego młodziana radby ciągle widzieć przy swoim boku? Miałżeby nadworny malarz Jego królewskiej Mości na odmowną ośmielić się odpowiedź? Dla tysięcy innych prawdziwym zaszczytem jest choć raz znaleść się w przedpokoju królewskiego gabinetu, a on ma zaproszenie na salony odrzucić i w obce szyderstw dworu usprawiedliwiać to kaprysami swej młodej żonki... Chyba cię w kieszen

wej będzie nosił — ty! ty! ty! mała egoistko!“ „Takich żądań nie miewałam nigdy, ani mieć będę, ale tak późne wracanie do domu nie harmonizuje z obietnicami i przysięgami męża nieograniczonej dla małżonki miłości. Zaciągnięte wiadomości co do trwania cercle'ów, wskazują — że on znacznie później wraca. Gdzie się w tym między czasie obraca? O jakżem ja biedna! nieszczęśliwa!!“

„O Marjo z Gwadelupy! z uporu — głuchemi stajecie się młode mężatki! Dzielny towarzyski człowiek nie ociąga się nigdy od pożycia z przyjaciołmi i współpracownikami. Nie zdolną jesteś nawet pojąć, jak wesołemu pełnemu humoru i żywości — artyście zbiega czas w gronie kolegów tylu!...

„Dobry z Ciebie adwokat — Rozito. Stale trzymasz jego stronę. Wszyscyście fałszywi — wszyscy, wszyscy!

Rozita z lekkim uśmiechem potrząsnęła sędziwą swoją głową a odciągając Elwirę z balkonu i gładząc jej rozognione policzki rzekła z powagą a łagodnie: „No! dość już tego. Teraz idź Elwiro na spoczynek. Chłód nocny gotów ci zaszkodzić. Prześnij twą troskę — słyszysz! dość łez! Miguelowi każę zamknąć balkon, gdyż za słabe nasze ręce na te ciężkie podwoje. Bywaj więc zdrowa! Dobrej nocy!“

Pożegnawszy swą panią — zniknęła stara powiernica w komnatach z cichym szeptem modlitwy na ustach,..

Elwira jednak wróciła na balkon i pełen zadumy wzrok skierowała w cienie zapadającej nocy......

W ostatnich dniach wycierpiała ona wiele; czuła, że ją mąż zaniedbywał, mniej kochał niż ona jego. Biedna! zamęźcie wyobrażała sobie jako wiecznotrwałą wiosnę, tymczasem ledwie miodowe miesiące upłynęły, a już ujrzała się upośledzoną, zdradzoną; nie mogła przypuszczać, że tak gorąco uwielbiany jej Alonzo może mieć coś ważniejszego nad spoczywanie u jej nóg z lutnią w ręku, z wzrokiem w nią utkwionym..

Rano dnia następnego przyszło między nimi do małego starcia. Rozstali się rozdrażnieni. On ją traktował, jak dziecko, którem rzeczywiście być nieprzestała; ona czuła się obrażoną, zranioną w uczuciu swej miłości, swej dumy. Nie chciała być już dzieckiem; czyz nie liczyła lat szesnastu?

Gdzie on tak długo bawi? Zaproszony zastał do Don Cesara... Co go mogło tam zatrzymywać? Podobne pytania rozsadzały główkę młodej Elwiry.. Nie mogła dłużej — cisnących się gwałtem łez powstrzymać i głośnem wybuchając łkaniem oparła rozpalone czoło o marmurową kolumnę balkonu. Wskutek gwałtownego wzruszenia opadł szal z szyi Elwiry, odsłaniając wdzięki któreby najchłodniejszego umysł oczarować były w stanie. Cóż dopiero za wrażenie musiały one na gorącej krwi południowej wywrzeć. Miguel stał za Elwirą, pieszcząc swoje pałające oczy widokiem prześlicznych, pulchnych kształtów... Jego czarne, blaskiem księżyca olśnione oblicze miało w sobie coś dzikiego, strasznego... Wydatne, opuchłe wargi murzyna drżały, jak paszcza dzikiego zwierza, który w gęstwinie ukryty na swoją zdobycz czyha. Wpół przymkniętemi oczyma, w których cały żar Sahary zdawał się być skupionym, pochłaniał on postać młodej kobiety; muszkularna szeroka pierś murzyna to opadała, to wznosiła się pod wpływem nadmiernego wzruszenia. Mocno drżeć musiała ręka jego, przy odsuwaniu ciężkiej adamaszkowej kotary,.. Nagle pochylił się naprzód i rozżarzony ogniem namiętności oddech jego musnął obnażoną, łabędzią szyję donny. Przerażona, okryła się Elwira szalem koronkowym i dumnie się wyprostowała.

— Sennoro, wybełkotał murzyn z trudnością opanowując swe wzruszenie — chciałem cię obudzić, aby zamknąć balkon na rozkaz donny Rosity. — Nie spałam Miguelu...!

— Tak, ale płakałaś!

— Mylisz się!

— O! mnie nie oszukasz donno. Piękne twe oczy zaraz cię zdradziły. Powiedz pani czy znalazł się śmiałek, który was prześladuje, obraża?... Na Boga! powiedz! a biada zuchwalcowi. Ile łez cudne Twoje oczy Sennoro wylały, tyle ran otworzę w w ciele tego łotra, dość wielkich, aby niemi dusza nikczemnego do piekieł wypadła.

To mówiąc, dobył sztyletu, jak gdyby zbrodniarz stał tuż przed nim.

Z smętnym uśmiechem spojrzała donna Elwira na wiernego sługę, kładąc drobną rączkę na jego barkach, rzekła:

— Dziękuję Ci dobry Miguelu, Jestem przekonana o twej wierności, jednak uspokój się. Nie zostałam obrażoną, jak przypuszczasz. Zresztą, gdyby nawet coś podobnego zaszło, zemsta byłaby wyłącznie męża — nigdy zaś sługi. Rozumiesz mię przecie Miguelu! Ale prawda zamknij coprędzej drzwi, gdyż od wierzchołków Syerry Gwadarany wiatr zimny wiać zaczyna, a że jestem nieco wzruszoną mogłyby się więc obawy Rozity ziścić.“

Po tych słowach zwróciła swe kroki do sali i rzuciła woniejący szal na pobliskie krzesło,

Miguel stojąc na balkonie ścigał ją wzrokiem, młoda kobieta pogrążona w swem zadumaniu, łatwo mogła o murzynie zapomnieć.

„Ha! — mruknął tenże — choćby mię piekło za to spotkać miało, nie mogę inaczej“...

Kronika naukowa.

(Wytapianie żelaza z rud).

Minął okres kamienia, minął okres bronzu, zostawiając tylko ciemne ślady swego istnienia, dziś badane przez archeologów. Z wejściem w użycie żelaza, historja rozwoju przemysłu ludów staje się jaśniejszą. W każdej chwili zwiększające się potrzeby i zastosowania tego kruszcu, współzawodnictwo w dostarczaniu go, pobudzały umysły ludzi do działania, do wyszukiwania sposobów, któreby czyniły zadosyć potrzebom. Cząstka żelaza w postaci igły magnesowej, wskazuje drogę żeglarzowi, dążącemu do nieznanych krajów, by tam zanieść promienie światła, nauki; w innej znowu postaci przenosi w odległe strony dźwięki mowy ludzkiej, a zmieniona w ognistą kulę, wyrzuconą z podobnego w swym składzie działa, niesie zniszczenie i w gruzy, w popioły zamienia najświetniejsze pomniki działalności ludzkiej. Żelazo jest więc dziś nieodstępnym towarzyszem w szczęściu i niedoli człowieka.

Przekonani o doniosłem znaczeniu kruszcu tego w przemyśle, poznajmy źródła powstawania i sposoby otrzymywania żelaza. Rodzime nader rzadko występuje w przyrodzie, a nawet jego teluryczne pochodzenie jest dotychczas bardzo wątpliwem. Czyste nieprzedstawia żadnego interesu w praktycznem zastosowaniu, jedynie tylko wydzielane być może środkami, jakie nauka nam daje, i tylko w celach czysto naukowych bywa otrzymywane. Pospolicie wyrazem „żelazo“ oznaczamy już mięszaninę pierwiastku żelaza z innemi pierwiastkami, a głównie z węglem. Od ilości zawartego węgla zależą

najrozmaitsze odmiany i własności fizyczne żelaza.

Żelazo występuje w całym wszechświecie, jest składową częścią ziemi naszej, towarzyszy istotom organicznym i nieorganicznym; znajdujemy je pośród twardych skał, wytworzonych działaniem ognia, w popiołach najdelikatniej wypielęgnowanej roślinki, a nawet jest składową częścią ciała ludzkiego, krwi naszej. Znajduje się w bezdennej głębi, w płynnej jeszcze masie świata, który zamieszkujemy, jak i w przestrzeniach poziemskich, gdzie pod działaniem sił nam nie znanych, cząsteczki zbierają w większe masy i w postaci brył ognistych spadają pośród nas; bryły te zowiemy aerolitami i żelazem meteorycznem. Zanim zdołano na drodze chemicznej przekonać się o składzie żelaza meteorycznego, uważano je za żelazo rodzime kosmicznego pochodzenia, dopiero w roku 1802 zbadano meteoryczne żelazo i wykryto, że ono zawiera inne pierwiastki, a głównie nikiel. Oceany, morza, rzeki, jeziora są także siedliskami żelaza, a pośród fali wód unoszą się jego cząsteczki w postaci rozpuszczalnych związków chemicznych. Ciała kopalne, minerały, w których taka ilość żelaza jest zawartą i takiej czystości, iż z nich odpowiednio korzystnym warunkom ekonomicznym żelazo może być otrzymane, zwiemy rudami. Skład chemiczny rud żelaza najważniejszą odgrywa rolę przy dalszym tychże przerobie, poznanie przeto składu jest pierwszym krokiem pracy metalurga.

Zadziwiające obecnie postępy w przemyśle metalurgicznym żelaza, zawdzięczamy głównie chemii. Tylko wykształcony chemik może być racyjonalnym metalurgiem; to też pracownie chemiczne stały się nieodzowną częścią zakładów hutniczych.

W technice do właściwych rud żelaznych zaliczają się tylko związki żelaza z tlenem i te to związki są materjałem służącym do otrzymywania żelaza. Główniejsze gatunki rud są następujące! Żeleziak magnetyczny, tlenotlennik żelaza, zawiera 72% metalu. Najbogatsza ruda, występująca w przyrodzie, najważniejszą odgrywa rolę w hutnictwie, chociaż z powodu swej trudnej redukcyi, a łatwej topliwości, przedstawia uciążliwe warunki przy przetapianiu. Szwecja i Ural swe wyborne gatunki żelaza tej rudzie zawdzięczają; pożądany w przemyśle towarzysz żelaza mangan, obfitą stanowi domięszkę, a przeciwnie, nieprzyjaciel, na szkodę żelaza działający fosfor, prawie wcale tu się nie znajduje. Żeleziak czerwony, hematyt, bezwodny tlennik żelaza, zawiera w czystym stanie 70% metalu; ruda znacznie rozprzestrzeniona w przyrodzie, najobficiej występuje na wyspie Elbie, tworząc prześliczne, zupełnie wykończone kryształy. Żeleziak brunatny, limonit, wodan tlenniku, zawiera do 60% żelaza, jest rudą najłatwiej topliwą, to też od najdawdawniejszych czasów był materjałem do wyrabiana żelaza; występuje jużto czysty, jużto jako domięszka innych rud, łatwym jest do rozpoznania po kolorze brunatnym lub żółtym w proszku; kolor żółty jest oznaką, że ruda większą ilość wody w swym składzie zawiera. Sferosyderyt, syderyt, spat żelazny są to węglany tlenku żelaza, w czystym stanie zawierają 48% metalu. Główną domięszką tej rudy bywa mangan, czasami w znacznej ilości, gdyż do 15% z rudy tej otrzymuje się głównie bogatą w mangan surowiznę, zwaną lustrzaną. W reszcie ruda, będąca niejako mięszaniną syderytu, żeleziaka brunatnego, w znacznej ilości z gliną, wapnem, marglem i piaskiem, nazwana ilastą, ze względu jej obfitości oznaczona oddzielną nazwą, zawiera rozmaity procent żelaza, stosownie do przymieszek, jakie jej towarzyszą. Ostatni gatunek rudy jest i dla kraju naszego najważniejszym, przeważnie bowiem tu występuje. Na granicy górnego Szląska występuje syderyt drobnoziarnisty, kaszkowaty, występuje ruda brunatna formacji tryjasowej na wapieniu muszlowym pośród jego szczelin i pustych zagłębień. W całym pasie południowym, w kajprze i formacji tryjaskiej występują rudy ilaste lub też ilastobrunatne.

Możemy się poszczycić, iż przyroda hojnie nas pod względem bogactwa rud żelaznych uposażyła. Mamy rudy łatwo topliwe, a nadewszystko rudy, z których otrzymywane żelazo zawiera pożądane w technice własności. To też dziejopisowie pierwotny rozwój górnictwa nam przyznają. Są ślady, iż na Szląsku kopalnie już w IX tym wieku istniały, gdy Harc bierze swój początek dopiero w Xtym wieku. Za czasów pierwszych Piastów wolno było korzystać z kruszców, w łonie ziemi znajdujących się, tylko za szczególnym królów przywilejem, kopanie jednak rudy żelaznej i wytapianie żelaza nigdy do regaliów liczone nie było i żadnym nie podlegało olborem czyli dziesięcinom. Za Zygmunta Igo roku 1520 na sejmie w Bagdoszczy podciągnięto i fabryki żelaza pod nowoustanowiony podatek pogłówny; oprócz tych opłat pogłównego żadne inne podatki od produkujących żelazo wymagane nie były. Gdy Zygmunt I-szy oblegał Smoleńsk, szyszaki, pancerze pałasze i broń palna dostarczane mu były z fabryk krajowych, a głównie z fabryki stali, urzadzonej w kluczu Samsonowskim. Za Jana III-go w dobrach biskupa krakowskiego pierwszy wielki piec postawiono dotychczas bowiem były tylko dymarki. Za Augusta II-go, wśród ciągłych wojen krajowych, przemysł żelaza upadał, fabryka stali w Samsonowie zamkniętą została. Za Stanisława Augusta hutnictwo żelazne znowu się podniosło; on to pierwszy dozwolił zaprowadzać w dobrach królewskich fabryki żelaza. Rozszerzyły się zakłady żelazne w Opoczyńskiem, Opatowskim i Kieleckiem. Jako protektor fabrykacji żelaza, na wspomienie zasługuje Jan Małachowski, kanclerz, jego to staraniem wydane zostało pierwsze dzieło o metalurgji żelaza w języku polskim, napisane przez księdza Osińskiego. Imię Staszica ważne miejsce zajmuje w historji żelaza: żadna gałęź tego przemysłu nie uszła bacznej uwagi ówczesnego dyrektora. By rozwój górnictwa oprzeć na stałych podstawach, by dać możność krajowcom korzystania z bogactw ich ziemi, zakłada wyższą szkołę, akademją górniczą w Kielcach, a dla wyrobienia dobrych robotników sprowadza majstrów, by pod ich kierunkiem stać się mogli użytecznymi pracownikami. Staszic sam świadom ważności badań geologicznych, nie szczędzi funduszów na ich dokonywanie.

Pierwsze ślady wytapianiania żelaza z rur są pokryte grubą pomroką przeszłości. Każdy z wówczas żyjących narodów, pierwszeństwo poznawania żelaza przypisywał sobie.

Pierwotnie zapomocą ognia wydzielano wprost z rud kruszec, który posiadał własności praktycznego życia; droga ta bezpośrednia długie czasy praktykowaną była pośród nieoświeconych ludów. Małe wgłębienie, w ziemi zrobione, kształtu doniczki kwiatowej, z otworem bocznym do wprowadzania powietrza (wiatru), wypełnione rozpalonem węglem drzewnym — oto pierwotne ognisko, do którego dodawana od czasu do czasu pewna ilość sproszkowanej rudy wydzielała z siebie żelazo.

Powolny, mozolny i nader uciążliwy sposób otrzymywania żelaza podlegał rozwojowi przemysłu. Zwiększające się potrzeby wymagały koniecznie większej produkcji żelaza. W tym celu zaczęto powiększać ogniska, ulepszać przyrządy do wytwarzania ścieśnionego powietrza, wreszcie budować stałe pomieszczenia, w których odpowiednio

urządzano ogniska, służące do wytapiania rud; pomieszczenia takie zwały się dymarkami, a ogniska — ogniskami dymarskiemi. Najwięcej doznały rozpowszechnienia tak zwane ogniska katalońskie; w nich wytopiona ruda tworzyła masę różnorodnego składu żelaza; masa ta dzielona była na miejsze części i pod młotami wykuwana.

Ze względu znacznego użycia paliwa, niemożności otrzymywania wszystkiego żelaza, zawartego w rudach, dalej, że tylko bardzo bogate w żelazo rudy, tylko rudy czyste, t. j. mało domięszek ziemnych zawierające, mogły być przetapiane, wreszcie stosunkowo powolny proces, a tem samem mała produkcja żelaza spowodowały, iż sposób otrzymywania żelaza bezpośrednio z rud, ustąpić musiał nowowprowadzonemu, bardziej racjonalnemu, więcej korzyści ekonomicznych przedstawiającemu sposobowi pośredniemu. Ten polega na wytworzeniu produktu pośredniego między rudą a żelazem; tym pośrednim produktem jest mięszanina żelaza, węgla, krzewu, siarki, fosforu, manganu i innych pierwiastków, surowizną zwana.

Ktokolwiek jużto z potrzeby, jużto z zasady, że „kto w jakim kraju żyje, znać go dobrze powinien," odbywał wędrówki po południowych okolicach Królestwa Polskiego, ten miał możność napawania się, z jednej strony, widokami gór, po większej części wyniosłą sosną i jodłą pokrytych, to znowu pełną zieleni doliną, przeżynaną modremi falami wód, pędzących silnym prądem z sąsiednich wyniosłości. W tych to okolicach, gdy mroki nocne zaskoczą wędrowca, nierzadko pośród lesów widzieć się dają miejscowości ciągłym ogniem i tysiące iskier ziejące. Są to oznaki czynnych zakładów hutniczych, są to ognie, wydobywające się z otworów wielko-piecowych.

Sama już nazwa zdradza potęgę przyrządu, służącego do otrzymania produktu pośredniego surowizny, który w dalszych procesach hutniczych przerobionym będzie na żelazo i stal.

Wielki piec zewnętrznym kształtem jest niejako ostrokręgiem, ściętym u swych podstaw. Kształt wewnętrzny przedstawia dwa ostrokręgi złączone z sobą szerszemi podstawami. Ściany ostrokręgu górnego, zwanego, szybem pieca, murują się z cegły ogniotrwałej grubości od 20—12 cali; ściany szybu pieca, by uchronić od wpływów atmosfery, otacza się murem z cegły lub kamienia. Ściany ostrokręgu dolnego, zwanego zaprawą pieca, murują się z materjału, posiadającego w wysokim stopniu własność ogniotrwałości. Wybór materjału ważną odgrywa rolę, gdyż ta część pieca wystawiona jest ciągle na działanie najwyższej temperatury. Obecnie przy budowaniu wielkiego pieca, górną część pieca, szyb, opiera się wprost zapomocą filarów na fundamentach niezależnie od dolnej części, która ulegając zniszczeniu, z łatwością może być zastąpiona przez nową. Wewnętrzne rozmiary i sama wysokość wielkiego pieca są nader rozmaite i zależą głównie od gatunku używanych do topienia rud, oraz materjału opałowego.

Jeżeli w całem hutnictwie rozmiary pieców do wytapiania kruszców ważną grają rolę, to niewątpliwie najważniejszą przy wielkich piecach. Tu, obok teoretycznego wykształcenia wieloletnia praktyka spostrzegawcza może tylko kierującego doprowadzić do otrzymywania najlepszych rezultatów, które możemy osiągnąć, dając właściwe przestrzenie do odbywania procesów chemicznych; warunek ten powinien być znanym każdemu hutnikowi. — W jednym zakładzie hutniczym, gdzie kilka jest czynnych wielkich pieców o różnych wewnętrznych rozmiarach, pomimo jednych i tych samych warunków, bieg ich będzie różnym, a w rezultatach użycia materjału opałowego mogą być nader znaczne różnice. Obejmując bieg wielkiego pieca przez całą kampanją, to jest czas od puszczenia w bieg do chwili przerwania tej czynności, widzimy trzy fazy co do rezultatów, od maximum zużycia materjałów przetworowych, licząc na jednostkę wytopionej surowizny, do minimum, następnie dłuższy czas to minimum trwa i znowu zużycie materjałów zwiększa się. Nadanie więc takich rozmiarów wewnętrznych, by skrócić czas złych rezultatów, a jak najdłużej piec utrzymać w najlepszym biegu, oto zadanie hutnika. To też myślący i spostrzegawczy hutnicy na wymiary pieców głównie uwagę zwracają i coraz racjonalniejsze rozmiary nadają.

W znojnym pocie czoła, ręką człowieka z ciemnych warstw ziemi wydobyta ruda, dostarczona na plac hutniczy, zanim przetopioną będzie w wielkim piecu, podlega działaniom przygotowawczym, mającym na celu przemianę chemiczną i przemianę własności fizycznych. Przemiana chemiczna następuje przez poddanie rud działaniu przez czas dłuższy atmosferycznego powietrza, lub też działaniu wyższej temperatury; proces ten drugi zwie się prażeniem rudy. Pod wpływem prażenia rudy wydziela się woda higroskopijna, następnie i woda chemicznie związana, jeżeli w rudzie znajduje się; związki siarki, arsenu i inne, występujące jako szkodliwe domięszki rud, ulegają częściowemu rozkładowi; wreszcie, jeżeli rudy w swym składzie zawierały kwas węglany i materje organiczne, to one ulatniają się, a samo żelazo podlega silniejszemu utlenieniu. Prażenie jest konieczną czynnością; praktyka okazuje, że używanie prażonych rud w wielkich piecach zwiększa produkcja i daje oszczędność w użyciu materjału opałowego. Prażenie rud dawniej odbywało się na otwartem powietrzu w stosach, składano na materjale palnym rudę, lecz z powodu zużywania znacznej ilości materjału opałowego, sposobu tego zaniechano, a obecnie prażenie odbywa się w odpowiednio celowi urządzonych piecach. Dla rud w kraju naszym powszechnie używa się pieców systemu Rumforda: rozmiary wewnętrzne są rozmaite, zależą od gatunku ród i miejscowych warunków. Ponieważ nie jest tu wymaganą wysoka temperatura, więc jako materjał opałowy używa się drzewo w takich gatunkach i rozmiarach, które w innych działaniach hutniczych zastosowania nie znajdują. Miał węglowy, gaz z wielkich pieców, a wreszcie w miejscowościach, gdzie surowiznę przerabiają na odlewy, może być używany i torf. Otworami, znajdującemi się u spodu pieca rusztowego, wchodzi tlen powietrza i podtrzymuje palenie, a pod jego wpływem odbywają się właściwe działania chemiczne. W piecyku do prażenia rudy kładzie się warstwa materjału opałowego, na to odpowiednia ilość rudy i znowu warstwa paliwa; temperatura tutaj jest zawsze jednakowa, gdyż czynność odbywa się bez przerwy; o ile rudy już wyprażonej odciągnięto spodem, o tyle zaraz na górze nowa warstwa przyłożoną zostaje.

Następną czynnością, jakiej rudą po wyprażeniu podlega, jest przemiana własności fizycznych, mianowicie tłuczenie, rozdrabnianie rudy dla umożliwienia łatwiejszego przystępu procesom chemicznym, jakim podlega przy przetapianiu, by łatwiej mógł działać tlenek węgla jako środek redukcyjny. Szczególniej przy prowadzeniu wielkich pieców na węglu drzewnym baczną uwagę zwracać należy, by ruda była rozdrabniana mniej więcej w równe kawałki. Ruda bardzo skruszona w postaci miału szkodliwy wpływ wywiera, zasypując otwory koniecznie w górnych warstwach, by gazy mogły wszędzie równo przenikać i wywierać działania chemiczne.

Przez prażenie część siarków, zawartych w rudzie, utraca siarkę, lecz rozkład ten niezawsze jest zupełnym, pewna ilość siarki pozostaje w rudach, tworząc z żelazem

związki trudno rozkładalne. Tam więc, gdzie rudy znaczną ilość zawierają siarki, oprócz powyżej wskazanego prażenia, poddają jeszcze rudy działaniu wody przez czas dłuższy — płókaniu; czynność ta jest zbyt kosztowna, niekiedy jednakże konieczna.

Pierwiastek fosfor, zawarty w rudach, w większej ilości uniemożliwia przetapianie tych rud ze względu, że produkt otrzymany daje żelazo zbyt kruche: to też umysły chemików i hutników siłą się nad wynajdowaniem sposobów wydzielenia tego szkodliwego pierwiastku, by znaczne ilości rud, dziś bezpożytecznych, uczynić odpowiedniemi do przerobu. Pomiędzy wielu mniej więcej szczęśliwemi pomysłami, nadmienić należy sposób płókania rud fosforycznych zapomocą wody nasyconej różnymi kwasami.

Rudy, mające być przetapiane w wielkim piecu, mięszane bywają z dodatkami (topnikami), służącemi do otrzymywania żużla łatwo topliwego, a głównie, by topliwość żużla mogła się zbliżać do temperatury stopionej surowizny. Dla rud, przetapianych w kraju naszym, jako topnik używanem jest wapno w postaci kamienia wapiennego czyli węglanu wapnia. Większa lub mniesza potrzeba topnika zależy od składu chemicznego, używanej do topienia rudy.

Jako paliwo w wielkich piecach służy głównie drzewo lub węgiel kamienny a niekiedy antracyt, węgiel brunatny lub torf. Po licznych praktykach, dokonanych z użyciem paliwa, przekonano się, iż najkorzystniejsze pod względem ekonomicznym jest używanie do wielkich pieców węgla drzewnego lub koksu z węgli kamiennych. Drzewo we właściwej drodze poddaje się zwęgleniu, a stosownie z jakiego gatunku węgli otrzymują się, są twarde lub miękkie. Najbardziej używane w hutnictwie są węgle sosnowe; dąb, buk dają węgiel bardziej zbity, twardy; jodła, świerk węgiel miękki. Materjał opałowy służy do otrzymania wysokiej temperatury, koniecznej dla stopienia żelaza i wytworzenia płynnego żużla, jak również do wywoływania procesów chemicznych, mianowicie redukcji tlenków żelaza i następnego nawęglenia. Ponieważ węgiel drzewny zawiera małą ilość popiołów, to jest części mineralnych, które mogłyby szkodliwy wpływ wywierać na żelazo, żelazo więc otrzymywane z wielkich pieców, prowadzonych na węglu drzewnym, jest możliwe dobrych gatunków, jednakże z przyczyny wzrastającej ciągle ceny drzewa, węgle są kosztowne, coraz więcej zastępowane produktem z węgla kamiennego — koksem. Koks, produkt powstały przez przepalenie węgla kamiennego, zawiera zwykle znaczną ilość popiołów, do 12%₀ dochodzącą: zawiera więc znaczną ilość części mineralnych, a głównie siarkę, psującą gatunek żelaza. Dla uchronienia koksu od zanieczyszczeń, obecnie węgle kamienne, które mają być koksowane, poddają przedwstępnym procesom, jak np. przemywaniu

Jeszcze z początkiem bieżącego stulecia przeważnie węgiel drzewny był w użyciu do celów hutniczych, obecnie zeszedł na plan drugi, a coraz więcej ułatwiane środki komunikacyjne, szybko wpływają na zmianę użycia węgla drzewnego. Do obecnej chwili u nas, z wyjątkiem jednego wielkiego pieca, wszystkie pozostałe prowadzone są na węglu drzewnym. Budująca się obecnie linja drogi żelaznej niewątpliwie wpłynie i u nas na zmianę materjału opałowego Tak więc niedługo wybije godzina, w której prowadzenie wielkich pieców na węglu drzewnym należeć będzie do historji.

Ażeby węgiel w wielkim piecu podległ spaleniu, potrzeba wprowadzić tlen atmosferycznego powietrza pod odpowiedniem ciśnieniem. Do wytworzenia tego ciśnienia używane są specjalne machiny miechami zwane. Budowa i konstrukcja miechów przechodziła kolejny rozwój; początkowo miechy ze skóry były wystarczającemi, a siła ludzka zadosyć czyniła przy produkowaniu małych kawałków żelaza; następnie urządzono kwadratowe skrzynki, w tych osadzone odpowiednie tłoki, a siła ludzka jako motor zbyt słaba, zastąpioną została siłą zwierząt; dziś wreszcie, by zadosyć uczynić potrzebie znacznej ilości ścieśnionego powietrza, widzimy przy wielkich piecach potężne maszyny, poruszane jużto siłą pary, jużto siłą wody. Powszechnie używane są miechy cylindrowe o podwójnem działaniu, z tychto cylindrow ścieśnione powietrze wtłaczane bywa zapomocą rur komunikacyjnych do zbiorników, tu mając znaczną przestrzeń, nabiera jednostajnego ciśnienia i znowu zapomocą rur prowadzone jest do miejsca swego przeznaczenia.

W roku 1828 Neilson w Glasgowie otrzymał patent na „Ulepszone zastosowanie wiatru przy użyciu go w ogniskach i piecach.“ Pod wyrazem ulepszenia rozumiał Neilson ogrzewanie powietrza; wynalazek ten szybkie znalazł zastosowanie w hutnictwie żelaznem. Ogrzane bowiem powietrze nietylko że wprowadziło znaczną oszczędność w użyciu paliwa, lecz zarazem spowodowało znaczne podwyższenie produkcji. (D. k. n.

ZIANRKA.

Niedawno odegrał się w Krakowie ostatni akt farsy, nazwanej obroną porządku społecznego. Wiecie, że w podwawelskim grodzie istnieje Towarzystwo oświaty ludowej dla zachodniej Galicji, że Towarzystwo to posiada wydział wykonawczy i komitet zajęty wyborem dziełek do druku przeznaczonych. Otóż interesami instytucji tej zawiadywali mężowie różni, a w ich liczbie panowie Asnyk, Romanowicz, a nawet pewien ksiądz z Poznańskiego, człek i rozumny i światły a do tego jeden ksiądz na tylu cywilnych!. Tak dłużej być nie może, pomyślały dewotki krakowskie i za ich natchnieniem ksiądz biskup rokoszetowy strzał w reprezentację Towarzystwa wymierzył, odpowiadając jakoby na zapytania podwładnego sobie kleru, że nie radzi pomagać instytucji, której cele mogą być niezgodne z dobrem koscioła i porządkiem społecznym, jakiego opiekunem przyrodzonym jest ów kościół święty. Wydział wykonawczy zrozumiał o co tu chodzi księdzu biskupowi i rozpoczął pertraktację o zdjęcie interdyktu z najniewinniejszych elementarzy i broszurek, nie atakujących nietylko kościoła, ale i budynków, w których organiści drób swój chowają. Skrucha taka wzruszyła dostojników duchownych krakowskich, którzy obiecali nie przeszkadzać działalności Towarzystwa pod następującemi warunkami: 1) że połowa członków wydziału komitetu i w ogóle połowa wszelakich mężów u władzy stojących musi się rekrutować z pomiędzy Lewitów. 2.) Że ta połowa nie będzie wybierana z ogółu księży, między którymi także się mogą chytrzy niedowiarkowie znajdować ale zostanie zatwierdzona tylko przez stowarzyszonych, a wskazana przez władzę duchowną. 3) Że cywilni członkowie będą wszyscy nieposzlakowanej prawowierności. Jak widzicie, warunki są ciężkie, że nie powiemy sromotne, i wedle nich czarna partja dostaje w ręce kierunek spraw Towarzystwa a funduszów składanych przez ludzi różnych odcieni, najczęściej liberalnych, którzy wreszcie liberalizm swój zaakcentowali powołaniem Asnyka, Romanowicza i innych postępowców do władzy. Ponieważ jednak przeciw wodzie trudno płynąć a trudniej jeszcze liczyć na umiarkowanie i patrjotyzm bezinteresowny partji stańczykowsko-ultramontanskiej, cywilni promotorowie Towarzystwa oświaty ludowej warunki narzucane im przyjęli. Pan Romanowicz, jako kozioł ofiarny,

cojnął się od kierownictwa interesami oświaty, a prezesem wybrany został miły biskupiemu sercu ksiądz Pelczar, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jezuici górą!

* * *

Arystokratyczny i klerykalny „Przegląd Polski“ krakowski zamieszczał w kilku ostatnich zeszytach „Wspomienia z czasów, które przeżyłem“, przez ks. Tomasza Dobszewicza, kończący się nader charakterystycznym ustępem, który podajemy bez komentarza:

„Jakkolwiek niedościgłe są wyroki boże, kierujące losami narodów, i trudno powiedzieć z pewnością, dlaczego jedne z nich podnoszą się, drugie upadają, niektóre wszakże powody dość jasno widzieć się dają. U nas narodem była tylko szlachta, a rządem arystokracja, lud zaś pozbawiony praw zostawał na łasce panów. W miarę więc tego jak sztachta coraz mniej pojmowała wysokie swe powołanie narodowe i zamiast pilnowania swoich obowiązków, upominała się tylko gwałtownie o swoje przywileje i prawa, arystokracja zaś zajęta przedewszystkiem widokami osobistemi, nadużywała swego wpływu i powagi i to nieraz na korzyść obcych i wrogich narodowi zamiarów, ostateczna katastrofa tem groźniejszą się stawała. Nie zbywało wprawdzie narodowi na chlubnych wyjątkach prawości i cnoty, ale te były rzadkie i nie mogły ocalić ogółu. Naród dostał się do niewoli. Lecz czy skorzystano z ciężkiej próby? Trudno powiedzieć w tej mierze coś stanowczego. Zdaje się jednak, że większość nie wyniosła ztąd dostatecznej dla siebie nauki. Ogołocona z dawnych przywilejów, pozbawiona wpływu politycznego i rządowego znaczenia, pozostawiona zaś przy tem wszystkiem, co może schlebiać osobistej próżności i łechtać miłość własną, nie dbała wiele o dobro kraju. Ztądto wynikła owa zażarta walka piśmienna, dobrze wszystkim nam znana, pomiędzy tak zwaną arystokracją a pisarzami uboższej szlachty, którą drażnił Henryk Rzewuski, sam bez znaczenia i majątku, ale odgrywający rolę arystokraty i stający w obronie tej klasy, której dawno już u nas nie stało.

ZAPISKI.

Literatura.

* Dwie nowe publikacje zwracają obecnie na siebie uwagę kół czytających we Francji. Hrabia Paryża ogłosił właśnie piąty i szósty tom swojej „Historji wojny domowej w Stanach zjednoczonych a Emil Ollivier wydał dzieło o soborze watykańskim.

* Pierwszy tom pomnikowego wydawnictwa dzieł Jana z Czarnolesia, ukazał się już na półkach księgarskich,

* Nowy obraz Franciszka Żmurki: „Śmierć Messaliny“, wystawiony został w resursie obywatelskiej w Warszawie.

* Materjały do dziejów farmacji w dawnej Polsce. Wydawnictwa tego wyszedł obecnie zeszyt drugi, obejmujący „Urządzenia aptekarskie“. Materjały“ zbierają ze źródeł niedrukowanych, pp. Ernest, Świeżawski i Kazimierz Wenda.

* Jules Verne napisał nowy utwór sceniczny pt. „Kérabon le Tetu“. któremu wróżą świetne powodzenie.

* P. Aureli Urbański napisał obraz dramatyczny w 1-akcie pt. „Z dni głodu“, który wkrótce będzie wystawiony na naszej scenie.

* Izba handlowa krakowska uchwaliła wydawanie nowego pisma, poświęconego interesom handlu i przemysłu krajowego.

* Dr. Albert Zipper zamierza wydać w przekładzie polskim wszystkie dzieła Szyllera. W tym celu udaje się z prośbą do naszych poetów, którzy mają w manuskryptach tłómaczenia pojedynczych utworów Szyllera, aby mu nadesłali swe prace do zużytkowania.

* 350ta rocznica śmierci Ariosta przypadła w ubiegłym tygodniu.

Twórca „Orlanda szalonego“ urodził się r. 1474 w Reggis, umarł zaś w r. 1533 w Ferrarze.

* Dr. Antoni Kalina docent lwowskiego uniwersytetu bawi obecnie w Rumelji, gdzie robi studja nad językiem bułgarskim.

* Michał Bałucki, którego ostatni utwór tak sympatycznie został przyjęty przez naszą publiczność pisze obecnie nową paruaktową komedję, która będzie wystawiona na otwarcie sezonu zimowego.

Teatr i muzyka.

* Oświetlenie. elektryczne lampami Edisona ma być niebawem zaprowadzone w teatrach warszawskich.

* Trzeci teatrzyk ogródkowy w Warszawie w tych dniach funkcjonować zaczął w Eldorado, na scenie opróżnionej przez szansonistki i gimnastyków zagranicznych

Kierunek trupy obejmuje p. Szymborski.

* Władysław Piasecki. W tych dniach rozstał się z tym światem Władysław Piasecki, artysta teatrow warszawskich, który w swoim czasie przez lat kilka sam jeden dźwigał na swoich barkach nielekkie brzemię ról pierwszych kochanków.

* Dnia 11-go czerwca br. spłonął w Warszawie teatr rozmaitości. Szczęściem, że przedstawienia przeniesiono od kilku dni do teatru letniego, gdyż inaczej pożar byłby porwał niezliczoną ilość ofiar.

* Panna Reszke, występująca od dawna w operze warszawskiej w tych dniach wystąpi tam po raz ostatni. Melomani krzątają się już koło niespodzianek i podarków. Kółko artystyczne wystąpi z pamiątką pełną gustu; finanse — z więcej esencjonalnym darem, a ogół z salwami oklasków i szeregiem przywoływań.

Sztuki piękne.

* „Humorystyczne listy“ zamieściły bardzo piękny portret naszego wirtuoza Stanisława Barcewicza i biografję, w której nasz ziomek uznanym został za pierwszezo mistrza w Europie.

* Zakwestjonowany obraz Rafaela. Rząd francuski kupił w Rzymie obraz rzekomo Rafaela ze skromną sumkę 200.000 fr. Obraz ten przedstawiający Apollona i Marsa kupiony był w roku 1856, w Londynie przez obecnego jego sprzedawcę p. Maurycego Moora, za cenę stosunkowo nieznaczną. Specjaliści Brytańskiego muzeum sądzili wtedy że Obraz nie był dziełem Rafaela. W Berlinie przeciwnie, uznano jak najkategoryczniej autentyczność tego rafaelowskiego płótna. Długo zresztą toczyły się o to spory.

Paryscy krytycy wydali już mnóstwo broszur w tej materji, kwestja jednak dotąd nie jest stanowczo rozstrzygniętą. Obraz jednak ma być, bądź co bądź, znakomity i rząd republiki nie wahał się wyłożyć tak znacznej sumy na jego zakupno.

* Honorowy medal salonu paryskiego nie dostanie się w tym roku nikomu. Regulamin żąda, aby wybraniec miał jeden głos powyżej $^1/_3$, a ilości takiej głosów nikt nie otrzymał. Głosujących było 555, a największą ilość, bo 180 głosów otrzymał Jules Lifeborc;

Treść.

Brak charakterów.
L. Dziubiński: Nasz program.
Autor „Marzycieli“ Ostatni Szaraczek (c. d.)
Z. G.: Młodzieńcze utwory Zyg. Krasińskiego.
J. Estwoyn: „Illegitimi Thori“ (ciąg dalszy).
Przegląd literacki.
Alonzo Cano, nowella (c. d.)
Kronika naukowa.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 25. We Lwowie dnia 23. Czerwca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administrac „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli"

(Ciąg dalszy).

XV.

Grający byli w połowie pierwszej partji, gdy na ganku stanął lokaj hrabiego z dużym pakietem.

— Pan hrabia przysyła ukłony i książki, rzekł sztywnie się kłaniając.

Hilary wziął pakiet; był adresowany do panny Zofji Bereźnickiej.

— Oddaj go lepiej Zośce, bo to pewnie dla niej, niecierpliwie ojciec przemówił, — a sam graj!

Brat czynił to machinalnie, wszelako chociaż zdawał się grą zajęty, z siostry oka nie spuścił.

Rozerwała pakiet, i szybkiem ręki poruszeniem chwyciła coś, co na wierzchu książek leżało. Hilciowi zdawało się, że to był mały liścik. Twarz Zosi była zlana szkarłatem.

— Pokaż mi ten list, który od hrabiego dostałaś — przemówił w godzinę później, głosem drżącym, gdy sam na sam z siostrą został.

— Jaki list? — odrzekła bledniejąc.

— Ten, który był z książkami... widziałem przecie, że go do kieszeni schowałaś.

— Ja żadnego listu nie dostałam.

— Zosiu, nie kłam!

— Ależ Hilciu...

— Nie kłam Zosiu! — brat dobitniej powtórzył, bo ci się to na nic nie przyda. W pakiecie był list, i tyś go schowała, myśląc że nie widzę. Lecz nie tyle on mnie martwi, ile to, że się wypierasz. Jak się okazuje, przewidzenia moje nie były bez podstawy...

— Jakie przewidzenia? — zapytała głosem cichym, jak echo konające.

— Że między wami jest romans.

— Panno najświętsza! coś powiedział Hilciu!

— To, co twoje wykręty potwierdzają! Dotąd byłaś zawsze szczerą, przedemną żadnych nie miałaś tajemnic, teraz prawdę ukrywasz. Nie jest że to dowodem najlepszym, że w twojem sercu zagnieździło się jakieś uczucie grzeszne, z którem przedemną boisz się zwierzyć? A ten list, czyż nie jest dowodem, że się porozumiewacie?

— Nie sądź bracie, że twoje posądzenia są sprawiedliwe... Między mną a hrabią Leonardem najmniejszego nie ma porozumienia, i jeżeli wątpisz jeszcze, przeczytaj ten bilet. Jest on pierwszy, jaki z rąk jego otrzymałam.

To rzekłszy, podała mu liścik, ten sam, który Hilcio widział na książkach. Wziął i okiem niespokojnem a ciekawem szybko go przebiegł. Nic w nim nie znalazł. Hrabia przepraszał, że z powodu choroby nie mógł jej służyć nowemi książkami, i jak to jest w zwyczaju, przy końcu prosił, by go panna Zofja w życzliwej zachowała pamięci".

— Więc czemuś mi go nie chciała pokazać, skoro nie zawiera w sobie nic zdrożnego? zapytał bilet jej oddając.

— Sama nie wiem — odrzekła z oczyma spuszczonemi.

— Nie wiesz? — dalej pytał, uporczywie w nią się wpatrując. — A czy przypadkiem nie dla tego, żeś usiłowała wszelki ślad zmylić, by na niego i na ciebie nikt uwagi nie zwracał?

— Daj mi Hilciu pokój, badasz mnie jak sędzia...

— Nie gniewaj się Zosiu, jeżeli cię badam, to dla twego dobra. Przyznaj mi się jak bratu, jak swemu przyjacielowi, prawda, że hrabia rozmarzył ci głowę i serce?

Milczała, i tylko silne falowanie sukienki na jej piersi, świadczyło o gwałtownych uczuciach, jakie nią poruszały.

— Powiedz mi Zosiu otwarcie, czy ty go bardzo kochasz?

— O! bardzo, bardzo mój bracie! — zawołała ze łzami, nie mogąc dłużej uczuć swoich powstrzymać — ja go kocham jak jeszcze w życiu nigdy nikogo, aż boję się powiedzieć, tak go kocham, jakby on był moim Bogiem! Jego głos jest dla mnie muzyką anielską, jego oko mojem słońcem, jego uśmiech moim rajem. Zapatrzona w niego uważam się za najszczęśliwszą, gdy go nie ma, widzę do koła pustynię. Nie wiem co się ze mną stało, ja siebie nie pojmuję mój bracie, ale głos wewnętrzny mówi mi, że bez niego życie byłoby dla mnie strasznym grobem. Oto moje serce, moja tajemnica, której on sam nie zna... Przebacz mi teraz bracie, przebacz, bom niewinna!

Mówiła szybko, gorąco, z zapałem. Przy słowach ostatnich ukryła twarz na jego piersi. Już chciał powiedzieć: oto dokąd prowadzi czytanie romansów, lecz szlachetny jego genjusz powstrzymywał go od tej uwagi złośliwej. Wszak Zosia była dzieckiem dobrem i niewinnem, które jedynie dla tego się rozmarzyło, że musiało się rozmarzyć. Bo i któraż byłaby obojętną na tyle wdzięków, słodyczy i uprzejmości hrabiego? Chociaż stał wyżej, zachowywał się jak jej równy, a kobieta czyż instynktowo nie zwraca się zawsze ku każdej wyższości, jak ta roślina, która zewsząd złem zielskiem przygłuszana, ujrzawszy drzewo wyniosłe, garnie się ku niemu i wspina, aby u jego korony ujrzeć słońce i skonać?

Zresztą kto był winien, jeżeli nie on sam i stary ojciec? Czyż jako mężczyźni doświadczeni, nie powinni byli przypuszczać, że odwiedziny pięknego młodzieńca muszą się na tem skończyć? Czemuż więc nie przeszkodzili, kiedy czas był jeszcze?

Tak myślał pan Hilary Bereźnicki tuląc siostrę płaczącą, a że ją kochał szczerze więc jej też przebaczył.

Teraz należało jednak oświecić ją co do niebezpieczeństw, jakie w przyszłości mogły jej grozić. Przeczekawszy dopóki się nie uspokoiła, wziął ją za rękę, zaprowadził do altany w ogrodzie, posadził obok siebie i w te słowa przemówił:

— Teraz rozumiem, moja Zosiu, czemu tak desperowałaś, kiedy pan Maciej Krynicki swatów przysłał... Nie chciałaś wyjść za niego, bo twoje serce było już zajęte... czy tak?

— Tak...

— Ale czy pomyślałaś o tem moja kochana, że prędzej lub później trzeba będzie wyjść zamąż, bo takie jest przeznaczenie kobiety. I czy nie lepiej wyjść gdy się trafia człowiek młody i przyzwoity, niż wtedy, gdy już konieczność nakazuje wziąć pierwszego lepszego, żeby starą panną nie zostać?

— Kto ci mówił Hilciu, że ja chcę zostać starą panną?

— Wszak gdym cię pytał, czemu nie chcesz pana Macieja, odpowiedziałaś, że za mąż nigdy nie wyjdziesz.

— Mówiłam sama nie wiedząc co — odparła uśmiechając się przelotnie.

— Więc chcesz wyjść za mąż? Lecz za kogo, moja droga, za kogo? O człowieka porządnego coraz trudniej, a takiego pana Macieja nie spotkać dwa razy w życiu. Kiedy więc zdanie zmieniłaś, to może dam mu znać, żeby się znowu zgłosił... o ile wiem, jeszcze się nie ożenił.

— Nie czyń tego Hilcio nie czyń!

— Czemu Zosiu? Przecie małżeństwo byłoby także lekarstwem na teraźniejszą twoją chorobę.

— Nie! nie! bracie! Stokroć wolę być tak chorą, niż inaczej szczęśliwą.

— Chociaż by umrzeć?

— Choćby nawet umrzeć!

— Wiesz co Zosiu, ty nie jesteś ze mną całkiem szczera... Na dnie twego serca musisz mieć jakieś nadzieje, skoro tak stanowczo to odtrącasz, co ja i ojciec za twoje szczęście poczytujemy. Czy ty przypadkiem nie myślisz, że hrabia ożeni się z tobą?

Spojrzał na nią: milczała z oczyma spuszczonemi... Przy słowach ostatnich na bladej dotąd twarzy pojawił się rumieniec lekki, jak odblask purpury, na którą słońce pada. Rumieniec coraz szybciej zaczął się zwiększać, aż oblał ją szkarłatem.

— Przyznaj się Zosiu, nie masz przypadkiem takich nadziei?

— A gdyby tak było? — szepnęła.

— Oszalała dziewka! — zawołał szlachcic rubasznie. — Ona myśli, że hrabia z nią się ożeni, dalibóg oszalała!

— A czyż Marja, którą czytaliśmy tyle razy, nie wyszła także za wielkiego pana?

— Prawda że wyszła, lecz na czem się skończyło? Utopili biedaczkę i aż na wiosnę ją znaleźli. I trzeba jeszcze zważyć, czyja to była córka, przecie nie chudopachołka, jak twój ojciec, tylko starosty, lecz że był biedniejszym od wojewody, więc córka jego chwilowy zaszczyt życiem okupiła.

— Inne to były czasy — Zosia szepnęła, a po chwili dodała. — Zresztą warto umrzeć, byle bodaj chwilę być szczęśliwą!...

— Zwarjowała, jak Boga kocham całkiem zwarjowała! Ktoby to był przypuścił, że czytanie książek tak jej głowę przewróci. Ona chce nawet umierać, byle za to chwilę być szczęśliwą!... Ale zastanów się moja Zosia, — dodał łagodniej — że lekkomyślne rozporządzanie własnem życiem, nie upoważnia nas jeszcze do zatruwania życia drugim.

— Ja go nikomu niezatruję.

— No przypuśćmy, że hrabia. w co zresztą ja nie wierzę, żeni się z tobą, i że ten związek ty potem życiem okupujesz. Czyż wtedy mąż twój mógłby się nazwać szczęśliwym. Wszak poślubił by cię jedynie z wielkiej miłości, śmierć zaś osoby ukochanej, nie jest że dla człowieka szlachetnego największem nieszczęściem.

— Ty bo Hilciu ściągasz wszystko do śmierci .. Przecie czasy inne, i żon nie topią źli ludzie.

— Prawda, że czasy się zmieniły, ludzie jednak moja droga zawsze są jednacy. Żon nie topią, ale je ranią obojętnością, zabijają pogardą, która jest śmiercią jeszcze gorszą, bo powolną. Ty ani wiesz, moja, droga, na co byś jego i siebie naraziła. Dla tego wybij sobie z głowy te androny wezwij Boga na pomoc i nie zabijaj ojca, który dowiedziawszy się o tem, umarłby z pewnością. Żeby zaś kuracja poszła gładko i prędko, pojadę sam do Krynicy, i jeszcze w tym tygodniu sprowadzę tu pana Macieja.

Nie! nie! Hilciu, nie czyń tego, bo mnie prędzej zabijesz! To co czuję, ukryję na dnie mego serca, przed nim nigdy się z tem nie zdradzę i aby on nie był nieszczęśliwy, będę się nawet starała przestać go kochać, ale w zamian za moje cierpienia, pozwól mi drogi bracie, bym go widywała, bym choć czasem mogła głos jego usłyszeć i patrzeć w jego oczy!... Hilciu! jeżeli mnie kochasz, jeżeli do panny Hortenzji masz choć trochę przywiązania, nie odmawiaj mi tej łaski. Ja będę cierpiała w cichości, przed nikim się nie poskarżę, lecz bracie mój drogi, pozwól mi przynajmniej cierpieć niedaleko od niego!

Mówiła z takiem przejęciem, z taką rozpaczą że dalsze perswazje byłyby zbyteczne. Zrozumiał to pan Hilary, i dla tego zamiast siostrę zimną wodą oblewać, poprosił ją tylko by się uspokoiła, a sam wyszedł w pole.

XVI.

Długo chodził po polach i lasach pobliskich, napróżno usiłując myśli swoje uporządkować. Siostrę widział nad przepaścią; z całego serca pragnął ją wyratować, a nie wiedział co począć. Ojcu powiedzieć? Toby było najgorsze. Staruszek zmartwił by się i kto wie, czy by tego głową nie nałożył. Więc może ją wywieść? To by było najlepsze, lecz pod jakim pozorem wywieść ją z domu, by to ojca nie zdziwiło, ani zabolało, i do kogo? Prócz krewnych we wsi, panowie Berezniccy innych nigdzie nie mieli, a do dalszych znajomych ambicja szlachecka nie pozwoliła by mu się zgłaszać. Zostawić zaś Zosię w warunkach dotychczasowych, znaczyło narażać ją na co raz większe niebezpieczeństwa, które prędzej lub później musiały by się zakończyć katastrofą.

W takich myślach zatopiony, zbliżył się do parku, który ciągnął się w tyle pałacu. Mur w tem miejscu był niewysoki, tak że stojąc nad rowem, z którego ziemię świeżo wyrzucono, można było zajrzeć do środka. Na trawnikach ogrodniczki trawę siekli, w lipowej alei na prawo nie było żywej duszy, ścieżki między kląbami kwiatów, były także osamotnione. Tylko w alei grabowej, podcinanej na wzór francuzki, która ciągnęła się po lewej stronie patrzącego, widać było dwie osoby, przechadzające się krokiem wolnym, mierzonym. To hrabia Leonard szedł podtrzymywany przez lekarza. Hilciowi przyszła myśl dobra.

— Pójdę — rzekł sobie w duchu — przeproszę lekarza, a od niego zarządam chwili rozmowy. Powiem mu co mojej siostrze grozi, na co ją naraża... Lolo ma serce złote, więc zrozumie moje obawy i przestanie do nas przychodzić, poczem Zosia łatwo się wyleczy. A jeżeli on także ją kocha, i moje słowa zrobią na nim silne wrażenie które mu zaszkodzi? Wszak po słabości pierwszy dopiero raz wyszedł... Przenigdy! Nie raz słyszałem od lekarzy, że organizm chory więcej może znieść, niż całkiem zdrowy, z większą bowiem trudnością wrażenia przyjmuje. Jeżli więc kiedy najlepsza sposobność, właśnie teraz. Zresztą ktoby tam przypuścił, że i on się kocha!... Już ja wiem, jak panowie umieją się kochać! Ja przecie panem nie jestem, a lubię tylko bałamucić. Dla panny Hortenzji mam wprawdzie trochę afektów, lecz to znowu co innego, z tą myślę się żenić. Trzeba więc pójść i kuć żelazo póki gorące.

Jak powiedział, tak uczynił. Za kilka minut ściskał mu już dłoń Leonard uradowany. Lekarz, którego samotna przechadzka z rekonwalescentem nie tyle może nudziła, co nużyła, ujrzawszy nowoprzybyłego, skorzystał ze sposobności, i nie czekając, aż go szlachcic o to poprosi, odszedł do pałacu. Przyjaciele sami zostali.

Po dłuższem krążeniu, jak to zwykle nam się zdarza, ilekroć mamy wszcząć rozmowę o rzeczy nie zbyt nam przyjemnej, pan Hilary zebrał nareszcie odwagę, i tak przemówił:

— Daruj mi Lolu, że teraz zacznę mówić o interesie, w którym właściwie do ciebie przyszedłem.

— I owszem mów, proszę cię...

— Czy mogę żądać od ciebie przysługi przyjacielskiej?

— Mów tylko, a jeżeli to będzie w mojej mocy, pewnie uczynię. Szczęśliwym nawet będę, mogąc ci się czemkolwiek przysłużyć, dotąd bowiem jeszcze się nie zdarzyło, byś mnie kiedy o co prosił.

— A więc proszę cię po raz pierwszy, byś przestał bywać w naszym domu.

Hrabia wypatrzył się na mówiącego. W jego dużych, niebieskich oczach, widać było najwyższe zdziwienie.

— Jakto? Mam przestać u was bywać... a czy wolno wiedzieć za co?

— Są potemu ważne powody, które radbym w tajemnicy zachować.

— Wypowiadasz mi swój dom, wyrzucasz mnie z niego. a nie chcesz powiedzieć, za jaką winę? Czy ty Hilciu nie wiesz, że ludzie honorowi w takich razach żądają zawsze wyjaśnień? Jeśli więc łaska powiedz, czem zasłużyłem na taką karę?

Mówił spokojnie, ale z odcieniem goryczy, poza którą ukrywała się duma podrażniona. Pan Hilary widząc, że się byle czem nie wykręci, zebrał nareszcie odwagę i rzekł:

— Ja ci domu nie wypowiadam, gdyż obecność w nim twoja, była dlań zaszczytną, ale ponieważ wizyty twoje, mogą na całą naszą rodzinę nieszczęście sprowadzić, przeto tak dla naszego, jak dla twego dobra, proszę cię, byś o nas zapomniał. Sam wiesz najlepiej, że jesteś młodzieńcem bogatym, wysoko urodzonym, pięknym, przyjemnym i rozumnym, a więc takim, za którym każda kobieta musi przepadać... Ja znowu mam siostrę, dziewczynę wprawdzie ubogą i szlachciankę zagrodową, której jednak Pan Bóg dał więcej piękności i serca, niż tego potrzeba w jej położeniu... W dodatku poezjami, romansami, główka jej się rozmarzyła... W takich stosunkach nie trudno o nieszczęście, którego ja bym chciał uniknąć. Oto mój przyjacielu dla czego przyszedłem cię prosić, byś u nas przestał bywać.

Leonard wysłuchał przemówienia, siedząc na ławeczce, na którą się zsunął. Słowa kolegi robiły na nim wielkie wrażenie; mienił się i od czasu do czasu poruszał się niespokojnie jakby mu chciał przerwać.

— Żądanie twoje jest bardzo uczciwe — odpowiedział po krótkim milczeniu — chociaż mi się zdaje, że zbyteczne... O ile wiem, panna Zofja uważa mnie jak każdego innego, i dla tego nie potrzebujesz się o nią lękać.

Hilary gorzko się uśmiechnął.

— Niestety, inaczej być musi, skoro z tem do ciebie przyszedłem.

— Doprawdy? — zapytał młody człowiek przyjemnie zdziwiony — więc ja jej nie jestem obojętnym?

Na co mnie wybadujesz?... Alboż sam nie byłeś tego pewny oddawna?

— Nie, nie byłem, lecz kiedy ty to potwierdzasz, więc czemuż sobie dłużej przymus zadawać, czemu nie mamy przed całym światem naszych uczuć objawić?

Lolo mówił szybko, z ożywieniem; wzrok mu się zaiskrzył, policzki zarumieniły; wyglądał jak w gorączce. Hilcio nie wiedział jak sobie tę zmianę wytłumaczyć.

— Więc chcesz — rzekł — by ludzi moją siostrę palcami wytykali?

— Pierwszy raz słyszę, by panienkę, którą jest zajęty człowiek młody i przyzwoity, ludzie palcami wytykali. Jeśli by tak było, to chyba z uczciwą miłością musieli by się wszyscy ukrywać.

— Z uczciwą!... Gdyby ona tylka była uczciwą!

— Ty o tem wątpisz?

— Muszę wątpić, bo znam świat i jego słabości. Nie przeczę, że jako młodzieniec z sercem szlachetnem, przy tem nie zepsuty, sam dziś wierzysz w czystość swoich uczuć, lecz czy myślisz, żeby one długo takiemi zostały? Miłość ciągle drażniona wkrótce by cię tam zaprowadziła, gdzie może dziś sam byś się nie chciał zobaczyć.

— Przyznam ci się mój przyjacielu — hrabia spokojnie odpowiedział — że cię nie rozumiem. Jeżeli o pannie Zofji myślę jak o tej, którą kiedyś chciał bym nazwać moją żoną, to czyż zamiary moje są nieczyste, a myśli zdrożne? Zdaje mi się, żem się jasno wytłumaczył.

— Dziękuję ci za te piękne słowa Leonordzie, i biorę je tak, jak je wypowiedziałeś, chociaż sam przyznasz, że wszyscy zręczni uwodziciele od tego zaczynają, iż

przyrzekają się żenić. . Ja przeciwnie chcę wierzyć, że zamiary twoje są szlachetne, to jest że poślubił byś moją siostrę. Racz mi atoli powiedzieć, czy zastanawiałeś się nad możliwością przeprowadzenia tego planu? Czy wiesz z jakiemi by to było trudnościami połączone? A hrabina, ta dumna pani, która dotąd nawet spojrzeć na mnie nie raczyła, czy uznałaby kiedy moją siostrę za swoją synowę? Biedna Zosia stała by ci wiecznie przed oczyma, jak wyrzut sumienia, z czasem zaczął byś przeklinać godzinę w której ją poślubiłeś, a chociaż pani hrabina i twoi krewni nie kazali by jej może utopić, za to tyle by jej na każdym kroku stwarzali nieprzyjemności, że w końcu może by się sama utopiła. Aby więc nie nastąpiło nic podobnego, trzeba zerwać uczucia, które dopiero kiełkować zaczynają i dla tego proszę cię raz jeszcze, daj mi słowo. że u nas bywać przestaniesz.

— Czy tego żądasz koniecznie?

— Koniecznie mój przyjacielu! Zosia musi cię zapomnieć, jak wielkość, której nigdy nie mogła osiągnąć! Im prędzej wyjdzie za jakiego Maćka lub Bartka, tem lepiej dla niej.

Hrabia potrząsł głową i gorzko się uśmiechnął.

—Mówicie żeśmy dumni — rzekł — a kiedy my o naszem pochodzeniu zapominamy, wy nam je sami przypominacie! Syn senatorów chce poślubić córkę szlachcica zagrodowego, brat szlachcic na to nie pozwala. Kto tu więc dumniejszy, wy, czy my?

— E! dajmy temu pokój! — niecierpliwie pan Bereźnicki zawołał — przecie moja siostra jest za dobrą na hrabską kochankę!

— Gdybym nie wiedział mój przyjacielu — odparł hrabia spokojnie—że mówisz pod wpływem irytacji, musiał bym się rozgniewać, teraz bowiem nie tylko mnie obraziłeś, lecz także swoją siostrę, dla której mam głęboki szacunek. Ufam jednak, że z czasem sam zdanie zmienisz i będziesz żałował słów dziś wymówionych.

— Co daj Boże, amen! — szlachcic dokończył. — Wszakże zanim to nastąpi, spodziewam się, że uczynisz o co cię prosiłem.

— Uczynię.

— Dajesz słowo, że więcej u nas nie będziesz?

— Daję.

— Dziękuję ci z całego serca!

Pożegnali się dość chłodno i rozeszli w dwóch kierunkach.

Szlachcic wróciwszy do domu, był rozdrażniony, lecz zadowolony; przeciwnie hrabia ledwie doszedł do pałacu tak osłabł, że musiał się niezwłocznie do łóżka położyć.

XVII.

Nigdy jeszcze pan Hilary Bereźnicki tak nie pragnął ożenić się, jak właśnie teraz. I nie tylko dla swojej przyjemności żony potrzebował; on jej pragnął może jeszcze więcej niż dla siebie, dla swojej siostry, o którą lękać się zaczynał. Odkąd hrabia w ich domu przestał bywać, biedna Zosia zapadała w smutek coraz głębszy, z którego nawet modlitwa nie mogła jej wyrwać. Namyślając się kto był sprawcą jej niedoli, żałośnym wzrokiem wpatrywała się w brata, wszelako nigdy najmniejszej nie zrobiła mu wymówki. Przyrzekłszy cierpieć w cichości — cierpiała tem głębiej, tem boleśniej, że swemi uczuciami nie miała się z kim podzielić.

Aby siostrze choć w części krzywdę wynagrodzić, pan Hilary postanowił ożenić się jak najprędzej. Ojciec z przyjemnością to usłyszał, chociaż prawdę powiedziawszy, na staruszku mało już co wrażenie robiło; a co do Zosi, ta na tę wiadomość uśmiechnęła się pierwszy raz od kilku tygodni. Bo i jakże nie miała się cieszyć, skoro brat przystępował nareszcie do tego aktu, bez którego człowiek nie jest nigdy skończonym, który przed nami roztwiera nowe widnokręgi, ucząc nas wzniosłego celu życia. Cieszyła się także i ze wwzględu na siebie, w bratowej bowiem, którą miała być sędzianka, panna Hortenzja Pukalska, spodziewała się znaleźć wierną przyjaciółkę, której tak pragnęła!

Nasz przyjaciel nie miał głowy romansami napełnionej. W jego oczach dobre małżeństwo mogło się wygodnie obejść bez gorącej miłości, i dlatego ani sam przed panną Hortenzją na kolana nie padał, ni też żądał od niej objawów gwałtownego przywiązania. Jemu wystarczało przekonanie, że nie był jej wstrętnym jak nie mniej, że ona dosyć mu się podobała. Jeżeli w jego sercu było co więcej dla panny Hortenzji, w każdym razie nie była to jeszcze miłość, lecz chyba przyzwyczajenie, które z czasem, jak to po ślubie nieraz się zdarza, mogło się nawet w miłość przemienić.

Pan sędzia usłyszawszy nareszcie od pana Hilarego, w jakich tenże zamiarach do jego domu przychodził, uściskał go serdecznie, zwłaszcza, że już oddawna tej szczęśliwej chwili wyglądał; pani sędzina spłakała się jak wszystkie matki w podobnych wypadkach, a panna Hortenzja zarumieniła się i do drugiego pokoju uciekła. Mimo tej dezercji, nie powiedziała, że nie chce pana Hilarego. Przeciwnie, zwierzyła się nawet przed matką, że nie wydał jej się nigdy tak przystojnym i „do rzeczy“ jak wtedy, gdy prosił o jej rękę.

Ponieważ wszystko szło jak z płatka, więc do dni czternastu nastąpiły zaręczyny, na których hulano do dnia białego; ślub zaś miał się odbyć dopiero na wiosnę, na św. Wojciecha, patrona ojca panny młodej. Przedtem chciał narzeczony dom swój oporządzić, aby po jednej stronie mógł mieszkać ojciec z Zosią, po drugiej on z żoną, jak nie mniej postanowił zdać egzamin na mandatarjusza, aby z czasem teścia w Bereźnicy zastąpić.

Odkąd myśli tak poważne zaczęły zajmować umysł naszego przyjaciela, nie bywał nigdzie, przesiadując ciągle bądź w domu, bądź u narzeczonej, do której zawsze z siostrą chodził. Tym sposobem Zosia nigdy sama nie była, zaczął się nawet pilniej gospodarstwem zajmować i zimowych zasiewów sam doglądał. Proboszcz widząc to, bardzo go chwalił i przepowiadał mu piękną przyszłość.

Co w tym samym czasie działo się w pałacu?

Musiały się tam dziać rzeczy niezbyt przyjemne, służba bowiem po wsi rozpowiadała, że pani hrabina nie tyle zła, ile zmartwiona. Po całych dniach z synem przesiadywała, i czasem mówiła cicho, czasem znowu tak głośno, że wyglądało, jak by się na niego gniewała. Kredens i garderoba, której pomagały oficyny, zamieszkałe przez rodzinę ekonoma, wiele byłyby dały za to, aby się dowiedzieć, o czem właściwie matka z synem rozmawia, lecz cóż kiedy rozmowa toczyła się zawsze po francuzku, a z ciekawych nikt tego języka nie rozumiał. Francuzi, którzy tu niegdyś służyli, po śmierci hrabiego wszyscy do Francji odjechali, nie nauczywszy nikogo swojej mowy. Najbardziej były tem zmartwione panny Krukowskie, które jako „delikatne i „edukowane“ powinne były umieć po francuzku.

Ich ojciec, jakkolwiek pod tym względem nie był od nich bardziej wykształconym, wiedział doskonale, o czem hrabina z synem rozmawia, ale stosownie do rozkazu dochowywał tajemnicy. Ileż to razy, gdy już wszyscy domownicy spać się pokładli on otrzepawszy buty z kurzu, i przyodziaw-

szy porządniejszą kapotę, niż ta w której w pole chodził, zakradł się tylnemi drzwiami do pałacu, i po krętych, a dobrze mu znanych wschodach, któremi niegdyś stary hrabia wpuszczał go do siebie, szedł teraz do pokoju pani hrabiny. Tu przy drzwiach stanąwszy, i w ręku czapkę trzymając, mówił co wiedział, i rozkazy odbierał.

— I cóż tam nowego? — pytała raz hrabina, głosem suchym, urywanym, w którym napróżno szukałbyś litości.

— Nic proszę jaśnie panią hrabinę, wszystko po dawnemu.

— A co ta dziewczyna, co ten drągal?

— Żyją proszę jaśnie panią.

— Głupiś aspan! Że żyją, wiem sama, więc nie o to pytam... Myślałam, że coś rozumniejszego usłyszę. Czy nie ma nadziei, aby ten drągal zdanie swoje odmienił?

— Nie wiem jaśnie pani hrabino... może.

— Tu nie ma może, tu tak być powinno jak ja chcę. Ta dziewczyna memu synowi panu hrabiemu zanadto w oko wpadła, bądź co bądź, zatem powinna być w mojej garderobie. Rozumie Krukowski?

— Ta rozumiem proszę jaśnie panię hrabinę, jeno nieprzymierzając nie wiem jak to zrobić — odpowiedział z niskim ukłonem.

— Jak? Tak jak ci podyktuje rozum i przywiązanie do mojej rodziny. Przecie Krukowski nie zechce, żeby z powodu jakiejś tam klempy pan hrabia chorował.

— Niech Bóg uchowa! Jabym nieprzymierzając dla panicza, chciałem powiedzieć dla jaśnie pana hrabiego, w ogień skoczył.

— Kiedy tak, to się postaraj mój kochany, żeby się nie martwił bez potrzeby. Niech zresztą co chce kosztuje.., zwykle dziewczęta biorą krowę, ja jej dam krów kilka i z góry półroczną zapłatę, a w garderobie nikt jej do roboty nie będzie napędzał. Prócz tego, jeżeli jej bratu będzie potrzeba gębę zatkać, nie pożałuję. Co do ojca, ten o ile wiem, tak już zdziecinniał, że nie potrzeba nawet pytać o jego zezwolenie. Zrozumiał Krukowski?

— Zrozumiał proszę panią.

— Zatem weź się zaraz do roboty, a trudu nie pożałujesz. Wiesz, że nie jestem skąpą. Dostaniesz pięćdziesiąt cwancygierów, wszystkie z Matką Boską. Takich samych możesz przyrzec jej bratu.

Ekonomowi twarz się rozjaśniła, skłonił się pokornie i oblizał.

— Kiedy jaśnie pani każe, to zrobię co trzeba, chociaż nieprzymierzając niech mnie ślag trafi, jeźli wiem, jak sią wziąć do tego. Ten pan Hilcio nos zadziera jak półtora księżyca. Ale w tem nieprzymierzając sam nasz pan hrabia najwięcej zawinił, że go tak rozzuchwalił. Gdzie bo kto szłyszał, żeby taki wielki pan był *per du* z takim chłystkiem. To tak samo nieprzymierzając, jakby świnia chciała żyć za pan brat z pastuchem.

—Krukowski!—zawołała Hrabina, mierząc ekonoma, który za późno schwycił się za gębę.

— Jak widzę zapominasz, przed kim stoisz. Teraz idź i staraj się, bym z ciebie była zadowoloną.

Skłonił się do stóp swojej pani, i wyszedł na palcach.

— Pięćdziesiąt cwancygierów z Matką Boską i łaska pani hrabiny! — myślał sobie w duchu powoli, do domu wracając, — to przecie piechotą nie chodzi! I to wszystko za takie głupstwo. Gdyby to z inną, nie byłoby o czem mówić, ale z tymi zagrodnikami dalibóg niewiedzieć od którego końca zacząć. Nieprzymierzając harde to że aż fe, chociaż ledwie mają porządne szmaty na grzbiecie. Co tu począć, co począć?

Stanął na drodze, przyłożył palec do czoła i chwilę myślał.

— Bądź co bądź trzeba jutro pójść do tego drągala, jak go pani hrabina nazywa i układy znowu nawiązać. Hrabia przestał do nich chodzić, więc zapewne zmiękła mu rura,. Prócz tego jak się dowie że dostanie sto cwancygierów, ręczę, że chapsnie bez wahania. Nieprzymierzając goły, a żeni się za kilka miesięcy... pieniążki się zdadzą. Ale nie głupim dawać sto od razu... zacznę po cesarsku, od dwudziestu pięciu i pomalutku będę szedł w górę. Co udrę, to moje. Tak, tak, trzeba pójść zaraz rano.

Nazajutrz o słońca wschodzie Krukowski był na polu. Zobaczywszy z daleka, że pan Hilary stoi przy pługach, tak swoją twarz ułożył, że przybrała wyraz słodki i pokorny; odchrząknął kilka razy aby sobie dodać odwagi i krokiem pewnym ruszył ku szlachcicowi.

— Daj Boże szczęście — rzekł.

— Daj Panie Boże — nie obracając się Hilary odpowiedział.

— Sąsiad dobrodziej jak widzę rano wstaje, a kto rano wstaje temu nieprzymierzając Pan Bóg daje...

Szlachcic dopiero teraz spojrzał pytająco na ekonoma.

— Czy pan Krukowski ma znowu do mnie jaki interes, że tak grzecznie przemawia?

— Tak... czyli raczej nie.,. ja nie mam żadnego interesu, tylko właściwie pani hrabina. Bo to widzi sąsiad dobrodziej u nas zawsze jedna bieda, jaśnie pani dotąd sobie panny nie znalazła. Ale nieprzymierzając, ponieważ wiem, że ręka rękę myje, więc przychodzę teraz z innym projektem, i jeżeli pan Hilary pozwoli...

— Proszę, proszę, niech pan mówi — odrzekł zapytany, wytężając wszystkie siły aby nie wybuchnąć.

— Otóż ponieważ wiem, ileby na tem gospodarstwo domowe straciło, jeśliby panna Zofja przestała się niem zajmować, jako wynagrodzenie śmiem nieprzymierzając ofjarować szanownemu sąsiadowi dwadzieścia pięć cwancygierków nowiusieńkich i z Matką Boską. Wiem ja że przed ślubem kawalerowie mają znaczne wydatki, a o pieniądze teraz trudno.

— Jeżeli tak, to może da się zrobić — odpowiedział szlachcic z udanym uśmiechem, — tylko pan Krukowski musi trochę cenę podnieść boć i Judasz sprzedał Chrystusa Pana nie za dwadzieścia pięć tylko za trzydzieści srebrników. Ale właśnie sobie przypomniałem, że mam siostrze coś ważnego powiedzieć. Chodźmy więc przez dworskie pole, bo tędy bliżej, a w drodze targu dobijemy.

— Mam go! Cwancygierki podobają się chłystkowi! — ekonom pomyślał i głośno dodał: — Sąsiad dobrodziej chyba sobie żartuje, myśląc, że ja bym się mógł targować: Przecie te pieniądze nieprzymierzając z mojej pochodzą kieszeni, lecz Bogiem się świadczę, żem gotów wszystko uczynić, byle zaspokoić panią hrabinę.

— Wierzę, wierzę!

— Czynię to jeszcze z przyjaźni dla panny Zofji, ktorą nieprzymierzając kocham jak by własną córkę. A będzie jej tam dobrze jak u Boga za drzwiami... pani hrabina będzie pamiętała o wszystkich, i ręczę że ją z czasem dobrze za mąż wyda.

Tak rozmawiając weszli na ścieżkę, która przez dworski łan prowadziła. Tu Hilcio się zatrzymał, i w tejże chwili chwyciwszy ekonoma za kołnierz na ziemię go powalił.

— Złodzieju! rozbójniku! — zawołał — mam cię nareszcie na obcym zagonie. I ty łotrze śmiałeś przyjść do mnie z taką propozycją? Gdyś mi pierwszy raz mówił o tem, ani przypuszczałem co się święci, teraz wiem już, cobyście chcieli zrobić z mojej siostry! Łotrze! zapłacisz mi za tę zniewagę!

To rzekłszy podniósł do góry laskę sękatą, z którą się nigdy nie rozstawał, i bez miłosierdzia zaczął nią Krukowskiego

okładać. Ekonom tłoczony kolanem i dłonią żelazną, w pierwszej chwili nie umiał z przestrachu głosu z siebie wydobyć, lecz gdy szlachcic dobrał mu się do żywego, począł najpierw krzyczeć, a gdy to nie pomogło, błagać litości. Hilcio puścił go nareszcie, wszelako nie pierwej póki mu nie wsypał dwadzieścia pięć odlewanych.

— Masz twoje cwancygiery — rzekł — a jeżeli ci ich nie dosyć, przyjdź drugi raz... wtedy jeszcze lepiej się przekonasz, za jaką cenę można kupić uczciwość szlachcica zagrodowego!

Krukowski wyrwawszy się swemu prześladowcy, począł uciekać, o ile sił starczyło, i zatrzymał się dopiero w oddaleniu jakich stu kroków. Pociesznie też wyglądał w kapocie obłoconej, z twarzą powalaną bez kapelusza, który mu spadł w ucieczce i włosem rozczochranym.

— Poczekaj młokosie! — grożąc zawołał — nauczę ja ciebie gwizdać po kościele;

— Uważaj tylko nieprzymierzając — Hilcio mu odpowiedział — żebyś mi więcej nie wpadł w ręce, bo wtedy ja będę gwizdał, a ty tańcował.

XVIII

— Gore! Gore! krzyknął stróż nocny który po wsi chodził, a przyskoczywszy do najbliższej chaty, pięścią w drzwi uderzył potem w okno zapukał. — Gore! — głośniej powtórzył, i podniósłszy opończę z przodu, by mu w biegu nie zawadzała, puścił się cwałem ku kościołowi.

Na ten okrzyk złowrogi, ten i ów wybiegł z izby i okiem wystraszonem począł się rozglądać. Od zachodu jaśniała łuna jeszcze niewielka, która jednak przy silnym wietrze coraz sie zwiększała.

— Chryste Panie to pan Jacenty gore! — wołano. Tak jest, to płonęła zagroda naszych przyjaciół.

Wiatr był tak gwałtowny, że do kilku minut, wszystkie budynki i stogi zmieniły się w jedno morze płomieni. Przy ich blasku widać było kilka postaci zajętych rzeczy wynoszeniem, i mimo wichru do wsi głosy ich dolatywały, jak dalekie nawoływania rozbitków, gdy ich fala rozhukana od brzegów unosi.

Szlachta przerażona nie wiedziała co począć; w tem z drewnianej wieży kościelnej pierwszy dzwon zajęczał. Głos jego był urywany, złowrogi, przerażający, lecz że ostrzegł, więc ten i ów odzyskał przytomność, a z nią odwagę.

— Z przęgać! Brać konewki! Drabiny! Na ratunek panu bratu!

Wieś przeistoczyła się w mrowisko, w które pastuch kamyk rzucił.

Ten krzyczał i biegał jak opętany, myśląc że tem najwięcej pomoże; ów dosiadłszy konia pędził do ognia; tamten z konewkami na plecach spieszył do studni, przy której tłoczyło się już osób kilkadziesiąt; inny zaprzągłszy do wozu, pędził z beczką i drabiną; piąty łapał dzieci, które nagle ze snu zbudzone, biegały teraz po drodze w białych koszulinach i przez konie mogły być potratowane; szósty krzyczał nie wiedząc na co; kobiety płacząc ręce łamały, a byli tacy, którzy przy płotach obojętnie przypatrywali się rosnącym płomieniom.

— Z drogi! Za mną na ratunek, bo cała wieś pójdzie z dymem!

To pan sędzia tak wołał, pędząc środkiem drogi co koń wyskoczy. Obok niego na wózku, siedział proboszcz blady, wystraszony. Za nim cała wieś się ruszyła. Jak podczas morza przypływu, fala rycząc nadchodzi, tak i ten tłum z kilkuset głów złożony, przewalał się przez środek wsi z wrzaskiem i hukiem.

Szybkie ognia ugaszenie było niezbędne. Wicher wzmagając się przez ogrzanie powietrza, wyrywał ze strzechy całe snopki i niósł je na pola jak komety, z palącemi ogonami. W razie gdyby się zmienił kierunek wiatru, wieś musiałaby spłonąć.

Pół wsi stanęło przed zagrodą pana Jacentego. Za późno przybyli! Z budynków gospodarskich, napełnionych zbożem i sianem takie już buchały płomienie, że nikt do nich nie mógł przystąpić, a dom mieszkalny chociaż najpóźniej się zajął, nie był także do ocalenia.

Pan Hilary wydając głosem ochrypłym rozkazy swoim ludziom, wypuszczał bydło które z rykiem w pole uciekało i pomagał sprzęty z domu wynosić. Jacenty, jakąś starą kapotą nakryty, którą na prędce gdzieś chwycił, siedział na końcu ogrodu, i okiem na pół przerażonem, na pół już obumarłem wpatrywał się w płomień, który bez litości pożerał mienie jego dzieci.

Obok stali hrabia i Zosia. Lolo był pierwszy na miejscu nieszczęścia. Zjawiwszy się w chwili, gdy płomień dopiero gumno ogarnął, pomagał chorego staruszka z domu wynosić, i przytomnością umysłu dodawał odwagi tak Zosi jak jej bratu. Służba dworska, którą z sobą przyprowadził, rozrywała tymczasem strzechę na stajni i innych budynkach do gumna przytykających.

Między nią nie było jednak ekonoma. Ten miał dnia poprzedniego w pilnych interesach skarbu do Stryja wyjechać.

Zosia w lubym negliżu, który jej wdzięki podnosił, nie tyle może przestraszona tem co się dokoła niej działo, ile zakłopotana obecnością pięknego młodzieńca, była ciągle nad ojcem pochylona, którego czułemi słowami usiłowała uspokoić. Niekiedy tylko, gdy odrzucała w tył włosy, które jej na czoło spadały, głowę podnosiła. Wtedy ciemne jej oko zbiegało się z jasnemi jego źrenicami, wtedy ucisk czuła na sercu. O! bo jak wielka zmiana zaszła w Lolu w ostatnich tygodniach! Nie widziała go, odkąd zachorował, a on teraz taki był blady, taki smutny i jakby złamany! Gdyby mogła byłaby i ku niemu zwróciła się ze słowami pociechy, lecz czy jej słowa, lubo z serca pochodzące, byłyby go zadowoliły? Mogłaż wiedzieć, jak on dla niej był usposobiony, skoro do tej chwili nie usłyszała z ust jego słowa tkliwszego? Któż ją mógł upewnić, że jej uczucie w jego piersi odgłos znalazło. A chociaż i nie znalazło, choćby ona całkiem była mu obojętną, myśli o nim wypełniały ciągle jej główkę, a uczucia ku niemu skierowane w jej sercu...

Szybko głowę podniosła, spojrzała na dom, na którym strzecha już płonęła, i przypomniawszy coś sobie, zwróciła się do Leonarda, mówiąc szybko:

— Panie hrabio, jeżeli łaska zostań przy moim ojcu, ja zaraz wrócę...

Sam nie wiedząc czemu chciał ją zatrzymać, ona jednak jak sarna spłoszona pobiegła prosto do domu. Odprowadził ją wzrokiem. Wpadła do sieni.

— A Zośka gdzie? — zapytał ojciec, jakby ze snu się budząc.

— Poszła do domu... musiała coś ważnego zapomnieć... chociaż nie wiem doprawdy, jak mogła się tak narażać... Strzecha pali się już przy samej powale, a wątpię, czy kto na nią uważa.

Stary Jacenty spojrzał na mówiącego.

— A to pan hrabia!... Niech Bóg cię nagrodzi paniczu.!

Leonard nie dosłyszał podziękowania. Nie mogąc się tej doczekać, która go najwięcej obchodziła, zostawił Jacentego na łasce Opatrzności, a sam pobiegł za Zosią.

Ona tymczasem biegając po komorze, szukała książki do nabożeństwa, obok krzyżyka, który miała na szyi, najdroższej po matce pamiątki. W niej schowała pamiątkę trzecią, nie mniej od tamtych ukochaną, a tą był list hrabiego, ów list, który ją zmusił do wyspowiadania się przed bratem ze

swoich uczuć. Był on jej podwójnie drogim. Raz jako pierwsza pamiątka z rąk tego, którego kochała, powtóre jako cierpień zadatek, od niego bowiem zaczęła się jej walka z losem. Serce kochające przypomina sobie zroskoszą te nawet chwile, w których dla miłości cierpieć mu kazano.

Książki nie było. Zresztą choćby i była, ktoby ją znalazł w tem miejscu. Rzeczy cenniejsze powynoszono na podwórze, pozostałe leżały w największym bezładzie połamane i poprzewracane. Nie mogąc z myślą się pogodzić że ją musi stracić, biegała od jednego kąta do drugiego, wszędzie zaglądała i każdą rzecz brała w ręce, chociaż przez okno wybite kłęby dymu szarego wtłaczały się już do komory, a w ślad za niemi krwawe języki niszczącego żywiołu, wkradały się jeden po drugim, czepiając się drewnianej okna oprawy.

Postąpiła kilka jeszcze kroków, w tem dym ją ogarnia, biedna czuje, że przytomność ją opuszcza, nogi pod nią się uginają, i pada bez zmysłów, Wtej chwili okropnej, znalazł się przy niej Leonard. Wytężając siły, o które nikt by go nie posądził chwyta omdlałą na ręce i na dwór wynosi, a że droga, którą przyszedł była już zarzucona płonącemi snopkami, więc musiał obrać inną, nieco dłuższą, lecz za to wolną od wszystkich przeszkód.

Wątły chłopiec nie obliczył się jednak z siłami. Jakkolwiek ciężar był drogi, nie mógł donieść go aż tam gdzie siedział pan Jacenty; musiał go więc złożyć na murawie. W tem miejscu, jak za dnia było jasno; taki blask padał od domu, który właśnie cały w płomieniach stanął.

Przyklęknąwszy, spojrzał na Zosię.

Świerze powietrze nie ocuciło jeszcze omdlałej, wszakże krew poczęła już szybciej krążyć w jej żyłach, na bladych przed chwilą jagodach lekki rumieniec się pojawił i usta nieco się rozwarły.

Młody człowiek pełną piersią odetchnął.

Na to westchnienie otworzyła, oczy ujrzawszy przed sobą tego, ku któremu jej serce się rwało, ruchem mimowolnym ramiona ku niemu wyciągnęła.

— Dzięki! — szepnęła.

Leonard nie był więcej panem siebie. Te oczy z taką miłością na niego spoglądały, że pochyliwszy się nad jej głową, nie wiedząc, jak to się stało, na jej ustach pierwszy złożył pocałunek.

— Więc ty mnie kochasz? — pytała.

— Kocham cię, Zosiu, kocham!

— Ach! jakiś ty dobry, Lolu! O! gdyby to teraz umrzeć!

Nie, nie Zosiu! ty żyć będziesz, dla szczęścia swego i mego!...

Huk głuchy, a po nim jeszcza silniejsze płomienie, które jakby się dobywały z czeluści ziemi, ocuciły zakochanych. To powała zawaliła się na dworku; był to koniec zniszczenia.

— Chodźmy! ojciec czeka — rzekła wspierając się na jego ramieniu.

— Dobrze, chodźmy! ale wpierw powiedz mi Zosiu, że mnie wiecznie będziesz kochała.

— Będę! będę! — odpowiedziała z zapałem, a potem ciszej dodała: — Będę choćby ty mnie przestał kochać!...

— Jak mogłaś powiedzieć coś podobnego! — zawołał rozgniewanego udając, i lewą ręką w pół Zosię objąwszy, chciał ją drugi raz pocałować.

Ona jednak odsunęła go ruchem łagodnym; uszanował jej wolę. Szli też dalej rozmarzeni, ale spokojni i czyści.

Podczas gdy to się działo zdala od pogorzeliska, na podwórzu hałasował najbardziej pan ekonom. Wracając ze Stryja, zatrzymał się na drodze, wysiadł z wozu, a wpadłszy między dogorywające budynki, udawał że gorliwie ratuje, chociaż do ratowania nic już nie było. Czynił to zaś w sposób tak uderzający, jakby koniecznie chciał na siebie zwrócić ogólną uwagę.

(C. d. n.)

BÓL ŻYCIA.

Czasem kłamany, czasami odczuty
„Ból życia“ dzisiaj w pieśniach się rozsiada
I z lutnią w ręku, niby furja blada
Rozdzierać serca chce dźwiękiem swej nuty.

Prawda! ma życie ostre kolce swoje —
Prawda! dość kryje też trucizny w głębi
Druzgoce skrzydła i uczucia gnębi
I na ustawne naraża nas boje.

Prawda to wszystko... Prawda i to niemniej,
Że chwilka szczęścia nim otuchę wleje,
Niknie już w chmurach, że sny i nadzieje
Mgła trosk pokrywa wciąż ciemniej i ciemniej.

Prawda to, ani nikt z nas nie ma prawa
Łzy, lub westchnienia piętnować pogardą.
Lecz stokroć chwały godzien ten, co hardo
Do walki z wrogim sobie losem stawa.

Sztuka-ż bo roić czarodziejskie baśnie,
Stawiać na lodzie wspaniałe budowy
I w nich ideał wznieść sobie cukrowy,
I śpiewać o nim aż słuchacz-nie... zaśnie?

Jeśli zaś lada szpileczka ukole,
Albo przydrożny kamień nogę zrani,
Widzieć się zaraz w Dantejskiej otchłani
I Prometejskie czuć w swem łonie bole?

Bywały czasy, gdy to uchodziło.
Gdy opiewany nieszczęsny królewic
Zyskiwał współczucia łzy u pięknych dziewic,
Przeto, że nie mógł złączyć się z swą miłą.

Dzisiaj ta bajka ludzi już nie wzrusza,
Świat dzisiaj inne wziął sobie zadanie,
Niż śledzić co się z kochankami stanie,
Czy znajdzie Numa swego Pompiliusza.

Za wiele ma on aktów w swojem biurze,
Które pospiesznie załatwić potrzeba;
Ma sprawy swoje, ludzkości i nieba
Treścią i formą tak, jak on sam duże.

Więc zamiast włóczyć się po piekle z Dantem,
W pracy on zapał zużywa młodzieńczy
Całkiem też słusznie, bo któż go wyręczy?
Sam koncepistą jest i sam mundantem.

Nieustająca zatrudnień kaskada
Winna, jeżeli petycyj miliony,
Któremi wciąż go zarzucają „strony“
Ciska w kosz, albo „adacta“ odkłada.

Ani też pieśń go gorzka nie pokona —
Pieśń, ciskająca nań przekleństw pioruny
Za rozpostarte nad życiem całuny,
Za pokrwawione bez przewiny łona.

Bo, kiedy burze do okoła ryczą
Do jego uszu czyż ona doleci?
Dzielnych szermierzy słucha on nie dzieci,
Za karmelkową płaczących słodyczą.

St. Rossowski.

Młodzieńcze utwory

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

szkic przez

Z. G.

(Ciąg dalszy.)

Zresztą ocena cnót i wad odbywa się w zakresie moralności rycerskiej, nakazującej posłuszeństwo Bogu i jego sługom*) królowi**), miłość ojczyzny***), sprawiedliwość****), męstwo*), miłość sławy**), — a u wszystkich

*) Herman 53.

**) ibd. 114.

***) ibd. 37. 40

****) ibd. 41. 158.

*) ibd. 86 i w in.

**) ibd. 65. 69. 179. — Reichst. 18. 83.

poddanych — dochowanie wierności. Co zaś jest złem, możemy poznać z dwóch postaci „Władysława Hermana“, skupiającej w sobie przewrotność szatańską i psią podłość, tj. z Mestwina i Skarbimira. Pierwszy człowiek nic ludzkiego w sobie nie mający, wciąż szepce do ucha Zbigniewowi o postępowaniu skrytem, o drogach krzywych (udawać przed ojcem niewinnego nie brać ślubu z Aurą) — doradza i wykonuje zdradę; mord (np. księdza lub Gierdy) jest dlań igraszką „Zgwałciłeś wszystkie obowiązki człowieka i sługi“ mówi doń Hanna cnotliwa. Skarbimir zaś jest uosobieniem chciwości, skąpstwa i tchórzostwa. Pierwszy jest w kole rycerskiem zbrodniarzem, drugi przestępcą.

Treść tych powieści jest bardzo prosta. „Grób rodziny Reichsthalów“ czyni zabójcę Wallensteina mścicielem za ukochaną kobietę i siostrę, o której poślubienie ks. Frydlandzki niegdyś się był pokusił i przywiódł ją do zażycia trucizny. Osnowę Hermana stanowi również wojna o kobietę — Hannę z Ciechanowa, narzeczoną Mieczysława (syna Bolesława Śmiałego), którą porywa syn Hermana, Zbigniew i bierze z nią ślub potajemny. Mieczysław z wojskami koronnemi oblega zamek Zbigniewa; ani wdanie się srogiej głowy kościoła, ani ojca a króla nie przynoszą pożądanej zgody. Podczas ciągłej walki w zamku toczy się inny dramat. Mestwin, rycerz Zbigniewa, zapłonął miłością ku pani; odtrącony przez nią podstępnie wzbudza w panu swoim zazdrość o dawniejszego zalotnika i z jego wolą na pojednawczej uczcie obojgu zadaje truciznę. Zdrada odkryła się przez germka, który był w niej używany za narzędzie; zbrodniarz ukarany raną śmiertelną i całodziennym konaniem.

Wiele jest nieprawdopodobieństw, wiele oznak naiwności fantazji. Ale wiele też rzeczy uderzających w utworze młodzieńca. Naprzód dramatyczność. Mało opisów pośrednich charakterystyka zawarta w słowach i działaniu. A co za obfitość osób w takim Hermanie, do tego osób o różnych twarzach, każda ma własną indywidualność. Świętobliwy a ostry „anioł pokoju“ Stefan biskup, cnotliwa i kochajaca Hanna, wierna Katarzyna, słaby król Władysław; dumny do próżności a wojowniczy do zwady Sieciech, — ogładzony bywalec a łowca zapalony Wolimir z Moskorzewa, wielki sokolnik, z sokołem na ręku, z sokołami na ustach, — zawalidroga Krystyn — to jest grono charakterów jasnych i spokojnych. Obok tego pyszne różnicowanie w charakterach ciemnych: od Giełdy, który był bezwiednym mieczem, od Ulrycha złego przez przywiązanie do pana, aż do Skarbimira i do „przewyższającego zbrodnię szatanów“ *) Mestwina. Obok nich słaby Zbigniew, złożony z porywów szlachetnych, rycerskich — i zbrodniczych — wypływających z dumy. Pośród akcji pierwotny charakter utrzymuje się i przez cały jej ciąg nie doznaje skazy.

Drugiem znamieniem tych powieści jest u młodzieńca niezwykła — tragiczność. Serca nie zaspokojone w uczuciach dodatnich (Allan, Zbigniew), życia zwichnięte, śmierć wszystkich (w Grobie Reichsth.) lub większej części bohaterów tworzą tło stosowne do pessymistycznego aforyzmu: „Szczęście jestto marzenie, szczęście, nierozsądny, szalony był, kto pierwszy wyrzekł to słowo...“

Jestto napis u wrót życia Krasińskiego, przypominający Dantejskie: Lasciate ogni speranza. „Od lat dziecinnych, — pisze w liście z 9 lutego 1836 — natchnął mnie szatan, nie anioł stróż mój. Zawsze pękające serca, przeklinające same siebie cisnęły mi się pod pióro“ **). Nakoniec w romansach tych znajdujemy jak w rozwoju embrjonu wiele zarysów tych kształtów, które się pojawią w organizmie dojrzałym. Wallenstein dumny i chciwy potęgi rozszerzony pojawi się jako Pankracy. Allan poświęcony zemście — to Irydjon zmiejszony w celu i środkach. Mestwin nie klękający przed Bogiem*), nie wierzący w cnotę**), nie znający wyrzutów sumienia***), „srogi, okrutny z przyrodzenia, obca istota na ziemi“ ****), nie może przypomnieć sobie „żadnego czynu, żadnego słowa, żadnej myśli, co by go obronić mogła przed sądem Boga“ *****); to nie człowiek, to jeden z młodszych braci Massynissy.

Albo te białe gołębice, cnota i miłość sama, Minna i Hanna, co wypalają się jak kadzidło, jak kwiat rozgniatany stopą ludzi i łamany powiewem lasów — odrodzą się później w świetnych postaciach męczennic: Żony, Elsinoe, Kornelji i dziewicy w Nocy Letniej. Nawet postaci drugiego rzędu: Ojciec Chrzestny, Grimhilda, mają tu swoich poprzedników w Skarbimirze i Fatymie.

Ale romansy te są tylko egzaminami kształcącego się ucznia, który w bardzo krótkim czasie widzi sam wszystkie braki i błędy własnych zadań. Od Reichsthalów do Hermana już był znaczny postęp w stylu i sposobie przedstawienia. A o Hermanie sam wyraża się w liście z 26 maja 1832. r. w następujący sposób: „Uważam go za płód dzieciństwa, gdzie kilka iskierek, ledwo że tleją wsród perzyny i gnoju“.*) Co autor nazywał iskierkami, trudno wiedzieć; mybyśmy chętnie za perły uznali opis śmierci Katarzyny (str. 258) albo hallucynacje Zbigniewa (str. 226 i 7): — pierwszy ustęp odznacza się stylem, drugi psychologiczną prawdą.

(C. d. n.)

*) Herman 233.

**) Listy (1882) str. 75.

*) Herman 136.

**) 168. 138.

***) 233.

****) 290.

*****) 292.

*) Por. list z 30 kwietnia 1837: „Nazbyt w kapliczce gotyckiej (mowa o Hermanie) długie korytarze psujące ogólny rozmiar“.

Przegląd literacki.

(Historja narodu polskiego 1863 i 1864 r. tomów 2. księgarnia polska Lwów 1882).

Walka o wolność, gdy się rozpoczyna
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna,
Sto razy wrogów zachwiana potęgą
Skończy zwycięstwem...

Giaur.

Rozpoczynamy jednem z mottów, które autor leżącego przed nami dzieła, na czele swej księgi położył. Rozbój dziejowy popełniony w II. połowie XVIII. stulecia, nie mógł pozostać bez czynnego protestu, a dalszy ciąg tego rozboju objawiający się w uciemiężaniu ujarzmionego ludu musiał wywoływać usiłowania płonne wprawdzie ale nie bezskuteczne: dłoń niewolnika wyciągnięta ku niebu błagalnie, to miecz Damoklesa, który prędzej czy później ostrzejszym się okazać musi, aniżeli w Szylerowskiej baladzie. Rozbiór Polski starano się usprawiedliwić rozmaitemi teorjami zarówno sofistycznemi, jak nędznemi; rzeczy to nie zmieniało, zwłaszcza że zarzuty dawnej Polsce czynione, obwiniające ją o bezrząd dowolność szlachecką, panowanie jezuitów poddaństwo włościan i t. p. były albo niesłuszne, albo też dałyby się w równej mierze przeciwko zaborcom skierować,

Reakcja uciśnionych rozpoczęła się na polu reform społecznych. Przerwał je gwałtowny wybuch listopadowy, którego niepomyślny rezultat wywołał znowu na długie lata apatją ogółu. Żywsza, czynniejsza część narodu dała wtedy początek tej smutnej,

boleśnej, a jeszcze niedospiewanej na karcie dziejów Odysei, którą zwiemy emigracją polską.

Emigracja ta skierowana głównie do Francji, wypiastowała na swem łonie ważne czynniki, tak jasnym potem w dziejach powstania lśniący blaskiem: czynnik demokratyczny. I tak już w r. 1832 zawiązano w Paryżu Towarzystwo Demokratyczne Polskie, którego promienie w najdalsze zakątki kraju sięgały. Potęga Towarzystwa rosła przedewszystkiem w jego znakomicie obmyślonej organizacji. Manifest tegoż w r. 1836 wydany jest nader cennym dokumentem, a o wartości jego świadczy już ta okoliczność, że cała demokracja europejska z prawdziwą czcią przed nim czoła uchyliła.

Propagandę demokratyczną rozpostarto wkrótce na Poznańskie i Galicją, a młodzież z całym zapałem rzuciła się do jej krzewienia. Z pola teoryj przeszła propaganda wkrótce na pole praktyczne. W r. 1844 zawiązuje się w Poznaniu komitet centralny mający kierować ruchem zbrojnym. Naglony przez niecierpliwych naznaczył on termin powstania na 21 lutego 1846, ale wykrycie spisku i aresztowanie głównych konspiratorów nie dopuściło wybuchu. Tym sposobem cała praca zginęła bezowocnie w samym związku.

Reakcja, która zapanowała w Europie po wysiłkach rewolucyjnych 1848 i 1849, osłabiła wiarę patrjotów. Dopiero wojna Wschodnia 1853 obudziła go ze snu, do czynnego jednak wystąpienia poruszyć go nie była w stanie.

Kiedy w maju 1856 Aleksander II przyjechał do Warszawy wyrobiła mu wieść o mających nastąpić łaskawych dla Polaków nader serdecznie przyjęcie. Niestety illuzje te rozwiały się wkrótce — „Wszystko, co mój ojciec zrobił dobrze zrobiono, rzekł car. Panowanie moje będzie dalszym ciągiem jego panowania“. Trudno było wobec słów tych polepszenia jakiego wyczekiwać

W braku wszelkiej narodowej instytucji objęło Towarzystwo rolnicze ster społeczny nad królestwem Polskiem. Umiało ono rozbudzić pod pozorem ekonomicznej pracy patrjotyzm, do czego przyczyniła się też niemało literatura, tak świetnie podnosząca narodowe tendencje w utworach Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Syrokomli, Korzeniowskiego i wielu innych. Pierwsze zapowiedzie nowej burzy pojawiły się oczywiście wśród młodzieży mianowicie akademickiej, która zamanifestowała swe przekonania obchodami świąt narodowych w Krakowie i Warszawie. Rozwiązanie Towarzystwa rolniczego przełamało nakoniec cierpliwość ciemiężonego narodu; zgromadzenie ludu na placu Zygmuntowskim dnia 8go kwietnia 1861 zostało przez wojsko przy barbarzyńskiem użyciu broni rozpędzone... Zasługa tego bezprzykładnego gwałtu cięży na pamięci hr. Wielopolskiego, który doradzając rządowi rozwiązanie Tow. Roln. stał się moralnym sprawcą mordestwa. Manifestacjom nie położyło ono jednak końca. Zjazd Horodelski egzekwie Lelewela i Kościuszki były protestem przeciwko coraz dzikszym repressiom jakich się Rosja dopuszczała. Zamknięcie kościołów dolało oliwy do ognia. Rzucono się do organizacji, nie pomijając także wojska, którego znaczny kontygent dostarczała młodzież polska. Zamach na Konstantego nie osiągnął celu; wydał nawet zupełnie odmienny skutek. Cała legalna prasa potępiła z oburzeniem wystrzał Jaroszyńskiego. Była to dla Wielopolskiego najdogodniejsza chwila. Gdyby mniej pychy i pogardy dla ruchu narodowego okazywał, a mocniej stanął na gruncie polskim, kto wie, czyby pod presją przestrachu sfer rządowych nie wyjednał był przy swem wpływie — ulgi dla Kongresówki i nie zapobiegł tym sposobem strasznej katastrofie. Tymczasem stało się inaczej i rząd nakazał brankę, która miała usunąć wszystkich „podejrzanych“ a na którą „komitet centralny“ odpowiedział świetnie wystylizowaną „odezwę do narodu“ (z 12 października). Przeszło tysiąc spisowych uciekło przed poborem do lasów sąsiednich, organizując się pod przewodnictwem wspomianego Komitetu w zawiązek siły zbrojnej.

Wobec ucisku rządowego niepodobna było zwlekać. Dnia 22 Stycznia nastąpił wybuch, poczem ogłoszono dyktaturę naczelnego wodza Mierosławskiego. Postawa włościan, z początku nieprzyjazna, zmieniła się w wyczekującą, nie umiano jednak wyzyskać jej i to jeden z najgłówniejszych błędów ruchu narodowego z r. 1863. Uległszy konstytucji musiał Mierosławski wyjechać na jakiś czas w Poznańskie, a przeciwne im stronnictwo dokonało oddania dyktatury w ręce Langiewicza. Po kilku niepomyślnych potyczkach, widząc trudność swego położenia, zamierzał on udać się w Lubelskie przez Galicją, został jednak przez Austrjaków pojmany, którzy go w jednej z twierdz morawskich osadzili.

Tymczasem zaczęły się już i mocarstwa troszczyć sprawą Polski Przebiegły car uprzedził podanie kolektywnej noty gabinetów francuskiego, angielskiego i austrjackiego, ogłaszając dnia 13 kwietnia amnestją wszystkim tym, którzy do 13 maja złożą broń. Ogłoszenie to przebrzmiało bez skutku. Wciągnięta do powstania Litwa dostarczyła nowego materjału bojowego, a żołnierz powstańczy teraz właśnie wykazał znakomitą waleczność w bitwie pod Ignacewem (8 maja) tamże 10 czerwca, pod Kleczewem, Bubskiem, Ostrowcem i td. Nie brakło jednak i klęsk, z których największą poniósł Czachowski pod Ratajami (11 czerwca). Zdawało się nawet, że nadzieje tem więcej znajdują teraz uprawnienia, zdołano bowiem rozbudzić ruch także na Białej Rusi ogłoszeniem t. z. Złotej Hramoty. Francja nie szczędziła głębokiego współczucia, ale pomimo gabinetowych układów nie zdołała nic dla Polaków wyjednać. Rozjuszony rząd rosyjski rzucił się do wyrafinowanego barbarzyństwa nasyłając Murawiewów, dopuszczając się niebywałych okrucieństw. Ciągłe te zawody poczęły nareszcie osłabiać wiarę narodu i zaufanie jego do przewódzców. Tymczasem ukonstytuował się rząd nowy, tak zwany „rząd terrorystów“ którego najważniejszym czynem był nieudały zamach z 19. Września na życie Berga. Powstani coraz bardziej utracało siły do oparcia sie przemocy; odbierając ciągle klęski spieszyło szybkim krokiem ku upadkowi; ściśnięte wreszcie obręczem bagnetów przytuliło się do chat wieśniaczych i tu niebawem ostatecznie stłumionem zostało.

Oto w najogólniejszych rysach przebieg wielkiej tragedji krwi i rozpacznego szarpania się niewolnika ze swym katem. Znać ją to obowiązek Polaka ale znać dokładnie; bo któż nie zasłuchał się i nie nagadał lekkomyślnych na ten smutny temat komunałów? Dzieło, którego wątku użyliśmy do niniejszego sprawozdania jest pierwszem, obejmującem w dość szczupłych stosunkowo ramach całokształt ruchu narodowego z r. 1863. Skreśliła je widocznie spokojna ręka, wolna od drgnień nerwowych i namiętnych porywów przy podobnej pracy nie rzadkich... Autor nie źle a dokładnie, jasno i przedmiotowo rzecz i zapatrywanie swoje rozwija i w tem główna jego zasługa. Ta przedmiotowość umożliwia dysputę w jednej z najdrażliwszych narodowych kwestji tembardziej, że do dysputy dzieło samo pole nastręcza; zdaniem naszem jednak jeszcze na nią dziś zawcześnie, przedmiot za świeży, dziejowa perspektywa za mała... Na tem miejscu zamierzyliśmy jedynie przypomnieć książkę niewątpliwie ciekawszą od wielu innych

współczesnych a wiele mniej od nich głośną. Sam egoizm, dobrze zrozumiany własny interes moralny, ambicja wreszcie winne nas skłaniać do zaznajamiania się z dziełami, które jak „Historja powstania styczniowego“ traktują o przedmiocie nieschodzącym niemal z porządku dziennego dyskussyi a w swej istocie tak mało znanym.

En.

ALONZO CANO.

nowella z życia artysty.

Wolny przekład z niemieckiego.

(Ciąg dalszy)

A pod balkonem tymczasem pod zasłoną laurowych zalusi stał ulubieniec mistrza Cano-Don Fernando Pereda. Pochodził on z starożytnej szlacheckiej familii, zupełnie jednak zubożałej, Litując się nad smutnem położeniem młodzieńca, przyjął go Alonzo w dom swój, w którym też w krótce stał się Pereda ulubieńcem wszystkich.

Codzienne obcowanie z lubą małżonką swego dobrodzieja nie było bez wpływu na ogniste serce młodego artysty.

Rozgorzał gorącą miłością ku pięknej kobiecie, zbliżającej się doń zawsze z szczerą życzliwością i uprzejmością. Na próżno starał się w dumaniach bezsennych nocy, skłonny w najczarniejszych odmalować sobie barwach; jedno przypadkowe zetknięcie się oczu jego z cudownym wzrokiem Eleonory, wszystkie piękne postanowienia smutnie obmyślane środki obrony w niwecz obracało.

I tego wieczora, jak każdego innego stał on oparty o dom, śląc gorące spojrzenia ku balkonowi, gdzie pani jego serca dumała. Ale w duchu jego wrzała dzika walka, niebezpieczny pojedynek dwu przeciwnych sobie żywiołów: pochłaniającej wszystko, namiętnej miłości, z wzniosłem poczuciem obowiązku wyrzeczenia się tego zakazanego owocu. Nagle ukazała się postać negra na balkonie... cichem westchnieniem cofnął się Fernando pospiesznie w kaktusowe krzewy . . . .

II.

Umrzeć z miłości
Jak ta śmierć miła!
Być w zapomnieniu
Czyż jest to życie?
Lepiej zaginąc
W zaciszu skrycie
Niż nie znać czem jest
Miłości siła“

Śpiewał głos męski silny a dzwięczny i czysty. Szczęśliwy a zazdrości godzien jego właściciel, starannie ciemnym płaszczem otulony stąpał wąską bocznicą nad Manzanares w kierunku pałacu nadwornego artysty Alonza Cano Ujrzawszy jednak, że bałkon już zamknięty, zniknął bez szmeru. . . . .

Rozpaczliwy do szpiku kości przejmujący krzyk obudził z pierwszego snu służbę domową. Służba męska pospieszyła natychmiast na 1. piątro, a za nimi strwożone dziewczęta. Na czele biegł Migmel i Rosita. Poczciwa staruszka ledwie zdołała zdążyć za szybkonogim negrem. Mignel, z gorejącą lampą w ręku był pierwszym, który stanął na miejscu, ale z przerażenia cofnął się ujrzawszy, co się dzieje. Z dzikiem obłąkanym wzrokiem, blady, jak upiór z włosami w nieładzie na czoło spadłymi, stał Alonzo u wejścia do sypialni. Mężczyźni bez namysłu dobyli sztyletów i otoczyli don Alonza Milczący zerwał się tenże nagle i dał znak, aby za nim się udali.

Ostrożnie przekroczyła gromadka próg komnaty. Co za okropny widok! donna Elwira, od wszystkich tak ukochana i wielbiona, leżała trupem u nóg rozrzuconego łóżka, z głęboką raną w odsłoniętej piersi. Długie pasowanie się ze śmiercią zmieniło do niepoznania piękne rysy młodziuchnej kobiety, dniem przedtem jeszcze tak jasne, urocze...

Podziwiany, uwielbiany kwiat leżał pomięty i zniszczony u stóp służących. Z dzikim okrzykiem boleści rzucił się Don Alonzo na zwłoki swej małżonki i tysiącznymi pocałunkami okrywał jej blade oblicze, jak gdyby pragnął swym żalem skostniałą do życia przywrócić. Trzech najsilniejszych mężczyzn zdołało ledwie z największym wysiłkiem szalejącego od trupa oderwać.

Rosita klęczała w jednej z nisz komnaty, szepcąc na pół bezwiednie pacierz za pacierzem. Służba natychmiast ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, wszystko najstaranniej przeszukała. Ale bezskutecznie. Bogate klejnoty zamordowanej leżały nietknięte na stole; najmniejszej drobnostki nie brakowało. Jednomyślnie więc powzięto mniemanie, że nie dla rabunku morderstwo spełnionem zostało.

Wypadek ten poruszył cały Madryt. Wszędzie w najwyższych i najniższych sferach. sprawę tę rozbierano.

Mimo najstaranniejsze jednak i najostrzejsze śledztwa, nie zdołano znaleść najmniejszej nawet wskazówki, któraby do odkrycia śmiałego zbrodniarza prowadziła. Wszystko było bezowocnem, gdy nagle rozbiegła się między ludem pogłoska, jakoby mordercę Elwiry, w osobie jej męża szukać należało. Wedle opowiadań służby miała miejsce poprzedniego poranku między młodym małżeństwem sprzeczka, nawet przyszło do żywszej kłótni, po której Alonzo w gniewnym stanie dom opuścił. Owej straszliwej nocy znaleziono go krwią zbroczonego z obnażonym mieczem w dłoni, w drzwiach sypialni małżeńskiej. Czy podobne fakta nie musiały na pewne domysły naprowadzać.

Kto był autorem tej wieści nie wiedziano. Nikt zresztą tak dalece się o jej źródło nie troszczył. Rzucone podejrzenie wystarczyło najzupełniej dla mas, niecierpliwie wyglądającej rozwiązania tak ciekawej sprawy. Teraz mógł już niejeden tę lub ową ciemną stronę jasno, jak na dłoni sobie przedstawić; dziwiono się nawet, jak można było tak być niedomyślnym. I tak rozeszła się po całem mieście wiadomość: Alonzo Cano nadworny malarz i architekt króla Filipa Czwartego zamordował własną żonę.

(C. d. n.)

Kronika naukowa.

(Wytapianie żelaza z rud).

(Ciąg dalszy).

Z zaprowadzeniem ogrzanego powietrza spożytkowanemi zostały palne gazy, wydzielające się z wielkich pieców.

Ścieśnione powietrze wprowadzane jest do wielkiego pieca przez pewną liczbę otworów, zrobionych w ścianach dolnej części pieca. Z chwilą wprowadzenia ścieśnionego powietrza rozpoczynają się procesy chemiczne, rozpoczyna się wydzielanie żelaza z rud, rozpoczyna się bieg pieca.

Główną składową częścią powietrza jest tlen. Węgiel w przystępie tlenu spala się; produktem spalenia jest dwutlenek węgla, który przy zetknięciu się z rozpalonym węglem łączy się z nim, tworząc tlenek węgla. Miejsce, w którem następuje zupełne spalenie się węgla, ma najwyższą temperaturę i nosi nazwę ogniska wielkiego pieca.

Licznemi doświadczeniami stwierdzono, iż temperatura w ogniskach wielkich pieców wynosi od 2000 do 2500° Celsjusza; im jest twardszy materjał palny, im do wyższej temperatury ogrzane jest powietrze, tem więcej wzrasta temperatura w wielkim piecu. Konieczna ilość tlenu może być wolniej lub prędzej do pieca dostarczaną, od tego zależy wolniejszy lub prędszy proces chemiczny, a tem samem bieg wielkich pieców. Wytworzone produkty spalenia w postaci gazów, wywołują swemi własnościami chemicznemi najważniejsze procesy, a wreszcie spełniwszy swą rolę, jako już zbyteczne, uchodzą w powietrze. Znowu wiedza chemika ma pole do działania: chwytać uchodzące gazy, a z dokonanych rozbiorów przekonać się, czy w zupełności spełniły swe zadanie, czy i dlaczego są jeszcze w nich użyteczne w hutnictwie części składowe. Gdy w początku bieżącego stulecia zwrócono uwagę na gazy palne, wychodzące z górnych otworów wielkich pieców, zwolna zaczęto ich używać jako materjału opałowego. Następtwem coraz bardziej rozwijającej się chęci zużytkowania tych gazów było wynajdowanie środków, by gazy opanować i nie dozwolić im uchodzić bezpożytecznie w powietrze. W tym celu urządzono rozmaitej konstrukcji przyrządy, służące do chwytania gazów, przystąpiono wreszcie do zupełnego zamykania górnych otworów.

Po przedstawieniu zewnętrznego i wewnętrznego kształtu pieca, pomówimy o zmianach, jakim podlega stały materjał wsypany do wielkiego pieca, obniżając się coraz niżej, aż w końcu w surowiznę i żużel przeprowadzonym zostanie. Gdy ruda, topnik i materjał opałowy są odpowiednio przygotowane, a piec po wysuszeniu i wygrzaniu gotowy do rozpoczęcia kampanii, wówczas następuje napełnienie pieca. Ponieważ wysokość wielkich pieców jest znaczna, poziom otworu którym się sypie materjał do przerobu leży znacznie wyżej od poziomu, na którym znajduje się materjał do przerobu przygotowany; do podnoszenia, więc materjałów używane są przyrządy mechaniczne. Materjał opałowy i przetworowy sypie się w odpowiedniej konstrukcji wózki i po kolejach żelaznych dowozi do wielkiego pieca. Po napełnieniu i puszczeniu wiatru, rozpoczyna się bieg pieca, a o ile materjału przetworowego w piecu ubywa, o tyle się materjałem opałowym i odpowiednią ilością rudy zasyca, tak, iż piec w każdej chwili musi być napełnionym.

Wielki piec puszczony w bieg, ciągle bez przerwy czynnym być powinien, wszelkie stagnacje szkodliwy wpływ wywierają; jednakże w nieprzewidzianych wypadkach działanie pieca może być wstrzymane przez szczelne zamknięcie wszystkich otworów do pieca: wówczas proces palenia ustaje, żadne zjawiska chemiczne nie odbywają się; po usunięciu przeszkód zwolna ściśnione powietrze puszcza się do pieca, a działania się rozpoczynają.

Obniżająca się warstwa materjału przetworowego podlega działaniu coraz wyższej temperatury, przebywa część pieca zwaną przygotowawczą; tu uchodzi woda hidroskopijna i chemicznie złączona, uchodzi także dwutlenek węgla, produkt staje się porowatym, miękkim, część siarki znajdująca się jużto w rudzie, już w paliwie, zmienia się w dwutlenek siarki, który także z gazami uchodzi.

Poniżej części przygotowawczej następuje warstwa redukcji; żelazo występujące w rudzie w połączeniu z tlenem, w obecności czynnika redukcyjnego, jakim jest tlenek węgla, ustępuje swojego tlenu, redukuje się, przechodzi w czyste metaliczne żelazo, które poniżej chciwie łączy się z węglem, przechodząc nową warstwę nawęglania. Czynnikami, wywołującemi nawęglanie żelaza są: węgiel, węglowodory, a głównie cyjanowodor i związki cyjanowe, jak cyjanek potasu. Przy nawęglaniu żelazo przybiera tyle węgla, ile zwykle w stali go znajdujemy, stal dopiero przychodzi przez dalsze nawęglanie w surowiznę; na tej to zasadzie polega mozność wytwarzania stali wprost z rud. Nawęglone żelazo staje się łatwiej topliwem i przechodzi warstwę topliwości, tu zaczyna panować najwyższa temperatura; przy opadaniu topiącej się masy inne składowe części wraz z topnikami działają wzajemnie na siebie żelazo wydziela się w postaci kulek i opada. Ostatni proces chemiczny odbywa się w warstwie spalenia, utlenienia, zajmującej przestrzeń od poziomu form, do wysokości w której dwutlenek węgla podlegać zaczyna rozkładowi na tlenek węgla; panuje tu najwyższa temperatura; jaką w wielkim piecu otrzymać możemy od 2200 do 2500° Celzjusza. Żelazo nawęglone, surowizna zbiera się w skrzyni pieca, a od wpływów utleniających zabezpieczone jest warstwą płynnego żużla, jaki go pokrywa.

Inne, towarzyszące pierwiastki, a głównie krzemionka, wapno, glina łączą się wzajemnie, tworząc płynną masę, którą odpowiednim otworem ciągle wydziela się na zewnątrz pieca.

Po zebraniu się większej ilości surowizny w piecu, wypuszcza się ją na zewnątrz co pewien — z praktyki wiadomy — przeciąg czasu. Chwila wypuszczenia surowizny z pieca jest najważniejszą czynnością robotników piec obsługujących; chociaż przy systemie ulepszeń we wszystkich kierunkach prowadzenia pieca i wypuszczanie surowizny odbywa się obecnie nader łatwo, jednak, że zastosowanie tych ulepszeń jeszcze jest świeże, a czynnności wypuszczania surowizny, dokonywa zwykle jeden ze starszych robotników, przywykły do dawnych rutyn, nic więc dziwnego, że jeszcze obecnie przystępują do tej czynności z pewnego rodzaju namaszczeniem, z obawą, by wpływająca surowizna, ziejąca ogniem, tym żywiołem zniszczenia, nie stała się przyczyną nieszczęścia; to też rozpoczynają czynność tę ze znakiem wiary. Robotnik drążkiem żelaznym przebija glinę, zatykającą otwór do wypuszczania żelaza, a surowizna wypływa z pieca Surowizna płynie żłobkiem wyrobionym w piasku do odpowiednio przygotowanych form. Czarujący przedstawia widok ognisty strumień, z którego koloru i z iskier, wydzielających się przy wypływie surowizny, specjalista hutnik wnosi o gatunku otrzymanej surowizny. Taką to drogą otrzymuje się żelazo, złączone w wysokim stopniu z węglem, surowizną zwane.

Ściany wielkiego pieca, wewnątrz których długo działania się odbywały, ulegają zniszczeniu, wytopieniu się, rozmiary pieca zmieniają się, następstwem tego bieg pieca staje się anormalnym, a otrzymywana surowizna nie odpowiada korzystnym warunkom ekonomicznym następuje więc zdmuchanie wielkiego pieca, to jest zupełne zawieszenie jego czynności.

(Dokończenie nastąpi).

ZIANRKA.

Czytamy w „Kurjerze lwowskim" Wystawa obrazów Jana Malczewskiego potrwa tylko do wtorku, poczem cenne płótna utalentowanego naszego malarza pojadą jeszcze na krótką wystawę do Przemyśla, — a stamtąd niektóre z nich, te co są cenzuralne, udadzą się do Warszawy, inne zaś wró-

cą do Krakowa. W Przemyślu wystawa ich otwartą zostanie w przyszłą sobotę.

Przy tej sposobności zanotujemy rys pewien, charakteryzujący estetyczne popędy naszej młodzieży.

Do miasta przybyły obrazy, przedstawiające temata wzięte z dziejów martyrologji naszego narodu. Krytyka dziennikarska z rzadką u nas zgodą oświadczyła, że z obrazów tych bije wielki talent. Wśród naszego całego ogółu, nie umiejącego rozmawiać wcale, albo rozmawiającego tylko o pogodzie i — skandalach, obrazy te wyjątkowym sposobem stały się tematem dyskusyj w salonach i w buduarach, na wielkich recepcjach i w ciasnych kółkach.

Wśród takich warunków przypuszczasz oczywiście czytelniku, że młodzież uniwersytecka, ten kwiat narodu, ta przyszłość nasza, ta jedyna nasza nadzieja, z zapałem pospieszyła oglądać te dzieła sztuki, natchnąć się ich myślami, pokrzepić ich widokiem swego ducha; że wśród niej potworzyły się obozy, spierające się o każdy szczegół, że w jej czytelni były już o tych obrazach odczyty, spory, starcia etc

Jeżeli tak przypuszczasz kochany czytelniku, to jesteś bardzo naiwny, a na oczach nosisz kataraktę ułudy. Pozwól więc że ci ją zdejmiemy i powiemy ci, że przedsiębiorca posłał do Czytelni akademickiej 100 biletów na wystawę za połowę ceny, a dotąd jak nam doniósł, sprzedał ich zaledwie 20. Zatem na kilkuset studentów naszego uniwersytetu znalazło się zaledwie 20, którzy pomiędzy festynami a uroczemi marzeniami na temat suplentury i dependentury, znaleźli chwilkę czasu, którą poświęcili sztuce.

A może są oni tak biedni, że nawet 15 ct. na opłacenie wstępu nie mają...

ZAPISKI.

Literatura.

* Najnowsze prace historyczne wysłużonego profesora dr. Marońskiego w Pelplinie. Prof. dr. fil. Maroński, dla słabości zdrowia stosunkowo dość wcześnie przeniesiony w stan spoczynku, odzyskawszy siły, uprawia długo odłogiem leżącą niwę historję Słowian zachodnich. W „Bibljotece Warszawskiej“ zostały w ostatnim czasie następujące jego prace wydrukowane:

2 „Słowianie Meklemburscy“, około cztery arkusze druku.

2 „Rozbiór Libri' Benetictiorum Jana Łąskiego“ około 5 arkuszy druku.

3 „O założeniu Biskupstwa Lubelskiego„ półtora arkusza druku.

Wkrótce w wspomianem piśmie perjodycznem ogłoszone zostaną.

1 „Obraz ekonomiczno-statystyczny Polski w wieku 16-tym“, na podstawie Libri Beneficiorum Łaskiego około 2 arkusze druku.

2 „Prymas Łaski i zatarg Krzyżacki“ około 6 arkuszy druku.

W niemieckim języku ogłosił drukiem:

2 W „Altpreussiche Monatschrift“: „Einige linguistisch-historische Bemerkungen und Excurse anlässlich der Schrift Philipi's, Die von der Marwitz“ około 2 arkusze druku.

2 W „Zeitschrift des Westpreussichen Geschichts Vereins“ „Herodot's Gelonen keine preussisch-litauische Völkerschaft„ około cztery arkusze druku.

Może jeszcze w końcu bieżącego roku wyjdzie z druku w Warszawie znakomite dzieło p. prof. Marońskiego, zapowiedziane już dawniej w „Pielgrzymie“ pod tytułem: „Meklemburgja słowiańska. To dzieło było początkowo obrachowane na 10—12 arkuszy druku i miało w Pelplinie być drukowane. To dzieło zawierać będzie 30—36 arkuszy druku.

Inna znaczniejsza praca historyczna p. Marońskiego już też w rękopiśmie prawie ukończona. Treść jej: „Polska za czasów Ludwika Andegawczyka 1370—1382“. Jak wiadomo, panowanie tego króla sprowadziło zupełny przewrot w stosunku króla do szlachty w Polsce.

* W Oranie rozpoczął wychodzić dziennik z tendencją antysemicką p. t. „L'Anti Juif.

* „Gazeta Narodowa“ umieściła w fejletonie fragment p. t. „Temat do powieści“ pióra naszego współpracownika J. Estwoyna.

* „Kurjer lwowski“ rozpoczął w odcinku druk noweli p. t. „Małaszka“, napisanej z wielkim talentem przez p. Zapolską.

Teatr i muzyka.

* Pani M. Sembrich zawarła umowę z amerykańskim impressariem Ahhay na przyszły sezon. Słynna śpiewaczka otrzyma 450.000 franków za 58 występów. Wszelkie wydatki przyjął na siebie impressario. W r. b w Ameryce znajdować się będą wszystkie znakomitsze śpiewaczki: Patti, Sembrich, Gverster, a nawet Krystyna Nillson, dziś już głosu pozbawiona, świetne w Ameryce robi interesa

* W ubiegłym tygodniu wydarzyła się straszna katastrofa w teatrze Victoriahall w Sunderland. Na przedstawieniu przeznaczonem dla dzieci miano rozdawać przy końcu nagrody. Mnóstwo dzieci na galerji bez dozoru zostawionych poczęło się cisnąć, przyczem udusiło się około 200, tyleż zaś ciężko pokaleczyło.

* Kantatę dla dzieci na uroczystość jubileuszową Sobieskiego pisze p. Wład. Bełza, muzykę zaś p. Mikuli.

* Gounod pisze drugą część swojego oratorjum „Zbawienie“, zamierzając ukończyć je przed przyszłą uroczystością muzyczną w Birminghamie.

Sztuki piękne.

* Rybkowski, jak donosi „Allg. K. Chr.“ pracuje obecnie nad nowym obrazem, który przedstawia jarmark w Galicji.

* Z Krakowa. Na zebraniu komitetu jubileuszu Matejki z d. 1. czerwcu, postanowiono uroczystość tę odroczyć do września. Jest to postanowienie całkiem właściwe, we wrześniu bowiem przypada obchód odsieczy wiedeńskiej, zjazd literacki, Kraków zapełni się wtedy licznemi gośćmi z różnych stron Polski, jubileusz więc będzie mógł przybrać szersze rozmiary i wypaść prawdziwie świetnie.

Franciszek Mayer, profesor szkoły przemysłowo-artystycznej w Karlsruhe wydał znakomity zbiór monumentów artystycznych pt.: „Ornamentale Formenlehre“. Całość zamyka się na 300 tablicach i zawiera podstawy (motywa) ornamentu zbiór form geometrycznych, roślinnych etc. tudzież wybór rozmaitych rodzajów

* Koło literackie krakowskie oświadczyło się na ostatniem posiedzeniu za postawieniem] pomnika w rynku.

* Senior malarzy belgijskich Ferd. Brakeleer zmarł w Ausralii licząc lat 91.

* Ponowne widowisko jubileuszowe dla Żółkowskiego odbyło się w teatrze Wielkim w dniu 18. czerwca.

Od Administracji.

Z numerem dzisiejszym kończy się drugi kwartał naszego wydawnictwa.

Upraszamy P. T. Prenumeratorów o **wczesne odnowienie przedpłaty.**

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Ziarna“ przy ul. Halickiej l. 46.

Treść.

Autor „Marzycieli“ Ostatni Szaraczek (c. d.)
St. Rossowski: Ból życia,
Z. G.: Młodzieńcze utwory Zyg. Krasińskiego.
Przegląd literacki.
Alonzo Cano, nowella (c. d.)
Kronika naukowa.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Od Administracji.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 26. We Lwowie dnia 30. Czerwca 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: **Bolesław Spausta.** Redaktor odpowiedz.: **Bolesław Czerwieński.**

Prenumerata na „Ziarno“
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1\frac{1}{2}$ arkusza. Adres redakcji i administrac
„Drukarnia Dziennika Polskiego“ Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

OSTATNI SZARACZEK

powieść

osnuta na tle stosunków galicyjskich z przed r. 1848

przez

autora „Marzycieli“

(Ciąg dalszy).

XIX.

Pan Jacenty nie przeżył nieszczęścia, które Bóg na niego zesłał. Trzeciego dnia po pożarze, para koni wiozła go na miejsce wiecznego spoczynku, a dzwony kościoła biły w niebo żałośnie, prosząc najwyższą sprawiedliwość o odpuszczenie grzechów zmarłemu.

W orszaku pogrzebowym prócz Hilcia i Zosi w czerni, widać było hrabiego, mandatarjusza, ekonoma, który od czasu do czasu rękawem oczy sobie przecierał, udając, że płacze, kilku z drobnej szlachty okolicznej i wszystkich panów Bereźnickich z dziećmi i żonami.

Jakkolwiek zagroda pana Jacentego w ustroju społecznym stała wyżej niż chaty szlachty czynszowej, stanowiąc główny szczebel między niemi a dworem, i jakkolwiek z tego powodu rodzina nieboszczyka mogła się już zaliczać do arystokracji, wieś nietylko krzywem okiem na nią nie patrzyła, przeciwnie była nawet temu rada, że między Bereźnickiemi znalazł się przecie jeden, który innych przewyższył znaczeniem i majątkiem. Nie mniej dumni byli panowie bracia z pokrewieństwa, które ich z rodziną Jacentego łączyło, to też przy każdej sposobności chętnie się na nie powoływali.

Teraz nadarzyła się sposobność okazania czynem tej życzliwości. Panom Bereźnickim nie było potrzeba tego przypominać. Ponieważ sieroty zostały bez dachu, więc każdy starał się im być w czemś pomocnym. Ci przyjęli do swoich stajen uratowany dobytek, tamci przyrzekli zwieść materjał, gdy pan Hilary zacznie się odbudowywać, inni zobowiązali się dostarczyć robotnika bezpłatnie. Prócz tego kobiety znosiły im wiktuały, a wójt odstąpił dwie izby w swoim domu, aby w jednej brat mieszkał, w drugiej siostra.

W nieszczęściu jakie ich spotkały, poczciwa ta życzliwość była im pociechą i osłodą.

Gdy pan Hilary przyszedł do pałacu podziękować hrabiemu, że ich ratował z narażeniem zdrowia własnego, (o czynie największym, o caleniu Zosi, Hilcio nic nie wiedział) ten rzucił mu się na szyję i jak dziecko zapłakał.

Mimo że się urodził z matki dumne i zimnej; mimo że od pierwszej młodości wychowano go na pana, który na ludzi niżej od siebie stojących miał pogardliwem okiem spoglądać, Lolo kierując się dobrem sercem, był przystępnym dla wszystkich, a dla tych, których raz pokochał nie umiałby się zmienić. Prawdziwie też był szczęśliwy, że stosunki między nimi zerwane, napowrót się nawiązały.

— Wiem, jak ci ciężko — mówił — więc jeżeli pozwolisz, będę ci pomocnym. Drzewa weź sobie z lasu, ile potrzebujesz, w cegielni mam ponoś kilka tysięcy cegieł dobrze wypalonych, które ci wystarczą na piece i kominy, a co do pociągów, zaraz polecę Krukowskiemu, by ci ich tyle dostarczał, ile zażądasz.

— Najserdeczniej ci dziękuję, ale chwilowo nie będę jeszcze z twojej dobroci korzystał. Zima za pasem, trudno zatem myśleć o budowaniu. Chybabym dopiero po śniegu zaczął ściągać materjał.

— Rób jak chcesz, tylko pamiętaj, że masz we mnie prawdziwego przyjaciela.

Hrabia mówił jak myślał, ale pan Hilary Bereźnicki już mu tak nie ufał jak dawniej: Chociaż dotąd nie podejrzywał go o występne zamiary względem Zosi, i propozycję Krukowskiego uważał za dzieło samej hrabiny, przecie chciał od Lola trzymać się jak najdalej, by ani jego zbytecznie

nie ośmielić, ani sobie nie ubliżyć. Ubliżyłby zaś niewątpliwie, jeźliby z rąk tego, w którym Zosia się kochała, dobrodziejstwa przyjmował. To też mimo że wprost nie odmówił, w duchu powiedział sobie, że z jego łaski nie będzie korzystał i z tem postanowieniem do domu wrócił.

Przed wójtowstwem zastał sędziego, jak z założonemi w tył rękami, przechadzał się głęboko zamyślony. Zobaczywszy młodego człowieka, wziął go pod ramię i do ogrodu zaprowadził.

— Wiesz mój Hilciu — rzekł — jak cię kocham... spodziewałem się nawet, że połączymy się jeszcze ściślejszemi węzłami, i mam w Bogu nadzieję, że to przecie kiedyś nastąpi, to też muszę cię ostrzedz jak ojciec, że ci grozi nowe nieszczęście, może nawet większe niż wszystkie dotychczasowe.

— A to jakie?

— Przed godziną otrzymałem rozkaz z cyrkułu, żeby cię tamże odstawić jako popisowego. W prawdzie ja tego nie uczynię, choćbym miał dekret stracić, ale ty musisz coś radzić.

— Co? Ja popisowy? A odkądże to szlachta polska ma iść do wojska? Jeszcze czego brakowało! Bereźnicki z Słupskiej urodzony ma być żołnierzem.

— Ależ mój drogi, ja nie twierdzę, by tak koniecznie być musiało. Uczciwość tylko kazała mnie ciebie ostszedz, co też uczyniłem, atoli nie wątpię, że jak sam do cyrkułu pojedziesz, i legitymacją się wykażesz...

— Chryste Panie! — pan Hilary z najwyższym przerażeniem zawołał — nasza legitymacja spalona!

Sędzia smutno głową potrząsł.

— Spodziewałem się tego — rzekł — zapewne miałeś ją w komorze.

— Nie, z dziada pradziada trzymaliśmy ją w skrzyni na strychu; komu tam mogło było wpaść na myśl, żeby ją ratować.,. To był sądny dzień, panie sędzio! — Ale mniejsza oto, jakoś to jeszcze będzie! dodał odwagę odzyskując — na legitymację są sposoby Przecie cała Bereźnica, na której jest przeszło sto pargaminów, to krewni nasi, a jeżeli i to nie pomoże, udam się do Stanów! Chciałbym tego widzieć, ktoby Bereźnickiemu, którego Słupska rodzi, ośmielił się szlacheckiego klejnotu odmawiać!

— I ja tak sądzę, mój Hilciu, że ci go nikt nie odmówi, dla tego im prędzej pojedziesz do cyrkułu, tem lepiej dla ciebie i dla mnie.

— Po co mam jechać do cyrkułu?

— Rzecz przecie prosta mój Hilciu. Starosta kazał mi ciebie odstawić, więc według wszelkiego prawdopodobieństwa, jeżeli do jutra tego nie uczynię, przyjdą tu landsdragoni. Aby więc skandalu uniknąć, lepiej zrobisz, jeżeli do cyrkułu sam pojedziesz, gdzie się łatwo wytłumaczysz. Tak, tak, Hilciu, jedź póki czas, i jeżeli możesz, poproś pana hrabiego, by cię odprowadził.

— A to na co?

— Bo djabeł nie spi mój kochany. Kto tam może wiedzieć, co staroście na nos wsiadło, a taki hrabia ma zawsze u niego znaczenie... Zresztą kto wie, czy niema tu w grze jakiej denuncjacji, którą należałoby wyjaśnić.

-- Denuncjacji?! -- zawołał w czoło się uderzając — zgadłeś panie sędzio! To ten łotr ekonom, przypuszczając, że mi się legitymacja spaliła, denuncjował mnie jak chłopa prostego... Kto wie nawet, czy on sam mnie nie spalił! Już ja tego dojdę! Jeszcze dziś pojadę do starosty, powiem mu jak rzeczy stoją i nie wątpię, że będzie dobrze. Dałbym gardło, że to ten rozbójnik Krukowski mści się teraz za swoją skórę, którą mu popsułem.

— Bardzo być może — sędzia odpowiedział — chociaż bez dowodów nie godzi się posądzać.. Jedź więc Hilciu w imię Boga i szczęśliwie wracaj jak najprędzej... A nie zapomnij prosić pana hrabiego, by ci towarzyszył.

— Jeszcze czego brakowało! Niby to ja sam nie potrafię sobie dać rady. Przecie prawda jasna jak słońce, więc na co mi tu protekcji, za którą potem trzeba by być wdzięcznym... Pojadę sam i to dziś jeszcze, a jutro da Bóg doczekać, zagramy sobie taroczka.

Napróżno sędzia usiłował mu wytłumaczyć, że protekcja nieraz więcej może, niż sprawiedliwość. Pan Hilary ufny w swoje prawa, odjechał pod wieczór do Stryja głęboko przekonany, że do dwudziestu czterech godzin wszystko wyświeci i załatwi.

Sędzia jakkolwiek nie należał do złych ludzi, rad był w głębi duszy, że Hilcio ma nowe kłopoty, odkąd bowiem pogorzał, nie był już stosowną partją dla jego córki. Teraz nadarzała się sposobność do wycofania z układów, i tego pan sędzia szczerze pragnął.

— Nie zły chłopiec — myślał sobie do domu wracając — ale nie wiele można się po nim spodziewać. Zawadjaka, awanturnik, łaskę pańską ma sobie za nic, jakby nie wiedział że pokorne ciele dwie matki ssie. Radziłem mu po przyjacielsku, żeby hrabiego poprosił o protekcję, kiedy jednak nie chce, niech sobie sam przypisze następstwa! Wezmą go do wojska, nie moja będzie wina; nie wezmą i każą mu się o legitymację postarać, przez dłuższy czas będzie w ciągłej obawie, a wtedy trudno mu dać córkę... Zresztą Horcia nie byłaby szczęśliwą z takim awanturnikiem. Bo naprzykład, czy godzi się tak rzucać podejrzeniami To ten łotr Krukowski zrobił! Być może, ja nawet sam w to wierzę, bo Krukowski to szubiennik, ale trzeba się za tanowić, że Krukowski jest w wielkich łaskach u pani hrabiny, podejrzenie więc na niego rzucone, byłoby dla niej obrazą... Nie, jak widzę z tego Hilcia nic nie będzie, to nie dla Horci partja. Niech mu Pan Bóg dopomaga, ale nam niech da pokój.

XX.

Pan Hilary przenocowawszy w oberży pod „Czarnym orłem“ wstał rano, ubrał się przyzwoicie, poszedł na mszę świętą do fary, a gdy godzina dziesiąta na wieży wybiła udał się do cyrkułu. Serce mu trochę biło, ale nie bardzo. Sprawa jego była tak czysta, że nie potrzebował niczego się obawiać. W owych czasach, szlachta była wolną od wojska, a pan Hilary Bereźnicki czyż mógł przypuścić, by mu na swiecie śmiał kto szlachectwa odmawiać?

Po długich wypytywaniach, stanął wreszcie przed panem starostą, który jak pasza trząsł obwodem. Starosta pisał i dłuższy czas udawał, że nie widzi stojącej przy drzwiach postaci. W końcu podniósł lewą ręką okulary, które na garbatym nosie spoczywały, i ku drzwiom się obracając, zapytał po niemiecku:

— Kto tam?

Hilcio odpowiedział tym samym językiem, innego bowiem w urzędach nie było wolno używać, jak się nazywa zkad i poco przychodzi.

— Beresznicki, Beresznicki — Niemiec powtarzał, przerzucając papiery, które przed leżały. Nie musiał jednak znaleść, leść, gdyż po niejakim czasie zadzwonił.

Weszła figura sucha, na nogach cieniutkich, jak dwie laski, z twarzą ogoloną i pomarszczoną, w mundurze wytartym i zgięta pokornie·

— *Was befehlen Herr Kreishauptmann?* — zapytał nowo przybyły.

— *Herr Kanzelist, bringens mir den Fascicel B!*

Kancelista wyszedł na palcach i w minutę przyniósł żądany fascykuł. Starosta zaczął znowu szukać. Cały ten czas pan Hilary stał jak przed rusztowaniem. Dopóki

nie wszedł do tej kancelarji ponurej, był odważnym; odkąd ujrzał przed sobą figury, nie mające z pewnością więcej serca, niż te akta, które dokoła leżały, zrobiło mu się najpierw duszno, potem zimno; teraz, gdy starosta, w którego rękach jego losy spoczywały, papiery przerzucał, uczuł szum w uszach, w oczach poczęło mu migotać, i cały pokój ze wszystkiemi szafami i samym panem starostą puścił się w tany dokoła jego osoby.

Do przytomności przywołał go nowy głos dzwonka. Wszedł ten sam kancelista; starosta coś mu do ucha powiedział. Nie trwało kilka minut, a za plecami Hilcia pojawiło się dwóch landsdragonów, w kaskach i przy pałaszach.

— Więc pan się nazywasz Hilary Beresznicki i z Beresznicy pochodzisz? — starosta zapytał głosem syczącym, wpatrując się przenikliwie w biednego chłopca.

— Tak jest — brzmiała krótka odpowiedź.

— I byłeś w szkołach w Przemyślu, z kąd przed półtora rokiem uciekłeś przed długami?

— Tak jest, panie starosto.

— Z chłopów pochodzisz?

— Nie, ze szlachty.

— Gdzie legitymacja?

— Ligitymacji nie mam, bo mi się spaliła przed kilku dniami,

— Ładne szlachectwo! — zadrwił starosta.

Panu Hilaremu krew do głowy uderzyła.

— Jestem szlachcicem — zawołał — bo jak świat swiatem żaden jeszcze Bereźnicki nie był chłopem! Poświadczy to cała wieś nasza, a jak potrzeba to i Wysokie Stany!

— *Halts Maul*! — wrzasnął starosta.

Pan Hilary nie dał się jednak zastraszyć.

— Jestem szlachcicem — mówił śmiało dalej, — a ponieważ Najjaśniejszy Pan wszystkim sprawiedliwość wymierza, przeto do niego apeluję.

— *So? Abscheeren den Kerl!*

Nasz przyjaciel nie widział więcej starosty, ani głosu jego nie słyszał. Zaledwie słowa złowrogie przez usta mu wypadły, landsdragoni prawie na rękach Hilcia wynieśli, bo znowu zaczął tracić przytomność i po niejakim czasie wprowadzili go do izby ciemnej i wilgotnej, w której przy stole kilku wojskowych siedziało.

Tu zaczęto go rozbierać. Nie wiedząc co się z nim dzieje, poruszył się automatycznie i pozwalał z sobą robić co chcieli. Nie wiedział, kiedy stanął pod miarą, nie słyszał jak zawołano: *tauglich!* i ani czuł kiedy mu włosy obcięto. Dopiero gdy jakiś kapral trącając go rubasznie zawołał: „No, ubieraj się ty ścierwo rekruckie!“ wzdrygnął się i oprzytomniał: Biedny Hilcio ujrzał przed sobą granatowe spodnie i białą kurtkę, zwaną „kabatem“ które teraz miał ubrać. Odtąd był więc żołnierzem!...

Ile w tej chwili wycierpiał, tylko ten zrozumie, kto w życiu swojem doznał wielkiej niesprawiedliwości. Być na mocy ustaw państwowych człowiekiem wolnym i uważał się od dziecka za takiego, a w skutek samowoli urzędników utracił tę wolność prawie na całe życie, bo na lat kilkanaście. Zaiste było to wówczas coś tak okropnego, że ludzie dzisiejsi tego sobie nawet wyobrazić nie mogą. Dziś gdy wszyscy służą, wojskowość, tak samo jak pobyt w szkołach jest uważana za konieczność, więcej lub mniej przyjemną, ale przed laty trzydziestu kilku, każdy, kogo los zmusił do służby w szeregach, że służba wojskowa w tedy długo trwała, niechęć ku niej może jeszcze bardziej to potęgowało, że oficerowie Niemcy, bez miłosierdzia prześladowali wszystkich Słowian, bez względu czy nimi byli Polacy, Czesi, Rusini, lub Kroaci. Armia miała być na wskróś niemiecką, to też każdy, kto nie był Niemcem, był jak pies traktowany. Oficerów zaś nie Niemców prawie całkiem nie było. Szlachta będąc wolną, nie szła dobrowolnie do wojska, a chłop ciemny nie mógł marzyć o złotych gwiazdach. Wielkie to już było szczęście dla niego, jeżeli po kilkunastu latach służby został podoficerem.

Ujrzawszy się w mundurze, Hilcio myślał z początku że oszaleje. Powoli jednak brała nad nim górę rozwaga, którą Bóg człowiekowi zawsze wtedy zsyła, gdy mu jest najniezbędniejszą. Rad nie rad zaczynał się więc oswajać z nowem położeniem, zwłaszcza, że jako człowiek ze szkołami mógł łatwo zostać oficerem i potem kwitować. Już obliczał kiedy to w najlepszym razie nastąpi, gdy przed oczyma jego duszy Zosia stanęła. Co się z nią stanie? Bez dachu i mienia, obok człowieka, którego kocha, a który jest hrabią, czegoż może się spodziewać? Chyba upadku i hańby! Chwycił się za głowę i jak szalony chciał rzucić się o ścianę izby, w której siedział z innymi żołnierzami, gdy go ktoś za ramię przytrzymał.

— E! *dajte pokij* — przemówił opiekun nieproszony — bo sobie tylko *hołowu* skaleczycie, a *zautra* pan lajtnant każe was za to odprowadzić do stokhauzu i *dadut fünfund zwanzig* jak jeden grejcar!

Te słowa oblały go jak zimną wodą. Spojrzał na mówiącego. Był to człeczyna wzrostu miernego, krępej budowy, o twarzy pospolitej, chociaż nie bez inteligencji w oczach.

— Wy Rusin? zapytał.

— Ta Rusin, z Kropiwnika, Ilko Hołub.

— A służycie oddawna?

— Trzecią zimę nieuroku... a mam *uże* dosyć *toho*, aże człowika *knochy bolat! Dajte kamrad* pokój *tomu* bo *bude schlecht!*

Żołnierz, któremu ojczysty język ruski, z polskim i niemieckim tak się pomięszał, że teraz już sam nie wiedział, jakim właściwie mówi, miał minę tak poczciwą, a ton głosu tak przekonywający, że pan Hilary uznał za stosowne pójść za jego radą i zaniechać usiłowań samobójczych.

Usiadłszy na tapczanie, który odtąd miał być jego łóżkiem, schował głowę w dłonie, i jak dziecko zaczął płakać.

— Te! kto widział *puskaty* takie komedje! — Ilko znowu przemówił. — Dla *żołnira te no prystoit*. Hołowu *immer* do góry i *ne robyty* sobi *nichst draus. Ot lipsze wypuciujte sobi bagneczajku* i *felcis spakujte*, bo *pozautri musym wyrukowaty*, *a zautra* rano *bude* rewizja, a potem na *dorohu pidem chlib fasowaty.*

— Gdzież pójdziemy?

— *De? ta do Ołumunci... Treba łesze pamiętaty*, żeby wszystko było *in Ordnung*, bo jak nasz pan leitnant zobaczy jaki *neporidok* w *Kleinigkeitach*, to zaraz do *sztokhauzu posyłaje*. O! pan lajtnant *duże* zły!

— A jak się nazywa?

— Jak? *A ditko jeho tam znaje!...* Poczekajcie... aha! prawda... Pan lajtnant Moritz Schuster.

Hilcio skoczył na równe nogi.

— On, tu?! — zawołał.

— A bo co? może wy jeho znajete? Oj! toby *duże dobre buło, bo to wełyka hulunka*, ta może *byś te* nam *szczo pomohły. Każut ludc*, że on *deś* w Przemyśli chodził do szkoły, ale jakiegoś studenta zabił czy *szczo*, ta jemu insze studenty za to *szkiru poderły. Win wzieł na ambit i pisał* do wojska, a że się *wstydał stawiaty* w swojej *Wehrbecyrci, ta pryszow aże tu* do Stryja, i za *rik* został leitnantem. A jaki *z neho pan!* On szczo deń chodzi ze starostą pod *paszki*, a pałaszem to sobi *troby* dzeń!

Więc na domiar nieszczęść, Hilcio musiał tu jeszcze spotkać Maurycego Schustra!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z poematu „Nędza".

Nie powstała z róż i brzasku,
Jej fanfara nie dzwoniła,
Jej nie pieścił puch gagaczy —
A w najbledszej gwiazdy blasku
Czarna dola ją rzuciła
Na żywota szlak tułaczy.

Jej nie dano strojów lśniących —
Ona z włosów ma koronę
I ma atłas z krwi i kości,
A w jej oczach wciąż płonących,
Jak pragnienie utajone
Szkli się wilgoć zmysłowości.

Ona czasem niewidziana,
W swej dzikości trwożna prawie,
Gdy kościelne ave dźwięczy,
Jak pod skrzydłem pelikana
W katedralnej klęczy nawie,
Nic nie mówi, tylko klęczy.

Czasem rzewna a tłumiona
Błyśnie łza, jak perła droga,
Którą wiatr wieczorny zetrze,
Gdy szkarłatne słońce skona —
Ona wtedy szuka Boga,
Tego co jej dał powietrze.

Nikt nie powie, zkąd się wzięła,
Kto jej mannę składa w darze,
Szare płótno kto wyprzędza —
Czy ją puszcza wyzionęła,
Czy urosła na bulwarze —
Dość, że nosi imię: Nędza!

Chociaż kształt jej rozkosz żywa
Winna zdobić w strój weselny,
Gdy do tańca arfy brzękną —
Nędza była nieszczęśliwa,
Miała bowiem grzech śmiertelny,
Ten, że była bardzo piękną...

W. Stebelski.

Młodzieńcze utwory

ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

szkic przez

Z. G.

(Ciąg daiszy.)

Wkrótce po napisaniu Hermana zaszły znane wypadki, których ostatecznym końcem był wyjazd Krasińskiego za granicę. Sąd sejmowy, w nim opozycja jenerała, pogrzeb prezesa Bielińskiego, podczas niego Zygmunt sam jeden na wykładach obecny. Za karę młodzież uniwersytecka pod przewodem Leona Łubieńskiego zdziera z niego studenckie odznaki, między kolegami obrońców miał tylko dwóch: Konstantego Gaszyńskiego*) i Konstantego Danielewicza**). Zdarzenie to, w którem młody poeta uczuł się najniesprawiedliwiej posądzonym, utwierdziło go w nabytem już dawniej przekonaniu o niesfornosci mas bez kierownictwa, stało się dlań przykładem rządu demokracji***). Usunął się z uniwersytetu i wkrótce potem wyjechał za granicę, w towarzystwie nauczyciela Jakubowskiego i służącego Lintnera (Jana?). List z 10 listopada 1829 opisuje przyjazd do Genewy****).

W r. 1830 pisze tamże: Zawiszę, który go kosztował dużo pracy*), jednakowoż przysłany do Warszawy w drodze zaginął**); powiastki: „Teodoro król borów",***) i „Zamek Wilczki",****) warjanty na temat Grobu Reichsthalów, i list do Bonstettena o literaturze polskiej. Zamieszczony w Bibliotheque Uniwerselle de Geneve.

Przelotna miłość do Angielki Henryki skończyła się jej wyjazdem. Lato r. 1830 zapełniają dwie wycieczki w góry; pierwsza naokoło Mont-Blanc z Jakubowskim i Reevem od 2. do 11. sierpnia*), w dzień powrotu poznanie się z Mickiewiczem, który robi na nim wrażenie człowieka trzeźwego i rozsądnego, innego, niż go sobie wyobrażał. Druga w Alpy Berneńskie z Jakubowskim, Mickiewiczem i Odyńcem od 14 sierpnia do 1go września**), Wrażenie spisuje w dzienniku, w listach, czasem w notatkach Odyńca***). Podczas drugiej wycieczki w góry, 19go sierpnia, w Interlaken, napisał „od czterech miesięcy ciężącą na sercu" pierwszą rozprawą quasi-filozoficzną p. t. „Ułamek z dawnego rękopisu słowiańskiego" ****).

Urywek ten jest wielkiej wartości dla poznania umysłu autora w chwili gdy wzlanie do samodzielności, do tworzenia sobie wiar transcedentalnych, i to tem cenniejszy, że jak poeta w nim o sobie powiada, przystępując do zagadnienia wahał się co do rozwiązania, dopiero rozstrzygnął je rozwagą i uczuciem. Jest to dowód wyrzeczonego przez kochankę w chwili rozstania zdania, że dusze miłujące się za życia spotykają się po śmierci. Zdanie to zawiera więc w sobie kwestję zagrobowego życia ducha.

Punktem wyjścia jest miłość dla kobiety. Uczucie to nieuchwytne, nieograniczone, wymazujące z pamięci wszystkie inne, ze wszystkich możenajsilniejsze, chętnie nazywa się wiecznem, nieskończonem*). A jeśli zostało nagle zakłócone rozstaniem się, jeśli człowiek ów ma silną pamięć uczuć, — a to właśnie było cechą poetycznego gienjusza Krasińskiego, wówczas szukać może zaspokojenia na jednej tylko drodze — marzenia. Nasz poeta jest w tym przypadku; miłość rozpiera mu serce, nadzieję swoją zawiesza w niebiesiech, w życiu nieznanem, nieśmiertelnem ducha. Siła uczucia w danej chwil prowadzi do złudzenia wiecznotrwałości w czasie.

„Mój wzrok teraz dosięgnąć cię nie może, lecz myśl ciągle ulatuje w około twej duszy, jak gwiazda przyciągnięta siłą słońca swego. Wzrok mój zagaśnie kiedyś, lecz myśl nie zaprzestanie kolistego biegu i nic jej od obranego raz środka oderwać nie zdoła". I tak tworzy sobie pojęcie ducha po oderwaniu od ciała, mające za treść to, co było

---

*) Listy (1882) str. 5. 172.

**) A. E. Koźmian loc. cit. 29. Pisma (1880) I. 121.

***) Spasowicz Historja literatury polskiej Warszawa 1882 str. 458.

****) B. T. loc. cit. str. 80

*) Kronika Rodzinna 1877 str. 308.

**) Tarnowski loc. cit. V. W Listach do Gaszyńskiego (str. 15) tak o nim się wyraża: "To głupie dzieło, pełne szumu, i bez myśli, bez znajomości rzeczy.

***) Druk w Noworoczniku Warszawskim.

****) Pamiętnik dla płci pięknej 1830, w Warszawie. Patrz B. T. XVIII.

*) Augusta z nudów w dolinie Chamouny pisze wiersze „pierwsze w życiu" (Kron. Rodz. 1877 str. 308), ma zamiar posłać je Gaszyńskiemu. Pokazał je Odyńcowi, ten uznał je za „koszlawe i chropawe". ale zawsze „z myślą, poetyckim zapałem i barwnością", (Listy z Podróży). Gaszyńskiemu więc zapewne ich nie posłał; dopiero w liście z 12go czerwca 1836. pisanym do niego znajdujemy wiersz znowu z tym dodatkiem „pierwszy w życiu" (str. 83)

**) Marszruta według Odyńca: 14go wyjazd nocleg w Montreux. 15go góra Cent de Jaman, nocleg w Chateau d'Oex 16go (deszcz) — 17go do Thun. 18go z Thun do Interlaken. 19go (daszcz) — 20go Gieszbach, dolina Lauterbrunnen. 21go tamże. 22go Wengern Alpy, dolina Grindel-wald. 23go wieś Meiringen w doiinie Hasli. 25go Grimsel, spadek Aary. 26go Turka, Andermatl. 27go Altorf, Vierwaldstättersee. 28go Rigi. 30go Lucerna. 31go wyjazd z Lrcerny. 1go września do Berna i Gienewy.

***) Z zapisków powstały później „Ułamki z podróży po Szwajcarji i Włoszech" B. T. LXI. Kron. Rodz. 1877. 309 Tarnowski Y. Listy (1882)15.

****) Odbito w drukarni Banku Polskiego w Warszawie 1830.

*) „Uczucie raz wlane w duszę zaprzestać swych postępów nie zdoła".

dłań najsilniejszem — pamięć wstrząsających uczuć. Nie jest to dusza Hellenów, dusza mająca krew i ciało, która zapomniawszy o życiu ziemskiem dawniejszem, drugą fazę takiego samego życia rozpoczyna tylko ze zmianą miejsca i z tą różnicą, że nie jest już mieszanym smutkiem i weselem — jak na ziemi — lecz skupieniem trudów lub rozkoszy, według zasługi, Tartar lub Elysium. To było pojęcie ludzi szczerze przywiązanych do życia, którym uczucie zajmowało piękno w jakiejkolwiek formie i według niego tworzyło sobie niebiosa. Tem mniej jest to dusza chrześćjańska, posiadająca jedyną tylko żądzę — oglądania Boga, i etyczną wartość — która wpływa na jej zadowolenie lub niezaspokojenie, nagrodę lub karę. To jest pojęcie ludzi zagłębionych w mysli o osobistym Bogu, pałającym pragnieniem oglądania jego oblicza. Pojęcie ducha u Krasińskiego jest pojęciem romantyka XIX wieku, stawiającego na ołtarzu swojim namiętność. A cóż jest dowodem jego tezy. Ustępy zawierające argumentację dadzą się sprowadzić do jednego zdania: — to, że czuję, spodziewam się, przeczuwam. „Tak jak czuję że zginąć nie mogę, tak również czuję, że połączę się z osobami mnie drogimi". Bezpośrednie poczucie jednostki — zwykły sprawdzian prawdy idealistycznych metafizyków.

Ale kiedy nam opowiada, jak czuje i przeczuwa, wówczas zyskujemy w wyznaniu jego, ścisłem i suchem — cenną samoobserwacją psychologiczną. Najpierw o pamięci uczuć: „Można zapomnieć (naturalnie nie jest to zdanie ogólne, lecz subjektywne spostrzeżenie) o zdarzeniu, osobie, o miejscu, zaciera się w naszym (tj. mojim) umyśle po czasie skała stercząca nad równiną, łąka umajona kwieciem, liście drzew jedne po drugich spadają, uniesione wiatrem niepamięci, szum fal jeziora słabieje i ucisza się w końcu, spiew ginie rozproszony po szerokich błoniach wyobraźni, rysy omdlewają po długiem niewidzeniu, oko żywe błysk swój traci stopniowo, uśmiech ust coraz mniej wyraźnym się staje. Wszystko, co uderzyło naszą źrenicę przeznaczone jest mniej więcej zapomnieniu. Wszystkie obrazy zdobne w początkach — tęczy farbami, podobnie jak tęcza rozpływają się w przestworze i giną. Lecz uczucia, które duszy nieśmiertelnej wzrok ściągnęły, namiętności, które przymieszały się do jej bytu i ściśle się znią połączyły, nigdy już zamrzeć nie mogą".**) Zdolność ta, jeden z najgłówniejszych warunków poetyckiego talentu, tłómaczy u Krasińskiego prawdę namiętności we wszystkich jego pismach, we wszystkich jego postaciach.

Powtóre pomiędzy rozumowaniem rękopismu słowiańskiego daje nam poznać skład swej wyobraźni, pełen tłumnych, częstokroć utajonych skojarzeń, które wydają się jakby nie były własnej myśli ciągiem, nazywa je przeto przeczuciem i przypisuje działaniu krążących w otoczeniu duchów, tym razem znowu nadając pojęciu bezcielesnej duszy zwyczajny podkład zmysłowy. Spotykaliśmy już tę wiarę we „Władysławie Hermanie" (str. 211.) znajdujemy ją w „Ułamku" (wyd. B. T. str. 35), a później w Agaj-Hanie (Pisma wyd. 1880. I. str. 69. 85-6).

„Przeczuwamy przyszłe zdarzenie, zdaje się nam, żeśmy niewidomem otoczeni pasmem z żywych, niepojętych istot, wśród jasności i milczenia zlewają się w nasze serca dziwne uczucia, podobne do wywartego wpływu n i e z n a n e j p r z y c z y n y. Wtenczas najmniejszy szelest ściąga naszą uwagę; liść wiatrem kołysany, kamyk zsuwający się z brzegu natęża nasze ucho. Dlatego, że się co chwila spodziewamy jakiegoś głosu, (Wrażliwość!), bo w łonie czujemy myśli nie nasze, przeczucia cudzą siłę w okręg działań naszego umysłu popchnięte, a zwyczajem świata nauczeni łączymy wyobrażenie dzwięku z wyobrażeniem myśli. Lecz istoty wywierające wpływ niepojęty dla nas, nie mają już głosu. S a m e m i j u ż t y l k o s t a ł y s i ę m y ś l a m i". Jasnem jest że niczem więcej nie są.

Cała więc teorja wypływa z kipiącego uczuciem serca, siłą uczucia się potwierdza opiera się na przeczuciach. Wyjaśnione pojęcie uczuciowego indywidualizmu abstrakcyjnego ducha skłania go później do odrzucenia panteizmu „żyda wisielca Spinozy". Poeta nie chce byśmy „błazna bylimi dni kilka", „b e z w i e c z n e j i n d y w i d u a l n o ś c i". „Poezja moja i każdego (list z 1836. r.), to to, że był kiedyś gdzieś, i że będzie kiedyś gdzieś, ale ten sam, on, on zawsze, czy na ziemi, czy na jakimś komecie, czy w raju, czy w piekle, czy w czyśccu, czy na polach Elizejskich, czy na Walhalli, byleby to on był, on! Bez tego już mi i o c z y m o j e j k o c h a n k i, już mi i promienie słońce nie miłe".***)

Co do niego samego, to jego duch raz pragnie się połączyć z Henryką, to znowu z Delfiną Potocką (wiersz „Po śmierci" 1840 r.). Ale jeśli przeczucie jego ma przed sobą zadowolenie, wówczas nie czuje potrzeby przenosić się w błękity — te mu się wydają zbyt spokojne, zimne, i szczęście swe ludzkie ziemskie, przekłada nad szczęście aniołów („Do Aniołów" 1840 r.). (C. d. n.)

**) Ciekawe jest zestawienie ze ś w i a d o m ą samoobserwacją psychologa o podobnym ustroju wyobraźni — a mianowicie Taine'a („O inteligencji" w przekładzie warszawskim str. 61): „Co się mnie tyczy, to posiadam zwyczajną pamięć kształtów, pamięć barw w cokolwiek wyższym stopniu. Przypominam sobie po upływie kilku lat łatwo 5 lub 9 odłamków jakiegoś przedmiotu, ale jego dokładnego i zupełnego zarysu nie pamiętam etc. Jedna tylko rzecz odtwarza się we mnie nienaruszenie i całkowicie, tj. dokładny odcień wzruszenia (emotion-uczucie) jako to: przykrę, czułe dziwne, słodkie lub smutne, które kiedyś towarzyszyło lub nastąpiło po wrażeniu zewnętrznem i cielesnem. W ten sposób mogę odnowić sobie przykrości lub przyjemności najbardziej powikłane i najdelikatniejsze z najwyższą dokładnością i po długim przeciągu czasu".

***) Listy (1882) str. 73 i 83.

„Illegitimi Thori".

Szkic powieściowy

przez

J. Estwoyna.

(Ciąg dalszy).

W kilka dni potem pan Kazimierz zachęcony przez ciocię, — z którą się zdybał był gdzieś w mieście czy kościele — ponowił swoją bytność w domu państwa Wilskich.

Tym razem już został i na wieczór, przy której sposobności poznał również pannę Karolinę. Jak się spodziewać tego można, zyskał w niej odrazu gorliwą adherentkę i odtąd miał dla swoich — na razie ukrywanych jeszcze — zamysłów dwie protektorki, z których każda z innych pobudek i bez wzajemnego porozumienia się, rzec można mimowiednie, inną przyjęła rolę a obie do tego samego celu zmierzały — rychłego wyswatania Małgosi panu Kazimierzowi.

Ciocia oczywiście była jego uczestnikiem gorącym wobec brata i bratowej, panna Karolina znowu usiłowała zwolna i zręcznie usposabiać korzystnie Małgosię dla „pięknego Kazia". To też przy każdej sposobności, jedna i druga muiały rzucić jakieś słówko pochlebne na rachunek pocztmistrzowicza, nie pomijając niczego, co mogło ująć dlań serca rodziców i dziewczyny.

O ile jednak ciotka szczęśliwą była w swoich zabiegach, i w jakiś czas rodziców Małgosi, a szczególnie matkę, zupełnie już uznawała przygotowaną do dalszej akcji —

o tyle orędownictwo panny Karoliny było zawsze jeszcze bezskuteczne.

Ilekroć obydwie w rozmowie, umyślnie przez pierwszą nakierowanej, przyszły do pana Kazimierza, entuzjazm nauczycielki widocznie nie udzielał się elewce; Małgosia nie zaprzeczając młodemu człowiekowi, wielu zalet pod względem powierzchowności i ogłady towarzyskiej, zresztą nie zdradzała ani odrobiny jakiegoś zajęcia się nim szczególnego. Co gorzej, widząc pewną systematyczność w wywoływaniu i prowadzeniu dyskusji ze strony panny Karoliny, od niejakiego czasu formalnie unikała bytności z nią sam na sam.

Czyż mogło być inaczej, gdy w sercu jej panował wszechwładnie i niepodzielnie obraz Jędrusia? Nie taiła się już przed sobą z tem wcale, że biednego, a tak poczciwego i przystojnego przytem kocha nad życie i przysięgła sobie w duchu chyba, że niczyją nie będzie, jeśli jego za zgodą tatki i mamy nie poślubi. Jedno ją tylko trochę gniewać zaczynało, mianowicie, iż dotychczas prócz ukradkowych pełnych uwielbienia i uczucia dla niej spojrzeń, innego znaku wzajemności nie widziała z jego strony. Tłumaczyła to sobie potroszę w ten sposób, że Jędruś zajmując w ich domu rolę guwernera, pod obuchem panujących przesądów, bez kwestji obawia się wydać wobec niej ze swojem uczuciem. Ona jednak — choć wyrosła w atmosferze tych przesądów, — być może że w tym wypadku tylko, — gdy pierwsze uczucia młodzieńcze zawojowały ją całą z niepokonaną potęgą — była dla nich nieprzystępną, co więcej, rozumując w swej główce, że w tym składzie rzeczy ona właśnie reprezentuje stronę silniejszą — jej więc rzeczą zrobić krok pierwszy, postanowiła bądź co bądź ośmielić go, wydobyć z niego wyznanie miłosne i w zamian powiedzieć mu o swojem.

Ułożywszy taki planik, spokojnie już, słuchała stereotypowych pochwał cioci i panny Karoliny, gdy mowa była o panu Kazimierzu czatowała jeno na stosowną okazję, by z Jędrusiem zamienić stanowczych słów kilka.

Wiadoma z praktyki rzecz, że młodymi zakochanymi zwykle opiekuje się troskliwie bóstwo jakieś, zwane przez jednych opatrznością — przypadkiem przez drugich — a przez innych, najprozaiczniej w świecie, prawem przyrody, zbliżającem zawsze ku sobie te dwa czynniki, które dość mają warunków do spólnej pracy dla tej przyrody. Czy tak czy owak objaw ten się nazwie, faktem jest codziennie się powtarzającym, że mimo częstych przeciwieństw, wśród dwojga młodych, czujących dla siebie sympatję gorącą, każdy niemal dzień oni postępują ku sobie, bo gdyby nawet jedno z nich na tej drodze krok się zatrzymało to pewnie drugie natomiast postąpi dwa kroki.

W tym wypadku właśnie Małgosia posuwała się szybciej ku Jędrusiowi, a to dzięki swemu położeniu korzystniejszemu.

Owoż wyglądając pilnie dobrej sposobności pomówienia z Jędrusiem — doczekała się jej wreszcie pewnego popołudnia.

Zdarzyło się było, że ciocia wyszła do miasta z panną Karoliną po sprawunki, mama w swoim pokoju spała, znużona kilkudniową fluksją, a Małgosia siedziała przy łóżku chorego ojca i czytała mu ostatnią gazetę. Między innemi wiadomościami przyszła do rubryki, ogłaszającej losowanie obligacyj czy listów zastawnych. Pan Wilski miał właśnie tych papierów znaczną sumę i oczywiście należało mu przekonać się, czy który jego numer nie został wyciągnięty. W tym celu polecił Małgosi poszukać w kantorku książki notatkowej, gdzie zapisane były serje i numera jego walorów. Z pół godziny przerzucała Małgosia stosy rozmaitych regestrów gospodarczych, szpargałów i papierów — lecz nadaremnie. Ojciec niecierpliwy zwykle, a skutkiem słabości swojej bardziej jeszcze wrażliwy, zaczynał się już na dobre irytować i wygadywać na niedołęstwo kobiece. Szczęściem Małgosia wpadła na myśl, że najlepiej będzie zawołać pana Jędrzeja, który zna już z okładek samych książki i rychło szukaną znajdzie. Ojciec się zgodził, i za chwilę przyszedł Jędruś zawezwany z pokoju Jasia. Jak to Małgosia przewidywała, znalazł szybko żądane notatki, i z wykazem w gazecie skonfrontował spis papierów wartościowych.

Już miał odchodzić, ale pan Wilski rad z widoku trzeciej osoby, zatrzymał go na chwilę, i kazał sobie opowiadać co słychać w mieście.

Wśród rozpoczętej w ten sposób pogadanki ojciec się zdrzemnął. W obec tego Jędruś uznał za stosowne oddalić się na palcach.

Ledwie wyszedł do sąsiedniego pokoju, Małgosia ruszyła szybko z swego miejsca. i blada cała, snać z powziętego postanowienia, pospieszyła za nim.

— Panie Jędrzeju... — szepnęła półgłosem, zatrzymując go w połowie pokoju. Odwrócił się i zbliżył ku niej.

— Co pani każe? — zapytał drżącym głosem spuszczając w dół oczy, bo i jemu dziwne przeczucie czegoś nadzwyczajnego przyspieszyło bicie serca i dławiło głos w gardle.

— Chciałabym pana zapytać o coś... zaczęła jąkając się i zarumieniona — jak to mówią, po same białka oczu. Pan zna tego pana Kazimierza? — dodała po chwili, patrząc w dół i skubiąc z zakłopotaniem koronki fartuszka

— Znam go od dziecka, bośmy w jednem miasteczku urodzili się i do szkoły chodzić zaczęli.

— Czy pan go lubi... bo... ja go bardzo nie lubię... a tu... — i urwała odwracając główkę.

— Ani lubić ani nielubić go szczególnie, przyczyny nie mam żadnej — podchwycił — lecz za cóż u pani zasłużył sobie na tak niekorzystne zdanie?

— Cóż to pan chyba nie widzi? — w jakich on zamiarach tu bywać zaczął? odparła już rezolutnie, ściągając energicznie prześlicznie brwi nad oczyma.

— Nie domyślam się nawet... — wykrztusił Jędruś wbrew prawdzie, bo w głębi serca dawno już gryzł się i trawił odgadniętym zamiarem dawnego kolegi.

— Żałuję pana, że masz wzrok tak krótki... Wszak on chce starać się o moją rękę...

— A pani? podchwycił Jędruś gorąco, zapominając się widocznie.

— Ja... ja go nie cierpię, znieść nie mogę — nigdy przenigdy...

— A... panno Małgorzato, jakże dobrze i rozumnie robisz, myśląc w ten sposób... zawołał z uniesieniem i przystąpił do niej bliżej. On nie wart choćby okiem popatrzeć na takiego, jak pani... — urwał.

— No mów pan, mów dalej ośmielała go, tupiąc z niecierpliwością drobną nóżką o posadzkę.

— A... czyż wolno mi powiedzieć, co myślę i czuję?

— Pozwalam... proszę... nagliło dziewczę energiczne, obawiając się w końcu, by ich kto nie zszedł na tej rozmowie.

— Więc powiem wszystko... Panno Małgorzato, on nie godzien choćby tylko znachodzić się w pobliżu takiego anioła jak ty... a już bałem się... i umilkł znowu.

— Śmieszny pan jesteś z tą obawą dziecinną. Od pierwszej chwili instynktownie nie lubiłam go, zresztą...

— O dzięki ci, droga panno Małgorzato — szepnął chwytając jej rączkę, której mu nie broniła i przyciskając ją namiętnie do ust.

Jak to się stało, mniejsza, wszak każdy z nas był raz młody i prawie każdy miał w swem życiu bodaj raz sposobność, powiedzieć pięknej dziewczynie, że ją kocha i uwiel-

bia. Wybrańsi usłyszeli te słówka oczywiście nawzajem od swej bogdanki.

Jak to się stało — powtarzamy, mniejsza z tem, dość że się stało piorunem, a Jędruś był właśnie jednym z tych szczęśliwców, iż usłyszał krótkie, nie mniej jednak wymowne wyznanie miłości, z ust uwielbianego ślicznego dziewczęcia.

(C. d. n.)

Przegląd literacki.

Przy dzisiejszej metodzie i kierunku badań naukowych wszelkie „przyczynki“ biologiczne, korespondencje autorów i t. p. są bardzo cenne i pożądane. Przemawia zatem cały szereg odnośnych publikacyj w ostatnich kilku latach, przemawiają za tem ich powtórne edycje w dość krótkim czasie. Każdy niemal z bohaterów pióra doczekał się mniej lub więcej kompletnego zbiorowego wydania swych „listów“ — o ile ich publikowaniu nie stanęły na przeszkodzie familijne, prywatne, osobiste lub inne, jakiekolwiek drażliwej natury względy. O wartości podobnego dzieła rozstrzyga skrupulatność w układzie, zebraniu i typograficznem odtworzeniu. Im ona większa i bardziej skonstatowana, tem książka jako źródło dla studjującego ważniejsza, i odwrotnie. Te uwagi nastręczyło nam nowe wydanie korespondencji Słowackiego. Samo dzieło zbyt znane i ocenione, by o niem znowu rozprawiać; kilka więc słów nadmienić trzeba o trzeciej pomnożonej edycji. Naszem zdaniem ma ona wielką wadę, gdyż dokonaną została w sposób, który zatarł niektóre zewnętrzne charakterystyczne właśnie cechy korespondencji Słowackiego; Interpunkcja, znaki pisarskie zupełnie odmienne, imiona miast i osób zamiast objaśnione, są skracane do pojedynczej litery — co i tak niezbyt jasnych miejsc wcale nie rozjaśnia; wyraz „Matka“ zasadniczo u Słowackiego przez wielką pisane literę, dla niewiadomych przyczyn tu został zmienionym. Gdzieniegdzie umieszczone adnotacje wydawców pozwalałyby nam domagać się ich w miejscach, gdzieby one rzeczywiście były pożądane, potrzeba np. w takim liście z 30 grudnia 1882. Wszystko to rzeczy pozornie drobne, nic nieznaczące; w istocie i w tym wypadku wytknięcia godne.

Jeżeli je podnosimy, to z powodu znaczenia jakie przywiązujemy do wydawnictw jednej ze znanych firm naszych. W takich szatach jak „korrespondencja Słowackiego“ dzieła mogą być bardzo miłe przy pobieżnej lekturze; dla skrupulatniejszych jednak czytelników, nie powiemy badaczów literatury, piękny papier i druk wystarczyć nie mogą.

Po długiej przerwie od lat kilku poczęła się u nas nowa serja przeróżnych antologij poetów polskich. Do dwóch tomów znanej powszechnie w tym rodzaju publikacji lwowskiej przyłączały się po kolei „Kwiaty z rodzinnej niwy“. „Złota przędza“ i „Lira polska“*) której wyszedł właśnie tomik czwarty. Ostatnie wydawnictwo odróżnia się od innych zgrabnym a wygodnym formatem i przystępnąścią ceny. Ksiażki podobnej natury wymagają korzystnych warunków zewnętrznych, a pod tym względem „Lira polska“ może być wzorem.

Tomik niniejszy zawiera 30 utworów poetyckich, wybranych i ułożonych przez jednego z młodziutkich warszawskich poetów, Czesława Jankowskiego. Zadania swego dokonał on ze staraniem i smakiem. Wielka tu rozmaitość pod względem autorów i charakteru ich pieśni. Spotykamy się i z poetami najnowszej doby, a życzyć należy, ażeby ich na przyszłość jeszcze bardziej uwzględniono, w równie szczęśliwy sposób jak dotąd. Natomiast mniej zdaje się nam stósownem zamieszczanie poematów jak Bielecki“, „Syn cieniów“ i inne. Są to rzeczy bardzo znane, już popularne, a dla rozmiarów Liry polskiej“ stanowczo za obszerne lub niepraktyczne, bo miejsce, którego sami nie potrzebują, zabierają innym, z różnych względów na nie zasługującym.

Do godnych poparcia publikacyj warszawskich zaliczyć należy zapowiedzianą serję dzieł filozoficzno-naukowych mających stanąć na poziomie ostatnich badań, a skreślonych dla szerszych kół czytających w poważnym, lecz szerszym, łatwym stylu. Sam prospekt zwięźle a dokładnie określa cel wydawnictwa, którym jest niejako spopularyzowanie gruntownych, zasadniczych pojęć we filozoficzno-naukowych kwestjach na dobie będących; dojście do możliwych w nich na razie konkluzji, naszkicowanie „współczesnego ruchu naukowego w jego najważniejszych, a najbardziej zajmujących objawach“. Dotąd wyszły dwa pierwsze tomy zawierające Renard'a: Czy człowiek ma wolną wolę? i Stanley-Jevous'a Ekonomię polityczną, Renard nie drapuje się w togę tajemniczej powagi, ale staje na skromnym stanowisku filozofa dyletanta, aby z niezwykłą konsekwencją, dobitnością, a prostotą, wykazać że podstawą naszych czynów jest determinizm. Jeżeli prawdziwą sztuką stylistyezną jest „wyrażenie idei filozoficznych w powszedniej formie“, Renard sztuki tej dokonał z zaszczytem dla siebie, a korzyścią dla czytelnika, który po przeczytaniu krótkiego niby-dyalogu francuskiego pisarza, prędzej i lepiej odpowie na postawione przez autora pytanie, aniżeli po długiem błąkaniu się w ciemnych labiryntach wielkich, ale zagadkowych często i nie dla każdego zrozumiałych myślicieli.

Zapewne tkwi jeszcze w pamięci czytelników zbiorowe pismo na cześć Jeża w bież. roku wydane. Jako odbitka z „Ogniska“ ukazało się zamieszczone tamże studjum historyczne Włod. Smoleńskiego p. t. „Wiara w życiu społeczeństwa polskiego w epoce jezuickiej“. Zdaniem autora jedynie szlachta z pewną domieszką mieszczaństwa w religijnych swych poglądach podlegała różnym wpływom i zmianom, dlatego tę sferę społeczną bierze pod skalpel swych badań. Pracę swą podzielił na trzy części. W pierwszej widzimy mozolnie złożoną mozajkę z porozrzucanych w współczesnych pamiętnikach wzmianek, notatek lub opisów — relikwij, cudownych przedmiotów, w ogóle wszystkiego, co czcią uwielbienia, jako cudowne rzeczy było uwielbianem i utrzymywało w narodzie pewnego rodzaju kult bałwochwalczy. Następnie opracowuje autor całą plejadę tych wersyj, baśni, przesądnych zapatrywań, licznych zabobonów, jakie po całym kursując kraju, ogarniały ogół umysłów i nadawały społeczeństwa, jedną z charakterystycznych jego cech. Część ostatnią stanowi wykazanie owoców takiej sztucznej, nienaturalnej propagandy religijnej, takiego fałszywego dogmatyzmu w stosunku do moralności i prawdziwej wiary w Polsce między rokiem 1600-1750. Wynikiem tego studjum: że ekonomia moralna ówczesnych ludzi miała jedynie na celu nieustanną kompensatę wykroczeń, za pomocą religijnego formalizmu i wiary; dopiero zmiany w systemie wychowawczym, uprawa nauk przyrodniczych i popularyzowanie poglądów wykształconego Zachodu zmieniło na lepsze ten smutny stan rzeczy.

Praca p. Smoleńskiego jest, że się tak wyrazimy, głównie źródłową. Osobliwie pierwsza jej połowa ma jedynie wartość jako cierpliwe zestawienie wyciągów przeszperanych mnogich raptularzy, dzienników (domowych) i pamiętników. Suchy nadzwyczaj materjał o bardzo jednostajnym kolorze ożywia się nieco dopiero pod sam koniec: w ogóle ostatnia

*) Warszawa 1883 str. 172. 30 kop.

budzić może interes szerszych kół, co zresztą właściwej wartości książce nie ujmuje z tej samej przyczyny, dla której nie zawsze z zasługą idzie w parze popularność.

En.

ALONZO CANO.

nowella z życia artysty.

Wolny przekład z niemieckiego.

(Ciąg dalszy)

W ośm dni po owym nieszczęsnym poranku siedział Alonzo w swej, z przepychem urządzonej pracowni, przed właśnie ukończonem płótnem. Któżby poznał w tej przygnębionej postaci o znękanem obliczu, tak pełnego życia niegdyś i humoru artystę? Nieruchomy, z głową o dłonie opartą, siedział przed obrazem św. Brunona z niemem spojrzeniem, w jaskrawo zamalowane płótno wrytem. Godziny całe przepędzał w tej pozycji, jak figura woskowa, bez myśli, bez czucia....

Głuche uderzenie do drzwi ocuciło go z zadumy. Czarno ubrany człowiek, z głową kapturem przysłoniętą podobnej barwy wszedł do pracowni artysty i spokojnie stanął przed mistrzem.

Milcząc, utrzymał się Alonzo na swojem miejscu, i bez jakiegokolwiek wrażenia jakby w śnie pogrążony, bladym swym wzrokiem spoglądał na tajemnicze zjawisko..

Nieznajomy pierwszy przerwał ciszę.

— Don Alonzo Cano — rzecze poważnie przychodzę w imieniu śtgo Jana! Jesteś oskarżony o zamordowanie małżonki. Bez oporu zatem, którýby zresztą na nic się nie przydał — udaj się za mną!" To mówiąc wskazał na uzbrojoną straż, która przy wchodzie się zjawiła i wejście zajęła. Zimny dreszcz przebiegł członki złamanego na duchu artysty; zerwał się szybko i bez słowa odpowiedzi wstąpił w środek, oczekujących go żołdaków.

U bramy wchodowej stał jego uczeń Fernando Pereda. Smiertelnie blady, z załamanemi rękoma rzucił się do nóg mistrza. Straż jednak odepchnęła go halabardami, a za nim wrócił do przytomności, smutny orszak był już daleko.

Wtem jakaś ciężka dłoń spadła na jego plecy. Przerażony, odwrócił się i ujrzał negra.

— No, teraz będziesz miał dość czasu do wałęsania się; — zagadał doń Miguel— nie myślałem, że nasz poczciwy pan na tem rzemiośle tak doskonale się rozumie! ciągnął dalej, naśladując ruch mordercy. Na te słowa sługi krwią zabiegła twarz Fernandowi.

Mierząc przenikliwym wzrokiem od stóp do głów olbrzymią postać murzyna, zawołał:

— Zdaje się, że ty Miguelu lepszą w tej sztuce posiadasz wprawę. Ten, co ci tak pięknej barwy skóry użyczył, powinien przecież w podobnych sprawkach prawdziwym być mistrzem i obrońcą.

I znów kilka dni upłynęło. Opuszczony od przyjaciół towarzyszów sztuki, opuszczony od wszystkich, smutne spędzał dnie we więzieniu Alonzo Cano. Cóż bo zresztą mogli oni dla biednego więźnia uczynić?

Kto raz wpadł w ręce tej Inkwizycji, był zgubiony na zawsze, był żyjącym trupem. Nieszczęsny, kogo jej łańcuchy raz oplotły.

Pełne zgrozy widoki z ostatnich dni przesuwały się przed oczyma duszy naszego bohatera. Przedewszystkiem jedno zasłoną okryte zdarzenie z dopiero co upłynionych godzin, zajmywało jego umysł. Z niewymowną odrazą przechodził w myśli wypadki owego poranku, w którym po raz pierwszy, dziką, boleśną rękę katowskiego pachołka na swym karku poczuł. Przy śledztwie stanowczo współudziału w morderstwie żony się zaparł; namowy trybunału z podniesionem czołem dumnie odrzucił. Sędziowie, aby go „ogłaskać", skazali go na tortury. Jeden z zakapturzonych pachołków przy tej operacji zajętych, szeptał mu do ucha, by z całych sił krzyczał i jęczał, a Alonzo bezmyślnie był tej radzie powolny.

Nogi jego były wprawdzie od twardego drzewa silnie zgniecione, ale zresztą nie poniosły żadnego znaczniejszego uszkodzenia, chociaż powinne były być zupełnie strzaskane. Łagodna jakaś ręka musiała tu działać; co jednak jej właściciela mogło skłonić do tej łagodności względem klienta tej inkwizycji? Kto mógł być owym miłosiernym Samarytaninem?

Alonzo nie mógł tej dziwnej zagadki rozwiązać..

Nagle usłyszał jakiś szelest w kurytarzu. Ciężkie żelazne drzwi jego celi niebawem się otwarły, by wpuścić do ciemnej kaźni zakapturzoną jakąś postać. Artysta, stretwiał na widok strasznego gościa.

— Nie trwoż się Don Alonzo! — przemówił tenże — nie przychodzę tu wcale w złym zamiarze: nie przed okropnych sędzów trybunału, chcę cię zawlec, ale na wolność wypuścić. Słyszysz Don Cano, na wolność przychodzą Cię wyprowadzić.

— Więc ostatecznie uznano moję niewinność?

— Co za myśl dziwna! Kto nienasyconemu potworowi w paszczę wpadnie winny, czy niewinny — umrzeć musi. Jednak nie trać czasu na pytania, spiesz się, nie mamy chwili do stracenia...

— Ach! - zawołał Alonzo w uniesieniu rzucając się na szyję nieznajomego, — poznaję cię! Jesteś tym samym, który straszne dyby uczynił dla mnie nieszkodliwemi. Jakże ci mą wdzięczność okazać zdołam? Kto jesteś? Powiedz!

— Ależ Alonzo Cano, pośpiech nie jest miłosierdziem jeszcze. Ja tylko z pośpiechu zapomniałem dyby silniejześrubować, jak to uczynić byłem powinien.

A teraz spiesz się! Tu masz mój czarny kaptur — rzecze oprawca rzucając na głowę wzruszonego jeńca swój długi kaptur. Przezorność kazała na to oto miejsce przynieść rzeczy do przebrania, bo przecież jako klient św. trybunału nie mógłbyś się w kraju pokazywać. Tymi powrozami związ mi ręce i nogi, o ile sił tylko ci wystarczy. Rozrzuć też słomę po podłodze, wszystko musi mieć pozór jakgdybyśmy długo ze sobą walczyli. Skromny zapas pieniędzy i sztylet znajduje się w wieśniaczem ubraniu, które z przezorności przyniosłem. No, ale dość tego, dalej w drogę, a bądź ostrożnym, jeśli ci wolność miła!"

— Jak mam ci dziękować szlachetny człowieku" — szepnął Alonzo drżącym głosem, zarzucając pod uszy sobie płaszcz..,

— Spiesz się! — przerwał nieznajomy, każda chwila wiele tu znaczy.

Nie było czasu ociągać się. Bez szelestu odemknął i przywarł don Alonzo podwoje, poczynając cichaczem wzdłuż ściany naprzód się posuwać.

Wyszedł bez żadnych przeszkód na dziedziniec.

Ołowiany księżyc sprzyjał zbiegowi.

Wkrótce wydostał się bohater nasz na wolne pole. . . . .

Następnego poranku znaleziono ku niemałemu zdziwieniu wszystkich głośno jęczącego i zawodzącego sługę trybunału w celi don Alonza.

Sam ptaszek ulotnił się może na zawsze..

Tymczasem ubogo przebrany wieśniak opuszczał piękną stolicę Hiszpanów, zdążając na południe półwyspu.

III.

Dwa lata upłynęły od opisanych wypadków. Przez nowo wybudowaną Puerta del Sol posuwał się żwawym kłusem mały orszak jeźdźców. Skręciwszy na lewo, począł się zbliżać do brzegów Manzanarus i na drodze El Pardo w wielkich, siwych kłębach dymu zniknął. Byłto oddział jazdy królewskiej przeznaczonej na oczyszczanie drogi przez Syerrę Guadarannę z Madrytu do Pegowii, wiodącej z bandy zbójeckiej słynnej. W ostatnich czasach w tem właśnie miejscu zaczęła ona swe rzemiosło prowadzić w sposób tak dalece mieniu i życiu właścicieli posiadłości zagrażający, iż sama wycieczka poza obręb miasta, bez liczniejszego otoczenia była ryzykownym krokiem.

Niech djabli porwą tych nędzników!" mruczał gniewnie dowódzca szwadronu z siwą, kędzierzawą brodą, poprawiając sobie ciężkie okrycie. Nigdy nie byłbym przypuszczał, że pod starość na szpiega policyjnego wyawansuję".

Szkaradnie niewdzięczne zajęcie'" — dodał młody, przystojny porucznik. Rzezimieszkowie ci chytrzy i podstępni doskonale z Sewilskiemi drogami są obznajomieni, a jeśli się nam uda tych łotrów na lep złowić, to przecież tych mozolnie wynalezionych laurów za szkłem umieścić nie podobna.

— Niezawodnie — wtrącił kapitan, — ale jeślibym tych drabów raz w swych rękach poczuł, tobym bez ceremonji całą zgraję w pień wyciął. Panowie pismaki, z powalanemi atramentem palcami oniemieją z podziwu, jak my wojskowi, krótko a węzłowato podobne rzeczy załatwiać zwykliśmy. Jedno pociągnięcie ostrym pałaszem, garść piasku od matki ziemi dla zasypania, a sprawa ubita.

Tymczasem orszak minął już El Pardo i zbliżał się do nawpół zapadłej chatki, położonej obok gościńca.

Stój — zakomenderował kapitan — Na to słowo w okamgnieniu osadzono konie na miejscu i cały orszak stanął jak wryty. Tylko tu i owdzie wyciągał rumak szyję dla zaciągnięcia powietrza, jak gdyby ona niego pusta, a dzika okolica zbyt nudne wrażenie robiła.

Kapitan z porucznikiem zsiedli z koni i zbliżyli się ku chacie.

Na silne zakołatanie ciężką rękojeścią szabli do drzwi, żaden głos się nie odezwał; z surowych desek sklecona chałupka od dłuższego czasu była niezamieszkałą, jak tego wszędzie porosłe zielsko domyśliwać się kazało.

— Gniazdo puste — rzekł stary rębacz — tem lepiej dla nas. Bardzo w porę nadarza nam się ta chata. W tej małej kampanji może nam służyć za główną kwaterę. Teren wojenny już mamy, pozostaje nam tylko dalsze rozwinięcie kampanii.

Młody porucznik zmęczony długą szybką jazdą rzucił się na stołek.

— Mam projekt — przemówił — żeby tylko w nim jaka usterka się nie znalazła, któraby umknięcie łotrów umożliwiła Uważaj kapitanie. Wczoraj, jak wiesz, wieczorem udał się oddział jazdy na wycieczkę w góry i obecnie stoi na czatach Z owego przesmyku ku Segowie prowadzącemu, ma on rozkaz na pierwszy alarm wyjście zatarasować. Tutejszą załogę podzielimy na 3 oddziały, dwa z nich posuną się do otaczającego przesmyku, aby bandzie w danym razie tyły zająć. Reszta zatrzyma się przy przesmyku gotowa do dalszych rozkazów. Ja i ty kapitanie będziemy tymi dwoma oddziałami kierować, które ku wyżynie wyruszą; konie nasze zostawimy przy 3cim oddziale, aby nam na nierównym pagórkowatym terenie nie przeszkadzały. Teraz atoli przychodzi kwestja najważniejsza, kwestja wywabienia tych ptaszków z ich gniazda. W tym celu jeden z jeźdźców za mulnika przebrany stanowić będzie ze swymi ciężko objuczonemi zwierzętami przynętę, na której przy boskiej i naszych kul pomocy, te ptaszki swoje ostre ząbki na zawsze pokruszą.

— A! teraz rozumiem; świetny plan jeśli tylko banda dotychczas się tam znajduje, gdzie przypuszczasz; inaczej, cały nasz plan spełznie na niczem

Bądź spokojnym co do tego! Dziś jeszcze rano widziano wodza bandytów w pobliżu pagórków. Przesmyk będący w mowie, jest dla tych łotrów aż nadto znakomitą norą.

W każdym razie będzie to twardy orzech do zgryzienia. Zbójcy mają być srodzy, jak hyena, zwinni, jak tygrys.

— W istocie Peredo! Olbrzymi negr, silny, jak byk, chytry jak lis, któryby samego djabła z piekła wywabić zdołał, jeśli tylko nie jest z nim, jak zabobonny lud utrzymuje, spokrewnionym.

Rozmowę przerwało wejście jakiegoś kastylijskiego wieśniaka.

— Ach! to ty Pedro! — zawołał kapitan mierząc przybyłego badawczym wzrokiem od stóp do głów — Dzielnie wywiązałeś się ze swego zadania; a teraz w imię boże możemy rozpocząć naszą obławę. Oczekującym ludziom oznajmiono plan operacyjny i wydano natychmiast potrzebne rozkazy. Bez hałasu opuściły gościniec oba oddziały i zwróciły się jeden ku prawej, drugi ku lewej stronie łańcucha wzgórza. Korzystając z falistości gruntu, jako zasłony, posuwał się porucznik ze swymi ludźmi w dosyć wielkim łuku, usiłując obejść prawe skrzydło pagórków. Dokonawszy tego zaczął ze swym oddziałem ostrożnie wdzierać się na wyżynę. Zaparłszy w sobie oddech przesuwali się popod karłowate krzaki i dostali się na grzbiet pagórków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika naukowa.

(Wytapianie żelaza z rud).

(Dokończenie).

Gdy następują w procesach chemicznych zmiany nieprzewidziane, to stosując odpowiednie środki, hutnik jest w możności usunąć te zmiany. Przy nieracjonalnym bowiem biegu pieca nietylko ponosimy, stratę skutkiem przejścia żelaza w żużel, lecz także otrzymujemy surowiznę bardziej zanieczyszczoną obcemi pierwiastkami, a tem samem gorszego gatunku. Żelazo, wchodzące w skład żużla, jest już straconem dla hutnika, gdyż żużel dalszym procesom hutniczym zwykle nie podlega. Przy normalnym biegu żużel zawierać może najwyżej jeden procent żelaza, w wyjątkowych wypadkach żużel wskutek swej nieodpowiedniej gęstości zawiera żelazo w postaci kulek rozsianych Żużel jest koniecznym produktem ubocznym w hutnictwie żelaza: im mniej procentową rudę przetapiamy, tem więcej żużla otrzymujemy, to też przy zakładach hutniczych można widzieć ogromne masy tego bezpożytecznego produktu; hutnicy zwracają uwage, by produktowi temu nadać zastosowanie żużla więc używają do wyrobu cegły i dachówki; w okolicach, gdzie brak kamienia żużel przedstawia bardzo cenny materjał do budowy i podtrzymania dróg bitych. Szczególniej jeżeli płynnym żużlem wypełni się w ziemi zrobiony znacznych rozmiarów otwór, żużel tam zwolna stygnąc, nabiera takiej twardości, iż go sztucznym bazaltem nazwać można. Przy fabrykacji cementu żużel również znajduje zastosowanie. Na Szląsku znaczną ilość żużla przerabiają na tak zwaną watę, w tym celu w strumień płynącego żużla z wielkiego pieca puszcza się

para wodna, ta powoduje rozdzielanie się żużla na delikatne cienkie włókna, mające podobieństwo do waty; materjał ten główne zastosowanie znalazł przy okręcaniu rur komunikacyjnych parowych jako zły przewodnik ciepła.

Stosownie do jakich celów ma być użytą surowizna, jaki ma mieć skład chemiczny, taką z wielkiego pieca otrzymać możemy przez przetapianie odpowiednich materjałów, oraz przez odpowiednie prowadzenie pieca. Znamy rozmaite odmiany surowizny. Ważniejsze są:

Surowizna szara zawiera węgiel jako domięszkę w postaci krystylicznej grafitu; stosownie do ilości zawartego grafitu może być grubo lub drobno ziarnistą, jest surowizną miękką, służy głównie do otrzymywania odlewów. Surowizna biała. Tu występuje węgiel chemicznie połączony. Surowizna lustrzana, grubo krystaliczna, powierzchnię odłamu ma zawsze nakształt lustra świecącą, gładką, zawiera węgla chemicznie połączonego około 5%, zawiera zawsze jako przymięszkę mangan do 4% i więcej. Otrzymywana bywa z rud, mangan w znacznej ilości zawierających, jak również przez dodawanie do innych rud, żużla bogatego w mangan. Surowizna połowiczna zawiera w swym składzie węgiel w części chemicznie połączony, a w części mechanicznie związany w postaci grafitu. Co do własności fizycznych miejsce pośrednie zajmuje, używaną bywa do dalszego przerobu na żelazo i pożądana jest w odlewach, wymagających większej wytrzymałości i twardości. Stosownie do potrzeby można otrzymywać surowiznę połowiczną, zawierającą w swym składzie jużto większą ilość węgla chemicznie połączonego, jużto węgla w postaci grafitu. Surowiznę białą przez powolne wygrzewanie na siwą, a znowu siwą przez spieszne ostudzenie na białę przemieniać możemy.

W surowiznie oprócz węgla występują jeszcze inne pierwiastki, jak krzem, siarka, fosfor, mangan, które jużto korzystny, jużto szkodliwy wpływ wywierają. Krzem przy dalszym przerobie surowizny na żelazo zostaje wydzielony, a przy użyciu surowizny do wyrobu stali systemem Bessemera, obecność krzemu jest konieczną. Żelazo chciwie łączy się z siarką, to też siarka często towarzyszy związkom żelaza. Przy przetapianiu rud żelaza, siarka zawarta w rudach i materjale opałowym przechodzi w żużel, tworząc z wapnem siarek, a w części przechodzi w surowiznę; w dalszym przerobie na żelazo, część siarki przechodzi do żelaza gotowego. Żelazo, zawierające siarki większą ilość nad dwie tysięczne procentu, staje się przy ogrzaniu do czerwoności zbyt kruchem i nieodpowiedniem do celow praktycznych. Jednym z największych nieprzyjaciół żelaza jest fosfor. W normalnej temperaturze nie łączy się on z żelazem, lecz w temperaturze czerwoności tworzy z niem związki chemiczne. W bardzo małych ilościach występujący fosfor w żelazie wywiera już stanowczy wpływ na jego własności fizyczne, a mianowicie na spajanie i wytrzymałość. Żelazo zawierające w nieco większej ilości fosfor, z przyczyny braku wytrzymałości w temperaturze zwykłej przy rozdzielaniu się z łatwością cząstek żelaza, staje się produktem zupełnie nieodpowiednim do użycia. Fosfor tylko w ilości pół procentu może nie być szkodliwym żelazu, przekroczenie granicy tej czyni żelazo nieużytecznem.

Surowizna uważana jako produkt pośredni przy otrzymywaniu żelaza lub stali, jest jednak produktem bezpośrednim, służącym do otrzymywania odlewów. Nadanie kształtów surowiźnie, sztuka modelowania, jużto tworząc rzeczy codziennego użytku, jużto przedmioty konieczne do rozwoju, jakielkolwiek gałęzi przemysłu, już wreszcie przychodząc w pomoc gienijalnej twórczości artysty, którego pomysły wciela w metalowe kształty, ta sztuka modelowania, powiadamy, niezmienionej surowiźnie nadaje niezrównanie większą wartość. Zastosowanie surowizny do odlewów polega na własności fizycznej tego materjału, że ma zdolność wypełniania kształtów modelu przez rozszerzanie się przed stygnięciem, a stygnąc zwolna, kształty te zachowuje. Ponieważ produktem wielkich pieców jest surowizna w stanie płynu, może być więc wprost użyta jako materjał na odlew, jest żelazem lanem. Ze względów ekonomicznych często wprost z wielkich pieców używa się surowizna do odlewów, a szczególnej sztuk grubszych. Są zakłady hutnicze, gdzie piece prowadzone są tylko na surowiznę, z której dokonywają się zaraz odlewy. Surowizna na odlewy produkuje się zwykle szara, miękka, gdyż taka dobrze formy wypełnia, a w dalszych obrobieniach mechanicznych nie przedstawia oporu: w wyjątkowych tylko razach używa się surowizna połowiczna na odlewy, mające mieć koniecznie przymiot twardości. Ponieważ jednak prowadzenie wielkich piecow na żelazo lane, nie zawsze odpowiada warunkom ekonomicznym, ponieważ przetapianie powtórne surowizny wpływa na oddzielenie się pewnych zanieczyszczeń i poprawia jej własności fizyczne, ponieważ wreszcie różne przedmioty lane wymagają różnych gatunków surowizny, budują więc oddzielne, odpowiednich konstrukcyj piece, w których dokonywa się powtórne przetopienie surowizny.

Jak przez redukcję czyli odtlenienie surowizna wydzieloną zostaje z rud, tak znowu surowizna, poddana procesowi utlenienia, wydziela z siebie pierwiastki zanieczyszczające, zmienioną zostaje w żelazo lub produkt, z dniem każdym mający większe zastosowanie, z każdą chwilą więcej w użycie wchodzący, coraz więcej zastępujące żelazo, stalą zwany. Chociaż sposoby utrzymywania żelaza z rud, dop ero z początkiem bieżącego stulecia silnie rozwijać się poczęły, jednakże przez lat kilkadziesiąt gienjalne wynalazki i ulepszenia wprowadziły tę gałęź przemysłu niemal na najwyższy szczebel wiedzy technicznej i obecnie usiłowania hutników zwróciły się do rozwoju fabrykacji stali. Coraz szersze zastosowania tejże i łatwiejsze sposoby otrzymywania, upoważniają nas do przypyszczenia, że minął okres żelaza, a nastąpił wiek stali.

ZIARNKA.

Lwów pustoszeje. Kto tylko może i ma za co ucieka skwapliwie z nad cuchnącej Pełtwi, aby gdzieś w dali, przynajmniej przez parę tygodni odświeżać organizm zdrowem i niezatrutem powietrzem.

W mieście posostaną tylko ci, którym los odmówił nawet tak krótkisj separacji ze wszystkiemi przykrościami i niewygodami, jakiemi Lwów celuje przed wszystkiemi większemi miastami świata ucywilizowanego. I teatr, a właściwie lepsza część jego porzuca nas. Komedja uprzyjemniać będzie i tak już wesołe chwile gosciom kąpielowym w Krynicy, a operetką zachwycać się będą jak i dawniej Krakowianie. Życzymy naszym artystom powodzenia, aby dobrą opinję, jaką dotychczas cieszy się scena lwowska, utrwalili i po za granicami miasta.

* * *

Cholera! Groźny ten wyraz obiega wszystkie dzienniki europejskie, przechodzi

z ust do ust całego społeczeństwa i jest przedmiotem dyskusyj różnych komisyj i rad municypalnych. Cholera wybuchła w Egipcie i porwała mnóstwo ofiar, taką straszliwą wieść rozniosły po świecie druty telegraficzne i zaniepokoiły mieszkańców miast zwłaszcza takich, jak nasze, gdzie warunki sanitarne i higieniczne mogą pójść ręka w rękę z tą straszliwą wiedźmą. A obawa, aby nas nie zechciała nawiedzić ta nieubłagana okrutnica nie jest bynajmniej dziecinną. Przy dzisiejszej komunikacji i ożywionym ruchu handlowym, nie wiemy dnia, ani godziny, kiedy się może zjawić niespodzianie i zaskoczyć nieprzygotowanych. Przedsięwzięcie zatem środków ostrożności dziś już jest na czasie, bo gdy zaznaczy u nas ślad swą krwawą stopą, będzie już wtedy za późno.

* * *

Od tygodnia tłumy ciekawych przypatrują się olbrzymiej drabinie umieszczonej na kołach, przy pomocy której inżynier p. Dunin na czele robotników łączy nicią telefoniczną w różnych stronach miasta mieszkających abonentów. Tym razem Lwów nie pozostał bardzo w tyle za innemi miastami europejskiemi. Abonentów, którzy umieją ocenić wartość czasu i nóg swoich zgłosiło się już podobno kilkudziesięciu. Jaka to wygoda nieruszać się z pokoju, zwłaszcza jeżeli na dworze ulewa albo skwar nieznośny i rozmawiać ze swym przyjacielem, znajomym... a nawet... ukochanym, chociaż ci mieszkają na przeciwnym końcu miasta.

Dotychczas największą liczbę między abonentami stanowią różne instytucje publiczne, banki, teatr, policja it.p. Na czele prywatnych abonentów stoją redakcje. A to się Lwów rozgada!...

* * *

Przegl. tyg. pisze:

„Wszystkie pisma warsz. rozpisują się o Ojcowie, którego urocza dolina, wraz z grotami, skałami, niewyciętym lasem jeszcze i okolicznemi folwarkami, jest do sprzedania. Podnoszą się więc głosy i nawołują „naszych kapitalistów“ do kupna tej historyczno-pejzażowej miejscowości. Tygodnik Illustrowany poświęcił obszerny artykuł temu przedmiotowi, któreś inne pismo radzi zawiązać spółkę na akcye, twierdząc, że przecież 6% zawsze się wyzyska. My przed dziesięciu już laty pisaliśmy równie sążniste artykuły w tej sprawie, które miały ten sam skutek, jaki czeka i dzisiejsze wystąpienia prasy — to jest pozostały echem wołającego na puszczy. Obecnie przyszliśmy do przekonania, iż tylko drogą poprawy ogólnych kulturalnych warunków okolicy i takie kwestje jak „ojcowska“ uzyskują rozwiązanie. Kolej żelazna, która przetnie gubernie Radomską i Kielecką, przyczyni się do ruchu w komunikacyach szosowych i zwykłych, a wtedy może będzie się łatwiej dostać w dolinę Prądnika — i nadejdzie czas, gdy te miejsca staną się siedliskiem szukających letniego wytchnienia. Wszelkie zaś sztuczne nawoływania, dowodzenia i t. d. nic tu nie pomogą, a narażą na rozczarowania i straty nawet. Kto jednak nabędzie Ojców —? Otóż prosimy Boga, aby tylko nie jaki magnat polski, gdyż wtedy bywaj zdrów ze wszelkiemi projektami. Tysiąc przykładów uczy, iż administracja wielkopańska nie jes wstanie zapewnić ani dobrych procentów od kapitału, ani wygoky publiczności, która wtedy jest nadmiernie wyzyskiwaną, obdzieraną i źle traktowaną. Dowodem urocze Krzeszowice, wody galicyjskie dobrze położone, a w rękach największego magnata są dziurą, którą każdy omija z najwyższym wstrętem. Jeżeli więc Ojców dostanie się w ręce ludzi zamożnych, ale szukających słusznych korzyści i skoro lepsze komunikacye zbliżą go z cywilizowanym światem, będzie on niewątpliwie jednym z najulubieńszych zakątków, gdzie czas wypoczynku spędzać zechce cała inteligencya i średnio zamożne mieszczaństwo, budując sobie już to własne wile, już też mieszcząc się w domkach i szaletach, jakie tu spekulacja wzniesie.

ZAPISKI.

Literatura.

* Pisma Stanisława Trembeckiego poety z 18 wieku wyszły w świeżem wydaniu księgarni F. H. Richtera. Wydanie to opatrzone jest przedmową Dra. Ziemby. Nadmienić wypada, że wydanie to jest najkompletniejszem z dotychczasowych.

* Wyszła w Poznaniu drukiem i nakładem Jarosława Leitgebra: „Pierwsza komunia“, idylla chrześciańska, poemat Ezajasza Tegnera, uwieńczony przez akademią szwedzką i przełożony z oryginału na język polski przez Wawrz. hr. Benzelstjerna Engeströma.

* P. Emanuel Chojecki, znany w literaturze francuskiej pod pseudonymem Charles Edmond napisał nową powieść na tle stosunków francuskich p. t. La Bucheronne.

* W Londynie wyszło w miesiącu maju nowe dzieło, poświęcone Bajronowi, p. t. „The Real lord Byron; New Views ef the Poot's Life by S. C. Jeaffreson.“ Dzieło to wywarło głębokie wrażenie, a najpoważniejsze pismo naukowe „The Athenaeum“ wyraża się o niem z niewykłemi pochwałami.

* Stauley Jevonsa „Ekonomja polityczna“ wyszła nakładem bibljoteczki pozytywnej, wydawanej przez młodzież w Warszawie.

* Na uczczenie jubileuszu Sobieskiego wydał p. Nowolecki broszurę p. t. „Jana III. Sobieskiego życie i czyny, oraz jego obrona chrześcijaństwa pod Wiedniem przeciw Mazułmanom“. Broszura zaopatrzona jest 5 rycinami.

* Towarzystwo historyczno-literackie ogłosiło konkurs na temat: „Jakim zmianom uległo sejmowanie polskie od pierwszych dokładnie znanych sejmów (1543) aż do zagęszczającej się praktyki liberi veto w wieku XVII Nagroda wynosi 1800 franków.

* W szeregu wydawnictw Macieży, opuściła teraz prasę książeczka nosząca tytuł „Dobry syn, bajka z przed lat tysiąca“, napisana przez utalentowanego pisarza p. Wł. Bełzę.

* „Prinz der Polacken“, pod tym tytułem zamieszcza „Hanauer Zeitung“ ciekawy artykuł o Franku. Praca ta ma być opartą na materjałach znalezionych w magistracie w Offenbach.

Teatr i muzyka.

* „Echo muzyczne i teatralne“ tygodnik poświęcony sprawom muzycznym i teatralnym, jedyne tego rodzaju pismo polskie. zacznie wychodzić w Warszawie od 1. października br. pod redakcją p. Jana Kleczyńskiego i przy udziale wydawniczym firmy Rajchmann i Frendler.

* W Londynie zawiązało się towarzystwo zasobne w znaczne fundusze, mające na celu ułatwienie kompozytorom muzycznym wydawnictwa dzieł, mających istotną wartość. Towarzystwo nosi nazwę „London Music Publishing and General Agency“; na czele zaś jego stoją prof. Macferren i Benedict.

* W spuściźnie po Raffie znaleziono dwie zupełnie ukończone opery, jedną liryczną „Benedetto Marcello“, drugą komiczną p. t. „Zazdrośni“.

* Liszt dedykował najnowsze swoje dzieło, transkrypcję chorału „Dziękujcie teraz Panu“, zasłużonemu protestanckiemu teologowi Karolowi Hase, obchodzącemu właśnie w Jenie sześćdziesięcioletni jubileusz profesorjatu przy tamtejszym uniwersytecie.

* Von Keundell, poseł niemiecki w Rzymie, wydał kwartet, D-mol Szuberta, transponowany na fortepian, — rzecz w swoim rodzaju znakomitą.

* Komisja konkursu dramatycznego Sobieskiego, ogłoszonego 26. listopada 1881. roku przez ks. Zuzannę Czartoryską odbyła już ostatnie posiedzenie Na sześciu głosujących obraz dramatyczny w 5 aktach p. t. „Odsiecz Wiednia" pozyskał pięć głosów, przyznających mu nagrodę 300 złr. Drugą zaś nagrodę w kwocie 200 złr. otrzymał szkic historyczny w 5 a. p. t. Jan III. pod Wiedniem zakończony obrazem „Przesłanie chorągwi Mahometa do Rzymu.

* W paryskiej miejskiej operze zaprowadzono nowe ulepszenie, które dla kapelmistrzów niemałe ma znaczenie. Jest to przyrząd wahadłowy, który za pomocą elektryczności może dyrygent w ruch wprawiać i dawać takt chórom spiewającym w głębi sceny lub za kulisami.

* Panna Heisig, primadonna monachijskiej operetki wystąpi wkrót e na scenie... arystokratycznego świata w dozgonnej roli markizy de Villeneuv. Jej narzeczony jest potomkiem prastarej rodziny i spadkobiercą świetnej fortuny.

* Pan Wawrowski, który niedawno osiedlił się w Toruniu jako nauczyciel gry na skrzypcach i na fortepianie, zamieścił w dwóch ostatnich numerach „Thorner Presse" fejletonowy artykuł, rozbierający życie C h o p i n a jako Polaka.

Sztuki piękne.

* W Krakowie powstał nowy projekt zakupienia przez kraj obrazu Jana Matejki, przedstawiającego Sobieskiego. Zamiast korowodu historycznego, artyści krakowscy mają urządzić wystawę darowanych w tym celu obrazów, a dochód ze wstępu i sprzedaży obrazów przeznaczają na zakupno tego arcydzieła.

* Komitet budowy p o m n i k a M i c k i e w i c z a w Krakowie ogłosił drugi Konkurs i odroczył denzję, co do wyboru miejsca gdzie pomnik ma stanąć, do zjazdu na uroczystość jubileuszu odsieczy wiedeńskiej, aby w ważnej tej sprawie rozstrzygać mógł większy komplet członków zamiejscowych.

* Pamiątka z roku 1683go. W posiadaniu profesora J. Zingerle zamieszkałego na zamku Gufidaun (Tyrol południowy) znajduje się obraz przedstawiający odsiecz wiedeńską, pędzla biegłego, współczesnego artysty.

MISCELANEA.

Jest to podniosłym, pocieszającym i umoralniającym faktem, iż zasługi położone na polu wiedzy, laur uszczknięty z niwy nauki stoją po nad interesami chwili, po nad namiętnościami epoki i poiedyńczych. Każdy im może oddać cześć i pokłon bez względu na bieg wypadków, bez względu do jakiego należy narodu, nie zapominając ani o tem co winien swej godności, ani o tem co się należy duchom potężnym, przewodniczącym ludzkiemu rodowi na drodze postępu.

Z takiem uczuciem bezstronności podnosimy uroczystość, która się odbyła w niesympatycznym nam Berlinie, przy odsłonięciu pomników dla braci Humboldtów. Niezwracamy uwagi na lichy szowinizm chcący z obu tych potężnych ludzi wystrugać mężów na miarę pruskiego junkra, nie niemców w nich widzimy jedynie, ale uczonych uniwersalnych, szlachetne duchy, torujące światu drogę śród ciemności i niskości innych żywiołów. Odsłonięcie pomnika odbyło się 28 maja; a starano się temu obchodowi nadać wyraz czci państwa dla duchowej potęgi wiedzy i jej reprezentantów, przez środki zewnętrzne i uroczystą powagę urzędową. — Teatrem obchodu był naturalnie plac między uniwersytetem a pałacem cesarskim.

Naprzeciw osłoniętych jeszcze pomników wzniesiono ozdobną estradę, na której zasiedli ministrowie, wyżsi dygnitarze, przedstawiciele obcych mocarstw, dostojnicy miejscy i damy. Oczy wszystkich atoli zwracały się na poważną, skromnie ubraną, siedzącą w pierwszym rzędzie matronę. Była to wdowa po generale v. Bülow, jedyna z żyjących córek Wilhelma v. Humboldta, a jej podobieństwo do portretów zmarłego ojca, uderzyło wszystkich znających rysy znakomitego uczonego. O samej 12tej. pomiędzy szpalerem utworzonym ze studenckich stowarzyszeń, poprzedzony przez pedela w uroczystym stroju, ukazał się Rector magnificus uniwersytetu, profesor du Bois- Reymond, otoczony dziekanami i senatorem akademickim, a za nim inni profesorowie i docenci. Jednocześnie Cesarz z licznym orszakiem wyszedł na balkon swego pałacu, znajdującego się naprzeciw, aby być świadkiem uroczystości.

Rozpoczęła się introdukcja z „Zaczarowanego Fletu". Skoro muzyka ucichła, na znak ministra wyznań opadła zasłona okrywająca oba pomniki, które się ukazały oczom widzów, w całym oślepiającym, marmurowym blasku. Wtedy minister v. Gosler zwrócił się do rektora i senatu, oddając im w opiekę pomnik Wilhelma v. Humboldta.

Po ministrze zabrał głos profesor Virchow w imieniu komitetu pomnika Aleksandra Humboldta. „Kto się teraz przejdzie po naszych ulicach, ten pojmie że Göthe i Schiller, Stein i Humboldtowie, Blücher i Schornhorst nie przypadkowo znajdują się zgrupowani w pobliżu, lecz że istnieje widoczny związek z ich rozwoju, a działalność tych mężów do jednego ostatecznego skierowaną jest celu Każdy niemiec z dumą patrzy na tych, którzy z łona ludu do najwyższych doszli zaszczytów, ponieważ budzili do życia i wzmacniali najszlachetniejsze siły narody Przedewszystkiem nasza akademicka młodzież, która te postacie będzie miała codziennie przed oczyma, bodajby się nauczyła z historji takich mężów, jaką nagrodę osiągnąć może wytrwała praca. Zarzucano mu że był próżnym i zarozumiałym, ale ta próżność nie przewyższała w nim nigdy miłości prawdy, a samolubstwo nie przeszkadzało mu przykładać się do popierania każdego nowego talentu i do witania z radością każdego nowego kroku na drodze postępu nauk. Uchylał się od sprawowania wysokich urzędów, tak dalece przeważała w nim nadewszystko skłonność do poświęcania swych trudów praktycznemu zastosowaniu wiedzy. Gdy od dawna stał się już uznanym powszechnie mistrzem ludzkości, nie chciał jednak zaprzestać się uczyć, ale była to nauka badacza: nie zrzekał się nawet wobec największych potęg naukowych, prawa do wydania własnego sądu".

Pomniki z najczystszego kararyjskiego marmuru przedstawiają obu braci w naturalnym wzroście, w siedzącej postawie. Wilhelm v. Humboldt, oddany dłutem młodego rzeźbiarza Pawła Ottona, siedzi na starożytnem krześle, którego poręcze wyobrażają dwa gryfy, na odwrotnej stronie krzesła są duże płaskorzeźby, Homer z jednej a Sokrates z drugiej strony. Humbold trzyma na kolanach rozłożone dokumenta założenia berlińskiego uniwersytetu. Dwa i pół metry wysokości mający posąg postaci głównej zarówno, jak wypukłorzeźby na trzy metry wysokości trzymającym postumencie, w kształcie sześcianu, na który cztery prowadzą stopnie, trzymane w są szlachetnym i skromnym stylu. Z jednej strony przedstawioną jest archeologia w postaci kobiecej, której geniusz podaje popiersie: druga płaskorzeźba wyobraża filozofię, także w osobie kobiety wspartej o tablicę pamiątkową, na którą greckiemi zgłoskami wyryte są imiona Sokratesa, Platona i Arystotelesa; odwrotna strona rzeźby przedstawia naukę prawa, mającą u stóp wagi sprawiedliwości i wpatrującą się z namysłem w księgę praw. Czy to nie jest czasem aluzja do liberalnej konstytucji, której zarys Humboldt wręczył Steinowi, a jak mówią, za zbyt swobodne poglądy w niej zawarte, miał jakoby później popaść w niełaskę?

Posąg Aleksandra v. Humboldta, wykonany przez Begasa, przedstawia wielkiego badacza w stroju osiemnastego stulecia, siedzącego na skale. Lewą ręką wspiera się na tablicy pamiątkowej Archimedesa, Kolumba, Galileusza, Wolty, Franklina, Bonplana i Arago. W prawej trzyma gałązkę wawrzynu. U nóg jego leży globus i zielnik. Ze zwykłą genialnością w płaskorzeźbach piedestału, odtworzył Begas w symbolach rozmaite gałęzie nauk przyrodzonych. Jedna strona przedstawia na tle podzwrotnikowego krajobrazu, mającego wulkan na dalszym planie, ludzkość na łonie przyrody, w postaci ślicznych dziatek u piersi kobiety leżącej. Druga płaskorzeźba wyobraża wiedzę, jako kobietę nauczającą młodzież, u stóp której igra chłopak z globusem i cyrklem.

Korespondencja.

W. Czer. Kar. w Grzymałowie. Prenumeratę na kwartał III. otrzymaliśmy podwójnie. Zostawiamy ją, jako prenumeratę do końca r. 1883. — W. ks. M. w W. Szkic powieściowy Estwoyna odtąd będzie regularnie w każdym numerze umieszczany Przerwa nastąpiła nie z winy redakcji. — R. w P. Wysyłamy. W. R. G. w K. Wysyłamy regularnie. Żądany numer wyślemy. St. Cz. Na razie nie możemy korzystać, prosimy o ustne porozumienie się.

Treść.

Autor „Marzycieli" Ostatni Szaraczek (c. d.)
W. Stebelski: „Nędza".
Estwoyn: Illegitimi Thori (c. d.)
Z. G.: Młodzieńcze utwory Zyg. Krasińskiego.
Przegląd literacki.
Alonzo Cano, nowella (c. d.)
Kronika naukowa.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.
Korespondencja.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 37. We Lwowie dnia 20. października 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: Bolesław Spausta. Redaktor odpowiedz.: Bolesław Czerwieński.

Prenumerata na „Ziarno"

W miejscu rocznie	12 zł.	na prowincji	13 zł.
„ kwartalnie	3 „	„	3 „ 25 ct.
„ miesięcznie	1 „ 10 ct.	„	1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości $1^1/_2$ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.

INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem



Henryk Szmitt

historyk polski, długoletni członek Rady szkolnej krajowej, zmarł we Lwowie d. 16. października w 66. roku życia.

Zmarły należał do najwybitniejszych i najpracowitszych historyków na polu dziejopisarstwa polskiego; to też wiadomość o jego śmierci odczują głęboko wszystkie dzielnice Polski.

Henryk Szmitt urodził się we Lwowie w r. 1817., a wcześnie osierociały, własnej jedynie pracy zawdzięczał ukończenie nauk na uniwersytecie lwowskim, pracując do roku i 1841, jako nauczyciel prywatny i zajmując się w części także gospodarką. Patrjotyczna działalność zmarłego jeszcze w r. 1846 zgotowała mu wyrok śmierci, lecz w r. 1848. został przez cesarza amnestjonowanym. Teraz oddał się pracom literackim i przyjął posadę zarządcy biblioteki Pawlikowskich we Lwowie, ktorą aż do chwili śmierci zarządzał. Wypadki r. 1863. spowodowały emigrację Szmitta z kraju za granicę i przebywanie dłuższe w Paryżu, zkąd powrócił do Lwowa, którego już nie opuszczał.

Zawód literacki rozpoczął w r. 1848. na niwie poezji, pisał sonety, wiersze drobne, ułożył także dwie tragedje dotąd niedrukowane. Później dopiero oddał się studjom historycznym i ekonomicznym właściwszym dla natury swego talentu. Ścisły i bezstronny jako krytyk zapoznawał, w pismach lwowskich (szczególnie zaś w „Dzienniku literackim", którego był współpracownikiem przez kilka lat) z pracami historycznemi, pisząc równocześnie broszury polemiczne w najważniejszych kwestjach uwydatniających szeroki pogląd i gorącą miłość dobra publicznego. Przez lat kilka do r. 1861 był także korespondentem „Gazety Warszawskiej" w której zamieścił kilka cennych artykułów z historji polskiej.

Pracowitością i sumiennością w studjach potrafił sobie zmarły utrwalić imię jednego z pierwszych historyków polskich, a gruntownością i prostotą opowiadania pozyskać tysiące serc odczuwających jego myśli i podzielających sposób zapatrywania się wprawdzie czasami niezgodny z tądem innych historyków, lecz zawsze prawy i sumienny. Dzieła jego oparte są na troskliwem zbadaniu źródeł.

Oto kilka szczegółów z życia i prac zasłużonego historyka, którego pamięć na wieki winna być zapisaną w sercach naszych.

Dzieła jego są następujące: „Rys dziejów narodu polskiego", (3 t. Lwów, 1854—55); „Materjały do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III. i pierwszych lat dziesięciu panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego (2 t., r. 1857); „Rokosz Zebrzydowskiego (t. 1, 1858), rzecz opowiedziana według źródeł teki Batowskiego, z dążnością uniewinnienia Zebrzydowskiego od zarzutu wichrzycielstwa"; „Pogląd na żywot i pisma Kołłątaja" (1862); „Dzieje narodu polskiego potocznie opowiedziane" (Lwów 1863, do 1733 r., w nowszej zaś edycji doprowadzone aż do ostatnich czasów; przekład rosyjski Schreyera Petersburg 1865—18 6); „Dzieje Polski XVIII. i XIX. wieku" (3 t. Krak. 1866 do 1867; tom 4 Lwów 1868), obejmujące czasy od 1733 aż do r. 1864 r. Z wielu rozpraw jego wymieniamy celniejsze: „Rzut oka na nowy projekt równouprawnienia żydów" (Lwów 1859; przekład niemiecki tamże 1860; „Słów kilka bezstronnych w sprawie ruskiej" (Lwów 1861); „Narodowość polska etc." (Lwów 1862); „Kilka uwag w sprawie ulepszenia szkół ludowych w kraju naszym (Lwów 1872); „Ksiądz H. Kołłątaj" (Lwów 1873).

Nikogo nie kochał.

Nowella

napisał W. J. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy.)

Trzeciego dnia po skonie odbył się pogrzeb doktora. Nieboszczyk życzył sobie aby kondukt był jak najskromniejszy, jak najmniej kosztowny. Syn zastosował się najściślej do tego życzenia, Mimo to, pogrzeb był jednym z najwspanialszych, jakie widziałem. Całe obywatelstwo i duchowieństwo okoliczne stawiło się w komplecie; za trumną szły cechy, bractwa, szkoła ludowa i nieprzejrzane tłumy ludności miejscowej w wielkiej liczbie wzięły udział w odprowadzeniu zmarłego na cmentarz, a kiedy proboszcz miejscowy w nadgrobowej przemowie powiedział:

— Był to prawdziwy chrześcjanin; nie wiedziała u niego prawica, co dawała lewica. Nazywaliście go nieużytkiem, a ja, który na życie jego patrzyłem lat 30, powiadam wam, brał od bogatszych, aby rozdać między uboższych — płacz ogólny dał się słyszeć w tłumie proletarjatu.

— Słuchajcie! — nawiązał dalej ksiądz. Ten płacz, to najwymowniejsza pochwała nieboszczyka, to hymn pochwalny jego życia, to najwznioślejsza modlitwa za jego duszę!...

Odszedłem z cmentarza dziwnie poruszony... Postać zmarłego rosła w wyobrażeniu mojem... W tłumach słyszałem jedynie pochwały nieboszczyka... Matka moja z siostrą i ciotka ostatnie opuściły cmentarz, chociaż siostra moja, ciekawe dziewczę, zapewniała mnie, że nie wyszły ostatnie, gdyż widziała jak po ich odejściu zbliżyła się do grobu jakaś młoda, piękna kobieta, w bogaty strój podróżny ubrana i uklękła na świeżej mogile wuja...

Usłyszawszy to, pobiegłem znów na cmentarz, ale już nikogo nie zastałem przy grobie... Wieczór zapadał... a wschodzący księżyc pełnym blaskiem oświetlał grób, na którym leżało mnóstwo wieńców, życzliwą ręką złożonych. Z pomiędzy wielu uderzył mnie jeden mały wieniec róż, misternie spleciony i przewiązany białą wstążką... Nie wiem dla czego, ale nabrałem przekonania, że wieniec ten złożyła na grobie doktora kobieta, która ostatnia opuściła cmentarz, a której właśnie szukałem — napróżno!...

— Nikogo nie kochał!... mówiono o wuju za życia...

— Miał serce i kochał — twierdziłem stanowczo po jego śmierci, nie wiedziałem tylko — kogo?

Gdym w dwa lata później przybył do C*, aby się jako popisowy stawić przed komisją poborową do wojska, — pobiegłem także na cmentarz odwiedzić grób wuja. Zastałem niespodziankę..

Wznosił się na grobie prześliczny pomnik. Wysoki krzyż stał na podmurowaniu. Obejmowała krzyż ramionami klęcząca figura kobiety, w której twarzy był niemy, bezłzawy ból i prośba o zmiłowanie... Cały pomnik ten był wykowany w kazaryjskim marmurze — mistrzowskiem dłutem — a podpis, który odnalazłem, pouczył mnie, że mam przed sobą dzieło Tenezaniego... Na postumencie krzyża był większemi literami, żłobiony napis — krótki ale wiele mówiący:

N i e z a p o m n i a n e m u.

W głowę zachodziłem, kto mógł wujowi taki pomnik wystawić, wiedziałem przecież, że nie dzieci, nie familja... Zagadki się mnożyły, trzeba je było raz przecież rozwiązać. Pobiegłem na plebanją, w nadziei, że od miejscowego proboszcza, który kilkanaście lat patrzył na życie nieboszczyka wuja i z nim żył na dość przyjaźnej stopie, dowiem się jakichś szczegółów, dopytam przynajmniej, kto mu nagrobek postawił. Niestety i proboszcz nie żył, a jego następca dopiero od roku objął parafję i nagrobek zastał już na miejscu...

Mniemając że od żebraka Mikołaja czegoś się będę mógł dobadać, odnalazłem chatę, w której niegdyś mieszkał, ale i jego kryła matka ziemia jak mi oznajmiono; zaś nowi mieszkańcy chaty żadnych o nim szczegółów podać nie umieli, prócz tego jednego, że do samej śmierci odwiedzał regularnie cmentarz i modlił się na grobie doktora. Zasięgałem informacji od inteligentniejszych mieszczan, od urzędników ale napróżno. Doktor z nikim nie żył, nikomu się nie zwierzał, nikogo do domu nie dopuszczał, wiedziano o nim nie wiele więcej odemnie.

Była wprawdzie jedna osoba, która z wszelką pewnością, znała życie doktora, która o niem wiele ciekawego umiałaby powiedzieć i tajemnice, jakich się domyślałem, rozjaśnić, ale niestety Magdzia — bo o niej mówię — była niemową... Wszelkie więc usiłowania były daremne; wszystkie nici się rwały i dałem dochodzeniom za wygraną...

II.

Dać za wygraną musiałem gdyż obowiązki wzywały mnie gdzieindziej. Na zegarze czasu wybił rok 1863, akademik zamiast książki chwycił szablę i poszedł w lasy.

Nie tu miejsce opowiadać powstańczą odysseję, opisywać przygody, odtwarzać wrażenia; dość będzie powiedzieć, że przechodząc z jednego oddziału do drugiego, wasz akademik oparł się aż w litewskich borach, gdzie ranny w jednej potyczce, dostał się jeńcem w ręce rosyjskie a po kilkumiesięcznem leczeniu w Wilnie, powędrował etapami na Sybir aby przymusowo zaludnić nadamurskie pustkowia; gdyż aż tam nad Amur, do Błagowieszczeńska pchnięto krakowskiego studenta w nadziei, że obcowanie z mongolskiemi tubylcami wybije mu z głowy myśl o wolności, niepodległości ojczyzny, że buntowszczyk zginie tutaj jak mucha w mazi. Dwudziestoletniemu posieleńcowi, będącemu zawsze pod nadzorem policyjnym, dano w okolicach Błagawieszczeńska szmat ziemi i lasy, sto rubli do ręki i kazano być kolonistą. Skaczy wraże jak pan każe...

Możecie sobie wyobrazić jaką minę zrobił niedoszły doktor filozofji znalazłszy się w położeniu osadnika nad Amurem; dwudziestoletni młokos, który o życiu praktycznem miał takie wyobrażenie jak ślepy o kolorach. Ale że nie święci garnki lepią przekonał się najdowodniej na sobie samym. Jeżeli jaki student, dla którego książka i pióro były alfą i omegą zajęcia, potrafił przedzierzgnąć się w żołnierza i przebyć wśród głodu i chłodu kilkumiesięczną partyzantkę po lasach, dlaczegóżby znów żołnierz nie miał stać się osadnikiem.

Audaces fortuna juvat — przypomniał sobie z łaciny, a że powstanie i etapy piesze aż nad Amur, zamiast zniszczyć, wyrobiły w nim siły męzkie, przeto bez długiego namysłu wziął siekierę do ręki i z pomocą miejscowych ludzi pobudował chatę, uprawił szmat ziemi przez rząd wyznaczony i nim trzy lata upłynęły był tak zagospodarowany jakby tutaj kilka dziesiątków lat przybywał. Nadamurski osadnik to drugi Robinzon. Sam jest i cieślą i murarzem kucharką, praczką, szewcem i krawcem, nosiwodą i panem, rolnikiem i myśliwym. Dziś opowiadając o minionych czasach, w pięciu słowach zamykam okres lat całych; w rzeczywistości było trochę inaczej; lata ubiegały wśród znojnej pracy, w krwawym pocie czoła, piersi rozpierała coraz więcej tęsknota za krajem, za rodziną; ducha zabijał brak jakichkolwiek wiadomości ze świata; tu do człowieka nie przedarł się ani jeden promyk jakiejś nadziei...

Byłem sam między azyjską dziczą, bo troskliwy rząd porozsadzał nas Polaków w pojedynkę na przestrzeniach kilkudziesięciomilowych, abyśmy się nie mogli ze sobą znosić i spiskować... Nam też były spiski w głowie!..

W początkach życie moje jako osadnika było trudne, ale gdy z bieglem lat przyszła znajomość ludzi, stosunków, okolic; gdym potrafił uzyskać, z pomocą pieniędzy i darów, zaufanie urzędników, gdy następnie w skutek tego zaufania otrzymałem pozwolenie noszenia broni i polowania, życie choć znojne płynęło dość gładko, bo czego nie dała rola, dały lasy obfite w zwierzynę a po czterech latach należał krakowski akademik do najzamożniejszych osadników pod Błagowieszczeńskiem, słynął na calą okolicę jako rzetelny kupiec futer, a jego towar uchodził za najdroższy i najlepszy. Osady jego nie minął żaden przejeżdżający urzędnik, pewny że go w niej i gościna i gościniec nie minie; nie objechała osady żadna wyprawa urzędowa, żaden znaczniejszy kupiec futer, który w zamian za towar, zostawiał, prócz gotówki, wszystkie potrzeby domowego życia, wszelkie wymyślniejsze artykuły pożywienia.

Nadamurskie krainy to ziemia obiecana, we wszystkie skarby obfita i gdyby nie stosunki klimatyczne, przerzucające się w ostateczności, gdyby nie bezludność przestraszająca, żyłoby się tutaj bardzo wygodnie. W lesie upały prawie tropikalne, w zimie mrozy do 33 stopni dochodzące, że na świat trudno nosa wystawić; do Błagowieszczeńska odległego 40 wiorst z powodu zawalnych śniegów często dostać się niepodobna. Osadnik w futro zaszyty przepędza większą część zimy w chacie, naprawiając narzędzia rolnicze i gospodarskie; wieczorem w pobliżu pieca może się modlić lub drzemać. Ja wolałem czytać aby zupełnie nie schłopieć. Prawda że czytać mi było wolno tylko same wyłącznie rosyjskie książki, ale lepiej czytać po moskiewsku jak całkiem nie czytać...

Tak to wśród robinzonowskiego życia, doczekałem końca 1868 roku. Nadeszła Wigilja Bożego Narodzenia, a ja po odbyciu zwykłej codziennej, wspólnej modlitwy z czeladzią, siedziałem samotny w mojej świetlicy, w pobliżu komina a wpatrzony w ogień przeniosłem się myślą w rodzinne strony, pod dach rodzinny: kombinowałem że tam gdzieś daleko matka moja krząta się koło uczty wigilijnej, bracia i siostry przystrajają pokój snopami, ścielają pod obrus siano; że za chwilę usiędzie cała rodzina do stołu; ojciec odmówi modlitwę, złamią się opłatkiem i gwarzyć będą ze sobą poufnie, serdecznie a ogień z sośniny praskać będzie wesoło na kominku i nikt nie wspomni o Kazimierzu...

Mają go pewnie za poległego, za straconego na zawsze bo od czasu gdy wyszedł do obozu, sześć lat się kończy a o nim wieść zginęła... Może matka popatrzywszy na dziatwę przy stole siedzącą, policzy ją oczami, zauważy że najstarszego syna nie ma w jej gronie i uroni łzę bólem brzemienną, bo złote serce macierzyńskie kocha i tych, których nie ma....

A może przecież będą o mnie rozmawiać.

Ojciec także przypomni sobie o mnie; przypomni że obok niego siadałem; nieomieszka przypomnieć młodszej braci żem dziewiętnastoletnim chłopcem poszedł w powstańcze szeregi, że Kazimierz zginął za ojczyznę i spoczywa gdzieś pod leśną mogiłką. I także ojczysko łzę otrze, jakby się tej słabości wstydził w obec dzieci; powie im żem spełnił moją powinność, że takiegoż samego wypełnienia obowiązku spodziewa się u młodszych a potem... potem wezwie siostrę aby siadła do fortepianu — jak bywało zawsze — i z pod jej ręki wybiegnie Dąbrowskiego nuta — i mimo smutku wzbudzonego wspomnieniami, ojciec z rodzeństwem zanucą chórem nieśmiertelną pieśń kochaną:

Jeszcze Polska nie zginęła!.....

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z krainy baśni.

Na zielonym traw kobiercu
Legł **Miłości** bóg,
Drobną dłonią swą objąwszy
Setki strzał i łuk.

Mocno tuląc je do siebie
(Drogocenną broń!)
Śmierć spostrzega, jak mknie w dali
Przez kwiecistą błoń.

„Stój — zawoła więc — gdzie spieszysz
Niestrudzenie — stój!
Odrzuć raz twą pochodnię,
Spocznij bracie mój!“

„Spocząć prosisz? Śmierć odrzecze
O Niepomny! — Nas
Zeus na ciągły bój przeznaczył
Dla Olimpu — wczas!...

Wszak ja muszę tu na ziemi
W ojca Zeusa cześć,
Bez wytchnienia i bez przerwy
Przykre łowy wieść.“

„Ach! to prawda — jęknie Amor
Racją, racją masz:
Zawsze, wszędzie — serce ludzie
Biedne! — to łup nasz..

Same płacze, skargi, żale
Gdzie mój padnie strzał!..
Brr!... Poproszę, by Zeus zaraz
Mi dymisję dał.“

„„Eh, mój druhu! Troski z czoła!
Bo ot! napój mam,
Którym skradł Ganimedowi
Jaki?! — osądź sam.““

Skosztowali; i — o cudo!
Ten napojów król
W jednej chwili w nich ukoił
Goryez wszelką, ból...

Bladą śmierci twarz okrasił
Wnet rumieniec z róż;
Śmierć się chciała — **kochać**, byle...
Nie zabijać już!..

Wśród całusów woła Amor:
„Żyj mi, żyj sto lat!
Może żądać mej wdzięczności
Taki jak ty brat.

Gdy jednakże nie niestety!
Nie mam prócz tych strzał...
Choć w nich proszę, przyjacielu
Zechciej przyjąć dział.

Z niemi niech błogosławieństwo
Na cię spłynie me!“
Tu Śmierć pjana odbełkoce:
„„Weź nawzajem — te...““

* * *

I znów wzięli się do pracy,
(Strzał padała moc!)
By im dzień to wynagrodził;
Co zabrała noc.

Wtem zbladł czegoś piękny Amor
(Aż mu nóżki drżą;)
„Młodzi — jęknie — których trafię
Miast się **kochać** — **mrą**!“

„„Biada! krzyknie Śmierć fatalnie!
I mnie idzie źle!!
Stare głupcy mają = **ginąć**;
Im się **kochać** chce!...

Więc kołczany swe napowrót
Musim zmienić w lot;
Każdy niechaj jak najprędzej
Znajdzie własny grot.

Za podobną ról zamianę,
Dałby Zeus nam! dał!!““

. . . .

Och! jak straszno to u obu
Podobieństwo strzał!

En.

Zasada celowości
w przyrodzie
w obec dzisiejszej wiedzy

przez F. S.

Uogólnienia, ogarnizujące jak największy zasób faktów i praw poszczególnych są celem do którego dąży i dążyć powinna każda nauka, mająca pretensję nazywać się umiejętnością. One to właściwie reprezentują w gotówce gromadzony przez szereg pokoleń kapitał wiedzy, a owe fakta i prawa drobiazgowe to hypoteka, na której go tymczasowo ulokowano. Nauka jak dorabiający się kapitalista rozpoczyna od zdawkowej monety prostych zjawisk, ale na tem nie poprzestaje. Wgronie faktów luźnych i odosobnionych na pozór dopatruje się praw wspólnie nimi rządzących, z pośród tych praw jednostkowych wyosabnia wspólną im wszystkim zasadę, tę wraz i z innemi podporządkowuje innej ogólniejszej, aż wreszcie dojdzie do jednej ogólnej zasady, pod którą wszystkie inne podciągnąć się dadzą. To jest droga wszystkich wielkich uogólnień prawd naukowych — tak powstała zasada ogólnego ciążenia ciał, prawo zachowania materji i siły, wreszcie prawo walki o byt i stopniowego rozwoju, pod które dziś wszelkie objawy życia podciągnąć się dadzą.

Metoda to pewna, ale w wielu razach dla człowieka, dążącego z natury rzeczy do zaokrąglania swej wiedzy, za powolna. Przez ileż to faktów suchych i praw trzeba się przedzierać, aby choć promyk światła przypuścić przez wązką szczelinę w ten las otaczających nas zagadek — a tu chciałoby się jednem cięciem myśli ściągnąć zasłonę niewiadomego.

W takich razach wystarcza kilka spostrzeżeń pobieżnie zrobionych, analogia jakaś daleka i mglista, aby odrazu myśl jakąś przemawiającą do uczucia lub wyobraźni okrzyknąć za prawdę ogólną i zrobić z niej pewnik nie ulegający wątpliwości. A jeżeli do tego „prawda“ taka może posłużyć za argument do pewnych wierzeń uprzywilejowanych, wtedy adoptuje ją teozoficzna metafizyka i przyodziawszy w odpowiednią formę nadaje jej chrzest i sankcję filozoficzną.

Do rzędu w ten sposób zdobytych „prawd“ należy idea powszechnej celowości w przyrodzie, która orzeka, że nic w przyrodzie nie istnieje dla siebie samego — wszystko połączone tu żelazny młańcuchem środków i celów ze sobą, każdy atom i pyłek ma wytknięte sobie z góry stanowisko w ogólnym planie stworzenia. A po nad tem wszystkiem, niby duch po nad wodami, unosi się myśl twórcza i ona to zarządza tym całym arsenałem środków, które pysznym uczonym świata tego podobało się nazwać nieugiętemi prawami przyrody.

Oto część pierwsza tego twierdzenia uznająca w najogólniejszej formie całą naturę za narzędzie do pewnych celów — druga odpowiada na pytanie, co to za cel i dla kogo to wszystko? Odpowiedź brzmi dosyć skromnie: dla człowieka. Człowiek jest właściwie tym punktem środkowym świata, ku któremu grawitują wszystkie siły przyrody, a wszystko, co istnieje po za nim, jest rodzajem smacznej pieczeni przeznaczonej dla podniebienia tego „pana natury“. Słońce świeci na to, aby mu ciepło było, a zachodzi dla tego aby go w nocy podczas snu w oczy nie razić, deszcz pada w celu ożyżwienia pól jego, zwierzęta zaś rodzą się dla zastępywania go w pracy, lub dla figurowania w kształcie rostbeafu na jego półmisku, podczas gdy owoce mają specjalne zadanie drażnić przyjemnie jego podniebienie a jeśliby się czasem wydawało, że czynią to może dla pomnożenia swego gatunku, to zmierza to tylko do tego, aby pomnożyć te specjały do jego użytku. Co się zaś tyczy kwiatów to rzecz jasna, że kwitną one właśnie na to, aby mogły woniecć we włosach naszych dam, albo płatek po płatku skubane rozstrzygnąć kwestję; „kocha, nie kocha?“ A księżyc, ten księżyc skradający się w szczeliny cienistej altany, niby to on nie mruga potajemnie do dwóch par zapatrzonych w siebie zachęcając do poufnych zwierzeń cichych skarg, uniesień i głębokich westchnień. Niby on by to krążył dalej około ziemi, gdyby panna Adela odmówiła pierwszego kontredansa panu Józefowi. Z tych i wielu innych przykładów okazuje się jasno, jak ścisły zachodzi związek między całą naturą, a potrzebami i przyjemnościami człowieka. I dziwić by się w istocie należało, gdyby ta cudna harmonia została kiedy naruszoną. Jesteśmy z natury tak mocno o niej przekonani, że w wybuchu namiętności przywołujemy wszystkie siły natury, aby razem z nami szalały, srożyły się lub płakały obleczone kirem ciężkiego smutku. Dziwimy się jak ojciec zadżumionych słońcu, że świeci, kiedy nami szarpie rozpacz, ptakom spiewającym w chwili kiedy w sercu coś płacze, lub w słusznem oburzeniu za doznane krzywdy pytamy z poetą, czemu „sto słońc nie spadnie wrogom na głowę?...“ Ale słońce nie spada, ptaki spiewają i cała natura milcząca swą powagą zdaje się szydzić z pretensji pana stworzenia do tego tytułu. Za całą odpowiedź na te dziwne zachcianki drwi w żywe oczy poetycznej teorji o panu — człowieku i służce naturze.

Teorja zresztą sprowadza się sama do absurdum i jako taka na poważną krytykę nie zasługuje. Ale pozostaje część pierwsza narzucająca przyrodzie już nie ściśle egoistyczno-ludzkie cele, ale tylko w ogólności dążność do świadomego stosowania pewnych praw, jako środków do specjalnych celów.

Poezja filozoficzna i sucha metafizyka wzięły się tu za ręce, aby w dytyrambicznem uniesieniu piać hymny o cudnej harmonii stworzenia, o niedościgłej mądrości stwórcy, który niby wielki zegarmistrz z po za chmur poukładał surowe żywioły materji w misterny kompleks sprężyn, kółek i gwintów, gdzie każda śrubka zaczepia o tysiące trybów, a wyrwana sprowadziłaby zastój całości. Tu następują liczne prawdziwe i nieprawdziwe przykłady, między którymi nie pogardzono nawet bajeczkami w rodzaju znanej z elementarnych książek powiastki o skeptycznym Jasiu, który nie mógł uwierzyć, aby tak wstrętne stworzenie jak pająk mogło mieć jakieś przeznaczenie i pożytek, dopóki szczególny zbieg okoliczności nie przekonał go dowodnie o tej prawdzie. Oto ścigany raz przez rabusiów, ukrył się w głębokim dole, a w krótce potem pająk po nad otworem rozsnuł swą siatkę — złoczyńcy przyszli, spojrzeli zdaleka, a widząc nad norą nienaruszoną sieć pajęczą, odeszli dalej, zostawiając w pokoju skeptyka. A więc jest cel, jest tajne przeznaczenie nawet w przedmiotach, które przy pobieżnem badaniu mogłyby się wydać niepotrzebnymi lub wprost szkodliwymi.

Cała ta zasada ogólnej celowości, jako jedna z licznych fantazji metafizyki nie miałaby dla pozytywnej myśli głębszego znaczenia, gdyby jej konsekwencje nie stały w żadnym związku z rozwojem ścisłej przyrodniczej wiedzy. Tak jednak nie jest. Nauka choćby najbardziej wykształcona staje nieraz w obec faktów dziwnych i zagadkowych, gdzie zwykła jej metoda, pytająca o związek i przyczynę zjawisk, musi się wstrzymać na chwilę z wytłumaczeniem na drodze praw naturalnych. Tutaj to zasada celowości narzuca się sama prawie z łatwem a niekosztującem nic wyjaśnieniem: „musi tak być, bo byłoby źle, gdyby było inaczej“. Odgrywa ona tu rolę ponętnej syreny, która tanim kosztem złudnego spiewu wabi ku sobie rozbitków wiedzy, odrywając ich od twardej ale pewnej drogi badania. Bo rzecz jasna, po co dochodzić mozolnie przyczyny, kiedy znam cel odrazu, nie wiem dlaczego co jest, ale wiem na co jest. Sło-

wem kwestję przyczyny zmienia się na kwestją celu, a umiejętne badanie przechodzi w niewinną zabawkę umysłową. Przykład objaśni nas bliżej. Stwierdzonym jest fakt w fizyologji, że po zatkaniu jednej tętnicy, dowożącej krew do mózgu, skutkiem, czego powinien by mózg utracić połowę normalnej ilości krwi, druga symetrycznie położona rozszerza się odpowiednio, a mózg zostaje zaopatrzonym w tę samą ilość materjału odżywczego, co przedtem. Powstaje więc pytanie, jak się to dzieje, jakie prawa fizyczne lub fizyologiczne pośredniczą w tem zjawisku? Na to odpowiada teorja celowości: dzieje się to dlatego ponieważ w przeciwnym razie mózg byłby pozbawionym normalnej ilości krwi, skutkiem czego ucierpiałaby funkcja organu. Przykład drugi: po zniszczeniu jednej nerki, mniejsza o to sztucznem, czy naturalnem skutkiem procesów chorobowych, druga nerka podwaja swą czynność i przyjmując w ten sposób na siebie zadanie pierwszej, produkuje normalną ilość moczu. Co tu działa? zapytuje się fizyolog, szukając w drodze doświadczenia rozwiązania zagadki. „Odrzuć twój skalpel", odpowiada teolog „ja ci dam gotowe wyjaśnienie. Nerka pozostała musi z podwojoną siłą pracować, bo inaczej wyszłoby to na niekorzyść organizmu".

Czy w istocie wiedza nasza jest tak ubogą, żeby w obec podobnych faktów rezygnować z nadziei wytłómaczenia ich drogą sił przyrodzonych, znanych i ściśle określonych, a szukać pomocy w formułce, która nie tylko niczego nie tłómaczy, ale nadto wprowadza do nauki czynnik nieznany, bo nadprzyrodzony, a ciemniejszy jeszcze od samych tajemnic, które ma tłómaczyć? Oto pytanie pierwsze na które musimy odpowiedzieć, a jeżeli uda nam się wykazać, że tak nie jest, że środki nauk pozytywnych tu wystarczają, to zadanie nasze przedstawi nam się jeszcze w formie pytania, czy zasada ogólnej celowości nie sprzeciwia się faktom, a więc czy nie ma może w przyrodzie pewnych urządzeń nie mogących się zgoła żadnem wykazać przeznaczeniem, lub czy wreszcie nie zachodzą wypadki, gdzie urządzenie pewne nietylko chybia celu, ale wprost jest szkodliwe w danym kierunku.

(D. c. n.)

Kronika naukowa.

(I. Wyprawy naukowe do Grenlandji.)

Początek wypraw żeglarzy i kolonistów ze Skandynawii przez ocean ku północy i zachodowi, zamierzchłych sięga czasów. Islandja pierwsza w r. 860 skolonizowaną została przez Norwegczyków, którzy jak Naddodd, Gardar, Flokki i Ingloff w ciągu 10-iu lat liczne pozakładali tam kolonje. Grenlandja o całe stulecie przeszło później odkrytą została (983 r., a więc dziewięćset lat temu) przez norwegskiego żeglarza, Eryka Röde, który zaraz przedsięwziął założenie na nowym lądzie kolonialnych siedzib. Ilość tych kolonij stopniowo wzrastała, a następnie żeglarze, którzy z brzegów grenlandzkich popłynęli w kierunku ściśle południowym, odkryli wybrzeża dzisiejszej Kanady i część lądu dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, im więc właściwie — zaszczyt odkrycia „Ameryki" i utrzymywania z nią stosunków w wiekach X, XI i dalej aż pod koniec XIV-go, przypada.

Kolonizacja jednak tych, tak na północ wysuniętych, lodowych wybrzeży — nie mówimy tu o Islandji, lecz o grenlandzkich i innych pobliskich lądach i wyspach — okazała się zbyt trudną i niewdzięczną dla śmiałych nawet dzieci umiarkowanej Północy, gdyż powoli stosunki osad podbiegunowych z krajem ojczystym zatracają się — niewdzięczny klimat choroby, napady eskimosów a zapewne i niedźwiedzi, — że nie wspomnimy już o ruchach lodowców i zmianach w ukształtowaniu lądów, jakie wskutek tych ruchów powstają — zdziesiątkowały wkrótce wychodźców i ich potomstwo, tak, że w parę wieków później śladu nawet chrześcijańskiej ludności i założonych przez nią osad nie odnaleziono. A jednak istnieją na piśmie pewne zupełnie dowody, iż na grenlandzkim lądzie powstały i przez pewien czas kwitnęły liczne bardzo osady, a raczej miasta, jak Eriksfjord, Brattelid, Herjolfsnaes i in., z których pierwsze to miasto kilka miało kościołów, a między niemi jeden kościół katedralny. Chociaż więc stały w Grenlandji świątynie, a od mieszkańców w czasie wojen krzyżowych aż do Rzymu płynęły pieniądze na cele święte, — chociaż na początku jeszcze XV w. we wschodniej Grenlandji (Austurbygd) 190 osad o 12 parafiach, a w zachodniej (Westurbygd) 90 osad o 5 parafiach istniało; — stan rzeczy w ciągu następnych paru wieków do tego zmienił się stopnia, iż w 1721 roku organizuje pastor Hans Egede wyprawę norwegską w celu zaszczepienia ponownie chrześcijaństwa; zakłada on znów na nowo osady handlowe, a po piętnastoletnim osobistym zarządzie, misjonarzy stałych zostawia.

Jedyna to wyprawa skandynawska, jaka od czasu pierwotnej kolonizacji Grenlandji, aż do ostatnich czasów ze skutkiem przedsięwziętą została. W ostatnich paru wiekach Skandynawczycy stracili ochotę, czy też umiejętność żeglarską i zaniedbawszy wszelkich wypraw, siedzieli cicho we własnym kraju, wojny między sobą prowadząc.

W takich okolicznościach możnowładztwo morskie Anglii, wysyłającej na wszystkie strony swych dzielnych marynarzy, dotarło do tych brzegów, które przedtem norwegską obiecywały stać się kolonją. Anglicy jednak, przeważnie szukając przepływu zachodniego, nad amerykańskiemi lądami, zaczepiali wyłącznie prawie o zachodnie brzegi Grenlandji, które też od dość dawna już stanowiły i stanowią jedną z najlepiej znanych ziem północnych. Wschodni brzeg Grenlandji zupełnie do ostatnich czasów pozostawał nieznany, a szereg wypraw rozpoczyna dopiero w 1822 r. anglik Scoresby (młodszy), potem nawiedza brzegi te Graah, duńczyk (w jęz. duńskim *aa* czyta się *o*), w 1869/9 dociera tam niemiecka wyprawa, a 1870 rok pamiętny jest podróżą Nordenskjölda i Berggrena. Wyprawa tych dwóch ostatnich żeglarzy, a zarazem uczonych, stała się dopiero dla ludów i rządów skandynawskich bodźcem i podnietą do podjęcia utraconych i przez długi czas zaniedbanych poszukiwań morskich w strefie północnej, sąsiadującej — o setki mil. przez szeroki ocean — z drobnym skandynawskim półwyspem.

Rozbudzona ambicja skandynawskich ludów pragnie niejako powetować obecnie dotychczasowe zaniedbanie sprawy, i z gorączkową niemal skwapliwością urządzają szwedzi z norwegczykami oraz duńczycy, wyprawy, przedsiębiorą naukowe podróże, badają lądy i wyspy, ścięte lodami i lodowcami Północnego oceanu, a badają nietylko ich teraźniejszość, lecz i przeszłość, nietylko faunę i florę, lecz stan oświaty i życie społeczne ludów. Poszukiwania nie są bezowocne: wiadomości o tych ziemiach mnożą się z dniem niemal każdym, a nikt dziś skandynawczyków na polu badania tych mało przystępnych krajów nie wyprzedza.

Szwedzka wyprawa do Grenlandji, która wsławiła imiona Nordenskjölda i Berggrena, niemałe wydała owoce. Wróciwszy z podróży tej, pierwszy z tych uczonych żeglarzy-geografów zwiedza następnie pięciokrotnie Szpicberg, a potem w roku 1878 i 79-ym na sławnym okręcie Vega przepływa wzdłuż ocean cały porad Europą i Azją, i przywozi z tej naukowej podróży mnóstwo ciekawych i nowych naukowych danych.

Zazdroszcząc siostrzycom, Norwegii i Szwecji, wysyła w 1878 roku Dania wyprawę do wschodniej znów Grenlandji, pod wo-

wem kwestję przyczyny zmienia się na kwestję celu, a umiejętne badanie przechodzi w niewinną zabawkę umysłową. Przykład objaśni nas bliżej. Stwierdzonym jest fakt w fizyologji, że po zatkaniu jednej tętnicy, dowożącej krew do mózgu, skutkiem, czego powinien by mózg utracić połowę normalnej ilości krwi, druga symetrycznie położona rozszerza się odpowiednio, a mózg zostaje zaopatrzonym w tę samą ilość materjału odżywczego, co przedtem. Powstaje więc pytanie, jak się to dzieje, jakie prawa fizyczne lub fizyologiczne pośredniczą w tem zjawisku? Na to odpowiada teorja celowości: dzieje się to dlatego ponieważ w przeciwnym razie mózg byłby pozbawionym normalnej ilości krwi, skutkiem czego ucierpiałaby funkcja organu. Przykład drugi: po zniszczeniu jednej nerki, mniejsza o to rzeczonem, czy naturalnem skutkiem procesów chorobowych, druga nerka podwaja swą czynność i przyjmując w ten sposób na siebie zadanie pierwszej, produkuje normalną ilość moczu. Co to działa? zapytuje się fizyolog, szukając w drodze doświadczenia rozwiązania zagadki. „Odrzuć twój skalpel", odpowiada teolog „ja ci dam gotowe wyjaśnienie. Nerka pozostała musi z podwojoną siłą pracować, bo inaczej wyschłoby to, co niszczyłoby organizmu".

Czy w istocie wiedza nasza jest tak uboga, żeby w obec podobnych faktów rezygnować z nadziei wytłómaczenia ich drogą sił przyrodzonych, znanych i ściśle określonych, a szukać pomocy w formułce, która nie tylko niczego nie tłómaczy, ale nadto wprowadza do nauki czynnik nieznany, bo nadprzyrodzony, a ciemniejszy jeszcze od samych tajemnic, które ma tłómaczyć? Oto pytanie pierwsze na które musimy odpowiedzieć, a jeżeli uda nam się wykazać, że tak nie jest, że środki nauk pozytywnych tu wystarczają, to zadanie nasze przedstawi nam się jeszcze w formie pytania, czy zasada ogólnej celowości nie sprzeciwia się faktom, a więc czy nie ma może w przyrodzie powstających urządzeń nie mogących się zgoła żadnem wykazać przeznaczeniem, lub czy wreszcie nie zachodzą wypadki, gdzie urządzenie pewne nietylko chybia celu, ale wprost jest szkodliwe w danym kierunku.

(D. c. n.)

Kronika naukowa.

(I. Wyprawy naukowe do Grenlandji.)

Początek wypraw żeglarzy i kolonistów ze Skandynawji przez ocean ku północy i zachodowi, zamierzchłych sięga czasów. Islandja pierwsza w r. 860 skolonizowaną została przez Norwegczyków, którzy jak Naddodd, Gardar, Flokki i Ingolf w ciągu 10-iu lat liczne porozkładali tam kolonje. Grenlandja o całe stulecie przeszło później odkrytą została (983 r., a więc dziewięćset lat temu) przez norwegskiego żeglarza, Eryka Rôde, który zaraz przedsięwziął założenie na nowym lądzie kolonialnych siedzib. Ilość tych kolonji stopniowo wzrastała, a następnie żeglarze, którzy z brzegów grenlandzkich popłynęli w kierunku ściśle południowym, odkryli wybrzeża dzisiejszej Kanady i część lądu dzisiejszych Stanów Zjednoczonych, im więc właściwie — zaszczyt odkrycia „Ameryki" i utrzymywania z nią stosunków w wiekach X, XI i dalej aż pod koniec XIV-go, przypada.

Kolonizacja jednak tych, tak na północy wysuniętych, lodowych wybrzeży — nie mówimy tu o Islandji, lecz o grenlandzkich i innych pobliskich lądach i wyspach — okazała się zbyt trudną i niewdzięczną dla śmiałych nawet dzieci umiarkowanej Północy, gdyż powoli stosunki osad podbiegunowych z krajem ojczystym zatracają się — niewdzięczny klimat, choroby, napady eskimosów a zapewne i niedźwiedzi, — że nie wspomnimy już o ruchach lodowców i zmianach w ukształtowaniu lądów, jakie w skutek tych ruchów powstają — zdziesiątkowały wkrótce wychodźców i ich potomstwo, tak, że w parę wieków później śladu nawet chrześcijańskiej ludności i założonych przez nią osad nie odnaleziono. A jednak istnieją na piśmie pewne zupełnie dowody, iż na grenlandzkim lądzie powstały i przez pewien czas kwitnęły liczne bardzo osady, a raczej miasta, jak Eriksfjord, Brattelid, Herjolfsnaes i in., z których pierwsze to miasto kilka miało kościołów, a między niemi jeden kościół katedralny. Chociaż więc stały w Grenlandji świątynie, a od mieszkańców w czasie wojen krzyżowych aż do Rzymu płynęły pieniądze na cele święte, — chociaż na początku jeszcze XV w. we wschodniej Grenlandji (Austurbygd) 190 osad o 12 parafiach, a w zachodniej (Westurbygd) 90 osad o 3 parafiach istniało; — stan rzeczy w ciągu następnych paru wieków do tego zmienił się stopnia, iż w 1721 roku organizuje pastor Hans Egede wyprawę norwegską w celu zaszczepienia ponownie chrześcijaństwa; zakłada on znów na nowo osady handlowe, a po piętnastoletnim osobistem zarządzie, misjonarzy stałych zostawia.

Jedyna to wyprawa skandynawska, jaka od czasu pierwszej kolonizacji Grenlandji, aż do ostatnich czasów ze skutkiem przedsięwziętą została. W ostatnich paru wiekach Skandynawczycy stracili ochotę, czy też umiejętność żeglarską i zaniedbawszy wszelkich wypraw, siedzieli cicho we własnym kraju, wojny między sobą prowadząc.

W takich okolicznościach możnowładztwo morskie Anglji, wysyłającej na wszystkie strony swych dzielnych marynarzy, dotarło do tych brzegów, które przedtem norwegską obiecywały stać się kolonją. Anglicy jednak, przeważnie szukając przepływu zachodniego, nad amerykańskiemi lądami, zaczepiali wyłącznie prawie o zachodnie brzegi Grenlandji, które też od dość dawna już stanowiły i stanowią jedne z najlepiej znanych ziem północnych. Wschodni brzeg Grenlandji zupełnie do ostatnich czasów pozostawał nieznany, a szereg wypraw rozpoczyna dopiero w 1822 r. anglik Scoresby (młodszy), potem nawiedza brzegi te Graah, duńczyk (w języku duńskim czyta się ο), w 1869/70 dociera tam niemiecka wyprawa, a 1870 rok pamiętny jest podróżą Nordenskjölda i Berggrena. Wyprawa tych dwóch ostatnich żeglarzy, a zarazem uczonych, stała się dopiero dla ludów i rządów skandynawskich bodźcem i pobudką do podjęcia utraconych i przez długi czas zaniedbanych poszukiwań morskich w strefie północnej, sąsiadującej — o setki mil przez szeroki ocean — z drobnym skandynawskim półwyspem.

Rozbudzona ambicja skandynawskich ludów pragnie niejako powetować obecnie dotychczasowe zaniedbanie sprawy, i z gorączkową niemal skwapliwością urządzają szwedzi z norwegczykami oraz duńczycy, wyprawy, przedsiębiorą naukowe podróże, badają lądy i wyspy, ścięte lodami i lodowcami Północnego oceanu, a badają nietylko ich teraźniejszość, lecz i przeszłość, nietylko faunę i florę, lecz stan oświaty i życie społeczne ludów. Poszukiwania nie są bezowocne: wiadomości o tych ziemiach mnożą się z dniem niemal każdym, a nikt dziś skandynawczyków na polu badania tych mało przystępnych krajów nie wyprzedza.

Szwedzka wyprawa do Grenlandji, która wsławiła imiona Nordenskjölda i Berggrena, niemało wydała owoce. Wróciwszy z podróży tej, pierwszy z tych uczonych żeglarzy-geografów zwiedza następnie piękciokrotnie Szpicberg, a potem w roku 1878 i 79-ym na sławnym okręcie Vega przepływa wzdłuż ocean cały pomiędzy Europą i Azją, i przywozi z tej naukowej podróży mnóstwo ciekawych i nowych naukowych danych.

Zazdroszcząc skandynawom, Norwegji i Szwecji, wysyła w 1878 roku Dania wyprawę do wschodniej znów Grenlandji, pod wo-

dzą Kornerupa i Jensena, a pierwszy z nich bada dokładniej, niż ktokolwiek ze zwiedzających przed nim te lądy, ich układ geologiczny, ich formację lodową, lodowce, własności ich i t. d. Zaledwie w roku bieżącym zdołał Kornerup zebrać, uporządkować i wydać cały materjał naukowy, geograficzny i geologiczny, aliści przychodzi do skutku nowa wyprawa Nordenskjölda, który na parostatku Sofia opuścił Gothenburg d. 20 Maja r. b., znów po 13-tu latach dążąc do wschodniej Grenlandji. Nordenskjöld, jadąc ponownie do zwiedzonego już przez siebie, a później jeszcze przez duńczyków — jak powiedzieliśmy — kraju, postawił sobie z góry szereg pytań naukowych, które wyświetlić należycie zamierza.

Przedewszystkiem utrzymuje i dowodzi on, że wprost, jak się wyraża, fizycznem niepodobieństwem jest, aby wnętrze Grenlandji wiecznym pokryte było lodem, aby zatem nieustające lodowce zalegały bardziej ku północy wysunięte strefy podbiegunowego tego kraju.

Nordenskjöld stosuje mianowicie do Grenlandji teorję ruchomych lodowców, w miejsce dawniejszego wyobrażenia o „stałym“ i „wiecznym“ lodzie i śniegu, i słusznie powiada, że, skoro lodowiec nie może być podsycanym ciągle przez dopływ śniegu z wyższego a zimniejszego lodowca (pola lodowego jak Nordenskjöld się wyraża — „lodowego jeziora“); ciągłe tajanie lodu i parowanie przy niskich nawet temperaturach, musi sprawić to, że ów ruchomy lód zmiejszać się i znikać będzie w pewnych przynajmniej porach lub odstępach czasu.

Warunki układu lądu, jakie z dotychczasowego zbadania Grenlandji wypływają, nakazują Nordenskjöldowi, przypuszczać, że Grenlandja jest wąskim stosunkowo pasem lądu, którego kształtem jest forma bochenka chleba. Od środka ku brzegom wolna spadzistość prowadzi ku oceanowi. Otóż, zastanawiając się nad metereologicznemi wynikami takiego ukształtowania lądu, Nordenskjöld przychodzi do niewątpliwego przekonania, że po obu stronach spadzistości bochenka tego, zwłaszcza zaś po stronie północnej, wiatr, przychodzący z drugiej strony, przez wyniosłość, musi być prawie zawsze suchym i ciepłym (rozumie się stosunkowo). Nordenskjöld opiera się przytem na znanej teorji ciepłych, nagłe tajanie lodów i śniegów powodujących alpejskich wiatrów, zwanych „Föhn“, polegającej na tem, iż wiatr suchy przechodzący przez wierzchołek pasma górskiego na drugą stronę, stykając się z lodem i śniegiem gór, oziębia się mniej lub więcej znacząco, gdy tymczasem wiatr wilgotny nie oziębia się, lecz traci swą wilgoć, zostawia ją na górach po drodze, a schodzi pozbawiony wilgoci suchy, lecz nie oziębiony, a nawet — wskutek wydzielenia się ciepła utajonego wilgoci, która zetknęła się z lodem, — bardziej niż przedtem ciepły.

Takie wilgotne wiatry uderzają, zdaniem Nordenskjölda, od morza na wyniosłość śródlądową grenlandzką i przy przejściu gór tych muszą ocieplone na drugą przechodzić stronę.

Nordenskjöld nie wątpi zatem, iż w pewnej odległości od oceanu, po przebyciu największej wyniosłości środkowej, znajdzie on zniżanie się lądu ku północy, a ląd ten znajdować się powinien w warunkach cieplejszych niż znane dziś wybrzeże. Dla Nordenskjölda zagadką jest tylko, czy te ciepłe stosunkowo strony będą tundrą bagnistą — bez drzew i zieloności — czy też przedstawia bujny i piękny krajobraz północy. Na zasadzie jednak dawniejszych badań Hookera nad florą Grenlandji, a bardziej jeszcze może ufając nazwie „Zielonego kraju“, którą przecież usprawiedliwioną być musiała, Nordenskjöld mniema, iż znajdzie piękną zieloną roślinność.

Wnioski powyższe, teoretyczne, sprawdzone być mogą na miejscu jedynie przez wdarcie się w głąb' lądu dalej niż na 190 klm. (najdalszy kres, do jakiego dotąd udało się Nordenskjöldowi dotrzeć na Szpicbergu, a Kernerupowi w Grenlandji), i to właśnie głównym zdaje się być celem wyprawy. Następnie, chce Nordenskjöld zbadać granicę lodowców i lodów ruchomych (driftice, Treibeis) pomiędzy Islandją a przylądkiem Farewell, zmierzyć głębie oceanu, mórz i zatok na tej przestrzeni, zebrać bliższe szczegóły i dane co do kosmicznego pyłu, zawierającego metale; dalej uzupełnić wiadomości o florze i faunie lodowców, pól śnieżnych i t. d., wreszcie zaś poszukiwać w dalszym ciągu szczątków dawniejszej flory lub fauny, a więc paleontologicznych skarbów tej dziś lodowatej, lecz dawniej wcale nie tak zimnej strefy ziemskiej.

Z drugiej strony w celu wyświetlenia losów średniowiecznych osad norwegskich, w kraju, dokąd się udaje, a zwłaszcza Eriksfjordu, chce Nordenskjöld odnaleść, a choćby odgrzebać ruiny tej dość ludnej w swoim czasie siedziby, która bodaj czy nie uległa katastrofie, przypominającej zupełnie los Casamiccioli, z tą różnicą, iż nie wulkaniczny wybuch lub termiczne wpływy, lecz groźny uścisk lodowców strzaskał potężnemi ramiony ludzi i ich dzieła. Nordenskjöld przypuszcza, że Eriksfjord leżał na zachodnim brzegu Grenlandji, na płn. od przylądku Farewell.

O florze i faunie na śniegu i lodzie podamy w jednym z następnych numerów pisma krótką wzmiankę, podług wydanego w roku bieżącym dzieła Nordenskjölda, które opiera się na jego dotychczasowych poszukiwaniach, głównie zaś na zdobyczach w podróży na statku Vega, a mianowicie w czasie pobytu na Szpicbergu poczynionych. Co się zaś tyczy pyłu kosmicznego, który Nordenskjölda specjalną ściąga na siebie uwagę, to możemy tu tylko nadmienić, iż na świeżo spadłym śniegu w krajach Europy, znaleziono już dawniej drobniutkie kawałeczki, odrobiny, żelaza, zawierającego zawsze przymieszkę kobaltu; Nordenskjöld zaś sam, w poprzednich swoich podróżach znalazł na północnych lodowcach Szpicbergu pył węglowy, zawierający również kobaltowe żelazo, następnie zaś na lodach Grenlandji zebrał dość znaczne stosunkowo ilości ciemnego osadu, nowego niejako minerału, któremu dał nazwę „krykonitu“, a w którym przeważną częścią składową jest metaliczne, rodzime, t. zw. magnetyczne żelazo. Nordenskjöld wyraża zdanie, iż podobny pył — jak go nazywa — „kosmiczny“, stanowi opad atmosferyczny, właściwy niewątpliwie w mniejszej lub większej ilości wszystkim strefom i miejscom kuli ziemskiej, nie wszędzie tylko z równą łatwością dostrzegalny, a wielką dla różnych miejsc przedstawiający rozmaitość*)

Jasną zupełnie jest rzeczą i nie potrzebuje bliższego rozbioru, jak dalece dokładne poznanie i wyjaśnienie przyrody, oraz sposobu powstawania kosmicznego tego pyłu, ważnem jest dla geologji i kosmologji naszego przynajmniej systemu planetarnego. Niestety, mała zawsze, bezwzględnie rzecz biorąc, ilość pyłu, jaki z dużej nawet przestrzeni zebrać można, utrudnia bardzo i rozpoznanie i porównanie i ustanowienie ogólniejszej teorji powstawania pyłów tych, które dostrzedz dzięki temu jedynie było można, iż biały, czysty śnieg Północy i czyste stref popularnych powietrze, każdą odrobinę na tem nieskończenie a monotonnie harmonijnem tle, dojrzeć badaczowi pozwalają.

Nordenskjöld obiecuje sobie w obecnej wyprawie bliżej interesujące zjawisko opadu metalicznego zbadać i wyjaśnić. Niedaleka przyszłość pokaże, o ile to mu się uda.

Nordenskjöld odpłynął, jak powiedzieliśmy, d. 20 Maja r. b. Na początku Lipca

*) W wyprawie północnej na statku Vega, znalazł Nordenskjöld drobniutkie kryształki żółtawego koloru na śniegu obszarów lodowych z pół wyspu Tajmurskiego. I te, bliżej niezbadane kryształki, do pyłu kosmicznego zaliczone być muszą.

wyprawa — przebywszy 2600 mil morskich z trzema po drodze przystankami (Thurso, Reikiavik i Ivigtuk) — zawiną miała do Auleitsivik Fjord, skąd Nordenskjöld z kilku towarzyszami puścić się miał w głąb' lądu Grenlandji, w 30 lub 40-dniową podróż przez który to czas reszta załogi opłynąć ma brzegi ku zachodowi, na odległość około 750 mil morskich aż poza przylądek Cap York: i stamtąd po Nordenskjölda powrócić.

Powrotna podróż rozpocząć się ma w końcu Września w Listopadzie Nordenskjöld powinien w ojczystym znów się znaleść kraju.

Cały świat naukowy oczekuje go z niecierpliwością.

Trzy psalmy Krasińskiego.

Szkic przez Z. G.

Messjanizm polski z lat 1840 do 50 jest jednym z najcharakterystyczniejszych, najoryginalniejszych cech całej naszej wielkiej poezji XIX. wieku. Wiara ta opierająca się na niepochwytnych podstawach przejawia się w tysiącznych formach u pisarzów owoczesnych, każdy z nich ma własny snopek kwiatów, z którego układa równiankę, a choć kwiaty te zerwane na jednem i tem samem polu, są bardzo różne barwą i zapachem. Jednego systemu nie było, nawet pośród sekty nie można dopatrzeć jednolitości doktryny; niektórzy, jak Słowacki, zmieniali ją wciąż i przetwarzali sami na setne odcienia. Z trudnością przychodzi dziś nam dostroić się umysłem do tych płomiennych fantazji, ogarnąć je i poznać wewnętrzny związek tych mniemań. O ile to jednak można uczynić, to przychodzimy do wniosku, że Krasińskiego system, idea, wiara, marzenia — nie wiem zresztą jak to nazwać stosownie — jest jeszcze pomiędzy wszystkimi najwyraźniejsza, najbardziej w szczegółach i ich spójności wykończone. Jednak u niego jak i u innych nie ma w systematyczną całość ujętej nauki, potrzeba ją odtwarzać z dzieł, z których każde oświetla ją tylko jednostronnie i z bogatego materjału korespondencji. Dopiero zestawienie wszystkich tych źródeł pozwoli nam faktycznie zrozumieć myśl autora w dziełach takich jak „Sen" (niedok. poem.), „Trzy myśli Ligenzy, „Przedświt", „Psalmy przyszłości", „Dzień dzisiejszy", „Ostatni", „Podziemia weneckie." W nich dwa razy się kusił o streszczenie całości teorji, w myślach Ligenzy i Psalmach, dziełach bardzo podobnych do siebie nawet rozłożeniem treści.

Pierwsza jednak jest jeszcze owocem mglistego dumania, jeszcze umysł porywa się zaledwie do proroczego lotu, nie może swobodnie rozwinąć skrzydeł. Psalmy są znacznie zrozumialsze.

„Idea" Krasińskiego różni się znacznie od pojęć innych messjanistów, jest bardziej powszechna, ogólna, Tworzy ona obszerną teorję „trzeciej epoki" dziejów ludzkości. Jest za mało umiejętną, aby zależało na wykazaniu jej oryginalności. Na pozór wprawdzie wydaje się, iż to ma wymaganie systemu filozoficznego, bo obejmuje sobą najwyższe zagadnienie bytu, zawiera w sobie cząstki teologji, chce być syntezą historji, socjologji, psychologji etc. Jednakże są to wszystko części dodatkowe, i jak łatwo można się przekonać, zmienne; repetycje różnych też Hegla, Schellinga, Schoppenhauera, albo takich zapomnianych dziś mistyków, jak Stoffels. Główny szkielet zaś teorji trzeciej epoki, utworzony również pod obcymi wpływami (Cieszkowskiego, Danielewicza, doktryny Towiańskiego [1]) jest za mało uniwersalnym i zanadto dowolnym a bez treści realnej, iżby mógł być nazwany systemem filozoficznym. Poeta przyznaje się sam do jego genezy: „zduchowniał, a odzmysłowił się [2]) i w tem odzmysłowieniu się zdała od wszelkich zjawisk zewnętrznych, którymi gardził, zatopiony w sobie przebywał myślą w dziedzinie najwyższych abstrakcji i rozwiązywał sercem najtrudniejsze zagadnienia przyszłości, nie popartymi i niezbicie dowodnymi argumentami, ale zestawieniem odległych faktów, przeskakiwaniem trudności za pomocą dowodów mistycznych. Nieraz dla udowodnienia posługuje się obrazem, zjawiskiem albo wspomnieniem, albo żądzą gorącego uczucia, tak, iż wszystko, co on chciałby mieć filozofją, jest co najwięcej mistyką i poezją.

Nie tu jest miejsce wykazywać, jakimi drogami doszedł do tej wiary, która była, można powiedzieć, nieuniknioną dla niego, dążył do niej wszystkiemi myślami i dziełami; choć przejął ją zkąd inąd, to jednak ma ona organiczny związek ze wszystkimi poprzednimi pojęciami, jest ich naturalnym wypływem. [3]) Zaznaczyć jednak muszę, że głównem jej źródłem były: wstręt do rzeczywistości, do stanu społecznego Europy, pojmowanego jako stek niesprawiedliwości i gwałtów, „piekło dni teraźniejszych („Sen" w niedok. poem.), z drugiej zaś strony silna wiara w przyszłość lepszą, tak dla narodu polskiego, mającego się odrodzić w niepodległości i świetności [4]), jakoteż w ogóle dla całej ludzkości. Należy on do tych ewolucjonistów, których imiona zapełniają świetne karty historji filozofji XIXgo wieku, jak Schilling, Hegel, Spencer, którzy pod wpływem nagłego postępu wieku wynalazków potworzyli ogólne teorje rozwoju, wkładając w nie cały ogół zjawisk [5]). Ale duszę miał namiętną, i kiedy niezadowolenie było żywe, a nadzieja gorąca, szukał jakiegoś środka przyspieszającego nadejście lepszych czasów. A był autorem „Irydjona". Poznał i rekonstruował rozwalenie się starożytnego świata, wstępujący na jego miejsce świat nowy, wyższy, zakon miłości. Zwrócił się był do tej epoki dziejów Rzymu, bo zdawała się najpodobniejszą do dzisiejszej: Skoro się zaś w nią myślą zagłębił, zrodziło się mniemanie odwrotne: dzisiejsza epoka wydała się odbiciem owej i ztąd przyszedł do wniosku: jak po tamtej — dziś nam należy oczekiwać przemiany stanu ludzkości. W Irydjonie zestawić zamierzał tylko dążności narodowe dwóch epok, stało się, iż zestawił wypadki (Przedmowa do „Przedświtu), zestawił rozwiązanie dziejowej kolizji. Uczynił więc wreszcie to za pomocą teorji trzeciej epoki, którą można w ten sposób streścić:

Wiek obecny jest wiekiem przejścia, wiekiem upadku zarówno stanu umysłowego świata — w filozofji, religii — i politycznego i społecznego, w ustroju państw polegającym na ucisku jednych przez drugich. Ztąd wynika konieczność „pomocy Ojca, który jest w Niebiesiech", lecz nie objawienie nowych prawd, bo te już podane wszystkie przez Chrystusa, tylko głębsze zrozumienie ich, „wyższe dopełnianie się objawienia Chrystusowego w ludzkości."

Dzieje Europy, czyli ludzkości rozdziela Krasiński w schemat logiczny tezy, antytezy i syntezy. Pierwsza epoka, świat starożytny, druga — świat chrześcijański, trzecia — epoka nowa, do której się zbliżamy,

[1]) Co do wpływu Towiańskiego, który był większy, niż zazwyczaj sądzą, patrz Wyjątki z listów Krasińskiego. Paryż. Naumburg 1851, str. 131, 152 i Listy 1883, tom II. str. 267.

[2]) Listy Krasińskiego do Sołtana (1833) str. 215.

[3]) Świadomie zajmuje się tą teorją dopiero w r. 1839. Patrz list do Gaszyńskiego z r. 1839, 10go stycznia o Śnie Niedok. poem.

[4]) Listy do Gaszynskiego (1882) str. 11, 13, 44, 49, 139 — porównaj Nieboską, komedję i Irydjona.

[5]) Wiara w rozwój dziejów w listach do Gaszyńskiego (1882) str. 46, 141, 149, 151. Wpływ wieku XIX. Wyjątki z listów Krasińskiego (1861) str. 104—5.

[6]) Listy Słowackiego (1883) tom II. str. 232—3.

wyprawa — przebywszy 2600 mil morskich z trzema po drodze przystankami (Thurso, Reikiavik i Ivigtuk) — zawinęła do Aoleitsivik Fjord, skąd Nordenskjöld z kilku towarzyszami puścić się miał w głąb' lądu Grenlandji, w 30 lub 40-dniową podróż, przez który to czas reszta załogi opłynąć ma brzegi ku zachodowi, na odległość około 750 mil morskich aż poza przylądek Cap York i stamtąd po Nordenskjölda powrócić.

Powrotna podróż rozpocząć się ma w końcu Września — w Listopadzie Nordenskjöld powinien w ojczystym znów się znaleść kraju.

Cały świat naukowy oczekuje go z niecierpliwością.

Trzy psalmy Krasińskiego.

Szkic przez Z. C.

Messjanizm polski z lat 1840 do 60 jest jednym z najcharakterystyczniejszych, najoryginalniejszych cech całej naszej wielkiej poezji XIX. wieku. Wiara ta opierająca się na niepochwytnych podstawach przejawia się w tysiącznych formach u pisarzów ówczesnych, każdy z nich ma wiązany snopek kwiatów, z którego układa równiankę, a choć kwiaty te zerwane na jednem i tem samem polu, są bardzo różne barwą i zapachem. Jednego systemu nie było, nawet pośród sekty nie można dopatrzeć jednolitości doktryny; niektórzy, jak Słowacki, zmieniali ją wciąż i przetwarzali sami na setne odcienia. Z trudnością przychodzi dziś nam dostroić się nastrojem do tych płomiennych fantazji, ogarnąć je i poznać wewnętrzny związek tych marzeń. O ile to jednak można uczynić, to przychodzimy do wniosku, że Krasińskiego system, idea, wiara, marzenie — nie wiem zresztą jak to nazwać stosownie — jest jeszcze pomiędzy wszystkimi najwyraźniejszy, najbardziej w szczegółach i całości wykończone. Jednak u niego jak i u innych nie ma w systematycznej całości ujętej nauki, potrzeba ją odtwarzać z dzieł, z których każde oświetla ją tylko jednostronnie i z bogatego materjału korespondencji. Dopiero zestawienie wszystkich tych źródeł pozwoli nam faktycznie zrozumieć myśl autora w dziełach takich jak „Sen" (niedok. poem.), „Trzy myśli Ligenzy, „Przedświt", „Psalmy przyszłości", „Dzień dzisiejszy", „Ostatni", „Podziemia weneckie." W nich dwa razy się kusił o streszczenie całości teorji, w myślach Ligenzy i Psalmach, dziełach bardzo podobnych do siebie nawet rozłożeniem treści.

Pierwsza jednak jest jeszcze owocem mglistego dumania, jeszcze umysł porywa się zaledwie do proroczego lotu, nie może swobodnie rozwinąć skrzydeł. Psalmy są znacznie zrozumialsze.

„Idea" Krasińskiego różni się znacznie od pojęć innych messjanistów, jest bardziej powszechna, ogólna. Tworzy ona obszerną teorję „trzeciej epoki" dziejów ludzkości. Jest za mało umiejętna, aby zależało na wykazaniu jej oryginalności. Na pozór wprawdzie wydaje się, iż to ma wymagania systemu filozoficznego, bo obejmuje sobą najwyższe zagadnienie bytu, zawiera w sobie cząstki teologji, chce być syntezą historji, socjologji, psychologji etc. Jednakże są to wszystko części dodatkowe, i jak łatwo można się przekonać, zmienne; zapożycza również też Hegla, Schellinga, Schopenhauera, albo takich zapomnianych dziś mistyków, jak Steffel. Główny szkielet zaś teorji trzeciej epoki, utworzony również pod obcymi wpływami (Cieszkowskiego, Danielewicza, doktryny Towiańskiego [1]) jest za mało uniwersalnym i zanadto dowolnym a bez treści realnej, iżby mógł być nazwany systemem filozoficznym. Poeta przyznaje się sam do jego genezy: „zduchowniał, a odmyślowił się [2]) i w tem odmyślowieniu się udała od wszelkich zjawisk zewnętrznych, którymi gardził, zatopiony w sobie przebywał myślą w dziedzinie najwyższych abstrakcji i rozwiązywał sercem najtrudniejsze zagadnienia przyszłości, nie popartymi i niezbicie dowodnymi argumentami, ale zestawieniem odległych faktów, przeskakiwaniem kredności za pomocą dowodów mistycznych. Nieraz dla udowodnienia posługuje się obrazem, zjawiskiem albo wspomnieniem, albo rządzą gorącego uczucia, tak, iż wszystko, co on chciałby mieć filozofją, jest co najwięcej mistyką i poezją.

Nie tu jest miejsce wykazywać, jakimi drogami doszedł do tej wiary, która była, można powiedzieć, nieuniknioną dla niego, dążył do niej wszystkimi myślami i dziełami; choć przejął ją skąd inąd, to jednak ma ona organiczny związek ze wszystkimi poprzedniemi pojęciami, jest ich naturalnym wypływem. [3]) Zaznaczyć jednak muszę, że głównem jej źródłem były: wstręt do rzeczywistości, do stanu społecznego Europy, pojmowanego jako siek niesprawiedliwości i gwałtów, „piekło dni teraźniejszych („Sen" w niedok. poem.), z drugiej zaś strony silna wiara w przyszłość lepszą, tak dla narodu polskiego, mającego się odrodzić w niepodległości i świetności [4]), jakoteż w ogóle dla całej ludzkości. Należy on do tych ewolucjonistów, których imiona zapełniają świetne karty historji filozofji XIXgo wieku, jak Schilling, Hegel, Spencer, którzy pod wpływem nagłego postępu wieku wynalazków potworzyli ogólne teorje rozwoju, wkładające w nie cały ogół zjawisk [5]). Ale duszę miał namiętną, i kiedy niezadowolenie było żywe, a nadzieja gorąca, szukał jakiegoś środka przyspieszającego nadejście lepszych czasów. A był autorem „Irydjona". Poznał i rekonstruował rozwalenie się starożytnego świata, wstępujący na jego miejsce świat nowy, wyższy, zakon miłości. Zwrócił się był do tej epoki dziejów Rzymu, bo zdawała się najpodobniejszą do dzisiejszej; skoro się zaś w nią myślą zagłębił, wrodziło się mniemanie odwrotne: dzisiejsza epoka wydała się odbiciem owej i stąd przyszedł do wniosku: jak po tamtej — dziś nam należy oczekiwać przemiany stanu ludzkości. W Irydjonie zestawić zamierzał tylko dalności narodowe dwóch epok, stało się, iż zestawił wypadki (Przedmowa do „Przedświtu), zestawił rozwiązanie dziejowej kolizji. Uczynił więc wreszcie to za pomocą teorji trzeciej epoki, którą można w ten sposób streścić:

Wiek obecny jest wiekiem przejścia, wiekiem upadku zarówno stanu umysłowego świata — w filozofji, religji — i politycznego i społecznego, w ustroju państw polegającym na ucisku jednych przez drugich. Ztąd wynika konieczność „pomocy Ojca, który jest w Niebiesiech", lecz nie objawienie nowych prawd, bo te już podane wszystkie przez Chrystusa, tylko głębsze zrozumienie ich, „wyższe dopełnianie się objawienia Chrystusowego w ludzkości."

Dzieje Europy, czyli ludzkości rozdzielał Krasiński w schemat logiczny tezy, antytezy i syntezy. Pierwsza epoka, świat starożytny, druga — świat chrześcijański, trzecia — epoka nowa, do której się zbliżamy.

---

[1]) Co do wpływu Towiańskiego, który był większy, niż zazwyczaj sądzą, patrz Wyjątki z listów Krasińskiego. Paryż. Neumburg 1881, str. 121, 122 i Listy 1883, tom II. str. 287.

[2]) Listy Krasińskiego do Soltana (1883) str. 216.

[3]) Świadomie zajmuje się tą teorją dopiero w r. 1838. Patrz list do Gaszyńskiego z r. 1839, tego dotyczący o Snie Niedok. poem.

[4]) Listy do Gaszyńskiego (1882) str. 11, 13, 41, 49, 133 — porównaj Nieboską, komedję i Irydjona.

[5]) Wiara w rozwój dziejów w listach do Gaszyńskiego (1882) str. 42, 141, 149, 151. Wpływ wieku XIX. Wyjątki z listów Krasińskiego (1881) str. 101—5.

[6]) Listy Stawarskiego (1883) tom II. str. 259—2.

którą mamy zdobyć sobie [6]) — i to niezadługo. [7])

Różnice pomiędzy epokami są następujące:

I. ep. świat materj'. II. ep. świat ducha. III. ep. połączenie natury i ducha. [8])

I. ep. piękność. II. ep. wiedza duchowa. III. wola łącząca prawdę z pięknością, rozum z sercem, wiedzę z czuciem. [9])

I. ep. piękność prawda kształtu.

II. ep. prawda, piękność myśli.

III. ep. czyn, życie, zlew obu jednostronności, miłość, która jest żywym duchem, żywy duch zaś jest żywym czynem, a czyn, to myśl i piękność w miłości nastroju zawarte. [10])

I. ep. Epoka ojca. II. Epoka Syna. III. Epoka Ducha św. Epoka trzecia rozpocznie się w ten sposób, że człowiek drugiej epoki będący w stanie myśli, ducha, otrzyma do tej wiedzy jeszcze własność ludzi pierwszej epoki, otrzyma „objawienie w naturze." [11]) „Przejście ze stanu myśli czystej do stanu realności, do czynu", odbędzie za pomocą cudu. [12])

Ten cud nie jest „niczem innem, tylko zrównaniem w piękności plastycznej zewnętrznego świata z wewnętrznym człowiekiem." [13])

Cud zależy „na doprowadzeniu do najwyższego stopnia rzeczywistości zewnętrznej wewnętrznych naszych uczuć, woli pomysłów! czyli na tem, by niemocy ducha (który tylko chce, myśli, czuje, ale wszędzie na twardej materji jak fala płynna na skale kona) przyszła w pomoc giętkość, miękkość, posłuszeństwo, wierność tejże materji z nim pogodzonej, podbitej jemu. [14]) To jest cud, to jest czyn. Nie jest to samo działanie pośród faktycznego życia według określonej w sumieniu powinności (Kantowski kategoryczny imperativus [15]), to byłoby za mało do przemiany świata. Tę sprawi czyn i cud za pomocą nowej siły danej człowiekowi, a mianowicie magnetyzmu. Nazwę i rzecz wziął z przedstawień hypnotycznych magnetyzerów, ze stolików wirujących etc. [16]) Oto jego własnymi słowami określę znaczenie i skutki magnetyzmu dla trzeciej epoki dziejów świata.

„Magnetyzm jest dotąd nieowładnięty, człowiek jest jego sługą i niewolnikiem, dotąd więc jestto siła szatańska: odkryty, zrozumiany, pojęty jako prawo wieczne w naturze i ujarzmiony, przymuszony służyć człowiekowi, stanie się jego dobrem. Poeta wolałby mieć inne mniej sponiewierane słowo na oznaczenie tej potęgi oddanej duchowi pod zarząd.

Magnetyzm wiedzie do zlania się, związku, spójni harmonijnej rozdzielonych przedtem ducha i ciała: do odbijania się jednego w drugiem, do przeprowadzenia w rzeczywistość widomą, dotykalną i słyszalną niewidomości, niedotykalności i niesłyszalności pierwszego. Jest to siła w naturze, mająca się objawić, a odpowiadająca woli w duchu naszym; wyraz zmysłowy woli ludzkiego ducha. Będzie formą naturalną nadchodzącej epoki. Od piękna i dobra duchowego zależy rozwinięcie się doskonalsze tej siły magnetycznej, która wtedy dopiero harmonijną będzie na planecie, gdy plemię planetarne z wolą Bożą się zgodzi — t. j. złe odrzuci i tylko w celu dobrym i szlachetnym cudu potęgi użyje. Czemże w szczegółach będzie to wielkie odkrycie magnetyczne lub objawienie magnetyczne? Możność ujrzenia, kiedyby kto zechciał, kogo zechciał, i co tamten robi (coby urzeczywiściło wszechobecność boską) odsłonienie tajemnicy zgonu, wtedy śmierć wyglądać będzie ludziom na coś podobnego do tej kolumnady świętego Piotra, prowadzącej rzędem filarów w kościół pełen muzyki i światła: duch ujrzy dowód nieodbity nieśmiertelności swojej po zgonie; dojdzie do mostu rzuconego między tym planetą a księżycem umarłych i przejdzie po nim; magnetyczne odkrycie stworzy na tym planecie nowe źródła bogactw dla klas, które inaczej do buntu gotowe pożrą wiek nasz z wewnątrz, poda sposoby do żywienia coraz większej liczby ciał żywych, które zaczynają grozić społeczeństwu."

Wiarę w magnetyzm jako siłę pośredniczącą pomiędzy objektem a subjektem utożsamioną z wielu innymi rzeczami, znajdujemy jeszcze w r. 1857. [17]) Jak powstała, dlaczego przyjął ją i wcielił w swój umysł Krasiński, z jakich złożona pierwiastków, wszystko to widać z tego streszczenia. Dziecko by zaś wiedziało dzisiaj, co o niej sądzić. (c. d. n)

[7]) „Wyjatki" str. 131, 135. Listy Słow. II. 258, 269, 287. Listy do Gasz str. 221. Pisma (1880), tom II. str. 250.

[8]) Wyjątki str. 138.

[9]) ibid. str. 143—5.

[10]) Listy Słowackiego (1883) tom II. str. 281—3.

[11]) Wyjątki str. 135. Listy do Sołtana (1883) str. 256.

[12]) Wyjątki str. 104.

[13]) ibid. str. 151.

[14]) ibid. str. 122.

[15]) ibid. str. 72—3.

[16]) Patrz wśród mnóstwa innych miejsc. Wyjątki str. 144.

[17]) Streszczenie wyjęto zdaniami z następujących ustępów w listach: Wyjątki str. 93—4, 118, 124, 125, 132—9, 142—5, 151, 192, 215—21. Listy do Sołtana (1883) str. 253.

Przegląd literacki.

(Z przełomu wieków, przez En'a).

Ostatnie prądy, jakie w najbliższych nam dziesiątkach bieżącego wieku porwały badaczów z niwy historycznej już dotąd zostawiły po sobie niemało dodatnych śladów. Z naukowej widowni zniknęły zdaje się bezpowrotnie wielotomowe elukubracje pisarzy, w których z ambicją rzadko szła w porze nauka a ścisłość prawie nigdy... Dziś na zagonie dziejów brak nam wprawdzie kolosalnych brył piaskowych bo je z mozołem podkopuje i usuwa ryskal gruntownej wiedzy; zato pokrywa go coraz gęściej deszcz kamyków drobnych ale owym ryskalem już wypróbowanych. I jeśli światem materji a światem ducha nie całkiem zgodne rządzą prawa, to jedno z zasadniczych jest obu niewątpliwie wspólnem. Ekonomia materji uczy nas nie bezmyślnie nagromadzać wielkie kapitały ale najmniejszym dzielnie obracać; ekonomia ducha żąda dziś od nas nie gubienia się w olbrzymich całokształtnych poglądach na powierzchownie dopiero znane ruiny wieków ale sumiennego krystalizowania ich atomów, z którychby kiedyś wspólnemi siłami złożyć można jednolity a niewzruszony gmach przeszłości. Słowem monograficzny kierunek przemówił do przekonania licznych sterników nawą akademicką a szeregi opowiadań, fragmentów, szkicow, listów, sylwetek i innych drobiazgów historycznych, z każdym rokiem liczniejsze, najlepszym tego dowodem.

Przeważna zaś część tych studjów opiera się na stuleciu XV. i XVI. na tych dwu stuleciach, które nagle rozdzieliły epokę średniowieczną i nowożytną tworząc prawdziwy przełom w pochodzie wieków. Wiedza świata, jakby silną pchnięta ręką szybko pomknęła naprzód; wszystkie ludy cywilizowanej półkuli zaczęły ze sobą formalne wyścigi na torze myśli. Do tych, które się częścią z własnej winy, częścią bez niej spóźniły do wspólnej mety należała bezsprzecznie i Polska. Synowie jej chociaż o największy szowinizm pomawiani, dziś już wiedzą o tem dobrze. Dziś już chodzi tylko o objaśnienie tego faktu, o wyłuszczenie jego przyczyn i możliwe ich usprawiedliwienie. Nie dziw więc, że epoka ta dla historyków jest dotychczas w kopalni dziejowej niewyczerpanym a najciekawszym szybem, że różne szkoły naukowe z różną tendencją i skutkiem kopią w niej ciągle, z zapałem, namiętnie.

Zanim jednak to mozajkowe tło najnowszych prac historjograficznych będzie-

my mogli bliżej oglądnąć, przypatrzymy się pierwej dwom pracom dla których na tem tle miejsca nie ma, od którego one odbijają rozmiarami i charakterem.

W pierwszem z nich autor *) przy blasku naukowych pochodni zdaniem swojem ostatnich konstrukcji stara się nam przedstawić genezę i rozwój jednej z największych a najbardziej zajmujących rewolucji w świecie ducha; drugiego **) celem jest dowieść o ile błędne i uprzedzone pojęcie na świat o jednym z najdzielniejszych swych żywiołów (!?)...

Jak się autorowie] z] swych zadań ze stanowiska bezwzględnego wywiązali, to rzecz inna; w każdym razie obie prace są ciekawe a naszem głównem zadaniem będzie tylko ich najważniejsze włókna złączyć w nieprzerwaną nitkę, po którejby czytelnik doszedł do obu dzieł kłębka.

II.

Reformacja to w dziejach ludzkości najwybitniejszy pierwiastek negacyjny. Protestantyzm w celu obalenia kościoła katolickiego uznał pismo św. za jedyne źródło wiary i najwyższą powagę duchowną a rozbiwszy katolicką prawdę z resztek jej począł tworzyć nowe symbola wiary. Duchowego jednak przewodnictwa nad społecznością objąć nie zdołał; wpływ protestantyzmu ograniczył się na kierunek polityczny. Tak się miała rzecz z odmianami w różnych krajach stosownie do okoliczności, do natury, charakteru narodu. W Polsce korzystną dlań rolę odegrały: pycha szlacheckich możnowładców ich swywola i chęć naśladownictwa. Wszystkie podobne wady nie sięgają zwykle do rdzeni narodu, są tylko niejako chorobliwemi naroślami ale nie wrzodem zewnętrznym, społeczną gangreną; dlategoteż i reformacja w Polsce do grnntu jej nigdy nie dotarła, przeciwnie uległ jej jeden stan tylko: stan zamożny i niemieckiego mieszczaństwa. W ogóle zresztą jako teren zbliżenia się najróżniejszych sekt żaden może kraj nie przedstawia tak ciekawego widoku w stuleciu XVI jak Polska. Składały się zaś na to wieki całe; liczne mniejsze, częściowe apostazje przygotowywały wielką herezja protestancką. Dość tu wspomieć „bierowników", Dolcynistów, Begnardów, Beguicki, Fratrycellów i odszczepieńców czeskich.

*) Bukowski I. ks.. „Dzieje reformacji w Polsce od jej wejścia do upadku" wedle najnowszych źródeł. Tom I. str. XV. i 709. Kraków. 1883.

**) Piotrowski I. C.: „Jezuici": Tom I. str. 342. Kraków. 1883.

Z ich historją łączy się ściśle i historja inkwizycji w Polsce autor zastanawia się nad nią, tłumaczy naturę inkwizycji i jej prawne stanowisko w kościele i państwie.

Inkwizycja czyli obowiązkowe śledztwo i sąd kościelny przeciw heretykom w rzeczach wiary powstała wraz z kościołem i w swych początkach nie przekraczała pozbawienia praw obywatelskich. Gdy jednak jak wiadomo w średnich wiekach z powodu bardzo ścisłego związku między kościołem i państwem herezją uznano za zbrodnię stanu odnośne wypadki w XII. i XIII. wieku, wywołały surowsze postępowanie z heretykami i nieustający sąd w rzeczach wiary mianowicie stałą inkwizycję biskupią Książęta świeccy uznawali jej potrzebę i pożyteczność; z czasem zaś nawet stała się ona instytucją otyle bardziej polityczną już kościelną iż późniejsze nadużycia inkwizycyjne należy łożyć nie na karb kościoła ale państwa. Przechodząc następnie do dalszej charakterystyki antireligijnych w Polsce rzutów tłómaczy Bukowski wstęp i krzewienie się hussytyzmu w Czechach i u nas pokrewieństwem języków, pobratymstwem i ciągłą stycznością obu narodów. Tam jednak był on narodowym, tu tylko herezją; że zaś błędy Wiklefa przeciw hierarchii i porządkowi kościelnemu mimo propagandy Hussa ani jego błędy społeczno dogmatyczne pod egidą Hieronima z Pragi w sarmackie umysły nie wniknęły i niemi dłużej zawładnąć nie zdołały zawdzięczać to należy wielkiej gorliwości i stałości duchowieństwa, głębokiej prawowierności króla i narodu, niemniej prawdziwej podówczas karności ogółu w rzeczach wiary. Mimo to nie zaniedbywano środków ku wytępieniu hussytyzmu a gdy dotychczasowe cenzury, publiczne kary, interdykta nie wystarczały użyto nawet ostrza świeckiego prawa po raz pierwszy przeciw heretykom w edykcie wieluńskim z 9. kwietnia 1424. r., r. zaś 1433. dekretu Jagiełły o exkomunice. Była to w ręku duchowieństwa broń niezaprzeczenie straszna ale gdy w wykonaniu exkomuniki nieraz wielkie zachodziły trudności, fizycznie przestała ona być straszną, dopóki władza wykonawcza nie wzięła na siebie egzekucji jej wyroków. Właściwie atoli dopiero konfederacji. w nowym Korczynie zawiązanej przez stany państwa można przypisać stłumienia głównego zarzewia hussytyzmu. Ostatnie jego ślady przetrwały w każdym razie do r. 1500 a zresztą stał się on podstawą dla luteranizmu, który w 20 lat później do Polski wysłał swe pierwsze straże. Na takim tle epoki przedreformacyjnej uwydatniają się wybitnie głównie przyczyny przyjęcia się i wzrostu reformacji u nas. Jedne z nich były natury ogólnej, drugie lokalnej. Do pierwszych należy przedewszystkiem humanizm t. z. wyższe wykształcenie rozumu i uczucia za pomocą studjów klasycznych pogańskich pisarzy, mianowicie jego nadużycie; kiedy w w. XV. ze wzorów klasycznych przejmować zaczęto obok formy i treść. Humanizm stał się przygotowawczym gruntem dla nasion reformacji powstałych z pychy i innych namiętności ludzkich; maską późniejszej herezji, która odwdzięczając się niebawem zadała mu cios śmiertelny. Obok humanizmu za korzystny dla reformacji czynnik uznać trzeba ciągłe a nieuwzględniono podówczas domagania się o reformę w głowie i członkach kościoła.

Z żywiołów wreszcie całkowicie miejscowych a reformacji sprzyjających żąda podniesienia niemieckie mieszczaństwo w Polsce osiadłe, które dla braku średniego w narodzie stanu musiało być tolerowanem a z zajmowanych przez się miejsc tworzyło ogniska i niby etapy teutonizmu gdzie więc wszelkie wypadki niemieckie wierne musiały znachodzić echo. Dalej niewątpliwie dopomagał reformacji stan rzeczy zdemoralizowanym dworze królewskim; na tej arenie walki wpływu konserwatywnego z wpływem nowym dworskim, przez Bonę kreowanym; niewybrednym w środkach a niepewnym w rzeczach wiary. Podobnąż rolę w tej sprawie odegrało wadliwe prawodawstwo polskie. Zbyt mało ono krępowało szlachtę, by takowa nie miała nie tylko sama bezkarnie zmieniać religię ale ją narzucać swym poddanym Nadto trzem sprawom nigdy ono podołać nie mogło: sporowi o granice jurydykcji duchownej, o dziesięciny i udział duchownych w ciężarach i obowiązkach publicznych mianowicie w kontrybucji wojennej i dostawie żołnierza. Odnośne ustawy i przepisy prawne chorowały razem na stałą niedokładność, co wywoływało nieustanne kolizje między rządem świeckim i kościelnym; kolizje tylko pozorne przez interesowanych jednak namiętnie wyzyskiwane; do kompromisu zaś tu najzbawienniejszego nigdy przyjść nie mogło. Bezustanne kłótnie i zatargi o kompetencją i zakres, kanonicznego prawodawstwa przez całe wieki, taki sprowadziły chaos, zamęt i zaniedbanie sprawiedliwości, tak zmitrężyły naród, że nie można mu się dziwić, jeśli tego, który obiecywał rozcięcie gardyjskiego węzła. z pewną niecierpliwością wyglądał, z pewnem zaufaniem przyjął w pierwszej chwili. Identycznie się rzecz miała z dziesięcinami głównie z nowin t. j. ról świeżo wykorczo-

wanych a uprawionych i ze sposobem ich wybierania. Każdy pragnął się od tego ciężaru uwolnić, gdy więc reformacja głosiła wyjęcie z pod powagi kościoła i uchylenie wszelkich względem niego obowiązków, wrodzona ludziom chciwość była jednym bodźcem więcej do chwytania się takowej. Wszystkie te jednak wyniki wadliwości naszych ustaw współczesnych blednieją w obec zasadniczego ich i fatalnego dla dziejów Polski błędu: nieograniczenia samowoli możnowładczej szlachty i swobody gmin miejskich. Ona pociągała za sobą chroniczne dla narodu katastrofy szczególnie ostatnią; na niej oparła swój byt reformacja.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Sprawozdanie z obrad PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW i ARTYSTÓW polskich

w Krakowie d. 14. i 15. Września.

Posiedzenie I.

Prezydent m. Krakowa Dr. Weigel otworzył pierwsze posiedzenie następnemi słowy:

Mam honor w imieniu miasta na wezwanie czcigodnego prezesa Koła artystyczno literackiego z tego miejsca panów serdecznie powitać. Mieliśmy dotąd przy różnych sposobnościach zjazdy, zjazdy licznie uczęszczane: pedagogów, perjodycznie się powtarzające, lekarzy i przerodników, a nie mieliśmy dotąd zjazdu tak upragnionego, arsystów i literatów. Nie przesądzając słowa, które się należy czcigodnemu prezesowi Koła artystów i literatów, mam honor w imieniu miasta najserdeczniej panów powitać i pracom Waszym staropolskim zwyczajem powiedzieć: „Szczęść Boże“ (Oklaski). W zgromadzeniu witam po raz pierwszy najdostojniejszego biskupa Krasińskiego, który nas zaszczycić raczył. (Przeciągłe oklaski).

P. Jul. Kossak: Panowie pozwolą, że i ja parę słów z mojej strony jako przewodniczący komitetu dzisiejszego zjazdu powiem. Nie mam słów, aby wypowiedzieć radość, jaka w mem sercu teraz panuje, naprzód dlatego, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności mam zaszczyt otworzyć zgromadzenie dzisiejsze, a z drugiej strony, że widzę tak liczne zebranie. Więc powtarzając słowa pana prezydenta: „Szczęść Boże,“ mam nadzieję, że Bóg pobłogosławi naszym pracom, który pierwszy zjazd zapowiada, tak że plon może będziemy mieli i liczny i pamiętny dla wszystkich artystów i literatów (oklaski).

Sekretarz komitetu zjazdu p. Bartoszewicz:

W imieniu Komitetu mam obowiązek przeprosić Panów za wszystkie niewygody, jakie ich spotkać mogą. Nie jest to jednak winą komitetu, który z całej siły starał się uprzyjemnić pobyt w Krakowie szanownym panom. Jeżeli zatem będziecie nas winić panowie, to wińcie głowy nasze, ale nie wińcie serc naszych.

Prosiłbym szanownych panów o przyjęcie wprost regulaminu, którego projekt macie panowie w swoich rękach, aby nie rozpoczynać dyskusji, tem bardziej, że jest on utworzony na podstawie wszystkich podobnych regulaminów. (Przez aklamacją przyjęto).

Ponieważ z kolei rzeczy wypada nam dokonać wyboru prezesów, wice-prezesów i sekretarzy, przeto w imieniu pewnej liczby członków zjazdu i zarazem komitetu gospodarczego, śmiem proponować szanownym panom dokonanie wyborów w sposób następujący:

I° posiedzenia prezesem p. J. Zacharjasiewicz, wice prezesami p. Leo Edward i p. Kozakiewicz Antoni:

II° posiedzenia: prezesem Dr. Wojciechowski Tadeusz, wice-prezesami: p. Józef Rychter i p. Ignacy Danielewski;

III° posiedzenia, prezesem p. Szymanowski Wacław; wice-prezesami: p. Barącz Tadeusz i p. Maleszewski Władysław. Na sekretarzy proponujemy: pannę Hajotę—Boguską, pp. Wład. Bełzę, Marjana Gawalewicza, Tadeusza Czapelskiego, Ludomira Benedyktowicza i K. Bartoszewicza. (Propozycję przyjęto oklaskami).

P. Zacharjasiewicz zająwszy miejsce przewodniczącego podziękował za wybór, wyrażając otuchę obfitego i dobrego plonu z obrad zjazdu.

P. Wacław Szymanowski: Czuję się w obowiązku podziękować za zaszczyt jaki mię spotkał: jednakże czas i okoliczności nie pozwalają mi korzystać z tych chlubnych, chociaż trudnych obowiązków, jakie powołanie na prezesa za sobą pociąga. Przychodzę tutaj jako prosty szeregowiec, chcąc przyłożyć rękę do dzieła, które tu przedsięwzięliście, pragnąc pracować w tem zadaniu które przez was podjęte może być tylko pożyteczne i zdrowe dla literatury i sztuki, które są odrodzeniem i skupieniem sił naszego ducha. Więcej przyjąć nie mogę.

W skutek tego zrzeczenia się przewodniczący podnosi sprawę wyboru w miejsce p. Szymanowskiego i proponuje p. Maleckiego Wład., co przyjętem zostało.

Sekretarz p. Bartoszewicz: W każdym kongresie jest zwyczaj uczczenia ludzi stojących na najwyższych szczeblach odpowiednich zawodów, którzy oddaleni osobiście w naradach udziału wziąć nie mogą. Jako literaci powinniśmy pamiętać, że żyją J. I. Kraszewski i Tomasz Jeż — artyści zaś nie mogą zapomnieć, że posiadają Siemiradzkiego i Brandta. Z tego powodu stawiam wniosek, ażeby ich wszystkich mianować prezesami honorowymi zjazdu i telegraficznie ich o tem uwiadomić. (Oklaski).

W skutek zmiany zaszłej w programie, że referat Dra Rosenblata odłożony został na popołudniowe posiedzenie, zabrał głos ks. kanonik Polkowski, aby przedstawić swój referat o nieznanym utworze Kochanowskiego: „Cantio“ [1]).

Następnie p. Bartoszewicz odczytał nadesłe telegramy: od redakcji Dziennika Poznańskiego, od zgromadzonych w Raperswylu i od Koła literackiego lwowskiego.

Z porządku dziennego następuje referat p. Benedyktowicza „O perjodycznych ogólnych wystawach dzieł sztuki polskiej.“ Pan Benedyktowicz mówi:

Podczas jubileuszu Kraszewskiego zebrani artyści, malarze, rzeźbiarze, architekci podnieśli myśl urządzenia czasowych, ogólnych wystaw sztuki polskiej. Był to projekt powstały z natchnienia p. Siemiradzkiego. Następnie jednak, nie wiem dlaczego, pomimo że obradowano nad tem i obmyślano nawet szczegóły, sprawa ta gdzieś uwięzła bez śladu, jak to się z wielu zresztą sprawami u nas zdarza. Przy pierwszym zjeździe artystów i literarów postanowiliśmy tę sprawę wskrzesić, a ponieważ komitet gospodarczy w tym celu powierzył mi ułożenie projektu statutu, więc przed Panów z tym projektem przychodzę. Jest on następujący: (czyta)

1) Dla obznajmienia miłośników piękna i tych wszystkich, którym dobro sztuki narodowej leży na sercu, z bieżącym ruchem artystycznym, jak również dla ożywienia tego ruchu, odbywać się będą czasowe, ogólne wystawy polskie co lat 5, na przemian raz w Krakowie, drugi raz we Lwowie.

---

1) Ponieważ X. kan. Polkowski przyznał na trzeciem posiedzeniu zjazdu, że wiersz odczytany przez niego jest znanym i że w błąd wprowadzony został jedynie przez to, że w żadnem wydaniu, jakie przeglądał, wiersza tego nie znalazł, przeto streszczenia referatu jego niepodajemy. Wiersz ten zresztą, jak wykazała krytyka, mylnie był przypisywany Kochanowskiemu. Red.

wszych a uprawionych i za sposobem ich wybierania. Każdy pragnął się od tego ciężaru uwolnić, gdy więc reformacja głosiła wyjęcie z pod powagi kościoła i uchylenie wszelkich względem niego obowiązków, wrodzona ludziom chciwość była jedynym bodźcem więcej do chwytania się takowej. Wszystkie te jednak wyniki wadliwości naszych ustaw współczesnych bledniały w obec zasadniczego ich i fatalnego dla dziejów Polski błędu: nieograniczenia samowoli możnowładczej szlachty i swobody gmin miejskich. Ona pociągała za sobą chroniczne dla narodu katastrofy szczególnie ostatnie; na niej oparła swój byt reformacja.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Sprawozdanie z obrad
PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW I ARTYSTÓW polskich

w Krakowie d. 14. i 15. Września.

Posiedzenie I.

Prezydent m. Krakowa Dr. Weigel otworzył pierwsze posiedzenie następującemi słowy:

Mam honor w imieniu miasta na wezwanie czcigodnego prezesa Koła artystyczno literackiego z tego miejsca panów serdecznie powitać. Mieliśmy dotąd przy różnych sposobnościach zjazdy, zjazdy licznie uczęszczane: pedagogów, perjodycznie się powtarzające, lekarzy i przemysłowców, a nie mieliśmy dotąd zjazdu tak upragnionego, artystów i literatów. Nie przesadzając słowa, które się należy czcigodnemu prezesowi Koła artystów i literatów, mam honor w imieniu miasta najserdeczniej panów powitać i pracom Waszym staropolskim zwyczajem powiedzieć: „Szczęść Boże" (Oklaski). W zgromadzeniu witam po raz pierwszy najdostojniejszego biskupa Krasińskiego, który nas zaszczycić raczył. (Przeciągłe oklaski).

P. Jul. Kossak: Panowie pozwolą, że i ja parę słów z mojej strony jako przewodniczący komitetu dzisiejszego zjazdu powiem. Nie mam słów, aby wypowiedzieć radość, jaka w mem sercu teraz panuje, naprzód dlatego, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności mam zaszczyt otworzyć zgromadzenie dzisiejsze, a z drugiej strony, że widzę tak liczne zebranie. Więc powtarzając słowa pana prezydenta: „Szczęść Boże," mam nadzieję, że Bóg pobłogosławi naszym pracom, który pierwszy zjazd zapowiada, tak że plon może będziemy mieli i liczny i pamiętny dla wszystkich artystów i literatów (oklaski).

Sekretarz Komitetu zjazdu p. Bartoszewicz:

W imieniu Komitetu mam obowiązek przeprosić Panów za wszystkie niewygody, jakie ich spotkać mogą. Nie jest to jednak wina komitetu, który z całej siły starał się uprzyjemnić pobyt w Krakowie szanownym panom. Jeżeli zatem będziecie nas winić panowie, to winicie głowy nasze, ale nie winicie serc naszych.

Prosiłbym szanownych panów o przyjęcie wprost regulaminu, którego projekt macie panowie w swoich rękach, aby nie rozpoczynać dyskusji, tem bardziej, że jest on utworzony na podstawie wszystkich podobnych regulaminów. (Przez aklamację przyjęto).

Ponieważ z kolei rzeczy wypada nam dokonać wyboru prezesów, wice-prezesów i sekretarzy, przeto w imieniu pewnej liczby członków zjazdu i zarazem komitetu gospodarczego, śmiem proponować szanownym panom dokonanie wyborów w sposób następujący:

I° posiedzenia prezesem p. J. Zacharjasiewicz, wice prezesami p. Lgo Edward i p. Kozakiewicz Antoni:

II° posiedzenia: prezesem Dr. Wojciechowski Tadeusz, wice-prezesami: p. Józef Rychter i p. Ignacy Danielewski;

III° posiedzenia, prezesem p. Szymanowski Wacław; wice-prezesami: p. Baracz Tadeusz i p. Maleszewski Władysław. Na sekretarzy proponujemy: panne Hajotę—Boguską, pp. Wład. Bełzę, Marjana Gawalewicza, Tadeusza Czapelskiego, Ludomira Benedyktowicza i K. Bartoszewicza. (Propozycję przyjęto oklaskami).

P. Zacharjasiewicz zająwszy miejsce przewodniczącego podziękował za wybór, wyrażając otuchę obfitego i dobrego plonu z obrad zjazdu.

P. Wacław Szymanowski: Czuję się w obowiązku podziękować za zaszczyt, jaki mię spotkał; jednakże czas i okoliczności nie pozwalają mi korzystać z tych chlubnych, chociaż trudnych obowiązków, jakie powołanie na prezesa za sobą pociąga. Przychodzę tutaj jako prosty szeregowiec, chcę przyłożyć rękę do dzieła, które tu przedsięwzięliście, pragnę pracować w tem zadaniu które przez was podjęte może być tylko pożyteczne i zdrowe dla literatury i sztuki, które są odrodzeniem i skupieniem sił naszego ducha. Więcej przyjąć nie mogę.

W skutek tego zrzeczenia się przewodniczący poddał sprawę wyboru w miejsce p. Szymanowskiego i proponuje p. Maleckiego Wład., co przyjętem zostało.

Sekretarz p. Bartoszewicz: W każdym kongresie jest zwyczaj uczczenia ludzi stojących na najwyższych szczeblach odpowiednich zawodów, którzy oddaleni osobiście w naradach udziału wziąć nie mogą. Jako literaci powinniśmy pamiętać, że żyją J. I. Kraszewski i Tomasz Jeż — artyści zaś nie mogą zapomnieć, że posiadają Siemiradzkiego i Brandta. Z tego powodu stawiam wniosek, ażeby ich wszystkich mianować prezesami honorowymi zjazdu i telegraficznie ich o tem uwiadomić. (Oklaski).

W skutek zmiany zaszłej w programie, że referat Dra Rosenblatta odłożony został na popołudniowe posiedzenie, zabrał głos ks. kanonik Polkowski, aby przedstawić swój referat o nieznanym utworze Kochanowskiego: „Cantio" [1]).

Następnie p. Bartoszewicz odczytał nadesłane telegramy: od redakcji Dziennika Poznańskiego, od zgromadzonych w Napersylu i od Koła literackiego lwowskiego.

Z porządku dziennego następuje referat p. Benedyktowicza „O perjodycznych ogólnych wystawach dzieł sztuki polskiej." Pan Benedyktowicz mówi:

Podczas jubileuszu Kraszewskiego zebrani artyści, malarze, rzeźbiarze, architekci podnieśli myśl urządzenia czasowych, ogólnych wystaw sztuki polskiej. Był to projekt powstały z natchnienia p. Siemiradzkiego. Następnie jednak, nie wiem dlaczego, pomimo że obradowano nad tem i obmyślano nawet szczegóły, sprawa ta gdzieś utknęła bez śladu, jak to się z wielu zresztą sprawami u nas zdarza. Przy pierwszym zjeździe artystów i literatów postanowiliśmy tę sprawę wskrzesić, a ponieważ komitet gospodarczy w tym celu powierzył mi ułożenie projektu statutu, więc przed Panów z tym projektem przychodzę. Jest on następujący: (czyta)

1: Dla obznajmienia miłośników piękna i tych wszystkich, którym dobro sztuki narodowej leży na sercu, z bieżącym ruchem artystycznym, jak również dla ożywienia tego ruchu, odbywać się będą czasowe, ogólne wystawy polskie co lat 5, na przemian raz w Krakowie, drugi raz we Lwowie.

---

1) Ponieważ X. kan. Polkowski przyznał na trzeciem posiedzeniu zjazdu, że wiersz odczytany przez niego jest znanym i że w błąd wprowadzony został jedynie przez to, że w całem wydaniu, jakie przeglądał, wiersza tego nie znalazł, przeto streszczenia referatu jego nie podajemy. Wiersz ten zresztą, jak wykazała krytyka, mylnie był przypisywany Kochanowskiemu. Red.

2) Każda wystawa taka trwać będzie od 1. kwietnia do 1. lipca. Zgłoszenia artystów na pomienioną wystawę przyjmowane będą najdalej do 1. marca, a przesyłki dzieł nadchodzących na wystawę do 15. t. m.

3) Na wystawę ogólną polską przyjmowane będą następujące przedmioty:

a) Z działu malarstwa: obrazy olejne, akwarele, pastele, miniatury, rysunki piórem, węglem lub ołówkiem, sztychy, akwaforty, drzeworyty.

b) Z działu rzeźby: grupy, figury, biusta, medale z marmuru, kamienia, bronzu lub innych metali, z terrakoty, gipsu, drzewa lub kości.

c) Z działu budownictwa: plany, modele i rysunki tyczące się kompozycyj w zakresie architektury pomyślanych i wykonanych.

4) Na wystawę ogólną przyjętemi być mogą te tylko dzieła, które noszą na sobie piętno samodzielności i które wykonane w ostatnich trzech latach, nie figurowały na żadnej jeszcze wystawie.

5) Na wystawach tych udzielane będą nagrody w medalach złotych, srebrnych i bronzowych, z których na każdy dział przypadnie ze strony wystawy jeden złoty, dwa srebrne, trzy bronzowe i takaż liczba ze strony miłośników piękna, w których o takowe postarać się nie będzie trudno.

6) Przyjęcie nadesłanych dzieł sztuki na wystawę, ocenienie takowych i przyznanie nagród, należy do komitetu sędziów wybranego przez artystów, a składającego się z sześciu malarzy, sześciu rzeźbiarzy, tyluż architektów i tyluż miłośników piękna.

7) Tak ustanowiony komitet, podzieli się na trzy sekcje, stosownie do trzech działów sztuki. Każda z tych sekcyj ma orzekać o przyjęciu nadesłanych dzieł na wystawę i przedstawiać ogólnemu zgromadzeniu sędziów celniejsze prace artystów zasługujące na nagrody.

8) Przyznanie nagród odbędzie się przez głosowanie tajne ogólnego zgromadzenia komitetu sędziów zwykłą większością głosów a rozdanie tychże nagród nastąpi przed otwarciem wystawy.

9) Na każdem dziele, któremu będzie przyznana nagroda, będzie umieszczonym napis objaśniający stopień tejże.

10) Urządzeniem wystawy zajmą się miejscowi artyści i wezwani do tego miłośnicy sztuk pięknych, koszta zaś pokryją dochody za bilety wejścia, odsetki od sprzedanych na wystawie dzieł sztuki i subwencje, o które do władz autonomicznych naszego kraju odwołać się będziemy mieli prawo (oklaski).

Gdy referent skończył, po otwarciu nad przedstawionym projektem dyskusji, p. Eliasz proponuje wystawy urządzać co 5 lat, tudzież, aby i Poznań jako miejsce dla wystaw połączyć, wreszcie aby medale honorowe były przyznawane z powszechnem głosowaniem artystów.

P. Benedyktowicz: Nie miałbym nic przeciw temu ostatniemu, lecz czy to rzecz praktyczna? Zdarzyć się łatwo może, że nie będzie wielką liczba zgromadzonych artystów.

P. Abramowicz: Jakkolwiek bardzo wiele widzę racji we wniosku ostatnim, ale trzeba się zastanowić także nad tem, że będą tu nieraz trudności niełatwe do pokonania z tego powodu, że nie jeden z artystów może nie być obecnym na wystawie tu lub we Lwowie, a w takim razie ogół artystów zechce się poddać pod kontrolę ludzi, których sam poprzednio wybrał, dając im pewne upoważnienie do sądzenia. Więc stosowniej by było, gdyby artyści poprzednio lepiej się zastanowili nad tem kogo mają do jury wybierać i kto ma sądzić, a jeżeliby raz w ręce ich sprawę oddali, aby zaufania już nie cofali.

P. Bartoszewicz: Zdaje mi się, że głosowanie nad pojedyńczemi poprawkami nie doprowadzi do właściwego rezultatu. Tutaj idzie tylko o to, aby przyjąć główną zasadę i wybrać komitet, któryby się zajął bliżej tą sprawą. Z tego powodu proponuje, aby upoważnić do tego komitet Koła literacko-artystycznego krakowskiego, prosząc go o dobranie do grona swego kilku artystów (oklaski).

Wniosek ten, jako najdalej idący, poddany pod głosowanie, przyjęty został prawie jednogłośnie.

(D. c. n.)

ZIARNKA.

Projekt szkolny marszałka który Wydział Krajowy jako swój wniósł do Sejmu jest obecnie najbardziej interesującym i wszystkie kółka sejmowe zajmującym tematem. Zamierza on zawiesić dalsze zakładanie szkół etatowych przez krajową Radę szkolną, a oddać dalsze zakładanie szkółek nieetatowych Wydziałowi krajowemu a względnie Wydziałom powiatowym. Nauczyciele tych przyszłych szkół nieetatowych mają nie potrzebywać wykazania się odpowiednią kwalifikacją.

Dotąd mylnie mniemano, że jeszcze 2500 gmin wiejskich nie ma szkoły. Nie ma jej jeszcze 2500 gmin a 3400 gmin już posiada szkoły etatowe. Do zorganizowania tej liczby szkół potrzebowała Rada szkolna krajowa 10 lat. W ostatnich trzech latach przybywała stosunkowo bardzo mała liczba szkół etatowych, bo nie było funduszu na ich organizację. Ten powolny w ostatnich latach przyrost spowodował marszałka do wniesienia projektu zakładania szkół nieetatowych przez władze autonomiczne, a projekt odjęcia Radzie szkolnej obowiązku dalszego tworzenia szkół w ogóle, ujrzał świat dzienny głównie z powodu iż Rada szkolna krajowa przez lat 10 nie miała przedkładać sejmowi ani zamknięć rachunkowych z funduszu szkolnego ani umotywowanych szkolnych preliminarzy budżetowych.

Ponieważ jednak wedle oświadczenia rządowego projekt ten miałby wejść w kolizję z sankcją, przeto pożądanem by było aby przynajmniej proponowana przez Rząd rezolucja jeżeliby zawierała główne myśli powyższego projektu, przyszła do skutku. Również ważnym z uwagi na zaniedbany stan naszego szkolnictwa jest wniosek dra. Czerkawskiego dotyczący planów nauki w szkołach ludowych którym o ile nam wiadomo gorliwie zajmuje się komisja edukacyjna. Uchwalenie planu nauki elementarnej zmierzającego do takiego ustroju szkół ludowych, w każdej okolicy który praktycznym potrzebom tej okolicy odpowiada, jest zdaje się nam kwestją tak żywotną i tak dziś na czasie że otwarcie wyznajemy iż Sejm wielką wyrządziłby krzywdę naszemu szkolnictwu gdyby w tym kierunku nic nie postanowił. Nie od rzeczy będzie tu jeszcze dodać że sejm uchwalając podobny ustrój szkół, dowiedzie, że umie korzystać z prawa które mu świeżo uchwalona w Radzie państwa nowella szkolna przyznała.

* * *

Z uznaniem podnieść należy, że wydawnictwo dziełek ludowych pod odpowiedzialną redakcją p. Kaźmierza Okaza zdradza niezwykłą ruchliwość ze strony komitetu. Dziełka te, z ktorych obecnie okazały się 7, 8 i 9 książeczka rocznika drugiego, odznaczają się doborową treścią i są nader popularnie i zajmująco napisane. Jestto ważna zaleta u podobnego rodzaju wydawnictw. Z powyższych książeczek jedna jest ruska i opowiada o losach Rusina w Ameryce.

Książeczki te odznaczają się niezwykłą tanością (prenumerata na cały rok t. j. na 18 książeczek wynosi 1 zł.) i z tego powodu jak niemniej dla swej tendencji winny znaleźć silne poparcie. Wydawnictwo to wspiera bezpłatnie różne czytelnie ludowe i kółka rolnicze.

* * *

Językiem litewskim zajmuje się świat naukowy coraz więcej; nawet angielska „Academy" umieściła obszerny artykuł pani Jane Lee pod tytułem „Studies in Lithuanian", w którym podaje rozbiór języka i literatury litewskiej, opracowany na podstawie niemieckiej pracy Bezzenbergera „Beiträge zur Kenntniss der Sprache und des Volkstumes der Litauer". Powodem tego zajęcia się zagranicy literaturą litewską jest bezwątpienia budzące się na Litwie życie umysłowe. Przełożono tam na język litewski Witolorandę Kraszewskiego, której pierwszą część wydano już przed dwoma laty a obecnie druga wyszła w Poznaniu, bez nazwiska tłumacza, który podpisał się tylko: *J. A. W. Lictuwis.* Drugim przekładem jest poemat Syrokomli Margiera, osnuty równie na wypadku z dziejów Litwy, mianowicie na bohaterskiem poświęceniu się Litwinów w walce z Krzyżakami; przekład ten pióra p. Narkiewicza zamieściło czasopismo miesięczne litewskie „Auszra" (jutrzenka), wychodzące w Ragnicie w Prusiech wschodnich.

ZAPISKI.

Literatura.

* Akademja nauk w Paryżu na posiedzeniu z 27 sierpnia r. b. poleciła wydrukować w swych sprawozdaniach pracę p. Henryka Merczynga, wychowańca warszawskiego uniwersytetu, rzecz z dziedziny optyki p. t. „Sur les anomalies focales des réseaux". Pracę tę wygotował autor w Petersburgu, gdzie obecnie w celach naukowych przebywa.

* Z Francji doszła nas zapowiedź nowego dzieła Wiktora Hugo „Archipelag de la Manche" mająca służyć za wstęp do „Pracowników morza". Dziennik „Rappel" będzie je umieszczać w odcinku.

* W niedzielę dnia 14. b. m. zmarł w Wiedniu naczelny redaktor wiedeńskiej „Tribüne" Jan Skrejszowsky. Założył on w r. 1861 „Politik" później „Narodni Pokrok" a po upadku tegoż „Korunę". Znakomity publicysta zjednał sobie powagę i licznych zwolenników w stronnictwie które reprezentował.

* Oratorjum p. t. Sty. Stanisław opracowuje Liszt.

Teatr i muzyka.

* Arnost Schwab Polabskr, utalentowany tłómacz nowoczesnych dzieł polskich pisarzy, zgłosił się do S. Oli, autorki komedji „Potępiona" z powodzeniem granej na naszej scenie, prosząc o pozwolenie przełożenia jej sztuki na język czeski oraz wystawienia jej w teatrze narodowym praskim.

* Terosiną Tua wystąpiła z koncertem w Monachjum. Młoda artystka pojawia się obecnie na estradzie w żałobie — po śmierci matki. Teresinę przyjęła publiczność z niezmiernym zapałem.

* Orkiestra Bilsego zapoznała świeżo Berlin z utworem muzycznym niepośledniej wartości. Jest nim wykonana dnia 13go b. m. na symfonicznym koncercie wielka „Suita północna" Asgera Hamerika. Hamerik, duńczyk rodem, uczeń Bülowa i Berlioza, twórcy kilku oper i wielkiej liczby utworów instrumentalnych.

Sztuki piękne.

* Matejko rozpoczyna obraz kolosalnych rozmiarów „Ogłoszenie ustawy sejmowej 3. maja 1791.

* Obraz Rembrandta „Józef i żona Putyfara", zakupiony niedawno do berlińskiego muzeum ściąga tłumy ciekawych. Płótno przedstawia chwilę, gdy Putyfarowa donosi mężowi o rzekomym zamachu Józefa na jej cnotę. Jest to jedno z najlepszych dzieł mistrza.

* Na wystawie międzynarodowej sztuk pięknych w Monachium zwracają uwagę z pomiędzy artystów polskich płótna Alfreda Kowalskiego i H. Lipińskiego. Pierwszy wystawił „Biedę pocztową". Drugi „Jarmark w Krakowie."

* Ze zbioru rękopisów Hamiltona nabyte przez Rząd pruski, wcielono działy historyczne do biblioteki królewskiej, rękopisy zaś ozdobione miniaturami, do gabinetu sztychów w nowem muzeum.

* Album fotograficzne z galerji książąt Czartoryskich wydał Ad. Braun w Paryżu pod tytułem „Galerie Czartoryski, collection de tableaux." Album to obejmuje fotografie z oryginałów znajdujących się w Krakowie w Muzeum Czartoryskich, mianowicie: Rafaela, Michała Anioła, Porbusa, Lebruna, Nan Leo, Regora van der Weydena, Holbeina, Watteau, Quentin Metzysa, Leonarda de Vinzi, Van Eycka, Van der Helsta, Annibala Carracha, Andrea del Sarto, Tiziano, Verrochio, Zampierego, Mantegna, Belliniego, Veronese i innych znakomitych mistrzów. Katalog wydany do tego albumu podaje potrzebne doń objaśnienia. Cena egzemplarza tej publikacji jest 500 franków.

Korespondencje Redakcji.

Wydział powiat. w Mościskach: Reklamowane numera przesyła się równocześnie. *Czytelnia akad. w Krakowie:* Nra 35, 36 i 37 wysełamy. *P. J. Ż. w Biskupicach:* Żądane numera były wysłane w swoim czasie. Za pocztę nie odpowiadamy. Obecnie wysełamy ponownie. *F. K. słuch. med. w Krakowie:* Zastosujemy się do życzenia pańskiego. *Stefan R. akademik w Krakowie:* Odpowiedź pisemnie.

Treść.

Henryk Szmitt.
W. J. Wdowiszewski: Nikogo nie kochał, (c. d.)
En: Z krainy baśni, (wiersz).
F. S: Zasada celowości.
Kronika naukowa.
Z. G.: Psalmy Krasińskiego.
Przegląd literacki.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Korespondencje Redakcji.

Od Administracji.

Z powodów od wydawnictwa niezawisłych zmuszeni byliśmy opóźnić wydanie niniejszego numeru o jeden tydzień. — Wynikły ztąd brak numeru będziemy się starali szan. czytelnikom w tym kwartale wynagrodzić.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 38. We Lwowie dnia 3. listopada 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: Bolesław Spausta. Redaktor odpowiedz.: Bolesław Czerwieński.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

Nikogo nie kochał.

Nowella
napisał W. J. Wdowiszewski.

(Ciąg dalszy.)

I zdawało mi się, że rzeczywiście słychać Dąbrowskiego nutę; wstałem i pobiegłem do okna. Istotnie usłyszałem śpiew, ale nie narodowej piosenki. Był to śpiew zwoszczyków, używany przez nich, aby konie długą podróżą zmęczone, zachęcić do wydobycia reszty sił, gdy cel podróży niedaleki. Słychać było także dzwonki. Ku mojej osadzie, jedynej w tem pustkowiu zbliżyła się od strony Kumarska, większa karawana podróżna.

Zarzuciłem na siebie futro, rozbudziłem służbę i z łuczywami wybiegliśmy przed dom. Otwarto bramę podworcową, za chwilę rząd sani i kilka kozaków zatrzymało się przed domem.

— Hozinin doma? krzyknięto z pierwszych sani.

— K waszim usługam, wasze wysoko błagorodje — odpowiedziałem kłaniając się.

— Haraszo! Zdrawstwujtie Pawle Osipowiczu! Zapraszamy się na noc do was... Mówiący wyskoczył z sani i poznałem w nim adjutanta gubernatorskiego z Błagowieszczeńska.

— Hej! rabiata z koni — krzyknął na kozaków. — A sprawiać się „dastojno" inaczej baty!...

Tymczasem z następnych sani wysiadali inni podróżni, a podczas gdy ja załatwiałem się z konwojem i umieszczałem po zabudowaniach bagaże karawany, podróżni z adjutantem weszli do domu i rozgościli się w świetlicy.

Gdy samowar był gotowy, i przekąska przyrządzoną, wniesiono za mną całą zastawę, a ja skłoniwszy się do kolan podróżnym, sakramentalnem: Dazwoltie wasze wysoko błagorodija — wskazałem na stół i według miejscowego zwyczaju cofnąłem się ku drzwiom. Tam było stanowisko „chachoła" w obec „wsiemoguszczych..."

Obserwowałem ich pijących i jedzących. Prócz adjutanta było dwóch wojskowych jeszcze i dwóch cywilnych. Jeden z wojskowych nosił mundur pułkownika, a pierś jego zasiana była literalnie krzyżami i gwiazdami, drugi był kapitanem inżynierji. Pułkownik imponował postawą i szlachetnością rysów; twarz kapitana odznaczała się wielkim spiczastym nosem, ruchliwością mięśni, brakiem jakiegokolwiek zarostu; postać jego była pochyloną naprzód a przerażająco chudą. Z cywilnych jeden był szpakowaty, drugi bardzo młodziutki. Starszemu warto się było przypatrzyć. Była to postać przepyszna; uosobienie męzkiej siły, inteligencji, wdzięku i dostojności; postać, jaką rzadko widzieć można, ale która raz widziana, pozostaje na zawsze w pamięci. W fantazjach moich takim sobie zawsze przedstawiałem ideał człowieka i dlatego może twarz podróżnego wydała mi się tak znajomą, tak dobrze znajomą... Drugi cywilny niczem się nie odznaczał — chyba, że wyglądał na paniątko, które niewiedzieć jakim sposobem znalazło się nad Amurem między gronem silnych, zahartowanych ludzi.

Podróżni rozmawiali między sobą po francusku, aby ich „chachoł nie rozumiał. Ale na nieszczęście rozumiał ich doskonale i dowiedział się, że jadą z Irkucka, przez Nerczyńsk ku Błagowieszczeńsku, że adjutant wyjeżdżał naprzeciw nich do Kumarska, i że w mojej osadzie rozłączą się cywilni z wojskowymi.

Przy końcu wieczerzy pułkownik zapytał adjutanta czy „hozinin" zawiadomiony o woli gubernatora.

— Jeszcze nie, ale stanie się to natychmiast. Mówiąc to adjutant zwrócił się do mnie i podszedł na trzy kroki.

— Słuchajcie Pawle Osypowiczu! Jego Wysokość pan gubernator zna was. Wy, prawda „polityczeskij prestupnik," ale porządny człowiek. Jego Wysokość lubi was. W dowód zaufania umieszcza u was na zimę tych dwóch panów — tu wskazał cywilnych — którzy z dalekiego kraju przyje-

chali poznać jakie tu żyją zwierzęta i jakie rosną kwiaty... Rozumiecie Pawle Osypowiczu?

— Rozumiem wasze błagorodje...

— Wy Pawle Osypowiczu macie ich ugościć i służyć za przewodnika w ich wycieczkach. Za wasze trudy Jego Wysokość wynagrodzi was odpowiednio. Rozumiecie Pawle Osypowiczu?

— Rozumiem wasze błagorodje...

— Gościom waszym Pawle Osypowiczu nie śmie spaść tutaj włos jeden z głowy; wy za nich odpowiadacie. Zresztą tym czcigodnym panom daje Jego Wysokość ekskortę z czterech kozaków, których wy na koszt skarbu żywić będziecie. Rozumieli Pawle Osypowiczu?

— Rozumiał wasze błagorodje...

Za to wszystko doznacie łaski Jego Wysokości pana gubernatora i przez czas pobytu tych panów u was, wolno wam z niemi wydalać się wszędzie, gdzie pojadą. Rozumiecie Pawle Osypowiczu?

— Rozumiem wasze błagorodje.

— Haraszo! A teraz Pawle Osypowiczu posłania!...

— Już przygotowane jak można najlepiej.

Kapitanowi, adjutantowi i młodszemu cywilnemu kazałem posłać w gościnnej izbie, zaś półkownikowi i starszemu cywilnemu, który mi się tak podobał, odstąpiłem moją sypialnię własną i tam ich sam zaprowadziłem.

Stały w niej dwa tapczany zasłane futrami i kocami, kantorek na pieniądze, stół z przyborami do pisania, szafa, w której chowałem książki i bieliznę i dwa kufry z najdroższemi futrami.

Gdyśmy weszli, goście rozejrzeli się ciekawie, a pułkownik zobaczywszy przyrządy do pisania uśmiechnął się i zapytał.

— Wy piśmienny?

— Tak, wasze wysoko błagorodje...

— Jak słyszę przestępca polityczny?

— Tak, wasze wysoko błagorodje...

— Russkij?

— Niet, wasze wysoko błagorodje..

— Tak wy Poliak?

— Polak, wasze wysoko błagorodje... Gdym wymówił te słowa obaj goście, prawie równocześnie postąpili ku mnie, przypatrywali mi się uważnie i milcząco wyciągnęli ku mnie, swoje dłonie. Czułem po mocy uścisku, że mam przed sobą ziomków.

— Pułkownik P...ski — prezentował się wojskowy po polsku.

— Profesor O...ert z Dorpatu.

— Sławnym na cały świat nazwiskom panów mogę przeciwstawić tylko nieznane. Nazywam się Kazimierz Paweł I....., tutaj nazywają mnie Pawłem Józefowiczem.

— Za co pana aż tutaj rzucono? — pytał profesor.

— Walczyłem przeciw Rosji w roku 1863.

— Wiele pan masz lat? — pytał dalej.

— 25

— Taki młody! zawołał półkownik. Mogę panu wyświadczyć jaką przysługę? Mów pan otwarcie.

— O! wielką panie półkowniku.. Listy moje nie dochodzą do rodziny, bo by przecież pisano do mnie. Nie wiedzą nawet, czy żyję. Gdyby pan pułkownik ułatwił mi korespondencję z rodziną, z krajem.

— Chętnie. Z Błagowieszczeńska wyprawiać mam listy i sprawozdania do Petersburga. Przesłałbym list pana do znajomych w stolicy, ztamtąd wyprawiano by go dalej. Ale jutro rano musi być gotów, bo jutro odjeżdżam.

— Będzie z pewnością. Ach! po tylu latach pierwszy promyk weselszy... to krzepi... Mówiłem te słowa do siebie zabierając papier pióro i atrament — a łzy padały mi z oczów.. Powiedziawszy dobranoc wyszedłem, usłyszawszy na odchodnem z dwóch ust jednocześnie:

— Biedny chłopiec!...

List pisałem noc całą. Miałem tyle do opowiadania! Świt nastawał, gdy list zaadresowałem. Nie kładłem się już spać, ale wyszedłem do gospodarstwa.

(C. d. n.)

Z DZIEJÓW CAŁUSA.

Hej dziewczątka me urocze,
Wszystkie: młode, stare dzieci!
Posłuchajcie, — bo opowiem:
Skąd się całus wziął na świecie?...

Nasz Adam w raju leżał raz
Jak długi schowan w trawie,
I kwiatków wonią poił wciąż
Potężny nos łaskawie.

Przy lubym zaś małżonku swym
Śni błogo piękna Ewa...
(Jak temu był pan Adam rad,
Mój bardon.... nie wyśpiewa).

Gdy patrzy w ten rozkoszy zdrój, —
Co szczyt mu szczęścia wróży,
Zlatuje pszczółka po swój żer
Do Ewy ustek — róży.

Toć stary Adam ciekaw był,
Co pszczółce tak smakuje;
Dlaczego mile, długo tak —
W tem miejscu przesiaduje?

Więc zwolna, ciągle zbliża się...
Lecz szelest, który sprawia,
Wnet płoszy pszczółkę, a ta mknąc
Miód Ewie pozostawia!...

Gdy teraz Adam Ewy ust
Się dotknął w cnym zapale,
Uczuł ach! słodycz, jakiej nikt
Nie przypuszczałby wcale.

I odtąd nie był mąż ten syt
Tak boskiej konwersacji,
A żona nie żądała też
W tym względzie separacji...

Przeszły wieki... I dzisiaj świat
Choć to ma wspólne z rajem,
Że krocząc w swych rodziców ślad:
Całuje się nawzajem...

En.

Badania Skandynawczyków
w strefach wysokiej północy.

II. Rachuba czasu u Islanczyków.

Zainteresowanie się, jakie okazują od niedawna Skandynawczycy dla bliższego poznania ziem północnych, jakoby dalszy ciąg Skandynawji ku biegunowi stanowiących, i ruch, jaki wskutek tego skierowania się umysłów na półwyspach północno-europejskich wzbudzonym został, — obejmują nietylko badania dzisiejszego stanu krajów pod względem warunków obecnych, lecz — jak mieliśmy już sposobność zaznaczyć — sięgają do minionej przeszłości, odgrzebując historję, etnografję i antropoligję ludów północnych i rzucają tym sposobem światło na dawniejszą ich cywilizację.

Ciekawym urywkiem z badań tego rodzaju jest praca p. Geelmuyden w kopenhazkiej „Naturen“ ogłoszona p. t.: „Om Islaenderdes gamle Kalendere“ (O dawnym kalendarzu Islandczyków, która bliżej zajmuje się historją astronomicznej wiedzy miejscowych islandzkich szczepów, a przedstawia wielce interesujący przyczynek do wiadomości o urabianiu się pojęć i powstawaniu odpowiednich dla nich nazw w surowym klimacie północy.

Od najdawniejszych czasów, rok u Islandczyków dzielił się na dwa „misseri“, półrocza, — jedno letnie, drugie zimowe,

— podług których prowadzono bieżącą rachubę czasu, licząc tygodnie w każdem półroczu i liczbą je odznaczając; później dopiero zjawia się nazwa miesięcy, stale trzydziestodniowych, zupełnie zatem równych.

Wogóle, oba półrocza, czyli rok Islandczyków obejmował 52 tygodnie po 7 dni, czyli 364 dni, tak, że corocznie ten sam dzień tygodnia rozpoczynał i rok nowy i nowe półrocze i każdy miesiąc. Dwanaście jednak miesięcy wyczerpywało tylko dni 360, podczas gdy 4 dni przewyżki ponad miesięczną rachubę dodawane były po ostatnim miesiącu w czasie lata, i nazywały się „sumar-auke" czyli „przyrostem letnim". Tego rodzaju kalendarz starożytny nazywał sam Islandczyk „misseristal" czyli rachubą półroczną. Pojęcie roku właściwie nie istniało, a chcąc wyrazić oddalenie czasu w pełnym, a nie połowicznym obiegu słonecznym, używał Islandczyk wyrażenia „tyle *zim* temu," tak samo, jak słowiańskie narody używają (zamiast „roków") „tyle *lat* temu". Przebija w tem przemożny wpływ surowego północnego klimatu o długich zimach, tak jak na umiarkowanem południu, dla narodów rolniczych, zajęcie skupiało się wyłącznie na wdzięcznem lecie i ilość „lat" brana była za podstawę przy określaniu czasu. Tak samo było i z rachubą bliższą i powszechniejszą, bo z rachubą dzienną. Islandczyk nie liczył czasu na *dni*, lecz na *noce*, bo noc trwa u niego dłużej niż dzień, bardziej też w pamięci mu się utrwala. Właściwie więc, dla Islandczyka rok składał się z 52 tygodni po 7 nocy czyli z 364 nocy. Ślady rachuby czasu „nocnej" zamiast „dziennej", przechowały się dotąd nietylko na Islandji, lecz także w języku angielskim, jako wskazówka, iż pierwotni anglosasi także na noce czas rachować musieli: są to wyrazy „se'nnight" (skrócone z seven-night, siedm nocy), oznaczający tygodniowy przeciąg czasu, i „fortnight" (podobnie urobiony), wyrażający pojęcie dwutygodniowego odstępu czasu. Wyrazu na oznaczenie doby (dygn — po szwedzku, dögn — po duńsko-norwesku, od staronormandzkiego darg — dzień) ani u Anglosasów ani u Islandczyków, jak zresztą na całym Zachodzie i w środku Europy, nie ma i — jak się zdaje — nie było.

Zimowe półrocze Islandczyków poczynało się od „dnia zimowego", który — z powodu równej liczby tygodni w roku, jak zaznaczyliśmy — stale przypadał na sobotę w Październiku, gdy dzień letni," poczynający drugie półrocze, zawsze w kwietniu, we czwartek, letni otwierał okres. Oba „misseri" dzieliły się jeszcze na dwie „mal" (miary), każdy, prócz dwóch dni zatem: zimowego i letniego, były w roku jeszcze pierwsze dni, rozpoczynające drugie kwartały każdego półrocza: w Styczniu, w piątek przypadał dzień „półzimowy" (widwinternaetr), w niedzielę w Lipcu przypadający, otwierał drugą połowę lata, Sumar-mäl, która — w odróżnieniu od pozostałych trzech kwartałów -- miała nocy nie 90 lecz 94, wskutek doliczania pod koniec roku, wspomnionego „przyrostu letniego."

Ten sposób liczenia utrzymywał się przez czas bardzo długi, a z powodu niewłaściwego dodawania czterech nocy tylko do 360-u wynikających z rachuby miesięcznej, oczywiście wyniknąć musiało to, iż z biegiem czasu rzeczywiste lato przesunęło się do dni należących jeszcze do wiosny, wiosna cofnęła się i zajęła część dni zimowych i t. d. Spostrzegli niezgodność tę mało ucywilizowani jeszcze Islandczycy, i w VII-ym w. Thorstein Surtr, władca islandzki, zgromadziwszy poddanych swych zaproponował im, aby co siedm „lat" dodawać prócz dotychczasowego „przyrostu letniego" jeszcze cały „tydzień," razem więc „jedenaście nocy," — co bez oporu jednomyślnie przyjętem zaraz zostało.

Tym sposobem rok z 364-dniowego stał się 365-dniowym, a zatem rokiem Ptolomeuszowym. Brakowało jeszcze wyrównania godzin przez wprowadzenie julijańskiego dnia „przestępnego;" zmiany tej dokonał wpływ duchowieństwa chrześcijańskiego niezadługo po wprowadzeniu chrześcijaństwa, około r. 1000, a dokonał w ten sposób, iż przyrost tygodniowy zamiast regularnie i stale co lat 7, doliczany był odtąd pięć razy w ciągu 28 lat; w ten sposób na przeciąg lat 7miu przypada przyrost $1^1/_4$ tygodnia ponad 364-dniowy kalendarz, na rok jeden $1^1/_4$ dnia, zgodnie z kalendarzem Julijańskim.

Nowa, Gregorjańska rachuba wprowadzoną została do Islandji jednocześnie z królewskiem rozporządzeniem, w macierzystym kraju, Danii i Norwegji, wydanem i nakazującem, aby po dniu 18tym Lutego 1700 roku liczonym był dzień następny jako 1 Marca. Do dziś dnia jednak mieszkańcy Islandji, stanowiący żywioł miejscowy, utrzymują rachubę ze swojemi dniami „letniemi" i „zimowemi," wedle swoich misseri, tygodni, nocy i równych miesięcy z przyrostem, zmodyfikowanym podług Julijańskiego kalendarza, a przypadającym dziś częściowo we Wrześniu, częścią w Październiku, który dzisiaj zamiast dawnej nazwy „sumar-auke", nosi pomiędzy ludem miano „aukanaetr," dodanych nocy. Dziś wszakże pierwotny ten kalendarz pomieszał się z ruchomemi i stałemi świętami chrześcijańskiego kościoła i wytworzył razem mięszaninę, podług której lud liczy czas, obchodzi pamiątki, rocznice i święta, a która jest wynikiem i odbiciem niejako całej historji cywilizacji i tego kraju zamierzchłej Północy, gdzie noc i zima przewagę ma nad dniem i latem.

J. N.

Zasada celowości
w przyrodzie
w obec dzisiejszej wiedzy

przez F. S.

(Ciąg dalszy).

W odpowiedzi na pytanie pierwsze zajmiemy się bliższą analizą kilku najgłówniejszych faktów, mogących w oczach teleologów uchodzić za typowy wzór urządzeń „ad hoc" celowych, za rodzaj zamków, do których tylko kluczem teleologii dostać się można.

Takim faktem z dziedziny fizyologii, że powrócimy do przytoczonego już wyżej przykładu, jest zastępcza funkcya pozostałego zdrowego organu, po utracie drugiego symetrycznego o analogicznej czynności, w naszym więc wypadku zdwojenie sekrecyi moczu przez pozostałą nerkę. Jest że to specyalnie ad hoc celowe urządzenie wymykające się z pod kontroli pozytywnej nauki, poszukującej przyczyn? Wglądnijmy choćby pobieżnie w mechanizm samego wydzielania moczu, a rzecz przedstawi się jasno. Fizjologia nas poucza, że czynnikiem regulującym ilość wydzielanego moczu jest siła parcia, z jaką krew zdąża od serca ku tętnicy nerkowej. Im większe parcie krwi, tem sekrecya nerki będzie większą. Cóż się tedy dzieje, kiedy niszczymy jedną nerkę? Oto wyłączamy odpowiedni obszar naczyń krwionośnych, które się w niej rozgałęziały z ogólnego krwiobiegu, a ponieważ teraz ta sama ilość krwi co przedtem pomieścić się musi w szczuplejszym obszarze, a równocześnie produkta zużycia tkanek, stanowiące obok wody główne składniki moczu, gromadzą się ciągle we krwi, parcie w tętnicy nerkowej musi się znacznie podwyższyć, zgodnie więc z powyższem prawem sekrecya moczu się zwiększy.

I oto racjonalna przyczyna zjawiska bez odwoływania się do mistycznego wpływu celowości.

W ekonomii ustrojów żywych fakt to nie jedyny i nie odosobniony. Z szeregu urządzeń podobnych wybierzemy cudowny iście na pozór mechanizm z zakresu fizjologii oddechania.

Wiadomo, że w zwykłych warunkach nie oddechamy za pomocą woli, ale zdajemy się z tem całkowicie na automatyczne siły organizmu, który też te czynności spełnia z akuratnością zegarka w rytmicznem następstwie rozszerzeń i zwężeń klatki piersiowej. I rzecz dziwna, rytmiczność ta wtedy dopiero doznaje zaburzenia, kiedy świadomość lub wola nasza wdziera się w tę autonomią organizmu. Nie na tem jednak koniec. Są wypadki, gdzie w następstwie różnych zmian chorobowych, jak skutkiem zwężeń i nowotworów dróg oddechowych, spastycznych skurczów krtani, znacznej rozedmy płuc i. t. d. organ oddechowy nie napełnia się dostatecznie powietrzem, gdzie więc ustrój zagrożony z jednej strony brakiem niezbędnego do życia tlenu, z drugiej przeładowaniem krwi trującym kwasem węglowym, uledzby musiał powolnemu, ale niezawodnemu uduszeniu. Do tego jednak rzadko przychodzi, ponieważ ustrój wynagradza deficyt nadmiarem pracy przez przyspieszenie rytmu oddechowego i powiększenie głębokości pojedyńczych oddechów.

Cudowny geniuszu celowości, czyż i w tym wypadku pracowała twa wszechwładna, niewidzialna ręka? Odpowiadamy: nie; uczynił to po prostu ślepy martwy kwas węglowy, ten sam co przed chwilą groził śmiercią ustrojowi. Trzeba tylko wiedzieć, że jest małe miejsce w rdzeniu przedłużonym po obu stronach t. z. wgłębienia romboidalnego (fossa romb.), którego zadrażnienie jakimkolwiekbądź bodźcem, mechanicznym, chemicznym, lub elektrycznym drogą nerwu przeponowego (nerv purenicus) wywołuje skórcz przepony, przez co klatka piersiowa się rozszerza, a płuca wypełniają powietrzem. Teraz krew zaopatrzyła się w świeży zapas tlenu, a tlen, jak wykazały doświadczenia, obniża pobudliwość wgłębienia rombodalnego, teraz więc mięśnie wdechowe pozostają w spoczynku, klatka piersiowa własnym ciężarem i sprężystością się zwęzi — nastąpi wydech. Otóż takim bodźcem fizjologicznym dla centrum ruchów oddechowych (wgłęb. romb.) jest kwas węglowy i to rozjaśnia nie tylko ową fizjologiczną rytmiczność, ale i tę zadziwiającą regulację w wymienionych wypadkach patologicznych. Bo rzecz prosta, jeżeli płuca z wspomnianych przyczyn nie mogą w dostatecznej sile pośredniczyć w wymianie gazów przy zwykłem nasileniu oddechu, to i krew nie może się pozbyć nadmiaru kwasu węglowego; ten drażni ośrodek oddechowy, a następstwem tego będzie przyspieszenie i wzmocnienie toru oddechowego.

Nie przeczę, mógłby na to odpowiedzieć zwolennik celowości, że martwe siły fizyczne odgrywają tu niewątpliwie swą rolę, ale któż tu ich użył, kto je tak umiejętnie zestawił w logicznie pomyślaną całość? Wszakże przypadek nie mógłby tworzyć dzieła tak skończenie doskonałego. That is the question, odpowiadaj! woła zacierając ręce teleolog. Przypuśćmy, że nauka i na to pytanie dała pozytywną odpowiedź, że podaną przed chwilą przyczynę sprowadziła znowu do elementarnych praw fizyki i chemii: czyż sądzicie, że to wystarczy wyznawcy celowości? Gdzie tam, poskrobie się na chwilę po głowie, ale wnet przyskoczy z zapytaniem: „któż temi prawami rządzi, kto niemi rozumnie pokierował?" J tak bez końca. Oto wieczna piosnka teleologii, przypominająca kartkę z dyalogu dzieci. — „Mamo dlaczego jesz bułkę?" — Bom głodna — „a dlaczegoś głodna?" — Bom dawno nie jadła — „A dlaczegoś dawno nie jadła?" That is the question, hic Rodus, hic salta!

W naiwnych pytaniach dzieci, jeżeli nie mądrość, leży czasem głęboka psychologia duszy, a i uporczywość z jaką teleologia narzuca nam niezmiennie, jak refrain na końcu zwrotki jedno i to samo pytanie, budzi myśl, czy i tu na dnie idei celowości, nie leży jakie prawo psychologiczne, jakaś głęboko wkorzeniona forma myśli, każąca nam patrzeć na świat przez szkła naszej ludzkiej natury. Że tak jest rzeczywiście, przekonamy się na końcu pracy, gdzie po omówieniu wszystkich urządzeń quasi celowych, będzie ku temu najwłaściwsze miejsce. Tak samo zachwyt teleologa z doskonałości mechanizmu oddechania oziębimy później nieco w punkcie drugim, gdzie będzie mowa o urządzeniach wadliwych i bezcelowych. Tu niech wystarczy chwilowo uwaga, że regulacya ta nie jest tak idealnie doskonałą jakby się tego spodziewać należało po wszechpotężnej myśli, która nakreśliła plan stworzenia.

Ale może w dziedzinie innych zjawisk napotkamy fakta, do których zrozumienia prowadzi droga tylko przez szeroką bramę celowości. Zawadźmy więc jeszcze o zoologią.

Nauka ta nagromadziła w ostatnich czasach szereg obserwacyj, tak harmonizujących na pozór z teoryą celowości, że i najzapaleńszy teleolog życzyćby sobie lepszych nie mógł. Z szeregu licznych spostrzeżeń uderzy nas przedewszystkiem zadziwiająca harmonia, jaka panuje między barwą i kształtem świata zwierzęcego, a jego otoczeniem. I tak zwierzęta strefy podbiegunowej, jak niedźwiedź, lis i zając polarny, odznaczają się zabarwieniem białem, jako licującem z ogólnym kolorytem tych wiecznie śniegiem pokrytych okolic, podczas gdy w faunie krajów pustynnych, jak u lwa, wielbłąda, egipskiego kota, dominuje barwa brudno-płowa, jako barwa piasku, który je zalega. Z naszych dość wskazać na naszego skowronka, który sam szary, w szarocie zoranej gleby wygląda jak grudka ziemi, która go otacza, lub na naszą łasicę szarą latem, śnieżno białą w zimowej porze. Ale wszystko to niczem nie jest w porównaniu z przystosowaniem się owadów strefy gorącej do panoramy zamieszkałych przez nich okolic. Tu już nie tylko barwa sama, ale kształt, życie i zwyczaje zdają się jakby z góry przystosowane do warunków miejscowych. Zwierzęta pojedyńcze kopiują jak najwierniej niektóre przedmioty z swego otoczenia, inne naśladują kształt i barwy roślin pośród których żyją, jeszcze inne podszywają się pod postać obcych zupełnie sobie odmian, a wszystko to zdąża albo do ukrycia się przed okiem nieprzyjaciela lub czujnością upatrzonej ofiary. Mały chrząszcz na wschodzie z familii Buprestidae, siedzący zwykle na środkowym nerwie liścia, wygląda z odległości kilku kroków zupełnie jak kupka gnoju ptasiego, inny znowu z rzędu t. z. „wędrujących kijów" naśladuje jak najdokładniej kształt zeschłej gałęzi ze wszystkiemi jej nierównościami, guzami i kolcami, które imituje niesymetrycznie wyciągniętemi nogami.

Ale kto nie widział choćby na rycinie „liścia wędrującego", ten nie ma pojęcia, do jakiego stopnia dochodzi to podobieństwo: barwa, kształt, spłaszczenie ciała, unerwienie, wszystko oddaje liść aż do najdrobniejszych szczegółów. Nie mniej zdumiewającymi są wypadki, gdzie pewien gatunek lub odmiana naśladuje w powierzchowności inne odznaczające się silnem uzbrojeniem nieprzyjemną wonią lub przykrym dla drapieżnych ptaków smakiem, a zawsze formą naśladowaną jest ta, która posiada jeden z tych przymiotów, chroniących przed napaścią drapieżnych zwierząt. Tu więc łudzące podobieństwo powierzchowności służy za ochronę formom pozbawionym wszelkiej broni odpornej.

We wszystkich tu przytoczonych wypadkach znanych w nauce pod nazwą angielską „mimiczy", widnieje jakoby jedna myśl, niby jeden cel: zabezpieczenie przed

prześladowaniem, lub ukrycie się w obec upatrzonej ofiary. Trudno doprawdy o fakta bardziej zniewalające na pozór dla zasady celowości, jak te. A jednak czy tak w istocie, czy proste, a z nieprzepartą siłą działające prawa przyrody nie wchodzą tu w rachubę? Długi czas nie mogła nauka odpowiedzieć na to pytanie, a choć wnosząc z analogii podejrzywała i tu działanie sił naturalnych, nieświadomie rządzących, to brakło jej wszelkich danych, aby zagadkowe te fakta przystosowania sprowadzić do praw prostych i określowych. Dopiero teorya walki o byt i doboru naturalnego podała nam klucz do wytłómaczenia tych zjawisk.

Gatunki nie są stałemi, zakrzepłemi formami, ale jako organizmy żywe i do pewnego stopnia podatne przechodzą zwolna, ale systematycznie pod wpływem najrozmaitszych czynników przez szereg zmian mniej lub więcej korzystnych dla danego gatunku. Były więc zrazu odmiany mniej i więcej przystosowane do warunków miejscowych lub w kolei stopniowych przemian zbliżone przypadkiem formą barwą i t. p. do pewnych przedmiotów martwej czy ożywionej natury w pośród masy innych, które tych cech nie posiadały, czyli mówiąc konkretnie: były w strefie podbiegunowej niedźwiedzie brunatne i białe, lisy żółte i białe, gdzieindziej były owady podobne przypadkiem do liści, gałązek, kory etc. obok takich, które mało co, lub wcale nie upadabniały się z otoczeniem. Łatwo pojąć, że w ogólnej walce o byt, jaka z nieubłaganą konsekwencyą toczy się w świecie zwierzęcym, te gatunki i odmiany, które zbliżone barwą, lub kształtem do otoczenia swego mniej jako takie wpadały w oko silnym drapieżcom, lub lepiej ukrywały się przed okiem słabszej ofiary, że te posiadały większe szanse utrzymania się w danej okolicy, od tych, które niczem podobnem wykazać się nie mogły. A więc w polarnych okolicach niedźwiedź biały miał lepsze szanse bytu od brunatnego, brunatny znowu lepsze w strefie umiarkowanej od białego, to też na północy utrzymał się biały, gdy drugi bądź wyginął, bądź wyemigrował do okolic strefy umiarkowanej, zkąd nawzajem wyparł swego białego kuzyna. To samo prawo eliminacyi przy systemie protekcyi, że się tak wyrażę, z drugiej, powtórzyło się z nieugiętą konsekwencyą we wszystkich wymienionych przykładach, a rezultatem jego były, że żadna choćby najdrobniejsza analogia, nie osiągnięła w kolei przemian, nie została uronioną w tym procesie, bo natura, że użyję przenośni, pieściła się niby z posiadaczami tych drobnych przystosowań, pozwalając im się najlepiej rozwijać i rozmnażać, a z pomiędzy tych analogij szczególną opieką otaczała formy najbardziej przystosowane. Taki to czysto mechaniczny proces stworzył z biegiem czasu tę ogólną harmoniję bez interwencyi celowego aktu stworzenia.

(C. d. n.).

Sprawozdanie z obrad
PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW I ARTYSTÓW polskich

w Krakowie d. 14. i 15. Września.

Posiedzenie I.

Poczem przyszedł na porządek dzienny referat o „Pomocy“, towarzystwie literatów i artystów polskich.

Projekt statutu brzmi:

Cel i środki Towarzystwa.

§. 1.

Celem Towarzystwa jest niesienie pomocy członkom dotkniętym ciężką chorobą, oraz wdowom i sierotom po członkach pozostałym.

§. 2.

Środkami do osiągnięcia tego celu są:
a) Składki członków.
b) Dochody z odczytów, balów, przedstawień i t. d.

Prawa i obowiązki członków.

§. 3.

Towarzystwo składa się z członków zwyczajnych, popierających i honorowych.

§. 4.

a) Członkami zwyczajnymi Towarzystwa mogą być tylko artyści i literaci, składający rocznie przynajmniej 4 złr.
b) Członkami popierającymi, mogą być wszyscy składający jednorazowo na cele Towarzystwa 100 złr., lub obowiązujący się do uiszczania wkładki rocznej w ilości 20 złr.
c) Członkami honorowymi: mężowie uznani za działających skutecznie dla dobra Towarzystwa, a wybrani przez Walne Zgromadzenie.

§. 5.

Członek zaniedbujący się rok w płaceniu wkładki, uważa się za wykreślonego z grona członków i dopiero za uiszczeniem rat zaległych, może na nowo do Towarzystwa przystąpić.

Zarząd Towarzystwa.

§. 6.

Towarzystwem zarządza Komitet i Walne doroczne Zgromadzenie.

Komitet.

§. 7.

Komitet składa się z prezesa, wiceprezesa, sekretarza, podskarbiego i 8 członków, w połowie artystów, w połowie literatów, wybranych na rok jeden, większością głosów, przez Walne Zgromadzenie, a początkowo założycieli.

Do Komitetu wybrani mogą być tylko członkowie zwyczajni.

§. 8.

a) Prezes lub wice-prezes przewodniczy posiedzeniom Komitetu oraz Walnemu Zgromadzeniu i rozstrzyga w razie równości głosów.
b) Reprezentuje on Towarzystwo na zewnątrz i podpisuje wraz z sekretarzem wszystkie pisma i dokumenty.
c) Komitet zawiaduje majątkiem Towarzystwa, wyznacza zapomogi stałe lub jednorazowe, czuwa nad wykonaniem statutu i uchwał Walnego Zgromadzenia.

Posiedzenia.

§. 9.

Posiedzenia Komitetu mają miejsce raz na miesiąc na zawiadomienie prezesa lub wice-prezesa łącznie z sekretarzem, lub piśmiennie wyrażone życzenie trzech członków Komitetu.

Do ważności uchwał Komitetu potrzebną jest obecność prezesa lub wice-prezesa, sekretarza lub jego zastępcy i najmniej 4 innych członków Komitetu. Uchwały zapadają prostą większością głosów.

§. 10.

Raz do roku w miesiącach maju lub czerwcu, odbywać się winno Walne Zgromadzenie wszystkich członków, na których prezydjum zda sprawę z całorocznej czynności Towarzystwa, podając przytem obraz stanu finansowego.

Na Zgromadzeniu tem, złożonem z członków zwyczajnych nastąpi:

1) Wybór Komitetu na rok następny prostą większością głosów.

przeładowaniem, lub ukrycie się w obec upatrzonej ofiary. Trudno doprawdy o fakta bardziej zniewalające na pozór do zasady celowości, jak te. A jednak czy tak w istocie, czy przeróż, a z nieprzeparta siłą działające prawa przyrody nie wchodzą tu w rachubę? Długi czas nie mogła nauka odpowiedzieć na to pytanie, a choć wnoszać z analogii podejrzywała i tu działanie sił naturalnych, nieświadomie zadziejących, to brakło jej wszelkich danych, aby zagadkowe te fakta przystosowania sprowadzić do praw prostych i określonych. Dopiero teorya walki o byt i doboru naturalnego podała nam klucz do wytłómaczenia tych zjawisk.

Ubarwienia nie są stałemi, zakrzepłemi formami, ale jako organizmy żywe i do pewnego stopnia podlegają przeróbkom zwolna, ale systematycznie pod wpływem najrozmaitszych czynników przez szereg zmian mniej lub więcej korzystnych dla danego gatunku. Były więc zrazu odmiany mniej i więcej przystosowane do warunków miejscowych lub w kolei stopniowych przemian zbliżone przypadkiem formą barwą i t. p. do pewnych przedmiotów martwej czy ożywionej natury w pośród masy innych, które tych cech nie posiadały, czyli mówiąc konkretniej: były w strefie podbiegunowej niedźwiedzie brunatne i białe, listy żółte i białe, gdzieindziej były owady podobne przypadkiem do liści, gałązek, kory etc. obok takich, które mało co, lub wcale nie upodobniały się z otoczeniem. Łatwo pojąć, że w ogólnej walce o byt, jaka z nieubłaganą konsekwencyą toczy się w świecie zwierzęcym, te gatunki i odmiany, które zbliżone barwą, lub kształtem do otoczenia swego mniej jako takie wpadały w oko silnym drapieżcom, lub lepiej ukrywały się przed okiem słabszej ofiary, że te posiadały większe szanse utrzymania się w danej okolicy, od tych, które niczem podobnem wykazać się nie mogły. A więc w polarnych okolicach niedźwiedź biały miał lepsze szanse bytu od brunatnego, brunatny znowu lepsze w strefie umiarkowanej od białego, to też na północy utrzymał się biały, gdy drugi bądź wyginął, bądź wyemigrował do okolic strefy umiarkowanej, zkąd nawzajem wyparł swego białego kuzyna. To samo prawo eliminacyi przy szczeblu prostszych, że się tak wyrażę, a drogiej, powiodło się i niemniej konsekwencya we wszystkich wymienionych przykładach, a rezultatem jego były, że żadna choćby najdrobniejsza analogia, nie osiągnęła w kolei przemian, nie została straconą w tym procesie, bo natura, że użyję przenośni, pieściła się niby z pośladkami tych drobnych przystosowań, pozwalające im się najlepiej rozwijać i rozmnażać, a z pomiędzy tych analogii szczególną opieką otaczała formy najbardziej przystosowane. Taki to czysto mechaniczny proces stworzył z biegiem czasu tę ogólną harmonię bez interwencyi celowego aktu stworzenia.

(C. d. n.)

Sprawozdanie z obrad PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW I ARTYSTÓW polskich

w Krakowie d. 14. i 15. Września.

Posiedzenie I.

Poczem przyszedł na porządek dzienny referat o „Pomocy“, towarzystwie literatów i artystów polskich.

Projekt statutu brzmi:

Cel i środki Towarzystwa.

§. 1.

Celem Towarzystwa jest niesienie pomocy członkom dotkniętym ciężką chorobą, oraz wdowom i sierotom po członkach pozostałym.

§. 2.

Środkami do osiągnięcia tego celu są:

a) Składki członków.

b) Dochody z odczytów, balów, przedstawień i t. d.

Prawa i obowiązki członków.

§. 3.

Towarzystwo składa się z członków zwyczajnych, popierających i honorowych.

§. 4.

a) Członkami zwyczajnymi Towarzystwa mogą być tylko artyści i literaci, składający rocznie przynajmniej 4 złr.

b) Członkami popierającymi, mogą być wszyscy składający jednorazowo na cele Towarzystwa 100 złr. lub obowiązujący się do uiszczania wkładki rocznej w ilości 20 złr.

c) Członkami honorowymi mężowie uznani za działających skutecznie dla dobra Towarzystwa, a wybrani przez Walne Zgromadzenie.

§. 5.

Członek zaniedbujący się rok w płaceniu wkładki, uważa się za wykreślonego z grona członków i dopiero za uiszczeniem rat zaległych, może na nowo do Towarzystwa przystąpić.

Zarząd Towarzystwa.

§. 6.

Towarzystwem zarządza Komitet i Walne doroczne Zgromadzenie.

Komitet.

§. 7.

Komitet składa się z prezesa, wiceprezesa, sekretarza, podskarbiego i 8 członków, w połowie artystów, w połowie literatów, wybranych na rok jeden, większością głosów, przez Walne Zgromadzenie, a początkowo założycieli.

Do Komitetu wybrani mogą być tylko członkowie zwyczajni.

§. 8.

a) Prezes lub wice-prezes przewodniczy posiedzeniom Komitetu oraz Walnemu Zgromadzeniu i rozstrzyga w razie równości głosów.

b) Reprezentuje on Towarzystwo na zewnątrz i podpisuje wraz z sekretarzem wszystkie pisma i dokumenty.

c) Komitet zawiaduje majątkiem Towarzystwa, wyznacza zapomogi stałe lub jednorazowe, czuwa nad wykonaniem statutu i uchwał Walnego Zgromadzenia.

Posiedzenia.

§. 9.

Posiedzenia Komitetu mają miejsce raz na miesiąc na zawiadomienie prezesa lub wice-prezesa łącznie z sekretarzem, lub piśmienne wyraźne życzenie trzech członków Komitetu.

Do ważności uchwał Komitetu potrzebną jest obecność prezesa lub wice-prezesa, sekretarza lub jego zastępcy i najmniej 4 innych członków Komitetu. Uchwały zapadają prostą większością głosów.

§. 10.

Raz do roku w miesiącach maju lub czerwcu, odbywać się winno Walne Zgromadzenie wszystkich członków, na którym przyjmuje zdania sprawę z całorocznej czynności Towarzystwa, podając przytem obraz stanu finansowego.

Na Zgromadzeniu tem, złożonem z członków zwyczajnych następuje:

1) Wybór Komitetu na rok następny prostą większością głosów.

2) Zatwierdzenie rachunków za rok ubiegły przez Komitet przedłożonych, oraz budżetu na rok następny.

4) Wybór trzech członków Komisji rachunkowej na rok następny.

5) Rozstrzygnięcie w sprawach, które Komitet dla szczególnej ważności przedłoży uchwale Zgromadzenia.

6) Wybór członków honorowych przedstawionych przez Komitet.

7) Wnioski członków.

8) W razie konieczności, a na wniosek 10 przynajmniej członków, zmiana statutu uchwalona większością $^2/_3$ głosów.

Do ważności uchwał Walnego Zgromadzenia potrzebną jest obecność przynajmniej $^1/_4$ miejscowych członków zwyczajnych. Uchwały następują prostą większością głosów; o posiedzeniu członkowie winni być zawiadomieni na dwa tygodnie najmniej przed jego terminem. W razie niedojścia Zgromadzenia z powodu braku kompletu, następne w 8 dni najmniej zwołane, decyduje bez względu na liczbę obecnych członków.

Prezes, za uchwałą Komitetu lub na żądanie piśmienne wniesione przez 10 członków zwyczajnych, ma obowiązek zwołania w każdym czasie nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia.

Przepisy ogólne.

§. 11.

Stałem siedliskiem Towarzystwa jest Kraków.

Rozwiązanie Towarzystwa

§. 12.

Rozwiązanie Towarzystwa może nastąpić jedynie za uchwałą Walnego zgromadzenia *ad hoc* zwołanego, złożonego z połowy przynajmniej członków zwyczajnych miejscowych, zapadłą większością $^2/_3$ głosów obecnych.

W razie niedojścia Zgromadzenia dla braku kompletu, następne, zwołane przynajmniej w 3 tygodnie jest ważnem bez względu na ilość członków. Uchwała rozwiązania zapada jak wyżej $^2/_3$ głosów.

W razie rozwiązania Towarzystwa, bądź w skutek własnej woli, bądź niezależnych przyczyn, członkowie zwyczajni, będący niepodzielnymi właścicielami wszelkiego majątku ruchomego i nieruchomego, po zaspokojeniu wszelkich długów i zobowiązań, uchwałą Walnego swego Zgromadzenia rozporządzą funduszem pozostałym.

Referent p. Bartoszewicz:

Nie będę naturalnie odczytywał panom statutu, dla tej choćby przyczyny, że macie go w swym ręku. Jestem w tem miłem położeniu, że jak mi się zdaje, nie potrzebuję uzasadniać myśli, jaką powzięliśmy. Rzecz to bowiem prosta, że współczucie dla niedoli jest szlachetnem, a obowiązkiem każdego człowieka spieszyć jej z pomocą. Miłosierdzie, jakkolwiek się objawia, jest zawsze sprawą publiczną, a nigdy, jak chcą niektórzy, prywatną. Co powiedziawszy, dodam tylko kilka słów objaśnienia do głównych punktów statutu, a właściwie do jednego tj. do zakresu, w jakim pragniemy tę pomoc przynosić. Była mianowicie mowa między nami, kiedyśmy nad tym statutem pracowali, ażeby towarzystwu dać szerszy zakres, aby to był rodzaj jakiegoś towarzystwa zaliczkowego, udzielającego pożyczek, zasiłków etc. Chcąc zadość uczynić tej myśli, musielibyśmy przedewszystkiem podzielić się na 3 części, ponieważ inne ustawy obowiązują w Królestwie, a inne w Poznańskiem. Taki podział ze względów praktycznych trudnym i niemożebnym byłby do przeprowadzenia. Po drugie: zapatrując się ze stanowiska naszego galicyjsko-krakowskiego wiemy dobrze, że gdy literat lub artysta dający pewną gwarancję materjalną lub moralną z dwoma innymi weksel podpisze, może otrzymać pewną sumę w każdej instytucji bankowej To samo musiałby i w nowem towarzystwie uczynić. Byłoby zatem nowe to towarzystwo chyba na to utworzone, aby było o jednego dyrektora więcej, więcej paru sekretarzy, więcej o jedną radę nadzorczą itd. czego mamy już podostatkiem. Z tego powodu proponuję, aby pomoc odnosiła się tylko do wdów i sierót, gdyż na każdym kroku, co miesiąc prawie spotykamy się z tem, że trzeba dążyć z pomocą, z jałmużną dla wdów i sierót po literatach i artystach. Jałmużna jest zawsze przykrą, nie każdy chce ją przyjąć, a w najprzykrzejszem położeniu znajduje się taki, co jej przyjąć nie chce, a musi. Każdy członek według naszego projektu płaci wkładkę, będąc może przekonany, że żona i dzieci jego nie będą korzystać z towarzystwa, robi więc ofiarę dla wszystkich, a nie wie o tem, że może czas i okoliczności zrządzą, że dla siebie lub dla żony i dzieci składką tą wyrabia prawo do brania zasiłków. To już panowie nie jałmużna, to po prostu prawo, za jakie każdy 4 złr. płaci. Oprócz tego dołączyliśmy jeszcze zapomogi dla artystów i literatów dotkniętych ciężką chorobą. Bo jeżeli pozostają wdowy i sieroty to często dlatego że ich mężowie i ojcowie dotknięci chorobą nie mieli środków do wyleczenia się. Więc ażeby mniej było wdów i sierót, nieśmy pomoc tym, którzy dotknięci są ciężką chorobą (oklaski).

Jeszcze muszę odpowiedzieć na dwa zarzuty, które prasa warszawska przeciw projektowanemu towarzystwu podniosła. Jeden zarzut, że towarzystwo nie będzie mogło objąć razem wszystkich artystów i literatów polskich, że ludzie z wszystkich dzielnic nie będą mogli połączeni być razem, gdyż na to nie pozwalają miejscowe prawa. Twierdzący to, są w błędzie, gdyż mieszkańcy Królestwa i Poznańskiego należą do wielu towarzystw tutejszych, niemających cechy polityczne] i nikt im za to nic nie uczynił. Jeżeli mogą być członkami tych towarzystw Polacy wszystkich dzielnic, to nie ulega wątpliwości, że każdy może być członkiem towarzystwa czysto filantropijnego, nienakładającego innych obowiązków, prócz uiszczania wkładek po 4 złr.

Drugi zarzut powiada, że sprawa utworzenia towarzystwa nie potrzebuje być poddawaną pod obrady zjazdu, że można to samo uczynić w cichem kółku a rezultat będzie jednaki. Ja wiem jednak z doświadczenia, że jeżeli przy założeniu jakiego towarzystwa większa ilość w niem bierze udział, wszyscy czują się założycielami i propagują myśl podjętą. Przeto postawienie na porządku obrad zjazdu sprawy założenia towarzystwa „Pomocy" nakłada na każdego członka zjazdu pewien obowiązek popierania sprawy, aby doszła do skutku i przyniosła rezultaty. Inaczej, gdybyśmy to zrobili w swojem kółku, cichem i skromnem, cichym też i skromnym byłby rezultat. Zdaje mi się, że jeżeli panowie uchwalicie wybrać komitet, któryby przeprowadził projekt lub oddacie zarządowi „Koła", aby postarał się o potwierdzenie tego statutu, jednem słowem, jeżeli to towarzystwo wejdzie w życie i znajdzie poparcie, jeżeli jednej tylko wdowie po literacie otrze łzę i jedno tylko dziecko po artyście wykształci, to już będzie pożytek z towarzystwa i pożytek ze zjazdu artystów i literatów. (Brawa i oklaski).

Pan Szymanowski (w skróceniu). Pragnąłbym objaśnić to błędne mniemanie, o którym szan. mowca wspomniał, co do literatów nie znajdujących się w Krakowie i Lwowie. Tylko in merito jest to słuszne. Że do towarzystwa „Pomocy" należeć na razie będą mogli i członkowie z Królestwa i zechcą uczestniczyć w chwalebnym celu, który próbowano już u nas przeprowadzić, chociaż od lat 10 się to nie udaje — w to

wierzę. Zresztą przekonany jestem o użyteczności towarzystwa i mam nadzieję, że wszyscy się do niego zapiszą.

P. Danielewski przypomina, że w Poznańskiem i Prusach nie ma przeszkody wstrzymującej od należenia do Towarzystwa.

P. Molicki (w streszczeniu). Towarzystwo, o którem mowa, wygląda mojem przekonaniem na rzecz miłosierdzia, a przedewszystkiem artystom i literatom jak najmniej się należy w tym celu wyciągać rękę. Oni roznoszą światło i to im powinno zapewnić egzystencją moralną i materjalną. Jeżeli zaś zważymy, że wkładka ma wynosić tylko 4 złr. rocznie, a my chcemy zapewnić wdowom i sierotom jakąś przyszłość, to musimy koniecznie przyjmować datki jakie nam wpłyną z balów, koncertów itd., a to przynajmniej z pozoru wygląda na jałmużnę i jakkolwiekby ten datek dawany był tak, żeby nie wiedziała prawica, co czyni lewica, przecież przyjmować go nie jest rzeczą przyjemną. Te względy, sądzę, wystarczą na poparcie mojego wniosku, aby towarzystwo połączyć ze sprawą ubezpieczeń na życie. Przecież to rzecz możliwa, aby każdy ze swych dochodów przeznaczał pewne odsetki na opłacenie rat. To może dać członkowi po latach kilku lub kilkudziesięciu, lub jego spadkobie'com znaczniejszą kwotę, na jaką towarzystwo przy największej ilości odczytów i balów nigdy się nie zdobędzie. Dlatego stawiam obecnie ogólny zupełnie wniosek, aby sprawę Towarzystwa „Pomocy" dla wdów i sierót po artystach i literatach połączyć ze sprawą zabezpieczeń na życie i ażeby opracowanie bliższych szczegółów pozostawić Kołu artystyczno-literackiemu.

P. Parczewski. Są zapewne względy takie, aby istniała jedna kasa dla pomocy wszystkim artystom i literatom na ziemiach polskich, ale jest jeden czysto praktycznej natury, który przeciw temu mówi. Chodzi tu o wykonanie zarządu. Wydaje się prawie niepodobną rzeczą, jakim sposobem jeden zarząd rezydujący w Krakowie lub Lwowie przeznaczać będzie zapomogi dla wdów i sierót po literatach w Warszawie, Prusach wschodnich lub Szląsku. Tutaj potrzeba informacji o stosunkach tej rodziny, która przychodzi z prośbą o pomoc, a przytem ważną jest rzeczą, aby pomoc za późno nie przyszła. Z tego względu sądziłbym, że podział na 3 towarzystwa dla 3 działów naszego kraju byłby pożądany. Z drugiej strony, aby towarzystwa te w związku z sobą pozostawały, istnieć powinien między niemi taki stosunek, aby jedna kasa drugiej przeciążonej, udzielała pożyczek. Ale każda oddzielnie przychodziłaby prędzej z pomocą i dokładniej mogłaby się informować.

Dr. Ściborowski. Nie mogę podzielać zapatrywań p. Molickiego. P. Molicki powiada, że wkładka 4 złr. rocznie jest mała i że długiego czasu potrzeba, aby się dostateczne fundusze zebrały. Tymczasem praktyka inaczej powiada. Towarzystwo lekarskie zawiązało kasę przed laty 10. Wkładka wynosi 5 zł. rocznie, prócz tego przez koncerta, bale itp. fundusze tak się powiększyły, że obecnie towarzystwo posiada około 80.000 zł. i udziela skutecznie pomocy. Również co do tego, iż p. Molicki uważa, że pomoc taka będzie to rodzaj jałmużny, nie mogę się zgodzić. Przeciwnie ma się ta sprawa, zwłaszcza w obec tego, co się dziś odbywa, że w takich razach składki się pomiędzy sobą zbierają. Jeżeli zaś kto, płaci wkładkę 4 zł. ma prawo do tego wsparcia.

Co do p. Parczewskiego, że kasy nie mogą istnieć na większą przestrzeń, równie odpowiem z praktyki, że istnieje na całą Galicję we Lwowie Towarzystwo lekarzy, a tylko ma swoich w całym kraju delegatów, za pomocą których przedstawiane bywają osoby potrzebujące wsparcia i tak praktycznie okazuje się, że my cel osiągamy.

Mogę więc tylko pochwalić wniosek komitetu założenia kas wsparcia (brawo).

P. Jachowicz: Dużo już pojawiło się zdań popierających i zbijających projekt. Ponieważ zaś w krótkim czasie niepodobna wszystkich szczegółów wyczerpać, więc stawiam wniosek, aby dyskusją zamknąć i wybrać komisję, któraby idąc za wnioskiem p. Bartoszewicza zbadała projekt dokładnie, rzecz stanowczo ułożyła i wprowadziła w życie, postarawszy się o potwierdzenie statutu.

P. Chrzanowski: To co p. Bartoszewicz proponuje jest po prostu stowarzyszeniem emerytalnem. Takie stowarzyszenia istnieją i mają świetne powodzenie. Tem więcej zaś potrzebne jest może to stowarzyszenie dla artystów i literatów, że przy ubezpieczeniu na życie potrzeba nadzwyczajnej punktualności. Zgadzam się przytem z wnioskiem p. Abramowicza, aby wybrać oddzielną komisją. Wniosek zaś i argumenta p. Parczewskiego, który proponuje 3 stowarzyszenia, uważam za niewłaściwy: im administracja rozleglejsza, tem kosztowniejsza. Co zaś do zarzutu, że naczelna instytucja nie może w innych prowincjach znać tych, co potrzebują wsparcia, zauważę, że i w tej samej prowincji nie każdy jest znany, który potrzebuje pomocy, i muszą być osobni miejscowi delegaci, którzy proponują dla tej a tej osoby wsparcie. W tym względzie statut lukę wypełni, ale zawsze piękniej będzie, jeżeli jedność stowarzyszenia zachowamy (brawo).

Po zamknięciu dyskusji mają głos zapisani poprzednio:

P. Słupski: Jeden z oponentów projektu twierdził, że składka 4 złr. nie wystarcza, a wszelkie dochody zebrane innym sposobem są rodzajem miłosierdzia. Aby ocenić, czy wkładka 4 złr. rocznie wystarcza czy nie, trzebaby wziąć za podstawę statystyczne cyfry, możnaby przyjąć przeciętną śmiertelność za podstawę. Ale na pamięć tego utrzymywać nie można. Powtóre przy koncertach, odczytach itd. na cel Towarzystwa większą ofiarę ponosi prelegent albo koncertant, niż publiczność. Co do założenia znowu 3 Towarzystw, to już p. Szymanowski wspomniał, że usiłowania takie w Królestwie od lat 10 się nie udają. Innego więc wyjścia niema, tylko jedno stowarzyszenie, któreby miało swych członków korespondentów informujących.

P. Piltz zwraca uwagę, że jeżeli istnienie osobnych Towarzystw w innych dzielnicach jest niemożebne, to i tworzenie filij. Należy zatem założyć lokalne krakowskie Towarzystwo, do któregoby należeli i członkowie innych dzielnic. W tym też kierunku należy zmienić §. 7. projektu i odesłać go do uzupełnienia i przeprowadzenia Kołu artystyczno-literackiemu.

P. Jachowicz uważa powierzanie statutu osobnej komisji za nie potrzebne. Projekt Koła jest ogólny i krótki i to jest jego zaletą i ratuje jedność stowarzyszenia.

P. Molicki jeszcze raz popiera swą myśl i proponuje, aby fundusze Towarzystwa tak podzielić, ay część została na zapomogi, a część aby była udzielana na premje dla ubezpieczających się na wypadek choroby lub na życie, w Towarzystwie ubezpieczeń na życie.

W ciągu tego przemówienia wzmógł się zgiełk z powodu przeciągania się zbytniego dyskusji nad tym przedmiotem. Wówczas zabiera głos jako referent p. Bartoszewicz (streszczone):

W krótkich słowach odpowiem na zarzuty pana Parczewskiego, że jest instytucja delegatów na świecie i ci podobne sprawy załatwiają. Co się tyczy wniosku, aby przekazać sprawę komitetowi Koła i wybrać z góry zarząd, odpowiem, że według ustaw u nas obowiązujących, pierwej musi być statut potwierdzony, a potem dopiero komitet

wybranym być może. Niema wreszcie najmniejszej obawy, aby to Towarzystwo miało być uważane, jako założone przez wszystkich artystów i literatów wszystkich dzielnic polskich. My odnieśliśmy się do szanownych panów dlatego jedynie, abyście wy uznali powagą waszą, czy towarzystwo jest potrzebne, czy nie (Brawo!). My w każdym razie rzecz wprowadzimy w czyn i do nas ta sprawa należy. Co się tyczy składania odsetek jak proponował jeden z mowców, to na to są kasy oszczędności Towarzystwo tem zajmować się nie może. Panu Molickiemu nie odpowiadam, bo mnie już dostatecznie wyręczono. Kończę więc. Chodzi tylko o to, żeby zapadła uchwała, iż zjazd artystów i literatów polskich uznaje potrzebę podobnego towarzystwa i odsyła sprawę do Koła artystyczno-literackiego. (Brawa).

Znim przystąpiono do głosowania, Dr. German oświadczył, że p. Bylicki objawił zamiar dania koncertu na rzecz wdów i sierót po artystach i literatach, a prezes Koła p. Kossak, że p. Mierzwiński takież samo uczynił przyrzeczenie za najbliższem przybyciem do Krakowa. Obie wiadomości przyjęto oklaskami.

W głosowaniu wniosek p. referenta przyjęty został niemal jednogłośnie, poczem zamknięte zostało pierwsze posiedzenie.

(C. d. n.)

Przegląd teatralny.

(Gondinet: „Zacni ludzie“ kom. w 4 aktach)

Janin pisząc niegdyś o jednej ze sztuk autora „Damy kameliowej“ miał się wyrazić, że posiada ona wszystkie wady utworów Dumasa-ojca, a żadnej zalety jego syna. Mutatis mutandis można coś w tym rodzaju powiedzieć o ostatniej bieżącego sezonu nowości teatralnej. „Zacni ludzie“ to szereg scen bogatych w to wszystko, od czego pióro Gondineta bywa wolne, w to zaś, czem ono zwykło błyszczeć — zbyt ubogich. To też o ile nam wiadomo sztuka ta już od dość dawna zdobiła jedno z bardziej zapylonych miejsc w bibliotece teatralnej. Dlaczego ten rzetelnie zasłużony stan jej spoczynku reżyser uznał za stosowne przerwać — pozostanie zagadką; prawdopodobnie chciał on jednym zamachem niedźwiedzią uczynić przysługę: dyrekcji, sobie, autorowi i publiczności. Ta ostatnia przynajmniej spłaciła sowity haracz ziewając za... miliony. Jeżeli bowiem utwór dramatyczny zwykle jeden imponuje mistrzowską budową bądź szaloną akcją; ten zachwyca galerją świetnych typów lub charakterów, tamten olśniewa rakietami dowcipu i humoru, intryguje żywotnością tematu lub wreszcie daje tylko artystom pole do popisu indywidualnego talentu „Zacni ludzie“ z żadnych z tych przymiotów, stanowiących o bycie sztuki, nie mają nic wspólnego bezwzględnie. Cała ich wartość redukuje się ewentualnie do szlachetnej tego utworu tendencji i za nią uchylilibyśmy czoła przed autorem, gdyby piękną swą zdrową myśl był w inny przelał posąg. Niestety! morały należą do tych lekarstw duchowych, które jeśli kiedy, to dziś zwłaszcza muszą być społeczeństwu podane w stosownej porze i dozie, odpowiednio sporządzone. Inaczej pacjent, chociażby bardzo chory, odsunie rękę lekarza z niechęcią a nawet z ironią. Tak się też miała rzecz i u nas; gdzie publiczność podaną sobie przez Gondineta pigułkę połknęła z wielkim grymasem, a ze skutkiem intencjom autora zupełnie obcym. Nie rozwodzimy się nad treścią „Zacnych ludzi“ ani grą artystów; o pierwszym bowiem pisać nie warto, o drugiem nie ma co z przyczyn wyżej wskazanych. Cały zaś sąd swój rozumujemy wedle zasady, która każe poświęcać (będącą tu właśnie na porządku dziennym) „wytworność (sic) krytyka dla jej racjonalności.

En.

Przegląd literacki.

(Z przełomu wieków, przez En'a).

(Dokończenie).

Mówiąc o niej, należy pzzedewszystkiem rozróżnić reformę prawdziwą, od fałszywej, za jaką uchodziły wniesione przez Lutra rzekome nowości. Pierwsza była kościołowi potrzebną, nigdy też nie była mu obcą; bo kościół katolicki jako ustanowiony od Chrystusa Pana jest niezmiennym i jednakim ale on złożony jest także z ludzi; gdzie zaś są ludzie prędzej lub później objawia się potrzeba reformy. Najpierwszym jednak reformatorem kościoła jest jego założyciel — drugim dopiero sam kościół. Niezapomina on o też nigdy o tym swoim obowiązku, jeśli tylko nie spotka nieprzezwyciężonych przeszkód; a taka właśnie sytuacja znalazła miejsce przed Lutrem. Zewnętrznemu blaskowi i potędze kościoła nie odpowiadała już wewnętrzna siła ducha; ztąd upadek życia religijnego, opozycja przeciw kościołowi a zapał, dążenie ku nieokreślonemu ideałowi państwowemu, ku wygodnej filozofii życia. Takie stosunki wymagały zmiany, naprawy. Zrozumiał to już w połowie 15go w. Mikołaj Cusa (kardynał) przedstawiając Piusowi II projekt generalnej reformy kościoła. Że cały kościół takowej pragnął, swiadectwem, że projekt ów na licznych konsyliach był rozpatrywany; różne jednak okoliczności uniemożliwiały energiczne wprowadzenie takowego w życie, co gdy w swoim czasie nie nastąpiło, znaleźli się niepowołani, którzy pod płaszczem reformacji, jakiej miał dokonać sam kościół w granicach potrzebą wskazanych nie naruszając w niczem dogmatów wiary i moralności, przez powolne przeobrażanie wszystkich stosunków — postanowili podnieść burzę przeciw kościołowi, obalić jego nieomylną powagę, a ograniczyć się na piśmie świętem i własnym rozumie. W chwilowej sytuacji zamiary takie miały największego przyjaciela, główną pomoc. Reformacja bowiem była podówczas jakby w powietrzu i na ustach wszystkich narzekających na powszechne nadużycie; Luter zaś swą sprawę właśnie jako walkę przeciw tym nadużyciom zapowiedział.

Drugiem znamieniem wojennem Lutra było odurzające hasło wolności. Tymczasem gdzie tylko on zatryumfował, znikała z wolnością obywatelską, społeczną i polityczną nawet wolność sumienia; to wszystko zastąpił cezaropapizm protestancki i ucisk innych wyznań. Trzecim środkiem Lutra stała się appelacja do najniższych niekiedy żądz i namiętności ludzkich; nauka jego wiodła wprost i cynicznie do skażenia obyczajów, a zepsucie było jej bezpośrednim owocem; ona nietylko rozkiełznała, ale wywołała chciwość zmysłowość i pychę. Czwartą okolicznością, dla Lutra nauki sprzyjającą, była pozorna jej łatwość i prostota, z jaką nieograniczając swobody dumnego człowieka, otwierały mu pszecież skarby mądrości i miłosierdzia bożego, złożone w ewangelii. Na podstawie Ewangelii samej, człowiek bez żadnego samoistnego o siebie starania w tym kierunku, zdawał się zbliżać do Boga, w pewien z Nim wchodził stosunek. Najważniejszą atoli dla protestantyzmu dźwignią uznać trzeba owczesny stan polityczny Niemiec. Mnóstwo księstewek i elektorstw, z których się one składały, najusilniej dążyło do samoistnej potę-

gi a dla skarbu ich pożądanem było wzbogacić się dobrami kościelnemi. Najlepszy po temu środek podawała — reformacja. Dlatego też nawet niebawem reformacja zeszła z pola religijnego na polityczne i na niem dopiero właściwie utrzymać się zdołała; słowem stała się z czasem prostem narzędziem w rękach królów. Popularność zaś swoją zawdzięczała nadto głównie temu, że właściwy jej charakter i tendencja przeważnie były niewiadome; jedni przyjmowali ją za dobrą monetę, drudzy z zasadniczej opozycji przeciw kościołowi; reszta z ciekawości lub lekkomyślności zwykłej swawoli. Takato latorośl religijna zagraniczna do Polski zaniesiona przyjęła się najprzód w miastach, a następnie poczęła się krzewić i w stanie szlacheckim.

Co do miast, to liczni emigranci niemieccy w połowie XV w. dali w nich początek żywiołowi, który względem reformacji tyle się zasłużył; jak zaś wpływowi między nimi byli, dość wspomnieć imiona: Reinforta, Bonera, Decyusza; w XVI zaś w. podobna rzecz się powtarza z Włochami, którzy w Krakowie osiedlają się w znaczniejszej liczbie. Mimo to skosmopolityzowanie krakusowego grodu nie może nawet iść w porównanie ze zniemczeniem miast innych, bardziej na zachód wysuniętych, gdzie Krzyżacy wytrwale a systematycznie grunt dla siebie uprawiali, n. p. Gdańsk, Toruń, Elbląg, Poznań, Wrocław — cała ziemia warmińska i wielkopolska. Miejscowości te szczegółowo autor opisuje; co się tyczy zaburzeń, jakie nowa nauka sobą wywoływała; poczem zastanawia się dokładnie nad sekularyzacją mistrza Alberta, którą uważa za najważniejszy fakt swego czasu, fakt rozstrzygający nietylko dla reformacji ale dla całej dalszej przyszłości Polski. O ile ze strony Alberta polityczna kombinacja, aby sekularyzując siebie i Prusy, jako lennik świecki złożyć hołd królowi polskiemu, zawrzeć z nim pokój, równocześnie przyjąć luteranizm, ożenić się i na tych nowych podstawach nowy byt rozpocząć — była najlepszym sposobem wyjścia z ówczesnej jego sytuacji, o tyle postępowanie w tej sprawie Zygmunta i senatu jest tak ze stanowiska moralności jak polityki absolutnie godnem potępienia. Fatalną decyzję prawdopodobnie przypisać należy intrydze Krzysztofa Szydłowieckiego, kanclerza wiel. koronnego; nadto niechęci do wojny, względom na siostrzeńca królewskiego, interwencji zagranicznych posłów w nadziei, iż przyjęciem propozycji Alberta położy się koniec ostateczny zawikłaniom z zakonem krzyżackim, tyle lat Polskę dręczącym. Wślad za Albertem poszedł niebawem mistrz inflancki ze swoim zakonem — tworząc tym sposobem drugi akt dziejowej komedji, która atoli tak smutnie się zakończyła...

Hołd pruski wpłynął na chwilowe a niepomyślne dla reformatorów zakończenie herezji gdańskich, dopiero atoli sejm piotrkowski r. 1525, zająwszy się niemi gorliwiej uchwalił podróż króla do Gdańska; swą to powagą i władzą miał król osobiście przywrócić tam ład i spokój religijny. Rezultatem prawdziwym było, że ruch reformatorski w całych prawie Prusach królewskich przycichł, nie został jednak stłumionym zupełnie, tem mniej wykorzenionym; a i ten skutek zawdzięczano „ordynacjom królewskim“ dla Prus i Gdańska, które miały na celu dać przewagę żywiołowi szlacheckiemu, uprzywilejowując go różnemi prawami i określając porządek sejmikowania. Z r. 1548 tj. z przybyciem do Prus braci czeskich — reformacja w Prusiech rozpoczyna swój nowy perjod.

Wciskając się do Polski zakładała reformacja na swej drodze jakby główne stacje, ogniska. Takiemi były kolejno przedewszystkiem Gdańsk, Poznań i Kraków. Przedmieście zaś niejako dla miast polskich ze względu na reformacyjne prądy był Szlązk. Jeżeli się zważy, że kraj to rozdarty wówczas między wielu książąt, z których niejeden przejęty duchem Lutra; że władza królewska niezwykle osłabła a miasta używały pełnej autonomii, — nie trudno dać wiarę, iż Szlązk dla protestantów przedstawiał się jako jeden z najłatwiejszych łupów. To też predykanci w mig go zalali nowemi zdaniami i wyobrażeniami, a ze szkoły w Goldbergu wychodzić poczęli najwięksi propagatorowie we własnej ojczyźnie przekonań Lutra i Melanchtona. Z drugiej strony jako najbardziej na zachód wysunięty, ze wszystkich części Polski najbardziej też na wpływ niemieczyzny idących z Niemiec nowości narażoną była Wielkopolska; zaraz w początkach uległa tu reformacji głównie szlachta a mianowicie familia Górków, Tomickich, Bnińskich i innych. W ogóle uwagi godnem, że luteranizm w tych kołach nigdy nie był popularnym; stale utrzymywał się on tylko między mieszczaństwem; inne sfery nęcił ku sobie bądź kalwinizm bądź wyznanie braci czeskich.

W Krakowie ślady reformacii znajdujemy już w r. 1520, żaden heretyk nie ominął tego ruchliwego, ludnego, granicznego miasta. Do rozszerzania się nowej wiary najwięcej się przyczyniał znany Justus Decjusz później jego synowie i Bonerowie; że zaś takowa się szerzyła świadczą liczne dziełka katolickie przeciw Lutrowi pisane i wyraźne procesy o herezją. Z nich okazuje się, że głównego dla reformacji kontyngensu dostarczali w Krakowie z początku rzemieślnicy Niemcy. Dopiero jednak od r. 1565 stan religijny i moralny dyecezji krakowskiej pozwala nam lepiej wglądnąć w jej stosunki religijne. Oprócz wspomnianych wyżej trudno innych wszystkich krzewicieli reformacji w Krakowie dokładnie podać, gdyż przeważnie agitacja była prowadzoną skrycie, w prywatnych rozmowach i zebraniach. Do najgorzej tu jednak zasłużonych należeli mnisi apostaci z zakonu Franciszkanów; szczególniej odbijają oni przy Dominikanach, którzy podówczas mogli być wzorem zakonu. W tem miejscu autor charakteryzuje Franciszka Lismanina, Jana Trzycieskiego, Jakóba Przyłuskiego i Modrzewskiego. Jedno z dzieł Przyłuskiego podnosi jako mierny obraz ówczesnych reformatorskich pragnień i zamiarów, Modrzewskiego zaś uważa za zwolennika kościoła powszechnego na podstawie wyłącznie demokratycznej. Chciałby on wybory hierarchiczne widzieć w rękach ludu i jako najwyższą władzę duchowno-świeckie koncylium; słowem Modrzewski to utopista na punkcie jakiejś idealnej rzeczypospolitej i tylko utopista reformatorski, ale nie luter, nie kalwin, nie członek jakiejkolwiek innej sekty. Wymienieni wraz z kilku innymi stanowili jądro reformacji w Małopolsce; z niego nowe prądy wcisnęły się do naszych kół szlacheckich, w których atoli przeważnie występuje wyznanie kalwińskie. Przypisać to należy temu, że kalwinizm pochodził z Francji, nie zaś z nienawistnych Niemiec; że w samej naturze swojej był potężniejszym; surowość zewnętrzna, ściślejsza organizacja gmin, wolne od form nabożeństwo, wreszcie „fatalizm“ owa charakterystyczna cecha nauki Kalwina — budziły ku niej pewien odrębny pociąg.

Inauguratorem kalwinizmu w Wielkopolsce był Andrzej Prażmowski, a kościół w Radziejowie pierwszą w Polsce akatolicką organizacją kościelną.

Zastanawiając się nad sposobem, w jaki różnowierstwo między szlachtą się rozchodziło, za jedną z głównych motorów w tym kierunku, motorów, który torował reformacji drogę i zyskiwał dla niej zwolenników, było ogłoszenie wolności rozumowania i dyskusji w przedmiotach wiary. Woda to była na młyn ogólny. Wszyscy rzucili się, aby z otworzonej krynicy ko-

rzystać, wszystko się znalazło, oprócz — przekonania. Brak jego i brak teologicznego przygotowania, namiętność a lekkomyślność z jaką dysputy zaczęto prowadzić — wytworzyły masę wspólnych wyznań, z których jedne niebawem drugie wypierały.

Zewnętrznie pchali do herezji liczni agitatorowie, liczne pisma i odezwy, nakoniec wracająca z obcych krajów młódź polska. Najgłówniejszym jednak wynikiem w tym względzie okazali się możnowładcy; im tylko zawdzięcza herezja, iż doszła do potęgi politycznego znaczenia. Pochlebiała ona bowiem ich dumie, wyzwalała z wszelkich więzów. Na podstawie aktów urzędowych, biskupich, konsystorjalnych, kapitulnych i wizyt biskupich przechodzi autor po kolei koryfeuszów i patronów różnowierstwa w Małopolsce i innych kraju częściach — jakoteż główne miejsca, z których się herezja rozchodziła. Między Zborowskimi, Myszkowskimi, Bonczami, Oleśnickimi, Stadnickimi znajdujemy i Mikołaja Reja z Nagłowic, jako jednego z najwcześniejszych u najczynniejszych reformatorów szlacheckich. Zrobiła zaś go takim atmosfera duchowa na dworze Tęczyńskiego, mimo że wszelkie inne okoliczności wcale temu nie sprzyjały. Następne przebywanie u boku Sieniawskiego jeszcze bardziej utwierdziło Reja w heretyckich błędach. Osobiste jego jednak i towarzyskie przymioty tak go czyniły popularnym, iż poznanie zapatrywań religijnych Reja prowadzi nas wprost do koła zapatrywań, jakie podówczas krążyły między szlachtą. Reja odstępstwo należy policzyć przedewszystkiem na karb przekonania że można być religijnym, wyłączając się z kościoła; następnie na jego zajatrzenie się przeciw kościołowi, czyli na zaślepienie chwilowe. Gdy uczucie to niebawem minęło, przejrzał Rej prawdziwe nowej nauki owoce i wyrwał się z jej objęć. W Wielkiej Polsce występuje jeden tylko reformator Jan Łaski, natomiast jakby dla powiększenia zamieszania zjawia się tamże w r. 1548 nowy zastęp ludzi odznaczający się dobrą organizacją i karnością: bracia czescy. Przechodzili oni ze względu na powodzenie różne koleje, stosunki świeckie w pierwszej chwili dla nich bardzo pomyślne zmieniały się w miarę protekcji naczelnego ziem generała. Szerzyli się jednak ciągle, bo ich osłaniały skrzydła możnych panów, w pierwszym rzędzie Jakóba Ostroroga; dowodem tego liczne zbory.

Co do innych dzielnic Polski, w żadnej reformacji tak się nie powiodło jak na Mazowszu. Przywiązanie do wiary, stałość przekonań, karność i posłuszeństwo wyróżniały szlachtę mazowiecką i ochraniały ją od przesiąknięcia religijnemi nowościami. Ledwie się bowiem takowe pojawiły, ogólny zjazd szlachty i obywatelstwa miejskiego w Warszawie r. 1525 zniszczył ich postępy raz na zawsze. Odmiennie się działo na Litwie, gdzie nie tylko skosmopolityzowane mieszczaństwo ale i szlachta, zwłaszcza odkąd Prusy książęce a później Inflanty przyjęły protestantyzm ku reformacji się skłaniały. Pierwszymi tu apostołami byli Stanisław Rapegalan i Abraham Kulwa. Ich działania wywołały groźne edykta królewskie, które jednak z braku sprężystości u władz, nie okazały się skuteczne, tem mniej gdy rządy objął Zygmunt August. O jego usposobieniu religijnem i chwiejności charakteru wiele i różnie pisano. Przyczyny szukać należy z początku w wychowaniu, później w polityce. Dworskie z cudzoziemców otoczenia, długie towarzystwo Lismanina, zażyłość z Radziwiłłami przygasały w młodym królewiczu katolickie uczucia, a natura wewnętrzna nie miała w sobie opornego żywiołu; dlatego część winy spocząć musi na tej naturze refleksyjnej, biernej, marzycielskiej, zwłaszcza ze względu na pierwsze lata rządów Zygmunta Augusta. Dusza jego jakby podzielona była między wiarą ojców a nową i rozdział ten raz dopuszczony już się tylko potęgował tak że z czasem zrobił z króla patrona różnowierstwa. Obok niego na litewskiej widowni stają dwaj potężni pomocnicy, założyciele późniejszej wielkości jednego z najpotężniejszych rodów: Czarny i Rudy Radziwiłłowie. Apostazją ich łatwo wytłumaczyć. Pierwszy mianowicie marzył o opanowaniu samowładnem Litwy: trzeba więc było najpierw oderwać ją od Polski czyli rozerwać najsilniejszą między niemi spójnię: katolicyzm, a najlepszą po temu sposobność dawała reformacja. Jej się więc chwycił a jeśli ambitnych swych celów nie osiągnął, tem więcej pomógł żywiołowi, który miał być dlań środkiem. Za Radziwiłłem bowiem poszła w heretyków cała szlachta, za nią mieszczanie, a gdy jeden lud prosty trwał w swej wierze i tego powoli zmuszono do odwiedzania zborów helweckich, tak iż od powszechnej apostazji ledwie tysiączna część katolików pozostała wolną.

Powiedzieliśmy już dawniej, że wielkie miasta były zarazem głównemi ogniskami reformacji, miała ona jednak jeszcze wiele pomniejszych siedlisk w całym kraju, mianowicie: szkoły protestanckie. Wszystkie one trwały niedługo jużto z powodu braku potrzebnych funduszów już, z powodu ogólnego powrotu społeczeństwa na łono katolicyzmu. Wzorem tych szkół była pinczowske założona r. 1552 przez Mikołaja Oleśnickiego. Od r. 1560 jednak Pinczów przetwarzał się w gniazdo organizmu a w r. 1586 przeszedł zupełnie w ręce katolickie. Tylko o tej szkole z województwa krakowskiego pozostały pewniejsze i bliższe dane. Natomiast szerzej autor traktuje pod tym względem Lubelskie, Ruś, Wielkopolskę, Prusy królewskie i Litwę.

W szkołach tych główny nacisk łożono na słuchanie kazań i tendencyjną propagandę, czyli takowe były wyznaniowe; nie w tem jednak zło polegało ale w tem, że wyznanie to było błędne, bo zaszczepiało nienawiść do wiary ojców, wprowadzało rozterkę w narodzie; ta zaś niezgoda i nienawiść religijna należą do głównych przyczyn późniejszego rozprzężenia i upadku kraju. Ducha narodowego wypierał duch szkół protestackich obcy, kosmopolityczny, sekciarski; strata to była zbyt wielka, by ją nagrodzić mogły szkół tych zalety t. j. pedagogiczne i naukowe uzdolnienie nauczycieli, dobra metoda, szczepienie ogólnej oświaty i duch emulacji, który nawet przyczynił się do rozwoju naukowych zakładów; katolickich. Takowe zaprowadzono u nas wraz z chrześciaństwem, a dzielono na katedralne, parochialne i zakonne; później powstają parafialne miejskie i farne. Od 15 w. nowe wielkie światło rozlewa się po całym kraju — jako gwiazda zaczyna świecić akademia krakowska. Jeżeli w następnym wieku blask jej przyćmiony, wielka część winy na reformacji. Zastój pod względem działalności wewnętrznej a rozprzężenie wewnętrznych stosunków wymagały koniecznej zmiany, lecz odkładano ją ze świadomością, tak trudno było w ówczesnym gronie naukowem rozerwać prawowiernych i heretyków. Natomiast niższe instytucje szkolne wznoszą się i mnożą; to też nie dla braku takowych, ale dla utwierdzenia swego wyznania protestanci zakładają nowe lub istniejące na swoje zamieniają. Szkoły zresztą powstawały dopiero obok zborów; dla powstania zboru bowiem dość było wygnać plebana a kościół wraz z plebańskim uposażeniem oddać ministrom. Od r. 1551 — 1565 zbory takie ustawicznie się mnożą. Mówiąc o sprofanowanych kościołach polemizuje Bukowski z Łukaszewiczem i w konkluzji podaje ich liczbę wraz ze zborami we wieku XVI w Małopolsce na 490 w całej zaś Polsce i Litwie na 1200. Co zaś do zborów, liczbę ich podaną przez

Łukaszewicza we Wielkópolsce zdaniem Bukowskiego należy potroić a w Litwie podwoić.

Reasumując rezultata usiłowań wodzów reformacji, jeżeli ich zamiary zprotestantyzowania Polski były więcej pozornie zastraszającemi jak zgubnemi w istocie, to wpływ natomiast polityczny, religijny, umysłowy i społeczny był i pozostał ogromnym — chwytali się jej bowiem przedewszystkiem ludzie namiętni a potężni; chwytali się żywiołu kryjącego w sobie nasiona głębokiego przewrotu. Nadto jak w całym pochodzie ludzkości, tak i w rozszerzeniu się reformacji potężnym się okazał ogniskiem w y n a l a z e k d r u k u. W obszernie i dokładnie opracowanym rozdziele kreśli Bukowski historję drukarń w Polsce dyssydenckich, zastanawia się nad importowanemi do Polski dziełami protestanckiemi, i nad ich stosunkiem do pism ze strony katolickiej. Był on dla reformacji wcale korzystnym a zmienił się w przeciwny dopiero w r. 1564 z przybyciem do Polski Jezuitów. Inne środki zaradcze, (u nas, gdzie zawsze wszystko stało nie tyle prawami ile osobami), — zależały od ludzi, którzy instytucjami krajowemi kierowali. Gdy zaś reformacja zaczepiła nietylko prawa ale całe stanowisko religii katolickiej w Polsce, podjęcie rzuconej przez reformację rękowicy należało do przedstawicieli kościoła biskupów. Z zadania tego różni różnie się wywiązali; to jednak pewna że pierwsze przeciw herezji zapory wyszły z inicjatywy ś w i e c k i e j, za niemi dopiero wślad postąpiły władze duchowne. O działalności ich dają wyobrażenie sylwetki Łaskiego, Drzewickiego, Tomickiego i Krzyckiego nader starannie, trafnie a bezstronnie wykonane. Następcy wymienionych nie mają już ani dostatecznej siły charakteru, ani poczucia głębszego własnych obowiązków, powagi, godności, jak to Bukowski udowadnia na Latalskim, Gamracie i Maciejowskim. Wziąwszy zaś cały stan duchowieństwa naszego w porównaniu z zagranicznem, znaleść można w takiej paralleli niejeden motyw dla nas usprawiedliwiający; ostatecznym zaś wynikiem, że jeśli wedle takiego n. p. pamiętnika Ostroroga na brak dowodów na strony ujemne, to zarazem nie dadzą się zaprzeczyć i wielkie cnoty w ówczesnym klerze polskim, szczególniej zważywszy na brak kościelnej autonomii w Polsce; szlachta bowiem materjalne kościoła dobra zupełnie wyzyskiwała, uważając je za środki dla zabezpieczenia siebie i swoich rodzin. Cały stan moralny jaki powstał w Polsce w następstwie samej tylko reformacji okazał, że w rezultacie swoim była reformacja gorszem złem od tego, który leczyć zamierzały, a jeśli u nas to nie tak widocznem, przyczyna jasna; bo u nas ani głęboko się zakorzenić ani powszechnie przyjąć herezja nie zdołała. Mimo to chociaż w mniejszym, niż gdzieindziej stopniu, i w Polsce nastąpiło w połowie 16 w. r o z p r z ę ż e n i e r e l i g i j n e a za nim r o z p a s a n i e m o r a l n e. Na podstawie świadectw Górskiego, Nowopolskiego i Górnickiego opisuje nasz autor zepsucie ówczesnej młodzieży, bezsilność praw, korupcja w wychowaniu domowem, i stosunkach społecznych; czego źródła zdaniem cytowanych pisarzy szukać należy w rozumowaniu teologicznem niekompetentnych, obalenie powagi i tradycji kościelnej, słowem herezji. Wiele z wyliczonego złego prawie dawno już istniało, ale niesłychany wzrost ogólnej k o r r u p c j i społecznej datuje się od chwili, gdy reformacja podmuliła grunt polskich obyczajów. Dlatego zgubnym tylko uznać można reformacją czynnikiem w dziejach ludzkości, ilekroć ona jak w Polsce na tak zgubnych opierała się podwalinach, jak s ł a b o ś ć duchowieństwa i panującego a s w y w o l a w głównym społeczeństwa korpusie...

Taki materjał objął ks. Bukowski swojej pracy tomem pierwszym. Przedmiot jej tego jest rodzaju, iż dopiero o całości będzie można wydać sąd ścisły, wyraźny i dokładny. Wiele braków, których dotychczas dostrzedz nie trudno, autor wskutek n i e z b y t s y s t e m a t y c z n e j formy swego dzieła, będzie w stanie zapewne nagrodzić w dalszym ciągu. Mamy tu na myśli książki stronę ściśle wewnętrzną; bo cenzura naukowej krytyki nie przepuści jej do wyborowej historyografii bez zmian licznych. Fejletonowy charakter niniejszego referatu uwalnia nas od podobnie żmudnego trzebienia. Wykonawszy bowiem do drobnych rysów staranną olbrzymiego płótna miniaturę, czujemy się w obowiązku jeszcze tylko podać ogólną charakterystykę oryginału, o ile takowe musi na siebie zwrócić uwagę baczniejszego czytelnika.

Poczytności dzieła ks. Bukowskiego przedewszystkiem szkodzi jego ciężka, jednostajna f o r m a jego styl w obec dzisiejszego prawdziwie archaistyczny. Autor wytrwale pojedyncze rozdziały rekapituluje, nie zważając że jak każda metoda podobnie i ta scholastyczna wymaga nadzwyczaj umiejętnej miary w swem stósowaniu. To też gdy gdzieindziej wytwarza ona powien szematyczny wątek, w „Dziejach reformacji" właśnie rwie c i ą g ł o ś ć opowiadania. Przyczyniają się do tego również falangi przeróżnych d r o b n o s t e k, które co kilka stronnic spotykać się dają, chociaż z rdzeniem sprawy żadne je nerwy nie łączą. Niemniej psują harmonie towarzyszące im długie i liczne r o d o w o d y, mimo, że czytelnik to wszystko znaleść może w dołączonych genealogicznych tablicach. Wogóle brak dziełu tej w e r w y, tej niejako b a r w y ż y w o t n e j, która mimo niewdzięcznej natury przedmiotu byłaby bardzo pożądaną, a jest możliwą, jak o tem świadczą kolumny pokrewnych prac historycznych najnowszej doby. Że autor widocznie z niemi mniej jest obeznany aniżeli z foliałami z lat dawno ubiegłych, potwierdza nadto n i e o b e c n o ś ć tak w spisie zużytych źródeł, jak w szeregach cytowanych in extenso materjałów pomocniczych p r a c tematowi autora n i e o b o j ę t n y c h Jarochowskiego, Lengnicha, Kraszewskiego, Hirszberga, Zakrzewskiego, Lorkiewicza i innych.

Natomiast co do ogólnego stanowiska na którem autor względem swego przedmiotu się utrzymuje, z jakiego traktuje wiele kwestji drażliwszych, jeśli zechcemy pamiętać o autora kapłańskiej godności — należy je uznać. Rzecz swoją i jej szczegóły umie rozpatrywać zasadniczo, przeważnie bezstronnie, i przedmiotowo, czyli: panuje nad żywiołami, które, jeśli komu to historykowi zwłaszcza winne być obce... Czy także bardzo mnioskowano konserwatywny ton dźwięczyć będzie w całej autora opowieści, twierdzić nie można ale można mieć nadzieję, gdyż taki właśnie w trzeciej części pierwszego tomu silniej brzmieć poczyna.

Naszem zaś zdaniem głównie od tego zależeć będzie powodzenie i korzyść naukowa z najnowszych „Dziejów reformacji..."

En.

ZIARNKA.

Naukowe pisma francuskie zajmują się obecnie gorąco pracami, które przedsiębrano na kongresie francuskiego stowarzyszania postępu nauk. (association française pour l'avancement des sciences). Stowarzyszenie to utworzone na wzór angielskiego B r i t i s h a s s o c i a t i o n składa się z kilkunastu sekcyj, a mianowicie: matematycznej, fizycznej, chemicznej, meteorologicznej, zoologicznej, botanicznej, geologicznej, geograficznej, ekonomicznej, inżynierskiej etc.

sekcji tych do r. 1880 tj. do kongresu w Reims było 15, w r. 1880 przybyła jeszcze pedagogiczna a obecnie jest proponowaną sekcya hygieny i medycyny. Liczba członków dochodzi do 3700, co zapewnia rocznie 60000 franków rocznego dochodu. Jakkolwiek wynik kongresu nie jest dokładnie znanym, ponieważ dotąd nie wydano sprawozdania, to jednak pewną jest rzeczą, że głównym przedmiotem zajmującym umysły członków tego kongresu był między innymi także odczyt prezydenta tegoż p. Fryderyka Passy (un coup d'eil sur l'histoire de l'economie politique) rzut oka na historję ekonomii politycznej. Sam tytuł wskazuje na treść odczytu, który był jednocześnie wstępnem przemówieniem kongresowem. Nie tu miejsce wdawać się w streszczenie tego odczytu, aniteż w ocenieniu go ze stanowiska nauki zanotujemy tylko że jest tam mowa o powstawaniu, o głównych momentach ekonomji politycznej. A celem jego jest wykazanie, że początek tej nauki istniał dawno przed Adamem Smitem i że nauka ta była wzniesiona rękami Francuzów.

Mniej ważną dla nas pracą tego kongresu jest projekt p. Bouquet de la Grye: Paris port de mer. Jakkolwiek przyznać trzeba, że projekt ten mający na celu utworzenie z Paryża morskiej przystani jest dziełem ekonomicznej wagi. Z pomiędzy innych prac kongresu zasługują na uwagę: O zjawiskach atawizmu w socyologii i o ekonomicznych kryzysach.

* * *

Już donosiliśmy naszym czytelnikom o przekładzie „Uskoków“ T. T. Jeża na czeski i niemiecki język i o sympatycznem przyjęciu tej publikacji przez prasy niemiecką i czeską. Obecnie mamy do zanotowania że p. Prohaska drukarz w Cieszynie i wydawca Biblioteki salonowej układa się z Jeżem o prawo pomieszczenia w tej bibliotecze kilku prac jubilata i że prawdopodobnie będzie drukować „Szandora Kowacza“ lub „Ofiary“. Tłumaczenia ma dokonać p. Lipiner, który tłumaczył „Pana Tadeusza“. Także niemieckie pisma poważniejsze zajmują się skrzętnie pracami naszego pisarza, a między innemi Gegenwart zamieścił niedawno ocenę działalności jubilata.

* * *

Nakładem „Kasy pomocy naukowej im. Dra. Mianowskiego“ w Warszawie okazały się niedawno sprawozdania z piśmiennictwa naukowego polskiego w dziedzinie nauk matematycznych i przyrodniczych. (Rok I. 1882)

Dziełko to dlatego nas zajmuje ponieważ obejmuje obraz ruchu pisarzy polskich pod berłem rossyjskiem zostających w naukach ścisłych. Trzynastu pracowników na polu tych umiejętności ułożyło 259 referatów mniej lub wiecej wyczerpujących, z 267 osobnych książek lub prac naukowych, pomieszczonych w 38 czasopismach specyalnych. Na prace te złożyło się 159 autorów. Cyfry te dotyczą nauk teoretycznych, a zatem matematycznych fizycznych i biologicznych umiejętności; prócz tego podano w „Sprawozdaniach“ bibljografję prac, które w naukach medycznych, techniczych i agronomicznych w r. 1882 wydrukowane zostały. Prac tych było 368, z pomiędzy których 172 przypada na nauki lekarskie, 73 na techniczne, wreszcie 123 na agronomiczne, leśnicze i ogrodnicze.

W przedmowie, która pod wielu względami zasługuje na uwagę, redakcya „Sprawozdań“, zapowiadając peryodyczne (doroczne) ich ukazywanie się, wypowiada swój pogląd na sposób prowadzenia tego wydawnictwa, oraz wyłuszcza cel, który niem osiągnąć zamierza i motywy, które ją do podjęcia tej pracy skłoniły.

Nie możemy wcale wdawać się na tem miejscu w szczegółową ocenę temu pierwszego „Sprawozdania“, która do naszych pism specyalnych należy i niewątpliwie w nich znajdzie pomieszczenie. Możemy tu tylko zwrócić uwagę na pożyteczny cel, który wydawnictwu temu przewodniczy, cel przyczynienia się do rozwoju i postępów wiedzy polskiej. Dążenie to może i powinno interesować każdego, kto, choć nie jest specyalistą w naukach ścisłych, umie cenić wiedzę i wie, że naród, który może się poszczycić wysoce rozwiniętą umiejętnością, już tem samem składa dowody swej niezaprzeczonej żywotności.

Czcigodny nestor pisarzy naszych J. I. Kraszewski, pisząc w „Kłosach“ o książce która nas w tej chwili zajmuje, rzuca myśl wydawania analogicznych roczników, przedstawiających postępy umiejętności historycznych, dokonywane u nas. Myśl tę szczęśliwą popieramy szczerze i żywimy nadzieję, że znajdzie się kółko młodych historyków, którzy przyrodników i matematyków naszych w ich pożytecznej pracy naśladować zechcą.

Powracając do książki, nauki ścisłe za przedmiot mającej, życzyć jej możemy tylko szerokiego rozpowszechnienia i powodzenia wśród naszego ogółu. Należy jej się ono nietylko za staranność, z jaką ułożona i wydaną została (zewnętrzna strona przedstawia się okazale), lecz i za cel, wielce dla nas sympatyczny. W obec tego, że wydawnictwa naukowe są u nas rzadkością, inteligencya nasza ma obowiązek popierania prac i wysiłków ich autorów, szczególniej gdy, jak w danym wypadku, chodzi o wydawnictwa peryodyczne, przy których wyjście każdego kolejnego tomu jest zwykle zależnem od powodzenia jego poprzednich. Miejmy jednak nadzieję, że „Sprawozdania“ dzięki interesowi, jaki przedstawiają dla naszych pracowników naukowych, dla lekarza, technika i agronome wreszcie dla każdego inteligentnego polaka znajdą sobie drogę do życzliwości ogółu.

Wreszcie dodajmy, że o ile nam wiadomo, myśl wydania „Sprawozdań“ powstała i rozwinęła się w Petersburgu.

ZAPISKI.

Literatura.

* Bliziński nadesłał dyrekcji teatru krakowskiego nową 1. aktową komedyę p. t. Ciotka na wydaniu.

* Nowy utwor Wiktora Hugo „L' Archipel de la Manche“ wydany został świeżo w Paryżu w księgarni Calmana Levy.

Teatr i muzyka.

* Muzeum narodowe w Krakowie otrzymało w darze od p. z hr Szembeków Czaykowskiej puszkę srebrną z medalem Sobieskiego i pamiątkowemi napisami, jako pamiątkę tegorocznej wystawy zabytków z epoki króla Jana III.

* Stowarzyszenie „Felix maritis“ w Amsterdamie, poświęcone popularyzowaniu muzyki powszechnej przeznacza jeden z koncertów jesiennych na zapoznanie Holendrów z utworami Moniuszki, Żeleńskiego i innych autorów polskich.

Sztuki piękne.

* Lenartowicz zajęty jest obecnie rzeźbieniem grupy p. t. „Parnas polski“. Parnasowi króluje Mickiewicz, w około niego ugrupowani są Brodziński, Zaleski, Pol, Słowacki, Krasiński, Goszczyński.

* W Samarkandzie, głównem mieście prowincji Saraffszan, w centralnej Azji, gdzie znajdują się liczne wspaniałe pomniki z czasów Timura, który tam panował od r. 1369 — 1405, rozpoczęto d. 23 z. m. rozkopywania w celach archeologicznych pod kierownictwem podpułkownika Krestowskiego.

Treść.

W. J. Wdowiszewski: Nikogo nie kochał, (c. d.)
Eu: Z dziejów całusa, (wiersz).
J. N.: Badania Skandynawczyków.
F. S: Zasada celowości. (C. d.)
Sprawozdanie z obrad pierwszego Zjazdu literatów i artystów. (C. d.)
Przegląd teatralny.
Przegląd literacki. (Dokończenie.)
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“ pod zarządem Leona Zubalewicza.

Nr. 40. We Lwowie dnia 17. listopada 1883. Rok II.

ZIARNO

TYGODNIK LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

Wydawca: Bolesław Spausta. Redaktor odpowiedz.: Bolesław Czerwieński.

Prenumerata na „Ziarno"
W miejscu rocznie 12 zł. na prowincji 13 zł.
„ kwartalnie 3 „ „ 3 „ 25 ct.
„ miesięcznie 1 „ 10 ct. „ 1 „ 15 ct.

Wychodzi co sobotę w objętości 1½ arkusza. Adres redakcji i administracji „Drukarnia Dziennika Polskiego" Lwów, ul. Halicka l. 46.
INSERATY będą przyjmowane za opłatą 5 cnt. od wiersza druku petitem

Mgła.

humoreska

przez

M. G.

W świecie — który, jak mówią — nazywa się zabity deskami, winien panować spokój; dzieje się jednak zwykle przeciwnie. Plotko i niezgodo! ty tylko nigdy nie zabiła — choćby nawet i deskami — wyściubiasz wszędy nos swój, węszący fałszywie.

Była tedy wioska górska, odgrodzona od świata wcale niegrzeczną rzeką i jeszcze mniej delikatną drogą, która o wiele więcej podobną była do niezdobytych fortec, niż do środka komunikacji człowieczej. Przyzwyczajenie jest jednak drugą naturą, i świat ten, deskami zabity, drzémał spokojnie.

Jeżeli jednak, według zdania króla Filipa, niema tak silnej fortecy, by osieł, obładowany złotem, wejść tam nie mógł, to znowu niema tak złej drogi, ażeby jej nie przebył inspektor podatkowy, który właśnie po masie uderzeń o kamień, przechyleń strasznych i prawie wywrocie, zdołał dostać się do dworu, gdzie w niedługą chwilę widzimy go, grającego w preferansa z gospodarzem i sąsiadem, przybyłym konno.

„Fatalnie" — mówił sąsiad, patrząc na inspektora — „Żyto porosło do szczętu, owies zgnił w polu, — i z czegoż tu płacić podatki?"

„Co tam u ciebie!" — odpowie gospodarz „Ty masz przynajmniej spokój z gromadą i ze starym proboszczem, ale ja!.., to niech djabli!... ani wytrzymać!... Chłopów mi mój ksiądz buntuje, szkody mi w polu robi — moskal! Teraz zachciało mu się drogą moją pędzić bydło — ale niedoczekanie jego! — Nie dam na piędź własności mojej urwać, nie pozwolę!" — i zaczął zapalać się, jak gdyby mu kto oponował, zakończył zaś groźbą, że jak ksiądz poważy się jeszcze raz tamtędy woły pędzić, niechybnie do dworu zagrabić je każe.

Urzędnik na wzmiankę wołów połknął ślinkę i rzekł „Oj, gdzież tam u nas w mieście prawdziwej wołowiny! — mięso co raz drożeje, a liche — i jarzyn nawet trudno się dokupić.

Gospodarz, mając w domu tłuste kapłony, ani domyślił się smutnego stanu żołądków małomiejskich. Wrócił się zaraz do szkód, wyrządzonych mu przez księdza, podczas gdy sąsiad podnosił okoliczności klęski zbożowej i podniecony znaną żyłką szlachecką, wyciągał do góry szyję, aby się przyjrzeć przez okno kręcącym się to w tę, to w ową stronę młodym dziewczętom wiejskim, na które wnet rozmowa wszedłszy z widoczną delektacją wiedziona, szkody polne i klęski zbożow wyrugowała a szlachcice, znalaźlszy się w swoim żywiole, ani zważali na ciekawe szczegóły opowiadań urzędnika o zastępstwie świeżego masła przez smalec, co miało się u nich praktykować w restauracjach.

Nakryto do kawy. Gospodarz zabawiał gości opowieścią wypadku z lat dawnych, kiedy to on, jadąc ze szkół, gdzieś na drodze o mało przez pijanych chłopów obitym nie został.

Po kawie wydobyto papiery i nasz gospodarz, dawszy pod sekwestr za podatki swoje bydełko, wyprowadził aż na dwór urzędnika, żegnając go czule: poczem zostawszy sami, udali się nasi dwaj sąsiedzi do dziewcząt na niewinne żarciki i komplementa, manifestujące się przez szczypanie dorodnych lic i wydatnych kształtów.

Tegoż dnia rozgrywała się na plebanji partja wista; ośm nóg w palonych butach kłębiło się pod stolikiem; proboszczowie sapali i czyścili palcem cygarniczki, co w niedługą chwilę uczyniło podłogę do miejsca czyszczenia maszyn podobną.

Czterech proboszczów ani na chwilę nie oderwało się od swego zajęcia i tylko strofowania za stracone lewy i procedura o miane honory, bo któremuś zawsze się zdawało, że miał dyskę — huczały burzą w trzecim aż pokoju słyszaną, a dopiero przy kolacji, przy gęsi pieczonej i kapuście ze sło-

nina i piwku szumiącem, zaczęto mówić o polityce, o nieznośnym laszym ucisku.

„Strasznie się dzieje, ucisk się zwiększa, mają nam podobno okroić dochody przy wykupnie mesznego, a jak słyszałem, i szkoły chcą nam narzucić, aby je gwiazdem polonizmu uczynić" rzekł ksiądz młody.

„Ucisk, bo ucisk nieznośny!" dodał gospodarz — „Ot na przykład, co ze mną wyprawia nasz dziedzic: Drogą mi nawet nie dał bydła przepędzić, jak gdyby mu jej ubyło. Chłopów buntuje i patrzcie! do czego przyszło; nie uwierzycie! Jeden chłop groził mi ślubem cywilnym, a za metrykę nędznej piątki dać nie chciał, wywodząc jakiś patenta. Wypadło chyba na twarz ów patent mu przylepić, ależ ten dziedzic! on by się pewno w to wmięszał!" Tu cztery westchnienia zawtórowało tym srogim laszym wybrykom.

„I cóż mu szkodzi, że biorę od tych, co dają?" — ciągnął dalej gospodarz — „albo, że pędzę jego drogą? To już złość wyrafinowana, a co najgorzej, że niema na to lekarstwa. Przecież nie chwycę za strzelbę i nie popędzę bydła przebojem".

To mówiąc, chwycił za zardzewiałą strzelbinę, wiszącą na kołku, zdatną zapewne do wszystkiego innego, tylko nie do strzelania, a nią fechtując dowodził, że iść przebojem nie może.

Był jednak między nimi jeden ksiądz stary, którego wist o wiele więcej obchodził, niż wszystkie uciski lasze i ten miał zwyczaj zakończać zwykle za długie dla niego siedzenie przy stole żegnaniem się trzy razy z wielkim patosem, w trakcie zaś niesienia trzeciego razu ręki do czoła, dodawał: „No, chodźmy skończyć robra!" Użyty więc i teraz ten środek zaprowadził całą kwestję ruską przed zielony stolik, gdzie już wszelka dyskusja w tej materji stawała się niemożliwą, bo ksiądz stary nie lubiał niewłaściwych rzeczy do gry mieszać i jakkolwiek sam z hukiem straszliwym nieraz dowodził, że miał dyskę, do drugich zaś stosował niezbyt estetyczne przysłowie:

„Wisk — stul pysk"

Szła tedy gra późno w noc i aż dopiero około drugiej gospodarz wyprowadzał gości, żegnając ich czule, a kraina niedość, że zabita deskami, pokryta była jeszcze ciemnością i mgłą, wznoszącą się z nad rzeki.

Rano mgła opasywała góry i była niezwykle gęstą. Przy potoku stały dwie służące. Konewki napełnione były przy nich, a one gwarzyły zawzięcie. Każda z nich zwracała co chwila głowę w tył, jedna ku dworowi, druga ku plebanji mówiąc: „Aj! ja tu stoję, a tam krzyczeć będą, że tak długo bawię" I dalej coś rozprawiać, gestykulować i robić miny przerażające. Rozłączając się w końcu, jedna drugiej mówiła z przyciskiem: „Tylko nie powiedz nikomu i odchodziła z pośpiechem, podając w wielką wątpliwość dochowanie tego sekretu.

Istotnie ksiądz i dziedzic, wylegający się jeszcze pod ciepłemi kołdrami, zaalarmowani zostali przerażającemi doniesieniami: Do dziedzica (będącego starym kawalerem) wpadła kucharka z oznajmieniem, że dowiedziała się najpewniej o zamiarze księdza, najścia zbrojnie na czele swojego bydła terytorjum dworskiego. Opowiadała z wszystkiemi szczegółami, jak ksiądz nabijał i rychtował groźną strzelbę, i dziś, jak tylko opuści łóżko, zbrojny, na czele pastuchów będzie dobywał spornej drogi, co wyraźnie wczoraj przed gośćmi swymi zaprzysiągł.

Gdy się to działo we dworze, ksiądz, blady z oburzenia, dowiadywał się z ust wystraszonej żony o przygotowanym zamachu na jego osobę przez dziedzica z pomocą uproszonych chłopów.

„Obiecał napaść cię na dzodze" mówiła drżącym głosem „wyraźnie to wczoraj oświadczył wobec gości. Zaklinam cię, nie wychodź z domu, bo gotówi te pijanice posłuchać, a nie lubią cię trochę".

I lamentowała nad niebezpieczeństwem męża, bo gdzież przypuścić mogła, że to historja z przed lat kilkadziesięciu, opowiedziana gościom przez dziedzica, a podsłuchana przez służącą.

Wśród gęstej mgły przesuwają się postacie ludzkie, jak mary dążą ze dworu prosto na sporną drogę. Idzie dziedzic i sapie jak dzik ze złości — idą parobcy z drągami i cała ta kalwakata staje w postawie obronnej, dziedzic odwodzi kurki u strzelby i mówi: „Jak tylko strzelę na znak, wy dalej zabrać mu bydło co do nogi, ja go nauczę, a jeszcze tego potrzeba, aby na swojem nie być mi panem!"

To dzieje się na polu, a przed plebanię zajechała bryczka i czeka, rychło ksiądz wyjdzie i wsiądzie, aby się udać do cerkwi parafialnej na nabożeństwo. Żona zaklina go, by został; nie może jednak tego uczynić, bo msza zmarłych zamówiona i tak zwany „obiad t. j. prawdziwy obiad, gdzie ksiądz pokarm dusz cierpiących przez swój żołądek przeprowadzi, czem to wedle jego zdania zadowalniając się w zupełności z dodatkiem jednakże pary ze świeżo upieczonych bochenków, wznoszącej się ku niebu z pod ołtarza, gdzie wedle przepisu składane być mają. Ksiądz siada do bryczki, ale prawdę mówiąc, choć miną nadrabia i żonę uspokaja prawami gwarantującemi bezpieczeństwo na drogach, skóra mu się trzęsie, gdyż genialne te prawa nie mają jednakże mocy odlepiania otrzymanych razów. Ogląda się tedy z trwogą dokoła, a tu mgła, że ani zobacz, co się dzieje opodal.

Owego dnia był w poblizkiem miasteczku targ i arendarz miejscowy, handlujący także bydłem, skupiwszy nieco krów starych i jakieś byczki, chciał, korzystając z ranka i mgły, przepędzić je dworską drogą i polem dla oszczędzenia czasu. Gdy jednakże idzie z dobrą myślą i fantazuje przyszłe zyski, pada strzał, groźne: „Bij, łapaj, a nuże tego moskala!" rozlega się niedaleko i z pośród mgły wysuwają się postacie z drągami, wrzeszcząc i strasząc, suną prosto na przerażonego żydka.

Uciekać — mówi chłopskie przysłowie nigdy nie jest honorowo, ale zawsze korzystnie. Nie wiadomo, czy żyd miał czas zastanowić się nad tem przysłowiem i filozoficznie je rozebrać, uczynił jednak co najkorzystniej, t. j. nie zostawiając swojego bydełka nawrócił je w mgnieniu oka i tak dojechał batogiem swoim krowiętom, że zadarłszy ogony, jak strzała napowrót uciekać zaczęły po spadzistej drożynie.

Dworscy parobcy — prawdopodobnie i tak dopędzić go by zdołali, ale zapewne musi istnieć znów jakieś dobre przysłowie, radzące nie narażać się zbytnio; odważni ci zatem ludzie silniej krzyczeli, niż biegli.

Pozostał więc sam dziedzic ze swą czeladzią, rozczerwieniony jak burak, ale przez wieś pędziła bryczka, co koń wyskoczy, odskakując jak piłka od kamieni. To ksiądz, usłyszawszy strzał, wyrwał bat furmanowi, i nuż walić konięta. Byłby może nawrócił do domu, ale drogi górskie nie są nietylko do nawracania, ale rzadko do wymijania; uciekał tedy nadół drogą, wzdłuż potoka wiodącą. Czapka zaraz przy pierwszych podskokach bryczki opuściła głowę i kręcąc się płynęła potokiem — a on z rozwianym długim włosem, tłukł co raz silniej batem konięta, bo jakiś hałas i stukot się zbliżał. I nic dziwnego, bo żyd wyrachowawszy, że nie potrzeba, by dziedzic wiedział, że on chciał pędzić swe bydło przez dworskie pola, co tchu wślad księdza umykał.

Bryczki jednakże nie są nieśmiertelne, ani stworzone do wyścigów z przeszkodami, oś tedy pęka na dwoje i szalony wywrót ekwipażu zmusza księdza na chwilę do przybrania położenia naszych antipodów z

wielkiem uszczerbkiem ciemienia. Ksiądz jednak przytomny zrywa się i pędzi dalej pieszo, wdrapuje się na stromą ścieżkę, dobiega do drzwi wielkiej chaty i wbiega bez tchu do środka.

Gospodyni, młoda i piękna, sama była w izbie, ale czyż można żądać od księdza, aby jej piękność oceniał w tej chwili? by zważał na te wyszczerzone zęby bielutkie, na zgrabne nóżki i kręcone filutki?

„Ukryj mnie!“ zawołał tylko — „czemprędzej! bo pan pędzi za mną, aby mnie na miejscu zastrzelić!“ — i nie czekając, co powie, gramoli się na łóżko, nakrywając się pierzyną, podczas gdy bystra kobiecina bieże kądziel i siada na łóżku, maskując tem pobyt tego niezwykłego emigranta.

Drzwi od sieni skrzypły z hałasem i dają się słyszeć kroki, pierzyna trząść się zaczyna — a z pod niej dobywa się głos podobny do szczękania zębami. Do chaty wchodzi jednak tylko mąż pięknej i staje bezmyślnie na środku izby, ujrzawszy jednak ruchy pierzyny i niezwykłą jej wypukłość, zaciekawiony, uchyla jednego rogu, i ujrzawszy swego proboszcza, staje niemy z podziwienia i zgrozy — wreszcie skrobie się zwyczajem chłopskim w tył głowy i mówi: „Oj, jak ja ne lubiu, jak meni kto do żinku chodyt, o! ja tego ne choczu! Sytuacja staje się nadzwyczaj drażliwą i niejasną — bo trzeba wiedzieć, że pewnego razu ksiądz miał się wyrazić z wielkiemi pochwałami o piękności młodej Jewki, co natychmiast w sposób błyskawiczny doniesiono mężowi z dokładnością, nie ustępującą informacji, jaką mieli ksiądz i dziedzic o swem obopólnem działaniu. Ksiądz, wpadłszy tedy z deszczu pod rynnę, uciekł się, do swej wymowy, utrudzonej jednak obecnie drżeniem głosu, ale nie pomogło to wiele a chłop drapał się co raz silniej w głowę i chyba jedynie sukienka ochroniła proboszcza od scyzoryka, gdy mąż okiem pełnem złości wiódł za nim, kiedy chatę opuszczał jak zmyty; ale kiedy ksiądz okrążał wieś do koła, przedzierając się przez krzaki okoliczne, Jewka porządnie obita, umykała do matki swojej.

Ksiądz debrami i ścieżkami zbliżywszy się niezbyt daleko od plebanii, puścił się cwałem i wpadł do swego domu, zdyszany i odrapany, jak nie boskie stworzenie, a żona o mało nie odchorowała tego wypadku.

No i patrzcie się — mieszkańcy tego zabitego kraju, zamiast zająć się oświatą ludu ciemnego, co wierzy w parę, wznosząca się z ciepłego chleba, co wierzy w pokarm do księżego żołądka wprowadzony, jako pomocny duszy i zamiast wybudowania sobie dróg i życia w zgodzie na jednej grzędzie, podali do sądu dwie skargi, jedna oskarżała księdza o zbrojny napad na dworskie pola i drogi, a druga oskarżająca o napad rozbójniczy na publicznej drodze, wymierzona była przeciw dziedzicowi. Gdy ale lata całe potrzebaby prawdopodobnie czekać na ukończenie w sądach tej sprawy zawiłej — nie pozostaje mi nic innego, jak zakończyć tę relację z zabitego świata, który w obecnej chwili okazał tak wiele żywotności.

Zasada celowości
w przyrodzie
w obec dzisiejszej wiedzy

przez F. S.

(Dokończenie).

Jeżeli z przytoczonych tu przykładów widnieje jasno fakt istnienia urządzeń bądź wadliwych, bądź zupełnie pozbawionych własnego celu i przeznaczenia, to z drugiej strony nie brak i takich, gdzie całym rezultatem jest tylko szkoda przyniesiona ustrojowi. Tu należą w większej części wszystkie prawie procesa chorobowe, prowadzące do rozstroju i zaguby organizmu, jakkolwiekbyśmy zajmowali zapatrywania pewnej nowej szkoły medycznej, która wszelkie choroby uważa za naturalne procesa lecznicze, dążące do wyprowadzenia z ustroju czynników zdrowiu szkodliwych. Bo jakiż pożytek może mieć dla organizmu rak usadawiający się w żołądku lub tętniak aorty prowadzący do niechybnej śmierci, albo owe liczne monstrualności, z któremi ustrój nie rzadko już na świat przychodzi? Czyż to nie widoczna a gorżka ironia samej natury z tych, którzy jej przemocą narzucają jakąś niebiańską harmonią!

Dla dopełnienia obrazu pozwalam sobie z licznej grupy przykładów wydobyć jeden jeszcze i ostatni, z dziedziny patologii. Pouczy on nas, jak złudne i obosieczne są te t. z. cudowne naturalne procesa lecznicze ustroju. Mam tu na myśli fakt, nie ulegający wątpliwości, że ustrój na szkodliwości z zewnątrz działające reaguje najczęściej zapaleniem, a w razie zniszczenia części tkanek, używa produktów zapalnych do wynagrodzenia ubytku. I tak po sparzeniu partji skóry, skutkiem czego odpowiednia część ciała po utracie swej naturalnej okrywy narażoną by została na działanie szkodliwych czynników, rozwija się zapalenie, powstaje bąbel, części płynne wysięku zapalnego zostają wessane, ale stałe komórkowe rozwijają się dalej, przekształcają we włókna tkanki łącznej, a z tych formuje się nowa pokrywa mająca zastąpić ubytek. Proces ten, to gojenie, a rezultatem jego blizna, jako surrogat zdrowej fizyologicznej skóry. Na pozór nic doskonalszego nad to urządzenie. Ale sprawa wygląda nieco inaczej, kiedy uszkodzenie skóry będzie rozleglejsze, zajmie dajmy na to całą rękę po ramię. Gojenie i tu postępuje tym samym trybem, co wyżej — zapalenie, organizacja tkanki łącznej, blizna — ale jak odmienne będą następstwa!

Blizna się kurczy, ściąga, i wygina stawy, nie pozwalając już na żadne ruchy ręki — kończyna staje się bezużyteczną choremu. I tak urządzenie, które miało naprawić złe, sprowadziło wzamian drugie, a bez porównania w następstwach zgubniejsze. A cóż dopiero powiedzieć o tych wypadkach, gdzie drogą tegoż samego procesu przychodzi do zwężeń tchawicy, zaciśnień przewodu pokarmowego, słowem do przerwania funkcji narządów niezbędnych do życia, czego następstwem jest śmierć niechybna, kiedy bez zagojenia się, do którego cały proces dążył, życie przez czas dłuższy byłoby w ogóle jeszcze możliwe. Tu już, sądzę niepodobna mówić o żadnym planie rozumnym, o żadnym celu, żadnym obrachunku — przed oczyma staje żelazna konieczność ślepych sił przyrody, surowa bezwzględna potęga, stąpająca własnemi szlakami wysoko ponad ludzkiemi względami dobra, pożytku i celu. To jest przyroda... Gdyby grecką *„anagke“* przetłómaczyć na język nowoczesny, to nazwisko jej brzmieć będzie „przyroda“. Oba te pojęcia przykrywają się zupełnie.

To jest tak jasne, tak proste, z taką stanowczością wynikające ze wszystkiego, co wiemy dziś o siłach przyrody, że dziwić się należy, jak pogląd przeciwny mógł się dotąd utrzymać. A jednak ludzkość przez tyle wieków wierzyła i dotąd wierzy w wyższy porządek rzeczy, w jakąś myśl tajną zawieszoną ponad tworami przyrody, która nimi kieruje i nagina ku ludzkim celom i dobru. Dlaczegoż to? Wszakżeż ta sama przyroda nie mówiąc już o wnioskach, narzucających się same przez się ze ścisłych prawd naukowych, na każdym kroku dawała uczuć człowiekowi swą odrębność, swój chłód, swą obojętność w obec jego spraw, uczuć, pożądań. Ona mu zsyłała nawalnice,

kiedy pragnął pogody, upały, kiedy zdałyby mu się deszcze, nawiedzała go chorobami i trzęsieniem ziemi, drwiła ogromem Alpi lub Himalajów z jego maleństwa, w trzasku piorunów i w ogniu wulkanów zdawała mu się szeptać: Tyś atom, nic, zero — ja ogrom, nieskończoność, tyś we mnie, nie ja dla ciebie. Żaden czas poezji, żadna choćby najsubtelniejsza sofistyka filozofii nie mogłaby w obec tych ciągłych protestów natury utrzymać myśli ludzkiej w tak długiem złudzeniu. Więc zkąd ta wiara, zkąd ta moc przekonania o duchowym rządzie w naturze, o podporządkowaniu jej praw ludzkim celom? Powód dały niewątpliwie pewne zjawiska łudzące, pobieżnie schwycone, źle zrozumiane, wreszcie ta dążność do szybkiego uogólnienia, o której na wstępie była mowa, ale to wszystko względy uboczne, choć niezbędne — właściwej przyczyny trzeba szukać głębiej, na dnie natury ludzkiej. Człowiek pierwotnie ocenia w gruncie rzeczy wszystko wedle siebie, pojmuje rzeczy tylko w odniesieniu do swej indywidualności, tak jak one przedstawiają mu się przez szkła własnych jego myśli chęci i czynów. Subjektywizm ten pozwala mu zrazu rozumieć otoczenie o tyle tylko, o ile je ze sobą samym porównał. Jest to zasadnicza forma jego myślenia, pierwszy krok do poznania. Ożywia więc zrazu wszystko około siebie, we wszystkiem widzi istoty sobie pokrewne, czujące i myślące jak on, działające wedle tych samych pobudek. Dla dzikiego burza ryczy, ogień pożera i trawi, słońce wypija wody, chmury płaczą — a dziecko cywilizowanego świata, uderzywszy się o stół, bije go tak samo, jakby było swego żywego towarzysza, aby się zemścić za ból doznany. Związek więc leży jak na dłoni. Ponieważ cała natura jest zbiorem istot zupełnie człowiekowi podobnych, a człowiek rozważa, rozumuje, posługuje się pewnemi środkami do własnych celów, więc i cała natura, albo raczej jej stwórca w ludzki zupełnie sposób działający, musiał wedle pewnego planu z góry obmyślanego pracować i każdej rzeczy nadać cel i właściwe jej przeznaczenie. A dla kogóżby to wszystko przeznaczył, jeśli nie dla człowieka, jemu to wszystko się przyda, on tego właśnie potrzebuje, a więc to dla niego. Deszcz pada, to dla niego, aby mu rolę skrapiać, huczy burza, to na to, aby powietrze oczyścić, rośliny rosną — to pewnie lekarstwo na jego choroby. W tej samej myśli dzieci nasze wyciągają rączkę po gwiazdy, przekonane jak najmocniej, że to nic innego, tylko zabawka zawieszona dla nich umyślnie na niebie.

Oto źródło wiary w cel, w przeznaczenie przyrody. Ponieważ wiara ta wprostej linii prowadziła do idei bóstwa więc adoptowała ją metafizyka, aby zrobić z niej narzędzie do swych subtelnych wywodów. Dziś dla nauki zasada ta cała jest tylko historycznym dokumentem, świadczącym o rozwoju myśli ludzkiej, — narządem szczątkowym, przekazanym nam prawem dziedziczności po przodkach. Jako takiej należy jej się jeszcze mały kącik w nauce z napisem: „zabytki".

Zadania
Psychologii eksperymentalnej

podług

Wil. Wundta.

(Dokończenie).

Podobnie jak czucie i spostrzeganie zmysłowe, do eksperymentów nadają się stosunki *czasowe* powstawania i zmiany naszych wyobrażeń, oraz wszystkie zjawiska ze zmianą tą w bezpośrednim zostające związku, jak np: jakościowa assocyacya wyobrażeń. W prawdzie i pod tym względem zmuszeni jesteśmy stopniowo przenikać z zewnątrz do wewnątrz i nie możemy wprost mierzyć trwania aktów psychicznych. Skoro jednak próby odnośne urządzimy tak, że pewne, do przedmiotowego oznaczenia czasu niezbędne procesy fizyologiczne w znacznej liczbie obserwacyj pozostają niezmienione, podczas gdy w sposób niejednostajny przybywać do nich będą czynności uwagi, rozróżniania, woli, korzajenia wyobrażeń i wyrabiania sądu — będziemy w stanie bądź drogą wyłączania oznaczyć bezwzględny czas trwania owych aktów, bądź też zbadać, czy które z nich zachodzi jednocześnie lub w możliwej do określenia kolei, jaką liczbę wyobrażeń świadomość nasza w danych warunkach pomieścić może, jak się zmieniają pewne szeregi wyobrażeń wskutek przechowywania ich w pamięci itd. We wszystkich tych wypadkach psychologia eksperymentalna, oparta na metodzie psychofizycznej, osiągnie swój cel, gdy się jej uda całkowicie rozłożyć na pierwiastki, zjawiska świadomości i dokładnie poznać współistnienie oraz kolej następstwa tych zjawisk.

Psychologia eksperymentalna wszakże jeden ma niedostatek, na który w skarbnicy metod psychofizycznych lekarstwa znaleść niepodobna. Doświadczenia fizyologiczne zwracają się do świadomości człowieka rozwiniętego, a tem samem nieprzydatne są wszędzie tam, gdzie nie można przypuszczać rozumnego przejęcia się zamiarami psychologa. O rozwoju psychicznym dają nam one bardzo mało wskazówek, a zastosowanie ich do zakłóceń w tej sferze nadzwyczaj jest ograniczone. Zakłócenia te, zwłaszcza o ile są głębszej natury, dadzą się wyjaśnić nie tyle drogą badań bezpośrednich, ile raczej za pomocą wykazywania zmian, towarzyszących skłonności do nich i ich powstaniu. Przedewszystkiem przecież eksperymenta psychofizyczne skazane są na rozczłonkowywanie procesów stosunkowo elementarnych, jak pojedyńczych aktów wyobrażenia, woli i przypomnienia; śledzić zaś związku tych procesów prawie wcale są niezdolne. Natomiast niedostępnym jest dla psychologii eksperymentalnej sposób ukształtowania się właściwych procesów myślenia, jako i wyższych form uczucia i popędów. Co najwyżej może ona nad zewnętrznem, czasowem następstwem tych procesów kilka niedostateczných uczynić spostrzeżeń.

Dla zaradzenia owemu niedostatkowi niektórzy wielką przywiązują wagę do wyników obserwacji dziecka. W rzeczywistości jednak wyniki te mają tylko znaczenie podrzędne. Zapewne, że nie mały przedstawia interes wykryć, w jakiej epoce życia pewne objawy psychiczne występują po raz pierwszy: czy one zależne są od wpływów zewnętrznych, czy nie, i t. p. Ale właśnie pod tym ostatnim względem obserwator na większe narażonym jest złudzenia, aniżeli zwykle przypuszczamy. Ileż to razy po bliższym rozbiorze dochodzimy do tego, że myśl z pozoru samodzielnie powstała, lub słowa wynalezione są tylko prostem naśladownictwem, niepoznanem przy pierwszem wrażeniu wskutek zmiany, jakiej doznały w ustach dziecka! Wszak cały tak zwany język dziecinny, w którym pojedynczy obserwatorowie chcieli widzieć źródło bezustannego tworzenia się mowy, nie jest niczem innem, jak językiem używanym przez matki i mamki, usiłujące zniżyć się do stopnia świadomości dziecka. Lepsze korzyści napozór zdaje się zapewniać wielka dziedzina antropologii psychicznej. W istocie też poglądy życiowe, obyczaje i pojęcia religijne ludów pierwotnych uważane są przez wielu za bogate kopalnie dla przedmiotowych badań psychologicznych. Z tem wszystkiem przecież wątpliwości ulegać nie może, że korzyści na tem polu dotychczas były nader niewielkie, i że niema widoków, aby na przyszłość miało być inaczej. Stan du-

chowy tak zwanego ludu pierwszego jest rezultatem nieprzejrzanego łańcucha warunków, które w oku badacza w tem bardziej zawikłanej ukazują się postaci, im więcej w czasie badania znikać zwykło pierwotnie wyrobione mniemanie. W dzisiejszych naszych ludach pierwotnych przeto niepodobna odnaleść obrazu pierwastkowej kultury rodu ludzkiego. Faktycznie też etnolog, chcący wyjaśnić sobie poglądy na świat i życie, panujące u takich ludów, na odwrót bierze za punkt wyjścia ustalone wyobrażenia psychologiczne, do których w następstwie doświadczenie etnologiczne rozlicznych mu dostarcza przykładów i zastosowań.

Ważnem także polem dla dociekań w tym kierunku jest sfera wyobrażeń *mitologicznych*. Wszak już samo istnienie tych wyobrażeń najwyższy dla psychologa przedstawia interes. Prócz tego, rzec można, że myślenie mitologiczne jest zjawiskiem nówem, z którem na zwykłych drogach badania swojego psychologia wcale się nie spotyka, lub co najwyżej, znajduje słabe zjawiska tego naśladownictwa, zrozumiałe dopiero wskutek poznania tryskających życiem ich wzorów. Lecz pominąwszy istnienie faktu myślenia mitologicznego, gdzież są wnioski psychologiczne, które zawdzięczamy mitologii? Prawda, że jak śród świtu mgłą oblane wierzchołki gór dalekich, tak z poza zmiany wyobrażeń mitologicznych wyłania się przeczucie przeobrażeń, jakim w ciągu wieków i wedle pewnych stale oznaczonych praw ulegała świadomość ludzka. Ale któż odważy się dziś już sformułować te prawa? Kto podejmie się oddzielenia tego, co w tej mierze ogólne ma znaczenie, od zjawisk, będących produktem przypadkowych warunków zewnętrznych? Pewnie nie ten, co sprobował głębiej wniknąć w istotę rzeczy. Jedno tylko z wszelkiem podobieństwem do prawdy przepowiedzieć można. Jeśli mitologia kiedykolwiek badaniu psychologicznemu płodne odda usługi, usługi te będą sprawą nie bezładnych kosmogonij ludów pierwotnych, ale nauki o bogach ludów ucywilizowanych, które lubo bardziej od nas odległe co do czasu, niespożyte jednak po sobie pozostawiły pomniki. Sama umiejętność wszelako podległa jest prawom rozwoju, z pod których nigdy jeszcze nie wyłamała się bezkarnie. Żadna gałąź wiedzy nie może drugiej służyć za pomocniczą, dopóki sama nie posiędzie dostatecznie pewnych rezultatów. Podobnie jak mitologia przez długi czas czekała, a w części jeszcze czeka na archeologię sztuki i wykrycie na dawniejszych zabytków piśmiennych, tak samo psychologia poprzestać będzie musiała na uznaniu, że badania mitologiczne są skarbem, z którego skorzysta dopiero przyszłość daleka.

Jest jednak nauka pokrewna, dla której jak się zdaje, już zbliżył się czas spotrzeżeń psychologicznych. Jest to *nauka języka*. I ona należy do zakresu antropologii psychicznej, jakkolwiek w wykładach tej ostatniej zwykle bywa pomijaną. Wyłączenie takie usprawiedliwić można jedynie ze względu na obszar, do jakiego nauka języka doszła w czasach ostatnich; interes psychologiczny sam w sobie przecież wymaga, aby mowa w antropologii pierwsze zajmowała miejsce. W porównaniu z innemi płodami świadomości ludów, mowa pod wielu względami pierwszorzędną ma wartość. Na żadnym z tych płodów ślady dawno zamierzchłych czasów tak niezatartemi nie zapisują się głoskami; żaden z nich w równym stopniu nie łączy zdolności przechowywania trwałych skutków zmian zaszłych w świecie wyobrażeń ludzkich. Wprawdzie i nauka języka nie jest jeszcze umiejętnością skończoną. O wielu kwestyach zasadniczych najrozliczniejsze jeszcze w niej panują zdania. Ale nie o to chodzi, aby nauka, gdy ma drugiej przynieść pożytek, zupełnie była dokładną — bo i kiedyż zresztą dokładność taka wogóle była możliwą? — lecz, żeby miała pewną ilość faktów ustalonych, chociażby co do tłomaczenia ich rozliczne, a sprzeczne panowały poglądy.

Zarówno w psychologii, jak i w logicie należy się wystrzegać nadużywania gramatyki. Gramatyka wskutek złożonej w niej potrzeby systematyzowania musi wtłaczać słowo żywe w obcej natury formalizm zewnętrzny, który jest wprawdzie pochodzenia logicznego, jednak odnosząc się do wytworu duchowego powstałego nie wyłącznie z pobudek logicznych, sam ani logiką, ani psychologią nie jest. Gramatyka atoli nie jest językiem. Może ona przedstawiać dla psychologa niejeden szacowny punkt oparcia; ale przedmiotem, z którego badacz jest w stanie wyciągać fakta prawdziwie psychologicznej wartości, zawsze pozostaje język sam a zwłaszcza jego rozwój, poruszający się prawie zupełnie po za granicami wszelkich norm gramatycznych. Bo i skądże możnaby brać fakty, z których wyprowadzać należy psychologiczne prawa myślenia i kształtowania się pojęć, jeżeli nie z języka, będącego zarazem objawem i narzędziem myślenia? Wypadek to szczęśliwy prawdziwie, że właśnie tam, gdzie niedostatecznymi się stają środki pomocnicze psychologii fizjologicznej, to jest przy badaniu wyższych procesów świadomości, język nastręcza się jako przedmiot poszukiwania, nad którym badania nabywają wysokiej wartości eksperymentalnej, raz ze względu na niezawisłość jego od obserwatora, powtóre na różnorodność postaci, jakie pod odmiennymi warunkami przybiera.

Fizyologia dźwięków, nauka o powstawaniu wyrazów, o budowie zdań o zmianie znaczeń, jakiej w ciągu wieków ulegały wyrazy pojedyncze — wszystko to są tematy językoznawcze, zdolne psychologię na nowe poprowadzić tory.

Lingwista łatwo będzie mógł pomnożyć sobie niedokładne to wyliczenie przedmiotów z jego dziedziny, wkraczających w zakres psychologii. Tu chodziło tylko o zaznaczenie, że liczne są źródła poznania przedmiotowego, daleko lepsze obiecujące rezultaty, niż niedostateczna i zwodnicza samoobserwacja, i że psychologia, gdyby nawet miała ograniczyć się na samem badaniu faktów, na długo jeszcze miałaby materyał do swoich rozważań. Musi przyjść do tego, że psychologja wreszcie odniesie zwycięstwo nad Kartezyuszowskim dualizmem, że przywłaszczy sobie oręż mechanicznej umiejętności przyrodniczej i za pomocą metod ścisłych, jakich się od niej nauczyła, pocznie badać prawa życia duchownego. Skoro zaś to nastąpi, zasługi psychologii dla filozofii niewątpliwie będą większe, niż te, jakie ta ostatnia pierwszej dotychczas wyświadczyła.

Ad. J. C.

Co to jest naród?

według

(E. Renana.)

Odpowiedzią na to pytanie zajęło się w bieżącym roku kilku pisarzów w różnych krajach.

Nowoczesna historja — powiada Renan — wysunęła na widownię nieznaną starożytnym ideę — *narodu*. Pojęcie to było niewątpliwie obcem, zarówno mieszkańcom Chaldei, jak Chin lub Egiptu. Historja przynajmniej nie wspomina o obywatelach chińskich, lub egipskich. W Grecji widzimy rzeczypospolite, królestwa, związki drobnych państw, ale o narodzie — w pojęciu nam współczesnem — nie słychać.

Rzym wcielał ową ideę bardziej. Z drugiej jednak strony jego cesarstwo, przedstawiające obraz całej części świata, nie

chowy jak zwanego ludu pierwszego jest rezultatem nieprzejrzanego łańcucha warunków, które w oku badacza w tem bardziej zawikłanej ukazują się postaci, im więcej w czasie badania znikać zwykło pierwotnie wyrobione mniemanie. W dzisiejszych narodach ludach pierwotnych przeto niepodobna odnaleźć obrazu pierwiastkowej kultury rodu ludzkiego. Faktycznie też etnolog, chcący wyjaśnić sobie poglądy na świat i życie, panujące u takich ludów, na odwrót bierze za punkt wyjścia ustalone wyobrażenia psychologiczne, do których w następstwie doświadczenie etnologiczne rozliczonych mu dostarcza przykładów i zastosowań.

Ważnem także polem dla dociekań w tym kierunku jest sfera wyobrażeń mitologicznych. Wszak już samo istnienie tych wyobrażeń najwyższy dla psychologa przedstawia interes. Pręcz tego, rzec można, że myślenie mitologiczne jest zjawiskiem ogólnem, z którem na zwykłych drogach badania swojego psychologia wcale się nie spotyka, lub co najwyżej, znajduje słabe zjawiska tego naśladownictwa, zrozumiałe dopiero wskutek poznania tryskających życiem ich wzorów. Lecz pominąwszy istnienie faktu myślenia mitologicznego, gdzież są wnioski psychologiczne, które zawdzięczamy mitologii? Prawda, że jak śród świtu mgłą obleczone wierzchołki gór dalekich, tak z poza zmiany wyobrażeń mitologicznych wyłania się przeczucie praobrazeń, jakim w ciągu wieków i wedle pewnych stale oznaczonych praw ulegała świadomość ludzka. Ale któż odważy się dziś już sformułować te prawa? Kto podejmie się oddzielenia tego, co w tej mierze ogólne ma znaczenie, od zjawisk, będących produktem przypadkowych warunków zewnętrznych? Pewnie nie ten, co spróbował głębiej wnikać w istotę rzeczy. Jedne tylko z wszelkiem podobieństwem do prawdy przepowiedzieć można. Jeśli mitologja kiedykolwiek badaniu psychologicznemu płodne odda usługi, usługi te będą sprawą nie bezładnych kosmogonij ludów pierwotnych, ale nauki o bogach ludów ucywilizowanych, które lubo bardziej od nas odległe co do czasu, niemniej jednak po sobie pozostawiły pomniki. Sama umiejętność wszelako podlega jest prawom rozwoju, a pod których nigdy jeszcze nie wyłamała się bezkarnie. Żadna gałąź wiedzy nie może drugiej służyć za pomocnicę, dopóki sama nie posiędzie dostatecznie pewnych rezultatów. Podobnie jak mitologia przez długi czas czekała, a w części jeszcze czeka na archeologię szukającą wykrycia dawniejszych zabytków piśmiennych, tak samo psychologia poprzednio będzie musiała na uznanie, że badania mitologiczne są skarbem, z którego skorzysta dopiero przyszłość daleka.

Jest jednak nauka pokrewna, dla której jak się zdaje, już zbliżył się czas spożycia owoców psychologicznych. Jest to nauka języka. I ona należy do zakresu antropologii psychicznej, jakkolwiek w wykładach tej ostatniej zwykle bywa pomijaną. Wyjęcie takie nieusprawiedliwić można jedynie ze względu na obszar, do jakiego nauka języka doszła w czasach ostatnich; interes psychologiczny sam w sobie przecież wymaga, aby mowa w antropologii pierwsze zajmowała miejsce. W porównaniu z innemi płodami świadomości ludów, mowa pod wielu względami pierwszorzędną ma wartość. Na żadnym z tych płodów ślady dawno zamierzchłych czasów tak niezatartemi nie zapisują się głoskami; żaden z nich w równym stopniu nie łączy zdolności przechowywania trwałych skutków zmian zaszłych w świecie wyobrażeń ludzkich. Wprawdzie i nauka języka nie jest jeszcze umiejętnością skończoną. O wielu kwestyach zasadniczych najrozliczniejsze jeszcze w niej panują zdania. Ale nie o to chodzi, aby nauka, gdy ma drugiej przynieść pożytek, zupełnie była dokładna — bo i kiedyż zresztą dokładność taka wogóle była możliwą? — lecz, żeby miała pewną ilość faktów ustalonych, chociażby co do tłomaczenia ich rozliczne, a sprzeczne panowały poglądy.

Zarówno w psychologii, jak i w logice należy się wystrzegać nadużywania gramatyki. Gramatyka wskutek złożonej w niej potrzeby systematyzowania musi właściwe słowo żywe w obcej nalewać formalizm zewnętrzny, który jest wprawdzie pochodzenia logicznego, jednak odnosząc się do wytworu duchowego powstałego nie wyłącznie z pobudek logicznych, sam ani logiką, ani psychologją nie jest. Gramatyka atoli nie jest językiem. Może ona przedstawiać dla psychologa niejeden stanowczy punkt oparcia; nie przedmiotem, z którego badacz jest w stanie wyciągać fakta prawdziwie psychologicznej wartości, zawsze pozostaje język sam z zwłaszcza jego rozwój, poruszający się prawie zupełnie po za granicami wszelkich norm gramatycznych. Bo i skądże możnaby brać fakty, z których wyprowadzać należy psychologiczne prawa myślenia i kształtowania się pojęć, jeżeli nie z języka, będącego zarazem objawem i narzędziem myślenia? Wypadek to szczęśliwy prawdziwie, że właśnie tam, gdzie niedostatecznymi się stają środki pomocnicze psychologii fizjologicznej, to jest przy badaniu wyższych procesów świadomości, język nastręcza się jako przedmiot poszukiwania, nad którym badanie nabywają wysokiej wartości eksperymentalnej, raz ze względu na niezawisłość jego od obserwatora, powtóre na różnorodność postaci, jakie pod odmiennymi warunkami przybiera.

Fizyologia dźwięków, nauka o powstawaniu wyrazów, o budowie zdań o zmianie znaczeń, jakiej w ciągu wieków uległy wyrazy pojedyncze — wszystko to są tematy językoznawcze, zdolne psychologję na nowe poprowadzić tory.

Lingwista łatwo będzie mógł pomnożyć sobie niedokładne to wyliczenie przedmiotów z jego dziedziny, wkraczających w zakres psychologii. Tu chodziło tylko o zaznaczenie, że liczne są źródła poznania przedmiotowego, daleko lepsze obiecujące rezultaty, niż niedostateczne i zwodnicze samoobserwacje, i że psychologia, gdyby nawet miała ograniczyć się na samem badaniu faktów, na długo jeszcze miałaby materjał do swoich rozważań. Musi przyjść do tego, że psychologia wreszcie odniesie zwycięstwo nad Kartezyuszowskim dualizmem, że przywłaszczy sobie oręż mechanicznej umiejętności przyrodniczej i za pomocą metod ścisłych, jakich się od niej nauczyła, pocznie badać prawa życia duchowego. Skoro zaś to nastąpi, zasługi psychologii dla filozofii niewątpliwie będą większe, niż te, jakie ta ostatnia pierwszej dotychczas wyświadczyła.

Ad. J. C.

Co to jest naród?

według

(E. Renana.)

Odpowiedzią na to pytanie zajęło się w bieżącym roku kilku pisarzów w różnych krajach.

Nowoczesna historja — powiada Renan — wysunęła na widownię nieznaną starożytnym ideę — naródu. Pojęcie to było niewątpliwie obcem, zarówno mieszkańcom Chaldei, jak Chin lub Egiptu. Historja przynajmniej nie wspomina o obywatelach chińskich, lub egipskich. W Grecji widzimy rzeczypospolite, królestwa, związki drobnych państw, ale o narodzie — w pojęciu nam współczesnem — nie słychać.

Rzym wcielał ową ideę bardziej. Z drugiej jednak strony jego cesarstwo, przedstawiające obraz całej części świata, nie

mogło utworzyć narodu. Dopiero najście germanów dało światu podstawę dla ukształtowania się narodowości.

Co zrobiły bowiem ludy germańskie, poczynając od owych pierwszych mas, które zalały Europę w V stuleciu, aż do sławnych zaborów normandzkich w X? Na polityczną powierzchnię wypłynęły wtedy nowe dynastje, a także nowa arystokracja wojskowa, znana odtąd pod nazwą zdobywców. Na chwilę zdawało się, że zmartwychwstał rzymski zachód, lecz traktat Verduński rozczłonkował nową potęgę. Powstaje Francja, Niemcy, Anglia, Włochy, Hiszpania. Różnemi drogami, przez wiele przeszkód, kraje te dążyły i doszły do idei narodowości.

Dlaczego dopiero wzmiankowane państwa urzeczywistniają ową ideę, a Chiny, Egipt lub obecna Turcja - stoją na przeciwległym jej biegunie? Dlaczego w Turcji, turek, słowianin, syryjczyk, grek lub arab, różnią się między sobą tak jak różnili się przed setkami i tysiącami lat? Dwie okoliczności wpłynęły na ten fakt. Najprzód ludy germańskie przyjęły chrześcianizm. Wzgląd ten uniemożliwił różnice wiary właściwe plemionom osiadłym w Turcji. Następnie zdobywcy zapomnieli rodzimego języka, dzięki temu, że mieli z sobą bardzo mało kobiet. Zlanie się plemion było tak zupełnem, że pisarze i poeci francuscy, z czasów po-kapetowskich, nie wspominają nigdy o jakiejkolwiek różnicy ras. Podobny objaw towarzyszy wszystkim zdobyczom normandzkim. Po upływie jednego, lub dwu stuleci, charakterystyczne cechy normandczyków giną przy zetknięciu z tuziemcami.

Zapomnienie tedy, czy też niewiadomość historyczna służy nieraz za podstawę dla utworzenia się formacji narodowościowej, tak jak znowu wyświetlenie prawdy dziejowej może być dla niej zgubnem. Jedność narodowa tworzy się bowiem zwykle drogą brutalną. Tam, gdzie oddzielnie plemiona nie dążyły do niej, rozstrój bywał nieuniknionym. Przypominamy choćby powolną śmierć Turcji. Istota narodowości polega więc na tem, że zbierające się pod jej sztandarem osobniki mają wiele wspólnych interesów. Z drugiej strony idea ta wymaga niepamięci wielu wspomnień, mogących wywołać niezgodę.

W głowach pewnych teoretyków politycznych wylęgła się teorja dynastyczna, za pomocą której przez długi czas wyjaśniano istotę narodowości. Naród byłby tedy niczem więcej, jak grupą ludzi, sklejonych cementem dynastji i żyjących jej życiem. Taż sama wszakże historja, która dostarczyła kilka cegiełek do zbudowania tej doktryny, daje nam w ręce potężne tarany dla zupełnego jej rozbicia. Dość spojrzeć na losy Szwajcarji i Stanów Zjednoczonych. Królewska Francja niemniej daje broń poważną. Upadek jej królestwa był kolebką wzrostu narodowości.

Czemżeż tedy jest *narodowość* i po czem rozpoznać ją można?

Jest ona wytworem rasy — mówią jedni. Według nich, Niemcy miałyby np. prawo zebrać wszystkie rozproszone członki wielkiego szczepu germańskiego w jeden polityczny organizm, nawet wtedy, gdyby, owe odłamki przeciw temu zaprotestowały. Prawo tedy niemców do danej okolicy byłoby większe, niż jej ludności.

Zasada ta o tyle byłaby zgubną, o ile jest fałszywą. Idea rasy mogła mieć swoje znaczenie w życiu starożytnych pokoleń, czy państw, które stanowiły tylko rozszerzenie idei rodziny. Bieg cywilizacji zrobił we wspomnianej teorji kilka druzgocących ją wyłomów. Zarówno państwo rzymskie, które objęło najróżnorodniejsze rasy, jakoteż powszechny i absolutny chrześcijanizm, podały sobie bratnie dłonie w tym celu. Dodatkowo potop barbarzyńców zalał resztki pozornie rasowych cech, rozdzielających państwa. Nie rozłamywali oni bynajmniej Europy według wymagań etnograficznych. Państwa nowoczesne kształtowały się i wzrastały przy zupełnem pominięciu ideałów rasowych. Najszlachetniejszymi narodami, jakby dla ironii, są te, w których żyłach płynie najbardziej mieszana krew. Takimi są anglicy, francuzi i włosi. Francja jest zarówno celtycką, jak iberyjską lub germańską. Współczesne Niemcy przedstawiają zlepek celtów słowian i właściwych germanów.

Spory co do pojęcia rasowości nie prowadzą zresztą do żadnych pozytywnych rezultatów. Dzieje się to może i dla tego, że wiodący je kroczą, zamiast po jednej linji, po dwu równoległych, Jedni opierają się na historji, drudzy (antropologowie) – na fizjologii. Ostatni nadają rasie znaczenie czysto zoologiczne, rozumiejąc pod nią powinowactwo krwi. Badania jednak historyczno-lingwistyczne nie wiodą dotychże wyników, co fizjologia. Grupy: aryjska i semicka (pierwotne) nie miały żadnej fizjologicznej łączności. Podobnie rasa germańska posiadająca rację bytu ze stanowiska historyczno-lingwistycznego, jest bezpodstawową ze stanowiska antropologicznego. Indywidualność germańska występuje zaledwie na kilka wieków przed Chr. Przed tą epoką widzimy ją pomieszaną ze słowianami i poruszającą się razem w masie scytów.

Etnografia jest — i to nawet wielce sympatyczną — nauką, lecz będzie nią o tyle, o ile odosobnimy ją od wpływów politycznych. Nadto, jak każda inna nauka, podlega ona nieustannym zmianom. Logicznie tedy modyfikacja danej teorji rasowej winnaby również oddziałać na zmianę pojęć państwowych. Wyobraźmy sobie patryotyzm zależnym od wpływu danej politycznej broszury. Bronisz ojczyzny w charakterze słowianina, a tu jakiś uczony oblewa cię zimną wodą, dowodząc, że w żyłach twoich płynie krew niemiecka, a temsamem powinieneś unicestwić gorąco bronione przez siebie ideały.

To samo da się powiedzieć i o języku. Międzynarodowa polityka zarówno nie może być zależną od filologii porównawczej, jak i od etnografii. W Prusach, w których językiem wyłącznym jest obecnie niemiecki, dawniej mówiono przeważnie po słowiańsku; w Egipcie mówią po arabsku; w Księstwie Walii — po angielsku. Języki są bowiem niczem więcej, jak formacjami histrycznemi, które bynajmniej nie znamionują rasy. Nie zapominajmy o tem, że po za cywilizacją francuską, niemiecką czy angielską, stoi cywilizacja ogólno ludzka, niezależna od pierwszych.

Religja również nie daje podstawy pod budowę narodowości. W zaraniu dziejów utożsamiała ona się z ustrojem społecznym. Była religją rodu, religią państwa. Porzucenie danego kultu znaczyło to samo, co obecnie zwykliśmy rozumieć pod zdradą stanu. To, co uznawano za prawdę religijną w Sparcie, wydawało się fałszem w Rzymie. W granicach jednak danego państwa religia była jedną, bo też i ona była instytucją państwową. Dzisiaj każdy wierzy, jak chce i jak może. Minęła epoka religii państwowej. Można być francuzem, anglikiem lub niemcem, będąc równocześnie katolikiem, żydem, protestantem, albo też nie będąc wyznawcą żadnej religii.

Pójdźmy dalej. Wspólność ekonomicznych interesów nie jest również podstawą narodowości. Idea *Zollverein'u* i ojczyzny bezwątpienia nie są indentycznemi.

Ojczyzna będzie zawsze czemś więcej. Położenie geograficzne kraju nie jest także ową tajemnicą, której się tak uporczywie doszukujemy. Tak zwane naturalne granice odegrały wielką rolę w historji: ale czyż to daje prawo do mniemania, że kierunek rzeki lub wysokość góry nakreśliły dziejową formę dla losów danego narodu? Czło-

wiek tylko jest wszystkiem w owej świętej formacji, którą zwiemy narodem. Ziemia daje grunt, przedstawia pole walki i pracy, ale duszą jednej i drugiej może być i jest *tylko* człowiek. Na pojęcie narodu składają się dwa pierwiastki: przeszłość i teraźniejszość. Pierwsza streszcza w sobie bogatą spuściznę wspomnień, druga — uwidocznia się w chęci społecznego pożycia. Naród jest krystalizacją widniejących w jego dziejach usiłowań i poświęceń dla podtrzymania bytu. Przodkowie zrobili nas tem, czem jesteśmy obecnie. Bohaterska przeszłość, wielcy ludzie, sława — oto społeczny kapitał, podstawa idei narodowej. Posiadanie wspólnych tytułów chwały w przeszłości, wspólne cele w teraźniejszości, zasób wspólnie dokonanych czynów z jednej, chęć dokonania nowych z drugiej strony — oto suma warunków, dająca w rezultacie: *naród*.

Miłość dla pewnego przedmiotu idzie zwykle w parze z dokonanemi dla niego ofiarami, cierpienia zaś dla niego potęgują owo przywiązanie. Również i w sferze wspomnień narodowych chwile żałoby więcej warte, niż chwile tryumfów. Naród tedy jest uosobieniem solidarności, wytworzonej przez uczucie poświęceń już dokonanych i tych, które się mają dokonać w przyszłości. Wobec tego określenia utraca on, co prawda, owe metafizyczne prawo, które służy królom, zabierającym prowincje dla tego, że im się podobają.

Według Renana, może przyjdzie czas, kiedy wszystkie narody ułożą się w jedną federację państw europejskich. Lecz dotąd mówić o tem zawcześnie. Istnienie narodów jest dziś dla ludzkości koniecznem, gdyż świat zginąłby, mając nad sobą tylko jedno prawo i jednego pana.

Tak więc, kończy Renan, ponieważ naród stanowią ludzie, ich tedy pytać należy w przedmiotach spornych. Jeżeli kwestja granic przedstawia jakieś wątpliwości, należy zwrócić się po rozstrzygnięcie jej nie do niemych teoryj rasowości, religii lub języka lecz do ludzi. Rada ta, która wywoła uśmiech obecnie na ustach niejednego z polityków, zczasem zyska prawo bytu. Zresztą, chcąc mieć rację w przyszłości, należy zwykle wybiedz po za granice teraźniejszości.

B. N.

Sprawozdanie z obrad PIERWSZEGO ZJAZDU LITERATÓW i ARTYSTÓW polskich

w Krakowie d. 14. i 15. Września.

(Ciąg dalszy).

P. Słupski; W obcej zresztą dla mie kwestji mówię nie ze stanowiska prawniczego. Wiem o tem, że wszelkie uchwały zjazdu jako niemającego za sobą siły wykonawczej, egzekucyjnej, naturalnie muszą pozostać bez żadnego pozytywnego wpływu, i jedynie mogą mieć wpływ moralny o tyle, że zadokumentują dla naszej przyszłości, iż o ile chodziło o strzeżenie praw osobistych, społeczeństwo czuło tego potrzebę. Całej tej kwestji strony teoretycznej poruszać nie będę, stoję na gruncie praktycznym tj. w odniesieniu specjalnie do naszych warunków, a mianowicie do naszego dziennikarstwa. Zdaje mi się, że nie od rzeczy byłoby, ażeby obecne zebranie dziennikarzy i literatów porozumiało się między sobą co do przedruków dziennikarskich. Czytamy wciąż w tym względzie spory, jedni narzekają na drugich: „a przedrukowali nas bez zacytowania źródła“. Otóż mogłaby ta kwestja być tu rozstrzygniętą, jeżeli nie w formie prawa obowiązującego, to przynajmniej na podstawie wzajemnego przyrzeczenia i na udokumentowaniu kwestji możnaby poprzestać.

Dr. Jonathan Warschauer: Dziękując szanow. referentowi za tak cenne wypracowanie przedmiotu, pozwolę sobie, chociaż nie prawnik, wynurzyć swe zdanie. Jeżeli referat ten ma przynieść jakie korzyści, to pierwszym warunkiem byłoby, aby referat przyjęty, był przedłożony sejmowi krajowemu. Co później się stanie, czy sejm weźmie go pod rozwagę, czy będzie przedłożony radzie panstwa, nie można przesądzać. Ale w każdym razie ustawa tylko krajowa nie wystarcza, ale musi być międzynarodową czyli internacjonalną, bo niedość, że będzie zabezpieczoną własność w kraju, a koniecznem jest, aby była zabezpieczoną we wszystkich krajach ucywilizowanych.

P. Piltz: W Rossji obecnie przygotowywana jest reforma kodeksu cywilnego, którą się zajmuje osobna komisja, a jedną z najważniejszych prac tej komisji będzie rozpatrzenie prawa autorskiego, więc do pewnego stopnia będzie to rozstrzygnięcie. Prawdopodobnie projekt będzie komunikowany i warszawskiej adwokaturze, która będzie wtenczas miała sposobność opinją swoją w tym względzie wypowiedzieć. Co się tyczy innej strony tej kwestji, byłbym zdania, że można było ze względu na elastyczność każdego paragrafu uchwalić na tym zjeździe art. i liter. utworzenie miejscowych komitetów, czy sądów polubownych, któreby się zajmowały praktycznem rozstrzyganiem wszelkich wątpliwości.

Ks. kan. Ignacy Polkowski. Równie jak p. Dr. Warschauer składam podziękowanie szan. p. referentowi za tak piękny elaborat. Co do tej sprawy, jeżeliby miała podług wniosku i opinji p. Dra Warschauera pójść tak daleko tj. do Sejmu, śmiałbym prosić z mej strony szanownego p. referenta, aby ze względów historycznej prawdy, tyczącej się druków polskich z czasów dawniejszych, raczył dodać sprostowanie. Szan. referent powiedział, że pierwszy raz dopiero w Anglji w roku 1709 spotykamy się z ustawą zabezpieczającą prawo własności literackiej. Tymczasem mamy polskie książki drukowane za szczególnym przywilejem JKMci od r. 1563 i zwykle drukarze otrzymywali szczególne przywileje królewskie, mając za sobą prawo i uchwały sejmów polskich już w w. XVI., które im służyły tak dalece, że jeżeliby którykolwiek z księgarzów ośmielił się książki za szczególnym przywilejem królewskim, wydanym na imię księgarza np. Łazarza lub Scharfenbergera przedrukowywać ulegał bardzo znacznej karze, konfiskowano mu wszystkie dzieła i zabraniano mu sprzedaży takowych. Byłby to więc tylko mniej więcej dodatek, tyczący się naszych polskich książek.

Drugą rzecz podniósł jeden z panów, co się tyczy sprawy dziennikarskiej, a mianowicie przedruków z gazet, co się dzieje jak samowolnie, a rzeczywiście ze szkodą i dla samych dzienników, że przedrukowują się różne rzeczy za pośrednictwem nożyczek bez żadnego zacytowania zkąd artykuł wzięty i przez kogo napisany. Tu tylko sumienność panów dziennikarzy powinna nadużyciom zapobiedz i jeżeli się oni wezmą za rękę i powiedzą sobie: „to rzecz nie moja, to byłaby kradzież publiczna“ i jeżeli tylko krótką uczynią wzmiankę: przedrukowane z „Czasu“, przedrukowane z „Dziennika pozn“ — najkompletniej uczyniona jest satysfakcja i autorowi i wszystkim innym względom (oklaski).

Hr. J. Tarnowski: P. Dr. Warschauer postawił wniosek, aby referat przedstawiony zjazdowi był oddany pod głosowanie. Tymczasem referat ten uważanym być powinien za rozprawę czysto akademicką. Wprawdzie pod względem praktycznym niema ona zakresu tak szerokiego, jakby miała może,

gdyby przedstawioną była zjazdowi w innym kraju, ponieważ nie posiadamy swojego prawodawczego ciała, na któryby konkluzje zjazdu mogły mieć wpływ, nie mamy ciała, któreby mogło wydawać uchwały o sprawie własności literackiej, obowiązujące dla literatów polskich — jednakże, jakkolwiek ograniczonym byłby zakres uchwał Zjazdu, pewien wpływ mieć one mogą. Ponieważ na międzynarodowych kongresach literackich zasiadają także, choć w małej liczbie reprezentanci polskiej literatury, więc uchwała powzięta przez zjazd literatów polskich mogłaby służyć za wskazówkę do występowania na tych zjazdach międzynarodowych. Pewniejszym już byłby każdy w takim razie swego poglądu, skoro będzie miał w swym głosie poparcie w uchwale licznego zgromadzenia i śmielej też będzie przemawiał. Mówił p. referent, że istnieje w tych kwestjach szkoła francuska i niemiecka, nie zaszkodziłoby, żeby i stanowisko polskie zaznaczone było. A więc jeżeli Szan. Zgromadzenie podzieli konkluzje, jakie nam referent odczytał, zdaje się, że to będzie miało pewne znaczenie i doniosłość, jeżeli uchwałą zjazdu te konkluzje zostaną potwierdzone.

P. Szymanowski Wacław: Do tego co szan. mowca powiedział, uważam za stosowne z mej strony parę słów dodać. Jako uczestnik dotychczasowych zjazdów literackich międzynarodowych mogę Panów zapewnić, że wszyscy przedstawiciele literatur obcych dla polskiej literatury są niezmiernie chętni, do tego stopnia, że nawet Francuzi, którzy najbardziej bywają u nas przedrukowywani w tłomaczeniach i którzy najsilniej się upominają o to prawo własności literackiej, a może mają i do tego prawo, oznaczają ceny swych utworów niesłychanie tanio wyłącznie dla Polaków, tak, że nieraz za 2 ruble odstępują całe wydawnictwo. Więc i to, co Panowie tutaj powiedzieli, będzie zakomunikowane na kongresie międzynarodowym i będzie z tego ułożone osobne sprawozdanie (oklaski).

P. Piltz: Nie sądzę, aby to mogło być obecnie praktycznem, a to dlatego, że dziś stosunki międzynarodowe pomiędzy polską a obcą literaturą są takie, że my tłumaczymy z niemieckiej i francuskiej literatury całemi masami, a rosyjska literatura korzysta znów z naszej bez żadnego porozumienia się z naszymi autorami, tak, że gazety nawet antagonizmem polskim się kierujące przedrukowują całe powieści polskie, bez żadnego porozumienia się z autorami Z jednej strony więc rossyjscy literaci prowadzą tę kontrabandę naszymi utworami, z drugiej strony my ją prowadzimy w stosunku do zachodu. Czy więc nie zanadto się zobowiązujemy, przyjmując przedstawioną nam tu zasadę, a to ze względu na nieuregulowane stosunki?

P. Parczewski: Pozwolę sobie myśl p. Rosenblatta popartą przez p. Piltza nieco bliżej sformułować, mianowicie myśl syndykatów, któreby mogły rozstrzygać wszystkie kwestje własności literackiej i artystycznej nie w drodze prawnej, bo do tego brakuje atrybucyj sądowych — ale któreby mogły wydawać rezolucje, mające charakter moralnej powagi. Otóż możeby dzisiejsze zgromadzenie uchwaliło w zasadzie utworzenie syndykatów, a samą kwestję organizacji powierzyło krakowskiemu i lwowskiemu Kołu, które bądź same, bądź w porozumieniu z najwyższą naszą powagą naukowa, Akademją Umiejętności, podobne syndykaty zorganizowało, określiło warunki działalności i zajęło się wyborem osobistości (oklaski).

Tu na wniosek ks. kan. Polkowskiego zamknięto dyskusję; na liście nikt nie był zapisany do głosu, więc p. przewodniczący ogłosił zamknięcie dyskusji i udzielił głosu:

Referentowi: W uzupełnieniu mojego referatu dodam kilka słów. Naprzód na uwagę ks. kan. Polkowskiego najzupełniej się zgadzam i żałuję bardzo, że nie miałem czasu, bo tylko dwa dni mi na przygotowanie referatu wyznaczono, uczynić o tem w referacie wzmianki. Dziękuję więc za uwagę. Co się tyczy dalej moich wniosków, sądzę przedewszystkiem, że zjazd może uskutecznić to, co w referacie podniosłem, a co pp. Piltz Parczewski poparli, tj. uchwalić w zasadzie zorganizowane takich syndykatów. Właśnie zaś w uzupełnieniu referatu chcę dodać, że w Niemczech nietylko się syndykaty potworzyły, ale nawet zyskały uznanie władzy, tak że wyszła ustawa, ktora nakazuje sądom w sprawach wątpliwych własności autorskiej zasięgać opinji tych syndykatów, których orzeczenia mają dla sądów moc obowiązującą. Nadto urzędują także te syndykaty jako polubowne sądy. Byłoby zatem stosowne, aby uchwalić w zasadzie utworzenie takich syndykatów i polecić wypracowanie dalsze Kołu krakowskiemu i lwowskiemu. Sądzę, że organizacja taka jest bardo łatwą i że do tych komitetów w skład mogą wchodzić osobistości ze wszystkich dzielnic kraju, bo tu nie jest koniecznem zbieranie się wszystkich członków. Mogą się one porozumiewać pisemnie, tj. w razie podniesionej kwestji przesyła się każdemu z członków komitetu dokumenty, dzieła, przedruki itp, a on obowiązany jest wypracować referat; później na podstawie referatów odbywa się głosowanie. A więc zdaje mi się, że zjazd najlepiej odpowie swemu powołaniu i zadaniu jeżeli uchwali przyjęcie w zasadzie utworzenia syndykatów polskich, któreby w charakterze sądów polubownych rozstrzygały spory tyczące się własności autorskiej.

Co się tyczy dalszych kroków zgodziłbym się i na to, aby przez sejm starać się o przeprowadzenie jakich środków, o ile rozchodzi się o opiekę międzynarodową. Więc możnaby przedłożyć ten projekt. Ale tę kwestję uważam za mniej ważną, bo organizacja komitetów może będzie praktyczniejszą i skuteczniejszą.

Ponieważ w obec 2 wniosków Dra Warschauera i p. Parczewskiego, na który zgodził się referent, dotychczasowa dyskusja wydała się zgromadzeniu niedostatecznie jeszcze rzecz wyczerpującą, otwarto ją na nowo i Dr. Jonathan Warschauer zabrał głos:

Wyszedłem z tego zapatrywania, że dyskusja tu prowadzona będzie, jak już jeden z mowców się wyraził, czysto akademicką, jeżeli się będziemy tylko zastanawiać, a nie sformułujemy rzeczy i nie obejmiemy jej w pewną całość. Chcąc mieć zatem jakikolwiek skutek, chociaż nie przesądzam, że skutek nastąpi, sądzę, że my, którzy żyjemy tu w państwie konstytucyjnem i mamy swoją izbę ustawodawczą, a jest nią sejm krajowy, powinniśmy się do tego sejmu krajowego udać. Może być, że to należy tylko do Rady państwa, jako rzecz, która wymaga konwencyi międzynarodowej czyli internacjonalnej, ale w każdym razie droga ta, którą pozwoliłem sobie podać, sądzę, że jest korzystną, bo całemu krajowi i reprezentantom jego w Sejmie musi i powinno zależeć, aby własność autorska była szanowaną.

Ponieważ w chwili, gdy przewodniczący chciał oba wnioski: Dra Warschauera i p. Parczewskiego (w porozumieniu z referentem) poddać pod głosowanie, tak, żeby głosowano naprzód nad wnioskiem Dra Warschauera, powstało w zgromadzeniu zamięszanie, więc wyjaśnił naprzód prof. Kasparek, że przedewszystkiem poddać należy pod głosowanie wnioski referenta po należytem sformułowaniu, a co się z temi uchwałami stanie, to już dalsza kwestja, a następnie p. referent przemówił: Mnie w referacie moim chodziło tylko o zasadnicze myśli, więc nie zgodziłbym się na ten wniosek, aby z tym referatem udawać się do sejmu. Zmieniłbym go jedynie o tyle, ażeby polecić Kołu art. liter. krakow. i lwow., aby jedno i drugie w porozumieniu

z dalszemi Kołami literackiemi i artystycznemi ułożyło zasady w duchu przedstawionych myśli i dalsze kroki w tym względzie poczyniło. Na razie zaś uważałbym za praktyczniejszy drugi wniosek, tyczący się syndykatów.

Pomimo tego przewodniczący chce podać naprzód pod głosowanie wniosek Dra Warschauera, przeciw czemu podnoszą się głosy twierdzące, iż w razie uchwalenia naprzód tego wniosku nie będzie jeszcze wiadomem, z jakim materjałem i żądaniami udać się do sejmu, a

Dr. Warschauer otrzymawszy głos w sprawie formalnej mówi:

Chciałem właśnie przemówić w sprawie formalnej, ale skoro mój wniosek został zaatakowany i zanihilowany, więc muszę go poprzeć raz jeszcze. Powiedziałem wyraźnie, że chodzi mi o to, aby dyskusja tutaj nie stała się bezowocną, powiedziałem też, że dopiero po powzięciu uchwały nad referatem Dra Rosenblatta powinniśmy uchwalić, udać się do naszej izby ustawodawczej, jaką jest sejm krajowy. We wniosku moim miałem to na względzie, że znajdujemy się w państwie konstytucyjnem i mamy prawo udania się do sejmu, bo prawo petycji każdemu dozwolone. Nie spodziewam się wielkiego skutku, ale w każdym razie będzie to przypomnieniem naszym posłom, jeżeliby w Radzie państwa sprawa była podniesioną, aby głos nasz był zakomunikowany.

P. Parczewski: P. Dr. Rosenblatt w swym referacie nie proponował nic takiego, z czem możnaby przyjść do sejmu, nie proponował żadnych zmian, któreby miały określić prawo własności literackiej. Własność sądowa jest już zapewniona, w Rossji np. z kazuistyką nadzwyczaj drobiazgową. Tu chodzi o utworzenie instytucji, któraby zabezpieczyła własność literacką w drodze moralnej, w tych wypadkach, gdzie niema na to dróg prawnych. Wiadoma to rzecz, że jest różnica między kontrefakcją a plagiatem. Tu kwestja nie da się na korzyść poszkodowanego rozstrzygnąć w drodze sądowej, chociaż w drodze moralnej na podstawie czystej sprawiedliwości trzeba w danym wypadku powiedzieć, że pokrzywdzenie nastąpiło. Ażeby tego rodzaju pokrzywdzeń nie było, aby nie było tych sporów o przedruki gazeciarskie, z któremi niepodobna przychodzić do sądów i zapychać je tak drobnemi kwestjami, można utworzyć tego rodzaju syndykaty, któreby zapobiegały nadużyciom w takich wypadkach. A więc syndykaty mają zapobiedz plagiatom i w drodze moralnej osłony, moralnej powagi, usunąć braki niedokładnego i niemogącego być dokładnem prawodawstwa sprawie, jaką jest własność literacka. Syndykaty te rozstrzygać będą wówczas, jeżeli obie strony przyjdą, albo także gdy jedna przyjdzie; orzeczenia ich mają charakter czysto moralnej powagi. Na drogę zaś prawodawczą z tem się udawać uważam za rzecz zbyteczną.

P. Smolka: Wniosek Dra Warschauera nie może mieć praktycznej doniosłości, ponieważ nawet podług prawa austrjackiego sejm galicyjski nie byłby kompetentnym, aby jakąkolwiek ustawę dla Galicji mógł w tym kierunku wydać. Pominąwszy już to, że nie chodzi o samą Galicję, ale i o inne dzielnice, których przedstawiciele siedzą w naszym gronie, sądzę, że tylko wniosek o syndykatach jest praktyczny i może stworzyć dla autorów rodzaj moralnej władzy, gdy te syndykaty funkcjonować będą w Krakowie, Lwowie, Warszawie, Poznaniu. Że zaś niema sposobności w drodze ustawodawczej sprawy tej uregulować, więc sprzeciwiam się wnioskowi p. Warszauera

(Ciąg dalszy nastąpi).

ORDYNANS.

Szkic Edmunda de Amicis.

Przekład z włoskiego

E. H.

Zdarzało mi się spotykać w życiu nieraz oryginałów, lecz drugi taki, nie urodził się chyba pod słońcem.

Rodem sardyńczyk, wieśniak, miał lat dwadzieścia jeden. Pisać nie umiał, służył, jako żołnierz, w piechocie. Gdym go po raz pierwszy spotkał we Florencji, w redakcji dziennika wojennego, uczułem dla niego pewną sympatję. Postać jego i krótkie odpowiedzi, jakich na me pytania udzielał, dały mi poznać od razu, że to oryginał nielada. Miał twarz zupełnie inną, gdy się na nią patrzało z przodu lub z boku. Skoro się tylko odwrócił, zdawało się, że się wszystkie rysy zmieniły zupełnie. *En face*, niczem szczególnem nie raził, lecz profil był taki zabawny, że mimowoli pobudzał do śmiechu. Końce nosa i podbródka starały się ku sobie zbliżyć, bez skutku jednak, stawały bowiem na przeszkodzie grube, zawsze otwarte wargi, z pomiędzy których wyglądały dwa rzędy zębów, równych jak pluton gwardzistów. Oczy wydawały się jako dwie główki od szpilek, tak były małe; skoro się śmiał, nikły prawie zupełnie. Brwi reprezentowały kształt dwóch ostrokątów; czoło było tak niskie, że służyło tylko za wąski pas graniczny między włosami na głowie a brodzie. Jeden z moich przyjaciół mawiał, że ten człowiek wygląda, jakby u myślnie na śmiech został stworzony. A jednak w zabawnej twarzy rozlany był wyraz inteligencji i dobroci; tylko — jeśli się tak wyrazić godzi — inteligencji jednostronnej i dobroci *sui generis*. Głos miał szorstki, gardłowy; włoski język jego tak był dziwaczny, że mógł go śmiało za własny wynalazek ogłosić.

— Jak ci się podoba Florencja — spytałem go nazajutrz, po przyjeździe do tego miasta.

— Niczego — odpowiedział.

Od tego, kto widział tylko Cagliari parę innych małych miasteczek, odpowiedź taka wydawała się dość obojętną.

Coż ci się więcej podoba, Florencja czy Bergamo?

— Dopiero wczoraj przyjechałem; nie mogę jeszcze osądzić.

Gdy odchodził, rzekłem mu: — *addio*; — on mi również: *addio*, odpowiedział.

Nazajutrz przydano mi go na ordynansa.

Z początku, po sto razy dziennie traciłem cierpliwość, chciałem go odesłać do pułku. Żeby jedynie nic nie rozumiał, *transeat*: lecz na nieszczęście, czy, że nie pojmował dobrze po włosku, czy, że obce sobie dotychczas obowiązki miał pełnić, — pojmował tylko w połowie, a robił wszystko na opak. Brzytwy odnosił do drukarza, a rękopisy zostawiał u szlifierza: romans francuski niósł do szewca, a buty do mieszkania pewnej signory. Nietylko, że nie rozumiał, jak należy, lecz był i roztargniony, z powodu czego strzelał bąki, których niktby wiliczyć nie zdołał.

Nie mogę się jednak powstrzymać od wymienienia niektórych jego najwybitniejszych *qui pro quo*.

O jedenastej rano, posyłałem go zwykle po wędlinę i przekąskę; o tej samej godzinie sprzedają na ulicach *Corriere italiano*. Pewnego dnia, wiedząc, że w tej gazecie jest artykuł interesujący, mówię mu: — Przynieś mi żywo szynki i masła na śniadanie, a kup także *Corriere italiano*. Dwa wyobrażenia jednocześnie nie mogły się w jego głowie pomieścić. Wychodzi i po chwili przynosi mi szynki i masło — zawinięto w *Corriere italiano*.

Pewnego razu pokazywałem w jego obecności jednemu z moich przyjaciół przepyszny atlas wojskowy, pożyczony z bibljoteki i rzekłem: Szkoda, że nie mogę kart wszystkich objąć okiem odrazu; lecz muszę je jedną po drugiej przeglądać. Żeby sobie dobrze uprzytomnić bitwę chciałbym je mieć wszystkie przytwierdzone na ścianie, rzędem, iżby jedną całość tworzyły.

— Wieczorem wracam do mieszkania... I teraz mnie jeszcze dreszcz przyjmuje, gdy wspomnę. Wszystkie karty atlasu poprzebijane ujrzałem do ściany! Ku temu większemu udręczeniu, trzeba go było widzieć, gdy się zjawił nazajutrz z miną, skr mnie uśmiechniętą, jak człowiek, któremu się słusznie podziękowanie należy.

Kazałem mu kupić parę jaj, żeby je ugotować na spirytusie. Po chwili przyszedł któryś z moich przyjaciół dla rozmówienia się ze mną w pilnym interesie. Mój ordynans wraca: — Czekaj — mówię mu. On sobie siada w kącie, a ja rozmawiałem dalej. Po chwili, — patrzę na niego... cała twarz umalowana. Spojrzałem na stołek, na którym siedział, — na jednej nóżce coś widzę żółtego. Zbliżam się, żółtko od jajka. Włożył błazen jaja do tylnej kieszeni kapoty, a wróciwszy do domu, usiadł, zapomniawszy o wszystkiem. Oparł się ręką o stołek i ufarbował oblicze.

Wszystko to jednak jest niczem w porównaniu z męczarnią, którą sobie zadać musiałem n m go nauczyłem sprzątać w pokoju, nie mówię — jak należy, lecz tak przynajmniej, jak to czynią ludzie o zdrowych zmysłach. W jego przekonaniu porządkowanie zasadzało się na tem, żeby układać jeden przedmiot na drugim, dla stworzenia jakiejś architektonicznej budowy; najbardziej był rad z siebie, gdy mu się udało jak najwyższy gmach wznieść. Z początku książki służyły za fundamenta do budowli, które drżały przy najlżejszem wstrząśnieniu. Wywrócona dnem do góry miednica podtrzymywała śmiałą piramidę, utworzoną z różnych podstawek i flakonów, na szczycie której figurował pędzelek do golenia. Kapelusze i cylindry, stare i nowe, ustanowione jedne na drugich, tworzyły kolumnę tryumfalną, takiej wysokości, że patrząc na nią, dostawało się zawrotu głowy. Stąd też trafiały się często, nieraz wśród nocy, straszliwe katastrofy i spustoszenia okropne. Gdyby nie ściany pokoju, nikt przewidzieć nie zdoła, do jakichby one przerażających dojść mogły rozmiarów. Żeby mu dać do zrozumienia, że szczoteczki do zębów i szczotki do czyszczenia butów mają miejsca właściwe; że słoik z pomadą i słoik z ekstraktem mięsnym są sobie obce; że w nocnym stoliku niema miejsca na świeżo uprasowaną bieliznę, — potrzebowałem wymowy Cicerona i cierpliwości Hioba.

Nigdy się o tem dowiedzieć nie mogłem, czy za dobre z nim obejście był mi wdzięcznym i czy miał dla mnie życzliwości choć trochę. Jedyny raz okazał pewnego rodzaju o mą osobę troskliwość i to w najdziwniejszy sposób. Od dwóch tygodni leżałem w łóżku, chory; przez cały ten czas stan mój nie pogorszał się, ani polepszał. Pewnego razu, wieczorem, sardyńczyk zatrzymuje na schodach mego doktora, nadzwyczaj obrażliwego człowieka, i pyta go ostro: — No, cóż przecie, wyleczy go pan? — Doktor się rozzłościł i zmył mu głowę porządnie. Bo już tego trochę za długo, — mruknął mu żołnierz.

Miewał czasami tak zabawne pomysły, że chociaż wypadało go zgromić, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. Pewnego rana budzi mnie, szepcząc do ucha głosem, pełnym szczególnego znaczenia: — Panie poruczniku! kto śpi, ptaszków nie upoluje.

Wsuwa się raz do pokoju, w chwili, gdy z mego mieszkania wychodziła pewna znakomita osoba, i słyszy; jak mówi jeden z moich przyjaciół, że ten pan *jest to osobistość bardzo znana.*

We dwa tygodnie potem, rozmawiałem u siebie z kilkoma przyjaciółmi — w tem mój ordynans zbliża się i oznajmia mi przybycie gościa.

— Któż to jest? — pytam.

— To on... odpowiedział, jąkając się (ponieważ nie pamiętał jego nazwiska)... panie poruczniku, to *ta osobistość bardzo znana.*

Nastąpił wybuch śmiechu. Nowoprzybyły gość słyszał to, musiałem mu przeto wytłómaczyć rzecz całą, przez co i on uśmiał się z nami z tytułu jaki otrzymał.

Niepodobna dać pojęcia o języku, jakim mówił ciekawy, ten subjekt. Była to mieszanina sardyńskiego, lombardzkiego i włoskiego; posługiwał się krótkiemi zdaniami, używał wyrażeń jaknajzawięźlejszych, słów używanych. Zdawało się niekiedy, że mówi w gorączce.

Po kilkunastumiesięcznem uczęszczaniu do szkoły pułkowej, nauczył się jako tako czytać. Było to prawdziwe dla mie nieszczęście. Podczas nieobecności mojej siedział przy mojem biurku i wprawiał się w pisanie, gryzmoląc jeden wyraz po sto, dwieście razy. Był to najczęściej pierwszy wyraz, który zwrócił jego uwagę, gdym z rana czytał coś głośno dla siebie. Raz, naprzykład, uderzyło go imię Kleopatra. Wieczorem wracam i znajduję Kleopatrę, wypisaną na wszystkich marginesach dzienników, na odwrotnej stronie druków, na rogach listów, na okładkach książek, wszędzie gdzie tylko znalazło się miejsce, na umieszczenie tego czterozgłoskowego imienia, które tak sobie upodobał. Innego dnia uderzył go wyraz Ostrogot i nazajutrz miałem najście Ostrogotów w mieszkaniu. Kiedyś znowu zachwyciła go nazwa nosorożca i dom mój zamienił się w menażerję tych zwierząt.

Skoro mowa o pisaniu, muszę wspomnieć o jeszcze dowcipniejszym jego wynalazku. Kupił sobie małą książeczkę z czystego papieru i wpisywał do niej przedmowy wszystkich książek, jakie mu tylko do rąk wpadły! w miejscu zaś nazwisk autorów, wstawiał nazwisko swego ojca, matki, brata, myśląc, że im dowody największego przywiązania i wdzięczności składa w ten sposób. Raz mi się udało zajrzeć do tej książeczki i przeczytałem następujący ustęp:

Piotrowi Franci (był to jego ojciec wieśniak), *który pracą, i talentem zdobył sobie wysokie stanowisko wśród ludzi nauki, wspomagał i braci, starannie wychował synów. Pamięci najlepszego ojca, to dzieło poświęca Antonio Franci* (w miejscu Lichele Sassona.

W innem miejscu pisał: *Memu ojcu, Piotrowi Franci który, oznajmiając parlamentowi niższych Alp o przegranej pod Novarą, padł rażony promieniami słońca i w parę dni potem żyć przestał* (A jego ojciec żył zdrów).

Najbardziej mnie zdumiewało, że ten wieśniak, który tak mało widział w życiu, chociażby zobaczył najosobliwsze cudo, nie dziwił się wcale. W czasie jego pobytu we Florencji odbywały się uroczystości z powodu zaślubin księcia Humberta dzisiejszego króla włoskiego, widział operę i bal w Pergolu (nie będąc poprzednio nigdy w teatrze); zabawy karnawałowe i fantastyczną iluminację na *Via dei Colli*; widział setki innych ciekawych i zupełnie nowych dla siebie przedmiotów, któreby go zdumiewać i bawić powinny, o których mógłby przecież pomówić. Bynajmniej. Jego uwielbienie ograniczało się wiecznie na jednym wyrazie „niczego" Niczego... Santa Maria del Fiore... Niczego; Brama egiotto. — Niczego. Pałac Pitti. — Niczego. Sądzę, że gdyby go sam pan Bóg zapytał, co myśli o stworzeniu świata, odpowiedziałby: niczego.

Od pierwszego do ostatniego dnia, spędzonego przy mnie humor miał zawsze je-

dnakowy, nie zbyt poważny, ani też wesoły zawsze uległy, rotrzepany, pojmujący rzeczy na odwrót, pogrążony w apatycznem lenistwie i zawsze na swój sposób półgłówek. W dniu, w którym otrzymał uwolnienie, gryzmolił jak zwykle, przez parę godzin różne niedorzeczności w znakomitej owej książeczce.

Przed odejściem przyszedł mnie pożegnać. Scena rozstania nie była zbyt czułą. Spytałem czy mu nie żal opuszczać Florencji? — Czemu nie? — rzekł. — Zapytałem go jeszcze czy rad jest, że powracał do domu? W miejsce odpowiedzi niezrozumiale coś mruknął.

Jeśliby pan czego potrzebował, rzekł w ostatniej chwili, — niech pan tylko napisze, sprawi mi to wielką przyjemność.

Dziękuję ci mój kochany, — odpowiedziałem. Po dwuletnim w moim domu pobycie, odszedł nie okazując najmniejszego żalu, ani radości.

Śledziłem go, gdy schodził ze schodów. Odwróciłem się nagle.

— Zobaczywszy,—pomyślałem—obudzi się przecie w nim serce, przyjdzie w inny sposób pożegnać się ze mną.

— Panie poruczniku,—zawołał—pędzeek do golenia włożyłem do szuflady większego stolika.

I z temi słowy z oczu mi zniknął.

ZIARNKA.

Repertoar naszej sceny ożywił się znacznie w ubiegłym tygodniu. Mieliśmy parę nowości, i to nowości oryginalnych, nie tuzinkowych — ba nawet rzadkich już dzisiaj. Tragedja przecież nie należy już w naszych czasach do zjawisk codziennych, a taką ujrzeliśmy na scenie naszego teatru. Nie od wczoraj już znany poeta Karol Brzozowski uraczył nas dziełem wysokiej wartości, przecudownie poetyczną rzeczą p. t. „Malek". Dzisiaj wstrzymujemy się dla braku miejsca od szczegółowej oceny. Umieścimy ją w jednym z najbliższych numerów, bo najprzód, że rzecz godna jest ściślejszego zastanowienia, a powtóre ze względu na głosy krytyki, które nie brzmiały zbyt zgodnie. Oprócz wspomnianej tragedji mieliśmy jeszcze debiut p. Zapolskiej, jako autorki dramatycznej. Wystąpiła po raz pierwszy za zręcznie i z talentem napisaną bluetką o poważnym kolorycie p. t. „Pierwszy bal". Autor „Pana Damazego" zaś wypuścił ze swej pracowni nową jednoaktówkę p. t. „Ciocia na wydaniu". O obydwóch utworach pomówimy w następnym numerze.

* * *

Otwarcie teatru czeskiego. Doczekali się nakoniec pobratymcy nasi Czesi uroczystej chwili, dnia radości i tryumfu. W niedzielę w południe odbyła się w nowym wspaniałym teatrze akademja, czyli uroczyste przedstawienie, złożone z dwóch nowych uwertur Smetany i Dworzaka oraz prologu pióra Jarosława Vrchlickiego. Wieczorem zaś odbyło się galowe przedstawienie; odegrano oryginalną operę Smetany „Libuszę". W sali literalnie przepełnionej znajdowali się namiestnik Czech i namiestnik Morawy oraz wielka liczba gości zagranicznych, pomiędzy któremi zwracali szczególniejszą uwagę goście polscy w strojach narodowych Przedstawienie wypadło świetnie, wystawa była olśniewającą, do czego przyczyniło się imponujące oświetlenie elektryczne. Brzy oddawaniu teatru narodowego przez komitet budowy, dr. Rieger wypowiedział gorącą mowę o wysokiem narodowem i artystycznem posłannictwie sceny. Z niesłychanym zapałem i entuzjazmem przyjęła publiczność tę mowę. Oprócz Riegera wypowiedzieli jeszcze mowy prezes komitetu budowy Skramlik i dyrektor Schubert. Uroczystość zakończono trzykrotnym okrzykiem „Slava!" Wieczorem odśpiewano w teatrze kantatę kompozycji Bendla, przez dwustu śpiewaków towarzystwa „Hlahol".

Sam gmach teatru przedstawia się tak zewnątrz jak w wewnętrznem urządzeniu okazale. Sala duża mogąca pomieścić przeszło 2.000 widzów.

Gości obcych zjechało się bardzo wiele, największy jednak udział stanowili Polacy, z tych zaś ostatnich koroniarze. Niemcy podczas całej uroczystości zachowali się szyderczo, ale spokojnie.

* * *

„Mazur". Niejeden z czytelników zdziwi się zapewne czytając ten tytuł i sądzić będzie, że mamy zamiar mówić — o tańcach. Tymczasem jest to tytuł nowego czasopisma, mianowicie Tygodnika politycznego, który ma stanąć na straży interesów polskiego ludu zamieszkałego w wschodnich Prusiech, a którego ilość dochodzi 300.000

A biedny to lud! z powodu ewangielickiego wyznania nie przyznający się do łączności narodowej z Polakami — tło już wystawiony jest na wszelkiego rodzaju germanizacyjne tortury! To, co dziś doznaje Poznańskie, cierpiał on już lat temu 50 i myśmy nie wiedzieli o tem, nie spieszyliśmy z pomocą naszej braci — bośmy nawet nie wiedzieli, że znajduje się polski lud w wschodnich Prusiech. Zostawiliśmy mazurów ich losowi — toż germanizacja postępowała z rozpiętemi żaglami. Uległa przed nią opozycja Mazurów po śmierci Gizewiusza 1848 r., który pierwszy rozpoczął walkę o ojczysty język. — Po latach trzydziestu kilku powstaje nowy szermierz narodowej sprawy na pruskiem mazowszu *„Mazur"* pod redakcją J a n a K a r o l a S e m b r z y c k i e g o. Okazowy numer pisma tego mamy już przed sobą. Drukowany gotyckiemi czcionkami jak wszystkie pisma wychodzące na pruskiem Mazowszu,—w artykule wstępnym pod napisem „Mili bracia i przyjaciele" zapowiada, że wychodzić będzie od Nowego roku pod hasłem „Bój się Boga, czcij króla, kochaj bliźniego, a szanuj język ojców, to prawo Boga, a obowiązek człowieka". „Jeszcze raz mówię — dodaje w końcu p. Sembrzycki — że *„Mazur"* chce być Waszym przyjacielem, a zawsze i wszędzie nim będzie, będzie, bo ja sam jestem z chłopskiego stanu, mój dziad poczciwy staruszek w pocie czoła uprawiał mazurską rolę — ja znam wszystkie Wasze potrzeby, Wasze trudy i cierpienia". Umiarkowany ton w jakim przemawia pan Sembrzycki do swych czytelników wśród mazurów, przekonywa nas o prawdzie jego słów, bo tylko ten, kto wie że Mazurzy niestety za hańbę uważają nazwisko „polak" a dla odróżnienia się od niemców „mazurami" się zowią, kto wie, jak lud ten ma wielkie wyobrażenie o swym królu, jak jest religijnym, łatwo zrozumie dla czego tak, a nie inaczej pisze p. Sembrzycki. Bo zadaniem jego przedewszystkiem pozyskać sobie zaufanie mazurów, by módz następnie działać wśród nich skutecznie dla narodowej sprawy. Witamy więc serdecznie „Mazura" życzymy mu powodzenia z całego serca, czytelników zaś naszych prosimy, by jak najliczniejszą prenumeratą nowemu czasopismu przyszli w pomoc.

ZAPISKI.

Literatura.

* Poradnik dla nielekarzy. Pod tym tytułem wydał jeden z naszych najznakomitszych lekarzy popularnie napisaną, a przytem z przezornością książkę lekarską.

* P. Henryk Blaze de Bury pomieścił świeżo w „Revue des deux Mondes" szereg niezmiernie interesujących wspomnień o Chopinie, przeplatanych anegdotami z jego życia. Szczególną ciekawość wzbudzają ustępy, odnoszące się do pierwszych występów Chopina w Paryżu, oraz opis podróży jego na Majorkę z George-Sand.

* P. Papatawa ogłosił okólnik wzywający wszystkich cywilistów do nadsyłania mu kartek z tytułami dzieł, do układanej przezeń bibljografii w języku włoskim.

* W Krakowie wyszedł nakładem Akademji umiejętności „Opis bitwy pod Lubieszowem" w dn. 17 kwietnia 1577 między królem Stefanem Batorym a Gdańszczanami przez Ferdynanda Kudelkę. Rzecz umiejętnie, militarnie i historycznie napisana.

* Dnia 1. listopada wyszedł z pod prasy 47. zeszyt „Słownika geograficznego polskiego" i obejmuje miejscowości od Krzywcza do Kunów.

* Jan Zacharjewicz wydał w Warszawie nakładem księgarni T. Paprockiego serję nowel i opowiadań, która zawiera: Pojedynek; Niedokończony Telegram; Preferans po śmierci; Fałszywy Król; Konfederat.

Teatr i muzyka.

* „Międzynarodowy klub gitarzystów zawiązał się w Lipsku. Ma on na celu pielęgnowanie i przywrócenie do dawnego znaczenia tego na pół już zapomnianego instrumentu.

* Na scenie teatru „Vaudeville" w Paryżu ukazała się jako nowość przeróbka dramatyczna ze znanej czytelnikom polskim powieści Daudeta p. t. „Królowie na wygnaniu" (Les rois en exil). Przeróbki dokonał Coquelin starszy.

* W Stanisławowie grywa obecnie z powodzeniem trupa dramatyczna pod dyrekcją p. H. Lasockiego. Repertuar ma wielce urozmaicony i świeży, a towarzystwo wcale nie złe.

* Mierzwiński występami swemi w Petersburgu rozentuzjazmował publiczność. Cała prasa petersburgska pochwalnie się o nim wyraża.

* Pani Rakiewiczowa artystka teatrów warszawskich obchodziła w tych dniach uroczyście jubileusz 25 letniej pracy scenicznej.

* W Niemczech umarła w ubiegłym tygodniu Ernestyna Wegner, bardzo utalentowana i sympatyczna artystka dramatyczna. Nazywano ją „Galmayer północy". Umarła w kwiecie wieku i w pełnym rozwoju swego talentu.

* W Warszawie wyszło „Tuzin komedyj i obrazków scenicznych dla młodzieży" przez Leopolda Świderskiego.

* Słynny tragik Ernest Rossi, przetłumaczył na język włoski szekspirowskiego Juljusza Cezara, którym powiększy szereg swoich wspaniałe odtwarzanych kreacji.

* Opera paryska wystawi jeszcze w bieżącym sezonie najnowszy utwór Gounoda „Sapho", do której tekst napisał Augier.

* Panna Hajota utalentowana nowelistka napisała 3-aktową komedję p. t. „U swoich" osnutą na stosunkach towarzyskich u wód galicyjskich.

Sztuki piękne.

* Dnia 18. b. m. nastąpiło w Pradze otwarcie dźwigniętego z gruzów ofiarnością całej ludności teatru czeskiego. Złota Praga oczekuje gości ze wszystkich stron słowiańszczyzny. Ze Lwowa wyjechał p. Jan Dobrzański.

* P. Julian Bełtowski snycerz, który 10 lat bawił w Paryżu i otrzymał w 78 r. medal srebrny na paryskiej „Exposition collective internationale ouvriere, wykonał piękną rzeźbę, przedstawiającą zwycięzkiego Sobieskiego.

* Pomnik dla Leibnitza odsłonięty został w Lipsku dnia 25. z. m.

* W Paryżu nastąpiło z wielką okazałością odsłonięcie pomnika A. Dumasa ojca. Piękny pomnik jest dziełem zmarłego niedawno Gustawa Doré.

MISCELANEA.

Niejaki p. Czarliński, odbywszy podróż po Australji, gdzie czas dłuższy przebyć zamierza, skreśla swe wrażenia w liście, nadesłanym do „Kurj. Pozn." Wyjmujemy ztamtąd szczegóły dotyczące życia rozsianych w Australji rodaków naszych. Otóż podczas podróży jeszcze, na parowcu kompanji francuzkiej, spotkał się p. Cz. z miejscowym lekarzem dr. Piotrowskim. Po parudniowej podróży stanął p. Cz. w Adelaidzie, stolicy kolonij Australji. Miasto to, posiadające mnóstwo kościołów i kaplic wszelkich sekt angielskich i dwa kościoły rzymsko-katolickie, jako też siedzibą biskupa katolickiego i nowo założonego uniwersytetu. Instytucyj dobroczynnych tutaj, jak po wszystkich większych miastach australskich, jest wielka ilość. W dalszym ciągu podróży zwiedził p. Cz. osadę Sevenhill, gdzie doznał serdecznego przyjęcia w kolegjum jezuitów od ks. Rogalskiego. Sevenhill czyli Siedmiogóry, w połowie jest zamieszkanym przez polaków, reszta mieszkańców z rzadkiemi wyjątkami anglików, jest pochodzenia irlandzkiego, razem zaś liczba ludności dochodzi dwustu. O pół mili na południe, na drodze ku stacji Saddleworth; jest osada mniej więcej tejże wielkości: Penwortham, w trzech czwartych polska, a którą między swoimi nazywają Krakowem. W pobliżu leży osada Hiliriver, jest ona więcej polską od którego zapożyczyła drugie swoje nazwisko: Lwowa. Tu, co żyje, zna mowę polską i w niej się modli. Trzydzieści trzy rodzin uprawia z wielką korzyścią glebę bogatą i wdzięczną. Lwów ten jest gniazdem, z którego młodsze pokolenie wylatuje dalej na północ, by zasobami tu zebranemi tem więcej a więcej ziemi nabywać i ku swej obrócić korzyści. Kapliczka św. Stanisława służy w dnie powszednie za szkołę, w której bakałarz irlandzki, wyuczywszy się nieźle po polsku, uczy kilkadziesiąt malców płci obojga. Dzieci z Penwortham uczęszczają do szkółki Sióstr irlandzkich w Sevenhill, wszakże tu na nieszczęście uczenie się czegokolwiek w języku ojczystym jest niepodobieństwem, to też życzeniem tak o. R., jak ludności polskiej, odpowiednio do rzeczywistej potrzeby, byłoby sprowadzenie się dotąd jednej lub dwóch Sióstr zakonnych polskich. Nawet do Hillriver, w miejsce irlandczyka mówiącego nieźle po polsku, życzonoby sobie gorąco mieć nauczyciela prawdziwego polaka. W szkole w Hillriver znajduje się też biblioteczka, z dzieł polskich złożona. Nadto starający się nasi ziomkowie o zachowanie łączności z krajem i rzeczami ojczystemi, abonują oprócz kilku pomniejszych pism, jak pelplińskiego „Pielgrzyma" i „Gońca Wielkopolskiego", nie wahając się płacić po 20 marek za egzemplarz.

Treść.

M. G.: Mgła.
F. S: Zasada celowości. (dok.)
Wil. Wundt. Zadania Psychologii eksperymentalnej (dokończenie).
E. Renan: Co jest naród.
Sprawozdanie z obrad pierwszego Zjazdu literatów i artystów. (C. d.)
E. H. Ordynans.
Ziarnka.
Zapiski artystyczne, literackie i naukowe.
Miscelanea.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem Leona Zubalewicza.